

ALFRED SZKLARSKI

# TOMEK W TARAPATACH



## WSTĘP

W prywatnych zbiorach bibliotecznych przyjaciół odnaleźliśmy egzemplarz nieco zapomnianej książki, opublikowanej przez Alfreda Szklarskiego pod pseudonimem Fred Garland przed ponad pół wiekiem, zatytułowanej „*Tomek w tarapatach*”. Często spotykamy się z prośbami Czytelników o przejrzenie archiwum Autora i wybranie kolejnych materiałów do publikacji, a jednocześnie jest nam zadawane pytanie o sposób tworzenia postaci Tomka Wilmowskiego. Postanowiliśmy wykorzystać ten zbieg okoliczności, aby dać Czytelnikom możliwość porównania pierwszej historii o Tomku z cyklem książek o tym bohaterze. Wielbiciele twórczości Alfreda Szklarskiego będą mogli prześledzić początki nastoletniego bohatera, który mógł podróżować po świecie, uczestniczyć w niezwykłych wydarzeniach, przeżywać przygody, poznawać nietuzinkowych ludzi — mądrych, ciekawych świata, parających się zajęciami, które były marzeniem nastolatków.

„*Tomek w tarapatach*” nie jest częścią cyklu o Tomku Wilmowskim. Uważnemu Czytelnikowi nietrudno jednak będzie odnaleźć w tej książce cechy głównego bohatera późniejszych dziewięciu książek. Jest to więc jakby pierwsza próba naszkicowania postaci młodego bohatera — nastolatka goniącego za przygodą, obdarzonego nadzwyczajnymi przymiotami, który jednak ochoczo przystaje na towarzystwo pouczających go dorosłych, przekazujących mu wiedzę o świecie, wychowujących go jakby mimochodem, pozwalających mu brać udział we frapujących wydarzeniach i stawać się kimś niezwykłym.

Jest w tej książce przygoda, nieco dydaktyki, humoru i odniesień do polskości bohatera i, choć niekiedy trąci myszką, wciąż ma wiele uroku.

Rodzina Alfreda Szklarskiego.





## TOMEK WYRUSZA Z NOWEGO JORKU

Był wczesny ranek. Mgła opadła i w palącym słońcu ukazał się nowojorski port morski. Na masztach licznych statków zatrzepotały barwne bandery. Tłum pędzących ludzi jakby jeszcze bardziej się ożywił. Spiesznie wlewał się i wylewał z olbrzymiej hali terminala.

Dość wysoki, jak na swoje trzynaście lat, chłopiec z zainteresowaniem przyglądał się przetaczającej się fali ludzi. Już dawno zauważył, że urzędnicy portowi niezbyt dokładnie sprawdzają dokumenty. Teraz, na przykład, jakiś mężczyzna pokazał dokumenty, a trzech tragarzy niosących jego walizy przeszło za nim bez kontroli.

Tomek uśmiechnął się. Już wiedział, w jaki sposób można się dostać do portu. Wystarczyło nieść czyjś bagaż. Krytycznie ocenił swoje ubranie. W kącie za skrzyniami szybko zdjął marynarkę i zawinął aż do łokci rękawy koszuli. Zastanawiał się, co ma zrobić z marynarką i szkolną teczką przewieszoną przez ramię. Nie mógł się pozbyć ani marynarki, ani teczki, choć w tej chwili mu przeszkadzały. Wyglądał jak uczeń, który nie poszedł do szkoły...

— Co tu zrobić?! — zastanawiał się.

Zamiast książek w teczce były zapasy żywności. Z domu mógł je wynieść tylko w ten sposób, udając, że idzie jak co dzień do szkoły. Również marynarka mogła mu się przydać; nie wiedział, czy w Polsce jest w tej chwili ta sama pora roku co w Ameryce. A Tomek właśnie wybierał się do Polski i to bez wiedzy rodziców.

Mimo że miał dopiero trzynaście lat, nie odczuwał strachu. Od najmłodszych lat sam chodził po mieście i marzył o jednym — przygodach. W każdą sobotę dostawał od ojca dwadzieścia centów i szedł do kina. Za dziesięć centów kupował sobie dwie paczki popkornu w cukrze — ulubionego przysmaku amerykańskich dzieci. Drugie dziesięć centów przeznaczał na bilet do kina. Oczywiście chodził tylko na takie filmy, których bohaterowie przeżywali niezwykle przygody. Napatrzył się na dzielnych kowbojów, ujarzmiających dzikie konie, Indian i wszelakie czarne charaktery, aż sam zapalał żądą przygód.

Godzinami bawił się z kolegami w kowbojów i Indian i marzył o wyprawie na Dzikie Zachód, aż do chwili, gdy w domu usłyszał o Polsce.

W strasznej wojnie Niemcy zajęli Polskę, a Polacy mimo to nie chcieli uznać się za pokonanych. Wojna trwała bardzo długo, aż w końcu do Nowego Jorku dotarły wieści, że w okupowanej przez Niemców Warszawie wybuchło powstanie. We wszystkich amerykańskich dziennikach opisywano polskie dzieci walczące na ulicach stolicy jak dorośli, rzucające się na czołgi z butelkami benzyny. Właśnie wtedy fascynacja Tomka dzielnymi kowbojami nieco osłabła. I nagle wojna się skończyła...

Rodzice Tomka otrzymali z Polski list. Matka płakała, a ojciec, który pracował w przemyśle zbrojeniowym i nie poszedł do wojska, chodził zdenerwowany. Tomek dowiedział się, że ktoś z rodziny, mieszkający w starym kraju, zginął. Lecz inni żyli i potrzebowali pomocy. Rodzice Tomka zaczęli wysyłać paczki. Potem okazało się, że część ginie w drodze i znów zaczęto się martwić, co robić, aby przesyłki docierały do adresata. Wtedy zrodził się wielki plan Tomka. Któż by mógł kraść paczki wysyłane do Polski? Oczywiście Niemcy! Długo się zastanawiał, jakby temu zaradzić, aż wpadł na doskonały, jego zdaniem, pomysł.

Postanowił udać się do Polski w ślad za paczką. Właśnie wczoraj matka zaniósła ją na pocztę. Tomek widział, jak gruby urzędnik pocztowy ponalepiał na nią znaczki, a później wrzucił do olbrzymiego wora. Tomek uważnie przyjrzał się znakom na worze i był pewny, że je zapamięta. Wieczorem schował podręczniki pod łóżko, a w teczkę zapakował przygotowywane od dawna rzeczy, niezbędne, jego zdaniem, do podróży. Znalazły się więc w niej paczki sucharów i czekolada, pudełko sardynek, guma do żucia, nóż fiński i książka podróżnicza dla młodzieży. A także spory kawał sznura do bielizny, który miał służyć do związania schwytanych złodziei. Tomek zabrał też wszystkie oszczędności swoje i brata. Było tego coś około dwudziestu pięciu dolarów. Nie wiedział, czy to wystarczy na bilet, ale i tak nie miał zamiaru go kupować, gdyż nie posiadał potrzebnych do podróży dokumentów. Przeciętny mieszkaniec Stanów Zjednoczonych o dokumenty nie musi się starać, gdyż nie potrzebuje się nigdzie meldować. Oczywiście Tomek wiedział, że w domu ma metrykę urodzenia, ale nie orientował się, gdzie rodzice ją przechowują.

O paszport nie mógł się starać, gdyż na to był za młody, a rodzice nie pozwoliliby mu na taką wyprawę. Dlatego też postanowił ominąć wszelkie

formalności i wyruszyć bez dokumentów i zgody rodziców. Słyszał, że ludzie nieraz ukrywali się na statkach i odbywali dalekie podróże bez wiedzy kapitana.

Następnego dnia po nadaniu paczki do Polski Tomek, jak zwykle, wziął na ramię swą teczkę z „książkami” i, pożegnawszy się z matką, wyszedł z domu. Zamiast do szkoły udał się w kierunku portu, aby zrealizować swój plan. Matka niczego się nie domyśliła. Nie wiedziała przecież, że w teczce zamiast książek znajdują się zapasy na drogę i nie znała zamiarów syna.

Teraz, stojąc za stosem skrzyń, Tomek namyślał się, co zrobić z teczką i marynarką. Obawiał się, że zwrócą uwagę urzędników portowych.

— Muszę to wszystko ze sobą zabrać — postanowił.

Owinął więc teczkę marynarką i, wzięwszy tobołek pod pachę, wyszedł zza skrzyń. Nie wyglądał na robotnika portowego, ale miał nadzieję, że w ogólnym zamęcie zdoła się jakoś przedostać na molo, skąd odpływały statki.

Po dłuższej chwili wydało mu się, że nadszedł odpowiedni moment. Przy wejściu zatrzymały się dwa samochody. Z jednego wysiadł wysoki, chudy mężczyzna, a za nim rosły Murzyn, który zabrał się do wyładowywania waliz i pak z drugiego samochodu. Tomek z zazdrością obserwował białego, który wydawał polecenia. Zgodnie z nimi z pojazdu wydobywano różne pakunki. Tomek zaskoczony był różnorodnością bagażu podróżnego. Była tam kamera filmowa, futerały z bronią, jakieś puszki, walizy i skrzynie.

Wysoki mężczyzna doskonale orientował się w swoim dobytku. Przywołał też kilku robotników portowych i objuczył ich bagażami. W końcu wszyscy ruszyli ku wejściu do portu. Mężczyzna szedł ostatni, pilnując ładunku.

Nagle Murzyn wypuścił futerał z karabinem. Biały ofuknął go za niezręczność, a tymczasem Tomek podbiegł szybko i podniósł futerał.

— Dużo paczek, mnóstwo za dużo — tłumaczył się Murzyn.

— Czy mogę pomóc? — zapytał Tomek, zarzucając broń na ramię.

Nie doczekał się zgody, gdyż Murzyn popchnął go przed siebie — i oto już szedł w kolumnie tragarzy.

Bez zatrzymania się minęli urzędników i weszli na długie molo. Futerał z karabinkiem był dość ciężki, ale Tomek zdawał się tego nie odczuwać. To, co go otaczało, było tak interesujące, że oprzytomniał dopiero, gdy stanęli przed pomostem łączącym statek z lądem.

Potężne dźwigi ładowały na statek olbrzymie wory.

— Takie same jak na poczcie! — pomyślał Tomek. — Czyżby ten statek płynął do Polski? Na pewno w jednym z tych wielkich worów, bujających się w tej chwili nad pokładem, znajduje się paczka wysłana wczoraj przez matkę.

Nie wierzył swemu szczęściu. Dokąd mógł płynąć ten wysoki jak tyka podróżny? Ponieważ zabierał ze sobą wielką ilość bagażu, musiał udawać się do biednego kraju. A gdzież są biedne kraje? Oczywiście w Europie! Musi to być wojskowy, powracający z urlopu do jednostki.

Tomek pewnym krokiem wszedł za Murzynem na pomost i po chwili schodził pod pokład do kabiny. Urlopowany żołnierz, jak myślał o nim Tomek, musiał być zamożny, gdyż miał do swej dyspozycji dwie kabiny. W jednej ostrożnie ustawiał paczki i walizy, w drugiej zaś Murzyn układał jego rzeczy osobiste. Tomek, doczekawszy się swej kolei, oddał futerał z karabinem i korzystając z okazji, że podróżny jest zajęty płaceniem robotnikom i nie zwraca na niego uwagi, wsunął się za stos skrzynek.

Podróżny szybko doszedł do porozumienia z robotnikami i rozejrzał się za chłopcem, który niósł futerał z bronią. Nie było go jednak nigdzie. Przypuszczając więc, że musiał już wyjść na pokład, mężczyzna zawołał:

— Sambo!

— Czego pan chceć? — zapytał Murzyn, zaglądając do kabiny.

— Nie widziałeś tego chłopca, który przyniósł futerał z karabinem?

— A czego pan chceć od niego? — odparł pytaniem Sambo.

— Nie dałem mu nic za fatygę, a już go tu nie widzę!

— Chłopiec odejść. Pan dać Sambo, a Sambo poszukać chłopca i dać mu pieniądze.

— Dobrze, tylko pospiesz się, bo statek wkrótce odpływa.

— Sambo zdążyć, pan być spokojny!

Rzeczywiście Sambo zdążył, gdyż nie upłynęły nawet trzy minuty, a już był z powrotem i rzekł:

— Chłopiec być na pokładzie. Sambo dać mu pieniądze i powiedzieć, żeby iść do domu, bo okręt zaraz jechać.

Tomek aż się zatrząsł z oburzenia, ale, niestety, nie mógł sprostować kłamstwa. Przyrzekłszy więc w duszy zemstę Murzynowi, wczołgał się pod niskie łóżko i czekał.

Po chwili usłyszał głos podróżnego, mówiącego do Murzyna:

— Twoja kabina znajduje się po przeciwnej stronie korytarza. Musisz uważać, aby nieproszeni goście nie wchodzili do kabiny z ładunkiem.

— Sambo czuwać! Pan wiedzieć, że wierny Sambo rozplatać każdego nożem, kto chce wejść do pana kabiny.

Nie musiała to być gołosłowna przechwałka, gdyż podróżny odparł poważnie:

— Nie, nie, Sambo, lepiej nie zabijaj nikogo, bo byłyby duże kłopoty.

— Ale pan wiedzieć, że Sambo może to zrobić!

— Wiem i dlatego mówię, żebyś dobrze pilnował ładunku.

— Pan spać spokojnie, Sambo będzie czuwać!

— Teraz idę się rozejrzeć po pokładzie — powiedział podróżny. — Tymczasem wypakuj resztę moich rzeczy.

Drzwi kabiny trzasnęły, a Sambo zaczął mrużyć pod nosem jakąś monotonną pieśń. Tomek starał się być niesłyszalny. Nie miał wcale ochoty zapoznawać się z nożem Murzyna, a przez chwilę nawet zastanawiał się, czy nie powinien zejść na ląd. Opanował jednak tę pokusę. Taka okazja mogła się już nie nadarzyć. Sambo miał mieszkać w innej kabynie, a ponieważ w tej, w której znajdowały się paki, nie należało się spodziewać niczyjej obecności, możliwość ukrycia się aż do chwili dotarcia do Europy, była dość duża. Postanowił zaryzykować.

Po dłuższej chwili podróżny wrócił do kabiny.

— Niezbyt wielu pasażerów znajduje się na tym pudle — odezwał się, zatraskując drzwi za sobą.

— Tym lepiej dla nich! — mruknął Murzyn.

— Masz rację, Sambo! Do czarnego piekła nie ma się po co spieszyć.

Tomkowi znów zrobiło się nieswojo. Lecz co to?

W tej chwili drgnęła podłoga kabiny. Ściany zaczęły dygotać, rozległ się trzykrotny ryk syreny. Zagłuszyła ona krzyk Tomka wychodzącego spod łóżka.

Było już za późno na opuszczenie statku...



## TAJEMNICA PANA BROWNA

Kolejne dni podróży przynosiły pewne wyjaśnienia, lecz mimo to Tomek gubił się w domysłach. Przede wszystkim nie pomylił się, licząc, że uda mu się ukrywać w kabynie, która służyła za magazyn. Nawet groźny Sambo zaglądał do niej dość rzadko, czego — jak się później wyjaśni — nie czynił bez powodu. Podróżny natomiast wiele czasu spędzał w swej kabynie, wystukując coś na małej maszynie do pisania. Nie chodził nawet na posiłki do ogólnej jadalni, lecz kazał sobie przynosić jedzenie do kabiny. To właśnie ułatwiło Tomkowi ukrywanie się na statku, gdyż jego skromne, zabrane z domu zapasy, szybko się skończyły i musiał zdobywać pożywienie. Tajemniczy podróżny po każdym posiłku spacerował kilkanaście minut po pokładzie i w tym czasie Tomek zjadał pozostawione przez niego resztki.

Na tym właśnie tle doszło do zdarzenia, w wyniku którego groźny Sambo zaczął unikać kabiny swego pana.

Murzyn był wielkim żarłokiem i miał zwyczaj zjadać wszystko, co pozostawiał jego chlebodawca. W pierwszych dniach podróży robił to bez przeszkód, ale gdy Tomkowi wyczerpały się zapasy, zaczęło się dziać coś, czego Sambo nie mógł zrozumieć.

Było to czwartego dnia po wypłynięciu z portu. Sambo, jak zwykle, pilnie obserwował, kiedy jego chlebodawca wyjdzie z kabiny na swój spacer po pokładzie. Gdy ujrzał przez uchylone drzwi, że już się oddala, wyszedł na korytarz i zbliżył się do kabiny. Spotkała go niespodzianka. Drzwi były zamknięte. Zdziwił się, ale wrócił do siebie. Usiadł na łóżku i zaczął myśleć. Nie mógł zrozumieć, dlaczego drzwi, zawsze do tej pory otwarte, dziś zastał zamknięte. Czyżby jego pan nagle stracił do niego zaufanie?!

Nie mógł w to uwierzyć, gdyż nie była to ich pierwsza wspólna podróż. W końcu postanowił jeszcze raz sprawdzić, bo drzwi mogły się przecież zaciąć. Wyszedł na korytarz i, o dziwo, drzwi otworzyły się bez trudności.

Wszedł do kabiny i stanął zdumiony. Talerze były doszczętnie opróżnione. W tej chwili coś stuknęło w sąsiedniej kabynie.

Sambo wydobył zza pasa długi, ostry nóż i pchnął uchylone drzwi. Przez małe okrągłe okienko sączyło się mdłe światło dzienne. Zapalił lampę elektryczną.

W kabinie nie było nikogo!

Uważnym wzrokiem obrzucił wszystkie kąty niewielkiego pokoiku i nareszcie spostrzegł przedmiot, który spowodował stuk.

W takt kołysania się statku, po podłodze przetaczała się hermetycznie zamknięta puszka i dziwnym zrządzeniem losu zatrzymała się tuż u jego stóp. Na nalepce widniała trupia czaszka z dużym napisem: „*Trucizna!*”.

Mimo swej odwagi dzielny Sambo, jak większość Murzynów, był zabobonny. Potoczenie się pudełka z trucizną tuż do jego stóp uznał za ostrzeżenie ze strony tajemnych mocy. Czarne, skręcone w loki włosy zjeżyły mu się na głowie. Drżąc ze strachu, wycofał się z kabiny pana Browna i uciekł do swojej.

Oczywiście nie wiedział, że mimowolny sprawca tego zajścia był jeszcze bardziej przerażony. Właśnie tego dnia wyczerpały się Tomkowi zapasy zabrane z domu. Musiał zdobyć coś do jedzenia. Usłyszawszy, że podróżny wyszedł na poobiedni spacer, wysunął się spod łóżka i zajrzał do sąsiedniej kabiny. Na stoliku stały talerze z resztkami jedzenia. Bez namysłu przekręcił zamek u drzwi, a potem zjadł wszystko do ostatniej okruszynki. Trwało to zaledwie kilka minut. Już miał wracać do swej kryjówki, gdy ktoś podszedł do drzwi.

Tomek patrzył z przerażeniem na klamkę ruszającą się pod naciskiem silnej ręki. Gdy tamten odszedł, natychmiast otworzył zatrzask i szybko wycofał się do swojej kryjówki. Wchodząc pod łóżko, potrącił nogą jedną ze skrzynek. Rozległ się stuk i coś zaczęło się toczyć po podłodze.

Łatwo sobie wyobrazić przerażenie Tomka, gdy niemal w tej samej chwili Sambo wkroczył do kabiny z wielkim nożem w dłoni. Zupełnie nieoczekiwanie przerażony Murzyn uciekł, nie dociekając przyczyny upadku puszki. Nie wyłączył nawet światła, przeto Tomek wyskoczył spod łóżka, włożył puszkę do skrzyni i zgasił światło.

To właśnie przechyliło szalę zwycięstwa na jego stronę. Wierny swemu panu Sambo wkrótce bowiem ochłonął ze strachu i przypomniał sobie, że zostawił zapalone światło. No i puszkę z trucizną też należało położyć na swoim miejscu, nawet gdyby złe duchy dały mu tą drogą dziwne ostrzeżenie. Ze strachem powrócił do kabiny swego pana. Stwierdził, że światło jest zgaszone, a puszka zniknęła. Przeżegnał się kilka razy, wspominał wszystkie



złe i dobre bóstwa swych przodków i postanowił nie wchodzić do kabiny pod nieobecność chlebodawcy.

Tym sposobem Tomek zyskał możliwość poruszania się po kabinach w porach, gdy podróżny wychodził na pokład. W tym też czasie ustalił, że pan Brown (z rozmów obsługi dowiedział się, że tak się nazywa) jest zagadkowym człowiekiem. Jego ładunek stanowił zbiór najdziwniejszych przedmiotów. Oprócz kamery były tam bowiem aparaty fotograficzne, nowoczesna broń, słoiki z lekarstwami, ubrania, jakich używa się w krajach tropikalnych, żywność w hermetycznie zamkniętych puszkach, szklane koraliki oraz różnego rodzaju świecidełka i wreszcie książki naukowe.

Jedną z nich, opisującą afrykańskich Murzynów, Tomek wyciągnął z paczki. Kiedy tylko mógł, zbliżał się do bulaja i czytał. W ciągu kilku dni dowiedział się bardzo wiele o życiu Murzynów.

Czego tam nie było! Opisywano na przykład afrykańskich karłów, zwanych Pigmejami. Tomkowi zdawało się, że takich małych Murzynów nie należy się obawiać, a tu autor książki stwierdza, iż są to ludzie bardzo niebezpieczni, gdyż nasączają strzały silnymi roślinnymi truciznami. Nie podobali się Tomkowi sąsiedzi groźnych Pigmejów, ludożercy znad rzeki Kongo, polujący na czaszki ludzkie, na podobieństwo mieszkańców niektórych wysp Oceanu Indyjskiego. Inne znów plemiona miały być bardzo łagodnego usposobienia. W nocy przyśnił się Tomkowi znajomy Murzyn z Nowego Jorku jako łowca głów.

Kim więc był pan Brown, który interesował się Murzynami, miał do swych usług Sambo, odgrażającego się ludziom nożem, i zabierający w podróż tak dziwny ładunek?!

Tomek nie mógł znaleźć odpowiedzi. Ciągłe wydawało mu się, że pan Brown jest urlopowanym żołnierzem i wraca do Europy. W każdym razie postanowił natychmiast po dopłynięciu zniknąć z oczu swych przypadkowych towarzyszy podróży. Chwilami zdawało mu się, że gdzieś już widział podobny sprzęt, w jaki zaopatrzył się pan Brown; nie mógł sobie jednak przypomnieć, gdzie i kiedy. Teraz zaczął żałować, że w szkole nie przykładał się do geografii, z której zawsze miał dwóję. Przypominał sobie niejakiego „Stanleya”, który podróżował po egzotycznych krajach, ale nie mógł wykrzesać ze swej pamięci, jak się nazywały. Właśnie geografia i historia były tymi przedmiotami, których Tomek obawiał się najbardziej przy

promocji do następnej klasy. Obawa przed złym świadectwem skłoniła go do podjęcia tej ryzykownej podróży. „Czarne charaktery” kradnące paczki były tylko pretekstem, by uniknąć nieprzyjemności, które czekałyby na niego, gdyby nie otrzymał promocji.

Teraz doszedł do wniosku, że zabawy w kowbojów i Indian nie przysporzyły mu wiedzy, która tak by mu się w tym momencie przydała. I choć zawzięcie wczytywał się w książkę o zwyczajach i obyczajach Murzynów, nie pomogło mu to rozwikłać zagadki pana Browna, z którym związał się przypadkowo.

Pewnego dnia tajemnica częściowo się wyjaśniła.

Tego ranka pan Brown wcześniej zaczął pisać na maszynie, a wychodząc na poobiedni spacer, zostawił na stoliku kilka zapisanych kartek. Zabierając się do resztek obiadu, Tomek rzucił okiem na jedną z nich i... zapomniał o jedzeniu.

## O CZYM PISAŁ PAN BROWN

To, co Tomek zobaczył, było dla niego zupełnie niezrozumiałe. Co mogły obchodzić pana Browna dzikie zwierzęta? Bo w notatkach znajdowały się właśnie dokładne opisy lwów, lampartów, żyraf, małp, nosorożców, hipopotamów, słońi... Było tego tak dużo, że Tomek nie był w stanie przeczytać wszystkiego za jednym razem.

Dziwnym żołnierzem był pan Brown! Interesował się na przykład, czy lew zawsze atakuje człowieka napotkanego w dżungli. Tomek czytał:

*„Lew syty i nierozdrażniony nie rzuca się na ludzi. Wystarczy nie wykonywać najmniejszego ruchu, aby nie narazić się na niebezpieczeństwo”.*

Tomek roześmiał się. Przecież w ogrodzie zoologicznym lwy karmiono i nie wolno było nikomu ich drażnić, a mimo to trzymano je za grubymi kratami. Na pewno pan Brown nie odważyłby się wejść do klatki lwów, choćby na śniadanie dano im słońia! Po co więc pisze historie, w które nikt nie uwierzy?!

Na innej kartce pan Brown opisywał, jak wyglądają legowiska lwów. Dalej były obszerne opisy małpich wiosek, budowanych na drzewach i w rozpadlinach ścian skalnych.

Wszystko to bardzo zainteresowało Tomka, choć nie mógł zrozumieć, dlaczego tym sprawom pan Brown poświęca tyle czasu. W końcu natrafił na kilka kartek, których treść pochłonęła go. Był to dokładny opis wioski ludożerców. Pan Brown opisywał to w taki sposób, jakby już kiedyś widział podobną wioskę i ucztę ludożerców. To już było niedorzecznością. Tyle to i Tomek wiedział, że biały podróżny nie przyglądałby się obojętnie ludożercom pożerającym człowieka.

Roześmiał się głośno. Wszystko było jasne. Rozwiązał tajemnicę pana Browna. Przypadkowy towarzysz podróży pisał powieści. Tylko w powieściach mogli jeszcze pojawić się ludożercy i okropności, które działy się dawno temu. Tak samo przecież było z Indianami. Tomek mieszkał w Ameryce od urodzenia, a nie widział ani jednego. O ich napadach na białych ludzi czytywał tylko w powieściach o Dzikim Zachodzie.

Więc oto spotkał człowieka, który pisał książki! Nieraz zastanawiał się, w jaki sposób pisana jest powieść. Teraz już wiedział: pan Brown siadał sobie

przy maszynie i wystukiwał zdania! Z uznaniem pomyślał o wysokim podróżnym. Zastanawiał się tylko, w jaki sposób pan Brown znajduje czas na pisanie, pełniąc służbę wojskową. Bo że był żołnierzem, nie budziło wątpliwości. Tomek widział już wielu żołnierzy i znał sposób ich życia. Wygląd i zachowanie pana Browna były typowe dla wojskowego, a gdy przemawiał do obsługi czy Sambo, miało się wrażenie, że wydaje rozkazy swym podwładnym, jak generał.

Tak rozmyślając Tomek przewracał kartki. W korytarzu rozległy się kroki pana Browna, gdy wzrok chłopca padł na list wsunięty między kartki maszynopisu.

*„Postanowiliśmy przyjąć pański projekt. Prosimy, by przybył Pan do naszego biura w celu uzgodnienia kosztorysu”* — przeczytał. Zdążył jeszcze zauważyć u góry: *„Muzeum Historii Naturalnej”*, ale nie miał już czasu na czytanie reszty listu. Pan Brown był pod drzwiami.

Tomek ledwo zdołał otworzyć zamek i zniknąć w swej kryjówce, gdy pan Brown wszedł do kabiny. Nie upłynęły nawet trzy minuty, a drzwi ponownie się otwarły i Tomek usłyszał jego głos:

— Sambo!

Po chwili Murzyn zapytał:

— Pan mnie wołać?

— Tak, wejdz. Dlaczego przeglądałeś moje papiery?!

— Sambo nie przeglądać pana papierów.

— Tak? A jednak wszystko jest przewracane!

Tomek słyszał tę rozmowę i zrozumiał, że to on jest sprawcą nieporządku. W pośpiechu zapomniał odłożyć papiery na miejsce. Nie miał jednak nic przeciwko temu, aby jego wina spadła na Sambo. Pamiętał o jego chciwości i kłamstwie. Przecież Sambo oszukał swego pana, przywłaszczając sobie napiwek.

Widocznie pan Brown znał wady służącego, gdyż rzekł surowym tonem:

— Obżarstwo i łakomstwo zgubią cię, Sambo. Jeśli musisz, zjadaj resztki mojego obiadu, ale nie grzeb w papierach leżących na biurku.

— Sambo nie grzebać w papierach i dawno już nie zjadać resztek. Sambo nie lubić tu przychodzić od czasu, jak widzieć duchy.

— Jakie znów duchy?

— Sambo widzieć duchy.

— Idź już i nie pleć głupstw, a na przyszłość pamiętaj, aby nie ruszać niczego na biurku.

Sambo odszedł, a pan Brown, przekonany o jego winie nie usiłował dalej badać, kto był sprawcą nieporządku. W ten sposób słabostki Sambo ocaliły Tomka.



## ZNIKNIĘCIE PANA BROWNA

Następne dni podróży były dla Tomka bardzo męczące. Rzadko mógł opuszczać swoją kryjówkę, gdyż pan Brown coraz więcej czasu poświęcał pisaniu na maszynie. Toteż chociaż chłopiec wciągnął pod łóżko dwie poduszki, bolał go każdy miesiąc, a kości domagały się rozprostowania. Pozbawiony ruchu stracił zupełnie apetyt i w końcu marzył już tylko o świeżym powietrzu. Często bolała go głowa i zbierało mu się na mdłości. Tomek nie wiedział o chorobie morskiej, więc wydawało mu się, że przyczyną jest niewygodna i brak powietrza. Tymczasem podróż dłużyła się w nieskończoność.

Niewiele już mu brakowało do całkowitego wyczerpania. Bywały chwile, że miał zamiar zrezygnować z ukrywania się. Na szczęście pojawiły się sygnały wróżące koniec podróży.

Mianowicie pan Brown zainteresował się swoim bagażem. Przez kilka godzin segregował paczki. Wydobył lśniący rewolwer i karabin i czyścił je. Potem, ku ogromnemu zdziwieniu obserwującego go spod łóżka Tomka, zdjął swe podróżne ubranie i założył tylko krótkie, jasne spodnie i koszulę.

Tomek nigdy jeszcze nie widział dorosłego mężczyzny w takim stroju. Uważał, że był nieodpowiedni nie tylko dla mężczyzny, ale nawet dla dorastającego chłopca. W duszy jednak przyznawał słuszość panu Brownowi. Na statku było gorąco i duszno. Gdy pan Brown otworzył małe okienko kabiny, do wnętrza nie wpadł nawet najmniejszy podmuch świeżego powietrza.

Pewnego ranka pan Brown zawezwał Sambo i zaczął z nim rozmawiać w nieznanym Tomkowi języku. Olbrzymi Murzyn ubrany był w taki sam strój jak jego pan.

— Sambo dobrze dopilnować wyładunku bagażu — zakończył Murzyn rozmowę po angielsku. — Tylko czy my już na pewno jutro dopłynąć?

— Na pewno, około dziesiątej rano powinniśmy być na miejscu. Pamiętaj, że będziemy się spieszyli, więc trzeba wszystkiego dopilnować.

— Sambo dobrze pilnować, ani jedna paczka nie zginąć!

Tomkowi zrobiło się jeszcze bardziej gorąco. Co by to było, gdyby Sambo nie zakończył rozmowy w zrozumiałym dla niego języku?! Przecież

tylko dzięki temu miał czas na zastanowienie się, w jaki sposób ma się wydostać. Gdyby pan Brown wysiadł, nie mógłby się już dłużej ukrywać.

Zaczął się więc zastanawiać, w jaki sposób ma opuścić statek. Nie, nie mógł zejść na ląd udając tragarza.

Długo myślał, a kiedy pan Brown udał się na swój wieczorny spacer, wyszedł spod łóżka.

W pobliżu drzwi stało kilka skrzyń, których cienkie pokrywy były zamykane na skoble przetykane klinami. Otworzył jedną z nich, stojącą w środku. Znajdowały się w niej hermetycznie zamykane, blaszane puszki.

— Co z nimi zrobić? — mruknął.

Jeszcze raz uważnie obejrzałabinę i wzrok jego zatrzymał się na łóżku, pod którym tyle dni udało mu się ukrywać.

Zdjął z łóżka pościel i materac. Po kilku minutach łóżko było z powrotem zasłane; nikt by nie poznał, że znajdowało się w nim kilkanaście puszek.

Tej nocy Tomek spał niewiele. Obawiał się, że zaśpi i nie zdąży schować się do opróżnionej skrzyni. Gdy tylko pierwsze promienie słoneczne zajrzały przez okienko do kabiny, bez namysłu wysunął się spod łóżka i wszedł do przygotowanej kryjówki. Oczywiście nie mógł zamknąć skobla. Musiał zaryzykować.

Długo trwał w niewygodnej pozycji, co dawało mu się mocno we znaki.

Nagle na statku zaszła jakaś zmiana. W pierwszej chwili Tomek nie rozumiał, co się stało, potem jednak zorientował się, że przestały pracować maszyny. Zrobiło się cicho — ściany i podłoga kabiny nie drżały już rytmem pracujących silników.

Nie żałował, że tak długo męczył się w niewygodnej skrzyni. Zaledwie zdał sobie sprawę, że statek się zatrzymał, do kabiny wbiegło kilku ludzi i zaczęli wynosić bagaże.

Były to trudne chwile dla Tomka.

Czyjeś dłonie uniosły „jego” skrzynię. Nagle rozległ się głos pana Browna:

— Ostrożnie! Stójcie! Czy nie widzicie, że klin wypadł ze skobla?

Tomkowi zdawało się, że chyba wszyscy słyszą bicie jego serca. Miał jednak szczęście, gdyż pan Brown podniósł tylko klin z podłogi i zamknął skobel.

Tomek był uwięziony w skrzyni...



Nie miał w tej chwili czasu na zastanawianie się, w jaki sposób wydostanie się na wolność. Ostre światło i gorące powietrze przedostały się przez niezbyt szczelne deski skrzyni. Domyślił się, że wyniesiono go na pokład.

— Czy w Polsce też będzie tak gorąco, jak na wybrzeżu Europy? — pomyślał.

Teraz wzięto się do obwiązywania skrzyni sznurami i spuszczo ją w dół. Potem widocznie przytłoczono ją innymi pakunkami, gdyż zrobiło się w niej zupełnie ciemno i jeszcze duszniej. Usłyszał plusk wody. Jak się domyślał, płynęli łodzią.

W górę — w dół — w górę — w dół! Łódź opadała i wznosiła się bez przerwy. Fala musiała być duża, bo łódź mocno się kołysała. Tomkowi zrobiło się niedobrze. Zemdlał.

Gdy odzyskał przytomność, skrzynia stała już spokojnie. Nie było już tak duszno i zaraz przypomniał sobie ostatnie przejścia.

— Widocznie jesteśmy już w porcie — pomyślał.

Postanowił jak najszybciej uwolnić się od kłopotliwego towarzystwa pana Browna oraz groźnego Sambo. Sprawdzi tylko, co się dzieje z paczką wysianą przez rodziców do Polski, a potem ruszy w drogę powrotną. Nie miał już jakoś ochoty dalej towarzyszyć paczce. Po raz pierwszy przez tak długi czas znajdował się z dala od rodziców i rodzeństwa. Było mu smutno i tęskno. Wiedział, że i oni niepokoją się o niego.

Najpierw jednak trzeba było wydostać się ze skrzyni. Zaparł się mocno nogami o dno, i z całej siły naciskał ramionami na wieko. I choć strach dodawał mu sił, długo się męczył, zanim puściło. Miał szczęście — deski były cienkie i suche, Tomek wyprostował się i usiadł. W pomieszczeniu, w którym znajdowały się prawie wszystkie skrzynie podróżnego, panował półmrok. Dach okrągłej izby przypominał kopułę. Stanowiły go liście pokryte trawą. Podłoga była zrobiona z pni drzew. Dwa otwory, jakby okna, umieszczone naprzeciw siebie, zakryte były matami, sporządzonymi z roślinnych włókien. Również wyjście z chaty było zasłonięte grubą matą.

Tomek wyszedł ze skrzyni i odetchnął głęboko. W izbie unosił się jakiś dziwny zapach. Zauważył, że podłogę pokrywa cienka warstwa jasnego proszku. Dopiero później dowiedział się, że odstraszał on robactwo.

Tomek wydobył swój tobolek ze skrzyni. Włożył marynarkę i przerzucił pasek teczki przez ramię. Przypuszczał, że znajduje się w jakimś magazynie portowym.

— Trzeba się stąd wydostać — postanowił i ostrożnie podszedł do maty zakrywającej wyjście.

Zanim jednak zdążył ją uchylić, rozległ się jakiś chóralny, monotony śpiew.

— Co to? — mruknął zdziwiony, uchylając maty. Zdrętwiał ze strachu.

Podłoga domku znajdowała się około metra nad ziemią. U stóp prymitywnej drabinki siedział Sambo ze swym groźnym nożem za pasem, łapczywie zjadając dużą, gotowaną kurę. Wokoło, w pewnej odległości od chatki–magazynu, rozsianych było wiele podobnych, z tą tylko różnicą, że zbudowano je bezpośrednio na ziemi, podczas gdy magazyn stał na palach. Przed domkami wylegiwali się półnaczy Murzyni. Za domkami widać było ścianę zielonego, bujnego lasu.

— Co to jest?! — szepnął, gdy minął pierwszy strach.

Czyżby tak miała wyglądać Europa?! Pamiętał ze szkoły, że w Europie mieszkają biali. Zastanawiał się chwilę, a potem ogarnął go jeszcze większy strach. Przypomniawszy sobie powieść pana Browna. Czyżby odbyli podróż z Nowego Jorku do Afryki? Znaczyłoby to, że znajduje się teraz wśród dzikich Murzynów, może nawet ludożerców! Na samą myśl o tym Izy zakręciły mu się w oczach.

— Nie, nie jestem sam, przecież tutaj musi być także pan Brown! Kimkolwiek jest, nie pozwoli, aby mnie spotkała krzywda — pomyślał.

Jednak pana Browna nigdzie nie było widać. Tomek zaczął intensywnie myśleć, szukając ratunku i nagle przypomniał sobie statek. Skoczył do okna i uchylił matę.

O jakieś dwieście metrów od chatki ciemnozielone fale morza przewalały się po płaskim, piaszczystym wybrzeżu. W dali majaczyła ciemna sylwetka statku, nie większego z tej odległości od pudełka zapalek. Ciągnęła się za nim czarna smuga dymu.

Statek odpływał i nie było sposobu, by zawrócić go z drogi.

Siły opuściły Tomka; musiał usiąść na jednej ze skrzyń, aby nie upaść na podłogę. Czuł się tak, jakby za chwilę miał być zjedzony przez ludożerców. Wokół było pełno dzikich ludzi, a przed domem siedział groźny Sambo i

pożerał kurę. A on, Tomek, był śmiertelnie głodny i zmęczony. Teraz przypomniał sobie, że w bagażu pana Browna znajdowało się dużo żywności. Zaczął szperać w pakach i znalazł konserwy i suchary.

Wkrótce poczuł się raźniej. Wstąpiła w niego nadzieja. Przecież jeśli ładunek pana Browna znajdował się w wiosce murzyńskiej, to i on sam musiał być gdzieś w pobliżu. Murzyni nie mogli go zabić, gdyż wtedy nie żyłby i Sambo.

Gryząc suchary, Tomek zaczął układać plan działania. Myślał, myślał, aż zasnął. Był to skutek obfitej uczyty po długim poście.

Zbudziło go głucho dudnienie i wrzaski. Zerwał się na równe nogi.

W chacie panowała ciemność. Poprzez matę przedzierały się czerwone odblaski. Potykając się o skrzynie, podbiegi do drzwi.

Na placu między chatami paliło się wielkie ognisko, nad którym wisiał dymiący parą kocioł. Wokół ogniska Murzyni wykonywali skoki, które przypomniały Tomkowi taniec Indian przy palu męczeńskim, widziany na filmach.

Pana Browna ani nawet Sambo nigdzie nie było.

— Ludożercy! W kotle gotuje się... — pomyślał Tomek i kolejny raz od chwili znalezienia się na obcej ziemi ogarnęło go przerażenie.

Murzyni musieli zabić pana Browna, a Sambo na pewno jest zdrajcą, o ile także nie zginął. Wobec tego pozostał sam wśród zgrai dzikich ludzi!

Monotonny śpiew urywał się i znów rozbrzmiewał z dawną siłą. W takt wybijany dłońmi na małych bębnach, kręciły się wokół ogniska czarne postacie...

Ludożercy!

Nie ma wątpliwości, że on sam jeszcze żyje, ale czy długo będzie bezpieczny w tej chacie? Kiedy łakomi Murzyni zjedzą gotującego się w wielkim kotle pana Browna, na pewno dobiorą się do pozostawionych przez niego zapasów, a wtedy znajdą i jego.

Tomek usiadł na podłodze i oparł się o ścianę. By się ratować, musiał coś wymyślić. Długo się zastanawiał, a gdy w końcu ułożył plan działania, zasnął ze złośliwym uśmiechem na ustach.



## CZEGO PRZESTRASZYLI SIĘ LUDOŻERCY

Tomek otworzył oczy. Po cichu poczołgał się do maty zasłaniającej otwór. Olbrzymi Sambo, wyciągnięty pod niską palmą, spał, chrapiąc głośno. Obok niego leżało kilka dużych, obgryzionych kości.

A więc jednak Sambo żył! Mimo to Tomek drgnął na jego widok.

— Ludożerca! Zjadł własnego pana! — mruknął.

Inni Murzyni także byli pogrążeni we śnie. Leżeli przed swymi chatami bądź pod drzewami. Jedynie murzyńskie dzieci ze śmiesznie dużymi i wzdętymi brzuskami, goniły się z psami wśród chat. W dali widać było Murzynki pracujące w polu.

Mimo swego niebezpiecznego położenia Tomek poczuł głód. Nie namyślając się długo, znów dobrał się do zapasów pana Browna. Skoro pan Brown już nie żył, nie było sensu zostawiać dzikim tyłu rzeczy. Dopiero zaspokoiwszy głód zabrał się do wykonania obmyślonego w nocy planu.

Długo szperał w skrzyniach i pakunkach, aż w końcu znalazł wszystko, co było mu potrzebne, a więc karabin, rewolwer, olbrzymi nóż i pudełko czarnej pasty do butów. Znalazł także naboje do rewolweru, natomiast nie mógł znaleźć kul karabinowych. Był niepocieszony, gdyż z wiatrówki, którą otrzymał od ojca, strzelał bardzo celnie,

podczas gdy z rewolwerem nie umiał się obchodzić. Postanowił jednak wziąć i karabin, gdyż wydawało mu się, że będzie z nim wyglądał groźniej. Na koniec wysmarował sobie grubo pastą twarz i ręce.

Nadeszła chwila działania. Ze strachu zaschło mu w gardle, ręce drżały, ale wiedział, że nie może liczyć na niczyją pomoc. Odetchnąwszy głęboko, skoczył w matę zasłaniającą wyjście.

Trzask pękających szczelbi prymitywnej drabinki obudził śpiącego Sambo. Oczom jego przedstawił się dziwny widok: zerwana z drzwi magazynu mata, zwinięta w niezwykle kształt, toczyła się po szczelbach drabinki, łamiących się z suchym trzaskiem.

Wyglądało na to, że ktoś dobrał się do magazynu. Toteż Sambo ryknął potężnym głosem i jednym susem zerwał się na równe nogi. Wyciągnął zza pasa swój długi, ciężki nóż i ruszył ku intruzowi.

Ale zaraz zatrzymał się zdziwiony, bo oto trzasnął ostatni szczebel drabiny i mata upadła na ziemię. Najpierw wyrzwała z niej lufa karabinu. Za karabinem ukazała się głowa. Sambo cofnął się o trzy kroki.

Bo skądże na tym świecie mogła wziąć się głowa o czerwonych włosach, błyszczącej, czarnej twarzy i... białych uszach?!

Tymczasem ze zwojów maty wygrzebało się wysokie, chude straszycło, wykonując lufą karabinu nieskoordynowane ruchy. Zza pasa wyglądała mu rękojeść noża i kolba olbrzymiego rewolweru.

— Do ziemi, skierować lufę do ziemi! — wrzasnął Sambo, widząc, że lufa karabinu wykonuje niebezpieczne ewolucje na wysokości jego brzucha.

— Nędzny zdrajco! — odparło straszycło. — Czyż nie poznajesz ducha swego pana?

— Jakiego ducha? — zdziwił się Sambo i nadstawił uszu, gdyż jak większość Murzynów lubował się we wszelkich niesamowitych historiach.

— Jestem duchem pana Browna, zjedzonego przez zdradzieckich Murzynów — odparło straszycło. — A ty, Sambo, jesteś z nich najgorszy!

— Pan Brown być zjedzony przez Murzynów? Ja być najgorszy? Duchu mego pana, co ty mówić!

— A czyje to kości, obgryzione przez ciebie, leżą u twych stóp?

Sambo poszarzał na twarzy i obydwoma rękoma chwycił się za brzuch.

— To być nieprawda, to być nieprawda — bełkotał i widać było, że robi mu się słabo.

— Nieprawda? — krzyknęło straszidło. — Gdzie wobec tego jest pan Brown? Ha, źle ci się robi ze strachu! Teraz zemszczę się i pożrę was wszystkich. Dalej, rozpalać ognisko i dawać kocioł!

Mówiąc to, wy dobył z za pasa rewolwer i przymknąwszy oczy nacisnął cyngiel.

Rozległ się huk. Silne szarpnięcie rzuciło go na ziemię. Gdy ochłonął i otworzył oczy, ujrzał już tylko plecy uciekających Murzynów. Jeszcze raz zamknął oczy i nacisnął spust. Poszło lepiej, gdyż leżąc już na ziemi, nie mógł się przewrócić, a Murzynom jakby wyrosły skrzydła. Uciekali w dżunglę, ciągnąc za sobą dzieci i psy wystraszone strzałami. Po chwili, oprócz kurgrzebiących w ziemi w poszukiwaniu robaków, nie było w wiosce żywego ducha.

— Zdobyłem wioskę! — krzyknął Tomek.

Zrazu nie mógł uwierzyć, że naprawdę wszyscy Murzyni uciekli. Zachowując więc ostrożność, chodził od chaty do chaty, ale ze wszystkich kątów wiało pustką. W końcu zatrzymał się przed chatą większą niż inne. Na dwóch żerdziach, zatkniętych w ziemi przed wejściem, wisiały czaszki zwierzęce, przystrojone kawałkami skór i pomalowane czarną farbą. Tomek podszedł do samego wejścia. W otworze ukazał się stary, przygarbiony Murzyn. Nosił, tak jak inni mieszkańcy wioski, przepaskę na biodrach, lecz na ramiona narzuconą miał żółtą zwierzęcą skórę. W rękę trzymał jakąś wielką grzechotkę, którą potrząsał, patrząc na Tomka. Gdy poruszał rękoma, chrzęściły sznury koralu, pazurów i kłów zwierzęcych zawieszonych na piersiach.

Tomek podniósł karabin, lecz stary Murzyn odezwał się lichą angielszczyzną:

— Schować ten grzmiący kij! Czarownik plemienia Nfumba nie zrobić krzywdy białemu chłopcu.

— A kto zjadł pana Browna? — odparł Tomek, nie zniżając lufy karabinu. — Wy podli ludożercy! Jestem duchem pana Browna, którego wczoraj ugotowaliście. Uciekaj, jeśli chcesz zachować swe nędzne życie!

Murzyn potrząsnął grzechotką, rzucając jakieś zaklęcia, zakreślił przed sobą drugą ręką koło w powietrzu i cofnął się do chaty.

Tomek był oburzony odwagą starego, ale po namyśle ruszył na dalszy obchód wioski.

Wałęsając się przez cały dzień po pustej wsi, widział w oddalonej o kilkaset metrów dżungli gromadki Murzynów, kryjących się za drzewami i obserwujących wszystko, co robił. Jednak żaden z nich nie ośmielił się wrócić.

Noc spędził w magazynie, budząc się co chwila, gdyż wydawało mu się, że słyszy kroki skradających się Murzynów. Było to zapewne złudzenie, gdyż rano wioska była nadal wyludniona. Gdy nadeszło południe, a nikt się nie zjawiał, postanowił odszukać Sambo, aby się dowiedzieć, w jaki sposób mógłby wrócić do Nowego Jorku. Widział w dżungli kryjących się Murzynów, kiedy jednak próbował zbliżyć się do nich, natychmiast uciekali. Nie pomogły nawoływania, wioska pozostała nadal wyludniona.

Około południa dżungla ożywiła się. Co pewien czas rozlegało się głucho dudnienie, przypominające bicie w wielki bęben. Odgłosy te zaniepokoiły Tomka, ale drugi dzień spędzony w samotności zmęczył go jeszcze bardziej niż obawa przed ludożercami.

Zbliżał się wieczór. Słońce dotykało spokojnej dzisiaj tafli morza. Tomek wiedział, że wieczór nastąpi nagle, niepoprzedzony zmierzchem. Taki to był jakiś dziwny kraj, że noc zapadała tuż po zachodzie słońca, by po kilku godzinach, jak za uderzeniem czarodziejskiej różdżki, zmienić się w gorący, słoneczny dzień.

Bicie w bęben wzmogło się wieczorem, a Tomek siedział na głównym placu wioski, cicho popłakując. Wyruszył do Europy, a wylądował w jakimś nieznanym kraju, wśród ludożerców. Zniknięcie jedyne białego człowieka i samotność przepełniły czarę goryczy. Popłakiwał, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Gorące łzy żłobiły białe ścieżki na twarzy pomalowanej czarną pastą.

Nagle drgnął. Jedną ręką otarł łzy, a drugą sięgnął po rewolwer. Murzyni wyszli z lasu i szeroką lawą ruszyli ku wiosce.

Krzyczeli i żywo machali rękoma. Tomek nie dowierzał własnym oczom: na przedzie szedł jakiś wysoki, chudy, biały mężczyzna.

— Pan Brown! — krzyknął Tomek i pobiegł na spotkanie.



## I CO DALEJ MAŁY LUDOŻERCO?

Pan Brown zatrzymał się i parsknął śmiechem. Murzyni kryli się za plecami białego, a ten śmiał się głośno, gdy oświadczyli mu, że jego duch wygnał ich z wioski. Tymczasem „*duchem*” okazał się cudacznie wymalowany chłopiec.

Istotnie, wygląd Tomka mógł każdego rozweselić, zwłaszcza twarz, pokryta czarnymi plamami, w których łyzy zrobiły białe smugi.

Tymczasem Tomek podbiegi do pana Browna i objął go mocno.

— To pana nie zjedli ludożercy? — pytał bez przerwy, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

— A kto ci powiedział, że mnie zjedli? — odparł pytaniem pan Brown.

— Nikt, tylko to tak wyglądało, gdy pan zniknął po zejściu na ląd — powiedział Tomek.

— Gdzie widziałeś ludożerców?

— O! Ci straszni Murzyni! — wskazał ręką na otaczający ich krąg czarnych postaci.

— Nie słyszałem, żeby oni byli ludożercami — odparł pan Brown, lecz uważnie powiódł wzrokiem po pomrukujących ze zdziwienia Murzynach.

— Tak, bo pan nie wie, co tu się działo!

— A co tu się działo?

Tomek opowiedział wszystko, co widział. Pan Brown słuchał uważnie, po czym odwrócił się i rzekł:

— Chodź no tu, Sambo, i powiedz, co się gotowało w tym dużym kotle?

— Dużo, dużo mięsa małp, które pan zabić, zanim iść do dżungli — odpowiedział markotnym głosem Sambo, wystąpiwszy z gromady czarnych, wśród których się chował.

— Jesteś tego pewny?

— Tak, Sambo też jeść. To ten duch powiedziec, że my jeść pana Browna i Sambo zrobić się źle, bardzo źle, bo Sambo nie lubić takiego mięsa. Sambo powiedziec o tym Nfumba, a oni wszyscy chorować. Mięso białego być niedobre.

— Pomyliłeś się, mój chłopcze — rzeki pan Brown do Tomka. — Ci Murzyni nigdy nie byli ludożercami. To ty ich przestraszyłeś, mówiąc, że jesteś ludożercą.

— Och! — Tomek nie mógł z siebie wydobyć ani słowa.

— Ale, mój kochany, powiedz mi, skąd się wziąłeś w dżungli? — zapytał pan Brown.

— Och! — westchnął Tomek po raz drugi, a pan Brown widząc, że chłopiec jest wyczerpany i wystraszony, powiedział:

— Zresztą zjedzmy najpierw kolację, a potem opowiesz mi wszystko.

Tomek zgodził się na to chętnie, ale pan Brown długo musiał tłumaczyć Murzynom, że nie mają się czego obawiać. Dopiero gdy dobrze przyjrzelili się Tomkowi, ruszyli tłumnie do swych chat.

Minęła godzina. Zjedzono obfitą kolację. Murzyni znów śpiewali i tańczyli, a Tomek, zjadając jakiś smaczny owoc, zaczął mówić. Pan Brown w skupieniu wysłuchiwał jego opowieści.

— Więc chciałeś się dostać do Polski, a tymczasem przyjechałeś do Afryki — odezwał się, gdy Tomek opowiedział mu swe przygody. — I cóż masz zamiar robić dalej, mój mały ludożerco?

— Chciałbym wrócić do domu, proszę pana — odparł Tomek nieśmiało.

— Ale w jaki sposób? W najbliższym czasie nie odpływa stąd żaden statek. Jedno, co mógłbym zrobić, to nająć Murzynów, którzy by cię odprowadzili do jakiegoś portu, ale kto wie, kiedy stamtąd odpływa statek w kierunku Nowego Jorku. Znajdujemy się na niezbyt uczęszczanym szlaku.

— Niech mnie pan nie zostawia z tymi Murzynami!

— zawołał Tomek, chwytając pana Browna za rękę.

— Narobiłeś mi wiele kłopotu. Bałbym się zostawić cię tutaj aż do mego powrotu i wydaje mi się, że nie powinienem odsyłać cię samego do jakiegoś portu. A zabrać cię na wyprawę w głąb lądu... nie! Nie mogę.

— Och! — westchnął znowu Tomek, a pan Brown zamyślił się.

Po długiej chwili milczenia zapytał:

— Czy bardzo boisz się Murzynów i dzikich zwierząt?

— Nie, przy panu wcale się ich nie boję.

— Mój ojciec był podróżnikiem. Mając dwanaście lat towarzyszyłem mu już we wszystkich wyprawach. Gdybyś był moim synem, wiedziałbym, co

z tobą zrobić. Jednak twoi rodzice na pewno bardzo się martwią, nie wiedząc, co się stało. Jak mogłeś tak niemądrze postąpić?

Tomek przyznał, że postąpił bardzo źle, a miał tak smutną minę, że panu Brownowi zrobiło się go żal. Nastraszenie Murzynów ubawiło podróżnika i miał ochotę zabrać chłopca ze sobą. Znajdowali się w Afryce Równikowej, oddaleni o kilkadziesiąt mil od większego miasta portowego. Pan Brown chciał wylądować jak najbliżej swego obozowiska, które założył wysłany wcześniej pomocnik. Nakłonienie kapitana statku do zatrzymania się w tym miejscu kosztowało go też sporo zachodu i pieniędzy.

Cóż więc miał począć z Tomkiem? Za kilka dni rozpoczynały się wakacje w szkołach amerykańskich i nie było możliwości, aby chłopiec dostał się do Ameryki przed końcem roku szkolnego. Jeśli już tak fatalnie się złożyło, że znalazł się w Afryce, można mu było pozwolić spędzić wakacje na Czarnym Lądzie.

Rozważywszy to wszystko, pan Brown powiedział:

- Przypuszczam, że nie orientujesz się, po co przyjechałem do Afryki.
- Wiem — zawołał Tomek. — Pan pisze książki!
- Skąd nabrałeś takiego przekonania?
- Czytałem kilka kartek pańskiej książki na statku.
- Widzę, że nie jesteś zbyt dyskretny, skoro grzebiesz w cudzych rzeczach.

— Wcale nie miałem zamiaru czytać. Wszedłem do pańskiej kabiny, aby, jak zwykle, zjeść resztki obiadu i rzuciłem tylko okiem na papier na maszynie. Tak mnie zaciekawiło, że przejrzałem wszystko, co leżało na stole.

— Więc dlatego pomyślałeś, że pisuję książki — uśmiechnął się pan Brown. — Nie jestem jednak powieściopisarzem, chociaż wydałem pamiętniki z mych podróży po Afryce. Jestem podróżnikiem, mój Tomku, a jednocześnie trudnię się łowieniem dzikich zwierząt do cyrków i ogrodów zoologicznych. Tym razem przyjechałem do Afryki, by wykonać zamówienie Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku. Zarząd muzeum rozpiął konkurs na urządzenie pawilonu odzwierciedlającego afrykańską florę i faunę. Wybrano mój projekt, którego fragmenty wzięłeś za powieść. Właśnie przyjechałem zebrać materiały potrzebne do realizacji projektu. O dwa dni marszu stąd oczekuje mnie mój pomocnik, Tom Nick, którego wysiałem wcześniej z Ameryki, aby zorganizował wyprawę. Muszę się bardzo spieszyć,

aby wykonać wszystko przed nastaniem pory deszczowej. Dlatego też nie mogę osobiście zająć się wysianiem ciebie z powrotem do domu.

— To niech mnie pan zabierze ze sobą na tę wyprawę!

— zawołał Tomek. — Ja bym tak chciał zobaczyć, jak się łapie dzikie zwierzęta.

— A co na to powiedzą twoi rodzice?

— Przecież przy panu nic mi się nie stanie.

— Udaję się w dzikie okolice, a praca nasza nie jest zbyt bezpieczna. Co do ciebie, sądząc po twojej ucieczce z domu, myślę, że nie jesteś zbyt posłuszny. Przez lekkomyślność możesz narazić nie tylko siebie, ale i innych członków wyprawy na niebezpieczeństwo.

— Gdyby pan mnie zabrał, byłbym bardzo posłuszny!

Pan Brown uśmiechnął się, słysząc te gorące zapewnienia. Wesoły wzrok Tomka wróżył niejedną niespodziankę. Mimo to nie było innego wyjścia i podróżnik zdecydował się zabrać go ze sobą.

— Okoliczności sprawiają, że muszę ci uwierzyć — odezwał się. — Będziesz mógł wziąć udział w mojej wyprawie, ale przyrzeknij mi, że po powrocie do domu weźmiesz się porządnie do nauki i będziesz słuchał rodziców.

— Przyrzekam! — prędko zawołał Tomek.

— Wobec tego musimy jakoś zawiadomić twoich rodziców. Napiszę list i depezę, a jutro rano pošlemy z nimi jednego z Murzynów do miasta.

Tomka ogarnęła tak wielka radość, że omal nie rzucił się na szyję panu Brownowi. Rzecz jasna, przyrzekł sobie, iż będzie wzorem posłuszeństwa i w ogóle wszelkich cnót, jakich można się domagać od chłopca w jego wieku. Jak się z tego przyrzeczenia wywiązał, zobaczymy.

## WYPRAWA

Zaledwie duża, pomarańczowa kula słoneczna ukazała się na horyzoncie, karawana pana Browna zagłębiła się w mrocznym lesie. Za idącym na przodzie Sambo kroczyło gęsiego dwudziestu rosnących Murzynów, niosąc na głowach ładunek przywieziony przez białego podróżnika. On sam, mając przy sobie Tomka, zamykał pochód.

Przed wyruszeniem z wioski odczytał Tomkowi list napisany do jego rodziców i polecił mu, aby dopisał od siebie kilka słów. Ponieważ podróżnik wyjaśnił całą rzecz w liście, Tomek przeprosił tylko rodziców za przysporzone im zmartwienie, obiecując solennie, że nie będzie więcej podobnych wybryków. Gdy karawana opuszczała wioskę, zaufany Murzyn wyruszył z listem do odległego miasta na południu.

Teraz, idąc obok podróżnika, Tomek słuchał z zainteresowaniem jego wyjaśnień dotyczących wyprawy.

— Na pewno jesteś ciekawy, w jakim celu wyruszyłem na wyprawę do Afryki — mówił pan Brown. — Muszę ci to wytłumaczyć, żebyś zrozumiał wszystko, co się będzie działo. Czy byłeś już w Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku?

— O tak! W każdą niedzielę rodzice zabierali mnie i rodzeństwo albo do ogrodu zoologicznego, albo do muzeów lub parków — odparł Tomek.

— Wobec tego widziałeś zbiory zgromadzone w muzeum — ciągnął dalej pan Brown. — Na pewno zauważyłeś, że są tam całe sale poświęcone życiu ludzi i zwierząt w różnych epokach. Widziałeś eksponaty z różnych okresów historii Ameryki. Jestem pewny, że przede wszystkim ciekawiły cię tam oryginalne zbiory, ukazujące sposób życia, broń, łodzie i malownicze stroje Indian.

— Ach, tak! Zawsze prosiliśmy rodziców, żeby nas zaprowadzili do tej sali — rzekł Tomek. — Tak samo lubiliśmy odwiedzać salę, w której stał cały hufiec konnych rycerzy zakutych w żelazo!

— A czy nie ciekawiły cię grobowce egipskie?

— Tak! Tylko jakoś nie mogę uwierzyć, żeby w muzeum w Nowym Jorku leżeli pod szkłem ludzie, którzy umarli przed tysiącami lat. Te grobowce na pewno zostały zbudowane w muzeum!

— Mylisz się, Tomku. Grobowce wraz z mumiami zostały wykopane w Egipcie, skąd przewieziono je do Nowego Jorku. To prawdziwi ludzie, zmarli przed tysiącami lat i zabalsamowani, leżą w muzeum w Nowym Jorku. Jak widzisz, zgromadzone są tam eksponaty z różnych okresów istnienia świata. Przed kilkoma miesiącami rozpisano konkurs na urządzenie afrykańskiego pawilonu. Wybrano mój projekt.

— A ja, czytając go ukradkiem na statku, myślałem, że to powieść — odezwał się Tomek. — Taki ciekawy! Wydawało mi się, że widzę dzikie zwierzęta i ich legowiska.

— Mój projekt przewiduje urządzenie pawilonu afrykańskiego w taki sposób, aby zwiedzającym wydawało się, że znajdują się w Afryce. Będą tam odtworzone charakterystyczne fragmenty dżungli i stepu wraz ze zwierzyną, która je zamieszkuje.

— To my mamy zdobyć te zwierzęta dla muzeum! — zawołał Tomek, zadowolony, że udało mu się zrozumieć cel wyprawy.

— Tak. Będziemy polowali na zwierzęta potrzebne do urządzenia pawilonu. Kilkunastu Murzynów, specjalistów od zdejmowania skór ze zwierząt, czeka na nas z moim pomocnikiem. Odpowiednio sporządzone manekiny zostaną obciążone prawdziwymi skórami, co pozwoli odtworzyć plastycznie życie dżungli. Zdejmowanie skór nie jest rzeczą łatwą i wymaga wprawy, gdyż nawet lekkie uszkodzenie podczas tej czynności czyni je niezdatnymi do użytku. Musimy też zrobić dużo zdjęć z życia zwierząt.

— Czy pański pomocnik wie już o naszym przyjeździe?

— Przypuszczam, że tak. Afryka jest zbyt plotkarskim krajem, aby móc cokolwiek utrzymać w tajemnicy. Nie wierzysz? Może to się wydawać dziwne, ale tak jest naprawdę. Interesujące wiadomości rozchodzą się wśród Murzynów szybciej niż w Ameryce, wyposażonej w radia, telefony i telegraf. Nieraz usłyszysz tutaj dudnienie bębnow. To jest właśnie murzyński telegraf.

— Podczas pańskiej nieobecności słyszałem gdzieś daleko bicie bębnow — wtrącił Tomek.

— A czy zauważyłeś, że w kilka godzin później powróciłem do wioski?

— Tak! Teraz przypominam sobie, że tak było!

— Otóż mieszkańcy wioski przekazali wiadomość, że pojawił się dziwny ludożerca, który wypłoszył ich z domostw. Towarzyszący mi Murzyni usłyszeli głos bębna i wytłumaczyli mi znaczenie sygnałów. Zaniepokojony o zmagazynowane w wiosce towary szybko wróciłem.

— Nie wiedziałem, że tak można się porozumiewać.

— O tak, można! Wiadomość podawana w ten sposób z wioski do wioski przebiega przez dzunglę i stepy afrykańskie równie szybko, jak depesza kraje cywilizowane. Przychodzisz do jakiejś zapadłej wioszczyny, a tam już zastajesz wszystkich uprzedzonych o twoim przybyciu. Biali ludzie nie zdążyli jeszcze przeniknąć całkowicie roli, jaką odgrywają bębny w życiu Murzynów.

Tomek chłonał słowa podróżnika. Spełniły się przecież jego najskrytsze pragnienia — wędrował przez tajemniczy kraj i czekały go prawdziwe przygody. Zaciekawilo chłopca, dlaczego pan Brown wyruszył zaraz po opuszczeniu statku w dzunglę, pozostawiając zapasy i Sambo. Gdy zapytał o to, pan Brown rzekł:

— Murzynom nie wolno posiadać broni palnej, a że nie wszyscy potrafią zabić grubszego zwierza włóczniami, więc zawsze są spragnieni mięsa. Chcąc ich zachęcić, by dali mi odpowiednią liczbę tragarzy, obiecałem im dużo świeżego mięsa. Zaraz pierwszego dnia udało mi się zastrzelić kilka małą, po czym wyruszyłem na dalsze polowanie na grubego zwierza. Niestety, twój występ w roli ludożercy przerwał je. Mam nadzieję, że już nie sprawisz mi takich niespodzianek, i myślę, że będziemy przyjaciółmi?

Długa, koścista dłoń wyciągnęła się ku Tomkowi, a chłopiec uścisnął ją z szacunkiem. Podróżnik okazał mu wiele zrozumienia i dobroci, mimo że chłopiec był przyczyną wielu jego kłopotów.

W ten sposób pan Brown i Tomek zawarli przyjaźń.

Pan Brown chciał jak najprędzej dołączyć do swojego pomocnika. Wędrowali więc przez cały dzień, z wyjątkiem najgorętszych godzin południa. Pot spływał po twarzy Tomka, starającego się nadażyć za podróżnikiem. Wdzięczny był teraz swemu przypadkowemu opiekunowi za ofiarowanie mu jednego ze swych tropikalnych ubrań. Leżało na nim jako tako, gdyż jak na swój wiek Tomek był dość wysoki. Tak więc wędrował ubrany w kask tropikalny, koszulę z krótkimi rękawami i krótkie, szare płócienne spodnie. Na jego chudych łydkach ledwie trzymały się skórzane ochraniacze przed kolczastymi i parzącymi roślinami. Uzbrojony był w krótki karabinek, podarowany mu na czas wyprawy przez pana Browna. Tomek był z niego tak dumny, że choć z trudem nadażał za swym przewodnikiem, ani jedno słowo skargi nie padło z jego ust.

Interesujące wyjaśnienia podróżnika, jak i nieznana roślinność wokół, pomagały mu zapomnieć o upale i zmęczeniu.

Mimo że było już około południa, w dżungli panował półmrok. Drzewa—olbrzymy rosły dość rzadko, ale ich korony, powiązane ze sobą gęstwą lian, tworzyły zielony dach nad głowami. Liany, niby żelazne łańcuchy, spowijały korony drzew tak silnie, że, jak twierdził pan Brown, w czasie szalejących huraganów padały całe połacie lasu. Dach utworzony z zieleni nie chronił od gorąca. Przesycona wilgocią ziemia parowała i Tomkowi zdawało się, że znajduje się w cieplarni.

W pewnej chwili gruba gałąź upadła u jego stóp, a w górze rozległ się przeraźliwy wrzask. Tomek uskoczył w bok, kryjąc się za pniem drzewa, lecz podróżnik roześmiał się i powiedział:

— Spójrz w górę, a zobaczysz, kto cię zaczepia!

Tomek zadarł głowę i wysoko nad ziemią ujrzał brunatne, niewielkie zwierzęta, przeskakujące z gałęzi na gałąź. Małpy wrzeszczały z uciechy, widząc, że udało im się wywołać zamieszanie. Teraz i Tomek roześmiał się z własnego przestachu i podążył za panem Brownem.

— Czy małpy mogą być groźne dla ludzi? — zapytał po chwili.



— Ta, która rzuciła w ciebie patykiem — nie, ale są gatunki nadzwyczaj niebezpieczne i złośliwe. Najniebezpieczniejsze dla człowieka są goryle, ale w tych stronach Afryki ich nie ma. Ale nieco dalej na zachód, dwa tysiące kilometrów stąd, już mógłbyś je spotkać.

Było już dobrze po południu, gdy dżungla zaczęła rzednąć. W gąszczu prześwitywały polanki porośnięte ostrą, wysoką na kilkadziesiąt centymetrów trawą.

Tomek był bardzo zmęczony, toteż z radością przyjął słowa zapowiadające koniec wędrówki na ten dzień. Rzeczywiście, wkrótce zatrzymali się na niewielkiej polanie. Murzyni sprawnie zbudowali kilka szałasów z gałęzi i rozpalili potężne ognisko, po czym kucharz zabrał się do gotowania kolacji.

— No, Tomku! Ściągaj buty — rozkazał pan Brown.

— Trzeba pomyśleć o twoich nogach, nieprzywykłych do takich długich wędrówek. Muszę przyznać, że spisałeś się o wiele lepiej, niż przypuszczałem.

Tomek wymoczył nogi, a Sambo zrobił mu masaż. Pieczenie i ból minęły prawie natychmiast. Poczuli się tak rześki, że poprosił pana Browna o pozwolenie wypróbowania swego karabinku.

Pierwszy strzał nie był zbyt celny. Karabin odrzucił mu ramię do tyłu, a blaszana puszka po konserwach, umieszczona na pniu w odległości mniej więcej czterdziestu kroków, ani drgnęła.

— No, jak się czujesz po swym pierwszym strzale z karabinu? — roześmiał się pan Brown.

— Z mojej wiatrówki, którą ojciec sprawił mi w zeszłym roku na gwiazdkę, trafiłbym na pewno — odparł Tomek.

— Przecież na zawodach szkolnych w Nowym Jorku dostałem pierwszą nagrodę.

— Tak, tylko że wiatrówka nie odrzuca tak jak karabin. Strzelając z karabinu, należy kolbę docisnąć do ramienia, a potem wolno ściągnąć spust. Dopiero po dokładnym wycelowaniu dociska się spust do końca. Wtedy strzał jest celniejszy i nie odrzuca tak ramienia.

Za czwartym strzałem blaszana puszka sfrunęła z pnia, przeszyta kulą na wylot. Po następnych kilku celnych strzałach pan Brown orzekł, że z Tomka powinien być dobry strzelec.



## PIERWSZE STARCIE

— Zbudź się, Tomku!

Z trudem otworzył oczy i ujrzał pochylonego nad sobą pana Browna, potrząsającego go delikatnie za ramię. Sen jednak pierzchnął natychmiast, gdy uprzytomnił sobie, gdzie się znajduje. Zerwał się na nogi, pytając:

— Czy już wyruszamy?

— Tak, zjedz prędko śniadanie i ruszamy w drogę. Chciałbym dzisiaj dotrzeć do obozowiska Nicka.

Pan Brown spostrzegł z zadowoleniem, że po Tomku nie widać śladów wczorajszego zmęczenia. Gdy wyruszali, uśmiechnął się, widząc że chłopiec z wielką powagą przewiesza karabin przez ramię. Tłumiąc wesołość, odezwał się:

— Wytrawny podróżnik nosi karabin w taki sposób, aby w każdej chwili móc złożyć się do strzału. Lufa musi zwieszać się w dół, a zamek powinien się znajdować na wysokości łokcia.

Tomek gorliwie zastosował się do tych wskazówek, gdyż wszystkie pouczenia pana Browna były dla niego święte.

Trzy godziny minęły od chwili opuszczenia miejsca noclegu. Szli korytem wyschniętego strumienia; po obu brzegach drzewa i krzewy stanowiły niemal jednolitą, nieprzenikniętą ścianę. W niektórych miejscach czerniły się wyrwy, niczym bramy w głąb dżungli. Były to wyloty ścieżek zwierząt przychodzących do strumienia obfitującego w pewnych okresach w wodę.

Tomek szedł długim krokiem na końcu karawany tuż przy panu Brownie. Z radością myślał o wieczornym odpoczynku w czasie którego, jak się spodziewał, pan Brown udzieli mu następnej lekcji strzelania. Marzył, aby w czasie wyprawy nadarzyła mu się okazja do zabłyśnięcia odwagą. Co by powiedzieli jego rodzice i koledzy, gdyby dokonał jakiegoś bohaterskiego czynu? Oczyma wyobraźni widział już, z jakim podziwem wszyscy patrzyliby na niego.

Szedł więc czujnie, zwracając baczną uwagę na wszystko, co wokół się działo. Nerwy miał napięte do ostateczności, ale czas mijał, a upragniona sposobność nie nadchodziła.

Nagle za nimi rozległ się przeraźliwy krzyk. Tomek, podniecony ambitnym planem, zareagował o ułamek sekundy wcześniej niż inni. Odwrócił się i ujrzał groźny obraz.

Na ścieżce, o kilkadziesiąt kroków od nich, zobaczył Murzyna, który już od dłuższego czasu — ze zmęczenia czy osłabienia — trzymał się za karawanę. Teraz stał jak skamieniały, odwrócony tyłem, a przed nim przysiadł, gotując się do skoku, potężny zwierz, o czerwono-żółtym futrze, w czarne cętki. Lampart! — przeleciało przez głowę Tomkowi. W wielkiej, okrągławej głowie drapieżnika zaświeciły groźne ślepia. Reszta dokonała się w mgnieniu oka. Tomek zdał karabin z ramienia, złożył się i strzelił. Błysnęło w półmroku dżungli i potężne zwierzę, jakby rażone piorunem, runęło na ziemię. Murzyn wrzeszczał dalej, ile sił w płucach.

Tomek stał oszołomiony, z opuszczonym ku ziemi karabinem. Nie rozumiał, w jaki sposób udało mu się tak szybko wymierzyć i wystrzelić. Tymczasem pan Brown pobiegł ku lampartowi, z bronią gotową do strzału. Spojrzawszy na zwierzę, pokręcił głową, odwrócił się do Tomka i zawołał:

— Podejdź tutaj, Tomku, i zobacz swoje dzieło!

A gdy Tomek się zbliżył, rzekł: — Dostał kulą między oczy! Zobacz sam!

Tomek pochylił się nad potężnym cielskiem. Mały otwór, widniejący między oczami lamparta, wskazywał wyraźnie miejsce wejścia kuli.

— Sam nie wiem, jak to się stało — rzekł chłopiec po chwili. — Kiedy czarny zaczął wrzeszczeć, odwróciłem się, a potem strzeliłem.

Pan Brown spoglądał na Tomka pełnym niedowierzania wzrokiem. Usłyszawszy, odwrócił się prawie jednocześnie z chłopcem i chciał strzelić do zwierzęcia. Ale gdy on, wytrawny myśliwy, zdążył zaledwie złożyć się do strzału, było już po wszystkim. Tomek wystrzelił i trafił między oczy.

— Muszę ci pogratulować, Tomku — odezwał się w końcu. — Tak czy inaczej, strzał był mistrzowski i wybawił Murzyna z niebezpieczeństwa. Ze względu na wielką ruchliwość lampartów, strzelanie do nich nie należy do łatwych zadań. A jeśli strzał nie jest od razu śmiertelny, strzelający naraża się na ogromne niebezpieczeństwo. Ranny lampart jest jednym z najgroźniejszych drapieżników dżungli. Co prawda, tobie nic nie groziło, ale Murzyna lampart rozdarłby na kawałki, gdyby nie padł od razu.

Tomek spojrział na otaczających go ludzi. Ich wzrok, pełen podziwu, potwierdził słowa pana Browna. Podróżnik podał mu rękę, a Murzyni zaczęli przekrzykiwać się w pochwałach.

— Zabierzcie lamparta i ruszajmy — zarządził pan Brown, kładąc kres owacjom.

Murzyni sprawnie ścięli drzewko, ociosali z gałęzi i wsunęli pomiędzy łapy lamparta, które związali lianami. Potem dwóch wzięło ten dodatkowy bagaż i ruszono w drogę.

Nie było im jednak dane zaznać spokoju. Za ledwie pół godziny od zajścia z lampartem czoło pochodu się zatrzymało. Sambo szybko podbiegł do pana Browna, idącego z Tomkiem na końcu karawany, i powiedział szeptem:

— Słonie! Słonie zagradzać drogę!

Pan Brown, nie tracąc czasu, pobiegł na czoło karawany, a zaciekawiony Tomek podążył za nim.

Za zakrętem, o jakieś dwieście metrów od nich, ścieżką, wolnym krokiem, wlokły się ku nim trzy słonie. Były to samica i wielki samiec. Tuż za nimi ciągnęło małe słoniątko. Zwierzęta szły powoli i zatrzymywały się co kilka kroków, przymykały oczy i wachlowały olbrzymimi uszami, opędzając się od dokuczliwych owadów. Wspaniałe, długie kły lśniły białością na tle ciemnoszarych cielsk.

Zaatakowanie tych olbrzymów na wąskiej ścieżce nie wróżyło nic dobrego dla małej karawany. Toteż pan Brown, widząc, że Tomek zaciska dłonie na karabinie, odezwał się szeptem:

— Nie strzelaj! Nierozsądnie byłoby zaczepiać je w tym gąszczu, zwłaszcza że mają przy sobie małe. W takim wypadku nie są zbyt ustępliwe.

Przez chwilę podróżnik stał w milczeniu, a następnie odezwał się do Murzynów:

— Który z was dobrze zna te okolice? — A kiedy dwóch odpowiedziało twierdząco, zapytał: — Czy znajduje się tu jakaś inna ścieżka, którą można by ominąć słonie?

— Jest, tylko trzeba przebić się przez gąszcz na prawo — odpowiedzieli.

— Wytnijcie nożami przejście. Wyminiemy słonie — rozkazał.

Murzyni szybko utorowali przejście przez gąszcze i pochód zniknął w dżungli.

Jak się okazało, nie można było zbyt wiele polegać na słowach Murzynów. Jakkolwiek twierdzili, że znają teren doskonale i potrafią odnaleźć ścieżkę, o której istnieniu mówili przedtem z taką pewnością, czas dłużył się w nieskończoność, a ścieżki nie było widać. Długo kluczyli po bezdrożach, aż Tomkowi zaczęło się wydawać, że dwaj przewodnicy po prostu wymyślili nieistniejącą drożynę, aby tylko nie narazić się na zetknięcie ze słoniami. Do takiego samego wniosku musiał dojść i pan Brown, gdyż w końcu sam objął przewodnictwo i postanowił odnaleźć koryto wyschniętego strumienia, którym szli przedtem. Po półtoragodzinnym marszu po zaroślach istotnie je odnalazł, ale jak się okazało, stracili tyle czasu, że nie można było myśleć o dotarciu tego dnia do obozowiska Nicka. Kazał więc zwolnić, a napotkawszy wkrótce małą polanę, postanowił na niej przenocować. W pobliskim gąszczu płynął strumyk, miejsce więc doskonale nadawało się na nocleg.

Wrażenia i kluczenie po gąszczu zmęczyły Tomka, toteż, gdy tylko zjadł kolację, położył się na kocu pod drzewem i natychmiast zasnął.

Przeżycia dnia nie opuściły go również w czasie snu. Olbrzymi lampart zjawił się przed nim i, szczerząc kły, szykował się do ataku. Tomek chwycił karabin, lecz chociaż naciskał spust całą siłą, strzał nie padał. W końcu lampart podszedł tak blisko, że Tomek musiał się cofnąć i oddalić od karawany. Nie widział już Murzynów ani pana Browna. Lampart zmuszał go do zagłębienia się w gąszcz. Tomek starał się przyspieszyć kroku, ale nogi miał skrępowane. W końcu ujrzał zwisającą gałąź. Zdawało mu się, że na niej będzie bezpieczny, skoczył więc i... runął jak długi na ziemię.

Upadek zbudził go. Leżał opodal drzewa, pod którym urządził sobie legowisko, z nogami zaplątanymi w kocu, a wokół niego panował nieopisany zgiełk i zamęt. Wrzeszczący ze strachu Murzyni wdrapywali się z gorączkowym pośpiechem na drzewa, a pan Brown repetował karabin, krzycząc coś głośno do wystraszonego Sambo.

Srebrzysta poświata księżycowa sprawiała, że było jasno jak za dnia. Tomek ujrzał więc niesamowity widok z całą wyrazistością. O kilkanaście kroków od obozu olbrzymi bawół afrykański toczył śmiertelny bój z lwem. Obydwa zwierzęta stanowiły wspaniałe okazy. Wiadomo, że bawoły afrykańskie nie obawiają się nikogo, nawet lwa. Toteż wielki lew musiał być bardzo spragniony mięsa, jeśli, czatując u pobliskiego wodopoju na zwierzęta, zdecydował się na zaatakowanie bawołu. Rzeczywiście lew był głodny i z

determinacją napadł na groźnego przeciwnika. W zażartej walce obydwaj zwierzęta odniosły rany. To je rozjuszyło do tego stopnia, że gdy z gąszczu walka przeniosła się na polanę, w pierwszej chwili nie zwróciły uwagi na zrywających się z krzykiem ludzi.

W chwili, gdy Tomek się zbudził i, zrywając na nogi, runął na ziemię, bawół, rozjuszony wrzaskiem Murzynów, oderwał się potężnym rzutem cielska od swego przeciwnika i cwałem ruszył na gromadkę ludzi.

Tomek ujrzał pochylony ku ziemi olbrzymi łeb, uzbrojony w ostre rogi, i toczącą się za nim masę cielska. Przerażony rzucił się ku drzewu i dopiero znalazłszy się wśród gałęzi, spojrzał na rozgrywającą się u jego stóp scenę.

Kilku Murzynów nie zdołało jeszcze skryć się na drzewach. Jeden z nich znalazł się na drodze szarżującego bawołu. Tomek przymknął oczy, lecz przeraźliwy krzyk tratowanego mówił wszystko. Zagrzmiął karabin pana Browna. Rozległ się chrzęst repetowanej broni i znów huknął strzał.

Głośny stęk bawołu, który rozległ się tuż pod drzewem, zmusił Tomka do otwarcia oczu.

Niebezpieczeństwo minęło. Pan Brown stał pod drzewem z karabinem w ręku, a bawół, powalony, kopał racicami ziemię. Lwa nie było nigdzie widać. Widocznie uciekł, spłoszony strzałami i ukazaniem się nowego, groźniejszego przeciwnika.

Już nic się nie działo, ale Murzyni dalej siedzieli na drzewach. Teraz pan Brown, z bronią gotową do strzału, ostrożnie podszedł do bawołu i z bliska wypalił po raz trzeci. Ostrożność ta nie była, jak się okazało, zbędna, gdyż bawół poderwał się jeszcze na nogi, lecz zaraz runął na ziemię i odrzucił do tyłu olbrzymi łeb.

Na okrzyk pana Browna, oznajmiający, że niebezpieczeństwo minęło, Murzyni zeskoczyli z drzew, ale szli powoli i ostrożnie, jakby obawiali się, że bawół może jeszcze ożyć, a lew — powrócić.

— Schodź z drzewa, Tomku! — zawołał pan Brown, a kiedy Tomek podszedł ku niemu, dodał: — Zrobiłeś bardzo rozsądnie, uciekając na drzewo, gdyż naprawdę byliśmy w wielkim niebezpieczeństwie. Widziałeś, że i tragarze uczynili to samo. Afrykańskie bawoły w ogóle są niebezpieczne, a bawół samotnik, taki jak ten, groźny jest dla wszystkiego, co napotka na swej drodze. Sam zresztą widziałeś! Nawet śmiertelnie zraniony bawół potrafi zabić myśliwego, jeśli ten, złudzony jego pozorną słabością, podejdzie zbyt

blisko, nieprzygotowany na atak. A tamtemu biedakowi — po tych słowach spojrzął na stratowanego Murzyna, leżącego o kilka kroków od bawołu — nie można już pomóc. Nie żyje od kilku minut.

Murzyni szybko rozpalili ognisko, a gdy wybici ze snu podróżnicy zasiedli pod drzewami, pan Brown odezwał się do Tomka:

— Doprawdy, dobrze zrobiłeś, kryjąc się na drzewo. Lepiej tak zrobić, jeśli nie jesteś pewny, że nerwy nie sprawią ci przykrej niespodzianki w decydującej chwili. Tak samo, jeśli na twej ścieżce znajduje się jakikolwiek zwierz i nie zaczepia cię, omiń go. Tak robi każdy rozsądny podróżnik. Natomiast jeżeli ktoś zaatakuje cię w dżungli, powinieneś odpowiedzieć atakiem we własnej obronie. Takie jest prawo dżungli.



# U STÓP KILIMANDŻARO

Przez resztę nocy nikt nie zmrużył już oka. Toteż zaraz po śniadaniu pan Brown dał hasło do wymarszu. Przedtem Murzyni obdarli jeszcze zastrzelonego bawołu ze skóry, gdyż pan Brown uznał go za okaz nadający się do afrykańskiego pawilonu w nowojorskim muzeum.

Po trzygodzinnej wędrówce dżungla ustąpiła miejsca lasom parkowym, poprzedzianym przestrzeniami stepu i wkrótce karawana znalazła się w obozowisku Nicka.

Nick był młodym i rzutkim mężczyzną. Z zainteresowaniem wysłuchał historii Tomka, a usłyszawszy o jego mistrzowskim strzale do lamparta, poklepał go po ramieniu, mówiąc:

— Jeśli tak jest w rzeczywistości, to przydasz nam się tutaj. Lubię takich urwisów jak ty.

Tomek poczuł się w swoim żywiole. Nikt się nim specjalnie nie zajmował, więc miał wielką swobodę i mógł robić to, co go interesowało. A doprawdy było się czym interesować. Trzon ekspedycji stanowiło pięć wielkich samochodów ciężarowych. Na jednym z nich zakwaterowali się pan Brown, Nick i Tomek. Urządzili się na nim, jak mogli najwygodniej. Kamery i aparaty fotograficzne pan Brown trzymał przy sobie, a resztę bagaży załadowano na inną ciężarówkę. Oprócz murzyńskich szoferów wyprawie towarzyszyło trzydziestu specjalistów od ściągania skór i myśliwych.

Rozejrzawszy się po obozowisku, Tomek zaczął się zastanawiać, w którym kierunku uda się wyprawa. Ujrawszy przeto, że pan Brown rozłożył na stole dużą mapę Afryki, zapytał:

— Czy mógłby mi pan pokazać, gdzie się znajdujemy?

— Jesteśmy w Afryce Równikowej, w kolonii brytyjskiej Kenii, około trzystu kilometrów od najwyższej góry w Afryce, która nazywa się Kilimandżaro.

— Jak wysoka jest ta góra? — zaciekawiał się Tomek.

— Wznosi się prawie 6000 metrów ponad poziom morza.

— Czy zobaczymy tę górę?

— Tak, zobaczysz ją, gdyż nasza wyprawa udaje się na płaskowyż, dotykający jej północnych zboczy.

— A dlaczego postanowił pan wybrać się w te okolice?

— Kraina ta roi się od licznej i różnorodnej zwierzyny, a przecież przyjechałem tu, żeby upolować potrzebne mi do muzeum zwierzęta.

— A gdzie rozbijemy obóz?

Pan Brown nie skąpił wyjaśnień, a Tomek chętnie słuchał i uważnie śledził koniec ołówka, którym podróżnik kreślił na mapie trasę wyprawy. Teraz zrozumiał, że umiejętność czytania map jest niezbędną każdemu, kto chce podróżować po nieznanym krajach.

Tymczasem Murzyni zajęli się wyprawianiem przywiezionej skóry. Tomek ruszył ku nim i z ciekawością przyglądał się skomplikowanym zabiegom. Skóra była zdjęta z wielką starannością i nie brakowało w niej najmniejszej cząstki.

Godziny przedwieczorne upłynęły na przygotowaniach.

O świcie wyprawa ruszyła w dalszą drogę.

Sześć dni trwała męcząca jazda samochodami. Teren nie był łatwy do przebycia. Pan Brown nie trzymał się utartych szlaków, gdyż obszary obfitujące w zwierzynę leżały daleko od terenów zaludnionych. Toteż samochody z trudem pięły się po stokach płaskowyżu, przebywały w bród strumienie i przedzierały przez zarośla.

Murzyni często musieli torować drogę przez gąszcz nożami i siekierami. Nic więc dziwnego, że upłynęło sześć dni, zanim przebyto trzysta kilometrów oddzielających cel wyprawy od obozowiska Nicka.

Przez cały czas Tomek nie wypuszczał z rąk lornetki. A było na co patrzeć. Nosorożce, dziki afrykańskie, żyrafy, stada najróżniejszych antylop, lwy, a nawet słonie ukazywały się w pobliżu. Dla Tomka było wielką niespodzianką, że można przebywać tak blisko dzikich zwierząt i nie być narażonym na niebezpieczeństwo. Wiele zwierząt wcale nie reagowało na widok samochodów, a najczęściej po prostu uciekały. To była prawdziwa pierwotna Afryka, której istnienia Tomek, stroniący dotychczas od geografii, nawet nie podejrzewał. Nic więc dziwnego, że sześć dni upłynęło mu szybko i prawie żałował, gdy przed nimi wyłonił się potężny masyw wygasłego wulkanu Kilimandżaro.

Najwyższa góra Afryki sprawiła na Tomku ogromne wrażenie. Nieliczne otaczające ją góry wyglądały jak krasnoludki przy olbrzymie. Jej ścięty i pokryty śniegiem wierzchołek zdawał się wisieć w powietrzu, gdyż

przeplływające poniżej chmury tworzyły jakby kłębiasty, gruby wieniec wokół niego. Równina u stóp Kilimandżaro, po której posuwała się karawana samochodów, była stepem porośłym spaloną słońcem trawą, miejscami przechodzącą we wspaniałe lasy. Gdzieniegdzie rozpościerały się moczary, porośnięte bujną, barwną roślinnością. Były to siedziby bawołów, jak wyjaśnił Tomkowi pan Brown.

Na skraju jednego z lasów pan Brown nakazał rozbić obozowiska. Było to wymarzone miejsce na obóz, suche, lecz cieniste, z szerokim widokiem na step i potężny masyw Kilimandżaro. Las poprzecinany był we wszystkich kierunkach ścieżkami wydeptanymi przez zwierzęta. Również liczne źródła dawały pewność, że okolica musi obfitować w zwierzynę.

Obozowisko urządzono w ciągu kilku godzin i jeszcze tego samego popołudnia pan Brown wyruszył na zbadanie okolicy. Tomek pozostał na miejscu, gdyż Nick polecił mu nadzór nad pracami obozowymi, ale ucieszył się ogromnie, gdy pan Brown oznajmił po powrocie:

— Zwierzyny dużo, jak śniegu na Kilimandżaro! Jutro będziemy polowali na lwy. Udało mi się wyśledzić rodzinę składającą się co najmniej z ośmiu lwów.

— Czy będę mógł wziąć udział w tym polowaniu? — zapytał Tomek, poruszony do głębi usłyszaną wiadomością.

— Jakże mógłbym pominąć tak wspaniałego strzelca!

— uśmiechnął się pan Brown. — Muszę ci jednak powiedzieć, że nie zawsze uda ci się znaleźć tak grube drzewo, które by się nie ugięło pod ciężarem twego ciała.

Tomek zmieszał się na wspomnienie ucieczki na drzewo w czasie przygody z bawołem, lecz przyszedł mu z pomocą Nick, mówiąc:

— Nie martw się jego żartami, Tomku. Widziałem już pewnego sławnego podróżnika, który usiłował uciec przed dzikiem afrykańskim na małe, wątłe drzewko. Myślę, że pan Brown mógłby nam coś o tym powiedzieć.

Teraz pan Brown roześmiał się głośno i przyznał się, że w istocie pewnego razu uciekł na drzewo w obawie przed groźnymi kłami dzika. Było to podczas jego poprzedniej wędrówki z Nickiem. Strzelił do dzika, lecz strzał był tak niefortunny, że tylko zranił i rozjuszył bestię. Okazało się, że w karabinie nie było już nabojów. Nie mogąc dobić dzika, porzucił broń i

wdrapał się na cienkie drzewko, uginające się niepokojąco pod ciężarem jego ciała. Na szczęście z opresji wybawił go Nick, który celnym strzałem dobił zranione zwierzę.

— Kosztowało mnie to ładnych parę dolarów — kończył swe opowiadanie pan Brown — gdyż dzik, nie mogąc mnie dosięgnąć, zmiażdżył mi karabin w swych potężnych szczękach.

— A jednak nie będę się więcej krył na drzewo — powiedział Tomek... i dotrzymał słowa.

## POLOWANIE NA LWY

Myśliwi szli gęsiego wzdłuż leśnego strumienia, w którego wartkim prądzie pluskały się ryby. Ponad ich głowami rozbrzmiewał śpiew ptaków i wrzask małp. Liczne świeże ślady na ścieżkach wydeptanych przez zwierzęta obiecywały pomyślne zakończenie polowania.

Tomek był mocno podniecony. Przecież szedł z karabinem w rękę, aby polować na lwy. Pan Brown i Nick zabrali ze sobą dwunastu Murzynów, którzy, natychmiast po polowaniu, mieli ściągnąć skóry z zabitych zwierząt.

Nagle pochód zatrzymał się. Pan Brown i Nick pochyliłi się nad kawałkiem zdeptanej ziemi u brzegu strumienia. W tym miejscu rozlewał się on trochę szerzej, tworząc przy jednym z brzegów nieckowatą wyrwę, w której woda stała spokojnie, ledwie poruszana prądem strumyka.

Tomek trącił w bok stojącego obok niego Sambo i zapytał:

— Czy pan Brown już odkrył ślady lwów?

— Tu lwy pić w nocy wodę — odparł Sambo. — W dzień one siedzieć w zaroślach i spać. Lwy być mądre, one nie męczyc się bieganiem w dzień, kiedy gorąco.

Tomek popatrzył na mętną wodę wypełniającą nieckę i rzekł:

— Lwy wcale nie są mądre. Po co piją brudną wodę, skoro czysty strumień płynie tuż obok?

— Brudna woda lepsza — odparł Sambo. — Wszystkie zwierzęta lubić stojącą wodę.

Tomek nie zdążył już odpowiedzieć, gdyż pan Brown ruszył w dalszą drogę. Wędrówka ścieżką zwierzęcą trwała około pół godziny. Tomek potykał się co chwila o wystające z ziemi korzenie, lecz w najmniejszym stopniu nie ochłodziło to jego zapału łowieckiego. Wyobrażał sobie, jak rozjuszone zwierzęta rzucają się na nich i... mrowie przechodziło mu po plecach. Bo jednak lew na wolności może budzić strach — myślał Tomek. To nie to samo co lew w klatce w ogrodzie zoologicznym.

Nic więc dziwnego, że gdy las przerzedził się, przechodząc stopniowo w poplątane krzewy, Tomek trzymał się już jak najbliżej dwóch białych mężczyzn.

Pan Brown znów przystanął, badając uważnie kierunek wiatru. Widząc podniecenie Tomka, wyjaśnił:

— Wytropione przeze mnie wczoraj lwy są w pobliżu. Pójdziemy teraz pod wiatr, żeby nas za wcześnie nie zwęszyły. Trzeba też zachować milczenie i unikać nadeptywania na suche gałęzie.

Ruszyli, zachowując jak największą ostrożność. W końcu marsz zmienił się w podchody. Znów się zatrzymali, a jeden z Murzynów poszedł na zwiad. Po chwili wrócił, oznajmiając, że lwy znajdują się w odległości pięćdziesięciu kroków.

Wykorzystując krzewy jako osłonę, podkradli się bardzo blisko, a Tomek nagle usłyszał gniewne mruknięcie. Przywarł do ziemi tuż za Nickiem, a kiedy odważył się rozchylić ręką krzewy, widok zaparł mu dech w piersiach.

O jakieś dwadzieścia pięć kroków od nich, na skraju maleńkiej polany, wylegiwały się lwy.

— Raz, dwa, trzy, cztery, pięć — policzył.

Pięć lwów wypoczywało po nocnych łowach. Musiały być syte i to zapewne stępiło ich czujność, gdyż zaledwie jeden z nich, olbrzymi samiec o płowej, puszystej grzywie, uniósł się z ziemi na przednie łapy, węsząc w powietrzu. Inne wylegiwały się pod osłoną niskich drzew, nie zdradzając niepokoju.

Pan Brown dał znak ręką i wszyscy myśliwi zamarli w bezruchu.

Nie minęło dziesięć minut, a węszący lew uspokoił się i wyciągnął na trawie, opierając potężny łeb na przednich łapach.

Teraz pan Brown na migi wydał rozkazy. Wynikało z nich, że bierze na siebie olbrzymiego lwa, podczas gdy Nick i Sambo mają zająć się dwiema lwicami. Tomkowi wskazał najmniejsze zwierzę, udzielając szeptem wskazówek, gdzie ma mierzyć. Myśliwi rozciągnęli się pod krzewami i kiedy każdy z nich wymierzył, jeden z Murzynów klasnął w dłoń.

Na odgłos nieznanego dźwięku lwy poderwały się na nogi.

Huknęły cztery strzały, a właściwie trzy, a czwarty tuż po nich. To Tomek spóźnił się o kilka sekund. Strzelił i ujrzał, że jego lew znika w buszu. Chybił. Sama świadomość, że mierzy do lwa, przyprawiła go o drżenie rąk.

Trzy lwy leżały zabite na skraju łąki, a pozostałe dwa skryły się w buszu.

— Chybiłem! — zawołał Tomek, widząc że myśliwi podnoszą się z ziemi.

— Tak to przeważnie bywa, kiedy się po raz pierwszy strzela do żywego celu z pełną świadomością — odparł Nick.

Tymczasem pan Brown obejrzał zabite zwierzęta, zbadał ślady zbiegłych lwów i odezwał się:

— Wydaje mi się, że jednak postrzeliłeś swego lwa, Tomku. Krwawił, uciekając. Na drugi raz, jeśli nie jesteś pewny strzału, nie strzelaj. Zranione zwierzę męczy się w dżungli, a jednocześnie staje się bardzo niebezpieczne dla ludzi. Przeważnie zwierzęta...

Przerwał, gdyż w tej samej chwili jeden z Murzynów zawołał:

— Dziecko lwa!

Wszyscy spojrzeli we wskazanym przez niego kierunku.

W wysokiej trawie, chwiejąc się niepewnie na wątych łapkach, ukazał się mały kociak. Tomek kilkoma skokami dopadł lwiątko i, przyklękawszy, wyciągnął ku niemu ręce. Lwiątko przysiadło niezgrabnie na zadzie i zmarszczywszy pyszczek, odsłoniło małe kły. Ciche mruknięcie nie odstraszyło Tomka. Po chwili lwiątko siedziało już na jego kolanach.

Pan Brown nachmurzył się i uważnie sprawdził, czy jego karabin jest nabyty.

— Prawdopodobnie zabiliśmy mu matkę, jak myślisz, Nick? — zapytał.

— A może to kociak którejś ze zbiegłych lwic? — rzekł Nick.

— To byłoby już całkiem źle — odparł pan Brown. — Gdybym zauważył wcześniej to maleństwo, dalibyśmy im wszystkim spokój.

— A to dopiero! — zmartwił się Nick. — Co teraz zrobimy z tym kociakiem?

— Zabiorę go i będę pielęgnował — postanowił Tomek, spoglądając pytająco na swego opiekuna.

— Jeśli jego matka żyje, to wróci tu po niego — odpowiedział pan Brown. — W przeciwnym razie, pozostawiony tutaj, kociak skazany jest na śmierć głodową. Nie ma innej rady, zabierz go ze sobą.

Murzyni zaczęli przygotowywać się do ściągania skór z martwych zwierząt.

— Czy nie lepiej byłoby, gdybyśmy to zrobili w obozie? — odezwał się Nick. — Starczą nam chyba trzy okazy, a tymczasem jeśli tu pozostaniemy, tamte dwa mogą powrócić.

Pan Brown zrozumiał intencję Nicka. Rzecz oczywista, tamte dwa lwy mogły wrócić w każdej chwili; przecież tylko dlatego trzymał swą broń w pogotowiu. Obydwaj myśliwi nie uznawali zabijania zwierząt dla samej przyjemności polowania. Bezmyślne tępienie zwierzyny uważali za szkodliwe.

— Masz rację — przyznał słusność Nickowi. — Zabierzcie lwy i wracajmy do obozu, tam zdejmiecie z nich skóry.

Murzyni ochoczo zabrali się do wypełniania rozkazu. Woleli nie przebywać w miejscu, koło którego błąkał się zraniony lew, a może nawet lwica, rozwścieczona utratą małego.

Tomek nawet nie zauważył, że wracają do obozu inną drogą. Teraz już nie potrzebowali zachowywać ostrożności, która była konieczna przy podchodzeniu zwierzyny. Toteż upłynęło zaledwie pół godziny, gdy Tomek ujrzał obozowisko.

— Jak będziemy go karmili? — zapytał pana Browna, sadowiąc się w cieniu rozłożystego figowca, rosnącego na skraju obozu.

— Smoczkiem. Mam ich kilkanaście ze sobą — odparł pan Brown. — Zaraz się za nimi rozejrzę.

Tomek pozostał pod figowcem, pieszcząc swojego pupila. Lwiątko było zdenerwowane. Miauczało i mrucało, wyrывая się co chwila w kierunku buszu. Tomek doszedł do wniosku, że tęskni za matką i tym więcej pieścił maleństwo.

Jakże pragnął, aby pan Brown pozwolił mu zatrzymać kociaka na zawsze! Wprawdzie nie bardzo zdawał sobie sprawę, co począłby z lwiątkiem w Ameryce, ale koniecznie chciał je mieć. Tymczasem pan Brown, Nick i Sambo nadeszli ze smoczkiem i butelką z mlekiem. Początkowo lwiątko nie chciało wziąć smoczka do pyszczka, ale widocznie było głodne, gdyż poczuwszy mleko na języczku, zaczęło ssać z wielkim zapalem.

Bawiono się doskonale do chwili, kiedy nadszedł Tana, przywódca tubylców. Tomek pozostał z lewkiem pod figowcem, a pan Brown, Nick i Sambo wygodnie rozłożyli się na trawie o kilkanaście kroków dalej. Tana, oparłszy swą długą włócznię o drzewo, kucnął przy nich, po czym zaczęli omawiać plan łowów na dzień następny.

Tymczasem Tomek karmił lwiątko z butelki, a potem puścił je na trawę, gdzie zaczęło radośnie baraszkować. Pochłonięty zabawą Tomek zrazu nie



zauważył, że lwiątko zaczyna oddalać się od drzewa i posuwał się za nim na czworakach. Po chwili zorientował się, że kociak z uporem dąży w kierunku krzaków, więc chciał go zawrócić w stronę obozu, gdy wtem gniewny pomruk zmusił go do spojrzenia przed siebie. O siedem kroków od niego stała postrzelona lwica. Poznał ją natychmiast po zakrwawionym karku. Jej mięśnie prężyły się do skoku.

Wyciągnięta po lwiątko ręka zastygła w bezruchu w powietrzu. Tomek poczuł, że krew odpływa mu z serca. Lwica przywarła do ziemi, bijąc ogonem po bokach. Wyszczерzone kły rozchyliły się; nie było najmniejszej wątpliwości, że zwierzę gotuje się do skoku. Tomek nie odważył się spojrzeć na myśliwych siedzących opodal figowca. Żaden z nich nie miał przy sobie broni, a obozowisko, w którym zostawili karabiny, oddalone było o kilkadziesiąt kroków.

Groźny pomruk rozległ się po raz drugi. Ślepia lwicy zmrużyły się, ogon uderzył o ziemię... Tomek poczuł, że włosy stają mu dęba ze strachu. Zdawało mu się, że czuje już w swym ciele kły rozjuszanej bestii, gdy nagle, tuż przed nim na ziemię padł jakiś cień.

Uniósł głowę i do jego serca wróciła nadzieja. Ujrzał czarne nogi, wysuwające się z pobliskich krzewów. Był to Tana, który z podniesioną na wysokość ramienia włócznią starał się odgrodzić Tomka od lwicy.

Tymczasem reszta mężczyzn nie śmiała wykonać choćby najmniejszego ruchu, by nie przyspieszyć ataku zwierzęcia. Czterej myśliwi, układający plan polowania na dzień następny, tak zagłębili się w rozmowie, że dopiero warknięcie lwicy przywróciło ich do rzeczywistości. Widzieli tragiczną sytuację Tomka, lecz nie wiedzieli, w jaki sposób przyjść mu z pomocą. Żaden z nich nie miał przy sobie broni. Nie było też już czasu, aby pobiec po nią do obozu, gdyż lwica, widząc swe małe w rękach chłopca, była tak rozdrażniona, że w każdej chwili mogła wykonać morderczy skok. Sytuacja była naprawdę tragiczna. Pan Brown i Nick byli już gotowi rzucić się z gołymi rękoma między Tomka a zwierzę, gdy Tana ruchem ręki osadził ich na miejscu i wyszedł zza krzaka, który zasłaniał go dotąd przed wzrokiem wielkiego kota.

Był to już najwyższy czas na ratunek, gdyż zraniona lwica drżała z napięcia. To, że Tomek żył do tej pory, zawdzięczał ukazaniu się Tany. Wysoki Murzyn zwrócił na siebie uwagę rozgniewanego zwierzęcia w chwili,

gdy unosiło się do skoku. Nowy wróg skierował gniew zwierzęcia na inny obiekt.

Gdy łeb lwicy zwrócił się ku Tanie, pan Brown, nie panując już nad sobą, zawołał: — Na drzewo, Tomku! Skacz na drzewo!

Rada była doskonała, gdyż tuż, na wyciągnięcie ręki, stało rozłożyste drzewo, na którego gałęzie Tomek mógł schronić się jednym skokiem. Chłopiec jednak oblizał tylko językiem spieczone wargi i nie ruszył się z miejsca. Na drzewo? Tak, miał nieodpartą ochotę schronić się na nim, ale czyżby po raz drugi miał się narazić na pośmiewisko? Poza tym jeśli Tana się nie boi...

Nie było już jednak czasu na namysł. Głos pana Browna, doradzający Tomkowi ucieczkę na drzewo, podziałał na lwicę tak, jak silne uderzenie ostrogi działa na rumaka. Mięśnie zagrały pod skórą, krótki kark skurczył się i wielkie cielsko śmignęło w powietrzu.

W tej samej chwili ręka Tany wykonała krótki ruch i włócznia, zaświeciwszy jak błyskawica, wybiegła na spotkanie lwicy. Tana uskoczył w bok, a zwierzę runęło na ziemię z głęboko wbitym w czoło ostrzem włóczni. Drzewce broni trzasnęło jak zapałka, lecz samo ostrze tkwiło głęboko w czole. W paroksyzmie bólu lwica skoczyła jeszcze na pień drzewa i pazurami zdarła kawał kory. Był to jednak jej koniec. Stoczyła się na ziemię i nieruchomo legła w trawie.

Gdy przy kolacji omawiano jeszcze raz przygodę Tomka i Tany, pan Brown rzekł do chłopca:

— Nie dziwię ci się, że nie miałeś siły wskoczyć na drzewo, gdyż i nas wszystkich sparaliżował strach.

— Ja... mogłem to zrobić, ale... nie chciałem — odparł Tomek, a jego głos był o wiele spokojniejszy od głosu myśliwego.

— Nie chciałeś się schronić na drzewo? — zawołał pan Brown ze zdziwieniem. — Przecież lwica przestała zwracać uwagę na ciebie od chwili, gdy pokazał się Tana. Widać było, że nienawidzi Murzynów. Nie przeszkodziłaby ci w dostaniu się na drzewo, co przy twojej zręczności nie było trudne. Byłbyś bezpieczny.

— Ja wcale nie chciałem być „bezpieczny” — powtórzył Tomek z uporem.

— Dlaczego? Co ci się stało, Tomku?

— Znów by wszyscy mówili, że ze strachu skryłem się na drzewie, tak jak to zrobiłem podczas walki bawołu z lwem.

— Więc...

Przerwał jednak, widząc, że Tomek schylił się, aby wziąć na ręce małe lwiątko. Spojrzał tylko na Nicka, który ruchem ramion zdawał się mówić:

— Sam jesteś temu winien! Nie trzeba było kpić z chłopca przed polowaniem!

— Muszę przyznać, że nie straciłeś zimnej krwi — odezwał się pan Brown. — Chcę ci jednak przypomnieć, że obiecałeś mi posłuszeństwo.

— Wiem, ale na drzewo już nie będę uciekał — odparł Tomek, gładząc prychnające lwiątko.



## NA ŚCIEŻCE SŁONI

Żółta, prawie pomarańczowa, kula księżycy wychyliła się spoza czarnej ściany dżungli i zawisała tuż nad nią.

— Jak blisko wydaje się stąd do księżycy — pomyślał Tomek.

Zdawało mu się, że olbrzymia kula znajdowała się tutaj bliżej ziemi, niż to bywało w Nowym Jorku, gdy patrzył na księżyc. Zastanawiał się właśnie, czy to nie złudzenie, gdy wtem obok niego rozległo się ciche warknięcie.

Obok namiotu stała spora klatka sporządzona z bambusowych kijów. Mały Miki — tak nazwał swe lwiątko — warknięciami i skomleniem wyrażał tęsknotę za matką i wolnością. Tomek otworzył drzwiczki klatki i wziął Miki na kolana. Rozumiał tęsknotę lwiątka; przecież sam, nie zastanawiając się nad swym czynem, opuścił rodziców i teraz odczuwał, jak bardzo tęskni za nimi.

W dżungli rozległ się potężny ryk lwa. Tomek mocniej wparł się plecami w leżak, a lwiątko nadstawiło swe małe uszka. Przerażliwy kwik napadniętej zebry zawtórował okrzykowi króla dżungli. Wkrótce rozległo się wycie i jakby śmiech hien węszących żer. Ucichły wrzaski małp, kłócących się o lepsze miejsce na nocleg na drzewach. Wszystko, co żyło w dżungli, zamierało, gdy lew rozpoczynał swe łowy.

Echa dramatu rozgrywającego się w dżungli przyprawiły Tomka o gęsią skórkę. Zbyt świeże były jeszcze przeżycia minionego dnia. Nie mógł zapomnieć błyskających gniewem ślepiów lwa i filozoficznego spokoju Tany z włócznią gotową do rzutu. Teraz sam nie rozumiał, jak mógł nie zastosować się do rady pana Browna i nie uciec na drzewo.

Lwiątko polizało go szorstkim języczkiem po rękę. Przytulił je do siebie i uśmiechnął się. Był to już jego lew. Bez jakichkolwiek trudności czy zdziwienia pan Brown wysłuchał jego prośby i pozwolił mu zatrzymać kociaka na własność.

— Należy ci się jako nagroda za odwagę — powiedział podróżnik. — A poza tym masz obowiązek względem niego. Przecież zraniłeś mu matkę. Możesz go zabrać ze sobą do Nowego Jorku.

Od grupy myśliwych siedzących wokół dużego ogniska oddaliła się jedna postać i podeszła do zamyślonego chłopca. Był to Nick.

— Warto by było pomyśleć o spaniu — odezwał się.

— Wcale mi się nie chce spać — odparł Tomek, wkładając lwiątko z powrotem do klatki.

— Radziłbym ci jednak dobrze wypocząć przed jutrzejszym dniem, jeśli chcesz wziąć udział w polowaniu.

— Na co będziemy polowali? — zawołał Tomek z zaciekawionym głosem.

— Na słonie.

— Ile słoni musimy upolować do muzeum? — pytał dalej.

— Dwa. Polowanie na słonie nie jest zbyt przyjemne, gdyż często same atakują ludzi. Poza tym są na ogół dość płochliwe i trudno jest je blisko podejść. Dlatego nie wiadomo, jak długo potrwa tropienie i radzę ci dobrze wypocząć.

— Wobec tego pójdę spać — oświadczył Tomek.

Przy wejściu do swego namiotu ustawił klatkę z małym lwem i wyciągnął się na łóżku polowym. Odwieczna pieśń dżungli szybko ukołysała go do snu.

Ranek zastał myśliwych gotowych do drogi. Tak jak poprzedniego dnia towarzyszył im Sambo i dwunastu tubylców. Tym razem cała grupa skierowała się ku pobliskiej rzece.

Gdy znaleźli się na brzegu, Tomek zauważył przygotowane do drogi dwa długie czółna. Zwyczajem krajowym były to łodzie wypalone w pniach drzew.

Nad łóżyskiem rzeki pochylały się olbrzymie drzewa, tworząc ponad wodą zielony tunel. Zsunięte w wodę łodzie zakołysały się niebezpiecznie, ale Murzyni sprawnie załadowali się do jednej z nich. Przewodniczył im Tana. Do drugiej łodzi wsiedli pan Brown, Nick, Tomek, Sambo i czterech murzyńskich wioślarzy.

Odbito od brzegu i łodzie ruszyły w dół rzeki.

Siedząc wygodnie w łodzi, Tomek uważnie obserwował brzegi rzeki. Na przybrzeżnych ławicach piaskowych wylegiwały się liczne stada krokodyli. Niektóre z nich w ogóle nie zwracały uwagi na przepływające łodzie. Co najwyżej leniwie unosiły powieki błyskając żółtymi ślepiami, by zaraz znów zapaść w przyjemną drzemkę. Gdy jednak któraś z łodzi zbyt blisko zbliżała się ku brzegowi, krokodyle wolno unosiły się na szeroko rozstawionych łapach i powłócząc brzuchem po piasku oraz śmiesznie kręcąc środkiem tułowia, ostrożnie zsuwały się do wody. Dopiero po pewnej chwili zniknął wystający ponad wodą koniec pyska, wyposażony w potężne szczęki.

— To są dopiero leniwe zwierzęta — odezwał się Tomek, obserwując zabawną powagę krokodyli, z jaką schodziły z brzegu do wody.

— Tak myślisz? — odpowiedział pan Brown. — Poczekaj, zaraz ci pokażę, że potrafia poruszać się szybciej, niż mógłbyś sobie wyobrazić.

Mówiąc to, wziął do ręki karabin i, wypatrywszy krokodyla śpiącego na lekko wzniesionym brzegu, wymierzył i strzelił. Fontanna piasku wytrysnęła tuż przed nosem drzemiącej bestii.

W mgnieniu oka krokodyl stanął na wyprężonych nogach i, wzięwszy krótki, lecz błyskawiczny rozpęd, skoczył głową naprzód do wody i natychmiast zniknął z pola widzenia.

— Trafiają się nieraz młodzi Murzyni, którzy potrafia łowić nawet spore okazy gołymi rękami — odezwał się pan Brown. — Taki specjalista wsuwa się do głębokiej nory i wyciąga krokodyla, trzymając go obydwoma rękami za pysk. Kciuki wbite w doły pod oczyma krokodyla i pewność siebie takiego „łapacza” hipnotyzują zwierzę. Krokodyl wydaje jedynie kwilący dźwięk i pozwala się związać w supeł. Skóry tak schwytanych krokodyli są bardziej cenione, gdyż nie mają dziur po kulach.

— To brzmi jak bajka — zawołał Tomek. — Ale przecież wszystko wydaje się tutaj takie niezwykle!

Zachwycony czarującym widokiem brzegów, Tomek doszedł do wniosku, że znacznie przyjemniej jest oglądać dżunglę z czółna, niż przemierzając ją pieszo. W czólnie było bezpiecznie. Pod uderzeniami wiosel łódź spokojnie płynęła po wartkim nurcie. Podróżnikom nie groziły napaści lwów czy złośliwych słoni. Nawet krokodyle, wylegające się leniwie na ławicach piaskowych, przypominały raczej eksponaty muzealne niż najniebezpieczniejszych mieszkańców wybrzeży.

Prąd wody stał się spokojniejszy. Łodzie opisały wielkie koło i Tomek zauważył, że wpływają na dość duże jezioro, do którego uchodziła rzeka. Teraz płynęli wzdłuż jednego z brzegów, oddaleni od niego o jakieś czterdzieści kroków.

W pobliżu łodzi rozległo się głośnie parsknięcie. Tana uniósł się przy sterze i wołał pana Browna. Wśród Murzynów zapanowało podniecenie.

— Co się stało? — zapytał Tomek, dotykając łokcia Nicka.

— Hipopotamy. Płyną wprost na pierwszą łódź — poinformował go Nick, podczas gdy pan Brown przyklęknął na dziobie łodzi z karabinem w ręku.

Tomek przypomniał sobie olbrzymią górę mięsa, pływającą się w basenie nowojorskiego ogrodu zoologicznego. Za kratą grubości nogi Tomka, olbrzymia paszcza, z czterema potężnymi, tępymi zębami, wcale nie wyglądała groźnie. Inne jednak odczucie wywołuje spotkanie hipopotamów na otwartych wodach afrykańskiego jeziora.

Z podnieceniem zaczął patrzeć w kierunku, skąd rozlegało się złowróżbne prychnanie. Jest! Widać wielki szary łeb parszający wodą, a za nim szeroki, tłusty grzbiet.

— Oczywiście! — odezwał się pan Brown. — Jest ich więcej.

Teraz i Tomek zobaczył jeszcze dwa cielska wynurzające się w niewielkiej odległości od pierwszej łodzi. Tymczasem pierwszy hipopotam zniknął pod wodą.

— Co to? — zadziwił się Tomek.

Tył łodzi Tany podniósł się, wykonując w powietrzu niebezpieczne ewolucje.

Tana wrzeszczała jak opętany, a łódź mogła wywrócić się lada chwila. Wszyscy Murzyni znaleźliby się wówczas tuż przed cielskami pozostałych dwóch hipopotamów.

Nagle łódź z bryzgiem wody opadła na jezioro. Przez chwilę zdawało się, że pójdzie razem z płynącymi w niej ludźmi pod wodę. Po prawej stronie wynurzył się łeb hipopotama. Tomek zrozumiał, co się stało. Oto hipopotam przepływał pod łodzią i wyrzucił ją swym grzbietem ponad taflę jeziora.

Zanurzenie łodzi znacznie się zwiększyło, co było widomym znakiem, że nabrała wody, a tu właśnie nadpływały jeszcze dwa hipopotamy.

Pan Brown spokojnie uniósł karabin, przyłożył go do ramienia i uważnie wycelował. Padł strzał.

Jeden z nadpływających olbrzymów zniknął pod wodą, ale po chwili jego łeb znów ukazał się na powierzchni. Pan Brown strzelił po raz drugi. Cielsko pograżyło się, by już się nie ukazać oczom podróżników. To poskutkowało, gdyż pozostałe hipopotamy skryły się pod wodą i gdy ukazały się powtórnie, były już po drugiej stronie łodzi Tany.

— No, mieliśmy szczęście! — odezwał się pan Brown.



- Gdyby nie płynął tak głęboko, na pewno wywróciłby łódź.
- Czy pan strzelał tylko po to, aby je przestraszyć?
- zapytał Tomek.
- Owszem. Jak widziałeś, jeden z nich tak się przeraził, że poszedł na dno.

Tomek z nabożnym szacunkiem spojrział na człowieka, który tak lekko mówił o zabiciu hipopotama dwoma strzałami.

— Czy hipopotam może pożreć człowieka? — zapytał, ochłonawszy ze zdumienia.

— Jeszcze by tego brakowało! — roześmiał się pan Brown.

— Ale chociaż nie pożerają ludzi, nie są to wcale łagodne zwierzęta. Są skłonne do zaczepki i już niejeden człowiek i niejedno zwierzę zginęło zmiażdżone ich potężnymi szczękami lub stratowane. A trzeba wiedzieć, że waga dorosłego hipopotama sięga niekiedy dwóch ton. Sprawilyby nam dużo kłopotu, gdyby wywróciły którąś z łodzi. W takim wypadku łatwo można stracić nie tylko ładunek i broń, ale i życie. Nie martw się jednak, Tomku, mniej jest w jeziorach i rzekach afrykańskich hipopotamów niż samochodów na ulicach Nowego Jorku. Damy sobie z nimi radę.

Tymczasem zrównali się z łodzią Tany, który zaczął ożywioną rozmowę z podróżnikiem. Gdy dyskusja przedłużała się, a pan Brown wydawał się niezadowolony z jej przebiegu, Tomek zapytał Nicka:

— Czy Murzyni boją się dalej jechać? Przecież już nie widać hipopotamów?

— Nie, mój kochany — odparł Nick z uśmiechem. — Oni tak pokochali hipopotamy, że pragną pozostać na wybrzeżu i czekać, aż zastrzelony zwierz wypłynie na powierzchnię.

— Przecież to niemożliwe, żeby taki ciężar wypłynął!

— Niemożliwe? Jest prawie pewne, że wypłynie. Wszystko zależy od tego, czy nasz hipopotam był najedzony. Nagromadzony w jego żołądku pokarm sfermentuje i gazy wyrzucą go na powierzchnię.

— Nie rozumiem jednak, co z tego przyjdzie naszym Murzynom!

— Och, bo ty nie wiesz, co znaczą dla nich dwie tony mięsa! Taki kąsek, zdobyty bez żadnego ryzyka z ich strony, trafia się im bardzo rzadko. Murzynom nie wolno posiadać broni palnej. Wprawdzie, jak miałeś wczoraj

przykład z Taną, potrafią się bez niej doskonale obchodzić, ale upolowanie hipopotama nie jest takie łatwe.

W tej chwili pan Brown wzruszył niecierpliwie ramionami i odezwał się do Nicka:

— Nie ma rady. Musimy wylądować i czekać, aż wypłynie hipopotam. Mówią, że muszą obejrzeć, czy łódź nie jest uszkodzona, a przy okazji wyłowią hipopotama. Jeśli nie spełnimy ich prośby, będą opieszale tropili słonie. Mniej czasu zmarnujemy, pozwalając im najeść się do syta.

Po chwili łódzie dobiły do brzegu.

Skracając sobie oczekiwanie na wypłynięcie hipopotama, Tomek z panem Brownem i Nickiem poszli śladami pozostałych. Łatwo było je wysledzić. Pozostawiły głębokie ślady, a raczej doły. Wkrótce odkryli je, pływające się w małym bajorku. Stały spokojnie, zanurzone w błocie po brzuchy. Myśliwi obserwowali je z ukrycia w otaczających szuwarach. Pan Brown skorzystał z okazji i zrobił kilka zdjęć.

Minęło jednak kilka godzin, zanim wywrócony brzuchem do góry hipopotam wypłynął na powierzchnię. Murzyni podpłynęli do niego łodziami i, przywiązawszy linami za dwie nogi, przyholowali do brzegu. Ponieważ dwunastu Murzynom nie starczyło sił na wyciągnięcie hipopotama na brzeg, pozostawili go zanurzonego do połowy w płytkiej wodzie i zaraz przystąpili do wykrawania i pieczenia tłustego mięsiwa.

Przenocowali w szałasach zbudowanych z gałęzi i listowia, a gdy rankiem łódzie odpływały od brzegu, Murzyni tęsknym wzrokiem spoglądali na ledwo napoczętego hipopotama. Gdyby nie stanowcza postawa pana Browna, na pewno siedzieliby tak długo na miejscu, aż cały hipopotam zniknąłby w ich przepastnych brzuchach.

Kiedy po kilku godzinach łódzie przybiły do brzegu i wkroczyli w dżungłę, Murzyni od razu natrafili na świeże ślady słoni. Słonie były jednak zbyt czujne, aby można je było podchodzić w licznej grupie, robiącej wiele hałasu. Dlatego też pan Brown zarządził rozbięcie obozu na małej łączce, na której pozostawił Murzynów z Tomkiem, a sam z Nickiem i Sambo wyruszył na zwiad.

Początkowo Tomek czuł się zaszczycony wyróżnieniem podróżnika, bo przecież pozostawiono go, aby pilnował dwunastu rośłych Murzynów, ale ta rola szybko mu się sprzykrzyła. Objedzeni Murzyni poukładali się pod

drzewami i natychmiast usnęli. Tomkowi zaczęło się nudzić, gdy wtem do jego głowy wkradło się podejrzenie.

Czyżby pan Brown pozostawił go w obozie, żeby nie przeszkadzał w tropieniu słoni? Przecież lepiej niż kto inny znał zwyczaje Murzynów i wiedział, że usną natychmiast, gdy opuści obóz.

— Kogo mam tu pilnować, jeśli wszyscy śpią jak zabici?

— zastanowił się Tomek. — O ile pan Brown użył tak śmiesznego pretekstu, aby mnie zostawić w obozie, muszę pokazać, co jestem wart!

Cicho podniósł się z ziemi i, wzięwszy karabin do ręki, zaczął rozglądać się wokoło.

— Myśliwi poszli na południe — myślał. — Tymczasem ścieżka słoni prowadzi przez łączkę prosto na północ. Czyżby tacy myśliwi mogli ją przeoczyć? Tym lepiej!

Wkroczył na ścieżkę zagłębiającą się w dżunglę. Nie, nie może zabłądzić, jeśli będzie trzymał się tej ścieżki. Odważnie posunął się naprzód kilkadziesiąt kroków. Nie było już widać łączki. Zakrywała ją zbita ściana drzew i krzewów, ale ścieżka była doskonale widoczna. Ostrożnymi krokami posuwał się naprzód. Kilka razy ujrzał małe małpy barszkujące na ziemi, które z piskiem uciekały na jego widok.

— Jeśli nie znajdę słoni, to przynajmniej schwytam sobie taką małą małpkę. Mógłbym ofiarować ją siostrze — pomyślał Tomek, idąc wciąż naprzód.

Ścieżka zatoczyła małe półkole i Tomek ujrzał, że las urywa się nagle i przechodzi w step, usiany rozłożystymi drzewami. Dróżka rozplątywała się w oceanie żółtych traw.

— Dalej już nie pójdę, gdyż nie ma ścieżki — postanowił.

Już miał zamiar zawrócić do pozostawionych w dżungli Murzynów, gdy wtem nieoczekiwany widok przykuł jego uwagę.

Oto nie dalej jak o pięćdziesiąt kroków, w cieniu rozłożystego drzewa stał słoń. Długa trąba wykonywała wolne, wahadłowe ruchy, a olbrzymie uszy poruszały się miarowo. Kilka małych, szarych ptaszków siedziało na grzbiecie słonia i wydłubywało pasożyty, gnieźdzące się w jego skórze.

Serce zatrzepotało radośnie w piersi Tomka. Tacy sławni podróżnicy jak pan Brown i Nick na próżno tropili słonie, a on, mały Tomek, zaledwie

wyszedł z obozu, od razu trafi! na taki wspaniały okaz! Jeśli uda mu się upolować słoń na własną rękę, na pewno zyska uznanie swych towarzyszy.

Zaczął się zastanawiać, w które miejsce należy mierzyć, aby powalić słońca. Przecież jeśli go tylko postrzeli, może znaleźć się w wielkim niebezpieczeństwie. Nick mówił, że ranny słoń staje się bardzo groźny dla wszystkiego, co napotka na swej drodze. Które tu więc miejsce wybrać w tym olbrzymim cielsku?

— Już wiem! — uradował się Tomek. — Jak to Nick mówił? Należy mierzyć pomiędzy oko a ucho lub też trochę powyżej pierwszej zmarszczki trąby.

Tak, to takie proste, tylko że wcale nie widać oka! Podkradł się jeszcze bliżej. Ze zdumieniem stwierdził, że słoń ma oczy przymknięte i... śpi. Stał w cieniu drzewa i po prostu spał. Co za wspaniała okazja! Przecież nie musi nikomu się przyznać, że zabił śpiącego słońca!

Podszedł już tak blisko, że słoń był oddalony od niego najwyżej o pięć kroków. Ptaszki poderwały się z piskiem, lecz słoń spał w dalszym ciągu. Już miał zamiar złożyć się do strzału, gdy pojawiły się nowe trudności. Słoń był bardzo wysoki, trzeba więc było mierzyć w górę, co sprawiało, że nawet bliski strzał mógł być niepewny.

— Co tu zrobić, aby nie zmarnować tak wyjątkowej okazji? — zafrasował się mały myśliwy.

Nagle przyszedł mu do głowy nowy pomysł. Gdyby wdrapał się na drzewo, w którego cieniu słoń odbywał swą drzemkę, mógłby znaleźć się na wysokości jego oka.

— Tak, to doskonała myśl! — Ucieszył się Tomek. — Tym sposobem będę bezpieczny, nawet gdyby słoń nie padł po pierwszym strzale. Muszę jednak wejść na drzewo, nie wywołując najmniejszego szmeru.

Krok za krokiem, nie spuszczać oka ze słońca, podszedł do drzewa. Serce waliło mu w piersi jak młot. Słoń znajdował się tak blisko, że mógł go dotknąć ręką. Długa trąba kołysała się miarowo...

Tomek oparł karabin o pień i usiadł na trawie. Musiał zdjąć buty, aby cicho wdrapać się na drzewo. Już zdjął jeden but i zabierał się do zdejmowania drugiego, gdy coś upadło na ziemię obok niego. Spojrzał i zastygł bez ruchu. Tuż przed nim przeżyła się wielka żmija. Łeb gada znajdował się na wysokości jego głowy i spoglądał na niego oślizgłymi,

zimnymi ślepiami. W rozchylonych szczękach tkwiły potężne zęby, których jad niósł śmierć. Mimo przerażenia Tomek zdawał sobie jasno sprawę ze swej sytuacji. Nie mógł nic zrobić dla swego ocalenia, a wokół nie było żywej duszy. Był tylko on, o kilkanaście centymetrów od jego twarzy sterczał łeb gada, którego zwinięte w trawie cielsko drgało z niecierpliwości, a z boku stał olbrzymi, dziki, śpiący słoń... Był zgubiony.

Tomek nie mógł sobie później przypomnieć, jak długo znajdował się w tej tragicznej sytuacji. Może trwało to sekundy, a może godzinę, gdy nagle jakiś czarny przedmiot przemknął przed jego oczyma i kilkumetrowa żmija śmignęła w górę.

Tomek spojrział za nią i oniemiał ze zdumienia. Żmija wiła się w powietrzu, w potężnym uścisku trąby słonia. Potem trąba zgięła się ku dołowi i gad uderzył o ziemię. Mordercze to musiało być uderzenie, gdyż tuman kurzu uniósł się w powietrze, a ziemia wydała głuchy odgłos. Słoń zdawał się bawić zdumieniem Tomka. Waląc żmiją o ziemię, spoglądał na niego filuternie, aż w końcu, wzięwszy rozmach, cisnął swój łup daleko od siebie.

Żmija opisała w powietrzu wielki luk i spadła w krzewy. Rozległ się wrzask kilku głosów i z krzaków wybiegli trzej myśliwi.

Tymczasem słoń zatrzepotał uszami i lekko, jakby ważył zaledwie kilka kilogramów, pobiegł w kierunku lasu. Tomek zdziwił się, widząc wzburzone twarze myśliwych.

— Co ty tu robisz, zatracony chłopcze?! — wrzasnął pan Brown, stając przed siedzącym pod drzewem Tomkiem.

Zmieszany surowym wzrokiem i tonem pana Browna, Tomek podniósł zdjęty uprzednio but i, zakładając go, odparł:

— Chciałem zabić tego słonia i na pewno by mi się udało, gdyby nie ta idiotyczna żmija, która spadła z drzewa i obudziła słonia.

— Idiotyczna żmija! — krzyknął pan Brown. — Jedno dotknięcie zębów tej „idiotycznej” żmii mogło wyprawić cię na tamten świat. Byłby z tego przynajmniej ten pożytek, że nie utrudniałbyś mi pracy. To była afrykańska kobra! Czy ty wiesz, co to jest kobra?!

Tomek nie był pewny, czy zdaje sobie sprawę z tego, co to jest kobra, o którą pan Brown robił taką awanturę, ale wolał w tej chwili nie wszczynać dyskusji. Z kłopotu wybawił go Nick, który rzekł do pana Browna:

— Przestań krzyczeć, bo chciałbym o coś zapytać Tomka.

Pan Brown uspokoił się w jednej chwili, a Nick zapytał:

— Chciałeś zapolować na słońia?

Tomek w milczeniu kiwnął głową.

— Ślicznie, ja bym też to zrobił na twoim miejscu, ale powiedz mi, dlaczego opuściłeś obóz? Przecież miałeś pilnować naszych Murzynów?

— Oni śpią jak kamienie. Wątpię nawet, czy obudziły ich panów krzyki — odparł Tomek, spoglądając złośliwie na myśliwych. W jego mniemaniu krzyk ich spowodowany był przestraszeniem na widok spadającej na nich żmii. Nie świadczyło to zbyt pochlebnie o tak sławnych ludziach, zabijających dwoma strzałami hipopotama.

— Aha, myślisz, że trochę za głośno krzyczeliśmy na widok spadającej na nas kobry — odparł Nick, jakby czytając w jego myślach.

— Uhum... — mruknął Tomek dyskretnie.

— Pogadamy i o tym, tylko przedtem powiedz nam z łaski swojej, po co niby, polując na słońia, siadasz sobie przy nim na ziemi i zdejmujesz buty?

— Przecież nie jestem taki wysoki jak pan Brown, żebym stojąc na ziemi, mógł widzieć oko słońia. Chciałem wejść po cichu na drzewo i dlatego zdejmowałem buty.

— I tylko „*idiotyczna*” kobra popsowała ci wielkie łowy?

— Przecież panowie byli schowani w krzakach i wszystko widzieli...

Ale pan Brown ponownie stracił cierpliwość i skrzyczał Tomka za opuszczenie obozu podczas ich nieobecności.

— Właśnie byliśmy na tropie tego słońia i podchodziliśmy go pod wiatr — mówił zdenerwowany pan Brown. — Już ustawiliśmy się do strzału, gdy wtem wylazłeś z krzaków i wbrew zdrowemu rozsądkowi podszedłeś do słońia. Nie chcieliśmy wołać na ciebie, bo mieliśmy nadzieję, że roztropność weźmie górę nad lekkomyślnością. Nigdy nie można przewidzieć, czy przestraszony słoń zaatakuje, czy zejdzie z drogi. A potem ta przeklęta kobra spadła z drzewa... Słońia obudziło jej pacnięcie na ziemię. Na szczęście odrzucił ją od ciebie. Krzyczeliśmy, żeby spłoszyć słońia, który mógł za chwilę i ciebie wyprawić w powietrzną podróż. Dobrze, że udało nam się go spłoszyć, bo inaczej...

Pan Brown trząsł się z oburzenia, więc Tomek nie nalegał, aby dokończył rozpoczęte zdanie. Mimo to przewinienie nie uszło mu na sucho, bo pan Brown, uspokoiwszy się ze złości, powiedział:

— Zostaniesz ukarany za nieposłuszeństwo. Jeśli tak dalej pójdzie, nie tylko sam zginiesz, ale i nas wszystkich narazisz na niebezpieczeństwo. Za karę... przez cztery dni nie będzie ci wolno brać udziału w polowaniach.

Pan Brown dotrzymał słowa. Polowanie na słonie trwało około pięciu dni, a przez ten czas Tomek siedział w obozie pod strażą Sambo. Murzyn musiał otrzymać bardzo surowe instrukcje, gdyż pokonując bohatersko ziewanie, nie zdrzemnął się ani razu, pełniąc straż przy Tomku.

Po pięciu dniach dwie skóry słoni, umiejętnie poćwiartowane i spreparowane przez Murzynów, spoczęły w długich łodziach. Siedząc w obozie pod czujnym okiem Sambo, Tomek nie widział polowania na słonie. Toteż z wielką ulgą powitał dzień, w którym kończyła się jego kara.





## W WIOSCE PIGMEJÓW

Minał tydzień od pamiętnego polowania na słonie. Wprawdzie pan Brown nie okazywał już Tomkowi gniewu, ale za to roztoczył nad nim czujną opiekę. Sambo powierzono stały dozór nad chłopcem i trzeba przyznać, że wywiązywał się gorliwie ze swojej roli. Nawet w czasie pobytu w obozie Murzyn snuł się za Tomkiem jak cień.

Oczywiście Tomkowi bardzo się to nie podobało i już zaczął snuć plany, jakby pozbyć się niepożądanego opiekuna, gdy doszły go słuchy, że pan Brown projektuje wyprawę do okolic zamieszkiwanych przez Pigmejów. Następnego dnia rozprawiano już o tym przy wieczornym ognisku. Opędzając się od natrętnych komarów, Tomek wsłuchiwał się chciwie w słowa pana Browna. Mianowicie chciał on pozostawić Nicka i Sambo z większością Murzynów dla dalszych łowów i fotografowania zwierząt, a sam, w najłżejszym samochodzie, miał wyruszyć ku wioskom afrykańskich „karłów”.

Tomek bardzo się zapalił do tej wyprawy. Oczywiście o wiele ciekawsze byłoby przemierzanie przeszło dwóch tysięcy kilometrów po nieznanymi okolicach, niż pozostawanie w obozie pod opieką pełnego przesądów Sambo. Na przykład Murzyn ubzdurał sobie, że małe lwiątko Tomka zagraża bezpieczeństwu obozowiska.

— W nim siedzieć wielki i złośliwy czarownik — tłumaczył Sambo Tomkowi. — Któregoś dnia spłatać nam paskudnego figla. Najlepiej dać go pożreć hienom.

— Głupi jesteś, Sambo — odpowiadał Tomek. — Mnie także wzięłeś za ducha, gdy nastraszyłem cię na statku.

— I Sambo nie pomylić się — mówił Murzyn. — W tobie też siedzieć jakiś niedobry duch. Dobrze, że zwierzęta lubią twój duch. Ale my mieć jeszcze kłopot przez ciebie. Szkoda, że ty się nie udusił pod łóżkiem w kajucie. Sambo już by się udusił, jakby tak długo być pod łóżkiem, ale ciebie kochać złe duchy. Ty dać Sambo tego lwa, a Sambo zanieść go do dżungli.

Zrazu Tomek obawiał się o swego pupila, ale wkrótce znalazł sposób, by mu zapewnić spokój.

— Słuchaj, Sambo — odezwał się pewnego dnia. — Miałeś rację, że w małym lwie siedzi zły czarownik. Moje duchy pomogły mi słyszeć, jak lew rozmawia z czarownikiem.

— Co te duchy mówić? — zaciekał się przesądny Sambo.

— Musisz uważać na siebie, gdyż czarownik siedzący w lwie jest zły na ciebie. Powiedział, że jeśli będziesz go źle karmił i bił, to sprowadzi na ciebie trzy lamparty, które rozerwą cię na drobne kawałki i dadzą lwu do zjedzenia.

Sambo ogromnie zafrasował się tą niewesołą wróżbą, ale po chwili twarz mu się rozjaśniła i zapytał:

— A jeśli Sambo dać mu dobrze jeść i nie bić go?

— To czarownik nie pozwoli, aby spotkała cię jakakolwiek krzywda.

— To dobrze. Ty powiedz duchom, mister Tomek, że Sambo bardzo kochać tego małego lwa i nie bić go, nie bić ani trochę.

Sprawa została załatwiona w dyplomatyczny sposób i lewkowi nie groziło już nic złego ze strony Sambo, ale Tomek miał dość jego towarzystwa. Tym chętniej więc nadstawiał ucha, czy nie usłyszy, co pan Brown ma zamiar z nim zrobić na czas wyprawy do wiosek Pigmejów.

Było już bardzo późno, gdy pan Brown spojrział na niecierpliwącego się Tomka i odezwał się do niego:

— A co też ma zamiar robić nasz kochany łowca śpiących słońi?

Głos podróżnika brzmiał przychylnie i wesoło.

Tomek od razu wyczuł tę zmianę i postanowił wypowiedzieć swą prośbę.

— Chciałbym pojechać zobaczyć Pigmejów, tylko żeby pan Nick był łaskaw pilnować mojego lwiątko.

— Przecież Sambo osobiście dogląda kociaka, więc nie stanie mu się krzywda.

— Ja tylko tak na wszelki wypadek... Co do Sambo, on musi pilnować lwiątko, jeśli...

— Co za „jeśli”? — zaciekał się podróżnik.

— On już wie, co mam na myśli.

— Sambo dobrze pilnować tego małego czarownika — skwapliwie potwierdził Sambo.

Pan Brown i Nick roześmiali się. Znali słabostki swego wiernego pomocnika i domyślili się, że Tomek musiał go czymś nastraszyć.

— Więc chciałbyś pojechać do Pigmejów — zaczął pan Brown po chwili. — Myślę, że będzie najlepiej, jeśli cię zabiorę ze sobą.

Przygotowania do podróży trwały całą noc. Po sprawdzeniu i zatankowaniu samochodu, naładowano go żywnością. Oprócz tego pan Brown zabrał pewną ilość soli i dużo różnych świecidełek.

O świcie pan Brown, Tomek i sześciu Murzynów wsiedli do ciężarówki i ruszyli w kierunku Nairobi. Tam przenocowali, a raniem obrali kierunek północno-zachodni. Po dwudniowej, męczącej jeździe zatrzymali się w Entebbe, leżącym na północnym brzegu jeziora Wiktorii. Tomek nie miał sposobności, by przyrzeć się tym afrykańskim miastom. Zmęczony całodzienną jazdą i upałem kładł się natychmiast spać, a raniem rozpoczynano dalszą jazdę.

W Entebbe dzieliło ich już zaledwie trzysta kilometrów od granicy z belgijskim Kongiem, na którego pograniczu rozciągały się lasy Ituri, zamieszkiwane przez Pigmejów. Na wybrzeżu jeziora Alberta zatrzymali się w Mahagi, małej belgijskiej placówce granicznej.

Pan Brown miał sporo kłopotu z Tomkiem, który nie posiadał dokumentów. Urzędnik był w nie lada kłopotcie. Miał dać zezwolenie na wjazd do posiadłości belgijskich, a nie mógł stwierdzić tożsamości małego podróżnika. Jednak nazwisko pana Browna, jak i opowiedziana przez niego historia Tomka zrobiły swoje. Wszyscy otrzymali zezwolenie na przekroczenie granicy.

Znów rozpoczęła się jazda samochodem. Po kilku godzinach ukazały się lasy Ituri. Niezbyt wygodna, ale jeszcze wcale dostępna dla samochodu droga dawno się skończyła. Teraz jechali bezdrożami, często zawracając i kołując. Tereny obfitowały w słonie. Co pewien czas Tomek widział stada liczące po kilkaset sztuk. Tu i ówdzie napotymano wioski murzyńskie. Ludność tych osiedli nie kwapiła się wcale z wybieganiem na spotkanie podróżnikom. Niepokoił ją samochód, który najprawdopodobniej był pierwszym widzianym przez nich pojazdem mechanicznym.

W końcu na skraju olbrzymiego lasu pan Brown dał znak i samochód się zatrzymał.

— Wioski pigmejskie powinny być w pobliżu — wyjaśnił Tomkowi. — Musimy rozbić obóz, a ja wraz z dwoma Murzynami wyruszę w okolice na zwiad. Ty pozostaniesz z resztą naszych ludzi i będziesz pilnował samochodu

i ładunku. Gdy odnajdę pierwszą wioskę, będę próbował zawrzeć przyjaźń z Pigmejami. Gdy mi się to uda, wówczas będziesz mógł pójść ze mną przyjrzeć się im.

— Dobrze, proszę pana — odparł Tomek.

Jednak pan Brown musiał mieć pewne obawy, gdyż, przyjrząwszy mu się uważniej, powiedział:

— Słuchaj Tomku! Nie zrób znów jakiegoś głupstwa, bo to mogłoby nas drogo kosztować. Pigmeje są jeszcze dość dzicy i niejeden podróżnik zapłacił życiem za chęć przyjrzenia się ich wioskom. Dlatego też nie wolno ci się oddalić od samochodu ani na jeden krok. Ty jeden umiesz obchodzić się z bronią palną i na tobie spoczywa główny ciężar dopilnowania samochodu z całą jego zawartością. Nie spodziewam się jakiejś napaści, ale ostrożność nie zawadzi. Nieobecność moja potrwa najwyżej dzień.

— Może pan być spokojny, nie oddalę się od samochodu — odrzekł Tomek.

Nazajutrz rankiem pan Brown udał się z dwoma Murzynami na poszukiwanie wioski. Gdy odeszli, Tomek usiadł na stopniu samochodu, napuszony jak paw. Oto był dowódcą czterech Murzynów, a widomym znakiem jego władzy był oparty o samochód karabin. Wprawdzie Murzyni nie zwracali na niego uwagi, ale to go nic nie obchodziło.

Około południa polecił przygotować obiad. Nie chciało mu się jeść, ale przecież to tak przyjemnie móc wydawać polecenia! Już miał zasiąść do obiadu, na który wcale nie miał apetytu, gdyż było bardzo gorąco i parno, gdy Murzyni zaczęli krzyczeć podnieconymi głosami:

— Leśni ludzie! Karły!

Tomek uniósł głowę i spojrzał obojętnie, jak to zwykł czynić w podobnych okolicznościach pan Brown, lecz ujrząwszy krąg Pigmejów, idących ku samochodowi z lukami w rękach, natychmiast stracił całe dostojeństwo i wskoczył do szoferki.

Teraz dopiero uważniej przyjrzał się tubylcom. Pan Brown miał słuszość, mówiąc, że należy zachować czujność. Pigmeje wcale nie wyglądali zachęcająco. Ani jeden z nich, jak Tomek ocenił na oko, nie dorównywał mu wzrostem. Byli nadzy; tylko kawałki szmat czy liści plątały się im wokół ud. Nad przepaskami wznosiły się mocno wysadzone ku

przodowi brzuchy. Wielu z nich miało pałakowate nogi, a prawie wszyscy trzymali w rękach napięte łuki.

Pigmeje otoczyli samochód zwartym kołem, a jeden z nich zaczął dziwacznie bełkotać i wymachiwać ręką, wskazując to na siebie, to na samochód.

— Czego oni chcą? — zapytał Tomek swych Murzynów, którzy za jego przykładem ukryli się w samochodzie.

— Oni chcą, żeby mister Tomek wyjść do nich — odpowiedział jeden z Murzynów, znający narzecze Pigmejów.

— A po co mam do nich wyjść?

— Oni chcą obejrzeć mister Tomka.

— Powiedz im, żeby poszli do lasu oglądać małpy! — oburzył się chłopiec.

Murzyn powtórzył to Pigmejom, być może z jakimś dodatkiem od siebie, bo zaczęli groźnie krzyczeć i grozić lukami.

— Co oni mówią? — zaciekawił się Tomek.

— Oni mówić, że oni małpy oglądać co dzień, a człowieka, co mieć takie czerwone włosy, oni widzieć po raz pierwszy. Dlatego mister Tomek iść do nich albo oni strzelać i nas zabić.

Usłyszawszy to, Tomek zarepetował karabin, lecz czterej Murzyni krzyknęli chórem, żeby nie ważył się strzelać.

W duszy Tomek przyznawał im rację. Byli otoczeni setką lub liczniejszą gromadą Pigmejów i nawet gdyby udało mu się zabić kilku z nich, reszta naszpikowałaby ich strzałami. Tymczasem tubylcy zaczęli się niecierpliwie i coraz groźniej potrząsali lukami.

— Mister Tomek iść do nich — doradził któryś z Murzynów.

— Oni patrzeć na mister Tomka, a tymczasem pan Brown wrócić.

Tomek wygrzebał się z szoferki i przerzuciwszy karabin przez ramię wyszedł do Pigmejów. Przyglądali mu się z wielkim zainteresowaniem i wymieniali między sobą głośne uwagi. Nagle jeden z nich podskoczył i pociągnął Tomka za włosy.

Tego było już Tomkowi za wiele. Pigmej dorastał mu zaledwie do ramienia, a chłopiec był bardzo czuły na punkcie swych rudych włosów. Nieraz już musiał staczać walki ze swymi rówieśnikami, dokuczającymi mu z ich powodu.

Obrażony, nie namyślając się wiele, uderzył Pigmeja pięścią w szczękę. Mały człowieczek runął na ziemię i zaczął krzyczeć, jakby go obdzierano ze skóry. Na to kilkunastu Pigmejów otoczyło Tomka zwartym kołem i zaczęło go pchać w stronę lasu.

— Czego oni chcą? — krzyknął Tomek do swych Murzynów.

— Mówią, że mister Tomek zabić ich brata, więc oni brać mister Tomka do wioski — padła odpowiedź.

— Nie pójdę z nimi! Czegóż się gapicie? Nie dajcie mnie!

— Oni mieć zatrute strzały!

— A ja mam karabin!

Lecz nie było mowy o zrobieniu użytku z karabinu. Zwarty krąg Pigmejów otaczał Tomka tak mocno, że chłopiec nie mógł wykonać najmniejszego nawet ruchu.

— Pan Brown zabronił mi oddalać się od samochodu!

— zawołał zrozpaczonym tonem.

— My powiedziec, że mister Tomek iść, żeby ratować wszystkich — pocieszali go Murzyni. — Pan Brown zrobić z nimi porządek!

— Powiedzcie panu Brownowi, żeby mnie ratował! — odkrzyknął Tomek i poddał się losowi.

Pigmeje wprowadzili go w dżunglę. Inny to był las niż w okolicach Kilimandżaro. Olbrzymie drzewa tworzyły jakby długie korytarze. Tomek nawet nie zdawał sobie sprawy, że przechodzi obok stuletnich, cennych mahoni i innych szlachetnych gatunków drzew, poszukiwanych na rynkach całego świata. W tej oddalonej od cywilizacji dżungli nie były one warte nawet garstki soli. Lecz Tomek nie myślał w tej chwili ani o mahoniach, ani o niczym innym w ogóle, tylko o samym sobie.

— Co oni mają zamiar ze mną zrobić? — głowił się, to znowu martwił, czy pan Brown znów nie skarci go za oddalenie się od samochodu.

Po godzinie doszli do małej wioski, otoczonej palisadą z zaostrzonych u góry pali. Wprowadzono go na placyk okolony małymi domkami.

Rój brzuchatych dzieci i brzydkich kobiet otoczył Tomka. Dotykano go z nabożną powagą, wykrzykując głośno ze zdumienia.

Tomek poczuł się nieswojo w półnagim tłumie, a tymczasem tubylcy stawali się coraz śmielsi. Dotykano go ze wszystkich stron, a co odważniejsi ciągnęli go za rude włosy.

— Niech się dzieje, co chce — pomyślał Tomek. — Nie pozwolę się oglądać jak zwierzę w zoo.

Odsunął więc Pigmejów i zdjął karabin z ramienia. Nie mierząc, wypalił w górę.

Pac!

U stóp Tomka leżała mała z przestrzeloną głową.

Na huk strzału Pigmeje rzucili się brzuchami na ziemię, lecz gdy mała upadła tuż przy Tomku, rozległ się krzyk zachwytu.

Wkrótce zachwyty zmienił się w burzliwą owację. Siłą zaprowadzono go przed jeden z szałasów i jakiś stary Pigmej wygłosił dłuższe przemówienie, z którego Tomek nie zrozumiał ani słowa. Potem polecono mu obejrzeć domostwo. Domyślał się, czego chcą od niego, z ich gestów. Ujrzał wnętrze małej murzyńskiej chaty, na której ścianach wisiały małe luki i strzały. W rogu leżały maty, służące zapewne za posłanie. Kiedy Tomek wyszedł przed chatę, poproszono go, by spoczął.

Siadł więc przed chatką i oparł się o nią plecami. Chwilę później kilka kobiet zaczęło znosić i układać u jego stóp całe naręczki różnych owoców, a potem gliniane misy, pełne jakichś dziwacznych potraw. Rozgorączkowany swoją przygodą, Tomek czuł od dawna pragnienie, więc po chwili wahania wyciągnął rękę, wybrał najsoczystszy z owoców, przypominający jabłko i zaczął zajadać ze smakiem. Rozległ się chór zadowolonych głosów. Tomek poważnie pokiwał głową i jadł dalej. Postanowił niczym nie drażnić dzikich, którzy, jak do tej pory, nie uczynili mu najmniejszej krzywdy. Musiał poddać się swemu losowi aż do chwili, gdy pan Brown wybawi go z tego dziwaczego położenia.

Nagle, jak to się zwykle działo w najbardziej kłopotliwych dla niego momentach, zjawił się pan Brown z dwoma Murzynami. Na jego widok rozstąpił się krąg Pigmejów i rozległ szmer głosów.

Pan Brown stanął przed Tomkiem, uważnie mu się przyjrzał, a widząc, że ma usta pełne jedzenia, roześmiał się i powiedział:

— Nie zrobili ci krzywdy?

— Nie — odparł Tomek, podnosząc się z ziemi — ale dobrze, że pan już przyszedł, bo nic nie rozumiem, co oni do mnie mówią i czego w ogóle chcą. Ja tu nie przyszedłem z własnej woli, nasi Murzyni obiecali wszystko panu powiedzieć...

— Wiem już wszystko i zaraz porozmawiam z kacykiem — odparł pan Brown łagodnie, lecz gdy przemówił do Pigmejów, głos jego był dość ostry.

Rozmowa trwała bardzo długo. W końcu pan Brown wziął z rąk jednego ze swych Murzynów skrzyneczkę i zaczął rozdawać Pigmejom koraliki, świecidełka, lusterka i woreczki wypełnione solą.

Dopiero teraz zwrócił się do Tomka:

— Niewiele brakowało, abyś został ich wodzem.

— Ja? Dlaczego?

— Spodobałeś im się ze względu na kolor włosów i odwagę. Podobno zabiłeś dla nich małpę?

— Wcale nie zabijałem dla nich małpy. To był zwykły przypadek.

Tomek opowiedział panu Brownowi wszystko, co wydarzyło się po jego odejściu od samochodu.

— Już nie będziesz miał z nimi kłopotu — śmiał się podróżnik. — Oni chcieli cię zachęcić do pozostania w wiosce i ofiarowywali ci naczelne stanowisko w swojej gromadzie. No, a teraz możemy wrócić do samochodu — oświadczył. — Jutro odwiedzimy kilka wiosek i przyjrzymy się życiu Pigmejów.

Szybko minęły cztery dni na zwiedzaniu wiosek pigmejskich. Pan Brown nakręcił film i zrobił wiele zdjęć aparatem fotograficznym, a Tomek obserwował małych ludzi. Posiadali swoisty spryt. Z zadziwiającą zręcznością potrafili upolować nawet duże zwierzęta ze swych małych łuków, posługując się zatrutymi strzałami. Szczególnie zaciekał go sposób budowania powietrznych mostów ponad licznymi rzekami. Otóż, jeśli na drodze Pigmejów znajdowała się rzeka, budowali ponad nią most zawieszony na dużych drzewach, rosnących po obydwu brzegach. Jeden z tubylców, rozbujany na sznurze z lian, przelatował nad rzeką i zaczepiał sznur o gałęzie drzewa stojącego na drugim brzegu. Po tej linie przechodzili inni i szybko budowali most, składający się z linowej drabinki. Tomek nigdy nie odważył się przejść po takim moście. Jeden nieuważny krok groził upadkiem z wysoka w nurt rzeki pełnej krokodyli. A tu nawet dzieci swobodnie poruszały się nad wodą.

Jakkolwiek było tu dużo innych ciekawych rzeczy do obejrzenia, Tomek z ulgą przyjął wiadomość, że ruszają z powrotem do obozu u stóp wygasłego wulkanu.



Długą jazdę samochodem urozmaicał pan Brown opowiadaniem o Pigmejach, których pochodzenie i sposób życia nie są jeszcze dokładnie zbadane. Większość mieszka w głębi olbrzymich lasów. Ich domostwa to przeważnie szałas, które przypominają raczej legowiska zwierzęce niż siedziby ludzkie. Trudnią się myślistwem i zbieraniem owoców leśnych, które wymieniają na produkty rolnicze i narzędzia z sąsiadującymi szczepami uprawiającymi rolę.

Mimo że wzrost dorosłego Pigmeja nie przekracza stu dwudziestu centymetrów, wojownicy innych szczepów unikają starć z nimi. Walka w gąszczu leśnym z Pigmejami, używającymi zatrutych strzał, nie należy do łatwych i nawet najśmielsi wojownicy innych szczepów zwykle trwożliwie uciekają przed nimi.

W stosunku do obcych, a szczególnie do białych ludzi, Pigmeje są na ogół bardzo nieufni. Jeszcze do niedawna na wieść o pojawieniu się białego człowieka ludzie zaszywali się w gąszczu leśnym, nie pozwalając się do siebie zbliżyć. Dopiero w miarę przenikania urzędników belgijskich w głąb kraju, przekonali się, że biali nie są ich wrogami. Dlatego też pan Brown i Tomek mieli możliwość zwiedzenia kilku wiosek mieszczących się na skraju dżungli. Do dziś jednak są w belgijskim Kongu tereny, na których nie stanęła jeszcze stopa białego człowieka.

Słuchając opowiadań pana Browna, Tomek dowiedział się ciekawych rzeczy o różnych ludach murzyńskich. Zdziwiony jego wiedzą o zwyczajach i obyczajach różnych ludów powiedział:

— Ileż musiał pan podróżować, aby zdobyć tyle wiadomości! Podróżowałbym całe życie, aby to wszystko wiedzieć. Przecież nie ma chyba nic ciekawszego od poznania ludzi mieszkających w różnych częściach świata.

— Nie potrzebujesz podróżować całe życie, aby dowiedzieć się tego wszystkiego — odparł pan Brown. — Jeśli przeczytasz uważnie podręcznik geografii, na pewno znajdziesz w nim część tego, co ci mówiłem.

— No, może, ale pan zdobywał te wiadomości podróżując!

— Mylisz się. Gdybym nie uczył się pilnie geografii w szkole i później, nie mógłbym opowiedzieć ci tyle o Pigmejach. Aby odnieść korzyść z podróżowania, należy mieć trochę rzetelnej wiedzy, którą zdobywa się w szkole.



## SERCE TOMKA

Ostatnia rozmowa z podróżnikiem pchnęła myśli Tomka na nowe tory. Zrozumiał, że zdobycie podstawowych wiadomości w szkole jest potrzebne każdemu człowiekowi. Do tej pory wyobrażał sobie, że podróżnik musi mieć tylko odwagę i pieniądze, a tymczasem okazało się, że nawet nie posiadając środków do podróżowania po świecie, można się o nim dużo dowiedzieć. Zawstydził się swej ucieczki z domu. Przecież gdziekolwiek się ruszył, nieuctwo dawało mu się we znaki.

Z niepokojem myślał o tym, że podróżowanie po Afryce dobiega końca. Trzeba było wracać do domu. Jak też odniosą się do niego rodzice?

Jak się wkrótce okazało, odpowiedź na to pytanie miał otrzymać w Nairobi. Ponieważ było to najbliższe od obozowiska miasto, pan Brown polecił wysłać tam całą swą korespondencję. Wracając z krainy Pigmejów, zatrzymali się w Nairobi kilka godzin. Pan Brown otrzymał całą paczkę listów. Jeden z nich pochodził od rodziców Tomka i zawierał również sporą kartkę przeznaczoną dla Tomka.

— Masz tutaj kilka słów od rodziców — powiedział podróżnik, podając Tomkowi gęsto zapisany arkusz papieru.

Tomek grzecznie podziękował i chyłkiem wyniósł się przed dom urzędnika kolonialnego, u którego zatrzymali się w Nairobi.

Usiadł pod drzewem, ale nie kwapił się z wyjęciem listu z kieszeni. Nie oczekiwał przyjemnych wiadomości. Rodzice musieli być na niego zagniewani, bo pan Brown po przeczytaniu części listu od nich, ani jednym słowem nie dodał mu otuchy. No tak! Rodzice mieli powód do gniewu.

Drżącymi rękoma wydobyl wreszcie list z kieszeni.

*„Kochany i Niedobry Chłopcze!*

*Depesza, a za nią list otrzymany od Twego szlachetnego, przypadkowego Opiekuna sprawiły nam wszystkim wielką radość. Niestety, dopiero z nich, w cztery tygodnie po Twoim zniknięciu z domu, dowiedzieliśmy się, co się z Tobą stało. Przez ten czas, na naszą prośbę, policja Stanów Zjednoczonych szukała Cię jak igły w stogu siana. Sprawileś nam wiele zmartwienia, ale gorąco dziękujemy Bogu, że jesteś zdrow i cały. Razem z Jankiem i Basią wyplakaliśmy sobie oczy za Tobą. Ponieważ, jak zapewnił nas Pan Brown, i Ty rozumiałeś niewłaściwość swego lekkomyślnego kroku, spodziewamy się, że już nigdy nie zrobisz czegoś podobnego. Mamy nadzieję, że starasz się nie przysparzać kłopotów i zmartwień Panu Brownowi, który przyrzekł nam opiekować się Tobą jak własnym synem. Wracaj jak najprędzej, gdyż rok szkolny już się rozpoczął, a masz jeszcze poprawkę z geografii do zdawania. Promocję do następnej klasy otrzymałeś pod tym warunkiem, lecz przypuszczamy, że profesorowie zgodzą się, abyś zdawał poprawkę dopiero po półroczu. Bardzo zmartwili się Twym zniknięciem, a kiedy zawiadomiliśmy ich o Twych losach po otrzymaniu listu Pana Browna, odnieśli się do nas bardzo życzliwie i okazali nam bardzo wiele serca. Musisz im za to podziękować po swym powrocie. Janek i Basia oczekują Cię również z wielką niecierpliwością. Wszyscy wyjdziemy na Twe spotkanie do portu”.*

— Czy stało się coś złego, Tomku? — zapytał z niepokojem pan Brown, siadając obok niego.

— Nie... nie, ja... tylko płaczę z radości — odparł zawstydzony Tomek.

Pan Brown objął go ramieniem, mówiąc:

— Jednym strzałem zabiłeś lamparta, odważnie wytrzymałeś spotkanie z ranną lwicą, nie przestraszyłeś się Pigmejów, a płaczesz po otrzymaniu miłego listu. Dziwny z ciebie chłopiec, mój kochany Tomku. Wiesz, co ja bym

uczynił na twoim miejscu? Nie myśl, żebym płakał. Wygrzebałbym ze skrzyni w obozie podręcznik do geografii i uczyłbym się ze dwie godziny dziennie. Po powrocie do domu zdałbym poprawkę i uczyłbym się dalej pilnie, żeby zostać wielkim podróżnikiem. Nie jest przecież wykluczone, że jeszcze nieraz wybierzemy się na wspólną wędrowkę.

— To pan zabrałby mnie jeszcze ze sobą? — zapytał Tomek niedowierzająco.

— A dlaczego nie miałbym cię zabrać?

— Po tych wszystkich kłopotach, jakie panu sprawiłem... Nawet Sambo powiedział, że lepiej by było, gdybym się udusił pod łóżkiem na statku.

— Sambo nie powiedział tego w takim znaczeniu, jak ty to zrozumiałeś — roześmiał się pan Brown. — Będziemy się często widywali w czasie urządzania pawilonu w muzeum, a jeśli twoi rodzice pozwolą, zabiorą cię na następną wyprawę.

— Och! — zawołał Tomek, a pan Brown zrozumiał, co chciał w tym okrzyku wyrazić.

Minęło pięć dni, zanim znaleźli się z powrotem w obozie u stóp Kilimandżaro.

Okazało się, że Nick przy pomocy Sambo i Tany znacznie posunął pracę naprzód. Za dwa lub trzy tygodnie mogli wyruszyć z powrotem na wschód, do portu. W tym czasie pan Brown spodziewał się zastać tam statek, który miał ich zabrać do Ameryki.

O ile list rodziców sprawił Tomkowi wielką radość, o tyle stan, w jakim zastał swego lwa, nappełnił go niepokojem. Sambo dobrze sprawował nad nim pieczę, ale choć karmił go bardzo starannie, lew wyglądał mizernie. Gdy Tomek zaczął robić Sambo wyrzuty z tego powodu, Nick wytłumaczył mu, że nie może mieć o to do nikogo żalu. W nawale pracy nie mogli wypuszczać lwiątko z klatki, bo gdy tylko znalazło się na wolności, natychmiast uciekało za obóz, do lasu. Lwiątko po prostu tęskniło za matką i wolnością.

Toteż Tomek zajął się swym pupilem ze zdwojoną gorliwością. Całe przedpołudnia poświęcał na studiowanie podręcznika geografii, danego mu przez podróżnika, i na pilnowanie lewka, uparcie uciekającego w kierunku buszu. Po południu towarzyszył Nickowi i panu Brownowi w dobiegających końca Iowach i fotografowaniu zwierząt.

Samo fotografowanie było dość skomplikowane. Nick sporządził specjalne zasłony przy wodopojach zwierzęcych i kryjąc się za nimi, nieraz całymi godzinami fotografował wszystko co go interesowało. Często myśliwi wsiadali na ciężarówkę z aparatami fotograficznymi i wyjeżdżali w step. Na ogół zwierzęta rzadko uciekały na widok samochodu. Toteż podróżnikom udawało się podjeżdżać bardzo blisko i fotografować zwierzęta wprost z samochodu, nie narażając się na niebezpieczeństwo. Tomek bardzo polubił takie wyprawy. Zwierzętom nie działa się żadna krzywda, a można było obserwować ich zwyczaje i sposób życia.

Nie znajdował zbyt wielkiej przyjemności w polowaniu, które, jeśli nie było spowodowane rzeczywistą potrzebą, kończyło się bezmyślnym tępieniem, a nieraz i męceniem zanikających gatunków. Pan Brown chwalił go za tę wstrzeźliwość w polowaniu. Nic znaczy to, że Tomek nie lubił strzelać. Wręcz przeciwnie, codziennie umieszczał papierową tarczę na drzewie i oddawał kilka strzałów dla wprawy. Strzelał już doskonale, bo trafiał w sam środek tarczy, oddalonej o pięćdziesiąt kroków.

Tak upływały ostatnie dni pobytu w dżungli. Zdawało się, że nic już nie zakłóci tego spokojnego trybu życia, gdy zaszedł wypadek, który znów uczynił Tomka ośrodkiem zainteresowania wszystkich członków ekspedycji.

Było to na trzy dni przed zwinięciem obozu...

Noc miała się ku końcowi. Ciemność zszarzała, by za krótką chwilę ustąpić miejsca jasnym, palącym promieniom słońca. Tomek przebudził się wcześniej niż zwykle. Nie wiedział, co go zbudziło. Spać mu się jeszcze chciało, a jednak otworzył oczy w przeświadczeniu, że tuż obok niego dzieje się coś niezwykłego.

Przewrócił się na drugi bok na polowym łóżku, nakrył się mocniej kocem i zamknął z powrotem oczy. Sen jednak nie przychodził.

— Tam się coś dzieje — pomyślał, unosząc głowę i nadsłuchując uważniej.

Tak, nie ulegało wątpliwości. Za płócienną ścianą namiotu coś piszczało i chrobotowało.

— To Miki! — mruknął Tomek. — Co on tam wyprawia?

Nagle ścianka namiotu, obok której stała klatka z lwiątkiem, wgięła się do środka tak mocno, że aż zatrzeszczały linki. Groźne, choć ciche, mruknięcie zelektryzowało Tomka.

Czyżby jakieś większe zwierzę usiłowało dostać się do lwiątko do klatki? Bez chwili wahania odrzucił koc i wyskoczył z łóżka. Tak jak stał, w piżamie, chwycił swój karabin, wprowadził kulę do lufy i na palcach wyszedł z namiotu. Nie było chwili do stracenia, jeśli lwiątko groziło niebezpieczeństwo.

Zaledwie wyszedł z namiotu, gdy jego twarz musnął puszysty ogon. Lufa karabinu pochyliła się natychmiast, choć właściciel ogona znajdował się za boczną ścianą namiotu. Tylko długi ogon bił nerwowo o ziemię tuż u stóp Tomka.

— Lew! Duży lew! — przeleciało chłopcu przez głowę.

Z bronią gotową do strzału wychylił głowę za namiot.

Przy klatce leżała ogromna lwica. To jedną, to drugą przednią łapą starała się wyłamać bambusowe pręty klatki, a male lwiątko usiłowało precyzyjnie się do niej, piszcząc żałośnie.

Nagle całą okolicę zalało złotoróżowe światło, które raptownie zbielało. Wstało słońce, zaczął się dzień. W tej samej chwili skądś z wysoka rozległo się ciche psyknięcie. Tomek i lwica równocześnie spojrzeli w górę. Lwica wydała głuchy pomruk, szczerząc białe, silne kły i załopotała ogonem, a Tomek, mimo przerażenia, nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

Na wysokim, lecz cienkim drzewie wisiał Sambo, usiłując wymierzyć z karabinu do lwicy. Nie mógł jednak tego dokonać, gdyż drzewo wyginało się zdradliwie i musiał trzymać się obydwoma rękami, dzierżąc ciężki karabin pod pachą. Jego nogi wykonywały śmieszne ruchy, gdy starał się znaleźć pewniejsze oparcie dla stóp. Teraz, ujrawszy Tomka tuż za lwicą, zdobył się na największy wysiłek — lewą ręką opasał drzewko, a prawą stopę podciągnął do góry i oparł na pniu. Tak wsparty, położył karabin na kolanie i usiłował wymierzyć do lwicy.

Lwica i lwiątko jakby zdawały sobie sprawę z grozy swego położenia. Lwica chciała przepchnąć swą grubą łapę między prętami klatki, a lwiątko wspinało się na nie, daremnie szukając wyjścia. Lwica raz za razem szczerzyła na Sambo kły, lecz więcej w tym było niepokoju niż wściekłości.

Przez te kilka sekund, które Sambo zużył na zdobycie pewniejszego oparcia na drzewie i złożenia się do strzału, setki myśli, jak błyskawice, przebiegło Tomkowi przez głowę.

Czyżby to była matka tego lwiątko? Niemożliwe, ale malec wyrywał się do niej z zaufaniem i radością. Potem przeleciało mu przez głowę pytanie, co za los czeka lewka w Ameryce. Wcześniej czy później będzie musiał oddać go do ogrodu zoologicznego lub cyrku. Mógłby go sprzedać, ale wtedy lew pozostanie już na zawsze za kratami, aby zaspokajać ciekawość ludzką.

List!... Tomek otrzymał list od rodziców. Tęsknili i niecierpliwie oczekiwali jego powrotu. Dziękowali Bogu, że nie stała mu się krzywda. A on? Tęsknił za nimi całym sercem. Zrezygnowałby z najciekawszych przygód, byle tylko znaleźć się już u boku ojca i matki. Dlaczego on teraz nie miałby pomóc swojemu kochanemu Mikiemu? Spojrzał na Sambo. Murzyn zdobył wreszcie pewniejsze oparcie i, pochyliwszy głowę, mierzył z karabinu...

— Nie bój się, lewku. Wypuszczę cię, nie będą się ludzie na ciebie gapili, ani szydzili z ciebie — mruknął Tomek. I chociaż łzy żalu cisnęły mu się do oczu, rzucił karabin i odważnie wyszedł za ścianę namiotu. Podeszedł do klatki i przyklęknął o krok od lwicy. Skupiwszy całą uwagę na Sambo i klatce z lwiątkiem, spostrzegła go dopiero teraz, gdy zaczął otwierać drzwi klatki. Warknęła, zwracając ku niemu obnażone kły, ale nie ruszyła się z miejsca.

Łomot spadającego z drzewa ciała nie odstraszył Tomka. To Sambo, widząc śmiertelne niebezpieczeństwo, grożące chłopcu oddanemu pod jego pieczę, zemdlał z wrażenia, nie mogąc już przyjść mu z pomocą. Strzelając do lwicy, mógł łatwo trafić Tomka. Było to za wiele na jego nerwy. Zemdlał i runął z drzewka. Leżał teraz bez oznak życia u jego stóp, a karabin przepadł gdzieś w trawie.

A tymczasem Tomek, w piżamie, klęczał o krok od lwicy. Jej paszcza drżała w paroksyzmie gniewu. Każda chwila mogła zadecydować o losie chłopca, ale Tomek żył i otwierał drzwiczki. W końcu udało mu się tego dokonać i wypuścił lwiątko z klatki. Reszta dokonała się w mgnieniu oka: lwica wydała groźny pomruk i, chwyciwszy lwiątko zębami za skórę na grzbiecie, wielkimi susami pobiegła w kierunku buszu. Tomek wstał i natychmiast zrozumiał, co ją spłoszyło.

O jakieś dwadzieścia kroków za nim pan Brown walczył z Nickiem. Lewa dłoń podróżnika, jak żelazne kleszcze, zaciskała się na ręce Nicka, który chciał strzelać do lwicy. Po twarzy Nicka płynęły grube krople potu. Dopiero gdy lwica porwała swe małe i wielkimi susami oddaliła się od Tomka, pan Brown zwolnił uścisk dłoni.



— Stary ośle! — wrzasnął Nick. — Mogła rozszarpać tego chłopca! Śmierć jego spadłaby na twoją głowę!

Tomek nie odezwał się ani jednym słowem. Zerwał się z ziemi i wpadł do swego namiotu. Tam rzucił się na łóżko i rozplakał ze zdenerwowania, ale i z zadowolenia, że jego Miki jest wreszcie szczęśliwy, bo znalazł się z powrotem wśród swoich.

Nick chciał pójść za Tomkiem do namiotu, lecz pan Brown wziął go za rękę i powiedział:

— Zostaw go na chwilę samego. Bądź pewien, że nigdy bym sobie nie darował, gdyby go spotkała krzywda, ale szczerze uczucie nigdy nie pozostaje bez nagrody. Przeczucie mówiło mi, że lwica nie skrzywdzi chłopca i wyczuje, że on chce jej pomóc.

— Dziwny z ciebie człowiek, mister Brown — odparł Nick ocierając ręką pot z czoła. — Najpierw pieklisz się, gdy chłopaczysko chce zapolować na śpiącego słonia, a kiedy wymienia czułości z rozjuszoną lwicą, patrzysz spokojnie i nie pozwalasz mi go ratować!

— Polowanie na słonie było nieposłuszeństwem, a tutaj przemawiało jego serce. Nie głów się nad tym, jeśli nie możesz tego zrozumieć, i nie gniewaj się, że nie pozwoliłem ci strzelić.

W tej chwili podszedł do nich Tana z kubłem wody i wylał ją na zemdlonego Sambo.

Sambo otrząsnął się i usiadł na ziemi. Nieprzytomnym wzrokiem spojrzął na pana Browna i Nicka, lecz zaraz sobie przypomniał, co przyprawiło go o zemdlenie, gdyż, ujrawszy otwartą klatkę, zawołał:

— Lew porwać Tomka!

— Nie, Tomek jest w swoim namiocie, a lwica zabrała ofiarowanego jej przez chłopca kociaka i uciekła z nim do buszu — odparł pan Brown.

— Ona nie zjeść mister Tomka?! — krzyknął Sambo.

— Nie.

— Ja mówić, że zwierzęta lubić ducha mister Tomka. On być wielki czarownik. Sambo widzieć, jak mister Tomek rozmawiać z lwicą.

— Tak, masz rację — odpowiedział pan Brown. — Mister Tomek jest wielkim czarownikiem. Nawet na mnie potrafił rzucić czary.



## FOTOGRAFOWANIE ZWIERZĄT

Następnego ranka pan Brown i Nick wybrali się po raz ostatni na fotografowanie zwierząt. Tym razem jechali w step samochodem dobrze zamaskowanym zielonymi gałęziami, aby jak najbliżej podjechać do zwierząt, nie budząc ich podejrzania. Tomek także zapakował się na samochód, chcąc jeszcze raz przyjrzeć się czworonożnym mieszkańcom Czarnego Łądu.

Były to wczesne godziny ranne, najlepiej nadające się do robienia zdjęć. Nick tak bardzo ponaglał wszystkich, że zaciekawiony Tomek zapytał:

— Czy pan spodziewa się niepogody? Przecież słońce tak cudnie świeci i nie widać ani jednej chmurki na niebie. Będziemy mogli robić zdjęcia przez cały dzień, więc mamy jeszcze dużo czasu przed sobą.

— Właśnie dlatego, że zanoszi się na solidny upał, musimy się spieszyć, aby w rannych godzinach zrobić jak najwięcej zdjęć — odparł Nick. — Tutaj nie warto fotografować w czasie skwarnych godzin południa. Nagrzane powietrze staje się w ciągu dnia tak ciężkie, że nawet zdjęcia zrobione w małej odległości, wypadają tak, jakby były poruszone.

Popędzani przez Nicka natychmiast wyruszyli w drogę i po godzinie jazdy znaleźli się w stepie, z którego strzelały wysokie rozłożyste drzewa, urozmaicając monotony krajobraz.

Samochód zatrzymał się w pobliżu kępy drzew. Nick przygotował kamerę, a Tomek z lornetką wszedł na daszek szoferki.

Wkrótce obok samochodu przebiegło kilka zebr. Te małe pasiaste koniki, niedające się oswajać, ogromnie zaciekawiły Tomka, lecz nie mógł ich długo obserwować, gdyż zaledwie zaterkotała kamera Nicka, uciekły w popłochu. Nie było jednak czasu na żal, gdyż jakby na zamówienie zjawiły się żyrafy.

Było ich kilkanaście, w tym dwoje małych. Wśród tych długoszyich zwierząt wyróżniały się trzy sztuki, niemal pięciometrowej wysokości. Poruszały się dziwnie niezgrabnie, jak drewniane kukły, a ich głowy z maleńkimi różkami chwiały się dziwacznie w takt długich skoków.

— Czy to prawda, że żyrafy nigdy nie wydają z siebie głosu? — zapytał Tomek, gdy stadko oddaliło się od samochodu.

— Nie, żyrafy są nieme. Mimo że posiadają tak długie szyje, nie mają strun głosowych — wyjaśnił Nick.

Wkrótce potem podróżnicy ujrzeli dwa wspaniałe okazy nosorożców. Na polecenie Nicka samochód powoli posuwał się w ich kierunku. Z początku nie zwracały uwagi na ostrożnie zbliżającą się „kępę zieleni”. Dobrze zamaskowany samochód nie budził ich obaw, kiedy jednak zatrzymał się o dziesięć metrów od nich, jeden nagle parsknął i z wściekłością ruszył do ataku.

Tomek uczeplił się karoserii, lecz potężne cielsko nie uderzyło w maszynę. W odległości dwóch do trzech metrów od samochodu nosorożec zatrzymał się nieoczekiwanie w miejscu, tak jak nieoczekiwanie ruszył przedtem do ataku. Parsknął głośno, zorał ziemię słupowatymi nogami i, utkwivszy małe ślepia w boku samochodu, stał chwilę. Następnie, jakby się nic nie stało, odwrócił się tyłem i najspokojniej skubał trawę.

Nick zrobił doskonałe zdjęcia. Tymczasem Tomek z zaciekawieniem obserwował nosorożce. Jak się później dowiedział, zwierzęta te, mające słaby wzrok, biorą wszystko, co napotkają na drodze, za wroga. Ruszają z miejsca do ataku, lecz gdy z bliska zobaczą nieznaną obiekt, którego zapach nie przypomina im niebezpieczeństwa, zawracają i spokojnie zajmują się sobą. Zdarza się, że nosorożce atakują podróżnika czy myśliwego, szarżują z

pochylnym łbem, uzbrojonym w dwa groźne rogi, umieszczone jeden za drugim na nosie i w ostatniej chwili zawracają, rezygnując z ataku.

Po zrobieniu dostatecznej ilości zdjęć, mężczyźni oddalili się powoli, nie niepokojąc nosorożców.

W pewnej chwili Tomek zauważył kilka strusi, które jednak prędko zniknęły z pola widzenia, ujrawszy samochód. Silne i szybkie nogi zapewniały im bezpieczeństwo nie tylko przed ludźmi, ale i przed drapieżnikami zagrażającymi ich życiu. Potem w pobliżu samochodu przewinęło się stado bawołów, a na pobliskich pagórkach Tomek wypatrzył wielką ilość antylop kudu, których głowy ze ślimakowato skrzyconymi rogami pochylały się nad soczystą trawą.

Tuż przed południem w dali ukazało się spore stado słońi, ale nie sposób było je sfotografować, gdyż warkot motoru wypłoszył zwierzęta do pobliskiej dżungli. Na jej skraju stali około dwóch godzin i udało się im jeszcze sfilmować piękny okaz lwa i dwie pantery. Ponieważ skwar stawał się nie do wytrzymania, pan Brown zdecydował o powrocie do obozu. Tak zakończył się pobyt Tomka u stóp góry Kilimandżaro. Następnego ranka rozpoczęło się pakowanie skór i innych zebranych dla muzeum eksponatów, a wkrótce potem zaczęto zwijać cały obóz.



## TOMEK ZDOBYWA SŁAWĘ

Tomek drżał z niecierpliwości. Od samego rana stał na najwyższym pokładzie, oczekując na horyzoncie Statuy Wolności, stojącej u wejścia do portu nowojorskiego.

Przeszło trzy tygodnie „*Saratoga*” pruć fale morskie, kierując się ku amerykańskiemu kontynentowi. Dziś miał nastąpić kres długiej podróży. Tomek był pewny, że powiadomieni telegraficznie rodzice będą czekali na niego w porcie.

Tomek nie wypoczywał na okręcie po przygodach w Afryce. Codziennie uczył się z panem Brownem geografii, a poznawanie jej tajników nie było już dla niego nużące ani nudne. W końcu pan Brown orzekł, że Tomek umie już znacznie więcej z geografii, niż to przewiduje program szkolny.

— Odpocznij sobie teraz — powiedział pewnego dnia.

— W domu czeka cię nauka, a egzamin zdasz albo ja nie znam się na tych sprawach.

Tomek uznał te słowa za pochwałę dla swej gorliwości. Tym chętniej przebywał teraz w kabinie telegrafisty, obserwując jego pracę. Pan Brown, Nick, a szczególnie Sambo opowiedzieli nielicznym pasażerom o przygodach Tomka, co przysporzyło mu ogólnej sympatii. Nawet poważny kapitan „*Saratogi*” często zabierał go na swój mostek kapitański i chętnie udzielał różnych wyjaśnień.

W taki sposób podróż nie diużyła się Tomkowi. Dopiero ten ostatni dzień pobytu na statku ciągnął się w nieskończoność. Tomek przestępował z nogi na nogę, wypatrując Statuy Wolności.

— Widać już ląd! — zawołał do niego pan Brown, stojący na mostku kapitańskim.

— Hurra! — krzyknął Tomek radośnie, ale upłynęły jeszcze trzy godziny, zanim weszli do portu.

Wszelkie obawy Tomka prysnęły jak zły sen, gdy znalazł się w ramionach matki i ujrzał ciepły wzrok ojca. Uściski i pocałunki Janka i Basi były nie mniej serdeczne.

Pan Brown zlecił Nickowi wyładowanie bagażu, a sam udał się z Tomkiem i jego rodziną do ich mieszkania. Dwie godziny minęły szybko na opowiadaniu wszystkiego, co zaszło od chwili ucieczki Tomka z domu. Pan Brown musiał jednak pomóc Nickowi w wyładunku bagażu. Pożegnanie było krótkie, ale serdeczne, a Tomek i jego rodzice jeszcze raz podziękowali mu za życzliwość.

Rodzice jakoś nie robili Tomkowi wyrzutów, chociaż opowiadał im dokładnie swe niebezpieczne przygody. W końcu jednak ojciec oznajmił, że gdy tylko odpocznie po podróży, będzie musiał zgłosić się do szkoły. Profesorowie zgodzili się, aby uczęszczał do następnej klasy, jednak pod warunkiem, że zda poprawkę najpóźniej do półroczna.

— Mogę zdawać tę poprawkę natychmiast — odparł Tomek.

— To się tak łatwo mówi — odpowiedział mu ojciec. — Ale jeśli nie zdasz, będziesz musiał pozostać w tej samej klasie.

— Pan Brown powiedział, że powinienem zdać ten egzamin.

— A jeśli pan Brown się pomylił?

— Nie, pan Brown nie mógł się pomylić, gdyż sam uczył mnie geografii — odparł Tomek z dumą.

Pan Brown rzeczywiście się nie pomylił. Tomek zdał egzamin celująco i rozpoczął naukę w następnej klasie. Ku zdziwieniu rodziców, nie potrzeba było już pędzić go do nauki. Robił też duże postępy, za które bardzo chwalił go pan Brown. Trzeba bowiem wiedzieć, że podróżnik tak polubił Tomka, iż jeśli sam nie miał czasu przyjść do niego, to często zapraszał chłopca do siebie. Pozwalał mu też przychodzić do muzeum. Tak więc Tomek miał możliwość obserwowania pracy, która go bardzo interesowała.



Minęło kilka miesięcy.

Pewnego dnia pan Brown wpadł na chwilę do rodziców Tomka.

— Chciałem państwa zaprosić na otwarcie afrykańskiego pawilonu w muzeum — powiedział.

— Więc już wszystko gotowe? — zawołał Tomek z radością.

— Tak. A ciebie spotka pewna niespodzianka w dniu otwarcia — odparł pan Brown.

Tomek chciał wyciągnąć z niego jakieś wyjaśnienia, ale pan Brown uśmiechał się tylko i nie chciał nic wyjaśnić.

W dwa dni potem Tomek, odświętnie ubrany, wraz z rodzicami i rodzeństwem znalazł się przed nowym pawilonem muzeum. Pan Brown otoczony był znanymi osobistościami, mimo to jednak znalazł chwilę czasu, aby osobiście wprowadzić Tomka z rodziną do pawilonu zaraz po przecięciu wstęgi. Gdy zaproszeni goście zdążyli się rozejrzeć po wspaniałej sali, pan Brown, trzymając wciąż Tomka za rękę, poprosił o chwilę uwagi.

Wszyscy spodziewali się, że nareszcie wyjaśni ową niespodziankę, którą tajemniczo zapowiadały zaproszenia dla gości i prasa. Tymczasem pan Brown w krótkich słowach opowiedział historię udziału Tomka w wyprawie. Przez cały czas chłopiec stał zaczerwieniony przy podróżniku.

gdyż w żaden sposób nie mógł uwolnić ręki, spoczywającej w dłoni pana Browna. Nie mógł zrozumieć, po co pan Brown opowiada tylu poważnym ludziom o jego nieposłuszeństwie. A pan Brown mówił do zaciekawionej publiczności. Kiedy doszedł do przyjścia lwicy do obozu po Miki, wszyscy z niedowierzaniem spojrzeli na Tomka.

— I mnie było trudno w to uwierzyć — kończył swe opowiadanie pan Brown. — Dlatego też nie dziwię się, że państwo przyjmują moją opowieść z takim niedowierzaniem. Tak się jednak złożyło, że ujrzą to państwo osobiście. Podczas gdy ja i Nick usiłowaliśmy zbliżyć się do Tomka, a Sambo leżał zemdlony pod drzewem, nasz pomocnik Tana sfilmował prawie całą scenę.

Kilku ludzi wniosło ekran, zgaszono światła w pawilonie. Po chwili Tomek w pizamie klęczał na ekranie obok rozjuszonych lwicy.

Wszyscy patrzyli na krótki film z zapartym tchem, a kiedy znów rozbłysły światła, owacjom nie było końca. W ciągu pięciu minut Tomek stał się popularny. Wszystkie niemal dzienniki i tygodniki zamieściły jego fotografie z dokładnym opisem przygód. W szkole proszono go, aby

publicznie opowiedział o swej podróży, a jedna z wytwórni filmowych zamieściła scenę z lwem w swym dodatku filmowym.

Kiedy po kilku dniach pan Brown zabrał Tomka na dłuższą przejażdżkę za miasto, zapytał go, czy cieszy się swą sławą.

— Nie — odparł Tomek ku jego zdziwieniu. — Wolałbym, żeby nikt się o tym nie dowiedział. Zrobiłem to dla mojego lwa, a nie dla siebie i rozgłosu.

— Doskonale cię rozumiem, lecz mimo to należała ci się nagroda — rzekł pan Brown. A i my myślimy podobnie.

ALFRED SZKLARSKI

**TOMEK W KRAINIE  
KANGURÓW**



## ZEMSTA

Lada chwila miał rozbrzmieć dzwonek na koniec przerwy pomiędzy lekcjami. Korytarz z wolna pustoszał, uczniowie znikali w klasach, cisza ogarniała szkolne mury. Jeszcze tylko grupka czwartoklasistów kręciła się w pobliżu głównych, schodów i drzwi pokoju nauczycielskiego.

W miarę jak zbliżał się koniec pauzy, nieśmiała nadzieja zaczynała kiełkować w sercach myszkujących po korytarzu chłopców. Krasawcewa, nauczyciela geografii, nie było dotąd ani w kancelarii, ani w pokoju nauczycielskim. Może więc zachorował i nie przyjdzie w ogóle do szkoły? A może szczęśliwy los zdarzy, że przynajmniej się spóźni, jak mu się to często przytrafiało.

W grupce szeptem rozmawiającej na korytarzu rej wodził Tomek Wilmowski, dobrze zbudowany blondyn, który z ożywieniem pocieszał swych zdenerwowanych kolegów:

— Mówię wam, że „*pily*” nie ma w budzie. Stwierdziłem sam i ręczę za to. Może jego gospodyni, wychodząc na miasto po sprawunki, przez zapomnienie zamknęła drzwi na klucz? To byłaby heca! Czy wyobrażacie sobie „*pilę*” z notesem w ręku miotającego się bezsilnie po mieszkaniu? Och, gdybym to mógł zobaczyć!

Twarze chłopców rozjaśniły się na samą myśl o takiej wspaniałej możliwości. Trudno się nawet było dziwić, że snute przez Tomka domysły napawały jego kolegów nadzieją i radością. Zaledwie niecałe trzy tygodnie dzieliły ich do wakacji letnich, a tymczasem Krasawcew, czy też jak go uczniowie nazywali „*pila*”, zapowiedział, że przed swym przyspieszonym wyjazdem do Rosji pozostawi „*polskim buntowszczykom*” taką pamiątkę, iż popamiętają go przez cały następny rok „*zimowania*” w tej samej klasie. Mogło to tylko oznaczać zaostrenie kursu dykcji gimnazjum przeciw czwartoklasistom.

Domysły te nie były pozbawione podstaw. Mianowany przed kilkoma miesiącami dyrektor gimnazjum, Rosjanin Mielnikow, z niezwykłą surowością wymagał od swych wychowanków ślepego posłuszeństwa i przywiązania do carskiej Rosji. Niezwykła ta opowieść rozpoczyna się bowiem w 1902 roku gdy znaczna część Polski znajdowała się pod okupacją

rosyjską. Znienawidzony przez uczniów nowy dyrektor wykazywał szczególną gorliwość w dziele rusyfikowania<sup>1</sup> polskiej młodzieży. Mało mu było tego, że wszystkie lekcje prowadzono wówczas w języku rosyjskim. Mielnikow, a pod jego wpływem i niektórzy nauczyciele pilnie przestrzegali, aby uczniowie w szkole w ogóle nie rozmawiali po polsku. Dyrektor wiele czasu poświęcał również badaniu stosunków panujących w rodzinach swych wychowanków. Na każdym kroku węszył nieprzychylność do carskiej Rosji, co w zasadzie znajdowało w szkole odbicie w ujemnej ocenie postępów w nauce.

Wkrótce po objęciu stanowiska Mielnikow zwrócił uwagę na czwartą klasę. Według jego zdania, brak było w niej „rosyjskiego ducha”. Czwartoklasiści nie wykazywali należytej gorliwości w nauce historii Rosji, większość z nich miała złą wymowę rosyjską i, jak twierdzili podstawieni donosiciele, między sobą rozmawiała po polsku. Dyrektor mocno zaniepokojony tymi faktami zasięgnął informacji w policji, gdzie stwierdził, iż niektórzy rodzice tych uczniów notowani byli w kartotekach jako politycznie podejrzani. Wtedy to nie namyślając się wiele postanowił rozbić „gniazdo małych os” i wydał odpowiednią instrukcję swemu zaufanemu podwładnemu, nauczycielowi geografii, sześćdziesięcioletniemu Krasawcewowi.

Mielnikow sprowadził go do Warszawy na miejsce poprzedniego nauczyciela, który uległ poważnemu wypadkowi i ustąpił ze stanowiska.

Krasawcew był zgorzkniałym człowiekiem, często szukającym zapomnienia w alkoholu. Stąd też w szkole bywał niezwykle roztargniony, a całą swoją uwagę skupiał przeważnie na wypełnianiu specjalnych zarządzeń Mielnikowa. Aby móc je dokładnie wykonać, ważniejsze uwagi przełożonego zapisywał w notesie, do którego stale zaglądał podczas lekcji.

Uczniowie doskonale wyczuwali nastawienie dyrektora oraz jego poplecznika, toteż niedwuznaczna, pełna groźby zapowiedź Krasawcewa napędzała ich obawą przed tą ostatnią w roku szkolnym lekcją geografii.

Terkot dzwonka rozbrzmiał na korytarzach. Czwartoklasiści odetchnęli z ulgą. Teraz weszli do klasy, skąd przez uchylone drzwi obserwowali nauczycieli podążających na lekcje. Krasawcew nie nadchodził. W tej jednak chwili Jurek Tymowski, ukryty za filarem na korytarzu przy schodach, zaczął

---

<sup>1</sup> — Rusyfikować: wynaradawiać wychowując w duchu rosyjskim.

dawać ręką niepokojące znaki. Wykonywał ruch, jakby trzymał rączkę piły tnącej drzewo. Tomek Wilmowski natychmiast zrozumiał umówione hasło.

— A niech to licho porwie! Jednak „*piła*” przyszedł do budy — zawołał do przyczajonych za nim kolegów.

Jurek Tymowski wsunął się do klasy. Zrezygnowany machnął ręką mówiąc:

— Piła jest już na schodach. Po drodze rozpina płaszcz i sapie niemiłosiernie... Ha, że też w taki piękny, słoneczny dzień czyha na człowieka sromotna klęska...

— Może tak źle nie będzie. Najważniejsze nie trać ducha — szepnął Tomek, ściskając łokieć przyjaciela.

Podnieceni chłopcy zajmowali miejsca w ławkach. Wyjątek wśród nich stanowił prymus klasy Pawluk, podchlebiający się na każdym kroku nauczycielom, a nawet często szpiegujący swych towarzyszy. Nie okazywał on jakiegokolwiek obawy. Siedząc wyprostowany, spoglądał ze złośliwym zadowoleniem na mocno zaniepokojonych kolegów.

Tomek Wilmowski zdenerwowany zajął miejsce obok Jurka Tymowskiego. Właściwie nie miał powodów do obaw o siebie. Uczył się doskonale, a geografia była jego ulubionym przedmiotem. Gdyby wśród większości nauczycieli nie miał opinii „*polskiego buntowszczyka*”, na pewno byłby prymusem. Dzisiaj lękał się jedynie o swego przyjaciela, któremu z całą pewnością zagrażało niebezpieczeństwo. W szkole wszyscy wiedzieli, że ojciec Jurka miał niedawno kłopoty z żandarmami. Pan Tymowski był instruktorem konnej jazdy w ujeżdżalni przy ulicy Litewskiej, gdzie, jak podejrzewała policja, odbywały się tajne schadzki Polaków spiskujących przeciwko carskiej Rosji. Z tego powodu Mielnikow niejednokrotnie już szkodził Jurkowi, nie ulegało wątpliwości, że polecił go „*opiece*” Krasawcewa. Tymczasem Tomek przyjaźnił się z Jurkiem i bardzo lubił pana Tymowskiego. Dzięki jego życzliwości korzystał w ujeżdżalni z pewnych przywilejów. W wolnych chwilach Tymowski ćwiczył obydwóch chłopców w konnej jeździe. Według zapewnień instruktora, Tomek trzymał się już na wierzchowcu bardzo dobrze. Chłopiec był z tego nadzwyczaj dumny. Skromne warunki materialne jego opiekunów nie pozwalały mu na zbyt wiele rozrywek. Bezpłatna nauka konnej jazdy stanowiła dla niego z wielu

względów dużą przyjemność. Tomek z niepokojem rozmyślał teraz, ile kłopotu oraz zmartwienia sprawi Jurek ojcu, jeżeli nie otrzyma promocji.

Krasawcew z dziennikiem szkolnym pod pachą wkroczył do klasy. Zaraz też można było poznać, że tego dnia jest w nie najlepszym humorze. Szurając nogami usiadł przy biurku, rozłożył dziennik i mamrocząc coś do siebie, nerwowymi ruchami zaczął przeszukiwać swoje kieszenie. Nie znajdował w nich tego, czego szukał, marszczył więc coraz gniewniej czoło.

Jurek Tymowski widząc to pochylił się w stronę Tomka.

— A to ci dopiero będzie sądny dzień! Piła pewno znów zapomniał zabrać z domu swoje okulary... — szepnął.

— Dobrze mu tak! — również szeptem odparł Tomek. — A może i notesu nie przyniósł dzisiaj...

Nadzieje chłopców spełniły się jednak tylko połowicznie; w tej właśnie chwili nauczyciel wydobył z kieszeni notes, położył go przed sobą i rozgniewany wzruszył ramionami — okularów nie znalazł. Przez jakiś czas szperał w notatniku, po czym zakrzywionym palcem zaczął wodzić po otwartym dzienniku, leżącym przed nim na stole.

Lekcja rozpoczęła się; Krasawcew co chwila wywoływał któregoś z uczniów na środek klasy. Zadawał jedno lub dwa podchwytliwe pytania, a następnie wpisywał stopień do dziennika. Oceny odpowiedzi były bardzo surowe.

Tomek i Jurek w lot zorientowali się, że nauczyciel wywołuje specjalnie tych chłopców, których rodziców podejrzewano o nieprzychylność dla Rosji. Jurek siedział posępny z opuszczoną na piersi głową. Tomek z niepokojem spoglądał na drzwi wiodące na korytarz.

*„Może już niedługo do dzwonka na koniec lekcji? — rozmyślał. — Co się stanie, jeśli Jurek teraz oberwie dwóję z geografii?!”*

Sytuacja Jurka Tymowskiego naprawdę nie była godna pozazdroszczenia. Przecież i tak ze wszystkich przedmiotów otrzymywał zazwyczaj gorsze stopnie nie mogąc opanować należycie akcentu w języku rosyjskim.

Krasawcew głęboko pochylony nad dziennikiem wciąż wodził po nim palcem; obecnie zatrzymywał go niemal wyłącznie przy nazwiskach rozpoczynających się od końcowych liter alfabetu. Przed chwilą wywołał do odpowiedzi Tatarkiewicza.



— Taka wsypa i to akurat przy końcu roku — szepnął Jurek. — Czuję, że pójdę następny...

— Zaraz powinien być dzwonek, może nie zdąży... — pocieszył go Tomek, chociaż sam nie wierzył już w szczęśliwe zakończenie lekcji.

Mimo woli spojrział na nauczyciela. Właśnie stawiał w tej chwili stopień Tatarzewiczowi niemal dotykając nosem dziennika. To ostatnie nasunęło Tomkowi szaleńczy pomysł. Nauczyciel chorował na oczy, z tego też powodu niedowidział, a dzisiaj szczęśliwym zdarzeniem losu, nie miał okularów i całą jego uwagę pochłaniał dziennik, w którym z takim zapalem stawiał złe noty.

„Trzeba ratować Jurka za wszelką cenę, choćby przez wzgląd na jego ojca — z determinacją pomyślał Tomek. — Niech się dzieje co chce! Raz kozie śmierć!”

Krasawcew w dalszym ciągu nie podnosząc głowy znad dziennika zawołał:

— Tymowski!

— Siadaj! — syknął Tomek i zdobywając się na jak największy spokój wyszedł zamiast Jurka na środek klasy.

Uczniowie zaciekawieni poruszyli się w ławkach, a potem zamarli w bezruchu. Zaległa grobowa cisza.

Widać było, że Krasawcew szykuje się do zadania śmiertelnego ciosu. Ze złośliwym uśmiechem na twarzy zastanawiał się przez chwilę, jakim pytaniem ma pogryźć nie lubianego przez dyrektora ucznia, po czym nie podnosząc ani nie odwracając głowy mruknął:

— No, powiedz, jaki jest najdłuższy na ziemi łańcuch wysp!

Przytomny, zawsze zdecydowany w niebezpiecznych chwilach Tomek dzielnie opanował drżenie głosu. Naśladując sposób mówienia Jurka, odparł:

— Wyspy japońskie tworzą najdłuższy na ziemi archipelag. Towarzyszy on wschodnim wybrzeżom Azji, zamykając razem z Archipelagiem Malajskim cztery wielkie morza przybrzeżne: Ochockie, Japońskie, Żółte i Wschodnio-chińskie. Japonia obejmuje pięć większych wysp i około sześciuset mniejszych. Cztery z nich stanowią Japonię właściwą. Wyspy japońskie tworzą ostatni stopień lądu w stronę Oceanu Spokojnego, dlatego Japończycy nazywają swoją ojczyznę „Krajem wschodzącego słońca”.

Nauczyciel drgnął niemile zaskoczony płynną, celującą odpowiedzią; zaraz też zadał drugie pytanie.

— Wymień najważniejsze wulkany Meksyku!

— Najważniejszymi wulkanami Meksyku są: Orizaba o wysokości pięciu tysięcy pięćdziesięciu metrów i Popocatepetl, czyli Popo, mający wysokość pięć tysięcy czterysta pięćdziesiąt metrów. Zamykają one kotlinę Meksyku od południa i nadają jej krajobrazowi swoiste piękno.

Krasawcew głośno zasapał ze zdenerwowania. Druga odpowiedź była równie doskonała jak pierwsza. Zastanowił się dłuższą chwilę, w końcu zapytał podstępnie:

— Hm, powiedz ty mi, co uważasz za największe osiągnięcie świata w ostatnim dziesięcioleciu?

Tomek od razu wyczuł zastawioną pułapkę. Cokolwiek odpowie, to Krasawcew i tak będzie mógł mu zaprzeczyć.

„*Trzeba użyć fortelu, by zagiąć «piłę»*” — pomyślał. Zaraz też przypomniał sobie artykuł w gazecie, czytany kilka dni temu przez wujka i spokojnie odpowiedział:

— Największym osiągnięciem cywilizowanego świata w ostatnim dziesięcioleciu jest bez wątpienia budowa przez Rosję kolei transsyberyjskiej. Długość linii od Moskwy do Władywostoku wyniesie osiem tysięcy kilometrów. Tym samym będzie ona jedną z najdłuższych kolei na świecie.

Krasawcew siedział bez ruchu, jak rażony gromem. Skąd ten syn „*wywrotowca*” mógł odgadnąć, o co mu chodziło? Przecież w żadnym razie nie wypadało teraz zaprzeczyć. I choć stary, zapijaczony belfer nie wahał się stawiać złych not na polecenie dyrektora, to jednak mimo wszystko celujące odpowiedzi słabego dotąd ucznia wzbudziły w nim uznanie. Nie, tego chłopaka nie mógł oblać mimo najszczerzych chęci.

„*A czort z nim! Przecież jeden taki smyk nie może zaszkodzić potężnemu carowi*” pomyślał. Głośniej zaś mruknął:

— Hm, masz szczęście, przygotowałeś się do repetycji... Poprawiłeś nawet nieco swój akcent. Wierzę, że mógłbyś umieć geografię, tak jak ten nicpoń Wilmowski, no, wracaj do ławki.

Tylko niezwykłość sytuacji powstrzymała Tomka od wybuchnięcia śmiechem. Krasawcew szybko postawił dobry stopień w dzienniku, a tymczasem wszyscy uczniowie chichotali już w najlepsze.

Naraz stała się rzecz straszna. Oto prymus Pawluk podniósł się szybko i zawołał:

— Panie profesorze, przecież to nie jest Tymowski!

Tomek zatrzymał się i przybladł. Wprawdzie w tym momencie Jurek siedzący w ławce tuż za Pawlukiem pociągnął go mocno za ucho, lecz było już za późno. Nauczyciel uniósł głowę znad dziennika. Spojrzał na Tomka. Nie był jednak pewny, czy go wzrok nie myli.

— Podejdź do mnie bliżej — powiedział.

Tomek przysunął się o dwa małe kroki.

— Jeszcze bliżej — mruknął Krasawcew, szeroko otwierając oczy.

Tomek stanął przy samej katedrze.

— Co to znaczy, Wilmowski? — groźnie zapytał nauczyciel, spoglądając na chłopca. — Przecież wywołałem do odpowiedzi Tymowskiego!

— Niemożliwe, panie profesorze! Słyszałem wyraźnie moje nazwisko — odparł Tomek, obawiając się, czy głośne bicie serca nie zdradzi go przed nauczycielem.

— Głupstwa pleciesz! Wywołałem do lekcji Tymowskiego — oburzył się Krasawcew.

Pawluk chciał się odezwać, lecz Jurek pociągnął go za bluzę mundurka szepcząc: „*Spierezemy cię na kwaśne jabłko, jeśli piśniesz choć jedno słowo, lizusie!*”

Niepewny siebie Krasawcew mierzył Tomka podejrzliwym wzrokiem. Może jednak przypadkowo pomylił nazwiska? Zastanawiał się, czy nie warto by przeprowadzić śledztwa.

— Bardzo przepraszam pana profesora, jeśli się przesłyszałem — Tomek zmienił taktykę obrony. — Tak bardzo chciałem odpowiadać jeszcze przed końcem roku... Zapewne ja się mylę, bo przecież pan profesor mylić się nie może.

Pod wpływem nieoczekiwanego pochlebstwa Krasawcew rozchmurzył się nieco. Wilmowski był doskonałym geografem, dlatego też zawsze wywoływał go do odpowiedzi podczas wizytacji. Zgorzkniały profesor miał mimo wszystko słabość do wesołego i roztropnego chłopca. Spojrzał więc na leżący na biurku zegarek. Zaraz powinien być dzwonek. Postanowił jeszcze przepytac Tymowskiego, przy którego nazwisku figurowała w jego notesie duża, czerwona kropka.

— No, Wilmowski! Uważaj ty lepiej na drugi raz, żebyś źle nie wylądował — powiedział surowym głosem.

Tomek odetchnął głęboko, jak człowiek wypływający na powierzchnię po długim przebywaniu pod wodą: zaraz poprawił mu się humor. Lada chwila odezwie się dzwonek i Jurek będzie uratowany. Dla zyskania na czasie uklonił się nisko nauczycielowi. Udając wielką skruchę powiedział:

— Tak mi przykro, proszę pana profesora, że sprawiłem niepotrzebnie tyle zamieszania. Serdecznie dziękuję za wybaczenie mi pomyłki. Jeszcze raz bardzo przepraszam pana profesora.

— No dobrze, już dobrze, Wilmowski — burczał Krasawcew. — Idź już na miejsce. Tymowski, do lekcji!

Zanim jednak Jurek zdążył podejść do katedry, dzwonek ostro zaterkotał na korytarzu. Krasawcew momentalnie zapomniał o uczniu. Tego dnia musiał jeszcze odbyć wizyty pożegnalne przed wyjazdem na wakacje do Rosji.

Szybko więc schował zegarek oraz notes do kieszeni i zatrzasnął dziennik. Mruczając coś pod nosem, wybiegł z klasy.

— Uratowałeś mnie — szepnął Jurek do Tomka.

Wyszli razem na korytarz. Natychmiast otoczyli ich koledzy. Wszyscy wieszowali Tomkowi odwagi oraz przytomności umysłu. Oczywiście byli mocno oburzeni zachowaniem się Pawluka. Proponowali zaraz dać „koca” lizusowi, lecz Tomek przerwał dyskusję, mówiąc:

— Nie zgadzam się na żadne bójkę. Na pewno wyrzuciliby nas z budy, i to tuż przed samym końcem roku. Pawluk tylko mnie chciał dopiec za to, że lepiej uczę się od niego. To między nami dwoma sprawa. Bądźcie spokojni, zemszczę się na nim, lecz na razie to tajemnica. Zobaczycie, jak mu za to zapłacę!

Rozległ się dzwonek na nową lekcję. Uczniowie powrócili do klasy. Ku ogólnemu zdziwieniu Tomek rozpoczął rozmowę z Pawlukiem, jak gdyby między nimi nie zaszło nic nadzwyczajnego. Przestraszony początkowo prymus rozruszał się widząc wesołość kolegi.

Tomek był naprawdę w doskonałym humorze. Z całkowitym spokojem oczekiwał na rozpoczęcie się lekcji historii. Zapowiedziane przybycie inspektora usuwało od niego i Jurka wszelkie niebezpieczeństwo. Przecież właśnie oporne przyswajanie sobie przez uczniów historii Rosji budziło zastrzeżenia dyrektora szkoły. Nawet taki uczeń jak Tomek wołał nieraz

oberwać dwóję, niż na przykład wyliczyć z pamięci poczet, znienawidzonej przez Polaków, panującej rodziny carskiej. Jasne więc było, że nauczyciel historii nie dopuści do kompromitacji przy inspektorze. Tomek był pewny, iż z tego powodu do odpowiedzi będzie wywołany oficjalny prymus klasy — Pawluk. W związku z tym obmyślił pewien plan zemsty i wesoło rozmawiał z „lizusem”, aby uspić jego czujność.

Wtem drzwi klasy otworzyły się; wszedł nauczyciel historii w towarzystwie inspektora. Gdy tylko chłopcy usiedli po przywitaniu napuszonego Rosjanina, Tomek natychmiast wydobyl z tornistra tekturowe pudełeczko. Ostrożnie uchylił podziurawione szpilką przykrycie. Na jego twarzy ukazał się szelmowski uśmiech. Olbrzymi chrząszcz jelonek — schwytany trzy dni temu podczas wycieczki z wujostwem za miasto, nic nie stracił ze swej żywości, mimo uciążliwej niewoli. Zaledwie Tomek uniósł wieczko pudełka, owad zaraz wysunął swe ogromnie rozwinięte żuwaczki, usiłując odzyskać wolność. Tomek wepchnął chrząszcza z powrotem do pudełeczka, po czym wsunął je do kieszeni.

Na pozór lekcja odbywała się tak jak w każdy zwykły dzień szkolny. Najpierw nauczyciel obszernie wyjaśnił nowy, ostatni w tym roku, fragment historii Rosji nie zaglądając nawet do książki. Następnie, czego zazwyczaj nie czynił, zaczął przypominać chłopcom, jakie okresy już przerobili; skończył dopiero wtedy, gdy inspektor spoglądając na zegarek oświadczył, że pragnąłby jeszcze przysłuchać się odpowiedzi któregoś z uczniów.

Był to znak dla Tomka. Zaledwie nauczyciel pochylił się nad dziennikiem, niby to zastanawiając się kogo wywołać do lekcji, Tomek szybko wydobyl z kieszeni pudełko. Przysunawszy je do pleców Pawluka, uchylił wieczko. Wielki chrząszcz natychmiast skorzystał z upragnionej okazji; znalazł się na kołnierzu mundurka prymusa akurat w chwili, gdy nauczyciel wywołał go na środek klasy.

Pawluk zatrzymał się przed katedrą. Uniżenie ukłonił się inspektorowi i nauczycielowi. Na wszystkie pytania odpowiadał z niezwykłą płynnością, jakby czytał z książki. Teraz powtarzał bezbłędnie nową lekcję, stojąc wyprostowany jak struna. Nauczyciel z triumfującym uśmiechem spoglądał na zupełnie widocznie zadowolonego inspektora.

Tomek, obserwując sukces nie lubianego kolegi, przeżywał prawdziwą burzę niepokoju:

„Cóż to się stało z chrząszczem? — rozmyślał. — *Lizus* boi się wszelkich owadów. Co by to była za wspaniała zemsta, gdyby przestraszył się chrząszcza teraz w czasie popisowego recytowania lekcji!”

Chrząszcz jednak, nieczuły na prośby i zaklęcia Tomka, w dalszym ciągu nie dawał znaku życia. Gdy w końcu Tomek zaczął czynić sobie wyrzuty, iż zupełnie niepotrzebnie trudił się zbieraniem pożywienia dla niewdzięcznego owada — Pawluk naraz poruszył niecierpliwie głowę.

Nadzieja wstąpiła, w serce Tomka. Pawluk po raz drugi wstrząsnął głową, po czym przesunął dłonią po karku. Teraz wymarzone przez Tomka zdarzenia potoczyły się z szybkością spadającej śnieżnej lawiny. Oto Pawluk nerwowym ruchem cofnął swą dłoń i, zaledwie ujrzał w niej chrząszcza, wrzasnął przeraźliwie, odruchowo wstrząsając ręką. Potężny chrząszcz uderzył w twarz inspektora, który podskoczył jak oparzony.

Rozpoczęła się straszliwa awantura. Nauczyciel, nie mniej przestraszony od inspektora, ostro skarcił Pawluka i udzielił mu nagany. Z kolei giął się w ukłonach przepraszając rozindyczonego zwierzchnika. Oczywiście był to już koniec lekcji, ponieważ rozgniewany dygnitarz zaraz wyszedł z klasy, a za nim podążył roztrzęsiony nauczyciel.

Po raz drugi tego dnia Tomek, pusząc się jak paw, przyjmował gratulacje od rozentuzjasmowanych przyjaciół. Oto za jednym zamachem zemścił się na podłym „*lizusie*” i dokuczył nauczycielowi, którego nadmierna gorliwość narażała go w domu na największe przykrości.

Po zakończeniu lekcji uradowani Tomek i Jurek razem wyszli ze szkoły.

## TAJEMNICZY GOŚĆ

Tomek pożegnał się z Jurkiem, a sam przystanął przy małym zieleńcu na środku placu Trzech Krzyży. Zaczął rozmyślać, jak ma spędzić resztę popołudnia. Powrót do domu bezpośrednio ze szkoły w tak interesująco rozpoczętym dniu nie nęcił go zupełnie. Czerwcową, słoneczną pogodą zachęcała przecież do spaceru po mieście. Pokusa była tym większa, że z placu Trzech Krzyży wystarczyło przejść jedynie przez jezdnię, aby znaleźć się w kipiących zielenią Alejach Ujazdowskich. Jeżeli nie skorzysta teraz z tak wspaniałej okazji, to potem w domu ciotka Janina, jak zwykle, wynajdzie tysiąc powodów, aby go już nigdzie nie wypuścić.

Długo rozważał wszystkie możliwości, lecz nie mógł jakoś powziąć decyzji. Ciotkę niełatwo było wprowadzić w błąd. Codziennie po powrocie dzieci ze szkoły uważnie wypytywała o zadane lekcje i otrzymane stopnie; niemal każda taka rozmowa kończyła się powiedzeniem:

*„Teraz proszę pokazać dzienniczki!”*

Jeżeli sprawozdania dzieci nie były zgodne z notatkami nauczycieli, następowała dłuższa rozprawa. Spóźniony powrót ze szkoły był tak samo oceniany i karany jak złe stopnie.

Irena, Zbyszek i Witek, dzieci ciotki Janiny, przyzwyczajeni od najmłodszych lat do surowości matki, łatwiej przystosowywali się do jej wymagań. Tomek jednak nie umiał nawet tak jak oni udawać skruchy. Dlatego też częściej otrzymywał kary.

Ciotka miała szczególne powody, aby zwracać na niego baczniejszą uwagę. Od chwili śmierci matki był właściwie sierotą i nie wiadomo, co by się z nim stało, gdyby wujostwo Karscy nie wzięli go na wychowanie. Matka Tomka umarła w dwa lata po ucieczce swego męża za granicę, który jedynie w ten sposób zdołał uniknąć aresztowania przez carskich żandarmów. Ciotka Janina, pamiętając o tragedii swej siostry, więcej niż ognia obawiała się wszelkich spisków politycznych. Przecież udział w nich, w najlepszym razie, groził zesłaniem na Sybir.

Ku jej utrapieniu Tomek widział w ojcu bohatera i w najskrytszych marzeniach pragnął go naśladować pod każdym względem. Odziedziczył też zapewne po nim zdolności i zamiłowanie do nauki. Tak jak ojciec szczególnie

interesował się geografią. Większość wolnego czasu spędzał na czytaniu różnych dzieł, w których znajdował opisy obcych krajów oraz zamieszkujących je ludów, a od książek napisanych przez polskich podróżników i odkrywców wprost nie mógł się oderwać. Więcej niż jego rówieśnicy wiedział również o smutnych dziejach Polski, okupowanej prawie od stu lat przez wrogie mocarstwa.<sup>2</sup> Matka do ostatnich dni swego życia uczyła go w domu prawdziwej historii Polski, przypominała mu również przy każdej okazji, że jego ojciec prześladowany był za walkę o niepodległość ojczyzny.

Nic też dziwnego, że Tomek nieraz otrzymywał złe stopnie z historii, którą znał z ust matki, inną, niż mu się jej uczyć kazano w szkole. Napominany stale przez ciotkę starał się ukrywać swą niechęć do tego przedmiotu, lecz nie zawsze mu się to udawało. Ze względu na to, że z innych przedmiotów otrzymywał dobre noty, wychowawca klasy orzekł, iż chłopiec wykazuje specjalnie złą wolę w nauce historii. Po każdej wywiadówce bojaźliwa ciotka zasypywała Tomka wyrzutami.

Ostatnie półrocze było dla niego szczególnie niepomysłne. Otrzymał naganę. Ciotka nie szczędziła mu tym razem ostrych wymówek, a nawet w uniesieniu zawołała:

*„Skończysz tak jak twój ojciec!”*

Urażony tym Tomek zapytał:

*„Ciociu, czy naprawdę uważasz, że mój ojciec zrobił coś złego?”*

*„Wpędził do grobu swoją matkę a moją siostrę!”* zawołała w gniewie.

Wówczas to przeżył Tomek, na równi z ciotką Janiną, wielką niespodziankę. Ślęczący zazwyczaj w milczeniu nad książkami buchalteryjnymi wuj Antoni z trzaskiem rzucił pióro na stół i chyba po raz pierwszy w swym życiu odezwał się do żony podniesionym głosem:

*„Przestaniesz wreszcie dręczyć tego dzielnego chłopca? Dlaczego uparłaś się zabić to, co jest w nim najlepsze?”*

Ciotka oniemiała, a ze wszystkich obecnych przy tym wydarzeniu Tomek zdumiał się najwięcej. Całe zajście zostało jednak szybko zażegnane, gdyż wuj nerwowym ruchem poprawił na nosie okulary i znów pochylił się nad rozłożoną na stole książką. Od tej pory ciotka zmieniła całkowicie swe postępowanie w stosunku do Tomka. Przestała napędzać go do nauki historii,

---

<sup>2</sup> — W owym czasie ziemie polskie znajdowały się pod zaborem Prus, Rosji i Austrii.



lecz tym bardziej ograniczała jego przebywanie poza domem. Dlatego też spacery po mieście i nauka konnej jazdy w ujeżdżalni stanowiły dla niego szczególną pokusę.

Stał teraz na placu Trzech Krzyży i rozmyślał. Jeżeli zaraz wróci do domu, będzie musiał natychmiast zasiąść do odrabiania lekcji. Później czeka go repetycja z młodszymi braćmi ciotecznymi. Same nudy! Jakże przyjemnie byłoby pójść do Ogrodu Botanicznego! Co tu robić? W czasie tych zawitych zmagania z sobą przysłała mu do głowy wspaniała myśl.

„*Niech los rozstrzygnie, co ma być*” zdecydował.

Ruszył w kierunku najbliższej latarni ulicznej, szepcząc przy każdym kroku:

„*Spacer, dom, spacer, dom, spacer, dom*”, aż ku wielkiej swej radości zatrzymał się obok latarni na słowie „*spacer*”.

Odetchnął z ulgą, wdzięczny losowi za tak korzystne rozwiązanie zawilego problemu. Rażnym krokiem ruszył w Aleje Ujazdowskie.

Wkrótce znalazł się w Ogrodzie Botanicznym i niebawem zapomniał o kłopotach oczekujących go po powrocie do domu. Usiadł w cichym zakątku. Odurzający zapach kwiatów i miły świergot ptactwa nastrajały do przyjemnych rozmyślań. W takich chwilach ogarniała go zazwyczaj ogromna tęsknota za nieznanym niemal zupełnie ojcem. Przymykał oczy... W wyobraźni jego rysował się mocno zamglony obraz wysokiego mężczyzny, którego twarzy nie mógł sobie przypomnieć. Nie wiedział nawet, gdzie on teraz przebywa i co porabia? Sprawy te ciotka Janina utrzymywała w ścisłej tajemnicy. Listy od ojca przychodziły bardzo rzadko, lecz za to co pół roku listonosz przynosił ciotce wezwanie na główną pocztę. Po każdym takim wezwaniu zaopatrywała dzieci w nową garderobę. Był to widomy znak, że ojciec Tomka nadesłał pieniądze.

Karscy traktowali Tomka na równi z własnymi dziećmi. Jedynym wyróżnieniem były lekcje języka angielskiego, na które Tomek uczęszczał prywatnie do rodowitej Angielki osiadłej w Warszawie. W stosunku do możliwości zarobkowych wujka Antoniego opłata za naukę obcego języka stanowiła pokaźny wydatek. Dlatego Tomek był przekonany, że korzystał z tego przywileju na wyraźne życzenie swego ojca. Pragnął więc sprawić mu przyjemność i uczył się bardzo pilnie. Z uporem wkuwając słówka, myślał — „*niech wie, że go kocham*”.

Teraz siedząc w parku na ławce, układał w myśli swoją pierwszą rozmowę z ojcem, gdy go kiedyś zobaczy. Oczywiście rozmowa potoczy się po angielsku, ponieważ ojciec na pewno będzie ciekaw wyników tak kosztownej nauki. Zadawał więc sobie pytania, odpowiadał na nie wyszukując trudniejsze wyrazy w słowniczku i nawet nie spostrzegł, jak minęły trzy godziny. Do ogrodu przybywało coraz więcej ludzi. W końcu nawet zamyślony Tomek zwrócił na nich uwagę.

*„Pewno już bardzo późno — pomyślał. — Ciotka Janina będzie się znów gniewała...”*

Zaraz też zaczął zastanawiać się, czy otrzyma karę. Nieoczekiwanie wzrok jego zatrzymał się na zielonych krzewach.

*„Ha, skoro los doradził mi udanie się na spacer, niech więc wyjaśni teraz niepewność”* — zdecydował i natychmiast zerwał małą gałązkę. Obrywając listek po listku, powtarzał:

*„Będzie kara, nie będzie, będzie, nie będzie...”*

Zrobiło mu się weselej na duszy, gdy rzucał na ziemię ostatni listek. Mówił on, że *„kary nie będzie”*. Z kolei zaczął rozważać, dlaczego miałyby go minąć? Przecież ciotka zwracała wielką uwagę na punktualne przychodzenie ze szkoły.

*„Może ciocię rozboleła głowa? — monologował. — Jeśli położyła się do łóżka i usnęła, to mogę nie otrzymać kary. A może wyszła po zakupy i nie zapyta, czy wróciłem punktualnie?”*

Postanowił przekonać się jak najprędzej o prawdziwości wróżby; pospieszył w kierunku domu. Z Alei Ujazdowskich na ulicę Mokotowską nie było zbyt daleko, wkrótce więc zatrzymał się niezdecydowanie przed bramą. Co będzie, jeśli wróżba zawiedzie? Mimo wszystko nie lubił, gdy ciotka denerwowała się na niego. Nie mógł już dłużej znieść niepewności. Przebiegł przez bramę i przystanął na skraju podwórka. Spojrzał w kierunku mrocznych zazwyczaj okien drugiego piętra; ogarnął go niepokój. W saloniku paliło się jasne światło. Był to widomy znak, że w mieszkaniu wujostwa działo się coś niecodziennego. Jakże więc mogła minąć go kara?

*„Niedobrze, oj, naprawdę niedobrze — zmartwił się. — Więc jednak wróżba zawiodła. No tak, przecież dzisiaj jest sobota, a ciocia zawsze twierdzi, że najodpowiedniejszymi dniami do spełniania się wszelkich wróżb są poniedziałki, środy i piątki. Że też nie pomyślałem o tym wcześniej!”*

Zrezygnowany i przygotowany na najgorsze wszedł na drugie piętro. Nacisnął dzwonek. Drzwi otworzyła jego cioteczna siostra Irena.

— Gdzie byłeś tak długo? — zagadnęła podnieconym głosem.

Tomek machnął ręką i mruknął:

— Los wystrychnął mnie na dudka. Zapomniałem, że dzisiaj jest sobota...

— Co ty bredzisz? — niecierpliwiła się Irena.

— Czy ciocia bardzo się gniewa? — zapytał Tomek, nie zwracając uwagi na jej słowa.

— Nie wiadomo, gdyż już od trzech godzin razem z ojcem siedzą zamknięci w saloniku z jakimś bardzo tajemniczym gościem.

Tomek odetchnął pełną piersią. Natychmiast odzyskał humor. Więc jednak wróżenie na listkach okazało się najprawdziwsze ze wszystkich znanych mu sposobów.

— A gdzie są Witek i Zbyszek? — zwrócił się do dziewczynki zaintrygowany jej podnieceniem.

— Podglądają przez dziurkę od klucza — pospiesznie wyjaśniła Irena.

— Oberwą za to burę, jeśli ciocia zauważy. Tak jakby nigdy nie widzieli gości! I ty też na pewno podglądałaś?

— Ho, ho! Pan Tomasz coś bardzo dzisiaj ważny! — odparła z przekąsem. — Wobec tego nic więcej nie dowiesz się ode mnie!

— I tak nie wytrzymasz, więc lepiej od razu powiedz wszystko, co wiesz!

— Zaraz poprosisz o zapisanie cię w kolejkę do dziurki od klucza, gdy usłyszysz, że to nie jest taki sobie zwykły gość. Kiedy wszedł do przedpokoju, to po prostu zapachniało prawdziwą dżunglą.

— Może się poperfumował? — zażartował chłopiec.

— Głuptas jesteś! — oburzyła się. — Wcale nie chodzi tu o zapach. Wygląda tak, jakby przed chwilą wrócił z samego serca Afryki.

— No i co było dalej? — pytał Tomek.

— Powiedział coś mamusi, ona omal nie zemdląła i zawołała: „*Antosiu, Antosiu! Chodź prędzej, mamy niezwykłego gościa!*” Potem w trójkę zamknęli się w saloniku i rozmawiają do tej pory.

Twarz Tomka pokryła się bladością. Tornister wysunął mu się z ręki na podłogę. Nieoczekiwana myśl wprawiła go w wielkie wzruszenie.

— Irka, czy na pewno nie wiesz, kto to jest? — zawołał przejęty.

— Przecież powiedziałam, że nie wiem. No, ale pan Tomasz też się już zainteresował naszym gościem!

Tomek stłumił wzruszenie. Pomyślał, że gdyby to był jego ojciec, wuj i ciotka nie zachowaliby tego w tajemnicy przed własnymi dziećmi. Popatrzył więc na Irkę i z udaną obojętnością powiedział:

— Ciekawość ciekawością, a podsłuchiwanie i podglądanie przez dziurkę od klucza nie zasługuje na pochwałę. Skoro jednak to robicie, lepiej będzie, jeśli razem oberwiemy burę.

— Obłudnik! Ale nie traćmy cennego czasu — roześmiała się Irena. — Zanieś tornister do pokoju i chodźmy na punkt obserwacyjny.

Na palcach weszli do jadalni. Zbyszek pochylony wpatrywał się w dziurkę od klucza. Witek, stojąc, przy nim, dawał ręką znaki, by zbliżyli się do nich.

— Co tam się dzieje? — cicho zapytała Irena.

— Mama płacze, a ojciec chodzi po pokoju, wymachuje rękami i mówi. Gość zasłuchany siedzi w dalszym ciągu w fotelu! O, teraz odezwał się — informował Zbyszek.

Tomek stuknął go w ramię i dał na migi do zrozumienia, że chce spojrzeć przez dziurkę od klucza. Zbyszek tylko machnął ręką, by mu nie przeszkadzano. Tomek zniecierpliwiony ujął go za ucho i odciągnął od drzwi. Pochylił się, przymknął lewe oko, aby lepiej widzieć. W fotelu siedział wysoki mężczyzna. W spalonej słońcem twarzy błyszcząły jasne, duże oczy. Tłumaczył coś zapłakanej ciotce. Tomek zapragnął za wszelką cenę usłyszeć, co on mówi. Przycisnął więc ucho do dziurki od klucza.

„Czy nie lepiej byłoby dać chłopcu możliwość powzięcia decyzji?” pytał nieznajomy.

W tej chwili Tomek syknął z bólu i uderzył głową o klamkę. Przestraszony odskoczył od drzwi, a Zbyszek, trzymając jeszcze w ręku szpilkę, którą go ukłuł, pochylił się natychmiast do dziurki. Zanim Tomek zdążył się zemścić, Zbyszek uderzony drzwiami w głowę usiadł na podłodze. W progu stanął wuj Antoni.

— Co się tutaj dzieje? — powiedział. — Irenko, zajmij się chłopcami, a ty, Tomku, skoro już wróciłeś do domu, chodź do nas do saloniku.

Tomek wszedł niepewnym krokiem do pokoju. Coś nie bardzo wyglądało na to, aby miała go minąć kara. Na wszelki przypadek zatrzymał się w pobliżu drzwi. Mimo obawy ciekawie spojrzął na tajemniczego gościa mówiąc:

— Dobry wieczór!

— To jest właśnie nasz wychowanek, Tomasz Wilmowski — rzekł wuj Antoni, a zwracając się do chłopca dodał: — Tomku, pan Jan Smuga, przyjaciel twego ojca, przyjechał do ciebie w jego imieniu!

— Przyjaciel mego ojca! — zawołał Tomek i nagle odwrócił głowę, powstrzymując łzy cisnące się mu do oczu.

Smuga zbliżył się do niego. Nie mówiąc ani słowa przygarnął go do siebie. Przez dłuższą chwilę cisza panowała w saloniku. Potem gość wziął Tomka za rękę i posadził przy sobie w fotelu. Dopiero teraz odezwał się:

— Sprawileś mi, Tomku, miłą niespodziankę. Ojciec opowiadał o tobie, jako o małym jeszcze chłopcu. Tymczasem jesteś już niemal okazałym kawalerem, i to nawet dzielny, według zapewnień wujostwa. Twój ojciec na pewno się z tego ucieszy. Czy domyślasz się, dlaczego przysłał mnie w swoim zastępstwie?

Tomek rozpromienił się słysząc pochwałę. Mężnie zapanował nad swym wzruszeniem i odpowiedział:

— Domyślam się, proszę pana. Ojciec musiał uciekać z kraju, aby uniknąć aresztowania za udział w spisku przeciwko carowi. Zapewne teraz również nie byłby tutaj bezpieczny.

— To prawda, Tomku. Gdyby powrócił do Polski, zostałby aresztowany. Dlatego nie może przyjechać do ciebie.

— Wiem, proszę pana.

— Czy chciałbyś zobaczyć się z ojcem?

W pierwszej chwili Tomek aż zaniemówił ze wzruszenia na samą myśl o ujrzaniu wytęsknionego ojca. Potem zawołał jednym tchem:

— Och, tak bardzo bym chciał! Wymyśliłem nawet na to sposób, tylko...

— Co „*tylko*”? — podchwycił Smuga, pilnie go obserwując.

— Tylko żal mi było cioci i wujka — dokończył Tomek.

— Nie rozumiem, co masz na myśli, może. wytłumaczyłbyś mi to jaśniej?

Tomek niepewnie spojrzął na ciotkę, która, widząc jego niezdecydowanie, uśmiechnęła się do niego i zachęciła:

— Pan Smuga jest przyjacielem twego ojca, Tomku. Poza tym przyjechał do ciebie w jego imieniu. Trzeba odpowiedzieć szczerze, jeśli pyta.

— Może to niezbyt mądre, ale chciałem zrobić coś takiego, żebym musiał również uciekać za granicę — szybko odparł Tomek, widząc, że ciotka wcale nie gniewa się na niego.

— No, no, to zaczyna być bardzo ciekawe. Co miałeś zamiar zrobić? — indagował dalej zaintrygowany Smuga.

— Postanowiłem napisać w szkole na tablicy „*precz z tyranem carem*”. Myślałem, że wtedy na pewno będą chcieli mnie aresztować i już miałbym powód do ucieczki.

— I ty byłeś gotów to zrobić, Tomku? — zawołała ciotka z przerażeniem.

Tomek zmieszany, z trudem zdobył się na odwagę — zarumieniony wyjaśnił:

— Nawet zrobiłem, ciociu. Akurat tego dnia lizusa Pawluka nie było w szkole. Na nieszczęście, gdy wychowawca wszedł do klasy, przestraszyłem się i szybko starłem tablicę. Przypomniałem sobie, że mógłbym ciebie wpędzić do grobu, tak jak tatuś mamę...

Ciotka oniemiała, a tymczasem Smuga zapytał poważnie:

— Kto ci powiedział, że twój ojciec wpędził matkę do grobu?

— Ciotka Janina — mruknął Tomek, czując, że palnął głupstwo. Smuga spojrzał na Karską. Zaczęła płakać. Dopiero po dłuższej chwili powiedziała usprawiedliwiająco:

— Przecież mówiłam panu, jak bardzo boję się o chłopca. On jest stanowczo nad wiek rozwinięty umysłowo i naprawdę za wiele myśli... o tym. Sam pan teraz miał dowód!

— Droga pani, Andrzej ma wiele wdzięczności dla państwa za opiekę nad Tomkiem — odparł Smuga. — Należy pamiętać, że żona Andrzeja gorąco była zainteresowana polityczną działalnością męża. Pod groźbą aresztowania słusznie poparła projekt ucieczki z kraju. Przecież w najszcześniejszym przypadku groziło mu zesłanie na Sybir... Przed przybyciem do państwa widziałem się z dawnym przyjacielem Andrzeja. Potwierdził nasze przekonanie, że przyjazd jego do Polski jest w dalszym ciągu niemożliwy. To znów, co Tomek mówił nam o swoich planach, wydaje mi się

najsłuszniejszym powodem, który powinien panią przekonać, że lepiej i nawet... bezpieczniej będzie przyjąć propozycję ojca.

Ciotka Janina zasłoniła twarz rękoma. Milczący dotąd wuj Antoni podniósł się z krzesła i podszedł do chłopca.

— Tomku, chcemy cię o coś zapytać, lecz zastanów się dobrze, zanim odpowiesz. Jak słyszałeś, ojciec twój nie może powrócić do kraju, gdyż naraziłby się na przykrości. Tęskni jednak za tobą i chciałby cię mieć przy sobie. My znów nie mniej cię kochamy; wychowaliśmy cię na równi z własnymi dziećmi... Trudno nam dzisiaj pogodzić się z myślą, że masz odjechać od nas w świat. Chcemy wszakże jedynie twego dobra. Dlatego muszę dodać, że nawet gdybyś zdecydował się pojechać do ojca, to zawsze możesz powrócić do nas jak do własnego domu. Jesteś już dość mądrym chłopcem. Postanowiliśmy więc dać ci możliwość wyboru. Powiedz: wolisz pozostać z nami, czy też chciałbyś pojechać do ojca?

Myśl, że wkrótce może ujrzeć ojca, za którym tęsknił przez tyle długich lat, podnieciła Tomka i nappełniła wielką radością. Mimo to przywykł uważać wujostwo za swych rodziców. Oni go również kochali. Przecież ciotka bez przerwy wyciera oczy chusteczką, a milczący zazwyczaj wujek wygłasza do niego niemal przemowę i to bardzo wzruszonym głosem.

Tomkowi trudno było powziąć decyzję. Co tu powiedzieć? W końcu zapytał Smugę:

— Czy pan jest pewny, że tatuś pozwoli mi przyjechać do wujostwa, gdy zechcę ich odwiedzić?

— Jestem tego zupełnie pewny — odparł Smuga z powagą.

— Jeśli ojciec za mną tęskni, to bardzo chciałbym pojechać do niego. Do wujostwa będę stale przyjeżdżał — zdecydował Tomek.

Ciotka Janina ponownie się rozplakała, potem uściskała go i wycierając oczy chusteczką wyszła z pokoju, aby wydać dyspozycje do przygotowania kolacji. Irka, Zbyszek i Witek powiadomieni o wyjeździe Tomka do ojca wbiegli do saloniku. Po przywitaniu gościa najstarsza z rodzeństwa i najsprytniejsza Irka zwróciła się do Smugi:

— Proszę pana, gdzie przebywa teraz Tomka ojciec? Przecież nie wiemy nawet, dokąd braciszek wyjedzie.

— Na życzenie pani Karskiej nie poinformowałem o tym Tomka w czasie naszej rozmowy. Woleliśmy, aby nie miało to wpływu na jego decyzję. Obecnie nie ma już potrzeby zachowywania tajemnicy.

— Naprawdę, zapomniałem zapytać o to — zawołał Tomek. — Tyle niezwykłych i ważnych nowin naraz... Gdzie jest tatuś, proszę pana?

— Oczekuje na nas w Trieście, nad Morzem Adriatyckim — wyjaśnił Smuga.

— Triest znajduje się w Austro–Węgrach<sup>3</sup> — orzekła Irenka zadowolona, że może pochwalić się swymi geograficznymi wiadomościami.

— To my tam będziemy mieszkali? — zdziwił się Tomek.

— Nie, nie będziemy mieszkali w Trieście — zaprzeczył Smuga. — Muszę najpierw opowiedzieć ci coś niecoś o przeżyciach twego ojca, żebyś wszystko należycie zrozumiał. Po ucieczce za granicę tęsknił bardzo za twoją matką i tobą. Miał zamiar zabrać was do siebie, lecz nim zdążył zgromadzić odpowiednie fundusze, matka twoja nieoczekiwanie umarła. Od tej pory jedynie włóczęga po świecie ułatwiała mu zapomnienie o nieszczęściu. Przypadek zrządził, że w owym czasie poznał jednego z pracowników Hagenbecka. Musisz wiedzieć, że Hagenbeck posiada wielkie przedsiębiorstwo zajmujące się sprowadzaniem zwierząt ze wszystkich części świata do cyrków i ogrodów zoologicznych. Ponieważ pracownik poznany przez ojca wybierał się na dłuższą wyprawę po zwierzęta do Ameryki Południowej, twój ojciec, jako geograf, postanowił również wziąć udział w tej wyprawie. Od tego czasu minęło już sześć lat. Ojciec twój stał się znanym łowcą dzikich zwierząt i zaprzyjaźnił się z tym pracownikiem Hagenbecka. Obecnie na statku specjalnie przystosowanym do przewozu zwierząt mają wyruszyć na wielkie łowy do Australii. Hagenbeck zakłada olbrzymi ogród zoologiczny w Stellingen pod Hamburgiem, gdzie najrozmaitsze zwierzęta będą żyły w warunkach najbardziej zbliżonych do naturalnych. Do tego właśnie ogrodu ojciec twój razem z przyjacielem zobowiązali się dostarczyć niektóre zwierzęta z Australii.

— To i ja pojedę do Australii?! — zawołał Tomek niedowierzająco.

— Tak. Pojedziesz z ojcem do Australii łowić dzikie kangury.

---

<sup>3</sup> — Monarchia Austro–Węgierska powstała na mocy porozumienia w 1867 roku. W skład jej weszły Austria i Węgry złączone wspólną osobą panującego. Triest należał do Austrii od 1813 do 1918 roku.



Tomek z wielkiego wrażenia zaniemówił na chwilę. Usłyszane wiadomości przechodziły najśmielsze jego marzenia.

Witek i Zbyszek słuchali tych nowin, chłonąc każde słowo gościa z otwartymi ze zdziwienia ustami. Jedyne Irka wpadła na myśl zadania Smudze pytania:

— Proszę pana, a kto jest tym przyjacielem ojca Tomka?

— Nie domyślasz się? — odparł pytaniem Smuga.

— To pan jest nim właśnie! — triumfująco orzekła Irenka. — Kiedy pan tylko wszedł do przedpokoju, od razu wydało mi się, że zapachniało u nas dżunglą. Tak sobie zawsze wyobrażałam wielkich podróżników.



## SPOTKANIE Z OJCEM

Przez następnych kilka dni Tomek pozostawał pod wrażeniem, że za chwilę przebudzi się z niezwykłego snu i powróci do codziennego, szarego życia. Jakże trudno było mu uwierzyć w prawdziwość ostatnich wydarzeń! Mimo obaw Smuga „*nie zniknął*”. Z każdą natomiast chwilą coraz bardziej odczuwało się jego niezawodną opiekę.

Okazało się, że był nadzwyczaj przedsiębiorczym człowiekiem. Dzięki jego energii, już po trzech dniach starań Tomek miał dokumenty konieczne do wyjazdu za granicę. Wymagało to wielu zabiegów oraz znacznych kosztów, lecz pełnomocnik ojca nie liczył się z tym zupełnie. Na perswazje wujostwa Karskich odpowiadał z uśmiechem, że utrzymanie w Trieście całej załogi statku oczekującej tylko na nich, więcej pochłania pieniędzy niż dodatkowe opłaty za przyspieszenie załatwienia formalności. Wpływy podróżnika musiały być niemałe, skoro zdołał porozumieć się nawet z dyrektorem gimnazjum, Mielnikowem. Tomek jeszcze przed zakończeniem roku szkolnego otrzymał świadectwo z promocją do następnej klasy.

Wuj Antoni i ciotka Janina, mimo niezwykłych na przyszłość perspektyw Tomka, nie taili troski o dalsze losy chłopca, którego zwykli już uważać za swego syna. Szczególnie ciotka załamywała ręce i popłakiwała, gdy Smuga, na prośby Tomka oraz ciotecznego rodzeństwa, opowiadał o warunkach istniejących w dalekiej, tak mało jeszcze znanej Australii.

Dla mieszcuchów wychowywanych w Warszawie relacje podróżnika o piątym kontynencie brzmiały naprawdę zastraszająco.

Czym bowiem były spokojne ulice tak dobrze znanego miasta wobec spalonych przez żar słoneczny bezmiernych stepów i pustyń australijskich? Zbite chaszczki ciernistych krzewów, gąszcze dziewiczych lasów, wyschnięte koryta rzek, wypełniające się błyskawicznie szalejącym żywiołem, burze piaskowe i gwałtownie następujące zmiany temperatury, a ponadto dzikie psy dingo, kangury, strusie emu oraz tyle, tyle innych nie znanych w Europie dziwów miało zagrażać Tomkowi podczas niebezpiecznej wyprawy.

Tomek wprost „*pęczniał*” z dumy, widząc obawy ciotki i uwielbienie dla Smugi, malujące się w oczach zasłuchanego w jego opowiadania rodzeństwa.

Jednak w miarę jak wielkimi krokami zbliżał się termin wyjazdu, z coraz większym żalem, a czasem nawet i obawą myślał o chwili rozstania.

Ostateczne pożegnanie z dotychczasowymi opiekunami nastąpiło na dworcu warszawskim. Z wielkim wzruszeniem uściskał Tomek nadzwyczaj poważnego w tym dniu wujka Antoniego; rozplakał się, widząc łzy w oczach ciotki Janiny. Długo żegnał się z ciotecznym rodzeństwem i Jurkiem Tymowskim, który razem z ojcem odprowadził go na dworzec. Gdy zajął już miejsce w wagonie, poczuł się opuszczony i samotny. W pierwszych godzinach po wyruszeniu pociągu z Warszawy z trudem mógł zrozumieć, co troskliwy Smuga do niego mówił. Siedział roztargniony i nawet nie spoglądał na współtowarzyszy podróży. Ożywił się dopiero na punkcie granicznym, gdy Smuga szepnął mu do ucha, że nieprędko już ujrzy znienawidzone mundury rosyjskich urzędników. Po dwóch godzinach przybyli do Krakowa. Smuga postanowił zatrzymać się tu na krótki odpoczynek. Tutaj też Tomek otrząsnął się z przygnębienia. Ze wzruszeniem zwiedzał Zamek Wawelski, dawną siedzibę polskich królów, wyniosły kopiec usypany przez rodaków dla uczczenia pamięci Kościuszki, bohatera narodowego, oraz inne zabytki miasta, stanowiącego kolebkę polskiej kultury.

Po dwudniowym wypoczynku wyruszyli pociągiem dalej, do Wiednia. Duże, obce miasto, wprost kipiące swobodnym życiem, wprowadziło Tomka w radosny nastrój, odzyskał humor i pełną fantazję.

Smuga ucieszony dobrym samopoczuciem młodego towarzysza podróży postanowił przenocować w Wiedniu. Dopiero więc następnego ranka znaleźli się w pociągu dążącym do Triestu.

Tomek początkowo ciekawie spoglądał przez okno wagonu, podziwiając jedną z najpiękniejszych dróg w Europie. Pociąg wił się po serpentynach wśród gór, wspinał się na zbocza, znikał w tunelach, zawisał na wiaduktach nad przepaściami, a Tomek wciąż obserwował malownicze widoki.

Po kilku godzinach jazdy Tomek, nasyciwszy się wspaniałymi krajobrazami, zasypał Smugę niezliczonymi pytaniami. W czasie długiej rozmowy zdobył niezwykle cenne informacje.

Przede wszystkim upewnił się, że ojciec będzie oczekiwał na nich w Trieście, bo Smuga powiadomił go telegraficznie o porze przyjazdu. Następnie dowiedział się, że statek, którym mieli płynąć do Australii, był starym węglowcem o wyporności dwóch tysięcy ton, wycofanym już z

regularnej żeglugi. Przedsiębiorstwo Hagenbecka zakupiło go bardzo tanio na licytacji i przekazało stocznii w Trieście do przebudowy. Wnętrze parowca zostało przystosowane do przewozu zwierząt. Teraz właśnie dawny węglowiec miał wyruszyć w swą pierwszą podróż jako „*pływający zwierzyniec*”.

Tomek zdążył również pogłębić nieco swe wiadomości o faunie australijskiej. Dowiedział się, że ssaki–torbacze<sup>4</sup>, zwane również workowcami, to nie tylko długonogie, skaczące kangury. Grupa ta bowiem obejmuje liczne gatunki, wielce zróżnicowane pod względem wyglądu zewnętrznego i sposobu życia. Pośród torbaczy wyróżniają się gatunki żywiące się mięsem kręgowców, gatunki owadożerne i roślinożerne. Jedne z nich posuwają się skacząc jak kangury, inne biegają, wspinają się, jeszcze inne żyją w norach ziemnych, jak nasze krety. Jedną z charakterystycznych cech torbaczy jest występująca u samic torba, w której ukryte są sutki mleczne. Wszystkie torbacze należą do zwierząt żyworodnych i małe swe karmią mlekiem, wydzielanym przez otwory sutek. Są więc ssakami w ścisłym tego słowa znaczeniu. Torbacze<sup>5</sup> wyginęły już dawno niemal na wszystkich kontynentach, lecz w Australii znajdujemy je jeszcze w około stu sześćdziesięciu gatunkach.

Nie mniej zaciekały Tomka, tak swoiste dla Australii, stekowce, podobne pod względem budowy przewodu pokarmowego oraz narządów moczopłciowych do ptaków, gadów i płazów. W pierwszej podgromadzie ssaków stekowce tworzą jeden rząd zwierząt podzielony na dwie rodziny: kolczatek i dziobaków.

Tomek niezmordowanie wypytywał Smugę o dzikie, drapieżne psy dingo, o ryby oddychające płucami i skrzelami, o ptaki lirogony i wiele, wiele innych ciekawiających go kwestii.

Już nawet ogólnikowe informacje podróżnika wprawiły Tomka w duże podniecenie. Zaczął więc z kolei zasypywać Smugę pytaniami o australijskich

---

<sup>4</sup> — Ssaki (Mammalia); ich podgromadę I stanowią stekowce (Monotremata), zaś podgromadę II torbacze (Marsupalia).

<sup>5</sup> — Torbacze, poza Australią i sąsiednimi wyspami, żyją jeszcze obecnie w Ameryce Północnej i Południowej. Tam reprezentuje je zresztą jedna tylko rodzina, przy czym większość gatunków tej rodziny żyje w Ameryce Południowej. Są to dydetfy (Didelphyidae). Zwierzęta nocne, prowadzące samotny, skryty tryb życia. Najlepiej znanym przedstawicielem tej rodziny jest północnoamerykański opossum (*Didelphys irginiana*).

krajowców, o klimat i inne ciekawostki kontynentu. Pod lawiną pytań Smuga poczuł lekkie łaskotanie w gardle, a potem ogarnęła go nieprzezwyciężona senność. Zasnął wkrótce, niemal w połowie słowa. Siedział teraz naprzeciw Tomka i, mimo niewygodnej pozycji, spał już co najmniej od godziny. Początkowo Tomek spoglądał na niego ze zgorszeniem. Wprost nie rozumiał, w jaki sposób można nieoczekiwanie zasnąć podczas tak zajmującej rozmowy. Później zaczął bawić się doskonale, obserwując śmieszne ruchy, jakie wykonywała głowa i część tułowia śpiącego.

*„Jeśli ojciec śpi tak samo twardo jak pan Smuga, to niedługo pożyjemy w Australii — osądził w końcu Tomek — bo na przykład zaśniemy gdzieś na stepie, a zbudzimy się w żołądkach dzikich dingo. Będę musiał czuwać nad nimi.”*

Tomek urozmaicał sobie czas podobnymi rozmyślaniami, nie przypuszczając, że to właśnie wartki potok jego pytań spowodował senność opiekuna. Tak było w rzeczywistości. Łowcę, który bez wysiłku potrafił przez całe tygodnie tropić dzikie zwierzęta, zmógł nawet pytań czternastoletniego, ciekawego chłopca i w końcu zasnął ze zmęczenia.

Mijała godzina za godziną. Smuga spał bez przerwy. Tymczasem pociąg zbliżał się do Triestu. Pasażerowie zaczęli już przygotowywać się do wysiadania. Tomka ogarnął wielki niepokój. Widok twardo śpiącego Smugi nasunął mu straszliwe podejrzenie.

Od najmłodszych lat interesował się przeżyciami sławnych podróżników. Wiele też wiedział już o niebezpieczeństwach czyhających na obcych lądach. Smuga dużo podróżował i wspominał mu, iż przebywał przez dłuższy czas w Afryce. Kto wie, czy przypadkiem nie ukąsiła go jakaś złośliwa mucha tse-tse<sup>6</sup>? Może też zachorował na śpiączkę? Zaczął więc wiercić się i głośno chrząkać, lecz nie odnosiło to jakiegokolwiek skutku. Smuga spał w najlepsze. Teraz Tomek uzmysłowił sobie grozę własnego położenia. Jeżeli to śpiączka, to nie rozpozna ojca na dworcu. Nie zna go nawet z fotografii. Po chwili wszakże twarz mu się rozpogodziła.

*„Zawołam dwóch numerowych i każę obnosić śpiącego pana Smugę po peronie — postanowił. — Wtedy ojciec pozna nas na pewno!”*

---

<sup>6</sup> — Ukąszenie muchy tse-tse zakażonej zarazkiem śpiączki powoduje u ludzi chorobę, przeważnie kończącą się śmiercią.

Tak uspokojony oczekiwał na dalsze wydarzenia. Na szczęście wszelkie obawy okazały się zbyteczne. Za ledwie pociąg zaczął zwalniać bieg, Smuga otworzył oczy i natychmiast spojrzął na zegarek.

— Zaraz wysiadamy — powiedział. — Zdrzemnąłem się trochę. Nie nudziłeś się, Tomku?

Tomek spoglądał poważnie na Smugę i dopiero po dłuższej chwili zapytał:

— Czy pan jest pewny, że w czasie pobytu w Afryce nie ukąsiła pana mucha tse–tse?

Smuga potraktował zapytanie jako dalszą część przerwanej snem rozmowy i odparł:

— Mnie nie ukąsiła tse–tse, ale widziałem Murzynów chorujących na śpiączkę.

— A czy śpiączka jest zaraźliwa? — indagował Tomek.

— Nie, przecież powoduje ją jedynie ukąszenie tse–tse.

— Czy jest pan tego zupełnie pewny?

— Dlaczego o to pytasz? — zdziwił się Smuga.

— A może jednak poszedłby pan w Trieście do lekarza?

Teraz dopiero podróżnik domyślił się, co chłopca niepokoiło. Wybuchnął śmiechem.

— Nie obawiaj się — zawołał rozweselony — jestem zdrowy, a w stepie budzi mnie nawet szelest trawy.

Tomek miał zamiar wspomnieć o możliwości ocknięcia się ze snu w żołądku dzikiego dingo, ale w tej chwili przez okna pociągu zobaczyli budynki dworca w Trieście.

Pociąg wjechał na peron. Smuga zaraz otworzył okno; wychylony rozglądał się za ojcem Tomka. Wkrótce też machnął ręką na powitanie, a w kilka minut później Tomek znalazł się w mocnych objęciach wysokiego, barczystego mężczyzny.

— Nareszcie jesteśmy razem, mój kochany synu — usłyszał głos i natychmiast zapomniał o przygotowywanej przez wiele miesięcy powitalnej mowie, którą zamierzał wygłosić w chwili spotkania. Zdołał tylko zawołać, tak jak to czynił przed laty:

— Mój, mój kochany tatuś! — i rozplakał się jak małe dziecko.

Ojciec także wycierał załzawione oczy. Syn przypomniał mu przedwcześnie zmarłą żonę, którą musiał zostawić w kraju, oraz najcięższe w jego życiu chwile rozstania z nią. Tuląc chłopca w ramionach, ten silny, zahartowany przeciwnościami losu mężczyzna z trudem opanowywał wzruszenie. Dopiero po dłuższym milczeniu przemówił:

— Głowa do góry, Tomku! Teraz, gdy jesteśmy razem, mamy już najgorsze za sobą.

Smuga, cały czas obecny przy powitaniu, pełen subtelnej delikatności, nie odezwał się dotąd ni słowem. Znając już trochę upodobania Tomka, pragnął obecnie zwrócić uwagę chłopca na coś innego.

— Czy nasz statek jest już gotowy do wyruszenia w morze? — zapytał.

— Całkowicie. Jutro podnosimy kotwicę — potwierdził Wilmowski.

— Czy zaraz pojedziemy na statek? — natychmiast zainteresował się Tomek, ścierając z policzków ślady łez.

— Dzisiaj przenocujemy w hotelu — poinformował Wilmowski. — Na „*Aligatora*” przeniesiemy się jutro rano. No, a teraz zapraszam was na powitalny obiad, przygotowany dla nas na tarasie hotelu.

W tej chwili w porcie znajdującym się w pobliżu dworca rozległ się basowy ryk syreny okrętowej. Oczy Tomka zaiskrzyły się radością. Chwycił ojca mocno za rękę. Wyszli z dworca na ulicę. Do hotelu pojechali konną dorożką.

Zaledwie Smuga i Tomek zdążyli odświeżyć się po podróży, Wilmowski poprowadził ich na zastawiony stolikami taras. Roztaczał się stąd piękny widok na lazururowe wody Morza Adriatyckiego.

Tomek z zaciekawieniem spoglądał na widoczne w dali maszty statków. Ucieszył się bardzo, gdy zajęli stolik na końcu tarasu, skąd doskonale widać było część portu.

Oczekując na podanie obiadu w cieniu olbrzymiego, barwnego parasola rozpiętego nad stolikiem, ojciec zaczął wypytywać syna o wszystko, co działo się w domu po jego ucieczce.

Tomek opowiadał, że matka często była smutna i płakała. Udzielała lekcji, by zarobić na utrzymanie. Potem przyszła nieoczekiwana choroba i śmierć. Opowiedział również, jak to matka wtajemniczyła go w przyczynę ucieczki ojca z kraju, a także pochwalił się znajomością prawdziwej historii Polski.



Gdy Smuga powtórzył, co Tomek chciał zrobić w szkole, aby mieć powód do ucieczki za granicę, Wilmowski uściskał syna i poweselał.

W czasie obiadu przyjaciele wymieniali uwagi o przygotowaniach do dalekiej wyprawy.

— „*Aligator*” jest obecnie doskonale przystosowany do dalekomorskiego przewozu zwierząt — mówił Wilmowski. — Cała załoga znajduje się na statku; w każdej chwili możemy wyruszyć w morze.

— A kto jest kapitanem „*Aligatora*”? — zagadnął Smuga.

— Irlandczyk, kapitan Mac Dougal. Pływał on już chyba po wszystkich morzach naszego globu. Prócz marynarzy zabieramy również pięciu ludzi danych nam przez Hagenbecka dla doglądania zwierząt.

— Czy formalności z władzami australijskimi zostały już załatwione? — indagował Smuga.

— Tą sprawą zajęło się przedsiębiorstwo Hagenbecka za pośrednictwem kierownika ogrodu zoologicznego w Melbourne, zoologa, Karola Bentleya. Będzie on również towarzyszył nam w wyprawie jako doradca — odparł Wilmowski. — Cztery dni temu otrzymałem wszystkie dokumenty. Zaproponowano nam jednocześnie przywiezienie do Australii pięćdziesięciu wielbłądów z Afryki oraz słonia i tygrysa bengalskiego z Cejlonu. Nie będziemy wobec tego jechali do Australii bez ładunku.

— W jakiej miejscowości znajdują się te wielbłądy?

— W Port Sudan.

— To jest we Wschodniej Afryce nad Morzem Czerwonym — zaraz dodał Tomek.

— A gdzie w Australii mamy wylądować wielbłądy? — z kolei zapytał Smuga.

— W Port Augusta — wyjaśnił Wilmowski.

— Czy i my tam wylądujemy? — zaciekawił się Tomek.

— Tak, tam opuścimy statek. Słoń i tygrys także stamtąd będą odesłane koleją do ogrodu zoologicznego w Melbourne.

— Czy wielbłądy nie są przeznaczone dla ogrodu zoologicznego? — zdziwił się Tomek.

— One odbędą podróż w innym celu. Osadnicy zamieszkujący południową i zachodnią Australię wykorzystują te zwierzęta jako siłę

pociągową, ze względu na ich wytrzymałość na brak wody — odpowiedział Wilmowski.

— Czy nie moglibyśmy już dzisiaj przenieść się na statek? — poprosił Tomek.

— To niemożliwe — odparł ojciec. — Przede wszystkim musimy ciebie zaopatrzyć w odpowiednie ubranie do podróży i w inne konieczne drobiazgi.

Smuga i Wilmowski zaczęli omawiać podział zajęć poszczególnych członków ekspedycji. Tomek słuchał ich rozmowy w milczeniu, odczuwając coraz większy niepokój. Smuga wkrótce to zauważył i domyśliwszy się przyczyn podniecenia chłopca, powiedział:

— Ponieważ każdy uczestnik wyprawy musi pełnić jakąś funkcję, należałoby i Tomka uczynić za coś odpowiedzialnym.

— Myślałem już o tym — rzekł Wilmowski, a zwracając się do syna zapytał: — Umiesz strzelać?

Tomek poczerwieniał z zadowolenia. Pochlebiało mu, że ojciec ma dla niego funkcję związaną ze strzelaniem. Lecz jak tu się przyznać, iż prócz wiatrówki nigdy w życiu nie miał w ręku innej broni? Chrząknął więc kilka razy i mruknął:

— To zależy... z czego?

— A tak... ze sztucera?

— Oczywiście, że umiem — potwierdził Tomek na wszelki wypadek, nie chcąc pozbawiać się przyjemnej funkcji.

— To bardzo dobrze — powiedział Wilmowski, wymieniając porozumiewawcze spojrzenie ze Smugą. — Chcemy powierzyć ci zaopatrywanie ekspedycji w świeże mięso.

— To ja niby mam polować?

— Tak! Czy to ci nie odpowiada?

— Myślę, że... mogę to robić — odparł Tomek, zachowując jak największą obojętność, jakkolwiek poczuł się bardzo niepewnie w nowej roli myśliwego.

— Wobec tego załatwione — zakończył Smuga.

Wyruszyli na miasto po zakupy. Nim nadszedł wieczór, Tomek miał już odpowiedni ekwipunek na wyprawę. Własnoręcznie zapakował do walizy flanelowe koszule, spodnie i mocne sznurowane buty ze sztylpami, które

miały go chronić przed ukąszeniem węży, licznie zadomowionych w Australii.

Resztę rzeczy, w myśl zapowiedzi ojca, miał znaleźć w swojej kabinie na „*Aligatorze*”.

Wieczorem wcześniej położyli się do łóżek, aby po raz ostatni przed długą morską podróżą wypocząć należycie na stałym lądzie. Tomek mimo wrażeń doznanych tego dnia zasnął niemal natychmiast. Przez całą noc śniły mu się polowania na kangury i dingo. Dzięki swej celności ratował ekspedycję od śmierci głodowej w stepach Australii, a nawet jednego upieczonego dzikiego dingo przesłał do Warszawy jako upominek wujostwu Karskim.

Podczas gdy chłopiec przeżywał we śnie tyle bohaterских przygód, ojciec jego nie mógł zasnąć przez długie godziny. Wspomnienia wywołane przybyciem syna budziły w jego sercu żal i niepokój. Życie przyniosło mu zbyt wiele trosk. Musiał porzucić najbliższą rodzinę, utracił żonę i pozostał sam na świecie. Naraz Tomek zawołał coś przez sen i wtedy Wilmowski uzmysłowił sobie, że przecież jest już przy nim ten kochany chłopiec, za którym tęsknił przez długie lata. Jakże poczuł się nagle szczęśliwy, że ma go przy sobie! Pojadą teraz na wyprawę do Australii, która w jego mniemaniu nie przedstawiała szczególnych niebezpieczeństw. Potem Tomek ukończy szkołę w Anglii. Wakacje będą spędzali razem i odbędą — wspólnie niejedną wyprawę. Może syn znajdzie wżyciu więcej szczęścia.



## NIESPODZIANKI NA „ALIGATORZE”

Był wczesny ranek, lecz na ulicach Triestu panował już ożywiony ruch. Dorożka, którą jechał Tomek z ojcem i Smugą, powoli torowała sobie drogę.

Po raz pierwszy Tomek znalazł się w portowym mieście. Z zaciekawieniem spoglądał na las masztów okrętowych widoczny w dużej zatoce. Skrzypienie dźwigów załadowujących na statki towary mieszało się z nawoływaniem marynarzy. Gwar, olbrzymi ruch panujący wokoło i widok potężnych parowców robiły na chłopcu wielkie wrażenie, a nawet w pewnej mierze napełniały lękiem przed wielkim, nie znanym mu dotąd światem. Tomkowi wydawało się, że jest zaledwie maleńkim pyłkiem na drodze kroczących olbrzymów i lada chwila musi zginąć pod ich ciężkimi stopami. Daleka Warszawa, kilkakrotnie większa od Triestu, zdawała mu się obecnie najbezpieczniejszym schronieniem na świecie. Naraz zrozumiał, dlaczego ciotka Janina tak bardzo obawiała się jego wyjazdu za granicę.

*„Jeśli tutaj jest już tak strasznie obco — myślał — to cóż oczekuje mnie na olbrzymim morzu, a potem w tej dalekiej, nieznannej Australii?”*

Przypomniawszy sobie słowa nauczyciela geografii, który opowiadał o wielkich, nie dających cienia australijskich lasach, o bezwodnych stepach, pustyniach oraz o czarnych ludziach, używających do polowania i walki groźnych w ich rękach bumerangów<sup>7</sup>.

Aż pobladł z wrażenia uzmysławiając sobie wszystkie oczekujące go niebezpieczeństwa. Kiedy wydało mu się, że nie ma już dla niego żadnego ratunku, poczuł nagle na swoim ramieniu dotknięcie ciepłej dłoni i usłyszał głos ojca:

— To tylko w pierwszej chwili wszystko wydaje się takie obce, Tomku. — Po kilku tygodniach przywykniesz do nowych warunków i będziesz się czuł tak pewnie, jak ryba w wodzie.

Ze zdziwieniem spojrzawszy na ojca, a potem na Smugę. Obydwaj uśmiechali się przyjaźnie, jakby odgadywali wszystkie jego obawy.

*„Jaki jestem niemądry! — pomyślał. — Przecież oni są ze mną!”*

---

<sup>7</sup> — Bumerang — zakrzywiony drewniany pocisk, używany przez australijskich krajowców jako broń. Przy odpowiedniej wprawie posługiwania się nią — bumerang, nie trafiawszy w cel, wraca do miejsca, skąd został wyrzucony.

Zaraz też zrobiło mu się weselej.

— W jaki sposób odnajdziemy „*Aligatora*” w tym gąszczu statków? — zagadnął.

— „*Aligator*” zakotwiczony jest w głębi zatoki — odparł ojciec. — Za chwilę ujrzysz łódź, która już nas oczekuje.

Po kilkunastu minutach dorożka zboczyła na nabrzeże.

— Jesteśmy na miejscu — poinformował Wilmowski.

Obładowani pakunkami przeszli zaledwie kilkadziesiąt kroków, gdy rozgarniając silnymi rękoma mrowie ludzkie, dotarł do nich wysoki marynarz o szerokich ramionach.

— Dzień dobry, Andrzej, dzień dobry panie Smuga! — zawołał po polsku. — Widzę, że przybył już nasz warszawiak!

Wilmowski i Smuga przywitali się z marynarzem o osmalonej wichrem twarzy.

— Tomku, przedstaw się naszemu bosmanowi, panu Tadeuszowi Nowickiemu — powiedział Wilmowski.

Dłoń Tomka zniknęła na chwilę w dużej, żyłastej dłoni bosmana, który nie tracąc czasu odebrał mu walizkę, ujął go za rękę i poprowadził w kierunku przystani.

— No, kochany chłopie, toś ty zaledwie wczoraj przyjechał z Warszawy? — rubasznie zapytał bosman, gdy znaleźli się na mniej zatłoczonej ludźmi części mola.

— Tak, proszę pana — potwierdził Tomek.

— A powiedz mi, kiedy ostatni raz byłeś w Łazienkach?

Tomek zastanowił się chwilę, po czym odparł:

— Akurat pięć dni temu poszedłem przed odjazdem popatrzeć jeszcze na łąbędzie.

— Tak bardzo lubisz Łazienki i te łąbędzie?

— Naprawdę lubię! Uciekałem z domu, aby włóczyć się po Łazienkach i Ogrodzie Botanicznym. Obrywałem też za to od ciotki!

— Toś mi bliski, brachu! Chętnie posłucham, co tam słyhać w starej, kochanej Warszawie. Nie byłem przecież w domu ładnych parę lat!

— To pan także pochodzi z Warszawy? — zdziwił się Tomek.

— Z Powiśla, kochany brachu! I wierz mi, że chociaż wiele cudów ujrzysz podczas włości po świecie, takiej rzeki jak Wisła i takiego miasta jak Warszawa nigdzie nie znajdziesz.

Tomek sam nie wiedział, dlaczego nagle poczuł wielką sympatię dla olbrzymiego bosmana. Nie zastanawiając się ani chwili, rzekł:

— Przed odjazdem z Warszawy kupiłem sobie komplet pocztówek z widokami miasta. Podzielę się nimi z panem.

— Widzę, że szukaliśmy się w korcu maku — wesoło rzekł olbrzymi bosman. — Taki upominek uraduje mnie więcej niż butelka najlepszego rumu.

Rozmawiając zbliżali się do krańca pomostu, gdzie w dużej łodzi oczekiwało na nich czterech marynarzy. Bosman usadowił Tomka obok siebie na ławce przy sterze. Natychmiast odbili od brzegu.

Tomek z uwagą odczytywał nazwy statków, szukając „*Aligatora*”. Nie mogąc go dostrzec, zwrócił się do marynarza:

— Panie bosmanie, czy stąd można już zobaczyć nasz statek?

— Zerknij na ten parowiec w głębi zatoki, z którego komina wali dym jak z Wezuwiusza<sup>8</sup> — wyjaśnił bosman. — To jest właśnie, nasz „*Aligator*”.

Tomek spojrzał we wskazanym kierunku. Ujrzał statek niezbyt wielkich rozmiarów, w porównaniu z innymi dalekomorskimi parowcami zakotwiczonymi w porcie. Łódź szybko zbliżyła się do „*Aligatora*”. Z pokładu zwisały na blokach liny; do nich to zaraz przymocowano łódź i opuszczono sznurową drabinkę.

Tomek zachęcony przez bosmana pierwszy wszedł po chwiejnych stopniach na pokład. Zaledwie dotknął go stopami, ujrzał niskiego, szczupłego mężczyznę z fajką w zębach.

— Jeżeli się nie mylę, to mam przyjemność widzieć młodego pogromcę dzikich zwierząt. Oczekujemy na ciebie już od wczoraj — odezwał się mężczyzna wyjmując fajeczkę z ust — Jestem Mac Dougal.

— Dzień dobry, panie kapitanie! — odpowiedział Tomek po angielsku, stwierdzając z zadowoleniem, że nauka obcego języka nie poszła na marne. — Jestem Tomasz Wilmowski.

---

<sup>8</sup> — Wezuwiusz — stale czynny wulkan w południowych Włoszech nad Morzem Tyrreńskim, wysokość 1186 m.

Kapitan dotknął dwoma palcami daszka czapki i podał Tomkowi rękę mówiąc:

— Bosman Nowicki przygotował dla ciebie kajutę tuż obok mojej, będziemy sąsiadami. Czy chrapiesz bardzo głośno w czasie snu?

— Chrapię tylko wtedy, gdy śpię na wznak, panie kapitanie.

— Nie przejmuj się tym. Ja to czynię w każdej pozycji — odparł z uśmiechem kapitan witając się z Wilmowskim i Smugą wchodzącymi kolejno na pokład.

— Czy wszystko przygotowane do odjazdu? — zapytał Wilmowski.

— Kotły trzymamy pod parą już od świtu — odpowiedział Mac Dougal.

— Jeśli pan gotów, to możemy podnieść kotwicę — polecił Wilmowski.

Po wąskich, żelaznych stopniach weszli na górny pokład, gdzie umocowano łódź wyciągniętą z morza. Mac Dougal stanął na mostku kapitańskim; natychmiast zaczął wydawać rozkazy.

Wkrótce też rozległa się syrena okrętowa. Tomkowi wydało się, że pokład drży pod jego stopami. Usłyszał chrzęst łańcuchów podnoszących kotwicę. Syrena po raz trzeci zahuczała głuchym basem. Statek drgnął, jakby nagle ożył, i nieznacznie zaczął zmieniać swoje położenie.

— No, Tomku, rozpoczęliśmy naszą pierwszą wspólną wyprawę — zagadnął Wilmowski.

— Patrz, tatusiu! Wygląda, jakby brzeg odsuwał się od nas, a nie my od niego — zawołał Tomek.

Zaledwie wyczuwalne drzenie pokładu oznajmiło uruchomienie maszyn. „*Aligator*” ruszył naprzód, wkrótce wypłynął z zatoki w morze. Tomek stojąc obok ojca obserwował ląd oddalający się coraz bardziej...

— Kapitan Mac Dougal powiedział, że moja kajuta znajduje się tuż obok jego — odezwał się, kiedy domy na wybrzeżu zaczęły zmieniać się w wąski kolorowy pasek.

— Mamy na statku dość dużo wolnych pomieszczeń — wyjaśnił Wilmowski — wobec tego każdy z nas otrzymał własny kącik. Jest to bardzo celowe, na „*Aligatorze*” spędzimy kilka miesięcy.

— Czy w czasie pobytu w Australii będziemy również mieszkać na statku? — zaciekał się Tomek.

— „*Aligator*” jest naszą główną bazą operacyjną. Stosownie do potrzeb będzie mógł zmieniać miejsce postoju. W ten sposób zwierzęta schwytane w



czasie poszczególnych wypraw możemy odsyłać na statek. Większość z nich bardzo źle znosi pierwszy okres niewoli. W nieodpowiednich warunkach transportowych wiele zwierząt ginie niepotrzebnie. Dlatego też „*Aligator*” będzie dla nich najdogodniejszym miejscem pobytu.

— Czy zwierzęta chorują w czasie morskiej podróży? — pytał niezmordowany Tomek.

— Niektóre chorują, lecz niemal wszystkie są rozdrażnione. Pomówimy o tym przy okazji. Teraz musisz urządzić się w swojej kabinie.

Wilmowski zaprowadził syna do nadbudówki położonej na górnym pokładzie. Po obydwóch stronach wąskiego korytarza znajdowały się drzwi opatrzone tabliczkami z numerami. Wilmowski zatrzymał się na progu i poinformował syna:

— Pierwsze drzwi po lewej — to kabina kapitana. Następne twoja, trzecie moja, a ostatnie należą do Smugi. Drugą stronę korytarza zajmują oficerowie i bosman Nowicki. Reszta załogi ma swoje kwatery o piętro niżej. Tam też mieszczą się wspólne sale.

Wilmowski przystanął przed kabiną przeznaczoną dla Tomka; z uśmiechem zaproponował:

— Wydaje mi się, że najlepiej będzie zacząć zwiedzanie statku od twojej własnej kabiny. Proszę, wejdź pierwszy!

Tomek otworzył drzwi. Ogarnęło go zdumienie, gdy rozejrzał się po przytulnym pokoiku. Nad wąskim, przymocowanym do ściany łóżkiem wisiał lśniący sztucer.

— Tatusiu, czy wszystko to, co jest w kabinie, należy do mnie? — upewniał się, z trudem hamując ogarniające go wzruszenie.

— Tak — odparł ojciec — znajdziesz tu cały ekwipunek konieczny na wyprawę.

— Irka, Witek i Zbyszek pękną z zazdrości, kiedy im o tym napiszę! — zawołał Tomek.

— Czy masz ochotę zwiedzić teraz resztę statku? — zapytał Wilmowski, widząc, że Tomek co chwila niecierpliwie spogląda na wiszący nad łóżkiem sztucer. — A może wolisz najpierw rozejrzeć się tutaj?

— Myślę, że tak będzie najlepiej. Później mogę obejrzeć statek — orzekł Tomek zadowolony z propozycji.

— Dobrze, zostań więc w swojej kabynie, a ja pójdę na naradę z panem Smugą i kapitanem. Będziemy w palarni na dolnym pokładzie. Wystarczy zejść schodkami znajdującymi się w końcu korytarza, aby trafić do nas.

— Doskonale, tatusiu. Przyjdę tam do Was.

Zaledwie drzwi zamknęły się za ojcem, Tomek jednym susem wskoczył na łóżko; z największą ostrożnością zdjął sztucer z wieszaka. W skupieniu oglądał na wszystkie strony lśniącą broń. Wyraz niepokoju ukazał się na jego twarzy. Tak był zajęty, że nawet nie usłyszał wejścia bosmana.

— Ho, ho! Widzę, że zafundowałeś sobie piękną broń na wyprawę — odezwał się bosman Nowicki.

Tomek drgnął przestraszony i omal nie upuścił sztucera.

— Nie słyszałem, jak pan wchodził do kabiny — usprawiedliwił się, zmieszany widokiem marynarza.

— Nie masz się czego wstydzić, braciszku — powiedział ze śmiechem bosman. — potrafię podejść nawet do śpiącego lwa nie zwracając na siebie uwagi. Masz piękny sztucer. Nowy zapewne!

— Myślę, że... nowy — potwierdził Tomek.

— Nowoczesna broń. Na pewno nie widziałeś jeszcze takiej w Warszawie — mówił dalej bosman. — Pokaż, braciszku, obejrzymy ją wspólnie.

Z westchnieniem ulgi Tomek podał sztucer bosmanowi. Musiał on być nie lada znawcą broni, gdyż w jego rękach ożyła nagle, ukazując wszystkie swe tajniki. W kilka minut rozłożył niemal cały sztucer, wyjaśniając jednocześnie przeznaczenie poszczególnych części. Potem złożył go z powrotem i zaproponował:

— No, braciszku, spróbuj teraz zrobić to samo. Słyszałem od twego ojca, że masz być naszym, dostawcą świeżego mięsa, musisz więc doskonale poznać swoją broń, aby móc na niej polegać.

Za trzecim razem Tomek ku swej wielkiej radości samodzielnie rozebrał i złożył sztucer. Bosman zdawał się odgadywać jego najskrytsze myśli, mówiąc:

— Jest tu na statku miejsce, gdzie nie podglądani przez ciekawskich będziemy mogli wypróbować to błyszczące cacko. Od jutra rozpoczniemy naukę strzelania.

— I nikt nie będzie o tym wiedział? — zaciekał się Tomek.

— Chyba jakiś zabłąkany szczur okrętowy, których na pewno nie brak pod pokładem tego starego pudła. Maszyny zagłuszą huk strzałów, ponieważ urządzimy sobie strzelnicę w pobliżu smoluchów<sup>9</sup>.

— A to wspaniale! — ucieszył się Tomek. Przecież odkąd wiedział o funkcji wyznaczonej mu na czas wyprawy, nie zaznał chwili spokoju. Toteż sympatia, jaką poczuł do bosmana już w Trieście, pogłębiła się teraz ogromnie. Z pośpiechem przetrząsnął walizę. Wydobył z niej dużą kopertę i podał ją bosmanowi.

— Mieliśmy podzielić się widokówkami Warszawy. Proszę, niech pan wybierze te, które się panu podobają najwięcej — zaproponował zachęcająco.

Bosman usiadł, przy stoliczku, rozłożył przed sobą wszystkie pocztówki i długo oglądał je w milczeniu. Wreszcie zaczął odkładać na prawą stronę pocztówki przedstawiające dzielnice miasta leżące w pobliżu Wisły.

— Słuchaj, mały brachu, o ile nie masz nic przeciwko temu, to te właśnie chciałbym zatrzymać dla siebie — zwrócił się do Tomka.

— Oczywiście, zgadzam się na to. Dziwi mnie tylko, że wybrał pan jedynie widokówki z samego Powiśla.

— Wychowałem się na Powiślu. Tam mieszkają moi staruszkowie — wyjaśnił bosman.

— Czy pan bardzo tęskni za Warszawą?

— Jak ryba za wodą!

— Czemu więc nie pojedzie pan w odwiedziny?

— Czy wiesz, z jakiego powodu twój ojciec nie może powrócić do kraju? — zapytał bosman.

— Wiem!

— Zaraz zrozumiesz, dlaczego nie jadę do Warszawy, gdy powiem, że razem z nim musiałem wiać za granicę. Ta jedynie była między nami różnica, że on pozostawił żonę i ciebie, a ja tylko moich staruszków.

Tomek spojrzał ze zdziwieniem na bosmana, który po krótkiej chwili milczenia dodał:

— Tak, tak, po ucieczce z Warszawy nie powodziło się nam najlepiej. Trzeba było szukać pracy na obczyźnie. Mnie coś pchało na morze. Udało mi się zaciągnąć na statek. Po kilku latach dochrapałem się bosmana. Twój ojciec natomiast zaczął pracować u Hagenbecka. Przed kilkoma miesiącami

---

<sup>9</sup> — Smoluchami bosman nazywał palaczy kotłowych na statku.

spotkaliśmy się w Hamburgu. Wtedy właśnie powiedział mi o „*Aligatorze*”. Czasem dobrze jest mieć przy sobie starego druha, szepnął więc słówko Hagenbeckowi i... płyniemy razem do Australii.

— A to wspaniale! — zawołał Tomek. — Czy pan Smuga również musiał uciekać z kraju?

— O nie, braciszku kochany! On jeden z całej naszej paczki jest z prawdziwego powołania podróżnikiem i łowcą zwierząt. Podobno jeszcze raczkując, chwycił już dla wprawy koty za ogony.

— To pan Smuga tak wcześnie wybrał sobie zawód? — zaśmiał się Tomek, domyślając się w tym powiedzeniu żartu.

— Tak by z tego wynikało. On ma, jak to się mówi, łowienie zwierząt we krwi.

— Co to znaczy, proszę pana? — zapytał Tomek zaintrygowany słowami bosmana.

— No, tak się mówi, gdy chce się powiedzieć, że ktoś ma specjalną żyłkę do czegoś, taką smykałkę, rozumiesz?

— Rozumiem, rozumiem — odparł Tomek z zadowoleniem. — To znaczy, że ktoś ma specjalne zamiłowanie lub uzdolnienie do czegoś.

— Trafiłeś teraz, brachu, w samo sedno rzeczy — orzekł bosman. Tomka ogarnęła niezwykła ciekawość, czy przypadkiem i on nie posiada takiej „żyłki” do łowienia zwierząt, toteż zaraz zapytał bosmana:

— Proszę pana, ciekaw jestem, czy można wyrobić w sobie taką „żyłkę” do włóczęgi i łowienia zwierząt?

Bosman spojrział na chłopca spod oka. Tłumiąc wesołość odparł:

— Mówi się przecież, że przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka, więc chyba można. Trzeba tylko mieć dobre chęci i głowę nie od parady.

Tomek poweselał. Nie zdradzając się przed bosmanem, postanowił wiernie naśladować we wszystkim pana Smugę, aby z czasem stać się takim wytrawnym łowcą jak on.

Bosman chował do kieszeni bluzy pocztówki, gdy na korytarzu zabrzmiał donośny dźwięk gongu.

— Coś się chyba stało! — zaniepokoił się Tomek.

— Zgadłeś, brachu! Kucharz ugotował obiad — odparł poważnie bosman. — Wobec tego smarujemy szybko do jadalni.

— Hm, to tylko obiad... — mruknął Tomek.

Obszerna jadalnia mieściła się na niższym pokładzie. Tomek i bosman zastali już w niej kilkanaście osób.

— Jesteście nareszcie — odezwał się Wilmowski na widok wchodzących. — Tak długo przebywałeś, Tomku, w swojej kabinie, że obawiałem się, czy gong na obiad zdoła cię z niej wywabić.

— Nie wiedziałem, że już jest tak późno — tłumaczył się Tomek, nie spostrzegając porozumiewawczych spojrzeń wymienianych przez ojca i bosmana.

Tymczasem Wilmowski śmiał się w duchu z naiwności syna, który nawet nie domyślił się, że ojciec przejrzał na wylot jego chłopięcą ambicję. Orientował się doskonale, że Tomek nie ma pojęcia o polowaniu i strzelaniu. Wyznaczenie mu funkcji „wielkiego łowczego wyprawy” było żartem, który został potraktowany przez Tomka z całą powagą. Wilmowski przypuszczał, że sztucznie okazywana przez, syna obojętność rozwieje się na widok wspaniałego sztucera. Ku jego zdumieniu Tomek sprytnie ukrył swą obawę i wielkie zaciekawienie. Nie chcąc mu psuć przyjemności, poprosił bosmana Nowickiego, aby w dyskretny sposób nauczył go obchodzić się z bronią. Bosman o choczno podjął się tej misji. Przecież Tomek był dla niego częsteczką ukochanej, dalekiej Warszawy. Toteż z powierzonego zadania wywiązał się znakomicie i teraz, mrugając porozumiewawczo do Wilmowskiego, dawał znać, że wszystko poszło jak najlepiej.

Wilmowski przedstawił syna zebranim w jadalni członkom załogi, po czym wszyscy usiedli przy stole.

Tomek spożywał obiad w wielkim roztargnieniu. Postanowił przecież solennie we wszystkim naśladować pana Smugę, spoglądał więc co chwila na niego i rozmyślał:

*„Bosman Nowicki musi wiele wiedzieć, skoro z taką łatwością rozkłada sztucer, jak na przykład ja nabieram teraz na łyżkę zupy z talerza. Zabawne to wprawdzie, ale chyba pan Smuga, jeszcze na czworakach chodząc, rzeczywiście chwycił dla wprawy koty za ogony. Wielka szkoda, że ciotka Janina nie lubiła zwierząt i nie pozwalała trzymać w domu nawet kota. Ha, nie ma innej rady! Muszę wiernie naśladować pana Smugę. Wtedy najprędzej zostanę wielkim łowcą, a może nawet i pogromcą.”*

Szybko jadł zupę, mimo że wydawała mu się niezbyt smaczna. Udało mu się nawet wyprzedzić Smugę o kilka łyżek, lecz radość jego zmieniła się w przerażenie, gdy spostrzegł, że podróżnik nalewa sobie na talerz drugą porcję.

*„W spaniu to może jeszcze z czasem dorównam panu Smudze — pomyślał z goryczą — ale w jedzeniu nie dam rady. Przynajmniej nie tak od razu. Muszę przy okazji zapytać bosmana Nowickiego, czy pan Smuga miał już taki apetyt od najmłodszych lat.”*

Do wyjaśnienia niepewności postanowił jeść umiarkowanie. Teraz zwrócił swą uwagę na resztę załogi. Składała się ona z przedstawicieli różnych ras i narodowości. Szczególnie spodobało mu się dwóch atletycznie zbudowanych Murzynów palaczy. Dlatego też zdecydował się rozpocząć zwiedzanie statku od kotłowni.

Dopiero późnym wieczorem udał się do swej kabiny na spoczynek. Szybko rozebrał się, wskoczył do łóżka i zgasił światło. Przyrzekł ojcu, że postara się zasnąć natychmiast, ale mimo najszczerzej chęci wcale nie był senny. Jakże tu można zasnąć, gdy w ciągu niedługich kilku godzin przeżyło się tyle emocjonujących wrażeń! Przymknął wprawdzie powieki, lecz natychmiast przypomniał sobie półnagich palaczy, którzy wielkimi łopatom wrzucali węgiel do potężnych pieców buchających żarem. Potem przeniósł się myślami do budki sternika, widział czuwających oficerów i marynarzy. Wszyscy oni trudzili się po to, aby bezpiecznie doprowadzić statek do dalekiej Australii. Następnie przypomniał sobie cel podróży; zaczął rozmyślać, ile to przygód oczekuje go w najbliższej przyszłości.

Leżał w wąskim okrętowym łóżku i przeżywał w wyobraźni olbrzymie polowanie na szybko nogie kangury i krwiożercze dingo. W ciągu niedługiego czasu dokonał w myślach tylu nadzwyczajnych czynów, że w końcu zmęczony zasnął.

## WRÓŻBITA Z PORT SAIDU

Była piękna, bezwietrzna, słoneczna pogoda. „*Aligator*” płynął spokojnie po wygładzonym jak zwierciadło Morzu Adriatyckim. Tomek czuł się na statku bezpiecznie jak w domu u ciotki Janiny. Żywe usposobienie oraz ciekawość nie pozwalały mu zbyt długo usiedzieć na jednym miejscu. Całe dni spędzał w ustawicznym ruchu. Schodził do kotłowni do palaczy, zaglądał do pomieszczeń przygotowanych dla zwierząt, zaprzyjaźnił się z kucharzem, odwiedzał marynarzy w ich kwaterach i po dwóch pracowicie spędzonych dniach znalazł już na pamięć wszystkie zakamarki „*plywającego zwierzyńca*” na równi z kapitanem Mac Dougalem.

Zgodnie z przyrzeczeniem bosman Nowicki rozpoczął naukę strzelania. W jednym z pomieszczeń przeznaczonych dla zwierząt urządził strzelnicę, w której spędzał z Tomkiem codziennie po kilka godzin, strzelając do zaimprovizowanej tarczy.

Każdego ranka Tomek zachodził do palarni i uważnie studiował mapę, na której oznaczano drogę przebytą przez statek w ciągu doby. Siódmego dnia czarna linia nieomal dotykała wybrzeży Afryki. Tomek wybiegł zaraz na pokład. „*Aligator*” zbliżał się już do portu. W małej grupce mężczyzn stojących na górnym pokładzie dostrzegł ojca i Smugę. Szybko podbiegł do nich.

— Tatusiu, czyżby to był już Port Said<sup>10</sup>? — zagadnął.

— Tak, wpływamy do Port Saidu, leżącego u wrót Kanału Sueskiego — powiedział Wilmowski.

— Czy będziemy mogli wysiąść na ląd? — pytał Tomek niecierpliwie, ciekaw ujrzeć miasto znane mu dotąd tylko z lektury i nauki geografii w szkole.

— Uzupełnimy tutaj nasz zapas węgla. Postój „*Aligatora*” potrwa więc kilka godzin. Po południu zwiedzimy miasto — odpowiedział Wilmowski.

Przy akompaniamencie ryku syreny „*Aligator*” ostrożnie manewrował wśród setek łodzi i mniejszych statków, przepłynął obok kilku dużych

---

<sup>10</sup> — Port Said — miasto portowe w północno-wschodnim Egipcie, założone w 1860 roku przez budowniczego Kanału Sueskiego, Ferdynanda Lessepsa i nazwane przez niego na pamiątkę wicekróla Egiptu — Saida.

parowców spokojnie drzemiących w głębi portu i zarzucił kotwicę w pobliżu lądu.

Tomek z ciekawością spoglądał w kierunku miasta, nad którym szeroko rozciągało się bezchmurne, wyzłocone palącym słońcem niebo. Wysoko ponad dachy niskich domów wystrzelała śmigła wieża latarni morskiej, a w dali pięły się ku niebu iglice minaretów<sup>11</sup>.

Zaledwie „*Aligator*” stanął na uwięzi, otoczył go rój łodzi. Znajdowali się w nich ruchliwi Arabowie i Murzyni trudniący się przewożeniem pasażerów ze statków na wybrzeże. Skoro jednak dowiedzieli się, że „*Aligator*” nie jest statkiem pasażerskim, odpłynęli pospiesznie. Teraz natomiast zbliżyło się kilka łódeczek. Mali wioślarze, półnaczy chłopcy arabscy, wrzaskliwie usiłowali porozumieć się z załogą statku.

— Czego oni chcą od nas? — zapytał Tomek zaintrygowany ich hałaśliwym zachowaniem.

— Zaraz zobaczysz — odparł Wilmowski. Wyjął z kieszeni portmonetkę. Zaledwie w jego dłoni błysnęła srebrna moneta, jedna z łódek jeszcze bardziej zbliżyła się do statku.

— Teraz uważaj dobrze — powiedział do syna.

Moneta rzucona za burtę wpadła w morze. W tej chwili mały Arab skoczył z łodzi głową w dół, zniknął w głębinie na kilka sekund i wkrótce wynurzył się znów na powierzchnię, trzymając w zębach pieniążek.

— Ależ to wspaniały pływak! — zdumiał się Tomek. — Daj mi tatusiu kilka monet, muszę dokładnie przyjrzeć się, jak on to robi.

Tomek rzucał monety zręcznym nurkom Port Saidu, a także przyglądał się „*magicznym sztukom*” produkowanym przez starszego Araba. Dopiero po wyczerpaniu otrzymanych od ojca srebrnych monet spostrzegł, że po przeciwnej stronie statku dzieje się coś nowego. Wychylił się za burtę. Ujrzał pięć ciężkich kryp załadowanych węglem, które kolejno miały podpływać do luku otwartego w boku parowca. Jedna z nich właśnie przyłgnęła do „*Aligatora*”. Mrowie brunatnych, półnagich Arabów zwinnie zaczęło przeładowywać kosztami węgla na statek. Chmury czarnego pyłu docierały aż na pokład. Swobodnie poruszający się na krypach Arabowie spoglądali na marynarzy stojących na pokładzie, ukazując w wesołym, szczerym uśmiechu mięsistych warg przedziwnie białe zęby.

---

<sup>11</sup> — Minaret — wysoka, smukła wieżycza meczetu (muzułmańskiej świątyni).



Przeładunku pilnował stary Arab w brudnym burnusie. Nie żałował grubego sznura i najczęściej bijąc powietrze — niby to popędzał ładowaczy.

Smuga zbliżył się do Tomka.

— Przygotuj się do zejścia na ląd! — zawołał, a kiedy chłopiec odwrócił się twarzą do niego parsknął śmiechem i dodał: — Do licha! Przecież wymalowałeś się na Murzyna.

Teraz dopiero Tomek spostrzegł, że cały pokryty jest czarnym węglowym pyłem unoszącym się wokoło.

— A to się zagapiłem! — odparł. — Zaraz pójde się przebrać. To wszystko przez tego starego Araba dozorcę o wyglądzie więdźmy. Niech pan spojrzy! Jak on śmiesznie udaje, że popędza innych w pracy! Tymczasem wszyscy się z tego śmieją.

— Taki jest już ich ceremoniał pracy — powiedział Smuga. — Bez tego starego poganiacza przeładunek szedłby na pewno równie sprawnie. Umyj się teraz i przebierz, gdyż zaraz wsiadamy do łodzi.

Tomek pobiegł do kabiny. Wkrótce umyty i w czystym ubraniu znowu pojawił się na pokładzie. Ojciec, Smuga i bosman Nowicki już czekali na niego. Po sznurowej drabinie zeszli do łódki. Niebawem znaleźli się na lądzie. Otoczyli ich rozkrzyczani przewodnicy, proponując swe usługi przy zwiedzaniu miasta. Bosman Nowicki rzucił im kilka monet, po czym odprawił ruchem ręki, gdyż znał już dobrze Port Said z czasu poprzednich rejsów.

Wkrótce znaleźli się na długiej, nadzwyczaj ruchliwej ulicy, zabudowanej niskimi domami. Wystawy sklepowe przeładowane były najrozmaitszymi przedmiotami. Tomek co chwila przystawał, by podziwiać straszliwe, złocone smoki, misterne rzeźby z kości słoniowej, przezroczyste i delikatne naczynka z chińskiej porcelany, śmieszne, barwne figurynki, przedziwne szkatuły z drzewa sandałowego, piękne materie tkane złotem oraz srebrem i tyle, tyle różnych widzianych po raz pierwszy przedmiotów. Właściciele sklepów natarczywie zachwalali swoje towary, namawiali do ich obejrzenia. W końcu gwar różnojęzycznych głosów oszołomił Tomka do tego stopnia, że skrył się między swych towarzyszy. Wkroczyli do dzielnicy europejskiej, zabudowanej wyższymi, schludniejszymi budynkami. Tutaj mieściły się hotele, banki i przedsiębiorstwa handlowe, a wśród rozległych ogrodów bieleły się wille bogatszych mieszkańców.

Z kolei przeszli do dzielnicy arabskiej. Wśród nielicznych murowanych domów rozpościerały się budy sklecone z trzciny polepionej gliną, pełne łat, dziur i brudu. Przede wszystkim jednak na plan pierwszy wysuwały się, jakby przyrośnięte do ścian domów, liczne stragany z jarzynami oraz ponętymi wschodnimi owocami. Po ulicach spokojnie spacerowały osiołki i kozy, nie zwracając uwagi na krzykliwych przechodniów. Kiedy nasi podróżnicy mijali jedną z lepianek, siedzący na ziemi stary, skulony Arab zawołał:

— Przystańcie na chwilę, szlachetni przybysze!

Zatrzymali się, a starzec wpił w nich przenikliwy wzrok. Wyciągnął ku nim suchą dłoń o mocno pomarszczonej skórze i zaczął mówić skrzeczącym głosem:

— Każdy człowiek ma wyznaczony w księdze życia swój los. Za kilka nędznych srebrników powiem każdemu z was, co go czeka w życiu.

Smuga rzucił wróżbicie monetę. Naśladując jego sposób mówienia odparł: — Masz, szlachetny mężu, lecz nie potrzebujesz męczyć się przepowiadaniem mego losu. Równie dobrze jak ty umiem czytać w księdze życia. Dlatego też uchylę ci rąbka tajemnicy — nawet zupełnie bezinteresownie — i powiem, że nie zrobisz nigdy majątku na twoich wróżbach.

Brunatna dłoń drapieżnym ruchem schwyciła błyszczący pieniążek, który natychmiast zniknął w woreczku zawieszonym u pasa.

— Przystaniesz się śmiać, kiedy między tobą a śmiercią stanie mały chłopiec. Może pożałujesz wtedy, że nie chciałeś posłuchać mojej wróżby — odpowiedział Arab, po czym jego cienkie wargi wykrzywiły się w pogardliwym uśmiechu.

Pomarszczona twarz starca oraz jego dziwne słowa zrobiły na Tomku pewne wrażenie. Bezwiednie wygrzebał z kieszeni srebrną monetę i włożył ją do glinianej miseczki stojącej na ziemi przed wróżbitą. Zanim chłopiec zdążył odejść, spod brudnego burnusa wychyliła się koścista dłoń. Niespodziewanym, szybkim ruchem wróżbita chwycił go za rękę i przyciągnął ku sobie.

— Posłuchaj starego Araba — odezwał się skrzekliwym głosem, nie puszczając ręki Tomka. — Młody jesteś i długo żyć będziesz. Zapamiętasz więc i wspomnisz moje słowa.

Prawą dłonią rozgarnął piasek leżący przed nim w blaszanej misce i jakby czytając w nim, mówił:

— W dalekim i dzikim kraju znajdziesz to, czego inni będą szukali bezskutecznie. Kiedy to się stanie, zyskasz najlepszego przyjaciela, który nigdy nie powie ani słowa...

Wilmowski wrzucił niecierpliwie ramionami. Następnie wziął Tomka za rękę i powiedział:

— Dość już tej głupiej zabawy! Chodźmy teraz napić się czegoś zimnego.

Odeszli od wróżbity szybkim krokiem, a on, uśmiechając się złośliwie, spoglądał za nimi przekrwionymi oczyma.

Smuga i Wilmowski po drodze opowiadali zabawne historyjki o arabskich wróżbitach. Tomek i bosman Nowicki przysłuchiwali się w milczeniu. Niebawem zasiedli w dużej kawiarni przy stoliku. Tomek kręcił się niespokojnie na krzeselku, aż w końcu odezwał się do swych towarzyszy.

— Tatuś i pan Smuga twierdzą, że ten stary Arab mówił same bzdury. Skąd on jednak mógł wiedzieć, że jedziemy do dalekiego i dzikiego kraju?

— W tak ruchliwym portowym mieście można każdemu Europejczykowi powiedzieć to bez chwili wahania — odparł Smuga. — Wróżbici mają zdolność wyłudzenia pieniędzy od naiwnych. Nie warto zwracać uwagi na ich gadaninę.

— Pierwszy pan dał mu jałmużnę — roześmiał się bosman Nowicki. — Wróżb nie chce pan słuchać, ale pieniążków nie żałuje. Inaczej mówiąc „Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek”. No, ale za tę obłudę uraczył pana niezłą przepowiednią. Ja tam nie lubię, gdy taki staruch źle mi wróży. Dlatego też trzymam język za zębami przechodząc obok wróżbitów.

— Jałmużnę daję, bo przecież śmieszny staruszek musi jakoś zarobić na utrzymanie — bronił się Smuga ze śmiechem. — W żadne gusła nie wierzyłem od najmłodszych lat. Nie przejmuję się niebezpieczeństwem, gdy mam przy sobie dobrą broń.

— Dzięki twoim żartom nakarmił nas straszliwymi, w jego mniemaniu, przepowiedniami — wesoło wtrącił Wilmowski.

— Zdaje mi się, że czas już zwinąć żagle i pomyśleć o powrocie na statek — zauważył zawsze praktyczny i punktualny bosman Nowicki. — Wieczorem podnosimy kotwicę.

— Rzeczywiście czas już na nas — potaknął Wilmowski. Wyszli z kawiarni. W drodze powrotnej kupili całe naręcza soczystych, południowych owoców. W dobrym nastroju przybyli na „*Aligatora*”. Na pokładzie znajdował się już pilot, który miał przeprowadzić statek przez kanał.

Zaledwie pierwsze gwiazdy rozblęsnęły na niebie, „*Aligator*” wpłynął w Kanał Sueski. W żółwym tempie minął jednopiętrowy, jaskrawo oświetlony pałac Kompanii Suez<sup>12</sup>, mieszczący biura przedsiębiorstwa oraz liczne zabudowania, o których przeznaczenie Tomek zapomniał zapytać. Wszyscy pasażerowie przebywali na górnym pokładzie, gdyż zaduch w kabinach wprost uniemożliwiał pozostawanie w zamkniętych pomieszczeniach. Korzystając z tego, Tomek z zaciekawieniem spoglądał na długą, wąską wstęgę wody, ciągnącą się między brzegami ujętymi w niskie, piaszczyste tamy.

Ucząc się geografii w szkole, zupełnie inaczej wyobrażał sobie ów słynny Kanał Sueski, który odegrał historyczną rolę skracając i czyniąc bardziej bezpieczną drogę z Europy do Indii. Tyle nasłuchał się o trudnościach związanych z budową kanału, a tymczasem w rzeczywistości wyglądał on bardzo nieskomplikowanie. Odezwał się więc do ojca zawiedzionym tonem:

— Nie rozumiem, dlaczego przekopywanie tak wąskiego kanału musiało trwać aż tyle lat?

— Mówiąc ściśle, prace przy budowie kanału rozpoczęto w 1859 roku, a zakończono je dopiero w 1869. Trwały więc one dziesięć lat — wyjaśnił Wilmowski. — Budowa kanału stanowiła dla wykonawców niezwykle trudne zadanie. Obecna jego długość wynosi przecież około stu sześćdziesięciu kilometrów. Z tego sto dwadzieścia przypada na wykopane koryto, a reszta na jeziora i cieśniny łączące poszczególne odcinki kanału. Aby uzmysłwić sobie ogrom pracy, jaką należało wykonać, wystarczy powiedzieć, że trzydzieści tysięcy ludzi przez dziesięć lat pracowało w pocie czoła nad realizacją dzieła, które ponadto pochłonęło olbrzymią sumę pięciuset milionów franków.

— Nigdy nie przypuszczałem, że przekopanie tego kanału wymagało tylu trudów i pieniędzy — odparł Tomek. — Jak długo będziemy płynęli przez kanał?

---

<sup>12</sup> — Do roku 1958, to jest do chwili unarodowienia Kanału Sueskiego przez Egipt, zarząd nad eksploatacją Kanału .sprawowała w imieniu międzynarodowego towarzystwa Kompania Suez.

— Około dwudziestu godzin, ponieważ zgodnie z obowiązującymi przepisami przy wymijaniu musimy dawać pierwszeństwo przejazdu statkom pocztowym.

— Wobec tego będę mógł jeszcze za dnia przyjrzeć się okolicy — ucieszył się Tomek.

W najlepszym humorze udał się na spoczynek. Czuł się zmęczony długim spacerem po Port Saidzie. Następnego ranka znalazł sobie świetny punkt obserwacyjny. Nie zauważony przez nikogo wspiął się do łodzi ratunkowej umocowanej na górnym pokładzie, skąd roztaczał się szeroki widok na obydwie brzegi kanału.

Jak okiem sięgnąć pokrywały je piaski i słońce jeziora. Po prawej stronie, tuż przy brzegu, wzdłuż toru kolejowego prowadzącego z Port Saidu do Suez, ciągnęły się dwa rzędy drzew. Wśród nich głównie przeważały tamaryndowce<sup>13</sup>, to jest tropikalne drzewa owocowe o twardym, żółtawym pniu i jakby włochatych liściach. Od czasu do czasu z piasków pustyni wyłaniały się wzorowe budynki mieszkalne lub stacyjne, a czasem statek mijał pociąg snujący za sobą smugę czarnego dymu. Początkowo Tomek chłonał wzrokiem wszystko dookoła, lecz wkrótce monotony widok wybrzeża zaczął go nużyć. Było bardzo gorąco... zrzucił więc koszulę, usiadł wygodnie na dnie łodzi, potem położył się, wsunął głowę pod ławkę i niebawem mocno zasnął ukołyszany miarowym pluskiem wody uderzającej o boki statku.

Minęło sporo czasu, zanim ojciec odnalazł go uspiętego w łodzi. Ciało Tomka przypominało swym kolorem raka wyjętego z wrzątku. Zniesiono go czym prędzej do kabiny, gdzie obłożony kompresami musiał pozostać nieomal do końca żeglugi po Morzu Czerwonym. Jedynie dzięki przypadkowi, że w czasie snu w łodzi głowa jego znajdowała się w cieniu rzucanym przez szeroką ławkę, uniknął poważniejszych następstw porażenia słonecznego. Za swą nieostrożność został ukarany przez ojca. Nie wolno mu było przyglądać się załadowywaniu wielbłądów w Port Sudan.

Nie narzekał zbyt na wyznaczoną mu karę. Przecież nawet pościel nieznośnie drażniła jego poparzone ciało i nie mógł włożyć na siebie ubrania.

---

<sup>13</sup> — Tamaryndowiec (*Tamarindus*) rodzi kwaśne w smaku owoce, które znalazły zastosowanie jako środek przeczyszczający.

Zresztą w takim stanie wyjście na pokład skąpany w promieniach słonecznych było i tak zupełnie niemożliwe.

Urozmaicał sobie czas wyglądaniem przez okrągły iluminator kabiny. W ten sposób stwierdził, że wbrew jego mniemaniu woda w Morzu Czerwonym wcale nie jest czerwona. Od ojca dowiedział się, że nazwę swą zawdzięcza ono rosnącej w nim czerwonej morskiej trawie. Wieczorami obserwował błyski latarni morskich, wybudowanych na przylądkach lub pustych wysepkach, których światła ułatwiały żeglugę, niebezpieczną z powodu płycizn i raf podwodnych.

W czasie krótkiego postoju w Port Sudan Tomek wsłuchiwał się w skrzypienie bloków, za pomocą których przenoszono wielbłądy z wybrzeża na statek. Kwik zwierząt oraz obcojęzyczne nawoływania poganiaczy podniecały jego wyobraźnię, przypominając przeczytane dawniej opisy wypraw Livingstona i Stanleya<sup>14</sup> do Afryki. Obaj znani z odkrywczych wypraw w Afryce w drugiej połowie XIX wieku.

Następnego dnia po opuszczeniu Port Sudan nieoceniony bosman Nowicki rozpoczął dalszą naukę strzelania. Tomek trafiał już z łatwością w sam środek tarczy, wobec czego bosman zajął się sporządzaniem ruchomego celu. Mianowicie przymocował do drewnianego pułapu zaimprovizowanej strzelnicy drut i powiesił na nim blaszaną puszkę wypełnioną piaskiem. Za pomocą sznurka bosman wprowadził ją w ruch, a wtedy Tomek mierzył i strzelał.

W miarę jak nabywał wprawy, ruchy puszek stawały się szybsze i nieregularne. Tomek zachęcony pochwałami coraz więcej czasu spędzał w strzelnicy. Dopiero wiadomość, że zbliżają się do Adenu<sup>15</sup>, najgorętszego punktu na kuli ziemskiej, wywabiła go na pokład.

Ujrzał wynurzający się z morza groźny skalny mur, który zdawał się zamykać dalszą drogę. Spiętrzony, poszarpany dziko łańcuch skał półwyspu otaczało szafirowe, wiecznie niespokojne morze. Nad skałami i wodą rozpościerało się bezkresne, prażące żarem słonecznym, bezchmurne niebo.

---

<sup>14</sup> — Dawid Livingstone — zasłużony badacz Afryki. Henry M. Stanley — dziennikarz i podróżnik

<sup>15</sup> — Miasto Aden leży w południowo-zachodniej części Półwyspu Arabskiego. Wchodzi ono w skład brytyjskiej Kolonii Aden, obejmującej miasto Aden z portem Steamer Point (fonet. Stimer Point), miasteczko Othman oraz niewielkie obszary pustynne miasta Aden.

„*Aligator*” zarzucił kotwicę. Ciężkie krypy pełne węgla podpłynęły natychmiast do statku, zmagając się z niezmiernie przykrą, krótką falą. Wkrótce też, podobnie jak w Port Saidzie, pojawiły się małe łódeczki z nurkami niezawodnie wylawiającymi rzucane do morza monety.

Ze względu na krótki postój nikt z załogi „*Aligatora*” nie wysiadł na ląd. Tomek, słuchając wyjaśnień ojca, który znał Aden dość dobrze, spoglądał zaciekawiony na doskonale widoczny ze statku port Steamer-Point, obejmujący dzielnicę fortów, hoteli, konsulatów i domów Europejczyków. Właściwe jednak miasto, starożytna oaza arabska, zwana Shaikh Othman, znajdowało się o sześć kilometrów dalej w kraterze wygasłych wulkanów, wśród prawdziwie dzikich skał, otoczonych skąpaną w słońcu, martwą pustynią.

— Aden pod pewnym względem przypomina historię Kanału Sueskiego — mówił Wilmowski. — Aby umożliwić jego istnienie w tym najgorętszym punkcie ziemi, gdzie brak jest cienia, wody i roślin, tysiące niewolników w krwawym pocie budowało olbrzymie cysterny. W nich podczas wiosennych burz gromadzi się zapasy wody. Szkoda, że nie będziesz mógł ich zobaczyć. Przedstawiają śliczny widok.

Tomek nie miał czasu na dalszą rozmowę. Podczas postoju na statku panował gorączkowy ruch, który wkrótce pochłonął jego uwagę. Marynarze krzatali się po pokładzie, umocowując linami wszystkie ruchome przedmioty. Kilku członków załogi, a wraz z nimi Wilmowski i Tomek, udali się pod pokład, do pomieszczeń wielbłądów. Ulokowano je parami w małych, oddzielonych od siebie zagrodach. Wilmowski sprawdzał, czy zwierzęta przywiązano należycie.

Przygotowania te były niezbędne, ponieważ „*Aligator*” miał teraz wpłynąć w strefę południowo-zachodniego monsunu<sup>16</sup> i należało liczyć się z możliwością złej, burzliwej pogody.

Przed zachodem słońca wyruszono w dalszą drogę. Tego jeszcze wieczoru Tomek spostrzegł, że warunki żeglugi stopniowo ulegają zmianie. Boczne, leniwe kołysanie statku było wprawdzie z początku znośne, lecz mimo to Tomek zaczął odczuwać niepokój. Pod naporem olbrzymich fal statek pochylał się na lewy bok. Wiązania jego niebezpiecznie trzeszczały, a

---

<sup>16</sup> — Monsun — okresowy wiatr wiejący na Oceanie Indyjskim i w Południowej Azji.

od czasu do czasu gwałtowniejsze fale zalewały bryzgami piany pokład i cofały się zaraz, jakby zawstydzone swą śmiałością.

Następnego ranka kołysanie stało się jeszcze silniejsze. Spienione fale co chwila przelewały się przez pokład. Aby zapomnieć o złym samopoczuciu, Tomek zabrał sztucer i udał się do swej strzelnicy. Bosman Nowicki nie mógł mu towarzyszyć, ale Tomek raczej był z tego zadowolony: zawieszona u pułapu blaszana puszka, pod wpływem silnego kołysania statku, wykonywała samorzutnie najdziwniejsze skoki. Trafienie w tak ruchliwy cel nie było łatwe. Chwilami Tomek z trudem utrzymywał równowagę, lecz to właśnie sprawiało mu największą uciechę. Raz po razie strzelał to pudłując, to znów trafiając. Po dwóch godzinach piasek wysypał się przez przestrelone w blasze otwory.

Zaledwie odezwał się gong wzywający na obiad, Tomek wszedł rozradowany do jadalni i usiadł na swoim miejscu. W czasie pełnego emocji strzelania zapomniał o ogarniającej go przedtem słabości i poczuł głód.

Marynarze z uznaniem uśmiechali się do niego, a Smuga zawołał:

— Ho, ho! Więc przyszedłeś na obiad?

— A dlaczego miałbym nie przyjść? — odparł Tomek. — Jestem głodny jak wilk.

— No, jeśli kołysanie statku nie pozbawiło cię apetytu, to będziesz dobrym marynarzem. Czy wiesz, że trzej olbrzymi Sudańczycy, którzy eskortują wielbłądy, leżą jak kłody w swej kabinie — mówił Smuga ze śmiechem.

Tomek doskonale znosił kołysanie statku. Mimo to nie pozwolono mu przebywać na pokładzie w obawie, aby przewalające się fale nie zmyły go do morza. „Rozpruwał” więc w swej strzelnicy coraz to mniejsze blaszane puszki, trafiając już teraz za każdym razem.

Po kilku dniach morze stało się spokojniejsze. Nowicki, korzystając z wolnej chwili, udał się do strzelnicy. Tomek strzelał szybko i celnie. Bosman zdziwiony postępami powiedział z uznaniem:

— No, braciszku, widzę, że niewiele już skorzystasz ode mnie. Teraz chyba tylko Smuga mógłby nauczyć cię czegoś nowego.

— To pan Smuga tak dobrze strzela? — zdziwił się Tomek. — Myślałem, że nikt już lepiej nie potrafi jak pan.



— Ho, ho! Smuga to mistrz nad mistrzami! Nawet najmniejsze bydłę trafia między ślepia — odparł bosman pewnym tonem, chociaż wszystko, co wiedział o Smudze, pochodziło z opowiadań ojca Tomka.

Oczywiście Wilmowski nigdy nie mówił bosmanowi o „*strzelaniu między ślepia*”, lecz Nowickiemu zdawało się, że taka nieściskość nie sprawi chłopcu różnicy.

Tomek jednak już poprzednio postanowił we wszystkim wiernie naśladować wielkiego łowcę. Zamyślił się więc nad słowami bosmana. W wyniku rozmyślań wyszukiwał jak najmniejsze puszki, rysował na nich dwa kółka, które miały być „*ślepiami zwierząt*” i zaczął od nowa ćwiczenia. Robił to w najściślejszej tajemnicy nawet przed bosmanem. Dni szybko mijały. „*Aligator*” płynął coraz dalej na południowy wschód.



## CEJLOŃSKI SŁOŃ I BENGALSKI TYGRYS

Tomek z niecierpliwością obserwował ląd wyłaniający się z rozkołysanego morza. Była to wyspa Cejlon<sup>17</sup> — kraina pereł, białych szafirów, pięknych palm i rzadkich roślin. „*Aligator*” wolno przepłynął przez szerokie wrota utworzone przez dwa potężne łamacze fal i znalazł się w wielkiej, przytulnej przystani, porcie Colombo będącym stolicą Cejlonu.

— Wybieram się z panem Smugą na wybrzeże. Jeżeli masz ochotę, możesz pójść z nami — oznajmił Tomkowi ojciec, gdy opuszczono pomost na molo. — Musimy załatwić formalności konieczne do przetransportowania zwierząt na statek.

— Czy to chodzi o słonia i tygrysa? — zapytał Tomek.

— Tak, stąd właśnie mamy przewieźć je do Australii — potwierdził Wilmowski.

— A to wspaniale! Jeszcze nie widziałem żywego słonia ani tygrysa. Czy ten słoń jest oswojony?

— Należy się spodziewać, że przeszedł już odpowiednią tresurę. Zabiorę aparat fotograficzny, powinieneś posłać wujostwu Karskim fotografię z dalekiej podróży.

— Oczywiście. Ja bym tak chciał...

— Chciałbyś na słoniu?

— Tak!

— Zobaczymy — odparł Wilmowski — Przygotuj się szybko do wyjścia na ląd.

Po kilkunastu minutach Tomek powrócił na pokład, gdzie już oczekiwał na niego ojciec z dużym futerałem mieszczącym aparat fotograficzny. Po wąskim, chybotliwym pomoście zeszli na molo. Wkrótce znaleźli się na rozległym placu.

Tomek poprawił na głowie korkowy hełm, aby osłonić cieniem oczy i rozejrzał się wokoło. W pobliżu stało kilka dwukołowych wozów, których

---

<sup>17</sup> — Wyspa Cejlon (o obszarze 65608 km<sup>2</sup>) leży na Oceanie Indyjskim u południowego wybrzeża Półwyspu Indyjskiego.

boki i półokrągłe budy obciążnięto matami. Pojazdy te zaprzężone były w azjatyckie rogate zebu, które jako bydło stepowe wywodzi się od tura<sup>18</sup>. Tomek dowiedział się od ojca, że podobne do zebu bydło stepowe jest także spotykane w Afryce wśród wielu szczepów murzyńskich. Tam też niektóre jego rasy, jak na przykład wahuma lub watussi, odznaczają się rogami imponującej wielkości, inne wyróżniają się mniej bądź bardziej wydatnym garbem utworzonym przez nagromadzony tłuszcz. Garb ten szczególnie silnie rozwinięty jest właśnie u azjatyckich zebu. Dziwna wydała się Tomkowi wiadomość, iż w Indiach czczą zebu jako święte zwierzę, które trzymane jest w świątyniach, a zabicie go ściąga na winowajcę karę śmierci. Tu na Cejlonie posługiwano się nimi jako zwierzętami pociągowymi. Stały teraz z największą obojętnością w lejącym się wprost z nieba żarze słonecznym. Dalej zauważył Tomek rząd ryksz z siedzeniami umieszczonymi między dwoma wysokimi kołami. Przy każdej z nich czuwał brązowy Syngalez<sup>19</sup>. Na widok białych przybyszów wychodzących z portu, trzech krajowców podbiegło ciągnąc jednoosobowe wózki. Podróżnicy wsiedli do ryksz. Powiozły ich one w głąb miasta prostymi, szerokimi ulicami.

W porcie oraz w dalszych dzielnicach Colombo panował ożywiony ruch. Środkiem ulic przebiegali, tupocząc bosymi stopami, usłudni kulisi i z niezwykłą zwinnością lawirowali rykszami w barwnym tłumie przechodniów. Tomek spoglądał z podziwem na smukłych Syngalezów, którzy zamiast spodni nosili spódnice, a długie, czarne włosy spinali na tyle głowy szylkretowymi grzebieniami. Żółte, zielone i czerwone ich zapaski mieszały się z białymi i niebieskimi opończami Hindusów. Od czasu do czasu Tomek dostrzegał w barwnym tłumie kapłanów ubranych w powłóczyste, żółte szaty. Kobiety — Syngalezki i Tamilki — wyróżniały się błyszczącymi kolczykami i bransoletami. Wielu przechodniów osłaniało głowy kolorowymi parasolami. Po krótkiej, szybkiej jeździe ryksze wiozące naszych podróżników zatrzymały się przed murowanym budynkiem. Tutaj mieściły się biura przedsiębiorstwa transportowego. Okazało się, że słonia i tygrysa można w każdej chwili załadować na statek. Załatwiono więc formalności, po czym podróżnicy w towarzystwie przedstawiciela przedsiębiorstwa, wysokiego i chudego Anglika, udali się po zwierzęta.

---

<sup>18</sup> — tur (*Bos primigenius*) wymarł kompletnie kilkaset lat temu.

<sup>19</sup> — Cejlon zamieszkują Syngalezi, Tamile i Hindusi.

Trzymano je w podmiejskiej posiadłości angielskiego kupca. Niski mur ogradał rozległy park, w głębi którego stał obszerny dom. Nie zwalniając biegu kulisi zatoczyli półkole i przez otwartą, ozdobnie wykonaną, żelazną bramę wbiegli w szeroką aleję. Po jej obydwóch stronach wystrzelały w górę smukłe pnie wysokich palm. Zielone, długie pióropusze liści rzucały ożywczy cień. Dalej roztaczał się cały przepych tropikalnej zieleni. Wśród rozrzuconych rzadko drzew: chlebowych, cynamonowych, goździkowych, magnoliowych i wspaniałych hebanów, widniały niezliczone drzewka: oliwkowe, cytrynowe, pomarańczowe oraz krzewy bananowe o olbrzymich liściach, ukrywających kiście dojrzałych owoców.

Ryksze zatrzymały się przed jednopiętrowym, białym, murowanym domem z głęboką, dobrze ocienioną werandą. Anglik wysiadł pierwszy i zaprosił podróżników do siebie na krótki odpoczynek. Zaledwie usiedli w głębokich, bambusowych fotelach, młody Hindus postawił przed nimi olbrzymie tace pełne wschodnich doskonałych słodczy, owoców oraz zimnych, orzeźwiających napojów.

W czasie gdy jego towarzysze rozmawiali z Anglikiem, Tomek zjadł kilka soczystych owoców, coraz to spoglądając niecierpliwie w głąb parku. Tam zapewne musiał znajdować się słoń, którego mieli zabrać do Australii. Tomek nie widział dotąd egzotycznych zwierząt. Warszawa nie posiadała wówczas jeszcze ogrodu zoologicznego, w którym byłoby można oglądać najrozmaitsze okazy fauny świata. Nic więc dziwnego, że obok ciekawości nurtował go lekki niepokój. Prawdziwy, żywy słoń to zupełnie co innego niż malowany obrazek czy fotografia.

Po krótkiej rozmowie mężczyźni podnieśli się z foteli. Wraz z Tomkiem weszli do rozległego parku. Przy końcu wysypanej drobnym żwirem alei znajdował się starannie utrzymany trawnik. Tam w cieniu kilkusetletniego, olbrzymiego baobabu<sup>20</sup> stał słoń.

Wolno poruszał dużymi uszami, a długą trąbą związał w wiązki leżące przed nim siano i wkładał je do pyska.

Podeszli całkiem blisko. Teraz Tomek spostrzegł na tylnej nodze zwierzęcia szeroką, metalową obręcz. Przymocowany był do niej łańcuch, uniemożliwiający słoniowi oddalenie się od baobabu. Na widok nadchodzących zza drzewa wyszedł Hindus. Zatrzymał się wyczekująco.

---

<sup>20</sup> — Baobab (*Adansortia digitata*) — drzewo z rodziny serecznikowatych.

— To jest opiekun słonia — wyjaśnił Anglik wskazując Hindusa. Słoń powolnym ruchem zwrócił głowę w kierunku Tomka trzymającego w ręku apetyczny owoc. Wyciągnął trąbę, lecz Tomek, niepewny bezpieczeństwa, przezornie schował się za stojącego przy nim Smugę.

— Nie obawiaj się, on ma jedynie ochotę na coś słodkiego — uspokoił go Anglik.

— Czy jednak nie schwyci mnie za rękę? — nie dowierzał Tomek. Słoń, jakby zrozumiał jego obawę, jeszcze raz wyciągnął trąbę, rozwierając szeroko jej otwór. Trąba zawisała w bezruchu.

— Widzisz, nie ma zamiaru zrobić ci krzywdy — powiedział Anglik. Tomek ośmielony spokojnym zachowaniem się zwierzęcia podszedł do niego i włożył owoc w otwór trąby, która powolnym ruchem wsunęła smakołyk do pyska. Hindus zbliżył się do słonia i przyjaźnie pogłaskał go po trąbie.

— On bardzo lubi dzieci — wyjaśnił.

Wilmowski, pamiętając swą rozmowę z Tomkiem na statku, odezwał się:

— Mój syn chciałby wysłać krewnym pamiątkową fotografię z podróży. Wydaje mi się, że mamy w tej chwili doskonałą okazję do zrobienia zdjęcia.

— Posadź chłopca na słonia — zwrócił się Anglik do Hindusa. Tomek przemógł obawę. Zbliżył się do olbrzymiego zwierzęcia. Ręka jego mimo woli dotknęła długiej trąby. Hindus wypowiedział kilka słów w języku nie znanym Tomkowi; trąba delikatnym ruchem owinęła się wokół chłopca. Po chwili znalazł się w powietrzu tuż przy olbrzymiej głowie. Chwycił mocno za duże ucho i wdrapał się z łatwością na grzbiet słonia.

Wilmowski umocował aparat na statywie. Zrobił kilka zdjęć, po czym Tomek, stosownie do rady uprzejmego Anglika, zsunął się na ziemię po trąbie słonia.

— Czy jesteś zadowolony? — zapytał go ojciec.

— Oczywiście, tatusiu. To zdjęcie prześlę wszystkim moim znajomym w Warszawie — orzekł Tomek, żałując w duchu, że nie miał przy sobie wspaniałego sztucera.

Następnie Anglik zaproponował łowcom obejrzenie tygrysa. W cieniu stożkowatego dachu pokrytego matami i wspartego na grubych balach stała bambusowa klatka. Czaiło się w niej wielkie, nadzwyczaj ruchliwe, pręgowane cielsko. Na widok ludzi tygrys zbliżył głowę do bambusowych krat i zmrużył gniewnie ślepią. Mięśnie pyska zadrgały, złowrogo obnażając

duże kły. Rozległy się krótkie, urywane pomruki. Tygrys, uderzając ogonem po cielsku, przywarł do podłogi klatki.

— Trzeba zachowywać przy nim jak największą ostrożność — uprzedził Anglik. — Zaledwie dwa miesiące temu został schwytany i bardzo źle znosi niewolę.

Żółte ślepie tygrysa błyskały gniewnie, szczyrzył lśniąco, białe kły i dzikim pomrukiem groził natrętom.

Tomek zbliżył się do Smugi, który przyglądał się tygrysowi okiem znawcy i zapytał:

— Proszę pana, czy to prawda, że tygrys zawsze przed atakiem przywiera do ziemi i uderza ogonem po bokach?

— To prawda, Tomku. Tygrysy mają już taki zwyczaj objawiania swych nieprzyjaznych uczuć. Nie moglibyśmy stać tutaj beztrosko, gdyby ruchów jego nie hamowały pręty klatki.

— Pan na pewno polował już na tygrysy? — zapytał dalej Tomek.

— Polowałem, w Indiach.

— W które miejsce należy mierzyć, aby natychmiast zabić tygrysa?

— Tygrysy wychodzą na łowy w nocy. W ciemności najdogodniejszy cel stanowią świecące oczy. Jeśli trafisz niezawodnie między parę błyszczących ślepiów, sprawa kończy się błyskawicznie.

— A jeśli się nie trafi?

— Wtedy budzi się człowiek na innym, lepszym świecie — odparł Smuga z uśmiechem.

„Ależ ten bosman Nowicki zna dobrze pana Smugę! — pomyślał Tomek, przypominając sobie wszystko, co żartobliwy marynarz opowiadał mu w przystępie dobrego humoru o zdolnościach strzeleckich wielkiego łowcy. — *On naprawdę strzela tylko między oczy!*”

Wolnym krokiem wracali do ryksz. Wilmowski uzgadniał z Anglikiem przetransportowanie zwierząt na „*Aligatora*”. Tomek idąc za nimi razem ze Smugą, znów zagadnął łowcę:

— Czy ten słoń i tygrys pochodzą z Cejlonu?

— Tygrys pochodzi z Bengalii, to jest z północno-wschodnich Indii, słoń natomiast jest mieszkańcem Cejlonu.

— Jakie jeszcze zwierzęta żyją na Cejlonie?

— Nawet najbardziej wybredny myśliwy znajdzie tutaj dla siebie wspaniałą zwierzynę. Żyją tu, poza słoniami, niedźwiedzie, lamparty, hieny, dzikie koty, bawoły, jelenie, dziki indyjskie, krokodyle, aligatory, olbrzymie okularniki, a ponadto różnorodne małpy i ptaki od najmniejszych do największych.

— Skąd pan to wszystko wie?

— Kilka lat temu polowałem z przyjaciółmi na Cejlonie — wyjaśnił Smuga.

— W której części Indii był pan na polowaniu?

— W ojczyźnie naszego tygrysa, w Bengalii. Łowiliśmy tam dla Hagenbecka bengalskie tygrysy.

— Chciałbym mieć tyle wspomnień co pan.

— Nie zawsze wspomnienia są przyjemne — odparł Smuga. — Właśnie w Bengalii przeżyłem niezwykle przykrą przygodę.

— Bardzo proszę, niech mi pan ją opowie.

— To smutna historia, Tomku. W okolicy, w której polowaliśmy na tygrysy, jeden bardzo złośliwy okaz niepokoił krajowców. Noc w noc porywał im bydło z zagrody. Nie pomagało kopanie dołów z wbitymi w dno zaostrzonymi palami. Wszelkie próby zabicia drapieżnika kończyły się źle dla krajowców. Zwrócono się do mnie z prośbą, abym zabił tego tygrysa. Pewnej nocy urządziłem na niego zasadzkę w pobliżu zagrody.

— Dlaczego nikt więcej nie wziął udziału w tak niebezpiecznym polowaniu?

— Towarzyszył mi tylko Hindus—przewodnik. Tygrys był starym rozbójnikiem, a krajowcy nie posiadali dobrej broni. Podkraść się on do nas w największej ciszy. Gdyby nie zaniepokojenie bydła w zagrodzie, nawet byśmy go nie spostrzegli. Ujrzałem groźny błysk ślepiów nie dalej jak o pięć kroków ode mnie. Zaskoczony niespodziewanym pojawieniem się tygrysa, strzeliłem zbyt pospiesznie. Po strzale zapanowała cisza. Przewodnik, znając moją celność, zaczął rozglądać się za zabitym zwierzęciem, chociaż ostrzegałem go, że nie jestem pewny strzału. On jednak twierdził, że gdybym chybił, tygrys już by się na nas rzucił. Cisza, według jego zdania, oznaczała natychmiastową śmierć. Rozumowanie było logiczne, lecz mnie jakoś nie trafiało do przekonania. Doradzałem cierpliwość. Niestety nie usłuchał i ruszył na poszukiwanie. Po chwili usłyszałem mrozący krew w żyłach ryk



tygrysa i krzyk mego przewodnika. Rzuciłem się na pomoc z karabinem gotowym do strzału. Upłynęło zaledwie kilka sekund, lecz mimo to, gdy nadbiegłem, tygrys dosłownie miażdżył Hindusa. Ujrzałem błysk ślepiów bestii. Strzeliłem i chociaż tym razem byłem zupełnie pewny celności strzału, tygrys nie wypuścił z łap swej ofiary. Widząc, że pochyła się nad moim przewodnikiem szczerząc kły, wepchnąłem kolbę karabinu w rozwartą paszczę. Wtedy skoczył na mnie. Przewróciłem się pod naporem ciężkiego cielska. Były to już wszakże jego ostatnie chwile. Leżąc na mnie, drżał w agonii. W końcu znieruchomiał na zawsze.

— I nic się panu nie stało? — zapytał Tomek, spoglądając z podziwem na Smugę.

— Właściwie nic, porównując z tragicznym wypadkiem mego przyjaciela.

— Ha! Więc jednak nie wyszedł pan cało!

— Tygrys rozorał mi pazurami lewe ramię. Przeleżałem w gorączce prawie dwa miesiące, zagrożony zakażeniem. Spójrzj!

Smuga odwinął krótki rękaw koszuli. Tomek ujrzał głęboką, nierówną bliznę od ramienia do łokcia.

— Ależ to straszne! — wyszeptał.

— Straszna była tylko śmierć mojego przewodnika. Niestety, nie zachował tak koniecznej ostrożności. Wiedzieliśmy, że bengalskie tygrysy są nadzwyczaj niebezpieczne. Okazało się, że moja pierwsza kula ugrzęzła mu w czaszce trochę powyżej oczu. Gdybyśmy cierpliwie czekali do rana, zapewne obyłoby się bez wypadku.

Tomek westchnął ciężko. Pomyślał, że trzeba mieć wiele odwagi, aby polować na takie groźne bestie. Po chwili powiedział:

— Wydaje mi się, że w Australii nie ma tygrysów.

— Jedynym spotykanym tam drapieżnikiem jest dziki pies dingo. Tylko dlatego ojciec zdecydował się zabrać ciebie na tę wyprawę. Nie martw się, Tomku! Będiesz miał wspaniałe wakacje.

— Tak bardzo się cieszę! — radośnie zawołał Tomek. — Cieszyłbym się jeszcze więcej, gdyby pan obiecał zabrać mnie kiedyś na polowanie na... tygrysy.

— Zabiorę cię na pewno, gdy podrośniesz.

— Czy naprawdę jest pan gotów przyrzec mi to?

Smuga pogłaskał go po głowie i potwierdził z całą powagą:

— Przrzekam ci, Tomku!

Podróżnicy powrócili na „*Aligatora*”. Załadunek zwierząt odbył się bez jakichkolwiek przeszkód. Słonia przewiązano szerokimi pasami, a potem za pomocą dźwigu okrętowego przeniesiono na statek. Ulokowano go w boksie obok wielbłądów, natomiast klatkę z tygrysem wstawiono do oddzielnego pomieszczenia, aby swym niespokojnym zachowaniem nie drażnił innych zwierząt.

Uzupełnianie zapasów węgla ukończono tuż przed wieczorem. Dopiero przy srebrnym świetle księżyca „*Aligator*” opuścił bezpieczną przystań w porcie Colombo.

## MIĘDZY CYKLONEM A KŁAMI TYGRYSA

Statek płynął całą parą na południe w kierunku równika<sup>21</sup>. Upał stawał się coraz bardziej dokuczliwy, w kabinach było niezmiernie duszno, toteż podróżnicy spędzali wieczory na pokładzie. Tomek uważnie obserwował konstelacje gwiazdne widoczne z południowej półkuli. Szczególną uwagę zwrócił na pięć jasno płonących gwiazd. Ojciec wyjaśnił mu, że jest to konstelacja zwana Krzyżem Południa, która na półkuli południowej spełnia taką samą funkcję drogowskazu jak Gwiazda Polarna znajdująca się w konstelacji Małego Wozu nad półkulą północną.

Trzeciego dnia po opuszczeniu Colombo piękna dotąd pogoda nagle zaczęła się zmieniać. Na horyzoncie pojawiła się mała, czarna jak smoła chmurka. W atmosferze zapanowała dziwna cisza, a spokojna dotąd powierzchnia morza zaczęła się marszczyć krótką, gniewną falą.

Kapitan Mac Dougal pierwszy wypatrzył szybko rosnącą chmurę. Natychmiast wydał odpowiednie rozkazy. Cała załoga stanęła w pogotowiu. Gwizdki oficerów i tupot nóg marynarzy biegnących na swe stanowiska wywabiły Tomka na pokład. Zbliżył się do ojca.

— Co się stało? Dlaczego wszyscy tak biegają? — zapytał zaniepokojony.

— Kapitan sygnalizuje nadciągającą burzę — odpowiedział Wilmowski. — Smuga poszedł sprawdzić zabezpieczenie zwierząt, możemy wobec tego zobaczyć, jak zaczną się taniec na morzu. Wydaje mi się, że nie unikniemy cyklonu.

— Co to jest cyklon? Jeśli dobrze pamiętam, to ma on coś wspólnego z ciśnieniem powietrza? — przypomniał sobie Tomek.

— Cyklonem zwiemy środek ogniska niskiego ciśnienia wytwarzanego przez gorące powietrze, do którego wiatry wieją ze wszystkich stron. Cyklony

---

<sup>21</sup> — Linie poprowadzone w wyobraźni po powierzchni kuli ziemskiej i łączące oba bieguny nazywa się południkami. Równik zaś jest to koło poprowadzone przez środek południków, dzielące ziemię na dwie równe półkule: północną i południową. Obwód równika wynosi 40 070 368 m.

więj z niezwykłą szybkością. W tych szerokościach geograficznych wywołują gwałtowne deszcze, a często nawet i burze — wyjaśnił Wilmowski.

Wkrótce całe niebo zasnuły czarne chmury. Pierwsze duże, ciepłe krople deszczu przemieniły się niebawem jakby w potoki wód spadające z nieba. Powiał gwałtowny wiatr i w mgnieniu oka zmałcił powierzchnię morza. Burza rozpętała się na dobre. Lunał deszcz. Wilmowski schronił się z Tomkiem do palarni, aby przez okno obserwować walkę żywiołów. Morze szalało we wściekłym tańcu. Olbrzymie fale, rozbryzgujące się pod uderzeniami straszliwej wichury, miotały statkiem. Fale tylne, boczne i przednie mieszały się bezładnie, tworzyły koliska i spienione wiry.

„*Aligator*” uderzany wichrem, kapany po czubki masztów bryzgami rozszalałych fal toczył uciążliwą walkę o swe istnienie. Całą siłą rozdygotanych śrub przecinał wyrastające przed nim olbrzymie fale, kładł się na boki, jakby dla wytchnienia, potem znów wspinał się mozolnie na zwały wodne, ciężko spadał w przepastne otchłanie, trzeszczał w wiązaniach, lecz nie ulegał straszliwym żywiołom.

Strumienie deszczu zdawały się łączyć całkowicie pokrywające niebo czarne chmury z powierzchnią bryzgającego pianą morza. Pomimo pełni dnia zapanowała kompletna ciemność. Na statku rozbłysły światła.

Tomek trzymał się kurczowo oparcia kanapy przytwierdzonej do ściany i ze zgrozą spoglądał przez iluminator na zalewany tonami wody pokład. Wilmowski otoczył syna ramieniem, statek bowiem jak piłka przetaczał się po morzu, przybierał najdziwniejsze, nieoczekiwane położenia, zagrożony straszliwą zagładą.

Wilmowski bacznie obserwował syna. Widział, że Tomek całą siłą woli opanowuje strach. Gwałtowne skoki oraz kołysanie statku przyprawiały go o zawrót głowy. Twarz jego pokryła się bladością.

— Tomku! — zawołał Wilmowski, starając się przekrzyczeć ryk burzy. — Musisz natychmiast położyć się do łóżka. Nie jesteś jeszcze przyzwyczajony do tak silnego kołysania. W kabinie na pewno poczujesz się znacznie lepiej.

— Dobrze, ale co się stanie ze mną, jeżeli zaczniemy tonąć? — odkrzyknął Tomek, czując, że ogarnia go coraz większa słabość.

— Nie ma o to obawy! Chociaż „*Aligator*” jest starym statkiem, taka burza niczym mu nie zagraża. Przeżywał on już cyklony, huragany i tajfuny,

są to wiec jego dawni znajomi. Możesz spokojnie spać, gdy na statku czuwa taki morski wyga jak kapitan Mac Dougal. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa, a tylko zmęczysz się niepotrzebnie tym wariackim kołysaniem.

Z trudem przebrnęli krótki korytarz. Ostrożnie weszli po schodkach i w końcu znaleźli się w kabinie. Tutaj Wilmowski pomógł Tomkowi zdjąć ubranie, położył go do łóżka, nakrył kocem i zapiął pasy zabezpieczające.

Wkrótce Tomek odczuł znaczną ulgę. Bładość zaczęła powoli ustępować z jego twarzy.

— Czy już lepiej się czujesz? — zapytał ojciec, dostrzegając rumieńce na twarzy syna.

— Lepiej, znacznie lepiej — potwierdził Tomek.

— Postaraj się zasnąć. Gdy się przebudzisz, będzie już po burzy.

Zaledwie to wypowiedział, drzwi kabiny otworzyły się z trzaskiem. Bosman Nowicki wpadł jak wichur. Chciał coś powiedzieć, ale jedno spojrzenie na Tomka powstrzymało jego słowa. Dopiero po chwili namysłu krzyknął:

— Ależ to fajna huśtawka! Zupełnie jak na karuzeli na Bielanach!

— Cyklon! Straszliwy cyklon! — zawołał Tomek.

— Jaki tam znów cyklon — roześmiał się bosman. — Wielorybszczaki bujają się na sznurze opasującym dokoła ziemię dla oznaczenia równika i rozhuśtały całe morze, to wszystko.

Tomek zaraz poweselał. Od razu zrozumiał, że bosman żartuje. Przecież na równiku nie było sznura. Wiedział już, że marynarze mają zwyczaj urządzać różne zabawy lub płatać figle w chwili przekraczania równika, toteż zapomniał natychmiast o cyklonie.

— Na pewno teraz mijamy równik! — powiedział, uradowany widokiem dowcipnego przyjaciela.

— Trzymaj się, bracie, mocno swojej koi, ino patrzeć, jak „*Aligator*” zaryje nosem w wodę, aby przemknąć pod sznurem. Wtedy jakiś rozbrykany wieloryb może przypadkiem machnąć nas ogonem i dopiero będzie heca! — odparł bosman.

— Wieloryb to po prostu zwykły kawał — roześmiał się Tomek.

— Takiś cwany? To wiedz, że taki jeden „zwykły kawał” waży około dwóch ton!

— Na pewno nie widział pan wielorybów na linie!

— Tylko dlatego, że na dworze zrobiło się czarno, jak u Murzyna... pod koszulą!

— Zaraz wiedziałem, że to kawał! — śmiał się Tomek.

— Śmieć się, niedowiarku, śmieć! A tymczasem przybiegłem po ciebie, Andrzej, żebyś pomógł nam podnieść ten sznur, bo statek może zawadzić o niego masztami — zakończył bosman, grożąc chłopcu palcem.

— Spróbuj teraz usnąć, Tomku. Wrócę niedługo — rzekł Wilmowski i spokojnie opuścił kabinę.

Zaledwie jednak obydwaj mężczyźni znaleźli się na korytarzu, Wilmowski zaraz zapytał:

— Co się stało, bosmanie?

— Fale uszkodziły iluminator w pomieszczeniu tygrysa — zameldował. — Woda wali tam do wnętrza statku strumieniami. Tygrys rzuca się, jak opętany. Trzeba natychmiast przenieść go gdzie indziej.

Nie tracąc czasu na dalsze wyjaśnienia, pobiegli ku pomieszczeniom zwierząt, przeskakując po kilka stopni na raz. Sytuacja była dość groźna. W pomieszczeniu tygrysa było już sporo wody, która przy każdym przechyleniu statku oblewała zdenerwowane zwierzę. Dwóch ludzi usiłowało zapchać workami otwór iluminatora. Wilmowski, widząc bezskuteczność ich wysiłków, zarządził:

— Pozostawcie iluminator! Przesuńcie drągi przez klatkę. Najpierw przeniesiemy tygrysa, a potem naprawimy uszkodzenie.

Smugą wraz z dwoma marynarzami przesunęli przez klatkę grube bambusowe drągi, a Wilmowski przeciął nożem liny, którymi była przymocowana do uchwyty w podłodze. Woda ze zdwojoną siłą wtargnęła przez odsłonięty iluminator. Tygrys, pomrukując gniewnie, szarpał pazurami bambusowe pręty, aby wydostać się z zalewanej wodą klatki. Z wielkim wysiłkiem przenieśli go do innego pomieszczenia. Następnie zajęli się naprawą uszkodzonego okienka. Minęły co najmniej dwie godziny, zanim zmęczony Wilmowski powrócił do Tomka. Ku swemu zadowoleniu zastał go pogrążonego w głębokim śnie.

Wczesnym rankiem burza zaczęła ucichać. Wprawdzie fale przelewały się jeszcze przez statek i wiatr od czasu do czasu uderzał weń jak taranem,

lecz niebezpieczeństwo minęło. Teraz dopiero część załogi, a wraz z nią i Wilmowski, udali się na zasłużony odpoczynek.

Tomek przebudził się; ze zdziwieniem spostrzegł, że jest już dzień. Promienie słoneczne wdzierały się przez okno do kabiny. Znośne już teraz kołysanie statku było dowodem, że burza ustała jeszcze w ciągu nocy. Tomek odpiął pas ubezpieczający, po czym usiadł na łóżku.

*„Burzy nie ma — stwierdził z zadowoleniem. — Najlepiej pójde postrzelać trochę. Łatwiej zapomnę o bólu głowy”.*

Mimo odczuwanej jeszcze ociężałości umył się starannie i ubrał. Do kieszeni spodni włożył dwie garście naboju. Ze sztucerem pod pachą wyszedł na korytarz. Ciszę na statku mącił jedynie dochodzący z kotłowni głuchy stukot maszyn. Tomek zorientował się, że musiała to być jeszcze bardzo wczesna pora.

*„Tym lepiej — ucieszył się. — Nikt nie będzie mi przeszkadzał, a na śniadanie i tak nie mam teraz apetytu”.*

Zszedł do niższych kondygnacji statku. W pobliżu pomieszczeń zwierząt wydało mu się, że gdzieś obok trzasnęły drzwi. Przystanął wyczekująco. Poza odgłosem pracy maszyn nic nie było słychać.

*„Zdawało mi się zapewne”* pomyślał i ruszył ku strzelnicy. Dotarł do poprzecznego korytarza.

Naraz ujrzał, że drzwi do pomieszczenia tygrysa były otwarte. Przy silniejszych uderzeniach statku uderzały o futrynę.

*„Stąd zapewne pochodziło to trzaśnięcie drzwi”* mruknął Tomek.

Z oburzeniem pomyślał o nieostrożności służby okrętowej. Jak można było nie dopilnować należytego zabezpieczenia pomieszczenia tygrysa.

*„Muszę zamknąć drzwi lub powiadomić ojca albo pana Smugę”* pomyślał.

Niezdecydowany przystanął na korytarzu. Obawiał się zajrzeć do bengalskiego tygrysa, mimo że zwierzę przebywało w klatce. Łatwo jednak mógł narazić się na posądzenie o tchórzostwo, oznajmiając ojcu o niedopatrzaniu służby, którego natychmiast sam nie naprawił.

*„I tak źle, i tak niedobrze — zastanawiał się Tomek. — Ostatecznie nie muszę tam zaglądać. Kiedy drzwi przymkną się same, wystarczy przytrzymać je i zamknąć zasuwę. Potem dopiero powiem ojcu o wszystkim”.*

Odetchnął z ulgą. To było właściwe wyjście z kłopotliwej sytuacji. Podszedł do rozkołysanych drzwi, a gdy znalazły się przy futrynie, chwycił za skobel i zamknął zasuwę.

„*Po kłopocie*” powiedział do siebie uradowany. Wydało mu się teraz, że skoro niedopatrzenie zostało usunięte, to nie ma już potrzeby do natychmiastowego niepokojenia ojca. Powie mu o tym po powrocie ze strzelnicy.

Postanowił zabawić się w polowanie na tygrysy. Błyskawicznie ułożył plan zabawy: Otóż jest sławnym łowcą Janem Smugą. Krajowcy bengalskiej wioski błagają go o zabicie prześladowającego ich tygrysa. Oczywiście nie pozwala nikomu towarzyszyć sobie, ponieważ wyprawa jest bardzo niebezpieczna. Zagroda odwiedzana przez przebiegłego drapieżnika znajduje się w strzelnicy, tygrysem będzie blaszana puszcza zawieszona, jak zwykle, u sufitu; wymalowane na niej kółka zastąpią ślepią krwiożerczej bestii.

Tomek szybko nabił sztucer i podbiegł do drzwi. Otworzył je, jednym skokiem wpadł do pomieszczenia, zatrzasnął drzwi za sobą i oparł się o nie plecami. Spojrzał, chcąc złożyć się do wspaniałego strzału i nagle... zimny pot wystąpił mu na czoło. Szeroko otwartymi oczyma ogarnął mrozący krew w żyłach widok, nie mogąc z przerażenia wymówić ani słowa.

W przeciwległym rogu strzelnicy stał blady jak płótno Smuga, a o dwa lub trzy kroki przed nim czaił się prawdziwy, olbrzymi bengalski tygrys, groźnie szczerząc białe kły.

Czarne płaty przesłoniły Tomkowi wzrok. Nogi ugięły się pod nim. Szybko zamknął oczy myśląc, że przyśnił mu się straszny sen. Dopiero po chwili, która wydała mu się bardzo długa, doszły go słowa wypowiedziane przez Smugę cichym, sugestywnym głosem:

— Spokojnie, tylko spokojnie, nie trzeba się denerwować...

W odpowiedzi rozległ się głuchy, złowrogi pomruk tygrysa.

Naraz myśl, jak błyskawica, olśniła Tomka. Przecież Smuga nie pozwoli uczynić mu krzywdy. Otworzył oczy... Tygrys zmienił położenie. Odwrócił się bokiem do Smugi, obrzucając teraz obydwóch intruzów gniewnym wzrokiem. Sierść zjeżyła się na grzbiecie rozgniewanego zwierzęcia. Marszcząc pysk, groźnie rozwierał paszczę.

Tomek zrozumiał, że musiało zdarzyć się coś nieoczekiwanego, skoro tygrys znajdował się w strzelnicy, a nie tam, gdzie umieszczono go w



Colombo! Teraz dopiero spostrzegł w głębi pomieszczenia bambusową klatkę, lecz o dziwo! Drzwi klatki były zamknięte. W jaki wobec tego sposób tygrys wydostał się na wolność? Chciał zapytać Smugę, co to wszystko znaczy, nie mógł wszakże wydobyć z siebie głosu. Smuga spostrzegł, co się dzieje z Tomkiem i znów go ostrzegł:

— Gdyby chciał skoczyć na ciebie, strzelaj i natychmiast uskocz w bok. Potem biegnij do ojca po ratunek; tylko teraz spokojnie...

Do świadomości Tomka dojrnęło znaczenie słowa „*ratunek*”. Wróciła mu natychmiast przytomność umysłu. Spojrzał na Smugę. Był bez broni. Dłonie Tomka silniej zacisnęły się na sztucerze.

Tygrys poruszył się niecierpliwie. Ogonem zaczął uderzać o podłogę. Pomruk stawał się gwałtowny i gniewny.

„*To tylko puszka, blaszana, duża, bardzo duża puszka*” wmawiał w siebie Tomek, pragnąc w tej dramatycznej chwili całkowicie opanować zdenerwowanie.

Smuga przywarł plecami do ściany. Nieznacznie przesunął się w stronę chłopca, przemawiając bez przerwy spokojnym głosem. Postanowił ocalić go za wszelką cenę. Gdy Tomek strzeli, skoczy między niego i tygrysa. Chociaż na krótką chwilę powstrzyma rozdrażnione zwierzę. Tym samym da Tomkowi możliwość ucieczki.

Tygrys musiał zauważyć manewr Smugi. Cofnął się, jakby chciał zwiększyć pole rozpędu, potem przywarował do ziemi, kilkakrotnie uderzył o nią ogonem, po czym z wściekłym pomrukiem zaczął prężyć się do skoku.

Nawet niedoświadczony w takich sprawach Tomek nie miał ani cienia wątpliwości, że bestia przygotowuje się do ataku. W obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa odzyskał zimną krew. Wiedział już, co powinien uczynić. Błyskawicznym ruchem przyłożył sztucer do ramienia. Zaledwie zdołał „*muszką*” odszukać miejsce między pałającymi gniewem ślepiami, nacisnął spust.

Huk strzału i łomot dwóch ciał walących się całym ciężarem na podłogę, zwały się niemal w jeden odgłos. Nieustraszony Smuga rzucił się bowiem na tygrysa, gdy Tomek strzelił. Teraz człowiek i zwierzę, złączeni w morderczym uścisku, przedstawiali straszliwy widok. Przez krótki moment przetaczali się w zawrotnym tempie; to brązowe, pręgowane cielsko przyciskało człowieka do ziemi, to znów na górze zabieliła się na krótką

chwile jasna koszula Smugi. Tomek odruchowo zarepetował broń. Ruchliwy jak błyskawica cel uniemożliwił powtórny strzał, Tomek chciałby pomóc Smudze, lecz jakaś przemożna siła spętała mu nogi. Nie mógł wykonać żadnego ruchu. Szeroko otwartymi oczyma spoglądał na tę okropną walkę na śmierć i życie.

Naraz opętańczo wirujący po podłodze kłęb ciał znieruchomiał. Drgający konwulsyjnie tygrys przytłaczał Smugę, którego ramiona opasywały kark zwierzęcia tuż przy samym łbie. Rozległ się jeszcze chrapliwy pomruk, a potem zwierzę znieruchomiało. Smuga wciąż leżał na plecach przywalony cielskiem tygrysa. Podłoga wokół nich zaczerwieniła się krwią...

Tomek nie mógł wymówić słowa. Ogarnęła go dziwna słabość. Cała kabina zawirowała mu przed oczyma. Upadł zemdlny. Gdy odzyskał przytomność, ujrzał pochyloną nad sobą twarz Smugi, który siedząc przy nim na podłodze, trzymał jego głowę na własnych kolanach.

— Już wszystko w porządku, Tomku — usłyszał kojący głos łowcy. — Jak się czujesz?

Tomek spojrzał na olbrzymie cielsko tygrysa bezwładnie rozciągnięte na podłodze i... dostał torsji. Dopiero po dłuższej chwili poczuł się lepiej. Twarz jego powoli odzyskiwała normalną barwę. Siedzieli na podłodze oparci plecami o ścianę. Smuga otoczył Tomka mocnym ramieniem.

— Nigdy nie przypuszczałbym, że jesteś tak doskonałym strzelcem — odezwał się Smuga. — Kto nauczył cię tak niezawodnie mierzyć?

— Bosman Nowicki — odparł Tomek. — Tutaj właśnie urządziliśmy sobie strzelnicę.

— Słyszałem, że uczysz się strzelać, ale nigdy nie spodziewałbym się, że w tak krótkim czasie staniesz w rzędzie mistrzów! Ależ ojciec będzie z ciebie dumny!

— Nie jestem wcale tego pewny — odpowiedział Tomek. — Gdyby nie pan, umarłbym ze strachu. Skąd wziął się tutaj tygrys i dlaczego wypuścił go pan z klatki?

— Wichura uszkodziła iluminator w poprzednim pomieszczeniu tygrysa i woda wlewała się do wnętrza. Musieliśmy przenieść go stamtąd.

— Czy to było wtedy, gdy bosman Nowicki wczoraj przybiegł po mego ojca?

— Tak, posłałem go po niego, ponieważ nie mogłem sam opanować sytuacji.

— Bosman nawet nie wspomniał o tym — oburzył się Tomek. — Opowiadał natomiast dowcipy o równiku i wielorybach.

— Nie chciał cię zapewne przestraszyć. Jest twoim wielkim przyjacielem.

— No i co się stało dalej?

— Ulokowaliśmy tygrysa w innym pomieszczeniu, a potem naprawiliśmy iluminator. W czasie przenoszenia klatki ktoś, przez nieuwagę, musiał wyciągnąć zatyczkę rygla, czym spowodował całą tę przykrą historię. O świcie postanowiłem sprawdzić, czy tygrys się już uspokoił. Kiedy wszedłem do niego, drzwi klatki były zamknięte. Widocznie zatrzasnęło je kołysanie statku. Dlatego dałem schwycić się w pułapkę. Znajdowałem się już blisko klatki. Wtem nieoczekiwanie ujrzałem skradającego się za mną tygrysa. Był bardzo zdenerwowany. Próbowałem uspokoić zwierzę, mówiąc do niego, jak to zwykle czynią treserzy. Jednocześnie przesuwałem się nieznacznie, aż dotarłem do kąta, w którym mnie zastałeś.

— Czy pan się nie bał?! — zapytał Tomek, spoglądając z podziwem na łowcę.

— Bałem się, Tomku. Pamiętasz, co opowiadałem ci o mojej przygodzie w Bengalii? Od tej pory dziwnie nie lubię tygrysów. On to widocznie wyczuwał, stawał się coraz bardziej natarczywy. Nagle ty wpadłeś tutaj jak wichur, i wtedy bardzo się przeraziłem. Byłem pewny, że zginiemy obydwaj. Spisałeś się naprawdę wspaniale. Ocaliłeś siebie i mnie!

— Dlaczego rzucił się pan po strzale na tygrysa?

— Nie wiedziałem, że jesteś tak niezawodnym strzelcem. Obawiałem się o ciebie. Było to niepotrzebne, trafiłeś bestię dokładnie między ślepia. Tygrys znajdował się już w agonii, gdy usiłowałem go powstrzymać.

— Wiec chciał mnie pan zasłonić! — szepnął Tomek głęboko wzruszony.

— Prawdę mówiąc, bardzo bałem się o ciebie. Czyż mogłem odgadnąć, że zachowasz się tak dzielnie?

— Zdobyłem się na to tylko dzięki panu. Umierałem wprost ze strachu — przyznał się Tomek cichym głosem.

— Mimo woli zapolowaliśmy wspólnie na tygrysa — powiedział Smuga, uśmiechając się do Tomka. — Ten zabawny staruszek z Port Saidu nie przypuszczał zapewne, że jego wróżba urzeczywistni się tak szybko. Chodźmy teraz powiadomić o wszystkim twego ojca i kapitana Mac Dougala.

## DORADCA Z MELBOURNE

Zastrzelenie tygrysa wywołało wśród załogi duże poruszenie. Przecież tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności obyło się bez tragicznych następstw. Gdyby ktoś mniej od Smugi doświadczony w obcowaniu z dzikimi zwierzętami znalazł się nieoczekiwanie sam na sam z uwolnionym tygrysem, najprawdopodobniej nie uniknąłby śmierci. Wszyscy jednomyślnie stwierdzili, że zabicie bestii było jedynym wyjściem z sytuacji. Spisano szczegółowy protokół zajścia; zwierzęta przed załadowaniem na statek w Colombo zostały ubezpieczone od wypadku i należało poczynić starania o pokrycie poniesionej straty.

Tomek stał się bohaterem. Kapitan Mac Dougal osobiście powińszował mu celności strzału. Wilmowski był szczęśliwy i dumny z syna. Nie ulegało przecież wątpliwości, że Tomek uratował życie swoje i Smugi. Oczywiście wśród słów uznania dla chłopca, nie brakło i pochwał dla bosmana Nowickiego, który ćwiczył go w strzelaniu.

Dla upamiętnienia wspólnej niebezpiecznej przygody Smuga ofiarował Tomkowi upominek. Wręczył mu nowy rewolwer bębnekowy, systemu Colta, wraz z futerałem, pasem i nabojami.

Tymczasem statek zbliżał się do kontynentu australijskiego. Celem podróży był Port Augusta, leżący w głębi zatoki Spencera, w południowej części Australii. W porcie tym łowcy mieli spotkać się z zoologiem Karolem Bentleyem, zarządcą ogrodu zoologicznego w Melbourne. Stosownie do umowy z Hagenbeckiem miał on towarzyszyć wyprawie w głąb lądu w charakterze doradcy.

Tomek niecierpliwie oczekiwał dnia wylądowania w Australii. Ciekaw był ujrzeć ten tajemniczy najmniejszy i najpóźniej odkryty kontynent na kuli ziemskiej<sup>22</sup>. Doskonale pamiętał, z często przeglądanych atlasów geograficznych, prawie owalny kształt australijskiego lądu o słabo rozczłonkowanej linii wybrzeża oraz najdłuższą na ziemi — Wielką Rafę Koralową, zamykającą na przestrzeni dwóch tysięcy kilometrów dostęp do północno-wschodniego brzegu. W czasie podróży wertował uważnie

---

<sup>22</sup> — Powierzchnia Australii wynosi 7,7 milionów km<sup>2</sup>, co równa się  $\frac{4}{5}$  powierzchni Europy.

szczegółową mapę Australii; wtedy dziwił się nieraz, ile to w niej znajduje się pustyń: Wielka Pustynia Piaszczysta, Pustynia Gibsona, Wielka Pustynia Wiktorii<sup>23</sup>... — odczytywał i w wyobraźni widział bezkresne obszary pokryte piachem bądź też inne części lądu porośnięte nieprzebytą gęstwiną poplątanych z sobą karłowatych akacji i eukaliptusów, tworzących tak zwany „*scrub*” lub też porośnięte bujnie krzewiącą się, ostrą jak nóż trawą, „*spinifex*”. Nieliczne najlepiej nadające się do zamieszkania dla człowieka tereny, okalał od wschodu długi łańcuch gór<sup>24</sup>, a od zachodu budzące grozę pustkowia. Wprawdzie ojciec tłumaczył Tomkowi, iż europejscy osadnicy potrafili doskonale zadomowić się w na pozór niegościnnym kraju, lecz mimo to chłopiec zdawał się teraz lepiej rozumieć, dlaczego właśnie Australię najpierw wyznaczono na miejsce zesłań angielskich skazańców.

Tomek już znał w ogólnych zarysach historię piątego kontynentu. Holendrzy odkryli go dopiero w XVII wieku. Właściwy jednak okres wielkich badań w Australii rozpoczęli Anglicy. Dotrzeć bowiem do jej wschodniego wybrzeża udało się, jako pierwszemu, Jamesowi Cookowi<sup>25</sup>, który w 1770 roku odkrył Zatokę Botany<sup>26</sup> w pobliżu .dzisiejszego Sydney. W osiemnaście lat później kapitan Phillip<sup>27</sup> przybył tam z pierwszym transportem więźniów i założył angielską kolonię karną. Australia nie cieszyła się przez dłuższy czas zbyt dobrą opinią. Już sam ten fakt napawał Tomka pewnym niepokojem, a teraz przypomniał mu o konieczności zetknięcia się z krajowcami podczas łowów. Polowanie miało przecież odbywać się na terenach jeszcze nie skolonizowanych. Tomek dotychczas znał rdzennych Australijczyków jedynie z fotografii w książkach. Nie wyglądali oni na nich przyjaźnie. Byli to zawsze półnaczy, ciemnobrunatni mężczyźni o silnie spłaszczonych nozdrzach, szerokich ustach i bujnym, wełnistym, czarnym owłosieniu. Ciała ich pokrywały blizny po tatuażu i wymalowane białe pasy, w rękach dzierżyli dzidy bądź bumerangi. Szczególnie to ostatnie nie było zbyt zachęcające.

---

<sup>23</sup> — Pustynie te znajdują się w zachodniej części kontynentu.

<sup>24</sup> — Góry Australijskie, zwane również Kordylierami Australijskimi, ciągną się nieprzerwanym łukiem wzdłuż wschodnich wybrzeży Australii. Wśród płaskich stoliw na południu wyróżniają się Góry Błękitne i Alpy Australijskie z najwyższym szczytem kontynentu: Górą Kościuszki.

<sup>25</sup> — James Cook (czytaj Dżems Kuk) — angielski żeglarz, jedna z najwybitniejszych postaci w historii odkryć geograficznych.

<sup>26</sup> — Botany Bay (czytaj Boteny Bej) — Botaniczna Zatoka.

<sup>27</sup> — Artur Phillip (czytaj Fylyp).

Czyż nie mówiono powszechnie, że krajowcy australijscy należą do najbardziej dzikich i prymitywnych ludów świata?

„*Ho, ho! Oni na pewno nie lubią białych ludzi — rozmyślał Tomek. — Cookowi nie udało się nawiązać z nimi kontaktu. Nie przyjęli nawet ofiarowanych im przez niego świecidełek, barwnego płótna i żywności! Czyż to nie Cook orzekł wtedy: niewątpliwie jedynym ich życzeniem było, abyśmy się czym prędzej wynieśli z ich ziemi*”.

„*Nawet nie dziwię się tym krajowcom!* — monologował Tomek. — *Któż mógłby życzyć sobie zawojowania własnego kraju przez najeźdźców?*”

Tak rozumując, miał coraz więcej wątpliwości, w jaki sposób zostaną przyjęci przez tubylców. Skorzystał z pierwszej nadarzającej się ku temu okazji, by porozmawiać na ten temat z ojcem i Smugą.

— Mam pewne obawy, czy australijscy krajowcy zechcą nam pomagać w łowach — zagadnął. — Przecież oni prawdopodobnie nigdy nawet nie słyszeli o panu Hagenbecku, dla którego wyruszyliśmy na tę wyprawę po dzikie zwierzęta.

— Jestem tak samo pewny jak ty, że krajowcy australijscy nie znają Hagenbecka — odpowiedział Smuga — skoro jednak proponujemy im należyte wynagrodzenie, powinni zgodzić się na udział w polowaniu.

— Więc my ich po prostu wynajmiemy do pomocy w łowach? — zdumiał się Tomek.

— Tak właśnie mamy zamiar postąpić — wyjaśnił Smuga. — Niewątpliwie będzie to mniej kosztowne niż przewożenie odpowiedniej liczby ludzi z Europy. Podczas wszystkich naszych wypraw korzystamy z usług ludności miejscowej.

— Ciekaw jestem, czy Australijczycy dobrze odnoszą się do białych ludzi? — pytał Tomek, pragnąc do reszty rozwiać swe obawy.

— Nigdy nie słyszałem, aby prowadzili jakiegokolwiek poważniejsze walki z osadnikami — wtrącił Wilmowski. — Australijczycy są na ogół łagodni i bardzo gościnni, chociaż mieliby dość powodów do zniechęcenia kolonizatorów.

— A to dlaczego? — zdziwił się Tomek.

— Należy pamiętać, że w pierwszych latach osadnictwa doznali wielu krzywd. Tępiono ich bezlitośnie przy każdej okazji, racząc nawet zatrutą żywnością i wódką. Szczególnie okrutny los spotkał nieszczęsnych

Tasmańczyków, których mordowano tak barbarzyńsko, że ostatnia Tasmanka zmarła już w 1876 roku.

— To naprawdę straszne — wyszeptał oburzony Tomek.

— Europejczycy nigdy nie przebierali w środkach zagarniając nowe kontynenty. Ludność miejscowa w każdym przypadku musiała ustępować im najlepsze ziemie i podporządkowywać się całkowicie ich woli lub ginąć. Krajowców, którzy mieli odwagę upominać się o swe słuszne prawa, mordowano bez litości, oskarżając o dzikość, wrogość i brak kultury. Tak się działo w Afryce, Ameryce oraz w Australii i Tasmanii.

— Jeszcze powiedz mi, tatusiu, ilu krajowców żyje obecnie w Australii? — dopytywał się chłopiec.

— Jest ich tam kilkadziesiąt tysięcy. Mieszkają przeważnie w głębi kontynentu oraz na terenach północno-zachodnich, najmniej nadających się do skolonizowania.

Tomek uspokojony, z tym większym zainteresowaniem spoglądał na zarysowujące się w dali urwiste brzegi Australii Południowej.

Pięćdziesiątego szóstego dnia od opuszczenia Triestu „*Aligator*” wpłynął do najgłębiej wdzierającej się w ląd australijski Zatoki Spencera. Natychmiast po zarzuceniu kotwicy w Port Augusta, Wilmowski przyprowadził na statek oczekującego już na nich zoologa Karola Bentleya. Sprawił on Polakom uczestniczącym w wyprawie miłą niespodziankę. Witając się z Tomkiem, zapytał po polsku:

— Czy i ty, młody kawalerze, bierzesz udział w wyprawie?

— Och, pan mówi po polsku! — zawołał Tomek uradowany.

— Tego się naprawdę nie spodziewaliśmy — dodał Wilmowski, nie mniej zdziwiony od syna.

— Nie tylko znam język polski, ale uważam się nawet w pewnej mierze za Polaka — wesoło odparł Bentley. — Zrozumiecie wszystko, gdy wyjaśnię, że mój ojciec jest Anglikiem, a matka Polką.

— Nic nam o tym nie wspomniano — zauważył Smuga. — Hagenbeck zarekomendował pana jako Anglika.

— Nie uważałem za konieczne wtajemniczać Hagenbecka w moje prywatne sprawy. Natychmiast jednak zwróciłem uwagę na wasze nazwiska wymienione w liście. Poprosiłem o bliższe informacje. Otrzymane wyjaśnienia nakłoniły mnie do przyjęcia propozycji. Z niecierpliwością też



oczekiwałem na przybycie rodaków mojej matki. Musiałem jej obiecać, że po ukończeniu łowów przywiozę was do Melbourne.

— Niech mnie połknie wieloryb, jeżeli ta wyprawa do Australii nie pachnie coraz przyjemniej — mruknął bosman Nowicki.

— Teraz mogę spokojnie ponowić moje pytanie — powiedział Bentley. — Czy panowie mają zamiar zabrać na wyprawę tego młodego kawalera?

— Oczywiście! Dlaczego pan o to pyta? — zaniepokoił się Wilmowski.

— Oczekują nas znaczne trudy i być może niebezpieczeństwa. On jest przecież zbyt młody — odparł Bentley.

— Ten młody chłopiec zabił jednym strzałem ze sztucera pańskiego tygrysa i ocalił swoje oraz moje życie — wtrącił się Smuga do rozmowy.

— Poinformowano mnie już o konieczności zastrzelenia tygrysa w czasie transportu, lecz nie wiedziałem, że dokonał tego młody pan Wilmowski — zdziwił się Bentley, spoglądając na Tomka z uznaniem. — Jeśli sprawy się tak przedstawiają, cofam moje zastrzeżenia. Chodziło mi tylko o jego bezpieczeństwo.

— Panie szanowny, Polacy nie są tak bardzo wrażliwi na własne bezpieczeństwo — odezwał się bosman Nowicki. — Tomek to wprawdzie jeszcze pędrak, lecz może pan być o niego zupełnie spokojny. Dopóki ma przy sobie swoją pukawkę, nie stanie mu się krzywda.

Tomek spojrzał z wdzięcznością na bosmana, gdyż po jego słowach Bentley uśmiechnął się życzliwie i nie stawiał dalszych zastrzeżeń.

— Przed wszystkim musimy omówić sposób przewiezienia słonia do Melbourne — zwrócił się Wilmowski do zoologa.

— Nie będzie z tym żadnego kłopotu — odparł Bentley. — Oczekuje już na niego specjalny wagon kolejowy oraz dwóch ludzi z obsługi ogrodu zoologicznego.

— Kiedy chce go pan zabrać ze statku? — pytał Wilmowski.

— Jutro rano, jeżeli termin ten będzie panom odpowiadał.

— Dobrze. Jutro rano wylądujemy również pięćdziesiąt wielbłądów, przywiezionych z Port Sudan dla tutejszej firmy spedycyjnej. W ten sposób od razu pozbędziemy się całego ładunku.

— Wobec tego możemy omówić plan działania na najbliższe dni. Zgodnie z umową poczyniłem już pewne przygotowania. Powinienem panów obecnie powiadomić o nich — oświadczył Bentley.

— Słuchamy — rzekł Wilmowski.

— Przede wszystkim należało wybrać tereny nadające się do przeprowadzenia zamierzonych łowów — zaczął Bentley. — Z otrzymanych informacji wiem, że macie zamiar łowić różne gatunki kangurów, to znaczy: rude, niebieskie, szare, skalne i wallabi. W nadesłanym spisie figurowały również strusie emu, dzikie psy dingo, niedźwiadki koala, kolczatki, latające lisy workowate, zwane tutaj kuzu, wombaty, poza tym lirogony, czarne łabędzie, zimorodki olbrzymie i ptaszki altanowe. Wydaje mi się, że powinniśmy rozpocząć polowanie od chwytania kangurów i emu, bowiem łowy na te szybko biegające zwierzęta wymagają współdziałania większej liczby krajowców. Zorganizowanie naganiaczy pochłonie nam najwięcej czasu. Ułożyłem program łowów w ten sposób, że wyprawa, posuwając się z zachodu na wschód przez tereny Nowej Południowej Walii, będzie miała możliwość chwytania poszczególnych gatunków zwierząt. Jednocześnie wzięłem pod uwagę konieczność odsyłania złowionych okazów na statek. Dlatego też marszruta wyprawy co pewien czas przebiega w pobliżu linii kolejowych.

— Bardzo słusznie — pochwalił Smuga. — Częściowe odsyłanie zwierząt na statek ułatwi nam wykonanie zadania.

— O to mi głównie chodziło — ciągnął Bentley. — Z Port Augusta pojedziemy koleją do Wilcannii, miasteczka nad rzeką Darling. Stamtąd udamy się wozami na północny zachód do stacji hodowlanej Johna Clarka, byłego pracownika transkontynentalnego telegrafu<sup>28</sup>. W okolicy jego farmy zapolujemy na rude i niebieskie kangury oraz na emu i dingo. Tę część łowów musimy przeprowadzić jak najszybciej. Tegoroczna zima jest dość sucha, toteż z nastaniem lata zwierzęta rozpoczną dalekie wędrówki w poszukiwaniu wody. Z farmy Clarka powędrujemy w kierunku południowo-wschodnim, gdzie w lasach parkowych żyją szare kangury. Na zachodnich stokach Alp Australijskich znajdziemy wombaty, kuzu, niedźwiadki koala, zimorodki olbrzymie, czyli kookaburry, a w pobliskim Gippslandzie lirogony i czarne łabędzie. Wydaje mi się, że będziemy mogli zakończyć łowy u stóp Alp Australijskich. W naszym ogrodzie zoologicznym posiadamy tyle ptaków, że chętnie wymieniamy je na inne okazy.

---

<sup>28</sup> — W 1872 roku ukończono budowę linii telegraficznej o długości 3157 km, przecinającej kontynent z południa na północ.

— Czy pan Clark został uprzedzony o naszym przybyciu? — zapytał Wilmowski.

— Oczywiście, nawet omówiłem z nim całą sprawę. Ponadto przed dziesięcioma dniami wysłałem do niego doskonałego tropiciela zwierząt, krajowca Tony'ego. Do tej pory na pewno rozejrzał się już po okolicy.

— Czy znajdziemy tam pomoc konieczną do przeprowadzenia łowów? — dalej pytał Wilmowski.

— W pobliżu farmy Clarka zazwyczaj koczują dość liczne plemiona krajowców. Poleciałem Tony'emu, aby starał się namówić je do wzięcia udziału w polowaniu.

Tomek, słysząc te słowa, natychmiast zwrócił się do Bentleya:

— A co zrobimy, proszę pana, jeśli krajowcy odmówią nam swej pomocy?

— Wolałbym nie przewidywać tej ewentualności, ponieważ w takim przypadku cała nasza wyprawa mogłaby minąć się z celem.

— Czyżby to oznaczało, że bez współudziału krajowców nie możemy łowić zwierząt? Czy oni naprawdę są aż tak doskonałymi łowcami? — niedowierzająco zapytał Tomek.

— Poruszyłeś od razu dwie sprawy — odparł Bentley przyjaźnie. — Po pierwsze, jak już zaznaczyłem na początku naszej rozmowy, łowienie większej liczby dzikich zwierząt najłatwiej odbywa się przy udziale dobrze zorganizowanej, dużej nagonki. Polowanie trwa wtedy znacznie krócej, a więc jest mniej męczące dla łowców i jednocześnie nie denerwuje tak bardzo zwierząt, dla których gwałtowna zmiana warunków życia często oznacza zagładę.

W Australii trudno jest zdobyć robotników. Mało tu mamy białych ludzi i dlatego praca ich musi być drogo opłacana. W takiej sytuacji, jeśli w głębi lądu nie zdołamy namówić krajowców do udziału w łowach, to i nasza wyprawa może zakończyć się niepowodzeniem.

Zapytałeś również, czy rdzenni Australijczycy są doskonałymi łowcami. Otóż mogę cię zapewnić, iż tak jest w rzeczywistości. Ciężkie warunki egzystencji wpłynęły na niezwykły rozwój ich zmysłu odkrywania i tropienia śladów zwierzęcych. Ponadto mają olbrzymią wprawę w organizowaniu polowań z nagonką. Krajowcy są świetnymi znawcami tutejszej fauny i flory. Jeżeli oni nie będą mogli wytropić poszukiwanego przez ciebie zwierzęcia, to

najlepiej zrobisz rezygnując z dalszych łowów. Teraz chyba zrozumiałeś, dlaczego tak wielką wagę przywiązuję do ich udziału w polowaniu?

— Tak, tak, proszę pana. Mam nadzieję, że uda się nakłonić krajowców do udzielenia nam pomocy. Pan Smuga wspominał mi już, że obiecamy im dobre wynagrodzenie za poniesione trudy — gorąco zapewnił Tomek.

Bentley skinął głową w kierunku chłopca i zaraz odezwał się do Wilmowskiego.

— Ilu własnych ludzi ma pan zamiar zabrać na tę wyprawę?

— Przede wszystkim idzie z nami pan Smuga. Jak zwykle będzie czuwał nad naszym bezpieczeństwem. Kapitan Mac Dougal zgodził się na udział w wyprawie czterech marynarzy z „*Aligatora*”. Nie będą mu oni potrzebni w czasie przybrzeżnej żeglugi. Wśród nich znajduje się bosman Nowicki. Poza tym mamy pięciu ludzi oddanych do naszej dyspozycji przez Hagenbecka, specjalnie przeszkolonych w obchodzeniu się ze zwierzętami. To już wszyscy.

— Zapomniał pan o kimś. Zabieramy przecież młodego pogromcę tygrysów — dodał Bentley.

— Tomek i ja stanowimy jedną osobę, o której w ogóle nie mówiłem.

— Wydaje mi się, że jest to wystarczająca liczba ludzi, chociaż oczekuje nas niemało pracy — powiedział Bentley. — Należy wziąć pod uwagę, że z każdą partią zwierząt odsyłanych na statek odjedzie ktoś obeznany z dozorem i hodowlą.

— Oczywiście, jest to konieczne, gdyż w innym przypadku kapitan Mac Dougal miałby zbyt wiele kłopotu. Musimy przecież dostarczać zwierzętom pomieszczonym na „*Aligatorze*” odpowiedniego pożywienia.

— Pierwsza partia schwytanych okazów nie będzie zbyt długo przebywała na statku — wyjaśnił Bentley. — Poleciałem zbudować w pobliżu Port Augusta prowizoryczne zagrody. Zabierzemy stamtąd zwierzęta dopiero przed samym odjazdem.

— Bardzo słusznie. Kiedy możemy wyruszyć w głąb lądu?

— Im wcześniej, tym lepiej. Jak już zaznaczyłem, obawiam się, że lato będzie upalne i suche. Wyschnięcie rzek utrudni nam łowy. Australia nie obfituje w nadmiar wody.

Tomek uważnie przysłuchiwał się rozmowie. Spoglądał na mapę, na której Bentley wskazywał wymieniane miejscowości.

Zauważył, że stacja hodowlana Clarka znajdowała się na wschód od wielkich jezior.

— Czy nie moglibyśmy łowić zwierząt w okolicy tych jezior widocznych na mapie? — zapytał nieśmiało. — Tam mielibyśmy wody pod dostatkiem.

— Tak wydawałoby się patrząc na mapę — odparł wyrozumiale Bentley — lecz w okolicy tych właśnie wielkich jezior sławni odkrywcy i podróżnicy ginęli z pragnienia. Okazale wyglądające na mapie jeziora: Torrensa, Eyre<sup>29</sup>, Gairdner, Amadeus i inne są w rzeczywistości szlamistymi bagnami lub słonymi błotami w znacznej części porośniętymi trzciną. W zimie nie nadają się do żeglugi, w lecie natomiast, pod wpływem silnego parowania, zmieniają się w niecki wypełnione słonawą gliną. Również wielu rzek widniejących na mapie nie można znaleźć w terenie, nie tylko w czasie długotrwałej suszy, lecz nawet podczas gorącego lata. Wędrujesz wtedy bosą śródkiem koryta rzeki, a stopy nie odczuwają ani śladu wilgoci.

— Kiedy wyruszamy w drogę? — krótko zapytał Smuga.

— Pojutrze rano, jeżeli pan Bentley zgodzi się na to powiedział Wilmowski.

— Zgoda, bo, jak już zaznaczyłem, im wcześniej, tym lepiej dla nas potwierdził Bentley.

---

<sup>29</sup> — Edward Jan Eyre odkrył w 1840 r. wielkie jezioro w Centralnej Australii, które nazwano jego imieniem. Jezioro Eyre, największe z australijskich jezior, ma powierzchnię 7690 km<sup>2</sup> i zbiera wody z obszaru czterokrotnie większego od powierzchni Polski. Mimo to jezioro Eyre i rzeki do niego wpływające wysychają w okresie dużej suszy. Tak samo wysychają jeziora: Torrensa (5775 km<sup>2</sup>) Gairdner (4765 km<sup>2</sup>) i inne.



## PIONIERZY AUSTRALIJCY

Do czasu opuszczenia statku Tomek nie mógł zbyt długo usiedzieć na jednym miejscu. Co chwila można go było dostrzec gdzie indziej. To przechylał się przez burtę „*Aligatora*”, by popatrzeć na ląd, to znowu schodził do pomieszczenia zwierząt żegnać się ze słoniem, któremu solennie obiecywał odwiedziny w ogrodzie zoologicznym w Melbourne, potem wpadał do kuchni, gdzie pałaszował smakołyki podsuwane mu przez kucharza, a stąd pędził z powrotem na pokład, by przyjrzeć się wyładunkowi wielbłądów. Przy każdej okazji zwracał się do Bentleya z prośbą o różne wyjaśnienia oraz wypytywał kapitana Mac Dougala, czy nie będzie mu smutno pozostać w porcie, podczas gdy inni wyruszą na emocjonujące łowy. Uspokoił się nieco dopiero, kiedy nadeszła pora opuszczenia statku. Jako ostatnie przeniesiono na wybrzeże paki ze sprzętem obozowym oraz żywnością i różnymi przedmiotami przeznaczonymi dla członków ekspedycji, które zaraz przetransportowano na dworzec kolejowy.

Tomek przybierał poważną minę, krocząc przez miasto obok ojca. Wydawało mu się, że nie wypada być w zbyt wesołym nastroju, przecież tak jak jego dorośli towarzysze szedł ze sztucerką na ramieniu, a na prawym boku czuł rozkoszny ciężar tkwiącego w pochwie colta. Z zadowoleniem zerkał na przechodniów, którzy zwracali uwagę głównie na niego. Zdobywał się więc na jak najbardziej obojętny wyraz twarzy, myśląc: „*Jaka szkoda, że ciotka Janina, wuj Antoni i ich dzieciarnia nie mogą teraz mnie zobaczyć! Hm, a co powiedziałby na to Jurek Tymowski?!*”

Ku jego zdziwieniu Port Augusta, chociaż znajdował się w tej dziwnej Australii, niczym niemal nie różnił się od widzianych uprzednio podczas podróży miast portowych. Nawet dworzec kolejowy bardzo przypominał swym wyglądem takie same spotykane w Europie. Przy wychodzeniu na peron nikt nie pytał o bilety. Bez jakiegokolwiek kontroli wsiadało się do wagonu pierwszej lub drugiej klasy, a wszystkie bagaże podróżni przekazywali konduktorowi. Tomek początkowo nie mógł się jakoś z tym pogodzić. Przecież w Warszawie każdy pasażer skwapliwie pilnował swej własności. Chwila roztargnienia mogła grozić utratą walizy czy kuferka. Jakże więc tu w tym „*dzikim*” kraju można by zapomnieć o elementarnej

ostrożności? Obawy Tomka rozwiało dopiero zapewnienie Bentleya, że w Australii nikt nie przewozi bagaży w przedziałach osobowych. Codziennie praktykowanym zwyczajem konduktor zabiera je do wagonu towarowego, a potem zwraca każdemu podróżnemu jego własność przy wysiadaniu na właściwej stacji.

„*Widocznie co kraj, to inny obyczaj*” sentencjonalnie pomyślał Tomek, sadowiąc się wygodnie w wagonie naprzeciw Bentleya.

Niecierpliwie oczekiwał, kiedy kobieta naczelnik stacji da znak do odjazdu. W końcu nadeszła ta upragniona chwila. Rytmiczny stukot kół wolno jadącego pociągu przyprawił go o szybsze bicie serca. Oto rozpoczął nareszcie swoją wielką wyprawę w głąb tajemniczego kontynentu. Początkowo z zaciekawieniem obserwował przesuający się za oknem krajobraz, wkrótce jednak, lekko zawiedziony zbyt „*cywilizowanym*” wyglądem Australii, odwrócił się do swych towarzyszy. Rozejrzał się po przedziale. Smuga spał w najlepsze od wyruszenia pociągu ze stacji w Port Augusta. Głowa olbrzymiego bosmana Nowickiego kiwała się na wszystkie strony. Ojciec oraz inni uczestnicy wyprawy z powodzeniem udawali się w jego ślady. Tomek zaniepokojony zaczął wątpić w pomyślne odbycie łowów w towarzystwie tak ospałych towarzyszy i dopiero odetchnął lżej spojrzawszy na Bentleya. On jeden nie spał jeszcze, jakkolwiek widać było, że ogólna senność powoli zaczyna się udzielać i jemu.

„*Jeżeli pan Bentley również zaśnie, to umrę z nudów*” pomyślał Tomek. Aby też nie dopuścić do tej okropnej dla siebie ewentualności, zaczął wiercić się i chrząkać, a gdy tylko Bentley zwrócił na niego uwagę, zagadnął:

— Może się to wyda panu niemądre, ale zupełnie inaczej wyobrażałem sobie Australię.

— Czyżby zawiodła ona twoje oczekiwania? — zaciekawił się Bentley.

— Przyznam się, że jak do tej pory, Australia bardzo przypomina mi rodzinne strony. Wszędzie widać pola uprawne, ogrody owocowe lub pastwiska. Tyle tylko, że więcej tutaj owiec niż u nas i pastuchy jeżdżą na koniach.

Bentley uśmiechnął się do chłopca, a potem odparł:

— Mówisz, mój drogi, że Australia za bardzo przypomina ci Europę? Jeżeli spodziewałeś się zastać tutaj więcej egzotyki, to mogę cię całkowicie uspokoić. Na razie znajdujemy się jeszcze w dobrze skolonizowanym pasie



przybrzeżnym, lecz wkrótce zmieni się krajobraz. Jestem ciekaw, jak ty sobie wyobrażałeś ten kraj?

— Byłem przekonany, że powierzchnię Australii w większej części pokrywają bezkresne stepy i pustynie, w których czyhają na człowieka najrozmaitsze niebezpieczeństwa. Słyszałem nawet, że łatwo tu o złą przygodę z rozbójnikami!

— No, co do tych rozbójników, to już obecnie nic nam od nich nie grozi. Kilkanaście lat temu paru śmiazków istotnie dopuszczało się pewnych wybryków. Było to w okresie panującej tutaj gorączki złota. Natomiast nie myliłeś się, co do wyglądu krajobrazu większej części Australii. Poczekaj tylko, aż posuniemy się dalej na północ. Na tym olbrzymim kontynencie znajdują się jeszcze całe połacie ziemi nie tknięte stopą białego człowieka.

— Czy nie zechciałbyś mi powiedzieć, któż to naopowiadał ci o tych australijskich rozbójnikach?

— Dowiedziałem się o tym z książek polskich podróżników, którzy spędzili w Australii ładnych parę lat.

— To zaczyna być bardzo interesujące! Jakich podróżników masz na myśli?

— Byli to Sygurd Wiśniewski i Seweryn Korzeliński<sup>30</sup>.

Bentley myślał chwilę, jakby szukał w pamięci wymienionych przez Tomka nazwisk, po czym odezwał się:

— Nie mogę sobie przypomnieć, abym kiedykolwiek słyszał coś o tych polskich podróżnikach. Chyba nie należą oni do odkrywców na kontynencie australijskim?

---

<sup>30</sup> — Wiśniewski Sygurd urodził się w Paniowcach nad Zbruczem w 1841 r.; zmarł w Kołomyi w 1892 r. Zwiedził Bałkany, w 1860 r. brał udział w kampanii sycylijskiej pod wodzą Garibaldięgo, a potem przebywał dłuższy czas w Australii, gdzie między innymi pracował w kopalni złota. Przewędrował wschodnią część kontynentu australijskiego, Nową Zelandię, część wysp Oceanii i Antyle. Podczas następnych dwóch podróży przebywał w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Pod koniec życia powrócił do Polski; napisał i wydał w 1873 r. książkę pt. „**Dziesięć lat w Australii**”. Korzeliński Seweryn urodził się w 1804 r., a zmarł w 1876 r. Był oficerem w powstaniu listopadowym (1830–31) i brał udział w węgierskim powstaniu (1848–49) pod komendą generała Dembińskiego; otrzymał rangę majora. Potem tułał się po Francji i Anglii, skąd z grupą emigrantów polskich wybrał się do Australii. Tam pracował w kopalni złota. Po czteroletnim pobycie w Australii powrócił do kraju. Od 1860 r. był dyrektorem Szkoły Rolniczej w Czernichowie pod Krakowem. W 1858 r. wydał dzieło: „**Opis podróży do Australii i pobytu tamże od r. 1852 do 1856**”.

— Pytałem już o to tatusia, który powiedział mi, że Wiśniewski nie był ani odkrywcą, ani uczonym badaczem. Wprawdzie brał on udział w jednej ekspedycji<sup>31</sup> w głąb Australii, ale szybko się z niej wycofał.

— Oto właśnie wytłumaczenie, dlaczego nic o nim nie słyszałem. Wiśniewski zasłużył się zapewne w historii podróżnictwa polskiego, chociaż nie dokonał przecież specjalnych osiągnięć na polu naukowych odkryć.

— To samo powiedział mój ojciec. Mimo to niech pan żałuje, że nie mógł pan przeczytać jego książki. Mam ją na statku, jeżeli tylko pan zechce, chętnie pożyczę.

— Dziękuję ci, Tomku, skorzystam z twej propozycji w odpowiednim czasie. Czy to Wiśniewski w tak czarnych barwach przedstawił Australię?

— Wcale nie — zaproponował chłopiec. — Czyż mógłby przebywać tutaj aż dziesięć lat, gdyby mu się ten kraj nie podobał?

— No, ale jak wynikało z twoich słów, musiał opisać Australię jako kraj przepelniony rozbójnikami. Wprawdzie pierwszymi kolonistami byli deportowani więźniowie, lecz nigdy nie panowało tutaj bezprawie.

— Może się źle wyraziłem, proszę pana. Jak sobie przypominam, Wiśniewski pisał, że w stanie Wiktorii bezpieczeństwo życia i mienia było większe niż nawet w Anglii. Tym niemniej był on schwytyany przez zbójców nad rzeką Murrumbidgee.

— To prawda, bandyci grasowali przez jakiś czas w Nowej Południowej Walii. W naszym stanie<sup>32</sup> nigdy nie pobbazano awanturnikom — rzekł Bentley zadowolony. — Czy pamiętasz, kim byli ci zbójnicy?

— Doskonale pamiętam! Wiśniewski został schwytyany przez Gilberta i Ben Halla, którzy przedtem należeli do bandy Gardinera.

— Znam te nazwiska. Powiedz mi, proszę, w jakich okolicznościach ten polski podróżnik zetknął się z nimi?

— Było to w drodze do Bathurst<sup>33</sup>. Właśnie kilkanaście mil przed miastem dwóch jeźdźców zastąpiło mu drogę. Przedstawili się jako bandyci Gilbert i Ben Hali. Zagroziwszy bronią, zabrali Wiśniewskiego do obozu w lesie, gdzie czatowali na mający nadjechać dylizans pocztowy. W obozie tym

---

<sup>31</sup> — Była to jedna z ekspedycji Landsborougha, który w r. 1861, na równi z wyprawami prowadzonymi przez Howitta, Walkera i Mc Kinlaya, poszukiwał zaginionej wyprawy Burkego i Willsa.

<sup>32</sup> — Melbourne — rodzinne miasto Bentleya — leży w stanie Wiktorii.

<sup>33</sup> — Bathurst — miasto w Nowej Południowej Walii.

znajdowało się już kilkanaście osób tak samo zatrzymanych i ograbionych jak nasz rodak.

— Hm, tak mogło być! Australijscy bandyci, którzy urządzali zasadzki na dyliżanse wiozące złoto, mieli zwyczaj zatrzymywać wszystkich podróżnych, aby nie mogli ostrzec woźnicy przed napaścią — przywtórzył Bentley. — Co stało się dalej?

— Bandyci zabrali mu zegarek i kilka funtów<sup>34</sup>, które miał przy sobie w kieszeni. Odnosili się nawet dość dobrze do swych brańców. Karmili ich, poili wódką, a niektórym to i rąk nie wiązali. W końcu doszło do napadu na dyliżans. Wtedy bandyci zabili konwojentów, a wóz razem z pasażerami przywieśli do swego obozu. Ponieważ w dyliżansie nie znaleźli dużo złota, ze zmartwienia wypili więcej wódki i posnęli. Wtedy to właśnie Wiśniowski skorzystał z okazji. Przepalił więzy węgielkiem ognia, zabrał torbę, w której bandyci trzymali część łupu wraz z jego zegarkiem i pieniędzmi, po czym czmychnął z obozu. Mimo pościgu udało mu się dotrzeć do miasta, gdzie natychmiast zaalarmował policję. Z torby bandytów zabrał tylko swoją własność, a resztę złożył w depozycie policji.

— No, no! Widzę, że ten Wiśniowski był nie lada ryzykantem — wtrącił śmiejąc się Bentley. — Czy Korzeliński, którego książkę czytałeś, miał także podobne przygody w Australii?

— Korzeliński poszukiwał złota i chociaż niewiele go znalazł, przeżył tu niejedno! Widział nawet białych ludzi pozabijanych przez krajowców. Dlatego też spodziewałem się, że i my sami podczas naszej wyprawy będziemy narażeni na różne niebezpieczeństwa. Tymczasem...

Tomek urwał w połowie zdania, spojrzął w okno i wymownie wzruszył ramionami widząc uprawne pola. Ubawiony tym Bentley śmiał się wesoło. Po chwili spoważniał i odezwał się:

— Nie martw się, Tomku! Zapewniam cię, że będziesz miał dość różnych wrażeń podczas łowów. Wprawdzie dzięki odważnym, niestrudżonym badaczom i podróżnikom dużo już dzisiaj wiemy o Australii, lecz mimo to zamieszkiwana ona jest jedynie w niektórych częściach przybrzeżnego pasa. Wkrótce ujrzysz prawdziwą, pierwotną Australię.

— Chciałbym, żeby tak było, jak pan mówi. Wydawało mi się teraz, że tutaj nie ma już prawdziwie dziko wyglądających okolic.

---

<sup>34</sup>

— Funt — nazwa pieniądza obiegowego w Anglii.

— To tylko złudzenie, mój drogi, ponieważ wygodnie jedziemy pociągiem i nie odczuwamy trudów podróży. Jeszcze nie tak dawno temu pierwsi odkrywcy tych ziem zmuszeni byli z narażeniem życia pokonywać przeszkody przerastające nieraz ludzką wytrzymałość. Wielu z nich śmiałość swą przyplącało życiu.

— Czy znał pan może któregoś z tych podróżników? — zaciekał się Tomek.

— Czasy wielkich odkryć skończyły się już przed moim przyjściem na świat. Nie mogłem więc osobiście zetknąć się ze sławnymi podróżnikami australijskimi, lecz dziadek mój towarzyszył przez kilka miesięcy w wyprawie jednemu z bardzo zasłużonych odkrywców.

— Czy badał on te tereny, przez które teraz przejeżdżamy?

— Nie, mój chłopcze! Obecnie znajdujemy się na pograniczu Australii Centralnej. Tymczasem ów podróżnik i mój dziadek wędrowali po Nowej Południowej Walii i Wiktorii, położonych na południowym wschodzie. Do zbadania Australii Centralnej głównie przyczynili się Sturt i Stuart. Możesz mi wierzyć, że wyprawy ich obfitowały w niebezpieczeństwa nie spotykane na innych kontynentach.

— Pan zapewne zna historię ich wypraw? Jakie to były niebezpieczeństwa? Przepadam za takimi opowieściami!

Bentley skinął głową. Wydobył z kieszeni fajkę, nabił ją tytoniem, zapalił, po czym wydmuchnąwszy obłoczek błękitnego dymu, zaczął mówić:

— Wyprawy Sturta i Stuarta<sup>35</sup> miały miejsce w pierwszej połowie i na początku drugiej połowy dziewiętnastego wieku. Sturt chciał sprawdzić słuszność przypuszczeń kilku podróżników, którzy mniemali, że w głębi australijskiego lądu znajduje się morze. Organizował więc wyprawy odkrywcze, ale straszliwe upały nie pozwalały mu dotrzeć w głąb lądu. W czasie pierwszej wyprawy promienie słoneczne wypaliły trawę na stepach, a woda powysychała w rzecznych korytach. Całe obszary pozbawione wilgoci stawały się dosłownie spaloną ziemią. Strusie emu z wyciągniętymi szyjami na próżno biegały, jak oszalałe, w poszukiwaniu wody. Nawet wytrzymałe na

---

<sup>35</sup> — Karol Sturt dokonywał wypraw odkrywczych w latach 1829–1845. Jan Mc Douall Stuart brał udział w ekspedycjach od 1845 r. (to jest od ostatniej wyprawy Sturta, w której uczestniczył) do 1862 r. Zapadł na zdrowiu podczas przedzierania się przez tropikalną dżunglę na swej ostatniej wyprawie i już jako inwalida zmarł w cztery lata później w Londynie.

trudy dzikie psy dingo wychudły z braku pożywienia i wody. Sturt musiał zawrócić z drogi, ponieważ obawiał się zginąć z upału i pragnienia.

— Na pewno zrezygnował już z dalszych wypraw — wtrącił Tomek. — Śmierć z pragnienia musi być chyba straszna.

— Sturt nie należał do ludzi, którzy łatwo rezygnują z osiągnięcia celu — mówił Bentley. — Jeszcze w tym samym roku wyruszył na następną wyprawę. Tym razem płynąc na łodziach natknął się na kilkuset krajowców. Ciała ich pomalowane były w białe pasy, co oznaczało, że znajdują się w stanie wojny. Nie mógł ich wyminąć, gdyż zachowywali się wobec niego bardzo wrogo. Mimo liczebnej przewagi napastników Sturt zamierzał wydać rozkaz, aby użyto broni palnej. Wtedy właśnie nieoczekiwanie nadbiegło czterech krajowców. Jeden z nich chwycił za gardło agresywnego ziomka, do którego Sturt celował w tej chwili. Odepchnął go z całej siły i tłumacząc coś długo całej gromadzie zapobiegł rozpoczęciu walki.

Okazało się, że ci czterej krajowcy pochodzili z plemienia zaprzyjaźnionego uprzednio ze Sturtem. Dzięki ich pomocy mógł popłynąć dalej.

Wkrótce zapasy żywności zabrane na wyprawę zaczęły się wyczerpywać, wobec czego Sturt zdecydował powrót. Uczestnicy wyprawy żywili się już tylko czarnym chlebem i wodą lub upolowanymi od czasu do czasu dzikimi kaczkami. Napotykanie krajowcy stale ich niepokoiło. Jeden z podróżników z przemęczenia postradał zmysły i utracił zdolność mówienia, zanim udało im się dotrzeć do Sydney.

Wkrótce Sturt wyruszył na nową wyprawę razem z Jamesem Poole i Mac Douall Stuartem, aby dotrzeć do wnętrza kontynentu. Nadeszło nadzwyczaj upalne lato. Cierpiąc wskutek braku wody, wyprawa dotarła wreszcie do źródła w Rocky Glen i rozłożyła obóz, w którym przetrwała sześć ciężkich miesięcy. Temperatura w ciągu dnia dochodziła, nawet w cieniu, do czterdziestu pięciu stopni Celsjusza. Ziemia pękała z gorąca, roślinność zanikała zupełnie. Sturt wraz z towarzyszami wykopali jamy, w których chronili się przed morderczymi promieniami słonecznymi. Upał był tak olbrzymi, że pod jego działaniem pękały rogowe grzebienie. W tym czasie zmarł jeden uczestnik wyprawy, a drugi, Poole, zachorował na skorbut. Usiłowano przenieść go do najbliższego osiedla. Mimo wysiłków towarzyszy,

zmarł w drodze i został pochowany na pustyni. Ruszyli w dalszą drogę. Przebyli rzekę Strzeleckiego i znaleźli się nad jeziorem Blanche.

— Och, proszę pana! Wymienił pan nazwę rzeki, która przypomniała mi znanego polskiego podróżnika — zawołał Tomek. — Jak słyszałem, dokonał on ważnych odkryć w Australii. Czyżby Paweł Edmund Strzelecki również urządził wyprawę w głąb lądu?

— Widzę, że wszyscy sławni Polacy są bliscy twemu sercu — odparł Bentley. — Wiesz również niemało o ich działalności odkrywczej. Istotnie nazwa wspomnianej przeze mnie rzeki, znajdującej się w głębi Australii, wiąże się z imieniem Pawła Strzeleckiego. Musisz jednak pamiętać, że odkryć swych dokonywał on w południowo-wschodniej części lądu. Dla uczczenia zasług Strzeleckiego, między innymi, nazwano jego imieniem rzekę, o której wspomniałem przed chwilą. Mam nadzieję, że będę mógł ci w sposobnej chwili opowiedzieć wiele ciekawostek z przygód tego polskiego podróżnika. Teraz powróćmy do badaczy Centralnej Australii.

Bentley przerwał na chwilę opowiadanie. Wyjął z płaskiej skórzanej torby mapę i rozłożył ją przed Tomkiem na ławce.

— Przyjrzyj się dokładnie położeniu rzeki Strzeleckiego i jeziora Blanche. Widzisz, znajdują się one w pobliżu terenów, na których będziemy łowili zwierzęta. Łatwiej teraz zrozumiesz to, co ci mówiłem na statku o wartości jezior australijskich jako rezerwuarów wodnych. W tych właśnie okolicach Sturt cierpiał tak straszliwie z powodu pragnienia.

— Co się stało ze Sturtem i jego wyprawą? — niecierpliwie pytał Tomek, mocno zaciekawiony niezwykłą opowieścią.

— Wędrując dalej na północ dotarli do skalistych wzgórz. Na kamienistym gruncie nie było roślinności. Nawet kopyta końskie nie pozostawiały najmniejszego śladu. Konie padały z braku paszy i wody. Wyprawa znów znalazła się w obliczu grozy śmierci. Około dwustu kilometrów zaledwie dzieliło Sturta od osiągnięcia celu, lecz chcąc ratować życie własne i towarzyszy, musiał zawrócić.

To był już koniec jego badań. Dopiero w kilka lat później współuczestnik jego ostatniej wyprawy, Stuart, po sześciu nieudanych próbach, przeszedł przez całą Australię z południa na północ. Obecnie drogą tą przechodzi linia telegrafu łącząca Adelajdę z Port Darwin.

— Jakie były dalsze dzieje Stuarta? — dopytywał się Tomek; zaimponował mu odważny i uparty podróżnik.

— Trudy wypraw poważnie pogorszyły stan jego zdrowia. Groziła mu nawet utrata wzroku. Wyjechał do Anglii, gdzie umarł w kilka lat później — wyjaśnił Bentley.

— Miał chociaż szczęście, że nie zginął w tej okropnej pustyni — szepnął Tomek z uczuciem ulgi. — Przecież to straszne umierać samotnie w tak dzikim kraju!

— Nie wszyscy odkrywcy mieli tyle szczęścia, co on — dodał Bentley. — Wspomniałem już przecież, że wielu z nich przypłaciło życiem swoją odwagę.

— Którzy podróżnicy zginęli podczas wypraw? — zaraz zagadnął Tomek, zaintrygowany jego słowami.

— Na przykład Leichhard i Kennedy. Pierwszy z nich zginął nawet w bardzo tajemniczych okolicznościach.

— Bardzo proszę, niech mi pan jeszcze opowie o nich — zawołał Tomek.

— Ludwik Leichhardt<sup>36</sup> udał się wzdłuż wschodniego wybrzeża kontynentu w kierunku północnym. Podczas pierwszej wyprawy, po wielu trudach, dotarł do Zatoki Karpentaria. Tego dnia wieczorem krajowcy, mszcząc się za przejście przez ich tereny łowieckie, napadli na podróżników. Stoczono walkę, w wyniku której jeden z uczestników ekspedycji został zabity, a dwóch ciężko rannych. Leichhardt powrócił chory i zagłodzony, lecz już w 1848 roku zorganizował nową wyprawę, aby tym razem dotrzeć do leżącego na zachodzie miasta Perth. Zabrał wtedy z sobą pięćset domowych zwierząt dla wyżywienia wyprawy. Z niewiadomych przyczyn zboczył z drogi i zamiast na zachód, poszedł znów w kierunku północnym. Na błotnistych terenach, w porze deszczowej, zwierzęta zabrane przez Leichhardta szybko wyginęły. Podróżnik, wraz z pięcioma Europejczykami i dwoma krajowcami, nie zrażając się przeciwnościami, skierował się na zachód i dotarł do rzeki Cogoon. Była to ostatnia o nim wiadomość. Z chwilą wkroczenia na tereny

---

<sup>36</sup> — Ludwik Leichhardt, młody niemiecki uczonec, odbył wyprawę z Brisbane na północ do Portu Essington nad Zatoką Van Diemena. Potem wyruszył na czele ekspedycji na zachód, zamierzając dotrzeć do miasta Perth, by w ten sposób przeciąć kontynent ze wschodu na zachód. Od tej pory słuch o nim zaginął. Okres jego wypraw to lata: 1844 do 1845.

pokryte gąszczem nie otrzymano już od niego żadnego znaku życia. Podróżnicy, którzy później wyruszyli na poszukiwanie zaginionych, znaleźli jedynie wyryte na drzewach litery „L”, co mogło stanowić pierwszą literę nazwiska Leichhardta, i kilka końskich siodła, które prawdopodobnie należały do wyprawy. Niczego więcej nie dowiedziano się o jej losach. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, podróżnicy zginęli z głodu i pragnienia bądź utonęli wędrując wyschniętym korytem rzeki, która nagle wezbrała, lub też zostali zamordowani przez krajowców.

— A jak to było z podróżnikiem Kennedym<sup>37</sup>? — zapytał Tomek.

— Zamierzał on zbadać półwysep York — wyjaśnił Bentley. — Wyprawa jego natrafiła na błotniste tereny, na których obojętnie straciła sześć tygodni. Kiedy znów wkroczyła w gąszcz splątanych drzew, musiała siekierami torować sobie drogę. Wrogo usposobione plemiona krajowców nie dawały podróżnikom spokoju. Kennedy polecił użyć broni palnej. W walce padło wprawdzie pięciu krajowców, lecz pozostali bez przerwy podążali za wyprawą, oczekując jedynie na odpowiednią chwilę do napaści. W trzęsawiskach wozy nie nadawały się do przewożenia ładunku, Kennedy porzucił je więc, zapasami objuczając konie. Z tego powodu ze znacznym opóźnieniem dotarli do Charlotte Bay, gdzie miał oczekiwać na nich żaglowiec. Tutaj stwierdzili, że statek odpłynął już przed ich przybyciem. Kennedy rozbił obóz. Pozostawiwszy w nim ludzi niezdolnych do dalszego marszu, wraz z czterema towarzyszami udał się w kierunku wyspy Albany, jako ostatecznego celu wyprawy. W dalszym ciągu prześladowały go niepowodzenia. Jeden z towarzyszy zabił się przypadkowo, drugi uległ kalectwu, co znów zmusiło trzeciego do pozostania, by się nim opiekować. Kennedy z wiernym mu krajowcem, Jackej–Jackeyem, szedł dalej. Przez cały czas nie odstępowali ich krajowcy szukający zemsty, aż w końcu w nierównej walce ciężko ranili Kennedy’ego. Umarł, nie osiągnąwszy celu wyprawy. Jackej–Jackey pochował go, zabrał pamiętnik i sam ruszył w kierunku wyspy Albany. Został spostrzeżony przez kapitana szkunera „*Ariel*”, przepływającego w pobliżu wybrzeża, który też zabrał go na statek. Zaraz pospieszono na ratunek chorem, pozostawionym przez Kennedy’ego uczestnikom wyprawy. Niestety, pomoc przybyła zbyt późno, gdyż krajowcy zabili ich. Z dwunastu ludzi powróciło z wyprawy tylko dwóch.

---

<sup>37</sup> — E. B. Kennedy — oficer angielski. Zginął z rąk krajowców w roku 1848.



## OPÓR KRAJOWCÓW

Tomek niezwykle zainteresowany rozmową z Bentleyem i jego opowieściami o niebezpiecznych przygodach pierwszych australijskich odkrywców nie zwracał wcale uwagi na to, co się działo wokół niego. Tymczasem słońce chyliło się już ku zachodowi. Towarzysze podróży od dawna przestali drzemać i na równi z chłopcem przysłuchiwali się opowiadaniom Bentleya. Nic więc dziwnego, że Tomek ochłonął dopiero wtedy, gdy zoolog zmęczony długą, rozmową zajrzał do koszyczka z zapasem żywności.

Tomek także poczuł głód. Wydobył właśnie torbę z owocami, lecz gdy mimo woli spojrzął w okno wagonu, natychmiast zapomniał o jedzeniu. Szerokie doliny leżące między łagodnymi pagórkami porośnięte były australijskim skrobem<sup>38</sup>, to jest wiecznie zielonymi krzewami skarłowaciałych akacji i eukaliptusów. Krajobraz był tak charakterystyczny oraz pełen dzikiego uroku, że Tomek krzyknął ze zdumienia.

— Co tam ujrzałeś ciekawego, Tomku? — zagadnął Wilmowski, podchodząc do wyglądającego przez okno syna.

— No, nareszcie krajobraz australijski wzbudził zainteresowanie naszego młodego towarzysza — zauważył Bentley. — Przed kilkoma zaledwie godzinami narzekał przecież, że Australia zbyt przypomina mu Europę!

— To na pewno jest ten słynny skrob! — entuzjasmował się chłopiec.

— Nie mylisz się, Tomku — potwierdził Bentley. — Ciekawsze i nie mniej charakterystyczne dla Australii okolice ujrzysz w czasie łowów.

— Tak właśnie wyobrażałem sobie skrob, ucząc się w szkole geografii — chwalił się Tomek.

Dopiero gdy zmrok wieczoru otulał step, Tomek zjadł z wielkim apetytem kolację, a potem zadowolony wcisnął się w kąć ławki i zasnął niemal natychmiast.

Następnego dnia prawie wcale nie odchodził od okna. Błyszczącymi z podniecenia oczyma wpatrywał się w szerokie pasy sawannów porośniętych

---

38

— Scrub (po angielsku, fonetycznie skrob) — krzaczasta, kłująca gęstwina.

kępkami niskich drzew, to znów zachwycił się budzącym uczucie strachu suchym, ciernistym skrobem, który przeważał w tej bezwodnej okolicy. Zdołał nawet wypatrzyć w pobliżu toru kolejowego sławne drzewo butelkowe, o pniu rozszerzonym w kształcie flaszki. Bentley nie omieszkał skorzystać z okazji, by wyjaśnić, że gromadząca się w otworach pnia i nie wysychająca nawet podczas długotrwałej suszy woda często ratowała życie podróżnikom zabłąkanym w suchym jak pieprz pustkowiu. Nie mniejsze zaciekawienie wzbudził w Tomku inny okaz flory australijskiej. Było to drzewo trawiaste o grubym i na kilka metrów wysokim pniu, z którego zwieszały się wąskie, długie, ostre jak noże liście. Spomiędzy nich wyrastał w górę podłużny człon spowity białym kwieciem o kształcie gwiazd. Drzewa trawiaste, jako nadzwyczaj odporne na suszę, krzewiły się nawet w skalisto-pustynnej głębi kontynentu.

Z każdą godziną pociąg coraz bardziej oddalał się na północ. Teraz od czasu do czasu ukazywały się na zachodnim horyzoncie sinawe pasma wzgórz. W niektórych miejscach obszary skrobu urywały się na piaszczystych wydmach. Wszędzie panowały: martwota, cisza i spiekota... Tuż przed zmierzchem za oknami pociągu rozpostarł się szeroki step, pokryty wyblakłą od słońca trawą.

Był już gwiaździsty wieczór. Bentley właśnie zaczął przygotowywać się do wysiadania. Tomek zaraz wychylił się przez okno. Wkrótce też zawołał:

— Widzę w dali jakieś światelka! To chyba nasza stacja?

— Dojeżdżamy do Wilcannii — potwierdził Bentley spoglądając na zegarek.

W wieczornej ciszy donośnie rozległ się gwizd lokomotywy. Pociąg, zgrzytając hamulcami, zatrzymał się w pobliżu zabudowań. Część uczestników wyprawy pobiegła dopilnować wyładowania bagaży z wagonu towarowego. Tomek tymczasem rozglądał się po małej, niemal pustej stacyjce. Na peronie znajdowało się zaledwie kilku chudych, mocno opalonych mężczyzn, ubranych w spodnie wpuszczone w długie buty, kolorowe koszule i miękkie, pilśniowe kapelusze z szerokimi kresami.

Niezbyt wysoki, szczupły mężczyzna zbliżył się do Bentleya. Jego małą głowę pokrywały połyskliwe, czarne włosy. Niskie czoło, szeroko rozstawione, ciemne oczy, spłaszczony nos o mocno rozdętych nozdrzach, wydatne kości policzkowe, a nade wszystko błysk mocnych białych zębów w

rozchylonych grubych wargach nadawały jego twarzy wyraz dzikości, mimo europejskiego ubrania, które miał na sobie.

— Oto jest i Tony! — zawołał Bentley na widok nadchodzącego krajowca. — Panie Wilmowski, to jest Tony, przewodnik oraz doskonały tropiciel, o którym opowiadałem w Port Augusta.

Tony przywitał się kolejno ze wszystkimi.

— Gdzie pozostawiłeś wozy? — zapytał Bentley.

— Czekają przed stacją — odparł Tony łamaną angielszczyzną. — Czy możemy zaraz odjechać?

— Załadujemy bagaże na wozy i natychmiast wyruszamy do farmy pana Clarka. Chcemy jak najprędzej stanąć na miejscu — potwierdził Bentley.

Wyszli przed dworzec. W mdłym świetle ręcznych latarni ujrzał Tomek dwa wozy na wysoko osadzonych osiach, o dużych tylnych i mniejszych przednich kołach. Do każdego pojazdu zaprzęgnięte były po trzy pary jednogarbnych wielbłądów. Jak się później Tomek dowiedział, zaprzęg z ośmiu wielbłądów mógł ciągnąć bez zbyteńnego wysiłku wóz z ładunkiem trzech ton, nawet przez piaszczystą pustynię.

Czterech niskich krajowców o ziemistym kolorze skóry i głowach pokrytych wełnistymi włosami szybko załadowało bagaże. Łowcy wsiedli na drugi wóz. Ruszyli w drogę. Nieliczne zabudowania osiedla szybko zniknęły z pola widzenia. Jechali przez step porośniętą wysoką trawą. Tomek na próżno wypatrywał drogi. Nie mógł zrozumieć, w jaki sposób można tu utrzymać właściwy kierunek? Ciemność wieczoru uniemożliwiała rozglądanie się po okolicy. Wielbłądy, kierowane wprawnymi rękami krajowców, posuwały się szybko naprzód, a łowcy urozmaicali sobie czas rozmową. Wilmowski wypytywał Bentleya o właściciela farmy, u którego mieli zatrzymać się w czasie pierwszych łowów.

— Wspomniał pan, że Clark zatrudniony był przez pewien czas na stacji transkontynentalnego telegrafu. Dlaczego porzucił tę pracę? — zagadnął Wilmowski.

— Po prostu sprzykrzył mu się samotniczy i monotony tryb życia, jaki zmuszona jest prowadzić załoga stacji telegrafu — odparł Bentley. — Poszczególne posterunki oddalone są od siebie przeciętnie o dwieście pięćdziesiąt kilometrów. Jeżeli weźmie się pod uwagę, że linia telegrafu

przebiega przez pustynny, bezludny obszar Australii Centralnej, łatwo zrozumieć, dlaczego załogi nie mogą się odwiedzać.

— Z ilu ludzi zazwyczaj składa się załoga takiej stacji? — pytał Wilmowski.

— Przeważnie stanowi ją dwóch telegrafistów i czterech mechaników. W przypadku stwierdzenia uszkodzeń z obydwóch posterunków, między którymi nastąpiło przerwanie linii, wyruszają natychmiast mechanicy z instrumentami i materiałem koniecznym do naprawy. Sprawdzają linię tak długo, aż jedna z ekip odnajdzie i usunie uszkodzenie. Wiadomość o naprawieniu linii telegrafu podawana jest drugiej ekipie, po czym powracają one natychmiast do swoich posterunków nawet się nie spotykając.

— Skąd pan wie to wszystko tak dokładnie? — zdziwił się Tomek.

— Clark jest moim przyjacielem — odpowiedział Bentley. — Kiedy był jeszcze pracownikiem służby telegraficznej, zaprosił mnie do siebie z wizytą. Cały miesiąc spędziłem z nim w Peak Overland Telegraph Station<sup>39</sup>, znajdującej się trochę na zachód od jeziora Eyre. Miałem wtedy okazję przyjrzeć się Martwemu Sercu Australii, jak to niektórzy nazywają środkową część tego kontynentu.

— Dlaczego wewnątrz kontynentu nazywane jest Martwym Sercem Australii? — zaciekał się Tomek.

— Obdarza się je często tą nazwą, ponieważ Centralną Australię pokrywa bezwodna, niegościnna dla ludzi i zwierząt pustynia. W okolicy jeziora Eyre nawet ptaki pojawiają się bardzo rzadko. Opowiadałem ci przecież, o olbrzymich trudnościach, jakie napotykali podczas swych wypraw badawczych Sturt i Stuart.

— Wspominał pan uprzednio o konieczności częstego naprawiania uszkodzeń linii telegraficznej — wtrącił się do rozmowy Smuga. — Jakie są przyczyny powstawania szkód?

— Najwięcej ich wynika z dzikiego charakteru kraju. Z tego powodu budowa linii telegraficznej była niezmiernie utrudniona i bardzo mozolna. Drzewo, drut, izolatory, a nawet żywność i wodę dla budowniczych musiano przywozić na jucznych zwierzętach. Przez dwa lata karawany wędrowały po pustyni. Niebawem też stwierdzono, że przy budowie nie można posługiwać się drewnianymi słupami, ponieważ w krótkim czasie niszczyły je żarłoczne

---

<sup>39</sup> — Fonetycznie: Pik Overlend Telegref Stejszen.

termity. Gdyby w porę nie zastosowano stalowych słupów, cały trud poszedłby na marne. Poza tym proszę wziąć pod uwagę często nawiedzające te okolice burze piaskowe.

— Przypominam sobie, że rozpoczęta w 1878 roku, a więc już w sześć lat po założeniu telegrafu, budowa linii kolejowej, która również miała przeciąć kontynent z południa na północ, zetknęła się z tymi samymi trudnościami — dodał Wilmowski.

— I do dzisiejszego dnia nie ukończono całkowicie jej budowy, bowiem tor wiodący z południa urywa się w Alice Springs, a na północy kończy się w Daly Waters. Obydwie te stacje oddziela pas pustyni długości ośmiuset kilometrów — dokończył Bentley. — Taniej nawet kosztuje położenie nowego toru niż odkopanie starego, zasypanego przez piach niesiony przez burze.

— Niełatwe tu macie życie. Myślałem, że to krajowcy przerywają linię telegrafu — zauważył Smuga.

— Nie, oni nie niszczyli linii — zaprzeczył Bentley. — Jeszcze w czasie budowy pomyślano o niezbyt przyjemnej dla krajowców lekcji. Namawiano ich do dotykania przewodów i w ten sposób „*obdarzano*” hojnie bezpłatnymi wstrząsami elektrycznymi. Robiły one na Australijczykach niesamowite wrażenie, tak że później ostrzegali swych ziomków. Od tej pory nazywają telegraf „*diabłem białych ludzi*”. Chociaż zdarzały się niekiedy przypadki atakowania, a czasem nawet zabijania obsługi, to jednak przewody zawsze pozostawały nietknięte.

— Czy krajowcy jeszcze teraz niepokoją pracowników telegrafu? — dopytywał się Smuga.

— Mówiono swego czasu o napadzie na stację w Barow Creek. Krajowcy zaatakowali jej pracowników, którzy szli wykopać się w Strumieniu. Pod gradem włóczni musieli wycofywać się do budynku. Telegrafista Stapleton i jeden mechanik zostali zabici, a dwóch innych dotkliwie poraniono.

— Nie słyszałem, aby krajowcy australijscy byli kiedykolwiek zbyt agresywni — powiedział Smuga. — Przecież nie było tu większych walk między nimi a kolonistami?

— W zasadzie są to spokojni ludzie, lecz pamiętają krzywdy wyrządzone im przez osadników — przyznał Bentley.

— To prawda! Najlepiej świadczy o tym liczba pozostałych przy życiu krajowców oraz nędza, na jaką ich skazano — dodał Wilmowski.

— Smutne to, lecz prawdziwe — odparł Bentley i zmienił nieprzyjemny dla niego temat rozmowy.

Nocna jazda po stepie szybko znużyła Tomka. Zasnął oparty o ramię, ojca. Zbudził się dopiero o świcie, gdy przystanęli, aby dać wytchnienie zmęczonym wielbłdom. Wokół rozpościerał się step porośnięty wysoką, pożółkłą od słońca trawą. Pod podmuchem wiatru falowała ona jak powierzchnia olbrzymiego oceanu. Tylko gdzieniegdzie wystrzelały w górę kępki drzew. Daleko na zachodzie rysowały się łagodne pagórki.

Krajowcy wyprzęgli wielbłądy, a łowcy rozłożyli namiot i sporządzili naprędce śniadanie. Po krótkim wypoczynku ruszyli w dalszą drogę. Niemal przed zachodem słońca ujrzeli zabudowania. Niskie ogrodzenie otaczało parterowy domek z ocienioną werandą oraz resztę budynków gospodarskich. Tuż za farmą rosły gęste kępy krzewów, dochodzące szerokim pasem do linii pagórków.

— Jesteśmy na miejscu — poinformował Bentley, kiedy wozy zbliżyły się do małego osiedla.

Na werandzie domku ukazał się wysoki mężczyzna. Ujrzał nadjeżdżające wozy i wybiegł na spotkanie gości.

— Oto pan Clark we własnej osobie! — zawołał Bentley na jego widok. — Jak się masz Johnny<sup>40</sup>?

— Oczekuję was co najmniej od trzech godzin — odpowiedział Clark. — Obawiałem się, że przygotowana na wasze przyjęcie zupa z ogona kangura wygotuje się całkowicie. Schodźcie z wozu i rozgoście się jak u siebie w domu.

Łowcy otrzymali do swej dyspozycji trzy największe izby. Zaledwie zdążyli rozpakować się, Clark poprosił ich do stołu. Gospodarstwo domowe prowadził Chińczyk Watsung. Według opinii Clarka miał być doskonałym kucharzem, lecz zachwalana przez niego zupa z ogona kangura wcale Tomkowi nie smakowała. Obiad jednak był obfity i urozmaicony. Szybko zaspokoili pierwszy głód. Mężczyźni zapalili fajki.

— Muszę was niestety powiadomić o sytuacji, jaka od kilku dni wytworzyła się w naszym osiedlu — zagadnął Clark. — Otóż wśród

<sup>40</sup> — Johnny (fonetycznie Dżoni) po angielsku zdrobniale od John (Dżon) — Jan.

krajowców koczujących w okolicy rozeszła się wieść o zamierzonych wielkich łowach. Dowiedzieli się o tym od Tony'ego, który proponował im wzięcie udziału w obławie. Wiadomość o łowach wywołała wśród krajowców nieoczekiwane wzburzenie. Odmawiają podobno swej pomocy. Ze względu na to, że przebywają w okolicy w znacznej liczbie, powinniśmy zachować pewną ostrożność. Nie radzę wychodzić pojedynczo z osiedla. Oczywiście należy również pamiętać o zabieraniu z sobą broni.

— Tony, czy słyszałeś, co mówił pan Clark? — zwrócił się Bentley do tropiciela.

— Słyszałem! Pan Clark dobrze mówi — odparł Tony.

— O co im chodzi? — pytał Bentley.

— Nie chcą wielkiego polowania białych ludzi w tych okolicach.

— Dlaczego? Przecież zapłacimy za pomoc!

— Oni boją się, że po tych łowach zniknie cała zwierzyna.

— Czy wyjaśniłeś, że mamy zamiar schwytać tytko kilkanaście sztuk żywych zwierząt?

— Właśnie to im się nie podoba — odpowiedział Tony. — Mówią, że chwywanie żywych zwierząt jest jakimś nowym podstępem białych ludzi. Nie godzą się na to. Oni mówią tak: „*najpierw biali zabiorą zwierzynę, a potem zagarną całą ziemię i wybudują miasto*”. Mówią, że biali zawsze tak postępują.

— Tony, przecież już brałeś udział w tylu wyprawach i wiesz najlepiej, o co nam chodzi — zafrasował się Bentley.

— Wiem, ale oni mi nie wierzą, bo jestem z wami.

— Co pan powie na to? — rzekł Bentley spoglądając na Wilmowskiego.

— W czasie wypraw niejednokrotnie spotykałem się z nieprzyjaznym przyjęciem przez krajowców — spokojnie odpowiedział Wilmowski. — Postaramy się przekonać ich, że są w błędzie.

— W każdym razie należy zachować konieczne środki ostrożności — doradzał Clark. — O wypadek nietrudno.

— Zgadza się z panem całkowicie — potwierdził Wilmowski, a zwracając się do Smugi, dodał: — Słuchaj, Janku, ty odpowiadasz za nasze bezpieczeństwo. Musisz wydać odpowiednie zarządzenia, Ja natomiast postaram się jakoś ułożyć z krajowcami.

Smuga natychmiast zwołał wszystkich uczestników wyprawy i powiadomił ich o konieczności zachowania daleko posuniętej ostrożności. Na zakończenie powiedział:

— Od tej chwili nikomu nie wolno wychodzić z domu bez broni ani też wydalać się poza obręb stacji bez mego pozwolenia. Jeżeli zajdzie potrzeba, będziemy wystawiali przed domem warty. Przede wszystkim jednak uprzedzam, że broni należy użyć jedynie w razie napaści grożącej utratą życia. Jestem pewny, że Wilmowski, jak zwykle, opanuje sytuację i przekona krajowców o bezpodstawności plotek.

Wkrótce wszyscy udali się na spoczynek. Cisza zapanowała w małym osiedlu.

Wilmowski długo nie mógł zasnąć. Jako kierownik wyprawy odpowiedzialny był za pomyślne przeprowadzenie łowów. Plotka krążąca wśród krajowców mogła spowodować wiele kłopotu. Jeśli odmówią udziału w łowach, sytuacja stanie się naprawdę ciężka. Nie będzie można urządzić obławy na szybkonogie kangury i strusie emu. W pewnej chwili jego rozmyślania przerwał szept Tomka:

— Nie śpisz jeszcze, tatusiu?

— Nie śpię — cicho odparł Wilmowski. — Widzę, że i ty nie możesz usnąć. Późno już...

— Myślę o tym, co powiedział pan Clark. Dlaczego krajowcy nie wierzą Tony'emu?

— Nie wierzą mu, ponieważ przebywa wśród białych ludzi. Mają mu to za złe.

— Przecież on nie robi nic złego — zdziwił się Tomek.

— To nie jest takie proste, Tomku. Oni uważają, że Tony pracuje dla nas na ich niekorzyść.

— W jaki sposób przekonamy krajowców o naszych dobrych zamiarach?

— Muszę im to jakoś po przyjacielsku wytłumaczyć, by przełamać nieufność, a teraz śpij, jest już bardzo późno.

— Dobrze, postaram się usnąć. Dobranoc, tatusiu!

Tomek odwrócił się do ściany.

Wilmowski wkrótce zasnął, nie powziawszy jakiegokolwiek postanowienia. Był to bardzo niespokojny sen. Przyśniła mu się afrykańska



wyprawa, w czasie której przeżył wiele kłopotów z krajowcami. Niepokojące obrazy pojawiały się w jego podświadomości. Słyszał ostrzegawcze bębnienie tam–tamów, a z gąszczu dżungli co chwila wychylali się uzbrojeni Murzyni. Naraz kroczący obok niego Smuga szybko podniósł karabin do ramienia.

„*Nie strzelaj*” krzyknął Wilmowski, lecz Smuga nie słyszał wołania i naciskał spust raz za razem. Krajowcy grozili włóczyniami. Teraz dopiero Wilmowski spostrzegł, że to nie Smuga, lecz Tomek strzelał do kryjących się za drzewami Murzynów. Wilmowski nagle zbudził się pod wpływem silnego wzruszenia. Uspokoił się; w izbie było już zupełnie jasno. Uzmysłował sobie, że to wszystko było jedynie przykrym snem. Wtem usłyszał wyraźnie suche trzaski strzałów karabinowych.

„*Raz, dwa, trzy*” liczył cicho zastanawiając się, co ma oznaczać ta kanonada. Powoli ogarniał go coraz większy niepokój. Odruchowo spojrzał w kierunku posłania Tomka. Było puste. Nie ujrzał również ułożonych wieczorem przez syna przy posłaniu sztucera i rewolweru. W dali wciąż rozlegały się strzały. Zimny pot pokrył czoło Wilmowskiego. Zerwał się na równe nogi, chwycił spod poduszki rewolwer i krzyknął:

— Alarm!

Łowcy porwali się z posłań, chwytając za broń. Wilmowski przerażony zawołał:

— Tomek wyszedł z domu! To odgłos strzałów jego sztucera!

Mężczyźni, tak jak zerwali się ze snu, wybiegli z domu z bronią w rękach.

Rzucili się w kierunku, z którego dochodziły odgłosy strzałów. Zanim wyminęli domek zamieszkiwany przez Watsunga, wyszedł ku nim Clark całkowicie ubrany.

— Stójcie, do wszystkich diabłów! — powiedział stanowczo. Chwycił Wilmowskiego za ramię i zatrzymał na miejscu.

— Tomek wyszedł z domu! — wyrzucił z siebie Wilmowski jednym tchem. — To on strzela!

— Wiem o tym — odparł Clark — ale niech się pan uspokoi, z Watsungiem obserwujemy go przez lornetkę. Nic mu nie grozi.

Wilmowski wolno opanował wzburzenie. Otarł ręką pot spływający z czoła.

— Zapomnieliśmy o nim wczoraj — westchnął ciężko, spoglądając na Smugę. — Należy mu się lanie za samowolę.

— Może lanie należałoby się komu innemu... to jeszcze rzecz do dyskusji — mruknął Clark. — Wejdźcie do domu. Zobaczycie coś ciekawego.

Po chwili znaleźli się w małej izbie. Przy oknie ujrzeli Watsunga spoglądającego w dal przez lornetkę. Obok niego stał karabin oparty o ścianę.

— No i co? — krótko zapytał Clark.

— Bez zmiany — padła odpowiedź.

Clark podał lornetkę Wilmowskiemu mówiąc:

— Niech pan sam zobaczy, co porabia pański syn.

Wilmowski spojrział przez lornetkę i zdumiał się. Ujrzał Tomka popisującego się celnością strzałów przed grupką zaintrygowanych Australijczyków.

— Zwariował chłopak! — orzekł gniewnie.

— Co on robi? — zaciekawił się Smuga.

— Urządził popis strzelecki dla młodych krajowców — wyjaśnił Clark. — Przedtem zaś zjadł śniadanie w towarzystwie nowych znajomych.

— Co pan mówi? — nie dowierzał Wilmowski.

— To, co pan słyszy. Od kilku dni, na skutek wzburzenia krajowców, zachowujemy dużą ostrożność. Czuwamy na zmianę. O świcie nadeszła moja kolej. Spostrzegłem zaraz tych młodych Australijczyków. Są oni na pewno wywiadowcami koczujących w okolicy plemion. Kiedy zobaczyłem Tomka idącego do nich z torbą konserw i sztucerem na ramieniu, omal nie uczyniłem tego, co i wy w pierwszej chwili chcieliście zrobić. Już miałem wybiec, by zatrzymać go, gdy przyszła mi pewna myśl do głowy.

— Już wiem — domyślił się Wilmowski. — Był pan ciekaw, czy uda mu się zaprzyjaźnić z krajowcami.

— O to mi właśnie chodziło! Zawołałem Watsunga, po czym, trzymając broń w pogotowiu, obserwowaliśmy go nie widziani przez nikogo. Jakoś musiał dogadać się z Australijczykami, wkrótce bowiem wspólnie zjedli śniadanie. Potem Tomek rozpoczął popisy, strzelając do pustych blaszanek i bawi w ten sposób krajowców do tej pory.

— Czy to na pewno są zwiadowcy? — zapytał Smuga.

— Z całą pewnością! — potwierdził Clark. — Przypuszczaliśmy, że usłyszycie strzały. Byłem gotów pójść powiadomić was o wszystkim, ale tymczasem sami już wybiegliście z domu.

— Ciekawe, co z tego wyniknie? — zastanowił się Smuga.

— Jedno jest pewne — odezwał się milczący dotąd Bentley — jeżeli Tomek nic pomoże nam w tej głupiej sytuacji, to na pewno nie przyniesie szkody. Trzeba, mimo wszystko, zwracać na niego baczniejszą uwagę.

Wilmowski powtórzył im teraz nocną rozmowę z synem.

— Nigdy nie przypuszczałem, że taki będzie jej skutek — zakończył. — Co wypada nam uczynić w tej chwili?

— Obserwujmy Tomka i czekajmy cierpliwie — zaproponował Clark. — Wydaje mi się, że zabawa dobiega końca. Australijczycy wygaszają ogień.

Po chwili odłożył lornetkę.

— Tomek powraca do domu. Zrobimy mu małą niespodziankę — oznajmił.

Tomek szedł wolnym krokiem, a grupa krajowców oddalała się ku skalistym wzgórzom. Kiedy chłopiec przechodził obok domku, Clark wychylił się oknem.

— Dzień dobry! Widzę, że lubisz poranne spacery! — powitał Tomka.

— Dzień dobry panu! Owszem, lubię. Nie byłem jednak na spacerze — odparł Tomek.

— Może wstąpisz na śniadanie — zaproponował Clark.

— Muszę pójść do domu. Ojciec na pewno zbudzi się zaraz i będzie o mnie niespokojny.

— Wstąp chociaż na chwilę. Powiesz mi przy okazji, o czym rozmawiałeś tak długo z tymi młodymi Australijczykami — nalegał Clark, tłumiąc ogarniającą go wesołość.

— Jeśli chodzi tylko o to, wstąpię na chwilę — zgodził się Tomek. Wszedł do mieszkania; zaraz też stanął zdumiony nieoczekiwanym widokiem. Ubrani całkowicie Clark i Watsung otoczeni byli gromadą półnagich mężczyzn. Tomek powiódł wzrokiem po ich bosych stopach oraz owłosionych łydkach, spojrzął na dłonie zaciśnięte na karabinach i rewolwerach. Poważny, skupiony wyraz twarzy stojących w milczeniu mężczyzn stanowił tak wielki kontrast z ich „*ubiozem*”, że Tomek po prostu nie wytrzymał i parsknął głośnym śmiechem.

Dopiero teraz łowcy zaczęli przyglądać się sobie wzajemnie. Zrozumieli komizm niecodziennej sceny. Pierwszy roześmiał się bosman Nowicki, po nim Bentley, Smuga, a w końcu wszystkich ogarnęła wielka wesołość.

Wilmowski nie uległ ogólnemu nastrojowi. Rozgniewany był na syna za lekkomyślne oddalenie się z farmy. Poprosił więc wszystkich o spokój, a potem zwrócił się do chłopca:

— Co ty wyprawiasz, do licha? Wytlumacz się, i to natychmiast!

Tomek zdziwiony spojrział na ojca, po czym odparł urażonym głosem:

— Co ja wyprawiam? Nic! Jeśli chcieliście mnie przestraszyć przebierając się za krajowców, to nie udało się wam! To są naprawdę bardzo mili ludzie, a poza tym zapomnieliście pomalować się na czarno! — zakończył triumfująco.

Wilmowski spojrział bezradnie na resztę towarzyszy z trudem tłumiących wesołość. Znów przybrał surowy wyraz twarzy i powiedział ostrym tonem:

— Dlaczego wyszedłeś poza obręb farmy bez pozwolenia pana Smugi? Słyszałeś chyba wyraźnie wydany wczoraj rozkaz?

Dopiero teraz Tomek zorientował się w sytuacji. Spoważniał natychmiast i odparł:

— Rozkaz słyszałem, ale...

— Ale uważałeś, że on ciebie nie dotyczy? — przerwał mu Wilmowski.

— Wcale tak nie uważałem!

— Wytlumacz się ze swego postępowania — gniewnie polecił ojciec.

— Musiałem wyjść na chwilę — zaczął Tomek niepewnym głosem. —

Ubrałem się więc i wyszedłem. Wracając do domu, spostrzegłem w pobliżu grupkę chłopców. Byli to krajowcy. Spoglądali na mnie z zaciekawieniem. Wtedy właśnie przyszła mi do głowy wspaniała myśl, żeby z nimi porozmawiać i wytłumaczyć, po co tu przyjechaliśmy. Wróciłem do domu, aby poprosić pana Smugę o pozwolenie, ale wszyscy jeszcze mocno spali. Zabrałem trochę konserw i sucharów. Wydawało mi się, że o tak wczesnej porze ci chłopcy mogą być głodni. Nie zapomniałem również o koniecznej ostrożności. Zabrałem sztucer i dopiero wtedy udałem się w kierunku Australijczyków. Nie chciałem oddalać się zbyt daleko od domu. Usiadłem więc na ziemi, otworzyłem puszkę z konserwami. Zacząłem jeść. Wtedy oni powoli zbliżyli się do mnie i obstąpili kołem. Poprosiłem, aby zjedli ze mną

śniadanie. Niektórzy z nich znali sporo słów angielskich, więc wkrótce wywiązała się między nami pogawędka.

— O czym rozmawialiście? — zapytał Bentley, gdy Tomek przerwał sprawozdanie dla nabrania tchu.

— Zapytałem ich najpierw, czy widzieli słonia? — odparł Tomek. — Bo tak naprawdę to nie wiedziałem, co mam mówić, żeby ich nie obrazić. Okazało się, że oni nie wiedzieli, co to jest słoń. Pokazałem im moją fotografię na słoniu: oni bardzo się dziwili. Ponieważ wydało mi się, że to ich ciekawi, pokazałem im również zdjęcie zastrzelonego tygrysa. Zapytali mnie, gdzie można obejrzyć takie dziwne zwierzęta. Wyjaśniłem, że słonia przywieźliśmy do ogrodu zoologicznego w Melbourne. Potem opowiedziałem także o zastrzeleniu tygrysa. To im się bardzo podobało. Zapytali mnie, dlaczego chcemy jedne zwierzęta zabierać, a inne przywozimy. Wtedy odrzekłem, że ludzie w Europie lubią oglądać różne zwierzęta w specjalnych ogrodach i płacą nawet za to pieniądze. Wydawało im się to bardzo dziwne. Mówili, że tacy ludzie mogą przecież tu przyjechać i bez opłaty przyglądać się kangurom. Wytłumaczyłem wtedy, że wielu Europejczyków nie może pozwolić sobie na podróż do Australii, tak jak większość Australijczyków nie może pojechać do Europy. Dlatego też przywieźliśmy słonia, którego każdy może obejrzyć w Melbourne, a stąd chcemy zabrać kilka żywych kangurów i emu, które potem będziemy pokazywali u nas w ogrodzie zoologicznym.

— Jak krajowcy na to zareagowali? — żywo zapytał Clark.

— Najpierw bardzo się z tego śmiali — odpowiedział Tomek. — Potem orzekli, że jest to bardzo zabawny sposób zdobywania pieniędzy; nawet o wiele lepszy, niż ciężka praca wykonywana w miastach przez białych ludzi. Wyjaśniłem im wówczas, że mogą również otrzymać pieniądze, jeśli pomogą nam schwytać parę kangurów i emu. Nie rozumiałem, co oni mówili między sobą, ale potem jeden z nich oznajmił, że przed zachodem słońca powiadomią nas, czy wezmą udział w chwytaniu zwierząt. W końcu zapytali mnie, czy zawsze trafiam do celu z mego sztucera? Zrobiliśmy próbę. Podrzucali w górę puste blaszanki, a ja, ku ich wielkiej ucieście, trafiałem za każdym strzałem. To już było wszystko. Pożegnaliśmy się i wróciłem do domu.

— Czy jesteś pewny, że obiecali powiadomić nas, co postanowią w sprawie polowania? — indagował Clark.

— Na pewno tak powiedzieli — potwierdził Tomek.

— To dobrze — ucieszył się Clark, — A teraz moi panowie przestańmy męczyć naszego młodego łowcę i czekajmy cierpliwie do zachodu słońca. Kto wie, czy przypadkiem nie oddał nam wszystkim dużej przysługi?

— Co myślisz o tym Tony? — zwrócił się Bentley do tropiciela.

— Myślę, że Mała Głowa jest bardzo mądra! — mruknął Tony z uznaniem.

— Wobec tego zapraszamy teraz pana Clarka i Watsunga na śniadanie — zaproponował Wilmowski — a Mała Głowa niech więcej nie robi takich niespodzianek.

Jeszcze raz wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Przez cały dzień łowcy oczekiwali na odpowiedź krajowców. Dopiero tuż przed zachodem słońca do farmy przybyło kilku Australijczyków. W imieniu trzech plemion wyrazili zgodę na udział w polowaniu. Obdarzeni różnymi podarunkami odeszli zadowoleni.

— Więc dobrze postąpiłem nie przeszkadzając Tomkowi w zetknięciu się z krajowcami — powiedział Clark po ich odejściu. — Jestem przekonany, że pomysł przywożenia jednych zwierząt, a wywożenia innych wydał im się bardzo zabawny i przekonał zarazem o braku ukrytych zamiarów z naszej strony.

— Muszę przyznać, że tym razem Tomek naprawdę spisał się dobrze — orzekł Wilmowski. — Obawiałem się tych pertraktacji z krajowcami.

— Jedno nieostrożne słowo może popsuć wszystko. Tomek na pewno zasłużył na pochwałę — przyznał Clark.

## WIELKIE ŁOWY NA KANGURY

Wieczorem tego dnia dwaj pracownicy Clarka powrócili z dłuższego objazdu pastwisk. Sama hodowla owiec, z wyjątkiem okresu postrzyżyn, nie wymagała zbyt wielkiego nakładu pracy. Clark bowiem nie oszczędził znacznych wydatków pieniężnych na ogrodzenie płotem z drucianej siatki najlepszych obszarów, aby w ten sposób zabezpieczyć owce przed napaściami dzikich psów dingo i jednocześnie zapobiec inwazji króliczej. Drapieżne dingo łatwiej było utrzymać w ryzach, urządzając na nie od czasu do czasu polowania. Gorszym natomiast wrogiem od nich oraz częstej posuchy były małe króliki, które z pięciu sztuk przywiezionych po raz pierwszy do Australii w 1788 roku, rozmnożyły się w milionowe stada i wyjadały najlepszą trawę. Oczywiście Clark ze swymi pracownikami kontrolowali systematycznie stan ogrodzenia, by natychmiast naprawić spostrzeżone szkody. Ponadto pomysły hodowca skupował od krajowców koczujących wokół farmy skóry królicze, które potem, z pewnym nawet zyskiem, odsprzedawał handlarzom. Dzięki temu dość skutecznie zapobiegał rozprzestrzenianiu się plagi szkodliwych małych gryzoni. Urządziwszy się praktycznie, nie musiał poświęcać hodowli wiele czasu. Obecnie powrót pracowników z objazdu z pomyślnymi wieściami umożliwił mu wzięcie udziału w przygotowaniach do wielkich łowów, które dla niego stanowiły przyjemną rozrywkę.

Przede wszystkim opracowano plan działania. Wilmowski zakupił od Clarka kilka koni do jazdy wierzchem oraz inne do ciągnięcia wozów podróжных. Tomek otrzymał australijskiego kuca, zwanego tutaj „pony”. Według zapewnień Clarka, był to mądry i wytrzymały wierzchowiec. W myśl ułożonego planu łowcy postanowili jak najszybciej rozejrzeć się w okolicy, wybranej przez tropiciela na teren polowania.

Nazajutrz o wschodzie słońca Wilmowski, Smuga, Bentley i Tomek gotowi byli do wyruszenia na wycieczkę rozpoznawczą. Właśnie kończyli śniadanie, gdy usłyszeli tętent i parskanie koni. Tomek natychmiast podbiegł do okna. Przed domem Tony przywiązywał wierzchowce do drewnianej poprzeczki umocowanej na dwóch słupkach.

— Tony już przywiódł nasze konie! Możemy wyruszyć na wywiad — radośnie poinformował towarzyszy.

— Wobec tego nie traćmy czasu, panowie. Potem słońce więcej da się nam we znaki — powiedział Wilmowski, powstając od stołu.

Szybko objuczono jednego konia sprzętem obozowym oraz zapasem żywności, po czym łowcy dosiedli wierzchowców. Tomek we wszystkim starał się naśladować dorosłych mężczyzn. Nie okazywał więc swego niezwykłego podniecenia. Z jak największą powagą przytroczył do łąku siodła sztucer, a następnie wskoczył na pony.

Sztuczna powaga Tomka bawiła łowców. Wilmowski i Smuga wymieniali porozumiewawcze spojrzenia, obserwując jego zachowanie. W tej chwili bosman Nowicki wyszedł przed dom. Zaledwie ujrzał nienaturalną minę młodego przyjaciela, zaraz schwycił kuca za uzdę. Prawdopodobnie nie dostrzegł ostrzegawczych znaków Wilmowskiego, który od razu wyczuł, co żartobliwy marynarz ma zamiar uczynić, gdyż odezwał się, udając wielką powagę:

— Słuchaj no, brachu, chyba nie od parady zabierasz na tę wycieczkę swoją pukawkę? Mój bosmański żołądek dopomina się gwałtownie o pieczeń z młodego kangura. Wprawdzie Watsung gada, że suche i łykowate mięso torbiastych skoczków jest do niczego, ale myślę, iż będzie ono lepsze od tych chińskich przysmaków, którymi wziął się nas karmić. Pokaż teraz, co potrafisz!

— Postaram się, panie bosmanie — odparł Tomek pewnym tonem.

— Mógłbyś sam zamienić się w kangura, ty... morska foko — mruknął Wilmowski. Nie był bowiem zadowolony z podsuwania Tomkowi pomysłów mogących grozić mu jakimś niebezpieczeństwem.

Ruszyli w bezdrożny step. Wypoczęte konie rwały rączo, toteż wkrótce zabudowania farmy zniknęły za zakrętem. W dali przed nimi, na zachodzie, widniał rozległy łańcuch niezbyt wysokich wzgórz, poprzerrywanych dolinami; w kierunku wschodnim rozciągał się szeroki, suchy step, porośły żółkniejącą trawą. Co pewien czas Tomek unosił się w strzemionach, aby ujrzeć kraniec olbrzymiej równiny, lecz chociaż jechali już około trzech godzin, step nadal sięgał linii horyzontu. Gdzieniegdzie napotymano rosnące samotnie, skąpo ulistnione, pokryte żółtym kwieciem drzewa akacjowe lub eukaliptusy o skórzastych liściach, nie dające niemal zupełnie cienia.

Słońce przygrzewało dość mocno. Jechali teraz stępą, aby niepotrzebnie nie forsować koni. Tomek nie zwracał uwagi na rozmowę swych towarzyszy.



Pilnie rozglądał się po stepie. W pewnej chwili wydało mu się, że wśród zielonożółtej trawy spostrzega jakieś nieforemne, czerwone kształty.

— Uwaga, panowie! Widzę dzikie zwierzęta! Patrzcie, patrzcie tam! — krzyknął stając w strzemionach.

Jeźdźcy spojrzeli we wskazanym kierunku. W odległości około dwustu metrów ujrzeli żółtoczerwone sylwetki zwierząt, których powolny chód sprawiał wrażenie ciężkiego, niezdarnego utykania. Dziwne stwory jeszcze nie zwietrzyły zbliżających się pod wiatr ludzi.

Bentley ruchem ręki nakazał towarzyszom milczenie. Za jego przykładem przynaglili konie: ruszyli galopem. Wkrótce znacznie przybliżyli się do żerującego stada. Widać już było wyraźnie charakterystyczną budowę zwierząt, których tułowia stawały się od przodu ku tyłowi coraz grubsze. Od razu też spostrzegało się silny rozwój tylnych nóg, w porównaniu z piersiami i szczupłą głową.

Naraz jedno zwierzę stanęło „*slupka*” na tylnych nogach. Odwróciło swój łebek, przypominający nieco głowę jelenia, a jednocześnie głowę zająca, w kierunku jeźdźców po czym błyskawicznie zaczęło uciekać dużymi skokami. Na to jakby hasło wszystkie zwierzęta pomknęły w step. Teraz uwidoczniły dalsze charakterystyczne cechy swej budowy i oryginalnego poruszania się. Gdy żerowały, opierały się na „*dłoniach*” przednich kończyn, a następnie podciągały ku przodowi tylną część ciała jakby podskokiem, przy czym nogi tylne wyrzucały przed przednie, omijając je. W biegu natomiast ich słabe przednie kończyny przestawały odgrywać jakąkolwiek rolę; posługując się jedynie potężnie zbudowanymi tylnymi nogami oraz długim, mocnym ogonem skakały opisując w powietrzu wielkie łuki i umykały z dużą szybkością.

Tomek nie miał już żadnych wątpliwości. Zbyt wiele słyszał przecież o tych zwierzętach, aby nie poznać ich teraz po tak znamienitych cechach.

— Kangury! To są kangury! — zawołał podniecony. — Pędźmy!

— Niepotrzebnie straszylibyśmy je tylko, ponieważ nie jesteśmy w tej chwili przygotowani do łowów — zaoponował Bentley.

Łowcy zwolnili bieg wierzchowców. Tomek posmutniał. Bentley zaraz go pocieszył:

— Nie żałuj, mój drogi, zmarnowanej okazji. Będiesz miał możliwość przyjrzeć się dokładnie podczas łowów różnym gatunkom kangurów.

Tomek zaraz ożywił się i odparł:

— Słyszałem od pana już na statku, że mamy chwycić kangury czerwone, szare i skalne. Czyżby jeszcze istniały i inne gatunki?

Bentley zawsze chętnie gawędził z roztroprnym Tomkiem, a poza tym zoologia była jego ulubionym tematem rozmów, więc też, skwapliwie wyjaśnił:

— Oczywiście, mój chłopcze! Przecież rodzina zwierząt workowatych skaczących obejmuje szereg podrodzin. Pierwsza z nich stanowi przejście od torbaczy łąjących po drzewach do skaczących. Reprezentantami jej są: najlepiej znany kangur piżmowy o długości do czterdziestu paru centymetrów, żyjący w Queenslandzie, szczur kangurowy, zasiedziały w Nowej Południowej Walii, Wiktorii, Australii Południowej i Tasmanii oraz szczur oposumowaty spotykany na całym naszym, kontynencie z wyjątkiem jego części północnej. Podrodzina kangurów właściwych liczy wiele gatunków dość różniących się pod względem wielkości. Obok olbrzymów świata torbaczy spotkasz gatunki zaledwie wielkości królika. To zapewne wiesz, że ojczyzną kangurów jest Australia i sąsiednie wyspy, a ulubionym ich środowiskiem — obszerne stepy trawiaste. Niektóre gatunki żyją w lasach obfitujących w duże polany, inne na krzaczastych równinach, a jeszcze inne w największych gąszczach leśnych. Są też gatunki skalne, a nawet gnieźdzące się na drzewach.

Gatunkiem najbliższym szczurom kangurowym jest kangur pręgowany i spokrewniony z nim kangur zajęcowaty. W grupie kangurów skalnych, na które będziemy polowali, mamy kangura żółtonogiego i południowoaustralijskiego kangura skalnego. Z kolei kangury drzewne różnią się od swej podrodziny tak sposobem poruszania się, jak i trybem życia.

Kangury naziemne są najbardziej znaną grupą całej podrodziny. Żyją głównie w Australii, a tylko mniejsze gatunki spotykamy we wschodniej części Nowej Gwinei i na sąsiednich wyspach. Do kangurów naziemnych zaliczamy: kangura olbrzymiego czerwonego — stadko ich przed chwilą napotkaliśmy — kangura olbrzymiego szarego, kangura czarnogłowego, kangura wesołego i kangura Benneta. Ten ostatni gatunek jest szczególnie poszukiwany przez myśliwych ze względu na cenne futro.

Czas szybko upływał na ciekawej dla wszystkich rozmowie. Ani spostrzegli, jak zbliżyli się do skalistego pogórza, rozciętego na wprost nich

szerokim wąwozem. Tony tam właśnie skierował swego wierzchowca. Łowcy udali się za nim. Musieli przyznać, że krajowiec wywiązał się doskonale z powierzonego mu zadania. Szeroka u wylotu na step gardziel wąwozu zwężała się w głębi, a w końcu wychodziła na dość obszerną kotlinę otoczoną ze wszystkich stron stromymi skalnymi ścianami. Wystarczyło tam zagnać zwierzęta, aby znalazły się w naturalnej pułapce.

— To jest naprawdę świetne miejsce na pułapkę — z uznaniem odezwał się Wilmowski. — Zbudowanie ogrodzenia zamykającego dokładnie wylot wąwozu nie sprawi nam zbyt wiele kłopotu.

— Tony jest mistrzem, jeżeli chodzi o wybór miejsca na łowy — dodał Bentley. — Parę mocnych słupów i kilkanaście metrów drucianej siatki wystarczy do uwięzienia kangurów w kotlinie.

Zsiedli z koni zmęczonych kilkugodzinną jazdą. Smuga i Tony zajęli się natychmiast przyrządzeniem posiłku. Wkrótce zapachniała gotowana kawa. Wszyscy zjedli z apetytem drugie śniadanie, po czym mężczyźni zapalili fajki. Tony, zanim zapalił swoją, wygasił starannie ognisko, aby nie spowodować w suchym stepie pożaru.

— Kiedy rozpoczniemy łowy? — niecierpliwie zapytał Tomek, ogarnięty żądzą czynu od chwili spotkania stada śmigłych kangurów.

— Nie prędzej niż za dwa lub trzy dni — odparł Wilmowski.

— Nie rozumiem, dlaczego zwlekamy z rozpoczęciem polowania, skoro mamy już wspaniałe miejsce, do którego możemy wegnać kangury — zżymał się chłopiec.

— Łowca musi być cierpliwy i przewidujący — tłumaczył mu ojciec. — Bądź pewny, że nie tracimy czasu na próżno. Podczas gdy my będziemy organizowali nagonkę, nasi towarzysze pozostawieni w farmie sporządzą skrzynie do przewozu zwierząt i zmontują wozy przywiezione w częściach na statku. Musimy przygotować się odpowiednio. Transport zwierząt na „*Aligatora*” sprawi nam najwięcej trudności.

— Zapomniałem o tym wszystkim — rzekł udobruchany Tomek, siadając na trawie przy ojcu.

Z kolei Wilmowski zwrócił się do tropiciela:

— Tony, teraz musimy udać się do obozowiska krajowców, którzy wyrazili zgodę na wzięcie udziału w polowaniu.

— Za trzy godziny możemy znaleźć się w obozie plemienia „człowieka–kangura” — odpowiedział Tony.

— Och Tony, Tony! — zawołał Tomek ze zgorszeniem. — Tyle to już nawet ja wiem, że w Australii nie ma żadnych ludzi–kangurów!

— A co się z nimi stało? — zdziwił się Tony. — Przecież byli na farmie pana Clarka i mówili z nami?

Rozmowa Tomka z krajowcem rozweseliła Bentleya. Roześmiał się ubawiony, po czym wyjaśnił:

— Plemiona australijskie dzielą cię na klany, a każdy–z nich przybiera nazwę od rodzaju swego zajęcia. Na przykład krajowcy trudniący się polowaniem na kangury przybierają nazwę ludzi–kangurów, łowcy emu nazywani są ludźmi emu, inni znów znani są jako ludzie–woda. W tych przypadkach kangur, emu czy też woda stają się ich symbolami i totemami. Krajowcy należący do danej grupy totemicznej starają się o powiększenie, trwałość i używanie rzeczy bądź też zwierzęcia, którego imię noszą. Tak więc plemię „człowieka–kangura” zaopatruje w kangurze mięso i skóry plemiona „człowieka–emu”, „człowieka–wody” i inne, a w zamian otrzymuje od nich jaja emu, wodę itd.

— Teraz zrozumiałem, co Tony miał na myśli — orzekł Tomek. — Musimy zwrócić się o pomoc do plemienia krajowców, którzy za swój totem obrali kangura.

— O to właśnie chodziło Tony’emu, gdy użył wyrażenia plemię „człowieka–kangura” — potwierdził Bentley.

— Pan Bentley dobrze mówi — przytaknął Tony. — Mała Głowa już teraz wie, co to jest człowiek–kangur.

— Ponieważ wszystko zostało wyjaśnione, możemy ruszyć na poszukiwanie plemienia „człowieka–kangura” — zakończył rozmowę Wilmowski.

Dosiedli koni i wyjechali z wąwozu. Posuwali się w kierunku pomocnym wzdłuż niskiego pasma skalistych wzgórz. Upał stawał się coraz większy, trzeba więc było zwolnić tempo jazdy. Dopiero po dwóch godzinach Tony zboczył w jar głęboko wcięty w pasmo. Wierzchowce nie przynaglone ruszyły kłusem.

— Już niedaleko. Konie poczuły wodę — poinformował Tony. Wkrótce u wylotu jaru ukazała się obszerna polana. Wśród krzewów akacjowych

widniały prymitywne szałasowy krajowców, czyli pojedyncze ścianki zbudowane z kory i gałęzi, oparte na żerdziach od strony nawietrznej. Skromne obozowisko rozłożono obok małego zagłębienia wypełnionego mętną wodą. Z koliska szałasów unosiła się smużka dymu z płonącego ogniska. Szczekanie psów powitało nadjeżdżających łowców.

Tony zatrzymał się o kilkanaście metrów od obozu i zeskoczył z konia. Spętał go zaraz i polecił swym towarzyszom, aby uczynili to samo. Konie wyciągały głowy w kierunku wody, lecz Tony nie pozwolił ich napić. Za przykładem przewodnika łowcy usiedli na trawie.

— Dlaczego czekamy tutaj zamiast wejść do obozowiska? — niecierpliwił się Tomek.

— Taki jest już zwyczaj wśród australijskich plemion — wyjaśnił Bentley. — W Europie, jeśli chcesz złożyć komuś wizytę, pukasz do drzwi jego mieszkania. Tutaj siadasz w pobliżu obozowiska i cierpliwie czekasz na zaproszenie.

— Dziwny to zwyczaj, lecz zupełnie już nie rozumiem, dlaczego Tony nie pozwala napić naszych koni? — odparł Tomek, spoglądając na wierzchowce wyciągające głowy w kierunku wody.

— Plemię krajowców obozuje nad dołem wypełnionym wodą. Tym samym, według tutejszych obyczajów, stanowi ona w pewnym sensie jego własność. Woda konieczna jest krajowcom do utrzymania się przy życiu, dlatego wypada poczekać, aż uzyskamy pozwolenie na ugaszenie własnego pragnienia i napojenie naszych koni. Jeżeli chcemy naprawdę żyć w zgodzie z krajowcami, musimy zawsze przestrzegać ich zwyczajów — odpowiedział Bentley.

Łowcy, w milczeniu przysłuchiwali się tym wyjaśnieniom, przecież powodzenie polowania w dużym stopniu zależało od pomyślnego ułożenia się stosunków z krajowcami. Tomek krytycznym wzrokiem obserwował obozowisko, po czym znów się odezwał:

— Ci Australijczycy są bardzo prymitywnymi ludźmi, skoro nie potrafią nawet zbudować odpowiednich szałasów! Przecież te ich niby-domki mają tylko jedną ściankę, przypominającą pochyły płótek.

— Ależ Tomku! Nigdy nie należy wydawać sądu o pierwotnych mieszkańcach jakiegokolwiek kraju bez zastanowienia się nad warunkami, w

jakich oni zmuszeni są przebywać — oburzył się Bentley. — Czy ty na przykład włożyłbyś w lecie futro?

— A po cóż miałbym wkładać w lecie futro? — mruknął Tomek wzruszając ramionami.

— A więc widzisz, w lecie nikt z nas nie wkłada futra. Australia jest gorącym i bardzo suchym krajem. Dlatego pierwotni jej mieszkańcy chodzą niemal nago, nie muszą jak my budować domów, które by chroniły ich od zimna bądź niepogody. Ponadto należą oni do ludów zbieracko-łowieckich, to znaczy żywią się wygrzebanymi z ziemi korzonkami roślin i upolowaną zwierzyną. Jeżeli w danej okolicy nie mogą już znaleźć pożywienia, przenoszą się w inne, bardziej obfitujące w pokarm miejsce. Po cóż więc mieliby budować trwałe domostwa, skoro ani klimat, ani warunki bytowania nie zmuszają ich do tego?

— Wszystko to, co pan powiedział, wydaje mi się słuszne, mogliby wszakże budować sobie wygodniejsze szałas.

Rozmowa urwała się na chwilę. Z obrębu obozu wyszedł stary Australijczyk o pomarszczonej twarzy. Tony powstał z ziemi, a następnie bez pośpiechu ruszył ku posłańcowi. Spotkali się mniej więcej w połowie drogi, usiedli na ziemi i rozpoczęli rozmowę.

— O czym oni mówią tak długo? — ciekawił się Tomek.

— Plemię „człowieka-kangura” przez posłańców wyraziło zgodę na wzięcie udziału w polowaniu, lecz grzeczność wymaga teraz oficjalnego poinformowania starszego rodu o celu naszego przybycia. Zaraz zobaczysz skutek tej rozmowy — poinformował Bentley.

Wkrótce krajowiec oddalił się w kierunku obozowiska, a Tony powrócił do swych towarzyszy. Oznajmił, że starsi plemienia przyjdą na naradę.

W tej chwili niemłoda kobieta pojawiła się nad dołem z wodą. Postawiła obok niego blaszankę, robiąc wymowny ruch ręką. Teraz Tony napił kolejno konie, a gdy ugasiły pragnienie, powrócił do łowców spoglądając wyczekująco w kierunku szałasów. Niebawem kilku krajowców zbliżyło się do białych myśliwych.

Omówienie wynagrodzenia dla krajowców za udział w łowach nie zajęło wiele czasu. Wilmowski zobowiązał się dać im pewną ilość zapasów żywności, a ponadto kilka siekier, noży i innych przedmiotów codziennego

użytku. Odmówił jedynie dostarczenia alkoholu, ofiarowując w zamian żywe kangury, które pozostaną w kotlinie po dokonaniu selekcji.

Ostatecznie krajowcy zgodzili się na tę propozycję. Obiecali, że sześćdziesięciu mężczyzn i chłopców weźmie udział w nagonce. Jednocześnie zobowiązali się natychmiast wysłać tropicieli w poszukiwaniu większego stada kangurów. Ustalono, że polowanie rozpocznie się za dwa dni.

Po powrocie do farmy łowcy zastali już zmontowane dwa długie, lekkie wozy przywiezione w częściach ze statku. Były one kryte brezentem, obciążonym na bambusowych pałkach. Zaprzęg każdego z nich miały stanowić cztery konie. Jeszcze przed nadejściem wieczoru załadowano przewiewne skrzynie–klatki, przeznaczone do przewozu kangurów oraz odpowiednią ilość żywności i sprzętu obozowego.

Przed rozpoczęciem łowów należało wąwóz wskazany przez tropiciela przemienić w pułapkę, w którą powinny wpaść kangury. Następnego dnia po powrocie z wywiadu karawana wozów i jeźdźców opuściła farmę Clarka późnym popołudniem, aby najcięższy odcinek drogi przez step odbyć po zachodzie słońca. Dzięki temu, zaledwie po jednym krótkim odpoczynku, łowcy znaleźli się o świcie w okolicy wąwozu. Wybranie miejsca na obóz nie zabrało wiele czasu. W półkolu utworzonym przez wozy rozstawiono namioty, a konie po spętaniu puszczone na trawę.

Niebawem łowcy rozpoczęli prace przygotowawcze w wąwozie. W najważniejszym miejscu, to jest u jego wylotu w kotlinę, wkopali mocne słupy z odpowiednimi zaczepami na drucianą siatkę. Po kilku próbach zamykania gardzieli wąwozu, słupy zamaskowano zielenią. Było to wskazane ze względu na płochliwość kangurów, aby zbyt wcześnie nie spostrzegły niebezpieczeństwa. Wkrótce wszystkie przygotowania zostały ukończone. Teraz należało jedynie oczekiwać na krajowców biorących udział w polowaniu. Nie sprawili zawodu. Przybyli całą gromadą i rozłożyli się obozem w pobliżu wąwozu.

Tomek przyłączył się do swych towarzyszy idących powitać Australijczyków w ich obozowisku. Pragnął bliżej przyjrzeć się wspaniałym australijskim myśliwym, przed których wzrokiem, według powszechnie panującej opinii, żadne nawet najmniejsze stworzenie żyjące w pustynnych stepach nie potrafiło ukryć swoich śladów.

W pierwszej chwili wszyscy krajowcy wydali się Tomkowi podobni do siebie jak dwie krople wody. Ich ziemistoczarne ciała pokrywały szerokie blizny pochodzące z prymitywnego tatuażu. Pomalowani byli w białe pasy na znak gotowości do walki i łowów. Najwięcej upodabniały ich lekko wydłużone głowy pokryte czarnymi, połyskliwymi, gęstymi włosami, nosy wąskie u nasady, a szerokie w nozdrzach oraz małe oczy i grube wargi.

Ubranie krajowców stanowiły wiązki traw przymocowane do sznurków opasujących biodra. Myśliwi uzbrojeni byli w długie dzidy, bumerangi oraz tarcze. Wyglądali wojowniczo i dziko, czego nie łagodziły nawet przyjazne uśmiechy, pojawiające się na ich twarzach na widok białych.

Myśliwi przyprowadzili z sobą kilka starszych kobiet. Te, zgodnie z przyjętym wśród tubylców obyczajem, zajęły się urządzeniem obozowiska oraz przygotowaniem posiłku.

Wilmowski, chcąc dobrze usposobić krajowców do polowania, ofiarował im dwa barany, znaczną ilość puszek z konserwami i suchary. Okazało się, że Australijczycy doskonale potrafią dawać sobie radę w tak nieprzystępnym dla człowieka terenie. Znany tylko im sposobem szybko wyszukali odpowiednie miejsce, po czym wykopali niezbyt głęboki dół, w którym pojawiła się woda<sup>41</sup>.

Wódz plemienia poinformował białych łowców, iż rozesłał już w okolice tropicieli na poszukiwanie większego stada kangurów. Spodziewał się ich powrotu z odpowiednimi meldunkami jeszcze przed zachodem słońca.

Przez resztę dnia Tomek przebywał wśród Australijczyków. Niektórzy z nich już wiedzieli o nim z opowiadań zwiadowców, wysłanych uprzednio do farmy Clarka. Łatwo więc nawiązywał nowe znajomości. Podczas uczyty czarownicy odtworzyli taniec przedstawiający polowanie na kangury. Według ich wierzeń, miało to zaskarbić myśliwym przychylność „*ducha*”, ten bowiem cieszył się widząc zwinność człowieka i nasyłał mu potem stado tłustych zwierząt. Oczywiście nie obyło się bez popisów sprawności myśliwskiej. Tomek strzelał do celu ze sztucera, a Australijczycy rzucali bumerangami i dzidami. Tomek zdziwił się niezmiernie, widząc niezwykłą siłę i zręczność tych na pozór wątło zbudowanych mężczyzn. Ich cienkie ręce z niezawodną celnością rzucały na dużą odległość ciężkie dzidy i bumerangi; na swych

---

<sup>41</sup> — Australijscy krajowcy potrafią odszukiwać miejsca, w których znajdują wodę na małych głębokościach. Zazwyczaj kopią tam doły i posługując się długimi słomkami, wysysają wilgoć.



nogach, pozbawionych niemal łydek, potrafili biegać z wiatrem w zawody. Na jedzeniu oraz wspólnych popisach czas upłynął do wieczora. Zgodnie z przewidywaniem wodza krajowców, zwiadowcy zjawili się w obozie jeszcze przed zachodem słońca. Według ich relacji, w odległości około pół dnia drogi na północny wschód od obozu, popasało duże stado kangurów w pobliżu małego źródła, nie należało się więc obawiać, aby zbyt szybko zmieniło miejsce żerowania.

Po otrzymaniu tej wiadomości Wilmowski natychmiast zwołał naradę w celu omówienia planu łowów. Wąwóz pułapka, do którego zamierzali zagnać kangury, leżał w łańcuchu skalistych wzgórz, ciągnącym się z północy na południe. Na zachód od niego znajdowała się martwa i bezwodna pustynia. Tam kangury nie mogły szukać schronienia przed obławą, należało je wobec tego osaczyć tylko z trzech stron: z południa, wschodu i północy, a potem gnać w kierunku wąwozu.

W myśl rady Bentleya jedna grupa krajowców, pod wodzą Wilmowskiego, miała pieszo rozciągnąć się długim szeregiem na południe od wąwozu pułapki. Zadaniem jej było zastąpić z tej strony drogę uciekającym kangurom. Resztę pieszych krajowców i jeźdźców podzielono na dwa oddziały. Jeden z nich, dowodzony przez Bentleya, miał zatoczyć szeroki łuk ze wschodu na północ, by spłoszyć kangury w kierunku południowym, podczas gdy drugi oddział, ze Smugą na czele, otrzymał polecenie zamknięcia kotła nagonki od wschodu. W ten sposób łowcy, zwężając coraz bardziej pierścień obławy, powinni zmusić kangury do schronienia się w wąwozie.

Tomek, ku swemu zadowoleniu, został przydzielony do grupy Bentleya. Miała ona najdłuższą drogę do przebycia i pierwsza rozpoczynała łowy. Wyruszyła też w drogę zaraz po północy, aby o świcie znaleźć się już na wyznaczonym miejscu. Grupa ta składała się z dwunastu jeźdźców i kilkunastu pieszych krajowców.

Na czele oddziału jechało dwóch tropicieli, zaraz za nimi podążali Bentley i Tomek. Noc była bardzo jasna. Na czystym niebie usianym gwiazdami wyraziście płonął Krzyż Południa. Olbrzymi księżyc zalewał cały step srebrzystą poświatą.

— Czy nie jedziemy zbyt wolno? — zagadnął Tomek, który pragnął jak najszybciej znaleźć się na wyznaczonym miejscu.

— Musimy jechać powoli, aby przedwcześnie nie zmęczyć koni — odparł Bentley. — Mamy przecież spory szmat drogi do przebycia. Z chwilą rozpoczęcia nagonki wierzchowce nasze powinny być w jak najlepszej formie.

— Proszę pana, czy kangury mogą przerwać łańcuch obławy?

— Wszystko zależy od naszej sprawności oraz szybkiej orientacji. W niebezpieczeństwie kangury pędzą jak wicher. W normalnych warunkach skoki ich wynoszą około trzech metrów, lecz gdy są przerażone, przebywają za jednym skokiem nawet ponad dziesięć metrów.

— Co będziemy robili w czasie nagonki?

— To, co się robi zawsze w takim przypadku — wyjaśnił Bentley. — Jak najwięcej hałasu...

Po kilkugodzinnej jeździe ujrzeli pasmo wzgórz, zarysowujące się w dali na tle jasnego nieba. Wkrótce przewodnicy jadący na przedzie zatrzymali konie. Oznajmili, że według ich obliczeń powinni już byli wyminąć wytropione stado kangurów. Wobec tego Bentley zarządził wypoczynek. Konie uwiązane na arkanach puszczone na trawę. Łowcy usiedli na ziemi, aby posilić się i odpocząć przed polowaniem.

Tomek nie mógł wprost doczekać się końca nocy. Bentley zachęcał go do drzemki, lecz mimo kilkakrotnych usiłowań nie zdołał zasnąć. Po raz pierwszy miał wziąć udział w wielkich łowach na dzikiego zwierza. Nie mógł opanować podniecenia, a na domiar złego denerwowało go zachowanie się Bentleya. Przykucnął on na ziemi i paląc sobie najspokojniej w świecie fajkę, rozmawiał z krajowcami o jakiejś uroczystości, którą nazywał „*korro-bori*”.

Jak wynikało z rozmowy, podczas takich uroczystości krajowcy przyjmowali chłopców do grona mężczyzn. Połączone to było z wieloma tajemniczymi ceremoniami, w czasie których wybijano młodzieńcowi ząb, lewy górny siekacz, na znak uznania go za dorosłego. Cała uroczystość przeplatana była zabawą, tańcami i ucztą, a brali w niej udział sami mężczyźni.

„*Ależ ten Bentley to dziwny człowiek — myślał Tomek ze złością. — Akurat teraz, przed rozpoczęciem polowania zachciało mu się rozmawiać o tańcach i śpiewach!*”

Odwrócił się plecami do Bentleya i niecierpliwie spoglądał w niebo. Nie mógł wypatrzyć najmniejszych oznak nadchodzącego dnia. Zapomniał nawet

o tym, że na tej szerokości geograficznej przed wschodem słońca panuje taka sama ciemność jak w pełni nocy. Dlatego też ogarnęła go nieopisana radość, gdy nie poprzedzone świtem olbrzymie słońce pokazało się na niebie. Wśród łowców zapanowało ożywienie. Bentley zaraz wyprawił trzech tropicieli na zwiady. Lekkim krokiem szybko oddalili się w step i w krótkim czasie zniknęli zupełnie wśród wysokiej trawy. Bentley wydobył z torby podróżnej dymną raketę, za pomocą której miał powiadomić myśliwych z grupy „południowej” i „wschodniej” o rozpoczęciu nagonki. Niebawem cały oddział ruszył w trop za zwiadowcami.

Około trzech godzin wolno posuwali się po stepie. Zwiadowcy nie dawali znaku życia. Tomka ogarniał już niepokój, czy przypadkiem nie rozminęli się z nimi, gdy naraz jeden z nich wychynął z zieleni.

— Znaleźliście kangury? — zapytał Bentley, podjeżdżając do niego.

— Tak, znaleźliśmy. W nocy odeszły od wody więcej na północ — powiedział krajowiec łamaną angielszczyzną. — Są teraz tam!

Miejsce popasu kangurów znajdowało się na wprost skalistych wzgórz.

— To niedobrze — zauważył Bentley. — Obawiam się, że w takiej sytuacji grupa, która miała osaczyć je od wschodu, znajduje się za daleko od nas.

— Niech pan nie dopuści do tego, aby kangury nam uciekły! — zawołał Tomek.

— Postaramy się zaradzić złemu, lecz przede wszystkim należy zachować spokój — stanowczo odparł Bentley.

Pomyślał chwilę, po czym rzekł:

— Zbyt mało mamy ludzi, aby rozdzielać się teraz na dwie grupy. Jeżeli natychmiast nie zaczniemy nagonki, to kangury mogą oddalić się jeszcze bardziej na północ. Wobec tego trzech z nas musi wyruszyć na południe, aby zawrócić stado, gdyby usiłowało przemknąć się między nami a grupą dążącą ze wschodu.

Zastanawiał się chwilę nad dobrorem tej trzyosobowej osłony, mającej zająć stanowisko na południu. Niełatwo mu jakoś było powziąć decyzję. W końcu swój badawczy wzrok zatrzymał na chłopcu.

— Tomku, weźmiesz dwóch krajowców i jadąc jak najwolniej, ruszysz w kierunku południowym — postanowił. — Kiedy ujrzysz wypuszczoną przeze mnie dymną raketę, gnaj naprzód, jakby goniło cię sto bengalskich

tygrysów. Trzymaj się kierunku równoległego do wzgórz dopóty, dopóki nie napotkasz grupy nadciągającej ze wschodu. Wówczas dopiero połączysz się z nią i razem zamkniecie łańcuch obławy.

— Och, proszę pana, czy nie może kto inny pojechać zamiast mnie? — żałośnie poprosił Tomek.

— Czy obawiasz się, że z tego powodu ominie cię polowanie? — zapytał Bentley. — Ależ chłopcze, przecież będziesz trzymał główną nić łowów w swoim ręku. Czy wiesz, dlaczego wybrałem ciebie?

— Właśnie, że nie wiem, ale myślę...

— Widzę już po twojej minie, że nie odgadłeś. Zaraz ci to wyjaśnię. Otóż gdyby kangury usiłowały prześliznąć się między nami a grupą nadciągającą ze wschodu, należy je zawrócić za wszelką cenę. Jeśli raz przerwą łańcuch obławy, rozwieją się po stepie jak wiatr. Czy wiesz, co może zmusić kangury do zmiany kierunku ucieczki?

— Nie wiem, proszę pana!

— W razie konieczności trzeba zabić przewodnika prowadzącego stado. Dlatego też mój wybór padł na ciebie. Z tego wszystkiego, co opowiadano o tobie, uważam cię za najlepszego strzelca w naszej grupie. Gdyby z nami był tutaj pan Smuga lub bosman Nowicki, posłałbym jednego z nich.

Tomek poczerwieniał z radości i dumy. Przez dłuższą chwilę nie odzywał się, aby nie pokazać wielkiego wzruszenia. W końcu powiedział niby to zupełnie obojętnym tonem:

— Ha, jeśli tak przedstawia się cała sprawa, to ruszę na południe. Krajowcy muszą mi, o ile zajdzie potrzeba, wskazać przewodnika stada, żebym się nie pomylił.

Bentley z niepokojem spojrział na chłopca.

*„Ileż to zarozumiałości w tym pędraku — pomyślał. — On gotów jest zepsuć nam całe łowy!”*

Nie było wszakże czasu na dłuższe rozważania. Bentley wybrał dwóch krajowców i wytłumaczył im krótko, na czym polegało ich zadanie. Tomek na swoim pony ruszył na południe, tymczasem Bentley z resztą grupy oddalił się w kierunku zachodnim.

Zaledwie Tomek pozostał sam z krajowcami, jego pewność rozviała się jak dym gasnącego ogniska. Co będzie, jeśli zmyli kierunek? Czy w razie konieczności naprawdę potrafi zawrócić kangury? Z ukosa spojrział na

jadących obok niego Australijczyków. Zaniepokoił się, ujrawszy dwie pary żółto nakrapianych oczu badawczo wpatrzonych w niego.

— Czy dobrze jedziemy? — zagadnął dla dodania sobie odwagi.

— Dobrze jechać, tylko wolniej — potwierdził krajowiec. Powściągnął pony cuglami. Jechali noga za nogą. Tomkowi czas zaczął się dłużyć niezmiernie. Coraz częściej spoglądał na wschód, czy też przypadkiem nie ujrzy nadciągającej drugiej grupy jeźdźców. Nie było ich jednak widać.

„*A to wpadłem! — pomyślał. — Zostałem dowódcą grupy krajowców i lichy chyba wie, co mam dalej z nimi robić? Na pewno ojciec ani pan Smuga nie postąpiliby ze mną w ten sposób! A jeśli ci Australijczycy są zdrajcami i uprowadzą mnie w step?*”

W tej chwili brunatna ręka chwyciła pony za uzdę i osadziła go w miejscu.

Tomek szybko zamknął oczy, oczekując na zdradziecki cios, lecz zamiast uderzenia usłyszał wysoki głos krajowca:

— Patrzyć, prędko patrzyć! Znak widać!

Otworzył oczy. Australijczycy wskazywali rękoma na zachód. W dali wzbijała się rakietą, snując za sobą ciemny ogon dymu. Nagonka ruszyła! Tomek natychmiast zapomniał o swych obawach. W myśli powtórzył polecenie Bentleya: — „*Kiedy ujrysz wypuszczoną przeze mnie dymną raketę, ruszaj naprzód jakby gonilo cię sto bengalskich tygrysów*”.

— Jedziemy, ile tylko koniom sił starczy — krzyknął do krajowców. Uderzyli wierzchowce piętami. Z miejsca ruszyli galopem. Trawa zaczęła umykać spod końskich kopyt. Daleko na zachodzie rozległy się gęste strzały i przeciągły krzyk nagonki.

Tomek chwycił rękoma za wysoki łąk siodła, ponaglił pony do szybszego biegu. Wyprzedził krajowców o kilka metrów, gdyż nie byli oni zbyt dobrymi jeźdźcami. Zapomniał niemal o nich. Gnał, nie oglądając się za siebie. W pewnej chwili usłyszał krzyki:

— Strzelba! Strzelba! Strzelba!

„*Czego oni chcą ode mnie?*” pomyślał i obejrzał się.

— Strzelba! Strzelba! — w dalszym ciągu wołali krajowcy.

Teraz dopiero Tomek uzmysłowił sobie, że odgłosy obławy przybliżyły się znacznie. Spojrzał w prawo. Ogarnęło go ogromne podniecenie. Ukosem przez step mknęły kangury olbrzymimi susami, oddalając się coraz bardziej na

wschód od skalnego łańcucha. Duże stado rozciągnęło się szerokim łukiem. Silniejsze sztuki wysforowały się mocno do przodu. Dopiero w odległości kilkuset metrów za pierwszymi kangurami galopowali jeźdźcy, krzycząc jak opętani.

— Strzelba! Strzelba! — wołali krajowcy, wskazując na szybko zbliżające się kangury.

Tomek zmierzył wzrokiem odległość dzielącą go od nadbiegających kangurów. Były one znacznie szybsze od pony. Według obliczeń Tomka, zbliżając się ukosem mogły wyminąć go o jakieś trzysta metrów.

„*Nie trafię na taką odległość*” pomyślał. Uderzeniem pięty ponaglił pony do biegu.

Wytrzymały, silny kuc wyciągnął krótką szyję i ruszył naprzód ze zdwojoną energią. Trzymając się mocno jedną ręką grzywy konia, Tomek ostrożnie przygotowywał sztucer. Pony zdobywał się na największy wysiłek. W końcu zbliżył się znacznie do pierwszych umykających kangurów. Krajowcy zrównali się z Tomkiem. Jeden z nich mijając go zawołał:

— My krzyczeć, a ty strzelać! Tylko prędko, prędko!

Wyprzedzili Tomka, który szarpnął cugłami i zatrzymał pony. Uniósł się w strzemionach, ściskając w rękach sztucer. Kangury znajdowały się już bardzo blisko. Pierwszy gnał olbrzymi samiec, wykonując znacznie dłuższe skoki niż pozostałe zwierzęta. Przycisnął do piersi przednie krótkie łapy, wyciągnął do tyłu ogon i całą siłą potężnych mięśni ud uderzał o ziemię długimi, smukłymi, sprężystymi tylnymi kończynami, odbijał się do góry, śmigając wśród trawy brunatnym cielskiem.

„*To jest na pewno przewodnik stada*” pomyślał Tomek.

Zaczął mierzyć, lecz nawet na najkrótszą chwilę nie mógł naprowadzić muszki sztucera na poruszające się błyskawicznie cielsko zwierzęcia.

„*Nic z tego*” skonstatował zasmucony, opuszczając broń.

Krajowcy już go wyprzedzili o kilkadziesiąt metrów. Zwrócili teraz konie wprost na kangury, wydając jednocześnie przeraźliwy okrzyk. Przewodnik stada przystanął na sekundę, prostując się na tylnych łapach na całą wysokość ciała. To go zgubiło. Tomek szybko podniósł sztucer i mierząc krótko, nacisnął spust. Huk strzału rozpląnął się po stepie. Kucyk przysiadł niemal na zadzie. Niewiele brakowało, aby Tomek znalazł się na ziemi. Odzyskując

utraconą na chwilę równowagę, ujrzał olbrzymiego kangura walącego się ciężko w trawę.

— Hurra! — wrzasnął Tomek; przerzuciwszy sztucer przez ramię, wy dobył colta.

Strzelał w górę wrzeszcząc z krajowcami, ile tylko miał sił. Przerażone śmiercią swego przewodnika kangury zawróciły na południe. Zupełnie nieoczekiwanie Tomek ujrzał wyłaniającą się z wysokiej trawy długą linię jeźdźców. Huknęły nowe strzały i ozwał się wrzask kilkunastu gardzieli. To Smuga nadciągał ze swoją grupą, by zamknąć łańcuch obławy od wschodu.

— Hurra! — krzyknął Tomek po raz drugi, po czym pognął za uciekającymi kangurami.

Pędzone z dwóch stron stado pomykało na południe. Wkrótce drogę zagroził mu łańcuch pieszych krajowców. Zwierzęta rzuciły się z powrotem na wschód, lecz rozgrzana łowami grupa Smugi powstrzymała je krzykiem i strzałami. Bieg stada na północ znów uniemożliwił oddział Bentleya. W ten sposób przerażone, zdezorientowane już zupełnie kangury pomknęły na zachód w kierunku skalnego łańcucha wzgórz. Oczekiwał tam na nie cichy w tej chwili wąwóz pułapka.

Bez większych trudności oraz niespodzianek zagnano kangury do wąwozu, którego gardziel zamknięto natychmiast drucianą siatką.

Wilmowski, zabezpieczywszy zwierzęta w Wąwozie, zaczął się rozglądać za Tomkiem. Nigdzie nie mógł go dojrzeć.

Zapytany o chłopca Bentley odparł z miłym uśmiechem:

— Niech pan przestanie niepokoić się o niego. To naprawdę zuch. Dzięki niemu kangury nie zdołały wymknąć się z pierścienia obławy. W nocy odeszły dalej na północ, zachodziła więc obawa, że powstanie duża luka między moimi ludźmi a grupą Smugi. Wobec tego postanowiłem wybrać najlepszego spośród nas strzelca, aby w razie konieczności zastrzelił przewodnika stada i zawrócił je na południe. Wybrałem Tomka, ponieważ według mego zdania, chłopak ma specjalne zdolności do posługiwania się bronią. Przyjął moją propozycję. W najkrytyczniejszym momencie obławy spisał się znakomicie. Pojechał teraz z krajowcami po zabitego przez siebie kangura.

— Żałuj, że nie widziałeś Tomka składającego się do strzału — wtrącił Smuga. — Byłem o jakieś sto metrów od niego. Jednym strzałem powalił przewodnika stada. Będzie znakomitym strzelcem.

— Opinia pana Smugi, znanego z celności strzału, jest najbardziej miarodajna — dodał Bentley — bo ja... przyznam się... nigdy nie zabiłem żadnego zwierzęcia. Lubię chwycić żywe okazy, lecz nie potrafiłbym pozbawiać ich życia.

— Bezmyślne zabijanie dzikich zwierząt jest zwykłym barbarzyństwem — orzekł Smuga. — Wielka to jednak zaleta, jeśli łowca posiada celne oko.

— Oczywiście, ma pan rację! Tomek zasłużył na szczególną pochwałę za wykazanie w czasie łowów wiele rozsądku. Wykonał najściślej moje polecenie — przyznał Bentley.

Wilmowski z dużym zadowoleniem przysłuchiwał się tej rozmowie. Z niecierpliwością oczekiwał powrotu syna. W ciągu niecałej godziny Tomek zjawiał się w obozie. Zaledwie zdążył uściskać ojca, natychmiast zapytał o bosmana Nowickiego. Wilmowski poinformował go, że marynarz rozdziela żywność krajowcom.

— Wobec tego muszę odszukać bosmana, aby wręczyć mu przyobiecane kangura — powiedział Tomek i otoczony gromadką krajowców ruszył w głąb obozu, prowadząc konia objuczonego olbrzymim zwierzęciem.



## WYPRAWA NA DZIKIE DINGO

Przez kilka dni cała gromada zajęta była wylawianiem z wąwozu kangurów przeznaczonych do przetransportowania na statek. W tym czasie zdarzył się Tomkowi zabawny przypadek. Mianowicie postanowił on przyjrzeć się bliżej olbrzymiej samicy, która w worku swym na brzuchu nosiła młodego kangura wychylającego co pewien czas małą, śmieszna główkę z dużymi uszami. Tomek wiedział już, że długość dopiero co urodzonego zwierzątka nie przekracza trzynastu centymetrów. Przychodzi ono na świat niezupełnie jeszcze ukształtowane, zaledwie z zaczątkami kończyn. Dalszy ich rozwój następuje w worku matki. Natychmiast po urodzeniu potomstwa kangurzyca umieszcza je w worku na swoim brzuchu, gdzie maleństwo przysysa się ściśle domykającymi się, a nawet zrastającymi po brzegach wargami do sutek gruczołów mlecznych matki i przez dłuższy czas jakby wisi na nich. Dopiero po ośmiu miesiącach ukształtowany już kangurek opuszcza bezpieczne schronienie, jakie stanowi dla niego matczyzna torba.

Łowcy nie chcieli, aby kangurzyca zbyt długo przebywała w ciasnej klatce, odłączyli ją przeto od stada i trzymali w oddzielnej zagrodzie. Dopiero przed samym odjazdem z farmy miano zamknąć kangurzycę w dużej skrzyni.

Mały kangurek interesował się już światem zewnętrznym. Wychylał łebek, poruszał zabawnie mordką i uszami, a kiedy Tomek machał do niego ręką, znikał natychmiast, wystraszony, w worku matki.

Pewnego dnia Tomek wszedł do zagrody. Kangurzyca stanęła w rogu wyprostowana, opierając się na dwóch tylnych łapach i grubym ogonie. Przekrzywiając głowę, świdrującymi oczkami spoglądała na chłopca. Zachowywała się bardzo spokojnie, więc bez obawy podszedł do niej. Wkrótce też całkowitą uwagę zwrócił na małego kangurka, który wychyliwszy z worka matki łebek przyglądał się mu ciekawie. Tomek wyciągnął rękę, by pogłaskać go po główce. Nagle poczuł silne uderzenie w kark. Wyprostował się natychmiast, lecz kangurzyca, jak wytrawny bokser, zaczęła uderzać go przednimi krótszymi łapami w piersi i głowę. Początkowo Tomek był zaskoczony tą napaścią, ale gdy wokół rozległy się śmiechy łowców, zacisnął dłonie do obrony. Po chwili w zagrodzie rozgorzał mecz bokserski. Rozgniewana kangurzyca zadawała krótkie ciosy, chwyciła Tomka

łapą za kark, bijąc równocześnie drugą aż w końcu tylną nogą kopnęła go w kolano. W tej chwili do zagrody wkroczył olbrzymi bosman Nowicki.

— Nie tak ostro, siostrzyczko! — krzyknął do kangurzyicy i zasłonił Tomka.

Krótką przednią łapą wylądowała na jego karku, a jednocześnie otrzymał solidnego kopniaka w kolano. Zaklął po marynarsku. Wokół rozbrzmiewała już burza śmiechu. Bosman z Tomkiem szybko wycofali się z zagrody.

— Dwa zero dla kangurzyicy — ze śmiechem wołał Bentley.

— Szanowny pan nie byłby tak wesoły, gdyby poczęstowała go tęgim kopniakiem jak mnie — odparł bosman z kwaśną miną. — Widziałem wprawdzie w Hamburgu tresowane do boksu kangury, ale kto tutaj tę diabolicę tego nauczył, to już naprawdę nie wiem.

— Kangurów nie trzeba uczyć boksowania, to jest ich normalny sposób walki — wyjaśnił Bentley. — Tak właśnie walczą między sobą i podobnie bronią się przed ludźmi.

— Więc uważasz pan, że i te, które widziałem boksujące się w Hamburgu, nie były specjalnie tresowane? — zdziwił się bosman.

— Jestem tego pewny — potaknął Bentley. — Cała sztuka polega jedynie na oswojeniu ich z widokiem ludzi i światła.

Zawstydzeni zabawną przygodą bosman i Tomek przestali interesować się kangurami zamkniętymi w wąwozie. Dla odmiany rozpoczęli natomiast poszukiwania za strusiami. Raz nawet zapuścili się z Bentleyem i Tonym daleko w step.

Było wczesne, gorące przedpołudnie. Grupa łowców wolno posuwała się po wyboistym płaskowyzu porośłym dość wysoką trawą. Tony pierwszy wypatrzył stadko żerujących ptaków.

— Emu, tam, z prawej strony pagórka! Szybko zsiadać z koni i nic nie mówić — ostrzegł półgłosem.

Pierwszy zsunął się z wierzchowca. Reszta łowców natychmiast uczyniła to samo. Tony poprowadził ich w kierunku pagórka o kopulastym wierzchołku. U stóp wzniesienia szybko wbili w ziemię paliki, do których przywiązali konie, po czym, zachowując ostrożność, wczołgali się na pagórek. Bentley wydobył polową lornetkę. Wysunąwszy głowę z trawy, zaczął rozglądać się za emu. Wkrótce wskazał ręką kierunek.

Bosman i Tomek kolejno przyglądali się przez lornetkę oryginalnym ptakom. Stado składało się z pięciu dorosłych okazów i czterech młodych. Wysokość jedynej w stadku samca wynosiła około stu siedemdziesięciu centymetrów, natomiast samice były nieco niższe. Posiadały matowobrunatne i żółtawe upierzenie.

Tomek uważnie przyjrzał się emu. Miały szyję krótszą niż bardziej znane mu z ilustracji strusie afrykańskie i krótsze, opierzone od stawu skokowo-goleniowego nogi. Bardzo małe skrzydła przylegające do tułowia, były zupełnie niewidoczne. Boki głowy oraz gardziel ptaków nie miały upierzenia. Do tych spostrzeżeń Tomka, Bentley jako zoolog, dodał, że nogi emu zakończone są trzema palcami, z których najkrótszy jest zewnętrzny, a wszystkie kończą się silnymi pazurami.

Najwięcej zaciekawienia wzbudziły w Tomku młode pisklęta. Musiały być bardzo żarłoczne, ponieważ bez przerwy buszowały wśród trawy za pożywieniem. Upierzenie ich było oryginalniejsze niż dorosłych okazów. Pokrywała je bowiem jeszcze pierwsza puchowa szata,znaczona sześcioma szerokimi, podłużnymi pasami.

Niestety łowcy niezbyt długo mogli obserwować australijskie emu. Bosman, którego również niezmiernie zainteresowały pstrokate pisklęta, nieopatrznie podniósł się na nogi, aby lepiej widzieć, wtedy czujny samiec wypatrzył go i wszystkie strusie szybko umknęły w step. Łowcy pobiegli wprawdzie do koni i przez jakiś czas ścigali emu, lecz, mimo iż ptaki uciekały wolniej z powodu piskląt, pogoń okazała się bezskuteczna, wierzchowce bowiem obawiały się dziwnego dźwięku wydawanego przez pióra pierzchających emu.

— Ale też z pana niezdara — oburzył się Tomek na bosmana. — Gdyby przez nieostrożność nie spłoszył pan emu, może udałoby się nam podkraść do nich i chociaż pisklęta schwytać.

Bosman zmarkotniał, bo i jemu wydawało się, że okazja naprawdę była ku temu doskonała, lecz Bentley wyprowadził z błędu obydwóch przyjaciół wyjaśniając:

— Nie martwcie się, moi drodzy. Nie jesteśmy przygotowani do łowów, a emu, chociaż nie są specjalnie bojaźliwe, poznały już, że ich największym wrogiem jest człowiek. Nie tak łatwo je podejść. Poza tym emu jednym

uderzeniem swej potężnej nogi może złamać człowiekowi kość biodrową lub też zabić atakującego psa.

— No, no, kto by się spodziewał takiej siły po ptaszysku — zdziwił się bosman. — Ciekawe, czy ich jaja i mięso dobre są do jedzenia? Bo przyznam się, że nawet apetycznie wyglądały te pisklaki.

— Pan tylko o jedzeniu mówi — mruknął jeszcze nachmurzony Tomek.

— Mężczyzna słusznego wzrostu, to nie małeletni pędrak, co byle czym się zaspokoi — odparował bosman. — Powiedz pan, panie Bentley, czy nadają się one do jedzenia?

— Mięso młodych jest nawet bardzo smaczne — potwierdził zoolog. — Z tłuszczu zaś starych okazów przygotowuje się olej, skuteczny podobno na rozmaite dolegliwości.

— Nie przekonasz mnie pan, że prawdziwy rum jamajka nie jest najlepszy na wszelkie choróbka i zmartwienia — zaoponował bosman. — Sprawdziłem to przecież na sobie nie raz!

— Znów pan zaczyna po swojemu — wtrącił Tomek. — Proszę pana, ile małych wysiaduje emu?

Bentley, jak zwykle to czynił w takich razach, obszernie wyjaśnił:

— Samiec emu wykopuje niewielkie wgłębienie w ziemi, które wyściela trawą i chwastami. Samica zazwyczaj składa tam około siedmiu lub ośmiu jaj. Jeżeli większa ilość jaj jest w gnieździe, to możesz być pewny, iż zniosło je tam kilka samic. Wysiadywanie trwa sześćdziesiąt dni, przy czym wysiaduje tylko samiec, który również z wielką pieczołowitością opiekuje się potomstwem. Dla informacji pana bosmana dodam, że jaja emu są jadalne, a pojemność jednego z nich wynosi około pół litra masy. Starczyłoby takie jedno jajeczko dla pana na śniadanko, co?

— Nie mów pan teraz o tym z łaski swojej, bo ciut głodny jestem — żałośnie odparł bosman ku uciesze Tomka.

— Jeżeli ma pan ochotę na jajecznicę, to mógłbym panu polecić jajo strusia madagaskarskiego — ciągnął dalej równie rozbawiony Bentley. — Jego „jajeczko” bowiem jest znacznie większe od jaja emu.

— To już chyba niemożliwe — zaprzeczył bosman, oblizując się na samą myśl o smacznej jajecznicy.

— Zapewniam pana, że zostało to naukowo stwierdzone, chociaż strusie madagaskarskie dawno już wymarły. Pojemność jednego ich jaja wynosiła

prawie dziewięć litrów, co równało się sześciu jajom strusia afrykańskiego, siedemnastu jajom emu lub stu czterdziestu ośmiu kurzym.

— Toż to zwykle draństwo pozwolić wymrzeć tak pożytecznym ptakom! — zawołał marynarz, poruszony do głębi słowami zoologa.

Bentley i Tomek wybuchnęli śmiechem. Bosman wcale się tym nie przejął. Jak zwykle praktyczny, postanowił zasięgnąć jeszcze więcej informacji o tak pożytecznych dla człowieka ptakach.

— Ciekawe rzeczy pan opowiada — zaczął rozmowę. — Ja myślałem, że na świecie są tylko strusie afrykańskie i emu, a tu tymczasem słyszę o innych gatunkach. Kto wie, gdzie jeszcze mogą rzucić mnie losy, skoro związałem się przyjaźnią z takimi wiercipiętami? Warto więc wiedzieć, jakie ptaszyska znoszące jaja dobre do jedzenia żyją na różnych kontynentach. Powiedz pan z łaski swojej, jak to jest z tymi strusiami? Widać istnieje jeszcze wiele dziwadł, o których nie słyszałem!

— Chętnie to panu wyjaśnię — odpowiedział Bentley. — Zdolność latania jest tak charakterystyczną cechą ptaków, że gatunki pozbawione jej wydają się nam zawsze jakimś osobliwym tworem. Takimi dziwnymi stworami wydawały się ludziom bezgrzebieniowce. Przedstawiciele ich należą do największych ze wszystkich znanych ptaków, a niektóre gatunki są prawdziwymi olbrzymami świata pierzastego. Do bezgrzebieniowców<sup>42</sup> należą cztery rzędy żyjące i dwa już wymarłe. Są to bez wyjątku ptaki lądowe. Tułów ich osiąga u wszystkich gatunków znaczną wielkość, głowę natomiast mają bardzo małą, szyję niezwykle długą, a nogi nadzwyczaj silnie rozwinięte. Uwstecznione skrzydła pokryte są u nich miękkimi, zupełnie nieprzydatnymi do lotu piórami, w zamian za to wszystkie gatunki odznaczają się doskonałością biegu. Ich pożywienie składa się przede wszystkim z drobnych zwierząt oraz roślin. Mają świetny wzrok oraz lepszy niż inne ptaki słuch i węch.

— Bardzo proszę, niech pan wyliczy wszystkie rodzaje strusi — wtrącił Tomek, pilnie przysłuchujący się słowom Bentleya.

— Są to więc: strusie właściwe<sup>43</sup>, czyli dwupalczaste, obejmujące tylko jedną rodzinę. Szereg jej gatunków różni się głównie ubarwieniem nagich części ciała. Struś zwyczajny zamieszkuje Afrykę Północną, południową

---

<sup>42</sup> — Ratitae.

<sup>43</sup> — Struthio

Palestynę i Arabię aż po Euftrat. Inne gatunki gnieźdzą się wyłącznie w Afryce.

Drugi z kolei rząd bezgrzebieniowców tworzą amerykańskie nandu<sup>44</sup> zwane inaczej „*strusiami pampasów*”. Ten trzypalczasty ptak przebywa na trawiastych przestrzeniach, położonych między Oceanem Atlantyckim i górami Andami, począwszy od puszczy Brazylii, Boliwii i Paragwaju aż po Patagonię. Nazwa nadana temu ptakowi przez Indian, jest naśladowaniem donośnego okrzyku samca nandu, wydawanego w czasie tokowania.

Trzeci, najbogatszy w gatunki rząd, stanowią kazuary. Wszystkie one należą do jednej rodziny. Z czternastu nam znanych — trzy tworzą rodzaj emu<sup>45</sup>, a jedenaście zaliczamy do kazuarów właściwych<sup>46</sup>. Ojczyzną wszystkich kazuarów są wyspy Oceanu Spokojnego, począwszy od Ceram i Amboiny poprzez Nową Gwineę po Nową Brytanię oraz Australię.

Warto tu wyjaśnić, że australijskie emu mają szyję i nogi znacznie krótsze od strusia afrykańskiego. Podczas gdy emu trzyma się trawiasto–pustynnych stepów, kazuary właściwe, o wykształconym wydatnie na szczycie dzioba oraz wierzchu głowy hełmie, zbudowanym z tkanki łącznej, zamieszkują gęstwiny lasów, gdzie prowadzą skryty i tajemniczy tryb życia. W przeciwieństwie do emu nie biegają klusem, lecz poruszają się drobnym truchcikiem. Jako łowców powinno was zaciekawić, że prócz soczystych owoców pożerają one ryby, jaszczurki i żaby. W ogrodach zoologicznych żywią się przeważnie chlebem, ziarnem oraz drobno pokrajanymi jabłkami.

Oddzielny rząd stanowią wymarłe już nowozelandzkie moa<sup>47</sup>. Wiele opowiadali o nich Maorysi zamieszkujący Nową Zelandię. My, niestety, znamy je tylko ze znalezionych szkieletów i jaj, których rozmiary tak przypadły do gustu panu bosmanowi.

Jeszcze bardziej skąpe wiadomości zebrano o wymarłych czteropalczastych strusiach madagaskarskich. Ostatnie z bezgrzebieniowców są kiwi<sup>48</sup> żyjące wyłącznie w Nowej Zelandii.

— Trzeba przyznać, że pamięć szanowny pan ma doskonałą — pochwalił bosman. — Proszę, jak to czas szybko schodzi na słuchaniu

---

44 — *Rhea americana*.

45 — *Dromaeus*

46 — *Casuarius*

47 — *Dinornites*

48 — *Apteryges*

ciekawych rzeczy o świecie! Oto już zbliżamy się do obozowiska. Tylko patrzeć, jak Watsung uraczy nas swoimi chińskimi specjałami!

Tym razem już nikt nie żartował na wspomnienie obiadu. Wszyscy porządnie wygłodnieli podczas jazdy przez step, toteż popędzili konie arkanami i wkrótce znaleźli się w kręgu wozów okalających obóz.

Przez następnych kilka dni Tomek z bosmanem samotnie wypuszczali się na poszukiwanie emu. Wyprawy ich jednak nie zostały uwieńczone sukcesem. Wilmowski, Smuga i Bentley zajęli się przetransportowaniem kilkunastu kangurów do farmy. Mimo zakończenia łowów na kangury nie zlikwidowali obozowiska w pobliżu wąwozu pułapki, ponieważ mieli zamiar wykorzystać je w czasie późniejszych polowań.

Właśnie Tomek, bosman i Tony powrócili z codziennej, porannej przejażdżki. Zaledwie zsiadli z wierzchowców, wybiegł ku nim Watsung i podał im list od Wilmowskiego, przyniesiony z farmy przez posłańca.

Bosman otworzył kopertę i przeczytał na głos:

*„Zdołaliśmy już urządzić jakoś nasze kangury. Uprosililiśmy również pana Clarka, aby wraz ze swymi pracownikami wziął udział w łowach na emu. Poluje on na nie od czasu do czasu ze względu na ich cenne skórki, z tego też względu posiada konie oswojone z dźwiękiem, jaki powodują pióra uciekającego ptaka. Odkładamy chwilowo łowy na emu, ponieważ nadarza się okazja schwytania dingo. Od kilku dni nachodzą one pastwisko, na którym pan Clark trzyma swoje owce. Jeśli chcecie wziąć udział w zasadzce na dzikie psy przyjeżdżajcie natychmiast”.*

— Co ty na to, braciszku? — zapytał bosman po przeczytaniu listu.

— Jedźmy jak najprędzej — z entuzjazmem odparł Tomek. — Nie mogę przecież pominąć polowania na dingo.

— Wobec tego zbieramy swoje manatki zaraz po obiedzie i jedziemy — zdecydował bosman.

— Dingo wyruszają na łowy w nocy — zauważył Tony uspokajająco. Przybyli na farmę w chwili, gdy Clark przygotowywał już konie do drogi, Wilmowski, Smuga, Bentley i dwaj pracownicy Clarka od samego rana urządzali pułapki na dingo. Owce pasły się na kilkukilometrowym pastwisku, ogrodzonym dla bezpieczeństwa drucianą siatką. Tego właśnie dnia wykryto w niej trzy uszkodzenia, w pobliżu których znaleziono na ziemi świeże ślady dzikich psów. W tych właśnie miejscach łowcy zastawili na nie pułapki.

Tomek i bosman razem z Clarkiem wyruszyli ku rozległemu pastwisku. Było jeszcze dość czasu do zachodu słońca, więc wolno jechali gawędząc.

— Słyszałem, że uprawiasz pan polowania na emu — zagadnął bosman.

— Owszem, jeżeli tylko czas mi na to pozwala — odparł Clark. — Polowanie jest tutaj dla nas jedyną rozrywką.

— Powiedz pan, w jaki sposób trzeba je łapać? — zaciekał się bosman, pamiętając własne niepowodzenia. — Uganialiśmy się z Tomkiem za strusiami przez parę godzin i tyle było z tego pożytku, że przyjrzeliliśmy się tylko ich ogonom. Konie nasze bały się dźwięku, jaki wydają pióra tych dziwnych ptaków.

— Najważniejszą rolę w polowaniu na emu odgrywa koń — wyjaśnił Clark. — Musi być równie śmigły jak ptaki i przyzwyczajony do tego piekielnego szelestu. Mam kilka koni ujeżdżonych do tego rodzaju polowania. Skóry emu są bardzo poszukiwane na rynku, toteż polujemy na nie przy każdej okazji.

— Jeśli panu chodzi jedynie o zdobycie skórek, to może pan przecież strzelać do emu z pewnej odległości — odezwał się Tomek.

— Skóra porozrywana kulą straciłaby swoją wartość — odpowiedział Clark, — Poza tym emu posiada niezwykłą wprost żywotność. Jeżeli nie padnie natychmiast, ugodzony kulą, to mimo rany i tak zdoła uciec.

— No dobrze, ale przecież ostatecznie musi pan zabić strusia — dodał Tomek.

— Masz słusność, ale potrzebny mi jest do tego jedynie dobry koń i bat — roześmiał się Clark.

— Nie rozumiem pana!

— Otóż wystarczy jechać za strusiem i tłuc go batem, aż padnie martwy ze zmęczenia. To najlepszy sposób.

Tomek spojrzał z oburzeniem. Clark, nie spostrzegając, jego miny, mówił dalej:

— Emu szybko opada z sił i w końcu biegnie ciężko, niezgrabnie, niemal jak kaczka. Mimo to ucieka dopóty, dopóki nie padnie martwy.

Bosman Nowicki wyjął usta pogardliwie i rzekł:

— No, łaskawy panie, taka zabawa nie dla mnie. Niech te ptaszyska biegają sobie ze swymi skórkami.



— Ja również nie wezmę udziału w takim polowaniu — dodał Tomek.  
— Biedne emu...

Rozmowa urwała się i w milczeniu dojechali do pastwiska. Nastrój Tomka poprawił się natychmiast na widok ojca oraz pana Smugi, którzy przywitali ich serdecznie.

— Oto jest i Mała Głowa — zawołał Smuga na widok chłopca. — Byłem pewny, że nie opuścisz polowania na dingo.

— Dlaczego był pan pewny, że nie opuszczę polowania?

— Odziedziczyłeś po ojcu żyłkę do włóczęgi i przygód. Wystarczy choćby szepnąć „*polowanie*”, a pójdziesz nawet w największym skwarze, aby wziąć w nim udział.

— Czy pan naprawdę jest pewny, że ja mam taką „żyłkę”? — zapytał Tomek podnieconym głosem.

— Z każdym dniem coraz więcej jestem o tym przekonany.

— Więc mógłbym zostać tak wielkim łowcą jak pan?! — zawołał uradowany Tomek.

— Jak ja? — zdziwił się Smuga, spoglądając z zaciekawieniem na chłopca.

— Tak, tak! Muszę z czasem zostać takim łowcą jak pan.

— A któż to naopowiadał ci, że jestem takim wielkim łowcą? — indagował Smuga, ubawiony słowami Tomka.

— A któż by mógł mi to powiedzieć, jak nie bosman Nowicki? On zna chyba pana najlepiej! — mówił Tomek z entuzjazmem. — To bosman właśnie poinformował mnie, że w całym naszym gronie jest pan jedynym mężczyzną, który ma wrodzoną żyłkę do łowienia zwierząt. Jakże chciałbym być również takim odważnym łowcą!

— Nic o tym nie wiedziałem — powiedział Smuga serdecznym tonem. — Chciałbym mieć takiego syna, jak ty. Zobowiązałeś mnie bardzo swoimi słowami. Myślę, że tak jak tu jesteśmy, będziemy stanowili czwórkę wypróbowanych przyjaciół.

— Tak jak trzech muszkietierowie, o których czytałem w powieści Dumasa — zawołał Tomek z radością.

— Coś w tym rodzaju — potwierdził Smuga.

— A to naprawdę wspaniała myśl! — ucieszył się Tomek i kolejno uścisnął wzruszonych towarzyszy.

— Co tu się dzieje? — zaciekawiał się Clark, który podczas tej rozmowy rozkulbaczał konie.

— Mała uroczystość rodzinna... tylko dla wtajemniczonych — mruknął niechętnie bosman Nowicki. — No, a teraz, co tam słyszeć z naszymi dingo?

— Chodźcie, pokażemy wam przygotowane pułapki — odparł Wilmowski i ująwszy Tomka za rękę, ruszył pierwszy w głąb pastwiska.

Tomek nie mógł powstrzymać okrzyku podziwu, ujrzawszy niezmiernie mrowie australijskich merynosów. Sprawiały one wrażenie wielkich kłębków wełny toczących się wśród trawy. Nawet zakrzywione rogi baranów niemal kryły się w gęstej, puszystej, jakby fryzowanej wełnie.

— Ależ tu muszą być ich tysiące! — zawołał.

— Kilkadziesiąt tysięcy — poprawił go Clark. — Jeżeli przez najbliższe dwa lub trzy lata nie nawiedzi tych okolic długotrwała susza, będę posiadał kilkadziesiąt tysięcy owiec.

— Co by się stało, gdyby zapanowała długotrwała susza? — zapytał Smuga.

— Wówczas zamiast kilkadziesiątu tysięcy merynosów miałbym kilkadziesiąt tysięcy szkieletów bielejących na spalonej piekielnym żarem ziemi — odparł Clark. — Aby uniknąć tego nieszczęścia, muszę zdobyć się na wybudowanie studni artezyjskich. Na razie zadowolam się tym, że w okolicy pastwisk znajduje się kilka niecek, w których nad ranem zawsze można znaleźć trochę wody.

— Czy ma pan jakieś dane, że tutaj teren nadaje się na budowę studni artezyjskich? — wtrącił się do rozmowy Wilmowski.

— Krajowcy są tego pewni, a oni jakimś, po prostu nie znanym nam, zmysłem wyczuwają obecność wód artezyjskich.

— Ojciec, co to są wody artezyjskie? Wiem z geografii, iż w Australii osadnicy budują studnie artezyjskie, ale nie słyszałem o takich „wodach” — zagadnął Tomek.

— Widzisz, mój kochany, woda przesiąka przez przepuszczalne warstwy ziemi. Jeżeli w głębi natrafi na warstwy nieprzepuszczalne, spływa po nich i gromadzi się w pewnych miejscach. Zdarza się, iż woda trafia między dwie warstwy nieprzepuszczalne. Łatwo wtedy odgadnąć, że znajduje się pod ciśnieniem powstałym z różnicy poziomu dna i powierzchni warstwy

przepuszczalnej. Wystarczy przewiercić otwór przez nieprzepuszczalny strop, aby woda sama wypłynęła, a czasem nawet wytrysnęła na powierzchnię.

— U nas woda jest prawie tak cenna jak złoto — dodał Clark. — Kiedy w 1879 roku hodowca bydła w Nowej Południowej Walii, kopiąc zwykłą studnię, przypadkowo natrafił na podskórną wodę w wielkiej obfitości, zdarzenie to poruszyło umysły wszystkich Australijczyków.

— W jaki sposób dokonuje pan postrzyżyn? Jak zaobserwowałem, na farmie znajduje się razem z panem i kucharzem zaledwie czterech ludzi — Wilmowski poruszył nowy temat.

— Oczywiście, że sami nie dalibyśmy rady — wyjaśnił Clark. — W Wilcannii organizowane są specjalne grupy postrzygaczy. Wyruszają one w określonym czasie do poszczególnych farm i wykonują całą pracę. U nas robotnik jest drogi i trudny do zdobycia.

Tak rozmawiając, zbliżyli się do drucianej siatki odgradzającej pastwisko od stepu. Wilmowski oznajmił, że tutaj właśnie założyli pierwszą pułapkę. Zatrzymali się przed kępą zarośli. Na próżno Tomek wypatrywał śladów zamaskowania zapaści na dzikie psy. Wśród kęp krzewów nic nie było widać prócz trawy.

— Nie rozumiem, w jaki sposób mamy tutaj schwytać dingo? — odezwał się zawiedzionym głosem.

Wilmowski ostrożnie rozgarnął trawę. Tomek ujrzał rusztowanie misternie uplecione z cienkich gałęzi, a pod nim wykopany głęboki dół o prostopadłych ścianach.

— Już wiem teraz! — zawołał uradowany. — Przy siatce znajduje się zamaskowany dół.

— Tak, powiększyliśmy otwór w uszkodzonym przez dingo ogrodzeniu i wykopaliśmy dużą jamę po wewnętrznej stronie siatki: Dingo wpadnie w pułapkę, jeśli będzie chciał przedostać się na pastwisko — dodał Wilmowski.

— Czy nie lepiej było wykopać dół po drugiej stronie ogrodzenia? — zatroszczył się bosman Nowicki.

— Nie, ponieważ wtedy pozostawilibyśmy po sobie zbyt wiele śladów, co mogłoby wzmóc ostrożność nawet głodnych dingo — odparł Wilmowski.

— W jaki sposób wydostaniemy psy z pułapki? — dopytywał się Tomek.

— Na dnie dołu rozłożyliśmy siatkę, którą następnie przysypaliśmy lekko ziemią. Do krańców sieci przywiązaliśmy grube sznury. Wydobędziemy dingo spowite jak niemowlę w pieluchy — odpowiedział Wilmowski.

— Pomyślane pierwszorzędnie — pochwalił bosman.

— Przed zapadnięciem nocy położymy w tych zaroślach kawał surowego, świeżego mięsa — wtrącił Clark. — Dla głodnych dingo będzie to najlepsza zachęta do zaniechania ostrożności. Chodźmy dalej!

Przy trzeciej pułapce zastali Bentleya i Lorenca, pracownika Clarka. Bentley kończył maskowanie dołu kępkami trawy, a Lorenc obdzierał ze skóry świeżo zabite jagnię.

— Halo! Jeśli dingo będą tak głodne jak ja, to o świcie zastaniemy nasze doły przeładowane nimi — z humorem powitał ich Bentley.

— Zaraz zjemy kolację — pocieszył go Smuga. — Widzę, że pomyślał pan już o przyjęciu dla nieproszonych gości.

— Tak, pan Lorenc przygotowuje smakowite kąski. Zapach krwi podrażni apetyt dingo i przytępi ich czujność — odparł Bentley.

Lorenc poćwiartował jagnię. Podał ociekający krwią kawał mięsa Bentleyowi, który położył go na rusztowaniu maskującym pułapkę. To samo uczynił przy dwóch pozostałych dołach, po czym łowcy udali się do zbudowanego w pobliżu szałas.

Na kolację Tony przygotował prawdziwą ucztę. Nie zabrakło na niej nawet dwóch butelek dobrego wina. W jak najlepszych humorach łowcy rozłożyli się na trawie i paląc fajki, oczekiwali nadejścia nocy.

# OPOWIEŚĆ O PAWLE STRZELECKIM

Tomek położył się na wygodnym posłaniu w cieniu przewiewnego szałas. Długo błdził wzrokiem po bezchmurnym niebie, rozmyślając jednocześnie o zadzierzgniętej w tym dniu przyjaźni z tak niezwykleymi towarzyszami wyprawy. Puszył się nawet nieco, monologując po cichu:

*„Nikt z moich kolegów w Warszawie nie może nawet poszczycić się znajomością z prawdziwym podróżnikiem. A tymczasem taki wytrawny łowca dzikich zwierząt jak pan Smuga, sam zaproponował mi swoją przyjaźń! Poza tym pan bosman Nowicki również nie jest pierwszym lepszym marynarzem. A jaki mir ma u załogi Aligatora! Na wszystkie jego polecenia majtkowie służbiście odpowiadają: «Ay, ay sir»<sup>49</sup> A i spełniają je bez szemrania. Takich to ja mam przyjaciół! Ponadto przecież jestem synem dowódcy łowieckiej ekspedycji...”*

Przyjemne rozmyślenia sprawiły, iż w końcu zmorzony sennością zasnął z błogim uśmiechem na ustach. Spał kilka godzin. Gdy się przebudził, było już ciemno, na niebie migotały gwiazdy. Jednocześnie dobiegały go głosy towarzyszy gwarzących przy ognisku. Zaniepokojony natychmiast podniósł się i szybko podszedł do nich.

— Dlaczego nie zbudziliście mnie? — zagadnął z wyrzutem. — Niewiele brakowało, a przespałbym całe polowanie!

Mężczyźni uśmiechnęli się do niego. Ojciec, robiąc mu miejsce obok siebie, uspokoił go:

— Nie obawiaj się! Mamy jeszcze czas. Dopiero co zapadł wieczór. Dingo zwykle wychodzą na łowy koło północy.

Tomek przysiadł przy ojcu.

— Piękne są tutaj noce na stepie, tylko mogłoby być trochę chłodniej — zagał Smuga przerwana rozmowę.

— Zgadza się z panem, ale jednocześnie zapewniam, że i inne okolice Australii mają wiele swoistego uroku — gorąco stwierdził Bentley. — Gdybyście, panowie, znali ten kraj tak jak ja, może pozostalibyście u nas na zawsze.

---

<sup>49</sup> — y sir — tak panie (po angielsku: czytaj: Aj syr).

— Bajki pan opowiadasz, za przeproszeniem! — nieoczekiwanie wybuchnął bosman Nowicki. — Nie mówiłbyś pan takich bzdur, gdybyś chociaż raz w życiu ujrzał naszą rodzinną ziemię! Jakie to cudne u nas pola, lasy! A nad naszą rzeką Wisłą, ile to pięknych miast! Kochana Warszawa, gród krakowski, ho, ho! aż żal serce ściska, że ich widzieć nie można. Co mi tam przy naszej Polsce wasza Australia z jej piekielnym upałem, suszami, powodziami, stadami owiec i Bóg tam jeszcze wie z czym! Przemierzyłem już prawie cały świat, ale wierz mi pan, że kości moje chciałbym złożyć tylko w polskiej ziemi...

Bentley umilkł zaskoczony gwałtownością słów bosmana. Dopiero po dłuższej chwili znów się odezwał:

— Nie chciałem urazić niczyich uczuć. Powiedziałem jedynie, że pokochałem Australię. Jak słyszałem, nie możecie powrócić teraz do własnego kraju. Po co tułać się po świecie? Może tutaj moglibyście znaleźć schronienie aż do lepszych dla was czasów?

— Nie ma mowy o jakiejś tam obrazie, proszę szanownego pana — pospiesznie zapewnił wzruszony marynarz. — Wybacz mi pan może zbyt szorstkie słowa. Ot, prostak jestem, to i pewno źle się wyraziłem, a pan przecież nigdy nie był w Polsce. Ach, szanowny panie, co za widok przedstawiają warszawskie ulice, czy też krakowski rynek, na przykład w Noc Wigilijną! Białe płatki śniegu padają na dworze, a w oknach domów jarzą się świeczki na choinkach... Połowę życia oddałbym, żeby móc to teraz ujrzeć...

Tomek westchnął i przysunął się do wzruszonego marynarza.

— Poczciwy bosman uwielbia naszą Warszawę — cicho powiedział Wilmowski. — Prawdę mówiąc, to i ja również odczuwam tęsknotę za rodzinnym miastem...

— Musi pan koniecznie odwiedzić Polskę — porywczo rzekł Tomek. — Zaprowadzę pana w Warszawie do parku w Łazienkach i pokażę pałac, w którym dawniej mieszkali polscy królowie. Tuż przy nim pływają w stawie piękne, białe łabędzie. Ile to naobrywałem kar od cioci Janiny za włóczenie się po Łazienkach.

— Skorzystam z twego zaproszenia, gdy Polska odzyska swą niepodległość — zapewnił Bentley. — Warszawa musi być naprawdę piękna, skoro ją tak bardzo kochacie.

— Tak, tak, przyjedzie pan do Warszawy i zorganizuje nam wspaniałą ogród zoologiczny — fantazjował Tomek. — My zaś urządzimy specjalną wyprawę łowiecką, by złowić jak najwięcej ciekawych zwierząt do naszego ogrodu. Prawda, tatusiu?

— Prawda, kochany zapaleńcze! — przytaknął Wilmowski śmiejąc się. — Skoro przygotowałeś posadę dla pana Bentleya, to musimy postarać się o zwierzęta.

— Uczyniłbym to z wielką przyjemnością — przyznał Bentley. — Powinniście jednak i wy zwiedzić najpiękniejsze okolice Australii. Będziemy przecież polowali w pobliżu Alp Australijskich, warto by więc obejrzeć Górę Kościuszki.

— Górę Kościuszki? — przerwał mu bosman Nowicki. — Czy to ta największa góra w Australii odkryta przez polskiego podróżnika?

— Nie myli się pan. Polak, Paweł Strzelecki<sup>50</sup>, między innymi odkrył na tym kontynencie Alpy Australijskie i najwyższy ich szczyt nazwał Górą Kościuszki.

---

<sup>50</sup> Polski podróżnik, odkrywca i badacz Paweł Edmund Strzelecki urodził się w Głuszynie pod Poznaniem 24 czerwca 1797 roku. W czasie dwunastoletniej wędrówki poznał niemal większość kontynentów świata. Badał Amerykę Północną i Południową, wiele wysp Pacyfiku, Nową Zelandię, skąd przybył do Tasmanii i Australii. W drodze powrotnej do Europy zwiedził Japonię, Chiny i Półwysep Malajski, Filipiny, Indonezję i Egipt. W samej Australii i Tasmanii przebył pieszo ponad czternaście tysięcy kilometrów. Wszystkie podróże odbywał na własny koszt. Strzelecki w Australii przebywał w latach 1839–1844. Przedmiotem jego szczegółowych badań była Nowa Południowa Walia. Jako geolog, Strzelecki stwierdził istnienie tam wielu ważnych dla rozwoju kraju minerałów, odkrył złoża złota i srebra. Na prośbę ówczesnego gubernatora Australii Gippsa, Strzelecki zachował w tajemnicy wiadomość o znalezieniu złota. Podczas podróży badawczych rodak nasz odkrył Alpy Australijskie, których najwyższe wzniesienie nazwał Górą Kościuszki. On pierwszy wskazał najbogatszą na kontynencie krainę i nazwał ją na cześć gubernatora — Gippslandem. Z Alp Australijskich przedarł się na południowy zachód do Port Phillip (dzisiejszego Melbourne), przechodząc z narażeniem życia przez tereny pokryte gęstym, ciernistym skrobem, które dotąd były uważane za nie do przebycia. Podczas badań kontynentu dokonał wielu różnych pomiarów; po powrocie do Europy wyniki swych podróży i badań opisał w dziele o Australii i Tasmanii (dzieło pt. „**Physical Description of New South Wales and Van Diemen’s Land**” wydał w Londynie w 1845 roku — polski przekład tego dzieła ukazał się w Polsce drukiem po raz pierwszy w roku 1958 nakładem PWN). Za wybitne osiągnięcia naukowe w Australii oraz za ujawnienie istnienia złota, królowa Wielkiej Brytanii nadała Strzeleckiemu wysokie odznaczenie państwowe. Strzelecki zmarł w Londynie 6 października 1873 roku. Do dzisiaj istnieją w Australii nazwy polskie nadane przez Strzeleckiego: Góra Kościuszki oraz miasto i dystrykt Czarnogóra, przekreślone przez Anglików na „*Tarngulla*”; nazwa „*Góry Adyny*” nie przyjęła się. Na mapie zamieszczonej w niniejszej książce znajdzie Czytelnik nazwy miejscowości związane z

— Widzisz pan sam, kto więcej wart! — triumfował marynarz. — Polak musiał wam nawet odkryć największą górę! Tacy my już jesteśmy: do tańca i do rózańca!

— Nigdy nie odważyłbym się ujmować zasług Strzeleckiemu, który dokonał tutaj więcej niż niejeden jego rodak — wyjaśnił Bentley, uśmiechając się do przekornego marynarza.

— Czyżby pan specjalnie interesował się działalnością Strzeleckiego? — zapytał Wilmowski, zaintrygowany słowami zoologa.

— Od najmłodszych lat nasłuchiwałem się o nim niezwykłych historii. W domu moich rodziców wiele mówiono o Strzeleckim. Muszę zaznaczyć, że mój dziadek, jako Polak po upadku powstania listopadowego opuścił Polskę i przywędrował do Nowej Południowej Walii. Tutaj zetknął się ze Strzeleckim. Towarzyszył mu nawet w jednej z niebezpiecznych wypraw. Matka moja przypuszcza, że Strzelecki powiedział dziadkowi o znalezieniu złota. Prawdopodobnie wydobywali je razem przez krótki czas. Strzelecki musiał zapewne zobowiązać dziadka do zachowania tego w tajemnicy, gdyż ten nigdy nie chciał rozmawiać na temat pochodzenia naszego majątku.

— Ależ to prawdziwie romantyczna historia! — zawołał ze zdziwieniem Wilmowski. — Jeszcze jest dość wcześnie, a w stepie cicho, jakby kto makiem zasiał. Możliwe, iż przebiegłe dingo zwęszyły naszą obecność. Wobec tego bardzo prosimy o opowieść o tej wspólnej wyprawie pańskiego dziadka ze Strzeleckim. Niezwykle nas to ciekawi, prosimy!

— Prosimy, bardzo prosimy, niech pan opowie — dołączył się Tomek. — Obiecał mi pan nawet jeszcze w pociągu, że opowie o Strzeleckim!

— Mów pan, szanowny panie, to coś naprawdę dla nas — dodał bosman.

Bentley nie dał się dłużej prosić. Zapalił fajkę, po czym rozpoczął:

— Po odkryciu Alp Australijskich i Góry Kościuszki Strzelecki ruszył na południowy wschód. W wyprawie tej, oprócz mego dziadka, towarzyszył mu również Mac Arthur, jeden z pionierów Nowej Południowej Walii. Między barierą Alp Australijskich a Morzem Tasmańskim ujrzeli żyzną i bogatą krainę pokrytą licznymi rzekami i jeziorami.



Strzelecki cieszył się pięknem i bogactwem nowo odkrytej ziemi. Na cześć gubernatora Australii nazwał ją Gippslandem. Przekonany był, że stanie się ona w przyszłości najbogatszą częścią kontynentu. Nie pomylił się w swoich przewidywaniach. Naszkicował dokładną mapę Gippslandu, sporządził plan przyszłych robót melioracyjnych, po czym wędrując w górę rzeki La Trobe, dotarł do jej źródeł leżących w górach.

Pewnego dnia Mac Arthur sprawujący funkcję administratora obozowego oznajmił, że kończą się zapasy żywności i wobec tego należy pomyśleć o odwrocie. Strzelecki nie chciał o tym nawet słyszeć. Postanowił iść na południowy zachód w kierunku założonego niedawno Port Phillip, aby wytyczyć kolonistom drogę do Gippslandu.

Bez dalszej zwłoki przekroczyli pokryty lasami łańcuch górski i znaleźli się w stepie parkowym. Z głębi łądu wiał gorący wiatr wysuszający ziemię. Około stu kilometrów dzieliło wyprawę Strzeleckiego od Port Phillip, lecz z każdym dniem marszu okolica stawała się coraz dziksza, trudniejsza do przebycia. Z powodu olbrzymich upałów powysychały okresowe rzeczki i strumyki. Podróżnicy nie mogli więc uzupełniać zapasów wody.

Rzadki las parkowy zaczął ustępować coraz częściej napotykanym przez wyprawę terenom pokrytym skrobem. W końcu doszło do tego, że Strzelecki wraz z towarzyszami musiał przedzierać się przez, gąszcz, utworzony przez skarłale akacje i eukaliptusy oraz wysoką, trawę zwaną spinifex. Całkowity brak jakichkolwiek czworonogów i ptaków najlepiej świadczył o dzikości okolicy.

Jeszcze około sześćdziesięciu kilometrów dzieliło wędrowców od celu wyprawy, gdy dalszą drogę zagroził im naturalny żywopłot z krzewów. Mac Arthur doradzał zawrócić, lecz Strzelecki nie chciał zgodzić się na to ze względu na brak zapasów żywności i wody. Według niego, jedynie nieustanny marsz na południe mógł uratować ich od zagłady w morderczym skrobie. Dziad mój poparł zdanie Strzeleckiego, ponieważ wierzył w jego, nieomylny dotychczas, instynkt podróżniczy. Brak paszy oraz wody zmusił ich do zabicia koni i porzucenia tym samym cennych zbiorów kompletowanych przez polskiego podróżnika podczas długiej wędrówki.

Bez dalszej zwłoki szli na południe. Niemal pełne trzy tygodnie przedzierali się przez, twarde, suchy skrob, kłujący jak kolce cierni. Oprócz głodu i pragnienia zaczęła dręczyć ich niepewność, czy obrany przez nich

kierunek, jest właściwy. Mimo największego wysiłku, na jaki zdobywali się w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, posuwali się zaledwie od trzech do pięciu kilometrów na dobę, poświęcając na odpoczynek jedynie kilka godzin w czasie upalnego dnia. Konieczność wyrąbywania drogi przez gąszcz wyczerpywała już i tak bardzo nadwątlone siły podróżników. Kolczaste krzewy boleśnie raniły ciała, niszczyły odzież. Rany nie chciały się goić, z ubrań pozostały tylko strzępy.

Dwudziestego czwartego dnia marszu z trudem już mogli torować sobie drogę. Niskie krzewy nie dawały cienia, a spieczona przez słońce, spękana ziemia tworzyła niezliczoną ilość pułapek dla utrudzonych nóg wędrowców. Członkowie wyprawy byli tak osłabieni, że niektórzy z nich prosili, aby pozostawiono ich własnemu losowi. Strzelecki zmuszał wszystkich do największego wysiłku, twierdząc, że skrob skończy się wkrótce.

Rankiem dwudziestego szóstego dnia marszu jeden z krajowców zatrzymał się nagle. Wyciągnął swą wychudzoną szyję, otwartymi szeroko ustami zaczął wdychać suche, palące powietrze. Strzelecki chwycił go pod ramiona. Wydawało mu się, że krajowiec jest już w agonii, lecz wtedy usłyszał szept:

*„Wdychaj, mocno wdychaj...”*

Ku swej wielkiej radości Strzelecki stwierdził, że gorący i suchy dotąd wiatr zawiera teraz więcej wilgoci. Zbliżali się do wybrzeża. Zabójczy skrob kończył się. Natychmiast poinformował o tym towarzyszy. Pokrzepieni nadzieją znów ruszyli na południe.

Skrob stawał się rzadszy, lecz byli zbyt wyczerpani, aby przyspieszyć kroku. Gdy nadeszła noc, położyli się na spieczonej żarem ziemi. Głód i pragnienie nie pozwoliły im zasnąć. Leżeli obok siebie w grobowej ciszy pustkowie, wpatrując się zamglonym wzrokiem w gwiazdy błyszczące na niebie. Wówczas, po raz pierwszy od kilku tygodni, usłyszeli wycie dingo...

Bentley przerwał opowiadanie. W tej chwili na stepie, w pobliżu ogrodzenia pastwiska, rozległ się dziwny głos, który brzmiał jak skarga upiora. Niskie początkowo tony stawały się coraz wyższe, aż w końcu przeszły w przeraźliwe skowyczenie. Łowcy drgnęli mimo woli, a Tomek przestraszony chwycił Bentleya za ramię.

— Co to? — wyszeptał. — Co to może być?

— Dingo nadchodzą — cicho odparł Tony.

— Tak, to głos dingo — potwierdził Clark.

— Ależ to realistyczne zakończenie wspaniałej opowieści! — szepnął Smuga.

— Niech pan powie jeszcze, co się stało z wyprawą Strzeleckiego — poprosił Wilmowski.

Bentley półgłosem kończył opowiadanie:

— Dzikie psy przebywają tam, gdzie można, znaleźć coś do zjedzenia. Głos dingo oznajmił więc podróżnikom, że zbliżają się do krańca morderczego skrobu. Tak też było w rzeczywistości. Wkrótce dotarli szczęśliwie, jakkolwiek bardzo wyczerpani, do Port Phillip.

— Setny chłop był z tego Strzeleckiego. Z takim można by nawet pójść do piekła — z uznaniem powiedział bosman Nowicki. — Gdy usłyszałem nieoczekiwanie to piekielne wycie, mrowie przeszło po moim grzbiecie. Do licha z takim krajem, w którym dzikie psy wyją po nocach jak upiory!

Przeciągły skowyt rozległ się znacznie bliżej. Jak echo odpowiedziały mu dalsze głosy.

Na pastwisku zapanował ożywiony ruch. Owce zaczęły się zbijać w zwarte gromady. Tupot racic mieszał się z bekiem przestraszonych zwierząt. Krótki, urywany skowyt rozbrzmiewał tuż przy ogrodzeniu.

— Rozzuchwaliły się bestie — mruknął Clark. — Od dawna należy się im solidna porcja ołowiu...

— Chyba jest ich więcej niż jeden — szepnął Tomek.

— Wydaje mi się, że trzy lub cztery dingo przebywają w tej chwili w pobliżu pastwiska — odparł Smuga, wsłuchując się w skupieniu w głosy rozbrzmiewające na stepie.

Przerwali rozmowę. Rozległ się trzask łamanych gałęzi. Pobliska kępa krzewów zapadła się w dół. Niemal jednocześnie rozległo się skowyczenie dingo wewnątrz ogrodzenia. O kilkadziesiąt metrów od łowców zakotłowało się na pastwisku. Ciemna masa owiec zafalowała w ucieczce.

— Przekłęte dingo! Przedarły się do stada! — zawołał Clark. — Pan Wilmowski i Tomek niech pozostaną tutaj, a my biegnijmy na odsiecz!

Clark, Lorenc, Smuga i Tony chwycili broń. Pobiegli wzdłuż ogrodzenia, aby odciąć odwrót grasującym na pastwisku dingo.

— Tomku, na wszelki wypadek przygotuj sztucer — polecił Wilmowski repetując karabin. — Dzikie psy przedostały się na pastwisko.

— Wydaje mi się, że do naszego dołu również wpadł jakiś dingo — dodał Tomek.

— Prawdopodobnie, chociaż zachowuje się zupełnie cicho — potaknął Wilmowski.

W odległości kilkudziesięciu metrów huknęły strzały. Powstało nieopisane zamieszanie. Owce rozbiegły się we wszystkich kierunkach, uciekając jak najdalej od ogrodzenia, a łowcy strzelali bez przerwy.

— Uważaj! — krzyknął Wilmowski.

Zanim Tomek zorientował się w sytuacji, jego ojciec strzelił trzykrotnie w kierunku cienia pomykającego tuż przy ogrodzeniu. Inny ciemny kształt przemknął o kilka metrów od nich. Wilmowski strzelił jeszcze raz.

— Trafiony! — cieszył się Tomek.

— Na pewno mylisz się, lecz dingo chyba wpadł do pułapki — stwierdził Wilmowski.

— Zabiłeś go? — pytał Smuga, nadbiegając na czele grupki mężczyzn.

— Wcale nie miałem tego zamiaru — odrzekł Wilmowski. — Dingo wystraszony biegł tuż przy ogrodzeniu prosto na naszą pułapkę. Strzelałem jedynie na postrach, aby go zdezorientować. Jeżeli się nie mylę, wpadł do dołu.

— Zaraz sprawdzimy — powiedział Lorenc.

Pobiegł do szałasów. Wrócił po chwili z ręczną latarnią. Zapalił ją; wszyscy zbliżyli się do zapadni trzymając broń w pogotowiu. Lorenc wysunął rękę z latarnią poza krawędź dołu. Wśród połamanych gałęzi resztek rusztowania błyszcząły dwie pary ślepi.

— Są! Są, aż dwa na raz! — zawołał Tomek.

Chwyci! ojca za rękę i pochylony nad pułapką ciekawie przyglądał się dzikim psom. Dingo oślepienie światłem latarni wcisnęły się pod gałęzie leżące na dnie dołu. Po chwili duży, płowy łeb wychynął z zieleni. Para żółtych ślepi błysnęła złowrogo. W nocnej ciszy rozbrzmiało przeciągłe wycie... Tomek mimo woli cofnął się za ojca.

„*Brr! Nie chciałbym spotkać się z nim w stepie*” pomyślał.

Noc minęła już bez dalszych niespodzianek. Z nastaniem dnia sprawdzono resztę zapadni. Na jednej z nich znaleziono zniszczone częściowo rusztowanie, lecz dół był pusty. Łowcy starannie zbadali ślady pozostawione wokół i stwierdzili, że przebiegły drapieжник zdołał ominąć zamaskowaną

zapadnię i przedostał się na pastwisko, a potem dopiero, zupełnie przypadkowo, wpadł w inną pułapkę, w której już siedział uprzednio złowiony dingo.

Rano łowcy przywieźli z farmy skrzynie, aby uwięzić w nich schwymane psy. Na widok ludzi dingo rzucały się gniewnie i jeszcze bardziej plątały się.

Tomek nie mógł nadziwić się, że cała praca poszła tak sprawnie. Najpierw wydobyli sieć z omotanymi nią drapieżnikami. Potem Wilmowski ostrożnie rozchylił rzemienie, wtedy Smuga błyskawicznie opasał arkanem pysk szczerzący kły. Pętla zacisnęła się na grubej szyi psa. Mimo gwałtownego oporu wpakowano go do klatki. Potem wystarczyło zluźnić sznur, aby oszołomione zwierzę strząsnęło go z siebie. Taki sam los spotkał jego towarzysza niedoli.

Także przez następne dwie noce ponawiano łowy na dzikie psy. Schwymano tylko jeszcze jednego dingo. Większa ich liczba krążyła ostrożnie poza ogrodzeniem, niepokojąc owce. Na prośbę Clarka postanowili urządzić obławę. Według jego zdania pojawienie się tylu dingo w pobliżu pastwiska oznaczało, że okres dużej posuchy zbliżał się wielkimi krokami.

Kangury odbiegały w okolice lepiej nawodnione, zgłodniałe psy poszukiwały łatwego żeru na pastwiskach owiec. Clark radził jak najszybciej urządzić łowy na strusie emu, zanim i one oddalą się na inne tereny.

Wilmowski pragnął odwdzińczyć się Clarkowi za gościnne przyjęcie. Ściągnął więc na pastwisko na polowanie większość swych ludzi. W ciągu jednej nocy, łowcy przyczajeni na stepie zabili cztery dzikie psy. Następnego dnia rozpoczęli gorączkowe przygotowania do polowania na emu.



## W BURZY PIASKOWEJ

Bosman Nowicki wyszedł przed dom i zaczął rozglądać się po obejściu farmy. Po pewnej chwili spostrzegł Tomka przypatrującego się umieszczonym w klatkach dingo. Szybko podszedł do chłopca i powiedział:

— Słuchaj no, brachu! Nasze całe towarzystwo przygotowuje się do łowów na emu. Niezbyt mi pachnie to polowanie, ponieważ Clark będzie tam grał pierwsze skrzypce. Ciebie też chyba nie zabiorą. Clark ma tylko pięć szkap wytresowanych do tego rodzaju łowów. Przeznaczą je na pewno dla Clarka i jego dwóch pracowników oraz, twego ojca i Smugi. Co będziemy robili wobec tego?

— Możemy spróbować oswoić dingo. Bardzo chciałbym mieć takiego psa — zaproponował Tomek.

— Cała gra niewarta świeczki — odparł bosman niechętnie. — Słyszałem, jak Bentley mówił, że krajowcy oswajają tylko szczeniaki, które i tak są potem do niczego. Podobno trzeba je krzyżować z domowymi psami, aby mieć pociechę z ich potomstwa.

— Hm, szkoda! Cóż więc będziemy teraz robili?

— A co rzekłbyś, brachu, na to, gdybyśmy tak na własną rękę wybrali się na emu?

— Czy tylko my dwaj? — zapytał Tomek zaintrygowany propozycją.

— Dwóch, a dobrych, bracie, starczy czasem za setkę. Zmajstrujemy sobie lassa kubek w kubek podobne do tych, jakie zrobił Bentley i jeszcze raz spróbujemy szczęścia.

— Jak sporządza się takie lasso?

— Jest to zwykły długi drąg ze sznurową pętlą na końcu, którą zarzuca się emu na szyję. No, co myślisz o tym?

— Świetna myśl! Zrobimy wszystkim nie lada niespodziankę, jeśli szczęście nam dopisze.

Zaraz też, nie mówiąc o tym nikomu, zrobili sobie dwa lassa i przygotowali mały zapas żywności. Po wyjeździe wyznaczonej grupy na łowy natychmiast osiodłali swoje konie. Nim słońce zaszło, byli już daleko na stepie.

W doskonałym nastroju jechali niemal całą noc, aby jak najbardziej oddalić się od obozu, gdzie obecnie przebywali ich towarzysze. Tomek nie powiadomił ojca o zamierzonej wyprawie. Uważał to za zbyteczne, przecież przed odjazdem z farmy ojciec polecił go opiece bosmana.

W miarę jak upływał czas na bezskutecznych poszukiwaniach emu, humory obydwóch przyjaciół zaczęły się pogarszać.

— Jakże mocno grzeje słońce — zagadnął Tomek, rozglądając się po stepie. — Nawet kangury nie pokazują się w taki upał.

— Tak, tak brachu! Tylko taka zaszuszonej mumia jak ten Bentley może zachwycać się Australią — utyskiwał bosman. — Spękana z gorąca ziemia, pożółkła trawa, a drzewa nie umywają się nawet do naszych krzaków...

— Albo ta zupa z ogona kangura... — dodał Tomek wykrzywiając twarz. — Na pewno pan Bentley nie jadł nigdy bigosu z kapusty.

— Ani chybi zdziczał tutaj — mruknął bosman. — Co też się dzieje z ludźmi w dalekich krajach!

— Strasznie tu nudno! Siodło mnie już parzy z gorąca — narzekał Tomek.

— Zwińmy lepiej żagle i wróćmy do obozu — zaproponował bosman. — Emu mają za wiele oleju w łepetynach, aby włączyć się po tym suchym jak pieprz stepie.

— To już nie będziemy łowili emu? — zmartwił się Tomek. — Warto by jednak wypróbować nasze lassa.

— Ha, ostatecznie możemy tu przenocować, ale jeżeli rano nie zobaczymy strusich ogonów, to „*para w tył*” i wracamy do obozu — po dłuższej chwili oświadczył marynarz.

Na nocleg zatrzymali się przy małej kępie akacjowych drzew. Naścinali suchej trawy, aby urządzić sobie miękkie posłania. Zjedli puszkę konserw i kilka sucharów, popijając herbatą, której zabrali po dwie pełne manierki dla każdego. Wierzchowcom wydzielili skąpe porcje wody ze skórzanego wora, po czym przywiązali je na noc do drzewka, wokół którego mogły skubać trawę.

Rankiem następnego dnia zaledwie siedli na konie, bosman Nowicki zawołał wesoło:

— Jestem wielorybem, jeśli to nie szanowne emu paradują przed nami. Spójrz tylko!



— Emu, to naprawdę są emu! — ucieszył się Tomek. — Widzę dwie pary!

— Najmądrzej byłoby pognać je na południe do naszego wąwozu pułapki — powiedział bosman.

— One zupełnie nie zwracają na nas uwagi — stwierdził Tomek obserwując strusie.

— Spróbujmy je okrążyć — zaproponował marynarz. — Nigdy nie można przewidzieć, co zrobi takie głupie ptaszysko.

Pognali konie.

— Słyszałem, że w obliczu niebezpieczeństwa strusie zazwyczaj chowają głowę w piasek. Może i te tak uczynią. A w jaki sposób wówczas zarzucimy im pętlę na szyję? — kłopotał się Tomek.

— Zapomniałeś braciszku, że tu nie ma piachu — pocieszył go bosman.

— To prawda, ale mogą pochować głowy w trawę, co na jedno wychodzi.

Przez jakiś czas jechali galopem. Wysokie około dwóch metrów ptaki wyciągały swe długie szyje i wystawiwszy małe, upierzone na czubku głowy, spoglądały na zbliżających się jeźdźców. Obydwaj łowcy przygotowali lassa. Zaledwie jednak przybliżyli się do strusi na kilkadziesiąt metrów, ptaki z pośpiechem ruszyły na północ.

— Szkoda, że nie zabraliśmy soli! — zawołał bosman.

— Do czego przydałaby się nam sól? — mruknął Tomek pochylając się na szyję pony.

— Moglibyśmy posypać ją emu na ogony! — roześmiał się marynarz. — Popatrz, jak uciekają!

Strusie z wyciągniętymi szyjami biegły w kierunku północnym. Odległość między nimi a łowcami zwiększała się z każdą chwilą.

— Jedźmy jeszcze za nimi, może się w końcu zmęczą — zachęcał Tomek. — Przecież pan Clark mówił, że emu umykają szybko jedynie na początku pościgu.

— Tak, tak, a potem biegną niezgrabnie i ociężale jak kaczki. Wystarczy bat i dobry koń — ironizował bosman. — Nie dogonimy ich na tych szkapach!

— Mamy przecież dużo czasu, warto więc próbować, może uda nam się je doścignąć — prosił Tomek.

Około dwóch godzin pędzili za emu, które oglądając się na łowców, umykały na północ.

— Chyba zawrócimy — odezwał się Tomek zniechęconym głosem. Zmęczony jestem. Robi się coraz goręcej.

— Grzeje jak w parówce — przyznał bosman — ale i ptaszyskom musiały już spocic się grzbiety? Widzisz? Jeden z nich pozostaje nieco w tyle.

— Nareszcie, nareszcie! — triumfował Tomek. — To na pewno samiec. Pan Bentley mówił mi, że samce są mniej wytrzymałe. Jedźmy szybciej!

Uderzył pony piętami po bokach, lecz kuc wstrząsnął tylko gniewnie grzywą. Bosman śmignął arkanem, zmusił swego konia do przyspieszenia biegu. Pony podążył za nim. Udało im się nieco przybliżyć do emu. Ptaki spostrzegły, że prześladowcy są już blisko, w panice znów pognały przed siebie.

— Głupie ptaszyska! Wolą uganiać się po stepie, dopóki Clark nie zatłucze ich batem, niż dać złapać się przyzwoitym warszawiakom — rozgniewał się bosman. — Skoro jednak my, jadąc na koniach, odczuwamy tak wielkie zmęczenie, to i z nimi nie musi być najlepiej.

Emu usiłowały zboczyć na wschód. Jeźdźcy z łatwością zagrodzili im drogę, pobiegły więc dalej na północ.

— Uf, jak gorąco! — sapał Tomek.

— Bo też grzeje coraz lepiej! — dodał bosman.

— Hm, nie jest to zbyt dziwne. Przecież zbliżamy się do równika.

— Co też ty pleciesz, brachu? — zniecierpliwiał się bosman. — Ten gorący wiatr wali na nas z zachodu.

— To znaczy, że wieje z wnętrza kontynentu.

— Teraz trafiłeś w sedno rzeczy — pochwalił marynarz. — Żar bucha, jakby z rozpalonego pieca. Nawet koniom się to nie podoba. Już niemal ustają.

— Emu zatrzymały się! — krzyknął Tomek. — Teraz schwytemy je na pewno!

— Coś mi to wszystko kiepsko pachnie — zafrasował się bosman. — Patrz, brachu, powietrze drga z gorąca!

— Tak jakoś dziwnie się zrobiło. Spróbujmy jeszcze zbliżyć się do emu. One nie mogą już chyba uciekać zbyt długo.

Konie przynaglone ruszyły szybciej, lecz w tej chwili gorący wiatr przybrał na sile. Na zachodnim widnokregu ukazał się czerwony obłok. Odległość między jeźdźcami i strusiami zmniejszyła się do kilkunastu metrów.

— Złapiemy je! — cieszył się Tomek.

Emu, jakby wstąpiły w nie nowe siły, ruszyły nagle w kierunku bliskich już wzgórz. Po kilku minutach pozostawiły zdumionych łowców daleko za sobą.

— Wystrychnęły nas na dudków — powiedział gniewnie bosman. — Nigdy ich nie złapiemy. Czy wiesz, co to wszystko znaczy? Te, niby głupie, ptaszyska uciekają po prostu przed nadciągającą burzą piaskową.

Bosman nie mylił się. Od zachodu nadchodziła gęsta mgła. Olbrzymim półksiężycem szybko zbliżała się do jeźdźców. To gorący wiatr gnał z głębi ładu całe chmury drobnutkiemu, czerwonawego pyłu. Zaledwie burza piaskowa dopadła obydwóch niefortunnych łowców, natychmiast pojęli grozę swego położenia. Drobnny pył oślepił wierzchowce, zasypywał jeźdźcom oczy, wdzierał się do nosów, uszu, przenikał przez ubranie do ciała. Konie zaczęły chrapać z przerażenia i wysiłku. Czerwonawe chmury pyłu zasnuły całe niebo. Mrok spowił step, stało się naraz bardzo duszno. Teraz gwałtowny wichur uderzył w konie i jeźdźców.

— Uciekajmy za emu, jeśli mamy wyjść stąd cało! — krzyknął bosman i pochylając się na szyję konia, uderzył go mocno arkanem.

Było to wszakże niepotrzebne. Konie, jakby zrozumiały ogrom niebezpieczeństwa, rzuciły się pędem w kierunku wzgórz, wśród których zniknęły szybko nogi emu.

Bosmana ogarnął straszny niepokój. Na morzu czuł się, jak u siebie w domu. Wiedział, co należy czynić w czasie sztormu, potrafił walczyć z cyklonami i tajfunami, lecz nie orientował się zupełnie, w jaki sposób uchronić siebie i chłopca przed straszliwym pyłem niesionym przez wiatr z Centralnej Australii.

Tymczasem konie z wielkim trudem zbliżały się do wzgórz. Gryzący pył wirował w powietrzu, zmuszał ludzi i zwierzęta do zamykania powiek, toteż wierzchowce potykały się co chwila na twardej, popękanej z gorąca ziemi. W końcu jednak bieg koni stał się równiejszy i szybszy. Bosman otworzył oczy. Ku swej radości stwierdził, że znajduje się już w małym parowie, który

osłaniał ich trochę przed natarczywym pyłem niesionym przez wiatr. Zaraz pocieszył swego towarzysza:

— No, brachu, głowa do góry! Chyba przycupniemy tu gdzieś pod skałą i przeczekamy burzę. Że też nie ma z nami twego ojca lub choćby Bentleya. Oni wiedzieliby przynajmniej, jak trzeba zachować się w takiej sytuacji.

— A pan Smuga? — zapytał Tomek drżącym głosem, dotykając dłonią obolałych oczu.

— A co chcesz od pana Smugi? — zniecierpliwił się bosman.

— Chciałem jedynie zapytać, czy pan Smuga również wiedziałby, co należy teraz uczynić.

— Och, ten na pewno zwąchałby od razu, co w trawie piszczy — odparł bosman markotnym tonem.

— A pan nie wiedział?

— Ano, bracie, co tu wiele gadać! Nie wiedziałem! Najlepiej chyba zrobimy, jeśli przeczekamy burzę w tym parowie.

— Oczywiście, że musimy przeczekać tutaj burzę — przytaknął Tomek. — Słyszałem, że na Saharze burze piaskowe zasypują niekiedy całe karawany. Najlepiej byłoby znaleźć jakąś pieczarę. Mam wszędzie pełno pyłu. Tak gorąco i duszno. To prawdopodobnie tutaj Sturt ginął z pragnienia i upału.

Bosman przerwał wycieranie oczu chusteczką i zapytał z niepokojem:

— Co to był za jegomość ten Sturt?

— To jeden z odkrywców australijskich. Opowiedział mi o nim pan Bentley. Sturt nie mógł się nawet uczesać, gdyż rogowe grzebienie popękały z gorąca. Na szczęście ja mam blaszany grzebyk!

— A co się stało z tym podróżnikiem?

— Groziła mu ślepotą i umarł później wskutek dużego wyczerpania — wyjaśnił Tomek.

— Tfu, do licha! Ładna mi pociecha!

— Szkoda, że nasz sławny podróżnik już nie żyje — ciągnął chłopiec. — Ten na pewno potrafiłby doprowadzić nas bezpiecznie do obozu.

— Kogo znów tam wymyśliłeś?

— Mówię o Pawle Strzeleckim.

— Nie wspominaj teraz wszystkich umarłaków — rozgniewał się trochę przesądny marynarz. — Możesz tym ściągnąć na nas nieszczęście.

— Nie ma obawy, nic się nam nie stanie!

— Takiś tego pewny?

— Czy zapomniał pan o tym wróżbicie z Port Saidu? Nie ostrzegął mnie przed burzą piaskową, więc nic nam się nie stanie. Jestem tylko ciekaw, co miał na myśli mówiąc, że znajdę to, czego inni będą szukali bezskutecznie?

— Trochę sprawdziła się ta wróżba — wtrącił bosman z uśmiechem. — Prorokował ci jednego przyjaciela, a masz już aż trzech.

— To prawda! Widzę, że pan pamięta wróżbę. Według niej, ten przyjaciel miał nigdy nie wypowiedzieć ani słowa. Gdyby pan teraz wskutek burzy piaskowej stracił głos, wróżba sprawdziłaby się całkowicie.

— Sen mara, Bóg wiara, brachu. Pamiętam tylko dobre wróżby, a w złe nie wierzę — odparł bosman siląc się na wesołość, jakkolwiek zupełnie nie był zachwycony pomysłem swego towarzysza.

Rozmawiając rozglądał się po wąskim parowie w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia. Dojrzał wreszcie głęboką wnękę w stromej ścianie.

— Tutaj zarzucimy kotwicę i przeczekamy burzę piaskową — powiedział, zatrzymując zdrożonego konia.

Szybko rozkulbaczyli wierzchowce i przywiązali je arkanami do rosnących tu krzewów. Po chwili, rozebrani niemal do naga, siedzieli na gorącej ziemi, przytulając się do skały, która chroniła znośnie od gorącego wichru i gryzącego pyłu. Olbrzymi upał oraz zmęczenie gonitwą za emu sprawiły, że Tomek usnął wkrótce z głową opartą na siodle. Teraz przynajmniej poczciwy bosman Nowicki nie musiał ukrywać swego niepokoju. Wytarł starannie chustką obolałe oczy, po czym owinął koszulą własny karabin i broń Tomka, aby zabezpieczyć je w ten sposób przed wszędzie wdzierającym się czerwonym płynem. Po dokonaniu tego legł na rozgrzanej ziemi. Zaczął rozmyślać o nieprzyjemnej sytuacji, w jakiej znalazł się razem z chłopcem, powierzonym jego opiece.

Czas mijał. Chmury pyłu niesione przez gorący wiatr rozsnuwały nad stepem szarość, która powoli przeszła w zupełną ciemność. Ledwo widoczne gwiazdy wydawały się mdłymi ognikami.

Następny dzień nie przyniósł zmiany. Bosman rozdzielił resztkę wody między spragnione wierzchowce. Uspokoilo je to na pewien czas. Ułożyły się na ziemi przy ścianie parowu, chroniąc głowy przed natarczywym pyłem. Łowców również dręczyło pragnienie.

Manierki Tomka były już dawno opróżnione, a bosman miał w swojej zaledwie szklanke herbaty z rumem. Od czasu do czasu nakłaniał chłopca do wypicia kilku kropel, lecz sam nie zaglądał do niej już od wielu godzin.

Tomek okazał się dobrym towarzyszem w złej przygodzie. Sam rozdzielał resztki prowiantów, nie narzekał na, głód ani pragnienie i nie zgadzał się, aby opiekun odstępował mu własne mikroskopijne racje.

— Zawarliśmy przyjaźń i nie zgodzę się na to, aby pan cierpiał głód oraz pragnienie przeze mnie — mówił z powagą. — Ja nawet mogę jeść mniej niż pan, gdyż jestem o wiele mniejszy.

Znów nastąpiła męcząca, parna noc. Obydwaj przyjaciele długo nie mogli zasnąć. Konie coraz więcej dręczone pragnieniem zachowywały się bardzo niespokojnie. Leżeli więc, rozmyślając, ile to zamieszania musiała spowodować ich niefortunna wycieczka. Obydwaj byli przekonani, że burza piaskowa zmusiła również i Wilmowskiego do przerwania polowania. Do tej pory z pewnością powiadomiono go już o ich nieobecności na farmie. Nie ulegało wątpliwości, że natychmiast zarządził poszukiwania. Przygnębieni smutnymi myślami zapadli w końcu w niespokojną drzemkę.

Kwik koni i tupot kopyt wyrwały ich ze snu. W tej chwili rozległo się przeciągłe skowyczenie. Łowcy natychmiast porwali się z ziemi.

— Dingo! Przeklęte dingo! — krzyknął bosman chwytając za karabin. Zanim zdążyli odwinąć zabezpieczoną przez bosmana broń, w parowie rozegrała się krótka, gwałtowna walka. Konie przerażone napaścią zgłodniałego dingo wyrwały z ziemi krzewy, do których przywiązano je arkanami. W chwili gdy bosman i Tomek podbiegli do nich, zaczęły uciekać w panice. Naraz silna błyskawica rozdarła czarne sklepienie nieba. Bosman ujrzał długi cień sunący za końmi. Szybko przyłożył karabin do ramienia i strzelił. Przeciągłe skowyczenie odbiło się echem o skalne ściany.

— Trafiony! Trafiony! — krzyknął Tomek.

Pobiegli w kierunku wyjącego dingo. Bosman natychmiast dobił go następnym strzałem. Udali się zaraz na poszukiwanie koni. Po półgodzinie uciążliwej wędrówki znaleźli się u wylotu parowu na step. Gorący wiatr ze zdwojoną siłą sypnął im w twarze pyłem. Nawet w świetle błyskawic nigdzie nie mogli dostrzec wierzchowców.

— Wracajmy do parowu — odezwał się bosman chrapliwym głosem. — Nic tu po nas, szkap i tak teraz nie znajdziemy, a te błyskawice nie pachną niczym dobrym.

W milczeniu powrócili do parowu. Strata koni bardzo przygnębiła bosmana. Około dwóch dni jazdy dzieliło ich od obozu. W jaki sposób zdołają powrócić tam bez koni, pożywienia i wody? Co się stanie z chłopcem? Przecież jego siły zostały nadwątlone ostatnimi przeżyciami. Obydwaj nie wytrzymają pragnienia, nawet gdyby burza piaskowa wkrótce ustała. Zmartwił się więc bosman niezmiernie, nie wiedząc, w jaki sposób mógłby pocieszyć swego młodego towarzysza.

Tomek wszakże nie oczekiwał pocieszenia. W czasie, gdy bosman zastanawiał się nad możliwością podtrzymania go na duchu, sam postanowił dodać odwagi swemu opiekunowi. Wkrótce też pierwszy przerwał milczenie mówiąc:

— Mam doskonały pomysł. Zamiast martwić się ucieczką koni, bawmy się w Strzeleckiego.

— A tobie, co się stało, braciszku? — zaniepokoił się bosman, ponieważ pomyślał, że chłopiec bredzi w gorączce.

— Nic mi się nie stało — odparł Tomek. — Jeżeli zajmiemy się czymkolwiek, to przestaniemy myśleć o naszym położeniu.

— Jak tu o tym nie myśleć! — westchnął bosman.

— Można, można, tylko trzeba chcieć — stanowczo powiedział Tomek. — Bawmy się w Strzeleckiego!

— Co to ma być za zabawa? — zapytał bosman, aby w tej ciężkiej chwili nie pozbawiać chłopca przyjemności.

— Ja będę Strzeleckim, a pan dziadkiem pana Bentleya. Jesteśmy teraz w gęstym skrobie, jak to opowiadał pan Bentley. Zabiliśmy konie, aby nie męczyły się z powodu pragnienia.

— Dobra, mój panie Strzelecki. Szkapy już zarżnięte i co dalej?

— Przeczekamy burzę, a potem ruszymy na południe do Port Phillip. Obóz będzie naszym Port Phillip.

— A czy dojdziemy tam bez wody i na głodnego? — smutno zapytał bosman.

— Bardzo dobrze, że nie mamy wody. Musimy męczyć się z pragnienia i głodu. Inaczej cała zabawa na nic. Wyrzucę nawet zaraz ostatnią, małą puszkę konserw, żebyśmy nie mieli żadnej pokusy. Jak głód, to głód!

— Nie tak ostro, brachu! — energicznie zaproponował bosman. — Bawmy się, ale bez tego wyrzucania puszek!

— Ostatecznie niech puszka zostanie. Teraz kładźmy się spać. Może prędzej doczekamy się końca burzy piaskowej — zaproponował Tomek.

— Dobra nasza! Kto śpi, ten nie myśli i sił nabiera — pochwalił bosman, uradowany dobrym samopoczuciem chłopca.

Ułożyli głowy na siodłach. Przymknęli obolałe oczy. Marynarz cieszył się, że jego młody przyjaciel nie zdaje sobie sprawy z grozy położenia, a tymczasem Tomek, kryjąc twarz przed przyjacielem, w milczeniu połykał łzy. Bał się okropnej śmierci z pragnienia i głodu. Rozmyślał ze smutkiem o ojcu, który na pewno wyruszył już na poszukiwania mimo burzy piaskowej.

*„Gdy tylko ustanie ten gorący wiatr, pieszo pójdziemy do obozu — postanowił w myśli. — Och, żeby tutaj znajdował się ojciec lub pan Smuga!”*

W końcu zmęczenie wzięło w nim górę nad smutnymi myślami. Sen skleił mu powieki, ale nawet wtedy nie zaznał spokoju. Przyśniła mu się straszna burza na morzu. Oślepiające błyskawice rozdzierały niebo, biły pioruny... *„Aligator”* zniknął co chwila pod olbrzymimi falami przelewającymi się przez pokład. Tomek stał na pomoście. Wydawał rozkazy przerażonej załodze. W pewnej chwili potężna fala przewaliła się przez pokład i pograżyła go w odmętach morskich. Chciał wołać o ratunek, lecz woda zalewała mu usta...

Zbudziło go silne szarpnięcie za ramię. Straszny sen pierzchnął natychmiast. Szum fal nie ustawał. Nawet siodło zastępujące poduszkę było mokre, a po twarzy Tomka spływała woda.

*„Boże, oszalałem z pragnienia!”* pomyślał przerażony.

Naraz usłyszał podniesiony głos bosmana:

— Wstawaj, brachu! To przeklęty kraj! Dopiero co języki zasychały z pragnienia, a teraz grozi nam utonięcie. Jesteśmy w korycie jakiejś wyschniętej rzeki. Wiejmy stąd, jeśli nie chcemy utopić się jak szczury!

Tomek otrząsnął się z resztek snu. Więc to woda szumiała naprawdę! Mają nawet całą rzekę wody. Nie było czasu na zbędne słowa; bosman wcisnął mu w ręce sztucer i swój karabin.



— Zabieraj pukawki! Ja wezmę siodła! — krzyknął. — Wiejmy stąd czym prędzej! Słyszysz, jak woda wali parowem?

Tomek porwał swe ubranie. Natychmiast ruszył za obładowanym siodłami bosmanem.

Woda chlupotała pod ich stopami. Strumienie deszczu przyjemnie oblewały rozpalone ciała. Niebezpieczeństwo powiększało się z każdą chwilą, ponieważ stan wody wzrastał z zastraszającą szybkością.

— A niech to...! — zaklął bosman przekrzykując szum wody. — Nie zdążymy wydostać się z parowu!

— Spróbujmy może wspiąć się na wzgórze — doradził Tomek.

Ściany parowu były bardzo strome, a ciemność nie pozwalała na wyszukanie odpowiedniego miejsca. Woda sięgała już Tomkowi do pasa. W końcu bosman znalazł łagodniejszy stok. Najpierw pomógł Tomkowi wspiąć się na bezpieczne miejsce, a potem pomyślał o sobie. Teraz rzucił siodła na ziemię. Usiadłszy przy Tomku, zapytał:

— No i co, panie Strzelecki? Rozsychaliśmy się bez wody, jak stare beczki, a teraz omal nie utonęliśmy w rzece.

— To prawda, w Australii nie można nawet bawić się bez przeszkód. Wszystko dzieje się na odwrót. Kto to mówił, że tutaj nie ma wody pod dostatkiem? — mruknął Tomek. — Dziwny to kraj... Na wszelki wypadek niech pan lepiej nie nazywa mnie więcej imieniem zmarłego podróżnika.

Przesądny bosman umilkł natychmiast. Grozę położenia pogłębiały błyskawice rozdzierające czarne chmury. Głuche grzmoty przetaczały się po stepie. Deszcz lat bez przerwy strumieniami. Gorący północno-zachodni wiatr zmagął się z nawałnicą nadciągającą z południa.

Niefortunni łowcy byli początkowo uradowani ulewą. Strugi deszczu przynosiły ochłodę, pozwalały ugasić pragnienie. Wkrótce jednak bryzgający potokami wody, silny wiatr stawał się trudny do wytrzymania. Należało poszukać odpowiedniejszego schronienia.

Po omacku ruszyli przed siebie, ślizgali się po nagle rozmięklej ziemi, przewracali, aż w końcu przycupnęli za dużym głazem, który chociaż trochę osłaniał od bezpośrednich uderzeń nawałnicy. Burza z błyskawicami i grzmotami trwała aż do rana. Tuż przed wschodem słońca zapanowała chwila ciszy. Tomek i bosman z uczuciem ulgi powitali olbrzymie, palące słońce, które wyłoniło się zza horyzontu.



# IDŹCIE STAŁ PRECZ NATYCHMIAST

Po pełnej niespodzianek nocy nastał gorący, słoneczny dzień. Obydwa wyczerpani z sił łowcy odbyli walną naradę. Przede wszystkim postanowili zaniechać wszelkich poszukiwań zbiegłych wierzchowców. Nie mogli przecież przewidzieć, co się z nimi stało. Może pożarły je na stepie żarłoczne dzikie dingo, a może też konie same powróciły do obozu? W ostatnim przypadku mogliby spodziewać się pomocy od przyjaciół, którzy na pewno natychmiast rozpoczęliby poszukiwania zaginionych towarzyszy.

— Tak czy inaczej, na razie musimy liczyć tylko na siebie — mówił bosman. — Najlepiej zjedzmy teraz tę ostatnią puszkę konserw, a potem, przed wyruszeniem w drogę, kimnijmy się nieco, by mieć siły do dalszego marszu.

— Myślę, że musimy tak uczynić, jak pan mówi — zgodził się Tomek. — Rozłóżmy ubrania na słońcu, aby wyschły podczas naszego odpoczynku. Strasznie jestem śpiący i zmęczony...

Ułożyli się do snu w cieniu skalnego załomu. Zbudzili się jeszcze przed południem. Chociaż słońce prażyło niemiłosiernie, zaraz przygotowali się do drogi. Bosman związał obydwie siodła arkanem i zarzucił je sobie na plecy, Tomek natomiast podjął się nieść broń. Tak obładowani wyszli z parowu na step. Bez chwili wahania udali się wzdłuż łańcucha pagórków na południe.

Wędrowali kilka godzin niemal nie odpoczywając. Nie napotkali śladu swych koni ani też jakichkolwiek dzikich zwierząt. Jak okiem sięgnąć, leżał przed nimi pożółkły step, a na niebie przesunęło się coraz bardziej ku zachodowi pałace słońce. Zgłodniali Tomek i bosman odczuwali zmęczenie. Z trudem powłóczyli nogami, potykali się o kępy trawy bądź zapadali w wykroty, aż w końcu bosman rzucił siodła na ziemię i przysiadłszy na nich wysapał:

— Musimy odpocząć! Spocilem się drałując w tym upale.

— Chyba nie zaczęli jeszcze nas szukać — markotnie powiedział Tomek, siadając obok niego. — Nogi mam pokaleczone przez ostrą trawę, a tu nic nie widać tylko step i step.

— Kiszki marsza grają z głodu, to i sił nie ma — odparł bosman — Poza tym kochane słoneczko znów bawi się w parówkę.

— Czy daleko jeszcze musimy wędrować?

— Według mojej kalkulacji, około półtora dnia marszu dzieli nas obecnie od obozu. Na głodnego jednak nie dojdziemy tak szybko.

— Gdzie też mogą znajdować się nasze konie? .

— Kto je tam wie! Ulewa zmyła wszelkie ślady. Cóż nam pomoże biadolenie? Odpocznijemy do zachodu słońca, a na noc ruszymy w dalszą drogę. Krzyż Południa będzie naszym drogowskazem.

— Jak to dobrze, że pan zna astronomię — pocieszył się Tomek. — Przynajmniej nie grozi nam zabląkanie. Sam nie mógłbym odnaleźć drogi do obozu.

Bosman zaczął wyjaśniać mu zasady ustalania w nocy kierunku na podstawie obserwacji gwiazd oraz słońca w czasie dnia. Dopiero przed zmrokiem wyruszyli w drogę.

Pocziwy bosman z ciężkim westchnieniem zarzucił siodła na plecy. Z niepokojeni obserwował zmęczenie malujące się na twarzy chłopca. Wiele kilometrów dzieliło ich jeszcze od obozu. Czy zdołają przebyć tę drogę, zanim Tomek zupełnie opadnie z sił?

Znów szli na południe wzdłuż skalistego pasma wzgórz. Od czasu do czasu bosman wspinał się na wyższe wzniesienia w nadziei, że ujrzy blask ognia płonącego w jakimś obozowisku krajowców. Były to wszakże próżne wysiłki. Ciemność nocy rozjaśniały jedynie gwiazdy błyszczące na niebie. Dwukrotnie rozlegały się w pobliżu wycia dingo, lecz teraz bosman i Tomek witali je z uczuciem ulgi. Świadomość, że na tym pustkowiu znajdują się jakieś żywe istoty dodawała im odwagi.

— Jeśli dingo nie zdychają tu z głodu, to i my na pewno znajdziemy coś do jedzenia — mówił bosman. — Trzeba tylko będzie za dnia wspiąć się na jakiś wyższy pagórek i rozejrzeć po tych wertepach. Może uda się nam upolować kangura? Nawet łykowata, jak postronek, pieczeń jest lepsza niż nic.

— Taka pieczeń jest bardzo dobra, gdyż... nie można jej zjeść od razu — dodał Tomek.

Tocząc podobne rozmowy, wędrowali przez całą noc. Rankiem bosman stwierdził, że Tomek jest już u kresu sił. Był najwyższy czas, aby zdobyć pożywienie. Zaraz też zaczął rozglądać się w poszukiwaniu najdogodniejszego punktu obserwacyjnego. Wkrótce spostrzegł dość wysoki

pagórek. Natychmiast ruszyli ku niemu. Zaledwie znaleźli się na szczycie, Tomek wydał okrzyk radości.

— Jesteśmy uratowani! Oto wioska krajowców! — zawołał.

— Ano, dobiliśmy jakoś do portu — ucieszył się bosman. — Na pewno najemy się tu i wypoczniemy. Rozwińmy teraz żagle na całego.

Nadzieja na szybkie zaspokojenie głodu dodawała im sił. Różnym krokiem schodzili z pagórka do małej kotlinki, w której znajdowało się kilkanaście szałasów. Wewnątrz koliska utworzonego przez nie tliło się ognisko. Byli już w pobliżu obozowiska, gdy naraz Tomek zatrzymał się mówiąc:

— Omal nie zrobiliśmy głupstwa!

— A to niby dlaczego? — zdziwił się bosman.

— Zaraz panu wszystko wyjaśnię. Nie wolno nam wejść bezpośrednio do obozu Australijczyków, jeżeli nie chcemy ich obrazić.

— Więc co mamy zrobić? — zapytał bosman, spoglądając na Tomka.

— Wiedziałby pan, gdyby pan był z nami z wizytą u plemienia „człowieka–kangura”. Pan Bentley wyjaśniał wtedy zwyczaje tubylców. Otóż należy zatrzymać się przed obozem i oczekiwać zaproszenia.

— Słuchaj brachu, czy jesteś tego pewny?

— Tak, tak! Pamiętam wszystko dokładnie.

— Czy Bentley robił to samo? — upewniał się bosman, znając bowiem wesołe usposobienie Tomka, podejrzewał, że nawet teraz chce mu spletać figla.

— Oczywiście! Powiedział wówczas, że nie wolno łamać zwyczajów krajowców, jeśli chce się zyskać ich przyjaźń.

To ostatecznie przekonało bosmana. Przypomniawszy sobie, że to Tomek przecież przełamał nieufność krajowców, którzy z początku odmówili swego udziału w polowaniu na kangury. Ponieważ sam nie miał zdolności dyplomatycznych, postanowił powierzyć Tomkowi załatwienie formalności.

— Gadaj z nimi, brachu, a ja będę miał na nich oko, żeby nam jakiego kawału nie urządzili — zdecydował.

— Dobrze, ale co mam im powiedzieć?

— Mów, że konie nam uciekły. Poproś o jedzenie i powiedz, że chcemy odpocząć w obozie.

— Tutaj usiadziemy i zaczekamy, aż ktoś do nas wyjdzie — zaproponował Tomek, siadając na ziemi w nieznaczej odległości od obozu.

Upłynęło kilka minut. Bosman Nowicki położył niedbale karabin na kolanach. Z ukosa spojrzął w kierunku szalasów. Przekonał się zaraz, że wiele par oczu uporczywie wpatruje się w nich. Wkrótce z obozu wyszła kobieta niosąca płonącą gałąź. Rzuciła ją w pobliżu łowców i powróciła do swoich.

— Co to ma znaczyć, brachu? — zapytał bosman.

— Nie wiem, pan Bentley nic nie mówił o płonących gałęziach.

— Hm! Może to znak, żebyśmy rozpalili ogień? — zastanowił się marynarz. — Spróbujmy! Weź tę australijską zapałkę, a ja zbiorę trochę chrustu.

Nie wypuszczając z rąk karabinu ułamał parę gałęzi. Po chwili siedzieli przy płonącym ognisku. Teraz kobieta ofiarowała im blaszaną bańkę z wodą, którą postawiła w połowie drogi między obozowiskiem a łowcami. Tomek przyniósł ją natychmiast. Bosman ulokował bańkę przed sobą mówiąc:

— Ha, ogień i wodę już mamy. Ciekaw jestem, czym oni nas poczęstują? Kobieta ponownie wyszła z kręgu szalasów. Tym razem dała podróżnikom na dużym liściu dwa okrągłe przedmioty. Były to wielkie jaja, na obu końcach prawie jednakowo zaokrąglone, o szorstkiej, ziarnistej, białawożółtej skorupie.

— Mógłbym założyć się o butelkę rumu, że są to jaja strusia emu — domyślił się bosman. — Bentley mówił, że nadają się do jedzenia. Chyba ugotujemy je na twardo?

— Tak, możemy ugotować je w bańce — przytaknął Tomek.

Bosman odlał część wody do manierek. Potem włożył jaja do bańki i umieścił ją na kamieniu położonym w ognisku. Tymczasem kobieta znów przyniosła dwa liście, a na nich, jak na talerzach, leżały paski suszonego kangurzego mięsa oraz jadalne korzenie roślin.

Obydwaj przyjaciele podzielili się jednym jajem emu, zjedli trochę suszonego, twardego mięsa, na deser zaś zabrali się do żucia korzonków. Kiedy zaspokoili głód, zbliżył się do nich stary Australijczyk. Tomek rozpoczął rozmowę, lecz porozumieć się z krajowcem było nadzwyczaj trudno. Znał on bardzo mało słów angielskich, z tego powodu rozmowa, uzupełniana gestami trwała długo, zanim błysk zrozumienia pojawił się w jego oczach. Z zaciekawieniem obejrzał zdjęcie zabitego tygrysa i Tomka na

słoni, z uwagą przysłuchiwał się opowiadaniu o ucieczce koni w czasie burzy. Na zakończenie rozmowy Tomek poprosił o zapas żywności oraz o pozwolenie na odpoczynek w obozie.

Krajowiec odszedł do grupki mężczyzn uzbrojonych w dzidy, bumerangi oraz grube maczugi. Wrzaskliwym głosem powtórzył im słowa Tomka, po czym zapanowała głęboka cisza. Po dłuższej chwili starzec powrócił do łowców. Zatrzymał się przed nimi i rzekł:

— Biali są źli ludzie. Nawet konie wolały iść z dingo niż z wami i uciekły. My również nie chcemy was tutaj widzieć. Idźcie stąd precz, natychmiast!

To powiedziawszy wycofał się zaraz do obozu.

— I co teraz zrobimy? — zafrasował się Tomek. — On na pewno mnie nie rozumiał.

— Zrozumiał, czy nie rozumiał, to jedno licho — odparł bosman. — Nie spodobaliśmy się im, więc nie chcą się z nami zadawać.

— Zupełnie niepotrzebnie wygadałem się o ucieczce naszych koni — powiedział Tomek rozżalonym głosem. — Przecież gdyby nie napad dingo, konie nie uciekłyby od nas. Widocznie źle poprowadziłem rozmowę.

— Nie przejmuj się, brachu! I tak nic na to nie poradzisz. Oni po prostu nie lubią białych, ludzi.

— Co teraz zrobimy?

Bosman nieznacznie spojrział w kierunku obozowiska krajowców. Kilkunastu krajowców z bronią w rękach przyglądało się im wyczekująco. Złowróżbne milczenie było bardzo wymowne.

— Co zrobimy? — powtórzył bosman. — Zwijamy manatki i ruszamy w dalszą drogę. „*Gdzie cię nie proszą, tam kijem wynoszą*”. Zerknij tylko, jak oni nam się przyglądają. Ale to nie są źli ludzie. Nakarmili nas, a dopiero potem kazali odejść. Pakuj resztkę śniadania do torby, ja natomiast wygaszę ogień. Im szybciej wyniesiemy się stąd, tym lepiej!

Bosman, nie odkładając karabinu, starannie zdeptał ognisko, po czym zaczął przeszukiwać swe kieszenie. W końcu wydobył składany scyzoryk. Trzymając go przed sobą kilkakrotnie otwierał i zamykał ostrza. Ruchy jego były powolne i wykonywane w ten sposób, aby widziano je dokładnie w obozie.

— Co pan wyrabia? — zapytał Tomek zdziwiony jego zachowaniem.

— Trzeba im zostawić coś na pamiątkę — wyjaśnił bosman, — Niech przynajmniej wiedzą, jak się z tym obchodzić.

Bosman owinął scyzoryk w liść i włożył go do stojącego na ziemi blaszanego kociołka. Bez dalszej zwłoki zarzucił na plecy siodła i wraz z Tomkiem oddalił się od obozu. Wkrótce znaleźli się na stepie.

Po zaspokojeniu głodu wędrówka stała się trochę mniej uciążliwa. Na skutek nocnej ulewy ziemia rozmiękła, spalona przez słońce trawa niemal w oczach nabierała żywej, zielonej barwy. Bosman Nowicki zatrzymywał się co pewien czas. Uważnym wzrokiem spoglądał na przebytą już drogę. Wydawało mu się, że w pewnej odległości dostrzega kilka czarnych postaci postępujących za nimi. Przyśpieszył więc kroku, z niepokojem rozmyślając o nadchodzącej nocy.

W godzinach popołudniowych zarządził krótki wypoczynek na małym pagórku, skąd wygodniej było rozejrzeć się po okolicy. Bosman miał doskonały wzrok. Toteż szybko wypatrzył wśród wysokiej trawy kilka przyczajonych postaci. Nie chcąc niepokoić chłopca, nie powiedział mu do tej pory o śledzących ich krajowcach. Teraz doszedł do wniosku, że należy przygotować Tomka na ewentualne niebezpieczeństwo.

— Słuchaj brachu, licho wie, co to ma znaczyć, ale wydaje mi się, że kilku krajowców podąża za nami — powiedział.

— Czy jest pan tego pewny? — zaniepokoił się Tomek.

— Jak tego, że ciebie widzę. Specjalnie przystanąłem na tym pagórku, aby dokładnie rozglądnąć się po stepie.

— Co zrobimy, jeśli napadną na nas?

— W dzień nic nam nie grozi. Mamy karabiny, więc damy sobie radę. Gorzej natomiast będzie w nocy. Trzeba pokombinować, co należy zrobić.

Tomek poczuł dreszcz przebiegający po plecach. Przyszły mu na myśl opowiadania Bentleya o napadach urządzanych przez krajowców na wyprawę Sturta i pracowników służby telegrafu. Przypomniał je też zaraz bosmanowi.

— Stare to bajki, brachu — odparł marynarz z pozornym spokojem. — Nic im złego nie zrobiliśmy, więc nie mogą mieć do nas żalu.

— Wobec tego, dlaczego niepokoją pana? — zapytał Tomek.

Bosman zapalił fajkę, by zyskać na czasie. Wcale nie był pewny, czy krajowcy ich nie napadną. Obawiał się takiej chwili ze względu na Tomka. Chłopiec spoglądał na niego zaniepokojonym wzrokiem.



— Hm, braciszku! Lepiej mieć zawsze oczy otwarte na wszystko — mruknął wreszcie.

— Ja również tak uważam, lecz nie mogę zrozumieć, o co panu chodzi? Najpierw mówi pan, że krajowcy postępują za nami i należy zastanowić się, co mamy zrobić w nocy, potem znów twierdzi pan, iż nie napadną na nas.

— Widzisz brachu, bo też i nie wiem, czego oni chcą od nas? Może idą tylko z ciekawości?

— Mam doskonały pomysł! — zawołał Tomek z ożywieniem.

— Cóżże wymyślił?

— Niech pan strzeli z karabinu na postrach.

— Dobra rada złota warta — pochwalił bosman.

Niewiele myśląc, przyłożył karabin do ramienia i strzelił. Czarne postacie błyskawicznie skryły się w trawie.

— Strzelajmy razem — zaproponował Tomek.

Zaledwie huk rozbrzmiał szeroko po stepie w dali, jak echo, odezwały się odgłosy palby.

— Panie bosmanie, czy słyszy pan? Może to nasi dają znaki? Biegnijmy w tamtym kierunku! — zawołał Tomek.

— Czekaj brachu, zaraz się przekonamy — szybko odparł bosman. — Strzelmy obydwaj jeszcze raz!

W dali znów odpowiedział im huk strzałów.

— To nasi! To nasi! — krzyknął uradowany Tomek.

— Koło ratunkowe za burta! Głowy do góry! Dalej w drogę! Ruszajmy im naprzeciw!

— Będziemy strzelali co pewien czas, aby wskazać naszym właściwy kierunek! — dodał Tomek.

Zapomnieli o zmęczeniu. Rażnym krokiem ruszyli na południe. Od czasu do czasu odzywały się ich karabiny, którym odpowiadały coraz bliższe wystrzały. Niebawem ujrzeli galopujących jeźdźców. Pierwszy z nich znacznie wyprzedził całą grupę i gnał jak wicher.

— Cóż to za wspaniały jeździec pędzi tak do nas? — zdumiał się Tomek.

— A któż by to mógł być, jak nie twój ojciec albo Smuga? — odparł bosman.

Był to Smuga. Ostro osadził okrytego pianą konia, zeskakując na ziemię zawołał:

— Dokąd to panowie się wybrali?

Bosman rzucił siodła na ziemię, usiadł na nich i nie odzywając się ni słowem, zaczął nabijać fajkę tytoniem. Tomek widząc jego zmieszanie odpowiedział:

— Chcieliśmy urządzić samodzielne małe polowanie na emu.

— Och, teraz wszystko rozumiem — zaczął Smuga wesoło. — W tym zapewne celu zastosowaliście stary łowiecki fortel Indian północnoamerykańskich.

— O jakim to fortelu pan mówi? — zapytał Tomek niepewnie.

— Indianie podchodzą bizona ubrani w skóry zwierząt, aby uspić ich czujność. Wy, jak widzę, postanowiliście tropić emu, udając konie. Prawdopodobnie z tego względu pan bosman Nowicki nosi siodła na plecach. No, jak udały się łowy?

— Burza przeszkodziła nam w schwytaniu czterech emu — markotnie odpowiedział Tomek. — Szkoda, że nie wiedzieliśmy o tym indiańskim fortelu! Bosman niósł siodła, ponieważ dingo spłoszyły nasze konie. Pan Nowicki zaraz zabił jednego.

— Kogo zabił, konia? — zdziwił się Smuga.

— Nie konia, tylko dzikiego dingo, który biegł za końmi — wyjaśnił Tomek. — Potem zaczął lać ogromny deszcz i omal nie utopiliśmy się w parowie.

W tej chwili nadjechała reszta towarzyszy Smugi. Byli to marynarze z „*Aligatora*”. Radosnymi okrzykami przywitali Tomka i bosmana. Gdy zsiadli z koni. Smuga zapytał chłopca:

— No i co było dalej?

— Szliśmy przez step, bardzo głodni i zmęczeni. Napotkaliśmy obozowisko krajowców, którzy dali nam trochę jedzenia, nie zgodzili się jednak, abyśmy u nich odpoczęli. Później tropili nas. Obawialiśmy się ich i zaczęliśmy strzelać na postrach. Wtedy usłyszeliśmy wasze strzały.

— Spisaliście się pięknie, nie ma co — zganił Smuga. — Przejrzyjcie się w lusterku! Wygląd wasz na pewno zdziwił krajowców, szli więc za wami prawdopodobnie powodowani ciekawością.

Obydwaj niefortunni łowcy przejrzeni się w podanym przez Smugę lusterku. Wybuchnęli śmiechem. Umazani byli zaschłym błotem, a twarz bosmana ponadto pokrywał trzydniowy zarost.

— Gdzie jest Wilmowski? — zagadnął bosman niezbyt pewnym tonem.

— Wilmowski i Bentley przetrzysają wschodnią połąć stepu w poszukiwaniu was — uspokoił go Smuga i zaraz polecił jednemu z marynarzy wystrzelić kilka dymnych rakiet. Niebawem w dali ukazała się ciemna smużka dymu.

— Spostrzegli nasz sygnał! — odrzekł Smuga. — Możemy wracać do obozu. Nasi towarzysze przybędą tam za nami.

Bosman i Tomek dosiedli koni, które zabrano w rezerwie. Ruszyli natychmiast w drogę.

— Skąd wiedzieliście, że postradaliśmy konie? — zapytał Tomek, podjeżdżając do Smugi. .

— Dzisiejszej nocy wasze wierzchowce powróciły bardzo zmęczone do obozu. Rozpoznaliśmy twego pony. Natychmiast posłaliśmy gońca do Watsunga, aby sprawdzić, co oznacza wałęsanie się kuca po stepie. Wówczas dopiero dowiedzieliśmy się, że cztery dni temu wyruszyliście na polowanie. Watsung nie niepokoił się o was, gdyż był przekonany, że przebywacie z nami. Obawialiśmy się, czy przypadkiem nie spotkała was jakaś przygoda podczas burzy piaskowej, która nas zmusiła do przerwania łowów. Podzieliliśmy się na dwie grupy i rozpoczęliśmy poszukiwania.

— Czy ojciec jest bardzo zagniewany na mnie? — dopytywał się Tomek niespokojnym głosem.

— Nie, przecież wiedzieliśmy, że jesteś razem z bosmanem Nowickim. Po prostu obawialiśmy się, czy przypadkiem nie spotkało was coś złego. Australijskie burze piaskowe powodują wiele szkód i nieraz stwarzają niebezpieczne sytuacje. Na szczęście gorący wiatr, który niósł z wnętrza kontynentu chmury pyłu, natrafił na prądy powietrzne napływające z południa. Spowodowało to gwałtowną ulewę i burzę.

— Dzięki niej przepłukiwaliśmy nasze gardła, które były suche jak wióry — wtrącił bosman. — Tak, tak, niech mi nikt nie gada, że tutaj brak urozmaicenia oraz różnych niespodzianek.

— Mielście dużo szczęścia — dodał Smuga. — Burza piaskowa trwa niekiedy kilka dni i dość rzadko kończy się w taki sposób, jak ta ostatnia.



## POLOWANIE W POBLIŻU FARMY ALLANA

Konie szły rażno po stepie. Obydwaj niefortunni łowcy emu skwapliwie korzystali w czasie jazdy z zapasów zabranych z obozu przez ich towarzyszy. W miarę jak zaspokajali pierwszy głód, nabierali lepszego humoru. Wiedzieli już przecież od Smugi, że Wilmowski nie miał im za złe samodzielnej wyprawy. Wesóło pokpiwali z siebie, wspominając niepokój, który ogarnął ich na widok podążających za nimi krajowców.

— Ho, ho, pan bosman ledwo już powłóczył nogami, ale gdy tylko spostrzegł tropiących nas krajowców, to maszerował tak szybko, że nie mogłem za nim nadążyć — dogadywał Tomek marynarzowi.

— Dobrze pamiętasz! Tak było naprawdę, obawiałem się, żebyś przypadkiem nie popsuł panu Clarkowi interesu — mruknął bosman, zerkając na chłopca.

— Co też pan opowiada? Teraz próbuje się pan wykręcić sianem — oburzył się Tomek, nie podejrzewając podstępu.

— Niech się zmienię w wieloryba, jeśli kłamię! Przypomniałem sobie historię pięciu królików przywiezionych przez pierwszych osadników do Australii.

— A co króliki mają wspólnego z tym wszystkim?

— Właśnie, że mają! Bo wbrew intencjom kolonistów tak się rozmnożyły, iż zaczęły wyjadać trawę konieczną dla hodowli owiec. Jakbyś teraz ty, brachu, ze strachu zgubił na stepie trochę „cykorii”, to znów mogłoby się stać nowe nieszczęście. Czy wyobrażasz sobie, co by nastąpiło, gdyby twoja cykoria rozpleniła się tutaj i wyparła, trawę? Przecież owce pozdychałyby z głodu...

— Jak pan może tak mówić? — oburzył się Tomek. — A kogo to musiałem pocieszać tam w parowie podczas burzy piaskowej?

— A to wykrętne chłopaczysko! — śmiał się bosman. — No, pal cię lichu! Kręcisz językiem jak kołowrotkiem. Ale my tu gadu gadu, a nie zapytaliśmy nawet, jak też udały się naszym kumplom łowy na emu?

— Uwaga panowie! Nasi przyjaciele zabierają się obecnie do nas — zawołał Smuga. — Jeżeli jesteście bardzo ciekawi wyników naszego polowania, to mogę was pocieszyć, że i nam z początku szczęście nie dopisywało. Mielśmy za mało wierzchowców nadających się do pościgu za emu. Większość jeźdźców mogła uczestniczyć jedynie w nagonce. Czarownicy australijscy robili, co mogli, aby nam pomóc. Pamiętacie chyba ich tańce przed łowami na kangury, którymi pragnęli zapewnić sobie przychylność duchów? Otóż podczas polowania na emu najstarszy czarownik codziennie przed wschodem słońca rysował na piasku australijskiego strusia. Dopiero trzeciego dnia pierwszy błysk słońca musnął wcale udany rysunek, co miało oznaczać, że duch łaskawie sprzyjał naszym zamierzeniom. Krajowcy zaledwie to usłyszeli, zaraz wpadli w doskonały nastrój. Z wielką werwą zabrali się do łowów, wskutek czego jeszcze tego samego dnia schwytałyśmy jedną parę ptaków. W pościgu za nimi znacznie oddaliliśmy się na północ. Załadowywaliśmy już emu na wóz, gdy Tony uprzedził nas o nadciągającej burzy piaskowej. Natychmiast ruszyliśmy w powrotną drogę, lecz mimo to nawałnica przychwyciła nas w stepie. Jechaliśmy wzdłuż skalistego pasma wzgórz, które osłaniało trochę przed uderzeniami gorącego wichru. Wtedy właśnie, zupełnie nieoczekiwanie, z bocznego wąwozu wybiegły prosto na nas cztery strusie. Musiały uciekać z daleka, ponieważ osaczyliśmy je bez większych trudności. W ten sposób zakończyliśmy łowy schwyтaniem sześciu emu. Obecnie znajdują się one w naszym obozie.

— Założyłbym się o butelczynę rumu, że były to te strusie, które skryły się przed nami w pagórkach imitujących góry — wtrącił bosman.

— A to wspaniały zbieg okoliczności — przytaknął Tomek. — W ten sposób mimo woli przyczyniliśmy się do pomyślnego zakończenia polowania.

— Jak z tego wynika, nie ma tego złego, co by nie wyszło na dobre — sentencjonalnie dodał bosman.

— Może i tak było. Według wszelkiego prawdopodobieństwa znajdowaliśmy się w pobliżu wąwozu, który posłużył wam za schronienie przed burzą piaskową — potwierdził Smuga.

— Wszystko dobre, co się dobrze kończy — rezonował bosman. — Pognajmy szkapy, wkrótce będzie wieczór.

Po zapadnięciu zmierzchu wierzchowce zwolniły tempo biegu. Szły teraz stępa. Tomek, kołysząc się w siodle, był coraz bardziej senny. Zaczął

pochylać się w kierunku szyi konia, jakby bił pokłony przed wschodzącym księżycem.

Do obozu dotarli późną nocą. Tomek, pokrzepiony drzemką w czasie jazdy na koniu, postanowił nie kłaść się spać przed powrotem ojca. Nie musiał długo czekać. W niecałą godzinę później wrócił do obozu Wilmowski wraz z Bentleyem. Wilmowski cieszył się szczęśliwym zakończeniem niebezpiecznej przygody syna. Wszyscy zasiedli wokół ogniska do wieczerzy. Tomek jeszcze raz opowiedział przebieg niefortunnego polowania na emu. Rozweselili się, słuchając zabawnych komentarzy Smugi, toteż nic dziwnego, że niemal o świcie udali się na zasłużony odpoczynek.

Tomek przebudził się dopiero około południa. Usłyszał ożywione głosy w obozie. Wyrzwał z namiotu. Towarzysze jego załadowywali skrzynie z emu na wozy. Natychmiast zapomniał o zmęczeniu. Pobiegł przyjrzeć się strusiom. Zajrzał do jednej z klatek. Olbrzymie ptaszysko spojrzało na niego wielkimi, wylupiastymi oczami, przebierając jednocześnie nogami jak baletnica.

Za chwilę wozy wyruszyły w drogę do farmy. Tomek oczywiście pocieszył się myślą, że na statku będzie jeszcze miał okazję obserwować emu. Z zapałem zaczął pomagać w zwijaniu obozu.

Jeszcze tego samego dnia wszyscy uczestnicy wyprawy powrócili do farmy Clarka. Nie tracąc czasu, rozpoczęli przygotowania do przetransportowania schwytanych zwierząt na „*Aligatora*”. Do stacji kolejowej w Wilcannii kangury, emu i dingo miano przewieźć na wozach, a stamtąd koleją bezpośrednio do Port Augusta.

Od powrotu do farmy Tomek niecierpliwie oczekiwał odjazdu. Tęsknił za zmianą i nowymi przygodami. Z entuzjazmem przyjął rozkaz wyruszenia w drogę. Chcąc jak najwięcej dowiedzieć się o okolicach, do których zdążali, podjechał na swym pony do Bentleya.

— Na jakie zwierzęta będziemy teraz polowali? — zagadnął.

— Postaramy się wytropić szare kangury, które są bardziej wojownicze od dotychczas schwytanych czerwono-brunatnych. Żyją one w lesistych okolicach, w pobliżu strumieni. Znajdziemy tam również niedźwiadki koala, lisy workowate, kolczatki, jadowite węże, tygrysy oraz jaszczurki molochy, których ciała okryte są wyrostkami skóry sterczącymi na głowie jak rogi. W górach ciągnących się wzdłuż całego wschodniego wybrzeża zakończymy łowy polowaniem na skalne kangury — odparł Bentley.

— Jak z tego wynika, pożegnaliśmy się już ze stepem — stwierdził Tomek nie bez pewnej satysfakcji.

— W każdym razie pas stepu oddzielający Wilcannię od terenów zalesionych przebedziemy pociągiem. W ten sposób unikniemy długiej, męczącej jazdy końmi. Dopiero przez stepy parkowe i rozległe przestrzenie buszu ruszymy dalej wozami.

— Co to jest busz? — zaciekał się Tomek.

— Jest to swoisty rodzaj lasu, bardzo charakterystyczny dla Australii. Nie ma on nic wspólnego z lasami całej kuli ziemskiej. Wśród wysokich drzew rośnie niezmiernie bogactwo wiecznie zielonych, małych drzewek i krzewów. Do buszu przylegają zazwyczaj obszary pokryte skrobem, który, jak już wiesz, stanowią skarłowaciałe eukaliptusy i akacje. Ciszę panującą w buszu przerywa jedynie krzyk papug lub szelest pełzających gadów.

— Taki las na pewno nie będzie mi się podobał — orzekł Tomek.

— Nie bądź tego zbyt pewny. Zwłaszcza nocą są tam pełne niezwykłego czaru. Niektórzy ludzie z własnej woli spędzają w buszu większą część swego życia. Zwiemy ich tutaj buszmanami. Znajdziesz wśród nich zawiedzionych w swych nadziejach poszukiwaczy złota oraz ludzi, którzy co pewien czas wyjeżdżają z miast w poszukiwaniu przygód na łonie natury.

— Czym oni znów tak zachwycają się w tym lesie? — zapytał Tomek.

— Nie jest to łatwe do wytłumaczenia. Początkowo trudno przyzwyczać się do buszu. Przerażają w nim niezmiernie przestrzenie, brak ludzi, trudności i niebezpieczeństwa życia na pustkowiu. Po pewnym jednak czasie ten właśnie bezkresny gąszcz zaczyna przyciągać człowieka do tego stopnia, że trudno mu żyć bez niego i pragnie stale w nim przebywać. Jest to jakby zew buszu.

— Wydaje mi się to bardzo dziwne — powątpiewająco odezwał się Tomek.

— Już pierwotni mieszkańcy Australii ulegali czarowi buszu. W związku z tym powstała wśród nich pewna legenda. Otóż według podań krajowców, w obłokach żyje czarodziejka, która niekiedy przybywa na ziemię, niesiona na liściach przez powiew wiatru. Czarodziejka ta nad obszarami buszu zwołuje naradę duchów. W tym czasie, snując niewidzialną nić, przywiązuje nią do siebie coraz więcej ludzi. Gdy człowiek omotany przedziwem opuści busz, odczuwa nieukojoną tęsknotę, dopóki doń nie



powróci. Musisz uważać Tomku, aby i ciebie nie spotkała podobna przygoda. Nie chciałbyś już wtedy opuścić Australii.

Tomek spojrział na Bentleya poważnym wzrokiem i odezwał się cicho:

— Kto wie, może takie czarodziejki istnieją naprawdę. I to nie tylko w Australii. W każdym razie bosmanowi Nowickiemu, mojemu ojcu i mnie nic tu od nich nie grozi. Czarodziejka unosząca się nad Warszawą dawno już omotała nas swoją nicią.

Bentley zadumał się.

— Jestem ciekaw, czy spotkamy buszmanów? — przerwał Tomek milczenie.

— Będziemy wędrowali w pobliżu złotodajnych terenów — odparł Bentley. — Wielu niefortunnych poszukiwaczy złotego runa przedzierzgnęło się w buszmanów. Jest więc możliwe, że zetkniemy się z nimi.

— Chciałbym tak jak Strzelecki znaleźć w Australii złoto — szepnął Tomek.

— A co byś z nim zrobił? — zapytał Bentley z uśmiechem.

— Zaraz założyłbym w Warszawie piękny ogród zoologiczny — powiedział Tomek bez namysłu.

Na podobnych rozmowach szybko schodził im czas. Zanim Tomek zdążył znudzić się jazdą przez step, ujrzał domy Wilcannii.

W ciągu dwóch następnych dni zwierzęta wraz ze swoją eskortą odjechały do Port Augusta. Pozostali łowcy wsiedli do pociągu odchodzącego na południowy wschód.

Tomek mógł do woli przyglądać się krajobrazowi, którego malowniczość wciąż zmieniała się, im dalej jechali na południe. Rzadko rozsiane kępy drzew i krzewów pokrywały rozległy step, roślinność była tutaj jednak bujniejsza i bardziej różnorodna. Częściej też można było zaobserwować wielkie stada owiec i rogatego bydła pasące się spokojnie na równinie.

Po trzydziestosześciogodzinnej jeździe łowcy wysiedli z pociągu na stacyjce w Forbes, małej górniczej miejscinie, położonej jakby na linii stanowiącej podstawę trójkąta, utworzonego przez rzekę Murrumbidgee i jej dopływ Lachlan. Na wschód od miasteczka, u stóp wysokich pagórków porośniętych lasem, rozciągały się zielone pola; w kierunku zachodnim leżała

kraina mirażu<sup>51</sup> i wielkiej posuchy, a zarazem bezmiernych pastwisk, których wartość zależała od obfitości kapryśnych deszczów. Na tych właśnie pastwiskach australijscy hodowcy wypasali swe stada, bogacąc się w ciągu kilku lat, jeżeli deszcze nie skąpiły wody, lub też tracąc wszystko w przypadku posuchy.

Łowcy bez zwłoki ruszyli na południowy zachód od Forbes. Wkrótce zagłębili się w step przerywany od czasu do czasu skrobem lub buszem. W pobliżu małego strumyka Tony wypatrzył ślady leśnych, szarych kangurów. Wobec tego Wilmowski polecił rozbić obóz nad strumyczkiem płynącym wśród rozległego buszu, który w tej okolicy częściowo zmieniał się w niski skrob. Przed rozłożeniem namiotów łowcy uważnie przeszukali okoliczne krzewy, aby uchronić się od jadowitych węzów, mających tam często swoje legowiska.

Tego jeszcze dnia Tony ustalił miejsce wodopoju szarych kangurów. Tomek z zadowoleniem przyglądał się przygotowaniom do polowania. Ze względu na to, że kangury żerują w nocy, miało ono rozpocząć się o świcie. Było jeszcze ciemno, a tymczasem w obozie już siodłano konie. Przy świetle księżyca Wilmowski podzielił jeźdźców na dwie grupy. Jedna z nich, jadąc skrajem buszu, miała dotrzeć do wodopoju, druga otrzymała polecenie przepłynięcia się na sąsiedni brzeg strumyka, by po zatoczeniu koła, osaczyć kangury i uniemożliwić im ewentualną ucieczkę.

Tomek, wraz z ojcem, należał do drugiej grupy. Zaledwie znaleźli się na przeciwległym brzegu pognali galopem, chcąc równocześnie z pierwszą grupą dotrzeć na wyznaczone stanowisko. Wkrótce Tony jadący na czele zatrzymał konia.

— Wodopój jest już blisko — oznajmił. — Pójdę pieszo sprawdzić, czy są teraz przy nim kangury.

Dopiero po godzinie bezszelestnie wynurzył się z krzewów i oznajmił, że kilka szarych kangurów żeruje na brzegu strumyka.

— Musimy poczekać do wschodu słońca, ponieważ przy zwodniczym świetle księżyca nie można liczyć na powodzenie — powiedział Wilmowski,

---

<sup>51</sup> — Miraż, w znaczeniu fatamorgana; zjawisko optyczne występujące przeważnie na pustyniach lub na obszarach o jednostajnym krajobrazie. Wskutek załamania i odbicia światła w warstwach powietrza o różnej gęstości mogą ukazywać się złudne obrazy przedmiotów czy pejzaży ukrytych za horyzontem.

a po chwili dodał z niepokojem: — Czy kangury nie oddalają się przed świtem od wodopoju?

— Nie będzie tak źle. Zaraz dzień — odparł Tony.

Zsiedli z koni. Wokoło panowała bezmierna cisza. Wydawało się, iż cała natura pogrążona była w głębokim śnie. Naraz rozległo się ciche uderzenie dzwonka.

— Bydło pasie się w pobliżu — szepnął Tony. — Przodownik stada zawsze ma dzwonek na szyi.

— Dziwne, że kangury przebywają w pobliżu domowego stada — zauważył Wilmowski. — Czy widziałeś je na pewno?

— Kangury lubią dobrą, słoną trawę — upewniał Tony. — Bydło ich nie płoszy.

W pobliskich krzewach rozbrzmiał przeraźliwy krzyk, jakby ginącego zwierzęcia. Tomek odruchowo przytulił się do kolby swego wierzchowca.

— To pelikan — wyjaśnił Tony. — Zaraz będzie dzień.

Do wschodu słońca żaden głos już więcej nie zakłócił martwej ciszy. Wkrótce świt zaróżowił niebo na horyzoncie. Zaledwie błysk dnia rozproszył mrok nocy, jakby na dane hasło papugi wszczęły w pobliżu buszu oszałamiający wrzask.

— Teraz prędko na konie! — zawołał Tony.

Dosiedli wierzchowców. Z miejsca ruszyli z kopyta w kierunku wodopoju. W przeciągu kilku minut byli już przy strumyku, na którego przeciwległym brzegu pasły się trzy duże kangury. W porównaniu z uprzednio schwytanymi mogły uchodzić za olbrzymy. Zaskoczone widokiem jeźdźców stanęły na tylnych łapach w niemym zdziwieniu. Wilmowski wystrzałem w górę dał hasło do rozpoczęcia polowania. Od strony buszu rozległ się donośny krzyk. To druga grupa jeźdźców ruszyła w kierunku kangurów, które w tej chwili zaczęły panicznie uciekać. Biegły ociężale po nocnej, obfitej uczcie, podczas gdy wypoczęte konie mknęły jak strzały wypuszczone z łuku. Łowcy szybko zbliżyli się do kangurów, osaczając je półkolem. Wilmowski, Smuga oraz pracownicy przysłani przez Hagenbecka, umieli posługiwać się lassem, toteż trzymali w rękach przygotowane do rzutu arkany. Smuga wysforował się na czoło pościgu. Szybko zbliżył się na kilkanaście metrów do jednego z kangurów, podniósł do góry prawą rękę z lassem i zataczając nim nad głową koła, nabierał rozmachu. Arkan śmignął w powietrzu. Pętla opasała zwierzę.

Silne szarpnięcie omal nie przewróciło konia i jeźdźca. Trzech najbliższych łowców pospieszyło Smudze z pomocą, a reszta pomknęła za uciekającymi kangurami.

Dwa olbrzymie szare kangury w obliczu groźnego niebezpieczeństwa wykazały wiele odwagi. Kiedy ujrzały klęskę swego towarzysza, pierzchły w przeciwnie strony, zmuszając tym samym pościg do rozdzielenia się również na dwie grupy. Bentley, Wilmowski i Tomek pognali razem za wspaniałym kangurem. Pierwsi dwaj zaczęli osaczać go z boków, podczas gdy Tomek pędził tuż za nim. W końcu kangur zorientował się, że nie zdoła umknąć prześladowcom. Wilmowski z rozmachem rzucił łąso. Czujne zwierzę pochyliło się w tej chwili w olbrzymim skoku, zdradziecka pętla prześliznęła się tylko po jego grzbiecie. Teraz kangur śmignął przed koniem Wilmowskiego i pobiegł w kierunku pobliskiego lasu. Przystanął przy dużym drzewie gumowym, którego pień w dolnej części wypalony był niemal do połowy przez dawny pożar buszu.

Łowcy zatrzymali konie tuż przed zwierzęciem. Z podziwem spoglądali na wspaniałego kangura, który mimo beznadziejnej sytuacji nie rezygnował z walki. Wyprostowany na tylnych łapach, oparł się plecami o pień gumowca, obrzucając przeciwników czujnym wzrokiem. Jego przednie, krótsze łapy drgały nerwowo, gotowe do odparcia lub zadania ciosu.

Tomkowi zaimponowała odwaga oryginalnego wojownika. Gdyby to od niego zależało, pozwoliliby mu w nagrodę za męstwo skryć się w pobliskim gąszczu. Doświadczony w takich sytuacjach Bentley nie poddał się nastrojowi swych towarzyszy. Zeskoczył z konia z arkanem w rękę i przywołał Wilmowskiego do pomocy. Podał mu jeden koniec sznura, a następnie sam obiegał drzewo dookoła, opasując w ten sposób zwierzę, daremnie usiłujące zrzucić więzy. Po kilku minutach kangur stał przywiązany do drzewa.

— Dobrze się złożyło, że w pobliżu nie ma jeziora lub większego bajora wypełnionego wodą. W czasie pościgu szare kangury potrafią chronić się w wodzie, wynurzając na powierzchnię jedynie głowę i przednie łapy. Wtedy nawet psy używane do polowania są wobec nich bezsilne. Kangur, dzięki swemu potężnemu wzrostowi, na znacznej głębokości przystaje na tylnych łapach i uderzeniami przednich łap skutecznie broni się przed kilkoma pływającymi wokół niego psami — wyjaśniał uradowany Bentley.

W tej chwili nieznany jeździec zbliżył się do łowców. Był to wysoki mężczyzna, ubrany jak większość australijskich osadników. Uchylił kapelusza o szerokich kresach i odezwał się uprzejmie:

— Witam panów i winszuję zręczności. Radzę zaoszczędzić sobie wszelkiego trudu i po prostu zastrzelić tego szkodnika.

— Nie mamy zamiaru zabijać tak wspaniałego zwierzęcia — oburzył się Wilmowski. — Zabierzemy je z sobą do Europy.

— Czyżby panowie trudnili się łowieniem zwierząt? — zdziwił się nieznajomy.

— Odgadł pan — potwierdził Wilmowski. — Łowimy zwierzęta do ogrodów zoologicznych. Mój towarzysz, pan Bentley, jest dyrektorem ogrodu zoologicznego w Melbourne.

— Bardzo mi przyjemnie poznać panów — odparł nieznajomy. — Jestem Allan. Moja farma hodowlana znajduje się nie opodal. Zrobią nam panowie wielką przyjemność, odwiedzając nas na tym pustkowiu. Żona moja ucieszy się wizytą panów.

Łowcy przywitali się z Allanem, a Tomek nie omieszkał zaraz zadać mu pytania:

— Dlaczego nazwał pan tak odważne zwierzę szkodnikiem?

— Nie przeczę, że szare kangury są bardzo wojownicze i odważne, lecz tym niemniej mnożą się tutaj zbyt szybko. One zjadają moim stadom doskonałą trawę. Od kiedy krajowcy i dingo wynieśli się dalej na zachód, kangury pojawiają się jak grzyby po deszczu. Toteż między osadnikami a kangurami toczy się stale zażarta walka. Jeżeli my ich nie wytępimy, to one wygnają nas stąd w krótkim czasie — wytłumaczył Allan.

— No, ten schwytyany przez nas kangur nie będzie panu więcej szkodził — wtrącił Wilmowski.

— Wydaje mi się, że nadjeżdżają towarzysze panów — zauważył Allan. Był to bosman Nowicki i Smuga. Zeskoczyli z koni. Wilmowski przedstawił ich Allanowi, który zaraz ponowił zaproszenie.

— Teraz musimy zająć się złowionymi kangurami — poinformował go Wilmowski. — Nasi towarzysze również schwyтали jedno zwierzę. Należy przetransportować je do obozu znajdującego się w pobliżu. Nazajutrz jednak odwiedzimy pana z prawdziwą przyjemnością.

— Oczekujemy panów. Moja farma leży w dole strumienia, tuż na skraju zarośli — dodał Allan, po czym odjechał w kierunku domu.

Niebawem przybył wóz z dużymi klatkami. Kangur bronił się z uporem przed zamknięciem, lecz łowcy wspólnymi siłami umieścili go w skrzyni i załadowali na wóz. Taki sam los spotkał kangura schwytanego przez Smugę. Łowcy powrócili do obozu. Resztę dnia spędzili na omawianiu planu na najbliższe dni.

Wieczorem, wkrótce po ułożeniu się do snu, usłyszeli tętent konia. Wszelkie odwiedziny na australijskich bezdrożach należą do rzadkości, toteż zaintrygowani zerwali się z posłań. Dorzucili chrustu do gasnącego ogniska. Jeździec ostro osadził konia tuż przy namiotach. Był to Allan. Wzburzenie malujące się na jego twarzy uprzedziło łowców, że przybył z jakąś nieprzyjemną wiadomością.

— Przeszkodziłem panom w odpoczynku, lecz niestety jestem zmuszony prosić o pomoc — powiedział Allan jednym tchem. — Moja dwunastoletnia córeczka, Sally<sup>52</sup>, jeszcze przed południem wyszła z domu i nie powróciła do tej pory. Bawiła się w pobliżu zarośli. Zapewne zabłądziła w skrobie. Musimy przetrząsnąć rozległy teren, by ją odnaleźć.

Łowcy, nie czekając dalszych wyjaśnień, zaczęli szybko ubierać się; Allan powstrzymał ich mówiąc:

— Poszukiwania rozpoczniemy dopiero o świcie. W tej chwili moi pracownicy powiadomiamy najbliższych sąsiadów o wypadku. Dopiero nad ranem zbierze się tylu mężczyzn, aby można było skutecznie przeszukać okoliczny skrob. Po ciemku nie zdołalibyśmy odnaleźć dziecka. Proszę panów o przybycie do farmy przed samym świtem.

— Tony orientuje się w tej okolicy dość dobrze, pomogę razem z nim w powiadamianiu osadników — zaproponował Smuga.

— Jeżeli jest pan pewny, że nie zabłądzicie, to mogliby panowie udać się do farmy państwa Brown, którzy mieszkają w odległości piętnastu kilometrów od mego domostwa — odparł Allan. — Większość drogi do nich ciągnie się wzdłuż skrobu. Wyjaśnię to panom w czasie jazdy do mojej farmy. Resztę panów proszę o przybycie przed świtem.

Tony i Smuga ubrali się szybko, dosiedli koni. Odjechali razem z Allanem. Bosman Nowicki zdziwiony postępowaniem farmera zapytał:

52

— Zdrobnienie od Sara.

— Czy on ma dobrze poustawiane w łepetynie wszystkie klepki? Jak można odkładać poszukiwanie zaginionego dziecka do rana?!

— Postępowanie Allana nie jest pozbawione słuszności — zaproponował Bentley. — Zaginięcia dzieci zamieszkałych w pobliżu buszu lub skrobu zdarzają się u nas dość często. Z tego powodu osadnicy mają doświadczenie w prowadzeniu poszukiwań. Może pan być pewny, że Allan sam przetrząsnął już położone najbliżej farmy zarośla, zanim zwrócił się o pomoc. W tym czasie wiadomość o zaginięciu podawana jest z osiedla do osiedla. Wszyscy mężczyźni natychmiast przerywają wszelkie zajęcia, by wziąć udział w poszukiwaniach. Żaden mieszkaniec Australii nie uchyliłby się od udzielenia pomocy sąsiadowi w takiej sytuacji. Do świtu ściągną licznie farmerzy i wspólnymi siłami przeszukają zarośla. W nocy na pewno nie udałoby się odnaleźć dziewczynki. Co najwyżej jeszcze kilka osób mogłoby zabłądzić w gęstwinie.

— Przecież ta Sally musi być bardzo przerażona swoim położeniem — denerwował się Tomek.

— Oczywiście, że nie jest to dla niej przyjemne — przyznał Bentley. — Mimo to należy wziąć pod uwagę, że dzieci zamieszkałe od urodzenia w pobliżu buszu przyzwyczajają się do niego. Noce w lesie nie są znów tak straszne, od chwili gdy dingo wyniosły się z tych okolic.

— Co ona uczyni, jeśli wąż podpełźnie do niej? — zapytał Tomek, który sam obawiał się węzów.

— To prawda, że jest ich tutaj bez liku — odparł Bentley. — Na szczęście wypadki ukąszeń nie zdarzają się zbyt często. Nawet dzieci osadników wiedzą, że jedynym ratunkiem po ukąszeniu jest wycięcie nożem miejsca zakażonego jadem.

— No, szanowny panie! Możliwe, że australijskie pędraki nie przestraszą się w lesie byle krzaka — ostro powiedział bosman Nowicki. — Ale nie gadaj pan takich głupstw, za przeproszeniem. Nigdy nie uwierzę, aby dwunastoletnia dziewczynka wyrznęła sobie sama kawałek ciała. Jeśli natomiast teraz nie możemy w niczym pomóc tej bieduli, to kimnijmy się trochę.

— Bosman ma słuszność, gadaniną nic nie zwojujemy — poparł go Wilmowski. — Lepiej nabierzmy sił przed poszukiwaniami.

Po raz drugi tego wieczora łowcy udali się do namiotów. Tomek długo nie mógł zasnąć. Rozmyślał o zaginionej Sally. Przypomniała mu się opowieść Bentleya o sławnym podróżniku Strzeleckim, który omal sam nie zaginął w morderczym skrobie. Zaraz też poczuł zimne mrowie wędrujące po plecach na samą myśl o straszliwym losie biednej dziewczynki.

Usnął bardzo późno, lecz zerwał się z posłania przed świtem razem z towarzyszami. Natychmiast zaczął siodłać swego pony.

— Tomku, lepiej pozostań w obozie — zwrócił się do syna ojciec, widząc jego podniecenie.

— Jestem tego samego zdania — poparł go Bentley. — Nie znasz okolicy, Tomku łatwo możesz stracić orientację w rozległym skrobie.

Po nie przespanej nocy Tomek nie miał zbyt wielkiej ochoty do włóczędzy w gęstwinie, ale uwagi opiekunów podrażniły jego dumę. Odparł więc zaraz:

— Ostatecznie mogę z wami nie wchodzić w skrob. Przydam się chyba jednak na farmie, skoro wszyscy dorośli wyruszają na poszukiwania.

— Może masz i słuszość — przyznał Wilmowski. — Musisz mi przyrzec, że nie zrobisz żadnego głupstwa. Dość już będzie kłopotu z odszukaniem małej Sally.

— Och, z całą pewnością nie zrobię głupstwa — mruknął Tomek niechętnie, ponieważ nie lubił, gdy żądano od niego podobnych przyrzeczeń.

Wilmowski wyznaczył dwóch marynarzy do pilnowania obozu, po czym reszta członków wyprawy dosiadła koni i pognęła do farmy Allanów. Zastali tam już Smugę i Tony'ego oraz około dwudziestu mężczyzn zamieszkałych w okolicy. Natychmiast omówili wspólnie plan poszukiwań. O świcie obława ruszyła w gęstwą skrobu rozciągając się w długi łańcuch.



## ZAGUBIENI W SKROBIE

Tomek pozostał w domu z matką nieszczęsnej dziewczynki. Pani Allan krzątała się w kuchni przygotowując obiad dla uczynnych sąsiadów. Była przemęczona, podenerwowana i prawie zrozpaczona zaginięciem córeczki. Tomek zachowywał się cichutko, wreszcie wyszedł przed dom. Usiadł na ławce stojącej pod rozłożystym drzewem.

Nawoływania mężczyzn biorących udział w poszukiwaniach dawno już ucichły w gęstwinie.

Tomkowi czas wolno płynął na rozmyślaniach. Oczywiście początkowo przedmiotem tych rozmyślań była zaginiona Sally. Wkrótce jednak uwagę jego zwróciły papugi napełniające wrzaskiem pobliskie zarośla. Fruwały swawolnie z gałęzi na gałąź, błyskając pomiędzy listowiem różnokolorowymi piórkami. Tomek przyglądał się barwnym krzykaczom fruującym wśród krzewów. Z żalem powracał myślą do przyrzeczenia danego ojcu. Małe i duże papugi były takie wesołe, wyglądały tak ślicznie, że zaczął się zastanawiać, w jaki sposób mógłby obejrzeć je z bliska, nie łamiąc danego słowa. Rozglądając się dokoła, zupełnie nieoczekiwanie ujrzał opodal zabudowań farmy psią budę, a przed nią leżącego młodego psa patrzącego w jego kierunku.

*„Wygląda zupełnie jak schwytyany przez nas dingo”* mruknął Tomek.

Przez dłuższą chwilę chłopiec i zwierzę przyglądali się sobie wzajemnie. Nagle pies powstał na cztery łapy, machając przyjaźnie ogonem. To właśnie podsunęło Tomkowi pewną myśl. Przecież mógłby z nim pospacerować obok zarośli. Wtedy przyjrzałby się śmiesznym papużkom, a jednocześnie byłby bezpieczny mając przy sobie takiego opiekuna. Pobiegł do domu, aby uzyskać zgodę pani Allan. Zatrzymał się w progu niezdecydowany, albowiem zatroskana i zmęczona po nocnym czuwaniu kobieta usnęła siedząc w fotelu.

*„Nie mogę przecież budzić jej teraz — pomyślał Tomek. — Wygląda na bardzo wyczerpaną. Nic się nie stanie złego, jeśli pospaceruję z psem w pobliżu domu. Wystarczy mi kilkanaście minut na przyjrzenie się papużkom”*.

Nie namyślał się dłużej. Zabrał swój sztucer z werandy, po czym wybiegł na podwórze. Pies powitał go machnięciem ogona, jak dobrego znajomego. Tomek odwiązał smycz. Obydwaj pobiegli ochoczo w kierunku zarośli.

Zaledwie znaleźli się na skraju buszu, Tomek zaraz przestał rozmyślać o danym ojcu przyrzeczeniu. Pstrokate, zabawne ptaki pochłonęły go całkowicie.

W pierwszej chwili uwagę jego przyciągnęły papużki faliste<sup>53</sup>, których parkę już widział w Warszawie u Jurka Tymowskiego. Musiał przyznać, że na swobodzie miały one jeszcze więcej swoistego wdzięku niż tamte w niewoli. Stado składało się z kilkudziesięciu sztuk. Papużki nie wykazywały obawy na widok chłopca. Przekrzywiały siarkowożółte łebki, przyglądały mu się wypukłymi ślepkami, trzepotały zielono–niebieskimi skrzydłami i z dumą puszyły swe zielonożółte piórka, okrywające je jak płaszcze. Tomek wyciągał do nich dłoń, wtedy ptaszki przeskakiwały na sąsiednią gałązkę wdzierząc się przymilnie. Jakże Tomek żałował, że nie miał przy sobie trochę prosa, konopi lub cukru, które tak chętnie jadły Jurka ulubienice!

*„Gdybym zabrał przynętę, pewno schwyciłbym teraz jedną lub może nawet i dwie papużki — frasował się Tomek. — Miałbym piękną pamiątkę z wyprawy. Mógłbym potem ofiarować je do ogrodu zoologicznego w Warszawie, gdy go tam założy pan Bentley.”*

Piękne papużki wciąż wdzięczyły się do niego. Raz udało mu się musnąć dłonią jedną z nich po miękkich, piórkach. Wprawdzie ptak zręcznie mu się wymknął, lecz Tomek nabrał nadziei, że nie wróci do domu z próżnymi rękami. Z coraz większą pasją uganiał za ptaszkami. Podczas gonitwy zagłębił się nieco w gąszcz. Niebawem spostrzegł inne odmiany papug. Na gumowym drzewie wysysała z kwiatów sok papuga wielkości gołębia. Była to lora<sup>54</sup>. Jej zielone i czerwone pióra mieniły się w słońcu, gdy zręcznie łąziła po gałęzi od kwiatu do kwiatu. Lotem szybkim jak strzała przelatywała na inne drzewa obsypane co piękniejszym kwieciem. Uganiając się za nią, Tomek zauważył kilka lor modrogłowych<sup>55</sup> o liliwoniebieskich głowach i kryzach, ciemnozielonym grzbiecie, oraz cynobrowoczerwonych piersiach. Skrzeczały do niego, jakby wyśmiewały się z jego próżnego wysiłku.

— Och, głupi, myślałeś, że złapiesz papugę — rzekł głośno sam do siebie, zły, że mu się te szczególne łowy nie udają.

*„Och głupi, myślałeś, że złapiesz papugę!”* ozwał się za nim czyjś głos.

<sup>53</sup> — *Melopsittacus undulatus*.

<sup>54</sup> — *Lorinae*

<sup>55</sup> — *Trichoglossus novae-hollandia*

Tomek zaczerwienił się jak sztubak schwytyany na niemądrej psocie. Więc ktoś podpatrywał jego pogoń za papugami i teraz wyśmiewał się z niego. Zawstydzony obejrzał się, nie dostrzegł nikogo. Zdziwiony zaczął przeszukiwać rzadkie w tym miejscu krzewy, zaglądał za drzewa, lecz nie znalazł żartownisia. Poza tym pies, którego opodał przywiązał do krzewu, by mieć wolne ręce, stał spokojnie spoglądając w jego kierunku.

— Chyba się przesłyszałem — mruknął niechętnie. Nagle tuż nad jego głową znów odezwał się głos: „*Och, głupi, myślałeś, że złapiesz papugę!*”

Tomek natychmiast spojrział w górę. O metr nad nim na gałęzi siedziała wspaniała kakadu<sup>56</sup>. Przekrzywiła łebek, zabawnie opuszczając i podnosząc na przemian duży czub na głowie.

— A to znów co za licho? — krzyknął zdumiony Tomek.

„*Och, głupi, myślałeś, że złapiesz papugę!*” odkrzyknęła kakadu i zaraz dodała: „*A to znów co za licho?*”

Tomek zachwycony swym odkryciem, aż przysiadł na ziemi. Spoglądał na czerwonoczubą kakadu, która przekornie patrzyła na niego. Kakadu wstrząsnęła czubem i zawołała:

„*A to znów co za licho?*”

— Jakaś ty śliczna i mądra! — odezwał się Tomek, nie wierząc, że naprawdę widzi rozmawiającego ptaka.

„*Jakaś ty śliczna i mądra*” powtórzyła papuga.

Od tej chwili Tomek zapomniał o wszystkim. Miał tylko jedno, jedyne pragnienie: musi schwytać gadającego ptaka! Ostrożnie wspiął się na drzewko, ale kakadu w ostatniej chwili przefrunęła na sąsiednie, przemawiając złośliwie:

„*Och, głupi, myślałeś, że złapiesz papugę!*”

Tomek gonił za nią od drzewa do drzewa. Przypomniawszy sobie słowa pana Tymowskiego, który wyjaśniał mu, iż niektóre papugi z łatwością uczą się gwizdać pewne melodie, podczas gdy inne gatunki posiadają zdolność naśladowania mowy ludzkiej. Nawet bosman Nowicki wspominał o jednym marynarzu, który miał rozmawiającą papugę. Tomek nie skąpił trudu, by złapać gadającą kakadu. Cóż by to była za wspaniała pamiątka z wyprawy!

---

56

— Cacatuinae

„Przecież papugi należą do długowiecznych ptaków — monologował. — Słyszałem, że nawet w niewoli mogą żyć po sto lat i więcej... Nigdy nie myślałem, że w Australii znajduje się tyle gatunków tych ptaków<sup>57</sup>”.

Tak rozmyślając, biegł za kakadu od drzewa do drzewa, prowadząc psa na smyczy. Tymczasem nie mniej rozbawiona papuga odfruwiała coraz głębiej w busz. Po wielu próbach udało mu się schwycić pięknego gadającego ptaka za ogon, lecz mocno uderzony dziobem w rękę, puścił go zaskoczony. W tej chwili smycz wyniknęła mu się z dłoni.

Pies, jakby pragnąc pomścić niepowodzenie swego towarzysza, natychmiast rozpoczął szaleńczy pościg za ptakiem.

„A to znów co za licho?” wrzeszczała papuga, zręcznie unikając pogoni.

Tomek pobiegł za psem. Papuga odlatywała coraz dalej w gąszcz, aż w końcu Tomek doszedł do wniosku, że jej nie schwyta. Zły na siebie i zmęczony zaprzestał bezskutecznego pościgu. Zaczął teraz przywoływać psa, lecz ten ani myślał wracać. Wprawdzie i on poniechał polowania na kakadu, ale dla odmiany biegł coraz dalej w krzewy, węsząc nosem przy ziemi.

— Chodź tu zaraz, niesforny psiaku! — wołał Tomek, z niepokojem j rozglądając się po gęstwinie.

Nie wiedział już, w którym kierunku znajdowała się farma. Jedyne pies mógłby go chyba do niej doprowadzić. Przestraszył się nie na żarty i zdwoił wysiłki, aby schwytać uciekiniera. Ten zaś, jakby na przekór, biegł wciąż naprzód z nosem przy ziemi. Kiedy Tomek zatrzymywał się zmęczony, pies również przystawał i spoglądał niecierpliwie. Wtedy zdawało się chłopcu, że wreszcie go schwyta. Ruszał zaraz z wyciągniętymi rękoma, lecz pies natychmiast znów biegł dalej.

„On oszalał, a ja... zrobiłem głupstwo nie dotrzymując przyrzeczenia — pomyślał Tomek z rozpaczą. — Nie trafię z powrotem do farmy i zginę w skrobie jak... ta Sally”.

Wystraszony, zmęczony gonitwą usiadł na ziemi i zapłakał. Naraz poczuł, że coś ciepłego, wilgotnego dotyka jego twarzy. Odsłonił oczy. Tuż przy nim

---

<sup>57</sup> — Papugi zamieszkują wszystkie części świata z wyjątkiem Europy. Znamy ich przeszło 6000 gatunków, a wszystkie swym rozmieszczeniem związane są ściśle z lasem. Szczególnie bogato są one reprezentowane w Ameryce i Australii oraz na sąsiednich wyspach; mniej licznie występują w Afryce i Azji południowej. Ogólnie odróżniamy dwie rodziny papug: szczerinko języczne i gładko języczne.

siedział na dwóch łapach pies i wilgotnym jęzorem lizał go po policzku. Odetchnął z ulgą.

— Więc jednak nie opuściłeś mnie? — rozczulił się chłopiec. Pies przekrzywił głowę, spoglądając mu w oczy.

— Tak, ale teraz nie wiem zupełnie, w którym kierunku należy pójść do domu — poskarżył się Tomek drżącym głosem.

Różowy język znów dotknął jego policzka. Tomek wyciągnął rękę i pogłaskał psotnika po głowie. Zwierzę poderwało się natychmiast na cztery łapy, odbiegło kilka kroków, po czym przystanęło oglądając się wyczekująco.

*„Mazgaj ze mnie — pomyślał Tomek. — Pies na pewno nie zbłądzi, a poza tym mam przecież sztucer. Nic mi się nie stanie!”*

Powstał szybko, przerzucił sztucer przez ramię, a pies, jakby tylko na to oczekiwał, ruszył przed siebie wężąc przy ziemi. Było już późne popołudnie. Pies nie przystawał ani na chwilę; kluczył w gąszczu, ale w zachowaniu jego nie było widać niepewności. Gdy Tomek przywoływał go do siebie, przybiegał na chwilę, poszczekiwał radośnie, lecz zaraz ruszał dalej, wężąc bez przerwy. Tomek już nie miał wątpliwości, że był on na czyimś tropie i zachęcał do poszukiwań.

*„Kogo on szuka? — zastanawiał się. — Możliwe, że trafił na ślady jeźdźców przetrząsających skrob w poszukiwaniu dziewczynki, a może też...”*

Serce zaczęło bić żywiej w jego piersi. Przecież pies mógł natrafić na ślad zaginionej Sally.

— Szukaj piesku, szukaj — zawołał zachęcająco.

Pies machnął ogonem. Pobiegł pewnie przed siebie. Tomek zapomniał o strachu. Jeżeli mężczyźni biorący udział w poszukiwaniach nie znaleźli Sally do tej pory, to na pewno będą przetrząsali gąszcz w dalszym ciągu. Wcześniej czy później powinien natknąć się na nich. Wobec tego postanowił sprawdzić, czyim śladem dążył pies. Biegł szybko za pewnym siebie zwierzęciem. Naraz krzyknął radośnie. Skrob stawał się rzadszy. Między drzewkami prześwitywała wolna przestrzeń.

Tomek zatrzymał się na skraju polany. Nie opodal płynął strumyk, na brzegu którego schwytano w dniu poprzednim dwa szare kangury. Lecz co to? Pies podbiegł do sporej kępy zarośli. Poszczekując cicho, spoglądał na Tomka.

*„Czego on tam szuka?”* głowił się chłopiec.

Zbliżył się ostrożnie do krzewów. Pies dał nura w gęstwą zieleni.

„*Oho, nie ma głupich!* — pomyślał Tomek. — *Nie mam zamiaru znów zabłądzić, wolę pozostać na polanie*”.

Przystanął przed zaroślami. Po dłuższej chwili pies wybiegł z gęstwiny. Skomląc żałośnie, otarł się o nogi chłopca, kilka razy to zbliżał się do krzaków, to zawracał, jakby zapraszał go w ten niezbyt zachęcający gąszcz.

Tomek zamyślił się. Przecież Sally z pewnością nie mogła znajdować się w tych krzewach, ponieważ z tego miejsca łatwo było trafić do farmy.

Nagle przyszło mu do głowy straszliwe podejrzenie. Może jadowity wąż ukąsił Sally i teraz biedna dziewczynka leży martwa w tym pustkowiu?

„*Najlepiej zrobię uciekając stąd czym prędzej* — pomyślał. — *Jeśli ukąsił ją wąż, to i mnie może spotkać ten sam los.*”

Zaraz zawstydził się własnego tchórzostwa. Co powiedziałby o takim zachowaniu bosman Nowicki? Czy mógłby spojrzeć w oczy Smudze lub ojcu? Żaden z nich na pewno nie zawahałby się w takiej sytuacji.

„*Ha, choćby ze względu na nich muszę zaryzykować! Sprawdzę, co znajduje się w tych krzakach*” postanowił odważnie.

Nachylił się i powiedział kategorycznie do swego czworonogiego towarzysza:

— Dobrze, pójdę za tobą, ale daję ci słowo, że więcej niż dwadzieścia kroków nie zagłębię się w te krzewy.

Pies pobiegł w zarośla. Tomek ruszył za nim trzymając w rękach odbezpieczony sztucer. Ostrożnie idąc w gęstwinie, liczył kroki. Naraz pies znikł za rozłożystym krzewem. Tomek pochylił się i podążył za nim licząc dalej.

„*Siedemnaście, osiemnaś...*” urwał w połowie słowa. Ziemia osunęła mu się pod stopami i runął w dół, upuszczając broń. Wywinął kozła, po czym twarzą upadł w trawę. Oszołomiony trochę uniósł głowę i spojrział. Tuż przed nim leżała na ziemi drobna skulona postać. Długie włosy opadały w nieładzie na jej ramiona.

„*Czarodziejka zwabiła mnie do buszu. A to wpadłem! Zaraz owinie mnie swoją nicią...*” przemknęło mu przez myśl.

Leżał bez ruchu, oczekując na spełnienie się losu, gdy naraz poczuł ciepłe, szorstkie liźnięcie na policzku.

„Czarodziejka, czy też... pies?” pomyślał, ostrożnie unosząc głowę. Odetchnął z ulgą. Był to pies. Przywarował przy nim, a gdy Tomek spojrział na niego zaskomlął żałościwie. Teraz dopiero chłopiec obrzucił wzrokiem nieruchomo leżącą na ziemi postać.

„*To... jest prawdopodobnie zaginiona Sally. Dlaczego leży tak cicho i bez ruchu? Boże, ona na pewno już nie żyje!*”

Zimny pot wystąpił mu na czoło, ogarnął go lęk, lecz czas mijał, a nie działo się nic nadzwyczajnego. Ośmieliło go to trochę. Podniósł się i spojrział z bliska na dziewczynkę. Spostrzegł teraz, że pierś jej nieznacznie unosiła się w oddechu.

„*Sally, to jest na pewno Sally — szepnął. — Dlaczego śpi tutaj, zamiast pójść do domu?*”

Przyklęknął przy jej głowie. Pies przysiadł przy nim na dwóch łapach. Przekrzywiając łeb spoglądał na uspioną. Tomek dotknął jej ramienia zrazu ostrożnie, a potem potrząsnął już nim zdecydowanie i mocno. Dziewczynka otworzyła oczy. Westchnienie pełne bólu wyrwało się z jej piersi.

— Kto ty jesteś? — zapytała cichutko. Pies zaszczekał radośnie.

— Och, i Dingo jest tutaj! — dodała.

— To jest pies, który przyprowadził mnie do ciebie, a nie dingo — sprostował Tomek.

— Tak, ale on wabi się Dingo. To jest mój pies — odparła dziewczynka, usiłując usiąść. Opadła jednak z jękiem na ziemię.

— Więc ty jesteś Sally, ta zaginiona dziewczynka, której wszyscy szukają od wczoraj? — niedowierzająco rzekł Tomek.

— Jestem Sally Allan — odparła. — Czy naprawdę wszyscy mnie szukają? Bo ja myślałam, że zapomnieli o mnie.

— Oni szukają ciebie w skrobie, a tymczasem ty znajdujesz się w kępie zarośli w pobliżu strumienia — wyjaśnił Tomek. — Dlaczego nie wróciłaś do domu? Przecież stąd bardzo łatwo trafić do farmy.

— Nie mogę wydostać się z tego okropnego dołu. Noga, moja noga, spojrzysz tylko na nią! — odpowiedziała i łyzy ukazały się w jej dużych oczach. — Och, jak boli!

Tomek spojrział na jej lewą nogę. Była mocno spuchnięta w kostce ponad stopą.

— Może wąż cię ukąsił? — powiedział zaniepokojony.

— Nie, to nie wąż. Wpadłam niespodziewanie do tego dołu i wtedy coś strasznego zrobiło się z moją nogą. Nie mogę oprzeć się na niej, nie mogę w ogóle wyjść stąd. Gdyby nie ty, umarłabym tu chyba z bólu i... głodu.

Tomek poczerwieniał z przejęcia.

— Już nie masz się czego obawiać. Mam tu sztucer, tylko... upuściłem go staczając się w tę jamę.

— To ty już umiesz strzelać? — zaciekawiała się ocierając ręką łzy. Tomek podał jej własną chusteczkę.

— Zabiłem nawet tygrysa, który wydostał się z klatki na statku — odparł Tomek niby to obojętnie.

— Naprawdę?

— Mam jego fotografię. Zastrzeliłem również dużego kangura! Łowię z moim ojcem dzikie zwierzęta.

— Jesteś bardzo odważny — przyznała Sally. — Tatuś mój opowiadał mi o was. Postanowiłam pójść do waszego obozu. Wyobraź sobie, że do tej pory nie widziałam łowców zwierząt. Wymknęłam się z domu i przybiegłam na polanę. Gdy przechodziłam w pobliżu tych krzewów, ujrzałam małe wallabi<sup>58</sup>. Chciałam schwytać je dla was na pamiątkę. Wtedy właśnie wpadłam do tego okropnego dołu. Krzyczałam z bólu, płakałam, ale nikt nie przychodził na pomoc. Czekałam całą noc, a potem usnęłam i ty przyszedłeś. Nie zostawisz mnie na pewno tutaj samej?

— Nie obawiaj się o to — upewnił ją Tomek.

— Jak ci na imię? — rezolutnie zagadnęła panienka.

— Tomek. Jestem Tomasz Wilmowski.

— Bardzo ładne imię. Będę mówiła na ciebie Tommy.

— Dobrze. Teraz obwiążę twoją nogę.

Zdjął własną koszulę, pociął ją nożem na szerokie pasy i zaczął bandażować nogę Sally.

— Och, jak strasznie boli — wołała płacząc, lecz gdy Tomek skończył zakładanie opatrunku, poczuła się znacznie lepiej.

— Teraz musimy wydostać się jakoś z tego dołu zanim nastanie noc — orzekł Tomek.

---

<sup>58</sup> — Wallabi — nazwą tą obejmuje się szereg drobnych gatunków zwierząt zbliżonych do największych kangurów budową długich tylnych i króciutkich przednich kończyn.



Zaraz rozpoczął przygotowania do wyprowadzenia Sally z głębokiej jamy. Przede wszystkim wspiął się na górę i odnalazł sztucer. Potem rozrywał ziemię nożem i spychał ją w dół. Po godzinie ciężkiej pracy wyłobił kilka stopni, które powinny ułatwić Sally wydostanie się z jamy. Nie mogła powstać o własnych siłach, więc wziął ją na ręce. Zaczął wspinać się po zaimprovizowanych schodkach. Dingo poszczekiwał radośnie, idąc za nimi. Sally popłakiwała z bólu. Na szczęście dziewczynka była szczupła i tak lekka, że Tomek wyniósł ją na gładką łąkę, a potem wziął „na barana”. W ten sposób dobrnęli aż na brzeg strumienia.

— Daj mi trochę pić — prosiła Sally. — Zaraz nabiorę sił.

Tomek wyjął z kieszeni składany kubek. Obydwoje zaspokoiли pragnienie, po czym Sally zanurzyła spuchniętą nogę w strumyku.

— Naprawdę czuję się lepiej — rzekła.

— Pobiegnę do domu po pomoc — zaproponował Tomek.

— Och, tylko nie to! Zaraz będzie wieczór. Nie zostawiaj mnie samej — powiedziała prędko i chwyciła go kurczowo za rękę. — Zrozum, że nie mogę zostać sama. Czuję się tak jakoś dziwnie.

— Wobec tego poniosę cię na plecach.

— Naprawdę zrobisz to? — ucieszyła się Sally.

— Zrobię, muszę to nawet zrobić. Nie możemy przecież pozostawiać twoich rodziców tak długo w niepewności.

— Tommy, jesteś... bardzo dobry!

— No tak, takimi muszą być łowcy.

— Gdybym była chłopcem, również zostałabym łowcą, tak jak ty — odpowiedziała Sally.

— Wobec tego teraz siadaj na moje plecy i jakoś to będzie.

Z początku wszystko szło jak najlepiej. Wkrótce jednak Sally „zaczęła stawać się” coraz cięższa. Tomek musiał urządzać częstsze odpoczynki. Nastąpiła noc. Tomek wydobywał już z siebie resztki sił, gdy na szczęście ujrzeli ognisko płonące przy farmie.

— Spójrz! Na pewno zebrało się wielu sąsiadów! Wszyscy czuwają przy ognisku — zawołała Sally.

— Doszlibyśmy wcześniej do domu, tylko stałaś się dziwnie ciężka. Zapewne napiłaś się za dużo wody — zrzędził Tomek.

— Wcale nie piłam dużo wody — oburzyła się. — To noga puchnie coraz więcej i przez to staję się cięższa.

— Może masz słuszość. Nie pomyślałem o tym.

Dźwigając Sally, zbliżał się do ogniska, przy którym siedziała gromada mężczyzn. Dingo szedł obok dzieci strzygąc uszami.

— Tatusiu! Mamo! — krzyknęła Sally. Mężczyźni przy ognisku znieruchomieli, nasłuchiwali.

— Na litość boską, to głos Sally! — krzyknął Allan, zrywając się na równe nogi.

— Sally, najdroższa Sally, gdzie jesteś? — wołała matka.

W krąg światła rzucanego przez ognisko wszedł półnagi Tomek, uginając się pod ciężarem siedzącej mu na plecach dziewczynki. Wszyscy oniemieli na ten widok. Nie byli pewni, czy nie ulegają złudzeniu. Chłopiec opadł na kolana. Zsadził Sally na ziemię. Potem powiódł wzrokiem po zaskoczonych farmerach.

— Ja... znalazłem... Sally... — powiedział rwącym się z wyczerpania głosem.

Trudno byłoby opisać wszystko, co nastąpiło później. Mężczyźni na czele z panią Allan podbiegli do dzieci. Pani Allan omal nie udusiła Tomka tuląc go mocno do piersi, a pan Allan bardzo wzruszony uściskał serdecznie jego dłoń.

Tomek z trudem panował nad własnym podnieceniem. Ogromna radość i duma rozpieęły mu piersi. Młodzi i starzy farmerzy podchodzili doń kolejno i z powagą winszowali sukcesu. Dziękowali, jakby uratował ich własne dziecko. Na samym końcu zbliżyli się przyjaciele. Smuga pierwszy wyciągnął prawicę mówiąc:

— Niewielu młodych ludzi w twoim wieku może pochwalić się zabiciem tygrysa; Wszakże dzisiaj dokonałeś znacznie większego czynu. Dla uczczenia tego dnia zapraszam cię na następną wyprawę do Afryki.

Drugim z kolei był Bentley. Trzymając w mocnym uścisku małą dłoń Tomka, powiedział:

— Wśród krajowców australijskich istnieje zwyczaj urządzania uroczystości, w czasie których młodzi chłopcy uznawani są za dorosłych. Otóż podczas wtajemniczenia w obrzędy religijne i sprawy plemienia, każdemu wstępującemu w grono starszych wybija się jeden z przednich zębów na znak, że stał się już mężczyzną. My nie uznajemy podobnych

zwyczajów. Uważamy, że przeradzanie się chłopca w dżentelmena zostaje udowodnione jego czynami. Dzisiaj pokazałeś, że jesteś prawdziwym mężczyzną.

Bosman Nowicki nie wygłosił okolicznościowego przemówienia. Uścisnął Tomka z taką siłą, że aż zatrzeszczały mu kości i mruknął: „*Warszawiaka poznasz nawet w Australii.*” W końcu ojciec przytulił syna do swej piersi mówiąc:

— Nie mogę teraz przypominać ci o niedotrzymanym słowie, ale nie pozostawiaj mnie więcej w tak wielkiej niepewności i... obawie. Czy wiesz, co działo się ze mną, gdy nie zastaliśmy ciebie ani tutaj, ani w obozie?

— Naprawdę nie chciałem zrobić głupstwa. To tak jakoś samo wyszło, a potem — znalazłem Sally — cicho usprawiedliwiał się Tomek.

— Nie ulega wątpliwości, że zachowałeś się po męsku — przyznał ojciec. — Musisz opowiedzieć nam jak to się wszystko stało.

— Czy nie mógłbym najpierw dostać czegoś do zjedzenia? Jestem bardzo głodny — poprosił Tomek.

Podczas gdy łowcy wraz z farmerami myli, ubierali i karmili Tomka, Allanowie troskliwie zajęli się małą Sally. Okazało się, że miała zwichniętą nogę. Praktyczni osadnicy potrafili radzić sobie w podobnych wypadkach. Wkrótce dziewczynka leżała już w swoim pokoiku z usztywnioną nogą. Zaledwie wypła pożywny bulion, natychmiast zasnęła.

Allanowie przyłączyli się do swych uczynnych gości, którzy w skupieniu słuchali opowiadania Tomka. Należy przyznać, że nie zataił on zasług Dingo w odnalezieniu Sally. Wychwalał jego niezwykłą mądrość, a tymczasem pies nie odstępował go ani na chwilę. Położył się przy nim na ziemi i wywiesiwszy różowy ozór, spoglądał na niego.

— Zrobiliśmy głupstwo nie zabierając Dingo na poszukiwanie Sally — odezwał się Allan, gdy Tomek zakończył opowiadanie. — Kupiłem go dla Sally zaledwie tydzień temu. Przypuszczałem, że musi minąć pewien czas zanim przyzwyczai się do nas. Dlatego też trzymałem go na uwięzi.

— Jakiej rasy jest ten pies? — zapytał Smuga. — Wydaje mi się, że wyglądem przypomina australijskiego dzikiego psa.

— Nie myli się pan — odparł Allan. — Pochodzi on ze skrzyżowania psa domowego z czystej krwi dingo.

Wkrótce farmerzy zaczęli żegnać Allanów. Na każdego z nich czekały w domach zaniepokojone rodziny i pilne prace. Łowcy również musieli powrócić do obozu. Przed odjazdem obiecali Allanom, że odwiedzą ich następnego dnia.

## NIEMY PRZYJACIEL

Całodzienne błądzenie po skrobie oraz niezwykle przeżycia zmęczyły Tomka tak bardzo, że po przybyciu do obozu, zaledwie przyłożył głowę do poduszki, zasnął natychmiast twardym snem. Następnego dnia, dopiero około południa, obudziło go lekkie łaskotanie po twarzy. Nie otwierając oczu machnął ręką, aby opędzić się, jak przypuszczał, od jakiegoś natrętnego owada. Po chwili znów poczuł łaskotanie. Naciągnął koc na głowę i usiłował spać dalej. Mimo to nie zaznał spokoju. Oto jakaś dziwna istota wtargnęła pod przykrycie. Tego było już Tomkowi za wiele. Rozgniewany, energicznie odrzucił koc, siadając jednocześnie na posłaniu.

— A skąd ty się tutaj wzięłeś? — zawołał zdumiony, ujrawszy, kto był sprawcą wytrącenia go z błogiego snu.

Dingo, pupil Sally, przywarował obok niego. Zawzięcie machał puszystym ogonem, a w psich mądrych ślepiach czaiły się błyski wesołości, jakby wiedział, że splątał chłopcu figla.

— Skąd się tu wzięłeś? — Tomek ponowił pytanie.

Dingo dźwignął się. Otarł łeb o piersi chłopca, liznął go szorstkim jęzorem po brodzie, po czym pobiegł do otworu w namiocie. Teraz odwrócił się i spoglądał wyczekująco.

— Aha, chcesz zapewne, abym wyszedł z tobą? — domyślił się Tomek. Pies odpowiedział szczekaniem. Głos jego brzmiał inaczej niż zwykłych psów. Chrapliwe szczęknięcia przemieniały się w cichy, urywany skowyt.

— Co tu się dzieje, Tomku — zapytał Wilmowski, zaglądając do namiotu.

— Spójrz tatusiu! Dingo przybiegł za nami z farmy do obozu. Łaskotał mnie po twarzy. Jakie to miłe psisko!

— Chodź do mnie, Dingo! — zachęcał Wilmowski, wyciągając rękę. Pies najwidoczniej nie miał ochoty do zawierania dalszych znajomości. Położył się na ziemi, zjeżył na karku sierść i w milczeniu szczyrzył kły.

— Ho, ho! Widzę, że on tylko ciebie uznał za swego przyjaciela — zauważył Wilmowski.

— Dingo, tak nie można, to przecież jest mój ojciec — skarcił Tomek psa.

Podbiegł do ojca i zarzucił mu ręce na szyję. Dingo ciekawie przyglądał się tej scenie. Tomek przywołał go, a kiedy podszedł do nich, powiedział:

— Dingo! Taki mądry piesek jak ty na pewno przywita się z moim ojcem!

Pies machnął ogonem. Otarł się o nogi Wilmowskiego, spoglądając przyjaźnie.

— Widzisz teraz sam, ojcze, jaki on jest rozsądny — puszył się Tomek. — Bez jego pomocy na pewno nie znalazłbym Sally. Może nawet sam zaginąłbym w skrobie?

— Wygląda na roztropne stworzenie — przyznał ojciec.

— Bardzo chciałbym mieć takiego psa. Mógłbym wszędzie z nim chodzić i nie zabłądziłbym nawet w nieznannej okolicy.

— Jeśli tylko nadarzy się ku temu okazja, kupię ci psa — pocieszył syna Wilmowski. — Ubierz się teraz szybko, ponieważ wypada złożyć wizytę państwu Allan. Musimy zapytać o zdrowie małej Sally. Przy sposobności odprowadzimy Dingo.

Wkrótce gromadka łowców dosiadła wierzchowców, Dingo pobiegł przy pony, na którym jechał Tomek. Allanowie przywitali gości z wielką radością. Zaraz zaprowadzili ich do pokoiku Sally. Dziewczynka czuła się znacznie lepiej. Na widok łowców klasnęła w dłonie i zawołała:

— Och, jak to dobrze, że przyjechaliście do nas! Obawiałam się, że Tommy po powrocie do obozu zaraz o mnie zapomni. On na pewno woli zabijać tygrysy i kangury, niż rozmawiać ze mną.

Tomek zarumienił się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Ojciec wybawił go z kłopotu zwracając się do Sally:

— Widzisz sama teraz, że obawy twoje były zupełnie niepotrzebne. Tomek odłożył wszystkie swe zajęcia, aby upewnić się, czy wracasz do zdrowia.

— Tommy! Naprawdę chciałeś wiedzieć, czy już się dobrze czuję? — nie dowierzała Sally.

Tomek spojrzał niepewnie na ojca, po czym odparł:

— Hm, oczywiście! Nie mogło być inaczej, skoro tak tatuś mówi.

— Czy nie przyniosłeś przypadkiem fotografii zastrzelonego przez ciebie tygrysa? — ciekawiła się dziewczynka.

Gdy Sally zapytała o jego ulubioną fotografię, Tomek natychmiast poczuł się o wiele pewniej. Teraz przynajmniej miał o czym mówić. Odparł też szybko:

— Tak, mam ją właśnie przy sobie. Przyniosłem również dla ciebie moje zdjęcie na słoniu cejlońskim, którego przywieźliśmy z Colombo do ogrodu zoologicznego w Melbourne.

— Tommy, nie mogę wprost uwierzyć, że chcesz ofiarować mi tak śliczną pamiątkę?!

— Taki mam zamiar, jeżeli ci oczywiście na tym zależy — odpowiedział Tomek niby to obojętnym głosem, lecz w rzeczywistości czuł się bardzo dumny, że Sally poprosiła go o fotografię, którą uważał za nadzwyczaj interesującą.

Nie tylko mała Sally była zachwycona darem Tomka. Matka jej bowiem przez cały czas spoglądała wzruszona na dzielnego chłopca, teraz zaś wtrąciła się do rozmowy:

— Jak się cieszę, że będziemy mieli twoją fotografię, Tommy. Naprawdę sprawiłeś nam wielką przyjemność. Bardzo ci dziękujemy! Sally, kochanie! Ty również powinnaś ofiarować coś Tommy'emu dla upamiętnienia tak cennej dla nas znajomości. Przecież Tommy oddał nam wielką przysługę!

— Masz rację, mamusiu! Muszę dać coś Tommy'emu na pamiątkę. Nie wiem tylko, co — zafrasowała się Sally.

— Najlepiej zapytaj, co sprawiłoby Tommy'emu największą przyjemność — doradziła matka.

— Powiedz zaraz, co chcesz mieć ode mnie na pamiątkę? — zwróciła się Sally do Tomka. — Niestety nie mam tak pięknej fotografii jak ty!

Tomek coraz bardziej zakłopotany milczał uparcie. W ogóle nie był pewny, czy wypada prosić o jakąkolwiek pamiątkę. Wprawdzie chciał zaimponować dziewczynce ofiarowując jej fotografię, na której tak wspaniale wyglądał na prawdziwym słoniu, lecz nie przewidział, że taki w rzeczywistości drobiazg sprawi mu tyle kłopotu. Cóż miał teraz odpowiedzieć? Zafrasowany spojrzał prosząco na ojca, lecz ten, rozweselony zmieszaniem zawsze rezolutnego syna, wcale nie miał zamiaru przyjść mu z pomocą. Wszyscy tłumili śmiech patrząc na niego.

„*A to wpadłem straszliwie — pomyślał Tomek. — Już chyba nikomu nie podaruję w przyszłości swojej fotografii.*”

Stał zaczerwieniony, nic nie mówiąc. Natomiast mała Sally nie czuła onieśmienia. Zupełnie widocznie, na równi ze starszymi, bawiła się zmieszaniem chłopca, a poza tym naprawdę chciała ofiarować mu jakąś pamiątkę. Przecież to był łowca dzikich zwierząt, który sam zabił tygrysa i kangura! Żadna z jej przyjaciółek nie mogła pochwalić się taką znajomością. Gdyby tylko zechciał pisywać do niej listy...

Podniecona nadzieją usiadła na łóżku i odezwała się stanowczo: — Tommy, musisz natychmiast powiedzieć, co chciałbyś otrzymać ode mnie!

Tomek westchnął cichutko. Z niezmiernym żalem pomyślał, dlaczego to w Australii nie ma na przykład trzęsienia ziemi? Gdyby w tej chwili dom zadrżał w posadach, Sally i wszyscy inni na pewno zapomnieliby o upominku. Dom jednak nie miał zamiaru zapadać się w ziemię, natomiast uparta Sally wpatrywała się w niego błyszczącymi z podniecenia oczyma.

Naraz coś wilgotnego dotknęło dłoni Tomka. Machnął niecierpliwie ręką, lecz w tej chwili doznał jakby nagłego olśnienia. Spojrzał, by się upewnić. Tak, to Dingo stał przy nim i patrząc na niego machał ogonem.

— Sally, czy ty naprawdę chcesz mi dać jakąś pamiątkę? — zapytał Tomek, zapominając o przyjaciółkach i państwu Allan.

— Oczywiście Tommy! Czekam przecież na twoją odpowiedź, co mam ci ofiarować — potwierdziła Sally.

— I... naprawdę nie będziesz później żałowała? — upewnił się jeszcze. Sally roześmiała się donośnie, klaszcząc z uciechy w dłonie.

— Och, Tommy, Tommy! Jesteś zupełnie taki sam, jak mój kochany tatuś, który zawsze myśli, że mamusia nie wie, czego on chce.

Pan Allan chrząknął zakłopotany słowami córki, a reszta towarzystwa wybuchnęła głośnym śmiechem. Tomek, zbity już zupełnie z tropu, przezornie zaczął wycofywać się ku drzwiom, lecz Sally zawołała:

— Tommy! Nie musisz już nic mówić! Naprawdę nie będę nigdy żałowała i... bierz go sobie na pamiątkę ode mnie. ON JEST TWÓJ!

— Kto niby jest mój? — wybąkał zaskoczony Tomek.

— Dingo! Przecież to o niego właśnie miałeś zamiar mnie prosić — odrzekła Sally tłumiąc śmiech.



— To prawda, chciałem, ale skąd ty o tym mogłaś wiedzieć? — zapytał ogromnie uradowany takim obrotem sprawy.

— Tylko chłopcy są tak niedomyślni. Każda dziewczynka patrząc na ciebie wiedziałaby od razu, o czym myślisz — triumfowała Sally.

— Bardzo ci dziękuję, Sally — powiedział Tomek z poważną miną, ponieważ wcale nie był zachwycony jej opinią o chłopcach. — Dziewczynkom zawsze wydaje się, że wszystko lepiej wiedzą. Irka jest taka sama, jak ty.

— Kto to jest ta Irka? — zaraz zagadnęła Sally.

— To moja cioteczna siostra w Warszawie — wyjaśnił Tomek.

— Chodź tu bliżej do mnie. Musisz opowiedzieć mi o niej wszystko — poprosiła Sally. — Ciekawa jestem również w jaki sposób zabiłeś tego tygrysa.

Tomek natychmiast odzyskał humor. Teraz okaże się, kto naprawdę jest ważniejszy. Trzymając Dingo za obrozę, zbliżył się do Sally. Sznurkiem wydobytym z kieszeni przywiązał psa do nogi krzesła, na którym usiadł obok łóżka dziewczynki.

— O czym mam najpierw opowiedzieć: O Irce, czy też o tygrysie? — zwrócił się do Sally.

Sally naprawdę była roztropną dziewczynką. W oczach Tomka odczytywała z łatwością jego najskrytsze myśli, odpowiedziała więc bez chwili wahania:

— Przede wszystkim chciałabym usłyszeć o tygrysie.

Tomek chrząknął i zaczął mówić:

— W porcie Colombo na Cejlonie załadowaliśmy na statek...

— Zostawmy ich teraz samych — zaproponowała pani Allan. — Na pewno nie będą się nudzili. Proszę panów na obiad. Dla Tommy'ego i Sally przyniosę jedzenie tutaj, do pokoju.

— Kobiety zawsze wiedzą, co myślą mężczyźni — dodał pan Allan, naśladując głos Sally. — Domyśliły się więc, że jesteśmy głodni. Prosimy panów do stołu.

Tomek z najdrobniejszymi szczegółami opowiadał Sally przygodę z tygrysem, później szeroko mówił o Warszawie, o Irce i braciach ciotecznych, a skończył na śmiesznych kawałach, jakie płatał w szkole razem z kolegami. Dziewczynka słuchała z wielkim zaciekawieniem, wypytywała o szczegóły.

— W końcu oświadczyła, że zaraz po wakacjach podrzuci chrząszcza nie lubianej i zarozumiałej koleżance.

— Wkrótce tatuś odwiezie mnie do Bathurst do prywatnej szkoły pani Wilson — mówiła Sally. — Wyobrażam sobie, jak będą mi zazdrościły koleżanki, gdy pokażę im twoją fotografię na słoniu. Żadna z nich nie widziała jeszcze prawdziwego łowcy dzikich zwierząt.

— Jeżeli naprawdę lubisz takie fotografie, to poproszę ojca przy okazji o inne zdjęcia ze zwierzętami i przyślę ci je w liście — zaproponował Tomek, któremu pochlebiało uznanie Sally.

— Czy możesz mi przyrzec, Tommy, że będziesz pisał do mnie listy? — dopytywała się uradowana propozycją.

— Muszę nawet pisywać do ciebie, bo na pewno będziesz ciekawa, co się dzieje z Dingo.

— Och tak, tak! Będę bardzo ciekawa! Wiesz, Tommy, naprawdę cieszę się, że podarowałam go tobie. Muszę przyznać się, że to ja namówiłam dzisiaj Dingo, aby poszedł do ciebie do obozu. Obawiałam się, że zapomnisz przyjechać do nas. A chciałam ci podziękować!

— Niemożliwe, żeby pies zrozumiał twoje „*namawianie*”. Dziwne to, bo on naprawdę przyszedł do mnie.

— Nie mów tak o Dingo — oburzyła się; — On wszystko rozumie, co się do niego mówi. Powiem mu zaraz, że ma być twoim wiernym przyjacielem.

Rozpoczęła długą przemowę do psa; Tomek tymczasem rozmyślał o dziwnym zbiegu okoliczności. Wróżbita z Port Saldu powiedział mu przecież, że znajdzie przyjaciela, który nigdy nie przemówi słowa. Czyżby miał na myśli właśnie Dingo? Zaraz też podzielił się swymi przypuszczeniami z Sally. Dziewczynka wysłuchała go uważnie, a gdy skończył, powiedziała:

— Pani Wilson często stawia sobie kabałę. Ona mówiła nam, że wróżby niekiedy spełniają się, jeżeli człowiek im trochę pomaga.

— Nie rozumiem, jak można pomagać w spełnianiu się wróżb? — powątpiewał Tomek.

— Czyni się to w bardzo prosty sposób. Mianowicie należy tak postępować, żeby się spełniły — wyjaśniła Sally. — Jeśli ci ktoś wywróży, że dostaniesz w szkole dwóję, to po prostu wystarczy nie nauczyć się lekcji i już wróżba się spełnia.

— To rzeczywiście bardzo prosty sposób — przyznał ze śmiechem Tomek.

— Szkoda tylko, że nie będziesz mógł go wypróbować. Taki łowca nie musi chyba chodzić do szkoły?

— Nie martw się, Sally, wypróbuję go na pewno — uspokoił ją. — Niestety, nawet i łowcy muszą się uczyć. Po zakończeniu łowów w Australii ojciec odwiezie mnie do szkoły w Anglii. Tylko wakacje będę mógł poświęcać na wyprawy.

— Myślałam, że masz już wszystkie kłopoty szkolne poza sobą...

— Właśnie łowca powinien mieć dużo wiadomości i to z wielu dziedzin. Nie można przecież wędrować po różnych krajach nie znając geografii, ani chwycić zwierząt nie umiejąc odróżnić słonia od małpy.

— To prawda, śmieszna jestem, że tak niekiedy rozumiem — roześmiała się Sally. — Dokąd wybierasz się w czasie następnych wakacji?

— Pan Smuga zaprosił mnie na wyprawę do Afryki. Nie wiem tylko, czy będzie ją można zorganizować już w przyszłym roku.

— A zabierzesz ze sobą Dingo?

— Tak, przecież nie mógłbym rozstać się z przyjacielem.

— To doskonale! Wobec tego będziesz musiał pisywać do mnie z Afryki.

— Na pewno będę pisał — przyrzekł Tomek.

W tej chwili do pokoju wszedł pan Allan, niosąc tacę zastawioną naczyńiami z dymiącymi potrawami.

— Jak to dobrze, kochany tatusiu, że pomyśleliście o nas — powitała go Sally okrzykiem radości. — Tommy na pewno jest głodny, a ja mogłabym zjeść całego kangura! Co przyniosłeś dobrego?

— Samie przysmaki, droga córeczko: rosół z mięsa młodych papużek, baraninę w sosie z ziemniakami, pudding<sup>59</sup> i kompot z brzoskwiń — odparł Allan, stawiając tacę na stoliku przy łóżku.

— Ho, ho, to prawdziwa uczta! — zawołał Tomek, ochoczo przysuwając się do stołu. — Odwykłem już w obozie od domowych obiadów. Jestem ciekaw, jak też smakuje rosół z papug? Nie wiedziałem, że te ptaki są jadalne.

---

<sup>59</sup> — Pudding (angielski, fonetycznie puding), budyń — deser robiony z maki, mleka, jaj, cukru itd.

— Mięso papug raczej rzadko się je, natomiast rosół z niego jest doskonały i pożywny — odparł Allan. — Osobiście zrezygnowałbym ze smakowitej potrawy, byle tylko wstrętne ptaszyska wyniosły się stąd raz na zawsze!

— Jak też pan może nazywać „*wstrętnymi ptaszyskami*” te śliczne i mądre papugi? — oburzył się Tomek, przypominając sobie barwną, rozmawiającą kakadu.

— Pomieszkaj tylko tak jak my, w ich pobliżu, a przestaniesz się nimi zachwycać. Żaden plon nie ostoi się w polu przed ich żarłocznością. Podobnie jak małpy, więcej zawsze zniszczą, niż zjedzą. Ponadto niektóre gatunki, na przykład kakadu, mają jakieś przedziwne zamięłowanie do niszczenia wszelkich przedmiotów. Czy wiesz, że przegryzają one grube deski, cienką blachę, tłuką szkło i próbują nawet drażnić dziury w murze?

— Nigdy bym tego nie przypuszczał — zdumiał się Tomek. — No, proszę! A ja miałem zamiar schwytać sobie gadającą kakadu!

— Muszę przyznać, że w niewoli kakadu są tak łagodne, jak żadne inne papugi. Oswajają się łatwo i szybko przywiązują się do swych opiekunów. Są też bardzo pojętne. Z dużą łatwością uczą się mówić, a nawet wykonywać pewne sztuczki, ale spróbuj tylko puścić kakadu swobodnie w mieszkaniu, a zobaczysz, jak cię urządzi!

— To zapewne dlatego nie spostrzegłem wokół farmy uprawnych pól — domyślił się Tomek. — Skąd wobec tego macie państwo jarzyny?

— Hodowcom owiec nie opłaca się tutaj uprawa jarzyn — odpowiedział Allan. — Łatwiej jest sprowadzać jarzyny z odległych okolic, niż utrzymywać drogiego robotnika.

— Przypominam sobie teraz, że pan Bentley wspomniał nam już o tym. Jeśli papugi są tak żarłoczne, jak pan mówi, to należy dziękować naturze, iż żywią się wyłącznie owocami i roślinami. Cóż bowiem stałoby się w innym przypadku z pana owcami?

— Rozumowanie twoje jest tylko w części słuszne — powiedział Allan. — Wprawdzie pożywienie papug składa się przede wszystkim z nasion oraz owoców, lecz niektóre gatunki, właściwe tylko Nowej Zelandii, to jest tak zwana przez Maorysów<sup>60</sup> zielono-brunatna kaha<sup>61</sup> i oliwkowozielona kea<sup>62</sup>, są

<sup>60</sup> — Maorysi — Polinezyjczycy — Maori są pierwotnymi mieszkańcami Nowej Zelandii, składającej się z dwóch wielkich wysp.

wszystkożerne. Uderzają nawet na duże zwierzęta, a w potrzebie jedzą także padlinę. Szczególnie złą sławą cieszy się kea. Zauważono mianowicie, że owce na pastwiskach górskich, w nieznanych okolicznościach, ktoś ciężko ranił na grzbiecie. Z powodu ran, wielkości ludzkiej dłoni, nierzadko następowała śmierć zwierzęcia. Wyobraź sobie, jak wielkie było zdziwienie hodowców, gdy bliższe obserwacje przeprowadzone przez pastuchów wykazały, iż rany te zadawały owcom papugi kea. Jest to dowodem łatwości przystosowania się papug do nowych warunków życia. Kea była dawniej roślinożerna i na ssaki nigdy nie napadała, choćby dlatego, że tych zwierząt w Nowej Zelandii nie było. Po sprowadzeniu owiec na wyspy kea stała się typowym ptakiem drapieżnym, jedzącym mięso.

Allan byłby się rozgadał jeszcze bardziej, lecz wywołała go żona:

— Mój drogi, pan bosman Nowicki wzniosł toast za zdrowie gospodarzy, a ty rozprawiasz tutaj o papugach — powiedziała mrugając nieznacznie okiem do córki, która także знаła niechęć ojca do „pstrych, ptasich mieszkańców Australii.

Sally zachichotała wesoło i również mrugając okiem do matki, zawołała:

— Tommy nie wie jeszcze, że kangury i papugi straszą naszego tatusia nawet w nocy podczas snu! Idź już, idź, tatusiu, do naszych gości. Opowiem Tommy’emu, jak to krajowcy zręcznie polują na papugi za pomocą bumerangów.

Allan z żoną odeszli do jadalni. Dzieci znów rozpoczęły ciekawą dla nich rozmowę. Czas szybko schodził. Dopiero późnym wieczorem łowcy powrócili do swego obozu.

W ciągu następnych dwóch dni Tomek jeszcze dwukrotnie odwiedził Sally, która tak go polubiła, że gdy nadeszła w końcu chwila pożegnania, rozpląkała się serdecznie. Oczywiście Tomek wzruszył się również, ale będąc dzielnym chłopcem, potrafił zapanować nad sobą. Pocieszył nawet Sally, solennie obiecał bowiem pisać do niej listy z podróży.

---

<sup>61</sup> — Kaha — (Nestor meridionalls) papuga nadrzewna.

<sup>62</sup> — Kea — (Nestor notabilis) papuga naziemna.



## POSZUKIWACZE ZŁOTA I BUSZRENDŻERZY<sup>63</sup>

Po zakończeniu łowów na szare kangury Bentley powiódł ekspedycję w kierunku południowo–wschodnim ku łańcuchowi gór, u podnóża których rozciągał się szerokim pasem australijski busz. Niebawem łowcy zagłębili się w gąszcz zieleni. Był to las nie spotykany w innych częściach świata. Z przyziemnych krzewów wysoko w niebo wystrzelały słupowate eukaliptusy<sup>64</sup>, które podobnie jak amerykańskie sekwoje w Kalifornii, osiągały tutaj olbrzymie rozmiary<sup>65</sup>. Do ich szarych, surowych pni tuliły się kilkumetrowej wysokości drzewa paproci, smukłe araukarie i palmy, mimozy o kwieciu wydającym drażniącą woń, dzikie oliwki oraz bukszpany. Gdzeniegdzie widać było wspaniałe cedry i sosny, a w ich sąsiedztwie drzewa trawowe, najrozmaitsze odmiany akacji i kazuaryny o długich splotach gałązek. Uciążliwa dla karawany wędrówka przez busz przeciągała się z dnia na dzień.

Tomek poczuł się jakoś nieswojo w tym dziwnym dla Europejczyka lesie. Tak jak pierwsi odkrywcy spoglądał zdumiony na potężne eukaliptusy prawie wcale nie dające cienia. Teraz zrozumiał, dlaczego tak się działo. W pełnym blasku gorących promieni słonecznych liście eukaliptusów odwracały swe blaszki brzegami do słońca, chroniąc się w ten sposób przed nadmiernym parowaniem. Drzewa te nie zrzucały na zimę swych liści, natomiast corocznie odpadała z nich martwa kora, która zwisała z pni długimi, jasnymi płatami; poruszana podmuchami wiatru wydawała niepokojący szelest. Tomek poweselał nieco, gdy wśród nie znanych mu roślin uśmiechnęła się do niego czerwienią zwykłą leśna poziomka.

W końcu łowcy zboczyli w płytki parów, ukosem wiodący do zalesionych stoków górskich. Po kilkugodzinnej jeździe znaleźli się na skraju dużej polany. Z bujnej trawy wychylały się różnokolorowe kwiaty, a wśród nich królował waratak, narodowy kwiat Nowej Południowej Walii. Polana owa

---

<sup>63</sup> — Buszrendżerzy — australijscy bandyci napadający podróżnych na gościńcach.

<sup>64</sup> — Eukaliptus (rozdręb) — jednaj najbardziej charakterystycznych dla Australii roślin, którą znajduje się tam w około 360 odmianach.

<sup>65</sup> — Sekwoja amerykańska osiąga wysokość 150 m.

wydawała się idealnym miejscem na rozłożenie obozowiska. Z jednej strony otaczał ją gęsty busz, z drugiej piętrzyły się góry o stokach porośniętych niebotycznymi eukaliptusami i drzewami gumowymi. Mały strumyk wijący się wśród zieleni zapewniał dostatek wody. Bentley musiał zapewne już znać tę okolicę, gdyż zaledwie ujrzał uroczą polanę, zaraz zatrzymał ekspedycję i oznajmił:

— W tych stronach będziemy mogli znaleźć bardzo ciekawe okazy fauny australijskiej. Tutaj rozbijemy obóz.

Przez najbliższe dni łowcy starannie przygotowali się do polowania na małego zwierza. Podczas gdy inni budowali odpowiednie klatki i sporządzali sprzęt łowiecki, Tony rozpoznawał w najbliższej okolicy obozu tropy różnych czworonogów. Australijczyk przedzierzgnął się w prawdziwe dziecko natury: zrzucił europejskie ubranie, które, jak twierdził, przeszkadzało mu w swobodnych ruchach i przez całe dni myszkował po buszu; czytał w nim jak w otwartej księdze. Tak jak wszyscy australijscy krajowcy Tony potrafił doskonale radzić sobie w surowych warunkach tamtejszej przyrody. W pierwszym rzędzie wykazał w pełni swe niezwykle zdolności łowieckie. Z łatwością odnajdywał niewidoczne dla innych tropy zwierząt, wskazywał ścieżki, którymi zazwyczaj chodziły. Przed jego bystrym wzrokiem nie mogły ukryć się nawet ślady pozostawione na korze drzewnej przez maleńką pałankę australijską<sup>66</sup>. Ponadto Tony'ego cechowała niezwykła wprost cierpliwość, dzięki której nie zniechęcał się żadnymi przeszkodami. Swą zręcznością zaimponował wszystkim uczestnikom wyprawy. Skakał jak kangur bądź pęłzał jak wąż. Za pomocą sznura oraz siekierki mógł piąć się na pnie wysokich eukaliptusów, a palcami nóg z największą łatwością podnosił z ziemi wszelkie przedmioty.

Tony doskonale znał zwyczaje różnych zwierząt. Wiedział również, w jaki sposób należy urządzać na nie pułapki. Chętnie wtajemniczał towarzyszy w arkana łowieckie.

Wilmowski przysłuchiwał się uważnie jego relacjom, potem notował wszystko, co dotyczyło zwierząt, które miały być zabrane do Europy. Tomek zaciekawiał się, w jakim celu ojciec zbiera te wiadomości. Poprosił o wyjaśnienie. Wtedy dowiedział się, że poznanie zwyczajów oraz sposobu

---

<sup>66</sup> — Pałanka australijska — zwierzątko futerkowe (*Pseudochirus peregrinus*) zamieszkuje południowo-wschodnią Australię.



życia różnych zwierząt konieczne jest dla stworzenia im w ogrodzie zoologicznym warunków najbardziej zbliżonych do naturalnych. Od tej pory wędrował za Tonym jak cień. Chodził za nim na długie wycieczki rozpoznawcze, uczył się trudnej sztuki tropienia zwierząt i przy każdej okazji zasypywał go pytaniami. Tony polubił polskich łowców, ponieważ traktowali oni australijskich krajowców na równi z białymi ludźmi. Szczególną sympatią otaczał Tomka, od chwili gdy ten zdołał przełamać nieufność plemienia „człowieka–kangura”. Nie skąpił mu również wszelkich wyjaśnień, dzięki czemu chłopiec wiele się nauczył. Po kilkunastu wypadach, w czasie których wynajdywali legowiska zwierząt, Tomek umiał już obrać właściwy kierunek orientując się po układzie liści drzew i rozróżniał nawet ślady niektórych zwierząt. Z każdym dniem coraz bardziej przywykał do buszu, śmiejąc się z swych uprzednich obaw przed zabłądzeniem. W miarę możliwości naśladował we wszystkim Tony’ego, sprawiając tym krajowcowi wiele zadowolenia. Żywili się też obydwaj coraz bardziej.

Łowy na małego zwierza nie wymagały jednorazowego udziału większej liczby myśliwych. Za radą Bentleya utworzono cztery grupy łowieckie, dla których Tony układał oddzielne plany polowań. Poszczególne wyprawy wyruszały na łowy tak w dzień jak i w nocy, ponieważ niektóre zwierzęta wychodziły na żer dopiero po zapadnięciu zmroku. Dzięki starannym, drobiazgowym przygotowaniom niemal każdy wypad kończył się pomyślnie. Zbudowane zawczasu klatki zapełniały się stopniowo różnymi okazami fauny australijskiej.

Były to dla Tomka wymarzone łowy. Nie spotykane na innych kontynentach czworonogi przeważnie nie stanowiły dla człowieka większego niebezpieczeństwa. Tomek mógł polować na nie nawet w pojedynkę, co sprawiało mu największą przyjemność.

Wilmowski z zadowoleniem obserwował, jak Tomek mężnieje z dnia na dzień, nabiera doświadczenia i rozwagi. Niemal nie ograniczał teraz jego swobody. Pozwalał mu już na samodzielne decydowanie, co do udziału w łowach, a trzeba przyznać, że Tomek prawie zawsze wybierał najbardziej interesujące wyprawy.

Pewnego dnia po południu Tomek obserwował zamknięte w klatkach trzy kolczatki<sup>67</sup>, które zostały schwytane ostatniej nocy. Te zagadkowe, pierwotne ssaki tworzyły razem z dziobakami<sup>68</sup> rząd stekowców.

Kolczatki, typowe naziemne stworzonka<sup>69</sup>, szeroko rozpowszechniły się w Australii, Nowej Gwinei<sup>70</sup> i Tasmanii, gdzie z wyjątkiem obszarów pustynnych, wszędzie można było je spotkać. Wówczas jednak były mało znane, gdyż nie udawało się przeprowadzić obserwacji trybu ich życia.

W przeciwieństwie do kolczatek dziobaki przystosowane do życia podwodnego i naziemnego były znacznie mniej liczne i żyły jedynie na błotnistych brzegach spokojnych i czystych rzek w południowo-wschodniej Australii i Tasmanii. Schwytane do niewoli ginęły po kilkunastu dniach.

Już sam wygląd kolczatek budził ciekawość Tomka. Były one nadzwyczaj niezdarne. Miały stosunkowo długi, wąski, rurkowaty dziób, utworzony ze zrogowaciałej skóry. Pysk oraz okolice uszu pokrywała gładka szczecina, podczas gdy cały grzbiet był porośnięty sztywnymi i mocnymi kolcami, dochodzącymi do sześciu centymetrów długości. Kolce u nasady były koloru bladożółtego, pośrodku pomarańczowe, a na końcach czarne. Słupowate nogi oraz cały brzuch i podbrzusze pokrywało ciemnobrunatne futerko, gęsto usiane gładką szczeciną. Długość zwierzątka wynosiła około czterdziestu centymetrów wraz z centymetrowym ogonkiem.

---

<sup>67</sup> — Kolczatka australijska (*Echidna aculeata*).

<sup>68</sup> — Dziobak (*Ornithorhynchus anatinus*), zwany przez kolonistów australijskich „*kaczokretem*”. jego niezwykła budowa długo budziła spory zoologów europejskich, w jakie miejsce świata zwierzęcego należy włączyć stekowce. Nie można było prześledzić trybu życia dziobaków, ponieważ w niewoli ginęły już po kilkunastu dniach. Dopiero w 1798 r. nie znany z nazwiska kolonista z Nowej Południowej Walii przesłał do Brytyjskiego Muzeum w Londynie całą skórę dziobaka z sierścią, ogonem i z najprawdziwszym dziobem kaczki. W cztery lata później nadesłano do Londynu nieżywe, całe okazy dziobaków, na których dokonał sekcji Everard Home. W ten sposób uwierzono wreszcie, że takie zwierzęta istniały naprawdę. W 1884 r. Wilhelm Haacke stwierdził, że kolczatka należąca do ssaków składa jaja, a niemal jednocześnie Australijczyk W. H. Caldwell stwierdził to samo odnośnie do dziobaków. Tak więc spór został ostatecznie rozstrzygnięty. Mimo że życie dziobaka ściśle uzależnione jest od wody, spędza on w niej w ciągu doby tylko około dwóch godzin, o świcie i zmierzchu, by zaopatrzyć się w pożywienie w błotnistym dnie rzeki. Do tej pory wysłano z Nowej Południowej Walii zaledwie siedem żywych okazów, i to wszystkie do Bronx ZOO w Nowym Jorku. Ostatni z nich zdechł w 1959 r. Prawdopodobnie próby adaptowania się dziobaków na innych kontynentach nie będą już powtarzane. Kolczatki natomiast można spotkać w kilku ogrodach zoologicznych w różnych krajach.

<sup>69</sup> — Stekowce (*Monotremata*) — nazwa oznacza zwierzęta posiadające jeden otwór do wydzielania kału, moczu, nasienia i potomstwa, jak to jest u gadów i ptaków, a nie jak u innych ssaków.

<sup>70</sup> — Nową Gwineę zamieszkuje kolczatka czarnokolczasta (*Proechidna riigroacu-leata*).

Polowanie na kolczatki odbyło się w nocy, kiedy swoim zwyczajem wyszły z nor na poszukiwanie żeru. Zasadzkę na oryginalne zwierzątka urządzono przy odnalezionych przez Tony'ego mrowiskach oraz przy kopcu termitów. Mrówki, termity oraz poczwarki tych owadów są prawdziwym przysmakiem dla kolczatek, które wyciągają je z labiryntu mrowiska swoim długim językiem, pokrytym lepłą śliną.

Tomek z zapalem brał udział w polowaniu na kolczatki. Przekonał się przy tej okazji, że nie są one zupełnie bezbronne. W chwili niebezpieczeństwa zwijały się w kłębek jak nasze jeże, wystawiając jednocześnie sterczące pośród sierści długie, grube kolce. Jeśli tylko starczyło im czasu, potrafiły silnymi nogami, zakończonymi dużymi, mocnymi pazurami, szybko wykopać dół, by skryć się pod ziemią. Dłonie Tomka, a także i pysk jego ulubieńca, Dingo, nosiły ślady ukłuć ostrych kolców. Mimo to wypad łowiecki zakończył się pomyślnie.

Kolczatki były bardzo poszukiwane, tak przez ogrody zoologiczne, jak i przez europejskich zoologów, ze względu na to, że wykluwały się ze składanych przez samicę jaj, a karmiły się mlekiem, wypływającym na powierzchnię brzucha matki dwoma otworami. Samica składała jedno jajo, które umieszczała w podobnej do worka fałdzie, utworzonej przez skórę na brzuchu. Młoda kolczatka rosła w tej fałdzie i wychodziła z niej wówczas, gdy w jej sierści zaczynały się pojawiać ostre kolce.

Wśród schwytych trzech kolczatek znajdowała się, jedna samiczka. Tomek właśnie rozważał, w jaki sposób mógłby przekonać się, czy w jej fałdzie na brzuchu nie przebywa przypadkiem młody potomek, gdy naraz obok niego przystanął Tony, który w tej chwili powrócił z buszu. Tomek spojrzał na tropiciela. Krajowiec mrugnął okiem i dał mu znak głową, aby oddalił się z nim poza obóz. Tomek natychmiast zapomniał o kolczatkach. Zachowanie się przyjaciela wskazywało, że musiał odkryć coś ciekawego, co pragnie zataić przed innymi.

Zaledwie znaleźli się poza obozem, Tomek zaraz zapytał:

- Czyje ślady wytropiłeś. Tony?
- Widziałem dwa koala<sup>71</sup> — poinformował krajowiec szeptem.
- Czy mówiłeś już komu o tym? — gorączkowo indagował Tomek.
- Nie trzeba mówić innym, my sami je złapać — uspokoił go Tony.

<sup>71</sup>

— Koala (*Phascolarctus cinereus*) należy do rodziny torbaczy.

— Kiedy wyruszamy na polowanie?

— Jeszcze czas. W dzień gorąco, one spać ukryte w liściach na gałęziach wysokie drzewa. Dopiero pod wieczór one szukać jeść. Koala mądre, nie męczyc się w upał. Dlaczego człowiek miałby być głupszy od nich?

— One mogą oddalić się z miejsca, w którym je widziałeś? — niepokoił się Tomek.

— Nie bój się, koala chodzić bardzo wolno, my znaleźć je na pewno.

— Dobrze, Tony, zrobimy tak, jak radzisz...

Całe popołudnie Tomek unikał towarzyszy. Obawiał się zdradzić przed nimi podnieconym wyrazem twarzy. Cóż to będzie za niespodzianka, jeśli z Tonym przyniosą do obozu koala, zwanego też niedźwiedziem workowatym! Koala żyje wprawdzie w Australii wschodniej od Queenslandu po Wiktorię, lecz ze względu na małą liczbę dotąd złapanych okazów, niewiele wiedziano o jego sposobie życia. Tomek doskonale orientował się, jak bardzo zależało uczestnikom ekspedycji na schwytaniu niedźwiadka.

Po nocnych łowach Wilmowski zazwyczaj zarządzał krótką przerwę w polowaniu. Tego właśnie wieczoru wszyscy mieli wcześniej udać się na spoczynek. Mimo to nikt się nie zdziwił, gdy tuż przed zmierzchem Tony oświadczył, iż ma zamiar rozejrzeć się za nowymi śladami zwierząt. Tomek natychmiast wyraził gotowość wyruszenia z nim i wkrótce obydwaj znaleźli się z dala od obozu.

Tony szedł pewnie, jakby kroczył ulicami dobrze mu znanego miasta. Po pół godzinie dotarli do miejsca, gdzie wśród buszu wyrastały wysokie drzewa eukaliptusowe. Krajowiec przez chwilę penetrował wzrokiem korony drzew, potem wyciągnął rękę i wskazując kierunek, odezwał się:

— Koala już się zbudziły! Czy widzisz je?

— Widzę, widzę, Tony! Och, jakie śliczne — zawołał Tomek, z upodobaniem przyglądając się niedźwiadkom.

Na dobrze ulistnionej gałęzi drzewa siedział koala, a pod nim drugi wspinał się po grubym konarze. Nie przejmując się niczym, niedźwiadki australijskie, podobnie jak wiewiórki, przednimi łapkami przytrzymywały gałęzie i odgryzały poszczególne liście. Poruszały się na drzewie tak wolno, że często używana dla nich nazwa „australijskie leniwce” wydała się Tomkowi bardzo uzasadniona.

Obserwowanie niedźwiadków sprawiało chłopcu dużą przyjemność i ani się spostrzegł, jak mrok wkradł się między drzewa. Tony pierwszy zwrócił na to uwagę mówiąc:

— Później przyglądać się, teraz my złapać koala. Zaraz wieczór, wtedy nic nie widzieć.

— Masz rację, ale w jaki sposób schwytamy niedźwiadki?

— Ty wejść na drzewo. — Zarzucisz pętlę sznura na koala i opuścisz go do mnie na ziemię.

— Czy przypuszczasz, że one nie będą się broniły?

— Nic się nie bać. Koala bardzo łagodny. To nie kolczatka! — z humorem odparł Tony.

Tomek przewiesił sznur przez ramię, po czym szybko zaczął się wspinać na drzewo. Koala na niższej gałęzi wcale nie zwracał uwagi na Tomka, który bez przeszkód dotarł blisko do niego. Teraz zdjął z ramienia sznur i zgrabnym ruchem zarzucił pętlę na kark koala. Początkowo niedźwiadek opierał się łapami o pień drzewa, lecz gdy młody łowca zacisnął pętlę, dał się ująć bez dalszego sprzeciwu. Dłonie Tomka zagłębiły się w puszyste futerko pachnące liśćmi eukaliptusowymi, czyli głównym pożywieniem zwierzątka. Tomek opasał misia sznurem i wolno opuścił na ziemię. Tam odebrał go Tony. Z kolei Tomek zaczął wspinać się wyżej na konar drzewa w pogoni za drugim koala. Ten również po krótkim i niezbyt zaciętym oporze został wzięty do niewoli.

Było już zupełnie ciemno, gdy obydwaj łowcy powracali do obozu. Uszczęśliwiony Tomek pospieszał za Tonym. Każdy z nich dźwigał jednego koala. Ku zdziwieniu Tomka niedźwiadki szybko pogodziły się ze swoim losem.

Na wieść o schwytaniu koala wszyscy uczestnicy ekspedycji powybiegali z namiotów. Chcieli jak najprędzej przyjrzeć się puchatkom, które do złudzenia przypominały dziecięce pluszowe misie–zabawki.

Długość ciała każdego niedźwiadka osiągała około sześćdziesięciu centymetrów, a wysokość w kłębie dochodziła do trzydziestu. Miały mocne, krępe tułowia pozbawione ogona. Na dużej głowie, o tępo ściętym pysku widniały wielkie uszy pokryte puszystym włosiem. Ciało ich porastało wspaniałe, miękkie futerko, z wierzchu rdzawoszare, podczas gdy na brzuchu miało odcień żółtawobiały. Obie pary nóg opatrzone były pięcioma palcami o

silnych pazurach i stanowiły doskonale wykształcone narządy chwytne. Jak już później się przekonano, ich przednie łapy miały po dwa palce wewnętrzne przeciwstawne trzem pozostałym, a na tylnych silny, pozbawiony pazura jeden palec wewnętrzny przeciwstawiony czterem innym. Tony uśmiechał się i rad był obserwując dumę Tomka, z jaką przyjmował on powinszowania od starszych towarzyszy.

W ciągu następnych dni przewidziane były zasadzki na szczury kangurowe<sup>72</sup>, zwane tutaj potoru. Łowiono także wombaty<sup>73</sup> podobne do naszych świstaków i tropiono lisy workowate<sup>74</sup>, żyjące na drzewach.

W przerwach pomiędzy poszczególnymi wypadami łowcy musieli wykonywać wiele pilnych prac. Różnorodność chwytanych zwierząt wymagała przygotowania odpowiednich pomieszczeń, umożliwiających im pomyślnie przetrwanie najgorszego dla nich pierwszego okresu niewoli.

Dotychczasowy wynik łowów wprawiał uczestników wyprawy w doskonały nastrój, mimo że upały stawały się coraz bardziej dokuczliwe. Nawet podczas nocnych polowań nie zaznali ochłody. Nic więc dziwnego, że wszyscy niecierpliwie oczekiwali na wypad w pobliskie góry, o znacznie niższych temperaturach dnia i nocy. Toteż, kiedy w końcu rozpoczęli przygotowania do polowania na skalne kangury, Wilmowski był przekonany, że Tomek z radością przyjmie tę wiadomość. Ku jego zdziwieniu chłopiec oświadczył, że woli pozostać w obozie.

— Będę pilnował zwierząt — tłumaczył ojcu. — Niektóre z nich źle czują się w niewoli, a są przecież takie miłe i zabawne.

Wilmowski zgodził się na propozycję syna. Wydawało mu się, że osaczenie skalnych kangurów w rozpadlinach górskich mogło przedstawiać pewne niebezpieczeństwo dla impulsywnego oraz przedsiębiorczego chłopca. Tomek pozostał w obozie, pozwalając towarzyszom zabrać Dingo na polowanie. Oprócz Tomka wyznaczono jeszcze dwóch ludzi dla doglądania zwierząt.

---

<sup>72</sup> — Szczury kangurowe (Potoroina) stanowią najmniejsze gatunki rodziny zwierząt workowatych skaczących.

<sup>73</sup> — Wombaty (Phascolomyidae) należą do torbaczy. Znany ich obecnie trzy gatunki, mało różniące się wyglądem i obyczajami. Wszystkie zamieszkują gęste lasy. Ich geograficzne rozmieszczenie: Tasmania i wyspy Cieśniny Bassa oraz południowa Australia.

<sup>74</sup> — Lis workowaty (Trichosurus vulpecula) zwany również kuzu.

Wilmowski nie opuszczałby obozu z takim spokojem, gdyby w chwili odjazdu zwrócił na syna baczniejszą uwagę. Przymrużonymi oczyma chłopiec spoglądał na jeźdźców i juczne konie obładowane małymi klatkami na kangury. Na jego ustach czał się wiele mówiący uśmiech.

Dwaj marynarze pozostawieni w obozie mieli zbyt dużo zajęcia, aby mogli poświęcić więcej uwagi chłopcu, korzystającemu zawsze z dużej swobody. Żaden z nich nie oponował, gdy Tomek oświadczył, że zamierza urządzić małą wycieczkę. Wkrótce ze sztucерem pod pachą opuścił obozowisko. Szybkim krokiem podążył w górę strumyka, wypływającego z głębokiego parowu.

Tomek od wielu już dni miał ochotę na samodzielną wycieczkę. Doświadczenie nabyte podczas wędrówek z Tonym po buszu wyrobiło w nim pewność siebie, czekał więc jedynie okazji, by zrealizować swój plan. Według zapewnień Bentleya znajdowali się teraz na terenach badanych kilkadziesiąt lat temu przez Strzeleckiego. Tomek marzył o tym, aby jakoś upamiętnić swój pobyt w Australii. Najprostszą drogą do osiągnięcia celu wydawało mu się dokonanie jakiegoś niezwykłego czynu. Dlatego też postanowił nie wziąć udziału w wyprawie na skalne kangury, a czas nieobecności opiekunów wykorzystać na samotny wypad.

Bez jakichkolwiek obaw zagłębił się w kręty, porośnięty wysokimi drzewami parów. Podążył w górę strumienia, który spływając po skalnych stopniach tworzył strome, malownicze wodospady. Skaliste ściany szerokim półkolem ogarniały głęboki parów, napełniając go przyjemnym cieniem. Około południa Tomek znajdował się już daleko od obozu. Okolica wydawała się dzika i nie zamieszkała nawet przez czworonogi, lecz chłopiec śmiało szedł naprzód. Nie mógł zabłądzić idąc wzdłuż strumienia. Parów zwężał się coraz bardziej. Tuż przed ostrym zakrętem zagroził Tomkowi drogę skalny blok. Zniechęcony ponurą dzikością miejsca już miał zawrócić, gdy naraz wydało mu się, że za pobliską skałą rozległy się ludzkie głosy.

„Cóż to za ludzie mogą znajdować się na takim pustkowiu?” pomyślał. Wydawało mu się, że nie tracąc czasu powinien zawrócić do obozu, lecz ciekawość przykuwała go do miejsca. Nasłuchiwał chwilę. Nie miał wątpliwości. Jacyś ludzie rozmawiali za skalną ścianą.

„Spojrzę na nich z daleka i wracam do obozowiska” zdecydował. Ostrożnie wdrapał się na olbrzymi głaz. Podpełznął na brzuchu do krawędzi.

Teraz mógł spojrzeć poza zakręt parowu. Wychylił głowę i zaraz zamarł w bezruchu. Skaliste ściany za zakrętem rozszerzały się półkolisto, zamykając parów. Strumień spływał w dół głęboką rozpadliną i rozlewał się szeroko, tworząc dość duży zbiornik wody, zatrzymywanej w tym miejscu przez wysoki skalny próg.

Tuż nad brzegiem strumienia rozłożone było małe obozowisko. Dwóch mężczyzn toczyło gwałtowną rozmowę siedząc przy tłącym się ognisku. W pierwszej chwili obydwaj wydali się Tomkowi ogromnie do siebie podobni. Długie jasne brody opadały im na piersi, a całe ich twarze pokrywał gęsty zarost. Wkrótce jednak zorientował się, że jeden z nich był znacznie młodszy.

— Twoja to będzie wina, jeśli spotka nas nieszczęście — mówił młodszy podniesionym głosem. — Jak można tak lekkomyślnie ryzykować.

— Jedno ryzyko mniej lub więcej nie gra już roli w naszym położeniu — odparł starszy. — Czy mamy jakiegokolwiek inne wyjście?

— Gdyby on był na naszym miejscu, dawno skończyłby z nami — zawołał młodszy. — Podłość patrzyła mu z oczu od pierwszej chwili.

— Nigdy nie splamiłem rąk ludzką krwią. Skąd te podejrzenia, że Tomson chce pozbawić nas naszego udziału? — zapytał starszy.

— Dlaczego nie powraca tak długo? — odpowiedział młodszy pytaniem.

— Już sześć razy wyprawiał się do osiedla po zapasy i wszystko było w porządku. Dlaczego teraz miałoby być inaczej? — zastanowił się starszy. — Wydaje mi się, że zbyt długo przebywamy na tym bezludziu. Nerwy odmawiają nam posłuszeństwa.

— To prawda, czas kończyć z tym wszystkim — odezwał się już spokojniej młodszy mężczyzna. — Widok złotego piasku niezbyt dobrze działa na umysł człowieka. Trzeba było nam od razu zwinąć manatki, gdy licho przyniosło tu tych łowców zwierząt.

— Wyglądają na przyzwoitych ludzi — uspokoił go starszy. — Zgadza mi się wszakże z tobą, że we własnym interesie musimy unikać wszelkiego rozgłosu.

— O to mi właśnie chodzi, ojcie — potwierdził młodszy mężczyzna. — Im wcześniej rozstaniemy się z Tomsonem, tym lepiej dla nas. Wzrok, jakim spogląda na złoty piasek, daje mi wiele do myślenia.



— Po powrocie Tomsona podzielimy złoto na trzy części i rozejdziemy się w swoje strony — zdecydował starszy.

— Źle zrobiliśmy, pozwalając mu teraz iść po zapasy.

— Nie było innego wyjścia — padła odpowiedź. — Stanowimy siłę dwóch na jednego. Ojciec i syn nie posprzecząją się przecież o złoto. Gdyby natomiast któryś z nas pozostał z Tomsonem sam na sam... nie obyłyby się bez walki i mordy. Tylko przewaga naszych sił powstrzymuje go od jawnej zaczepki.

Tomek słuchał tej rozmowy z zapartym tchem. Zrozumiał, że w parowie rozgrywa się dramat, którego podłożeni było złoto. Dwaj brodacze rozmawiali zapewne o nieobecnym w obozie trzecim swoim wspólniku. Tomek nie mógł zrozumieć, dlaczego ci trzej mężczyźni nie mogli się pogodzić? Dlaczego rozmawiają o walce i zabijaniu? Przecież powinni być zadowoleni, jeśli naprawdę udało im się znaleźć złoto w tym dzikim parowie.

*„A więc tak wyglądają ludzie, którzy znaleźli złoto? — rozmyślał. — Jakie to szczęście, że nie mam z tym nic wspólnego. Muszę uciekać stąd jak najszybciej, zanim nadejdzie ten trzeci poszukiwacz, którego dwaj brodacze tak się obawiają”.*

Jeszcze raz spojrzał w parów, aby przyjrzeć się obozowisku poszukiwaczy złota. Obok blaszanego koryta leżały na brzegu strumienia jakieś płaskie naczynia i sita. Mały namiot stał tuż pod skalną ścianą. To było wszystko. *„Brr, jak tu ponuro i smutno”* mruknął Tomek cofając się powoli na czworakach.

Nagle tuż nad jego głową rozległ się głośny, przeciągły śmiech. Tomek przeraził się ogromnie, wyobrażając sobie, że to trzeci poszukiwacz złota nadszedł niespodziewanie i odkrył jego obecność. Porwał się na nogi gotów do ucieczki, lecz w tej chwili przeciągły śmiech zabrzmiał po raz drugi. Zdumienie ogarnęło Tomka. Zamiast ponurego poszukiwacza złota ujrzał ptaka o potężnym dziobie, który, przekrzywiwszy łeppek, wydawał głos tak ludzako przypominający ludzki śmiech.

*„To jest na pewno kookaburra”<sup>75</sup>* pomyślał Tomek.

---

<sup>75</sup> — Kookaburra — nazwa nadana przez krajowców największemu z zimorodków — łowcy olbrzymowi (*Dacelo gigas*). Ze względu na wydawany przez niego głos, przypominający gardłowy śmiech, zyskał sobie nazwę *„Śmiejącego Jasia”*.

Zanim zdążył ochłonać, w parowie rozległ się donośny krzyk. Głośny chichot kookaburry zwrócił uwagę obydwu brodaczy na skalny blok. Promienie słoneczne odbiły się o błyszczącą lufę sztucera, gdy Tomek przestraszony śmiechem porwał się na nogi. Brodacze ujrzeli męską głowę i błysk broni. Jeden z nich chwycił starą flintę, a drugi rewolwer. Dodając sobie krzykiem odwagi, zaczęli szybko wspinać się na skałę.

Krzyki poszukiwaczy złota niemal sparaliżowały chłopca. Dopiero gdy ujrzął blisko siebie kosmatą rękę i brodatą twarz mężczyzny, nieopisany strach przywrócił mu siły.

— Ratunku...! Ratunku, mordercy! — krzyknął rozpaczliwie i rzucił się do ucieczki.

Echo powtórzyło wielokrotnie jego bezskuteczne wołanie o pomoc. Brodacze ujrzeli umykającego chłopca. Pobiegli za nim olbrzymimi susami. Ktokolwiek to był, należało go unieszkodliwić. Nie mieli wątpliwości, że podsłuchał ich rozmowę. Na szczęście stary poszukiwacz złota zapanował nad swym zdenerwowaniem. W ostatniej niemal chwili podbił lufę flinty synowi, który mierzył do Tomka. Rozległ się wprawdzie huk strzału, lecz kula przeszła powietrze, przelatując wysoko nad głową umykającego chłopca!

— Durniu, to nie jest Tomson! — krzyknął gniewnie stary poszukiwacz. — Zatrzymaj go tylko, to wystarczy!

Młody brodacz odrzucił broń i pognął za chłopcem. Świsł kuli podzielał na Tomka jak smagniecie batem. Uciekał, ile tylko starczyło mu sił, i chyba zdołałby umknąć szczęśliwie, gdyby nie zawadził stopą o wystający z ziemi korzeń drzewa. Gwałtowne szarpnięcie za nogę powaliło go na ziemię. Nim zdołał się podnieść, brodacz — sapiąc jak miech kowalski — chwycił go żelaznym chwytem za kark.

— Ratunku! — krzyknął Tomek.

— Milcz, jeśli ci życie miłe! — gniewnie syknął poszukiwacz złota.

— Niech mnie pan nie zabija, ja... nic nie słyszałem — powiedział Tomek drżącym głosem.

Oświadczenie to upewniło brodacza, że chłopiec podsłuchał jego rozmowę z ojcem.

— Czego tu szukałeś, mów prawdę? — zapytał groźnie.

— Wybrałem się na wycieczkę...

— Nie kłam! Tomson nasłał cię na nas.

— To nieprawda! Skąd mógłbym znać takiego strasznego człowieka?

— Więc słyszałeś, co mówiliśmy o Tomsonie — mruknął poszukiwacz złota.

Tomek spostrzegł teraz, że palnął głupstwo, lecz było za późno na dalsze zaprzeczanie. Zamilkł przestraszony, a poszukiwacz złota zarzucił go sobie na plecy i poniósł z powrotem do obozu. Wkrótce też zbliżył się do starszego mężczyzny.

— Podśluchał naszą rozmowę — poinformował go krótko, sadzając Tomka na ziemi.

— Jak się nazywasz i kim jesteś? — zapytał starszy mężczyzna, obrzucając Tomka badawczym wzrokiem.

— Jestem Tomasz Wilmowski. Łowię z ojcem zwierzęta do ogrodów zoologicznych — odparł Tomek.

— Zaraz tak pomyślałem. Jesteś z obozu na polanie?

— Tak jest, naprawdę. Pan mi wierzy, że nie znam żadnego Tomsona? Wybrałem się na wycieczkę. Już miałem wracać do obozu, aż naraz usłyszałem wasze głosy.

— Dlaczego podśluchiwałeś?

— Byłem ciekaw, kto to rozmawia na tym pustkowiu. Później przestraszyłem się. W końcu ten ptak ze swoim śmiechem...

— Ha, nie ma rady! Musimy zatrzymać cię w obozie aż do chwili wyniesienia się stąd — powiedział starszy poszukiwacz złota. — Gdzie jest twój ojciec?

— Wyruszył na polowanie na skalne kangury. Proszę mnie puścić do obozu. Naprawdę nie powiem nikomu ani słowa.

— Kiedy powraca, ojciec z polowania? — pytał dalej poszukiwacz, nie zwracając uwagi na prośbę chłopca.

— Za dwa lub trzy dni. Pan przecież pozwoli mi odejść, prawda?

— Ilu ludzi pozostało w obozie?

Tomkowi wydało się, że jeżeli powie prawdę, to brodacze urządzą napad na obóz. Odparł więc szybko:

— W obozie pozostało kilku marynarzy, oni widzieli, w którym kierunku udałem się na wycieczkę.

— No, tylko nas nie strasz — mruknął młodszy.

— Nie ma co dłużej gadać. Zwijamy natychmiast manatki i wiejemy bez względu na to, czy Tomson powróci — stanowczo powiedział starszy. — Chłopiec ma rację. Oni na pewno będą go szukali.

— Jestem pewny, że będą szukali — szybko potwierdził Tomek.

— Przywiąż go do drzewa! — rozkazał starszy poszukiwacz.

Tomek nie opierał się. Tymczasem drugi brodacze nie tracił czasu. Wydobył z namiotu duży worek, po czym zaczął pakować skromny dobytek. Przyrządy do płukania złota powrzucał w krzewy. Już składał namiot, gdy nagle rozległ się chrapliwy głos:

— Do góry łapy, przekłete szczury!

Obydwaj brodacze znieruchomieli spoglądając na skalny blok. Tomek spojrział tam również. Ogarnęło go przerażenie. Pięciu roślących drabów stało na skale. Dłonie ich zaciskały się na rękojeściach rewolwerów wymierzonych w poszukiwaczy złota.

— Co to ma znaczyć, Tomson? — zapytał starszy brodacze, nieufnie spoglądając na napastników.

— Bezczelność twoja równa się twej głupocie, Johnie O'Donell — odparł Tomson. — Ptaszki przygotowały się do opuszczenia gniazda, pozostawiając starego kompana na lodzie?! No, no! Ojciec wart swego podstępnego synalka!

— Głupstwa pleciesz, Tomson! — rzekł stary O'Donell. — Zaraz się o tym przekonasz!

Tomson roześmiał się cynicznie i odpowiedział:

— Od dawna przeczuwałem, że będziecie chcieli wystrychnąć mnie na dudka! Haruj z nami przez sześć długich miesięcy, głupi Thomsonie, a potem podzielimy się sprawiedliwie wydobytym złotem. Zaledwie jednak wyruszyłem z obozu po prowianty dla nas wszystkich na drogę, zaraz przygotowaliście się do odlotu. Oj, wy głupcy! Trafiliście na mądrzejszego od siebie. Oto moi kompani, którzy są teraz świadkami waszej zdrady i dopilnują podziału złota! Miła niespodzianka dla was, co?

— Kłamiesz Tomson! — zaoponował stary O'Donell. — Gadasz nieprawdę i dobrze wiesz o tym!

— Kłamię? A manatki spakowane do czmychnięcia?!

— Likwidujemy obóz jedynie dlatego, że jacyś obcy łowcy zwierząt wysłedzili nas w parowie i teraz wiedzą, po co tu siedzimy — wyjaśnił stary O'Donell. — Oto dowód!

Dłoń starego wyciągnęła się w kierunku Tomka przywiązanego do drzewa.

— Co widzę? Porwaliście i uwięziliście chłopca? — obłudnie zdziwił się Tomson. — No, no! Taka zabawa nie ujdzie wam na sucho. Łapy do góry!

— Ej, Tomson! Widzę, że szukasz z nami zwady! — krzyknął młodszy O'Donell.

Tomson zmierzył przeciwników przenikliwym, czujnym wzrokiem, po czym powiedział:

— Zawsze znajduję to, czego szukam! Porwanie chłopca stawia was obydwóch poza prawem. Łapska do góry!

Tomek przerażony z zapartym tchem przyglądał się tej pełnej dramatycznego napięcia scenie.

Tymczasem w oczach młodego poszukiwacza złota przewinęła się błysk gniewnej determinacji. Nagłym ruchem wy dobył z pochwy rewolwer.

Tomson bez chwili wahania nacisnął spust trzymanego w dłoni rewolweru. Huknął strzał.

Twarz młodego O'Donella wykrzywiła się w bolesnym grymasie, lecz mimo to broń jego plunęła ogniem.

Tomson pochylił się, twarz jego pokryła się bladością. Po chwili wolno stoczył się ze skały i z rozkrzyżowanymi ramionami legł bez ruchu niemal u stóp poszukiwaczy złota.

— Nie strzelajcie! — krzyknął ostrzegawczo stary O'Donell do kompanów Thomsona. — Złoto jest dobrze schowane, nie znajdziecie go bez nas!

Czterech napastników stało niezdecydowanie z bronią gotową do strzału. Naraz szansę na zwycięstwo nieoczekiwanie przechyliły się na ich stronę. Oczy ranionego przez Thomsona młodego O'Donella zaszyły mgłą, ciężko osunął się na martwe ciało przeciwnika.

— Przegrałeś, stary! — roześmiał się jeden z drabów. — Jest nas czterech, a ty możesz liczyć tylko na siebie. Trzymaj łapy wysoko do góry! Schodzimy do ciebie!



## POMOC NADCHODZI

Czterej buszrendżerzy pozbierali broń znajdującą się w obozie, złożyli ją pod skalną ścianą, po czym pozwolili staremu O'Donellowi zająć się rannym synem. Miał on przestrzelone na wylot lewe ramię, ale na szczęście rana nie była zbyt groźna. Wkrótce odzyskał przytomność. Zaledwie ojciec nałożył mu opatrunek, buszrendżerzy związali obydwóch jeńców powrozami. Teraz rozpoczęli gorączkowe poszukiwania złota. O'Donellowie przyglądali się im w ponurym milczeniu. Byli przekonani, że napastnicy nie znajdą ich skarbu, lecz również zdawali sobie sprawę z beznadziejności swego położenia. Tyle trudu włożyli w wydobycie złotego piasku, na który przypadkiem natrafili na dnie górskiego strumienia, a teraz musieli wszystko utracić za cenę życia. Jeśli dobrowolnie nie oddadzą swej własności, bandyci zabiją ich bez skrupułów. Nie mieli nawet pewności, czy nie zginą po zaspokojeniu żądań buszrendżerów.

— Dobrze schowaliście złoto — pochwalił jeden z bandytów siadając przy O'Donellach. — Szkoda tracić czas na poszukiwania. Jeśli dojdziemy do porozumienia, nic wam się nie stanie.

— Czego chcesz? — krótko zapytał O'Donell.

— Zabiliście naszego kompana. No, pał go lichy! Pierwszy pociągnął za cyngiel. Podzielimy złoty piasek na sześć części i każdy z nas weźmie po jednej dla siebie. Zgoda?

— Tomson miał otrzymać trzecią część. Tyle damy wam bez wahania, bo to była jego własność. Pracował na nią.

— Nie tak ostro, staruszk. Jeśli przypieczemy ci pięty, wyśpiewasz szybko, gdzie ukryliście skarb.

— Nie odważycie się na to!

Bandyta roześmiał się chrapliwie. Pochylił się do O'Donella i zapytał:

— Czy nie poznajesz mnie? Przypatrz mi się dobrze!

Twarz buszrendżera wydała się O'Donellowi dziwnie znajoma. Natężył pamięć. Te oczy o zimnym wyrazie... Gdzieś już je widział. Nagle uprzytomnił sobie wszystko. Oczywiście, widział tę twarz i to nie jeden raz. Znajdowała się ona na gończych listach rozwieszonych we wszystkich ważniejszych osiedlach.

— Carter! — zawołał O'Donell.

— No, nareszcie! Czy jeszcze jesteś pewny, że zawaham się przypiec ci piętę? Wiesz już teraz, że wyznaczono nagrodę za dostarczenie władzom mojej głowy.

O'Donell stracił do reszty wszelką nadzieję. Wpadli przecież w ręce Cartera, postrachu wszystkich dróg Nowej Południowej Walii. Tak, ten człowiek nie zawaha się przed niczym dla zdobycia złota.

— Widzę, że dojdziemy do porozumienia — odezwał się Carter, obserwując swą ofiarę. — Konna policja deptała nam trochę po piętach ostatnimi czasy. Musiałem podzielić bandę na mniejsze oddziały, aby prześliznąć się przez oczka „siec”. Tomson był moim człowiekiem. Od dwóch miesięcy oczekiwałem w pobliżu, aż ukończycie swą pracę.

— Krótko mówiąc, Tomson był twoim szpiegiem — mruknął O'Donell.

— Do niego właśnie należało powiadamianie nas o terminach odsyłania złota z kopalń do miasta. Po ostatnim napadzie, dla zmylenia śladu, przyłączył się do was. Wtedy właśnie odkryliście tutaj złoto. Tomson nie żyje i nie ma co płakać po nim. Pozwalam wam na zatrzymanie części złota, ponieważ dusze wasze i tak nie wymkną się diabłu — odparł Carter.

— Cóż możemy począć? Jesteśmy przecież w waszej mocy. Dzisiaj wszakże nie zdołam już wydobyć złota z kryjówki. Musimy poczekać do rana — powiedział zrezygnowany O'Donell.

— Gdzie je schowałeś? — nalegał Carter marszcząc brwi.

— Leży zakopane na dnie strumienia. Wydobędę je o świcie i przystąpimy do podziału.

— Myślę, O'Donell, że cenisz własne życie...

— Tak będzie, jak powiedziałem. Co zrobimy z tym chłopcem? Lepiej chyba puścić go na wolność.

— Kto to jest? — zaciekawiał się Carter, spoglądając na młodego jeńca.

Tomek przymknął oczy pod bezlitosnym spojrzeniem bandyty. Tymczasem O'Donell udzielał niezbędnych wyjaśnień. Wynikało z nich, że wędrując razem z Thomsonem przypadkowo znaleźli złoto w strumyku. Nie był to rodzimy pokład cennego kruszcu. Po prostu kawałki złota, przez wiele lat spływały z wodą z gór i zatrzymywały się przy skalnym progu. Trójka odkrywców tego naturalnego skarbcza nie powiadomiła władz o znalezieniu złota. Przez sześć miesięcy wydobywali je sami w ponurym, bezludnym



parowie. Pojawienie się w pobliżu łowców zwierząt nakłoniło ich do przerwania dalszych poszukiwań. Na dnie strumyka było już tak mało złotych drobinek, że nie opłacało się ryzykować zetknięcia z ludźmi i tym samym rozgłoszenia tajemnicy. Na swe nieszczęście Tomek podsłuchał rozmowę O'Donellów, co zmusiło ich do zatrzymania go oraz do natychmiastowego zlikwidowania obozu. Chcieli czmychnąć, zanim mógłby opowiedzieć wszystko swoim towarzyszom. Carter w milczeniu wysłuchał wyjaśnień, po czym zbliżył się do Tomka.

— Hm, więc ten młody kawaler tak was przeraził? Otwórz oczy chłopcze i powiedz, jak ci na imię? — zagadnął.

Tomek powoli otworzył oczy. Pot wystąpił mu na czoło. Usiłował odpowiedzieć na pytanie, lecz nie mógł wydobyć z siebie ani jednego słowa. Carter przyklęknął przy nim. Wydobył z pasa nóż o cienkim, długim ostrzu. Twarz Tomka pokryła się niemal trupią bladością. Carter tymczasem przeciął więzy krępujące jego ręce i odezwał się karcącym tonem:

— O'Donell! Dorosły mężczyzna nie postępuje w ten sposób z chłopcem. Potraktowaliście go jak dzikusa. No, kawalerze, teraz chyba powiesz mi swoje imię?

Tomek odetchnął lżej. Wzrok bandyty wydał mu się mniej groźny.

— Jestem Tomasz Wilmowski — odparł drżącym głosem.

— Czy to prawda, że należysz do wyprawy łowców zwierząt?

— Tak, proszę pana, chwytamy dzikie zwierzęta do ogrodów zoologicznych w Europie.

— Dzisiejszego ranka spotkaliśmy grupę jeźdźców, którzy wieźli klatki na koniach. To zapewne twoi towarzysze?

— Właśnie pojechali łowić skalne kangury.

— Dlaczego nie zabrali ciebie?

— Bo ja... ja chciałem urządzić samodzielną wycieczkę i dlatego zostałem w obozie.

— Lubię zuchów, którzy palą się do samodzielności. Taki sam byłem w twoim wieku.

— Niech pan pozwoli mi odejść do obozu. Na pewno wszyscy mocno niepokoją się o mnie.

— Tym więcej ucieszą się, gdy zobaczą ciebie zdrowego jutro rano. Takie małe smyki jak ty potrafią płać różne figle dorosłym. Muszę wynieść

się z tej okolicy na jakiś czas, a do tego potrzebne mi jest złoto O'Donellów i kilka koni. Twój ojciec na pewno ofiaruje mi je za ciebie. Rozumiesz teraz, że jesteś mi potrzebny?

— Och, więc chce pan zażądać za mnie okupu?

— Trafnie to określiłeś, mój chłopcze, pieniądze leżą na gościńcach, trzeba tylko umieć je zbierać. Nazywają mnie Krwawym Carterem, ponieważ zabiłem siedmiu głupców, którzy deptali mi po piętach lub chwyтали za broń. Kiedy prosiłem ich o różne drobiazgi. Twoje życie na pewno warte jest dla ojca więcej niż kilka koni. Możesz więc spać spokojnie.

Carter odszedł do swych towarzyszy, którzy przygotowywali się do przenocowania w parowie. Nazbierali chrustu, i gdy tylko zapadł zmrok, rozpalili ognisko. Sporządzili sobie posłania, po czym zasiedli do kolacji. O'Donellom rozwiązali ręce przy posiłku. Zaledwie skończyli wieczerzę, natychmiast skrępowali ich znowu.

Tomek z trudem przełknął kilka kawałków suszonego mięsa. Carter polecił mu ułożyć się w pobliżu ogniska. Leżał więc pod niskim drzewkiem, rozmyślając ze zgrozą o swej sytuacji. Był w niewoli u niebezpiecznych przestępców. Na pewno mieli jak najgorsze zamiary w stosunku do O'Donellów, a za niego chcieli zażądać okupu. W obozie pozostało tylko dwóch marynarzy. Co się stanie, jeśli Carter dowie się o tym?

Tomek bał się ogromnie Cartera, który z taką obojętnością mówił o morderstwach. Drżał rozmyślając o swym strasznym położeniu.

Czas płynął bardzo wolno. Buszrendżerzy ułożyli się do snu. Mieli czuwać na zmianę i podsycać ogień. Pierwszy pełnił wartę drab o ospowatej twarzy. Usiadł na skalnym bloku. Czujnym wzrokiem przepatrywał obóz oraz ciemną gardziel parowu. Tomek obserwował go uważnie, nie wykonując najmniejszego ruchu. Następny wartownik był równie czujny. Trzeci natomiast, zaledwie zdążył objąć posterunek, dorzucił większą wiązkę do ognia, po czym natychmiast położył się na ziemi. Ziewając potężnie, spoglądał na gwiazdy migocące na niebie.

Serce w piersi Tomka zaczęło bić szybciej, bowiem po chwili głowa bandyty opadła na ziemię. Wkrótce strażnik spał w najlepsze pochrapując z cicha.

*„Jeżeli nie wrócę do obozu przed świtem, na pewno stanie się coś strasznego — rozmyślał Tomek. — Gdyby tak udało mi się teraz uciec...”*

Postanowił tę myśl natychmiast zrealizować. Ręce przecież miał wolne. Carter skrępował mu tylko nogi, ponieważ nie sądził, by przerażony chłopiec mógł odważyć się na ucieczkę. Tomek miał swój nóż myśliwski. W czasie utarczki z O'Donellem bluza wysunęła mu się ze spodni, zasłaniając broń tkwiącą za paskiem. Ręka chłopca szybko namacała rękojeść. Powolnym ruchem wy dobył nóż i przeciął więzy krępujące nogi.

*„Gdybym zdołał wspiąć się na skalny blok, miałbym już otwartą drogę do ucieczki — rozważał. — Lecz cóż się stanie ze mną, jeśli któryś z nich przebudzi się nieoczekiwanie? Och, lepiej nie myśleć o tym! Gdybym miał chociaż moją broń!”*

Rozejrzał się uważnie. Jego lśniący sztucer stał oparty o skałę obok karabinu Cartera, tuż przy głowie śpiącego bandyty. Tomek podniósł się z ziemi. Krok za krokiem skradał się ku śpiącemu Carterowi, nie spuszczać z niego wzroku. Przenikał go dziwny chłód; wstrzymywał oddech, ale serce łomotało mu w piersi. Za ledwie trzy kroki dzieliły go od Cartera.

Nagle...

*„Pssst!”*

Tomek znieruchomiał.

*„Pssst!”* rozbrzmiało po raz drugi.

Tomek spojrzał w kierunku, skąd rozległ się dziwny syk. O'Donell przywołał go teraz ruchem głowy. Tomek wahał się. Przez O'Donellów znalazł się przecież w tej strasznej sytuacji. Jeśli nie zbliży się do brodacza, ten gotów zbudzić wszystkich swoim psykaniem. Wykonał więc dwa kroki i przystanął tuż przy starym O'Donnellu, pochylił się nad nim.

— Czy masz nóż? — szeptem zapytał poszukiwacz. Tomek potwierdził ruchem głowy.

— Przetnij moje więzy — szepnął brodacz.

Tomek cofnął się przerażony. Za nic na świecie nie uwolni człowieka, który wtrącił go w tę okropną sytuację. Bo cóż uczyni O'Donell? Na pewno rzuci się na Cartera. Rozpocznie się mordercza walka. Oczywiście O'Donellowie ulegną przewadze bandytów, a wtedy cały ich gniew spadnie na niego. Nie, nie może i nie powinien mieszać się w porachunki tych strasznych ludzi i O'Donell ujrzał jego wahanie. Kiwnął głową, aby pochylił się nad nim. Tomek spełnił prośbę.

— Na litość boską, czy nie rozumiesz, że oni zamordują mnie i mego syna, gdy ujrzą złoto? — szepnął O'Donell.

— Pobiegnę do obozu po pomoc — cicho odparł Tomek.

— Nie zdążysz... Błagam cię, nie wydaj nas bezbronnych na łup tym... mordercom... Pozwól mi zginąć jak przystoi mężczyźnie.

Tomek wahał się. Czy mógł odmówić pomocy nieszczęśliwemu poszukiwaczowi złota? W odblasku żarzącego się ogniska zobaczył jego błagające oczy, z których teraz, na zoraną bruzdami zmarszczek twarz, spływały łzy. Zrozumiał, że widok tych oczu prześladowałby go do końca życia.

Szybko powziął postanowienie. Przyłożył palec do ust, nakazując O'Donellowi milczenie. Wydobył nóż, przeciął więzy krępujące jego ręce, a potem wsunął go w prawą dłoń brodacza. O'Donell uścisnął mocno dłoń chłopca i legł nieruchomo na ziemi. Tomek zrozumiał: O'Donell chce mu dać czas na ucieczkę. Lecz to niemożliwe... bez broni...

Tomek idzie ostrożnie w kierunku sztucera. Już jest przy nim. Wystarczy sięgnąć ręką. Wolno Wyciąga prawą dłoń ku lśniącej lufie, a wzrok wlepia w twarz uśpionego Cartera. Cóż to? Carter spogląda na niego spod lekko przymkniętych powiek. Ręka Tomka nieruchomo zawisa w powietrzu. Złudzenie czy rzeczywistość? Carter patrzy na niego? Czuje na sobie jego zimny, bezlitosny wzrok...

„*On nie śpi!*” stwierdza Tomek. Czuje, jak włosy jeżą mu się na głowie. Myśli przebiegają niczym błyskawice. Musi porwać sztucer. Broń jest nabita, lecz czy zdoła strzelić do człowieka? Nie, nie! Na to nie potrafi się zdobyć.

Nagle rozlega się zachrypły głos Cartera:

— Kładź się spać szczeniaku, albo ukrećę ci głowę jak kurczakowi!

Dziwny chłód przenika Tomka. Przecież O'Donell jest przekonany, że ten straszny morderca dotrzyma słowa. Co stanie się z nim, gdy zginą obydwaj poszukiwacze złota? Co stanie się z jego towarzyszami w obozie? Nagle rozumie, że Carter jest znacznie mniej wart od wspaniałego tygrysa, którego trzeba było zabić w nadzwyczajnych okolicznościach. Dłoń Tomka schwyciła sztucer.

Carter powstał szybko, zwinnie jak kot. — Chodź tutaj! Muszę cię związać... — warknął.

Głos bandyty obudził wartownika. Zerwał się z ziemi, głośno klnąc i natychmiast dorzucił chrustu do ognia. Porwali się również pozostali członkowie bandy.

— Chodź tu w tej chwili, ty... — mówiąc to, Carter ruszył ku Tomkowi.

— Carter! Nie zbliżaj się do mnie...! — krzyknął Tomek piskliwie. — Nie zbliżaj się! Strzele! Naprawdę strzele!

Cofał się krok za krokiem, aż plecami oparł się o skałę. Carter wolno postępował za nim, wpijając w niego zimne spojrzenie. Nie powstrzymał go nawet metaliczny trzask repetowanego sztucera.

Palec Tomka już dotknął spustu. W tej chwili coś ciepłego otarło się o jego nogi. Głuche, gniewne warknięcie przeszło w skowyt. Zaledwie Tomek ujrzał swego Dingo, który odgrodził go od bandyty, nadzieja wstąpiła w jego serce. Pojawienie się psa było dowodem, że pomoc musiała być już blisko. Tymczasem Dingo przysiadł na tylnych łapach. Sierść zjeżyła się na jego grzbiecie. Szczercząc kły gotował się do skoku.

Carter przystanął. Jego prawa dłoń wolno opadała na biodro ku rękojeści rewolweru. Nie zwracał uwagi na to, że lufa sztucera uniosła się na wysokość jego piersi.

Nagle rozległ się przeciągły świst. Jakiś ciemny przedmiot upadł na ziemię tuż obok ogniska, odbił się od niej i zatoczywszy krótki łuk w powietrzu, uderzył Cartera w skroń. Bandyta ciężko osunął się na ziemię. Zanim zdumieni buszrendżerzy zdolali chwycić za broń, dwóch ludzi zeskoczyło z bloku skalnego w sam środek obozowiska. Tomek poznał ich natychmiast. Byli to Tony i Smuga. Tony rzucił się na wartownika dobywającego rewolweru. Zwarli się w uścisku, potoczyli na ziemię. Smuga bez chwili wahania zaatakował dwóch pozostałych bandytów. Lewa pięść łowcy wylądowała na podbródku buszrendżera, który zatoczył się, wyszarpując zza pasa nóż. Smuga uderzył jeszcze raz. Bandyta ciężko upadł z rozkrzyżowanymi ramionami. W tej chwili huknął strzał. Smuga przyklęknął oszołomiony; kula otarła się niemal o jego głowę. Natychmiast jednak porwał się znów do walki. Czwarty buszrendżer nie zdążył ponownie nacisnąć spustu. Stary O'Donell skoczył mu na plecy i powalił swym ciężarem na ziemię. Smuga podbiegł do walczących, nogą wytrącił rewolwer z ręki napastnika. Z pomocą Tony'ego i O'Donella obezwładnił bandytę.

— Co się stało z twoim przeciwnikiem. Tony? — zawołał Smuga. — Już związany — padła krótka odpowiedź.

Podbiegli do Tomka. Stał oparty o skałę, przyciskając do piersi sztucer. Przed nim, naprzeciw powalonego Cartera, warował przy ziemi Dingo.

— Tomku, kochany Tomku, już po wszystkim! — mówił Smuga, a zwracając się do Tony'ego dodał:

— Zajmij się Carterem.

— Nie trzeba — lakonicznie odparł Tony.

O'Donell pochylił się nad przywódcą bandy. Po chwili rzekł:

— Do licha! Nigdy nie przypuszczałem, że kawałek drewna może uderzyć z taką precyzją. Carter nie żyje!

— Carter, zły biały człowiek. On chciał zrobić krzywdę mojemu małemu papp<sup>76</sup>. Już nie podniesie więcej ręki na niego — potwierdził Tony, groźnie spoglądając na buszrendżerów.

— Za głowę Cartera wyznaczona jest duża nagroda — poinformował O'Donell.

— Nic mnie to nie obchodzi. Tommy, co tutaj zaszło? — zapytał Tony, obrzucając O'Donella przenikliwym spojrzeniem.

Łagodnym ruchem otoczył chłopca ramieniem i poprowadził ku ognisku. Urywanymi zdaniem Tomek opowiedział wydarzenia minionego dnia. Tony spoglądał na O'Donella przymrużonymi oczami, kiedy Tomek mówił o schwytaniu go przez poszukiwaczy złota.

— Żałujemy swego zachowania, chłopcze — odezwał się stary O'Donell. — Nie mieliśmy zamiaru uczynić ci krzywdy. Jesteśmy biednymi ludźmi. Obawa, że stracimy wszystko, co zdobyliśmy z takim trudem, doprowadzała nas do rozpacz.

— Bieda wyгнаła nas w świat, w poszukiwaniu pracy dotarliśmy aż tutaj — dodał młody O'Donell. — Znaleźliśmy trochę złota, chcieliśmy powrócić do Irlandii, by rozpocząć nowe życie. Czuliśmy, że nasz przygodny towarzysz, Tomson, knuje jakąś podłość. Nigdy nie mieliśmy zamiaru go oszukać.

— Przeczucie nie zawiodło nas. Tomson nasłany był przez Cartera, który potrzebował złota, aby uciekać dalej przed policją — tłumaczył stary O'Donell. — Nie ulega żadnej wątpliwości, że uratowaliście nam życie. Ha,

<sup>76</sup> — Pappa — brat w narzeczu krajowców.

jesteśmy prostymi ludźmi. Nie potrafimy słowami wyrazić naszej wdzięczności. Powiem więc krótko: część złota należąca do Thomsona jest teraz waszą własnością...

— Tylko złoty piasek pozbawił nas rozsądku — gorąco powiedział młody O'Donell.

— Jeśli chodzi o mnie, to nie chcę nic słyszeć o waszym złocie. Pomógłbym wam, gdybyście prosili o to. Szkoda tylko, że nie mieliście zaufania do naszego młodego przyjaciela, który w zamian za złe potraktowanie... przeciął wam więzy, nie zwracając uwagi na własne niebezpieczeństwo — zauważył Smuga suchym tonem.

— „*Mala Głowa*” ma wielkie serce, dlatego też nazywam go moim pappą, czyli bratem. Jego wróg jest moim wrogiem — wtrącił Tony. — Mój bumerang leci jak ptak i dosięgnie każdego, kto wyrządzi Tommy'emu krzywdę.

— Tony, czy ty naprawdę chcesz być moim przyjacielem? — zawołał Tomek, chwytając krajowca za rękę.

— Tony ma tylko jedno słowo. Jestem twoim bratem — poważnie odparł krajowiec, ściskając dłoń chłopca. — Ty nie strzeliłbyś do krajowca jak do dzikiego dingo...

— Och, Tony! Nie potrafiłbym strzelać do człowieka. Nie mogłem nacisnąć cyngla, mierząc do Cartera, chociaż bałem się go więcej niż tygrysa.

— Bardzo się cieszę, że nie doszło do ostateczności — stwierdził Smuga. — Osobiście wolałbym oddać Cartera w ręce policji. Na pewno nie minęłaby go zasłużona kara, tak jak i nie minie jego kompanów, których przekazemy władzom.

O'Donellowie w milczeniu przysłuchiwali się tej rozmowie. Poczucie bezpieczeństwa napełniało ich radością. Starszy z nich, chcąc wyrazić jeszcze raz swą wdzięczność, powiedział:

— Proszę cię, chłopcze, nie miej do nas urazy. Masz długie lata życia przed sobą. Pieniądze na pewno przydadzą ci się w czasie podróży po świecie. Przyjmij część złota. Rano dokonamy podziału.

— Nie, nie! Zatrzymajcie sobie wasze złoto! Tomson i Carter śniliby mi się po nocach, gdyby ono było przy mnie! — zawołał Tomek. — Chciałbym tylko jak najprędzej opuścić ten okropny parów.

— Tommy dobrze mówi. Złoty piasek przynosi niepokój białym ludziom — pochwalił Tony.

— Niestety, Tomku, musimy tutaj przenocować — wyjaśnił Smuga. — Rano zabierzemy buszrendżerów do obozu i oddamy ich policji. Zasłużyli na karę.

— Chłodno tu się zrobiło i... jakoś tak dziwnie... Na pewno nie usnę — odparł Tomek, tuląc do siebie Dingo.

— Wkrótce będzie świt. Posiedzimy przy ognisku do rana — pocieszył go Smuga.

— Nie powiedział mi pan jeszcze, w jaki sposób znaleźliście się tutaj? — zapytał Tomek.

— Jadąc na polowanie na skalne kangury, spotkaliśmy po drodze pięciu mężczyzn o podejrzanym wyglądzie. Podali się za postrzygaczy owiec. Twierdzili, że idą na północ w poszukiwaniu pracy. Pojechaliśmy dalej, kiedy znaleźliśmy się na wysokim pagórku, skąd przebytą drogę było widać jak na dłoni, stwierdziliśmy, że zamiast na północ, udali się oni na południe prosto w kierunku naszego obozu. Obserwowaliśmy ich przez lornetkę, dopóki nie znikli w buszu. Ojciec twój zaczął niepokoić się o ciebie i ludzi pozostawionych w obozie. Zaproponowałem, że pojedę do was i uprzedzę o przebywaniu w okolicy podejrzanych włóczęgów. Tony postanowił mi towarzyszyć, abym nie zmylił drogi. Wzięliśmy Dingo i ruszyliśmy do was. W obozie zastaliśmy naszych dwóch towarzyszy zaniepokojonych twoją nieobecnością. Przypuszczali, że udałeś się za nami. Tony wpadł na myśl, by twoje ślady odszukał Dingo, on też doprowadził nas aż tutaj. Wspięliśmy się na skalny blok, ujrzelśmy powiązanych ludzi i śpiących włóczęgów. Zanim ochłonęliśmy ze zdumienia, podniosłeś się z posłania. Musieliśmy trzymać Dingo, ponieważ wyrwał się do ciebie. Czekaliśmy jedynie na odpowiednią chwilę, aby unieszkodliwić twoich prześladowców. Widzieliśmy, jak rozcinałeś więzy O'Donellowi. Potem jeden z włóczęgów przebudził się, powiedziałeś głośno jego nazwisko, Tony zaraz mi wyjaśnił, że jest to groźny bandyta. Obawiałem się strzelać. Carter stał zbyt blisko ciebie, Dingo podenerwowany twoim głosem wyrwał się z rąk Tony'ego. Nie mieliśmy chwili do stracenia. Tony unieszkodliwił Cartera bumerangiem. Resztę wydarzeń już znasz.



— Czy ojciec nie będzie się niepokoił waszą długą nieobecnością? — zafrasował się Tomek.

— Uprzedziłem go, że możemy przenocować w obozie ze względu na wasze bezpieczeństwo.

— Och, jak to dobrze, że przybyliście na czas! Bałem się bardzo i... nawet teraz tak tu jakoś strasznie...

— Masz najlepszy dowód, że pustkowia australijskie nie są zbyt bezpieczne dla małych chłopców. Z tego względu nie urządź więcej samotnych wycieczek bez uzyskania uprzednio zgody ojca. Czy wyobrażasz sobie, ile sprawiłbyś mu zmartwienia, gdyby ci się stała krzywda? Musisz wykazać więcej zdyscyplinowania wobec ojca, który darzy cię dużym zaufaniem.

— Naprawdę nie chciałem zrobić nic złego. To tak jakoś samo dziwnie się układa — usprawiedliwiał się Tomek.

— Jestem o tym całkowicie przekonany. Musisz jednak zrozumieć, że posłuszeństwo nie oznacza ograniczenia samodzielności. Wszystkich uczestników wyprawy obowiązuje pewna dyscyplina wobec twego ojca, jako naszego kierownika. Czy moglibyśmy zabrać cię na łowy do Afryki, gdybyśmy nie mieli pewności, że zachowasz się rozsądnie?

Tomek zmarszczył brwi rozmyślając nad słowami Smugi. Nie zdawał sobie dotąd sprawy, że postępowaniem swoim nadużywa zaufania. Smuga na pewno pragnął jedynie jego dobra. Nie, nie wolno mu było dopuścić do tego, aby ojciec i tacy przyjaciele jak Smuga i bosman Nowicki przestali mu wierzyć. Spojrzał Smudze prosto w oczy i powiedział:

— Daję słowo, że od tej pory będę powiadamiał ojca o wszystkich moich planach.

— Oczywiście przed ich zrealizowaniem — dodał Smuga.

— Tak, na pewno będę tak robił. Czy pan mi wierzy?

— Wierzę ci, Tomku. Na dowód tego ponawiam moje zaproszenie na wyprawę do Afryki.

— Kiedy tam pojedziemy?

— Prawdopodobnie w przyszłym roku. Mam nadzieję, że przyłożysz się w szkole do nauki, aby zasłużyć na zgodę ojca.

Tomek westchnął ciężko na myśl o szkole, lecz pocieszył się zaraz przypominając sobie wyprawę do Afryki.

— Ha, nie ma rady! Jestem gotów zamienić się nawet w mola książkowego — powiedział. — Ciekaw jestem, na jakie zwierzęta będziemy polowali w Afryce?

— Będą to łowy na grubego zwierza. Kangury oraz dzikie dingo są łagodnymi stworzeniami wobec mieszkańców stepów i dżungli afrykańskich. Znajdziemy tam: słonie, lwy, bawoły, hipopotamy, nosorożce, żyrafy, antylopy, goryle i co tylko dusza łowcy może zapragnąć. Afryka jest dla nas prawdziwą kopalnią złota.

— Czy afrykańscy Murzyni są tak samo łagodni jak rdzenni mieszkańcy Australii? — zapytał Tomek nieufnie zerkając na związanych buszrendżerów.

— Krajowców afrykańskich nie można porównywać z Australijczykami. Wystarczy choćby wspomnieć olbrzymich, wojowniczych Masajów lub karłów–Pigmejczyków używających do walki zatrutych strzał, aby stwierdzić zasadniczą różnicę.

— Czy to znaczy, że następna nasza wyprawa łowiecka do Afryki będzie niebezpieczniejsza od obecnej, australijskiej? — zapytał Tomek.

— Oczywiście i to nie tylko ze względu na wojowniczość niektórych plemion murzyńskich — odparł Smuga.

— Zapewne ma pan na myśli drapieżne zwierzęta — wtrącił chłopiec.

— Tak, to właśnie chciałem powiedzieć — potwierdził Smuga. — Należy dobrze poznać zwyczaje różnych zwierząt i to nie tylko tych drapieżnych, aby uniknąć groźących życiu sytuacji.

— Sądziłem, że niebezpieczeństwo może nam grozić jedynie ze strony drapieżników.

— Myliłeś się, bo na przykład podstępny i na pozór ociążały bawół afrykański często staje się o wiele groźniejszy od drapieżnego lwa — wyjaśnił Smuga. — Jeśli nie trafisz celnie za pierwszym strzałem i on umknie jedynie raniony, wtedy sam zaczyna iść śladami za myśliwym, a jego nieoczekiwany atak przeważnie kończy się śmiercią łowcy.

— Proszę, niech mi pan więcej opowie o różnych afrykańskich zwierzętach!

Tomek z zaciekawieniem przysłuchiwał się wyjaśnieniom. Wkrótce zapomniał o walce z buszrendżerami. Dopiero tuż przed świtem oparł głowę na Dingo, z zaciśniętą dłonią na lufie sztucera zasnął, marząc o niezwykłych przygodach na Czarnym Łądzie.

Smuga z uśmiechem spoglądał na śpiącego chłopca. Przypomniały mu się jego młode lata, kiedy to głód przygód pchnął go do włóczęgi po świecie. Od tej pory tak się jakoś dziwnie składało, że gdzie się tylko pojawił, niebezpieczeństwa wyrastały jak grzyby po deszczu. Przywykł więc do nich i traktował je jak chleb powszedni. Łowienie dzikich zwierząt najbardziej odpowiadało jego naturze. Stanowczością i łagodnością ujarzmił najdziksze bestie. Chociaż był niezawodnym strzelcem, zabijał zwierzęta jedynie w przypadku ostatecznej konieczności. Smuga dojrzał żal w oczach Tomka po zastrzeleniu tygrysa na statku. Tym głównie zyskał chłopiec jego zaufanie i przyjaźń.

Wytrawny łowca wyczuwał w Tomku pasję poszukiwania przygody. Dowodem tego były przeżycia w czasie australijskiej wyprawy. Powątpiewał więc, czy Tomek zdoła dotrzymać przyrzeczenia, które złożył pod jego silnym naciskiem. Przecież chodziło jedynie o bezpieczeństwo Tomka. Uczestnicy ekspedycji uważali chłopca niemal za amulet przynoszący wszystkim szczęście. To on uratował Smugę, zabijając tygrysa, on nakłonił krajowców do wzięcia udziału w obławie na kangury i strusie emu, to Tomek odnalazł małą Sally zagubioną w buszu, a teraz wybawił poszukiwaczy złota od niechybnej śmierci. Za Tomkiem kroczyła przygoda w najszlachetniejszym znaczeniu tego słowa. Najtrafniej określił go Tony: Tomek miał wielkie serce i ono zjednywało mu wszędzie przyjaciół.

Chłopiec spał głębokim snem; Smuga przerwał swe rozmyślenia. Postanowił oszczędzić Tomkowi przykrego widoku rozrachunku z buszrendżerami, dlatego też zdecydował się pozostawić śpiącego chłopca w parowie pod opieką rannego młodego poszukiwacza złota i powrócić po niego już po odwiezieniu bandytów do najbliższego osiedla. Bezszelestnie powstał z ziemi. W jego wzroku nie było już łagodności.

— Tony! Tomek zasnął nareszcie — zawołał cicho. — Teraz możemy zająć się bandytami. Odstawimy ich do najbliższego osiedla.

Nie tracąc czasu rozwiązywali buszrendżerów, polecając im sporządzić nosze z gałęzi, które były potrzebne do przeniesienia dwóch zabitych bandytów do osiedla. Wkrótce buszrendżerzy umieścili martwych towarzyszy na noszach. Pod eskortą Smugi, Tony'ego i starszego O'Donella wyruszyli do obozu łowców. Stamtąd mieli dalej udać się wozem.



## NA GÓRZE KOŚCIUSZKI

Co pewien czas Tomek niecierpliwie spoglądał w kierunku pasma górskiego. Oczekiwał powrotu ojca z polowania na skalne kangury. Nie opuszczał obozu od chwili wyjazdu Smugi i Tony'ego. Dotrzymywał danego przyrzeczenia, skracając sobie czas doglądaniem zwierząt. W wolnych chwilach badał przez lornetkę pobliskie góry, aby wcześniej wypatrzeć powracających.

Dwa dni upłynęły od niebezpiecznej przygody z buszrendżerami. Smuga osobiście odwiózł ich do najbliższego osiedla, gdzie przypadkowo natrafił na patrol konnej policji. Przedstawiciele prawa spisali protokół stwierdzający śmierć Cartera, po czym pochowali obydwóch zabitych bez jakichkolwiek ceremonii. Pozostałych przy życiu bandytów zabrali zakutych w kajdany do miasta, nie było więc obawy, aby minęła ich zasłużona kara. Smuga po spełnieniu obowiązku powrócił do obozowiska poszukiwaczy złota. O'Donell pragnął jak najszybciej opuścić parów, lecz było to niemożliwe ze względu na syna. Smuga przywiózł podróżną apteczkę i pomógł w opatrzeniu rannego. Nie tracąc już więcej czasu odprowadził Tomka do obozu na polance, a sam powrócił do polujących na skalne kangury. Tony nie brał udziału w odwożeniu buszrendżerów do osiedla. Na polecenie Smugi miał odszukać w górach Wilmowskiego, by go powiadomić o tych niezwykłych wydarzeniach.

W ten sposób chłopiec znów pozostał w obozie z dwoma marynarzami i oczekiwał powrotu ojca. Cierpliwość jego była wystawiona na długą próbę. Polowanie przeciągało się; łowcy przebywali poza obozem sześć dni. Tomek pierwszy dojrzał powracających. Dosiadł pony i wyruszył im na spotkanie. Wkrótce mocno uściskał ojca. Ze skruszoną miną czekał na słuszną naganę. Tymczasem Wilmowski, poinformowany przez Smugę o przebiegu wydarzeń, nie miał zamiaru gniewać się na niego.

— Jak też czuje się twój ranny poszukiwacz złota? — zapytał po przywitaniu.

— Nie wiem, tatusiu, lecz mam nadzieję, że jest już zdrowszy — odparł Tomek ucieszony, że ojciec nie robi mu wyrzutów.

— Dlaczego nie odwiedziłeś go przez tyle dni?

— Hm, prawdę mówiąc, miałem ochotę to uczynić, ale przyrzekłem panu Smudze, że więcej nie będę opuszczał obozu bez twego zezwolenia. Wobec tego doglądałem zwierząt oczekując na wasz powrót.

— Wydaje mi się, że powinienesz zajrzeć do nich, aby dowiedzieć się, czy nie potrzebują naszej pomocy.

— Może udalibyśmy się tam razem? — zaproponował Tomek.

— Jestem przekonany, że oni pragną uniknąć wszelkiego rozgłosu. Lepiej sam wybierz się do nich i zapytaj, czy przypadkiem nie potrzebują czegoś od nas.

Tego dnia Tomek nie zdążył odwiedzić O'Donellów. Oglądanie złowionych przez towarzyszy zwierząt wypełniło mu czas do zachodu słońca. Oprócz małych, zwinnych skalnych kangurów schwytali oni dwie jaszczurki płaszczowe<sup>77</sup>. Gady te, dochodzące do długości jednego metra, miały na głowie oraz szyi fałd skórnny, do złudzenia przypominający duży kołnierzyk. Biegały na tylnych łapach jak kangury. Złowiono również kilka molochów<sup>78</sup>, o ciałach okrytych kolczastymi wyrostkami skórnymi, węża-tygrysa, łuskonoga oraz parę ptaków zwanych zimorodkami olbrzymimi lub kookaburrami. Te ostatnie przypomniały Tomkowi O'Donellów. Przecież to kookaburra swoim denerwującym chichotem zdradziła wtedy poszukiwaczom złota jego obecność. Niestety, było już zbyt późno na wycieczkę do parowu. Tomek postanowił udać się tam następnego ranka. Miała to być jego pożegnalna wizyta u O'Donellów, ponieważ łowy na zwierzynę australijską dobiegały końca. W zamian za niedźwiadki koala oraz kilka skalnych kangurów Bentley zobowiązał się dostarczyć łowcom szereg gatunków ptaków australijskich, które w nadmiarze mnożyły się w ogrodzie zoologicznym w Melbourne.

Nazajutrz w godzinach przedpołudniowych Tomek osiodłał pony i razem z Dingo wyruszył do parowu. Bez przeszkód dotarł do skalnego bloku zagradzającego drogę, za którym znajdował się obóz poszukiwaczy złota. Przywiązał pony do drzewa, po czym wspiął się na skałę. Jednocześnie z Dingo wychylił głowę, spoglądając ciekawie za załom parowu. O'Donellowie siedzieli przy ognisku. Smażyli ryby złowione w strumieniu. Tomek zsunął się ze skały i podbiegł do nich.

<sup>77</sup> — *Chlamydosaurus kingi* — żyje przeważnie na drzewach.

<sup>78</sup> — *Moloch horridus*

— Oho, mamy miłego gościa! — zawołał starszy O'Donell na jego widok. — Myślałem, że pogniewałeś się na nas. Cieszę się mogąc pożegnać się z tobą przed wyjazdem z Australii.

— Przyjechałem dowiedzieć się, czy nie potrzebujecie od nas pomocy. Widzę, że syn pana czuje się znacznie lepiej — odparł Tomek.

— Rana goi się dobrze. Jutro wyruszamy do Sydney, skąd odpływają statki do Europy. Wracamy w rodzinne strony, do Irlandii. Dzięki tobie powrócimy tam zaopatrzeni w pieniądze konieczne do rozpoczęcia nowego życia.

— My również wkrótce opuścimy Australię — wyjaśnił Tomek. O'Donellowie okazywali mu swą wdzięczność na każdym kroku. Spożył z nimi śniadanie, a później czas szybko mijał im na rozmowie. Dopiero po dwóch godzinach Tomek zaczął zbierać się do powrotu do obozu. W czasie pożegnania stary O'Donell był bardzo wzruszony. Przytrzymał dłużej dłoń Tomka i powiedział:

— Przygotowałem dla ciebie skromną pamiątkę. Zaciekawi cię ona na pewno jako swego rodzaju osobliwość. Otóż w parowie tym znalazłem oryginalną glinę zmieniającą swój kolor po zanurzeniu w morskiej wodzie. Poznasz po jej ciężarze, że nie jest to zwykła ziemia.

O'Donell wygrzebał z plecaka kawał gliny wielkości pięści dorosłego mężczyzny. Owinął ją dokładnie w kraciastą chustkę.

— Przyrzeknij mi, że nie pokażesz jej nikomu do chwili zanurzenia w morskiej wodzie. Sprawisz tym sobie niespodziankę, a mnie wielką przyjemność. Dobrze? — poprosił O'Donell.

— Jeśli panu na tym zależy, to mogę obejrzeć ten podarunek dopiero na statku, gdzie będę, miał morskiej wody pod dostatkiem.

— Jestem przekonany, że taki dżentelmen jak ty zawsze dotrzymuje słowa.

Tomek z trudem tłumił wesołość. Jaki śmieszny był ten staruszek! Dlaczego mówił z taką powagą o bryle gliny? Nie miał zamiaru pozbawiać go przyjemności. Wziął więc zawiniątko i z trudem wepchnął je do kieszeni spodni.

— Nie zgub tylko — upominał O'Donell. — Sprawci ci ona nie lada niespodziankę.

— Bardzo dziękuję. Na pewno nie zgubię — przyrzekł Tomek, żegnając poszukiwaczy złota.

Ruszył w powrotną drogę. Ciężki kawał gliny zawadzał mu w kieszeni. Zaledwie przybył do obozu wrzucił zawiniątko do walizy i natychmiast o nim zapomniał.

Najbliższe dni łowcy spędzili bardzo pracowicie. Przygotowywali klatki dla zwierząt i gromadzili zapasy pożywienia. W końcu przygotowania do drogi zostały ukończone. Pewnego dnia o świcie zwinęli obóz i ruszyli na południe. Ze względu na dużą liczbę złowionych zwierząt mogli posuwać się naprzód bardzo powoli. Zatrzymywali się co pewien czas na dłuższe wypoczynki. Częste oczyszczanie klatek oraz gromadzenie żywności pochłaniało wiele czasu, lecz dbałość o higienę zwierząt przynosiła dobre wyniki. Czworonożni więźniowie czuli się w niewoli prawie znośnie. Niektóre zwierzęta zdążyły się już nawet zaprzyjaźnić z łowcami.

Nadchodził koniec listopada. Upał dawał się podróżnikom mocno we znaki. Wilmowski z niepokojem czekał na najgorętszy w Australii miesiąc lata, który miał rozpocząć się już za kilka dni. Nieliczne rzeczki napotymane u podnóża wzgórz wysychały coraz bardziej, trawa żółkła niemal w oczach, a ziemia twardniała i pękała z gorąca. Obawy Bentleya, że lato będzie suche, sprawdzały się w pełni.

W końcu, po nadzwyczaj męczącej jeździe, wyprawa dotarła do brzegu rzeki. Według Bentleya była ona jednym z dopływów Murrayu. O dwa dni jazdy w dół rzeki znajdowała się stacja kolejowa. Tym samym zaopatrzenie w wodę było już zabezpieczone. Ze względu na zmęczenie koni ciągnących wozy Wilmowski zarządził kilkudniowy postój. Rozbicie obozu i wyładunek klatek ze zwierzętami zajęły łowcom prawie całe popołudnie.

Tuż przed wieczorem Tomek postanowił wykąpać się w rzece. Zrzucił ubranie i razem z Dingo pławił się w ciepłej wodzie. Brodzili przy brzegu. Naraz gniewne warknięcie psa zwróciło jego uwagę. Dingo wypatrzył jakieś dziwne zwierzątko i płynął teraz ku niemu z całych sił. Tomek pobiegł za nim. Ujrzał wynurzającą się z wody część grzbietu pokrytą sierścią i głowę zakończoną dziobem zupełnie podobnym do kaczego. Przypomnił sobie zaraz, że Smuga w drodze z Warszawy do Triestu opowiadał mu o podobnych zwierzątkach zamieszkujących Australię.



— Na pomoc! Dziobak! — krzyknął na wszelki wypadek, gdyż nie był pewny, czy nieznanne zwierzątko nie zrobi mu krzywdy.

Zanim łowcy nadbiegli, dziobak dał nura przy samym brzegu, machnąwszy ogonem tuż przed pyskiem Dingo. Pies zniknął za nim pod wodą, lecz po chwili wypłynął głośno prychając.

— Co się stało? — zawołał z niepokojem Wilmowski, zatrzymując się na brzegu rzeki.

— Widziałem dziobaka! Dingo chciał go chwycić, ale schował mu się pod wodą przy samym brzegu — wyjaśnił Tomek podnieconym głosem.

— Jak wyglądało to zwierzę? — zapytał Bentley.

— Miało taki sam dziób jak kaczka.

— Możliwe, że był to dziobak. O zmroku zazwyczaj wychodzą z nor w poszukiwaniu pożywienia. Gdzie on się schował? — dopytywał się Bentley.

— Tutaj, przy samym brzegu.

— Pomacaj ręką, czy przypadkiem nie natrafisz na otwór prowadzący do jego nory — doradził Smuga.

Tomek zbliżył się do brzegu. Po chwili zawołał:

— Tak, tak! Jest jakaś dziura w ziemi!

— Niezła okazja! Czy nie uważacie, że warto by zapolować na dziobaki? — zagadnął Bentley.

— Nie słyszałem, aby nadawały się one do chowu w niewoli — zauważył Wilmowski. — W każdym razie żaden ogród zoologiczny nie może poszczycić się dotychczas takim żywym okazem.

— To prawda, że dziobaki bardzo źle znoszą niewolę. Nie znamy prawdopodobnie odpowiednich sposobów umożliwiających ich hodowlę. Jedynie krajowcy chwytają je dla ich mięsa i futerek, z których sporządzają sobie czapki — dodał Bentley.

— Byłby to nie lada sukces przewieźć żywego dziobaka do Europy — wtrącił Smuga.

— Spróbujmy, skoro nadarza się okazja — zdecydował Wilmowski.

— Wobec tego zaraz przyniosę odpowiedni sprzęt — powiedział Bentley.

Powrócił wkrótce z siecią przypominającą wyglądem długi rękaw przymocowany do drewnianej obręczy. Razem ze Smugą umocowali obręcz

pod wodą przy otworze prowadzącym do nory. Założywszy sieć, łowcy powrócili do obozu.

Wieczorem przy ognisku Wilmowski omówił z Bentleyem warunki wymiany niektórych schwytanych zwierząt na ptaki australijskie, licznie reprezentowane w ogrodzie Towarzystwa Zoologicznego w Melbourne. Uzgodnili ostatecznie, że za kilka skalnych kangurów i dwa niedźwiadki koala Bentley, jako dyrektor ogrodu zoologicznego, dostarczy Wilmowskiemu okazy pierzastego świata Australii. Było to korzystne dla Wilmowskiego, umożliwiało mu bowiem znacznie wcześniejsze zakończenie łowów. Tym samym ostatnim etapem długiej wędrówki po Australii miało już być miasto Melbourne, stolica stanu Wiktorja. Stosownie do umowy kapitan Mac Dougal powinien przybyć tam na „*Aligatorze*” w ciągu najbliższych dni.

Po dokonaniu zamiany oraz załadowaniu na statek zwierząt schwytanych w ciągu ostatnich tygodni wyprawa miała wyruszyć z Melbourne do Europy.

Łowcy musieli jakiś czas zatrzymać się w Melbourne, rodzinnym mieście Bentleya. Zoolog cieszył się z tego. Polubił swych nowych polskich przyjaciół i pragnął ich przedstawić swej matce. Podczas dalszej rozmowy wspomniał, że obecne ich obozowisko znajduje się w odległości zaledwie osiemdziesięciu kilometrów od Góry Kościuszki. Wilmowski, gdy tylko to usłyszał, zapytał natychmiast, ile czasu zajęłaby im wycieczka w Alpy Australijskie.

— Wydaje mi się, że pięć dni powinno wystarczyć na wyprawę na Górę Kościuszki — odparł Bentley. — Możemy sobie chyba na to pozwolić, gdyż i tak postój nasz, ze względu na zmęczenie zwierząt, musi potrwać około tygodnia.

— Och tak, tak! Musimy ujrzeć górę odkrytą przez Strzeleckiego — prosił Tomek.

— Warto wykorzystać okazję — poparł go bosman Nowicki.

— Uczymy chociaż w tak skromny sposób pamięć naszego zasłużonego rodaka — dodał Smuga.

— Tony zna dobrze najkrótszą drogę, to jego rodzinne strony — wyjaśnił Bentley.

— Nie ma się co zastanawiać. Jutro w południe wyruszamy na wycieczkę na Górę Kościuszki — zgodził się Wilmowski ku uciesze syna.

Zaraz też ułożyli się do snu, aby należycie wypocząć przed drogą. Zaledwie zajaśniał dzień, Tony zaczął pakować sprzęt obozowy, a

Wilmowski, Smuga, Bentley i Tomek udali się nad rzekę, aby sprawdzić wynik łowów na dziobaki. Po wydobyciu sieci z wody ujrzeli w niej dwa dziwne zwierzątka porośnięte gęstą brązową sierścią. Każde z nich nie przekraczało długości sześćdziesięciu centymetrów łącznie z krótkim ogonkiem. Tomek stwierdził, że zamiast pysków miały one, tak jak już słyszał uprzednio od Smugi, szerokie, skórzaste dzioby podobne do kaczych, a palce ich bardzo krótkich nóg połączone były dobrze rozwiniętą błoną pływającą. Bentley wyjaśnił, że obserwacje życia, odżywiania się i rozmnażania dziobaków były dotychczas zupełnie jeszcze niewystarczające. Za ledwie przy końcu dziewiętnastego wieku stwierdzono, że dziobaki składają małe jaja w skorupie podobnej do jaj węzów. Młode, jak wszystkie ssaki, karmią się mlekiem matki, które wypływa z sutek na jej brzuchu.

— W jaki sposób będziemy przewozili dziobaki? — zapytał Tomek, przyglądając się oryginalnym zwierzętom.

— Umieścimy je w koszach wymoszczonych rzeczonymi wodorostami — odparł ojciec. — Na „*Aligatorze*” urządzimy im mały basen z wodą.

— Nie miejcie zbyt wielkich nadziei na dowiezenie ich do Europy — odezwał się Bentley. — Na pewno zdechną, zanim ujrzą ogród zoologiczny.

— Może się nam poszczęści — wtrącił Tomek.

— Zrobimy wszystko, co będzie w naszej mocy, aby podróż jak najmniej dała się im we znaki — powiedział Wilmowski.

Powrócili z dziobakami do obozu i zajęli się przygotowaniem dla nich odpowiedniego pomieszczenia. Około południa gotowi byli do wyprawy na Górę Kościuszki. Aż do zachodu słońca jechali prosto na wschód. Następnego dnia o świcie ruszyli w dalszą drogę. Upał stawał się coraz dotkliwszy. Odetchnęli z ulgą, gdy około południa poczuli ożywczy, chłodny wiatr, wiejący od pobliskiego już, wysokiego łańcucha górskiego. Wkrótce wjechali w dolinę wijącą się między łagodnymi wzgórzami. Tony znał doskonale okolicę i bez wahania wybierał coraz to dziksze, kręte ścieżki. Po kilku godzinach drogi dotarli do dosyć rozległej, głębokiej kotliny otoczonej wysokimi szczytami. Tony zatrzymał konia nad brzegiem wartko płynącego strumienia.

— Ależ to niespodzianka! W górach Australii śnieg pada w lecie — zdziwił się Tomek spoglądając na ubielone szczyty.

— Byłem pewny, że widok śniegu w tym gorącym kraju sprawi wam nie mniejszą przyjemność niż Góra Kościuszki — powiedział Bentley. — W Alpach Australijskich śnieg pada od maja do listopada, co stanowi nie lada urozmaicenie dla mieszkańców wschodniego wybrzeża. Toteż Góra Kościuszki jest dla Australijczyków ulubionym miejscem wycieczek.

— Czy widać już stąd Górę Kościuszki? — zagadnął Tomek.

— Spójrz na znajdujący się przed nami ostry szczyt całkowicie pokryty śniegiem. To jest właśnie Góra Kościuszki — wyjaśnił Bentley.

Skalisty, pokryty wiecznym śniegiem szczyt dominował nad kilkoma innymi wzniesieniami masywu. Była to Góra Kościuszki odkryta i nazwana przez Strzeleckiego imieniem polskiego bohatera narodowego. Grupa Polaków w milczeniu spoglądała na zrab górski. Ze wzruszeniem uzmysławiali sobie, że to właśnie ich rodak odkrył te nie znane przed nim góry na australijskim kontynencie. Bentley musiał odgadnąć uczucia przeżywane przez swych towarzyszy. Oparł dłoń na ramieniu Tomka i odezwał się:

— Sześćdziesiąt dwa lata temu Strzelecki rozpoczął największą swoją wyprawę. Z doliny rzeki Murray dotarł z zachodu do Alp Australijskich. Kto wie, czy właśnie z tego miejsca, na którym stoimy, nie spoglądał wówczas na Górę Kościuszki? Z jednym tylko przewodnikiem odbył trudną i niebezpieczną wspinaczkę na najwyższy szczyt, niosąc przyrządy pomiarowe na własnych plecach.

— Dlaczego Strzelecki sam niósł przyrządy? — zapytał Tomek.

— Przed przybyciem Strzeleckiego koloniści nie znali tych okolic — wyjaśnił Bentley. — Nie było tu wtedy dróg ani ścieżek. Dzisiaj można dotrzeć końmi niemal na sam szczyt Góry Kościuszki<sup>79</sup>, lecz kilkadziesiąt lat temu Strzelecki wspinał się w najtrudniejszych warunkach. Był przecież pierwszym białym człowiekiem, który dotknął stopą nieznaną gór. Wspinaczka nie była łatwa, tym bardziej, że sam niósł przyrządy, aby uchronić je przed ewentualnym uszkodzeniem. Ten właśnie ostry szczyt wydał mu się najdogodniejszym miejscem do dokonania pomiarów. Przekonamy się sami, jak rozległy widok roztacza się z Góry Kościuszki.

Nasi podróżnicy zatrzymali się na nocleg na brzegu strumienia. Przy obozowym ognisku długo jeszcze rozmawiali o wybitnym polskim

---

<sup>79</sup> — Wysokość Góry Kościuszki wynosi 2245 m.

podróżniku, badaczu Nowej Południowej Walii. Późnym wieczorem, układając się do snu, otulili się szczelnie kocami, ponieważ noc była chłodna.

Wczesnym rankiem znowu dosiedli koni. Tony kluczył, aby dotrzeć do szczytu góry od wschodniej strony. Wreszcie odnalazł dość szeroką ścieżkę, po której konie mogły już piąć się bez trudu. Zaledwie kilkaset metrów od szczytu zsiadli z wierzchowców. Pozostawili je pod dozorem tropiciela. Bentley poprowadził Polaków na sam szczyt. Kiedy dotarli do ostatecznego celu, zatrzymali się zdumieni. Roztaczał się stąd wspaniały, niczym nie zmacony widok, obejmujący rozległą przestrzeń około osiemnastu tysięcy kilometrów kwadratowych. W dali na wschodzie, mimo odległości osiemdziesięciu kilometrów, widoczne było morskie wybrzeże. Bezpośrednio pod nimi ciągnęły się niższe pasma, kręte, przepaściste doliny rzeki Murray oraz jej dopływu Murrumbidgee.

— Więc to tutaj musiał zapewne Strzelecki rozmyślać o Kościuszcze, skoro ten szczyt nazwał jego imieniem — odezwał się Tomek do stojącego obok niego Bentleya.

— Dla ścisłości muszę ci coś wyjaśnić, Tomku — odparł Bentley. — Strzelecki nadał miano Góry Kościuszki temu sąsiedniemu szczytowi, uznając go za najwyższe wzniesienie Australii. Dopiero w kilkadziesiąt lat później zoolog austriacki Lendenfeld, badając te okolice i dysponując nowocześniejszymi przyrządami, stwierdził, że ten właśnie szczyt jest wyższy o kilka metrów od góry uznanej przez polskiego podróżnika za najwyższą. Największą więc górę nazwał na cześć austriackiego geodety Mount Townsend, a Górę Kościuszki przemianował na Mount Muller dla upamiętnienia niemieckiego przyrodnika. Mimo to mieszkańcy Australii, po stwierdzeniu słuszności pomiarów Lendenfelda, przenieśli nazwę Góry Kościuszki na najwyższy szczyt, a nazwę Mount Townsend nadali górze odkrytej uprzednio przez Strzeleckiego, właściwego odkrywcę tych gór. W ten sposób Australijczycy uszanowali intencję Polaka<sup>80</sup>.

---

<sup>80</sup> — W 1939 roku Polacy osiedleni w Australii utworzyli komitet do przygotowania uroczystych obchodów z okazji setnej rocznicy odkrycia Góry Kościuszki przez Polaka Pawła Strzeleckiego w Alpach Australijskich. Do komitetu tego również przystąpił rząd Nowej Południowej Walii oraz szereg osobistości australijskich. 17 lutego 1940 roku podczas uroczystości centralnej na Górze Kościuszki, w obecności przedstawicieli rządu Nowej Południowej Walii, nastąpiło odsłonięcie pamiątkowej tablicy, ufundowanej ze składek młodzieży szkolnej. Tablica wykonana z brązu została umieszczona na granitowym cokole. Napis na tablicy w języku angielskim podaję w całości poniżej we własnym

— No tak, szanowny panie! Takiemu Lendenfeldowi nie w smak było, że jakiś tam Polak odważył się uprzedzić Niemiaszków w odkryciu najwyższej góry w tym kraju — odezwał się ironicznie bosman Nowicki. — Dobrze to świadczy o Australijczykach, że nie zapomnieli, co uczynił dla nich nasz rodak.

— Zapomnieć o zasługach Strzeleckiego byłoby czarną niewdzięcznością — gorąco powiedział Bentley. — Pomijając już to, że wszystkie swe badania przeprowadzał własnym kosztem, narażał się on przecież dla dobra mieszkańców tego kraju, ryzykując wielokrotnie życie. Badanie Gór Błękitnych, które przez przeszło ćwierć wieku uniemożliwiały poznanie wnętrza kontynentu, było bodaj więcej niebezpieczne niż przebycie Alp Australijskich i przebijanie się później w kierunku Melbourne przez morderczy skrob.

— Nie wyobrażam sobie, aby w Górach Błękitnych mogło grozić tak odważnemu podróżnikowi jeszcze większe niebezpieczeństwo niż podczas tego okropnego przedzierania się przez skrob, o którym pan opowiadał nam w czasie polowania na dingo — powiedział Tomek z niedowierzaniem.

Bentley uśmiechnął się do czupurnego chłopca i wyjaśnił:

— A jednak tak było, drogi Tomku! Między poszczególnymi pasmami Gór Błękitnych leżą bezdenne rozpadliny, głębokie wąwozy i straszne przepaście, otoczone potężnymi skalnymi ścianami. Zejście do tych wąwozów jest nawet i dzisiaj pełne niebezpieczeństw. Dla poparcia mych słów powiem ci, że jeden z mierniczych australijskich, Dixon, chciał dotrzeć do góry Hay w Górach Błękitnych. W tym celu odważnie zagłębił się w dolinę rzeki Grose, która wówczas nie była jeszcze przez nikogo zbadana. Po czterodniowym błędzeniu po wąwozach z największym trudem, i to zupełnie przypadkowo, wydostał się ze zwodniczych labiryntów, wyczerpany do ostatnich granic wytrzymałości ludzkiej, nie docierając w ogóle do zamierzonego celu. Strzelecki znał straszne niebezpieczeństwo, na jakie naraził się Dixon, a mimo to bez wahania rozpoczął badania w dolinie rzeki Grose i dokonał tego, czego

---

przekładzie polskim: Z Doliny Rzeki Murray Polski Badacz Paweł Edmund Strzelecki wspiął się na te Alpy Australijskie 15 lutego 1840. „Szczyt skalisty i nagi przewyższający kilka innych” wspominał Strzelecki „wywarł na mnie tak wielkie wrażenie przez podobieństwo do kopca wzniesionego w Krakowie nad grobem patrioty Kościuszki, że choć w obcym kraju, na obcej ziemi, lecz wśród wolnego ludu, który cenił wolność i jej atrybuty, nie mogłem powstrzymać się od nadania górze nazwy Góra Kościuszki.”

nie udało się osiągnąć dzielnemu mierniczemu. Wtedy właśnie omal nie stracił życia wraz z towarzyszącymi mu krajowcami. Już u stóp góry Hay zaskoczyła ich burza deszczowo–gradowa. Niewiele brakowało, żeby zamarзли na śmierć. Nawet zaprawieni w takich wędrówkach krajowcy stracili orientację i padali z wycieńczenia. Jedynie nieomylny podróżniczy instykt Strzeleckiego wybawił ich wszystkich od śmierci. Strzelecki znalazł w najtragiczniejszej chwili wyjście z labiryntu. Kiedy zdawało się, że nic już nie uchroni ich od zamarznięcia, natrafili na osiedle samotnego hodowcy owiec.

— Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Strzelecki był nadzwyczaj odważnym i pełnym poświęcenia człowiekiem — odezwał się Wilmowski. — Uczcijmy teraz chwilą milczenia pamięć naszego zasłużonego rodaka.

Podróżnicy odkryli głowy. Stali w skupieniu na ośnieżonym skalnym szczycie. Dopiero po dłuższej chwili Wilmowski pierwszy nałożył kapelusz, po czym wolno ruszył ku ścieżce.

Reszta mężczyzn wraz z Tomkiem udała się za nim w dół zbocza.

Po krótkiej wędrówce odnaleźli Tony’ego pilnującego wierzchowców i jeszcze wieczorem dotarli do strumienia, przy którym, jak poprzedniego dnia, zatrzymali się na nocleg. O wschodzie słońca wyruszyli rażno w drogę powrotną do obozu, dokąd przybyli bez większych przeszkód.





## TAJEMNICA STAREGO O'DONELLA

W obozie powitało łowców radosne szczekanie Dingo. Zaledwie Tomek zeskoczył z pony, pies już łasił się u jego nóg. Machając puszystym ogonem domagał się zadośćuczynienia za nudę w czasie rozłąki. Tomek nie zabrał swego ulubieńca na forsowną wycieczkę w góry. Uradowany teraz gorącym przyjęciem postanowił zabawić się z nim na brzegu strumienia. Zaraz też rozpoczęli wesołą gonitwę. Wkrótce Tomek rozgrzany bieganiem zrzucił ubranie i razem z psem wskoczył do wody. Dopiero po dwóch godzinach hasania, zmęczeni, lecz zadowoleni z siebie, legli na ziemi w pobliżu zarośli. Tomek wyjął mały srebrny zegarek, który otrzymał na pamiątkę od wujostwa Karskich w dniu wyjazdu z Warszawy. Była dopiero trzecia po południu.

„*Prześpię się trochę*” postanowił, kładąc zegarek obok siebie na ubraniu.

Niebawem zasnął zmęczony. Po jakimś czasie zbudziło go gwałtowne ujadanie Dingo. Rozgniewany pies biegał opodal zarośli spoglądając w górę, czekał bez przerwy. Tomek chciał sprawdzić, jak długo trwała jego drzemka, sięgnął po zegarek. Zdziwiony nie mógł znaleźć go tam, gdzie przed zaśnięciem położył. Przeszukał kieszenie, rozejrzał się po ziemi, lecz zegarek zniknął jak kamfora. Wtedy dopiero zwrócił uwagę na dziwne zachowanie Dingo.

„*Na pewno ktoś podkradł się w czasie mego snu i zabrał zegarek — pomyślał Tomek. — Złodziej zapewne czmychnął w busz i dlatego Dingo tak się denerwuje.*”

Zaniepokojony pobiegł do obozu. Po chwili powrócił z przyjaciółmi.

— Kto mógłby zabrać twój zegarek na tym pustkowiu — zastanawiał się Bentley, obserwując Dingo. — Nie ulega wątpliwości, że pies widział złodzieja. Dlaczego pozwolił mu odejść?

Tony nie tracił czasu na rozmowy. Lustrował ziemię, wypatrując tropów domniemanego sprawcy kradzieży.

Wkrótce przerwał poszukiwania mówiąc:

— Widzę tylko ślady chłopca i psa.

— Więc kto zabrał mój pamiątkowy zegarek? — denerwował się Tomek. — Przecież Dingo biega bez przerwy przy zaroślach. Tam też prawdopodobnie skrył się złodziej!

— Tomek dobrze mówi — potwierdził Tony. — Złodziej na pewno ukrył się w buszu.

— Tony, ktokolwiek zabrałby zegarek, musiałby pozostawić jakieś ślady na ziemi — powiedział Wilmowski. — Tymczasem, jak sam mówisz, poza Tomkiem i Dingo nie było tutaj nikogo.

— Gdyby złodziej chodził po ziemi, Dingo nie pozwoliłby zabrać zegarka — odparł tropiciel.

— Tony, czy podejrzewasz już kogoś? — dopytywał się Tomek podniecony słowami tropiciela.

— Myślę, że mały złodziej miał skrzydła i Dingo go widział — wyjaśnił Tony.

Łowcy zdziwieni spojrzeli na tropiciela, Bentley pierwszy zorientował się w sytuacji.

— Czy posądzasz o kradzież ptaki altanowe<sup>81</sup>? — zapytał.

— Tak właśnie myślę — odpowiedział Tony.

— Dingo naprawdę denerwuje się na widok ptaków — wtrącił Wilmowski. — Czyżby one mogły zabrać zegarek?

— Jest to bardzo prawdopodobne — rzekł Bentley. — Ptaki te budują w zaroślach małe ogródki z altankami, które przyozdabiają kwiatami, piórkami, muszelkami oraz wszelkimi błyskotkami. Tubylcy dobrze znają ich upodobania. Jeżeli zginie im jakikolwiek błyszczący przedmiot, przede wszystkim szukają go w pobliskich ogródkach ptaków altanowych.

— Zdaje mi się, że brak śladów oraz zachowanie się Dingo potwierdza przypuszczenie Tony'ego — wtrącił Smuga.

— To jest możliwe — dodał Bentley. — Ptak porwał zegarek i wzniósł się ponad zarośla. W ten sposób Dingo stracił ślad. Denerwuje się, że nie może ścigać złodzieja.

— Jeśli tak jest w rzeczywistości, to już nigdy nie odzyskam mego zegarka, do którego tak bardzo się przyzwyczailem — powiedział Tomek z żalem.

— Nie trać nadziei — pocieszył go Bentley. — Krajowcy australijscy potrafią tropić nawet ptaki i pszczoły w locie, a przecież Tony jest naprawdę mistrzem w swoim zawodzie. Obserwuj tylko jego zachowanie.

---

<sup>81</sup> — Altanniki (*Ptilonorhynchus violaceus*) zamieszkują znaczną część Australii.

Tony stał wyprostowany, śledząc przez pewien czas czujnym wzrokiem ptaki fruujące nad zaroślami, po czym, spoglądając stale na nie, począł zagłębiać się powoli w niski busz. Szedł naprzód, przystawał, zbaczał, zawracał, aż w końcu pochylił się i znikł wśród krzewów. Dopiero po dłuższej chwili powrócił na polanę. zaproponował łowcom, aby udali się za nim. Wilmowski mocno ujął Dingo za obrozę; wszyscy ruszyli za Tonym. Uszli nie więcej niż pięćdziesiąt kroków, bowiem tropiciel zatrzymał się przed dużą kępą krzewów. Ruchem ręki nakazał milczenie, pochylił się i rozsunął gałęzie. Tomek pośpiesznie zajrzał w głąb zieleni. W kolisku utworzonym przez krzewy znajdował się miniaturowy ogródek otoczony kilkucentymetrowej wysokości płotkiem uplecionym z gałązek i trawy. W ogródku tym, przy pięknie wygracowanych ścieżkach, stały budki-altanki o dwustronnych wejściach zbudowane z giętkich gałązek. Tak altanki, jak i ścieżki ozdobione były barwnymi piórami papug bądź kwiatami. W środku ogródka, otoczony kamykami, zbielełymi kostkami i piórami leżał srebrny zegarek. Gromada ptaków nieco większych od wróbli wesoło hasała po ścieżkach. Niektóre kryły się w altankach, jakby bawiły się w chowanego, inne urządzały gonitwy, napełniając ogródek głośnym świergotaniem.

— Widzisz, jak prędko Tony odnalazł twoją, zgubę — szepnął Bentley do Tomka.

Łowcy z zaciekawieniem obserwowali zabawę ptasich budowniczych oryginalnych ogrodów. Wreszcie Tony wyciągnął rękę w kierunku zegarka. Ptaki rozpierzchły się z piskiem, trzepocząc skrzydłami. Tropiciel zwrócił chłopcu zegarek, po czym rozbawieni przygodą powrócili do obozu. Jedyne Dingo był bardzo niezadowolony. Gniewnie spoglądał na wszelkie unoszące się w powietrzu ptaki.

Była to już ostatnia przygoda Tomka na lądzie. Trzeciego dnia po powrocie z Góry Kościuszki łowcy wyruszyli do najbliższej stacji kolejowej w miasteczku leżącym na pograniczu stanów — Nowej Południowej Walii i Wiktorii. Tam też załadowali klatki ze zwierzętami do pociągu odchodzącego do Melbourne, odległego o około trzysta kilometrów.

Pociąg przejeżdżał przez tereny pokryte buszem, mijał gospodarstwa hodowlane, lecz Tomka nie ciekawiły teraz widoki roztaczające się z okna wagonu. Siedział w kącie przedziału i rozmyślał z żalem, że oto skończyły się już emocjonujące przygody łowieckie. W Port Phillip, przystani morskiej

odległej o kilka kilometrów od śródmieścia Melbourne, oczekiwał na nich „*Aligator*” przygotowany do wyruszenia w morze. Po powrocie do Europy Tomek miał rozpocząć w Anglii dalszą naukę. Oznaczało to dla niego nową rozłąkę z ojcem oraz życzliwymi, starszymi przyjaciółmi.

Obdarzony był jednak zbyt wesołym usposobieniem, aby mógł smucić się przez długi czas. Wkrótce przypomniał sobie, że osamotnienie jego nie potrwa długo. Najprawdopodobniej w następnym roku wyruszą na wyprawę do Afryki. Smuga z pewnością dotrzyma przyrzeczenia i wyjedna, że i on będzie mógł pojechać. Na samo wspomnienie nowych przygód twarz Tomka wypogodziła się; w jak najlepszym nastroju wysiadł z pociągu na dworcu w Melbourne.

Bentley, Tony, Smuga i Tomek zajęli się wyładowaniem klatek ze zwierzętami przeznaczonymi do wymiany w ogrodzie Towarzystwa Zoologicznego. Natomiast Wilmowski z pozostałymi uczestnikami wyprawy udał się dalej tym samym pociągiem aż do nabrzeża Port Phillip, ponieważ przywiezione zwierzęta należało jak najszybciej umieścić na statku. Wilmowski, jako kierownik wyprawy, musiał również sprawdzić, czy kapitan Mac Dougal wypełnił właściwie wszystkie polecenia. Przede wszystkim chodziło o odpowiednie rozmieszczenie zwierząt na „*Aligatorze*” i zaopatrzenie ich w dostateczną ilość żywności na długą podróż morską. Dopiero następnego ranka Wilmowski miał powrócić do śródmieścia Melbourne w celu dokonania wymiany w ogrodzie zoologicznym.

Jeszcze przed przybyciem do Melbourne Bentley nalegał, aby łowcy rozgościli się w jego domu. Nie chcąc sprawiać mu kłopotu, nie skorzystali z propozycji. Wobec tego Bentley polecił im wygodny hotel na ulicy Bourke, gdzie Smuga i Tomek mieli oczekiwać na przybycie Wilmowskiego.

Po południu obydwaj odświeżeni i przebrani po podróży wyszli rozejrzeć się po mieście. Ulica Bourke była zabudowana dwupiętrowymi domami z głębokimi podcieniami wychodzącymi na chodniki. W domach tych przeważnie mieściły się teatry, sale koncertowe, cyrki, restauracje i hotele. W porze popołudniowej ruch tu znacznie się ożywił. Był to okres popularnych w Australii wyścigów konnych, na które przybywało wielu farmerów, nawet z bardzo odległych okolic. Łatwo ich było rozpoznać w barwnym tłumie przechodniów po niezbyt modnych ubiorach.

Tomek i Smuga zatrzymali się u wylotu szerokiej ulicy, by przyjrzeć się białemu gmachowi Parlamentu oraz Pałacowi Wystawy Powszechnej<sup>82</sup> z jego olbrzymią kopułą dominującą nad miastem. Potem szybko minęli opustoszałą o tej porze dzielnicę handlową i zagłębili się w ulicę Little Bourke zamieszkiwaną przeważnie przez Chińczyków. Powiewające nad sklepami szyldy z niebieskiego materiału ze złotymi napisami chińskimi zachęcały do oglądania egzotycznych wystaw. Podobnie jak w Port Saidzie tak i teraz Tomek z upodobaniem zatrzymywał się przed sklepami.

Podczas wędrowki po mieście dwaj przyjaciele wstąpili do kawiarni na podwieczorek. Tomek skorzystał z wolnej chwili i napisał do Sally Allan list, w którym wspomniał o wycieczce na Górę Kościuszki oraz przesłał jej pozdrowienia Od siebie i Dingo. Po przyjemnie spędzonym dniu podróżnicy udali się na przedstawienie do cyrku, po czym powrócili do hotelu.

Następnego ranka Bentley przybył po nich jeszcze przed godziną dziewiątą, a wkrótce po nim zjawił się również Wilmowski. Oznajmił z zadowoleniem, że kapitan Mac Dougal wywiązał się doskonale z powierzonego zadania. Wszystkie zwierzęta przywiezione z Port Augusta czuły się zupełnie dobrze. Po uzupełnieniu zapasów odpowiedniego dla nich pożywienia, statek mógł bez przeszkód wyruszyć w powrotną drogę. Bentley natychmiast zaofiarował się ułatwić zaopatrzenie w prowiant.

Grupa Polaków razem z Bentleyem udała się powozem do ogrodu Towarzystwa Zoologicznego dla dokonania wymiany zwierząt. Podczas jazdy podróżnicy z podziwem przyglądali się pięknie zabudowanemu, rozległemu miastu, leżącemu na obydwóch brzegach rzeki Yarra. Handlowe oraz przemysłowe śródmieście było otoczone szerokim wieńcem wspaniałych ogrodów, za którymi rozciągały się również pełne zieleni przedmieścia. Tutaj wśród drzew białą wygodne domki mieszkańców miasta. Kierując się na północ minęli ogrody Carltona, przebyli skwer Lincolna i zagłębili się w Park Królewski. W parku tym, między wieloma atrakcjami, mieścił się ogród Towarzystwa Zoologicznego, którego zarządcą był Bentley. Zwierzęta udostępniano dla publiczności jedynie w ściśle określone dni. Z tego względu zwierzęta korzystały z dość dużej swobody. Niektóre z nich przebywały tam niemal całkowicie na wolności, nie zdradzając chęci ucieczki.

82

— Wystawa Powszechna odbyła się w Melbourne w 1880 r.

Tomek po raz pierwszy ujrzał ogród zoologiczny, można więc sobie wyobrazić, z jakim zaciekawieniem przyglądał się wszystkim zwierzętom. Największą radość sprawił mu widok słonia przywiezionego na „*Aligatorze*” z Cejlonu. Wspaniałe zwierzę przyzwyczało się już do nowych warunków bytowania, a ze względu na swą wielką łagodność stało się ulubieńcem najmłodszych mieszkańców miasta. Tomek twierdził, że słoń musiał go poznać, gdyż bez zachęty pomógł mu trąbą wspiąć się na swój grzbiet. Wilmowski wskazywał, które okazy ptaków chciałby otrzymać w zamian za skalne kangury i niedźwiadki koala. Bentley nie robił żadnych trudności, ponadto polecił obsłudze ogrodu dostarczyć ptaki w klatkach na statek.

Z ogrodu łowcy udali się do Muzeum Narodowego zaopatrzonego w bogate zbiory fauny z całego kontynentu. Tutaj Wilmowski i Smuga spędzili kilka godzin na oglądaniu oryginalnych eksponatów. Oprowadzał ich dyrektor muzeum, który nie szczędził im swych rad w związku z organizowanym działem fauny australijskiej w ogrodzie zoologicznym w Europie.

Dopiero późno po południu wracali do hotelu. Ku ich zdziwieniu powóz zatrzymał się przed piękną willą otoczoną dużym ogrodem.

— Musicie mi panowie wybaczyć, lecz na prośbę matki dokonałem na was zamachu. Znajdujecie się przed moim domem. Dopiero nazajutrz wieczorem odzyskacie wolność. Nie możecie odmówić nam tej przyjemności — powiedział wesoło Bentley.

— To już moje drugie porwanie w Australii — zawołał Tomek.

Wśród ogólnej wesołości wysiedli z powozu, a gdy weszli do domu, zastali w salonie bosmana Nowickiego zajętego ożywioną rozmową z matką Bentleya.

Okazało się, że gościnny zoolog, odsyłając klatki z ptakami na statek, załączył zaproszenie dla bosmana, zapewniając go z góry o zgodzie kierownika wyprawy na opuszczenie „*Aligatora*”. W ten sposób wszyscy Polacy uczestniczący w wyprawie znaleźli się w domu Bentleyów.

Wieczór i następny dzień minęły nadzwyczaj szybko. Pani Bentley okazała się bardzo miłą i gościnną kobietą. Wypytywała rodaków o Warszawę, interesowała się przeżyciami Tomka w czasie wyprawy i nawet namawiała go usilnie, aby pozostał w Australii. Pożegnalny obiad był prawdziwą ucztą. Zaproszono na niego Tony’ego, który szczególną sympatią darzył „*Małą Głowę*”. Kiedy podróżnicy przygotowywali się już do powrotu

na statek, Bentley ofiarował Tomkowi na pamiątkę prawdziwy bumerang, dzidę i tarczę.

— Ofiarowanie bumerangu przez Australijczyka ma u nas specjalne znaczenie — powiedział Bentley, wręczając piękny dar. — Ma to oznaczać: wróć do nas, Jak powraca bumerang. Będiesz zawsze naszym najmilszym gościem.

Chłopiec wzruszony uściskał Bentleya i jego matkę, obiecując napisać do nich po przybyciu do Europy. Po serdecznym pożegnaniu łowcy udali się wprost na dworzec, gdzie wsiedli do pociągu, który dowiózł ich do Port Phillip.

Powrót na statek uradował Tomka do tego stopnia, że ojciec z trudem nakłonił go do udania się na spoczynek. Oczywiście Dingo zamieszkał z nim w jednej kabinie, gdyż chłopiec nie chciał rozstać się ze swym ulubieńcem. Zaledwie zajaśniał dzień, Tomek zerwał się z łóżka. Razem z Dingo rozpoczął wędrówkę po wszystkich zakamarkach statku, spędzając najwięcej czasu w pomieszczeniach zwierząt. Z wyjątkiem dziobaków, które mimo największych starań załogi nie dojechały żywe do Europy, zwierzęta czuły się znośnie.

Mały kangurek oswoił się już z widokiem ludzi. Wychodził nawet z klatki, w której przebywał z wojowniczą matką i brał pożywienie z rąk obsługi. Tomek gorliwie pomagał w karmieniu zwierząt i dopiero basowy ryk syreny okrętowej wywabił go na pokład. Nadeszła chwila odjazdu. „*Aligator*” zwolniony z więzi wolno oddalał się od brzegu. Zadudniły maszyny. Wkrótce statek wypłynął z zatoki w otwarte morze. Brzegi Australii roztopiały się w dali.

Tomek udał się teraz do kabiny, ponieważ po powrocie z wyprawy nie zdążył nawet rozpakować swych rzeczy. Przede wszystkim zawiesił nad łóżkiem, obok własnej broni palnej, otrzymane od Bentleya: dzidę, bumerang oraz tarczę. Następnie rozłożył na podłodze wyprawioną skórę tygrysa, po czym z zadowoleniem rozejrzał się po pokoju. Wydawało mu się, że gdyby Irka mogła przypadkowo znaleźć się w jego kabinie, to na pewno orzekłaby, iż „*pachnie*” w niej prawdziwą dżunglą.

Z kolei Tomek otworzył walizkę, aby umieścić swe ubrania w ściennej szafie. Na samym dnie walizy ujrzał, już zapomniany, dziwny dar starego O'Donella. Ciężki kawał gliny leżał owinięty w niezbyt świeżą kraciastą chustkę. Tomek uśmiechnął się biorąc do ręki zawiniątko. Zgodnie z

przyrzeczeniem danym poszukiwaczowi złota mógł obecnie przekonać się o właściwości tej ciężkiej gliny.

*„A to dziwak z pana O’Donella — pomyślał. — Na pewno splatał mi jakiegoś figla. Trzeba sprawdzić, na czym ów figiel polega”.*

Wybiegł do łazienki po morską wodę, w której O’Donell polecił mu zanurzyć swój oryginalny dar. Powracając z kabiny z miską napełnioną do połowy zielonkawą wodą spotkał na korytarzu ojca i Smugę.

— Czy rozpakowałeś się już? — zapytał ojciec.

— Właśnie uporządkowałem moje rzeczy. Wstąpcie na chwilę do mnie, a zobaczycie coś zabawnego — odparł Tomek.

Weszli razem do kabiny. Dingo przywitał ich machnięciem ogona. Tomek postawił miskę na stole mówiąc:

— Pamiętasz, tatusiu, że po powrocie z polowania na skalne kangury poleciłeś mi udać się do obozu poszukiwaczy złota z zapytaniem, czy nie potrzebują naszej pomocy. Otóż podczas pożegnania starszy pan O’Donell wręczył mi dziwny upominek. Mianowicie był to kawał gliny znalezionej w parowie. Ma ona nabierać specjalnych właściwości po zanurzeniu w morskiej wodzie. Pan O’Donell polecił mi nie mówić nikomu o podarunku i prosił, abym go obejrzał dopiero na statku. Prawdę mówiąc, zapomniałem o nim. Dopiero teraz, podczas rozpakowywania bagażu, znalazłem bryłę gliny na dnie walizy. Na pewno pan O’Donell zażartował sobie ze mnie mówiąc, że ten upominek sprawi mi wielką niespodziankę. Mimo to przyniosłem zgodnie z jego poleceniem trochę morskiej wody i zaraz sprawdzimy, co miały znaczyć jego słowa.

Tomek rozsuptał węzeł chustki i wrzucił nieforemny kawał gliny do wody. Po chwili pochylił się nad miską. Ojciec i Smuga zdziwieni opowiadaniem chłopca również pochylili się, aby lepiej widzieć.

— Ha, zaraz w parowie pomyślałem, że pan O’Donell zażartował ze mnie — odezwał się Tomek. — Glina nie zmienia wyglądu pod wpływem morskiej wody. Najlepiej zrobię wylewając za burtę wodę razem z tym śmiesznym darem.

— Poczekaj chwilę — zatrzymał go Smuga. — Może się mylę, lecz... Zanurzył rękę w wodzie i wyjął bryłę. Wążąc ją na dłoni jak na szali wagi, dodał:

— Za ciężka jak na ziemię...



Znów zanurzył dłonie w wodzie i zaczął rozgniatać glinę. Cienka, czerwona warstwa ziemi rozkruszyła się teraz. Po chwili podał Wilmowskiemu ciemnożółtą bryłę mówiąc:

— Oto niespodzianka zapowiedziana przez O'Donella.

— Do licha, przecież to wygląda jak bryła złota! — zawołał Wilmowski oglądając podarunek.

— Bo też jest to prawdziwy duży nugat — potwierdził Smuga. — Słyszałem, że kilkanaście lat temu znajdowano w Australii potężne bryły złota. No, Tomku, nie możemy powiedzieć, że O'Donellowie nie byli warci tego, co zrobiłeś dla nich. Podły człowiek nie zdobyłby się na taki królewski dar.

— Czy to naprawdę złoto? — nie dowierzał Tomek zdziwiony odkryciem Smugi.

— Nie ma wątpliwości Tomku. To jest prawdziwe złoto — odparł nie mniej zdziwiony ojciec. — Wydaje mi się, że jest to istotnie wspaniały dar.

— Co ja mam z tym zrobić? — zafrasował się chłopiec.

— Możesz sprzedać złoto, a otrzymane za nie pieniądze złożysz w banku. Będziesz miał do dyspozycji ładną sumkę, gdy podrośniesz — doradził ojciec.

Tomek zastanowił się przez chwilę, po czym zawołał z ożywieniem:

— Już wiem, co zrobimy ze złotem. Urządzimy za nie samodzielną wyprawę do Afryki.

Obydwaj mężczyźni spojrzeli na siebie zaskoczeni tym pomysłem.

— Co myślisz, Janie, o tej propozycji? — zagadnął Wilmowski.

— „Mała Głowa” nie jest pozbawiona rozsądku — odparł Smuga. — Warto zastanowić się nad tym projektem.

— Porozmawiamy na ten temat w odpowiednim czasie — powiedział Wilmowski.

— To wspaniale tatusiu, lecz nie chcę więcej widzieć złota, które przypomina mi to straszne wydarzenie w parowie — zawołał Tomek, a po chwili zastanowienia zapytał: — Tatusiu, pan Smuga zaprosił mnie na wyprawę do Afryki. Czy pozwolisz, abym pojechał z wami?

— Jeśli będziesz uczył się dobrze, to pojedziesz do Afryki — odparł ojciec. — Zaraz po powrocie do Europy odwiozę cię do szkoły. Mam

nadzieję, że nadrobisz opóźnienie w nauce. Prędzej jak w maju przyszłego roku i tak nie będziemy mogli wyruszyć na nową wyprawę.

— Niektórych przedmiotów mogę uczyć się już teraz na statku — mówił Tomek z zapałem. — Na pewno nadrobię wszystkie zaległości.

Ojciec i Smuga z radością słuchali tych zapewnień. Wierzyli, że Tomek potrafi dotrzymywać przyrzeczeń. Nie zawiedli się na nim. Już od następnego dnia ambitny chłopiec zamykał się w kabinie na kilka godzin dziennie, ślęcząc nad książkami, w które zaopatrzył go przewidujący ojciec. Wierny Dingo kładł się na skórze tygrysiej i nie odrywał wzroku od swego pana.

Dni szybko mijały, a do Tomka uśmiechała się już nowa, tajemnicza przygoda.

# TOMEK NA CZARNYM ŁĄDZIE



*Londyn, dnia 20 czerwca 1903 roku.*

*Droga Sally!*

*Wczoraj przyjechał do Londynu mój kochany Ojciec! Wiesz już zapewne, co to oznacza. Wyruszamy na nową wyprawę łowiecką, tym razem do Kenii i Ugandy w Afryce. Będziemy chwywali: goryle, hipopotamy, nosorożce, słonie, lwy i żyrafy! Czy możesz to sobie wyobrazić?! Po usłyszeniu tej wiadomości nie spałem niemal całą noc, myślałem już o niezwykłych przygodach, jakie mogą się nam przydarzyć na Czarnym Łądzie.*

*Jutro wyjeżdżamy do Hamburga. Ojciec spotka się tam z panem Hagenbeckiem trudniącym się sprzedażą dzikich zwierząt do cyrków i ogrodów zoologicznych. Ojciec z panem Smugą, tym sławnym podróżnikiem i łowcą zwierząt, którego poznałaś podczas naszego pobytu w Australii, pracowali do tej pory w przedsiębiorstwie pana Hagenbecka. Ale obecną wyprawę organizujemy całkowicie na własną rękę. Stało się to możliwe dzięki spieniężeniu bryły złota ofiarowanej mi w Australii przez pana O'Donella, gdy dopomogłem jemu i jego synowi w uwolnieniu się z rąk rozbójników.*

*Udajemy się więc do Afryki. Oprócz ojca i pana Smugi jedzie z nami również bosman Nowicki. Oczywiście zabieram mego wiernego Dinga. Zmienił się bardzo od czasu, kiedy ofiarowałaś mi go na pamiątkę. Z młodego, rozkosznego psiaka przeistoczył się w dzielnego Przyjaciela. Oddaliśmy go w Anglii do specjalnej szkoły, gdzie przyucza się psy do polowania na grubego zwierza. Byłabyś z niego dumna tak jak ja, gdybyś mogła go teraz zobaczyć. W tej chwili leży przy moim biurku i przekrzywiwszy głowę, spogląda na mnie, jakby wiedział, do kogo piszę.*

*Myślałem, że przed wyruszeniem na nową wyprawę uda mi się razem z ojcem odwiedzić wujostwa Karskich w Warszawie. Tęskno mi trochę za nimi, bo przecież spędziłem u nich tyle lat po śmierci Matki. Nie jest to jednak możliwe, dopóki Rosjanie okupują Warszawę. Na pewno zaraz by aresztowali Tatusia, który za spiskowanie przeciwko carowi musiał uciekać za granicę.*

*Dziękuję Ci, kochana Sally, za miłe listy. Kiedy je czytam, zawsze mi się przypomina, jak to dzięki Dingowi znalazłem Cię wtedy zagubioną w buszu w pobliżu Waszej farmy. Widzisz, że chętnie dotrzymuję obietnicy i często piszę w swoim oraz Dinga imieniu. Mam nadzieję, że naprawdę przyjedziesz z wizytą do Anglii, jak zapewniają Twoi Rodzice. Poznałem Twego Stryja, u którego masz zamieszkać po przybyciu do Londynu. Mówił mi, że spodziewa*

*się Ciebie za kilka miesięcy. On również, chociaż nie jest już tak młody, kocha podróże i przygody.*

*Teraz oczekuj moich listów z Afryki. Postaram się przesać Ci kilka ciekawych fotografii. Pozdrawiam Cię serdecznie, moja Droga Przyjaciółko, a Dingo liże różowym jęzorem Twój mały nosek.*

*Tomasz Wilmowski*

*P. S. Dingo naprawdę polizał Twoją fotografię. Kupiłem doskonały nóż myśliwski.*

*Tomek*

## NIEZWYKŁE SAFARI

Tomek poruszył się niespokojnie na wąskiej koi. Otworzył oczy i natychmiast rozejrzał się po kabinie. Promienie wschodzącego słońca oświetlały ją przez okrągły iluminator. Zrazu chłopiec nie mógł pojąć, dlaczego zbudził się nieoczekiwanie o tak wczesnej porze. Zaczął więc czujnie nasłuchiwać; po krótkiej chwili nie miał wątpliwości — jego sen przerwało nagłe znieruchomienie statku.

Zgrzyt łańcuchów opuszczanych kotwic oznaczał, że przybyli już do Mombasy w Afryce Równikowej.

Tomek zerwał się z koi. Szybko narzucił na siebie ubranie, po czym wybiegł na pokład. Marynarze zakotwiczyli statek w malowniczej zatoce. Błękitno-zielone morze otaczał półkolem ląd porośły wspaniałą, tropikalną roślinnością. Z dala można było rozróżnić strzeliste palmy kokosowe z pióropuszcami koron obok starych, zadziwiających ogromem baobabów, rozłożyste drzewa mangowe, szerokolistne migdałowce i smukłe papajowce. Wśród drzew bielily się mury domów, a na wzgórzu w środku miasta sterczały rumowiska dawnej budowli obronnej.

Białawe rafy koralowe, ciągnące się wzdłuż pokrytego bujną zielenią wybrzeża, dodawały Mombasie niezapomnianego uroku.

W zatoce stało kilkadziesiąt statków ze zwiniętymi żaglami. Większość z nich miała nieskazitelny kształt starych arabskich żaglowców. Gdy się na nie spoglądało, wydawać się mogło, że tutaj czas nie postępuje naprzód. Od wieków niezmiennie północno-wschodni monsun, wiejący od wybrzeży Azji, przywiewał podobne stateczki do Mombasy, natomiast wiatr południowo-zachodni umożliwiał im powrót do portów macierzystych<sup>83</sup>. Jak dawniej, tak i

---

<sup>83</sup> — Monsun (z arab. *mausim* — pora roku) — wywołowany sezonowymi zmianami ciśnienia atmosferycznego nad kontynentem i oceanem wiatr, który w cieplej porze wieje znad morza w stronę lądu, a w porze chłodnej odwrotnie. Wraz ze zmianą kierunku wiatru następuje nagła zmiana pogody. Monsunowi lądowemu (zimowemu) towarzyszy przeważnie pogoda sucha, a morskemu (letniemu) deszczowa. Monsuny występują w południowej i południowo-wschodniej Azji. Zalicza się do nich także podobne wiatry wschodniej Afryki Równikowej, południowej Australii oraz słabsze, mniej regularne wiatry południowego wybrzeża Alaski, północnej Kanady, północno-wschodniej Europy i północnej Syberii.

teraz z kuchni okrętowych mieszczących się pod płóciennymi dachami unosił się zapach korzeni, którymi Arabowie zwykli przyprawiać pożywienie.

Tomek rozglądał się z zainteresowaniem. Przecież port Mombasa miał bardzo ciekawą, choć nie zawsze chlubną przeszłość. Od paru wieków stanowił niejako bramę dla całej Afryki Wschodniej. Podczas dawnego najazdu Portugalczycy spalili miasto, lecz dzięki węzłowemu położeniu na szlaku komunikacji morskiej, szybko dźwignęło się z popiołów. Przez długie lata Mombasa była jednym z głównych ośrodków handlu niewolnikami. Dziesiątki tysięcy afrykańskich Murzynów wywieziono stąd na dalekie kontynenty.

Tomek rozmyślał o tym i nie mógł po prostu pojąć, iż w tak uroczym zakątku popłynęło tyle krwawych łez nieszczęsnych brańców.

— A to dopiero z ciebie ranny ptaszek! — odezwał się Wilmowski, podchodząc do syna ze Smugą i bosmanem Nowickim.

— Zbudziłem się, gdy maszyny ucichły na statku — odparł chłopiec. — Podziwiam piękny krajobraz i stojące w porcie malownicze stare żaglowce. Zastanawiam się, czy nie służyły do wywożenia stąd niewolników.

— Jestem tego niemal pewny — wtrącił bosman Nowicki i zaraz dodał ciszej: — Słyszałem, brachu, że w Mombasie podobno jeszcze teraz handluje się ludźmi. Jeżeli masz wielką ochotę, to za sztukę perkalu możesz kupić tutaj Murzyna lub Murzynkę.

— Czy to naprawdę możliwe, tatusiu? — zapytał Tomek, gdyż niezbyt dowierzał słowom żartobliwego bosmana.

— W roku tysiąc osiemset czterdziestym piątym Anglicy wymogli na miejscowym sułtanie podpisanie porozumienia zakazującego wywożenia niewolników z Afryki Wschodniej. Łatwiej jednak było spowodować zawarcie umowy, niż dopilnować zaprzestania handlu przynoszącego duży dochód Arabom oraz niektórym kacykom murzyńskim. Nic więc dziwnego, że i dzisiaj jeszcze handluje się w tym kraju niewolnikami — odpowiedział Wilmowski.

Tomek nie prosił o dalsze wyjaśnienia, gdyż uwagę jego pochłonęła duża motorówka, w której przybyli na statek angielscy urzędnicy portowi. Dzięki rekomendacjom Hagenbecka, dobrze znanego władzom angielskim, Wilmowski szybko załatwił wszelkie formalności celne i łowcy wkrótce mogli zejść na wybrzeże.



W porcie panował nadzwyczaj ożywiony ruch. Murzyni oraz Arabowie rozładowywali i załadowywali statki, w zakamarkach pokładów bawiły się gromady brudnych, półnagich dzieci. Murzyńscy rybacy wynosili z łodzi kosze pełne wielkich, kolorowych krabów, poruszających niezgrabnie długimi kończynami.

Dalsze obserwacje Tomka i jego towarzyszy przerwał wysoki, chudy mężczyzna, który właśnie do nich podszedł.

— Czy mam przyjemność powitać panów Wilmowskiego i Smugę? — zapytał, uchylając białego korkowego hełmu.

— To zapewne pan Hunter? Spodziewaliśmy się, że będzie nas pan oczekiwał w porcie — odparł Wilmowski, wyciągając dłoń. — Oto reszta towarzystwa: pan Smuga, bosman Nowicki i mój syn Tomek.

Hunter przywitał się ze wszystkimi kolejno. Był on zawodowym przewodnikiem i tropicielem zwierząt. Został polecony Wilmowskiemu przez jednego ze współpracowników Hagenbecka na przewodnika wyprawy łowieckiej, a powiadomiony telegraficznie o dniu ich przyjazdu, już czekał na wybrzeżu.

Należy wyjaśnić, że organizatorzy ekspedycji łowieckich zazwyczaj najmowali zawodowych wytrawnych białych strzelców–tropicieli, znających doskonale okolicę. Zagłębianie się bez nich w dziki, nieznany kraj byłoby zwykłym szaleństwem. Hunter już od dawna przebywał w Kenii i brał udział w wielu wyprawach. Posiadał szczególną dla naszych łowców zaletę — władał dość biegle językiem polskim, którego nauczył się towarzysząc polskiemu podróżnikowi i badaczowi Janowi Dybowskiemu<sup>84</sup> w jednej z jego wypraw do Konga. Hunter mieszkał w Mombasie w małym jednopiętrowym domku położonym w pobliżu malowniczych ruin dawnej fortecy portugalskiej. U niego rozgościli się nasi łowcy.

Następnego dnia po przybyciu do Mombasy Wilmowski zwołał z samego rana walną naradę. Zaraz na początku rozmowy tropiciel zapytał, na jakie zwierzęta łowcy mają zamiar polować. Wyjaśnień udzielił mu podróżnik Jan Smuga, on to bowiem na prośbę Wilmowskiego opracował plan wyprawy.

— Nasze stosunkowo skromne środki finansowe z góry wykluczają łowy na zbyt wiele gatunków zwierząt — mówił Smuga. — Dlatego też mamy zamiar chwycić jedynie okazy, za które będziemy mogli uzyskać w

---

<sup>84</sup>

— Począwszy do 1889 r. Jan Dybowski badał południową Algierię, Saharę i Kongo.

Europie najwyższe ceny. Uzgodniliśmy tę sprawę z Hagenbeckiem i zarządem ogrodu zoologicznego w Nowym Jorku. Uzyskaliśmy konkretne zamówienia. Z tego powodu przede wszystkim interesują nas goryle.

Hunter gwizdnął z cicha. Po krótkiej chwili milczenia powiedział: — W Kenii nie znajdziecie małą człekokształtnych.

— Słusznie, lecz w okolicach jeziora Kiwu, a więc na pograniczu Konga i Ugandy, żyją goryle górskie, natomiast w dżungli Ituri znajdziemy goryle właściwe<sup>85</sup>. Tam właśnie mamy zamiar na nie polować — odparł Smuga.

Po dość długim namyśle Hunter powiedział:

— Prawdę mówiąc, nie brałem dotąd udziału w polowaniu na goryle. Jak wynika z tego, co tu usłyszałem, chcecie złowić je żywe. No, nie wiem, czy przemyśleliście dobrze całą sprawę. Nie będzie totakie łatwe przedsięwzięcie.

— Nie jesteśmy nowicjuszami, panie Hunter — spokojnie wtrącił Wilmowski.

— Wiem o tym, lecz moim obowiązkiem jest przestrzec was przed niebezpieczeństwem grożącym podczas łowów na goryle — odparł Hunter. — Nie tylko niedostępność terenu oraz dzikość zwierząt będą utrudniały łowy. W tamtych okolicach nie jest zbyt spokojnie. Na pewno przyjdzie nam się zetknąć z plemionami murzyńskimi, które jeszcze nie widziały białych ludzi lub, co gorsza, wycofały się ze wschodnich wybrzeży w obawie przed handlarzami niewolników. Możemy się spotkać z niezbyt życzliwym przyjęciem.

— Musimy się z tym liczyć — przyznał Smuga. — Jesteśmy wyposażeni w doskonałą broń. Postaramy się również o godnych zaufania, odważnych ludzi, aby móc polegać na nich we wszystkich okolicznościach.

— Najlepsza broń palna, nawet w ręku wytrawnego strzelca, nie ustrzeże przed zatrutą strzałą zdraдлиwego Bambutte... — wolno powiedział Hunter.

---

<sup>85</sup> — Mały człekokształtne obejmują trzy gatunki: jeden azjatycki — orangutan (*Pongo pygmaeus*) oraz dwa afrykańskie — szympansy i goryle. Wśród szympansów rozróżnia się: szympansa gambiajskiego (*Pan chimpanse*), tak zwane nsoko (*Pan castomale*), marungu (*Pan marungensis*) i tszego (*Pan satyrus*). Do goryli należą: goryl właściwy (*Gorilla gorilla*), spotykany nad Zatoką Gwinejską i w Kongu, oraz goryl górski (*Gorilla beringei*), żyjący w górach w okolicach jeziora Kiwu. Samce goryli wyróżniają się w rodzinie małą człekokształtnych najwyższym wzrostem, przekraczającym nieraz 2 metry.

W tej chwili bosman Nowicki zrobił śmieszny grymas. Tomek zachichotał, lecz szybko się opanował i zapytał:

— Kto to są ci Bambutte?

— To Pigmejczycy zamieszkujący okolice nad rzeką Semliki. Chociaż są najniższymi ludźmi świata, każdy z nich potrafi zatrutą strzałą wypuszczoną z łuku powalić nawet największego słonia — wyjaśnił Hunter. — Idziesz niby to przez nie zamieszkaną przez ludzi dżunglę, a tu nagle z drzewa świśnie mała strzala i byle cię tylko drasnęła, żegnasz się z tym światem.

Bosman wstrząsnął się, mruknął pod nosem coś nieprzyjemnego o Pigmejczykach Bambutte. Hunter znów zagadnął Smugę:

— Jakie jeszcze zwierzęta oprócz goryli macie zamiar łowić?

— Czy słyszał pan coś o okapi? — zapytał Smuga.

Twarz Huntera spochmurniała jeszcze bardziej. Wzruszył ramionami i rzekł:

— Słyszeć to i słyszałem... Wspominał mi o tym gubernator Ugandy, Sir Harry Johnston. Dowiedział się od Stanleya<sup>86</sup>, z którym sam rozmawiał, że w puszczech na zachód od Jeziora Alberta rzekomo żyje duże, podobne do osła zwierzę. Budową ma jakoby przypominać żyrafę. Krajowcy mówiąc o tym zwierzęciu używali nazwy okapi<sup>87</sup>.

— Czy Stanley lub Johnston widzieli okapi? — zaciekawiał się Wilmowski.

— O ile mi wiadomo, do tej pory żaden biały człowiek nie widział tego legendarnego zwierzęcia. Myślę również, że w ogóle nikt go nie widział. Coś mi się wydaje, że podczas naszego safari będziemy tropić jakieś senne mary — powiedział Hunter chmurząc czoło.

— No, jak pan jednak widzi, nie zostałem tak całkowicie błędnie poinformowany — zauważył Smuga uśmiechając się przyjaźnie. — O okapi

---

<sup>86</sup> — Henry Morton Stanley (1841–1904) — dziennikarz amerykański, jeden z najsłynniejszych podróżników po Afryce.

<sup>87</sup> — W 1901 r. wielkie wrażenie w Europie wywołała wiadomość, że w Kongu odkryto nowego, dużego ssaka. Rozpoczęto poszukiwania tego legendarnego zwierzęcia, zwanego przez krajowców okapi. W końcu zdobyto jego skórę i czaszkę. Później przywieziono do Europy kilka skór i szkieletów, a nawet jedną żywą sztukę. Okapi (*Okapia johnstoni*) żyje najliczniej w bagnistych dziewiczych lasach północno-wschodniego Konga, pomiędzy Jeziorem Alberta i rzekami Uelle, Kongo i Aruwimi. Należy do rodziny żyraf, wśród których rozróżniamy dwa rodzaje: okapi i żyrafę właściwą (*Giraffa*). żyjące jedynie w Afryce w dżungli Konga w pobliżu Ugandy.

słyszałem w Szwajcarii, i to od kogoś, kto w zupełności zasługiwał na zaufanie. Podobno zwierzęta te można spotkać@

— Jeżeli nie są one jedynie wytworem czyjejs wyobraźni, będziemy łowili okapi i, jak mówiliśmy, goryle. Co jeszcze macie panowie w programie? — zapytał tropiciel.

Smuga roześmiał się i odparł:

— Przebrnęliśmy już chyba przez najgorsze. Reszta zapewne stanowi dla pana codzienny chleb. Chcemy łowić lwy, lamparty, żyrafy i szympany. Mamy również zamiar schwytać parę młodych hipopotamów i słoni oraz nosorożca. Musimy przecież zapewnić sobie rentowność wyprawy na wypadek, gdyby nie udało się dowieźć do Europy żywych goryli i gdybyśmy nie zdołali wytropić okapi, w których istnienie tak bardzo pan powątpiewa.

— Zwierzęta te moglibyśmy znaleźć w Kenii<sup>88</sup>. Natomiast pierwsze przedsięwzięcie będzie wymagało, no... powiedzmy... dużego ryzyka. Czy panowie stanowczo obstajecie przy wykonaniu założonego planu?

— Postaramy się zrealizować go w całości — poważnie potwierdził Smuga. — Wyprawę tę urządzamy na własny koszt. Nie możemy sobie pozwolić na straty.

— Czy ma to oznaczać, że bez względu na grożące niebezpieczeństwa jesteście zdecydowani wyruszyć na tę wyprawę? — upewniał się Hunter.

— Nie zważając na nic, drogi panie!

— Nawet na bezpieczeństwo tego chłopca? — zdumiał się tropiciel wskazując Tomka.

— Zostaw pan naszego mikrusa w spokoju — wtrącił rubasznie bosman Nowicki, który mimo wielu lat spędzonych poza Warszawą nie zatracił gwary używanej na Powiślu. — U tego chłopaka nie znajdziesz pan cykorii nawet na lekarstwo, a głowę ma nie od parady. Jestem ciekaw, czy przyciśnięty do

---

<sup>88</sup> — Kenia (Republika Kenii) — począwszy od VII w. koloniści arabscy tworzyli na wybrzeżu Kenii tzw. sultanaty. Od XVI w. sultanaty podlegały Portugalii, potem zostały podbite przez sułtana Zanzibaru, a następnie włączyli je do swych posiadłości Brytyjczycy. Od 1963 r. Kenia jest państwem niepodległym. 65% ludności Kenii należy do ludów Bantu (Kikuju, Luo, Kamba), nilotyckich (Diomo. Masajowie) i kuszyckich (Somalijczycy. Galla); reszta ludności to Indusi. Europejczycy i Arabowie nie zapuszczają się w niezbadane dżungle Ugandy.

mur mierzyłbyś pan tygrysowi między ślepią zamiast w komorę. Bo nasz mikrus inaczej nie strzela!<sup>89</sup>

— Czy pan mówi to poważnie? — zapytał Hunter.

— Bosman powiedział szczerą prawdę — odparł Smuga. — Tomek zabił w ten sposób tygrysa, który przypadkowo wydostał się z klatki na statku podczas naszej ostatniej wyprawy. Strzałem tym uratował mi życie i swoje również. Jest bardzo odważny, strzela nadzwyczaj celnie. Muszę jeszcze dla ścisłości dodać, że jako strzelec. Tomek jest uczniem bosmana Nowickiego.

— Niech się pan o mnie nie obawia, proszę pana — wtrącił Tomek. — Bosman zawsze sprawuje nade mną opiekę podczas łowów, a przecież żaden goryl nie dorówna mu siłą.

Bosman obruszył się na to mimowolnie dwuznaczne porównanie. Reszta mężczyzn roześmiała się ubawiona. Hunter pierwszy spoważniał i powiedział:

— Goryl przegryza z taką łatwością lufę karabinu, jak ty łamiesz zapalnik w palcach. Więc chcecie panowie zaryzykować wszelkie niebezpieczeństwa?

— Nie będziemy się lekkomyślnie narażali, lecz mamy szczerzy zamiar wykonać nasz plan całkowicie — oświadczył Wilmowski. — Czy potwierdza pan teraz swą zgodę na udział w wyprawie?

Hunter przenikliwym wzrokiem obrzucił czterech łowców. W jasnych oczach Wilmowskiego odzwierciedlały się rozwaga i opanowanie. Hunter pomyślał, że człowiek ten nie zwykł postępować nierozważnie. Z postaci Smugi biła znów stanowcza pewność siebie, której się nabywa jedynie przez pokonywanie niebezpieczeństw. Tak więc i Smuga budził zaufanie jako towarzysz przyszłych łowów. Błyski niecierpliwości w oczach Tomka mówiły za siebie. Gdy Hunter spojrzał z kolei na herkulesowo zbudowanego bosmana, napotkał jego kpiący wzrok. Wydało mu się, że ten sękaty jak pień drzewny olbrzym drwi sobie z niego i jego zastrzeżeń. Pod wpływem tego ironicznego spojrzenia rumieńce wystąpiły na twarz tropiciela.

„Małpolud... Złośliwy małpolud! — pomyślał. — *Ale naprawdę wygląda na to, że można z nim wziąć nawet diabła za rogi!*”

---

<sup>89</sup> — Powiedzeniem tym bosman chciał wyrazić sprawność strzelecką Tomka. Strzelając w płaski łeb tygrysa czy lwa ryzykuje się tak zwaną obcierką, to znaczy, że kula może drasnąć zwierze boleśnie, lecz nieszkodliwie po czasie i wprawić je w stan niebezpieczny dla myśliwego. Rzuca się ono wtedy na niefortunnego strzelca bez względu na okoliczności.

Tropiciel nie wytrzymał niemej drwiny bosmana z Powiśla. Przymknął na chwilę oczy, a gdy je znów otworzył, nie było już w nich cienia wahania.

— No, pal licho goryle i te... okapi. Idę z wami — zdecydował trochę podniesionym głosem.

— Wobec tego układ jest ostatecznie zawarty — powiedział zadowolony Wilmowski. — Angażujemy pana na okres pół roku. Zaliczkę na poczet honorarium w wysokości dwumiesięcznej pensji wypłacamy natychmiast, resztę zdeponujemy u bankiera, którego wskaże nam pan w Mombasie. Zgoda?

— Zgoda! — powtórzył Hunter i podał silną dłoń Wilmowskiemu.

— Byłem pewny, że pan z nami pójdzie — zawołał Tomek.

— A to dlaczego?

— Bo... bo chyba każdy łowca chciałby sprawdzić, czy okapi istnieją w rzeczywistości. Przecież to ogromnie ciekawe!

Hunter poważnie spojrział na chłopca.

— Dziwne to, synu, ale naprawdę się nie pomyliłeś. Sprawa okapi intryguje mnie od wielu lat. Pewien znajomy proponował mi kiedyś wyprawę w celu rozwiązania tej zagadki. Odmówiłem mu jednak, mimo że spędziłem z nim prawie cały rok na polowaniu w okolicach Jeziora Wiktorii. Wtedy więcej przywiązywałem wagi do życia niż dzisiaj...

— Czy spotkało pana coś złego? — zapytał Tomek nieśmiało.

— Rok temu umarła moja żona, którą bardzo kochałem.

— To przykre — szepnął chłopiec. — Wiem, jak się robi smutno i ciężko, gdy człowiek zostaje sam.

## PRZYGOTOWANIA DO WYPRAWY

Po słowach Tomka zapanowała w izbie chwila kłopotliwego milczenia. Każdy z obecnych stracił już przecież kogoś z najbliższych lub za kimś tęsknił. Toteż łowcy szczerze współczuli Hunterowi. W milczeniu spoglądali na jego pochyloną na piersi głowę. Pierwszy odezwał się Smuga:

— Nikt nie uchroni się przed swoim przeznaczeniem. Zamiast więc teraz rozmyślać o smutnych koniecznościach życia, zastanówmy się nad tym, co nas czeka podczas wyprawy. Przede wszystkim każdy powinien się orientować w stosunkach panujących w Kenii i Ugandzie, aby nie narazić się później na różne niespodzianki.

— Muszę wyjaśnić, że pan Smuga, jak zwykle podczas naszych łowów, będzie odpowiedzialny za bezpieczeństwo uczestników ekspedycji — poinformował Wilmowski. — Jest doświadczony, już kilkakrotnie podróżował po Afryce, ja znów słyszałem dużo o tym kontynencie, lecz bosman i mój syn przybyli tu po raz pierwszy. Tymczasem, jak zaznaczył pan Smuga, dla uniknięcia w przyszłości niespodzianek wszyscy powinniśmy znać tutejsze warunki, a nawet i trochę historii tego kraju. Porozmawiajmy więc teraz na ciekawiące nas tematy.

— Jeżeli o mnie chodzi, to orientuję się już w historii Afryki — wtrącił Tomek niby to obojętnym tonem, lecz przekorne błyski w jego oczach świadczyły, że od dawna przewidział możliwość sprawienia ojcu niespodzianki.

— Hm, z twoich słów wynika, że wiesz coś niecoś o Kenii i Ugandzie — zdziwił się Wilmowski. — Może więc podzielisz się z nami swymi wiadomościami?

Tomek rozsiadł się wygodnie, położył dłoń na głowie siedzącego przy nim Dinga i przymrużywszy oczy wyrecytował nieomal jednym tchem:

— W końcu czternastego wieku Portugalczycy, jako pierwsi z Europejczyków, zainteresowali się wschodnimi wybrzeżami Afryki.

— Fiu, fiu! A toś sięgnął, brachu, głęboko — mruknął bosman Nowicki rozsiadając się wygodniej.

Tomek spojrział na niego z wyrzutem i ciągnął dalej: — Wyparli arabskich i perskich kupców, a potem w różnych punktach wybrzeża

rozmieścili małe garnizony wojskowe dla ochrony swych interesów. W pierwszej połowie osiemnastego wieku Arabowie z Omanu<sup>90</sup>, wezwani na pomoc przez współbraci zamieszkałych w Afryce Wschodniej, wyparli Portugalczyków z północnej części wybrzeża. W następnym stuleciu Arabowie, od dawna osiedleni na Czarnym Łądzie, uwolnili się od opieki Omańczyków. Pod rządami Sayyed Burghasa stali się wyłącznymi panami wschodnich wybrzeży. W głąb lądu w poszukiwaniu kości słoniowej oraz niewolników udawały się tylko pojedyncze karawany. Duże zasługi położyli również angielscy i amerykańscy misjonarze, którzy krzewiąc wśród Murzynów chrześcijaństwo badali jednocześnie kraj. Dopiero w roku tysiąc osiemset czterdziestym ósmym pierwszy biały podróżnik, Rebmann, ujrzał Kilimandżaro, najwyższą górę Afryki. W następnym roku Krapf<sup>91</sup>

Chłopiec odetchnął głęboko. Triumfująco spojrzał na mężczyzn.

— Brawo, Tomku! Skąd się tego wszystkiego dowiedziałeś? — zapytał Smuga.

— Z encyklopedii w londyńskiej bibliotece — wyjaśnił Tomek z zadowoleniem.

— Można ci powinszować roztropności i pilności — pochwalił ojciec. — Widzę, że jesteś dobrze przygotowany na tę wyprawę. Może teraz pan Hunter łaskawie poinformuje nas o stosunkach panujących wśród krajowców, z którymi podczas łowów będziemy musieli się zetknąć.

— Ludy zamieszkujące Kenię żyją jeszcze w stanie plemiennym, to znaczy grupują się w plemionach nie tworząc jakiegokolwiek państwa<sup>92</sup> —

<sup>90</sup> — Oman leży w południowo-wschodniej części Półwyspu Arabskiego.

<sup>91</sup> — Johann Ludwig Krapf (1810–1881) — niemiecki misjonarz i badacz Afryki. W 1837r. udał się jako misjonarz do Abisynii, a w 1844 osiedlił się w Rabai koło Mombasy. Krapf z misjonarzami J. Rebmannem (1820–1881) i J. Erhardtem (1823–1901) odbył kilka podróży po wschodniej Afryce, podczas których zasłyszał od krajowców o wielkich jeziorach w głębi kontynentu. W 1855 r. Erhardt opublikował mapę jezior, która zachęciła Anglików Burtona i Speke'a do podjęcia wypraw i odkrycia źródeł Nilu, zobaczył ośnieżone szczyty Kenii. W końcu dziewiętnastego wieku Niemcy i Anglicy podzielili między siebie wschodnią Afrykę Równikową. Wtedy to właśnie Kenia stała się kolonią angielską, a Uganda protektoratem.

<sup>92</sup> — Anglicy zarządzający wówczas Kenią przyznali garstce Europejczyków najurodzajniejsze grunty, skazując tym samym krajowców na głód bądź niewolniczą pracę. Toteż szczególnie po II wojnie światowej, tak jak w całej Afryce, wzmógł się w Kenii ruch narodowowyzwoleńczy. Powstało szereg partii pod przewodnictwem przywódców afrykańskich. Domagały się one zniesienia ustaw pozbawiających Murzynów ziemi, zlikwidowania dyskryminacji rasowej oraz przyznania Kenii autonomii. W 1952 r. Anglicy zdelegalizowali Afrykański Związek Kenii i aresztowali jego przywódcę,



wyjaśnił Hunter. — Ludność nie jest zbyt liczna z powodu dużej śmiertelności, no i panoszącego się do niedawna jeszcze handlu niewolnikami. Poszczególne plemiona często prowadzą między sobą wojny o bydło bądź bronią się przed białymi kolonistami zagarniającymi im najlepsze pastwiska. Obecnie najwięcej kłopotu sprawiają wojowniczy Masajowie i Nandi<sup>93</sup>, którzy napadają nie tylko na swych słabszych współbraci, ale także na pociągi kursujące od roku tysiąc dziewięćset pierwszego na linii Mombasa–Kisumu. Mimo to dotarcie koleją do granic Ugandy stanowi najłatwiejszy odcinek naszej marszruty.

— Jak sobie przypominam, Masajowie zamieszkują okolice Kilimandżaro. Tam, w razie nie sprzyjających warunków w Ugandzie, mamy zamiar odbyć drugą część łowów — wtrącił zafrasowany Wilmowski.

— Postaramy się nawiązać z nimi przyjazne stosunki. Znam jednego z ich wodzów — uspokoił go Hunter. — Gorzej jednak będzie w Ugandzie, dokąd musimy się udać, aby schwytać goryle i okapi. Przecież wpływy Anglików są tam jeszcze bardzo powierzchowne. Mieszkańcy południowej i zachodniej części Ugandy nie są zbyt łatwi do ujarznienia. W przeciwieństwie do plemion zamieszkujących Kenię, dawno już utworzyli kilka silnych królestw. Największą rolę odgrywa królestwo Bugandy, od którego, razem z resztą wcielonych prowincji, cały kraj przybrał nazwę Ugandy<sup>94</sup>.

Wilmowski uważnie słuchał tych wyjaśnień; teraz rozłożył na stole mapę. Wszyscy się nad nią pochylili.

---

Jomo Kenyattę, pod pretekstem, że partia ta jakoby ma kierować terrorystycznym stowarzyszeniem Mau–Mau. W Kenii zaprowadzono stan wyjątkowy. Około 87 tyś. krajowców zamknięto w obozach. Rozgorzały walki powstańcze, którym przewodziły szczepy: Kikuju, Embu, Meru i Wakamba. Dopiero w 1959 r. Anglicy znieśli stan wyjątkowy. Ze zjednoczonych krajowych partii powstał Afrykański Związek Narodowy Kenii. Dzięki jego zdecydowanej postawie Anglicy zwolnili Jomo Kenyattę i przyrzekli pewne ustępstwa Afrykanom. Patrz notka nr 6.

<sup>93</sup> — W 1907 r. ekspedycja angielska pokonała plemię Nandi i usunęła je do rezerwatu.

<sup>94</sup> — Uganda, dawny protektorat brytyjski, od 1962 r. niepodległe państwo, składa się z szeregu królestw zachowanych z okresu przedkolonialnego. Najważniejsze z nich, Buganda, dominuje nad innymi. Bugandą rządził król, który opierając się na wielkich feudałach dążył do uzyskania niepodległości Bugandy bądź całej Ugandy pod przewodnictwem Bugandy. W 1960 r. polityczna partia — Kongres Narodowy Ugandy — wysunęła żądanie natychmiastowej niepodległości państwa oraz ograniczenia władzy kabaki. Angielski projekt połączenia Ugandy, Kenii i Tanganiki w Federację Afryki Wschodniej nie został zrealizowany.

— Wydaje mi się, że terenem naszych łowów będzie Buganda — odezwał się Smuga podnosząc głowę znad mapy.

— Kto tam jest obecnie władcą? — zagadnął Wilmowski.

— Kabaką, czyli królem, jest obecnie kilkuletni chłopiec Daudi Chwa — odparł Hunter.

— Jak krajowcy ustosunkowani są do białych? — pytał dalej Wilmowski.

— Przyjaźnie, gdy to odpowiada ich interesom — rozpoczął Hunter. — Kiedy w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym piątym Stanley przybył do Bugandy, ówczesny kabaka, Mutesa, oznajmił mu, że chętnie będzie widział misjonarzy w swoim kraju. Ochłódł jednak szybko, gdy za nimi nie ujrzał wojska, koniecznego do ochrony przed zakusami Egipcjan. Jego następcą, Mwanga, dwukrotnie stawiał opór Anglikom. Teraz rządzi tam jego nieletni syn bardziej ulegający wpływowi, ale kto wie, czy nie jest to tylko cisza przed burzą. Nieliczne oddziały brytyjskie są kroplą w gęstwie dżungli.

Hunter zamilkł. Wilmowski i Smuga spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Tropiciele słusznie przestrzegali ich przed niebezpieczeństwem. Trzeba było mieć doborową, silną eskortę, aby się nie narazić na kłopoty. Tylko bosman Nowicki zdawał się nie przejmować sytuacją. Wesoło mrugnął do Tomka, po czym odezwał się niefrasobliwie:

— Coście tak, szanowni panowie, pospuszczali nosy na kwintę? Bugandczyki nie lubią Anglików i nie ma im się co dziwić. Któż by kochał najeźdźców? Nasza wyprawa to zupełnie inna para kaloszy. Tomek pobawi się trochę z małoletnim kabaką i wyklaruje mu raz dwa, że Polacy nie lecą na niczyją ziemię.

Tomek natychmiast się ożywił:

— Pan bosman podsunął mi pewną myśl — zawołał. — Jeżeli król Bugandy jest tak młody, to na pewno usposobi się do nas przychylnie, gdy mu ofiarujemy jakąś ładną zabawkę.

— Chyba kocioł do gotowania jeńców — mruknął Hunter.

— Czy oni są ludożercami? — zaniepokoił się Tomek.

— Wprawdzie nie słyszałem o tym, ale wiele dziwnych rzeczy można ujrzeć w głębi Czarnego Łądu — odparł Hunter.

— Nie martwmy się na zapas, a na wszelkie niespodzianki najlepszym lekarstwem jest odpowiednie zabezpieczenie się przed nimi — wtrącił Smuga.

— Przede wszystkim musimy mieć pewną eskortę. Kogo radzi pan zaangażować?

— Musimy się zastanowić. Idziemy między wojownicze plemiona, powinniśmy więc mieć ludzi odważnych i sprawnych do walki, aby nie zawiedli w niebezpieczeństwie. Masajowie będą się chyba najlepiej nadawali do tego celu.

— Czy oni naprawdę są tak dzielni? — zapytał Tomek.

— O, tak, odwaga ich jest powszechnie znana. To prawdziwi wojownicy — potwierdził tropiciel. — Wyobraź sobie, że już od niemowlęcia przygotowują chłopców do rzemiosła wojennego.

— W jaki sposób to robią?

— No, na przykład opasują niemowlętom łydki od kostek aż do kolan sznurem, a zdejmują go dopiero wtedy, gdy dziecko zaczyna chodzić. W ten sposób hamują rozwój tych mięśni, które, według rozpowszechnionego wśród Masajów mniemania, przeszkadzają człowiekowi w szybkim biegu i skoku. Chłopcom zakuwają ramiona w metalowe obręcze, by naciskać mięśnie najwięcej pracujące przy strzelaniu z łuku. Dzięki skrępowaniu mięśnie te nabierają większej sprawności, podobnie jak koń wyścigowy biegnie lepiej, gdy ma na nogach opaski ściągające mu mocno pęciny. Te dziwne na pozór zabiegi sprawiają, że Masajowie osiągają wspaniałe rezultaty w chodzie, biegu, wspinaniu się, skokach, a także w strzelaniu z łuku, rzutach kamieniem lub oszczepem.

— Wobec tego musimy się postarać o Masajów — stwierdził Tomek.

— Zgoda, niech będą Masajowie, jeżeli pan Hunter tak radzi — dodał Smuga. — Gdzie ich znajdziemy?

— O dwa dni konnej jazdy od Nairobi przebywa plemię, z którego usług już korzystałem. Obóz ich powinien teraz znajdować się tutaj — mówiąc to Hunter pochylił się nad mapą.

Nasi łowcy w skupieniu przysunęli się do niego i długo studiowali trasę wyprawy. W końcu Wilmowski postanowił:

— Wsiądziemy do pociągu w Mombasie i udamy się do Nairobi. Tam postaramy się zwerbować kilku Masajów, po czym pojedziemy koleją aż do Kisumu. Stamtąd wyruszymy do Kampali, skąd bez większych trudności powinniśmy się już dostać do Bugandy. Na zachodnim pograniczu, nad rzeką Semliki i w lasach Ituri, będziemy polowali na goryle, okapi i lamparty. Na

inne zwierzęta, jeżeli zajdzie konieczność, urządzimy wyprawę w okolice Kilimandżaro.

— Kiedy wyruszamy? — krótko zapytał Hunter.

— Musimy uzupełnić sprzęt obozowy. Niewątpliwie zajmie nam to trochę czasu — zauważył Wilmowski. — Zapewniono nas, że tutaj można nabyć taniej niż w Europie ekwipunek konieczny na wyprawę.

— Tak też jest rzeczywiście — potwierdził Hunter. — Ponadto w ten sposób unika się przewożenia statkiem zbyt wielu bagaży. Dopiero za trzy dni odjedzie stąd pociąg do Nairobi, nie ma więc pośpiechu.

— Czy pociągi odchodzą tak rzadko? — zdziwił się Tomek.

— Linia Mombasa–Kisumu obsługiwana jest dwa razy w tygodniu. Ponieważ pociąg odjechał wczoraj rano, następny wyruszy dopiero za trzy dni.

— Mimo to nie traćmy czasu i przygotujmy się do drogi jak najszybciej — doradził Smuga.

— Słusznie, najlepiej uczynimy zaopatrując się od razu we wszystko, czego potrzebujemy na wyprawę — poparł go Wilmowski. — Pan Hunter zapewne będzie mógł zaprowadzić nas do sklepu, w którym uzupełnimy ekwipunek.

— Bardzo chętnie — zgodził się Hunter. — Jeżeli macie, panowie, ochotę, to chodźmy natychmiast.

Wkrótce łowcy w towarzystwie tropiciela znaleźli się w dzielnicy europejskiej. Białe wille wprost ginęły wśród drzew i kwitnących krzewów. Tu i ówdzie widniały wielowieczne, olbrzymie baobaby, sprawiające wrażenie słoni świata roślinnego. Tysiące palm kokosowych wysoko, u szczytu smukłych pni powiewało zielonymi wachlarzami liści. Podróżnicy wsiedli do ryksz, wygodnych, dwukołowych powozików ciągniętych przez biało ubranych kulisów. Pomknęli w kierunku centrum miasta leżącego wokół starego portu.

Niebawem ryksze znalazły się w dzielnicy indyjskiej. Niezbyt wysokie, jasne domy wysuwały się osłoniętymi balkonami i przybudówkami ponad ulice. W podcieniach przed sklepami siedzieli w kucki poważni handlarze indyjscy, arabscy lub goańscy. Nie zapraszali przechodniów do oglądania swych towarów, jak to się dzieje w innych miastach wschodnich, lecz na widok wchodzącego do sklepu klienta natychmiast podnosili się ze spokojem i

wielką powagą. Na wąskich, krętych uliczkach ryksze posuwały się bardzo wolno. Tomek z uwagą przyglądał się wystawom sklepowym. Nie brak tu było wyrobów ze złota, kości słoniowej, piór strusich, drogich kamieni, jak i oryginalnych indyjskich tkanin stanowiących główny przedmiot handlu. W dzielnicy indyjskiej szczególną uwagę zwracały kobiety o rysach twarzy niezwykle regularnych, o pięknych poważnych oczach, ubrane w różnokolorowe suknie i wąskie spodnie zakończone u dołu szeroką falbanką. Ich szyje, ręce, nogi, uszy i nawet nosy zdobiły bogato rzeźbione srebrne lub złote obręcze, niekiedy wielkiej wartości artystycznej.

Dzielnica murzyńska przedstawiała odmienny widok. Przeważały tu niskie lepianki o małych okienkach, niekiedy o ścianach z chrustu, nie pobielane, z dachami pokrytymi liśćmi palmowymi. Garbate zebu pasące się na jednym z placów przypomniały Tomkowi wyspę Cejlon, na której był w ubiegłym roku, lecz teraz nie miał czasu na wspomnienia, gdyż ryksze wtoczyły się w arabską dzielnicę miasta. Tutaj barwny potok ludzi przedstawiał mieszaninę ras, narodowości i języków. Widziało się Arabów. Indusów, Goańczyków, Europejczyków i prawdziwe mrowie Murzynów o odcieniach skóry od jasnobrązowej do czarnej. Tomek z zapartym tchem spoglądał na przechodniów, z których wielu wyglądem swym przypominało, jakby żywcem wzięte z obrazów, typy piratów i handlarzy niewolników. Napatrzywszy się do syta, łowcy powrócili do dzielnicy indyjskiej. Hunter polecił kulisom zatrzymać się przed dużym sklepem. Powitani uprzejmie przez wysokiego Indusa, właściciela sklepu, wkroczyli w chłodne mury domostwa.

W rozległym składzie piętrzyły się sterty najrozmaitszych przedmiotów. Można tu było nabyć wszystko, począwszy od igieł, a skończywszy na doskonałej broni palnej.

Zakupy zajęły łowcom kilka godzin. Dla siebie i towarzyszy Wilmowski wybrał dwa duże zielone namioty brezentowe oraz cztery białe dla eskorty i tragarzy murzyńskich. Potem przyszła kolej na pięć wąskich, lecz wygodnych łóżek polowych, nad którymi rozwieszało się szczelnie zapinane moskitiery, czyli muślinowe zasłony, chroniące przed owadami. Każdy namiot wyposażono w składany stolik i umywalnię wykonaną z płótna nieprzemakalnego. Wilmowski wybrał również kilka dokładnie zamykanych, blaszanych waliz. Miały one chronić znajdujące się w nich przedmioty przed

mrówkami, będącymi prawdziwą plagą dla podróżników i mieszkańców kraju.

W głębi łądu krajowcy nie używali w owym czasie pieniędzy i nie znali ich wartości, należało więc zaopatrzyć się w towary zastępujące monetę. Za radą Huntera nasi łowcy zakupili kilka bel białego perkalu oraz materiału bawełnianego, kolorowe szklane korale, zwane przez krajowców „*same-same*”, oraz parę zwojów mosiężnego i miedzianego drutu. Jak Tomkowi wyjaśnił ojciec, szklane korale zastępowały Murzynom monetę miedzianą, materiały srebrną, a drut mosiężny złotą.

Następnie nabyto zapasową odzież, koce, lekarstwa, żywność, sól, tytoń oraz kilka karabinów dla eskorty. Wszystko to pakowano od razu w skrzynie i walizy. Tomek zapisywał, gdzie każdy przedmiot został umieszczony, aby później, w razie potrzeby, można go było łatwo odnaleźć. Tuż przed wieczorem paki załadowano na duży wóz, po czym łowcy zmęczeni całodziennymi zakupami powrócili do domku Huntera.

## W DRODZE DO NAIROBI

Tomek niecierpliwie kręcił się na ławce, wyglądając przez okno wagonu. Od chwili opuszczenia Mombasy pociąg wciąż jechał wolno po coraz wyżej wznoszącym się kraju. Po kilku godzinach zniknęły uprawne okolice, obfitujące w palmy kokosowe i bananowce. Miejsce ich zastąpiły kaktusy, agawy, rozłożyste palmy i biało kwitnące dzikie krzewy. Im pociąg piał się wyżej, tym uboższa stawała się roślinność. Przed nastaniem wieczoru po obydwu stronach toru kolejowego rozciągał się już tylko spalony słońcem step. Gdziekolwiek sterczały kolczaste drzewa; jedynie wzdłuż łożysk wyschniętych rzek roślinność krzewiła się trochę bujniej, tworząc w krajobrazie charakterystyczne wstęgi zieleni.

Gdy noc zapadła nad stepem, Tomek wtulił się w kąt ławki. Wzrok jego zatrzymał się na podłużnym futerale położonym na półce. Uśmiech zadowolenia pojawił się na twarzy chłopca. W futerale tym znajdował się przecież jego wspianiały sztucer, który otrzymał w podarunku od ojca na wyprawę do Australii. Strzałem z niego Tomek zabił tygrysa bengalskiego, o czym Smuga wspomniał już podczas pierwszej rozmowy z Hunterem. Od owego zdarzenia ojciec i jego przyjaciele zaczęli traktować Tomka na równi z dorosłymi. Był z tego szczególnie dumny, gdyż nie lubił, gdy ktokolwiek przypominał mu jego młody wiek. Dla dodania sobie powagi zaraz w Mombasie przypasał rewolwer systemu Colta, ofiarowany mu na pamiątkę przez Smugę po zabiciu tygrysa, i nawet teraz, mimo że przeszkadzał w wygodnym ułożeniu się do snu, nie odkładał go na półkę. Ukradkiem spojrzął na Smugę. On również nie odpiął pasa z rewolwerami, a poprzez kieszeń spodni bosmana Nowickiego wyraźnie rysowały się kontury broni. Tomek domyślał się, dlaczego jego starsi przyjaciele zachowywali tę ostrożność. Przecież Hunter opowiadał o Nandi napadających dość często na pociągi — Jedyne ojciec powiesił swój pas z rewolwerem na wieszaku i, jakby nic im nie groziło, wypytywał tropiciela o zwyczaje Masajów.

Tomek w milczeniu porównywał ojca z dwoma przyjaciółmi. Od chwili poznania Smuga stał się dla niego ideałem bohatera. Nawet taki siłacz i zawalidroga jak bosman Nowicki pełen był podziwu dla odwagi i opanowania podróżnika, który o swych najniezwyklejszych przygodach opowiadał z

zupelną obojętnością. Stalowy, zimny błysk w oczach Smugi zniknął jedynie podczas rozmowy z Tomkiem. Chłopiec wyczuwał, że ma w nim szczerego przyjaciela.

Rubaszny, dobroduszny i bezpośredni w obcowaniu bosman Nowicki traktował Tomka jak najlepszego kolegę. Nie zwracał uwagi na różnicę wieku. Zaprzyjaźnił się z chłopcem, gdyż obydwaj nade wszystko kochali Warszawę; gdy tylko mieli ku temu sposobność, rozmawiali o rodzinnym mieście. Obydwaj jednakowo przepadali za przygodami, dlatego też Smuga stał się dla nich wzorem.

Tomek spojrział na ojca. Ten wysoki, barczysty, o łagodnym wyrazie twarzy mężczyzna różnił się usposobieniem od swych towarzyszy. Nie łaknął przygód ani sławy, a we wszystkich ludzkich istotach widział przyjaciół. Podczas wypraw łowieckich Smuga i bosman gotowi byli torować sobie drogę stanowczością lub siłą. Wilmowski natomiast wolał nawiązywać z krajowcami przyjazne stosunki, do czego miał wyjątkowe szczęście. Spoglądając na ojca, Tomek mimo woli przysłuchiwał się jego rozmowie z Hunterem.

— Wśród Murzynów zamieszkujących Kenię można wyróżnić dwie zasadnicze grupy o odrębnych zwyczajach i sposobie życia — wyjaśniał teraz Hunter. — Pierwszą stanowią liczne szczepy Bantu. Do nich należą Kikuju i Wakamba, którzy jako rolnicy lub pasterze prowadzą osiadły tryb życia. Na ogół są łagodni i trochę bojaźliwi, toteż dość łatwo poddają się wpływowi Europejczyków. Do drugiej grupy należą ludy pochodzenia chamickiego. Głównymi jej reprezentantami są Masajowie, Nandi i Luo o głęboko zakorzenionych tradycjach wojowników. Jako koczownicy wędrują ze swymi stadami z pastwiska na pastwisko. Wojownicze usposobienie, odwaga oraz niechęć do wszystkiego, co obce, uodporniają ich na wpływy europejskie. Stanowią też trudny orzech do zgryzienia dla angielskiej administracji.

— Czy sądzi pan, że uda nam się namówić Masajów do wzięcia udziału w wyprawie do Ugandy? — zapytał Wilmowski.

— W zasadzie nie lubią na długo opuszczać swych żon, a ma ich niemal każdy Masaj kilka lub nawet więcej. Wszakże w ostatnich latach mór wyniszczył im stada, powinni więc teraz nie gardzić dobrym zarobkiem. Przecież żony ich wciąż potrzebują nowych ozdób, którymi obwieszają się z prawdziwym zamiłowaniem — odparł Hunter.



— No to przekupimy je sznurami same—same — ucieszył się Wilmowski.

— To najlepszy sposób — przytaknął Hunter.

Wilmowski przeciągał rozmowę z tropicielem nie zważając na późną porę. Inni natomiast spali od dawna, a i Tomka zaczął już morzyć sen. Przymykając oczy rozważał:

*„Tatusz myśli o wszystkim jak prawdziwy wódz przed walną bitwą. Nawet odważny pan Smuga i bosman polegają całkowicie na jego doświadczeniu. Jakie to dziwne — tatuś odłożył broń, lecz czuwa, a my, uzbrojeni, śpimy w najlepsze, bo wiemy, że on jest z nami. Kochany tatuś.”*

Jasny dzień zbudził Tomka. Jego towarzysze stali przy szerokim oknie. Tomek pomyślał, że musieli ujrzeć coś niezwykle ciekawego, natychmiast więc zerwał się z ławki, podbiegł do nich i zapytał:

— Co tam widać, tatusiu?

— Rozejrzyj się po okolicy! — zachęcił go ojciec.

Tomek wyjrzał przez okno wagonu. W oddali, na południu, piętrzyła się wysoko ku niebu olbrzymia góra. Dwa z jej trzech szczytów, rozdzielone od siebie siodłem górskim, rozległym na kilka kilometrów, zdawały się wisieć w powietrzu, gdyż przepływające poniżej chmury tworzyły wokół nich kłębiasty wieniec.

— To jest na pewno Kilimandżaro, najwyższa góra Afryki<sup>95</sup> — domyślił się chłopiec.

— Zgadłeś — powiedział ojciec. — Wysokość jej wynosi blisko sześć tysięcy metrów.

— Imponujący widok przedstawia góra pokryta śniegiem w samym sercu Czarnego Łądu, i to niemal na równiku — przyznał Smuga.

— Nie należy się też dziwić, że niektóre plemiona murzyńskie, mieszkające na stokach Kilimandżaro, oddają jej boską cześć — dodał Hunter. — Na przykład Wadżaggowie wierzą, że niedostępne człowiekowi za życia kratery szczytów Kibo i Mawenzi, mają dopiero po jego śmierci służyć mu za wieczne mieszkanie. W myśl legendy, na Kibo gromadzą się duchy mężczyzn, na Mawenzi kobiet. Na lodowcach mają nadto przebywać złe

---

<sup>95</sup> — Kilimandżaro (w języku krajowców: Kilima Ndżaro — góra ducha sprowadzającego zimno). Góra posiada 3 szczyty: Kibo— 5895 m, Mawenzi — 5355 m i Szira — 4300 m.

duchy warumu, które każdego śmiałka, próbującego wydrzeć im tajemnicę, karzą śmiercią.

— Chciałbym się z bliska przyjrzeć Kilimandżaro! — powiedział Tomek.

— A może pachnie ci wspinaczka tak jak na Górę Kościuszki, pamiętasz? — zagadnął Smuga.

— Ho, ho! Żeby tylko tatuś zgodził się na to! Mielibyśmy się czym pochwalić!

— Wątpię, czybyśmy się zdołali wspiąć na Kilimandżaro — wtrącił Wilmowski, który jako geograf najwięcej miał wiadomości o osobliwościach świata. — Jest niemal trzy razy wyższa od Góry Kościuszki. Zbocza jej nie są zbyt przystępne. Od chwili gdy Rebmann podał wiadomość o istnieniu na równiku wielkiej góry pokrytej wiecznym śniegiem, wielu podróżników i alpinistów kusiło się o zdobycie jej szczytów. Jeden z nich, Johnston, przez pół roku przebywał na Kilimandżaro, lecz dotarł tylko do wysokości czterech tysięcy dziewięciuset metrów. Z kilku następnych ekspedycji jedynie Anglik Charles New wspiął się do granicy wiecznego śniegu. Trzykrotnie na szczyt tej góry próbował wdrzeć się Niemiec, geograf i alpinista, Hans Meyer. Dopiero w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym, podczas trzeciej wyprawy, udało mu się jako pierwszemu osiągnąć Kibo, jeden ze szczytów Kilimandżaro, i zbadać wygasły krater oraz pokrywające go lodowce. Od tej chwili uwierzono w to, co mówił swego czasu Rebmann. Niewielu szczęśliwym podróżnikom udało się później wejść na szczyt Kibo<sup>96</sup>. Konieczne są do tego siła, wprawa i odpowiedni ekwipunek, a tymczasem my nie jesteśmy na to przygotowani.

— Słuchaj, brachu! Mogę łązić po rejach okrętowych jak kot, ale daj mi spokój z górami i lodowcami — odezwał się do chłopca bosman Nowicki. — Na takim lodowcu pewno nawet rum zamarza w żołądku.

— Och, drogi panie bosmanie, przecież my tylko tak sobie rozmawiamy — pocieszył go Tomek.

---

<sup>96</sup> — Do 1935 r. na Kilimandżaro wspięło się zaledwie 39 osób. Jednym z pierwszych był Polak, dr Antoni Jakubski, pracownik Instytutu Zoologicznego Wszechnicy Lwowskiej, który w latach 1909–10 badał Tanganikę. 13 marca 1910 r., pozostawiwszy niżej w obozie zmęczonych i wylękłych tragarzy, samotnie osiągnął szczyt Kibo. W okresie drugiej wojny światowej wyczynu tego dokonało dwóch Polaków, członków Polskiego Klubu Wysokogórskiego: w 1944 r. na szczyt Kibo wspiął się Jerzy Golcz, a w 1945 r. inż. Wiktor Ostrowski wraz z angielskim dziennikarzem A. W. Parsonem.

Kilimandżaro zniknęła z pola widzenia, lecz okolica nie wydawała się już tak pępna jak poprzedniego dnia. Co pewien czas pojawiały się wśród stepu, nawet niedaleko od jadącego pociągu, jasnożółte antylopy. Było ich nieraz po kilkadziesiąt sztuk. Jedne pasły się spokojnie, inne patrzyły na pociąg prezentując swe wysokie rogi. Tu i ówdzie wśród stada złocistych antylop bieleły się pręgowate zebry, gdzie indziej znów czerniały gnu pasące się razem z wielkimi afrykańskimi strusiami. Te ostatnie przypomniały Tomkowi i bosmanowi ich niefortunne łowy na emu w Australii. Z humorem opowiedzieli Hunterowi swą niebezpieczną przygodę.

Czas szybko mijał. Rozweselony Hunter opowiadał z kolei ciekawostki ze swych polowań i ani się spostrzegli, jak pociąg wjechał na Kapiti Plains. Był to prawie pusty step porośnięty niską, krzaczastą i kolczastą roślinnością, wśród której roilo się od zwierzyny. Przebiegały całe jej stada liczące po kilkaset sztuk. Czasem, nie opodal pasących się zwierząt, stał samiec antylopy gnu, który, jak zapewniał tropiciel, pilnował bezpieczeństwa stada. Zwykle trzymał się na uboczu, stawał na wyższym cokolwiek miejscu i widać go było jeszcze nawet wtedy, gdy spłoszone stado zniknęło w ucieczce.

Widoki roztaczające się z okna pociągu pochłonęły Tomka bez reszty. Pierwszy też spostrzegł pięknego, oryginalnego ptaka wielkości żurawia, o stosunkowo długiej szyi i wysokich nogach, który kołował nad mijaną przez pociąg rzeką Athis. Tomka zachwyliła kita piór zwisająca z czuba ptaka — wydał okrzyk podziwu.

— To węzojad sekretarz<sup>97</sup> — wyjaśnił chłopcu Smuga. — Żyje nie tylko tu, ale i w Ameryce. Stanowi przejściowy gatunek między ptakiem brodzącym a jastrzębiem; żywi się gadami i płazami. Skoro wypatrzy zdobycz, najeża kitę na głowie i z natężoną uwagą śledzi ruchy węża, potem jednym skokiem rzuca się na niego, przyciska szponami do ziemi, a przed ukąszeniem broni się skrzydłami. Poluje również na węże jadowite, które pożera razem z gruczołami jadowymi. Jest tak pożyteczny w tępieniu płazów i gadów, że znajduje się pod ochroną.

Tomek urozmaicał sobie długą podróż przeglądaniem podręcznej torby. Miał w niej różne drobiazgi. Pokazał bosmanowi szklaną kulę z trójmasztowym statkiem w środku, nowy nóż myśliwski, kilka fotografii Sally i spory zapas różnych świecełek tak pożądaných zawsze przez Murzynów.

---

<sup>97</sup> — *Serpentarius secretarius*.

Łowcy toczyli długie dysputy, które przerwano wtedy dopiero, gdy pociąg zbliżał się do Nairobi.

Po dwudziestu godzinach od chwili opuszczenia Mombasy pociąg zatrzymał się w Nairobi. Tutaj nasi łowcy wysiedli, zabierając z sobą tylko najniezbędniejszy ekwipunek. Resztę bagaży mieli odebrać później na stacji w Kisumu. Przed dworcem oczekiwał na nich mały dwukołowy wózek z oślim zaprzęgiem. Powoził Murzyn zatrudniony na plantacji Anglika Browna, który jako jeden z pierwszych białych kolonistów osiedlił się w pobliżu Nairobi. Hunter przyjaźnił się z Brownem i podczas pobytu w tym mieście zawsze się u niego zatrzymywał.

Załadowawszy bagaże na wózek, łowcy szli za nim piechotą przez miasto. Nairobi miało zaledwie kilka szerokich ulic. W pobliżu dworca rozpościerały się magazyny i budynki administracyjne zarządu kolei, nieco dalej stały szeregi niskich, białych domów z wieloma sklepami, dobrze zaopatrzonymi w najrozmaitsze towary.

Był to zaledwie początek okresu kolonizacyjnego Kenii, toteż na ulicach spotykano niewielu białych. Łowcy przeszli obok rozpoczętej budowy pałacu gubernatora angielskiego, potem minęli mały, brzydki kościółek katolicki, a następnie znaleźli się wśród ogrodów, w których stały wille nielicznych Europejczyków. Za nimi dopiero widać było małe, kwadratowe, ulepione z gliny chaty murzyńskie o czterospadowych dachach krytych słomą.

Posiadłość Browna znajdowała się na peryferiach miasta. Anglik przyjął łowców nadzwyczaj gościnnie. Oddał do ich dyspozycji oddzielny domek w ogrodzie. Wilmowski i Hunter nie skorzystali jednak z możliwości wypoczynku. Zaraz udali się do handlarza koni w celu nabycia kilku wierzchowców. Zdaniem Smugi były one konieczne przy chwytaniu niektórych szybkołogich zwierząt. Wprawdzie Wilmowski wyraził obawę, czy w głębi łądu uda im się utrzymać konie przy życiu z powodu groźnych tse–tse, ale Hunter i Smuga zapewnili go, że śmiercionośne muchy spotyka się jedynie na niżej położonych terenach.

Tomek i Smuga, nie chcąc beczynnie oczekiwać na powrót towarzyszy, wyszli obejrzeć plantację kawy<sup>98</sup>. Zaintrygowany Tomek przyglądał się bacznie krzewom kawowym, bujnie rosnącym w cieniu wysokich, rozłożystych palm. Otóż zamiast ziarenek kawy na gałęziach widniały

---

<sup>98</sup> — *Coffea arabica*.

purpurowo–fioletowe dojrzałe owoce, przypominające swym kształtem oliwki lub nasze małe śliwki...

— Przecież te owoce wcale nie mają wyglądu kawy — zagadnął w końcu.

— Czy przypuszczałeś, że ziarna kawy rosną bezpośrednio na krzewach? Jeżeli tak, to byłeś w błędzie — padła odpowiedź. — Właśnie w miąższu tych owoców, zwanych przez plantatorów czereśnią, znajdują się zwykle dwa półokrągłe, spłaszczone, twarde ziarenka, które dopiero po wyłuszczeniu i odpowiednim przygotowaniu stają się kawą, czyli produktem handlowym.

— Coś podobnego, nie wiedziałem — zdumiał się Tomek. — A dlaczego pan Brown nie każe wyciąć palm, które nie dopuszczają słońca do krzewów kawowych?

— Kultury kawowe są nadzwyczaj delikatne. Nie znoszą zbyt intensywnego nasłonecznienia, toteż palmy zastępują im parasole — wyjaśnił Smuga. — Zaraz widać, że Brown jest dobrym fachowcem. Spójrz tylko, jak bujnie owocują krzewy. Na jednej gałęzi spotyka się dojrzałe już czereśnie i kwitnące kwiaty. Brown zapewne wkrótce rozpocznie zbiór czereśni, gdyż przejrzałe owoce marszczą się, czernieją i zsychają, a wtedy trudniej wydobywać z miąższu ziarenka kawy.

— Jak teraz zrozumiałem, wyłuszczone ziarna jeszcze nie są gotową do sprzedaży kawą — indagował Tomek.

— Masz rację, po wydobyciu z miąższu należy je bowiem wymyć, oczyścić na szczotkach, pozbawić wierzchniego pergaminowego naskórka, dzięki czemu ziarna tracą możliwość kiełkowania, a w końcu trzeba je wypolerować na polerkach. Po poddaniu ziaren procesowi tak zwanego palenia przybierają one czarną barwę i wtedy dopiero kawa wygląda tak, jak widzimy ją w sklepach.

— Ho, ho, wcale nie myślałem, że Murzyni muszą tak się napracować chcąc wypić szklankę kawy — rzekł Tomek. — Przecież chyba nie każdego stać tutaj na zakupienie maszyn do wyłuszczenia ziaren, oczyszczania, polerowania i wszystkiego, co jest konieczne do preparowania kawy!

— Słuszna uwaga, Tomku, toteż krajowcy wydobywają ziarna z miąższu przez fermentację. W wysokiej, temperaturze miąższ rozkłada się, potem zaś suszą ziarna na słońcu i prymitywnymi metodami pozbawiają je

pergaminowego naskórka. Poza tym Murzyni nigdy nie spożywają ziaren kawy, tylko w czasie długich, nużących marszów żują zwykle sam miąższ owocu, podobnie jak orzeszki kola<sup>99</sup>.

— Czyżby miąższ czereśni był odżywczy?

— Podobno wzmacnia i dodaje energii<sup>100</sup>.

— Jeśli tak, to muszę go spróbować! Chciałbym jeszcze o coś zapytać. Czy wszystkie czereśnie zawierają po dwa ziarenka kawowe?

— Nie, Tomku, kilka dzikich odmian kawy afrykańskiej posiada w czereśniach po jednym okrągłym ziarenku, znanym pod nazwą perłówka.

Smuga spacerował między rzędami krzewów. Tomek kroczył obok niego, lecz nie zasypywał go już nowymi pytaniami. Nagłe zamilknięcie młodzieńca zwróciło w końcu uwagę Smugi. Spojrzał na niego. Tomek wprawdzie szedł za nim krok w krok, lecz od razu można było spostrzec, że krzewy kawowe przestały go interesować. Nachmurzony śledził bzykające owady.

— O czym rozmyślasz? — zapytał zainteresowany Smuga.

— Niepokoję się o Dinga — odparł chłopiec.

— Czy coś mu się stało? Dlaczego nie zabrałeś go z sobą?

— Zamknąłem Dinga w pokoju, bo się boję, żeby go nie ugryzła tse–tse

— wyjaśnił Tomek zafasowany. — Teraz naprawdę żałuję, że wziąłem pocziwca do Afryki.

— A więc o to ci chodzi, przyjacielu. Wydaje mi się, że się zupełnie niepotrzebnie obawiasz.

— Naprawdę? Słyszał pan jednak, co mówił ojciec? Ukąszenie tse–tse bywa śmiertelne dla koni, wołów, owiec i psów.

— To prawda, lecz nie każda tse–tse jest roznosicielką zarazków. Poza tym wszyscy w równej mierze będziemy narażeni na niebezpieczeństwo. Wiesz przecież, że ukąszenie tse–tse może spowodować u człowieka chorobę kończącą się śmiercią. Miejmy nadzieję, że Opatrzność nas ustrzeże. Polowałem w rejonach ogarniętych plagą śpiączki i wyszedłem szczęśliwie.

— Czy nie ma żadnych sposobów ochrony przed tą niebezpieczną muchą? — ciekawił się Tomek.

<sup>99</sup> — Kola (*Cola acuminata*) — drzewo z rodziny zatwarowatych rosnące w Afryce Zachodniej. Jego owoce zawierają nasiona znane pod nazwą orzeszków kola. Wyciąg z nich używany jest w leczeniu w przypadkach przemęczenia fizycznego i psychicznego oraz do wyrobu napojów.

<sup>100</sup> — Miąższ czereśni kawowych zawiera spory procent kofeiny, która wzmacnia czynność serca oraz ośrodkowego układu nerwowego (kora mózgowa) i wywołuje pobudzenie psychiczne

— Tse–tse jest nadzwyczaj ostrożna, a jej lot jest niemal bezdźwięczny. Tym samym nie zwraca na siebie uwagi. Nie siada również na jasnym tle, na którym staje się zbyt widoczna. Dlatego najlepszą przed nią ochroną jest biała odzież. Krajowcy często odganiają się przed owadami różnymi miotełkami bądź też noszą ozdoby z piór lub kit zwierzęcych spełniające tę samą rolę.

Tomek westchnął ciężko i szedł dalej w milczeniu. Nie lubił oczekiwać na niebezpieczeństwo z założonymi rękoma, toteż przemyślał teraz nad sposobami, które w jego mniemaniu, mogłyby zabezpieczyć psa przed ukąszeniem zdradliwej muchy. Niebawem rozchmurzył się; pogwizdując wesoło pobiegł w kierunku domu.





## NOCNY STRZAŁ

Był wczesny ranek, gdy Hunter przywiódł przed werandę pięć osiodłanych wierzchowców i jednego konia do objuczenia bagażem. Razem z bosmanem Nowickim wynieśli przygotowane juki ze sprzętem obozowym oraz żywnością, by je przytroczyć do uprzęży luzaka. Wkrótce wyszli z domu pozostali łowcy, uzbrojeni w karabiny i rewolwery.

— A gdzie jest Tomek? — zapytał Wilmowski nie widząc syna, który zazwyczaj pierwszy był gotów do drogi.

— Gdzieś stale teraz znika jak kamfora — zauważył Smuga zawieszając karabin na pasie na łąku siodła.

— Tomku! Tomku! Pospiesz się! — zawołał Wilmowski.

— Po co to robić gwałt? Przecież szkapę nam nie zwieją, a Tomkowi pewno nie służy kuchnia pana Browna — burknął bosman Nowicki wzruszając niechętnie ramionami. — Mógłbyś pan, panie Hunter, wyklarować swemu krajanowi, żeby trochę oszczędzał korzeni. Taniej by go to kosztowało i człowiek mógłby spokojnie siadać na szkapę. Dziwić się tu Tomkowi, kiedy ja sam czuję...

— A to co? Cóż to za maskarada? Czyś ty oszalał, chłopcze? — krzyknął Wilmowski, przerywając wywody bosmana na temat sposobu przyrządzania potraw.

Wszyscy spojrzeli w kierunku domu i ujrzeli Tomka ciągnącego na smyczy niezadowolonego Dinga. Mężczyźni jak na komendę wybuchnęli śmiechem. Chłopiec i jego ulubieniec przedstawiali niecodzienny widok: Tomek ubrany był w białą bluzę i długie spodnie wpuszczone w wysokie sztylpy, pomalowane grubo białym lakierem. Na głowie miał hełm korkowy z opadającą na kark muślinową osłoną. Z hełmu wokół głowy swobodnie zwisały futrzane ogonki. Spod zawiniętych powyżej łokci rękawów bluzy opadały na gołe ręce długie skrawki futerka. Dingo wyglądał równie dziwnie. Nałożono mu specjalną uprzęż, do której przytwierdzone były futrzane ogonki, powiewające jak chorągiewki. Pies gniewnie spoglądał na nie; wyraźnie niezadowolony, nie chciał iść za chłopcem.

— Co to ma znaczyć. Tomku? — skarcił go ojciec. — Wszyscy czekamy na ciebie, a ty stroisz sobie żarty.

— Ha, więc uważacie, panowie, że płątam głupie figle — odparł Tomek urażony rozbawieniem towarzyszy. — No, no! Niech i tak będzie! Ten się śmieje dobrze, kto się śmieje ostatni. Nie jestem jednak pewny, czy wkrótce nie zrobicie tego samego co ja!

— Cóż to znowu za pomysł, mój synu? W jakim celu mielibyśmy się przebierać za straszdyła? — zapytał Wilmowski.

— Zapomnieliście widocznie, panowie, o tse–tse, której lot jest bezdźwięczny, a ukąszenie zabójcze dla koni, wołów, owiec, psów i nawet dla najsilniejszych ludzi, panie bosmanie — odparł zjadliwie Tomek, specjalnie akcentując wyrazy.

Przerwał na chwilę, aby stwierdzić, jakie wrażenie wywarły jego słowa. Przesądny jak większość marynarzy, bosman przestał się natychmiast śmiać. Hunter również spoważniał. Tomek chrząknął zadowolony i dodał:

— Najlepszą ochroną przeciwko tse–tse jest biały kolor ubrania, ponieważ ostrożna mucha nie lubi jasnego tła, na którym jest zbyt widoczna. Ogonki futrzane natomiast spełniają doskonale rolę wachlarzy. W tym też celu krajowcy stroją się w nie według zapewnień pana Smugi, który chyba dobrze wie, co mówi.

— Łatwo odgadnąć, że nasłuchałeś się jakichś bzdurnych opowiadań. Oj, Tomku, kiedy ty wreszcie spoważniejesz? — powiedział ojciec.

Smuga, ubawiony wyjaśnieniami chłopca, uśmiechnął się dyskretnie, a bosman rzekł pojednawczo:

— Ostatecznie nie ma znów z czego tak się śmiać. Pamiętam jeszcze ze szkoły, że i z Kopernika wszyscy najpierw szydzili. Może ten chłopak kapuje się nieźle na rzeczy? Każdy pędrak ma swój rozum...

— Szkoda teraz czasu na sprzeczenie się o głupstwa — zakończył rozmowę Wilmowski. — Spuść, Tomku, psa ze smyczy i siadaj na konia. Dingo na pewno zaraz zapomni o swoim stroju i pobiegnie za nami.

Tomek odpiął obrożę. Nie spiesząc się wsiadł na wierzchowca. Ruszyli stępa z miejsca. Dingo wstrząsnął kilka razy grzbietem, lecz nie mogąc się pozbyć niewygodnej uprzęży, szczebkał chrapliwie, po czym pogonił za łowcami.

Wkrótce podróżnicy zostawili daleko za sobą plantacje kawy oraz łąny porośnięte kukurydzą i bananowcami. Po dwóch godzinach wjechali w kraj o charakterze stepowo–pustynnym. W południe, to jest w czasie

najintensywniejszego działania słońca, zatrzymali się na dłuższy postój. Szczery step nie dawał możliwości schronienia przed upałem, rozbito więc namioty, w których można było zaznać trochę cienia.

Po krótkim wypoczynku łowcy znów dosiedli koni. Okolica z wolna zmieniała wygląd. Teren stawał się pagórkowaty, później górzysto–skalny. Niebawem konie wkroczyły na wąską, pnącą się w górę ścieżkę, która biegła grzbietem nad przepaścistym stokiem. Zatrzymali się dopiero na szczycie przełęczy. U jej stóp rozciągała się równina, otoczona ze wszystkich stron skalistymi wzgórzami. Wokół przeważała płowa barwa stepu, miejscami tylko zieleniły się krzewy lub ciemniały gęste zarośla. Pasma wysokich drzew, jakby zielone wstęgi, znaczyły łożyska rzeczulek. Jak się później okazało, niektóre z nich były zupełnie wyschłe, podczas gdy w innych jeszcze dość głęboka woda płynęła wartkim strumieniem.

Łowcy pognali konie. Zjechali zboczem w dół, wypatrując z daleka miejsca na nocleg. Zatrzymali się na brzegu rzeczulki. Tomek z ochotą pomagał przy rozbijaniu obozu i zbieraniu chrustu na ognisko. Nie brakowało tutaj opału; skaliste brzegi porastała gęstwina drzew akacjowych.

Nadszedł gwieździsty, chłodny wieczór, toteż łowcy wydobyli z juków grube, wełniane koce. Na protesty Tomka, że śmiesznie byłoby przykrywać się nimi w Afryce Równikowej, ojciec wyjaśnił mu krótko:

— Chociaż, jak słusznie twierdzisz, jesteśmy niemal na równiku, znajdujemy się jednocześnie na wysokości dwóch tysięcy metrów nad poziomem morza. Z tego względu noce tu są dość chłodne, o czym przekonasz się wkrótce.

Postanowiono czuwać w nocy na zmianę: Ponieważ Tomek stanowczo nie zgodził się na wyłączenie go z czat, wyznaczono mu najwcześniejszy dyżur. Zaraz po kolacji udał się do namiotu na krótki wypoczynek. Zdawało mu się, że zaledwie zdążył przymknąć powieki, gdy poczuł potrząśnięcie za ramię. Przebudził się natychmiast i zapytał:

— Czy mam już wstać na czaty?

— Czas stanąć na posterunku — przytaknął Hunter, który podczas wyprawy pełnił jednocześnie funkcję przewodnika i oboźnego. — Wszyscy położyli się już spać. Masz zegarek? To dobrze, teraz dochodzi dziesiąta. O dwunastej zbudzisz pana Smugę. Chodź!

Tomek wygrzebał się spod moskitiery; za nim wyskoczył Dingo. Chłopiec przypasał rewolwer i wziął do rąk sztucer.

— Już jestem gotów — oznajmił wychodząc z namiotu.

— Chłodno ci będzie — ostrzegł tropiciel. — Może nałożysz coś cieplejszego?

— Rozgrzeję się obchodząc obóz dookoła. Co należy do moich obowiązków?

— Dorzucaj chrustu do ognia, żeby nie wygasł, i dobrze nasłuchuj. W pobliżu znajduje się wodopój zwierząt, ale one się nie zbliżą do płonącego ogniska. Gdyby cokolwiek wydało ci się podejrzanym, zbudzisz któregoś z nas. Nie będziesz się bał czuwać w pojedynkę?

— Nie, proszę pana. Australijczyk Tony nauczył mnie nie bać się puszczy. Już w Australii odbywałem samotne nocne wędrówki. Bardzo lubiłem tropić na własną rękę niedźwiadki koala.

Hunter uważnie spojrzał na Tomka. Ku swemu zdziwieniu nie ujrzał w nim podniecenia czy strachu, co byłoby w jego wieku zrozumiałe. Uśmiechnął się nieznacznie widząc marsową minę chłopca i powiedział:

— Dobranoc!

— Dobranoc panu! — odparł Tomek, sprawdzając uważnie zamek sztucera.

Hunter znikł w pobliskim namiocie, który dzielił z bosmanem Nowickim.

— Jak się spisuje nasz mikrus? — zapytał marynarz.

— Jak stary wyga — poinformował tropiciel.

— Byczy kumpel, mówię panu, ale chyba będziemy trzymali wachtę razem z nim?

— O tej porze zazwyczaj nic się na stepie nie dzieje, obiecałem jednak panu Wilmowskiemu, że zaopiekuję się chłopcem. Znajdujemy się w pobliżu terenów zamieszkałych przez Masajów. Lepiej więc wiedzieć, co w trawie piszczy.

— Dobra, czuwajmy więc razem i zerkajmy przez dziurkę na pędraka — zakończył bosman, siadając na składanym krzeselku przy otworze namiotu.

Tymczasem Tomek nie domyślał się nawet podstępny przyjaciół. Spojrzał w ciemny step i odetchnął radośnie pełną piersią. Przez chwilę delektował się zdrowym, orzeźwiającym powietrzem, po czym ostrożnym, powolnym krokiem zaczął spacerować wokół obozu. Pod prawą pachą trzymał gotowy

do strzału sztucer. Obok Tomka szedł bezszelestnie Dingo strzygąc uszami. Wkrótce jednak chłopcu sprzykrzyło się obchodzenie obozu. Sprawdził więc, czy konie dobrze są przywiązane do wbitych w ziemię palików, dorzucił chrustu do ogniska i usiadł przy nim. Dingo położył się obok, opierając łeb na łapach. Mijał kwadrans za kwadrans. Wokół panowała cisza. Nagle Dingo uniósł głowę, zastrzygł uszami i pytająco spojrzął na Tomka. Chłopiec uspokoił go ruchem dłoni. W pobliskich krzewach rozległ się jakby jękliwy śmiech. Tomek poprawił sztucer spoczywający na jego podwiniętych nogach i położył palec na spuście.

„*To na pewno hiena*<sup>101</sup>” — pomyślał. Zaraz przypomniało mu się polowanie na dzikie psy dingo w Australii. Skowyt ich jednak brzmiał wtedy jak skarga upiora, podczas gdy hiena po prostu śmiała się nieprzyjemnie.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien obudzić Huntera, lecz zaraz odrzucił tę myśl. Przecież tchórzliwa hiena nie odważy się zaatakować ludzi w obozie. W ostateczności łatwo będzie ją spłoszyć. Gdyby zaś podeszła zbyt blisko, miałby wspaniałą okazję do strzału. Hieny z natury są bardzo tchórzliwe, lecz głód może pobudzić je do niewiarygodnej zuchwałości.

„*Mógłbym ją zachęcić do zbliżenia się do ogniska*” — pomyślał Tomek.

Jeszcze raz nakazał Dingowi nie ruszać się z miejsca; sam podniósł się i wyjął ze stojącego opodal kociołka kawał mięsa pozostały z kolacji. Postąpił kilka kroków w kierunku zarośli, skąd uprzednio rozbrzmiał jękliwy śmiech hieny. Wziąwszy rozmach, rzucił ociekający tłuszczem kasek. Zadowolony z siebie wytarł ręce w wiecheć trawy, dołożył chrustu do ogniska, po czym najspokojniej w świecie usiadł na ziemi obok psa. Teraz umieścił na kolanach sztucer przygotowany do strzału i czekał...

Śmiech hieny rozbrzmiał po raz drugi już znacznie bliżej. Zaniepokojone konie zaczęły głośno parskać. Tomek był nieco zdziwiony, że żaden z jego towarzyszy nie przebudził się do tej pory. Wygłodzona hiena, czując zapach

---

<sup>101</sup> — Do hien właściwych (*Hyaenidae*) należy niewiele gatunków żywiących się prawie wyłącznie padliną. Hiena cętkowana (*Crocotta crocuta*) zamieszkuje Afrykę (tereny na południe od Sahary). Obok niej występuje w niektórych okolicach hiena pręgowana (*Hyaena hyaena*). Dawniej żyła w Europie krewniaczka hieny cętkowanej — hiena jaskiniowa (*Hyaena spelaea*). W Afryce Południowej występuje hiena brunatna (*Hyaena brunnea*), mniejsza od swoich krewniaczek, która żywi się głównie padliną wyrzuconą z morza. Wszystkie hieny są nocnymi, często stadnie żyjącymi zwierzętami. Występują w Afryce oraz w południowo-zachodniej Azji. Głos ich przypomina okropny śmiech, mają nieładny chód i wydają nieprzyjemną woń.

koni i słysząc ich niepokój, wychyliła z gąszczu szary łeb. Naraz zwietrzyła w pobliżu kawał mięsa. Błysnęła ślepiami w kierunku jasno płonącego ogniska. Kompletna cisza działała zachęcająco. Powoli coraz bardziej wychylała spomiędzy krzewów swój pochylony do tyłu grzbiet. Jakby kulejącym krokiem zaczęła się skradać do drażniąco pachnącego kąska.

Sierść zjeżyła się na karku Dinga. Drżąc z niecierpliwości niespokojnie spoglądał na swego pana, to znów na skradające się w milczeniu dzikie zwierzę. Tomek zaś, nie unosząc z kolan broni, wymierzył w zadnie nogi hieny. Spokojnie nacisnął spust. Huknął strzał. Hiena przeraźliwie zaskowyczała. Zaczęła kręcić się wokoło, wlokąc za sobą strzaskaną łapę. Tomek przykleknął błyskawicznie, uniósł sztucer do ramienia. Mierząc krótko strzelił po raz drugi. Hiena wyprężyła się i jak rażona piorunem padła na ziemię.

Tomek uspokajał jeżącego sierść Dinga, gdy nagle ujrzał obok siebie bosmana i tropiciela z bronią w ręku.

— Niech cię kule biją, brachu! — zawołał bosman. — Gracko sobie począłeś z tym afrykańskim wyjcem! A co, panie Hunter, nie mówiłem, że nasz mały nie posieje cykorii?!

— Powinszować, powinszować, naprawdę doskonały strzał, i to nocą — chwalił Hunter ściskając serdecznie rękę Tomka.

Zaraz też do tych życzeń przyłączyli się Smuga i Wilmowski, a Tomek spoglądał na nich zdumionym wzrokiem. Przecież, według zapewnień tropiciela, wszyscy mieli się udać na spoczynek, gdy obejmował czaty, a tymczasem otaczali go teraz całkowicie ubrani, jakby nie kładli się do snu.

— Coś mi się zaczyna wydawać, że żaden z panów nie spał do tej pory. Czy ma to oznaczać brak zaufania do mnie? — oburzył się Tomek.

— Nie bądź znów taki drobiazgowy, kochany brachu — pojednawczo rzekł bosman. — Zrobiłem zakład z panem Hunterem, że zachowasz się na warcie jak stary wiarus. Wobec tego musieliśmy wyglądać przez otwór w namiocie, aby sprawdzić, który z nas stawia butelkę. Czy nie tak było, panie Hunter?

— Oczywiście, tak — szybko potwierdził tropiciel, z wdzięcznością spoglądając na bosmana za zręczne wybawienie z kłopotliwego położenia.

— No dobrze, ale dlaczego nie spali tatuś i pan Smuga? — indagował Tomek.

Smuga spojrział chłopcu prosto w oczy i odparł:

— Powiem ci szczerze, Tomku. Po prostu chcieliśmy się przekonać, czy przez roczny pobyt w mieście nie odwykłeś od dżungli. Byłoby to przecież zupełnie zrozumiałe. Teraz mogę z zadowoleniem stwierdzić, że nauka nie poszła w las. Cieszy nas to bardzo, gdyż na tej wyprawie możemy spotkać wiele niebezpiecznych niespodzianek. Dobrze wiedzieć, że można polegać na każdym uczestniku ekspedycji. Od tej pory posiadasz nasze pełne zaufanie. Wierzysz mi, prawda?

— Jak mógłbym panu nie wierzyć! — zawołał Tomek niemal wzruszony i rzucił się Smudze na szyję.

— Coś mi się wydaje, panie Hunter, że mamy dobrą okazję do wysuszenia butelczyny rumu — zauważył bosman Nowicki. — Wybiliśmy się ze snu, więc po łyknięciu specjału prędeż zaśniemy. Tomkowi za to na pewno się przyda kubek gorącej kawy. Co wy na to, panowie?

— Już dawno nie słyszałem tak dorzeczej wypowiedzi — przytaknął Smuga. — A ty, Andrzej?

— Wypijmy za pomyślność naszej wyprawy — zgodził się ochoczo Wilmowski.





## WITAJ, KIRANGOZI

Wchodzące słońce zastało naszych łowców gotowych do dalszej drogi. Po krótkiej jeździe przebyli kamienistą górską przełęcz i znaleźli się na wysoko położonym płaskowyżu. Z jego rozległej równiny wystrzelały ku niebu pojedyncze stożkowe wzgórza.

— Dobrze teraz uważaj, Tomku, tu łatwo spotkać zwierzynę — oznajmił Hunter.

Wkrótce sprawdziła się jego zapowiedź. Jeźdźcy zbliżali się do mimozowego gaju, gdy nagle Dingo, biegnący przy koniu Tomka, zaczął zdradzać niepokój. Wiatr wiał od strony rzadko rosnących drzewek. Musiał nieść drażniący zapach dzikiej zwierzyny, Dingo bowiem, unosząc pysk do góry, poruszał nozdrzami, strzygł uszami i spoglądał co chwila na chłopca. Tomek uspokoił psa i zwrócił uwagę towarzyszy na jego zachowanie. Hunter podniesieniem ręki nakazał milczenie. Przynaglił konia do biegu. Gaj mimoz stawał się coraz bliższy. Miękka ziemia tłumiała tętent kopyt końskich; łowcy jadąc pod wiatr mogli się zbliżyć do drzew, nie zwracając na siebie uwagi płochliwych zwierząt. Zanim zdołali dopaść pierwszych zarośli, jakiś żółtobrunatny kształt poderwał się z zieleni gaju, błysnął w słońcu lirowato rozwidlonymi rogami, znikł na chwilę w gąszczu, a potem jeszcze kilka razy ukazał się skacząc wysoko ponad ziemię.

— Dorkasy<sup>102</sup>! Rozciągnąć się w szereg! Pieczeń na obiad przed nami! — zawołał Hunter na widok zwierzęcia.

Gaj nagle się ożywił. Jeszcze kilkadziesiąt metrów dzieliło łowców od drzew, gdy stado gazel w podskokach wybiegło na równinę. Wzrostem nie dorównywały naszym sarnom, lecz były od nich smuklejsze, zgrabniejsze i jakby bardziej delikatne.

Smuga zaledwie ujrzał gazele, odłączył się od swych towarzyszy. Cwałem ruszył wzdłuż linii mimozowego gaju.

Tomek bez wahania pognał za nim. Konie przynaglone do biegu brzuchami niemal szorowały po szorstkiej trawie. Dingo olbrzymimi susami wysforował się przed jeźdźców.

---

<sup>102</sup> — *Gazella dorcas*

Przez moment gazy, jakby zdziwione, przyglądały się łowcom, później rzuciły się do ucieczki. Smuga trzymając broń w prawej dłoni, lewą ostro osadził wierzchowca. Zaledwie karabin przylgnął do ramienia — padł strzał! Jedna z najbliższych gazel zwinęła się w skoku i runęła na ziemię. Dalszy pościg za szybko nogami dorkasami był bezskuteczny. Mknęły teraz z wiatrem w zawody, a biegły lekko, niemal nie dotykając ziemi. Co pewien czas niektóre przystawały, oglądały się na swych prześladowców, po czym znów dalej uciekały w step.

Łowcy zwolnili bieg wierzchowców rezygnując z bezcelowego pościgu. Smuga i Tomek zdążyli do zastrzelonej gazeli, reszta towarzyszy wkrótce przyłączyła się do nich. Zastali Dinga stojącego przednimi łapami na szyi martwego zwierzęcia. Pies wpatrywał się w nieruchome, szeroko otwarte, duże, ciemne oczy gazeli. Na widok nadjeżdżających machnął ogonem i szczeknął.

— Ha, uważam się za dobrego strzelca, ale tutaj widać już rękę prawdziwego mistrza — pochwalił Hunter, z szacunkiem spoglądając na Smugę. — Celny strzał z konia do umykającej gazeli to sztuka niemal cyrkowa.

Smuga uśmiechnął się i odparł:

— Miałem niezłych nauczycieli. Bywałem w Teksasie słynącym z mistrzów rewolwerowych. Właśnie od kowbojów nauczyłem się trafiać z rewolweru w monetę rzuconą do góry.

Hunter zeskoczył z konia. Dingo wyszczerzył kły, gdy tropiciel pochylił się nad gazelą. Tomek natychmiast przywołał psa. Tropiciel obejrzał martwe zwierzę. Był to kozioł wagi około czterdziestu kilogramów. Miękką jak jedwab skóra pokryta była na grzbiecie i bokach żółtobrunatną sierścią, podczas gdy na brzuchu i na delikatnych, jakby z kości słoniowej wyrzeźbionych nogach przybierała barwę śnieżnobiałą. Zgrabne racice zwierzęcia były z przodu mocno zastrzone. Głowę kozła ozdabiały czarne, wygięte pierścieniowato rogi długości około trzydziestu centymetrów. Z przodu przypominały lirę. Tomek spojrzął w nieruchome, łagodne oczy, w których zamarł strach. Jak zwykle w takich wypadkach, żał mu się zrobiło pięknego zwierzęcia.

— Trafił pan prosto w komorę — orzekł Hunter. — Przytroczę gazelę do jucznego konia, a podczas wieczornego postoju ściągnę skórę. Zrobimy z niej wspaniałą worek na wodę.

Nie tracąc czasu zarzucił upolowane zwierzę na grzbiet konia, przywiązał sznurem, po czym wszyscy dosiedli wierzchowców. Coraz częściej w ich polu widzenia ukazywały się rozmaite zwierzęta, głównie elandy<sup>103</sup>, największe z antylop o śrubowato skręconych rogach, pasące się razem z kudu<sup>104</sup>, których grzbiet i boki znaczyły białe pasy. Tomek miał ochotę zbliżyć się do antylop, lecz widok długich na metr, wygiętych i skręconych rogów kudu ostudził jego zapał. Nieco dalej ujrzeni antylopy gnu<sup>105</sup>, wyróżniające się swoistą budową ciała i specyficznymi ruchami, co wzbudziło szczególne zaciekawienie Tomka. Gnu jest bowiem czymś pośrednim pomiędzy koniem, wołem i antylopą. Ciemnogniady kadłub i siwy ogon przypominają zupełnie konia, głowa zaś wydaje się być zapożyczona od bawołu, nozdrza zakryte są płatkami skóry, a pysk otoczony długimi włosami; łeb obu płci zdobią rogi, które u młodziaków są krótkie, sterczące do góry, potem jednak rozrastają się na boki, spłaszczają i zaginają się zrazu na dół, następnie do góry. Oczy o ponurym wejrzeniu osłonięte są gęstym wieńcem włosów i już na grzbiecie nosa wyrasta gęsta grzywa, pokrywająca cały kark.

Hunter często polował na antylopy gnu. Opierając się na własnym doświadczeniu twierdził, że są one, podobnie jak bawół i byk, bardzo wrażliwe na kolor czerwony. Zatem nie tylko powierzchowność, ale i upodobania tych zwierząt są dziwne. W razie niebezpieczeństwa rzucają się ze spuszczonego łbem na przeciwnika, lecz bardzo często w stanowczej chwili nagle zatrzymują się, zawracają i uciekają w największym pędzie.

Tomek uważnie przysłuchiwał się wyjaśnieniom Huntera, gdyż zdążył już poznać wartość podobnych informacji dla myśliwego. Podczas polowania celność strzału nie zawsze chroni łowcę przed niebezpieczeństwem. Konieczna jest również dokładna znajomość zwyczajów różnych zwierząt, która umożliwia właściwą ocenę sytuacji. Doświadczeni myśliwi są zdania, że nieraz lepiej jest usunąć się zwierzęciu z drogi, niż atakować je niepotrzebnie.

---

<sup>103</sup> — Eland albo kanna (*Taurotragus oryx*) zamieszkuje sawanny prawie całej Afryki na południe od Sachary.

<sup>104</sup> — *Strepsiceros strepsiceros*

<sup>105</sup> — *Connochaetes taurinus*

Tuż przed zatrzymaniem się na następny nocleg wśród drzew akacjowych na krótką chwilę ujrzeli trzy głowy o wielkich, ruchliwych uszach i dziwacznych rożkach. Głowy te, osadzone na bardzo długich szyjach, sterczały pięć lub sześć metrów nad ziemią. Były to żyrafy. Tomek natychmiast ruszył galopem chcąc im się przyjrzeć, trud był jednak daremny, gdyż głowy na długich szyjach zakołysały się nagle w tył i w przód jak wahadła zegarowe, a następnie szybko zniknęły wśród bujnej zieleni.

— Szkoda, że żyrafy nie wybiegły z gęstwiny, na stepie z łatwością bym je dogonił — tłumaczył się Tomek, zawróciwszy jak niepyszny do swych towarzyszy.

— Nie byłbym tego tak pewny — rzekł Smuga uśmiechając się pobłażająco. — Żyrafy potrafią biec bardzo szybko i nawet rączy konie często za nimi nie nadążają. Nie martw się. Zdążysz jeszcze przyjrzeć im się dokładnie podczas łowów.

Tym razem podróżnicy zatrzymali się na nocleg przy dużej kępie rozłożystych akacji. Zaledwie rozbito namioty i rozpalono ognisko, bosman Nowicki zajął się przyrządzeniem wieczerzy, a Hunter przystąpił do ściągania skóry z zabitej gazeli. Z zainteresowaniem przyglądano się jego pracy. Zdejmowanie skóry w taki sposób, aby sporządzić z niej wór na wodę, nie jest rzeczą łatwą, gdyż wymaga wielkiej zręczności i wprawy. Jedno niewłaściwe cięcie nożem może uszkodzić skórę i uczynić ją nieprzydatną do tego celu.

Hunter zabrał się do dzieła ze znanstwem. Zadnie nogi gazeli obwiązał oddzielnie sznurem, po czym zawiesił, zwierzę na gałęzi drzewa. Z kolei ostrym nożem myśliwskim przeciął skórę na wewnętrznej powierzchni ud aż do ogona, wywrócił ją na nice i z dość znacznym wysiłkiem ściągnął, podobnie jak się zdejmuje z nogi pończochę. Tak zdjęta skóra wyglądała jak worek bez szwu o dwóch otworach.

— W jaki sposób ją pan wygarbuje? — zapytał Wilmowski.

— Najpierw skórę należy odpowiednio oczyścić — wyjaśnił Hunter. — W tym celu zakopuje się ją na dwadzieścia cztery godziny do ziemi, potem trzeba ją wymyć i usunąć sierść. Tak oczyszczoną garbuje się mocząc przez cztery dni w wodzie, do której się dodaje naciętej kory mimozy. Codziennie wyjmuje się skórę z tej kąpieli, rozpina na koziołkach, zeszkrobuje chropawym kamieniem i naciera świeżą, drobno utłuczoną, wilgotną korą mimozy. Następnie tylny otwór zaszywa się, przedni zaś, od szyi, zawiązuje w razie

potrzeby. Dobry wór powinien być porowaty, aby woda parując mogła zwilżać zewnętrzną jego stronę. Wtedy działanie powietrza, chciwie pochłaniającego parującą wodę, chłodzi zawartość wora.

— Panie szanowny, to dla tego woreczka będziemy sterczeli na tych wertepach aż cztery dni? — oburzył się bosman Nowicki.

— Niech się pan nie obawia. Jutro koło południa będziemy w obozie Masajów. Ich żony wykonają za nas całą pracę — uspokoił go Hunter. — Przekona się pan o trwałości takiego wora.

— Może i tak jest naprawdę, ale na rum najlepsza jest manierka albo butelka — mruknął bosman.

Na kolację łowcy raczyli się pieczenia z gazeli, która im smakowała mimo lekkiego zapachu piżma. Podobnie jak poprzedniej nocy, Tomek pierwszy objął straż. Z mocno bijącym sercem wsłuchiwał się w odgłosy dochodzące z ciemnego stepu. O dwunastej zastąpił go Hunter. Tomek wsunął się natychmiast do namiotu na posłanie i nakrył kocem, lecz nie zaznał spokojnego snu. Okolica bowiem obfitowała w zwierzynę i co chwila rozbrzmiewał tętent przebiegających stad. Nad samym ranem Tomkowi zdawało się, że w pobliżu rozległ się basowy ryk lwa.

Następnego dnia, za ledwie łowcy ruszyli w drogę, na niebie ukazały się czarne chmury. Wkrótce w oddali przetoczył się grzmot. Zaczął padać deszcz, lecz Hunter nie zarządził postoju. Podróżnicy przejechali kilka mniejszych przełęczy i znaleźli się na ścieżce wiodącej przez gęstwą wikliny. Droga miejscami stawała się bagnista. Kilka szakali przebiegło przed jeźdźcami, a spod końskich kopyt często się podrywały stada czajek.

Niebawem deszcz ustał. Pałące słońce znów pojawiło się na niebie. Teraz łowcy wjechali na porośłą bujną trawą równinę. Na linii horyzontu ciemniało pasmo lasu. Konie pod razami arkanów ruszyły cwałem. Podczas trzygodzinnej jazdy Smuga wypatrzył na stepie smukłe żyrafy, ale zaintrygowany czymś Hunter przynaglał do pośpiechu nie zwracając na nie uwagi.

— Jesteśmy już na paśnikach Masajów. Dziwi mnie, że do tej pory nie spotkaliśmy nawet najmniejszego stada bydła — głośno wyraził swój niepokój.

— Może zaprzyjaźnione panem plemię przeniosło się w inną okolicę? — zagadnął Wilmowski. — Mówił pan przecież, że pędzą koczownicze życie.

— Według informacji, jakie otrzymałem przed dwoma miesiącami, Masajowie tutaj właśnie obozowali — wyjaśnił Hunter. — po cóż mieliby się stąd oddalać, skoro step nadal pokrywa wspaniała trawa? To mi się właśnie wydaje najbardziej podejrzane.

W tej chwili bosman, jadący obok Tomka, zawołał:

— Widzę dym nad zaroślami! Nie martw się pan, panie Hunter, tylko patrzeć, jak pana czarni koleżkowie przywitają nas uderzeniem warząchwii w kocioł.

— Niech pan uważa, panie bosmanie, żeby przez pomyłkę nie włożyli pana do tego kotła — odciął się tropiciel. — Widać zaraz, że ma pan rzeczywiście dobry wzrok!

Bosman nachmurzył się.

— Nie trzymałbym na pokładzie nawet ciury okrętowego, który by od razu nie wypatrył dymu na horyzoncie — powiedział gniewnie.

Hunter nie obraził się i odparł z humorem:

— Cóż robić, widocznie się starzeję!

Konie zwietrzyły wodę i samowolnie przyspieszyły biegu. Po półgodzinnej jeździe łowcy ujrzeli obóz krajowców. Składał się z kilkunastu okrągłych szałasów, wyglądających z daleka niczym duże ule. Jak później Tomek stwierdził, zbudowano je z chrustu powiązanego trawą, a fundamenty stanowił suszony nawóz bydlęcy. Tętent galopujących koni wywołał w osiedlu ożywienie. Na placu otoczonym szałasami pojawili się mężczyźni, kobiety i gromada dzieci. Mężczyźni o rysach niezbyt murzyńskich odziani byli jedynie w obszerne płachty bawełniane malowniczo przerzucone przez jedno ramię. Misternie splecione i obficie polaną tłuszczem włosy harmonizowały z kolorem twarzy oraz ciał z lekka pomalowanych czerwoną gliną. Niektórzy Masajowie nosili na szyi zawieszane na sznurkach małe puzderka. W dłoniach trzymali długie dzidy lub laski. Większość kobiet nie miała na sobie odzienia; na widok białych gości znikwały w szałasach, by narzucić okrycia osłaniające dolną część ciała i ramię. Tak mężczyźni, jak i kobiety mieli uszy zniekształcone przez noszenie najrozmaitszych i różnych rozmiarów ozdób. Głowy niewiast były zgolone do gołej skóry. Szyje ich zakrywały sznury koralu i metalowe obręcze. Niektórych ozdób nie zdejmowały nawet do snu. Brzydkie na ogół kobiety wydały się Tomkowi chodzącymi składami drutu i żelastwa, większość z nich bowiem miała łydki

zakute w metalowe rury; również i ręce od ramienia do dłoni, z przerwą na łokieć, schowane były w bransolety lub rury zrobione z miedzianej bądź żelaznej blachy. Zupełnie nagie dzieci tłoczyły się między dorosłymi. Hałaśliwe maleństwa rękami pokazywały sobie przybyszów.

Na czoło gromady wysunął się wysoki, dobrze zbudowany Masaj uzbrojony w długą, ostrą dzidę.

— Jambo kirangozi!<sup>106</sup> Dawno u nas nie byłeś! — zawołał gardłowym głosem.

— Witaj, Mescherje, cieszę się, że cię zastałem w obozie. Czy będziemy mogli zobaczyć i pozdrowić waszego wodza Kisumo? — zapytał Hunter, wyciągając dłoń na powitanie.

— Będziesz mógł się zobaczyć z Kisumem, jak tylko czarownik skończy z nim naradę — odparł Mescherje łamaną angielszczyzną przeplataną murzyńskimi słowami.

— Zaniepokoił mnie brak bydła na pastwiskach. Obawiałem się, że przenieśliście się z tej okolicy. Pomyślałem, że może rozpoczęliście wojnę z jakimś wrogim plemieniem — powiedział Hunter.

— Niestety zawitało do naszych chat, biały kirangozi — wyjaśnił Masaj smutnym głosem. — Wyzdychały nam niemal wszystkie stada. Bydło nawiedziły jakieś złe duchy. To, co pozostało jeszcze przy życiu, pasie się teraz bliżej gór. Tak radził uczynić nasz czarownik.

Łowcy zsiadli z wierzchowców i uwiązali je do drzew. Tomek zbliżył się do Huntera. Na jego widok wśród Murzynów powstało dziwne zamieszanie. Masajowie wskazywali rękami na chłopca i jego psa, wykrzykując coś w podnieceniu. Hunter szybko spojrzał na Tomka. Ledwo się powstrzymał, aby nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

— Co im się stało? Może oni się boją Dinga? — cicho zapytał Tomek przewodnika.

— Skądże znów mieliby się bać psa, skoro potrafią dzidami zakłuwać lwy — uspokoił go szeptem Hunter. — Po prostu zdziwiłeś ich swoim oryginalnym ubiorem. Wiesz, co oni mówią? Prawda, przecież nie znasz ich języka! Otóż posłuchaj, co teraz wołają: „*Patrzcie, patrzcie tylko! Oto biały czarownik ze złym duchem zaklętym w psa!*”

— Co też pan opowiada Tomkowi! — zaoponował Wilmowski.

---

<sup>106</sup> — Witaj, przewodniku

— Pan Hunter dokładnie tłumaczy to, co mówią Masajowie — potwierdził Smuga, który, znał dość dobrze to narzecze murzyńskie. — Przecież oni nie wiedzą, że Tomek ustroił siebie i Dinga ogonkami zwierząt dla ochrony przed ukąszeniem tse-tse.

— Do licha, zupełnie o tym zapomniałem! — zafrasował się Wilmowski. — Że też ty zawsze musisz nam spłatać jakiegoś psikusa. Tomku! Zdejm natychmiast te futerka, gdyż zabobonni Murzyni gotowi się do nas zrazić!

— Niech pan teraz nie doradza Tomkowi zdejmowania tych... ozdób — zaprotestował Hunter. — Murzyni lubią wszystko co niezwykłe. Oni wyrażają swój podziw, a nie niechęć.

— He, he, he — zarechotał bosman. — Słuchaj, brachu! Oni gotowi cię zrobić swoim czarownikiem. Pokaż im tylko tę magiczną sztuczkę z wcieraniem monety w szyję. Pamiętasz?

— Łatwo panu się śmiać, a ja pewno znów palnąłem głupstwo — odburknął Tomek nachmurzony. — Nie rozumiem, co im się nie podoba w moim ubiorze? Czy mnie przeszkadza, że oni się poowijali w kołdry?

Łowcy przerwali rozmowę, gdyż w tej chwili przybiegł Murzyn z wiadomością, że wódz Kisumo i wielki czarownik pragną powitać przybyszów. Ubawiony nieporozumieniem Smuga ujął Tomka pod ramię mówiąc:

— Chodźmy i pokażmy wodzowi naszego czarownika. Tylko, drogi bosmanie, przestań rechotać jak żaba w błocie.

Wódz Kisumo stał przed obszerną chatą udrapowany w barwne okrycie przerzucone przez lewe ramię. Prawą dłoń opierał na oszczepie zakończonym długim, żelaznym grotem. Na szyi miał zawieszzone spore puzderko. Właśnie wyjmował z niego jakiś przysmak wyglądający jak lukrecja, który zaraz włożył do ust. Na palcach jego nóg błyszczały pierścienie. Włosy Kisuma były misternie utrefione, a czoło przepasane kolorową opaską. Obok wodza stał przygarbiony starzec z kitą zwierzęcych ogonów przymocowanych na głowie i opadających mu na twarz i ramiona. Puszyste futerka powiewały przy lada podmuchu wiatru. Starzec co chwila potrząsał trzymanymi w rękach drewnianymi grzechotkami.



— Popatrz no, brachu, na twego starszego koleżkę — szepnął bosman. — Uważaj tylko, żeby cię nie połknął razem z Dingiem, bo spogląda na was jak kot na szperkę.

Hunter skarcił bosmana surowym wzrokiem i powiedział głośno:

— Witaj, Kisumo, wodzu i mój przyjacielu. Witaj i ty, wielki czarowniku. Słyszałem już od Mescherje, że nawiedziło was nieszczęście.

— Witaj, biały kirangozi i przyjacielu — odparł Kisumo łamaną angielszczyzną. — Widzę, że przyprowadziłeś do nas swych wielkich przyjaciół. Witajcie więc wszyscy. Proszę do mej chaty na zimne zsiadłe mleko i piwo.

Większa od innych chata wodza stała w samym środku obozu. Kisumo i czarownik weszli pierwsi zapraszając gości. Po prawej stronie Kisuma usiadł napuszony czarownik nadal potrząsając grzechotkami, po lewej wódz wskazał miejsca łowcom. Naprzeciwko wodza rozsiadła się starszyzna plemienia z napuszonym czarownikiem i Mescherje na czele.

Zaledwie mężczyźni znaleźli się w chacie, kilka kobiet wniosło naczynia napelnione zsiadłym mlekiem i piwem.

— W złej chwili przybyłeś do nas, biały kirangozi — rozpoczął rozmowę Kisumo. — Zawiść i złośliwość zazdrosnych Nandi pozbawiły nas licznych stad. Jesteśmy biedni i głodni, a serca nasze łakną srogiej zemsty.

— Wspomniał mi już Mescherje, szlachetny wodzu, że tajemnicza choroba nawiedziła wasze bydło — zagaił Hunter. — Ty jednak mówisz, że sprawcami tego nieszczęścia są Nandi.

— Posłuchajcie, jak to było, a sami zrozumiecie, że powiedziałem prawdę. O takich sprawach mówi się tylko na radzie starszych, dlatego też Mescherje nie mógł się rozwodzić przy wszystkich. Otóż zjawiło się u nas kilku Nandi z największym ich czarownikiem. Namawiali nas do wspólnego napadu na pociąg jeżdżący po żelaznej drodze. Nasza starszyzna nie chciała się przyłączyć do Nandi. Teraz nie prowadzimy wojny z Anglikami posiadającymi karabiny i rury wyrzucające duże kule. Rozumiesz przecież, Kirangozi, że po zniszczeniu pociągu musielibyśmy uciekać stąd i porzucić nasze stada. To właśnie powiedzieliśmy Nandi, a wtedy ich czarownik zagroził, że bydło i tak stracimy, gdyż biali zabiorą je, a nas samych wygnają precz albo wymordują. Odrzekliśmy, że teraz mamy pokój z białymi ludźmi. Czarownik śmiał się z nas i zapewniał, że wkrótce przekonamy się o swej

głupocie. Kiedy odjeżdżali od nas, musiał rzucić zły czar na nasze bydło, ponieważ wkrótce padły nam niemal wszystkie stada.

— Biali ludzie w Mombasie i Nairobi mówią, że mór na bydło panuje wzdłuż całej południowej granicy Kenii — wtrącił Hunter. — Może więc mylisz się, obwiniając Nandi o czary?

— Nie broń ich, kirangozi. Musieli poczuwać się do winy, bo kiedy urządziliśmy wyprawę w celu pomszczenia krzywdy, nie zastaliśmy ich w obozie.

— Kto wam powiedział, że to Nandi rzucili urok na bydło? — zapytał Smuga.

— Nasz wielki czarownik rozmawiał ze złymi duchami. One zdradziły mu tę tajemnicę. Oświadczył też, iż tylko krwawa zemsta może powstrzymać mór bydła.

Smuga spojrział ostro na czarownika wyraźnie okazującego niepokój. Przez chwilę mierzył go surowym wzrokiem, po czym powiedział z naciskiem:

— Łatwiej doradzić krwawą zemstę i walkę, w której giną dzielni wojownicy, niż zapobiec rzekomym czarom.

Grzechotki gwałtownie potrząśnięte odezwały się natarczywie. Hunter rzucił Smudze ostrzegawcze spojrzenie i zwrócił się do Masajów:

— Życzymy tobie, Kisumo i twoim ludziom jak najlepiej. Wiemy też, że jesteście bardzo odważni. Dlatego właśnie przybyliśmy prosić o kilku wojowników na wyprawę do Bugandy. Ten biały bana makuba<sup>107</sup> będzie tam łowił żywe dzikie zwierzęta, aby je zabrać potem do swego kraju.

Mówiąc to wskazał ręką na Wilmowskiego. Murzyni z zaciekawieniem spojrzeli na dowódcę wyprawy łowieckiej.

— Po co macie iść tak daleko? — zaoponował Kisumo. — W Kenii również jest pełno dzikich zwierząt. W Bugandzie niedobrze. Tam była wojna z Anglikami i innymi białymi.

— W Kenii nie znajdziemy małp soko<sup>108</sup> — wyjaśnił Hunter. — Bana makuba chce chwytać żywe goryle.

— Chce chwytać żywe soko? To trudna i niebezpieczna wyprawa.

— Bana makuba łowił już dzikie zwierzęta i ma na to swoje sposoby.

---

<sup>107</sup> — Naczelny dowódca

<sup>108</sup> — Goryle

W tej chwili czarownik pochylił się do wodza. Szeptał coś długo, wskazując jednocześnie na Tomka. Kisumo kiwnął głową i zaraz zapytał:

— Czy wasz czarownik bierze udział w tych łowach?

— Czy masz na myśli tego chłopca? To jest syn naszego bana makuby — odpowiedział Hunter. — Brał już udział w wyprawie do innego dalekiego kraju.

Wilmowski poruszył się niecierpliwie, lecz Hunter nie dopuścił go do słowa mówiąc:

— Bana makuba i jego odważny syn znają różne sposoby na chwywanie dzikich zwierząt. Wyprawa ta nie jest więc tak niebezpieczna, jak by się mogło wydawać. Czy dasz nam kilku wojowników, Kisumo? Dobrze zapłacimy i uzbroimy odpowiednio ludzi, którzy z nami pójną.

— Wojownicy są potrzebni tutaj. Nandi mogą na nas napaść — zaskrzeczał czarownik.

— Chcielibyśmy zabrać tylko pięciu wojowników, a ci chyba nie ocalał was przed Nandi — wtrącił Smuga.

— Nie boimy się Nandi, gdyż daliśmy im dobrą nauzkę — szybko odparł Kisumo — musimy wszakże zapytać naszego czarownika, co mówią o tej wyprawie dobre i złe duchy.

— Więc poradź się wodzu swego czarownika, lecz pamiętaj, że przywieźliśmy dla twoich żon piękne same—same — oświadczył Hunter.

Kisumo spojrzał pytająco na czarownika, ten zaś potrząsając grzechotkami zawołał:

— Czuję krew, dużo krwi! To zła wyprawa!

— Mylisz się, nikomu nie stanie się krzywda, ponieważ bana makuba i jego syn nie obawiają się waszych złych duchów — zaprzeczył Smuga.

Kisumo nie wiedział, co ma uczynić. Z jednej strony obawiał się sprzeciwić wielkiemu czarownikowi, z drugiej nęciły go upominki przyobiecane za wyrażenie zgody na udział wojowników w wyprawie. Spojrzał więc niepewnie na czarownika, a potem skierował swój wzrok na Tomka. Po twarzy Kisuma przewinął się przebiegły uśmiech.

— Biali mają różne sposoby na złe duchy — powiedział. — Co mówi wasz czarownik o tej wyprawie? Chyba nie poszlibyście na nią, gdyby wróżył wam śmierć?

Hunter zmieszał się, na szczęście jednak czujny i opanowany Smuga wybawił go z kłopotu.

— Nie wierzymy w czary, lecz jeżeli koniecznie chcecie wiedzieć, co syn bana makuby sądzi o wyniku wyprawy, to zaraz się o tym przekonamy.

— O co chodzi wodzowi. Janie? — zapytał po polsku Wilmowski.

— Moim zdaniem Kisumo ma ochotę dać nam wojowników na wyprawę, lecz czarownik, ten stary oszust, straszy Masajów śmiercią. Murzyni uważają przyozdobionego Tomka za istotę obdarzoną nadprzyrodzoną mocą, toteż wódz chciałby wiedzieć, jaki wynik łowów przewiduje Tomek.

— Najlepiej powiedz im, dlaczego Tomek i Dingo noszą futrzane przybrania. Nie ma sensu nabierać Murzynów na głupie kawały — nachmurzył się Wilmowski.

— Niech pan nie udziela złych rad — ostrzegł Hunter. — Pan Smuga zupełnie niepotrzebnie podrażnił ambicję czarownika podając w wątpliwość jego wróżby. Wódz lubi otrzymywać podarki, ale nie, może zezwolić wojownikom na udział w wyprawie wbrew ostrzeżeniom czarownika. Nie chcąc brać odpowiedzialności na siebie, szuka sposobu na osłabienie złego wrażenia, spowodowanego niepomyślną wróżbą. Powinniśmy mu pomóc w dobrze rozumianym własnym interesie. Niech Tomek powie po prostu, że będzie czuwał nad bezpieczeństwem powierzonych nam wojowników.

— Ależ to nieprawdopodobne, aby ci odważni ludzie wierzyli w takie bzdury! — zawołał Tomek.

— Murzyni od wielu wieków podporządkowują swe życie najrozmaitszym przesądom i zabobonom. Oni wierzą w moc czarowników i ich wróżb. Jeżeli chcemy zjednać sobie Masajów, niech Tomek odegra małą komedię. Nikomu to przecież nie zaszkodzi — doradził Hunter.

— Dobra rada złota warta — wtrącił bosman Nowicki. — Potrząśnij łepetyną i kiwnij tego czarownika sztuczką z monetą.

Tomek spojrział na ojca, a ponieważ nie dostrzegł już wyraźnego sprzeciwu, uśmiechnął się na myśl o możliwości splełania figla złośliwemu czarownikowi.

Zaraz też przybrał poważną minę, pochylił się ku Masajom i wolno powiedział po angielsku:

— Wielki wodzu, będę czuwał nad wszystkimi uczestnikami wyprawy i dlatego nikomu nic złego się nie stanie. Aby cię przekonać, że mówię prawdę, pokażę ci, co potrafię.

Wyjął z kieszeni szklaną kulę, w której wnętrzu tkwił mały trójmasztowy żaglowiec. Położył ją na ziemi przed sobą, rozkoszując się podziwem Murzynów. Następnie obnażył szyję, wydobył z portmonetki miedzianą monetę, pokazał ją wszystkim na lewej dłoni, po czym ulokował pieniążek na obnażonym karku. Z kolei nakrył monetę lewą dłonią i zaczął udawać, że wciera ją w skórę. Wkrótce lewą dłoń zastąpiła prawa, potem znów zmieniał ręce, a Murzyni widząc podczas tych zmian pieniążek spoczywający na zaczerwienionym od tarcia karku, aż brali się za boki ze śmiechu. Ruchy dłoni chłopca stawały się coraz szybsze. Pot wystąpił mu na czoło. W końcu tarł już kark tylko lewą dłonią. Spod oka spojrzał na Masajów. Przerwał naraz wcieranie i pokazał widzom pustą lewą dłoń. Kilku Murzynów zbliżyło się do chłopca i uważnie obejrzało zaczerwieniony kark oraz pustą rękę. Moneta zniknęła w zadziwiający dla nich sposób. Nie było jej ani na szyi, ani na dłoni.

— Patrzcie! Patrzcie! Nie ma nic! — wykrzykiwali Masajowie.

— Czary, czary! — powtarzali inni.

— Powiedz nam, synu bana makuby, co się stało z tą monetą? — zaciekał się Kisumo.

Tomek uśmiechnął się triumfująco. Więc jednak Masajowie nie spostrzegli, że cała sztuka polegała jedynie na zręcznej manipulacji obydwoma rękami. Zmieniając szybko ręce, Tomek zręcznie ukrył monetę między palcami prawej dłoni, którą zaraz oparł na prawym kolanie, kończąc lewą rzekome wcieranie. Teraz z poważną miną podjął z ziemi szklaną kulę. Wpatrzony w nią podniósł się i zbliżył do czarownika. Prawą dłoń zanurzył w jego włosy. Ku zdumieniu i radości Murzynów wyjął z nich miedziany pieniążek.

— Widzisz, wodzu, kto ukrył monetę — powiedział do Kisuma. — Wierzysz chyba teraz, że pod naszą opieką twoim wojownikom nie stanie się nic złego.

— Dobra sztuka, więc i słowa muszą mówić prawdę — przyznał Kisumo. — Co na to powiesz, czarowniku?

Wszyscy spojrzeli na zmieszanego starca, który potrząsnął grzechotkami i odparł po namyśle:

— Muszę się jeszcze raz poradzić duchów. Pójdę teraz do mej chaty i przywołam je głosem czarodziejskiego bębna. Niech syn bana makuby uda się ze mną. Może duchy będą łaskawsze w jego obecności.

— Tomku, czarownik proponuje, żebyś poszedł z nim do jego chaty na naradę z duchami — wyjaśnił Hunter chłopcu. — Będiesz zupełnie bezpieczny, jeżeli nie przyjmiesz żadnego poczęstunku. Mściwy starzec mógłby podstępnie podać ci truciznę. Lepiej zachować ostrożność obcując z afrykańskimi szarlatanami, którzy drżą z obawy, aby władza nie wymknęła im się z rąk.

— Proszę się o mnie nie obawiać. Mam przecież przy sobie broń — uspokoił go Tomek. — Coś mi się wydaje, że wiem już, czego czarownik może ode mnie chcieć.

Wilmowski i Smuga jednocześnie spojrzeli na Kisuma. Widząc jego domyślny uśmiech uspokoił się natychmiast. Tymczasem czarownik i Tomek wyszli z chaty. Wkrótce z głębi obozu rozległ się głuchy głos tam–tam.

Cierpliwość podróżników została wystawiona na długą próbę. Głos bębna odzywał się od czasu do czasu, lecz czarownik i Tomek nie wracali. Pierwszy zaczął zdradzać niepokój bosman Nowicki.

— Co ta zasuszona mumia wyprawia tam z naszym mikrusem? — mruknął. — Swędzi mnie ręka, żeby się dobrać do skóry tego oszusta.

— Siedź cicho, bosmanie. Przecież czarownik wie, że mamy wodza i starszych rodu w swoim ręku — skarcił go Smuga.

— Trzeba teraz ufać w rozsądek i spryt Tomka — dodał Wilmowski spoglądając niespokojnie na drzwi.

— Na gorsze rzeczy będziemy narażeni podczas wyprawy. Lepiej więc nie ujawniać obaw. Murzyni nas bez przerwy obserwują — zauważył Hunter.

Dopiero po godzinie Tomek wkroczył do chaty wodza. Za nim, z zagadkowym uśmiechem na ustach, wszedł stary czarownik. W sztucznie przedłużonej i przedziurawionej dolnej części jego ucha tkwiła szklana kula z trójmasztowym żaglowcem zamiast mieszczącej się tam przedtem blaszanej puszką.

— Niech się zamienię w rekina, jeżeli mikrus nie przekupił starego drania — wysapał bosman Nowicki, przyglądając się obciążającej ucho szklanej kuli.

Czarownik napuszył się słysząc głosy podziwu swych rodaków. Usiadł obok wodza i zaczął potrząsać grzechotkami. Po długiej chwili umilkły grzechotki i rozległ się głos:

— Syn bana makuby przysłuchiwał się mojej rozmowie z duchami. Złe moce przeraziły się magicznej kuli i umilkły. Wojownicy mogą się udać na wyprawę łowiecką, która zakończy się pomyślnie, jeżeli będą wierni bana makubie i jego synowi.





## POLOWANIE NA LWY

— Czarownik wyraził zgodę, powiedz wobec tego, biały kirangozi, ilu wojowników chciałbyś zabrać na wyprawę — zapytał Kisumo.

— Zadowolimy się pięcioma. Mogą to być: Mescherje, Mumo, Inuszi, Sekeletu i Mambo — zaproponował Hunter.

— Ho, ho! Wybraliście samych najlepszych! Cóż pocznę bez nich, jeśli Nandi na nas napadną? — zaproponował Kisumo. — Taka wyprawa potrwa zapewne długo.

— Wyjawiliśmy ci już nasze życzenie, powiedz więc teraz, wodzu, czego żądasz od nas. Przywieźliśmy dla ciebie piękne podarunki — kusił Hunter.

Rozpoczęły się długie targi. Ustalono, że Kisumo otrzyma dziesięć metrów materiału bawełnianego i dziesięć metrów perkalu, dwadzieścia sznurów szklanych koralu oraz dziesięć metrów drutu miedzianego. Czarownik zażądał dla siebie nowej kołdry, dziesięciu metrów perkalu, szklanych koralu i noża myśliwskiego.

Po ożywionej naradzie również wojownicy biorący udział w ekspedycji przedstawili swe warunki. Każdy z nich miał otrzymać wynagrodzenie miesięczne, które wynosiło: dziesięć metrów perkalu, pięć metrów materiału bawełnianego, osiem sznurów szklanych koralu, metr drutu mosiężnego i metr miedzianego, a ponadto broń przydzielona im na wyprawę oraz kołdry miały stać się ich własnością.

W końcu Kisumo poprosił łowców, aby przed odejściem z obozu urządzili wspólnie z wojownikami polowanie na lwy stale napastujące bydło. Wilmowski przyjął ten warunek. Zakupił także od wodza trzy woły i kilka kur na pożegnalną ucztę.

Zaraz też w obozie rozpoczęły się gorączkowe przygotowania. Łowcy rozdzielili towary stanowiące zaliczkę na umówione wynagrodzenie wojowników i wręczyli Masajkom w podarunku kolorowe same-same. Kobiety ochoczo zabrały się do przyrządzania pożywienia na ucztę. Wkrótce potężne polcie wołowiny gotowały się w dużych kotłach zawieszonych nad ogniskami. Tymczasem mężczyźni sposobili broń, ostrząc długie noże i żelazne groty dzid.

Kisumo wyznaczył na kwaterę dla białych gości oddzielną chatę, lecz Wilmowski w obawie przed kleszczami, będącymi plagą mieszkań murzyńskich, wolał pozostać z towarzyszami w namiotach.

Zaledwie nastał wieczór, w obozie odezwały się bębny. Ogniska podsycane chrustem przez dzieci zapłonęły jaskrawym światłem. Całe plemię zgromadziło się na obszernym placu narad pośrodku obozu. Wystawiono kotły z gorącym mięsem i rybami oraz tykwy napełnione zimnym mlekiem i piwem. Zapanowała ogólna radość. Nawet żony wojowników biorących udział w wyprawie były w doskonałych humorach i klaskały w dłonie w takt bębnow.

Niebawem na placu pojawił się wódz Kisumo otoczony starszyzną rodową. Odziany był w obszerną, nową, czerwoną szatę, na której, jak krwawe płomienie, mieniły się odblaski płonących ognisk. Błyszczące od tłuszczu włosy, gładko ułożone na głowie, posplatane były w cienkie warkoczyki. Twarz wodza pomalowana była czerwoną gliną. Wspaniałe miękkie futro okrywało jego plecy, a w rękę dzierżył ciężką dzidę o lśniącym grocie. Kisumo rozsiadł się na lwiej skórze, obok niego przystanął nie mniej strojny czarownik. Na głowie starzec miał barwny, wysoki wieniec sporządzony z ptasich piór. Z ramion czarownika spadały na plecy i piersi pęki puszystych ogonów zwierzęcych. Twarz miał jaskrawiej pomalowaną niż wódz. W jego lewym uchu tkwiła podarowana przez Tomka szklana kula. Wszyscy Murzyni natarli swe ciała tłuszczem i byli w pełnym uzbrojeniu.

Na prośbę wodza nasi podróżnicy usiedli obok niego na rozpostartych na ziemi skórach. Rój kobiet, pobrzękując bransoletami i naszyjnikami, ustawiał między biesiadnikami tykwy napełnione płynami oraz mięsiwo. W miarę jak opróżniano dzbany i mocne piwo szło do głów, wzrastała wrzawa i radość. Bębny huczały bez przerwy. Nagle wojownicy otoczyli kołem największe ognisko. Najpierw poruszali się wolno, potrząsając dzidami w takt monotonnej pieśni, do której wkrótce przyłączyły się kobiety klaszcząc rytmicznie w dłonie. Śpiew brzmiał coraz szybciej, stopy tancerzy coraz mocniej uderzały o ziemię, wzniecając tumany kurzu. Oświetlone blaskiem płonących ognisk postacie rzucały fantastyczne cienie. Szał tańca ogarniał wszystkich Murzynów. Nawet poważny Kisumo pochylał się do taktu w przód i w tył, uderzając dłońmi o uda. W pewnej chwili czarownik podniósł się z ziemi. Wężowym ruchem wśliznął się między roztańczonych wojowników.

Natychmiast zrobili mu miejsce w środku koła. Czarownik rozpoczął taniec wojenny. Teraz mężczyźni razem z kobietami wybijali rękoma takt i śpiewali krzykliwymi, wysokimi głosami. Bębny huczały coraz prędzej i głośniej, a staruszek, powiewając barwnymi piórami, wirował wokół ogniska jak opętany.

Nasi podróżnicy z zainteresowaniem przyglądali się tańcowi. Nawet Dingo był zaniepokojony.

— No, no, brachu, kto by się spodziewał, że ten twój starszy koleżka po fachu tak potrafi wywijać — odezwał się po polsku bosman Nowicki. — Niczego sobie uczta, tylko dlaczego te baby są takie brzydkie? A głowy to golą do gołej skóry pewno dlatego, żeby mieć mniej kłopotu z myciem i czesaniem.

— Taka już u nich panuje moda, panie bosmanie — odparł ze śmiechem Smuga.

— Czort je bierz z taką modą i urodą — pogardliwie odparł bosman.

Tymczasem uniesienie taneczne Murzynów osiągnęło szczyt. Teraz wszyscy tancerze tworzyli szeroki krąg, którego ośrodkiem był czarownik. Bębny huczały jak opętane, wysoki śpiew przeszedł niemal w krzyk. W końcu czarownik obiegił kilka razy ognisko, rozerwał krąg taneczny i zatrzymał się przed Tomkiem. Zamilkły bębny. Zamarł krzykliwy śpiew. Murzyni potrząsając dzidami stanęli ciasnym półkolem za swym wielkim czarownikiem. Kisumo zmarszczył brwi...

Smuga przymrużył oczy, żeby blask ognia nie raził wzroku; prawa dłoń położył nieznacznie na rękojeści rewolweru. Ręka bosmana jak wąż wśliznęła się do kieszeni. Hunter powstał z ziemi i prostując swą wysoką postać oparł się plecami o drzewo. Tylko jeden Wilmowski nie poruszył się z miejsca; patrzył czarownikowi prosto w oczy, w których czaił się jeszcze dziki szal wojennego tańca.

Naraz czarownik rzucił na ziemię drewniane berło zakończone pękiem, ogonów antylop gnu. Za berłem poleciały pióropusz i peleryna z futrzanych ogonów. Obnażony do pasa, wy dobył z ust miedziany pieniążek i na oczach całego plemienia i zdumionych podróżników powtórzył bezbłędnie i szybko sztukę Tomka polegającą na rzekomym wcieraniu pieniążka w kark. Kiedy wyjął monetę z ucha bosmana Nowickiego, czarni widzowie wydali głośny okrzyk podziwu. Ogromne zadowolenie odbiło się na twarzy czarownika. W

tej chwili odzyskał przecież swą czarodziejską sławę. Nie spiesząc się, włożył na głowę pióropusz, zarzucił na plecy pelerynę z puszystych ogonów i podniósł berło. Pochylił się teraz ku Wilmowskiemu. Z trudem dobierając angielskie słowa wolno powiedział:

— Bana makuba, masz mądrego syna. To wielki czarownik. Masajowie będą słuchać ciebie i jego tak jak mnie!

Potrząsnął berłem i wręczył je Tomkowi. Bębny zadudniły, zaczął się nowy taniec.

— Niech go licho weźmie, byłem przekonany, że zacznie się awantura — odsapnął Hunter.

— Mogło być z nami źle — przyznał Wilmowski. — Nie dalibyśmy rady takiej gromadzie wojowników, i to otoczeni przez nich na otwartym miejscu.

— Kiedy Smuga położył dłoń na spluwie, to i moja wskoczyła do kieszonki jak na komendę. Ręczę wam, że ta mumia by nie zdążyła dotknąć naszego Tomka — dodał bosman i nikt nie miał wątpliwości, że nie były to czcze przechwałki.

— A ja przez cały czas tylko czekałem, u kogo czarownik znajdzie monetę — wtrącił beztróska Tomek. — Zaraz też pomyślałem, że gdybym był na jego miejscu, wybrałbym jedynie pana bosmana, który siedział napuszony jak chmura gradowa. No i wybór czarownika padł na niego.

Zdumieni łowcy spojrzeli po sobie. Dobry humor chłopca był przecież dowodem, że w pełnej napięcia chwili zupełnie nie myślał o niebezpieczeństwie lub nie zdawał sobie zeń sprawy.

— Ejże, brachu! Chyba nie chcesz powiedzieć, że nie miałeś ani cienia cykorii! — zawołał bosman.

— Czego znów miałbym się obawiać? Przecież sam nauczyłem czarownika sztuki z pieniążkiem. Powiedział mi też w tajemnicy, u siebie w chacie, że podczas tańca wojennego powtórzy ją w obecności wszystkich Murzynów. To miała być niespodzianka.

— Do licha z tym twoim kolegą i jego niespodziankami — rozgniewał się bosman. — Powinieneś nam być o tym powiedzieć!

— Może to i słuszne, co pan mówi, ale wtedy nie miałbym żadnej uciechy...

Tomek nie skończył zdania, gdyż bosman zgrzytnął zębami mruczając:

— Szczęście, że nie jestem twoim ojcem i nie muszę się zastanawiać, czy ci sprawić lanie!

— Nie ma się o co gniewać, panie bosmanie — pojednawczo zaczął Smuga ubawiony rozmową.

— Musieliśmy mieć bardzo ponure miny i nie dziwię się Tomkowi, że patrząc na nas doskonale się bawił.

— Niepotrzebnie nauczyłeś czarownika tej dziecinnej sztuczki z monetą. Będzie ją wykorzystywał do oszukiwania zabobonnych i łatwowiernych Murzynów — zwrócił się Wilmowski do syna.

— Nie martw się, tatusiu! Aby temu zapobiec, obiecałem Kisumowi, że mu zdradzę tajemnicę wcierania monety — roześmiał się Tomek.

— A to cwaniak! No, pal cię sześć, nie gniewam się już na ciebie — rozchmurzył się bosman. — Wiesz co, brachu? Mam byczy pomysł! Podczas wyprawy nauczymy tej sztuki wszystkich Masajów.

— To naprawdę doskonały projekt — pochwalił Tomek i zaraz przysunął się do bosmana, aby omówić dokładnie całą sprawę.

Po chwili obydwaj przyjaciele pogrążeni już byli w zgodnej rozmowie.

Zabawa przeplatana tańcami i śpiewem trwała w dalszym ciągu. Dopiero późnym wieczorem podróżnicy udali się do namiotów na spoczynek.

Był wczesny ranek, gdy Tomek się przebudził. Ze zdziwieniem wsłuchiwał się w głucho dudnienie tam–tamów.

„Czyżby jeszcze nie zakończyli uczyty?” — pomyślał.

Spojrzał na stojące obok łóżko ojca. Było już zasłane. Wysunął się więc spod moskitiery, ubrał i wybiegł z namiotu. Smuga i Hunter siodłali konie, natomiast bosman Nowicki przygotowywał śniadanie na rozkładanym stoliku.

— Dlaczego tam–tamy dudnią, panie bosmanie? Gdzie jest tatuś? — zagadnął Tomek podbiegając do pogwizdującego marynarza.

— To koleżka nie wie, co w trawie piszczy? Myślałem, że tacy cwani czarownicy wszystko sami odgadną. Ano, brachu, zaraz gazujemy deptać lwom po piętach. Bractwo masajskie zwołuje się na polowanie. Umarłego podnieśliby z grobu tym swoim dudnieniem. A twój szanowny tatuś poszedł uzgodnić z Kisumem wspólną akcję. Kapujesz teraz?

— Rozumiem, ale dlaczego nie zbudziliście mnie wcześniej?

— A po jakie лихо takiego szkraba jak ty zrywać o świcie? Porteczyny masz krótkie, mało guzików do zapinania, to i w ostatniej chwili zdążysz się ubrać.

— Ha, znów pan zaczyna z tym moim młodym wiekiem — rozindyczył się Tomek.

Bosman roześmiał się; klepnąwszy chłopca dłonią w ramię, dodał pojednawczym głosem:

— Przyznasz, brachu, że należało ci się to ode mnie za wczorajszego psikusia z czarownikiem i monetą znaną w moim uchu.

— To już jesteśmy skwitowani — orzekł Tomek.

— Niech tak będzie — zgodził się bosman.

— Czy przygotowaliście śniadanie? — zawołał Wilmowski zbliżając się do namiotów.

— Od kwadransa kocioł z kawą dymi jak komin parowca — oznajmił bosman. — Możemy siadać do stołu. Umyj się, Tomku, piorunem, bo z zaspanymi ślepiami nie trafisz do kubka z kawą!

Tomek pobiegł do strumienia. Wkrótce znalazł się przy stoliku razem z towarzyszami. Po śniadaniu podróżnicy przeczyścili broń i natychmiast wsiedli na wierzchowce. W obozie masajskim oczekiwało na nich kilku wojowników pod dowództwem samego Kisuma.

— Czy oni naprawdę mają zamiar zabijać lwy tymi dzidami? — zwrócił się Tomek do Huntera, spoglądając z niedowierzaniem na skromne uzbrojenie Masajów.

— Bądź o nich spokojny. Te na pozór niewinnie wyglądające dzidy stają się w ich rękach niezawodną bronią — odrzekł Hunter.

— Ja bym się nie odważył iść na polowanie tak uzbrojony.

— Ja też bym tego nie uczynił. Do miotania dzidą trzeba mieć szaloną wprawę i olbrzymią siłę.

W tej chwili dano hasło do wymarszu. Masajowie i biali łowcy ruszyli wzdłuż strumienia przecinającego sawannę. Po godzinie marszu przybliżyli się do rozległych wzgórz. Wkrótce u ich podnóża ujrzeli stado bydła o grubych, szeroko rozstawionych rogach. Kilku pólnagich pasterzy wybiegło im na spotkanie. Kiedy usłyszeli o zamierzonym polowaniu, wydali głośny okrzyk radości. Jak wynikało z ich relacji, rozzuchwalone bezkarnością lwy

niemal co noc porywały ze stada jedną lub kilka sztuk bydła, a przed dwoma dniami rozszarpały i pożarły pasterza.

Łowcy zsiadli z koni przy szałasach pastuchów. Nie tracąc czasu rozpoczęli naradę z Kisumem i jego wojownikami. Masajowie zapewniali, że dokładnie znają położenie lwiej kryjówki. Wobec tego Smuga zaproponował, aby nie czekać, aż lwy wyjdą w nocy na żer, lecz natychmiast urządzić na nie obławę. Twierdził, że po sutym nocnym posiłku lwy mają zwyczaj wypoczywać w ciągu dnia i wtedy łatwiej jest podejść je niepostrzeżenie. Uczestnicy polowania wyrazili zgodę na propozycję doświadczonego myśliwego. Jednocześnie powierzyli mu dowództwo.

Smuga natychmiast rozpoczął przygotowania. Długo badał przez lunetę spory obszar krzaczastego stepu, ciągnący się w pobliżu na pół wyschłej rzeczułki. Tam, według zapewnień pasterzy, znajdowała się kryjówka lwiej rodziny napastującej bydło. Smuga podzielił Masajów na dwie grupy. Liczniejsza, razem z Wilmowskim i Hunterem uzbrojonymi w doskonałe karabiny, miała się rozciągnąć w długi szereg i wkroczyć w gąszcz od strony rzeczułki. Na czele drugiej grupy stanął Smuga. Postanowił okrążyć busz, by urządzić zasadzkę na lwy wycofujące się przed nagonką. Tomek poprosił ojca, aby pozwolił mu się udać razem ze Smugą i bosmanem Nowickim. Wilmowski zgodził się na to. Wiedział przecież, że pod opieką wytrawnego myśliwego chłopcu nic złego nie może się stać.

Grupa Smugi pierwsza wyruszyła na stanowisko, ponieważ potrzebowała więcej czasu na urządzenie zasadzki. Smuga krocząc na przedzie poprowadził swych ludzi skrajem rozległego pasa krzewów.

Tomek szedł obok Smugi. W skupieniu przysłuchiwał się jego wskazówkom, jak należy się zachować podczas polowania na lwy.

— W Afryce wyróżniono kilka podgatunków lwów<sup>109</sup> w zależności od rozmiaru ich grzywy, a więc: berberyjskiego, najpotężniejszego ze wszystkich, który obecnie występuje jedynie w krajach Atlasu, masajskiego żyjącego we wschodniej Afryce Środkowej, senegalskiego, kapskiego i somalijskiego. Niektóre z tych podgatunków już wymarły — wyjaśniał łowca. — Poza Afryką żyją dwa gatunki: perski i indyjski. Można domyślić się z samej nazwy, że w tych okolicach przebywają lwy zwane masajskimi. Odmiana ta, w przeciwieństwie do innych, napada i pożera ludzi. Lwy unikają

---

<sup>109</sup> — *Felis leo*

puszcz podzwrotnikowych, a chętnie gnieźdzą się w okolicach otwartych, zwłaszcza w buszu i na pustynnych równinach lub płaskowzgórzach. Na ogół nie trzymają się ściśle określonych kryjówek. Wędrują z miejsca na miejsce spędzając dzień tam, gdzie zastaje je wschód słońca. Gorzej się jednak dzieje, gdy bestie zasmakują w łatwym polowaniu na bydło domowe lub na przeważnie źle tutaj uzbrojonych i tym samym niemal bezbronnych ludzi. Wtedy włóczą się dłużej po okolicy i dokonują straszliwego spustoszenia.

— Wydawało mi się, że każdy lew rzuca się na człowieka — wtrącił Tomek.

— Większość mieszczuchów tak sądzi, lew jednak raczej rzadko napada na ludzi. Nawet szczuty psami więcej uwagi zwraca na ogary niż na człowieka. Oczywiście inaczej to wygląda, gdy się ma do czynienia ze zwierzęciem draśniętym kulą albo pozbawionym możliwości ucieczki. Wtedy staje się ono zajadłym i groźnym przeciwnikiem.

— Słyszysz, braciszku? Musisz dobrze pilnować Dinga, bo co by powiedziała ładna Sally, gdyby lwy pożarły jej pupila? — roześmiał się bosman.

— Niech pan tylko spojrzy, jak spokojnie zachowuje się Dingo — powiedział Tomek. — Na pewno nie zwęszył jeszcze lwów albo też wcale ich nie ma w tym buszu.

— Teraz idziemy z wiatrem. Zobaczymy, jak Dingo się zachowa, gdy będziemy po drugiej stronie buszu — rzekł Smuga.

Naraz podróżnik przystanął i pochylił się nad zdeptaną wokół brzegu strumienia ziemią. W tym miejscu strumień rozlewał się trochę szerzej, tworząc przy jednym z brzegów nieckowatą wyrwę. Woda stała tutaj spokojnie, ledwie poruszana prądem strumyka. Tomek trącił bosmana w bok:

— Pewnie pan Smuga odkrył ślady lwów.

Mescherje, który zatrzymał się obok chłopca, wyjaśnił:

— Tu lwy piją wodę w nocy. W dzień siedzą w zaroślach i śpią. Lwy są bardzo mądre, nie męczą się bieganiem w dzień, kiedy gorąco.

Tomek popatrzył na mętną wodę wypełniającą nieckę.

— Nie wydaje mi się, żeby lwy były tak bardzo mądre. Po co piją brudną wodę, skoro czysty strumień płynie tuż obok?

— Brudna woda lepsza. Wszystkie zwierzęta lubią stojącą wodę — stwierdził Mescherje.



Po chwili Smuga ruszył dalej. Około godziny trwała wędrówka ścieżką zwierzęcą, która nagle zniknęła w dość gęstym buszu z rzadka porośłym drzewami.

— Idźmy dalej ścieżką — doradził Mescherje — busz zaraz się skończy.

— Dobrze, prowadź nas teraz — polecił Smuga.

Mescherje zagłębił się w zarośla. Smuga, bosman, Tomek i Masajowie postępowali za nim, oddaleni zaledwie o kilka kroków. Tomek trzymał krótko na smyczy strzygącego uszami Dinga. Pies niepokoił się coraz bardziej, toteż chłopiec zwrócił na niego całą uwagę. Nagle rozległ się krzyk Mescherje. Wydarzenia potoczyły się tak szybko, że Tomek działał już tylko odruchowo. Spojrzał w kierunku, z którego doszedł głos Mescherje, i ujrzał potężny grzbiet zwierzęcia cwałującego z pochylonym łbem uzbrojonym w wielkie zakrzywione i ostre rogi. Mescherje w ostatniej chwili podskoczył wysoko. Jak piłka przetoczył się po szerokim grzbiecie gwałtownie szarżującego bawołu. Na szczęście Smuga nie stracił zimnej krwi; widząc, że nie zdąży złożyć się do strzału, krzyknął donośnie:

— Kryjcie się za drzewami!

Jednocześnie uskoczył za pień dużej akacji, ratując się w ten sposób przed stratowaniem.

Bosman znajdował się najbliżej Tomka. Wyrwał mu z rąk smycz, popychając go jednocześnie w kierunku rozłożystego figowca. Przerażony nagłym pojawieniem się bawołu afrykańskiego<sup>110</sup>, chłopiec jednym susem wskoczył na niższą gałąź; błyskawicznie wdrapał się na drzewo. Bosman szarpnął Dinga i schował się za tym samym figowcem. Masajowie, bezszelestnie jak duchy, zniknęli ze ścieżki.

Nim Tomek zdał sobie sprawę z tego, co się stało, tętent rozgniewanego zwierzęcia ucichł w dali.

Smuga z karabinem gotowym do strzału ukazał się na ścieżce.

— Nie wychodźcie jeszcze z kryjówek! — zawołał ostrzegawczo. — Bawół może wrócić!

Tomek siedział na gałęzi przylepiony prawie do pnia figowca. Tymczasem Smuga odnalazł ukrytego w krzewach Mescherje. Murzyn

---

<sup>110</sup> — *Bubalis caffer*. Najbliższymi jego krewniakami, których wiele zamieszkuje dziewicze lasy Środkowej Afryki, są: nieco mniejszy bawół czerwony (*Bubalis caffer nanus*) z Konga i bawół krótkorogi (*Bubalis caffer brachyceros*) znad jeziora Czad.

oszołomiony był jeszcze upadkiem na ziemię, lecz zapewniał, że nic mu się nie stało. Zaraz też ruszył śladem bawołu, by sprawdzić, czy już im nie zagraża. Wrócił po dłuższej chwili wołając:

— Nie ma go, nie ma! Uciekł naprawdę!

Masajowie natychmiast ukazali się na ścieżce. Bosman Nowicki wyszedł z psem zza drzewa. Zadarłszy głowę powiedział ze śmiechem:

— He, he, he! Aleś, brachu, skoczył na drzewo zwinniej od małpiaka! Szkoda, że nie miałem aparatu fotograficznego. Boki by Sally rozboleły z uciechy, gdyby zobaczyła, jak się wspinasz na drzewo uciekając przed byczymi rogami! Prawda, Dingo? Ale widok!

Tomek zeskoczył z drzewa i podniósł z ziemi porzucony sztucer. Smuga i Masajowie uśmiechali się dyskretnie. Chłopiec spojrzał na nich ponurym wzrokiem. Westchnął ciężko, gdyż zdawało mu się, że jego myśliwska sława mocno została w tej chwili nadszarpnięta.

Zły i pochmurny ruszył za przyjaciółmi.

*„Więc to tak, teraz się ze mnie śmiejecie — pomyślał. — Ano, dobrze! Pożalujecie...”*

— Mieliśmy wiele szczęścia — mówił tymczasem Smuga. — Bawół afrykański szarżuje na wszystko, co napotyka na swej drodze! Ustępuje pola tylko słoniowi. Nie boi się nawet lwa i często zwycięża w starciu. Strzelać do niego można wtedy jedynie, gdy jest się zupełnie pewnym strzału. Raniony bawół staje się nadzwyczaj niebezpieczny i podstępny. Potrafi urządzać prawdziwe zasadzki na prześladowców.

Rozmowa się urwała. Mescherje zboczył w rzadszy w tym miejscu busz. Niebawem łowcy znaleźli się na skraju małej polany otoczonej krzewami i drzewami.

— Tu zaczekajmy — doradził Mescherje.

Łowcy sprawdzili broń, po czym usiedli wśród krzewów. Mężczyźni podnieceni perspektywą polowania na lwy nie zwracali uwagi na milczącego chłopca, który położył sztucer na kolanach i nasłuchiwał z drżeniem serca. Niebawem w dali rozległy się krzyki i strzały.

Odgłosy nagonki przybliżały się coraz bardziej. Naraz w głębi gąszczu rozbrzmiał krótki, gniewny pomruk.

— Lwy już spłoszone — szepnął Mescherje.

Pomruk powtórzył się znacznie bliżej. Zanim rozplynął się w buszu, zawtórowało mu kilka bestii.

— Widać, że nagonka trafiła na prawdziwą przysłowiową jaskinię lwów — półgłosem powiedział Smuga — żeby tylko wyszły prosto na nas.

— Przyjdą, musungu<sup>111</sup>, przyjdą, gdyż za nami są jaskinie, w których one chowają się w niebezpieczeństwie — zapewnił Mescherje.

Wyraźnie już było słycać wrzask nagonki oraz uderzenia dzidami o pnie drzew, przeplatane strzałami karabinowymi. Urywane pomruki lwów odezwały się na skraju przeciwległej strony polany. Smuga spojrział na przygotowującego się do strzału chłopca. Uśmiechnął się do niego i polecił:

— Nie spuszczaaj Dinga ze smyczy i nie oddalaj się ode mnie. Mierz spokojnie prosto w komorę.

— Dobrze, proszę pana. Dingo drży z niecierpliwości. Będę na niego uważał, może pan być spokojny — zapewnił Tomek.

Nie mógł trzymać w ręku smyczy i jednocześnie strzelać ze sztucera. Po krótkim więc namyśle przywiązał koniec rzemienia do drzewa. Przyklęknął na jednym kolanie, opierając broń na drugim.

Lwy nie dały długo na siebie czekać. Olbrzymi, płowy łeb pokryty bujną grzywą wychynął z zarośli. Spoglądając podejrzliwie lew warknął głucho i przeciągłe. Odpowiedziało mu kilka innych lwich głosów.

— Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć... o Boże, ile ich tu jest na raz! — szepnął Tomek licząc bestie ukazujące się niemal jednocześnie na polanie. — To już szósty, siedem, osiem...

Tomek nie mylił się. Pięć lwic i trzy samce wybiegły na polanę kocimi susami. Pierwszy umykał prawdziwy olbrzym z wielką grzywą.

W głębi buszu znów rozległy się nawoływania i strzały. Smuga i bosman Nowicki wyszli z krzewów.

— Do licha! Zmarnowaliśmy doskonałą okazję do schwytania żywcem takiej pięknej rodzinki! — zawołał Smuga.

Lew biegnący na czele gromady przystanął zdumiony widokiem ludzi przed sobą. Stanowił doskonały cel. Smuga mimo to nie wykorzystał wspaniałej okazji do pewnego strzału. Uniósł wprawdzie broń, lecz Tomek spostrzegł natychmiast, że mierzy do dużej, biegnącej długimi susami lwicy. To jednak, co Tomek poczytał za niepotrzebną brawurę, było wynikiem

---

<sup>111</sup> — Białły człowieku

głębokiego doświadczenia łowcy. Smuga wiedział bowiem dobrze, że przy spotkaniu lwa i lwicy należy najpierw strzelać do lwicy. Król zwierząt zazwyczaj nie reaguje na to, co spotyka jego małżonkę, podczas gdy ona rzuca się natychmiast na myśliwego, jeżeli lew zostaje zraniony. Smuga mierzył krótko i nacisnął spust. Lwica zwinęła się w skoku, ale biegła dalej. Smuga strzelił jeszcze dwukrotnie. Po ostatnim strzale zwierzę zaryło pyskiem w ziemię i legło bezwładnie. Tymczasem bosman i Tomek jednocześnie pociągnęli za spusty, mierząc do wspaniałego olbrzyma, który pierwszy się pokazał na polanie. Tomek, stosownie do rad Smugi, celował prosto w komorę. W chwili strzału zerknął na szamocącego się psa i kula uderzyła w ziemię tuż przed celem. Bosman nie spuszczał; mierzył spokojnie w zad. Od razu też unieszkodliwił zwierzę. Trafiony w kręgosłup olbrzymi lew kręcił się teraz jak bąk.

Tomek i bosman znów strzelili jednocześnie. Lew upadł na trawę. Smuga zabił celnymi strzałami jeszcze jedną lwicę i lwa, który nawinął mu się niemal pod samą muszkę karabinu, a bosman także powalił jedną sztukę. Tomkowi również sprzyjało szczęście. Trzema strzałami zabił młodego lwa, po czym zaczął obserwować przebieg polowania na pozostałe przy życiu lwice. Zwierzęta schwyte w potrzask biegały po polanie jak oszalałe w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia. Stanowiły nadzwyczaj ruchliwe, a tym samym trudny cel. Smuga i bosman wybiegli ku nim na środek polany. W pewnej chwili lwica kilkoma skokami dopadła bosmana. Smuga natychmiast nacisnął spust, lecz strzał nie padł. Łowca zrozumiał, że wystrzelał już wszystkie naboje. Krzyknął więc do marynarza, który strzelił i chybił. Zanim bosman zdążył pociągnąć za spust po raz drugi, zwalony przez zwierzę legł jak długi na ziemi, wypuszczając z ręki broń.

Lwica zniknęła w zaroślach; Masajowie z krzykiem pobiegli za nią w pościg. Pozostała jeszcze przy życiu lwica rzuciła się nieoczekiwanie w kierunku Tomka.

Sierść zjeżyła się na grzbiecie przywiązanego do drzewa Dinga. Tomek nie stchórzył. Nie chcąc narażać na niebezpieczeństwo swego ulubieńca, postąpił kilka kroków do przodu. Uniósł spokojnie sztucer. Mierzył między ślepia, gdyż był to jedyny widoczny w tej chwili cel. Kula tylko otarła się o czaszkę. Lwica stanęła trochę ogłuszona; spojrzała na chłopca przekrwionymi, gniewnymi ślepiami.

Tomek opanował ogarniający go strach. Zmierzył po raz drugi. Rozległ się tylko suchy trzask spuszczonej iglicy. Magazynek był pusty. Smuga, chociaż znajdował się w pewnym oddaleniu, natychmiast zorientował się w sytuacji. Nie miał czasu na nabicie karabinu. Rzucił więc bezużyteczną broń i porwał z ziemi karabin bosmana. Znów rozległ się tylko suchy trzask iglicy. Lwica czołgała się na brzuchu, nie odrywając wzroku od chłopca. Znajdowała się już o dziesięć kroków od zuchwalca.

Tomek pojął, że nie ma dla niego ratunku. Bezbronni Smuga i bosman Nowicki znajdowali się zbyt daleko, aby skutecznie przyjść mu z jakąkolwiek pomocą. Każdy gwałtowniejszy krok z ich strony przyspieszyłby tylko jego śmierć. Rewolwery nie wchodziły w rachubę — kule ich nie mogły ugodzić lwa śmiertelnie.

Tomek straszliwie pobladł.

Lwica przypadła do ziemi bijąc ogonem po bokach. Wyszczерzone kły rozchyliły się; rozbrzmiał głuchy pomruk. Nie można było mieć najmniejszej wątpliwości. Zwierzę gotowało się do skoku. Groźny pomruk rozległ się ponownie. Lwica zmrużyła ślepią, rytmicznie uderzała ogonem o ziemię. Tomkowi zdawało się, że czuje już w swym ciele kły rozjuszonej bestii, gdy nagle tuż przed nim pojawił się jakiś cień. Tomek uniósł głowę. Do jego serca wróciła nadzieja. Ujrzał przed sobą czarne plecy. Był to Mescherje, który widząc, że chłopiec może znaleźć się w niebezpieczeństwie, nie pobiął z towarzyszami za umykającym lwem. Teraz z podniesioną na wysokość ramienia dzidą odgrodził Tomka od lwicy.

Smuga i bosman nie śmieli wykonać najmniejszego ruchu, by nie przyspieszyć ataku rozwścieczonego drapieżnika. Przecież lwica mogła z łatwością rozszarpać chłopca razem z jego nieustraszonym obrońcą. Zraniona, drżała z niecierpliwości. To, że Tomek żył do tej pory, zawdzięczał Mescherje. Ten nieoczekiwanym ukazaniem się zwrócił na siebie uwagę zwierzęcia, które znało już smak czarnego mięsa... Gdy łeb lwicy zwrócił się ku Masajowi, Smuga nie wytrzymał i krzyknął:

— Na drzewo, Tomku! Na drzewo!

— Skacz na drzewo! — zawtórował bosman, ostrożnie ruszając ku chłopcu.

Rada była doskonała, lwica bowiem wlepiła swój zimny, złowrogi wzrok w Mescherje, a tuż za Tomkiem stało rozłożyste drzewo. Tomek wszakże

obliział językiem spieczone wargi i nie ruszył się z miejsca. Na drzewo? Tak, ogarniała go chęć schronić się na nie, ale miałyby się po raz drugi narazić na pośmiewisko? Poza tym, jeśli Mescherje się nie boi...

Podniesione głosy przerażonych łowców, jak i wrzask nagonki wysypującej się w tej chwili na polanę, podziałały na lwicę piorunująco. Mięśnie zagrały pod jej skórą, krótki, gruby kark skurczył się, wielkie płowe cielsko śmignęło w powietrzu.

W tej samej chwili prawe ramię Mescherje wykonało krótki, lecz silny ruch — dzida jak błyskawica wybiegła na spotkanie lwicy. Mescherje uskoczył w bok, pociągając Tomka za sobą, a zwierzę runęło na ziemię z głęboko wbitym w czoło ostrzem dzidy. Długie drzewce trzasnęło jak zapałka, lecz samo ostrze tkwiło głęboko w czaszce. W paroksyzmie bólu, oślepiona krwią lwica skoczyła jeszcze na pień drzewa i pazurami zdarła kawał kory. Była to już agonia, gdyż zaraz stoczyła się bezwładnie na ziemię.

Smuga i blady jak płótno bosman podbiegli do Tomka. Bosman chwycił go w ramiona.

Dopiero po chwili powiedział:

— Dech we mnie zaparło z przerażenia! Nie dziwię ci się, żeś nie miał siły wskoczyć na drzewo, gdyż i nas strach osadził na miejscu.

Tomek serdecznie uścisnął bosmana, a potem odezwał się niemal spokojnym głosem:

— Ja... mogłem się schronić na drzewo, ale... nie chciałem!

— Dlaczego? — rozgniewał się Smuga. — Przecież lwica przestała się tobą interesować. Widać było od razu, że nienawidzi Murzynów. Z łatwością więc mogłeś wspiąć się na drzewo. Byłbyś bezpieczny, a my byśmy nie umierali ze strachu o ciebie.

— Ja wcale nie chciałem być bezpieczny — oznajmił chłopiec.

— Dlaczego? Co się stało, Tomku?

— Potem pan bosman znów by się śmiał, że ze strachu wskoczyłem na drzewo!

Smuga spojrział na bosmana z wyrzutem.

— Z tym upartym bachorem to nawet pożartować nie można — mruknął marynarz poczuwając się do winy.

— Muszę przyznać, Tomku, że wykazałeś dużo zimnej krwi — pochwalił Smuga. — Chcę ci jednak przypomnieć, że obiecałeś zachowywać się rozsądnie.

— Pamiętam, ale na drzewo nigdy już nie będę się chował — odparł Tomek stanowczo.





## CZARNE OKO

Od kilkunastu godzin łowcy znajdowali się w pociągu jadącym z Nairobi do Kisumu, skąd mieli wyruszyć konno do Ugandy. Tomek zmęczył się już obserwowaniem okolicy z okna wagonu. Korzystając z drzemki towarzyszy podróży, postanowił napisać list do Sally. Wyjął konieczne przybory i zaczął pisać:

*Nairobi–Kisumu, dnia 5 sierpnia 1903 r.*

*Droga Sally!*

*Zdziwisz się pewnie, że zaledwie w kilka dni po wystaniu do Ciebie listu z Nairobi piszę zaraz następny. Otóż nieprędko będę miał teraz do tego okazję, zbliżamy się bowiem do Ugandy, kraju pokrytego dżunglą. Nie wiem, ile czasu zajmie nam tropienie goryli i okapi. Prawdopodobnie potrwa to kilka tygodni, lecz kto jest w stanie wszystko przewidzieć? Zdaniem pana Huntera, który przecież zna się na rzeczy, sprawa nie będzie łatwa. Napiszę więc znów do Ciebie dopiero po zakończeniu łowów na goryle i okapi.*

*W poprzednim liście opisałem już, w jaki sposób zwerbowałem na wyprawę wspaniałych wojowników masajskich. Znasz również przebieg polowania na lwy pożerające ludzi. Przede wszystkim muszę Cię uspokoić co do kochanego Dinga. Otóż nasz wspólny ulubieniec nie jest już wcale zdenerwowany niebezpieczną przygodą z lwami i wesoło macha ogonem na widok dzikich zwierząt, które od czasu do czasu widzimy obydwa z okna pędzącego pociągu. Właśnie zapomniałem wspomnieć, że list ten piszę w wagonie kolejowym w drodze z Nairobi do Kisumu. Skoro już jednak o tym mowa, to muszę wyjaśnić, że budowa linii kolejowej w tym wyżynnym, a nawet miejscami górzystym kraju, wcale nie była łatwym przedsięwzięciem. Odległość między Mombasą i Kisumu, a więc od Oceanu Indyjskiego aż do Jeziora Wiktorii, wynosi prawie pięćset osiemdziesiąt mil angielskich<sup>112</sup>. Począwszy od Mombasy przez trzysta czterdzieści sześć mil tor wspina się na wyżynę, osiągając na krańcu doliny Rift, na terytorium Kikuju, wysokość siedmiu tysięcy sześciuset stóp nad poziomem morza. Dalej pociąg zjeżdżał*

---

<sup>112</sup> — Mila angielska — 1.600932 km.

wspaniałymi wiaduktami, zawieszonymi niemal w powietrzu nad przepaściami, do doliny znajdującej się na wysokości sześciu tysięcy stóp. Wkrótce jednak znów zaczęliśmy się piąć pod górę i teraz przejeżdżamy przez góry Mau. Obecnie znajdujemy się osiem tysięcy stóp nad poziomem morza, lecz w okolicy Kisumu wysokość wyżyny wyniesie niecałe cztery tysiące.

— Nie wiem, czy takie wiadomości będą Cię interesowały, kończę więc już pisanie na ten temat i przechodzę do innych spraw. W Kenii jest moc różnej zwierzyny. Może pomyślisz o mnie coś niepochlebnego, lecz mimo to muszę się przyznać, że nie odczuwam wielkiego zadowolenia strzelając do dzikich zwierząt. Pan Smuga i Tatuś chwalą mnie za to, lecz bosman Nowicki śmieje się i twierdzi, że jestem «ciapą». Kiedy pierwszy raz zwierzyłem mu się, że żał mi zastrzelonych lwów, wzruszył ramionami mówiąc: «Umrzesz, brachu, z głodu, patrząc na żywą tłustą kurę!» Mescherje, którego znasz z poprzedniego listu, jest tego samego zdania co bosman. Uważa mianowicie, że jeżeli sam nie zabije i nie zje dzikiego zwierzęcia, to ono pożre go bez chwili wahania. Sam już nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć. W każdym razie wolę chwycić żywe zwierzęta, niż pozbawiać je życia.

Muszę Ci jeszcze powiedzieć, że wszyscy bardzo polubiliśmy Mescherje. Oczywiście jest dowódcą naszej masajskej eskorty. Mescherje niczym się nie przejmuje. Nie odkłada z rąk broni i mówi: «Mam karabin, nie boję się nawet Niam–Niam.» Niam–Niam to plemię ludożerców mieszkających w Afryce Środkowej. Troszkę mi się robi gorąco, gdy pomyślę o kanibalach, ale ojciec nie posądza ich o okrucieństwo. Wierzą oni jakoby, iż przez zjedzenie zabitego wroga nie tylko niszczą go doszczętnie, lecz przejmują również w ten sposób jego odwagę. Pocieszam się, że nie idziemy w tamte strony w nieprzyjaznych celach...

W tej chwili bosman Nowicki usiadł na ławce obok Tomka. Przyjrzał się gorliwie piszącemu chłopcu i zapytał:

— Co tak skrobiesz piórzyskiem, brachu? Pewno piszesz pamiętnik?

Tomek uniósł głowę znad listu.

— Kto by tam chciał czytać mój pamiętnik! Po prostu piszę list, panie bosmanie — mruknął.

— Pewno do wujostwa Karskich!

— Nie do wujostwa! Do nich wysłałem list z Nairobi.

— To chyba znów skrobiesz do tej miłej turkaweczki z Australii — roześmiał się bosman.

— Dlaczego pan nazywa Sally turkaweczką?

— Nie zagaduj mnie, brachu! Przecież do niej także pisałeś list z Nairobi!

— No tak, pisałem, ale Sally na pewno kłopotczy się o Dinga, więc muszę ją uspokoić.

— A pisz sobie, ładna turkaweczką. Coś tam już nasmarował?

— Przeczytać panu?

— Czytaj, brachu, tylko wolno, żebym dobrze zrozumiał — zgodził się bosman siadając wygodniej. Nabił fajkę tytoniem i puszczać kłęby błękitnego dymu słuchał uważnie.

— No, no, niczego nawet! Mógłbyś smarować do gazet — pochwalił, gdy Tomek skończył czytanie.

— Czy naprawdę uważa pan, że dobrze napisałem?

— Byczo! List jak cacko.

— To dobrze, bo Sally czyta moje listy koleżankom.

— Obiecuj jej teraz jakiś prezent. Wiesz co? Mam myśl. Podaruj jej skórę tego lwa, któregośmy wspólnie zarabali.

— Czy to będzie odpowiedni upominek dla niej?

— Jasne jak słońce, że tak! Powiesi ją sobie nad łóżkiem, a co na nią puści oczko, to zaraz pomyśli o tobie. Przecież nie możesz jej obiecać takiej bransoletki na rękę, jak to noszą Masajki. Jak by ona wyglądała w ciężkiej rurze?

Tomek wybuchnął śmiechem i zawołał:

— Jest pan dzisiaj prawdziwą skarbnicą wspaniałych pomysłów.

— Ha, kochany brachu! Niejeden już list smarowało się w życiu do swej lubej. Wprawa też coś znaczy! — chełpliwie stwierdził bosman.

— Sally wcale nie jest moją lubą — zaprotestował Tomek.

— Tak to mówisz, obłudniku? A kogo to, za przeproszeniem, nazywasz „drogą Sally”?

— To tylko taki zwrot stosowany w korespondencji — bronił się chłopiec.

— Ano, człowiek tak się zwraca i zwraca, aż się przewróci — śmiał się bosman. — Dalej, kończ skrobaninę!

Tomek pochylił się nad listem. Bosman przysunął się bliżej i czytał po cichu:

*Przygotowałem dla Ciebie pamiątkę z Afryki. Za radą mego przyjaciela i opiekuna, bosmana Nowickiego, ofiaruję Ci skórę lwa, którego wspólnie upolowaliśmy. Będziesz mogła ją powiesić nad łóżkiem. Obecnie skórę tę wyprawiają Masajowie. Po powrocie do Nairobi wyślę upominek pocztą. Teraz kończę pisanie, gdyż niezadługo wysiadamy w Kisumu. Przesyłam Ci moc pozdrowień od siebie i Dinga.*

*Tomek Wilmowski*

— Napisz Sally, że ją pozdrawiam — dodał bosman.

— Zaraz to zrobię. Na pewno bardzo się ucieszy — zapewnił Tomek.

Po chwili włożył list do koperty, którą schował do kieszeni.

— Za dwie godziny będziemy w Kisumu — oznajmił Wilmowski wchodząc do przedziału. — Czy czujecie podmuch wilgotnego powietrza?

— Co byłby wart nos marynarza, który by nie zwęszył wody — odparł bosman.

— Tatusiu, czy z Kisumu zaraz wyruszymy w dalszą drogę? — zapytał chłopiec.

— Tak, Tomku. Powinniśmy się znaleźć w Bugandzie jak najszybciej. W październiku rozpoczyna się pora deszczowa, a wtedy nie za dobrze się poluje.

Tomek wyjrzał oknem. Wokół ciągnęły się dość łagodne pagórki porośnięte wysokimi, rozłożystymi drzewami. Chłopiec pomyślał, że wkrótce ruszą konno w kierunku granicy Ugandy, lecz po raz pierwszy od chwili wylądowania w Afryce nie odczuł radości. Ogarnął go jakiś niepokój. Zaczął się zastanawiać, co też oczekuje ich w głębi tajemniczego kontynentu podczas polowania na goryle i okapi. Hunter obawiał się tych łowów. Tak wytrawnego tropiciela nie można było posądzać o tchórzostwo. Jeżeli uprzednio odmówił uczestniczenia w wyprawie na okapi, to nie ulegało wątpliwości, że przedstawiała ona poważne ryzyko. Tomek przypomniał sobie teraz Pigmejczyków Bambutte i ich zatrute strzały, ludożerców oraz straszliwe dzikie goryle, lecz zaraz odegnał od siebie przykre myśli; niefrasobliwe usposobienie zawsze brało w nim górę.

„*Mimo wszystko pan Hunter idzie z nami — pomyślał. — Co mi tam wszyscy Pigmejczycy, ludożercy i małpy, skoro tatuś i inni przyjaciele wcale się ich nie boją! Nie mam się czego lękać.*”

Natychmiast też poprawił mu się humor. Pogłaskał Dinga po kosmatym łbie szepcząc:

— Pamiętam o tobie, kochany piesku. Gdy wysiadziemy z pociągu, nałożymy stroje ochronne przeciw tse–tse i nic nam się nie stanie.

Tymczasem pociąg wtoczył się na stację w Kisumu. Była to wówczas mała osada, zamieszkiwana zaledwie przez trzech Europejczyków oraz kilkunastu Indusów i Murzynów. Poza paroma niskimi, białymi domkami były w niej tylko murzyńskie chaty, pobudowane wokół zatoki Kawirondo na łagodnych, zielonych pagórkach.

Tomek nie miał czasu przyglądać się barwnym roślinom tropikalnym, ponieważ zaczęto wyładowywać z magazynu bagaże, które przybyły do Kisumu przed nimi. Hunter okazał się bardzo praktyczny. Odnalazł znajomego Indusa trudniącego się przewożeniem towarów wozami i wynajął go na dwa dni. Po kilkugodzinnej pracy wszystkie paki były załadowane na furgony. Tomek zaledwie zdążył spojrzeć na największe jezioro Afryki<sup>113</sup>, a już dano hasło do odjazdu. Masajowie pod dowództwem Mescherje tworzyli czoło karawany. Świsnęły długie baty woźniców. Wypoczęte, silne woły rażno ruszyły naprzód. Łowcy jechali stępa za wozami.

Niecałe sto kilometrów dzieliło podróżników od granicy Ugandy. Indusi wraz z furgonami zgodzili się towarzyszyć łowcom do rzeki Nzoia. Tam, według zapewnień woźniców, można było wynająć Murzynów do niesienia bagaży.

Dość szeroka ścieżka wiła się między porośniętymi zielenią pagórkami. W powietrzu czuło się wilgoć, chociaż wyniosłości terenu zasłaniały jezioro. Łowcy omijali jego brzegi, ponieważ droga wiodąca jakby po przekątnej półwyspu Kawirondo umożliwiała dotarcie o dzień wcześniej do ujścia rzeki Nzoia. Wieczorem zatrzymali się na krótki odpoczynek. Następnego dnia o świcie ruszyli dalej. Indusi ostro popędzali woły, aby przed zachodem słońca

---

<sup>113</sup> — Jezioro Wiktorii (*Victoria Nyanza*). odkryte w 1858 r. przez Speke'a, leży na wysokości 1134 m n.p.m. Jego długość wynosi około 400 km, szerokość około 250 km, głębokość do 80 m, a długość linii brzegowej ponad 7000 km. Uchodzą do niego: Kagera (rzeka źródłowa Nilu), Mara, Nzoia; wpływa zeń Nil Wiktorii.

przybyć do celu. Szlak stale się pogarszał, a zmęczone zwierzęta szły coraz wolniej. Toteż dopiero nazajutrz około południa wyprawa znalazła się nad rzeką, w pobliżu jej ujścia do Jeziora Wiktorii.

Obydwa brzegi rzeki Nzoia porastały papirusy. Tworzyły one miejscami gęszcz nie do przebycia i osłaniały ukryte wśród trzęsawisk spokojne stawy — schronienie mnóstwa dzikich kaczek, gęsi, ibisów, żurawi, pelikanów, łabędzi i bekasów. Wstęga rzeki przecinała rozległy płaskowyż urozmaicony kilkoma wyspami bujnej roślinności. Nie opodal znajdował się spadzisty brzeg jeziora. W załamaniach łądu rosły kępy wielkich drzew; wokół było pełno pięknych kwiatów o łagodnym, przyjemnym zapachu. Przepyszna roślinność przeglądała się w przejrzystej wodzie zachęcającej do kąpieli.

Zaledwie wozy przystanąły w ocienionym drzewami miejscu, Masajowie przystąpili do budowy bomy<sup>114</sup> z grubych, głęboko w ziemię wbitych kołków, między które ułożyli gęstą osłonę z gałęzi cierni, pozostawiając kilka otworów do obserwacji bądź ewentualnego strzału. Wewnątrz tego wysokiego, kolczastego ogrodzenia rozbito namioty i wyładowano bagaże.

Tomek razem z ojcem zajął się urządzeniem ich wspólnego namiotu. Po zakończeniu pracy zmęczony i spocony wybiegł z Dingiem przed bome.

— Nie masz ochoty rzucić okiem na jeziorko? — zagadnął bosman Nowicki ocierając kraciatą chustką pot z czoła.

— Ładne mi jeziorko! Czy pan wie, że jego powierzchnia wynosi sześćdziesiąt dziewięć tysięcy kilometrów kwadratowych? Oczywiście, że chcę na nie spojrzeć, bo przecież w Kisumu nie było na to czasu.

— No to chodźmy! — zaproponował marynarz.

Pobiegli w kierunku jeziora. Wkrótce zsunęli się po urwisku i zatrzymali na brzegu.

— Ależ to prawdziwe morze! — zawołał Tomek ogarniając wzrokiem bezmiar wód.

— Morze, nie morze, grunt, że woda, w której można wykąpać się dla ochłody — wysapał bosman ściągając z grzbietu koszulę.

— Wspaniała myśl! — pochwalił Tomek.

Szybko zrzucił odzienie i zadowolony, że zdołał wyprzedzić bosmana, stanął na brzegu. Zakątek wybrany do kąpieli ocieniały mimozy o rozłożystych konarach; gęsta trawa sięgała aż do przejrzystej toni. Tomek bez

<sup>114</sup> — Boma, kambi lub zeriba — okrągłe, kilkumetrowej średnicy ogrodzenie.

namysłu wszedł do wody. Wyciągnął ręce, by rzucić się naprzód, gdy nagle Dingo, który stał jeszcze na brzegu, warknął nieoczekiwanie. Tomek wstrzymał skok. Jakieś ogromne cielska, rozcinając nurt jak strzała, zatrzymało się właśnie w miejscu, gdzie chciał się pogrążyć w chłodnej wodzie. Tomek błyskawicznie wyskoczył na brzeg i tylko dzięki temu uratował życie. Był to bowiem olbrzymi krokodyl<sup>115</sup>. Przez chwilę spoglądał peryskopowymi oczyma na przerażonego chłopca, po czym oddalił się z ociąganiem.

— Niech pan patrzy! Tylko prędko! — krzyknął Tomek ochłonawszy ze strachu.

— Krzyczysz, brachu, jakbyś zobaczył ducha — zaczął bosman, lecz umilkł natychmiast, gdy ujrzął grzbiet odpływającego krokodyla.

Bez zbędnych słów zaczął ubierać się z powrotem. Tomek rozbawiony jego ponurą miną zapytał:

— Dlaczego pan tak nagle zmarkotniał, bosmanie?

— A niech wieloryb połknie te wasze wyprawy myśliwskie! — rozgniewał się marynarz. — W Australii człowiek rozsychał się z braku wody jak stara beczka, tutaj znów co krok mógłbyś moczyć grzeszne cielsko, lecz krokodylszczaki szczerzą zęby jak druhny na weselu! Niech to lichy weźmie. Biednemu zawsze wiatr w oczy wieje...

Tomkowi żal się zrobiło poczciwego bosmana, więc powiedział pocieszająco:

— Zapytamy pana Huntera, może będzie znał miejsce nadające się do kąpieli.

— Odczep się ode mnie z tym panem Hunterem! Chudy jak szczapa, to i nie poci się i gwizdże na kąpiel.

Jak niepyszni wrócili do obozu.

Kiedy Tomek opowiedział wydarzenie z krokodylem, przerażony Hunter zawołał:

---

<sup>115</sup> — Krokodyl afrykański (*Crocodilus cataphractus*) występuje w rzekach Senegalu aż do Konga, w Afryce Wschodniej i Zachodniej, w rzece Kamerun, w wodach pólslonych bagien nadbrzeżnych zarośniętych mangrowcami, a w rzece Wazi, dopływie Kamerunu, występuje masowo. Krokodyl nilowy (*Crocodilus niloticus*) spotykany jest w całej Afryce.

— Nie ważcie się szukać ochłody w afrykańskich rzekach i jeziorach, jeżeli nie chcecie postradać życia! Nie dajcie się zwieść ich pozornie spokojnie wyglądającej toni. Tutaj wszędzie pełno krokodyli.

— Dingo ostrzegł nas w porę o niebezpieczeństwie — uspokoił go Tomek.

— Masajowie nanosili wody z rzeki. Możecie umyć się w obozie — wtrącił Smuga.

Dopiero po kolacji Wilmowski rozpoczął rozmowę na temat wynajęcia tragarzy. Rankiem Indusi mieli wyruszyć wozami w drogę powrotną do Kisumu, należało więc teraz wystarać się o ludzi do niesienia bagaży. Woźnice radzili podróżnikom zwrócić się o pomoc do kupca Castanedo, mieszkańca portugalsko–murzyńskiego, który w odległości około pół kilometra od obozu posiadał małą faktorię.

— Castanedo żyje w dobrych stosunkach z krajowcami Kawirondo, zamieszkującymi północno–wschodnie brzegi Jeziora Wiktorii — wyjaśniali Indusi. — On na pewno ułatwi pertraktacje.

— Jutro rano odszukamy pana Castanedo i poprosimy go o pomoc — postanowił Wilmowski. — A teraz kładźmy się spać i wypoczniemy!

Tomek spał smacznie całą noc. Po zwiększeniu się liczby uczestników wyprawy o pięciu Masajów czuwać mieli już tylko dorośli mężczyźni. Rano zbudził go skrzyp furgonów i nawoływania woźniców odjeżdżających do Kisumu. Tomek szybko narzucił ubranie i wybiegł pożegnać się z Indusami. Niebawem wozy zniknęły za zakrętem drogi.

— Którzy z panów pójdą ze mną porozmawiać z Castanedem? — zapytał Hunter zaraz po śniadaniu.

— Najlepiej będzie, jeżeli pan Smuga załatwi to z panem — zaproponował Wilmowski. — Zna on narzeczę krajowców, więc najwięcej panu pomoże. Czy masz coś przeciwko temu, Janie?

— Możemy iść zaraz — zgodził się Smuga. — Trzeba wziąć trochę podarków dla Murzynów.

— Jeżeli chcecie, szanowni panowie, to i ja pójdę z wami. Pomożemy z Tomkiem nieść podarunki — wtrącił bosman Nowicki, który chociaż zżymał się stale na niegościnnosć obcych krajów, zawsze ciekaw był pierwszy wszystko zobaczyć.



— Idźcie, idźcie, będzie trochę spokoju w obozie, tylko nie próbujcie znów kąpieli w jeziorze — rzekł Wilmowski, gdyż dobrze znał wścibstwo bosmana i syna.

Tomek gwizdnął na Dinga. Umocował na jego grzbiecie uprząż z futerkami, a sam założył swój oryginalnie ozdobiony korkowy hełm. Łowcy uśmiechali się dyskretnie, lecz nie przeszkadzali chłopcu w postępowaniu według własnego widzimisię, nie chcąc mu psuć dobrego nastroju. Gdy byli już przygotowani do drogi, Smuga zaproponował, aby przyłączył się do nich Mescherje.

— Weźcie i Mescherje — poparł go Wilmowski. — Pomoże wam nieść podarunki.

Hunter poprowadził całą grupę w kierunku jeziora, po czym udali się na wschód wzdłuż wybrzeża.

— Patrzcie na to dziwne drzewo, wygląda, jakby pozawieszano na nim parówki! — zawołał Tomek wskazując wysokie drzewo o szerokiej koronie, z którego górnych gałęzi zwisały na długich łodygach owoce przypominające kształtem kiełbaski.

— Zakąska wisi nad nami, panowie! — zawtórował bosman.

— Jest to tak zwane przez Anglików drzewo kiełbasiane<sup>116</sup> — wyjaśnił Hunter. — Jego owoce kształtem i kolorem przypominają kiełbaski, wystarczy jednak zerwać owoc i przekroić grubą skórę, aby stracić ochotę na podobną zakąskę.

— Co jest wewnątrz owocu? — zaciekawiał się Tomek.

— Nieapetycznie wyglądająca miękka papka — roześmiał się Hunter.

— Pan Bóg wie, co robi! Gdyby w Afryce kiełbasy dyndały w powietrzu, to byłby tu taki tłok, że przyzwoity człowiek nie mógłby się nawet docisnąć do tej darmowej choinki — westchnął bosman, budząc powszechną wesołość.

Podróżnicy ruszyli dalej. Uszedłszy około pół kilometra, ujrzeni nie opodal wybrzeża drewnianą chatę z werandą. Nad wykonanymi z drucianej siatki drzwiami wisiał szyld z angielskim napisem:

### *FAKTORIA PANA CASTANEDO*

---

<sup>116</sup> — *Kigelia africana*

Łowcy weszli na brudną werandę. Hunter klasnął głośno w dłonie. Zza przewiewnych drzwi wysunęła się Murzynka. Wokół jej bioder zwisały, przypasane na sznurku, perkalowe fartuszki. Pobrzękując metalowymi bransoletami nałożonymi na nogi i ręce zbliżyła się do podróżników.

— Czego chcą buana<sup>117</sup>? — zapytała.

— Gdzie jest pan Castanedo? — zagadnął Hunter.

— Jest za wcześnie. Buana Castanedo śpi jeszcze — padła odpowiedź.

— To zbudź go i powiedz, że chcemy z nim rozmawiać — rozkazał Hunter.

— Ja zbudzę, ale będzie wtedy bardzo zły — oznajmiła Murzynka, ciekawie przyglądając się przybyszom.

— Z kim tam gadasz, do diabła? — rozległ się w izbie głos.

— Biali ludzie przyszli tutaj — wyjaśniła Murzynka, trwożliwie spoglądając za siebie.

— To wpuść ich do mnie i przynieś mi coś do picia — po raz drugi odezwał się nieprzyjemny głos.

Smuga spojrział przeciągle na Huntera. Energicznie pchnął drzwi i wszedł do izby. Reszta towarzystwa udała się za nim. Na posłaniu, bardziej podobnym do barłogu niż łóżka, leżał wysoki mężczyzna o szerokich barach, z jednym okiem zakrytym czarną przepaską. Ciemne, skręcone w małe pierścienie włosy i cera koloru mętnej białej kawy od razu pozwalały rozpoznać w nim półkrwi Murzyna. Podejrzliwie spojrzął zdrowym okiem na przybyłych i warknął:

— Czego tu szukacie? Nie mam żadnego towaru do sprzedania!

— Chcemy rozmawiać z panem Castanedo — spokojnie powiedział Hunter.

— To mówcie, ja jestem pan Castanedo — butnie odparł mężczyzna.

— Potrzebujemy trzydziestu tragarzy i, jeżeli to możliwe, chcieliśmy nabyć pięć osłów. Woźnice powiedzieli nam, że za pana pośrednictwem będziemy mogli wynająć Murzynów.

— Rano nie załatwiam interesów. Przyjdźcie po południu — burknął Castanedo układając się do snu.

Smuga zmarszczył brwi, lecz zupełnie obojętnym tonem powiedział:

<sup>117</sup> — Buana (w narzeczu suahili) — pan.

— Jeżeli pan jest tak pijany, że nie potrafi przyzwoicie rozmawiać, sami poszukamy krajowców.

Odwrócił się i ruszył ku wyjściu, lecz Castanedo rozgniewany jego słowami krzyknął:

— Nikt z okolicznych Kawirondo nie pójdzie z wami bez mego zezwolenia.

Smuga zbliżył się do posłania, oparł prawą dłoń na rękojeści rewolweru i rozkazał stanowczo:

— To wstawaj natychmiast i chodź z nami!

Olbrzymi bosman Nowicki przysunął się kocim ruchem do Smugi, lecz było to już niepotrzebne. Castanedo usiadł na barłogu odzywając się zupełnie innym tonem:

— Jeżeli panom tak się spieszy, możemy iść zaraz do czarnych małp.

W tej chwili poza domem rozległ się rozpaczliwy krzyk. Castanedo gniewnie zmarszczył brwi i rzekł:

— Poczekajcie, panowie, chwilę. Zaraz wrócę!

Podniósł się i chwiejnym krokiem wyszedł na werandę. Łowcy usłyszeli, jak chrapliwym głosem wołał na Murzynkę.

— A to ci ananas! — odezwał się bosman, gdy Castanedo wyszedł z chaty. — Po jakie лихо gadamy z takim pijanym drabem?

— Dziwi mnie jego zachowanie, gdyż na ogół mieszkańcy odnoszą się pogardliwie jedynie do Murzynów — odparł Hunter. — Nie podoba mi się ten jegomość.

— Prawdopodobnie pod wpływem alkoholu nie wie, co mówi — dodał Smuga. — Po wytrzeźwieniu będzie się giął w ukłonach.

— Z mieszkańcami zawsze trzeba ostro, inaczej zaraz im się wydaje, że są nie wiadomo kim — zakończył bosman.

Nieobecność Castaneda trwała dość długo. Podróżnicy już się niecierpliwili, gdy nagle w podwórzu po raz drugi rozbrzmiał przeraźliwy ludzki krzyk i suche trzaski bata.

— Co się tam dzieje, u licha? — zdziwił się Smuga.

Zaintrygowani wyszli z chaty, a kiedy znaleźli się na podwórzu, ujrzeli przerażający widok. Przykuty za nogę łańcuchem do grubego słupa siedział na ziemi skulony młody Murzyn. Castanedo, stojąc obok, okładał go długim,

ciężkim pejczem. Gdy spostrzegł podróżników, kopnął Murzyna i pogroziwszy mu batem, zbliżył się do nieproszonych gości.

— To Murzyn z plemienia Niam–Niam, mój służący. Trzy dni temu porwał z wioski Kawirondo małą dziewczynkę i pożarł ją — wyjaśnił. — Oddam go patrolowi angielskiemu, gdy tu wkrótce przyjdzie.

— Czy to możliwe, aby był ludożercą?! — z niedowierzaniem zawołał Tomek.

Castanedo niedbale spojrział na chłopca i dodał:

— Ta dziewczynka była tylko, trochę starsza od ciebie. Niam–Niam zjadają niewolników, wrogów, sieroty i każdego, kto im się da zjeść.

— Jeżeli istotnie jest przestępcą, to niech go pan przekaże Anglikom. Po co się znęcać nad człowiekiem? — surowo odezwał się Smuga.

Tomek ze zgrozą spoglądał na poranione biczem plecy Murzyna, którego oczy wyrażały błagalną prośbę.

— Proszę panów do mieszkania. Możemy teraz omówić sprawę tragarzy — zaproponował Castanedo ruszając w kierunku domu.

Smuga, Hunter i Mescherje poszli za nim. Bosman Nowicki spojrział wymownie na Tomka, jednocześnie wskazał głową na skutego łańcuchem Niam–Niam. Tomek mrugnął porozumiewawczo i został na werandzie, gdy inni udali się do izby.

Minęło dobre pół godziny, zanim łowcy w towarzystwie już całkowicie ubranego Castaneda ukazali się przed domem. Tutaj czekał na nich Tomek siedząc na stopniu werandy. Bosman zerknął na młodego przyjaciela. Od razu poznał, że dzieje się z nim coś niezwykłego. Smuga, Hunter i Castanedo ruszyli przodem, a Mescherje niósł za nimi skrzynię z podarunkami. Bosman przyłączył się do Tomka — obydwaj znaleźli się kilkanaście kroków za wszystkimi.

— Wywąchałeś coś, brachu? — cicho zapytał bosman, widząc, że inni nie zwracają na nich uwagi.

— Straszne rzeczy, aż mi trudno w nie uwierzyć — odszepnął Tomek wzburzonym głosem. — Ten Murzyn umie trochę mówić po angielsku. Nie jest Niam–Niam, pochodzi z plemienia Galia. Nie zabił też ani nie zjadł dziewczynki. Żeby pan mógł słyszeć, jak mnie prosił: „*Kup mnie, biały buana, od handlarza niewolników! On mnie zabije!*” Castanedo bił go po to, żeby się nie odważył więcej wzywać pomocy.

— A kto ma być tym handlarzem niewolników? — zdziwił się bosman.

— Czarne Oko — odparł Tomek pospiesznie, gdyż chciał się jak najprędzej pozbyć ciężaru tajemnicy.

— Jakie znów Czarne Oko? Co ty wygadujesz, brachu!?

— Och, prawda! Zapomniałem, że pan jeszcze tego nie wie. Murzyni tak nazywają Castaneda. To pewno z powodu noszonej przez niego opaski. Podobno znany jest w całym okręgu jako handlarz ludźmi.

— Fiu, fiu! — gwizdnął bosman. — Więc to tak sprawy wyglądają? Gdzież on łapie tych niewolników?

— Sambo, to jest ten biedak przywiązany na łańcuchu, został wzięty razem z rodzeństwem do niewoli przez Murzynów Luo zamieszkujących dalej na zachodzie. Castanedo kupił go od nich, a następnie sprzedał razem z kilkunastoma niewolnikami Arabom. Odpłynęli stąd na długich łodziach w kierunku południowym. Sambo wyskoczył z łodzi i skrył się w krzewach rosnących na brzegu. Murzyni Kawirondo znaleźli go wczoraj i oddali Castanedowi, który zbił nieszczęśliwca. Obiecał obedrzeć go ze skóry, gdyby jeszcze raz próbował ucieczki.

— No, no, ten drab gotów to naprawdę zrobić — zafrasował się bosman. — Nie chciałbym być w skórze Samba.

— Musimy mu pomóc, panie bosmanie — stanowczo oświadczył Tomek.



## BOSMAN POKAZUJE PAZURY

Bosman i Tomek musieli przerwać rozmowę, gdyż z przybrzeżnych zarośli wyłoniła się wioska murzyńska. Stożkowate, słomą kryte chatki tworzyły dość szeroki łuk, którego cięciwę stanowił brzeg jeziora. Nad wodą, wyciągnięte na piaszczyste wybrzeże, leżały długie łodzie sporządzone z wypalanych pni drzew, a obok nich suszyły się rozpięte na drągach sieci.

Rój zupełnie nagich mężczyzn, kobiet i dzieci wyległ na powitanie przybyszów. Ich czekoladowe ciała błyszcząły tłuszczem. Mężczyźni na powitanie potrzęsali przyjaźnie dzidami. Kobiety natomiast podnosiły ramiona do góry, potem robiły skłon w przód dotykając palcami ziemi, a następnie prostowały się i z wyciągniętymi w górę rękami klaskały w dłonie.

— No, no, nawet niczego nas witają — pochwalił bosman. Tomek uśmiechnął się dyskretnie. Tymczasem Murzyni wykrzykiwali:

— Jambo masungu!<sup>118</sup>

Castanedo poprowadził podróżników do chaty naczelnika plemienia. Bosman, Tomek z Dingiem i Mescherje postanowili zaczekać na placu na wynik pertraktacji. Murzyni z podziwem przyglądali się Tomkowi i jego psu; półgłosem dyskutowali gestykułując rękoma. Rozmowy w chacie trwały już około dwóch godzin, gdy Hunter wyszedł przed dom.

— Dobiliśmy targu — powiadomił towarzyszy. — Pomóżcie mi wnieść skrzynię do chaty naczelnika.

— A cóż tam mówi ten pan Castanedo? — zagadnął bosman.

— Dla nas miękki jak воск. Trzeba przyznać, że ma mir wśród tutejszych Murzynów. Właściwie to on dyktuje im warunki.

— I za to weźmie zapewne część zapłaty — dodał bosman.

— Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że tak będzie. My również musimy dać mu pewien haracz.

— Po jakie лихо cackamy się z tym drabem? — oburzył się marynarz.

— Odniosłem wrażenie, że żaden Kawirondo nie poszedłby z nami bez jego zezwolenia. Naczelnik stale spoglądał na niego i dopiero gdy Castanedo skinął głową, wyrażał swą zgodę.

---

<sup>118</sup> — Witaj, biały człowieku

— Chytra sztuka musi być z tego mieszańca.

Mescherje i bosman ponieśli skrzynię. Tomek razem z nimi wszedł do chaty naczelnika. Stary, lecz dziarski Murzyn obejrzał podarunki, potem przeliczył przedmioty i materiały otrzymane jako należność za pięć osłów. Z kolei Smuga wypłacił sporą zaliczkę tragarzom. Zgodnie z umową mieli się stawić w obozie podróżników nad rzeką następnego dnia o świcie. Po zakończeniu długich targów łowcy wyszli przed chatę, aby obejrzeć osły kupione od murzyńskiego kacyka. Tomek zaledwie spojrzął na silne, roślejsze od europejskich kłapouchy. Zamyślony stanął pod drzewem. Nie spuszczał wzroku z Castaneda. Zastanawiał się, w jaki sposób mógłby pomóc biednemu Sambowi.

Tymczasem bosman, jakby całkowicie zapomniał o nieszczęsnym niewolniku, najspokojniej w świecie z zainteresowaniem oglądał osły. Uprzejmie też wymieniał różne spostrzeżenia z Castanodem, który, o ile z początku zachował się gburowato, o tyle teraz stał się przyjacielski i wylewny.

*„Nie wiedziałem, że bosman jest taki zmienny — rozmyślał Tomek z goryczą. — Najpierw nazywa Castaneda drabem, a teraz traktuje go jak przyzwoitego człowieka.”*

Wątpliwości chłopca rozwiały się wtedy dopiero, gdy pożegnali mieszańca przed faktorią. Zaledwie dom zniknął z pola widzenia, bosman zbliżył się do Tomka i szepnął:

— Niech się zamienię w sardynkę zamkniętą w blaszance, jeżeli nie uśpięm czujności tego handlarza żywym towarem.

— Nie rozumiem pana, przed chwilą rozmawiał pan z nim przyjacielsko, a teraz znów mówi pan zupełnie co innego — oburzył się Tomek.

— Potrząśnij tylko olejem w łepetynie, a wszystko ci się zaraz wyjaśni — odpowiedział bosman z chytrym uśmiechem. — Gdybym opuścił nos na kwintę tak jak ty, to Castanedo raz dwa by wyniuchał, że wiemy już o nim całą prawdę. Wtedy by na pewno pchnął Murzyna nożem pod siódme żebro, żeby się nie narażać na kłopoty z Anglikami. Tymczasem teraz bez cykorii pociągnie z butelki i położy się spać.

— To prawda, że Castanedo nie ma powodu do niepokoju, ale biedny Sambo nadal jest w jego rękach i chyba jeden Bóg wie, co go czeka — westchnął ciężko Tomek.



— Ha, więc przypuszczałeś, że chcę zostawić tego biedaka jego losowi? O, brachu, brachu! Mam już gotowy plan działania.

— Naprawdę? Co ma pan zamiar zrobić?!

— Dowiesz się wszystkiego jutro rano po przybyciu tragarzy do obozu.

— Dlaczego dopiero wtedy?

— Bo wtenczas Castanedo już nie będzie mógł nam popsuć szyków. Słyszałeś, co mówił pan Hunter? Murzyni słuchają go jak rodzzonego ojca, a obawiam się, że ten drab nie będzie miał zachwyconej miny, gdy usłyszy naszą propozycję. Pamiętaj, trzymaj buzię zamkniętą na kłódkę!

— To nawet ojcu nic nie powiemy? — zdziwił się Tomek.

— Właśnie jemu przede wszystkim nic nie trzeba mówić. Twój szanowny ojciec to chodząca dobroć. Nie potrafi nikomu zrobić krzywdy, a z Castanedelem trzeba gadać po marynarzku.

— Już nic nie rozumiem. Co pan właściwie chce zrobić?

— To się okaże jutro — krótko zakończył bosman — a teraz cicho, sza!

Zbliżyli się do obozowiska. Wilmowski wysłuchał relacji Smugi. Pochwalił za pomyślne załatwienie sprawy, obejrzał osły, które uwiązano w pobliżu koni.

— Tym przynajmniej nic nie grozi od tse–tse — powiedział z zadowoleniem, głaszcząc kłapouchy.

— Czy mucha tse–tse nie szkodzi osłom? — zainteresował się Tomek.

— Właśnie dlatego kupiliśmy je. Mając juczne zwierzęta będziemy mogli się zapuszczać w okolice, w których wynajęcie ludzi napotyka trudności. Tropienie okapi w dżungli zajmie sporo czasu. Nawet kto wie, czy nie będziemy musieli się podzielić na kilka grup, aby szybciej przetrząsnąć większy obszar lasu. Wtedy osły bardzo nam się przydadzą do noszenia sprzętu.

— Coś mi to przypomina nasze łowy w Australii — ucieszył się chłopiec.

Wieczorem Tomek kręcił się niespokojnie. Co chwila spoglądał na bosmana. Ten jednak zdawał się zupełnie nie myśleć o tym, co miało nastąpić następnego ranka. Przekomarzał się z Hunterem, nie zwracając uwagi na chłopca, a w końcu ziewnął od ucha do ucha i oświadczył, że pójdzie na spoczynek. Zanim znikł w namiocie, zbliżył się do Tomka i korzystając z tego, że nikt nie zwraca na nich uwagi, szepnął:

— Kładź się spać, koleżko! Jutro będziemy mieli pełne ręce roboty. Czy masz trochę forsy?

— Niecałe sto dolarów.

— Dobra nasza! Miej je przy sobie, a teraz chodźmy pokimać. Dobranoc!

— Dobranoc!

Niebawem Tomek już był w łóżku. Dingo wsunął łeb pod moskitierę, dotknął twarzy chłopca mokrym nosem, a następnie ulokował się przy jego nogach. Tomek zamknął oczy, lecz nie mógł zasnąć. Dręczyła go niepewność, czy nie powinien zwierzyć się ojcu, nawet wbrew bosmanowi. Nie mógł zrozumieć, dlaczego poczciwy marynarz uparł się zachować całą sprawę w tajemnicy. Przecież ojciec, jak i Smuga na pewno staraliby się pomóc biednemu Sambowi.

*„Co tu robić? — zastanawiał się. — Jeżeli nic nie powiem ojcu, to gotów później pomyśleć, że nie miałem do niego zaufania. Jeżeli znów zwierzę się, bosman posądzi mnie o to samo. I tak źle, i tak niedobrze.”*

Nagle przyszła mu do głowy zbawcza myśl:

*„Niech los zadecyduje, jak mam postąpić. O ile ojciec przyjdzie do namiotu, zanim usnę, wyznam mu wszystko. Gdyby nie przyszedł, to będzie widomy znak, że los tak chciał!”*

Zadowolony z postanowienia, uspokoił się natychmiast. Zamknął oczy. W obozie rozbrzmiewała monotonna pieśń Masajów. Tomek westchnął głęboko. Wkrótce sen go zmorzył i zasnął smacznie.

Zaledwie duża, pomarańczowa kula słoneczna ukazała się na horyzoncie, Hunter zbudził swych towarzyszy. Z wilczym apetytem zabrali się do sutego śniadania. Tomek z niecierpliwością oczekiwał na wydarzenia. Rzucił ukradkowe spojrzenia na bosmana, który z niewzruszonym spokojem pochłaniał góry jedzenia. Wkrótce bosman odsunął kubek, nabił fajkę tytoniem, wypuścił z niej kilka kłębow dymu. Mrugnął nieznacznie do chłopca i odezwał się:

— Wygląda na to, że Kawirondziaki nawalają! Idą chyba jak żółwie. Może by tak wyskoczyć im na spotkanie z jakimś marynarskim słowem?

— Oni zawsze mają czas — utyskiwał Hunter.

— Wezmę Tomka i wyjrzymy na drogę — zaproponował bosman.

— Dobrze, idźcie, a my tymczasem zwiniemy obóz — powiedział Wilmowski. — Tomku, zabierz ze sobą Dinga.

Chłopiec zaraz przypasał kolta, założył psu smycz i ruszył z bosmanem ku jezioru. Marynarz w milczeniu szedł wielkimi krokami, ale gdy tylko obóz znikł za krzewami, zboczył między drzewa.

— Źle idziemy, bosmanie — zaoponował chłopiec.

— Nic nie gadaj, koleżko, tylko smaruj za mną — uciął bosman lakonicznie.

— Murzyni nadejdą drogą. Tutaj ich nie spotkamy — upierał się Tomek.

— O to mi właśnie chodzi — wyjaśnił bosman. — Niech oni smarują do obozu, a my pójdziemy dalej.

— Przecież mieliśmy iść na spotkanie Kawirondo...

— Iii, to był tylko pretekst — odpowiedział marynarz. — Dopiero gdy nas miną, szurniemy do pana Castaneda. Potem powiemy, żeśmy ich nie spotkali, kapujesz?

— Nic nie rozumiem.

— Czekaj, zaraz ci to wyklaruję. Otóż, gdy upewnimy się, że tragarze poszli do obozu, odwiedzimy tego draba i cokolwiek wtedy się stanie, on nie będzie mógł nam już bruździć.

— Widzę, że pan dokładnie obmyślił cały plan — pochwalił Tomek.

Nie spiesząc się szli gąszczem, w końcu ujrzeli faktorię Castaneda, a Murzynów w dalszym ciągu nie było ani śladu. Bosman zatrzymał się; po krótkim namyśle zdecydował:

— Tutaj przycupniemy w krzakach, dopóki nie nadejdą nasi tragarze. Obejrzyj swoją pukawkę i nic teraz nie gadaj!

Tomek poczuł, że robi mu się gorąco. Bosman wyjął z kieszeni rewolwer, uważnie skontrolował broń, wydobyl duży nóż sprężynowy, sprawdził działanie mechanizmu, po czym wyciągnął się na ziemi.

— Czy pan chce zabić Castaneda? — zapytał Tomek niepewnym głosem.

Bosman wzruszył pogardliwie ramionami i rzekł niedbale:

— Nie gorączkuj się, brachu. Kto by tam zabijał takiego szczura! Musimy być na wszystko przygotowani. Wiesz, co zrobimy? Otóż poprosimy grzecznie pana Castaneda, żeby nam sprzedał Samba. Czy zabrałeś forszę?

— Zrobiłem tak, jak pan polecił. Mam dziewięćdziesiąt sześć dolarów.

— Byczo, ja też mam około setki. Powinno wystarczyć.

Tomek umilkł; uważnie przyglądał się leżącemu na brzuchu bosmanowi. Po chwili upewnił się, że marynarz nie jest podniecony. Uśmiechał się nawet, spoglądając na widoczną poprzez zarośla drogę. Tomek usiadł obok przyjaciela, sadowiąc przy sobie Dinga. Minęło dobre pół godziny, zanim usłyszeli śpiew Murzynów.

— Idą już — szepnął Tomek.

— Nie gadaj i pilnuj Dinga, żeby był cicho — polecił bosman.

Murzyni szli gęsiego. Tomek liczył ich, gdy mijali kryjówkę. Trzydziestu nagich Kawirondo zniknęło za zakrętem ścieżki, lecz bosman nadal leżał na ziemi nic nie mówiąc. Chłopiec drżał z niecierpliwości.

W końcu bosman jednym susem powstał, otrzepał starannie spodnie i odezwał się:

— Do dzieła, kochany koleżko! Możemy gazować do pana Castanedo. Słuchaj teraz uważnie, co ci powiem. Cokolwiek by się działo, staraj się trzymać z daleka od niego. Gdyby się trochę zdenerwował, sam go uspokoję. Kapujesz?

— Dobrze, proszę pana!

Bez zwłoki ruszyli ku faktorii. Po chwili znaleźli się na werandzie. Marynarz zbliżył się do drzwi i zapukał. Wokół panowała cisza.

— Upił się pewno i śpi — mruknął bosman wchodząc do izby.

Nie było tu jednak nikogo. Na koślawym stole leżały resztki jedzenia. Poślanie było w nieładzie.

— Słuchaj, Tomku! Zostaw tu Dinga, a sam skocz na podwórko i zobacz, co się dzieje z Sambem — zwrócił się bosman do chłopca, biorąc jednocześnie smycz.

Tomek wybiegł z izby; po chwili był już na podwórzu. Zatrzymał się niezdecydowanie. Castanedo uzbrojony w długi bicz odpinał od słupa łańcuch, na którym przywiązany był niewolnik. Zanim Tomek zdążył się zorientować w sytuacji. Murzyn zauważył go i krzyknął rozpaczliwie:

— Buana, ratuj, buana!

Castanedo obejrzał się natychmiast. Uspokoił się, widząc tylko chłopca.

Bat z trzaskiem smagnął grzbiet niewolnika.

— Niech go pan nie bije! — zaprotestował Tomek postępując naprzód kilka kroków.

— Wynoś się stąd albo i ty dostaniesz! — warknął mieszaniec. — Czego tu szukasz?

— Przyszliśmy porozmawiać z panem w pewnej sprawie — wyjaśnił Tomek.

— Nie mam teraz czasu. Już wam dałem Murzynów! Idźcie do diabła, zanim się rozmyślę — pogroził Castanedo.

W tej chwili pojawił się bosman Nowicki z Dingiem na smyczy. Castanedo zmierzył go gniewnym wzrokiem. Marynarz oddał smycz Tomkowi. Podszedł do mieszańca, który niemal dorównywał mu wzrostem. Castanedo był trochę szczuplejszy od marynarza, lecz pod jego ciemną skórą przeżyły się węzły mięśni. Przez kilka sekund patrzyli sobie prosto w oczy, jakby mierzyli swe siły.

— Ile chcesz za tego Murzyna? — przerwał bosman milczenie.

Castanedo cofnął się dwa kroki. Jego prawa dłoń zacisnęła się na rękojeści tkwiącego za pasem noża.

— Ile chcesz za tego Murzyna? — powoził bosman pytanie nie spuszczając wzroku z Castaneda.

— To ludożerca, zabierze go patrol. Ja nie sprzedaję ludzi. Idźcie do diabła! — odparł mieszaniec.

— Kup mnie, buana, kup mnie! On kłamie, ja jestem Galia i nie jem ludzi! On jest handlarz... — zawołał Sambo wyciągając dłonie, lecz potężne uderzenie bicia powaliło go na ziemię.

Castanedo z pianą wściekłości na ustach okładał Murzyna biczem ze skóry hipopotama. Krwawe pręgi wystąpiły na ciele nieszczęśliwca. Tomek zapomniał o uprzednim poleceniu bosmana. Drżąc z oburzenia jednym skokiem znalazł się przy oprawcy i pchnął go z całej siły. Castanedo rozjuszony do nieprzytomności zamierzył się batem na chłopca, lecz nagle płowe cielsko śmignęło w powietrzu i wylądowało na jego piersi. Białe kły kłapnęły w niebezpiecznej bliskości gardła Castaneda, który omal nie upadł.

— Dingo, do nogi! — krzyknął bosman.

Pies ze zjeżoną na grzbiecie sierścią powrócił do Tomka, lecz nie odrywał wzroku od Castaneda.

— Dość tej zabawy! Ostatni raz pytam: ile chcesz za tego Murzyna? — groźnie rzekł marynarz.

— Nie sprzedaję ludzi!

— Kłamiesz, draniu! Wszyscy wiedzą, że jesteś handlarzem niewolników. Kogo to sprzedałeś dwa dni temu Arabom, którzy odpłynęli na łodziach na południe? — wyrzucił z siebie bosman zbliżając się do mieszańca. — Powinniśmy zaprowadzić cię na łańcuchu do garnizonu angielskiego, ale bierz cię lichu! I tak nie wywiniesz się od szubienicy. Gadaj, ile chcesz za niego!

Castanedo pomyślał chwilę, odzyskał spokój. Niemal przyjaźnie spojrzął na bosmana, mówiąc:

— Chcesz go koniecznie kupić, no, niech i tak będzie. Wiesz jednak, że Anglicy karzą za sprzedawanie ludzi. Pogadajmy więc bez świadków. Chodź ze mną do domu.

— Dobrze, idź pierwszy! — zgodził się bosman. — Tomku, poczekaj tutaj na mnie.

Castanedo szedł nie oglądając się na bosmana. Szybko wkroczył na werandę. Marynarz niemal deptał mu po piętach. Przeczucie ostrzegło go, że Mulat knuje coś niedobrego. Zaledwie znaleźli się w mrocznej izbie, Castanedo odwrócił się nagle całym ciałem. W rękę jego błysnął długi nóż.

— Giń, biały psie! — syknął, zadając straszliwe pchnięcie.

Bosman uskoczył. Prawą pięścią podbił do góry rękę uzbrojoną w nóż, którego ostrze zahaczyło tylko lekko o skórę na piersi, a lewą grzmotnął napastnika w podbródek. Stół rozleciał się pod ciężarem padającego Castaneda. Potężne uderzenie nie pozbawiło go przytomności. Natychmiast porwał się na nogi gotów do walki.

Marynarz spojrzął na niego z uznaniem. Od razu też przestał lekceważyć przeciwnika, ale nie stracił ducha. Staczał już przecież podobne walki w portowych tawernach, przywykł zaglądać śmierci w oczy. Pochylił się do przodu i błyskawicznym ruchem wydobył z kieszeni nóż. Sprężyna szczęknęła metalicznie, zwalniając ostrze. Obydwaj przeciwnicy przyczaili się do skoku. Krok za krokiem bosman zaczął przysuwać się do Castaneda, ten zaś teraz przylgnął do ściany. Naraz marynarz uskoczył w bok, prawą ręką zatoczył szeroki łuk, ciężki nóż śmignął w powietrzu. Stalowe ostrze świsnęło w przerażającej bliskości głowy Castaneda, który odruchowo zasłonił twarz przedramieniem. O to właśnie chodziło bosmanowi. Jak huragan zwałił się na mieszańca. Chwycił w przegubie dłoń uzbrojoną w nóż, szarpnął przeciwnika ku sobie, wykręcił mu rękę, aż zatrzeszczały stawy. Nóż upadł na podłogę.

Teraz krótkimi uderzeniami pięści odrzucił od siebie wroga nie dopuszczając do zwarcia. Przeciwnik był zbyt silny, a bosman nie chciał tracić czasu. Rozpoczęła się gwałtowna walka na pięści. Nie wiadomo, jak by się ona zakończyła, gdyby bosman był mniej wprawny w takich zapasach. Castanedo szalał, podczas gdy marynarz na zimno obliczał każde uderzenie. Po kilku minutach bezkompromisowej walki uderzył Mulata w żołądek. Castanedo odsłonił na ułamek sekundy głowę, wtedy pięść twarda jak żelazo grzmotnęła go między oczy. Zaraz też otrzymał następny cios w podbródek. Z rozkrzyżowanymi rękami runął na wznak.

Bosman odpoczywał chwilę oparty plecami o ścianę. Z zadowoleniem przyglądał się leżącemu na podłodze Castanedowi. W towarzystwie Wilmowskiego i Smugi rzadko miewał okazję do podobnej rozprawy, a przecież przepadał za takimi przygodami. W jak najlepszym humorze poszukał wiadra z wodą, po czym wylał ją na głowę zemdlonego. Teraz dopiero odnalazł swój nóż tkwiący w ścianie i schował go do kieszeni.

Castanedo powoli odzyskiwał przytomność. W końcu bosman pomógł mu podnieść się z podłogi. Podsunął mu wielki, żyłasty kułak pod nos i zagroził:

— Słuchaj, draniu! Wynoś się stąd, i to migiem. Pamiętaj, że złożymy o tobie meldunek pierwszemu patrolowi angielskiemu, jaki spotkamy. Gdybyś ukrył się tutaj, to odnajdę cię wracając z Ugandy i bez wielkich ceregieli wpakuję porcję ołowiu w łepetynę. Teraz chodź i uwolnij Samba z łańcucha.

Castanedo bez protestu chwiejnym krokiem wyszedł z bosmanem. Tomek przeraził się, gdy ujrzał przyjaciela. Ciemniejąca obwódka otaczała jego lewe oko, z rozciętej dolnej wargi płynęła czerwona strużka, a rozdarta na piersiach koszula poplamiona była krwią. Castanedo wyglądał wprost okropnie. Oczy jego ginęły w olbrzymich siniakach, a rozbity nos obficie krwawił.

— Co się stało, bosmanie?! — przeraził się Tomek.

— He, he, he! — zarechotał marynarz. — Poprosiłem pana Castanedo, żeby uwolnił Samba. No i wolny jesteś, chłopie!

Castanedo w milczeniu odpiął łańcuch. Sambo przypadł do ręki wspaniałomyślnego dobroczyńcy, lecz ten szybko schował ją za siebie, mówiąc:

— Nie rób ze mnie babki nieboszczki albo biskupa!

Sambo nie zrozumiał żartu bosmana, cofnął się trochę onieśmielony i zapewnił gorąco:

— Sambo kocha dużego i małego buanę. Sambo kocha też psa, bardzo dobrego psa.

— Dobra nasza, chodź teraz do obozu, a pan, panie Castanedo, pamiętaj. Co powiedziałem! Nie mówię do widzenia, bo lepiej będzie, jeżeli się już nie spotkamy.

Bosman ze swymi towarzyszami zniknął wkrótce w przydrożnej zieleni. Castanedo bezwładnie oparł się o słup i grożąc za nimi pięścią wymamrotał rozbitymi wargami:

— Usłyszycie o mnie wkrótce!

Tymczasem w obozie zaczęto się już niepokoić o bosmana i Tomka. Kawirondo stali przy wyznaczonych im bagażach. Objuczone osły i osiodłane konie gotowe były do drogi. Wilmowski i Smuga co chwila wyglądali w kierunku jeziora.

Nagle ujrzeli Tomka biegnącego z Dingiem. Chłopiec stanął przed ojcem.

— Tatusiu, bosman prosi, żebyś koniecznie przyszedł nad jezioro — wysapał.

Wilmowski zmarszczył brwi; skinął głową na Smugę. Zaledwie oddalili się od Murzynów, Tomek oznajmił:

— Byliśmy u pana Castanedo. Bosman nakłonił go do uwolnienia Samba.

— O kim mówisz? — niespokojnie zapytał ojciec.

— Sambo to ten uwiązany na łańcuchu Murzyn, który miał być ludożercą.

W krótkich słowach wyjaśnił całą sprawę.

— Skoro uwolniliście Samba, to dlaczego bosman kryje się z nim nad jeziorem? — zapytał Wilmowski.

— Przecież Kawirondo słuchają Castaneda jak rodzzonego ojca, więc bosman obawia się, że jak zobaczą Samba i...

— Spójrz, Andrzeju, na naszego kochanego bosmana, a wszystko zrozumiesz — roześmiał się Smuga.

W tej chwili Wilmowski ujrział marynarza siedzącego na zwałonym pniu. Olbrzym, jak gdyby nic nie zaszło, palił fajkę. Obok niego przykucnął na ziemi Murzyn.



— A tobie co się stało? Więc to tak było! — westchnął ciężko Wilmowski, przyglądając się sińcom marynarza. — Że też was obydwóch nigdzie nie można samych puścić!

— Czy Castanedo żyje? — krótko zagadnął Smuga.

— Uchowaj mnie Boże przed śmiertelnym grzechem! — oburzył się bosman. — Żyje ten drań, ale zapowiedziałem mu, że złożymy meldunek Anglikom.

— Co powiesz o tym, Janie? — zafrasował się Wilmowski.

Smuga pomyślał chwilę, a następnie oznajmił:

— Nie wiem, czy Castanedo będzie próbował wyrzucić zemstę. Sądząc po wyglądzie takiego siłacza jak bosman, handlarz niewolników nieprędko ochłonie po otrzymanych cięgach. W każdym razie obowiązkiem naszym było przyjść temu biedakowi z pomocą. Nie martwmy się więc teraz na zapas i dokończmy pięknego dzieła zapoczątkowanego przez naszych dwóch zuchów.

— Jestem tego samego zdania — rozchmurzył się Wilmowski. — Zapytaj, Janie, tego chłopca, skąd pochodzi.

Po krótkiej rozmowie z Murzynem, Smuga poinformował przyjaciół:

— Sambo należy do plemienia Galia zamieszkującego zachodnio-północne rubieże Ugandy. Powiedziałem mu, że część naszej trasy wiedzie w kierunku jego rodzinnych stron. Wyjaśniłem również, kim jesteśmy i co tutaj robimy.

— Teraz, Tomku, pobiegnij po pana Huntera i przynieś bosmanowi świeżą koszulę. Lepiej niech Kawirondo nie domyślają się zbyt wiele — polecił Wilmowski.

Wkrótce Tomek powrócił wraz z Hunterem. Tropiciele uważnie wysłuchali relacji Wilmowskiego i osobiście porozmawiali z Sambem.

— A to kanalia z tego Castaneda! Szkoda, że pan nie wpakował mu po prostu kuli w łeb — gniewał się Hunter, głaszcząc po głowie drżącego Murzyna. — I to wszystko dzieje się w dwudziestym wieku! Czy dał mu pan chociaż za to przyzwoitą nauczkę?

— Niech się pan nie martwi, proszę pana — wtrącił Tomek. — Twarz Castaneda wyglądała jak surowy befszytk. Ledwo trzymał się na nogach. Mówiłem przecież, że nikt nie dorówna siłą panu Nowickiemu!

— Pocieszyłeś mnie trochę, kochany chłopcze — rozchmurzył się Hunter. — Pomyślmy teraz, co mamy zrobić z Sambem. Droga do jego

plemienia wiedzie przez kraj zamieszkiwany przez Murzynów Luo, którzy wzięli go do niewoli i sprzedali handlarzowi. Nie możemy więc tutaj zostawić biedaka własnemu losowi.

— Najlepiej zrobi, jeżeli pójdzie z nami przez tereny Luo, a później, gdy już nic nie będzie mu od nich groziło, zboczy na północ — doradził Wilmowski.

Hunter przetłumaczył to Sambowi. Murzyn rzucił się przed Tomkiem na kolana, wołając łamaną angielszczyzną:

— Sambo bardzo kocha dużego i małego buanę i dobrego psa! Sambo również pójdzie łowić dzikie zwierzęta! Później Sambo pojedzie z białym buaną za wielką wodę. Ojciec i matka zginęli w walce z Luo. Siostra i brat zabrani przez handlarzy. Mały buana nie wygoni od siebie biednego Samba!

— Musimy mu pomóc. Zabierzmy go, tatusiu! — zawtórował Tomek.

— Kto wie, czy nie jest to w tej chwili najlepsze wyjście? Dobrze, niech Sambo idzie z nami. Później pomyślimy o jego dalszym losie — powiedział Wilmowski ku radości syna.

— A więc sprawa załatwiona. Czas już na nas — przynaglił Hunter. — Pojawienie się Samba w naszym towarzystwie wywoła wśród Kawirondo wiele komentarzy. Najlepiej niech Murzyn powie przy okazji, że kupiliśmy go od Castaneda.

## OPÓR MURZYNÓW

Hunter szybko formował karawanę do wymarszu. Czoło jej mieli tworzyć, oprócz przewodnika. Wilmowski, Tomek i dwóch Masajów. Za nimi uszeregowali się gęsiego Kawirondo z przydzielonym im do niesienia bagażem, a dalej stanęły objuczone osły. Tylną straż stanowili Smuga, bosman Nowicki i trzech Masajowie.

Niemal w ostatniej chwili przed daniem hasła wymarszu przez Huntera Tomek zwrócił się do ojca:

— Tatusiu, tak bym chciał mieć przy sobie Samba.

Wilmowski spojrzał pytająco na tropiciela.

— Tomek naprawdę miewa dobre pomysły — odparł Hunter. — Radzę przydzielić Samba do jego dyspozycji. W ten sposób utrzymamy uwolnionego niewolnika z dala od Kawirondo, którzy wilkiem na niego spoglądają.

— Ma pan słuszność. Tomku, zaopiekuj się nim — rzekł Wilmowski.

— Dziękuję, tatusiu. Obmyśliłem już dla niego wspaniałą funkcję. Poczekajcie na mnie chwilę, muszę jeszcze coś przygotować przed wyruszeniem w drogę.

Tomek pobiegł między drzewa; powrócił niebawem trzymając w ręku długi, prosty kij. Teraz z podręcznej torby wydobył biało-czerwoną flagę, którą przymocował do drzewca.

— Sambo, będziesz niósł polską flagę na czele karawany — poinformował Murzyna.

Sambo, dumny jak paw z wyróżnienia, wziął chorągiew z rąk Tomka. Kilkakrotnie powiał nią wysoko ponad głowę. Polska flaga załopotała w samym sercu Afryki.

— Skąd ci przyszedł do głowy ten pomysł? — zdumiał się Wilmowski, spoglądając ze wzruszeniem na syna.

— Przeczytałem w pamiętniku Stanleya, że kazał zawsze nieść chorągiew Stanów Zjednoczonych na czele swej karawany. Uważałem za słuszne uczynić podobnie. Toteż jeszcze w Londynie przygotowałem polski sztandar, aby wszyscy tutaj wiedzieli, kim jesteśmy — wyjaśnił chłopiec. — Chyba nie masz nic przeciwko temu, tatusiu?

— Muszę nawet przyznać, że twój pomysł bardzo mi się podoba. Dumny jestem. Tomku, że pamiętasz o ojczyźnie — odparł ojciec śledząc wzrokiem łopoczący sztandar.

— A to mi setna niespodzianka! — zawołał bosman Nowicki. — Niech cię kule biją, brachu! Aż mnie w dołku ścisnęło, gdy po tylu latach tułaczki ujrzałem polską flagę.

Przyjaźnie klepnął chłopca w ramię i gwizdząc „*Mazurka Dąbrowskiego*” ochoczo powrócił na wyznaczone mu stanowisko.

— Słuchaj. Tomku! Jeżeli mamy naśladować Stanleya, to w chwili wymarszu wystrzelmy razem na wiwat — zaproponował Smuga.

— Wspaniała myśl — ucieszył się chłopiec, chwytając sztucer zawieszony na łąku siodła.

Hunter jeszcze raz sprawdził szyk ludzi gotowych do wymarszu. Na jego rozkaz rozległa się palba z dziesięciu strzelb. Murzyni krzyknęli donośnie, potrząsnęli dzidami.

Karawana ruszyła brodem przez rzekę Nzoia. Woda rozbryzgiwała się pod stopami biegnących Murzynów, którzy wrzeszczeli jak opętani, aby spłoszyć przebywające w pobliżu krokodyle. Wkrótce ekspedycja znalazła się na przeciwległym brzegu.

Tomek jechał stępą na koniu obok ojca i Huntera. Z zadowoleniem spoglądał na Samba niestrudzenie powiewającego flagą. Za nim ciągnął się długi łańcuch tragarzy, którego koniec stanowiła tylna straż karawany. Naraz Tomek zaczął pilnie nasłuchiwać, gdyż w tej chwili Sambo zanucił pieśń, którą sam ułożył:

*„Mały biały buana jest odważny jak wielki lew! On nie boi się złych soko! On nie boi się nawet pana Castanedo, który bił biednego Samba. Mały biały buana to wielki wojownik. On nie pozwoli nikomu bić Samba. On kazał nieść piękną flagę. Teraz Sambo też jest wielkim człowiekiem i ma dużo jeść, a handlarza niewolników zbił wielki biały buana... Sambo kocha swego pana i jego dobrego psa, który jak lampart rzucił się do gardła złego pana Castanedo...”*

Tragarze znajdujący się w pobliżu Samba natychmiast przekazali dalej mimo woli usłyszaną wiadomość. Wśród Kawirondo zapanowało duże ożywienie.

— Do licha! — zaklął Hunter. — Sambo wypaplał już o pobiciu Castaneda. Że też Murzyni nie potrafią trzymać języka za zębami!

— Ha! Nic na to nie poradzimy — zauważył Wilmowski. — Znajdujemy się przecież na najbardziej plotkarskim kontynencie świata.

— Trzeba zaraz ostrzec pana Smugę, że Kawirondo się o wszystkim dowiedzieli. Musimy zachować czujność, jeżeli nie chcemy się narazić na przykre niespodzianki — zachmurzył się Hunter.

— Tomku, poproś do nas pana Smugę — polecił Wilmowski.

Chłopiec osadził konia na miejscu, gwizdnął na Dinga. Murzyni opanowali swe podniecenie. Rozpoczęli monotonną pieśń, lecz gdy mijali chłopca, przyspieszali kroku. Po chwili Tomek uderzył konia cugłami i podjechał do tylnej straży.

— Zateśniłeś za nami, brachu, co? — roześmiał się bosman. — Niech wieloryb połknie tę Afrykę! Przypomina mi ona warszawską łaźnię na Krakowskim Przedmieściu.

— Może po tej parówce nabierze pan ochoty do wspinaczki na lodowiec Kilimandżaro — zażartował Tomek.

— A dajże mi spokój, utrapieńcze, z tymi górami! Nie mam zamiaru wytrząsać mego bosmańskiego brzucha skacząc po lodowcach. Wolę już słuchać murzyńskich kołysanek, chociaż jeżeli wkrótce nie przestaną śpiewać, to usnę i zwałę się ze szkapy.

— Lepiej niech pan nie zasypia, bo pan Hunter mówi, że z tego śpiewania może przydarzyć się nam coś złego — poinformował Tomek.

— Co masz na myśli? — zapytał Smuga.

— Sambo ułożył i zaśpiewał bardzo ładną piosenkę, ale nie było to zbyt roztropne, gdyż w ten sposób Kawirondo dowiedzieli się, że bosman poturbował handlarza niewolników — poinformował Tomek.

— Byłem na to przygotowany znając zwyczaje Murzynów. Oni lubują się w chwaleniu wszystkiego, co dla nich niezwykle. Już z samej wdzięczności Sambo będzie śpiewał o twoich i bosmana czynach — powiedział Smuga.

— Co on tam wyśpiewywał? — zagadnął marynarz.

— Nie mogłem wszystkiego dobrze zrozumieć, ale bardzo chwalił pana, mnie i Dinga.

— Hm, bierz licho tych Kawirondziaków, niech sobie Sambo śpiewa — mruknął zadowolony bosman.

— Właśnie tatuś przysłał mnie po pana Smugę — oświadczył Tomek. — Pan Hunter jest bardzo zaniepokojony, obawia się teraz jakichś niespodzianek ze strony tragarzy.

— Bosmanie, miej na wszystko oczy i uszy otwarte. Jadę z Tomkiem do Andrzeja — zarządził Smuga, popędzając wierzchowca arkanem.

Przynaglone konie szybko dognały czoło karawany.

— Tomek powiedział ci już zapewne, że Kawirondo dowiedzieli się o zajściu z Castanodem — zaczął Wilmowski, gdy Smuga znalazł się przy nim. — Pan Hunter przewiduje nieoczekiwane kłopoty.

— Obawa może się okazać całkowicie uzasadniona — przyznał Smuga. — Castanedo ma u Kawirondo wielki mir. Miejmy jednak nadzieję, że damy sobie z nimi radę.

— Chciałem, żebyś wiedział o tym, i dlatego prosiłem cię do nas — dodał Wilmowski.

— Byłem na to przygotowany, gdyż znam domyślność i ciekawość Murzynów. Spostrzegłem też zaraz ich podniecenie, gdy podawali sobie wiadomość zaczerpniętą z piosenki Samba — oświadczył Smuga. — Radzę przyspieszyć tempo marszu.

— Zaraz wydam Mescherje odpowiednie polecenie. To inteligentny człowiek, więc w lot pojmie, o co chodzi — powiedział Hunter. — Im szybciej oddalimy się od siedziby Castaneda, tym lepiej dla nas.

Wkrótce rozległy się gardłowe głosy Masajów, przynaglające tragarzy do szybszego kroku. Droga wiła się teraz między pagórkami. Rosnące na nich drzewa łagodziły trochę płynący z nieba potok słonecznego żaru. Co pewien czas tragarze przystawali dla nabrania tchu, lecz w najgorętszych godzinach dnia Hunter nie pozwolił na dłuższy wypoczynek, obiecując Murzynom suty posiłek na wieczornym biwaku. Kawirondo milcząco przyjmowali wszystkie polecenia i jak dotąd marsz odbywał się bez jakichkolwiek przeszkód. Słońce mocno pochyliło się ku linii horyzontu.

— Uszliśmy dzisiaj ładnych parę mil — zauważył Wilmowski. — Czy nie wydaje się panu dziwne, że nie spotykamy wiosek murzyńskich?

— Znajdujemy się pomiędzy terenami Kawirondo i Murzynów Luo — odparł Hunter. — Wkrótce powinniśmy przekroczyć granice Ugandy. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, to jutro będziemy mogli nająć nowych tragarzy.

— Nie mamy powodów do narzekania na Kawirondo, nie sprawili nam przecież dotąd najmniejszego kłopotu — zauważył Wilmowski, który nie podzielał obaw przewodnika.

— Wolę zawsze przewidywać najgorsze — odrzekł sceptycznie Hunter. — Czas już stanąć na nocleg, pojedę trochę szybciej naprzód, żeby się rozejrzeć za odpowiednim miejscem na obóz.

Wkrótce tropiciel zniknął wśród pagórków. Dzięki przynaglaniu Masajów, których ochryple głosy odzywały się co chwila, tragarze utrzymywali niezłe tempo marszu, lecz było widać, że gonią resztkami sił. Toteż Wilmowski odetchnął z ulgą, gdy z dala usłyszał strzał.

— Dlaczego pan Hunter strzela? — zaniepokoił się Tomek.

— Prawdopodobnie upolował coś dla nas na kolację — domyślił się Wilmowski. — Trzeba przyznać, że tragarze zasłużyli na obfity posiłek.

Murzyni widocznie podzielali zdanie Wilmowskiego, gdyż samorzutnie przyspieszyli kroku. Niebawem karawana dotarła do rozległego stepu porośniętego pożółkłą trawą. Zaraz też łowcy ujrzeni przywiązanego do drzewa wierzchowca Huntera, a jego samego nieco dalej w stepie. Kawirondo złożyli skrzynie na ziemi. Kilku z nich pobiegło ku Hunterowi, podczas gdy Masajowie przystąpili natychmiast do rozbijania obozu. Nim rozpięto namioty, Hunter pojawił się na czele Kawirondo niosących dużą zebrawę. Murzyni zaraz zaczęli ściągać z niej skórę.

— Przecież nie będziemy jedli konia! — oburzył się Tomek.

— Dlaczego mielibyśmy nie jeść? — wtrącił Smuga. — Mięso młodych zebra jest zupełnie smaczne. O ile się nie mylę, jest to zebra Granta<sup>119</sup>.

— Tak, to zebra Granta — przyznał Hunter. — Pasło się ich tutaj kilkanaście sztuk z antylopami gnu i strusiami. Miałem ochotę upolować antylopę, ale przewodnik stada, stary, potężny ogier, zwietrzył mnie zbyt szybko. Zaraz też zaczął rzeć i walić w ziemię kopytami. Zwierzęta miały się już na baczności, nie chcąc więc zmarnować dobrej okazji, strzeliłem do najbliższej sztuki.

---

<sup>119</sup> — *Equus quagga granti* — zwana jest też zebra równikową. Ten najpospolitszy podgatunek z gatunku zebry stepowej zamieszkuje sawanny Afryki Wschodniej, zwłaszcza Kenię.

Kilku Murzynów wzięło skórzane wory i udało się na poszukiwanie wody. Łowcy zrezygnowali z budowania bomy. Liczna karawana nie musiała się obawiać napaści dzikich zwierząt, rozpalono jedynie parę ognisk, nad którymi zadymiły wkrótce kotły z gotującą się strawą.

— Tatusiu, co to za góra piętrzy się tam na północy? — zapytał Tomek, spoglądając w kierunku szczytu czerniejącego na tle jasnego nieba.

— To zapewne góra Elgon na pograniczu Kenii i Ugandy — odparł ojciec.

— Więc jesteśmy już tak blisko Ugandy? — ucieszył się Tomek. — Muszę zaraz spojrzeć na mapę.

Rozłożył na składanym stoliku dużą mapę Afryki. Szybko odszukał górę Elgon, leżącą na północny wschód od Jeziora Wiktorii. Odczytał wysokość — wynosiła cztery tysiące trzysta dwadzieścia jeden metrów — po czym ustalił miejsce, w którym karawana rozbiła obóz na nocleg. Znajdowali się zaledwie o kilka kilometrów od kropkowanej linii granicznej, biegnącej ukosem na południe od góry Elgon do Jeziora Wiktorii.

— Jutro powinniśmy wkroczyć do Ugandy — orzekł Tomek chowając mapę.

Tymczasem ciemność wieczoru zapadła nad stepem. Murzyni krzatali się przy posiłku. Niektórzy spożywali już smakowite kąski ledwo poddymionej pieczeni, inni przypiekali bądź smażyli ogromne jej kawały. Mescherje wysysał szpik z golenia zebry, podczas gdy Sambo pieczołowicie doglądał gotującej się w kotle zupy. Mieszał ją bardzo zręcznie i z uwagą zbierał szumowiny. Kawirondo znosili paliwo, poprawiali płonące ogniska, których ruchoma jasność migotała na ich nagich brązowych ciałach oraz czerwieniących się teraz namiotach i gubiąc się w głębi pobliskich drzew, rzucała pomiędzy gałęziami fantastyczne cienie.

Tomek gryzł suchary i przyglądał się malowniczej obozowej scenie, gdy nagle usłyszał głucho, odległe dudnienie bębna.

— Tam–tamy grają, bosmanie — odezwał się do siedzącego obok towarzysza.

— Czort z nimi — mruknął bosman. — Moje kiszki od dawna grają z głodu i nikt się temu nie dziwi. Pewno w jakiejś pobliskiej wiosce odbywają się tańce.



— Myli się pan. To nie jest głos bębna grającego do tańca — odparł Tomek. — Słyszałem, jak tatuś mówił, że Afryka jest najbardziej plotkarskim krajem na świecie. Interesujące wiadomości rozchodzą się tutaj wśród Murzynów szybciej niż w Europie wyposażonej w telegraf i telefony. A wie pan, jakim sposobem się to dzieje? Tam–tamy są telegrafem puszczy. Czy ten sposób dudnienia nie przypomina alfabetu Morse’a?

— Wiesz co, brachu? Może i masz rację. Mówiono mi kiedyś, że Murzyni podają sobie różne wiadomości za pomocą bębnow — przyznał bosman wsłuchując się w głucho dudnienie.

Przerwali rozmowę. Początkowo głos bębna rozbrzmiewał gdzieś na wschodzie, lecz niebawem dołączyły się do niego tam–tamy na północy i zachodzie.

— Chodźcie na kolację! — zawołał Wilmowski, zbliżając się do zasłuchanych dwóch przyjaciół.

— Tatusiu, czy nie wiesz, co za wieść niosą w tej chwili tam–tamy? — zagadnął chłopiec.

— Mowę tam–tamów rozumieją w każdej wsi jedynie nieliczni „telegrafisci”. Oni to nadają i odbierają wiadomości, które rozpowszechniają wśród członków swego plemienia. Biali ludzie nie znają używanego przez nich szyfru i nie przeniknęli tajemniczej roli, jaką spełniają bębny w życiu Murzynów. Pan Hunter jest zdania, że tam–tamy przekazują teraz jakieś wiadomości o nas — wyjaśnił Wilmowski. — Nie traćcie więc czasu i chodźcie na kolację.

Uczta obozowa przeciągnęła się. Kawirondo jakby zapomnieli o całodziennym, nużącym marszu; wydobywali z kotła palcami coraz to nowe kawały smacznego gotowanego mięsiwa. Pochylając się ku sobie rozmawiali z ożywieniem.

— Ciekaw jestem, jaką wiadomość przekazały tam–tamy naszym tragarzom — zagadnął Hunter, bacznie obserwując zachowanie Murzynów.

— Więc przypuszcza pan, że oni zrozumieli mowę bębnow? — zapytał Wilmowski.

— Nie mam najmniejszej wątpliwości, że wśród nich znajduje się ktoś wtajemniczony w arkana tutejszego telegrafu — potwierdził tropiciel. — Czy nie zauważyliście, że od chwili gdy ozwały się bębny, tragarze zbierają się na uboczu i dyskutują w gromadkach?

— Będziemy czuwali na zmianę w nocy — wtrącił Smuga — coś mi się wydaje, że nadchodzą kłopoty, których tak się pan Hunter obawiał. Radzę więc teraz udać się na spoczynek, aby dobrze wypocząć przed jutrzejszym marszem.

— Ha, żeby to można było wiedzieć, co mówiły tam–tamy — westchnął Tomek.

Smuga obrzucił chłopca zamyślonym wzrokiem.

— Mam pewną myśl. Tomku — rzekł. — Zabierz na noc Samba do swego namiotu.

Zaniepokojony Wilmowski spojrział na Smugę palącego krótką fajeczkę. Rada wytrawnego podróżnika udzielona po odezwaniu się chłopca skojarzyła się w głowie Wilmowskiego z myślą, że ten niezwykle przyjaciel mógł rozumieć mowę tam–tamów. Przebywał przecież długo w Afryce i poznał wiele jej tajemnic. Smuga jednak nie zdradzał ochoty do dalszej rozmowy. Poprosił Huntera o ustalenie kolejności dyżurów i wkrótce udał się na spoczynek. Z wyjątkiem Wilmowskiego, który pierwszy miał pełnić straż, reszta łowców poszła w jego ślady.

Tomek nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok, słuchając dudnienia bębnow. Tuż przy jego łóżku polowym rozłożył się na kocu dumny z wyróżnienia Sambo. Regularny, głęboki oddech młodego Murzyna stanowił najlepszy dowód, że nie rozumiał mowy tam–tamów.

O wschodzie słońca Hunter zarządził pobudkę. Gdy Tomek wyszedł z namiotu. Sambo kręcił się już przy dymiących kotłach. Masajowie zwijali obóz. Milczenie Kawirondo spożywających bez pośpiechu śniadanie od razu zwróciło uwagę Tomka.

Smuga przywołał Mescherje i polecił przynaglic tragarzy. Niewiele wszakże pomogła jego interwencja. Biali łowcy przygotowani byli już do wymarszu, podczas gdy Kawirondo jeszcze się posilali.

Hunter podszedł do łowców i szepnął:

— Oni chyba umyślnie opóźniają wyruszenie w drogę. Zwróćcie uwagę na ich ponure miny.

Smuga po raz drugi przywołał dowódcę Masajów.

— Mescherje, czy powiedziałaś im, że mają się pospieszyć?

— Mówią, że wczorajsze jedzenie im zaszkodziło — oświadczył Mescherje. — Nie chcą jeść prędko.

— Jeżeli jedzenie im szkodzi, to wylej je z kotłów na ziemię. Ruszamy w drogę — rozkazał Smuga.

— Co to ma znaczyć. Janie? — zaniepokoił się Wilmowski. — Czy nie lepiej dać jeszcze trochę czasu na posiłek?

— Bądź spokojny, nikt z Kawirondo nie zachorował po wczorajszej kolacji. Po prostu usiłują opóźnić marsz — odpowiedział Smuga.

Mescherje wydał swoim wojownikom odpowiednie polecenie. Zaledwie zdążyli wylać zawartość pierwszego kotła na ziemię. Kawirondo zaczęli krzyczeć i porwawszy dzidy otoczyli Masajów. Smuga nie zawahał się ani chwili.

— Bosmanie, proszę pójść ze mną — rozkazał krótko. — Pan Hunter, ty Andrzej, i Tomek z Sambem zostańcie tu w pogotowiu.

Szybkim krokiem zbliżył się do wrzeszczących Kawirondo. Stanowczym głosem nakazał im milczenie. Gdy się uspokoili, powiedział do Mescherje:

— Opróżniaj kotły!

Masajowie chwycili następny kocioł chcąc wylać jego zawartość, lecz nagi, rosły Kawirondo przyskoczył do Smugi wygrażając rękoma.

— Czego chcesz? — zimno spytał Smuga.

— Otruliście wczoraj Kawirondo! Dzisiaj jesteśmy chorzy, a wy nie dacie odpocząć i jeść! — odparł butnie tragarz.

Złowrogi szmer rozległ się wśród Murzynów. Kawirondo przysunął się bliżej do Smugi. Zanim zdążył dotknąć podróżnika, twarda jak żelazo pięść wylądowała na jego podbródku. Murzyn natychmiast stracił przytomność, osunął się na ziemię.

— Człowieka tego oddamy żołnierzom angielskim za szerzenie buntu — głośno powiedział Smuga. — Zwiąż go, Mescherje, i trzymaj pod strażą.

Masajowie wprawnie skrępowali ręce zemdlonego. Dwóch stanęło przy jeńcu z bronią gotową do użycia. Kawirondo, widząc porażkę swego przywódcy, byli niezdecydowani.

— Brać pakunki i ruszamy zaraz w drogę — rozkazał Smuga.

Kawirondo zaczęli szeptać między sobą.

Smuga wy dobył z pochwy rewolwer. Zbliżył się do pierwszego z brzegu Murzyna.

— Bierz natychmiast pakunek! — polecił stanowczo.

Kawirondo zawahał się, lecz gdy Smuga dotknął jego piersi końcem chłodnej lufy porwał z ziemi pakę i stanął gotowy do drogi. Pozostali Murzyni nie stawili oporu. Tymczasem główny sprawca zamieszania przyszedł do przytomności. Spode łba spoglądał na Smugę, lecz zachowywał się już zupełnie poprawnie.

Hunter, Tomek i jeden wojownik masajski ruszyli za niosącym flagę Sambem na czele karawany. Za nim poszli gęsiego tragarze i zwierzęta juczne. Tak jak poprzedniego dnia, Smuga i bosman stanowili tylną straż. Tuż przed ich wierzchowcami dwaj Masajowie prowadzili przywódcę Kawirondo. Wilmowski i Mescherje szli po obydwu stronach łańcucha tragarzy.

Po pewnym czasie Wilmowski wstrzymał konia i zrównał się z tylną strażą. Przyłączył się do Smugi, który jakby zapomniawszy już o przykrym zajściu z Kawirondo, był w doskonałym humorze.

— Słuchaj, Janie, zaniepokoiłem się dzisiejszym wydarzeniem — zaczął Wilmowski. — Czy naprawdę masz zamiar wydać garnizonowi angielskiemu tego nierozsądnego Kawirondo? Wiesz, że nie lubię używać siły w stosunku do krajowców.

— Nie martw się niepotrzebnie, Andrzeju — uspokoił go Smuga. — Musiałem postąpić ostro, aby zapobiec dalszym kłopotom. Jestem pewny, że ten młody Murzyn wkrótce poprosi nas o darowanie kary i wtedy chętnie wybaczę mu nieposłuszeństwo.

— Zupełnie nie rozumiem tego nagłego oporu tragarzy — mówił zafrasowany Wilmowski. — Oby tylko nie wynikły z tego poważniejsze niesnaski.

Smuga przez dłuższą chwilę milczał zadumany. Potem spojrzał na przyjaciela i zaczął mówić:

— Parę lat temu przebywałem przez jakiś czas w okolicy południowego wybrzeża Jeziora Wiktorii. Wówczas Watussi prowadzili wojnę z Niemcami, którzy chcieli usunąć ich siłą ze swej kolonii, Tanganiki<sup>120</sup>. W miarę mych skromnych możliwości szkoliłem Watussi w europejskiej taktyce wojennej...

— Nic o tym nie wiedziałem... — wtrącił Wilmowski.

---

<sup>120</sup> — Tanganika — kraj na południe od Kenii i Ugandy, dawna kolonia niemiecka, którą Niemcy utracili po przegranej I wojnie światowej. Od tej pory Tanganika stanowiła terytorium powiernicze ONZ aż do uzyskania niepodległości w 1964 r. Obecna Zjednoczona Republika Tanzanii obejmuje dawną Tanganikę oraz wyspy Zanzibar i Pemba.

— Ot, różnie w moim życiu bywało — rzekł Smuga. — Watussi nabrali do mnie zaufania. Zaprzyjaźniłem się z nimi. Poszczególne oddziały murzyńskie musiały przekazywać sobie rozkazy oraz wiadomości dotyczące ruchów wroga. Byłem dowódcą jednego z nich. Dlatego też specjaliści od mowy tam–tamów zadali sobie wiele trudu, by choć trochę wtajemniczyć mnie w arkana afrykańskiego telegrafu<sup>121</sup>.

— Janie, czy to naprawdę możliwe? — zawołał Wilmowski zaskoczony nieoczekiwaną wiadomością. — Przecież nawet stare wygi afrykańskie twierdzą, że dźwięki nadawane przez tam–tamy posiadają częstotliwość nieuchwytną dla ucha Europejczyka!

— Nie dziwię się, że moje wynurzenia budzą niedowierzanie. Ale doświadczony w sprawach afrykańskich Europejczyk może odróżniać tony różnych bębenków i określić ich pochodzenie.

— Ba, lecz to nie znaczy, że potrafi odcyfrować tekst podawanej w ten sposób depeszy — zaproponował Wilmowski.

— Nie mylisz się — przyznał Smuga. — Mnie również nie zawsze udaje się rozszyfrować mowę tam–tamów, ale gdy bębny mówią znajomym mi narzeczem, coś niecoś odgadnę.

— Janie, jesteś chyba pierwszym Europejczykiem, który może się tym pochwalić! Zrozumiałeś, co bębny mówiły wczoraj?!

Smuga skinął głową.

— Cóż to była za wiadomość?

— Czarne Oko każe za wszelką cenę opóźnić marsz karawany białych łowców dzikich zwierząt — odparł Smuga.

— To wprost nie do wiary! — zawołał Wilmowski.

— Rozumiesz teraz, dlaczego musiałem złamać opór Kawirondo. Pragnę pokrzyżować nieznane nam plany Castaneda.

— Więc nasz rozrachunek z handlarzem niewolników jeszcze się nie skończył — zafrasował się Wilmowski.

— Przypuszczam, że knuje jakąś zemstę — przyznał Smuga. — Nie warto się tym zbytnio przejmować, aczkolwiek ostrożność jest jak najbardziej wskazana. Mam nadzieję, iż jego wpływy nie przekraczają granicy Ugandy

---

<sup>121</sup> — Telegrafista murzyński może przekazywać dalej każdą wiadomość, nawet nadaną w niezrozumiałym dla niego narzeczem.

stanowiącej inne państwo. Dlatego też im szybciej idziemy naprzód, tym lepiej dla nas.

— Oczywiście, masz słuszość, Janie! Chyba powinniśmy poinformować naszych towarzyszy o wiadomości przekazanej przez tam-tamy?

— Och, nie! To byłby błąd taktyczny. Nie mów nikomu, że zrozumiałem sygnały tam-tamów.

## TAJEMNICZY NAPAD

Wobec zdecydowanej postawy łowców Kawirondo nie próbowali już jawnego buntu. Mimo to marsz odbywał się nadzwyczaj powoli. Murzyni znajdowali ku temu dziesiątki najrozmaitszych powodów. To kolce cierni wbijały im się w stopy, to znów ktoś zachorował nagle na żołądek bądź poczuł nieznośny ból zęba; innym razem jeden z tragarzy zwichnął sobie nogę, któremuś rozbiła się niesiona paka i trzeba było ją przeładować. Nic więc dziwnego, że słońce znajdowało się wysoko na niebie, a łowcy nie zdołali jeszcze dotrzeć do granicy Ugandy. Na jednym z takich przymusowych postojów Smuga zbliżył się do Wilmowskiego pełniącego funkcję sanitariusza i rzekł:

— Szybciej wędrują tutaj mrówki niż nasza karawana. Musimy koniecznie zaradzić złu.

— Co możemy zrobić? — odparł Wilmowski, podając szklanekę wody z solą tragarzowi żalącemu się na ból żołądka.

— Kawirondo symulują najrozmaitsze dolegliwości, aby opóźnić marsz. Trzeba ich więc zniechęcić do zgłaszania się po leki. Radziłbym wszystkim żądającym pomocy dawać do wąchania amoniak — zaproponował Smuga. — Może to powstrzyma tę nagłą epidemię różnych chorób.

Nie upłynął nawet kwadrans, gdy do Wilmowskiego zbliżył się wspaniale zbudowany Murzyn.

— Głowa bardzo boli — skarżył się z obłudnym wyrazem twarzy.

— Otrzymasz najskuteczniejsze lekarstwo, jakie posiadają biali ludzie — rzekł Wilmowski. — Leczy ono wszelkie choroby, będę je więc dawał wszystkim chorym Kawirondo.

Hunter natychmiast głośno powtórzył w narzeczu murzyńskim słowa Wilmowskiego. Tragarze zaintrygowani tak szumną zapowiedzią otoczyli „pacjenta” i „lekarza”, aby naocznie przekonać się o cudownym działaniu wspaniałego leku białych ludzi. Na polecenie Wilmowskiego Kawirondo przyłożył szeroki nos do flakonu z amoniakiem i wykonał głęboki wdech. Natychmiastowy skutek przeszedł najśmielsze oczekiwania łowców. Kawirondo szeroko otwartymi ustami usiłował bezskutecznie wciągnąć do płuc powietrze; w końcu zatrzepotał powiekami i nie mogąc wymówić słowa,

runął na wznak na ziemię jak rażony gromem. Duże krople potu wystąpiły mu na czoło. Upłynęła dłuższa chwila, zanim zaczął z trudem oddychać.

— Straszliwy lek! O matko! Myślałem już, że złe duchy weszły we mnie! — wymamrotał poszarzałymi wargami. — O, tak, głowa przestała boleć i już zawsze będzie zdrowa.

Po tym zapewnieniu porwał się z ziemi i znikł pospiesznie wśród towarzyszy. Musiał też zaraz naopowiadać im niestworzonych rzeczy o działaniu leku, gdyż tragarze, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, przestali chorować. Przez pewien czas karawana bez przeszkód posuwała się naprzód, gdy wszakże w godzinach południowych dotarła w końcu do granicy Ugandy, Kawirondo stanowczo odmówili wkroczenia na jej teren. Nieoczekiwanie zaczęli się obawiać swych sąsiadów Luo.

— To straszni ludzie — tłumaczyli podnieceni. — Teraz idziemy z wami i wszystko jest dobrze, ale kiedy będziemy wracać do domu, oni wezmą nas do niewoli. Nie, nie! Kawirondo nie mogą pójść do kraju Luo!

Wilmowski zwołał towarzyszy na naradę. Smuga proponował zastosować ostre represje wobec opornych tragarzy. Wilmowski, który zawsze unikał brutalnej przemocy, sprzeciwił się, tłumacząc:

— Cóż przyjdzie nam z tego, że jeszcze raz zmusimy ich do marszu? Powloką się kilometr lub dwa i znów wymyślą coś nowego, aby opóźnić pochód. Najlepiej byłoby wystarać się o nowych tragarzy.

— Jestem tego samego zdania — poparł go Hunter. — Węszę w tym wszystkim jakąś brudną sprawę tego łotra Castaneda. Najlepiej zatrzymajmy się tutaj, a ja pojedę naprzód i spróbuję jakoś wystarać się o innych ludzi.

— Dobra myśl! — pochwalił Wilmowski. — Niech pan weźmie bosmana i dwóch Masajów i uda się na poszukiwanie nowych tragarzy.

— Daleko tak nie zajdziemy! Za miękką masz rękę, Andrzeju — zaprotestował Smuga.

— Musisz przyznać, że postępowanie moje nigdy nie sprawiło nam zbędnych przykrości — perswadował Wilmowski. — Wiem, że dałbyś sobie z nimi radę, lecz nie chcę stosować przymusu.

— Jeżeli nie mamy zamiaru użyć przemocy, to pozostało nam jedynie postarać się o nowych tragarzy — niechętnie stwierdził Smuga. — Źle się dzieje, gdy niemal na samym początku wyprawy pozwalamy się wodzić za nos takiemu szubrawcowi jak Castanedo.



— Więc przypuszczacie, szanowni panowie, że to on nam tak bruździ?  
— zagadnął bosman Nowicki.

— Pan Hunter jest tego zdania, a ja również tak sędzę — odrzekł wymijająco Smuga. — Lepiej było skończyć z nim od razu, bosmanie.

— Ha, nie ma rady! Wiesz pan co, panie Smuga? Wróćmy we dwóch do faktorii i raz dwa będzie po bólu. Powiesimy handlarza na tej choince z parówkami. He, he, he! Ależ to bycza myśl, co?

Smuga uśmiechnął się, lecz zanim którykolwiek z mężczyzn miał możliwość wypowiedzieć się, Tomek przystąpił do olbrzymiego marynarza i rzekł stłumionym z oburzenia głosem:

— Wstyd, panie bosmanie! Nie godzi się robić takich okrutnych propozycji, gdy na czele naszej karawany powiewa polski sztandar!

— Brawo, Tomku! — zawołał Wilmowski. — U bosmana cały rozsądek mieści się w pięści. No, ale też chociaż raz usłyszał prawdę!

— Bez obrazy, szanowni panowie. Żartowałem przecież z tą choinką — powiedział bosman, czerwieniąc się jak sztubak. — Warto by jednak wrócić i zawlec tego łotra na arkanie do angielskiego garnizonu.

— Bosman zaczyna mówić do rzeczy — wtrącił Smuga. — Castanedo nie będzie mógł prowadzić dalej barbarzyńskiego handlu ludźmi, gdy oddamy go w ręce Anglików. Tym samym skończyłyby się również nasze kłopoty.

— To prawda! Handlarz niewolników zasłużył na najsurowszą karę — przytaknął Hunter. — Ale jestem pewny, że ma się już na baczności. Nie da się zaskoczyć. Pamiętajmy o jego wpływach wśród Kawirondo. Oni mogą wystąpić w obronie Castaneda, a wtedy nie obejdzie się bez rozlewu krwi otumanionych, lecz mimo to niewinnych ludzi.

— Zdecyduj, Andrzej, jako kierownik wyprawy, co mamy robić — zniecierpliwiał się Smuga.

— Nie wolno sprowokować Kawirondo do jakiegokolwiek wrogiego wystąpienia. Rozbijemy tutaj obóz, a pan Hunter w towarzystwie bosmana i dwóch Masajów uda się na poszukiwanie innych tragarzy. Natomiast o przestępczej działalności Castaneda powiadomimy pierwszy napotkany po drodze patrol angielski. W ten sposób unikniemy ewentualnego starcia z krajowcami i uwolnimy nieszczęsnych Murzynów od prześladowań podłego człowieka — zakończył dyskusję Wilmowski.

— Dobra rada złota warta! Na koń, panie Hunter! — zawołał pospiesznie bosman, chcąc w ten sposób zatrzeć złe wrażenie spowodowane jego poprzednią propozycją.

Podczas gdy Hunter, bosman oraz dwaj Masajowie przekraczali granicę Ugandy, Wilmowski z pozostałymi towarzyszami i tragarzami zajęli się urządzeniem obozu. Kawirondo ponuro milcząc zdjęli juki z osłów, rozkulbaczyli wierzchowce, a następnie szybko rozpalili ognisko. Zaledwie pozostali w obozie łowcy usiedli w cieniu parasolowatej akacji, w dali rozległo się głucho dudnienie bębnow.

— Tam–tamy znów grają! — zawołał podniecony Tomek.

— Często będziemy je słyszeli podczas naszej wyprawy — uspokoił Wilmowski syna, spoglądając znacząco na Smugę.

Tymczasem Smuga uśmiechnął się tylko i dalej siedział oparty o drzewo pykając swoją fajeczkę. Dopiero skończywszy palić, wytrząsnął popiół uderzając fajką o dłoń, po czym podniósł się bez pośpiechu, przypasał rewolwery i wziął do rąk karabin. Tomek widząc te przygotowania ożywił się natychmiast.

— Czy ma pan zamiar udać się na polowanie? — zapytał. — Chętnie bym poszedł z panem?

— Spróbuję upolować coś na obiad, wolę jednak pójść sam, bo w pojedynkę łatwiej podejść zwierzynę — odparł głośno Smuga, a ścisząc głos dodał: — Chcę się trochę rozejrzeć po okolicy. Andrzej, zostań z Tomkiem w obozie i postarajcie się, żeby nasi tragarze nie mieli okazji do śledzenia mnie. Zwracajcie też uwagę na małego Samba.

— Bądź spokojny, Janie. Będziemy pilnie czuwali podczas twojej nieobecności — przyrzekł Wilmowski i zaraz przywołał Mescherje, by wydać odpowiednie polecenia.

Smuga skierował się na północ, gdzie w dali majestatycznie wznosiła się góra Elgon. Gdy drzewa osłoniły go przed wzrokiem towarzyszy, zatoczył duże koło i udał się na południowy wschód. Niebawem znalazł się z powrotem na ścieżce, którą tego dnia karawana przywędrowała do granicy Ugandy, i podążył ku osadzie Kawirondo. Z największą uwagą badał ślady stóp wyciśnięte na leśnej ścieżce. W końcu upewnił się całkowicie, iż nikt nie tropił karawany.

Zamyślony przystanął pod drzewem. Zastanawiał się, co miały oznaczać tajemne sygnały nadawane przez Murzynów. Nie miał wątpliwości, że nawoływały one tragarzy do umyślnego opóźniania pochodu. Nie wszystko jednak, co niósł przez dżunglę murzyński telegraf dźwiękowy, było dla niego zrozumiałe.

Łowca wsłuchiwał się w głucho odległe dudnienie.

„*Ludzie Kawirondo! O! Ludzie Kawirondo, słuchajcie!* — wołały bębny. — *Nie wolno wam wkroczyć na ziemię Luo, dopóki...*”

Dalsza seria dźwięków była dla Smugi częściowo niezrozumiała. W natężeniu łowił nieznany sygnał, szukając w pamięci rozwiązania szyfru.

Wreszcie odtworzył do końca przekazywaną przez Kawirondo wiadomość: „*...dopóki nie przyjdzie do was z Uniamwesi...*”

— Co oznacza owo Uniamwesi? — szepnął Smuga i naraz odetchnął z ulgą. Zrozumiał zakończenie tajemniczego sygnału.

Uniamwesi, Ukerewe lub Niansa były murzyńskimi nazwami Jeziora Wiktorii.

„*Do licha!* — zaklął. — *Jak mogłem o tym zapomnieć!*”

Teraz pojął, że niepotrzebnie marnował czas badając ślady na ścieżce. Kawirondo oczekiwali kogoś, kto miał przybyć do nich od strony Jeziora Wiktorii. Nie zastanawiał się dłużej. Ruszył na południe. Szybko maszerował w kierunku jeziora, wyszukując wprawnym okiem najdogodniejsze przejścia przez gąszcz. Po półgodzinie krzewy się przerzedziły; Smuga stanął na urwistym brzegu.

Jak okiem sięgnąć widniała falująca tafla wód jeziora. Dość wysoki, urwisty brzeg porastały kępy rozłożystych drzew i odurzające zapachem, bajecznie kolorowe kwiaty. Smuga spojrzął w kierunku pobliskiego wzgórza. Stamtąd na pewno będzie mógł ogarnąć wzrokiem większy pas wybrzeża, które w miejscu, gdzie się zatrzymał, nie mogło stanowić dogodnej przystani dla jakiegokolwiek łodzi. Bez wahania podążył ku wzgórzu. Zaledwie znalazł się na jego szczycie, ujrzał długą łódź odpływającą szybko na wschód. Znajdowała się już około kilometra od naturalnej, doskonale widocznej, zacisznej zatoki.

„*Spóźniłem się* — szepnął Smuga. — *Gdybym przybył tu o dwie godziny wcześniej, na pewno bym schwytał wysłannika Kawirondo.*”

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w mknącą po jeziorze łódź. Zniechęcony niepowodzeniem usiadł na zwałonym pniu. Zastanawiał się, do czego mogli zmierzać Murzyni opóźniając marsz karawany. Intuicja podszeptowała mu, że sprawcą ich kłopotów był handlarz niewolników, Castanedo. Czyżby miał zamiar zaatakować karawanę? Kogóż to przywiozła znikająca w dali łódź?

Smuga siedział zamyślony. Naraz wydało mu się, że usłyszał szelest krzewów tuż za swymi plecami. Prawa dłoń podróżnika błyskawicznym ruchem uchwyciła rękojeść rewolweru, ale zanim zdołał powstać i odwrócić się, otrzymał potężne uderzenie w tył głowy. Ciemność przysłoniła mu na chwilę wzrok, lecz jeszcze nie stracił przytomności. Ostatnim wysiłkiem woli zerwał się z pnia, wyszarpując jednocześnie z pochwy rewolwer. W tej chwili jakaś twarda, żylasta dłoń chwyciła go z tyłu za kark. Niemal jednocześnie uderzono go powtórnie w głowę. Rewolwer wysunął mu się ze zmartwiałej dłoni. Smuga z cichym jękiem padł na ziemię. Drzewa wirowały jak opętane przed jego szeroko otwartymi oczyma. Zdawało mu się, że dostrzega wykrzywione gniewem, czarne twarze Murzynów trzymających w zębach błyszczące noże. Jakieś olbrzymie widma pochylały się nad nim. W zamroczonym umyśle rzeczywistość plątała się ze wspomnieniami z Australii. Oto buszrendżer<sup>122</sup> grozi Tomkowi długim, ostrym jak brzytwa nożem. Smuga zasłania sobą chłopca, chwyta kosmatą łapę bandyty, lecz w tej chwili przewodnik, Australijczyk Tony, woła wysokim głosem:

*„Stój! Nie tutaj! Anglicy spalą wioskę i powieszą nas na drzewach!”*

Smuga spostrzega, że Tomek krzyczy narzeczem afrykańskich Murzynów. Na ułamek sekundy na tyle odzyskuje przytomność, by uchwycić okiem błysk stali. Ponowne uderzenie w głowę i piekący ból w lewym ramieniu zamroczyły go na nowo. Zdawało mu się, że spada w otchłań. Ciało jego wyprężyło się, potem znieruchomiało.

\* \* \*

— Tatusiu, dlaczego pan Smuga tak długo nie wraca? — niecierpliwił się Tomek, spoglądając w kierunku góry Elgon. — Przecież minęło już kilka godzin, odkąd wyszedł z obozu.

---

<sup>122</sup> — Nazwa australijskich rozbójników grasujących po gościńcach.

— Mnie to również niepokoi. Czyżby odkrył coś podejrzanego? — szeptem odparł Wilmowski.

— Pan Hunter i bosman też przepadli jak kamień w wodę — cicho ciągnął Tomek. — Tatusiu, przyjrzyj się tylko tragarzom. Wydaje mi się, że ogarnęło ich jakieś podniecenie. Czemu nasi towarzysze tak długo nie wracają?

Wilmowski zmarszczył brwi. Nieobecność Smugi, Huntera i bosmana przedłużała się, a tymczasem Kawirondo byli coraz bardziej podnieceni. Pochylali się ku sobie, szeptali i zerkali na białych łowców.

— Gdzież to się Sambo podział? — naraz zapytał Wilmowski.

— Nie mogę go utrzymać na miejscu. Stale się kręci między Kawirondo — wyjaśnił Tomek z niezadowoleniem.

Wilmowski przywołał dowódcę masajskiej eskorty.

— Mescherje, czy twoi ludzie dobrze pilnują, aby tragarze nie oddalali się od obozu? — zapytał, gdy Masaj przykucnął przy nim.

— My dobrze pilnujemy — stanowczo odparł Mescherje.

— Czy jesteś pewny, że nikt nie wyszedł z obozu?

— Oni chodzą za własną potrzebą, ale tylko pojedynczo. My dobrze pilnujemy.

— Zwracajcie na nich baczną uwagę. Dlaczego Kawirondo są tak ożywieni? Przedtem byli ponurzy i milczący, a teraz szepczą bez przerwy.

— Murzyni zawsze lubią dużo mówić. Cichną, gdy Masaj do nich podchodzi.

Podczas gdy Wilmowski rozmawiał z Mescherje, mały Sambo przykucnął przy Tomku. Pociągnął Dinga za ogon. Cofnął się szybko, ponieważ pies warknął szczerząc kły. Tomek uspokoił Dinga. Przez chwilę obydwaj chłopcy szeptali z ożywieniem, po czym Tomek przybliżył się z Sambem do ojca i rzekł przyciszonym głosem:

— Tatusiu, posłuchaj! Sambo twierdzi, że wśród naszych tragarzy znajduje się jakiś obcy Kawirondo.

Wilmowski, aby ukryć zmieszanie, roześmiał się, jakby usłyszał jakiś dobry dowcip. Nabił fajkę tytoniem i dopiero wypuściwszy kilka kłębow dymu zapytał:

— Sambo, czy jesteś tego pewny?

— Tak, tak, wielki buana! Sambo jest pewny — potwierdził Murzyn. — Jakiś obcy Kawirondo powiedział coś tragarzom. Oni zaraz zgłoszą się do białego buany i powiedzą, że chcą iść dalej.

— Skąd ty to wiesz?

— Sambo biega wśród nich i podsłuchał wszystko. Sambo kocha bardzo wielkiego białego buanę i małego buanę.

— Co ty na to, Mescherje? — zagadnął Wilmowski.

— My dobrze pilnujemy. Tu nie mógł przyjść nikt obcy. Może Sambo się myli?

— Nie, Sambo się nie myli. Tu przyszedł obcy Kawirondo — zapewnił Murzyn.

— Zaraz sprawdzę, ilu tragarzy jest w obozie — powiedział Wilmowski.

Na rozkaz Mescherje Kawirondo ochoczo stanęli w szeregu. Wilmowski przeliczył ich dwukrotnie, przyglądając się każdemu badawczo. Liczba Kawirondo nie uległa zmianie. Wilmowski polecił Tomkowi wydać tragarzom po porcji tytoniu i żegnany pochwalnym szmerem wrócił z trójką towarzyszy przed namiot.

— Chyba się pomyliłeś, Sambo — mruknął niechętnie zapalając ponownie fajkę. — Nikt nowy nie przybył do obozu. Liczba tragarzy nie uległa zmianie.

— To znaczy, że jeden odszedł, a drugi przyszedł — odrzekł Sambo.

— O, do licha! To jest zupełnie prawdopodobne! — zawołał Wilmowski. — Przecież mówiłeś, Mescherje, że oni wychodzili pojedynczo z obozu.

— Sambo twierdzi, że Kawirondo się zamienili — zastanowił się dowódca masajskiej eskorty. — Tak, być może. Krótka są z nami, jeszcze ich nie znamy wszystkich.

— Hm, gdyby Smuga był tutaj, może by rozpoznał obcego. On zawsze doskonale pamięta każdego Murzyna — zafrasował się Wilmowski.

— Dlaczego ten biały buana tak długo poluje? — zapytał Mescherje.

— Widzisz, pan Smuga nie poszedł na polowanie. Miał zamiar rozejrzeć się po okolicy — wyjaśnił Wilmowski.

— Źle zrobił, że poszedł bez psa — szepnął Mescherje. — Trzeba szukać białego buanę, póki dzień. Potem nie widać już śladów. W nocy może być deszcz. Tu często wieczorem pada.

— Co robić? Przecież nie mogę zostawić obozu na łasce Kawirondo. Żeby choć bosman i Hunter wrócili jak najszybciej — z niepokojem powiedział Wilmowski.

Jakby w odpowiedzi rozległ się tętent koni.

— Jada! Jada! — ucieszył się Tomek.

Niebawem obydwaj łowcy wpadli do obozu na spienionych wierzchowcach. Bosman ociężale zeskoczył z konia i rzucił cugle jednemu z Murzynów. Hunter również oddał swego konia pod opiekę Kawirondo, po czym razem z bosmanem zbliżył się do Wilmowskiego.

— A niech wieloryb połknie tę waszą Afrykę! — wysapał bosman. — Byliśmy w pięciu okolicznych wioskach i poza babami kurzącymi długie gliniane fajki oraz starcami nie zastaliśmy ani jednego chłopca zdolnego do dźwigania ładunku na plecach.

— Oni po prostu schowali się przed nami w dżunglę — dodał Hunter. — Wmawiano w nas, że wszyscy mężczyźni pojechali na jezioro łowić ryby.

— Żeby im te ryby wyzdychały! — mruknął bosman.

— Gdzie są Masajowie, którzy poszli z wami? — zaniepokoił się Wilmowski.

— Zaraz tu będą. Wyprzedziliśmy ich na koniach — odrzekł Hunter.

— Całe szczęście, że już wróciliście, bo niepokoiłyśmy się o Smugę — zaczął Wilmowski i natychmiast poinformował towarzyszy o sytuacji w obozie.

Hunter zasępił się, natomiast bosman zapomniał natychmiast o zmęczeniu.

— Coś mi brzydko cuchnie ta cała sprawa, szanowni panowie! — zawołał stanowczo. — Tu nie ma co się namyślać, tylko trzeba drałować na poszukiwanie. Dingo poprowadzi nas śladem Smugi.

— Bosman dobrze radzi. Powinniśmy odszukać pana Smugę przed zapadnięciem zmroku — niecierpliwił się Hunter. — Musimy dobrze mieć się teraz na baczności przed Kawirondo, jeżeli to prawda, co twierdzi Sambo. Szkoda czasu na gadaninę, pójdę z bosmanem tropem pana Smugi.

— Przy mnie Dingo będzie najposłuszniejszy, więc pójdę i ja — wtrącił Tomek. — Zaraz się przygotuję!

Wilmowski nie oponował, gdyż istotnie pies mógł się najlepiej wywiązać z zadania w obecności chłopca, którego zawsze uznawał za swego pana.

— Dobrze, Tomku. Liczę na to, że będziesz posłuszny i rozważny — powiedział Wilmowski. — Weźcie również dwóch Masajów.

— Mam inny projekt — zaproponował Hunter. — Zabierzemy jednego Masaja i dwóch Kawirondo znających dobrze okolicę.

— Ani chybi dobra myśl — pochwalił bosman.

— Zgoda, nie traćcie czasu — zakończył Wilmowski.

Hunter wziął apteczkę i trochę prowiantu. Bosman wykrzywił się obserwując Huntera przewidującego zawsze najgorszą ewentualność, lecz nie rzekł ani słowa. Gdy byli gotowi do drogi, Tomek podsunął Dingowi koszulę Smugi i rozkazał:

— Szukaj. Dingo, szukaj pana Smugi!

Dingo spojrzał na niego mądrymi ślepiami. Szczeknął chrapliwie. Pochyliwszy łeb ku ziemi, zaczął węszyć. Ślad musiał być wyraźny, ponieważ pobiegł bez wahania na północ. Tomek puścił smycz. Rozpoczęli tropienie.

Mała grupka mężczyzn podążała za Tomkiem. Dingo biegł nie podnosząc głowy. Zdecydowanie psa zachęcało łowców do szybkiego marszu. Niebawem Dingo zatoczył koło najpierw na wschód, a potem ku południowi. Hunter zatrzymał się.

— Tomku, daj mu jeszcze raz powąchać koszulę pana Smugi!

Chłopiec wykonał polecenie.

— Szukaj, piesku, szukaj! — powiedział zachęcająco.

Dingo machnął niecierpliwie ogonem i ruszył dalej. Dopiero na ścieżce okazał niepokój. Biegł tu i tam ciągnąc chłopca za sobą. Na żądanie Huntera mężczyźni przystanęli z boku, aby nie zdeptać śladu.

— Nie utrudniajmy Dingowi zadania! — tłumaczył tropiciel. — Smuga musiał kluczyć i dlatego pies jest dezorientowany.

Minęło sporo czasu, zanim Dingo skierował się ku wschodowi. Niemal nie odrywał nosa od ziemi, gubiąc się wśród pozostawionych na ścieżce śladów. Wkrótce zawrócił na południe.

— Co to ma znaczyć? — zdziwił się Hunter. — Po jakie лихо pan Smuga poszedł w kierunku jeziora?

— Żeby tylko Dingo nie nawalił — zaniepokoił się bosman. — Daj mu, brachu, jeszcze raz powąchać koszulę!

Dingo biegł pewnie z pochylonym ku ziemi łbem. Dopiero w pobliżu jeziora znów okazał wyraźny niepokój. Przystanął nieoczekiwanie, a



następnie zaczął kluczyć wśród krzewów. W pewnej chwili siadł na ziemi i uniósłszy łeb do góry zaskowyczał przeraźliwie.

— Jezus, Maria! A to co ma znaczyć? — wzdrygnął się bosman.

Flegmatyczny zazwyczaj Hunter wyrwał szybko Tomkowi z rąk koszulę Smugi i przysunąwszy ją psu do nosa rozkazał:

— Szukaj, Dingo, szukaj!

Pies okazał niezdecydowanie. Długo obwąchiwał koszulę. W końcu zaczął kluczyć po zaroślach. Raz dążył w kierunku zachodnim, potem zawrócił znów ku wschodowi węsząc bez przerwy przy ziemi, aż naraz musiał natrafić na właściwy ślad, gdyż szarpnął mocno smyczą i ruszył pewnie przed siebie. Wkrótce łowcy dotarli do brzegu jeziora. Dingo pobiegł ku pobliskiemu pagórkowi.

— Boże! Spójrzcie tylko, co się dzieje z Dingiem — zawołał Tomek.

Pies nastawił uszu, ze zjeżoną na karku sierścią gnał coraz szybciej. Hunter w biegu odbezpieczył karabin; bosman wielkimi susami gnał tuż przy nim z rewolwerem w dłoni, a Masaj, przygotowany do strzału, nie spuszczał oka z obydwóch Kawirondo.

Tomek ledwo mógł nadążyć za Dingiem, toteż zasapał się pędząc po stromym stoku. W pewnej chwili potknął się, a wtedy pies wyrwał smycz z dłoni i wkrótce znikł wśród zarośli na szczycie wzgórza. Za chwilę rozległo się żałosne wycie Dinga.

— To zły znak! Spieszmy się! — krzyknął Hunter.

Olbrzymi i ociężały zazwyczaj bosman biegł teraz jak sarna. Wyprzedził towarzyszy i pierwszy znalazł się na wzgórzu. Ujrzał Dinga skowyczącego nad leżącą w trawie postacią.

— Prędzej, do wszystkich diabłów! — wrzasnął marynarz. Tomek blady jak płótno przypadł do leżącego na ziemi. Z przerażeniem wpatrywał się w pokrytą zakrzepłą krwią głowę Smugi.

— To straszne! Zabili naszego kochanego pana Smugę! — powiedział naraz ze szlochem, kryjąc twarz w dłoniach.

Hunter rozciął nożem koszulę na piersiach Smugi. Wprawnymi palcami zaczął obmacywać ranę na lewym ramieniu.

— Krwawi mocno, ale to nic groźnego — szepnął i delikatnie ujął głowę.

Zaledwie dotknął opuchlizny w tyle czaszki, z ust łowcy wydarł się cichy jęk.

— Żyje pan Smuga! Żyje! — krzyknął Tomek rwącym się głosem.

— Żyje, na pewno jeszcze żyje — potwierdził Hunter z ulgą. — To nie pchnięcie nożem w ramię pozbawiło go przytomności. Ktoś kilkakrotnie uderzył pana Smugę w tył głowy. Skóra rozcięta, opuchlizna bardzo duża... lecz wydaje mi się, że czaszka cała...

Ostrożnie położył głowę rannego na ziemi, zdjął z ramienia torbę podróżną i wyjął z niej opatrunki. Szybko rozkładał bandaże na kawałku białego płótna.

— Mumo, podaj worek z wodą! — zwrócił się do Masaja.

Bosman podtrzymał nieprzytomnego Smugę. Tropiciel obmył ranę na ramieniu, zdezynfekował ją i zabandażował. Z kolei przystąpił do opatrywania ran na głowie. Kiedy skończył bandażowanie, zmył krew pokrywającą twarz.

— Co pan ma w manierce, bosmanie? — zapytał.

— Rum, prawdziwa jamajka!

— To dobrze, proszę mu wlać do ust kilka kropel — polecił, podtrzymując głowę rannego.

Bosman przyłożył manierkę do ust łowcy.

— Ostrożnie! Nie za dużo! — ostrzegł Hunter.

Smuga zakrztusił się i jęknął głucho.

— Jeszcze trochę... Dosyc.

Po chwili Smuga uniósł powieki.

— Żyje, naprawdę żyje kochany pan Smuga! — zawołał wzruszony Tomek.

Smuga zamknął oczy, lecz słaby uśmiech pojawił się na jego ustach. Po chwili spojrzał już znacznie przytomniej.

— Pchnięcie nożem w lewe ramię i uderzenie w głowę — odparł Hunter. — Czy bardzo boli głowa?

— Boli, ale... mogło być... gorzej...

— Nie jest tak źle, skoro odzyskał pan przytomność — stwierdził Hunter. — Bosmanie, niech pan zajmie się sporządzeniem noszy. Im szybciej znajdziemy się w obozie, tym lepiej.

Bosman i Murzyni przygotowali z gałęzi i pnączy wygodne nosze, na których umieszczono rannego. Hunter tymczasem dokładnie badał ślady znajdujące się na wzgórzu.

Odnalazł porzucony w trawie rewolwer Smugi i karabin oparty o zwałony pień. Odwołał na bok bosmana i powiedział:

— Napastników było trzech. To Murzyni. Podeszli z tyłu niepostrzeżenie. Smuga siedział na tym pniu, gdy otrzymał uderzenie w tył głowy. Podniósł się, dobył broni, a wtedy uderzyli go czymś twardym jeszcze kilka razy. Pchnięcie nożem dostał leżąc już na ziemi. Aż dziwne, że go nie zabili.

— Skąd pan to wszystko wie? Przecież jeszcze niczego nie dowiedzieliśmy się od Smugi — zdziwił się bosman.

— Siady pozostawione na ziemi to tak jak litery w książce. Trzeba tylko umieć je czytać — wyjaśnił Hunter i dodał: — Po napadzie Murzyni pobiegli na zachód. Ich ślady musiały skrzyżować się ze śladem Smugi, dlatego Dingo co chwila gubił trop.

— Jeżeliś pan pewny tego wszystkiego, to wezmę psa i odszukam tych łobuzów. Wy tymczasem idźcie z rannym do obozu — zaproponował bosman.

— To niepotrzebne. I tak prawdopodobnie wpadną w nasze ręce. Jeżeli Sambo mówi prawdę, to jeden z napastników znajduje się wśród naszych Kawirondo. A może i wszyscy trzej? — oświadczył Hunter.

— Jak pan uważa, bardzo bym jednak chciał się z nimi spotkać.

— Myślę, że to nie będzie takie trudne. Teraz ruszajmy w drogę, wkrótce zapadnie noc — przynaglił Hunter.



## U ŹRÓDEŁ NILU BIAŁEGO

Przez dwie doby Hunter i Wilmowski nie odstępowali od łoża rozgorączkowanego Smugi. Trzeciego dnia ranny poczuł się trochę lepiej. Wilmowski stwierdził z zadowoleniem, że gorączka znacznie opadła. Zaraz też polecił sporządzić dla niego pożywny bulion. Zadania tego ochoczo podjął się bosman Nowicki. Nalewając bulion do kubka mówił do rozradowanego Tomka:

— Widzisz, kochany brachu, jaka to w Smudze rogata dusza? Zaraz można poznać w nim Polaka! Murzyniaki tłukli go młotkiem po głowie jak szczupaka na Wigilię, a on nie tylko nie puścił ostatniej pary, ale już krzyczy, że jest głodny.

— Wielka szkoda, że pan Smuga nie mógł rozpoznać napastników. Nie chciałbym, żeby ten okropny czyn uszedł im na sucho — zafrasował się chłopiec.

— He, he, he! — roześmiał się marynarz. — Żeby Smuga mógł rozpoznać tych drani, to by musiał ich zobaczyć, a gdyby ich był zobaczył, to z miejsca musieliby się wynieść do Abrahama na piwo i już nie byłoby o czym gadać. Teraz zaś, kochany brachu, jeżeli tylko los mi będzie sprzyjał, to oni wpadną w moje łapy, a wtedy...

Bosman wykonał rękoma charakterystyczny ruch, jakby ukręcał ptakowi głowę.

— Więc pan ich zabije? — przeraził się Tomek.

— Jak amen w pacierzu! Ale my tu sobie gadu, gadu, a tam nasz chory czeka. No, chodźmy z tym bulionem, ale myślę, że lepiej by mu pomógł rum.

— Ranny nie powinien pić alkoholu — ostro zaoponował Tomek.

— A po czym to odzyskał przytomność jak nie po jamajce? Nie przekonasz mnie, brachu! Chodźmy!

Smuga posilił się, po czym nie zważając na protesty Huntera zapalił fajkę. Wypuścił kilka kłębow dymu i rzekł:

— Andrzej, każ przygotować dla mnie jakąś lektykę. Jutro możemy wyruszyć w dalszą drogę. Dość tego leniuchowania.

— Wykluczone, Janie! — zaprotestował Wilmowski. — W tropikalnych krajach rany źle się goją.

— Nic mi nie będzie, Andrzeju. Gorzej oporządził mnie swego czasu tygrys w Bengalii, a przecież wszystko się dobrze skończyło. Mam organizm przyzwyczajony do gorącego klimatu. Prędeż wyzdrowieję podczas marszu.

Wilmowski w dalszym ciągu oponował, lecz wtedy odezwał się Hunter:

— Pan Smuga ma żelazną czaszkę, jeżeli nie pękła pod tak silnymi uderzeniami. Proponowałbym również rozpoczęcie marszu, lecz nie jutro, tylko pojutrze. Mam ku temu dwa powody. Po pierwsze pan Smuga nabierze więcej sił, a po drugie... — pochylił się do towarzyszy zgrupowanych przy łożku rannego i dodał ciszej: — Po drugie chcę opóźnić marsz dlatego, że Kawirondo nagle nabrali gwałtownej chęci do wyruszenia z nami w dalszą drogę. Czy to nie wydaje się wam dziwne?

— Zanim jeszcze przynieśliście rannego do obozu, tragarze wyrazili zgodę na kontynuowanie marszu. Zapytałem wtedy, czy już się nie obawiają swych sąsiadów Luo. Wyjaśnili, że teraz nie muszą się ich bać, gdyż tamtamy zapowiedziały im gościnne przyjęcie — odparł Wilmowski.

— Zapewne wysłannik Castaneda, o którego przybyciu powiadomił nas wierny Sambo, polecił im udać się dalej — dodał Hunter.

— Oby chęć przysłużenia się nam nie wyszła Sambowi na złe — rzekł Wilmowski. — Chłopak ustawicznie kręci się wśród Kawirondo przeszkadzając im w konszachtach. Patrzą też na niego bardzo niechętnie.

— Bosmanie, niech pan czuwa nad nim — zwrócił się Hunter do marynarza.

— Iiii, nie taki znów diabeł straszny, jak go malują. Wprowadziłem trochę rygoru. Kawirondziaki stali się łagodni jak baranki. Nic mu już nie zrobią.

Wilmowski spojrzał uważnie na bosmana. Przez dwa dni czuwał z Hunterem przy łożu rannego, pozostawiając obóz pod opieką marynarza. Teraz zaniepokoił go lekki ton, jakim bosman udzielił wyjaśnienia. Podejrzewał, że chce coś przed nim ukryć. Spojrzał więc z kolei na Tomka, który po oświadczeniu swego serdecznego druha zaczął kręcić się i chichotać.

— Czy i ty, Tomku, uważasz, że Sambo jest zupełnie bezpieczny? — zapytał.

— Od wczoraj tragarze patrzą z szacunkiem na naszego Samba. Na pewno nic mu teraz nie grozi — odparł chłopiec.

— Dlaczego tak nagle zmienili swój stosunek do niego? — pytał dalej Wilmowski.

Bosman chrząknął ostrzegawczo, lecz Tomek nie zważając na niego wyjaśnił triumfująco:

— Wczoraj jeden Kawirondo uderzył Samba, gdy ten przykucnął przy grupce dyskutujących. Wtedy pan bosman sprawił mu tęgie lanie i zapowiedział wszystkim, że jeżeli Sambowi stanie się coś złego, to wróci do ich wioski, spali domy i powiesi mieszkańców.

Wilmowski nachmurzył się, lecz nie skarcił bosmana. Niespodziewany napad na Smugę był groźnym dowodem zbytniego rozzuchwalenia się Kawirondo.

— Dobrze pan zrobił, bosmanie. Murzyni cenią silnych ludzi — wtrącił Hunter. — Trzeba ich teraz trzymać krótko. Przy najbliższej okazji postaramy się o nowych tragarzy. Wtedy też prawdopodobnie zaginie słuch o Castanedzie, którego cień podąża za nami. Jak widać, jest to bardzo mściwy łotr.

— Daj Boże, żebym mógł go spotkać jeszcze raz — mruknął bosman zawzięcie.

— Jak więc powiedziałem, proponuję odłożyć wymarsz w dalszą drogę na pojutrze. W ten sposób pokrzyżujemy choć w części plany Kawirondo.

— Rozumowanie pana Huntera wydaje się słuszne. Wobec tego odpoczniemy tutaj jeszcze jeden dzień, a pojutrze ruszamy dalej — powiedział Wilmowski.

— Gdyby zaszła potrzeba, to w forcie angielskim w Kampali na pewno zastaniemy lekarza — dodał Hunter. — Miejmy jednak nadzieję, że pan Smuga przyjdzie do zdrowia bez jego pomocy.

— Ha, niech będzie tak, jak radzicie — zgodził się Smuga.

W obozie panował całkowity spokój. Uzbrojeni po zęby Masajowie dzień i noc pełnili straż. Tymczasem bosman, Tomek i Sambo zbudowali wygodną lektykę dla Smugi; mieli ją nieść najzręczniejsi Kawirondo.

Gdy nadszedł oznaczony czas wymarszu, Sambo ze sztandarem stanął na czele karawany. Tomek na polecenie ojca zastąpił Smugę. Teraz razem z bosmanem stanowili tylną straż karawany. W takt monotonnej pieśni tragarzy ruszyli w drogę.

Podróżnicy wędrowali sawanną porośłą kępami krzewów i drzew akacjowych. Pod koniec dnia coraz częściej zaczęli napotykać dość duże bajora zarosłe karłowatymi mimozami o czerwonej korze, które utrudniały drogę. Dingo spuszczone ze smyczy buszował wśród tych chaszczów, to znów biegł ze wzniesionym do góry łbem, węsząc w powietrzu. Tomek i bosman pilnie obserwowali jego zachowanie; nie ulegało wątpliwości— okolica obfitowała w zwierzynę. W pewnej chwili Dingo dał nura w pobliskie krzewy. Zaraz też obydwaj łowcy usłyszeli niskie, głuche chrząkanie, a potem ostry pisk. Trzask łamanych gałęzi i głośnie chrapliwe szczeknięcie Dinga ostrzegły podróżników przed niebezpieczeństwem. Zadudniła ziemia. Dingo, szczekając zajadle, wybiegł z krzewów. Za nim z głuchym tupotem ukazał się olbrzymi zwierzę o ciężkiej i niezgrabnej budowie. Wysokość potwora dorównywała średniemu wzrostowi człowieka, podczas gdy długość szaroczarnego cielska dochodziła do około czterech metrów. Olbrzymie zwierzę o grubej, sfaldowanej na karku skórze gnało z pochylonym nisko potężnym łbem, na którego nosie widniały sterczące jeden za drugim dwa rogi.

— Kifaru<sup>123</sup>! — wrzasnął któryś z Murzynów.

Szyk karawany załamał się w jednej chwili. Tragarze rozpięchli się pozostawiając bagaże na ścieżce; spłoszone wierzchowce stawały dęba. Czoło karawany, oddalone nieco od szarżującego nosorożca, utrzymało się w jakim takim porządku, ponieważ kroczące na przedzie osły z filozoficznym spokojem szły dalej nie zważając na niebezpieczeństwo. Tymczasem potwornych rozmiarów nosorożec pędził za zręcznie umykającym Dingiem. Mądry pies skupił na sobie całą jego uwagę. Przebiegł ukosem ścieżkę i zaszył się w zarośla po przeciwnej stronie drogi. Tomek i bosman nie zdążyli się nawet złożyć do strzału. Nim uspokoili konie, było już po wszystkim. Wkrótce Dingo powrócił machając wesoło ogonem. Zatrzymał się przed Tomkiem, jakby oczekiwał na pochwałę; chłopiec zeskoczył z wierzchowca i mocno uściskał roztropnego psa.

Na wieczornym biwaku głównym tematem rozmów było wydarzenie z nosorożcem. Najwięcej do powiedzenia mieli Hunter i Smuga, który po całodziennym marszu czuł się zupełnie znośnie.

---

<sup>123</sup> — Kitaru (w narzeczu suahili) — nosorożec.



— Nigdy nie można przewidzieć, co uczyni nosorożec — mówił Hunter. — Niekiedy ucieka nawet przed jednym psem. Czasem na sam widok człowieka wpada w szał wściekłości i wtedy ślepo nań szarżuje. Doświadczony, wprawny myśliwy uskakuje w bok w ostatniej chwili przed stratowaniem, nosorożec zaś zwykle pędzi dalej; gdy traci z oczu prawdziwego przeciwnika, wyładowuje swój gniew na pierwszym lepszym krzaku czy drzewie. Wynika to stąd, że nosorożce są krótkowidzami. Polowanie na te zwierzęta nie należy do bezpiecznych. Mielśmy dzisiaj szczęście, że czujny Dingo wytropił nosorożca kryjącego się w zaroślach, a my uszliśmy jego uwagi. Źle by się mogło skończyć, gdyby na nas napadł.

— Do jakiej rodziny zwierząt należą nosorożce? — zapytał Tomek.

— Są to zwierzęta nieparzystokopytne — wyjaśnił Smuga. — Pierwszą rodziną wśród nich są nosorożce mające kończyny o trzech palcach, drugą stanowią tapiry z trzema palcami u przednich, a czterema u tylnych nóg, do trzeciej rodziny zaliczamy konie z rozwiniętym tylko jednym palcem w kształcie kopyta.

— Czy nosorożce żyją tylko w Afryce? — indagował dalej Tomek, który pragnąc zostać wytrawnym łowcą dzikich zwierząt, chciał wiedzieć o nich jak najwięcej.

— Nosorożce żyją również w Azji podzwrotnikowej — odparł Smuga. — W Afryce są reprezentowane przez dwa gatunki. Pierwszy, zwany przez Burów<sup>124</sup> czarnym<sup>125</sup>, a w narzeczu Murzynów kifarą jest bardziej znany od drugiego gatunku, nosorożca białego<sup>126</sup>, będącego najpotężniejszym przedstawicielem całej rodziny.

— Po czym można odróżnić te dwa gatunki? — wypytywał Tomek.

— Czarny nosorożec lub, jak mówią Murzyni, kifarą jest barwy szaroczarnej bądź brudno-brunatnej. Dorosłe samce dochodzą prawie do czterech metrów długości, wysokość ich zaś waha się około metra sześćdziesięciu centymetrów. Spotyka się je w Afryce Środkowej i

---

<sup>124</sup> — Burowie — potomkowie kolonistów holenderskich osiedlających się od XVII w. w Afryce Południowej. Wypierani w XIX w. na północ przez osadników brytyjskich, po zaciętych walkach z ludami Bantu utworzyli republiki: Nalał. Oranie i Transwał, o których niezależność walczyli z Brytyjczykami (tzw. wojny burskie) i ponieśli klęskę. Po zawarciu pokoju w 1902 r. republiki te włączone zostały do imperium brytyjskiego. Obecnie Burowie nazywani są Afrykanerami.

<sup>125</sup> — *Diceros bicornis*

<sup>126</sup> — *Ceratotherium simum*

Wschodniej. Natomiast wysokość nosorożca białego dochodzi do dwóch metrów, a długość do pięciu. Na nadzwyczaj wydłużonej głowie sterczy półtorametrowej nieraz długości przedni róg, którego obwód u podstawy przekracza pół metra, czyli wynosi tyle, ile długość tylnego rogu. Obydwa gatunki nosorożców są trawożerne, lecz podczas gdy biały żyje na otwartych stepach, kifaru trzyma się raczej zarośli.

— Ho, ho! Jak z tego wynika, biały nosorożec musi być olbrzymim zwierzęciem! — zdumiał się chłopiec.

— Oczywiście, Tomku! — potwierdził Smuga. — Biały nosorożec jest po słoni największym z ssaków lądowych. Jako łowcę zwierząt powinno cię zaciekawić, że dotąd nie udało się takiego żywego okazu sprowadzić do Europy. Czarny nosorożec jest niższy, a mimo to uchodzi za jedno z najniebezpieczniejszych afrykańskich zwierząt. Dlatego też nasze dzisiejsze spotkanie z kifaru możemy uważać za bardzo ciekawe przeżycie.

— Chciałbym się jeszcze dowiedzieć, jaki tryb życia prowadzą te niezwykle zwierzęta — prosił Tomek.

— Mój chłopcze, nie męcz za bardzo pana Smugi — wtrącił się Wilmowski. — Wiesz przecież, że jest jeszcze bardzo osłabiony.

— Ja ci bardzo chętnie wyjaśnię, a pan Smuga tymczasem trochę odsapnie — rzekł Hunter przysuwając się do Tomka.

— Bardzo pana proszę, strasznie lubię słuchać takich opowiadań — ucieszył się Tomek.

— Nosorożce żyją najchętniej w okolicach obfitujących w wodę, lecz gatunki afrykańskie spotyka się również na suchych stepach i w górzystych, kamienistych regionach — zaczął tropiciel. — Wszystkie lubią się wylegiwać w błocie, chrząkają głośno podczas kąpieli. Prowadzą raczej nocny tryb życia. W dzień śpią przeważnie gdzieś w cienistym miejscu, po południu się kąpią, a przed wieczorem wyruszają na poszukiwanie pożywienia. Podczas żerowania opierają się przednim rogiem o ziemię i zrywają trawę grubymi wargami; gałązki krzewów kruszą ryjkowatym wyrostkiem pyska. Żywią się gałęziami krzaków, twardymi łodygami, trawą, ziołami, kłęczami, korzeniami i cebulkami roślin.

— Tak olbrzymie rogi mają pewnie tylko stare osobniki? — pytająco dodał Tomek.

— Mylisz się, co kilka lat rogi te odpadają, po czym odrastają, wielkość ich więc nie świadczy o liczbie przeżytych lat. Dodam jeszcze, że młode widzą natychmiast po urodzeniu.

Tę interesującą dla Tomka rozmowę przerwał bosman Nowicki stawiając na stoliku dymiący kociołek z zupą. Zgłodniali łowcy z zapalem zabrali się do jedzenia. Wkrótce po posiłku udali się do swych namiotów. Hunter, jak zwykle, porozstawiał na noc strażę, które zmieniały się co dwie godziny.

Noc upłynęła spokojnie. Nazajutrz, zaledwie słońce ukazało się na niebie, natychmiast zwinięto obóz. Tego dnia Wilmowski spodziewał się dotrzeć do źródeł Nilu Białego, wypływającego z najdalej wysuniętego na północ krańca Jeziora Wiktorii.

Na każdym postoju Tomek wydobywał z podręcznej torby mapę Ugandy. Skwapliwie mierzył odległość dzielącą karawanę od źródeł najdłuższej i największej na ziemi rzeki<sup>127</sup>. Wiedział już przecież, że źródła Nilu stanowiły przez przeszło tysiąc lat zagadkę, o której rozwiązanie kusiło się wielu odważnych podróżników. Toteż z niezmierną niecierpliwością oczekiwał na ujrzanie miejsca, z którego Anglik Speke w tysiąc osiemset sześćdziesiątym drugim roku rozpoczął historyczną wyprawę, aby wypełnić ostatnie stronicie tajemniczej historii źródeł Nilu.

Niebawem nadeszła ta upragniona przez chłopca chwila. Już z dala usłyszał szum spadającej wody, potężniejszy w miarę jak się zbliżali do niepozornego wzgórza. W końcu wspięli się na szczyt wzniesienia.

Tomek krzyknął zdumiony nieoczekiwanym widokiem. Oczom jego ukazało się, jak na dłoni, szerokie ujście Jeziora Wiktorii. Poprzez krawędź jeziora, obramowaną z obu stron wysokim brzegiem porośniętym drzewami, przelewały się kaskady wody, które pieniać się i burząc, z grzmotem spadały w przepaść.

Tomek z trudem uzmysławiał sobie, że znajduje się w miejscu, skąd Nil Biały bierze swój początek. Zamiast szemrzącego łagodnie strumyka pieniała się przed nim wielka rzeka. Pamiętał z nauki geografii w szkole, że Nil Biały wypływając z Jeziora Wiktorii przebywa setki kilometrów przez dżungle i

---

<sup>127</sup> — Nil (arab. *Nahr an-Nil*) płynie przez Burundi, Rwandę, Ugandę. Sudan i Egipt. Długość Nilu wynosi 6671 km. powierzchnia dorzecza 2870 km<sup>2</sup>. Za źródłową rzekę Nilu uważa się Kagerę; od ujścia Aswa, prawego dopływu, przybiera nazwę Nilu Górskiego, który od Bahr al-Ghazal lewego dopływu, płynie dalej jako Nil Biały, w Chartumie przejmuje największy swój dopływ — Nil Błękitny i przybiera nazwę Nil. Uchodzi do Morza Śródziemnego dwoma ramionami.

busz Ugandy, zasila z kolei swe wody w jeziorze Kioga, za Wodospadem Murchisona przecina Jezioro Alberta, a daleko na północy, w okolicy Chartumu, łączy się z Nilem Błękitnym wypływającym z gór Abisynii i z rzeką Atbara.

— No cóż, Tomku, czy tak sobie wyobrażałeś miejsce, skąd bierze początek Nil Biały? — zagadnął Wilmowski zatrzymując się przy synu.

— Och, nie, tatusiu! — zaprotestował chłopiec, przekrzykując huk wody. — Przecież to prawdziwy wodospad!

— Tak właśnie jest, to wodospad Ripon.

Długo sycili oczy malowniczym widokiem spienionych wód Riponu, nim udali się w dół Nilu Białego, by na niskim brzegu rozłożyć obóz. Zdecydowali się tu zatrzymać, gdyż Wilmowski stwierdził, że stan rannego przyjaciela uległ pogorszeniu. Zasklepiona już poprzedniego dnia rana na ramieniu znów się otworzyła i przybrała fioletowy odcień. Łowcy ułożyli Smugę w namiocie, starannie wydezynfekowali i zabandażowali ranę. Zmęczony Smuga zasnął niebawem, lecz Tomek z ojcem i przyjaciółmi długo jeszcze siedzieli przed jego namiotem.

Tomek przepadał za wieczornymi rozmowami przy ognisku. Tym razem, przy spokojnym poszumie płynącego opodal Nilu Białego, zainteresował się historią poszukiwań legendarnego niemal do niedawna źródła rzeki. Poprosił ojca, aby opowiedział o odkrywcach źródeł Nilu Białego. Wilmowski, zamiłowany geograf, ulegając nastrojowi wieczoru chętnie rozpoczął ciekawą opowieść:

— Od dawna panowało przekonanie, że rzeka Nil wypływa z wielkich jezior leżących u stóp Gór Księżycowych<sup>128</sup>. Mimo to do połowy dziewiętnastego stulecia nikomu nie udało się odkryć ani tych gór, ani jezior. Arabowie osiedleni w Afryce Wschodniej zapewniali Europejczyków, iż wewnątrz kontynentu, afrykańskiego istnieją olbrzymie jeziora. Z tego też powodu zaczęto przypuszczać, że znajduje się tam wielkie morze, zwane przez krajowców Ukerewe, Uniamwesi lub Niansa, z którego Nil bierze swój początek. Do jego źródeł usiłowano dotrzeć dążąc z północy od Morza Śródziemnego wzdłuż rzeki i drogą lądową od wybrzeży Oceanu Indyjskiego.

---

<sup>128</sup> — Ruwenzori w narzeczu Murzynów Bantu oznacza Góry Księżycowe; trzeci pod względem wysokości łańcuch gór w Afryce.

Wyprawy przedsiębrane w górę Nilu nie zostały uwieńczone powodzeniem. Ledyard zmarł na skraju Pustyni Libijskiej, Brown dotarł tylko do Dar–Furu, a inni zawracali z drogi zrażeni licznymi kataraktami uniemożliwiającymi podróz.

Ostatecznie górny bieg Nilu zbadał Wenecjanin Giovanni Miani, lecz tajemnicę źródła rzeki rozwiązali dopiero uczeni i podróżnicy wysłani przez angielskie Towarzystwo Geograficzne. Odkrywcą źródeł Nilu Białego jest Anglik John Speke, który, z Richardem Burtonem wyruszył z Bagamojo w Afryce Wschodniej, aby dotrzeć do jeziora Ukerewe. Burton ciężko się w drodze rozchorował, lecz Speke zdołał przybyć do południowych krańców wielkiego jeziora, które krajowcy, zgodnie z opowiadaniem Arabów, nazywali Ukerewe. Speke był przekonany, że z jeziora tego wypływa Nil Biały. Na cześć królowej Anglii nazwał je Wiktoriana Niansa.

W Europie mimo to nie uwierzono w sprawozdanie Speke’a. Wyruszył więc w tysiąc osiemset sześćdziesiątym roku na nową wyprawę, tym razem w towarzystwie Granta. Dotarłszy do potężnego państwa w Ugandzie, podróżnicy się rozdzielili. Grant podążył na północ, idąc jakby po cięciwie łuku tworzonego przez Nil, Speke natomiast wędrował wzdłuż koryta rzeki. Po połączeniu przebytych tras Speke mógł z pewnością stwierdzić, że źródła Nilu zostały odkryte. W Gondokoro podróżnicy spotkali się z Samuelem Bakerem.

Ten zaś, usłyszawszy o ich odkryciu, podążył na południe, gdzie po drodze natrafił na omińnięte przez Speke’a jezioro Mwutan Nzige, obecnie zwane Jeziorem Alberta, przez które przepływa Nil Biały.

Wybitny podróżnik i dziennikarz, Stanley, potwierdził później zgodność relacji i obliczeń dokonanych przez Speke’a, a ponadto odkrył Jezioro Edwarda, łączące się z wodami Jeziora Alberta i tym samym wchodzące do systemu wód Nilu.

— A kto jeszcze badał Afrykę Równikową? — znów zapytał niestrudzony Tomek.

— Do bliższego poznania krajów leżących nad górnym Nilem Białym przyczynili się również Baker, Gordon i Gessie, mianowani wielkorządcami przez egipskiego kedywa<sup>129</sup>. Wiele cennych informacji o florze, faunie i

---

<sup>129</sup> — Kedyw — do 1922 r. oficjalny tytuł dziedziczny wicekróla Egiptu, nadany w 1867 r. przez sułtana tureckiego, od którego wówczas Egipt zależał nominalnie.

mieszkańcach zebrał Edward Schnitzler<sup>130</sup> ze Śląska, zwany także Eminem–paszą, który od roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego ósmego był gubernatorem Ekwatorii<sup>131</sup>. Zdołał on zgromadzić bardzo liczne i cenne dla nauki zbiory.

Miejsce urodzenia Emina–paszy przypomniało Tomkowi odległą ojczyznę. Zaraz też ten obcy człowiek wydał mu się bliższy i wzbudził większe zainteresowanie.

— Tatusiu, opowiedz coś więcej o losach Emina–paszy ze Śląska — poprosił.

— Wojna rozpętana przez powstanie Mahdiego przeciw Egipcjanom i Anglikom uniemożliwiła wówczas dalsze badania w okolicach górnego Nilu. W roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym Gordon poległ broniąc Chartumu przed mahdystami, a Emin–pasza, przebywając wtedy w okolicy Jeziora Wiktorii, znalazł się w ciężkiej sytuacji. Nieustraszony Stanley wyruszył na swą ostatnią wyprawę afrykańską, aby udzielić mu pomocy. Tym razem Stanley przedzierał się przez Kongo, gdzie przez cały czas musiał staczać niebezpieczne walki z krajowcami. Dopiero po blisko rocznym marszu, wśród ciągłych starć i dokuczliwych trudności aprowizacyjnych, dotarł do Jeziora Wiktorii. Tam właśnie spotkał się z Eminem–paszą i Casatim. Długo wahał się Emin–pasza, czy powinien opuścić kraj, którego był wielkorządcą z ramienia egipskiego kedywa, lecz po chwilowym pobycie w niewoli u nieprzyjaciół ruszył ze Stanleyem w kierunku Bagamojo<sup>132</sup>. Tam wstąpił do służby niemieckiej i wkrótce przedsięwziął nową wyprawę. Tym razem dotarł do zachodnich wybrzeży Jeziora Wiktorii, założył stację Bukoba, gdy jednak posunął się za daleko na zachód, został zabity przez Arabów.

— Pan Smuga opowiadał mi już kiedyś, że mieszkańcy Afryki nie są tak łagodni jak Australijczycy, którzy nie stawiali Europejczykom żadnego oporu — wtrącił Tomek. — Ciekaw jestem, czy Polacy również brali udział w odkryciach w Afryce?

Wilmowski zastanowił się chwilę.

---

<sup>130</sup> — E. Schnitzer (lub Schnitzler). wybitny badacz Sudanu i Afryki Wschodniej, pochodził z rodziny żydowskiej osiadłej na Śląsku. Przeszedł na mahometanizm i został urzędnikiem egipskim.

<sup>131</sup> — Ekwatorią zwano prowincje egipskie leżące nad górnym Nilem.

<sup>132</sup> — Bagamojo znajduje się w Tanzanii na wybrzeżu Oceanu Indyjskiego.

— Wśród podróżników i odkrywców afrykańskich spotyka się przeważnie Anglików, Francuzów i Niemców, oni to bowiem najbardziej się tym kontynentem interesowali. Większość ekspedycji badawczych miała przeważnie na celu utorowanie drogi do przeistoczenia odkrytych ziem w kolonie państw europejskich. Polacy nigdy nie prowadzili polityki zaborczej, a teraz przecież sami od ponad stu lat znajdują się w niewoli. Niemniej w różnych okresach czasu przybywali na Czarny Ląd z pobudek naukowo-badawczych bądź po prostu w pogoni za niezwykłymi przygodami.

— Tatusiu, proszę cię, opowiedz nam jeszcze o polskich podróżnikach i odkrywcach w Afryce. Na pewno pan bosman także posłucha z przyjemnością o czynach Polaków.

— Lubię opowieści o naszych zuchach — przytaknął marynarz nabijając fajkę tytoniem.

Wilmowski również zapalił i po krótkiej przerwie ciągnął znowu:

— Z Polaków najwcześniej zjawił się w Afryce Maurycy August Beniowski. Był to niezwykle przedsiębiorczy i odważny człowiek. Jako pułkownik konfederacji barskiej walczył przeciw carskiej Rosji...

— I na pewno tak jak ty i pan bosman musiał uciekać z kraju — wtrącił Tomek.

Wilmowski uśmiechnął się do syna i mówił dalej:

— Beniowski został wzięty przez Rosjan do niewoli i zesłany na Kamczatkę. Udało mu się wzniecić tam bunt więźniów. Na ich czele zdobył rosyjski statek, na którym wraz z towarzyszami uciekł na pełne morze. Po wielu przygodach w roku tysiąc siedemset siedemdziesiątym trzecim przybył z ramienia rządu francuskiego na wyspę Madagaskar leżącą u południowo-wschodnich wybrzeży Czarnego Lądu. Wśród ustawicznych walk z krajowcami, przedzierając się przez rozległe błota, niedostępne góry i skały, opanował Beniowski najżyźniejszą część wyspy. W rok później został obwołany przez krajowców ampansakabą, czyli królem Madagaskaru. Miał własną stolicę, dwór i ciemnoskórą armię ubraną w rogatywki. Panował niespełna dwa lata, lecz przez ten czas spowodował zaprzestanie walk wewnętrznych nękających mieszkańców wyspy, wytepił barbarzyński zwyczaj mordowania ułomnych dzieci, zakładał w zdrowych okolicach osady, budował szpitale i przytułki, zyskując coraz większe uznanie krajowców.

Kiedy chciał uwolnić ostatecznie Madagaskar od uciążliwej opieki Francji, zginął w bitwie z Francuzami.

— A to ci był nie lada zuch! — zawołał bosman Nowicki. — Ho, ho! Może i ciebie, brachu, Murzyniaki ogłoszą królem, na przykład w Bugandzie. Pamiętaj wtedy o swoim druhu i zrób mnie chociaż generałem.

— Niech pan nie kpi ze mnie — oburzył się Tomek.

— Wcale nie kpię! Jeżeli Masajowie na samym początku wyprawy zrobili z ciebie wielkiego czarownika, to teraz Bugandczyki mogą ich przecież prześcignąć i obwołają mojego kumpla swoim królem. Licz na mnie, pomogę ci rządzić!

— Że też pan zawsze musi żartować! Mów dalej; tatusiu!

Wilmowski rozweselony ciągnął opowieść:

— Na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku bardzo zasłużył się swymi badaniami Jan Potocki. Zwiedził Egipt, Tunis i Maroko, a potem opisał te kraje. Dalekie podróże po Egipcie, Sudanie, Abisynii i Krainie Wielkich Jezior, a więc i tu, gdzie my obecnie podróżujemy, odbywał polski lekarz, Ignacy Żagiel, emigrant polityczny. Po powstaniu tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego roku opuścił Polskę i przez dwa lata sprawował urząd nadwornego lekarza egipskiego kedywa.

W tym samym czasie inny Polak, przyrodnik Antoni Waga, zgromadził w Egipcie i Nubii bogate zbiory ptaków, gadów i owadów, odkrywając wiele nowych gatunków. Parę lat później Władysław Taczanowski badał ptactwo Algierii, a w Południowej Afryce szerokie badania geograficzne i botaniczne prowadził w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym czwartym i piątym botanik i geograf, profesor Uniwersytetu Lwowskiego, Antoni Rehman. Z dwóch podróży przywiózł do kraju cenny zbiór, obejmujący blisko trzy tysiące okazów różnych roślin, w tym wiele dotychczas nie znanych. Obok poszukiwań botanicznych i geograficznych prowadził również badania etnograficzne. Rehman napisał później dwie nadzwyczaj ciekawe książki o zwiedzonych krajach. Będziesz mógł je przeczytać, gdyż obydwie mam w Hamburgu.

— Nasz Tomek również pięknie opisuje różne afrykańskie widoki w listach do tej miłej australijskiej turkaweczki — wtrącił bosman. — Gdyby tak zebrać jego wszystkie listy i wydrukować, byłaby z nich bardzo zajmująca książka.



— Znów pan zaczyna! — rozgniewał się chłopiec. — Prosiłem, żeby pan nie nazywał Sally turkaweczką.

— Już dobrze, dobrze. Opowiadaj dalej, Andrzeju — rzekł bosman pojednawczo.

— Około roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego drugiego Stefan Szolc-Rogoziński, Leopold Janikowski i Klemens Tomczek odbyli na statku „*Lucja-Małgorzata*” głośną wówczas wyprawę do Kamerunu. Owocem tej jedynej w dziewiętnastym wieku polskiej naukowej wyprawy do Afryki były obfite zbiory i materiały ludoznawcze, językoznawcze oraz mapy zbadanych okolic. Leopold Janikowski przebywał nawet trzy lata wśród ludożerczych plemion Fan i zgromadził niezwykle cenne zbiory etnograficzne.

W służbie francuskiej badali Afrykę Północną i Środkową Motyliński i Jan Dybowski. Jak więc widzicie, Polacy również brali udział w odkryciach naukowych na tym kontynencie i choć w skromnym zakresie, niemniej przyczynili się do jego lepszego poznania.

— Spędziłem trochę czasu z Dybowskim podczas jego wyprawy do Konga — westchnął Hunter. — Zaprzyjaźniliśmy się nawet. Tak, tak, śmiały to był człowiek. Niejedno też przeżyliśmy razem... Późno już dzisiaj, opowiem o tym kiedy indziej, chodźmy teraz spać. Najgorzej, gdy na noc nachodzą człowieka wspomnienia. Dobranoc!



## ZASADZKA

Był wczesny ranek. Na wschodzie zza pagórków wyrzało słońce, lecz na południu, nad Jeziorem Wiktorii, gromadziły się ołowiano–granatowe chmury.

— Dlaczego nie zwijamy obozu? Przecież dzisiaj mieliśmy wyruszyć w dalszą drogę? — zawołał Tomek, podbiegając do grupki mężczyzn rozmawiających przed namiotem Smugi.

— Zastanawiamy się właśnie, co zrobić — odpowiedział zafrasowany Wilmowski. — Pan Smuga czuje się gorzej, a lada chwila może nadejść burza.

— Przecież wczoraj pan Smuga nie miał już gorączki, skąd się więc wzięło to nagłe pogorszenie?

— Widzisz, to nie ten sam chłop co przed trzema dniami. Podsunąłem mu manierczynę z jamajką, a on nawet nie powąchał. To zły znak... — rzekł bosman Nowicki.

— Jest ociężały i apatyczny — dodał Hunter. — Mimo to radzę na nic nie zważać i ruszyć w drogę. Niech lekarz garnizonowy w forcie w Kampali zbada go jak najprędzej.

— Jestem tego samego zdania. Nie wahałbym się, gdyby nie chmury zapowiadające możliwość nadejścia burzy — powiedział Wilmowski.

— Czy tutaj często są burze? — zwrócił się Tomek do Huntera.

— W pasie od trzydziestu do pięćdziesięciu mil wokół Jeziora Wiktorii nie ma ściśle określonych pór deszczowych. Deszcze padają tu najczęściej w styczniu, lutym, czerwcu i lipcu. W tym właśnie czasie na zachodnich i północno–zachodnich wybrzeżach często zdarzają się bardzo silne ranne deszcze i burze z grzmotami — wyjaśnił tropiciel.

— Wobec tego tatuś słusznie obawia się wyruszenia w drogę, gdyż znajdujemy się właśnie na północno–zachodnim wybrzeżu jeziora — stwierdził Tomek.

— Radzę natychmiast ruszać — upierał się Hunter. — Niepokoi mnie nienaturalny kolor rany na ramieniu pana Smugi. Powinniśmy jak najszybciej znaleźć się w Kampali. Jeżeli wybuchnie burza, to lektykę chorego okryjemy brezentem.

— Czy podejrzewa pan możliwość zakażenia? — zapytał Wilmowski.

Hunter zamyślony spoglądał na gromadzące się na niebie czarne chmury. Dopiero po dłuższej chwili cicho wyraził swą obawę:

— Przez cały czas intryguje mnie myśl, dlaczego napastnicy nie zabili Smugi. Przecież taki rodzaj zemsty najbardziej odpowiadałby tchórzliwemu Castanedowi. Z łatwością mogli zatrzeć ślady zbrodni.

— Nie brak mu sprytu. Nasze podejrzzenia w każdym razie skierowałyby się ku niemu i Kawirondo — odezwał się Wilmowski. — Castanedo wiedział o tym dobrze, nie chciał więc komplikować sobie wygodnego życia.

— Słusznie, słusznie pan rozumuje — przytaknął Hunter. — Gdyby zdołał usunąć nas po cichu ze swej drogi, nie budząc wobec siebie i Kawirondo podejrzeń, na pewno by się ani chwili nie wahał. Przecież jeżeli złożymy Anglikom oficjalny meldunek, poparty zeznaniami Samba, Castanedo powędruje za kratki.

— Tak też będzie, jak amen w pacierzu! Nieźle pan to wykombinował — powiedział z uznaniem bosman. — Od razu powinniśmy byli wziąć go na postronek i oddać w ręce Anglików.

— Jaki wniosek wyciąga pan ze swych domysłów? — krótko zapytał Wilmowski.

— Zakładam, że Castanedo pragnąłby się nas pozbyć nie budząc podejrzeń — ciągnął Hunter. — Dlaczego więc jedynie ogłuszono Smugę? Niegroźna rana na ramieniu nie powinna budzić obaw, a tymczasem właśnie ona nie goi się i jątrzy. Czy nie przyszło wam na myśl, że ostrze noża mogło być nasycone powolnie działającą trucizną? Gdyby Smuga zmarł na terenach Luo, nikt by o to nie podejrzewał Castaneda czy Kawirondo.

— To by było straszne... — szepnął zatrwożony Tomek.

— Do stu zdechłych wielorybów! — wykrzyknął bosman. — Słyszałem i ja włócząc się po świecie, że Murzyni znają różne sztuczki z truciznami.

— O nieszczęście nietrudno. Bosmanie, załóż brezent na lektykę, a pan Hunter niech da hasło do wymarszu — zarządził Wilmowski, wysłuchawszy tropiciela. — Tomku, pomóż panu Hunterowi, ja się zajmę naszym rannym przyjacielem.

— Jestem gotów, tatusiu — zawołał chłopiec.

Wilmowski postanowił nie odstępować Smugi, tym samym dowodzenie ludźmi spadło całkowicie na Huntera. Tropiciel energicznie zabrał się do

przygotowań do wymarszu. Osobiście dopilnował, aby sprawnie zwinięto obóz, rozdzielił bagaże pomiędzy tragarzy i wydał specjalne rozkazy dobrze uzbrojonym Masajom, którzy, mieli ubezpieczać boki karawany. Wkrótce wszyscy stanęli w szyku.

Tuż za chorążym Sambem mieli iść czterej Kawirondo niosąc lektykę z rannym; za nimi szły zwierzęta juczne i tragarze. Tylną straż stanowili bosman i Tomek.

— Ho, ho! Nie spodziewałem się po tym flegmatyku tyle energii. Zdaje się, że w opresji można na nim polegać — chwalił Huntera bosman Nowicki.

— Tak, tak, ale Mescherje i jego ludzie również spisują się doskonale — dodał Tomek. — Niech pan się przyjrzy, z jaką gorliwością przebiegają wzdłuż karawany popędzając tragarzy.

— Owszem, niczego sobie draby. Wydają się być zdolni do wypitki i do bitki. Gonią z wywieszonymi ozorami i błyskają ślepiami jak prawdziwe ogary.

Niebo coraz bardziej zaciągało się czarnymi chmurami. Niebawem, mimo dnia, zapanował półmrok. Od południa uderzył pierwszy podmuch gorącego wiatru. Zaraz też rozległy się chrapliwe głosy Masajów nawołujących tragarzy do pośpiechu. Bokiem ścieżki przemknęły jak widma dwa szakale i znikły w gąszczu. Zamilkł krzyk ptactwa. Deszcz zaczął padać dużymi kroplami, wkrótce przemienił się w ulewę. Całe strumienie wody spływały z czarnych chmur. Grzmoty co chwila przetaczały się po górach. Karawana zwolniła tempo marszu. Ludzie i zwierzęta ślizgali się po nagle rozmiękłej ziemi. W czasie największego nasilenia nawałnicy łowcy musieli się zatrzymać u stóp niemal prostopadłej ściany wzgórza, które osłoniło ich trochę przed wichrem i ulewą. Masajowie pospiesznie rozkładali namioty, gdy nagle rozległ się krzyk Tomka.

— Kawirondo uciekają!

Była to prawda. Korzystając z chwilowego zamieszania spowodowanego burzą, tragarze gromadnie czmychali w pobliski gąszcz. Zanim łowcy mogli przeciwdziałać nieoczekiwanej ucieczce, ostatni Kawirondo znikł w krzakach.

— A to dranie, wystawili nas do wiatru! — zawołał bosman, spoglądając ze zdumieniem na porzucone w wysokiej trawie pakunki.

— Co zrobimy bez tragarzy? — zmartwił się Tomek.

Hunter nie tracił głowy. Natychmiast wydał Masajom polecenie, aby znieśli pod stok góry wszystkie bagaże i rozłożyli obóz otoczony kolczastym ogrodzeniem. Na szczęście burza przesunęła się dalej na północ. Pałace słońce znów ukazało się na wypogodzonym niebie, toteż jeszcze przed południem borna była wybudowana, a Smuga odpoczywał w namiocie na łożku polowym. Chociaż był osłabiony, uważnie przysłuchiwał się naradzie towarzyszy. Hunter radził pozostawić większość bagaży i wyruszyć dalej z objuczonymi osłami i końmi, aby szybciej dotrzeć z rannym do fortu w Kampali.

— Dlaczego pan tak nagli do pośpiechu? Czy obawia się pan, że zraniono mnie zatrutym nożem? — odezwał się Smuga.

Tomek z podziwem spojrział na domyślnego przyjaciela, a potem na Huntera, który odparł po prostu:

— A czy panu, znającemu tak doskonale zwyczaje afrykańskich Murzynów, nie przyszła podobna myśl do głowy?

Smuga uniósł się z wysiłkiem. Wydobył z kieszeni fajkę, nabił ją tytoniem, zapalił, po czym odpowiedział:

— Prawdopodobnie ostrze noża było nasycone trucizną. Od wczoraj jestem tego nawet pewny.

— I ty to mówisz z takim spokojem? — oburzył się Wilmowski. — Nie spodziewałem się po tobie podobnej lekkomyślności.

— Nie gniewaj się, Andrzej, i nie posądzaj mnie o lekkomyślność — odpowiedział Smuga. — Zachowuję spokój, ponieważ rozważyłem wszelkie możliwości i doszedłem do wniosku, że nie ma obecnie powodu do nadmiernych obaw. Przecież gdyby trucizna działała gwałtownie, nie uratowałby mnie nawet najszybszy marsz. Wprawdzie rana na ramieniu jątrzy się i odczuwam w nim dziwny bezwład, lecz jestem pewny, że podczas obfitego krwawienia niewiele trucizny dostało się do krwi. Tak przeważnie bywa przy ranach zadanych nożem. Znam się na tym co nieco. Gorzej jest, gdy grot zatrutej strzały utkwii głęboko w ciele człowieka lub zwierzęcia.

— Czy pan naprawdę sądzi, że nie grozi panu niebezpieczeństwo? — zawołał Tomek chwytając dłoń Smugi.

— Możesz być pewny, że nie spieszno mi do krainy wiecznych łowów. Muszę przecież schwytać okapi, aby przekonać pana Huntera o ich istnieniu. Poza tym lekarz europejski nie na wiele by mi się przydał. Natomiast

miejscowy czarownik mógłby prawdopodobnie dać mi skuteczne lekarstwo. Oni znają tajemnice afrykańskich trucizn.

— Wobec tego powinniśmy jak najszybciej dotrzeć do kabaki Bugandy. Kto jak kto, ale taki król musi mieć najlepszych czarowników — entuzjasmował się Tomek.

— Kabaka Bugandy na pewno jest człowiekiem cywilizowanym i nie wierzy już w moc czarowników — zauważył Wilmowski.

— Nie ulega wątpliwości, że Kabaka nie jest nago biegającym dzikusiem, lecz tak czy inaczej nie brakuje na jego dworze czarowników — wyjaśnił Hunter. — Niełatwo przecież wykorzeń przesady wśród krajowców. Dobrze byłoby wiedzieć, jakiej trucizny używają Kawirondo. Szkoda, że napastnik nie zgubił noża podczas walki.

— Czy to zmieniłoby stan chorego? — powątpiewająco zapytał Tomek.

— Znalezienie noża wiele by nam pomogło — odparł Hunter. — Przeważnie na końcu ostrza jest wyżłobienie, w które wsącza się trucizna wlewana na dno szczelnie dopasowanej pochwy. Znacząca tutaj trucizna mógłby zbadać zawartość wyżłobienia i stwierdzić rodzaj trucizny. Szkoda jednak czasu na próżną gadaninę. Lepiej się zastanówmy, co poczniemy teraz porzuceni przez tragarzy?

— Ależ to beznadziejna sytuacja — powiedział Tomek z tak zaniepokojonym wyrazem twarzy, że towarzysze natychmiast zaczęli go pocieszać.

— Nie jest znów tak źle. Gorsze historie przydarzały się niektórym podróżnikom — powiedział Wilmowski.

— Czy chcesz powiedzieć, tatusiu, że nie tylko nas porzucili tragarze?

— Właśnie to mam na myśli. Wspomniałem wam już o polskim podróżniku Rehmanie. Otóż w czasie jednej z wędrówek po Afryce Południowej powziął zamiar zbadania rzeki Limpopo. Odradzano mu urządzenie wyprawy w porze letniej ze względu na niezdrowy klimat okolicy, lecz Rehman, niepomny ostrzeżeniu, najął przewodnika oraz kilkunastu tragarzy i wyruszył w drogę. Wkrótce tragarze zaczęli mu płać różne psikusy. Opóźniali pochód udając zmęczenie, rozkładali obóz, gdzie im się podobało, naciągali podróżnika na dodatkowe wynagrodzenie, a w końcu nie chcieli iść podczas deszczu. Pewnego dnia po dużej burzy przewodnik i dwaj tragarze

zniknęli jak kamfora, zabierając część rzeczy Rehmana. Następnego dnia na każdym postoju tragarze po kilku uciekali wraz z ładunkiem.

Jeszcze dziesięć dni drogi dzieliło Rehmana od Limpopo, a było przy nim zaledwie trzech Murzynów. Niebawem ci również uciekli. Rehman pozostał sam w bezludnej, o niezdrowym klimacie pustyni, zamieszkaney jedynie przez dzikie zwierzęta.

— I co zrobił w tak okropnym położeniu? — niecierpliwił się Tomek, ciekaw zakończenia przygody przypominającej ich własną.

— Usiadł na kamieniu i zaczął się zastanawiać, co ma począć dalej. Znał podobne przypadki porzucenia podróżników. Taki właśnie los spotkał niemieckiego badacza Karola Maucha, który w Transwalu został okradziony i opuszczony przez swych ludzi. Mauch znajdował się wtedy w dość gęsto zaludnionej okolicy, znalazł więc niebawem innych tragarzy i szczęśliwie zakończył wyprawę. Inny niemiecki podróżnik, Edward Mohr, podczas wędrówki do rzeki Zambezi, w odległości trzech dni drogi od Wodospadów Królowej Wiktorii został również opuszczony przez tragarzy. Znakomity myśliwy ukrył wszystkie swe rzeczy w dżungli, wziął tylko strzelbę oraz kilkadziesiąt naboji i poszedł dalej utartą od czasów Livingstona drogą.

Rehman nie był myśliwym i nie mógł liczyć na niczyją pomoc w bezludnej pustyni. Deszcz jakby się nad nim zlitował i przestał padać, postanowił więc przez kilka dni zbierać w okolicy różne okazy roślin. Wkrótce deszcz znów się rozpadł. Wtedy Rehman uległ atakowi malarii. Mimo wielkiego osłabienia zabrał nazajutrz trochę żywności, koc oraz puszkę z okazami botanicznymi i ruszył w drogę powrotną. Po dwóch dniach udało mu się dowlec w zamieszkałe strony.

— To była naprawdę niebezpieczna przygoda — przyznał Tomek. — Teraz widzę, że nasza sytuacja jest o wiele lepsza. Jest nas kilku, a wystarczy przecież wdrapać się na tę górę, u której stóp rozbiliśmy nasz obóz, aby rozejrzeć się po okolicy za najbliższą wioską murzyńską!

— Przednia myśl! — zawołał bosman.

— Przecież pan nie lubi się wspinać na góry!

— Konieczność zmusza człowieka do różnych rzeczy. Łyknę tylko trochę jamajki na wzmocnienie i zaraz ruszamy.

— Dobrze, idźcie na zwiady — zgodził się Wilmowski. — Zabierzcie broń i lunetę. Zachowajcie ostrożność.



— Nie obawiaj się o nas, tatusiu. Szybko wejdziemy na szczyt góry i wkrótce wrócimy, na pewno z dobrymi wieściami. Dingo, chodź ze mną!

Bosman i Tomek poprzedzani przez psa zniknęli wśród zarośli okalających górę. Przez jakiś czas obchodzili wokół jej podnóże, aby znaleźć łagodniejsze zbocze. W miejscu, gdzie rozłożyli obóz, wzniesienie opadało niemal prostopadłą ścianą, uwieńczoną na szczycie rumowiskiem wielkich głazów. Przewidywania dwóch przyjaciół sprawdziły się: wschodni stok sięgał tarasami do samego szczytu. W milczeniu wspinali się z jednego wzniesienia na drugie, aż w końcu natrafili wśród drzew na wydeptaną przez jakieś dzikie zwierzęta ścieżkę. Dingo natychmiast zaczął węszyć i pobiegł pierwszy z pochylonym ku ziemi łbem.

— Oho, Dingo poczuł jakąś zwierzynę — zauważył Tomek.

— Weź go lepiej krótko na smycz, bo gotów nam jeszcze wypłoszyć z tych krzaków jakieś afrykańskie dziwadło — doradził bosman. — Niechby tak tu wypadła na wąską ścieżkę jakaś większa sztuka, to nie będziemy nawet mieli dokąd uciekać. Dingo, do nogi!

Pies powrócił niechętnie. Tomek uwiązał go na smyczy; znów ruszyli pod górę. Kilkadziesiąt metrów przed skalistym, płasko ściętym szczytem kończył się las. Dalej ścieżyna wiodła przez karłowate kłujące krzewy i ginęła pomiędzy głazami zalegającymi szczyt.

Gdy bosman i Tomek mijali już krzewy, Dingo nagle przystanął strzygąc uszami. Sierść zjeżyła mu się na karku. Szczęząc kły warknął głucho. Tomek i bosman zatrzymali się zdziwieni.

— Co to ma znaczyć? — mruknął bosman, wsuwając rękę do kieszeni, w której nosił rewolwer.

— Dingo musiał zwęszyć coś podejrzanego — szeptem odparł Tomek. — Pewno jakiś zwierz ukrył się tutaj.

— Nie pleć głupstw, brachu! — zaoponował bosman. — Jakie głupie bydlę kryłoby się wśród nagich skał?

— Może to górskie kozy? Niech pan spojrzy! Dingo nie zachowuje się tak przy spotkaniu ze zwierzyną!

Pies patrzył mądrymi ślepiami na łowców i odwracając co chwila głowę, obnażał duże kły.

— On nas wyraźnie ostrzega przed niebezpieczeństwem — szepnął Tomek.

Naraz na samym szczycie rozległ się przyciszony ludzki krzyk. Zaraz też łowcy usłyszeli jakby odgłos toczonego po skale kamienia. Bosman wydobyl z kieszeni rewolwer i dał znak chłopcu, aby podążył za nim. Pod osłoną krzewów czołgali się aż do pierwszych skał; dalej sunęli od kamienia do kamienia. Teraz nie mieli już jakichkolwiek wątpliwości. Jacyś ludzie przetaczali głazy na szczycie góry. Wyraźnie było słyszeć ich świszczące z wysiłku oddechy oraz chrapliwe nawoływania. Bosman przycupnął za występem skalnym. Ostrożnie wychylił głowę. Po chwili szepnął:

— Zerknij, brachu, co oni tam majstrują!

Chłopiec wysunął głowę i zdumiał się. Oto dwóch nagich Murzynów z wysiłkiem toczyło olbrzymi głaz po niewielkiej pochyłości ku krawędzi szczytu, gdzie ułożono już sporą piramidę większych i mniejszych kamieni. Trzeci człowiek musiał znajdować się za głazem. Grubym drągiem podważał i popychał ciężki kamień, który zasłaniał go teraz przed łowcami. Tomek przyglądał się Murzynom. Mięśnie naprężyły się pod ich brunatną, pokrytą potem, błyszczącą skórą. Dobywając resztek sił, pchali wielki ciężar. Jeszcze dwa lub trzy metry i głaz sam potoczy się po pochyłości, uderzy w piramidę, a wtedy lawina kamieni runie w dół ze szczytu góry. Tomek struchlał. Przecież głazy ułożone były na krawędzi prostopadłej ściany, u której stóp znajdował się obóz wyprawy. Zaledwie myśl ta przyszła mu do głowy, cofnął się i chwyciwszy bosmana za rękę szepnął:

— Zasadzka! Oni zamierzają strącić lawinę głazów na obóz!

— Kubek w kubek to samo pomyślałem — cicho odparł bosman. — Musimy temu zapobiec. Ilu ich tam jest?

— Aż trzech!

— Damy chyba radę. Spróbuję unieszkodliwić drani, a ty stój tutaj z pukawką w pogotowiu. Gdyby było ze mną krucho, pociągnij za cyngiel. Tylko mierz dobrze, bo to walka o życie — cicho dodał marynarz niespokojnie spoglądając na chłopca.

Tomek pobladł straszliwie — miał strzelać do ludzi. Otarł dłonią zroszone potem czoło i niepewnie ujął sztucer.

— To mordercy! Jeżeli się poszkapimy, zabiją nas wszystkich — syknął bosman.

Odetchnął lżej, widząc, że ręce chłopca przestały drżeć. Tomek uniósł się z ziemi ze sztucerką gotowym do strzału.

— Uważaj teraz! — polecił bosman wysuwając się ostrożnie z za skalnego załomu.

W tej właśnie chwili silnie podważony przez Murzynów głaz potoczył się o cały obrót, odsłaniając ukrytego dotąd przed wzrokiem łowców trzeciego mężczyznę. — Zaledwie Tomek spojrzał na niego, zapomniał o ostrożności i krzyknął:

— Castanedo!

Bosman zaklął po marynarsku. Skoczył ku Murzynom, którzy stanęli jak wryci ujrzawszy nieoczekiwanego wroga. Tymczasem Dingo, podrażniony krzykiem Tomka, wyrwał smycz z jego dłoni. Kilkoma susami doskoczył do Castaneda. Płowe cielsko śmignęło w powietrzu, lecz handlarz niewolników błyskawicznie przykucnął i pies przeleciał nad nim. Dingo natychmiast rzucił się ponownie do ataku. Castanedo wyszarpnął z za pasa długi nóż. Pies przyczaił się szczerząc kły. Bosman runął jak burza na dwóch Kawirondo: jednego uderzył w kark ręką rewolweru, drugiego grzmotnął pięścią między oczy i zaraz odwrócił się do Castaneda, który z nożem w dłoni cofał się przed psem ku prostopadle ściętej krawędzi góry.

— Dingo, do nogi! — krzyknął bosman.

Pies przystanął warcząc głucho. Bosman krok za krokiem zbliżał się do Mulata. Castanedo pochylił się i skurczył. Widać było, że zaraz zaatakuje.

— Rzuć nóż, draniu! — rozkazał bosman.

Castanedo nic nie odrzekł. Wolno unosił ostrze w górę, błyskając groźnie pełnym nienawiści okiem. Dingo warknął ostrzegawczo.

— Rzuć nóż na ziemię! — powtórzył bosman.

Castanedo cofnął się trochę, by nabrać rozpędu.

Bosman oparł na biodrze prawą dłoń uzbrojoną w rewolwer i nacisnął spust. Huknął strzał! Po twarzy Castaneda przebiegł skurcz. Bosman naciskał spust raz po razie. Mieszaniec zwinął się jak pod smagnięciem bicia i runął w przepaść.

Marynarz z rewolwerem gotowym do strzału odwrócił się ku powalonym uprzednio wrogom, ale uspokoił się zaraz, gdy spostrzegł, że Tomkowi nic od nich nie grozi. Chłopiec stał z opuszczoną w dół lufą sztucera i przerażonym wzrokiem spoglądał na bosmana.

— Nic ci się nie stało? — szybko zapytał marynarz, zaniepokojony wyglądem przyjaciela.

— Nic... — wykrztusił Tomek.

— A gdzież to podziali się Kawirondo?

Tomek bez słowa wskazał ręką na pobliskie krzewy.

— Uciekli? A, to czort z nimi tańcował! Niech sobie uciekają, nie są już dla nas groźni. Patrz, pogubili nawet swoje patyki — roześmiał się bosman rubasznie, potrącając nogą leżące na ziemi dzidy.— Coś tak nagle zaniemówił, brachu?

— Pan... zabił... Castaneda!

— Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka — rzekł sentencjonalnie marynarz. — Teraz przynajmniej już nie będzie nam bruździł. No, no, ale Dingo to druh na schwał! Widziałeś, jak odważnie rzucił się na tego drania? Mądry piesek, mądry! Nie skoczył na ślepo, wiedział, że z nożem nie ma żartów!

Dingo otrząsnął się, jakby wyszedł z wody. Sierść opadła mu na karku. Otarł łeb o nogi bosmana, po czym podbiegł do chłopca. Tomek pogłaskał go w milczeniu, starając się zapanować nad drżeniem ręki.

## NA DWORZE KABAKI BUGANDY

— Zerknij no, brachu, a zaraz nabierzesz lepszego ducha — zawołał bosman podając chłopcu lunetę, przez którą rozglądał się po okolicy.

Tomek spojrział we wskazanym przez towarzysza kierunku. W dali srebrzyły się wody jeziora. Ponad zielenią bujnie porastającą jego brzeg unosiły się smużki dymu. Nie ulegało wątpliwości, że znajdowała się tam wioska murzyńska. Wąwozem, który wiódł wprost do stóp góry służącej za punkt obserwacyjny, kroczyło sześciu ludzi z karabinami przerzuconymi przez plecy. Ubiór ich świadczył o przynależności do formacji wojskowej. Tomek domyślił się z łatwością, że był to patrol angielski. Ucieszony zawołał:

— Żołnierze zbliżają się do naszego obozu!

— Anglik i krajowcy w służbie angielskiej — przytaknął bosman. — Strzelmy w górę, żeby zwrócić ich uwagę!

Oddali salwę. Żołnierze usłyszeli strzały. Biały dowódca oddziału machnął ręką i przyspieszył kroku. Bosman przeszukał pobliskie krzewy, lecz po dwóch zbiegłych Murzynach nie było ni śladu. Łowcy bez zwłoki postanowili wracać do obozu. Przebyli już połowę drogi, gdy nie opodał rozległy się strzały karabinowe. Bosman i Tomek znów wystrzelili w górę.

Wkrótce spotkali zdążających im na pomoc Huntera i trzech Masajów. Tropiciel odetchnął z ulgą stwierdziwszy, że Tomek i bosman wyszli cało ze spotkania z mściwym Castanodem. Okazało się bowiem, że huk strzałów, a następnie stoczenie się z góry człowieka nie uszło uwagi łowców pozostałych w obozie. Sambo i Mescherje odnaleźli martwe ciało — rozpoznali Castaneda. Ujrzawszy go, myśleli, że musiał stoczyć zacieklą walkę przed upadkiem w przepaść. Wilmowski wraz z resztą łowców nie mieli żadnych wątpliwości, że to właśnie Tomek i bosman natknęli się na handlarza niewolników. Ilu jednak było nieprzyjaciół i jak skończyło się starcie, nikt z nich nie mógł odgadnąć, toteż Hunter z Masajami natychmiast ruszyli na pomoc.

Wilmowski i Smuga z niepokojem oczekiwali na powrót towarzyszy. Ucieszyli się widząc ich całych i zdrowych. Bosman jeszcze raz musiał opowiedzieć przebieg wydarzeń, a gdy skończył, Smuga odezwał się:

— Pechowiec z tego Castaneda. Nie miał do was szczęścia. Zasłużył sobie na to, co go spotkało. A teraz obejrzyjcie nóż znaleziony przy nim.

Bosman wziął do ręki niezbyt duży nóż i wydobył go z pochwy. W rowku wypiłowanym na końcu ostrza znajdowała się lepka ciecz.

— Ostrożnie, bosmanie, nóż jest nasycony trucizną — uprzedził Hunter.

— Zauważyłem. Czy tym nożem zadano panu Smudze cios? — zapytał bosman.

— Jestem pewny że to Castanedo dokonał napadu — odparł tropiciel.

— Jeżeli tak jest naprawdę, to teraz będzie można ustalić rodzaj trucizny i pan Smuga szybko wyzdrowieje — uradował się Tomek.

— Daj Boże, by tak było! — westchnął Wilmowski.

— Powiadacie, że patrol angielski podąża w naszą stronę? — zapytał Smuga.

— Tak, tak, widzieliśmy żołnierzy jak na dłoni — zapewnił chłopiec. — Bosman twierdzi, że to Anglik na czele krajowców. Przy ich pomocy na pewno znajdziemy nowych tragarzy.

Patrol nadszedł niebawem. Dowodził nim młody Anglik, sierżant Blake, który się żywo zainteresował kłopotami podróżników. Wilmowski opowiedział mu o niecnej działalności Castaneda. Blake przesłuchał Samba jako świadka i spisał protokół. Następnie bez jakichkolwiek ceregieli polecił swym żołnierzom pochować handlarza niewolników u stóp góry. Zapewnił też podróżników, że współdziałanie Kawirondo z Castanodem nie ujdzie im bezkarnie.

Od Blake'a podróżnicy dowiedzieli się, że w forcie w Kampali nie ma obecnie lekarza, ponieważ towarzyszy on specjalnej komisji<sup>133</sup>, która przybyła do Ugandy w celu znalezienia środków zaradczych przeciw śpiączce.

— Jeżeli tak sprawy wyglądają, to musimy się jak najszybciej znaleźć u kabaki Bugandy. Może jego znachorzy będą w stanie pomóc panu Smudze — orzekł Hunter.

— Jest to jedyne, co możecie, panowie, w tej chwili uczynić — przyznał Blake. — Kabaka ma niezłych czarowników–znachorów, którzy, jak można przypuszczać, niejedną już truciznę sporządzili. Przypuszczalnie znajdą skuteczny lek dla rannego. Radziłbym łodzią przewieźć chorego do Bugandy.

<sup>133</sup> — W 1903 r. specjalna ekspedycja angielska badała w Ugandzie przyczyny rozpowszechniania się śpiączki. Ustalono wtedy, że gorączka jest pierwszym stadium choroby.

— Co pan na to, panie Hunter? — zapytał Wilmowski. — Chyba skorzystamy z tej rady?

— Jazda łodzią mniej zmęczy pana Smugę — odparł tropiciel. — Ja zabiorę juczne zwierzęta i konno z dwoma Masajami podążę brzegiem wokół jeziora, natomiast pan z resztą towarzyszy i bagażami możecie popłynąć łodziami. Spotkamy się w Bugandzie.

— Przyłączę się do pana. Jadąc na szkapie lepiej przyjrzę się okolicy — wtrącił bosman Nowicki.

Wilmowski poprosił Blake'a o pomoc w wynajęciu łodzi. Sierżant okazał się bardzo uczynnym człowiekiem. Natychmiast sprowadził kilkudziesięciu Murzynów Luo. Przy ich pomocy karawana szybko znalazła się w wiosce leżącej nad brzegiem Jeziora Wiktorii. Wilmowski nie targował się z naczelnikiem murzyńskim o wysokość wynagrodzenia, toteż niebawem przygotowano cztery długie i mocne łodzie sporządzone z wypalonych, dużych pni drzewnych. W czasie przeładunku juków na nie Tomek z bosmanem rozglądali się po małym osiedlu. Zamieszkali w nim Murzyni Luo trudnili się połowem ryb tilapia, które nazywali ngege. Młode i stare półnagie kobiety bądź siedziały beczynn timer przed chatami paląc długie gliniane fajki, bądź też gotowały pożywienie. Bosman ofiarował im dodatkowo dwie garstki tytoniu; przyjaźnie więc spoglądały na białych łowców i przynaglały swych mężów do pośpiechu. Na jednej łodzi sporządzono dla Smugi wygodne posłanie, nad którym umieszczono palankin pokryty brezentem. Pozostali na łodzi Hunter i bosman strzałami rewolwerowymi pożegnali odpływających towarzyszy.

Tomek zajął miejsce w łodzi obok Smugi. Co chwila wypytywał go o nazwy różnorodnych ptaków przelatujących nad wodami jeziora; jak statki powietrzne spokojnie żeglowały w górze wielkie pelikany, stada płochliwych flamingów, ibisów, kormoranów, a także regularne klucze żurawi.

— Prawdziwy ptasi raj — powiedział Tomek, obserwując skrzydlate mrowie. — Ciekaw jestem, czy można tu spotkać bociany odlatujące z Polski na zimę do Afryki?

— Jestem tego pewny. Z samej Anglii przylatuje w te okolice około sześćdziesięciu gatunków ptaków — wyjaśnił Smuga.

— Szczęśliwe ptaki, kiedy tylko chcą, wracają do swych dalekich gniazd i wszyscy ludzie cieszą się z ich powrotu. Tymczasem tatuś i pan

bosman nie mogą nawet odwiedzić rodzinnego kraju. Ile to niesprawiedliwości na świecie — filozofował chłopiec.

— Nie zazdrość wędrownym ptakom — odpowiedział Smuga. — Nie mają one tak beztroskiego życia, jakby się mogło wydawać. Nie zdajesz sobie chyba sprawy, ile ich ginie w czasie przelotów. Poza tym nie wszystkie ptaki swym przylotem sprawiają ludziom radość.

— A to dlaczego? — zdziwił się Tomek. — W Polsce każdy się cieszy na widok powracających boćków. Nikt też nie niszczy ich gniazd budowanych na wiejskich strzechach.

— To prawda, mamy wiele sentymentu dla naszych bocianów, lecz pewne ptaki wyrządzają ludziom wielkie szkody. Gdybyś się trudził rybołówstwem, przylot niektórych skrzydlatych żarłoków nie sprawiłby ci zbytnej radości. Przyjrzyj się tym dużym ptaszyskom tak zaciekle łowiącym ryby w jeziorze.

Tomek spojrział we wskazanym kierunku i ujrzał ptaki o połyskliwych, brązowych grzbietach i skrzydłach. Co chwila rzucały się w wodę zanurzając swe zielono—czarne głowy i szyje z białymi gardłami.

— Przecież to są kormorany<sup>134</sup>! — zawołał.

— Właśnie na nie chciałem zwrócić twoją uwagę — z uśmiechem potwierdził Smuga.

— Nie rozumiem, dlaczego przylot kormoranów może być niemile widziany przez ludzi, skoro słyszałem, że Chińczycy specjalnie je hodują i umyślnie przyuczają do rybołówstwa. Już choćby z tego wynika, że są bardzo pożytecznymi ptakami.

— Jedyne cierpliwi Chińczycy potrafili w ten sposób wykorzystać kormorany, które gdzie indziej stają się często prawdziwą plagą dla rybaków z powodu swej olbrzymiej żarłoczności.

— Nic o tym nie słyszałem, może by mi pan coś o nich opowiedział? Zawsze je uważałem za bardzo pożyteczne dla człowieka.

— Wiesz pewnie, że ojczyzną kormoranów jest środkowa i północna Europa, Azja i Ameryka Północna. Na zimę wędrują one w strony południowe. Kormorany wybornie pływają i nurkują, lecz na łądzie nie umieją prawie wcale chodzić. Gniazda swe budują często na drzewach. Na północy, w okolicach bezdrzewnych, gnieźdzą się w rozpadlinach skalnych. Nieraz

---

<sup>134</sup> — *Phalacrocorax carbo*



wciskają się do czaplich gniazd i wypierają je z ich siedzib. Żyją gromadnie i mają liczne, równie żarłoczne potomstwo, toteż pobliskie wody bywają przez nie doszczętnie ogałacane z ryb. Przy tym pomiot ich zakaża dokoła powietrze na znaczną odległość. Również z tego względu kormorany nie są miłym sąsiadem dla człowieka.

Na podobnych rozmowach żegluga po Jeziorze Wiktorii szybko im schodziła. Tomek w chwilach odpoczynku Smugi gawędził z Sambem. Oczywiście dyskusje te odbywały się w dużej mierze na migi, ponieważ Sambo niewiele znał słów angielskich, za to Tomek uczył się szybko narzecza krajowców, co mu się mogło bardzo przydać podczas wyprawy.

Wiadomość o zbliżaniu się łowców dzikich zwierząt do Bugandy musiała ubiec naszych podróżników, trzeciego dnia żeglugi ujrzeli bowiem płynącą z zachodu łódź, w której, jak się później okazało, przybył na ich powitanie wysłannik kabaki. Był to wysoki młodzieniec ubrany w płaszcz z koziej skóry, strojny w sznury paciorków i ptasie pióra.

W imieniu króla Daudi Chwa zaprosił białych łowców na „*dwór królewski*”.

Podróżnicy ucieszyli się tak wielkim dowodem gościnności. Podejrzewali, że to sierżant Blake specjalnie uprzedził murzyńskiego władcę, aby wynagrodzić im dotychczasowe przykrości. Oczywiście Wilmowski wręczył wysłannikowi cenne upominki i zapewnił go o swej wdzięczności dla młodego króla.

Zaledwie łodzie przybiły do brzegu, oddział zbrojnych wojowników otoczył białych łowców. Pod opieką eskorty wkroczyli do stolicy prowincji, witani biciem w kotły i bębny.

Sambo maszerował dumnie na czele i powiewał polską flagą, podczas gdy łowcy i Masajowie obwieścili swe przybycie palbą z karabinów.

Rój mężczyzn, kobiet i dzieci zgromadzonych na obszernym placu wydawał przyjazne okrzyki, powiewał wielkimi flagami. Premier, jako przedstawiciel rady narodowej<sup>135</sup> Bugandy, oraz wodzowie poszczególnych plemion powitali przybyszów w imieniu króla.

---

<sup>135</sup> — Kabaka, czyli król Bugandy, rządził przy pomocy rady narodowej lukiko; w jej skład wchodził trzech ministrowie: katikiro — premier, omulamuzi — minister sprawiedliwości, omuwanika — minister skarbu, i wodzowie poszczególnych plemion.

Podróżnicy zdziwili się tak uroczystym przyjęciem. Starali się też odplacić Bugandczykom jak największą serdecznością. Katikiro wprowadził gości do chat dla nich przeznaczonych oraz zaofiarował im trzy tuczne byki, cztery kozy, cztery barany, sto kiści bananów, dwa tuziny drobiu, dzbany mleka i kosze jaj. Jednocześnie zapowiedział, że Kabaka Daudi Chwa przyjmie ich nazajutrz na specjalnym posłuchaniu.

Zachęcony wielką gościnnością Bugandczyków Wilmowski powiedział o zranieniu Smugi zatrutym nożem i poprosił o pomoc dla niego. Katikiro oznajmił, że przyśle zaraz kilku miejscowych lekarzy, którzy zrobią wszystko, co będzie w ich mocy, aby białemu łowcy przywrócić zdrowie.

Zaledwie podróżnicy pozostali w chacie sami, Tomek klasnął w dłonie i zawołał:

— Jaka szkoda, że nie ma tu z nami bosmana! On sobie nigdy nie daruje, że minęło go tak wspaniałe powitanie. Pan Hunter także się zdziwi, gdy mu o tym opowiemy.

— Sam jestem nie mniej zaskoczony tak uroczystym przyjęciem — przyznał Wilmowski.

— Może się jeszcze dowiemy, czemu zawdzięczamy tyle zaszczytów — dodał Smuga. — Jak na afrykańskich krajowców, przyjmują nas naprawdę po królewsku.

Dociekania na temat szumnego przyjęcia w Bugandzie zostały przerwane wejściem białego mężczyzny z kilkoma starymi Murzynami, ustrojonymi w szklane korale oraz pazury i kły lamparcie.

— Witajcie, panowie, w samym sercu Afryki! Mili goście, naprawdę mili i niespodziewani goście. Jestem Mac Coy. Przebywam przy tutejszym kabace jako... sekretarz — powiedział biały mężczyzna. — Powiadomiono mnie o wypadku jednego z członków ekspedycji i chociaż sam znam się coś niecoś na tutejszych truciznach, to jednak przyprowadziłem najlepszych lekarzy kabaki. To pan zapewne potrzebuje pomocy?

Mac Coy podszedł do posłania, na którym spoczywał Smuga.

— Zraniono mnie, jak przypuszczam, zatrutym nożem — odparł podróżnik.

— Rana jątrzy się, a chory traci siły i staje się coraz bardziej apatyczny — dodał Wilmowski. — Niech pan spojrzy!

Wilmowski obnażył ramię Smugi. Mac Coy pochylił się nad, chorym, przyjrzał się uważnie ranie, po czym zaczął macać opuchlinę.

— Ile dni minęło od zadania rany? — zapytał, a gdy otrzymał odpowiedź, mruknął: — Źle, źle, trucizna już jest we krwi.

Skinął na „lekarzy”, którzy z powagą przyglądali się ranie, wachali ją i dotykali palcami szepcząc coś do siebie. Oryginalne konsylium trwało dłuższą chwilę. Naraz Tomek zawołał:

— Tatusiu, dlaczego nie pokażesz panom noża, którym zraniono pana Smugę?

— Czy naprawdę macie panowie ten nóż? — zapytał Mac Coy.

— Syn mój niezupełnie ściśle się wyraził — odparł Wilmowski. — W rzeczywistości podejrzewamy jedynie, że przyjaciel nasz został zraniony nożem zabranym pewnemu murzyńskiemu mieszańcowi.

— Proszę pokazać ten nóż — powiedział Mac Coy.

Obejrzał uważnie ostrze, a potem podał je staremu znachorowi. Murzyn paznokciem wyskrobał z rowka ostrza odrobinę ciemnej mazi i roztarł ją na własnym języku. Długo mlaskał przymknąwszy powieki, po czym splunął zamasyście na podłogę i mruknął:

— Kawirondo robią tę truciznę. Ona działa wolno, ale dobrze.

— Tak właśnie przypuszczałem — zafrasował się Mac Coy. — Czy panowie wycisnęli ranę?

— Pan Hunter przemył ją i zaraz zabandażował — wyjaśnił Tomek.

— Syn mój był przy nakładaniu pierwszego opatrunku — uzupełnił Wilmowski.

— Trzeba było mocno wyssać ranę — powiedział Mac Coy zaniepokojony. — Czy duży był upływ krwi?

— Wydaje mi się, że duży — odpowiedział Smuga.

— Ha, nic już tu nie poradzę. Musimy się zdać na... krajowych lekarzy — smutno powiedział Mac Coy.

— Zgoda, niech czarownicy robią swoje — uśmiechnął się Smuga.

— Z rozkazu kabaki polecam wam zająć się rannym — zwrócił się Mac Coy do Murzynów. — Postarajcie się przywrócić siły białemu człowiekowi, którego naród nigdy nie walczył z czarnymi ludźmi zamieszkującymi Afrykę.

— Skąd pan wie, że nasz naród nie walczył z afrykańskimi Murzynami? — zawołał zdumiony Tomek.

— Funkcję sekretarza młodego kabaki objąłem za zgodą władz angielskich. Jestem jednak Szkotem i cenię wszystkich ludzi walczących o swą wolność — odparł Mac Coy. — Sierżant Blake przysłał mi specjalną wiadomość. Wiedziałem więc, że mamy się spodziewać przybycia wyprawy Polaków, a ja przecież znam trochę waszą historię. Po moim wyjaśnieniu kabaka polecił przyjąć was z honorami należnymi przedstawicielom walecznego i przyjaznego Murzynom narodu.

— A więc po części panu zawdzięczamy tak gościnne przyjęcie — serdecznie powiedział Wilmowski.

Tomek nie miał czasu przysłuchiwać się dalszej rozmowie, uwagę jego pochłonęli czarownicy–znachorzy, zwani tak szumnie przez Szkota „*krajowymi lekarzami*”. Nucąc monotonną pieśń, sypali zioła i kawałki korzeni do garnka z wrzącą wodą, po czym wywar dali rannemu do wypicia. Z kolei zanurzyli w garnku jakieś gąbczaste rośliny, obłożyli nimi ranę na ramieniu, a następnie nakryli Smugę grubym kocem.

Z mocno bijącym sercem spoglądał Tomek na rannego. Grube krople potu wystąpiły mu na czoło. Wkrótce po wypiciu wywaru z ziół zapadł w mocny sen. Teraz czarownicy odkryli ranę, która pod wpływem okładu napęczniała i nabrała czerwono–żółtego koloru. Najstarszy z czarowników rozorał ją ostrzem noża opalonym w ogniu. Zaczął wysysać ustami krew i materię, wypluwając je na rozżarzone węgle. Ranny stękał przez sen. Murzyn ugniatał rękoma i ssał ranę przy akompaniamencie monotonnego śpiewu pozostałych czarowników.

Minęła długa chwila, zanim ukończyli dziwaczny zabieg. Z kolei obłożyli ranę liśćmi moczonymi w innym wywarze ziół i polecili pozostawić Smugę w spokoju aż do dnia następnego.

— Czy pan naprawdę sądzi, że ten rodzaj... kuracji może być skuteczny? — zapytał Wilmowski Szkota po wyjściu znachorów z chaty.

— Wszystko jest możliwe. W rzeczywistości biali ludzie nie zdołali poznać dotąd wielu tajemnic tego dziwnego ładu — odparł Mac Coy. — Kabaka przyjął wiarę anglikańską. Dlatego też jego czarownicy teraz nazywają się lekarzami. Niemal każdy z nich sporządził już niejedną truciznę, aby pomóc komuś przenieść się na inny, lepszy świat. Oni się doskonale znają na truciznach i potrafią sporządzać środki przeciwdziałające.

— Och, żeby im się tylko udało wyleczyć kochanego pana Smugę — westchnął Tomek.

— Nie trać wiary, młody kawalerze, ona najlepiej uzdrawia — odparł Mac Coy, po czym wdał się w rozmowę o Polsce oraz o zamierzeniach łowców.

Dopiero późnym wieczorem udali się podróżnicy na spoczynek, postanawiając czuwać na zmianę przy rannym przyjacielu. Po dziwnym zabiegu znachorów sen Smugi stawał się coraz spokojniejszy. Nad ranem Wilmowski z zadowoleniem stwierdził, że temperatura niemal całkowicie opadła. Wkrótce Smuga otworzył oczy i powiedział do dyżurującego przy nim Tomka:

— Uf, nareszcie się wyspałem! Miałem sen, że tygrys bengalski z powrotem rozdrapał moją ranę.

— Tygrys zapewne przyśnił się panu, gdy czarownicy naprawdę ją rozdrapali i jeden z nich wyssał pełno krwi i materii — żywo odparł Tomek, ucieszony widoczną poprawą zdrowia rannego.

— Oni się na tym znają — przyznał Smuga. — Czy przybyli już Hunter i bosman?

— Tatuś twierdzi, że możemy się ich spodziewać lada chwila. Chciałbym, żeby byli z nami na audiencji u kabaki. Bosman wiele się spodziewał po wizycie u tutejszego króla.

— Prawda, chciałbym i ja pójść z wami.

— Nie wiadomo, czy to by panu nie zaszkodziło.

Wkrótce w chacie łowców znów się zjawił Mac Coy z „lekarzami”. Tym razem czarownicy zażądali, aby nikt postronny nie przyglądał się ich zabiegom. Mac Coy zaprowadził więc Wilmowskiego i Tomka do sąsiedniej izby, a następnie matą zasłonił otwór pomiędzy dwoma pomieszczeniami.

— Dlaczego się nie zgodzili, żebyśmy byli przy chorym? — zapytał Wilmowski.

— Wszyscy Murzyni Bantu wierzą, że każda choroba spowodowana jest rzuconym przez kogoś urokiem — wyjaśnił Szkot. — Są również przekonani o wielkiej władzy umarłych, od których woli zależy wyzdrowienie, deszcz lub urodzaj. Wydaje się im także, że niektórzy ludzie mogą czynić nadzwyczajne rzeczy, jak na przykład przyjmować postać jakiegoś zwierzęcia, niszczyć zasiewy, bydło sąsiadów bądź rzucać urok sprowadzający chorobę. Z tych

zapewne powodów mają zamiar odczynić urok uniemożliwiający rannemu odzyskanie zdrowia. Oni nie lubią ujawniać przed obcymi swych obrzędów, czarodziejskich.

— Znam przesady murzyńskie, ale przecież twierdził pan, że kabaka przyjął anglikanizm — zdumiał się Wilmowski.

Szkot uśmiechnął się i odrzekł:

— Niełatwa jest tutaj moja rola. Aby zdobyć zaufanie Murzynów, trzeba okazać wiele wyrozumiałości. To jest pionierska praca w dzikim kraju. Czym ja tu już nie byłem! Budowniczym, cieślą, stolarzem, lekarzem, rolnikiem, hodowcą bydła i plantatorem, krawcem, kucharzem, a nawet myśliwym. Przede wszystkim jednak trzeba umieć pozyskiwać sobie serca ludzi... Wyrozumiałość i tolerancja są najlepszą ku temu drogą. Czarownicy znają się na truciznach i potrafią leczyć ludzi porażonych jadem. Nikt przecież nie poniesie szkody, gdy znachor po zastosowaniu odpowiednich leków odczyni urok według dawnych wierzeń.

Podczas tej dziwnej rozmowy Tomek zaniepokojony o rannego przyjaciela wydłubał palcem dziurkę w macie i zerkał od czasu do czasu do sąsiedniej izby. Wypełniały ją dymy spalanych w ogniu ziół. Jadowity wąż wypuszczony z koszyka pełzał po glinianej podłodze w takt wybijany na bębenku przez jednego znachora, podczas gdy pozostali śpiewali, tańczyli i wykonywali rękoma ruchy, jakby coś za siebie rzucali. Potem znachorzy pochylali się nad ponownie uspionym Smugą, przemywali ranę wywarem ziołowym, poili go jakimś płynem, nakrywali kocem i odkrywali, aż Tomkowi zaczęło się kręcić w głowie. Po dwóch godzinach „*naczelnny lekarz*”, stary zasuszony Murzyn o pomarszczonej twarzy, poprosił ich do łoża rannego.

— Uciszyliśmy chorobę, ona usnęła pod wpływem naszych leków. Trzeba jednak czuwać, aby się nigdy nie obudziła — oświadczył czarownik.

— Czy to ma znaczyć, że nie udało wam się całkowicie wygnać choroby z ciała rannego? — zapytał z niepokojem Mac Coy.

— Nikt tego nie może zrobić, trucizna za długo była w człowieku, ale osłabiliśmy jej działanie. On silny i mocny jak baobab.

— A co będzie, jeżeli choroba się zbudzi? — spytał Mac Coy.

— Różnie może być. Noc zasłoni oczy, zwiąże ręce lub nogi, a może zamknie usta lub myśli... Różnie może być. Teraz niech pije przez siedem dni lek, a potem zobaczymy. Różnie może być.

Wilmowski obdarował czarowników upominkami, a gdy wyszli, zwrócił się do Szkota:

— Cóż to za diagnozę postawił ten dziwny lekarz? Nie mogłem zrozumieć jego słów.

Mac Coy wyjaśnił poważnie:

— Trucizna, którą nasycony był nóż, działa paraliżująco na nerwy. Może ona spowodować utratę wzroku, mowy, paraliż członków, a nawet głównych ośrodków mózgowych. Chory żyje, mimo że wiele jej się dostało do krwi. Nasuwa mi się też myśl, czy on nie był kiedyś uodporniony na działanie niektórych trucizn.

— Przyjaciel mój nie lubi opowiadać o swej przeszłości, lecz wspominał nam, że przebywał dłuższy czas wśród Murzynów w Afryce Równikowej. Możliwe, iż wtedy przyjaźnił się z czarownikiem. Smuga należy raczej do trochę niespokojnych duchów.

— A więc łowca dzikich zwierząt i... niezwykłych przygód? To istotnie wiele tłumaczy. Wierzmy, że wszystko się dobrze skończy.

W tej właśnie chwili rozległo się bicie w bębny i kotły, a wkrótce huknęły strzały karabinowe.

— Wasi przyjaciele przybyli do miasta — oznajmił Mac Coy.

— Hura! — krzyknął Tomek, któremu bardzo brakowało obecności wesołego bosmana. — Chodźmy ich jak najprędzej powitać.





## CIEN' TSE-TSE

Bosman Nowicki przy pomocy Tomka rozpakowywał skrzynię, w której przechowywali swe ubrania, i mówił:

— Kiedy statek zawija do portu, załoga ubiera się odświętnie przed wyjściem na miasto, bo prawdziwego pana poznasz po cholewach. Zaraz widać, że Bugandczyki to prawdziwie kulturalny naród, chociaż większość obywateli paraduje tylko w chałatach lub kozich skórach. Byle dzikusy nie zgotowałyby nam tak szykownego powitania. Jeżeli oni przyjmują nas w ten sposób jako Polaków, to powinniśmy wyglądać jak się patrzy. Sambo, przygotuj migiem wodę do wyszorowania grzesznego cielska!

— Musimy się pospieszyć, bo zaraz po południu mamy iść na audiencję do młodego kabaki — wtrącił Tomek.

— Co nagle, to po diable, ale nie bój się, brachu, będę wkrótce gotowy. Zerknij, co porabia pan Smuga.

Tomek wsunął się do sąsiedniej izby. Powrócił po chwili uradowany.

— Pan Smuga śpi, ale czoło ma zupełnie chłodne. Może ci znachorzy naprawdę mu pomogli? — oznajmił.

— Dziwna figura ten sekretarz kabaki — zauważył marynarz.

— Tatuś jest zdania, że to bardzo rozsądny człowiek. Najlepszy dowód, iż posiada tyle wiadomości o Polakach.

— Widocznie tak musi być, skoro stwierdza to twój szanowny tatuś, który rozprawia o wszystkim, jakby czytał z książki.

— Prędzej, prędzej! Katikiro przyszedł już po białego buanę — zawołał Sambo, wpadając zadyszany do izby. — Biały buana pójdzie do kabaki i będzie z nim długo rozmawiał. Oni już czekają.

— Popatrz, brachu! Bugandczyki zegarków nie mają, lecz punktualności przestrzegają jak strażak na wieży Kościoła Mariackiego w Krakowie, który tak sprawnie wytrąbi każdą godzinę, że według niego możesz regulować nawet najlepszy zegarek.

— To pan mówi, że oni naprawdę nie mają zegarków? — zdziwił się Tomek.

— To się wie, przecież takimi grubymi paluchami nie można złożyć drobnych części zegarka.

— Znów pan żartuje, a tam na nas czekają. Chodźmy prędzej!

Wyszli przed chatę, gdzie oczekiwali już na nich Wilmowski, Hunter i Masajowie z podarunkami przeznaczonymi dla kabaki i jego ministrów. Na czele pochodu ruszył Sambo z polską flagą, za nim udali się łowcy z katikiro i Mac Coyem.

Posiadłość kabaki otaczało wysokie ogrodzenie splecione z trawy słoniowej. Tuż przed bramą stał duży piec wybudowany z kamieni i gliny, a murzyńska służba podsyciała płonący w nim ogień.

— A to pewno królewska piekarnia? — zagadnął bosman przyglądając się oryginalnemu piecowi.

— Pssst! — ostrzegawczo syknął Mac Coy. — W piecu tym dzień i noc pali się święty ogień kabaki, który gaśnie dopiero w chwili śmierci króla.

— Przecież Tomek mówił, że wasz młody kabaka jest wyznania anglikańskiego — cicho usprawiedliwiał się marynarz.

— Tomek dobrze pana poinformował, lecz należy pamiętać, że w Bugandzie tam–tamy zwołują wiernych na nabożeństwo...

— Czort się chyba w tym rozezna — mruknął bosman i zamilkł skonfundowany.

Pałac królewski stanowił obszerny, prymitywnie zbudowany drewniany dom. Uroczyste posłuchanie odbyło się w dużej sali. Kabaka Daudi Chwa miał około dziewięciu lat. Siedział na podwyższeniu pokrytym lamparcimi skórą, przyozdobiony sznurami szklanych pereł i ptasimi piórami. Z ramion jego spływał biały płaszcz. Prawa dłoń opierała się na misternie wykonanej włóczni.

Łowcy zbliżyli się do oryginalnego tronu. Młody kabaka podniósł się i wyciągnął do nich dłoń na powitanie. Tomek, gdy przyszła na niego kolej, uściśnął rękę króla, zerkając jednocześnie na szczerozłoty pas okalający biodra kabaki. Po tym uprzejmym powitaniu katikiro poprosił białych łowców, aby usiedli na żelaznych krzesłach ustawionych obok tronu. Rozpoczęły się oficjalne mowy, które im są dłuższe i bardziej kwieciste wygłaszane, tym bardziej zachwycają Murzynów.

Po wzajemnej wymianie uprzejmości Wilmowski wręczył kabace, ministrom i wodzom obecnym na posłuchaniu podarki. Złożyły się na nie dwa rewolwery, kilka stalowych noży, barwne materiały, szklane perły, drut miedziany, grzebienie oraz puszki konserw. Murzyni głośnymi pochwałami

wyrażali swe zadowolenie. Tomek naraz podniósł się z krzesła. Najbliżej niego siedział bosman Nowicki, który spostrzegłszy ostrzegawcze spojrzenie Wilmowskiego, usiłował przytrzymać go za spodnie, ale już było za późno. Tomek bowiem, powziąwszy jakąś genialną — jego zdaniem — myśl, szybko zbliżył się do tronu kabaki i rzekł:

— Pan Mac Coy powiedział nam, że żywisz, królu, wiele sympatii dla Polaków, chciałbym więc ofiarować ci jakąś pamiątkę z Polski. W dniu wyjazdu z Warszawy na wyprawę do dalekiej Australii wuj podarował mi srebrny zegarek. Na jego kopercie wyryty jest obraz Starego Miasta, przyjmij ten upominek ode mnie.

Mówiąc to, wy dobył z kieszeni swój ulubiony zegarek i podał kabace. Daudi Chwa niezupełnie dokładnie zrozumiał szybko wypowiedzianą mowę, lecz Hunter trącony w bok przez Wilmowskiego przyszedł Tomkowi z pomocą. Powtórzył jeszcze raz w narzeczu krajowców słowa chłopca.

Król wyciągnął rękę po dar.

— Niech pan wyjaśni, że po nakręceniu drugim kluczykiem zegarek wydzwania godziny — zawołał Tomek.

Hunter chrząknął zmieszany, lecz powtórzył wyjaśnienie. Łowcy odetchnęli z ulgą. Młody król z wielkim zainteresowaniem oglądał zegarek. Ministrowi oddał do potrzymania włócznię, potem wskazał na przymocowane do zegarka na łańcuszku dwa kluczyki i odezwał się po angielsku:

— Pokaż mi, jak to się robi!

Tomek zbliżył się do kabaki, nakręcił zegarek, a kiedy ten wydzwonił cichutko godzinę, Daudi Chwa klasnął z uciechy w dłonie i powiedział:

— Dziękuję ci! Bardzo ładny, zabiorę go do Anglii, gdy pojedę tam w przyszłym roku do szkoły.

— A to zabawne, ja też się uczę w Anglii. Może się tam spotkamy? — odparł Tomek.

Bosman Nowicki bawił się doskonale obserwując obydwóch chłopców, lecz Wilmowski i Hunter siedzieli jak na rozżarzonych węglach. Lada chwila mógł prysnąć uroczysty nastrój posłuchania. Widocznie katikiro żywił te same obawy, gdyż chrząknął znacząco. Król zerknął na niego i natychmiast spoważniał, jakby przypomniał sobie dobrze wyuczoną rolę.

— Musisz przyjść do mnie sam, chcę porozmawiać z tobą o szkole — powiedział, nieznacznie mrugając do Tomka.

— Dobrze, przyjdę na pewno — obiecał Tomek i powrócił do swych towarzyszy.

Kabaka skinął głową na katikiro. Premier natychmiast zbliżył się do niego. Przez chwilę szeptali coś obydwaj, po czym katikiro oznajmił Tomkowi, że kabaka ma specjalnego myśliwego, który potrafi oswajać dzikie zwierzęta. Ponieważ łowcy przybyli tu łowić różne okazy, kabaka ofiaruje Tomkowi dwa młode oswojone hipopotamy<sup>136</sup> i poleci swemu nadwornemu myśliwemu wziąć udział w polowaniu białych podróżników.

Audiencja była skończona. W drodze powrotnej do kwatery łowcy wymieniali spostrzeżenia poczynione podczas wizyty u kabaki.

— Pomyślcie, jak ten mały szkrab rządzi sobie Murzynami — mówił bosman. — Kiwnie tylko, a ministrowie biją przed nim głowami o podłogę. Gdyby wszyscy królowie napotykanych po drodze plemion byli tak hojni, wywieźlibyśmy pół Afryki nie ruszywszy nawet małym palcem. Za stary zegarek Tomek raz dwa wycygał dwa hipopotamy.

— Przede wszystkim wcale nie wycygałem ich od kabaki, a po drugie to był mój pamiątkowy zegarek — odciął się chłopiec. — Czy pan już zapomniał, ile trudu kosztowało nas odnalezienie go w kryjówce altanników w Australii?

— Prawda — przyznał marynarz.

Wilmowski zburczał bosmana dowiedziawszy się, że to właśnie on naopowiadał chłopcu, iż Bugandczycy nie mają zegarków i tym samym podsunął mu myśl ofiarowania podobnego upominku. Ostrzegł syna, aby w przyszłości nie mieszał się do oficjalnych rozmów z Murzynami. Okazało się jednak, że Tomek czynem swym zjednał dla członków wyprawy przychylność tak młodego kabaki, jak i jego ministrów. Następnego dnia kabaka ze swoją świtą złożył łowcom wizytę i zaprosił Tomka do siebie. Od tej pory Tomek bywał codziennym gościem młodego króla. Obydwaj bardzo się zaprzyjaźnili i odbyli wspólną wycieczkę w celu obejrzenia ofiarowanych przez kabakę hipopotamów.

---

<sup>136</sup> — Rodzina hipopotamów obejmuje obecnie tylko dwa gatunki żyjące wyłącznie w Afryce. Są to: hipopotam (*Hipopotamus amphibuis*), który zamieszkuje gromadnie bagna, rzeki i jeziora Afryki Środkowej i hipopotam karłowaty (*Choeropsis liberiensis*), zamieszkujący Liberie, Gwinee, Nigerie i Sierra Leone. Hipopotam karłowaty żyje wyłącznie na lądzie w puszczy tropikalnej.

Tomek cieszył się tym darem. Z zapalem opowiadał ojcu i przyjaciołom, jak to „*grubasy*” cały dzień przebywają w wodzie, a wieczorem wychodzą na ląd, gdzie myśliwy przygotowuje dla nich pożywienie w dużym drewnianym korycie. Uzgodniono, że łowcy zabiorą hipopotamy w drodze powrotnej.

Po tygodniu Smuga czuł się znacznie silniejszy i mógł odbywać samodzielnie dłuższe spacer. Teraz łowcy postanowili ruszyć w drogę. Wilmowski, Hunter i Smuga opracowali starannie dalszą marszrutę wyprawy. Wiodła ona wzdłuż rzeki Kotonga do Jeziora Jerzego, a dalej do Katwe nad Jeziorem Edwarda. Pomędzy południowym krańcem Gór Księżycowych i północnym wybrzeżem Jeziora Edwarda znajdował się wąski pas równiny. Tędy właśnie postanowili wkroczyć do Konga<sup>137</sup>, gdzie w dżungli Ituri mieli tropić goryle i okapi.

W przeddzień wymarszu podróżnicy udali się do kabaki, aby podziękować za miłą gościnę. W imieniu władcy Bugandy katikiro wyznaczył dwudziestu silnych Murzynów. Mieli oni towarzyszyć karawanie jako tragarze. W obecności podróżników zapowiedział im, że w razie nieposłuszeństwa po powrocie do domu zawisną na gałęziach. Razem z tragarzami stawił się również myśliwy królewski, Santuru, by towarzyszyć im na łowach w charakterze doradcy.

Tomek oburzał się na surowość kabaki grożącego tragarzom śmiercią w razie nieposłuszeństwa, lecz Mac Coy zapewnił chłopca, że obecny kabaka jest bardzo łagodny i wyrozumiały w porównaniu ze swymi poprzednikami. Przecież królowie afrykańscy posiadali niemal nieograniczoną władzę nad wszystkimi poddanymi. Niedawne były to czasy, gdy przed i po pogrzebie wodza lub króla składano w ofierze ludzi, żeby umarły miał switę, która by go wprowadziła na tamten świat. Na pogrzebach królów Ugandy i Lundy zabijano niejednokrotnie setki Murzynów.

W huku salw broni palnej karawana opuszczała stolicę Bugandy. Murzyni bili w kotły i bębny, powiewali dużymi flagami, chyląc je przed niesionym

---

<sup>137</sup> — Kongo — dawne niepodległe państwo afrykańskie, utworzone w XIV w. w dolnym biegu rzeki Kongo, podporządkowało sobie większość sąsiednich państweczek, m.in. Loangę. Upadło ostatecznie na przełomie XVIII i XIX w. Na obszarze państweczki plemiennego Loanga powstała w 1960 r. Ludowa Republika Konga. Demokratyczna Republika Konga, do 1970 r. Zair (dawne Kongo Belgijskie), proklamowała swoją niepodległość w 1960 r. Większość ludności państwa stanowią Murzyni Bantu. Około 50 tys. Pigmejów koczują w lasach. Północ i środek kraju pokrywają dżungle, południe zaś sawanny.

przez Samba polskim sztandarem. Karawana raźnie rozpoczęła marsz. Sambo uszczęśliwiony honorami, jakimi darzono białych łowców w Bugandzie, ułożył nowy hymn pochwalny na cześć Tomka. Powiewając sztandarem śpiewał:

*„Mały biały buana jest potężny jak wielka góra!  
On zabił straszego Czarne Oko,  
nie boi się lwów i łapie żywe soko,  
które służą mu jak wielki pies!  
Biały buana nie boi się nawet słonia!  
Każdy kabaka jest wielkim przyjacielem białego buany!  
Biały buana sam jest wielkim kabaka białych i czarnych ludzi...”*

Tomek puszył się jak paw słuchając pieśni. Spod oka spoglądał na bosmana, który od pobytu w Bugandzie nabrał wielkiego animuszu i surowym głosem popędzał tragarzy.

— Jakoś nagle stał się pan bardzo bezwzględny i stanowczy dla naszych Murzynów — zauważył Tomek.

— Podróże po obcych krajach kształcą człowieka — odparł chętnie bosman. — Widziałeś, jak ten nieletni kabaka krótko ich trzyma?

— Wstyd tak postępować, panie bosmanie! Tatuś mówi, że człowiek nie powinien nigdy znęcać się nad człowiekiem.

— Wierzę we wszystko, co mówi twój szanowny rodziciel — odparł bosman zmieszany słuszną uwagą druha i zaraz zmienił temat rozmowy: — Popatrz, ile tu pól uprawnych! Kukurydza, bataty, orzechy ziemne i trzcina cukrowa. Bydła zaś nie widać.

— Rozmawiałem z katikiro. Uganda przeżywa najazd skrzydlatych wrogów wyniszczających bydło i... ludzi — wtrącił Smuga. — Tse-tse nawiedziły kraj wolny dotąd od tych morderczych szkodników. Bydło pada, a ludzie umierają na śpiączkę. Wobec poważnej liczby przypadków do Ugandy przybyła specjalna komisja. Jej to właśnie asystuje lekarz z fortu w Kampali.

— A niech to zdechły wieloryb! Tego nam jeszcze brakowało! — zaniepokoił się bosman.

— Na tych terenach jesteśmy bezpieczni, lecz dalej na zachodzie zobaczymy niejedno — dodał Smuga.

— Nie jestem znów tak bardzo ciekaw tych much ani śpiączki. Tfu, na psa urok! — mruknął bosman i pospiesznie sięgnął po manierkę z rumem, który jego zdaniem, najlepiej uodporniał przeciwko wszelkim chorobom.

Tomek niespokojnie poruszył się w siodle; spod oka spojrzął na Smugę. Poważna twarz podróżnika upewniła go, że najwyższy czas założyć na siebie i Dinga ochronne ubranie z futerek.

Po jednodniowym marszu karawana przybliżyła się do doliny Kotonga. — Droga stawała się coraz gorsza. Okolicę zalegały teraz trawiaste bagna rojące się wprost od płazów i gadów. Brzęczenie rozmaitych owadów rozlegało się wokoło, zwierzęta i ludzie nieraz zapadali po kolana w błoto, lecz jeszcze tego dnia karawana dobrnęła do brzegów rzeki, gdzie rozłożono obóz.

O świcie łowcy znów ruszyli na zachód wzdłuż koryta rzeki. Tomek jechał obok Smugi na czele karawany. Rozglądał się po piaszczystych, rozpalonych słońcem łąkach i rozmyślał o orzeźwiającej kąpieli. Naraz Dingo warknął ostrzegawczo. Wierzchowce rzuciły się w bok parskając z przerażenia.

Smuga ściągnął konia cugłami. Karawana stanęła. Piaszczyste wybrzeże porastały rzadkie kolczaste krzewy. Podróżnik przez chwilę spoglądał na piaszczystą ławicę.

— Krokodyle! — zawołał.

— Gdzie? Gdzie? — niecierpliwie pytał Tomek.

Wilmowski, bosman i Hunter przybliżyli się do czoła karawany.

— Czy widzisz te bruzdy wyżłobione w piasku? To właśnie dzieło wleczonych po ziemi krokodylich ogonów. Krokodyle lubią drzemać na nagrzanym słońcem wybrzeżu — mówił Smuga.

Tomek śledził wzrokiem bieg wyoranych w piachu bruzd. Niektóre z nich ginęły w kolczastych krzewach, lecz jedna prowadziła do sporej wydmy. Chłopiec drgnął, dojrawszy ledwo dostrzegalne, na pół zagrzebane w piachu popielato–zielonkawe cielsko. — Jest tam, na wierzchu wydmy! — zawołał.

— Ślady wskazują, że dość dużo ich tu jest — odparł Smuga. — Spójrzysz tam, na samym brzegu jest drugi krokodyl. Oho, spostrzegł nas i wędruje do rzeki!

Krokodyl uniósł się wolno na szeroko rozstawionych nogach. Ostrożnie zsuwając się z brzegu, powłóczył brzuchem oraz ogonem po ziemi i zabawnie kręcił środkiem tułowia.

— Ależ to prawdziwie leniwe zwierzę! — odezwał się Tomek, obserwując komiczną powagę, z jaką krokodyl dążył do wody.

— Tak sądzisz? — wtrącił Hunter. — Poczekaj, zaraz ci udowodnię, że krokodyle potrafią poruszać się szybciej, niż mógłbyś sobie wyobrazić.

Wziął do ręki karabin, wymierzył do krokodyla śpiącego na wydmie i strzelił. Fontanna piasku wytrysnęła tuż przed nosem potwora. W mgnieniu oka krokodyl stanął na wyprężonych nogach i błyskawicznie ruszył ku rzece. Całe ciało trzymał wysoko wzniesione, a tylko ogon włókł się za nim bezwładnie po ziemi. Wkrótce skoczył do wody i natychmiast zniknął z pola widzenia. Huk strzału wyrwał ze snu kilkanaście innych krokodyli, które na wyścigi biegły teraz skryć się w rzece. Smuga zsunął się z konia z karabinem w rękę. Przyłożył broń do ramienia. Huknął strzał. Krokodyl biegnący najbliżej łowców kłapnął szczękami, po czym zarył się paszczą w piach. Lekko poruszał jeszcze ogonem, potem znieruchomiał. Inne bestie błyskawicznie zniknęły w rzece. Po chwili widać było z wody jedynie ich nozdrza i oczy, lustrujące tępym wzrokiem wybrzeże. Okazało się wkrótce, że mają znakomity wzrok i słuch, bo kiedy Murzyni z okrzykiem rzucili się w kierunku martwego zwierzęcia, krokodyle cicho jak duchy natychmiast całkowicie pograżyły się pod wodą. Tylko słabiutkie koła fal świadczyły o obecności potwornych mieszkańców rzeki.

Łowcy pospieszyli za Murzynami, aby przyjrzeć się z bliska zdobyczy.

— Piękny strzał — pochwalił Hunter. — Kula przeszła przez dołek skroniowy i trafiła w mózg.

— Krokodyl dobrze się ustawił profilem, mogłem więc dokładnie wymierzyć w miejsce, gdzie skóra osłaniająca mózg jest najcieńsza — rzekł Smuga. — W innym wypadku tylko niepotrzebnie zmarnowałbym kulę.

— Nie wyobrażam sobie, żeby pan mógł chybić — wtrącił Tomek.

— Nie o to chodzi, mój drogi. Jeżeli pocisk trafia dokładnie w dołek skroniowy i niszczy mózg, śmierć zwierzęcia jest natychmiastowa. W przeciwnym razie kula ześlizguje się po twardym pancerzu głowy albo przebija ciało nie naruszając mózgu i tym samym nie paraliżuje ruchów



zwierzęcia. Raniony krokodyl w większości przypadków potrafi się skryć w wodzie.

Murzyni podważyli krokodyla dzidami, przewrócili na szeroki grzbiet, po czym ostrymi nożami rozcięli skórę i zaczęli wykrawać całe połcie jasnoróżowego mięsa.

— Czy oni będą jedli krokodyla? — zdziwił się Tomek.

Hunter, który stał obok chłopca, wyjaśnił:

— Jedyne muzułmanie nie jedzą mięsa krokodyli, hipopotamów ani świń. Mięso krokodyli jest bardzo delikatne, a ogon stanowi przysmak kuchni tropikalnej. Osobiście chętnie zjem kawałek smakowitej pieczeni.

Murzyni owinęli mięso w korę i duże liście bananowców, aby upiec je w czasie południowego postoju. Karawana ruszyła wzdłuż rzeki rojącej się od krokodyli. Tomek, ciekaw wszystkiego, zasypywał towarzyszy pytaniami. Wkrótce wiedział już, że głównym pożywieniem żarłocznych bestii są ryby, lecz mimo to żadne stworzenie nie jest przed nimi bezpieczne, jeśli tylko się znajdzie w zasięgu ich morderczych potężnych paszcz. Krokodyl przyczajony na dnie rzeki lub jeziora śledzi czujnym okiem wybrzeże. Biada człowiekowi lub zwierzęciu, które nieopatrznie pochyli się nad wodą, by ugasić pragnienie. Ukryty na dnie potwór chwytą ofiarę błyskawicznym ruchem za nogę bądź głowę, ściąga w głąb i przytrzymuje tak długo, dopóki jej nie utopi. Wtedy dopiero rozpoczyna ucztę. Zęby w paszczy krokodyla służą jedynie do odrywania wielkich kęsów, które w całości przedostają się do żołądka, gdzie u dorosłych okazów znajduje się kilka kilogramów granitowych okruchów; one to dopiero rozcierają pokarm przez skurcz silnych mięśni w ścianie żołądkowej.

Tomek nasłuchiwał się straszliwych opowiadań o napaściach krokodyli na ludzi, kiedy więc wypatrzył stosowną chwilę, strzelił w wynurzający się z wody łeb. Woda zakotłowała się natychmiast wokół celnie trafionego zwierzęcia: inne krokodyle rzuciły się na martwego towarzysza, rozrywając go na ćwierci.

W godzinach południowych karawana zatrzymała się w pobliżu ławicy piaskowej na odpoczynek. Tomek i bosman włóczyli się po wybrzeżu, skracając sobie oczekiwanie na przygotowywany posiłek. Z zainteresowaniem przyglądali się leżącym w piasku całym masom muszelek ślimaków i małżów, a także wygrzewającym się w słońcu na kamieniach zwinnym i pięknym

jaszczurkom o pomarańczowym karku, żółtym podgardlu i fioletowej główce. Ślady pozostawione przez nie na piasku prowadziły do gniazda gadów. Był to widocznie okres wylęgu, gdyż pod cienką warstwą ziemi bosman i Tomek znaleźli około trzydziestu jaj. Były one wielkości gęsich, lecz różniły się od nich jednakowym kształtem na obu końcach. Uważnie oglądając jaja, łowcy stwierdzili, że dość elastyczna skorupa ma silną błonę o małej zawartości wapna, a tym samym trudną do rozerwania. Z tego też powodu przy wykluwaniu się małych konieczna jest pomoc matki. Ciekawy jak zwykle bosman rozłupał jedno jajo, a wtedy obydwaj przyjaciele ujrzeli precelkowato zwiniętą drobną istotkę z niewielkim już, zanikającym workiem żółtkowym. Nie mieli czasu na dalsze obserwacje, ponieważ Sambo zawołał ich na posiłek, po którym karawana natychmiast ruszyła w dalszą drogę.

Po dwóch dniach marszu wkroczyli do zachodniej prowincji Ugandy. W pobliżu Jeziora Jerzego coraz częściej napotykali większe stada zwierząt. Różne rodzaje antylop pierzchały w step na widok ludzi, a w niewielkim trzęsawisku nie opodal rzeki podróżnicy spostrzegli stado słońi. Olbrzymy zatrzymały się, by popatrzeć na karawanę, później zaś ruszyły w las z największą obojętnością, lekceważąc ludzkie istoty. Tomek szybko wspiał się na wysoki kopiec termitów<sup>138</sup>, aby dłużej móc obserwować znikające w gąszczu słońie. Wkrótce znów dosiadł konia i rzekł:

— A to zabawne, byłem na kopcu termitów, a nie spostrzegłem na nim ani jednego owada!

— Termyty, zwane również białymi mrówkami, budują długie tunele łączące ich mieszkanie z miejscami, w których znajduje się poszukiwana przez nie żywność. Dlatego też na zewnątrz kopca nie dostrzeżesz owadów — wyjaśnił ojciec.

— Jestem ciekaw, jak wygląda w środku ta dziwna budowla?

— Kopiec składa się z czterech części: komnaty królewskiej, izb czeladnych, dziecięcych oraz z pomieszczeń, w których termyty hodują specjalne grzybki będące ich przysmakiem. Termyty, tak jak mrówki, tworzą doskonale zorganizowane wspólnoty.

— Ruszamy w drogę! — zawołał Hunter.

---

<sup>138</sup> — *Isoptera* — rząd tropikalnych owadów obejmujący ponad 1000 gatunków. Żyją w wielkich zorganizowanych społeczeństwach. Niektóre gatunki budują olbrzymie i bardzo twarde budowle, zwane kopcem termitów. Żywią się przeważnie drzewem (celulozą) i dlatego są bardzo szkodliwe.

Karawana kontynuowała marsz.

Zaledwie kilka kilometrów dzieliło łowców od Jeziora Jerzego, gdy Smuga zwrócił uwagę na przydrożne drzewa. Między rzadko rosnącymi mimozami i jasnokarmazynowymi akacjami unosiła się ogromna liczba najrozmaitszych owadów.

— O, do licha! Spójrzcie szybko na zwierzęta juczne — zawołał Smuga.

Tomek ujrzał krążącą nad osłami muchę trochę większą od zwyczajnej domowej, lecz o wielkich skrzydłach. — Czufna! Czufna! — krzyknęli Murzyni.

— Cóż to za mucha? — zapytał zaniepokojony chłopiec.

— Oto nasze pierwsze spotkanie z tse–tse — odparł Smuga.

Czufna opadła na kark osła. Kłapouch ukąszony do krwi zakwiczał i stanął dęba. W tej chwili Hunter zeskoczył z konia. Uderzeniem dłoni zabił żarłocznego owada. Podróżnicy w milczeniu przyglądali się tse–tse przypominającej wyglądem pszczołę. Jej brązowy tułów w tylnej części przecinały trzy żółte pasy.



## W MROKU DŻUNGLI

Od pamiętnego spotkania z tse–tse Tomek znów przyozdobił hełm w ogonki zwierzęce, a także zmusił Dinga do noszenia uprząży ochronnej. Pozostali podróżnicy nałożyli na hełmy muślinowe nakrycia, które opadając na ramiona, chroniły kark przed nieoczekiwanym ukąszeniem zdradliwego owada. Coraz częściej spotykali widome skutki grasowania tse–tse. Wioski murzyńskie wybudowane w dolinach były zupełnie opustoszałe. Mieszkańcy przenieśli się na wyżej położone tereny, dokąd nie docierała śmiertcionośna mucha. W wielu wioskach łowcy widzieli ludzi chorujących na śpiączkę. Nieszczęśliwcy, wychudzeni do ostatnich granic, pogrążeni byli w głębokim śnie, z którego budzili się jedynie po to, by umrzeć.

Podróżnicy zaniepokoiли się epidemią śpiączki nie na żarty. Teraz karawana wędrowała przeważnie nocą, wypoczywając w dzień na wyższych wzniesieniach. Według zapewnień Huntera i Smugi, tse–tse nie kąsała po zachodzie słońca, lecz w zamian w pobliżu mokradeł dokuczały im niezliczone chmary komarów.

Tomek codziennie badawczo przyglądał się kłapouchowi ukąszonemu przez muchę, czy, wbrew zapewnieniom towarzyszy, nie ujrzy oznak wróżących śmierć zwierzęcia. Osioł wszakże ani myślał zdychać. Z filozoficznym spokojem skubał trawę i jak gdyby nigdy nic, niósł dzielnie przypadający nań bagaż. Tomek nabierał już otuchy, gdy pewnego dnia bosman spostrzegł dziwne objawy u swego wierzchowca. Z oczu i nosa konia płynęła lepka ciecz. Hunter natychmiast orzekł, że jest to skutek ukąszenia przez tse–tse. Koń stracił ochotę do jedzenia i zaczął chudnąć. Bosman, nie chcąc się przyglądać mękom pożytecznego i cierpiącego w milczeniu zwierzęcia, skrócił jego żywot strzałem z karabinu. Żartobliwy zazwyczaj marynarz posmutniał nieco, gdyż odtąd skazany był na pieszą wędrówkę, wkrótce jednak pocieszył się mówiąc, że teraz może skuteczniej wystrzegać się ukąszenia muchy, ponieważ nie musi się już więcej troszczyć o biedną „szkapinę”.

Szybkimi pochodami, aby jak najprędzej przebyć teren zagrożony przez tse–tse, łowcy minęli Jezioro Jerzego. Zbliżali się już niemal do głównego celu wyprawy. W dali, pomiędzy jeziorami Alberta i Edwarda, rysowało się

na horyzoncie pasmo gór, za którymi płynęła rzeka Semliki. Łączyła ona obydwie jeziora i tym samym należała do dorzecza Nilu Białego. Na zachodnim brzegu Semliki rozpoczynała się dziewicza dżungla Ituri. Tam właśnie łowcy mieli rozpocząć polowanie na goryle i okapi.

O zachodzie słońca zbliżali się do pasma Ruwenzori, zwanego w narzeczu Murzynów Bantu Górami Księżycowymi. Łowcy orzekli — jednogłośnie, że nikt nie mógł trafniej nazwać tych gór. Zębate zarysy Ruwenzori widoczne były ponad horyzontem, jakby pływały w stalowoszarych chmurach nad wierzchołkami wiecznie zielonych drzew. W ciemnoniebieskim świetle zalewającym stoki gór ich grzbiety odcinały się wyraźnie na tle nieba, a spoza wąskich srebrnych chmur zachodzące słońce wystrzelało ku nim swe ogniste promienie. Wkrótce mrok nocy otulił ziemię. Księżyc w pełni wyłonił się na ugwieżdżone niebo i z wolna przepływał ponad szczytami gór nazwanych jego imieniem, jakby chciał ujrzeć swe odbicie w leżących na nich lodowcach.

W pobliskim buszu coraz to rozlegał się głuchy tętent uciekających antylop i postękiwanie lwów sycących się swoim łupem. Tomek do świtu nawet nie zmrużył oczu; wsłuchiwał się w odgłosy dżungli Czarnego Łądu, które napełniały jego serce nie znanym dotąd lękiem.

W małej osadzie murzyńskiej Katwe nad Jeziorem Edwarda łowcy zastrzelili dwa następne konie. Nie było sensu męczyć zwierząt, u których wystąpiły objawy po ukąszeniu przez tse-tse. W Katwe kilkunastu Murzynów dogorywało na śpiączkę, toteż Hunter dał rychło hasło do wymarszu.

Karawana ruszyła brzegiem jeziora na północ. Koniec pasma Gór Księżycowych pozostawał za łowcami na wschodzie, a przed nimi rozpościerała się olbrzymia równina.

Dopiero pod koniec dnia Hunter zatrzymał karawanę na niewysokim brzegu jeziora. Lękliwe flamingi natychmiast zdradziły obecność ludzi. Nim łowcy się spostrzegli, wielkie stado antylop umknęło w step. Buszowali więc po wybrzeżu wypłaszając chmury ptactwa z gąszczu papirusów, aż naraz Hunter przystanął i wskazał ręką w kierunku gładkiej toni jeziora.

— Stójcie cicho i patrzcie! — szepnął.

Najpierw usłyszeli parskanie i głosy będące czymś pośrednim pomiędzy chrząkaniem świń a rykiem krów, potem ujrzeli mięsiste, spiczaste uszy, wypukłe oczy i szerokie nozdrza. Hipopotamy ostrożnie wynurzały olbrzymie

łby. Gniewnie parszając zbliżały się do brzegu. Łowcy byli przekonani, że przezorne, bystrookie zwierzęta spostrzegły ich obecność, nagle bowiem zaczęły się coraz głębiej zanurzać, a w końcu widać było jedynie ich oczy. Po chwili znów pojawiły się na powierzchni jeziora. Wynurzały się powoli i zbliżały do brzegu.

Łowcy przyczaili się za kępą papirusów czekając, co nastąpi dalej. Była to pora, w której hipopotamy zwykły opuszczać wodę w poszukiwaniu żeru. Hunter miał nadzieję, że będą wychodziły na ląd w pobliżu ich kryjówki. Wkrótce rozległo się głośne parskanie i prychnanie. Tomek wychylił głowę.

— Niech pan spojrzy — szepnął, szturchając bosmana w bok.

Zwierzęta co chwila zanurzały niekształtne łby w przybrzeżnej wodzie w poszukiwaniu wodorostów, wśród których grzebały tak energicznie, iż woda dokoła zmacona była szlamem. Potem łby pojawiały się na powierzchni z pyskami pełnymi narwanych roślin.

Hunter trącił porozumiewawczo Smugę. Obydwaj cicho wysunęli się zza krzewu. Bezszelestnie przybliżyli się do samego brzegu jeziora. W tej chwili nie dalej jak o piętnaście metrów od nich wynurzył się hipopotam. Wyłupiaste ślepia natychmiast spostrzegły ludzi. Hipopotam prychnął głośno, po czym zaczął opadać w wodę, lecz łowcy błyskawicznie unieśli broń. Pierwszy wystrzelił Hunter, a w sekundę później pociągnął za spust Smuga. Potężne cielsko pograżyło się w toni. Pozostałe hipopotamy skryły się natychmiast pod wodą.

Wilmowski, Tomek i bosman podbiegli do strzelców.

— Pudło, szanowni panowie! — zawołał bosman, śmiejąc się z niepowodzenia towarzyszy. — Oblizywaliście się już na tłustą pieczeń, a tymczasem trzeba się obejść smakiem.

— A to dlaczego, panie bosmanie? — zapytał Hunter.

— Dlatego, że obydwaj spudłowaliście!

— Założę się o butelkę prawdziwej jamajki, że obydwaj strzały trafiły niezawodnie między oczy — odparł Hunter naśladując sposób mowy bosmana.

— Phi! Łatwo się zakładać, gdy grubas przepadł w wodzie jak kamień.

— Myli się pan, jutro wypłynie na powierzchnię, a wtedy stwierdzimy, który z nas dwóch ma postawić butelczynę jamajki — odparował pewnym głosem tropiciel.

— To chyba niemożliwe, żeby taki ciężar sam wypłynął — zaproponował Tomek.

— Niemożliwe? Jest prawie zupełnie pewne, że wypłynie. Wszystko zależy od tego, czy hipopotam był najedzony. Nagromadzony w jego olbrzymim żołądku pokarm sfermentuje, po czym gazy wyrzucą zwierzę na powierzchnię — wyjaśnił Hunter.

— Powiedz tylko naszym tragarzom, co leży przy brzegu na dnie jeziora, a przekonasz się, czy któryś będzie chciał stąd odejść przed wypłynięciem hipopotama — dodał Smuga.

Tomek zaraz oznajmił Murzynom o zastrzeleniu hipopotama. Ci zaczęli tańczyć wokół ogniska. Sambo natychmiast uczył ten fakt nową piosenką:

*„Mądry biały buana ma piękny karabin,  
którym zabił wielkiego i głupiego hipopotama.  
Sambo będzie jadł i wszyscy będą jedli mnóstwo bardzo wiele,  
aż brzuchy spuchną jak góra Ruwenzori.”*

Wilmowski nie oponował, gdy Murzyni oświadczyli, że chcą poczekać na wypłynięcie zdobyczy na powierzchnię wód. Wkrótce karawana miała się zaszyć w bezmierną dżunglę, gdzie zdobycie mięsa nastęczało wiele trudności. Przecież fauna gęstych lasów tropikalnych była bardzo uboga. W dżungli żyły jedynie niektóre gatunki małp. Poza tym można tam było napotkać dziką świnie leśną i okapi, co do którego istnienia krążyły dotąd jedynie nie sprawdzone pogłoski.

Nazajutrz, jak tylko słońce ukazało się na horyzoncie, wszyscy gromadnie pobiegli sprawdzić, co się dzieje z zastrzelonym hipopotamem. W pobliżu jeziora widniały na miękkiej ziemi głębokie ślady, wyglądające jak doły porobione grubym słupem. Hunter, zaledwie rzucił na nie okiem, zaraz poinformował łowców, że tędy przechodziły hipopotamy na nocny żer.

— Stawiaj pan butelczynę — zarechotał bosman, gdy się znaleźli nad brzegiem jeziora.

W pierwszej chwili Tomek również był przekonany, że marynarz wygrał zakład. Na spokojnej tafli jeziora nie było ani śladu rzekomo zabitego hipopotama. Młody Sambo niepomny przestróg rzucił się do wody. Odważnie wypłynął poza przybrzeżne szuwary. Wkrótce rozległ się jego krzyk:

— Buana, buana! Jest, jest tutaj...!



Z wielkiej radości musiał się zakrzusić wodą, gdyż rozległo się jego głośne prychnanie, po czym znów zawołał:

— O, matko, ile tu mięsa!

W głosie Samba brzmiało tyle zachwyty, że Murzyni pędem rzucili się z powrotem do obozu, skąd powrócili z długimi linami. Wrzeszcząc, wskoczyli do jeziora i popłynęli do Samba.

— Ależ to głupcy, przecież tu mogą czatować krokodyle — oburzył się Tomek na widok tak wielkiej lekkomyślności.

— Dlatego właśnie nasi tragarze czynią tyle hałasu — powiedział Wilmowski ze śmiechem. — Mój drogi, nieczęsto trafia im się taka gratka. Dla dwóch ton świeżego mięsa Murzyni bez wahania ryzykują życie.

Tomek chwilę wiercił się niecierpliwie na brzegu, lecz ciekawość przemogła obawę. Zrzucił ubranie i wskoczył do wody.

— Kłaniaj się krokodylszczakom! — krzyknął za nim bosman.

Dingo bez namysłu śmignął do jeziora za swoim panem. Obydwaj zniknęli niebawem za pasem szuwarów. Dopiero po jakimś czasie ukazali się rozkrzyczani Murzyni. Zachłystywali się wodą, lecz dzielnie ciągnęli liny uwiązane do słupowatych nóg zwierzęcia, które wyłoniło się za nimi. Na wywróconym do góry brzuchem hipopotamie siedzieli Tomek, Sambo i Dingo.

— Ho, ho! Zamiast królem nasz Tomek został kapitanem! — krzyknął bosman. — Ahoy! Ahoy! Ster na prawo i całą parą naprzód!

Pierwsi Murzyni dopłynęli do brzegu, holowanie ciężkiego łupu poszło teraz znacznie raźniej. Hipopotam był olbrzymi. Długość jego tułowia bez ogona wynosiła ponad cztery metry, a wysokość nie przekraczała metra. Ciężar zwierzęcia według obliczeń Huntera dochodził do dwóch i pół tony, toteż Murzyni nie mogąc całkowicie wydobyć go na brzeg, pozostawili hipopotama zanurzonego do połowy w płytkiej wodzie. Za pomocą noży powyjmowali z mięsistych warg zwierzęcia wielkie kły, które doskonale imitowały kość słoniową, po czym przystąpili do wykrawania kawałków mięsa i tłuszczu.

W czasie południowego posiłku Murzyni pochłaniali olbrzymie ilości mięsiwa, odpoczywali leżąc, by po chwili znów rozpocząć jedzenie. Obżarstwo przeplatane snem i tańcami trwało przez cały dzień. Wilmowski

miał zamiar wyruszyć w drogę na noc, lecz tragarze nie chcieli nawet o tym słyszeć. Żal im było odchodzić od ledwo napoczętego hipopotama.

— Soko są bardzo mądre i nie uciekną nam z lasu — tłumaczyli z zapalem. — Hipopotam natomiast nie ma rozumu i zaraz się popsuje, wtedy jego mięso będzie do niczego. Trzeba teraz jeść mnóstwo dużo.

Brzuch małego Samba nabrzmiał jak wielki bęben. Tomek spoglądając na niego twierdził, że teraz mógłby zastąpić tam-tam, gdyby zaszła potrzeba nadania jakichś sygnałów. Młody Murzyn nie przejmował się tymi kpinami. Napychał się mięsiwem, a w przerwach między jedzeniem układał pieśni na cześć sytości i lenistwa.

Wszystko wszakże na tym świecie musi mieć swój początek i koniec. Toteż następnego dnia około południa Wilmowski kategorycznie rozkazał Murzynom przygotować się do wymarszu. Z wielkim żalem przystąpili do zwijania obozu. Nim podjęli z ziemi pakunki, natarli swe ciała tłuszczem. Karawana ruszyła w drogę, lecz tragarze smętnym wzrokiem spoglądali za siebie na jezioro, gdzie został hipopotam. Niebawem zanucili pieśń o głupocie białych ludzi marnotrawiących tyle dobrego mięsiwa.

Sprytny Sambo nie martwił się zbyt długo. Na stepie często się pojawiały antylopy i bawoły. W pewnej chwili łowcy ujrzeli w dali zabawnie kołyszące się ponad wysoką trawą głowy żyraf; Sambo logicznie więc rozumował, że na razie nie grozi im głód, łowcy mają doskonałą broń palną i żyłka myśliwska powinna nakłonić ich niebawem do nowego polowania.

Cierpliwość Samba została wystawiona na ciężką próbę. Hunter bez przerwy popędzał tragarzy. Z uporem dążył na północ ku maleńkiej osadzie Beni, dokąd karawana dotarła jeszcze przed zachodem słońca. Murzyni zmęczeni szybkim marszem niedbale rozłożyli obóz na skraju wioski, po czym pokotem legli na gorącej ziemi.

Po dłuższej chwili wytchnienia zabrali się do przyrządzania wieczerzy. Tymczasem Wilmowski, Smuga i Hunter udali się do osiedla zamieszkałego przez dwóch Greków, kilku Indusów i kilkudziesięciu Murzynów. Wilmowski pragnął wynająć dwóch lub trzech przewodników znających dżunglę Ituri. Ponadto miał zamiar kupić trochę konserw. O ile uzupełnienie zapasów nie przedstawiało większych trudności, o tyle wynajęcie przewodników okazało się niełatwe. Murzyni, zaledwie się dowiedzieli, że łowcy mają zamiar chwycić żywe goryle, jednogłośnie odmówili udziału w wyprawie. Goryle i

zdradliwi Pigmejczycy Bambutte napawali ich wielką obawą. Twierdzili, że w dżungli Ituri nigdy nie zaznają spokoju. Po długich namowach, jak i obiecaniu sutego wynagrodzenia, udało się w końcu łowcom zwerbować jednego przewodnika. Aby w końcu i on w ostatniej chwili nie zmienił decyzji. Hunter natychmiast zabrał go do obozu i oznajmił, że karawana wyrusza w drogę o świcie. Okazało się niebawem, że przezorność ta nie wyszła łowcom na dobre.

Nowy przewodnik mianowicie, Matomba, gadatliwością swoją posiał obawę w sercach dotąd mężnych tragarzy. Siedząc przy ognisku szeroko rozprawiał o czyhających w dżungli niebezpieczeństwach. Według jego relacji Pigmejczycy byli okropnymi ludożercami. Podobno nieraz w ich szalasach znajdowano pozostałości uczt kanibalskich. Przewodnik twierdził, że sam widział, jak Pigmejczycy używali ludzkich czerepów jako naczyń do picia wody. Opowiadał również o napadach karłów na wsie murzyńskie. Podczas gdy mężczyźni walczyli, rażąc napadniętych zatrutymi strzałami, kobiety—karlice doszczętnie rabowały zasiane pola i unosiły w dżunglę plony. Niesamowite opowieści o napadach, zasadzkach, zatrutych strzałach, okrucieństwie i ludożerstwie wywołały zamierzony efekt.

— O, ooo! Bambutte niechybnie zabiją białych łowców, a potem pomordują i zjedzą nas wszystkich — biadolili Murzyni. — Kabaka skazał nas na okropną śmierć!

— Wracajcie do domów — podszeptał nowy przewodnik. — Po co mielibyście służyć Bambutte za tłuste krowy na ich ucztach?

— Nie możemy teraz wracać — jęczeli Bugandczycy. — Katikiro każe nas powiesić, jeżeli opuścimy białych łowców. O, matko! Sam to nam powiedział!

— Źle z wami, źle z nami wszystkimi — powtórzył przewodnik.

Sambo słuchał z zapartym tchem i skóra cierpła mu na plecach. Wierny białym łowcom, postanowił natychmiast przestrzec ich przed groźącym niebezpieczeństwem. Pobiegł więc do Tomka. Szczękając z przerażenia zębami powtórzył wszystko, co usłyszał od nowego przewodnika. Mocno opalona twarz Tomka poszarzała pod wpływem słów młodego Samba, lecz mimo to odparł mężnie:

— Wiesz co, Sambo? To tylko strach ma wielkie oczy. Przewodnik niepotrzebnie straszy naszych ludzi tymi niesamowitymi opowieściami.

— O, biały buana, ty naprawdę jesteś mężny jak lew i silny jak słoń — szepnął Sambo, z uwielbieniem patrząc na chłopca. — Oni również mówią, że w dżungli nawet ptak–miodownik zamiast do miodu wiedzie ludzi w zasadzkę.

— Nie słyszałem o takich ptakach, najlepiej uczynimy, gdy powtórzymy wszystko memu ojcu.

— Tak, tak, powiedzmy wszystko zaraz.

Obydwaj udali się natychmiast do namiotu, gdzie pochyleni nad mapą naradzali się czterej łowcy. Tomek jednym tchem powtórzył relacje zasłyszane przez Samba.

— To prawda, tak mówi Matomba — przytakiwał młody Murzyn.

Smuga, jakby nie zważając na ich podniecenie, uśmiechnął się i rzekł:

— Wygląda mi na to, że najbardziej się boi nasz nowy przewodnik. Murzyni są bardzo skłonni do przesady. Pigmejczycy niechętnie obcują nie tylko z białymi, lecz nawet z innymi plemionami murzyńskimi. Dlatego też opowiada się o nich tyle nieprawdopodobnych historii. Nasłuchałem się wiele od Stanleya, który wśród ustawicznych walk z różnymi plemionami przewędrował Kongo wszerz, spiesząc na pomoc Eminowi–paszy. Wprawdzie Pigmejczycy są zdrażliwi, nieufni i bardzo wojowniczy, lecz nie słyszałem, aby uprawiali ludożerstwo. Czerepy, rzekomo ludzkich głów, używane przez karłów do picia wody pochodzą z zabitych małp. Plemiona zamieszkujące dżungle żywią się małpami, ponieważ polowanie na inne zwierzęta nie jest dla nich łatwe.

— Jeden kumpel mówił mi, że małpie mięso smakuje tak jak ludzkie — zauważył bosman Nowicki.

— Wszystko jedno, jak ono smakuje — przerwał Hunter. — Najlepiej będzie, jeśli Matomba położy się już spać i przestanie straszyć ludzi.

— Co mówili na to wszystko Masajowie? — zaciekawił się Wilmowski.

— Mescherje zaraz rozstawił swoich ludzi na czatach naokoło obozu — odparł Tomek.

— Ha, więc i on się obawiał, żeby tragarze nas nie opuścili w nocy — wtrącił Hunter. — No, jeśli Mescherje czuwa, to my możemy spać spokojnie, co teraz przyda się nam wszystkim, gdyż jeszcze przedświtem ruszamy w drogę.

— Czy pan jest zdania, że możemy całkowicie zaufać Mescherje? — zapytał Wilmowski.

— Masajowie uważają siebie za wyższą kastę ludzi, przez samą więc dumę nie będą prowadzili konszachtów z innymi Murzynami. Poza tym wojownik masajski nigdy nie okazuje strachu — zapewnił Hunter. — Znam Mescherje nie od dzisiaj.

— Kładźmy się więc na spoczynek, mamy przecież wyruszyć jeszcze przed świtem — zakończył Smuga.

— Przejdę się po obozie i pogadam z Murzynami — powiedział Hunter przypasując rewolwer.

— Czekaj pan, nie jestem śpiący, możemy więc pójść razem — odezwał się bosman. — Prawdę rzekłszy, lubię posłuchać takiej strachliwej gadaniny.

Tomek zachichotał i wysunął się z namiotu za Sambem. On również przepadał za wszelkimi opowieściami. Hunter obszedł cały obóz, porozmawiał z Masajami, a potem udał się do swego namiotu. Natomiast bosman, Tomek i Sambo zbliżyli się do tragarzy, którzy szerokim kołem obsiedli ognisko. Bugandczycy skwapliwie zrobili im wygodne miejsca, ponieważ widok olbrzymiego, zawsze wesołego marynarza napawał ich dziwną ufnością i poczuciem bezpieczeństwa. Trójka przyjaciół przyjęła zaproszenie, a humorystyczne opowieści bosmana wkrótce wprowadziły Murzynów w dobry nastrój. Późno już było, lecz rozochoceni tragarze nie spieszyli się na spoczynek.

Jeden z nich zwrócił się do bosmana:

— Silny i mądry jesteś, biały buana, powiedz więc, co to jest: mała, stroma góra, na którą żaden człowiek nie może się wspiąć?

Bosman nie znał murzyńskich dowcipów. Po kilku nieudanych odpowiedziach przyznał się, że nie wie. Wtedy Murzyn zawołał:

— Jajo!

Wszyscy inni śmiali się i z radości uderzali rękoma o uda. Potem zapytał ktoś inny:

— Biały buana, może to uda ci się odgadnąć: co to jest, co można dzielić, a przecież nikt nie pozna, gdzie to było dzielone?

Bosman roześmiał się i odparł:

— Woda!

Pochwalne okrzyki nagrodziły trafną odpowiedź; zabawa byłaby się przeciągnęła, gdyby nie marynarz, który spojrział na niebo i zauważył:

— Nie wypoczniemy przed drogą, gwiazdy bledną, wkrótce nastąpi dzień.

— Tak, tak, one gasną, bo w dzień są niepotrzebne. Mała dziewczynka modliła się, aby świeciły tylko w nocy — wtrącił Sambo.

— Co ty opowiadasz? O jakiej dziewczynce mówisz? — zapytał Tomek.

— Biały buana nie wie, skąd się gwiazdy wzięły tam w górze? — odparł Sambo pytaniem.

— Ty też nie wiesz!

— Sambo mądry, Sambo wie!

— To opowiedz nam jeszcze o tym i pójdziemy spać — zaproponował Tomek.

Sambo usadowił się wygodnie i rozpoczął murzyńską legendę o pochodzeniu gwiazd:

— W pewnej wiosce nie było nic do jedzenia. Mała dziewczynka była bardzo głodna, więc jej ojciec udał się na dalekie łowy. Nie wrócił przez cały dzień. W końcu nastąpiła czarna noc. Mała dziewczynka, która oczekiwała w wiosce na powrót ojca, zaczęła się obawiać, że wśród ciemnej nocy nie znajdzie on drogi do domu.

Modliła się więc bardzo do dobrych duchów, a potem wzięła z ogniska garść rozżarzonego popiołu i rzuciła go w górę, aby przyświecał ojcu podczas wędrówki. Mała dziewczynka modliła się tak gorąco, że dobre duchy wysłuchały jej próśb i przemieniły żarzący się popiół w błyszczące gwiazdy. Od tej pory tkwią one w górze nad nami. Niektóre przybierają przeróżne kształty, na przykład kwiatów lub zwierząt, i co noc wskazują drogę zbłąkanym w ciemnościach wędrowcom.

## LEŚNI LUDZIE

Na północ i zachód od Beni rozciągała się sawanna porośnięta wysoką trawą. Za nią, na przestrzeni setek tysięcy kilometrów kwadratowych, rozpościerały się dziewicze lasy. Spiekana słońcem sawanna stanowiła olbrzymi, naturalny zwierzyńiec Afryki. Jak wiatr przebiegały tam niezliczone stada antylop, to znów szarżowały na oślep groźne bawoły afrykańskie bądź nosorożce, a za trawozerną zwierzyną chyłkiem pomykały lwy i inne drapieżniki.

Zanim słońce wzeszło nad pasmem stromych, iskrzących się skał Ruwenzori, łowcy zdążyli minąć wąski pas sawanny. Wilgotny oddech dżungli musnął spotniałe w marszu twarze.

Po raz pierwszy wkraczał Tomek na dłuższy czas w dziewiczą dżunglę afrykańską, tak nieprzystępną dla białego człowieka. Nowy przewodnik, Matomba, poprowadził karawanę wąską ścieżką wijącą się poprzez naturalny tunel wśród drzew—olbrzymów, powikłanych pnączy, krzewów i wysokiej trawy. Chociaż był już dzień, łowcom wydało się, że słońce nagle zaszło; wierzchołki potężnych drzew łączyły pasożytnicze liany, tworząc ledwie przepuszczający dzienne światło dach. Od czasu do czasu w leśnym mroku prześwitywał nieśmiało błysk niebieskiego nieba i kładł się na ciemnej płataninie bujnej roślinności tropikalnej. Z gałęzi drzew, jak ręce potwornych straszyleł, zwisały długie pasma suchego mchu i trawy.

Obydwa konie ocalałe od ukąszeń tse—tse pozostawił Wilmowski w Beni, gdyż w dżungli nie na wiele by się łowcom przydały. Tak więc, ze względu na osłabionego jeszcze Smugę, karawana szła powoli, ku zadowoleniu tragarzy nieufnie rozglądających się po mrocznej gęstwinie. W pierwszej chwili po wkroczeniu do dżungli mimo woli ściszcali głos, jakby w obawie, że wywabią z gąszczu czyhające na nich leśne demony.

Tomek szybko ochłonął z pierwszego wrażenia. Pokpiwał nawet w duchu ze swych uprzednich obaw, obserwując niczym nie zmacony spokój objuczonych osłów.

*„Nie jestem pewny, czy kłapouchy słusznie uchodzą za najmniej mądre stworzenia na świecie — rozumował. — Dlaczego więc miałbym być głupszy*

*od osłów, które w obliczu każdego niebezpieczeństwa zdobywają się zawsze na tyle spokoju? A poza tym, czego tu się bać?”*

Jakby na złość przypomniały mu się teraz wszystkie straszliwe opowieści zasłyszane od Murzynów. Ciche warknięcie Dinga przywróciło go rzeczywistości. Nagle gruby kawał suchej gałęzi spadł na ścieżkę. Byłby uderzył psa w łeb, gdyby nie uskoczył w bok. Tomek zadarł głowę do góry. Wysoko nad ziemią ujrzał brunatne, niewielkie zwierzątka przeskakujące z gałęzi na gałąź. Małpy, one to bowiem były, wrzasnęły z uciechy widząc psa gniewnie szczerzącego kły. Tomek pogroził im pięścią, a wtedy z drzewa znów się posypały pociski.

— Popatrz, brachu, jak to nas kuzyni witają! — śmiał się bosman.

— Ja tam się do takich kuzynów nie przyznaję — odburknął Tomek, lecz zaraz roześmiał się szeroko, widząc, że bosman zaledwie zdołał uskoczyć przed grubym kawałem gałęzi spuszczonego przez małpy wprost na jego głowę.

— Masz rację, czort z takimi kuzynami — zachnął się marynarz. — Chodźmy lepiej prędeż, bo towarzysze gotowi nas tutaj pogubić.

Pognali za karawaną śmiejąc się z zabawnej przygody. Tymczasem wędrowni stawali się coraz bardziej uciążliwi. Dosyć wyraźna dotąd ścieżka rozplynęła się w leśnym gąszczu jak woda. Matomba przystanął bezradnie.

— Ścieżka się skończyła — poinformował łowców, jakby sami nie widzieli, że dalej będą musieli się przedzierać przez dżunglę nie tkniętą stopą ludzką.

Zgodnie z radą Matomby, należało się posuwać na północny zachód. Tam, według jego zapewnień, najłatwiej można było napotkać leśnych ludzi, jak nazywał goryle. Dwaj Masajowie wydobyli więc długie, ostre jak brzytwy noże i zaczęli wycinać w gąszczu drogę. Podczas wędrowni przed karawaną otwierały się czasem błotniste polany, czasem znów natrafiano na dość wygodne, naturalne galerie ciągnące się w głąb dżungli. Minęło już południe, a Hunter ustawicznie przynaglał do szybkiego marszu. Obecnie karawana posuwała się przez stosunkowo młody las.

Naraz Masajowie torujący nożem drogę zatrzymali się niezdecydowani.

— Ruszajcie naprzód! — przynaglił Hunter.

— Dobrze, ale powiedz, buana, w którą stronę mamy iść? — odparł Masaj.



Hunter wysunął się na czoło karawany, a za nim podążyli nasi łowcy z Tomkiem na przedzie.

— Oho, zaraz napotkamy jakąś wioskę murzyńską — powiedział chłopiec. — Widać, że jej mieszkańcy utorowali drogę przez las.

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

— W ten sposób jedynie królowie dżungli mogą sobie wydeptywać drogę przez las. Tędy po prostu przeszło stado słońi — wyjaśnił Hunter.

Tomek zdumiony spoglądał na dość szeroki korytarz.

— Więc to naprawdę słońie utorowały tę drogę? — jeszcze raz zapytał.

— Tak, Tomku, tylko stado słońi potrafi spowodować tak wielkie spustoszenie w młodym lesie — zapewnił Smuga. — Na podmokłym gruncie drzewa płytko zapuszczają w ziemię korzenie. Dlatego właśnie nie są w stanie oprzeć się niszczycielskiej sile słońi.

— Którędy mamy pójść, buana? — zagadnął Masaj.

Hunter zbadał wielkie ślady zwierząt, po czym zdecydował:

— Słońie powędrowały na zachód jakieś dwie, trzy godziny temu, możemy więc skorzystać z tej drogi bez narażania się na spotkanie z nimi.

Karawana ruszyła drogą utorowaną przez olbrzymy, nazwaną przez Tomka Aleją Słońi. Hunter nie musiał teraz przynaglać tragarzy do pośpiechu. Biegli niemal bez wytchnienia, trwożliwie rozglądając się wokoło, czy przypadkiem nie ujrzą słońi wynurzających się z gęstwiny. Po dwóch godzinach szybkiego marszu łowcy dotarli do przecinającego las strumyka.

Na przeciwnym brzegu, na znacznej przestrzeni, leżały na ziemi drzewa mimozowe i palmy oliwne wyrwane z korzeniami. Łatwo było się domyślić, że tam właśnie gospodarowało duże stado słońi; świadczyły o tym mimozy objedzone z liści oraz porozrywane potężnymi kłami pnie palm oliwnych, z których miąższ był wyjedzony.

Karawana przystanęła nad strumykiem. Hunter uznał, że niebezpiecznie byłoby wędrować dalej śladem słońi. Olbrzymie zwierzęta nasyciwszy głód odpoczywały zapewne gdzieś w pobliżu; nie warto było ryzykować spotkania z nimi. Jednocześnie tropiciel polecił Tomkowi trzymać Dinga na smyczy, ponieważ słońie na widok psa zawsze wpadają w bojowy szal.

Po krótkim postoju łowcy powędrowali wzdłuż strumyka. Dopiero tuż przed zapadnięciem ciemności zatrzymali się w gąszczu na nocleg. Trudno tu było marzyć o wygodnym wypoczynku. Nie rozbijano nawet namiotów.

Murzyni sklecieli naprędce szałas z gałęzi, po czym wszyscy posilili się sucharami i konserwami. Jedyne dla Smugi przygotowano wygodne posłanie. Reszta łowców rozsiadła się przy ogniskach. Chmary komarów dawały się im we znaki, podsycali więc ogień wilgotnymi gałązkami, które paliły się wolno i gryzącym dymem odstraszały owady.

— Cały dzionek wędrujemy po dżungli, a goryli ani widu, ani słyhu — rozpoczął bosman utyskiwanie. — Tyle różnych zwierzaków kiwało na nas ogonami w sawannie, cóż jednak z tego, kiedy wyście się koniecznie uparli na te małpoludy!

— Już pan narzeka, bosmanie? — zdziwił się Hunter. — O ile dobrze sobie przypominam, to wyśmiewał pan kiedyś moje zastrzeżenia co do łowów na goryle i... okapi.

— Pan bosman zawsze musi zrzędzić, to tak z przyzwyczajenia, założyłbym się jednak... — Tomek przerwał swe wywody zastanawiając się, o co mógłby się założyć z marynarzem, lecz zaraz uśmiechnął się i skończył: — Założyłbym się jednak o butelkę jamajki, że teraz po prostu usycha z ciekawości, aby jak najprędzej ujrzeć goryla. Czy nie tak jest, proszę pana?

— Pocałuj goryla w nos! — odciął się bosman. — Gdybym nie był ciekaw małpoludów, to bym się nie włóczył całymi tygodniami po tych wertepach.

— Nie pomyliłem się więc, ale ja również chciałbym je zobaczyć. Okropnie jestem ciekaw, w jaki sposób będziemy chwyтали goryle.

— W korcu maku szukaliście się obydwaj z bosmanem — wesoło wtrącił Wilmowski. — Dla zaspokojenia ciekawości wśliznęlibyście się nawet do żołądka hipopotama.

— Może to i prawda, ale to my właśnie wysledziliśmy handlarza niewolników. A kto potem odkrył przygotowaną przez niego zasadzkę? — puszył się chłopiec. — Dlatego powiedzcie nam lepiej, w jaki sposób łowi się goryle.

Rozweselony Hunter zawołał Santuru, ofiarował mu sporą porcję tytoniu, po czym zagadnął:

— Powiedz, Santuru, czy chwytałeś może już kiedyś małpy?

— Santuru łapał szympany dla kabaki — odparł Murzyn pykając fajeczkę.

— Mały biały buana chciałby wiedzieć, w jaki sposób najłatwiej będzie można schwytać soko — powiedział Hunter.

— Małpy, tak jak ludzie, lubią bardzo piwo. Musimy tylko znaleźć mieszkanie soko, a potem zrobimy mocne piwo i postawimy je jak najbliżej. Potem zarzekamy, aż soko je wypiją i będą udawać pijanego człowieka — wyjaśnił Santuru.

— Patrzcie, jaki cwaniak! — zawołał bosman i zaciekawiony przysunął się do Murzyna. — Powiedz jeszcze, brachu, w jaki sposób znajdziemy te afrykańskie małpoludy?

— One lubią jeść słodkie owoce i pić wodę. Tam trzeba szukać.

— Toś odkrył niemal Amerykę. Każde zwierzę musi jeść i pić — oburzył się bosman.

— No tak, toteż przebywa tam, gdzie znajduje pokarm — wyjaśnił Hunter. — Goryle są zwierzętami roślinożernymi. Żywią się jagodami, brzoskwiniami, bananami, ananasami i korzeniami roślin, które pochłaniają w dużej ilości. Gdy już wyżrą wszystko w jednym miejscu, przyparte głodem przenoszą się gdzie indziej.

— Żeby więc trafić na ślad goryli, musimy poszukać okolic obfitujących w ulubiony przez nie pokarm — zawołał Tomek.

— Trafiłeś w sedno — powiedział Hunter.

— Czy małpoludy budują mieszkania na drzewach? — zapytał bosman.

— Z tego, co sam zaobserwowałem, z małp afrykańskich jedynie szympany budują swego rodzaju daszki. Być może czynią to również goryle — odparł Hunter.

— Czy goryle żyją rodzinami? — dopytywał się Tomek.

— Przeważnie koczują rodzinami, lecz czasem łączą się również w stada. Mało jeszcze wiemy o ich sposobie życia. Niełatwo obserwować w dżungli żywe goryle.

— W którym kierunku poprowadzi nas pan teraz? — zagadnął Wilmowski.

— Wydaje mi się, że najlepiej zrobimy idąc wolno wzdłuż strumienia. Po drodze będziemy się rozglądali po lesie, dopóki nie znajdziemy dogodnego miejsca na rozłożenie obozu. Dopiero wtedy podzielimy się na mniejsze grupy i rozpoczniemy właściwe poszukiwania.

— Tak samo urządziliśmy się podczas wyprawy w Australii — z entuzjazmem powiedział Tomek. — Ależ to były wspaniałe czasy!

— Prawda, brachu, komarzysków też tam było mniej, tyle że z braku wody rozsychaliśmy się często jak stare beczki — westchnął bosman.

Noc była parna. Wokół obozowiska rechotały żaby i ćwierkały świerszcze. Po ciemnej dżungli pełzały białe opary. Od czasu do czasu rozlegał się trzask łamanej gałęzi, to znów krzyk przebudzonej małpy bądź rozgniewanej papugi. Spowita ciemnością dżungla bez przerwy dawała znać o swym istnieniu. Z głębi dziewiczego lasu płynął nieokreślony głos, który brzmiał jak przejmujące westchnienie.

Tomek z radością powitał wschodzące słońce. Jak za pociągnięciem czarodziejskiej różdżki pierzchły wszelkie nocne przywidzenia. Mroczna dżungla znów stała się płataniną niebotycznych drzew i pnączy. Ucho z łatwością odróżniało krzyk papug od małpich pisków, a trzask łamanej gałęzi nie podsuwał myśli o skradających się leśnych potworach.

Łowcy wykąпали się w płytkim strumieniu. Tomek i Dingo najdłużej się pluskali w ciepłej wodzie. Dopiero gdy Wilmowski zawołał, że śniadanie gotowe, chłopiec wyskoczył z wody i gwizdnął na psa. Dingo jednym susem znalazł się na brzegu. Tomek usiadł na zwalonej kłodzie. Właśnie wkładał wysokie trzewiki ze sznurowanymi cholewkami, gdy naraz Dingo warknął ostrzegawczo. Chłopiec spojrzał na niego zdziwiony, lecz w tej chwili pies zjeżył sierść i nieoczekiwanie skoczył na Tomka. Ten runął plecami na ziemię i wtedy ujrzał Dinga chwytającego kłami węża, który zwisał z gałęzi drzewa. Natychmiast zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Łeb węża musiał się przed chwilą znajdować na wysokości jego głowy. Jedyne błyskawiczny atak psa ocalił go przed ukąszeniem. Teraz Dingo zdołał wpić się kłami w błyszczące ciało węża tuż przy płaskim łbie. Pies i wąż upadli na ziemię, rozgorzała błyskawiczna, zaciekle walka.

— Ratunku! — krzyknął Tomek nie wiedząc, w jaki sposób mógłby przyjść psu z pomocą.

Z kłębowiska toczącego się po murawie najpierw stał się widoczny Dingo. Wyśliznął się zręcznie z objęć węża, który natychmiast zsunął się z brzegu do wody.

— Co się stało? Tomku, co tobie? — wołali przerażeni łowcy biegnąc ku niemu na wyścigi.

— Wąż! Wąż wisiał nade mną! Dingo się na niego rzucił!

Tomek z przejęciem opowiadał o niebezpiecznym wydarzeniu. Smuga i Wilmowski uważnie obejrzeni psa, który podniecony gwałtowną walką jeszcze gniewnie szczyrzył kły.

— Wierny, poczciwy Dingo — odezwał się Smuga. — Dowiodłeś teraz, piesku, że potrafisz narazić własne życie w obronie swego pana.

— Dlaczego pan tak mówi? — zaniepokoił się chłopiec. — Czyżby wąż...?

— Nie chciałbym cię martwić, lecz mężczyzna musi umieć spojrzeć prawdzie w oczy — smutno odparł Smuga. — Wąż ukąsił Dinga tuż nad lewym okiem. Górna powieka już puchnie...

— Dingo, mój kochany Dingo... — szepnęła Tomek nachylając się nad swym czworonożnym przyjacielem.

Drżącymi palcami dotknął psa, przyjrzał się szybko puchnącej powiece, po czym przytulił jego łeb do swej piersi. Z oczu Tomka popłynęły łzy.

— Czy naprawdę nie ma już dla niego żadnego ratunku? — zapytał łkając.

Mężczyźni stali głęboko wzruszeni. Obawiali się budzić w sercu chłopca złudne nadzieje. Sambo przyklęknął przy Tomku.

— Szkoda, że Samba tu nie było. Może wąż jego by ukąsił zamiast dobrego psa, który bronił Samba przed handlarzem niewolników — mówiąc to Sambo wycierał czarnym kułakiem łzy.

— Pies nie zawsze umiera, gdy ugryzie go wąż — wtrącił Mescherje. — Miałem takiego psa, co pogryzł się z wężem i nic mu nie było.

— Nie becz, brachu, nad żywym jeszcze przyjacielem, chociaż i mnie jakoś miękko się w dołku robi — dorzucił bosman, przygarniając do siebie chłopca i psa.

— Słuchaj, Tomku, nie chciałbym cię łudzić, ale przecież w Dingu płynie krew australijskich dzikich psów, dla których wszelkie płazy i gady nie są żadną nowością. Może ukąszenie węża mu nie zaszkodzi, nawet jeżeli był to wąż jadowity — zauważył Smuga.

— Czy pamiętacie, co gadał pan Bentley? Że w Australii nawet małe dzieci węzów się nie boją — porywczo powiedział bosman.

— Nie martwmy się, dopóki Dingo ma tak wesołą minę — dodał Wilmowski, spoglądając przez cały czas uważnie na psa.

Teraz dopiero Tomek zwrócił uwagę na zachowanie Ulubieńca. Otóż Dingo z wielkim zadowoleniem poddawał się pieszczotom. Wprawdzie mocno napuchnięta lewa powieka zakryła mu całe oko, lecz pies przekrzywił głowę i drugim okiem wesoło spoglądał na otaczających go ludzi. Tomek przestał płakać. Wtedy Dingo machnął kilka razy ogonem; różowym jęzorem polizał chłopca po zapłakanej twarzy, potem obwąchał chlapiącego Samba, dotknął wilgotnym nosem kulek wciśniętych w oczy, szczeknął chrapliwie i pobiegł węszyć na brzegu, gdzie wąż zsunął się do wody.

— Widzisz, Dingo wcale się nie przejął ukąszeniem. Miejmy nadzieję, że wszystko się dobrze skończy — odezwał się Wilmowski.

— Najlepszym lekarstwem na wszelkie zmartwienia jest praca i ruch. Przygotujmy się szybko do drogi.

Obawa Tomka o życie ulubieńca była tak wielka, że tego dnia prawie wcale nie zwracał uwagi na dżunglę. Inni łowcy również co chwila uważnie spoglądali na Dinga, lecz nie spostrzegając, poza opuchlizną na lewym oku, dalszych skutków ukąszenia, powoli nabierali nadziei, że psu nic złego się nie stanie.

Tego samego dnia po południu łowcy natrafili na rozwidlenie strumienia. Stąd część wód płynęła wprost na zachód. Wartki nurt ginął w głębi zielonego naturalnego tunelu, utworzonego przez połączone lianami korony drzew rosnących na obu brzegach.

Hunter długo spoglądał w mroczny wyłom w zieleni dżungli. W końcu zaproponował, aby karawana zatrzymała się na odpoczynek przy rozwidleniu strumienia, podczas gdy on i Santuru rozejrzą się po okolicy. Nikt oczywiście nie oponował. Tropiciel ruszył w towarzystwie Murzyna na przeciwległy brzeg. Po chwili obydwaj zniknęli w gęstwinie dziewiczego lasu. Wrócili dopiero po dwóch godzinach.

— Wydaje mi się, że natrafiliśmy wreszcie na okolicę, w której mogą się gnieździć goryle — oświadczył Hunter po powrocie z wypadu. — O godzinę drogi stąd znajduje się w pobliżu strumienia wiele dzikich drzew owocowych. Woda i obfitość pożywienia, a nade wszystko brak jakichkolwiek mieszkańców stwarzają ulubione przez małpy warunki bytowania.

— Czy znalazł pan miejsce nadające się do rozłożenia obozu? — zatroszczył się Wilmowski.

— Owszem, napotkaliśmy sporą, zaciszną polanę na niewielkim wzniesieniu.

Nie tracąc czasu przeprawili się przez strumień i podążyli wzdłuż płynącej na zachód odnogi. Z wielkim trudem przedzierali się przez gąszcz, Hunter bowiem nie pozwolił wyrąbywać drogi.

— Im mniej wrzawy narobimy, tym prędzej osiągniemy cel wyprawy — tłumaczył. — Musimy pamiętać, że goryle unikają spotkań z ludźmi, a niepokojone, natychmiast się przenoszą w inną okolicę.

W plątaniu lian i drzew musieli wyszukiwać łatwiejsze przejścia dla tragarzy i zwierząt jucznych. Chwilami schodzili w łożysko strumienia, by posuwać się jego łagodnym nurtem. Tomek, uczulony na węże, z niepokojem wyśledził kilka wodnych żmij, które szybko umykały spod nóg.

Uciążliwa wędrówka zajęła sporo czasu. Dopiero po trzech godzinach dotarli do przerzedzonego lasu o niezwykłym kolorycie. Między długimi szpalerami jasnokarmazynowych akacji rozrzucone były drzewa brzoskwiniowe i złoto kwitnące dzikie mimozy. Nie opodal była polana wybrana uprzednio przez tropiciela.

Mieli się tu zatrzymać na dłuższy czas, więc rozbili namioty, a cały obóz otoczyli ogrodzeniem zbudowanym z gałęzi i mocnych lian. Tomek ściął w lesie wysmukłe drzewo, które po usunięciu gałęzi miało służyć za maszt flagowy. Razem z Sambem wkopali go pośrodku obozu i na umocowanych do drzewca blokach bardzo uroczyście wciągnęli polską flagę. Dopiero tuż przed zachodem słońca uporali się z najpilniejszymi pracami obozowymi.

Wieczorem, zmęczeni nużącym przedzieraniem się przez dżunglę, podróżnicy paląc fajki niewiele rozmawiali. Sen sklejał im powieki i już mieli się rozejść do namiotów, gdy naraz z głębi dżungli doszedł dźwięk, jakby uderzano w wielki metalowy kocioł.

— Tam–tamy! — zawołał Tomek, lecz zamilkł natychmiast.

W mrocznym lesie rozległ się ryk przypominający z początku jakby szczekanie wielkiego brytana, a potem głuche warczenie podobne do huku dalekiego grzmotu. Przerażający ryk oraz dudnienie powtarzane przez echo zdawały się rozbrzmiewać we wszystkich zakątkach dżungli. Biali podróżnicy i Murzyni z zapartym tchem wsłuchiwali się w te niesamowite głosy.

— Leśni ludzie! — szepnął Matomba poszarzałymi ze strachu wargami.

— Soko! — cicho przywodził Santuru.

— Czy jesteś pewny, że to głosy goryli? — zapytał Hunter.

— Tak, tak. Santuru słyszał już nad jeziorem Kiwu gniewające się soko — zapewnił nadworny łowczy.

— Wygaście zaraz ognisko, bo inaczej leśni ludzie przyjdą tu w nocy i zjedzą wszystkich — pospiesznie zawołał Matomba.

— Uspokój się, Matomba, takim gadaniem straszysz niepotrzebnie siebie i innych — skarcił Hunter — Twoi leśni ludzie są zwykłymi zwierzętami, które nie odważą się napaść na nasze obozowisko. Ogień musimy wygasić, aby nie spłoszyć goryli.

Murzyni pospiesznie zdeptali ognisko, natychmiast też przestali narzekać na zmęczenie. Niektórzy przykucnęli na ziemi trzymając ostre dzidy w pogotowiu, jakby oczekiwali napaści.

— Dlaczego Murzyni nazywają goryle leśnymi ludźmi? — zapytał podniecony Tomek.

Wilmowski spokojnie wyjaśnił:

— Wiele szczepów murzyńskich mniema, że goryle są naprawdę dzikimi ludźmi. Mają oni rzekomo przebywać w głębi dżungli z obawy, aby nie zaprzęgnięto ich do pracy. Umyślnie jakoby udają również nieznaną ludzkiej mowy. Należy wziąć pod uwagę, że do tej pory bardzo mało wiemy o życiu małp człekokształtnych. Z tego też powodu niejedna już powstała o nich legenda.

— Ciekawe, kto pierwszy odkrył w dżungli goryle? — zapytał Tomek.

— O ile sobie dobrze przypominam, to w połowie dziewiętnastego wieku jako pierwszy z białych ludzi odkrył goryla nad brzegami rzeki Gabun misjonarz Savage. Początkowo uważano goryla za szympansa, dawno już znanego afrykańskiego leśnego człowieka. Później jednak podróżnik Du Chaillu bliżej mu się przypatrzył, a wtedy uznano w gorylu oddzielny i najbliższy człowiekowi gatunek małpy.

— Czy to prawda, że goryle napadają na ludzi i są tak potwornie silne?

— Trudno mi o tym dyskutować, gdyż widziałem zaledwie jednego zdychającego już goryla, i to... w niewoli.

— A może pan Hunter wie coś ciekawego o gorylach? — zagadnął Tomek.

— Nie widziałem jeszcze tych bestii ani żywych, ani martwych. Mogę mimo to dla uspokojenia nas wszystkich dodać, że pojedynczy goryl podobno



ustępuje człowiekowi z drogi, lecz gdy jest razem z rodziną, wtedy śmiało atakuje. Najlepiej w takim wypadku zachować strzał na ostatnią chwilę — wyjaśnił Hunter.

— Grunt to dobra pukawka i... celne oko, brachu kochany — mruknął bosman.

— Trafnie to powiedziałaś, bosmanie — odezwał się Smuga. — Cokolwiek czarni lub biali ludzie naopowiadali o gorylu, jest on w rzeczywistości tylko złośliwym, fałszywym, upartym i niebezpiecznym zwierzęciem. Jeżeli staniesz z nim twarzą w twarz, pal między ślepią bez najmniejszych skrupułów i mierz celnie! Inaczej rozerwie cię na sztuki potężnymi kłami, tak jak każde inne dzikie zwierzę.

Mescherje błysnął w uśmiechu białymi zębami i rzekł:

— My zaraz zrobimy mocne piwo, jak mówił Santuru, a biały człowiek zamknie do klatki wielką małpę.



## ŁOWY NA GORYLE

Nazajutrz rano Tomek stwierdził niemal uszczęśliwiony, że opuchlizna nad okiem Dinga znacznie zmaląła, a pies nie utracił dobrego samopoczucia. Uczestnicy wyprawy zgodnie orzekli, że niebezpieczeństwo już minęło. Teraz można było nie obawiać się więcej o wiernego psa. Zaraz też wszystkim poprawiły się humory.

— Ho, ho! Nasz Dingo to zuch psisko! — chwalił bosman Nowicki — Trafił frant na franta. Głupia afrykańska gadzina nie wiedziała, że spotkała lepszego od siebie.

— Nie ma pan pojęcia, jaki wielki ciężar spadł mi z piersi — zwierzył się Tomek. — Co by Sally powiedziała, gdyby Dingo zginął od ukąszenia węża?

— Jakoś nie możesz zapomnieć tej turkaweczki — roześmiał się bosman. — Przecież po to ofiarowała ci Dinga, aby służył wiernie i bronił cię w niebezpieczeństwie.

— To prawda, ale cieszę się, że nic mu już nie grozi.

— Kto by się nie przywiązał do takiego zucha!

W obozie rozpoczęto przygotowania. Murzyni pod kierownictwem Wilmowskiego składali przyniesione w częściach duże, żelazne klatki. W nich to właśnie miały być zamknięte goryle, gdyby łowy zakończyły się pomyślnie. Santuru osobiście pilnował wyciskania soku z ziaren kukurydzy, z którego sporządzono piwo mające ułatwić chwytanie wielkich małych człekokształtnych. Smuga z Hunterem wydobyli z pak wielkie sieci oraz całe pęki grubych rzemieni. Rozwiesili je na wbitych w ziemię drągach i uważnie sprawdzili ich stan. Smuga przygotował również długie, mocne lassa.

Do chwili dokładnego przeszukania okolicy Wilmowski zabronił komukolwiek oddalać się z obozu bez pozwolenia. Nie tyle obawiał się ewentualnej napaści goryli, ile nie chciał przedwcześnie płoszyć zwierząt. Tomek miał więc sporo wolnego czasu, toteż postanowił sprawdzić, czy nie zapomniał posługiwać się arkanem. Dingo służył mu za ruchomy cel. Z właściwym sobie uporem rozpoczął Tomek żmudne ćwiczenia, korzystając z rad doświadczonego Smugi.

Przez następne dni uczestnicy wyprawy odpoczywali w obozie. W tym czasie Hunter, Santuru i Smuga urządzali wypady w okoliczną dżunglę w poszukiwaniu goryli. Początkowo żadnemu z nich nie udało się spostrzec obecności małp. Aby przeszukać okolicę w jak największym promieniu, podzielili się na dwie grupy: Hunter z Santuru udali się na zachód. Smuga wyruszył na południe.

Był to już trzeci dzień od chwili rozbicia obozu na polanie. Murzyni rozkoszowali się beczynnością. Narzekali jedynie na skąpe racje żywnościowe. Z żalem wspominali pozostawionego w Jeziorze Edwarda hipopotama. Tomek pokpiwał z obżartuchów, gdyż podniecony oczekiwaniem na niebezpieczne łowy zapomniał o jedzeniu. Tego dnia Hunter z Santuru wcześniej wyruszyli w dżunglę. Smuga natomiast poprosił Tomka o wypożyczenie Dinga. Oczywiście chłopiec napraszał się żeby towarzyszyć podróżnikowi na tę wyprawę, lecz Smuga odmówił, pragnąc mieć większą swobodę w poszukiwaniach.

Santuru i Hunter wrócili po południu. Wycieczka ich i tym razem nie przyniosła pozytywnych wyników. Hunter podejrzewał nawet, że goryle mogły spostrzec obecność ludzi i wyniosły się w dalsze okolice. Słońce chyliło się już ku zachodowi, a Smuga nie wracał. Dopiero tuż przed zapadnięciem nocy płowe cielsko psa przemknęło przez polanę. Dingo wielkim susem przesadził ogrodzenie okalające obozowisko, po czym podbiegł do Tomka łasząc się radośnie. Niebawem na skraju polany ukazał się Smuga. Wilmowski odetchnął z ulgą widząc przyjaciela całego i zdrowego. Od chwili niebezpiecznego zranienia zatrutym nożem stale się o niego niepokoił.

Tymczasem Smuga, jak zwykle bardzo opanowany, spokojnie wkroczył do obozu. Zaraz ochłodził się kąpielą w pobliskim strumyku, a następnie z humorem naśladowując sposób mowy bosmana zagadnął:

— Coście tak, szanowni panowie, pospuszczali nosy na kwintę? Dajcie mi piorunem jeść, bo jestem nie mniej głodny od żarłocznych małpoludów, którym przyglądałem się niemal pół dnia.

— Janie, czy naprawdę wytropiłeś goryle? — zawołał podniecony Wilmowski.

— Obserwowałem je przez kilka godzin z odległości kilkudziesięciu metrów.

Wiadomość o wytropieniu goryli lotem błyskawicy obiegła obozowisko. Tak biali łowcy, jak i wszyscy bez wyjątku Murzyni otoczyli Smugę, prosząc o szczegółową relację.

Toteż szybko się posilił i zapaliwszy fajkę zaraz rozpoczął sprawozdanie:

— Jestem pewny, że goryle przebywają w tej okolicy w większej liczbie, lecz nic dziwnego, iż nie mogliśmy ich wytropić. Nie macie pojęcia, jakie to czujne i zmyślne bestie. Gdyby nie Dingo, przeszedłbym prawdopodobnie obok goryla siedzącego na drzewie nie podejrzewając nawet jego obecności. Dingo doskonale tropi zwierzynę. Trzeba go tylko bacznie obserwować. Nie dalej jak o godzinę drogi stąd zaczął zdradzać niepokój. Zjeżywszy sierść na grzbiecie, co chwila spoglądał na mnie. Przycupnęliśmy więc w krzewach i czekaliśmy. Minęło sporo czasu, zanim spostrzegłem wielkiego goryla zrywającego z drzewa dzikie brzoskwinie. Wkrótce samiec objadł jedno drzewo, a potem z lekkością, o którą nie można by podejrzewać tak wielkiego i ciężkiego zwierzęcia, zwinnie przeskoczył na sąsiednie. Nałamał całe naręczce gałęzi razem z owocami, zeskoczył i powędrował w kierunku legowiska. Z daleka sunęliśmy za nim kryjąc się za drzewami. W ten sposób doprowadził nas do małego, cienistego, wilgotnego parowu. Na platformie uwitej wśród gałęzi rozłożystego drzewa znajdowała się samica z małym gorylem. Im to właśnie samiec zaniósł urwane razem z gałęziami brzoskwinie.

— Czy obserwowałeś również zachowanie goryli w stadle rodzinnym?  
— zapytał Wilmowski.

— Oczywiście, nie mógłbym przecież nie skorzystać z tak wspaniałej okazji. Napotkany samiec przekraczał wzrostem naszego bosmana.

— Za przeproszeniem, nie porównuj mnie z małpami! — zaoponował urażony marynarz.

— Przepraszam, bosmanie — uśmiechnął się Smuga. — Użyłem tego porównania, aby nasi towarzysze mieli należyte wyobrażenie o potężnej budowie zwierzęcia, na które będziemy polowali.

— Ha, jeżeli tak, to zgoda — odparł bosman. — Mów dalej, z łaski swojej.

— Proszę sobie wyobrazić olbrzyma o nadzwyczaj szerokich barach, silnie rozwiniętej, wypukłej klatce piersiowej, długich rękach sięgających kolan, stąpającego bezszelestnie na stosunkowo krótkich nogach. Przyjrzałem

mu się dokładnie przez lunetę. Jedyne twarz i dłonie o popielatej barwie pozbawione są owłosienia, które, gęsto pokrywa jego ciało. Łeb nosi lekko pochylony ku przodowi. Przez gęstwinę pełźnie na czworakach, natomiast gdy idzie na samych nogach, chód jego jest chwiejny, za przeproszeniem bosmana, jak chód marynarza. Największe jednak wrażenie sprawia twarz pełna piekielnego wyrazu i dzikie, błyszczące oczy.

— Janie, bardzo cię proszę, abyś dokładnie spisał wszystkie swe spostrzeżenia. Są to naprawdę nadzwyczaj cenne, nie tylko dla nas, wiadomości — odezwał się Wilmowski.

— Jutro o świcie wyprawimy się obydwaj w celu uzupełnienia moich obserwacji. Niewątpliwie spostrzeżenia nasze zaciekawiają w Europie wielu ludzi.

— Czy potrafi pan odnaleźć legowisko goryli? — niepokoił się Tomek.

— Nie obawiaj się, przyjacielu. Pozostawiłem znaki, po których z łatwością odzyskamy właściwe miejsce.

— Kiedy wobec tego rozpoczniemy obławę na goryle? — zapytał Hunter, któremu udzieliło się ogólne podniecenie.

— Otóż przechodzimy teraz do sedna rzeczy — odparł Smuga. — Z rana wyprawię się z Wilmowskim, by poczynić dalsze obserwacje, a dopiero później wyruszymy większą grupą. Podsuniemy gorylom naczynia napelnione piwem i poczekamy na miejscu na wynik. Jeżeli małpy są tak łase na piwo, jak zapewnia Santuru, powinniśmy bez większego ryzyka zamknąć całą rodzinę w klatkach.

— Słyszycie, co mówi pan Smuga o waszych leśnych ludziach? — triumfująco odezwał się bosman do tragarzy i Matomby. — I było to przed czym mieć tyle cykorii? Wstyd wam chyba teraz, co?

— Wielki biały buana jest odważny jak bawół lub słoń — przyznał Matomba. — Ale soko jeszcze dotąd nie siedzą w waszych mieszkaniach z żelaznych prętów.

— Popatrz, człowieku! Tymi dwoma łapami sam wpakuję je do klatek — chełpił się bosman mile połączony porównaniem ze słoniem i bawołem, uchodzącymi za najgroźniejsze zwierzęta kontynentu.

— Buana, czy naprawdę sam włożysz soko do klatki? — z podziwem zapytał Matomba.

— Mógłbyś to zobaczyć, gdyby tylko starczyło ci odwagi pójść tam z nami — zapewnił bosman.

Matomba długo się zastanawiał, lecz tak charakterystyczna dla Murzyna ciekawość wzięła widocznie w nim górę, gdyż oznajmił:

— Dobrze, buana. Matomba boi się soko, ale pójdzie z tobą, żeby zobaczyć, czy wsadzisz sam leśnego człowieka do klatki.

— Niech cię kule biją! Podobasz mi się, Matomba, czy jak cię tam twój szanowny tatuś nazwał.

— No, więc jutro przystępujemy do dzieła. Słuchajcie, jeżeli schwytemy goryle, wyprawimy sowitą ucztę dla wszystkich — obiecał rozochocony Wilmowski.

Murzyni podnieceni zapowiedzianym polowaniem oraz obietnicą uczy rozchodzili się do namiotów żywo dyskutując, a tymczasem Tomek, jakoś dziwnie markotny, zbliżył się do ojca.

— Czy nie cieszysz się na samą myśl o rozpoczęciu łowów? — zapytał Wilmowski, uważnie przyglądając się chłopcu.

— Cieszyłbym się, nawet bardzo bym się cieszył, ale... — Tomek urwał zdanie w połowie i zamilkł, opuszczając głowę na piersi.

— Cóż tam cię znów gnębi? Dlaczego nie mówisz po prostu, co masz na sercu?

Tomek szybko spojrzał ojcu prosto w oczy.

— Zabierz mnie jutro rano, gdy będziesz szedł z panem Smugą śledzić goryle! — wyrzucił z siebie jednym tchem.

— Hm, właściwie miałem ci to zaproponować, chciałem jednak przedtem zasięgnąć zdania pana Smugi — odparł Wilmowski tłumiąc śmiech, gdyż domyślił się od razu, o co synowi chodziło. — Co o tym sądzisz, Janie?

— Skoro postanowiliśmy uczynić Tomka doskonałym łowcą zwierząt, to uważam za bardzo wskazane zabrać go na tę wyprawę. Nieprędko może nam się znów nadarzyć tak wspaniała okazja. Tym samym będziemy mieli o jednego świadka więcej, że nie wyssaliśmy z palca naszych spostrzeżeń o życiu goryli — odparł Smuga.

Uszczęśliwiony Tomek zabrał się natychmiast do przeglądu broni.

Następnego dnia o świcie we trzech wyruszyli w kierunku małego leśnego parowu. Pierwszy szedł Smuga. Z wprawą wytrawnego tropiciela odszukiwał pozostawione dnia poprzedniego znaki na drzewach bądź ułożone

odpowiednio na ziemi kawałki gałęzi. Za nim, czujnie rozglądając się na wszystkie strony, maszerował Tomek ze sztuczerem pod pachą, a na samym końcu kroczył Wilmowski. Przedzierając się wolno przez krzewy, dotarli na sam skraj gęsto porosłego drzewami stoku zamykającego parów. Zaszyli się w mały wykrot. Smuga z największą ostrożnością rozgarnął krzewy. Wydobył lunetę. Przez dłuższą chwilę rozglądał się po parowie.

— Są, są w legowisku! — szepnął podniecony.

Podał lunetę Tomkowi, który zaraz spojrział we wskazanym kierunku. W rozwidleniu potężnego drzewa, nie wyżej niż pięć metrów nad ziemią, znajdowała się upleciona z gałęzi i lian mała platforma. Na niej to ujrzał samicę. Cienką, dobrze ulistnioną gałązką oganiała owady bzykające nad uśpionym jeszcze gorylątkiem. Na ziemi, oparty plecami o pień drzewa, siedział olbrzymi samiec. Obok niego leżała kupka jakichś roślin wyrwanych razem z korzeniami, które obgryzał i żuł potężnymi szczękami. Wkrótce ukończył poranny posiłek, zgarnął garść roślin i dźwignął się na krótkich nogach. Z wprawą doskonałego akrobata wspiał się na drzewo. Wszedł na platformę nie wypuszczając z dłoni roślin, podał je samicy, lecz ta gniewnie go wypchnęła. Bez ociągania się zeskoczył na ziemię i powędrował w las.

Smuga orzekł, że samica nie była widocznie zadowolona z przyniesionego przez męża pokarmu i wyprawiała go po owoce leśne, za którymi małpy potrafią przewędrować wielkie przestrzenie lasu.

Przez kilka godzin łowcy obserwowali zachowanie goryli. Samica zniosła swe maleństwo na ziemię. Pilnowała, by zbyt nie oddalało, karmiła je brzoskwiniami i jakimiś liśćmi przyniesionymi przez ojca. W najgorętszych godzinach wzięła dziecko na rękę, wspięła się z nim z powrotem na drzewo i ułożyła do snu. Gdy nieposłuszne gorylątko wychylało się z legowiska, dała mu lekkiego klapsa i znów ułożyła je na spoczynek, kładąc się obok.

W końcu łowcy wycofali się z parowu. Zaraz po przybyciu do obozu Tomek, zachęcony przez ojca, zabrał się do spisania poczynionych obserwacji, oznaczając nawet przy pomocy Smugi miejsce na mapie, w którym wytropiono goryle.

Podróżnicy nadzwyczaj starannie przygotowywali się do pierwszych w Afryce łowów. Jeszcze raz sprawdzili stan sieci, zbadali wytrzymałość rzemieni, a także dokonali uważnego przeglądu żelaznych klatek. Z kolei



Wilmowski oznajmił Murzynom, że mogą zgłaszać się na ochotnika do wzięcia udziału w niebezpiecznych łowach, za co otrzymają specjalne wynagrodzenie. Ku jego zdziwieniu pierwszy zgłosił się Matomba, który od chwili, gdy bosman oświadczył butnie, iż własnymi rękami umieści w klatce goryla, niemal nie spuszczał z niego wzroku. Za przykładem Matomby wszyscy Murzyni postanowili pójść na polowanie. Wilmowski nie mógł pozostawić obozu bez opieki, wybrał więc dwunastu najsilniejszych i najsprawniejszych, raz jeszcze obiecując wyprawić sutą ucztę dla wszystkich, jeżeli łowy pomyślnie się zakończą. W obozie pozostało dwóch uzbrojonych Masajów oraz ośmiu tragarzy, podczas gdy reszta ruszyła w oznaczonym kierunku.

Tym razem Smuga poprowadził towarzyszy najkrótszą drogą. Zatrzymali się dopiero w pobliżu leśnego parowu i tam przycupnęli w gąszczu. Smuga i Hunter wybrali pięciu ludzi do niesienia naczyń z piwem, po czym razem z nimi zaczęli się skradać w kierunku legowiska goryli. Murzyni, osłaniani przez dwóch znamienitych strzelców, bezszelestnie niemal wśliznęli się do parowu. Santuru na migi dał strzelcom do zrozumienia, aby byli gotowi każdej chwili do strzału, a w końcu rozstawił pięć tykw napełnionych mocnym napojem. Teraz Murzyni powoli wycofali się z parowu, w którym został Santuru i obydwaj biali strzelcy. Zaledwie tragarze odeszli, Santuru ułamał z drzewa gałąź. Rozległ się głośny trzask; Łowczy królewski pospiesznie przebiegł kilka kroków, umyślnie przedzierając się przez najgęściejsze krzewy. Strzelcy również rozpoczęli odwrót. Zatrzymali się dopiero około stu metrów od tykw z piwem. Smuga obserwował przez lunetę zachowanie goryli. Olbrzymi samiec bez wahania ruszył do wylotu parowu, by sprawdzić, czy rodzinie jego nie zagraża niebezpieczeństwo. Szybko biegł na czworakach w kierunku, skąd przed chwilą doszedł go trzask gałęzi. Naraz przystanął niezdecydowanie, ujrawszy dziwne przedmioty. Podchodził ostrożnie krok za krokiem, aż w nozdrza uderzył go nieznanym zapach. Długo i nieufnie obwąchiwał tykwy napełnione piwem. Słodko-kwaśna woń nęciła go coraz bardziej. Po chwili ostrożnie spróbował napoju.

Podstęp udał się. Łowcy widzieli z daleka, jak goryl, naśladując najwytrawniejszych piwoszów, opróżnił szybko dwie tykwy. Wilmowski chcąc, aby zwierzęta jak najszybciej uległy oszołomieniu, dodał do piwa trochę spirytusu, toteż na skutki małego pijaństwa nie trzeba było zbyt długo

czekać. Chwiejny normalnie chód goryla stał się obecnie jeszcze bardziej groteskowy. Olbrzym zataczał się, przewracał, wydawał głośne pomruki, czym zwrócił uwagę swej czujnej małżonki. Zjawiała się niebawem obok pijanego męża i wkrótce obydwie małpy z głośnym mlaskaniem opróżniły pozostałe naczynia. Gdy stwierdziły, że już nic więcej nie da się z nich wysączyć, porozbijały je o drzewa i rozdeptały, po czym poczołgały się ku piszczącemu maleństwu.

Dla naszych strzelców było to hasłem do odwrotu. Bez dalszej zwłoki pobiegli do oczekujących na nich towarzyszy i zdali krótką relację. Zaraz też cała grupa podążyła do parowu, niosąc klatki i rzemienie. Jedynie Tomek i Hunter trzymali karabiny w pogotowiu, aby celnymi strzałami zabić bestie, gdyby próbowały rzucić się na ludzi.

Łowcy wkroczyli do parowu, a wtedy oczom ich ukazał się widok godny pożałowania. Goryle w niedbałych pozach leżały u stóp drzewa, na którym była zbudowana platforma. Małe gorylątko przykucnęło przy piersi samicy i skomlało bezradnie. Ujrzało łowców. Teraz zaczęło szarpać sierść matki, lecz obydwie goryle chrapały głośno, pogrążone w pijackim, głębokim śnie.

— Tfu, tylko bydlę może się tak spać — mruknął bosman, obrzucając małpy pogardliwym wzrokiem.

— Widziałem już i ludzi zamroczonych wódką — szepnął Tomek.

— Nie gadaj, tacy ludzie są też prawdziwymi bydlętami — oburzył się bosman. — Porządny człowiek pije zawsze w miarę i... najlepiej rum.

— Cicho! — syknął Hunter.

Murzyni jak duchy zbliżyli się do leżących bezwładnie goryli. W nabożnym niemal skupieniu postawili klatki na ziemi. Matomba niedwuznacznie zajrzał bosmanowi w oczy.

Trzeba przyznać, że żartobliwemu marynarzowi nigdy nie brakło śmiałości, gdy chodziło o popisanie się nadzwyczajną siłą i odwagą. Zaledwie poczuł na sobie podniecony wzrok Matomby, odrzucił w trawę karabin.

— Przysuńcie bliżej otwartą klatkę — rzekł do Huntera, po czym ruszył ku małpom.

— Bosmanie, podchodź do nich z tyłu i trzymaj ręce z dala od pysków goryli — ostrzegł Smuga.

Marynarz kocim krokiem zbliżył się do samca, chwycił go za potężne bary i odwrócił na brzuch. Żyłaste ręce silnym chwytem objęły goryla w

pasie. Waga olbrzymiej małpy musiała być znaczna, gdyż żyły wystąpiły na skroniach bosmana, kiedy unosił z ziemi bezwładne cielsko. Po chwili goryl leżał w obszernej, żelaznej klatce.

Pochwalne szepty Murzynów były dla bosmana największą nagrodą. Zadowolony z siebie spojrzął chętnie na Matombę. Murzyn stał z szeroko otwartymi ustami, a jego pełen uwielbienia wzrok wyrażał więcej, niż jakiegokolwiek słowa mogłyby wypowiedzieć.

Z kolei marynarz przystąpił do samicy. Ta jednak mniej pochłonęła piwa niż jej małżonek, a poza tym do półzamroczonej świadomości zwierzęcia musiał docierać rozpaczliwy pisk maleństwa, toteż szczyrzyła kły nie otwierając sennych ślepi. Widząc to, Wilmowski i Hunter pospieszyli bosmanowi z pomocą. Zaledwie Hunter odrzucił karabin, czujny jak zwykle Smuga natychmiast podjął z ziemi swą broń i zbliżył się do Tomka, który również z zainteresowaniem obserwował wyczyny bosmana.

Naraz, tuż za łowcami unoszącymi z ziemi opierającą się samicę, dał się słyszeć jakiś szelest w zaroślach. Z gęstwiny wypełznął na czworakach potwornych rozmiarów goryl. Ujrawszy ludzi stanął na tylnych łapach. Wysokość bestii musiała przekraczać dwa metry, gdyż chcąc patrzeć na dziwne, nie znane sobie istoty, pochylił potężny kark i spoglądał w dół. Ciemnoszare, błyszczące dziko oczy bez strachu patrzyły na ludzką gromadę. Nagle goryl zacisnął dłonie. Pięściami wielkimi jak bochny chleba zaczął się mocno walić w piersi. Rozległo się głucho dudnienie. Małpolud jakby szczyknął głośno, a potem z paszczy wydarł mu się ryk tak okropny, że ludzie zamarli z przerażenia. Oczy goryla pały wściekłością. Krótka, włochata grzywka na niskim czole jeżyła się i opadała. Bił pięściami w piersi, ryczał bez przerwy, jakby wzywał na pomoc złe moce drzemiące w głębi dżungli. Postąpił dwa kroki ku łowcom, zatrzymał się na chwilę, po czym pochylił tułów i chwiejnym krokiem ruszył ku grupce ludzi.

Zwierz pojawił się tak nieoczekiwanie, że poza Smugą i Tomkiem nikt więcej nie zdołał chwycić za broń. Nawet Masajowie porzucili karabiny, przyglądając się, jak bosman pakował samca do klatki. Wilmowski, Hunter i marynarz znajdowali się w tej chwili zaledwie o jakieś pięć metrów od atakującego goryla. Natychmiast zdali sobie sprawę z okropnej sytuacji. Wilmowski i Hunter przerazili się w pierwszej chwili, lecz nieustraszony bosman nie stracił zimnej krwi. Nie podnosząc się z kolan, wyszarpnął zza

pasa ostry nóż; Postanowił chociaż na krótką chwilę zatrzymać rozdrażnione zwierzę i tym samym dać towarzyszom możliwość przygotowania się do obrony.

Małe gorylątko nieoczekiwanie przeraziło się strasznego ryku obcego goryla. Niezgrabnym susem przeskoczyło przez ciało matki i rzuciło się w kierunku Tomka i Smugi. Goryl rycząc bez przerwy ruszył za maleństwem. Smuga uniósł karabin do ramienia, lecz nie odważył się pociągnąć za spust. Lewa ręka nieustraszonego podróżnika drżała, uniemożliwiając celny strzał. Twarz Smugi pokryła się bladością, a czoło zwilgotniało. Mimo to nie stracił zimnej krwi.

— Strzelaj, Tomku! Między ślepie! — krzyknął wysuwając się cokolwiek przed chłopca.

Była to już ostatnia chwila. Goryl sunął coraz bliżej. Krzyk Smugi ocalił życie trzem łowcom znajdującym się przy bezwładnej samicy. Podrażnione głosem ludzkim zwierzę jednym machnięciem długich, sękatych ramion odrzuciło na boki Wilmowskiego i Huntera, przetoczyło się po olbrzymim bosmanie, który klęcząc pchnął je nożem, i zaczęło biec ku chłopcu i Smudze. Tomek nie rozumiał, dlaczego Smuga opuścił broń nie nacisnąwszy spustu, lecz skoro polecono mu strzelać, błyskawicznie podniósł sztucer do ramienia. Jeszcze szybciej pomyślał, że wszyscy w tej chwili spoglądają na niego; mierząc krótko i pewnie między pałające ślepie bestii, nacisnął spust.

Rozległ się suchy strzał. Goryl stęknął przerażająco ludzko. Upadł twarzą naprzód. Olbrzymie cielsko przez kilka minut drgało konwulsyjnie.

Triumfalny krzyk Murzynów rozległ się w parowie i odbił o ścianę lasu donośnym echem. Wilmowski i Hunter, którzy nie ponieśli najmniejszego uszczerbku, ponieważ chwycili za karabiny. Bosman dźwignął się ciężko; klęcząc pod nosem zaczął rozcierać potłuczone ciało. Smuga blady jeszcze, lecz zupełnie spokojny, zbliżył się do goryla. Końcem lufy uniósł jego łeb. Dokładnie między ślepiami widniał mały otwór po kuli sztucera.

Bosman przykuśtykał do zabitego zwierzęcia. Spokojnym głosem, jakby nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło, powiedział:

— Niech go kule biją, a to pioruński siłacz! Czy widzieliście, jak bez najmniejszego wysiłku przetoczył się przeze mnie? Mescherje i wy tam, reszta! Przewalcie go na grzbiet. Wyjmijcie mój nóż z jego piersi!

Wilmowski podszedł do syna i poklepał go po ramieniu bez słowa.

— Tomek i bosman uczynili wszystko, co było w ich mocy, aby nas ocalić. To bohaterowie dzisiejszego dnia — odezwał się Smuga. — Dziwisz się, Andrzeju, dlaczego sam nie strzeliłem do goryla?

— Od razu spostrzegłem, że dzieje się z tobą coś niezwykłego — cicho przyznał Wilmowski. — Gdy opuściłeś broń nie oddawszy strzału, bardziej się tym przeraziłem niż nieoczekiwanym atakiem bestii. Co ci się stało, Janie?

— Prześladowa mnie cień mściwego Castaneda — smutno uśmiechnął się Smuga. — Teraz nie mogę już taić przed wami, że co pewien czas odczuwam dziwny bezwład w lewej ręce. Drży ona wtedy, jakby mnie trzęsła febra. Ot, wszystko! Nie byłem pewny strzału, a chybiecie niosło śmierć dla wielu z nas. Winszuję ci, Tomku.

— Masz szczęście, brachu! Mnie taka piękna sztuka nie nawinie się pod muszkę. No, ale że powodzenie sprzyjało kumplowi, to cieszę się, jakbym ja sam wyprawił gorylusa do Abrahama na piwo — wtrącił bosman.

— Nie narzekaj, bosmanie — poważnie powiedział Smuga. — Pierwszy i chyba ostatni raz w życiu miałem możliwość ujrzeć człowieka rzucającego się z nożem na goryla. Cenię ludzi, którzy nie znają uczucia strachu.

Bosman chrząknął zażenowany tak wielką pochwałą.

— Panowie, wpakujmy samicę do klatki, bo gotowa wytrzeźwieć, a wtedy trzeba będzie i ją zastrzelić — ponaglił Wilmowski.

Podczas gdy łowcy zamykali w klatce samicę, Tomek z Sambem odszukali gorylątko. Nie zważając na opór, wyciągnęli maleństwo z pobliskich krzewów.

— Wsadźcie je do klatki samicy — poradził Hunter. — Wkrótce uspokoi się i pocieszy. Prawdopodobnie wrzask tego pędraka ściągnął nam na kark trzeciego goryla. Zbierajmy się do powrotu, nic tu już po nas.

— Co zrobimy z zabitym gorylusem?

— Zabierzemy go również do obozu. To wspaniały okaz. Za skórę i kościec dobrze nam zapłacą — odparł Smuga.

O ile przedtem Murzyni drżeli na samą myśl o spotkaniu z leśnymi ludźmi, o tyle teraz krzyczeli głośno, tańcząc z radości. Natychmiast ucięli grubą gałąź, po czym bez obawy związali zabitemu zwierzęciu ręce i nogi. Z kolei przesunęli drąg między skrępowanymi kończynami, aby w ten sposób mogli łatwiej dźwigać olbrzymi ciężar.

Powrotna droga do obozu trwała dość długo. Murzyni uginali się pod ciężarem niesionych zwierząt. Odpoczywali też co chwila, lecz byli rozradowani i nadzwyczaj gadatliwi. Bez przerwy chwalili siłę oraz odwagę bosmana, podziwiali zimną krew i celność strzału małego buany, a także cieszyli się na przyobiecana przez Wilmowskiego ucztę.

Wieczorem dotarli do obozu. Wilmowski polecił ustawić klatki na łące nie opodal obozowiska. Otoczono je obszernym ogrodzeniem zbudowanym z gałęzi. Wewnątrz ogrodzenia Murzyni musieli wkopać małe drzewka, które doskonale ocieniały obydwie klatki. Trochę sarkali na tyle zbędnej, ich zdaniem, pracy, lecz Wilmowski był niewzruszony. Wiedział przecież, jak trudno jest przewieźć przez morze wrażliwe na niewolę goryle. Dlatego też cena za żywe okazy małych człekokształtnych była w Europie bardzo wysoka.

## NAJNIŻSI LUDZIE ŚWIATA

Dopiero po czterech dniach rozdrażnione niewolą goryle uspokoiły się nieco. Z wyjątkiem Wilmowskiego i Santuru nikomu nie wolno było wchodzić w obręb ogrodzenia otaczającego klatki ze zwierzętami, które stopniowo należało przyzwyczajać do nowych warunków bytowania. Schwywanie całej rodziny małp człekokształtnych było nie lada sukcesem. Łowione dotąd przez niektórych podróżników pojedyncze okazy ginęły przeważnie w czasie podróży morskiej. Przyczyny szybkiego zdychania goryli w niewoli, zdaniem fachowców zatrudnionych u Hagenbecka, były raczej natury psychicznej niż fizycznej. Z tego też względu Wilmowski postanowił otoczyć specjalną opieką rodzinę goryli oraz stworzyć im w niewoli warunki jak najbardziej zbliżone do naturalnych.

Wilmowski nie miał słów uznania dla Santuru. Nikt tak jak łowczy królewski nie potrafił zdobywać zaufania zwierząt. Przede wszystkim zaczął przyzwyczajać małpy do swej obecności w pobliżu klatek. Przez pierwsze dwa dni dorosłe zwierzęta odmawiały przyjmowania pokarmu i napoju. Mniej wytrzymały okazał się mały gorylek. Rozstawienie grubych, żelaznych prętów w klatkach umożliwiło mu przebywanie z matką bądź ojcem, dopiero gdy ci nie byli go w stanie nakarmić, gorylątko zbliżyło się do cichego, łagodnego człowieka. Na to tylko czekał Santuru. Spokojnie podsunął gałąź oblepioną dzikimi brzoskwiniami. Małeństwo porwało jeden soczysty owoc, potem drugi, trzeci, a kiedy najadło się do syta, Santuru położył na ziemi naręczę gałęzi z owocami. Sprytne małpiątko ciągnęło po ziemi smakowite kąski i przenosiło je do klatki samicy, która z uporem odsuwała pokarm. Gdy jednak Santuru następnego dnia odwiedził małpy, nie zastał ani odrobiny pożywienia. Teraz codziennie znosił całe naręczka różnych gorylich smakołyków i kładł je tuż przy klatkach. Małpy zakończyły głodówkę.

Cierpliwość obydwóch łowców dawała dobre wyniki, lecz nie ulegało wątpliwości, że osvajanie zwierząt zajmie wiele czasu. Tymczasem podróżnicy pragnęli zakończyć polowanie przed bliską już porą deszczową. Toteż Wilmowski wcale się nie zdziwił, gdy pewnego dnia Smuga powiedział mu:

— Twoja obecność w obozie jest niezbędna ze względu na goryle. Wobec tego mógłbym tymczasem wyruszyć na poszukiwanie okapi. Nasze zapasy żywności kurczą się gwałtownie. Wkrótce nie będziemy w stanie wyżywić w dżungli takiej gromady ludzi. Dla mniejszych grup łatwiej się znajdzie coś do jedzenia.

— Ile czasu chciałbyś poświęcić na poszukiwanie okapi? — zapytał Wilmowski.

— Przypuszczam, że oswojenie goryli zajmie ci około trzech, a może nawet czterech tygodni. Teraz za wszelką cenę musimy się starać dowieźć je żywe do Europy. Mógłbyś jednocześnie zapolować na szympansy, które spostrzegłem w rozpadlinach skalnych na południu. Tym samym zyskałbym od czterech do sześciu tygodni na wyprawę.

— Na wytropienie okapi warto poświęcić i więcej czasu. Uchodzi ono jeszcze za legendarne zwierzę. Wzbogacilibyśmy wiedzę o faunie afrykańskiej, a ponadto Anglicy ofiarowują poważną sumę za żywe bądź martwe zwierzę. Nie do pogardzenia jest taka gratka.

— Liczę się z tym. Obecna wyprawa pochłonęła wszystkie nasze oszczędności. Nie możemy dopuścić do tego, aby Tomek stracił swe pieniądze.

— Bądź spokojny, na pewno nie będzie miał do nas żalu. Kogo masz zamiar zabrać na poszukiwanie okapi?

Smuga przemyślał widocznie cały plan samodzielnej wyprawy, gdyż odparł bez wahania:

— Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to zabiorę ośmiu tragarzy, dwóch Masajów: Inusiego i Sekeletu oraz... Tomka i Dinga.

— Chcesz zabrać Tomka? — zdziwił się Wilmowski.

— Każdy człowiek ulega jakimś słabościom. Lubię twego syna, a ponadto wydaje mi się, że wszystko, czego on bardzo pragnie musi się spełnić. Powiesz na pewno, że jestem przesądny, ale... przeczucie mówi mi, iż z nim właśnie schwytam okapi.

Wilmowski ufał Smudze jak sobie samemu, lecz długo się wahał. Nikt nie mógł przewidzieć, na jakie trudności i niebezpieczeństwa będzie narażona w dziewiczej dżungli mała ekspedycja. Przecież lasy te zamieszkiwali dzicy Pigmejczycy, przed którymi Hunter dawno już ostrzegał. Smuga zauważył wahanie przyjaciela. Po chwili milczenia dodał cicho:



— Widzisz, Andrzeju, nie jestem teraz pewny strzału. Kto wie, czy nie zadrzy mi ręka w decydującej chwili. Gdyby chodziło jedynie o starcie z krajowcami, nie brałbym tego pod uwagę. Wystarczyłaby mi prawa dłoń i rewolwer, gdyby jednak trzeba było strzelać do znikającego w gąszczu okapi, chciałbym, żeby strzał oddał Tomek. Twój chłopak strzela tak, jak ja strzelałem przed wypadkiem z Castanedem.

— Dziękuję ci serdecznie w imieniu Tomka i swoim własnym — odparł wzruszony Wilmowski. — Najlepsi strzelcy uznają w tobie mistrza!

— Tomek będzie mistrzem nad mistrzami, możesz mi wierzyć, jestem tego pewny.

— Prawdę mówiąc obawiam się trochę o Tomka. Moim zdaniem, jest za prędko do wszystkiego, lecz skoro ma iść z tobą, to niech idzie! Zabierz również bosmana Nowickiego. Ten poczciwy siłacz nie ulęknie się niczego ani nikogo. Kto wie, co może was spotkać w dżungli, a Murzyni zbyt są przesądni, aby można na nich całkowicie polegać.

— Nie chciałem cię pozbawiać pomocy bosmana, skoro jednak sądzisz, iż dasz tu sobie radę z Hunterem i dzielnym Mescherje, chętnie zabiorę go z sobą.

Radość Tomka nie miała granic, gdy się dowiedział, iż Smuga osobiście prosił o jego udział w niebezpiecznej ekspedycji. Bosman również był zadowolony, ponieważ nie lubił długo siedzieć na jednym miejscu i tęsknił już za nowymi przygodami. Teraz obydwaj przyjaciele ochoczo pomagali Smudze w przygotowaniach do wyprawy. Przede wszystkim wybrali trzy składane klatki, dwie duże sieci, lassa i rzemienie, które miał dźwigać jeden kłapouch. Drugi osioł został objuczony sprzętem obozowym. Na bagaż przeznaczony do niesienia przez tragarzy złożyły się zapasy żywności, sztuki perkalu, miedziany drut, szklane korale, sól, tytoń i wiele innych przedmiotów.

Wierny Sambo zmartwił się perspektywą rozstania z Tomkiem, pobiegł więc natychmiast do Wilmowskiego, by prosić o pozwolenie na wzięcie udziału w wyprawie. Łowcy lubili roztropnego Murzyna, toteż bez trudności uzyskał zgodę.

W przeciągu jednego dnia mała ekspedycja była gotowa do drogi. Energiczny Smuga już następnego ranka dał hasło do wymarszu. Karawana

żegnana życzliwymi okrzykami opuściła obóz i wkrótce zniknęła w gąszczu dżungli.

Z wolna posuwano się przez spowitą wiecznym mrokiem płataninę drzew i krzewów. Nieraz jakiś zwalony, butwiejący olbrzymi pień zagradzał drogę, czasem trzeba było omijać całe połacie leżące pokotem lasu. Tomek słusznie odgadł, że tylko sama natura mogła dokonywać podobnych spustoszeń. Wierzchołki drzew były tak mocno splątane lianami, że jeden zwalony huraganem olbrzym pociągał za sobą kilka innych. Las padał, a na nim wyrastały nowe gąszcze, jeszcze bardziej powikłane i mroczne. Dżungla zazdrośnie strzegła swych naturalnych bogactw przed zachłannością człowieka. Nie tknięte przez nikogo rosły tu wspaniałe drzewa mahoniowe, różane i koralowe, nie brakło tam również palm kokosowych, drzew kauczukowych i bambusów.

Smuga nie zrażał się przeszkodami, wymijał zwalone pnie, przez mur pnączy poleciał torować ścieżkę i parł naprzód. Moczary lustrował uważnym wzrokiem, a tam, gdzie wieczny mrok zawężał zbytnio pole widzenia, czujnie nasłuchiwał. Bezmierna dżungla pulsowała życiem. Miliardy owadów ściągały na żer różnorodne ptaki. W pobliżu dziko rosnących brzoskwiń rozlegał się krzyk małp i papug, a nad polami pokrytymi bujnym, barwnym kwieciem unosiły się roje pszczół.

Pewnego dnia karawana zatrzymała się na krótki wypoczynek na małej polanie. Murzyni szybko rozpalili ognisko, aby ugotować kompot z dzikich brzoskwiń. W pewnej chwili Tomek spostrzegł zabawnego, małego ptaka. Otóż przypominający swym wyglądem wróbla ptaszek przelatywał z gałęzi na gałąź, odzywając się donośnym, dźwięcznym głosem. Chłopcu wydało się, że pragnie za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę. Ptak odlatywał stale w jednym kierunku, lecz powracał i nawoływaniem zdawał się wpraszać na przewodnika. Ubawiony Tomek obserwował jego dziwne zachowanie, przy czym przyjrzał mu się dokładnie. Ptak miał mocny dziób, krótkie nogi i ogon oraz długie skrzydła. Murzyni również zainteresowali się pierzastym natrętem. Tragarze ożywieni pokazywali sobie ptaka, nad czymś się naradzali, a Smuga odezwał się do chłopca:

— Widzę, że idzie ci ślina na plaster świeżego miodu.

— Wcale nie myślę o miodzie — zaproponował chłopiec. — Po prostu przyglądałem się temu zabawnemu ptakowi, który zachowuje się tak, jakby nas zachęcał, żeby za nim iść.

— Naprawdę nie znasz tego ptaka? — zdziwił się Smuga.

— Pierwszy raz zwróciłem na niego uwagę przed chwilą — powiedział Tomek.

— Wobec tego tym bardziej muszę pochwalić twą spostrzegawczość, gdyż ptak ów naprawdę zachęca nas do podebrania pszczołom miodu. To jest miodowód<sup>139</sup>, odznaczający się szczególnym upodobaniem w doprowadzaniu ludzi do pszczelich uli.

— Jeżeli tak jest w rzeczywistości, to nad czym się zastanawiają nasi towarzysze? — zawołał Tomek. — Mam ogromną ochotę na plaster świeżego miodu!

— Murzyni naradzają się, gdyż nie są pewni, czy można tym razem zawierzyć miodowodowi. Widzisz, niektórzy krajowcy twierdzą, że ptak często zwodzi i zamiast do miodu, naprowadza ludzi na dzikie zwierzęta.

— Czy miodowody naprawdę wciągają ludzi w zasadzki?

— Należą one do najbardziej znanych ptaków Afryki. Poza tym dwa ich gatunki żyją w północno-wschodnich Indiach, mniej więcej na terytorium Sikkim, i na Borneo. Ptaki te przeważnie wiodą ludzi lub zwierzęta-miodojady do ula pszczoł, lecz czasem prowadzą również do miejsc, w których znajduje się coś dla nich specjalnie interesującego.

— Zaryzykujemy tym razem — zaproponował chłopiec. — Nie mamy się przecież czego obawiać, a miód jest bardzo pożywny. Już mi obrzydły konserwy!

— Prawda, brachu, prawda! — przywtórzył bosman. — Murzyniaki we wszystkim upatrują niezwykłości, ale nie bój się, tylko idź naprzód, a ich straszdyło okaże się po prostu omszałym pniakiem. Ciekaw jestem, co ptaszyskom przychodzi z tego, że doprowadzają ludzi do ula pełnego miodu? Może należą one do jakiejś dobroczynności afrykańskiej?

Bosman zarechotał ze swego dowcipu, lecz Smuga odparł:

— Miodowody wiedzą, że po zniszczeniu gniazda przy podbieraniu miodu zawsze pozostanie tam dla nich jakiś smaczny plaster oraz larwy pszczoł, którymi się chętnie żywią.

---

<sup>139</sup> — *Cuculus indicator*.

— Jeżeli tak, to idziemy za naszym miodowodem! — orzekł bosman. — Tomek, Sambo i kto tam potrafi podkurzać pszczoły, dalej, za mną!

Dwóch tragarzy natychmiast zgłosiło się na ochotnika. Od czasu obławy na goryle Murzyni bez namysłu gotowi zawsze byli towarzyszyć marynarzowi. Sambo zabrał duże naczynie na miód, a miodowód krzyczał radośnie, widząc, iż ludzie przyjęli wezwanie.

Ptak zachowywał się przyjacielsko i roztropnie. Odfruwał jedynie na taką odległość, by ludzie mogli za nim nadążyć, przysiadał na gałęziach krzyząc głośno, czasem pomknął jak strzała udowadniając, że doskonale zna drogę, lecz zaraz wracał i zachęcał do szybszego marszu. Wkrótce doprowadził podróżników do starego drzewa. Sambo wypatrzył dużą dziuplę, wokół której krążyły pszczoły.

Murzyni głośno chwalili zmyślnego ptaka i bez zwłoki nazbierali wilgotnych gałęzi. Płonący wiecheć wydzielał chmurę gryzącego dymu. Okazało się, że Sambo był zręcznym pszczelarzem. Z wielką wprawą odegnał pszczoły krążące wokół dziupli, po czym wydusił broniące się zaciekle w naturalnym ulu owady. Po półgodzinie nappełnił duże naczynie plastrami wybornego, czerwonego miodu. Murzyni łakomie rzucili się na ociekające słodyczą plastry. Nie zwracali nawet uwagi, iż zawierały one sporo nieżywych pszczół, które zjadali razem z częścią wosku. Dziupla była tak obficie zaopatrzona, że nasi „pszczelarze” zabrali zaledwie część miodu. Ptak obserwował ich z gałęzi sąsiedniego drzewa. Gdy odchodzili, rozpoczął triumfalne trele. Potem pofrunął do dziupli, by wyprawić sobie wspaniałą, dobrze zasłużoną ucztę.

Wieczorem przy ognisku głównym tematem rozmów były najrozmaitsze przeżycia ludzi, którzy ulegli zwodniczym nawoływaniom miodowodów. Naraz w czarnej czeluści dżungli dało się słyszeć odległe dudnienie. Łowcy natychmiast zamilkli. Głos tam–tamów zwiastował obecność ludzi. Kim oni byli? Niespodziewane spotkania w dżungli zawsze napawały obydwie strony obawą. Może byli to zdradliwi Pigmejczycy Bambutte, a może ludożercy zwołujący się na wyprawę? Tak biali łowcy, jak i Murzyni stracili naraz ochotę do dalszej pogawędki. Była to noc pełna napięcia i oczekiwania. Szelest krzewów, trzask łamanej gałęzi bądź jakiś nieznany głos dochodzący z dżungli natychmiast podrywały łowców na nogi. W takich chwilach z dużą ulgą obserwowali Dinga, który leniwie unosił powieki i sennie spoglądał na

czuwających ludzi. Po nie przespanej nocy ruszyli o świcie w drogę. Zwartym szykiem kroczyli przez gąszcz. Smuga z Dingiem znajdowali się na samym czele, podczas gdy Tomek i bosman ubezpieczali tyły. Bez przeszkód przebyli około trzech kilometrów. Teraz weszli w naturalny szpaler utworzony przez leśne olbrzymy. Nagle Dingo okazał niepokój. W tej samej niemal chwili rozbrzmiał przeraźliwy krzyk. Gęste krzewy między drzewami rozchyliły się bezszelestnie. W półmroku zieleni ukazały się prawie nagie, brązowoczarne ciała afrykańskich karłów. Ich twarze o długich górnych wargach, spłaszczonych, wklęsłych, szerokich nosach pomalowane były białą i czerwoną farbą. Pigmejczycy trzymali w rękach napięte łuki. Groty strzał kierowali prosto w piersi podróżników.

Smuga powiedział kilka słów powitalnych. Postąpił krok ku karłom, lecz ostry krzyk Pigmejczyka o mocno pomarszczonej twarzy osadził go na miejscu. Ciasne koło półnagich ciał okrążyło karawanę. Groty strzał groziły ze wszystkich stron.

Tomek i bosman stali ramię przy ramieniu z karabinami gotowymi do strzału, lecz wszyscy zdawali sobie sprawę, że nawet broń palna nie uratuje ich przed zatrutymi strzałami. Coraz więcej Pigmejczyków wychylało się z zarośli. Dingo zjeżył sierść, wyszczerzył kły, ale Smuga trzymał go krótko na smyczy.

— Rozpędziłbym tych pędraków, ale te ich patyki mogą być zatrute — gniewnie syknął bosman.

Jakby w odpowiedzi Pigmejczycy znów mocniej napięli cięciwy łuków. Drugi szereg małych wojowników dżungli pochylił dzidy. Sytuacja stawała się coraz groźniejsza. Obydwie strony mierzyły się nieufnym wzrokiem.

— Siadajcie wszyscy na ziemi — głośno rozkazał Smuga i pierwszy usiadł na podwiniętych nogach.

Tragarze powoli złożyli bagaże. Przykucnęli błyskając niespokojnie oczyma. Tymczasem Smuga, jakby nie widział wymierzonych w siebie strzał, spokojnie wydobyl z kieszeni fajkę, nabił ją tytoniem i włożył do ust. Teraz z nieprzemakalnego woreczka wyjął pudełko zapalek. Na widok płonącej zapalki wśród Pigmejczyków rozległ się szmer podziwu. Twarze ich straciły dziki, groźny wyraz. Z ciekawością ludzi pierwotnych obserwowali każdy ruch białego łowcy.

— Inuszi, podaj mi woreczki z solą i tytoniem — polecił Smuga.

Olbrzymi Masaj podniósł się z ziemi. Pigmejczycy natychmiast zacieśnili krąg, lecz jakby zapomnieli o trzymanyh w rękach łukach. Zaciekawieni wspinali się na palce, aby lepiej widzieć każdy ruch Inuszego. Nie czynili też wrogich gestów, gdy zbliżył się do Smugi z żądanymi przez niego dwoma woreczkami. Smuga wyjął z kieszeni notes, wydarł z niego dwie kartki. Na jedną nasypał trochę soli, a na drugą tytoniu. Obydwa papierki położył przed sobą. Teraz ręką wykonał zapraszający ruch w kierunku starego Pigmejczyka.

Karzeł ani drgnął. Smuga spokojnie pykał fajeczkę, spod oka zerkając na Pigmejczyków. W końcu stary Bambutte, nie opuszczając napiętego łuku, krok za krokiem zbliżył się do Smugi. Była to denerwująca chwila. Łowcy odetchnęli! Staruch przykucnął i odłożył broń. Najpierw podniósł papierek z tytoniem. Powąchał, kiwnął wełnistą głową, po czym polizał palec, dotknął nim soli i włożył do ust. Próba musiała wypaść zadowolająco, ponieważ zaraz posypał tytoń solą i razem z papierkiem wepchnął do ust. Widocznie był to nie lada przysmak. Na jego twarzy pojawił się przyjazny uśmiech. Pełnymi ustami zagadał coś do swych towarzyszy. Ci natychmiast zdjęli strzały z cięciw łuków. Zbliźali się do Smugi, który podniósł się i każdemu sypał do garści trochę soli i tytoniu. Prawdopodobnie uważali papier za nie znany sobie smakołyk, gdyż jeden z Pigmejczyków pokazał na migi kieszeń mieszczącą notes. Smuga z największą powagą wydobył go i każdemu Pigmejczykowi wręczył po jednej kartce. Pierwsze lody zostały przełamane. Dla zacieśnienia więzów przyjaźni Smuga ofiarował Pigmejczykom po sznurku szklanych koralu. Teraz nabrali zaufania do dziwnego człowieka o białej skórze. Niektórzy pocierali twarz podróżnika dłonią, aby sprawdzić czy się przypadkiem nie pomalował białą farbą. Byli zdumieni, gdy ręce ich pozostały nie „zbrudzone”.

— Oni chyba po raz pierwszy ujrzeli białych ludzi — odezwał się Tomek ośmielony pokojowym zachowaniem karłów.

Pigmejczycy głośno wymieniali różne uwagi, które rozbawiły tak Murzynów, jak i Smugę rozumiejącego narzecze Bantu. Jeden karzeł przystąpił do Tomka i w wielkim skupieniu zaczął opukiwać sztucer.

— Kropnij, brachu, na wiwat — mruknął bosman. — Niech się ucieszą pędraki!

Tomek bez słowa odsunął Pigmejczyka. Przyłożył broń do ramienia i wypalił w górę. Pigmejczycy, jak rażeni gromem, padli twarzami na ziemię.

Powstali dopiero po długich namowach, odsuwali się jednak od „*kija wydającego grzmoty*”.

Smuga wyjaśnił Pigmejczykom, że wraz z towarzyszami łowi różne dzikie zwierzęta, a najmniejsi ludzie świata oświadczyli, iż zdążają do sąsiedniego plemienia na ucztę. Powiadomiono ich za pomocą tam–tamów o szczęśliwym zakończeniu polowania na słonia, spieszyli więc, by wziąć udział w uroczystej uczcie.

Smuga przetłumaczył Tomkowi i bosmanowi słowa Pigmejczyków.

— Dworują sobie z nas te pędraki! Na sam widok słonia rzuciliby swoje patyki i drałowali gdzie pieprz rośnie! — zawołał rozgniewany marynarz.

— To po jakie licho siadałeś, bosmanie, przed nimi na ziemi? — roześmiał się Smuga. — Możesz być pewny, że jedna zatruta strzała powali największego słonia, a poza tym nie posądzaj tych ludzi o brak odwagi.

Pigmejczycy z niezwykłym zainteresowaniem przyglądali się podróżnikom, którzy, ich zdaniem, nosili bardzo śmieszne ubrania i posiadali tyle niezwykłych przedmiotów. Po krótkiej naradzie ze swymi wojownikami stary dowódca Pigmejczyków zaproponował łowcom, aby się wspólnie udali na ucztę do sąsiedniego plemienia. Solennie zapewnił, że będą gościnnie przyjęci.

Smuga bez namysłu przyjął zaproszenie. Spodziewał się, że od pierwotnych mieszkańców dżungli najprędzej będzie mógł zasięgnąć bliższych informacji o okapi.

Pigmejczycy okazali się wspaniałymi przewodnikami. Znali ukryte w gąszczu ścieżki, jak i przejścia przez moczary, a niedostępna oraz groźna dla innych dżungla otwierała przed nimi swe mroczne, tajemnicze podwoje.

Bugandczycy jakby zapomnieli o uprzednich obawach; śmiali się głośno i dyskutowali. Zaprzyjaźnienie się z Pigmejczykami gwarantowało karawanie bezpieczeństwo. Wspólna wędrówka umożliwiała łowcom przyjrzenie się najniższym ludziom świata. Tomek bez przerwy zerkał na nich spod oka.

Przede wszystkim zwracała uwagę nienormalna budowa ciała Pigmejczyków. Wzrost najwyższego nie przekraczał metra i trzydziestu centymetrów. Mieli długie tułowia, krótkie szyje i duże, okrągłe głowy. Chód krótkich nóg był jakby kaczkowaty, lecz za to biegali wspaniale, a wspinali się jak koty, posługując się przy tym nieproporcjonalnie długimi rękami. Jedyne ich odzienie stanowiły pęczki trawy zwisające pod wydętymi

brzuchami na sznurku sporządzonym z lian. Włosy na głowie, gęsto i krótko skręcone tak jak puszek pokrywający ciało, miały rdzawy kolor. Jedyne zarost na twarzy był szczecinowaty i czarny. Szczególnie dzikiego wyglądu nadawały im ostro opiłowane przednie zęby. Wyraz ich twarzy zmieniał się bardzo często; gdy mówili, poruszali jednocześnie całą twarzą, głową, rękami i nogami. Skóra Pigmejczyków wydzielala specyficzny, inny niż u Murzynów, zapach.

Długi i szybki marsz przez dżunglę zmęczył tragarzy, odetchnęli więc z prawdziwą ulgą, gdy w mrocznym gąszczu, blisko, odezwało się dudnienie bębnów. Byli u celu.



## NA TROPIE OKAPI

— Panie bosmanie, wioska Pigmejczyków jest już pewnie niedaleko, skoro tak wyraźnie słyhać tam—tamy — zagadnął Tomek, ocierając chustką zroszone potem czoło.

— Kto ich tam wie? Widocznie dla Bambutte wszystko jest blisko — burknął bosman, sapiąc jak miech kowalski. — Od samego rana karzelki zapewniają, że zaraz będziemy na miejscu. Tymczasem już południe, a my bez przerwy drałujemy po lesie. Taki murzyński mikrus toczy swoje brzuszysko prawie po ziemi, to i nie zmęczy się zbytnio. Co innego jednak, gdy człowiek o przepisowym wzroście musi udawać gazelę!

— Niech się pan nie denerwuje. Jestem przekonany, że już wkrótce ujrzymy wioskę — uspokajał Tomek swego druha. — Ciekawe, co też oznacza to bicie w bębny?

— Co ma oznaczać? Mikrusy zwołują się na wyzerkę, ot i wszystko! Dla nich zabity słoń to jak ziarno dla ślepej kury!

Niebawem rozjaśnił się leśny półmrok. Przednia straż Pigmejczyków krzyknęła donośnie. Ścieżyna kończyła się na sporej polanie, na której wśród kęp drzew widać było kilkanaście nędznych szałasów. Gromada mieszkańców wioszczyny wybiegła na spotkanie gości, lecz zaraz przystanęła niezdecydowanie, gdy za Bambutte wyłoniła się z gąszczu karawana. Biali łowcy również zatrzymali się w połowie drogi. Tymczasem obydwie grupy Pigmejczyków udzielały sobie wyjaśnień. Pośrednictwo przypadkowych przewodników musiało wypaść jak najlepiej, ponieważ wojownicy pigmejscy gromadnie zbliżyli się do łowców. Pokazywali sobie białych ludzi wydając okrzyki zdumienia. W pierwszej chwili kobiety chwyciły dzieci na ręce i biegły skryć się w gąszczu, lecz gdy naczelnik wioski poprowadził karawanę na środek polany i zezwolił na rozłożenie obozu, zjawiły się z powrotem.

Tragarze złożyli pakunki, zdjęli juki z osłów, a następnie zaczęli rozkładać obóz. Łowcy rozpięli dla siebie mały namiot, natomiast Murzyni wybudowali szałasy, po czym ogrodzili całe obozowisko. Była to konieczna ostrożność, ponieważ Pigmejczycy niemal nie przywiązywali znaczenia do prawa własności i bez złej intencji mogli narobić wiele szkody. Aby odwrócić uwagę Bambutte od obozu, Smuga rozdał im podarki. Łowcy przeżyli wiele

wesołych chwil obserwując dorosłych Pigmejczyków, którzy z największą powagą czynili przekomiczne grymasy, przeglądając się w ofiarowanych im małych lusterkach. Wśród upominków znalazły się też szklane korale, scyzoryki, tytoń i największy przysmak — sól. Naczelnik wioski otrzymał dodatkowo pudełko zapalek, co wprawilo go w szczególny zachwyt. Ciekawie oglądał niezwykle upominek, nie odkładając z rąk długiej fajki, która podobna była do kawałka grubej gałęzi. Smuga podsunął mu zapaloną zapalke; tymczasem Pigmejczyk porwał z ogniska węgielek, wcisnął go do fajki, po czym pospiesznie wziął zapalke z rąk podróżnika i trzymał, dopóki sama nie zgasła parząc mu palce. W ten sam sposób wypalił jedną po drugiej kilka zapalek, a następnie zadowolony niezmiernie schował do ust pudełko wraz z zawartością. Tomek obawiał się, że karzeł chce je połknąć, ale Smuga wyjaśnił mu, że prymitywni ludzie, nie zmuszeni warunkami do noszenia ubrań, w ten sposób zwykli przechowywać różne przedmioty.

Pigmejczycy, zachwyceni niezwyklejmi podarunkami, stali się nadzwyczaj przyjaźni. Nie czynili łowcom przeszkód w rozglądaniu się po osadzie. Tomek nie mógł się nadziwić ich bardzo skromnemu życiu. Chatynki, uplecione z gałęzi i dużych liści, nie sięgały nawet wysokości dorosłego człowieka. Niemal zupełnie nie widziało się tu naczyń. Pokarm Pigmejczyków stanowiły dzikie brzoskwinie, jagody, banany, korzenie roślin, wiele gatunków jadalnych liści, grzyby, miód, słowem to, co można znaleźć w dżungli. Mięso było szczególnie upragnionym dla nich pokarmem.

Pigmejscy myśliwi, uzbrojeni w łuki i zatrute strzały, zapuszczali się daleko w lasy, by polować na małpy, ptaki lub węże. Czasem odważniejsi łowcy zabijali wielkiego słonia. Wtedy uszczęśliwione plemię wyprawiało wspaniałą ucztę, na którą zazwyczaj zapraszano sąsiadów. Na taką właśnie uroczystą chwilę trafili nasi podróżnicy.

Zaledwie Pigmejczycy zaspokoiли pierwszą ciekawość spowodowaną przybyciem dziwnych, białych ludzi, natychmiast przypomnieli sobie o czekającym ich zadaniu. Bohaterami dnia byli dwaj nieustraszeni łowcy słoni. Ostatnie ich polowanie miało nadzwyczaj pomyślny przebieg, na dowód czego przynieśli do wioski jako trofeum myśliwskie odciętą trąbę słonia. Ten zaszczytny i nadzwyczaj smaczny kasek natychmiast spożyli w gronie wodza oraz najodważniejszych wojowników. Teraz zaś, po przybyciu zaprzyjaźnionych sąsiadów, Pigmejczycy wraz ze swym skromnym

dobytkiem mieli przenieść się tam, gdzie leżała olbrzymia „góra” świeżego mięsa.

Biali łowcy ruszyli razem z Pigmejczykami. Przebywając z nimi dłużej najłatwiej mogli sobie zaskarbić ich zaufanie. Przeprowadzenie przez dżungłę ułatwiało nawiązywanie przyjaźni. Toteż Smuga skwapliwie korzystał z okazji, by dowiedzieć się czegoś o zwyczajach leśnych karłów. Wiedział już przedtem, że Pigmejczycy otaczają największą tajemnicą polowanie na słonie, które przy prymitywnym uzbrojeniu było udokumentowaniem zręczności i odwagi. Najdrobniejsza nieostrożność myśliwego lub nie przewidziany przez niego odruch potężnego zwierzęcia oznaczały śmierć. Aby poznać pigmejski sposób polowania na słonie, Smuga ofiarował dary naczelnikowi plemienia i obu odważnym myśliwym. Dzięki temu Mtoto uchylił mu rąbka tajemnicy.

Myśliwi udający się na polowanie na słonie żegnani są przez całe plemię uroczystościami z tańcami i śpiewem. Podczas polowania żywią się jedynie tym, co znajdą w lesie.

Pierwszą czynnością jest wytopienie w gąszczu samotnego zwierzęcia, ponieważ najmniejsi ludzie świata, uzbrojeni jedynie w krótkie, ostre dzidy, nie mogą się pokusić o zaatakowanie całego stada. Z kolei tak długo podążają śladem słonia, aż ułoży się on na ziemi do snu. Wtedy pozostaje im do wykonania najtrudniejsza i najbardziej niebezpieczna część zadania. Jeden z myśliwych musi się niepostrzeżenie podkraść do śpiącego olbrzyma, by ostrym jak brzytwa końcem dzidy przeciąć mu żyłę na tylnej nodze pod kolanem. Okaleczone zwierzę, nie mogąc skutecznie atakować swoich prześladowców, usiłuje zazwyczaj przed nimi uciec. Jeżeli słoń mimo rany atakuje, to drugi myśliwy ściąga na siebie jego uwagę. Kiedy w końcu zwierzę wyczerpane ucieczką i upływem krwi słabnie, odważny łowca podcina mu żyłę na drugiej nodze. Słoń pada obezwładniony. Myśliwi odrzynają mu trąbę, co ostatecznie przyspiesza upływ krwi i powoduje śmierć.

Na polowanie drugim sposobem Pigmejczycy uzbrajają się w dzidy o długich drzewcach zakończonych ostrzem w rodzaju harpuna. Myśliwi wbijają dzidę w brzuch śpiącego słonia. Pod wpływem bólu zwierzę zrywa się do ucieczki. Wtedy dzida, tkwiąca harpunowatym ostrzem we wnętrznościach, uderza o ziemię, drzewa i krzewy i wbija się coraz głębiej. Polowanie takie trwa dłużej, gdyż słoń ucieka, dopóki ból i upływ krwi nie obezwładnią go całkowicie.

Tyle opowiedział Mtoto. Smuga wyjaśnił swym przyjaciołom, iż słyszał o jeszcze innym sposobie łowów, a mianowicie o strzelaniu do słońi z łuków zatrutymi strzałami. Po trafieniu słońia strzałą Pigmejczycy podążają jego śladem i czekają, aż padnie martwy wskutek niezawodnego działania trucizny.

— To mi bardziej pasuje do tych mikrusów — orzekł bosman Nowicki, który nie mógł jakoś uwierzyć, by Pigmejczycy wyruszali na takie polowanie uzbrojeni jedynie w dzidy.

Wkrótce jednak łowcy ku swemu zdumieniu stwierdzili, że Mtoto powiedział prawdę. Zabity słoń miał przecięte żyły i ściętna pod kolanami obu tylnych nóg. Pozbawiony był również trąby, którą myśliwi zabrali od razu jako trofeum.

Gromada karłów przystąpiła do ćwiartowania słońia. Przede wszystkim wykroili długie, białe kły, z których każdy ważył ponad dwadzieścia pięć kilogramów. Zgodnie ze zwyczajem miał je otrzymać naczelnik plemienia. Potem odrąbali nogi zwierzęcia i cięli cały tułów na spore kawały. Dopiero po dokonaniu tego przystąpili do budowania szałasów. Biali łowcy rozłożyli się obozem w pobliżu pigmejskiego koczowiska.

Następnego dnia przygotowano ucztę. Miała ona trwać tak długo, póki cały zapas mięsa nie zostanie zjedzony. Mali ludzie i jeszcze mniejsza dzieciarnia napełniali osadę wesołym gwarem. Nie codziennie przecież udawało im się najeść do syta. Z całego plemienia zaledwie dwaj myśliwi mieli odwagę polować na słońie, a nie każda ryzykowna wyprawa kończyła się pomyślnie.

Tomek zachęcony przez Smugę uważnie obserwował afrykańskich karłów. Teraz się dopiero przekonał, że wbrew powszechnemu mniemaniu Murzyni nie wiodą w dżungli beztroskiego życia. Większość żyła w najprymitywniejszych warunkach, a głód i niedostatek były ich codziennymi towarzyszami. Tomek zwrócił również uwagę na stosunek dorosłych do dzieci. Maleństwa były otaczane troskliwą opieką nie tylko własnych rodziców, lecz wszystkich członków plemienia. O ile w wioskach murzyńskich spotykało się na ogół mało dzieci, u Pigmejczyków roiło się od nich. Naśladując dorosłych, pigmejscy chłopcy przysiadali na kamieniach bądź zwalonych pniach. Dziewczynki, jak kobiety, siadały wprost na ziemi, wyciągając nogi.

Podróżnicy skracali sobie czas ciekawymi rozmowami na temat najniższych ludzi świata, a tymczasem nad ogniskami rumieniły się bryły mięsa. Gospodarze ofiarowali białym łowcom jedną nogę zabitego zwierzęcia. Smuga przyjął ten podarunek, a swoim wyjaśnił, że uważa to za gest przyjaźni ze strony Pigmejczyków.

Wkrótce rozpoczęła się oryginalna uczta pod gołym niebem. Pigmejczycy i Bugandczycy obsiedli kołem dymiące połcie pieczeni, która znikwała w ich przepastnych brzuchach z nieprawdopodobną szybkością. Jednocześnie raczyli się dzikimi owocami oraz jadalnymi roślinami i korzeniami.

Tomek z przerażeniem spoglądał na pęczniejącego Samba. W końcu zaniepokojony zawołał:

— Sambo, jesteś już tak gruby, że brzuch ci pęknie za chwilę! Przestań pchać w siebie takie fury jedzenia, bo słabo mi się robi, gdy na ciebie patrzę.

— Nie bój się, potężny biały buana — odparł Murzyn. — Sambo kocha jeść, a dobre mięso kocha Samba! Ty tylko zamknij oczy i nie patrz, a wszystko będzie dobrze.

Uczający stawali się coraz bardziej ociężali. Naraz zadudniły bębny „ngoma”. Rozpoczęły się tańce przeplatane śpiewem.

Zaimprovizowany przez Pigmejczyków taniec przedstawiał łowy na słonia. Jedni tancerze napinali łuki, inni potrząsali krótkimi, ostrymi dzidami bądź harpunami, a Mtoto, jako główny bohater dnia, skradał się niczym lampart, zadawał zdradliwe ciosy wymagowanemu słoniowi, unikał groźnych uderzeń jego trąby i kłów, aż ostatecznie zwyciężył olbrzymie zwierzę. Tomek i towarzysze z zainteresowaniem oglądali ciekawe widowisko.

Ta niezwykle oryginalna pantomima kończyła się wręczeniem kłów zabitego słonia naczelnikowi. Stary Pigmejczyk, zadowolony ogromnie z darów otrzymanych od białych ludzi, ofiarował Smudze jeden ciężki kiel. Smuga dziękował naczelnikowi, lecz równocześnie niemal nie odrywał wzroku od nóg czarownika. Uwagę jego przykuły nałożone ponad kostkami opaski, wykonane z brązowej skóry o czarnych i jaskrawo białych pręgach ułożonych w oryginalne desenie.

Bosman miał właśnie zamiar odnieść cenny dar do namiotu, ale w tej chwili Smuga zbliżył się do czarownika.

— Jak się nazywa zwierzę, z którego masz zrobione opaski na nogach?  
— zapytał.

Czarownik z wielkim upodobaniem spojrzął na skórzane ozdoby i odparł:

— Okapi...

Tomek i bosman krzyknęli zdumieni. Smuga gestem nakazał im milczenie i powiedział:

— Słyszałem o takim zwierzęciu. Czy to prawda, że żyje ono w dżungli?

— Ono żyje tam, gdzie bagno i gąszcz — wyjaśnił czarownik. — Dobre mięso, dobra skóra.

— Chciałbym schwytać okapi. Czy mógłbyś, wielki czarowniku, powiedzieć, gdzie można je znaleźć? — zapytał Smuga.

— To trudne. Okapi jest mądry. Wie, że człowiek boi się bagna. Okapi tam siedzi i dobrze chowa swoje dobre mięso i skórę. Idź, buana, dwa księżyce tam — odpowiedział czarownik wskazując na zachód. — Trafisz na bardzo wielkie bagno. Tam szukaj, a może znajdziesz.

Po długim wahaniu czarownik odstąpił Smudze jedną skórzaną opaskę w zamian za nóż myśliwski i trzy garście soli.

— Ciekawe, co by Hunter powiedział, gdyby usłyszał czarownika mówiącego z najobojętniejszą miną o legendarnym jakoby okapi? — rzekł Smuga, gdy tylko znalazł się z towarzyszami w namiocie.

— Teraz nie możemy już wątpić w istnienie dziwnego zwierzęcia — zawołał Tomek. — Ze słów czarownika wynika, że jadł nawet jego mięso.

— Ani chybi, że te żarłoki muszą znać każde zwierzę żyjące w dżungli, które nadaje się do zjedzenia — potwierdził bosman. — No, no, trzeba przyznać, że miałeś nosa zwracając uwagę na te skórzane opaski. Mnie by to nie przyszło do głowy.

— Oryginalny deseń pokrywający skórę rzucił mi się w oczy — odparł Smuga przyglądając się opasce. — Wspomniałem wam już kiedyś, że o okapi mówił mi ktoś w Szwajcarii. Był to Stanley, który od Murzynów zamieszkujących dżunglę Konga dowiedział się o istnieniu tego zwierzęcia. Stanley wspominał mi, że okapi ma na nogach pręgowaną skórę. Dlatego też od razu zwróciłem uwagę na opaski u nóg czarownika.

— Powiedział, że o dwa dni drogi stąd mają się znajdować bagniste okolice, w których można napotkać okapi. Kiedy wyruszamy w drogę? — gorączkował się Tomek.

— Jutro skoro świt zwijamy obóz — odparł Smuga.

— Dobra nasza, ale łyknijmy rumu za pomyślność wyprawy — zaproponował bosman wyciągając manierkę.

— Po raz pierwszy trafiliśmy na prawdziwy ślad tego legendarnego zwierzęcia. Warto uczcić to wydarzenie — zgodził się Smuga.





## ŻELAZNE PAZURY

Mijał trzeci tydzień od chwili opuszczenia osiedla Bambutte. Nasi łowcy rozłożyli się obozem na małym wzniesieniu w pobliżu pokrytej bagnami dżungli. W okolicy tej, według zapewnień starego czarownika pigmejskiego, miały przebywać okapi. Smuga przekonał się wkrótce, że bagnista dżungla absolutnie nie nadaje się do przeprowadzenia łowów na większą skalę. Grząska ziemia usuwała się spod nóg, a głębokie bajora stanowiły zdradliwe pułapki. Nieuchronna, straszna śmierć groziła człowiekowi, który by się nieopatrznie zapuścił w rozległe, przepastne błota.

Smuga nie zraził się nieprzystępnością okolicy. Natychmiast też podjął małe rekonesansowe wypadki na obszar topieliska porośniętego dżunglą. Oczywiście nie mógł zabierać z sobą jednocześnie Tomka i bosmana. Jeden z nich, oprócz Murzynów, musiał czuwać nad obozem. Z tego też powodu Tomek lub bosman na zmianę towarzyszyli Smudze podczas poszukiwań okapi. Jedynie Dingo brał udział w każdej wyprawie.

Od czterech dni Tomek był niepodzielnym panem obozu. Smuga w towarzystwie bosmana oraz dwóch Bugandczyków i jednego Masaja udali się w odległe, zachodnie okolice dżungli. Tomek nie spodziewał się rychłego powrotu towarzyszy. Żywe usposobienie nie pozwoliło mu na beczynność, toteż już po dwóch dniach zaczął przemyśliwać, jak by sobie urozmaicić przymusowy pobyt w obozie.

O niecały kilometr na północ rozpoczynał się szeroki pas sawanny. Tomek miał ogromną ochotę wyprawić się tam na polowanie. Zapasy żywności kurczyły się w przerażający sposób, lecz Smuga kategorycznie zabronił mu oddalać się zbyt daleko od obozu. Tymczasem Inuszi odkryli nieopodal ślady słoni, znalazł legowisko nosorożca, a w końcu zwrócił uwagę Tomka na małe koczujące na skraju dżungli.

— Gdzie są małe koczujące, tam mogą być też lamparty. Duży biały buana chciał lamparty — kusił Inuszi.

Tomek mężnie nie ulegał ponętym podszeptom, lecz przy wieczornym ognisku z uwagą przysłuchiwał się rozmowom Murzynów.

— Bambutte to mądrzy i odważni ludzie — chwalił jakiś Bugandczyk. — Taki mały człowiek, a nie boi się nawet wielkiego słonia.

— Szkoda, że Mtoto nie przyszedł tu z nami. Nie bylibyśmy głodni — dodał inny.

— Duży biały buana szuka dziwnych zwierząt w błotach, a nie dba o jedzenie — mruknął któryś.

— Duży biały buana to wielki myśliwy, ale mały biały buana jest jeszcze większy. Kto zabił soko? — zacierzawił się Sambo. — Jak mały buana zechce, to będziemy mieć całe góry mięsa.

Tomek z serdecznością spojrział na Samba, który poniesiony zapałem zaczął opowiadać, ilu to wielkich i niezwykłych czynów dokonał mały biały buana. Murzyni co chwila wołali z podziwem: „*Ho, ho!*” lub „*O, matko, czy to możliwe?*”

Tomek, opędzając się od chmar owadów, kraśniał z dumy. Czują na pochlebstwa, uwierzył, że nie ma dla niego niemożliwych do wykonania przedsięwzięć.

Inuszi uważał Masajów za wyższą kastę ludzi. Na ogół nie mieszał się do ogólnych rozmów tragarzy, mimo że nudził się ogromnie. Toteż gdy Sambo zamilkł na chwilę, opowiedział, jak to mały buana wywiódł w pole ich czarownika zabawną sztuczką z monetą, którą wyjął z jego ucha.

Bugandczycy aż pokładali się ze śmiechu i prosili Tomka, aby zademonstrował im swe umiejętności. Chłopiec nie dał się wiele prosić. Przy ognisku rozbrzmiały śmiechy i pochwały.

Murzyni wołali:

— O, matko! To naprawdę wielki czarownik!

— Ho, ho, jak tylko zechce, to schwyta okapi!

— Zabił soko jak małą muchę, żaden zwierz mu nie umknie!

— Na pewno da nam jeść!

— Duży biały buana kazał nam słuchać małego buany. Będziemy polować, jak mały buana chce — zapewnił Sambo.

— Lamparty są w pobliżu. Wykopiemy duży dół, przykryjemy go gałęziami, a u góry nad pułapką powiesimy kawał mięsa. Lamparty wpadną w dół, a my zamkniemy je w klatce — podszepnął Inuszi.

Tomek wahał się jeszcze, chociaż perspektywa samodzielnych łowów nęciła go coraz bardziej. Postanowił spokojnie przemyśleć całą sprawę. Udał się do namiotu na spoczynek, polecając Inusziemu, aby jak zwykle wyznaczył Murzynom kolejność nocnego czuwania.

Tomek długo nie mógł zasnąć. Rozmyślał o Smudze i bosmanie, którzy w tej chwili spali zapewne gdzieś na moczarach w nędznym szałasie. Ciekaw był, czy uda im się wytropić okapi. Obliczał, ile to pieniędzy otrzymaliby za nieznaną zwierzę. Stawał się coraz bardziej senny i już przymknął oczy, gdy Sambo wsunął się do namiotu.

— Buana, buana! Czy słyszysz? — szepnął.

Tomek natychmiast zapomniał o śnie. Usiadł na posłaniu. W spowitej ciemnością nocy dżungli rozmawiały tam–tamy. Zerwał się i wybiegł przed namiot. Odległe, ciche dudnienie płynęło gdzieś z północy. Więc Smuga mylił się, twierdząc, że okolica była całkowicie bezludna!

Prawdopodobnie ambitny i czuły na pochwały, lecz rozsądny chłopiec nie zdecydowałby się opuścić obozu, gdyby chodziło jedynie o szukanie rozrywki. Miał zbyt wiele doświadczenia, aby nie docenić niebezpieczeństw grożących w dżungli. Teraz jednak sytuacja zupełnie się zmieniła. Smuga był przekonany, że w pobliżu nie ma siedzib ludzkich. Skoro okazało się inaczej, należało się jak najszybciej upewnić, czy nic nie grozi obozowi.

Olbrzymi Masaj, Inuszi, cicho zbliżył się do Tomka i szepnął:

— Tam–tamy mówią, buana. One daleko, ale lepiej w nocy palić małe ognisko.

— Masz rację, Inuszi. Tam–tamy grają gdzieś na północy. Głos leci po stepie na znaczną odległość. Myślę, że teraz musimy się rozejrzeć po okolicy.

— Dobrze mówisz, buana — przytaknął Masaj.

— Weźmiemy trzech ludzi i sprawdzimy, czy nie grozi nam jakie niebezpieczeństwo.

— Dobrze, buana, tak zrobimy. Teraz, buana, idź spać, a Inuszi będzie czuwał.

— Zgoda. O świcie urządzimy małą wyprawę na północ — zakończył Tomek.

Zadowolony z siebie powrócił do namiotu. Teraz nikt nie mógł mu zarzucić, że lekkomyślnie złamał rozkaz Smugi.

Krzykliwa kłótnia małąp i wrzask papug wyrwały Tomka z głębokiego snu. Przyzwyczajony do niebezpieczeństw chłopiec zaledwie otworzył oczy, natychmiast rozejrzał się czujnym wzrokiem dokoła. Przez tkaninę namiotu przesączało się światło dzienne. Sambo chrapał jeszcze w najlepsze. Tomek

mocno potrząsnął go za ramię i polecił: — Przygotuj śniadanie, Sambo. Zaraz wyruszamy na zwiady.

— Szkoda, buana, że tak prędko przebudziłeś Samba. Śnił mi się Mtoto i wielki, wielki słoń. Mtoto zabił słonia i dał Sambowi mnóstwo jedzenia — markotnie powiedział Murzyn.

— Nie martw się. Sambo. Może napotkamy po drodze jakąś zwierzynę — pocieszył go Tomek.

Sambo zaraz się rozchmurzył i wybiegł z namiotu. Tymczasem Tomek zaczął się przygotowywać do wyprawy. Wybrał kilka długich, mocnych rzemieni oraz lasso, przeczyścił i nabił broń, po czym udał się na posiłek. Czarna kawa i trochę konserw zaspokoili jego pierwszy głód, lecz Murzyni upominali się o zwiększone racje. Tomek obiecał, że podczas wyprawy postara się upolować jakieś zwierzę.

Inuszi wybrał trzech rosłych tragarzy, polecił im zabrać broń. Tomek wytłumaczył Bugandczykom, jak mają się zachowywać w obozie podczas jego nieobecności.

Poprzedzany przez uzbrojonego w karabin Inusiego ruszył na północ ku sawannie. Trzeba przyznać, że chociaż duma rozpierała ambitnego chłopca, nie zaniedbywał ostrożności. Nie polegał na Inusim ani towarzyszących im trzech Bugandczykach. Co kilkadziesiąt kroków pozostawiał dobrze widoczne znaki na drzewach, uważnie badał wszelkie ślady na ziemi, jak przystało na wytrawnego tropiciela. Roztropne zachowanie białego chłopca budziło uznanie wśród Murzynów. Toteż bez jakichkolwiek sprzeciwów wykonywali wszystkie jego rozkazy i natychmiast dzielili się z nim spostrzeżeniami.

— Buana, buana! Tędy szła wielka leśna świnia<sup>140</sup> — poinformował jeden z Bugandczyków.

Tomek słyszał o leśnych świniami przebywających w gąszczu dżungli. Miały to być zwierzęta kopytne, których budowa świadczyła, że stanowią przejście od dzika do południowoafrykańskich świń brodawkowych. Spotkanie z dziką świnia nie należało do bezpiecznych. Miały one po dwie pary potężnych, długich (do dwudziestu pięciu centymetrów) kłów, groźnie sterczących z pyska, którymi w razie potrzeby potrafiły się zajadłe bronić. Tomek nie zamierzał ryzykować spotkania z nimi. Huk strzału mógłby

---

<sup>140</sup> — *hacochoerus aethiopicu*, inaczej guziec, zamieszkuje całą Afrykę na południe od Sahary. Żyje w sawannach i w buszu, zwłaszcza w pobliżu wody.

ściągnąć w pobliże obozowiska tubylcze plemię, co w obecnej sytuacji nie było pożądane. Przyjrzał się więc śladom świni i ruszył w dalszą drogę.

Niebawem znaleźli się na skraju lasu. Tutaj, w pobliżu małych gniazd, Murzyni odkryli ślady lampartów. Na brzegu sawanny Tomek wszedł na wysokie drzewo, aby przez lunetę dokładnie się przyjrzeć okolicy. Po długim penetrowaniu terenu zadowolony zeskoczył na ziemię. Nigdzie nie było widać śladu ludzkich siedzib. W bujnej zieleni sawanny spokojnie pasły się stada antylop i żyraf. Był to najlepszy dowód, że nikt nie niepokoił zwierzyny.

Tomek poinformował o tym Murzynów i oznajmił im, że postanowił urządzić kilka pułapek na lamparty. Chwywanie tych drapieżników w głębokie doły nie przedstawiało większego ryzyka i mogło urozmaicić nudny okres oczekiwania na powrót towarzyszy. Nastrój Murzynów poprawił się po upolowaniu przez Tomka elanda o pięknych, śrubowało skręconych rogach, zaliczanego do największych antylop żyjących w sawannach afrykańskich. Po posiłku w obozie dał hasło do ponownego wymarszu. Tym razem Murzyni zabrali łopaty do kopania dołów.

Niemal cztery dni upłynęły na przygotowywaniu pułapek. Były to głębokie doły wykopane w pobliżu małych gniazd. Każdy dół maskowano rusztowaniem z gałęzi. Nim minął tydzień, schwytano dwa piękne okazy. Tomek proponował poczekać z wydobyciem drapieżników aż do powrotu Smugi, ale Inuszi zapewniał go, że sami na pewno dadzą sobie radę z zamknięciem zwierząt w klatkach.

Odważny, zręczny Masaj umiał zabrać się do rzeczy. Przygotował długie drażgi z rozwidleniem na jednym końcu, którymi Bugandczycy unieruchomili lamparta, przyciskając go do ziemi, a Inuszi bez wahania wskoczył do pułapki. Zbliżył się do szczerzącego kły drapieżnika i podsunął mu krótki, gruby kij. Kły natychmiast wpiły się w drewno, a wtedy Inuszi zarzucił na pysk rzemienną pętlę. Związanie łap było już drobnostką, w ten sposób w przeciągu godziny obydwie lamparty przeniesiono w klatkach do obozu.

Schwytanie lampartów zmuszało Tomka do polowania. Jednego dnia wybrał się z Sambem na skraj dżungli. Wypatrywali na drzewach małych gniazd. Nagle usłyszeli dźwięczne nawoływania miodowoda.

— Buana, buana! Ptak miodowy — zawołał Sambo. — Zaraz będziemy mieli słodki miód!

Zwyczajem krajowców Tomek gwizdnął przeciągle. Ptak, jakby zrozumiał, że przyjęto jego wezwanie, poderwał się do lotu. Chłopcy pobiegli za nim. W pierwszej chwili Tomek bez zastanowienia podążał za zmyślnym miodowodem, lecz gdy się trochę zmęczył, przystanął i rzekł:

— Nie powinniśmy sami oddalać się zbyt od obozu. Ptak wprawdzie doprowadzi nas do ula, ale czy potrafimy sami odnaleźć właściwy kierunek, aby wrócić do obozowiska? Nie, nie pójdziemy dalej!

— Trafimy, buana! Sawanna niedaleko, pójdziemy wzdłuż lasu i trafimy — zapewnił Sambo.

Tomek wahał się, ale miodowód nie dawał za wygraną. Gdy tylko spostrzegł, że chłopcy przystanęli niezdecydowani, zaczął zataczać nad nimi koła, mknął jak strzała w las, zawracał i krzyczał donośnie.

— Ul już blisko, buana! — zachęcał Sambo.

Ptak kilkakrotnie zniknął w lesie i powracał, wołając coraz głośniej i natarczywiej. Tomek rozejrzał się uważnie. Choć znajdowali się w dżungli, Sambo słusznie dowodził, że nie mogło być mowy o zbłądzeniu. Wystarczyło przecież wyjść na skraj widocznej między drzewami sawanny i udać się brzegiem lasu, by dojść do obozu.

— Miodowód zachowuje się tak, jakby ul naprawdę znajdował się już blisko — odezwał się Tomek. — Chodźmy za nim jeszcze trochę.

Zaledwie się poruszyli, ptak krzyknął donośnie i powiódł ich w las. Wkrótce znaleźli się na leśnej polance. Miodowód wyprzedził amatorów miodu, usiadł na gałęzi olbrzymiego, zbutwiałego baobabu i głośno wyrażał swą radość.

Tomek spoglądał na baobab, w którego pniu widać było duży otwór, ale nie mógł wypatrzeć pszczół w pobliżu dziupli.

— Spójrz, Sambo! Ktoś już musiał nas uprzedzić i wybrać miód. Ani jednej pszczoły nie ma wokół dziupli. Wystrychnęliśmy się na dudków — powiedział. — Ale kto to mógł być?

Sambo jeszcze nie dowierzał.

— Buana, zajrzę do dziupli. Może tam jest choć trochę miodu — zaproponował.

— Zajrzyj, ale wygląda na to, że obejdziemy się smakiem — odparł Tomek.

Murzyn szybko wspiął się na najniższą gałąź, stanął na niej, ostrożnie zajrzał w dziuplę.

— Nie ma pszczoł ani miodu, ale tu coś jest, buana — poinformował. — To pewno jakiś mały zwierz. Sambo widzi skórę.

— Nie wkładaj tam ręki. Sambo! Licho wie, co za zwierzątko może być w dziupli zbutwiałego drzewa — ostrzegł Tomek.

Sambo był zbyt zaciekawiony, aby usłuchać dobrej rady. Powoli wsunął rękę w dziuplę. Po chwili wydobył jakiś przedmiot i natychmiast zeskoczył na ziemię.

— Patrz, buana, to było w drzewie — zawołał podniecony.

— Ciekawe, co jest w tym zawiniątku z lamparciej skóry? — powiedział Tomek. — Zajrzyj do środka!

— Nie, nie buana! Ty to zrób! Inuszi mówił, że jesteś wielki czarownik — pospiesznie odparł Murzyn i skwapliwie wsunął do rąk Tomka dziwne zawiniątko.

Tomek uśmiechnął się wyrozumiale do zabobonnego towarzysza. Położył zawiniątko na ziemi, po czym szybko rozsupłał duży węzeł. Rozwinął skórę. Zdumieni chłopcy ujrzeli sporą woskową kulę. W jednym miejscu wyschnięty wosk był pęknięty. Tomek wcisnął palec w szczelinę, rozszerzył ją, a wtedy ujrzął kłęb wysuszonych roślin, zwierzęcych włosów oraz kły i pazury.

— Cóż to może być? — zdumiał się.

— Fetysz<sup>141</sup>, wielki fetysz — szepnął Sambo z nabożną czcią. — Chociaż jesteś wielki czarownik, buana, włóżmy to lepiej z powrotem do dziupli.

Tomek nie był zaskoczony przestraszeniem młodego Samba. Wiedział, że wielu uczonych uważało fetyszyzm za najstarszą religię murzyńską. Kult ten rozpowszechniony był szczególnie w Afryce Zachodniej. Każdy fetysz reprezentował jakiegoś ducha. Z tego też względu fetysze otaczano czcią i zwracano się do nich z różnymi prośbami. Fetyszem mógł być każdy przedmiot, jak: kamień, kawał drewna, kości zwierząt bądź zwierzęta.

Tomek jeszcze raz uważnie przyjrzał się woskowej kuli. Z łatwością rozpoznał, że kły oraz pazury znajdujące się między ziołami i włosami należały do lamparta.

---

<sup>141</sup> — Wszystkie przedmioty, którymi ludy pierwotne oddają cześć boską, zwą się fetyszami. Fetysz zwierzęcy jest totemem.

— Buana, Sambo włoży to do dziupli i uciekajmy stąd — szepnął Murzyn, rozglądając się trwożliwie.

Tomek nie podzielał jego obaw i nie miał ochoty rozstawać się z fetyszem. Postanowił zabrać go dla ojca, który kolekcjonował różne ciekawostki z podróży po świecie. Nie namyślał się długo. Pośpiesznie owinął kulę w skrawek lamparciej skóry.

— Masz rację, że najlepiej będzie, jeśli znikniemy stąd jak najprędzej, lecz fetysz zabieram jako upominek dla ojca — odezwał się Tomek.

— Buana, nie rób tego — doradzał zaniepokojony Sambo. — Duch się pogniewa i będzie bardzo źle.

— Duchy nic nam nie zrobią, bo istnieją tylko w twojej wyobraźni.

— Nie mów tak, buana! Duchów jest bardzo, bardzo dużo! Są duchy złe i dobre. Sambo zawsze składa ofiary złym duchom.

— Oj, Sambo, Sambo! Dlaczego składasz ofiary złym duchom? Przecież to grzech! Módl się do jednego dobrego i sprawiedliwego Boga, a nie stanie ci się żadna krzywda.

— Nie, buana, Sambo jest mądry i wie, co robić. Dobry Bóg i tak będzie dobry, a jak złe duchy dostaną ofiarę, to nic Sambowi nie zrobią. Uciekajmy stąd szybko!

— No, dobrze, porozmawiam z tobą przy sposobności na temat twoich duchów. A teraz rzeczywiście wracajmy do obozu.

Pobiegli w kierunku obozowiska, nie podejrzewając nawet, że od dłuższej chwili byli pilnie obserwowani. Otóż kiedy miodowód przyfrunął na polanę, z przeciwnej strony dochodził do niej stary, dobrze zbudowany Murzyn. Natarczywy głos ptaka od razu zwrócił jego uwagę. Cofnął się więc w krzewy, niespokojnie spoglądając w kierunku, skąd nadleciał wszędobylski i ciekawski miodowód. Wkrótce też ujrzał nadchodzących chłopców. Gdy Sambo wspinał się na baobab, Murzyn odruchowo chwycił za rękojeść noża, ale widok sztucera w rękach młodego białego człowieka skłonił go do zachowania ostrożności. Czekał drżąc z gniewu i niepokoju. Chłopcy rozglądali się na wszystkie strony, co wykluczało możliwość zaskoczenia. Tomek schował zawiniątko za pazuchę i obaj z Sambem pośpiesznie wrócili do obozu. Stary Murzyn dążył za nimi trop w trop. Widział Tomka wchodzącego do namiotu, policzył tragarzy, których zachowanie świadczyło o



tym, że nie mieli zamiaru zwijać obozu, po czym mrużąc tajemne zaklęcia pobiegł szybko na północ.

Zaledwie noc zapadła nad dżunglą, na polanie wokół zbutwiałego baobabu zaczęły się dziać dziwne rzeczy. W srebrzystej poświacie księżycowej widać było zgromadzonych kilkunastu Murzynów. Każdy z nich trzymał w ręku jakieś zawiniątko. Od czasu do czasu przykucali na ziemi, obrzucając się wzajemnie nieufnymi spojrzeniami. Jeden z zebranych — stary Murzyn — usunął głaz sterczący u stóp drzewa. Wydobył spod niego mały żelazny kociołek i duży ludzki czerep. Inni rozniecili ognisko i umieścili nad nim kociołek napełniony wodą. Wkrótce woda gotowała się bulgocąc, a stary Murzyn szeptał zaklęcia, wsypywał do wody miałko utarty proszek, liście ziół i korzenie roślin, po czym przykrył kocioł płaskim kamieniem. Murzyni kołem przykucnęli przy ognisku. Nie odzywali się ni słowem. Dopiero gdy ogień wygasł, stary Murzyn odrzucił kamień–pokrywę. Zaczepnął czerepem płynu o odurzającej woni. Pili kolejno. W miarę jak podawano nowe porcje, oczy pijących nabierały blasku, ruchy się ożywiały. Mistrz tajemnego obrzędu schował w końcu próżny kociołek pod głaz, wydobył z zawiniątka skórę lamparta, zarzucił ją na głowę i ramiona, naciągnął na ręce jakby rękawice z lamparciej skóry o palcach zakończonych ostrymi pazurami. W ślad za starcem wszyscy Murzyni nałożyli podobne kaptury i rękawice. Przez wycięte otwory błyskały półprzytomne oczy.

— Bracia–lamparty, nie mogę pokazać wam dzisiaj naszego wszechmocnego fetysza — ponuro odezwał się starzec. — Zaręczam jednak, że przebywająca w nim dusza lamparta łaknęła wczoraj krwi. Wosk pękł z pragnienia. Lampart upomina się o ofiarę. Musimy odzyskać fetysz i napić go krwią podstępного białego człowieka, który powążył się zabrać naszego brata–lamparta z dziupli świętego baobabu.

— O, ooo... — głucho jęknęli Murzyni.

— Teraz przygotujmy się, bracia–lamparty, do spełnienia ofiary — polecił czarownik.

Murzyni otoczyli baobab. Rozpoczęli dziwny taniec. Czołgali się na czworakach, wykonywali lamparcie skoki, aż oszołomienie ich doszło do obłądnego szału. Zgrzytali zębami i wołali:

— Prowadź nas, bracie–lamparcie!

Czarownik wyciągnął przed siebie ręce. Błysnęły pazury. Murzyni pobiegli za nim. Z gardzieli ich wyrwało się niehumaniczne wycie. Warcząc i mrużąc, ludzie–lamparty jak szaleni pędzili przez las w kierunku obozu.

## KŁĘSKA I ZWYCIĘSTWO

Tomek przebudził się pod przemożnym wrażeniem, że z głębi dżungli dosłyszał chrapliwe szczeknięcie Dinga. Nasłuchiwał przez dłuższą chwilę. W końcu zaczął przypuszczać, że to pomruki lampartów, umieszczonych w klatkach w pobliżu namiotu, musiały go wyrwać ze snu. Uspokoił się, lecz jakoś nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok i rozmyślał o towarzyszach tropiących okapi. Zastanawiał się, jak długo jeszcze potrwa ich nieobecność. Czy uda im się schwytać to dziwne zwierzę? Z kolei myśli Tomka skierowały się ku ojcu. Co też on teraz porabia? Zapewne przez tak długi czas zdołał już oswoić goryle.

Naraz wydało mu się, że w pobliżu obozu rozbrzmiał stłumiony okrzyk. Nauczony doświadczeniem nie poruszył się i znów zaczął nasłuchiwać. Prawą dłonią dotknął zimnej, twardej rękojeści rewolweru, który kładł zawsze na noc obok siebie na posłaniu. Tuż za ścianą namiotu lamparty niespokojnie kręciły się w klatkach, biły ogonami o żelazne pręty i gniewnie mruczały. Nieoczekiwanie jakiś skulony cień o nieokreślonych kształtach, ni to ludzkich, ni zwierzęcych, przesunął się na tle oświetlonej światłem księżyca płóciennej ściany.

Tomek poczuł przyspieszone bicie serca. Szczelnie zasłonięte wejście do namiotu rozchyliło się szeroko. Dziwaczna postać opadła na czworaki. Bezszelestnie zaczęła się skradać w kierunku jego posłania. Tomek zamarł; w srebrzystej poświacie ujrzał olbrzymiego lamparta.

„*Lamparty wydostały się z klatek*” — pomyślał.

W tej chwili domniemany lampart powstał na tylne nogi. Potworne, kosmate łapy wyciągnęły się do przerażonego chłopca. Tomek spostrzegł zakrzywione pazury. Nagle przypomniał sobie zabrany z dziupli baobabu fetysz. Wydało mu się, że lampart przyszedł upomnieć się o swe szczątki umieszczone w woskowej kuli. Włosy mu się zjeżyły na głowie. Ujrzał błysk ślepiów. Bez namysłu wyszarpnął rewolwer spod koca, błyskawicznie strzelił dwukrotnie między oczy bestii i wrzasnął:

— Na pomoc!

Krzyk Tomka i potworne wycie w całym obozie rozległy się niemal jednocześnie. Zakotłowało się wokoło. Rozgorzała gwałtowna walka. W

obliczu realnego niebezpieczeństwa Tomek odzyskał zimną krew. Odtrącił przerażonego Samba, który chciał go zatrzymać w namiocie, i w samym wyjściu natknął się na olbrzymiego Inusiego, który z nożem w zębach tłukł karabinem napastujące go zakapturzone stwory. Przerażeni tragarze rozpierzchli się na wszystkie strony, a tymczasem Masaj, jak przystało na potomka plemienia wojowników, gromił wroga. Bił karabinem jak maczugą, ponieważ w wirze walki nie mógł złożyć się do strzału. Potężnymi uderzeniami walił napastników na ziemię. Wielki lampart z rozwianym futrem na głowie skoczył mu na plecy. Napadnięty z tyłu Inuszi upadł na kolana, ale zaraz dźwignął się na nogi ze swym groźnym ciężarem i przechyliwszy się gwałtownie głową do ziemi, przerzucił napastnika przed siebie. Upuścił karabin, błyskawicznie przygniótł sobą potężne cielsko i chwycił nóż trzymany w zębach. Dziwne zwierzę wydało nadzwyczaj ludzki jęk.

Sfora lampartów rzuciła się na Inusiego. Tomek zagryzł wargi do krwi i naciskał spust rewolweru tak długo, aż metaliczny szczęk uprzytomnił mu, że wystrzelał już wszystkie naboje. Przerażony wierny Sambo podbiegł zaraz do Tomka i podał mu sztucer. Chłopiec natychmiast chwycił broń; huknęły strzały. Gwałtowny atak lampartów załamał się. Kilku Bugandczyków ochłonęło z pierwszego przestachu i przyłączyło się do walki. Naraz w ciemnym lesie rozległy się strzały karabinowe. Tomkowi przemknęło przez myśl, że to chyba nadchodzi nieoczekiwana pomoc. Lamparty zaczęły pierzchać w gąszcz. Zapewne i Bugandczycy nabrali podobnego przeświadczenia, bo krzyknawszy donośnie, ruszyli w pościg za umykającym wrogiem. Przy Tomku na poboju pozostali tylko Sambo i nieustraszony Inuszi.

Tomek ochłonął, niebezpieczeństwo na razie minęło. Nie miał już wątpliwości, że Smuga i bosman zdążyli przybyć na pomoc w ostatniej chwili. Chrapliwe szczekanie Dinga rozległo się w pobliżu. Co chwila słychać było strzały i bojowe okrzyki Bugandczyków.

Tomek zbliżył się do bezwładnie leżącej na ziemi postaci. Odrzucił skórę zwierzęcia i ujrzał zabitego Murzyna. Teraz zrozumiał wszystko. Na obóz napadli Murzyni przebrani za lamparty. Pobladał straszliwie. Usiadł na ziemi.

*„Strzelałem do ludzi — myślał z rozpaczą. — Zabiłem tego w namiocie i... na pewno jeszcze innych...”*

Rozsądek podszeptował mu, że nie miał innego wyjścia, przecież bronił się przed napastnikami, lecz mimo to drżał jak w febrze.

— Mój Boże, zabiłem człowieka — szepnął poszarzałymi wargami i rozplakał się.

Taki był chrzest bojowy młodego Tomka Wilmowskiego.

Tymczasem Sambo i Inuszi dorzucili chrustu do ogniska. Przyglądali się Tomkowi, ale nie śmieli się do niego zbliżyć. Byli przekonani, że dzielny biały buana żałuje, iż zabił tak mało wrogów. Pocziwy Sambo zdobył się w końcu na odwagę. Podszedł do Tomka i usiłował go pocieszyć:

— Buana, buana! Nie martw się, ten Murzyn w namiocie też nie żyje. Zabiłeś mnóstwo złych ludzi. Wygrałeś wielką bitwę. Teraz wszyscy Murzyni będą śpiewać o białym buanie, który jest wielkim wojownikiem. O, matko! Sambo bardzo chce być tak wielkim wojownikiem!

Tomek spojrział na niego i odrzekł:

— Nie mów w ten sposób, Sambo. Ja naprawdę nie chciałem nikogo zabić. Czy ty tego nie rozumiesz?

— Sambo rozumie, bo widział, jak biały buana strzelał. Buana jest wielkim wojownikiem!

— Ale ja nie wiedziałem, że to są ludzie!

— To nic, biały buana nie boi się ani lwa, ani soko, ani człowieka—lamparta.

Sambo nie mógł pojąć, o co mu chodziło. Tomek tęsknym wzrokiem spojrział na dżunglę, czy przypadkiem nie ujrzy powracających przyjaciół, słyszał przecież w dżungli ich strzały. Tylko od nich mógł się spodziewać pomocy.

Sporo czasu minęło, zanim oczekiwani z utęsknieniem przez Tomka Smuga i bosman ukazali się na polanie otoczeni rozkrzyczanymi Murzynami. Mocno uścisnęli dzielnego chłopca, po czym natychmiast przystąpili do udzielenia pomocy rannym. Okazało się, że w krótkiej, zaciętej walce padło wiele ofiar. W krzewach znaleziono zaduszonego Bugandczyka, który pełnił wartę w chwili rozpoczęcia ataku. Dwóch innych tragarzy zostało boleśnie zranionych. Napastnicy ponieśli znacznie większe straty — sześciu zginęło w samym obozie.

Bosman przyglądając się poległym zawołał:

— Niech cię kule biją, kochany brachu! Toś ty tu stoczył przepisową bitwę! Nie ma co mówić, prawdziwe jatki. Nie myślałem, że taki morus z ciebie! No, ale i my zadaliśmy im w lesie bobu.

— Jak to się stało, że przybyliście na pomoc akurat podczas bitwy? — zapytał Tomek ochłonawszy z wrażenia.

— Dziwna to historia, Tomku. Ty wygrałeś bitwę, a myśmy w tym czasie ponieśli sromotną klęskę — wyjaśnił Smuga. — Przez wiele dni nie mogliśmy znaleźć ani śladu okapi. W końcu szczęście się do nas uśmiechnęło. W bagnistym gąszczu spotkaliśmy kilka sztuk tych rzadkich zwierząt. Z wielkim trudem udało się nam odłączyć od stada samicę z jej przychówkiem. Przez dwa dni i dwie noce deptaliśmy im po piętach. Dzięki sprytowi Dinga mogliśmy osaczać je nawet w ciemności. Płochliwe okapi goniły już resztką sił. Idąc za nimi, dotarliśmy aż w pobliże naszej polany. Wtedy właśnie stało się najgorsze. Pomiędzy nas i gonione zwierzęta wpadli nieoczekiwanie zakapturzeni ludzie, którzy wyjąć niesamowicie popędzili w kierunku obozu. Zaniepokojeni o was, natychmiast pospieszyliśmy za nimi. Nie mogliśmy dotrzymać im kroku, tak byliśmy zmęczeni pościgiem za okapi. Toteż wyprzedzili nas znacznie. Wkrótce w obozie padły pierwsze strzały.

— O! Boże! Więc przeze mnie cały wasz trud poszedł na marne — smutno powiedział Tomek. — I pomyśleć, że wszystkiemu winien zdradliwy miodowód, który zamiast do ula zaprowadził nas do tajemniczej kryjówki w baobabie!

Smuga uważnie obserwował podnieconego chłopca. Zły był na siebie, że nie zdołał zapobiec napadowi. Przewidywał, iż Wilmowski będzie miał do niego słuszny żal. Przysunął się więc do Tomka i rzekł:

— Nie myśl teraz o okapi. Warunki, w jakich żyją te oryginalne zwierzęta, uniemożliwiają pomyślnie przeprowadzenie łowów. W bagnistej dżungli nie można urządzić większej obławy. Okapi były bardzo wyczerpane pościgiem, a mimo to nie mogliśmy się do nich zbliżyć na długość lassa. W najlepszym razie może by się nam udało je zastrzelić. Widziałem jednak te dziwne zwierzęta na własne oczy, a to również już coś znaczy. Przykro mi, że nieopatrznie naraziłem cię na tak poważne niebezpieczeństwo. To twoja pierwsza walka, podczas której musiałeś strzelać do ludzi. Wiem, jak się teraz czujesz. Pamiętaj, że każdy człowiek ma święte prawo bronić swego życia. dzielnie się spisałeś. Nie martw się niepotrzebnie. Opowiedz, co się tutaj

działo podczas naszej długiej nieobecności. Nie próżnowałeś; spostrzegłem w klatce dwa wspaniałe lamparty.

Słowa Smugi sprawiły chłopcu ulgę. Westchnął ciężko, po czym szczegółowo opowiedział wszystko, co się zdarzyło w obozie. Sprawozdanie swe zakończył:

— Słusznie mówił pan Hunter, że w głębi Afryki ujrzymy niejedno. Mimo to nie spodziewałem się, że napotkamy ptaki wprowadzające ludzi w zasadzkę bądź Murzynów naśladowujących dzikie drapieżniki.

— Jak widać, zmyślna to i zdraдлиwa ptaszyna z tego miodowoda — wtrącił bosman Nowicki. — Po jakie лихо ci Murzyni poprzebierali się za lamparty? Przecież i bez maskarady mogli napaść na obóz!

— Czy jesteś pewny, że oni nawet ruchami starali się upodobnić do lampartów? — zapytał Smuga.

— Tak właśnie robili, proszę pana — powiedział Tomek. — Kiedy ujrzałem pierwszego z nich, jak się czołga na czworakach w naszym namiocie, byłem przekonany, że moje lamparty wydostały się z klatki.

— Dzisiejsze wydarzenie przypomniało mi opowiadania słyszane od misjonarzy w stacji misyjnej w Duala<sup>142</sup>. Mówili oni wiele o osiedlach, których mieszkańcy byli przeświadczeni, iż przemienili się w prawdziwe lamparty. Ludzie ci we wszystkim starali się naśladować drapieżniki. Czołgali się na czworakach, przywiązywali do rąk i nóg lamparcie pazury, aby ich ślady dawały złudzenie kocich kroków, ofiarom swym zaś przegryzali tętnice na szyi.

— Powiedziałbym, że to wierutne bajki, gdybym nie widział Bugandczyka z przegryzioną krtanią — wtrącił bosman. — Czy to naprawdę możliwe, żeby człowiek zachowywał się jak zwierzę?

— Mnie również wydawało się to bardzo dziwne — odparł Smuga. — Wiedziałem od dawna, że na Czarnym Łądzie istnieje wiele tajemniczych związków czy też klanów. Ludzie–lamparty mają właśnie tworzyć jeden z nich. Najbardziej w tym wszystkim przerażający jest fakt, że normalni ludzie stają się „*lampartami*” nie z własnej woli. Jak opowiadali misjonarze, ludzie–lamparty w czasie ludzkiej sporządzają z krwi zamordowanego człowieka czarodziejski napój, który potajemnie dodają do pożywienia z góry upatrzonej osobie. Powszechna wiara w potęgę czarodziejskiego płynu jest tak wielka, że

---

<sup>142</sup> — Duala znajduje się w Kamerunie w zachodniej Afryce Równikowej.

ofiara, wypiwszy miksturę i dowiedziawszy się o jej tajemniczej mocy, uznaje bez sprzeciwu swą przynależność do klanu. Każdy nowo przyjęty otrzymuje rozkaz sprowadzenia kogoś ze swej rodziny w odludne miejsce, gdzie ofiara zostaje zamordowana przez ludzi–lampartów. Dopiero wówczas nowy członek klanu nabiera prawa do morderczych wypraw<sup>143</sup>.

Zapadła chwila przykrego milczenia. Pierwszy odezwał się Tomek:

— Jeżeli naprawdę jest tak, jak pan mówi, to ludzie–lamparty są okrutnymi zbrodniarzami. Wracajmy jak najprędzej do naszego głównego obozu.

— Najlepiej zwińmy manatki o świcie i jazda w drogę — poparł bosman swego druha. — Zamiast okapi mamy schwymane przez Tomka dwa lamparty. Lepszy rydz niż nic!

— Macie rację, musimy uznać własną klęskę. Nie tylko nie schwytaliśmy okapi, lecz straciliśmy jednego członka ekspedycji — powiedział Smuga wzdychając ciężko. — O świcie ruszamy w drogę powrotną.

— Nie możemy stąd odejść tak nagle — zaproponował Tomek. — Przed zwinięciem obozu muszę sprawdzić, czy przypadkiem jeszcze jakiś lampart nie wpadł w przygotowane pułapki.

— Dobrze, na to wystarczy kilka godzin — odrzekł Smuga.

Uczestnicy nieudanej wyprawy na okapi udali się na spoczynek, natomiast Inuszi i Tomek postanowili czuwać przez resztę nocy.

Łowcy nie zważając na zmęczenie zerwali się z posłań wczesnym rankiem. Pragnęli jak najprędzej opuścić miejsce, gdzie ponieśli podwójną klęskę. Urządzono skromny pogrzeb poległemu w walce Bugandczykowi, pochowano także we wspólnej mogile zabitych ludzi–lampartów. Tomek, Smuga i bosman wyruszyli, by przed wymarszem sprawdzić pułapki. W ostatnim dole, ku swemu zdziwieniu, zastali dużą leśną świnię. Był to ciekawy okaz fauny tropikalnych lasów Afryki. Mimo to Smuga nie ucieszył się zdobyczą. Przeniesienie ciężkiego dzika do obozu nastęrczało obecnie wiele trudności. Liczba tragarzy zmniejszyła się o jednego człowieka.

---

<sup>143</sup> — Zbrodniczą działalność ludzi–lampartów opisał Albert Schweitzer (1875–1965) w książce *Wśród Czarnych na równiku*. Zetknął się z nimi w założonej przez siebie misji w Lambarene w Gabonie, gdzie przebywał wraz z żoną od 1913 r. Zbudowanym tam i wyposażonym własnym kosztem szpitalem kierował aż do śmierci, a jego intelektualna i moralna postawa oraz działalność lekarska w Afryce zyskały mu wielki autorytet. W 1952 r. otrzymał pokojową nagrodę Nobla.



Tymczasem należało nieść nie tylko klatkę z lampartami, ale i obydwóch rannych Bugandczyków. Ostatecznie zdecydowano bardziej objuczyć osły i odbywać krótkie dzienne pochody.

Bosman udał się do obozu po Murzynów, przy których pomocy miano wydobyć świnię. Smuga i Tomek pozostali przy pułapce; czekając na powrót bosmana przyglądali się małpom dokazującym na drzewach. Dingo biegał po lesie. Łowcy dopiero wówczas spostrzegli, że pies się od nich oddalił, gdy z dala rozległo się jego chrapliwe szczekanie.

— Oho, Dingo zwietrzył jakąś zwierzynę — zawołał chłopiec.

— Na pewno małpy — odparł Smuga obojętnie. — Przywołaj psa!

Mimo nawoływań Dingo nie wracał. Chrapliwe szczekanie stawało się natomiast coraz bardziej natarczywe. Zaniepokojeni łowcy pobiegli w kierunku, skąd dochodził jego głos. Dingo szczekał na ich widok i łbem rozrzucał rusztowanie na zapomnianej przez Tomka pułapce.

— Ale ze mnie prawdziwa gapa! — zawołał Tomek nachylając się nad dołem. — Zupełnie zapomniałem o tej pułapce, a tymczasem dziki osiołek zdechłby w niej z głodu! Dobry Dingo, dobry! Nie denerwuj się, wypuścimy na wolność osiołka.

— Zamiast okapi schwytałeś lamparta, świnię i osiołka — powiedział Smuga, pochylając się nad pułapką. — Trzeba go uwolnić, bo...

Urwał w połowie zdania. W mrocznym dole ujrzał coś, co mu zaparło dech w piersi. Nic nie mówiąc zsunął się na dół. Przyjrzał się uważniej zwierzęciu, które chłopiec wziął za osła.

Tomek pochylony nad pułapką mówił:

— Biedny osiołek, musiał siedzieć w pułapce już parę dni. Pewnie się z trudem trzyma na nogach. Trzeba go zaraz nakarmić.

Smuga powoli się uspokoił, spojrzął na Tomka i rzekł:

— Urodziłeś się chyba naprawdę pod szczęśliwą gwiazdą. Jak dobrze zrobiłem zabierając cię na tę wyprawę!

— Co się stało? — zapytał zaniepokojony Tomek.

Smuga roześmiał się patrząc na przerażoną minę chłopca.

— Czy ty wiesz, co za zwierzę wpadło w twoją pułapkę? — zapytał.

Naraz jakaś myśl przyszła Tomkowi do głowy. Jednym susem znalazł się w dole obok Smugi. Najpierw wbił wzrok w wystraszone zwierzę, po czym spojrzął na podróżnika i zapytał:

— Czyżby to był...?

— Tak. To jest okapi!

Tomek zaniemówił z wrażenia. Potem poczerwieniał i krzyknął:

— Hura! Zwycięstwo!

Okapi wtulił się w kąt dołu.

— Odnieśliśmy wielki sukces, ale nie krzycz, gdyż strach gotów zabić wyczerpane zwierzątko.

— To zapewne jeden z tych dwóch okapi, które ścigaliście tak długo — domyślił się Tomek.

— Nie ulega wątpliwości, że maleństwo uciekając przed nami wpadło przypadkowo w pułapkę, a samica sama uratowała się dalszą ucieczką — dodał Smuga.

— Niech mi pan pomoże wydostać się z dołu! Sprowadzę bosmana i Murzynów. Musimy natychmiast przenieść okapi do obozu — gorączkował się Tomek.

— Zgoda, włącz mi na ramiona!

Tomek drżąc z radości zaraz pobiegł z Dingiem w kierunku obozu. Po drodze spotkał towarzyszy niosących klatkę i sieci.

— Zwycięstwo! Zwycięstwo! Schwytaliśmy okapi! — zawołał ledwo dysząc ze zmęczenia.

Bosman usłyszawszy radosną nowinę natychmiast pociągnął z manierki spory łyk jamajki, a potem podążył za Tomkiem. Wszyscy chcieli się jak najszybciej przyjrzeć nieznanemu zwierzęciu. Z wielką ostrożnością wydobyli je z dołu. Młody okapi był tak wyczerpany, że nie stawiał oporu. Budową przypominał trochę osła i żyrafę. Do kłapoucha upodabniały go potężne uszy, natomiast trochę wyższy z przodu tułów, długa szyja oraz małe rogi wyrastające z kości czołowej na stożkowatej głowie zbliżały okapi do żyraf. Skórę pokrywała delikatna, połyskliwa, czarna sierść, a tylko boki głowy i gardziel były białe. W niezwykle oryginalne desenie wyposażyła natura nogi zwierzęcia. Były to naprzemianległe czarne i jaskrawobiałe pasy sierści.

Łowcy umieścili okapi w klatce, a następnie pospiesznie udali się do obozu. Smuga zaraz polecił zbudować małą zagrodę, do której wpuszczono wylęknionego okapi. Doświadczony łowca wiedział, że najłatwiej oswaja się różne dzikie zwierzęta udzielając im pomocy, gdy są wyczerpane. Wydobyć

dzikiej świni zlecił bosmanowi i Tomkowi, sam zaś pozostał w obozie przy okapi.

Tego dnia nie mogli wyruszyć w drogę powrotną. Chcąc zabrać wszystkie złowione zwierzęta, należało poczekać, aż dwaj ranni tragarze powrócą do zdrowia. Wobec tego postanowiono obozować przez jakiś czas na polanie. Smuga pilnie rozstawiał strażę wokół obozu, aby się zabezpieczyć przed powtórna napaścią ludzi–lampartów. Wszelkie obawy okazały się niepotrzebne.

Trójka przyjaciół często wyprawiała się w sawanny na polowania. Murzyni ochoczo znosili zabite zebry i antylopy, a wieczorem wokół obozu rozchodziły się smakowite zapachy pieczonego mięsa.

Po dwóch tygodniach odpoczynku zdecydowali się wracać do głównego obozu. Tomek gorliwie pomagał przy sporządzaniu przestronnej bambusowej klatki dla okapi. Zwierzątko przyzwyczało się już do widoku ludzi i brało pożywienie z ręki. Ośmielała je zapewne obecność krewniaków osłów. Smuga wprowadzał je do zagrody codziennie na kilka godzin. Wkrótce też trójka zwierząt żyła w jak najlepszej zgodzie, co szczególnie cieszyło łowców, gdyż obawiali się, aby okapi nie zdechł z tęsknoty za matką.

Pewnego dnia o świcie wreszcie wyruszyli w drogę. Ze względu na małą liczbę tragarzy musieli się często zatrzymywać na dłuższe wypoczynki, by zdobywać pożywienie dla zwierząt. Nastręczało to w dżungli wiele trudności. Dla leśnej świni zbierali korzenie i bulwy, chociaż nie gardziła ona i małpim mięsem, którym karmiono obydwaj lamparty. Okapi sprawiał najmniej kłopotu. Klatkę o szeroko rozstawionych bambusowych prętach stawiali po prostu w krzewach, a łagodne zwierzę samo zdobywało sobie paszę.

Dziesięć dni karawana przedzierała się przez gęstwą dżungli. Od czasu do czasu rozlegało się dudnienie tam–tamów, lecz napotykanii po drodze Pigmejczycy nie niepokoiili podróżników. Zaprzyjaźnieni Bambutte zdążyli już rozgłosić wieść o pojawieniu się dziwnych białych ludzi, którzy łowią żywe zwierzęta i rozdają cenne podarunki. Smuga ofiarowywał im sól, tytoń i świecidełka, w zamian Pigmejczycy wskazywali dogodniejsze ścieżki lub nawet pomagali w niesieniu zwierząt.

W południe jedenastego dnia marszu Smuga orzekł, że karawana znajduje się już w pobliżu głównego obozu. Co pewien czas strzelano w górę z karabinów, aby oznajmić towarzyszom swój powrót. Łatwo sobie wyobrazić

wzruszenie i radość Tomka, gdy około czwartej po południu odpowiedziały im bliskie strzały z broni palnej.

Wkrótce też karawana wkroczyła na leśną polanę, nad którą na wysokim maszcie powiewała polska flaga. Wilmowski i Hunter na czele Murzynów wybiegli na spotkanie towarzyszy. Łowcy ściskali się i całowali, Murzyni tańczyli z radości. Nawet Masajowie zapomnieli o swej powadze i żartowali wraz ze wszystkimi.

Wilmowski serdecznie uściskał syna. Odsunął go trochę od siebie, aby przyjrzeć mu się lepiej. Chłopiec zmężniał i spoważniał.

— Jesteś już niemal dorosłym mężczyzną! — żartował Wilmowski.

— Przysiądziesz z podziwu, Andrzeju, gdy się dowiesz, że twój zuch stoczył rzetelną bitwę z ludźmi–lampartami. Ho, ho! Było to naprawdę nie lada zwycięstwo! Sam naliczyłem w obozie sześciu truposzów— wtrącił bosman Nowicki.

Mocno opalona w słońcu twarz Wilmowskiego przybladła. Spojrzał na syna, potem zwrócił się do Smugi, który ciężko westchnął i rzekł:

— Tak, Andrzeju, to prawda. Tomek przeszedł swój chrzest bojowy i... dowodził bitwą. Mimo niespodziewanego napadu stracił tylko jednego człowieka... unieszkodliwiając sześciu wrogów. Podczas mojej i bosmana nieobecności Murzyni przebrani za lamparty i oszołomieni jakimś narkotykiem napadli na obóz w dżungli. Działo się to w nocy. Nawet dzisiaj trudno mi uwierzyć, że Tomek zdołał się obronić przed tłumem napastników. Przybyliśmy już pod sam koniec bitwy. Wierny Inuszi zasłużył na naszą szczególną wdzięczność, chociaż i Bugandczycy spisali się nadspodziewanie odważnie. Długa to historia, zajmijmy się najpierw zwierzętami.

Wilmowski zbliżył się do Masaja. Mocno uściskał jego żylastą dłoń i podziękował wszystkim Bugandczykom. Z kolei przystanął przed zmieszonym chłopcem i odezwał się:

— Oszołomiły mnie zasłyszane wiadomości. Cóż mam na to wszystko powiedzieć? Naprawdę cieszę się, że wróciłeś zdrów, powinszuję ci więc tylko jak mężczyzna mężczyźnie.

Silnie uściskał prawicę syna, który usiłował opanować wzruszenie.

## POLOWANIE NA SŁONIE I ŻYRAFY

Trudno by było opisać radosny nastrój, jaki zapanował w obozie. Nikt tej nocy nie myślał o spoczynku. Z okazji szczęśliwego powrotu towarzyszy Wilmowski wydzielił wszystkim zwiększone racje żywności z zapasu, który obecnie można było już naruszyć. W najbliższym czasie wyprawa miała się udać w drogę powrotną do Bugandy, gdzie było znacznie łatwiej o prowiant. Raczone się więc konserwami, sucharami i owocami, a rozmowom nie było końca. Każdy miał coś do powiedzenia, każdy pragnął się czegoś dowiedzieć.

Okazało się, że Wilmowski i Hunter nie próżnowali w obozie. Dzięki ich troskliwym staraniom goryle czuły się w niewoli zupełnie znośnie. Nie tylko przyzwyczały się już do widoku ludzi, lecz nawet chętnie wśród nich przebywały. Pod tym względem szczególne upodobanie wykazywał młody goryl. Wyczuł w Wilmowskim przyjaciela. Snuł się za nim jak cień, w końcu przeniósł się z klatki rodziców do jego namiotu, gdzie urządzono mu wygodne posłanie na macie, z poduszką i kocem. Gorylątko było najlepszym pośrednikiem pomiędzy swymi rodzicami i ludźmi. Dzięki temu goryle szybko się oswajały.

Nie był to jedyny sukces pozostałych w bazie łowców. Schwytali i niemal oswoili kilka żyjących wyłącznie w Afryce koczokodanów<sup>144</sup> o zielonkawej sierści. Z innych odmian tego gatunku złowili błękitnawe i czerwone koczokodany Lalanda, a także pięć o bardzo wydłużonych pyskach pawianów<sup>145</sup>, nazywanych z tego powodu również małpami psiogłowymi. Bardzo pomyślny przebieg polowania wprawił łowców w doskonały humor. Nastrój ich udzielał się Murzynom, którzy śpiewali, tańczyli i jedli przez całą noc.

Minęły trzy dni. Tragarze na tyle już wypoczęli, że można było rozpocząć przygotowania do powrotu. Wilmowski proponował, aby dokończyć łowy w

---

<sup>144</sup> — *Cercopithecidae* — rodzina małp wąskonosych żyjących stadami w lasach głównie tropikalnej Afryki.

<sup>145</sup> — *Papio* — rodzaj z rodziny koczokodanów. Mają potężnie rozwinięte uzębienie, podobnie jak małpy człekokształtne. Potrafią się bronić przeciw najgroźniejszym drapieżnikom i stawiają czoła nawet człowiekowi. W niewoli łatwo się uczą różnych sztuczek. W Egipcie były czczone jako zwierzęta święte. Zamieszkują całą Afrykę na południe od Sahary i Arabię.

Bugandzie, w pobliżu ujścia rzeki Kotonga do Jeziora Wiktorii, chciał bowiem dla przewiezienia zwierząt do Kisumu wynająć angielski parowiec kursujący po jeziorze. W ten sposób mogliby uniknąć długiego i uciążliwego marszu oraz znacznie zyskać na czasie. Byłoby to szczególnie korzystne ze względu na zwierzęta.

Wszyscy wyrazili zgodę na propozycję Wilmowskiego. Tomek w skrytości serca marzył jeszcze o polowaniu w okolicach Kilimandżaro, lecz nie zaproponował ni jednym słowem. Musiano myśleć przede wszystkim o jak najpomyślniejszych warunkach przewiezienia schwytanych okazów. Pocieszał się myślą, iż daleko jeszcze do zakończenia łowów. Przecież muszą schwycić żyrafy, słonie, nosorożce i lwy. Samo osvajanie słoni potrwa dwa do trzech miesięcy! Nie należy się więc martwić brakiem okazji do polowań.

Niebawem rozpoczęli powrotny marsz przez dżunglę. Murzyni uginali się pod ciężarem klatek. Łowcy pomagali im w wycinaniu ścieżek w gęstwinie, zdobywali pokarm dla ludzi i zwierząt, a także troszczyli się o bezpieczeństwo karawany. Dzień za dniem upływał na ciężkiej i mozolnej pracy. Toteż gdy w końcu wydostali się z bezmiaru ciemnej dżungli na tonącą w promieniach słonecznych sawannę, Wilmowski zarządził dłuższy wypoczynek, by wszyscy nabrali sił do dalszego marszu.

Posuwali się wolno, gdyż zdobywanie pokarmu dla zwierząt zmuszało ich do częstych postojów. Dopiero po kilku dniach zbliżyli się do Beni. Pojawienie się łowców dzikich zwierząt wywołało w osiedlu wielkie poruszenie. Olbrzymi bosman i Tomek cieszyli się szczególnym zainteresowaniem, ponieważ gadatliwi tragarze, z Matombą na czele, opowiadali o ich odwadze wprost nieprawdopodobne historie. Łatwowierni Murzyni wierzyli we wszystko, co im mówiono. Jak mogli bowiem wątpić w prawdziwość niesamowitej walki z ludźmi–lampartami, skoro biali łowcy z łatwością schwytali straszliwe goryle oraz kryjące się w niedostępnym gąszczu dżungli okapi?

Od pamiętnego starcia z ludźmi–lampartami Tomek znacznie spoważniał, mimo to spacerując po osiedlu odczuwał wielkie zadowolenie na widok ustępujących mu z drogi Murzynów.

— O, matko, wielcy i potężni muszą to być ludzie! — szeptali Murzyni. — Patrzcie, małe soko trzyma białego buanę za rękę jak ojca!

Gorylek z komiczną powagą dreptał obok Tomka czepiając się jego spodni, a gdy się zmęczył, wyciągał kosmate łapki prosząc w ten sposób o wzięcie na ręce. Jeszcze większą uciechę sprawiał Tomek zdumionym mieszkańcom osiedla sadzając małpę na grzbiecie Dinga. Sława łowców stała się tak wielka, że gdy Wilmowski rozpoczął werbunek dodatkowych tragarzy, zgłosili się niemal wszyscy dorośli Murzyni zamieszkujący w Beni. Wybrano dwudziestu najsilniejszych, by w ten sposób przyspieszyć marsz karawany. Sytuację polepszał fakt, że obydwie konie, pozostawione tu uprzednio, szczęśliwie doczekały powrotu podróżników. Bez wierzchowców polowanie na żyrafy byłoby ogromnie utrudnione.

Rozpoczęli marsz na południe. Długimi etapami szybko dotarli do Jeziora Edwarda, zaledwie przystanęli w Katwe, po czym, omijając Jezioro Jerzego, udali się wzdłuż rzeki Kotonga na wschód. Niespokojnie spoglądali na gromadzące się na niebie chmury, które były zapowiedzią nadciągającej pory deszczowej. Należało jak najprędzej zakończyć łowy.

O dwa dni drogi od Jeziora Wiktorii łowcy napotkali w pobliżu rzeki z dala już widoczne wzniesienie, stanowiące idealne miejsce na obóz. Od południa zbocze wzniesienia opadało ku rzece. Na północ szeroko rozciągał się step porośnięty różnymi gatunkami akacji, od zachodu przylegał doń znaczny obszar błotnistego lasu. Bliskość rzeki oraz bujna roślinność pozwalały przypuszczać, że można się tutaj spodziewać obecności słoni<sup>146</sup>.

Nie tracąc czasu rozłożyli obóz, otoczyli go kolczastym ogrodzeniem i przygotowali zagrody dla zwierząt.

Hunter, Smuga i Tomek z Dingiem wypuszczali się w okolice na poszukiwanie słoni i żyraf. Wytropienie słoni nie było zbyt trudne. W pobliskim lesie natrafili na szeroką ścieżkę wydeptaną przez olbrzymy. Wiodła ona prosto do rzeki, w której słonie kąpały się i zaspokajały pragnienie. Liczne świeże ślady dowodziły, że zwierzęta często chodziły tędy do wodopoju.

Przemyślano plan emocjonujących łowów. Kilkanaście metrów od ścieżki uczęszczanej przez zwierzęta łowcy wykarczowali mały teren i otoczyli go

---

<sup>146</sup> — Słoń afrykański (*Loxodonta africana*) jest wyższy od indyjskiego, różni się od niego także znacznie większymi uszami i kształtem głowy, na której szczycie brak dwóch wielkich wypukłości charakterystycznych dla indyjskiego. Wyróżnia się dwa główne podgatunki słoni afrykańskich: jeden zamieszkuje sawanny i rzadkie lasy, drugi, mniejszy, żyje w gęszczu puszczy tropikalnych.

wysokim ogrodzeniem z grubych pni drzew. Wybudowaną w ten sposób zagrodę połączyli przesieką ze ścieżką słoni. Oczywiście nie była to lekka i łatwa praca. Gdyby słonie przedwcześnie spostrzegły obecność ludzi w lesie i zagrodę, na pewno by przestały chodzić tędy do wodopoju. Z tego powodu łowcy mogli pracować jedynie między godziną dziesiątą a trzecią, wtedy bowiem słonie zwykły odpoczywać i spać w gąszczu. Dzięki tej ostrożności, w czasie kiedy zwierzęta udawały się do rzeki, w lesie panowała kompletna cisza, a zamaskowane krzewami odgałężenie ścieżki nie budziło podejrzeń.

Zaraz następnego dnia o świcie po zakończeniu przygotowań łowcy z trzydziestoma Murzynami udali się do lasu. Dwunastu Murzynów z Hunterem i bosmanem ukryło się w gąszczu przy ścieżce słoni, nie opodal przesieki wiodącej do zagrody. Dalszych dwunastu pod dowództwem Smugi i Tomka zaczęło się w ten sam sposób po przeciwnej stronie przesieki. Wilmowski z pozostałymi Murzynami czuwał przy samym zamaskowanym krzewami wylocie odgałężenia na ścieżkę słoni, aby w chwili rozpoczęcia łowów usunąć osłonę i odkryć umyślnie sporządzoną przesiekę prowadzącą prosto do zagrody. Wilmowski znajdował się więc pośrodku pomiędzy dwoma grupami wyznaczonymi do zastąpienia słoniom drogi i miał dać hasło do rozpoczęcia nagonki. Jego grupa miała również zabarykadować zagrodę natychmiast po wegnaniu do niej słoni.

W napięciu oczekiwano pory, w której słonie po najedzeniu się w lesie akacjowym powinny podążyć do wodopoju.

Zniecierpliwiony Tomek coraz to wyglądał na ścieżkę. Nic jednak nie mąciło ciszy lasu. Po jakimś czasie zaniepokojony odezwał się do Smugi:

— Co zrobimy, jeżeli słonie w ogóle nie nadejdą? Może spłoszyliśmy je budując tutaj zagrodę?

— Różnie może się zdarzyć, ale nie przypuszczam, żeby odkryły naszą obecność — odparł Smuga. — Zwierzęta te posiadają doskonale rozwinięty węch, słuch i dotyk, natomiast wzrok odgrywa u nich raczej drugorzędną rolę. Jeżeli nie zwęszyły nie znanego im zapachu ludzi, to i nie ma obawy, aby dostrzegły zbudowaną na uboczu zagrodę.

Rozumowanie okazało się nie pozbawione słuszności. Po pewnym czasie usłyszeli odgłos ciężkich stąpań. Niebawem też rozległ się trzask łamanych gałęzi i krótkie ostre trąbienie. Nadchodziły słonie.



Smuga ostrożnie wychylił głowę z gąszczu, lecz zaraz cofnął się i szepnął:

— Idą! Idą! Prowadzi je olbrzymia samica!

Ręką dał znak, aby wszyscy byli w pogotowiu. Murzyni przysunęli się do Smugi, trzymając w rękach wiązki suchej trawy i zapałki. Masajowie przygotowali karabiny do strzału.

Tomek niespokojnie wsłuchiwał się w płynące z głębi lasu odgłosy. Wiedział, że polowanie na słonie jest nadzwyczaj niebezpieczne. Na hasło Wilmowskiego grupa Smugi miała wyskoczyć na ścieżkę, by strzałami, krzykiem i ogniem zmusić olbrzymy do zawrócenia. Z kolei druga grupa powinna uczynić to samo, a wówczas zwierzęta znajdą się w potrzasku. Jeżeli osaczone i zdezorientowane słonie zboczą wtedy na sporządzoną przez łowców ścieżkę, to polowanie powinno się pomyślnie zakończyć. Gdyby zaś próbowały się przebić przez łańcuch nagonki, to nie ulegało wątpliwości, że stratują wszystko, co napotkają na swej drodze. Tomek bał się właśnie tego. Z podniecenia pot wystąpił mu na czoło i spływał kroplami po twarzy.

Słonie były coraz bliżej. Teraz już cały las rozbrzmiewał głuchym tętentem. Nagle zupełnie już blisko rozległo się krótkie trąbienie. Był to znak, że zwierzęta zwęszyły w lesie obecność obcych istot. Zaniepokojona przewodniczka słońi w ten sposób wyrażała swą obawę.

Smuga zmarszczył brwi. Spod oka spojrzał na Murzynów. Od ich postawy w decydującej chwili mogło wiele zależeć. Byli podnieceni. Na twarzach ich malowało się duże napięcie, nikt się jednak nie cofał i nie okazywał strachu. Z kolei Smuga spojrzał na Tomka.

— Nie odstępuj mnie ani na krok — ostrzegł szeptem. — Gdyby słonie próbowały szarżować, skoczmy w las i schronimy się w gąszczu.

Tomek kiwnął głową, nie odrywając wzroku od widocznej poprzez drzewa ścieżki. Zbliżał się rozstrzygający moment. Las huczał i dudnił, słonie znajdowały się w pobliżu zasadzki. Za chwilę miną ją, a wtedy Wilmowski powinien dać znak do rozpoczęcia łowów. Smuga pochylił się do skoku. Słonie minęły już odgałęzienie wiodące do zagrody. Łowcy poczuli bijący od nich ostry zapach. Teraz za późno było na rozpoczęcie polowania. Smuga cofał się wolno w las, polecając ludziom zachować milczenie.

Gdy słonie mijały ich kryjówkę, zrozumieli, dlaczego Wilmowski nie dał hasła do rozpoczęcia obławy. Stado liczyło około dwudziestu pięciu sztuk.

Takiej liczby w żadnym razie nie mogła pomieścić mała zagroda, a co gorsza zwierzęta, rozjuszony atakiem garstki ludzi, stratowałyby ich bez chwili wahania. Teraz łamiąc drzewa, depcząc krzewy i porykując, wolno minęły zasadzkę.

— Ależ to były olbrzymy! Wydaje mi się, że tutejsze słonie są wyższe od indyjskich — szepnął Tomek, gdy zwierzęta zniknęły w lesie.

— Słoń afrykański przewyższa indyjskiego wielkością i jest na ogół brzydszy, ponieważ ma krótszy korpus oraz wyższą budowę — potwierdził Smuga. — Zauważyłeś, że miały cienkie trąby, wielkie kły i olbrzymie uszy? Tym właśnie różnią się od indyjskich.

— Zwróciłem uwagę jedynie na wachlarzowate uszy. Ich kły przedstawiają zapewne dużą wartość?

— Muszę ci przede wszystkim wyjaśnić, że określane tak w mowie potocznej „*kły*” słonia są w rzeczywistości jego górnymi siekaczami. Handlarze chętnie je kupują. Z tego też powodu słonie tępione są bezlitośnie przez krajowców, którzy sprzedają kość słoniową białym handlarzom — tłumaczył Smuga. — Widziałem kiedyś w kraju Niam–Niam, jak kilkuset Murzynów otoczyło wielkie stado słoni w stepie porośniętym wysoką trawą z gatunku prosa. Bijąc w bębny i wrzeszcząc nacierali zewsząd z zapalonymi wiązkami suchej trawy. Gdy słonie zostały stłoczone w środku koła, krajowcy podpalili trawę. Biedne zwierzęta prażone ogniem i duszone dymem własnymi ciałami osłaniały swe małe, aż w końcu padły zabite żarem. Ogień spełnił straszliwe dzieło, bo Murzyni już tylko dobijali zwierzęta oszczepami, a potem wyrzynali kły.

Rozmowę przerwał im Matomba, który przypadł do Smugi i zawołał:

— Buana, słonie znów idą!

Po chwili usłyszeli szybki tętent. Smuga zorientował się natychmiast, że tym razem liczba zwierząt jest znacznie mniejsza. Zaraz też wysunął się z Murzynami aż na sam brzeg ścieżki. Słonic były już bardzo blisko. Kiedy minęły odgałęzienie, huknął strzał.

Smuga i Tomek wyskoczyli na ścieżkę. Za nimi całą gromadą wysypali się Murzyni. Zdumione zwierzęta przystanąły o jakieś i pięćdziesiąt kroków od łowców. Długie, białe kły zaśniły na tle ciemnoszarych cielsk. Rozległ się krótki ryk. Słonie ruszyły naprzód trąbiąc bez przerwy.

— Zapalcie trawę! — rozkazał Smuga postępując kilka kroków.

Murzyni podnieśli piekielny wrzask. Jednocześnie zapalili wiechcie suchej trawy. Przeżalone słonie napełniły las przenikliwym trąbieniem. Wrzask Murzynów, huk strzałów rewolwerowych i widok ognia skłoniły zwierzęta do ucieczki. Odwróciły się wolno i ruszyły w przeciwnym kierunku, ale niebawem wyrosła przed nimi nowa ruchoma zaporą. Zdezorientowane znów zawróciły.

Smuga zdążył już przybliżyć się nieco ze swoją rozkrzyczaną grupą do odgałęzienia ścieżki wiodącej do zagrody. Widząc, że słoń prowadzący stado mija w pędzie zasadzkę, krzyknął do Tomka:

— Strzelaj do przewodnika!

Jednocześnie pociągnęli za spusty. Olbrzymia samica zachwiała się na kłocowatych nogach. Przeżarliwe trąbienie urwało się na najwyższym tonie. Słoń pochylił się do przodu, po czym stęknąwszy głośno, zwałił się ukosem na ziemię. Potężne cielsko zablokowało niemal całą ścieżkę. Murzyni na ten widok wrzasnęli tak głośno, że pozostałe słonie zaczęły się cofać, trąbiąc przeżarliwie. Hunter i bosman przyparli je z drugiej strony, gdy akurat znalazły się na wprost zamaskowanej zagrody. Nieoczekiwanie ujrzały wygodną przesiekę pozornie wiodącą w głąb lasu. Duża samica, obok której dreptał przeżarty młody słoń, pierwsza zboczyła na cichą ścieżkę. Za nią pobiegła reszta słoni. Ścigał je piekielny wrzask ludzi i huk broni palnej. Zaledwie ostatnie zwierzę zniknęło w zagrodzie, drużyna Wilmowskiego zaczęła blokować grubymi balami wejście do pułapki. Wkrótce słonie zorientowały się w swym beznadziejnym położeniu. Dokądkolwiek się kierowały, napotykały nieustępliwą zaporę ciężkich kłoców. Szał gniewu ogarnął zwierzęta. Cielska o wadze ponad czterech ton uderzały w ogrodzenie. Na szczęście reszta łowców przybiegła Wilmowskiemu z pomocą. Wspólnymi siłami zamknęli wejście do zagrody i podparli je kłocami. Ogrodzenie drżało i trzeszczało pod potężnymi uderzeniami szalejących słoni. Łowcy zaczęli się obawiać, by rozgniewane zwierzęta nie rozniosły zagrody. Murzyni rozpoczęli więc znów piekielny koncert; huknęły strzały.

Schwytane zwierzęta miały się po zagrodzie, a Murzyni już ćwiartowali zabitego słonia. Większość z nich pod dowództwem bosmana i Huntera powróciła do obozu z potężnym zapasem świeżego mięsa. Reszta białych łowców z Santuru, Matombą i dwoma Masajami pozostała na straży przy

zagrodzie. Mieli oni zapobiec ewentualnemu oswobodzeniu niezwyklec wiewniów przez inne słońce udające się przez las do wodopoju.

Uplęnęło kilka denerwujących godzin, zanim słońce zrozumiały, że nie zdołają odzyskać wolności. Dopiero teraz Tomek mógł im się przyjrzeć bliżej. W tym celu wspiał się na wysokie ogrodzenie. Słońce przerażone krzykami, strzałami i ogniem skupiły się pośrodku zagrody. Pomiędzy pięcioma dorosłymi kryły się dwa młode, chowając głowy pod brzuchy matek. Tomkowi żal było zatrwożonych zwierząt, chociaż wiedział, że w tych okolicznościach jedynie strach, głód, pragnienie i bezsenność potrafią nakłonić je do posłuszeństwa. Należało poczekać, aż opadną z sił, a wtedy łowcy podając im pokarm i wodę będą je mogli powoli oswoić. Trwa to zazwyczaj dwa do trzech miesięcy. Olbrzymie i nadzwyczaj silne zwierzęta, jakimi są słońce, mogły być przewiezione do Europy tylko po oswojeniu, gdyż nie sposób transportować je w klatkach.

Wilmowski z Santuru podjęli się przygotowania słońi do dalekiej drogi. Było to trudne i niebezpieczne zadanie, wymagające stałej ich obecności przy zwierzętach. Z tego powodu zbudowano przy zagrodzie wygodne szałas, ponieważ oprócz Wilmowskiego i Santuru kilku Murzynów musiało zbierać pokarm dla słońi, a także nosić wodę, której każde zwierzę wypijało niemal szesnaście wiaderk dziennie.

W czasie gdy Wilmowski opiekował się słońiami, towarzysze jego mieli zapolować na żyrafy i nosorożce. Tomek szczególnie się do tych łowów palił. Podczas pobytu w Australii nabył dużej wprawy w urządzaniu pułapek na różne zwierzęta. Teraz postanowił samodzielnie przygotować ich kilka na nosorożce. Nie mniej ciekawie zapowiadało się dlań polowanie na żyrafy.

Pewnego dnia Smuga z Tomkiem wsiedli na wierzchowce, aby rozejrzeć się w terenie i w kilku najbliższych wioskach murzyńskich zwerbować większą liczbę mężczyzn do udziału w obławie na żyrafy. Towarzyszyło im pieszo paru Bugandczyków i Sambo. Ruszyli na północ, tam bowiem, według zapewnien krajowców, okolica była gęściej zamieszkała.

Na stepie napotykali jedynie stada zebr i antylop. Tomek często wydobywał lunetę, lecz nigdzie nie dostrzegął żyraf. Nie zrażał się niepowodzeniem, ponieważ wiedział, że w zaroślach mimozy żyrafy, dzięki ochronnej barwie swej sierści, nie są łatwe do wytropienia.

W pewnej chwili łowcy ujrzeni na północnym wschodzie wznoszący się z ziemi słup czarnego dymu.

— Step się pali! — krzyknął Tomek wstrzymując konia.

Smuga natychmiast wziął od niego lunetę. Długo obserwował potężniejącą kolumnę dymu.

— Nie wygląda mi to na żywiołowy pożar stepu. Ogień, mimo wiatru, nie rozszerza się dalej na boki.

— Buana, może to Murzyni palą step? Galia często tak robią — wtrącił Sambo.

— Po cóż Murzyni mieliby podpalać trawę na stepie? Pożar mógłby łatwo zniszczyć ich domostwa — powątpiewająco odezwał się Tomek.

— Niektórzy krajowcy, zwłaszcza ze szczepu Galia, umieją za pomocą ognia bez trudu i wysiłku karczować i jednocześnie użyźniać ziemię — wyjaśnił Smuga. — Czynią to przeważnie przed porą deszczową, gdy tropikalne słońce wypraży wybujale mocno trawy. Okopują wówczas duży szmat stepu szerokimi rowami, po czym czekają na dobry wiatr i podpalają suchy gąszcz. Prąd powietrza niesie płomień na tę całą powierzchnię aż do rowów, których ogień przejść już nie może. W ten sposób teren zostaje dokładnie wykarczowany, a użyźniona popiołem ziemia wspaniale rodzi.

— Może to i niezły sposób — przyznał Tomek. — Patrzcie, dym już opada.

— Tak, tak, to pożar wzniecony przez ludzi. Wobec tego i wioska musi się znajdować w pobliżu. Jedźmy w tamtym kierunku — powiedział Smuga.

Niebawem zobaczyli liczniejsze kępy drzew, a wśród nich stożkowate, słomą kryte chatki okolone żywopłotem z kaktusów. Był to kral, czyli murzyńska wioska. Znad brzegu rzeczki dochodziły charakterystyczne odgłosy uderzeń kijami o zdartą z drzew korę, z której krajowcy sporządzają tu odzież.

Rozległo się szczekanie psów. Tomek ujął na smycz Dinga jeżącego się na widok kundli murzyńskich. Gromada mieszkańców wyszła na spotkanie przybyszów. Po pewnej chwili ku zdziwieniu podróżników z gromady tej nieoczekiwanie wybiegło dwoje Murzynów i wołając radośnie do Samba, rzuciło mu się na szyję. Poczciwy Sambo zapłakał przy tym powitaniu. Wkrótce wyjaśniło się: młodzi — dziewczyna i mężczyzna — byli

rodzeństwem Samba; razem z nim zostali uprowadzeni przez handlarzy niewolników podczas napadu na ich rodzinną wioskę.

Na szczęście arabskie łodzie uwożące niewolników przychwycił na Jeziorze Wiktorii kapitan angielskiego parowca. Aresztował on niecných handlarzy i uwolnił brańców. Murzyni bali się powrócić w rodzinne strony, tam grasował przecież bezlitosny Castanedo. Wylądowali więc na zachodnim wybrzeżu jeziora, gdzie zostali gościnnie przygarnięci przez miejscowe plemię.

Tomek i Smuga uradowali się tym niezwykłym spotkaniem. Zaraz też przyrzekli Sambowi, że pomogą mu w założeniu własnego gospodarstwa, aby mógł się zaopiekować rodzeństwem.

Sambo wzruszony ich życzliwością kłaniał się w pas Tomkowi wołając:

— Och, ooo! Mały biały buana jest naprawdę potężnym czarownikiem! Uwolnił biednego Samba od złego handlarza ludzi i doprowadził do brata i siostry! Tylko wielki, wielki czarownik może tak zrobić!

Po takim oświadczeniu wszyscy Murzyni klaskali głośno w dłonie na powitanie „*potężnych*” gości. Smuga, wykorzystując przyjazne nastroje, oznajmił, iż szuka ludzi do obławy na żyrafy. Niemal wszyscy mężczyźni zgłosili swój udział, zapewniając łowców, że okolica obfituje w długoszyje zwierzęta o smacznym mięsie.

Przy akompaniamencie radosnych okrzyków łowcy wkroczyli do kralu. Tutaj podnieceni gospodarze wyjaśnili im, że jedna z młodych matek spodziewa się lada chwila przyjścia na świat pierwszego dziecka. Szczęśliwy przyszły ojciec zaprosił niecodziennych gości na uroczystość urodzin. Smuga nie mógł odmówić, ponieważ u niektórych plemion dzień urodzin dziecka jest ważnym świętem nie tylko dla matki, lecz dla wszystkich mieszkańców wioski. W obecnej chwili zainteresowanie Murzynów skupiało się wokół małej chatki, w której znajdowała się młoda matka. Należało więc poczekać, aż małeństwo przyjdzie na świat, by spokojnie ustalić warunki i dzień obławy.

Obydwaj biali łowcy ciekawie przyglądali się przygotowaniom do uroczystości. Prym wiodły tutaj kobiety. Jedne tłukły na mialki puder wysuszoną czerwoną glinę, inne przygotowywały oryginalne pieluchy i gąbki. Surowiec stanowiły liście i kwiaty bananowców. Kobiety młóciły duże liście tak długo, dopóki nie odpadły z nich wszystkie twarde i ostre cząstki. W końcu w liściu pozostawały tylko elastyczne włókna. W ten sposób liść

przeistaczał się w miękką i chłonną pieluszkę. Gąbki natomiast sporządzano z kwiatu bananowego, przypominającego wielką, ważącą kilka kilogramów szyszkę. Wyciągano rdzeń kwiatu. Murzynki ubijały go na miazgę, przykrywały liśćmi bananowymi i udeptywały. Gdy sok liści przesycił zmiażdżony rdzeń kwiecica, gąbka była już gotowa do użycia.

Sposób sporządzania pieluch i gąbek przypominał Tomkowi przygody rozbitka Robinsona Kruzoa, który był zdany jedynie na własną pomysłowość. Wchodził więc Tomek do chat murzyńskich, oglądał sprzęty, wypytywał o ich zastosowanie i ani się spostrzegł, gdy zapadł zmrok.

Nagle rozbrzmiał głos gongu zwołujący wszystkich mieszkańców wioski. Łowcy natychmiast udali się na plac poza kręgiem chat.

Na środku stały słupy z wysoko zawieszoną poprzeczką. Z tego poprzecznego drąga zwisała na rzemieniach kamienna płyta, w którą stara, siwa Murzynka, przybrana w skóry i pióra, zawzięcie uderzała dużą, drewnianą maczugą. Obok na ziemi leżały fetysze w postaci ulepionych z gliny lalek, przedstawiających kobietę i mężczyznę, a także skóry zwierzęce, pazury, wypchane ptaki oraz gliniane naczynia i rogi bydłce napelnione jakimiś płynami i maściami.

Na odgłos gongu pojawiła się gromada brunatnych dziewcząt. Tanecznym krokiem podbiegły do staruchy i wybijając rytm na bębnach rozpoczęły taniec. Stara Murzynka coraz szybciej uderzała w gong. Zmęczone dziewczęta przykucnęły dookoła rozpalonego ogniska i dalej biły w bębny. Dopiero teraz z małej glinianej chatki, stojącej na skraju placu, kobiety wyniosły na noszach młodą matkę. Wolno zbliżały się do ogniska. Na placu zaległa cisza.

— Życie, życie, życie! — zawołała położnica, a za nią okrzyk ten powtórzyły wszystkie tancerki.

Matkę uroczyście zaniesiono z powrotem do małej chatki, gdzie razem z dzieckiem miała pozostać przez długi czas. Przy wejściu poustawiano fetysze, aby odpędzały złe demony. Oczywiście Tomek nie omieszkał zajrzeć do chatki. Zdziwił się niepomiernie, gdy zamiast Murzyniątka ujrzał białego noworodka. Zaraz odciągnął na bok Smugę i zwierzył mu się ze swych podejrzeń.

— Oni na pewno porwali dziecko białej kobiecie! A może też zabili jego matkę?

Smuga roześmiał się i odparł:

— Uspokój się, Tomku. Chociaż wydaje się to dziwne, każde Murzyniátko przychodzi na świat białe. Jak wszystkie dzieci murzyńskie, i to maleństwo ściemnieje dopiero później<sup>147</sup>.

Tomek był tak zaskoczony tym odkryciem, że jeszcze raz wrócił do chatki przyjrzeć się dokładnie maleństwu, a ponieważ była to dziewczynka, pozostawił dla niej kilka sznurków szklanych koralii.

Nazajutrz łowcy omówili plan łowów na żyrafy. Murzyni zgodzili się wziąć udział w obławie w zamian za kilka żyraf, które Smuga obiecał dla nich zastrzelić. Termin rozpoczęcia polowania ustalono na rano za dwa dni.

Około południa Smuga i Tomek znajdowali się już w drodze powrotnej do obozu. Sambo nie chciał się rozstawać z podróżnikami aż do chwili zakończenia łowów. Biegł teraz razem z bratem obok jadącego na koniu Tomka i bez przerwy opowiadał o nadzwyczajnych czynach białych buanów.

W niewielkiej odległości od obozu łowcy napotkali dość rozległą kępę karłowatych mimoz o czerwonej korze. Niespokojne zachowanie Dinga skłoniło ich do zagłębienia w gąszcz. Pozostawili wierzchowce pod opieką Murzynów, a sami zagłębili się w mimozowy gaj. Dingo strzygł uszami i węsząc przy ziemi doprowadził ich do legowiska jakichś zwierząt. Mimozy, gęsto rosnące dookoła, były tak równo obgryzione, że zdawały się tworzyć żywopłot obcięty nożycami przez ogrodnika. Pod drzewkami leżało dużo zwierzęcego gnoju. Smuga zaledwie rzucił wzrokiem na legowisko, natychmiast uwiązał Dinga na smyczy i ruchem ręki nakazał chłopcu milczenie. Ostrożnie wycofali się w step. Teraz dopiero odezwał się do Tomka:

— Czy domyślasz się już, jakich zwierząt legowiska znajdują się w gąszczu mimoz?

— Nie, proszę pana, chociaż sądząc po śladach pozostawionych na ścieżkach muszą to być duże zwierzęta — odparł Tomek.

— To legowiska nosorożców. Tylko one objadają mimozy w ten sposób, że drzewka tworzą później jakby żywopłot. Nosorożce mają szczególnie

---

<sup>147</sup> — Barwa skóry człowieka zależy między innymi od ilości i jakości barwnika (pigmentu) zawartego w skórze. Murzyn posiada w swej skórze bez porównania więcej pigmentu niż Europejczyk. Pigment Murzyna ma więcej ziarenek bardzo ciemnych. Natomiast noworodki mają jeszcze tak mało pigmentu, iż nawet noworodki murzyńskie są barwy różowej, niewiele ciemniejszej od naszych nowo narodzonych dzieci.



upodobanie do karłowatych mimoz o czerwonej korze. Musimy sporządzić tu kilka odpowiednich pułapek.

— W jaki sposób przygotowuje się pułapki na nosorożce? — zapytał Tomek.

— Siadajmy na konie, opowiem ci o tym po drodze.

Gdy wierzchowce ruszyły stępa, Smuga odezwał się:

— Nosorożce zazwyczaj przez dłuższy czas przebywają w jednym legowisku. Na wydeptanych przez nie ścieżkach lub też pod drzewem, pod którym zwykły odpoczywać, wykopuje się okrągłą jamę. Następnie umocowuje się w dole obręcz ściśle przystającą do brzegów, sporządzoną ze sprężystego drewna. W obręczy tej jak szprychy u koła zamocowane są ostre kolce wystrugane z drewna, zbiegające się w środku. Z kolei na obręcz należy położyć grubą rzemienną pętlę, której wolny koniec uwiązuje się do wielkiego, ciężkiego kłoca wkopanego poziomo w ziemię. Pułapkę z obręczą, jak i kloc należy starannie zasypać ziemią, a powierzchnię wygładzić gałęzią, aby nosorożce nie zwierzyły ludzi. Potem dobrze jest na pułapkę narzucić trochę gnoju. Jeżeli nosorożec nie odkryje zasadzki, wtedy wcześniej czy później następuje na obręcz i zapada nogą w dół. Gdy usiłuje wyciągnąć nogę, pętla zadzierzga się na niej i nie może się zsunąć, ponieważ kolce obręczy wbijają się w skórę i utrzymują sznur na nodze. Oczywiście zwierzę rzuca się jak oszalałe, wyrywa kloc z jamy i ciągnie go za sobą. Wkrótce jednak pada zmęczone, gdyż wielki kloc zahacza o krzaki i drzewa. Wtedy już łatwo je uwięzić.

— Czy zastawimy tutaj pułapki? — zapytał Tomek.

— Zajmiemy się nosorożcami natychmiast po zakończeniu łowów na żyrafy. Obręcze będą sporządzone na czas. Rozmawiałem już o tym z Matombą.

— Teraz rozumiem, co on tak zawzięcie strugał z drewna, gdy opuszczaliśmy obóz!

— Jak widzisz, nie zasypiam gruszek w popiele — roześmiał się Smuga.

Tomek wtórował mu, i on przecież od dawna miał już własne plany, z którymi się przed nikim nie zdradzał.

Niebawem łowcy przybyli do obozu. Smuga i bosman wyprawili się wkrótce do Wilmowskiego, który przebywał w lesie przy zagrodzie słoni.

Hunter, przyzwyczajony do samodzielności Tomka, nie zwracał na niego uwagi. Tymczasem chłopiec, nie spodziewając się rychłego powrotu obu przyjaciół, wtajemniczył w swe zamiary Samba i jego brata. Po krótkiej naradzie postanowili sprawić wszystkim niespodziankę zastawiając natychmiast pułapki na nosorożce. Tomek sprytnie zabrał się do rzeczy. Matomba miał już przygotowane cztery obręcze. Tomek wziął dwie z nich i ofiarował Murzynowi blaszany kubek składany, aby nikomu o tym nie mówił.

Wkrótce dwaj młodzi Murzyni wynieśli ukradkiem w krzewy łopatę i pęk grubych rzemieni. Tomek cichaczem wymknął się z obozu na step, gdzie dwaj druhowie oczekiwali już na niego z przyborami łowieckimi. Nikt też nawet nie spostrzegł, kiedy trójka młodzieńców powróciła do obozu.

Następnego dnia Tomek nie miał sposobności zaglądnąć do mimozowego gaju, aby sprawdzić pułapki. Smuga zaraz po powrocie z zagrody słoni zabrał się do organizowania obławy na żyrafy, w której razem z Tomkiem miał odegrać główną rolę. Sprawdzone lassa, sporządzono duże, drewniane klatki, a w wirze nowych zajęć chłopiec nie spieszył się do samotnej wyprawy. Uważał, że jeżeli nawet jakiś nosorożec wpadł w pułapkę, to kłoc i tak udaremni mu ucieczkę. Im zwierzę bardziej się zmęczy, tym łatwiej będzie je potem schwytać. Rankiem w dniu wyznaczonym na obławę Smuga polecił rozpalić na wzniesieniu ogień z wilgotnego drewna. Słup ciemnego dymu uniósł się do góry. Wkrótce w dali na północy ukazała się również czarna smużka. Był to znak, że Murzyni zgodnie z umową ruszyli ławą przez step. Mieli posuwać się na południe i biciem w bębny płoszyć zwierzynę. Tymczasem łowcy ukryci w drzewach nie opodal obozu powinni zastąpić drogę ściganym zwierzętom. Należało się spodziewać, że będą uciekały przed hałasującymi Murzynami na południe, a wtedy łatwo mogła się nadarzyć okazja do schwywania na lasso kilku żyraf. Oczywiście Smuga zabrał na łowy niemal wszystkich tragarzy, którzy pod dowództwem bosmana i Huntera mieli od południa zamknąć drogę żyrafom i w ten sposób skierować je wprost na stanowisko, gdzie czyhali ukryci jeźdźcy. Nagonka z wolna przeczesywała step. W dali przemykały wystraszone antylopy i pasiaste zebry. Wkrótce Tomek wypatrzył przez lunetę cwałującego afrykańskiego bawołu, a za nim szybko umykające antylopy. W tej chwili z miejsca, w którym przyczajeni byli bosman, Hunter i Bugandczycy, huknęły strzały.

— Przygotuj się, Tomku! Prawdopodobnie zaraz ujrzymy żyrafy — powiedział Smuga. — Słyszysz, jak głośno krzyczą nasi tragarze? Ruszyli ławą z południa, żeby napędzić na nas zwierzynę.

Tomek nie odrywał lunety od oka. Tymczasem wrzask nagonki przybliżał się i potężniał.

— Ho, ho! Ile różnych antylop pędzi w naszym kierunku — zawołał Tomek. — Uciekają razem z zebami...

Znów rozległy się strzały.

— Czy nie widzisz żyraf? — zaniepokoił się Smuga.

— Zaraz, zaraz... Są, są i żyrafy! Ależ galopują! Ich długie szyje śmiesznie się kołyszają. Zupełnie jak wahadła zegarowe!

— Czy biegną prosto na nas? — zapytał Smuga.

W pobliżu odezwały się karabiny. Tomek poczerwieniał z gniewu i wykrzyknął:

— Zabili największą żyrafę!

— Pozwól mi lunetę — powiedział Smuga.

Przez chwilę spoglądał na step, po czym wskoczył na wierzchowca.

— Na koń! Żyrafy pędzą prosto na nas. To zapewne Hunter zabił przodownika stada, i słusznie uczynił, bo najlepiej nadają się do chwytania młode okazy. Przygotuj lasso!

Tomek nie dał sobie dwa razy powtarzać rozkazu. Dosiadł konia.

— Spójrz, jak łatwe będziemy mieli zadanie! Kundle murzyńskie osaczają stado!

Gromada psów opadła żyrafy, które kopnięciami racic usiłowały się przed nimi bronić. Obydwaj jeźdźcy uderzyli konie arkanami. Zaledwie żyrafy dojrzały nowego wroga, rozbiegły się po stepie nie zważając na gwałtownie ujadające kundle. Tomek spostrzegł młodą żyrafę ściganą przez dwa psy. Zaraz ruszył w jej kierunku. Zmyślne kundle przeszkadzały żyrafie w ucieczce, toteż Tomek z łatwością zbliżył się do niej na kilka metrów. Uniósł lasso ponad głowę i wziął szeroki rozmach. Arkan świsnął w powietrzu. Pętla opadła na szyję zwierzęcia. Żyrafa zaczęła się miotać na wszystkie strony. Tomek okręcił arkan naokoło kulbaki i osadził wierzchowca na miejscu. Pętla zacisnęła się na szyi żyrafy, która upadła na przednie kolana. Kilku Bugandczyków pędem zbliżyło się do Tomka wywijając sznurami.

Po chwili zarzucili na długą szyję zwierzęcia jeszcze kilka pętli. Żyrafa była uwięziona. Zdradliwe sznury zmuszały ją do posłuchu.

Tomek pozostawił wystraszone zwierzę pod opieką Murzynów. Pomógł Smudze schwytać jeszcze jedną żyrafę osaczoną przez Dinga i kundle. Był to koniec polowania. Cztery młode okazy wzięto żywcem, a pięć zastrzelono. Oprócz żyraf Hunter i bosman zabili kilka antylop i zebr. Wśród radosnych okrzyków Murzyni prowadzili żyrafy na arkanach do obozu, podczas gdy inni łowcy zajęli się ubitą zwierzyną.

Tomek wysforował się na koniu nieco przed towarzyszy. Dingo biegł obok niego. Chłopiec był przekonany, że pies czuje jeszcze zapach dzikiej zwierzyny, która uciekła przed nagonką w step, i nie zwracał uwagi na czworonożnego druha.

Zadowolony z pomyślnego przebiegu łowów mijał właśnie dużą kępę zarośli mimozy. Naraz rozległ się przenikliwy pisk. Olbrzymi nosorożec z łomotem wypadł z gąszczu. Rozwścieczona bestia gnała prosto na konia. Tomek natychmiast szarpnął cuglami, lecz przestraszony gwałtownym atakiem koń zaparł się czterema nogami w ziemię. Rozległ się krzyk przerażonych mężczyzn. Nim Tomek zdołał unieść sztucer do strzału, potężny łeb nosorożca zniknął pod koniem. Wierzchowiec i jeździec zostali wyrzuceni w górę. Wylatując z siodła chłopiec zdołał wydobyć jedynie prawą stopę ze strzemięcia. Gwałtowne szarpnięcie za lewą nogę rzuciło go na ziemię. Wierzchowiec z rozdartym przez nosorożca brzuchem zwałił się na niego. Okropny ból przywrócił Tomkowi na krótką chwilę przytomność. Chciał zawołać o pomoc, lecz krwotok stłumił okrzyk. Zdawało mu się, że spada w bezdenną przepaść. Potem ogarnęła go cisza i ciemność.

Tomek nie wiedział już, co się działo po nieoczekiwanym ataku nosorożca. Rozjuszona bestia przetoczyła się jak huragan przez konia rozpruwając mu rogiem brzuch, przebiegła kilkanaście metrów i znów zawróciła ku swym ofiarom. Wierny Dingo skoczył na potworny łeb, lecz wyleciał w powietrze jak piłka. Z rozoranym bokiem rzucił się znów na zwierzę i atakując gwałtownie usiłował odciągnąć potwora od swego pana. Hunter znajdował się najbliżej chłopca. Bez chwili namysłu zabiegł drogę nosorożcowi, który odtrąciwszy Dinga szarżował ponownie na drgającego w agonii wierzchowca i leżącego pod nim Tomka. Hunter podniósł karabin do ramienia; gdy cielsko rozhukanego nosorożca znajdowało się od niego

zaledwie o jakieś pięć metrów, pewnie nacisnął spust. Zwierzę upadło grzebiąc ziemię nogami.

Bosman i Smuga przybiegli, gdy było już po wszystkim. Razem z Hunterem unieśli konia i ostrożnie wydobyli Tomka.

— Jezus, Maria! — jęknął marynarz ujrawszy przyjaciela zalanego krwią.

Smuga pochylił się nad Tomkiem. Wyjął z kieszeni lusterko i chciał je przytknąć do ust chłopca, lecz ręce drżały mu jak w febrze. Widząc to, Hunter wziął od niego lusterko i przysunął do twarzy Tomka. Po dłuższej chwili błyszcząca powierzchnia zmatowiała.

— Oddycha, więc jeszcze żyje! Trzeba natychmiast przenieść go do obozu i powiadomić ojca. Przygotujcie nosze — rozkazał Hunter wzruszonym głosem.

Bosman Nowicki zagryzł usta. Czerwone krople załśniły na jego wargach. Nie mówiąc ani słowa odsunął Huntera i przyklęknął przy Tomku, po czym z największą ostrożnością wziął go na ręce.

Marynarz wolno szedł w kierunku obozowiska. Od czasu do czasu poruszał wargami, jakby odmawiał modlitwę, a po jego pełnej bólu twarzy płynęły łzy.



## ZAKOŃCZENIE

Mały parowiec wolno płynął ku wschodowi wzdłuż północnych wybrzeży Jeziora Wiktorii. Na skąpanym w słońcu pokładzie pod płóciennym palankinem spoczywał na leżaku Tomek Wilmowski. Obok niego siedział bosman Nowicki pykając krótką fajkę. Tomek wydobył z podręcznej torby blok listowy, oparł go na kolanach i zaczął pisać. Bosman uśmiechnął się domyślnie. Pochylił się ku Tomkowi. W miarę jak chłopiec pisał, czytał zdanie po zdaniu:

*„Jezioro Wiktorii, styczeń 1904 roku.  
Droga Sally!*

*Przeszło cztery miesiące upłynęło od czasu, gdy wysłałem do Ciebie ostatni list. Obiecałem wtedy napisać następny po zakończeniu łowów na goryle i okapi. Nie przypuszczaliśmy wówczas, że cała wyprawa potrwa tak długo. Chociaż przytrafiło się nam wiele nieprzewidzianych wypadków, całe łowy zakończyliśmy nadzwyczaj pomyślnie. Obecnie płyniemy po Jeziorze Wiktorii parowcem, który opuścimy w Kisumu. Stamtąd pojedziemy koleją do Mombasy, gdzie ma już oczekiwać na nas „Aligator”, statek pana Hagenbecka, przystosowany do przewozu dzikich zwierząt.*

*Ciekawi Cię zapewne, jakie schwytaliśmy okazy. Otóż mamy pięć słoni. Wprawdzie złowiliśmy siedem, lecz tatuś wypuścił dwa z nich do lasu, ponieważ nadzwyczaj trudno było je oswoić. Dalej wieziemy cztery młode żyrafy, jednego starego i jednego młodego nosorożca, których zdobycia omal nie przyplącałem życiem. O tym jednak wspomnę później. Mamy również trzy lwy, dziką świnię, dwa lamparty, trzy goryle (samca, samicę i małe rozkoszne gorylątko), jednego okapi, kilka szympansów, koczkodany i inne jeszcze gatunki małp. Ponadto otrzymałem dwa młode hipopotamy od kabaki, tj. króla Bugandy.*

*Jak widzisz, parowiec, którym obecnie płyniemy, przypomina biblijną arkę Noego. Jeżeli tylko uda nam się dowieźć pomyślnie wszystkie zwierzęta do Europy, będziemy prawdziwymi krezusami. Na prośbę tatusia, pan Hunter, nasz przewodnik i tropiciel, zgodził się towarzyszyć nam aż do Hamburga. Stało się to konieczne ze względu na mój wypadek podczas polowania na*

żyrafy. Zwierząt należy troskliwie doglądać, a tymczasem od trzech miesięcy jestem tylko ciężarem dla zapracowanych towarzyszy.

Muszę Ci teraz opisać, jak to się stało. Otóż chciałem, w tajemnicy przed wszystkimi, samodzielnie schwytać nosorożca. Nie mówiąc nic nikomu zastawiłem dwie pułapki. Przypadek zrządził, że w legowisku przebywała cała rodzina nosorożców składająca się z samca, samicy i młodego. Samiec i mały nosorożec zostały unieruchomione w pułapkach, a tymczasem samica, nie mogąc ich oswobodzić, wpadła w prawdziwy szał. Gdy wracaliśmy z polowania na żyrafy, wyskoczyła niespodziewanie z gąszczu. Koń przestraszył się, zaparł się nogami w ziemię i padł przebity wielkim rogiem nosorożca przygniatając mnie jednocześnie. Wierny Dingo rzucił się na rozjuszoną bestię, by odwrócić jej uwagę. Nosorożec ranił pocziwca i byłby mnie stratował na śmierć, gdyby nie pan Hunter, który zastąpił mu drogę i położył go celnym strzałem.

Długo ważyły się moje losy. Jak twierdzi kochany bosman Nowicki „śmierć ciągnęła mnie za jedną nogawkę spodni, a oni za drugą”. Dopiero po czterech tygodniach poczułem się lepiej. Oczywiście nie było już mowy, abym brał udział w łowach bądź doglądał zwierząt. Jeszcze i teraz nie wolno mi się zbyt męczyć, toteż większość czasu spędzam na leżaku.

Pocziwy Dingo również został otoczony troskliwą opieką. Już po tygodniu zapomniał o wypadku i brał dalej udział w łowach. Ojciec mój wynajął angielski parowiec kursujący po Jeziorze Wiktorii. Dzięki temu uniknęliśmy długiego i męczącego transportowania zwierząt lądem, a jednocześnie umożliwia mi to tak pożądaną obecnie wypoczynek.

Nie sposób opisać wszystkich naszych przygód w Afryce. Jest to kraj prawdziwych kontrastów. Obok olbrzymów Watussi mieszkają tu najniżsi ludzie świata. W dżungli Konga żyją ludzie–lamparty, których okrucieństwa wyludniają całe okolice. Gdy opowiem Ci o nich w sposobnej chwili, z trudem będziesz mogła uwierzyć w tę nieprawdopodobną historię. Nawet małe mrówki toczą tu regularne wojny z termitami. Przyroda płata figle. Pocisz się straszliwie w stepie w okolicy równika i spoglądasz jednocześnie na górę pokrytą wiecznym śniegiem i lodowcami. Co krok to inna niespodzianka!

Opowiem Ci wiele po powrocie do Londynu. Wyprawa nasza bowiem napotykana najrozmaitsze trudności i niebezpieczeństwa. Z takimi jednak towarzyszami, jak bosman Nowicki, pan Smuga, pan Hunter i tatuś, można



*zwalczyć wszystkie przeszkody. Wiele bym dał, aby być równie dzielnym i odważnym jak Oni!*

*Nie chciałem pisać o pewnym wydarzeniu, lecz bosman Nowicki, który zagląda mi przez ramię i odczytuje ten list, domaga się, abym wspomniał chociaż, że stoczyłem prawdziwą bitwę z ludźmi–lampartami. Niestety, wbrew mej woli zostałem zmuszony do walki z ludźmi. Jedyłą dla mnie pociechą jest fakt, iż byli to fanatyczni mordercy.*

*Rozpisałem się i mógłbym teraz pisać bez końca o naszych najrozmaitszych nieprawdopodobnych przygodach przeżytych podczas afrykańskiej wyprawy. Chciałbym się dowiedzieć, kiedy przyjedziesz do Anglii?*

*Muszę się przyznać, że obecnie, gdy muszę wypoczywać po niebezpiecznych przejściach, bardzo często powracam myślą do naszego pobytu w Australii. Stale przypominam sobie dni spędzone w domu Twoich Rodziców, którzy byli dla mnie tacy dobrzy i serdeczni. Trochę nawet tęsknię. Tak bardzo chciałbym znowu zobaczyć się z Tobą! Napisz mi więc wszystko o sobie i Twoich Rodzicach, dla których załączam moc serdecznych pozdrowień od nas wszystkich, a od Pana Bosmana w szczególności.*

*Czekam, naprawdę niecierpliwie czekam na Twój długi list.*

*Tomasz Wilmowski*

*P. S. Twój i mój kochany Dingo także niecierpliwie na Ciebie czeka.*

*Tomek.*



# TOMEK NA WOJENNEJ ŚCIEŻCE



## NIEOCZEKIWANY NAPAD

Ognisto–krwisty mustang drugimi susami pędził przez rozległą prerie. Jeździec siedzący na nim pochylił się nisko do przodu, aby obszernym rondem wyszywanego srebrem sombrera osłonić twarz przed smagnięciami wiatru. Półdziki szlachetny rumak z nieokiełznaną pasją przeskakiwał pojawiające się na jego drodze kolczaste kaktusy, zręcznie omijał wykroty i gnał przed siebie, brzuchem po purpurowej szalwi porastającej szeroką równinę wiatru upajał jeźdźca i wierzchowca.. Długo mknął wlokąc za sobą po stepie wydłużony cień.

Zaraz człowiek uniósł głowę. Wydał okrzyk radości, a następnie ostro ściągnął cugle wierzchowca. Musiał posiadać niezwykłą zręczność i siłę, gdyż osadzony na miejscu mustang czterema kopytami zarył się w ziemię. Przez krótką chwilę okazywał niezadowolenie; przysiadł na zadzie, stawał dęba, lecz wprawne dłonie jeźdźca szybko zmusiły go do posłuszeństwa.

Młody człowiek lewą ręką zsunął do tyłu filcowy kapelusz o szerokich kresach, który opadł mu na plecy, zawisając na rzemieniu przełożonym pod brodą. W ogorzałej od słońca twarzy błysnęły wesole, jasne oczy. Teraz z większym prawdopodobieństwem można było ocenić jego wiek. Mógł mieć około szesnastu lub siedemnastu lat, chociaż z postawy wyglądał na dziewiętnaście. Wrażenie to wywoływały jego szerokie bary, wysoki wzrost oraz wyrobione mięśnie, uwydatniające się pod obcisłą, barwną koszulą flanelową.

Jeździec uspokoił rumaka, po czym z uwagą spojrział przed siebie na południe, gdzie wśród grupy poszarpanych skal wystrzelała ku niebu dość wysoka góra — cel jego porannej wycieczki. Wznosiła się na samym pograniczu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i Meksyku. Z jej właśnie szczytu zamierzał przyjrzeć się bliżej meksykańskiej ziemi, której północne rubieże, ze względu na częste napady rabunkowe i utarczki zbrojne, zwano „*wiecznie płonąca granicą*”.

Z miejsca, w którym zatrzymał się jeździec, można było dokładnie odróżnić linie załomów na stokach góry. Wyraziście też rysowały się potężne kaktusy, pokaźniejsze krzewy szalwi oraz głązy zalegające sam wierzchołek.

Mimo to chłopiec nie dał się zwieść wzrokowemu zbudzeniu, któremu łatwo ulec przy ocenianiu odległości w nadzwyczaj przejrzystym powietrzu stepowym. Góra oddalona była od niego jeszcze o trzy lub cztery kilometry, postanowił więc zwolnić tempo jazdy, aby zachować siły rumaka na drogę powrotną. Lekko dotknął szyi mustanga, pół-dziki wierzchowiec posłusznie ruszył stępa.

Chłopiec bacznie rozglądał się po okolicy. Bliskość Meksyku budziła w nim niezwykłą ostrożność. Nie mógł lekceważyć słów doświadczonego szeryfa Alana, wyraźnie ostrzegającego, iż na pograniczu stale należy mieć się na baczności. Chociaż pomiędzy obydwojma państwami już od wielu lat panowały pokojowe stosunki, zbrojne oddziały, złożone z Meksykanów i Indian meksykańskich, często przemykały się na stronę amerykańską w celu zagarnięcia stada bydła lub owiec, a czasem wzięcia do niewoli dzieci, które potem przymusowo zatrudniano na ranczo. Te lokalne najazdy niespokojnych sąsiadów pobudzały Amerykanów i Indian przebywających w nadgranicznych rezerwatach<sup>148</sup> do odwetu, a nieraz nawet do zaczepnych kroków. Trwała tu więc ustawiczna walka podjazdowa, w której nie brak było krwawych ofiar.

Młody Polak, Tomek Wilmowski — on to bowiem był owym samotnym jeźdźcem — nie lękał się niebezpieczeństw. Nie lubił jednak lekkomyślnie narażać się na nie, ponieważ doświadczenie nabyte podczas włóczęgi po świecie uczyniło go roztropnym i rozważnym.

---

<sup>148</sup> — Rezerwaty — terytoria wydzielane przez europejskich kolonizatorów krajowcom w Ameryce Północnej i Południowej, w Afryce i Australii. W Stanach Zjednoczonych proces wypierania Indian z terenów wschodnich, najbardziej urodzajnych, zapoczątkowany został na przełomie XVIII i XIX w. Prezydent Jefferson postulował usunięcie wszystkich Indian z terenów na wschód od Missisipi, a jego następcy prowadzili podobną politykę. W 1763 r. Kongres zatwierdził wreszcie utworzenie Indiańskiego Kraju (Indian Territory), obejmującego tereny dzisiejszych stanów Oklahoma, Kansas, Nebraska, Dakota Północna i Południowa. Na mocy tej ustawy obszary na zachód od Missisipi miały być oddane na wieki pięciu tzw. cywilizowanym narodom; Czikasawom, Czirokezom, Kri, Seminolom i Czoktawcom. Przymusowe przenoszenie Indian pół-osiadłych, rolniczych na obszary często wrogich im plemion koczowniczo-myśliwskich powodowało ostre walki między plemienne i przyniosło wiele ofiar. W Traverse des Sioux w 1851 r. wymuszono na Saniee Dakotach zrzeczenie się części ziem. W tym samym czasie w Forcie La Ramie plemiona Równin Wewnętrznych pod naciskiem rządu przyrzekły nie napadać na emigrantów na Szlaku Oregoniskim i uznały prawo rządu do budowania dróg i fortów wzdłuż Szlaku w Indiańskim Kraju. Po tym złamaniu zasady nienaruszalności Kraju szybko następowały dalsze ograniczenia popierane użyciem siły. Coraz mniej ziemi zostawiano Indianom, aż w 1907 r. wszystkie plemiona osadzono w rezerwatach.

Tomek zaledwie od tygodnia przebywał w Nowym Meksyku<sup>149</sup> tutaj, według zapewnień ojca, powinien całkowicie odzyskać siły, nadwątlone po stratowaniu przez rozjuszonego nosorożca afrykańskiego podczas ostatniej wyprawy łowieckiej w Ugandzie<sup>150</sup>. Kilkumiesięczny wypoczynek w Anglii pozwolił mu już zapomnieć o ciężkiej chorobie i gdy nadarzyła się okazja do wyjazdu na daleki Dzikie Zachód<sup>151</sup>, skwapliwie przyjął propozycje ojca.

Miał ku temu dwa powody. Po pierwsze, poznana wcześniej w niezwykłych okolicznościach w Australii młodsza od niego Sally, udając się obecnie do szkoły w Anglii, zatrzymała się po drodze na dłuższy wypoczynek u swego stryjka zamieszkałego w Nowym Meksyku. Tomek miał spędzić z nią wakacje w nadzwyczaj zdrowych warunkach klimatycznych, a potem wspólnie odbyć powrotną drogę do Anglii. Po drugie — Tomek, jego ojciec oraz ich dwaj przyjaciele, Smuga i bosman Nowicki, wciąż trudnili się łowieniem dzikich zwierząt dla wielkiego przedsiębiorstwa Hagenbecka, dostarczającego do ogrodów zoologicznych i cyrków różne okazy fauny świata. Hagenbeck cenił odważnych Polaków, ponieważ zawsze bez wahania podejmowali się trudnych zadań. Kiedy dowiedział się, że Wilmowski ma zamiar wyprawić swego przedsiębiorczego syna w podróż do Stanów Zjednoczonych, postanowił powierzyć mu pewną misję. Zaproponował Tomkowi, aby zwerbował tam trupę Indian, którzy za odpowiednim wynagrodzeniem zgodziliby się brać udział w przedstawieniach cyrkowych. Wszak Indianie byli powszechnie znani ze wspaniałej tresury mustangów i brawurowej jazdy. Oryginalny obóz indiański, przeniesiony w całości do Europy, na pewno wzbudziłby duże zainteresowanie. Przecież jeszcze pamiętano heroiczne walki czerwonoskórych wojowników z lat 1869–1892, toczących do ostatka zaciekły bój o utrzymanie swojej wolności Nazwiska

---

<sup>149</sup> — Nowy Meksyk — kraina Indian. Ziemia odkryta w 1539 r. przez Marcowa de Niza i badana przez ekspedycję Coronada. Po 1821 r. Nowy Meksyk stał się prowincją niepodległego Meksyku. Na mocy traktatu Guadalupe Hidalgo z 1848 r., kończącego wojnę Meksyku ze Stanami Zjednoczonymi, prowincja ta została włączona do USA jako terytorium obejmujące Arizone i część Kolorado, i 1912 r. terytorium Nowy Meksyk wstąpiło jako stan do Unii Stanów Zjednoczonych. Podczas pobytu Tomka na pograniczu amerykańsko-meksykańskim jeszcze trwały niepokoje i wzajemne napady.

<sup>150</sup> — Przygody Tomka podczas poprzednich wypraw opisane zostały w powieściach. Tomek w krainie kangurów i Tomek na Czarnym Łądzie.

<sup>151</sup> — Daleki Dzikie Zachód (Far Wild West) — nazwa terytoriów znajdujących się w zachodniej części Stanów Zjednoczonych A. P., pochodząca z okresu, kiedy ziemie te przeważnie zamieszkiwali wojowniczy Indianie.

nieustraszonych wodzów, jak: Siedzący Byk, Czerwona Chmura. Cochise i Geronimo<sup>152</sup> stały się symbolem bohaterstwa Indian.

Tomek Wilmowski udając się na tak długo oczekiwane spotkanie ze swoją młodą przyjaciółką, z radością przyjął propozycje Hagenbecka. Wszak w ten sposób mógł osobiście poznać dzielnych Indian, dla których zawsze odczuwał duży szacunek. Oczywiście ojciec Tomka obawiał się wysłać zbyt nieraz porywczego syna na samodzielną długą wyprawę, toteż jako opiekun wyruszył z nim jego najserdeczniejszy druh, bosman Nowicki.

Dwaj przyjaciele od tygodnia przebywali w gościnie u stryja Sally, szeryfa Allana, Tomkowi nigdy nie ciążyła opieka dobrodusznego marynarza. Obaj byli niespokojnymi duchami i obaj przepadali za przygodami. W dodatku olbrzymi bosman od chwili przybycia na ranczo Allana spędzał większość czasu w towarzystwie ładnej i przemiętej Sally, zważając, aby nie stała się jej jakakolwiek krzywda. Dingo, wierny pies Tomka, również przypominał sobie widocznie, że to właśnie mała Australijka była jego pierwszą panią, gdyż nie odstępował jej na krok. Tomek korzystał więc z całkowitej swobody. Już w pierwszych dniach rozpoczął samotne wypady konne, aby dokładnie poznać okolice oraz nawiązać przyjazne stosunki z Indianami mieszkającymi w pobliskich rezerwatach.

Obecnie w doskonałym humorze zbliżał się do celu porannej wycieczki. Cieszył się, że wkrótce ujrzy meksykańską ziemię, znaną mu już trochę z książek polskiego podróżnika Emila Dunikowskiego<sup>153</sup>, który odbywał wyprawy badawcze do Stanów Zjednoczonych oraz Meksyku. a potem szczegółowo opisywał swe spostrzeżenia i przygody.

Samotna góra stawała się obecnie z każdą chwilą wyższa, coraz szerzej przełamała horyzont zasnuty liliową mgiełką. Wkrótce Tomek znalazł się tuż u jej stóp, Z łatwością odszukał wąską ścieżkę wiodącą na szczyt. Bez chwili

---

<sup>152</sup> — Siedzący Byk (Silling Bull) i Czerwona Chmura (Red Cloud) byli wodzami szczepu Siuksów (Sioux); natomiast Cochise i Geronimo przewodzili szczepom Apaczów (Apache)

<sup>153</sup> — Dr Emil Dunikowski, profesor lwowskiego uniwersytetu, przy końcu XIX w. przedsięwziął naukowe podróże do Stanów Zjednoczonych i Meksyku. Przewędrował Siany Zjednoczone ze wschodu na zachód; przebywał w Górach Skalistych, Nowym Meksyku i Arizonie. Przeżywał niezwykle przygody wśród Indian i poszukiwaczy złota, a gdzie tylko zetknął się z polskimi emigrantami, wiek opowiadał im o odległej Ojczyźnie. Razem z Polakiem Witoldem Szyszłą zapuścił się daleko na trzęsawiska Florydy zamieszkane przez Indian Seininólów. Dunikowski przemierzył Meksyk wszerz i wzdłuż, czyniąc wszędzie ciekawe spostrzeżenia. Później napisał szereg interesujących książek. a między innymi: *Meksyk i szkice z podróży po Amerycei Od Atlantyku poza Góry Skaliste*



wahania skierował na nią wierzchowcu, lecz za ledwie rzucił okiem na ziemię, natychmiast ściągnął cugle. Lekko zeskoczył z siodła. Nie wypuszczając z dłoni arkanu przywiązanego do uzdy konia, pochylił się nad spostrzeżonymi przed chwilą śladami, wyciśniętymi na żwirowatej ścieżce.

Ho, ho! Ktoś już dzisiaj jechał tędy przede mną! Mógłbym się nawet założyć, że to Indianin — rozmyślał — Tylko czerwonoskórzy nie podkuwają swoich koni. Czego on szuka o tak wczesnej porze na samej granicy? Przyjechał z północy, jest więc mieszkańcem Stanów Zjednoczonych. Hm, dziwne wydaje mi się, że w biały dzień opuścił rezerwat. Lepiej wycofam się stąd jak najprędzej.

Zaraz jednak porzucił te myśli. Rozważył swe położenie: Odwrót przed samotnym, prawdopodobnie bezbronnym Indianinem zakrawałby na tchórzostwo. Nie mógł do tego dopuścić. Przecież nie brakowało mu odwagi. Cóż z tego, że w bezludnym miejscu napotkał indiański ślad? Może to był kowboj zatrudniony u któregoś z ranczerów? Może właśnie poszukiwał zagubionego bydła? Szczyt góry był doskonałym punktem obserwacyjnym. Poza tym Tomkowi wydawało się, że jeżeli będzie unikał spotkań z Indianami, to nigdy nie wypełni misji powierzonej mu przez Hagenbecka. Szeryf Allan, jak wszyscy starsi ludzie, na pewno trochę przesadzał z tymi niebezpieczeństwami czyhającymi na pograniczu. Wystarczy zachować ostrożność, a wszystko będzie w porządku.

Uspokojony, wprowadził konia między kaktusy. Wyszukał miejsce porośnięte kępami trawy i tam przywiązał mustanga do gałęzi krzewu szałwiowego. Poprawił pas z przytroczoną do niego pochwą z rewolwerem, aby móc w każdej chwili sprawnie wydobyć broń, po czym zawrócił na ścieżkę. Nie tracąc czasu na dalsze zastanawianie się, ruszył za śladami pozostawionymi przez nie podkutego konia. Po kilkudziesięciu krokach trop zbaczał ze ścieżki w krzewy szałwiowe i ginął. Dopiero kilka metrów powyżej tego miejsca odszukał na ścieżce siady stóp obutych w mokasyny.

Tomek gwizdnął cicho.

*„Mój Indianin uczynił to, co ja zrobiłem przed chwilą. Wobec tego najpierw przyjrę się jego koniowi”* — pomyślał.

W tej chwili w przydrożnych krzakach, jakby odzew na myśl Tomka, rozległo się parsknięcie. Indiański wierzchowiec musiał wyczuć jego obecność. Tomek ostrożnie rozsunał krzewy. Nie opodal spostrzegł niskiego,

gniadego mustanga z białymi łatami na zadzie. Zwyczajem indiańskim siodło zastępowała derka w barwne wzory, przytrzymywana grubym rzemieniem przewiązonym wokół przodu końskiego tułowia. Cugle nie były przeciągnięte przez uzdę pozbawioną wędzidła, lecz po prostu uwiązane pod dolną szczęką. Tomek wiedział, że cugle służą czerwono skórnym tylko do hamowania, wierzchowcem kierują bowiem nogami. Od uzdy zwisał arkan przywiązany do krzewu.

Tomek uważnie przyglądał się wzorom na indiańskim siodle. Podobne pokazywał mu szeryf Allan jako rękodzieła nawajskie. Czyżby Indianin należał do szczepu Nawajów? Przypuszczenie to lekko zaniepokoiło Tomka. Nie tak dawno jeszcze we wszystkich częściach świata rozbrzmiewały imiona Nawajów i Apaczów, gdyż żaden szczep indiański nie wykazał tyle szaleńczej odwagi w walkach z białymi najeźdźcami, jak ci synowie pustyni arizońskiej.

Mustang strzygł uszami, parskał coraz głośniejszymi, uderzał kopytami o ziemię, jakby chciał ostrzec swego pana. Tomek szybko wycofał się na ścieżkę. Uważnie badał ślady stóp. Rozmiary ich pozwalały przypuszczać, że Indianin nie był jeszcze dorosłym mężczyzną. Ośmielony tym spostrzeżeniem Tomek ruszył ostrożnie w kierunku szczytu. W dobre pół godziny, wykorzystując jako osłonę krzewy szałwi i kaktusy, dotarł na płasko ścięty wierzchołek. Tutaj ścieżka ginęła wśród głazów. Tomek ukrył się za jednym z nich. Czujnym wzrokiem szukał Indianina. Nie dostrzegł go jednak w pobliżu, przesunął się więc coraz dalej ku południowej krawędzi szczytu. Stąpał cicho, uważnie, by nie potrącać kamieni. Tuż, na samej grani wznosił się wysoki, podłużny głaz. Tomek spojrzał w górę i zamarł w bezruchu. Z głazu zwisały dwie stopy obute w mokasyny.

Chłopiec wstrzymał oddech, aby przedwcześnie nie zwrócić na siebie uwagi. Podczas poprzednich wypraw poznał doskonale tajniki podchodów i tropienia. Przesunął się nieco w prawo. Indianin leżał na brzuchu na wysuniętym kamiennym bloku. Wpatrywał się w falisty step po drugiej stronie granicy, z tyłu jego głowy, zatknięte za przepaskę, tkwiły trzy małe orle pióra. Tomek rozejrzał się wokoło. Teraz zauważył starą strzelbę opartą o pobliski kamień. Widocznie Indianin nie spodziewał się tutaj spotkania z kimkolwiek, skoro odłożył broń. Biały chłopiec uśmiechnął się chytrze. Opowiadano tak wiele o niezwykłej wprost czujności Indian, a tymczasem udało mu się podejść niepostrzeżenie Nawaja, mimo iż mogło się wydawać,

że pragnie pozostać niezauważony. Postanowił sprawić młodemu Indianinowi niespodziankę. Bezszelestnie usiadł na ziemi. Zastanowiło go, kogo lub czego wypatruje Indianin na stepie. Przez jakiś czas śledził kierunek jego wzroku; spoglądał ku południowi, lecz prócz różnych odmian kaktusów nic nie mógł dostrzec na falistej równinie. W końcu znudzony wyczekiwaniem odezwał się głośno po angielsku:

— Może młody czerwony brat powie mi, co ciekawego widzi na stepie?

Efekt tych kilku wypowiedzianych słów przeszedł najśmielsze oczekiwania białego chłopca. Indianin bowiem natychmiast wychylił się zza krawędzi głazu, a ujrawszy intruza jednym sprężystym skokiem stanął przed nim. Oczy jego błyszczały złowrogo.

— Czego tu szukasz, podstępny biały psie? — wyrzucił z siebie jednym tchem dość dobrą angielszczyznę. Tomek był zaskoczony pełnym wściekłości, obraźliwym odezwaniem się Indianina, lecz opanował wzburzenie i spokojnie odparł:

— Mógłbym ciebie o to samo zapytać. Miałbym nawet większe ku temu prawo, gdyż nie znajdujemy się na terenie rezerwatu, ale nie zrobiłbym tego nigdy w tak nieprzyjazny sposób, jak ty to uczyniłeś.

— Każdy szpieg jest tylko podstępnym, parszywym psem! — nienawistnie odparł Indianin.

— Zgadzam się z tobą, lecz nie jestem szpiegiem!

— Kłamiesz jak wszystkie blade twarze! Nasłał cię tutaj szeryf Allan. Mieszkasz u niego!

— Stąd wiesz, że mieszkam u szeryfa Allana? — zdziwił się Tomek powściągając gniew.

— Teraz się zdradziłeś! — triumfująco krzyknął Indianin. — Cokolwiek jednak odkryłeś, nigdy już tego nie zdradzisz bladym twarzom?

Zupełnie nieoczekiwane groźne znaczenie słów Indianina wprowadziło Tomka w osłupienie; trwało ono jednak tylko krótką chwilę. Nieraz już przecież jego życiu zagrażały niebezpieczeństwa. Podczas ekspedycji w głąb nieznanych łądów śmierć często zaglądała mu w oczy, toteż błyskawicznie potrafił reagować na wszelkie niespodzianki. Teraz jednym spojrzeniem stwierdził, że Indianin, poza tomahawkiem za pasem, nie miał przy sobie innej broni. Aby sięgnąć po starą strzelbę opartą o kamień, musiałby przejść obok niego. Poza tym Tomek nie bez satysfakcji spostrzegł, że trochę wyższy

od niego przeciwnik jest wynędzniały. Zdawały się o tym świadczyć wąskie ramiona i płaska klatka piersiowa. Obserwacje Tomka nie trwały chyba dłużej niż kilka sekund. Nagłym ruchem stanął na nogi i odgrodził Indianina od jego strzelby.

— Dlaczego czerwony brat grozi mi bez żadnego powodu? — zapytał pojednawczo, aby wyjaśnić to dziwne nieporozumienie. — Niczym sobie nie zasłużyłem na podobne traktowanie!

— Dość już zbędnych słów! Broń się, zdrażliwa biała żmijo! — zawołał Indianin dobywając tomahawka zza pasa.

Tomek był niezawodnym strzelcem. Miał rewolwer, mógł więc chwycić za broń i jednym pociągnięciem palca unieszkodliwić przeciwnika. Żywił jednak wrodzony wstręt do przelewu krwi, a ponadto szczerze współczuł niedoli Indian tak barbarzyńsko tępionych przez białych najeźdźców. Postanowił więc unieszkodliwić młodego zapaleńca bez uciekania się do użycia broni. Przecież bosman Nowicki, znany z niezwyklej wprawy w walce wręcz, nie na darmo uczył go obezwładniających napastnika niezawodnych chwytów. Gdy wzburzony Indianin zaatakował Tomka, ten nagle uskoczył w bok, jednocześnie prawą ręką chwycił w przegubie dłoni grożącą mu tomahawkim, a lewą nacisnął łokieć czerwonoskórego. Silne szarpnięcie powaliło Indianina na ziemię — tomahawk wypadł mu z dłoni.

Nim zdążył powstać, Tomek przytłoczył go całym ciężarem ciała.

Rozgorzała gwałtowna walka. Indianin jak piskorz wyślizgiwał się z rąk białego chłopca, a dłonie jego uporczywie kierowały się ku szyi przeciwnika. Tomkowi błysnęła myśl, że nie docenił sił czerwonoskórego. Gorzej na pozór zbudowany Indianin zdawał się być ogromnie wytrzymały. Walczył z determinacją, zdecydowany zabić przeciwnika. Teraz Tomek nie miał już wątpliwości, że toczą walkę na śmierć i życie.

Po jakimś czasie gwałtowność zmagania trochę osłabła. Do tej pory żaden z chłopców nie przemówił słowa ani nie wydał jęku, chociaż obydwoj odczuwali skutki bezkompromisowej walki. Tomek oddychał z coraz większą trudnością. Wężowe uściski Indianina męczyły go coraz bardziej.

Znów potoczyli się na ziemię. Koszula Tomka zwisała już w strzępach. Ostre kamienie boleśnie raniły. Naraz dłoni Indianina zacisnęła się kurczowo na jego gardle. Tomek zdobył się na olbrzymi wysiłek i nogami zrzucił z

siebie Indianina, lecz za ledwie powstał, przeciwnik już czaił się do nowego ataku.

„*Jeżeli go nie zastrzelę, zabije mnie na pewno*” — pomyślał Tomek, widząc, że Indianin jest mniej zmęczony.

Zaraz jednak uzmysłowił sobie, że nie chce, że nie powinien użyć rewolweru wobec bezbronnego czerwonoskórego. Postanowił więc zmienić taktykę.

Gdy Indianin znów go zaatakował, zaczął walczyć pięściami.

Zaraz też uzyskał widoczną przewagę. Celne uderzenia lądowały na brzuchu i podbródku Indianina, który cofał się teraz ku krawędzi. Zorientował się, że walka przybiera niepomyślny dla niego obrót. Skupił się, po czym nagłym skokiem rzucił się na białego chłopca. Po chwili znów spleceni w morderczym uścisku potoczyli się na skraj wierzchołka. Tomek, doprowadzony do ostateczności, głową uderzył Indianina w twarz, szarpnął z całej siły i nagle poczuł, że jego stopy tracą oparcie. Przez kilka sekund przeciwnicy chwiali się na ostro ściętej grani. Dłoń Indianina ponownie wpiła się w gardło Tomka. Wtedy jeszcze raz zdobył się na wysiłek, i nagle obaj runęli w dół na usiane głazami strome zbocze.

Splecione w straszliwym zmaganiu dwa ciała upadły na kamienny blok.



## BIAŁY I CZERWONY BRAT

Tomek krzyknął z bólu, lecz ani na chwilę nie stracił przytomności. Gdy staczali się z grani, silnie przywarł do przeciwnika. Dzięki przypadkowi w momencie upadku na głaz Indianin znalazł się pod nim. Tym samym uchronił go przed bezpośrednim uderzeniem o skałę. Tomek poczuł tylko ogromny ból w rękach, którymi obejmował napastnika. Po dłuższej chwili z największym wysiłkiem uwolnił krwawiące dłonie. Skóra na nich była popękana i starta. Syknął z bólu próbując rozprostować palce. Na szczęście były to tylko powierzchowne obrażenia, o których prawie natychmiast zapomniał, gdy spojrzął na leżącego bez ruchu czerwonoskórego.

Zaniepokojony pochylił się nad nieprzytomnym Nawajem. Wąska strużka krwi sączyła się spod leżącej na głazie głowy. Tomek uniósł ją ostrożnie. Indianin miał skórę na tyle głowy rozciętą, lecz splecione w warkocze włosy musiały złagodzić siłę uderzenia, gdyż czaszka zdawała się być nienaruszona. Z kolei Tomek uważnie obejrzał posiniaczone ciało czerwonoskórego. Nie znalazł poważniejszych obrażeń. Jedyne kostka nad stopą prawej nogi zaczęła zatracać swój kształt, ginąc w powiększającej się opuchliznie.

Tomek szybko ściągnął z siebie resztki koszuli i podał ją na pasy. Jednym z nich mocno obwiązał krwawiącą głowę nieprzytomnego, a następnie zaczął bandażować puchnącą stopę. Indianin jęknął głucho.

— Widzisz, do czego doprowadziłeś? — mruknął Tomek. — Co za licho podkusiło cię do nastawiania na moje życie?

Indianin leżał w dalszym ciągu bez ruchu, toteż Tomek gorączkowo zaczął się zastanawiać, w jaki sposób mógłby pomóc rannemu przeciwnikowi. Od szczytu oddzielała ich dziesięciometrowa stroma ściana, aby zaś zejść w dół, trzeba było pokonać ostro ścięte, usiane kamieniami zbocze.

Nie namyślając się długo powziął decyzję. Przerzucił sobie Indianina przez prawe ramię, po czym ostrożnie zszedł z głazu na górskie zbocze. Zejście nie było łatwe. Tomek z trudem znajdował pewniejsze oparcie dla stóp. To zsuwał się razem z lawiną drobnych kamieni, to znów przyklękał, aż w końcu opanowało go wielkie znużenie. Kilkakrotnie musiał przysiąść, aby nabrać tchu. Indianin spoczywający bezwładnie na jego barkach ciążył mu coraz bardziej. Tomek jednak nie myślał o sobie. Nie zważał na własne

zmęczenie i skaleczenia. Zaciskał zęby i całą uwagę skupiał wciąż na nieprzytomnym przeciwniku. Dzięki olbrzymiemu wysiłkowi, na jaki potrafił się zdobywać w chwilach nagłej potrzeby, po niesłychanie uciążliwym schodzeniu Tomek znalazł się w końcu u podnóża góry.

Złożył Indianina na ziemi. Wyszukał duży, o jajowatym kształcie kaktus. Nożem usunął kolce, odciął go do grubej łodygi i przyniósł do leżącego na ziemi Nawaja. Rozkrojenie kaktusa było dziełem jednej chwili. Teraz wydobywał soczysty miąższ i wyciskał z niego wodę na twarz zemdlonego.

Minęła dłuższa chwila, zanim przez twarz Nawaja przebiegł skurcz wywołany bólem. Otworzył oczy, lecz gdy ujrzał nachylonego nad sobą Tomka, szybko opuścił powieki. Zdawało się, że znów popadł w omdlenie, niebawem jednak spojrzął przytomniej, wreszcie już całkiem świadomie wpił wzrok w twarz białego chłopca.

— No, nareszcie odzyskałeś przytomność — odezwał się Tomek siląc się na uśmiech.

— Zwyciężyłeś mnie, nie oszczędzaj, dobij! — szepnął Nawaj.

— Chyba zły duch cię opętał — rozgniewał się Tomek. — Najpierw zupełnie bez powodu nastajesz na moje życie, a teraz chciałbyś uczynić ze mnie tchórzliwego mordercę!

— Szeryf Allan kazał ci iść moim tropem...

— Cóż za głupstwo! — wykrzyknął Tomek. — Nikt mi nie polecił cię śledzić i wcale cię nie zwyciężyłem. Chciałem się po prostu przyjrzeć okolicy po stronie meksykańskiej i dlatego wyprawilem się na ten samotny szczyt. Przypadkiem natknąłem się na ciebie. Nie wiem, z jakiego powodu na mnie napadłeś, ale pewne jest, że czubiliśmy się jak dwa zacierzewione koguty. Stoczyliśmy się z krawędzi, a ty uderzyłeś głową o głaz. Tak oto wygląda to moje „zwycięstwo”.

— Mieszkaś jednak u szeryfa Allana — powtórzył z goryczą Nawaj szukając oczu Tomka.

— Jeżeli już wiesz, że mieszkam u pana Allana, to powinieneś wiedzieć również, iż przebywam u niego zaledwie od kilku dni. Przyjechałem z dalekiego zamorskiego kraju po tę młodą squaw<sup>154</sup>, z którą mam pojechać do Anglii.

— Ugh! Więc ty naprawdę nie należysz do ludzi szeryfa?!

<sup>154</sup> — Squaw — po indiańsku kobieta



— Nie mam z nimi nic wspólnego — zapewnił Tomek. — Ale wróćmy do ciebie, w jaki sposób mógłbym ci pomóc? Na nieszczęście mocno się potłukłeś przy upadku.

— Więc mój biały brat nie jest jankesem<sup>155</sup>? — jeszcze zapytał czerwonoskóry.

— Jestem Polakiem, moja ojczyzna znajduje się daleko za wielką wodą — wyjaśnił Tomek, zadowolony, iż Nawaj nazwał go białym bratem.

— Ugh! Naprawdę zły duch przysłonił mój wzrok, abym nie dojrzał prawdy. Muszę szybko naprawić błąd, może jeszcze nie jest za późno... — mówił Nawaj gorączkowo, usiłując jednocześnie wstać. Zachwiał się jednak. Upadłby, gdyby Tomek nie podtrzymał go w ostatniej chwili.

— Co ty wyprawiasz? Masz zwichniętą nogę — oburzył się biały chłopiec.

— Pomóż mi wejść na górę, nie mam chwili do stracenia — odparł Indianin opierając się na ramieniu towarzysza.

— Tędy nie uda nam się wspiąć na szczyt — zaproponował Tomek — Najlepiej obejdźmy górę dookoła, aż do ścieżki.

— Jeśli mój biały brat chce mnie przekonać, że nasze spotkanie było zupełnie przypadkowe, to... pomoże mi wejść jak najszybciej na szczyt góry — niecierpliwie odparł Nawaj.

— Ha, nie ma rady, próbujmy! — westchnął Tomek, niespokojnie spoglądając na strome zbocze.

Zaczęli powoli wspinać się po stoku. Twarz młodego Nawaja pobladła z olbrzymiego wysiłku. Był mokry od potu. Co chwila osuwał się na ziemię, mimo że Tomek ze wszystkich sił podtrzymywał go pod ramię. Indianin włókł za sobą zwichniętą nogę, nie zważał na ból, nie godził się na odpoczynki, uparcie dążył ku szczytowi. Tomek był już niemal zupełnie wyczerpany; nogi odmawiały mu posłuszeństwa, z trudem chwycił ustami powietrze, a tymczasem znajdowali się zaledwie w połowie drogi. Indianin jednak musiał tu znać doskonale każdą piędź ziemi, gdyż zamiast piąć się pionowo pod górę, podążał ukosem i odnajdywał niewidoczne dla Tomka, łagodniej opadające

---

<sup>155</sup> — Jankes (z ang. *Yankee*) — nazwa nadawana w Stanach Zjednoczonych początkowo mieszkańcom Nowej Anglii (sześciu północno-wschodnich stanów USA), później. w okresie wojny secesyjnej (1861–1865), południowcy nazywali tak swoich przeciwników z północnych stanów: w Europie natomiast od pierwszej wojny światowej nazywano tak wszystkich białych Amerykanów.

skłony zbocza. Platforma skalna, na którą spadli z głównej grani, znajdowała się teraz o kilkadziesiąt metrów na prawo od nich. Indianin okazywał coraz większy niepokój. W pewnej chwili przysiadł na zboczu. Prawą dłonią osłonił oczy przed słonecznym blaskiem; długo wpatrywał się w falisty step.

— Ugh! Jest, jest tam, na wschodzie! — zawołał naraz, wskazując ręką kierunek. Tomek wyteżył wzrok. W oddali na małym wzniesieniu ujrzał jeźdźca spoglądającego na samotną górę.

Młody Indianin machał rękoma, wołał coś głośno w nieznanym języku, lecz tajemniczy jeździec stał bez ruchu jak kamienny posąg. Zbyt wielka odległość oddzielała go od chłopców, aby mógł usłyszeć nawoływania. Na szarozielonym, stromym zboczu byli dla niego niewidoczni. Tomek zrozumiał, że gdyby Nawaj znajdował się teraz na samym wierzchołku góry, na olbrzymim głazie, jeździec musiałby zauważyć jego sylwetkę na tle jasnego nieba.

— On nie może nas spostrzec ani usłyszeć — zawołał Tomek do swego towarzysza.

— Wystrzel w górę z rewolweru! Na pewno usłyszysz strzał! — krzyknął Nawaj. — Prędzej, prędzej! Patrz, on odjeżdża!

Była to prawda. Jeździec ruszył już z pagórka; jego wierzchowiec biegł coraz szybciej wprost ku granicy Stanów Zjednoczonych.

— Strzelaj! — krzyknął Nawaj chwytając Tomka za ramię.

Tomek chciał dobyć broni, lecz jego dłoń zamiast na rękojeść trafiła w pustą pochwę.

— Zgubiłem rewolwer, musiał mi wypaść w czasie naszej bijatyki — zawołał.

— Szukaj prędko, inaczej hańba mi! — przynaglał Indianin zrozpaczonym głosem.

Tomek, jakby nagle przybyło mu sił, rzucił się w kierunku głazu, gdzie spodziewał się znaleźć zgubiony rewolwer. Potykał się, laź na czworakach, aż w końcu dotarł do stóp wielkiego bloku skalnego. Wyciągnął ręce, by uchwycić się krawędzi, lecz chociaż wspiał się na palce, nie mógł jej dosięgnąć. Był zbyt zmęczony, aby ryzykować karkołomną wspinaczkę. Postanowił odszukać przejście, którym zsunął się przedtem z kamienia, niosąc nieprzytomnego Indianina. Niebawem odnalazł je i za chwilę był już na głazie.

Po krótkich poszukiwaniach ujrzał czarny rewolwer na piargach zbocza. Z okrzykiem triumfu porwał z ziemi broń. Na nieszczęście lufa zapchana była ziemią. Nim zdołał przeczyścić ją wyciorem, jeździec, pędzący teraz po stepie jak wichur, znajdował się na linii samotnej góry. Tomek uniósł rewolwer i raz za razem naciskał spust. Niestety, tajemniczy jeździec nie mógł już usłyszeć strzałów. W tej bowiem właśnie chwili zniknął za górą, której wysokie zbocze stłumiło odgłos palby.

Tomek zorientował się w sytuacji. Nie tracił czasu na powtórne naładowanie broni; schował rewolwer do pochwy i podążył z pomocą Indianinowi, który zaczął się wspinać na zbocze góry.

Wytrzymaność młodego Nawaja oraz upór, z jakim dążył ku szczytowi, wzbudziły w białym chłopcu wielkie uznanie.

Tomkowi nie zbywało na rozsądku i sprycie. Nie miał wątpliwości, że Indianin przybył na samotną górę, aby się spotkać z nieznanym jeźdźcem. Musiało to być nadzwyczaj ważne spotkanie, skoro Nawaj rozpoczął walkę na śmierć i życie, przypuszczając, iż Tomek śledził go na polecenie szeryfa Allana.

Minęło sporo czasu, zanim obaj chłopcy znaleźli się z powrotem na szczycie. Indianin był całkowicie wyczerpany. Rana na głowie i zwichnięta noga musiały mu mocno dolegać, chociaż dotychczas zdawał się w ogóle nie zwracać na to uwagi. Widocznie przez cały czas myślał o tajemniczym jeźdźcu, zaledwie bowiem osiągnęli szczyt góry, natychmiast skierował się ku północnej krawędzi, skąd roztaczał się widok na step leżący po stronie amerykańskiej.

Obaj chłopcy natężali wzrok wypatrując jeźdźca. Nigdzie go jednak nie było widać. Indianin zasepił się jeszcze bardziej. W końcu przerwał milczenie:

— Czy mój brat mógłby odszukać strzelbę?

— Zaraz to zrobię. Na pewno jest przy głazie. Niech mój czerwony brat poczeka tu na mnie — odparł Tomek.

Z łatwością znalazł strzelbę. Była to stara, dobrze już zużyta broń. Tomek obejrzał ją starannie — wiedział, że niepozorne nieraz na pierwszy rzut oka strzelby traperów i czerwonoskórych odznaczały się niezwykle zaletami. Na długiej lufie widniały nacięcia: zwyczajem Dzikiego Zachodu mogły

oznaczać liczbę zabitych wrogów. Tomek zliczył karby. Było ich trzynaście obok siebie, a w pewnym oddaleniu znajdowały się dalsze cztery.

Indianin był jeszcze zbyt młody, aby wszystkie nacięcia na lufie strzelby upamiętniały jego zwycięstwa. Zapewne więc odziedziczył broń po jakimś znamienitym wojowniku. Sam fakt posiadania takiej broni stanowił dowód, iż młody Nawaj musiał być wśród swoich nie byle jaką osobistością.

Tak rozumując Tomek postanowił przyjrzeć mu się uważnie. Szedł ostrożnie chowając się za głazami. W ten sposób niepostrzeżenie przybliżył się do Nawaja. Indianin siedział na ziemi i oparłszy łokcie na kolanach ukrył twarz w dłoniach.

Tomek zdumiał się: czyżby czerwonoskóry płakał? Było to mało prawdopodobne, ponieważ łzy nie licowały z jego poprzednim męznym zachowaniem. A jednak Tomek nie mylił się: spomiędzy kurczowo przyciśniętych do twarzy palców spływały łzy. Nawaj naprawdę płakał. Czy były to łzy bólu, czy też wyraz rozpacz i zawodu? Tomek nie mógł odgadnąć, zrozumiał wszakże, iż podpatrywanie człowieka w chwili jego słabości nie jest szlachetne. Jak najostrożniej wycofał się i dopiero po jakimś czasie jawnie już powrócił do towarzysza.

Indianin w dalszym ciągu siedział na ziemi. Poprawiał włosy rozczochrane podczas walki. Obok niego leżał strzep koszuli, którym Tomek zabandażował mu ranę. Na twarzy Indianina nie było widać jakiegokolwiek podniecenia. Doskonale panował nad sobą. Na widok Tomka odezwał się:

— Mój biały brat znalazł strzelbę. To dobrze. Czas już na mnie, muszę się spieszyć.

Tomek położył strzelbę obok czerwonoskórego, po czym powiedział:

— Mój czerwony brat źle zrobił zdejmując opatrunek z głowy. Rana krwawi jeszcze.

Nawaj spojrzał na niego. Długo wpatrywał się w oczy białego chłopca. Widocznie nie dopatrzył się w nich podstępny czy zdrady, gdyż uśmiechnął się smutno i odparł:

— Biali ludzie najbardziej lubią czerwonoskórych, gdy oglądają ich kości bielące się w słońcu na stepie. Każdy Indianin jest dla nich parszywym psem, upierającym się mieszkać na ziemi, którą oni chcą mieć dla siebie. Nawajowie, Apacze i Siuksowie potrafią jednak skoczyć wrogowi do gardła. Jestem Nawajem. Gdyby jakikolwiek biały lub czerwonoskóry policjant na

usługach białych spotkał mnie na stepie rannego, byłbym narażony na doprowadzenie do szeryfa jako podejrzany o napad. Powiedziałem to, ponieważ mój brat przyjechał tu z za wielkiej wody po małą białą squaw i niebawem odjedzie z nią do swojej ojczyzny.

— Słyszałem już nieraz o podłym postępowaniu białych ludzi wobec Indian, lecz nie spodziewałem się, że znaleźli się wśród was zdrajcy, którzy pozostają na usługach najeźdźców. Bo przecież amerykańska ziemia do was należy, to wasza ojczyzna.

— Mój biały brat jest tak młody jak ja, lecz Manitu<sup>156</sup> obdarzył go wielkim rozsądkiem. Mój biały brat powinien zasiadać już w radzie starszych swego szczepu. Gdyby inni biali mówili i postępowali jak ty, to indiański topór wojenny nigdy by nie był przeciwko nim wykopany. Niestety, nawet nie wszyscy Indianie rozumieją konieczność wspólnej obrony. Znaleźli się zdrajcy. To naprawdę parszywe czerwone psy!

— Rozumiem twoją nienawiść, ponieważ mój kraj także jest w niewoli. I u nas również znajdują się zdrajcy. Teraz jednak musimy pomyśleć o twoich ranach. Trzeba podłożyć skrawek koszuli pod opaskę, za którą masz zatknięte pióra. Czekał, pomogę ci! No, tak jest dobrze. Stopę natomiast naciągniemy i owiniemy.

Tomek z wielką zręcznością naciągnął zwichniętą stopę, po czym usztywnił ją bandażem z koszuli. Indianin mimo bólu zamyślił się nad czymś, lecz dopiero po dłuższej chwili wyraził swą obawę:

— Mój biały brat mieszka u szeryfa Allana, gdy wróci podrapany w podartym ubraniu, szeryf na pewno zapyta go, co się stało. Co mój brat odpowie?

— Przede wszystkim postaram się o to, aby pan Allan nie ujrzał mnie w takim stanie. Wywabię z domu mego druha, bosmana Nowickiego, i poproszę, aby mi przyniósł świeżą koszulę.

— Czy mój brat ma na myśli tego olbrzymiego białego mężczyznę, który również mieszka u szeryfa? — zapytał Nawaj.

— Więc ty widziałeś bosmana Nowickiego? Jak to się stało? — odparł Tomek pytaniem, zaczynając podejrzewać, iż Nawaj śledził wszystkie osoby mieszkające na ranczo Allana.

— Pracuję jako kowboj u szeryfa — padła krótka odpowiedź.

---

<sup>156</sup> — Manitu — Wielki Duch, indiański odpowiednik chrześcijańskiego Boga.

— Och, więc to tak! — roześmiał się Tomek. — Wobec tego możemy razem wrócić do domu.

— Nie, ja przebywam ze stadem na pobliskim pastwisku. Gdyby szeryf ujrzał nas razem, z łatwością by się domyślił prawdy. A jak mój biały brat wytłumaczy przed przyjacielem swój niezwykły wygląd?

— Nie kłopotz się o to. Powiem mu, że koń zrzucił mnie na wielkiego kaktusa. Bosman Nowicki jest wspaniałym towarzyszem. Nigdy nie zadaje więcej pytań, niż to jest konieczne.

— A mała biała squaw? — indagował Indianin.

— Jeżeli masz na myśli Sally, to możesz być całkowicie spokojny. Uwierzy we wszystko, co powiem, a jej matka jest uosobieniem dobroci i bardzo mnie lubi. Obydwie mieszkają w dalekim kraju nazywanym Australią. Farma ich znajduje się na stepie, na skraju ogromnego lasu. Otóż mała squaw zgubiła się pewnego dnia w tym lesie. Ściągnięci z okolicy farmerzy nie mogli jej odszukać. Miałem szczęście. Znalazłem ją przypadkiem; zwichnęła nogę, tak jak ty obecnie, i nie mogła sama wrócić do domu. Pani Allan i Sally uczynią wszystko, o co je poproszę. Nie kłopotz się.

— Dlaczego mój biały brat jeździ do różnych dalekich krajów?

— Wraz z ojcem i jego dwoma przyjaciółmi łowimy dzikie zwierzęta, a następnie sprzedajemy je Europie. Zwierzęta te można potem oglądać w specjalnie przystosowanych do tego celu ogrodach.

— Ugh! Czerwony Orzeł słyszał o takich ludziach, którzy chwytają dzikie zwierzęta.

— Widzę, że mój brat ma piękne imię — zauważył Tomek. — Czy mogę nazywać mego brata Czerwonym Orłem?

— Wszyscy mnie tak nazywają — odparł Nawaj. — Chodźmy do naszych koni.

— Czerwony Orzeł nie powinien forsować zwichniętej nogi. Wezmę mego brata na plecy. Bierz strzelbę i siadaj — zaproponował Tomek.

Po krótkim wahaniu Tomek wziął Indianina „na barana”. Ruszyli ścieżką w dół zbocza. Tomek był bardzo silny, lecz zmęczony wydarzeniami tego ranka wielokrotnie przystawał, aby chwilę odpocząć, zanim dotarli do koni. Mustang natychmiast zwietrzył ludzi — parsknął i bił kopytami o ziemię. Nawaj gwizdnął. Mustang zarżał i uspokoił się.

Indianin zszedł z pleców Tomka tuż przy koniu. Odwiązał koniec arkanu od gałęzi krzewu, a następnie, nie wypuszczając strzelby z ręki, uczepił się długiej grzywy mustanga. Zgrabnym skokiem znalazł się na jego grzbiecie.

— Niech mój brat usiądzie za mną — zaproponował.

— Nie warto, kilkadziesiąt kroków stąd zostawiłem mojego wierzchowca — odpowiedział Tomek.

Wkrótce odszukał i dosiadł swego konia. Szybko zjechali z góry na szeroki step. W milczeniu ruszyli galopem. Dopiero po półgodzinnej jeździe Nawaj osadził wierzchowca.

— Tutaj nasze drogi się rozchodzą — odezwał się. — Mój biały brat pojedzie na północny zachód, a ja muszę się udać wprost na północ, tam znajduje się pastwisko.

— Czy Czerwony Orzeł przybędzie wkrótce na ranczo pana Allana? Chciałbym porozmawiać o różnych sprawach — powiedział Tomek.

— Postaram się niebawem spotkać z moim białym bratem.

— Będę czekał. Do widzenia!

Tomek machnął przyjaźnie ręką, po czym zawrócił konia w kierunku ranczo. Indianin siedział bez ruchu na grzbiecie mustanga lekko pochylony do przodu, trzymając w obydwu dłoniach swą długą, naznaczoną korbami strzelbę. Gdy biały chłopiec zaczął się oddalać, wskazujący palec prawej ręki Indianina dotknął spustu. *„Umarli nie zdradzają tajemnic”* — pomyślał, unosząc broń do ramienia.

Już miał nacisnąć spust, gdy naraz uświadomił sobie, że biały chłopiec ani jednym słowem nie zapytał go o nieznanego jeźdźca.

*„Przecież to ja chciałem go zabić, a on nie tylko nie wykorzystał zwycięstwa, lecz pomógł mi jak przyjacielowi. Ten biały nie wie nic o Czarnej Błyskawicy, a więc tym samym nie może nas zdradzić.”*

Wolno, z ulgą opuścił broń i szepnął: *„O, Wielki Manitu! Nienawidzę białych i gotów jestem polec w walce z nimi. Nie mogę jednak zabić człowieka, który zachował się wobec mnie tak szlachetnie.”*





## TROJE PRZYJACIÓŁ

Tomek gnał przez step nieświadom, że tego dnia po raz drugi jego życie wisiało na włosku. Nie przyszło mu nawet do głowy, że Indianin mógł posłać za nim zdradziecką kulę. Teraz, w drodze na ranczo, rozmyślał nad tym, jak uniknąć spotkania z szeryfem Allanem. Najlepiej byłoby wsunąć się do swego pokoju niepostrzeżenie, lecz to zdawało mu się trudne do wykonania. Murzyńska służba, pani Allan i Sally stale kręcili się po całym domu. Gdyby ktokolwiek z nich spotkał go w takim stanie, nie obyłoby się bez pytań. Tego zaś Tomek pragnął uniknąć za wszelką cenę.

Jedynym człowiekiem, na którego dyskrecję mógł bezwzględnie liczyć, był bosman Nowicki. Dlatego też postanowił podkraść się w pobliże domu, a potem w jakiś nie zwracający uwagi sposób wywabić przyjaciela. Z takim zamiarem zbliżył się do ranczo od strony zagród dla bydła i koni. Rozejrzał się wokoło. Nikogo nie było w pobliżu. Szybko wprowadził wierzchowca do zagrody, rozkulbaczył go i położył siodło oraz uzdę na drewnianych poprzeczkach ogrodzenia. Zamknął za sobą bramę i zaszył się w zaroślach okalających zabudowania.

Szpalery krzewów kończyły się mniej więcej dwadzieścia metrów przed obszerną otwartą werandą domu mieszkalnego. Tomek ukrył się w nich, bystro obserwując przedpole. Nie upłynął kwadrans, gdy na werandzie pojawiła się Murzynka Betty z tacą pełną naczyń i białym obrusem pod pachą. Nakryła okrągły stół, ustawiła na nim naczynia, po czym zniknęła w głębi domu.

Tomek widząc te przygotowania zaniepokoił się nie na żarty. Czyżby to już była pora drugiego śniadania? Zaczął się zastanawiać, która może być godzina. Na wycieczkę wybrał się zaraz po wschodzie słońca. Wyruszył więc około czwartej rano. Jazda do granicy meksykańskiej zajęła nie więcej niż godzinę, a wejście na górę i tropienie Indianina również z godzinę. Walka trwała zapewne kilkanaście minut. Zejście po stromym zboczu z nieprzytomnym Czerwonym Orłem pochłonęło jakieś pół godziny, a może nawet więcej. Wchodzenie pod górę, odszukanie rewolweru, potem strzelby i rozmowa około trzech godzin, a powrót na ranczo godzinę. Jak wynikało z

obliczenia, od chwili opuszczenia ranczo minęło prawie sześć godzin. Była chyba dziesiąta lub jedenasta, czyli pora drugiego śniadania.

Zaledwie Tomek zdążył dojść do tego wniosku, na werandzie ukazała się czarnowłosa Sally z matką, w towarzystwie nieodłącznego bosmana; za nimi wbiegł Dingo. Zasiedli do stołu. Pies warował przy krześle dziewczynki. Zaraz też wkroczyła Betty z tacą zastawioną potrawami.

Tomek zmarkotniał. Zamknął oczy, aby nie widzieć, jak jego przyjaciele zabierają się do śniadania. Dzięki niezwyklej przygodzie zapomniał o jedzeniu, teraz jednak żołądek gwałtownie zaczął się domagać swoich praw. Do uszu Tomka dolatywał brzęk naczyń oraz wesołe głosy pani Allan i bosmana, nakłaniającego Sally do nałożenia większych porcji. Tomek wepchnął palce w uszy, aby tego nie słyszeć, lecz zaraz przypomniał sobie, że przy każdej okazji należy hartować wolę, natychmiast zatem otworzył oczy. Zaczął obserwować posilających się towarzyszy. Niebawem stwierdził, że wiele by stracił, gdyby jak struś chował głowę w piasek. Otóż Sally, nakłaniana przez matkę i bosmana do jedzenia, zaniechała nagle oporu. Z zapalem nawet zaczęła zgarniać na swój talerz potężne porcje, a pani Allan i dobroduszny bosman głośno zachwycali się jej wspaniałym apetytem.

— To skutek ostrego stepowego powietrza, łaskawa pani — mówił tubalnym głosem marynarz. — Nawet na mnie działa ono jak najlepszy na świecie rum jamajka. Jeżeli tak dalej pójdzie, to wkrótce się nie zmieszczę w luk okrętowy. Czuje, że będę musiał się wypuszczać na konne wycieczki z Tomkiem, żeby trochę stracić na wadze.

— Co też pan mówi, panie bosmanie! — oponowała pani Allan. — Jest pan wprawdzie okazałym mężczyzną, ale pod pana skórą nie widać ani grama tłuszczu. Poza tym, cóż byśmy tu robiły bez pana miłego towarzystwa? Mój szwagier stale jest zajęty swoimi sprawami. Tomek natomiast ugania się całymi dniami po stepie, a tylko pan jeden opiekuje się nami naprawdę.

— Wielka to dla mnie przyjemność, może mi szanowna pani wierzyć — wylewnie odparł bosman. — Przypadła mi do serca mała Sally. Nasz Tomek również nie mógł o niej zapomnieć. Pisał listy z podróży, wysyłał fotografie, a jak tylko upolowaliśmy w Kenii wspaniałego lwa, to zaraz przeznaczył skórę na prezent dla niej.

— Panie bosmanie, mój drogi panie bosmanie, proszę mi poważnie powiedzieć, czy Tomek naprawdę zawsze o mnie myślał? — spytała Sally, jednocześnie nieznacznie podając kawał szynki psu leżącemu przy jej krześle.

— Zapewniam cię, za tak było. A żebyś widziała, jaki był zły, gdy w żartach nazywałem cię „*miłą turkaweczką*”.

— Nic mi o tym nie pisał, bo on jest prawdziwym dżentelmenem. Wszystkie moje koleżanki pękały z zazdrości, kiedy czytałam im jego piękne listy. Żadna nie mogła się przecież poszczycić taką znajomością!

— O, tak! — przytaknął bosman rozsiadając się wygodniej. — Nasz Tomek potrafi pisać piękne listy, nic dziwnego, bo jego szanowny tatuś zawsze mówi o wszystkim, jakby czytał z książki. Wprawdzie Tomek radził się mnie czasem, jak by to ładnie list do ciebie ułożyć, ale u niego niezbyt głęboko trzeba szukać rozumu. Zuch chłopak!

W tej chwili Tomek poruszył się niespokojnie.

„*A to ci zdrajca z tego bosmana*” — mruknął pod nosem. Śmiał się szczerze, widząc, jak sprytna Sally zręcznie pozbywa się coraz to nowej porcji jedzenia na rzecz Dinga.

Tymczasem pani Allan nie domyślała się prawdy. Zdziwiła się niezmiernie, widząc tak szybko opróżniony talerz córki.

— Kochanie, czy nie jesz za szybko? — zawołała. — Naprawdę apetyt bardzo ci się poprawił, lecz nie powinnaś tak przeładowywać żołądka.

— Jestem wciąż głodna — obłudnie powiedziała Sally.

— Lepiej pobiegnij do ogrodu i zerwij trochę owoców — poradziła matka.

Sally jakby tylko na to czekała. Podniosła się z krzesła, podziękowała i razem z Dingiem opuściła werandę.

Tomek nie chciał niczego uronić z zabawnej sceny rozgrywającej się podczas śniadania; aby lepiej widzieć, wysunął głowę zza krzewu. Teraz, gdy dziewczynka zbiegła z psem z werandy, gwałtownie cofnął się w głąb szpaleru. Niechący potrząsnął gałęziami.

Szelest nie uszedł uwagi Dinga. Zaledwie zwęszył swego pana, kilkoma wielki susami dobiegł doń machając ogonem. Tomek omal nie runął na ziemię, gdy wielki pies usiłował polizać go ozorem po twarzy. Przytrzymał swego ulubieńca za kark i gestem nakazał spokój. Wierny, posłuszny Dingo

dobrze znał każdy ruch Tomka, uspokoił się natychmiast. Tylko jego wilgotny nos drgał, łowiąc nieznaną woń bijącą od chłopca.

„*Poczuł zapach Indianina*” — pomyślał Tomek.

Krok za krokiem cofał się w rosnące opodal krzewy. Dingo szedł za nim. Tomek nie mógł nawet marzyć o pozbyciu się psa bez zwrócenia uwagi dziewczynki.

Zagłębiał się więc pospiesznie w zarośla, aby znaleźć się jak najdalej od werandy w chwili, gdy Sally ruszy za Dingiem. Nie omylił się w rachubach. Sally przecież widziała psa znikającego w krzewach. Zawołała nań, a kiedy długo nie powracał, zaczęła go szukać.

— Dingo, Dingo! Gdzie się podziałeś ty nicponiu? Chodź tu zaraz!

Dingo jednak nie wracał, chociaż strzygł uszami słysząc nawoływania. Sally trochę rozgniewana nieposłuszeństwem psa wbiegła w głąb ogrodu. Po kilkunastu krokach stanęła zdumiona. Ujrzała Tomka. Jego wygląd przeraził ją ogromnie. Naga pierś chłopca, twarz i ręce pokryte były zakrzepłą krwią. Zwichrzona czupryna, poszarpane sombrero zwisające na rzemieniu na plecach, a także porozrywane skórzane spodnie wskazywały niedwuznacznie, że przeżył jakąś niecodzienną przygodę.

W innym wypadku Tomek byłby niezmiernie rad z wrażenia, jakie jego widok wywarł na Sally, tym razem jednak uśmiechnął się tylko, na migi nakazując milczenie. Sally była córka australijskiego pioniera i widziała niejedno, toteż szybko opanowała zdumienie. Posłusznie udała się za towarzyszem.

Gdy znaleźli się w odpowiedniej odległości od werandy. Tomek przystanął i rzekł:

— Mądra z ciebie sroka. Sally, Dobrze wiesz, kiedy i jak należy się zachować. Czy mogę liczyć na twoją dyskrecję?

— Czy musisz mnie o to pytać? — oburzyła się dziewczynka. — Wiesz, że dla ciebie zrobię wszystko. Tommy, wyglądasz jakbyś kogoś zamordował! Możesz bez obawy wyznać mi prawdę. Będę milczała jak grób. Jeżeli jednak grozi ci śledztwo, to mogę powiedzieć, że przez cały czas bawiliśmy się razem w ogrodzie.

Tomek zachichotał na ten niecodzienny pomysł Sally.

— Skąd ci przyszło do głowy, że popełniłem morderstwo? — zapytał.

— Przecież jesteś cały pokrwawiony, zgubiłeś koszule, podarłeś spodnie i kapelusz. Oho, ja znam się na rzeczy! — odparła.

— Pleciesz głupstwa, jak to przed chwilą robił bosman Nowicki — powiedział Tomek.

— Widzę, że nas podsłuchiwałaś! To nieładnie — oburzyła się dziewczynka.

— Stało się to zupełnie przypadkiem — uspokoił ją Tomek. — Nie mogłem przecież w takim stanie pokazać się twojej matce. A poza tym nie chciałem, aby szeryf Allan mnie widział.

— Och! O to możesz być zupełnie spokojny. Stryjek wyjechał konno wczesnym rankiem i nie wrócił jeszcze do tej pory. Jesteśmy sami w domu. Stryjek na pewno cię nie zobaczy.

— To... bardzo dobrze. Przyrzekłaś już, że będziesz milczała jak grób. Czy chcesz teraz coś dla mnie zrobić?

— Zaraz ci odpowiem, Tommy, ale przedtem wyjaśnij mi, czy bosman Nowicki tylko tak naumyślnie mówił, że ty nie mogłeś o mnie zapomnieć i stale pisałeś do mnie listy?

Tomek zaczerwienił się, przyparty jednak do muru musiał odpowiedzieć. Zapytał więc:

— Czy często otrzymywałaś ode mnie listy?

— Często, nawet bardzo często — przyznała.

— No, więc widzisz, że bosman powiedział prawdę.

— No tak, ale nie wiem, czy stale o mnie myślałaś.

— A czy mógłbym nie myśleć pisząc do ciebie listy?

— To prawda! Jaka ja jestem niemądra!

— Nigdy bym nie powiedział, że jesteś niemądra — żywo zaprzeczył Tomek.

Sally spojrzała nań z niedowierzaniem.

— Powiedz mi teraz, co mam zrobić? — zagadnęła.

— Postaraj się dyskretnie wywołać tutaj bosmana Nowickiego.

— Tylko tyle?

— Niestety, w tym wypadku to wszystko, co kobieta może uczynić.

Sally pokraśniała z zadowolenia, że Tomek nazwał ją kobietą.

— Dobrze, Tommy, postaram się przyprowadzić pana bosmana, ale naprawdę nie wiem, co mam mu powiedzieć. Mama i pan bosman w najlepsze rozmawiają na werandzie.

— Po prostu poproś go, żeby ci pomógł odszukać Dinga. Ja tymczasem przytrzymam tutaj psa aż do waszego przybycia — doradził Tomek.

— Niezły pomysł, pan bosman na pewno mi nie odmówi. Poczekaj chwilę — odparła Sally i pobiegła w kierunku domu.

Niebawem Tomek usłyszał głosy zbliżających się przyjaciół.

— Skaranie boskie z tobą, dziewczyno — utyskiwał bosman. — Nie dasz nawet człowiekowi po jedzeniu odpocząć. To drzewo jest za wysokie i trzeba cię podsadzić, to ciekawa jesteś, co znajduje się w środku kaktusa, a jak nie możesz już czego innego wykombinować, to znów Dingo ci zginął w krzakach. A wszystko dlatego, żeby tylko włóczyć mnie po tych wertepach.

— Ho, ho. teraz pan narzeka, a przed chwilą zastanawiał się pan, czy dla zdrowia nie warto by się wybierać z Tommym na konne wycieczki — odparła Sally.

— Taki on dobry jak i ty. Wytrzymałby tylko moje brzuszysko na szkapie. Ciekaw jednak jestem, dokąd znów powlokło się dzisiaj to chłopaczysko.

— Jeżeli pan będzie cierpliwy, to na pewno wkrótce zaspokoi pan swoją ciekawość — zachichotała Sally.

— Nie ma co, dobrana z was para gagatków!

— Czy pan tak naprawdę myśli? — ucieszyła się Sally.

Nie otrzymała jednak odpowiedzi, gdyż w tej chwili bosman zatrzymał się i zawołał:

— Coś ty znów zmalował, brachu? Co się stało, u licha?

— Nic specjalnego, panie bosmanie — z humorem odparł Tomek, mrugając nieznacznie do przyjaciela. — Przez pomyłkę wskoczyłem w beczkę pełną kotów, które mnie trochę podrapały.

— Koty te również zjadły ci koszulę, podarły spodnie i sombrero — żartowała Sally. — Panie bosmanie, tęsknił pan już za Tommym, więc przyprowadziłam pana do niego.

— No, no, pędraki! Powiedziałem przed chwilą, że dobrana z was para — mruknął bosman, bacznie przyglądając się chłopcu. — Skoro zrobiłaś

swoje, to biegnij teraz za Dingiem do sadu po owoce, a my na pewno wkrótce przyjdziemy do ciebie.

— Będę na was czekała — odpowiedziała Sally. — Dingo, chodź ze mną!

Dziewczynka zniknęła w krzakach. Przez dłuższą chwilę bosman surowym wzrokiem przyglądał się Tomkowi. Potem przybliżył się do niego. Nie mówiąc ani słowa wyjął mu z pochwy rewolwer. Wprawnym ruchem sprawdził, że w bębunku tkwiły puste łuski po wystrzelonych nabojach. W milczeniu rozładował broń, schował wystrzelone łuski do kieszeni, przeczyścił lufę wyciorem, wyjął z pasa chłopca pięć kuł, nabił nimi rewolwer i wepchnął go z powrotem do pochwy.

— Jak długo mam cię uczyć, smyku, że broń natychmiast po wystrzeleniu ma być na nowo naładowana? — zapytał surowo.

Tomek się zmieszał. W myśl niepisanego prawa łowców zwierząt, podobne niedopatrzenie było traktowane jak największe wykroczenie. Cóż by się bowiem stało podczas niebezpiecznej wyprawy z łowcą, gdyby nie pamiętał o konieczności trzymania broni w pogotowiu?

Odparł więc ze skruchą:

— Zapomniałem, ale to wszystko z powodu nadzwyczajnych okoliczności... Widzi pan...

— Mamy czas na wyjaśnienia — przerwał bosman. — Czy może depcze ci ktoś po piętach? Może postrzeliłeś kogoś?

Tomek poznał już podczas licznych przygód niektóre słabostki bosmana. Olbrzymi marynarz lubił pochlebstwa, chcąc, więc złagodzić jego gniew odparł pospiesznie:

— Dzięki pana niezawodnym chwytom dałem sobie radę bez użycia broni. Później dopiero strzelałem w górę, żeby zwrócić czyjąś uwagę.

— Ha, jeżeli tak się sprawy przedstawiają, to dobra nasza — rozchmurzył się bosman. — Później opowiesz mi wszystko dokładnie. Najpierw trzeba cię jakoś przemycić do domu. Wyglądasz, jakbyś się bawił w chowanego z tygrysem.

— Bo też ciężką miałem przeprawę — przyznał chłopiec. — Musi mi pan przynieść koszulę i spodnie.

— Poczekaj tu na mnie, wrócę migiem — mruknął bosman.

Nim minęło pół godziny, Tomek, dzięki pomocy przyjaciela znalazł się nie zauważony przez nikogo w pokoju, który zajmował razem z bosmanem. Marynarz, chociaż paliła go ciekawość, nie prosił o wyjaśnienia, dopóki Tomek umyty, pooblepiany plastrami na zadrapaniach i już w świeżym ubraniu nie zasiadł do obfitego posiłku. Teraz dopiero bosman rzekł:

— No, najwyższy czas kochany brachu, żebyś powiedział, co ci się przytrafiło.

Tomek szczegółowo informował bosmana o przebiegu porannych wydarzeń. Kiedy zakończył, marynarz pomyślał chwilę, po czym rzekł:

— Nie ulega wątpliwości, że twój Indianiec czatował na tego jeźdźca, o którym wspomniałeś. Ważne to musiało być spotkanie, skoro chciał cię ukatrupić tylko za to, że zjawiał się tam nieproszony. Ponieważ nie chciał, aby szeryf się o wszystkim dowiedział, jasne jak słońce, że to jakaś ciemna sprawa.

— Jestem tego samego zdania, bosmanie — wtrącił Tomek.

— Hm, ciekawe, dokąd to szeryf Allan wyjechał o świcie...

— W ostatnich dniach często przebywa poza domem — wtrącił Tomek, dobierając się do dzbana z kawą.

— To prawda, ale dzisiaj przyjechało po niego dziesięciu indiańskich policjantów.

— Nic o tym nie wiedziałem. Panie bosmanie, czyżby pan wiązał ten fakt z przybyciem z Meksyku tajemniczego jeźdźca?

— Może tak, a może nie! W każdym razie dowiemy się czegoś ciekawego po powrocie szeryfa.



## TAJEMNICA MŁODEGO NAWAJA

Dzień chylił się już ku końcowi, a szeryf Allan jeszcze nie powrócił do domu. Tomek i bosman, zaintrygowani jego przedłużającą się nieobecnością, czekali w wygodnych fotelach na werandzie. Pilnie wsłuchiwali się w odgłosy płynące ze stepu. Lada chwila spodziewali się usłyszeć tętent końskich kopyt. Tymczasem wokół rozbrzmiewało jedynie ćwierkanie świerszczy i rechotanie żab nad pobliskim stawem.

Niebawem na werandę weszła Sally z matką. Przybycie pań zmusiło dwóch przyjaciół do przerwania domysłów na temat wyprawy szeryfa. Dla odmiany zaczęli teraz wspólnie podziwiać zachód słońca. Całe niebo przedstawiało prawdziwe kłębowisko złota, czerwieni, srebra i błękitu. Szałwiowy step, obramowany od południowego zachodu pojedynczymi, poszarpanymi pasmami gór, mienił się purpurą.

Pani Allan zachwycała się ciepłym kolorytem arizońskiego nieba. Chwaliła również orzeźwiające, zdrowe powietrze. Jej zdaniem Nowy Meksyk i Arizona stanowiły wymarzony kraj dla osadników. Bosman potakiwał skwapliwie, lecz zamiast na piękny horyzont, częściej spoglądał na stojącą przed nim szklankę ulubionego rumu.

Sally pochyliła się do Tomka. Zaczęła szeptać mu coś do ucha, gdy naraz rozległ się głuchy tętent koni. Nie ulegało wątpliwości, że większa grupa jeźdźców zbliżała się galopem do ranczo. Tomek spojrział na bosmana, ten jednakże z całym spokojem popijał swój rum, zdając się niczym nie przejmować.

Tętent koni potężniał z każdą chwilą. Wkrótce w obłoku kurzawy ukazała się gromada jeźdźców. Osadzili spienione wierzchowce tuż przed werandą. Wysoki, chudy szeryf Allan lekko zeskoczył z karosza. Niedbałym ruchem rzucił cugle Murzynowi, który wybiegł mu na spotkanie, a następnie odwrócił się ku pozostałym jeźdźcom. Byli to Indianie ubrani w skórzane spodnie i kurtki. Na głowach o krótko ostrzyżonych włosach nosili szare kapelusze z szerokimi kresami, niczym nie różniące się od kapeluszy kawalerzystów armii Stanów Zjednoczonych. Wszyscy byli uzbrojeni w karabiny.

Na rozkaz wydany w języku angielskim przez szeryfa, Indianie zeskoczyli z koni. Tylko jeden z nich nie wykonał żadnego ruchu. Jak wykuty

z kamienia posąg siedział nieruchomo na mustangu, chociaż nie można było mieć wątpliwości, że, tak jak większość Indian amerykańskich, znał bardzo dobrze mowę białych ludzi.

Teraz dopiero można było spostrzec, że odzienie miał inne niż pozostali Indianie. Długie skórzane nogawice z frędzlami na szwach sięgały z tyłu tylko do pośladków, które osłaniała przepaska przeciągnięta między nogami. Szeroki, barwnie tkany pas opuszczał się aż na biodra. Spod luźno otwartej z przodu kamizelki z długimi rękawami wyglądało nagie miedziano-brązowe ciało. W przeciwieństwie do reszty jeźdźców miał na głowie czarne sombrero. Długie włosy opadały mu na ramiona.

Tomek w ostatniej chwili powstrzymał okrzyk zdumienia. Indianin żywo przypominał mu tajemniczego jeźdźca widzianego z dala tego ranka. Przyjrzał mu się baczniej. Zaraz też zrozumiał, dlaczego pozostał na koniu. Ręce Indianina były skute w przegubach stalowymi kajdankami, a stopy związane grubym rzemieniem przeciągniętym pod końskim brzuchem.

Tomek zbliżył się do bosmana.

— Wydaje mi się, że to jest ten tajemniczy jeździec, którego widziałem rano na stepie — szepnął.

— Trzymaj język za zębami, dopóki się nie dowiemy, co to za ptaszek — mruknął bosman.

Tymczasem szeryf nie tracił czasu. Na jego polecenie Indianie rozwiązali stopy jeńca, ściągnęli go z wierzchowca, powalili na ziemię i natychmiast skuli nogi tuż nad kostkami stalowymi kajdankami. Następnie trzech Indian odprowadziło konie do zagrody, podczas gdy inni zaczęli się zagospodarowywać pod gołym niebem przed werandą domu.

Dwaj Indianie z karabinami gotowymi do strzału usiedli przy jeńcu.

Szeryf Allan wszedł na werandę. Zaledwie wydał polecenie Murzynce Betty, aby przygotowała pożywienie dla Indian, Sally podbiegła do niego.

— Co to wszystko ma znaczyć, kochany stryjku? Kim jest ten związany Indianin? — zawołała.

— Pomówimy o tym za chwilę; jestem głodny jak wilk — odparł szeryf. — Czy jedliście już kolację?

— Czekaliśmy na ciebie, Johnny — odpowiedziała pani Allan. — Teraz jednak straciłam chęć do jedzenia. Cóż uczynił ten biedny człowiek, że jest traktowany w ten sposób?

— Biedny człowiek? — zdziwił się szeryf. — To nie dla niego określenie! Gdy usłyszysz, kto to jest, na pewno cofniesz swe słowa. Australijscy krajowcy nie dali się wam tak we znaki, jak nam wojowniczy Indianie amerykańscy. Stąd też i twoje oburzenie. Chodźmy teraz na kolację, widzę, że Betty nakryła już do stołu.

Szeryf wykonał ręką zapraszający ruch. Wszyscy weszli do jadalni. Allan z apetytem pochłaniał różne smaczne potrawy. Tomek, Sally i jej matka jedli niewiele, natomiast bosman Nowicki dotrzymywał towarzystwa gospodarzowi.

Obydwaj podsuwali sobie półmiski i ochoczo dolewali z dzbana zimnego piwa.

— Oni się chyba nigdy nie najedzą — szepnęła Sally, czekająca z wielką niecierpliwością na jakieś wyjaśnienia stryjka.

— Pociesz się, ich żołądki już długo nie wytrzymają. Twój stryj zwalnia tempo... — również szeptem odparł Tomek.

Sally mrugnęła porozumiewawczo do niego, gdy w końcu szeryf otarł usta serwetką i odsunął talerz. Z pudełka stojącego na stole wyjął wonne cygaro. Scyzorykiem odciął starannie grubszy koniec, po czym zapalił. W milczeniu wypuszczał dymne kółka.

— Widzę, że nasze piękne panie straciły apetyt na widok Indiańca w stalowych bransoletkach — odezwał się bosman, uśmiechając się wyrozumiale. — Wielka to cnota mieć litościwe serce. Wiele się człowiek napatrzył podczas włóczęgi po zakamarkach świata, ale muszę się przyznać, że i mnie zawsze wzrusza niedola bliźniego.

Szeryf poważnie spojrzał na poczciwego marynarza. Wolno wypuścił kłąb błękitnego dymu.

— Czy ktoś z państwa słyszał o Tańcu Ducha? — zapytał spokojnie.

Bosman zaprzeczył ruchem głowy. Pani Allan i Sally również nie słyszały o takim tańcu. Tomek natomiast odezwał się pewnym głosem:

— Taniec Ducha był rewolucyjnym tańcem szczepu Siuksów.

— Brawo, kawalerze! Widzę, że jeszcze nie zdążyłem właściwie ocenić twojej wiedzy o świecie i ludziach — pochwalił szeryf Allan. — Skąd się o tym dowiedziałeś?

— Przed każdą wyprawą staram się zdobyć trochę wiadomości o kraju, do którego mamy zamiar się udać — odparł chłopiec.

— Musisz pan wiedzieć, że nasz Tomek odziedziczył po swym szanownym rodzicielu smykałkę do nauki. To chodzące encyklopedie — chełpliwie rzekł marynarz, rad, iż może się pochwalić wiadomościami wychowanka.

— Nie posądzałem Tomka o zbyt wielkie zainteresowanie książkami, widząc jak całymi dniami ugania się na mustangach po stepie — przyznał szeryf. — Czy jeszcze wiesz coś więcej, mój chłopcze, o Siuksach i Tańcu Ducha?

— Niestety, to już wszystko.

— A czy stryjek wie? — podstępnie zapytała Sally.

Szeryf uśmiechnął się do niej zaczął mówić:

— To dość dawna i dziwna historia. W roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym wśród Indian północnego zachodu rozeszła się wieść, że w jakimś zakątku Wyoming zjawił się Great Medicine Man, wielki szaman, który wzywał wszystkich czerwonoskórych do rokосу przeciwko białym kolonistom. Był to Indianin Wovoka ze szczepu Piute. Nawoływał on współbraci do zaniechania wzajemnych walk plemiennych i zjednoczenia się. W myśl jego idei, Indianie powinni zaprzestać wyniszczających wojen oraz porzucić zwyczaje przejęte od białych ludzi. Jeżeli dokonają tego, to wtedy zjawi się indiański Mesjasz, który wypędzi białą rasę za wielkie morze, wskrzesi zaginione bawoły i przywróci stary sposób życia Indian.

Te idee odrodzenia szerzone przez starego Wovoke znane tu były jako Taniec Ducha, ponieważ tak zwał się taniec towarzyszący związanym z nimi obrzędom. Na czas tańca czerwonoskórzy zakładali białe koszule bawełniane ozdobione świętymi symbolami, mającymi chronić ich od zła. Taniec ten wprawiał Indian w jakiś hipnotyczny trans: wierzyli, że podczas niego dusze ich wędrują do Krainy Wielkiego Ducha, gdzie przebywają zmarli wielcy przodkowie.

Wezwania Wovoki nie pozostały bez echa. Indianie wykopywali topory wojenne, uzbrajali się i malowali twarze bojowymi barwami. Taniec Ducha podniecał wzburzone umysły, Indianie chwyтали za broń, wypowiedali posłuszeństwo agentom rządowym administrującym rezerwatami. Rozpoczęły się groźne zamieszki. Wzmogły się one, gdy na czele całego ruchu rewolucyjnego stanął Tatanka Yotanka — Siedzący Byk, wódz oraz wielce wpływowy szaman plemienia Teton–Dakota, należącego do grupy językowej

Sju. Był to bardzo niebezpieczny człowiek. On to bowiem organizował wojnę w latach tysiąc osiemset siedemdziesiąt pięć i sześć. Po bitwie nad Little Bighorn<sup>157</sup> schronił się do Kanady, skąd jednak powrócił w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym po ogłoszonej przez rząd amnestii i osiadł w rezerwacie Siuksów. Jako nieprzejednany wróg białych podjął wyzwanie Wovoki. Znow rozpoczął walkę. Początkowo odnosił poważne sukcesy, lecz wkrótce zabrakło mu broni i amunicji...

— Stryjku, co się stało z tym dzielnym wodzem? — zapytała Sally.

Szeryf ściągnął gniewnie brwi, lecz odparł spokojnie:

— Zginął marnie, jak na to zasłużył. Jako przywódca powstania został zastrzelony wraz z jednym ze swych synów przez członków indiańskiej policji: Czerwonego Tomahawka i Głowę Byka. Śmierć buntowniczego wodza położyła kres nierozsądnym walkom Indian.

— Kiedy zginął Siedzący Byk? — zapytał Tomek.

— W grudniu tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego roku — wyjaśnił szeryf i zajął się swoim zgasłym cygarem.

— Tak mi się wydawało, zapytałem jednak, ponieważ nie mogę doszukać się związku pomiędzy Tańcem Ducha i jeńcem indiańskim leżącym w więzach przed domem — powiedział Tomek.

— Wyraziłeś głośno moje myśli — zawołała pani Allan. — Cóż ma wspólnego z tym wszystkim ten biedny człowiek?

— Otóż doszliśmy do sedna rzeczy — rzekł szeryf. — Od pewnego czasu zacząłem otrzymywać informacje, iż jakiś tajemniczy czerwonoskóry mąci umysły okolicznych Indian. Na skutek jego wicherzycielskiej akcji w niektórych rezerwatach zaczęto jakoby odbywać zakazane obrzędy Tańca Ducha. Po zagadkowym zniknięciu dwóch agentów rządowych musiałem sam zająć się wyświeceniem sprawy. Złowrogie pogłoski okazały się prawdziwe. Ustaliłem wkrótce, że jakiś emisariusz przyjeżdża co pewien czas zza granicy meksykańskiej do naszych rezerwatów i podburza Indian do powstania przeciwko białym. Kilkakrotnie urządzałem na niego zasadzki, lecz ostrzegany przez swoich szpiegów, wymykał mi się dotąd z rąk. W końcu natrafiłem na właściwego człowieka, który pomógł ująć wicherzyciela.

---

<sup>157</sup> — Zwycięska dla połączonych sił Dakotów, Szejenów i Arapahów bitwa nad Little Bighorn została stoczona 25 VI 1876 r. Zginął w niej dowódca Siódmego Pułku Kawalerii, pułkownik George Custer oraz cały bezpośrednio przez niego dowodzony batalion.

Zamożny ranczer, Indianin Wiele Grzyw, zawiadomił mnie wczoraj, iż spodziewa się jego przybycia. Zaczaiłem się więc z policją indiańską w domu informatora i groźny przestępca wpadł w naszą pułapkę.

— Ha, więc to jest zapewne ten gagatek?! — krzyknął bosman, uderzając się dłonią w udo. — Powinszować szeryfowi, powinszować! Jak się zwie ten ancymon?

Tomek zgorzony spojrział na przyjaciela, lecz bosman zachowywał się, jakby go wcale nie dostrzegał. Szeryf skwapliwie wyjaśnił:

— Jest to Apacz zwany Czarną Błyskawicą. Czarny kolor wśród Indian symbolizuje śmierć. Podobno Czarna Błyskawica ma niejedno na swoim sumieniu.

— Wielki sukces, szeryfie — chwalił bosman. — Dlaczego jednak nie powiesiliście go od razu?

— Musimy wydobyć z niego zeznania. Czarna Błyskawica jest prawdopodobnie przywódcą większej grupy czerwonoskórych, ukrywającej się w górach w pobliżu naszej granicy. Poza tym nie mamy zamiaru pozbawiać go życia. Jeżeli zachowa się rozsądnie i zdradzi nam kryjówkę buntowników, to będzie traktowany jak jeńiec wojenny.

— Czy to znaczy, stryjku, że uwolnicie go po złożeniu zeznań? — zapytała Sally.

— Nie, moja droga. Będzie odesłany do Fortu Marion<sup>158</sup> na Florydzie, gdzie kilkuset opornych Indian przebywa na warunkach jeńców wojennych.

— Więc nic złego mu się nie stanie — ucieszyła się Sally.

— Chyba niezbyt rozsądne, aby buntowników traktować tak łagodnie — odezwał się bosman Nowicki, udając oburzenie. — Zły to przykład dla innych mąciwodów...

— Niech się pan tym nie kłopotczy — uspokoił go szeryf. — Jesteśmy na tyle silni, że nie potrzebujemy uciekać się do zbyt drastycznych... posunięć.

Bosman jednak nie dał za wygraną:

— Gdy wielu takich zuchów zgromadzi się w jednym miejscu, to i chyba nietrudno o zorganizowane ucieczki, a wtedy rebelia gotowa.

---

<sup>158</sup> — Fort Marion — nazwa używana w latach 1825–1942. W 1942 r. Kongres przywrócił Fortowi Marion jego pierwotną nazwę Castillo de San Marcos. Jest to stary kamienny fort hiszpański założony na Florydzie w 1672 r. Od 1924 r. zaliczony do narodowych pomników USA.

— Daliśmy sobie radę z lepszymi od Czarnej Błyskawicy — odparł szeryf Allan. — Trzeba panu wiedzieć, że Apacze, nawykli od wieków do rozbojów, długo opierali się zamknięciu w wyznaczonych rezerwatach. Tacy wojownicy jak Cochise, Geronimo, Naches. Juh i Nolgee mocno dali się nam we znaki. Gdy nie pomogły łagodniejsze środki, ogłoszono ich wyjętymi spod prawa i ścigano tak długo, dopóki nie zostali pojmani. Większość z nich przebywa w obozach na Florydzie, ale niewielu powróci w swe rodzinne strony po odbyciu kary.

— A to dlaczego, jeśli można zapytać? — zaciekawił się bosman.

— Tutejsi Indianie przyzwyczajeni są do suchego stepowego klimatu. Większość Florydy natomiast pokrywa bagnista dżungla. Toteż surowa dyscyplina, odmienna i niezdrowa okolica, a także tęsknota za rodzinnymi stronami robią swoje.

— Ho, ho, ho! Niezły sposób na pozbycie się buntowników — basowo zarechotał bosman Nowicki. — Jak się to mówi, za przeproszeniem pana, wszystko robi się w białych rękawiczkach.

Pani Allan zmarszczyła brwi.

— Ładnie postępujecie z prawowitymi właścicielami tej ziemi. Krótko mówiąc, Indianie muszą pozwolić zamknąć się w rezerwatach lub zginąć w Forcie Marion — powiedziała oschłym tonem.

— Nie wiedziałem, że biednym Indianom dzieje się tyle niesprawiedliwości — smutno rzekł Tomek. — Rosyjscy carowie taki sam los zgotowali Polakom. Prawdziwych patriotów wieszają na szubienicach lub zsyłają na Sybir. Przecież nawet mój ojciec i pan bosman musieli uciekać z kraju, by w ten sposób ratować się przed zesłaniem.

— Proszę, proszę, to ja z narażeniem życia całymi dniami uganiam się po wertepach w oszukiwaniu buntowników, a tu moi najbliżsi zarzucają mi nieprawość — odezwał się szeryf, śmiejąc się wymuszenie. — No, ale skoro tak jest, to przyznam się wam, że czasem żal mi tych czerwonoskórych zuchów. Dopóki jednak jestem szeryfem, muszę spełniać swój ciężki nieraz obowiązek.

— Rozumiem, rozumiem to, szanowny panie. Na statku stosuje się takie samo prawo. Każdy człowiek musi wypełniać swój obowiązek, nawet gdyby go to miało kosztować życie — przytaknął bosman. — Urząd szeryfa to jak

urząd kapitana statku. Ale nie rozumiem, dlaczego ci czerwonoskórzy policjanci z takim zapałem pilnują jeńca? Czy nie mogą się z nim pokumać?

— Nie ma obawy. Należą do policji indiańskiej, która jest znienawidzona przez większość czerwonoskórych. Niesłuszne to wszakże stanowisko, ponieważ w policji służą Indianie lojalnie ustosunkowani do naszego rządu. Czy rozsądne postępowanie można nazwać zdradą?

— Wydaje mi się, że można, jeżeli sprzeczne jest ono z interesem narodu. Cóż tu jednak mówić o przyjaznych stosunkach pomiędzy czerwonoskórymi i białymi, skoro sami Indianie pałają do siebie nienawiścią — wtrąciła pani Allan, nie przekonana argumentacją szwagra.

Zanim szeryf zdążył cokolwiek odpowiedzieć, odezwał się Tomek:

— Ludzie prawi i szlachetni zawsze znajdą właściwą drogę postępowania. Słyszałem o białych cieszących się prawdziwą przyjaźnią Indian amerykańskich. Na przykład nasz rodak, odkrywca i podróżnik Paweł Strzelecki, przez długi czas przebywał wśród Indian i zaprzyjaźnił się z Osceolą, bohaterskim wodzem Seminolów.

— Tommy, czy to ten sam podróżnik, który odkrył w Australii Alpy Australijskie i nazwał ich najwyższy szczyt Górą Kościuszki? — nieśmiało zapytała Sally.

— Tak, to on — potwierdził Tomek, uśmiechając się do swej przyjaciółki.

— Nie wiedziałam, że Paweł Strzelecki podróżował po Ameryce — zdziwiła się Sally.

— Strzelecki zwiedził niemal cały świat — wyjaśnił chłopiec. — Przed przybyciem do Australii podróżował po Ameryce Północnej<sup>159</sup> i Południowej, a potem zwiedzał wyspy Pacyfiku i Nową Zelandię.

— Czy w Stanach Zjednoczonych dokonał jakichś ciekawych odkryć? — pytała Sally.

— W Ameryce Strzelecki prowadził przede wszystkim rozległe badania etnograficzne, a ich wyniki opisał w swej książce. W Stanach Zjednoczonych przewędrował szlakiem kościuszkowskim, to znaczy zwiedził Boston, Nowy Jork, Filadelfię, Baltimore, Waszyngton, Richmond i Charleston. Prowadził ciekawe badania w meksykańskiej Sonorze oraz w Kalifornii. Strzelecki był

---

<sup>159</sup> — W Stanach Zjednoczonych i Kanadzie Strzelecki przebywał w latach 1834–1835. Więcej wiadomości o Strzeleckim znajdzie czytelnik w powieści *Tomek w kramie kangurów*.



ponadto wielkim filantropem. Zawsze pomagał prześladowanym i pokrzywdzonym. Spotkał się nawet z ówczesnym prezydentem Stanów Zjednoczonych, Jacksonem, by wstawić się za polskimi emigrantami, jak i za byłymi więźniami karnie deportowanymi przedtem z Anglii do Ameryki. Wtedy również próbował wpłynąć na ulżenie niedoli Indian i murzyńskich niewolników. W tej sprawie dotarł nawet przed Kongres amerykański.

— Ho, ho! Śmiały to był człowiek z tego Strzeleckiego — wtrącił bosman.

— Czy on naprawdę nic a nic nie bał się Indian? — dopytywała się Sally.

— Jak już powiedziałem, Strzelecki prowadził badania etnograficzne wśród pierwotnych mieszkańców Ameryki. Przebywał więc jakiś czas u Huronów zamieszkujących Krainę Wielkich Jezior. Niejedną noc spędził w ich wigwamach. Chociaż był to wtedy okres wojen indiańskich, wędrował samotnie po puszczech i stepach. Często przekraczał wojenne ścieżki Indian płonących uzasadnioną nienawiścią do białych kolonistów, a mimo to nie tylko potrafił uniknąć wszelkich niebezpieczeństw, lecz nawet zaprzyjaźnił się z różnymi szczepami i ich wodzami. najlepszym tego przykładem jest fakt, że w tym właśnie czasie, gdy Seminole osiedli na Florydzie rozpoczęli nierówną, lecz bohaterską walkę ze Stanami Zjednoczonymi, pragnąc zapobiec wyniszczeniu swego szczepu, Strzelecki żył z nimi w wielkiej zgodzie i zadzierzgnął więzy przyjaźni z wodzem Osceolą. Strzelecki pisał później w swoim pamiętniku o tym wielkim indiańskim wodzu.

— Tommy, powiedz jeszcze, co się stało z Osceolą?

— Został wzięty przez Amerykanów do niewoli. W roku tysiąc osiemset trzydziestym ósmym zmarł na anginę w Fortcie Moultrie<sup>160</sup> jako jeniec wojenny.

— Ciekawe rzeczy opowiadasz nam, Tommy — odezwała się pani Allan. — Twoi rodacy potrafią więc współżyć z krajowcami amerykańskimi. Nie ma co mówić, smutna jest dola ujarzmionych ludów!

Szeryf Allan wzruszył ramionami i powiedział:

— Problem Indian nie był ani nie jest łatwy do rozwiązania. Gdybyśmy nawet nie zamknęli czerwonoskórych w rezerwatach, to koloniści by ich wyrznęli co do jednego. Wystarczy przypomnieć masakrę w Camp Grant.

---

<sup>160</sup> — Fort Moultrie leży w południowej części stanu Karolina.

— Opowiedz pan o tym, jeśli łaska. Chętnie posłuchamy — zagadnął bosman.

— Smutna to raczej historia — odparł szeryf. — Kiedy nie udało się siłą osadzić Apaczów w rezerwacie, bo wojska było mało, a rozległe tereny i klimat dawały czerwonoskórym przewagę, prezydent Grant zmienił taktykę wobec Indian. Wtedy to właśnie banda głodujących Arivaipa Apaczów przybyła do posterunku wojskowego w Camp Grant. Porucznik Whitman, dowódca posterunku, nakarmił ich oraz nakłonił do sprowadzenia rodzin i przyjaciół. Zgłosiło się wielu Indian z rodzinami. Whitman założył dla nich mały nieoficjalny rezerwat. Zbyt wielka jednak była nienawiść białych i meksykańskich osadników do Apaczów za stałe ich napady — gdy zwiedzieli się o założeniu rezerwatu, postanowili zniszczyć go, nie zważając, że znajdowali się w nim pokojowo nastawieni Indianie. Trzydziestego kwietnia tysiąc osiemset siedemdziesiątego pierwszego roku o świcie osadnicy i Meksykanie napadli na obóz. Zamordowali śpiących Indian, nie oszczędzając kobiet ani dzieci. Ciała czerwono skorych zostały okropnie okaleczone. Zaledwie kilku Indianom udało się zbiec w góry, podczas gdy napastnicy pospiesznie wycofali się do Tucson<sup>161</sup> zabierając wiele indiańskich dzieci jako jeńców. Osadnicy chwalili się głośno, iż ani jeden z nich nie został ranny podczas napadu. Wielu obywateli Arizony uważało ten mord za usprawiedliwiony, ponieważ Apacze stale napadali na osady, a ślady band wiodły wprost do Indian obozujących blisko Camp Grant, pozostającego pod oficjalną opieką wojska. Potępiono tylko zabicie kobiet i dzieci. Prezydent Grant kazał aresztować wszystkich uczestników napadu. Zagroził, że cała Arizona zostanie poddana prawu wojennemu. Przywódcy napadu zostali wprawdzie aresztowani, lecz sąd ich uniewinnił. Indianie uzyskali jedynie to, że w ich życie w rezerwatach nie mogą się wtrącać biali i że korzystają z materialnej oraz moralnej pomocy rządu.

— Nasz szeryf ma dużo racji, szanowna pani — pojednawczo odezwał się bosman. — Dla pań to wprawdzie widok przykry, ale ja i Tomek pójdziemy rzucić okiem na tego gagatka. Oczywiście, jeżeli pan szeryf zezwoli i nie ma nic przeciw temu.

— Bardzo proszę. Może będzie to dla was pewną rozrywką na tym pustkowiu — zgodził się szeryf. — Macie dość czasu, ponieważ jeńca muszę

---

<sup>161</sup> — Tucson — miasteczko w południowo-wschodniej części stanu Arizona.

zatrzymać tutaj aż do przybycia kapitana Mortona z oddziałem kawalerii, który przetransportuje go do Fortu Apache. Przybędzie on nie prędzej jak jutro po południu.

— Chętnie się przyjrzę Czarnej Błyskawicy — naraz odezwał się Tomek tak lekkim tonem, że pani Allan i Sally spojrzały na niego z wyrzutem. — Jeżeli policjanci będą go dobrze pilnowali, to nie mamy się czym kłopotać. Czy jednak można im dowierzać pod każdym względem? Kto ma kluczyk do oków?

— Brawo, brawo, kawalerze! Cenię roztropność i rozsądek — pochwalił szeryf, pewny, że zdołał przekonać młodego Polaka o słuszności swego postępowania. — Możecie się niczego nie obawiać, kluczyk od kajdanek wisi sobie spokojnie na łańcuszku mego zegarka.

Mówiąc to pokazał mały, płaski klucz przymocowany do łańcuszka. Sally przybladła z wrażenia przyglądając się kluczykowi.

— Och, jak to się dobrze składa! — zawołała, lecz zaraz dodała pospiesznie: — Jak to się dobrze składa, że stryj jest tak ostrożny. Czy mogę pójść z Tommym i panem bosmanem popatrzeć na tego okropnego człowieka?

— Idź wiercipięto, tylko uważaj, żeby ci się w nocy nie przyśnił — śmiał się szeryf.

— Sally, kochanie, nie bądź zbyt długo wieczorem na dworze — przykazała matka, — Głowa mnie rozbolała: idę do łóżka.

— Dobrze, mamusiu! Chodźmy, Tommy!

Pani Allan pierwsza opuściła jadalnię. Szeryf zatrzymał bosmana na strzemiennego przed snem, więc Tomek i Sally wyszli na werandę. Sally chwyciła Tomka za ramię.

— Tommy, omal się nie zdradziłam! Na szczęście w porę ugryzłam się w język. Czy wiesz, że taki sam kluczyk znajduje się w szufladzie biurka w gabinecie? — szepnęła.

— Czyżby? Co ty pleciesz?!

— Nie udawaj, że nie wiesz, co mam na myśli — oburzyła się Sally. — Dzisiaj rano nudziło mi się trochę, więc zajrzałam do szuflady biurka w gabinecie. W szufladzie leżą stalowe kajdanki z takim samym kluczykiem, jak ten u stryjka na łańcuszku.

— Czy jesteś tego pewna?

— Oczywiście, że tak! Przyjrzałam mu się dobrze, ponieważ bawiłam się tymi „*bransoletkami*”, jak to nazwał kajdanki bosman Nowicki. Zaraz też poznałam, że kluczyk jest taki sam.

Tomek odczekał chwilę, aby ukryć podniecenie, i odparł obojętnie:

— A niech tam sobie leży. Cóż mnie to może obchodzić? W ogóle nie wiem, po co mi to powiedziałaś.

— Cenię roztropność i ostrożność — rzekła Sally naśladowując głos stryjka. — Ach! Ty obłudniku! Przez całą kolację siedzi i rozmyśla, jak by tu uwolnić nieszczęsnego wodza Indian, a teraz udaje niewiniątko.

— Cicho bądź, Sally, na miłość boską! Co ty wygadujesz? Jeszcze nas kto usłyszy.

— Ha, nareszcie się wydało! — triumfowała dziewczynka. — Mnie nigdy nie oszukasz!

— Skąd możesz wiedzieć, o czym rozmyślałem w czasie kolacji?

— Oj, Tommy! Przecież już ci kiedyś powiedziałam, że gdy patrzę na ciebie, to wiem, o czym myślisz. Masz szczęście, że nie jestem szeryfem! Musiałabym zaraz cię zamknąć w piwnicy.

— Sally...!

— Dobrze już, dobrze. Widzisz teraz, że nawet taka niemądra dziewczynka może się na coś przydać.

— Nigdy nie powiedziałem, że jesteś niemądra — gorąco zapewnił Tomek.

Chłopiec zamilkł, gdyż szalony pomysł przyszedł mu dopiero w tej chwili do głowy. Sally nie myliła się, sądząc, iż rozmyślał nad możliwością udzielenia pomocy Czarnej Błyskawicy. Do tej jednak pory zdawało mu się to absolutnie niemożliwe. Teraz natomiast cała sprawa zaczęła wyglądać realniej. Gdyby Indianin pozbył się więzów, na pewno by zdołał umknąć prześladowcom.

Tomek wahał się, czy może całkowicie zaufać młodej przyjaciółce.

Postanowił ostrożnie wybadać grunt.

— No tak, Sally, muszę przyznać, że jesteś sprytna i domyślna. Cóż jednak z tego, że taki sam kluczyk leży w biurku twego stryjka? Kluczyk do nas nie przyjdzie, a wydostanie go stamtąd jest ryzykowne. Pomyśl tylko! Aby uwolnić Indianina, należałoby wyjąć kluczyk z szuflady, otworzyć

okowy, którymi skuty jest Czarna Błyskawica, a potem z powrotem umieścić kluczyk na dawnym miejscu.

— Tommy, jeżeli tylko zgodzisz się dopuścić mnie do spisku, to zobowiązę się wydobyć kluczyk i schować go z powrotem do szuflady. Możesz być pewny, że włożę go tak samo w dziurkę bransoletki, jak tkwi w niej w tej chwili.

— Hm, pomyślę nad tym. Może będzie można coś pomóc temu nieszczęśnikowi.

— Tommy, ty musisz to zrobić! Czy wiesz, że po raz pierwszy będę brała udział w takim prawdziwym spisku?

— Dobrze, Sally, dobrze! Teraz uspokój się, bo lada chwila bosman tu przyjdzie.

— Tommy, nie oszukuj mnie! Czytałam, że spiskowcy zawsze składają przysięgę na dotrzymanie tajemnicy. Bez przysięgi nie ma mowy o spisku.

Tomek już miał wybuchnąć gniewem, ale w tej chwili z jadalni dobiegł hałas odsuwanych krzeseł. Wymamrotał więc szybko słowa zaimprovizowanej przysięgi na wierność Czarnej Błyskawicy, a uszczęśliwiona Sally ściszone głosem powtórzyła je uroczyście.

Bosman wszedł na werandę w chwili, gdy dziewczynka wylewnie ścisnęła Tomka po zakończonej przysiędze. Bosman ujął się rękoma pod boki i rzekł:

— No, dość tego gruchania, moje kochane urwipolcie! Chodźmy się przyjrzyć Indiańcom.

— Wspaniale, proszę pana! Jeszcze tylko muszę Tommy'ego o coś zapytać — zawołała dziewczynka.

Wspięła się na palce, by jednym tchem szepnąć Tomkowi do ucha:

— Czy pan bosman także będzie należał do spisku?

Tomek uszczypnął ją w łokieć i odparł również szeptem:

— Myślę, że tak.

— To niech on również przysięgnie! — nalegała Sally.

— Cicho bądź! Bosman zrobi to później.

— Cóż to za konszachty? — zawołał marynarz, bawiąc się doskonale zakłopotaniem chłopca.

— Nic, proszę pana. Naprawdę nic! — zapewniła Sally.



## UCIECZKA

Sally i Tomek wraz z bosmanem Nowickim wyszli przed dom. Olbrzymi, jasnożółty księżyc dopiero co wyłonił się zza linii horyzontu. Srebrzysta poświata leniwie wpełzała pomiędzy drzewa i krzewy rozpraszając wieczorny mrok.

Dookoła dużego ogniska na podwórzu ranczo usiedli indiańscy policjanci. W milczeniu wyciągali dłonie ku miskom z pożywieniem, które Betty stawiała przed nimi na ziemi. Odblask płomieni migotał na ich miedziano-brązowych twarzach. Jedli powoli, lecz za to dzbany z piwem krążyły wśród nich bez przerwy. Chciwie opróżniali kubki. Mogło się wydawać, że w tej namiastce „wody ognistej” szukają zapomnienia o swym niecnym czynie. Nawet niezbyt bystry obserwator mógł spostrzec, iż czerwono skorzy stróże prawa umyślnie odwracają głowy, aby nie patrzeć w kierunku dużego, rozłożystego drzewa bawełnianego<sup>162</sup>, pod którym leżał skrępowany jeniec.

Bosman z młodymi przyjaciółmi podeszli najpierw do ogniska. Marynarz głośno pochwalił dzielność policjantów, poczęstował ich tytoniem, po czym oznajmił, że jeżeli tylko szeryf Allan nie będzie miał nic przeciwko temu, gotów jest uczcić ich zwycięstwo butelką dobrego rumu.

Przywódca straży indiańskiej gardłowym głosem odparł na to, że sam odpowiada za swoich ludzi, ponieważ obowiązują go tylko rozkazy agenta rządowego zawiadującego rezerwatem. Przypadkowa współpraca z szeryfem nie nakłada na niego dodatkowych obowiązków.

Bosman, zadowolony wielce z takiego przebiegu rozmowy, przyniósł zaraz dużą butelkę jamajki, wręczył ją przywódcy straży, polecając rum podzielić pomiędzy wszystkich policjantów. Indianie pragnęli jak najdłużej delectować się wspaniałym darem, toteż przywódca do każdego kubka piwa dolewał trochę rumu.

— A nie zapomnijcie o tamtych dwóch pilnujących jeńca — upomniał bosman, wskazując w kierunku drzewa bawełnianego.

---

<sup>162</sup> — Drzewo bawełniane — nazwa używana na określenie gatunków drzew strefy międzyzwrotnikowej, jak puchowiec (*Ceiba*), serecznik (*Bombax*) i *Chorisia*, których owoce są pokryte włoskami lub nasionami podobnymi do bawełny.

Przywódca potakująco skinął głową. Z butelką w ręku ruszył zaraz ku strażnikom. Bosman, Tomek i Sally również zbliżyli się do nich. Nim tamci opróżnili swe kubki, trójka przyjaciół bacznie przyjrzała się jeńcowi.

Czarna Błyskawica siedział na ziemi. Skrzyżowane na brzuchu dłonie były kurczowo zaciśnięte. Tuż ponad dłońmi, na samych przegubach, błyszczały stalowe obręcze połączone krótkim, grubym łańcuchem. Nogi miał także skute kajdankami. Poszarpana odzież była wymownym dowodem zaciętej walki, jaką zapewne stoczył z silniejszym przeciwnikiem, zanim go ujęto. Poza niegroźnymi zadrapaniami Czarna Błyskawica nie odniósł ran, ponieważ przywódca straży odebrał swym ludziom noże i tomahawki, aby żywcem pochwycić buntownika.

Na spieczonych wargach Czarnej Błyskawicy widniała zakrzepła krew. Gdy Tomek to zauważył, zaraz zawołał:

— Panie bosmanie, jeńiec na pewno jest bardzo spragniony. Proszę tylko spojrzeć na jego usta!

— Niech zdycha z pragnienia, skoro nie chce przyjąć od nas wody — twardo powiedział przywódca. — Ma szczęście, ten parszywy pies, że Wielki Ojciec z Białego Domu chce z nim rozmawiać. Inaczej sam bym go nożem poczęstował za nazywanie nas zdrajcami.

Z pasją kopnął jeńca w bok. Czarna Błyskawica spojrzął na niego spod przymrużonych powiek. Tyle nienawiści i pogardy było w jego wzroku, że policjant machinalnie cofnął się kilka kroków, jakby mimo więzów obawiał się ze strony jeńca jakiejś nieoczekiwanej reakcji.

Tomek oburzony czynem policjanta postąpił ku niemu, lecz czujny na wszystko bosman oparł swą prawą rękę na jego ramieniu. Żyłasta, gruba dłoń zatrzymała chłopca na miejscu, a bosman rzekł spokojnie:

— Nie jesteśmy Amerykanami, więc nie chcemy się mieszać do waszych spraw. Chętnie jednak poznajemy zwyczaje indiańskich wojowników. Jeśli więc kopanie bezbronnego jeńca jest u was dowodem odwagi, to kopnij go jeszcze raz, ale na moją prośbę daj mu łyknąć trochę rumu. Nie lubię patrzeć na spragnionego człowieka. W zamian za to przyślę ci zaraz jeszcze jedną butelkę. No, co? Zgoda?

Przywódca wyczuł drwinę w słowach bosmana. Zmieszał się mocno, lecz po chwili wahania podszedł do jeńca z kubkiem napełnionym rumem. Gdy tylko pochylił się nad Czarną Błyskawicą, ten niespodziewanym ruchem



podciągnął nogi i rozprostowując je gwałtownie, uderzył stopami w pierś policjanta, który wywinął kozła. Zawartość kubka oblała mu twarz.

Obydwaj strażnicy poderwali się z ziemi. Jeden z nich grzotnął jeńca kolbą karabinu. Czarna Błyskawica opadł na ziemię bez słowa skargi.

— Ho, ho! A to ci rogata dusza — zawołał bosman. — No, czort z nim, skoro woli cierpieć pragnienie, niż przyjąć nasz poczęstunek. Zaraz wam przyniosę więcej rumu.

Tomek szepnął coś Sally do ucha. Dziewczynka kiwnęła głową i pobiegła do domu. Za chwilę bosman z Tomkiem udali się po przyobiecany rum. Marynarz miał w swoim pokoju kilkanaście butelek ulubionej jamajki. Na każdą wyprawę zabierał spory jej ładunek, utrzymując, że sianowi ona najlepszy środek przeciwko wszelkim dolegliwościom. Gdy znaleźli się sami w pokoju, bosman zamyślony spojrzał na chłopca.

— Jestem ciekaw, co by zrobił twój szanowny tatuś, gdyby był tutaj z nami — odezwał się po chwili.

— To samo, co my zrobimy, kochany bosmanie — odparł Tomek.

— A co my zrobimy?

— Uwolnimy Czarną Błyskawicę!

— Niełatwa sprawa, kochany brachu. Strażnicy pilnują go jak oka w głowie, jeniec skuty bransoletkami, a na dobitkę jesteście gośćmi szeryfa.

— Gdyby Czarna Błyskawica nie był skuty okowami, sam dałby sobie radę — powiedział Tomek. — Zagroda z końmi znajduje się zaledwie o kilkadziesiąt kroków. Na pewno by mu się udało uciec.

— Gdyby w stawie rosły grzyby, to by się je łąwiło wędką, a nie zbierało w lesie — rozgniewał się bosman. — Będziesz mi strugał filozofa! Tu trzeba ruszyć głową, aby wymyślić jakiś sposób. Tyle i ja wiem, że wystarczy zdjąć mu bransoletki, a rozwieje się jak wiatr po stepie. Nie możemy jednak zabić szeryfa, aby...

Bosman urwał w pół zdania, ponieważ w tej chwili drzwi cicho się uchyliły. Do pokoju weszła Sally stąpając ostrożnie na palcach.

— Skaranie boskie z tobą, dziewczyno! Czego tu jeszcze szukasz? — ofuknął ją bosman. — Taka panienka jak ty dawno już powinna leżeć w łóżku w swoim pokoju.

Sally zachichotała z uciechy i kiwnęła głową w kierunku Tomka.

— Pokaż panu bosmanowi, co przyniosłaś — powiedział chłopiec.

Dziewczynka podbiegła do marynarza. Podsunęła mu pod nos otwartą dłoń, na której spoczywał mały klucz. Błysk zrozumienia i podziwu przemknął po twarzy bosmana.

— Zaraz wydało mi się, że coś knujecie — mruknął. — W jaki sposób wycygałaś kluczyk od stryjka?

— Czy pan bosman już należy do spisku, Tommy? — zapytała dziewczynka.

— Tak, tak Sally. Możesz swobodnie mówić — uspokoił ją Tomek.

— Stryjka kluczyk wisi tak jak przedtem na łańcuszku od zegarka — wyjaśniła Sally. — To jest natomiast drugi, zupełnie taki sam kluczyk, wyjęty z szuflady biurka.

— Nieźleście to wykombinowali — przyznał bosman. — Jeśli Indianiec pryśnie, a stryjek przypomni sobie o tym drugim kluczyku i go nie znajdzie, wszystko wyda się jak amen w pacierzu. We trójkę powędrujemy do ciupy.

— W tym właśnie cały sęk — zmartwił się Tomek. — Trzeba tak zrobić, aby kluczyk znalazł się z powrotem w biurku.

Bosman zmarszczył czoło, a Tomek podszedł do okna rozważając coś w myśli. Gdy się odwrócił, rzekł:

— Jakoś to będzie, moi drodzy. Sally, co porabia twoja mamusia?

— Nic nam z jej strony nie grozi. Mamę rozboleła głowa, więc zapewne wzięła proszek, bo śpi już w najlepsze.

— To dobrze. Teraz nic tu po tobie, droga przyjaciółko. Wróc do swego pokoju, rozbierz się i połóż do łóżka.

— Phi, a gdzie nasz spisek? — oburzyła się Sally.

— Jeszcze nie skończyłem. — stanowczo odparł Tomek. — Połóż się do łóżka, lecz pamiętaj, że nie wolno ci zasnąć! Jak tylko dostanę kluczyk z powrotem, będziesz musiała go zanieść na dawne miejsce.

— Wcale mi się to nie podoba! Ja chcę być obecna przy całym spisku.

— Sally, każda rozsądna osoba wie, że spiskowcy mają ściśle przydzielone role. Jeżeli wykonamy je dokładnie według planu, to wszystko powinno się udać. Natomiast inaczej... kłapa! Rozumiesz?

— Czy ty uważasz, że moja rola jest ważna? — niespokojnie zapytała Sally.

— Wykonujesz najważniejsze zadanie, bo gdybyśmy nie mieli kluczyka, to w ogóle nic by się nie udało. Prawda, panie bosmanie?

— Prawda, jak amen w pacierzu — potwierdził bosman.

— Możecie na mnie polegać — zapewniła Sally. — Czekam więc w łóżku na kluczyk.

— Uff...! — ciężko westchnął Tomek, gdy Sally zniknęła za drzwiami. — Ależ ona jest uparta! Na szczęście poszła!

— Jeżeli wszystkie sikorki są takie, to chyba do końca życia zostanę kawalerem — jak echo odezwał się bosman. — No, ale jakoś dałeś sobie z nią radę. Co teraz zrobimy?

— Zaniesiemy Indianom rum, a reszta będzie zależeć od okoliczności. Niech pan postara się odciągnąć na chwilę strażników od jeńca, żebym mógł z nim pomówić.

— Tak jak każdy statek musi mieć kapitana, tak każde przedsięwzięcie wymaga jednego dowódcy. Wykombinowałeś tę całą hecę, więc bądź kapitanem. Dobra nasza, postaram się zabawić tych dwóch strażników i ich koleżków. W jaki sposób poznam, że już wypełniłeś zadanie?

— Gdy obetrę czoło chustką, będzie to znak, że wszystko załatwione.

— Zgoda, teraz rozwińmy żagle!

Bosman wepchnął flaszkę rumu do kieszeni spodni, po czym wymknęli się z domu. Marynarz zadowolony był, iż Tomek wziął na siebie porozumienie się z Czarną Błyskawicą. Poczciwiec nie lubił wyęźać umysłu; wszelkie trudności zazwyczaj pokonywał uderzeniem pięści, co przy jego niezwykłej sile nie sprawiało mu zbyt wielkiego kłopotu. W obecnej jednak sytuacji siła nie na wiele by się przydała. Wobec tego zaufał młodszemu przyjacielowi, którego rozsądek, spryt i przysłowiowe wprost szczęście zawsze podziwiał.

Pojawienie się ich przy ognisku zostało powitane pochwalnym szmerem. Przez cały dzień policjanci nie mieli czasu pomyśleć o posiłku, toteż kolacja obficie zakrapiana piwem zrobiła swoje. Wszyscy byli podnieceni i spragnieni wody ognistej.

Bosman wolnym ruchem wydobył z kieszeni pełną butelkę. Czerwonoskórzy skwapliwie podsunęli kubki. Bosman już pochylił flaszkę nad pierwszym z brzegu kubkiem, lecz naraz, jakby sobie coś przypomniał, cofnął rękę i odezwał się:

— Słuchaj no, dowódco! Tamci dwaj strażnicy też powinni napić się z nami na dobranoc. Czy nie możesz zawołać ich tu na chwilę?

— Dobra mowa, czas nawet zmienić wartowników. Kto idzie teraz pilnować jeńca? — zapytał dowódca.

Nikt z Indian nie kwapił się do opuszczenia okazji. Butelka była duża. Zawartość jej powinna wystarczyć co najmniej na dwie kolejki.

Bosman, widząc ociąganie Indian, rzucił jakby od niechcienia: — Ha, wszyscy lubicie dobrą wodę ognistą. Mnie też trudno odegnać od pełnej butelki. Ale mam pewną myśl! Mój młody towarzysz nie pije alkoholu. Bez żalu zastąpi na chwilę tamtych dwóch zuchów.

Dowódca chciał zaoponować, lecz bosman nie dopuścił go do słowa ciągnąc:

— Nie ma się co obawiać, dowódco. Mój kumpel na sto kroków niezawodnie trafi nawet najmniejszego ptaka prosto w łepetynę. Musicie przyjechać tu kiedy w wolnej chwili, aby zobaczyć jego niezwykłą celność. Nie spotkałem dotąd równego mu strzelca, chociaż sam przedziurawiam monetę rzuconą w górę. Słuchaj, zastąp tamtych zuchów, tylko nie spuszczaaj oka z tego gagatka!

Tomek w milczeniu wolnym krokiem ruszył w kierunku drzewa bawełnianego. Obydwaj strażnicy musieli słyszeć głośną rozmowę bosmana, oddalonego od nich zaledwie o kilkanaście kroków, gdyż bez sprzeciwu spieszenie podeszli do reszty towarzyszy.

Tomek usiadł na ziemi. Oparł się plecami o pień drzewa. Rozejrzał się wokół i skoro tylko stwierdził, że nikt niepowołany nie może go usłyszeć, powiedział półszepem po angielsku:

— Nie mamy chwili do stracenia, więc niech Czarna Błyskawica słucha uważnie. Dzisiejszego ranka przypadkiem przeszkodziłem Czerwonemu Orłowi w ostrzeżeniu ciebie przed zasadzką. Chcę teraz naprawić zło wyrządzone niechcący i pomóc memu bratu w ucieczce.

Ani jeden muskuł nie drgnął w kamiennej twarzy Czarnej Błyskawicy. Siedział dalej bez ruchu, lecz gdy Tomek wspomniał Czerwonego Orła, Indianin rzekł cicho:

— Ugh! Myślałem, że Czerwony Orzeł mnie zdradził!

— Nie, on nie jest zdrajcą! Zwichnął nogę walcząc ze mną, a wtedy właśnie Czarna Błyskawica minął samotnie górę. Nim Czerwony Orzeł odzyskał siły, by dosiąść konia, było już za późno. Czy mój czerwony brat mógłby otworzyć okowy, gdyby miał kluczyk?

— Czarna Błyskawica mógłby to zrobić.

— Słuchaj uważnie, Czarna Błyskawico, mam już ten kluczyk, lecz cała trudność w tym, że muszę otrzymać go z powrotem, aby nie narazić na przykrość kogoś bardzo ci życzliwego.

— O kim mój biały brat mówi? — zapytał Indianin.

— Mój czerwony brat musiał widzieć tę młodą squaw, która była uprzednio tutaj ze mną. To ona wykradła kluczyk dla ciebie. Więc co zrobimy?

— Mała Biała Róża otrzyma kluczyk z powrotem, zanim stąd ucieknę — oświadczył Czarna Błyskawica po krótkim namyśle. — Czy mój brat mieszka w domu szeryfa?

— Tak, ja i mój przyjaciel jesteśmy gośćmi, Mała Biała Róża zaś jest krewną szeryfa. Czy mój brat widzi górne dwa okna w szczycie domu?

— Widzę, księżyc właśnie je oświetla.

— Pierwsze od nas, to okno mego pokoju, drugie mojej młodej przyjaciółki — wyjaśnił Tomek.

— Niech mój brat opuści z okna sznurek tak, aby dotykał ziemi. Lekkie pociągnięcie będzie oznaczało, że kluczyk jest już do niego przywiązany. Gdy to nastąpi, Czarna Błyskawica ucieknie.

— W jaki sposób przywiążesz kluczyk? — zaniepokoił się chłopiec. — Marnując na to czas, możesz stracić możliwość ucieczki.

— To moja sprawa. Jeżeli nie będę mógł zwrócić klucza, to nie umknę. Czarna Błyskawica nie jest białym człowiekiem, więc ma tylko jeden język. Ugh! Powiedziałem!

Tomek wyciągnął ostrożnie kluczyk z kieszeni. W chwili gdy strażnicy wychylali drugą kolejkę, rzucił go na kolana Indianina. Widział, jak dłonie jeńca schwyciły błyszczący przedmiot i zręcznie wsunęły go za pas na brzuchu.

Tomek odczekał chwilę, dopóki serce nie zaczęło mu bić normalnym rytmem. Dopiero wtedy wyjął chustkę z kieszeni i starannie zaczął wycierać zroszone potem czoło.

Bosman Nowicki natychmiast ujrzał umówiony znak. Rzucił na ziemię opróżnioną butelkę, a następnie z dowódcą straży oraz dwoma policjantami zbliżył się do Tomka.

Biały chłopiec pobladł na moment, gdy dowódca pochylił się nad jeńcem, by sprawdzić okowy na jego rękach i nogach. Znowu dwaj strażnicy usiedli obok jeńca. Swoje długie karabiny położyli na udach nóg skrzyżowanych zwyczajem indiańskim.

Tomek i bosman pospiesznie powrócili do pokoju. Chłopiec zaraz poinformował przyjaciela o przebiegu rozmowy z Czarną Błyskawicą. Marynarz uznał propozycję Indianina za najrozsądniejsze wyjście z kłopotliwej sytuacji, ale nie potrafił odgadnąć, w jaki sposób będzie on mógł wykonać swe zobowiązanie. Obiecał przecież, że kluczyk zostanie przywiązany do sznurka jeszcze przed jego ucieczką. Aby dotrzymać słowa, musiałby zlecić komuś innemu zwrócenie kluczyka. Co to miało oznaczać?

Oczywiście zanim bosman i Tomek zaczęli się głowić nad rozwiązaniem tej zagadki, opuścili z okna długi sznurek. Następnie zrzucili z siebie część odzienia, by w każdej chwili móc pozorować zerwanie się z łóżek. Potem usiedli na podłodze przy parapecie otwartego okna. Tomek przywiązał do lewej ręki koniec sznurka, aby poczuć natychmiast najłżejsze nawet szarpnięcie. Bosman ćmił swoją fajkę. Od czasu do czasu dyskretnie spoglądał przez okno na podwórze. Drzewo bawełniane, pod którym leżał skępowany więzień, oddalone było od domu o jakieś trzydzieści metrów. Odblask niewidocznego z okna ogniska padał aż do stóp drzewa, pozwalając widzieć ciemne sylwetki czuwających strażników.

Wolno mijała godzina za godziną. Dopiero po następnej zmianie warty sprawy zaczęły przybierać trochę inny obrót.

Tomek i bosman znużeni wyczekiwaniem przestali rozmawiać. Przez jakiś czas trwali w milczeniu.

Naraz bosman uniósł się na kolanach i wyjrzał przez okno. Srebrzysty księżyc w pełni przesunął się po nieboskłonie i znikł poza zabudowaniami. Rozłożyste drzewo bawełniane osnuło się cieniem nocy. Jednocześnie ognisko na indiańskim biwaku trochę przygasło. Widoczne było, że Indianie śpią już od dawna, zapominając o podsycaniu ognia chrustem. Bosman pochylił się ku chłopcu.

— Nie kimaj, brachu! — szepnął. — Jestem dziurawym pudłem morskim, jeżeli teraz coś się nie stanie.

— Nie śpię, niech pan będzie spokojny — zapewnił Tomek. — Czy dostrzegł pan coś ciekawego?

— Właśnie w tym sęk, że nic nie widać. Spójrz sam!

Tomek podniósł się. Przyłgnał do futryny okna. Wyrzał ostrożnie.

Po stepie pełzał szaromleczy tuman mgły. Pobliskie krzewy, drzewa budynki rozpływały się w białym obłoku, przybierały nierealne kształty. Potężne drzewo bawełniane jakby nagle ożyło. Gałęzie zdawały się poruszać, przybliżać bądź oddalać. Wokół panowała upiorna cisza. Zamilkły nawet świerszcze stepowe.

Naraz czerwony odblask rozbłysnął w mgielnych oparach, ktoś pewnie dorzucił chrustu do ogniska. Tomek drgnął całym ciałem. Chociaż najłżejszy nawet szmer nie wkraść się w ciszę, poczuł dwukrotne szarpnięcie za sznurek. Tomek trącił bosmana, który stanął przy nim. Szybko wciągnęli sznurek. Na jego końcu ujrzeli mały, płaski klucz.

— Ha, więc nie nawalił w parafię! — z ulgą odetchnął marynarz.

Tomek natychmiast odzyskał zimną krew.

— Zanioseć kluczyk; oby tylko Sally nie spała! — szepnęła.

— Spiesz się i bądź ostrożny. Kto wie, co się może zdarzyć. Gotowe? — mruknął bosman.

— Już odwiązałem. Niech pan tutaj czeka na mnie...

Tomek drgnął po raz drugi, gdy otwierane przezeń drzwi trochę zaskrzypiały, lecz nie tracił czasu. Boso szybko przebiegł do pokoju zajmowanego przez panie. Nim zdążył chwycić za klamkę, drzwi cicho się otworzyły. Odetchnął z ulgą. Na korytarz wysunęła się postać w długiej białej koszuli.

— Tommy, to trwało całą wieczność — szepnęła. — Czy masz kluczyk?

— Mam, Sally, mam! Wszystko w porządku!

— Więc spisek się udał? — zapytała podniecona. — Och Tommy, ty jesteś genialny!

— Daj spokój, Sally, spiesz się...

Dziewczynka wzięła kluczyk z jego ręki. Jak biała mgła ścieląca się po stepie spłynęła lekko po schodach. Już przystanęła przed drzwiami gabinetu, gdy naraz przed domem rozległo się straszliwe wycie z kilkunastu gardzieli. Huknęły strzały...!

Piekielny wrzask przeplatany słowami komendy i kanonadą dodały Sally odwagi. Uchyliła drzwi, wśliznęła się do ciemnego gabinetu i stanęła przestraszona. Przy biurku ktoś siedział...

Wstrzymała oddech. Ta właśnie strona domu wychodziła na podwórze, gdzie płonęło ognisko; czerwony odbłask pełzał po pokoju. Ktoś siedział przy biurku oparłszy głowę na dłoniach. W tej chwili strzały huknęły ze wzmożoną siłą. Posiłek przy biurku gwałtownie opuściła dłonie i powstała.

Sally zasłoniła usta, aby nie krzyknąć. To był stryjek. Nie spiesząc się podjął z biurka pas z rewolwerami. Wolno założył go na biodra.

Sally ochłonęła. Bezszelestnie wysunęła się z gabinetu i przyłgnęła do ściany. Szeryf przeszedł obok niej. Za ledwie kroki jego zadudniły na werandzie, wbiegła do pokoju. Szuflada w biurku była na szczęście otwarta. Dotknęła dłonią zimnej stali. Włożenie kluczyka w zamek było bagatelką. Zamknęła szufladę, lecz o drzwi gabinetu nie potrzebowała się już troszczyć. Wbiegła po schodach. Tomek drżąc z niecierpliwości chwycił ją za ramię.

— No i co, Sally? — zapytał.

— Nic, Tommy, nic!

— A kluczyk?

— Och, włożyłam go do biurka... — szepnęła.

— Na litość boską, co się dzieje w tym domu? — zawołała pani Allan, wybiegając na korytarz ze świecą w ręku.

Ujrzała córkę i Tomka, lecz zanim zdążyła zadać im jakiegokolwiek pytanie, czujny jak żuraw bosman pojawił się w korytarzu. Zaraz też tubalnym głosem zaczął panią Allan uspokajać:

— Niech się szanowna pani nie denerwuje. Nasz przewidujący szeryf miał rację. Indiańcom nie wolno zbyt dowierzać. Pokłócili się na pewno o coś, bo hałasują, jakby ich kto ze skóry obdzierał. Nawet nasza młodzież zerwała się ze snu. Chodźmy na dół sprawdzić, co się stało.

W tej właśnie chwili gniewne nawoływania, przeplatane pojedynczymi strzałami, zaczęły się oddalać od domu.



## GROŹNY CIEŃ

Tajemnicze okoliczności, w jakich nastąpiła ucieczka Czarnej Błyskawicy, stały się na wiele dni tematem rozmów na rancho szeryfa Allana. Nawet trójka konspiratorów była zaskoczona niektórymi wydarzeniami.

Nie ulegało wątpliwości, iż jeńiec uciekając z niewoli musiał w jakiś sposób pozbyć się oków. Ku zadowoleniu konspiratorów szeryf niezbyt długo zastanawiał się nad tym faktem. Bardziej niepokoił go dowód, że Czarna Błyskawica musiał mieć sprzymierzeńców wśród indiańskich policjantów. Zostało to ustalone podczas śledztwa po ucieczce jeńca.

Kolejność wypadków przedstawiała się następująco:

Strażnicy pilnujący Czarnej Błyskawicy zmieniali się co trzy godziny. Nad samym ranem dowódca policjantów ocknął się z drzemki. Przemoknięty od wilgotnej mgły opadającej na step postanowił okryć się kocem. Wtedy właśnie zauważył dogasające ognisko. Nie mógł tolerować podobnej nieostrożności strażników, do których obowiązku należało pilnowanie ognia. Ruszył więc w kierunku drzewa bawełnianego, aby udzielić nagany. W tym momencie jeńiec porwał się z ziemi. Jak jastrząb rzucił się na drzemiącego obok strażnika, po czym zniknął w pobliskich zaroślach.

Donośny okrzyk przerażenia poderwał na nogi policjantów. Razem z dowódcą chwycili karabiny i rozpoczęli pościg za zbiegiem. Wszelkie jednak poszukiwania były skazane na niepowodzenie. Mgła spowiła gąszcz kaktusowego zagajnika i step. Policjanci dodawali sobie odwagi strzałami na oślep, lecz żaden z nich nie miał pewności, czy nieoczekiwanie nie ugodzi go ostrze noża Czarnej Błyskawicy.

Dowódca pierwszy opanował swe wzburzenie spowodowane ucieczką jeńca. Wszystkie ślady pozostawione na ziemi przez zbiega były w tej chwili niewidoczne, toteż nie chcąc dopuścić do ich zatarcia, wstrzymał pościg. Indianie wracali na rancho jak niepyszni, gdy wyszedł do nich szeryf Allan. Ostre słowa skarcił strażników za brak czujności, a następnie poprowadził ich ku korralom<sup>163</sup>, w których trzymano konie. Według jego słusznego rozumowania, Czarna Błyskawica nie mógł uciekać pieszo, jeżeli

---

<sup>163</sup> — Korral (z hiszp. *corral*) — zagroda dla koni lub bydła.

więc istniała jakakolwiek szansa na schwytanie go w nocy, to tylko w pobliżu końskich zagród. Po przybyciu do korralu Indianie niebawem stwierdzili brak dwóch koni: konia Czarnej Błyskawicy oraz konia jednego z policjantów, zapewne współnika więźnia. Teraz szeryf Allan zrezygnował z nocnej pogoni za zbiegiem.

Zaledwie wzeszło słońce, rozpoczęto poszukiwania. Czerwonoskórzy, z wrodzoną Indianom wprawą, odczytywali ślady pozostawione na ziemi. Nie ulegało wątpliwości, że ich towarzysz ułatwił jeńcowi ucieczkę. On to pierwszy oddalił się spod drzewa bawełnianego. Zbliżył się do domu mieszkalnego, by zapewne sprawdzić, czy wszyscy już śpią, po czym pobiegł w kierunku korralu. On to właśnie przygotował konie do ucieczki. Dowódca straży zbudził się w chwili, gdy Czarna Błyskawica miał podążyć w gąszcz w ślad za swym współnikiem. Widząc zbliżającego się dowódcę, jeniec pchnął nożem drzemiącego drugiego strażnika i skoczył w zarośla. Nie tracąc czasu pobiegł do zagrody, gdzie czekano już na niego z osiodłanymi wierzchowcami.

Dalsze odczytane ślady wprowadziły szeryfa w niemałe zdumienie. Otóż, zgodnie z jego mniemaniem, Czarna Błyskawica powinien był uciekać na teren Meksyku. Tymczasem, jak wskazywały ślady, obydwaj zbiegowie udali się w przeciwnym kierunku. Co to miało oznaczać? Czy Czarna Błyskawica przybył w tak ważnej misji, iż gotów był dla wypełnienia jej narazić swe życie?

Szeryf razem z policjantami podążyli w tropy za uciekinierami. Przejechali stepem około dwóch kilometrów. Naraz szeryf zaniepokoił się nie na żarty. Ślady zbiegów wiodły wprost w kierunku północno-zachodnim, gdzie znajdowało się ranczo Indianina Wiele Grzyw. Czyżby Czarna Błyskawica chciał zemścić się na nim? Zaledwie Allan powziął tę myśl, natychmiast podzielił strażników na dwa oddziały. Jeden z nich, razem z dowódcą straży, miał dalej tropić zbiega, a szeryf na czele drugiego pognął na przełaj ku domostwu Wiele Grzyw.

Złe przeczucia szeryfa sprawdziły się całkowicie. Po przybyciu na ranczo zastał żonę Indianina nad stygnącym już trupem męża. Zrozpaczona kobieta odmówiła jakichkolwiek wyjaśnień. Nie dość tego, obrzuciła Allana potokiem wyrzutów, iż to on właśnie namówił męża do zdrady, i kazała mu zaraz opuścić jej dom.

Szeryf ze zdwojoną energią przystąpił do pościgu. Do podejrzenia o podburzanie Indian przeciwko białym dołączyło się teraz oskarżenie o zabójstwo. Czarna Błyskawica musiał być za nie ukarany. Ślady zbiegów doprowadziły do rezerwatu Indian Mescalero, którzy należąc do szczepu Apaczów spokrewnieni byli z Hawajami. Tutaj ślady uciekinierów ginęły na kamienistym gruncie.

Szeryf porozumiał się z agentem rządowym zawiadującym rezerwatem. Razem rozpoczęli poszukiwania; nie dały one pożądanego wyniku. Indianie byli bardzo powściągliwi w czasie rozmów. Większość z nich twierdziła, że w ogóle nie słyszała o Czarnej Błyskawicy. To właśnie dało szeryfowi wiele do myślenia. Apacze byli określam przez białych jako „*złe duchy Dzikiego Zachodu*”. Wśród nich najłatwiej mogło się zatlić zarzewie buntu.

Przez pół dnia szeryf wraz z policjantami myszkowali po rezerwacie. Pod różnymi pretekstami wchodzili do indiańskich mieszkań, wypytywali starych i młodych, lecz mimo to nie zdołali wpaść na trop zbiega. Przed wieczorem szeryf powrócił do domu. Tutaj oczekiwał na niego kapitan Mortona, który przybyłby odstawić buntownika do Fortu Apache.

Nie był to zbyt wesoły wieczór dla Allana. Kapitan Mortona, jako zwolennik polityki silnej ręki wobec Indian, rzucał gromy na cywilną administrację rezerwatów, wręcz oskarżając agentów rządowych o karygodną, jego zdaniem, łagodność. Według niego należało wszystkich czerwono skorych załamać gospodarczo i moralnie. Masowe wyćpienie bizonów uniemożliwiło Indianom raz na zawsze swobodną i niezależną egzystencję. Bizony były ich głównym źródłem utrzymania przez całe wieki. Głód jednak nie pozbawił czerwono skorych wojowników „*dzikości*”. W domach budowanych dla nich przez białych urządzali magazyny żywności, podczas gdy sami mieszkali nadal w nędznych szałasach. Nie chcieli również nosić ubrań dostarczanych im przez rząd. Obcinali nogawki spodni, robili z nich sztylpy. Kapitan Mortona dowodził, że jedynie — ściśle wykonanie zarządzenia wydanego przez Waszyngton w roku 1896 mogło skutecznie przyczynić się do zapomnienia przez Indian o starych zwyczajach. W myśl tego zarządzenia wszyscy mężczyźni mieli nosić włosy krótko obcięte, uważano bowiem, że one są ostatnim ogniwem wiążącym Indian z dawnymi zwyczajami. Wielu czerwonoskórych sprzeciwiło się wykonaniu zarządzenia,

a znaczna część agentów rządowych nie zdołała wprowadzić go przymusem w życie.

— Oto macie skutki waszego pobłażania czerwonoskórym — mówił gniewnie kapitan Mortona. — Indianie tańczą w rezerwach Taniec Ducha, ukrywają wrogich nam emisariuszy, a wśród niby to lojalnych wobec rządu policjantów indiańskich znajdują się zdrajcy, umożliwiający ucieczkę takim bandytom jak Czarna Błyskawica. Przyjdzie dzień, kiedy władze pożałują, iż odebrały armii zarząd nad rezerwatami.

Bosman i Tomek nie mieszały się do dyskusji, chociaż nie podzielali zdania kapitana Mortona. Ze zrozumiałych względów woleli nie zwracać zbyt na siebie jego uwagi. Natomiast pani Allan nie tajiła oburzenia. Oświadczyła po prostu, że to nie długie włosy, lecz niesprawiedliwe traktowanie zmuszało Indian do samoobrony. Szeryf Allan podzielał w wielu miejscach jej poglądy, toteż Mortona odjechał z ranczo rozgniewany.

Minęło kilka dni. Czarna Błyskawica przepadł jak kamień w wodę. Życie biegło znowu po dawnemu. Coraz mniej na ranczo Allana interesowano się zbiegiem, a w końcu o nim zapomniano.

Zbliżał się czas cechowania bydła rozproszonego po rozległych pastwiskach. Hodowcy przygotowywali się do spędu stad, aby wypalić swój znak rozpoznawczy na nowym przychówku. Jednocześnie należało wybrać pewną liczbę bydła na sprzedaż. W związku z tym szeryf Allan urządzał wypadki na pastwiska, gdzie wypasały się jego stada.

Po zakończeniu cechowania bydła ranczerzy — starym zwyczajem — urządzały publiczne popisy sprawności kowbojów. Podczas igrzysk odbywały się konne wyścigi. Uroczystość ta, zwana w Ameryce rodeo, zaprzętnęła również umysły takich zapaleńców jak Tomek i bosman Nowicki.

W stadninie szeryfa wyróżniała się szybkoconoga młoda klacz, doskonale ułożona do jazdy wierzchem przez ujeżdżacza, starego Indianina. Miała ona jednak pewną wadę — była bardzo nerwowa i płochliwa. Z tego też powodu dosiadać jej mógł tylko ten, kto potrafił stanowczą łagodnością zaskarbić sobie przywiązanie zwierzęcia.

Tomek, tak jak jego ojciec, był szczerym przyjacielem wszystkich stworzeń. Nigdy nie nęciły go bezmyślne, krwawe łowy. Największe zadowolenie dawało mu osvajanie dzikich zwierząt, do czego posiadał niezwykle wprost zdolności. Kiedy szeryf pokazał mu po raz pierwszy swą

wspaniałą klacz, Tomek stanął olśniony. Klacz tuliła uszy, rozszerzonymi chrapami węszyła zapach obcego człowieka, nerwowo grzebała kopytami. Tomek, nie zważając na ostrzeżenie szeryfa, odważnie zbliżył się do groźnego rumaka. Łagodnym ruchem nakrył lewą dłonią drżące chrapy mustanga, prawą zaś delikatnie głaskał jego kark. Pod wpływem pieszczot klacz się uspokoiła. Tomek odpiął ostrogi, sprawnie i lekko wskoczył na wierzchowca. Klacz posłusznie obiegła korral, a Tomek, jadąc na oklep, kierował nią jedynie uciskami kolan, jak to zazwyczaj czynią Indianie.

Zdumiony tym widokiem szeryf zaproponował chłopcu, aby na jego klaczy wziął udział w wielkim rodeo. Jako wytrawny hodowca rasowych koni wiedział doskonale, że dobry dżokej w dużej mierze może się przyczynić do zwycięstwa w wyścigu.

Tomek nie ukrywał radości z powodu tego wyróżnienia. Wszyscy hodowcy wyszukiwali najlepszych jeźdźców dla swych faworytów, a przecież klacz była ulubienicą Allana. W poczuciu wielkiej odpowiedzialności zaczął starannie przygotowywać się do zawodów. Dziesięćmilowy wyścig miał się odbyć w szczerym stepie. Wobec tego Tomek codziennie odbywał na klaczy coraz to dłuższe wycieczki.

W dziesięć dni po ucieczce Czarnej Błyskawicy skierował mustanga ku leżącemu na pograniczu samotnemu szczytowi. W skrytości ducha pragnął od dawna spotkać się z Czerwonym Orłem. Nie chciał wypytywać o niego szeryfa, ponieważ to mogłoby nasunąć Allanowi jakieś podejrzenia, choć już teraz nie było pewne, czy szeryf nie domyśla się czegoś. Przecież mógł owej pamiętnej nocy zajrzeć do szuflady w biurku i stwierdzić brak kluczyka w zapasowej parze „*bransoletek*”. Gdyby niczego nie podejrzewał, musiałby się bardziej interesować, w jaki sposób jeniec zdjął okowy. Tymczasem stryj Sally przeszedł nad tą sprawą do porządku dziennego, jakby wiedział, kto spłatał mu figla. Sally stwierdziła z całą pewnością, że stryj udał się do indiańskich policjantów dopiero wtedy, gdy po raz wtóry usłyszał strzały. W tej sytuacji Tomek wolał nie wypytywać szeryfa o Czerwonego Orła. Jeżeli młody Indianin naprawdę pracował jako kowboj u Allana, to wcześniej czy później powinni się spotkać w okolicznościach nie budzących czyichkolwiek podejrzeń.

Klacz z rozwianą przez wiatr białą grzywą biegła miarowymi susami. Z nadzwyczajną lekkością i wdziękiem przeskakiwała wykroty oraz kolczaste

kaktusy wyrastające gdzieś wśród krzewów barwnej szałwi, wyściełającej purpurowym dywanem bezkresny step. Stuliwszy małe, kształtne uszy zdawała się upajać własną szybkością.

Chłopiec zachwycił się jej zwinnością, inteligencją i wytrzymałością. Chociaż sierść wierzchowca zwilgotniała od potu, oddech jego był niemal tak równy, jak w chwili rozpoczęcia biegu. Tomek rozmyślał o długodystansowym wyścigu podczas bliskiego już rodeo. Tak bardzo pragnął, aby klacz Allana zwyciężyła rumaki innych ranczerów.

Jeszcze około dwustu metrów dzieliło Tomka od podnóża wyniosłości, gdy spostrzegł Czerwonego Orła stojącego na głazie. W pobliżu, poniżej, pasł się jego wierzchowiec. Młody Indianin także dojrzał białego chłopca. Kilkakrotnie machnął ręką w jego kierunku, po czym zeskoczył z kamienia i wybiegł mu na spotkanie.

Tomek ściągnął cugle. Klacz strzygąc uszami przystanęła tuż przed Indianinem. Tomek zsunął się z siodła, po czym wyciągnął prawicę ku młodemu druhowi. Uścisnęli sobie dłonie.

— Ugh, jak to dobrze, że mój biały brat przyjechał tutaj. Od kilku dni czekam co rano na mego brata w pobliżu tego szczytu — powiedział Nawaj.

— Ja również chciałem ujrzeć mego brata, lecz musiałem zachować ostrożność, aby nie wzbudzić podejrzeń Allana — odparł Tomek. — Cieszę się, że już nie kulejesz.

— Nie mogę jeszcze chodzić zbyt pewnie, ale to już drobiazg — uśmiechnął się Indianin.

— Porozmawiamy o wielu sprawach, ale najpierw muszę się zająć moim koniem — rzekł Tomek rozpinając popręgi.

Wiehcami trawy starannie wytarł klacz. Tymczasem młody Nawaj okiem znawcy przyglądał się wierzchowcowi.

— Ugh, mój brat ma rączego rumaka — stwierdził po chwili. — Obserwowałem jego bieg po stepie. Naprawdę może iść z wiatrem w zawody.

— To klacz szeryfa Allana. Na najbliższym rodeo wezmę na niej udział w wyścigu długodystansowym — wyjaśnił Tomek. — Tak bardzo chciałbym wygrać!

— Wspaniały i śmigły rumak, ale sprawa nie będzie łatwa. Do wyścigu na rodeo staną najlepsze konie z całej okolicy. Nawet hodowcy meksykańscy

zgłosili swój udział, a między innymi i Don Cedro. On ma doskonale rumaki — powiedział Czerwony Orzeł.

— Wiem, że sprawa nie będzie łatwa, ale tym bardziej pragnąłbym zwyciężyć.

Obaj przyjaciele usiedli na ziemi obok głazów. Przez pewien czas przyglądali się sobie w milczeniu. Znowu pierwszy zagadnął młody Nawaj:

— Mój biały brat zyskał dwóch przyjaciół, na których może liczyć w każdej potrzebie.

— Kogo masz na myśli? — żywo zapytał Tomek.

— Czerwonego Orła, chociaż przypuszczasz zapewne, iż jestem jeszcze niezbyt doświadczonym chłopcem i... Czarną Błyskawicę.

— Wcale tak nie myślę o Czerwonym Orle. Nawet doświadczeni mężczyźni nieraz popełniają omyłki. Bardzo chciałbym się z tobą zaprzyjaźnić — zapewnił Tomek. — Jeżeli jednak chodzi o Czarną Błyskawicę, to sprawa nie jest taka prosta. Oddałem mu drobną przysługę, ponieważ mimo woli przyczyniłem się do schwytania go przez szeryfa. Czy mój czerwony brat czatował wtedy tutaj, aby uprzedzić Czarną Błyskawicę o zasadzce?

— Mój biały brat powiedział prawdę. Czerwony Orzeł miał ostrzec Czarną Błyskawicę.

— Czy widziałeś się z nim później?

— Czerwony Orzeł widział Czarną Błyskawicę. Gdyby mój brat nie wyjaśnił mi, dlaczego nie zdołałem go ostrzec, byłbym zginął jak zdrajca Wiele Grzyw. Czarna Błyskawica spada jak grom na swych wrogów. Mój biały brat ocalił mój honor i... życie.

— Moim obowiązkiem było wyjaśnić to przykre nieporozumienie. Nie jestem jednak pewny, czy dobrze uczyniłem pomagając Czarnej Błyskawicy. Zdaniem szeryfa podburza on Indian do powstania przeciwko białym. Nie wydaje mi się to zbyt rozsądne.

— Gdyby Indianie przybyli do twej ojczyzny i chcieli pozbawić cię wszystkiego, co Wielki Manitu przeznaczył dla ciebie i twoich ojców, czy nie chwyciłbyś za broń we własnej obronie? — zapytał Nawaj.

— Masz słuszność — przyznał Tomek — lecz biali są liczniejsi od was i posiadają lepszą broń. Nie dacie rady. Rozpoczynając wojnę w tak niekorzystnych warunkach tylko przyspieszycie własną zgubę.

— Jeżeli czerwoni bracia zaprzestaną wzajemnych walk i zjednoczą się dla wspólnej obrony, to będą silniejsi od białych. Pamiętaj, że broń można kupić za... złoto.

— Tak mówią Indianie uprawiający obrzęd zwany Tańcem Ducha, Nie powtarzaj tego przed białymi, jeśli nie chcesz utracić wolności — smutno odparł Tomek. Nie miał już wątpliwości, iż jego młody przyjaciel należy do tajemniczego związku.

— Wielki Ojciec z Waszyngtonu obiecał nam ziemię i wolność, ale inni biali łamią wszelkie układy. Musisz poznać moich czerwonych braci, a wtedy nie będziesz źle o nas sądził.

Ostatnie słowa Indianina szczególnie ucieszyły Tomka. Czerwony Orzeł mógł być bardzo pomocny w nawiązaniu kontaktu z Indianami. Było to przecież konieczne dla wypełnienia misji zleconej przez Hagenbecka.

— Czy Czerwony Orzeł może mi ułatwić zwiedzenie rezerwatu? — zapytał.

— Oczekiwałem tu kilka dni, aby to memu bratu zaproponować — odpowiedział młody Indianin. — Kilku starszych szczepu Apaczów i Nawajów pragnie poznać mego białego brata.

— W jaki sposób starsi twego plemienia mogli się o mnie dowiedzieć? Zapewne rozmawiałeś z nimi na ten temat — dopytywał się Tomek.

— Czerwony Orzeł jest zbyt młody, aby rozmawiać z wojownikami należącymi do rady starszych — wyjaśnił Nawaj. — Ktoś inny polecił im zaprosić mego brata do naszych wigwamów.

Tomek był zaskoczony. Któż to mógł posiadać prawo rozkazywania radzie starszych dwóch najbardziej wojowniczych szczepów indiańskich? Czyżby Allan naprawdę wpadł na trop zorganizowanych rewolucjonistów? Spod oka spojrzał na czerwonoskórego towarzysza. Młody Indianin siedział bez ruchu. Obydwie dłonie oparł na kolanach podwiniętych skrzyżowanych nóg. Wzrok jego zdawał się błędzić po szerokim, purpurowym stepie, lecz jakieś nieokreślone uczucie ostrzegało Tomka, iż jest pilnie obserwowany. Nie chcąc dłużej pozostawać w niepewności zapytał:

— Czy to Czarna Błyskawica polecił zaprosić mnie do rezerwatu?

— Ugh! Pozostawił on również pewną wiadomość dla mego białego brata.

— Cóż to za wiadomość?



— Czerwony Orzeł nie wie, lecz mój brat dowie się wszystkiego od starszych plemienia.

Po raz drugi instynkt ostrzegł Tomka, iż czerwonoskóry nie mówi prawdy. Wydało mu się, że mimo jasnych promieni słońca na purpurowy step padł jakiś groźny cień, do złudzenia przypominający sylwetkę Czarnej Błyskawicy. Purpura szałwi miała czerwień krwi. Chociaż panował upał, dziwny chłód przeniknął białego chłopca. Drgnął, jakby się zbudził z jakiegoś dręczącego snu. Dziwne przywidzenie pierzchło natychmiast. To tylko samotny, wysoki szczyt rzucał nieforemny cień na zalany słoneczną jasnością step, a krzewy purpurowej szałwi, kołysane lekkim podmuchem wiatru, sprawiały wrażenie falującego, czerwonego morza.

Tomek ze zwykłą sobie niefrasobliwością szybko otrząsnął się z przykrego wrażenia. Nie on przecież był sprawcą niedoli Indian. Z całego serca życzył im odzyskania choćby części swej ziemi i wolności. Niech więc Taniec Ducha spędza sen z powiek jankesom, lecz Tomek i jego przyjaciele nie mają powodów do jakichkolwiek obaw. Za kilka tygodni wrócą do Anglii, pozostawiając własnemu losowi kontynent amerykański i jego mieszkańców.

Tak rozmyślając uśmiechnął się do siebie. Wydawało mu się, że zupełnie niepotrzebnie zaprzętał sobie głowę przywidzeniami. Przecież jego osobiste sprawy układały się jak najpomyślniej. Pozna interesujących wojowników indiańskich. Przy pomocy Czerwonego Orła zwerbuj grupę Indian na wyjazd do Europy i wkrótce po rodeo powróci razem z nimi do ojca.

— Kiedy wybierzemy się do rezerwatu? — zapytał.

— Jutro będę czekał na mego brata przy kępie wysokich topoli nad strumykiem w pobliżu ranczo — odparł Indianin.

— W jakiej porze zastanę tam mego brata? — pytał dalej Tomek.

— Będę przy strumieniu w czasie rannego pojenia bydła.

— To znaczy około szóstej rano. Dobrze, przyjadę na pewno!



## W REZERWACIE MESCALERO APACZÓW

Czerwony Orzeł dotrzymał słowa. Następnego dnia około ósmej rano obydwaj chłopcy znajdowali się już przy zabudowaniach agencji rezerwatu Mescalero Apaczów. Tutaj przed kilkoma dniami szeryf Allan prowadził bezskuteczne poszukiwania zbiegłego jeńca. Tomek tak był ciekaw przyjrzeć się osławionym Apaczom i Hawajom, że niemal zupełnie zapomniał o Czarnej Błyskawicy.

Czerwony Orzeł zaprowadził Tomka do agenta zawiadującego rezerwatem, ponieważ bez jego zezwolenia nie wolno było białym ludziom wkraczać na indiańskie tereny. Był to akurat czas rozdzielania prowiantów. W myśl umowy, rząd Stanów Zjednoczonych zobowiązany był do udzielania Indianom mieszkającym w rezerwatach zasiłków w formie żywności oraz odzieży. Trzeba zaznaczyć, że zapasy przychodziły często nieregularnie bądź w niedostatecznej ilości. Ponadto niektórzy nieuczciwi agenci dopuszczali się nadużyć, pozbawiając Indian należnych im przydziałów.

Agent rządowy zawiadujący rezerwatem Mescalero Apaczów był tego dnia w nie lada kłopotcie. Transport żywności okazał się znów niedostateczny, a tymczasem Mescalero przymierali głodem. Skalisty, nieurodzajny teren rezerwatu uniemożliwiał im uprawę ziemi bądź hodowlę bydła na szerszą skalę. Agent osobiście rozdelał skromne zapasy, pilnie nadzorując indiańską straż, aby nie popełniała nadużyć. Głodni Indianie łatwo zdobywali się na nieprzyjazne odruchy. Było to tym niebezpieczniejsze, że część Mescalero miała jakoby sprzyjać awanturniczemu Czarnej Błyskawicy. Agent akurat wydzielał racje żywnościowe, gdy Tomek zwrócił się do niego o zezwolenie na wejście i zwiedzenie rezerwatu. Tak się szczęśliwie złożyło, że wtedy właśnie w agencji pobierał swój przydział jeden ze starszych plemienia. Dzięki jego zgodzie, po wyjaśnieniach Czerwonego Orła, agent nie stwarzał specjalnych trudności gościowi szeryfa Allana. Zaledwie Tomek wkroczył na właściwy teren rezerwatu, zaraz przekonał się, jak mało dotąd wiedział o zwyczajach i sposobie życia Indian. Wielu bowiem Europejczyków wytworzyło sobie mylne pojęcie o ubiorze i mieszkaniach krajowców

północnoamerykańskich. Za powszechnie noszony ubiór Indian uważało się długie, nabijane paciorkami, zakrywające całe nogi i brzuch sztylpy, koszulę, mokasyny i najbardziej rzucające się w oczy, wojenne nakrycie głowy, przybrane orlimi piórami. Tomek mniemał również, że Indianie mieszkają wyłącznie w namiotach, które zwykło się nazywać wigwamami.

Teraz, ujrawszy pierwszy charakterystyczny stożkowaty namiot indiański, natychmiast zatrzymał wierzchowca, by przyjrzeć się barwnym rysunkom na jego pokryciu sporządzonym z bizonich skór. Rysunki te odtwarzały pościg za wapiti<sup>164</sup>.

— Nie wiedziałem, że wigwamy są tak pięknie zdobione — odezwał się Tomek. — Wyobrażałem je sobie jako zwykłe namioty. Tymczasem widzę teraz, że sporządzenie wigwamu wymaga wielu umiejętności.

— Dlaczego mój biały brat nazywa tipi wigwamem? — zdziwił się Czerwony Orzeł i zaraz wyjaśnił: — Wielu białych nie odróżnia wigwamu od tipi. To, co wy nazywacie w swoim języku namiotem, my znamy pod nazwą przyjętą od Indian Dakota jako tipi. Czy wiesz, że z wynalezieniem tipi wiąże się ciekawa legenda?

— Jaka? Opowiedz!

— Pewien Indianin odpoczywał po łowach w cieniu drzewa bawełnianego. Wiatr strącał nań liście z gałęzi. Indianin podniósł jeden i bawiąc się nim zwinął go mimo woli w stożek. Przyglądając się teraz liściowi wpadł na pomysł zbudowania chatki o podobnym kształcie. Tak oto powstały tipi.

— Co w takim razie nazywacie wigwamem? — zapytał Tomek.

— Wigwamy różnią się od tipi kształtem i materiałem używanym do ich budowy. Wigwam nie jest tak łatwy do przenoszenia z miejsca na miejsce jak tipi, z tego więc powodu tym ostatnim posługują się przeważnie szczepy wędrownie. Indianin wtedy buduje wigwam, gdy ma zamiar przebywać w jednym miejscu przez dłuższy czas. Wznosi go ze słupów i młodych drzewek. Utworzony w ten sposób szkielec, zależnie od możliwości zdobycia odpowiedniego materiału w danej okolicy, pokrywa różnym poszyciem. Na

---

<sup>164</sup> — Wapiti (*Cervus elaphus canadensis*) — jeleń szlachetny, którego kilka odmian żyło dawniej w lasach strefy umiarkowanej w Ameryce Północnej. Pod względem wielkości wapiti zajmuje po łosiu drugie miejsce wśród zwierzyny płowej świata. Obecnie najliczniej występuje w Kanadzie.

dalekiej północy kryją wigwamy skórami karibu<sup>165</sup>, na południu zaś liśćmi palmowymi, korą bądź matami sporządzonymi z szuwarów albo też zaprawą otrzymaną z gliny zmieszanej z mchem; czasem obsypuje się je po prostu ziemią. Niech mój brat spojrzy tam, na prawo! Ten młody Indianin ma zamiar założyć własne ognisko domowe i już rozpoczął budowę wigwamu.

Tomek uważnie przyjrzał się prymitywnej budowli, której nazwę błędnie przypisywał namiotowi tipi, tak charakterystycznemu dla większości wędrownych Indian zamieszkujących rozległe równiny. Ruszyli dalej. Czerwony Orzeł zgodnie z obietnicą chętnie udzielał przyjacielowi wszelkich informacji. Tomek zorientował się, że jego przewodnik musiał już otrzymać pewne szczepowe wtajemniczenie, ponieważ nieobca mu była nawet historia Indian. Roztropny i ciekaw wszystkiego biały chłopiec skwapliwie skorzystał z okazji, by wzbogacić swe pobieżne wiadomości o pierwotnych mieszkańcach Ameryki.

Podczas rozmowy z Czerwonym Orłem dowiedział się więc, że przed przybyciem białych Indianie mieszkali w osadach rozrzuconych we wszystkich częściach Ameryki Północnej i Południowej. Ich sposób życia przystosowany był do charakteru kraju, w którym żyli. Wszyscy Indianie należeli wprawdzie do jednej rasy, znacznie jednak różnili się zwyczajami, językiem oraz stopniem cywilizacji. Niektórzy byli prymitywnymi łowcami, inni rolnikami, podczas gdy w Meksyku, Ameryce Środkowej i Peru kwitły wtedy gęsto zaludnione miasta i państwa z dobrze zorganizowanymi rządami. W państwach Majów, Inków i Azteków indiańska cywilizacja osiągnęła najwyższy rozwój<sup>166</sup>.

Tak w Stanach Zjednoczonych, jak i w innych częściach kontynentu amerykańskiego, szczepy indiańskie były zróżnicowane<sup>167</sup>. Mówiły wieloma narzeczami. Często nawet członkowie sąsiednich plemion nie mogli się porozumieć. Aby pokonać wynikające stąd trudności, Indianie zapoczątkowali język znaków, który oceniany jest obecnie jako najdoskonalsza forma języka

---

<sup>165</sup> — Karibu (*Rangifer tarandus caribu*)— renifer amerykański, podgatunek z rodziny jeleniowatych, zamieszkuje tundry i lasy północnej części Ameryki Północnej.

<sup>166</sup> — Państwa te zostały całkowicie zniszczone przez Hiszpanów. W naszych czasach odkopano szereg doskonałych architektonicznie budowli z kamienia, olbrzymich piramid i dużych miast.

<sup>167</sup> — Etnologia dzieli Indian Stanów Zjednoczonych na siedem grup: wschodnich Indian leśnych, południowo-wschodnich Indian leśnych, północno-zachodniego wybrzeża, kalifornijskich, południowo-zachodnich, zamieszkujących pas wyżyn i Indian żyjących na równinach.

mimicznego ludzi. Dzięki „*mowie znaków*” Indianie mogli przekazywać swe myśli bez względu na język danego szczepu. Język znaków ułatwiał nawet początkowo porozumiewanie się z białymi ludźmi, zanim większość Indian nauczyła się mówić po angielsku.

Czerwonoskóre szczepy różniły się ponadto ubiorem, wyrobami rzemieślniczymi, sposobem budowania chat i zwyczajami. Szczepy żyjące w lasach mieszkaly w osadach fortyfikowanych palisadami o zastrzonych palach. Każda taka osada składała się z pewnej liczby chat–wigwamów o wyglądzie odmiennym od tipi Indian z równin, a także od budowanych przez Irokezów długich domów o spiczastych dachach, jak i zbliżonych kształtem do naszych chat mieszkań plemienia Objibwa.

Poszczególne szczepy miały inne ubrania. Niektórzy Indianie, jak na przykład kalifornijscy, nie nosili wcale bądź prawie wcale odzieży. Pueblosi sporządzali odzienie z tkanin bawełnianych, a Indianie zamieszkujący wyżynę i równiną prerię szyli swe ubrania z miętko wyprawionych skór, przyozdabiając je frędzlami i paciorkami.

Dla większości Europejczyków obrazem Indianina jest mieszkaniec równinnych prerii pomiędzy Górami Skalistymi i rzeką Missisipi. Ci bowiem Indianie ze względu na swą liczebność i bohaterские czyny wojenne najbardziej wryli się w pamięć białych. Stąd też często mylne uogólnienia dotyczące wszystkich szczepów indiańskich.

Arizonę i Nowy Meksyk, gdzie przebywał Tomek, zamieszkiwały trzy grupy Indian: osiadły szczep Pueblosów oraz nomadzi Apacze i Nawajowie. Wszyscy oni obecnie żyją w tych samych okolicach, gdzie po raz pierwszy zastali ich Hiszpanie podczas swych wypraw odkrywczych<sup>168</sup>.

W przeciwieństwie do pokojowych Pueblosów, którzy uprawiając rolę zamieszkiwali w kamiennych osadach budowanych na wysoczyznach, Apacze i Nawajowie zdobywali pożywienie polując oraz zbierając dzikie jagody. Ponadto te dwa wojownicze szczepy uzupełniały swe zaopatrzenie dokonując najazdów na pokojowych, pracowitych sąsiadów. Gdy Meksykanie zdobyli południową część Ameryki Północnej, Apacze i Nawajowie rozpoczęli zajadłą

---

<sup>168</sup> — Najbardziej znane plemiona Wielkich Równin to: Assiniboine, Black-foot (Czarne Stopy), Crow (Kruki), Cheyenne (Szejenowie), Gros Venire lub Atsena, Dakotowie–Teton, Yankton i Santee, Kiowa–Apache (Kiowa–Apacze), Comanche (Komancze). Plemiona, które mieszkaly w osadach: Ankara, Hidatsa, Mandan, Omaha. Osage (Osagowie), Ponca, Pawnee (Paunisi), Oto, Iowa, Kansas, Missouri, Wichita.

walkę z kolonistami meksykańskimi, biorąc na nich cenne łupy. Następnie, po wchłonięciu Arizony i Nowego Meksyku przez Stany Zjednoczone, obydwie szczepy wykopały topór wojenny przeciwko Amerykanom bezwzględnie zagarniającym najlepsze i najbogatsze tereny. Apacze i Nawajowie ze szczególną determinacją opierali się usunięciu do rezerwatów. Walczyli o swą wolność z niezwykłym męstwem. Zdarzało się, że kilku Apaczów potrafiło terroryzować całe osiedla kolonistów. Nie należy się dziwić bezwzględnej walce czerwonoskórych, albowiem wszelkie ograniczenie swobodnej wędrówki po stepach oznaczało dla nich koniec dotychczasowego trybu życia, do którego przywykli przecież od wielu wieków.

Zamknięcie w rezerwatach sprowadzało na Apaczów i Nawajów głód i nieprawdopodobną nędzę, toteż co pewien czas wybuchały wśród nich zamieszki, powstania i rokosze.

Tomek zwiedzając rezerwat zorientował się w ich opłakanym położeniu. Apacze, tak jak dawniej, mieszkali przeważnie w kopulastych chatach, a Nawajowie posiadali dość zbliżone wyglądem domki, zwane przez nich hoganami. Budowla taka powstawała przez ułożenie w sześciokąt ścian z poziomo leżących bali, które w górze przykrywano dośrodkowo kłocami, pozostawiając mały otwór do ujścia dymu z ogniska. Tak sporządzone krokwie przykrywano poszyciem i grubą warstwą adoby<sup>169</sup>, to jest suszonej w słońcu cegły. Niektórzy Nawajowie ograniczali swe letnie mieszkanie do jednej prostej, osłaniającej od wiatru ściany poszytej trawami lub ustawionej z cegły. Tylko nieliczni, należący do starszyzny plemienia, posiadali oryginalne tipi, pokryte, jak w dawnych czasach, doskonale wyprawionymi skórami bizonów.

Żywy inwentarz mieszkańców rezerwatu był bardzo ubogi. Trochę była rogatego i owiec pasło się na skąpo rosnącej trawie. Lepiej natomiast prezentował się mały tabun mustangów. Konie, jak wyjaśnił Czerwony Orzeł, stanowiły chlubę plemienia. Od razu było widać, że dawni wojownicy najbardziej troszczyli się o swe rumaki.

Kiedy Tomek napatrzył się do woli na chatynki, a także na mężczyzn wylegających się beczynn timer w cieniu i kobiety wykonujące całą pracę wokół gospodarstwa, Czerwony Orzeł wprowadził go do najokazalszego w rezerwacie tipi. Tomek od razu się domyślił, że to namiot Wodza. Był

---

<sup>169</sup> — Adoba — rodzaj cegły, używanej przy budowie indiańskich domków.

znacznie obszerniejszy od innych, a na jego szczycie powiewała flaga Stanów Zjednoczonych.

Pośrodku tipi płonęło małe ognisko okolone kamieniami. W zawieszonym nad nim kociołku gotowało się mięsiwo. Pod szczytem namiotu unosiły się szare obłoczki dymu i pary. Na drewnianych kozłach ułożone były nieliczne gliniane naczynia, broń palna, torby z nabojami, łuki obok kołczanów z pierzastymi strzałami, skórzane, okrągłe tarcze i tomahawki. Nie brakło tam również ostro zakończonych dzid różnej długości, uprząży końskiej i wielu innych przedmiotów.

Na rozłożonych na ziemi skórach bizonów i jeleni oraz barwnych kocach siedzieli starsi plemienia. Opodal stał trójnóg, na którym wisiało zawiniątko ze świętymi przedmiotami<sup>170</sup> i fajką, bogato zdobiony orlimi piórami wojenny strój głowy oraz wiązki ludzkich skalpów. Obok trójnoga dostrzegł Tomek naczelnego wodza Długie Oczy, zwanego tak ze względu na posiadaną przez niego lornetę.

Na widok ludzkich skalpów Tomka ogarnął niepokój, lecz w tej chwili wódz Długie Oczy powstał i z powagą wyciągnął ku niemu prawą dłoń. Następnie Tomek przywitał się z pozostałymi Indianami. Byli to: Stary Bizon, Złamany Tomahawk i Chytry Lis. Siedzieli półkolem zwrócenii twarzami ku wejściu do tipi, po prawej stronie wodza. Długie Oczy poprosił Tomka, aby zajął miejsce przy nim z lewej strony, chcąc tym podkreślić, iż jest mile widzianym gościem. Obok Tomka przysiadł skromnie Czerwony Orzeł. Tomek widząc to zdziwił się, pamiętał bowiem słowa młodego przyjaciela, twierdzącego przedtem, iż jest jeszcze za młody do rozmów ze starszymi plemienia.

---

<sup>170</sup> — Zawiniątko ze świętymi przedmiotami (amuletami) — z ang. *sacred bundle* — święte zawiniątko, często zwane niewłaściwie przez białych *medicine bag* lub *medicine bundle* — woreczek z lekami. Niewłaściwe nazwy były skutkiem mylnego interpretowania pewnych czynności szamana, który badając chorego, między innymi dotykał jego ciała swoim zawiniątkiem ze świętymi przedmiotami. Wbrew mniemaniu białych, którzy sądzili, że szaman traktuje zawiniątko jako lek, był to tylko obrzęd magiczny: znajdujące się w zawiniątku talizmany, uważane za święte, miały odganiać złe moce i odczyniać uroki. Analogiczne znaczenie miało okadzanie chorego dymem ze świętej fajki, zwanej także mylnie *medicine pipe* — leczniczą fajką. Do leczenia chorych szamani, tak jak współcześni lekarze, stosowali skuteczne lekarstwa sporządzane z roślin i minerałów. W zawiniątkach Indianie przechowywali przedmioty uważane przez nich za święte, magiczne, wskazane im przez duchy w czasie snu lub wizji. Zawiniątka mogły stanowić własność plemienia lub indywidualną, i wtedy składano je w grobie razem ze zmarłym właścicielem bądź przechodziły z ojca na syna.



Po dłuższej chwili milczenia wódz Długie Oczy odezwał się: — Starsi naszego plemienia pragną zawrzeć przyjaźń z młodym białym bratem, który w ciągu jednego dnia dokonał dwóch bohaterskich czynów. Niewielu wojowników potrafiłoby się na to zdobyć.

Tomek chrząknął zażenowany pochwałą starego wodza i odpowiedział:

— Nie wiem, o jakich to czynach mówi wódz Długie Oczy.

— Mój biały brat posiada skromność wojownika, który przywykł do niezwykłych czynów. Wielka to zaleta — odparł poważnie Długie Oczy. — Coraz mniej spotyka się ludzi odważnych i szlachetnych zarazem. Przypomnę więc czyny mego białego brata. Po pierwsze, brat mój został wyzwany przez Czerwonego Orła do walki na śmierć i życie. Biały brat podjął wyzwanie, nie wykorzystał swojej broni, chociaż miał do tego prawo, i gołymi rękoma pokonał przeciwnika. Przynosi mu to większy zaszczyt, niż gdyby zabił wroga. Po drugie, brat mój dopomógł wielkiemu wodzowi i wojownikowi w ucieczce z niewoli, oznaczającej dla niego niesławną śmierć. Wielki Ojciec z Waszyngtonu odznacza swoich żołnierzy za bohaterskie czyny świecącymi krążkami, nazywanymi przez białych orderami. Indianie natomiast mają inny zwyczaj wyróżniania zasłużonych wojowników. U nas dowodem zasług jest strój noszony na głowie. Za każdy niezwykły czyn rada starszych ma prawo przyznać coup, czyli tak zwane w języku białych odznaczenie, w postaci orlego pióra. Orzeł jest największym z wszystkich ptaków i wykazuje niezwykłą siłę podczas walki, dlatego też jego piękne pióra są dla Indian tym, czym ordery dla białych ludzi. Mój biały brat zasłużył na zaszczytne wyróżnienie. Za zabicie i oskalpowanie wroga otrzymałby jedno coup, lecz za pokonanie przeciwnika gołą ręką oraz za wykazanie odwagi i szlachetności przysługują mu dwa coup. Czy rada starszych plemienia zatwierdza mój wniosek?

Indianie kolejno wyrażali zgodę, chwając jednocześnie waleczność młodego białego brata. Tylko Czerwony Orzeł nie zabrał głosu, ponieważ występował jako świadek obecny przy dokonaniu przez Tomka niezwykłego czynu.

Gdy wojownicy wypowiedzieli swoje zdanie, wódz Długie Oczy ciągnął dalej:

— Rada starszych plemienia przyznała memu bratu dwa pióra. Pozostał drugi wielki czyn. Za skuteczną i bezinteresowną pomoc udzieloną tak

wielkiemu i zasłużonemu wodzowi jak Czarna Błyskawica proponuję przyznać memu białemu bratu dalsze trzy pióra, Niech teraz moi czerwoni bracia powiedzą, co o tym myślą.

Wojownicy znów jednogłośnie przyznali Tomkowi prawo do noszenia dalszych trzech orlich piór, po czym wódz Długie Oczy oznajmił, iż posiadanie pięciu coup stawia Tomka w rzędzie zasłużonych wojowników.

Teraz nastąpił uroczysty obrzęd wypalenia fajki pokoju i przyjaźni. Palenie fajki dla Indian było przeważnie ceremonią religijną, dokonywaną tylko przy uroczystych okazjach. Indianie palili ją, aby przebłagać niszczycielskie siły przyrody bądź uchronić się przed nieprzyjacielem, lub też w celu zjednania sobie sił nadnaturalnych, w które wierzyli, dla wszystkich ważnych poczynań. Najbardziej znane były tak zwane „*medicine pipes*”, palono je dla odegnania choroby, a także noszono podczas wojny w celu zapewnienia sobie powodzenia.

Inne fajki lub ich cybuchy, według wierzeń Indian, posiadały świętą moc. Zwano je „*kalumetami*”. Kalumety palono podczas zawierania traktatów pokojowych i stąd powstała nazwa „*fajka pokoju*”. Przybycie posła z kalumetem w czasie działań wojennych oznaczało chęć zawieszenia broni, a sam kalumet stanowił dla niego głąb zapewniający nietykalność poselską. Palenie kalumetów odgrywało również ważną rolę podczas uroczystości adopcyjnych, czyli przy przyjmowaniu obcego do własnego plemienia.

Tomek doskonale się orientował w wadze ceremonii palenia fajki pokoju. Sama już taka propozycja uczyniona młodemu chłopcu miała niezwykle znaczenie, więc z największą uwagą i przejęciem obserwował wszystkie czynności wykonywane przez wodza.

Tymczasem Długie Oczy zdjął z trójnoga długi, ozdobiony frędzlami worek. Wydobył z niego kalumet; z tego samego woreczka wyjął garstkę kinnikinnick, to jest mieszanki ze startych liści tytoniu i drobinek kory czerwonej wierzby, przesyconych tłuszczem zwierzęcym ułatwiającym proces spalania. Nappełnił nią fajkę, ubił dokładnie i zapalił węgielkiem wyjętym z ogniska.

Długie Oczy pierwszy rozpoczął ceremoniał palenia fajki pokoju. Włożył koniec fajki do ust, wciągnął dym, po czym wydmuchnął go w górę, kierując cybuch ku niebu na znak modlitwy do dobrych duchów i przodków. Potem wydmuchiwał dym kolejno zwracając cybuch ku ziemi i czterem stronom

świata — do czterech wiatrów. Dokonawszy tego podał fajkę Indianinowi siedzącemu z prawej strony, który dopełnił takiego samego ceremoniału. Potem podawano fajkę następnemu sąsiadowi, aż doszła do ostatniego wojownika siedzącego po prawej stronie wodza. Wtedy znów powędrowała tą samą drogą do Długich Oczu i ten dopiero podał ją Tomkowi. Biały bohater z namaszczeniem naśladował Indian. Spocił się niezmiernie powstrzymując krztuszenie spowodowane ostrym dymem. Z ulgą podał fajkę Czerwonemu Orłowi. Chociaż młodzi Indianie nie palili tytoniu, aby nie stępieć powonienia, Czerwony Orzeł tym razem nie opuścił kolejki, po czym przekazał z powrotem fajkę Tomkowi, który zwrócił ją wodzowi. Później Tomek dowiedział się, że podczas tego uroczystego ceremoniału fajka nigdy nie mogła być bezpośrednio podana uczestnikowi siedzącemu po drugiej stronie otworu tipi, ponieważ Indianie w ten sposób naśladowali wyimaginowaną przez siebie drogę słońca, a poza tym wierzyli, iż fajka mijając otwór drzwi mogłaby spowodować „*ulotnienie się*” dopiero co zaprzysięganej przyjaźni.

— Wypaliliśmy fajkę pokoju według dawnego indiańskiego zwyczaju, Jesteś teraz naszym bratem. Nasze tipi i wigwamy stoją dla ciebie otworem, możesz mieszkać z nami, jeżeli tylko tego zapragniesz. Wszystko, co posiadamy, należy tak do ciebie, jak do nas — oświadczył wódz Długie Oczy.

Bez jakiegokolwiek polecenia dwie młode Indianki postawiły przed mężczyznami misę z dymiącym gotowanym mięsem, miseczki ze szpikiem kostnym uchodzącym za specjalny przysmak oraz na talerzu wąskie paski suszonego mięsa. Jedzono w milczeniu posługując się łyżkami zrobionymi z bydlęcych rogów. Tomek bez trudu dostosował się do powściągliwego sposobu jedzenia Indian.

Gdy ukończono posiłek, Indianki podały małe gliniane fajeczki i tytoń. Tomek znów się krztusił, lecz tym razem palenie przychodziło mu już łatwiej.

Rozpoczęto rozmowy. Każdy Indianin opowiadał jakąś interesującą przygodę z polowania lub wojny. Tomek, nie chcąc okazać się gorszym, barwnie opisał łowy na dzikie zwierzęta, podkreślając przede wszystkim odwagę swych przyjaciół. Zjednało mu to uznanie Indian, którzy nie lubili przechwalania się młodzieży.

Kiedy goście wodza zaczęli dyskretnie wysuwać się z namiotu, Tomek skorzystał z okazji i zapytał:

— Powiedz mi, wodzu, czy naprawdę przysługuje mi teraz prawo noszenia pięciu orlich piór?

— Tak, ponieważ rada starszych plemienia przyznała białemu bratu tyle coup — potwierdził Długie Oczy. — Według dawnych zwyczajów, odznaczony wojownik sam powinien upolować orła w celu zdobycia piór, lecz jeśli mój brat sobie życzy, to mamy w rezerwacie myśliwego trudniącego się hodowlą tych ptaków. On da memu bratu pięć piór.

— Wolałbym sam zastrzelić orła, nie wiem jednak, czy potrafię go odszukać — odparł Tomek.

— Kula uszkodziłaby pióra, a poza tym ptak postrzelony w powietrzu może spaść w niedostępne miejsce. Orły żyją w górach. Jeżeli mój brat pragnie sam zdobyć pióra, to Czerwony Orzeł będzie jego przewodnikiem i nauczy go naszych sposobów chwytania ptaków.

— Czy Czerwony Orzeł zgadza się? — zawołał Tomek.

— Tak, możemy się udać na polowanie, kiedy tylko mój brat zechce — zapewnił młody Nawaj.

— Wobec tego za trzy dni wyruszamy na małą wyprawę — zdecydował Tomek. — Teraz muszę wracać na ranczo, aby nie niepokoić mego opiekuna dłuższą nieobecnością.

— Mój biały brat najlepiej wie, co powinien uczynić — wtrącił Długie Oczy. — Gdzie zostawiliście swoje mustangi?

— Wpuściliśmy je do korralu — pospiesznie odparł Czerwony Orzeł.

— Niech czerwony brat przyprowadzi je tutaj — polecił Długie Oczy.

Czerwony Orzeł szybko wysunął się z tipi, a tymczasem wódz położył swą prawą dłoń na lewym ramieniu Tomka i rzekł przyciszonym głosem:

— Mój biały brat dokonał niezwykłego czynu. Wielu czerwono-skórych wojowników stało się przez to jego braćmi. Największym twoim przyjacielem jest wielki wódz Indian różnych szczepów, Czarna Błyskawica. Mam białemu bratu przekazać od niego kilka słów.

Tomek, mocno zaintrygowany niecodziennością sytuacji, w napięciu spoglądał na wodza Długie Oczy, który ciągnął dalej przyciszonym głosem:

— Gdyby mój brat potrzebował kiedykolwiek pomocy przyjaciół, niech się uda na Górę Znaków i nada sygnał. Wtedy przybędzie tam ktoś, na kogo młody biały brat może liczyć w każdej okoliczności.

— Dziwnie brzmią twoje słowa, wielki wodzu — szepnął wzruszony Tomek. — Nie wiem, gdzie się znajduje Góra Znaków ani jak się nadaje sygnały. Nie wiem również, kto by tam mógł przybyć na moje wezwanie.

— Mogę mego brata zapewnić, że na takie wezwanie przybędzie przyjaciel, a zarazem potężny sojusznik. Górę Znaków oraz sposób nadawania sygnałów wskaże białemu bratu Czerwony Orzeł. Otrzyma on ode mnie odpowiednie polecenie. Gdy będziesz chciał wezwać pomocy, odszukaj tylko Czerwonego Orła. Biali mają zazwyczaj długie języki, niech więc mój brat zachowa te słowa tylko dla siebie. Ugh!

W tej chwili podprowadzono konie. Długie Oczy wyszedł z Tomkiem przed namiot. Kiedy chłopiec dosiadł wierzchowca, wódz nachylił się ku niemu i szepnął znacząco:

— Niech biały brat dobrze pamięta moje słowa i dochowa tajemnicy. Nikt nie powinien znać treści naszej rozmowy.

— Wódz Długie Oczy może na mnie liczyć — zapewnił Tomek.



## POLOWANIE NA ORŁY

Granica między Stanami Zjednoczonymi i Meksykiem przebiega na południowym wschodzie wzdłuż kapryśnej Rio Grande, która wypływa z Gór Skalistych, a uchodzi do Zatoki Meksykańskiej. Rio Grande olbrzymim, naturalnym łukiem oddziela Meksyk od Teksasu leżącego w Stanach Zjednoczonych. Począwszy od miasteczka El Paso w kierunku na zachód obydwaj państwa dzieli już tylko granica linearna. W południowo-zachodniej części Nowego Meksyku linia graniczna dwukrotnie załamuje się pod kątem prostym. Tutaj właśnie rozciąga się płaskowyż Sierra Madre, obramowany na wschodzie przełomem Rio Grande, na północnym zachodzie wyżyną Kolorado, a na zachodzie górami Peloncillo i pasmem Guadelupi zbiegającym się z meksykańskimi górami Sierra Madre.

Ranczo szeryfa Allana znajdowało się w południowej części płaskowyżu Sierra Madre, w pobliżu granicy meksykańskiej, toteż Tomek i Czerwony Orzeł postanowili zapolować na orły w górach Guadelupi. Tomek pragnął wybrać się na tę kilkudniową wyprawę jedynie w towarzystwie czerwonoskórego przyjaciela. Wiedział z doświadczenia, że takie wyprawy ułatwiają zbliżenie i pogłębiają więzy przyjaźni, na czym mu szczególnie w tym wypadku zależało. Z tego też powodu uczynił wszystko, co było w jego mocy, aby zniechęcić bosmana Nowickiego do udziału w łowach. Nie było to łatwe. Wprawdzie olbrzymi marynarz nie lubił górskich wycieczek i twierdził, że człowiek zbyt się przemęcza „*wytrząsając brzuszysko po skałach*”, lecz gdy chodziło o przeżycie przygody lub ujrzanie czegoś nowego, gotów był do znacznych ustępstw. Tym razem szeryf bezwiednie przyszedł Tomkowi z pomocą. Mianowicie zaproponował bosmanowi urządzenie zasadzki na jaguara niepokojącego bydło pasące się na stepie. Bosman mając do wyboru łowy na „*ptaszki*”, jak nazywał orły, i polowanie na drapieżnego czworonoga, wybrał oczywiście to ostatnie.

W skrytości ducha był nawet zadowolony, iż Tomek — niezawodny strzelec — nie weźmie udziału w polowaniu na jaguara. Szeryf bowiem, jak sam zapewniał, nie mógł się poszczycić celnością strzału, palma zwycięstwa przypadłaby w takim razie tylko jemu. Nie zdawał sobie sprawy, iż większość

gatunków orłów odznacza się niezwykłą wielkością, siłą, a także drapieżnością i odważa się atakować ludzi.

Tomek zaś, zadowolony z takiego obrotu sprawy, nie kwapił się jakoś do wtajemniczenia druha w niebezpieczeństwa tego polowania. Czując jednak potrzebę wygadania się, gdy tylko Sally poprosiła go o pewne wyjaśnienia, zabłysnął przed nią swymi wiadomościami z przyrody, wykutymi w szkole na pamięć, a utrwalonymi lekturą o świecie.

Z jego relacji Sally dowiedziała się, iż rząd ptaków drapieżnych dziennych dzieli się na dwa podrzędy: sępy Nowego Świata i drapieżniki właściwe. Z dalszych wyjaśnień wynikało, że do tych ostatnich zalicza się około trzystu pięćdziesięciu gatunków, zgrupowanych w czterech rodzinach: wężojadów, sępów, sokołów i rybołówów. Najliczniejsza z nich, rodzina sokołów, obejmuje sześć podrodzin. Są to orłosepy, orły, myszołowy, jastrzębie, karakary i sokoły właściwe.

Orły żyją w różnych częściach świata. Na kontynencie amerykańskim spotyka się je począwszy od dalekiej północy aż po Paragwaj. Wygląd tych dużych, często bardzo dużych ptaków jest charakterystyczny. Mają całkowicie upierzoną głowę, wysoki zakrzywiony dziób, niezbyt długi ogon oraz duże, mocne, ostre i silnie zgięte w dół szpony.

Bardzo zróżnicowanym rodzajem są łomignaty, zwane też orłami morskimi. Długość ich dochodzi do dziewięćdziesięciu pięciu centymetrów przy rozpiętości skrzydeł do dwóch i pół metra. Upierzenie mają brunatne lub brudnoszare.

Poza Europą rodzaj zwany łomignatem bielikiem gnieździ się w całej Syberii i Japonii; w Ameryce Północnej zastępuje go łomignat białogłowy, a w Afryce łomignaty — krzykliwy i akrobata.

Głównym przedstawicielem orłów właściwych jest orzeł przedni, największy po bieliku europejski ptak drapieżny. Odmianą jego dość rzadko już spotykaną w Europie i Afryce, jest orzeł złocisty, ozdoba wszystkich skrzydlatych mieszkańców Ameryki. Jego ulubionym miejscem pobytu są wysokie góry, gdzie gnieździ się w niedostępnych ścianach skalnych. Każda para ma jakby swój obszar łowów i, jeśli tylko wystarcza jej pożywienia, nie opuszcza skalnego gniazda nawet zimą. Ten wspaniały ptak o upierzeniu barwy rdzawo czerwonej jest najniebezpieczniejszym wrogiem wszelkiej zwierzyny.



Na te właśnie orły złociste miał zapolować Tomek. Bardziej jednak niż orły zaciekał Sally młody Indianin, z którym Tomek wybierał się na wyprawę.

W oznaczonym na wycieczkę dniu obydwaj młodzi przyjaciele wczesnym rankiem opuścili ranczo. Oprócz wierzchowców, silnych mustangów, Tomek zabrał luzaka objuczonego sprzętem obozowym i zapasami żywności.

Pustynnym stepem porośłym kaktusami i krzewami meskitowymi<sup>171</sup> posuwali się na południowy zachód ku wyraźnie piętrzącemu się łańcuchowi gór. Już około południa wjechali w kanion rozcinający głęboko pasmo górskie.

Na stromych stokach rosły lasy jukowe<sup>172</sup>. Oryginalne, lecz brzydkie zielone drzewka przypominały Tomkowi miotły zatknięte trzonem w ziemię.

Czerwony Orzeł z zadartą w górę głową wypatrywał orłów i bez wahania zagłębiał się w dzikie odnogi kanionu otoczonego strzelistymi skałami. Przed wieczorem wspięli się na nieco łagodniejszy stok górski, by na małej polanie, porośniętej drzewami jukowymi i kaktusami, rozłożyć się na noc obozem.

Mustangi ze spętanymi przednimi nogami puścili na polanę, po czym rozbili namiot i rozpalili ognisko. Przygotowanie posiłku nie zajęło im wiele czasu. Jedli w milczeniu, zmęczeni po całodziennej jeździe.

Tomek niezmiernie był ciekaw indiańskich sposobów polowania na orły. Miał nadzieję, że jego towarzysz opowie mu po kolacji, w jaki sposób ma zamiar urządzić na nie zasadzkę. Nawaj nie był jednak skłonny do wynurzeń. Zaledwie uprzątnęli naczynia, owinał się w gruby koc i ułożył do snu przy ognisku.

Tomek przepadał za wieczornymi obozowymi gawędami, toteż niezadowolony z małomówności Indianina odezwał się:

— Może byśmy omówili plan łowów? Jeszcze nie jest zbyt późno, zdążymy wypocząć do świtu.

— Nie można teraz mówić o chwytaniu orłów — półgłosem odparł Nawaj. — Niedaleko stąd jest ich gniazdo. Gdyby przypadkiem podsłuchały

---

<sup>171</sup> — Krzew meskitowy (ang. *mesquite*) — roślina strączkowa rosnąca w południo-wo-zachodnich stanach w Ameryce Północnej i w Ameryce Południowej, używana na paszę bydłą.

<sup>172</sup> — Juka (*Yucca*) — bylina z rodziny liliowatych, występuje w około 30 gatunkach w południowej części Ameryki Północnej, w Ameryce Środkowej i Południowej. Gatunek *Yucca gloriosa* ma pokrój drzew, liście mieczowate, skórzaste, do jednego metra długie.

naszą rozmowę, nie udałoby się nam zbliżyć do nich. Niech mój brat dobrze wypocznie. Jutro czeka nas bardzo pracowity dzień.

Otrzymałszy taką odprawę, Tomek wsunął się do namiotu. O ile przyjemniejszymi towarzyszami wędrówek wydali mu się teraz afrykańscy Murzyni. Mogli całą noc spędzić na rozmowach, chociaż byli nie mniej przesądni od Indian. Markotny ułożył się na kocu, lecz nie mógł zasnąć. Zaczął się zastanawiać, czy nie lepiej było wyruszyć z bosmanem i szeryfem na polowanie na jaguara. Naraz przypomniał sobie o właściwym celu wyprawy. Przyznanie mu prawa do noszenia pięciu orlich piór było nie lada wyróżnieniem. Nawet Czerwony Orzeł do tej pory zdobył tylko trzy pióra. Poza tym czekała go jeszcze uroczysta ceremonia sporządzania zaszczytnego stroju głowy, dla którego zdobycia niemal każdy Indianin gotów był ryzykować życie.

W lepszym już nastroju zaczął rozmyślać o łowach na orły, aż w końcu zasnął.

Zaledwie słońce pierwszymi promieniami musnęło skalne szczyty, chłopcy zerwali się z posłań. Czerwony Orzeł co chwila spoglądał w bezchmurne niebo, czy przypadkiem nie ujrzy w górze szybującego króla ptaków. Kończyli właśnie zwijanie obozu, gdy naraz Indianin zamarł w bezruchu z zadartą do góry głową. Zaintrygowany Tomek natychmiast również spojrzał w górę.

Pomiędzy skalnymi ścianami, na jasnym tle nieba wyraźnie rysował się wolno szybujący w przestworzach ciemny kontur.

Przez chwilę Tomek ulegał złudzeniu wzrokowemu. Przemknęło mu przez myśl, że to bracia Wilbur i Orville Wright, którzy w roku 1903 w Północnej Karolinie dokonali pierwszego udanego lotu na aeroplanie zaopatrzonym w silnik, ponownie dokonują próby. Niebawem na tle nieba pojawiła się druga sylwetka wolno płynącego ptaka. Zdawało się, że szeroko rozpięte skrzydła nie wykonują żadnego ruchu.

Chwilami ptaki zawisały w powietrzu, jakby wypatrywały zdobyczy w załomach skał, potem znów wzbijały się wolno i majestatycznie.

— Orły oblatują swój teren łowów — z nabożną czią szepnął Indianin. — Robią to każdego ranka. Nic nie ujdzie ich bystremu wzrokowi...

Nastrój przesądnego Indianina udzielił się Tomkowi. Szybujące w górze olbrzymy naprawdę budziły podziw i lęk. Przecież piękno, siła, a także

wspaniały wygląd orła w locie skłoniły wielu władców wojowniczych ludów do obrania go za godło państwowe. Tomek pomyślał o kraju ojczystym, potem przypomniał sobie, iż orzeł złocisty znajduje się również w godle Stanów Zjednoczonych.

Bystrookie, czujne orły musiały zapewne dostrzec chłopców obozujących na polanie i ich konie, gdyż naraz zwinąwszy skrzydła zniżyły się lotem nurkowym ku ziemi. Po chwili zataczały szerokie koła nad polaną, lecz niebawem znów poszybowały wolno ku południowi.

— Wypatrzyły nas, teraz będą bardzo ostrożne — szepnął Czerwony Orzeł.

Tomek otrząsnął się już z nastroju wywołanego zachowaniem Indianina. Spojrzał na niego roziskrzonymi oczami i rzekł:

— Orły są tylko żarłocznymi, niebezpiecznymi ptakami. Nie rozumieją mowy ludzkiej i nie posiadają nadprzyrodzonej siły. Dlatego orzeł, chociaż z powodzeniem atakuje nie tylko ptaki, lecz nawet sarny i wilki, nie odważy się napaść na nasze obozowisko. Poza tym on tylko w locie oraz gdy siedzi wygląda majestatycznie. W chodzeniu po ziemi jest tak nieudolny, że pobudza do śmiechu. Często stawiano orła, tak niebezpiecznego drapieżcę, za wzór siły i szlachetności, piętnując ze wszech miar pożytecznego sępa jako wcielenie wstrętnej żarłoczności. Tymczasem orzeł lubi krew, żywi się schwytaną zdobyczą, a ponadto pożera padlinę. Sęp natomiast nie zabija, lecz z zasady pochłania padlinę, przez co staje się pożyteczny dla człowieka. Ale powiedz teraz, w jaki sposób urządzimy zasadzkę na orły? Zaczyna mi się podobać to polowanie.

— Niech mój brat tak nie mówi — niechętnie odparł Nawaj. — Orły wypatrzyły nas i kto wie, co z tego wyniknie.

— To, że zdobędę moich pięć piór przyznanych mi przez radę starszych waszego plemienia — roześmiał się biały chłopiec. — Możesz mi wierzyć, że miałem ogromną ochotę wygarnąć do tych orłów ze sztucera.

— Wy, biali, nie rozumiecie wielu rzeczy — w zamyśleniu powiedział Indianin. — Powróćmy do naszych łowów. Konie zostawimy tutaj, a sami będziemy musieli piąć się na strome skały.

— Czy nie obawiasz się, że po powrocie możemy koni nie zastać? — zaniepokoił się Tomek.

— Ze spętanymi nogami nie oddalą się zbyt, a poza tym dopóki mają dość paszy, nie będą uciekały.

Zapakowali sprzęt obozowy w dwa tobołki, które zarzucili na plecy. Indianin ponadto niósł duży pęk świeżo naciętych gałęzi jukowych. Tak objuczeni ruszyli na bezdrożne skały.

Czerwony Orzeł dobrze się orientował w terenie. Z łatwością odnajdywał dostępne podejścia pod górę i tylko w kilku miejscach musieli się mozolnie wspinać po olbrzymich głazach. Poza nimi pozostawały kręte kaniony i zagubione wśród skał dolinki, wyglądające jak oazy zieleni pośród rozległych rumowisk. Gdzie tylko jednak warstwa gleby pokrywała stoki gór, tam bujnie krzewiły się miotlaste juki i kaktusy.

Młodzi łowcy, obarczeni tobołkami, zatrzymywali się co pewien czas na odpoczynek. Czujny wzrok Indianina błędził wówczas po załomach i rozpadlinach skalnych, Tomek zaś rozkoszował się malowniczymi widokami dzikiej okolicy.

Minęło kilka godzin, zanim dotarli na obszerny taras skalny w jednym z załomów ściany jakiegoś wyniosłego szczytu. Wokół wznosiły się nieco niższe skalne baszty pocięte wąskimi rozpadlinami lub zawieszane nad przepaściami.

Dopiero teraz mógł Tomek stwierdzić, iż jego przewodnik wybrał najkrótszą, lecz nie najwygodniejszą drogę. Od strony południowej wejście było znacznie łagodniejsze, a wysokogórska roślinność kończyła się dopiero u podnóża platformy, na której się zatrzymali.

Czerwony Orzeł, jakby odgadując myśli Tomka, rzekł spokojnie:

— Mój brat zastanawia się zapewne, dlaczego wybrałem trudniejszą drogę. Kanion, którym przybyliśmy tutaj, jest przecięty nie opodal rwącym głębokim strumieniem. Mielibyśmy dużo trudności z przeprawieniem się na drugą stronę.

— Ach, tak! Czy tutaj urządzimy pułapkę na orły?

— Jesteśmy na miejscu — lakonicznie oznajmił Czerwony Orzeł.

— Wobec tego możemy rozłożyć obóz — ucieszył się Tomek zmęczony wchodzeniem pod górę.

— Obóz rozłożymy za załomem góry — wyjaśnił Indianin. — Tutaj natomiast przygotowujemy pułapkę.

Po krótkim odpoczynku wspięli się na wyżej położoną szeroką trawiastą półkę. Na niej rozpięli namiot i rozpalili małe ognisko, wykorzystując gałęzie juki na opał. Wyglodniały Tomek pałaszował posiłek z ogromnym apetytem, za to jego towarzysz jadł bardzo wstrzemięźliwie. Małomówność Indianina niecierpliwiła białego chłopca. Nie rozumiał, dlaczego czerwonoskóry zachowuje się podczas polowania, jakby odprawiał jakiś specjalny ceremoniał, lecz z wrodzonej delikatności powstrzymywał się od zadawania pytań.

Jeszcze przed wieczorem zeszli znowu na taras i według wskazówek Indianina wykopali dość głęboki dół. W nim to właśnie mieli się nazajutrz zacząć na orły. Starannie zamaskowali pułapkę, przykrywając ją gałęziami, ziemią i trawą. Wszelkie ślady kopania dokładnie usunęli.

Dokonawszy tego, powrócili do obozu. Tomek zniechęcony uporczywym milczeniem Indianina postanowił wcześniej udać się na spoczynek. Jakież było więc jego zdziwienie, gdy Czerwony Orzeł oświadczył, iż tej nocy nie powinni się kłaść do snu.

— A co będziemy robili? — zagadnął Tomek.

— Musimy przebłagać duchy ptaków, które mamy zabić — krótko odpowiedział Indianin.

Tomek natychmiast zapomniał o zmęczeniu, opuścił go sen. Wiedział, jak niechętnie Indianie zdradzają przed białymi swe ceremoniały i obrzędy. Oto miał niezwykłą okazję poznania jednej z ich tajemnic.

Gdy noc zapadła, Indianin usiadł przy tłącym się ognisku. Tomek zajął miejsce naprzeciw niego. Czerwonoskóry wydobył ze swego zawiniątka woreczek napełniony suszoną trawą. Co pewien czas posypywał nią żarzące się węgle. Nad ogniskiem zaczęły się unosić szarawe obłoczki aromatycznego dymu, przypominającego zapachem kadzidło. Indianin pochylał się nad ogniskiem, aby słodkawy dym spływał po całym jego ciele. Wkrótce Tomek poczuł lekki zawrót głowy. Jak przez sen przenikały do jego świadomości słowa pieśni Indianina.

*„Wielki Manitu! Zaostrz mój wzrok wypatrujący wszechwiedzącego orła. Wspomóż siłą dłoń i stopę, by zadały błyskawiczny śmiertelny cios. Niech święty dym spalanej trawy oczyści me ciało z ludzkiego zapachu, ostrzegającego każde zwierzę o zbliżaniu się myśliwego... O, wspaniałe, wszechwiedzący, mądry orle! Przebacz mi, że muszę cię zabić. Potrzebuję*

*twoich piór dla męznego wojownika. Duch twój będzie się radował, odnajdując swoje pióra na głowie szlachetnego przyjaciela, posiadającego odwagę grizzly i przebiegłość węża. Jego to właśnie będą twe pióra wyróżniały wśród wojowników...”*

Indianin nucił bez przerwy przez całą noc. To błagał Wielkiego Ducha Manitu o pomoc, to znów zwracał się z prośbą do orła, by wybaczył mu śmiertelny cios, którym pozbawi go życia. Tomek długo wsłuchiwał się w monotonną pieśń. Gdzieś z doliny dotarło odległe wycie kojota<sup>173</sup>, Indianin znów rozpoczął pieśń orła...

Tomkowi zdawało się, że zaledwie zdążył przymknąć oczy, gdy poczuł potrząśnięcie za ramię. Ze zdziwieniem stwierdził, iż ciemność nocy rozplynęła się wraz z kadzidlanyimi dymami. Obok niego stał Czerwony Orzeł.

— Czas już — powiedział.

Tomek przetarł oczy i poderwał się na nogi. Indianin podjął z ziemi zawiniątko, podczas gdy Tomek uważnie sprawdził zamek sztucera. Z bronią przygotowaną do strzału ochoczo podążył za Czerwonym Orłem, który na znak, iż nie ma zamiaru użyć strzelby podczas łowów, nie zabrał swojej.

Wkrótce łowcy znaleźli się na tarasie przy wykopanym dole–pułapce. Czerwony Orzeł rozwinął swój tobołek. Wyjął z niego kawał surowej bydlecej wątroby, położył ją na rusztowaniu maskującym dół, po czym wydobył skórę kojota. Z niezwykłą zręcznością powbijął w ziemię paliki i ułożył na nich skórę w ten sposób, że patrząc z góry mogło się wydawać, iż prawdziwy kojot pożera swój łup.

Tomek z wielkim zainteresowaniem przyglądał się wszystkim czynnościom. Ogarnęło go zdumienie, gdy Indianin wyciągnął z tobołka ludzką czaszkę.

— Co ty wyprawiasz, do licha! Dlaczego nie dajesz spokoju ludzkim szczątkom? — oburzył się Tomek.

---

<sup>173</sup> — Kojot (*Luciscus latrans*) — amerykański wilk preriowy występujący od Kostaryki aż do 55° szerokości geograficznej północnej. Dorosły kojot osiąga długość do 1,4 m łącznie z czterdziestocentymetrowym ogonem. Pożera wszystko, co tylko pozwoli mu się zjeść. Kojoty mają przemyślny sposób łowów. Podczas polowania na zwierzęta szybciej biegające od nich rozstawiają się pojedynczo na prerii na całych dziesiątkach kilometrów, niczym do biegu sztafetowego. Gdy jednego zmęczy pościg, zastępuje go następny, czający się w pewnej odległości, potem znów się zmieniają. Potrafią dogonić nawet antylopę widłorogą, słynącą z wielkiej szybkości.

— To czaszka wielkiego wojownika. Ona uczyni nas niewidocznymi dla orla, tak jak niewidoczny jest dla nas duch wojownika polującego w Krainie Wiecznych Łowów — poważnie wyjaśnił Czerwony Orzeł. — Teraz prędko skryjmy się w dole. Orły mogą zaraz nadlecieć!

Weszli do jamy i starannie zamaskowali wejście, pozostawiając jednak małe szpary, aby przez nie obserwować niebo. Indianin przez jeden z tych otworów wysunął długą gałąź. Miała ona służyć do odganiania innych nieproszonych pierzastych gości. Teraz już pozostało im jedynie czekać na przylot orłów.

Czerwonoskóry łowca kilkakrotnie płoszył gałęzią ptaki zwabione widokiem przynęty. Właśnie znów zamierzał poruszyć gałęzią, gdy naraz usłyszeli krakanie podobne do krakania jastrzębia. Ptaki krążące nad przynętą uciekły w popłochu.

— Orzeł! — szepnął Indianin.

Patrząc przez otwory ujrzeli kołującego w górze wspaniałego ptaka.

— Zobaczył przynętę i zapewne chce spłoszyć naszego kojota — szepnął Tomek.

— Mój biały brat dobrze mówi — potwierdził Indianin. — Orzeł widzi łup! Teraz musimy działać bardzo sprawnie. Gdy tylko usiądzie na rusztowaniu, spróbuję schwycić go za nogi, a jeśli to mi się uda, pomyślnie zakończymy łowy.

— Nie wiem, czy odważyłbym się na to — mruknął Tomek. — Mógłbym jednak teraz z łatwością zastrzelić orła...

— Nawet trafiony ptak potrafi się skryć w rozpadlinie. Zaraz zdobędziemy twoje pióra.

Orzeł wbrew tym zapowiedziom nie mógł się jakoś zdecydować na porwanie łatwego łupu. Zniżył lot, zataczał coraz mniejsze koła kracząc zawzięcie, aż w końcu zwróciło to uwagę Indianina.

— On się czegoś obawia — szepnął do Tomka. — To zły znak!

— W tej okolicy nie ma chyba groźnych dla niego zwierząt — odparł Tomek półgłosem. — Czyżby tu się zabłąkał...

W tej chwili olbrzymi drapieżnik stulił szerokie skrzydła i jak wypuszczona z łuku pierzasta strzała zaczął opadać ku ziemi. Zaledwie dotknął rusztowania, Indianin błyskawicznym ruchem wysunął dłonie,

chwycił go za nogi, wciągnął do dołu i powalonemu na ziemię, złamał stopą kręgosłup.

Stało się to tak szybko, że nim Tomek zorientował się w sytuacji, było już po wszystkim. Pokonany orzeł zatrzepotał nieporadnie skrzydłami, kurczowo zakrzywił szpony, które już niejednemu zwierzęciu zadały śmiertelny cios, po czym znieruchomiał.

Tomek pragnął jak najszybciej przyjrzeć się wielkiemu drapieżnemu ptakowi. Odrzucił więc rusztowanie maskujące dół, lecz zaledwie spojrzał na taras, zaraz zrozumiał, dlaczego orzeł tak długo kołował nad przynętą, nie mogąc się zdecydować na jej porwanie. Nie dalej jak dwadzieścia metrów od pułapki stał duży, ciemnobrunatny niedźwiedź. Wyciągnąwszy łeb łowił nosem nie znaną sobie woń. Gdy ujrzał głowę chłopca wychylającą się z dołu, wydał głuchy pomruk.

— Niedźwiedź! — zawołał podniecony Tomek.

Czujny na wszystko czerwonoskóry łowca natychmiast porzucił swój cenny łup. Wychylił się szybko z dołu. Jeden rzut oka wystarczył mu, by się zorientować w sytuacji.

— Grizzly! Młody grizzly! Zwróć na siebie jego uwagę, postaram się zająć go od tyłu. Musisz strzelić z karabinu prosto w serce, lecz pociągnij za cyngiel dopiero wtedy, gdy stanie na zadnich łapach.

Indianin jednym tchem wyrzucił z siebie te słowa, potem wyskoczył z dołu trzymając mocne, rzemieńne lasso. Tomek również nie tracił czasu na zbędne rozważania. Wiedział, że niedźwiedź siwy<sup>174</sup>, zwany powszechnie „grizzly”, jest najstraszniejszym drapieżnym zwierzęciem Ameryki Północnej. Nie wypuszczając sztucera z ręki, jednym susem wydostał się z pułapki. Z mocno bijącym sercem stanął naprzeciw niedźwiedzia.

Aby odwrócić jego uwagę od Indianina, który szerokim łukiem starał się zająć go od tyłu, Tomek krzyknął donośnie. Niedźwiedź natychmiast wyciągnął ku niemu swój wielki kudłaty łeb. Mruknął gniewnie i niezgrabnym krokiem ruszył w kierunku Tomka. Szedł coraz szybciej. Chłopiec poczuł już ostry zapach dzikiego zwierzęcia.

Trzymał sztucer przygotowany do strzału, lecz wiedział, że nie wolno w takiej sytuacji pochopnie postępować. Rozdrażniony lub, co gorsza, raniony

---

<sup>174</sup> — Niedźwiedź siwy zwany jest przez Amerykanów „grizzly”, co znaczy „siwek”



grizzly wpadał w szal bojowy, a wtedy śmierć groziła śmiałkowi, który zlekceważył ostrożność.

Zaledwie pięć metrów dzieliło Tomka od zwierzęcia. Grizzly przyspieszył kroku, by jak najprędzej dosięgnąć dziwnej istoty, gdy naraz łąso świsnęło w powietrzu. Rzemienienna pętla opadła na kudłaty kark, zacisnęła się mocno i szarpnęła niedźwiedziem. Grizzly ryknął straszliwie, uniósł się na zadnich łapach, przednimi próbując zrzucić zdradziecką pętlę.

Tomek pełen podziwu dla odwagi i sprytu Indianina natychmiast wykorzystał wspaniałą okazję do strzału. Uniósł sztucer, skierował lufę w pierś niedźwiedzia. Okiem wytrawnego strzelca wyszukał odpowiednie miejsce, po czym spokojnie nacisnął spust. Jeszcze nie przebrzmiało echo po pierwszym strzale, gdy Tomek nacisnął spust po raz drugi.

Olbrzymi niedźwiedź chwiał się na nogach. Przekrwionymi ślepiami spoglądał na przeciwnika. Naraz silne szarpnięcie arkanu powaliło go na ziemię. Grizzly osunął się jak ciężka kłoda, lecz zaledwie dotknął ziemi, Czerwony Orzeł podbiegł do niego i wbił swój długi nóż pod jego lewą łopatkę. Ostrożność ta była zupełnie zbyteczna. Jak się później okazało, oba strzały były nadzwyczaj celne. W sercu młodego grizzly tkwiły dwie kule.

Młodzi łowcy spojrzeli na siebie błyszczącymi oczyma. Przypadkowe upolowanie niebezpiecznego grizzly było nie lada wyczynem myśliwskim. Własnoręczne zabicie niedźwiedzia uprawniało ich do noszenia naszyjników sporządzonych z jego kłów i pazurów. Naszyjnik taki był widomym dowodem męstwa wojownika. Czerwony Orzeł pierwszy opanował wzruszenie.

— Ugh, mój biały brat musiał sobie zasłużyć na łaskę Wielkiego Manitu — odezwał się. — Głowę jego będą zdobiły pióra potężnego ptaka. To orzeł sprowadził na nas niedźwiedzia, aby się zemścić za urządzenie nań pułapki. Wielki czarownik z tego orła! Musimy zaraz okupić sobie jego milczenie. Niech mój biały brat pomoże mi wykroić z zabitego niedźwiedzia najbardziej smakowity kąsek!

Tomek nie orientował się, o co chodziło Nawajowi, lecz pomógł mu wyciąć kawałek mięsa z łapy niedźwiedzia. Indianin ociekające krwią mięso wepchnął do dzioba orła. Dopiero teraz wyjaśnił Tomkowi, dlaczego to uczynił. Otóż Indianie wierzyli, że racząc orła smakowitym kąskiem, okupują sobie jego milczenie. Ułagodzony w ten sposób duch ptaka nie będzie

powtarzał innym orłom, w jaki sposób pozbawiono go życia, i tym samym umożliwił schwywanie nie ostrzeżonych drapieżników.

Zabicie grizzly zmusiło chłopców do przedłużenia pobytu w górach. Resztę dnia spędzili nadzwyczaj pracowicie. Zajęli się wyrwaniem piór ze skrzydeł orła i ściąganiem skóry z niedźwiedzia. Wprawdzie skóra grizzly nie przedstawiała zbyt wielkiej wartości handlowej, lecz dla chłopców była cennym trofeum myśliwskim. Łapy, uważane za duży przysmak, odcięli w całości, postanawiając wyjąć z nich pazury po powrocie na ranczo.

Tego wieczoru Tomek po raz pierwszy w życiu spożywał pieczeń niedźwiedzią, i to z upolowanego przez siebie grizzly.

Następnego dnia, już późnym rankiem, odnaleźli w dolinie konie i bez przeszkód odbyli drogę do domu.

## RODEO

Sally nie posiadała się z radości, gdy na dwa dni przed rodeo Tomek oznajmił, iż weźmie udział w wyścigu dziesięciomilowym ubrany w oryginalny strój indiański. Bosman, szeryf i pani Allan podśmiewali się trochę z jego pomysłu, ale pełna temperamentu Sally nie dopuściła, aby wpłynęli na zmianę tej decyzji. Pani Allan i szeryf widzieli w tym objaw młodzieńczej fantazji. Sally i bosman — jego zaufani powiernicy — wiedzieli dobrze, że Tomek ma prawo do noszenia indiańskiego stroju.

Należy wyjaśnić, że wkrótce po powrocie z polowania na orły, Tomek został ponownie zaproszony przez młodego Nawaja do rezerwatu. Wtedy właśnie Długie Oczy zwołał naradę, aby zwyczajem indiańskim wspólnie przygotować dla Tomka honorową ozdobę z orlich piór.

A była to sztuka nie lada.

Najbardziej nam znany, typowy strój głowy wojownika sporządzano w ten sposób, iż najpierw robiono czapkę z miękkiej jeleniej skóry i do niej przymocowywano pióra. Do niej też przyszywano długi pas z jeleniej skóry, jeżeli pióropusz miał mieć ogon. Po przygotowaniu „czapki” wręczano wojownikowi pióro, a on musiał opowiedzieć, za co zostało mu przyznane. W zależności od liczby zdobytych coup, pióropusz liczył nieraz czterdzieści lub nawet pięćdziesiąt piór, sporządzanie stroju trwało więc odpowiednio długo, nawet kilka tygodni. Opaskę czoła pokrywano skórą łasicy i naszywano koralami. Wierzano bowiem, że zalety przebiegłego i czujnego zwierzątka, unikającego zręcznie pościgu podczas łowów, przejdą poprzez strój na wojownika. Każde pióro zdobiące głowę upamiętniało zabicie przeciwnika lub jakiś nadzwyczajny czyn. Jeżeli wojownik zdobywał skalp wroga, wtedy do pióra przywiązywano wiązkę końskich włosów. W wyjątkowych wypadkach wojownikowi nadawano przywilej noszenia rogów bizona, umocowanych do stroju głowy. Było to specjalnym symbolem siły i władzy.

Zwyczajem szczepu Omaha i innych Indian równin, Tomkowi przygotowano ozdobę znaną jako „crow”<sup>175</sup>, a nazywaną popularnie przez białych „*dance bustle*”<sup>176</sup>.

Była to opaska z jeleniej skóry, podtrzymująca umieszczoną na tyle głowy wiązkę piór. Strój ten mieli prawo nosić zasłużeni wojownicy, z których formowano doborowe oddziały specjalne<sup>177</sup> lub plemienną policję.

Podczas uczyty wódz Długie Oczy oznajmił Tomkowi, iż rada starszych uznała go za honorowego członka plemienia Mescalero Apaczów. Jednocześnie dla upamiętnienia tego faktu wręczył mu oryginalny strój indiański. Składał się on z kamizelki i spodni z jeleniej skóry, bogato zdobionych frędzlami i paciorkami, mokasynów przystrojonych kolcami jeżozwierza, pasa tkanego z materiału oraz tak popularnej na Dalekim Zachodzie jaskrawej chusty na szyję.

Oprócz tych zaszczytnych wyróżnień nowy członek plemienia otrzymał prawdziwe indiańskie imię — Nah'tah ni yezi'zi, co znaczyło — Mały Wódz. Tomek dumny z wyróżnienia postanowił w swym malowniczym stroju wystąpić po raz pierwszy podczas wyścigów na rodeo. Miało się ono odbyć za kilka dni w Douglas — miasteczku leżącym w Arizonie na pograniczu Meksyku.

Ranczo Allana w linii prostej oddalone było od Douglas prawie o sześćdziesiąt kilometrów. Nie chcąc forsować klaczy, szeryf postanowił wyruszyć wcześniej.

Na doroczne popisy kowbojów zjeżdżali się ranczerzy z Arizony, Nowego Meksyku, Teksasu i Meksyku. Dla zapalonych hodowców koni najbardziej atrakcyjny był wyścig dziesięciomilowy, przynoszący zwycięzcy

---

<sup>175</sup> — Crow (ang. — kruk) — do sporządzenia tego stroju używano piór ptaków pojawiających się nad polem bitwy. Zazwyczaj pierwsze przylatywały kruki, potem dopiero myszołowy, sroki i orły. Te ostatnie zawsze wyobrażały wojnę i siłę grzmotu.

<sup>176</sup> — Dance bustle — robiący wrzawę, szum podczas tańca.

<sup>177</sup> — Tak zwani „*dog soldiers*” — żołnierze-psy — stowarzyszenie wojskowe istniejące wśród Indian z równin. Żołnierze-psy wyróżniali się niezwykłym męstwem i odwagą. Oficerowie nosili długie pasy z materiału lub skóry, posiadające na jednym końcu otwór do przesunięcia przezeń głowy; pas ten zwisał przez plecy aż do ziemi. Na początku bitwy oficer zsiadał z konia, by dowodzić walką, i dzidą przybijał jeden koniec pasa do ziemi. Oznaczało to, że zwycięży tub zginie. Nawet w razie niepomysłnego obrotu walki nie wolno mu było wydobyć dzidy przytrzymującej pas. Mógł to uczynić jedynie ich oficer, co najmniej równy rangą, uderzając go jednocześnie batem po twarzy. Wtedy Indianin mógł się ratować ucieczką bez plamy na honorze.

dziesięć tysięcy dolarów nagrody. Tym razem zgłosiło swe rumaki do wyścigu ponad dwudziestu ranczerów, a wśród nich Meksykanin hiszpańskiego pochodzenia, Don Pedro. Był właścicielem wielkiej hodowli koni wyścigowych oraz rozległego, położonego w pobliżu granicy majątku w Meksyku. Don Pedro zgłaszał swe wierzchowce do wyścigu tylko wtedy, gdy miał duże szansę zwycięstwa.

Szeryf również był zapalonym koniarzem. Zrzędała mu wszakże mina na wieść o tym, że wytrawny hodowca meksykański bierze udział w tegorocznym rodeo. Don Pedra nie wolno było lekceważyć. Zastanawiał się więc, czy słusznie postąpił wybierając młodego Tomka na dżokeja dla swego rumaka. Jeźdźcy Meksykanina rekrutowali się przeważnie spośród Indian, niezrównanych wprost w kierowaniu końmi wyścigowymi. Szeryf nie miał wątpliwości, że Tomek nie dorównuje im w jeździe, lecz obserwując zapał, z jakim chłopiec przygotowywał się do wyścigu, nie chciał zmieniać swej poprzedniej decyzji. Fakt, iż Tomek niemal od pierwszej chwili pozyskał zaufanie nerwowej klaczy, dodawał szeryfowi otuchy.

Mała karawana przybyła do Douglas w przeddzień rozpoczęcia zawodów. Dla Sally i jej matki szeryf wynajął pokój w zajezdzie, w którym zatrzymywał się podczas pobytu w mieście. Sam postanowił nie odstępować koni. Zwyczajem wszystkich hodowców biorących udział w wyścigu, rozłożył się obozem w pobliżu miasta. W trójkącie zamkniętym przez długi, kryty brezentem wóz i dużą bryczkę na wysokich kołach służba rozpięła namioty. Oczywiście Tomek i bosman dotrzymywali szeryfowi towarzysztwa, aby wspólnie czuwać nad bezpieczeństwem wierzchowca. Zdarzały się wypadki kradzieży koni zapisanych do wyścigu. Nie zawsze było to dziełem koniokradów. Niektórzy hodowcy, chcąc zwiększyć szansę swych faworytów, organizowali bandy porywające konie współzawodniczące o palmę pierwszeństwa.

Oprócz obydwóch przyjaciół i Czerwonego Orła zabranego na specjalną prośbę Tomka, towarzyszyło szeryfowi czterech kowbojów i pięciu Indian. Dla klaczy zbudowano mały korral pomiędzy namiotami, by w ten sposób zabezpieczyć się przed wszelkimi możliwymi niespodziankami.

Nadszedł dzień rodeo. Pani Allan z Sally, szeryf, bosman, Tomek i Czerwony Orzeł udali się bryczką w kierunku dużego placu znajdującego się tuż przy miasteczku, gdzie miały się rozpocząć zawody. Strojny i barwny tłum

widzów nadciągał już ze wszystkich stron. Zamożni ranczerzy jechali w błyszczących powozach. Siedzące w nich kobiety szeleściły koronkami sukien i małymi parasolkami osłaniały sobie twarze przed słońcem. U boku wystrojonych kobiet zajmowali miejsce ranczerzy o dumnym, wyniosłym wyrazie twarzy. Ubrania oraz sombrero mężczyzn były bogato zdobione srebrem i frędzlami. Biodra ich otaczały pasy z zatkniętymi za nie rewolwerami o rękojeściach wysadzanych masą perłową i srebrem. Koźmi powozili Murzyni bądź Indianie. Mniej zamożni ranczerzy zdążali na zawody zwykłymi brykami lub wozami krytymi brezentem; kowboje i Indianie jechali konno. Gwar wesołych głosów, trzask biczów, rzenie wierzchowców przeplatały się ze stukotem mknących powozów.

Mrowie wszelkiego rodzaju pojazdów szerokim wieńcem otoczyło plac wyznaczony na rodeo. Woźnice zaprzęgali konie, kłócąc się zawzięcie o lepsze miejsca, a tymczasem barwny i strojny tłum rozlokowywał się wzdłuż barier opasujących dużą arenę.

Ranczerzy i reprezentanci władz lokalnych mieli miejsca zarezerwowane na obszernej drewnianej trybunie. Do tych szczęśliwców należał Allan, toteż wkrótce wraz ze swoimi gośćmi znalazł się na podwyższeniu, skąd widać było całą arenę.

Tomek usiadł na ławce obok Sally. Młodziutka, smągła Australijka, ubrana w białą koronkową sukienkę, wyglądała tak uroczo, iż nie można było oderwać od niej oczu. Ranczerzy z sąsiednich łóż wymieniali ukłony powitalne z ogólnie szanowanym szeryfem, lecz przede wszystkim przyjaźnie uśmiechali się do rezolutnej, ciekawie rozglądającej się panienki.

Nie uszło to oczywiście uwagi bosmana Nowickiego. Pochylił się ku Tomkowi i szepnął:

— Czy zauważyłeś, brachu, jak wszyscy zerkają na naszą srokę? Trzeba przyznać, że wygląda jak załoga statku w pełnej gali!

— Nic dziwnego, stroiła się przecież od samego rana — mruknął Tomek. — Niech pan jednak lepiej patrzy na arenę! Rodeo już się zaczyna...

Uwaga Tomka była zbyt cenna, ponieważ w tej chwili na placu rozległ się gromki okrzyk na powitanie pierwszych zawodników. Na arenę weszli kowboje przytrzymujący na arkanach wierzgającego mustanga. Osiodłanie konia oraz założenie uzdy trwało moment, po czym wysoki kowboj o mocno pałakowatych nogach wskoczył na jego grzbiet. Zaledwie zwolniono

mustanga z arkanu, rozpoczął opętańcze harce, by zrzucie jeźdźca. Stawał dęba to na zadnich, to znów na przednich nogach, padał na ziemię zmuszając kowboja do zeskakiwania z siodła, lecz gdy podrywał się na nogi, jeździec już tkwił w siodle z powrotem i krzykiem podniecał rumaka do nowych wyczynów. Rozhukany mustang, nie mogąc się uwolnić od upartego jeźdźca, podbiegał wtedy do barier otaczających arenę, uderzał o nie bokami, lecz kowboj zręcznie przesuwał się to na jeden, to na drugi bok konia i unikał zmiżdżenia nóg. Po kilku minutach pokryty pianą mustang dał niby za wygraną, gdy jednak kowboj powiał nad głową szerokoskrzydłym kapeluszem na znak zwycięstwa, koń skoczył nagle czterema nogami w górę i jeździec szerokim łukiem wyleciał w powietrze.

Widownia szalała z uciechy. Gwizdy, brawa i krzyki podniecały pojawiających się na arenie zawodników. Popisy sprawności następowały jeden po drugim bez jakiegokolwiek przerwy. Ujeżdżanie dzikich mustangów nie było niewinną rozrywką. Niektóre konie nie zadowalały się zrzuceniem jeźdźca na ziemię. Kilku kowbojów musiano znieść z areny. Chwywanie koni na łąso było mniej niebezpieczne, chociaż i ono dostarczało widzom wiele emocji. Tego dnia królem ujeżdżaczy i mistrzem łąso został wysoki, chudy jak szczapa rudy kowboj z Arizony.

Następny dzień rozpoczął się popisami strzeleckimi. Obejmowały one strzelanie z broni krótkiej. Bosman i Tomek, chociaż sami uchodzili w tej dziedzinie za mistrzów, z entuzjazmem oklaskiwali wspaniałych zawodników Dzikiego Zachodu. Jednokrotne trafienie w małą srebrną monetę rzuconą w górę nie było tu uważane za wyczyn godny uwagi. Tomek nieraz z powodzeniem próbował tej sztuczki, znał więc zasadę, którą należało stosować, aby trafić do celu. Otóż moneta rzucona w górę w pewnej chwili osiąga punkt szczytowy i na krótki moment jakby zawisa w powietrzu; wtedy właśnie należało nacisnąć spust broni. Strzał taki dla mistrzów występujących na rodeo był zbyt łatwy — ubiegający się o zwycięstwo strzelali dwu — lub trzykrotnie do monety rzuconej w górę, a za każdym celnym strzałem moneta podskakiwała w powietrzu. Palmę pierwszeństwa zdobył Tekskańczyk, który czterokrotnie trafił monetę za jednym podrzuceniem jej w górę. Wiele braw zyskali zawodnicy strzelający do celu umieszczonego za ich plecami, do którego mierzyli za pomocą lusterka. Z kolei popisywano się strzelaniem z koni w pełnym biegu. Indianie wiedli prym w brawurowej jeździe na koniach,

choć i wielu kowbojów potrafiło, tak jak oni, chować się pod brzuchem cwałującego wierzchowca. Okazało się, że czerwonoskórzy, którzy poznali konie dopiero po przybyciu białych ludzi na kontynent<sup>178</sup>, prześcignęli ich w sztuce jeździeckiej. Nieustraszeni synowie stepów łagodną cierpliwością przeniknęli naturę konia, czyniąc go swym nieodłącznym towarzyszem łowów i walki.

Na zakończenie drugiego dnia rodeo odbyły się popisy siły. Przebieg ich był dość oryginalny. Na arenę wpuszczono byka, za nim ukazał się kowboj na koniu. Zadaniem jeźdźcy było dogonić buhaja i, po schwytaniu go za rogi, przeskoczyć na jego grzbiet. Następnie kowboj trzymając nadal zwierzę za rogi powinien był przez skręcenie mu szyi zmusić je do upadku na ziemię.

Z zawodników biorących udział w tej konkurencji dwóch tylko przeszło zwycięsko przez wszystkie próby. Na arenę wpuszczono wielkiego buhaja. Z nisko pochylonym łbem wbiegł na opustoszały plac. Na widok jego szeroko rozstawionych łopatek i potężnego karku rozległ się szmer lęku i uznania. Buhaj przystanął na środku areny. Przekrwionymi ślepiami spojrzał spode łba ku ciżbie ludzkiej cisnącej się za ogrodzeniem. Przednimi kopytami gniewnie uderzył o ziemię wzbijając obłok kurzu.

Zawodnicy niepewnie spojrzeli na mocarne zwierzę. Tak się złożyło, że obydwaj konkurenci pochodzili z Nowego Meksyku. Widząc niezwykle wielkiego buhaja, zaczęli podejrzewać Arizończyków o umyślną złośliwość. Czyżby w ten sposób chciano ich pozbawić możliwości zwycięstwa? Naradzali się chwilę, a tymczasem widownia poczęła okazywać swe niezadowolenie. Rozległy się drwiące głosy, krzyki i gwizdy. Podniecony nimi byk jął wokoło obiegać arenę.

Pod wpływem kpín i krzyków kowboje postanowili mimo wszystko spróbować szczęścia. Jeden z nich wydobyl z kieszeni monetę. Widzowie od razu zrozumieli — zawodnicy będą losować, który z nich ma walczyć pierwszy. Kowboj podrzucił monetę, schwycił ją w locie i przycisnął drugą ręką. Reszka miała oznaczać pierwszeństwo. Odetchnął z ulgą — los wybrał jego przeciwnika.

Niefortunny wybraniec losu wolno zdjął skórzaną kamizelkę, pas z rewolwerami i kapelusz o szerokich kresach. Następnie przystąpił do konia,

---

<sup>178</sup> — Pochodzenie konia jest niejasne. Istnieje hipoteza, że przedhistoryczne konie żyły w wielkich stadach w Ameryce, ale wraz z ostatnim okresem lodowym zniknęły z tego kontynentu.



sprawdził popręgi siodła, pasy strzemion, po czym lekko wskoczył na wierzchowca. Na trybunach rozbrzmiał potężny okrzyk radości. Uchyłono bramy. Jeździec wjechał na arenę.

Buhaj stał na środku placu oszołomiony i wściekle grzebał racicami. Gdy tylko ujrzał jeźdźca, pochylił łeb uzbrojony w wielkie zakrzywione rogi, wyprężył ogon jak strunę, po czym nagłym zrywem ruszył cwałom ku śmiałkowi.

Wprawdzie kowboj bez zapędu przystępował do walki, lecz nie stracił zimnej krwi na widok rozwścieczonego zwierzęcia. Od razu było widać, że jeździec i wierzchowiec mają wprawę w tego rodzaju zapasach. Lekko ukłuty ostrogami koń skoczył na spotkanie buhajowi, ale tuż przed jego pochylonym łbem zwinnym ruchem usunął się na bok, przepuszczając szarżującego byka. Zaledwie się rozminęli, jeździec zawrócił wierzchowca i pognął za buhajem.

Widzowie szaleli z uciechy na widok zręcznych manewrów kowboja. Sytuacja na arenie co chwila ulegała zmianie. To buhaj ścigał jeźdźca, to znów on z kolei napierał konia na zdeorientowane zwierzę, coraz bardziej zbliżając się do niego z boku. Wszyscy doskonale rozumieli cel tej pozornie bezcelowej gonitwy. Otóż kowboj pragnął zmęczyć buhaja, zanim zsunie się z konia na jego grzbiet i po uchwyceniu za rogi zmusi do upadnięcia na ziemię.

Po kilkunastu bezskutecznych szarżach buhaj biegł wolniej. Teraz właśnie jeździec i byk szerokim kołem okrążyli arenę, posuwając się tuż przy okalającym ją ogrodzeniu. Zmęczony czy też zdeorientowany buhaj poniechał ataków. Biegł ciężkimi susami, z ukosa spoglądając nabiegłymi krwią ślepiami na nacierającego coraz śmieiej jeźdźca. Od czasu do czasu wyrzucał w bok swój łeb z zakrzywionymi rogami, by dosięgnąć brzucha wierzchowca, lecz ten uskakiwał niestrudzenie i znów wracał.

Setki widzów w najwyższym napięciu obserwowały kowboja, który zupełnie już widocznie przygotowywał się do ostatecznego rozstrzygnięcia walki.

— Uwaga, uwaga! Zaraz chwyci byka za rogi! Patrzcie, już się pochyła — zawołał szeryf Allan.

— Dobrze sobie radzi z tym potężnym buhajem. Założyłbym się, że ten śmiałek postanowił zakończyć walkę tuż przed trybunami, aby swą zręcznością i siłą zawstydzić Arizończyków. Rozgrzany gonitwą zawodnik w pobliżu trybun coraz bardziej pochylał się na kark konia. Gdy jeździec i byk

znaleźli się tuż przed główną trybuną, widzowie w milczeniu pełnym napięcia powstali z miejsc.

Kowboj nie zawiódł ich oczekiwań. Przynaglony wierzchowiec błyskawicznym skokiem przysunął się tuż do boku buhaja, a wtedy jeździec wyrzucił nogi ze strzemion, pochylił się nad bykiem i obydwoma rękami uchwycił go za rogi. Zaraz też zsunął się na grzbiet buhaja obejmując go kleszczowym uściskiem nóg. Byk wierzgnął jak oszalały. Wierzchowiec uskoczył w bok, by uniknąć jego ostrych racic. Kowboj szarpnął byka za rogi. Udało mu się nieco skrócić potężny łeb...

Wrzask triumfu rozszalał się nad areną...

Nagle stała się rzecz nieoczekiwana. Buhaj, jakby drwiąc sobie z człowieka skręcającego mu kark, zawrócił ku biegnącemu w tyle samopas koniowi, uderzył go rogami w bok, powalił na ziemię, stratował, po czym zdradliwym przechyłem do przodu zrzucił śmiałka ze swego grzbietu. Jedno uderzenie łbem pozbawiło kowboja zmysłów.

Wrzask triumfu przemienił się w jeden okrzyk przerażenia. Rozwścieczone zwierzę odzyskało naraz całą swą siłę. Zakrzywione rogi jak widły zagarnęły kowboja i wyrzuciły w górę. Nieprzytomny zawodnik ciężko runął na ziemię. Byk znowu skoczył ku niemu... Nad areną zapanowała przeraźliwa cisza.

Wtem przez barierę głównej trybuny przeskoczył jasnowłosy mężczyzna. Błyskawicznie zabiegł drogę bykowi i zanim rozszalałe zwierzę zdążyło zanurzyć swe śmiercionośne rogi w ciele nieprzytomnego kowboja, wielkim, żyłastym kułakiem grzmotnął je w kudłaty łeb pomiędzy przekrwione ślepia. Rozpędzony buhaj stanął oszołomiony, upadł na przednie nogi, przetoczył się po ziemi, poderwał, lecz w tej chwili olbrzymi bosman po raz drugi zdzielił go pięścią między oczy. Buhaj stęknął głośno, przyklęknął, a wtedy marynarz chwycił go za rogi, jednym potężnym szarpnięciem skrócił łeb i powalił na bok na ziemię.

Kilku kowbojów i Indian podbiegło z rzemiennymi lassami w rękach Skrępowali nogi buhaja. Dopiero teraz bosman puścił rogi zwierzęcia. Ciężko oparł się łokciami o jego cielsko, po czym wstał i wolno wyprostował plecy.

Zdumieni i zachwyceni takim dowodem nadludzkiej niemal siły widzowie w dalszym ciągu trwali w osłupieniu, a tymczasem marynarz

przemógł osłabienie i najspokojniej w świecie zaczął otrzepywać z kurzu swoje spodnie.

Ten prosty, pospolity ruch przywrócił widzów do rzeczywistości. Rozległ się ogłuszający krzyk. Pod naciskiem tłumu złamały się bariery ogradzające arenę. Rozkrzyczani i rozentuzjasmowani ludzie wprost rzucili się na bosmana. Jedni ściskali jego sękaty łapy, całowali go, inni znów chcieli choćby dotknąć ręką takiego siłacza. Bosman nie wiedział nawet, w jaki sposób znalazł się z powrotem w łożu swych przyjaciół. Zamożni ranczerzy oraz ich płomiennookie senory i seniorita<sup>179</sup> zapomnieli o swej powadze. Każdy chciał się z bliska przyjrzeć niezwykłemu siłaczowi i jakimś podarunkiem upamiętnić bohaterki czyn. Ambitny warszawiak zżymał się początkowo, gdy wpychano mu do rąk najrozmaitsze przedmioty, lecz Allan szepnął mu, że Amerykanie mają zwyczaj obdarowywać swoich bohaterów. Siedział więc nasz olbrzym znad Wisły niby to mocno zażenowany i skwapliwie nadstawiał policzki pięknym senioritom, które nie skąpiły mu pocałunków.

Był to dzień poprzedzający wyścigi konne, lecz bosman z przyjaciółmi nieprędko powrócili do swego obozowiska. Zaproszeni przez Allana i kilku ranczerów z Nowego Meksyku na przyjęcie na cześć bosmana, bawili się do późnego wieczora, jedynie pani Allan z Sally odeszły nieco wcześniej.

Bohaterem wieczoru był bosman.

Ranczerzy z niespokojnego pogranicza lubowali się w słuchaniu opowieści o niezwykłych czynach. Bosman chętnie opowiadał o swych ciekawych przeżyciach, a Tomek pilnie nadstawiał ucha, by nic nie uronić z nie znanych mu dotąd przygód druha. Całe towarzystwo nie mogło jeszcze ochłonąć po przeżytych wrażeniach. Wychwalano na nowo odwagę i siłę marynarza, który ocalał od niechybnej śmierci niefortunnego kowboja, uchodzącego za najsilniejszego mężczyznę w Nowym Meksyku. W czasie rozmowy jedna z pań zapytała bosmana, czy spotkał już kiedyś godnego siebie przeciwnika.

Bosman zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią, w końcu rzekł:

— Prawdę mówiąc, szanowna pani, to w pojedynkę jeszcze mi nikt nie dał rady. Koleżki z braci marynarskiej nie porywali się na mnie inaczej jak po

---

<sup>179</sup> — Senora (hiszp.) — pani; seniorita — panna.

kilku na raz. Za to obcych lubili na mnie napuszczać i robili wtedy zakłady, aby wygrać parę butelek rumu. Raz jednak omal sami nie zapłacili frycowego.

— Niech pan o tym opowie!

— Iiii... nic nadzwyczajnego, szanowna pani! Nie warto nawet mówić — bronił się bosman.

Zewsząd usilnie nalegano, bosman chrząknął więc znacząco i zaczął opowiadać:

— Było to w tawernie w Buenos Aires w Argentynie. Spłukaliśmy się z koleżkami w karciochy i nie mieliśmy już floty na strzemiennego przed wypłynięciem w morze, toteż koleżki, starym zwyczajem, dalej wychwalać moją siłę. Na to Argentyńczycy obejrzeli mnie uważnie i orzekli, że chociaż istotnie jestem sękaty, to i tak nie dam rady ich znajomemu Mulatowi, który każdemu potrafi ścisnąć dłoń, że palce popękają i puszczą krew. Moje kumple w śmiech, bo faktycznie dotąd zawsze mi się udawało zapędzić w kozi róg różnych osiłków. Argentyńczycy się zdenerwowali i robią z nami zakład. Zaraz też kilku z nich poleciało na miasto szukać owego Mulata. Po godzinie przyprowadzili go, a wtedy zrzędy nam miny. Chłopisko było wyższe ode mnie co najmniej o pół głowy. Kiedy ten Mulat wchodził do knajpy, to odwracał się bokiem, aby się precisnąć przez wąskie drzwi. Najpierw śmiać mi się zachciało, bo kumple porobili już zakłady nie mając złamanego miedziaka przy duszy, ale zaraz żal mi się ich zrobiło — przecież wszyscy byliśmy z jednego statku.

Tymczasem Mulat spojrzął na mnie przez ramię, uśmiechnął się pogardliwie i pyta: „*Czy i ty trzymasz zakład?*” Podrapałem się w łepetynę, bo w kieszeni miałem tylko płótno, a tymczasem Argentyńczycy gruchnęli śmiechem.

Bosman zamilkł. Pan Allan skwapliwie napełnił stojącą przed nim szklanicę. Bosman zwilżył gardło, po czym mówił dalej:

— Wstyd mnie ogarnął, bo byłem jedynym Polakiem w całym tym towarzystwie. Kumple moje też nietęgę mieli miny. Argentyńczycy połapali się, że straciliśmy pewnośc siebie, więc nabrali animuszu i wołają: „*Stawiamy sto przeciw dziesięciu na naszego Mulata*”. Nie chcąc robić kumplom i mojej całej nacji wstydu, przyjąłem zakład. Wzmocniłem się tylko szklaneczką prawdziwej jamajki, a potem uścisnąłem brązowe łąpsko. Mulacisko miało miękkie kości. Po najwyżej dwóch minutach klęknął przede mną i zaraz też

krw trysnęła mu z paluchów. Wybulił ciepłą rączką całą setkę. Moi kumple napełnili kieszenie papierkami, po czym ucztowaliśmy aż do odpłynięcia statku.

Opowieści ciągnęłyby się znacznie dłużej, gdyby nie zdrowy rozsądek Allana, który przypomniiał wszystkim o rodeo.

Zaczęto się więc rozchodzić po kwaterach, a nasi przyjaciele wrócili z szeryfem na spoczynek do obozowiska za miastem.



## DZIESIĘCIOMILOWY WYŚCIG

Sally niespokojnie spoglądała na pole startowe. Co chwila przybywali nowi jeźdźcy biorący udział w dziesięciomilowym wyścigu, a stryj Allan i Tomek się nie pojawiali. Czyżby klaczy stało się coś złego tuż przed samym wyścigiem?

Arena przybrała w tym dniu nieco odmienny wygląd niż podczas poprzednich zawodów. Na samym jej środku wymalowano na ziemi białą, szeroką linię. Stąd właśnie wierzchowce miały rozpocząć długi wyścig wzdłuż trasy wybiegającej w szczyry step. W odległości pięciu mil od trybun kolorowe chorągiewki, wytyczające trasę wyścigu, zakreślały szeroki półokrąg. Co pół mili rozmieszczone były posterunki kontrolne, notujące numery przebiegających koni.

Bosman, pani Allan i Sally coraz bardziej niecierpliwili się nieobecnością Tomka. Sally była ciekawa, jak też on będzie wyglądał w swym stroju indiańskim. Czy uda mu się wygrać dla stryjka Allana ten emocjonujący wyścig? Niepokój przyjaciół wzrósł znacznie, gdy ujrzeli ranczera Don Pedro wjeżdżającego na plac wyścigowy ze swymi końmi. Bogaty Meksykanin zapisał do wyścigu aż pięć wspaniałych wierzchowców. Jego dżokeje ubrani byli w żółte spodnie i czerwone koszule, a w dłoniach trzymali krótkie pejcze. Byli to niscy, chudzi jak wióry mężczyźni o pałkowatych nogach. Sam ich wygląd świadczył, że większość życia spędzili na koniach.

Cała kawalkada meksykańskich jeźdźców ulokowała się na boisku w pobliżu trybun. Don Pedro wraz z dżokejami zsiadli z wierzchowców. Kilkunastu młodych Indian meksykańskich natychmiast zaopiekowało się końmi, a dżokeje obstąpili kołem hodowcę, pilnie przysłuchując się jego ostatnim przed wyścigiem instrukcjom.

— Niech go wieloryb połknie, to chyba najlepsze szkapy, jakie widziałem w moim życiu—mruknął bosman. — Coś mi się zdaje, że akcje Tomka lecą w dół.

— Nie powinien pan nawet myśleć tak brzydko — skarciła go markotnie Sally. — Wprawdzie stryjka Wiatr nie wygląda tak ogniście, ale za to dzielny Tommy na pewno będzie lepszym dżokejem od tych meksykańskich... chudzielców.

— Nie traćmy ducha! Pięknie by to było, gdyby po wczorajszym wielkim sukcesie pana Nowickiego Tommy dzisiaj zwyciężył — wtrąciła pani Allan. — Nie będziemy jednak mogli go winić, jeżeli przegra przy tak silnej konkurencji. Don Pedro ma naprawdę wspaniałe rumaki. Jak niekorzystnie wyglądają przy nich indiańskie mustangi!

Uwaga pani Allan była bardzo trafna. Kilku indiańskich hodowców zgłosiło swe konie do wyścigu, lecz wierzchowce ich, w porównaniu z rumakami Don Pedra, wyglądały dość marnie.

— Są, już są nasi! — zawołała radośnie Sally klaszcząc w dłonie.

W tej właśnie chwili na boisko wjechała grupa jeźdźców, z szeryfem na czele. Klacz Wiatr, prowadzona przez dwóch Indian, niespokojnie strzygła kształtnymi uszami i szła nerwowo. Szeryf podprowadził swoją grupę w pobliże trybun.

Sally zaniemówiła z wrażenia na widok Tomka. Wysoki, jak na swój wiek dobrze zbudowany chłopiec doskonale się prezentował w indiańskim stroju. Żółte, miękkie, skórzane spodnie, zdobione frędzlami na szwach, ciasno opinały jego długie nogi. Na biodrach miał szeroki, pokryty hawajskimi wzorami pas, za którym tkwił myśliwski nóż o czarnej rękojeści z jeleniego rogu. Krótka, otwarta luźno z przodu skórzana kamizelka była również zdobiona. Na szyi miał przewiazaną nawajską czerwoną chustkę i naszyjnik z pazurów grizzly, podczas gdy czoło zdobiła szeroka barwna opaska, przytrzymująca z tyłu głowy pięć wspaniałych piór. Zgrabne mokasyny przystrojone kolcami jeżozwierza dopełniały całości stroju. W czasie afrykańskiej podróży pod wpływem tropikalnego słońca skóra Tomka przybrała ciemnobrązową barwę, toteż większość widzów zgromadzonych na trybunach wzięła go za młodego Indianina. Skrawek jasnej czupryny widoczny spod szerokiej opaski wyglądał z daleka jak wiązka ptasich piór, tak często używanych przez Indian do zdobienia głowy.

Zaledwie Sally zdążyła ochłonąć z pierwszego wrażenia, natychmiast zawołała:

— Mamusiu, chodźmy szybko do Tommy'ego. Muszę mu coś powiedzieć jeszcze przed rozpoczęciem wyścigu.

Bosman zaraz też poparł ją energicznie:



— Chodźmy, chodźmy, szanowna pani! Naszym obowiązkiem jest dodać chłopakowi animuszu w decydującej chwili. Nic tak nie podnosi na duchu męzczyzny jak widok pięknych kobiet.

Sally zapiszczała z radości słysząc słowa bosmana, a tymczasem pani Allan już schodziła z trybun. Pragnęła zwycięstwa Tomka nie ze względu na dużą nagrodę pieniężną, którą mógł wygrać jej szwagier, lecz po prostu dlatego, iż od chwili ocalenia Sally, zagubionej w australijskim buszu, dzielny chłopiec przypadł jej bardzo do serca.

Po chwili otoczyli Tomka winszując mu efektownego stroju i wspaniałego marsowego wyglądu. Tomek wysłuchiwał pochwał, ale jednocześnie zerkał ku grupie jeźdźców meksykańskich. Don Pedro od razu spostrzegł przybycie szeryfa Allana. Ze złośliwym uśmiechem wskazywał białą klacz swym dżokejom i pochyliwszy się ku nim wydawał, sądząc po gestach, jakieś ważne rozkazy.

Tomek widząc gestykującego Meksykanina poczuł do niego dziwną niechęć. Bardziej niż kiedykolwiek zapragnął wygrać wyścig. Sally jakby odgadła, co się dzieje w duszy jej przyjaciela.

— Tommy, pochyl się trochę do mnie — szepnęła, wspinając się jednocześnie na palcach, a kiedy ucho Tomka znalazło się na wysokości jej ust, dodała: — Przez cały czas wyścigu będę trzymała kciuki, żeby ci się powiodło. Jak myślisz, czy to ci chociaż trochę pomoże?

— Na pewno pomoże, kochana Sally — odparł Tomek i ku wielkiej radości swej młodej przyjaciółki, uścisnął jej małą dłoń.

Naraz Tomek spostrzegł Czerwonego Orła dającego mu jakieś tajemnicze znaki. Przeprosił więc przyjaciół i podszedł do Nawaja. Ten upewnił się, czy nikt ich nie słyszy, po czym szepnął:

— Wodzowie naszego plemienia przysłali mnie do mego białego brata z pewną wiadomością.

— Którzy wodzowie przysłali Czerwonego Orła? — zapytał Tomek.

— Złamany Tomahawk i Chytry Lis. Mój brat ich nie zauważył, bo stoją po drugiej stronie boiska wśród naszych.

— Jaką to wiadomość przynosi mi Czerwony Orzeł?

— Powtórzę dokładnie słowa wodza Chytręgo Lisa. Przed chwilą wezwał mnie do siebie i rzekł: „*Niech Czerwony Orzeł odszuka Nah'tah ni yez'zi i powie mu, że tylko jeden koń Don Pedra będzie brał naprawdę udział*

w wyścigu. Pozostałe mają jedynie blokować groźniejszych współzawodników.”

— O, do licha! To bardzo zła wiadomość — zafrasował się Tomek.

— Niech mój brat słucha uważnie dalej — przerwał mu Czerwony Orzeł.

— Chytry Lis radzi Nah'tah ni yez'zi nie oddalać się na przestrzeni pięciu mil od grupy indiańskich jeźdźców, biorących udział w wyścigu.

— Dobrze, ale co mam zrobić później? — pospiesznie zapytał Tomek.  
— Czy ludzie Don Pedra zmieniają taktykę?

— Kiedy mój biały brat ujrzy dużą flagę powiewającą na zakręcie, wtedy sam zrozumie, dlaczego Chytry Lis radził mu trzymać się grupy Indian.

— Uczynię tak, jak radzi mi Chytry Lis, lecz nic z tego wszystkiego nie rozumiem.

— Wódz Chytry Lis dobrze radzi — gorąco zapewnił Czerwony Orzeł.

— Dziękuję za ostrzeżenie i przyjacielską radę — odparł Tomek.

— Teraz muszę już iść do mego wierzchowca, konie ustawiają się na starcie.

Zaniepokojony słowami Czerwonego Orła podbiegł do swych przyjaciół.

— Cóż to za konszachty prowadzisz z tym młodym Indiańcem? — powitał go rubasznie bosman. — Czas już wsiadać na szkapę.

Sally była zbyt bystrą obserwatorką, aby nie dostrzec niepokoju na twarzy przyjaciela.

— Tommy, Czerwony Orzeł musiał ci powiedzieć coś niepomyślnego — szepnęła.

— Zgadłaś — cicho odparł Tomek. — Trzymaj mocno zaciśnięte kciuki, dobrze?

— Będę trzymała, Tommy, będę!

— No, kawalerze, czas już na ciebie — zawołał szeryf. — Konie podchodzą na start!

Po kolei mocno uścisnęli Tomka. Bez dalszej zwłoki chłopiec dosiadł klaczy. Dwaj Indianie poprowadzili ją za lejce krótko przy pysku. Kiedy byli zaledwie kilka metrów od białej linii startowej, Indianin idący z prawej strony odezwał się:

— Mój biały brat wie, że wychowałem tę klacz od źrebaka. Ujeżdżona jest na indiański sposób. Ona nie znosi bata czy ostróg. Ilekroć mój brat

będzie chciał zmusić klacz do większego wysiłku, niech dotknie dłonią jej karku i zawoła po indiańsku: Nil'chi, co oznacza w języku białych „wiatr”. Na takie wezwanie Nil'chi stanie się prawdziwym wiatrem stepowym.

— Dziękuję, będę pamiętał. Nawet nie śmiałybym na tak szlachetnego rumaka użyć bata czy ostróg — odparł chłopiec.

Po chwili był już wśród jeźdźców, którzy ustawili się wzdłuż białej linii. Nil'chi tańczyła na zadnich nogach i niespokojnie potrząsała kształtnym łbem.

Niektórzy chłopcy w gronie rodziny tub przyjaciół udają zuchów i nadrabiają miną, lecz gdy tylko się znajdą w obcym bądź też nieprzyjaźnie do nich usposobionym środowisku, natychmiast stają się niezaradni i bojaźliwi. Tomek nie należał do tego typu chłopców. Od najmłodszych lat musiał sam sobie radzić w najrozmaitszych okolicznościach, nabył więc rozwagi, której tak często brak młodym ludziom. Teraz, zaledwie oddalił się od swych przyjaciół, przyjrzał się otaczającym go jeźdźcom. Wódz Chytry Lis radził mu, by na początku wyścigu trzymał się w pobliżu indiańskich zawodników. Tomek nie lekceważył rady doświadczonego wodza, chociaż nie orientował się w jego intencji. Nil'chi denerwowała się widokiem obcych ludzi i koni. Przysiadła na zadzie, próbowała stawać dęba, a Tomek, jakby nie mógł sobie dać z nią rady, rozglądał się niezdecydowanie. Był to tylko udany manewr, albowiem nieznacznie kierował koniem uściskiem nóg. W ten sposób oddalił się od pięciu dżokejów Don Pedra i zbliżył się jednocześnie do mustangów indiańskich.

Gdy znalazł się obok Indian, organizatorzy wyścigu już rozdawali dżokejom numery wymalowane na kawałku płótna. Tomek ściągnął cugle, klacz posłusznie wsunęła się w szereg koni — zatrzymała się przy pierwszym indiańskim mustangu. Tomek otrzymał numer piętnasty, znalazł się więc w środku szeregu dwudziestu ośmiu jeźdźców biorących udział w wyścigu. Dżokeje Don Pedra mieli najniższe numery, to jest od jednego do pięciu. Było to dla nich korzystne, gdyż dzięki temu mieli biec przy wewnętrznym skraju pola wyścigowego.

Przed startem odczytano regulamin wyścigu. Każdy jeździec obowiązany był mijać z prawej strony chorągiewki wytyczające trasę wyścigu. Punkty kontrolne, znajdujące się co pół mili, miały notować numery przejeżdżających dżokejów. W razie nie zanotowania danego numeru na dwóch następujących po sobie posterunkach, jeździec podlegał dyskwalifikacji.

Dżokeje z trudem utrzymywali konie na linii startu. Rasowe wierzchowce biły kopytami w ziemię, tańczyły w miejscu i rwały się do biegu. W końcu nadeszła chwila rozpoczęcia wyścigu. Huknął strzał! Konie z miejsca ruszyły galopem.

Rumaki Don Pedra od razu wysunęły się do przodu; biegły szeregiem obok siebie, narzucając mordercze tempo reszcie współzawodników. Rozdrażniona dosyć długim postojem na starcie Nil'chi mknęła posuwistymi skokami, lecz Tomek, pomny przestrogi Chytrego Lisa, powściągnął ją cuglami, aby nie oddalać się od czerwonoskórych jeźdźców.

Indianie zdawali się w ogóle nie zwracać uwagi na rwące do przodu konie Meksykanina. Pochylili się tylko mocno ku szyjom mustangów i całą gromadą jechali równym tempem. Tymczasem wierzchowce prowadzące wyścig oddaliły się od nich już co najmniej o dwieście metrów. Tuż za pierwszymi rumakami biegło kilka innych koni; dżokeje nie szczędzili ostróg i biczów, by wyprzedzić czołówkę.

Już po pierwszych dwóch milach zawodnicy rozciągnęli się na trasie w długi łańcuch, którego czoło stanowiły rumaki Don Pedra. Tuż za nimi gnało osiem doskonałych koni innych ranczerów. Środek łańcucha tworzyli Indianie wraz z Tomkiem, a dalej, pojedynczo bądź grupkami, pędziła reszta jeźdźców.

Tomek zdążył już ochłonać z pierwszego podniecenia. Z podziwem zerkał na Indian. Teraz dopiero zaczynał rozumieć ich taktykę. Podczas gdy dżokeje Meksykanina i depczący im niemal po piętach jeźdźcy wiedli zaciętą walkę o prowadzenie wyścigu, Indianie zupełnie wyraźnie hamowali swe mustangi, by oszczędzić ich siły na ostateczną rozgrywkę. Na odcinku pierwszych dwóch mil czołówka stale się od nich oddalała, lecz na trzeciej mili czerwono skorzy nie dopuścili już do zwiększenia dzielącej ich odległości.

Na przestrzeni czwartej mili czołówka stoczyła zaciętą walkę o przewodnictwo. Co chwila pojedynczy zawodnicy usiłowali wyprzedzić konie Don Pedra. Na próżno! Tomek przekonał się teraz o słuszności ostrzeżeń Chytrego Lisa. Dżokeje Meksykanina tworzyli zwarty szereg, przez który, jak dotąd, nikomu się nie udało przedrzeć. Ośmiu jeźdźców dążących za nimi wkrótce zmęczyło swe konie stałymi zrywami do przodu. Przynaglone bądź też z konieczności hamowane wierzchowce słabły zupełnie widocznie. Niektóre pozostawały nawet w tyle.

Gdy tylko Indianie to spostrzegli, wydali dziki okrzyk i popędzili mustangi. Tomek również nacisnął kolanami boki klaczy. Nil'chi wstrząsnęła białym łbem i przyspieszyła biegu. Tomek znów musiał przyhamować, aby nie wyprzedzać Indian.

Grupa czerwonoskórych razem z Tomkiem szybko doganiała ostatnie konie za czołówką. Niebawem minęli dwa wierzchowce. Kolejno wyprzedzili trzy następne, podczas gdy trzy dalsze biegly kilka metrów przed nimi. Na początku piątej mili Indianie zaczęli ostrzej przynaglać mustangi. Tomek wolno puścił wodze Nil'chi, która samorzutnie utrzymywała równe tempo z mustangami. Do zakrętu było już niecałe pół mili. Wyższy od innych słup udekorowany flagą Stanów Zjednoczonych stawał się coraz bliższy. Naraz jeden z Indian krzyknął przeciągle wysokim głosem; inni natychmiast powtórzyli okrzyk i trzasnęli w powietrzu biczami. Półdzikie rumaki jak lawina potoczyły się po stepie. Tomek przynaglił klacz równomiernym naciskiem obydwu kolan.

Cała grupa Indian doganiała czołówkę. Dżokeje Don Pedra co chwila oglądali się za siebie. Kiedy się zorientowali, że nie zdołają wszyscy uniknąć przed czerwonoskórymi, zmienili taktykę. Tuż przed zakrętem z grupy pierwszych pięciu koni wyrwał się nagle do przodu kary rumak. Niski, szczupły dżokej przylgnał do jego szyi tak mocno, iż z daleka wydawało się, że koń biegnie bez jeźdźca. Kary rumak systematycznie oddalał się od pozostałych czterech koni, chociaż Meksykanie bez litości okładali je pejciami.

Przeraźliwy bojowy okrzyk indiański rozniósł się po szerokim stepie. Szyk biegnących dotąd razem mustangów załamał się w jednej chwili. Konie stuliły uszy i jak strzały wypuszczone z łuku, pomknęły ku czołówce. Indianin, który pędził obok Tomka, krzyknął coś do niego gardłowym głosem, lecz widząc, iż biały chłopiec nie rozumie go, uniósł na wysokość piersi dłoń o wyprostowanych do przodu palcach i wykonał nimi trzy urywane ruchy.

„*Indianin mówi językiem znaków*” — pomyślał Tomek, a gdy czerwonoskóry powtórzył ruch, zrozumiał jego znaczenie.

Indiański język mimiczny był bez wątpienia pierwszym uniwersalnym językiem mieszkańców Ameryki, a niektóre znaki, podane odpowiednimi ruchami rąk, są i dzisiaj zrozumiałe, nawet dla osób nie znających mimicznej

mowy czerwonoskórych. Toteż Tomek pojął, co jeździec chciał mu zakomunikować. Ruch jego rąk oznaczał „naprzód”. A więc nadszedł decydujący moment. Tomek nie miał wprawdzie jeszcze pojęcia, w jaki sposób zdoła przedrzeć się przez blokujących drogę dżokejów Don Pedra, lecz bez chwili wahania wykonał polecenie.

Pochylił się mocno ku szyi klaczy, wyciągnął lewą dłoń, dotknął nią ciepłego karku wierzchowca i krzyknął:

— Nil'chi! Nil'chi!

Klacz zadrżała, jakby poczuła kolce ostróg. Wyciągnęła przed siebie długą, białą, szyję i rozpoczęła szaleńczy bieg. W ciągu kilku chwil minęła mustangi, po czym dopadła koni pędzących tuż za czołową grupą. W tym właśnie momencie młody Indianin, znajdujący się przed Tomkiem zaledwie o jedną długość mustanga, zamachnął się szerokim, długim, grubym biczem sporządzonym ze skóry bizona. Bicz z suchym trzaskiem spadł na plecy żółto-czerwonych dżokejów Don Pedra, prześliznął się po końskich zadach. Potężne to musiało być uderzenie, skoro jeden dżokej omal nie wyleciał z siodła. Pod wpływem bólu szarpnął wierzchowca cugłami. Gwałtownie wstrzymany koń uderzył bokiem biegnącego przy nim rumaka, który potknął się i runął na ziemię. Indianin, sprawca całego zamieszania, wyrwał się do przodu przez powstałą lukę.

Atak Indianina omal nie spowodował upadku Nil'chi. W chwili gdy śmignął długim biczem, Tomek znajdował się z lewej strony, tuż przy jego koniu. Wierzchowiec Don Pedra runął na ziemię przed Nil'chi zagrażając jej drogę. Stało się to tak szybko, że Tomek nie mógł już ominąć przewróconego wierzchowca. Odruchowo ściągnął cugle, a wtedy rozpędzona klacz wspaniałym skokiem przemknęła ponad ruchomą przeszkodą, po czym opadłszy lekko na ziemię, pognęła dalej.

Zaledwie Nil'chi znalazła się na wolnej drodze, Tomek zerknął do tyłu. Z kłębowiska koni i ludzi zaczęli się wysuwać pojedynczy jeźdźcy. Nie mógł dostrzec, co się stało z wierzchowcem Don Pedra, przez którego przed chwilą przeskoczyła Nil'chi. Stwierdziwszy, iż zaporę tworzona przez Meksykańczyków została przerwana, całą uwagę skierował teraz na własnego konia.

O jakieś trzydzieści metrów wyprzedzał Tomka Indianin, a w odległości około dwustu lub trzystu metrów mknął kary rumak Don Pedra.

Stary Nawaj, ujeżdżacz Nil'chi, nie mylił się, twierdząc, że skoro usłyszy ona swe indiańskie imię. stanie się prawdziwym wiatrem stepowym. Tomek pochylił się do przodu, luźno trzymając w rękach lejce. Klacz wyciągnięta jak struna gnała z niezwykłą lekkością. W ciągu pięciu minut zrównała się z ostatnim już przed nią mustangiem. Na przestrzeni kilkunastu metrów obydwie konie pędziły obok siebie.

— Nil'chi! — krzyknął Tomek dotykając jednocześnie lewą ręką szyi klaczy.

Indiański mustang metr za metrem pozostawał w tyle. Biała sierść Nil'chi zwilgotniała. Klacz nie zwolniła biegu na zakręcie. Przemknęła obok słupa z flagą amerykańską, by znów się znaleźć na prostej drodze wiodącej z powrotem ku boisku.

Dżokej na karoszu obejrzał się, a gdy spostrzegł blisko współzawodnika, smagnął konia pejczem. Przez jakiś czas obydwie wierzchowce biegly w jednakowej odległości.

Tomek spojrzął za siebie. Najdalej dwieście metrów za nim gnały trzy konie, podczas gdy inne rozciągnęły się na trasie długim łańcuchem.

— Nil'chi, Nil'chi! — krzyknął Tomek po raz trzeci. — Prędeej, Nil'chi!

Klacz sprężyła się; pochyliwszy kształtny łeb, jeszcze przyspieszyła biegu. Nogi Tomka obejmujące jej boki wyczuwały drzenie mięśni rumaka. Biała, długa grzywa rozwiana w szalonym pędzie muskała twarz chłopca.

Tomek utkwiał wzrok w karoszu. Odległość pomiędzy dwoma końmi zmniejszała się z każdą chwilą. Pot pokrywał sierść Nil'chi. Z pyska jej spadł na purpurowy step płat białej piany.

Dżokej jadący na karoszu co chwila teraz odwracał głowę. Bez przerwy bił swego konia pejczem, lecz Tomek doganiał go zdecydowanie. Na milę od boiska obydwie wierzchowce się zrównały. Nil'chi była zmęczona, ale zaledwie Tomek rzucił okiem na karosza, pojął, że był on już u kresu sił. Teraz nie miał wątpliwości: Nil'chi powinna wygrać wyścig!

Nil'chi z wolna zaczęła się wysuwać na prowadzenie. Meksykanina ogarnęła wściekłość. Chcąc zmusić konia do przyspieszenia biegu, smagnął go pejczem po głowie.

Tomek zatrząsł się z oburzenia. W tej chwili gotów był nawet pozwolić wyprzedzić karoszowi wspaniałą Nil'chi, byle tylko zapobiec barbarzyńskiemu katowaniu rumaka.

Naraz piekący ból oślepił Tomka na krótką chwilę. To rozwścieczony przegraną jeździec Don Pedra zamachnął się pejczem i uderzył go w twarz. Tomek odruchowo osłonił prawym ramieniem głowę, gdy Meksykanin zamierzył się po raz drugi.

— Nil'chi! — krzyknął Tomek niesamowitym głosem.

Pejcz spadł jak wąż na ramię osłaniające głowę, przeciął skórę na dłoni. W tej chwili podniecona głosem jeźdźca klacz skoczyła, jakby brała przeszkodę. Coś szarpnęło Tomka do tyłu, ale nie spadł, ponieważ lewą ręką mocno trzymał się kulbaki siodła.

Nil'chi nie była już wiatrem stepowym. Teraz, gdy śmigła przez step spowita obłokiem kurzawy, przypominała prawdziwe amerykańskie tornado. Podstępny Meksykanin pozostał daleko za nimi. Dopiero teraz Tomek zrozumiał, dlaczego niemal nie spadł z konia, kiedy otrzymał uderzenie. Oto w prawej, zakrwawionej dłoni kurczowo ścisnął gruby ramię bata. Zapewne gdy osłonił się ramieniem przed powtórny cios, pejcz owinał się wokół jego dłoni, która zacisnęła się na nim odruchowo. Nil'chi wtedy właśnie przyspieszyła biegu, a Tomek bezwiednie wyszarpnął bicz z ręki Meksykanina.

Meta była już tuż, tuż. Krzyk widzów zgromadzonych na trybunach potęgował z każdą chwilą. Nil'chi upuszczając z pyska płaty piany wbiegła na boisko i jako pierwsza minęła białą linię mety.

Tomek ogłuszony olbrzymią wrzawą zsunął się z siodła wprost w ramiona szeryfa Allana. Z kolei ściskali go bosman Nowicki, pani Allan, Sally oraz rozentuzjasmowani ranczerzy. Dawno już bowiem nie pamiętano w tych stronach, aby tak młody chłopiec wygrał wyścig dziesięćmiłowy. W końcu bosman rozgarnął tłum mocarnymi ramionami i osłonił Tomka. Czujne oko marynarza od razu spostrzegło siną pręgę na twarzy przyjaciela. Gdy jeszcze ujrzał rozciętą skórę na prawej dłoni ściskającej pejcz, oczy jego błysnęły złowrogo.

Pochylił się nad swym druhem. Ostrożnie przesunął wielkim łapskiem po sinej prędze na twarzy Tomka.

— Kto ci to zrobił? — zapytał chrapliwym głosem.



Tomek spojrział w poważną twarz przyjaciela i natychmiast zrozumiał, że jeżeli w tej chwili wyzna prawdę, bosman bez najmniejszego wahania zabije Don Pedra. Zastanawiał się, co ma powiedzieć, gdy na boisku znów się rozległy wiwaty. To drugi wierzchowiec przybywał do mety.

— Kto ci to zrobił? — bosman ponowił pytanie.

— Podjechałem zbyt blisko Meksykanina okładającego pejcem swego konia i wtedy niechcący mnie uderzył — szybko odparł Tomek. — Opowiem to później dokładnie... Zobaczmy, kto przybył drugi!

Przez linię mety przebiegł następny uczestnik. Gromada ranczerów otoczyła mustanga. Jedni przytrzymywali spienionego konia, inni pomagali zsiąść Nawajowi, a wszyscy wrzeszczeli jak opętani. Indianin potrząsał prawicę wyciągając się ku niemu. Jego miedzianobrązowa twarz nie wyrażała jakiegokolwiek uczucia, chociaż zapewne cieszył się z uzyskania drugiej nagrody. Pięć tysięcy dolarów wystarczało na zakup stada bydła lub ładnego ranczo.

Kiedy Tomek zbliżył się do niego, Nawaj trochę dłużej przytrzymał dłoń chłopca, potem musnął wzrokiem sinawą pręgę na twarzy i rzekł:

— Brawo, Nah'tah ni yez'zi!

Było to prawdopodobnie jedno z nielicznych znanych mu słów angielskich. Tomek odgadł intuicyjnie, że czerwonoskóry wojownik pochwalił w ten sposób jego zachowanie podczas starcia z Meksykaninem.

Jako trzeci przybiegł koń ranczera z Arizony. Tomek nie mógł pojąć, co się stało z wierzchowcem Don Pedra. Coraz więcej koni przybywało do mety, a tymczasem karosza wciąż jeszcze nie było widać. Tymczasem służba szeryfa troskliwie zaopiekowała się zmęczoną Nil'chi. Po przybyciu na metę zdjęto z niej siodło, wytarto ją wiechciami trawy z potu i nakryto dużym kocem. Nil'chi wyciągała łeb ku wiadrom pełnym wody, lecz Indianie zwilżyli jej tylko pysk mokrym ręcznikiem, a następnie zaczęli ją oprowadzać po boisku. W ten sposób rozgrzana długim, dość szybkim biegiem klacz z wolna przychodziła do siebie. Po półgodzinie, gdy wszystkie niemal konie przybyły już na boisko, Nil'chi uspokoiła się zupełnie.

Szeryfowi Allanowi i Tomkowi przypadł zaszczyt oprowadzenia wokół areny zwycięskiego rumaka. Szyję Nil'chi opasywała wstęga z pamiątkowym napisem. Klacz wstrząsała łbem słysząc huczne brawa oraz okrzyki, boczyła

się i wierzgała. Było to najlepszym dowodem, że odpoczęła już po meczącym biegu.

Tuż przed samymi trybunami komitet organizacyjny wyścigu miał wręczać zwycięzcom nagrody. Właśnie szeryf i Nawaj przyjmowali pieniądze, gdy zbliżył się do nich Don Pedro. Meksykanin zatrzymał się jakieś trzy kroki przed grupką naszych przyjaciół, którzy jeszcze raz winszowali szeryfowi wygranej. Wyniośle zmierzył rozradowanego Allana i zapytał.

— Senor<sup>180</sup> Allan, ile pan chce za tego konia?

Szeryf spojrział przez ramię na napuszonego bogacza.

— Koń nie jest do sprzedania, senor Don Pedro — odparł krótko.

— Wszyscy wiedzą, że posiadam na tym pograniczu najsmiglejsze konie. Rumak, który zajechał na śmierć mego wyścigowca, może znajdować się tylko w mojej stadninie — gniewnie powiedział Don Pedro, — Płacę podwójną cenę, jakiej senor zażąda.

— Gdyby pan proponował nawet dziesięciokrotną, nie sprzedałbym tej klaczy. Po prostu nie należy ona już do mnie, ponieważ ofiarowuję ją tej młodej damie — odpowiedział szeryf wskazując ręką Sally.

Don Pedro pogardliwie spojrział na zaróżowioną ze wzruszenia dziewczynkę.

— Niech i tak będzie, mogę odkupić klacz od tej smarkuli. Na moim ranczo mam sługę do czyszczenia butów, która jest prawdziwą księżniczką indiańską — rzekł niedbale Meksykanin.

Zanim zaskoczeni obrazą mężczyźni zdążyli zareagować, Tomek przystąpił do Don Pedra.

— W mojej ojczyźnie mężczyźni odnoszą się do kobiet z szacunkiem bez względu na ich wiek — odezwał się wzburzonym głosem. — Jest pan nie tylko gburowatym workiem pieniędzy, lecz również podstępny człowiekiem, polecającym dżokejom zachowywać się na wyścigach nie sportowo. Jaki pan, taki kram! Pana dżokej uderzył mnie dwukrotnie pejczem, a teraz pan obraża moją przyjaciółkę. Oto moja odpowiedź!

Mówiąc to dwukrotnie uderzył biczem w twarz zaczerwienionego z wściekłości Meksykanina, Naznaczony dwoma krwawymi pręgami Don Pedro podskoczył ku chłopcu, lecz w tej chwili łapsko bosmana spadło na jego ramię. Marynarz bez wysiłku odwrócił go ku sobie. Don Pedro

---

<sup>180</sup> — Senor (hiszp.) — pan.

natychmiast wydobył z pochwy błyszczący rewolwer, lecz bosman, nie popuszczając jego ramienia, lewą ręką chwycił pięść ściskającą rękojeść broni. Meksykanin zawył z bólu; błyszczący rewolwer wysliznął się z jego dłoni na ziemię.

— A teraz dodam ci słówko od siebie, stary łobuzie — syknął bosman. — Namyśl się dobrze, zanim drugi raz odważysz się w moim towarzystwie obrazić kobietę. Masz szczęście, że mój kumpel pierwszy zapłacił ci za uderzenie pejczem podczas wyścigu i obrazę damy. Ja bym cię po prostu zatłukł! Teraz uciekaj stąd, gdzie pieprz rośnie!

Lewa ręka bosmana zakreśliła krótki łuk i grzmotnęła Don Pedra w podbródek. Meksykanin jak bezwładna kłoda runął na ziemię.

Bosman wydobył z kieszeni dużą kraciatą chustkę i starannie wytarł w nią dłonie. Spojrzał na wystraszoną Sally. Twarz jego zaraz się wypogodziła; uśmiechnął się do dziewczynki, która jak przystało na córkę pioniera australijskiego, szybko opanowała wzburzenie. Przysunęła się do Tomka, wyjęła z jego pokrwawionej dłoni pejcz, po czym owinęła ją swoją koronkową chusteczką. Teraz wspięła się na palce i ostrożnie musnęła ustami siną pręgę przecinającą twarz chłopca.

— Dziękuję ci, Tommy, jesteś prawdziwym dżentelmenem. Oczywiście dzielny pan bosman również — szepnęła i zaraz dodała głośniejszym głosem: — Pierwszy raz tacy wspaniali mężczyźni bili się o mnie!

Podbiegła do bosmana; musiał przykucnąć, aby również i jego mogła pocałować. Poczciwiec był bardzo wzruszony.

Znów wydobył swą kraciatą chustę i wycierając oczy powiedział: — Ha, naprawdę będę musiał mniej jadać. Tyję, a przez to pocę się zbyt często.



## PORWANIE

Minęły dwa tygodnie od rodeo. Tomek i bosman zaproszeni przez wodza Długie Oczy wybrali się w kilkudniowe odwiedziny do rezerwatu Mescalero Apaczów. Obydwaj mieli nadzieję, że teraz wreszcie nadarzy się okazja do omówienia misji zleconej przez Hagenbecka. Pobyt wypoczynkowy w Nowym Meksyku dobiegał końca. Najdalej za trzy lub cztery tygodnie zamierzali wyruszyć z panią Allan i Sally w drogę powrotną do Europy. Mając na uwadze koniec wakacji, Tomek postanowił się porozumieć z Indianami w celu zorganizowania grupy objazdowej.

Podczas przydługiej nieobecności Tomka Sally codziennie udawała się po kilka razy na pobliski pagórek, aby wyjrzeć na drogę, czy przypadkiem obaj przyjaciele nie powracają na ranczo.

Był gorący, słoneczny ranek. Pani Allan i Sally zrywały owoce w odległym zakątku sadu. Tego dnia Sally zaledwie dwukrotnie wybiegła na wzgórze, a tymczasem Tomek i bosman mogli powrócić w każdej chwili, toteż wkrótce zaniechała zrywania owoców.

— Mamusiu, pobiegnę spojrzeć na drogę — zawołała. — Może już wracają.

— Dobrze, dobrze, mój niespokojny duchu, tylko nie siedź zbyt długo i weź ze sobą Dinga — odparła matka z uśmiechem.

Pani Allan powróciła do przerwanej na chwilę pracy, rozmyślając o swym domu w dalekiej Australii. Po raz pierwszy opuściła męża na tak długi czas. Zastanawiała się więc, jak też daje sobie bez niej radę. Niepokoiliła się czy słońce przypadkiem nie wypaliło pastwisk, co w Australii nie było rzadkością, obliczała, ile to zaległych prac czeka na nią w domu. Z zadowoleniem rozmyślała o zbliżającym się wyjeździe do Anglii. Gdy tylko ulokuje Sally u krewnego, natychmiast będzie mogła ruszyć w powrotną drogę.

Tymczasem Sally ciągnęła Dinga za ucho i beztróska biegła na wzgórze. Przez pewien czas spoglądała na drogę osłaniając dłonią oczy, tęcz niebawem uwagę jej zwróciło zabawne zwierzątko, przypominające budową ciała żabę.

Była to tak zwana rogowa ropucha amerykańska<sup>181</sup>. Jak twierdził Tomek, stanowiła ona swego rodzaju osobliwość fauny północnoamerykańskiej. Tomek wielokrotnie już pokazywał jej te zwierzątka i wyjaśniał, że są one w Ameryce odpowiednikiem australijskich molochów<sup>182</sup>.

Zwierzątko, należące do rodziny leguanów, miało płaski, w kształcie tarczy tułów długości około piętnastu centymetrów, pokryty kolczastymi łuskami, szczególnie dużymi na głowie, a mniejszymi na krótkim ogonie. Poruszało się bardzo niezgrabnie, jak na szrudłach, wbrew przysłowiowej zwinności pokrewnych jaszczurek. Szeroki, obwisły tułów przeszkadzał mu zapewne w ściganiu zdobyczy lub łowieniu fruujących w powietrzu much, toteż ropuchy te żywiły się tylko powolnymi i niezgrabnymi owadami, które nieledwie same wpadały im do pyska. Owa wstrzeźliwość w jedzeniu, wynikająca z powolności ruchów, stała się przyczyną rozpowszechnionego wśród krajowców mniemania, że rogowe ropuchy żywią się powietrzem.

Sally przyglądała się zwierzątku, gdyż nieczęsto można je było dostrzec z powodu piasokowoszarej z brunatnymi plamami ochronnej barwy ciała<sup>183</sup>. Już uprzednio postanowiła zabrać na pamiątkę, dla stryja w Anglii jedną taką ropuchę. Wielu kolonistów wysyłało łatwo oswajające się zwierzątka, opakowane w pudełko między dwoma grubymi warstwami waty, swym krewnym w Europie, aby trwożliwe mieszcuchy przeraziły się na widok niesamowitej „gadziny”. Teraz Sally zastanawiała się, czy nie warto by od razu schwytać ropuchę. Nie była jednak pewna, jak należy tego dokonać, ponieważ bezbronne zwierzątka w razie niebezpieczeństwa wydzielają z oczu i nosa krople krwi, która rozpryskiwała się nieraz na kilka centymetrów wokoło. Wprawdzie Tomek zapewniał ją, że człowiekowi nic z tego powodu nie grozi, lecz mimo to nie była całkowicie przekonana, czy „jad” ten jest

<sup>181</sup> — *Phrynosoma cornutum* — zwierzątko żyworodne, rodzące w jednym miocie około dwudziestu czterech młodych.

<sup>182</sup> — Moloch australijski należy do rodziny jaszczurek; całe ciało ma pokryte kolczastymi wyrostkami skóry, sterczącymi na głowie jak rogi. Zwierzątko leżące w krzakach przypomina do złudzenia kolczastą gałąź.

<sup>183</sup> — Zdolność do ochronnego maskowania się zwierzęcia przed wrogiem przez upodabnianie się kształtem, barwą, deseniem do otoczenia nazywamy mimetyzmem, np. podobieństwo patyczaków do uschniętych gałązek, skrzydeł niektórych motyli do liści. Typowym przykładem są kameleony, które mogą w każdej chwili zmienić swą barwę. Odmianą mimetyzmu jest mimikra, to znaczy upodabnianie się, osobników gatunków bezbronych do gatunków zdolnych do obrony, np. niektórych motyli i muchówek do os, węży niejadowitych do jadowitych.

zupełnie nieszkodliwy. Słyszała bowiem od stryjka Allana, iż u salamander i ropuch gromadzą się w gruczołach umiejscowionych bezpośrednio za głową wydzieliny często trujące.

Dingo również z dużym zainteresowaniem obserwował dziwne zwierzątko, lecz Sally przytrzymała go za obrożę.

Nagle Dingo uniósł łeb, zastrzygł uszami, po czym zastygł w bezruchu pilnie nasłuchując. Zachowanie psa zwróciło uwagę Sally, dopiero jednak po długiej chwili usłyszała odległy jeszcze, głuchy tętent koni.

Bez chwili zastanowienia pobiegła na wzgórze; pies dużymi susami podążył za nią. Zaledwie znalazła się na szczycie, ujrzała obłok kurzawy toczący się z północy po stepowej drodze.

— To na pewno Tommy i bosman, nareszcie wracają! — zawołała.

W miarę jak obłok kurzawy się przybliżał, Sally biegła naprzeciw coraz wolniej. Czyżby przyjaciele jej wracali w tak licznym towarzystwie? Coraz wyraźniej w tumanie kurzawy uwidaczniały się liczne końskie łby i ciemne twarze jeźdźców.

Sally wiedziała, iż Tomek zamierzał zabrać z sobą do Europy grupę Indian. Pomyślała, że załatwiwszy pomyślnie sprawę, przyprowadzał zwerbowanych czerwonoskórych.

Przystanęła na drodze.

Na widok samotnej dziewczynki jeźdźcy wstrzymali konie. Po chwili już otaczała ją gromada Indian. Sally przyglądała im się zdumionym wzrokiem. Teraz dopiero spostrzegła swą pomyłkę. Nie było wśród nich Tomka ani bosmana, a dziwni Indianie różnili się wyglądem od Indian zamieszkujących najbliższy rezerwat. Cera niskich, wątko zbudowanych mężczyzn nie była miedzianego koloru, lecz brunatnoszara. Jedyne twarde jak druty, czarne o niemal niebieskawym odcieniu włosy, kwadratowe twarze i małe oczy przypominały Indian amerykańskich. Odzież ich także była odmienna. Nosili koszule i luźne spodnie z cienkiej bawełny, a niektórzy oprócz tego narzucili na siebie pstre zarape, to jest ręcznie tkane wełniane pledy z otworem na głowę, zdobione symetrycznie rozmieszczonymi figurami geometrycznymi na wzór nawajskich koców. Na głowach mieli duże słomiane kapelusze. Wszyscy byli uzbrojeni. W rękach trzymali flinty starego typu bądź nowoczesne karabiny. Niewielu tylko miało pasy z rewolwerami, lecz za to każdy z nich posiadał długi nóż i lasso.

Dziwni Indianie zagadali do Sally w nieznanym języku. Dziewczynka milczała wylękniona.

Naraz od strony ranczo rozległy się strzały i donośny wrzask. Teraz Sally przestraszyła się nie na żarty. Cóż to wszystko mogło oznaczać? Na odgłos strzałów jeźdźcy krzyknęli przeraźliwie. Jeden z nich pochylił się z konia ku dziewczynce i szybkim, zręcznym ruchem uniósł ją w górę. Dingo natychmiast rzucił się na niego, lecz inni jeźdźcy zaczęli tłuc psa grubymi pejcami. Oślepione razami, ogłuszone zwierzę chwyciło ostrymi kłami ludzi i konie, ale dzielna obrona nie zdała się na wiele.

Po krótkiej chwili, otrzymawszy w głowę silne uderzenie kolbą karabinu, wierny Dingo padł na ziemię.

Przerażona, lecz jednocześnie oburzona do głębi Sally biła pięściami i drapała trzymającego ją przed sobą na koniu Indianina. Widząc to, inny jeździec ściągnął z siebie zarape i zarzucił je na szamocącą się dziewczynkę. Zawinięta wraz z głową w gruby, cuchnący koc, Sally nie mogła już wołać o pomoc. Silne, żyłaste ręce przytrzymały ją na końskim grzbiecie. Jeźdźcy ruszyli galopem. Musieli znajdować się tuż przy ranczo, ponieważ strzały stały się bardzo bliskie. Przez krótką chwilę Sally mniemała, że stryjek Allan odbije ją teraz. Były to złudne nadzieje. Strzały ucichły, a Indianie uwozili ją w nieznaną. Słyszeć było tylko trzaskanie z biczów, kwik oraz rzenie pędzonych koni.

Sally już nie zdawała sobie sprawy z tego, jak długo trwała ta opętana jazda. Koc tłumiał jej krzyki i płacz, spowijał mocno ręce. W końcu na pół uduszona zamilkła, nieczuła na to, co się z nią dzieje.

Sally odzyskiwała przytomność. Otrząsnęła się czując w ustach jakiś wstrętny płyn cuchnący zgniłymi jajami. Uniosła głowę. Z obrzydzeniem wypluła piekący napój.

Teraz dopiero spostrzegła, że nie siedzi już na koniu, lecz leży pod drzewem na rozciągniętym na ziemi zarape. Kilka niskich postaci pochyliło się nad nią, a jedna z nich z manierki wlewała właśnie w jej usta piekący, cuchnący napój.

Sally odwróciła głowę w bok.

— Dajcie mi trochę wody — szepnęła.

Ciemne postacie porozumiewały się między sobą, po czym ktoś podał jej kubek wody. Sally chciwie go opróżniła.



„*A więc ten straszny dzień już minął, jest noc*” — pomyślała.

Na granatowym niebie migotały roje gwiazd. Znajdowali się w jakimś głębokim jarze. Rosnące tu olbrzymie kaktusy przybierały w mroku nocy niesamowite kształty. Obok słychać było nikły szmer płynącego strumyka.

Indianie szwargotali teraz raźniej. Ich szare twarze nie miały już tak bezwzględного, okrutnego wyrazu. Sally usiadła, a wtedy podano jej pożywienie.

— Señorita, tortilla — odezwał się jeden z Indian, kładąc przed nią kawałek placka i pasek suszonego mięsa.

Na migi pokazywał jej, żeby jadła, ale Sally nie była pewna, czy wypada przyjąć pokarm od wrogów. Teraz nie miała już wątpliwości, że porwali ją Indianie meksykańscy, którzy napadli na ranczo stryjka Allana. Musieli to być Meksykańczycy, gdyż różnili się od Indian północnoamerykańskich rysami twarzy, ubiorem i mową. Podczas kilkunastotygodniowego pobytu na pograniczu zdążyła się już nauczyć paru hiszpańskich słów i wiedziała, że Meksykanie przeważnie mówią po hiszpańsku.

Inne dziewczynki w wieku Sally może by mdlały po dojściu do takiego wniosku. Należy jednak pamiętać, że mała Australijka była córką pioniera wychowaną w dzikim i surowym kraju; przeżyła już niejedno w swych rodzinnych stronach, toteż teraz potrafiła opanować strach i myśleć jak osoba nawykła do niebezpieczeństw.

Najbardziej dręczyła ją nieświadomość co do losów matki i stryjka. W chwili napadu matka znajdowała się w odległym zakątku sadu, zajęta zbieraniem owoców. Indianie jak nawałnica przetoczyli się przez ranczo. Sally miała nadzieję, że zanim matka zwabiona krzykiem i strzałami nadbiegła, mogło już być po wszystkim. Stryj Allan nie rozstawał się ze swymi rewolwerami; tak rozsądny, opanowany człowiek nie wdałby się w beznadziejną walkę z przeważającymi liczebnie napastnikami. Może więc szczęśliwie uniknął niebezpieczeństwa, skoro Indianie pospiesznie opuścili ranczo natrafiwszy na zdecydowany opór. Jeżeli tak było, to przecież stryjek wezwie na pomoc Tomka i bosmana, a może nawet i wojsko, by razem z nimi ruszyć w pościg.

Sally pokrzepiona na duchu takim rozumowaniem martwiła się już tylko o wiernego Dinga. Widziała na własne oczy, jak bezlitośni Meksykanie porzucili go skatowanego na drodze.

Właśnie jeden z tych okrutników podsuwał jej niemal pod nos kawałek placka.

— Señorita, tortilla — zachęcał mlaskając językiem.

Sally spojrzała na niego jakby wyrwana z głębokiego snu. Indianin wykrzywił kwadratową twarz w uśmiechu, by zachęcić ją do jedzenia.

Tortilla pachniała przyjemnie. Sally była głodna, poza tym doszła do wniosku, że chcąc doczekać odsieczy, nie może odmawiać przyjmowania pokarmu. Wzięła więc z rąk Indianina zachwalaną mlaskaniem tortille i ugryzła kawałek. Tortilla okazała się zwykłym plackiem kukurydzianym pieczonym na węglach. Smakował jej nawet, gdy strząsnęła z niego czerwony, piekący pieprz, którym był posypany. Sally zjadła tortillę, po czym zabrała się do cienkiego, długiego paska suszonego mięsa.

Po tym skromnym posiłku ułożyła się na zarape do snu. Bolały ją wszystkie kości, oczy zamykały się ze zmęczenia. Z niespokojnej drzemki zerwała się na jęklive wycie kojota. Przypomniało ono Sally biednego Dinga, więc zapłakała cicho, tuląc głowę do grubego koca.

Zaledwie zdążyła trochę pospać, zbudziło ją lekkie szarpnięcie za ramię. Otworzyła oczy. Na niebie wciąż jeszcze błyszczały gwiazdy. Tymczasem Meksykanie byli już przygotowani do dalszej drogi. Niski Indianin wziął znów Sally przed siebie na konia, lecz tym razem pozostawiono jej pewną swobodę ruchów. Noc była chłodna, więc Sally samorzutnie owinęła się grubym zarape, wysuwając głowę przez wycięty w środku otwór.

Indianie stale popędzali wierzchowce. Sally domyśliła się, że pragną się jak najszybciej oddalić od ranczo, by uniknąć pościgu. Mimo przynaglania nie wypoczęte należycie konie wlokły się dość wolno.

Gwiazdy blakły. Z mroku nocy wyłaniał się słoneczny dzień. Strome dotąd zbocza długiego, krętego parowu zaczęły się obniżać, aż w końcu wyjechali na rozległy step. Teraz dopiero Sally zorientowała się w liczebności bandy — było ich dwudziestu dwóch. Poprzedniego dnia, gdy oddalali się od ranczo, Sally wyraźnie słyszała świst batów, którymi kowboje popędzają stado bydła lub tabun koni. Obecnie nigdzie jednak nie mogła dostrzec luźno idących rumaków. Rozmyślenia nad tym niezrozumiałym faktem przerwał jej głos Indianina jadącego na czele kawalkady. Jeźdźcy natychmiast się zatrzymali. Wyciągnęli szyje i niespokojnie patrzyli w kierunku północnym. Sally z trudem stłumiła okrzyk radości. Ukosem przez step zbliżał się do nich

szybko znaczny oddział jeźdźców. Niepewność na twarzach Indian wskazywała, iż mógłby to być nadciągający pościg.

Serce w piersi Sally tłukło się niespokojnie. Indianie wyjmowali broń, lecz z twarzy ich niczego nie można było wyczytać.

„*Ho, ho, stryjek i Tommy zapędzą w kozi róg tych chuderlaków*” — gorączkowo myślała Sally.

Przywódca opuścił nagle dłoń, którą osłaniał oczy przed blaskiem słonecznym, spokojnie powiesił karabin na łąku siodła i zawołał coś do swych towarzyszy. Ruszyli znowu.

Sally omal się nie rozpląkała, widząc już z bliska kawalkadę jeźdźców. Byli to Indianie meksykańscy, wiedli na lassach najlepsze wierzchowce stryja Allana. Na samym przedzie znajdowała się wspaniała klacz Nil'chi. Z największą obawą Sally wypatrywała, czy przypadkiem w nadciągającej grupie Indian nie ujrzy swych najbliższych jako jeńców. Na szczęście nowa banda składała się tylko z czerwonoskórych. Obydwie połączone grupy liczyły teraz około pięćdziesięciu ludzi. Powoli Sally zaczynała rozumieć ich taktykę. Otóż napadli na rancho z dwóch stron jednocześnie — z północy i południa. Sally została pochwycona przez jeźdźców przybyłych z północy, podczas gdy grupa południowa splądrowała rancho. Manewr ten zastosowali Meksykanie dla wprowadzenia w błąd osadników amerykańskich. Któż mógłby posądzać Meksykanów o urządzenie napadu, skoro pozornie przybyli z głębi terytorium Stanów Zjednoczonych? Również po napadzie powrócili na stronę meksykańską dwoma oddzielnymi grupami, aby utrudnić pościg. Sally doszła do wniosku, iż rozumowanie jej jest trafne.

Tymczasem kawalkada dotarła niebawem w górzystą okolicę. Kopyta koni głucho dudniły po kamienistym gruncie. Przez jakiś czas Indianie pospiesznie kluczyli po skalistych kanionach, ale było już zupełnie widoczne, że coraz mniej obawiają się pościgu — kamieniste podłoże uniemożliwiało tropienie.

Późnym wieczorem zatrzymali się w mrocznym kanionie na nocny postój. Zdenerwowana Sally nie mogła zasnąć. Czy przyjaciele zdołają ją odnaleźć i oswobodzić? Któż potrafi odszukać ślady w skalistych górach?

Na długo przed świtem Meksykanie znów ruszyli w drogę. Około południa znaleźli się na skraju gór. Ku zachodowi ciągnęła się preria upstrzona kaktusami. Kilku Indian odłączyło się od bandy i popędziło ku

widocznym na horyzoncie smużkom dymów. Sally domyśliła się, że muszą się tam znajdować jakieś domostwa. Dlaczego jednak odjeżdżający zabrali klacz Nil'chi i pięć innych koni?

Pozostali Indianie rozłożyli się biwakiem. Palili tytoń w glinianych fajeczkach, popijali swą ulubioną pulque, produkowaną ze sfermentowanych owoców agawy, której wstrętny smak Sally poznała na pierwszym postoju, i rozkoszowali się odpoczynkiem. Dziewczynka z trudem przełknęła kawałek tortilli; rozmyślała o swym smutnym położeniu. Indianie zachowywali się zupełnie swobodnie i nawet nie zwracali na nią uwagi.

Po kilku godzinach grupka Indian powróciła z tajemniczej wyprawy. Przywiedli mocno objuczone konie, ale nie było wśród nich Nil'chi. Indianie zaraz zebrali się na uboczu. Po krótkiej naradzie zwinęli obozowisko i ruszyli na południe. Jedyne roślinność stanowiły tutaj kaktusy o tysiącznych kształtach, agawy, burzany oraz miotlaste juki. W górze kołowały sępy łakomie wypatrujące żeru. W świecie owadów nieurodzajnej krainy przede wszystkim królowały koniki polne. W zadziwiający sposób przypominały suche gałązki krzewu podobnego do mirtu, którym się żywiły. Pełno tu było również dużej, zielonej szarańczy o pstrych skrzydłach, dziwnych chrząszczy, rozmaitych mrówek i wielkich żółtych motyli. Na tym suchym stepie rozłożyli się na noc. Sally ogarnęła niezmierna tęsknota za matką i najbliższymi. Popłakiwała cicho, nim chóralne ćwierkanie świerszczy nie ukołysało jej do snu.

Minęło kilka godzin. Naraz Sally zbudziła się. Usiadła na pościeli. Ogniska niemal już wygasły, a Indianie nie zważając na chłód nocy spali głośno chrapiąc. Sally owinęła się w zarape, po czym skulona próbowała zasnąć z powrotem. W pobliżu rozległ się kwik koni. Sally zaczęła się zastanawiać, czy nie warto by skorzystać ze sprzyjających warunków i spróbować ucieczki. Zaraz jednak pojęła bezsensowność pomysłu. Dokąd miała uciekać? Nie orientowała się w okolicy, a przecież w tej chwili nie mogła liczyć na niczyją pomoc. Jeżeli nawet ucieknie teraz, to Indianie i tak ją odnajdą. Wtedy już będą pilnowali lepiej, a może nawet zwiążą? Nie, nie, nie chciała do tego dopuścić. Później na pewno dowie się w jakiś sposób, w którym kierunku znajduje się ranczo stryjka Allana i, dzięki swobodzie ruchów, skorzysta z najlepszej okazji do ucieczki.

Z ciężkim westchnieniem przymknęła oczy. Przypomniła sobie, jak to przyjemnie było na ranczo stryjka. Co też on teraz porabia? Czy bardzo rozpacza matka? Dlaczego Tommy i bosman tak długo nie przychodzą z pomocą? Czy zdołają odnaleźć ślady napastników w tych skalistych kanionach? Tyle miała wątpliwości, więc dla pociechy myślała, ilu to niezwykłych czynów dokonali jej przyjaciele. Potrafili przecież tropić nieznane, dzikie zwierzęta w mrocznych dżunglach i ujarzmiali je z łatwością, na pewno więc nie zrażą się trudnościami pościgu za porywaczami. Ach, gdyby Dingo, ten wierny i kochany Dingo żył, na pewno by przyprowadził przyjaciół nawet przez skaliste kaniony!

W tej chwili gdzieś na stepie ozwało się wycie kojotów, a potem... Sally zaczęła bacznie nasłuchiwać. Zdawało się jej bowiem, iż usłyszała chrapliwe szczeknięcie Dinga. Czyżby się myliła? Na stepie znów się rozległ dziwnie znajomy głos. Niskie, początkowo chrapliwe tony stawały się coraz wyższe, aż w końcu zmieniły się w przeraźliwe skowyczenie. Nie, to nie był kojot! Sally dobrze знаła jego grobowe, przeciągłe wycie. To natomiast, co przed chwilą usłyszała, było głosem australijskiego psa.

Podniecona zerwała się na równe nogi. Indianie spali kamiennym snem. Minęła długa chwila. Już Sally zaczęła przypuszczać, iż uległa złudzeniu, aż naraz ciche, chrapliwe szczeknięcie powtórzyło się w pobliskich kaktusach.

Sally rozejrzała się po obozowisku. Wokół rozbrzmiewało regularne chrapanie Indian. Wysunęła się z zarape, po czym, stąpając ostrożnie, zbliżyła się ku zaroślom. Zaledwie w nie wkroczyła, przypadł do niej włochaty cień. Dziewczynka opadła na kolana i drżącymi rękoma objęła kark swego ulubieńca. Zapłakała, gdy szorstki jęzor dotknął jej twarzy.

— Mój kochany, mój najdroższy Dingo! Och, jak się cieszę, że cię nie zabito... — szeptała ściskając psa.

Było zbyt ciemno, aby mogła mu się przyjrzeć, więc tylko rękoma zaczęła przesuwac po jego ciele, szukając śladów po razach indiańskich pejczów. Dotykem wyczuwała strupy zakrzepłej krwi na jego sierści.

Ciemność nocy oszczędziła Sally przykrego widoku. Dingo wyglądał okropnie. Skóra poprzecinana biczami pokryta była dopiero co zakrzepłą krwią. Od lewego oka aż do karku widniała na jego głowie szeroka rana. Płowe boki psa głęboko się zapadły, pewnie od chwili napadu jeszcze nic nie jadł. Banda Indian szybko umykała, toteż Dingo nie miał czasu na

poszukiwanie pożywienia. Zaledwie zdążył pochleptać trochę wody w napotykanym strumykach. Teraz utrudzone stworzenie położyło się na ziemi obok klęczącej dziewczynki.

Sally pomyślała, że Dingo musi być bardzo wygłodzony. Podeszła do obozowiska. Obok wygasłych ognisk nie brak było pozostałości po kolacji Indian. Z łatwością znalazła kilka kawałków tortilli i suszonego mięsa. Podała to wszystko czworonożnemu przyjacielowi, by zaspokoił przynajmniej pierwszy głód.

Sally rozmyślała przez cały czas, co Indianie powiedzą ujrzawszy psa. Nie, nie, do tego nie wolno dopuścić. Przecież jeżeli Dingo potrafił odnaleźć jej ślad, to i pościg mógł się znajdować w pobliżu. Widok Dinga zmusiłby Indian do zwiększenia czujności, a może by go zabili, obawiając się, że sprowadzi im pogoń na kark.

Tak rozumując Sally zaczęła szeptać i nakazywać psu, że musi powrócić w step, aby Indianie go nie spostrzegli. Dingo przekrzywił łeb, od czasu do czasu dotykał ozorem twarzy dziewczynki. Naraz któryś z Indian poruszył się. Sally czym prędzej wróciła do ogniska. Jakież było jej zdziwienie i radość zarazem, gdy Dingo powlókł się za nią parę kroków, lecz nie przekroczył linii krzewów. Wychylił tylko płowy łeb zza kaktusa, czujnym wzrokiem przyjrzał się pograżonym jeszcze we śnie Indianom, po czym znikł z powrotem w zaroślach.

Sally odetchnęła z ulgą.

## POGOŃ I NARADA

Przed dwoma zaledwie godzinami Murzyn zatrudniony u szeryfa Allana przybył na spienionym wierzchowcu do rezerwatu Mescalero Apaczów z wiadomością, że nieznani Indianie dokonali napadu na ranczo.

Zaskoczeni tą okropną wieścią Tomek i bosman niewiele mogli wydobyć z przestraszonego posłańca. Według jego relacji szeryf Allan został zabity. Sally zniknęła, a tylko dziwnym zbiegiem okoliczności ocalała jej matka. Nieznani Indianie zabrali z korralu wiele koni, po czym odjechali tak nagle, jak się przedtem pojawili. Murzyn mówił jeszcze o strzelaninie i walce. Gdy napastnicy odjechali, pani Allan poleciła mu najpierw powiadomić Tomka i bosmana, a potem również prosić o pomoc kapitana Mortona.

Obydwaj przyjaciele nie tracili czasu. Razem z Czerwonym Orłem natychmiast dosiedli koni; nie szczędząc ich gnali na złamanie karku na ranczo — miejsce tragicznych wydarzeń.

Po czterech godzinach wpadli w obejście domostwa. Zatrzymali się tuż przed werandą, gdzie stało kilka osiodłanych koni. Tomek i bosman zeskoczyli z wierzchowców, po czym wbiegli na werandę.

Przy stole siedziała pani Allan w towarzystwie kilku okolicznych ranczerów. Na widok dwóch przyjaciół zerwała się z fotela i wyciągnęła do nich dłonie.

— Sally porwali Indianie — wyrzuciła jednym tchem.

— Kiedy to się stało? — zapytał bosman. — Murzyn przysłany przez szanowną panią niewiele mógł nam powiedzieć. Czy to prawda, że pan szeryf...?

— Nie, nie. Opatrzność czuwała nad nim — zaprzeczyła pani Allan. — Walcząc z napastnikami został dwukrotnie trafiony kulami, lecz na szczęście doktor ręczy za jego życie. W tej właśnie chwili zakłada mu nowe opatrunki.

— Ha, kamień spadł mi z serca — odetchnął bosman. — Murzyn mówił, że nasz szeryf nie żyje.

— W pierwszej chwili tak to wyglądało, lecz po odjeździe posłańca szwagier odzyskał przytomność.

— Może łaskawa pani opowie nam wszystko, bo trzeba natychmiast ruszać w pogoń — pośpiesznie rzekł bosman.

— Właśnie czekaliśmy na was, aby się naradzić... Powiem wam dokładnie, jak się to stało. Otóż wczesnym rankiem zbierałyśmy z Sally owoce w sadzie. Moje biedactwo nie mogło się już na was doczekać. Od dwóch dni stale wybiegała na wzgórze przed domem, aby zobaczyć, czy przypadkiem nie wracacie. Tego ranka również nie usiedziała zbyt długo na jednym miejscu. Powiedziała, że pójdzie wyrzeć na wzgórze. I już jej więcej nie widziałam.

Bosman głośno wytarł nos w chustkę, a przy okazji długo manipulował nią koło oczu. Pani Allan spostrzegła jego wzruszenie i umilkła. Za chwilę mówiła dalej drżącym głosem:

— Zostałam sama w sadzie. Byłam widocznie zamyślona, gdyż wcale nie słyszałam tętentu koni. Nagle przy domu gruchnęły strzały i rozległo się piekielne wycie czerwonoskórych. Oczywiście pierwszą moją myślą było ratowanie Sally. Pobiegłam więc w kierunku wzgórza, aż tu naraz, niemal obok mnie, przemknęła wataha jeźdźców. Pognali na ranczo, podczas gdy ja podążyłam na wzgórze, na którym spodziewałam się zastać córkę. Zamiast niej znalazłam na drodze nieżywego Dinga. Zapewne banda porwała Sally i zabiła wierne psisko stojące w jej obronie. Oczywiście wróciłam zaraz na ranczo, lecz banda Indian umykała już ku korralom. Chciałam biec za napastnikami, jednak zdałam sobie sprawę, że niewiele wskóram.

— A gdzie był wtedy nasz szeryf? — wtrącił bosman.

— Mój szwagier leżał na ziemi przed werandą z dwoma dymiącymi jeszcze rewolwerami w rękach. Przypadłam do niego. Wydawało mi się, że już nie żyje. Z okien domu gęsto padały strzały, którymi nasza służba raziła napastników. Gorący opór, z jakim się spotkali, skłonił ich prawdopodobnie do ucieczki i zapobiegł splądrowaniu domu. Zabrali tylko z korralu kilkanaście najlepszych koni, a wśród nich i klacz Wiatr, po czym umknęli. Wkrótce dwaj nasi kowboje ruszyli ich tropem, lecz gdy się przekonali, że Indianie podzielili się na dwie grupy, powrócili do domu, aby zorganizować pościg. Zaraz też sprowadziłam doktora i wysłałam Murzyna po panów oraz po kapitana Mortona. Ci oto nasi sąsiedzi oczekują na wspólną naradę.

— Do góry głowa, łaskawa pani, pojedziemy za Sally nawet do piekła — gorąco zapewnił bosman. — Zapłacimy za to Indianom. Aż mnie w dołku żal ścisnął, gdy usłyszałam, że nasza Sally porwana, a Dingo zabity. Ha, ale zapłacimy im z procentem, może pani być zupełnie spokojna.



— Kto z panów gotów jest wyruszyć z nami w pościg? — krótko zapytał Tomek.

Ranczerzy z uznaniem spojrzeli na nie tracącego głowy młodzieńca i wszyscy wyrazili gotowość wzięcia udziału w pościgu wraz ze swymi ludźmi. Był to schyłek dnia, postanowiono więc czekać do świtu i wtedy dopiero wyruszyć śladami uciekinierów.

Tomek palił się do czynu, ale równocześnie rozumiał, że pochopne działanie może przynieść więcej szkody niż pożytku. Z relacji dwóch kowbojów wynikało, że napastnicy zdążali ku granicy meksykańskiej.

Gdyby pościg musiał się zagłębić na obce terytorium, to lepiej byłoby wyruszyć w asyście kapitana Mortona. Ranczerzy spodziewali się, że energiczny wojak zdąży przybyć jeszcze przed świtem.

Z zapadnięciem wieczoru coraz więcej uzbrojonych mężczyzn zjeżdżało na ranczo. Nad samym rankiem przygalopował kapitan Morton na czele dwudziestu kawalerzystów.

Jeszcze raz odbyto wspólną naradę. Kapitan po wysłuchaniu relacji rzekł stanowczo:

— Nie. ulega żadnej wątpliwości, że jest to sprawka tego łotra Czarnej Błyskawicy. W ten nikczemny, podstępny sposób zemścił się na szeryfie za schwytanie go wówczas.

— Skąd ta pewność, szanowny panie? — zagadnął bosman niedowierzająco.

— Gdyby to była zwykła banda rabunkowa, w pierwszym rzędzie splądrowałaby dom — odparł pewnie kapitan Morton. — Proszę tylko kolejno przeanalizować wydarzenia, a prawda wypłynie na wierzch jak oliwa. Banda Indian urządza najazd na ranczo odległe co najmniej o piętnaście kilometrów od granicy, omijając inne posiadłości znajdujące się po drodze. Napad udaje się. Indianie ciężko ranią właściciela ranczo, porywają jego bratanicę i... zabierają tylko kilkanaście koni. Krótko mówiąc, wyrządzili oni szeryfowi większą krzywdę moralną niż materialną, ponieważ zabrali jedynie to, co przedstawiało dla niego osobiście największą wartość. Kilku ludzi nie było w stanie obronić się przed liczną bandą napastników. Ręczę, że gdyby to był zwykły napad, to by zabili wszystkich przypadkowych obrońców i splądrowali dom. Jasno z tego wynika, iż przybyli jedynie w celu dokonania

zemsty na szeryfie. A któż, jak nie Czarna Błyskawica, mógł żywić nienawiść do powszechnie lubianego i szanowanego szeryfa Allana?

— Do stu zdechłych wielorybów, trudno odmówić słuszności temu rozumowaniu — przyznał bosman.

— Co jednak jest winna moja biedna Sally? — zawołała pani Allan tłumiąc rozpacz.

— W ten sposób buntownik chciał się zemścić na szeryfie — ponuro rzekł kapitan Morton. — Czerwonoskórzy nie znają litości.

— W całym rozumowaniu jest mimo wszystko pewna nieścisłość — naraz odezwał się Tomek. — Uprowadzone wierzchowce przedstawiały dużą wartość nie tylko dla pana szeryfa. Za samą klacz Nil'chi Don Pedro ofiarowywał kilkakrotną wartość szacunkową.

— Ha, brachu! — ożywił się bosman. — Może Indiancy porwali naszą Sally dla okupu? Co myślisz pan o tym, kapitanie?

— Uwaga młodzieńca dowodzi bystrości jego umysłu — poważnie odparł zapytany. — Konie naprawdę można dobrze sprzedać w Meksyku, lecz właśnie porwanie bratanicy szeryfa wyklucza chęć pobrania okupu. Gdyby im chodziło wyłącznie o korzyści materialne, to, jak już zaznaczyłem, przede wszystkim splądrowaliby dostatnio zaopatrzone dom. Po co się targować o okup, jeżeli od razu można się dobrze obłowić? Czarna Błyskawica wiedział, że szeryf kocha małą Sally i jest bardzo przywiązany do swych koni wyścigowych.

— Boże! Przeraza mnie to — zawołała pani Allan. — Nie pozwólcie, aby okrutni Indianie, mścili się na niewinnym dziecku!

— Nie traćmy czasu, niech nam szanowny pan kapitan przewodzi — porywczo powiedział bosman.

Ranczerzy jednogłośnie oddali się pod komendę energicznego kawalerzysty. Zaledwie zaświtał dzień, pięćdziesięciu dobrze uzbrojonych ludzi rozpoczęło pościg. Ślady uciekających były dość wyraźne. Dzięki temu pogoń szybko dotarła do miejsca, gdzie tropy rozchodziły się w dwóch kierunkach. Morton również podzielił swych ludzi na dwa oddziały i każdy z nich bez zwłoki ruszył w drogę.

Po kilku godzinach obydwie oddziały dotarły do skalistego stepu; tutaj nie można już było odszukać dalszych śladów napastników. Gdy wieczorem po całodziennych bezskutecznych poszukiwaniach oddziały złączyły się znów w

jednym ze skalistych kanionów, uczestnicy pościgu w ponurym nastroju obsiedli ogniska.

— W piątkę gonimy, szanowni panowie — mruknął bosman. — Przekłęci Indiańcy naumyślnie zjechali w skaliste góry, aby zatrzeć ślady.

— Według wszelkich informacji, jakie zdołaliśmy zebrać o Czarnej Błyskawicy, ukrywa się on w górach w pobliżu pogranicza — powiedział kapitan Morton. — Gdybyśmy mogli przetrząsnąć wszystkie łańcuchy górskie, na pewno byśmy trafili na jego kryjówkę.

Po tych słowach Tomek posmutniał. Ilu bowiem trzeba było mieć ludzi i ile poświęcić czasu, aby przeszukać liczne niedostępne i rozległe pasma górskie? W tych warunkach jedynie przypadek naprowadzić mógł pogoń na trop napastników.

— Gdyby mądry Dingo żył, na pewno by potrafił odnaleźć ślad Sally — odezwał się Tomek.

— Nie mieliśmy nawet czasu odszukać go, by mu oddać ostatnią posługę — z powagą przytaknął bosman.

Zaczęli wspominać, jak to dzięki Dingowi Tomek odnalazł zaginioną w buszu Sally, i różne inne przygody, z których wyszli cało dzięki jego mądrości.

Nikt nie kładł się tej nocy do snu. Zaledwie nastał świt, rozpoczęto dalsze poszukiwania. Małe oddziały przemierzały kręte kaniony i wąwozy, obserwatorzy lustrowali okolicę ze szczytów górskich, lecz nie natrafiono na najmniejszy nawet ślad porywaczy.

W ten sposób upłynęło kilka dni na bezskutecznych poszukiwaniach. W końcu Morton i ranczerzy zgodnie doszli do wniosku, że dalszy pościg nie da lepszego rezultatu. W niewesołym nastroju wracali do domu.

Tomek i bosman starali się pocieszyć panią Allan. Kapitan Morton zapewniał, że wkrótce zorganizuje dużą wyprawę przeciwko Czarnej Błyskawicy. Ranczerzy powoli porozjeżdżali się do swych farm.

Wieczorem tego dnia Tomek, bosman i pani Allan zgromadzili się u łóża rannego szeryfa. Lekarz twierdził, że nadmierna troska o Sally utrudnia mu przyście do zdrowia. Z tego też względu niewiele przy nim rozmawiano, bo i cóż wesołego można było mówić w tak przykłej sytuacji?

Tomek siedział głęboko zamyślony. Kapitan Morton uznał dalsze poszukiwania za bezcelowe. Tomek zżymał się na tę decyzję. Gdyby ojciec i Smuga byli z nimi, na pewno by nie dali tak łatwo za wygraną.

Zdawało mu się, że Morton i ranczerzy wyruszyli w pościg „na otarcie łez” zrozpaczonej matki, z góry nie wierząc w skuteczność poszukiwań. Za wiele rozprawiali na temat brańców indiańskich, których niekiedy tylko odnajdowano, i to przypadkowo. Czyżby mieli pozostawić Sally własnemu losowi? Kapitan Morton obwinił Czarną Błyskawicę o ten nikczemny czyn. Tomek intuicyjnie wyczuwał, że krewki i źle usposobiony do Indian kawalerzysta szedł po linii najmniejszego oporu. Trudno było uwierzyć, aby dzielny wojownik indiański w ten sposób odplacił się Sally za pomoc udzieloną mu w krytycznej chwili. Przecież to właśnie Czarna Błyskawica nazwał ją Białą Różą i powiedział, że nawet za cenę własnej wolności nie narazi jej na przykrość.

Tomek poruszył się niespokojnie. W tej chwili przypomniał sobie słowa wypowiedziane przez wodza Długie Oczy podczas jego pierwszej bytności w rezerwacie indiańskim: *„Gdyby mój biały brat potrzebował kiedykolwiek pomocy przyjaciół, niech się uda na Górę Znaków i nada sygnał. Wtedy przybędzie tam ktoś, na kogo młody brat może liczyć w każdej okoliczności.”*

Tomka ogarnęło niezwykle podniecenie. Czyż nie potrzebował teraz pomocy przyjaciół? Wódz Długie Oczy nie wyglądał na człowieka rzucającego słowa na wiatr! Przecież to on go uprzedził podczas rodeo o podstępie Don Pedra. Tomek doszedł do wniosku, że powinien natychmiast odszukać Czerwonego Orła, aby wskazał mu drogę do Góry Znaków. Co się działo z Czerwonym Orłem? Tomek zapomniał o nim wyruszając w ten bezsensowny pościg.

Bosman spod oka obserwował swego młodego przyjaciela. Zbyt dobrze znał chłopca, aby nie dostrzec, że dzieje się z nim coś niezwykłego.

— Proszę pani, czy po ucieczce napastników widziała pani jeszcze zabitego Dinga? — zapytał Tomek przerywając milczenie.

— Ach, mój drogi, zapomniałam powiedzieć, że gdy tylko udzieliłam pierwszej pomocy szwagrowi, natychmiast wróciłam na drogę przy wzgórzu, aby zająć się pogrzebaniem wiernego psa. Wzięłam nawet Murzyna, Boba, do pomocy, ale już nie znalazłam Dinga. Zapewne kojoty powlokły go gdzieś w step.

— Kojoty nie kręcą się za dnia w pobliżu domostw. Co się mogło stać? Co pan o tym myśli, bosmanie? — odezwał się Tomek.

— Indianie napadli na ranczo wczesnym rankiem. A kiedy szanowna pani powróciła jeszcze raz na wzgórze? — zagadnął marynarz.

— Było to w każdym razie przed południem, najdalej w cztery godziny po napadzie. Nie znalazłszy psa na drodze, przeszukaliśmy z Bobem spory kawałek stepu, ponieważ przyszło mi na myśl, że w ostatniej chwili mógł zwlec się z drogi. Niestety, nie znaleźliśmy go nigdzie.

Tomek podniecony wstał, przeszedł kilka razy wzdłuż pokoju, a potem zatrzymał się przed bosmanem.

— Czy pan pamięta, co pan opowiadał mi o Dingu, gdy w Ugandzie odzyskałem przytomność po stratowaniu przez nosorożca? — zapytał.

— Mógłbym być jedynie ciurą okrętowym, a nie bosmanem, gdybym miał kurzą pamięć — odparł marynarz nieco urażonym tonem, lecz zaintrygowany pytaniem przyjaciela zaraz dodał: — Czy naprawdę chcesz wiedzieć, co mówiłem wtedy o Dingu?

— O to mi właśnie chodzi.

— Myśleliśmy w pierwszej chwili, że pocziwe psisko wyzionęło już ostatnią parę... Ejże, brachu, już wiem do czego zmierzasz! Dingo leżał wtedy na ziemi jak truposz, lecz wkrótce uniósł łepetynę i powłókł się o własnych siłach za nami. Czy przypuszczasz, że i tym razem tak się mogło stać?

— Pani Allan widziała Dinga leżącego na drodze — mówił Tomek jakby do siebie. — W kilka godzin później już go tam nie było. Nawet gdyby jakiś kojot błąkał się wtedy w pobliżu ranczo, to by z pewnością uciekł słysząc wrzask Indian i strzały. Jeżeli więc wykluczymy kojoty, to co się stało z martwym psem?

Pani Allan i szeryf poruszyli się niespokojnie. Bosman nabrał rumieńców. Pospiesznie wychylił całą szklankę jamajki i rzekł podniecony.

— Ha, ile to razy powtarzałem szanownemu państwu, że Tomek ma głowę nie od parady? Przypomniałeś mi, brachu, kubek w kubek podobne zdarzenie. Parę lat temu nasz statek miał się udać z Hamburga do Rio de Janeiro po ładunek kawy. Tuż przed wypłynięciem w morze jednemu kumpłowi z nacji niemieckiej zmarła żona. Biedak nie mógł być nawet na pogrzebie, bo stało się to akurat na godzinę przed wyruszeniem w drogę. Pożegnał więc zwłoki ślubnej małżonki i, zleciwszy pogrzeb rodzinie,

zmartwiony okrutnie przydrałował na statek. Całą drogę martwił się, a przez to nadużywał nieco trunków. Kiedy więc dobiliśmy do Rio, kapitan mówi mu: „*Klin klinem, chłopie! Ożeń się jeszcze raz, a może lepiej ci się teraz poszczęści.*” Zdyscyplinowane Niemczysko w trzy dni po wylądowaniu w Rio ożeniło się z jedną Brazylijką. Kapitan dobrze mu poradził, bo całą żalność jakby mu kto ręką odjął. W kilka tygodni później przybijamy znów do Hamburga, a tu niby zmarła żona czeka na mego kumpla. Okazało się, że ona wcale nie umarła, a tylko zapadła w letarg, czyli w tak zwaną śmierć pozorną.

— Panie bosmanie, ależ ta historia nie ma nic wspólnego z Dingiem — zaoponował Tomek.

— Ma, brachu kochany, bo wypływa z niej wniosek, że dopóki nie byłeś na pogrzebie, to nikogo nie oplakuj — sentencjonalnie zakończył bosman. — Teraz ponowię Tomka pytanie: co się stało z martwym psem?

— Czy panowie uważacie, że gdyby Dingo nie był zabity, to by pobiegł za Sally? — zawołała pani Allan.

— Jak amen w pacierzu, szanowna pani — zapewnił bosman, — Taki obrót rzeczy rzuca zupełnie nowe światło na całą sprawę. Dingo był specjalnie szkolony do różnych sztuczek.

— Co by z tego wynikało, gdyby nawet naprawdę Dingo mógł podążyć za Sally? — zapytała pani Allan z nieśmiałą nadzieją w głosie.

— Otóż, proszę pani, jeżeli Dingo żyje, to istnieje duża szansa, że wróci na ranczo, by poprowadzić nas na ratunek — wyjaśnił Tomek, — Dingo jest bardzo inteligentnym stworzeniem.

— O Boże, gdyby tak było! Czy jednak Indianie nią zabiliby go, widząc, że podąża za nimi? — niespokojnie mówiła pani Allan. — Jeżeli Czarna Błyskawica zdobył się na tak okrutną zemstę, to nie zawaha się zastrzelić psa.

— Nie mamy przecież pewności, że Sally porwał Czarna Błyskawica — stanowczo oświadczył Tomek. — Takie jest zdanie kapitana Mortona, lecz ja mam wątpliwości.

W tej chwili szeryf Allan wykonał ruch ręką. Pani Allan, bosman i Tomek zbliżyli się do jego posłania, a on, jeszcze bardzo osłabiony mówił cicho:

— Wiele cennego czasu straciliście przez tego zapaleńca Mortona. Teraz, przysłuchując się wywodom Tomka, uzmysłowiłem sobie, że Indianie, którzy brali udział w napadzie, należeli do szczepu meksykańskich

Pueblosów. Tymczasem banda Czarnej Błyskawicy, więcej niż pewne, składa się z Indian amerykańskich zbiegłych na teren Meksyku.

Tomek słuchał w wielkim napięciu. Teraz nie miał już wątpliwości. Jeżeli Czarna Błyskawica naprawdę nie był zamieszany w napad na ranczo, to należało się jak najszybciej udać na Górę Znaków, by wezwać pomocy. Przecież według zapewnień wodza Długie Oczy, mógł się spodziewać przybycia potężnego sojusznika. Teraz więc okaże się, co jest warte przyrzeczenie Indianina.

— Proszę państwa, wprawdzie rozumowanie nasze oparte jest na przypuszczeniach, lecz nawet kapitan Morton był zdania, że tylko przypadek może przyczynić się do odnalezienia Sally — odezwał się Tomek.— Nie wolno nam spocząć, dopóki jej nie uwolnimy. Mam pewien pomysł, ale nie chcę go teraz z wielu względów wyjawić. Jutro o świcie wyruszę na małą wyprawę i... zobaczymy, co z tego wyniknie.

— Idę z tobą, brachu — wtrącił bosman.

— Nie możemy wyruszyć razem, panie bosmanie — zaproponował Tomek. — Po pierwsze, obecność pana mogłaby zniweczyć moje plany, a po drugie, jeden z nas musi pozostać na ranczo na wypadek, gdyby Dingo wrócił.

— Ha, mam siedzieć za piecem, podczas gdy ty będziesz nadstawiał karku? Nic z tego, brachu!

— Panie bosmanie, sam miałbym wątpliwości, czy postępuję słusznie, gdyby tu nie chodziło o Sally — poważnie odparł Tomek. — Nie kryję, że wyprawa moja będzie dość ryzykowna, lecz czy pan by się zawahał, gdyby od powodzenia przedsięwzięcia zależało życie Sally?

— Trafiłeś mnie rzeczywiście w samo serce, lecz co poczniemy, jeśli i ty przepadniesz? — zatroskał się marynarz.

— Drogi panie bosmanie, to samo powiedziałbym będąc w pana położeniu. Wiem, że nie wolno mi postępować lekkomyślnie. Dlatego też ubezpieczę się na wszelki wypadek. Pozostawię panu szeryfowi list w zapieczętowanej kopercie, którą otworzycie, jeżeli nie wrócę w ciągu siedmiu dni. W liście tym podam, z kim i dokąd wyruszam. Chyba to powinno pana uspokoić?

— Kochany Tommy, czy nie możesz powiedzieć nam tego od razu? Może udzielimy ci jakiejś rady? — cicho zapytał szeryf.

— Dałem komuś słowo honoru, że nie zdradzę jego tajemnicy. Na pewno pan i pan bosman również nie nadużyliby niczyjego zaufania.

— Co pan na to, szeryfie? — niepewnie zagadnął bosman.

— Ja bym zawierzył Tomkowi.

— Nie zaznam spokoju przez te siedem dni, ale przecież sam bym włożył łepetynę w paszczę wieloryba, byle tylko uwolnić Sally. Smaruj list, brachu! Co mam począć, jeżeli Dingo przybiegnie w tym czasie?

— Pomyślałem i o tym — odparł Tomek. — Jeżeli Dingo wróci na ranczo, podąży pan z nim tropem bandy. Po ustaleniu, gdzie Sally przebywa, powróci pan tutaj po mnie, a wtedy razem wyruszymy, zgoda?

— Niech i tak będzie — odrzekł bosman ciężko wzdychając. — Czyż mogę się sprzeciwić, gdy chodzi o dobro tej kochanej sikorki? Ha, nie potrafię nawet wypowiedzieć, jak mi jej bardzo żal.

— Czym ja się zdołam panom odwdzińczyć? — zawołała pani Allan.

— Nie ma co mówić o wdzięczności, skoro jeszcze niczego nie zdołaliśmy dokonać — skromnie powiedział bosman. — Ta mała sikorka przypadła mi do serca jak własna córka. A nasz Tomek to hmmm...

— Proszę pani, nie ruszę się stąd, dopóki nie odnajdę Sally — gorąco zapewnił chłopiec. — Teraz napiszę list, a potem przygotuję się do drogi. Wyruszę o świcie.



# GÓRA ZNAKÓW

Następnego dnia Tomek opuścił ranczo jeszcze przed wschodem słońca. Oprócz wierzchowca zabrał luzaka objuczonego sprzętem obozowym i małym zapasem żywności. Po kilku godzinach poszukiwań odnalazł Czerwonego Orła na pastwisku przy stadzie bydła. Zeskoczył z konia tuż przy Indianinie.

— Właśnie szukam Czerwonego Orła — odezwał się, wyciągając rękę do Nawaja. — Musimy pomówić na osobności.

— Możemy rozmawiać tutaj, nikt nam nie przeszkodzi — odparł Nawaj powściągliwie.

Uwaga była słuszna. Trzej kowboje, strzegący razem z nim dużego stada, siedzieli w pewnej odległości przed szałasem, spożywając poranny posiłek. Tomek szybko przywiązał konie do krzewu.

— Ostatnim razem nie miałem nawet okazji pożegnać się z Czerwonym Orłem. Po tym okropnym porwaniu młodej squaw wszyscy straciliśmy głowy — usprawiedliwiał się Tomek. — Dlaczego mój czerwony brat unika ranczo? Mówiono mi, że od tego straszego dnia nie pokazałeś się tam ani razu.

Indianin spod oka obserwował białego chłopca. Nie dostrzegł w jego twarzy wyrazu nieufności, której spodziewał się, słuchając relacji kowbojów na temat porwania bratanicy szeryfa.

— Czerwony Orzeł wolał nie przebywać w pobliżu ranczo, ponieważ biali ludzie gniewali się na Indian za porwanie młodej squaw — odparł po chwili wahania. — Czy mój brat również jest przekonany, że Czarna Błyskawica dokonał napadu?

— Kapitan Morton narzucił wszystkim takie zdanie, chociaż ja nie mogłem jakoś w to uwierzyć. Zdawało mi się, że po przysłudze, jaką wyświadczyłem wraz z moimi przyjaciółmi Czarnej Błyskawicy, nie mógł nam wyrzucić takiej krzywdy — odparł Tomek.

— Mój biały brat nie pomylił się, jestem również tego pewny. Słyszałem jednak, jak ranczerzy obwiniali tylko Czarną Błyskawicę.

— Czy mój brat już wie, że pogoń była bezskuteczna?

Nawaj skinął głową na znak potwierdzenia, więc Tomek ciągnął dalej:

— Postanowiłem ponownie rozpocząć poszukiwania, tym razem już na własną rękę. Kiedy po raz pierwszy byłem w rezerwacie Apaczów Mescalero, wódz Długie Oczy powiedział mi coś przy pożegnaniu.

Tomek zamilkł przyglądając się uważnie młodemu Nawajowi, lecz Indianin nie przerywał kłopotliwego milczenia. Wobec tego znów odezwał się po chwili:

— Niech mi Czerwony Orzeł powie, czy wodzowie dotrzymują słowa?

— Obietnice dane przyjacielowi po wypaleniu z nim fajki pokoju pozostają na zawsze w uchu wojownika — zapewnił Czerwony Orzeł.

— Wódz Długie Oczy powiedział mi, że jeżeli kiedykolwiek będę się znajdował w potrzebie, to mogę się udać na Górę Znaków i zawezwać potężnych przyjaciół na pomoc. Czy Czerwony Orzeł doprowadzi mnie na tę górę i wskaże, w jaki sposób mam nadać wezwanie?

— Czerwony Orzeł wykona wszystkie polecenia wodza Długie Oczy. Kiedy mój brat chce wyruszyć na Górę Znaków?

— Natychmiast!

— Ugh! Niech tak będzie, ale musisz uprzedzić o moim odjeździe przodownika kowbojów.

— Załatwię to zaraz, a ty natychmiast przygotuj się do drogi — powiedział Tomek, po czym udał się ku szałasowi pastuchów. Przodownik znał dobrze gościa szeryfa Allana, nie czynił więc jakichkolwiek trudności. Już kilkanaście minut później obydwaj chłopcy podążali na południe.

Tomek jechał parę metrów za Nawajem. wiodąc na arkanie jucznego konia. Gdy oddalili się znacznie od pastwiska, przynaglił mustangi i wkrótce zrównał się z towarzyszem.

— Czy Czerwony Orzeł może mi powiedzieć, kiedy przybędziemy na miejsce? — zagadnął.

— Nim słońce skryje się za prerię, znajdziemy się na Górze Znaków — odpowiedział Indianin.

— W jaki sposób nadamy sygnał oznaczający wezwanie na pomoc? Czy ciemność nocy nie będzie dla nas przeszkodą?

— Uczynimy to za pomocą ognia, w dzień natomiast posługivalibyśmy się znakami dymnymi — wyjaśnił Czerwony Orzeł?

— Czy długo będziemy musieli czekać na przybycie przyjaciela od chwili nadania sygnału? — pytał dalej Tomek.

Czerwony Orzeł przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. Sprytny Tomek domyślił się bowiem, że wódz Długie Oczy, mówiąc o przyjacielu, miał na myśli Czarną Błyskawicę. Gdyby Czerwony Orzeł poinformował Tomka, ile czasu potrzebuje Czarna Błyskawica na przybycie na Górę Znaków od chwili nadania sygnałów, to ustalenie, w jakiej odległości znajduje się jego kryjówka, nie przedstawiałoby już większych trudności. Młody Nawaj dał jednak dowód swej wyjątkowej przezorności, odpowiadając:

— Jeżeli ów przyjaciel nie przybędzie po sygnale ogniowym, to ponowimy wezwanie za dnia znakami dymnymi. Wszystko zależy od tego, gdzie będzie w chwili spostrzeżenia sygnałów.

— Nie wiem, czy jest to pewny sposób porozumiewania się — znów zagadnął Tomek. — Przecież tak sygnały ogniowe, jak i dymne są widoczne na znaczną odległość. Nie można zapobiec, aby nie ujrzeli ich niepowołani ludzie.

— Niech Nah'tah ni yez'zi niczego się nie obawia. Nawet jeśli ktokolwiek inny dostrzeże sygnały, to i tak nie zrozumie ich znaczenia — uspokoił go Indianin.

Powściągliwość Nawaja w udzielaniu wyjaśnień zaostrzyła ciekawość Tomka. Przypomniały mu się afrykańskie tam–tamy spełniające na Czarnym Łądzie rolę telegrafu dźwiękowego. Za pomocą tam–tamów Murzyni potrafili z niezwykłą szybkością przekazywać wszelkie wiadomości nawet do najbardziej niedostępnych zakątków dżungli. Ileż to niepokojów przeżył Tomek podczas łowieckiej wyprawy w Afryce, wsłuchując się w tajemniczą mowę tam–tamów! Teraz znów miał poznać inny sposób porozumiewania się na odległość — sposób krajowców kontynentu amerykańskiego.

Naraz Tomek odczuł cały ciężar odpowiedzialności spoczywający na jego młodych barkach. Czy słusznie czyni wzywając Czarną Błyskawicę na pomoc? Nie może przecież przewidzieć, co z tego wszystkiego wyniknie. Tajemniczość i niezwykłość sytuacji budziła w nim niepokój. Tym mocniej więc zateńsknił nagle za ojcem i Smugą. Ojciec z rozwagą przewodził każdej wyprawie. Smuga znów posiadał olbrzymią wiedzę o świecie i jego mieszkańcach. Przemierzył chyba wszystkie kontynenty, poznał wiele dziwnych ludów; nawet najniezwykłe sytuacje nie wywierały na nim większego wrażenia.

W tej chwili Smuga byłby najwłaściwszym doradcą. Tomek zaczął więc rozmyślać, co by uczynił ten wytrawny podróżnik znalazłszy się w jego położeniu. Przypomniawszy sobie wskazówki udzielane przez doświadczonego przyjaciela.

*„Tylko prymitywny i słaby moralnie człowiek ucieka się od razu do użycia siły — mawiał Smuga. — Najcenniejszą cechą mężczyzny jest rozwaga. Zastanów się najpierw, a zawsze znajdziesz najwłaściwsze wyjście z każdej sytuacji.”*

Czy teraz postępował rozważnie? Przecież od dłuższego czasu wcale nie zwracał uwagi na okolicę. Rozejrzał się więc zaraz wokoło.

O kilka kilometrów od nich, na zachodzie, piętrzyła się owa pamiętna, samotna góra. Uwzględniając jej położenie, uzmysłowił sobie, że lada chwila przekroczą granicę i znajdą się na terytorium meksykańskim.

Gęstwa kolczastych kaktusów znacznie się przerzedziła. W pobliżu musiały się znajdować małe stepowe jeziora, ponieważ coraz to podrywały się stada rozmaitego ptactwa. Wspaniały miękki kobierzec trawy, sięgającej koniom do kolan, a lśniącej blaskiem błękitnostonalowego koloru, przeplatały przepyszne preriowe burzany. Piołun wyrastał tu na wysokość człowieka, a jego łodygi, twarde jak drzewo, miały grubość ludzkiego ramienia. Małe dzikie słoneczniki, kwitnące właśnie, oraz opuncje<sup>184</sup> tworzyły urocze gaje.

Głośne gdaknięcie zatrzymało jeźdźców na miejscu. Tuż przed nimi uciekało spłoszone stadko kur preriowych. Były to śliczne, okazałe ptaki wielkości cietrzewia, o ładnym upierzeniu przypominającym częściowo jarząbka, a częściowo kuropatwę. Mięso ich było znanym przysmakiem. Tomek natychmiast sięgnął po sztucer, lecz Czerwony Orzeł powstrzymał go ruchem ręki i szybko wy dobył z plecionki zawieszanej na łęku siodła nieduży łuk i pierzastą strzałę. Mimo że Tomek niecierpliwił się powolnością towarzysza, Czerwony Orzeł spokojnie przyłożył strzałę do cięciwy i nie spiesząc się napiął łuk. Okazało się, że Indianin doskonale znał zwyczaje dzikich kur preriowych. Wszelki pośpiech był naprawdę zbyteczny. Dość ciężkie ptaki nie zrywały się do lotu, jak nasze kuropatwy, całym stadem jednocześnie, lecz uciekały kolejno jeden po drugim. Czerwony Orzeł czekał z łukiem gotowym do strzału. Kiedy duże ptaszysko w pobliżu poderwało się

<sup>184</sup> — Opuncja (*Opuntia*) — kaktus o płaskich pędach członowatych, kolczastych; posiada żółte, czerwone lub białe kwiaty; a owoce jego (jadalne) podobne są do fig. Rośnie w Meksyku, Peru i Chile.

do lotu, błyskawicznie naciągnął cięciwę. Pierzasta strzała bzyknęła w powietrzu. Kura trzepocząc skrzydłami spadła w trawę. Indianin zeskoczył z wierzchowca, podbiegł do ptaka i stwierdziwszy, że już nie żyje, przytroczył go do uprzęży jucznego konia.

— Szkoda kuli na te powolne ptaki, a poza tym strzał słyhać daleko w stepie — wyjaśnił dosiadając mustanga.

Znów kłusowali na południe. Indianin coraz częściej spoglądał w niebo i przynaglał wierzchowce do szybszego biegu. Konie i jeźdźcy byli już zmęczeni całodzienną wędrówką w skwarze, lecz Czerwony Orzeł nie dawał hasła do odpoczynku. Pasma, ku któremu zdążali, stawało się coraz bliższe. Pod wieczór byli u jego podnóża. Wjechali w rozległy kanion, ogarnął ich ożywczy chłód. Kopyta koni głucho uderzały o skaliste podłoże.

Czerwony Orzeł z nadzwyczajną pewnością prowadził poprzez rozgałęzienia kanionu, aż znaleźli się u stóp wysokiego szczytu górującego ponad całym pasmem. Miotlaste juki gdzieniegdzie tylko porastały skrawki gruntu pomiędzy skałami. Tutaj Indianin postanowił zostawić mustangi. Szybko rozsiedlali konie, przywiązali je na arkanach do drzewek, po czym zabrawszy broń, najniezbędniejszy sprzęt obozowy oraz zabitą kurę ruszyli w górę.

Szli skalistą ścieżką wiodącą na szczyt. Chwilami przemieniała się ona w wyrąbane w skale stopnie, wobec czego wejście na stromą ścianę nie było zbyt nużące. Po przeszło godzinnej dość szybkiej wspinaczce chłopcy osiągnęli szczyt. Tomek rozejrzał się wokoło.

Wysoki, półkolisty zrąb skalny obramowywał od północy i wschodu szczyt, tworząc zawieszony nad przepaścią ganek. Ku południowi i zachodowi pasmo się zniżało i otwierało szeroki, niczym nie zmacony widok. W dali, aż do linii horyzontu poszarpanej konturami nowego łańcucha gór, ciągnęła się kaktusowo–meskitowa pustynia. Słońce zachodziło w pełnym blasku złota i purpury jak na morzu. Zmrok wieczorny z wolna osnuwał step delikatną, szafirową mgiełką.

Podczas gdy Tomek zachwycał się malowniczym widokiem, Czerwony Orzeł wynosił spomiędzy głązów zalegających szczyt góry całe naręcza przygotowanych tam równo pociętych gałęzi i suchego chrustu, układając paliwo na trzy równo oddalone od siebie stosy. Po ukończeniu tej pracy znikł wśród głązów.

Minęło sporo czasu, zanim Tomek zaczął się rozglądać za swym towarzyszem. Znalazł go w niszy skalnej przy małym, ledwo żarzącym się ognisku. Czerwony Orzeł kończył właśnie skubanie upolowanej kury. Sprawnie wypatroszył ptaka, pokrajał na kawałki, dwa z nich natknął na długie patyki, po czym zaczął opiekować mięso nad żarem ognia.

— Niech Nah'tah ni yez'zi uczyni to samo, będziemy mieli dobrą kolację — zachęcił Tomka.

Oczywiście Tomek nie dał sobie tego powtarzać dwa razy. Szybko nadział kawałki kury na patyki i naśladując Indianina, trzymał je nad żarem tak długo, aż skurczyły się w twarde jak drzazgi czarne kęsy. Upieczona w ten sposób kura nie była zbyt smaczna, lecz mimo to chłopcy zjedli ją z wielkim apetytem. Potem uzupełnili posiłek zapasami przywiezionymi z ranczo, popijając wodą z manierek. W pewnej chwili Czerwony Orzeł spojrzał w niebo i rzekł:

— Jeszcze za wcześnie na nadawanie sygnałów. Niech Nah'tah ni yez'zi odpocznie nieco. Połóż się i prześpij trochę, a ja tymczasem będę czuwał; obudzę cię o odpowiedniej porze.

— Czy Czerwony Orzeł nie jest zmęczony? Możemy odpoczywać na zmianę — zaproponował Tomek.

— Nah'tah ni yez'zi nie zna właściwej pory nadawania sygnałów. Ja będę czuwał, a mój biały brat może teraz odpocząć — odparł Indianin.

— Dobrze, chętnie się prześpię — zgodził się Tomek.

Zaraz też powrócił na platformę skalną, gdzie pozostawili kocy. Tutaj przygotował sobie wygodne legowisko tuż pod półkolistym zrębem i ułożył się do snu. Za chwilę wyszedł zza głazów Czerwony Orzeł. Usiadł na ziemi nie opodal Tomka, opierając się plecami o duży głaz.

Purpurowy odblask zachodzącego słońca rozplątał się już na linii horyzontu. Gwiazdy zaczęły się ukazywać na ciemnym niebie. Tomek przymknął oczy, lecz nie mógł zasnąć. Myśl o nieznanym losie nieszczęsnej Sally spędzała mu sen z powiek. Gdzie jest i co porabia? Tomek był pewny, że oczekuje od niego pomocy. Rozmyślając o tym drżał z niecierpliwości. Z kolei zaczął się zastanawiać, czy Czarna Błyskawica przybędzie na jego wezwanie; a jeśli się zjawi, czy zechce pomóc w poszukiwaniach? Przecież wszyscy twierdzili, że czerwono-skóry wódz jest organizatorem powstania

przeciwko białym. Już sam ten fakt był dostatecznym dowodem jego nienawiści do osadników. Czy wobec tego można na niego liczyć?

Tak rozmyślając, mimo woli spojrzął spod przymrużonych powiek na Czerwonego Orła. Zaledwie wzrok jego spoczął na Indianinie, natychmiast zapomniał o zmęczeniu. Udawał nadal, że śpi w najlepsze, lecz teraz co chwila zerkał nieznacznie na swego towarzysza. Po krótkiej chwili nie miał już wątpliwości — Indianin przez cały czas nie spuszczał zeń oczu. W jakim celu to czynił?

Tomek, niby we śnie, odwrócił się na lewy bok. W tej pozycji miał większą swobodę obserwowania Czerwonego Orła.

Młody Nawaj wciąż siedział bez ruchu, oparłszy ręce na kolanach skrzyżowanych nóg, lecz równocześnie nie odrywał czujnego wzroku od pogrążonego we śnie towarzysza. Po pewnym czasie pochylił się ku Tomkowi; wsłuchiwał się w jego oddech. Nabrawszy przekonania, że biały chłopiec już śpi od dawna, podniósł się. Sylwetka Nawaja wyraźnie odcięła się na tle nieba. Stąpając bezszelestnie podszedł do ułożonych trzech stosów suchego paliwa.

Szybko przerzucił część drewna z obydwóch bocznych stosów na środkowy, po czym za pomocą krzesiwa zapalił suchy chrust. Słup jasnego ognia wystrzelił w górę.

Czerwony Orzeł z niepokojem spojrzął na skalną ścianę, u której stóp spoczywał Tomek pogrążony w głębokim śnie. Jego przymknięte powieki drgały pod wpływem blasku gorejącego ogniska.

Nawaj uśmiechnął się zadowolony. Więc jednak udało mu się nie zdradzić białemu przyjacielowi sposobu nadawania sygnałów wzywających sojuszników na pomoc. Teraz pewny był pochwały wodza Długie Oczy, który zawsze twierdził, że tylko umarli nie zdradzają tajemnic.

Czerwony Orzeł stał przez chwilę nieruchomo. W myśli powtarzał umowne znaczenie poszczególnych sygnałów:

— Jeden obłok dymu w dzień lub jedno ognisko w nocy oznacza: „*Uwaga! Zaraz nadamy sygnał!*” Trzy kolejno wypuszczone obłoki dymu w dzień lub jednocześnie zapalone trzy ogniska w nocy to wezwanie na pomoc w obliczu niebezpieczeństwa!

Ognisko płonęło już kilka minut. Pierwszy znak został nadany. Teraz Indianin wyjął z ognia żagwie i rzucił je na pozostałe stosy. Trzy ogniska

rozgorzały czerwono żółtym płomieniem. Czerwony Orzeł wypełnił zadanie. Powrócił na swe miejsce pod skalny blok. Przyjaźnie spojrzął na śpiącego Tomka. Zauważył, że koc zsunął się z jego ramion. Noc w górach była dość chłodna, więc pochylił się nad białym chłopcem, ostrożnie okrył go kocem, po czym usiadł obok na ziemi. Silny odbłask płonących ognisk pełzał po jego miedzianobrazowej twarzy, w zadumie zwróconej ku niebu usianemu gwiazdami. Jasny sierp księżycy wychylił się zza szczytów górskich.

Ogniska z wolna zaczęły przygasać.

Smutny uśmiech przewinał się po twarzy Tomka. Więc jednak Czerwony Orzeł nie dowierzał mu, skoro chciał ukryć przed nim sposób nadawania sygnałów. Zaraz wszakże pomyślał, że tę nieufność spowodowały niezmierne krzywdy wyrządzone Indianom przez białych ludzi. Sprzeczne uczucia napęłniły Tomka niepokojem.

Czy może się spodziewać od Czarnej Błyskawicy pomocy dla Sally, której stryjek tropił go jak dzikiego zwierza? Długo jeszcze nie mógł pozbyć się dręczącej myśli i zasnął dopiero wtedy, gdy ogniska przygasały.

Czas wolno płynął...

Tomek przebudził się pod przemożnym wrażeniem, że dzieje się coś niezwykłego. Nawykły do niebezpieczeństw nie otworzył zaraz oczu. Leżał w dalszym ciągu bez ruchu, jakby jeszcze był pogrążony we śnie, lecz czujnie nadśluchiwał. Wokół panowała cisza.

Nagle odbłask ognia musnął jego przymknięte powieki. Czyżby Czerwony Orzeł znów nadawał sygnały? Nieznacznie uchylił jedno oko.

Była jeszcze noc. Nie opodal paliło się ognisko. Wokół niego siedziało półkolem kilkunastu Indian. W milczeniu spoglądali na Tomka, jakby czekali na jego przebudzenie. Tomek raptownie odrzucił koc, podniósł się, zbliżył do grupy Indian i powiódł wzrokiem po ich twarzach. W samym środku półkola siedział Czarna Błyskawica.

Jakże inaczej teraz wyglądał. Jedyne surowy, poważny wyraz twarzy i dumny wzrok przypominały dawnego jeńca szeryfa Allana. Głowę jego zdobił wielki pióropusz z orlich piór, opadający dwoma długimi ogonami aż na ziemię. Na szyi zawieszony miał naszyjnik z pazurów i kłów dzikich zwierząt oraz święte zawiniątko. Nagie plecy i piersi okryte były przerzuconą przez lewe ramię miękko wyprawioną skórą bizona. Długie nogawice zdobione frędzlami, pas okalający biodra i mokasyny dopełniały całości. Za pasem



widniały tomahawk i rękojeść noża. Na udach skrzyżowanych nóg leżał nowoczesny karabin.

Inni Indianie ubrani byli podobnie jak wódz, lecz żaden z nich nie nosił tak wspaniałego pióropusza. Oprócz karabinów, noży i tomahawków niektórzy mieli jeszcze długie lance i tarcze sporządzone ze skór zwierzęcych. Ich twarze i ciała pokrywały wzorzyste pasy wymalowane czerwoną farbą. Jedynie twarz wodza miała czarne skośne pasy od oczu do szyi. Był to znak śmierci, którą Czarna Błyskawica zaprzysiągł wszystkim białym najeźdźcom.

Indianie w milczeniu z założonymi na piersiach rękojmi spoglądali na chłopca. Tomek odważnie patrzył na dzikich synów amerykańskiej pustyni. Więc ci groźni wojownicy przybyli na jego wezwanie! Czy naprawdę zechcą mu pomóc, mimo że należy do znienawidzonej przez nich białej rasy? Twarze Indian nie wyrażały jakichkolwiek uczuć. Wyglądali jak wykute z kamienia posągi dawnych wojowniczych mieszkańców Ameryki.

Tomek zrozumiał, że czeka go chwila ciężkiej próby. Jak ma przemówić, aby uzyskać ich pomoc? Jeszcze raz powiódł oczyma po surowych twarzach. W końcu wzrok jego spoczął na Czarnej Błyskawicy. Instynkt podszeptował mu, że nie powinien pierwszy rozpocząć rozmowy. Stał więc w milczeniu, patrząc na groźnego wodza.

Po dłuższej chwili Czarna Błyskawica wykonał ręką zapraszający ruch. Tomek podszedł do ogniska i usiadł w kręgu milczących Indian. Upłynęło kilka minut, zanim Czarna Błyskawica wolno zdjął z szyi święte zawiniątko. Wydobył z niego kalumet, nabił go tytoniem, zapalił węgielkiem z ogniska. Nie spiesząc się wydmuchiwał dym ku niebu, ziemi i czterem stronom świata. Kalumet wędrował z rąk do rąk. Indianie z największą powagą dokonywali ceremoniału palenia fajki pokoju i przyjaźni. Gdy z kolei Tomkowi podano fajkę, ujął ją pewnie w dłonie i wydmuchnął dym sześciokrotnie, tak jak wszyscy jego poprzednicy, następnie podał ją swemu sąsiadowi. W końcu kalumet dotarł z powrotem do Czarnej Błyskawicy. Wódz schował fajkę do woreczka, zawiesił go znów na szyi i dopiero teraz się odezwał:

— Nasz młody brat Nah'tah ni yez'zi zapalił na Górze Znaków trzy ogniska. Nah'tah ni yez'zi wie, że sygnał ten oznacza wezwanie na pomoc w niebezpieczeństwie. Czarna Błyskawica przybył na wezwanie. Czego mój brat żąda?

— Dziękuję ci, wodzu, za dotrzymanie słowa — odparł poważnie Tomek. — Ośmieliłem się prosić Czerwonego Orła o doprowadzenie mnie na Górę Znaków i nadanie sygnałów, ponieważ wódz Długie Oczy powiedział mi, że mogę to uczynić, gdy będę potrzebował pomocy przyjaciół.

— Wódz Długie Oczy wykonał rozkaz Czarnej Błyskawicy — wtrącił Indianin. — Niech mój brat powie, czego ode mnie żąda.

— Wodzu, chciałem cię prosić o pomoc w odnalezieniu i uwolnieniu mojej młodej przyjaciółki, nazwanej przez ciebie Białą Różą.

— Ugh! Dlaczego mój brat mówi o uwolnieniu Białej Róży? Czyżby groziło jej coś ze strony szeryfa? — zdziwił się Czarna Błyskawica.

Tomek patrząc w oczy Indianina wyjaśnił:

— Nieznani Indianie napadli na ranczo szeryfa Allana, porwali Białą Różę i uprowadzili kilkanaście najlepszych koni, a wśród nich klacz Nil'chi, na której wygrałem dziesięciomilowy wyścig na rodeo.

— Ugh! Kiedy to się stało?

— Osiem dni temu.

— Osiem wieczorów<sup>185</sup> temu — powtórzył Czarna Błyskawica, jakby chciał się upewnić, że dobrze zrozumiał. — Dlaczego Nah'tah ni yez'zi zawiadamia mnie o tym dopiero teraz?

— Byliśmy wtedy z moim przyjacielem w rezerwacie Apaczów Mescalero w gościnie u wodza Długie Oczy. Matka Białej Róży powiadomiła nas natychmiast o napadzie. Powróciliśmy zaraz na ranczo wraz z Czerwonym Orłem. Zastaliśmy szeryfa ciężko rannego i nieprzytomnego. Następnego ranka wyruszyliśmy w pościg razem z gromadą ranczerów i kapitanem Mortonem, który przybył z oddziałem wojska, ale ślady zniknęły niebawem na skalistym gruncie. Toteż wczoraj, po bezskutecznych poszukiwaniach, wróciliśmy do domu.

— Czy Czerwony Orzeł brał udział w tych poszukiwaniach? — zapytał Czarna Błyskawica.

Tomek namyślał się, co ma odpowiedzieć, gdy odezwał się Czerwony Orzeł:

---

<sup>185</sup> — Indianie obliczają czas następująco: dnię liczbą wieczorów lub przespanych nocy, miesiące jako księżycy, a lata liczbą zim.

— Czerwony Orzeł nie wyruszył na wyprawę, ponieważ dowódca długich noży<sup>186</sup> obwinił wodza Czarną Błyskawicę o dokonanie napadu. Obecność moja nie była pożądana przez białych.

— Ugh! Więc ten przeklęty biały pies powiedział, że ja porwałem Białą Różę — zdumiał się Indianin. — Nie spocznę, dopóki jego skalp nie będzie wisiał u mego pasa!

Ponura groźba nie przstraszyła w tej chwili Tomka, przeciwnie, uradowała go nawet. Oburzenie Czarnej Błyskawicy było najlepszym dowodem, że nie on dokonał niecnego napadu.

— Dlaczego Czerwony Orzeł nie zawiadomił mnie natychmiast o porwaniu młodej białej squaw? — zapytał karcącym tonem wódz.

Młody Nawaj odparł cicho:

— Długie noże i ranczerzy wyruszyli, by szukać kryjówki Czarnej Błyskawicy, gdyż jego właśnie obwiniali o dokonanie napadu. Razem z nimi znajdowali się nasi dwaj biali przyjaciele. Gdyby wódz Czarna Błyskawica natychmiast udał się na poszukiwania białej squaw, nietrudno byłoby o spotkanie obydwóch oddziałów. Wtedy...

— Ugh! Manitu nie poskąpił roztropności mojemu młodemu bratu — wtrącił Czarna Błyskawica. — Straciliśmy jednak dużo czasu.

Nadzieja zaczęła się wkradać do serca Tomka.

— Proszę cię, wodzu, powiedz, czy mogę liczyć na twoją pomoc? — zapytał wzruszonym głosem.

Wódz spojrział na Tomka zadumany wzrokiem i rzekł:

— Przed przybyciem białych cała ziemia amerykańska należała do Indian. Niezliczone stada bizonów pasły się na szerokich stepach, w lasach było pełno różnej zwierzyny i ptactwa. Czerwonoskórzy żyli tak, jak ich ojcowie i ojcowie ich ojców. Nie cierpieli głodu. Wędrowali za bizonami, polowali bądź uprawiali ziemię według swej woli. Dla przyjaciół zawsze mieli otwarte serca, dla wrogów topór wojenny. Potem przyszli biali ludzie. Indianie nie bronili im swej ziemi, zaprosili nawet białych do swych wigwamów. Biali palili z nami fajki pokoju, poili wodą ognistą, podpisywali traktaty. Chcieli coraz więcej ziemi. Kupowali ją bądź zabierali siłą. Wielki Biały Ojciec z Waszyngtonu przyrzekał pokój. Indianie ustępowali coraz dalej

---

<sup>186</sup> — Długimi nożami nazywali Indianie kawalerzystów armii USA ze względu na noszone przez nich szable.

na zachód. Potem zbudowali żelazną drogę<sup>187</sup>, która połączyła wielką wodę leżącą na wschodzie z wybrzeżem na zachodzie. Biali bezlitośnie wytępiili bizony, by nas zagłodzić i zmusić do posłuszeństwa. Pieniędzmi płacili za skalpy czerwono skorych wojowników, ich kobiet i dzieci. Indianie ulegli przemocy, a wtedy Biały Ojciec z Waszyngtonu wyznaczył im rezerwy na skalistych, pustynnych terenach. Mój biały brat był w rezerwacie Mescalero Apaczów i widział, jak nędzny wiodą tam żywot. Czarna Błyskawica nie dał się zamknąć w rezerwacie. Zaprzysiął śmierć wszystkim białym i żyje tak, jak Indianie żyli przed przybyciem białych. Czarna Błyskawica umrze z tomahawkim w dłoni walcząc z wrogiem, by w Krainie Wiecznych Łowów żyć, jak przystoi prawdziwemu wojownikowi. Czarna Błyskawica nosi na twarzy znak śmierci, a w wigwamie jego wiszą liczne skalpy białych, lecz serce moje, jak serce każdego Indianina, jest zawsze otwarte dla przyjaciół. Czarna Błyskawica nigdy nie złamał słowa danego przyjacielowi. Nah'tah ni yez'zi jest szlachetnym wojownikiem. Wyświadczył przysługę czerwonoskóremu nie żądając nic w zamian. Rada starszych naszego plemienia przyjęła cię do naszego grona. Jesteś więc naszym bratem i twoja krzywda jest naszą krzywdą. Biała Róża musi odzyskać wolność, by móc wrócić z tobą za wielką wodę do swej ojczyzny. Ugh, powiedziałem!

— Ugh, Uhg! — jak echo powtórzyli Indianie.

— Czas zatarł ślady napastników, niech więc Nah'tah ni yez'zi opowie przebieg wypadków — odezwał się znów Czarna Błyskawica. — Musimy się zastanowić nad sytuacją.

Tomek szczegółowo powtórzył wszystko, co wiedział o napadzie, bezskutecznym pościgu, nie pomijając narady odbytej z bosmanem, panią Allan i szeryfem. Zaledwie skończył, Czerwony Orzeł odezwał się:

— Wprawdzie nie podążyłem z wami za napastnikami, lecz mimo to przez dwa dni pilnie badałem pozostawione ślady. Biała squaw myli się, duży pies Białej Róży nie został zabity. Czerwony Orzeł widział jego ślady krzyżujące się ze śladami uciekających.

---

<sup>187</sup> — W 1869 r. ukończono budowę pierwszej transkontynentalnej linii kolejowej, łączącej wschodnie wybrzeże Oceanu Atlantyckiego z zachodnim Oceanu Spokojnego, zwanej Drogą Żelazną Pacyfiku.

— Dlaczego mówisz o tym dopiero teraz? — zawołał uradowany Tomek — Jeżeli wierny i mądry Dingo żyje, to wcześniej czy później przybiegnie do nas po pomoc dla Sally.

— Dobra wiadomość jest zawsze pożądana — filozoficznie odparł młody Nawaj.



## ZAGUBIONY KANION

Czarna Błyskawica zamyślił się po relacji Tomka i dopiero po długiej chwili rzekł; — Szeryf przypuszcza, że napadu dokonali Indianie Pueblosi. To jest zupełnie możliwe. Tropiciele nasi widzieli kiedyś u stóp gór Sierra Madre małe pueblo Indian Zuni. Wprawdzie plemię to uprawia ziemię i nie słyszałem, aby kiedykolwiek niepokoiło sąsiadów, lecz deszcz nie padał w tych okolicach już od wielu księżyców i pola ich mogły nie dać zbiorów... Gdyby jednak wyruszyli na wyprawę w celu zdobycia łupów, to by nie zabrali jedynie kilkunastu koni i młodej squaw.

— Konie te przedstawiały dużą wartość dla każdego hodowcy. Za samą klacz Nil'chi Don Pedro ofiarowywał szeryfowi po wyścigu na rodeo poważną sumę — zauważył Tomek.

— Ugh! Meksykanin Don Pedro chciał kupić od szeryfa klacz Nil'chi? — zdziwił się Czarna Błyskawica. — Niech Nah'tah ni yez'zi opowie, jak to było.

Gdy Tomek odtworzył zajście z Meksykaninem, Indianin rzekł:

— Pueblo znajduje się o dwa wieczory drogi od rancza Don Pedra. On mógł namówić Zuni do porwania Nil'chi i jej właścicielki. Dumny i mściwy Meksykanin na pewno nie zapomniął doznanej od was zniewagi.

— Mnie również podobna myśl już się plątała po głowie — odparł Tomek. — W napadzie brali udział sami czerwonoskórzy.

— Ranczo Don Pedra roi się od Indian. Jego ojciec był Metysem. Ugh! Musimy odwiedzić tego Meksykanina. Teraz udamy się do naszego obozu na naradę wojenną — postanowił Czarna Błyskawica. — Musimy wspólnie ułożyć plan działania.

— Chciałbym, aby mój przyjaciel wyruszył z nami na tę wyprawę — zauważył Tomek, przypominając sobie oczekującego na ranczo na jego powrót bosmana oraz list pozostawiony szeryfowi.

— Czy mój brat mówi o tym białym, który wtedy dał wodę ognistą strażnikom?

— Tak, to jest właśnie mój przyjaciel i opiekun, bosman Nowicki — potwierdził Tomek.

— Nah'tah ni yez'zi pośle przyjacielowi wiadomość po naradzie wojennej. Czerwony Orzeł zawiezie mówiący papier — odpowiedział Czarna Błyskawica. — Teraz ruszajmy jak najprędzej w drogę.

Wygasili ognisko, zatarli wszelkie ślady swej bytności, po czym wódz dał hasło do zejścia ze szczytu.

Czerwonoskórzy, mimo ciemności nocy, szybko posuwali się w dół stromego zbocza. Tomek z trudem nadażał za nimi, ponieważ wąska ścieżka, wijąca się nad skrajem przepaści, ledwo była widoczna. Odetchnął z ulgą dopiero na dnie głębokiego parowu.

Odszukanie koni pozostawionych u stóp góry nie zajęło im wiele czasu.

W krętych wąwozach i kanionach Indianie jechali stępą, lecz gdy niebawem wychynęli na szeroki step, ostro przynaglili mustangi.

Gwiazdy bladły na niebie. Szary świt z wolna ustępował dziennej jasności. Wkrótce palące słońce weszło zza linii horyzontu. Teraz dopiero Tomek mógł się zorientować w kierunku jazdy. Pasma górskie, nad którym dominowała Góra Znaków, pozostawało za nimi. Ku południowi rozciągała się szeroka równina stepowa. W dali, osnuty jeszcze poranną mgłą, widniał nie znany mu łańcuch gór.

Na stepie, po którym teraz jechali, wśród kolczastych kęp kaktusów i agaw, falowała pod lekkim podmuchem wiatru krótka, kędzierzawa trawa, rosnąca zazwyczaj na wysoko położonych równinach. Co pewien czas mijali licznie rozsiane małe kopczyki ziemi. Jak się wkrótce Tomek przekonał, były to mieszkania amerykańskich piesków stepowych spokrewnionych ze świstakami. Zmyślne żółtobrunatne, a od spodu brunatno białe zwierzątka wysiadywały na swych kopcach na zadnich łapach jak wiewiórki. Machając zadartymi do góry ogonkami nawoływały się głosami przypominającymi szczekanie psów. Z tego też powodu pierwsi traperzy nazwali je „*psami stepowymi*”.

Tomek miał wielką ochotę uważniej przyjrzeć się zwierzątkom, ale czworonożni wartownicy, czatujący na wierzchu kopców, szczekaniem ostrzegali rozbawionych towarzyszy przed niebezpieczeństwem i gromady piesków stepowych szybko znikwały z powierzchni ziemi. Potem już tylko gdziegdzie widać było łebki zwierzątek pilnie przepatrujących okolice, i jedynie przygłuszone szczekanie wydobywające się spod ziemi zdradzało obecność gwarnej, pełnej życia osady.



Tomek musiał się zadowolić wyjaśnieniami Czerwonego Orła, który dobrze znał zwyczaje psich mieszkańców amerykańskich stepów. Pieski stepowe żywiły się kędzierzawą trawką i korzonkami roślin. Na bezwodnych, stepowych, suchych płaskowyżach Nowego Meksyku wystarczała im do zaspokojenia pragnienia obfita rosa. Nie gromadziły zapasów żywności na okres zimy; gdy tylko wyczuwały jej nadejście, co przeważnie następowało w ostatnich dniach października, chroniły się do swych nor, zatykały wszystkie otwory, by zabezpieczyć się przed zimmem, po czym zapadały w sen i nie ukazywały się na stepie, aż wiosenne słońce zbudziło je do beztroskiego życia. Czerwony Orzeł twierdził, że czasem pieski stepowe otwierały nory jeszcze w zimie, co według Indian było nieomylną oznaką rychłego nadejścia ciepła.

Tomek słuchając opowiadań Czerwonego Orła, jak to pieski stepowe żyją w przyjaźni z małymi sówkami ziemnymi, gnieźdzącymi się w opuszczonych psich norach, a także o wielkiej zażyłości piesków ze stepowymi grzechotnikami, ani się spostrzegł, kiedy dotarli do na pół wyschniętego koryta rzeki. Indianie ugasili pragnienie, napoili mustangi, po czym zaraz przeprawili się na przeciwny brzeg. Nie uszło uwagi Tomka, że nikły nurt wody kierował się ku wschodowi.

Poszarpane pasmo gór, spostrzeżone uprzednio przez Tomka, teraz wyraźnie rysowało się na tle gorejącego słonecznym blaskiem nieba. Całą roślinność tego podgórskiego pasa stanowiły karłowate krzewy meskitowe, juki, agawy i kaktusy.

Kolczaste kaktusy tworzyły na bezdrożnym stepie małe zagajniki, Równy dotąd teren zaczął się stopniowo wznosić w górę. Krajobraz podgórza urzekał dzikością. Czerwony Orzeł zwrócił na to uwagę Tomka. Przecież zaledwie kilkanaście lat temu, gdy był dzieckiem, w tych właśnie stronach zamieszkiwali czerwonoskórzy Komańcze. Wtedy krwawe łuny nad stepem często zwiastowały białym osadnikom zbliżanie się nie znających litości wojowników. Wprawdzie obecnie Komańcze znajdowali się już w rezerwatach na południu Stanów Zjednoczonych, lecz otaczające Tomka groźnie wyglądające postacie Indian żywo przypominały mu niedawne jeszcze dzieje meksykańskiego pogranicza.

Tomek mimo rozmowy z Czerwonym Orłem bacznie rozglądał się wokoło. Ustawicznie wracał do myśli, gdzie też Czarną Błyskawicę zastały

sygnały z Góry Znaków, że tak szybko, zebrawszy wojowników, mógł się zjawić.

Tymczasem czerwonoskórzy ani nie przynaglali swych mustangów, ani też nie zatrzymywali się na odpoczynek. Wreszcie koło południa wjechali w kamienisty wąwóz. Tomek zgubił orientację. Kręte, głębokie, pozbawione roślinności kaniony były tak do siebie podobne, iż Tomkowi zdawało się, że po raz któryś już przebywał tę samą przełęcz czy przejście. A może Indianie naumyślnie kluczyli po górach?

Późnym popołudniem, gdy wjechali z kolei w jakiś bardzo wąski kanion, Czarna Błyskawica osadził swego konia i zeskoczył zeń na ziemię. Pozostali Indianie również zsiadli z mustangów.

— Dalej pójdziemy pieszo — oznajmił Czarna Błyskawica, zwracając się do Tomka. — O konie mój brat nie potrzebuje się troszczyć. Wojownicy zaopiekują się nimi.

Dwóch Indian podzieliło między siebie bagaż Tomka; chłopiec domyślił się, że teraz zapewne czeka ich niełatwa droga. Czarna Błyskawica ruszył pierwszy w zwężającą się gardziel kanionu.

Po pewnym czasie wkroczyli w inny kanion, którego kamieniste ściany lejowato rozszerzały się ku górze. Ku swemu zdziwieniu Tomek ujrzał stromą ścianę zamykającą dalszą drogę. Jeszcze około dwustu metrów dzieliło ich od końca ślepego kanionu, gdy Czarna Błyskawica wsunął się w wąską szczelinę widniejącą w zboczu. Tomek bez wahania wszedł za nim.

Szczelina to zwężała się, to rozszerzała, wiodąc nieznacznie w górę.

Po półgodzinnej mozolnej wędrówce znaleźli się na ścieżce szerokiej zaledwie na kilkadziesiąt centymetrów. Pięła się ona po skalnym gzymsie wewnątrz komina.

Przystanęli, by odpocząć na małej, zawieszanej nad przepaścią platformie. Indianie przysiedli na ziemi, po czym wydobyli z juków paski suszonego mięsa. Posilano się w milczeniu, wszyscy byli zmęczeni i zgłodniaли po całodziennej konnej jeździe oraz wspinaczce po górskich manowcach.

Okolica była całkiem dzika. Kamienną otchłań u ich stóp obramowywały potężne zęby przypominające warowne zamki czy kościoły. Promienie zachodzącego słońca zaledwie muskały nagie szczyty gór, nie sięgając

mrocznej głębi kanionu. Ponad szczytami kołowało kilka czarnych sępów, jakby wypatrujących żeru. Czyżby wskazywały bliskość sadyb ludzkich?

Tomek był niemal pewny, że są w pobliżu kryjówki Czarnej Błyskawicy. W zamyśleniu wodził wzrokiem po nagich szczytach skał.

*„Więc to gdzieś tutaj znajduje schronienie wyjęta spod prawa grupa buntowniczego wodza Indian! — rozmyślał. — Nic dziwnego, że kapitan Morton nie zdołał wpaść na jej ślad; przecież według niego Czarna Błyskawica miał przebywać w okolicy gór Sierra Madre.”*

Tomek uśmiechnął się nieznacznie, spoglądając na otaczających go Indian. Ci odważni i groźni, lecz zarazem dziecinni wojownicy przypuszczali, że klucząc po dzikich wertepach uniemożliwią mu zapamiętanie drogi wiodącej do ich kryjówki. Dla Tomka nie była to nowina. Od wczesnych lat życia interesował się geografią i bacznie śledził wszelkie ciekawsze wydarzenia w świecie. Właśnie ostatnio uwagę jego przyciągnęła Ameryka Środkowa<sup>188</sup> ze względu na rozpoczętą w roku 1903 budowę Kanału Panamskiego<sup>189</sup>, mającego skrócić przejazd z Oceanu Atlantyckiego na Ocean Spokojny, z wybrzeży wschodnich Ameryki na zachodnie, tudzież drogę z Europy na wyspy Oceanii i do Australii. Dokładna znajomość topografii krajów Ameryki Środkowej ułatwiała mu teraz ustalenie położenia pasma górskiego, w którym się krył wódz Indian.

Ranczo szeryfa Allana znajdowało się w pobliżu granicy, kilka kilometrów na wschód od północnego krańca łańcucha gór Sierra Madre, biegnącego ku południowi wzdłuż zachodniego wybrzeża Meksyku. Wschodnią granicę Wyżyny Meksykańskiej, na której się zatrzymali, stanowiła Rio Grande del Norte. Mniej więcej w połowie drogi pomiędzy północnym krańcem gór Sierra Madre a Rio Grande leżały w pobliżu siebie dwa jeziora: Guzman z wpadającą do niego Rio de Casas i jezioro Santa Maria, do którego wpływała rzeka o tej samej nazwie. Według obliczeń Tomka byli w paśmie górskim leżącym w widłach Rio de Casas i Santa Maria. W prostej linii na południe, za rzeką Conchos, dopływem Rio Grande,

---

<sup>188</sup> — Do Ameryki Środkowej zalicza się: część południowego Meksyku, Gwatemalę, Salwador, Honduras, Nikaragę, Kostarykę, zachodnią Panamę, Belize oraz wyspy Wielkie i Małe Antyle.

<sup>189</sup> — Kanał Panamski, zbudowany w latach 1903–1914 przez Stany Zjednoczone na szerokim pasie, wydzierzawionym od Republiki Panamskiej. Ma długość ok. 81 km, szerokość ok. 91 m, a głębokość minimalną 14 m. Znajduje się 27 m nad poziomem obydwu oceanów, toteż statki przepływają przezeń dzięki śluzom.

rozciągała się odludna, bezodpływowa, skalista i pustynna kotlina Bolson de Mapimi, gdzie Hiszpanie jeszcze w roku 1598 odkryli pokłady złota i srebra i rozpoczęli ich wydobywanie.

Tomek poczuł się znacznie różniej, gdy ustalił te szczegóły. Zdawał sobie jednak sprawę, że w naturalnym labiryncie kanionów i wąwozów niełatwo byłoby samodzielnie odnaleźć drogę do stromej, wykutej w skałach ścieżki.

Indianie nie spieszyli się z wyruszeniem w dalszą drogę. Odpoczywali ćmiąc krótkie, gliniane fajeczki. Dopiero po zachodzie słońca Czarna Błyskawica dał hasło do wymarszu. Wędrówka po górskich bezdrożach przy mdłym blasku pierwszych gwiazd była dość uciążliwa. Tomek podążał tuż za szybko krocącym wodzem, nie kłopotząc się o niemożliwe w tych warunkach zapamiętanie kierunku drogi.

Po niemal dwóch godzinach męczącego marszu dotarli do ostro spadającej w dół krawędzi górskiej. Na dnie głębokiego, szerokiego kanionu znajdowało się obozowisko Czarnej Błyskawicy. Błyszczało teraz światłami ognisk. Skóry pokrywające namioty, prażone słońcem i zmywane deszczem, stały się niemal przejrzyste i w wieczornym mroku wyglądały jak barwne lampiony, żarzące się ogniem płonącym w ich wnętrzu. Jednocześnie można było się zorientować w rozmiarach i rozłożeniu obozu. Tipi tworzyły wielki, trzy — lub czterorzędowy krąg. W samym środku obozu stał, obszerniejszy od pozostałych, namiot rady szczepu, który, jak się Tomek później przekonał, stanowił jednocześnie mieszkanie Czarnej Błyskawicy.

Schodzili na dno kanionu ku obozowi wąską ścieżką wykutą w skalnej ścianie. Można było nią iść pojedynczo, co w razie koniecznej obrony przed napastnikami, stwarzało korzystne warunki dla mieszkańców kanionu. Zaledwie Czarna Błyskawica znalazł się w obozie, zaraz poprowadził Tomka do namiotu umieszczonego w środku koliska.

Tomek wszedł do tipi narad. Czarna Błyskawica wskazał mu wygodne miejsce na skórach niedźwiedzich rozłożonych na ziemi. Chłopiec usiadł w pobliżu ogniska płonącego pośrodku namiotu; rozejrzał się wokoło. Poblądł z wrażenia ujrawszy wśród skalpów wiszących na trójnogu kilka pęków długich, jasnych włosów. Kobięce skalpy były przykrym dowodem, że wojownicy Czarnej Błyskawicy dokonywali napadów na osiedla białych osadników. Różnorodna broń porozwieszana w jednym z kątów tipi zapewne również była łupem wojennym.

Rozmyślania Tomka przerwały ostre dźwięki świstawek. Były to prawdopodobnie sygnały wzywające starszych plemienia na naradę. Niebawem zaczęli przybywać do namiotu półnady Indianie, strojni w orle pióra i naszyjniki z kłów dzikich zwierząt.

Tomek pociemniałymi z wrażenia oczyma wodził po miedzianoskórych Indianach. Do namiotu narad wchodzili sami młodzi i w średnim wieku mężczyźni. Jedynym starcem był szaman noszący na głowie strój z orlich piór i rogów bizona. Większość przybywających na naradę wojowników miała laski i kościane gwizdki — odznaki małych wodzów<sup>190</sup>. Twarze i ciała Indian pomalowane były jaskrawoczerwoną farbą.

Z łatwością dostrzegało się różnicę pomiędzy wojownikami Czarnej Błyskawicy a Indianami zamkniętymi w rezerwatach. O ile tamci wiedli nędzny żywot, o tyle buntowniczy szczerp zachował wszystkie cechy dawnych wojowników, budzących w młodym białym człowieku dreszcz grozy. W twarzach ich oraz zachowaniu nie było cienia zgubnego piętna upokarzającej niewoli.

Tomek poważnie spoglądał na pełne godności, dzikie twarze wojowników, którzy nawet najmniejszym ruchem czy gestem nie zdradzili zdziwienia na widok białego chłopca w tipi narad. Indianie siadali na ziemi wokół żarzącego się ogniska; Tomek liczył wchodzących. Gdy jedenasty Indianin wszedł do tipi. Czarna Błyskawica zajął miejsce z prawej strony białego gościa.

Pełnym dostojeństwa ruchem wódz zdjął z trójnoga zawiniątko ze świętymi przedmiotami i kalumetem. Nabił fajkę tytoniem, włożył w nią węgielek z ogniska, dopełnił ceremoniału palenia, po czym podał ją Tomkowi, który wydmuchnąwszy przepisowo dym, dalej przekazał kalumet. Po długiej chwili fajka powróciła do rąk Czarnej Błyskawicy. Tomek, drząc wprost z niecierpliwości, w milczeniu oczekiwał na dalszy rozwój wypadków. Czarna Błyskawica schował kalumet do zawiniątka i powiesił je z powrotem na trójnogu.

Dopiero teraz odezwał się:

— Moi bracia zapewne są zdziwieni, że w naszym obozie znajduje się blada twarz, a mimo to jej skalp nie zdobi jeszcze mego tipi.

---

<sup>190</sup> — Mali wodzowie— bezpośredni przywódcy mniejszych grup. klanów i stowarzyszeń.

— Prawo nasze mówi: każdy biały pies, który by dotarł do naszego kanionu, musi zginąć przy palu męczarni — z naciskiem i stanowczo rzekł młody Indianin, dzierżący w dłoni kościaną łaskę.

— Słusznie powiedział Pałacy Promień — przytaknął Czarna Błyskawica. — To jest jednak mój brat Nah'tah ni yez'zi, któremu zaprzysiągłem wieczystą przyjaźń. Dzięki niemu bowiem niecny czyn zdrajcy Wiele Grzyw został udaremiony.

— Ugh! Pod białą skórą Nah'tah ni yez'zi kryje się czerwone serce, przyjazne czerwonoskórym wojownikom — zabrał głos szaman, zwany Pogromcą Grizzly. — Indianin płaci przyjaźnią za przyjaźń, śmiercią za śmierć! Tak mówi nasze odwieczne prawo. Ugh!

— Nah'tah ni yez'zi palił fajkę pokoju ze starszymi szczepów Apaczów i Nawajów — wyjaśnił Czarna Błyskawica. — Młody brat oddał mi wielką przysługę, za co otrzymał prawo do noszenia pięciu orlich piór. Nah'tah ni yez'zi wkroczył na wojenną ścieżkę; prosi Czarną Błyskawicę o pomoc przeciwko swym nieprzyjaciołom. Wrogowie przyjaciół są naszymi wrogami. Czarna Błyskawica przyprowadził Nah'tah ni yez'zi, aby wspólnie wykopać topór wojenny i odbyć naradę.

— Ugh! Zły duch przysłonił wzrok Czarnej Błyskawicy — zawołał Pałacy Promień. — Mój brat źle uczynił, przyprowadzając tutaj bladą twarz.

— Rada starszych naszego plemienia przyznała Nah'tah ni yez'zi prawo do noszenia pięciu piór, podczas gdy Pałacy Promień zdobył tylko cztery — spokojnie odparł Czarna Błyskawica.— Niech moi bracia decydują, czy mamy wykopać topór wojenny, aby dotrzymać przyrzeczenia danego naszemu bratu Nah'tah ni yez'zi.

Szaman Pogromca Grizzly wyszarpnął zza pasa swój tomahawk. Krótkim, lecz silnym ruchem rzucił go w kierunku głównego pala podtrzymującego pokrycie namiotu. Ostrze z głuchym odgłosem zagłębiło się w drewno. Za nim inni Indianie kolejno rzucali swe topory, tylko jeden Pałacy Promień siedział nieruchomo, wpatrując się w płonące ognisko.

— Czy Pałacy Promień pragnie zostać w wigwamie, podczas gdy jego bracia wyruszą na wojenną ścieżkę? — zapytał Czarna Błyskawica.

Mały wódz spojrział Czarnej Błyskawicy prosto w oczy. Wolnym ruchem wy dobył swój tomahawk i rzucił go z takim rozmachem, że niemal połowa ostrza wbiła się w suche drewno.

Teraz Czarna Błyskawica śmignął swym ciężkim tomahawkiem i wymownie spojrzął na Tomka, który zmieszał się mocno, ponieważ nie posiadał toporka i nie potrafił nim rzucać do celu tak, jak Indianie. Przytomny w każdej sytuacji chłopiec przypomniał sobie, że bosman nauczył go miotania nożem. Czyżby nóż nie mógł teraz zastąpić tomahawka?

Nie namyślając się wiele wydobył z pochwy swój ciężki nóż myśliwski. Błyszcząca stal przeszła powietrze; ostrze noża utkwilo w słupie przy tomahawku Palącego Promienia.

— Ugh! Ugh! Ugh! — zawołali Indianie.

— Szczepy Apaczów i Nawajów wykopały topór wojenny przeciwko wszystkim wrogom naszego brata Nah'tah ni yez'zi — oznajmił donośnym głosem Czarna Błyskawica. — Skalpy zdradzieckich psów, które porwały Białą Różę, przyjaciółkę Nah'tah ni yez'zi, przyozdobią nasze wigwamy.

— Ugh! Ugh! — zawołali Indianie.

Zgodnie z prawem czerwonoskórych, od chwili wykopania topom wojennego naczelnny wódz sprawował niepodzielną władzę, a wszyscy członkowie plemienia zobowiązani byli pod karą śmierci wypełniać każdy jego rozkaz. Czarna Błyskawica zwrócił się zaraz do Palącego Promienia:

— Mały wódz uda się natychmiast z kilkoma wojownikami na Górę Znaków i zawiadomi naszych sojuszników, iż wkroczyliśmy na wojenną ścieżkę. Palący Promień zażąda również, by dostarczono nam jak najszybciej odpowiedniej liczby mustangów.

Palący Promień powstał, zbliżył się do głównego pala podtrzymującego tipi, wydobył swój tomahawk, bez słowa obrzucił Czarną Błyskawicę wzrokiem pełnym wyrzutu i w milczeniu opuścił namiot, aby wykonać rozkaz.

Czarna Błyskawica zadumał się: oto wyprawił z namiotu narad młodego małego wodza, widząc jego nieprzychylną dla białego człowieka, któremu winien był wdzięczność. Jednak w głębi serca przyznawał całkowitą słusność Palącemu Promieniowi. Czyż obowiązywała go lojalność i obietnica udzielenia pomocy przedstawicielowi rasy, która pozbawiła Indian ich ziemi i wolności? Przecież razem z całym plemieniem zaprzysiągł śmierć wszystkim białym najeźdźcom. Długi łańcuch krzywd i zrad dokonanych przez białych ludzi wobec Indian przewinął się w pamięci Czarnej Błyskawicy. To właśnie biali ludzie bezlitośnie tępił krajowców, spychali ich na najbardziej jałowe

tereny, łamali wszelkie traktaty i przyrzeczenia. Pałacy Promień miał słuszość; Czarna Błyskawica nawoływał do bezkompromisowego buntu przeciwko ciemnościom, a teraz sam uczynił pierwszy wyłom w prawie narzuconym przez siebie Indianom.

Pod wpływem tych myśli dłoń wodza odruchowo spoczęła na chłodnej rękojeści noża. Czyż miał stać się zdrajcą własnego szczepu, który całkowicie zawierzył mu swój los? Przenikliwy, zimny wzrok zwrócił ku białemu chłopcu.

Tomek musiał wyczuć, co się dzieje w duszy wodza. Mimo to ufnie spoglądał w twarz Czarnej Błyskawicy, choć wiedział, że w tej właśnie chwili ważą się jego dalsze losy. Wymowny ruch ręki Indianina — dotknięcie rękojeści noża, którym zdarł niejedną skalp z głowy białego wroga, nie uszedł uwagi Tomka.

Czarna Błyskawica długo patrzył w poważne, wyrażające ufność oczy białego chłopca. Czyż to nie on podał mu pomocną dłoń wtedy, gdy inni chcieli zaszczuć go na śmierć? Czy biały chłopiec zawahał się zdradzić swoją rasę, aby ułatwić mu ucieczkę? Czy nie postąpił szlachetnie wobec Czerwonego Orła? Ten młody biały człowiek był nie tylko przyjacielem buntowniczego wodza; on był prawdziwym przyjacielem wszystkich Indian, wszystkich prawych ludzi. Przecież wśród czerwonoskórych również zdarzali się zaprzańcy. Czarna Błyskawica przypomniał sobie udającego przyjaźń zdrajcę Wiele Grzyw i zniechęconą policję indiańską. Szlachetny, odważny wódz zrozumiał, że nie wolno dzielić ludzi na dobrych i złych zależnie od koloru skóry. Wśród ludzi wszystkich ras znajdowali się dobrzy i źli...

Nie tylko Tomek domyślał się burzy mieszanych uczuć w sercu Czarnej Błyskawicy. Stary szaman również nie spuszczał wzroku z twarzy wodza plemienia, a reszta Indian milczała znacząco.

Odważne słowa Pałacego Promienia zbyt wymownie przypomniały wszystkim sprzeczność w postępowaniu Czarnej Błyskawicy.

Nagle groźna dotąd twarz wodza przybrała łagodniejszy wyraz. Przyjaźnie spojrział na Tomka.

Równocześnie odezwał się stary szaman, jakby mówiąc do siebie:

— Pałacy Promień jest prawym i odważnym wojownikiem. Z czasem zajmie należne mu stanowisko wśród członków swego szczepu, lecz obecnie jest jeszcze zbyt młody, aby zrozumieć wartość prawdziwej przyjaźni. Wiele



bladych twarzy zginęło z mej ręki, lecz pamiętam również białych, którzy walczyli razem z nami w naszej obronie przeciwko ludziom swojej rasy.

— Ugh! Otwieram naradę wojenną. Nasz brat Nah'tah ni yez'zi opowie teraz dokładnie przebieg wypadków, abyśmy mogli ułożyć wspólnie plan działania — powiedział głośno wódz Czarna Błyskawica.

Tomek rozpoczął opowieść trochę drżącym głosem, lecz w miarę jak mówił, napięcie jego nerwów ulegało rozładowaniu. Niewątpliwie przyczyniło się do tego zachowanie Indian, którzy zaczęli się ożywiać słuchając uważnie relacji. Wojownicy prosili Tomka o wyjaśnienia, wykazywali szczere zainteresowanie.

Gdy tylko chłopiec skończył mówić, rozpoczęła się długa dyskusja. W wyniku narady postanowiono wysłać wywiadowców w kierunku ranczo Don Pedra. Większość była zdania, iż to jego ludzie bądź namówieni przez niego Indianie porwali nieszczęsną Sally. Wywiadowcy powinni najwyżej w ciągu trzech dni zasięgnąć języka, a w tym czasie reszta Indian miała się przygotować do wyprawy.



## NIEFORTUNNA WYPRAWA BOSMANA

Dwa dni już upłynęły od chwili wyruszenia Tomka z ranczo szeryfa Allana na tajemniczą wyprawę. Bosman snuł się po domu jak posepny cień. Trawił go niepokój o Sally i Tomka. O własne bezpieczeństwo nigdy się zbytnio nie troszczył, lecz gdy chodziło o młodego druha, była to zupełnie inna sprawa. Tymczasem Tomek przepadł jak kamień w wodę. Bosman gubił się w domysłach. Już kilkakrotnie napomykał Allanowi, czy nie lepiej byłoby dla bezpieczeństwa chłopca zerknąć do pozostawionego przez niego listu, lecz za każdym razem spotykał się z niezmienną odpowiedzią:

— Jeżeli Tommy nie wróci w ciągu siedmiu dni, wówczas otworzymy list...

Bosman złościł się na flegmatycznego szeryfa, kłopotał o Tomka, martwił o Sally, a jednocześnie nie mógł patrzeć z założonymi rękami na niemy ból zrozpaczonej pani Allan. Dzielna kobieta czuwała przy łożu rannego szwagra, lecz z jej bezmiernego smutku można było się domyślać, że straciła chęć do życia.

Trzeciego dnia wczesnym rankiem bosman nagle postanowił urządzić mały wypad na własną rękę. Zaraz też kazał sobie przyprowadzić mustanga. Z karabinem pod pachą wyszedł przed dom. Wkrótce galopował w kierunku pastwisk.

Nie minęły nawet cztery godziny, a stary wyga wiedział już, że Tomek razem z Czerwonym Orłem udali się ku granicy meksykańskiej. Nie tracąc czasu podążył również w tym kierunku.

Około południa minął widoczną z dala samotną górę, nie zdając sobie nawet sprawy, że przekroczył granicę. Mustang obarczony olbrzymim jeźdźcem potykał się ze zmęczenia. Bosman zgłodniał. Zatrzymał konia w nikłym cieniu kaktusów. Zeskoczył z siodła, rozkulbaczył wierzchowca i uwiązał go na arkanie. Upewniwszy się, że w pobliżu nie ma grzechotników stepowych, usiadł na ziemi, szybko spożył drugie śniadanie przygotowane przez zapobiegliwą panią Allan, łyknął nieco jamajki, a następnie zaczął rozmyślać, co by uczynił ojciec Tomka w podobnym położeniu. Niebawem doszedł do wniosku, że poszukiwanie chłopca w stepie nie miało zbyt

wielkiego sensu. Teraz czynił sobie wyrzuty, iż zezwolił mu na tę tajemniczą wyprawę.

*„Ha, nie ma rady! Wkopałem się w niezwykłą kabałę — mruknął. — Powinienem był od razu podążyć jego śladem, a teraz szukaj wiatru w polu! Co będzie, jeżeli podstępni Indianie, którzy uprowadzili Sally, schwycą również Tomka?”*

Wzdrygnął się na samą myśl o takiej ewentualności.

*„Na wszelki frasunek najlepszy trunek”* — pomyślał i jeszcze raz dobył butelczynę z jamajką.

Pociągnął spory łyk. Poczul się trochę raźniej. Sytuacja wprawdzie była okropna, ale czy nie znajdowali się już nieraz w ciężkich tarapatach? Któż, jak nie Tomek, sypał wtedy doskonałymi pomysłami? Czy to nie jego właśnie spryt ratował ich zazwyczaj z ciężkich opresji?

*„Chwat chłopak! — rozczulił się bosman. — Kompan z niego pierwsza klasa. Nawet i tu, w Ameryce, wystawił do wiatru bogacza Don Pedra! Ha, a jak szybko potrafi się pokumać z różnymi ludźmi!”*

Bosman zaczął nabierać otuchy. Przecież podczas wyprawy w Australii Tomek przełamał nieufność krajowców; w Afryce znów zaprzyjaźnił się z młodym królem Bugandy, tu zaś został przyjęty do szczepów Apaczów i Nawajów. Jeżeli wyruszył z Czerwonym Orłem, to może właśnie po to, by prosić Indian o pomoc?

*„Taki zuch nie może zginąć jak pierwszy lepszy — myślał bosman. — Przeczekam w cieniu ten piekielny upał i wrócę na ranczo. Jeżeli Tomek wykombinował plan, to na pewno coś z niego wyjdzie.”*

Tak uspokojony zapadł w drzemkę. Niebawem ocknął się z niej. Słońce przesunęło się już ku zachodowi. Spiesznie osiodłał mustanga. Po chwili kłusował z powrotem ku samotnej górze.

Ujechał około trzystu metrów, gdy naraz mustang głośno parsknął. Bosman uderzył go lekko arkanem, lecz wierzchowiec zastrzygł tylko uszami i zarżał ponownie.

— Co za Ucho cię ugryzło? — mruknął marynarz.

Zanim w zachowaniu mustanga dostrzegł ostrzeżenie, zza kaktusów i miotlastych juk wyskoczyły miedzianoskóre postacie. Było już za późno na odwrót.

Indianie o ciałach pomalowanych w białe pasy wydali cichy okrzyk, po czym rzucili się na samotnego jeźdźca. Jeden z nich skierował w pierś marynarza napięty łuk. Bosman instynktownie zdarł wierzchowca cugłami. Koń stanął dęba na zadnich nogach i tym uratował mu życie. Bo oto pierzasta strzała bzyknęła w powietrzu, wbijając się aż po belt w pierś mustanga. Nieszczęsne zwierzę jeszcze raz poderwało się do skoku i upadło na ziemię. Bosman zeskoczył z siodła w ostatniej chwili. Potknął się, upadł na jedno kolano, upuścił karabin. Żyłaste dłonie chwyciły go za ramiona.

Indianie chcieli wziąć bosmana żywcem do niewoli, lecz przekonali się rychło, że nie było to takie łatwe. Marynarz szybko dźwignął się na nogi. Jednym ruchem strząsnął z siebie napastników. Indianie znów się na niego rzucili, więc pięściami zaczął zadawać celne ciosy. Od razu zrobiło się wokoło niego przestronniej. Czerwonoskórzy, zdumieni i rozgniewani tak zdecydowanym i skutecznym oporem, dobyli zza pasów noże i tomahawki. Jeden z nich zawołał coś gardłowym głosem i cała gromada jednocześnie rzuciła się na marynarza. Bosman czuł, że to nie przelewki. Wyszarpnął z kieszeni rewolwer. Tylko jeden raz zdążył pociągnąć za spust mierząc prosto w pierś najbliższego Indianina, gdyż zaraz otrzymał potężne uderzenie w głowę. Zachwiał się, jeszcze jak przez mgłę widział czeredę napastników wznoszących noże i tomahawki, po czym stracił przytomność.

— Ugh! Zwiążcie go rzemieniami — rozkazał Pałacy Promień. — Czy nasz brat Przedrzeźniacz został poważnie zraniony?

Dwóch Indian pochyliło się nad postrzelonym.

— Przekłęta blada twarz ugodziła naszego brata prosto w serce — oświadczył jeden z nich.

— Giń, biały psie! — zawołał drugi, wznosząc nóż do śmiertelnego ciosu.

— Stój! Nasz brat Przedrzeźniacz zasłużył na pełne pomszczenie. Temu białemu zadamy śmierć przy palu męczarni — rozkazał Pałacy Promień. — Niech ból wdowy i jego dzieci choć trochę ukoją okrzyki trwogi mordercy.

— Pięść tego białego jest twarda jak kamień — z uznaniem wtrącił któryś z Indian. — Ugh! Zobaczymy, czy jest równie odważny jak silny.

— Zakneblujcie mu usta i przywiążcie go do grzbietu mustanga — polecił Pałacy Promień. — Zaraz ruszamy w powrotną drogę.

Czerwonoskórzy wyprowadzili konie ukryte w gąszczu kaktusów. Pięciu wojowników przymocowało wciąż nieprzytomnego marynarza do mustanga. Nogi jeńca skrępowano grubym rzemieniem przeciągniętym pod brzuchem konia, podczas gdy ręce przywiązane zostały do kulbaki siodła. Ponadto zarzucono bosmanowi na szyję arkan, którego drugi koniec przywiązał sobie do pasa jeden z czerwonoskórych podtrzymujących brańca. Dokonawszy tego, Indianie ruszyli w kierunku kryjówki.

Po dłuższej chwili bosman odzyskał przytomność. Zaraz ujrzał miedzianobrunatne postacie Indian. Bezskutecznie próbował poruszyć rękami, nogi również miał skrępowane.

*„A to ci heca! Indiance wzięli mnie do niewoli — pomyślał i zaraz ogarnęła go ogromna wściekłość. — Ha, dranie, pokażę wam, gdzie pieprz rośnie!”*

Potężnie ścisnął kolanami boki konia, aż ten stęknął boleśnie i przysiadł na zadzie. Indianin szarpnął arkanem zarzuconym na szyję jeńca. Zdradziecka pętla mocno się zacisnęła, bosman zrozumiał — był bezsilny.

Olbrzymia siła białego wykazana w czasie walki wprawiała Indian w podziw. Tym bardziej radowali się teraz zwycięstwem i widowiskiem, które ich czekało. Tak silny mężczyzna powinien wytrzymać długie męczarnie przy palu. Zaczęli obchodzić się z nim łagodniej, aby zachować jego siły na decydującą chwilę.

Po kilkugodzinnej jeździe bez wytchnienia Indianie musieli zmienić mustanga dźwigającego ciężkiego bosmana. Przy tej operacji krewki marynarz dał im się mocno we znaki. Gdyby nie miał związanych rąk, prawdopodobnie nie zdołaliby go ujarzmić, nie zadawszy mu śmiertelnego ciosu tomahawkiem bądź nożem. Na szczęście te objawy niewątpliwego męstwa budziły u Indian szacunek nawet dla pokonanego wroga, nie szczędzili więc trudu, by jeńca dowieźć żywego do obozu.

Bosman zdziwił się niepomniernie, gdy przed powtórny wyruszeniem w drogę założyli mu na oczy opaskę.

Znów rozpoczęła się męcząca jazda.

Tomek niecierpliwie obserwował przygotowania Indian do wyruszenia na wojenną wyprawę. Lada chwila spodziewali się powrotu Pałącego Promienia, który z polecenia Czarnej Błyskawicy miał sprowadzić odpowiednią liczbę koni. Jak Tomek zdążył już zauważyć, czerwonoskórzy trzymali w kanionie

zaledwie kilkanaście mustangów. Niezbyt rozległy teren ukrytego w dziczy kaktusowej kanionu nie stwarzał odpowiednich warunków do hodowli. W pierwszym więc rzędzie Indianie zaopatryli się w spore stado bydła rogatego, aby zapewnić sobie dostateczne wyżywienie. Według wyjaśnień Czarnej Błyskawicy, w razie potrzeby dostarczali im koni Indianie z pobliskich rezerwatów. Jak z tego wynikało, wpływy buntowniczego wodza sięgały daleko na teren Stanów Zjednoczonych.

Oczywiście Tomek był zbyt rozsądny, aby wypytywać swych czerwonoskórych przyjaciół o sprawy stanowiące ich tajemnicę. Rozumiał, że byłoby to nawet bardzo niebezpieczne.

Za zgodą wodza Czerwony Orzeł miał zawieźć bosmanowi Nowickiemu list od Tomka, a następnie razem z marynarzem przybyć na umówione miejsce, gdzie cały oddział powinien już na nich czekać. Tomek właśnie wyrwał z notesu kartkę i ołówkiem zaczął pisać do swych stroskanych przyjaciół:

*Kochany Panie Bosmanie!*

*Gdy tylko otrzyma Pan ten list z rąk mego przyjaciela, Czerwonego Orła, niech Pan natychmiast poprosi Pana Szeryfa o zniszczenie zapieczętowanej koperty wręzonej Mu przeze mnie. Niech Pan pocieszy Panią Allan. Dzięki pewnej (znanej już Panu) Osobie wyruszymy w licznym towarzystwie na poszukiwanie nieszczęsnej Sally. Miejmy nadzieję, że tym razem nie spotka nas zawód. Oczekuję Pana z przyjaciółmi w miejscu, do którego doprowadzi Pana przekazujący niniejszy list. Proszę mu całkowicie zaufać. Resztę opowiem osobiście...*

Umieszczenie podpisu przerwała mu jakaś piekielna wrzawa. Wycie czerwonoskórych mieszało się z krzykami i lamentem kobiet. Tomek zaniepokojony chciał wybiec na majdan, gdy naraz Czerwony Orzeł wpadł do namiotu. Wzburzony zatrzymał się przed swym białym przyjacielem.

— Nah'tah ni yez'zi — zawołał — przygotowujesz mówiący papier?

— Kończę go właśnie... Co się stało?

— Nie będzie już potrzebny — zagadkowo odrzekł Nawaj. — Zły duch pokrzyżował nasze plany. Niech mój brat szybko idzie ze mną!

Obydwaj pospiesznie wybiegli. Na środku obozowiska, obok tipi rady, ujrzał Tomek zbiegowisko mężczyzn, kobiet i dzieci. Stamtąd właśnie

rozlegały się okrzyki gniewu i żalosny lament. Tomka ogarnęło złe przecucie. Dlaczego Czerwony Orzeł powiedział, że list już nie będzie potrzebny? Szybko zbliżył się do grupy Indian otaczających kilku jeźdźców. Przepisnął się ku nim. Zaledwie rzucił na nich okiem, zamarł z przerażenia.

Obok Pałącego Promienia siedzącego na mustangu ujrzał Tomek skrepowanego i przywiązanego do wierzchowca bosmana Nowickiego. Zawrzał oburzeniem, gdy spostrzegł w rękach Pałącego Promienia arkan, którego pętla zaciskała się na szyi przyjaciela. Co to miało oznaczać? Zanim zdołał cokolwiek nierozważnego uczynić, uwagę jego zwróciła grupka kobiet pochylona nad leżącym na ziemi Indianinem. Tomek był zbyt domyślny, aby nie odgadnąć prawdy. W jaki sposób Pałący Promień zetknął się z bosmanem? Przecież marynarz miał na ranczo czekać na wiadomość! Lecz oto Indianie rozstąpili się, Czarna Błyskawica przystanął nad grupką jeźdźców. Wódz musiał poznać bosmana, bo wyraz zaskoczenia przemknął po jego twarzy, zaraz jednak przybrał obojętną minę.

— Co za wiadomość przywozi Pałący Promień? — zapytał gardłowym głosem.

— Przeklęty biały pies zabił naszego brata Przedrzeźniacza — odparł Pałący Promień wskazując ręką na bosmana.

Czarna Błyskawica nawet nie spojrzał na jeńca.

— Czy to możliwe, aby jedna blada twarz odważyła się napaść na ośmiu moich wojowników? — zdziwił się. — Gdzie to się stało?

Pałący Promień zmieszał się, nie mógł bowiem zataić przed wodzem, że po nadaniu sygnałów zbliżył się bez rozkazu do granicy. Musiał się również przyznać do urządzenia zasadzki na samotnego białego jeźdźca. Czarna Błyskawica, nie chcąc zdradzić miejsca położenia swej osady, nie pozwalał mieszkańcom kanionu oddalać się poza pasmo górskie. Od czasu do czasu zabierał po kilkunastu wojowników na małe wyprawy, lecz gdy ktokolwiek wysyłany był samodzielnie poza kanion, musiał ściśle stosować się do rozkazu wodza. Tymczasem Pałący Promień, po nadaniu sygnałów na Górze Znaków, samowolnie urządził wypad w poblizę granicy.

— Po wykonaniu polecenia udaliśmy się na północ — odparł niechętnie. — Ujrzeliśmy na stepie samotnego białego jeźdźca. Chcieliśmy przyprowadzić jeńca do obozu, aby wziąć go na spytki. Urządziliśmy więc zasadzkę. W czasie walki blada twarz zabiła naszego brata Przedrzeźniacza.



— Ugh! Wiec zabił go w nierównej walce, gdyż was było ośmiu na jednego — stwierdził Czarna Błyskawica.

Porywczy Pałacy Promień gniewnie zmarszczył brwi. Czyżby wódz chciał bronić tego białego?

— Oko za oko, ząb za ząb, mówi nasze prawo — rzekł ponuro Pałacy Promień. — Ten biały musi zginąć przy palu męczarni!

— Mój brat ma dziwną pamięć. Jedne prawa pamięta dobrze, a drugie źle — poważnie odpowiedział Czarna Błyskawica. — Lecz mimo to śmierć naszego brata Przedrzeźniacza pomścimy. Osierocił przecież squaw i czworo dzieci. Rada starszych zadecyduje o losie jeńca. Niech Pałacy Promień umieści go w oddzielnym tipi pod strażą.

Indianie rozwiązali bosmanowi nogi, ściągnęli go z konia i odkneblowali usta. Marynarz odetchnął głęboko.

Kilka kobiet podbiegło do jeńca. Wymyślały mu krzykliwymi głosami, to znów rzucały weń garściami żwiru. Wojownicy otoczyli bosmana i poprowadzili ku najbliższemu namiotowi. Po chwili, popychany przez Indian, zniknął w tipi. Tomek, widząc, że przed namiotem ustawiono uzbrojoną straż, zbliżył się do Czarnej Błyskawicy.

— Wodzu, chciałbym natychmiast pomówić z tobą w pilnej sprawie — odezwał się cicho.

— Niech mój brat zaraz przyjdzie do tipi rady ze starszymi plemienia. Tam odbędzie się sąd nad jeńcem — odpowiedział Czarna Błyskawica.

Tomek nachmurzył się, lecz instynkt ostrzegał go przed pochopnym czynem. Wprawdzie Czarna Błyskawica był wodzem plemienia, nie ulegało jednak wątpliwości, że liczyć się musiał ze zdaniem rady starszych. Wódz na pewno poznał bosmana i, jak wynikało z wymiany słów z Pałacym Promieniem, nie był do niego źle usposobiony. Czy zdoła go obronić? Jak już Tomek zdążył zauważyć, Indianie z odludnego kanionu z niezwykłą surowością przestrzegali swych praw i prastarych obyczajów.

Coraz większy niepokój ogarniał zdenerwowanego chłopca. Nie rozumiał, dlaczego bosman opuścił, wbrew umowie, ranczo i czego szukał na stepie. Ten nierozważny czyn mógł zniweczyć cały misternie ułożony plan uwolnienia Sally. Bo cóż się stanie, jeżeli Indianie zażądają śmierci bosmana? Przecież Tomek nie będzie mógł opuścić przyjaciela w tak tragicznej chwili.

„*Ha, nie ma rady! Jeżeli dojdzie do ostateczności, stanę u boku bosmana i zginiemy razem — pomyślał zdesperowany. — Cóż za okropny los czeka wtedy Sally! Biedna pani Allan!*”

Przygnębiony wszedł do tipi rady, gdzie zastał już kilkunastu starszych rodu. Wódz wskazał mu miejsce obok siebie. Niebawem rozpoczął się sąd nad bosmanem. Pierwszy zabrał głos Czarna Błyskawica:

— Mamy osądzić bladą twarz, która walcząc z wywiadowcami zabiła naszego brata Przedrzeźniacza. Pałacy Promień, jako uczestnik tej walki, będzie oskarżał jeńca. Niech moi bracia wysłuchają go uważnie i wydadzą sprawiedliwy wyrok zgodnie ze zwyczajem i prawem naszych ojców.

Pałacy Promień szczegółowo podał przebieg wypadków. Mimo odrazy do wszystkich białych, relacja jego była wierna, ani na jotę nie odbiegała od prawdy. Wszyscy Indianie w skupieniu słuchali oskarżenia małego wodza, a Tomek w napięciu śledził twarze sędziów; na szczęście nie dostrzegł w nich nienawiści. Sprawa bosmana nie zdawała się wyglądać tragicznie. Indianie napadli na niego, a on zabił jednego z nich we własnej obronie.

Tomek z wdzięcznością utkwiał oczy w Czarnej Błyskawicy, gdy ten ponownie zabrał głos i wyjaśnił radzie plemienia, kim był wzięty do niewoli jeńiec. Przypomniał, że to właśnie bosman razem z Tomkiem ułatwili mu ucieczkę z niewoli, podkreślił jego odwagę i siłę, których dowody złożył podczas rodeo, powalając uderzeniem pięści rozjuszonego buhaja. Zaznaczył również, iż bosman został pierwszy zaatakowany przez wywiadowców i dzielnie walczył przeciwko ośmiu wojownikom.

Członkowie rady zgodnie uznali zasługę jeńca w ułatwieniu ich wodzowi ucieczki z ranczo szeryfa Allana. Szaman Pogromca Grizzly zauważył, że zgodnie ze starym indiańskim zwyczajem, można by jeńcowi darować życie, gdyby podjął się naprawić krzywdę wyrządzoną rodzinie zabitego wojownika.

Tomek niezbyt dobrze rozumiał, o co chodziło Pogromcy Grizzly, gdy Czarna Błyskawica już polecił przyprowadzić jeńca oraz wdowę z dziećmi do tipi rady.

Bosman wkroczył do namiotu w asyście czterech Indian. Nawet ze związanymi do tyłu rękoma wyglądał imponująco. Wzrostem przewyższał strażników co najmniej o pół głowy. Poprzez strzępy koszuli widać było potężne, prężne mięśnie. Indianie spoglądali na jego obnażoną pierś, na której

widniał wielki tatuaż przedstawiający syrenę trzymającą w jednej ręce tarczę, a w drugiej podniesiony do góry miecz.

Bosman odważnie patrzył w twarze miedzianoskórych wojowników: do Tomka mrugnął nieznacznie okiem. Znow pierwszy odezwał się Czarna Błyskawica:

— Błada twarz zabiła naszego brata Przedrzeźniacza. Rada starszych wypowiedziała się w tej sprawie. Zabicie wojownika w otwartej walce przynosi zaszczyt każdemu mężczyźnie. Rada starszych zna szlachetne czyny bladej twarzy, zna jego odwagę i siłę oraz wie, że bladej twarzy sprzyja Indianom jako prawowitym właścicielom ziemi amerykańskiej. Dlatego też moi bracia nie żądają krwawej zemsty za zabicie w uczciwej walce naszego wojownika, lecz nasz brat Przedrzeźniacz pozostawił squaw i czworo dzieci. Nie możemy dopuścić, aby cierpieli niedostatek i głód. Rada starszych mówi tak: *„Niech bladej twarzy weźmie za żonę squaw zasmuconą śmiercią męża, niech troszczy się o nią i jej dzieci, a wtedy przyjmiemy bladą twarz do naszego plemienia i zapomnimy, że z ręki jego zginął mąż Przedrzeźniacz.”* Ugh, powiedziałem!

Tomek usłyszawszy ten dziwny wyrok z niepokojem spojrzął na przyjaciela. Według bosmana żona miała być dla marynarza tym, czym kotwica dla statku, bo jak kotwica przytrzymuje statek na jednym miejscu, tak żona uniemożliwia marynarzowi swobodną wólcę po świecie. A przecież bosman przepadał za wielką przygodą i czuł się najszcześliwszy podczas niebezpiecznych wypraw w świat.

Chłopiec pobladł widząc na twarzy serdecznego druha najpierw wyraz zdziwienia, a potem gniewu. Na domiar złego w tejże chwili do namiotu wsunęła się brzydka Indianka z czworgiem dzieci. Marynarz zerknął na nich z ukosa i siląc się na spokój rzekł:

— Dziękuję ci, Czarna Błyskawico, za swaty. Faktycznie, niejeden może by się ucieszył, gdyby mu ofiarowano żonę od razu z całą rodziną. Ale nie dla mnie ten rarytas. Co bym robił z liczną rodziną na statku? Żaden kapitan nie przyjąłby mnie do załogi. Tak jak wy wolicie zginąć z bronią w ręku, niż dać się zamknąć w rezerwacie, tak i ja wolę umrzeć, niż za cenę nędznego żywota wziąć babę z dziećmi. Nic z tego, czerwonoskóry brachu!

— Więc bladej twarzy odmawia? — zapytał Czarna Błyskawica.

— Jak amen w pacierzu, nic z tego nie będzie — zapewnił go bosman.  
— Może teraz powiedziałaś mi nareszcie, czego wy właściwie ode mnie chcecie? Napadacie spokojnego człeka na stepie, a kiedy broni swego życia, to zaraz wtykacie mu squaw z dzieciakami lub grozicie stryczkiem.

— Postępujemy według naszych zwyczajów — odparł Czarna Błyskawica. — Mimo że poprzysięgliśmy śmierć wszystkim białym, chcieliśmy przyjąć odważną bladą twarz do naszego plemienia. Skoro jednak odrzucasz tę propozycję, zginiesz przy palu męczarni. Czerwonoskórzy mężowie pamiętają wspaniałe czyny bladej twarzy, dlatego pozwolą mu umrzeć jak wielkiemu wojownikowi przystało. Powolna śmierć umożliwi ci jeszcze raz złożyć dowód wielkiego męstwa. Gdy już będziesz polował w Krainie Wiecznych Łowów, my specjalną pieśnią rozślawimy twoją niezwykłą odwagę. Ugh, powiedziałem!

— Dajmy bladej twarzy czas do namysłu do wschodu słońca — odezwał się Pogromca Grizzly.

— Może nasz brat Nah'tah ni yez'zi zechce jeszcze porozmawiać ze swoim przyjacielem.

— Dobrze, niech Nah'tah ni yez'zi porozumie się z jeńcem — zgodził się wódz. — Jutro przed wschodem słońca dowiemy się, co bladej twarzy wybrała: życie czy śmierć! Ugh!

— Czekajcie sobie, dokąd chcecie — mruknął marynarz. — Mnie tam już wszystko jedno. Nie słyszałem, żeby nieboszczyk kiedykolwiek spóźnił się na swój pogrzeb!

Straż wyprowadziła bosmana z namiotu narad.

## PRZY PALU MĘCZARNI

Po dłuższej rozmowie z Czarną Błyskawicą Tomek udał się do tipi, w którym trzymano więźnia. Strażnicy uprzedzeni przez wodza nie robili mu trudności, wszedł więc do namiotu i z rozpaczą spojrzął na związanego rzemieniami przyjaciela.

— Co też pan uczynił najlepszego, bosmanie? — odezwał się z wyrzutem. — Czy nie prosiłem, aby pan czekał na mnie na ranczo?

— Ano, masz rację! Palnąłem głupstwo, ale wierz mi, brachu, że nie szukałem zwady z tymi Indiańcami — odparł bosman spokojnie, patrząc na zdesperowanego druha.

— Wiem o tym, ale sytuacja jest bez wyjścia, a co najgorsze, sam pośrednio przyczyniłem się do naszej zguby.

Tomek opowiedział przyjacielowi o spotkaniu z Czarną Błyskawicą na Górze Znaków, o naradzie odbytej w tajemniczym kanionie i o obietnicy pomocy w odszukaniu Sally.

— Po wykopaniu topora wojennego na naradzie Pałacy Promień udał się z kilkoma Indianami na Górę Znaków, by powiadomić zaprzyjaźnione plemiona o wkroczeniu na wojenną ścieżkę. Jednocześnie miał się postarać o odpowiednią liczbę koni — mówił Tomek. — Podczas tej wyprawy Indianie przypadkowo napotkali pana, a co z tego wynikło, to już pan sam wie najlepiej.

— Faktycznie narobiłem niezłego bigosu — przyznał bosman. — Ale górą nasi, skoro Indianie podjęli się odszukać Sally.

Tomek bacznie spojrzął na bosmana. Czyżby nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji? Marynarz wyglądał trochę markotnie, ale nie było po nim widać strachu. Po krótkim namyśle Tomek doszedł do wniosku, że nie wolno mu pozostawiać przyjaciela w nieświadomości, odezwał się więc zdecydowanym, choć smutnym głosem:

— Niestety, panie bosmanie, nic już nie będziemy mogli pomóc biednej Sally.

— Jak to, brachu? Czyżby Indianie odmówili teraz swego udziału w poszukiwaniach? Ha, nie spodziewałem się tego po nich! Wyglądają przecież na honorowych chłopaków.

— Indianie nie cofnęli przyrzeczenia, ale gdy obydwaj zginiemy przy palu męczarni, to sami nie wyruszą na wyprawę — wyjaśnił Tomek zniecierpliwiony słowami przyjaciela.

— Do stu zdechłych wielorybów! Chyba słuch mój szwankuje — zawołał, teraz już przerażony i wściekły zarazem, bosman. — A czego oni znów chcą od ciebie? Byłem przekonany, że to tylko ja mam być zabity!

Tomek na chwilę zaniemówił. A więc bosman doskonale znał swe położenie, czyż więc absolutnie nie przejmował się perspektywą mąk i śmierci? Zbierało mu się na płacz.

— Więc pan przypuszczał, że pozostawię pana własnemu losowi? Jeżeli naprawdę przyjdzie panu zginąć, to zginiemy razem ramię przy ramieniu, jak przystało przyjaciołom.

Bosman gwałtownie szarpnął związanymi do tyłu rękami, aż zatrzeszczały suche rzemienie. Wyprostował się, nie zważając na to, że więzy wrzynają mu się w ciało, i krzyknął ostro:

— Nie pleć głupstw! Zakazuję ci w imieniu twego ojca, a ja go tutaj zastępuję! Przez własną głupotę wpakowałem się w tę kabałę i sam zapłacę głową! Ty masz święty obowiązek ratować nieszczęsną Sally. Pamiętaj, że zaparłbym się naszej przyjaźni, gdybyś postąpił inaczej! Każę ci jako twój przyjaciel i zastępca ojca, rozumiesz?!

Tomek cofnął się o krok przed groźnym spojrzeniem łagodnego zazwyczaj bosmana.

— Co by powiedzieli ojciec i pan Smuga, gdybym z założonymi rękami przyglądał się, jak Indianie pana torturują?! — szepnął przejęty grozą. — Czy mógłbym potem spojrzeć im w oczy? Nie, nie panie bosmanie, pan na pewno by tak nie postąpił na moim miejscu i niech pan tego ode mnie nie wymaga.

Marynarz nachmurzony milczał.

— Prawdziwych przyjaciół poznaje się w potrzebie. Nie opuszczę pana, chociaż tak bardzo mi żal biednej Sally... Poza tym musi pan wiedzieć jeszcze jedno. Czarna Błyskawica doskonale się orientuje, co nas łączy. Przed przyjściem tutaj oznajmiłem mu to i jednocześnie oświadczyłem, że zginę razem z panem.

— A co ten piekielnik na to? — ponuro zapytał bosman.

— Powiedział, że tak powinien postąpić szlachetny wojownik, którego szczepy Apaczów i Nawajów nazwały swoim bratem.

— Ha, więc tacy to oni twoi przyjaciele!

— Niech pan nie potępia Czarnej Błyskawicy — zaproponował Tomek. — Indianie mają wysoko rozwinięte poczucie honoru i przyjaźni. Oni by stracili dla mnie cały szacunek, gdybym teraz pana opuścił.

— Masz babo placek, ale żebyś miał zginąć razem ze mną... — zafrasował się bosman. — Spokoju nie zaznam w grobie... Co się stanie z tą naszą nieszczęsną sikorką?!

— Rozpacz mnie ogarnia, gdy myślę o Sally i pani Allan... — cicho powiedział Tomek. — Sally na pewno oczekuje od nas pomocy.

— Nie mów tak, brachu, bo wątroba przewróci się we mnie z żalości. Teraz widzisz sam, że musisz jej pospieszyć na ratunek. Człowiek w moim wieku nie przywiązuje wielkiej wagi do marnego żywota. Przecież z niejednego pieca już się jadło chleb. Raz się było pod wozem, raz na wozie. Trudno! Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka. Nie bój się, brachu, twój kumpel ani mrugnie okiem przy tym ich paliku. Tymczasem ty zbieraj się do kupy i odszukaj Sally.

— Nie, panie bosmanie! Albo ocalimy się obydwaj, albo razem zginiemy — stanowczo odparł Tomek. — Inaczej być nie może!

— Zastanów się tylko, ilu osobom sprawi ból twoja śmierć. Pomyśl o ojcu, panu Smudze, pani Allan, szeryfie, nie mówiąc już o małej Sally i twojej rodzinie w Warszawie. Tymczasem po mnie nikt nie będzie płakał.

— Widzę, że zapomniał pan o swoich rodzicach. Poza tym wszyscy, których pan wymienił, jednakowo będą opłakiwali tak mnie, jak i pana.

— Hmm, tak sądzisz? Miło to wiedzieć... Nie ma rady, wobec tego ty myśl o Sally. To twój obowiązek.

Tomek w milczeniu spoglądał na przyjaciela. Rozważał wszelkie możliwości uwolnienia bosmana, lecz trudno mu było wymyślić coś rozsądnego. Oswobodzenie przyjaciela z więzów nie przedstawiało większych trudności. Na nic to by się wszakże zdało. Indianie licząc się z taką ewentualnością obstawili strażą namiot i obóz, chociaż już samo położenie kanionu uniemożliwiłoby próbę ucieczki. Tomek doszedł do wniosku, że w obecnym położeniu było tylko jedno, jedyne wyjście. Czy jednak zdoła przełamać opór przyjaciela?

— Panie bosmanie — odezwał się po długiej chwili milczenia — czy pan naprawdę chciałby dopomóc Sally w odzyskaniu wolności?

— Czy chciałbym dopomóc? — zdumiał się marynarz. — Przecież tylko z tego powodu wpakowałem się w tę kabałę! Jak możesz o to pytać?

— Bo jest pewien sposób zażegnania zła, ale, niestety, wymaga on osobistego poświęcenia z pana strony...

— O czym ty znów mówisz?

— Niech pan się ożeni z tą Indianką, jak proponował Czarna Błyskawica — wyrzucił z siebie Tomek jednym tchem.

Wbrew przewidywaniom bosman nie wybuchnął gniewem. Siedział z opuszczoną na piersi głową i rozmyślał. W końcu odezwał się spokojnym, stanowczym głosem:

— Dla ciebie i Sally ożeniłbym się nawet z tą szpetną Indianką. Ale jest zasadniczy powód, dla którego nie mogę tego uczynić; przecież zabiłem jej męża. Może u czerwonoskórych taka rzecz uchodzi, ale ja nie jestem Indiańcem i tego nie zrobię. Jeżeli nie ma innego wyjścia, wybieram pal męczyński. Ty natomiast musisz wypełnić moją ostatnią wolę, a więc wyruszysz z Indiańcami na poszukiwanie Sally. Ha, żebym to chociaż miał jeden łyk jamajki!

— Ja mam! Na wszelki wypadek zabrałem na wyprawę małą butelkę. Teraz przyniosłem ją tutaj z myślą o panu — pospiesznie odparł Tomek, rad, że bosman zmienił temat.

Wydobył z kieszeni płaską buteleczkę i przyłożył jej otwór do ust przyjaciela. Bosman pociągnął spory łyk, mlasnął językiem, po czym wyciągnął się na skórach legowiska.

— Teraz, kochany brachu, idź i pomyśl spokojnie o wszystkim — rzekł. — Złym okazałem się opiekunem, więc nie będę udzielał ci rad. Sam wiesz najlepiej, co robić, aby odzyskać Sally. Sen mnie morzy. Prześpię się nieco przed tą indiańską zabawą. Pozdrów ode mnie panią Allan, ucałuj Sally, pokłoń się twemu szanownemu tatusiowi i panu Smudze. Dobranoc, kochany brachu, i... nie miej do mnie żalu...

Tomka dławiły łzy. Chciał coś jeszcze odpowiedzieć, ale bosman naprawdę przymknął oczy. Po chwili zachrapał w najlepsze. Gdy marynarz odwrócił się na bok, Tomek cicho wyszedł z namiotu.

Zmrok już zapadł. Obozowisko jakby opustoszało, tylko strażę czuwały. Tomek zapragnął jeszcze raz pomówić z wodzem. Wszedł do namiotu rady.



Na skórach przy ognisku siedziała samotnie młoda indiańska dziewczyna. Poznał ją. Była to Skalny Kwiat, córka naczelnego wodza.

— Gdzie jest wódz Czarna Błyskawica? — zapytał Tomek.

Indianka podniosła się i nieśmiało podeszła do niego.

— Czarna Błyskawica rozmawia z duchami wielkich przodków — odpowiedziała poprawną angielszczyzną.

— Czy długo tam będzie? — pytał Tomek, uśmiechając się smutno do Indianki.

— Tego Skalny Kwiat nie wie. Nah'tah ni yez'zi zapewne chciał się z nim zobaczyć?

— Tak, mam bardzo pilną sprawę do omówienia.

— Gdy Indianin rozmawia z duchami przodków, lepiej mu nie przeszkadzać. Wódz błaga duchy o pomoc w odnalezieniu młodej białej squaw. Czarna Błyskawica jest wielkim przyjacielem Nah'tah ni yez'zi.

Tomek uważnie spojrział na młodą dziewczynę. Była piękna i pełna wdzięku. Wiedział, że Indianki na ogół nie wdają się w rozmowy z obcymi mężczyznami. Czyżby więc Skalny Kwiat chciała powiedzieć mu coś niezwykle ważnego?

Po chwili wahania rzekł:

— Wielki wódz niepotrzebnie błaga duchy przodków o pomoc, ponieważ nie będziemy mogli wyruszyć na wyprawę.

— Dlaczego? Czy może z powodu tego białego, który zabił Przedrzeźniacza? — szepnęła Indianka współczująco.

Tomek potwierdził skinieniem głowy, a wtedy Skalny Kwiat pochyliła się ku niemu i powiedziała.

— Nah'tah ni yez'zi oddał wielką przysługę nie tylko Czarnej Błyskawicy, lecz całemu szczepowi. Nah'tah ni yez'zi zyskał wielu przyjaciół. Niech Nah'tah ni yez'zi zaufa Czarnej Błyskawicy...

W słowach Indianki było tyle życzliwości, że Tomkowi błysnął cień nadziei.

— Nie wątpię w szlachetność wielkiego wodza, lecz przecież jutro mój przyjaciel ma stanąć przy palu męczarni — powiedział żywo.

— Niech Nah'tah ni yez'zi nie pyta więcej — odparła Skalny Kwiat. — Dobre duchy zazwyczaj udzielają wielkim wojownikom rad podczas snu.

Niech więc mój biały brat uda się na spoczynek i nie niepokoi teraz Czarnej Błyskawicy.

Tomek podziękował dziewczynie przyjaznym skinieniem, po czym wyszedł z tipi. Nie ulegało wątpliwości, że Skalny Kwiat chciała mu dodać otuchy. Czyżby знаła jakieś tajne zamiary ojca?

Tomek zamyślony wolno minął rzędy namiotów, szedł chwilę w głąb kanionu poza obozowisko, gdzie był cmentarz, tak zwany „*krąg przodków*”. Poświata księżycowa srebrzyła nagie skały. Tomek przystanął, szukał wzrokiem...

Groźny, dumny wódz Apaczów i Nawajów siedział na ziemi opierając dłonie na kolanach skrzyżowanych nóg. Otaczało go szerokie koło utworzone z ułożonych na ziemi czaszek ludzkich. Dwie żerdzie obwieszane ludzkimi skalpami sterczały na dwóch kopcach usypanych na obwodzie niesamowitego koliska.

Co pewien czas Czarna Błyskawica zwracał się ku innej czaszce, przemawiał do niej, a potem milkł, jakby słuchał odpowiedzi. Tomek bezszelestnie przesunął się za pękaty kaktus. Wiedział, że Indianie prerii chowali swych zmarłych na platformach budowanych na drzewach bądź też wzniesionych na specjalnych rusztowaniach z grubych drągów. Dopiero po całkowitym rozpadzie ciała rodzina zmarłego zabierała z prowizorycznego grobu jego kości. Czaszki wodzów i zasłużonych wojowników układano w krąg na wybranym miejscu, resztę kości grzebano w kopcach. Co pewien czas lub gdy należało podjąć jakąś ważną decyzję, Indianie przychodzili na cmentarzysko zasięgać rady swych wielkich przodków. Wtedy właśnie zwierzali się czaszkom zmarłych ze swych kłopotów, prosili o wskazówki. Oczywiście ludzkie szczątki były tylko niemymi świadkami tych zwierzeń i próśb; przesądni Indianie odczytywali więc ich rady z lotu bądź krzyku ptaków, układu chmur na niebie czy też po prostu ze snów.

Tomek słyszał również o innym zwyczaju Indian leśnych, którzy co pewien czas przychodzili na mogiły swych krewnych, by oddać im cześć przez zapalenie na grobie małego ogniska. Jeżeli dym unosił się prosto ku niebu, było to widowym znakiem, że zmarły „*przeżywa*” szczęśliwe dni w Krainie Wiecznych Łowów.

Teraz Tomek był świadkiem długich narad Czarnej Błyskawicy z duchami jego przodków. Tarcza księżycy przesunęła się daleko ku zachodowi

i skryła się za strzelistą ścianą kanionu, gdy Indianin powstał z ziemi. Tomek przypomniał sobie słowa Skalnego Kwiatu, iż nie powinien przerywać wodzowi obrzędu. Szybko więc wycofał się do obozu i powrócił do swego tipi. Był tak znękaný przeżyciami minionego dnia, że gdy tylko ułożył się obok Czerwonego Orła na posłaniu ze skór, zaraz zasnął.

Nastał słoneczny, gorący, duszny ranek. Zaledwie Tomek wyszedł z namiotu, zaraz dostrzegł ogólne podniecenie mieszkańców obozu. Na placu narad wbity już w ziemię duży, gruby pał, wokół którego gromada wyrostków gromadziła naręcza chrustu. Wojownicy malowali swe ciała barwami wojennymi i sposobili broń.

Na ten widok niepokój Tomka odżył na nowo. Wczoraj po rozmowie ze Skalnym Kwiatem miał nadzieję, że Indianie zaniechają torturowania bosmana, a tymczasem dzisiejsza okrutna rzeczywistość przekreślała ją.

Złe przeczucia znów się wkradły w serce Tomka, gdy tym razem nie wpuszczono go do jeńca, Zdenerwowany i zalękniony udał się zaraz do tipi narad, gdzie zastał wodza otoczonego w pełni uzbrojonymi wojownikami. Nie udało mu się pomówić na osobności z Czarną Błyskawicą, a oficjalne wyjaśnienie brzmiało:

*„Prawu szczepowemu musi stać się zadość! Jeniec odrzucił propozycję rady starszych, wobec czego zginie przy palu męczarni.”*

Tomek zrozpaczony powrócił do swego namiotu. Oto zbliżała się decydująca, tragiczna chwila. Zginą obydwaj i nikt nawet nie będzie mógł powiadomić ukochanego ojca, że ta okropna rzecz stała się nie z powodu jego lekkomyślności. Łzy cisnęły mu się do oczu. gdy myślał o rozpaczach ojca i Smugi; dziwny ból wkradł się do serca na wspomnienie tragicznego losu Sally. A jednak mimo wszystko nie mógł teraz opuścić takiego przyjaciela jak bosman. Cóż mu wobec tego pozostało?

W ponurym milczeniu, zdeterminowany, nałożył pas z rewolwerami, sprawdził, czy broń lekko daje się wydobywać z pochew, wreszcie starannie nabił swój niezawodny sztucer.

Tak uzbrojony i przygotowany na najgorsze wyszedł z namiotu. Wmieszał się w tłum Indian. Czerwonoskórzy nie kryli zaciekawienia na widok Tomka, lecz nie spotkał się z jakimkolwiek nieprzyjaznym odruchem z ich strony.

Przed południem mieszkańcy zaginionego kanionu wylegli na plac narad. Niebawem pojawił się tam również wielki wódz Czarna Błyskawica otoczony małymi wodzami. Rozejrzał się wokoło, a wypatrzywszy Tomka w ciżbie, posłał po niego jednego z małych wodzów.

Tomek podszedł do Czarnej Błyskawicy, a ten odezwał się:

— Niech mój brat Nah'tah ni yez'zi pozostanie przy mnie. Stąd najlepiej wszystko widać. Zaraz rozpocznie się torturowanie jeńca.

Tomek nie odpowiedział, Stał po lewej stronie wodza. Z chwilą gdy wojownicy wyprowadzili z tipi bosmana Nowickiego, na placu rozległ się lament kobiet i krzyk dzieciarni. Indianki wraz z dziećmi obrzucały przechodzącego żwirem, usiłowały bić różgami, lecz wojownicy otoczyli jeńca zwartym kołem i tak przywiedli go do pała męczarni.

Marynarz, ubrany tylko w spodnie i koszulę, szedł pewnym krokiem nie zwracając uwagi na groźby i drwiny. Obojętnie spoglądał na wojowników przywiązujących go do słupa.

Zgodnie ze starym zwyczajem pierwszeństwo zemsty przysługiwało wdowie po Przedrzeźniaczu i jego dzieciom. Z krzykiem przyskoczyli do bosmana; bili go różgami, obrzucali kamieniami, lecz trwało to tylko krótką chwilę. Na znak Czarnej Błyskawicy Indianie usunęli kobiety i dzieci ze środka majdanu. Teraz uzbrojeni wojownicy w takt rytmu wybijanego na bębnach rozpoczęli wojenny taniec. Przebiegając obok więźnia strzelali do niego z łuków, rzucali tomahawkami i nożami, lecz nie wyrządzali mu na razie najmniejszej krzywdy. Pierzaste strzały, tomahawki i noże uderzały w pal tuż przy nim, ale do tej pory nie drasnęły go nawet, ponieważ były to tylko próby odwagi skazańca.

Dumna postawa bosmana oraz obojętność, z jaką poddawał się wszystkiemu, wzbudzały za każdym rzutem szmer uznania Indian. Ci nieustraszeni wojownicy przede wszystkim cenili męstwo i odwagę. Tomahawki coraz bliżej jeńca zagłębiały się w pal, a ten spokojnie czekał na śmierć.

Próby dobiegały końca. Oto na znak Czarnej Błyskawicy wojownicy przysunęli stosy gałęzi bliżej pała. Jeden z małych wodzów podbiegł z płonąca żagwią, zapalił suchy chrust. Zgodnie ze zwyczajem, Pałacy Promień, jako ten, który pojmał bosmana, miał prawo zadać mu śmiertelny cios. Powinno to nastąpić wtedy, gdy ciało jeńca osmali ogień.

Pałacy Promień starannie wybierał pierzastą strzałę zakończoną ostrym, metalowym grotem. Próbował siłę cięciwy, by jednym strzałem śmiertelnie ugodzić jeńca. W razie niepowodzenia wykpieno by go z pogardą. Strzała musiała utkwąć w sercu. Mijały chwile oczekiwania. W końcu Pałacy Promień przyłożył strzałę do cięciwy i, gotów do strzału, zwrócił się do Czarnej Błyskawicy, wypatrując skinienia — rozkazu.

Dym z płonącego ogniska dosięgał twarzy bosmana. Nieustraszony marynarz z Powiśla zrozumiał, że nadchodzi jego ostatnia chwila. Z cichym westchnieniem spojrzął w niebo, pobiegł myślą do swych starych rodziców w Warszawie, wspomniął przyjaciół, żał mu się zrobiło nieszczęsnej Sally, lecz aby odegnać smutne myśli, zaśpiewał gromkim głosem:

*Choć burza huczy wkoło nas,  
Do góry wznieśmy skroń...  
Nieustraszny dla nas burzy czas.  
Bo silną przecież mamy dłoń,  
Weselmy bracia się,  
Choć wichur w żagle dmie...*

Ze wszech stron rozległy się słowa podziwu — biały człowiek śpiewał podczas tortur, tuż przed śmiercią. Na takie bohaterstwo zdobywali się w dawnych czasach tylko niektórzy sławni Indianie. Nawet Pałacy Promień opuścił napięty już łuk.

Nagle stało się coś nieprzewidzianego. Przyjęty do plemienia biały brat Nah'tah ni yez'zi nagłym ruchem rzucił swój sztucer pod nogi otoczonego starszyzną Czarnej Błyskawicy i nim wódz zdążył go powstrzymać, pobiegł ku palowi męczarni. Przeskoczył przez płonący ogień, po czym własnym ciałem zasłonił bosmana.

— Nie mogę walczyć z moimi czerwonymi braćmi, ponieważ paliłem z nimi fajkę pokoju i przyjaźni, wolno mi jednak umrzeć z waszych rąk. Powiedziałem, że zginę razem z moim przyjacielem, i dotrzymuję słowa — zawołał Tomek. — Dalej, Pałacy Promieniu! A mierz celnie!

Jeszcze nie przebrzmiały jego słowa, gdy wiotka dziewczęca postać wysunęła się z kręgu oniemiałych ze zdumienia Indian, podbiegła szybko do pala i zdjętą z własnej szyi chustkę zarzuciła na głowę bosmana.

Indianie zamarli w bezruchu. Według odwiecznego zwyczaju indiańska dziewczyna zarzucając swą chustkę na głowę torturowanego jeńca oznajmiała, iż wybiera go sobie na męża i prosi o darowanie mu życia. Wszyscy zwrócili się ku Czarnej Błyskawicy — ostateczna decyzja należała do wodza plemienia. Nieme, pełne napięcia oczekiwanie malowało się w ich oczach, bo tym razem o łaskę dla jeńca prosiła córka wodza, Skalny Kwiat.

Czarna Błyskawica zbliżył się wolno do pała męczarni. Bosman, nie znający indiańskich zwyczajów, oczekiwał na śmiertelny cios. Postępek Tomka wzburzył go do głębi. O własne życie odważny zawalidroga nie troszczył się zupełnie, lecz świadomość, że Tomek ma zginąć razem z nim, sprawiała mu nieznośną udrękę. Któż wtedy przyjdzie Sally z pomocą?

Bosman przypuszczał, że indiańska dziewczyna z litości narzuciła mu na głowę chustkę, aby nie widział, jak Pałacy Promień wymierzy weń śmiertelną strzałę. Jakież więc było zdziwienie marynarza, gdy naraz odkryto mu głowę. Teraz z łatwością domyślił się, że stało się coś nadzwyczajnego. Przy nim stali: Tomek, Indianka i Czarna Błyskawica i odgradzali go od Pałacego Promienia, trzymającego napięty łuk.

Wódz Czarna Błyskawica patrzył na jeńca surowym wzrokiem. Na jego to rozkaz piękna Skalny Kwiat ocaliła białemu życie, mimo że od dawna kochała Pałacy Promień. Czarna Błyskawica domyślał się, co musiało się dzieć w sercu jego córki i młodego czerwonoskórego wojownika. Wódz świadomy był tego, lecz już się nie wahał. Przecież niemal całą noc spędził na cmentarzysku wśród wielkich przodków, których odwaga i prawość zyskały im nieśmiertelną sławę. Gdy w pożegnalnym pokłonie pochylił się przed ich szczątkami, nóż wysunął mu się zza pasa i upadł na ziemię, a wtedy Czarna Błyskawica, chcąc go pochwycić, mimo woli dotknął ręką wiszącego na szyi woreczka ze świętymi przedmiotami i fajką pokoju. Czyż to nie był widomy znak, że powinien zaprzestać walki i dochować zaprzysiężonej dwom białym przyjaźni? Przesądny Indianin przypadkowe zdarzenie poczytał za wskazówkę udzieloną mu przez niebiańskie moce. Wobec tego poświęcił córkę, chociaż pragnął jej szczęścia.

— Skalny Kwiat zarzuciła ci na głowę chustkę — odezwał się. — Oznacza to, że pragnie zostać twoją żoną i prosi o darowanie życia. Czy blada twarz chce się ożenić z Indianką i przystać do naszego plemienia?

— Do stu zdechłych wielorybów, że też nawet nie dacie spokojnie umrzeć człowiekowi! — krzyknął rozgniewany bosman. — Co was napadło z tymi swatami?

W tej chwili Tomek przystąpił do bosmana i powiedział po polsku:

— Czy pan naprawdę jest takim wielkim egoistą, że pragnie zguby swojej, mojej i nieszczęsnej Sally? Czy pan nie zdaje sobie sprawy, że szlachetny wódz pragnie za wszelką cenę ocalić nas od śmierci? On ofiarowuje panu własną córkę!

— Hm, nie spodziewałem się po nim, że ma taką ładną córkę! — mruknął bosman zmieszany tą wiadomością. — Zrozum, brachu, ja nie chcę się żenić! Żona dla marynarza to jak kotwica...

— Niech pan przestanie! — ostro przerwał wzburzony Tomek. — Nie ma pan prawa gubić Sally przez swój... upór. Do ślubu jeszcze daleko, najpierw wyprawa wojenna. Kto wie, co w tym czasie może się wydarzyć?

— Czy jesteś pewny, że nie każą mi się zaraz żenić? — upewnił się ściszym głosem marynarz.

— Na pewno nie! Niech pan tylko spojrzy na Pałacy Promień, a pojmie pan sam, że potem znajdziemy jakieś rozsądne wyjście z tej sytuacji — cicho dodał Tomek.

— Ha, jakbyś mi dał połknąć balsamu! — odsapnął bosman, — Faktycznie, wygląda na to, że jakoś się z tego wykaraskamy.

— Niech więc pan teraz przyjmie propozycję wodza i podziękuj mu!

Bosman westchnął jak miech kowalski i rzekł:

— Przyjmuję, Czarna Błyskawico, twoją propozycję. Dziękuję też temu Skalnemu Kwiatuskowi za dobre serce! Widocznie nie było mi jeszcze pisane przenieść się do waszej Krainy Wiecznych Łowów.

Wódz poważnie skinął głową i polecił córce przeciąć rzemienie krępujące jeńca. Skalny Kwiat wydobyła zza pasa mały nóż. Po chwili bosman rozcierał już zdrtwiałe ręce.

— Teraz udamy się do tipi narad w celu wypalenia fajki przyjaźni, a następnie natychmiast wyruszamy na wyprawę? — oświadczył Czarna Błyskawica.

Naraz przed bosmanem stanął Pałacy Promień dzierżąc w dłoni krótką dzidę. Groźnym wzrokiem obrzucił białego olbrzyma, po czym odezwał się:

— Jeżeli obydwaj szczęśliwie powrócimy z wojennej wyprawy, stoczymy walkę na śmierć i życie!

Jednocześnie, jako wyzwanie na pojedynek, rzucił przed stopy bosmana dzidę. Bosman, jak przystało na człowieka honoru, podniósł dzidę i odrzucił ją w ten sam sposób Indianinowi.

— Niech będzie tak, jak sobie życzysz. Palący Promieniu — odpowiedział. — Chociaż myślę, że nie będziemy się kłócili. Morus chłop jesteś, brachu!

— Ugh! Moi bracia mogą stoczyć walkę po wyprawie — przyzwolił Czarna Błyskawica. — Wojownicy mają prawo postępować według swej woli.

Tomek odetchnął z ulgą.



## TANIEC DUCHA

Bosman napuszony jak paw opuścił tipi narad. Po wypaleniu fajki pokoju i przyjaźni Indianie przyjęli go do swego plemienia. Jednocześnie jako dzielnemu wojownikowi nadali mu zaszczytne imię. Ono to właśnie stało się powodem niezwykłej dumy bosmana. Gdy zastanawiano się nad wyborem imienia, Czarna Błyskawica przypomniał radzie starszych, jak to bosman na rodeo uderzeniem pięści powalił buhaja. Czarownik, Pogromca Grizzly, zaproponował, aby nazwać marynarza „*Grzmiącą Pięścią*”. Rada starszych jednogłośnie wyraziła zgodę. Grzmiąca Pięść stał się członkiem plemienia Apaczów.

Na wyprawę miano wyruszyć zaraz po wieczornej uroczystości, do której wszyscy czynili gorączkowe przygotowania. Tomek za zgodą Czarnej Błyskawicy wysłał na ranczo Czerwonego Orła, zlecając mu zawiadomić szeryfa i panią Allan o nowych poszukiwaniach Sally i poprosić o zniszczenie wręczonego listu.

Tego dnia jeszcze przed wieczorem zapłonęły w obozie ogniska. Wkrótce miały się rozpocząć obrzędy. Czerwony Orzeł, traktujący Tomka niemal jak własnego brata, zdradził mu w zaufaniu, że tego wieczoru ujrzy tajemniczy Taniec Ducha, rytualny taniec wyznawców idei wyzwolenia Indian z niewoli.

Obydwaj przyjaciele niezmiernie byli ciekawi widowiska, usadowili się więc już wcześniej tak, by wszystko móc widzieć.

Taniec rozpoczął się wkrótce. Najpierw weszła na plac gromada Indian z podłużnymi jak beczułki bębnami. Przysiedli na uboczu i zaraz rozległo się jednostajne dudnienie. Na to hasło z namiotów zaczęli się wysuwać tancerze okryci kocami bądź ubrani w białe bawełniane koszule ozdobione świętymi symbolami i siadali w pierwszym szeregu widzów. Bębny zagrały gwałtowniej — kilku tancerzy podniosło się; ujęli się za ręce i zaczęli wolno krążyć wokół. Stopniowo inni się do nich przyłączali. Powstał wielki krąg, w którego środek wbiegło czterech czarowników, powiewając krótkimi różdżkami zdobnymi w ptasie pióra. Bębny zawarczały jeszcze mocniej. Tancerze natychmiast usiedli kołem na ziemi w miejscu, w którym stali, a czarownicy tańczyli dalej. Tempo tej swoistej muzyki wzrastało z każdą

chwila: czarownicy poruszali się coraz szybciej... Gdy bębny przycichły, usiedli na ziemi.

Bębny ozwały się znowu. Tancerze poderwali się z miejsca; znów tańczyli w koło i znów coraz to szybciej wirowali. Czarownicy po jednym włączali się w krąg tańczących. Tempo jego wzrastało z każdą chwilą; niektórzy z tańczących słabli, wtedy czarownicy podbiegali do nich i, powiewając im przed twarzą różdżkami, jakąś tajemniczą siłą wciągali ich do środka koła.

Tomek i bosman zaciekawieni powstali z ziemi, by lepiej widzieć. W roztańczonym kolisku działo się coś niezwykłego. Czarownik, Pogromca Grizzly, powiewał różdżką przed twarzą jednego z tancerzy, który zdradzał coraz większą niemoc — słaniał się na nogach, aż w końcu, wprawiony przez czarownika w stan hipnotyczny, runął twarzą na ziemię. Czarownicy przyprowadzili przed Pogromcę Grizzly następnych zmęczonych tancerzy, którzy pod działaniem różdżki niebawem padali nieprzytomni.

Niektórzy z tańczących zrywali z siebie koce i powiewali nimi, aby odegnąć obce duchy. Szybkie, pełne groźnej wymowy ruchy, przeraźliwe krzyki mieszające się ze słowami dzikiej pieśni upodobały ich do prawdziwych demonów. W końcu wszyscy już tańczyli na pół przytomni, w ekstatycznym transie.

Według mniemania Indian, dusze tańczących oddzielały się od ich ciał, unosiły w Krainę Ducha i tam obcowały ze zmarłymi przodkami. Odrodzenie siły Indian miało nastąpić przez nawrót do dawnych zwyczajów. Ekstatyczny taniec towarzyszący obrzędowi miał łączyć rewolucjonistów z duchami zmarłych Indian, przebywającymi w Krainie Wiecznych Łowów i patronującymi dążeniom wolnościowym swego ludu. Z tego powodu obrzęd ten przybrał nazwę Tańca Ducha.

Koło tańczących znacznie się przerzedziło. Najwytrwalsi tancerze byli już u kresu sił, gdy naraz umilkły bębny. Wirujące koło znieruchomiało. Uśpieni przez Pogromcę Grizzly tancerze zaczęli się budzić.

Czarna Błyskawica, ciężko jeszcze oddychając, zatrzymał się przed Tomkiem i bosmanem. Nie zdążył nawet zrzucić obrzędowego stroju — koszuli obramowanej frędzlami z ludzkich włosów. Wielki czarny ptak namalowany na jego piersiach rozpinał skrzydła do lotu.

Wódz przez chwilę spoglądał w twarze swych nowych przyjaciół, nim rzekł:

— Taniec Ducha oznacza śmierć dla wszystkich białych twarzy. Tym razem przyniesie on zgubę tylko waszym wrogom. Szlachetna Biała Róża odzyska wolność lub, gdyby było na to za późno, będzie krwawo pomszczona. Ugh! Niech moi bracia przygotowują się do drogi.

Tomek wzburzony tym, co przed chwilą widział, nie mógł wyrzec słowa, skinął jedynie głową na znak zgody, lecz zawsze praktyczny i nie przejmujący się niczym bosman, odparł swobodnie:

— Słuchaj, Czarna Błyskawico, cenię ludzi honorowych, którzy dotrzymują przyrzeczeń danych przyjaciołom. Od dzisiejszego dnia możesz na mnie liczyć w każdej okoliczności.

Mówiąc to nachylił się do wodza i szepnął znacząco:

— Bądź spokojny. Skalnemu Kwiatuszkowi nie stanie się z mej strony jakakolwiek krzywda.

Czarna Błyskawica długo patrzył w jasne, budzące zaufanie oczy marynarza. Trudno odgadnąć, co się działo w tej chwili w jego sercu.

— Ugh! Nie wyglądasz na człowieka, który miałby dwa języki — powiedział jakby do siebie, po czym dodał głośno: — Zaraz wyruszamy w drogę.

— Czy mógłbyś, wodzu, pożyczyć mi jaką szkapę? — zagadnął bosman. — Mój poczciwina został martwy na stepie...

— Biały brat nie musi się o to kłopotać. Będzie miał mustanga. Teraz właśnie udamy się po konie.

Była już głucha noc, gdy Czarna Błyskawica dał hasło do wymarszu. Dwudziestu uzbrojonych wojowników powiodł skalną ścieżką wykuta w stromej ścianie kanionu. Wspięli się na szczyt okalający z tej strony kanion. Bosman korzystając z chwili odpoczynku szepnął do Tomka:

— Słuchaj, brachu. Indianie znają jeszcze inną, wygodniejszą drogę do swego obozowiska. Gdy wieźli mnie związanego jak barana, przez cały czas jechaliśmy na szkapach, a przecież nie czułem, abyśmy pieli się po górach.

— To bardzo prawdopodobne — odparł szeptem Tomek. — Tędy nie wprowadziliby ani bydła, ani koni do swego kanionu. Po prostu nie chcą zdradzić przed nami położenia kryjóWKI. Tą zaś drogą niełatwo trafić do obozu. Sam się pan o tym przekona.

— Czort z nimi! I tak byśmy nikomu nie zdradzili ich tajemnicy. Brr nie lubię łażenia po górskich rozpadlinach! Czy masz jeszcze łycek jamajki?

— Mam, panie bosmanie.

— To daj, brachu, bo całkiem zaschło mi w gardle.

Bosman opróżnił do reszty butelczynę.

— Ha, raźniej mi teraz na duszy i ciele — mruknął. — Morus chłop z Czarnej Błyskawicy. No, no, musieli ci Amerykańcy dopiec mu do żywego, skoro zaprzysiągł im krwawą zemstę. Podoba mi się ten mój przyszły teść! Słuchaj, brachu! Tyś mnie zmusił do zaręczyn z tą wdzięczną dziewczynką, twoja więc głowa, żeby z małżeństwa były nici. Kapujesz?

Po pomyślnym wywikłaniu bosmana z opresji Tomek nabrał humoru. Z ukosa spojrzął na przyjaciela i odparł z udaną obojętnością:

— Nie wiadomo, czy Skalny Kwiat zgodzi się na unieważnienie zaręczyn. Musi pan wiedzieć, że Indianie poważnie traktują te sprawy. A może pan zakocha się w niej naprawdę?

— Ejże, brachu! Nie próbuj wystawić mnie do wiatru! Sam mówiłeś, że ona i Pałacy Promień mają się ku sobie.

— Mogłem się przecież pomylić...

— Coś mi to pachnie zdradą — podejrzliwie powiedział bosman. — Córka wodza to za wielki dla mnie rarytas. Co bym zrobił z taką damą? Już ty mnie lepiej nie doprowadzaj do ostateczności...

— Niech się pan uspokoi — roześmiał się Tomek. — Żartowałem tylko. Jeżeli nie popełni pan jakiegoś nowego głupstwa, to wszystko na pewno ułoży się jak najlepiej. Czy pan już zapomniał o wyzwaniu Pałacego Promienia?

— Iiii, tam! Nie mógłbym mu zrobić krzywdy przez wzgląd na tę szlachetną dziewczynę.

— Teraz pan mówi do rzeczy.

— Możesz być pewny, że tak myślę naprawdę — gorąco dodał bosman. — Jestem jej winien wdzięczność i nie zawiedzie się na mnie. Uspokoilem co do tego Czarną Błyskawicę, a u mnie słowo to święta rzecz.

Rozmowę przyjaciół przerwało hasło do dalszej drogi. Po kilkunastogodzinnym uciążliwym marszu w jednej z kotlin śródgórskich zastali dwóch Indian czekających na nich z odpowiednią liczbą mustangów.

Przez resztę nocy jechali przez rozległe skłony pasma górskiego. O świcie znaleźli się już w stepie. Swoim zwyczajem Indianie ruszyli gęsiego, aby

pozostawić jak najmniej śladów na ziemi. Truchtem posuwali się na północny wschód. Po jakimś czasie dogonili dwudziestu pieszych wojowników, którzy zapewne inną drogą i wcześniej opuścili zagubiony wśród dzikich gór kanion. Teraz cała grupa liczyła około czterdziestu ludzi. Każdy jeździec zabrał na swego konia jednego pieszego wojownika. Konie obciążone podwójnym ciężarem szły wolniej. Dopiero około południa stracili z oczu widniejące w dali na zachodzie pasmo gór z charakterystyczną, znaną Tomkowi Górą Znaków. Wokoło rozciągał się, jak okiem sięgnąć, tylko step. W pewnej chwili wódz zatrzymał pochód.

Indianie zeskoczyli z mustangów; uwiązali je na arkanach i puścili, by się popastry. Dwudziestu pieszych wojowników oddaliło się nieco od jeźdźców i usiadło na ziemi szerokim kołem.

Tomek i bosman sądzili, że odbędzie się jeszcze jakaś narada. Wkrótce jednak Czarna Błyskawica wyjaśnił im powód postępu:

— W kanionie nie możemy trzymać zbyt wielu koni, tam przede wszystkim musimy dbać o wyżywienie stada bydła. Gdy potrzebujemy mustangów, korzystamy ze starego zwyczaju plemion Saksów i Lisów<sup>191</sup>, które na wyprawy wojenne wzajemnie ofiarowywały sobie mustangi.

— Czyżby Saksowie i Lisy przenieśli się teraz do Nowego Meksyku? — zapytał Tomek. — Jak słyszałem, mieszkali oni w okolicy jeziora Michigan.

— Nah'tah ni yez'zi nie myli się. Saksowie i Lisy nie przenieśli się w te strony — wyjaśnił Czarna Błyskawica. — Jednakże wzorując się na ich zwyczaju, zwróciliśmy się z prośbą do naszych przyjaciół w rezerwacie o ofiarowanie nam mustangów na wyprawę. Sposób, w jaki wojownik otrzymuje konia, zwalnia go z jakiegokolwiek zapłaty ofiarodawcy.

— Jak to się odbywa?

— Surowy i, jak by powiedzieli biali, dziki to zwyczaj, lecz godny naśladowania przez prawdziwych synów tej ziemi. Zaraz moi bracia zaspokoją swoją ciekawość, gdyż oto już nadjeżdżają ofiarodawcy mustangów.

Podeszli do koliska siedzących na ziemi Indian, którzy palili krótkie fajki, nie zwracając uwagi na zbliżających się jeźdźców.

---

<sup>191</sup> — Saksowie i Lisy (Sacs, Foxes) — szczepy Indian znad zachodnich wybrzeży jezior Michigan i Superior — obecny stan Wisconsin.

Indianie nadjeżdżający na mustangach ujrzeli usadowionych na ziemi wojowników, krzykiem przynaglili swe wierzchowce. Po chwili dwudziestu jeźdźców, jadąc jeden za drugim, zaczęło w pełnym galopie okręzać odwróconych do nich plecami, palących fajki wojowników. Jeźdźcy coraz bardziej zwężali koło, aż w końcu mknęli tuż przy siedzących na ziemi. Gdy jakiś jeździec upatrzył już sobie tego, któremu chciał ofiarować swego mustanga, wtedy grubym, długim batem uderzał wybrańca w plecy lub przez ramię, mknąc dalej, by za następnym okrążeniem znów smagnąć go biczem, i powtarzał to, dopóki krew nie spłynęła z ran po uderzeniu. Wtedy natychmiast zatrzymywał konia, wręczał wojownikowi arkan zastępujący cugle i mówił:

— Ofiaruję ci konia, lecz będziesz za to nosił mój znak na plecach.

Od tej chwili Indianin proszący o konia stawał się jego właścicielem, a rana po razach otrzymanych biczem, jako zapłata za mustanga, nie przynosiła mu ujmy. Ofiarodawca natomiast miał tę satysfakcję, iż inny wojownik nosił jego „znak”, i mógł wychwalać swą wspaniałomyślność przy różnych uroczystych okazjach.

Zwyczaj ten nazywany był przez Indian „wypalaniem koni”, ponieważ proszący o wierzchowca powinien spokojnie palić fajkę w czasie, gdy bicz spadał na jego plecy. W ten sposób wykazywał zupełną obojętność na zadawany mu ból.

Niebawem wszyscy wojownicy Czarnej Błyskawicy otrzymali mustangi. Wkrótce też przybyło jeszcze dwóch jeźdźców, w których Tomek i bosman rozpoznali swych starych znajomych: wodza Długie Oczy i Chytręgo Lisa.

Ku radości Tomka obydwaj wodzowie mieli razem z nimi wyruszyć na wyprawę.

Pożegnanie ofiarodawców koni nie obyło się bez wypalenia tradycyjnej fajki pokoju. Z tego powodu upłynęło sporo czasu, zanim wojownicy dosiedli mustangów i ruszyli z kopyta w kierunku południowo–zachodnim.

Jechali gęsiego: na samym czele Czarna Błyskawica, Długie Oczy, Chytry Lis, Tomek i bosman. Doświadczony wódz Czarna Błyskawica nie zaniedbywał środków ostrożności tak koniecznych na wojennej ścieżce. O kilkaset metrów przed oddział wysunęli się dwaj zwiadowcy, których zadaniem było uważne penetrowanie terenu i ostrzeżenie głównych sił przed ewentualnym niebezpieczeństwem..

Posuwali się na razie bez jakichkolwiek przeszkód. Dopiero tuż przed wieczorem przednia straż przywiodła przed wodza trzech wojowników, których zaraz po pierwszej naradzie wojennej w zagubionym kanionie wysłano na przeszpiegi w okolicę ranczo Don Pedra. Wszyscy radzi byli dowiedzieć się, jakie przynoszą wiadomości.

Tomek i bosman stanęli u boku Czarnej Błyskawicy.

— Skąd powracają moi bracia? — zagadnął wódz.

— Zgodnie z twoim rozkazem udaliśmy się na ranczo Meksykanina Don Pedra — odpowiedział jeden ze zwiadowców, zwany z powodu blizny na policzku Przeciętą Twarzą.

— Cóż wiec za wiadomości przynoszą moi bracia? — indagował Czarna Błyskawica.

— Nie zdołaliśmy ustalić, czy Don Pedro dokonał napadu na szeryfa Allana. Jego ludzie zapewnili nas, że nie opuszczał swego ranczo od rodeo w Douglas — odparł Przecięta Twarz. — Nie wiemy również, czy w jego domu znajduje się Biała Róża. Jesteśmy natomiast pewni, że klacz Nil'chi ukrywana jest w specjalnym korralu, który biali ludzie nazywają stajnią.

— Ugh! Skąd moi bracia dowiedzieli się o tym? Czy może widzieli klacz Nil'chi?

— Nie mogliśmy jej widzieć, ponieważ dwaj Metysi pilnie strzegą korralu. Zapewnił mnie jednak o tym pewien znajomy peon<sup>192</sup>, który widział, jak klacz Nil'chi zrzuciła z siodła Don Pedra. Od tej pory nie wyprowadzają konia z korralu, chcą go głodem nakłonić do posłuszeństwa.

— To podobne do tego draba — zawołał bosman Nowicki. — Więc maczał w tym wszystkim swoje brudne paluchy!

— Byłem tego pewny, gdy Nah'tah ni yez'zi wspomniał, że Meksykanin chciał kupić konia po rodeo — dorzucił Czarna Błyskawica, a zwracając się do zwiadowcy, zapytał; — Czy ten znajomy peon nic nie słyszał o Białej Róży?

— Nic o niej nie wie. Peoni nie mają wstępu na ranczo.

— Czy dom jest strzeżony? — dalej pytał wódz.

— Tak, służba Don Pedra składa się z samych Pueblosów, którzy nikogo nie wpuszczają.

---

<sup>192</sup> — Peon — w Ameryce Łacińskiej: wyrobnik, bezrolny chłop-robotnik, dawniej dłużnik odrabiający przymusowo długi.

Czarna Błyskawica spojrzał znacząco na Tomka i bosmana.

— Czyż szeryf Allan nie przypuszczał, że napadu dokonali Indianie Pueblosi?

— Warto by wziąć Meksykanina na spytki — doradził bosman. — Musi niejedno wiedzieć.

— Odwiedzimy Don Pedra na jego ranczo — postanowił Czarna Błyskawica.

— Na pewno dobrowolnie nic nie powie. Wygląda na podłego i mściwego człowieka — zauważył Tomek.



## NA WOJENNEJ ŚCIEŻCE

Głucha noc rozpościerała się jeszcze nad stepem. Długi łańcuch jeźdźców, jak korowód duchów, bezszelestnie przemykał po najeżonym kaktusami bezdrożu. Nie było słyszeć stąpania koni, nie ozwał się głos ludzki ani nie krzyknął nocny ptak. Wokół panowała martwa cisza.

Tomek puścił wolno cugle wierzchowca, który szedł równo w szeregu nawykły do takich pochodów. Oparł dłonie na łęku siodła. Zdawało mu się, że wszyscy muszą słyszeć bicie jego serca. Podniecenie chłopca było całkowicie zrozumiałe. Czyż ta niezwykła cisza nie była zapowiedzią rychłej okrutnej walki? Z lękiem rozmyślał o najeździe na rancho Don Pedra. Tymczasem decydująca chwila zbliżała się wielkimi krokami.

Przynajmniej od godziny znajdowali się zapewne w pobliżu sadyb ludzkich, bo Czarna Błyskawica nakazał wszystkim bezwzględne milczenie, a ponadto polecił obwiązać szmatami kopyta mustangów, aby stłumić tętent.

Myśli Tomka nurtowała rozprawa z Don Pedrem. Oczywiście nie chodziło mu o podstępnego, mściwego Meksykanina, który przecież zasłużył na surową karę. Jeżeli klacz Nil'chi znajdowała się obecnie na jego rancho, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że przyczynił się on także do porwania Sally. Trudno również było przypuszczać, aby na wieść o napadzie okoliczni Meksykanie nie pospieszyli mu na pomoc. Taka właśnie ewentualność mogła spowodować starcie z niewinnymi ludźmi, czego Tomek obawiał się najbardziej.

Tomkowi powierzono danie hasła całemu oddziałowi Indian do rozpoczęcia ataku. Zgodnie z planem ustalonym na wojennej naradzie, Tomek z trzema wojownikami mieli najpierw podkraść się do stajni, w której według relacji zwiadowców, Don Pedro ukrywał klacz, aby to sprawdzić. W razie potwierdzenia się tej wiadomości, grupa Tomka powinna uprowadzić Nil'chi w bezpieczne miejsce. O wykonaniu zadania Tomek miał powiadomić główne siły strzałem z rewolweru. Na ten dopiero znak wolno było wszystkim Indianom uderzyć na rancho.

Bosman bardzo niechętnie zgodził się na powierzenie Tomkowi niebezpiecznej misji. Klacz była przecież przyczyną zatargu, przeto można było się spodziewać, iż jest pilnie strzeżona i że pierwsza walka rozegra się

właśnie o nią. A tymczasem, w myśl zaleceń Czarnej Błyskawicy, straż pilnującą konia należało unieszkodliwić bez przedwczesnego zwrócenia uwagi innych mieszkańców. Nie było to więc ani bezpieczne, ani łatwe zadanie. Czarna Błyskawica zdołał jednak przekonać bosmana, iż jedynie Tomek, którego klacz znała najlepiej, mógł pokusić się o spokojne wyprowadzenie płochliwego rumaka ze stajni.

Na dane przez Tomka hasło bosman z inną grupą Indian mieli zdobyć dom Don Pedra i uwolnić Sally, jeśli się tam znajdowała. Im również powierzono ujęcie samego Don Pedra. Osobny oddział wyznaczono do zaatakowania służby ranczera. Było bowiem pewne, że się będzie bronić.

Wódz liczył się również i z tą ewentualnością, iż mogą nie znaleźć Sally na ranczo Meksykanina. W takim wypadku wzięty do niewoli Don Pedro musiałby zdradzić miejsce jej ukrycia.

Rozmyślenia Tomka przerwało ciche parsknięcie mustanga Czarnej Błyskawicy. Jeźdźcy natychmiast wstrzymali wierzchowce. Czarna Błyskawica skinął na Chytrego Lisa, Tomka, Pałącego Promienia i Przeciętą Twarz. Tej właśnie grupie zlecał wykonanie niebezpiecznego zadania wstępnego.

— Niech moi bracia zsiądą z mustangów — polecił zeskakując z wierzchowca.

Poprowadził ich przez kaktusowy gąszcz w pobliżu pagórka, na którym widniały zabudowania.

— Oto ranczo Don Pedra — odezwał się szeptem. — Wódz Chytry Lis powie, co Nah'tah ni yez'zi ma dalej czynić. Jeżeli nie usłyszemy strzału, będziemy tutaj czekać na wiadomość od was. Niech moi bracia mają szeroko otwarte oczy i uszy. Spieszcie się, niebawem zacznie świtać.

Pierwszy ruszył Chytry Lis z Przeciętą Twarzą, który znając już teren działania, był im przewodnikiem. Tomek i Pałący Promień szli gęsiego. Wykorzystując kaktusy oraz krzewy jako osłonę, szybko skradali się ku ranczo. Zdwoili ostrożność, wśród poletek kukurydzy zaczerwieniły się małe indiańskie domki zbudowane z adoby.

Przy jednym z domostw rozległo się szczekanie psa. Przecięta Twarz uspokoił go, pobrząkując z cicha naszymi koralami i kłów zwierzęcych. Zatrzymali się pod osłoną krzewów. Ostrożnie rozchylili gałęzie. Tomek

ujrzał sporą drewnianą stajnię o płaskim dachu, a w pewnej odległości od niej kontury rozległego budynku, zapewne siedziby Don Pedra.

— Tutaj znajduje się korral, w którym, jak zapewnili peoni, Meksykanin trzyma Nil'chi — szepnął Przecięta Twarz.

Chytry Lis wysunął głowę z gąszczu. Uważnie rozejrzał się po okolicy, po czym cicho rzekł:

— Niech moi bracia poczekaają tu na mnie...

Opadł na ziemię, wyśliznął się z krzewów. Stracili go z oczu. Tomek nasłuchiwał czujnie. Wokół panowała niczym nie zmacona cisza. Niebo zaróżowiło się lekko na wschodzie. W porannej mgłę wyraźniej zaczerwieniły się kontury zabudowań. Chociaż Tomek cały zamienił się w słuch, nie zdołał złowić nikłego szmeru kocich kroków Chytrzego Lisa. Zauważył go też dopiero wtedy, gdy stanął przed nim.

— W korralu Don Pedra jest jakiś obcy koń — szepnął Indianin, — Słysząc jak ociera się o deski i bije kopytami. Może to Nil'chi. Drzwi są zamknięte od wewnątrz. Ciekawe, ilu strażników pilnuje konia?

— Co teraz zrobimy? — cicho zapytał Tomek.

— Chytry Lis zamieni się w głodnego kojota i będzie niepokoił konia. Wtedy któryś ze strażników wyjdzie, aby przepłoszyć dzikie zwierzę. Moi bracia ukryją się tuż za ścianą korralu i postarają się szybko unieszkodliwić strażnika — wyjaśnił Chytry Lis.

— Ugh! Ugh! — szepnęli Pałacy Promień i Przecięta Twarz.

Indianie nie zabrali na wypad długich karabinów. Teraz mieli przy sobie tylko noże i tomahawki, a Przecięta Twarz niósł ponadto kołczan ze strzałami oraz łuk. Tomek natomiast, prócz noża, uzbrojony był w rewolwer i sztucer, z którymi zazwyczaj nie rozstawał się podczas wypraw. Dwaj Indianie i biały chłopiec podkradli się do stajni; przycupnęli przy narożniku. Kilka kroków od nich, tuż za załomem ściany, znajdowały się jednoskrzydłowe drzwi.

Zaledwie znaleźli się przy budynku, wewnątrz rozległo się ciche rzenie. Jakiś mustang zaczął się niespokojnie kręcić; uderzał kopytami w ogrodzenie, ocierał się o drewnianą ścianę.

Tomek nie mógł się opanować. Był niemal pewny, że to Nil'chi zwietrzyła jego obecność. Nie zwracając uwagi na ostrożność, przyłożył usta do szczeliny pomiędzy deskami i wyszeptał:

— Nil'chi, Nil'chi!

Głośne rżenie konia nie pozostało bez następstw.

— Caramba! — zaklął ktoś po hiszpańsku wewnątrz stajni. — To przeklęte bydlę ma jeszcze się awanturować się po nocy!

Trzask bicia i kwik konia ozwały się niemal jednocześnie. Na całe szczęście w tej chwili zawył przeraźliwie kojot.

— Hej, Leone, wygarnij no ze strzelby do tego kojota — rozległ się inny głos.

— Caramba, nawet wyspać się nie można przez tego konia...

Tomek nerwowo zacisnął dłonie na sztucerze; usłyszał szuranie nóg i stukot otwieranej zasuw. Pałacy Promień obejrzał się na Przeciętą Twarz. Błyskawicznie porozumieli się wzrokiem, po czym obydwaj bezszelestnie podskoczyli ku drzwiom stajni. Tomek ostrożnie wychylił głowę zza węgła. W pobliskich krzewach znów ozwało się przeciągłe wycie kojota. Pałacy Promień i Przecięta Twarz przylgnęli do ściany tuż przy drzwiach, które otwierając się zasłoniły ich przed wzrokiem uzbrojonego w strzelbę Metysa.

Krępy strażnik ziewnął głośno i zaklął. Przystanął wypatrując kojota. Pałacy Promień jak cień wysunął się zza rozchylonych drzwi. Dwoma skokami stanął za strażnikiem. Lewą dłonią chwycił go za gardło, podczas gdy prawą uderzył w głowę tomahawkim obróconym na płask. Niemał jednocześnie Przecięta Twarz skulony zniknął w stajni.

Wydarzenia potoczyły się z niezwykłą szybkością. Chytry Lis wynurzył się z krzewów i biegł pomóc Przeciętej Twarzy. Tomek podążył za nim, lecz Przecięta Twarz już wycierał zakrwawiony nóż w koc okrywający szczelnie drugiego strażnika.

Nil'chi jak szalona miotła się po małej zagrodzie. Tomek bez chwili namysłu odsunął rygiel i stanął przed rozhukanym koniem. Klacz przysiadła na zadzie, po czym stanęła dęba. Tomek odważnie zbliżył się do parsającego rumaka, oparł dłoń na jego karku i szepnął:

— Nil'chi, kochana moja Nil'chi!

Klacz lekko opadła na przednie nogi. Szeroko rozwarte chrapy dotknęły twarzy Tomka, który przygarnął do siebie głowę klaczy.

— Nah'tah ni yez'zi! Wyprowadź szybko konia! — przynaglił Chytry Lis.

Pozostali dwaj Indianie otworzyli zagrodę. Tomek opanował wzruszenie. Należało przecież zachować zimną krew i działać szybko. Ujął konia za grzywę.

— Chodź, Nil'chi — powiedział cicho.

Klacz posłusznie wyszła z zagrody. Boczyła się nieco mijając leżącego strażnika, lecz po chwili byli już przed stajnią.

Naraz gdzieś za ranczo rozległ się donośny krzyk przedrzeźniacza<sup>193</sup>. Tomek nie zwrócił na to uwagi, ponieważ wiedział, że ten czarny ptak wielkości naszego drozda, z dłuższym nieco od sroki ogonem, głosem dźwięcznym jak dźwięk fletu od świtu do nocy doskonale naśladuje zasłyszane głosy.

Chytry Lis bacznie nadstawił ucha. Przedrzeźniacz znów się odezwał, lecz tym razem z przeciwnej strony rancza.

— Ugh! Nasi bracia są już gotowi — powiedział. — Niech Nah'tah ni yez'zi siada na mustanga i mknie do nich. Gdy będziesz mijał dom Don Pedra, trzykrotnie wystrzel w górę. Ale nie zapomnij! To jest hasło do ataku!

— Czy moi czerwoni bracia zostaną tutaj? — zapytał Tomek.

— Ugh! Musimy wywołać popłoch, aby ułatwić zdobycie ranczo — odparł Chytry Lis.

Tomek obejrzał się. Przecięta Twarz zapalał w tej chwili w stajni kupkę siana, a Pałacy Promień przytknął do ognia koniec pierzastej strzały nałożonej na cięciwę łuku.

Tomek chwycił Nil'chi za grzywę. Lekko wskoczył na grzbiet konia, po czym ruszył ku głównemu oddziałowi. Gdy dojeżdżał do domu Don Pedra, płonąca strzała już tkwiła w dachu sadyby. Tomek dobył rewolweru. Mijając budynek mieszkalny trzykrotnie wypalił w górę.

Piekielne wycie rozdarło ciszę ranka. Dwudziestu półnagich Indian wyskoczyło zza kaktusów, krzewów i drzew. Tomek dostrzegł bosmana wbiegającego na czele czerwonoskórych na stopnie werandy. Naraz na tyłach domostwa rozbrzmiał nowy okrzyk bojowy. Tętent koni drugiej grupy Indian, atakujących ranczo z przeciwnej strony, mieszał się z wyciem i strzałami broni palnej.

---

<sup>193</sup> — Przedrzeźniacz amerykański (*Minus polyglottus*) zamieszkuje całą strefę podzwrotnikową i umiarkowaną Ameryki z wyjątkiem wyspy Galapagos.

Tomek zdenerwowany i podniecony zatrzymał się w kolczastej gęstwinie, gdzie pięciu Indian pilnowało koni. Zaraz też chciał wracać na ranczo, lecz Nil'chi szalała na widok obcych ludzi. Bojowy wrzask Indian potężniał z każdą chwilą. Gęsto padały strzały. Przerazone krzyki napadniętych stawały się coraz rzadsze. Nad posiadłością Don Pedra już wznosiły się ciemne słupy dymu. To płonęły zabudowania.

Bosman pierwszy był na werandzie domu mieszkalnego. Pod naporem jego wielkiego cielska drzwi wiodące w głąb domostwa otwarły się z trzaskiem. Bosman upadł, lecz zaraz porwał się na nogi. Nie zważając na własne bezpieczeństwo, zaczął szukać Sally. Indianie z przeraźliwym wrzaskiem wbiegli za nim. Wewnątrz domu rozgorzała walka.

Bosman przebiegał z pokoju do pokoju, przetrząsnął różne zakamarki, ale nigdzie nie znalazł Sally. Nagle ujrzał Don Pedra. Jednym susem przypadł do niego. Meksykanin w obydwóch rękach trzymał rewolwery. Łuna pożaru wdzierająca się przez szerokie okno rzucała upiorny odbłask na jego nalaną twarz. Od razu poznał bosmana.

— Dzień dobry, Don Pedro! Nie spodziewałeś się naszych odwiedzin?  
— krzyknął wzburzony bosman.

— Miałem szeryfa Allana za przyzwoitego człowieka, lecz teraz widzę, że to właśnie u niego kryją się zbóje napadający spokojnych ludzi — zimno odparł Meksykanin.

— Nie tobie mówić o przyzwoitości, porywaczu dzieci! — groźnie syknął bosman. — Gadaj zaraz, gdzie jest Sally!

— Szukaj, lecz prędzej znajdziesz kulę niż dziewczynę!

Mówiąc to wypalił z obydwóch rewolwerów prosto w twarz marynarza. Bosman niechybnie byłby przyplacił swą nierozwagę życiem, gdyby w tym momencie Czarna Błyskawica nie pchnął go gwałtownie w bok. Wprawdzie pierwsza kula drasnęła marynarza w lewe ramię, lecz oto błysnął w powietrzu topór Czarnej Błyskawicy. Uderzony w pierś Don Pedro zachwiał się i opuścił na chwilę broń. Czarna Błyskawica runął na niego; potoczyli się na podłogę. Zwinny jak wąż Meksykanin wysliznął się z rąk Indianina, zdołał schwycić z biurka potężny przycisk. Zamachnął się szeroko nad głową powstającego wodza; naraz rozległ się świst. Pierzasta strzała utkwiała prosto w sercu Don Pedra. To Pałacy Promień ujrzał niebezpieczeństwo grożące Czarnej

Błyskawicy i położył kres rozpaczliwej walce Meksykanina, Don Pedro ciężko upadł.

— Niech cię wieloryb połknie, Pałacy Promieniu — ryknął bosman. — Cóżeś zrobił najlepszego?

Pałacy Promień zdziwiony spojrział na bosmana. Czego znów ten biały chce od niego? Gniewnie zmarszczył brwi.

— Zabiłeś Don Pedra, kto nam teraz powie, gdzie przebywa nasza Sally? — srożył się bosman.

Błysk zrozumienia przeniknął w oczach Pałącego Promienia, a tymczasem Czarna Błyskawica zawołał:

— On nie znał ranczera! Umarły nie zdradzi nam tajemnicy, ale za to inni jeńcy wyznają prawdę. Szukaliśmy wszędzie i nie znaleźliśmy Białej Róży. Jej tu nie ma! Ugh!

— Skoro tak, to wart był śmierci — mruknął bosman.

— Chodźmy stąd czym prędzej — odezwał się Czarna Błyskawica. — Dach może runąć w każdej chwili.

Długie jężory ognia lizały już ściany pokoju. Górna część domu rozpadła się z trzaskiem wśród płomieni.

Wyskoczył oknem. Za jego przykładem uczynili to samo bosman i Pałacy Promień. Przed budynkiem zastali już kilkunastu wojowników wynoszących łupy. Inni prowadzili ludzi ranczera związanych rzemieniami i konie. Nad całą posiadłością unosiły się czarne słupy dymu.

Rozległy się ostre tony świstawek małych wodzów, zwołujących wojowników do odwrotu.

Dzięki zaskoczeniu mieszkańców ranczo we śnie, tylko dwóch ludzi Czarnej Błyskawicy odniosło rany. Mimo to o własnych siłach wycofali się do koni.

Cały oddział tak szybko opuścił ranczo, jak nagle przed chwilą się na nim pojawił. Niebawem Indianie znów byli przy swych mustangach ukrytych wśród kaktusów u stóp pagórka.

Tomek niecierpliwie wypatrywał Sally, lecz nie dostrzegł jej nigdzie pomiędzy powracającymi wojownikami. Zamiast niej ujrzał bosmana, który nadbiegł z Czarną Błyskawicą i Pałacym Promieniem.

— Ha, przynajmniej tobie poszczęściło się dzisiaj — zawołał bosman ujrawszy Tomka przy klaczy szeryfa Allana. — Dobrze i to, że chociaż odzyskaliśmy konia. Ciężką mieliście robotę ze strażnikami?

— Moi towarzysze sami... wszystkiego dokonali. Ja zabrałem tylko Nil'chi, gdy było już po walce. A gdzie jest Sally? Nie znaleźliście jej? — zapytał Tomek z niepokojem.

— Ani widu, ani słychu, brachu. Przepadła jak kamień w wodę — odpowiedział zafrasowany bosman.

— A gdzie Don Pedro? — indagował Tomek.

— Chyba w piekle, bo do nieba to pewno go nie wpuszczą — mruknął bosman.

— Więc zabił go pan?! — zawołał Tomek z wyrzutem.

— Iii, gdzie tam! Dlaczego zaraz ja?

— Więc kto?

— Uspokój się. To Pałacy Promień ugodził Meksykanina strzałą. On nie znał Don Pedra, a kiedy ujrzał nagle, że zagraża Czarnej Błyskawicy, zaraz było po wszystkim.

— Więc cały napad i spustoszenie na nic! I tak nie dowiedzieliśmy się, gdzie jest nieszczęsna Sally.

— Nie desperuj od razu — pocieszył go bosman. — Czarna Błyskawica mówi, że dowiemy się czegoś od innych jeńców.

— Czy Indianie uprowadzili ludzi z ranczo?

— A czy ludzie Don Pedra nie porwali naszej Sally? Ejże, brachu, za miękkie masz serce. Jak wojna, to wojna, rozumiesz? Zbierz się do kupy!

Czarna Błyskawica i Pałacy Promień okiem znawców oglądali Nil'chi.

— Próbowali złamać ją głodem — odezwał się Czarna Błyskawica. — Niech Nah'tah ni yez'zi weźmie klacz na arkan i poprowadzi ją przy swoim koniu. Ruszamy w drogę!

— Dokąd pojedziemy? Przecież nie zdołaliśmy się dowiedzieć, gdzie jest ukryta Biała Róża — odpowiedział Tomek.

— Przede wszystkim musimy się stąd jak najszybciej oddalić — wyjaśnił Czarna Błyskawica. — Zatrzymamy się dalej w stepie i wydobędziemy z jeńców zeznania. Dopiero wtedy ułożymy dalszy plan działania.

— Komu w drogę, temu czas! Na koń! — zawołał bosman.



## PIERWSZY ŚLAD

Indianie uprowadzili z ranczo Don Pedra stado doskonałych koni. Obladowali je bogatymi łupami, po czym ośmiu wojowników szybko oddaliło się z nimi na wschód, zabierając także dwóch rannych towarzyszy. Jak wyjaśnił Czarna Błyskawica, w pobliżu Góry Znaków biwakował oddział Indian z rezerwatów, którzy mieli się zająć końmi oraz inną zdobyczą, a także zaopiekować się rannymi.

Kilkunastu Indian zarzuciło jeńcom arkany na szyję, by w ten sposób prowadzić ich przy swoich wierzchowcach. Wkrótce cała wataha oddalała się pospiesznie od pogorzelska ranczo. Trzej ostatni Indianie zwinęli w rolki swe koce i uwiązawszy je na arkanach, wlekli za sobą po ziemi. Był to stary sposób zacierania śladów, a w każdym razie znacznie utrudniający ewentualny pościg.

Dopiero późno po południu zatrzymano się na odpoczynek. Czarna Błyskawica, jakby obawiał się pogoni, rozstawił szeroko strażę. Gdy wszyscy zaspokoili głód, polecił przyprowadzić do siebie jeńców. Byli to dwaj Metysi i czterej Indianie ze szczepu Pueblosów. Rozpoczęło się przesłuchanie. Pueblosi milczeli uparcie, lecz Metysi, gdy zagrożono im torturami, wyznali wszystko, co wiedzieli. Słowa ich potwierdzały przypuszczenia szeryfa Allana.

Otóż jeden Metys był świadkiem, jak kilku nieznanym Pueblosów przywiodło na ranczo Nil'chi. Don Pedro kupił od nich konia, płacąc bardzo wysoką cenę w złocie i różnych towarach. Po dokonaniu transakcji Pueblosi szybko się oddalili. Obydwaj Metysi wciąż zapewniali, że na ranczo nigdy nie przebywała biała dziewczyna ani że nic o niej nie słyszeli od Don Pedra. Jednogłośnie wyrazili przypuszczenie, iż Pueblosi mogli uprowadzić ją do swego osiedla.

Na polecenie Czarnej Błyskawicy wojownicy znów zabrali jeńców na ubocze. Wodzowie indiańscy rozpoczęli z białymi przyjaciółmi krótką naradę.

— Przeklęte puebleskie psy na pewno wiedzą, które plemię porwało Białą Różę i klacz Nil'chi, lecz nie chcą nam tego zdradzić — odezwał się Czarna Błyskawica. — Zobaczymy, czy również tak uparcie będą milczeli przy palu męczarni.

— Wodzu, mam do ciebie wielką prośbę — odezwał się Tomek.

— Uszy moje zawsze są szeroko otwarte dla przyjaciół — odparł Czarna Błyskawica. — Niech mój brat powie, czego żąda.

— Daruj życie jeńcom!

Czarna Błyskawica spojrzał na niego zdumiony.

— Jeńcy muszą zginąć — oświadczył stanowczo. — Zabiłbym ich nawet wtedy, gdyby powiedzieli, kto uprowadził Białą Różę. Tylko umarli nie zdradzą nikomu, że to my właśnie napadliśmy na ranczo Don Pedra. Psy puebloskie na pewno mnie znają. Czy Nah'tah ni yez'zi wie, że gubernator Nowego Meksyku obiecał wysoką nagrodę za dostarczenie mojej głowy? Dla tych pieniędzy Wiele Grzyw stał się zdrajcą. Jeńcy muszą zginąć, ponieważ widzieli Czarną Błyskawicę, a co gorsze, wodza Długie Oczy i Chytrego Lisa, którzy po wyprawie wrócą do rezerwatu. Niech więc Nah'tah ni yez'zi nie prosi o łaskę dla jeńców.

— Wodzu, bardzo mi zależy na bezpieczeństwie twoim oraz wodzów Chytrego Lisa i Długie Oczy. Czy nie przypuszczasz, że i ja, i mój przyjaciel także możemy być pociągnięci do odpowiedzialności za napad?

— Ugh! Mój brat dobrze mówi, jeńcy mogą znać i was.

— Nie mylisz się! Jeden z tych Metysów był dżokejem Don Pedra na rodeo. Poznałem go i jestem pewny, że on również mnie poznał. A jednak mimo to proszę: daruj życie jeńcom!

Szmer niezadowolenia rozległ się wśród Indian. Wodzowie Długie Oczy, Chytry Lis, a także Pałacy Promień i inni obrzucali Tomka niemal wrogim spojrzeniem. Czarna Błyskawica był nie mniej od nich rozgniewany, lecz jeszcze raz opanował się i tylko rzekł szorstko:

— Nah'tah ni yez'zi jest złym doradcą. Nie godzi się wojownikowi na ścieżce wojennej narażać innych na niepotrzebne niebezpieczeństwo. Gdyby taką propozycję uczynił Indianin, roztrzaskałbym mu łeb moim toporem.

Zaniepokojony bosman spojrzał na Tomka, widząc jednak niezwykle upór w jego twarzy, zrozumiał, że chłopiec nie przestraszył się groźby i nie ma zamiaru łatwo ustąpić.

Tomek zaś w pełnym napięcia milczeniu spokojnie wpatrywał się w Czarną Błyskawicę. Młody biały chłopiec i groźny wódz Apaczów długo mierzyli się wzrokiem. W końcu Tomek odezwał się pełnym powagi głosem:

— Dziwnie brzmią twoje słowa, wodzu. Przede wszystkim nie prosiłbym o łaskę dla jeńców, gdybym na równi z wami nie był przez to narażony na niebezpieczeństwo. Powiedziałeś, że gdyby taką propozycję uczynił ci Indianin, to roztrzaskałbyś mu łeb toporem. Szczepy Apaczów i Nawajów przyjęły mnie do swego grona, tym samym podlegam teraz twoim rozkazom. Pomyśl dobrze, czy zasłużyłem na to, a potem zabij mnie!

Pochylił się ku Czarnej Błyskawicy, ten zaś zdumiony cofnął się nieco. Wzburzoną głosem zawołał:

— Ugh! Chyba jakiś zły duch wstąpił w ciebie! Czego ty chcesz ode mnie?

Tomek podniósł się pełnym godności zrywem.

— Słuchaj, wodzu, i wy wszyscy moi czerwonoskórzy bracia — odezwał się. — Wytłumaczę wam, dlaczego proszę o darowanie życia naszym jeńcom. Wbrew zdaniu niektórych białych, iż Indianie są okrutni i dzicy, uważam was za szlachetnych ludzi. Dałem tego dowód wkładając na rodeo ubiór podarowany mi przez radę starszych szczepu Apaczów i Nawajów. Zwróciłem się też do was, jako do przyjaciół, o pomoc w odnalezieniu Białej Róży. Czy przypuszczacie, że uczyniłbym to, gdybym nie wierzył w waszą prawość? Uczciwy człowiek nie pozbawia życia swego bliźniego tylko dlatego, że chwilowo ma nad nim przewagę. Zabicie jeńca jest pospolitym mordem i dlatego wstawiam się za brańcami. Wierzę, że jako nieustraszeni i dzielni wojownicy spełnicie moją prośbę.

— Nah'tah ni yez'zi ma chyba dwa języki. Najpierw namówił nas do wykopania topora wojennego, a teraz nie chce zabijać wrogów — porywczo zawołał Pałacy Promień.

— Źle tłumaczysz moje słowa, Pałacy Promieniu. Powiedziałem, że zabicie człowieka może być usprawiedliwione jedynie najwyższą koniecznością, na przykład w obronie własnego życia. Tymczasem jeńcy nie są teraz dla nas groźni. Zabicie ich tylko dlatego, że mogą oskarżyć nas o napad na ranczo, byłoby zwykłym tchórzostwem.

— Wobec tego wszyscy biali postępują jak tchórze, bo mordują Indian bez koniecznej potrzeby — sucho wtrącił wódz Długie Oczy.

— Gdybym rozumował jak mój czerwony brat, to mógłbym powiedzieć, że wszyscy Indianie są zdrajcami, ponieważ Wiele Grzyw wydał białym wodza Czarną Błyskawicę — odparował Tomek.

Pałacy Promień wyszarpnął zza pasa tomahawk.

— Kłamiesz, biały psie! — krzyknął rozwścieczony. — Znieważyłeś nas wszystkich.

— Wcale nie miałem tego zamiaru — zaprzeczył Tomek spokojnie. — Powiedziałem tylko, że tak pomiędzy białymi, jak i Indianami są ludzie szlachetni, dobrzy i... źli. Nierozsądnie postępuje ten, kto na podstawie najgorszych i głupich jednostek ocenia tak samo wszystkich innych.

— Ugh! Nah'tah ni yez'zi powiedział prawdę — wtrącił Chytry Lis. — Jednak nasze prawo mówi, że umarli nie zdradzają tajemnic. Dlatego musimy zabić jeńców.

— Takie jest nasze prawo wojenne, a kto je łamie, podlega karze śmierci — dodał Czarna Błyskawica tłumiąc wzburzenie.

— Wszystkie prawa stworzyli ludzie, więc też i ludzie mogą je zmienić — odpowiedział Tomek.

— Nah'tah ni yez'zi oznacza w języku białych: Mały Wódz — znów odezwał się Chytry Lis. — Wodzowi nie przystoi łamać prawa wojennego, a tym bardziej wstawiać się za jeńcami.

— Wszystko przystoi człowiekowi, który występuje w obronie innych ludzi — stwierdził Tomek. — Czynili to wielcy wodzowie, którym nikt nie może zarzucić nieprawości!

— Czy byli to biali? — ironicznie zapytał Chytry Lis.

— Tak, byli to biali, wielcy i szlachetni wodzowie nie tylko poszczególnych szczepów, lecz całych narodów. Przecież nie kto inny, jak Wielki Biały Ojciec z Waszyngtonu, Abraham Lincoln<sup>194</sup>, wyjednał wolność Murzynom i prowadził nawet o to zaciekle i zdecydowaną wojnę z białymi plantatorami z Południa.

— Ugh! Wielki Biały Ojciec chciał dobrze, ale inni biali go nie słuchali — z uporem rzekł Chytry Lis.

— Myli się mój czerwony brat — zaoponował Tomek. — Wielu białych chciało pomóc nie tylko Murzynom, lecz i Indianom. Na przykład mój rodak, Paweł Strzelecki, wstawiał się za Indianami i niewolnikami u Wielkiego Białego Ojca, Jacksona, jeszcze przed Abrahamem Lincolnem. W obronie

---

<sup>194</sup> — Abraham Lincoln był prezydentem USA w latach 1861–1865. 1 stycznia 1863 r. wydał Proklamację Wyzwolenia głoszącą wolność dla czarnych niewolników.

krajowców australijskich napisał książkę, którą moi czerwoni bracia nazywają mówiącym papierem.

— Może to i prawda — przyznał Długie Oczy. — Żaden jednak wielki wódz nie wstawia się wbrew prawu wojennemu za jeńcami.

— Tak sądzisz? Wobec tego opowiem ci ciekawą historię. Otóż zanim Amerykanie uzyskali niepodległość, krajem tym rządili Anglicy. Były to rządy bardzo niesprawiedliwe, toteż osadnicy pragnąc uzyskać niepodległość rozpoczęli nierówną walkę. Na pomoc Amerykanom przybywali szlachetni ludzie z Europy, a między nimi Polak, Tadeusz Kościuszko, Jako pułkownik armii amerykańskiej walczył dzielnie przeciw Anglikom, za co otrzymał wysokie zaszczyty i odznaczenia. Ponieważ dowodził częścią armii, był prawdziwym wielkim wodzem. Otóż podczas zdobywania twierdzy Augusta i Ninety Six w Południowej Karolinie głównodowodzący, generał Greene, zakazał pod karą śmierci oszczędzać nieprzyjaciół. Kościuszko widząc straszliwą rzeź, uratował czterdziestu Anglików zasłaniając ich własną pierśią. Nie tylko nie poniósł za to kary, lecz zyskał uznanie Waszyngtona, naczelnego wodza.

— Dziwne rzeczy opowiada Nah'tah ni yez'zi — zdumiał się Pałacy Promień.

— Dodam jeszcze, że ten właśnie Kościuszko został mianowany przez rząd Stanów Zjednoczonych generałem, a potem wrócił do ojczyzny, gdzie stanął na czele swego narodu do walki o wolność przeciwko najeźdźcom. Czy można wobec tego powiedzieć, że taki wielki wódz postąpił niegodnie broniąc jeńców?

— Ugh! Nikt by nie mianował tchórze naczelnym wodzem! — przyznał Czarna Błyskawica.

— Trzeba odróżnić tchórzostwo od szlachetności — odpowiedział Tomek. — Prosiłem moich czerwonych braci o pomoc, ponieważ wierzę, że Indianie są szlachetnymi wojownikami. Inaczej ani ja, ani mój przyjaciel nie wyruszylibyśmy z wami na wojenną wyprawę.

Po tych słowach Tomka zaległa długa cisza. Tomek i bosman niespokojnie spoglądali na swych groźnych sojuszników. Czarna Błyskawica powiódł wzrokiem po twarzach czerwonoskórych wojowników, a w końcu odezwał się:

— Ugh! Nah'tah ni yez'zi jest bladą twarzą, lecz mimo to należy do naszego szczepu. Nikt nie ma prawa nazwać cię wrogiem Indian, choć mówisz dziwne słowa i myślisz inaczej niż my. Ugh, masz rację. Odważny i szlachetny wojownik nie jest tchórzem ani zdrajcą nawet wtedy, gdy wstawia się za jeńcami. Dowiodłeś tego występując przeciwko nam wszystkim. Dla ciebie i twego przyjaciela już dwukrotnie złamałem prawo, które sam narzuciłem moim wojownikom. Chociaż więc nie mogę zrozumieć wszystkiego, co mówisz, spełnię twą prośbę: daruję brańcom życie i wolność. Ugh! Powiedziałem!

— Dziękuję ci, Czarna Błyskawico. Teraz jestem dumny, że wy i my jesteśmy z jednej krwi — odparł wzruszony Tomek.

— Jakbyś mi to z ust wyjął, brachu — gorąco dorzucił bosman spoglądając na chłopca z uznaniem. — Honorowe i porządne z was chłopcy! Mogę cię zapewnić, Czarna Błyskawico, że z pyszna będzie się miał kapitan Morton, jeżeli jeszcze raz w mojej obecności nazwie cię bandytą! Ha, powiem tylko tyle: możecie wszyscy na mnie liczyć.

Większość wojowników zaskoczona była darowaniem życia jeńcom. Mimo to, nawykli do posłuszeństwa wobec wodza, w milczeniu przyjęli jego decyzję. Spod oka obserwowali młodego białego brata. Potężny musiał to być wojownik, skoro stanowczy i nieustępliwy zazwyczaj wódz ulegał jego prośbom. Nawet Pałacy Promień nie okazywał gniewu. Był raczej zasmucony i zamyślony. Coraz większą spostrzegał różnicę pomiędzy sobą i białymi przyjaciółmi wodza.

Czarna Błyskawica nie dał swym wojownikom wiele czasu na rozmyślanie; kontynuowano naradę wojenną. Wódz przedstawił plan działania. Zgodnie z nim cały oddział powinien posunąć się dalej na południe i skryć w górach Sierra Madre. Stamtąd dopiero należało wysłać zwiadowców w kierunku puebla Indian Zuni, by stwierdzić, czy to oni dokonali napadu na ranczo Allana. Jeżeli bowiem Zuni byli sprawcami całego nieszczęścia, to Sally powinna znajdować się u nich.

Plan Czarnej Błyskawicy przyjęto jednomyślnie. W tej okolicy Zuni byli jedynymi przedstawicielami Indian Pueblosów, a przecież doświadczony w takich sprawach szeryf nie mógł się pomylić w rozpoznaniu napastników.

Dosiedli koni i ruszyli w drogę, pozostawiając lekko skrępowanych jeńców na miejscu.

Cały oddział szybko posuwał się ku południowemu zachodowi w kierunku widniejącego na horyzoncie sinawego pasma gór Sierra Madre. W drodze dołączył do nich Czerwony Orzeł wysłany dzień wcześniej do szeryfa i pani Allan. Jak opowiedział, zrozpaczona matka Sally zasypała go wprost lawiną pytań. Z trudem udało mu się ją nieco uspokoić zapewnieniem, że bosman i Tomek razem z gromadą przyjaciół już wyruszyli na poszukiwanie zaginionej córki.

Kawalkada jeźdźców szybko osiągnęła faliste pogórze. Zwiadowcy pilnie przepatrywali okolice. Naraz jeden z nich na spienionym mustangu przygalopował do Czarnej Błyskawicy.

— Ugh! Ugh! Wśród pagórków na stepie ujrzeliśmy wielkiego bizona!  
— zawołał niezwykle podniecony.

Czarna Błyskawica osadził na miejscu swego mustanga.

— Czy mój brat jest tego pewny? — niedowierzająco zapytał.

— Ugh! Widziałem bizona na własne oczy. Pozostali dwaj zwiadowcy obserwują go zza pagórka!

Wiadomość o napotkaniu bizona, podawana z ust do ust, obiegała lotem błyskawicy wszystkich wojowników. Wodzowie Chytry Lis i Długie Oczy zaraz pojawili się u boku Czarnej Błyskawicy.

— Ugh! Jeżeli zwiadowcy mówią prawdę, byłby to niechybny znak, że Wielki Manitu sprzyja naszej wyprawie i zsyła nam zwierzę, które umożliwiło naszym ojcom i ojcom naszych ojców niezależne życie na szerokiej prerii. Wodzowie Chytry Lis, Długie Oczy i moi biali bracia pójną ze mną, aby sprawdzić, czy zwiadowcy nie ulegli jakiemuś złudzeniu — powiedział Czarna Błyskawica zeskakując z konia.

Wymienieni przez wodza szybko zsiadli z wierzchowców. Chytry Lis zabrał łuk, strzały i skórę kojota — nieodzowną w indiańskich polowaniach na bizony. Pobiegli w kierunku wskazanego wzgórza, niezwykle podnieceni.

Olbrzymie stada bizonów wypasające się dawniej na trawiastych preriach należały do przeszłości. Jeszcze w latach 1872 do 1874 bizony spotykało się na preriach od Kanady aż do wybrzeża nad Zatoką Meksykańską, i na zachód od rzeki Missouri<sup>195</sup> po Góry Skaliste. Jesienią wielotysięczne ich stada

---

<sup>195</sup> — Rzeka Missouri wypływa z Gór Skalistych: na nizinach łączy się z rzeką Missisipi, biorąca początek z małego jeziora na zachód od Jeziora Górnego, a znajdującą ujście w Zatoce Meksykańskiej.

wędrowały na południe w poszukiwaniu łagodniejszego klimatu, a wiosną powracały na północ. Początek zagłady bizonów, których olbrzymie stada stanowiły dawniej niezwykle urozmaicenie bezkresnych prerii amerykańskich. zaczął się po otwarciu linii Wielkiej Drogi Żelaznej Pacyfiku dzielącej obszary zwane „szlakiem bizonim” na dwie części: północną i południową. Sztuczny podział obszaru pastwisk gwałtownie wyrwał nieporadne, łagodne zwierzęta ze zwykłego trybu życia. Ostatecznie jednak wytepiły je masowe polowania urządzone przez białych i Indian dla zdobycia skór.

Na początku XX wieku, to jest w czasie, kiedy Tomek i bosman przebywali w Ameryce, bizona na pograniczu Stanów Zjednoczonych i Meksyku były już wielką rzadkością. Nic więc dziwnego, że i oni uznali spotkanie bizona za niezwykłość.

Łowcy szli nader ostrożnie, osłonięci wysokimi trawami. Na wzgórze wchodzili na czworakach. Jak urzeczeni wpatrywali się w samotnego bizona spokojnie skubiącego trawę.

Był to olbrzymi okaz, długości około trzech metrów, wysoki prawie na dwa. Tomek od razu przypomniał sobie warszawskie lekcje zoologii: *„amerykański bizon różni się od polskiego żubra znacznie krótszymi nogami, stosunkowo większą przewagą przedniej części ciała nad zadnią, gęstszą sierścią i szerszą głową.”* Teraz sprawdzał to bezpośrednio.

Wielki stary byk spokojnie skubał trawę, z daleka wydawało się, że zamiata ziemię swoją długą brodą.

Indianie z nabożną niemal czcią spoglądali na bizona. W końcu zagrała w nich krew prawdziwie myśliwska. Pierwszy Czarna Błyskawica szepnął:

— Ugh! Zwiadowcy powiedzieli prawdę! Duchy naszych ojców sprzyjają wyprawie. Gdyby było inaczej, czyż bizon by się pojawił dzisiaj na naszej drodze?

— Ugh! To prawda. Zapewne Wielki Manitou zesłał nam bizona, abyśmy nabrali odwagi przed walką z Zuni — cicho przyznał Długie Oczy.

Tomek i bosman nie wierzyli oczywiście w nadprzyrodzone pojawienie się bizona na ich drodze. Przypuszczali, że kilka sztuk tych rzadkich już obecnie zwierząt musiało przebywać w górskich wąwozach. Byk odłączył się zapewne od stadka w poszukiwaniu pożywienia. Mógł to być również jakiś

---

Jeżeli przyjmiemy Missouri za rzekę główną, wówczas Missisipi–Missouri jest najdłuższą rzeką na ziemi (6660 km).



samotnik pędzący życie na pustkowiu. Tak czy inaczej bizon był realnym zjawiskiem. Bosman zaczął się obawiać, aby przypadkiem spłoszone zwierzę nie umknęło; uniósł się więc na łokciach i przygotował karabin.

— Z tej odległości strzał nie jest pewny. Raniony bizon umknie i skryje się w górach — szepnął Tomek, mierzący oczyma odległość.

— Nah'tah ni yez'zi dobrze mówi — przytaknął Czarna Błyskawica. — Niech Grzmiąca Pięść pozostawi bizona Chytrymu Lisowi.

Bosman zawahał się, widząc, jak Chytry Lis wy dobył z kołczana trzy pierzaste strzały i łuk. Czarna Błyskawica dostrzegł niedowierzanie bosmana, gdyż znów się odezwał:

— Indianie od wieków polowali na bizony. Zanim biali przywieźli karabiny, my swoimi sposobami zabijaliśmy setki sztuk na jednym polowaniu. Nawet samotny Indianin potrafił niepostrzeżenie zbliżyć się do stada i ustrzelić kilka zwierząt. Moi bracia zobaczą, jak Chytry Lis sobie poradzi...

Chytry Lis rzeczywiście nie tracił czasu. Całe ciało razem z głową nakrył skórą kojota, ujął w dłoń łuk i strzały, po czym na czworakach zaczął schodzić ze wzgórza w kierunku bizona. Pełzł po ziemi zygzakiem trzymając w ręce swój oręż.

— Jak amen w pacierzu spłoszy grzywacza — mruknął bosman.

— Słyszałem już, że Indianie tak polowali dawniej na bizony, a nawet na bardziej płochliwe antylopy widłorogie<sup>196</sup> — szepem odparł Tomek. — Chytry Lis podkrada się pod wiatr, może więc uda mu się...

Chytry Lis znajdował się już w połowie drogi. Naraz potężny zwierz uniósł nieco swój wielki łeb; wstrząsnął nim, aby odrzucić długą, gęstą grzywę zasłaniającą oczy. Mimo to nie pozwalała mu ona na zbyt dokładne rozpoznawanie przedmiotów. Stojąc z wiatrem nie mógł zwęszyć zapachu człowieka, widział jedynie ostrożnie skradającego się tchórzliwego i dobrze mu znanego kojota. Uspokojony tym, dalej skubał trawę.

Chytry Lis bez obawy zbliżał się do zwierzęcia. Jako mieszkaniec prerii, znał dobrze zwyczaje bizonów. Jedynie złowróźbny zapach człowieka mógł ostrzec zwierzę przed niebezpieczeństwem. Tymczasem wiatr był pomyślny dla myśliwego, a bizon, nie lękający się nawet huku broni palnej, tym bardziej nie zwracał uwagi na kojota. Prawdą więc było, że dobrze ukryty lub

---

<sup>196</sup> — Antylopa widłoroga (*Antilocapra americana*) występowała wyłącznie na równinach wewnętrznych Ameryki Północnej.

zamaskowany strzelec mógł dać kilka strzałów do wybranych sztuk w spokojnie pasącym się stadzie. Przecież, zdaniem starych myśliwych, nawet przedśmiertne chrapanie ugodzonego strzałą czy kulą zwierzęcia nie wywoływało w stadzie popłochu. Zazwyczaj tylko bizona znajdujące się najbliżej zdychającego towarzysza unosiły swe grzywiaste łby, przez krótką chwilę spoglądały dokoła i zaraz powracały do skubania trawy.

Indianin podsunął się już do bizona na odległość kilkunastu kroków nie budząc jego podejrzeń. Dobierał sobie najdogodniejsze stanowisko do strzału. Pełznąąc na czworakach zaszedł zwierzę z lewej strony. Tomek poprosił wodza Długie Oczy o lornetkę; uważnie obserwował niecodzienne polowanie. Widział wyraźnie, jak Chytry Lis zatrzymał się nie opodal bizona. Czerwonoskóry oparłszy się na łokciach przyłożył strzałę do cięciwy, po czym uniósł się na kolanach, napiął łuk i strzelił. Strzała aż po bełt utkwiała w boku zwierzęcia. Bizon podskoczył, przysiadł na zadzie, a w tej chwili Chytry Lis ugodził go drugą strzałą. Bizon opadł na przednie nogi, przyklęknął; pod wpływem bólu jeszcze raz się poderwał. Myśliwy napiął łuk. Nowa pierzasta strzała utkwiała w boku zwierzęcia, trochę poniżej pierwszej. Bizon zwałił się na ziemię, a niebawem zupełnie znieruchomiał. Na triumfalny okrzyk Czarnej Błyskawicy jeźdźcy ruszyli z kopyta ku zwycięskiemu łowcy i łupowi. Od razu zabrano się do ćwiartowania zdobyczy.

Tomek i bosman zobaczyli, że umiejętnie poćwiartowanie zabitego bizona wymaga wielkiej uwagi i zręczności. Podobnie jak oni obaj, mniej doświadczeni młodzi Indianie pilnie śledzili czynności wykonywane przez starszych szczepe.

Położono zabitego bizona na brzuchu, robiąc podporę dla jego ciała z czterech szeroko rozstawionych nóg. Następnie Chytry Lis poprzecznym cięciem noża przez kark odsłonił garb, a wtedy dwaj inni Indianie, ująwszy rękoma za kudły grzywy, oddzielili skórę od łopatek. Potem Chytry Lis przeciął aż do ogona skórę wzdłuż grzbietu. Pomocnicy zaraz zdarli ją z boków; trzymała się tylko przy kości mostkowej. Odciętą w ten sposób skórę rozesłali starannie na ziemi. Na niej składali oddzielane, pojedyncze płyty mięsa — najpierw z łopatek, potem wykrojoną wzdłuż grzbietu poledwicę. Obrosłe tłustym mięsem żebra odrabiali toporami. Po wyjęciu jelit z brzucha i odcięciu ozora, uchodzącego za przysmak, zawinęli część mięsa w skórę. Kilkunastu Indian sporządziło z długich dzid mocne nosze, na które

załadowali resztę poćwiartowanego bizona. Niebawem cała kawalkada ruszyła w kierunku gór. Zanim zapadł zmierzch, byli już w głębi cienistego, dobrze ukrytego kanionu. Cały oddział miał tutaj oczekiwać na zwiadowców wysłanych przez Czarną Błyskawicę w okolice puebla Zuni. Podczas gdy jedni pilnowali koni na pastwisku, inni rozpalali ogniska i przygotowywali posiłek.

Tomek i bosman z przyjemnością włączyli się do pracy czerwonoskórych przyjaciół. Kamienna niemal powaga i powściągliwość, z jaką Indianie zazwyczaj zachowywali się w towarzystwie białych, znikła. Teraz nie krępowali się już zupełnie. Radowali się zwycięstwem odniesionym nad Don Pedrem, a szczególnie zabiciem bizona „zesłanego im przez moce niebiańskie dla dodania sił przed następną walką”. Było to tak niezwykle wydarzenie, że postanowiono je, jak każe zwyczaj, uświetnić w czasie wieczornej uczytą tańcem bizona.

Tym razem miał go odtńczyć Chytry Lis. Nieustraszony i słynący z przebiegłości wojownik wystąpił w specjalnym stroju. Na głowę założył maskę naprędce sporządzoną z grzywy bizona, rogów i piór. Spod szerokiego pasa otaczającego jego biodra opuszczała się krótka spódniczka. W prawej dłoni trzymał grzechotkę, w lewej dzierżył łuk i strzały. Według zwyczaju Indian wybrzeża północno-zachodniego, Indian leśnych oraz Indian południowego zachodu, tancerze przy tego rodzaju ceremoniach występowali w maskach, aby wyobrażać uświęcone moce, które w ich mniemaniu miały swój udział w obrzędzie. Tańce były przyjęte w życiu Indian. Odbywały się z różnych okazji, a w wielu wypadkach były niemal rytuałem. Szczególnie takie tańce, jak: kalumetu, ducha, węża, słońca, bizona i inne, miały ściśle ustalone formy niezmiennie od pokoleń. Każda pieśń, modlitwa i taniec związany z ceremonią musiał być wykonany prawidłowo, ponieważ wierzono, że w przeciwnym razie sprowadzi nieszczęście.

Taniec bizona był odtworzeniem dawnych łowów. Indiańscy tancerze doskonale wczuwali się w swe role, wiernie odtwarzające zdarzenia prawdziwe. Widzowie rozumieli znaczenie każdego ruchu i cały przebieg wyimaginowanych łowów na bizony z czasów, zanim Hiszpanie przywieźli do Ameryki konie.

Czerwonoskórzy wyszukiwali na stepie ostro ścięte urwisko i u jego stóp przygotowywali specjalną pułapkę. Za ułożoną w kształcie piątki rzymskiej

zaporą z kamieni, dotykającą ostrym, lecz nie zamkniętym końcem urwiska, kryły się gromady mężczyzn, kobiet i dzieci. O oznaczonej porze Indianin — wywoływacz bizonów, ubrany w skórę i rogi zwierzęce, po nocy spędzonej na śpiewaniu pieśni i modlitwach do przodków o pomoc w łowach, wyruszał o świcie w step, aby zwabić stado grzywaczy do pułapki. Gdy udało mu się doprowadzić bizony do kamiennej zapory, chował się, a wtedy wszyscy czatujący Indianie wypadali z ukrycia, by krzykiem, grzechotaniem i biciem w bębny pognać stado ku stromej krawędzi. Oszalałe z trwogi zwierzęta zwały się z urwiska. Potem Indianie dobijali ranne sztuki. Po łowach zdejmowali skóry z bizonów, krajali mięso na paski, suszyli je i przenosili do obozu, gdzie znów urządzali dziękczynną uroczystość. Chytry Lis — główny aktor — i towarzyszący mu tancerze nadzwyczaj plastycznie odtworzyli przebieg wspomnianych łowów. Obydwu białym przyjaciołom zdawało się, że słyszą jeszcze tupot racic i ryk oszalałego z trwogi stada. Brzęczały grzechotki, dudniły bębny i wzbijał się pod niebo wrzask nagonki<sup>197</sup>.

Zmęczeni, lecz zarazem jakby upojeni tancerze zasiedli do sutego posiłku. Długo gawędzono przy ogniskach. Indianie chętnie opowiadali ciekawsze przeżycia i przygody. Przed oczyma zasłuchanych białych przyjaciół zmartwychwstał dawny Dziki Zachód.

---

<sup>197</sup> — Dawni Indianie wielokrotnie wykorzystywali przygotowywane specjalnie pułapki na bizony. Świadczą o tym znaleziska białych ludzi. Np. w Kanadzie, nad południową odnogą rzeki Saskatchewan, znaleziono obok urwiska wał wysoki na osiem stop, szeroki na siedem, a na osiemset długi, ułożony przez dawnych Indian z kości bizonów. Te stosy kości, długie na trzysta, czterysta stóp, znaleziono również w okolicy jeziora Duke. Podczas polowania czerwonoskórzy zabijali po kilkaset sztuk bizonów.

## PUEBLO ZUNI

Następnego ranka o świcie Czarna Błyskawica wysłał na zwiady dwóch wytrawnych tropicieli. Reszta wojowników miała w kanionie oczekiwać na ich powrót. Z wyjątkiem strażników, na zmianę czuwających na skalnych cyplach, wszyscy wypoczywali.

Ruchliwy zazwyczaj bosman niecierpliwił się bezczynnością, toteż choć zawsze zrywał się na łażenie po górskich wertepach, sam teraz zaproponował Tomkowi, aby się rozejrzeli w najbliższej okolicy.

Podczas tych wypadów rozmawiali bardzo wiele. Tym razem wspięli się na urwisko tuż nad wąwozem. Bosman, korzystając z okazji, że byli z Tomkiem sam na sam, odezwał się:

— Ho, ho, mój brachu! Widać, że pieniądze łożone przez twego szanownego ojca na twoją naukę nie idą na marne. Gadasz płynnie, a sypiesz różnymi faktami niczym biegły muzyk wygrywający z nut ładne kawałki. Pewno też dlatego przylgnąłem do ciebie jak guzik do dziurki od koszuli. Moim zdaniem powinieneś się kształcić na adwokata. Uczone słowa działają na takich prostaków jak ja, a nawet i na tych dzikich Indiańców.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Ha, przypomniało mi się, jakieś to zrećcznie wymyślał ciekawe historyjki, aby ocalić jeńców porwanych z ranczo Meksykańca. Ani mi przez głowę nie przeszło, że uda ci się taka sztuczka! Zuch jesteś i chwat!

— Pan przypuszcza, że to wszystko zmyśliłem? — zdziwił się Tomek.

— Może nie wszystko, ale z tym Kościuszką i jeńcami toś chyba wystawił Indiańców do wiatru.

Tomek wesoło spojrział na przyjaciela.

— Bosmanie, czy pan na pewno wie, kim był Kościuszko? — zapytał.

— Nie kpij ze mnie! — zaoponował nieco urażony marynarz. — U moich staruszków na Powiślu na głównym miejscu w kuchni wisi wielki obraz przedstawiający Naczelnika składającego przysięgę na krakowskim rynku. Jakże więc mógłbym nie wiedzieć, kim on był? Nie słyszałem jednak, żeby takie rzeczy wyprawiał w Ameryce.

— Kościuszko był niezwykłym człowiekiem. Najlepiej o tym świadczy sposób, w jaki wówczas zaofiarował swe usługi Kongresowi Stanów Zjednoczonych.

— A cóż on takiego zrobił? — zagadnął bosman rozsiadając się wygodnie.

— W czasie, gdy Stany Zjednoczone rozpoczęły walkę o wyzwolenie się spod uciążliwej opieki Anglii, do Paryża przybyli dwaj pełnomocnicy amerykańscy, aby uzyskać pomoc dla swej armii. Byli to Sileas Deane i Arthur Lee. Oni to właśnie wręczali listy polecające ochotnikom, którzy później w Ameryce na tej podstawie byli zaciągani do wojska. Nasz Kościuszko nie wziął żadnych listów. Po prostu wsiadł na statek razem z pięcioma Polakami i wyruszył do Stanów.

— Ho, ho, taki był pewny siebie?

Tomek skinął głową i mówił dalej:

— Statek rozbił się u wybrzeży Wysp Świętego Dominika. Kościuszko razem z towarzyszami uchwycili się masztu i w ten sposób przybili do brzegu. Wsiedli na inny statek płynący do Filadelfii. Kościuszko natychmiast stanął przed stawnym uczonym, a zarazem członkiem Kongresu, Beniaminem Franklinem. Poprosił go o przyjęcie do wojska. Kiedy Franklin zapytał o listy polecające, Kościuszko odparł, że pragnie przedstawić się zdolnościami i wiedzą wojskową, a nie rekomendacjami. Kongres polecił Franklinowi przeegzaminować ambitnego Polaka. Po tym niezwłocznie nadano mu stopień pułkownika.

— No, jak widać była to nie byle figura!

— Przede wszystkim Kościuszko posiadał odwagę, dużą wiedzę i zdolności. Dlatego w bitwach pod Trenton i Princeton odznaczył się zimną krwią, a śmiałym natarciem na wroga zwrócił na siebie uwagę Jerzego Waszyngtona, naczelnego wodza. Odtąd też przydzielano go jako doradcę generałom, którym powierzano specjalnie trudne zadania. Czytałem, że podczas oblężenia Yorktown, Waszyngton, objeżdżając szeregi, przybył do lasku, gdzie Kościuszko stał ze strzelcami mającymi rozpocząć atak następnego dnia. Na przemówienie wodza Kościuszko odparł: „*Jutro albo szaniec zdobędę, albo zginę*” I chociaż został ciężko ranny, zmusił wroga do opuszczenia reduty. Nasz Kościuszko był nie tylko odważnym i dobrym dowódcą. Wielkie również zasługi położył przy fortyfikowaniu Filadelfii oraz

obozów armii amerykańskiej. A kto, jak nie on, przyczynił się do zwycięstwa pod Saratoga? Za bohaterską walkę otrzymał stopień generała brygady i order Cyncynata! Czy pan wie, że gdy Kościuszko, wracając z niewoli petersburskiej, po raz drugi stanął na ziemi amerykańskiej, to ludność przyjęła go tu z wielkim uniesieniem? Obywatele amerykańscy zaprzęgli się do jego powozu i ciągnęli jak triumfatora.

— Nic dziwnego, skoro tyle dla nich zdziałał — odparł bosman. — Ha, masz rację, to nie tylko nasz wielki bohater. Ten pomnik Kościuszki, który widzieliśmy w Waszyngtonie, to nawet niczego sobie.

— A czy nie widział pan jego pomnika w Chicago i innych miastach? — zapytał Tomek.

— Prawda, prawda, widziałem.

— Nie on jeden walczył o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Czy zapomniał pan, że Kazimierz Pułaski jako generał brygady poległ tu w roku tysiąc siedemset siedemdziesiątym dziewiątym w bitwie pod Savannah?

— Czy to ten, co pierwszy zorganizował własny legion?

— Więc pan zapamiętał!

— A jakże, zapamiętałem. Powiedz mi teraz, brachu, czy oprócz Strzeleckiego, o którym już mówiłeś, jeszcze inni Polacy podróżowali po Ameryce?

Tomek pomyślał chwilę, wesoło spojrzał na bosmana i zapytał:

— Czy pan wie, kto odkrył Amerykę?

— Nie mów tylko, brachu, że to był Polak — roześmiał się marynarz.

— Wiem, że dokonał tego Kolumb.

— Nie myli się pan, lecz słyszałem również, że w roku tysiąc czterysta siedemdziesiątym szóstym Polak, Jan z Kolna, jakoby żeglarz gdański, z ramienia króla duńskiego miał wyruszyć na czele wyprawy w celu ratowania resztek kolonizacji normandzkiej w Grenlandii. Wprawdzie nie dotarł tam, lecz odkrył po drugiej stronie oceanu ziemię, którą przypuszczalnie mógł być Labrador. Gdyby to było prawdą, podróż naszego rodaka wyprzedzałaby o szesnaście lat podróżę odkrywczą Kolumba.

— Nie wierzę w to, brachu<sup>198</sup>, ale daj już spokój tym tak miłym dla ucha Polaka legendom, bo w końcu przekonasz mnie, że i ja mam tu niemałe zasługi— śmiał się bosman.

— Kto wie, może i pan czegoś dokona w Ameryce? Gdy Fernando Cortez wylądował w Meksyku, Indianie ofiarowali mu niewolnicę. Ta Indianka, później już jako Donna Mariana, oddała Cortezowi wielkie usługi. Teraz znów wódz Czarna Błyskawica ofiarował panu swoją córkę. Może Skalny Kwiat odegra podobną rolę, a pan stanie się sławny...

— A żeby połknął cię wieloryb! Już mi to musiałeś przypomnieć?! Powiedziałem, że nie dla mnie ten rarytas. Pamiętaj, co przyrzekłeś...

— Niech się pan nie denerwuje, żartowałem tylko.

— Coś mi za wiele żartujesz z tymi ożenkami. Nie wyprowadzaj mnie z równowagi... Gadaj, co wiesz jeszcze o Polakach?! Mów o podróżnikach, a nie o ślubach i Indiankach.

— Wiem, że lubi pan takie historie. Gdy wrócimy na ranczo, pożyczę panu ciekawą książkę Emila Dunikowskiego. Przy końcu ubiegłego wieku podróżował on po Ameryce. Zwiedził olbrzymi amerykański Park Narodowy nad rzeką Yellowstone<sup>199</sup>. Potem wraz z Witoldem Szyszła przebywał na Florydzie. Przekona się pan, że to ciekawa książka. Inny nasz rodak. Henryk Polakowski, badał Amerykę Środkową; jako pierwszy napisał dzieło naukowe o roślinach Kostaryki, drukowane w językach hiszpańskim i niemieckim. Natomiast Józef Burkart, podróżując po Meksyku, poczynił nadzwyczaj ciekawe spostrzeżenia, które stanowiły później podstawę do dalszych badań takich uczonych, jak Dollfus i Ratzel...

Tomek przekomarzając się z przyjacielem spoglądał w głąb kanionu. Naraz przerwał rozmowę. Pochylił się nad krawędzią. Po chwili zerwał się z ziemi, wołając:

— Bosmanie, zwiadowcy już wrócili! Pałący Promień daje nam znaki, abyśmy zeszli do obozu!

---

<sup>198</sup> — Bosman miał słuszność, gdyż domniemany polski odkrywca Ameryki okazał się postacią nie istniejącą.

<sup>199</sup> — Park Narodowy obejmuje teren na sto kilometrów długi i osiemdziesiąt szeroki. Puszcze leśne, dzikie góry, liczne wodospady i gejzery tworzą fantastyczny zakątek świata, nietknięty w swej pierwotnej postaci. Nie wolno tam niczego eksploatować, osiedlać się ani polować. Jedynie w niedostępnych miejscach pobudowano drogi.



Bosman wepchnął szybko fajkę do kieszeni i już zsuwał się po stoku góry. Tomek bez zwłoki podążył za nim. Po kilkunastu minutach byli w obozie. Czarna Błyskawica otoczony wojownikami czekał na nich.

— Ugh! Niech moi bracia posłuchają, co za wiadomość przynieśli zwiadowcy — odezwał się wódz. — W pobliżu puebla napotkali wielkiego kojota, który zaczął za nimi iść. Usiłowali go odegnać, obawiając się, aby nie zdradził przed Zuni ich obecności, lecz kojot szczyrzył kły i szczekał przeraźliwie. Przecięta Twarz zamierzał rzucić w niego tomahawkiem, lecz przypomniał sobie psa naszego brata Nah'tah ni yez'zi.

— Dingo — zawołał Tomek.

— Dingo! — jak echo powtórzył bosman.

— Może to jest właśnie pies mego brata. Zwiadowcy zaraz powrócili, aby powiadomić nas o tym spostrzeżeniu. Jeżeli pies włóczy się w pobliżu puebla, to mamy niezbity dowód, że Biała Róża znajduje się u Zuni.

— Musimy natychmiast sprawdzić, czy ten rzekomy kojot jest moim Dingiem — porywczo rzekł Tomek.

— Idę z moimi białymi braćmi. Poprowadzi nas Przecięta Twarz — oświadczył Czarna Błyskawica. — Przy okazji przyjrzymy się pueblu i na miejscu ułożymy plan działania.

Na czas swej nieobecności zlecił komendę wodzowi Długie Oczy. Wyprawa wywiadowcza mogła potrwać dwa lub trzy dni, wobec czego zabrali zapas żywności i w pełnym uzbrojeniu opuścili kanion.

Przecięta Twarz poprowadził ich skrajem łańcucha górskiego. Z powodu bliskości Indian Zuni wybierał jak najbardziej skalisty teren, aby nie pozostawić śladów. Dopiero po przeszło dwugodzinnej wędrówce zaczęły się właściwe podchody. Teraz jako osłonę wykorzystywali głązy, drzewa, krzewy i wszelkie nierówności gruntu, a w zupełnie odkrytych miejscach czołgali się po ziemi. Byli już w pobliżu puebla.

W ślad za Przeciętą Twarzą wczołgali się na mały pagórek, gdzie przywarli wśród krzewów.

Ostrożnie rozgarnęli rękoma gałęzie, a wtedy oczom ich ukazało się pueblo jakby przylepione do podnóża stromej skały.

Tomek, przez lornetę pożyczoną od wodza Długie Oczy, dokładnie przyglądał się sadybie Zuni. Z miejsca, w którym się znajdowali, widoczne było całe osiedle. Pueblo przylegało do załomu górskiej ściany z dwóch stron:

ze wschodu i z południa. Na płaskich dachach najniższych domów, pozbawionych drzwi i okien, wznosiła się tarasowato cała piramida budowli. Na wyższych piętrach domki były coraz mniej obszerne, jeszcze bardziej przylepione do skalnej ściany. Część płaskich dachów każdego piętra stanowiła dla następnego, wyższego, taras, na którym w dzień koncentrowało się życie mieszkańców puebla.

Spoglądając z pewnej perspektywy odnosiło się wrażenie, że to wielkie kamienne schody przylegają do górskiej ściany.

Kwadratowe otwory w płaskich dachach zastępowały w skalnych domkach drzwi, okna i kominy. Z piętra na piętro wiodły luźno przystawione drabiny. Na noc bądź też w razie napadu Zuni wciągali je za sobą na dach. W ten sposób pueblo tworzyło prawdziwą fortecę, w której można się było wycofywać z piętra na piętro.

Była to pora przedpołudniowa. Przez lornetkę dokładnie było widać kobiety gotujące posiłek na tarasach oraz bawiące się dzieci. Tomek uważnie przepatrywał wszystkie poziomy, szukając wśród Pueblosek tak dobrze wrytej w pamięć sylwetki Sally. Niestety, nigdzie nie mógł jej dojrzeć. Zawiedziony i przygnębiony podał lornetkę bosmanowi.

Z kolei Czarna Błyskawica przyjrzał się pueblu, a po nim uczynił to samo Przecięta Twarz.

— Ugh! Zuni zachowują najdalej posuniętą ostrożność — odezwał się cicho Czarna Błyskawica, gdy Tomek schował lornetę. — Tylko jedna drabina opuszczona jest na ziemię i uzbrojeni mężczyźni strzegą kobiet pracujących w polu.

Zgnębieni Tomek i bosman dopiero teraz zwrócili na to uwagę.

— Czyżby to miało potwierdzać przypuszczenie, że to oni porwali Sally — zawołał Tomek. — Nie spostrzegłem jej nigdzie wśród Indianek na tarasach.

— Różnie może być, w każdym razie Zuni zachowują ostrożność, jakby się obawiali napadu — odparł Czarna Błyskawica, a zwracając się do zwiadowcy zagadnął: — Gdzie mój brat Przecięta Twarz spostrzegł kojota?

— Niedaleko stąd, w tamtych zaroślach — wyjaśnił Przecięta Twarz wskazując pas krzewów nieco dalej na południu.

Ostrożnie wycofali się z pagórka. Przez kilka godzin buszowali wokół puebla, lecz nigdzie nie dostrzegli tajemniczego kojota. Olbrzymi bosman,

zmęczony kluczeniem po wertepach, ocierał czoło z potu, a w końcu przystanął i odezwał się:

— Odsapnijmy nieco, bo osłabłem z upału. Coś mi się wydaje, że to jednak był tylko kojot.

— Skąd taki wniosek, skoro sami do tej pory nie przekonaliśmy się o tym? — niespokojnie zapytał Tomek.

— Ha, gdyby to był nasz Dingo, to nie musielibyśmy szukać go jak szpilki w stogu siana. Czy on by sam nie przybiegł, gdyby tylko nas zwietrzył?

— Nie pomyślałem o tym — westchnął Tomek.

— Nah'tah ni yez'zi mówił, że napastnicy omal nie zabili jego psa. Jeżeli więc przeżył i podążył za Pueblosami, to na pewno dobrze się ich wystrzega. Za dnia tak jak kojot może się kryć w stepie, a wieczorem przychodzi pod pueblo — zauważył Czarna Błyskawica.

— Ha, i to prawda — mruknął bosman.

— Czarna Błyskawica dobrze mówi — przytaknął Przecięta Twarz. — Spotkaliśmy to zwierzę zaraz po świcie.

— Teraz odpocznijmy tutaj, a gdy słońce schowa się za stepem, znów będziemy krążyli wokół puebla — zaproponował wódz.

— Nie ma innej rady — chętnie zgodził się bosman.

Tomek przysiadł przy nim, lecz Czarna Błyskawica i Przecięta Twarz niezmordowanie przeszukiwali chaszczę. W końcu i oni zmęczeni powrócili do białych przyjaciół.

Upływała godzina za godziną. Słońce z wolna przesuwało się po niebie ku zachodowi. Zaledwie zabłyśły gwiazdy, czterej wywiadowcy znów wyruszyli na poszukiwania. W ciągu nocy kilkakrotnie okrążali pueblo, przybliżali się i oddalali od niego. Czasem krzyknęła sowa, to znów nietoperz zatrzepotał skrzydłami, usłyszeli nawet wycie prawdziwych kojotów, lecz nie przypominało ono szczekania Dinga.

— Coś mi się wydaje, że zwiadowcy wzięli kojota za naszego psiaka — szepnął bosman do Tomka.

Tomek ostrzegawczo zamknął mu dłonią usta. Znajdowali się obecnie bardzo blisko murów puebla, a na tarasie pierwszego pietra dwóch strażników siedziało przy żarzącym się ognisku. Naraz Czarna Błyskawica zatrzymał się.

Wyciągnął głowę jak żuraw ku spowitemu poświatą księżycową pueblu, po czym w milczeniu wskazał ręką na taras.

Na tarasie pojawiły się dwie postacie. Na krótką chwilę przystanęły przy strażnikach, a potem zaczęły się wolno przechadzać.

Tomek zerwał się i wykonał ruch, jakby chciał biec ku pueblu. Na szczęście w tym momencie twarda dłoń Czarnej Błyskawicy spoczęła na jego ramieniu. Tomek opanował niepotrzebny odruch wywołany nadmiernym wzruszeniem, lecz nie mógł powstrzymać łez napływających mu do oczu. Nie miał nawet cienia wątpliwości, że tam, na tarasie znajdowała się Sally. Wolnym krokiem spacerowała w towarzystwie starszej i wyższej od niej Indianki. Ciemne sylwetki kobiet wyraźnie rysowały się na tle białych murów puebla skąpanego w świetle księżyca.

Bosman również poznał dziewczynkę i był nie mniej wzruszony od swego młodego przyjaciela. Świadczył o tym jego przyspieszony oddech; przysunął się do Czarnej Błyskawicy — zajrzał mu prosto w twarz. Wódz nie zdejmując lewej dłoni z ramienia Tomka prawą wymownie dotknął swych ust. Stali więc teraz wszyscy czterej jak kamienne posągi zapatrzeni w sylwetkę na tarasie.

Nieoczekiwanie gdzieś z boku za nimi rozległo się chrapliwe szczekanie. Niskie początkowo tony stawały się coraz wyższe, aż w końcu przemieniły się w dziki, tęskny skowyt, Tomek i bosman drgnęli jednocześnie, a tymczasem na tarasie puebla dziewczęca postać podbiegła na sam skraj muru i przechyliwszy się przez niskie ogrodzenie wpatrywała się w ciemny step. Jej towarzyszka pospieszyła za nią. Odciągnęła ją w głąb tarasu, gdzie obie zniknęły.

Przeciągłe wycie zamarło.

Czarna Błyskawica natychmiast przystąpił do działania. Na migi polecił bosmanowi i Przeciętej Twarzy, aby okrążyli wzgórze, sam zaś z Tomkiem żywo poskoczył ku niemu na wprost. W ciągu kilku minut byli już na szczycie. Rozejrzeli się wokoło. Psa nie było.

— Spóźniliśmy się! — cicho odezwał się Tomek.

— Ugh! Pies nie mógł zbyt daleko odejść. Szukajmy w krzakach! Biegli między zaroślami.

— Dingo! Dingo! — ściszym głosem powtarzał chłopiec.

Tak nawołując, szybko przedzierał się przez krzewy. Gałęzie uderzały go po twarzy, kolce czepiały się ubrania, lecz on na nic nie zważał. Nagle jakiś ciężar zwałił się na niego. Stracił równowagę, upadł na ziemię. Odruchowo schwycił rękoma nieoczekiwanego napastnika i palce jego zagłębiły się w zmierzwioną sierść. Ze wzruszenia nie mógł wymówić słowa. W milczeniu przygarnął kosmate cielsko, a tymczasem Dingo ocierał swój łeb o jego głowę. Tomek, uszczęśliwiony odnalezieniem swego wiernego czworonożnego przyjaciela, nie wiedział, co się wokół niego dzieje. Nie słyszał nawet szelestu krzewów. Czujny Dingo warknął ostrzegawczo i sprężył się do skoku, gdy obok pojawił się Indianin.

Tomek natychmiast się opanował: przytrzymał psa.

— Spokój, Dingo, spokój, to przecież przyjaciel! — odezwał się.

Pies trząśł się jak w febrze i prężył do skoku, Czarna Błyskawica jak zwykle szybko zorientował się w sytuacji. Cofnął się więc nieco i rzekł:

— Niech Nah'tah ni yez'zi poprowadzi psa na wzgórze. Idę pierwszy!

Tomek podążył za Indianinem przytrzymując psa za kark. Dingo zmienił się niemal nie do poznania. Całe jego ciało pokrywała zmierzwiona sierść. Czujnym, dzikim wzrokiem spoglądał to na swego pana, to na Indianina; można było poznać, że nienawidzi czerwonoskórych, gdyż kurczące się gniewnie wargi mimo woli obnażały wielkie kły, gdy Czarna Błyskawica pochylał się ku niemu.

— On zapamiętał razy Pueblosów. Dobry pies! Nie opuścił Białej Róży — pochwalił Czarna Błyskawica.

— Dingo jest naprawdę mądry i wierny — rzekł Tomek. — Ileż to razy ratował nas z różnych niebezpieczeństw podczas wypraw.

— Ugh! Niech mój brat przytrzyma go mocniej. Dam znak naszym przyjaciołom.

Tomek mocno objął Dinga za szyję. Czarna Błyskawica przytknął złożone dłonie do ust i w ciszy rozległo się skowyczenie kojota.

Dingo zastrzygł uszami i potężnie machnął puszystym ogonem, po czym najpierw spojrzął w kierunku puebla, a potem w krzewy ciągnące się o stóp wzgórze. Bosman sapiąc jak miech kowalski wypadł z zarośli. Po chwili był już razem z Przeciętą Twarzą obok przyjaciół. Olbrzymi marynarz usiadł na ziemi. Tulił i pieścił Dinga, który zawzięcie machał ogonem i lizał go szorstkim jęzorem po twarzy.

— Górą nasi, piesku, górą — mówił bosman. — Zuch kompan z ciebie! Nie dałeś się Pueblosom, drałowałeś za naszą Sally...

Dingo usłyszawszy imię dziewczynki wyrwał się z rąk bosmana i zawył przeciągle w kierunku puebla.

— Ugh! — szepnął z uznaniem Czarna Błyskawica.

— Ugh! — powtórzył Przecięta Twarz.

— Wiemy, już wiemy, że tam jest Sally — uspokajał psa Tomek.

— Dobra nasza, Dingo! Zuch jesteś, ani słowa! — wtórował bosman.

— Wydostaniemy stamtąd naszą biedulę, żebyś miał własnymi łapami rozebrać tę fortecę.

Dingo kręcił się niespokojnie. Odwracał się ku mężczyznom, spoglądał na pueblo, jakby zachęcał ich do pójścia za sobą.

— Co teraz zrobimy? — zapytał Tomek.

— Musimy przyjrzeć się pueblu, aby ułożyć plan działania — odparł Czarna Błyskawica. — Gdyby udało nam się wejść na szczyt góry, przy której Zuni zbudowali swoje wigwamy...

— Wtedy widzielibyśmy wszystko jak na dłoni — przerwał mu Tomek.

— Ugh! Nah'tah ni yez'zi dobrze mówi.

Bosman zadarł głowę i markotnie spojrział na zaróżowione przez wschodzące słońce szczyty skał. Nie lubił wspinania się po górach! Tym razem jednak nie zaproponował.

Westchnął ciężko, a potem mruknął:

— Czarcie ich na pewno będą w piekle smażyli za takie budowanie chałup, ale co tu się teraz zastanawiać. Mówicie, że trzeba wleźć na górę? No to w drogę!

## WOJENNY FORTEL

Około południa czterej zwiadowcy zdołali się wspiąć na zupełnie nagi i płaski wierzchołek. Stanowiła go skalna platforma, z trudem mogąca pomieścić zaledwie parę osób. Od strony puebla ściana była niedostępna i przewieszona, z innych stron można było osiągnąć jej szczyt po trudnej wspinaczce. Położenie osiedla było więc z tego powodu nieco niekorzystne dla jego mieszkańców: paru drobnych strzelców, ukrytych na platformie, mogło z powodzeniem szachować Pueblosów, mimo że przewieszona ściana osłaniała część zabudowań. Należy wziąć pod uwagę, że pueblo wykuto w skale jeszcze przed przybyciem w te strony Hiszpanów z bronią palną.

Zwiadowcy legli na brzuchach na szczycie. Nieznacznie wychyliwszy głowy poza krawędź, mogli wygodnie obserwować położone u ich stóp pueblo. Dzielny Dingo pozostał na rozkaz swego pana u stóp skały. Było to konieczne ze względu na pomyślne przeprowadzenie obserwacji. Posłuszny pies przywarował w zaroślach, a zwiadowcy tymczasem podpatrywali wroga.

Lorneta wodza Długie Oczy wędrowała z rąk do rąk. Sami niewidoczni, penetrowali życie mieszkańców puebla przez wiele godzin. Obserwacje te miały podwójny cel. Należało przede wszystkim ustalić miejsce, w którym Zuni ukrywali Sally, po drugie, znając rozkład dnia Pueblosów, łatwiej można było ułożyć odpowiedni plan działania.

Zachowanie Zuni nie mogło wzbudzać podejrzeń, iż prowadzi wojownicze, łupieżcze życie. Kobiety i dziewczęta bez przerwy krzątały się po tarasach. Jedne wyplatały kosze o różnych kształtach, inne lepiły z gliny pięknie modelowane, później zdobione dzbany i czary, które, jak wyjaśniał Czarna Błyskawica, sprzedawały za mięso lub garbowane skóry innym szczepom, a nawet białym osadnikom.

Jeszcze inna grupa Pueblosek przygotowywała pożywienie. Na dużych kamieniach tarły ziarna kukurydzy i żołądzie na mąkę, a potem w specjalnie na ten cel zbudowanych niskich, kopulastych piecach piekły chleb, zwany piki.

Z pobliskich poletek znoszono do puebla w koszach kukurydzę, dynie, melony i fasolę. Mężczyźni zakrzywionymi kijami w rodzaju australijskiego bumerangu polowali w najbliższej okolicy na króliki. Czarna Błyskawica—

rdzenny mieszkaniec tych okolic — uzupełniał obserwacje przyjaciół różnymi wiadomościami o życiu mieszkańców skalnych osiedli.

Pueblosi doskonale potrafili korzystać z wszystkich plonów nieurodzajnej, suchej, stepowej ziemi. Konserwowali nawet owoce niektórych kaktusów lub wyrabiali z nich syrop, a z tartych nasion zmieszanych z wodą przyrządzali smaczną papkę — pinole. Z wielkich agaw, które w wiadomym czasie w odpowiednim miejscu nacinali, zbierali słodki sok, po czym, poddając go fermentacji, otrzymywali orzeźwiający i tak wesoło usposabiający napój pulque oraz wódkę zwaną tequila. Z tejże agawy wyrabiali również włókna henequen, z których sporządzali powrozy i grubsze płótna. Byli najlepszymi tkaczami i garncarzami tego kraju. W podziemnych obrzędowych salach puebla, zwanych kivas, mężczyźni przedli bawełnę w nić i tkali materiały. Od nich to Nawajowie, po zdobyciu owiec na Hiszpanach, nauczyli się tkactwa i produkcji tak bardzo dziś znanych nawajskich wzorzystych dywanów i koców. Obrzędowe i religijne życie Pueblosów było wysoko rozwinięte. Każdy szczep dzielił się na klany i tajemne stowarzyszenia. Zebrania ich odbywały się na głównych dziedzińcach. Najczęstszym z obrzędów był taniec węża, czyli modlitwa o deszcz, tak konieczny, by uzyskać plody z nieurodzajnej ziemi. W czasie tego tańca czarownicy — kapłani węża — posługiwali się żywymi gadami różnego gatunku, z grzechotnikami włącznie. Podczas tańca trzymali węże w zębach, a po zakończeniu obrzędu odnosili je na skraj osady i puszczali na wolność jako posłańców bóstw deszczu. Kapłani przez umiejętne trzymanie niebezpiecznych gadów nie byli narażeni na pokąsanie.

Tomek i bosman przyglądali się również zabawom młodzieży. Szczególnie ulubioną grą małych Indian była „*rzuć i łap*”, która wyrabiała u graczy zręczność i szybką orientację. Polegała ona na podrzucaniu w górę kwadratowego kawałka drewna, w którym było pięć otworów. Gracz podrzucał uwiązaną na sznurku podziurawioną deseczkę, aby ją złapać na zaostromy odpowiednio patyk trafiając w jeden z otworów.

Bosman zdumiony i pełen pochwał dla unormowanego i dobrze zorganizowanego trybu życia Pueblosów w pewnej chwili odezwał się do Tomka:



— Ho, ho, nie spodziewałem się nigdy, że te amerykańskie dzikusy tak sobie wszystko ładnie tutaj urządziły. Narzekają, a dobrze im się wiedzie; widzę, że nawet uprawiają sprowadzone przez białych rośliny.

— Przeciwnie, to my, biali, od tych amerykańskich niby „dzikusów” przejęliśmy szereg roślin, nie znanych na innych kontynentach, które później po odkryciu Ameryki szeroko się rozpowszechniły po całym świecie i stały się nawet głównym pożywieniem milionów ludzi — prostował Tomek błędne mniemania bosmana. — Zaraz panu wyliczę. Na przykład Ameryka Środkowa, a ściśle mówiąc Chile i Peru dały nam kartofle, uprawiane i uszlachetniane tam jeszcze przed przybyciem Europejczyków. Z Peru również wywodzą się pomidory, z Brazylii fasola. Od Majów, Azteków i Inków nauczyliśmy się uprawiać kukurydzę — jedyne zboże wywodzące się z Ameryki. Ameryka Środkowa dała nam tytoń; nawet pana ulubiony rum jamajka pochodzi z wyspy Jamajka odkrytej przez Kolumba w roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym czwartym na Morzu Karaibskim. Czy jeszcze mało?

— Aleś mi rąbnął litanie, brachu — odparł bosman usprawiedliwiająco. — Po prawdzie to co innego mnie dziwi, ale pewno znów źle się wyraziłem. Chodzi, widzisz, o to, że pustkowie to wygląda jak wysuszona na pieprz ziemia. Same tylko kaktusy i juki, a mimo to Indianie jakoś tu żyją. Osobiście nie dałbym nawet dwóch złamanych groszy za ten cały Meksyk.

Tomek znów się uśmiechnął, mówiąc:

— Nie tylko pan popełnia błąd, tak źle oceniając na pierwszy rzut oka niektóre ziemie bogatej Ameryki. Jak sobie przypominam z historii odkryć, przy końcu siedemnastego wieku żeglarz Bering, pozostający w służbie rosyjskiej, odkrył cieśninę dzielącą Azję od Ameryki i dotarł do wybrzeży Alaski. Potem z sąsiedniej Syberii i Kamczatki, które należały do Rosji, przybywali na Alaskę myśliwi w poszukiwaniu cennych futer zwierzęcych. Na skutek częstych wypraw Rosjanie założyli tam nawet stację handlową, a rosyjski uczonec, Sarycew, dokonał pierwszych zdjęć wybrzeży i fiordów tej części Ameryki. Mimo to carowie tak samo nie doceniali wówczas Alaski, jak pan obecnie Meksyku, i odsprzedali ją Stanom Zjednoczonym za siedem milionów dolarów<sup>200</sup>. Tymczasem Amerykanie wkrótce odkryli tam bogate

---

<sup>200</sup> — Rosjanie sprzedali Alaskę Stanom Zjednoczonym w 1867 r. Odkrycie złota nastąpiło w 1896 i już w tyra roku wydobyto go na sumę 10 mln dolarów.

poła złotonośne i już w pierwszym roku wydobyli złota na sumę przewyższającą cenę zapłaconą Rosjanom. Jak więc pan widzi, nie warto być zbyt pochopnym w osądach.

— Iiii, tam do licha! Czy z tobą nie można normalnie gadać, żebyś zaraz nie zaczynał z różnymi dyrdymałami?! — oburzył się bosman. — Zacząłem mówić o tym, że mi się ciut żal zrobiło Pueblosiaków, a ty od razu przybijasz mnie do krzyża nauką. Pomyśl tylko, brachu, że jak zabierzemy się do uwalniania naszej nieboraczki, to rozgromimy to całe bractwo na cztery wiatry jak sadybę Don Pedra.

— Ugh, Grzmiąca Pięść dobrze mówi — odezwał się milczący dotąd Czarna Błyskawica. — Musimy zniszczyć to gniazdo zdradzieckich psów puebloskich, aby uwolnić Białą Różę. Niełatwe to będzie zadanie, bo Zuni mają się na baczności.

— Co prawda, to prawda. Pilnują się, dranie! Co który zejdzie na ziemię, to inni zaraz wciągają drabinę z powrotem na taras — zafrasował się bosman. — Ciężką będziemy mieli robotę...

Tomek zamyślił się głęboko. Od kilku godzin zastanawiał się, w jaki sposób można by uwolnić Sally bez walki i niepotrzebnego przelewu krwi z obydwóch stron.

Nie ulegało wątpliwości, że Pueblosi nie dadzą się zaskoczyć. Straż bezustannie czuwała na dolnym tarasie, nie opuszczano drabin bez koniecznej potrzeby, a obok leżały całe stosy kamieni, którymi Indianie mogli skutecznie razić ewentualnych napastników. Ponadto Zuni byli dobrze uzbrojeni w łuki, dzidy, noże i topory.

Tomek długo rozważał wszystkie możliwe sposoby. W jego głowie musiał powstawać jakiś plan, gdyż to wychylał się poza krawędź skały, to znów bystro przyglądał się pueblu przez lornetę.

W końcu odwrócił się do swych towarzyszy i rzekł:

— Wydaje mi się, że w samotnym domku na najwyższym piętrze mieszka wódz Zuni, co pewien czas bowiem różni Indianie przychodzą tam i wychodzą, jakby odbierali rozkazy.

— Ugh! Mój brat dobrze to zauważył — przytaknął Czarna Błyskawica. — Tam na pewno mieszka wódz Zuni.

— W związku z tym nasunął mi się pewien pomysł — zaczął Tomek.

— Cóżżeś tam wykombinował? — ożywił się bosman.

— Jak myślisz, Czarna Błyskawico, czy Zuni oddaliby nam Białą Różę w zamian za swego wodza i jego rodzinę? — zapytał Tomek.

— Ugh! Na pewno by oddali, ale nie możemy im tego zaproponować — odparł Czarna Błyskawica. — Rodzina wodza Zuni jest bezpieczna w swoim wigwamie. Aby dostać się do niego, musielibyśmy zdobyć przedtem całe pueblo.

— Niby tak i niby... nie — zaprzeczył Tomek. — Chciałbym uniknąć zdobywania puebla biorąc do niewoli, jako zakładników, wodza Zuni i jego rodzinę.

Czarna Błyskawica wzruszył ramionami. Pomysł Nah'tah ni yez'zi był przecieź nierealny. Przecięta Twarz uśmiechnął się wyrozumiale. Czy taka młoda blada twarz mogła się znać na taktyce wojennej? Nawet bosman skrzywił się i niechętnie machnął ręką.

— Pozwólcie mi najpierw wyjawić mój plan do końca — uparcie ciągnął Tomek. — Czarna Błyskawica rozważa tylko możliwość ataku z ziemi, wtedy istotnie należy najpierw zdobyć całe pueblo, aby dotrzeć do wodza. Gdybyśmy jednak pod osłoną nocy opuścili się na dach domu wodza Zuni i wzięli go razem z rodziną do niewoli, to wtedy moglibyśmy o świcie podyktować Pueblosom nasze warunki. Z tego miejsca, przy odrobinie śmiałości, można się dostać na najwyższy taras puebla.

Indianie, zdumieni, spojrzeli na Tomka.

— Ugh! Ugh! Mój biały brat chciałby się stąd opuścić na dach domu wodza Zuni?! — zawołał Czarna Błyskawica nie tając zdumienia.

— Czy uważasz to za zupełnie niemożliwe? — spokojnie zapytał Tomek.

Czarna Błyskawica bez słowa wychylił głowę poza krawędź skały. Od dachu samotnego kamiennego domku dzieliła ich trzydziesto–czterdziestometrowa przepaść. Po chwili cofnął się zdziwiony i podniecony jednocześnie niezwykłym pomysłem białego przyjaciela.

— Ugh! Stąd naprawdę można by się dostać na dom wodza Zuni — rzekł poważnie. — Co byśmy później zrobili?

Tomek przysunął się do przyjaciół i szeptał, jakby obawiał się, aby ich ktoś nie podsłuchał:

— Kilku odważnych i śmiałych wojowników może bez trudności opanować dom wodza Zuni i jego mieszkańców. Potem wystarczyłoby tylko wciągnąć drabinę i bylibyśmy tam jak w fortecy.

— Zuni przyniosą inne drabiny — mruknął Przecięta Twarz.

— Kule nasze szybko nauczą ich rozsądku. Będą musieli się trzymać w przyzwoitej od nas odległości. Gdy zrozumieją swoją bezsilność, łatwo powinniśmy się dogadać.

— Niech cię лихо porwie! — zawołał bosman z uznaniem. — Co prawda nie tak trudno kark skrócić opuszczając się z tej skały na linie...

— Wydaje mi się, że mniejsze to będzie ryzyko niż atak na mury puebla z ziemi. Mamy zaledwie około czterdziestu wojowników, skąd więc pewność, że uda nam się silą odbić Sally? A czy nie stanie się jej jakaś krzywda podczas napadu? Poza tym jeszcze słyszę krzyk ludzi mordowanych na ranczo Don Pedra,.. Tak bym chciał uniknąć okropnej walki, która przyniesie śmierć tylu ludziom...

— Ugh! Nah'tah ni yez'zi ma serce czerwone jak Indianin i fortele wojenne godne czerwonoskórego wojownika, lecz myśl jego jest biała... — rzekł Czarna Błyskawica. — Biali jednak nie mają tyle litości dla Indian, chociaż domagamy się jedynie tego, co nam się słusznie należy.

— Czyż w tej bratobójczej walce nie będą ginęli właśnie Indianie? — gorąco odparł Tomek. — Jedynie dlatego pragnę jej uniknąć. Ilu twoich wojowników polegnie przy zdobywaniu puebla?

— Ugh! Tylko to ostatnie może mnie przekonać. Dobry wódz nie gubi niepotrzebnie swoich wojowników.

— Wodzu, gdy dawano mi orle pióra za walkę z Czerwonym Orłem, wtedy wódz Długie Oczy powiedział, że bezkrwawe pokonanie przeciwnika przynosi największy zaszczyt.

— Słowa płyną z ust mego białego brata jak woda w strumieniu — powiedział Czarna Błyskawica ciężko wzdychając. — Grzmiąca Pięść dobrze powiedział: z tobą trudno rozmawiać.

— Podejmuję się pierwszy opuścić na dom wodza Zuni — ciągnął Tomek zdecydowanie, — Jeżeli mnie się to nie uda, zrobicie, jak będziecie uważali.

— Idę z tobą, brachu — zawołał bosman.

— Czy pan sobie wyobraża, jaka gruba by musiała być lina, aby nie pękła pod pana ciężarem? — zaoponował Tomek. — Im sznur dłuższy, tym mniej wytrzymały, a tu trzeba liny co najmniej pięćdziesięciometrowej.

— Iii, gadasz brachu! Nie widziałeś jeszcze, jak się potrafię sprawiać na rejach!

— Nie o to chodzi! Waga pana ciała i niezwykła siła znajdą inne pole do popisu. Możemy sprowadzić tutaj zaledwie kilku wojowników. Co najmniej pięciu lub sześciu ludzi powinno opuścić się do puebla, podczas gdy pozostali będą trzymali linę, której nie ma tu do czego przywiązać. Czy pan teraz wie, ile będzie zależało od pana siły i przytomności umysłu?

— Że jak niby? — zdumiał się bosman, któremu bierna rola wcale nie przypadła do gustu.

— Pewne i silne dłonie muszą trzymać linę, ponieważ od tego zależy całe powodzenie wyprawy.

Bosman zamilkł markotny, a tymczasem Czarna Błyskawica i Przecięta Twarz spoglądali na siebie zaskoczeni tym dziwnym, oryginalnym planem białego chłopca.

— Niech Nah'tah ni yez'zi jeszcze raz wyjaśni nam swój plan — zaproponował Czarna Błyskawica.

Tomek zaczął:

— Ośmiu wojowników wejdzie z linami i bronią na szczyt ściany skalnej przewieszanej nad pueblem. Sześciu z nich powinno się opuścić na linie na dom wodza Zuni, obezwładnić go wraz z domownikami i utrzymać pozycję w razie ataku Pueblosów. O wykonaniu pierwszego zadania grupka śmiazków strzałem zawiadomi resztę towarzyszy, którzy w tym czasie okrążą całe pueblo z zewnątrz. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Pueblosi rychło zrozumieją, iż wpadli w pułapkę, i zgodzą się oddać białą brankę za własnego wodza.

— Ugh! Ugh! — szepnął Czarna Błyskawica.

— Ugh! — dziwił się Przecięta Twarz.

— Zreczniesz to wykombinował — pochwalił bosman.

Plan Tomka wydawał się teraz wszystkim nadzwyczaj prosty i łatwy do wykonania, chociaż wymagał niezwykłej odwagi i śmiałości. Jeszcze omówili niektóre szczegóły, po czym wódz polecił Przeciętej Twarzy pozostać na posterunku i przez lunetę dalej śledzić Pueblosów, a sam z dwoma białymi

przyjaciółmi udał się w drogę powrotną do wojowników oczekujących na nich w kanionie gór Sierra Madre.

Następnego dnia tuż przed zapadnięciem zmroku ośmiu mężczyzn wspięło się na platformę skalną zawieszoną nad pueblem Zuni. Ostrożnie złożyli na ziemi ogromny zwój lin i broń, po czym przyłgnęli do skały, aby nie zwrócić na siebie uwagi Pueblosów.

— Czy nic nowego nie zdarzyło się w pueblu? — zagadnął Czarna Błyskawica.

— Nie, wszystko w porządku — wyjaśnił zwiadowca. — Dzisiaj odbywały się u nich jakieś uroczystości, gdyż wszyscy mężczyźni spędzili całe popołudnie w podziemnych kivas i dopiero niedawno powrócili do swoich wigwamów.

— Czy wódz Zuni będzie u siebie? — niepokoił się Tomek.

— Ugh! Zdaje się, że jest; razem z nim na tarasie widziałem dwóch mężczyzn i trzy squaw. Jedna stara i dwie dziewczyny.

— Dobra nasza — ucieszył się bosman. — Wygarniemy ich z gniazda jak młode szpaki.

Pałacy Promień i wszyscy inni wojownicy postanowili dokładnie poznać teren działań wojennych przed zapadnięciem ciemności. Kolejno czynili obserwacje życia w pueblu. Oprócz Tomka, bosmana, Pałacego Promienia i Przeciętej Twarzy, wódz wybrał jeszcze czterech młodych, silnych i odważnych Indian, których zadaniem było wzięcie do niewoli wodza Zuni. Reszta z wodzami Dłgie Oczy i Chytrym Lisem miała jeszcze przed świtem okrążyć osiedle i w ten sposób uniemożliwić jego mieszkańcom ewentualną ucieczkę.

Z wolna zapadał zmierzch. Nad skalnym cyplem pokazały się pierwsze gwiazdy, potem wypłynął zza gór srebrzysty księżyc w pełni, który majestatycznie żeglował ponad stepem. Życie skalnego osiedla cichło coraz bardziej, aż w końcu wokół zapanowała nocna cisza.

Pełen niepokoju nastrój mimo woli ogarnął Tomka. Indianie z przysłowiową indiańską cierpliwością w milczeniu spoczywali obok niego, a bosman, jak zwykle niefrasobliwy i pozbawiony uczucia lęku, pochrapywał w najlepsze. Już trzeci raz na najniższym tarasie puebla zmieniała się warta.

Tomek miał wątpliwości, czy ryzykowny plan da się zrealizować. Bo cóż się stanie, jeżeli któryś z wartowników na dolnej platformie spojrzy w górę w

czasie, gdy ze skalnego cypla zaczną się opuszczać na linie? Oczywiście wtedy nie uda im się zaskoczyć wodza, a ostrzeżeni Pueblosi będą jeszcze czujniejsi. Jaki los czeka wówczas kochaną Sally?

Na szczęście wszystko na tym świecie ma swój początek i koniec, więc i niepokój Tomka rozwiązał się natychmiast, gdy nadeszła tak niecierpliwie oczekiwana chwila działania.

Oto Czarna Błyskawica spojrział w niebo, potem odwrócił się w kierunku puebla i obrzuciwszy je czujnym wzrokiem, cicho powstał. Był to najodpowiedniejszy moment do akcji, księżyc zniknął już bowiem za górami i cały skalny cypel tonął w mroku. Przygotowano linę.

Tomek trącił bosmana. Marynarz drgnął, otworzył oczy. — Czy to już...? — zapytał.

Czarna Błyskawica skinął znacząco i przyłożył palec do ust. Zrozumieli, że nakazywał milczenie.

Ruchem ręki przywołał Pałacy Promień. Ten pojął od razu, że Czarna Błyskawica wyróżnił go wśród tylu dzielnych i nieustraszonych wojowników. Szybko przełożył karabin przez plecy, a przytrzymujący go ramię mocno ściągnął na piersiach. Nóż i tomahawk wsunął za szeroki pas okalający biodra, był gotów. Bosman i czterej Indianie mocno ujęli linę. Wolno opuszczano ją w przepaść.

Czarna Błyskawica wyjrzał poza urwisko. Tomek wątpił, czy wódz zdoła cokolwiek ujrzeć w ciemności, lecz w pewnym momencie dał znak, by już więcej nie opuszczano liny.

Pałacy Promień bez słowa usiadł na ziemi, spuścił nogi w przepaść. Pewnie ujął linę i znikł w czarnej czeluści. Mijały sekundy... Pozostali na platformie pilnie wpatrywali się w naprężony sznur. Naraz lina zwisała luźno. Dwukrotne lekkie szarpnięcie oznaczało, że Pałacy Promień znajduje się już w pueblu. Czarna Błyskawica wskazał na Tomka.

Chłopiec zarzucił na ramię sztucer, ujął oburącz linę, usiadł na ziemi i wolno zsunął się z krawędzi. Teraz piersiami odwrócił się do skalnego bloku. Stopami odpychał się od stromego urwiska opuszczając się na rękach w dół. Po chwili zawisł w powietrzu między niebem a ziemią. Silny nad wiek, sprawnie zsuwał się po linie. Niebawem w mroku zamajaczyły mu białe kontury domów. Wkrótce dotknął stopami płaskiego dachu budowli. Dwukrotnie szarpnął linę, po czym położył się obok Pałacego Promienia.

Z kolei pojawił się Czarna Błyskawica, po nim Przecięta Twarz i jeszcze dwóch innych czerwonoskórych. Bosman z dwoma Indianami pozostali na skalnym cyplu i stamtąd, gdyby zaszła konieczność, mieli razić z karabinów mieszkańców puebla.

Na znak Czarnej Błyskawicy, kolejno opuszczali się z płaskiego dachu na taras. Dom wodza znajdował się na najwyższym piętrze puebla. Z tego też względu do jego wnętrza prowadził z tarasu normalny otwór drzwiowy, osłonięty jedynie grubym kocem. Czarna Błyskawica i Pałacy Promień pierwsi podkradli się doń, tuż za nimi przyczał się Tomek. Czarna Błyskawica mową znaków wskazał jednemu z Indian opuszczoną na niższe piętro drabinę. Dopiero teraz ostrożnie uchylił zasłony.

Wewnątrz domku żarzyło się ognisko. W jego mdłym odbłasku ujrzeli śpiących mieszkańców. Byli to trzej mężczyźni i trzy kobiety. Czarna Błyskawica szybko powziął decyzję. Gestami wydawał rozkazy. Pałacy Promień z bronią gotową do strzału miał tarasować drzwi. Tomek wraz z jednym czerwonoskórym otrzymał rozkaz unieszkodliwienia starej Puebloski, podczas gdy dwaj następni Indianie mieli się zaopiekować śpiącą na prawo od wejścia dziewczyną. Trzecią kobietę wziął na siebie sam Czarna Błyskawica. W tym czasie Pałacy Promień powinien bronią szachować mężczyzn, gdyby się przypadkiem zbudzili.

Jednocześnie ruszyli ku śpiącym. Bezszelestnie zbliżyli się do posłań na matach. Indianin szarpnął koc, narzucił go na głowę Puebloski, podczas gdy Tomek rzemieniami szybko związał jej ręce i nogi. Z kolei zakneblowali przerażonej dziewczynie usta i już było po wszystkim. Pozostałym towarzyszom również powiodło się doskonale. Trzy kobiety leżały skrupowane i przyduszone kocami.

Teraz po dwóch zaczęli się skradać w kierunku posłań mężczyzn. Indianie wyciągnęli zza pasów tomahawki. Dobycie broni przez czerwonoskórych nie przstraszyło Tomka, poznał już bowiem na tyle ich zwyczaje, iż wiedział, co to oznacza — obróconymi na płask tomahawkami ogłuszali swe ofiary lekkim uderzeniem w głowę. Widocznie przewidywali możliwość oporu ze strony Pueblosów.

Na palcach zbliżali się do posłań. W tej właśnie chwili mijali ognisko żarzące się na środku izby. Naraz coś ciężkiego zważyło się na dach domu. Cienka warstwa adoby stanowiąca pokrycie załamała się pod wpływem



silnego uderzenia. Rozległ się głuchy trzask, łomot spadających kamieni i... na środku izby znalazło się olbrzymie cielsko bosmana. On to bowiem był sprawcą całego nieszczęścia.

Trudno się dziwić bosmanowi, że nie mógł się pogodzić z rolą wyznaczoną mu przez Czarną Błyskawicę. Podczas gdy Tomek walczył o wolność Sally, on miał spokojnie leżeć z karabinem gotowym do strzału na górze? Marynarz nie mógł się od razu sprzeciwić rozkazom Czarnej Błyskawicy, aby nie dawać złego przykładu, wszakże po kilku minutach, gdy sześciu towarzyszy znalazło się już w pueblu, polecił pozostałym z nim Indianom trzymać linę i odważnie opuścił się w przepaść. Z początku wszystko szło jak najlepiej. Jeszcze najwyżej dziesięć metrów dzieliło go od dachu domu, gdy naraz runął w dół. To dwaj Indianie, nie mogąc utrzymać tak znacznego ciężaru, puścili linę, aby nie stoczyć się ze skalnej platformy.

Bosman zachował się dzielnie. Nie krzyknął spadając jak kamień, nie jęknął, gdy razem z kupą gruzu wylądował na środku izby prosto w żarze ognia. Musiał jednak poczuć rozpalone węgle, ponieważ zerwał się szybciej niż skacze królik umykający w stepie przed kojotem. Ognisko przygasło, lecz mimo to bosman rozpoznał swoich. Zanim zaskoczeni wypadkiem towarzysze ochłonęli, wyrznął pięścią w głowę wrzeszczącego wodza Zuni. Wielkie chłopisko ucichło natychmiast i zważyło się na ziemię. Teraz rozgorzała krótka walka z jego obydwoma synami, lecz i oni szybko ulegli napastnikom. Po chwili wszyscy już leżeli mocno skrępowani.

Czarna Błyskawica pozostawił w na pół zrujnowanej izbie Przeciętą Twarz przy jeńcach, sam zaś z resztą towarzyszy podążył na taras. Był już na to najwyższy czas. Wyrwani ze snu łomotem i krzykiem napadniętych, Pueblosi wybiegli z domostw z bronią w ręku. Kilku zamieszkałych piętro niżej już przystawiło drabinę do muru.

Czarna Błyskawica zdjął karabin z pleców i, nie przykładając go nawet do ramienia, nacisnął spust. Pueblos wdzierający się na stopnie drabiny runął na ziemię.

Głośne krzyki przerażenia odezwały się we wszystkich zakątkach puebla. Zuni przestraszeni czaili się na tarasach, nie mogąc zrozumieć, w jaki sposób wróg przedostał się do samego serca fortecy.

Na rozkaz Czarnej Błyskawicy Apacze i biali ukryli się za niskim ogrodzeniem obramowującym najwyższy taras, po czym jednocześnie

wypalili z karabinów ponad głowami rozkrzyczanych Pueblosów. W odpowiedzi na salwę u stóp murów puebla rozległ się przeciągły okrzyk bojowy. To wodzowie Chytry Lis i Długie Oczy przychodzili z pomocą swym towarzyszom.

Z nastaniem świtu wielu Pueblosów z bronią w ręku próbowało zająć stanowiska obronne na najniższym dachu, lecz wtedy posypały się na nich strzały z sadyby wodza. Wszczęło się nieopisane zamieszanie, z którego właśnie Tomek zamierzał skorzystać. Razem z Czarną Błyskawicą wszedł do na pół zdemolowanego domku. Obydwaj zatrzymali się przed wodzem Zuni. Przecięta Twarz odkneblował mu usta.

Wódz Pueblosów nie mógł zrozumieć, co się stało. W jaki sposób biali i Apacze wdarli się do jego domu? Czy oznaczało to, że pueblo bez walki zostało zdobyte? Wystraszonym wzrokiem spoglądał na stojących przed nim napastników.

— Usiądź, abys mógł z nami godnie rozmawiać, jak przystało na wodza, chociaż nie jestem pewny, czy wart jesteś tego zaszczytu — dumnie odezwał się wódz Apaczów.

Zuni usiadł na posłaniu. Uspokoił się nieco ujrawszy swą rodzinę skrzepowaną powrozami. Skoro jeszcze żyli, to był dobry znak.

— Dlaczego napadliście na nasze pueblo? Czego od nas chcecie? — zaczął niepewnie. — Nie mamy już zapasów żywności. Wszystko zjedliśmy przez okres długotrwałej suszy.

Czarna Błyskawica nic nie odpowiedział. Długo mierzył Zuni pogardliwym spojrzeniem, aż w końcu rzekł:

— Masz odpowiadać tylko na pytania, parszywy psie puebleski! Powiedz nam swoje imię, jeżeli w ogóle taki kiepski wódz może je mieć.

Ciemna twarz Zuni poszarzała pod wpływem tej obelgi. Opuścił głowę na piersi. Zrozumiał swoją bezsilność.

— Czy masz imię? — ostro zapytał Czarna Błyskawica.

— Moi bracia nazywają mnie Ma'kya, co w języku białych oznacza Łowca Orłów — ponuro odparł Zuni.

— Ciebie nazywają Łowcą Orłów? — roześmiał się Apacz. — Raczej powinienes polować na zające. Co to za wódz, który zgubił własne plemię! Możemy teraz zabić ciebie, twoich synów i twoje squaw. Uczynimy to również z wszystkimi Zuni, jeżeli nie podporządkujesz się naszej woli.

Ma'kya milczał. Nie miał przecież nic do powiedzenia. Wrogowie wzięli go do niewoli i prawdopodobnie zdobyli całe pueblo. Był na ich łasce, a czy można było spodziewać się litości od Apaczów?

Czarna Błyskawica z zadowoleniem patrzył na zgnębionego Zuni. Porozumiewawczo spojrział na Tomka. Grunt został przygotowany. Biały przyjaciel mógł rozpocząć pertraktacje.

— Czy zrozumiałeś już dostatecznie, że ty i twoi ludzie znajdujecie się teraz na naszej łasce? — zapytał Tomek.

Ma'kya nic nie odpowiedział, więc Tomek mówił dalej:

— Wzięliśmy do niewoli ciebie razem z rodziną. Możemy was zabić bądź darować wam życie. Nie zasługujecie jednak na litość i należy się wam surowa kara.

W tej chwili na platformie przed domem rozległy się strzały. Jednocześnie obiegający pueblo również rozpoczęli kanonadę. Czarna Błyskawica wybiegł z chaty. Niebawem wrócił i mrugnął nieznacznie do Tomka. Wszystko było w porządku.

— Tchórzliwi Pueblosi jak psy pochowali się do swych nor przed naszymi wojownikami — odezwał się pogardliwie.

Błysk zaciekawienia pojawił się w oczach Ma'kya. Co miały oznaczać te słowa? Czyżby pueblo nie było jeszcze w rękach wroga? W jaki wobec tego sposób Apacze znajdowali się w jego chacie?

— Ma'kya nie rozumie jeszcze, co się stało — rzekł Tomek, jakby w odpowiedzi na skryte myśli wodza Zuni. — Zaraz mu pokażemy, w jaką sytuację wpackował się przez podłość i głupotę.

Odwrócił się do Przeciętej Twarzy i rozkazał:

— Niech mój brat rozwiąże Ma'kya nogi!

Wyprowadził wodza Zuni na taras zalany promieniami wschodzącego słońca. Na widok Czarnej Błyskawicy i Tomka wojownicy u stóp puebla wydali przeraźliwy okrzyk bojowy. Ma'kya w dalszym ciągu nie mógł zrozumieć, w jaki sposób wzięto go do niewoli. Wróg znajdował się tylko na najwyższym piętrze i otaczał jednocześnie osiedle, podczas gdy na pozostałych tarasach kryli się wystraszeni Pueblosi.

Z powrotem wprowadzili Ma'kya do chaty i związali mu nogi.

— Czego ode mnie chcecie? — zapytał pokornie.

— Przybyliśmy, aby cię ukarać za napad na ranczo szeryfa Allana i porwanie młodej białej squaw. Zależnie od tego, jak obchodziliście się z białą dziewczynką, potraktujemy was bardziej lub mniej surowo. Czy wiesz teraz, o co chodzi? — odpowiedział Tomek.

Wyraz ulgi ukazał się na twarzy Ma'kya. Widząc to Tomek odetchnął pełną piersią. Był to przecież widomy znak, że Sally nie stała się krzywdą.

— Skąd możecie wiedzieć, że to my właśnie porwaliśmy białą squaw? — chytrze zapytał Ma'kya.

— Gdybyśmy nawet wczoraj nie widzieli jej spacerującej po dolnym tarasie, to twoje naiwne pytanie powiedziałyby nam teraz całą prawdę — odparł Tomek. — Każ w tej chwili przyprowadzić ją tutaj albo zginiesz, jak na to zasługujesz!

Czarna Błyskawica zbliżył się do Zuni. Wolno wy dobył długi nóż. Lewą dłonią chwycił przerażonego jeńca za włosy, prawą przyłożył ostrze do czoła.

— Spiesz się albo zedrę ci skalp, a dopiero potem pchnę nożem — groźnie warknął Apacz.

Ma'kya trząśł się ze strachu. Z trudem zapytał:

— Czy zostawicie nas w spokoju, jeśli wydamy wam białą squaw?

— Biała squaw sama o tym zadecyduje — odparł Tomek.

— Dobrze, rozwiążcie mnie, abym mógł po nią pójść.

— Omyliłeś się, sądząc, że jesteśmy tak niemądrzy jak ty — gniewnie powiedział Tomek. — Twoja najmłodsza córka pójdzie ze mną po białą squaw, lecz pamiętaj, że ty i twoi synowie jesteście zakładnikami. W razie zdrady zginiecie natychmiast!

— Dobrze, dobrze, niech tak będzie, jak mówisz.

Czarna Błyskawica zmarszczył brwi słysząc słowa białego przyjaciela, lecz nie chciał oponować. Przecież to Nah'tah ni yez'zi ułożył cały plan działania.

Pochylił się nad Ma'kya, chwycił go za kark i wywlókł na taras. Inni Apacze uczynili to samo z jego synami, żoną i córkami. Tomek przeciął więzy najmłodszej Indiance. Z kolei Ma'kya polecił jej udać się z Tomkiem po branke. Zanim Czarna Błyskawica pozwolił im zejść do Sally, Ma'kya głośno musiał oznajmić Pueblosom swą wolę.

Tomek odważnie schodził po drabinie na niższy taras. Z rewolwerem w dłoni prowadził przed sobą córkę wodza. Wojownicy na stepie krzyknęli

donośnie, jakby zrozumieli, że w tej właśnie chwili należy przerazić Pueblosów.

Tomek drżał z niecierpliwości. W ostatniej chwili postanowił sam pójść po Sally, ponieważ każda chwila oczekiwania wydawała mu się wiecznością. Czy postąpił roztropnie? Za późno było na refleksje.

Szedł więc stanowczym krokiem, chociaż dziesiątki par rozgniewanych oczu śledziło każdy jego ruch.

Byli już na najniższym tarasie. Naraz Tomek powziął jakąś myśl. Odwrócił się do swych towarzyszy na szczycie puebla i zawołał po polsku do bosmana:

— Zakneblujcie jeńcowi usta!

Teraz bez wahania wsunął się w ciemny otwór dachu wiodący do podziemnych kivas. Kilkunastu uzbrojonych Pueblosów zaraz otoczyło go zwartym kołem. Wylękniona córka wodza wyjawiała im wolę ojca. W ponurym milczeniu poprowadzili ich w głąb podziemia.

Przez zamaskowane w skale otwory wpadało tu nieco dziennego światła, które mieszało się z czerwonym odbłaskiem żaru ognisk. Indianie przywiedli Tomka przed osłonięte wzorzystym kocem drzwi.

— Tutaj jest biała squaw — powiedziała córka wodza.

Tomek odsunął zasłonę. Ujrzał plecy Indianki, która przykucnąwszy na ziemi z ożywieniem tłumaczyła coś towarzysze siedzącej na matach.

— Sally...! — zawołał Tomek zdławionym głosem.

Indianka odwróciła się, odsłaniając jednocześnie białą dziewczynę. Była to naprawdę Sally.

Zdumionym i pełnym niedowierzania wzrokiem spoglądała na Tomka stojącego z rewolwerem w dłoni w drzwiach.

— Tommy, Tommy... — szepnęła zaledwie, jakby jeszcze nie dowierzała własnym oczom.

Do głębi wzruszony chłopiec nie mógł wymówić ani słowa. Przed nim znajdowała się Sally, za którą tak bardzo tęsknił i której omal nie stracił na zawsze... Wyciągnął więc tylko do niej lewą dłoń, a dziewczyna, gdy w końcu zrozumiała, że to naprawdę jej Tommy przybył tu po nią, porwała się jak szalona na równe nogi, skoczyła ku niemu i objęła go drżącymi ze wzruszenia ramionami.

Pueblosi onieśmieleni, a może i przejęci niezwykłą sceną, cofnęli się nieznacznie. Tymczasem dzielny biały chłopiec mężnie pokonał własne wzruszenie. Sytuacja była niebezpieczna i najmniejsza nieostrożność mogła spowodować nieobliczalne następstwa.

Przyjrzał się Sally. Przybladła trochę, lecz mimo to wyglądała zupełnie zdrowo.

— Czy nie stała ci się jakaś krzywda? — zapytał, z trudem tłumiąc radość.

— Nie, nie, Tommy! Powiedz mi, co z mamą i stryjem? Czy...

— Zdrowi są i tęsknią za tobą — odparł szybko, widząc, że dziewczyna rozplacze się za chwilę.

— Czy... naprawdę?

— Sally, czy mógłbym cię okłamywać?

— Kiedy mnie porwali, słyszałam strzały i odgłosy walki na ranczo... Mama była w sadzie...

— To właśnie ją uratowało. Gdy przybiegła, było już po wszystkim. Stryjek był ranny, ale powoli przychodzi do zdrowia.

— Słowo honoru?

— Oczywiście... Później wszystko ci opowiem. Musisz być teraz nadal dzielna. Napadliśmy z bosmanem i przyjaciółmi na pueblo, aby cię uwolnić. Podczas gdy ja przyszedłem po ciebie, oni trzymają w szachu wodza Zuni jako zakładnika. Chodźmy prędko! Kto wie, co może się zdarzyć...

Po kilku minutach znaleźli się na najniższym tarasie. Tomek nie miał zamiaru przedłużać pobytu Sally w skalnym osiedlu. Odwrócił się do Pueblosów, którzy wyszli za nimi z kivas i rozkazał stanowczym głosem:

— Opuść drabinę!

Zawahali się. U stóp puebloła znajdowała się wataha Apaczów i Nawajów. Czy nie skorzystają z okazji i nie wedrą się do osiedla? Tomek wolno uniósł rewolwer.

— Liczę do trzech. Na mój znak zginie wasz wódz i jego rodzina! Teraz Pueblosi pospiesznie wykonali rozkaz, a wódz, mając zakneblowane usta, nie mógł zaproponować.

Zaledwie Sally stanęła na drabinie, rozległo się chrapliwe szczekanie Dinga trzymanego na uwięzi przez Czerwonego Orła.

Tomek z bronią w ręku nie ruszał się z miejsca, a tymczasem Czarna Błyskawica widząc, iż Nah'tah ni yez'zi znów zmienił plan, już schodził niżej prowadząc przed sobą Ma'kya. Za nim szli bosman i inni Indianie. Niebawem byli przy Tomku.

— Słuchaj, Ma'kya — odezwał się Tomek. — Traktowaliście dobrze białą squaw, więc dotrzymamy słowa i zostawimy was w spokoju. Musisz mi jednak powiedzieć, dlaczego napadliście na rancho szeryfa Allana i porwali białą squaw.

Ma'kya już pozbył się obaw. Apacz własnym nożem przeciął więzy jego squaw, uwolnił synów, a i on sam nie był teraz skrępowany. Nic mu nie groziło, skoro spełnił żądanie napastników. Odrzekł szczerze:

— Don Pedro namówił nas do wszystkiego. On pożyczył nam dużo kukurydzy podczas suszy, a potem zażądał, abyśmy zdobyli dla niego mustanga, który wygrał wyścig na rodeo. Ponieważ szeryf nie chciał sprzedać konia i darował go białej squaw, więc Don Pedro kazał ją porwać, aby potem zwrócić dziewczynę w zamian za wierzchowca.

— Co ty pleciesz, kłamczuchu? Nic z tego, co mówisz, nie rozumiem — rozgniewał się bosman. — Kogo Don Pedro kazał wam porwać? Konia czy dziewczynę?

— Zaraz, zaraz! Wiem, o co chodzi! — zawołał Tomek. — Gdyby Don Pedro nie miał aktu sprzedaży, nie mógłby zgłaszać Nil'chi na wyścigi do Stanów! Za zwrócenie Sally chciał wymusić na szeryfie oficjalną sprzedaż.

— Tak, tak! Tak, właśnie chciał uczynić — gorąco zapewniał Ma'kya.

— No, czort z nim, dostał za swoje — rzekł bosman. — Ruszajmy!





## W DRODZE DO VERA CRUZ

Apacze sprowadzili konie pod mury puebla. Tomek właśnie ujął cugle Nil'chi, gdy naraz zza pobliskiego zakrętu wypadła gromada jeźdźców na mustangach. Ujrzawszy Apaczów, wrzasnęli przeraźliwie i runęli na nich jak burza.

W mgnieniu oka rozgorzała straszliwa walka. Byli to vaquerzy<sup>201</sup> zatrudnieni na rancho Don Pedra oraz pomoc pośpiesznie ściągnięta od sąsiadów. Pogoń prowadzili uwolnieni kilka dni temu na interwencję Tomka dwaj Metysi. Wiedzieli przecież, o co chodziło Apaczom, więc też z łatwością domyślili się, gdzie należało ich szukać. Pragnęli pomścić śmierć Meksykanina i zniszczenie rancho.

Zaskoczeni Apacze i Nawajowie w pierwszej chwili poszli w rozsypkę; kiedy jednak spostrzegli, z kim mają do czynienia, mimo liczebnej przewagi wroga rzucili się w wir walki.

Czarna Błyskawica pierwszy dojrzał obydwoch niedawnych jeńców. Ogarnęła go wściekłość. Wskoczył na swego mustanga. Z tomahawkiem w dłoni rzucił się na Metysów. Zaraz też jeden z nich runął śmiertelnie ugodzony. Czarna Błyskawica dopadł drugiego. Błyszczący topór śmignął w powietrzu. Wtem mustang jego potknął się i razem z jeźdźcem potoczył się na ziemię. Apacze z okropnym wyciem skoczyli na pomoc. Kłębowisko ludzi i mustangów przewaliło się pod mury puebla.

Bosman walczył z najwyższą pasją. Teraz zorientował się, że walka przybiera dla nich coraz bardziej niepomysłny obrót, pobiegł więc do Tomka osłaniającego Sally i zawołał:

— Skacz na Nil'chi i umykaj z dziewczyną!

Tomek zrozumiał, że nie ma chwili do stracenia. Mieszkańcy puebla mogli uderzyć z drugiej strony i z łatwością przyczynić się do pogromu. Ponadto stronnicy Don Pedra byli znacznie liczniejsi.

— Prędej, do licha! Nie widzisz co się dzieje? — wrzasnął bosman. — Prędej! Zgubisz dziewczynę!

---

<sup>201</sup> — Vaquero (hiszp.) — pastuch bydła.

Nowa grupa jeźdźców gnała prosto na nich. Tomek przygryzł wargi. Wskoczył na Nil'chi. Szybko pochylił się, ogarnął Sally ramieniem, posadził ją przed sobą i krzyknął:

— Nil'chi.

Klacz z miejsca ruszyła galopem. Kilku vaquerów odłączyło się od bandy i gnało za nimi. Tomek dobył rewolweru. Odwrócił się, dwukrotnie nacisnął spust. Jeden jeździec chwycił się za ramię, zaraz też wstrzymał konia. Inni popędzili dalej za Tomkiem, lecz Nil'chi dopiero nabierała rozpędu. Pościg zostawał coraz dalej za nimi.

W pierwszej chwili Tomek nie zastanawiał się, dokąd mają uciekać. Teraz dopiero, gdy ucichł gwar bitewny, uważnie rozejrzał się po okolicy. Zaraz też skierował Nil'chi ku północy w kierunku granicy.

— Tommy, tak bardzo się boję o pana bosmana, Czarną Błyskawicę i wszystkich Apaczów — rzekła Sally i rozplakała się.

— Ja też się o nich boję.

— To dlaczego sami się ratujemy, a ich zostawiamy?

— Nigdy bym w potrzebie nie opuścił przyjaciół, gdyby nie chodziło o ciebie — odparł Tomek.

Nagle w niewielkiej odległości przed nimi wyłoniła się kawalkada jeźdźców. Tomek przyhamował Nil'chi. Czyżby to byli Meksykanie? Na szczęście Sally odwrócona twarzą do niego i cała zapłakana nie mogła spostrzec nowego niebezpieczeństwa.

— To wszystko przeze mnie... — żaliła się. — Tylu dzielnych ludzi naraża dla mnie życie, a ja... nic nie mogę... pomóc.

— Teraz musimy myśleć o czym innym. Twoja matka umarłaby z żalości, gdybyś zginęła — pocieszał ją Tomek, starając się przebić wzrokiem tumany pyłu. Już miał zawrócić klacz na wschód, gdy lekki wiatr rozwiał kurzawę. Tomek ujrzał wyraźnie duże, popielate kapelusze pilśniowe, granatowe mundury i połyskującą w słońcu broń. To byli żołnierze. Jechali trójkami. Środkowy jeździec w pierwszym szeregu trzymał proporzec.

— Gwiazdzisty sztandar! To amerykańska kawaleria! — wrzasnął Tomek.

Zanim Sally zorientowała się w sytuacji, już kawalerzyści otaczali ich kołem.

— Hallo, young man! — wołano zewsząd.

— Tommy, cóż to za panienska? — żywo zapytał kapitan Morton podjeżdżając do Tomka. Właśnie na rozkaz gubernatora Nowego Meksyku urządził wypad wywiadowczy i nieoczekiwanie napotkał Tomka z Sally już niemal uznaną za zaginioną.

— Opatrzność chyba was zesłała! — pospiesznie krzyknął Tomek. — Odnaleźliśmy Sally Allan. Porwali ją Pueblosi namówieni przez Don Pedra. Na nieszczęście podczas rozprawy Don Pedro został zabity. Później wszystko wytłumaczę, lecz teraz musimy spieszyć na pomoc, ponieważ mój przyjaciel, bosman Nowicki, i nasi sojusznicy, Indianie, którzy pomogli nam odbić Sally, toczą walkę z przeważającą bandą vaquerów Don Pedra. Polegną wszyscy, jeśli nie przybędziemy im z pomocą. Mnie bosman kazał ratować Sally...

— Panie kapitanie, kochani, kochani, ratujcie bosmana, Czarną Błyskawicę i dzielnych Apaczów... — zawołała Sally, na nowo wybuchając głośnym, żalonym płaczem.

— Cóż ty mówisz, śliczna panienko? Czarna Błyskawica? — zdumiał się Morton.

— Ratujcie, ratujcie ich! — szlochała Sally.

Morton szeroko otwierał zdumione oczy, lecz jako wytrawny żołnierz pogranicza nie tracił czasu na wyjaśnienia.

— Gdzie toczy się bitwa? — zapytał krótko.

— Przy pueblu Zuni — wyjaśnił Tomek. — Wskażę drogę!

— Naprzód co koń wyskoczy! — krzyknął Morton, uderzając wierzchowca ostrogami.

Oddział kawalerzystów pomknął z szybkością wiatru. W pełnym biegu rozwinęli się w szereg. Na przedzie, tuż obok Mortona i Tomka, gnał kawalerzysta z proporcem Stanów Zjednoczonych. Wkrótce usłyszeli odgłosy walki.

Morton wydał rozkaz. Odezwał się głos trąbki wzywający do ataku.

Tomek przeraził się, gdy ujrzał swych towarzyszy w opłakanym stanie. Dzielni Apacze i Nawajowie bronili się na pagórku przy pueblu. Vaquerzy zasypywali ich gradem kul. Gdyby nie odsiecz, wyginęliby co do jednego.

Kawalerzyści jak huragan przetoczyli się po vaquerach. Teraz z okrzykiem trwogi Meksykanie uciekali w kaktusowe chaszczce. Kapitan Morton pognał za nimi ze swymi żołnierzami, podczas gdy Tomek i Sally pozostali przy przyjaciółach. Bosman i sprzymierzeni Indianie, będąc u kresu

sił, jeszcze nie mogli uwierzyć, że to Nah'tah ni yez'zi w ostatniej chwili sprowadził pomoc.

Pierwszy ochłonął bosman. Wyglądał jak demon zniszczenia. Twarz, pierś i całe ciało osmalone miał ogniem, od stóp do głów zbryzgany był krwią. W prawej dłoni trzymał ciężki tomahawk. Wolno zbliżył się do Tomka i Sally przerażonych jego wyglądem.

— A to nas przyparli do muru! — odezwał się ciężko dysząc. — W sam czas przybyliście z pomocą, nie ma co mówić...

Zaczęto znosić rannych i zabitych. Kilku dzielnych wojowników nie dawało już znaku życia. Zaraz na początku bitwy poległ mężny wódz Długie Oczy ratując Czarną Błyskawicę. Obok niego leżał na ziemi Przecięta Twarz i inni. Czerwony Orzeł i Pałacy Promień w milczeniu pochylali się na ciężko rannym Czarną Błyskawicą. Sally i Tomek przypadli doń do głębi przejęci. Chociaż nie stracił jeszcze przytomności, od razu widać było, że to jego ostatnie chwile.

Kawalerzyści całą gromadą wracali z pościgu. Kapitan Morton zeskoczył z konia. Przystanął przy konającym wodzu obok Tomka i klęczącej zapłakanej Sally.

Czarna Błyskawica długo spoglądał na swego białego przyjaciela Nah'tah ni yez'zi. Na zawsze pozostanie tajemnicą, o czym wówczas rozmyślał ten groźny wódz rewolucjonistów, który poprzysiągł śmierć wszystkim najeźdźcom, a teraz oddawał życie w obronie białego przyjaciela i białej dziewczyny — Białej Róży. Tak oto kończył się jego sen o wolności Indian...

Tomek przyklęknął przy wodzu. Bardzo ostrożnie ujął jego już stygnącą dłoń. Czarna Błyskawica lekko się uśmiechnął.

— Topór... dla wrogów, serce dla... przyjaciół — wyszeptał.

Tomek nawet nie usiłował ukryć łez płynących po twarzy.

— Wybacz mi, jeśli możesz, Czarna Błyskawico. Przyjaźń nasza nie przyniosła ci szczęścia...

— Nie mów tak, *Nah'tah ni yez'zi*... — szepnął Indianin zamierającym głosem. — Prawdziwa... przyjaźń... to skarb...

Głowa jego bezwładnie opadła na kolana Czerwonego Orła. Duch wielkiego, szlachetnego Indianina rozpoczął wędrówkę do Krainy Wiecznych Łowów. Teraz dopiero naprawdę odzyskał utraconą wolność.

Kapitan Morton zdjął kapelusz. Stał z opuszczoną na piersi głową. Nikt nie dowiedział się, o czym rozmyślał ten nieprzejednany wróg czerwonoskórych. Musiały to być niewesołe myśli. Twarz jego zasepiła się ponuro. Kawalerzyści odkryli głowy.

Pałacy Promień zaczął nucić wojenną pieśń Apaczów...

Po pamiętnej bitwie w pobliżu puebla Zuni, w domu szeryfa Allana odbyła się ważna narada. Napad i zniszczenie ranczo Don Pedra poruszyły umysły przeciwników Indian.

Dzięki wpływom ogólnie szanowanego szeryfa śledztwo zawisło na jakiś czas w próżni, lecz niektórzy ranczerzy domagali się zwołania specjalnej komisji w celu rozpatrzenia całej sprawy.

W takiej sytuacji dalszy pobyt krewkich Polaków w Stanach Zjednoczonych był jak najmniej pożądany. Rozsądny szeryf doradzał im drogę powrotną przez Meksyk. Pani Allan natychmiast zgodziła się na ten projekt, a obydwaj przyjaciele uznali to również za najlepsze wyjście z kłopotliwej sytuacji.

Nie tylko oni dwaj byli zagrożeni. Główne ostrze ataku kierowało się przeciwko Indianom ukrywającym się na terytorium Meksyku. Mieszkańcy tajemniczego kanionu byli teraz zmuszeni pomyśleć o swym bezpieczeństwie, toteż na naradę zaproszono wodza Chytrego Lisa i Pałacy Promień.

Chytry Lis okazał dużo dobrej woli i rozsądku. Gdy szeryf głowił się, w jaki sposób mógłby pomóc czerwonoskórym przyjacielom, wódz zapytał Tomka, czy w dalszym ciągu ma zamiar zwerbować grupę Indian na wyjazd do Europy. Gdy otrzymał potwierdzającą odpowiedź, rzekł:

— Wobec tego wojownicy, którzy brali udział w bitwie, pojedą z Nah'tah ni yez'zi i Grzmiącą Pięścią do Europy. Ugh!

W ten sposób ostatnia trudność została rozwiązana. Nah'tah ni yez'zi zapewnił Apaczów, że nie będą musieli nosić ubrań białych ludzi. Nakłaniał ich nawet do zabrania całego dobytku ze starymi tipi włącznie. Szeryf ofiarował Indianom doskonałe mustangi — mieli się przecież popisywać w Europie brawurową jazdą oraz tresurą koni.

Tylko jeden Pałacy Promień był milczący i smutny. Śmierć nie była dla niego tak łaskawa jak dla Czarnej Błyskawicy. Teraz miał cichą nadzieję, że wyzwany swego czasu na pojedynek Grzmiąca Pięść skróci jego nędzny żywot. Bosman, jakby wyczuł nastrój małego wodza, zbliżył się doń i rzekł:

— Radzę ci jechać z nami, brachu. Czemu zwieszasz nos na kwintę?

— Czy Grzmiąca Pięść zapomniał już, że wyzwiałem go do walki na śmierć i życie? — zapytał Pałacy Promień.

— Iii, kto by tam takie drobiazgi pamiętał — wesoło odparł bosman. — Ramię przy ramieniu walczyliśmy z Pueblosami, a teraz miałbym szlachtować cię, jak... — W ostatniej chwili zorientował się, iż byłby palnął głupstwo, więc szukał właściwego słowa. W końcu dodał: — Niedźwiedzia?

Odwaga bosmana podczas bitwy zjednała mu wielki szacunek wśród Indian. Pałacy Promień wiedział, że nie może sprostać mu siłą. Wolał jednak odważnie zginąć, niż żegnać Skalny Kwiat jako narzeczoną białego człowieka.

Tymczasem marynarz daleki był od krwiożerczych myśli. Klepnął Indianina poufale w ramię i rzekł:

— Na wieczną między nami zgodę chcę ci uczynić pewną propozycję. Zaproś mnie na družbę na swoje wesele ze Skalnym Kwiatem. No co, zgoda?

— Przecież ona ciebie wybrała...

— Kiep jesteś, Pałacy Promieniu! To jej szlachetny tatuś w ten sposób ocalił moją czuprynę. Ona kocha tylko ciebie!

W zagubionym wśród kaktusowej głuszy kanionie, na rusztowaniu wzniesionym ze ściętych drzew spoczywał w napowietrznej mogile wódz Apaczów i Nawajów — Czarna Błyskawica. W pobliżu niego pochowani byli również wódz Długie Oczy i wszyscy wojownicy polegli w walce pod pueblem Zuni.

Nie opodal mogiły wodza stała trójka białych przyjaciół. Byli to: Sally, Tomek i bosman. Po raz ostatni przyszli go pożegnać.

Tomkowi wydawało się, że bohaterska śmierć na polu walki była dla tego dumnego Indianina jedynym wybawieniem przed niesprawiedliwością na ziemi. Przecież marzenia Czarnej Błyskawicy nie mogły się urzeczywistnić. Jego dzieje i jego epoka należały już do przeszłości. Rezerwaty były zbyt ciasne dla wodza łaknącego prawdziwej wolności, o którą walka z góry skazana była na niepowodzenie.

— No, czas już na nas — odezwał się bosman spoglądając na Sally i Tomka.

— Czas już na nas — jak echo powtórzył Tomek.

Jeszcze raz obrzucił smutnym spojrzeniem mogiłę Czarnej Błyskawicy i sąsiednie groby Apaczów.

Sally delikatnym ruchem ujęła go pod ramię. Podeszli ku wierzchowcom. Bosman pomógł Sally dosiąść konia, po czym udali się w dół kanionu. Wkrótce znaleźli się w gromadce Indian przygotowanych już do drogi.

Dążyli wprost ku najbliższej stacji kolejowej, skąd razem z panią Allan mieli udać się pociągiem do portu Vera Cruz.

Bosman przynaglił konia. Niebawem zbliżył się do Sally i Tomka. Przysłuchiwał się ich rozmowie.

— Jeżeli tylko czas pozwoli, to zwiedzimy Meksyk, stolicę tego kraju — mówił Tomek. — Chciałbym obejrzeć sławne muzeum starożytności. Nie masz Sally, pojęcia, ile tam ciekawych zabytków. Ponadto stolica Meksyku jest położona najwyżej z wielkich miast i stolic na całym świecie...

— Chłopak znów zaczął po swojemu — mruknął bosman. — Hm, ale ta mała mimo to wpatruje się w niego jak sroka w gnat! Ładna z nich parka, nie ma co mówić!





# TOMEK NA TROPACH YETI



# PROLOG — TROPY ŚNIEŻNEGO CZŁOWIEKA

Od północnego zachodu ciemnoszare, kłębiaste chmury szerokim łukiem zasnuwały zimny błękit nieba. W wysoko zawieszonych dolinach porywisty wiatr wzbijał w powietrze tumany słonawego, suchego pyłu, lecz pobliskie potężne, urwiste szczyty i wieczne lodowce gór Karakorum<sup>202</sup> już spowijała śnieżna nawałnica.

Czterech mężczyzn ociężałym krokiem wspinało się kamienistym szlakiem po stromym zboczu ku widocznej w dali górskiej przełęczy. Z niepokojem spoglądali na ciemniejący horyzont. Silny wicher dął z północy i szybko niósł na Wyżynę Tybetańską<sup>203</sup> wczesną śnieżną burzę. Trzej Tybetańczycy, poruszeni widokiem nadciągającej zawieruchy, co chwila pociągali za arkany, przywiązane do kółek wpiętych w nozdrza kosmatych jaków<sup>204</sup>, by przynaglić zwierzęta do szybkiego marszu. Mimo to zgłodniałe i spragnione jaki wlokły się noga za nogą, opuściwszy nisko rogate łby. Przekrwionymi z wysiłku, nieco zamglonymi ślepiami spoglądały na nie mniej osłabionych ludzi.

Tybetańczycy ubrani byli w miękkie, filcowe odzienia, na które przywdzieli, niby kurtki bez rękawów, skóry jaka odwrócone włosem do wewnątrz. Nakładane przez głowę, przez wycięty w środku otwór, skóry osłaniały plecy i piersi, a ich nie zszywane na bokach krańce, przytrzymywał

---

<sup>202</sup> — Karakorum — góry w Azji Środkowej (Kaszmirze i Chinach) drugie na świecie po Himalajach pod względem wysokości. Wybiegają z Pamiru w kierunku południowo-wschodnim między górami Himalajami i Kunlun. Południowym krańcem wrzynają się w Tybet. Posiadają najpotężniejsze na ziemi lodowce: Hispar, Biafo, Baltoro i Sjaczen.

<sup>203</sup> — Wyżyna Tybetańska obejmuje 5 głównych krain (szersze wyjaśnienie w dalszym odnośniku), z których Tybet właściwy był wówczas państwem kościelnym, rządzone przez zwierzchnika lamów (nazwa tybetańskich duchownych) zwanego dalajlamą. Obecnie Tybet stanowi autonomiczny obszar Chińskiej Republiki Ludowej w Azji Środkowej, obejmujący największą na świecie wysokogórską wyżynę (4000–5000 m), otoczoną od południa górami Himalajami i Karakorum, a od północy Kunlun.

<sup>204</sup> — Jak (*Poephagus grunniens*) — przeżuwacz z rodziny pustuchożyców. Jego ojczyzną jest Tybet oraz wszystkie wysokie, sąsiadujące z Tybetem łańcuchy górskie. Żyje tam na wysokości 4000–6000 m w stanie dzikim i oswojonym. Dla Tybetańczyków stanowi jedno z najbardziej pożytecznych zwierząt domowych, żyć jednak może tylko w ostrym klimacie, w krajach cieplejszych ginie.

w talii szeroki jedwabny pas. Spod stożkowatych filcowych czapek, głęboko naciągniętych na głowy, zwisały im na plecach krótkie, pojedyncze, czarne warkoczyki. W filcowych butach, o cholewach sięgających kolan, pewnie stąpali po stromej ścieżynie.

Czwarty mężczyzna, zakutany w długi barani kozuch i czapę z klapkami na uszy, był Europejczykiem. Mimo fizycznego wyczerpania czujnie obserwował idących przed nim trzech krajowców przewodników. Zapewne nie darzył ich zbyt wielkim zaufaniem, ponieważ miał zatknięty za pasem, przygotowany do strzału ciężki nagan<sup>205</sup>. Gdy Tybetańczycy przystawali, żeby nabrać tchu, natychmiast opierał prawą dłoń na rękojeści broni.

Tubylcy w ponurym milczeniu ukradkowymi spojrzeniami śledzili białego wędrowca. Od dwóch tygodni wiedli go przez kamienno–piaszczystą pustynię ku Kaszmirowi<sup>206</sup>, graniczącemu z zachodnimi ziemiami Tybetu. Wyruszając ze swymi jakami w drogę, wcale nie mieli zamiaru tak znacznie oddalać się od własnych koczowisk. Podjęli się poprowadzić białego podróżnika o tydzień drogi na zachód, a tymczasem już mijał piętnasty dzień uciążliwego marszu. Małomówny biały człowiek oświadczył im stanowczo, iż zwolni ich dopiero wtedy, gdy będzie mógł nająć nowych przewodników. Krajowcy z niezmiennym uporem każdego ranka odmawiali wyruszenia w dalszą drogę i codziennie wbrew własnej woli szli coraz dalej. Biały potrafił dotąd utrzymać ich w ryzach. W jego stalowoszarych oczach nigdy nie było widać cienia wahania czy obawy. Wydawał rozkazy, wymownie opierając dłoń na rękojeści rewolweru.

Trzej krajowcy nie byli bezbronni. Posiadali długie stare strzelby i myśliwskie noże, jednak mimo to nie odważyli się stawić zbrojnego oporu. Biały podróżnik czujny był bowiem niczym żuraw. W czasie dnia szedł na samym końcu małej karawany. Czasem siadał na jaka i znużony przymykał oczy, lecz gdy tylko któryś z Tybetańczyków odwracał się ku niemu, zaraz napotykał jego przenikliwy wzrok. Podczas wieczornych obozowisk odbierał przewodnikom broń i chował ją w swoim namiocie.

---

<sup>205</sup> — Nagan — siedmiostrzałowy rewolwer (kaliber 7,62 mm) używany w niektórych armiach, szczególnie w rosyjskiej, od końca XIX wieku; nazwa „nagan” pochodzi od belgijskiego konstruktora Nagant.

<sup>206</sup> — Kaszmir — piękny kraj górski, księstwo w północnych Indiach. Obszerniejsze wyjaśnienia znajdzie Czytelnik dalej w tekście.

Tybetańczycy kilkakrotnie próbowali w nocy zbliżyć się do niego, ale wszelkie ich wysiłki okazywały się bezskuteczne. Za najmniejszym szelestem podróżnik otwierał oczy i zaraz rozlegał się metaliczny trzask odwodzonego kurka rewolweru.

W umysłach przesądnych Tybetańczyków niestrudzony podróżnik wyrastał na jakiegoś potężnego czarownika. Czy mogli mu się sprzeciwić, skoro nieustannie czuwał uzbrojony w szybkostrzelną broń?

Tymczasem w rzeczywistości biały wędrowiec był już u kresu sił. Podczas długich, uciążliwych marszów niemal zasypiał z otwartymi oczyma, bądź też zapadał w stan odrętwienia prawie graniczącego z letargiem. Wtedy zdawało mu się, że wciąż jeszcze wędruje w pochodzie nieszczęsnych zesłańców<sup>207</sup> na Sybir. Odruchowo pochylał głowę, jakby chciał osłonić ją przed uderzeniami kozackich nahajek. Postękiwania zmęczonych jaków przeradzały się w jego wyobraźni w ciche, tak dobrze wryte w pamięć skargi towarzyszków niedoli. Czasem znów przywidywało mu się, że zaledwie przed kilkoma dniami umknął z korowodu więźniów i wśród kojącej ciszy błąka się w dzikich, górskich wąwozach Turkiestanu Chińskiego.

Wtem usłyszał jakieś podejrzanе szeptу. Czyżby to poszukiwacze złota spiskowali, by odebrać mu jego skarb? Ręka mimo woli sięgnęła do rękojeści rewolweru. Drgnął, dotknąwszy gołą dłonią zimnej stali. Przywidzenia rozwiały się natychmiast. Spojrzał już przytomnym wzrokiem.

Znajdowali się na skraju przełęczy. Tybetańczycy przystanęli i naradzali się, gestykulując rękoma. Biały podróżnik podszedł do nich.

— Za tamtymi górami jest Leh<sup>208</sup> — odezwał się do niego jeden z przewodników, wskazując ręką na południowy zachód.

— Ile dni marszu? — krótko zagadnął biały, posługując się, tak jak przewodnicy, językiem tybetańskim.

— Trzy dni, a do Hemis dwa. Zaraz za przełęczą Kaszmir. Możesz już iść sam.

---

<sup>207</sup> — Zesłańcy — ludzie skazani przez władze państwowe na specjalny rodzaj kary pozbawienia wolności, polegającej na wywiezieniu (deportacji) i przymusowym pobycie skazanego na odległych terytoriach państwa lub w jego koloniach. Zesłanie było szczególnie szeroko stosowane w dawnej Rosji carskiej w stosunku do działaczy rewolucyjnych, tak Rosjan jak i Polaków, znajdujących się pod rosyjskim zaborem.

<sup>208</sup> — Leh — stolica Ladakhu (Ladakh) — kraju należącego do Kaszmiru i położonego na jego wschodnich rubieżach.

— Doprowadzicie mnie do Hemis, lub w ogóle nie wróćcie do swej phaży<sup>209</sup> — zagroził biały.

— Zły duch chyba przywiódł cię do nas — mruknął Tybetańczyk.

— Zły czy dobry, ruszajcie na przód — rzekł biały nie wypuszczając z dłoni rękojeści broni.

Cienka pokrywa świeżego śniegu zalegała całą przełęcz. Zimny wicher ze zdwojoną siłą hulał na wyniosłości. Ludzie i zwierzęta z niezmiernym wysiłkiem oddychali rozrzedzonym powietrzem.

Naraz idący na przędzie Tybetańczyk przystanął i pochylił się ku ziemi. Gdy jego towarzysze zrównali się z nim, również zamarli w bezruchu.

— Ruszajcie w drogę, głupcy! Czy nie widzicie, że burza nadciąga wprost na nas?! — krzyknął biały mężczyzna.

Tym razem przewodnicy nie zwrócili uwagi na gniewny rozkaz. Jak zahipnotyzowani wpatrywali się w ziemię. Podróżnik przyspieszył kroku. Wkrótce także zatrzymał się zdumiony.

Na śniegu widniały świeże, szerokie ślady bosych stóp. Wydawały się bardzo podobne do śladów pozostawionych przez człowieka, dzięki swemu ułożeniu w jednej linii, z nieznacznymi odchyleniami stóp na obydwie strony. Długość kroku wskazywała na wysoki wzrost nieznanego osobnika.

— Mi-go, zwierzę chodzące jak człowiek! — ściszone głosem zawołał jeden z przewodników.

— Mi-te, człowiek-niedźwiedź... — dodał drugi. — Przeczuwałem, sahibie<sup>210</sup>, że sprowadzisz na nas nieszczęście...

— Jeśli to ślady ludzkie, to mamy najlepszy dowód, że w pobliżu musi znajdować się jakieś osiedle — głośno powiedział podróżnik. — Cieszcie się, wkrótce pozwolę wam wrócić do domu.

— Klasztor Hemis, odległy o dwa dni marszu, jest najbliższym osiedlem — odparł przewodnik. — Człowiek pieszo nie zapuściłby się samotnie tak daleko w góry! Poza tym wiesz dobrze, że Tybetańczycy nigdy nie chodzą boso! To są ślady Śnieżnego Człowieka. Kto go ujrzy, musi zginąć!

Biały podróżnik zmarszczył brwi. Podczas długoletniej włóczęgi po Azji Środkowej nieraz słyszał opowieści o tajemniczych istotach zamieszkujących górskie pustocie. Znajomy Nepalczyk, z którym przez pewien czas wspólnie

<sup>209</sup> — Phaży — po tybetańsku zagroda.

<sup>210</sup> — Sahib oznacza w Indiach „pan”.

poszukiwali złota w górach Ałtyn–tag<sup>211</sup>, mówił mu o nieznanym stworze zwanym Yeti. Według wierzeń krajowców zetknięcie się z nim miało nieuchronnie sprowadzać śmierć.

Podróżnik pochylił się nad śladami wyraźnie wyciśniętymi w śniegu. Nie miał pewności, czy pozostawił je człowiek, czy też jakieś nieznanne zwierzę. Jak wskazywała świeżość tropów, dziwny stwór przechodził tędy niedawno przed nimi. Podróżnik nie znał uczucia lęku. Nie wierzył w przesady. Ani zwierzę, ani niezwykła istota ludzka nie mogły być niebezpieczne dla czterech uzbrojonych mężczyzn.

— Ślady te zapewne pozostawił niedźwiedź. Widziałem podobne w górach Ałtyn–tag — odezwał się do krajowców. — Ruszajmy w drogę! Żle będzie z nami, jeśli burza zaskoczy nas na tak znacznym, odkrytym wzniesieniu.

— Nie pójdziemy dalej! Ślady mi–te wiodą wzdłuż przełęczy. Musielibyśmy iść jego tropem. On przyczai się i poczeka na nas!

Podróżnik cofnął się o dwa kroki. Gniewnym, czujnym wzrokiem przywarł do twarzy przewodników. Nie, to nie był ich zwykły upór, który ostatnio musiał przełamywać dzień po dniu. W tej chwili w oczach Tybetańczyków malował się zabobonny, obłądny strach. Oni naprawdę wierzyli, że nawet samo spotkanie z mi–te groziło im śmiercią.

Instynkt ostrzegał podróżnika, by nie doprowadzał przesądnych krajowców do ostateczności. Mógł pokusić się o terroryzowanie ich w obliczu śmierci głodowej bądź mąk pragnienia, lecz obecnie, gdy ulegli przemożnej obawie przed legendarnym stworem, byłoby to stokroć bardziej niebezpieczne. Teraz na pewno odważyliby się nawet na nierówną walkę z lepiej uzbrojonym białym człowiekiem. Ponadto ich było trzech, a on tylko jeden... Cóż z tego, że posiadał szybkostrzelny rewolwer? Czy w decydującej chwili nie zadrży mu ręka? Przecież, oprócz głodu i pragnienia, brak snu osłabił go bardziej niż krajowców.

— Wracamy, sahibie. Jeśli szukasz śmierci, możesz sam iść dalej. Daj nam swój karabin, a pozostawimy ci jaka objuczonego twoim bagażem — odezwał się najstarszy przewodnik.

W jego głosie brzmiało tym razem tyle groźnego zdecydowania, że podróżnik zaniechał ponownego użycia przemocy.

---

<sup>211</sup> — Ałtyn–tag — Altyntag, Altin Tagh.

— Dobrze, weźcie karabin w zamian za jaka — rzekł siląc się na spokój.  
— W którym kierunku mam iść do Hemis?

— Tą przełęczą dojdiesz wprost do zbocza wiodącego w dolinę. Po jednym dniu marszu na południe ujrzysz przed sobą na skałach klasztor. Jeśli nie spotka cię nieszczęście, nie zabłądzisz — wyjaśnił przewodnik.

Odpiął karabin zawieszony na jukach jaka, po czym podał podróżnikowi postronek przywiązany do kółka wpiętego w nozdrza zwierzęcia. Pod wpływem przesądnej obawy przewodnicy uporczywie wpatrywali się w ziemię, obawiając się spoglądać w głąb przełęczy, gdzie mógł czaić się nieznany, groźny Człowiek Śniegu.

Biały podróżnik uśmiechnął się wyrozumiale, widząc wyraz panicznego lęku, malujący się na twarzach krajowców. Lewą dłonią ujął podany mu postronek, podczas gdy prawą wsunął pod kozuch. Dotknął nią ukrytego na piersiach długiego, pękatego woreczka. Miał zamiar ofiarować przewodnikom kilka grudek złotego kruszcu, lecz naraz uzmysłowił sobie, że mogą go zabić, ujrawszy prawdziwe nugety<sup>212</sup>.

Z ciężkim westchnieniem cofnął dłoń, by machnąć na pożegnanie pospiesznie oddalającym się Tybetańczykom.

Pozostał sam wśród niebosiężnych, ubielonych, groźnych szczytów górskich. Zimny wicher smagał go po twarzy. Wtulił głowę w kozuch i ruszył w drogę wzdłuż tajemniczych śladów, czerniejących na śniegu niczym paciorki olbrzymiego różańca. Jak, szarpnięty za kółko wpięte w nozdrza, ociężałe powłókł się za nim. Co chwila pochylał nisko głowę i szorstkim ozorem chciwie lizał śnieg pokrywający zmarzniętą ziemię.

Wicher hulał coraz śmieiej. Wirował opętańczo płatkami śniegu, wzbijał z ziemi białe tumany. Podróżnik przecierał dłonią zmęczone oczy, nie zważając na własne osłabienie, przyspieszał kroku. Chciał zejść w dolinę przed zapadnięciem nocy. Piers jego unosiła się w ciężkim, nieregularnym oddechu. Z trudem chwycił ustami powietrze.

Po godzinnym marszu doznał do drugiego krańca przełęczy. Przystanął, żeby nabrać tchu. Rozgorączkowanym wzrokiem wodził po niezbyt stromym zboczu. Naraz przechylił się poza skalną krawędź. Osłonił ręką oczy, by lepiej widzieć.

---

<sup>212</sup> — Nugety — bryłki rodzimego złota.



W głębokiej dolinie leżącej u jego stóp na samym niemal końcu ścieżki wijącej się po zboczu góry, wędrował w dół dziwny, rudawy stwór, przypominający sylwetkę nagiego człowieka. Podróżnik, niepewny, czy nie ulega złudzeniu, przetarł oczy dłonią. Dziwny stwór nie zniknął. Lekko pochylony, zwinnie szedł w dół zbocza. Na krótko skrył się za załomem skalnym, potem znów ukazał się na ścieżce.

Podróżnik wyszarpnął zza pasa ciężki nagan. Wypalił w powietrze. Na huk strzału, szeroko rozniesiony echem po górach, dziwny stwór przystanął na chwilę i odwrócił spiczastą, pokrytą włosiem głowę. Następnie pomknął ku dolinie i zniknął w śnieżnym тумanie.

Biały człowiek schował rewolwer i przez dłuższą chwilę trwał w bezruchu. Poczł się niezwykle osamotniony i straszliwie słaby. Głód, pragnienie, a nade wszystko długi brak pokrzepiającego snu, zbierały teraz swe zdradliwe żniwo. Obecność trzech Tybetańczyków zmuszała go do ustawicznej gotowości do samoobrony. Teraz, gdy oni odeszli, cała niezmożona dotąd siła woli i energia nagle ustąpiły miejsca niezwyklej słabości. Czerwonawa mgła przesłoniła mu oczy. Ostatkiem świadomości bronił się przed krążącą wokół niego śmiercią. Czuł, że jeśli nie pokrzepi się snem, zginie w drodze.

Jeszcze raz zdołał zapanować nad słabością. Chwiejnym krokiem ruszył w dół zbocza, wlokąc za sobą potykające się juczne zwierzę.

Chmury już zasnuły całe niebo. Gęsty śnieg, miotany zawieruchą, spowijał ziemię białym całunem. Nim noc zapadła, podróżnik znalazł się na samym dnie doliny. Jak włókł się za nim. Wyczerpane zwierzę wysunęło ozór z pyska, ale nie miało już siły lizać wilgotnego śniegu. Potknęło się kilka razy, w końcu ciężko opadło na przednie kolana. Podróżnik chciał pomóc zwierzęciu powstać na nogi. Obydwoma dłońmi chwycił je za róg, lecz równocześnie sam osunął się na ziemię. Jak, stęknąwszy głucho, przewrócił się na bok.

Przez długą chwilę podróżnik leżał obok zdychającego zwierzęcia, opierając twarz na jego stygnącym ciele. Przemężne zmęczenie zwyczajnie kończyło walkę z instynktem samozachowawczym człowieka, nakazującym mu podnieść się i iść dalej. Powieki same opadły na oczy. Pogrążał się w półletarg. Bezwładnym ruchem stoczył się z jaka plecami na ziemię. Mroźny wichur natychmiast sypnął mu śniegiem w twarz. Podróżnik jeszcze raz

otworzył oczy i uniósł głowę. Nogi jaka zniknęły już pod śniegiem. Wyraz przerażenia odmalował się o oczach człowieka. Z największym trudem dźwignął się na czworaki, potem opierając się o zwierzę, stanął na nogi. Zgrabiałymi rękoma zaczął rozsypywać juki. Odtoczył bambusowy kij, wydobył brezentowy namiot. Minęła godzina, zanim młotkiem wbił żelazne kołki w zmarzniętą ziemię. Przywiązywanie do nich rzemieni brezentu szło bardzo opornie. Wicher bezlitośnie wyszarpywał z jego rąk płachtę namiotu, przewracał drążek. Na wpół skostniały człowiek wyciągnął z juków futrzany śpiwór. Razem z nim wpelzł pod brezent. Jedynym jego pragnieniem było rozgrzać ręce. Wtedy dałby sobie radę z dokończeniem budowy namiotu. Całonocny spokojny sen przywróciłby mu utraczone siły. Nazajutrz jakoś dowlóklby się do klasztoru w Hemis.

Pokrzepiony tą nadzieją pograżył w worze tylko głowę i ramiona. Przymknął oczy, czekając aż rozgrzeją mu się zgrabiałe dłonie. Powoli zatracił poczucie czasu. Błogi bezwład ogarniał jego członki. Źle przymocowany rzemień na jednym z kołków przytrzymujących płachtę namiotu rozsypał się z węzła. Targnięty wicherem brezent załopotał niczym flaga i osłonił wystające z wora nogi podróżnika.

Noc zapadła nad górską doliną. Zawieja śnieżna przybierała na sile. Śnieg pokrywał martwego jaka i człowieka umierającego ze zmęczenia pod płachtą namiotu. Wiatr wył triumfalnie i wzbijał w powietrze śnieżne tumany.

Tuż przed świtem, jak to się zwykle dzieje w tych okolicach, wichura zaczęła przycichać. W dali rozbrzmiało jękliwe huczenie długich, mosiężnych trąb, którymi lamowie od wieków oznajmiali światu nadejście nowego dnia. W tym właśnie czasie w dolinę wjechał samotny jeździec. Na odgłos trąb przynaglił konia do szybszego biegu. Śnieg tłumił tętent wierzchowca. Nagle koń uniósł głowę, zastrzygł uszami, cicho zarżał i rzucił się w bok.

Jeździec przytrzymał się kulbaki. Już miał smagnąć konia arkanem, gdy naraz ujrzał wystający spod śniegu róg jaka. Uważnie rozejrzał się wokoło. Z pobliskiej zasy śnieżnej wystawał koniec bambusowego kija. Po chwili wahania jeździec zeskoczył z wierzchowca. Zbliżył się do zasy. Zanurzył w nią rękę. Dotknął brezentu. Nogami rozkopał śnieg. Ujrzał filcowe buty. Pochylił się, odrzucając rękoma śnieg. Wkrótce wyciągnął ze śpiwora skostniałego mężczyznę. Gołą dłonią dotknął jego twarzy. Była jeszcze ciepła. Szybko rozpiął na nim futro, by sprawdzić, czy serce nie przestało bić w jego

piersi. Z trudem wyczuwalne uderzenia nie rokowały zbyt wielkich nadziei. Zastanawiał się, co ma uczynić, gdy naraz ujrzał pękaty woreczek na piersi nieprzytomnego. Przesunął dłonią po woreczku, po czym drapieźnym ruchem rozchylił otwór. W promieniach wschodzącego słońca błysnęło prawdziwe złoto.

Już sięgnął po nóż, aby przeciąć rzemień, na którym na szyi zwisał woreczek, gdy wtem tuż za jego plecami rozległ się chrzęst śniegu. Jeździec obejrzał się i natychmiast szybko przykrył kożuchem pierś zmarzniętego człowieka. Z obłudnym, uniżonym uśmiechem na ustach powitał lamę z klasztoru w Hemis oraz jego dwóch służących.

Lama lekko skinął głową. Nie przestając odmawiać różańca, wzrokiem wydał nieme polecenie służącym. Zsiedli z osłów. W milczeniu rozgrzebali zaspę. Jeden z nich wlał do ust zmarzniętego kilka kropel jakiegoś rozgrzewającego płynu, po czym ostrożnie potarł śniegiem jego twarz. Po jakimś czasie nieszczęsny podróżnik uchylił powiek. Najpierw spostrzegł pochyloną nad sobą przeciętą szeroką blizną twarz jeźdźca, potem ujrzał mamroczącego modlitwę lamę i jego służących. Zanim zdążył rozchylić usta, by odezwać się, znów zapadł w odrętwienie.

Lama cichym głosem wydał krótki rozkaz. Służący wraz z jeźdźcem z blizną na twarzy ostrożnie ułożyli nieprzytomnego podróżnego na grzbiecie osła. Pospiesznie ruszyli w drogę ku klasztorowi.

Nieszczęsny biały podróżnik z wolna odzyskiwał przytomność. W końcu zdołał otworzyć oczy. Z bieli sufitu wzrok jego przesunął się na poważne, zatroskane twarze lamów. Wśród nich dojrzał człowieka z szeroką blizną. Uczynił olbrzymi wysięk i wyszeptał:

— Czy... będę żył?

— Jeśli nie jest ci przeznaczone inaczej, duch pozostanie jeszcze w twoim ciele — filozoficznie odparł jeden z lamów.

— Gdzie jestem?

— Znajdujesz się w klasztorze w Hemis.

Błysk radości pojawił się w oczach na wpół żywego człowieka.

— Dzięki Bogu, do was właśnie chciałem dotrzeć... — szepnął.

— Kto zdąża do świętego miejsca zjednuje sobie łaskę Buddy<sup>213</sup>.

Podróżnik zacisnął zęby pod wpływem straszliwego bólu.

<sup>213</sup>

— Budda — bóg wyznawców buddyzmu. Szersze objaśnienie dalej w tekście.

— Odzyskuje czucie, to dobry znak — powiedział mnich. — Najwyższy czas powziąć decyzję...

— Czy nie lepiej, żeby umarł, niż żył tak okropnie okaleczony?! — zawołał człowiek z blizną.

— Nie my daliśmy mu życie, więc nie będziemy skazywali go na śmierć. Co przeznaczone, musi się spełnić — rzekł lama i znów wlał kilka kropel życiodajnego płynu do ust zemdlonego.

Podróżnik odzyskał przytomność.

— Chcę zawiadomić brata... muszę wysłać list. Trzeba go natychmiast napisać po angielsku — szepnął. — Kto może napisać?

— Uspokój się, sahibie, umiem pisać w tym języku. Mieszkam w Leh, wyślę twój list. Ja pierwszy znalazłem cię w zaspie śnieżnej — pośpiesznie zawołał człowiek z blizną.

— Wynagrodzę cię sownie...

Sięgnął ręką do piersi. Dopiero teraz spostrzegł, że jest rozebrany i leży na matach przykryty kocem. Lamowie dojrzeli jego niepokój. Jeden z nich odezwał się:

— Będziemy strzegli twego skarbu. Nie myśl teraz o niczym. Gdy przebudzisz się, uczynimy wszystko, co zechcesz.

— Muszę napisać do mego brata... — szepnął podróżnik.

Pod wpływem okropnego bólu znów zaczął tracić przytomność. Lamowie porozumieli się wzrokiem. Jeden z nich wsączył mu w rozchylone usta nasenny napój. Podróżnik ciężko westchnął. Z wolna zapadał w stan odrętwienia. Lamowie odkryli koc. Pochylili się nad sinawobiałymi, odmrożonymi nogami nieszczęsnego człowieka.

## CZŁOWIEK Z BLIZNĄ

Na wschodnim horyzoncie sinawe pasmo lądu wylaniało się ze szmaragdowych fal Morza Arabskiego. Statek „*Gwiazda Południa*”, w miesiąc po wypłynięciu z Hamburga<sup>214</sup>, zbliżał się do Bombaju<sup>215</sup>, zwanego również Bramą do zachodniej części Półwyspu Indyjskiego<sup>216</sup>.

Po pewnym czasie na pokładzie pojawił się barczysty olbrzym. Rozejrzał się wokoło, jakby kogoś szukał, a dojrawszy Tomka, zwinnym, lekkim krokiem podszedł do niego. Rubasznie klepnął go po ramieniu i zapytał:

— Coś się tak zagapił, brachu? Nic tu nie wypatrzysz, bo ktoś inny już odkrył Indie.

— Do licha, bosmanie, chyba jest pan jasnowidzem! Prawie odgadł pan moje myśli! Właśnie rozmyślałem o pewnej ciekawostce z dziejów odkryć geograficznych związanej z Indiami — odparł Tomek obrzucając bosmana, Tadeusza Nowickiego, wesołym spojrzeniem.

— Nie trzeba być jasnowidzem, żeby odgadnąć, o czym myślisz. Wrodziłeś się, brachu, w swego ojca. On również wciąż wodzi nosem po książkach, byle tylko wyczytać, kto pierwszy odkrył jakieś tam bajoro czy górę, bądź też jakie dzikie bydłota żyją w różnych krajach.

— Oj, bosmanie! Przygaduje nam pan z tego powodu, lecz sam ciekawi się tymi sprawami nie mniej od nas — odpowiedział Tomek śmiejąc się głośno.

— Z kim kto przestaje, takim sam się staje. No, ale skoro los już pokarał mnie towarzystwem moli książkowych, to gadaj, o czym rozmyślałeś.

---

<sup>214</sup> — Hamburg — portowe miasto w północno-zachodnich Niemczech.

<sup>215</sup> — Bombaj — drugie co do wielkości miasto w Unii Hinduskiej leżące na małej wysepce odległej o około 12 km od środkowo-zachodniego wybrzeża Półwyspu Indyjskiego.

<sup>216</sup> — Należy wyjaśnić, że Autorzy „*Polskiego Nazewnictwa Geograficznego Świata*”, przygotowanego przez Instytut Geografii Polskiej Akademii Nauk (PWN 1959 r.), zalecają używanie terminu India na określenie państwa indyjskiego (Unii Hinduskiej), a termin Indie zachowują dla regionu geograficznego obejmującego poza Indię — Pakistan, Cejlon i Nepal. Mimo dania pierwszeństwa nazwie India, „*Polskie Nazewnictwo Geograficzne Świata*” uznaje równorzędność terminów India i Indie, jako określeń państwa hinduskiego. W niniejszej powieści autor nie chcąc stwarzać możliwości dwuznacznej interpretacji znaczenia terminu India, które może zdarzyć się przy jego odmianie, używa terminu Indie, jako określenia państwa hinduskiego, a termin Półwysep Indyjski, gdy ma na myśli region geograficzny.

— Przeniosłem się myślami w XV wiek, kiedy to portugalski żeglarz, Vasco da Gama<sup>217</sup>, jako pierwszy Europejczyk, dotarł drogą morską do Indii, a ściślej mówiąc, do portu Kalikat<sup>218</sup>.

— Stara to i znana nawet ciurze okrętowemu historia — rzekł bosman wzruszając ramionami. — Dlaczego akurat teraz przyszła ci ona do głowy? Przecież Kalikat leży dalej na południu, u podnóża Ghatów Zachodnich<sup>219</sup>. Wobec tego nie ujrzymy go nawet z daleka!

— Ma pan rację! Historia odkrycia drogi morskiej do Indii jest powszechnie znana, lecz czy panu również wiadomo, że w dniu historycznego lądowania Vasco da Gamy w Kalikacie, wśród dworzan tubylczego władcy witających go w porcie znajdował się Polak, który, jak z tego wynika, musiał tam przybyć o wiele wcześniej od Portugalczyka?

— Ejże, brachu, czy poważnie to mówisz?

— Oczywiście, kochany panie bosmanie.

— No, no, naprawdę nic o tym nie wiedziałem. Któż to był taki?

— Był to polski Żyd z Poznania.

— Niech go licho porwie! A to cwaniak! W jaki sposób tam przywędrował?

— Właśnie się nad tym zastanawiałem, ponieważ tylko wiem, co się z nim później stało. Otóż Vasco da Gama nie zdołał pozyskać przychylności krajowców, wobec czego rozgniewany opuścił miasto i na „pożegnanie” ostrzelał je z armat oraz uprowadził uwięzionych na statku zakładników indyjskich. Wśród porwanych znajdował się również nasz poznaniak. On to właśnie po przybyciu do Portugalii zmienił nazwisko na Gaspara da Gama lub

---

<sup>217</sup> — Portugalski żeglarz Vasco da Gama urodził się w Sines ok. 1460 r. Dnia 20 maja 1498 dotarł do Kalikat, odkrywając tym samym morską drogę do Indii. Drugą wyprawę odbył 1502–3, a trzecią w 1524 i wtedy, wkrótce po przybyciu do Indii, zmarł w Koczinie. Był świadomym celu, lecz bezwzględny w środkach odkrywcy. Dążył przede wszystkim do otwarcia nowych dróg handlowych w celu umocnienia potęgi swego kraju.

<sup>218</sup> — Kalikat (Calicut) — port i miasto na Malabarskim Wybrzeżu, to jest wąskim pasie nizinnym między morzem a górami Ghat Zachodnimi. Góry Ghat Wschodnie natomiast, leżące wzdłuż wschodniego wybrzeża Wyżyny Dekanu obramowują tak zwane Koromandelskie Wybrzeże.

<sup>219</sup> — Wyżyna Dekanu Indii Przedgangesowych (Przednich), wzniesiona na 600 do 900 m nad poziomem morza, obniża się ku wschodowi. Zachodnim jej obramowaniem są góry Ghat Zachodnie.

Gaspara da India i jako doskonale znający Indie, odegrał potem pewną rolę w ich podbiciu przez Europejczyków<sup>220</sup>.

Bosman wysłuchał uważnie Tomka i rzekł:

— Ty, brachu, zawsze potrafisz wyszukać Polaka nawet w korcu maku. Nie czas jednak teraz na takie pogawędki. Stale rozmyślam, czy zastaniemy naszego druha, pana Smugę, całego i zdrowego.

— Ojciec i ja również niepokoiimy się o niego. Zbyt wiele daje do myślenia lakoniczność depeszy, którą otrzymaliśmy pięć tygodni temu.

— Pokaż no ją jeszcze raz!

Tomek wyjął z portfelu depeszę. Obydwaj pochylili się nad nią i czytali:

*Andrzeju — przyjeżdżaj natychmiast z Tomkiem i bosmanem do Indii. Spotkamy się w Bombaju. Wiadomość w biurze Dalekomorskich Wschodnich Linii Okrętowych. Konieczna wasza pomoc — Smuga.*

— Kiepsko muszą wyglądać jego sprawy, skoro tak napisał — mruknął bosman. — Taki stary wyga i zuch jak Smuga nie „posiałby cykorii” przed byle jaką awanturką.

— Racja, bosmanie. Zapewne ojciec był również tego zdania, skoro natychmiast wezwał mnie z Londynu, nie licząc się z tym, że do końca roku szkolnego brakowało jeszcze kilku tygodni — odparł Tomek.

— Ha, zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, by jak najprędzej znaleźć się przy naszym druhu. Patrz, brachu! Bombaj widać już jak na dłoni. Chodźmy pomóc twemu szanownemu ojcu w pakowaniu manatków — zaproponował.

Wprost z portu, znajdującego się w dzielnicy europejskiej, trzej podróżnicy udali się w dwukołowych rykszach, ciągniętych przez kulisów, do

---

<sup>220</sup> — Portugalczycy pierwsi z Europejczyków zaczęli zakładać kolonie na wybrzeżach Półwyspu Indyjskiego. Obok nich uzyskali tam w XVIII w. większe wpływy Holendrzy, a potem Francuzi. Ci ostatni na skutek wojen prowadzonych w XVIII w. z Anglią w Europie, Ameryce i Azji, utracili Indie na rzecz Wielkiej Brytanii. Odtąd stały się one na długi czas jedną z najważniejszych posiadłości brytyjskich, a król angielski ogłosił się cesarzem Indii. Dopiero po długiej walce narodu hinduskiego kolonizatorzy zostali zmuszeni do przyznania Indiom niepodległości. 15 sierpnia 1947 r. dokonano podziału Indii na dwa dominia: Unię Hinduską, tj. niepodległą republikę oraz Pakistan (muzułmańską republikę). Ostatnie kolonie europejskie w Indii, to jest małe portugalskie enklawy: Goa — na południe od Bombaju, Daman na północ od Bombaju i wysepka Diu — leżąca u południowego cypla półwyspu Katiawar, zostały oswobodzone przez Indie sprawnie przeprowadzoną akcją militarną w połowie grudnia 1961 r.

najbliżej położonego hotelu. Podczas drogi ciekawie przyglądali się miastu. Bombaj stanowił jedno z głównych centrów handlowych Indii. W zeuropeizowanym śródmieściu, zbudowanym głównie z inicjatywy Brytyjczyków, wznosiły się wspaniałe, nowoczesne budynki. Tutaj zadomowiły się zarządy angielskich przedsiębiorstw przemysłowych i zamożne banki, a wystawy luksusowych magazynów oraz sklepów wabiły oko przeróżnymi przedmiotami zbytku. W białych rykszach przemykali szerokimi ulicami wyniośli, dumni Anglicy, bądź ich żony ubrane w szeleszczące jedwabiem suknie. W tej części Bombaju krajowcy — mężczyźni, jako pracownicy angielskich przedsiębiorstw, zarzucili swe narodowe stroje na rzecz ubrań noszonych przez chlebobawców. Jedyne Hinduski paradujące nadal w barwnych sari<sup>221</sup> oraz błyszczące w słońcu kopuły hinduskich świątyń i minarety muzułmańskich meczetów zakłócały na wskroś europejski wygląd miasta.

Bosonoga, bezszelestnie poruszająca się służba hinduska przeniosła ich bagaże do wynajętych pokoi. Szybko przebrali się i znów wyszli na zalaną tropikalnym słońcem ulicę. W sąsiedztwie hotelu znajdowała się rozległa willa, w której mieścił się klub przeznaczony wyłącznie dla Europejczyków. Ocienione zasłonami okna zachęcały do wypoczynku w czasie skwarne go dnia w wygodnych, chłodnych pomieszczeniach klubowych, ale zatroskani o los przyjaciela podróżnicy nie ulegli pokusie.

Wsiedli do ryksza, każąc się zawieźć do biura Dalekomorskich Wschodnich Linii Okrętowych.

Mimo wczesnej popołudniowej pory w biurze linii okrętowej panował ożywiony ruch. Tomek niecierpliwie rozglądał się, czy przypadkiem nie ujrzy Smugi w tłumie interesantów, lecz ojciec pociągnął go za rękaw i razem podeszli do stolika opatrzonego napisem „*Informacja*”.

Mężczyzna o śniadej twarzy i kruczoczarnych włosach uprzejmie ich zagadnął:

— Czym mogę służyć szlachetnym sahibom?

---

<sup>221</sup> — Sari — sztuka szerokiego materiału długości od 5 do 9 m, którym Hinduska spowija się, zamiast nosić suknię szytą przez krawcową. Sposób noszenia i oryginalnego wiązania sari każda dziewczyna przyswaja sobie od najmłodszych lat.



— Nasz przyjaciel Jan Smuga obiecał pozostawić w biurze panów wiadomość dla nas — odparł Wilmowski. — Czy mógłby pan nam powiedzieć, do kogo mamy zwrócić się w tej sprawie?

— Czy mam przyjemność rozmawiać z sahibem Wilmowskim? — zapytał urzędnik, obrzucając podróżników badawczym spojrzeniem.

— Jestem Andrzej Wilmowski, a to mój syn Tomek i pan bosman Tadeusz Nowicki.

— Bardzo przepraszam szlachetnych sahibów, lecz jestem zmuszony prosić o okazanie dokumentów w celu stwierdzenia tożsamości przyjaciół sahiba Smugi — powiedział urzędnik.

— Służymy panu, oto nasze paszporty — odpowiedział Wilmowski.

Urzędnik dokładnie przejrzał dokumenty, po czym podniósł się z krzesła i skłonił głowę mówiąc:

— Cieszę się z poznania szlachetnych sahibów. Moje nazwisko jest Abbas. To u mnie właśnie sahib Smuga pozostawił wiadomość oraz cenny depozyt dla sahibów.

— Miło nam poznać pana — odpowiedział Wilmowski, witając się z urzędnikiem. — Przyjaciel nasz obiecał oczekiwać na nas w Bombaju. Zapewne ma pan jego adres?

— Sahib Smuga obecnie nie przebywa w Bombaju. W liście znajdują sahibowie wyjaśnienia.

— Wobec tego bardzo proszę o ten list.

— Niestety nie mam go przy sobie. List oraz cenny depozyt przechowuję u siebie w mieszkaniu.

— A cóż to za cenny depozyt pozostawił pan Smuga? — zaciekawiał się Tomek.

Urzędnik podejrzliwym wzrokiem rozejrzał się wokoło. Upewniwszy się, że nikt nie może podsłuchać, pochylił się ku podróżnikom i wyjaśnił ściszym głosem:

— Jest to woreczek napełniony złotem, jednak bezpieczniej nie rozmawiać tutaj o tym. Od czasu gdy sahib Smuga pozostawił u mnie swój depozyt, odnoszę wrażenie, że ktoś mnie śledzi. Myszkowano nawet w moim prywatnym mieszkaniu. Na szczęście sługa mój spłoszył intruza. Za trzy godziny kończę pracę. Będę oczekiwał u siebie na szlachetnych sahibów. Oto mój adres.

Zaintrygowani słowami urzędnika opuścili biuro linii okrętowej. Korzystając z wolnego czasu, wstąpili do restauracji na obiad.

— A to ci heca! Coś mi się wydaje, że Smuga wpycha palec między drzwi — odezwał się bosman, gdy zasiedli przy stoliku.

— Zapewne grozi mu jakieś niebezpieczeństwo. W depeszy przecież pisał, że potrzebuje naszej pomocy — cicho dodał Tomek.

— Wkrótce dowiemy się, o co chodzi. Teraz nie warto snuć domysłów — powiedział Wilmowski. — Jeśli podczas obiadu zajmiemy się tylko jedzeniem, na pewno nikomu nie przyczynimy tym zbędnych kłopotów. W niektórych przypadkach i ściany mają uszy.

— Słuszna uwaga, ojciec. Pamiętajmy o tym, co usłyszeliśmy od pana Abbasa — dodał Tomek.

— Bosmanie, czy masz broń przy sobie? — zapytał Wilmowski.

— Bądź spokojny, Andrzej. Pukawka jak zwykle spoczywa w bosmańskiej kieszonce.

— Ja też mam rewolwer, ojciec — wtrącił Tomek.

— To dobrze. Bierzmy się do jedzenia.

Około dziewiątej wieczorem rykszami udali się pod wskazany przez Abbasa adres. Rykszarze z wolna torowali sobie drogę ku dzielnicy zamieszkiwanej przez krajowców. Teraz podróżnicy mieli możliwość naocznie się przekonać, że Indie były krajem najbardziej jaskrawych kontrastów. Na każdym niemal kroku oszałamiały wprost swą egzotyką oraz niezwykle zwyczajami mieszkańców.

Nowoczesne śródmieście nie ukazywało właściwego oblicza Indii. Gdy jednak wjechali w starą dzielnicę krajowców, obraz uległ zasadniczej zmianie. Teraz znaleźli się w krętych i wąskich uliczkach. Domy o poszczerbionych murach wybiegały podcieniami nad chodniki. Zniknęły luksusowe sklepy. W zamian, jak grzyby po deszczu, zaczęły wyrastać kramy, jatki i przygodne uliczne stoiska. Nie widać tu już było strojów europejskich. Bez względu na porę dnia czy nocy ulice przepełniał tłum ludzi odzianych według starego, indyjskiego obyczaju. Wielu z nich nie posiadało własnego skrawka dachu nad głową. Rodzili się, mieszkali i umierali wprost na ulicy. Handlarze rozkładali swoje towary przed domami. Sprzedawali odzież, naczynia, słodczyce, owoce, ochłapy mięsne i jarzyny. W cieniu czarnych parasoli

dentyści wyrywali zęby delikwentom, fryzjerzy golili i strzygli. Rzemieślnicy pracowali w warsztatach rozłożonych w podcieniach domów.

Rykszarze dokazywali cudów zręczności lawirując wśród handlarzy i przechodniów. W pewnej chwili Tomek wychylił się z rykszy, by przyjrzeć się zaklinaczowi węzów. Stary Hindus, otoczony gromadką ciekawskich, przygrywał na flecie jadowitej kobre<sup>222</sup>, kołyszącej się przed nim w takt monotonnej melodii. Nieco dalej jakiś fanatyk religijny — uważany przez współwyznawców za świętego — stał na głowie, trzymając wyprostowane w górę nogi. Przechodzące kobiety dźwigały na głowach dzbany z wodą bądź z oliwą i kosze napełnione różnymi produktami. Wielu żebraków, nierzadko o twarzach noszących znamiona trądu<sup>223</sup>, wyciągało chude ręce w natarczywej prośbie o jałmużnę. Wśród tłumu ludzi krowy bezkarnie myszkowały wokół straganów, poszukując pożywienia, a gdzieś tam, w cieniu murów, spały bezdomne dzieci lub odziani w łachmany kulisi.

Tomek z niezwykłym zainteresowaniem przyglądał się przedziwnemu, rozkrzyczanemu, kolorowemu miastu. Po jakimś czasie ryksze zatrzymały się przed dwupiętrowym wąskim budynkiem. Na parterze znajdował się mały kramik. Przez otwór drzwiowy, nie osłonięty w tej chwili matą, widać było wróżbitę o przebiegłym „wszechwiedzącym” wyrazie twarzy. Przyciszonym głosem przepowiadał przyszłość przykucniętej przed nim młodej dziewczynie. Gdy ryksze przystanęły przed domem, zza parawanu stojącego za plecami wróżbity wysunęła się głowa spowita w duży turban. Czarne jak węgiel oczy przyglnęły spojrzeniem do białych podróżników, po czym przecięta szeroką blizną twarz bez drgnienia powiek zniknęła za parawanem.

Wilmowski pierwszy wszedł do mrocznej sieni. Wokół unosił się swąd oliwy.

- Pitraszą kolację — mruknął bosman, potykając się na schodach.
- To chyba tutaj — odezwał się Wilmowski.

Przystanął właśnie przed drzwiami. Wydobył pudełko z zapalkami. Przy migotliwym świetle odczytał napis na wizytówce i zapukał.

---

<sup>222</sup> — Kobra (Cobra de Capello) — zwana również okularnikiem, a w języku krajowców znana jako: Nalla-pamba, Czinda-negu lub Naga, należy do najjadowitszych węzów na świecie.

<sup>223</sup> — Trąd, lepra — przewlekła choroba zakaźna, w przebiegu której powstają rozpadające się nacieki w skórze, śluzówkach, tkance nerwowej itp., prowadzące do rozległych zniekształceń, zniszczenia tkanek, wreszcie do śmierci. Leprosorium to miejsce odosobnienia, szpitale dla chorych na trąd.

Drzwi otworzył hinduski służący.

— Czy zastaliśmy pana Abbasa? — zapytał Wilmowski.

— Dobry wieczór szlachetnym sahibom — powitał ich Abbas, ukazując się za służącym w przedpokoju. — Proszę wejść, właśnie przed chwilą wróciłem do domu.

Wprowadził ich do wygodnie urządzonego pokoju. Obydwa okna, z których jedno wychodziło na ulicę, a drugie prawdopodobnie na podwórze na tyłach domu, były zasłonięte lekkimi barwnymi matami. W kącie na trójnogu płonął kaganek oliwny. Mdłe światło leniwie pełzało po ścianach i prawie nie docierało do pogrążonego w półmroku sufitu.

— Proszę, niech sahibowie będą łaskawi spocząć — mówił Abbas.

Przysunął do małego stoliczka niskie taborety, a sam usiadł za biurkiem w trzcinowym fotelu. Bosman zakurzył fajkę, Wilmowski i Abbas zapalili papierosy.

— Przede wszystkim muszę wyjaśnić szlachetnym sahibom, dlaczego zachowuję pewną ostrożność, rozmawiając o sprawach sahiba Smugi — zaczął Abbas. — Otóż mój znajomy, dostojny Pandit Davasarman, prosił mnie w imieniu sahiba Smugi o przechowanie dla jego przyjaciół listu oraz wartościowego depozytu. Okoliczności tak się ułożyły, że sahib Smuga musiał udać się na północ przed przyjazdem sahibów. Uprzedzono mnie o znacznej wartości depozytu, wobec czego ulokowałem go w schowku w moim mieszkaniu. Wkrótce spostrzegłem, że jestem śledzony przez jakiegoś człowieka, starannie ukrywającego twarz. Zacząłem mieć się na baczności i pewnego dnia omal go nie schwytałem. Niestety, mimo na pozór wątlej budowy okazał się znacznie silniejszy ode mnie. Powalił mnie uderzeniem pięści. Wszakże podczas szamotania udało mi się zerwać z jego głowy kaptur burnusa<sup>224</sup>. Wówczas to ujrzałem twarz, przeciętą szeroką blizną. Jak już powiedziałem, zdołał umknąć. Tego samego wieczoru zakradł się tutaj do mieszkania, lecz na szczęście został spłoszony przez mego służącego. Wprawdzie od tej pory nie widziałem go więcej, lecz stale mam wrażenie, że kręci się gdzieś w pobliżu.

— Czy pan wiąże fakt śledzenia pana z powierzonym mu depozytem? — zapytał Wilmowski.

---

<sup>224</sup> — Burnus — szeroki płaszcz z kapturem, bez rękawów, z białej wełny, noszony przez Arabów.

— Prowadzę spokojny tryb życia. Nigdy nie miałem z kimkolwiek zatargów. Kłopoty zaczęły się dopiero po przyjęciu depozytu na przechowanie. Ponadto mój służący odniósł wrażenie, że włamywacz szukał czegoś ściśle określonego. Powiedz sam szlachetnym sahibom, czy tak właśnie było.

Ostatnie słowa Abbas skierował do służącego, nalewającego do filiżanek herbatę z mlekiem. Ten postawił dzbanek na tacy i rzekł:

— To prawda, szlachetni sahibowie. Nie miałem wątpliwości, że on szukał schowka. Obserwowałem go chwilę zza portiery, zanim zawołałem o pomoc. Wówczas czmychnął natychmiast.

— Jeśli tak się sprawa przedstawia, to odzyska pan spokój pozbywając się kłopotliwego depozytu — powiedział Wilmowski. — Gdzie obecnie przebywa pan Smuga? Czy powiadomił go pan o tajemniczym człowieku z blizną na twarzy?

— Nie znam miejsca pobytu sahiba Smugi. Wiem tylko, że razem z dostojnym Panditem Davasarmanem udali się na północ kraju. Z tego też względu nie mogłem powiadomić ich o zaistniałych wypadkach.

— Któż to jest ten pan Pandit Davasarman? — zagadnął Tomek.

— To bardzo uczony i zamożny człowiek. Jest szwagrem maharadży<sup>225</sup> Alwaru<sup>226</sup> — wyjaśnił Abbas. — Niewątpliwie w liście znajdą sahibowie dalsze informacje.

— Wobec tego poprosimy pana o list i depozyt.

Abbas skinął głową. Podniósł się z fotela, po czym zbliżył się do ściany pokrytej misternie zdobioną boazerią<sup>227</sup>. Przesunął dłonią po płaskorzeźbie wyobrażającej głowę jakiejś mitycznej<sup>228</sup> poczwary. Zapewne uruchomił dotykiem palców ukryty mechanizm, gdyż w tej chwili część boazerii odchyliła się od ściany, ukazując drzwiczki małej, pancерnej kasy. Abbas wydobył z kieszeni pęk kluczy. Po chwili położył na biurku zalakowaną kopertę oraz pękaty, skórzany woreczek.

---

<sup>225</sup> — Maharadża — wielki władca, wielki król, tytuł zwierzchnika kilku radżów, to jest lokalnych władców panujących w niezależnych bądź wasalnych (podległych królowi) państewkach w Indiach Wschodnich i na Archipelagu Malajskim.

<sup>226</sup> — Alwar — miasteczko, a zarazem stolica państewka o tej samej nazwie leżące w północno-zachodnich Indiach, na południe od Delhi.

<sup>227</sup> — Boazeria — ozdobna, drewniana okładzina ścian.

<sup>228</sup> — Mityczny — związany z mitem, baśniowy, nierzeczywisty.

— Oto list i depozyt — rzekł poważnie. — Szczerze cieszę się, że pomyślnie wykonałem polecenie dostojnego Pandita Davasarmana. Szlachetni sahibowie zechcą potwierdzić odbiór depozytu.

Mówiąc to podsunął Wilmowskiemu kartkę wyrwaną z notesu. Wilmowski ujął pióro, zanurzył je w kałamarzu. Czterej mężczyźni pochyleni nad biurkiem nie spostrzegli śniadej dłoni zaciśniętej na zwiniętym w kulę turbanie, która nagle wysunęła się zza maty zasłaniającej okno wychodzące na podwórze. Zręcznie rzucony zawój upadł wprost na płonący w kącie kaganek oliwny. Wilmowski właśnie podpisywał pokwitowanie, gdy naraz rozległ się ostrzegawczy krzyk służącego. Kompletna ciemność zaległa pokój. Wilmowski porwał z biurka zalakowaną kopertę. Dłoń jego zderzyła się z czyimiś rękami.

— Światło! Zapalcie zapałki! — zawołał.

W ciemności było słycać szamotanie się walczących i szybkie oddechy, później brzęk tłuczonych filiżanek. Błysnął żółtawy płomyk. Bosman, trzymając płonącą zapałkę, ujrzał skłębione ciała trzech mężczyzn. To Abbas i jego służący próbowali obezwładnić zamaskowanego mężczyznę. Nim płonąca przez krótką chwilę zapałka zgasła, napastnik skorzystał z okazji, by celnym uderzeniem pięści w podbródek powalić odważnego służącego. W ciemności rozległ się stłumiony okrzyk bólu. Coś ciężkiego osunęło się na podłogę.

Bosman rzucił się na pomoc Abbasowi. Zderzył się z kimś i natychmiast go przytrzymał kleszczowym chwytem.

— Do mnie, bosmanie! — rozbrzmiał krzyk Tomka.

— Niech to wszyscy diabli... — zaklął marynarz, zorientowawszy się, że walczy z swoim młodszym przyjacielem, który tak jak i on spieszył z pomocą Abbasowi.

Ktoś zerwał matę z okna wychodzącego na podwórze. Poświata księżycowa wtargnęła do ciemnego pokoju. Na tle jasnego otworu okiennego zarysowała się sylwetka mężczyzny. Bosman uwolnił Tomka z niedźwiedziego uścisku, odtrącił nogą stoliczek zagrządzający mu drogę i jednym susem znalazł się przy oknie. Tajemniczy włamywacz skoczył z parapetu w dół. Bosman niczym kot rzucił się za nim. Całym ciężarem olbrzymiego cielska gruchnął na dach jakiejś przybudówki. Pod jego lewą nogą załamała się spróchniała deska. Stopa bosmana ugrzęzła w dziurze.

Mimo to zdołał chwycić włamywacza za ramię. Ten syknął z bólu. Odwrócił się błyskawicznie. W świetle księżyca ukazał twarz przeciętą szeroką blizną. W rękę jego błysnął sztylet. Uwięziona w otworze dachu stopa uniemożliwiła bosmanowi skuteczne odparowanie ciosu. Cienkie ostrze rozorało mu dłoń, pod wpływem bólu odruchowo cofnął rękę z ramienia. Włamywacz szybko zsunął się z dachu na podwórze, przeskoczył przez płot i zniknął w ciemnym zaułku.

Bosman zdołał w końcu wyszarpnąć stopę ze zdradliwej pułapki. Właśnie schodził z dachu przybudówki na ziemię, gdy Tomek z rewolwerem w dłoni wybiegł z sieni na podwórze.

— Wolnego, brachu, wolnego. Ptaszek wyfrunął z klatki. Gonić go dalej po tych zakamarkach, to tyle, co szukać wiatru w polu — półgłosem zawołał bosman.

— Czy nic się panu nie stało? — niespokojnie pytał Tomek.

— Co mi się miało stać? Alboż to ja niemowlę? Schwyciłbym tego przekłętą szczura, gdyby noga nie ugrzęzła mi w dachu. Lepiej powiedz, czy wszystko w porządku tam na górze?

— Pan Abbas został raniony. Nie wiem, czy to coś poważnego. Gdy po zapaleniu kaganka stwierdziłem że złodziej skradł nasze złoto, natychmiast pobiegłem za panem, aby pomóc w pościgu.

Bosman bez zbędnych słów popchnął Tomka w kierunku sieni. W mieszkaniu zastali Wilmowskiego i służącego pochylonych nad leżącym na macie Abbasem.

— Trzeba natychmiast sprowadzić lekarza — pospiesznie odezwał się Wilmowski na widok wchodzących.

Bosman przyklęknął przy Abbasie. Lewą dłonią uniósł skrwawioną chustkę, którą służący starał się zatamować krew wypływającą z rany. Marynarz tylko rzucił okiem na wąski otwór pozostawiony po ukłuciu sztyletem i zagryzł wargi. Zrozumiał natychmiast, że rana jest śmiertelna.

— Tak, tak, trzeba sprowadzić lekarza, a także zawiadomić rodzinę — mruknął powstając z kolan.

Abbas wolno uniósł powieki. Zamglonymi oczyma spojrzał na białych sahibów. Z największym wysiłkiem zdołał wyszeptać:

— Zawiadomcie... mego brata... Służący zaprowadzi...

— Pójdziemy we dwóch — rzekł bosman do pobladłego służącego. — Czy mieszka tu gdzieś w pobliżu doktor?

— W sąsiednim domu, sahibie... — odparł służący.

— Pędźmy po doktora, a potem po brata. Tomku, trzymaj pukawkę w pogotowiu i strzelaj bez namysłu, gdyby bandyta ośmielił się tutaj powrócić.

Pomoc lekarska okazała się dla nieszczęsnego Abbasa bezskuteczna. Zmarł nad ranem nie odzyskując przytomności. Jeszcze podczas krótkiego śledztwa, prowadzonego przez policję, brat zmarłego czynił przygotowania do pogrzebu. Obydwaj bracia byli Parsami<sup>229</sup>, wobec czego kondukt pogrzebowy miał udać się do słynnych Wież Milczenia, zbudowanych w dolinie poza miastem. W nich to bowiem, zgodnie ze zwyczajem, Parsowie, jako wyznawcy Zoroastra, pozostawiali swych zmarłych na łup drapieżnemu ptactwu.

Niesamowity obrządek pogrzebowy wywarł szczególnie na Tomku przykre wrażenie. Nad Wieżami Milczenia kołowały w powietrzu stada żarłocznych ptaków. W myśl zwyczajów Parsów, codziennie o tej samej porze nadchodziły do niezwykłych budowli, przypominających kształtem cylindryczne wieże, kondukty pogrzebowe. Rodziny nie przekraczały progów tych ponurych cmentarzy. U ich stóp przekazywały ciała zmarłych tak zwanym Przewoźnikom Śmierci, jedynie upoważnionym do wchodzenia do Wież Milczenia. Oni to składali na najniższym piętrze wieży zwłoki dzieci, na środkowym kobiet, a na najwyższym mężczyzn. Gdy tylko „grabarze” opuszczali wieżę, drapieżne ptactwo natychmiast wlatywało do jej wnętrza, by rozpocząć upiorną ucztę. Wkrótce w wieży pozostawały tylko nagie, ludzkie szkielety. Oczywiście kości pod wpływem warunków atmosferycznych ulegały murszeniu. Wtedy Przewoźnicy Śmierci strącali ich szczątki do studni w środku wieży, przygotowując w ten sposób miejsce dla innych zmarłych.

Dopiero po południu nasi podróżnicy znaleźli się w hotelu, gdzie pozostawili swe bagaże po przyjeździe do Bombaju. Przygnębieni tragicznym

---

<sup>229</sup> — Parsowie — wyznawcy Zoroastra, nie chcąc przyjąć narzuconego im przez Arabów mahometanizmu, wyemigrowali w 766 r. z Persji na półwysep Katiawar w Indiach. Osiedlili się w Gudżerat i Surat, a potem w Bombaju. Należą do najinteligentniejszych oraz najbogatszych warstw ludności Indii. Zoroaster (neoperskie Zardusht) — żył w VI w. p.n.e. Po jego śmierci kapłani przepoili religię wierzeniami ludowymi i spisali. Parsowie, zwani również Gwebami lub Sardushti, otaczają czcią boską ogień, ziemię, wodę i niebo. Aby ich nie zanieczyścić, oddają zwłoki swych zmarłych ptactwu na pożarcie.



wydarzeniem i zmęczeniu po nieprzespanej nocy, zasiedli w wygodnych fotelach na ocienionej werandzie. Bosman polecił służbie przynieść butelkę rumu oraz mrożone napoje owocowe.

— Kiepsko zapowiada się cała sprawa. Na samym początku witają nas morderstwem i kradzieżą — odezwał się bosman, zerkając na zabandażowaną swą prawą dłoń, gdy służący pozostawił ich samych. — Biedny pan Abbas! Cały czas zastanawiam się, dlaczego ten drab z blizną na twarzy dopuścił się zabójstwa? Czyżby chodziło mu tylko o zdobycie złota?!

— Kto wie? Sądząc po rozmiarach woreczka stanowiło ono znaczną wartość — rzekł Wilmowski.

— Pan Smuga osobiście złożył depozyt u pana Abbasa. W jaki wobec tego sposób mógł morderca wiedzieć, co znajdowało się w woreczku? — wtrącił Tomek.

— Coś wygląda mi na to, że pan Smuga nie zachował koniecznej w takim przypadku ostrożności — mruknął bosman.

— Wobec tego może i jemu grozi poważne niebezpieczeństwo — zawołał wzburzony Tomek. — Musimy jak najprędzej odnaleźć naszego przyjaciela!

— Jak amen w pacierzu, masz rację, brachu — przywodził marynarz. — Dobrze, że chociaż list nie wpadł w ręce tego tajemniczego mordercy. Andrzej, odczytaj go nam jeszcze raz!

Wilmowski wyjął z kieszeni list i czytał półgłosem:

*Droży Przyjaciele!*

*Obiecałem czekać na Was w Bombaju, lecz ku memu szczeremu żalowi muszę stąd wyjechać przed Waszym przybyciem. Obawiam się w liście obszerniej wyjaśnić, w jakim celu prosiłem Was o natychmiastowe przybycie do Indii. Bezpieczniej dla nas wszystkich będzie, gdy uczynię to osobiście. Wspomnę więc tylko, że planuję długą, dość ryzykowną wyprawę. W Bombaju czyniłem starania, aby uzyskać od władz angielskich zezwolenie na swobodne poruszanie się w pasie pogranicznym. Dopiero po przybyciu tutaj dowiedziałem się, że osobistość, od której zależy ostateczna zgoda, przebywa obecnie w Delhi, w północnej części kraju. Wobec tego, zmuszony koniecznością, jadę tam, pozostawiając dla Was ten list oraz depozyt u Pana Abbasa. Korzystajcie z zawartości woreczka według własnego uznania, a przede wszystkim opłaćcie wszelkie koszty podróży. Usilnie Was proszę —*

*przybywajcie jak najspieszniej do Alwaru, leżącego w pobliżu Delhi i pytajcie o mnie maharadżę tego państewka. Niecierpliwie oczekuję Waszego przyjazdu. Mocno Was ściskam i z góry dziękuję za pośpiech w spełnieniu mej prośby.*

*Wasz stary druh — Jan Smuga*

— Nic z tego nie rozumiem — westchnął bosman.

— Ciekawe, w jaki sposób pan Smuga zdobył to złoto? — zauważył Tomek. — Może było ono zapłatą za wykonanie jakiegoś niebezpiecznego zadania?

— Sami nie rozwikłamy zagadki, moi drodzy — powiedział Wilmowski. — Cała sprawa naprawdę wygląda niezwykle tajemniczo. Najlepiej uczynimy wyruszając jutro do Alwaru.

— Słusznie, ojczy, pan Smuga wyjaśni nam wszystko — przywodził Tomek.

## POCHÓD SŁONI

Był wczesny ranek. Wilmowski i bosman jeszcze spali na dolnych łózkach, rozmieszczonych po obydwóch stronach czteroosobowego przedziału wagonu kolejowego. Leżeli nieruchomo z przymkniętymi oczami, a piersi ich unosiły się w głębokim, ciężkim oddechu. Tomek natomiast spoczywał na jednym z dwóch górnych łózek. Ułożył się na boku niemal na samym skraju pośłania i wsparłszy głowę na lewej dłoni, prawą chłodził się papierowym wachlarzem. Zamyślony, raz po raz spoglądał w okno wagonu.

Tropikalny żar przenikał do przedziału poprzez okienną drucianą siatkę, chroniącą pasażerów przed zdradliwą w tym kraju natarczywością owadów. Odchylona okiennica ukazywała jasny błękit nieba.

Poranna cisza w wagonie pierwszej klasy, zarezerwowanym w Indiach wyłącznie dla białych podróżnych, nastrajała Tomka do rozmyślań o tej niezwyklej wyprawie do kraju odwiecznych tajemnic. Tajemniczy splot wydarzeń po wylądowaniu w Bombaju usuwał dotąd inne wrażenia na drugi plan. Toteż dopiero podczas długich godzin podróży pociągiem na północ Tomek w myślach porządkował wszystkie uprzednio poczynione spostrzeżenia.

Dzięki pilnej nauce geografii posiadał już znaczny zasób wiadomości o Półwyspie Indyjskim, jako jednym z największych półwyspów na Ziemi<sup>230</sup>. Samo geograficzne położenie Indii stwarzało z nich kraj przedziwnych kontrastów. Południowym bowiem krańcem sięgały równika, centralne zaś leżały w strefie umiarkowanej i stanowiły nie tylko krainę potężnych rzek oraz żyznych dolin, lecz posiadały także wielkie pustynie, a na północy dotykały najwyższych na kuli ziemskiej łańcuchów górskich, pokrytych wiecznym śniegiem i lodem. Tomek wiedział, że Indie są niezwyklej krajem, zamieszkiwanym przez ludy reprezentujące, pod względem zewnętrznym, niemal wszystkie rasy żyjące na ziemi. Słyszał też o legendarnym wprost bogactwie maharadzów indyjskich, o różnicach religijnych, lecz mimo to nie przypuszczał nigdy, iż słynne z przepychu Indie są równocześnie krajem

---

<sup>230</sup> — Największymi półwyspami są: Półwysep Arabski i Półwysep Indii Przed — i Zagangesowy.

beznadziejnej nędzy i głodu<sup>231</sup>. Jakże teraz niezrozumiali wydali mu się krajowcy hinduscy. Szczycili się jedną z najstarszych kultur, a mimo to wierzyli w gusła, zabobony, przesady społeczne upośledzające całe warstwy ludności oraz modlili się do potwornych bóstw wykutych z kamienia. Przy całym bogactwie i ogromie kraju, ile tam było poniżania godności ludzkiej i wyzysku!

Na rozmyślaniach i rozmowach z towarzyszami o tajemnicy Smugi czas szybko mijał Tomkowi. Posiłki spożywane w pociągu również stanowiły pewne urozmaicenie, albowiem w myśl zwyczajów panujących w Indiach otrzymanie ich podczas drogi było dość kłopotliwe. Wywoływało to protesty bosmana Nowickiego. Lubił jeść często i dużo. Tymczasem, gdy się chciało spożyć obiad, należało go zamówić u bosonogiego kelnera, zbierającego zamówienia podczas postoju na jednej ze stacji. Zamówione w ten sposób jedzenie przynoszono do przedziału na następnym przystanku pociągu, podczas gdy opróżnione naczynia kelnerzy zabierali dopiero na trzeciej stacji. Toteż bosman zapewniał, że w czasie podróży pociągiem przez „*taki niezdarzony kraj*” przy życiu jedynie utrzymywali go spotykani na wszystkich stacjach krzykliwi sprzedawcy smakowitych, soczystych owoców.

Pociąg wciąż podążał na północ. Tomek zapisywał w swym notesie mijane podczas podróży ważniejsze miasta, a więc: Bombaj, Surat, Baroda, Ahmadabad i Dżajpur<sup>232</sup>. Owego właśnie ranka dopisał stację „*Bandikoi*”. W dniu tym mieli dotrzeć do celu swej podróży — Alwaru.

Pociąg zwalniał bieg. Tomek niemal przyłgnął do okiennej siatki. W dali, z tropikalnej zieleni porastającej okolicę wyłoniły się kopuły pałaców i świątyń ponad murami okalającymi indyjskie miasteczko.

---

<sup>231</sup> — Mimo wielkiej produkcji ryżu, prosa, pszenicy, kukurydzy i jęczmienia, stanowiących podstawowe wyżywienie licznej ludności, Indie nawiedzają kłęski głodu. Powodowane są one suszami oraz brakiem odpowiednich środków transportowych, co uniemożliwia szybki przewóz żywności do okolic dotkniętych nieurodzajem. Częsta śmierć głodowa tysięcy mieszkańców budzi tym większą grozę, jeśli weźmiemy pod uwagę naturalne bogactwa tego kraju. Oprócz bowiem uprawianych zbóż, Indie wysunęły się na czoło produkcji światowej w uprawie trzciny cukrowej, są na drugim miejscu w produkcji bawełny, a na pierwszym w produkcji juty. Z innych roślin użytkowych Indie produkują najwięcej na świecie herbaty oraz przodują w uprawie maku, z którego wyrabia się opium. Z bogactw mineralnych mają węgiel i rudy żelazne.

<sup>232</sup> — Dżajpur — (ang. Jaipur) indyjskie państewko we wschodnim Radżputanie (półn-wschod. Unia Hinduska), znane z wyrobu sukna, muślinów oraz misternych ozdób rzeźbionych w kości słoniowej.

W tej właśnie chwili bosman wydobył z kieszonki w spodniach zegarek, po czym rzuciwszy na niego wzrokiem, rzekł:

— Coś mi się wydaje, Andrzeju, że nareszcie dobijamy do portu. Według rozkładu jazdy zaraz powinniśmy wylądować w Alwarze.

— Słuszne spostrzeżenie, drogi bosmanie, jeżeli oczywiście umówimy się, że ten pociąg jest statkiem, a miasteczko Alwar, leżące w samym sercu Indii, portem — odparł Wilmowski, pokpiwając z marynarza, który nawet na łądzie używał wyrażen związanych z jego zawodem.

Bosman zniecierpliwiony machnął zabandażowaną ręką i burknął:

— Nie czepiaj się, za przeproszeniem, każdego słówka, bo mi wcale nie do żartów. Pociąg wlecze się jak żółw, a tymczasem cała ta tajemnicza sprawa Smugi cuchnie mi gnijącym na mieliźnie wielorybem!

— Wszelkie nasze dociekania na ten temat nie doprowadzą do odgadnięcia prawdy. Wobec tego poczekajmy lepiej, dopóki Smuga sam wszystkiego nam nie wyjaśni. Nie może tu chodzić o drobnostkę — odpowiedział Wilmowski, a zwracając się do syna dodał: — Tomku, czas przygotować się do wysiadania, dojeżdżamy do Alwaru.

— Tak, ojcze, już widać budowlę miasta, a tymczasem pan bosman, starym zwyczajem, znów zaczyna utyskiwać. W Hamburgu narzekał, że w miejskich murach czuje się jak solony śledź w beczce zabitej denkiem. Teraz dla odmiany denerwuje go zbyt długa jazda pociągiem...

— Ejże, brachu, nie wódź mnie na pokuszenie, żebym nie przyciął ci języka — burknął bosman, spod oka spoglądając na młodszego przyjaciela. — Pod nosem masz dopiero miejsce na wąsy, ale coraz więcej zaczynasz starszym dogadywać.

Tomek uśmiechnął się; podszedł do marynarza i zajrzał mu w oczy mówiąc:

— To niech pan stałym gderaniem nie pokrywa niepokoju o pana Smugę. Przecież my również obawiamy się o niego.

— Skąd wiesz, że się niepokoję o Smugę? — burknął bosman.

— Nasza rezolutna przyjaciółka Sally, która przeżyła z nami tyle niezwykłych przygód<sup>233</sup>, powiedziała, że w twarzy pana można czytać jak w otwartej książce.

---

<sup>233</sup> — Poprzednie przygody Tomka znajdzie czytelnik w powieściach „Tomek w krainie kangurów”, „Tomek na Czarnym Łądzie” i „Tomek na wojennej ścieżce”.

Bosman zmieszany chrząknął, żeby zyskać na czasie. Wkrótce jednak opanował zakłopotanie, znalazłszy sposób odpłacenia się pięknym za nadobne domyślnemu przyjacielowi.

— Ładnie to nawet z twojej strony, że niemal co dzień wspominasz tę miłą sikorkę, Sally — zaczął niby z uznaniem. — Ha, pewno wolałbyś teraz siedzieć przy niej i pomagać jej w lekcjach. Moim jednak zdaniem lepiej tak często nie mów o niej.

— Nie rozumiem, do czego pan zmierza — mruknął Tomek rumieniąc się mimo woli.

— Iiiii, nic takiego! Podobno wspomnianie nieobecnej osoby przyprawia ją o czkawkę, a to przecież naszej sikorce może przeszkadzać w nauce. Nie chciałbyś chyba, żeby twoja narzeczona została w tej samej klasie na drugi rok?

— Tyle razy prosiłem pana o nie nazywanie Sally „*sikorką*”. Poza tym, kto panu powiedział, że jest moją narzeczoną? — oburzył się Tomek.

— Więc to tak, zdrajco?! — nie na żarty rozżłościł się bosman. — Wypierasz się dziewczyny, mimo że dla jej ocalenia ryzykowaliśmy życie?! Gadaj, co chcesz, a ja i tak wiem swoje, na twoim jednak miejscu nie ścierpiałbym, żeby jakiś bubek z przylizanymi włosami na łepetynie zaczynał umizgać się do niej!

— Kogo właściwie ma pan na myśli? — zaniepokoił się Tomek, zapominając o swym oburzeniu. — Chyba nie chodzi panu o kuzyna Sally, który stale patrzy na nią jak sroka w gnat?

— Nie w smak ci ten kuzynek, obłudniku? — triumfował bosman. — No, ale pal cię sęk, na mój gust jednak mógłbyś czasem trzepnąć go po uchu! Wprawdzie nie dziwię się ani tobie, ani temu angielskiemu chudzielcowi, bo gdybym był ciut młodszy, to sam bym zrobił oczko do niej... Zuch dziewczyna i kompan pierwsza klasa! Jak się to dzielnie spisywała, gdy Indiańce w Ameryce porwali ją do niewoli!

— W Meksyku gniewał się pan na wodza Czarną Błyskawicę za swatanie pana z Indiankami, a teraz sam przedzierzgnął się pan w swata — zżymał się Tomek. — Dokucza mi pan przy każdej okazji, ale ja...

— Przestańcie się kłócić, moi drodzy, wysiadamy — powiedział Wilmowski, kładąc kres przekomarzaniu.

Zbliżali się do małej stacyjki. Tomek i bosman natychmiast zapomnieli o sprzeczce. Zaraz też w największej zgodzie pośpiesznie zdjęli z łóżek swą podróżną pościel, umieścili w specjalnie przeznaczonym na nią koszu i zaledwie pociąg przystanął na stacji, natychmiast zaczęli wyładowywać na peron swe bagaże. Uporali się z tym szybko, jak ludzie przywykli do odbywania dalekich podróży. Nim pociąg odjechał w dalszą drogę, Tomek zdążył sprawdzić, czy wynieśli z wagonu wszystkie walizy i futerały z bronią, po czym dopiero rozejrzał się wokoło.

Samotny dworzec w Alwarze przypominał dużą, drewnianą szopę. Widać stąd było drogę wijącą się wśród pól i drzew ku miasteczku, otoczonemu starym obronnym murem. Na peronie znajdowało się zaledwie kilku półnagich wyrostków. Ciekawie przyglądali się obcym, białym podróżnym.

Wilmowski przywołał chłopców przyjaznym ruchem ręki, po czym odezwał się do nich w języku angielskim:

— Czy wiecie, gdzie znajduje się pałac maharadży Alwaru?

— Ho, ho, biały sahibie, któż by zliczył wszystkie pałace naszego potężnego władcy! — odparł również po angielsku rezolutnie wyglądający chłopiec. — Posiada on ich chyba tyle, ile jest gwiazd na niebie. Ja znam z nich tylko trzy, lecz ktoś starszy potrafi ci zapewne wskazać ich więcej. Otóż jeden pałac znajduje się w samym Alwarze, drugi poza miastem w wielkim ogrodzie na skraju dżungli, a trzeci w świętym mieście Benares<sup>234</sup>, dokąd maharadża udaje się co roku na pielgrzymkę.

— Czy maharadża przebywa teraz w Alwarze? — dalej indagował Wilmowski.

— To już wie tutaj nawet każde dziecko, że w porze polowania na tygrysy nasz maharadża mieszka w swoim pałacu obok dżungli. Słyszałem, że dzisiaj reszta słoni ma wyruszyć z Alwaru do rezydencji łowieckiej na wielkie polowanie — wyjaśnił chłopiec, zdumiony ignorancją zazwyczaj wszystkowiedzących białych sahibów.

— Dziękuję ci za tak dokładną informację — z uśmiechem odparł Wilmowski. — Teraz już wiemy, gdzie należy szukać maharadży. Czy

---

<sup>234</sup> — Benares — miasto uważane przez Hindusów za święte, w północno-środkowych Indiach nad rzeką Ganges (również uważaną za świętą), do którego Hindusi stale odbywają pielgrzymki. W Benaresie znajduje się około 1500 hinduskich świątyń i klasztorów. Jest to jedno z najbardziej starożytnych miast, czczone nie tylko przez hinduistów.

mógłbyś nam jeszcze powiedzieć, w jaki sposób najdogodniej dotrzemy z naszym bagażem do tego pałacu?

— Nie ma nic łatwiejszego, szlachetny sahibie, przed stacją stoi tika ghari<sup>235</sup>. Woźnica na pewno zawiezie was za kilka annas<sup>236</sup> do samych wrót pałacu — doradził chłopiec.

— Wobec tego pomóżcie nam przenieść bagaże — zaproponował Wilmowski.

— Chętnie to uczynimy, wspaniałomyślny sahibie! Myślę, że dasz nam za to po jednej anna — zawołał chłopiec, ochoczo chwytając dużą walizę.

— Dobrze, otrzymacie po jednej anna — potwierdził Wilmowski i mrugnął znacząco okiem do umorusanych urwisów.

Razem wyszli przed dworzec. Zgodnie z zapowiedzią młodego Hindusa tika ghari stał przed dworcem. Był to rodzaj wozu bez resorów, wyglądem przypominający dyliżans. Wewnątrz, po obu jego bokach, znajdowały się ławki dla pasażerów, osłonięte przed słońcem oryginalnym baldachimem, sporządzonym z połatanych worków jutowych i przymocowanych w górze do bambusowych kijów sterczących w czterech rogach tego dziwaczного pojazdu. Zaprzęg stanowiły dwa małe, chude koniki.

Wilmowski szybko dobił targu z woźnicą, ubranym w długie luźne spodnie, wyłożoną na wierzch koszulę bez kołnierzyka i niewielki tyrban. Z kolei wręczył po jednej anna chłopcom, którzy popychając się i przekrzykując piskliwie, ulokowali bagaże pomiędzy ławkami dyliżansu.

Biali podróżni wsiedli do prymitywnego wehikułu. Woźnica, nie spiesząc się, przysiadł na grubym dyszlu pomiędzy końmi, po czym nie przerywając żucia betelu<sup>237</sup>, krzyknął:

— Honk, hai, hai!<sup>238</sup>

Wychudzone szkapiny ruszyły z miejsca i wlokąc się noga za nogą podążyły w kierunku Alwaru.

<sup>235</sup> — Tika ghari — miejscowa nazwa pojazdu w rodzaju dyliżansu.

<sup>236</sup> — Anna — zdawkowa moneta indyjska; 1/16 część rupii, indyjskiej jednostki monetarnej. Do 1957 r. 1 rupia zawierała 16 annas równających się 192 pies. Obecnie 1 rupia równa się 100 naya paisa. W przeliczeniu na polskie złote 1 rupia wynosi około 4,47 zł.

<sup>237</sup> — Betel — roślina, której liście zmieszane z orzechami palmy areki i wapnem żują ludy południowoazjatyckie.

<sup>238</sup> — Honk, hai, hai! — równoznacznik naszego „wio”.



Droga usiana drobnym żwirem, w pewnej odległości od dworca zaczęła nieco piąć się w górę. Tuż przy niej, pośród okolonych krzewami aloesu i dość czysto utrzymanych podwórz, rozsiadły się splecione z bambusu wiejskie chatynki. Niemal przed każdą z nich rósł bananowiec<sup>239</sup>. Spostrzegawczy Tomek wkrótce zwrócił na to uwagę i o zaobserwowanej ciekawostce poinformował towarzyszy. Wilmowski jako doskonały geograf znał zwyczaje ludów zamieszkujących różne kraje, wyjaśnił więc, iż samotne bananowce znajdują się nieprzypadkowo obok chat indyjskich wieśniaków. W myśl miejscowego zwyczaju, Hindus w dniu ślubu zasadza przed swym domkiem bananowiec, aby jego pożywne owoce chroniły w przyszłości całą rodzinę przed klęską głodu. Na podwórzach przed domkami, w cieniu rododendronów obsypanych czerwonym kwieciem widać było kobiety oraz gromadki dzieci.

Ubranie wieśniaczek składało się z dwóch kawałków kolorowego materiału przeważnie w czerwono–żółtą kratę. Jeden z nich opinał smukłe biodra, drugi okrywał piersi i ramiona. Młode niewiasty nosiły wokół rąk i kostek u nóg bransolety, a w uszach olbrzymie kolczyki.

Mężatki miały ponadto wpięty z lewej strony dziurki od nosa półksiężycowaty kolczyk z rubinem bądź brylantem, zależnie od stopnia zamożności. Niektóre kobiety przykucnąwszy na ziemi przygotowywały posiłek dla mężczyzn pracujących na pobliskich poletkach, inne otłukiwały ryż w dużych kamiennych stępach, posługując się przy tym długimi, ciężkimi, drewnianymi tłuczkami. Tylko staruchy beczynn timerwowały zapracowane młodsze gospodynie i z filozoficznym spokojem człowieka, który spełnił już swój życiowy obowiązek, paliły fajki bądź kaliany zwane również nargilami<sup>240</sup>. Dzieciarnia o brunatnych, błyszczących ciałkach, wysmarowanych kokosowym masłem dla zabezpieczenia przed zgubnymi

---

<sup>239</sup> — Ojczyzną bananów jest południowo–wschodnia Azja. Rozróżniamy dwa główne gatunki bananowców: 1 — banan mączny (*Musa paradisiaca*) w wielu odmianach. Pierwsza z nich w krajach tropikalnych, w postaci gotowanej lub pieczonej zastępuje biedniejszej ludności chleb i nasze kartofle; inne natomiast odmiany (zwane w Ameryce Południowej „*platanos*”) służą jako produkt do wyrobów napojów alkoholowych i jako surowiec tekstylny, 2 — banan owocowy (*Musa sapientum*); w przeciwieństwie do pierwszego gatunku zdobył on sobie ważną pozycję w handlu światowym. W Europie pierwsze przesyłki bananów pojawiły się dopiero około 1880 roku.

<sup>240</sup> — Kalian bądź nargile — fajka (przeważnie palona przez muzułmanów), której rurka cybuchowa przechodzi przez naczynie napełnione wodą lub wonnym płynem. Stąd zwie się ją również „*fajką wodną*”.

skutkami palących promieni słońca, biegła niemal naga. Często tylko amulet<sup>241</sup> zawieszony na sznurku na szyi był całym ubiorem dziecka.

Na widok białych podróżników młodsze Hinduski zakrywały twarze zapaskami. Matki ponadto zarzucały dzieciom chustki na głowę. Gdy dylizans oddalał się, natychmiast sięgały po skorupę orzecha kokosowego napelnioną tuszem, by umoczoną w nim pędzelkiem namalować szerokie, czarne kreski na dolnych powiekach dzieci. Według ich wierzeń miało to skutecznie chronić potomstwo przed urokiem rzucanym przez „złe oko” cudzoziemca.

Tuż przy drodze bujnie krzewiły się zagajniki bambusowe i migdałowe oraz drzewa pinii. Wśród nich spokojnie pasły się sarny, dumnie spacerowały pawie z szeroko rozpostartymi, barwnymi ogonami, to znów z gałęzi drzew rozlegał się skrzek małych zielonych papug, jakby podenerwowanych ruchliwością małp, zerkających zza migdałowych pni.

Obaj Wilmowscy z zainteresowaniem obserwowali mijaną okolicę, bosman natomiast, chociaż był zazwyczaj ciekaw poznania nowych krajów, tym razem siedział nachmurzony i złorzeczył pod nosem na zbytnią powolność „indyjskich szkap”. Cierpliwość dobrodusznego wielkoluda została niebawem poddana znacznie trudniejszej próbie.

Oto o kilkadziesiąt metrów przed dylizansem pojawiła się na drodze duża, chuda, biała krowa. Wyszła z przydrożnego zagajnika i korzystając z cienia rzucanego przez rozłożyste konary platanu<sup>242</sup>, legła na samym środku drogi. Gdy dylizans zbliżył się do beztrąsko odpoczywającego zwierzęcia, woźnica nie mogąc go wyminąć, zatrzymał swe koniki, po czym zeskoczył z dyszla, na którym siedział, i z nabożną czcią zaczął przypatrywać się przeżuwającej pokarm krowie.

Bosman Nowicki coraz bardziej zniecierpliwiony przedłużającym się postojem uniósł się z ławki i zawołał:

— Hej tam, dobry człowieku, czy nigdy w życiu nie widziałeś krowy, że gapisz się, jakbyś ujrzał nie wiadomo jakie cudo? Przegnaj prędzej to bydlę i ruszaj dalej w drogę!

---

<sup>241</sup> — Amulet — przedmiot, który według przesądnych wierzeń posiada czarodziejską moc; noszony jest dla ochrony przed złymi duchami, chorobami, niebezpieczeństwem. Zbliżone znaczenie ma talizman, czyli przedmiot przynoszący szczęście (talizman szczęścia).

<sup>242</sup> — Platan (*Platanus*) — drzewo rosnące w krajach śródziemnomorskich, w Indiach na południe od Himalajów oraz w północnej Afryce, dochodzące do wysokości 20–30 metrów, silnie rozgałęzione.

Woźnica nie zwrócił najmniejszej nawet uwagi na ponaglenie. Dostojnym ruchem pochylił się nad krową, dotknął jej głowy wskazującym palcem, a następnie z największą czcią przyłożył go do swego czoła.

— Ani chybi zwariował chłop — oburzył się bosman. — To pewno z tego gorąca mieszają mu się klepki w głowie. Hej, woźnico, do wszystkich diabłów...

— Milcz bosmanie, jeśli nie chcesz narazić nas na poważne kłopoty — po polsku ostro odezwał się Wilmowski.

Bosman przerwał w połowie zdania, zmieszany kategorycznym tonem przyjaciela, dla którego zawsze miał wiele szacunku z powodu jego dużej wiedzy i rozsądku.

— Podróże po szerokim świecie — mówił Wilmowski — są doskonałą szkołą dla każdego człowieka, siedź więc cicho, mąciwodo, i uważnie notuj w pamięci oryginalne zwyczaje mieszkańców tego kraju.

— Słusznie mówisz, Andrzej, gdy człowiek trzyma język za zębami, często unika niepotrzebnych kłopotów — sumitował się marynarz. — O mało jednak z własnej skóry nie wyskoczę, gdy ten niezdara, zamiast przeciągnąć krowinę batem, stuka ją tylko palcem po grzbiecie. Jeżeli tak dalej pójdzie, to i za rok nie dojedziemy do pana Smugi.

— W pewnych okolicznościach najlepiej jest pogodzić się z zaistniałymi faktami — powiedział Wilmowski. — Przede wszystkim pamiętaj, bosmanie, że dla mieszkańców Wschodu wszelki pośpiech jest cechą niższości. Toteż jeżeli chcesz, aby cię tutaj szanowano, zachowuj się statecznie i dostojnie. Po drugie nasz woźnica nie stuka krowy palcem po grzbiecie, aby ją zegnać z drogi, lecz dokonuje obowiązującego Hindusów ceremoniału i nie ma takiej siły na świecie, która mogłaby go zmusić do zakłócenia spokoju bydłociu.

— A to ci heca! — zawołał bosman, śmiejąc się rubasznie. — U nas na wsi byle berbec smaga batem krówsko po grzbiecie, gdy włazi w szkodę. Tutaj zaś dorosły chłop „*sieje cykorię*” przed takim spokojnym bydłociem. Skoro jednak tak jest, to muszę sam przemówić tej krowinie do rozsądku, bo nie mam zamiaru sterczeć na drodze dla jej przyjemności.

Mówiąc to ponownie uniósł się z ławki, by wysiąść z dyliżansu. Naraz zniecierpliwiony Tomek odezwał się:

— Jest pan, jak zwykle, kąpany w gorącej wodzie. Niech pan siedzi i słucha!

— A ty znów czego chcesz ode mnie?! — zachnął się marynarz.

— Gdyby pan stale nie przerywał ojcu, to dowiedziałby się pan czegoś bardzo ciekawego.

— Nie przeczę, że twój szanowny tatuś jest chodzącą encyklopedią — skwapliwie przyznał bosman. — Cóż jednak więcej ciekawego mógłbym dowiedzieć się o zwykłych krowach? Nie zacznij mi tylko klarować, że mają one wymiona do dojenia i rogi, bo to już sam wiem od dawna.

— To niewiele, panie bosmanie — z przekąsem zauważył Tomek. — Czy nie słyszał pan nigdy o hinduizmie?

— Co ma piernik do wiatraka, mądralo? — rzekł bosman wzruszając ramionami.

— Może i ... ma! Niech pan najpierw odpowie na moje pytanie!

Bosman podejrzliwie spojrział na Tomka. Nie był pewny, czy przyjaciel nie płała mu jakiegoś figla. Nie dojrzawszy wszakże w jego twarzy wesołości, namyślał się przez dłuższą chwilę, po czym dopiero odparł niezbyt pewnym głosem:

— Hm, to chyba jakaś tutejsza religia...

— Nieźle, nawet zupełnie nieźle, niech pan jeszcze trochę pomyśli — zachęcał Tomek.

Nagle bosman uderzył się dłonią w czoło, wołając:

— A niech mnie zdechły wieloryb połknie za taką pamięć! Przecież w Bombaju klarowaliście mi, iż Hindusi mają bzika na punkcie krów!

— Brawo bosmanie, a już myślałem, że Tomek zapędzi cię w kozi róg — pochwalił Wilmowski. — Nie pomyliłeś się jednak! Hinduizm jest religią większości Hindusów. Nakazuje on wyznawcom zachowanie ustroju kastowego<sup>243</sup>, wiarę w świętość braminów, czyli hinduskich kapłanów, a także

---

<sup>243</sup> — Kasty (od portugalskiego casta) — ściśle od siebie odgraniczone zwyczajami i prawami warstwy społeczne.

W Indiach w związku z religią hinduską (zwaną hinduizmem bądź braminizmem) składającą się z wielu sekt i wierzeń, istnieje podział ludności na grupy społeczne, czyli kasty, których jest tam około 24 000. Cztery z nich są główne: 1. kapłanów, czyli braminów; 2. wojowników (kshastriya — czyt. kszatrijów); 3. kupców, rzemieślników i rolników (waishya — czyt. waśjów); 4. robotników, czyli pospółstwa (shudra — czyt. śudrów). Przedstawiciele kast najniższych zwą się pariasami (nietykalnymi), są oni pozbawieni podstawowych praw społecznych. Każda kasta dzieli się na podkasty, a te z kolei na sekty. O przynależności do kasty rozstrzyga urodzenie. Hindusi mogą zawierać małżeństwa jedynie z członkami swojej kasty i wybierać tylko te zawody, którymi dana kasta się zajmuje. Wskutek tego kasty stwarzają nierówność społeczną, tamują rozwój postępu, a nawet przez długie wieki powstrzymywały

wiarę w świętość krowy i w wędrówkę dusz. Dlatego właśnie białe krowy oraz woły są stworzeniami czczonymi przez Hindusów.

— Dlaczego oni tak się przyczepili do tych krów? Przecież tyle jest jeszcze innych bydła na świecie — dziwił się bosman.

— Posiada to pewne naturalne uzasadnienie — odpowiedział Wilmowski. — Krowa była dla starożytnych Ariów bardzo użytecznym zwierzęciem. Dostarczała im pożywienia, skór, nawozu na opał, przy jej pomocy orali pole oraz zaprzęgali ją do wozu jako zwierzę pociągowe. Wyróżnianie się krowy wielostronną użytecznością ułatwiało braminom wpojenie wyznawcom hinduizmu kultu religijnego dla tego zwierzęcia. W myśl ich nauki wszystko, cokolwiek pochodzi od krowy, posiada symboliczne, religijne znaczenie. Na przykład tak zwanych „*pięć produktów krowy*”, a więc: masło, mleko, śmietana, kał i uryna, ma jakoby skutecznie wyjednywać łaskę dla modlącego się, jeżeli je ofiaruje bogom przed ołtarzami świątyni. Asceci nacierają swe ciała popiołem z krowiego nawozu. Krowi ogon był uważany za symbol władzy oraz amulet odpędzający złe duchy, toteż dawniej noszono go jak godło nad głową panującego. Nawet obecnie w czasie składania przysięgi, Hinduś wylewa na krowi ogon wodę zaczerpniętą ze świętego Gangesu, a ponadto niektórzy Hindusi wierzą również, iż krowi ogon włożony w dłonie konającego wyznawcy ułatwia mu przekroczenie progu życia i śmierci.

Bosman śmiał się tak ubawiony, że aż łzy płynęły mu z oczu. Tymczasem Wilmowski kończył:

— Nie tylko krowy cieszą się religijną czcią u Hindusów, chociaż są uważane za najbardziej święte zwierzęta. Poza nimi czczone są węże, szczury, papugi, małpy, słonie, tygrysy, gęsi, byki i inne, a z każdym z tych zwierząt związane są mity oraz legendy oparte na motywach religijnych. No, przestań,

---

ruch wyzwolenczo–narodowy Hindusów. 2/3 ludności Indii wyznaje hinduizm, dalej poważniejszą liczbę wyznawców ma islam (mahometanizm), a na resztę wyznań składają się: sikhizm, parsizm, buddaizm, dżaninizm, chrystianizm itp., które nie odgrywają większej roli.

Wyznawcy hinduizmu wierzą, iż zależnie od zasług dusza człowieka po jego śmierci przechodzi w ciała zwierząt, ludzi lub bogów. Dopiero gdy wreszcie osiągnie odpowiedni stopień doskonałości, zostaje uwolniona od dalszych wcieleń i łączy się z bóstwem w zaświatach.

Pierwotnie Indie zamieszkiwali Drawidzi o ciemnej skórze i spłaszczonych nosach, którzy zostali podbici przez pleni ona białych ludzi. Zwycięzcy tępilli i spychali na południe półwyspu Drawidów, a sami nazwali siebie „*Ariami*”, tj. szlachetnie urodzonymi.

bosmanie, rechotać jak żaba; pamiętaj, że Hindusi uważają za ciężki grzech nie tylko zabicie krowy, lecz nawet i jej „znieważenie”.

— Daj mi spokój z takimi zabobonami, ale mimo wszystko miałeś rację, iż podróże po świecie kształcą człowieka. Teraz zrozumiałem, dlaczego garstka angielskich cwaniaków rządzi się tutaj, jak u siebie w domu — rzekł bosman wycierając oczy chusteczką.

— Uwaga twoja jest w znacznej mierze słuszna — przyznał Wilmowski. — Należy jednak pamiętać, że kultura hinduska, porównywana do kultury Greków i Rzymian należy do najstarszych na Ziemi. Hindusi posiadają bogaty dorobek w dziedzinie piśmiennictwa o tematyce religijnej, a także w dziedzinie filozofii i poezji. Ponadto budownictwo ich wspaniałych świątyń i pałaców nie ustępuje architekturze innych starożytnych ludów. Oni również szeroko rozwinęli system sztucznego nawadniania pól oraz chów bydła.

— Za mądre to dla mnie! — zaoponował bosman. — Noga mnie mocno swędzi, więc lepiej powiedz, Andrzej, jaka kara grozi tutaj człowiekowi za kopnięcie krowiny w zadek?

— Czasem można za to stracić głowę lub też zostać skazanym na męczarnie straszniejsze niż śmierć. W każdym razie, jeśli prawowierny Hindus dopuści się zabicia krowy, to musi odbyć pielgrzymkę do jednego ze świętych miast i przez cały czas nieść tykę udekorowaną krowim ogonem na znak, że odprawia ciężką pokutę. Ostatnie dziesięć mil do celu pielgrzymki przemierza długością własnego ciała, to znaczy pada na ziemię z wyciągniętymi jak najdalej przed siebie ramionami, potem wstaje, odmawia modlitwę i znów pada, wstaje, modli się i czyni tak aż do końca wędrówki. Po przybyciu do świętego miasta musi „oczyścić się” pijąc i jedząc pięć ofiarnych „produktów krowy”, co nie należy chyba do specjalnych przyjemności.

— Ależ to obrzydliwe, ojcze! — niedowierzająco zawołał Tomek.

— Taki obowiązuje tutaj obyczaj — zapewnił Wilmowski.

— Daj spokój, Andrzej, bo zaczyna mnie w dołku uciskać i będę musiał wychylić się za burtę dyliżansu, a przecież szkoda śniadania zjedzonego w pociągu — powiedział bosman wykrzywając usta. — Wprawdzie nie jestem Hindusem, ale słusznie zrobiłeś, powstrzymując mnie od spostonowania tej krowy, pal ją sęk!

— Jak widzę, nauka w las nie poszła — rzekł rozweselony Wilmowski.  
— Wiele jeszcze poznamy niezrozumiałych obyczajów, jeżeli okoliczności zmuszą nas do pozostania dłużej w tym niezwykłym kraju. Dlatego też nie żałujmy straconego czasu, ponieważ spotkanie ze świętą krową było pouczającą przestrogą dla nas.

— Uwaga panowie! Chyba zaraz pojedziemy dalej — zauważył Tomek.

W tej właśnie chwili krowa, jakby nie chcąc dłużej nadużywać cierpliwości białych sahibów, wolno podniosła się z ziemi. Opędzając się ogonem przed rojem owadów, skryła się w przydrożnym zagajniku. Woźnica bez pośpiechu z powrotem wlaźł na dyszel pomiędzy konie. Niebawem zawołał: „*Honk, hai, hai!*” Tika ghari ruszył w drogę.

Za chwilę wóz wtoczył się na most, przerzucony przez fosę wykopaną przed murem obronnym miasteczka, minął kamienną bramę. Alwarskie domki tonęły w powodzi drzew o jasnokoralowym kwieciu; posiadały mnóstwo ażurowych altan, podcieni, wykuszów, spowitych zielenią pnączy balkonów oraz kokieteryjnie wpółosłoniętych okien. Wspaniałe pałace oraz stare świątynie nadawały miasteczku wyraz swoistego, niezapomnianego piękna. W biedniejszej dzielnicy, gdzie wszędzie królował swąd oliwy, używanej do smażenia potraw, mężczyźni pracowali w podcieniach domów. Jedni rzeźbili z kości słoniowej filigranowe ozdoby, inni wycinali z marmuru lub alabastru posążki bóstw, a wytwórcy ulubionego przez strojnisię hinduskie delikatnego muślinu suszyli świeżo ufarbowane sztuki, nosząc je w rękach, ponad głowami, rozpięte na wietrze.

Woźnica kierował dyliżans ku północnej bramie miasta, aby wyjechać na drogę do łowieckiej rezydencji maharadży. W pewnej chwili znaleźli się na placu, na którym akurat odbywał się jarmark. Tutaj, według zwyczaju panującego w Indiach, kupcy sprzedający ten sam towar grupowali się w jednym miejscu i siedzieli wszyscy obok siebie. W ten sposób gromadzili się cechami rzemieślnicy. Na bambusowych stoiskach widać było czerwone strąki pieprzu, małe cebulki, imbir oraz inne korzenie, które służą do sporządzania przypraw do ryżu, codziennej potrawy Hindusów. Na barwnych chustach rozłożonych wprost na ziemi piętrzyły się stosy melonów, granatów, arbuzów, brzoskwiń, bananów, mango, kokosów, ananasów, pomarańcz, fig, daktyli, orzeszków ziemnych i słodkich patatów. Nie opodal piekarze sprzedawali, zawijane w liście bananowe, placki jajeczne z papryką i cebulą,

ciastka oraz pączki nadziewane ostrymi korzeniami. Rzeźnicy zachwalali ćwiartki baranie i koźlece, a jednocześnie czujnym wzrokiem śledzili krążące w powietrzu nad jatkami żarłoczne sępy i jastrzębie, gotowe, w chwili nieuwagi sprzedawcy, porwać kawał mięsa. Pomędzy warzywnymi straganami wałęsała się jakaś „święta” krowa. Bez przeszkód zjadała z koszów smakowite kąski. Handlarze nie odpędzali jej, wierząc, iż poniesiona dla świętego zwierzęcia ofiara zjedna im łaskę bogów. Dalej znajdowały się stoiska sprzedawców skór koźlich, owczych, leopardzich i łasiczych. W pobliżu znów inni handlarze zachwalali skuteczność najrozmaitszych amuletów, bądź prezentowali kobietom błyskotliwe ozdoby.

Podróżnicy przejeżdżali skrajem targowiska. Bosman zerkał na stragany, skąd płynęły smakowite zapachy. Już brała go ochota, by przystanąć w celu poczynienia zakupów, gdy naraz wokół zapanowało niezwykle ożywienie. Handlarze pospiesznie usuwali stoiska. Woźnica dyliżansu zatrzymał konie, po czym wskoczył na siedzenie, by lepiej widzieć.

— Co to ma znaczyć? — zawołał bosman wstając z ławki.

Wilmowski niespokojnie spoglądał w wylot ulicy na rynek. W pobliżu widać było kopuły hinduskiej świątyni. Stamtąd właśnie nadchodził potężniejący z każdą chwilą krzyk ludzi. Wilmowski wiedział, że w Indiach na tle różnic religijnych często wybuchają krwawe zatargi pomiędzy wyznawcami hinduizmu i mahometanami, albowiem obydwie fanatyczne ugrupowania wzajemnie się zwalczają. Na przykład hinduiści podczas procesji polecali swoim kapelom grać najgłośniej w pobliżu muzułmańskich meczetów, ponieważ prorok zakazywał muzułmanom muzyki, natomiast mahometanie mieli zwyczaj szlachtować krowy w pobliżu świątyń hinduskich, co znów było zbrodnią w myśl wierzeń Hindusów. Tym jednak razem obawy okazały się nieuzasadnione.

Na targowisko wkraczał dziwny korowód. Jeden za drugim szły olbrzymie słonie. Na każdym z nich siedział mahut<sup>244</sup>, kierujący zwierzęciem uderzeniami bambusowej laseczki. Mahuci w języku hindi<sup>245</sup> ganili ludzi za

<sup>244</sup> — Mahut — (mahaut) ujeżdżacz słoni.

<sup>245</sup> — W Indiach znanych jest 147 języków i wiele ich narzeczy. Największa liczba ludzi posługuje się językami aryjskimi. Najogólniej języki używane w Indiach można podzielić na:

1. indoeuropejskie, które z kolei dzielą się na trzy podgrupy: a — zachodnią (główne języki gudzarate i marathi); b — centralną (główne języki hindi i bihari, przy czym najważniejszym dialektem języka hindi jest hindustani, z którego rozwinęły się języki literackie — urdu i hindi właściwy); c — wschodnią —



powolność, a słonie poruszały uszami niczym wachlarzami i bez obawy zagłębiały się w tłum ustępujący przed nimi. Tratowały stragany, lecz mimo to nie było słycać jakichkolwiek protestów. Jak spod ziemi wyrastali chłopcy z wielkimi, okrągłymi koszami. Gdy tylko jakiś słoń przystanął w celu załatwienia naturalnej potrzeby, chłopcy natychmiast podstawiali mu swój kosz.

Bosman widząc to klepnął się w udo i zawołał:

— A niech mnie wieloryb połknie! Nigdy bym nie przypuszczał, że Hindusi są takimi higienistami, jeżeli chodzi o słonie. Patrzcie tylko, nic im nie przeszkadza, że muchy niczym latające rodzyнки obsiadają ciastka na straganach, ale za każdym słoniem biegnie chłopaczysko z przenośną ubikacją.

Tomek i Wilmowski wybuchnęli śmiechem, słysząc tę zabawną uwagę.

— Mój bosmanie, ci chłopcy są zbieraczami nawozu, który w Indiach jest bardzo ceniony — wyjaśnił Wilmowski. — Dlatego przejście słoni przez miasto jest dla mieszkańców nie lada gratką. Widzisz, słoń za jednym zamachem napełnia kosz po brzegi.

Piętnaście olbrzymich słoni majestatycznie kroczyło przez targowisko. Gdy znajdowały się w pobliżu dylizansu, Wilmowski zwrócił się do woźnicy:

— Do kogo należą te słonie, którym wolno bezkarnie tratować ludzki dobytek?

— To słonie naszego maharadży, sahibie. Tutaj wszystko należy do niego — odparł woźnica. — One idą na wielkie polowanie na tygrysy do łowieckiej rezydencji.

— Wobec tego korzystajmy z okazji i podążajmy za nimi, dopóki mamy wolną drogę — polecił Wilmowski. — Przecież i my jedziemy na spotkanie z waszym maharadżą.

— Honk, hai, hai! — krzyknął woźnica.

---

główny język bengali; 2. języki drawidyjskie (główny język telugu); 3. języki australoazjatyckie (główny język munda).

Od 1950 r. hindi jest urzędowym językiem Indii, jednak w 1967 r. w grudniu Izba Ludowa parlamentu uchwaliła ustawę, iż angielski pozostaje na czas nieokreślony pomocniczym językiem urzędowym.



## DOMEK W DŻUNGLI

Dyliżans jechał szosą w niewielkiej odległości za orszakiem słoni. Na horyzoncie coraz wyraźniej rysowała się czarna linia dżungli. O kilka kilometrów za miastem słonie zboczyły na wysadzoną wysokimi drzewami drogę, wiodącą już wprost do rezydencji łowieckiej maharadży Alwaru.

Duża, drewniana, misternie rzeźbiona brama zamykała wstęp na teren pałacowych zabudowań. Przed nią stała przyboczna straż maharadży. Niscy, żyłaści żołnierze odziani byli w obcisłe, białe surduty zapięte z przodu na duże guziki oraz takiego samego koloru spodnie wpuszczone w owijacze, spowijające łydki ponad bosymi stopami. Głowy okrywali cytrynowego koloru turbanami, a w taliach opasywały ich szarfy o podobnym odcieniu; do nich przytwierdzone były ładownice z nabojami.

Straż przepuściła przez bramę kolumnę słoni, lecz gdy nadjechał dyliżans, dwóch żołnierzy zastąpiło drogę, krzyżując karabiny z nasadzonymi na końce luf długimi szerokimi bagnetami.

— Dokąd jedziesz, głupcze?! Czy nie wiesz, że na tereny łowieckie His Highness<sup>246</sup> wstęp jest wzbroniony? — zawołał po angielsku do woźnicy jeden z żołnierzy, udając, że nie widzi siedzących w dyliżansie podróżnych.

— Wiozę białych sahibów do His Highness maharadży Alwaru — pokornie odparł woźnica schodząc z dyszla. Potem zwrócił się do naszych podróżników i oznajmił: — Jesteśmy już u wrót pałacu maharadży. Dalej jechać nie mogę, ponieważ żołnierze His Highness nie przepuszczają nikogo.

— Zawołaj do mnie dowódcę straży — krótko polecił Wilmowski, nie ruszając się z miejsca.

Woźnica skrzyżował ręce na piersiach, skłonił się z szacunkiem, po czym podszedł do zastępujących drogę żołnierzy. Pomyślał, że biali sahibowie są zapewne możliwymi Anglikami, skoro nie chcą rozmawiać ze zwykłymi żołnierzami.

Bosman Nowicki, pomny uprzednich uwag Wilmowskiego na temat „dostojnego” zachowania się, przybrał srogą minę, jakby był co najmniej kapitanem bojowego okrętu, i rozparł się wygodnie na ławce. Tomek zaś

---

<sup>246</sup>

— His Highness — (po angielsku) Jego wysokość (czytaj: Hys Hajnes).

niecierpliwie oczekiwał na wydarzenia, zerkając wesoło na puszącego się przyjaciela.

Słowa Wilmowskiego musiały wywrzeć odpowiednie wrażenie nie tylko na biednym woźnicy, lecz i na żołnierzach, albowiem niemal zaraz zjawił się dowódca warty z laseczką trzcinową w ręce. Zasalutował uprzejmie i powiedział:

— Jestem dowódcą osobistej straży His Highness maharadży Alwaru. Czego sobie szlachetni sahibowie życzą?

— Proszę zanieść maharadży mój list. Tutaj będziemy czekali na odpowiedź — odparł Wilmowski.

Wydobył z podręcznej torby przybory do pisania, by skreślić kilka słów:

*His Highness!*

*Przybyliśmy z Europy do Indii na wezwanie naszego przyjaciela, pana Jana Smugi, który polecił nam zgłosić się do Maharadży Alwaru. Czekamy na wyjaśnienia przed bramą pałacu.*

*Łączymy wyrazy poważania — Andrzej Wilmowski*

List włożył do koperty i podał żołnierzowi, który natychmiast zniknął za bramą. Minęło sporo czasu, zanim dowódca warty powrócił w towarzystwie starszego wiekiem Hindusa.

Bosman, na widok bogatego stroju krajowca szepnął do swych towarzyszy:

— Do licha, czyżby sam maharadża wyszedł na nasze spotkanie?

— Cicho siedź, bosmanie, zaraz się dowiemy, kim on jest — odpowiedział szeptem Wilmowski.

Tymczasem Hindus podszedł do dyliżansu, pochylił głowę i składając, jak do modlitwy ręce na piersiach, odezwał się niskim głosem:

— W imieniu jego wysokości maharadży Alwaru witam przyjaciół wielkiego szikara<sup>247</sup>, sahiba Smugi. Maharadża zajęty jest wydawaniem dyspozycji w związku z polowaniem na tygrysy, które odbędzie się pojutrze o świcie, polecił mi jednak oznajmić szlachetnym sahibom, iż jutro przed południem przyjmie ich na specjalnej audiencji, by osobiście poznać, znanych mu już dobrze z opowiadań sahiba Smugi, znamienitych polskich łowców dzikich zwierząt...

---

<sup>247</sup> — Szikar (fonetycznie) — po indyjsku myśliwy.

Bosman, słysząc tę nadzwyczaj uprzejmą przemowę, pokraśniał. Tomek nie mniej zadowolony od niego przyjaźnie spoglądał na Hindusa, lecz Wilmowski, który ani na chwilę nie zapomniał o niepokojącym wezwaniu Smugi, niecierpliwie czekał na zakończenie przydługiego powitania.

Tymczasem Hindus mówił dalej:

— Jego wysokość maharadża nie chce krępować miłych gości ceremoniałem pałacowym, przeto oddaje do dyspozycji sahibów swój pawilon myśliwski w parku. Jako wielki radźput<sup>248</sup> maharadży, proszę o rozgoszczenie się jak u siebie w domu.

— Proszę w naszym imieniu podziękować jego wysokości maharadży za tak miłe przyjęcie — odezwał się Wilmowski. — Ponieważ jednak odbyliśmy daleką podróż w celu zobaczenia się z panem Smugą, pragnąłbym dowiedzieć się, czy nasz przyjaciel przebywa w gościnie u maharadży.

— Szikar Smuga opuścił nas miesiąc temu. Nie wiem, gdzie obecnie jest. O tym sahibowie zapewne dowiedzą się od His Highness maharadży — wyjaśnił Hindus.

Wielki radźput klasnął w dłonie. Na ten znak żołnierze szeroko otworzyli bramę. Kilku bosonogich służących pobiegło do dyliżansu po bagaże. Radźput niedbałym ruchem rzucił woźnicy pod nogi dziesięć rupii, po czym zwrócił się do podróżników:

— Jeśli sahibowie sobie życzą, zaprowadzę ich teraz do pawilonu myśliwskiego.

— Proszę, jesteśmy gotowi — oświadczył Wilmowski, wręczył przy tym umówioną zapłatę pochylonemu w głębokim ukłonie woźnicy.

Radźput nie był zbyt rozmowny, toteż trzech podróżnicy kroczyli za nim zaintrygowani nieobecnością Smugi w Almarze.

— Co to ma znaczyć, Andrzeju? — mówił bosman. — W Bombaju zamiast Smugi przywitał nas morderca. Teraz znów, jak wynika z gadaniny tej hinduskiej mumii, Smuga wyjechał z Alwaru już miesiąc temu, chociaż w pobliskim Delhi miał starać się o zezwolenie na wyprawę. Bądź tu mądry z tego wszystkiego! Wzywa nas na pomoc, a tymczasem sam gdzieś znika.

— Czy pan się obawia, że nie mówią nam tutaj prawdy? — niepokoił się Tomek.

---

248

— Wielki radźput — najbliższy doradca maharadży.

— Musimy cierpliwie czekać do jutra. Spodziewam się, że maharadża udzieli wystarczających wyjaśnień — tłumaczył Wilmowski. — Smuga w liście pisał: „*pytajcie o mnie maharadżę Alwaru*”. „*Pytajcie o mnie*” nie oznacza przecież „*czekam na was w Alwarze*”. Nie widzę powodów do jakichś podejrzeń. Może ma trudności w uzyskaniu zezwolenia, o które zabiega. Smuga jest doświadczonym człowiekiem. Gdyby nie ohydne zabójstwo pocziwego Abbasa, w ogóle nie niepokoiłbym się o niego.

— Masz rację, Andrzeju, uspokoiłeś mnie nieco — potaknął bosman. — Mamy niezbity dowód, iż Smuga tutaj gościł, ponieważ znają tu nas z jego opowiadania. Dobrze, że mile wspomina przyjaciół.

Tak pocieszając się wzajemnie minęli rozległy park i przybyli przed obszerny, parterowy domek zbudowany z grubych pali drewnianych. Był to właśnie wspomniany przez radźputa pawilon myśliwski. Masywna budowla posiadała małe, wysoko umieszczone nad ziemią okna, przysłonięte grubą siatką oraz tylko jedne, mocne drzwi, prowadzące z otwartej werandy w głąb domu.

Biali podróżnicy zatrzymali się zdumieni przed myśliwskim pawilonem. Bosman mrużąc oczy, mruknął:

— A niech to tajfun porwie, przecież ta chałupa zupełnie wygląda jak więzienie!

— To samo chciałem powiedzieć. Musimy mieć na wszystko szeroko otwarte oczy — szepnął Tomek.

Jakby w odpowiedzi na te ciche uwagi czynione w polskim języku wielki radźput wyjaśnił:

— Sahibowie będą bezpieczni w tym domku nawet w nocy, jeżeli tylko od wewnątrz zamkną drzwi na zasuwę. Na płaskim dachu znajduje się duży otwór wentylacyjny, który można pozostawić otwarty. Tygrysy często przychodzą tutaj po zapadnięciu zmroku, lecz żaden z nich nie dostanie się na dach.

Tomek i bosman znacząco spojrzeli na siebie. A więc pawilon myśliwski specjalnie zbudowany był w ten sposób, by zabezpieczyć mieszkańców przed drapieżnymi zwierzętami. Tłumaczenie było bardzo logiczne. W tym właśnie miejscu olbrzymi park stykał się z rozległą dżunglą, obramowaną na linii horyzontu zalesionymi górami. Drapieżne zwierzęta bez jakichkolwiek przeszkód mogły zapuszczać się w pobliże myśliwskiego pawilonu.

Dom składał się z dwóch wygodnie urządzonych pokoi, oddzielonych od siebie jedynie jedwabną zasłoną oraz łazienki z dużą miedzianą wanną. W małej, oddzielnej przybudówce mieściła się kuchnia. Kilku hinduskich służących podgrzewało na piecu wodę do kąpieli oraz przygotowywało posiłek.

Radżput oznajmił, iż nazajutrz około południa przyjdzie po sahibów, aby zaprowadzić ich na audiencję do maharadży, a potem, życząc dobrego wypoczynku, oddalił się.

Podróżnicy szybko wykąpali się i przebrali, po czym zaraz przeszli do jadalni. Rozchodziły się w niej przyjemne dla utrudzonych długą drogą zapachy potraw.

W samym środku jadalni stał, nakryty śnieżnej białości obrusem, okrągły stół, wysoki zaledwie na tyle, iż nie można było powiedzieć, że jedzenie ustawiono na podłodze. Nasi podróżnicy, świadomi już niektórych zwyczajów mieszkańców Indii, przysunęli sobie niskie stołeczki bez oparcia i usiedli na nich z podwiniętymi nogami.

Bosman zanim przystąpił do zaspokojenia głodu, okiem znawcy przyjrzał się potrawom umieszczonym na stole. W dużej srebrnej wazie dymiło hinduskie narodowe „*curry*”, sporządzone z ryżu, ryb, jarzyn i baraniego mięsa, a zawdzięczające nazwę ostrej mieszance korzennej. Obok, na błyszczącej tacy piętrzyła się góra gotowanego ryżu, otoczona wieńcem specjalnych czarek, z różnymi do niego przyprawami. Na innych półmiskach podano gotowane i smażone ryby, baraninę, sarninę i sery. Nie brak było również pomidorów, cebuli, zielonej papryki i zielonych strączków pieprzu do „*przegryzania*” poszczególnych potraw. Pieczywo zastępowały podpłomyki „*czapati*”. Na osobnych paterach leżały owoce, a więc: ananasy, mango, pomarańcze, daktyle, banany i figi oraz przeróżne wschodnie słodczyce. Dwa srebrne dzbany zimnego piwa, naczynia z herbatą, którą na północy półwyspu pija się z niewielkim dodatkiem mleka, oraz kilka karafek z surową wodą dopełniały całości zastawy.

— No, no, nawet niczego sobie kolacyjka! Widzę, że głodni spać nie pójdziemy — pochwalił bosman, zadowolony z dokonanej „*inspekcji*”.

— Zabierajmy się więc do jedzenia, bo jestem już porządnie głodny — powiedział Wilmowski.

Tomek i jego ojciec z umiarem kosztowali różnych potraw, natomiast bosman Nowicki nakładał sobie na talerz duże porcje po kolei z każdego półmiska, toteż wkrótce sięgnął po karafkę z wodą, gdyż ostro przyprawione potrawy obudziły jego pragnienie.

— Nie pij surowej wody, bosmanie — zaoponował Wilmowski — albowiem zawiera ona drobnoustroje, mogące spowodować przykrą dla Europejczyka biegunkę amebalną. Ostrzegalem cię już podczas jazdy pociągiem.

Bosman, choć zaraz odstawił karafkę, rzekł niedowierzająco:

— Jakże to może być, skoro Hindusi każdą potrawę popijają wodą i nic im nie jest?

— Organizmy Hindusów dostosowały się do warunków, w których żyją od wieków. Nieszkodliwe dla nich ameby w nieprzygotowanej wodzie stanowią w Indiach najpoważniejsze niebezpieczeństwo dla Europejczyków. Pij piwo lub herbatę — doradził Wilmowski.

— Ha, skoro tak mówisz, to wleję do żołądka solidną porcję piwa, bo te korzenne przyprawy parzą mi wewnątrz, jakby diabli wrzucili je do kotła z gotującą się smołą. Smutny musi być los grzesznego człowieka w piekle. Słuchaj, Tomku, przynieś z naszych bagaży butelczynę prawdziwej jamajki. Ona najlepiej gasi pragnienie i skutecznie przeciwdziała wszelkim zarazom.

Szybko zapadający w Indiach zmierzch zastał podróżników przy stole biesiadnym. Oliwne kaganki, zapalone przez służbę z nastaniem wieczoru, rzucały na izbę pełgające cienie, gdy Tomek na zakończenie obfitej uczyty sięgnął po owoce.

Postanowił najpierw skosztować nieznanego mu dotychczas tajemniczego owocu mango, o którym już słyszał wiele dziwnych opowieści. Mianowicie wśród szeregu istniejących odmian tego owocu, o rozmiarach wahających się od wielkości jabłka do wielkości dyni, jedna odmiana wywołuje tak zwany „szał mangowy”. Ludzie dotknięci manią spożywania mango reagują już na sam ostry, podobny do zapachu terpentyny, zapach owocu: rozszerzają im się nozdrza, oczy niemal wychodzą na wierzch, a język przywiera do podniebienia.

Tomek wziął owoc wielkości dużego jabłka. Aksamitna, twardawa, zielona łupina przylegała do żółtego jak szafran, soczystego miąższu, a ten z



kolei również przywierał do dużej pestki. Załedwie Tomek energicznie zagłębił swój scyzoryk w łupinę, lepki sok trysnął mu na twarz i ubranie.

— Lepiej wejdź do wanny z tym indyjskim specjałem. Przy okazji będziesz mógł sobie wyprać koszulę na jutrzejszą wizytę u maharadży — złośliwie doradził przyjacielowi bosman. — Mnie tam już sam zapach wierci w nosie i przyprawia o mdłości.

— Nie dziwię się, skoro zjadł pan na kolację tyle, że i wieloryb, którego pan tak stale wspomina, nie powstydziliby się podobnej uczyty — odciął się Tomek wstając od stołu.

— Nie zzymaj się, brachu! Raczej bądź wdzięczny owocowi—sikawce za przestroagę. Mógłbyś się przyzwyczaić do mango, a słyszałem, że ludzie nawet umierają w boleściach po zjedzeniu niedojrzałego owocu.

Tomek umył się, po czym za radą bosmana wyprał swoją koszulę. Wyszedł z łazienki. Ojciec rozciągnięty wygodnie na matach, spał w najlepsze, a bosman, leżąc już także, ćmił krótką fajeczkę. Tomek zaczął rozglądać się, na czym mógłby powiesić mokrą koszulę.

Marynarz uśmiechnął się na jego widok i doradził:

— Ponad płaskim dachem chałupy zwisają z drzewa gałęzie. Powieś, brachu, koszulinę na jednej z nich. Lepszej góry do suszenia bielizny nie znajdziesz tutaj. Koszula wyschnie ci tam raz dwa. Drzwi już zamknąłem. Wachty nie będziemy wystawiali, bo chyba tylko jakiś duch mógłby dostać się do nas przez zakratowane okna. Uff, duszno jak w parówce!

— Straszliwie gorąco — przyznał Tomek. — Po umyciu się nie trzeba używać ręcznika, bo woda momentalnie wysycha. Dobranoc, bosmanie, zaraz kładę się spać.

— Dobranoc, brachu — powiedział marynarz. Ziewnął potężnie, odłożył na bok fajkę, odwrócił się twarzą do ściany i za chwilę już spał.

Tomek uchylił kotary. Wszedł do sąsiedniego pokoju. Za pomocą bambusowej drabinki wydostał się na płaski dach myśliwskiego pawilonu.

Jasne gwiazdy przebłyskiwały poprzez gałęzie rozłożystego platanu, rosnącego tuż przy domku. Wilgotny, upalny powiew płynął z pobliskiej dżungli, przynosząc wyziewy gnijących roślin. Rozległ się przeraźliwy skrzek papugi, przestraszonej zapewne przez jakiegoś nocnego drapieżnika. Tomek przystanął. Nasłuchiwał przez chwilę. Zdawało mu się, że słyszy szeleszczące

kroki, jakieś głucho, mrożące krew w żyłach, dzikie pomruki, to znów dobiegały go jakby ciężkie westchnienia.

Tajemnicze odgłosy z głębi dżungli przypominały mu wyprawę na pogranicze Bugandy i Konga w Afryce, dokąd udali się swego czasu na poszukiwanie legendarnego zwierzęcia zwanego „*okapi*”<sup>249</sup>. Uśmiechnął się smutno, ponieważ podczas tamtych pamiętnych łowów stoczył samodzielnie swoją pierwszą prawdziwą walkę ze zbrodniczymi ludźmi–lampartami. Nie wspominał tego przyjemnie, aczkolwiek towarzysze łowów właśnie po tym przykrym wydarzeniu zaczęli traktować go jak dorosłego mężczyznę. Od owego polowania w Afryce minęło już sporo czasu. Tomek potem nieraz walczył z ludźmi. Nieraz chwycił za broń w obronie własnej czy przyjaciół, lecz nawet konieczny przelew krwi zawsze wywoływał w nim smutek i żal. Zamyślony powiesił koszulę na pierwszej lepszej gałęzi, po czym zszedł do wnętrza domu. Ułożył się na macie obok towarzyszy, równocześnie starym zwyczajem wsunął pod poduszkę rewolwer. Zamknął oczy. Zaczął rozmyślać o Smudze. Szczerze niepokoił się o niego. Gdzie też on teraz przebywa? Podczas gdy ojciec i bosman pracowali przy urządzeniu ogrodu zoologicznego pod Hamburgiem, Smuga wyjechał z Europy na jedną ze swych samotnych wypraw i na szereg miesięcy wszelki słuch o nim zaginął. Dopiero przed kilkoma tygodniami z lakonicznej depeszy dowiedzieli się, że czeka na nich w Indiach. Dlaczego wzywał ich na pomoc? Czyżby groziło mu jakieś poważne niebezpieczeństwo?

Przyjaciele Smugi niewiele o nim wiedzieli. Nie lubił rozmawiać o swej bogatej w przeżycia przeszłości. Kim Smuga był właściwie? Cały świat znał równie dobrze jak własną kieszeń. Dokądkolwiek udawali się na wyprawę, Smuga już tam był kiedyś przed nimi. Nieobce mu były najdziwsze zakątki Ziemi, przeniknął tajemnice różnych ludów, lecz zdradzał się z tym jedynie, gdy zaszła potrzeba i mówił tylko tyle, ile wymagała dana sytuacja. Tomek nieraz zastanawiał się, co kryło za sobą określenie „*niespokojny duch*”, którego ojciec często używał mówiąc o nieobecnym Smudze. Najbliższy dzień powinien wyjaśnić, co się z nim działo. Co jednak uczynią, jeśli maharadża Alwaru nie zechce powiedzieć prawdy?

---

<sup>249</sup> — Okapi (Okapia johnstoni) — ssak z rodziny żyraf, o którego istnieniu w afrykańskich dżunglach usłyszano w Europie dopiero w 1901 roku.

Tak rozmyślając Tomek przewracał się z boku na bok. Długo nie mógł zasnąć. Chwilami myśli o Smudze przesłaniało jak mgła wspomnienie o Sally. Złośliwa uwaga bosmana na temat nadskakującego jej kuzyna ukłuła Tomka niczym cierń.

„*Hm, może bosman ma rację, że powinienem trzepnąć tego kuzyna w ucho*” — rozmyślał i chyba uczyniłby to, gdyby w tej chwili przypadkiem ten ugrzeczniony Anglik znalazł się obok niego.

Na szczęście dzieliły ich tysiące kilometrów. Toteż skończyło się tylko na tym, że Tomek postanowił rozprawić się z kuzynem Sally zaraz po powrocie z wyprawy. Tak uspokojony zasnął.

Naraz przebudził się. Nie mógł sobie zdać sprawy, ile czasu trwał jego sen. W całym pomieszczeniu panował nocny mrok, tylko w sąsiedniej izbie słabo migotał oliwny kaganek. Tomek nasłuchiwał leżąc z otwartymi oczami. Bosman cicho postękiwał przez sen. Po chwili czujnego nasłuchiwania Tomek nabrał pewności, że ktoś chodzi po dachu. W nocnej ciszy wyraźnie było słyszeć stąpanie bosych stóp.

Tomek ostrożnie uniósł się na łokciu. Bosman i ojciec spali na swych matach. Któż więc mógł znajdować się na dachu, skoro jedyne drzwi zostały na noc zaryglowane od wewnątrz? Przypomniawszy sobie rosnący koło domu rozłożysty platan, którego konary rozpościerały się nad dachem. Ostrożne stąpania przywodziły mu na myśl mordercę z Bombaju — człowieka z blizną na twarzy. Tomek wyciągnął rewolwer spod poduszki. Podniósł się z maty. Na palcach zbliżył się do zasłony przedzielającej pokoje.

Kaganek oświetlał zaledwie jeden róg jadalni czerwonym, migocącym światłem. Tomek uważnie spenetrował pokój. Nie, nikt nie wkradł się do wnętrza domu. Za to na dachu coraz wyraźniej rozlegały się stąpania bosych stóp. Tomek ostrożnie podszedł do bambusowej drabinki. Szczebel po szczebłu piał się w górę, trzymając rewolwer w prawej dłoni. Czerniejący w dachu otwór stawał się coraz bliższy. W końcu Tomek zatrzymał się na przedostatnim szczebłu. Nieznacznie wychylił głowę przez otwór i zerknął. Zaraz spostrzegł jakąś ciemną postać przycupniętą nad czymś białym leżącym na dachu. Nagle w konarach platanu zaszeleściły gałęzie.

Druga dziwna postać opadła prosto na kark pochylonego współnika. Rozległ się gniewny pisk.

Rozgorzała gwałtowna bójka.

Gdy zaalarmowani hałasem Wilmowski i bosman wybiegli na dach, zastali Tomka wrywającego swą koszulę szalejącym z gniewu dużym małpom. Marynarz natychmiast rzucił się na pomoc druhowi. Potężnym kopnięciem zakończył cały bój. Jedna z małp zakreśliwszy wielki łuk w powietrzu zniknęła w ciemności nocy, a druga urwawszy kawał koszuli wykonała wspaniały skok na zwisające konary drzewa.

— Cóż tak stoisz niemy, niczym żona Lota? — zapytał bosman z niepokojem przyglądając się Tomkowi, czy przypadkiem nie poniósł jakiegoś szwanku w starciu z małpami.

— Posłuchałem pana rady i powiesiłem wypraną koszulę na gałęzi drzewa. Oto, co mi z niej pozostało — odparł Tomek, pokazując tylko strzęp jednego rękawa.

— Faktycznie niewiele — przyznał marynarz. — Ale pociesz się, brachu, ponieważ jednego z małpiaków nieźle poczęstowałem nogą niżej krzyża. Popamięta mnie on, popamięta...

— Masz szczęście, bosmanie, że jesteśmy tutaj sami — wtrącił Wilmowski. — Gdyby któryś z Hindusów zobaczył twój wyczyn, mielibyśmy sporo kłopotu.

— Czyżby to były znów jakieś bożki?!

— Jeśli dobrze je rozpoznałem, mieliśmy do czynienia z dwoma hulmanami<sup>250</sup> uważanymi przez wyznawców hinduizmu za święte małpy.

W tej chwili gruby kawał gałęzi upadł tuż pod nogi rozmawiających mężczyzn.

— Wracajmy do chałupy, bo jeszcze oberwiemy po łepetynach od rozgniewanych świętoszków — mruknął bosman zsuwając się na drabinkę w otworze dachu.

Po zejściu do mieszkania zamknęli otwór w dachu bambusową kratą, aby zabezpieczyć się przed ewentualną wizytą nieproszonych gości. Zabawne wydarzenie wybiło podróżników ze snu, toteż przez jakiś czas gawędzili na temat wierzeń, zakorzenionych wśród wyznawców hinduizmu.

---

<sup>250</sup> — Hulmany (*Presbytis entellus*) — święte małpy Hindusów. Wyróżniają się smukłą budową, cienkimi kończynami, bardzo długimi ogonami, małą, wysoką głową, skróconym pyskiem i małymi kieszeniami policzkowymi. Długość ciała hulmana wynosi około 1,50 m. z czego 1 m przypada na ogon. Pokrywa je żółtawoszare futerko.

— W Indiach wiele świątyń poświęconych jest małpom, które często zamieszkują w świętych gajach figowych, rosnących wokół chramów — wyjaśnił Wilmowski. — Szczególnie właśnie hulmany otaczane są specjalną opieką przez kapłanów. Dlatego też przyzwyczajone są do widoku ludzi i nie wykazywały obawy przed Tomkiem. W myśl mitologii hinduskiej bóg-małpy Hanuman dopomógł Ramie, jednemu z wcieleń boga Wisznu, w zwyciężeniu straszliwego olbrzyma, który porwał jego żonę Sitę. Jak więc widzicie, małpy mają swego zasłużonego przedstawiciela w panteonie hinduskich bogów.

— Coś mi tutaj za dużo świętych ludzi i zwierząt — mruknął bosman. — Ilu ostatecznie mają tych bożków?

— Według świętych ksiąg hinduskich zwanych Wedami, uchodzących za najstarsze biblie na świecie<sup>251</sup>, jako pierwotna przyczyna wszystkiego istniał bóg Bram lub Braman. Dzięki niemu powstał bogowie: Brama, Wisznu i Sziwa. Dwaj ostatni są bogami dwóch głównych indyjskich kultów Wisznu i Sziwy. Żona Sziwy jest jedną z ważniejszych bogiń i nosi wiele imion. Zwą ją: Uma, Haimavati — Córka Himalajów, Durga, Kali, czyli Czarna, oraz Bhairavi — Straszna. Wszyscy bogowie mają awatarów, to jest wcielenia, przez które przechodzą w różnych okresach. I tak na przykład Wisznu był: rybą, żółwiem, niedźwiedziem, półwem, półczłowiekiem, pięknym Ramą, Kriszną i Buddą, a w ostatniej swej reinkarnacji ma zjawić się dopiero przy końcu obecnej ery<sup>252</sup>. Oprócz tych trzech bogów w różnych środowiskach cieszą się czią również inni bogowie i boginie, związane stopniem pokrewieństwa z głównymi bogami. Nie brak wśród nich potworków, jak Hanuman — bóg małp oraz Ghanesz, bóstwo z głową słonia. Poza tą całą plejadą bogów istniały jeszcze rozmaite bóstwa natury, demony, rusałki i dżiny.

— A to ci dopiero liczne koligacje — zdumiał się bosman. — Czy każdy z tych bożków miał swego zwierzaka? Jeśli tak, to nawet muchy muszą być tu święte.

— Jesteś bliski prawdy, bosmanie — potwierdził Wilmowski. — Z wielu zwierzętami i ptakami wiążą się najrozmaitsze mity oraz legendy. Na

---

<sup>251</sup> — Wtedy istniały już co najmniej na tysiąc lat p.n.e.

<sup>252</sup> — Do czasu wtrącenia przez Anglików do więzienia. Gandhi był uważany przez Hindusów za ostatnie wcielenie Wisznu. Po I wojnie światowej stanął na czele ruchu protestującego przeciwko panowaniu Brytyjczyków w Indiach. Zginął z rąk zamachowca w 1948 r. Gandhi Mohandas Karamczand patriota i filozof hinduski urodził się w mieście Pordbandar 2. X. 1869 r.

przykład byk jest jednym z wcieleń Sziwy, gęś natomiast ptakiem Brahmy, niebezpieczna kobra jest otaczana czcią, ponieważ jakoby miała kiedyś swym rozpostartym kapturem osłonić od słońca boga Wisznu; tygrys jest znów ulubieńcem Kali, a papuga ptakiem bogini miłości — Kamy. Na słoniu jeździ bóg Indra, podczas gdy Ghanesz dosiada szczura, a małżonka Brahmy, Sarasati, ma pawia za wierzchowca. Jeśli dodam, że wszyscy bramini uważani są za półbogów, to łatwo zrozumiesz, ilu bożków i świętych zwierząt posiadają Hindusi.

— Ho, to, będzie tego bractwa chyba parę milionów — zauważył bosman. — Czort tam z nimi, po co jednak dorabiają tym bożkom łby zwierzęce? Śmiech mnie zbiera, gdy na to patrzę!

— Moim zdaniem niesłusznie wyśmiewasz się z religii stworzonej przez braminów, albowiem potrafią oni dostosowywać ją do potrzeb mieszkańców tego kraju. Hinduizm jest mieszaniną wielu wierzeń, mitów, zabobonów, kultów zwierząt i sił przyrody oraz zbiorem nakazów i zakazów dotyczących wielu zasadniczych dziedzin życia.

— Zgadzam się z tobą, ojcze, chociaż i bosman ma rację. To wszystko jest bardzo śmieszne — wtrącił Tomek. — Mnie również ciekawi, dlaczego choćby na przykład bożek Ghanesz wyobrażany jest zawsze z głową słonia?

— Mogę wam to wyjaśnić — odparł Wilmowski. — Ghanesz był synem bożka Sziwy i bogini Kali. Otóż w myśl legendy pewnego razu Sziwa rozgniewany na syna odciął mu głowę, aby jednak nie zasmucać matki, polecił słudze odrąbać głowę pierwszemu napotkanemu żywemu stworzeniu i przyłożyć ją do tułowia Ghanesza. Gorliwy sługa napotkał słonia; natychmiast wykonał rozkaz boga. Syn-potwór z głową słonia martwił bardzo boginię Kali, toteż Sziwa, chcąc wynagrodzić mu przykry wygląd, obdarzył go niezwykłymi zdolnościami i rozumem. W ten sposób Ghanesz stał się bogiem mądrości i jest nawet obecnie czczony przez uczonych oraz kupców.

— Ha, na mój chłopski rozum wszystkie te zabobony wychodzą na korzyść jedynie braminom, którzy wyglądają niczym wielkie pączki nadziewane powidłami — powiedział bosman, po czym ziewnął potężnie.

— Dość już tej nocnej dyskusji. Niedługo będzie dniało, odpocznijmy choć trochę przed świtem — zakończył rozmowę Wilmowski widząc, że senność znów zaczyna ogarniać jego towarzyszy.

## MAHARADŻA ALWARU

Przeraźliwe wycie w coraz to wyższych tonach rozległo się z nastaniem świtu niczym głos budzika. Piekielny koncert małp huloków<sup>253</sup>, zamieszkujących zwartą gęstwą lasów Indostanu poderwał ze snu naszych podróżników. Nie było mowy o dalszej choćby tylko drzemce. Tomek wybiegł przed dom, aby rozejrzeć się w nieznannej okolicy. Niebawem w zielonej gęstwinie natrafił wkrótce na szeroką ścieżkę wiodącą wprost do dżungli.

Pod wpływem porannego żaru słonecznego wokół rozśpiewały się cykady<sup>254</sup>. Tomek rozglądał się po gałęziach drzew i krzewów, by dojrzeć choć jednego z tych oryginalnych owadów, znanych dobrze nawet już ludziom starożytnym, zwłaszcza Grekom, którzy nieraz trzymali je w małych klateczkach zrobionych z łyka podobnie jak teraz trzyma się ptaki pokojowe. Tomek, uważnie wypatrując cykad, nieoczekiwanie ujrzał prześwitującą przez gąszcz zieleni gładką taflę wód jeziora. Natychmiast zapomniał o owadach; na brzegu i w płytkiej przybrzeżnej wodzie spostrzegł ogromną ilość dużych ptaków o nadzwyczaj długich, cienkich nogach i równie długiej szyi. Miały charakterystyczne dzioby, silnie zagięte w połowie długości w dół.

Pokryte białym upierzeniem z różowym nalotem były niepospolicie piękne. Oto zdawało się, iż brzegi jeziora i woda pokryte są biało-różowym śniegiem. Tomek znał płochliwość flamingów, zwanych również czerwonakami<sup>255</sup>. W milczeniu z zachwytem przyglądał się odpoczywającemu stadu. Niektóre flamingi siedziały na stożkowatych gniazdach zbudowanych z mułu wprost na płytkiej wodzie, inne stały na jednej nodze i skręciwszy szyję

---

<sup>253</sup> — Hulok (*Hylobates hoolock*) — małpa z rodziny gibbonów. Zamieszkuje Indostan aż po Junan. Wysokość jej dochodzi do 90 cm. Posiada czarne ubarwienie z wyjątkiem białej przepaski na czole.

<sup>254</sup> — Cykady, czyli piewiki właściwe (*Cicadidae*), należą do grupy pluskwiaków. Rozpowszechnione głównie w krajach cieplejszych. Żywią się sokami wysysanymi z roślin. Długość rozpostartych skrzydeł niektórych gatunków wynosi około 18 cm. Właściwością cykad jest ich zdolność wydawania dźwięków za pomocą narządu u nasady odwłoka, składającego się z bębenkowej błonki, która może się naciągać dzięki skurczom mięśni i być wprawiana w drgania powodujące dźwięki.

<sup>255</sup> — Flamingi albo czerwonaki (*Phoenicopterus ruber*) — zaliczane z powodu włóczęgowskiego trybu życia do ptaków wędrownych, zamieszkują pas podzwrotnikowy oraz część strefy umiarkowanej Starego i Nowego Świata.

do tyłu, kryły głowę pod skrzydłem, to znów brodziły po jeziorze, pograżając w nim wraz z łbem część szyi. Szukały pokarmu dziobem, zaopatrzonym po brzegach w liczne blaszki rogowe, tworzące z niego coś w rodzaju sita.

Tomek już wcześniej poznał flamingi w ogrodzie zoologicznym Hagenbecka pod Hamburgiem. Wiedział, że ich pisklęta zaraz po wykluciu się z jaj pływają znakomicie, chodzić jednak mogą dopiero po kilkunastu dniach, a do lotu zdolne są po kilku miesiącach.

Nie opodal zatrzeszczały krzewy, przerywając obserwacje Tomka. Odruchowo spojrzął w kierunku, skąd dochodziły podejrzane szelesty. Przez zarośla przedzierał się olbrzymi bawół indyjski arni<sup>256</sup> o wielkich półksiężycowato wygiętych rogach. Tomek natychmiast przywarł do pnia drzewa, ponieważ arni skory jest do napaści i nie unika nawet walki ze słoniem. Potężne, ciemnoszare, aż prawie czarne zwierzę podążało w głąb dżungli, zapewne po nocnym żerowaniu w pobliżu jeziora. Tomek nie miał przy sobie broni, nie chcąc więc się narażać na niespodzianki, wycofał się ostrożnie. O kilkadziesiąt kroków przed Tomkiem teren po lewej stronie ścieżki obniżał się znacznie i tworzył rozległe bagnisko. Serce zabiło mu żywiej w piersi; oto na sporych kępach wyrastających z bagna dojrzał dziesiątki wygrzewających się w słońcu krokodyli<sup>257</sup>. Spoczywały nieruchomo na brzuchu, z kończynami wyciągniętymi do tyłu i pyskiem szeroko otwartym. Tylko ich wyłupiaste, kaprawe ślepia czujnie śledziły człowieka idącego ścieżką.

Kilka płazów zsunęło się do wody. Szybko płynęły ku brzegowi, wzdłuż którego wiła się niezbyt szeroka w tym miejscu, urwista drożyna. Tomek przyśpieszył kroku. Wąska i nierówna ścieżka nie dawała stopom zbyt pewnego oparcia, a tymczasem potwornie użębione paszcze były coraz bliżej. W tej chwili Tomek uzmysłowił sobie, iż jeszcze w ubiegłym stuleciu fanatyczne Hinduski rzucały w wody Gangesu swe dzieci w ofierze

<sup>256</sup> — Bawół indyjski — arni (*Bubalus bubalis*) — przebywa tylko w błotnistych okolicach. Od arni pochodzą bawoły domowe.

<sup>257</sup> — W Azji spotykamy dwa gatunki krokodyli właściwych: krokodyla błotnego (*Crocodylus palustris*) i nieco większego, czarniejszego w ubarwieniu, a także najczęściej trzymanego w ogrodach zoologicznych tak zwanego „*Crocodylus porosus*”. Oprócz nich w wodach Gangesu, Brahmaputry, Indusu oraz rzek Indii wschodnich przebywa, żyjący tylko w Azji, gawiał (*Gavialis gangeticus*), krokodyl o głowie raptownie zwężającej się ku oczom, wskutek czego długi, spłaszczony i rozszerzony na końcu pysk, przypomina kształtem dziób ptaka. W wielu plemionach hinduskich gawiał uchodzi za święte zwierzę, poświęcone Wisznu.



„świętym” krokodylom na pożarcie. Teraz, w niebezpiecznym sąsiedztwie żarłocznych gadów, doskonale odczuwał, co musieli przeżywać ludzie podejrzani o morderstwo, którym dla naocznego udowodnienia niewinności kazano przechodzić bądź przepływać rzekę rojącą się od krokodyli. Jeżeli podejrzany był dobrym pływakiem i miał wiele szczęścia, to uniknąwszy paszcz potworów, odzyskiwał wolność.

W odległości kilkudziesięciu metrów ścieżka się rozwidlała. Tomek skręcił w prawo. Przez liany i krzewy zamajaczyły białe mury hinduskiej świątyni. Do jej wnętrza wiodło „*gopuram*”, to jest ostrosłupowe wejście, ozdobnie rzeźbione w kamieniu i przybrane stiukami. Obok świątyni, zagubionej w gąszczu tropikalnej zieleni, przesunął się cicho jak zjawa jeleni aksis<sup>258</sup> o pięknym, długim, lirowatym porożu, błyskając białymi, nieregularnie rozmieszczonymi plamami na rudobrunatnej sierści. Stanowił on ulubioną zwierzynę łowną tak krajowców, jak i Anglików.

„*Ależ to prawdziwy raj dla myśliwych. Prawdopodobnie nieroztropnie jest zapuszczać się tutaj bez broni*” — monologował Tomek.

Miał olbrzymią ochotę zajrzeć do tajemniczej świątyni zbudowanej z dala od pałacu, lecz wydało mu się, iż mogłoby to być niebezpieczniejsze, niż błądzenie bez broni po dzikich chaszczach. Począł wracać ku domkowi myśliwskiemu. Zanim wkroczył na wąskie przejście wzdłuż bagna, wyszukał sobie w lesie kawał mocnej grubej gałęzi; tak uzbrojony odważnie zapuścił się na urwisko.

Olbrzymie gady jakby wiedziały, iż w okolicy istnieje tylko to jedno przejście, zdawały się czatować na powracającą ofiarę. Kilka pokrytych łuskami niby pancerzem łbów widać było na wodzie tuż przy samej ścieżce.

„*Głodne muszą być bestie*” — pomyślał Tomek, mocniej ściskając w garści kij.

W pewnym miejscu ścieżka znacznie zniżala się ku bagnisku i tworzyła wyrwę o ostro ściętym brzegu. Tędy zapewne krokodyle wychodziły z bagna. Gdy Tomek zbliżył się do zdradliwego przejścia, spostrzegł tam gada, do połowy wynurzonego z bagniska. Przystanął na chwilę niezdecydowany. Tutaj właśnie ścieżka tworzyła jakby stopień u stóp trzymetrowej wysokości ostro ściętego urwiska. Wspinanie się ku gęstwinie dżungli było bardzo ryzykowne. Gdyby ziemia osunęła się spod stóp Tomka, stoczyłby się wprost

---

<sup>258</sup> — Jeleń aksis żyje w Indostanie (*Rusa axis*); ma około 1 m wysokości i plamistą sierść.

w bagno, gdzie czyhała śmierć. Obawiał się również czekać na samorzutne zejście bestii z drogi, ponieważ więcej gadów zwabionych jego widokiem mogło pojawić się na brzegu. Po krótkim namyśle Tomek ruszył w kierunku krokodyla. Ten wlepił w chłopca wzrok, bacząc na każdy jego ruch i zaczął wolno cofać się do wody. Aby nie przedłużać niebezpiecznej sytuacji, Tomek podbiegł do bestii i uderzył ją kijem w łeb. Krokodyl wykonał błyskawiczny ruch. Gruba gałąź trzasnęła jak zapalka w jego paszczy, na szczęście Tomek zdążył przeskoczyć zdradliwe miejsce i szybko biegł ku myśliwskiemu domkowi.

— Gdzieś ty się zawieruszył?! — zawołał Wilmowski, ujrawszy pędzącego syna.

— Ejże, brachu, co tak biegiesz, jakby goniło cię co najmniej jakieś święte byczysko — wtórował bosman. — Tylko patrzeć, jak nas zaproszą do maharadży, a ty szwendasz się nie wiadomo gdzie!

Tomek wskoczył na werandę. Poufale klepnął bosmana w plecy, siadł na trzcinowym fotelu i odezwał się:

— Byłem na małym rekonesansie w dżungli. Maharadża stworzył tutaj prawdziwy rezerwat dla wszelkiej zwierzyny. Nad jeziorem widziałem flamingi, w bagnisku zaś roi się od krokodyli i to bardzo zgłodniałych. Spotkałem też jelenia aksis i bawołu arni, nie mówiąc już o różnorodnym ptactwie.

— Ho, ho, jeśli tak, to nie dziwię się, że wracałeś pędem z tej wycieczki, skoro byłeś na tyle nieroztropny, by wałęsać się po dżungli bez broni — skarcił go ojciec. — Czy zapomniałeś, ile to osób napadniętych przez tygrysy ginie corocznie w Indiach?

— Wcale nie zapomniałem, ojcze, lecz to ty właśnie nauczyłeś mnie nie bać się dzikich zwierząt — odparł Tomek.

— Dobrze, dobrze, lecz nie narażaj się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo. Ubieraj się teraz szybko!

— Zaraz będę gotów — zawołał Tomek i zniknął w głębi domu.

Wielki radzput zjawił się w pawilonie myśliwskim pod koniec śniadania. Wkrótce podróżnicy razem z uprzejmym przewodnikiem wyruszyli na audiencję do maharadży. Z dala widoczna fasada pałacu, zbudowanego z czerwonego piaskowca, górowała nad drzewami parku. Tuż przed wspaniałą budowlą znajdował się rozległy dziedziniec. Tomek mimo woli krzyknął z

podziwu, gdy ujrzał na nim trzydzieści słoni ustawionych w długi szereg. Każde zwierzę nosiło na tylnej nodze metalową obręcz z uchwytem do zaczepiania łańcucha, którego drugi koniec przymocowany był do niskiego, grubego słupa wbitego w ziemię.

Słonie dopełniały swej porannej toalety. Gromada mahutów żywo krzątała się wokół „*królów dżungli*”. Jedni popędzali woły zaprzęgnięte do kołowrotów, czerpiących w skórzane wory wodę ze studni, inni podrzucali słoniom siano, siekane warzywa i owoce bądź też szorowali zwierzęta ryżowymi szczotkami osadzonymi na długich drągach. Słonie pomagały im gorliwie w oblewaniu wodą swych olbrzymich cielsk. Wciągały ją w trąby z dużych cebrów, a potem wydmuchiwały niby z prysznicu na siebie. Niektóre kładły sobie trąbami wiązki siana na głowie, by osłonić się przed palącymi promieniami słońca, bądź obsypywały się piachem<sup>259</sup>.

Radźput zadowolony z wrażenia, jakie wywarły słonie maharadży na białych podróżnikach, rzekł:

— Wszystkie słonie maharadży należą do odmiany kumira<sup>260</sup>. Szlachetni sahibowie będą mieli okazję do zaobserwowania ich niezwykłych zalet łowieckich podczas polowania na tygrysy.

— Jak wspaniale prezentuje się ten pierwszy w szeregu słoń! — zawołał Tomek przyglądając się największemu okazowi, posiadającemu tylko jeden kieł.

— To jest właśnie przewodnik stada, a zarazem i święte zwierzę. Dosiada go jedynie maharadża podczas procesji religijnych bądź na dorocznych łowach na tygrysy — wyjaśnił Hindus.

— Nietrudno domyślić się, iż to wyjątkowo piękne zwierzę przewodzi stadu — powiedział Tomek. — Chyba w walce postradało jeden ze swoich cennych kłów?

Wielki radźput zmarszczył brwi; spojrzął na podróżników przenikliwym wzrokiem i dopiero upewniwszy się, iż w twarzach ich nie maluje się nic więcej prócz podziwu, odpowiedział:

---

<sup>259</sup> — Słonie chętnie obsypują się za pomocą trąby piaskiem, aby uchronić się przed owadami i pasożytami lub też dla ochrony przed silnymi promieniami słońca.

<sup>260</sup> — Hindusi odróżniają na podstawie kształtu i zdolności zwierzęcia trzy „*odmiany*” słoni: kumiria, dwasala i mierga. Kumiria jest najdoskonalszym słoniem indyjskim.

— Nie wiesz zapewne, sahibie, że większość samic słonia indyjskiego w ogóle kłów nie posiada. Zdarza się również, że u niektórych samców rozwija się tylko jeden kieł; jeżeli to jest prawy, wtedy Hindusi uważają takiego słonia za boskie zwierzę.

— Nie wiedziałem tego. W każdym razie słoń ten naprawdę wygląda na królewskiego rumaka — przyznał Tomek.

Hindus rozchmurzył się; przyjaźniejszym wzrokiem obrzucił białego młodzieńca, po czym zbliżył się do niego i ściszonego głosem poinformował:

— Widzę szczerść i... prawość w twojej twarzy. Pamiętaj szlachetny sahibie, iż tylko zarozumialec lub człowiek małej wiedzy wyśmiewa się z obyczajów innych ludzi. W myśl hinduskiej religii słoń jest symbolem najwyższej mądrości, buddyści<sup>261</sup> natomiast czczą białego słonia, który przecież jest nie lada rzadkością, jako jedno z wcieleń Buddy. Stąd właśnie pochodzi kult tego zwierzęcia w Syjamie. Może przydadzą ci się te wiadomości w krajach opanowanych przez buddyzm.

— Dziękuję za życzliwą radę, chociaż nie mamy zamiaru udawać się w głąb Azji. Wprost z Indii niebawem wracamy do Europy, dokąd wzywają nas pilne osobiste sprawy — odpowiedział Tomek.

— Skąd możesz wiedzieć, sahibie, co ci los przeznaczył? — szepnął Hindus. — Człowiek jest jak liść niesiony przez wiatr, z tą tylko różnicą, że wiatr zastępuje dlań nieomylnie księgi przeznaczenia. Nie wiesz więc, co może się stać za chwilę, ani też, czy wkrótce nie wyruszysz w kierunku zupełnie przeciwnym zamierzonemu.

Tomek uderzony dwuznacznością jego słów chciał poprosić o jaśniejszą wypowiedź, lecz przeszkodził mu bosman, pokazując słońtątko, które odrzuciwszy na bok swą małą trąbę, usiłowało chwycić paszczą wymię matki. Na tym też intrygująca rozmowa urwała się, ponieważ radźput poprowadził ich teraz wprost do pałacu.

Wnętrze budynku tchnęło przepychem spotykanym tylko na Wschodzie. Krużganki i komnaty miały mozaikowe posadzki, marmurowe obramowania okien były ażurowo rzeźbione w przepiękne wzory, a ściany i sufity pokryte

---

<sup>261</sup> — Założycielem religii buddyjskiej był Gautama Budda, szlachcic z Nepalu. W samotności poszukiwał prawdy, którą miał jakoby osiągnąć niespodzianie w jedną noc. Wtedy udał się do Benares (czczonego odtąd również przez buddystów), gdzie jako Budda zaczął głosić swoją wiarę. Buddyzm przeobraził świat wschodni. Chociaż wygasł w Indiach, zaczął krzewić się w Afganistanie, Centralnej Azji, Syjamie (Tajlandii), na Jawie, w Chinach, Japonii oraz w Mongolii i południowej Syberii.

freskami i arabeskami. W mieszkalnych pomieszczeniach pałacu ciszę przerywał szmer wody z fontann wytryskujących z marmurowych sadzawek; nęciły baseny kąpielowe, wypełnione pachnącą wodą i otoczone palmami.

Maharadża Alwaru oczekiwał na gości w dużej sali o inkrustowanych ścianach, na których widniały wyrzeźbione kwiaty i głowy dzikich zwierząt z oczami ze szlachetnych kamieni. Z boku, w oryginalnym gaju egzotycznych palm, znajdowała się alabastrowa sadzawka, a w niej, na małej wysepce, czaiła się wykuta z czarnego marmuru pantera, z której paszczy, oczu i uszu tryskała perląca się, pachnąca woda.

Nasi podróżnicy przystanęli u wejścia, wtedy kroczący na przedzie wielki radźput zaanonsował ich:

— Przyjaciele wielkiego szikara Smugi — nieustraszeni łowcy dzikich zwierząt, szlachetni sahibowie: Andrzej Wilmowski, Tomasz Wilmowski i Tadeusz Nowicki.

Wśród zgromadzonych w sali zaległa cisza. Wszyscy zwrócili oczy na tak intrygująco zapowiedzianych gości. Tymczasem wielki radźput, jako jednocześnie mistrz dworskiego ceremoniału, poprowadził ich ku podwyższeniu pokrytemu tygrysimi skórami. Na nim to jak na tronie siedział Manibhadra<sup>262</sup> maharadża Alwaru.

Manibhadra wolno powstał na powitanie. Skrzyżował ręce na piersiach, pochylając głowę w ukłonie. Duża diamentowa brosza, przytrzymująca niewielki barwny pióropusz z przodu białego turbanu, błysnęła niebieskawymi ognikami. Tak samo mieniły się blaskiem brylantowe guzy spinające pod szyją długi surdut sięgający kolan, przepasująca talię szeroka, czerwona szarfa naszyta szlachetnymi kamieniami i perłami oraz zatknięty za nią, w pochwie zdobionej macią perłową, długi sztylet o rękojeści wysadzonej brylantami, a zakończonej wielkim krwawym rubinem. Długie, luźne i białe jak surdut spodnie dotykały miękkich, wyszywanych złotą nicią pantofli o zakrzywionych do góry nosach. Ciężki złoty łańcuch na szyi jako symbol władzy oraz brylantowe pierścienie na palcach u rąk dopełniały całości nadzwyczaj bogatego stroju maharadży.

Manibhadra wyprostował się i obrzucił swych gości palącym wzrokiem. Był to mężczyzna po czterdziestce, o śniadej twarzy okolonej krótkim

---

<sup>262</sup>

— Manibhadra — Szlachetny Kamień.

kruczoczarnym zarostem. Dźwięcznym głosem rozpoczął rozmowę czystą angielszczyzną:

— Witam panów jako miłych gości, zapowiedzianych przez mego szwagra Pandita<sup>263</sup> Davasarmana<sup>264</sup>. Cieszę się, iż przybyliście akurat w przeddzień wielkiego polowania na tygrysy. Chociaż jesteście znamienitymi łowcami dzikich zwierząt, myślę, że i nasze skromne polowanie będzie dla was przyjemną rozrywką w długiej, nużącej podróży. Teraz pragnąłbym przedstawić panów mojej małżonce, maharani Alwaru, która ma wiele życzliwości dla waszego przyjaciela — szikara Smugi.

Maharadża lekko pochylił głowę w kierunku sąsiedniego podwyższenia. Trzej biali łowcy przez dłuższą chwilę w milczeniu podziwiali niezwykłą urodę młodej i wiotkiej jak trzcina maharani. Księżna spoglądała na nich jakby lekko sennymi, wykrojonymi w kształt dużych migdałów oczyma o odcieniu bladoniebieskiego nieba. Uśmiechała się karminowymi, delikatnymi jak płatki róży ustami. Króciutka, błękitna bluzeczka, pokryta artystycznie wyszytymi złotą nicią orchideami, zapięta tylko u góry na trzy brylantowe guziki, nie osłaniała widocznego ponad sari pasa nagiego ciała, podobnego do jasnobrunatnego aksamitu.

Sari księżnej było widowym dowodem olbrzymiego bogactwa maharadży oraz niezwykłego artyzmu znanych na całym świecie dżajpurskich tkaczy. Błękitny muślin, przetykany złotą nicią w przepiękne wzory, mienił się brylantami niczym wieczorne niebo usiane płonącymi gwiazdami. Zwiewne sari, udrapowane na biodrach w sute fałdy, luźno spływało aż do kostek nóg. Jeden koniec kosztownej szaty tworzył z tyłu długi tren, podczas gdy drugi, przewieszony przez plecy do przodu, okrywał lewe ramię. W myśl obyczaju „*purdach*”, obowiązującego wszystkie Hinduski należące do wyższych klas społecznych, który zabrania ukazywania swej twarzy obcym mężczyznom, księżna prawą dłońią przytrzymała zwisający na lewym ramieniu róg sari i przejrzystym rąbkiem muślinu kokieteryjnie niby to osłaniała się przed gośćmi. Na każdym placu obydwóch rąk nosiła drogocenne pierścienie, ponadto w jej uszach tkwiły duże półksiężycowate zausznicze wysadzone

---

<sup>263</sup> — Pandit — tytuł nadawany indyjskim uczonym. Często nazwą „*hinduskich pandytów*” określa się Hindusów specjalnie wyszkolonych i przygotowanych przez Anglików do penetracyjnych wypraw geograficznych do krajów Azji, jak Tybet, Pamir itd., dokąd wstęp cudzoziemcom był wzbroniony.

<sup>264</sup> — Davasarman — Mający Łaskę u Bogów.

brylantami. Tak jak jej książęcy małżonek miała zawieszony na szyi ciężki łańcuch. Wpięta z boku głowy w gładko zaczesane do tyłu czarne włosy żywa biała orchidea upodabniała zwiewną księżną do przepięknego egzotycznego kwiatu.

Maharani opierała swe małe stopy, wsunięte w złociste sandały, na leżącym przed nią dużym gepardzie<sup>265</sup> o żółtawym futrze gęsto nakrapianym ciemnymi cętkami.

Za księżną stały młode służebne. Za pomocą złotych sznurów wprawiały w ruch duże „*punkhas*”, to jest wachlarze z kolorowych piór, zwisające z sufitu.

Wilmowski, a za nim bosman i Tomek postąpili nieco ku pięknej księżnej, po czym pochylili się w głębokim ukłonie.

— Mój brat, Pandit Davasarman, prosił mnie o zaopiekowanie się panami podczas jego nieobecności, jesteście więc obecnie moimi miłymi gośćmi — odezwała się maharani cichym, melodyjnym głosem. — Wiele już słyszałam o panów niezwykłych przygodach. To pan zapewne jest tym młodym dzielnym łowcą, który wszędzie zdobywa przyjaźń ludzi i przywiązuje do siebie nawet dzikie zwierzęta?

Mówiąc to maharani wpiła wzrok w twarz Tomka. Młodzieniec zmieszał się pod badawczym spojrzeniem księżnej. Nie był pewny, czy wypada wdawać się w rozmowę z maharani, albowiem w Indiach przeważnie nie spotykało się kobiet w towarzystwie mężczyzn. Maharani ośmielając się uśmiechnęła się do niego i płynną angielszczyzną dodała:

— Szikar Smuga opowiadał mi, jak to pan mężnie walczył w Meksyku z Indianami, aby ocalić swą Australijkę. Czy ona naprawdę jest tak bardzo ładna, jak słyszałam?

Śmiały zazwyczaj Tomek zarumienił się, gdy księżna nazwała Sally „*jego Australijką*”. Bosman bawił się doskonale słuchając słów maharani, ponieważ i on często lubił przymawiać Tomkowi na temat Sally. Teraz korzystając z chwilowej konsternacji przyjaciela, ochoczo wtrącił się do rozmowy:

---

<sup>265</sup> — Gepard (*Acinonyx guttatus*) należy do rzędu zwierząt drapieżnych. Ojczyzną jego są Afryka i Azja (Azję prawdopodobnie zamieszkuje gatunek odrębny — *Acinonyx jubatus*). Jest to typowe zwierzę stepowe, łączące w sobie cechy psa i kota. Posiada wysmukłe ciało dosięgające 1,37 m długości, nie licząc 76 cm ogona.

— Święta to prawda, wielce szanowna pani! Sally jest jakby żywcem wycięta z jakiegoś pięknego obrazka. Nic więc dziwnego, iż nasz Tomek poszedłby za nią nawet w ogień.

Maharani wolno odwróciła głowę w kierunku marynarza. Przez chwilę przyglądała się barczystemu, wysokiemu bosmanowi, który przy na ogół niskich Hindusach wyglądał jak prawdziwy olbrzym.

— Opowiadano mi, że buntowniczy wódz Indian chciał ożenić pana w Ameryce ze swoją córką. Czy i ona była tak urodziwa jak ta Australijka? — zagadnęła maharani.

Teraz z kolei bosman zmieszał się na wspomnienie Indianki. Swego czasu, podczas dramatycznych wydarzeń, przyrzekł ożenić się z młodą dziewczyną, lecz szczęśliwszy był mogąc w tym szczególnym przypadku nie dotrzymać słowa. Ożenek zawsze uważał za największe zło, jakie może spotkać marynarza kochającego włączę się po świecie. Toteż obecnie nie stracił przytomności umysłu i zaraz odparł:

— Wódz Apaczów Czarna Błyskawica nie był buntownikiem, szanowna pani. On tylko nie chciał nosić na karku jarzma niewoli. Tacy szlachetni ludzie jak on woleli zginąć niż żyć w upokorzeniu.

Wilmowski, zaniepokojony śmiałym odezwaniem się przyjaciela, chrząknął ostrzegawczo i zaczął dyplomatycznie:

— Dziękujemy jego wysokości maharadży i księżnej za uprzejme przyjęcie w Almarze. Odbyliśmy długą podróż, aby zobaczyć się z panem Smugą, toteż pragniemy dowiedzieć się, gdzie on teraz przebywa.

Maharadża i jego małżonka, jakby nie zrozumieli politycznej przymówki bosmana, przyjaźnie spoglądali na polskich podróżników.

— Szikar Smuga z moim bratem kilka tygodni temu załatwiali jakieś sprawy w Delhi, skąd dość nieoczekiwanie wyruszyli w dłuższą podróż — odpowiedziała maharani. — Właśnie przedwczoraj otrzymałam wiadomość, że brat przybędzie tutaj lada dzień, a z nim, być może, zjawi się i szikar Smuga. Wobec tego mogą panowie wziąć udział w naszym jutrzejszym polowaniu na tygrysy. Przypuszczam, że dla tak znanych łowców zwierząt będzie ono przyjemną rozrywką.

— Wasza księżęca wysokość raczy wybaczyć, lecz my niechętnie przyglądamy się zabijaniu dzikich zwierząt — uprzejmie odpowiedział



Wilmowski. — Naszym zadaniem jest chwytanie żywych okazów i osvajanie ich dla ogrodów zoologicznych.

— To samo mówił szikar Smuga — rzekła księżna. — Nie mogę wszakże zrozumieć, dlaczego zawodowi łowcy zwierząt odmawiają udziału w polowaniu na tygrysy, na które zjeżdżają do nas nawet z Anglii najsłynniejsi myśliwi. Na przykład pan pułkownik Ralf Burton i generał John Mac Donald nie darowali by nam nigdy, gdybyśmy o nich zapomnieli przy takiej okazji.

Dwóch Anglików w wojskowych mundurach koloru khaki skłoniło się w kierunku pięknej maharani.

— Sława alwarskich polowań na tygrysy dawno już dotarła do dalekiej Europy — schlebiająco odezwał się pułkownik Burton.

— Stanać oko w oko z dzajpurskim tygrysem, to prawdziwie męska rozrywka — dodał generał Mac Donald.

— Tak, tylko że z grzbietu słonia myśliwy bezpiecznie, niczym z fortecy, strzela do tygrysa, jak do ruchomej tarczy — wtrącił bosman.

Generał Mac Donald wykonał ruch, jakby chciał coś odpowiedzieć, lecz w tej chwili przemówił Wilmowski:

— Proszę nie dziwić się naszej niechęci do polowań, podczas których przeważnie bez uzasadnionej przyczyny tępi się zwierzynę. Jesteśmy nie tylko łowcami, lecz również propagatorami rozsądnego i przyjacielskiego stosunku człowieka do zanikających okazów fauny. My po prostu kochamy zwierzęta, a one doskonale wyczuwają stosunek każdego człowieka do nich.

— Drapieżnik zawsze pozostanie drapieżnikiem, choćby nawet nie wiem jaką przeszedł tresurę — zauważył pułkownik Burton. — Wspaniały gepard Nero, leżący u stóp jej wysokości maharani, tak samo skoczy mi do gardła, jak i panu, który „kocha zwierzęta”, jeżeli tylko spróbowalibyśmy zbliżyć się do księżnej.

— Tak pan sądzi? — spokojnie zapytał Tomek.

— Nie sądzę, młodzieńcze, lecz jestem tego pewny. Widziałem bowiem, jak zdławił złoczyńcę, gdy ten, prosząc księżną o łaskę, niepotrzebnie zbyt blisko przystanął przy jej wysokości.

— Nero przeszedł specjalną tresurę. Nie dopuści nikogo obcego do mojej małżonki — chełpliwie potwierdził maharadża.

— Nie byłbym tego tak pewny. Istnieją ludzie obdarzeni przez naturę umiejętnością czy też darem obłaskawiania zwierząt bez stosowania siły i terroru — powiedział Wilmowski.

— Szikar Smuga usiłował nas przekonać, iż młody pan Wilmowski potrafi w niezwykle wprost sposób ujarzmić zwierzęta — niedowierzająco odezwał się Manibhadra.

— To prawda, panie maharadzo! Włosy dęba stawały mi na głowie, gdy nasz Tomek włąził do klatek z różnymi dzikimi zwierzakami. Nawet taki znawca jak pan Hagenbeck mówił, że nie byle kto potrafi pokazać podobną sztuczkę — wtrącił bosman.

— Gdybyś, sahibie, nie był moim miłym gościem, to zaproponowałbym ci próbę z gepardem mej małżonki — rzekł maharadza uśmiechając się dwuznacznie.

Tomek spostrzegł na ustach maharadży pełen niedowierzania uśmiech oraz kpiące, porozumiewawcze spojrzenia Anglików. Ponadto czuł na swej twarzy niepokojący wzrok księżnej. Po krótkiej chwili wahania spojrzał maharani prosto w oczy i zapytał:

— Cóż mam uczynić z gepardem waszej książęcej wysokości?

Maharani, jakby zapomniała o zwyczaju purdach, puściła wolno rąbek sari, którym osłaniała część twarzy. Ujęła chusteczkę leżącą na jej kolanach, po czym, rzuciwszy ją na posadzkę tuż przy pysku spoczywającego geparda, powiedziała:

— Podaj mi chusteczkę, młody sahibie!

Tomek postąpił krok ku księżnej. Wielki płowy gepard przetoczył się z boku na brzuch i przywarował u stóp swej pani. Batystowa chusteczka znalazła się teraz pod jego łapą, uzbrojoną w wysunięte na wierzch duże, mocne pazury.

W tej chwili pułkownik Burton podszedł do Wilmowskiego i dotknąwszy ręką jego ramienia szepnął:

— Niech pan powstrzyma syna, to nie ma najmniejszego sensu. Widziałem na własne oczy, jak ten gepard zagryzł krajowca.

— To dziwne, bo gdyby któryś z nas był przy tym, gepard zostałby zastrzelony — odpowiedział Wilmowski również po cichu.

Anglik zaczerwienił się, a Wilmowski, mimo iż wierzył w rozsądek syna, zerknął wymownie na bosmana. Było to wszakże zbyteczne, albowiem, gdy

tylko Tomek zaczął wolno zbliżać się do maharani, marynarz natychmiast wsunął dłoń do kieszeni spodni, w której nosił rewolwer.

Tomek tymczasem zatrzymał się nie dalej, jak o pięć kroków od geparda. Poznał dobrze zwyczaje tych drapieżników, zetknąwszy się już z nimi podczas afrykańskiej wyprawy. Jego przyjaciel, młody król Bugandy, Daudi Chawa, miał dwa oswojone gepardy, doskonale wytresowane do polowania na antylopy<sup>266</sup>. Poza tym Tomek naprawdę posiadał, podziwianą przez europejskich treserów, dziwną umiejętność poskramiania zwierząt. Niektórzy nawet byli przekonani, iż wprost hipnotyzował je wzrokiem.

Teraz Tomek wpatrywał się w geparda nie wykonując najmniejszego ruchu. Minęła dłuższa chwila. Gepard wlepił w człowieka swe zielone źrenice, złowroźnie prężąc kark. Długi, pokryty puszystą sierścią ogon uderzał nerwowo o posadzkę. Naraz ogon znieruchomiał. Gepard stulił krótkie, zaokrąglone uszy. Tomek zaś, nie odrywając wzroku od zwierzęcia, krok za krokiem zbliżał się ku niemu. W pełnej napięcia ciszy przyklęknął przed gepardem. Łagodnym, lecz stanowczym ruchem dotknął dłonią łba o ostro ściętym pysku. Gepard drżał jak w febrze; mimo woli obnażał kły. Tomek delikatnie gładził głowę zwierzęcia, przemawiał doń, aż w końcu gepard położył swój łeb na jego kolanie. Tomek wsunął prawą dłoń pod łapę przyciskającą chusteczkę. Podał maharani jej własność. Z kolei, głaszcząc geparda po głowie, zmusił go do ułożenia się na posadzce. Teraz sam podniósł się i patrząc w źrenice zwierzęcia wycofał się do kręgu towarzyszy.

Gepard poderwał się na cztery łapy, wstrząsnął grzbietem jakby wyszedł z kąpieli, po czym otarł się o nogi maharani, wciąż spoglądając w kierunku niezwykłego pogromcy.

— Ależ to prawdziwy hipnotyzer! Czy potrafi pan również usypiać węże, jak to czynią hinduscy zaklinacze? — zawołał Burton, potrząsając prawą dłonią Tomka.

— Nie jestem hipnotyzerem, proszę pana — zaprzeczył Tomek. — Po prostu kocham zwierzęta i staram się przeniknąć ich naturę. One wyczuwają,

---

<sup>266</sup> — W Afryce i w Azji krajowcy szkolą gepardy do polowania, jak sokoły myśliwskie. W Indiach myśliwi umieszczają zakapturzonego geparda na dwukołowym wózku. Podwożą do wytropionego stada, zdejmują kaptur i spuszczaają ze smyczy. W gepardzie na widok zwierzyny budzą się myśliwskie instynkty, dopada ofiary, obala ją i chwytą za gardło. Myśliwy podbiega do zdobyczy, podcina jej nożem gardło, krew zbiera do miseczki i daje ją gepardowi do wychłęptania, a potem znów nakłada mu kaptur na głowę.

iż nie mam zamiaru uczynić im krzywdy. Poza tym w ten sposób można postępować jedynie z już oswojonym drapieżnikiem. Jestem uczniem mego ojca, specjalizującego się w nowoczesnej tresurze zwierząt.

— Muszę powinszować panu wspaniałych wyników — zwrócił się Burton do Wilmowskiego. — Naprawdę obawiałem się o pańskiego syna.

— Tomek przewyższył już swego nauczyciela — odparł Wilmowski uśmiechając się. — Wprawdzie uczyłem go opanowania wobec zwierząt, lecz muszę przyznać, że sam nie spodziewałem się takich wyników.

— To było naprawdę zdumiewające — przyznał maharadża. — Myślałem, że mój gepard nie sprawi mi zawodu. Gdybyś kiedykolwiek, sahibie, chciał zamieszkać w Indiach, mógłbym mieć dla ciebie ciekawą propozycję.

— Kto wie, może kiedyś skorzystam z zaproszenia waszej wysokości — odpowiedział Wilmowski.

— Proszę powiadomić mnie, gdy będzie pan miał na to ochotę — dodał maharadża. — Skoro jednak strzelanie do tygrysów nie nęci panów, to proszę o schwywanie żywego tygrysa podczas polowania.

— Doskonała myśl — zauważyła maharani, nie odrywając od Tomka swego wzroku. — Obiecałam wicekrólowi Indii radżputańskiego tygrysa do ogrodu zoologicznego w Londynie. Szikar Smuga opowiadał mi, że panowie potrafią chwycić tygrysy nie zastawiając na nie pułapek. Chętnie przyjrzałabym się takim łowom. Czyba spełnią panowie moją prośbę?

Maharani spoglądała na Tomka, jakby głównie od niego oczekiwała odpowiedzi. Tomek tymczasem wahał się. Instynkt ostrzegał go przed pochopnym uleganiem kaprysom pięknej maharani, znudzonej gnuśnym życiem w bezmiernym bogactwie. Zdało mu się, że maharadża Alwaru po prostu doskonale wyreżyserował całą scenę z gepartem, aby sprawdzić, czy intrygujące opowiadania Smugi o jego niezwykłej zdolności osvajania dzikich zwierząt odpowiadały prawdzie. Teraz zaś maharadża i jego małżonka pragnęli zabawić się widokiem niebezpiecznych łowów. Tomek już miał zamiar odpowiedzieć odmownie, gdy naraz bosman odezwał się półgłosem po polsku:

— Powiedz brachu, że się zgadzamy, kiedy taka piękna dama prosi. Przy okazji pokażemy tym angielskim flegmatykom, co to naprawdę znaczy stawać oko w oko z tygrysem.

Tomek jeszcze niezdecydowany, zerknął na ojca. Wilmowski patrzył na niego z zagadkowym, jakby lekko drwiącym uśmiechem na ustach. Znał dobrze słabostki syna i przyjaciela — lubił popisywać się swymi umiejętnościami.

*„Coś mi się wydaje, że i ojciec również nie ma nic przeciwko takim łowom”* — pomyślał Tomek.

— Zgódź się prędzej, bo posądzą nas o „cykorie”! — syknął bosman.

— Jeśli tylko nadarzy się okazja podczas polowania, postaramy się spełnić życzenie jej książęcej wysokości — powiedział Tomek, pochylając się w ukłonie.



## POLOWANIE NA TYGRYSY

Zaledwie brzask słoneczny rozproszył mrok nocy, przed pałacem maharadży Alwaru zapanował ożywiony ruch. Mahuci pospiesznie kończyli przystrajanie i siodłanie słoń, gdy maharadża Manibhadra z małżonką oraz białymi gośćmi pojawili się przed pałacem.

Na widok maharadży olbrzymi słoń o jednym tylko, prawym kle, podniósł wysoko swoją trąbę i zahuczał doniośle. Za jego przykładem inne słońie zadarły w górę trąby. Maharadża, niczym dowódca przed oddziałem prezentujących broń żołnierzy, zatrzymał się przed długim szeregiem szarych olbrzymów, trzymających w górę wyciągnięte trąby. Powitał zwierzęta podniesieniem ręki. Słońie przestępowały z nogi na nogę, kołysząc potężnymi cielskami i, jak bronią, salutowały trąbami. Maharadża opuścił rękę.

Słońie natychmiast uspokoiły się; wkrótce też mahuci zaczęli podprowadzać je na środek dziedzińca.

Święty słoń o jednym, prawym kle, przeznaczony wyłącznie dla maharadży, miał przymocowaną na grzbiecie pozłocistą lektykę, osłoniętą z wierzchu czerwonym daszkiem. Długi, zakrzywiony nieco do góry kiel słońia ozdobiony był kilkoma szerokimi, złotymi pierścieniami, wysadzanymi szlachetnymi kamieniami. Na wielkiej głowie zwierzęcia siedział mahut, kierując nim podczas jazdy. Oryginalny wierzchowiec zatrzymał się przed maharadżą.

„*Sit down!*”<sup>267</sup> — po angielsku zawołał mahut.

Słoń zakołysał cielskiem i osunął się brzuchem na ziemię. Służba usadowiła się w lektyce. Tuż za władcą Alwaru przykucnął indyjski myśliwy, aby w odpowiedniej chwili podczas polowania podawać maharadży przygotowaną do strzału broń palną.

„*Get up!*”<sup>268</sup> — krzyknął mahut, gdy Manibhadra wygodnie rozsiadł się w lektyce.

Słoń posłusznie dźwignął się na nogi.

Z kolei podprowadzono słońia w specjalnej uprzęży, która umocowywała na jego grzbiecie wspaniale rzeźbioną oraz zaopatrzoną w muślinowe zasłony

---

<sup>267</sup> — *Sit down* (fonetycznie: syt daun) — usiądź.

<sup>268</sup> — *Get up* (fonet.: get ap) — powstań.

lektykę, wymoszczoną poduszkami i miękko wyprawionymi skórami. W lektyce tej spoczęła na posłaniu zwiewna, piękna maharani, ubrana nie mniej wspaniale niż dnia poprzedniego. Przy niej przykucnęły dwie młode służebne z wachlarzami ze strusich piór, aby chłodzić swą panią w gorętszych godzinach skwarne go dnia.

Następnie wielki radżput sprawnie po przydzielał słonie poszczególnym myśliwym. Pułkownik Burton oraz generał Mac Donald, tak jak maharadża, korzystali z usług strzelców–krajowców przygotowujących broń do strzału. Natomiast Wilmowski, Tomek i bosman zabrali na grzbiet swoich słoni Hindusów uzbrojonych w długie, mocne, rozwidlone na jednym końcu żerdzie, przystosowane do chwytania dzikich zwierząt.

Przy wtórze rogów i mosiężnych trąb oraz biciu w bębny długa kawalkada myśliwych wyruszyła sprzed pałacu w kierunku pobliskiej dżungli. Spłoszone niecodzienną wrzawą dzikie pawie, przeraźliwie krzycząc, kryły się pomiędzy drzewami.

W pochodzie nasi trzej łowcy jechali tuż za słoniem niosącym piękną maharani, albowiem jej życzeniem było pozostawać podczas polowania jak najbliżej nich. Wychynęli z parku na skraj dżungli. Słonie kroczyły teraz dowolnym szykiem. Korzystając z tego, iż Wilmowski z Tomkiem jechali tuż obok, bosman odezwał się:

— Po kiego licha robią oni tyle szumu? Nie tylko większy zwierz, ale nawet i owady pochowają się przed nami. Więcej tu będzie pompy, niż polowania.

— Zupełnie trafny wniosek, bosmanie — odparł Wilmowski. — Takie właśnie polowania są dla tutejszych książąt najprzyjemniejszą rozrywką. Przede wszystkim lubują się w pięknej i hucznej paradzie oraz w pokazywaniu własnego bogactwa; krótko mówiąc, dużo wrzasku i huku broni palnej przy małej szkodzi dla zwierzyny.

— Nie dla mnie takie polowanie — powiedział bosman pogardliwie. — Siedzi się na słoniu jak w fortecy. Żadna uciecha.

— Za to ten niezwykły orszak myśliwski naprawdę wygląda wspaniale — zauważył Tomek. — Hindusom należy się uznanie za osvajanie tak użytecznych zwierząt. Podczas gdy afrykańscy Murzyni bezlitośnie tępią słonie dla zdobycia cennych kłów, mądrzy Hindusi korzystają z ich pomocy w pracy i na łowach.



— Prawdę mówisz, brachu — przytaknął bosman. — W Afryce nie widzieliśmy ani jednego oswojonego słonia. A może tamta odmiana w ogóle nie nadaje się do osvajania?

— Nie wydaje mi się, aby tak było, ponieważ właśnie afrykańskie słonie już w starożytności występowały w historii wojen — odpowiedział Wilmowski. — W Asyrii za panowania królowej Semiramidy, a więc niemal dwa tysiące lat przed naszą erą, słonie wchodziły w skład asyryjskiej armii. Dariusz również użył tych zwierząt do walki z Aleksandrem Wielkim. Wówczas to Aleksander przywiózł po raz pierwszy do Europy kilka bojowych słoni, zdobytych na Persach w bitwie pod Arbelą w 330 roku przed naszą erą. Rzymianie poznali je podczas wojen z Pyrrusem królem Epiru. A czy do historii nie przeszło użycie słoni przez Hannibala w drugiej wojnie punickiej? Oczywiście we wszystkich tych przypadkach może być mowa jedynie o słońiach afrykańskich, stąd wniosek, iż dają się one oswajać. Widocznie Murzyni na Czarnym Łądzie po prostu nie są zainteresowani w pozyskaniu tych zwierząt dla usług człowieka. Dlatego też słoń indyjski, osvajany od dawna przez krajowców, nie jest tak prześladowany przez ludzi.

— To prawda. Hindusi dobrze obchodzą się ze słońiami i dlatego mają z nich pożytek — rzekł bosman. — Niezły to zresztą pomysł użycia słoni do walki. Ile „cykorii” musiały napędzać wrogom!

— Tak myślisz? Wobec tego powiem ci, że słonie stanowiły broń obosieczną — wyjaśnił Wilmowski. — Otóż podczas wojny z królem Pyrrusem w pierwszej chwili Rzymianie przerazili się na widok straszliwych zwierząt, lecz wkrótce zaczęli im rzucać w oczy oblane smołą, zapalone wieńce, czym tak je przestraszyli, że zawróciły w wielkim popłochu na szeregi własnego wojska i sprawiły w nich ogromne zamieszanie. Rzymianie przekonawszy się, że nie można polegać na takich sprzymierzeńcach, wcale nie używali słoni do boju. Toteż po zwycięstwie odniesionym przez Juljusza Cezara nad królem Numidii, Jubą, w morderczej bitwie pod Thapsus w 26 roku przed naszą erą, słoń zniknął z widowni wojen.

— Niech to kule biją! Nie pomyślałem o tym, a przecież jasne jak słońce, że przestraszony podczas bitwy słoń może tratować nawet własną armię — zawołał bosman. — Ha, na wojnie mogło się zdarzyć, ale takie polowanko to inna para kaloszy. Myśliwy siedzi sobie bezpiecznie na słońiu, jak u Pana Boga za piecem.

— Nie ma reguły bez wyjątku, bosmanie. Rzadkie to wprawdzie wypadki, lecz czasem na takim polowaniu, gdy myśliwy chybi celu, szczególnie stary tygrys, doprowadzony do ostateczności, może skoczyć na słońa i nawet obalić go na ziemię.

— Czy naprawdę, Andrzej? — zdziwił się bosman. — Trudno mi uwierzyć, żeby taki siłacz jak słoń nie dał rady choćby największemu tygrysowi.

— Mój drogi, słoń jest dużym, silnym i odważnym zwierzęciem, toteż zazwyczaj wygrywa walkę, lecz niekiedy rozwścieczony tygrys mocno rani go pazurami. Wtedy słoń przewraca się na ziemię, aby tygrysa zgnieść ciężarem własnego ciała. Łatwo odgadnąć, co by się stało wtedy z ludźmi, którzy by siedzieli na grzbiecie słońa, jak my teraz.

— No, no, niezły byłby to kołowrotek! Lepszy niż na karuzeli na Bielanach — powiedział marynarz śmiejąc się. — Sam jednak mówisz, że takie cuda rzadko się zdarzają. Nasz maharadża nie zabierałby swej pięknej lubej na łowy, gdyby pachniało tu jakimkolwiek niebezpieczeństwem.

— I ja myślę podobnie — wesoło dodał Wilmowski. — Zapał łowiecki ludzi tego pokroju co maharadża nie posuwa się nigdy tak daleko, aby zapomnieli o zabezpieczeniu własnych, dostojnych osób.

— Wobec tego taki ostrożniak nie może wyprawiać się na polowanko, jeżeli na ten przykład nie posiada słoni.

— Nie martw się, mój drogi, tutejsi możni zawsze dają sobie radę. Słyszałem również o innym sposobie polowania. Wówczas myśliwi strzelają do zwierzyny z platform zbudowanych na wysokich drzewach.

— A niech to licho weźmie! Czyżby posiadali tresowane zwierzaki, które im same na strzał podchodzą? — śmiał się bosman.

— Niestety, podczas gdy przezorny strzelec siedzi bezpiecznie na platformie, nagonka, składająca się z biednych wyrobników, rozciągnięta w długi szereg, wrzaskiem płoszy zwierza w kierunku napowietrznej zasadzki.

— Dobra nasza, ale przecież tygrys może się rzucić na któregoś z obławników?

— Oczywiście, że tak się nieraz zdarzyło...

— To już zwykłe draństwo, bogacz z pukawką siedzi wygodnie na drzewie, a biedak nadstawia karku dla jego przyjemności! Tfu, z takim polowaniem!

— Czego się pan złości, panie bosmanie — wtrącił Tomek. — Przecież i naszym kosztem maharadża zorganizował sobie rozrywkę, a pan nic nie miał przeciwko temu! Jeszcze pan nalegał, abym szybciej wyraził zgodę, gdy „*tak piękna dama nas prosi*”. Oj, bosmanie, nie chciałbym być złym prorokiem, lecz kobiety doprowadzą pana do zguby, chociaż nie chce pan nawet słuchać o żeniacze.

— Przestań, brachu, kłuć słówkami jak szpilkami, bo jeśli gniew mnie chwyci, to zeskoczę na ziemię i tak potrząsnę niby to świętego słonia za ogon, że maharadża zleci z tej bambusowej werandy i sam będzie sobie łapał tygrysa.

Wilmowski karcąco spojrzął na syna i rzekł:

— Nie gadaj głupstw, bosmanie, Tomek przecież tylko żartuje. Nie można nas porównywać z biednymi krajowcami, zmuszanymi do brania udziału w obławach. Chwywanie dzikich zwierząt jest naszym zawodem, nie pierwszozna to dla nas.

— Racja, święta racja, Andrzeju, tylko ten mikrus zawsze wyprowadza mnie z równowagi.

— Czyżby pan chciał zaprzeczyć, że palił się pan do tych łowów dla pięknej maharani? — przekornie zapytał Tomek.

— Nie o to mi chodzi — burknął marynarz. — Maharani niczego sobie niewiasta i prawdę mówiąc, chciałem zrobić jej przyjemność, ale gniew mnie ogarnia na wspomnienie, że biednemu wiatr zawsze w oczy wieje.

Rozmowa urwała się; słonie wkroczyły w dżunglę. Znów szły gęsiego rozciągnięte w długim szeregu. Ścieżka wydeptana przez zwierzęta była dość szeroka, lecz po obydwu jej stronach piętrzyła się gęstwa tropikalnej roślinności. Wśród kwiatów o najdziwaczniejszych kształtach, barwach i zapachach królowała przepiękna, tajemnicza orchidea. Po jakimś czasie ustał śpiew cykad. Odurzający zapach kwiatów słabł coraz bardziej, aż w końcu uległ bagnistym wyziewom podmokłej dżungli. Wokół rósł gąszcz bambusów, trzciny i paproci, a w górze korony drzew, splątane lianami, tworzyły nieprzejrzywą zasłonę. W dżungli panował odwieczny półmrok. W powietrzu wirowały brzęczące roje moskitów, szerszeni, pszczoły i jadowitych much, niepokojące ludzi i zwierzęta.

Tomek łowił uchem wrzask małych i skrzek papug, przepatrując jednocześnie czujnym wzrokiem mroczny las. Z prawej strony zaszeleściły

krzewy. To stadko indyjskich dzików<sup>269</sup>, różniących się od naszego dzika silnie rozwiniętą szczeciniastą grzywą, umykało przed ludźmi w głąb dżungli. Zanim wydostali się z wikłaniny krzewów na nieco wolniejszą przestrzeń, Tomek ujrzał w zaroślach piękne zwierzę. Przypominało mu ono pamiętne łowy na okapi w Afryce. Była to antylopa nilgaj<sup>270</sup> o tułowiu wyższym w kłębie i szerszym z przodu. Wspaniały samiec mierzył około dwóch metrów długości i półtora metra wysokości. Na jego kształtnej głowie sterczały półksiężycowato wygięte rogi. Na podgardlu zwierzęcia — wśród ciemnoszarej z niebieskawym odcieniem sierści — jaśniała duża, półokrągła biała plama, u dołu której zwisał czarniawy kosmyk włosów. Wyższy tułów w kłębie oraz białe pasy sierści nad pęcunami tylnych nóg upodabniały tę antylopę do afrykańskich okapi. Tomek, podniecony wspomnieniem niebezpiecznych łowów, chciał zwrócić uwagę ojca i bosmana na oryginalne zwierzę, lecz w tej chwili spłoszona przez myśliwych antylopa szybko skryła się w gęstwinie.

Po przeszło dwugodzinnym przedzieraniu się przez mroczną dżunglę, dobrnęli do skraju dziewiczego lasu. W tym miejscu szeroki pas stepu, porośłego wysoką pożółkłą trawą oraz pojedynczymi krzewami, odcinał dżunglę od koryta bagnistej rzeczki. Wśród drzew rosnących wzdłuż jej brzegów wyraźnie rysowała się rozległa kępa wierzbowych zarośli. W ich cieniu i chłodzie lubią zazwyczaj wypoczywać tygrysy po swych zbójceckich wyprawach.

Słonie jeden po drugim wychodziły z dżungli na step. Zachęcane okrzykami mahutów, kroczyły w kierunku wierzbowych zarośli na brzegu rzeczki. W odległości około trzystu metrów od przybrzeżnego gąszczu słonie zmieniły szyk marszu. Teraz formowały tyralierę, której obydwie krańce, w miarę zbliżania się do wierzbowych chaszczy, coraz więcej wysuwały się do przodu. W ten sposób wkrótce utworzyły półkole opasujące kępę zarośli.

Słoń pięknej maharani znajdował się w samym środku owego półkola. Po prawej stronie księżnej jechał maharadża z dwoma Anglikami, z lewej zaś — Wilmowski, Tomek i bosman.

<sup>269</sup> — Dzik indyjski (*Sus cristalus*) — z wyjątkiem Australii oraz znacznej części Ameryki Północnej, dzikie świnie żyją w bagnistych lasach we wszystkich częściach świata.

<sup>270</sup> — Antylopa nilgaj (*boselaphus tragocamelus*) — lubi rzadkie zarośla i dżungle, żyje w nich w małych stadkach, żeruje rano i wieczorem, a w czasie gorących godzin dnia odpoczywa. Nilgaj jest często spotykana w ogrodach zoologicznych.

Krąg myśliwych ścieśnił się jeszcze bardziej w pobliżu gęstwiny. Bosman baczny wzrokiem lustrujący bliski już teren łowów, poruszył się niespokojnie na słońcu i rzekł do swych przyjaciół:

— Gąszcz wierzbiny przypomina mi sak zwrócony otworem ku rzece. Jeśli tygrysy umieją pływać, to nici będą z naszego polowania. Umkną właśnie owym otworem i przepłyną na drugą stronę.

— Tygrysy nie boją się wody i pływają doskonale — odparł Wilmowski. — Dlatego też przypuszczam, że maharadża musiał przewidzieć ewentualną ich ucieczkę ku rzece.

— Nie ma obawy, tygrysy nam nie uciekną, widziałem łodzie płynące w kierunku osaczonego przez nas gąszczy — wtrącił Tomek. — Gdy tylko wyjechaliśmy z dżungli, zaraz przez lornetę rozejrzałem się po okolicy.

— Ha, jeśli tak sprawy wyglądają, to niebawem zacznie się diabelski taniec — mruknął marynarz.

Słonie przystanęły na samym skraju wierzbowego nadbrzeża. Zabrzmiały rogi, trąby i bębny. Strzelcy hinduscy pokrzykiwali donośnie, niektórzy strzelali z pistoletów. Dopiero teraz, przy wtórze tej niezwyklej wrzawy słonie wolno ruszyły w zarośla. Olbrzymie zwierzęta torowały sobie drogę niczym tarany, deptały krzewy, gięły drzewa bądź wyrywały je z korzeniami i odrzucały na bok.

Było już zupełnie zrozumiałe, że maharadża postanowił zamknąć krąg obławy nad brzegiem bagnistej rzeczki.

W miarę jak słonie coraz bardziej brnęły w nadrzeczne chaszczki, cichła wrzawa ludzka. Naraz w kilku miejscach równocześnie rozległy się najpierw przeraźliwe wrzaski dzikich pawie, a w ślad za nimi ostrzegawcze nawoływania małp.

„*Pillau! Pillau, pillau...*” — wrzeszczały pawie, jakby chciały przestrzec ludzi przed czyhającym na nich niebezpieczeństwem.

Słonie, na których jechali trzej biali łowcy dzikich zwierząt, jeszcze bardziej przybliżyły się do lektyki maharani Alwaru, albowiem powodujący nimi mahuci nie zlekceważyli ostrzeżenia. Wiedzieli doskonale, że tygrysa niełatwo można dostrzec w gęstwinie, lecz pawie i małpy, często napadane przez małe tygrysięta, zaprawiające się w ten sposób do samodzielnych łowów, niemal zawsze zdradzają jego obecność. Małpy w nocy nieraz dają się podejść panterze lub wężowi dusicielowi, natomiast podczas dnia zawsze

pamiętają o obowiązku ostrożności. Nie mylą się nigdy, co do rodzaju zwierzęcia czatującego w gęstwinie; jeżeli to będzie dzik lub sarna, zachowują się spokojnie, ponieważ nic im od nich nie zagraża, lecz gdy jest to tygrys bądź pantera, wówczas krzykiem ostrzegają swe towarzyszeki.

Tomek porozumiewawczo spojrział na ojca. On również zrozumiał, co oznaczał niepokój paw i małp. To tygrys musiał podnieść się ze swego legowiska.

W tej właśnie chwili maharadża wypalił w górę ze sztucera.

Na to hasło od strony rzeki rozległy się krzyki oraz huk broni palnej. Ostatnie ogniwo łańcucha obławy zostało zamknięte. Gdzieś z prawej strony zatrzeszczały krzewy. Kilka słońi zatrzymało się wyczekująco. Olbrzymie zwierzęta na pozór zdawały się być zupełnie spokojne, lecz nerwowe ruchy trąb węszących wokół i gniewny błysk ślepi zdradzały ich wielkie rozdrażnienie. Był to nieomylny znak, że w pobliżu znajdował się tygrys.

Maharadża oraz dwaj Anglicy trzymali już w rękach broń gotową do strzału. Lewe skrzydło obławy zacieśniało krąg. Pod potężnymi, słupowatymi nogami słońi łamały się krzewy. W dali rozbrzmiał straszliwy pomruk, przypominający przeciągły, żalony jęk, i powtarzał się jeszcze kilkakrotnie w krótkich odstępach czasu.

Słonie poruszały wachlarzowatymi uszami, przestępując jednocześnie z nogi na nogę. Tomek drgnął usłyszawszy głębokie, gardlane pojękiwanie. Potem rozległo się groźne warczenie.

Zanim Tomek zdążył wypatrzeć tygrysa, słoń maharadży uniósł do góry trąbę. Maharadża błyskawicznie przyłożył sztucer do ramienia i nacisnął spust.

Huk strzału oraz przeraźliwy ryk ranionego zwierzęcia zlały się w jedno. Wysmukłe, giętkie, cynamonowobrunatne cielsko, pokryte czarnymi pręgami, skrzyło się w gąszczu zieleni jak sprężyna. Ryk rozwścieczonego tygrysa skonał w grzmocie dalszych strzałów.

To pułkownik Burton i generał Mac Donald dobijali zranione zwierzę.

Święty słoń, dosiadany przez maharadżę Alwaru, wolno zbliżył się do drgającego jeszcze cielska tygrysa. Przetoczył je trąbą po ziemi, po czym wysoko podrzucił w powietrze. Gdy martwy tygrys upadł tuż u jego nóg, uniósł trąbę i krótkim trąbieniem obwieścił zwycięstwo.

Mosiężne trąby, rogi i bębny rozhuczały się w dżungli. Przy ich wtórze nagonka znów ruszyła w kierunku brzegu rzeki.

— Nie ma co gadać, zmyślnie wytresowali te słonie. Widziałeś, jak trąbami dawały znak do strzału? — powiedział bosman do Tomka, kiedy znaleźli się obok siebie.

— Naprawdę wspaniała tresura. W dogodnej do strzału chwili słonie same zatrzymują się i ruchem trąby przynaglają myśliwego — entuzjazmował się Tomek.

— Jak widać słonie są nie zastąpione do polowań na tygrysy — dodał bosman. — Koń dawno by już „posiał cykorię”, a tymczasem poczciwe słonisko, chociaż podrażnione jest do najwyższego stopnia widokiem drapieznika, stoi spokojnie i jeszcze człowiekowi ułatwia zadanie.

— To prawda, konie lękają się tygrysów i za żadne skarby nie podejść do nich.

— Słuchaj, brachu, jeżeli oni będą tak rąbali do każdego napotkanego zwierzaka, to nie dadzą nam okazji do schwytania żywcem tygrysa — zaniepokoił się marynarz.

— Niech się pan nie obawia, maharadża nie zrezygnuje łatwo z podniecającego widowiska — odpowiedział Tomek wzruszając ramionami. — Jestem niemal pewny, że tutaj znajduje się więcej tygrysów.

Głębokie, jakby gardłowe pojękiwania, dobiegające z głębi gąszczu, zdawały się potwierdzać jego słowa. Wkrótce na lewym skrzydle obławy rozległy się strzały, a potem ryk trafionego zwierzęcia.

Brzeg rzeki zapewne znajdował się już bardzo blisko. Ciężkie słonie coraz głębiej zapadały nogami w miękką, podmokłą ziemię, coraz wyraźniej było słycać okrzyki ludzi płynących w łodziach.

Wilmowski dotąd spokojnie obserwował przebieg polowania i czujnie nadśluchiwał odgłosów znad rzeki. Teraz dał znak siedzącemu za nim Hindusowi, aby podał mu rozwidlony na jednym końcu drąg. Jednocześnie zawołał do swych towarzyszy, by przygotowali się do łowów.

Bosman niedbałym ruchem ujął widły, sprawdził ich wytrzymałość, po czym wygodnie usiadł na grzbiecie słonia, beztrąsko rozglądając się po chaszczach. Tomek natomiast z niepokojem myślał o schwytaniu żywego tygrysa. Tygrysy radżputańskie należały, według zdania wielu myśliwych, do największych okazów tych zwierząt w Indiach. Miały one być nie tylko

większe, lecz również i silniejsze, od najbardziej znanych tygrysów bengalskich. Polując na nie, taki doświadczony łowca jak Smuga omal nie stracił życia.

Tomek nie lękał się niebezpieczeństwa, lecz zdawało mu się, iż tak hałaśliwe polowanie w obecności słoni rozdrażnionych widokiem tygrysów nie stwarzało odpowiednich warunków do chwytania żywych drapieżników. Ponadto nie był pewny, czy w krytycznej chwili będą mogli liczyć na skuteczną pomoc krajowców nie obeznanych z tego rodzaju łowami. Tymczasem pomoc ta była konieczna, a najmniejsza nieostrożność lub zawahanie się w decydującym momencie mogły spowodować nieobliczalne następstwa.

Tomek nieznacznie zerknął na przykucniętego za nim na słoniu Hindusa. Półnagi krajowiec jedną ręką przytrzymał się uprzęży, podczas gdy w drugiej ścisnął rozwidlony drąg.

„*Może jakoś to będzie*”, pomyślał Tomek, pokrzepiony na duchu dość rażną miną towarzysza łowów. Przypomniawszy sobie, że przed wyruszeniem na polowanie, ojciec kilkakrotnie tłumaczył przydzielonym przez wielkiego radźputa pomocnikom, na czym polega ich rola.

Wzmożona wrzawa od strony rzeki przerwała rozmyślenia chłopca. Na prawym skrzydle łańcucha obławy znów gęsto padały strzały, nie musiały wszakże być celne, gdyż nie towarzyszyły im skowyty śmiertelnie ranionych zwierząt. Słonie tymczasem wciąż parły na przód, zacieśniając krąg. Podrażnienie łagodnych zazwyczaj olbrzymów wzmogło się na dźwięk gniewnego, głuchego ryku w gęstwinie.

Na rozkaz Wilmowskiego mahuci siedzący za Tomkiem i bosmanem skierowali swoje słonie jeszcze bliżej zwierzęcia niosącego maharani. Cztery słonie szły teraz niemal tuż obok siebie. Wilmowski przykucnął, przytrzymując się uprzęży, i tak, gotów do skoku na ziemię, pilnie przepatrywał wzrokiem wierzbowy gąszcz.

Naraz słoń generała Mac Donalda przystanął raptownie i uniósł trąbę w górę. Zaledwie Anglik dojrzał pręgowate cielsko bestii, pospiesznie nacisnął spust. Chybił wprawdzie, lecz kula musiała przelecieć blisko łba tygrysa, bo zdezorientowany i przestraszony rzucił się wprost pod nogi słonia maharadży. Sztucer Manibhadry plunął ogniem, choć strzały nie mogły dosięgnąć tygrysa, kotłującego się między nogami słonia. Święty słoń w lot zrozumiał sytuację,



toteż cofnął się gwałtownie i trąbą usiłował schwycić drapieżnika. Ten jednak z nieprawdopodobną zręcznością wyrwał mu się spod nóg.

Piękna maharani znajdowała się najbliżej swego małżonka. Mahut kierujący jej słońmi krzykiem usiłował zmusić zwierzę do cofnięcia się, aby w ten sposób umożliwić Wilmowskiemu strzał do tygrysa. Niestety rozdrażniony słoń nie zrozumiał bądź też nie chciał wykonać rozkazu. Zamiast cofnąć się, odważnie zaatakował drapieżnika.

Szare, olbrzymie cielsko zazwyczaj ociężałego słońa stało się naraz niezwykle ruchliwe. Rozgniewany niebezpieczną bliskością tygrysa, usiłował chwycić go trąbą, to znów próbował przygwoździć do ziemi swoimi długimi kłami. Krzyk przestraszonych kobiet znajdujących się na rozjuszonym słońiu — w każdej chwili groziło im wypadnięcie z lektyki — jeszcze bardziej podniecał go do walki. Niebezpieczeństwo stawało się coraz groźniejsze, bowiem słońie Manibhadry, generała Mac Donalda i pułkownika Burtona okrążyły szalejącego tygrysa, uniemożliwiając mu ucieczkę.

Drapieżnik swym przeszło dwumetrowym cielskiem niczym błyskawica rzucał się na słońa, by zaraz jeszcze szybciej cofać się przed morderczymi ciosami trąby i kłów. Musiał być zaprawiony w takich zapasach, gdyż więcej teraz okazywał gniewu niż strachu. Walczące desperacko zwierzęta wirowały jak olbrzymie szaro-brunatne bąki, a myśliwi zamarli niemal z przerażenia, nie mogąc użyć broni palnej.

Naraz słoń maharani potknął się: tygrys nagłym, jak mgnienie oka, skokiem znalazł się na jego głowie. Mahut stoczył się na ziemię. Śmierć zajrzała w oczy księżnej i jej służebnych. Zanim jednak nastąpiła katastrofa, Wilmowski, obok którego przypadkiem znalazł się rozszalały słoń, przeskoczył na jego grzbiet odgradzając lektykę od tygrysa. Drewnianymi widłami zmiotł pręgowane cielsko z głowy słońa i sam zsunął się za nim na ziemię.

Tygrys upadł na grzbiet. Wilmowski znalazł się tuż obok niego. Nie tracąc przytomności umysłu, przytrzymał drapieżnika rozwidlonym drągiem. Swoją śmiałość prawdopodobnie przypłaciłby życiem, gdyby przyjaciele nie pospieszili mu z pomocą. Na szczęście nieustraszony bosman nie zawahał się ani chwili; zeskoczył na ziemię i teraz, w najkrytyczniejszym momencie, swoimi widłami również przygwoździł drapieżnego kota.

Żerdź złowieszczo zatrzeszczała pod naporem mocarnych rąk marynarza. Zwierzę, niemal pozbawione tchu, stękało boleśnie. Mimo to prężyło cielsko, by strząsnąć przytłaczające je do ziemi drągi. Potężne łapy uzbrojone w mocne pazury usiłowały sięgnąć ludzkich ciał, ale zanim oszołomiona bestia zdołała zebrać się w sobie do dalszej rozpaczliwej walki, nadbiegł Tomek z trzema Hindusami. W jednej chwili trzy pary wideł unieruchomiły tylną część ciała tygrysa. Tomek wprawnie związał mu rzemieniem najpierw tylne łapy, a potem zaczął krępować przednie, zręcznie unikając wyszczerzonych kłów.

Podczas gdy trzech biali łowcy zmagali się z tygrysem, inne nie mniej groźne niebezpieczeństwo zawisło nie tylko nad nimi. Oto słoń maharani, ogarnięty bojowym szałem, wciąż rwał się do tygrysa. Tylko szybka, skuteczna interwencja mahutów, którzy cielskami innych słoni zatarasowali mu drogę, zapobiegła tragicznemu zakończeniu łowów.

Tymczasem maharadża i obydwaj Anglicy czynili wszystko, co było w tej sytuacji możliwe, aby ocalić księżnę. Osaczono z boków rozszalałe zwierzę i uwolniono z lektyki przestraszoną władczynię Alwaru oraz jej służebne.

Dzięki energii mahutów słonie w końcu uspokoiły się na tyle, że niefortunni myśliwi mogli zsiąść z nich na ziemię. Manibhadra z małżonką i Anglikami zbliżyli się do łowców tygrysa akurat w chwili, gdy Tomek kończył wiązać jego przednie łapy.

Trzej biali przyjaciele odetchnęli widząc, iż maharani nic się nie stało. Twarz jej była wprawdzie jeszcze poszarzała ze strachu, lecz wzrok jej już uważnie śledził zręczne ruchy Tomka krępującego tygrysa. Ten zaś, zawiązawszy drapieżnikowi łapy, podniósł z ziemi kawał grubej gałęzi, wydobył z kieszeni rzemienną pętlę i ponownie pochylił się nad tygrysem, który warcząc głucho, obnażył kły. Tomek podsunął mu pod nos gałąź. Tygrys nagłym zrywem poderwał łeb i paszczą chwycił kij, miażdżąc go kłami. Tomek, w tej właśnie chwili, drugą ręką zarzucił mu na pysk rzemienną pętlę. Z kolei zacisnął rzemień i związał sprawnie w rodzaj kagańca.

Tomek wyprostował się; jego towarzysze odrzucili rozwidlone drągi.

— No, no, niczego sobie polowanko — odezwał się bosman rozprostowując plecy. — Niewiele brakowało, żeby tygrys nas złapał, a nie my jego. Skoro jednak udało się, to ofiaruj go teraz, Tomku, pięknej damie.

— Bosman ma rację, ciebie księżna prosiła o tygrysa, więc dokonaj ceremonii wręczenia tego... kłopotliwego daru — dodał Wilmowski.

Tomek uśmiechnął się słuchając tych uwag. Pochylił się przed księżną i rzekł po angielsku:

— Cieszymy się, iż wasza książęca wysokość szczęśliwie uniknęła złej przygody. A oto tygrys, którego obiecaliśmy schwytać.

— Thank you!<sup>271</sup> — odparła księżna jeszcze lekko drżącym głosem.

---

<sup>271</sup>

— Thank you (czytaj thank ju) po angielsku — dziękuję panu.



# TAJEMNICE INDYJSKICH FAKIRÓW

Następnego dnia po dramatycznym polowaniu na tygrysy maharadża wyprawił w swym pałacu przyjęcie, aby uczcić szczęśliwe zakończenie niebezpiecznej przygody. Trzej Polacy byli oczywiście najbardziej honorowymi gośćmi. Oprócz nich zostali również zaproszeni pułkownik Burton i generał Mac Donald. Obydwaj Anglicy, zazwyczaj wyniośli i chłodni w obcowaniu z ludźmi innych narodowości, jakby zapomnieli o swej charakterystycznej narodowej dumie. Głośno chwalili odwagę oraz przytomność umysłu polskich łowców, a pułkownik Ralf Burton nie odstępował niemal ani na krok Wilmowskiego, usiłując wciągnąć go w rozmowę na różne tematy.

Wilmowski na początku rozmowy zachowywał uprzejmą rezerwę. Sam odzywał się mało, pozwalając mówić Anglikowi. Wszakże po pewnym czasie zaczął zwracać baczniejszą uwagę na słowa Burtona, ponieważ wydało mu się, że nagła zmiana w zachowaniu się Anglika i cała ta rozmowa miały jakiś ściśle określony cel.

— Przepraszam, iż wspomnę pewną drażliwą sprawę, lecz muszę to uczynić, aby pan o mnie źle nie sądził — mówił Burton pochylając się nieco ku Wilmowskiemu. — Chodzi mi o słowa wypowiedziane przez pana, gdy ostrzegałem, że gepard księżnej jest naprawdę bardzo niebezpieczny.

Wilmowski z ukosa spojrział na Anglika, słuchając jego wyjaśnień:

— W Indiach nie ceni się tak życia ludzkiego, jak my to zwykliśmy czynić w Europie. Członkowie niższych kast są niczym dla uprzywilejowanych arystokratów. Gdybyśmy od razu usiłowali zmienić tutaj zwyczaje zakorzenione od wieków, to chyba bezpowrotnie stracilibyśmy Indie. Niech mi pan wierzy, że Hindusi jeszcze obecnie są pod wieloma względami barbarzyńcami. Anglicy mają tu do spełnienia wielką misję cywilizacyjną.

Wilmowski milczał w dalszym ciągu, tylko lekko ironiczny uśmiech błakający się na jego ustach świadczył, iż nie został przekonany zasłyszanymi argumentami. Burton zauważył ten uśmiech, lecz mówił dalej, przyjaznym tonem:

— Wprowadzenie odpowiednich zmian w tak wielkim i ludnym kraju nie jest łatwe. Mimo to właśnie Brytyjczycy zakazali matkom w Indiach składać w ofierze krokodylom na pożarcie niemowlęta i znieśli okrutny zwyczaj „*sati*”, który nakazywał wdowom, aby dla udokumentowania swej miłości do zmarłego małżonka dzieliły z nim całopalny stos pogrzebowy<sup>272</sup>.

— Nikt chyba nie odmawia tych zasług Anglikom — odezwał się Wilmowski. — Według mego zdania, w miarę ogólnego rozwoju cywilizacji, u wielu ludów samorzutnie zanikają zbyt surowe obyczaje. Podróżując po różnych kontynentach nabrałem przekonania, że „*uszcześliwianie*” krajowców wbrew ich woli nie wychodzi im na dobre.

— Rzecz oczywista, że w tych sprawach można mieć różne zapatrywania — powiedział Burton ściszym głosem. — Cenię ludzi o szerokim światopoglądzie. Wśród samych Hindusów również są podzielone opinie co do naszej roli w ich kraju. Najlepszym tego przykładem jest maharadża Alwaru, jego małżonka i jej brat Pandit Davasarman. Maharadża oraz Davasarman sprzyjają Anglikom, podczas gdy młoda księżna jest naszym nieprzejednanym wrogiem.

— Czyżby? — szczerze zdziwił się Wilmowski.

— To smutna prawda — potaknął Burton, — Z tego też względu w obecności Anglików maharani zawsze okazuje większą sympatię gościom innych narodowości.

Informacja ta ubawiła Wilmowskiego, lecz nie pokazał tego po sobie.

— Na szczęście maharadża rządzi księstwem, a nie jego młoda małżonka — rzekł, bacznie obserwując Burtona.

— Niestety, księżna niczym nie przypomina na ogół potulnych wobec mężów Hindusek. To wykształcona osoba, potrafiła wyzwolić się z przesądów upośledzających kobietę w Indiach. Dzięki temu przebywa tutaj z nami jak równa z równymi. Zazdrosny maharadża jest bezwolnym narzędziem w jej ręku. Właściwie to ona rządzi Alwarem!

Przy ostatnich słowach twarz Anglika nabrała wyrazu głodnego sępa, krążącego od dawna nad upatrzonym łupem. Zaraz wszakże się opanował i ciągnął dalej swobodnym tonem:

---

<sup>272</sup> — Hindusi palą na stosie ciała zmarłych. Wykonywanie zwyczaju „*sati*” zostało zakazane w 1829 roku przez angielskiego gubernatora w Indiach lorda Bentincka.

— Oczywiście wszystko to nie ma większego znaczenia dla naszych stosunków w tym kraju. Władcy poszczególnych księstw przemijają, a my — pozostajemy. Zrozumienie tej prawdy niezmiernie ułatwia podróż po Indiach.

— Dziękuję za „*uprzejmą*” radę — odpowiedział Wilmowski oschłym tonem, zrozumiawszy już teraz, do czego Burton zmierzał.

— Och, czyżbym się źle wyraził?! Nasza poufna rozmowa nie dotyczy panów, posiadających angielskie paszporty. Ponadto towarzystwo Pandita Davasarmana zapewni panom wolny przejazd nie tylko przez Indie. Mogą panowie całkowicie zaufać swemu przewodnikowi. To człowiek pewny i uczony, a także doskonale przygotowany do penetracji krajów niedostępnych dotąd dla Europejczyków.

Wilmowski zdumiał się, czyżby Burton był tą „*osobistością*”, u której Smuga zabiegał o uzyskanie zezwolenia na odbycie wyprawy? Jego dwuznaczne wypowiedzi świadczyły, że orientował się w jakim celu przybyli do Indii, podczas gdy oni sami nie byli dotąd tego świadomi. Ogarnął go niepokój. Czyżby Smuga naprawdę dał się uwikłać w jakąś intrygę polityczną? Postanowił natychmiast wyjaśnić niepokojącą sprawę. Pochylił się ku Burtonowi i zapytał:

— Panie pułkowniku, powiedział pan za dużo lub... za mało! Chciałbym wiedzieć, gdzie znajduje się mój przyjaciel Smuga, po co wezwał nas tutaj i co wspólnego ma z tym wszystkim Pandit Davasarman, o którym się tyle nam mówi?

— Ho, ho, a to szelma z naszego gospodarza! Nie wiedziałem nawet, iż posiada tak piękne tancerki ukryte w świątyni w dżungli — cicho zawołał Burton, jakby w ogóle nie słyszał pytania Wilmowskiego. — Niech pan spojrzy, ile zachwytu maluje się we wzroku pana przyjaciela! Nawet tak opanowany pan Tomek zdaje się być nimi oczarowany!

Wilmowski już nie ponowił pytania. Zrozumiał, że nie otrzyma na nie odpowiedzi. Zaczął zastanawiać się, dlaczego wokół tajemniczego wezwania Smugi panowała jakaś dziwna zmowa milczenia. Jednocześnie mimo woli obserwował taniec powabnych bajader<sup>273</sup>.

Trzy młodziutkie tancerki, ubrane w muślinowe, luźne szarawary, złociste napierśniki oraz w przezroczyste welony na głowach, tańczyły w takt

---

<sup>273</sup> — Bajadery — dworskie zawodowe śpiewaczki i tancerki jednocześnie, biorące udział także w obrzędach religijnych w hinduskich świątyniach.

staroindyjskiej melodii, niepokojącej wschodnim rytmem i barwą tonów. Brzęk srebrnych dzwoneczków przytwierdzonych do szerokich bransolet, które dziewczęta nosiły na nogach powyżej kostek, mieszał się ze śpiewnymi dźwiękami sarod–tamburyny<sup>274</sup>, grą fletów i huczeniem bębnów. Smukłe sylwetki tancerek rzucały ruchliwe cienie na białe, marmurowe ściany sali, oświetlone migotliwym blaskiem płonących pochodni.

Wilmowski niełatwo ulegał nastrojowi. Zwrócił uwagę na syna i marynarza. Bosman Nowicki, zerkając co chwila na indyjskie bajadery, opowiadał zapewne jakieś wesołe przygody maharadży i generałowi Mac Donaldowi, którzy słuchali tego z dużym zainteresowaniem. Tomek natomiast bawił rozmową piękną maharani. Księżna, jakby chcąc dokuczyć Anglikom, przyjaźnie uśmiechała się do młodego Polaka, coraz częściej opuszczała rąbek sari osłaniający jej piękną twarz, a gdy bajadery po ukończeniu tańca wybiegły z sali, podarowała Tomkowi na pamiątkę pobytu w Alwarze drogocenny pierścień z brylantem. Tomek zażenowany tak kosztownym upominkiem wzbraniał się go przyjąć.

— Chcę, aby pierścień ten zawsze przypominał panu, młody sahibie, Indie. Jeślibyś go nie przyjął, mogłabym przypuszczać, iż przyjaźń księżnej Alwaru jest ci przykra — rzekła maharani.

Tomek zaczerwienił się, wkładając pierścień na mały palec lewej dłoni. Nie mógł przecież obrazić życzliwej księżnej odmową.

W chwili gdy maharani wręczała Tomkowi pierścień, Wilmowski dostrzegł cień niezadowolenia na twarzy Burtona i jego znaczące spojrzenie na nieco zadumanego maharadżę. Nasunęło to Wilmowskiemu obawę czy Tomek, który wszędzie z największą łatwością zdobywał sobie przyjaciół, tym razem nie przyczyni im jakichś niepotrzebnych kłopotów w wypełnieniu zagadkowych planów Smugi. Bosman akurat przerwał swe opowiadanie i sięgnął po czarkę z aromatyczną herbatą, wobec czego Wilmowski skorzystał z okazji, by nawiązać ogólną rozmowę.

— W Europie wiele słyszałem o niezwykłych wprost umiejętnościach indyjskich jogów i fakirów. Jak dotąd jednak, mimo że od kilku dni przebywam w ojczyźnie tajemnej wiedzy, widziałem zaledwie jednego fakira... i to jeszcze w dodatku w Anglii, gdzie popisował się w cyrku różnymi

274

— Sarod–tamburyna — rodzaj harmonii, narodowy instrument indyjski.



sztuczki — głośno zagadnął, zerkając nieznacznie na syna, pasjonującego się takimi tematami.

Wilmowski nie pomylił się w swych rachubach. Bosman pierwszy natychmiast zapomniał o czarce z herbatą i zawołał tubalnym głosem:

— Święta prawda! Byliśmy wtedy razem w cyrku! Ten brodaty chudzielec kładł się gołymi plecami na deskę nabitą gwoździami, wsuwał do gardła noże, łykał ogień i czarował węże. Zręczne to były sztuczki!

— Ojciec, chyba zapomniałeś o ulicznym zaklinaczu węzów, którego spotkaliśmy podczas pobytu w Bombaju. Sprzeczailiśmy się nawet, czy jego węże miały usunięte zęby jadowe — zauważył Tomek, przerywając prowadzoną półgłosem rozmowę z maharani.

— Według mego zdania, zaklinacze nie są kuglarzami — powiedział Wilmowski. — Dlatego też stwierdzam, że dotąd nie widzieliśmy w Indiach fakirów.

— Bardzo chciałbym zobaczyć prawdziwego fakira — porywczo rzekł Tomek.

Maharadża Manibhadra uśmiechnął się i biorąc z rąk służącego krótką, nabitą tytoniem, zapaloną fajeczkę odezwał się:

— Postaram się zaspokoić panów ciekawość. Zanim jednak to uczynię, może pan pułkownik Burton zechce wyjaśnić panom właściwe znaczenie słów: fakir i jog. Pułkownik podczas długiego pobytu w Indiach wykazał wiele zainteresowania nie tylko dla spraw politycznych naszego kraju, lecz również dla tajemnej wiedzy naszych świętych mężów, a także dla intrygujących sztuczek kuglarzy. Toteż obecnie, jak sądzę, jest nie lada znawcą w tej dziedzinie.

Anglik nachmurzył się, ponieważ w słowach maharadży wyczuł ukrytą drwinę, ale mimo to odpowiedział swobodnym tonem:

— Chętnie to uczynię, ponieważ wielu Europejczyków mylnie interpretuje obydwa słowa. „*Fakir*” pochodzi z języka arabskiego i oznacza ubogiego, żebrzącego mnicha muzułmańskiego, który ślubował ubóstwo. Natomiast jogiem nazywa się w Indiach człowieka studiującego tajemne siły natury i stosującego w tym celu, w myśl hinduskiej filozofii, specjalny system skomplikowanych ćwiczeń „*yoga*” dla opanowania własnego ducha i ciała.

— Bardzo proszę, niech nam pan wytłumaczy, na czym polega ów system joga? — wtrącił zaciekawiony Tomek.

— Jog ślubuje ubóstwo, porzuca własne ognisko rodzinne i zamieszkuje w jakimś pustkowiu z dala od ludzi. Wyszukany przez niego guru, czyli nauczyciel, udziela mu wskazówek, jakie ma przyjmować pozycje ciała, wykonywać ruchy oraz uczy go świętych formułek. Po opanowaniu tej podstawowej wiedzy, jog zaczyna naukę oddychania, siedzenia oraz rozmyślenia. Jeżeli zdoła skutecznie przebrnąć przez wszystkie trudne ćwiczenia, zostaje poddany praktykom pokutniczym. Nie są one łatwe. Pokutnik bądź ślubuje na długie lata milczenie, bądź też wysiaduje w upale słonecznym przy płonących ogniskach, lub przebywa przez szereg dni w wodzie wysuwając z niej tylko głowę, a czasem całymi godzinami trzyma wyciągniętą w górę jedną bądź obydwie ręce. Ponadto musi odbyć kilka pielgrzymek do świętych miejscowości.

Gdy jog pomyślnie przebrnie ten jakby „*nowicjat*”, otrzymuje tytuł „*sannyasi*”. Teraz dokonuje swego obrzędowego pogrzebu, oznaczającego symboliczną śmierć ciała oraz narodziny do życia duchowego. Po tej ceremonii sannyasi uważany jest za świętego człowieka, a w końcu może osiągnąć najwyższy stopień świętości stając się paramahamsą.

Wspólną cechą muzułmańskiego żebrzącego mnicha–fakira i hinduskiego joga, przyjmującego po ukończeniu nowicjatu tytuł sannyasi jest to, że obydwaj ślubują żyć w ubóstwie. Jest to wszakże jedyna łącząca ich cecha.

Nie mają też nic wspólnego z tak zwanymi przez nas w potocznej mowie „*fakirami–kuglarzami*”, pokazującymi dla zarobku zręczne, na pozór nawet „*cudowne*” sztuczki.

— Faktycznie jasno nam to szanowny pan wytłumaczył — rzekł bosman. — Ponieważ jednak nie znam się na arabskich, ani na hinduskich praktykach religijnych, przeto więcej interesują mnie ci fakirzy–kuglarze. Ciekaw jestem, czy istnieją jeszcze tacy w Indiach?

— A jakże, istnieją i podobnie jak zaklinacze węzów, mają nawet swój odrębny cech. Zdaje się, że jego wysokość maharadza Alwaru przygotował dla nas jakąś niespodziankę. Wobec tego może ujrzemy prawdziwego indyjskiego sztukmistrza.

Zaledwie pułkownik Burton wypowiedział te słowa, maharadza Manibhadra czterokrotnie klasnął w dłonie. Przed ucztującymi gośćmi pojawił się stary, przygarbiony Hinduś trzymający w rękach płaski, zamknięty koszyk. Biednie ubrany starzec, miał na głowie turban z trzema pięknymi pawimi

piórami — oznaką zaklinaczy wężów. Zatrzymał się przed maharadzą, postawił swój koszyk obok, po czym złożywszy dłonie na piersiach, nisko skłonił się władcy Alwaru.

Manibhadra lekko pochylił głowę. Dał znak ręką, aby zaklinacz wężów popisał się swoimi umiejętnościami.

Starzec postawił płaski koszyk na środku sali i otworzył wieko. Na dnie kosza spoczywał zwinięty w kłęb żółtawo–popielato–niebieski wąż. Zaklinacz przykucnął nie opodal koszyka, po czym wydobył spod chałata instrument przypominający wyglądem klarnet i przytknąwszy go do ust, zaczął grać powolną, żalną, monotonną melodię.

Po krótkiej chwili wąż uniósł się nieco, wyprostował swe lśniące cielsko. Sprawiał wrażenie, jakby siedział na zwiniętym ogonie.

— Nalla–pamba, okularnik, chyba ma więcej niż półtora metra długości — szepnął Burton w kierunku łowców, z zainteresowaniem przyglądających się niezwykłemu widowisku.

— Śliczny okaz kobry — odparł również szeptem Wilmowski.

Wąż początkowo nie próbował opuścić kosza. Teraz zaczął objawiać niepokój. Stawał się coraz bardziej ruchliwy. Rozwinął tarczę na karku, ukazując na niej rysunek do złudzenia przypominający okulary. Na stronie brzusznej przedniej części tułowia kobry widniały trzy poprzeczne czarne pręgi. Podrażniony gad głośno sykał i żywo poruszał wytkniętym z paszczy językiem. Zaklinacz bez przerwy grał monotonną melodię na swym instrumencie. Kobra kilka razy rzuciła się w jego kierunku, jakby go chciała ugryźć, lecz zaklinacz wpatrywał się w nią uporczywie, nie usuwając się ani na krok.

Monotonna melodia rozbrzmiewała bez przerwy. Wąż z wolna zaczął zapadać w stan jakiegoś sennego upojenia. Jego oczy, gorejące jeszcze przed chwilą wściekłością i nienawiścią, teraz spoglądały w nieruchomym osłupieniu.

Zaklinacz wężów, wciąż grając, powoli zbliżył się do kobry. Na króciutką chwilę dotknął nosem, a potem językiem głowy węża. Kobra przebudzona nagle z dziwnego, jakby letargicznego snu, z wściekłością rzuciła się na swego pogromcę, lecz ten w porę zdołał od niej odskoczyć. Po chwili kobra znów uspokoiła się, wtedy zaklinacz zamknął koszyk.

— Do licha, jeśli wąż nie jest pozbawiony zębów jadowitych, to ten człowiek ryzykował życie — zawołał Wilmowski niedowierzająco.

— Czy podobna sztuka byłaby warta rupii, gdyby kuglarz nie ryzykował życia? — odezwał się maharadża, obrzucając wszystkich białych sahibów kpiącym wzrokiem. — Łatwo można sprawdzić, czy ta kobra ma wyrwane zęby jadowe. Czy któryś z panów ma na to ochotę?

— Tylko niewierny Tomasz chciał wszystko sprawdzać osobiście — odparł bosman swobodnie. — Moim wszakże zdaniem zaklinacz nie byłby na tyle głupi, by całował się z jadowitym wężem.

Maharadża znów klasnął w dłonie. Na salę wbiegł służący z dwoma kurczakami w koszyku.

— Przekonywanie się, czy nalla-pamba posiada zęby jadowe nie jest zbyt przyjemne, lecz może teraz sprawdzi pan, czy te kurczaki są żywe i zdrowe? — z humorem zwrócił się maharadża do bosmana.

— Ho, ho, nawet znam się coś niecoś na tym, bo zanim jeszcze zostałem bosmanem, kucharzowałem na jednym starym pudle podczas rejsu do Jokohamy<sup>275</sup> — odparł bosman.

Ochoczo zbliżył się do służącego trzymającego koszyk z kurczakami, po czym zbadawszy dokładnie ptaki, rzekł:

— Zdrowe jak ryby, chociaż nie bardzo odkarmione. Co mam teraz robić?

— Nic, szlachetny sahibie. Resztę wykona zaklinacz węzów — wyjaśnił maharadża.

Stary zaklinacz wziął jednego kurczaka i zbliżył się do kosza z uwięzioną w nim kobrą. Zaledwie odkrył wieko, wąż natychmiast uniósł się szybko. Pochylił płaski łeb i rozpostarł tarczę, na której błysnęły brudnobiałe okulary otoczone czarną obwódką. Jego ślepie gorzały wściekłością. Dojrzał Hindusa trzymającego ptaka. Zaklinacz nie zwracał uwagi na podniecenie rozgniewanego gada — podsunął mu kurczę. Kobra przez chwilę przyglądała się kurczęciu, po czym nagłym ruchem rzuciła się na nie, otwierając szeroko paszczę. Widać było, jak wyprostowują się osadzone w górnej szczęce jadowe zęby, które w zamkniętej paszczy, niby ostrza w złożonym scyzoryku ułożone były w specjalnych zagłębieniach.

---

<sup>275</sup> — Jokohama (po japońsku Yo'ko ha'ma — strona płaskiego brzegu) miasto i handlowy port morski w północno-wschodniej części wyspy Honsiu (Hondo) w Japonii.

Tomek krzyknął ostrzegawczo. Wiedział, że podczas otwierania paszczy i unoszenia się jadowitych zębów, spływa do nich jad z naciskanego mięśniami gruczołu. Gdy jad ten, o składzie zbliżonym do trupiego, dostanie się do krwi człowieka, lub zwierzęcia, wywołuje szybki rozkład ciałek krwi i powoduje śmierć w bardzo krótkim czasie.

Nikt nie zwrócił uwagi na okrzyk Tomka, gdyż kobra, błyskawicznie wysunęła łeb do przodu i zatopiła w ptaku swe zęby. Kurczę zatrzepotało w ręku zaklinacza. Atak kobry trwał nie dłużej niż mgnienie oka. Zaklinacz cofał się już od kosza z rozwścieczonym gadem. Teraz puścił wolno ukąszone przez węża kurczę, po czym zaraz podsunął mu drugie.

Podczas gdy uwolnione kurczęta wędrowały po posadzce strosząc piórka, kobra, sycząc głośno, wpijała swój zimny wzrok w ludzkie twarze. Mijała minuta za minutą. Kurczęta trzepotały skrzydełkami, a kobra głośno sykała rozglądając się dokoła.

Hindusi, u których kobra odgrywała ważną rolę w podaniach religijnych, spoglądali na gada z nabożną czcią oraz strachem. Pozostając od wieków pod wpływem braminów, uważali wyczyny zaklinaczy węży za objawy ich nadprzyrodzonej siły.

W przeciwieństwie do hinduskich krajowców, trzej biali łowcy zwierząt oraz obydwaj Anglicy w inny sposób oceniali intrygujące widowisko.

— Jak pan sądzi, czy ta kobra jest naprawdę jadowita? — półgłosem odezwał się generał Mac Donald do Wilmowskiego.

— Chyba tak! Zresztą wkrótce się o tym przekonamy — odparł Wilmowski. — Kurczaki rozstrzygną nasze wątpliwości.

— Święta prawda, lecz dlaczego nie rzuciła się na tego cwaniaka z fujarką? — szeptem zapytał bosman. — Jeżeli kurczaki zdechną, to uwierzę, iż zaklinacz potrafi kumać się z gadami. To nieczysta moc.

— Głupstwa pleciesz, bosmanie — odpowiedział Wilmowski wzruszając ramionami, — Trudno zaprzeczyć, że zaklinacze poufałym obcowaniem z jadowitymi gadami budzą ogólny podziw dla swych umiejętności. Mimo to nie są oni obdarzeni jakąkolwiek nadprzyrodzoną mocą. Po prostu posiadają umiejętności postępowania z węzami oraz dobrze znają ich naturę. Zaklinacz zbliża się do węża dopiero wtedy, gdy gad się uspokaja. Poza tym, jak słyszałem, wielu zaklinaczy ginie od ukąszeń swych pupilów.

— Patrzcie, panowie! Kurczaki zdychają! — zawołał Tomek.

Jedno z kurcząt przewróciło się na posadzkę. Kilkakrotnie wyprężyło nogi, a następnie znieruchomiało. W parę minut później drugi ptak również legł martwy. Było to widowym dowodem, że kobra mogła w każdej chwili pozbawić życia zaklinacza węzów. Europejczycy ujęci jego odwagą ofiarowali mu w nagrodę kilka rupii.

Niebawem zaklinacz oddalił się wraz ze swoim śmiercionośnym koszykiem. Maharadża znów klasnął w dłonie. Sześciu Hindusów wniosło na żelaznych prętach dużą, płaską, miedzianą tacę, napelnioną żarzącym się węglem drzewnym. Za nimi pojawił się przygarbiony, chudy starzec o twarzy okolonej długim, gęstym, siwym zarostem. Usiadł obok tacy, krzyżując podwinięte nogi. Założył ręce na piersiach i popadł w zamyślenie. Jego oczy przesłonięte nieco kosmykami krzaczastych brwi nie odzwierciedlały ani cienia zainteresowania dla półgłosem żartujących białych gości.

— Sahibowie chcieli ujrzeć prawdziwego indyjskiego fakira. Oto jeden z mistrzów w tym zawodzie. Może zdoła zabawić panów swymi sztuczkami — powiedział maharadża, z trudem tłumiąc szelmowski uśmiech, wyrażający pewność, iż spleta białym gościom doskonałego figla.

— Wygląda na to, że fakir będzie piekł kurczaki zakatrupione przez okularnika — szepnął bosman.

— Co też pan opowiada! — oburzył się Tomek. — Pokpiwał pan również z zaklinacza węzów, lecz gdy kurczaki zdechły, to zrzędał panu mina.

— Słuchaj, brachu, jadowity okularnik to nie micha z czerwonymi węgielkami — odciął się marynarz. — Masz jednak rację, lepiej nie łapać ryb przed niewodem. Może kuglarz połknie płonące węgle?

Obydwaj przyjaciele przerwali cichą wymianę zdań; w tym właśnie momencie fakir drgnął, jakby zbudził się z głębokiego snu. Dopiero teraz zaczął zdradzać zainteresowanie gośćmi zgromadzonymi na sali. Przenikliwym wzrokiem wodził od twarzy do twarzy. Nie pominął nikogo. Służbę indyjską zaledwie musnął spojrzeniem, trochę dłużej spoglądał na maharadżę, po czym kolejno wpatrywał się w białych sahibów. Tomkowi i bosmanowi niewiele poświęcił uwagi, lecz Wilmowskiego mierzył swym wzrokiem bardzo długo. Potem obydwaj Anglicy stali się przedmiotem jego zainteresowania, a w końcu przyglądał się przez chwilę pięknej maharani.

Niezwykłe zachowanie się fakira zmuszało wszystkich do milczenia i skupienia uwagi. Wytworzyła się podniecająca tajemniczością atmosfera. Naraz fakir odezwał się:

— Może któryś ze szlachetnych sahibów zechce sprawdzić, czy węgle wypełniające tacę naprawdę płoną i parzą?

Po doświadczeniu z jadowitą kobrą jakoś nikt nie kwapił się do okazania swoich wątpliwości. Fakir wodził wzrokiem po twarzach białych gości. Po dłuższej chwili wpił wzrok w oczy Tomka i rzekł cichym, sugestywnym głosem:

— Zbliź się do mnie, szlachetny, młody sahibie!

Tomek przez moment jakby się wahał, lecz mimo to poszedł do fakira, przyklęknął i wsunął dłoń ponad tacę. Żar zmusił go do cofnięcia ręki.

— Skoro już przekonałeś się, sahibie, że ten ogień naprawdę parzy, to proszę stań tu obok mnie i przyglądaj się pilnie — powiedział fakir. Po chwili zaczął śpiewać cichym głosem jakąś dziwną pieśń. Słaby początkowo głos stopniowo nabierał coraz większej mocy, aż w końcu wypełnił całą salę drgającą fanatyzmem melodią. Oryginalna pieśń niepokoiła słuchaczy i jednocześnie zmuszała ich do skupiania uwagi na niepozornym fakirze, którego wzrok błędził teraz gdzieś ponad głowami widzów. Na twarzach Hindusów odmalował się wyraz upojenia. Czy to pod wpływem słów pieśni, śpiewanej w nieznanym Tomkowi języku, czy też na jakiś niemy znak fakira, kilku hinduskich służących zgromadzonych na sali, jeden za drugim, poczęło wolno zbliżać się do tacy wypełnionej żarem węglowym. Zasluchani w dziki, płomienny śpiew fakira, bez pośpiechu przechodzili bosymi stopami przez rozżarzone węgle. Na twarzach ich nie było widać jakichkolwiek oznak bólu, ani poparzeń na stopach.

Tomek również pozostawał w pewnej mierze pod wrażeniem niezwyklej sceny i pieśni, lecz jednocześnie przez cały czas głowił się, na czym polegała sztuczka indyjskiego fakira? W końcu ciekawość, tak właściwa młodemu wiekowi, wzięła w nim górę nad rozsądkiem. Spojrzał na towarzyszy. Nikt nie zwracał na niego uwagi, wszyscy w napięciu obserwowali przechodzących przez ogień Hindusów. Tomek szybko zdjął obuwie i skarpetki. Podeszedł do magicznej tacy. Stało się to właśnie w chwili, gdy fakir przerwał swój śpiew. Zaledwie Tomek dotknął stopą węgla, jeszcze szybciej odskoczył, głośno sykając z bólu.

Maharadża poruszył się zaniepokojony i zawołał pospiesznie:

— Nie powinienes tego czynić, sahibie, ogień nie parzy jedynie podczas śpiewu fakira. Może mam polecić służbie, aby zaraz sprowadziła lekarza?

— Och, nie, nie! To drobiazg — zaprotestował Tomek, zawstydzony swym nieprzemyślanym czynem.

— A to ciekawa sztuczka! Jeszcze dotąd nie widziałem czegoś podobnego, chociaż przypatrywałem się różnym wyczynom fakirów — odezwał się pułkownik Burton.

— Doskonała robota. Zapewne ulegliśmy zbiorowej hipnozie<sup>276</sup> — stwierdził Wilmowski.

— Więc ty, Andrzej, przypuszczasz, że ten fakir nas uspił? — zdziwił się bosman. — To przecież niemożliwe! Raz już jeden taki magik próbował mnie uspić, ale nic z tego nie wyszło. O mało sam się nie kimnął. Przed chwilą uszczypnąłem się, za przeproszeniem, w pośladek i stwierdziłem, że nie śpię.

— Zbytńia ciekawość czasem nie popłaca. Przecież zdarzają się na świecie rzeczy, o których nie śniło się nawet filozofom — powiedział maharadża.

Stary fakir zniknął już z sali ze swoją płonąca misą, a Tomek zbliżył się do maharani i wiódł z nią cichą, ożywioną rozmowę. Wilmowski spostrzegł to niebawem. Podeszedł do syna i zapytał:

— No, jak tam, Tomku, czy nie pomyślałeś o nałożeniu opatrunku na stopę?

— Nie potrzeba, ojcze. Wcale mnie nie boli — odparł Tomek.

— Jeżeli oparzelina rozjątrzy się w trzewiku, łatwo może nastąpić zakażenie. Pamiętaj, w jakim klimacie się znajdujemy. Radzę pójść do domu i nałożyć opatrunek.

Tomek uśmiechnął się niedowierzająco. Przecież zraniona przed kilkoma dniami dłoń bosmana goiła się bardzo szybko. Chciał zaoponować, lecz powstrzymał się spojrzawszy na ojca. Wilmowski nieznacznie mrugnął do niego okiem.

— Jak zwykle masz rację, ojcze. Lepiej nie ryzykować... Pójdę do naszej kwatery i zrobię opatrunek — odpowiedział.

---

<sup>276</sup> — Hipnoza to stan odrętwienia podobny do snu. Osoba zahipnotyzowana wykonuje bezwzględnie wszystko, co nakazuje jej hipnotyzer.



— Może tutaj wezwiemy lekarza? — zapytał maharadża, który znalazł się akurat obok grupki rozmawiających.

— Nie zakłócajmy całemu towarzystwu przyjemnej zabawy takim drobiazgiem. Tomek doskonale sam sobie poradzi — stanowczo zaproponował Wilmowski.

— Ale niebawem wróci pan do nas? — spytał maharadża.

— Rozsądniej będzie opatrzyć oparzelinę. Radzę po nałożeniu opatrunku położyć się i odpocząć — odpowiedział Wilmowski, uprzedzając syna.

— Oczywiście, ojczy, uczynię, jak radzisz — odparł Tomek.

Przeprosił wszystkich za mimowolnie wywołane zamieszanie, po czym skłonił się i wyszedł. Piękna maharani miała tak bardzo zawiedzioną minę, że Wilmowski szczerze ucieszył się odprawieniem syna do domu.



## KRADZIEŻ PIERŚCIENIA

Tomek powoli wracał przez park do myśliwskiego domku. Idąc zastanawiał się, dlaczego natychmiast ojciec skorzystał z tak błahego powodu, by go wyprawić z pałacu maharadży jeszcze przed zakończeniem przyjęcia.

*„Gdyby ojcu naprawdę chodziło o moje oparzenie, to na pewno wróciłby razem ze mną do domu — monologował w myśli. — Nie, to był jedynie pretekst, bo przecież ojciec mrugnął okiem, udając niepokój o ewentualną możliwość powikłań z powodu zakażenia. Może w takim razie nie wypadało mieszać się do sztuczek fakira? Lecz przecież kuglarz sam mnie prosił o sprawdzenie, czy żar pali się i parzy. Wszyscy żartowali i nikt nie brał mi tego za złe. Nie, to nie o to chodziło.”*

Zamyślony szedł coraz wolniej. Srebrzysty blask księżyca w pełni dyskretnie wkradał się między drzewa. W górze na pogodnym niebie błyszcząły gwiazdy. W ciszy parnego wieczoru słychać było rechot żab, a od czasu do czasu rozlegał się krzyk nocnych ptaków uganiających za żerem.

Tomek wyszedł z parku na polanę. Po przeciwnej stronie widać było myśliwski domek maharadży i otaczające go rozłożyste platany. Tomek zatrzymał się; dopiero teraz spostrzegł, iż wieczór jest bardzo jasny. Spojrzał w niebo. Olbrzymia tarcza księżyca zdawała się zwisać tuż nad czarną linią drzew pobliskiej dżungli. Widok księżyca w pełni przypominał mu towarzyszkę wielu przygód — Australijkę Sally. Podczas wspólnego pobytu u jej stryja, szeryfa Allana w Nowym Meksyku<sup>277</sup>, w takie właśnie księżycowe wieczory Tomek z Sally i jej matką zazwyczaj przebywali do późna na werandzie i gawędzili na różne tematy, przeważnie dotyczące jego łowieckich przygód. Twarz Tomka wypogodziła się na wspomnienie Sally. Postanowił zaraz napisać do niej kilka słów.

*„Wprawdzie wysłałem do Sally list z Bombaju, ale mogę napisać również i dzisiaj, skoro, prawdę mówiąc, tęskno mi trochę za tą «sikorką» monologował w myśli. — Muszę powiadomić ją o okropnej przygodzie w Bombaju i jaką to niespodziankę sprawił nam pan Smuga swoją nieobecnością. Sally przecież nic jeszcze nie wie o naszym niezwykłym*

277

— Nowy Meksyk — południowo-zachodni stan w USA.

*polowaniu na tygrysy i o pierścieniu ofiarowanym mi na pamiątkę przez księżną Alwaru.”*

Naraz ogarnął go niepokój, czy rezolutna Sally nie będzie miała mu za złe przyjęcia pierścienia od maharani. Sally zawsze dąsała się, gdy w jej obecności rozmawiał z innymi dziewczętami.

*„Do licha, na śmierć zapomniałem, że ta mała jest zazdrosna. Czyż mogłem jednak być dla księżnej mniej uprzejmy, skoro okazała tyle życzliwości?”* — zafrasował się Tomek i nagle... nagle zrozumiał, dlaczego ojciec wyprawił go do domu.

*„Na pewno popełniłem nietakt, zbyt długo rozmawiając z maharani — robił sobie surowe wyrzuty. — Jak mogłem zapomnieć, że w Indiach kobiety nie przebywają na ogół w towarzystwie obcych mężczyzn. Prawdopodobnie mimo woli znów palnąłem jakieś głupstwo...”*

Jak niepyszny wrócił do domu. Zapalił w izbie kaganek oliwny i zdjął trzewik, aby założyć opatrunek na oparzelinę. Chociaż był w nie najlepszym humorze, parsknął głośnym śmiechem, gdy spojrzął na obnażoną stopę. Nieznaczne zaczerwienienie nie mogło spowodować jakichkolwiek komplikacji.

*„Ojciec miał rację, to chyba była hipnoza. Maharadża zapewne również o tym wiedział, a ja, ja znów się wygłupiłem. Skoro wszakże ojciec odgadł prawdę, to musiał także wiedzieć, że nic poważnego mi nie grozi. Wobec tego odprawił mnie do domu jedynie ze względu na księżną”* — pomyślał ciężko wzdychając.

Zakłopotany usiadł na posłaniu. Nie miał jakoś odwagi do napisania listu do Sally. Oczywiście mógł jej nic nie wspominać o pierścieniu maharani, lecz wtedy wyglądałoby to tak, jakby chciał ją oszukać. Tego Tomek nigdy by nie uczynił. Postanowił odłożyć pisanie listu do dnia następnego. Wyciągnął się w ubraniu na miękkich matach. Zaczął rozmyślać, w jaki sposób powinien opisać wydarzenia minionego wieczoru.

Czas wolno mijał... Tomek wciąż spoczywał na posłaniu. Sennym wzrokiem śledził biegającą po suficie zwinną, barwną toke. Niestrudzenie łowiła owady siadające w jej pobliżu. Ładne zwierzątko miało bladoniebieskawy tułów, upstrzony okrągłymi, ceglasto-czerwonymi plamami. Dzięki poduszeczkom, czyli jakby rozszerzeniom z poprzecznie ułożonych listków skóry, o różnej wielkości i kształcie, jakie toke posiadała

na połączonych błonami palcach czterech łap, swobodnie biegała po gładkim suficie i ścianach<sup>278</sup>.

Tomek nie dziwił się obecności gekkona w mieszkaniu i nawet nie próbował go wypłoszyć. W Indiach jaszczurki są powszechnym zjawiskiem nie tylko w domach mieszkalnych. Spotyka się je również w pomieszczeniach urzędów i w sklepach. Prowadzą przeważnie nocny tryb życia: we dnie śpią w norach lub w szczelinach murów, a po zapadnięciu zmroku rozpoczynają łowy na wszelkie owady, oddając tym człowiekowi przysługę. Toke niezmordowanie chwyciła komary wlatujące do oświetlonej izby i niebawem znalazła się na ścianie tuż przy pościeli.

Tomek uniósł się na łokciu, aby lepiej przyjrzeć się pożytecznemu, oryginalnemu gadowi. Toke trochę przestraszona nadęła się, szeroko otworzyła pyszczek i głośno zasyczała, spoglądając na niego swymi czujnymi oczkami. Tomek, nie chcąc spłoszyć jaszczurki, z powrotem nieruchomo legł na macie, a ona prowadziła dalej swoje łowy, nie zwracając już na niego uwagi.

W miarę upływu czasu Tomek odczuwał coraz większą senność, mimo to postanowił czekać na powrót ojca i bosmana. Pragnął jeszcze tego wieczoru zapytać ich, czy przypadkiem jego zachowanie się podczas uczyty u gościnnego maharadży mogło spowodować jakieś nieprzewidziane kłopoty.

Gdyby znał treść rozmowy ojca z pułkownikiem Burtonem, nie miałby powodu do jakichkolwiek obaw. Albowiem rozsądny Wilmowski, nieświadom dotąd tajemniczych planów Smugi, na wszelki wypadek wolał nie drażnić obecnych na uczytce obydwóch Anglików, reprezentujących brytyjskie czynniki urzędowe w Indiach, tak jawnie okazywaną przez księżną sympatią dla Polaków. Ponadto, zasugerowany słowami Burtona, zaczął obawiać się, czy zazdrosny maharadża właściwie ocenia pewną poufałość swej małżonki wobec Tomka. Z tych też jedynie względów skorzystał z nadarzającej się okazji i wysłał syna do domu, nie mając oczywiście o nic do niego żalu. Tomek niestety tego nie wiedział i dlatego, w miarę jak przedłużała się

---

<sup>278</sup> — Toke (*Gecko verticillatus*) należy do rzędu gadów łuskonośnych, które dzielą się na 3 podrzędy: jaszczurki (*Lacertilia*), kameleony (*Rhipidoglossa*) i węże (*Ophidia*). Jaszczurki tworzą największy podrząd. Liczba ich znanych gatunków dochodzi do 2000. Dzielimy je na 12 rodzin. Wśród nich znajduje się rodzina gekkonów, które w różnych odmianach żyją we wszystkich ciepłych krajach. Długość tułowia gekkonów dochodzi do 35 centymetrów. Prócz owadów pozerają inne gatunki gekkonów, własne młode, a nawet myszy. Same często padają ofiarą węży indyjskiego.

nieobecność ojca, odczuwał coraz większe zakłopotanie. A tymczasem zupełnie inne i realne niebezpieczeństwo czaiło się już w bliskości myśliwskiego domku...

Skrzek przebudzonej papugi rozbrzmiał niemal tuż nad głową skulonego zakapturzonego człowieka, przyczajonego w krzewach okalających półkolem myśliwski domek na skraju dżungli. Tajemniczy człowiek skulił się jeszcze bardziej. Na moment przywarł do pnia drzewa. Minęła chwila, zanim mężczyzna, zakutany razem z głową w coś w rodzaju opończy z kapturem, zaczął skradać się znowu. Przystanął dopiero tuż obok rozłożystego platanu. Spojrzał w górę na konary zwisające ponad dachem myśliwskiego domku; spod rozchylonego nieco kaptura ukazała się twarz osłonięta szeroką, czarną maską. W dwóch podłużnych wycięciach błysnęły oczy.

Groźny mężczyzna długo wpatrywał się w małe zakratowane okienko, rozjaśnione odblaskiem płonącego wewnątrz kaganka oliwnego. Czas mijał, a światło nie gasło. Zakapturzony człowiek, uspokojony zapewne kompletną ciszą, ostrożnie wspiął się na pień drzewa. Po kilku minutach był już na grubym konarze ponad domkiem. Bezszelestnie opuścił się na płaski dach i podpełzł do kwadratowego otworu. Bambusowa krata nie stanowiła zbyt wielkiej przeszkody dla tajemniczego mężczyzny. Zręczne dłonie prześliznęły się pomiędzy prętami, wyciągnęły zatyczkę przytrzymującą skobel, po czym bezgłośnie otworzyły kratę.

Zakapturzona głowa pochyliła się nad otworem w dachu. Czujne oczy penetrowały wnętrze domu. W pierwszej izbie nie było nikogo. W półmroku nieśmiało migotały odblaski oliwnego kaganka, płonącego w drugim pomieszczeniu, oddzielonym od pierwszego jedynie lekką, przejrzystą zasłoną. Nie opodal tej właśnie zasłony, na niskim posłaniu z mat, leżał młody, biały mężczyzna. Usnął zapewne, ponieważ przez dłuższy czas nie wykonywał najmniejszego ruchu. Upewniwszy się iż więcej nikogo nie ma w tej chwili w domku, zakapturzona postać wycofała się z otworu i strząsnęła z siebie opończę.

Przedtem tajemnicze indywiduum przypominało swym wyglądem oraz ruchami przygarbionego, dziarskiego starca. Obecnie nie można było mieć już jakichkolwiek wątpliwości. Na dachu domku znajdował się dobrze zbudowany, zwinny mężczyzna w średnim wieku. Podejrzany sposób, w jaki

tam wtargnął, szeroka, czarna maska osłaniająca twarz i bezgłośnie, ostrożne ruchy świadczyły dobitnie o złych zamiarach.

Mężczyzna przerzucił opończę przez lewe ramię. Z kieszeni spodni wydobył kilka małych kamyków. Znów pochylił się nad otworem w dachu. Jeden po drugim wrzucił do wnętrza izby trzy kamyki, bacznie obserwując spoczywającego na matach młodzieńca; ten ani drgnął na odgłos kamyków uderzających o posadzkę.

„*Śpi, śpi już na pewno...*” — pomyślał zamaskowany intruz, usiadł na dachu, a następnie opuścił nogi w otwór. Stopami namacał szczeble bambusowej drabinki. Cicho jak zjawa zszedł po niej na dół. Ostrożnie zbliżył się do zasłony przedzielającej obydwie izdebki. Teraz mógł już dokładnie przyjrzeć się spoczywającemu na macie białemu chłopcu. Ten nie spał jeszcze, lecz w mdłym świetle kaganka widać było wyraźnie, iż z coraz większym trudem walczy z ogarniającą go sennością. Już tylko od czasu do czasu nieco unosił powieki, by zerknąć na jaszczurkę biegnącą po ścianie za owadami.

Zamaskowany mężczyzna wyjął spod koszuli bambusową rurkę i mały skórzany woreczek. W rurkę wsypał z woreczka jakiegoś proszku, po czym uchyliwszy zasłonę przedzielającą obydwie izby, wysunął ją w kierunku głowy leżącego. Lekkie dmuchnięcie rozpyliło proszek w powietrzu nad twarzą na wpół uspiętego Tomka. Tylko czujna toke spostrzegła niecny czyn złoczyńcy, nadęła się i głośno syknęła.

Tomek ocknął się z półsnu. Spojrzał na rozgniewaną jaszczurkę umykającą po ścianie w kierunku szczeliny. Naraz poczuł łaskotanie w nosie. Kichnął potężnie, co zmusiło go do wydobycia z kieszeni chusteczki, lecz potem znów ułożył się wygodnie i z powrotem zamknął oczy.

Na odgłos kichnięcia intruz drgnął nieprzyjemnie zaskoczony, jakby ono było dlań jakąś złowróżbną przestrogą.

— O, patronko nasza, święta bogini Bogiri Mahalakshmi, dlaczego mi dzisiaj nie sprzyjasz?<sup>279</sup> — wyszeptał zakłopotany.

---

<sup>279</sup> — W Indiach, jako jedynym kraju na Ziemi, zawodowi przestępcy tworzą odrębną, własną kastę hinduską. Są oni znani pod nazwą „*Crim*”. Kasta obejmuje podobno około 10 milionów członków. Crimowie za patronkę swą uważają boginię Bogiri Mahalakshmi. Aby uniknąć usunięcia z kasty, co dla wszystkich Hindusów jest największą zniewagą, każdy Crim musi przynajmniej raz do roku dokonać kradzieży. Są oni bardzo przesądni i zabobonni. Jeżeli Crim spotka mleczarkę, bądź też kogoś niosącego pieniądze, ryż, rybę lub wodę — uważa to za dobry znak, natomiast za zły dla siebie

Ogarnięty przesadną obawą już miał zamiar wycofać się z ryzykownego przedsięwzięcia, gdy naraz ujrzał na palcu Tomka brylant błyszczący w pierścieniu podarowanym przez maharani. Nie mógł wprost oderwać od niego wzroku. Widać było, iż toczy ciężką walkę wewnętrzną. To cofał się w głąb izby, to znów powracał do zasłony, a za każdym razem rozognionym wzrokiem szukał błysku pierścienia.

*„O święta patronko, wybacz mi ten jeden, jedyny w życiu raz, iż lekceważę twą przestrożę — szeptał. — Ostrzegłaś mnie, lecz powiedz sama, czy nadarzy mi się po raz drugi tak wspaniała okazja? Wiem, że po otrzymaniu tak jawnego znaku powinienem ulepić twój nowy posążek i złożyć dodatkową ofiarę w świątyni... Wybacz mi ten jeden raz! Gdy posiadę pierścień, ofiaruję ci dar tak kosztowny, jakiego jeszcze nigdy nie otrzymałaś od Crima”.*

Trochę uspokojony złożonym ślubowaniem jeszcze raz wydobył bambusową rurkę, napełnił ją usypiającym proszkiem i wydmuchnął go w kierunku głowy młodzieńca.

Minęła dłuższa chwila. Pierś Tomka unosiła się równomiernym oddechem. Mężczyzna w masce stał cierpliwie. Pilnie nadstawiał ucha, czy ktoś niepowołany nie zbliża się z zewnątrz. Wokół trwała niczym nie zmacona nocna cisza. Nałożył więc na siebie opończę, okrył głowę kapturem i wśliznął się do sąsiedniej izby. Ostrożnie, krok za krokiem, zbliżał się do posłania. Zatrzymał się tuż przed uśpionym. Chwilę badawczym wzrokiem przyglądał się jego twarzy, potem przykucnął przy nim. Końcami palców delikatnie ujął pierścień. Na nieszczęście dla niego mały w obwodzie, kobiecy pierścień mocno tkwił na palcu Tomka. Przygotowany widać i na to sprytny złodziej zwilżył palec śpiącego oliwą z kaganka i jeszcze raz zabrał się do zdejmowania pierścienia. Szło mu to bardzo opornie. Podenerwowany niepowodzeniem, zaczął uciskać palec i ciągnąć pierścień. Zaabsorbowany całkowicie swoim trudnym zadaniem nie spostrzegł, iż Tomek wolno uchyla powieki.

Tomek budził się naprawdę. Pierwsza porcja usypiającego proszku uleciała wraz z kichnięciem, druga — nie zdążyła jeszcze wyrzucić

---

omen poczytuje na przykład: wycie szakala, skrzek kani, przebiegnięcie białego kota, napotkanie zawodowych płaczek itd. Kichnięcie czyjeś w pobliżu traktuje jako znak swej patronki, bogini Bogiri Mahalakshmi, iż tego dnia nie sprzyja ona jego przedsięwzięciu.



odpowiedniego skutku na silnym organizmie młodego podróżnika. Zamaskowany intruz za wcześnie przystąpił do działania, toteż Tomek, chociaż był już trochę oszołomiony, poczuł, że ktoś ściąga mu pierścień z palca. Zaprawiony podczas wypraw łowieckich do niebezpieczeństw, niczym nie zdradził swego przebudzenia, aczkolwiek serce żywiej zabiło w jego piersi na widok zamaskowanego mężczyzny.

Spod w półprzymkniętych powiek w wielkim napięciu wpatrywał się w tajemniczą zakapturzoną głowę oraz twarz ukrytą pod czarną maską. Czyżby to był człowiek z blizną na twarzy, który w Bombaju zabił Abbasa? Przecież przypuszczali, że morderca zdołał w jakiś sposób poznać tajemnicę Smugi i pragnął pokrzyżować jego plany. Mógł więc również po dokonaniu niecnego czynu śledzić ich i skrycie przybyć za nimi do Alwaru. Wypatrując blizny na twarzy zamaskowanego mężczyzny, Tomek jednocześnie starał się obmyślić jakiś plan działania w tej groźnej sytuacji. Nie miał przy sobie broni. Przed udaniem się do pałacu schował rewolwer do walizki. Napastnik chyba był uzbrojony; ponadto jego wspólnicy mogli czaić się w pobliżu. Cóż Tomek miał począć? Myśli jak błyskawice przelatywały mu przez głowę, lecz żaden z pomysłów nie wydawał się rozsądny.

*„Do licha, na razie mam przed sobą tylko jednego przeciwnika, potem zaś zobaczymy, co z tego wyniknie...”* — myślał.

Nie poruszając lewą ręką, z której palca ściągano mu pierścień, Tomek nagłym ruchem prawą dłońią chwycił za kaptur osłaniający złodzieja. Ten nie stracił przytomności umysłu. Nim Tomek zdołał się podnieść, przycisnął go do maty całym ciężarem swego ciała, kleszczowym chwytem obezwładnił lewą dłoń i zdarł pierścień z palca. Teraz gwałtownie odskoczył od Tomka, pozostawiając zdarty z głowy kaptur w jego ręku. Tomek poderwał się z posłania. Wtedy właśnie otrzymał cios pięścią w podbródek. Zatoczył się na ścianę.

Złodziej jednym skokiem dopadł do kaganka oliwnego. Silne dmuchnięcie pograżyło wnętrze mieszkania w kompletnych ciemnościach.

Tomek szybko ochłonął po niespodziewanym uderzeniu. Zaledwie usłyszał szelest kroków, natychmiast odważnie rzucił się w pogoń. Wbiegł do drugiej izby, złodziej właśnie zniknął w otworze sufitu. Rozważny i przezorny Tomek nie zaryzykował wyjścia na dach. Tam przecież mógł napastnik czatować na niego i ogłuszyć uderzeniem, a może nawet zabić, gdyby

wynurzył głowę z otworu. Tak rozumując cicho otworzył nie zaryglowane drzwi i wybiegł na zewnątrz, kierując się ku platanowi rosnącemu za domem. Tamtędy złodziej musiał zejść z dachu na ziemię.

Odetchnięcie czystym, świeżym powietrzem całkowicie przywróciło Tomkowi sprawność fizyczną. Szybko okrążył dom. Złodziej akurat zeskakiwał z drzewa. Ujrzawszy nadbiegającego Tomka, zaczął umykać w kierunku dżungli. Tomek bez wahania podążył za nim.

Od dżungli dzieliło ich około dwustu metrów. Księżycowa noc była bardzo jasna. Tomek biegł za złoczyńcą, który co chwila oglądał się za siebie.

*„Jeżeli nie zdołam go dogonić, zanim skryje się w dżungli, umknie bezkarnie — przemknęło Tomkowi przez myśl. — Gdybym miał przy sobie broń, łatwo bym go zatrzymał.”*

Niestety rewolwer spoczywał bezużytecznie w walizie. Tomek był bezbronny, lecz podniecony napadem nie odczuwał strachu przed walką z umykającym złoczyńcą. Jeśli schwytany okazałby się mordercą Abbasa, pomściłby śmierć niewinnego człowieka i jednocześnie mógłby odzyskać ukradziony depozyt oraz pierścień maharani. Rozgniewany i zdecydowany na wszystko przyspieszył biegu.

Ciemna dżungla była już bardzo blisko. Odległość między biegnącymi zmniejszała się z każdą chwilą. Tomek zaprawiony do długich, nużących marszów potrafił zdobywać się na najwyższy wysiłek. Obecnie dzieliło go od umykającego zaledwie kilkanaście kroków. Wkrótce wpadli pomiędzy drzewa. Tomkowi wyrwało się niemal dziękczynne westchnienie — znał tę ścieżkę z rozpoznawczego wypadu do dżungli sprzed trzech dni. Dzięki temu teraz z łatwością orientował się w terenie. Domyślił się również, dokąd złodziej zamierza umknąć, bowiem ścieżka wiodła do małej hinduskiej świątyni ukrytej w dżungli.

Złoczyńca, zaniepokojony zapewne bliskością ścigającego, coraz to spoglądał za siebie. W pełnym pędzie wbiegli na urwistą drożynę, wijącą się nad brzegiem rozległego bagniska. Tomek natychmiast przypomniał sobie setki głodnych krokodyli, które uprzednio widział wylegające się na kępach moczarów. Przezornie zwolnił tempo pościgu, albowiem stoczenie walki na tak urwistej, wąskiej ścieżynie groziło śmiercią w straszliwych paszczach gadów.

Najbliższe chwile potwierdziły słuszność jego obaw. Niefortunny złoczyńca pragnął zapewne za wszelką cenę umknąć pogoni, albowiem pędził dalej, nie zważając na niebezpieczeństwo. Nagle potknął się, upadł i stoczył się w bagnisko. Tomek wzdrygnął się usłyszawszy plusk wody. Ciche dotąd bagno nagle ożyło. Słysząc było wyraźnie, jak krokodyle z trawiastych kęp zsuwają się do wody i płyną pośpiesznie ku brzegowi kłapiąc paszczami. Każda sekunda zwłoki groziła straszliwą katastrofą. Tomek kilkoma susami dobiegł do miejsca, gdzie uciekający wpadł w bagno i teraz bezskutecznie próbował wydostać się na brzeg. Tomek chwycił jego wyciągniętą dłoń. Gwałtownym ruchem dźwignął go w górę. Pomógł mu powstać z ziemi. Przyśpieszony głośny oddech złoczyńcy wymownie świadczył o jego dużym zmęczeniu. Mimo to zaledwie znalazł pewne oparcie pod stopami, zaraz strząsnął ze swego ramienia dłoń Tomka. Odskoczył błyskawicznie, po czym ostrzegł stłumionym, rwącym się głosem.

— Precz stąd, lub zginiesz... sahibie!

Tomek był zaskoczony reakcją złoczyńcy. Przecież najprawdopodobniej uratował mu życie! Nie spodziewał się takiej niewdzięczności. Oburzony, bez namysłu zawołał:

— Zaczynam żałować, że ci pomogłem przed chwilą. Zdejmij natychmiast maskę z twarzy lub wrzucę cię z powrotem do bagniska! Może jesteś nie tylko nocnym złodziejem, lecz i podstępny mordercą!

— Więc giń, głupcze! — syknął tamten.

Brylant na jego palcu błysnął w świetle księżyca. Nagłym uderzeniem pięści chciał strącić Tomka ze ścieżki w grzędawisko. Tomek uchylił głowę; zdradziecka pięść zaledwie otarła się o jego ramię. Złoczyńca nie zaryzykował nowego ciosu, zaczął znów szybko uciekać.

Tomek teraz zupełnie zapomniał o ostrożności. Oburzony do głębi duszy rzucił się w szaleńczy pościg. Po kilku minutach dobiegł do rozwidlenia ścieżyny i pognał za uciekającym ku świątyni.

W jasnym świetle księżyca białe mury ostro rysowały się na tle czerni dżungli. Napastnik wbiegł do tajemniczej budowli. Tomek ostrożnie przystanął w progu.

Wnętrze hinduskiej świątyni tonęło w półmroku. W migotliwym świetle płonącej pochodni widać było w głębi żółtą kotarę. Tomkowi zdawało się, iż za nią właśnie zniknął złoczyńca. Stał niezdecydowany. Nieufnym wzrokiem

spoglądał na widniejące wzdłuż ścian posągi bożków i bogiń, demonów, przerażających maszkar półludzi i półzwierząt.

Rychło ochłonął z pierwszego przykrego wrażenia. Już się nie wahał dłużej. Ostrożnie zamknął za sobą ciężkie podwoje, aby utrudnić złoczyńcy ewentualną ucieczkę, po czym ruszył w głąb mrocznej świątyni.

Uchylił kotary. Oczom jego ukazał się duży posąg czwororękiej bogini. Kamienne bóstwo w jednej ręce dzierżyło nóż, w drugiej głowę ludzką, a dwoma pozostałymi zdawało się jakby kogoś przyzywać. Jedynym strojem odrażającego bóstwa był zwisający wokół bioder pas kamiennych rąk ludzkich. W refleksach migotliwego, czerwonego światła posąg sprawiał wrażenie żywej, poruszającej się groźnej istoty.

„*Krwiożercza bogini Kali*” — szepnął Tomek.

Obszedł posąg dookoła, ostrożnie stąpając między leżącymi na posadzce świeżymi kwiatami. Teraz dostrzegł w ścianie niski, ciemny otwór. Zagłębił się w zatechły korytarz. Drgnął, gdy obok jego głowy zatrzepotał się jakiś stwór. Tomek pomyślał, że to zapewne nietoperz. Nie ociągając się ruszył dalej wzdłuż ściany. Wkrótce ujrzał pasmo migotliwego światła. Dotarł do końca korytarza. Przyłgął całym ciałem do ściany. Ostrożnie wychylił głowę.

Przed kamiennym posągiem jakiejś bogini siedział z podwiniętymi nogami mężczyzna w masce. Z wyrazem wielkiego zadowolenia na twarzy, uspokojony, spoglądał właśnie na swój łup, leżący na jego otwartej dłoni. Widocznie już nie spodziewał się tutaj pościgu.

Tomek ruszył ku niemu. Miękki dywan zaścielający posadzkę tłumił ostrożne kroki. Przystanął tuż za zamaskowanym mężczyzną, pochylił się nad nim i nagłym ruchem schwycił swój pierścień. Zaskoczony złoczyńca oniemiał w pierwszej chwili, zaraz jednak znalazł się z Tomkiem twarzą w twarz.

— Giń, przeklęty sahibie... — krzyknął stłumionym ze wściekłości głosem, dobywając zza pasa sztyletu.

Tomek odzyskawszy pierścień, machinalnie nałożył go na palec. Nagle ujrzał błysk stali, błyskawicznie uskoczył w bok, po czym prawą dłonią chwycił rękę napastnika w przegubie, a lewą nacisnął jego łokieć. Gwałtownym szarpnięciem powalił na ziemię złoczyńcę, który krzyknął z bólu i upuścił sztylet. Tomek przygniół leżącego przeciwnika kolanami,

przytrzymał w kleszczowym uścisku obezwładnioną zręcznym chwytem jego rękę, drugą zaś swą dłoń wyciągnął ku zamaskowanej twarzy.

— Precz — krzyknął przerażony złoczyńca.

Wolną ręką próbował osłonić twarz. Tomek już miał zerwać maskę, gdy naraz usłyszał kobiecy wzburzony głos:

— Puść go, sahibie, i tak został już dostatecznie ukarany.

Tomek obejrzał się bezgranicznie zdumiony. W progu korytarza stała młoda księżna Alwaru. Zaskoczony jej obecnością w nocy w leśnej świątyni, przerwał walkę. Zwolnił złoczyńcę z kleszczowego chwytu, podniósł się i skłonił przed maharani.

Złoczyńca dźwignął się z ziemi. Chyłkiem podążył ku korytarzowi, prześliznął się obok księżnej i znikł w mroku. Maharani szczelnie otulona we wzorzystą, jedwabną chustę zbliżyła się do Tomka.

— Nie jesteś zbyt ostrożny, młody sahibie — powiedziała. — Najpierw pozwalasz sobie ukraść pierścień, a potem lekkomyślnie zapuszczasz się samotnie do świątyni hinduskiej, by u stóp bogini Bogiri Mahalakshmi, patronki złoczyńców, walczyć o swą zgubę. Nie jest to ani roztropne, ani... bezpieczne. Gdybym nie przybyła w porę, po tym, co się zdarzyło, jeden z was musiałby zginąć.

— Wcale nie miałem zamiaru karać złodzieja śmiercią, chociaż on, jak mi się wydaje, nie miał zbyt dużych skrupułów — odparł Tomek. — W jaki sposób wasza książęca wysokość dowiedziała się o kradzieży pierścienia?

— Zdradziła mi to święta bogini Kali, na której cześć odbędą się dzisiejszej nocy przy pełni księżyca religijne tańce — odparła maharani, po czym roześmiała się beztrosko i dodała: — Musisz stąd odejść, ponieważ bajadery przygotowują się już do obrzędu.

Tomek z uwagą przyglądał się maharani. Przecież zachowanie jej wyraźnie wskazywało, iż знаła tajemniczego złoczyńcę. Nagle zauważył porzucony w czasie walki sztylet. Podniósł go. W rękojeści wysadzanej brylantami tkwił wielki, krwawy rubin. Tomek doskonale pamiętał tę drogocenną broń. To był sztylet maharadży.

Zaskoczony tak niezwykłym odkryciem, spojrział zdumiony na księżnę. Swobodnie patrzyła na niego, lekko się uśmiechając.

— A więc poznałeś sztylet? Oczywiście, taki sam posiada mój mąż — powiedziała. — Swego czasu polecił snycerzowi wykonać trzy identyczne

sztylety. Jeden z nich zatrzymał dla siebie, drugi dał memu bratu, a trzeci... to jest właśnie ten trzeci. Nazwisko właściciela nic by ci nie powiedziało, więc po prostu zatrzymaj sztylet na pamiątkę i... zapomnij o wszystkim. Indie są krajem pełnym dziwnych tajemnic. Lecz chociaż mogą się u nas dziać niezwykle dla Europejczyka rzeczy, to, jak sam doświadczyłeś na sobie, bogowie nasi czuwają nad bezpieczeństwem tych, których my bardzo lubimy. Przynieś, że zapomnisz o wszystkim... szlachetny sahibie.

— Wasza książęca wysokość przeszkodziła mi zdjąć maskę z twarzy tego... człowieka — powiedział Tomek. — Zanim cokolwiek przyrzeknę, muszę upewnić się, czy ma on szeroką bliznę na twarzy. Czy wasza książęca mość może mi to wyjawić?

— On na pewno nie ma blizny na twarzy. Cóż złego uczynił ci tamten człowiek? Czy to miało miejsce w Alwarze?

— Człowiek z blizną na twarzy zabił w Bombaju urzędnika linii okrętowej, u którego pan Pandit Davasarman i pan Smuga pozostawili dla nas list oraz cenny depozyt.

— Och, sahibie! Ręczę ci moim słowem, że złodziej pierścienia nie miał i nawet nie mógł mieć z tym nic wspólnego. Czy teraz przyrzekniesz zapomnieć o tym przykrym wydarzeniu?

— Już zapomniałem — szepnął Tomek bardzo zmieszany. — Na dowód tego oddaję waszej książęcej wysokości sztylet i proszę o zwrócenie go właścicielowi.

Piękna maharani przestała się uśmiechać. Wzięła sztylet i chowając go pod chustę rzekła cicho:

— Twój ojciec i przyjaciel rozmawiają teraz z Panditem Davasarmanem. Przybył zaledwie przed godziną. Wracaj więc szybko do domu, ponieważ usłyszysz od nich ciekawe nowiny. Dobranoc, miły sahibie.

— Czy pan Smuga również przyjechał? — zapytał Tomek.

— Nie, jutro razem z moim bratem wyruszyście do niego.

— Dziękuję za dobrą wiadomość. Dobranoc!

Księżna uśmiechnęła się smutno, a potem przez dłuższą chwilę wpatrywała się w ciemny korytarz, którym odszedł młody człowiek.

## PANDIT DAVASARMAN

Tomek zatrzymał się niezdecydowanie przed werandą. Drzwi do mieszkania były szeroko otwarte, tak jak je pozostawił, wybiegając za unoszącym skradziony pierścień złodziejem. Cisza oraz ciemność zalegały wewnątrz domu. Ojciec i bosman zapewne nie powrócili jeszcze dotąd z uczyty w pałacu maharadży. Nieobecność ich ułatwiała Tomkowi dotrzymanie przyrzeczenia danego księżnej, że nie powie nikomu o kradzieży pierścienia. Jeżeli bowiem towarzysze zastaną go w domu, z całą pewnością niczego się nie domyślą, a tym samym nie będą również o nic pytali. Należało jedynie przedtem przywrócić porządek w mieszkaniu i usunąć ślady walki. Dom ział niepokojącą ciemnością. Tomek nie był pewny, czy podczas jego nieobecności jakiś zabłąkany tygrys lub pantera<sup>280</sup> nie przyczały się w mieszkaniu bądź też czy niefortunny złoczyńca, który wcześniej od niego opuścił świątynię, nie pokusił się o ponowienie napadu z ukrycia w opuszczonym domku.

Tomek rozważał swe szanse, a jednocześnie nasłuchiwał, czy nie dojdą go jakieś podejrzone odgłosy.

*„Drzwi otwierają się do wewnątrz, jeżeli zdążę wśliznąć się za nie, to osłonią mnie na chwilę, a potem zorientuję się, co mam dalej robić”* — postanowił w myśli.

Nie miał zbyt wiele czasu do stracenia. Wszedł na werandę. Stąpając na palcach krok za krokiem dotarł do progu izby, a potem szybkim skokiem skrył się za drzwiami. W domku w dalszym ciągu panowała cisza. Tomek wydobył z kieszeni zapalki. W mieszkaniu nie było nikogo. Szybko zamknął i zaryglował drzwi, założył bambusową kratę w otworze wiodącym na dach. W kwadrans później rozebrany leżał na swoim pościeli. Teraz nie obawiał się jakiegokolwiek niebezpieczeństwa. Jego niezawodny kolt wyglądał spod poduszki.

---

<sup>280</sup> — Pantera, czyli lampart (*Felis pardus*), żyje na ogromnych obszarach Azji i Afryki. Gatunek ten dzieli się na pewną liczbę podgatunków, różniących się mniej lub bardziej barwą oraz wielkością ciemnych plam na skórze. Podgatunek zamieszkujący Azję zwiemy panterami, natomiast afrykańskie okazy nazywamy lampartami. Obydwa podgatunki są niezwykle zwinne i podstępne. Odnaczają się krwiożerczością i zuchwałością.

Mimo późnej pory nie mógł zasnąć. Niezmiernie był ciekaw wyników rozmowy swoich towarzyszy z Panditem Davasarmanem. Niecierpliwie oczekiwał na ich powrót i rozmyślał o niezwykłym, intrygującym wydarzeniu z pierścieniem. Księżna знаła złoczyńcę. Jej oświadczenie, że nie posiadał blizny na twarzy odsuwało od niego posądzenie o dokonanie zabójstwa w Bombaju. Kim wobec tego naprawdę był ów złodziej? Tłumaczenie księżnej o istnieniu trzech identycznych sztyletów mogło być po prostu zmyślane dla osłonięcia niecnego czynu jej małżonka. Dlaczego jednak opływający w bogactwa maharadża dopuszczałby się kradzieży pierścienia podarowanego przez żonę? Było to dla Tomka niezrozumiałe.

Fakt schronienia się złodzieja w samotnej świątyni, ukrytej w dżungli, w dociekaniach Tomka uporczywie kojarzył się z posągiem okrutnej bogini Kali, czczonej przez Thugów. Ci zawodowi przestępcy tworzyli swego czasu, szczególnie w północnych Indiach, potężne bandy. Dusili lub truli swe ofiary, kradli, znajdując do tego podniechęć w wierzeniach sekty religijnej. Ryzykowali wszystko bez jakiegokolwiek obawy, przekonani byli bowiem, że każdy Thung, zabity podczas zbójczej wyprawy, natychmiast dostanie się do raju. Istniał w Indiach okres, kiedy działalność Thugów sparaliżowała nawet handel pomiędzy miastami, ponieważ nikt nie był pewny, czy uda mu się szczęśliwie powrócić do domu. Były to wszakże czasy dość odległe, albowiem w latach tysiąc osiemset trzydziestych Anglicy rozgromili Thugów. Wyniszczenie ich przyczyniło się do wydatnego zmniejszenia liczby mordów na tle religijnym, lecz mimo to w Indiach nadal działała szeroko rozprzestrzeniona kasta Crimów — zawodowych złodziei, uznających za swą patronkę boginię Bogiri Mahalakshmi. Właśnie u stóp jej posągu Tomek odnalazł złodzieja pierścienia.

Tajemnicza świątynia na odludziu mogła być kiedyś zbudowana przez Thugów lub Crimów. Ponieważ znajdowała się na prywatnych terenach łowieckich maharadży, można było przypuszczać, iż władcy Alwaru byli w jakiś sposób związani z przestępczą kastą. Tomek przecież słyszał już dawniej, że nieraz nawet bardzo bogaci Hindusi z pobudek religijnych byli członkami bandy Crimów. Każdy Hindus musi przynależać do kasty, w której się urodził. Jeśli więc ktoś z przodków maharadży Manibhadry należał kiedyś do Crimów, to i Manibhadra, nie chcąc narazić się na hańbiące w mniemaniu krajowców usunięcie z kasty, musiałby dokonywać przestępstw.



„Może maharadża jest członkiem albo nawet hersztem bandy Crimów? — rozmyślał Tomek. — Tłumaczyłoby to przynajmniej ten niezrozumiały w innym przypadku czyn. A może maharani mówiła prawdę o tych trzech sztyletach?”

Rozmyślania Tomka przerwały odgłosy rozmowy prowadzonej już w pobliżu myśliwskiego domku. Niebawem na werandzie zadudniły ciężkie kroki bosmana Nowickiego.

— Pewno śpi już nasze biedne chłopczysko — mówił marynarz tubalnym głosem. — Zupełnie słusznie ma do nas żal. Moim zdaniem niepotrzebnie wyprawileś go do domu. Cóż nas obchodzą Burton i ten milczek Mac Donald?! Niechby się wściekali ze złości, że piękna maharani bardziej lubi Polaków niż Anglików. Aż zazdrościłem Tomkowi, gdy z nim tak miło gruchała...

— I o to również chodziło, bosmanie — sumitował się Wilmowski. — Wydawało mi się, że maharadża był z tego trochę niezadowolony.

— Ech! Tomek poza Sally świata bożego nie widzi i tylko patrzyć, jak się jej oświadczy, a ty do niego z pretensjami o maharani! Czysta niesprawiedliwość!

— Ciszej mów, bosmanie! Zbudzisz Tomka. Już nie wiem, który raz tłumaczę ci, że nie mam do niego o nic pretensji i nawet żałuję...

W tej chwili Tomek rozradowany otworzył drzwi na oścież, wołając:

— Wcale nie śpię i wszystko słyszałem. Cieszę się, ojcze, że nie masz do mnie żalu. Martwiłem się o to czekając na wasz powrót.

— Nigdy nie kłopotz się na zapas. Po prostu jestem czasem zbyt ostrożny. Ale dostałem za swoje, ponieważ bosman przez całą drogę dosadnie wyrażał niezadowolenie. Mamy dla ciebie ciekawą nowinę. Pandit Davasarman przyjechał do Alwaru.

— Czyżby sam przyjechał? — pytał Tomek, nic nie wspominając, iż wie o jego przybyciu.

— Tak, Tomku! To właśnie wzmogło nasz niepokój. Pandit Davasarman ma razem z nami jechać do Smugi, który jakoby obecnie przebywa w Szrinagarze w Kaszmirze<sup>281</sup> — odparł Wilmowski chmurząc czoło. —

---

<sup>281</sup> — Kaszmir (Kush'mer) — górski kraj w zachodnich Himalajach. Stamtąd, doliną górnego Indusu, prowadzi bardzo trudne przejście na wyżyny Tybetu. W 1587 r. Kaszmir stał się częścią cesarstwa Mongołów, w drugiej połowie XVIII w. został podbity przez szacha Afganistanu, potem

Podobne postępowanie zawsze tak zrównoważonego Smugi wydaje mi się bardzo dziwne.

— Czy pan Smuga nie przysłał dla nas listu? — indagował Tomek.

— Nie, ani słowa — potwierdził bosman.

— To naprawdę bardzo dziwne — rzekł Tomek. — Czy powiedzieliście Panditowi Davasarmanowi o tragicznej śmierci pana Abbasa?

— Oczywiście, Tomku, przecież to on prosił Abbasa o oddanie Smudze przysługi. Pandit Davasarman był bardzo zaskoczony morderstwem — wyjaśnił Wilmowski. — Odnieśliśmy wrażenie, że domyśla się, kto był zabójcą, aczkolwiek nie powiedział nam tego wręcz.

— Prawda to rzetelna, umie on trzymać język za zębami — wtrącił bosman — pewny jestem, że wie więcej, niż mówi!

— Niewiele dowiedzieliśmy się od Pandita Davasarmana. Miejmy nadzieję, że w Szrinagarze zastaniemy naszego przyjaciela i dowiemy się, o co chodzi.

Tomek położył się na macie. Bosman z fajką w zębach przysiadł na brzegu posłania. Wilmowski natomiast rozebrał się i wszedł do łazienki.

Tomek pozostał sam na sam z przyjacielem. Skwapliwie skorzystał z okazji, by zasięgnąć dalszych informacji.

— Czy dobrze bawiliście się po moim wyjściu z pałacu? — zagadnął.

— Niezgorzej, chociaż nie wiem, czy to by ciebie ciekawiło — odparł bosman. — Podfruwajki, czyli tak zwane tutaj bajadery, tańczyły ładne kawałki. Niczego sobie widowisko!

— Maharani zapewne przez cały czas dotrzymywała wam towarzystwa — wypytywał Tomek, pilnie przypatrując się przyjacielowi.

— A jakże, opuściła nas dopiero po przybyciu swego brata, Pandita Davasarmana.

— Czy maharadża wyszedł razem z nią?

— Skądże znowu? Jak mógł z nią wyjść, kiedy go już nie było?

— Czyżby wyszedł wkrótce po mnie?

---

zagarnęli go Sikhowie i wcielili do swego królestwa, a w końcu stał się prowincją Indii Brytyjskich. Obecnie jest jednym ze stanów Unii Hinduskiej. Stolicą Kaszmiru jest Szrinagar, czyli Święte miasto, malownicze miasto, słynne z wiszących ogrodów.

— No tak — potwierdził bosman. — Powiedział, że wróci wkrótce, ale już go nie widzieliśmy, bo tymczasem przyszedł ten Davasarman i maharani zaproponowała, żebyśmy w trójkę z twoim ojcem pogadali na osobności.

Tomek zamilkł z wrażenia. Maharadza mógł być owym złodziejem pierścienia!

— Więc Pandit Davasarman nic więcej nie mówił wam o panu Smudze? — zagadnął po chwili, aby usprawiedliwić przed bosmanem własne podniecenie.

— Niewiele, kochany brachu, niewiele — odpowiedział marynarz ciężko wzdychając. — Krótco tylko oświadczył, że razem pojedziemy do Smugi, który oczekuje nas w Kaszmirze.

— Czy nie pytaliście go, dlaczego pan Smuga wezwał nas do Indii?

— Pytaliśmy o to, a jakże! Ale on wciąż powtarzał: „*Szikař Smuga sam wyjawi szlachetnym sahibom swoje zamiary*” — nic więcej nie można było z niego wyciągnąć.

— Co to wszystko może znaczyć? — głowił się Tomek.

— Ha, powiem tylko, że mój bosmański nos niucha zbliżanie się piekielnego sztormu. Pewno czeka nas diabelski taniec. Nie będziemy chyba narzekali na nudy podczas tej wyprawy!

— Byle tylko panu Smudze nie groziło niebezpieczeństwo, zanim dotrzemy do niego.

— Nie martw się, brachu! Nie należy on do takich, co to pozwalają sobie bezkarnie w kaszę dmuchać. Ojciec twój mówi, że cała ta sprawa cuchnie polityką.

— Żebyśmy chociaż wiedzieli, jaką rolę odgrywa Pandit Davasarman. Czy jest on naprawdę życzliwy panu Smudze? Zanim się o tym przekonamy, musimy mieć go dobrze na oku.

— O to bądź spokojny. Nie chciałbym być w jego skórze, gdyby naszemu druhowi z przeciwnej strony dmuchał w żagle.

Tomek bardzo źle spał tej nocy. Niezwykły splot wydarzeń nie dawał mu spokoju. Snuł najrozmaitsze domysły na temat tajemniczego zachowania się Smugi, próbując powiązać w logiczną całość zaskakujące ich niespodzianki. Wydawało mu się, że skoro Smuga ufał Panditowi Davasarmanowi, to on mógł dać wiarę słowom maharani. Ona zaś zaręczyła, iż złodziej pierścienia nie ma blizny na twarzy. Wobec tego nie był mordercą z Bombaju. Wniosek

ten znajdował pewne potwierdzenie w słowach ojca i bosmana Nowickiego, którzy odnieśli wrażenie, że Pandit Davasarman domyśla się, kim był człowiek z blizną. Gdyby morderca i złodziej pierścienia stanowili jedną i tę samą osobę, to prawdopodobnie przebywałaby ona obecnie, jako posiadacz jednego z trzech sztyletów podarowanych przez maharadżę, w najbliższym jego otoczeniu, a tym samym byłaby doskonale znana Panditowi Davasarmanowi. Wówczas tenże inaczej musiałby zareagować na wieść, iż ktoś mu bliski zamordował nieszczęsnego urzędnika linii okrętowej.

Kim w takim razie byli obydwaj złoczyńcy? Tomek zastanawiał się, dlaczego maharani przeszkodziła mu w zerwaniu maski, zakrywającej twarz złodzieja pierścienia? Dlaczego prosiła, aby zapomniał o napadzie i kradzieży?

*„Gdybym tylko mógł sprawdzić, czy istnieją trzy takie same sztylety — rozmyślał. — Bo przecież maharani mogła powiedzieć nieprawdę, chcąc skierować podejrzenia na mylne tory”.*

Zaledwie świt wkradł się przez okratowane okienko, Tomek zły i niewyspany zerwał się z posłania. Szybko ubrał się i wymknął z domu nie budząc nikogo. Zdawało mu się, że poranna przechadzka po parku uspokoi jego wzburzone myśli. Poza tym chwilowo pragnął unikać rozmów z ojcem i bosmanem, bowiem ogarniały go wątpliwości, czy słusznie postępuje, ukrywając przed nimi dziwne wydarzenie z pierścieniem. Uniesiony szlachetnością, przyrzekł pięknej maharani nie mówić nikomu o kradzieży, a teraz wstydził się swego postępowania wobec towarzyszy. Dotąd przecież nigdy nie mieli przed sobą tajemnic. Dlatego też wolał nie przebywać z nimi sam na sam do czasu nadejścia Pandita Davasarmana, z którym mieli pójść do pałacu, by pożegnać się przed wyjazdem z uprzejmymi władcami Alwaru.

Zamyślony, z daleka okrążył pałac, zerkając na słonie dokonujące przy pomocy mahutów porannej toalety, po czym zboczył w długą, ocienioną aleję. Po pewnym czasie, zmęczony bezcelowym wałęsaniem się, usiadł na ławce pod platanem. Niebawem jakieś ożywione szepty przerwały jego rozmyślenia. Zaczął nasłuchiwać. Wkrótce zorientował się, skąd dochodziły go odgłosy rozmowy. Powstał z ławki i podkradł się do rosnącego za nią długiego żywopłotu. Ostrożnie rozchylił gałęzie.

W tym właśnie miejscu żywopłot oddzielał posiadłość maharadży od kilku wieśniaczych chat widocznych w pobliżu. Tuż przy krzewach ujrzał

Tomek dwóch chłopców i dziewczynkę w wieku około dziesięciu lat, przykucniętych przed starszym mężczyzną. Rozmawiali w nieznanym Tomkowi języku hindustani, lecz mimo to łatwo domyślił się, że przedmiotem ich zainteresowania było kilkanaście kur żerujących nie opodal jednej z chat. Mężczyzna wskazywał na nie ręką i mówił coś półszepem, a dzieciarnia słuchała go pilnie niczym wykładu nauczyciela w szkole.

W końcu pierwsza podniosła się dziewczynka i wolno ruszyła w kierunku pobliskiego domku. Tomek uważnie ją obserwował, albowiem zachowywała się tak, jakby odtwarzała wyuczoną przez starszego mężczyznę rolę. Zrywała kwiaty, a jednocześnie coraz bardziej zbliżała się do chatki. Tymczasem starszy mężczyzna podzielił pomiędzy chłopców garstkę nie łuszczonego ryżu wydobytego z woreczka. Malcy natychmiast wepchnęli ryż do ust i żując go powoli, razem ze swoim opiekunem pilnie obserwowali krążącą teraz wokół domu dziewczynkę.

Naraz nadbiegła mała kobieta odwróciła się do chłopców, po czym wpięła sobie kwiatek we włosy. Jakby na umówione hasło chłopcy podkradli się do stada kur. W odpowiednim momencie wypluli na ziemię sklezione śliną kulki z niełuszczonego ryżu. Dwie najbliższe kury łapczywie rzuciły się na nie. Zdradliwe smakołyki okazały się niełatwe do przełknięcia, toteż obydwaj ptaki zaczęły się dławić. Chłopcy korzystając z chwilowej bezsilności kur porwali je i pomknęli z łupem do mężczyzny oczekującego na nich pod żywopłotem. Teraz również i dziewczynka przyłączyła się do nich.

Mężczyzna skinieniem głowy pochwalił dzieci, wepchnął kury do worka i wszyscy chyłkiem oddalili się od miejsca kradzieży.

Tomek zdumionym wzrokiem spoglądał za uciekającymi. Słyszał już dawniej od ojca, że Crimowie bardzo chętnie widzą jak największą liczbę dzieci we własnych rodzinach, a często porywają nawet i obce, by szkolić je w sztuce złodziejskiej. Toteż obecnie nie miał jakiegokolwiek wątpliwości, że owi dwaj chłopcy i dziewczynka byli młodymi adeptami niecnego rzemiosła, a mężczyzna ich nauczycielem. Tomek, do głębi oburzony na mężczyznę, który nie wahał się deprawować dzieci, miał ochotę dogonić go i dać mu odpowiednią nauczkę. Zrozumiał jednak, że takim odruchem nie zdoła zmienić zwyczajów od wieków zakorzenionych w Indiach. Tutaj, w kraju tak bogatym, a zarazem tak bardzo ubogim, dzieci już od najmłodszych lat musiały pomagać rodzicom w zarabianiu na codzienny chleb. Przejeżdżając

przez Indie, Tomek widział dzieci pracujące na plantacjach przy zbiorze herbaty, bawełny i maku. Nic więc dziwnego, że również zawodowi złodzieje odpowiednio „*przygotowywali*” swoje potomstwo do pracy.

Widok tej smutnej, a zarazem w pewnym sensie komicznej sceny upewnił Tomka, że w pobliżu prywatnej rezydencji maharadży grasowała banda zbrodniczych Crimów. Czyżby wobec tego sam maharadża również do niej należał? Pełen sprzecznych uczuć powrócił do myśliwskiego domku.

Ojciec i bosman zajęci byli przygotowaniami do wyruszenia w drogę. Teraz już lada chwila spodziewali się przybycia Pandita Davasarmana. Dzięki temu udało się Tomkowi pierwszym lepszym wytłumaczeniem usprawiedliwić swą przydługą nieobecność. Niewiele się odzywał, za to stale wychodził na werandę pod pretekstem sprawdzenia, czy nie nadchodzi Pandit Davasarman.

Niezwykła w tym dniu małomówność Tomka niebawem zwróciła uwagę bosmana. Kilkakrotnie zagadywał przyjaciela, ale ten zbywał go lakonicznymi odpowiedziami. Bosman zdziwiony jego zachowaniem powiedział o tym Wilmowskiemu:

— Coś Tomek dzisiaj nie w humorze. Zapewne ma do nas żal za wczorajszy wieczór. A może też i co innego go gnębi? Nic nie gada i jakiś taki zamyślony. Nie zauważyłeś, Andrzej?

— Masz rację. Nie przypuszczam jednak, aby przejął się przedwczesnym opuszczeniem przyjęcia. Za rozsądny na to. Może ma dzisiaj po prostu swój „*zły dzień*” lub też jak i my niepokoi się o Smugę. Wiesz przecież, że za nim przepada. Ja również wciąż gubię się w domysłach, co ma oznaczać intrygujące zachowanie się Jana.

— Dowiemy się prawdopodobnie w Szrinagarze. Czy mi się coś przywidziało, czy też Tomek ma na brodzie siniaka? Zupełnie jak od uderzenia pięścią...

— Nic nie zauważyłem — odparł Wilmowski.

— No to przyjrzyj mu się nieznacznie.

— Wydawało ci się chyba, mroczno tu w izbie.

— Mroczno czy nie mroczno, a mnie się wydaje, że siniak na brodzie jest, chociaż wczoraj na uczie na pewno go nie miał.

— Do licha, powiedz jasno, o co ci chodzi?

— O co ma chodzić? — oburzył się bosman. — Po prostu mówię, że Tomek na ucztę jeszcze nie miał siniaka, a dzisiaj ma! Założę się nawet o butelczynę jamajki...

— Więc twierdzisz, że ma siniaka, jak od uderzenia pięści? — zastanowił się Wilmowski.

— No, nareszcie skapowałeś, o co mi chodzi. Najlepiej wyjdź za nim na dwór i nieznacznie puść oczkiem na jego brodę. Coś on mi niewyraźny dzisiaj...

Wilmowski szybko zamknął walizkę. Właśnie skończył ją pakować i wyszedł za Tomkiem na werandę. Niebawem powrócił zafrasowany.

— To dziwne, ale masz rację — rzekł zmieszany. — Tomek ma siniaka na podbródku. Wieczorem wcale tego nie zauważyłem.

— Może przewrócił się wczoraj wracając do domu? A może też dzisiaj spotkał się z kimś podczas porannej wycieczki? Nie, moje bosmańskie oko nigdy mnie nie myli. To jest siniak od rąbnięcia pięścią w brodę. Znam się coś niecoś na tym. Mało to razy miałem podobne siniaki? Ciekawe, co znów i kiedy zmalował ten chłopak?

Z wejściem Tomka do pokoju, przerwali rozmowę. Chłopiec w ubraniu wyciągnął się na macie i nic nie mówiąc spoglądał w sufit. Po jakiejś chwili Wilmowski usiadł obok niego. Jeszcze raz nieznacznie spojrzął na jego podbródek. Teraz, gdy Tomek leżał, ciemny siniak był doskonale widoczny. Podczas obfitującej w różne przygody włóczęgi po świecie Wilmowski, mimo spokojnego usposobienia, widział już nie jedno. Sądząc więc po kolorze siniaka, doszedł do wniosku, że przypadkowe, czy też umyślne uderzenie, które wywołało taki skutek, musiało mieć miejsce dnia poprzedniego. Ponieważ na ucztę w pałacu Tomek nie miał jeszcze tego znaku na podbródku, wobec tego coś nieprzyjemnego musiało zdarzyć się nieco później, kiedy sam wracał lub wrócił do domu.

— Coś taki markotny dzisiaj? Może źle się czujesz, Tomku? — zagadnął Wilmowski.

— Wcale nie jestem markotny i czuję się doskonale, ojcze. Dlaczego mnie pytasz o to? — zdziwił się Tomek.

— Tak mało mówisz do nas, jakbyś się gniewał o coś. Czy przypadkiem nie przydarzyło ci się coś nieprzyjemnego? Masz dużego siniaka na podbródku.

— Mam siniaka na... Och, do licha, nic o tym nie wiedziałem?! — zawołał Tomek, usiłując ukryć zmieszanie.

Poderwał się, usiadł na posłaniu i wydobywszy z kieszeni małe lusterko spojrzął w nie szybko. Ciężkie westchnienie mimo woli wyrwało się z jego piersi. Na podbródku widniał ciemny, prawie niebieski znak.

„*To pewno po tym podstępny uderzeniu na ścieżce przy krokodylach, albo też może po pierwszym starciu w domu*” — pomyślał zły na siebie, iż tego nie zauważył. Wtedy byłby to jakoś upozorował. Zmieszany spoglądał w lusterko, zastanawiając się gorączkowo, co ma powiedzieć ojcu.

Wilmowski tymczasem udawał, że nie zwraca na niego uwagi. Tym niemniej spod oka spoglądał na syna trochę zaintrygowany i zaniepokojony. Upewnił się równocześnie, że Tomek nic nie wiedział o siniaku.

— Chyba cię nieco zamroczyło po takim uderzeniu — odezwał się bosman z głupia frant.

Tomek zaczerwienił się; nie mógł wyznać prawdy, a jednocześnie nie chciał skłamać. Na całe dla niego szczęście w tym kłopotliwym momencie rozległy się kroki na werandzie i zaraz ktoś zastukał we framugę drzwi.

— Prosimy! — powiedział Wilmowski.

Do pokoju wszedł niezbyt wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna o mocno ogorzalej twarzy ze spiczastą, czarną bródką i krótko przyciętymi włosami. Miał na sobie europejskie ubranie koloru khaki, a głowę jego okrywał mały, biały turban.

— Witamy pana — odezwał się Wilmowski, podając mu rękę. — To mój syn, Tomek, który wcześniej wyszedł wczoraj z pałacu i dlatego nie miał przyjemności poznać pana. Tomku, to jest właśnie pan Pandit Davasarman.

Tomek odetchnął z ulgą. Oto nadeszła nieoczekiwana pomoc. Z wdzięcznością spojrzął na brata maharani. Teraz ojciec i bosman na pewno zapomną o niefortunnym siniaku. Pandit Davasarman na moment dłuższy przytrzymał w powitaniu dłoń Tomka. Ten znów się zmieszał, czując na sobie badawczy, czujny wzrok Hindusa.

— Słyszałem już o panu wiele pochlebnych słów od mojej siostry. Twierdzi, że jest pan najszlachetniejszym białym dżentelmenem, który kiedykolwiek odwiedził Alwar — powiedział Davasarman, uwalniając jednocześnie dłoń Tomka.



— Nie wiem, czym sobie zasłużyłem na tak dobrą opinię — bąknął Tomek opuszczając głowę, gdyż zdawało mu się, że i Davasarman ciekawie zerka na jego podbródek.

— Wszystkie kobiety, prawdziwe kobiety, najbardziej cenią w mężczyźnie odwagę, rycerskość i szlachetność — dwuznacznie rzekł Davasarman. — Toteż cieszę się niezmiernie, iż tak zacnych będę miał towarzyszy podróży.

— Podobno dzisiaj mamy wyruszyć z Alwaru. Jesteśmy nawet spakowani — odparł Tomek pospiesznie, aby skierować rozmowę na mniej niepewne tematy.

— Wszystko już przygotowałem do drogi — wolno powiedział Davasarman. — Możemy wyruszyć, kiedy tylko panowie sobie życzą. Jednocześnie chciałem przeprosić w imieniu szwagra i siostry, iż nie będą mogli osobiście panów pożegnać. Właśnie wczoraj wieczorem szwagier pośliznął się na schodach i zwichnął sobie ramię. Oczywiście żona musi go pielęgnować i stąd cała przykrość.

Tomek cofnął się o krok. Bładość pokryła jego twarz. Więc to jednak owym niefortunnym złodziejem pierścienia był maharadża, któremu Tomek, stosując niezawodny chwyt bosmana, zbyt mocno wykręcił ramię!

Pandit Davasarman nie spuszczał wzroku z trzech białych sahibów. Doskonale uchwycił wrażenie, jakie sprawiły na Tomku jego słowa, a także wyraz szczerego zaniepokojenia oraz współczucia dla maharadży, malujący się w oczach Wilmowskiego i bosmana, którzy przecież niczego się nie domyślali i teraz nie zwracali na Tomka uwagi.

Tomek tymczasem zdołał się opanować. Nie wiedział jeszcze, czy Davasarman został wtajemniczony w szczegóły wydarzeń minionego wieczoru, lecz to przecież było mniej ważne.

Davasarman uśmiechnął się życzliwie do Tomka, po czym znów powiedział:

— Teraz mogę dokończyć oficjalnej misji. Otóż szwagier mój jest bardzo zasmucony, ponieważ przez własną nieostrożność i lekkomyślność nie może panów osobiście pożegnać. Przesyła więc przeze mnie pewien drobiazg na pamiątkę. Myślę, iż najlepiej uczynię wręczając go młodemu panu Wilmowskiemu, który zyskał tyle przyjaznych uczuć księcia oraz jego małżonki.

Mówiąc to wydobył spod surduta dość długi przedmiot owinięty w barwny jedwab i podał go Tomkowi. Zapanowała chwila kłopotliwego milczenia. Tomek, patrząc prosto w oczy Davasarmanowi, przesunął dłonią po spowitym w jedwab podarunku. Wiedział już, co przysłał mu książę Alwaru. Na rękojeści owiniętego sztyletu wyczuł dłonią duży guz. To zapewne ten wielki krwawy rubin. Szybko odwinął jedwab.

— Sztylet maharadży — szepnął zdumiony.

— Zgadłeś, sahibie, to jest sztylet maharadży Manibhadry, wykonany dla niego przez najlepszego hinduskiego mistrza w tym zawodzie — potwierdził spokojnie Davasarman. — Ze sztyletem tym maharadża nigdy się nie rozstawał. W dowód przyjaźni, która zawsze potrafi wiele wybaczyć, przesyła go panu.

Wilmowski i bosman odruchowo spojrzeli na siebie. Bosman nieznacznie dotknął ręką podbródka i znacząco mrugnął okiem.

## W DRODZE DO SZRINAGARU

Pociąg coraz bardziej oddalał się w kierunku północnym od Alwaru. Mijał bambusowe chaty, rozrzucone wśród poletek obsianych ryżem, bobem i tytoniem, zatrzymywał się na brudnych stacyjkach miasteczek o zaniedbanych budynkach, przemierzał połacie podmokłej dżungli, bądź zbitej gęstwy krzewów bambusowych, cierni i kęp trzciny.

Po kilkugodzinnej jeździe pociąg zbliżał się do Delhi, dawnej stolicy Wielkich Mogołów<sup>282</sup>. Starodawne miasto pierwotne zwało się „*Dilli*”, co w sanskrycie oznacza „*próg*”. Nazwa ta doskonale charakteryzowała geograficzne i polityczne znaczenie miasta. Spoglądając na mapę Półwyspu Indyjskiego widzimy, że leży ono na zachodnim krańcu Niziny Hindustańskiej w środku północnych Indii. Na zachód od Delhi bieleją piaski rozległej Pustyni Thar, obrzeżonej na południu Górami Arawali, które dwoma rozmytymi erozją odgałęzieniami sięgają w pobliże miasta. Na wschód rozciąga się urodzajna dolina świętego Gangesu, usiana rozlicznymi miastami, wśród których królują sławne jako święte Benares i Allachabad. Znad górnego Indusu nad górny Ganges prowadzi odwieczny naturalny szlak. Tędy szły najazdy wojowniczych ludów na Indie. Stamtąd przyszli Ariowie, Persowie, Grecy pod dowództwem Aleksandra Wielkiego, Afgańczycy, a potem na czele wielkich hord mongolskich Tamerlan i Baber, który dał początek dynastii Wielkich Mogołów. Miasto, założone w XIII wieku przez mahometańską dynastię, było niszczone tak przez Tamerlana jak i Babera, bo ktokolwiek chciał panować nad żyzną doliną Gangesu, ten musiał przekroczyć zagradzającą drogę rzekę Dżammę<sup>283</sup> oraz zdobyć leżące na jej brzegu święte miasto Delhi.

Gdy pociąg przejeżdżał przez Delhi, Pandit Davasarman opowiedział towarzyszom o wspaniałych zabytkach architektury mahometańskiej i hinduskiej znajdujących się w mieście. Davasarman był skarbnicą wiedzy o

---

<sup>282</sup> — Należy pamiętać, że Tomek przeżywał swe przygody w Indiach w roku 1907, kiedy to stolicą brytyjskich Indii była Kalkuta. Dopiero w 1912 roku Delhi ogłoszono stolicą Indii. W pobliżu starodawnego miasta Anglicy wybudowali nowoczesne miasto — Nowe Delhi.

<sup>283</sup> — Dżamma — dopływ Gangesu.

swym kraju, umiał przy tym ciekawie mówić, toteż Tomek, Wilmowski i bosman zasypywali go pytaniami o różne szczegóły.

— Słyszałem, że kiedyś w Delhi Hindusi powstali przeciwko Anglikom i podobno dali im wtedy niezłego łupnia — zagadnął marynarz. — Ciekaw byłbym coś niecoś o tym usłyszeć, bo jak widzę mrowie Hindusów i garstkę Anglików rządzących się tutaj jak szare gęsi, to aż podziw mnie bierze, że tak dacie się za nos wodzić.

Wilmowski i Tomek zaczęli nieznacznie dawać przyjacielowi znak, aby nie pytał przychylnego Anglikom Hindusa o drażliwą historię wielkiego powstania indyjskiego, lecz nie zdołali go powstrzymać.

Davasarman uśmiechnął się przyjaźnie do bosmana, co nie uszło uwagi Tomka, i odpowiedział:

— Mówisz, sahibie, że na garstkę Anglików przypada mrowie Hindusów? Anglicy doskonale potrafią działać na swoją korzyść i dlatego zjednali sobie wiernych sojuszników wśród Hindusów. Dzięki temu są panami kraju. To urodzeni konkwistadorzy<sup>284</sup>. Trzeba przyznać, że w krytycznych chwilach potrafią zdobywać się na bohaterstwo.

— Czy to ma znaczyć, że dzielnie bili się w powstaniu? — zapytał bosman.

— Proszę posłuchać, jeżeli ciekawi to panów. Ściśle mówiąc, powstanie nie rozpoczęło się w samym Delhi, lecz w Merath<sup>285</sup>, leżącym nieco dalej na północy, w prowincji Agra–Oudh. Otóż hinduskim patriotom zdawało się, że mając tak liczebną przewagę nad Brytyjczykami, mogą siłą zrzucić z karku jarzmo nałożone przez kolonizatorów. Widzieli w tym jedyny ratunek przed nędzą i klęskami głodu, nękającymi większość ludności Indii. To przede wszystkim było głównym podłożem wielkiego indyjskiego powstania, które wybuchło najpierw w Agra–Oudh<sup>286</sup>.

Walkę rozpoczęli sipaje, to jest żołnierze indyjscy w służbie angielskiej. Bezpośrednim pretekstem do wybuchu buntu były represje stosowane przez

---

<sup>284</sup> — Konkwistadorzy — po hiszpańsku zdobywcy.

<sup>285</sup> — Merath — Meerut.

<sup>286</sup> — Agra–Oudh — Zjednoczone Prowincje Agra i Oudh znajdują się w północnej części Unii Hinduskiej. Na północy i północno–wschodzie graniczą z Tybetem i Nepalem, na wschodzie z Biharem, na południu i południowo–zachodzie z centralnymi Indiami, a na zachodzie — z Pendżabem. W tych dwóch prowincjach na przestrzeni wieków rozgrywały się dzieje hinduskie.

Brytyjczyków za odmowę wyciągania zębami przybitek ładunków<sup>287</sup> przy nabijaniu broni. Były one natarte wołowym i świńskim tłuszczem. Bunt solidarnie podnieśli sipaje wyznania hinduskiego i mahometańskiego, albowiem pierwsi uważali, że naruszono ich dogmat świętości krowy, a drudzy czuli się zbrukani z powodu nieczystości świni. Tak więc w niedzielę 10 maja 1857 roku w Merath wybuchło powstanie. Zbuntowani sipaje wtargnęli do Delhi, zabili wszystkich Europejczyków przebywających w mieście, po czym ogłosili powrót cesarstwa Mogołów. W pobliżu bramy kaszmirskiej znajdował się arsenał. Anglicy nie mogąc go obronić, a także nie chcąc, aby broń i amunicja wpadły w ręce powstańców, wysadzili się w powietrze razem z całym arsenałem.

— No, no, nie spodziewałbym się tego po Anglikach — niedowierzająco bąknął bosman.

— Tak jednak było. Zarzewie buntu ogarniało coraz to inne miejscowości. W Lakhnau<sup>288</sup> również chwycono za broń. W pałacu rezydencji zamknęło się około trzech tysięcy osób, w tym tysiąc mężczyzn, Europejczyków. Resztę stanowiło pięciuset wiernych Anglikom sipajów — przeważnie Sikhów<sup>289</sup>, pięćset kobiet i dzieci oraz tubylcza służba.

Siły powstańców wzrastały z dnia na dzień. Szybko topniejąca garstka Anglików i Sikhów miała przeciwko sobie całe wrogie miasto, liczące około siedmiuset tysięcy ludności i trzydzieści tysięcy zbuntowanych żołnierzy. Śmierć codziennie zbierała obfite żniwo. Dopiero po miesiącu z pomocą oblężonym przybył pułkownik Havelock z tysiącem ośmiuset żołnierzami, pozostałymi mu po walkach podczas przedzierania się przez kraj ogarnięty powstaniem. Przez osiemdziesiąt dni oblężeni odpierali zaciekle ataki, śmierć i głód stale zaglądały im w oczy, lecz kto tylko umiał władać bronią, walczył na wałach. Obrońca Lakhnau, Sir Lawrence, śmiertelnie ranny, jeszcze na łożu śmierci wydawał rozkazy. Mimo szaleńczej odwagi zginęliby wszyscy,

---

<sup>287</sup> — Pocisk broni palnej wypełniony materiałem wybuchowym zamykała przybitka papierowa, nasycona dla zabezpieczenia przed wilgocią tłuszczem. Aby mógł nastąpić zapłon materiału wybuchowego, żołnierz, przed wprowadzeniem pocisku do komory karabinu, musiał wyciągnąć przybitkę zębami. Pociski takie były używane we wszystkich armiach prawie do końca XIX w.

<sup>288</sup> — Lakhnau — dawniej stolica królestwa Ud, obecnie miasto okręgowe w prowincji Agra-Oudh.

<sup>289</sup> — Sikhowie (Sikh) — wyznawcy powstałej w Pendżabie sekty religijnej. Sikhowie głosili wiarę w jednego boga, równouprawniali kobiety, zarzucali kastowość, palenie wdów (zwyczaj sati), bałwochwalstwo oraz używanie tytoniu i wina.

gdyby w końcu Sir Colin Campbell nie przybył z odsieczą na czele dziesięcioletniej armii. Wówczas kilku możnych maharadzów pospieszyło Anglikom z pomocą. Brytyjczycy stłumili powstanie, a potem pomścili się na przeciwnikach. Burzyli całe osady i nie pozwalali na ich odbudowę, aby dla przyszłych pokoleń hinduskich były widocznym przykładem kary.

W rezultacie powstania została rozwiązana Kompania Wschodnio-Indyjska, reprezentująca od 1600 roku interesy brytyjskie w Indiach. Wprowadzono urząd wicekróla, mianowanego przez króla angielskiego. Cały kraj podzielono na Indie brytyjskie, rządzone bezpośrednio przez angielskich gubernatorów i Indie tubylcze, składające się z setek państweczek różnych radzów i maharadzów, którym przydzielono angielskich rezydentów.

Jak więc z tego wynika, Brytyjczycy potrafią doskonale bronić swych interesów. Musimy się od nich wiele nauczyć, jeżeli chcielibyśmy kiedyś pokusić się o uzyskanie niezawisłości.

— Faktycznie zrećcznie oni sobie tutaj radzą, ale nie mogliby tak podskakiwać bez waszej pomocy — rzekł bosman, wysłuchawszy zajmującej opowieści. — Dziwne to, że Sikhowie tak bardzo ich kochają.

— O ile dobrze pamiętam, Sikhowie nie zawsze popierali Anglików, wiedli nawet z nimi wojnę — zauważył Wilmowski.

— Odmienne wierzenia religijne stanowią odwieczną kość niezgody, tkwiącą wewnątrz narodu hinduskiego — wyjaśnił Pandit Davasarman. — W stosunku do wyznania muzułmańskiego i hinduizmu, sikhizm był bardzo postępową religią. Ponieważ zyskiwała ona licznych zwolenników, Sikhowie byli prześladowani tak przez mahometan, jak i przez hinduistów.

Dla własnej obrony zostali zmuszeni do zorganizowania się we wspólnotę religijno-wojskową. Potem w okresie czterystuletniego istnienia wykazali nie tylko wiele męstwa, lecz stali się naprawdę doskonałymi żołnierzami. W 1764 roku ogłosili niepodległość swego państwa, obejmującego Pendżab<sup>290</sup>, Kaszmir i dolinę środkowego Indusu. Nie mogło się to podobać

---

<sup>290</sup> — Pendżab (Pan jab' — pięciorzecze Dżehlam, Czenab, Rawi, Bias, Satledź) — dawniej Północno-Zachodnia Prowincja Brytyjskich Indii. Rzeka Indus z dopływami. Siedzibą gubernatora Lahaure (Lahore), w lecie górską Szimla. W 1947 r. Pendżab podzielono na dwie części: Pendżab Wschodni wszedł w skład Unii Hinduskiej i Pendżab Zachodni, to jest obecny Pakistan Zachodni, który łącznie z oddalonym od niego o 1600 km Pakistanem Wschodnim, zwanym również Bengalią Wschodnią, tworzy jedno państwo — Pakistan. Jest to jedyne na świecie państwo, posiadające enklawę, to jest terytorium oddzielone od macierzystego, obszarem innego państwa (Unii Hinduskiej).

Brytyjczykom. Toteż w 1849 roku pokonali Sikhów. Ci ostatni, od urodzenia przywykli do rzemiosła wojennego, nie mogąc dalej stawiać oporu Anglikom, przeszli do nich na służbę. Odtąd Anglicy zyskali w Sikhach gorących, ślepych popleczników<sup>291</sup>.

— Krótko mówiąc, niepotrzebne wśród Hindusów właśnie religijne pomagają Anglikom w kaptowaniu sprzymierzeńców — orzekł bosman.

— Będziemy przejeżdżali przez Amristar, w którym znajduje się największa świętość Sikhów, złota świątynia Harmandir ze świętą sadzawką nieśmiertelności — powiedział Pandit Davasarman, jakby chciał zmienić temat rozmowy.

Na podobnych pogawędkach czas szybko mijał. Po kilkunastu godzinach pociąg wjechał na równinę Pendżabu i zbliżał się do jego stolicy — Lahaure. Na uprawnych polach widać było rowy irygacyjne. Olbrzymią aluwialną<sup>292</sup> równinę Pendżabu, okoloną od północy i wschodu pogórzami Himalajów, a od zachodu górami Sulejmańskimi, odwadniał Indus oraz jego pięć głównych dopływów. Sądząc po rozległych uprawach pszenicy, ryżu, bawełny, trzciny cukrowej i oliwek, większość ludności Pendżabu trudniła się zapewne rolnictwem oraz chowem bydła.

Tomek uważnie chłonał mijane krajobrazy. Tak jak w drodze do Alwaru, tak i obecnie zapisywał w notatniku ważniejsze stacje, a więc: Delhi, Ambala, Ludhijana, Jalandhar, Lahaure. Już niewiele stacji dzieliło ich od krańcowego etapu kolei żelaznej, ponieważ szlak wiodący w kierunku granicy Kaszmiru kończył się w Rawalpindi. Stamtąd mieli wyruszyć w dalszą drogę do Srinagaru konno lub dyliżansem.

Nasi podróżnicy z uczuciem ulgi myśleli o opuszczeniu dusznego wagonu kolejowego. Oto kończyły się tchnące żarem niziny. Na północy wystrzelał ku niebu zachodni kraniec Himalajów — najwyższych gór świata — osłaniający Indie od północy potężnym dwa tysiące dwustukilometrowym, lekko wygiętym na południe i szerokim na dwieście kilometrów łukiem. Przez okna wagonu płynął już orzeźwiający oddech gór.

---

<sup>291</sup> — W „nagrode” za wierną służbę w dniu 13 kwietnia 1919 r. w Amristarze angielski generał Dyer rozkazał strzelać do Sikhów, demonstrujących przed pałacem gubernatora przeciwko wydaleniu z kraju dwóch przywódców politycznych. Anglicy zabili wówczas 279 osób.

<sup>292</sup> — Powstała z osadów rzecznych: żwirów, piasków, mułów.

Tylko bosman nie zachwycał się perspektywą wędrówki górskiej. Nie lubił chodzenia po górach i zawsze twierdził, że wytrząsanie brzucha po wertepach nie licuje z godnością bosmańską.

Rawalpindi była bazą strategiczną Anglików. Świadczyła o tym liczba koszar wojskowych. Wszędzie widać było uzbrojonych Gurkhów, to jest strzelców wywodzących się z górali nepalskich. Tu rozpoczynała się jedyna droga łącząca Indie z Kaszmiem. Tutaj też mieściła się główna kwatera angielskiej północnej armii w Indiach.

Wyruszenie z Rawalpindi do Srinagaru wymagało załatwienia wielu urzędowych formalności. Teraz dopiero trzech biali łowcy mogli należycie ocenić wpływy Pandita Davasarmana. Jego krótka wizyta u angielskiego dowódcy podziałała niby różdżka czarodziejska. W przeciągu kilkunastu minut wystawiono im konieczne dokumenty.

— Proszę, proszę, ten Davasarman musi być dużą szyszką, skoro tak wielki mir posiada u Anglików — zauważył bosman, gdy Hindus na chwilę się oddalił. — Trochę poszwargotał z pułkownikiem i już mamy papierki potrzebne do drogi.

— Pułkownik Burton zapewniał mnie, że Pandit Davasarman ułatwi nam podróż — odparł Wilmowski. — Skoro teraz sami przekonaliśmy się o jego dużych wpływach, trzymaj, drogi bosmanie, swój język nieco na wodzy, gdy z nim rozmawiasz.

— Słuszna uwaga, jak zwykle masz rację, Andrzej. Chociaż gdy opowiadał w pociągu o powstaniu Hindusów, to w jego słowach nie było zbyt wielkiej miłości do Anglików.

— Dziwne to wszystko... — mruknął Tomek, widząc nadchodzącego Pandita Davasarmana.

— Teraz musimy postarać się o jak najszybszy środek lokomocji, byśmy zdążyli dotrzeć do Srinagaru jeszcze przed burzą, sygnalizowaną przez stację meteorologiczną — odezwał się Davasarman. — Proponuję wynająć tonga<sup>293</sup> One najlepiej nadają się na tutejsze złe górskie drogi. Natomiast bagaże polecimy przewieźć pocztowym ekka<sup>294</sup>.

— Jak długo będziemy jechali do Srinagaru? — zapytał Tomek.

<sup>293</sup> — Tonga — zgrabny, dwukonny powozik.

<sup>294</sup> — Ekka — powolny, prymitywny wehikuł używany do przewożenia poczty.



— Zmieniając zaprzęgi co pięć mil, możemy przybyć tam w kilkanaście godzin — wyjaśnił Davasarman. — Trochę będzie to męczące, lecz warto się pospieszyć, zanim burza uniemożliwi przejazd.

— Zgoda, nie traćmy czasu. Chcemy jak najszybciej zobaczyć pana Smugę — powiedział Wilmowski. — Jak długo będą w drodze nasze bagaże?

— W przeciągu dwóch dni powinny znaleźć się w Szrinagarze. Teraz zabierzemy tylko najniezbędniejsze drobiazgi. Chodźmy do mego znajomego, trudniącego się tutaj przewozem pasażerów i poczty.

Właściciel stacji dyliżansów nisko skłonił się przed Panditem Davasarmanem i białymi sahibami. Był to wysoki, tęgi Kaszmirczyk o przebiegłym wyrazie twarzy.

— Jak się masz, Babukhanie! Udajemy się do Szrinagaru i chcielibyśmy twoimi tonga dojechać do Baramoula, gdzie wynajmiemy łodzie. Ty i woźnice otrzymacie dobry dastur<sup>295</sup>, jeżeli będziemy z was zadowoleni — powiedział Davasarman.

— Salam<sup>296</sup>, szlachetny panie — odparł Babukhan, jednocześnie przykładając prawą dłoń do czoła. — Nie potrzebujesz mówić o dastur, ponieważ już znam twoją szczodrobliwść. Niestety dwa tonga nie pomieszczą sahibów i bagaży. Wiesz dobrze, o radości moich oczu, że droga jest bardzo zła.

— Wiem, wiem, czcigodny Babukhanie. Tonga zabiorą tylko nas, natomiast bagaże zaraz wyślesz pocztowym ekka. Spiesz się, mało mamy czasu. Biuro meteorologiczne sygnalizuje burzę nadciągającą z gór.

— Rzekłeś, szlachetny i szczodrobliwy panie. Już biegnę wydać odpowiednie dyspozycje.

Babukhan wyszedł z domu. Donośnym głosem, wzmocnionym zapewne nadzieją otrzymania sutego napiwku, nawoływał woźniców do pośpiechu.

— Tonga są dwuosobowe, wobec tego młody pan Wilmowski i ja, jako najlżejsi, pojedziemy jednym powozem, zabierając niezbędny bagaż, a panowie obydwaj wsiądą do drugiego. W ten sposób będziemy mogli jechać z jednakową szybkością — zaproponował Davasarman.

---

<sup>295</sup> — Dastur — nazwa datku, napiwku w Azji.

<sup>296</sup> — Salam (Salaam) — pozdrowienie używane przeważnie przez mahometan, odpowiednik „witaj”, „bądź pozdrowiony”.

— Bardzo słusznie — poparł go Wilmowski. Wolał nie zostawiać sam na sam dobrodusznego bosmana z Panditem Davasarmanem.

Nim minęło pół godziny, dwa lekkie tonga zatrzymały się przed domem. W pierwszym z nich zajęli miejsce Tomek i Davasarman. Oprócz umówionej zapłaty, Babukhan musiał otrzymać znaczny dastur, gdyż „*salamy*” płynęły z jego ust wartko, niczym potok górski. Woźnice zasiedli na kozłach, Babukhan jeszcze raz pochylił się przed Davasarmanem i przyłożywszy dłoń do czoła rzekł:

— Salam, szlachetny panie! Niech wszechmocny Allach<sup>297</sup> czuwa w drodze nad tobą lub jeśli wolisz, niech ci towarzyszą Sziwa, Wisznu bądź jakaś można, a zarazem piękna bogini!

— Salam, czcigodny Babukhanie! Niech i tobie wszyscy bogowie przynoszą zdrowie i... szczęście w zdobywaniu majątku — odpowiedział Pandit Davasarman, domyślnie mrugając okiem do mahometanina.

Woźnice, dwaj rośli Pendżabczy, trzasnęli z batów w powietrzu. Tonga ruszyły w drogę.

Tomek zadumanym wzrokiem wodził po niezwyklej panoramie rozpościerającej się przed jego oczyma. Na północy, na tle czystego nieba, piętrzyły się pokryte śniegiem szczyty zewnętrznych Himalajów. Świeży powiew górskiego wiatru przyjemnie orzeźwiał po długiej, męczącej podróży równinami Indii. Ile to razy słyszał Tomek w szkole, że Himalaje tworzą najwybitniejszą na ziemi granicę klimatyczną między południowo-azjatyckim obszarem monsunowym, a Środkową Azją o klimacie wybitnie lądowym! Tędy również, przez obszary Kaszmiru, wiódł jeden z odwiecznych szlaków komunikacyjnych z Indostanu do Tybetu, Pamiru i Chińskiego Turkiestanu. Tutaj, na tym szlaku, ścięrały się najstarsze kultury.

Tomek błędził wzrokiem po ubielonych śniegiem łańcuchach górskich i jednocześnie rozmyślał, w jakim celu Smuga zapuścił się w głąb Azji. Czego lub kogo tam szukał? Czy miał zamiar zaproponować im udział w wyprawie, o której wspominał w swoim liście? Co go łączy z tajemniczym Panditem Davasarmanem?

Odruchowo spojrzął na siedzącego obok Hindusa. Pandit Davasarman nie zachwycał się majestatycznym widokiem gór. Zdawał się drzemać, opuściwszy głowę na piersi. Tomek wpatrywał się w niego badawczym

---

<sup>297</sup> — Allach — bóg mahometański.

wzrokiem. Hindus intrygował go coraz bardziej. Pułkownik Burton twierdził, iż maharadża Alwaru i Davasarman sprzyjają Anglikom. Trudno było w to powątpiewać; Davasarman cieszył się wielkim zaufaniem u władz angielskich, czego dał dowody, uzyskując, z pominięciem wszelkich formalności, zezwolenie na wjazd do Kaszmiru. Z drugiej jednak strony, jak dziwnie brzmiała w jego ustach opowieść o wielkim powstaniu indyjskim. Ponadto, czy nie pokpiwał z hinduskich bożków w rozmowie z mahometaninem Babukhanem?

„*W każdym razie musi być niezwykłym człowiekiem, jeżeli Anglicy tak się z nim liczą*” — pomyślał Tomek.

Prawdopodobnie pod wpływem wzroku Tomka Hindus podniósł głowę.

— Bywa pan chyba częstym gościem w tych stronach, skoro nie ciekawi pana tak malowniczy widok gór — odezwał się Tomek.

— Nieskazitelna biel śniegu zalegającego szczyty męczy mój wzrok. Podczas wędrówki po Tybecie nabawiłem się choroby oczu — odpowiedział Davasarman.

— Zapewne zwiedził pan kawał świata. Takie ekspedycje do niezbadanych krajów są bardzo niebezpieczne. Czy nie obawia się pan stale ryzykować własnego życia?

Hindus uśmiechnął się i odparł pytaniem na pytanie:

— Czy narażanie własnego życia podczas łowów na dzikie zwierzęta, nigdy nie budziło w panu zastrzeżeń? Wydaje mi się, że... lubicie swój niebezpieczny zawód!

— Oczywiście, proszę pana, chwywanie i osvajanie zwierząt daje nam wiele zadowolenia.

— A widzi pan! Ukończyłem studia i przeszedłem specjalne przeszkolenie, przygotowujące do badania nieznanymi krajów Azji. Nigdy nie jestem pewny, czy powrócę szczęśliwie z wyprawy, lecz mimo to chętnie ryzykuję życie. Wzajemne poznanie się zbliża narody. Czy to nie jest warte kilku nędznych istnień ludzkich?

— Oczywiście, jeżeli tak spojrzymy na tę sprawę. Słyszałem szereg zajmujących opowieści o niezwykłych przygodach pundytów.

— Często nazywa się nas pundytami, aczkolwiek określenie to pochodzi od słowa „*pandit*”, tytułu przysługującego bramińskim uczonym — wyjaśnił Davasarman.

— Czy mógłbym wiedzieć, do jakich krajów odbywał pan wyprawy? Pasjonuję się takimi opowieściami...

— Oczywiście, dla przyjaciół moje wyprawy nie są tajemnicą. Trzykrotnie odwiedzałem Tybet, przewędrowałem Turkiestan Chiński, dwukrotnie byłem w Pamirze, raz nad Jeziorem Bajkalskim i w Afganistanie. Nie wspominam o krajach obecnie należących już do Wielkiej Brytanii.

— To pan musiał wędrować przez całe lata! — zawołał zdumiony Tomek.

— Przeszło dziesięć lat strawiłem na przemierzaniu Azji — odparł Davasarman. — Przekroczyłem już czterdziestkę, lecz jak pan widzi, piesze wędrówki dobrze konserwują człowieka. Nie wyglądam na tyle, prawda?

— Oczywiście, że nie! Czy pan dawno zna pana Smugę?

— Poznaliśmy się na polowaniu w Bengalii. Stare to dzieje... Szikar Smuga jest nadzwyczaj dzielnym mężczyzną.

— O tak! To wspaniały człowiek! Od chwili, gdy poznałem pana Smugę, zawsze marzę, aby stać się takim jak on — impulsywnie powiedział Tomek.

— Ma pan wszelkie dane po temu — poważnie rzekł Davasarman. — Posiadacie obydwaj bardzo wiele podobnych cech. Moja siostra, Sita, pierwsza mi to powiedziała, zanim osobiście poznałem pana.

— Czy pan ma na myśli księżną Alwaru?

— Tak, mogę pana zapewnić o jej przyjaźni. Była bardzo zmartwiona tym... przykrym incydentem z pierścieniem.

Tomek zamilkł speszony. Davasarman uśmiechnął się, po czym zapytał:

— Czy słyszał pan w Indiach o Crimach?

— Nawet czytałem o nich w jakiejś książce podróżniczej.

— Mamy sporo czasu, więc opowiem panu zabawną, autentyczną historię. Otóż zrzędzeniem losu, dwóch bardzo zamożnych kupców należało do kasty Crimów. Oczywiście nie mieli jakiegokolwiek potrzeby dokonywania przestępstw, lecz nie chcąc naruszać kastowego rytuału, odwiedzali się raz do roku i podczas wizyty wzajemnie zabierali sobie nieznacznie jakiś przedmiot mniej więcej równej wartości. W ten sposób wilk był syty i owca cała. Pewnego razu do jednego z nich zawitał miły gość. Brat owego kupca ofiarował gościowi ładne pudełko do betelu. Podsunęło to myśl niefortunnemu Crimowi, iż chociaż raz w życiu mógłby ucieszyć swoją

patronkę, boginię Bogiri Mahalakshmi, prawdziwym występkiem, dokonany według zasad obowiązujących złodziejską kastę. Postanowił ukraść gościowi pudełko do betelu, a potem po złożeniu ofiary bogini, podarować mu jeszcze bardziej kosztowny upominek. Naprędce obmyślił plan działania. W nocy zakradł się do pokoju swego gościa. Na nieszczęście, ów Crim z przypadku, dokonując po raz pierwszy prawdziwej kradzieży, nie miał wprawy koniecznej w tym rzemiośle. Gość nie tylko się przebudził, lecz omal nie rozpoznał złodzieja. Sprawa nabrałaby nieprzyjemnego rozgłosu, gdyby brat kupca, wiedziony jakimś przeczuciem, nie zdążył w porę interweniować. Gość domyśliwszy się prawdy, okazał wiele wyrozumiałości i szlachetności, czym zyskał sobie przyjaźń kupca oraz całej jego rodziny.

— Każdy człowiek choćby raz w życiu popełnia jakiś błąd. Och, przed nami jakaś zagroda, a przy niej konie! — powiedział Tomek, szczerze rad, iż nadarzyła się okazja do przerwania kłopotliwej rozmowy.

— Tutaj zmienimy zaprzęgi — wyjaśnił Davasarman.

Wymiana koni trwała zaledwie kilka minut, po czym tonga pomknęły dalej po wyboistym trakcie przez malownicze doliny oraz zalesione wysoczyzny. W miarę oddalania się od Rawalpindi, kraj stawał się coraz bardziej górzysty. Zbocza gór pokrywały lasy jodłowe i cedrowe<sup>298</sup>. Wokół rozrzuconych tu i tam gospodarstw rosły drzewa owocowe, a na polankach kwitły fiołki. Początkowo okolica przypominała włoskie zbocza Alp, im jednak tonga pięły się wyżej po zygzakowatej drodze, nabierała coraz bardziej surowego, dzikiego wyglądu.

Woźnice, zachęteni obietnicą sutego dasturu, stale przynaglali konie, mimo że szybka jazda po wąskiej, wyboistej, krętej drodze często groziła stoczeniem się w przepaść. Przed każdym zakrętem donośnie trąbili w małe rogi, aby ostrzec wozy dążące z przeciwnej strony. Wymijanie się pojazdów zakrawało na karkołomną sztukę, toteż Tomek co chwila oglądał się na wóz ojca i bosmana.

Wkrótce wjechali w dolinę rzeki Dżehlam<sup>299</sup>, wzdłuż której przebiegała granica pomiędzy Indiami Brytyjskimi i terytoriami należącymi do maharadży Kaszmiru. W wiosce Kohala Tomek przeżył nie lada wzruszenie, bowiem

---

<sup>298</sup> — Cedr himalajski w języku sanskryckim „*deva dara* — święte drzewo” stanowi doskonały budulec. Rośnie również w Europie.

<sup>299</sup> — Dżehlam — Jhelum.

tonga w pełnym pędzie przejechały przez wysoki, chybotliwy most z pni drzewnych luźno przerzuconych nad głębią i opartych tylko końcami na belkach, wysuniętych nieco z obu brzegów koryta rzeki. Na woźnicach huśtający się most nie robił żadnego wrażenia. Zatrzymali powozy przed jednym z domków, opatrzonym szyldem z napisem w języku angielskim i perskim: „*Komora Celna*”. Tutaj również musiano dobrze znać Pandita Davasarmana, ponieważ celnik po kilku ugrzeczionych „*salamach*” skwapliwie orzekł, że myśliwi oraz podróżnicy wolni są od opłacania cła.

Pandit Davasarman dopilnowywał przepręgania koni. Bosman zaraz skorzystał z okazji, aby uzalić się przed przyjaciółmi:

— Nie spodziewałem się nigdy, że taki rozsądny człowiek jak Smuga będzie narażał nas na skręcenie karków na górskich wertepach — mówił rozprostowując swe olbrzymie, obolałe cielsko. — W dryndzie ciasno i niewygodnie, trzęsie tak okropnie, że najgorsza huśtawka na morzu podczas sztormu jest niewinną kołysanką, a w dodatku wszystko to odbywa się na głodniaka. Taka droga nadaje się tylko dla tutejszych pustelników uprawiających głodówkę.

— Mnie także kiszki marsza grają — wtrącił Tomek.

Wilmowski też był głodny, więc wszyscy razem z Davasarmanem wstąpili do oberży i posilili się naprędce, po czym w nieco lepszych humorach wsiedli do tonga.

Od Kohala droga ciągnęła się wzdłuż stromego lewego brzegu rzeki Dzehlam. Musieli zwolnić tempo jazdy. Miejscami wąski, wyboisty trakt wiódł po prostu przez przewieszki nad prostopadłymi ścianami skalnymi, to znów znikał w ciemnych tunelach wydrążonych w skałach. Często zagraadzały drogę osuwiska ze zboczy górskich, pasażerowie wysiadali wtedy z tonga, a woźnice, narażeni w każdej chwili na stoczenie się w przepaść, przeprowadzali pojazdy przez zdradliwe miejsca. Po tak męczącym i denerwującym odcinku drogi zatrzymali się na nocny wypoczynek w Domel. Była tu dość liczna kolonia wojowniczych Sikhów, wyróżniających się nie tylko wyglądem zewnętrznym, lecz także i zwyczajami. Fizycznie byli znacznie lepiej rozwinięci niż Hindusi. Nosili długie włosy zwinięte w węzeł ukryty pod turbanem i okazałe brody. Na przegubach ich rąk połyskiwały metalowe bransoletki — widomy znak należenia do klasy wojowników. Kobiety Sikhów nie zakrywały swoich twarzy i w pełni zażywały swobody.

Chodziły po wsi razem z mężczyznami i ciekawie przyglądały się białym podróżnikom.

Zaledwie świt rozproszył mroki nocy, tonga wyruszyły w dalszą drogę. W Uri podróżnicy napotkali mały garnizon sipajów, ubranych w jasnoczerwone pończochy, niebieskie tuniki zdobione czerwienią, żółte, luźne spodnie i czerwone turbany. Około południa byli już w pobliżu Baramoula, skąd resztę drogi do Szrinagaru, wynoszącą około pięćdziesięciu kilometrów, mieli przebyć statkiem po krętej rzece Dzehlam i jeziorze Wular.

Niebawem wydostali się z wąwozu, zwanego często „*bramą Kaszmiru*”, na skraj rozległej kotliny śródgórskiej. Tutaj łańcuchy gór oddalały się od doliny rzeki, ustępując miejsca uprawnym polom. Porywista, hucząca dotąd wodospadami Dzehlam przemieniła się na tym odcinku w wolno płynący strumień. Zaraz za miastem rozciągał się szeroki, zielony, równinny płaskowyż, ginący w dali u stóp zamglonych, pokrytych wiecznym śniegiem i lodem gór.

Bosman, a nawet i Tomek, po karkołomnej jeździe powozem, odetchnęli z ulgą na widok doongah, szumnie zwanej przez Pandita Davasarmana „*statkiem*”. Była to oryginalna łódź, podobna do chińskiej dżonki, której część środkową osłaniał dwuspadzisty dach z mat, podtrzymywany drągami. Była ona równocześnie domem mieszkalnym przewoźników, czyli tak zwanych hanjisów. Tworzyli oni w Kaszmirze oddzielną kastę i stanowili mahometańską sektę, niezbyt przestrzegającą przepisów Koranu<sup>300</sup>. Wraz z całą rodziną, a więc kobietami i dziećmi, zamieszkiwali w doongah. Łódź popychali długimi kijami, bądź też ciągnęli ją na linach idąc po brzegu.

Hanjisi, tak jak całe Baramoula wraz z jego mieszkańcami, byli brudni i niechlujni. Olbrzymi drab usłużnie sypał „*salamami*”, lecz jednocześnie przebiegłym, chytrym spojrzeniem taksował białych sahibów. Podejrzany wygląd przewoźników nie mógł budzić zaufania, toteż Pandit Davasarman uspokoił swych towarzyszy, iż nie potrzebują niczego się obawiać, ponieważ według prawa obowiązującego w Kaszmirze, cały okręg odpowiadał za napad na cudzoziemca.

Szybko dobili targu, po czym rozlokowali się w obszernej łodzi. Hanjisi ochoczo ujęli w dłonie długie drągi; zaledwie odbili od brzegu, rozpoczęli

---

<sup>300</sup> — Koran — święta księga mahometan; zawiera zasady religii i przepisy, jak należy żyć i postępować.

chóralny śpiew. Biali sahibowie bez żalu żegnali brudną, zaniedbaną Baramoulę. Płynęli wzdłuż brzegów tonących w soczystej zieleni. W sadach obok drzew morwowych widać było grusze, czereśnie, jabłonie, drzewa orzechowe, brzoskwiniowe, kasztany i winną latorośl. W bujnej trawie ścielącej się pomiędzy drzewami rosły barwne lilie i irysy. Podziwiając tę uroczą krainę ogrodów i łąk odurzających zapachem kwiatów, dotarli na nocleg na wybrzeże jeziora Wular, a następnego dnia, wkrótce po świcie, znajdowali się już w pobliżu Szrinagaru, nad którym, na tle wspaniałej, dzikiej, skalnej panoramy, dominowały — szczyt Tacht-e-Sulejman<sup>301</sup>, tak zwany Tron Salomona oraz Hari Parbat, więzienie i forteca wzniesione na wierzchołku kopulastej góry.

---

<sup>301</sup>

— Tacht-e-Sulejman (z arabskiego) — nazwa po angielsku: Takht-i-Sulaiman.



## W AZJATYCKIEJ WENECJI

Tomek siedział w doongah zakotwiczonej w jednym z licznych kanałów przecinających miasto. Łódź stała przy brzegu ukryta przed słońcem w cieniu zwisających nad wodą konarów drzew jaworowych. Tomek położył sobie na kolanach deskę i na tym zaimprovizowanym na poczekaniu stole rozpoczął pisanie listu:

*Szrinagar w Kaszmirze, dnia 30 VI 1907 r.*

*Kochana, Miła Sally!*

*Niepokoisz się zapewne tak długim brakiem wiadomości ode mnie. W liście z Bombaju opisałem ci tragiczny wypadek, jaki nas spotkał zaraz po wylądowaniu w Indiach. Obiecałem wówczas napisać następny po spotkaniu Pana Smugi. Miało to nastąpić w Alwarze, dokąd polecił nam przyjechać nasz wspólny Przyjaciel. Niestety, Pana Smugi nie zastaliśmy w Alwarze i nawet nie ujrzelśmy Go do tej pory, mimo że jadąc Jego tropami zawędrowaliśmy aż do Szrinagaru w Kaszmirze.*

*Muszę Ci wyjaśnić wszystko dokładniej, ponieważ cała sprawa przybiera coraz bardziej dziwny, a nawet tajemniczy obrót. Do Alwaru przybył po nas brat księżnej (wielkiej przyjaciółki Pana Smugi), Pandit Davasarman. Oznajmił nam, iż Pan Smuga czeka na nas w Szrinagarze. Spory to szmat drogi od Alwaru, lecz natychmiast ruszyliśmy na spotkanie. Na ostatniej stacji kolei żelaznej w kierunku północnym wysiedliśmy z pociągu w Rawalpindi, skąd pojechaliśmy dalej w tak zwanych tutaj „tonga”, to jest lekkich powozikach. Pan Bosman narzekał cały czas, ponieważ trakt łączący Rawalpindi z Szrinagarem został ukończony siedemset lat temu i obecnie stanowi wyboistą, niebezpieczną górską drogę. Wiesz przecież, jak Bosman bardzo nie lubi gór!*

*Na szczęście uniknęliśmy stoczenia się w przepaść i dotarliśmy do Szrinagaru — prawdziwej azjatyckiej Wenecji. Gdyby nie troska o Pana Smugę, byłbym zachwycony niezwykłym pięknem okolicy. Niestety znów spotkał nas zawód. Zamiast Pana Smugi zastaliśmy tutaj jedynie służącego Pandita Davasarmana, który oznajmił, że Pan Smuga musiał w pilnej sprawie wyjechać do Leh i tam będzie na nas czekał. Trudno byłoby mi opisać nasze*

rozczarowanie i niepokój, a szczególnie gniew Pana Bosmana. Leh bowiem znajduje się w Ladakhu, zwanym również Małym Tybetem. Odległy jest od Sztynagaru o około dwa tygodnie konnej jazdy. Pan Bosman nawymyślał Panditowi Dawasarmanowi i zagroził, że nie chciałby znaleźć się w Jego skórze, gdyby przypadkiem Pan Smuga okazał się już tylko duchem, a nie żywym człowiekiem.

Pandit Dawasarman z niezwykle spokojem przyjął wybuch Bosmana. Ludzie Wschodu są fatalistami; uważają, że bez woli Boga włos z głowy im spaść nie może. Toteż niewzruszenie oświadczył, iż jedynie Pan Smuga może wyjawić nam, w jakim celu ściągnął nas do Azji Środkowej. W takiej sytuacji jesteśmy zmuszeni ruszyć dalej w drogę. Naprawdę nie wiem, co mam o tym myśleć. Pandit Dawasarman jest niezwykle zamożnym człowiekiem, a ponadto dobrze znanym tutaj badaczem krajów Azji. W jakim celu miałby nas wprowadzać w błąd lub źle życzyć Panu Smudze?

Fakty są jednak faktami i, niestety, musieliśmy pogodzić się z rzeczywistością. Toteż postanowiliśmy jak najszybciej wyruszyć do Leh. Niestety już drugi dzień tkwimy w Sztynagarze i czekamy na przybycie naszych bagaży. Miały być wysłane za nami wozem pocztowym. Jak do tej pory, jeszcze nie nadeszły. Pandit Dawasarman poinformował nas, że następny odcinek drogi wiedzie przez wyłącznie górską krainę. Doradził uzupełnić ekwipunek, a przede wszystkim nabyć praktyczne na taką podróż skórą kryte kufferki, tak zwane „yakdan”. Służą one do przewożenia osobistych rzeczy i jednocześnie w obozowisku z powodzeniem zastępują łóżko. Yakdan posiada z boku żelazne uchwyty. Jeżeli więc rozstawi się dwa takie kufferki i w otwory uchwytów zamocuje się końce kijów z przymocowanym do nich grubym płótnem, to tworzą wygodne w tych surowych warunkach postanie. Ponadto jeden yakdan jest zwyczajowo uznanym ładunkiem dla jednego kulisa, a dwa stanowią ładunek dla jaka, konia lub muła. Posiadanie takich powszechnie tu używanych kuferek znacznie ułatwia podróż i oszczędza niepotrzebnych targów przy wynajmowaniu sił transportowych. Biorąc to pod uwagę, ojciec i Pan Bosman udali się z Panditem Dawasarmanem do centrum miasta w celu poczynienia zakupów. Musimy również zaopatrzyć się w ciepłe kurtki z owczej skóry oraz wysokie, jarkendzkie buty filcowe, ponieważ one tylko chronią dobrze w czasie burz śnieżnych w górach.

*Na mnie osobiście Pandit Davasarman sprawia bardzo korzystne wrażenie. Mam nadzieję, że wcześniej czy później odnajdziemy Pana Smugę, a wtedy skończą się te zmartwienia. Jak do tej pory nie wiemy, w jakim celu ściągnął nas w głąb Azji i co zamierza czynić. Bo przecież nie może tu chodzić o zwykłą wyprawę krajoznawczą. Gdy tylko dowiem się prawdy, zaraz poinformuję Cię o wszystkim. Oczywiście nie kłopotcz się, gdybym nie mógł zbyt szybko napisać. W centralnej Azji nie ma kolei. Listy przenoszone są przez gońców, uzbrojonych w dzidy obwieszane muszelkami i dzwonkami, którymi pobrzękują dla odstraszenia zwierząt podczas wędrówek przez niezamieszkałe okolice. Łatwo domyślisz się, że ten sposób przesyłania korespondencji nie jest zbyt pewny, chociaż podobno dość rzadko zdarzają się napady na samotnych listonoszy.*

*Jak już zaznaczyłem, ojciec z bosmanem robią zakupy, a ja pozostałem w częściowo krytej łodzi, zwanej „doongah” i piszę do Ciebie. Muszę jeszcze wytłumaczyć Ci, dlaczego zamieszkaliśmy w łodzi zamiast w hotelu. Otóż w Kaszmirze Europejczykom nie wolno posiadać własności ziemskiej. Maharadża wprawdzie przeznaczył kilka willi do dyspozycji Europejczyków, lecz w czasie letniego skwaru, panującego na nizinach Indii, Kaszmir roi się od angielskich urzędników. Wszyscy nie mogą pomieścić się w domach i dlatego wiele rodzin wynajmuje doongah, na których mieszka się zupełnie znośnie. Taki już tu panuje zwyczaj. Nie tracimy na tym wiele, ponieważ mieszkając pod gołym niebem mamy doskonałą okazję do podziwiania malowniczych widoków. W porównaniu z upalnymi nizinami indyjskimi i górami skutymi wiecznym lodem, kaszmirska dolina stanowi prawdziwy raj, a Sztynagar azjatycką Wenecję. Do miasta najdogodniej wjeżdża się jedną z licznych arterii wodnych. Rzeki i jeziora połączone są sztucznymi kanałami, po których pływają shikarah, rodzaj chyżych gondoli wyścielonych poduszkami. Na rzece pełno najrozmaitszych łodzi oraz barek przewożących towary, a doongah we dnie i w nocy wożą pasażerów. Z nadbrzeża wiodą ku rzece szerokie schody. Kobiety czerpią wodę wiadrami, wyznawcy braminizmu dokonują obrzędowych kąpeli, a muzułmanie zachowują się tak hałaśliwie, że aż uszy puchną.*

*Samo miasto składa się z wąskich uliczek, zabudowanych wielopiętrowymi domami, przeważnie zdobionymi sztukateriami. Najdziwniejsze są dachy domostw. Na większości z nich rośnie trawa i kwiaty.*

*Nawet dachy hinduskich świątyń oraz meczetów muzułmańskich pokryte są warstwą ziemi, na której bujnie krzewi się roślinność. Nie masz pojęcia, jaki to egzotyczny, niezapomniany widok. Spotyka się tu resztki ruin dawnych pałaców jeszcze sprzed muzułmańskiego najazdu. Nad miastem, niby olbrzymi pomnik, wznosi się góra, zwana Tronem Salomona, uwieńczona starodawną świątynią sprzed około dwóch tysięcy lat. Druga natomiast budowla dominująca nad Szrinagarem budzi bardzo przykre uczucia. Jest to fort i więzienie Hari Parbat.*

*Ogrody rosnące na dachach ponad ulicami oraz gondole pływające po kanałach nie są jedynymi atrakcjami miasta. Największe wrażenie sprawiają pływające ogrody na jeziorze Dal. Wyobraź sobie duże jezioro, a na nim setki sztucznych wysp i wysepek. Dawniej okolica ta była miejscem wypoczynku i zabaw dla azjatyckich władców, dzisiaj natomiast słynne w świecie pływające ogrody używane są przez wieśniaków do hodowania warzyw. Ciekawy jest sposób, w jaki one powstają. Otóż najpierw wycina się rośliny wodne na głębokości około trzech stóp pod powierzchnią wody, a potem wplątuje się w ich łodygi sitowie oraz trzinę. Na utworzoną w ten sposób matę nakłada się cienką warstwę błota, co w końcu tworzy jakby podwodną tratwę. Dwa przebite przez nią i wetknięte w dno jeziora bambusowe kije utrzymują całość w jednym miejscu. Po upływie kilku miesięcy pływająca tratwa przemienia się w prawdziwy ogród warzywny, w którym rosną arbuzy, ogórki, pomidory itp. Kaszmirczycy w większości są mahometanami, lecz rządzą tutaj hinduiści. Z tego względu muzułmanie muszą przestrzegać obrządków religijnych kasty rządzącej. Dawniej za zabicie krowy, czczonej przez hinduistów, groziła kara śmierci, obecnie otrzymuje się wyrok dożywotniego więzienia. Groźne mury Hari Parbat są ostrzeżeniem dla mahometan.*

*Nie jestem pewny, czy mój opis właściwie odzwierciedla oryginalność i piękno Kaszmiru. Dodam jeszcze, że Europejcykowi trudno precyzyjnie się przez ludną i gwarną ulicę. Handlarze oraz rzemieślnicy natarczywie wpychają każdemu do rąk swe towary bądź proponują usługi. Nie można się od nich opędzić. Kaszmirczycy wykazują zabawne, a nawet śmieszne u tak okazałych fizycznie ludzi skłonności. Śmiech, płacz i czcza gadanina miesza się u nich przysłowiowo w jednej torbie. Mahometanie, dla odróżnienia się od Hindusów, usiłują wszystko robić odwrotnie. A więc inaczej zawiązują turbany bądź zapinają chałaty, na konia wsiadają z lewej strony, tak jak my,*

*podczas gdy Hindusi czynią to z prawej. W rzeczywistości jednak różnice te są bardzo powierzchowne. Muszę jeszcze zaspokoić Twoją ciekawość, co do stroju kobiet. Otóż noszą one luźne szaty, niby nocne koszule, przeważnie w jasnych kolorach. Głowy spowijają w lekkie welony. Lubują się we wszelkiego rodzaju ozdobach, noszą je w uszach, na szyjach, na rękach i nogach. Muzułmanki ubierają się na czarno i chodzą szczelnie zawoalowane.*

*Muszę zakończyć list, ponieważ już i tak stanowi kilkugodzinną lekturę. Co porabiasz po powrocie ze szkoły do domu? Czy dobrze się bawisz? Czy Twój Kuzyn często przychodzi?*

*W następnym liście opiszę polowanie na tygrysy w Alwarze. Mam nadzieję, iż niebawem spotkamy Pana Smugę, a wtedy wszyscy będziemy lepszej myśli. Czekaj cierpliwie na wiadomość ode mnie i bądź spokojna o nas, nawet gdyby list się opóźniał. Serdecznie ściskam Cię, Kochana Sally, i przesyłam pozdrowienia dla Twego Stryjka.*

*Tomek*

*P. S.*

*Po polowaniu na tygrysy otrzymałem od księżnej Alwaru piękny pierścień z brylantem. Przeznaczyłem go dla Ciebie jako upominek z Indii. W Srinagarze kupiłem kilka misternie wykonanych bransolet. Jedna z nich ma przymocowane srebrne dzwoneczki.*

*Twój Tomek.*

Tomek zaklejał właśnie kopertę listu, gdy na brzegu w pobliżu doongah zatrzymał się dwukołowy wóz załadowany pakunkami, eskortowany przez jego towarzyszy.

— Hej, brachu, pomóż nam wyładować te wszystkie graty! — zawołał bosman machając ręką do przyjaciela.

Tomek wybiegł na wybrzeże. Zdumiony spoglądał na ogromną stertę pakunków, jakby nie dowierzał własnym oczom.

— Czy mamy to wszystko zabrać w drogę? — zapytał.

— A jakże! Czekają nas około dwóch tygodni konnej jazdy do Leh, a na trakcie dotąd nie pobudowano sklepików — odparł bosman. — Bierzymy nawet zapas paszy dla koni.

— Tomek jeszcze nie wie, że posiadamy dziesięć wierzchowców — wtrącił Wilmowski.

— To już nawet wynajęliście konie? — dziwił się Tomek. — Przecież nasze bagaże nie nadeszły jeszcze z Rawalpindi!

— Właśnie nadeszły, nie dalej jak przed godziną. Zaraz bacznie nadstawisz ucha, gdy usłyszysz, że mamy szkapy, chociaż ich wcale nie kupiliśmy. Zostawił je tutaj dla nas szanowny pan Smuga, kapujesz teraz? — powiedział bosman.

Tomek pomedytował chwilę, po czym zapytał:

— Kto i kiedy powiedział wam o tych wierzchowcach?

— A któż mógłby powiedzieć, jak nie ten milczek hinduski? — burknął bosman.

— Jeżeli wiedział o pozostawionych tutaj dla nas koniach, to musiał również wiedzieć, iż w Szrinagarze nie zastaniemy pana Smugi. Po co wobec tego wprowadzał nas w błąd?

— Pandit Davasarman twierdzi, że wiadomość o zakupieniu koni przez Smugę przywiózł jego służący, który zakomunikował mu o tym, gdy chciał wynająć wierzchowce do Leh — wyjaśnił Wilmowski.

— Dlaczego nie powiedział tego od razu wczoraj? — indagował Tomek.

— No, mój drogi, jak chyba zauważyłeś, oni obydwaj nie są zbyt rozmowni — odparł ojciec.

— Wygląda, jakby pan Smuga planował jakąś wspólną wyprawę...

— I mnie również tak się zaczyna wydawać. Czy nie świadczy o tym obecność w naszym gronie hinduskiego pundyty? To wymarzony przewodnik na wyprawę po terenach Azji — powiedział Wilmowski.

— Święta prawda! Jestem już pewny, że tu święci się coś niedobrego — dodał marynarz. — Skąd wszakże możemy mieć pewność, że te dwa milczki mówią prawdę? Przecież to oni powiedzieli nam o koniach zostawionych przez Smugę.

— Musimy zachować pewną ostrożność, dopóki nie odnajdziemy naszego przyjaciela — rzekł Wilmowski. — Teraz wyładujmy sprawunki, bo tylko patrzeć Pandita Davasarmana z bagażami z Rawalpindi.

Wkrótce sterta paczek leżała na brzegu tuż przy doongah obok ośmiu nowych Yakdan. Oprócz kuferków Wilmowski kupił cztery kitla, to jest kosze do zabrania najniezbędniejszych w drodze prowiantów oraz trzy brezentowe namioty. Wśród przywiezionych na wozie zapasów znajdowały się: herbata, cukier, mąka, ryż, zupy w proszku, marmolada, tłuszcz, a także świece i

spirytus do maszynki do gotowania. Ponadto każdy z trzech podróżników otrzymał futrzaną kurtkę oraz czapkę i wysokie filcowe buty.

Niebawem zjawił się Pandit Davasarman z bagażami przywiezionymi z poczty. Wspólnie zabrali się do ładowania yakdan i kitla. Udadźalaka, służący Davasarmana, wykazał wiele wprawy w przygotowaniach do drogi. Od razu można było poznać, iż to dla niego nie pierwszyna. Zaledwie ukończyli pakowanie, Pandit Davasarman odezwał się:

— Jeżeli sahibowie sobie życzą, możemy jeszcze dzisiaj wyruszyć łodzią do Ganderbalu, gdzie oczekują na nas konie. Warto się pospieszyć, w nocy spadł w górach śnieg. Droga nie będzie łatwa, a mamy do przebycia dziewiętnaście marszów.

— Dobrze, ruszajmy — zdecydował Wilmowski.

— Proszę pana, przed wyjazdem ze Szrinagaru chciałbym wysłać list do Europy. Czy będziemy przechodzili w pobliżu poczty? — zwrócił się Tomek do Davasarmana.

— Zajmę się tym, proszę mi go tylko dać, a niezwłocznie będzie wysłany do Rawalpindi — odpowiedział Davasarman.

Tomek wydobył z kieszeni list, a Davasarman natychmiast zawołał:

— Udadźalaka! Zanieś zaraz list sahiba do biura Babukhana i zapowiedz, że mają go wysłać jeszcze dzisiejszą pocztą.

— Tak jest, Pandicie! — służbiście powiedział Udadźalaka, stając przed Davasarmanem wyprężony jak struna.

— Spiesz się, za pół godziny odjeżdżamy.

Udadźalaka oddalał się sprężystym krokiem. Bosman przyglądając się mu z upodobaniem, rzekł:

— Szanowny pan ma dobrego służącego. Wymusztrowany niczym żołnierz.

Mówiąc to porozumiewawczo mrugnął do przyjaciół, ponieważ podejrzewał, iż Davasarman umyślnie wprowadził ich w błąd, przedstawiając Udadźalakę jako służącego. Davasarman wszakże nie okazał zmieszania i spokojnie wyjaśnił:

— Udadźalaka jest sierżantem pułku strzelców indyjskich. Towarzyszył mi w większości wypraw, podczas których pełnił jednocześnie funkcję służącego. To pewny i odważny człowiek.

— Dlaczego nie nosi munduru, skoro jest wojskowym? — zapytał Tomek.

— Obcy ubiór wojskowy zwraca na siebie uwagę, a tego należy unikać podczas nieoficjalnych wypraw badawczych. Proponowałbym przygotować się teraz do odjazdu. Oto są już nasze doongah.



## MROŻNE TCHNIENIE TYBETU

Dość wygodny przejazd łodziami ze Srinagaru do wsi Genderbal, ukrytej w cieniu platanów—olbrzymów, nasi podróżnicy mogli traktować jako przyjemny wypoczynek w porównaniu z oczekującą ich konną jazdą.

W Ganderbalu zatrzymali się na nocleg w karawanseraju<sup>302</sup>, gdzie zastali wierzchowce, jakoby pozostawione przez Smugę. Zaraz po przybyciu do oberży Pandit Davasarman oświadczył, że muszą wynająć kilka koniuchów do prowadzenia jucnych koni oraz służących do osobistych posług. Przeciwno temu ostatniemu bosman energicznie zaprotestował.

— Ejże, szanowny panie, po jakie лихо potrzebna nam służba? — mówił oburzony. — Koniuchy do doglądania szkap, zgoda, i co najwyżej jakiś kucharczyk do pitraszenia przekąsek. Resztę zawsze robimy sami. Prócz chłopaka okrętowego, który i tak nie umiał dobrze wyczyścić do glansu butów, nigdy nie miałem służby osobistej.

— Szlachetny sahibie, widzę że po raz pierwszy znajdujesz się w kraju, gdzie obowiązują odmienne zwyczaje — odparł Pandit Davasarman nie zmieszany protestem. — Tutaj biali nie wykonują pospolitych prac. Stracilibyśmy szacunek krajowców, gdybyśmy postępowali inaczej. Podczas organizowania karawany zazwyczaj najmuje się: babu — tłumacza, szuprassi — gońca, kucharza, lokaja, czyściciela butów, koniuchów i tragarzy, a niektórzy biali biorą nawet: fryzjera, szewca, krawca itp.

— To może również najęlibyśmy kogoś do nabijania mojej fajki tytoniem? — zakpił bosman.

— Nikt by się temu nie dziwił, co najwyżej patrzono by na pana z większym szacunkiem — odpalił Davasarman.

— Potrafię i bez tego nauczyć każdego szacunku dla siebie — mruknął bosman.

— Najlepiej pozostawmy panu Panditowi Davasarmanowi wolną rękę w sprawie zorganizowania karawany — wtrącił Wilmowski. — Prosimy jednak, aby nie przesadzał pan z tą osobistą służbą.

---

<sup>302</sup> — Karawanseraj — w Indiach i krajach tatarskich miejsce do zakwaterowania podróżnych. Seraj w języku perskim oznacza pałac sultana.

— Moim zdaniem musimy wynająć koniuchów, kucharza, trzech służących do prac obozowych, babu i szuprassi — stanowczo rzekł Davasarman. — Zaraz zawołam lumbadara<sup>303</sup> i dokładnie omówię z nim całą sprawę.

— Bardzo prosimy, niech się pan tym zajmie — zakończył Wilmowski rozmowę.

Tego dnia wszyscy wczesnie udali się na spoczynek, lecz następnego ranka byli ubrani do drogi, zanim słońce zdążyło rozproszyć nocne mroki. Kończyli śniadanie, gdy na kamienistym podwórzu karawanseraju rozległ się stukot końskich kopyt.

— Ciekaw jestem, dlaczego Pandit Davasarman i sierżant Udadżalaka nie jedzą razem z nami śniadania — zagadnął Tomek. — Czyżby obrazili się na nas?

— Nie dziwiłbym się im, bo „*kochany*” bosman często nie liczy się ze słowami i zbyt skory jest do zwady — powiedział Wilmowski. — Wczorajsza rozmowa na temat służby była nieco za ostra.

— Na nerwy mi działa ten książęcy krewniak. Każdy człowiek w miarę możliwości powinien sam siebie obsługiwać, a nie innym, tak samo jak i on dobrym ludziom, kazać sobie, za przeproszeniem, dłubać w nosie. U moich staruszków, w domu na Powiślu, żadnej służby nie było. Obecny tutaj pan bosman nosił wodę w konwi i korona nie spadła mu z głowy — bronił się marynarz. — Po co mamy niepotrzebnie wydawać ciężko zarobione pieniądze?

— Dobrze pan mówi, panie bosmanie, ale nic na to nie możemy poradzić. Co kraj, to inny obyczaj, więc lepiej niech pan nie spogląda zezem na Pandita Davasarmana, bo z tego nic dobrego dla nas nie wyjdzie — wtrącił Tomek.

— Pal go sęk. Zamknę jadaczkę na kłódkę, a wy go jakoś ułagodzicie — pojednawczo rzekł bosman.

W tej chwili do izby wszedł Udadżalaka. Stał na baczność i zameldował:

— Zgłosił się nasz nowy babu, czy szlachetni sahibowie zechcą z nim porozmawiać?

---

<sup>303</sup> — Lumbadar — przedstawiciel mieszkańców wioski, który pośredniczy w wynajmowaniu tragarzy, zakupie żywności i pobiera opłaty.

— Spocznij, sierżancie, spocznij, jesteście zwykłymi cywilami, nie róbcie więc sobie zbyt wiele ceregieli — odezwał się bosman, jakby już zapomniał, że przyrzekł nie mieszać się do rozmów z Hindusami.

Wilmowski trącił go pod stołem. Udadzałaka uśmiechnął się i odparł:

— Tak jest, szlachetny sahibie, dziękuję! Czy mogę wprowadzić babu?

— A gdzież to podziewa się Pandit Davasarman? On dowodzi naszą karawaną, wobec czego babu powinien zwrócić się do niego — powiedział Wilmowski.

— Pandit polecił mi przedstawić nowego babu sahibom — padła odpowiedź.

Wilmowski i Tomek z wyrzutem spojrzeli na bosmana. On również zrozumiał, iż Davasarman jest urażony.

— Wobec tego niech wejdzie ten babu — zgodził się Wilmowski.

Udadzałaka uchylił drzwi i przyzwalająco skinął głową. Do izby wszedł nowo przyjęty tłumacz i przewodnik. Był to niezbyt wysoki mężczyzna, odziany w gruby wołokowy płaszcz, przepasany skórzanym pasem, nabijanym srebrnymi guzami. Obuwie miał filcowe. Spod pilśniowej czapy, z podwiniętymi do góry dwiema klapkami na uszy, opadały na ramiona dwa czarne warkoczyki, z wplecionymi w nie czerwonymi wstążeczkami. Za pasem zatknięty miał kukri, to jest krótki, zakrzywiony nóż o szerokim ostrzu, używany przez Gurkhów.

— Jestem nowym babu, sahibie — cicho rzekł przybysz.

Podróżnicy spoglądali na niego zdumieni, albowiem wydawało się im, iż znają już skądś tę twarz i ten głos. Naraz Tomek podniósł się od stołu, po czym szybko podszedł do babu. Zajrzał mu prosto w twarz, a po chwili cofnął się jeszcze bardziej zdziwiony. — Domniemany babu roześmiał się, zadowolony z efektu, jaki sprawiła na sahibach jego osoba.

— Nie mylisz się, sahibie, to ja jestem od dzisiaj waszym babu — rzekł wesoło.

— Pandit Davasarman! — jednocześnie krzyknęli Wilmowski i bosman.

— Cóż ma oznaczać ta maskarada? — śmiejąc się, pytał Wilmowski.

— Niech cię wieloryb połknie! Nigdy bym nie przypuszczał, że ubiór może tak zmienić człowieka — dziwił się bosman. — Głos cię tylko zdradził, Davasarmanie.

— Od dzisiaj jestem babu, a Udadźalaka szuprassi. Od samego początku rezerwowałem dla nas te funkcje, ponieważ każdy od razu zwracałby uwagę na Hindusów podróżujących z białymi sahibami. Tymczasem wydaje mi się, że im mniej będą o nas ludzie mówili, tym lepiej na tym wyjdziemy. W Azji wszelkie wiadomości przebiegają przez kraje lotem błyskawicy, mimo iż są podawane tylko z ust do ust.

— Dlaczego wczoraj nie powiedziałeś nam o swoim zamiarze? — dopytywał się Wilmowski.

— Chciałem sprawdzić, czy poznacie mnie w tym przebraniu. Jednocześnie proszę, aby od tej chwili sahibowie nazywali mnie po prostu: babu. A teraz ruszajmy w drogę!

— Komu w drogę, temu czas — rzucił przysłowie bosman, powstając od stołu.

Niebawem znaleźli się przed domem na podwórzu karawanseraju. Oprócz pięciu wierzchowców oraz pięciu jucznych koni zastali tam siedzących na mułach trzech koniuchów, trzech służących i kucharza. Trzej łowcy, babu oraz Udadźalaka przytroczyli karabiny do łąków siodeł, po czym bez zwłoki dosiedli wierzchowców. Kopyta końskie głucho zadudniły na bruku podwórza. Świtało.

Zaraz za wsią przejechali przez most na drugą stronę burzliwego, bryzgającego białą pianą Indu<sup>304</sup>. Dość wygodny dotąd trakt przemienił się teraz w ścieżki wijące się wzdłuż brzegu rzeki na pięć długich etapów.

Podróżnicy brnęli po starych zwałach lawinowych pełnych zdradliwych szczelin, to znów zjeżdżali w lesiste doliny głośnie rozkrzyczanym ptactwem, a potem znów wspinali się na pokryty żwirem i kamieniami szlak. Niewiele rozmawiali podczas tej męczącej jazdy — rzeka huczała głuszac słowa.

Na noc rozbijali namioty w małych dolinkach. Zmęczeni, spali mocno, nie zwracając nawet uwagi na możliwość niedźwiedzich odwiedzin. W ciągu tych czterech dni minęli leżące przy trakcie stacje: Kangan oraz Goond, po czym przejechali przez Gagangir i Sonamerg, czyli tak zwane „*żółte łąki*”. Przyjęły one nazwę od żółtych krokusów pokrywających kwieciami podgórskie, pobliskie polany. Z dala w górach iskrzyła się biel śniegów, a

---

<sup>304</sup> — Ind lub Indus — źródła tej rzeki są w Tybecie, górny bieg w Kaszmirze, a środkowy i dolny w Pakistanie Zachodnim.

mroźny wiatr smagający gwałtownymi porywami zmusił podróżników do nałożenia futrzanego odzienia i wołoków.

Popasali we wsi Baltal w rozległej kotlinie, zamkniętej przez potężne przerwy skalne pokryte lodem. Tu rozkoszowali się ciszą, jaka ogarnęła ich po opuszczeniu doliny Indu, wypełnionej hukiem wartko płynącej rzeki. Osada, szumnie zwana wsią, składała się zaledwie z trzech nędznych chat. Nie opodal nich rozbili swe namioty. Przez kilka godzin wypoczywali przy ognisku, mimo duszącego i gryzącego dymu, jaki dawały karłowate brzozy służące za opał.

Wieś Baltal była graniczną osadą w Kaszmirze. Wprost na wschodzie piętrzyło się ku niebu pasmo zachodnich Himalajów, najwyższych gór świata. Przed wyruszeniem w drogę babu zaopatrzył białych sahibów w oryginalne okulary. Miały one drewniane oprawki, w których w miejsce szkielec zwiślały końskie włosy. Okulary te miały chronić oczy przed porażeniem przez biel śnieżną zalegającą góry, a powodującą często tak zwaną „białą ślepotę”.

Od Baltalu droga wciąż pięła się w górę, aż do Zoji-la, stanowiącej jedyne wyraźne obniżenie w wyniosłym paśmie zachodnich Himalajów<sup>305</sup>. Dojście do przełęczy nie było ani łatwe, ani bezpieczne. Ścieżka prowadziła urwistymi zboczami często nad przepaściami. Każdy nieopatrzny krok człowieka, czy zwierzęcia groził stoczeniem się w otchłań.

Pierwszy jechał babu, za nim Udadżalaka, bosman, Tomek, Wilmowski i reszta ludzi z jucznymi końmi. Bosman pobladł, bowiem jego wierzchowiec, zamiast kroczyć środkiem wąziutkiej ścieżyny, zaczął pięć się pod górę tuż nad samym skrajem przepaści. Marynarz kilkakrotnie usiłował zmusić konia cugłami do zaprzestania karkołomnych popisów, lecz wierzchowiec uporczywie wracał na skraj ścieżki.

— Ot, durne bydlę, zupełnie mnie nie słucha — wybuchnął zdenerwowany. — Chce zlecieć w przepaść razem ze mną!

— Co się stało, panie bosmanie? — zawołał zaniepokojony Tomek.

— Nie mogę nakłonić nędznej szkapy, aby zeszła więcej na środek tej piekielnej ścieżki — odparł wzburzony bosman. — Wlecze się z uporem żwirowatym brzegiem. Zlecimy razem, jak amen w pacierzu!

Udadżalaka jadący przed bosmanem odwrócił głowę i rzekł:

---

<sup>305</sup> — Zoji-la znajduje się na wysokości 3529 m. „La” znaczy w języku tybetańskim „przełęcz”, a więc jest to „przełęcz Zoji”.

— Posłuchaj mojej rady, szlachetny sahibie. Puść wolno wodze i zdaj się na instynkt konia, albowiem każde zwierzę najchętniej kroczy po tej części złej drogi, którą już przed nim przeszły bezpiecznie inne zwierzęta. Tędy najczęściej idą juczne karawany. Ładunek na grzbiecie konia grozi w każdej chwili zaczepieniem o skalną ścianę i spadnięciem w przepaść. Toteż doświadczone w marszach górskich juczne zwierzęta kroczą wydeptanym skrajem ścieżki, odsuwając się jak najdalej od zdradliwego zbocza. Nasze konie instynktownie wybierają drogę swych poprzedników i najlepiej jest w takim przypadku pozostawić im swobodę. Przyjrzyj się, sahibie, wszystkie nasze wierzchowce czynią to samo.

— To mnie przekonuje Udadżalako. Cóż jednak mogę na to poradzić, że nie lubię patrzeć w przepaść? Sami diabli to nadali — odpowiedział bosman, dodając soczyście, marynarskie słówko.

— Mam pomysł, bosmanie! — odezwał się Tomek. — Proszę zamknąć oczy. Wtedy nie będzie pan widział przepaści.

— Faktycznie niezła myśl, ale co się stanie, jeśli przypadkiem zdrzemnę się i zlecę z siodła? Pal sęk, w szczenięcym wieku przeszedłem odrę, to i teraz jakoś chyba przejdę przez te górki.

— Brawo, bosmanie! Jeszcze gotów pan polubić takie wędrówki!

— Jeśli takiego uszczypliwego pędraka jak ty polubiłem, to kto wie, może przekonam się kiedyś i do gór. Chociaż, jak do tej pory, nie zanosi się na to.

Ścieżka tymczasem pięła się coraz wyżej i wyżej. W cieniu skał panowało dokuczliwe zimno, lecz gdy szlak wynurzał się na otwartą przestrzeń, słońce mocno przygrzewało. Po kilkugodzinnej uciążliwej jeździe, ku niezmiernej uldze bosmana, osiągnęli wreszcie przełęcz. Była to słynna Zoji-la, jedno ze słynnych przejść na północ. Tutaj babu zarządził krótki postój, aby zmęczone wierzchowce mogły nieco odetchnąć.

Z języka lodowcowego, odległego zaledwie o jakieś trzysta metrów, wypływał wartki strumień, który tu na przełęczy tracił pęd i nawet tworzył zakola, by nieco dalej zmienić się znów w spieniony, spadający po skalnych progach potok. Podczas zimowych zawiei, trwających tutaj szereg miesięcy, przełęcz była niedostępna i wręcz niebezpieczna dla ludzi i zwierząt. Świadczyły o tym bielejące w słońcu szkielety mułów oraz cmentarzyk

ułożony z kamiennych płyt. Porywisty wiatr, wiejący bez przerwy, uprzykrzał wypoczynek.

— Niczego sobie wycieczka! W mieście morderstwo, a w górach szkielety bydła i cmentarz witają nas na początku wędrówki — mruknął marynarz.

— Nie utyskuj, bosmanie, lepiej obejrzyj się za siebie — zawołał Wilmowski.

Na południowym zachodzie widać stąd było cichą zieloną dolinę Kaszmiru. Bosman uśmiechnął się, wspominając odurzający zapach kwiatów, gondole pływające po kanałach oraz śpiew pięknych dziewcząt. Markotnie spojrzął z kolei ku północy, gdzie rozciągała się nieprzystępna, wyżyna pustynia.

Z przełęczy Zoji-la można było zaobserwować zasadniczy kontrast między krainami południa i północy. Zachodnie pasmo Himalajów stanowi wyraźną granicę pomiędzy roślinnością Kaszmiru i Ladakhu oraz pomiędzy Indiami i Wyżyną Tybetańską. Dzieli ono Kaszmir na dwie części. W każdej z nich panują inne klimaty i zamieszkują odmienne ludy, o różnych kulturach. Na południe od gór w malowniczych, dobrze nawodnionych dolinach mieszkają Ariowie — hinduiści i mahometanie. Na północ od nich rozpościera się niegościnna pustynna wyżyna — kraina Mongołów — buddystów. Mimo iż Ladakh politycznie należy do Kaszmiru, faktycznie stanowi nierozzerwalną geograficzną i kulturalną jedność z chińskim Tybetem. Ladakh to przedsiemek Tybetu.

Tu za Zoji-la podróżnicy przeżywali bardzo denerwujące chwile. Oto z załomów skał wyłoniła się przed nimi karawana zdążająca w przeciwnym kierunku. Rozległy się pospieszne okrzyki poganiaczy zwierząt. Obydwie grupy przystały natychmiast. Poganiacze karawany pnącej się na siodło przełęczy wcisnęli się wraz z końmi w małe skalne nisze, aby umożliwić przejście schodzącym z góry. Dopiero wtedy Pandit Davasarman dał swoim znak do marszu.

Czoła podróżników, a nawet i poganiaczy przywykłych do takich wędrówek, zrosiły się potem przy wymijaniu karawany stojącej pod skalną ścianą. Konie ocierały się o siebie bokami, stękały przerażone, z trudem utrzymywały równowagę na krawędzi ścieżki. Bosman byłby naprawdę przymknął oczy, lecz „*salamy*” zmuszały go do wymiany uprzejmych

pozdrowień z obcymi wędrowcami. Byli to mahometańscy pielgrzymi ze Wschodniego Turkiestanu, którzy z rodzinnego Jarkendu wyruszyli do Mekki<sup>306</sup> — świętego miasta mahometan. Podróż ich miała trwać w obydwie strony około jedenastu miesięcy, jechali więc ze swym dobytkiem zapakowanym w wielkie toboły. Na nich siedziały kobiety otulone wraz z głowami w obszerne białe opończe. Czarne, nieco skośne oczy, ciekawie zerkały spod zasłon. Mężczyźni trzymając konie za uzdy krótko przy pyskach, aby stały spokojnie, pozdrawiali obcych podróżników. Mahometanie z Jarkendu ubrani byli w długie, podbite futrem kaftany oraz w płaskie, obramowane futrem czapki i w wysokie, miękkie buty. Wołając „*salam*”, uroczyście się pochylali w pokłonie ze złożonymi na brzuchu rękami, aczkolwiek nie było to łatwe ze względu na niepokój wierzchowców. Nasi podróżnicy odpowiadali na uprzejme powitania i mimo że wymijanie karawany było bardzo niebezpieczne, ciekawie obserwowali mieszkańców dalekiego Turkiestanu. Podziwiali ich odwagę i podjęte ryzyko. Iluż bowiem pielgrzymów ginęło podczas długiej, niebezpiecznej wędrówki.

Przez następnych kilka dni jechali wzdłuż burzliwego, rozcinającego tę partię gór strumienia Dras. Na noclegi zatrzymywali się wśród rumowisk skalnych, które stanowiły prawdziwe królestwo świstaków<sup>307</sup>. Według wierzeń buddystów dusza zmarłego złośliwego człowieka wciela się po śmierci w świstaka. W okolicy roiło się od nich, ponieważ nie doznawały krzywdy ze strony przesądnych Tybetańczyków, a niedźwiedzi strzegły się pilnie. Zmyślne zwierzątka przypominały Tomkowi widziane w Meksyku pieski stepowe<sup>308</sup>. Chcąc lepiej przyjrzeć się azjatyckim, na postoju podkradł się z bosmanem do żerującego stadka. Udało im się nawet osaczyć jedno zwierzątko. Zagnane pomiędzy głazy, wcale nie okazało bezradności. Przewróciło się na wznak i broniło ostrymi pazurami. Z desperacką wściekłością chwyciło zębami za kij podsuwany przez Tomka.

Nie na wszystkich chota haziri, to jest biwakach, udawało się im rozpalać ognisko. Jedyne bowiem opały stanowiła znajdowana po drodze Boortsa lub Eurotia, roślina przypominająca wyglądem koper. Jej łodygi często

<sup>306</sup> — Mekka — miasto w Arabii.

<sup>307</sup> — Świstak — gryzoń z rodziny wiewiórkowatych. Wydaje donośny świst, stąd nazwa. W Azji gatunek środkowoazjatycki (*Arctomys caudatus*).

<sup>308</sup> — Amerykańskie pieski stepowe (*Arctomys Ludovicianus*) — podobne wielkością i barwą sierści do świstaków. Żyją głównie na preriiach Ameryki Północnej.



zastępowały zwierzętom paszę. Wydzielała olejek pachnący jak kamfora. Nasycone nim świeże, ścięte, zielone rośliny paliły się znacznie lepiej niż suche.

Pandit Davasarman był nieocenionym organizatorem poszczególnych etapów drogi, toteż względnie szybko dotarli doliną Saru do jedynej na szlaku miejsciny, wyposażonej w skromny bazar i szpitalik. Stąd niedaleko już było do Shergolu, pierwszej najdalej na zachód wysuniętej osady buddystów.

W dolinie Wakka z daleka ujrzeli zbudowany wysoko na skale klasztor buddyjski. Przebywali w nim Czerwoni Lamowie. Tak jak ich tybetańscy bracia — Żółci Lamowie, podlegali Wielkiemu Dalajlamie w Lhasie. Davasarman znał te zakątki i informował współtowarzyszy o życiu lamów, nigdy nie rozstających się z młynkiem modlitewnym oraz różańcem. W każdym klasztorze przebywała mała grupa lamów, zajmujących się wyłącznie czynnościami religijnymi, natomiast większość członków społeczności klasztornej wykonywała ciężkie prace gospodarskie.

W pobliskim miasteczku karawana zagłębiła się w labirynt starannie zbudowanych z gliny domków o płaskich dachach.

Na nich sterczały wysokie kije obwieszane białymi szmatkami<sup>309</sup> i czarnymi ogonami jaków. Na dachach siedzieli w milczeniu, jakby pogrążeni w kontemplacji mężczyźni, odziani w ciepłe kitle oraz czapki z klapkami na uszy. Na widok przeciągającej karawany podnosili się z powagą, wykrzykując jeden tylko wyraz: „*dżule!*”<sup>310</sup>, potem pochylali się do przodu z wielkim palcem prawej ręki wyciągniętym w górę i z językiem wysuniętym aż na brodę.

Bosman Nowicki w pierwszej chwili oniemiał z oburzenia. Poczzerwieniał, zdarł konia cugłami i zatrzymał w miejscu. Unosząc się w strzemionach, zawołał do siedzących na dachu mężczyzn:

— Ach, wy bycze ogony, to tak uprzejmie witacie podróżników?! Taka to u was gościnność?!

---

<sup>309</sup> — Buddyści posiadają tzw. młynki modlitewne, na których bębnie wypisane bądź nalepione są teksty modlitw. Buddysta kręcąc korbką bęben młynka uważa, iż odmawia modlitwę. Bębny te są różnych rozmiarów, od małych ręcznych, aż do wielkich wprawianych w ruch przez wodę strumienia. Taką samą rolę jak bębny modlitewne spełniają i flagi modlitewne, zawieszane na gałęziach drzew lub na kijach. Wiatr porusza papierkami bądź szmatkami z wypisanymi na nich modlitwami i w ten sposób pacierz „*jest odmawiany*” na intencję tego, kto wywiesił „*flagę*”.

<sup>310</sup> — Dżule, tzn. sługa pański.

Mężczyźni na dachu jeszcze głośniej krzyknęli „*dżule*” i jeszcze bardziej wysunęli języki.

Być może doszłoby do przykrego incydentu, bo bosman ogarnięty pasją zsiadł z konia, lecz na szczęście w tej chwili babu przyskoczył na wierzchowcu do marynarza i przytrzymał go energicznie za ramię.

— Stój, sahibie! Oni właśnie w ten sposób pozdrawiają! — zawołał półgłosem, po czym skinął głową ku mężczyznom, krzyknął „*dżule*” i tak jak oni wysunął język.

Mężczyźni uniżenie ponowili powitanie, a następnie spokojnie usiedli na dachu.

— A niech ich... — zaklął bosman i naraz zaczął się śmiać do łez. — To ma być powitanie?! — pytał, wycierając oczy. — A ja omal nie pobierzmowałem ich po krzyżu...!

Z kolei wysunął swój wielki język, co siedzący na dachu przyjęli z oznakami największego zadowolenia.

Podróżnicy rozbawieni tym pożegnaniem ruszyli w dalszą drogę. Teraz wzdłuż traktu napotykali wały padmowe, dochodzące niekiedy do stu metrów długości, usypane przez pobożnych buddyjskich podróżnych z odłamków skał, piargów i ziemi. Od góry przykrywały je płaskie kamienie, w wyrytych na nich modlitwami. Wały padmowe jak i czorteny — kamienne słupki zdobione płaskorzeźbami oraz napisami — stawiali wyznawcy, aby wskazywały Buddzie drogę do świętej Lhasy, gdy kiedyś znów zstąpi na ziemię.

Obok tych pomników niezwyklej wprost pobożności napotkali również olbrzymi posąg Buddy wykuty w trzydziestometrowej skalnej ścianie.

Szlak karawany wiódł teraz przez urwiste góry, o krok od bezdennych przepaści. W dzień żar słoneczny prażył niemiłosiernie, w nocy dokuczał dotkliwy chłód. Często wyjeżdżali wcześniej przed świtem, aby przebyć jak największy odcinek drogi, zanim słońce roztopi zmarzłą w nocy grubą skorupę śniegu. Rozrzedzone powietrze utrudniało oddychanie i wywoływało optyczne złudzenia. Dzięki temu odległe przedmioty zdawały się być już bardzo blisko.

Po jedenastu dniach niebezpiecznej, męczącej jazdy dobrnęli do klasztoru w Spittugu, skąd zoczyli w przełomy Indusu na wschód. Teraz mieli przed sobą rozległy szmat piaszczystego pustkowia. Na jego krańcu rysowały się

wieże zamku radży Ladakhu, a nieco wyżej nad nim klasztor buddyjski — gompa.



## KLASZTOR W HEMIS

Oto zbliżali się do Leh — stolicy Ladakhu. Nawet nie musieli popędzać utrudzonych koni. Wyciągały one szyje na widok domostw, potrząsały łbami, jakby chciały zrzucić z siebie pustynny kurz, rżały i samorzutnie przyspieszały kroku. Jeźdźcy również z radością zdążali do gwarneho miasta, rozpościerającego się u stóp masywu skalnego. Doskonale już było widać siedzibę dawnych królów Ladakhu i klasztor. Poszczególne kondygnacje kilkupiętrowego pałacu zwężały się ku górze. Na płaskich dachach roilo się od ludzi.

Bosman osłonił dłonią oczy od słońca, by lepiej widzieć.

— A niech to wieloryb połknie, coś niezwykłego musi dziać się w mieście. Widzę gromady ludzi na dachach domów. Przypatrują się czemuś w dole na ulicy — zauważył po chwili.

— Ma pan rację, ja też to spostrzegłem — przytaknął Tomek.

W tej chwili potężny okrzyk uniósł się nad miastem.

— Co tam się dzieje, do licha? — powiedział bosman. — Może to jakaś rewolucja?

Wstrzymali konie, gdy reszta zbliżyła się, Tomek zawołał:

— Na dachach domów pełno ludzi i słyhać krzyki. Właśnie zastanawiamy się, co to może oznaczać?

— Prawdopodobnie mieszkańcy Leh przyglądają się grze w polo<sup>311</sup> rozgrywanej na placu bazaru — poinformował Pandit Davasarman, a po chwili dodał: — Oczywiście, że się nie mylę, teraz na pewno jedna z drużyn wbiła gola. Słyszycie panowie orkiestrę? W ten sposób czci się tutaj każdą bramkę zdobytą przez drużynę.

Od strony miasta dobiegały odgłosy trąb i dudnienie bębnów. Niebawem karawana dotarła do szeroko otwartej bramy w murach okalających miasto i wjechała w ulicę rynkową, wysadzaną wysokimi topolami. Zazwyczaj tutaj

---

<sup>311</sup> — Polo — gra podobna do hokeja, rozgrywana na kucach, w której bierze udział po czterech jeźdźców w każdej drużynie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa twórcami znanej już w starożytności gry w polo (a także w szachy i wielu innych) byli Chińczycy. Prawidła gry nie uległy zmianom na przestrzeni niemal tysiący lat. Uprawiana jest z wielkim zamiłowaniem w Indiach i w krajach Azji Środkowej, skąd przejęli ją Europejczycy.

odbywały się targi, lecz tego dnia wszystkie bazyry były pozamykane, ponieważ na środku szerokiej ulicy ośmiu zręcznych jeźdźców rozgrywało mecz, obserwowany przez tłum kibiców. Wszędzie było pełno ludzi. Stali wzdłuż domów, wyglądali z okien, spoglądali z dachów. Wśród widzów przeważali Ladakhowie, lecz nie brak było Hindusów, Kaszmirczyków, Tybetańczyków, a nawet i kupców z odległego Chińskiego Turkiestanu. Mieszczanki wyróżniały się szykownymi ubiorami w porównaniu z baryłkowatymi wieśniaczkami, które nosiły grube suknie sięgające kostek i okrywały się owczymi skórami.

Karawana stanęła na skraju bazaru przed rozbawionym tłumem.

— Będziemy chyba musieli poczekać tutaj aż do zakończenia gry — odezwał się Wilmowski do Pandita Davasarmana. — Gdzie spodziewa się pan zastać pana Smugę?

— O tym dowiemy się od angielskiego rezydenta, przede wszystkim jednak musimy ulokować w karawanseraju naszych ludzi. Wszyscy są bardzo zmęczeni — odpowiedział babu.

— Czy daleko stąd do karawanseraju?

— Znajduje się przy końcu ulicy.

— Ten mecz może trwać jeszcze dość długo — zafrasował się Wilmowski. — Nie przedostaniemy się teraz...

— Dlaczego, sahibie? — roześmiał się babu. — Jedziemy!

Uderzył konia piętami, za nim ruszyła cała karawana. Koń Pandita Davasarmana wcisnął się w tłum widzów odwróconych plecami do bramy. Ktoś krzyknął oburzony i kilkanaście rąk wyciągnęło się ku cugłom wierzchowca, lecz naraz ucichły wszelkie protesty — Ladakhowie ujrzeli białych sahibów; natychmiast pospiesznie zaczęli się rozstępować, aby przepuścić karawanę. Mężczyźni kłaniali się uniżenie.

— Proszę, jacy to grzeczni ludzie — z uznaniem rzekł bosman, gdy karawana wyjechała na wolną przestrzeń. — Czy to zwyczaj miejscowy nakazuje im kłaniać się tak nisko wszystkim przybyszom?

— Według tutejszych zwyczajów wymienia się pozdrowienia nawet z obcymi ludźmi, lecz Brytyjczycy nauczyli Ladaków oraz innych mieszkańców Azji szczególnego szacunku dla białej rasy. Nie doceniasz, szlachetny sahibie, przywileju, jaki daje ci tutaj kolor twojej skóry — ironicznie odparł Davasarman.

Dobroduszny marynarz nie wyczuł drwiny w jego głosie, toteż z uznaniem skinął głową i rzekł:

— Wielka to zasługa Anglików, że wprowadzili grzeczność oraz dobre obyczaje.

— Nie było to wcale takie trudne. Bij, sahibie, tak jak oni szpicrutą, gdy ktoś niezbyt szybko ustępuje ci z drogi, a dokonasz tego samego „dobrego” dzieła.

— Kpisz pan chyba ze mnie! — zdumiał się bosman.

— Nie kpię, tylko dobrze znam angielską szkołę grzeczności.

— To znaczy, że ci nieszczęśni ludzie wzięli nas za Anglików?

— Oczywiście, w innym przypadku byliby uprzejmi, lecz nie wykazywaliby uniżoności powodowanej strachem przed białymi kolonizatorami.

— Tfu, do stu beczek zjełczanego tranu! Jak widzę, krajowcy słusznie nie mają zbyt wielkiego nabożeństwa do Anglików. Słyszałeś, Tomku?

— Słyszałem, panie bosmanie. Zaraz odniosłem wrażenie, że biorą nas tutaj za Brytyjczyków.

Wjechali na podwórze karawanseraju. Udadźalaka zajął się sprawami gospodarskimi. Dopilnował rozjuczenia koni, ulokował je w stajni, a także wypłacił należność ludziom wynajętym w Ganderbalu. Podróżnicy umyli się, przebrali w czyste ubrania, naprędce zjedli posiłek, po czym bez zwłoki wyruszyli do siedziby angielskiego rezydenta. Mieszkał on nie opodal rynkowej ulicy w obszernym, wygodnym domu otoczonym małym ogródkiem.

Hinduski służący wprowadził ich do salonu. Po kilku minutach pojawił się wysoki, opalony mężczyzna. Przyjaźnie skinął głową Panditowi Davasarmanowi i podał mu rękę.

— A to są zapewne panowie zapowiedziani przez mile u nas widzianego pana Smugę? — zapytał rezydent zwracając się do podróżników.

— Tak, Sir Youngusband, szlachetni sahibowie dążą na spotkanie z Szikarem Smugą — potwierdził Pandit Davasarman i kolejno dokonał prezentacji.

Rezydent przywitał się z podróżnikami, poprosił ich, aby usiedli.

— Czy bardzo uciążliwą mieli panowie podróż? Słyszałem, że śnieg spadł w górach — zagadnął.

— Jazda była dość męcząca. W niektórych miejscach śnieżyca zasypała przejścia. Musieliśmy wyruszać w drogę przed świtem, aby minąć je, zanim słońce roztopi zmrożoną w nocy pokrywę. Mimo to udało się nam przebyć całą trasę w ciągu jedenastu dni — odpowiedział Wilmowski.

— Zaraz spostrzegłem, że panowie są zaprawieni do odbywania długich marszów. Wcale nie widać po was zmęczenia, chociaż zaledwie dwie godziny temu obserwowałem wasz wjazd do miasta. Wtedy właśnie przyglądałem się grze w polo.

— Chętnie byłbym przyjrzał się rozgrywce, gdyby to nie opóźniło spotkania pana Smugi — wtrącił Tomek.

— Pan Smuga również ucieszy się przybyciem panów. Niecierpliwie oczekuje na was — powiedział rezydent uśmiechając się do młodzieńca.

— Więc nareszcie ujrzymy naszego przyjaciela! — zawołał Tomek uradowany.

— Zastaniecie go, panowie, w klasztorze w Hemis, odległym stąd o jeden dzień konnej jazdy — wyjaśnił rezydent. — Jeżeli wyruszyście jutro o świcie, to przy okazji będziecie mogli ujrzeć ciekawe buddyjskie misterium, odbywające się raz do roku w tamtejszym klasztorze. Zazwyczaj ściągają na nie pielgrzymi z bardzo odległych okolic, nawet z Lhasy.

— Jak to, więc pana Smugi nie ma w Leh?! — zmartwił się Tomek, spoglądając niespokojnie na ojca i bosmana.

— Nasz przyjaciel jakoś stał się bardzo nieuchwytny. Dążymy za nim aż z Bombaju i wszędzie, dokąd przybywamy, zastajemy jedynie wiadomość o nim — odezwał się Wilmowski.

— Widocznie istnieją ku temu ważne powody. Nie wątpię, że sam wyjaśni je panom w Hemis — spokojnie odparł rezydent.

— A jeśli go tam nie zastaniemy? — powątpiewająco mruknął bosman.

— Pan Smuga zaledwie dwa dni temu udał się z nowo zakupionymi końmi do Hemis, gdzie miał na panów oczekiwać. Gdyby zmienił zamiar, na pewno dałby mi znać o tym — stanowczo oświadczył rezydent. — Nie widzę powodu do niepokoju o niego.

— Powód może by się i znalazł — odpalił bosman. — Przybywamy z Europy na wezwanie przyjaciela. Obiecuje czekać w Bombaju. Tam zamiast niego wita nas morderca, a on stale wymyka nam się z rąk jak kamfora.



Rezydent obrzucił podróżników przenikliwym wzrokiem. Potem pytająco spojrzął na Pandita Davasarmana, jakby od niego oczekiwał wyjaśnień.

— Sahib Smuga za moim pośrednictwem pozostawił w Bombaju u pracownika linii okrętowej list oraz depozyt dla swych szlachetnych przyjaciół. Otóż urzędnik ten, Abbas, został zamordowany w chwili, gdy oddawał sahibom to, co u niego pozostawiliśmy. Po dokonaniu zabójstwa morderca umknął, zabierając depozyt — powiedział Pandit Davasarman.

— To naprawdę niezwykle intrygujące — zdumiał się rezydent. — Może panowie zechcieliby opowiedzieć mi coś więcej o tym dziwnym wydarzeniu?

Wilmowski spełnił jego życzenie, a wtedy rezydent rzekł:

— Hm, więc mówi pan, że morderca miał szeroką bliznę na twarzy. To naprawdę zastanawiające... W każdym razie musiał w jakiś sposób poznać zamiary pana Smugi. W innym przypadku nie mógłby wiedzieć, że pozostawiono dla was złoto u Abbasa. Miejscowa policja przeprowadzała śledztwo w Bombaju, a więc posiada panów zeznania jako świadków. To dobrze, w wolnej chwili zajmę się tą sprawą.

— Czy panu wiadomo, w jakim celu Smuga sprowadził nas aż do centralnej Azji? — zapytał Wilmowski.

— Tylko w ogólnych zarysach, lecz nie jestem upoważniony do wyjaśnień na ten temat. Niebawem pan Smuga osobiście wszystko panom wyjawি. Przy okazji chciałbym zapytać, czy panowie podróżują na angielskich paszportach?

— Tak, czy życzy pan sobie je obejrzeć?

— Bardzo proszę, muszę odnotować panów przybycie do Ladakhu.

Rezydent uważnie przeglądał dokumenty, robił jakieś notatki. W końcu znów zwrócił się do Wilmowskiego.

— Jak wynika z paszportów, wszyscy panowie pochodzą z Warszawy, która obecnie należy do Rosji. Czy wobec tego posiadacie jakieś dokumenty wydane przez władze rosyjskie?

— Oczywiście, lecz w obecnej naszej sytuacji nie są one aktualne — odparł Wilmowski, zaintrygowany zapytaniem rezydenta.

— Czy nikt z panów przypadkiem nie posiada autentycznego paszportu rosyjskiego?

— Owszem, ja mam, ponieważ całkowicie legalnie wyjechałem za granicę — odezwał się Tomek.

— Czy ma go pan przy sobie? — indagował rezydent.

— Nie, znajduje się w bagażach w karawanseraju.

— W Leh?

— Oczywiście.

— To bardzo dobrze. A czy pozostali panowie również posiadają w Leh jakieś dokumenty rosyjskie?

— Posiadamy, ale naprawdę nie rozumiem, o co panu chodzi? — zniecierpliwiał się Wilmowski. — Czy angielskie paszporty nie są wystarczające?!

— Ależ, są doskonale! O tamte historie pytałem jedynie... z własnej ciekawości. Proszę mi nie brać tego za złe — usprawiedliwił się rezydent.

Pospiesznie zwrócił podróżnikom dokumenty, po czym zaprosił ich na herbatę i szklaneczkę whisky<sup>312</sup>. Po godzinie wracali do karawanseraju. Niewiele rozmawiali po drodze, uzgodnili jedynie z Panditem Davasarmanem, iż nazajutrz raniem wyruszą do Hemis. Wkrótce po powrocie do oberży, Davasarman wyszedł na miasto pod pretekstem poczynienia zakupów; nasi podróżnicy pozostali. Zaledwie Hindus oddalił się z izby, Tomek rzekł do ojca i bosmana:

— Czy zauważyliście, iż rezydent wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Davasarmanem, gdy powiedziałem o moim rosyjskim paszporcie?

— I mnie też się tak wydawało — potwierdził bosman.

— Ja nic nie zauważyłem, ponieważ siedział do mnie bokiem — powiedział Wilmowski, marszcząc brwi. — Ciekawe, o co mu chodziło? Czyżby... nie, to niemożliwe, aby Smuga poważał się na takie szaleństwo!

— Co masz na myśli, ojczu? Wyjaśnij nam, proszę!

— Zdawało mi się, że odgadłem zamiary Smugi, ale to jest naprawdę niemożliwe, więc lepiej dajmy pokój nedorzecznym domysłom. Smuga sam wyjaśni całą sprawę.

— Na frasunek najlepszy trunek. Mam tu pod ręką butelczynę jamajki, więc wypijmy po łyku dla nabrania humoru — zaproponował bosman.

---

<sup>312</sup> — Whisky (fonet. „*łyski*”) — napój alkoholowy wyrabiany z jęczmienia w Szkocji i Irlandii.

— Wolę filiżankę czarnej kawy, której nie piłem już od wyjazdu z Bombaju. Czy masz ochotę na kawę, ojcze? — zapytał Tomek.

— Chętnie napiję się kawy i kieliszek rumu — potwierdził Wilmowski.

— Wobec tego przygotuj także dla mnie kubek kawy — dodał bosman.  
— Czuję, że Smuga wdał się w jakieś ciemne interesy, ale pal je sę! Naprawdę rad go zobaczę.

Pandit Davasarman po powrocie do karawanseraju zastał swych towarzyszy na pogawędce przy czarnej kawie. Na uprzejme zaproszenie Wilmowskiego usiadł w ich gronie. Tomek przyrządził dla niego kubek kawy, po czym zaczął wypytywać o uroczystości w klasztorze w Hemis, o których uprzednio wspomniał rezydent.

— Jest to naprawdę bardzo oryginalne buddyjskie misterium — wyjaśnił Davasarman. — Lamowie, poprzebierani za różne maskary, starają się odtworzyć obraz życia pozagrobowego, by w ten sposób przyzwycząić wiernych do okropności, na jakie będą narażeni po śmierci.

— Niezłe to musi być przedstawienie, skoro ludziska przybywają na nie nawet z dalekiego Tybetu — zauważył bosman.

— Prawdę rzekłeś, sahibie — przytaknął Davasarman. — Ponadto klasztory w Hemis, Spittugu i w Sakarze są prawdziwymi bastionami buddyzmu w Ladakhu, a z nich najświętszy i najbogatszy jest właśnie klasztor w Hemis. Według zdania tak znanego badacza Azji Środkowej jak sir Younghusband został on zbudowany na wzór klasztoru dalajlamy w Lhasie.

— Sir Younghusband? — zdziwił się Tomek. Czyżby pan miał na myśli angielskiego rezydenta w Leh?

— Tak, o nim właśnie mówię. To jeden z nielicznych Europejczyków, który widział Lhasę — odpowiedział Davasarman.

— Więc to jest ten znany angielski podróżnik? — pytał Tomek.

— Zgadłeś, sahibie! To jest sir Francis Younghusband<sup>313</sup>. Już od roku przebywa w Kaszmirze jako angielski rezydent.

Wilmowski zdziwiony spojrział na Pandita Davasarmana.

---

<sup>313</sup> — Sir Francis Edward Younghusband urodził się w Murree w Indiach Brytyjskich w 1863 r., a zmarł w 1942. Zwiedził Mandżurię i pierwszy przebył w 1887 r. w poprzek Azję Środkową. Badał góry Karakorum i Pamir. W 1903 do 1904 z gen. Mac Donaldem prowadził ekspedycję wojskową do Tybetu. Jako rezydent angielski przebywał w latach 1906–1909 w Kaszmirze. W 1919 r. został przewodniczącym Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie.

— O, do licha, przecież pan przedstawił mi rezydenta jako sir Younghusbanda! jak to się mogło stać, że od razu nie zwróciłem uwagi na tak dobrze znane mi nazwisko! — zawołał pospiesznie.

— A cóż w tym nadzwyczajnego? — zapytał bosman Nowicki wzruszając ramionami.

— Younghusband odgrywa niepoślednią rolę w zakulisowych działaniach Brytyjczyków w Azji Środkowej — odparł Wilmowski.

— Ach, więc to tak się sprawy mają — mruknął marynarz. — No, no, ciekawe, jakie to interesy łączą z nim pana Smugę.

— Niebawem dowiemy się wszystkiego — rzekł Tomek, nieznacznie mrugając do bosmana, aby nie wygadał się z czym niepotrzebnym.

Marynarz dostrzegł znaki dawane przez przyjaciela. Zaraz też zaczął z innej beczki:

— Szkoda, że tak późno dowiaduję się, jaką to ważną figurę mieliśmy przyjemność poznać. Chętnie pogadałbym z panem Younghusbandem o tutejszych krajach, skoro jest takim znawcą polityki. Dobrze to przecież wiedzieć, co w trawie piszczy.

— Ja również żałuję, że jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności nie zwróciłem uwagi na nazwisko rezydenta — przyznał Wilmowski.

— Nie wykorzystaliśmy tak wspaniałej okazji — z żalem powiedział Tomek. — Myślę jednak, że pan Pandit Davasarman również dobrze zna sprawy Azji Środkowej. Przecież odbywał pan niebezpieczne wyprawy do różnych krajów. Na pewno moglibyśmy wiele od pana usłyszeć.

— Święta racja, opowiedz pan z łaski swojej o tutejszych podróżnikach. Zawsze chętnie słuchamy takich historii — przyłączył się bosman do prośby Tomka.

— Wydaje mi się, że panów szczególnie ciekawią ekspedycje sir Younghusbanda — rzekł Davasarman.

— Chcielibyśmy usłyszeć o znanych badaczach Azji Środkowej — odparł Tomek. — Wiem coś niecoś o panu Younghusbandzie i Sven Hedinie<sup>314</sup>, ale na tym też kończą się moje wiadomości.

---

<sup>314</sup> — Hedin Sven Anders, szwedzki badacz Azji, urodził się w 1865, zmarł w 1952. Po podróżach do Persji, Samarkandy, Kaszgaru działalność swą skupił głównie na Azji Środkowej. Począwszy od 1894 r. w czasie kilku wypraw przebył Pamir, pustynię Takla Makan, dotarł do jeziora Łob-nor, przez góry Kunlun i północny Tybet doszedł do Pekinu. Wzdłuż rzeki Tarym i jeziora Łob-nor znów udał się

— Niełatwo jest opowiadać o ekspedycjach odkrywczych, których działalność nie została jeszcze dotąd zakończona — rozpoczął Davasarman. — Do połowy XIX wieku Azja Środkowa wraz z górami granicznymi była niemal zupełnie nie znana, a o wielu obszarach Azji wiemy bardzo mało nawet i dzisiaj. Szczególnie niedostępna okazała się Wyżyna Tybetańska, dostępu do niej bowiem bronią najwyższe góry świata, surowy klimat oraz nieufni wobec obcych przybyszów mieszkańcy, otaczający niezwykle tajemnicą święte dla nich miasto Lhasę.

Pierwsze intrygujące wieści o niektórych krajach Azji Środkowej dotarły w XIV wieku do Europy za pośrednictwem takich podróżników, jak: Rubruk, Marco Polo<sup>315</sup> i Odorico da Pordenone. Później do Tybetu przenikali z Chin jezuici. Klaproth zebrał w pewną całość wyniki ich spostrzeżeń. Na początku XIX wieku Manning oraz Huc i Gabet badali poszczególne szlaki, wszakże mimo to Tybet nadal pozostawał okryty mrokiem tajemnicy. Każdemu Europejczykowi groziła tam śmierć, więc Anglicy wpadli na pomysł, by wykształcić szereg topografów hinduskich. Ci, tak zwani w potocznej mowie „*pundyci*” lub „*panditowie*”, znając język i zwyczaje, zaczęli przekradać się do niegościnnego kraju. Oczywiście większość z nich ginęła bez śladu, a tylko kilku szczęśliwcom udało się dotrzeć do Lhasy. Jeden pundyta przez jakiś czas nawet przebywał w tym świętym dla buddystów mieście, udając pobożnego pielgrzyma. Pundyci Nain Singh i Krishna Ugyen Gyatso szczególnie wstawili się badaniami w Tybecie.

— To podobne do Anglików, oni lubią wyjmować kasztany z ognia cudzymi rękami — wtrącił bosman. — A o sobie to szanowny pan nic nie wspomni?

— Nie odbywam wypraw w celach wyłącznie odkrywczych. Poza tym jako żołnierz jestem szczególnie zobowiązany do utrzymania w tajemnicy wykonywanych zadań — odparł Pandit Davasarman. — Moja działalność

---

do Tybetu, lecz nie dotarł do Lhasy. Potem przez Persję i Indie Brytyjskie, mimo przeszkód czynionych przez Anglików, przedostał się przez Leh do Tybetu, gdzie odkrył źródła Brahmaputry, Indusu i Satledżu. Odkrył również pasmo Transhimalajów, zwanych odtąd Górami Hedina. Przyniósł się głównie do zbadania Azji Środkowej, a szczególnie Tybetu.

<sup>315</sup> — Marco Polo, Wenecjanin, urodził się w 1254 r., zmarł w 1324. Był najwybitniejszym europejskim podróżnikiem średniowiecza. Jego opowieści o niezwykłym bogactwie Wschodu zostały wówczas przyjęte z wielką niewiarą, lecz mimo to wraz z relacjami Rubruka przyczyniły się do poznania wielu krajów azjatyckiego kontynentu.

przeważnie skupia się wokół krajów Azji Środkowej, bezpośrednio graniczących z Indiami Brytyjskimi. Chyba sahibowie zdają sobie sprawę, że im mniej się wie o zawiłych sprawach pogranicza, tym bezpieczniej odbywa się podróż po tych dzikich pustkowiach. Wracając jednak do historii odkryć, na początku drugiej połowy XIX wieku bracia Schlagintweit urządzili wypad poza góry Karakorum. Po nich Hayward i Shaw dotarli do Jarkendu oraz Kaszgaru we Wschodnim Turkiestanie, a Carey do zachodniego Tybetu i Kotliny Tarymskiej. Zaledwie siedemnaście lat temu obecny rezydent w Kaszmirze, sir Francis Younghusband, jako pierwszy przeszedł w poprzek Azję Środkową, idąc od Pekinu ku zachodowi. W latach 1903–1904 razem z generałem Mac Donaldem znów udał się do Tybetu i po raz pierwszy w historii tego kraju zmusił Tybetańczyków do wpuszczenia europejskiej ekspedycji do Lhasy.

— Przepraszam, że przerywam, ale czy generał Mac Donald, bawiący na polowaniu w Alwarze, był właśnie tym współtowarzyszem Younghusbanda w ekspedycji do Tybetu? — zaciekał się Wilmowski.

— Nie mylisz się, sahibie — powiedział Pandit Davasarman.

— Co krok, to nowy prorok — burknął bosman. — Po nitce dojdziemy do kłębka...

Wilmowski skarcił go wzrokiem; marynarz umilkł, Davasarman tymczasem ciągnął dalej:

— U schyłku XIX wieku Capus i Bonvalot dokonali pierwszego przejścia przez Pamir, potem ten ostatni odbył wyprawę naukową w poprzek Tybetu od Taszkientu do Hanoi. Również w tym czasie Amerykanin Rockhill zapuścił się w głąb Tybetu, lecz nie udało mu się osiągnąć Lhasy. Poważne zdobycze naukowe przyniosły wyprawy Dutreuil du Rhinnsa i Grenarda. Wreszcie od 1894 roku sahib Sven Hedin rozpoczął swoje wielkie wyprawy. Jak słyszałem ostatnio, udało mu się zmylić czujność sir Younghusbanda i niedawno przedarł się z Leh do południowego Tybetu, gdzie podobno jeszcze przebywa<sup>316</sup>. W północnym Tybecie kilka lat temu prowadził badania Flichner i Tafel. Zaledwie rok temu Bruce i Layard wyruszyli z Leh, by przez Tybet, góry Kunlun i pustynię Gobi dojść aż do Pekinu. W ten sposób Europejczycy

---

<sup>316</sup> — Mowa o wyprawie Sven Hedina w latach 1906–1908, podczas której, mimo utrudnień poczynionych przez Anglików, odkrył źródła Brahmaputry, Indusu i Satledżu.

powoli przenikają do tajemniczych krajów Azji Środkowej, lecz mimo to Tybet w dalszym ciągu zamknięty jest przed nimi.

— Jak wynika z pana opowieści, Anglicy nie popierają wypraw Sven Hedina, chociaż zależy im na poznaniu Tybetu — zauważył Tomek.

— To nie jest takie proste, mój drogi — wtrącił Wilmowski. — Sven Hedin nie działa z ramienia Brytyjczyków. Dlatego też utrudniają mu badania, jak i innym podróżnikom obcych państw, które wszelkimi sposobami starają się ugruntować swoje wpływy w krajach Azji Środkowej. Należy wspomnieć przecież, że w czasie gdy Anglicy badali z południa wyżyny środkowo-azjatyckie, od strony północnej przedsięwzięli wyprawy podróżnicy wysyłani przez rząd rosyjski. Na przykład w połowie XIX wieku Piotr Siemionow-Tiańszański<sup>317</sup>, jeden z najwybitniejszych rosyjskich badaczy Azji, jako pierwszy zbadał góry Tien-szan, tworzące zaporę pomiędzy posiadłościami rosyjskimi w Azji a Środkową Azją i tym samym utorował Rosji drogę w głąb kontynentu. Potem miały miejsce badania Weniukowa we Wschodnim Turkiestanie oraz Siewiercowa<sup>318</sup> w Tien-szanie i Pamirze. Szczególnie duże znaczenie miały cztery wielkie wyprawy Mikołaja Przewalskiego, dzięki którym po raz pierwszy gruntownie zostały zbadane prawie nieznanne obszary Kotliny Tarymskiej oraz północnego Tybetu. Przewalski także zapuścił się w głąb Tybetu, przekroczył Góry Marco Polo i dopiero w odległości dwustu pięćdziesięciu kilometrów od Lhasy władze tybetańskie zmusiły go do zawrócenia z drogi. Wykonał zdjęcia kartograficzne na trasie 30 000 kilometrów, odkrył dzikiego wielbłąda i dzikiego konia, nazwanego potem koniem Przewalskiego<sup>319</sup>. Także rosyjski badacz Potanin dwukrotnie podróżował po wschodnim Tybecie.

---

<sup>317</sup> — Siemionow-Tiańszański Piotr, jeden z najwybitniejszych rosyjskich badaczy Azji, urodził się w 1827, zmarł w 1914. Zapoczątkował badanie Azji Środkowej od strony północnej. Pierwszy zbadał góry Tien-szan, odkrył górny bieg Syr-darii, badał Turkiestan Rosyjski. Zgromadził zbiory botaniczne, zoologiczne i geologiczne. Od gór Tien-szan otrzymał swój zaszczytny przydomek.

<sup>318</sup> — Siewiercow Mikołaj, rosyjski zoolog i badacz Azji Środkowej, urodził się w 1825, zmarł w 1885. Badał niziny nad Morzem Kaspijskim i Aralskim. Nad Syr-darią został poważnie ranny. Kontynuował badanie Tien-szanu, początkowo pracował między jeziorem Issyk-kul a Taszkientem, a następnie w środkowej części obszaru źródłowego Syr-darii. Stworzył podstawy do poznania geografii, geologii i zoologii badanych obszarów.

<sup>319</sup> — Przewalski Mikołaj, generał, rosyjski badacz Azji, urodził się w 1839, zmarł w 1888. Najwybitniejszy rosyjski podróżnik i odkrywca. Badał Kraj Ussuryjski, a potem w czterech wyprawach prowadził naukowe badania w północnej części Azji Środkowej. Odkrył jezioro Łob-nor, północny

— Ojcie, nie wspomniałeś nic o generale Bronisławie Grąbczewskim — przypomniał Tomek.

— Zaraz o nim powiem, bo niemałe osiągnięcia w badaniu Azji Środkowej mają również i Polacy w służbie rosyjskiej. Do najwybitniejszych z nich należy właśnie Grąbczewski<sup>320</sup>. Badał on Turkiestan, Kaszgarję, góry Tien–szan, Pamir, góry Hindukusz w Afganistanie i północno–wschodnie krańce Tybetu. Podczas wszystkich wypraw gromadził zbiory przyrodnicze, etnograficzne, sporządzał mapy, i zdjęcia marszrutowe w krajach zupełnie nie zbadanych, czym poważnie przyczynił się do rozszerzenia wiadomości o Azji Środkowej. Pan Younghusband na pewno zna generała Grąbczewskiego, bo, jak słyszałem, wyprawy ich spotkały się swego czasu w Pamirze.

— Ekspedycje Grąbczewskiego wywołały wśród Anglików poważny niepokój. Zna go więc nie tylko sahib Younghusband — powiedział Pandit Davasarman uśmiechając się zagadkowo.

— W czasie badań prowadzonych przez Grąbczewskiego inny polski geolog, Karol Bohdanowicz<sup>321</sup>, wyruszył w 1888 roku z wyprawą badawczą Piewcowa — ciągnął Wilmowski. — Polak ten dokonał pierwszych zdjęć geologicznych we wschodniej części Tien–szanu, w górach Kunlun i Ałtyn–tag na pograniczu Tybetu.

Wilmowski zaczął nabijać fajkę tytoniem, a Pandit Davasarman uśmiechnął się i rzekł:

---

łańcuch gór Kunlun — góry Ałtyn–tag na północnej krawędzi Tybetu. Próbował dotrzeć do Lhasy. Zmarł podczas czwartej wyprawy w pobliżu jeziora Issyk–kul. Odkryty przez niego dziki koń został nazwany jego imieniem — Equus przewalski.

<sup>320</sup> — Grąbczewski Bronisław, polski badacz Azji, urodził się na Kowieńszczyźnie w 1854, zmarł w Warszawie w 1926. Z wykształcenia geolog. W wojsku rosyjskim dosłużył się rangi generała. Brał udział w ekspedycji wojskowej do Turkiestanu, po czym przez 7 lat badał kraje Azji Środkowej. Do Polski powrócił w 1920 roku. W czasie wypraw zebrał 36 000 różnych okazów etnograficznych i przyrodniczych. Grąbczewski opisał swe podróże w trzypięciotomowym dziele pt. „*Podróż do Azji Środkowej*” wydanym w Polsce w latach 1924–1926.

<sup>321</sup> — Bohdanowicz Karol, polski geolog i podróżnik, urodził się w Inflantach w 1864 r., zmarł w Warszawie w 1947. Brał udział w wyprawie geologicznej na Ural, w Kraju Zakaspijskim i na pograniczu Persji. W 1888 r. razem z Piewcowem badał Turkiestan Chiński, gdzie poczynił zdjęcia geologiczne. Bohdanowicz badał tereny Syberii, przez które później przechodziła kolej transsyberyjska i w Czeremchowie odkrył bogate złoża węgla kamiennego. Prowadził badania nad dolnym Amurem, nad Morzem Ochockim i na Kamczatce oraz na Półwyspie Czukockim i na Alasce. Był profesorem w Instytucie Geologii w Petersburgu, a po powrocie do Polski w 1919 roku objął katedrę w Akademii Górniczej w Krakowie. Razem z Rosjaninem Obruczewem opracował pierwszą geologiczną mapę Syberii.



— Ekspedycje rosyjskie nie mogły się podobać Anglikom. Góry Hindukusz stanowią naturalną granicę pomiędzy Indiami a Rosją i Turkiestanem Chińskim. Niektóre wojownicze ludy zamieszkujące pas przygraniczny Kaszmiru nie sprzyjały Brytyjczykom. Rozbójniczy Kandzuci — dzielący się na Hunzów i Nagarów — zawsze uważali Chiny i Rosję za największe potęgi świata. Pozostawali w szczególnie dobrych stosunkach z władzami Turkiestanu Chińskiego, gdzie w okolicy Jarkendu król Hunzów posiada prywatną jagir, czyli ziemię, nadaną w zamian za pomoc udzieloną Chinom podczas tłumienia powstania w 1847 roku w Turkiestanie. W tej to posiadłości schronił się też po zajęciu państwa Kandzutów przez Anglików. Brytyjczycy bardzo obawiali się wpływów rosyjskich w pogranicznych krajach, których ludy opierały się zakusom Wielkiej Brytanii. Zrozumieli, że krajowcy, dowodzeni przez rosyjskich oficerów, stanowiliby groźną siłę, toteż zbrojnie zajęli nadgraniczną państewką, potem zaś kierowali do zagrożonych rejonów wysłanników, aby ci obserwowali wszelkie poczynania Rosjan.

— Och, to może pan jest również takim wysłannikiem? — zawołał Tomek.

— Stąd zapewne i to przebranie — dodał bosman. — No, no, nie myślałem, żeś pan taki ryzykant!

— Pozory często mylą. Czas nam już udać się na spoczynek, dobranoc sahibom — zakończył dyskusję Pandit Davasarman, po czym zaczął przygotowywać się do snu.

— Nie lada to ptaszek — mruknął marynarz.

— Tak, tak, wszystko przemawia za tym, że przystraja się w obce piórka — szeptem powtórzył Tomek.

— Skoro opowieści skończone, to kładźmy się spać, panowie. Szybciej nam minie czas do spotkania z panem Smugą — głośno odezwał się bosman.



## NOC TAJEMNIC

Nazajutrz podróżnicy zerwali się z posłań tuż przed świtem. Wkrótce byli gotowi do drogi. Ku swemu zdziwieniu na dziedzińcu przy koniach ujrzeli trzech nowych hinduskich służących. Tak jak Udadźalaka, postawą swoją sprawiali wrażenie żołnierzy odzianych w cywilne ubrania. Każdy z nich posiadał karabin i kukri za pasem.

— Jak widzę, powiększyła się nasza kompania — zawołał zdumiony bosman Nowicki, podchodząc do Davasarmana. — Jeżeli dalej tak pójdzie, to zapewne niezadługo będzie nam towarzyszyła cała armia indyjska!

— To byłoby trochę za dużo, szlachetny sahibie. To moi towarzysze dawnych wypraw. Jesteśmy już w komplecie — odparł spokojnie Davasarman. — Musimy się pospieszyć, jeśli chcemy następną noc spędzić w Hemis.

Na szerokiej ulicy rynkowej ziemia tłumiła odgłos końskich kopyt. Mimo wczesnej pory panował tam już ożywiony ruch. Kupcy rozkładali stragany w podcieniach domów, bądź na ulicy. Obok prasowanej w cegielki tybetańskiej herbaty, worków soli, ryżu, wełny oraz skór leżały wspaniałe kaszmirskie dywany, piękne szale, ladakhijskie srebrne ozdoby dla kobiet wysadzone kamieniami, a także całe worki błękitno–zielonych turkusów z Chińskiego Tybetu. Stragany zapełniano wołokowymi strojami, obuwem, różnymi naczyniami, bańkami z naftą, latarkami, świecami, cebulą, paszą dla zwierząt i wieloma innymi produktami. Na targowisku przewijał się tłum kupujących z wszystkich sąsiednich krajów.

Karawana wolno zbliżała się ku bramie miasta. Podróżnicy ochoczo odpowiadali na sypiące się zewsząd „*salamy*” i „*dzule*”. Pandit Davasarman rozpoznawał po strojach głowy mieszkańców różnych zakątków Azji. Ladakhowie i Tybetańczycy nosili czapki z materiału z klapami na uszy. Ich kobiety, o grubych, tatarskich rysach, przykrywały głowy peyrakami<sup>322</sup> nabijanymi turkusami.

---

<sup>322</sup> — Peyrak — skórzana ozdoba w rodzaju pasa, przykrywającego wierzch głowy i część pleców, nabijana turkusami. O zamożności właścicielki peyraku świadczy liczba i rozmiar turkusów, toteż nieraz peyraki przedstawiają dużą wartość.

Kaszmirczycy oraz Hindusi wyróżniali się turbanami i czerwonymi fezami, Baltowie spiczastymi wołokami, a Turkiestańczycy futrzanymi czapkami. Barwny tłum uprzejmie pozdrawiał i rozstępował się przed karawaną białych sahibów, która wkrótce wyjechała poza miasto w szczerą pustynię.

Teraz babu skierował się ku północy wzdłuż wałów padmowych i czortenów, wskazujących pobożnym pielgrzymom drogę do najbardziej czczonego przez buddystów w Ladakhu klasztoru w Hemis. Kręty, urwisty trakt wciąż piął się pod górę odnogą doliny Indusu. Biali sahibowie wymijali wolniej ciągnące karawany pielgrzymów, z którymi wymieniali pozdrowienia.

Widoczność stawała się coraz gorsza. Opadająca na ziemię mgła nadawała błękitnemu dotąd niebu żółtawy odcień. To wiatr niósł z odległych pustyni wzbite przez burzę obłoki pyłu.

Wierzchowce z trudem pięły się pod górę, często przystawały, by odpocząć. Jeźdźcy nie popędzali koni, suche, rozrzedzone powietrze im także dawało się we znaki<sup>323</sup>. Odetchnęli z niezmierną ulgą, gdy pod wieczór ujrzeli przed sobą na zboczach górzystego masywu białe zabudowania starożytnego klasztoru w Hemis. Na płaskich dachach wielopiętrowych budowli chwiały się od podmuchów wiatru duże parasole oraz łopotały modlitewne chorągwie. U stóp klasztoru widniały liczne namioty pielgrzymów.

— Ten klasztor bardziej przypomina fortecę, niż świątynię — zawołał Tomek, przyjrząwszy się potężnym murom.

Wjechali na wąski podwórzec klasztoru, ozdobiony wysokimi drągami, na których powiewały czarne ogony jaków i modlitewne chorągiewki. Rozległe budynki o płaskich dachach piętrzyły się na stoku góry niby pueblo<sup>324</sup> Indian północnoamerykańskich, różniły się jednak od tamtych licznymi galeriami, balkonami oraz zewnętrznymi schodami łączącymi poszczególne kondygnacje budowli.

Był to prawdziwy labirynt domów, dziedzińców, krużganków oraz ciemnych korytarzy, kryjących w swoim wnętrzu sześć świątyń i cele lamów.

Gwałtowne ujadanie czarnych psów uwięzionych na łańcuchach wywabiło na podwórze kilku lamów, odzianych w czerwone spódnice oraz

---

<sup>323</sup> — Hemis leży na wysokości około 4000 metrów.

<sup>324</sup> — Pueblo — wielopiętrowa budowla służąca za wspólne mieszkanie plemieniu Indian, zwanych Pueblosami. Zamieszkują oni Meksyk i południowo-zachodnie stany USA.

szale osłaniające tylko prawe ramię. Na głowach nosili czerwone małe czapki z klapkami na uszy. Lamowie, z nieodłącznymi bębenkami modlitewnymi w rękach, mamrotali formułki religijne, przerywając pacierz jedynie na krótką chwilę, gdy rozmawiali z podróżnikami.

Pandit Davasarman musiał być dobrze znany czerwonym lamom. Witali go „*dostojnymi dżulami*”, nie zważając na różnicę wyznań, albowiem buddyści zawsze raczej litowali się nad innowiercami, wyobrażając sobie, jakie to przykrości oczekują ich w przyszłych wcieleniach.

Jak spod ziemi wyrosli przed karawaną lamowie–robotnicy, by rozjuczyć konie i zaprowadzić je do stajen. Jeden z lamów wskazał podróżnikom drogę do pomieszczeń przeznaczonych dla nich na odpoczynek. Wszystkie bagaże zostały złożone w większej izbie, łączącej się z kilkoma mniejszymi, przypominającymi ubogie, klasztorne cele. Zastali w nich już przygotowane posłania z mat.

Zaledwie znaleźli się w swej kwaterze, Wilmowski przytrzymał lamę–przewodnika za ramię mówiąc:

— Dostojny lamo, przybyliśmy z bardzo daleka, aby zobaczyć się z szikarem Smugą. Czy możesz nas zaraz do niego zaprowadzić?

— Nie, lepiej mu teraz nie przeszkadzać. On sam przyjdzie do swych przyjaciół, gdy ostatecznie przekona się, iż żaden człowiek nie może zmienić tego, co mu los przeznaczył. Czekaj cierpliwie, szlachetny sahibie, szikar Smuga przyjdzie do was, zanim słońce ponownie rozproszy mrok nocy — zagadkowo odparł lama.

— Czyżby już nadszedł czas? — zapytał Pandit Davasarman.

Lama skinął głową, po czym kręcąc młynek modlitewny zniknął w mrocznym korytarzu.

— Cóż to wszystko znaczy? — zwrócił się Wilmowski do Davasarmana. — Nie lubię, gdy się próbuje grać ze mną w kotka i myszkę. Co ukrywasz przed nami, Pandicie Davasarmanie?

— Lepiej wal, brachu, prosto z mostu, bo mnie również zaczyna brakować cierpliwości. Nic nie rozumiem z tego, co rzekł ten kręci–młynek — zaperzył się bosman, kładąc swą ciężką rękę na ramieniu Pandita Davasarmana.

Hindus wahał się jeszcze. Zmarszczywszy brwi poważnie spoglądał w twarze białych sahibów, lecz po chwili namysłu powiedział:

— Mogę jedynie wyjaśnić słowa lamy. Otóż szikar Smuga przebywa obecnie przy łożu ciężko chorego, a nawet prawdopodobnie konającego człowieka. Lama jest przekonany, iż chory już nie doczeka świtu. Gdy skona, szikar Smuga przyjdzie do nas.

— A więc tak się rzeczy mają! — zawołał bosman.

— Kim jest ów ciężko chory człowiek? — pytał Wilmowski, nie spuszczać wzroku z Hindusa.

— To biały sahib, ale proszę, nie pytajcie mnie o nic więcej, ponieważ jedynie szikar Smuga może zaspokoić waszą ciekawość — stanowczo odpowiedział Pandit Davasarman.

— Ejże, szanowny panie, nie tak ostro, bo tu przecież nie chodzi o zwykłą babską ciekawość! Dopóki nie ujrzę Smugi, będę dobrze cię miał na oku — zagroził bosman.

Davasarman przeciągle spojrzał marynarzowi w oczy, ale doskonale zapanował nad sobą.

— Dobrze, nie oddalę się od ciebie ani na krok, biały sahibie, wkrótce jednak przekonasz się, iż nie byłem upoważniony do udzielania wyjaśnień — odparł.

— Niepokoiśmy się o naszego przyjaciela, proszę więc nie gniewać się na nas — wtrącił Tomek.

— Skoro czekaliśmy tyle czasu, to możemy poczekać jeszcze kilka godzin na wyjaśnienia — dodał Wilmowski. — Warto teraz zakrzętnąć się koło kolacji. Jestem już porządnie głodny.

W milczeniu zaczęli się posilać. Po skończeniu kolacji zapalili fajki. Nikt nie usiłował nawet nawiązywać rozmowy. Trzej biali podróżnicy wsłuchiwali się w odgłosy dochodzące z korytarza. Zdenerwowani i podnieceni rozmyślali o Smudze.

Pandit Davasarman pykał fajeczkę, obrzucając towarzyszy poważnym, pełnym skupienia spojrzeniem. Zaledwie wytrząsnął popiół z fajki, skinął wszystkim głową i zaczął przygotowywać się do snu. Tomek pierwszy poszedł w jego ślady. Szybko rozebrał się, układając ubranie tuż przy pościeli. Następnie położył się na matach i okrył grubym kocem. Po chwili odwrócony twarzą do ściany udawał, że śpi; cierpliwie czekał, dopóki w kwaterze nie zgaszono kaganka.

Tomek czujnie nasłuchiwał. Łowił uchem oddechy śpiących towarzyszy, a jednocześnie zwracał pilną uwagę na odgłosy dochodzące z korytarzy. Ciche, jakby ukradkowe stąpania przywodziły mu na myśl postacie lamów kręcących młynki modlitewne. W miarę jak czas upływał, szmery na korytarzach stawały się coraz rzadsze, aż w końcu zupełnie zamarły.

Tomek ostrożnie wyśliznął się spod koca. Usiadł na pościeli i po ciemku zaczął się ubierać. Przez cały wieczór rozmyślał o Smudze, czuwającym przy śmiertelnie chorym człowieku. Kim mógł być ten nieszczęśliwiec? Niewątpliwie musiał być dla Smugi kimś bardzo bliskim, jeśli nie odstępował go w tragicznej chwili życia. Tomek szczerze współczuł Smudze, chciał służyć mu pomocą i pociechą. Szczególny niepokój Tomka budziło wspomnienie mordercy z Bombaju — człowieka z blizną na twarzy. Może obecnie czai się gdzieś w pobliżu Smugi — by zabić go tak, jak przedtem zabił Abbasa? A może ten konający człowiek był również jego ofiarą?

Jeśli Smuga naprawdę znajdował się w klasztorze i czuwał przy chorym, to odnalezienie ich nie powinno być zbyt trudnym zadaniem. Tak rozumując postanowił pomyszkować po zakamarkach klasztornych.

Obawa o przyjaciela spędziła sen z jego powiek, coraz straszniejsze myśli przychodziły do głowy.

Smuga przecież musiał czuć się zagrożony, skoro prosił ich o pomoc i o jak najszybsze przybycie do Indii. Tymczasem już od kilku tygodni dążyli jego tropem, który w końcu doprowadził ich do ponurego, buddyjskiego klasztoru. A może Smuga ukrywał się tutaj przed jakimiś wrogami? Może Pandit Davasarman i wszyscy inni nie mówili im całej prawdy?

Wkrótce Tomek był już ubrany. Wsunął rewolwer za pas spodni, po czym prawie bezszelestnie zbliżył się do maty osłaniającej otwór drzwiowy. Ostrożnie wychylił głowę. Odblask rozjarzonego gwiazdami nieba nieśmiało wpełzał przez wąskie okienka do ciemnego korytarza.

Gdzieś w głębi migotał oliwny kaganek.

Tomek wymknął się z za zasłony na mroczny korytarz. Krok za krokiem posuwał się wzdłuż ściany w kierunku płonącego kaganka. Przed każdym otworem wiodącym do celi, przystawał i nasłuchiwał. Wszędzie panowała niczym nie zmacona cisza. Płonący kaganek znajdował się już zaledwie o kilkanaście metrów od niego. Naraz usłyszał szmer kroków. Przyłgął do zimnego muru. Zorientował się, że korytarz, którym dąży, łączy się z

poprzeczną, rozjaśnioną teraz migotliwym światłem, galerią. Jacyś ludzie zbliżali się do załomu korytarza. Tomek gorączkowo rozejrzał się wokoło. O wyciągnięcie dłoni spostrzegł wejście do celi. Bez namysłu wśliznął się za zasłonę. Teraz uchylił maty i przez szczelinę zerknął na zewnątrz.

W czerwonym odbłasku pochodni zatańczyły na ścianach duże, nieforemne cienie.

W sąsiedniej galerii ukazał się dwurząd lamów. Jedni nieśli zapalone pochodnie, inni kręcili modlitewne młynki, mamrocąc święte buddyjskie formuły. Głuchy pomruk modlitw lamów pełzył po korytarzach.

Tomek nieco więcej uchylił zasłony, by odbłask płonących pochodni pozwolił mu rozejrzeć się po przypadkowej kryjówce. Znieruchomiał obejrzawszy się za siebie. Tuż obok spał na macie jakiś człowiek przykryty kocem. Tomek odruchowo cofnął się i naraz coś szorstkiego dotknęło jego twarzy. Z trudem stłumił okrzyk mimowolnego przestachu. Odwrócił się szybko. Odetchnął z ulgą! Czerwony odbłask padł właśnie na zawieszony na kółku odzienie śpiącego mnicha, o które się otarł. Tomka jakby olśniło. Pospiesznie zdjął z koła ubranie i gdy tylko lamowie zniknęli w głębi galerii, wysunął się znów na korytarz. Przy mdłym świetle kaganka ubrał się w czerwoną spódnicę, ramiona owinął szerokim szalem i wcisnął na głowę czapę.

Tak przebrany, śmieiej podążył w kierunku, w którym dopiero co zniknął dwuszeręg lamów. Minał galerię, by zapuścić się w inny korytarz. Po kilkunastu krokach znów przystanął. Tuż za pobliskim zakrętem rozbrzmiały uderzenia dzwonka. Powtarzały się w krótkich, regularnych odstępach czasu.

*„Zapewne w pobliżu znajduje się świątynia — pomyślał Tomek. — Do niej to szli lamowie”.*

Nasłuchiwał dłuższą chwilę. Srebrzysty dźwięk rozlegał się nieprzerwanie. Tomek podkrał się do załomu ściany. Teraz usłyszał plusk płynącej wody. Zajrzał do sąsiedniego korytarza. O kilkanaście kroków przed nim, w samym rogu, stał duży bęben modlitewny, zaopatrzony z jednej strony w koło z poprzecznymi łopatkami, które zanurzały się w strumieniu wartko płynącej wody w kamiennym kanaliku. Woda uderzając o łopatki wprawiała je w ruch i w ten sposób bęben wolno obracał się dookoła swej osi.

Za każdym pełnym obrotem rozlegał się głos dzwonka przymocowanego do koła.



Tomek zbliżył się do bębna oświetlonego przez zatkniętą w ścianie pochodnię. Duży walec pokrywały wyryte na nim święte formułki i modlitwy. W myśl buddyjskich wierzeń, bęben obracający się bez przerwy, przekazywał Bogu ludzkie prośby oraz dziękczynienia.

Tomek uśmiechnął się na widok tak niezwyklej naiwności. Szedł dalej, zagłębił się w jeszcze jedno odgałęzienie korytarza. Niebawem znów usłyszał pomruk ludzkich głosów. Przygarbiony niczym wiecznie zamodlony lama, śmiało ruszył przed siebie. Po chwili, jakimś zapewne bocznym wejściem, wszedł do rozległej świątyni. Przystanął za jednym z kilku błyszczących srebrem i złotem grobowców—czortenów.

Nieznacznie rozglądał się po świątyni. Przed ołtarzami płonęły niezliczone kaganki oliwne. W powietrzu unosił się ciężki, mdły zapach kadzideł. Przed olbrzymim posągami oraz wieloma posążkami Buddy modlili się czerwoni lamowie. Gdzieś w głębi rozbrzmiewał głos dzwonek i huk bębna. Dźwięki ich mieszały się z modłami mnichów. Sufit tonął w półmroku. Rozwieszane na nim malowidła smoków i poczwary, zdawały się ożywać w otaczających je chmurach dymów kadzielnych.

Tomek poczuł się trochę nieswojo w tej dziwacznej świątyni, toteż gdy kilku mnichów opuszczało bocznym wyjściem przybytek Buddy, wysunął się za nimi. Nikt z lamów nie zwrócił uwagi na wędrującego na końcu szeregu skulonego „mnicha”.

*„Wracają tą samą drogą, którą przyszedłem do świątyni — mruknął Tomek dla dodania sobie odwagi. — Zaraz za zakrętem będzie bęben modlitewny poruszany przez wodę”.*

Z zadowoleniem stwierdził, że nie stracił orientacji w labiryncie klasztornych korytarzy. Znaleźli się w galerii. Tomek kroczył za lamami. Szli teraz jakimś nowym korytarzem. Naraz orszak zatrzymał się; jeden z lamów uchylił ciężkiej zasłony i w milczeniu skinął głową. Czterech lamów zniknęło w celi, podczas gdy czterech innych wyszło z niej i przyłączyło się do orszaku. Zaledwie lamowie ruszyli w głąb korytarza, Tomek wiedziony intuicją wśliznął się za zasłonę.

W obszernej celi na stosie mat spoczywał niesamowity człowiek. Całą głowę i część twarzy leżącego pokrywał długi, siwy zarost. Dłonie złożone na piersiach ostro odcinały się bielą od czerwieni szala okrywającego jego ramiona. Nie to jednak nadawało mu niesamowity wygląd. Miękki koc

okrywający go opadał luźno na matę, tak jakby ów mężczyzna w ogóle nie posiadał nóg. Gdy Tomek przyjrzał się jego nieruchomej twarzy, oświetlonej kagankami umieszczonymi u wezłowia — zrozumiał, iż mężczyzna już nie żyje.

Wzrok Tomka objął teraz czterech lamów siedzących na podwiniętych nogach z jednej strony łoża. Kręcili bębenkami swych młynków modlitewnych i odmawiali święte formułki. Po drugiej stronie zmarłego, w głębi celi, na stosie poduszek siedział biały mężczyzna. Plecami i głową opierał się o ścianę, a jego przymknięte powieki sprawiały wrażenie, iż jest pogrążony we śnie.

Tomek drgnął. Jakże dobrze znał tę piękną, męską twarz pełną stanowczości! Nie mógł go zmylić nawet długi, czarny zarost. To był jego ukochany przyjaciel — Jan Smuga, w którego poszukiwaniu przybyli w głąb Azji do tego ponurego, buddyjskiego klasztoru. Tomek, głęboko wzruszony, wolno zbliżył się do przyjaciela. Z wrażenia nie mógł wymówić słowa, więc tylko oparł dłoń na jego ramieniu.

Ten zaledwie uchylił powiek. Musiał być bardzo zmęczony, bo musnął wzrokiem postać stojącego przed nim „*lamy*” i cicho wypowiedział kilka słów w nieznanym języku.

„*Nie poznał mnie*” — pomyślał Tomek i nachyliwszy się do Smugi zawołał zrozpaczony:

— To ja, Tomek, czy pan mnie nie poznaje?!

Na dźwięk tego głosu Smuga poderwał się z poduszek. Spoglądał przenikliwym, zdumionym wzrokiem.

— Czy pan mnie nie poznaje? — ponowił Tomek zapytanie.

— Do diabła, ten mnich przemawia głosem Tomka — mruknął Smuga.

Nagłym ruchem ściągnął „*uszastą*” czapę z głowy domniemanego lamy. Zaledwie ujrzał płową czuprynę, porwał chłopca w ramiona. Długo ściskali się w milczeniu. W końcu Smuga ochłonął z wrażenia i rzekł:

— Poznałem cię jedynie po głosie. Od kiedy to zostałeś lamą? Gdzie ojciec, gdzie bosman i Pandit Davaserman?

Tomek odetchnął pełną piersią.

— Dzisiejszego wieczoru przybyliśmy do Hemis. Lamowie nie chcieli nas do pana zaprowadzić. Mówili, że pan czuwa przy konającym człowieku. Gdy wszyscy posnęli, wykradłem się z kwatery, aby pana odszukać, bo

myślałem, że może będę mógł w czymś pomóc. Po drodze zabrałem śpiącemu lamie ten strój i myszkowałem po klasztorze tak długo, aż trafiłem tutaj.

Nikły uśmiech rozchmurzył twarz Smugi.

— Dawno nie widzieliśmy się, mój drogi, więc zapomniałem, że tobie nigdy nie brak oryginalnych pomysłów — powiedział. — Nie byłem przygotowany na taką niespodziankę. Lamowie spodziewali się, iż on umrze tej nocy, dlatego widocznie dopiero rano chcieli mnie zawiadomić o waszym przybyciu. Dla nich doczesne sprawy nie mają zbyt wielkiego znaczenia, aczkolwiek wiedzą przecież, iż oczekuję na was z wielką niecierpliwością.

Wskazał leżącego na matach mężczyznę i dodał ze smutkiem.

— To jest mój przyrodni brat, Tomku. Czy spostrzegłeś, iż nie ma obydwóch nóg? Zmarł przed trzema godzinami. Już nie męczy się dłużej...

— To bardzo przykre... Dlaczego pan go przywiózł w głąb Azji? — szepnął Tomek.

— Nie przywiozłem go do Hemis. On ściągnął mnie tutaj, lecz to długa historia.

Na dworze ozwało się przeciągłe, jękliwe, głębokie huczenie mosiężnych trąb. To lamowie z dachów świątyń oznajmiali wschód słońca.

— Już świta... Chodźmy do naszych towarzyszy. Wstali już zapewne i niepokoją się o ciebie — powiedział Smuga. — Mojemu bratu nie jesteśmy potrzebni. Dla niego skończyły się kłopoty.

— Czy pana brat był buddystą? — nieśmiało zapytał Tomek, zerkając na mnichów mamroczących modlitwy.

— Och nie! Po prostu przyzwyczaił się do lamów, którzy oddali mu wielką przysługę. Ponieważ otaczali go troskliwą opieką, więc nie chcę pozbawiać ich tej drobnej przyjemności. Niech w swój, nieco zabawny sposób modlą się za niego. Chodźmy, Tomku...

Smuga podszedł do łoża, pochylił się nad zmarłym. Łagodnym ruchem odgarnął długie włosy z czoła. Przez chwilę wpatrywał się w zastygłe rysy, potem cofnął dłoń, ujął Tomka pod ramię i wyprowadził go z celi.

Donośne huczenie trąb lamów przebudziło Wilmowskiego i jego towarzyszy. Oczywiście zaraz spostrzegli nieobecność Tomka. Zaniepokojeni tym ubierali się pospiesznie, gdy Tomek i Smuga weszli do kwatery.

— Oto i nasza zguba — zawołał bosman na widok wchodzących. — Jak tylko nie znaleźliśmy cię w betach, od razu pomyślałem, że postanowiłeś

nabić w butelkę kręci-młynków i na własną rękę odszukać naszego kumpla. No i miałem rację! Nareszcie mamy pana Smugę!

Długo witali przyjaciela, a on nie mniej od nich cieszył się, ściskając ich serdecznie. Smuga opowiedział, jak nie poznał Tomka w przebraniu buddyjskiego mnicha, z czego natychmiast skorzystał bosman, by zażartować:

— Miałem, moi panowie, zamiar wynająć jakiś jachcik i wypuścić się z Tomkiem na dłuższą morską wyprawę, ale teraz wolę z tego zrezygnować — mówił. — Bo skoro w Australii Tomek przystał do rozbójników, w Afryce przedzierzgnął się w murzyńskiego czarownika, w Ameryce został indiańskim wodzem, a teraz lama z niego jak się patrzy, to przecież gdybyśmy wyruszyli w morze, jak amen w pacierzu, zamieniłby się w wieloryba i tyle byśmy go już widzieli!

— Przestań żartować, bosmanie — skarcił go Tomek. — Przyrodni brat pana Smugi umarł tej nocy.

— Co ty gadasz, brachu? Czyżby po nieszczęsnym panu Abbasie teraz przyszła kolej na szanownego brata pana Smugi?! Ha, jeśli to nowa sprawka tego draba z blizną na gębie, to czas najwyższy dobrać się do jego skóry — zawołał do głębi oburzony marynarz. — Za dużo trupów pozostawiamy na naszej drodze podczas tej wyprawy!

— Janie, nigdy nie słyszałem od ciebie o twoim bracie! — wtrącił zaniepokojony Wilmowski. — Czy umarł naturalną śmiercią, czy też może to znów tragiczny wypadek?!

Smuga zdumiony spojrzął na podnieconych przyjaciół.

— Nie rozumiem, o co wam chodzi?! — odezwał się po chwili zaniepokojony. — Czy może coś nieprzyjemnego przytrafiło się Abbasowi?

— Święta racja, przecież pan nic nie wiesz o tym — pospieszył z wyjaśnieniem bosman. — Ten biedak Abbas został zamordowany akurat wtedy, gdy wręczał nam list i depozyt. Zabił go drab o gębie przeciętej szeroką blizną.

Smuga oniemiał zaskoczony usłyszaną wiadomością. Wkrótce jednak gniewnie zmarszczył brwi i pytająco spojrzął na Pandita Davasarmana. Ten zapewne zrozumiał nieme pytanie.

— Zdałem już dokładną relację sir Younghusbandowi — odrzekł. — Obiecał zająć się odszukaniem mordercy. Nie ujdzie on karzącej ręki sprawiedliwości.

— Ej, panie Davasarman, przecież przy nas nie mówiłeś o tym z rezydentem — zaperzył się bosman.

— Zaraz po naszej wspólnej wizycie jeszcze raz odwiedziłem sir Younghusbanda — wyjaśnił Hindus.

Wilmowski opowiedział przebieg wypadków w Bombaju. Kończył właśnie mówiąc:

— Morderstwo dokonane na Abbasie, a potem przedłużająca się podróż twoim tropem, Janie, niepokoiły nas bardzo. Muszę nawet wyznać, że czasem byliśmy nieufni w stosunku do pana Pandita Davasarmana, za co teraz serdecznie przepraszamy.

— Faktycznie wyglądał nam pan trochę podejrzanie, ale prawda jak oliwa zawsze na wierzch wypływa. Teraz już zgoda między nami — dodał bosman. — Chyba nie będziesz się pan boczył na nas?

Pandit Davasarman złożył ręce jak do modlitwy, skłonił głowę i rzekł:

— Troska o przyjaciela jest dowodem szlachetności serca. Nie można się o to gniewać.

— To ja naraziłem was na niepokój, a Pandita Davasarmana na wasze podejrzania — odezwał się Smuga. — Ostrożność nakazywała mi wstrzymać się z wszelkimi wyjaśnieniami. Niestety, nie przewidziałem, że nieszczęście zupełnie przypadkowo może dotknąć tego poczciwego Abbasa. Domyślam się, kto jest jego mordercą. Wy również za chwilę zrozumiecie wszystko. Opowiem historię mego brata. Należy wam się wyjaśnienie, w jakim celu prosiłem was o przybycie do Hemis.

— Teraz to już nic pilnego — powiedział Wilmowski. — Widzimy cię w zdrowiu, a o to przecież głównie nam chodziło. Janie, wyglądasz mizernie. Zapewne długo czuwałeś przy chorym? Może wypocząłbyś najpierw?

— Święte słowa, skoroś pan zdrów i cały, nie ma pośpiechu z wyjaśnieniami — dodał dobroduszny bosman.

— Wprawdzie nie spałem dwie noce, ale nie jestem zbytnio zmęczony — odparł Smuga. — Surowe górskie powietrze dobrze mi służy. Nawet to niebezpieczne drżenie dłoni ustało zupełnie<sup>325</sup>. Obecnie strzelam tak celnie jak dawniej.

---

<sup>325</sup> — Podczas łowów w Afryce Smuga został zraniony zatrutym nożem, na skutek czego nabawił się drżenia prawej dłoni. Odtąd nie był pewny celności swych strzałów. Opis tego wydarzenia Czytelnik znajdzie w powieści pt. „**Tomek na Czarnym Łądzie**”.

— Wspaniała nowina! — zawołał uradowany Tomek.

— Wyśmienita! Musimy ją oblać butelczyną prawdziwej jamajki — dodał bosman.

— Doskonała myśl, bosmanie! Przy szklanicy oraz fajce łatwiej mi będzie opowiedzieć wam moją niezwykłą historię — zachęcił Smuga.

Zasiedli na matach. Bosman ochoczo napełnił kubki rumem, zapalili fajki. Smuga wydmuchnął kłęb błękitnego dymu, po czym zaczął mówić:

— Moja lakoniczna depesza sprawiła wam wiele niepokoju, wszakże zrozumiecie, że nie mogłem inaczej postąpić. Zamierzam udać się na bardzo ryzykowną wyprawę, której powodzenie, jak potwierdziło moje smutne wydarzenie w Bombaju, głównie zależy od zachowania całej sprawy w ścisłej tajemnicy. Dlatego też usilnie was proszę, abyście natychmiast zapomnieli o wszystkim, co wam powiem, jeśli oczywiście uznalibyście swój udział w wyprawie za niemożliwy.

— Możesz na nas liczyć, Janie — poważnie zapewnił Wilmowski. Inni potakująco skinęli głowami.

— Po śmierci matki odziedziczyłem trochę pieniędzy i wtedy to wyruszyłem na włóczęgę po świecie. Od czasu do czasu pisywałem listy do mego ojczyma i przyrodniego brata, którzy zamieszkiwali w Warszawie. Już około dwóch lat pracowałem u Hagenbecka, gdy nagle w 1887 roku Michał, mój przyrodni brat, został aresztowany za udział w tajnej organizacji polskiej. Wywieziono go na Sybir i wkrótce słuch po nim zaginął. Ojczym, zgnębiony losem Michała, zmarł w rok później. Byłem przekonany, że więcej już nie usłyszę o przyrodnim bracie. Kilka miesięcy temu nieoczekiwanie otrzymałem list z Indii. Po długich dwudziestu latach dowiedziałem się, że Michał, straszliwie okaleczony, przebywa w buddyjskim klasztorze w Hemis. W liście pisanym przez obcego człowieka usilnie prosił mnie o zachowanie w ścisłej tajemnicy wiadomości o jego odnalezieniu się w Indiach. Dlatego właśnie nie powiedziałem wam o tym i natychmiast udałem się w podróż do Hemis.

Po przybyciu do klasztoru ujrzałem mego biednego brata. Nie byłem już w stanie pomóc mu w czymkolwiek. Był to tylko strzęp dzielnego niegdyś człowieka. Z ogromnym wzruszeniem wysłuchałem jego niezwykłej historii. A było to tak.

W drodze na Syberię grupa zesłańców, w której znajdował się mój brat, spotkała wyprawę odkrywczą Piewcowa, udającą się do Azji Środkowej. Uczestniczył w niej polski geolog i podróżnik, Karol Bohdanowicz. Znał on mego brata, jako dobrze zapowiadającego się geologa, toteż za pośrednictwem Piewcowa, wyjednał przydzielenie go do wyprawy badawczej. Zaręczył, iż po zakończeniu badań skazaniec uda się dobrowolnie do miejsca zesłania. Wyprawa podążyła do Chińskiego Turkiestanu i w pogranicznych górach założyła bazę. Oczywiście Bohdanowicz, wbrew własnemu zaręczeniu, nie miał zamiaru namawiać brata do powrotu do miejsca zesłania. Toteż gdy w 1890 roku kończyli badania na północnym pograniczu Tybetu, doradził mu i ułatwił ucieczkę. Pewnej nocy brat zabrał objuczonego niezbędnymi zapasami konia i umknął z obozu. Zaszył się w dziczy górskiej. Po oddaleniu się wyprawy z okolicy przez długie lata wędrował po górach Ałtyn–tag.

Smuga wypił spory łyk jamajki, po czym mówił dalej:

— Zapewne pamiętacie doskonale dwóch poszukiwaczy złota, O'Donnellów, których Tomek uratował w Australii przed buszrendżerami<sup>326</sup>. Otóż tak jak oni w górach Nowej Południowej Walii, mój brat znalazł w górach Ałtyn–tag w strumieniu rodzime złoto, naniesione przez wodę<sup>327</sup>. Przez kilka miesięcy wydobywał je własnymi rękami, po czym ukrył w bezpiecznym miejscu. Postanowił wrócić po skarb w liczniejszym gronie.

Przedtem jednak musiał wydostać się z mało znanego, dzikiego kraju. Oczywiście droga przez Rosję była dla niego zamknięta. W Turkiestanie Chińskim również nie mógł czuć się bezpieczny. Piewcow według wszelkiego prawdopodobieństwa rozgłosił tam o jego ucieczce. Wobec tego postanowił przejść przez Tybet do Kaszmiru. Z woreczkiem pełnym złota wyruszył w szaleńczy marsz. Trudno zrozumieć, w jaki sposób zdołał dotrzeć do granicy Ladakhu. Katastrofa zaskoczyła go dopiero w górach Karakorum już w pobliżu Hemis. Mianowicie trzech tybetańscy przewodnicy ujrzeni na śniegu na przełęczy jakieś tajemnicze ślady stóp, które według ich mniemania miał pozostawić legendarny stwór — Śnieżny Człowiek. Przesądni krajowcy odmówili dalszego towarzyszenia bratu, obawiając się ewentualnego spotkania z tym stworem.

---

<sup>326</sup> — Buszrendżerzy — australijscy bandyci.

<sup>327</sup> — Nowa Południowa Walia — jeden z 6 stanów Związku Australijskiego.

Brat oczywiście nie wierzył w bzdurne przesady. Był już jednak straszliwie wyczerpany ustawicznym czuwaniem, ponieważ przewodnicy od szeregu dni odmawiali dalszego udziału w wyprawie. Toteż pozwolił im odejść i sam ruszył ku Hemis oddalonemu zaledwie o dwa dni marszu. Jeszcze na przełęczy zaskoczyła go straszliwa burza śnieżna. Wkrótce padł mu jedyny juczny jak. Brat nie miał siły rozpiąć namiotu. Rankiem przypadkowo znalazł go pewien człowiek na wpół żywego, przysypanego śniegiem. W tym akurat czasie podążał tamtędy lama z klasztoru w Hemis. Zastał on Abdul Mahmuda, przekupnia z Leh, nad nieprzytomnym bratem. Razem przewieźli go do Hemis, gdzie na skutek odmrożenia trzeba było amputować mu obydwie nogi. Zaraz po odzyskaniu przytomności brat podyktował znającemu język angielski Mahmudowi list do mnie, adresowany do Hamburga na ręce pana Hagenbecka. Lamowie natychmiast wysłali pismo. Mahmud tymczasem nie oddalał się od ciężko chorego mego brata. Cierpliwie czekał na mój przyjazd. Wiedział, że brat wkrótce umrze. Wiedział również, że na przechowaniu u lamów znajduje się jego woreczek ze złotem.

— Czy Mahmud miał szeroką bliznę na twarzy? — zagadnął Tomek.

— Oczywiście, to on na pewno jest mordercą Abbasa — potwierdził Smuga. — Często widywałem go w Hemis. Prawdopodobnie śledził mnie potem w drodze do Bombaju, dokąd musiałem się udać w celu uzyskania zezwolenia władz na swobodne przekroczenie granicy podczas zamierzonej wyprawy. Zapewne miał zamiar napaść na mnie, ponieważ wiedział, że zabrałem z sobą część złota.

Jadąc do Bombaju, wstąpiłem do Alwaru, aby namówić mego przyjaciela, Pandita Davasarmana, do udziału w wyprawie i prosić go o pomoc w zdobyciu zezwolenia od władz angielskich. Bo muszę wam jeszcze wyjaśnić, że mój brat poinformował mnie o skarbie ukrytym w górach Ałtyn-tag oraz wręczył mi dokładny plan umożliwiający odnalezienie złota. Nieszczęśliwiec na łożu śmierci przez cały czas marzył o ofiarowaniu połowy skarbu towarzyszom niedoli zesłanym na Syberię. Dał mi nazwiska, adresy. Błagał, abym wydobył złoto z ukrycia i przekazał połowę według jego dyspozycji. Nie mogłem odmówić ostatniej, jedynej prośbie skazanego na śmierć tak mi bliskiego człowieka. Obiecałem wypełnić jego wolę.

Pandit Davasarman przez przyjaźń dla mnie zgodził się na udział w wyprawie. Razem udaliśmy się do Bombaju i to właśnie, jak obecnie się



domyślam, pomieszało szyki knującemu złe zamiary Mahmudowi. Nie mógł dokonać napadu na nas dwóch, więc zapewne jak cień dążył za nami i szpiegował. W Bombaju nie zastaliśmy generała Mac Donalda, od którego należało uzyskać zezwolenie na wyprawę. Powiedziano nam, że przebywa w Delhi, wobec czego zaraz wyruszyliśmy w drogę. Mahmud musiał podpatrzeć, jak pozostawialiśmy dla was list i depozyt u Abbasa. Potem czekał tylko na sposobną chwilę, aby ukraść złoto.

— To jest bardzo prawdopodobne — dorzucił Wilmowski. — Wątpię jednak, czy on odważy się teraz na powrót do Leh. Będzie obawiał się, że ty i pan Pandit Davasarman zidentyfikujecie go jako mordercę Abbasa.

— Mahmud wiedział, że zabrałem od lamów tylko połowę złota — rzekł posępnie Smuga. — Tego niestety nie ukrywałem przed nim, bo przecież podstępnie wkupił się w łaski mego brata. To chytra sztuka. Zapewne pokusi się jeszcze o dostanie w swoje ręce drugiej połowy zawartości woreczka.

— Można by tu zacząć się na niego — poddał bosman.

— Niech szlachetni sahibowie pozostawią tę sprawę sir Younghusbandowi — zauważył Pandit Davasarman. — Jestem pewny, że zdoła schwytać mordercę.

— Pandit ma rację. Younghusband potrafi wytropić go nawet pod ziemią — potwierdził Smuga. — Nie mówmy już więcej na ten temat... oczywiście do pewnego czasu. W Azji wszelkie wiadomości, a szczególnie intrygi, obiegają kraj lotem błyskawicy.

— Teraz już wiecie, dlaczego wezwałem was do Indii — dalej mówił Smuga. — Obawiałem się opisywać całą sprawę w liście. W celu odnalezienia skarbu należy przedrzeć się przez tereny należące do Rosji i Chin. Nawet nieumyślne rozgłoszenie wiadomości o zamierzonej wyprawie mogłoby okazać się szczególnie niebezpieczne dla ciebie, Andrzeju, oraz dla bosmana.

Prosiłem Pandita Davasarmana, aby w czasie drogi do mnie nie rozmawiał z wami na temat mego brata i wyprawy. Wiedziałem, że będziecie się niepokoili o mnie, lecz właśnie ten szczerze okazywany przy wielu okazjach niepokój, moim zdaniem, doskonale powinien ukrywać przed zbyt ciekawymi osobami właściwy cel naszego spotkania i Indiach. Niestety otrzymana w Delhi wiadomość o poważnym pogorszeniu się stanu zdrowia mego brata zmusiła mnie do natychmiastowego przyjazdu do Hemis. Z tego powodu nie mogłem czekać na was w Alwarze, jak to uprzednio planowałem.

Wybaczcie mi więc tę może przesadną ostrożność i tajemniczość, lecz postępowiałem tak jedynie przez wzgląd na wasze bezpieczeństwo.

Wszystko przygotowałem do drogi. Muszę jednak jeszcze raz uprzedzić, że wyprawa jest bardzo ryzykowna i zrozumieć was, jeśli nie zechcecie na nią pójść.

Smuga zaczął nabijać fajkę tytoniem. Wilmowski pierwszy przerwał kłopotliwe milczenie.

— Po rozmowie z sir Younghusbandem w Leh, który natarczywie wypytywał nas o rosyjskie dokumenty osobiste, przyszło mi na myśl, iż zamierzasz jakąś wyprawę na tereny należące do Rosji. Obecnie moje obawy potwierdziły się; to oczywiste szaleństwo, Janie. Linia graniczna pomiędzy Indiami a Rosją jest na pewno doskonale strzeżona przez obydwie strony. Wpadlibyśmy jak mysz w pułapkę.

— Ryzyko jest duże, aczkolwiek starałem się przewidzieć niebezpieczeństwo grożące podczas wyprawy — przyznał Smuga. — Poczyłem nawet pewne kroki. Powinny one ułatwić nam wykonanie tego szalonego przedsięwzięcia. Władze angielskie w Indiach sprzyjają ekspedycji.

— Czy bezinteresownie? — zagadnął Wilmowski.

— O to nie można posądzać Anglików — odparł Smuga. — Oni są bardzo ciekawi wszystkiego, co się dzieje w Rosyjskim Pamirze i Chińskim Turkiestanie. Dlatego zgodzili się ułatwić przejście z Indii do Pamiru pod warunkiem, iż będzie mi towarzyszył ich wywiadowca. Pan Pandit Davasarman zgodził się na ochotnika i... mogłem przyjąć ten warunek.

— Powiem szczerze, towarzystwo angielskiego wywiadowcy powiększa jeszcze i tak już ogromne niebezpieczeństwo — stwierdził Wilmowski.

— To zależy jedynie od składu osobowego wyprawy. Wszyscy uczestnicy muszą przemykać się w obcych krajach w przebraniu. Jeżeli wszyscy również potrafią trzymać język na wodzy, niebezpieczeństwo nie będzie tak duże. Ruch na uczęszczanych od wieków traktach jest znaczny, łatwo się można prześliznąć. Natomiast na bezdrożach kilku dobrze uzbrojonych, pewnych ludzi da sobie radę. Pan Davasarman posiada kontakty w wielu krajach Azji Środkowej. Podjął się też roli przewodnika wyprawy.

— Czy przypadkiem nie trzeba będzie jechać przez góry? — zapytał bosman.

— I to przez nie byle jakie!

Bosman posmutniał, ciężko wzdychając.

— Proponujesz szaleństwo, Janie — spokojnie powiedział Wilmowski.

— Nie przeczę, lecz czym byłoby dla mnie życie bez takich szaleństw? Nie zależy mi na tym złocie. Nie pragnę go dla siebie. Mimo to muszę dotrzymać obietnicy danej bratu. Poza tym, czyż wszyscy badacze tych regionów byli mniej szaleni ode mnie? Podczas wyprawy na pewno dotrę do miejsc, których nie dotknęła dotąd stopa białego człowieka. To posiada dla mnie niezmierny urok i gotów jestem ponieść znaczne ryzyko.

Podniecony Tomek nie spuszczał oczu ze Smugi. Naraz podniósł się i stanął przed ojcem.

— Wyprawa jest naprawdę szaleńcza. Ty, ojcze, i pan bosman nie możecie w niej wziąć udziału, lecz mnie władze rosyjskie nie uczynią krzywdy. Legalnie opuściłem Polskę. Nie gniewaj się, ojcze, i nie miej żalu, idę z panem Smugą. Zawsze marzyłem o takiej wspaniałej wyprawie!

Wilmowski siedział zadumany. W końcu spojrzął synowi prosto w oczy.

— Nie mogę ci tego zabronić, Tomku. Na twoim miejscu uczyniłbym to samo.

Uradowany młodzieniec rzucił się ojcu na szyję, ścisnął go i całował. Bosman pociągnął łyk jamajki.

— Góry, i to nie byle jakie, a pał je sęk! Pewno będziemy mieli okazję pomacać kogo po łepetynie. Idę z wami! Kiedy wyruszamy? — rzekł śmiejąc się rubasznie.

— No tak, pozostało tylko ustalić termin wyruszenia w drogę — odezwał się Wilmowski.

— Jak to, ojcze, czy naprawdę i ty chcesz pójść na tę szaleńczą wyprawę? — zawołał zdumiony Tomek.

— Oprócz pana Pandita Davasarmana będę w waszym towarzystwie drugim rozsądnym człowiekiem. Myślę, że przydam się wam podczas wyprawy — odpowiedział Wilmowski, uśmiechając się poważnie. — Kiedy wyruszamy, Janie?

— Jutro o świcie, jeśli nie jesteście zbyt zmęczeni — odparł Smuga.

— A więc jutro — potwierdził Wilmowski.

— Panowie, wznoszę toast za powodzenie wariackiej wyprawy — zawołał bosman, nalewając rumu do kubków.



# GNIAZDO ROZBÓJNIKÓW

Przez przeszło trzy tygodnie uczestnicy „szaleńczej” wyprawy podążali z Hemis do Gilgit, najdalej na północ wysuniętego angielskiego posterunku, panującego nad wszystkimi przełęczami gór Hindukusz.

Niemal niemożliwe byłoby opisać przeżywane przez naszych podróżników dzień po dniu wszystkie trudy i niebezpieczeństwa, jakie napotykali na swej drodze.

Początkowo jechali traktem, którym przybyli z Szrinagaru do Leh. Dopiero za oazą Kargil, mniej więcej w połowie drogi, zoczyli na północ ku miasteczku Gilgit.

W Tomka notatniku podróży pojawiły się nowe nazwy: Chorbatla<sup>328</sup>, osada Goma Hanu, miejscina Chorbat, Lunkha, Kapalu, Skardu, Bannok-la, Astor i Gilgit. Cały ten odcinek drogi, podzielony na trzydzieści dwa uciążliwe, niebezpieczne marsze, wynosił ponad pięćset kilometrów.

Już sama panorama roztaczająca się z siodła przełęczy Chorbat napełniała mężne serce bosmana Nowickiego uczuciem prawdziwego niepokoju. Za górskimi lodowcami, splezającymi długimi językami, które łączyły się w potrzaskane szczelinami i zasypywane przez lawiny pola lodowe, wystrzelały ku niebu skaliste szczyty. Na północy groźnie piętrzył się łańcuch Karakorum z potężnym K 2<sup>329</sup>, ustępującym wysokością jedynie najwyższemu szczytowi Ziemi — Mount Everest<sup>330</sup> w Himalajach<sup>331</sup>. Karakorum tworzy naturalną barierę pomiędzy Baltistanem i Chińskim Turkiestanem. Za przełęczą Chorbat, w osiedlu Goma Hanu, kończył się kraj buddystów. Dalej rozciągał się mahometański Baltistan, obramowany przez Himalaje, łańcuchy Hindukuszu, Karakorum i Wyżynę Tybetańską.

---

<sup>328</sup> — Chorbat-la (po tybetańsku „la” znaczy „przełęcz”) znajduje się na wysokości 5089 m.

<sup>329</sup> — Angielscy topografowie nadawali różnym szczytom orientacyjne nazwy szyfrowe wedle kolejności pomiaru; np.: Karakorum 1 (K 1) itd. Poszczególne nazwy nadawane górze K 2 nie przyjęły się, dopiero w pierwszej połowie XX w. otrzymała ona nazwę krajową Czogori, czyli Góra Gór. Wysokość jej wynosi 8611 m.

<sup>330</sup> — Mount Everest (Czomolungma = Bogini Matka Gór) — najwyższy szczyt świata, ma 8848 m wysokości. Nazwa jego pochodzi od imienia hinduskiego topografa płk George’a Everesta, dyrektora Survey of India.

<sup>331</sup> — Himalaje — w języku sanskryckim: Hema Alaia, czyli Kraina Śniegu.

Chorbat—ła zaśnieżona i mroźna, zdawała się być siedliskiem wszystkich złych wiatrów świata. Toteż podróżnicy poczuli się znacznie raźniej, gdy po zejściu z przełęczy arktyczna niemal okolica zmieniła się nie do poznania. Łagodniejsza od doliny Indusu dolina rzeki Szajok<sup>332</sup> witała ich subtropikalną zielenią. Tutaj w zacisznych głębokich dolinkach kwitły morele, czereśnie, orzechy włoskie, a grzędy pól uwieszone na zboczach żółciły się zbożem, groszkiem i lucerną. Kobiety kryły się przed podróżnikami w ulepionych z gliny domach bez okien, natomiast półnagie dzieci oraz mężczyźni, zawsze gotowi do drobnych usług, gromadzili się wokół obozowiska.

W Baltistanie niezbyt często napotykali skupiska ludzkie. Cała kraina nosiła jeszcze wyraźnie piętno rabunkowych najazdów wojowniczych Kandzutów oraz fanatycznych mahometan z sekty Suni.

Drogi, a raczej ścieżki górskie, wiodły przez gorące piaski, rumowiska i osypiska. Te ostatnie trzeba było czasem omijać, pnać się na granie górskie, bądź też przemykać się ponad nimi po rusztowaniach zawieszonych u zboczy skalnych. Podróżnicy nie tracili zbyt wiele czasu na wypoczynek.

Warunki atmosferyczne pogarszały się i lada tydzień mogły uczynić Baltistan na długi czas całkowicie niedostępny. Wobec tego spieszyli się, aby uniknąć przykrych, a nawet groźnych niespodzianek.

Z doliny rzeki Szajok znów przeszli w dziką dolinę Indusu. W Skardu przeprawili się na drugi brzeg rzeki na gupsarach, to jest tratwach, sporządzonych z nadętych powietrzem kozich skór, przykrytych lekkimi drewnianymi rusztowaniami. Kilka godzin odpoczywali w dawnej stolicy Baltistanu. Była to mała osada o kilkudziesięciu glinianych domkach i bazarze, wobec których prawdziwie imponująco wyglądał zbudowany na skale wojskowy fort otoczony murem z wieżycami.

Po opuszczeniu osady podróżnicy wkrótce zaczęli zbliżać się do przełęczy Bannok. Na zboczach górskiego pasma zieleniły się sosny, wiązy i jałowce, lecz w górach i na przełęczy szalała śnieżna zawieja. Odetchnęli lżej dopiero w pobliżu Astor, gdzie zaczęli schodzić z gór ku drodze wiodącej do Gilgit. Szczególnie bosman Nowicki poczuł się raźniej, gdyż za chwilę kończyła się karkołomna jazda. Na nocleg zatrzymali się niemal na progu szerokiej, posępnej doliny. Podczas gdy wysoko w górach panowała surowa

332

— Szajok — Shayok.

zima, tutaj w dolinie trwało upalne lato. U podnóża górskich zboczy kwitły róże, storczyki i bławatki.

Czas do zapadnięcia zmroku podróżnicy spędzili bardzo pracowicie: napełniali wory świeżą wodą, gromadzili paszę dla koni i drzewo na opał, albowiem dolina Astor była w rzeczywistości kamienistą, jałową, dziką pustynią, pod każdym względem niegościnną tak dla ludzi jak i zwierząt.

Wczesnym wieczorem udali się do namiotów na spoczynek. Noc na pustkowiu minęła spokojnie. Za ledwie różowy świt wkradł się w dolinę, w pobliżu obozowiska rozbrzmiały strzały karabinowe. Tomek i jego towarzysze natychmiast zerwali się z posłań. Z bronią w ręku co prędzej wybiegli z namiotów.

Huk strzałów nadal rozbrzmiewał w górach. Zaniepokojeni spojrzeli w tamtym kierunku.

Z przełęczy po stromym stoku zjeżdżał na koniu samotny jeździec. O dwieście lub trzysta metrów za nim gnali dwaj inni i gdy tylko wyłaniał się zza załomów skalnych, natychmiast prażyli do niego z karabinów.

— Do licha, zabiją go ci zbójce! — zawołał Wilmowski, przyjrząwszy się nierównej walce.

— Zamiast się beczynn timer gapić, panowie, wspomóżmy słabszego — pospiesznie doradził bosman.

— Wybiegniemy mu naprzeciw i powstrzymamy napastników — gorączkował się Tomek.

Pandit Davasarman w milczeniu przyglądał się przez lornetkę pościgowi. Po czym schował ją do futerału i jak zwykle opanowany, rzekł:

— Przede wszystkim powinniśmy się przekonać, po czyjej stronie jest prawo. Nie zawsze słabszy ma słuszość. Wobec tego proponuję najpierw zatrzymać uciekającego, a potem razem z nim poczekać na pościg. Wtedy z łatwością dojdziemy prawdy.

— Święta racja, szanowny panie — przyznał bosman. — Bierzmy się do dzieła.

Zanim jednak zdążyli wmieszać się do walki, uciekający powstrzymał konia, zeskoczył z siodła i podparłszy broń na głazie, strzelił. Jeden z pędzących za nim wierzchowców stanął dęba, po czym upadł na bok i zaczął staczać się po stoku góry. Niefortunny jeździec w ostatniej chwili ześliznął się

z grzbietu rumaka. Tylko dzięki głazowi na skraju drożyny uniknął upadku w przepaść.

Uciekający znów dosiadł swego wierzchowca i pognał ku dolinie, co chwila oglądając się za siebie.

— Cwana sztuka! — z uznaniem zauważył bosman. — Teraz chyba da sobie radę ze zbójami.

— Zuch z niego, wyrwie się pogoni — powtórzył Tomek.

— Musimy go zatrzymać — stanowczo powiedział Smuga. — Nie mam zaufania do ludzi, którzy w tak rozległym dzikim kraju zabijają konie.

— Cóż miał robić? Ich jest dwóch, a on jeden — oburzył się Tomek.

— Szlachetny młody sahibie, nie bierz przedwcześnie niczyjej strony — spokojnie powiedział Pandit Davasarman. — Osaczmy go tak, aby nie mógł nam się wymknąć.

— Ruszcie wszyscy tyralierą naprzeciw niego — szybko zdecydował Smuga. — Natomiast ja z bosmanem ukosem podbiegniemy do stoku góry. Gdyby próbował wyminąć was, wpadnie wprost w nasze ręce.

Przewidywania Smugi sprawdziły się niebawem. Jeździec, ujrawszy przed sobą kilku uzbrojonych mężczyzn, bez chwili wahania skierował swego konia wzdłuż stoku góry. Dwóch goniących, na widok tego, co działo się w dolinie, zaczęło raz po raz strzelać w powietrze, jakby chcieli zwrócić na siebie uwagę nieoczekiwanej pomocy.

Zaledwie Smuga to spostrzegł, zawołał do biegnącego obok niego marynarza:

— Bosmanie, ten zuch nie może nam umknąć! Jeśli nie usłucha naszego wezwania, strzelaj i... mierz dobrze!

— Aj, aj, kapitanie! Lubię męską decyzję, polegaj na mnie — ochoczo odkrzyknął bosman i wielkimi susami wyprzedził swego towarzysza.

Mimo olbrzymiego cielska był zwinny jak sarna. Dobiegł do stoku góry, zanim jeździec zdążył ich minąć. Zagroził mu drogę trzymając broń w pogotowiu. Uciekający, zaskoczony jego widokiem, wypalił pośpiesznie z karabinu, po czym zboczył w górę na stok.

Kula bzyknęła w pobliżu głowy bosmana.

— O, draniu! Potrafisz kąsać — krzyknął marynarz.

Błyskawicznie przyłożył karabin do ramienia. Huknął strzał. Koń uciekiniera upadł, a następnie potoczył się po stoku. Powłókł za sobą jeźdźca.



Bosman podskoczył ku niemu.

Jeździec zdołał w końcu uwolnić swą stopę ze strzemienia. Trochę oszołomiony podniósł się z ziemi. Ujrzał bosmana. Padając zgubił karabin, lecz nie był jeszcze zupełnie bezbronny. Zdecydowany na wszystko wy dobył z za pasa długi nóż.

Bosman zatrzymał się o kilka kroków przed nim. Ujrzał na jego twarzy szeroką bliznę. Natychmiast skierował lufę swego karabinu wprost w pierś przeciwnika.

— Rzuć nóż i łapy do góry — rozkazał ostro.

Może uciekinier nie usłuchałby rozkazu, ale w tej samej chwili Smuga ukazał się z za krzewów.

— Ręce do góry, Abdul Mahmudzie, lub strzelam! — ostrzegł stanowczym głosem.

Po krótkim wahaniu Mahmud rzucił nóż na ziemię i podniósł w górę dłoń.

— Czego chcecie ode mnie?! — krzyknął z trudem tłumiąc wściekłość.

— Nie poznajesz mnie? — zapytał Smuga podchodząc bliżej ku niemu.

— Nie znam ciebie, przeklęty niewierny! — zaprzeczył Mahmud.

— Czy mego brata również nie znałeś?

Zanim mógł odpowiedzieć, nadbiegli Pandit Davasarman, Wilmowski, Tomek i hinduscy żołnierze. Pandiy Davasarman dał znak, aby wszyscy cierpliwie czekali na nadejście pogoni. Wkrótce też ścigający, jeden na koniu, drugi pieszo, zbliżyli się do nich. Teraz zdjęli białe burnusy z kapturami, pod którymi uprzednio kryli mundury armii maharadży Kaszmiru. Stanęli przed Panditem Davasarmanem na baczność.

— Dzielnie spisaliście się, ptaszek wpadł w sidła, a nam przecież tylko o to chodziło — pochwalił Davasarman. — Co macie z nim zrobić? Jaki jest rozkaz sir Younghusbanda? Czy zabierzecie go z sobą do Leh?

— Ukarzemy go według miejscowego zwyczaju — odparł jeden z żołnierzy.

— Słusznie, szkoda dla niego kuli. Wykonujcie swoją powinność.

Żołnierze przystąpili do schwytanego. Jeden z nich odezwał się:

— Abdul Mahmudzie, jesteś aresztowany za morderstwo dokonane w Bombaju na pracowniku linii okrętowej. Ukradłeś również własność obecnych tu sahibów. Zwróć im ją, zanim zostaniesz ukarany.

— Nigdy nie dostaniecie już tego złota, przekleci... — warknął Mahmud.

— Zrewidować go! — rozkazał Pandit Davasarman.

Żołnierze nic nie znaleźli przy Mahmudzie. Nie tracąc dłużej czasu Pandit Davasarman polecił nałożyć mu więzy i wszyscy razem powrócili do obozu.

— Co macie zamiar z nim uczynić? — zapytał Wilmowski Davasarmana.

— Wkrótce przekonasz się, szlachetny sahibie. Bądź spokojny, poniesie zasłużoną karę.

W pół godziny później jechali dalej posępną doliną Astor. Nowy szlak, ukończony zaledwie przed kilkoma laty, biegł między dwoma starymi gościńcami. Na każdym z nich nawet para mułów nie mogła się wyminąć. W lecie panował tutaj upał nie do zniesienia, zaś w zimie trakt stawał się zupełnie niedostępny z powodu nagłych, bardzo zimnych wiatrów, burz śnieżnych i mrozów. W ten sposób Gilgit przez dwie trzecie roku pozostawało całkowicie odcięte od Kaszmiru. Zapuszczając się w groźną dolinę Astor, karawany musiały zabierać wodę, paszę dla zwierząt i opał. Jako widomy znak niebezpieczeństwa często bielity się przy drodze szkielety ludzkie i zwierzęce.

Po kilku godzinach marszu Pandit Davasarman zboczył nad bryzgający białymi pianami Indus. Obydwaj kaszmirscy żołnierze nadmuchiwali powietrzem gupsar, po czym rozwiązawszy ręce Mahmudowi, zmusili go do wejścia z worem umocowanym na sznurze w nurt rzeki.

Pandit Davasarman stał na brzegu z karabinem gotowym do strzału. Mahmud poszarzały na twarzy desperacko walczył z ostro rwącym nurtem rzeki. Dzięki temu, że gupsar uwiązany był na linie, zdołał jakoś uniknąć rozbicia o ostre głazy. Wkrótce wyczerpany wydostał się na przeciwny stromy brzeg. Wtedy żołnierze z powrotem przyciągnęli zaimprovizowaną tratwę.

Biali podróżnicy w milczeniu przyglądali się niezwyklej scenie. Mahmud przykucnął na głazie po drugiej stronie rzeki.

— Cóż to ma znaczyć, panie Pandicie Davasarman? Czy macie zamiar zostawić tego łotra na wolności?! To ma być kara za niecne morderstwo? — zdziwił się bosman.

— Uspokój się, szlachetny sahibie — odparł Davasarman. — Spotkała go okrutniejsza kara, niż myślisz. Według miejscowego zwyczaju,

obowiązującego od wieków, skazańców przyprowadza się w tę okolicę, by pozostawić ich tutaj na drugiej stronie rzeki własnemu losowi. Dotąd żaden z nich nie zdołał stamtąd umknąć. W tym dzikim, niedostępnym i jałowym kraju bezbronny człowiek musi zginąć z głodu lub też dostaje się w ręce nie mniej dzikich krajowców, którzy zabijają go bądź sprzedadzą w niewolę. Nie na darmo przecież ten kraj zwie się często Syberią Kaszmiru...

— Ha, skoro tak, to Bóg z nim! Zasłużył sobie na to — mruknął dobroduszny bosman i zaraz odwrócił uwagę, by nie patrzeć na samotnego człowieka, siedzącego na przeciwległym brzegu.

Kaszmirczycy, wynagrodzeni przez Smugę, otrzymali ponadto od Pandita Davasarmana jednego konia w zamian za zabitego i zaraz wyruszyli w powrotną drogę do Leh. Nasi podróżnicy natomiast zapuścili się dalej w dolinę Astor. Wkrótce znaleźli się w Dardistanie, obejmującym dwa dominia maharadży Kaszmiru: Astoria i Gilgi, a także dwa małe chanaty Hunzów i Nagarów oraz niepodległą republikę Yasin.

Podczas drogi Pandit Davasarman wyjaśnił swym towarzyszom, w jaki sposób doszło do nieoczekiwanego przez nich schwywania Abdul Mahmuda. Otóż sir Younghusband przypuszczał, że morderca nie zadowolony się podstępnie ukradzioną częścią złota. Według zdania rezydenta chciwość powinna go zmusić do pokuszenia się o zdobycie reszty własności Smugi. Żeby dokonać tego, Mahmud musiałby tropić swą ofiarę, w nadziei, że w dzikich pustkowiach łatwiej uda mu się osiąść cały łup. Dlatego też sir Younghusband polecił dwóm wytrawnym wywiadowcom udać się za karawaną podróżników. Jedynie Pandit Davasarman powiadomiony był o zamiarze sir Younghusbanda, by w odpowiednim momencie mógł przyjść z pomocą pościgowi. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności morderca został schwytany i surowo ukarany.

Przez szereg dni biali podróżnicy pozostawali pod wrażeniem tego wydarzenia. Im bardziej poznawali dzikość kraju oraz im więcej dowiadywali się o jego rozbójniczych mieszkańcach, tym mniej zaciętości odmalowywało się na ich twarzach na wspomnienie Abdul Mahmuda — tajemniczego człowieka z blizną na twarzy.

Gilgit witało ich sadami dojrzewających brzoskwiń i purpurowymi od gron winnicami. Sąsiedztwo i opieka garnizonu wojskowego umożliwiały

ludności osiadłe życie. Mężczyźni prezentowali się tutaj nieco okazalej, a kobiety nie zakrywały twarzy welonami i nie stroniły od przybyszów.

Karawana zatrzymała się w pobliżu angielskiej agencji, umieszczonej w willi w uroczym ogrodzie.

— Do stu beczek zjełczalego tranu, nie spodziewałem się, że w tym piekielnym kraju ujrzę jeszcze taki sielski obrazek — odezwał się bosman, zsiadając z konia.

— Przeżyliśmy dwadzieścia pięć dni straszliwej mordęgi — odpowiedział Tomek. — Mamy już jednak kawał drogi poza sobą.

— Ładna mi pociecha — ironizował bosman. — Nie patrz za siebie, lecz przed siebie, a zrzednie ci mina!

Tomek uśmiechnął się, spojrzawszy na otaczające ich zewsząd skalne masywy. Nim minęła godzina, rozjuczyli konie, odprowadzili je do stajni, po czym sami zasiedli przy długim stole w prymitywnie urządzonej oberży. Wszyscy byli bardzo zmęczeni, wobec czego zaraz po posiłku udali się na spoczynek.

Następnego ranka Smuga i Pandit Davasarman, przebrani i odświeżeni, udali się z wizytą do angielskiego rezydenta w Gilgit. Ich towarzysze pozostali w oberży, ponieważ nie goląc za radą Smugi zarostów na twarzach, woleli nie pokazywać się na ulicach miasteczka.

Oficjalna wizyta musiała zapewne przemienić się w poufną, długą naradę, ponieważ obydwaj kierownicy ekspedycji powrócili dopiero około południa. Zaraz też polecili podać obiad w zacisznej izbie, aby móc bez przeszkód porozmawiać z przyjaciółmi. Gdy służba wniosła posiłek, Smuga zamknął drzwi i dopiero wtedy odezwał się ściszym głosem:

— Przynoszę dobre wiadomości, sir Younghusband dotrzymał słowa. Na jego polecenie tutejszy rezydent sprytnie przygotował przemycenie nas przez granicę. Za dziesięć dni będziemy w Rosyjskim Pamirze, skąd łatwo już przedostaniemy się do Chińskiego Turkiestanu.

— W jaki sposób przekroczymy granicę Pamiru? — zapytał Tomek, obrzucając Smugę błyszczącym z podniecenia wzrokiem.

— Będziemy eskortowali karawanę przemytników — wyjaśnił Smuga. — Oni znają najbardziej pewne przejścia. W Pamirze włączymy się jako goście do orszaku weselnego, który akurat będzie wtedy przejeżdżał w pobliżu granicy.

Bosman zarechotał basem, podczas gdy Tomek niecierpliwie indagował:

— Po co nam ta heca z weselem? Czy nie lepiej, abyśmy jak najmniej zwracali na siebie uwagę?

— Pochwalam ostrożność Tomka. Oberżysta mówił mi, że obecnie w Pamirze nie jest zbyt spokojnie — zauważył Wilmowski.

Teraz z kolei Smuga cicho roześmiał się, a potem powiedział:

— I ty, i Tomek mielibyście rację, lecz w tym szczęśliwym przypadku oblubienica jest Kirgizką<sup>333</sup>. Wy przecież nie wiecie, w jaki sposób odbywa się kirgiskie wesele. Otóż, moi drodzy, przeprowadzenie panny młodej do domu męża jest nie byle jaką uroczystością, bowiem orszak weselny przewozi jednocześnie posag oblubienicy. Nikt nie zwróci uwagi na naszą małą karawanę, gdy wmieszamy się między juczne zwierzęta niosące toboły z dobytkiem młodej pary. Z domu weselnego niedaleko już do granicy Chińskiego Turkiestanu. Toteż potem odjedziemy bez przeszkód razem z gośćmi weselnymi. W ten sposób zmylimy zaostrzoną czujność posterunków rosyjskich.

— Jak amen w pacierzu, nikt by tego lepiej nie wykombinował — zdumiał się bosman.

— Hm, pomysł naprawdę wydaje się dobry — przyznał Wilmowski.

— Dobry?! To za mało, jest wprost doskonały — entuzjasmował się Tomek.

Pandit Davasarman z zaciekawieniem przysłuchiwał się rozmowie. Wilmowski spojrzał na niego. Na twarzy Hindusa błąkał się zagadkowy uśmiech. Wilmowski zmarszczył brwi, jakby sobie przypomniał coś nieprzyjemnego.

— Janie, a co będzie przewoziła eskortowana przez nas karawana przemytników? — zapytał po chwili.

— Część posagu panny młodej, to jest kaszmirskie dywany, wołłoki i szale — odparł Smuga.

— Widzę, że weźmiemy udział w weselu jakiejś zamożnej kirgiskiej rodziny, skoro stać ją na bogaty posag. Zastanawia mnie fakt, iż weselnicy chcą mieszać się w niebezpieczne sprawy. Chyba nie czynią tego z sympatii dla nas?

---

<sup>333</sup> — Kirgizi zamieszkują głównie w Kirgiskiej SRR, graniczącej z Tadżycką SRR, która obejmuje także Pamir.

— Oni specjalnie tak ustalili termin wesela, aby móc osłonić przed Rosjanami przerzut przemytu.

— Czyżby dywany i szale przedstawiały dla nich tak niezwykłą wartość? — dopytywał się Wilmowski.

— Nie mylisz się, szlachetny sahibie. Stanowią one dar thuma, czyli króla Hunzów, dla pana młodego — wtrącił Pandit Davasarman.

— Rzecz oczywista, iż za wspaniałomyślnością thuma Hunzów kryją się sprytni Anglicy — poufnie dodał Smuga.

— Kim wobec tego jest ów pan młody? — dziwił się Wilmowski.

— Panem młodym jest Naib Nazar, wnuk słynnego Sachib–Nazara<sup>334</sup> — wyjaśnił Pandit Davasarman.

— Nie słyszałem o takiej osobistości w historii Azji Środkowej — powiedział Wilmowski. — Z jakiego powodu stał się tak sławny?

— Sachib–Nazar był nadzwyczaj zuchwałym rozbójnikiem pamirskim. Ograbiał nie tylko kupieckie karawany, lecz napadał również na mieszkańców sąsiednich krajów. Łupił i brał w jasyr nawet rosyjskich Kirgizów w dolinie Wielkiego Ałtaju — wyjaśnił Davasarman, tłumiąc wesołość na widok zaskoczenia malującego się na twarzach towarzyszy.

— No, no, w niezłej kompanii pojedziemy na wesele — mruknął bosman. — Całe szczęście, że chyba nie będziemy musieli trzymać z nimi dzieci do chrztu...

— Czy ten Naib Nazar również uprawia zbójcecki proceder? — zaciekawiał się Tomek.

— W każdym razie już nie tak jawnie, jak jego dziadek, gdyż miałby do czynienia z Rosjanami, panującymi obecnie w Pamirze<sup>335</sup> — odpowiedział Smuga nie mniej rozbawiony od Pandita Davasarmana.

— Czy to nie podejrzane, że zazwyczaj skąpi Anglicy ofiarowują kosztowne upominki potomkowi pamirskiego zbója? — zauważył Wilmowski.

---

<sup>334</sup> — Sachib–Nazar oraz jego synowie byli słynnymi, krwawymi rozbójnikami pamirskimi w ostatnich latach XIX w. Posiadali rozległą siatkę wywiadowczą tak w rosyjskiej Ferganie, jak i w Szrinagarze, dzięki czemu wiedzieli o każdej bogatszej karawanie wyruszającej w drogę. Gen. Grąbczewski w znacznej mierze przyczynił się do likwidacji przestępczej bandy w Ferganie, gdzie za pieniądze angielskie często wszczynala fermenty.

<sup>335</sup> — Rosjanie zajęli Pamir w 1891 r. Obecnie wchodzi w skład Tadżyckiej SRR.

— Cóż w tym dziwnego? Widocznie opłaca się im popierać wszelkie niespokojne elementy w kraju sąsiada—konkurenta, jakim niewątpliwie w Azji Środkowej jest dla nich Rosja — odparł Smuga. — Nic nam jednak do tego, skoro, jak powiedział bosman, nie będziemy kumotrami, ani jednych, ani drugich.

— Gdzie spotkamy się z karawaną przemytników? — zapytał Wilmowski.

— Wyruszy ona z Baltit, siedziby króla Hunzów. On właśnie jest oficjalnym ofiarodawcą ślubnego podarunku.

— A więc idziemy do kraju zbójów oraz łowców niewolników, bo przecież Hunzowie i Nagarzy, zwani Kandżutami, byli postrachem wszystkich ludzi mieszkających między Afganistanem a Jarkendem — niechętnie rzekł Wilmowski. — Musimy pilnie czuwać, aby nam nie splełali jakiegoś figla.

— Bądź spokojny, szlachetny sahibie, znajdujemy się pod opieką Anglików, którzy od chwili pokonania Kandżutów zdobyli sobie u nich niejaki wpływ — wtrącił Pandit Davasarman. — Przechodziłem już dwukrotnie przez ten dziki kraj i znam Nazim Chana, króla Hunzów. Tym niemniej zachowamy konieczną ostrożność.

Na tym skończyła się rozmowa, choć Wilmowski podejrzewał, że Pandit Davasarman nie zdradził im wszystkiego, co wie o podejrzanym przemyśle. Zamyślony kurzył fajkę i z coraz większym niepokojem spoglądał na towarzyszy z zapalem czyszczących broń.

Przez trzy dni trwały przygotowania do drogi. Smuga i Pandit Davasarman z niezwykłą starannością dokonywali przeglądu sprzętu obozowego, miał on bowiem służyć im aż do końca wyprawy. Przed wszystkim zakupili w Gilgit dwa namioty o podwójnie szytych ściankach, zapewniających utrzymanie wewnątrz wyższej temperatury i ciepłe worki do spania, używane przez uczestników wypraw wysokogórskich. Oprócz tego przygotowali dwie maszynki do gotowania, zapas paliwa do nich, żywność, tytoń, dwa lekkie oskardy, trzy łopaty, latarki na świece i inne drobiazgi, konieczne w niezamieszkałych okolicach. Było to raczej skromne wyposażenie jak na wielotygodniową wyprawę, ale Pandit Davasarman odradzał obciążać się zbyt dużym bagażem. Jego zdaniem powodzenie wyprawy zależało w dużej mierze od szybkiego przemknięcia się przez Pamir

i Chiński Turkiestan aż za miasta Chotan i Kerija<sup>336</sup>, leżące u stóp gór Kunlun oraz ich odnogi — Ałtyn–tag. Bardzo obciążone juczne konie uniemożliwiałyby pospieszne marsze, co było niewskazane, a w Chotanie i Keriji mogli uzupełnić zapasy żywności.

Za radą Smugi wszyscy uczestnicy ekspedycji mieli odtąd podawać się za kupców z Chińskiego Turkiestanu. W związku z tym europejskie ubrania zmienili na długie, podbite futrem kaftany, płaskie, okrągłe, obramowane futrem czapki oraz wysokie kamasze z miętko wyprawionej skóry. Sporo kłopotu nastęrczało zdobycie odpowiedniego rozmiarami odzienia dla niezwykle rosłego bosmana, ale w końcu przy pomocy miejscowego krawca udało się im należycie przystroić marynarza. Ubiór oraz zarosty na twarzach zmieniły ich nie do poznania, toteż Smuga zacierał dłonie z zadowolenia i rokował wyprawie pomyślny przebieg.

Oprócz tego, co włożyli na siebie, zabrali jeszcze trochę ciepłej bielizny i grube, filcowe buty, jako najbardziej odpowiednie do chodzenia po śniegu. Resztę przywiezionych z Europy osobistych rzeczy spakowali oddzielnie, by odesłać je do Szrinagaru, gdzie miały oczekiwać ich powrotu.

Przed opuszczeniem Gilgit Tomek napisał list do Sally. Informował ją tylko, iż po spotkaniu ze Smugą wyruszają na daleką wyprawę, wobec czego nie powinna się niepokoić, jeżeli przez kilka miesięcy nie otrzyma od niego wiadomości. Solennie przyrzekł opowiedzieć jej wszystko po powrocie do Anglii.

Czwartego dnia po przybyciu do Gilgit opuścili miasteczko jeszcze przed wschodem słońca, by jak najmniej zwracać na siebie uwagę mieszkańców. Po godzinnej jeździe wzdłuż rzeki Gilgit znaleźli się w miejscu, gdzie wpada do niej rzeka Hunza, zwana również Kandzudem. Państwka Nagarów i Hunzów leżą właśnie w odgałęzieniach górnej części doliny Hunzy, toteż karawana zboczyła wzdłuż jej biegu. Wschodzące słońce ukazało oczom podróżników dziką dolinę, otoczoną zewsząd granitowymi masywami górskimi. Droga umożliwiała względnie szybkie posuwanie się karawany, choć w niektórych

---

<sup>336</sup> — Chotan (Khotan) i Kerija (Keriya) — miasta leżące w oazach Kotliny Kaszgarskiej, która łącznie z oddzieloną od niej górami Tien–szan Dżungarią tworzy chińską prowincję Sinkiang. Tędy przez tzw. „*Wrota Dżungarskie*” wiedzie z Chin na zachód karawanowa „*droga jedwabna*” przez miasta: Chotan, Jarkend i Kaszgar.



miejscach należało przechodzić przez splezające z gór wprost do rzeki języki lodowców.

Im dalej jechali, tym dolina Hunzy stawała się groźniejsza, a zarazem wspanialsza. Coraz to na niemal niedostępnych turniach dostrzegali obronne bastiony, niczym średniowieczne zamczyska. Nie tak jeszcze dawno w tym wojowniczym kraju ognie palone na szczytach górskich oznajmiały rozpoczęcie działań wojennych. Pandit Davasarman był w tych stronach, gdy Brytyjczycy dokonali ostatecznego podboju Nagaru i Hunzy. Teraz, korzystając z wolnego czasu, opowiadał towarzyszom o alpinistycznych wyczynach oddziału ekspedycyjnego podczas zdobywania<sup>337</sup> szturmem trudno dostępnych stanowisk obronnych.

Na nocleg zatrzymali się u podnóża fortu Chalt, zajmowanego przez oddział kaszmirskich sipajów. Następnego dnia około południa, zbliżali się już do stolic dwóch królestw, leżących na przeciwnych brzegach rzeki. Teraz co kilka kilometrów napotykali osady Hunzów, umocnione murami z obronnymi wieżami. W pobliżu osad w zacisznych dolinach każdą piędź ziemi wykorzystywano pod uprawę. Jakże niezwykły kontrast z śnieżno-lodową górską panoramą stanowiły dolinki o kwitnących sadach! Dawniej, w niespokojnych czasach, wieśniacy kandzuccy na noc chronili się za mury osad, teraz zamieszkiwali obok swych poletek w pozbawionych okien domkach o płaskich dachach, pokrytych gliną zmieszaną z drobno pociętą słomą. Kandzuckie domki były charakterystyczne, mianowicie dzienne światło doprowadzano do ich wnętrza przez wycięty w środku dachu duży, gwiaździsty otwór. We wszystkich wioskach spotykało się miniaturowe meczety. Większość ciężkich prac wykonywały kobiety, natomiast mężczyźni przeważnie siedzieli w podcieniach domów i palili fajki. Mężczyźni, a nawet i starsi chłopcy nosili handżyry, długie, zakrzywione noże oraz okute żelazem pałki.

Podróżnicy minęli Nagar, ufortyfikowaną osadę z wielkimi wieżycami, po czym przez drewniany, chwiejący się pod końskimi kopytami most przejechali na drugi brzeg rzeki Hunzy, kierując wierzchowce ku doskonale widocznej na tle niebotycznych skał stolicy Hunzów, miastu Baltit.

---

<sup>337</sup> — Państwka Hunzów i Nagarów zostały pokonane przez wojskową ekspedycję Brytyjczyków w 1891 r.

— Ho, ho, nieźle musieli napocić się Anglicy, zanim zdobyli to rozbójnicze gniazdo — zawołał Tomek, ujrzawszy wysoko wśród skał obronny zamek.

— Teraz chyba zrozumiałeś, sahibie, dlaczego Anglicy tak bardzo obawiali się rosyjskich wpływów w Kandzucie. Gdyby Rosjanie dostarczyli Kandżutom nowoczesnej broni i amunicji, Baltit byłby nie do zdobycia — wtrącił Pandit Davasarman. — Kandżut dzięki swemu położeniu jest jakby naturalną fortecą. Zewsząd otaczają go przepaściste góry i śnieżno-lodowe, ogromne pustynie. Od strony południowej, a więc z Kaszmiru do Baltit można dotrzeć jedynie doliną rzeki Hunzy wpadającej do Gilgit, lecz ta na pozór obecnie dość wygodna droga dostępna jest jedynie przez kilka miesięcy w roku. Na wiosnę rzeka zasilana wodą z topniejących lodowców gwałtownie wzbiera i zalewa całą dolinę, odcinając ją zupełnie od Kaszmiru. Wtedy jedynie kozice oraz wytrawni alpiniści mogą pokusić się o przejście karkołomnych, skalnych ścieżyn.

— Skoro tak jest, to i Rosjanie mieli równie trudny dostęp do Kandżutu — zauważył Tomek.

— Mylisz się, sahibie — zaproponował Pandit Davasarman. — W górze doliny, a więc od strony północnej, istnieje szereg stosunkowo łatwych przejść przez góry Hindukusz do Pamiru oraz Chińskiego Turkiestanu. Tym samym Rosjanie znajdują się w dogodniejszym położeniu od Anglików.

— Właśnie z jednego z tych przejść i my skorzystamy — dodał Smuga.

Wierzchowce wolno podchodziły w górę, z terasy<sup>338</sup> na terasę. Niby potężne naturalne stopnie, wiodły one do otoczonego murem miasta. Ponad nim wznosiła się rozległa, pięciopiętrowa twierdza, zbudowana z kamieni, drzewa i suszonego w słońcu błota. Na tarasach zieleniły się uprawne pola i sady. Kobiety pracujące na polach, szczelnie opatulone w chusty, odwracały się na widok obcej karawany. Natomiast mężczyźni śmiało zaglądali jeźdźcom w oczy. Byli odziani w długie, wełniane suknie choga, przepasane szerokimi pasami, w bawełniane koszule i spodnie oraz w łapcie z nie wyprawionej skóry.

---

<sup>338</sup> — Terasa lub taras — płaski, prawie poziomy próg na zboczu doliny rzeki, obrywający się stromo ku rzece. Jest wynikiem wzmożonej erozji wód.

— Przyjemny ludek, nie ma co mówić — mruknął bosman, pochylając się do Tomka. — Niby to nas pozdrawiają, a ze ślepiów ich widać, że chętnie pchnęliby nożem w plecy!

— Może biorą nas za Anglików, chociaż w tym przebraniu więcej chyba przypominamy zbójecką bandę Ali Baby — odparł Tomek. — Mnie samemu ciarki przechodzą po krzyżu, gdy spoglądam na wasze obrośnięte twarze.

— Z kim się zadajesz, takim się stajesz — burknął bosman.

Wjechali w mury miasta. Wyglądało ono niczym piramida budynków, pnących się kondygnacjami ku bramie twierdzy; prowadziły do niej wąskie, kręte uliczki. Przed zamkniętą na łańcuch bramą stała warta uzbrojona w karabiny oraz handżyry. Pandit Davasarman nie schodząc z konia, przywołał wartę, po czym odezwał się w narzeczu burishki<sup>339</sup>.

— Powiadomcie wielkiego thuma Hunzów, Nazim Chana, iż przybył oczekiwany przez niego posłaniec od wielkich białych przyjaciół, aby uścisnąć jego dłoń!

Warta natychmiast podała tę wiadomość dalej. Podróżnicy tymczasem przyglądali się groźnemu zamczysku. Dolne piętra były całkowicie pozbawione otworów okiennych. Szczyt zamku zdobiły drewniane, misternie rzeźbione balkony, a na najwyższej wieży widać było wiszący olbrzymi, święty bęben Hunzów. Bęben ten, według wierzeń przesądnych krajowców, sam odzywał się potężnym dudnieniem, ilekroć wielki thum miał stoczyć zwycięską wojnę.

Naraz rozległ się brzęk łańcuchów. Otwarto niskie, szerokie podwoje w murze zamczyska. Przed podróżnikami pojawił się wezyr chana.

— Wielki Nazim Chan wita szlachetnych sahibów, którzy przybywają od jego przyjaciół — rzekł kłaniając się dostojnie. — Przyjmie was, gdy tylko skończy modlitwy. Szlachetni sahibowie pozostawią tutaj broń, a potem będą mogli udać się ze mną do sali przyjąć.

Pandit Davasarman ostentacyjnie zawiesił swój karabin na łęku siodła. To samo uczynili Wilmowski, Smuga, bosman i Tomek, po czym zsiadli z wierzchowców.

Wezyr Humayun przeprowadził ich przez bramę do mrocznej, rozległej sali o kamiennych ścianach. W świetle zatkniętych w mur pochodni widać

---

<sup>339</sup> — Narzecze to pochodzi od sanskrytu, to jest starożytnego języka literackiego Hindusów, należącego do języków indoirańskich.

było kilka granitowych filarów podtrzymujących strop oraz pośrodku sali drewnianą drabinę, znikającą w kwadratowym otworze w suficie, przez który można było wejść na wyższe piętro. Wezyr pierwszy wszedł po drabinie i pogrążył się w ciemnym otworze. Za nim udali się biali sahibowie. W ten sam sposób przechodzili na coraz wyższe piętra, aż w końcu dotarli do ostatniej kondygnacji zamku. Niektóre komnaty były obszerne i wygodne, lecz większość z nich przypominała małe, ciemne cele.

Na najwyższym piętrze komnaty dzięki dziennemu światłu wpadającemu przez okna miały nieco przyjemniejszy wygląd. Mimo to każdy zdawał sobie sprawę, iż źle przyjęty przez chana gość nie miał jakichkolwiek szans ujęcia z życiem z tego labiryntu komnat i korytarzy. Wezyr polecił podróżnikom zatrzymać się w małej salce; sam zniknął za pięknie rzeźbionymi drzwiami następnej komnaty.

— Siedzimy teraz niczym mysz w pułapce. Gdyby te zuchy miały względem nas złe zamiary, kiepsko byłoby z nami! Pan Davasarman niby to zna tego królika rozbójników, ale kazali nam pozostawić broń przy szkapach — odezwał się marynarz.

— Nie dziw się, bosmanie! Większość władców Nagarów i Hunzów nie zmarła śmiercią naturalną. Dlatego też chanowie, obawiając się zamachu na swe życie, zachowują daleko posuniętą ostrożność — rzekł Smuga.

— W jaki sposób i dlaczego ginęli tutejsi chanowie? — zapytał Tomek.

— Te sprawy najlepiej zna Pandit Davasarman — odparł Smuga.

— Mury tego zamku mogłyby wiele powiedzieć — wyjaśnił Hindus. — Poprzednik obecnego władcy, Safdar Ali Chan, który uciekł przed Anglikami do Chin, objął tutaj władzę po zamordowaniu swego ojca<sup>340</sup> i braci. Podobnie postąpił Rajah UZR Chan, poprzedni król Nagaru. Mianowicie chcąc usunąć ewentualnych kandydatów do tronu, zabił także swych dwóch młodszych braci. W ten właśnie sposób od wieków obejmowano rządy w Kandzucie, co często zdarza się również i w innych państwach muzułmańskich. Dlatego chanowie kandzuccy są nadzwyczaj ostrożni.

— Kto się sparzy na gorącym, ten na zimne dmucha — sentencjonalnie zakończył bosman. — Na szczęście nie jesteśmy chana krewniakami, to i nie będzie na nas dybał. Spójrzcie, panowie, przez okno! Cóż to za potężne

340

— Miało to miejsce w 1886 roku.

górzysko piętrzy się tam na południu doliny? Proszę, proszę, lodowiec opuszcza się z niego aż do linii lasu!

— Spoglądasz na górę Rakaposhi, szlachetny sahibie, wysoką na 7 790 metrów — wyjaśnił Davasarman.

W tej chwili drzwi otworzyły się szeroko. W progu stanął wezyr Humayun.

— Wielki król Hunzów gotów jest przyjąć szlachetnych sahibów — oznajmił.

Weszli do obszernej komnaty. Wokół ścian stała szeroka drewniana ława. Na obydwóch jej końcach wznosiły się drewniane słupy, sięgające aż do rzeźbionych belek powały. W otwartym kominku palił się ogień. Podłogę pokrywał olbrzymi, puszysty, kaszmirski dywan. Komnatę zdobiły chińskie skrzynie z wymalowanymi złotymi smokami oraz piękne wiklinowe kosze — zapewne dary chińskich protektorów chanów Kandżutu.

Nazim Chan, przyrodni brat zbiegłego króla Hunzów, był dobrze zbudowanym mężczyzną w średnim wieku. Siedział w głębi komnaty na wspaniale rzeźbionej ławie, przykrytej z wierzchu miękkim dywanem. Strój chana był niezmiernie kosztowny. Miał na sobie długą choga, gęsto przetykaną złotymi nićmi, od spodu podbitą śnieżnej białości piórami. Szeroki, kapiący wprost od złota pas otaczał jego biodra. Zza pasa wystawały rękojeści dwóch długich handżyrów oraz dwóch nabijanych srebrem pistoletów. Spod czapki w kształcie worka, bogato zdobionej złotem, opadały na policzki chana splecione w pierścienie, czarne włosy.

Nazim Chan siedział po turecku z podwiniętymi nogami. Piastował na kolanach dużego, czarnego kota. Przenikliwym, niespokojnym wzrokiem mierzył białych przybyszów. Tuż przed nim przeżyła się przyboczna straż z długimi, gołymi mieczami w rękach, za ławą natomiast stali pacholki z barwnymi wachlarzami z piór.

Wezyr Humayun z szacunkiem zatrzymał się w pewnej odległości od chana. Skłonił się nisko.

— Dostojny, wielki królu Hunzy — odezwał się w języku angielskim. — Sahibowie w imieniu twoich możnych białych przyjaciół pragną złożyć ci pokłon.

Podróżnicy w ślad za Panditem Davasarmanem pochylili głowy, jednocześnie potrząsając wyciągniętymi przed siebie, złożonymi razem obydwoma dłońmi.

— Czy jesteś zdrow i zadowolony z podróży, Pandicie Davasarmanie? — zapytał Nazim Chan. — Angielski rezydent w Gilgit powiadomił mnie o twojej nowej, tajemnej wyprawie do rozległych krajów Wielkiego Ak-Padszy<sup>341</sup>. Czy twoi towarzysze są angrezi sarkar<sup>342</sup>? Jeżeli tak, to doskonale udają krajowców.

— Pozdrawiam cię wielki, dostojny królu Hunzy — odpowiedział Pandit Davasarman. — Moi towarzysze nie są Anglikami. Pochodzą z bardzo odległego kraju, obecnie zawojowanego przez Ak-Padszę. Oni są Polakami. Kilkanaście lat temu ich rodak w służbie Ak-Padszy, generał Grąbczewski, przebywał w Kandzucie jako gość Safdar Ali Chana.

— Pamiętam go doskonale. Safdar Ali Chan twierdził, iż ten poseł przyrzekł mu poparcie Wielkiego Ak-Padszy. W mojej zbrojowni znajduje się nawet karabin podarowany przez tego posła Safdar Ali Chanowi — odparł zdziwiony Nazim Chan. — Skoro jednak sahibowie pochodzą z kraju podległego Wielkiemu Ak-Padszy, to nie widzę powodu, dla którego musielibyście przekradać się do Bam-i-Dunya<sup>343</sup>, również należącego do cara Rosji.

— Pozwól, wielki królu Hunzów, że ci to krótko wyjaśnię — odezwał się Smuga. — Otóż my możemy tak samo legalnie pojechać do Pamiru, jak ty mógłbyś oficjalną drogą przekazać ślubny upominek potomkowi pamirskiego rozbójnika.

Pandit Davasarman mocno zmieszał się słysząc tę śmiałą, dwuznaczną odpowiedź. Nazim Chan ostro zmarszczył brwi, lecz znany u Hunzów, a tak rzadko spotykany u Azjatów, zmysł humoru wziął górę, bo zaraz rozpogodził się i odpowiedział:

— Prawdę rzekłeś, cięty w języku sahibie. Nie moja to sprawa. Dawniej Anglicy posyłali Kirgizom podobne podarunki za pośrednictwem Afgańczyków, lecz obecnie korzystają z moich usług. Karawana składająca

---

<sup>341</sup> — Wielki Ak-Padsza oznacza w języku kadzuckim — Wielki Biały Car, oczywiście mowa tu o carze rosyjskim.

<sup>342</sup> — Angrezi sarkar — angielscy obywatele.

<sup>343</sup> — Bam-i-Dunya — perska nazwa „*Dach Świata*”, którą krajowcy określają Pamir.

się z piętnastu mułów jest przygotowana do wyruszenia. Sadyr Chodża wraz z sześcioma ludźmi przeprowadzi was aż do aułu<sup>344</sup> Naib Nazara. Haj, do widzenia!

Podróżnicy z pewnym uczuciem ulgi oddalili się od malejącego wśród gór zamku króla Hunzy. Nie zatrzymywali się nawet na noclegi w wioskach i warownych osiedlach. Ku swemu zdumieniu przekonywali się naocznie, iż uprawa roli w Kandżucie nie uległa zmianom od wielu wieków. Wieśniacy orali ziemię samorodnymi sochami, a zboże młóciły zwierzęta depczące po nim kopytami. Wojowniczy mieszkańcy przy lada okazji tańczyli tak zwany „*taniec z szablami*”. Często po zapadnięciu zmierzchu echo niosło po skalistych wąwozach dziką melodię graną na instrumentach strunowych, której wtórowało niepokojące dudnienie wojennych bębnow.

Karawana dążyła ku północy w górę doliny rzeki Hunzy. W tej części kraju nie było już traktów, czy choćby wygodniejszych dróg. Czasem nawet górskie ścieżyny urywały się na stromych stokach, wtedy jedynie instynkt wskazywał wierzchowcom pewniejsze oparcie dla kopyt. W niektórych szczególnie trudnych miejscach podróżnicy musieli zsiadać z wierzchowców, by rozjuczać konie i przeprowadzać je, przytrzymując za grzywy i ogony. Mimo przyzwyczajenia do takich przepraw zwierzęta drżały ze strachu i pokrywały się potem. Podróżnicy również przeżywali nie mniejsze emocje. Bosman, aczkolwiek nie lubił gór, teraz ku zdumieniu towarzyszy nie okazywał niepokoju na widok karkołomnych przejść. Z niezwykłą energią pomagał przeprowadzać konie, przenosił ciężkie juki i niemal każdego dnia dawał dowody swej nadzwyczajnej siły i odwagi. Toteż przydzieleni karawanie Kandżuci — na pół dziki Sadyr Chodża oraz jego sześciu towarzyszy — z coraz większym szacunkiem spoglądali na rosnącego marynarza. Teraz bez słowa sprzeciwu spełniali każde jego polecenie. Rubaszny marynarz przyjacielsko poklepywał ich po plecach, a oni aż przysiadali pod „*dotknięciem*” jego niedźwiedziej łapy.

Już po trzech dniach wędrówki marynarz był za pan brat z Kandżutami. Widząc, iż Sadyr Chodża łakomym wzrokiem spogląda na jego doskonały karabin, bosman jako niezawodny strzelec postanowił zabawić się jego kosztem.

344

— Auł — Kirgizi, koczowniczy lud turecko-tatarski, dzieli się na gromady i auły.

Podczas jednego z postojów wypatrzył bujającego w przestworzach nad nimi dużego orła. Wskazał go Sadyr Chodży mówiąc:

— Widzę, brachu, że jak kot na szperkę zerkasz na moją pukawkę. Zdmuchnij z niej tego ptaszka, a będzie twoja!

Oczu Sadyr Chodży błysnęły pożądaniem, lecz zadarłszy do góry głowę, zaraz posmutniał. Kołujący wysoko ptak stanowił bardzo niepewny cel. Mimo to pokusa była zbyt wielka, aby mógł łatwo zrezygnować z próby. Drapieżnym ruchem wyciągnął dłonie po karabin. Bosman przygotował broń do strzału i podał ją Kandzutowi.

Sadyr Chodża przyklęknął na jedno kolano, przyłożył karabin do ramienia. Mierzył długo, starannie. Bosman spokojnie nabijał fajkę tytoniem. Kilkakrotnie zdążył wydmuchnąć dym, zanim huknął strzał. Orzeł niewzruszenie kołował ponad doliną.

— Za wysoko, strzał bardzo niepewny — odezwał się Sadyr Chodża, z żalem oddając karabin.

— To się nazywa u ciebie wysoko? — odparł bosman, udając zdumienie. — Ręka ci drży, bo mierzysz zbyt długo. Pozwalam ci spróbować jeszcze dwa razy.

Sadyr Chodża znów nacisnął spust. Pocisk musiał przelecieć w pobliżu orła, ponieważ ptak zatoczył większe koło i wzbił się nieco wyżej. Niefortunny strzelec ponownie szybko zmierzył i strzelił. Orzeł wzbił się jeszcze wyżej.

— Nie udało się, nikt już nie potrafi zestrzelić tego przeklętego orła — mruknął zawiedziony Sadyr Chodża.

— Tak myślisz? Po prostu jesteś niezdara. Spójrz, jak to się robi — odparł bosman.

Niedbałym ruchem ujął karabin, nastawił celownik, po czym zaledwie przyłożył broń do ramienia, rozbrzmiał huk strzału. Orzeł zatrzepotał skrzydłami, wzbił się jeszcze wyżej, lecz zaraz ciężko runął w dół. Za moment upadł na ziemię tuż obok Tomka.

— Niech cię licho porwie, bosmanie! Rękę masz pewną, a oko niezwykle celne — pochwalił Smuga.

— Trafił pan orła prosto w środek piersi — zawołał Tomek.



— Tomku, możesz być dumny, że miałeś tak wspaniałego nauczyciela — zauważył Wilmowski, bosman bowiem pierwszy wtajemniczał jego syna w strzeleckie arkana.

— Bosman zawsze twierdził, iż lepiej od niego mógłby nauczyć mnie strzelać tylko pan Smuga — z uznaniem mówił Tomek.

— Ha, kochana mamusia postarała się, żebym nie miał zeza w oku, zaś pewność ręki zapewne odziedziczyłem po ojcu, który samym końcem paska zawsze mógł mnie przeciągnąć kolejno po każdym pośladku — skromnie odparł bosman, rad pochwałą doskonałych strzelców.

— Musisz być czarownikiem, sahibie. Człowiek nie potrafiłby zestrzelić tego ptaka, ale nie mamy się z czego cieszyć. Orzeł upadł przed młodym sahibem! To jest bardzo zły znak dla niego — powiedział przestraszony Sadyr Chodża.

— Co ty klepiesz?! Jaki tam znów wypatrzyłeś zły znak? — ofuknął go bosman.

— Słuchaj uważnie, szlachetny sahibie: orzeł zawsze zlatuje do padliny, więc bardzo to zły znak, gdy upadnie obok człowieka — poważnie odparł Sadyr Chodża.

— Baj, baję będziesz w raju, a tam czeka na ciebie sto żon — przyciął bosman Sadyr Chodży, który jako mahometanin uznawał wielożeństwo. — Któż by wierzył w takie gusła! Nie pleć byle czego!

— Strzeż się, młody sahibie, źle ci wróży orzeł — z uporem powtórzył Kandzut.

Wszyscy tak długo żartowali z przesądnego Sadyr Chodży, aż w końcu przestał straszyć ich „złymi wróżbami” i sam zaczął śmiać się ze swych przepowiedni.

Następnego ranka wyruszyli w drogę o świcie. Był to szczególnie trudny odcinek marszu. Szlak wiódł przez żebra i żleby stromych zboczy przewieszonych nad kanionem spienionej rzeki Hunzy. Wąska ścieżka jednym brzegiem przywierała do niemal prostopadłej ściany podczas gdy drugi jej kraniec urywał się nad kilkunastometrowym, stromo opadającym stokiem, który tworzył przewieszony nad przepaścią występ skalny.

Tomek i bosman wlekli się na samym krańcu karawany tuż za ostatnim jucznym mułem. Wierzchowce szły powoli, postępując z wysiłku. Tomek wolno puścił cugle. Oparł dłonie na udach i spoglądał na stromy stok urwiska.

Myślał o Sally. Wyobrażał sobie jej zachwyt, gdy usłyszy od niego o tej niezwykłej wyprawie. Sally przecież przepadała za przygodami. Na pewno będzie mu zazdrościła. Uśmiechał się do siebie na wspomnienie jej zaróżowionej z emocji twarzyczki.

Przyjemne rozmyślania nieoczekiwanie przerwał donośny łoskot. Z góry, z prostopadłej niemal ściany, posypała się lawina kamieni. Tomek odruchowo osłonił rękoma głowę. W tej samej chwili duży kamień uderzył w grzbiet jucznego muła tuż przed jego koniem. Muł upadł na przednie kolana, lecz zaraz powstał kwicząc boleśnie, raptownie cofnął się ku skalnej ścianie i zawadził o nią podłużnymi jukami. Ciężkie pakunki przekrzywiły się na jego grzbiecie. Stracił równowagę. Upadł wprost pod nogi konia Tomka, po czym rżąc przeraźliwie stoczył się na stromy stok.

Wierzchowiec Tomka, przerażony, stanął dęba na tylnych nogach. Jeździec spadł z siodła. Przez krótki moment prawa stopa uwięziona jeszcze w strzemieniu powstrzymywała go przed stoczeniem się po stromym, podcięтым urwisku, lecz koń, zaledwie znów dotknął przednimi kopytami ścieżki — wierzgnął i uwolnił się od ciężaru, utrudniającego mu utrzymanie równowagi. Tomek runął na stromiznę. W tej chwili rozbrzmiał żaloszny kwik muła przetaczającego się już przez skalny występ w przepaść.

Przywykły do niebezpieczeństw młodzieniec nie stracił w tak okropnej chwili przytomności umysłu. Zsuwał się na plecach, nogami do przodu w dół stoku. Grube odzienie zaczepiało o szorstką powierzchnię skały i hamowało nieco szybkość spadku. Tomek rozkrzyżował ramiona. Starał się chwycić dłońmi jakiejś wypukłości bądź szczeliny, lecz zwietrzała skała nie dawała oparcia. W olbrzymim napięciu nie słyszał nawet okrzyków grozy przerażonych towarzyszy. Kraniec podciętego stoku zwisającego nad przepaścią był coraz bliższy. Zdawało się, iż nic nie zdoła uratować go od śmierci, gdy naraz poczuł oparcie pod stopami. Natychmiast rozluźnił mięśnie i całym ciałem przywarł do skały. Przez długą chwilę, która zdała mu się niemal wiecznością, leżał nie wierząc własnemu szczęściu. W końcu jednak utwierdził się w pewności, iż już nie zsuwa się dalej.

Teraz dopiero usłyszał donośny głos bosmana.

„*Trzymaj się, Tomku! Rzucam linę! Uwaga!*” — wołał marynarz. Gruby sznur uderzył go wprost w twarz. Tomek powoli przysuwał lewą dłoń do głowy. Uchwycił linę, kurczowo zacisnął na niej rękę. Odetchnął głęboko

pełną piersią. Drugą ręką uczepił się liny, po czym ostrożnie odwrócił się na brzuch.

- Czy możesz jeszcze popuścić sznura?! — zawołał.
- Mogę, mogę, powiedz tylko ile! — odkrzyknął bosman.
- Już dość, stop!

Usiadł na stromym stoku pochylony do tyłu dla utrzymania równowagi. Powolnymi ruchami opasał się liną, a potem zawiązał ją na piersi mocnym węzłem. Był ocalony. Rozejrzał się wokoło. O niecały metr od niego znajdował się kraniec stoku. Tam leżała jego futrzana czapa. Tomek odwrócił się do bosmana. Niezawodny w chwili niebezpieczeństwa przyjaciel stał na ścieżynie i trzymał w obydwu dłoniach drugi koniec sznura. Tomek nie mógł zdać sobie sprawy, w jaki sposób bosman zdołał w tak krótkim czasie zsiąść z wierzchowca i rozwinąć zbawczy sznur. Cała karawana przystanęła, gdy z góry posypała się lawina kamieni. Teraz wszyscy z zapartym tchem śledzili przebieg akcji ratowniczej, nie mogąc pomóc bosmanowi. Niezmierna wąskość ścieżyny uniemożliwiała prześlizgnięcie się człowieka obok szeregu juczych zwierząt. Na szczęście taki siłacz jak bosman nie potrzebował pomocy. Stał pewnie na szeroko rozstawionych nogach; krople potu mimo chłodu perliły się na jego twarzy.

— Napędziłeś mi strachu! — zawołał tubalnym głosem. — Czy możesz wejść o własnych siłach, czy mam cię wciągnąć?

- Wejdę sam! Nic mi się nie stało — odpowiedział Tomek.
- Dobra nasza, polegaj na mnie! Trzymam cię jak rybę na wędce.

Wilmowski i Smuga zdjęli czapki, by wytrzeć pokryte potem czoła. Tomek tymczasem odzyskał już swą fantazję. Powstał na nogi. Zamiast piąć się pod górę, wolniutko zbliżał się do czapki, leżącej na samym skraju przepaści. Bosman ostrożnie popuszczał linę, by stale była należycie naprężona. Tomek przykucnął, podniósł czapkę i włożył ją na głowę. Spoglądał w dół urwiska. Sięgnął do pasa, gdzie w futerale nosił lornetę. Przez długą chwilę patrzył w przepaść. Na dnie wąwozu spoczywał martwy muł i juki. Jeden rulon rozwiązał się podczas upadku. Wzorzyste dywany zaścielały głązy wymyte do białości przez wodę. Na dywanach i obok nich leżały długie skrzynki z amunicją i karabiny. A więc to był ów ślubny podarunek Anglików dla Naib Nazara!

Tomek schował lornetę. Pochylony do przodu, oburącz trzymał się liny wciąganej przez bosmana i krok za krokiem zbliżał się do ścieżki. Zaledwie dotknął jej stopami, marynarz schwycił go w swe ramiona. Tomek niemal zduszony uściskiem druha na chwilę stracił oddech.

— A niech cię wieloryb połknie — wysapał marynarz. — To mnie tu łydki drżą ze strachu o ciebie, a ty zamiast jak najprędzej mnie uspokoić, przez szkiełka przyglądasz się krajobrazowi! Tfu, to tak robi przyjaciel?!

— Nie gniewaj się, kochany bosmanie, nie znęciły mnie piękne widoki. Przyjrzałem się naszemu mułowi i rozsypanym jukom. Już wiem, co za upominek posyłają Anglicy temu pamiirskiemu zbójowi! W dywanach są ukryte karabiny i skrzynie z nabojami.

— Fiu, fiu, to jak widzę, szykuje się jakaś porządna heca — odparł bosman, po czym, dopiero teraz, wytarł chustką pot z twarzy.

— Pomówimy o tym na wieczornym biwaku, ale teraz cicho, sza przed wszystkimi.

— Jak tajemnica, to tajemnica. Będę milczał jak grób. Możesz na mnie polegać.

## PODEJRZANY ORSZAK WESELNY

Niebezpieczny wypadek Tomka wytrącił wszystkich z równowagi, toteż gdy w godzinach popołudniowych dobrnęli do małego, zacisznego wąwozu, jednogłośnie postanowili zatrzymać się w nim na nocleg. Najpierw urządzili w namiocie wygodne posłanie dla Tomka, bowiem zaczął teraz narzekać na bóle w plecach.

— Trochę jestem potłuczony, ale do jutra na pewno poczuję się lepiej — uspokajał towarzyszy. — Panie bosmanie, czy nie zrobiłby mi pan masażu?

— Zaraz to uczynię, brachu. Mogę nawet założyć się o butelkę rumu, że po marynarskim masowaniu zgrabnie zatańczysz na kirgiskim weselu.

— Bosmanie, zajmij się Tomkiem! My tymczasem uporządkujemy juki i przygotujemy posiłek. Po tym denerwującym dniu przynajmniej zjedzmy coś gorącego na kolację — powiedział Wilmowski.

Obydwaj przyjaciele weszli do namiotu. Tomek rozsiadł się wygodnie na posłaniu.

— Rozbieraj się, brachu! — polecił marynarz.

— Po jakie лихо, nic mi nie jest — zaproponował Tomek.

— Przecież chciałeś, żebym zrobił ci masaż!

— To był tylko pretekst do porozmawiania z panem na osobności.

— A to cwaniak z ciebie! Pal więc sęk masaż. Wobec tego napijmy się po kubku jamajki. Tylko nie wymiguj się tym razem, bo to doskonałe lekarstwo. Twoje zdrowie!

— Dziękuję, bosmanie.

Tomek wypił łyk rumu, lecz skrzywił się i odstawił kubek.

— Pewno chciałeś pogadać o tych karabinach ukrytych w dywanach — zagadnął marynarz. — Widocznie Anglicy chcą nawarzyć piwa Rosjanom w Pamirze, skoro przemycają broń. Oj, będzie tam gorąco, gdy bandyci otrzymają nowoczesne karabiny. Niejedna karawana kupiecka nie ujrzy już swych ojczystych stron.

— Nie podoba mi się ta krecia robota — odparł Tomek. — Anglicy bez skrupułów uzbrajają bandytów, byle tylko siać zamęt po przeciwnej stronie granicy. Ilu to uczciwych ludzi straci życie od kul i karabinów przemycanych przez nas!

— Święta prawda... Pocieszam się, że podczas zbójeckich wypadów w Pamirze Naib Nazar nieraz dał się we znaki znienawidzonej przez nas carskiej armii.

— Gdyby chociaż tak naprawdę się zdarzyło! Obawiam się jednak, że w tym przypadku przede wszystkim ucierpią spokojni mieszkańcy i karawany kupieckie. Zbóje nie będą mieszać się do polityki.

— Najświętsza prawda — przyznał bosman zafrasowany. — Cóż możemy począć? Davasarman zapewne zobowiązał się przemycić karabiny, a Anglicy w zamian za to zezwolili Smudze na urządzenie wyprawy w pasie przygranicznym.

— Mimo to nie powinniśmy pomagać zbójom.

— Dobrze mówisz — rzekł z uznaniem bosman. — Może powiedzmy ojcu i Smudze o tych karabinach?

— Nie, bosmanie. Nie powinniśmy żądać od pana Smugi, aby zachował się nielojalnie wobec Pandita Davasarmana. Lepiej nic nie mówmy nikomu. Mam pewien projekt. Sami cichaczem wyjmujemy karabiny, a na ich miejsce włożymy kamienie.

— Do niczego twój pomysł. Pamirskie zbóje na pewno zechcą sprawdzić zawartość ładunku, zanim przejmą go od nas. Którykolwiek z nich wsunie łapsko w rulon i już wszystko się wyda.

— Ha, tak źle i tak nie dobrze — zmartwił się Tomek. — Mimo to nie powinniśmy przyczyniać się do rozlewu krwi.

Bosman przysiadł na posłaniu obok druha. W milczeniu wysączył trzy kubki jamajki, zakurzył fajkę, a potem odezwał się:

— Może coś da się zrobić w tej sprawie. Kładź się do łóżka i narzekaj na bóle w krzyżu. Jutro też musisz być chory. Jeśli uda się nam tylko we dwóch pozostać w obozie, kiwniemy zbója i Anglików.

— Co pan wykombinował?

— To się okaże w praniu, teraz prześpij się naprawdę, bo mam coś pilnego do załatwienia.

Bosman wyszedł z namiotu. Zbliżył się do Wilmowskiego i Smugi, dokonujących przeglądu juków oraz uprząży koni.

— Zrobiłem Tomkowi masaż, ale chłopak nie czuje się najlepiej. Obawiam się, że jutro nie powinien jeszcze siadać na szkapę — informował ich bosman, udając zmartwionego.

— Biedny Tomek, już idę do niego — powiedział zaniepokojony Wilmowski.

— Lepiej pogadaj z nim później, Andrzeju. Akurat zasypiał, gdy wychodziłem z namiotu. Czy nie moglibyśmy jutro urządzić jednodniowego wypoczynku? To by Tomkowi doskonale pomogło na te bóle w krzyżu.

— Halo, Davasarmanie, przyjdź tu z łaski swojej razem z Sadyr Chodzą — zawołał Smuga.

— Co się stało, sahibie? — niespokojnie zapytał Pandit. — Czyżby młody sahib czuł się gorzej?

— O to właśnie chodzi. Narzeka na bóle w krzyżu — odpowiedział Smuga. — Czy możemy sobie pozwolić na urządzenie jutro jednodniowego wypoczynku? Kiedy mamy się spotkać z Naib Nazarem?

— Zastanówmy się, sahibie. Orszak weselny będzie przejeżdżał przez Wzgórze Kupców w piątek w południe. Dzisiaj mamy dopiero wtorek. Stąd do Wzgórza Kupców możemy dotrzeć w półtora dnia. Chyba nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy umożliwili młodemu sahibowi konieczny wypoczynek.

— Co sądzisz o naszym zamiarze, Sadyr Chodzo? Czy zdążymy na czas? — upewnił się Wilmowski.

— Jeśli tylko Allach zechce, to zdążymy — rzekł Kandzut.

— Miejmy nadzieję, że twój Allach okaże się dla nas łaskawy. Wobec tego jutro odpoczywamy — orzekł Smuga.

Bosman kiwnął głową na Sadyr Chodzę. Wyprowadził go poza obóz. Upewniwszy się, iż nikt nie może ich podsłuchać, zagadnął:

— Czy bardzo przypadła ci do gustu moja pukawka?

— To zaczarowana broń, z innej nie ustrzełiłbyś tego orła, sahibie — odparł Sadyr Chodża. — Wiedziałeś, że muszę chybić i dlatego drwiłeś ze mnie, pozwalając strzelać aż trzy razy.

— Chciałbyś ją mieć, co?

Sadyr Chodża chytrze spoglądał na bosmana, starając się odgadnąć jego zamiary.

— Słuchaj, brachu, podaruję ci karabin, jeśli jutro z samego rana namówisz białych sahibów na polowanie z nagonką na górskie kozice. Aż ślinka idzie do ust na świeże mięso. No, co myślisz o mojej propozycji? — kusił marynarz.

— Orzeł buja w obłokach, a kozice kryją się wysoko w górach. Niełatwo je upolować.

— Nie żądam przecież, żebyś zastrzelił kozicę. Biali sahibowie sami to uczynią. Ty namów ich tylko na polowanie.

— A jeśli nie zechcą pójść?

— Zachęć ich odpowiednio, to na pewno pójdą. Pamiętaj jednak mój zasadniczy warunek: wszyscy ludzie mają wziąć udział w polowaniu.

— Podczas drogi nigdzie nie spostrzegłem kozic — zafrasował się Sadyr Chodża.

— Głupi jesteś, brachu! Czy koniecznie musisz widzieć kozice, żeby urządzić polowanie? — oburzył się bosman. — Na każdym postoju rozkładasz dywanik i trykarz w niego głową<sup>345</sup>, więc poproś swego Allacha, aby cię oświecił!

— Dobrze radzisz, szlachetny sahibie, Kismet<sup>346</sup>, jeśli Allah zechce, będę miał twoją broń.

— Niech będzie, jak chcesz, stary cwaniaku, wręczone ci go w chwili wyruszenia na łowy. Zgoda?

— Rzekłeś, szlachetny sahibie!

Wieczorem uczestnicy ekspedycji odwiedzali Tomka, troskliwie wypytyując go o zdrowie. Młodzieniec nieco postękiwał, narzekał na bóle krzyża i nieznacznie mrugał okiem do bosmana. Sadyr Chodża przed ułożeniem się do snu długo klęczał na swym dywaniku. Raz po razie pochylał czoło, zapewne usilnie prosząc o coś miłosiernego Allacha.

Noc minęła spokojnie. Następnego ranka podróżnicy wczesnie zerwali się z posłań, zaintrygowani krzykami Kandzutów. Lotem błyskawicy rozeszła się po obozie wieść, iż Sadyr Chodża spostrzegł na pobliskich szczytach znaczne stado dzikich pamiirskich baranów.

— Guldza<sup>347</sup>! Widziałem dziesiątki sztuk dużych guldza! Były również wśród nich młode! — wołał podniecony, wskazując ręką na grupę urwistych

---

<sup>345</sup> — Bosman miał na myśli pokłony wykonywane przez mahometan podczas pięciokrotnie każdego dnia odmawianej przez nich modlitwy, zwanej po arabsku „*salat*”, a polegającej na wykonywaniu odpowiednich ruchów, skłonów ciała oraz wymawiania religijnych tekstów. *Salat*, w myśl przepisów Koranu, musi być odprawiana w „czystym miejscu”, toteż w podróży mahometanin modli się na małym dywaniku, zwrócony twarzą w kierunku Mekki — świętego miejsca muzułmanów.

<sup>346</sup> — Kismet oznacza w języku arabskim przeznaczenie.



szczytów. — O, tam właśnie je widziałem! Przed chwilą skryły się za skałami!

— Czy to na pewno były guldża? — ciekawie dopytywał się Wilmowski.

— Wielkie, zakręcone rogi guldża rozpoznam gołym okiem nawet na najdalszym szczycie — zapewnił Sadyr Chodża. — Tu łatwo byłoby je osaczyć. Liczne rozpadliny uniemożliwiają baranom szybką ucieczkę. Doskonale znam tę okolicę!

— Janie, mamy dzisiaj dzień odpoczynku, może wobec tego urządzilibyśmy małą wycieczkę, aby chociaż przyjrzeć się z bliska rzadko już obecnie spotykanym baranom pamińskim — zaproponował Wilmowski, który jako łowca zwierząt niezmiernie interesował się różnymi okazami fauny.

— Nie wiem, czy zdołamy je podejść. Barany są nadzwyczaj płochliwe. Umykają po urwiskach z niezwykłą zręcznością — odparł Smuga. — Ciekawie byłoby zobaczyć je w dzikim stanie na łonie natury...

— Sahibie, przyobiecaj dastur Mahmed Alemu, aby poprowadził nagonkę, ja zaś będę waszym przewodnikiem. Na obiad zjemy guldża — gorączkowo zachęcał Sadyr Chodża.

— Jak myślisz, Pandicie Davasarmanie, czy możemy narażać ludzi na dodatkowe marsze? — zwrócił się Wilmowski do Hindusa. — Nie chciałbym wywołać niezadowolenia. Wszyscy są zmęczeni, należy im się dzień wypoczynku.

— Moi ludzie przywykli do nużących marszów. Konną jazdę traktują jako wypoczynek. Możemy zapolować na barany — odpowiedział Pandit Davasarman.

— Mahmed Ali poprowadzi moich i sahiba Pandita Davasarmana ludzi, jako nagonkę. Spłoszą guldża akurat w naszym kierunku — wtrącił Sadyr Chodża.

— Wszyscy nie możemy iść na polowanie. Przecież oprócz Tomka jeszcze ktoś musi pozostać w obozie — zauważył Wilmowski.

---

<sup>347</sup> — Nazwą „guldża” krajowcy określają podgatunek dzikich baranów żyjących jedynie w Pamirze, dla odróżnienia od gatunku argali (*Ovis ammon*), który w wielu podgatunkach zamieszkuje góry Azji Środkowej. Marco Polo pierwszy opisał barany pamińskie i od jego imienia otrzymały nazwę „*Ovis ammon poloi*”

— Ja pozostanę z Tomkiem — odezwał się bosman, który dotąd w milczeniu przysłuchiwał się naradzie. — Dość już mam tego wspinania się po górzyskach, wolę tę przyjemność pozostawić wam i... baranom.

Cała gromada wybuchnęła śmiechem, słysząc tę przymówkę. Zaczęli przygotowywać się do drogi. Sadyr Chodża podszedł do bosmana. Stał przed nim wyczekująco.

— Czekasz jak diabeł na duszę! Chodź, zarobiłeś na pukawkę! — mruknął bosman, klepiąc Kandzuta po ramieniu. — Wróćcie przed wieczorem...

Wkrótce dwie grupy łowców opuściły obóz. Bosman podparty rękoma pod boki śledził ich wzrokiem, dopóki nie zniknęli za zakrętem wąwozu. Przeczekał jeszcze dłuższą chwilę, nabijając fajkę i wtedy dopiero zajrzał do namiotu Tomka.

— Wstawaj szybko, brachu, mamy niezłą robótkę do odwalenia! — zawołał.

W późnych godzinach popołudniowych zakończyli ciężką pracę. Tomek zmęczony, lecz równocześnie bardzo rad z dokonanego dzieła, powrócił do łóżka i zasnął niemal natychmiast. Marynarz jeszcze raz uważnie sprawdził, czy juki ze ślubnym upominkiem dla Naib Nazara są dobrze powiązane, potem paląc fajkę doglądał zupy gotującej się w kociołku zawieszonym na drągu nad ogniskiem.

Dopiero o zmierzchu u wylotu wąwozu rozległy się głosy towarzyszy powracających z polowania. Gniewni, zmęczeni zjawili się w obozie.

— Coś wracacie z nosami zwieszonymi na kwintę — wesoło powitał ich bosman. — Ha, widzę, że nic nie upolowaliście na kolację! Nie martwcie się, ugotowałem dla was smakowitą zupę.

— Sadyr Chodża włóczył się po skałach przez cały dzień, ale nie ujrzeliśmy nawet rogów baranich — roześmiał się Wilmowski. — Jak się czuje Tomek, bosmanie?

— Prawie zupełnie dobrze. Spałaszował michę zupy. Wczoraj naprawdę martwiłem się o niego. Nawet rumu nie chciał wypić.

— Całe szczęście, że przynajmniej w picciu alkoholu nie chce ciebie naśladować. Czy już śpi?

— A jakże, zaśpiewałem mu kołysankę, żeby prędzej zasnął. Ładny musieliście mieć spacerek... Na waszym miejscu wygarbowałbym skórę Sadyr Chodży. Ma on szczęście, że nie dałem się nabrać na jego stado baranów.

— Były, szlachetny sahibie, na pewno były tam rano. Widocznie Allah nie chciał, żebyśmy je odnaleźli. Szkoda, że jutro musimy jechać. Może mielibyśmy więcej szczęścia — wtrącił Sadyr Chodża, nie wypuszczając z rąk wymarzonego karabinu.

— Przestańcie wreszcie gadać o tych baranach — mruknął Smuga.

Mimo zmęczenia Sadyr Chodża był w doskonałym humorze. Jadł za trzech, a gadał za wszystkich. Co chwila przesuwiał dłonią po lufie karabinu, uśmiechając się z radości. Zwróciło to w końcu uwagę bacznego na wszystko Davasarmana. Pałac fajkę nieznacznie obserwował rozgadanego mahometanina.

*„Z czego on się tak cieszy? — rozmyślał. — Sahib bosman pożyczył mu karabin na polowanie, ale jakoś teraz nie spieszy się z odbiorem. Czyżby mu go podarował? Sprawa ta wygląda bardzo podejrzanie. Za co on mu dał swój karabin...? Chyba nie za to, aby włóczył nas po górach...”*

Spoglądał to na Sadyr Chodżę, to na bosmana. Naraz podniósł się i ukradkiem podszedł do juków przeznaczonych dla Naib Nazara. Szybko wsunął rękę w jeden z rulonów. Odetchnął lżej, namacawszy zimną lufę karabinu.

*„Widocznie starzeję się, bo prześladują mnie dziwaczne myśli”* — mruknął. Uspokojony zniknął w namiocie.

W dwa dni później, tuż przed świtem, karawana po niemal całonocnym marszu, znajdowała się już w pobliżu granicy Pamiru. Sadyr Chodża jakimś chyba psim węchem rozpoznawał kierunek w bezdrożnych wąwozach. Czasem tylko przystawał na krótką chwilę, by popatrzeć na gwiazdy migocące na niebie, lub gdy urwiste szczyty przesłaniały mu widok. Wtedy węszył jak prawdziwy ogar. Zanim słońce ukazało się na niebie, karawana zaszyła się pomiędzy skały na samej granicy.

— Tutaj będziemy czekali na Naib Nazara — odezwał się Sadyr Chodża złączając z konia.

— Czy daleko jeszcze do Wzgórza Kupców? — zapytał Smuga.

— Gdy nastanie dzień, ujrzysz je, sahibie, jak na dłoni — odparł Sadyr Chodża. — Trzeba nieco zluźnić koniom popręgi, lecz juków nie należy zdejmować.

— Naib Nazar ma przybyć dopiero około południa. Nasze juczne zwierzęta nie mogą stać przez tyle godzin z ładunkiem na grzbiecie — zaoponował Smuga. — Musimy mieć wypoczęte konie. Jeszcze dzisiaj ruszymy w dalszą drogę.

Smuga z Panditem Davasarmanem naradzali się po cichu, po czym przywołali Udadżalakę.

— Czy orientujesz się, gdzie jesteśmy? — zapytał Pandit Davasarman.

— Tak jest — odszepnął żołnierz. — Byliśmy już w tej okolicy. O jakieś sto lub dwieście metrów stąd na północ znajduje się Wzgórze Kupców. Granica Chińskiego Turkiestanu leży na wschodzie nie dalej jak o trzydzieści kilometrów.

— Doskonale, Udadżalaka. Czy pamiętasz równie dobrze nasz dawny szlak do Chotanu?

— Tak jest, pamiętam.

— To dobrze! Kto wie, czy nie będziemy zmuszeni przemykać się dwiema partiami. Jeśli zaszłaby taka konieczność, ty poprowadzisz jedną, a ja drugą.

— Rozkaz!

— Teraz rozjucz nasze konie. Trzymaj je w pogotowiu, aby w razie konieczności można było szybko założyć juki. Rosyjskie patrole zapewne kręcą się w pobliżu. Wierzchowym koniom jedynie zluźnij popręgi. Ja z sahibami będę trzymał straż.

— Rozkaz! — szepnął Udadżalaka.

Przyczajeni wśród nagich skał z radością powitali słońce wylaniające się zza gór. Było bardzo chłodno. Płaskowzgórza oraz doliny Wyżyny Pamirskiej leżą przeciętnie na wysokości około czterech tysięcy metrów. Z tego powodu nawet podczas krótkiego lata, trwającego tam zaledwie trzy miesiące, różnica temperatur dnia i nocy jest znaczna.

O świcie Pandit Davasarman poprowadził sahibów na skraj skalnych rumowisk, aby nieco zorientować ich w okolicy. Ukryci za głazami pilnie słuchali jego wyjaśnień.

— Ten łagodny pagórek przed nami to Wzgórze Kupców. Tutaj właśnie Sachib–Nazar często przyczajał się na karawany dążące z Chińskiego Turkiestanu do Indii. Auł Naib Nazara znajduje się obecnie około dwóch kilometrów na wschód od wzgórza. Orszak weselny nadjedzie z zachodu. Tutaj zatrzyma się na krótki wypoczynek. Ojciec panny młodej da nam znak. Wtedy przyłączymy się do orszaku, który podąży wprost do aułu Naib Nazara. Stamtąd wyruszymy razem z gośćmi weselnymi w kierunku granicy Turkiestanu. Naib Nazar udzieli wskazówek, gdzie bezpiecznie można przekroczyć granicę. W Turkiestanie nie powinniśmy natrafić na zbyt wielkie trudności, ponieważ Rosjanie pozostają z Chinami w dobrych stosunkach handlowych. Rosyjski paszport młodego sahiba ułatwi nam podróż. Teraz natomiast musimy rozstawić strażę, aby nas Rosjanie nie zaskoczyli. Szikar Smuga z młodym sahibem niech pozostaną tu, gdzie jesteśmy, sahib Wilmowski i ja będziemy obserwowali południowy pas przygraniczny, a sahib bosman musi czuwać nad Sadyr Chodzą i jego ludźmi. W razie niebezpieczeństwa należy przede wszystkim juczyc konie.

Słońce zaczęło mocno przygrzewać. Tomek wydobył lornetkę. Położył się na płaskim głazie i uważnie przepatrywał okolicę. Wokół Wzgórza Kupców rozciągała się zielona równina. Między kamieniami buszowały świstaki. Ich wesołe, beztroskie harce trwały bez końca. Jedynie wystawione przez nie czujki stały „*stupka*” na wzniesieniach, by w porę ostrzec towarzyszy przed niebezpieczeństwem. Szeroko porozgrzebywane nory świadczyły o częstych wizytach niedźwiedzi<sup>348</sup>, które z gór himalajskich i Wyżyny Tybetańskiej zapuszczały się w letnich miesiącach aż tutaj w poszukiwaniu obfitego żeru. W lecie często można było w Pamirze spotkać niedźwiedzia<sup>349</sup> o puszystym kołnierzu, rozkopującego nory świstaków lub zręcznie wyrzucającego łapą ryby z rzeki na brzeg.

---

<sup>348</sup> — Niedźwiedź himalajski należy do gatunku niedźwiedzi brunatnych (*Ursus arctos*), które w różnych odmianach miejscowych żyją od Hiszpanii po Kamezatkę i od Laponii po Liban i zachodnie Himalaje, a w Europie we wszystkich wyższych górach. Zależnie od geograficznego rozmieszczenia, poszczególne odmiany niedźwiedzia brunatnego różnią się rodzajem owłosienia, ubarwieniem i budową czaszki. Kolor ich futra przechodzi od ciemnobrunatnego do rudo — lub żółtobrunatnego.

<sup>349</sup> — Niedźwiedź tybetański (*Ursus martimus*) posiada na łopatkach, karku i szyi, puszysty kołnierz z długich włosów. Od czarnego ubarwienia odbija się na piersi biała plama w kształcie litery V lub Y.

Tomek wodził lornetą po równinie. Czasem dojrzał przemykające stadko wilków, to znów zauważył lisa skradającego się do świstaków, bądź kołującego w górze nad nimi drapieżnego orła. Po godzinie, w myśl umowy, przebudził drzemiącego Smugę. Przekazał mu lornetę. Podczas czatów zabronione były rozmowy, toteż Tomek ułożył się na głazie, po czym przymknął oczy. Nie chciało mu się spać. Z niepokojem rozmyślał o mającym nastąpić niebawem spotkaniu z Naib Nazarem.

*„Jeżeli zbóje dowiedzą się prawdy, to możemy mieć sporo kłopotów — monologował w myśli. — Czy nie rozsądniej byłoby teraz wyjawić wszystko ojcu i panu Smudze? Ba, ale pan Smuga również może się rozgniewać. Nie, lepiej nic nie mówić. Musimy z bosmanem mieć szeroko otwarte oczy.”*

Doszedłszy do takiej konkluzji zaczął rozmyślać o Sally. Zaraz też zapomniał o Naib Nazarze, karabinach i złocie ukrytym w górach Ałtyn-tag.

Po trzech godzinach Udadźalaka przyniósł im suchy prowiant.

— Czy szlachetni sahibowie nie zauważyli nic podejrzanego — zagadnął.

— Widziałem tylko świstaki, wilki i lisa — zażartował Tomek.

— To znak, że ludzie nie kręcą się w pobliżu — odparł Udadźalaka. — Za godzinę będziemy juczyl konie.

— Jak dobrze pójdzie, to jutro przekroczymy granicę Turkiestanu — dodał Smuga, zabierając się do jedzenia.

Znów minęło około półtorej godziny. Teraz Smuga co chwila wychylał głowę zza głazu, uważnie przepatrując przez lornetę zachodnią połąć równiny. Po jakimś czasie podał Tomkowi szkła mówiąc pospiesznie:

— Jada! Spójrzyj i natychmiast zawiadom naszych! Niech nie zapomną przyciągnąć popręgów. Spiesz się, teraz każda chwila decyduje o powodzeniu naszej wyprawy!

Tomek spojrział przez lornetę. Od zachodu zbliżała się znaczna kawalkada jeźdźców oraz jucznych zwierząt. Duże toboły miarowo kołysały się na grzbietach wielbłądów. Tomek oddał lornetę Smudze, po czym chyłkiem pobiegł między skały.

Kandzuci uprzednio zmusili juczne muły do położenia się na ziemi razem z niesionym przez nie bagażem. Teraz energicznie i szybko poderwali zdrożone zwierzęta na nogi. Natomiast biali podróżnicy, chcąc oszczędzić siły wierzchowców, w ostatniej chwili juczyl konie, przyciągali popręgi. W pół

godziny później Hindusi z Udadżalaką na czele stali przy wierzchowcach, trzymając juczne konie na arkanach.

Wilmowski, Tomek i bosman podkradli się do swej przedniej straży.

— Zaraz tu będą — informował Smuga. — Według wszelkiego prawdopodobieństwa zatrzymają się na odpoczynek pomiędzy wzgórzem a nami. Czy wszystko już przygotowane?

— Tak, możemy ruszyć w każdej chwili — odpowiedział Wilmowski.

— Pamiętajcie wcisnąć czapy głęboko na oczy, a brody kryć w kozuchach — upominał Smuga.

Niebawem w pobliżu Wzgórza Kupców wyłonił się orszak weselny. Na pierwszym wielbłądzie okrytym grubym, barwnym wołłokiem, siedziała otulona w futro oraz zawój na głowie piętnastoletnia dziewczyna, zapewne panna młoda. Z obydwóch jej stron dwaj jeźdźcy przytrzymywali wielbłąda za uzdę. Drugi z kolei wielbłąd obładowany był złożoną jurta<sup>350</sup>, w której młoda para miała zamieszkać w aule męża. Dalej, również na wielbłądzie, jechała opiekunka młodej dziewczyny. Za nią ciągnął się cały korowód wielbłądów i koni, objuczonych sprzętami domowymi, skrzyniami oraz innym dobytkiem oblubienicy. Na samym końcu kilku Kirgizów pędziło woły i krowy.

Orszak przystanął nie dojeżdżając do wzgórza. Stary Kirgiz wiodący z jednej strony za uzdę wielbłąda panny młodej zeskoczył z konia. Zdjął z głowy futrzaną czapę; białą chustą trzykrotnie wytarł czoło z potu. Na ten znak Pandit Davasarman stanął na głazie i powiał nad głową chusteczką.

Kirgiz z powrotem dosiadł wierzchowca. Weselny orszak zaczął wolno zbliżać się do skalnych rumowisk.

— Na konie, włączamy się do orszaku — rozkazał Smuga.

Kirgiski korowód przysunął się do skał. Wtedy zza głazów wyłoniła się ukryta dotąd karawana. Udadżalaka wraz ze swymi ludźmi i pięcioma jucznymi końmi wcisnął się pomiędzy wielbłądy dźwigające dobytek panny młodej. Nasi podróżnicy, razem z Sadyr Chodżą, jechali obok mułów objuczonych rulonami dywanów.

---

<sup>350</sup> — Jurta — okrągły namiot z wołłoku używany przez kirgiskie plemiona koczownicze. Drewniany lub bambusowy szkielet okłada się wołłokami, pozostawiając z wierzchu okrągły otwór, przykrywany w zależności od pogody osobnym wołłokiem ściągany za pomocą sznura. Na zewnątrz wołłoki jurty obwiązuje się szerokimi, kolorowymi taśmami. Podłogę zaściela się trzciniowymi matami i przykrywa się je wołłokami.

Na widok kilkunastu niskich, słabo zbudowanych Kirgizów towarzyszących pannie młodej, bosman odzyskał dobry humor. Podczas czatów w rumowiskach skalnych, na równi z Tomkiem, odczuwał niepokój na myśl o rychłym spotkaniu z Naib Nazarem. Obecnie śmiał się z uprzednich obaw. Cóż im mogło grozić od tej garstki niskich, spokojnych Kirgizów?! Jeśli nawet odkryją, że zostali oszukani, to i tak dziewięciu dobrze uzbrojonych mężczyzn łatwo da sobie z nimi radę. Uspokojony takim wnioskiem wesoło mrugał do Tomka. Wkrótce jednak obydwóm spiskowcom zrzędyły miny. Oto z przeciwnej strony zbliżała się do orszaku weselnego gromada jeźdźców. Galopowali szeroką ławą. Osadzili wierzchowce tuż przed wielbłądem panny młodej. Z gromady jeźdźców wysunął się na spienionym rumaku bogato odziany Kirgiz. Sprężystym skokiem zsunął się z siodła, podszedł do ojca swej małżonki; w pełnym szacunku pokłonił czołem jego strzemienia. Teraz towarzyszący mu dżygici<sup>351</sup> również zsiadli z koni. Z workami napełnionymi kumysem<sup>352</sup> zbliżyli się do orszaku.

Naib Nazar poczęstował kumysem swego teścia, po czym kolejno zbliżał się do wszystkich, zapraszając do swego aulu na wesele. Podróżnicy zsiadli z wierzchowców. Naib Nazar rychło ich wypatrzył stojących obok swych koni. Zaraz skierował się ku nim. Byстрыm, przenikliwym wzrokiem wodził po zarośniętych twarzach. Bosman i Tomek zmieszali się pod jego natarczywym spojrzeniem. Za pasem Naib Nazara tkwiły rękojeści dwóch rewolwerów i handżyru.

— Od kogo przywozicie mi pozdrowienia? — zapytał Naib Nazar metalicznym głosem, nie spuszczając wzroku z twarzy podróżników.

— Przyjaciel z Gilgit przesyła ci pozdrowienia oraz podarunek ślubny — odparł Pandit Davasarman.

Naib Nazar uśmiechnął się; wyciągnął dłoń do Pandita Davasarmana.

— Witaj, miły posłańcu, skoro znasz umówione hasło — powiedział. — Dobrze wypełniłeś swoją misję, teraz kolej na mnie. Najpierw wszakże zapraszam was wszystkich na moje wesele. Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, już gdzieś spotkaliśmy się.

<sup>351</sup> — Dżygici — od tureckiego „dżygit” — zwinny i śmiały jeździec lub rycerz. Rosyjski wyraz „dżygitówka” oznacza konne popisy gimnastyczne górali kaukaskich, kozaków i innych.

<sup>352</sup> — Kumys sporządza się z kobyłego mleka, które mieszane co najmniej przez trzy dni daje kwaskowaty, orzeźwiający napój.



— Nie mylisz się, piłem kumys w jurcie twego ojca Sachib–Nazara, gdy Rosjanie zajęli Pamir.

Naib Nazar długo przyglądał się Panditowi Davasarmanowi, po czym rzekł półgłosem:

— Więc to ty jesteś naprawdę? Tak, teraz dopiero cię poznałem. Umiesz zmieniać swoją skórę. Przybyłeś wtedy, aby przeszkodzić w zesłaniu na Sybir Hudojara Chana<sup>353</sup>. Spóźniłeś się i omal nie wpadłeś w ręce Rosjan. Przestraszył mnie twój wybuch gniewu. Posądzałeś mego ojca o zdradę. Zmieniłeś się od tej pory...

— A ja poznałem ciebie od razu, chociaż widziałem cię zaledwie małym chłopcem.

— Stare oczy, stara pamięć! Za dawną znajomość napij się ze mną kumysu!

Po obfitym poczęstunku połączone orszaki ruszyły do aulu. Pięćdziesięciu kirgiskich zuchów otaczało karawanę. Uzbrojeni w rewolwery, handziry i karabiny byli pewni siebie i zachowywali się bardzo swobodnie.

— Prawdziwe zbójeckie wesele — mruknął bosman pochylając się do ucha Tomka. — krucho może być z nami...

— I to nawet bardzo krucho... — dodał Tomek.

Bosman zaklął po cichu.

— Co zrobimy, brachu? Oni palą się z ciekawości do tych dywaników. W aule, jak amen w pacierzu, zaraz zajrzą do środka.

— Źle może być z nami... — mruknął Tomek. — Musimy coś zrobić, bosmanie!

— Sam to rozumiem, ale nie wiem, co mamy zrobić? Oni obłupią nas ze skóry... Ot, nawarzyliśmy piwa!

---

<sup>353</sup> — Po zajęciu Pamiru w 1891 r. Rosjanie zesłali Hudojara Chana, byłego władcę Pamiru, na Sybir.



## POŚCIG I WALKA

Wjazd do aulu Naib Nazara jeszcze bardziej pogorszył nastrój niefortunnych spiskowców. Pomiedzy okrągłymi jurdami nomadów kręcili się mężczyźni zbrojni w handziry oraz okute pałki. Spode łbów spoglądali na obcych przybyszów. Zaledwie panna młoda zsiadła z wielbłąda, natychmiast z kilkoma innymi kobietami przystąpiła, w myśl kirgiskiego zwyczaju, do stawiania przywiezionej z sobą jurty. Powstało małe zamieszanie, z czego skorzystał Tomek i po cichej, krótkiej naradzie z bosmanem odwołał Smugę na ubocze.

— Nie rób posępnej miny, chłopcze. Nie taki diabeł straszny, jak go malują. Będzie nie lada widowisko. Jeszcze nie widziałeś kirgiskiego wesela — niefrasobliwie powiedział Smuga.

— Nie w głowie mi teraz wesele. Jeśli natychmiast stąd nie wyjedziemy, to cała nasza wyprawa zakończy się w aule Naib Nazara — ponuro odrzekł Tomek.

Smuga natychmiast spoważniał. Zbyt dobrze znał odwagę młodego przyjaciela, by mógł sądzić, iż przestraszył się na widok bandy rozbójników. Ujął go pod ramię i spojrzawszy mu prosto w oczy, krótko zapytał:

— Czy jesteś pewny, że grozi nam tutaj niebezpieczeństwo?

— Uciekajmy stąd, zanim Naib Nazar zajrzy do juków z dywanami — z naciskiem szepnął Tomek.

— Do diabła, czyżbyście z bosmanem do spółki splatali jakiegoś szpetnego figla?! — zdumiał się Smuga. — Czy w dywanach było coś ukryte? Hm, można się było tego spodziewać! Mów krótko, o co chodzi!

— Zapewniam pana, że Naib Nazar wpadnie w szal, gdy otworzy juki...

Doświadczony Smuga nie pytał Tomka o nic więcej. Jeśli Tomek wykrył schowane w dywanach jakieś przedmioty i obecnie wyczuwał niebezpieczeństwo, to lepiej było wierzyć mu na słowo. Każda chwila zwłoki mogła przecież spowodować nieoczekiwane komplikacje.

— Chodź ze mną, później porozmawiamy. Zachowuj się spokojnie, jak gdyby nic nam nie groziło — powiedział Smuga.

Razem odszukali Pandita Davasarmana. Smuga szepnął mu kilka słów do ucha. Hindus drgnął, nieprzyjemnie zaskoczony jego słowami. Natychmiast

spojrzał na Tomka, który odetchnął lżej, widząc w jego wzroku więcej podziwu niż gniewu.

— Porozmawiajmy z Naib Nazarem — zaproponował Pandit Davasarman. — Jeśli stąd uciekniemy, to i tak szybko nas dogonią. Dowiedziałem się, że Naib Nazar zaprosił komendanta rosyjskiego na wesele. Może uda się nam wykorzystać to na własną korzyść.

W trójkę podeszli do podochoconego kumysem Kirgiza.

— Naib Nazarze, chcielibyśmy porozmawiać z tobą na osobności — zaczął Pandit Davasarman.

Naib Nazar niedbałym ruchem ręki oddalił od siebie dżygitów.

— Słucham cię, sahibie. Zaraz rozpoczniemy ucztę. Na pewno jesteście głodni — uprzejmie powiedział rozbójnik.

— Nie jesteśmy głodni. Czekając ukryci w skałach mieliśmy dość czasu na jedzenie — odparł Pandit Davasarman. — Domyślasz się zapewne, iż celem naszej tajemnej wyprawy jest Chiński Turkiestan. Musimy dotrzeć tam jak najszybciej z pewną misją od przyjaciół z Gilgit.

— Czy tam również wieziecie komuś ślubny podarunek? — roześmiał się Naib Nazar.

— Może i tak!

— Przejście przez granicę macie zabezpieczone. Gdybyście napotkali jakiś posterunek rosyjski, powiecie tylko, iż jedziecie z mego wesela. Tak umówiłem się z komendantem rosyjskim, który z kilkoma oficerami niebawem przyjedzie na ucztę.

— Oni nie powinni nas tu zobaczyć, Naib Nazarze. Pamiętaj, że nie mam najlepszych wspomnień ze spotkań z nimi.

— U mnie nic wam nie grozi. Moi dżygici roznieśliby Rosjan na handżyrach.

— Wiemy, Naib Nazarze, że pod twoją opieką jesteśmy bezpieczni, lecz władza twoja kończy się na granicy Chińskiego Turkiestanu, a tam Rosjanie posiadają duże wpływy. Mogliby nam utrudnić wykonanie ważnego zadania.

— Na pewno i tam masz znajomych, tak jak w Pamirze, lecz sam najlepiej wiesz, co powinienesz czynić. Kandżuci również woleli nie spotykać się z Rosjanami. Już odjechali.

— Przyznajesz, że tak jest lepiej dla nas i... dla ciebie.

— Wobec tego jedźcie szczęśliwie. Pamiętajcie, że wracacie z mego wesela. Nikt was nie zatrzyma. Teraz napijmy się strzemiennego.

Mała karawana szybko oddalała się od aułu. W chwili gdy wyruszali w drogę, Naib Nazar już witał rosyjskich oficerów, którzy przybyli w asyście oddziału kozaków.

Pandit Davasarman stale przynaglał do pośpiechu. Do tej pory Wilmowski nie pytał o nic, chociaż zaskoczyła go decyzja natychmiastowego udania się w dalszą drogę. Teraz, gdy Udadżalaka z trzema Hindusami i jucznymi końmi znacznie wysforował się do przodu, zagadnął:

— Z jakiego powodu zmieniłeś, Pandicie, nasze plany? Przecież mieliśmy zostać do wieczora u Naib Nazara. Konie nic nie wypoczęły. Czyżby zaszło coś nieoczekiwanego?

— Wyjaśnienia należą się nie tylko tobie, lecz i mnie, szlachetny sahibie, a udzielić ich jedynie mogą sahib bosman i sahib Tomek — odpowiedział Davasarman.

— Twój syn oznajmił mi, że Naib Nazar wpadnie w szal, gdy zajrzy do juków zawierających ślubny podarunek — wtrącił Smuga. — Ponieważ znam dobrze jego oryginalne pomysły, wolałem nie czekać na rozpakowanie juków.

— Domyślałem się, iż w dywanach ukryta jest jakaś kontrabanda. Co to może być, Janie?

— Nie byłem o tym poinformowany, toteż wyjaśnienia znacznie ciekawiej będą brzmiały w relacji Tomka — powściągliwie odpowiedział Smuga.

— Dobrze, powiem wam. W dywanach ukryte są nowoczesne karabiny. Dowiedziałem się o tym, gdy muł spadł w przepaść. Przez lornetkę przyjrzałem się rozbitym jukom — jednym tchem wyjaśnił Tomek.

— I na pewno z bosmanem wyjęliście te karabiny! — zawołał Wilmowski. — Czy wiecie, że możemy zapłacić za to głowami?!

— Nie usunęliśmy karabinów, ojczec. Leżą one w dywanach, oczywiście z wyjątkiem tych, które razem z mułem spadły w przepaść.

— Więc cóż za brewerie wyprawiacie, do licha?! — rozgniewał się ojciec. — Skoro karabiny są w jukach, to przecież nic nam nie grozi.

— Karabiny znajdują się w dywanach. Sam to sprawdziłem po powrocie z polowania na guldza wyimaginowane przez Sadyr Chodżę — rzekł Pandit

Davasarman. — Szikar Smuga jednak zapewnił mnie, że Naib Nazar wpadnie w szal, gdy ujrzy te karabiny.

— Mów natychmiast, co zrobiliście z karabinami! — ostro krzyknął Wilmowski.

— Powyjmowaliśmy z nich zamki...

Przez długą chwilę w milczeniu gnali po równinie.

— Czy to był twój pomysł, Tomku? — odezwał się Smuga.

— Nie, proszę pana, pan bosman to wykombinował. Ja radziłem wyrzucić karabiny, a na ich miejsce nakłaść do juków kamieni.

— Całe szczęście, że usłuchałeś rady bosmana, bo w innym przypadku nie wyjechałobyśmy żywi z aulu Naib Nazara. Widziałem, jak wsuwał rękę do rulonów z dywanami. Muszę przyznać, że nie posądzałem bosmana o tyle rozsądku.

— Ha, obcując z mądrymi ludźmi, człowiek nabiera roztropności — wtrącił skromnie bosman.

— Sahibie, dlaczego to uczyniłeś? — zapytał Pandit Davasarman.

— Tomek wyklarował mi, że Anglicy na złość Rosjanom uzbrajają bandytów i Kirgizów, aby sami łatwiej mogli rządzić się w koloniach azjatyckich. Żał nam się zrobiło spokojnych kupieckich karawan, bo przecież na nie przede wszystkim napada ten zbój pamirski. Ot i wszystko!

— Jedźmy prędzej, musimy dopędzić Udadżalakę, zanim Naib Nazar ruszy w pościg — ponaglił Pandit Davasarman.

Świsnęły arkany. Podróżnicy pochyleni w siodłach gnali po równinie. Wkrótce doścignęli juczne konie. Teraz musieli zwolnić tempo jazdy, mimo że Pandit Davasarman nie oszczędzał wierzchowców. Końskie grzbiety wkrótce pokryły się potem, a pyski zabieliły pianą. Co pewien czas któryś z jeźdźców z niepokojem spoglądał za siebie. Juczne konie postękiwały, potykały się, ale smagane arkanami wydobywały resztki sił, by nadążyć za wierzchowcami.

Minęły trzy długie godziny.

— Wykończymy całkowicie juczne konie — krzyknął Wilmowski, przytrzymując za uzdę krótko przy pysku pokryte pianą i potykające się zwierzę.

— Obejrzyj się, sahibie — odparł Pandit Davasarman. — Jeśli Naib Nazar dopadnie nas na równinie, zginiemy!

Wilmowski odwrócił się, długo spoglądał za siebie. W dali na stepie poruszały się czarne punkciki.

Znów pognali konie. Łańcuch gór Sarykolskich, oddzielający Rosyjski Pamir od Chińskiego Turkiestanu, był już bardzo blisko.

Tomek powstrzymał swego wierzchowca. Lunetą wodził po szeregu dżygitów. Pochyleni na końskie karki, zawzięcie smagali batami wierzchowce. Następnie Tomek z niepokojem spojrział ku łańcuchowi gór.

„*Dogonią nas*” — pomyślał z determinacją. Szarpnął cugłami wierzchowca i pognął za towarzyszami.

— Ilu ich może być, Tomku? — zawołał Smuga, gdy młodzieniec zrównał się z nim.

— Kilkudziesięciu, dogonią nas...! Dlaczego zbaczamy ku północy zamiast wprost dążyć do gór?!

— Davasarman prowadzi, on wie, co robi!

Hindus jechał na przedzie. Byстрыm wzrokiem wodził po łańcuchu górskim. W końcu wypatrzył gardziel znanego mu wąwozu. Widocznie powziął już jakiś plan, ponieważ wstrzymał konia. Gdy Udadźalaka przybliżył się do niego, szybko powiedział:

— Widzisz ten wąwóz? Wiesz, gdzie się znajdujemy. Sam poprowadzisz juczne konie. Gdy w wąwozie miniesz pierwsze skały, jedź wolno. Oszczędzaj konie.

— Niech kto inny poprowadzi juczne konie — zaproponował Udadźalaka, nie chcąc w krytycznej chwili opuścić swego dowódcy.

— Tylko ty znasz dobrze drogę, więc ty pojedziesz! Strata juków równa się kompletnej klęsce. Teraz spiesz się!

W luźnym szyku pięli się po łagodnym stoku pagórka, już wprost wiodącego do gardzieli wąskiego wąwozu. Jadąc wolno pod górę stali się doskonale widoczni dla pogoni. Zwycięski okrzyk kilkudziesięciu dżygitów, dochodzący z daleka, zmącił ciszę zalegającą nad równiną.

Podróżnicy zrozumieli, iż nie unikną walki na śmierć i życie, której wynik zdawał się być z góry przesądzony na korzyść Naib Nazara. Smuga pierwszy wy dobył karabin z pochwy, wsuniętej z boku pod siodło. W tej chwili Pandit Davasarman uderzył swego wierzchowca piętami i podjechał do Smugi.

— Jeśli jeden celny strzał nie osadzi pogoni na miejscu, wszyscy zginiemy — rzekł repetując broń. — Spójrz, szikarze, na złomy skalne zalegające po obydwóch stronach wylotu wąwozu. Tam nieznacznie obydwaj się zaczaimy, podczas gdy reszta szikarów, razem z moimi żołnierzami, pojedzie dalej i zajmie pozycje wśród głazów, znajdujących się nieco głębiej w wąwozie. Gdy Naib Nazar wpadnie ze swoją bandą do wąwozu, nasi towarzysze muszą przywitać go ostrą salwą z karabinów i rewolwerów. To powinno wprowadzić na chwilę zamieszanie w szykach bandy. Wtedy jeden z nas dwóch zabije Naib Nazara.

— Czy jesteś pewny, że to powstrzyma pogoń?

— Bandyeci dzielnie walczą pod dowództwem nieustraszonego wodza, lecz gdy on ginie, zazwyczaj prędko idą w rozsypkę. Poza tym to jedyna nasza szansa... Powiedz natychmiast towarzyszom, co mają czynić. Spiesz się, inaczej pogoń spostrzeże nasz manewr!

Smuga niezwłocznie porozumiał się z Wilmowskim, przekazując mu jednocześnie dowództwo nad grupą, która otwarcie miała stawić czoło napastnikom. Udadźalaka puszczony do przodu, wjeżdżał właśnie w gardziel wąwozu. Podróżnicy nie popędzali już swych zdrożonych wierzchowców. Pogoń szybko ich doganiała. Plan Pandita Davasarmana był desperacki, lecz wszyscy rozumieli, że jedynie słuszny.

Smuga z Panditem Davasarmanem wysforowali się na czoło umykającej grupki. Zaledwie wpadli za skały osłaniające wylot wąwozu, bosman i Tomek uchwycili cugle ich wierzchowców. Smuga z karabinem w dłoni zsunął się z siodła, Pandit Davasarman uczynił to samo. Obydwaj zaczęli wspinać się na blok skalny. Ostre kamienie raniły im dłonie, osuwały się spod stóp, lecz dwaj, zdecydowani na wszystko mężczyźni, nie zwracali na to uwagi. Zadyszani wpęzli na dogodnie nachyloną skałę, legli między głazami.

Ostrożnie wychylili głowy. Udadźalaka zniknął z jucznymi końmi za załomem wąwozu. O jakieś czterdzieści metrów dalej od nich Wilmowski z grupką towarzyszy zsiadł z koni, zajmując obronne stanowiska za złomami kamiennymi. Triumfalne wycie rozgrzanych pogonią dzygitów już rozbrzmiewało w wąwozie szerokim echem.

Wkrótce pierwsi jeźdźcy pojawili się na spienionych rumakach. Gruchnęła salwa karabinowa. Kwik trafionych koni zmieszał się z okrzykiem wściekłości dzygitów. Celne strzały słane z ukrycia powstrzymały nieco



pierwszy impet ataku, lecz coraz więcej dzygitów wpadało do wąwozu. Kryjąc się za końskimi szyjami, gromadą ruszyli na nieliczną garstkę podróżników. Znowu zabrzmiały charakterystyczne salwy karabinów oraz strzały rewolwerowe. Kilku dzygitów zachwiało się w siodłach, kilku innych zważyło się na ziemię. Bandyci nie zsiadając z koni odpowiedzieli ogniem karabinowym.

Główne siły pogoni teraz dopiero docierały do gardzieli wąwozu. Smuga i Pandit Davasarman, przyczajeni za skalną iglicą, nie zwracali uwagi na chaotyczną strzelaninę. Całą swą uwagę skupili na nadjeżdżającej gromadzie dzygitów, wśród których powinien znajdować się Naib Nazar. Zbliżała się decydująca walka.

Wataha dzygitów zatrzymała się u wejścia do gardzieli. Część z nich zeskoczyła z rumaków, by pieszo rozpocząć szturm w wąwozie. Chroniąc się za występami skalnymi mogli łatwiej zbliżyć się do strzelców ukrytych za głazami. Cichaczem wpełzli do wąwozu.

Teraz palba karabinowa znacznie przybrała na sile.

— Pandicie, wśród konnych u wylotu wąwozu musi znajdować się dowódca — szepnął Smuga. — Patrz, druga grupa dzygitów zsiada z koni.

— Jest, jest! Pochyla się na koniu i wskazuje ręką na stok góry! To Naib Nazar — szeptem odparł Pandit Davasarman. — W tej chwili na pewno poleca dzygitom wspiąć się na stok góry i od tyłu zająć naszych.

— Tak, masz rację! Na pewno chcą ich wziąć w dwa ognie, aby prędzej zakończyć walkę!

— Czas na nas, szikarze. Niedługo strzał stanie się bardzo niepewny, słońce chyli się już ku zachodowi... Żeby Naib Nazar odwrócił się do nas przodem...

— Trudno, nie możemy zwlekać. Ja strzelę pierwszy, lecz ty, Pandicie, równocześnie bierz go na muszkę karabinu. Jeśli chybię, strzelaj natychmiast po mnie. Tylko mierz spokojnie, trochę powyżej pasa...

Smuga rozpiął kozuch. Jeszcze bardziej wychylił się zza głazu. Przyłożył kolbę karabinu do ramienia. Powoli unosił lufę, trzymając palec na spuście. Starannie mierzył w głowę, troszeczkę poniżej futrzanej czapy. Spokojnie nacisnął spust.

Huk pojedynczego strzału utonął w grzmocie palby rozbrzmiewającej w wąwozie. Nagle Naib Nazar szarpnął cugłami rumaka, a potem z rozkrzyżowanymi szeroko ramionami runął z siodła wprost na ręce dżygitów.

Zaledwie ujrzeli krew spływającą po skroni wodza okrzyk wściekłości i gniewu przygłuszył huk strzałów. Zaraz też całą gromadą zaczęli przygotowywać się do szarży na garstkę przeciwników. Nawet ci, co uprzednio na rozkaz Naib Nazara zsiadli z koni, teraz wskakiwali na siodła. Widząc to Smuga i Pandit Davasarman zaczęli strzelać w beładną gromadę. Seria strzałów zdradziła dżygitom, skąd wystrzelono celną kulę, która powaliła ich wodza. Kilku śmiazków znów zeskoczyło z koni, by zaatakować ukrytych wrogów.

Smuga spojrzął na towarzysza. Porozumieli się wzrokiem. Plan zawiódł, postanowili jednak drogo sprzedać swe życie. Pandit Davasarman spokojnie przygotowywał się do walki wręcz. Spod kożucha wydobył zza pasa sztylet. Ujął jego rękojeść w zęby, po czym sprawnie ładował rewolwer. Smuga nie był tak spokojny jak on. Nie chodziło mu wszakże o własne życie. Teraz myślał jedynie o wiernych towarzyszach walczących w głębi wąwozu. Słysząc było już chrapliwe oddechy dżygitów pnących się na skałę.

Naraz na równinie rozległa się salwa karabinowa. Podniosła się olbrzymia wrzawa. Okrzyki dżygitów tym jednak razem, zamiast triumfu, wyrażały przestach. Huk nowej salwy i jeszcze bardziej rozpaczliwe krzyki bandytów natchnęły nową nadzieją serca dwóch śmiazków szykujących się do ostatecznej rozprawy.

Smuga znów wychylił się zza głazu. Dżygici stłoczeni w beładną gromadkę spoglądali na równinę, gdzie oddział rosyjskich kozaków w szyku bojowym odcinał im odwrót.

Teraz dopiero można było ocenić zuchwałość bandy Naib Nazara. Dżygici szybko opanowali przerażenie, jakie ogarnęło ich po niespodziewanym ataku Kozaków. Kilku konnych pospieszyło do wąwozu, by ostrzec walczącą tam czołówkę, podczas gdy inni grupowali się w małe oddziały. W przeciągu paru minut cała banda była z powrotem na koniach. Kryjąc się za ich szyjami, dżygici rozpoczęli palbę do oddziału Rosjan. Lecz trafiła tu kosa na kamień. Niezrównani jeźdźcy, jakimi są Kozacy, zniknęli z siodła, jakby za pociągnięciem różdżki czarodziejskiej. Spod głów koni wysunęły się lufy karabinów. Celną salwą zmusiła dżygitów Naib Nazara do

rozsypki. Porwali martwe ciało swego wodza, po czym małymi grupkami usiłovali wymknąć się z potrzasku.

Smuga odetchnął głęboko, słysząc rosyjskie słowa komendy.

Kozacy tymczasem utworzyli dwa oddziały. Z gołymi szablami rozpoczęli pościg za umykającą bandą.

— Nie spodziewałem się takiej pomocy — odezwał się Smuga. — Skąd się tu wzięli Kozacy?

— Oficerowie rosyjscy byli w aule Naib Nazara, gdy ten wymknął się w pościg za nami. Musieli zaobserwować zniknięcie pana młodego wraz z gromadą dżygitów. Zapewne przypuszczali, iż planuje jakiś napad, więc wysłali za nim własny oddział wojska — odparł Pandit Davasarman. — Nie traćmy teraz czasu. Zamiast Naib Nazara wkrótce możemy mieć Rosjan na karku. Nic tu po nas!

Jak na skrzydłach zsunęli się ze skały. Zaledwie znaleźli się na dnie wąwozu, od razu ujrzeni swoich towarzyszy niespokojnie wyzierających spoza głazów. Pobiegli do nich.

— Co się tam dzieje? Chyba jakaś walka toczy się na równinie — zawołał Wilmowski.

— Oddział Kozaków gromi dżygitów Naib Nazara. Wsiadajmy na konie i umykajmy póki czas.

— Tylko bosman został lekko raniony w ramię, ale to nic groźnego, już go opatrzyliśmy — informował Wilmowski.

— Skąd się tu wzięli Kozacy? — dziwił się Tomek.

— Później czas na rozważania. Teraz na koń i w górę wąwozu za Udadżalaką. Znajdujemy się w pasie granicznym — krótko rzekł Smuga wskakując na wierzchowca.

— W drogę! — ponaglił Pandit Davasarman.



## MIASTO POCHŁONIĘTE PRZEZ PUSTYNIĘ

Podczas całonocnej ucieczki przez góry podróżnicy zatrzymali się tylko jeden raz na dwugodzinny wypoczynek. O świcie dotarli do zacisznej dolinki zamieszkałej przez górskie plemię Toglików. Wioszczyzna składała się z kilku brudnych, wojłokowych jurt oraz z zimnych domków zbudowanych z cegieł z wysuszonej w słońcu gliny.

Pasterze, odziani w baranie kożuchy, narzucone na bawełniane koszule i spodnie, w długie pończochy oraz skórzane łapcie, gościnnie przyjęli utrudzonych wędrowców. Pozwolili im wypocząć w jednym z pustych o tej porze roku murowanych domków. Mężczyzn tutejszych cechowała niezwykła ciekawość. Szczególnie interesowały ich różne przedmioty posiadane przez podróżników. Pandit Davasarman, jedyny znający narzecze jarkendskie, stale znajdował się pod „obstrzałem” pytań. Kobiety Toglików, w przeciwieństwie do innych mahometanek, nie kryły się przed przybyszami, tylko nie zwracały na nich uwagi. Przygotowywały pożywienie, które stanowiła przeważnie mączna zupa kraszona mlekiem, owczy twaróg oraz chleb. Na przyjęcie gości podały także środkowo–azjatycki przysmak, tak zwany „*pilaw*”. Były to drobno pokrajane kawałki baraniny, ugotowane razem z ryżem, rodzynkami i przyprawą ostrych korzeni.

Pandit Davasarman z prawdziwie wschodnim spokojem uprzejmie odpowiadał na pytania i rozdawał drobne upominki. W ten sposób wkrótce zjednał sobie przychylność Toglików; wtedy rozpoczął pertraktacje w sprawie wymiany zmęczonych koni na nowe. Niestety biedni górale nie posiadali tylu wierzchowców. Po długich namowach udało mu się wymienić zaledwie pięć jucznych koni oraz najbardziej zmęczonego wierzchowca bosmana. Oczywiście nie małą rolę w pomyślnym zakończeniu transakcji odegrały trzy bryłki złota, które Smuga wydobył z woreczka odziedziczonego po bracie.

Cena koni była dość wysoka. Mimo to Smuga nie żałował pieniędzy, ponieważ chciał zdobyć wierzchowce zdatne do długich, męczących pochodów. Aby nadmierną hojnością nie budzić podejrzeń pasterzy, Pandit Davasarman

targował się długo, w wyniku czego dodali im, wyrabiane przez siebie, piękne, wzorzyste dery na konie oraz kilka skórzanych worów na wodę.

Po dwudziestoczerogodzinnym wypoczynku opuścili gościnną wioskę. W dwa dni później osiągnęli już kotlinę rzeki Tarym, zwaną także Turkiestanem Wschodnim. Olbrzymią, owalną kotlinę z trzech stron otaczały potężne łańcuchy gór: Tien–szan, Pamirów i Kunlun. Z wnętrzem wypełnionym piaskami tworzyła groźną pustynię Takla Makan, trzecią co do wielkości pustynię Azji<sup>354</sup>. Na północy obramowywała ją rzeka Tarym<sup>355</sup>, której dopływy brały początek w niebotycznych węzłach górskich. Mieszkańcy, w większości Turcy, Kirgizi, i Chińczycy, przeważnie skupiali się w oazach u stóp gór, gdzie było więcej wody i żyzniejszej ziemi.

Podróżnicy jechali obecnie wzdłuż gór Kunlun. Po uciążliwej, kamienistej drodze zbliżali się do Karghaliku<sup>356</sup>, położonego na starym trakcie karawanowym. Bliżej miasta coraz częściej napotykali gromady górali zdążających na jarmark. Wolno torowali sobie przejazd wśród ludzi i objuczonych kosztami osłów. Pandit Davasarman odpowiadał na uprzejme pozdrowienia. Inni nie znali miejscowego narzecza, więc jechali w milczeniu, by nie wzbudzać obcą mową zbytek zaciekawienia krajowców. W dali rysowały się zabudowania miasteczka.

Pandit Davasarman pierwszy wypatrzył na drodze mały oddziałek chińskich żołnierzy. Nieznacznie polecił towarzyszom, by więcej skryli twarze w kożuchach. Bosman i Tomek wymienili wesołe spojrzenia na widok umundurowanych wojaków, bardziej bowiem przypominali oni piratów niż żołnierzy. Spod barwnych chustek, zawiązanych na tyle głowy, opadały im na plecy czarne włosy splecione w warkocz. Z tyłu i z przodu na kurtce mieli naszyte białe kwadraty z wpisanym na nich własnym nazwiskiem oraz nazwiskiem dowódcy oddziału. Całość munduru uzupełniały luźne szarawary, związane u dołu ponad kostką oraz czarne buty. Żołnierze, uzbrojeni w stare

---

<sup>354</sup> — Powierzchnia pustyni Takla Makan wynosi 320 000 km. kw. Jest ona po pustyni Gobi (Mongolia, Chiny) oraz pustyni Rub el–Chali (Półwysep Arabski) trzecią co do wielkości pustynią Azji.

<sup>355</sup> — Rzeka Tarym ma 2190 km długości. Ujście jej rozlewa się w błotach i jeziorze Łob–nor. Wraz z dopływami: Chotan–daria, Jarkend–daria, Kaszgar–daria i innymi, tworzy najważniejszy dział wodny kotliny Tarymu.

<sup>356</sup> — Karghalik (po chińsku: Yeh’cheng) — miasteczko o dziesięciu tysiącach mieszkańców, leżące na południe od Jarkendu, obecnie w południowo–zachodnim Sinkiangu we Wschodnich Chinach.

karabiny, szli gęsiego skrajem drogi. Na przedzie kroczył dowódca. Obok niego dreptał tłumacz<sup>357</sup> ubrany w długi chałat.

Dowódca niedbale przypatrywał się mijanym ludziom. Naraz dostrzegł jeźdźców zakutanych w kozuchy i ich juczne konie. Rzucił po chińsku jakiś rozkaz. Natychmiast tłumacz zawołał po tiursku:

— Skąd i dokąd jedziecie?

— Jesteśmy kupcami rosyjskimi. Jedziemy z Margielanu<sup>358</sup> do Chotanu — odparł Pandit Davasarman, zatrzymując wierzchowca przed oficerem.

Chińczyk wysłuchał tłumacza, po czym znów zadał pytanie:

— Po co i do kogo jedziecie do Chotanu?

— W Chotanie nie znamy nikogo. Wieziemy jedwab na sprzedaż — odpowiedział Pandit Davasarman, po czym wymownie obejrzał się na towarzyszy.

Na ten znak Smuga z bosmanem przybliżyli się do niego. Tomek oraz jego ojciec nieznacznie wsunęli prawe dłonie pod kozuchy.

— Otwórzcie juki, chcemy obejrzyć ten jedwab — rozkazał tłumacz.

— Dobrze, zaraz pokażemy wam zawartość naszych juków, ale najpierw przedstawię dowódcy pewien polecający dokument, który wieziemy do ambania<sup>359</sup> Chotanu — zgodnie powiedział Pandit Davasarman.

Gdy tłumacz powtarzał jego słowa, Pandit wolno wsunął prawą dłoń pod kozuch; lewą ściągnął uzdą łeb konia, by zmusić go do odwrócenia się bokiem do oficera. Żołnierze zatrzymali się w bezładnej gromadce za nachmurzonym dowódcą. Pandit Davasarman pochylił się ku Chińczykowi, jakby chciał podać mu dokument wydobywany spod kozucha. Nagle błyskawicznym ruchem wyszarpnął dłoń uzbrojoną w ciężki rewolwer. Zaskoczony dowódca nie zdążył się uchylić. Mocny cios ręką rewolweru w głowę powalił go na ziemię. Niemal w tej samej chwili Smuga i bosman zeskoczyli z koni — wydobytymi z kieszeni rewolwerami zaszachowali zdumionych żołnierzy. Zrozumieli swą bezsilność, bo oto pięciu dalszych jeźdźców natarło na nich końmi grożąc rewolwerami i karabinami.

<sup>357</sup> — Chińczycy pogardzali miejscowym językiem tiurskim i porozumiewali się z krajowcami za pośrednictwem tłumaczy.

<sup>358</sup> — Margielan — stare miasto leżące w Kotlinie Fergańskiej (obecnie w południowo-wschodniej Uzbeckiej SRR), znane między innymi z handlu bawełną i jedwabiem.

<sup>359</sup> — Ambań — chiński rządca.

— Nie stawiajcie oporu, a nic wam się nie stanie — zawołał Pandit Davasarman. — Nie zabierzemy wam broni, oddajcie jedynie naboje!

Tłumacz przerażony niespodziewanym atakiem pospiesznie powtórzył żołnierzom, czego od nich żądano. Ci ostatni mimo zaskoczenia nie wykazywali przestachu. Szeptem naradzali się między sobą.

— Bosmanie, poleciłem im oddać naboje, poproś ich, aby tak długo się nie namyślali — powiedział Pandit Davasarman płynną ruszczyzną.

Olbrzymi marynarz wsunął rewolwer za pas kozucha. Tomek i Udadżalaka zeskoczyli z koni.

— Odsuń się trochę, przyjacielu — po rosyjsku rzekł bosman do Smugi.

Sękatym łapskiem chwycił pierwszego z brzegu żołnierza za bluzę na piersiach. Jak piórko uniósł go do góry jedną ręką, a drugą wyrwał mu karabin i rzucił o ziemię. Chińczyk krzyknął coś wysokim głosem, lecz w tej chwili bosman cisnął nim w zdezorientowaną gromadkę. Jeden z żołnierzy zamachnął się na olbrzyma kolbą karabinu. Wtedy podskoczył Tomek, obydwojma rękami chwycił lufę karabinu i szarpnął do tyłu, przewracając żołnierza na ziemię. Udadżalaka kolbą uderzył w plecy najbliższego napastnika. Na tym bijatyka się skończyła.

Chińczycy po tym krótkim, bezkrwawym oporze rzucili karabiny na ziemię. Bosman, Tomek i Udadżalaka sprawnie zrewidowali żołnierzy. Ze zdziwieniem stwierdzili, że tylko jeden z nich posiada trzy, a drugi jeden nabój. Wszystkie karabiny były nie nabite.

Dowódca tymczasem odzyskał przytomność. Ciężko dźwigał się z ziemi.

— No, no, niezbyt tęgich obrońców ma chiński cesarz — odezwał się bosman. — Proszę, chcieli nas straszyć patykami!

Dowódca krzyknął coś po chińsku.

— Czego on chce? — zapytał Pandit Davasarman tłumacza.

— Nie gniewaj się na mnie, szlachetny panie, lecz on mówi, że nie przejdzie wam to na sucho. Obiecuje zaarrestować was w Karghaliku i dostarczyć Padszy–Szab–Bekowi<sup>360</sup>.

— Bardzo dobrze, zaświadczymy, że wypełnił razem z żołnierzami swoją powinność. Teraz precz od nas, bo będziemy strzelali!

Ku zdziwieniu przestraszonych wieśniaków, karawana ruszyła z kopyta ku miasteczku. Pandit Davasarman nawet nie obejrzał się za siebie, lecz

---

<sup>360</sup> — Nazwa naczelnika policji.



zaledwie osłonił ich pagórek, natychmiast zjechali z drogi na północ. Niebawem miasteczko oraz mury fortecy zniknęły w dali na horyzoncie. Pandit Davasarman zwolnił tempo jazdy.

— Tutaj jesteśmy bezpieczni — poinformował towarzyszy. — Nie będą nas ścigali po bezwodnych, piaszczystych wydmach.

— I my również zginiemy łatwo wśród lotnych piasków pustyni Takla Makan — wtrącił Tomek.

— Nie martw się, damy sobie radę — uspokoił go Pandit Davasarman. — W najbliższej oazie napełnimy wory wodą i zakupimy paszy dla koni. Trzykrotnie byłem już w tym kraju.

— Czegoś się pan tak przestraszył tych żołnierzy? — zagadnął bosman. — Nie dogoniliby nas pieszo.

— Czy nie zwróciło twej uwagi, szlachetny sahibie, że spośród tylu ludzi wędrujących w kierunku miasta ów oficer nas właśnie zatrzymał? Czy to nie wydało ci się podejrzane?

— Pandit Davasarman ma rację, mnie również zaskoczyła natarczywość, z jaką chciał sprawdzić zawartość juków — potwierdził Smuga. — Zachowywał się, jakby wiedział, kogo lub czego ma szukać.

— Ja także odniosłem podobne wrażenie — dodał Wilmowski. — Być może Rosjanie zawiadomili władze chińskie, iż podejrzani ludzie przekroczyli granicę Turkiestanu?

— Kto wie? Oddział Kozaków po rozgromieniu bandy Naib Nazara, na pewno rozglądał się za karawaną, która stawiała tak zacięty opór bandytom. Wiedzieli, że jesteśmy dobrze uzbrojeni — powiedział Pandit Davasarman.

— W takim razie Chińczycy nie wysłaliby na poszukiwanie patrolu bez nabojów do karabinów — powątpiewał bosman.

— Nie znasz tutejszych stosunków, sahibie — wyjaśnił Pandit Davasarman. — Chińscy dowódcy nie dbają o żołnierzy. Większość sum otrzymywanych na zaopatrzenie wojska zagarniają do własnych kieszeni. Tym niemniej musimy zachować ostrożność. Nie możemy stale siłą torować sobie drogi, a tym bardziej pokazywać się w miastach o licznej policji i załogach wojskowych.

— Jaką taktykę doradzasz zastosować, Pandicie? — zagadnął Wilmowski.

— Taką samą, jaką obrałem podczas mej drugiej bytności w Chińskim Turkiestanie. Wtedy również celem mojej podróży był Chotan.

— Na czym polegała owa taktyka?

— Z Karghaliku wiodą dwie drogi do Chotanu. Jedna z nich przez Guma ciągnie się wzdłuż południowego skraju pustyni Takla Makan. Druga oddala się bardziej na południe i podnóżem gór Kunlun prowadzi do Sandżu, skąd zbacza na północny wschód i w miejscowości Sanguja łączy się z pierwszą drogą. Wolę trzymać się drogi na Guma, z której w każdej chwili można zjechać w pustynię i zatrzeć za sobą ślady. Będziemy zataczali małe łuki w Takla Makan wzdłuż traktu. W ten sposób unikniemy niepożądanych spotkań. W mało uczęszczanych oazach możemy zaopatrywać się w wodę i paszę.

— Rada dobra, ani słowa! Nareszcie nie muszę wytrząsać się po górzyskach — chwalił bosman. — Pustynia przypomina mi morze. Spójrzcie tylko, piaszczyste barchany<sup>361</sup> z daleka wyglądają jak fale!

— W pobliżu tych okolic rosyjski podróżnik Przewalski odkrył dzikiego konia i wielbłąda<sup>362</sup> — wtrącił Tomek.

Kilka godzin brnęli przez szczerą pustynię. Jechali wzdłuż wysokich wydm, to znów przerzynali się przez półksiężycowate barchany utworzone przez lotne piaski. Po południu Pandit Davasarman zboczył nieco ku traktowi. Doprowadził karawanę do zagubionej w piaskach małej oazy. Kilka nędznych chatynek otaczało zajazd. Obok niego mieściła się cysterna z wodą. Podróżnicy napoili konie, napełnili wszystkie wory wodą, uzupełnili własne zapasy żywności oraz kupili paszy. Po krótkim wypoczynku znów zaszyli się w pustynię.

Podczas następnych kilku dni Pandit Davasarman z Udadżalaką urządzali zwiadowcze wypady do pobliskich oaz na drodze do Chotanu. Stwierdzili ponad wszelką wątpliwość, że stacjonujące w nich oddziały wojskowe pilnie obserwowały wszystkie karawany. W takiej sytuacji ostrożność nakazywała omijanie osad. Wędrówka przez rozległe, piaszczyste wydmy Takla Makan stawała się coraz bardziej uciążliwa. Co jakiś czas rozbijali obóz w szczerzej

---

<sup>361</sup> — Piaski na pustyni często układają się tu i ówdzie w wydmy w kształcie półksiężyca, czyli tak zwane „*barchany*”, łagodnym, wypukłym zboczem zwrócone do wiatru.

<sup>362</sup> — Przewalski odkrył wspomniane przez Tomka zwierzęta na stepowo-pustynnych równinach Dżungarii, kotlinowym obniżeniu między Ałtajem a Tien-szan.

pustyni, jedynie Pandit Davasarman bądź Udadžalaka wypuszczali się wtedy do osiedli po prowiant, wodę i paszę.

Przez przeszło dwa tygodnie gromadka przyjaciół przedzierała się przez pustynię. Wszyscy byli już porządnie zmęczeni. Zewsząd otaczało ich bezmierne morze piasków, urozmaiconych jedynie barchanami i wydmami, osiagającymi często wysokość kilkudziesięciu metrów. Wiatr wdmuchiwał piasek do ust, nosów, uszu, wciskał go pod ubrania i do juków. Toteż gdy Pandit Davasarman oznajmił pewnego popołudnia, iż znajdują się już w pobliżu Chotanu, wszyscy, z wyjątkiem bosmana przyjęli jego słowa z prawdziwym wybuchem radości. Jedynie marynarz z niepokojem wpatrywał się w zachodnio-północny pas nieba nad linią horyzontu.

— Bosmanie, czyżby pana martwiła wiadomość, że nareszcie dobijamy do portu? — zagadnął Tomek, starając się naśladować sposób mowy przyjaciela. — A może zagustował pan w monotonnym krajobrazie pustyni?

— Nie zwijaj przedwcześnie żagli, brachu — odparł bosman. — Czy pamiętasz, jak podczas polowania na strusie emu w Australii ogarnęła nas burza piaskowa?

— Oczywiście, pamiętam! Najadłem się wtedy niemało strachu. Dlaczego akurat teraz wspomina pan o tym?

— Zerknij na niebo na północnym zachodzie!

Tomek odwrócił się w siodle. Osłonił ręką oczy.

— Hop, hop! Przystańcie na chwilę! — zawołał do towarzyszy. — Spójrzcie na północny skłon nieba!

Karawana zatrzymała się; wszyscy odwrócili głowy we wskazanym przez Tomka kierunku.

W dali na linii horyzontu niebo przybierało szarżółtą barwę.

— Pan bosman właśnie zwrócił uwagę na to zjawisko — wyjaśnił Tomek. — Niebo tak samo wyglądało w Australii, gdy podczas polowania na emu wpadliśmy w burzę piaskową.

— Nie uciekniemy przed nią. Wiatr wieje z północnego zachodu — powiedział Pandit Davasarman.

— Cieszcie się dalej, panowie. Do Chotanu mamy niedaleko — ironizował bosman. — Oj, panie Davasarman, żeby taki stary wyga nie

wyniuchał w porę niebezpieczeństwa! Cackasz się pan tylko z Kitajcami<sup>363</sup>, a burzę piaskową prześlepiasz!

— Należy mi się nagana, sahibie, wkrótce rozpęta się tu prawdziwe piekło. Jedźmy jak najszybciej na wschód.

— Chcesz zboczyć z drogi do Chotanu? — zapytał Smuga.

— Tak, w tamtym właśnie kierunku natknąłem się kiedyś na dawne miasto zasypane przez piaski. Gdybym tylko zdołał je odnaleźć, mielibyśmy bezpieczne schronienie. Ono powinno być gdzieś niedaleko.

— Jedźmy, nie mamy wyboru. Nawet jeśli nie odnajdziemy ruin miasta, to i tak nie pogorszymy swej sytuacji — ponaglał Wilmowski.

Popędzili konie. Niebo coraz bardziej zasnuwało się ciemnymi chmurami. Powiał porywisty wiatr. Pod jego gwałtownym podmuchem ożyły barchany i wzgórza. Wierzchowce odwracały łby ku południowi, rżały i rwały cugłami. Naraz koń Wilmowskiego gwałtownie rzucił się w bok. Spod piasku wyłaniała się końska czaszka, z żółtymi zębami. Nieco dalej wiatr odsłaniał szkielety ludzi oraz porzucone juki.

Pandit Davasarman bez przerwy parł na wschód. Niespokojnie rozglądał się dokoła. Dotarli do znacznego, szerokiego zagłębienia, jakby traktu przecinającego pustynię z południa na północ. Konie zsuwały się w dół, powiększając niesioną wiatrem chmurę piachu. Znaleźli się w dawnym korycie wyschłej rzeki. Stąd Pandit Davasarman zawrócił na północ. Teraz jechali wprost w objęcia piaskowej burzy.

Zanim pustynia całkowicie pogrążyła się w mroku, wyczuli, że konie znów zsuwają się po piaszczystym stoku. Wiatr uderzył raz jeszcze ze zdwojoną siłą, sychnął tumanami piasku i przycichł. Wjechali do pustynnej kotliny. Wśród wydm sterczały kikuty pni obumarłych drzew. Nieco dalej majaczyły pochłonięte przez piaski pustyni ruiny tajemniczego miasta. Z szarych wydm i gór piaskowych wynurzały się fragmenty domów z topolowego drzewa oraz z trzciny, polepionej białą malowaną gliną. Wierzchowce strzygły uszami i stawały dęba, gdy mijali rozwiane przez wichury grobowce. Gdzieniedzie z rozbitych drewnianych trumien sterczały owinięte łykiem szkielety ludzkie.

Zatrzymali się przed na pół zasypanym domem. Przed wejściem stał posąg Buddy. Z filozoficznym spokojem wschodniego mędrca spoglądał w

---

<sup>363</sup>

— W średniowieczu Chiny nazywano: Cathaj, Kathay, Kithai.

dal szarymi, zamyślonymi oczami. Nieczuły na tragedie ani złudne, doczesne triumfy ludzi drwił sobie z zaborczych piasków groźnej pustyni, z buranów<sup>364</sup> i stuleci, które minęły od chwili, gdy ogłosił światu narodziny nowej religii.

Pandit Davasarman zeskoczył z konia. Zniknął we wnętrzu budowli. Błysnęły płomyki zapalek. Po chwili wynurzył się z ciemnego otworu i zawołał:

— Rozjuczajcie konie! Bagaże wnosić do dalszych izb, w pierwszej umieścimy wierzchowce! Najpierw odszukajcie latarki oraz świece!

Wichura wzmagąca się coraz bardziej. Z przeraźliwym świstem wdzierała się do kotliny, porywała z ziemi pył, miotła nim w niebo zasnutę ciemnożółtymi obłokami...

Wkrótce potem z sąsiedniej, najobszerniejszej izby, dochodziły postękiwania koni żujących obrok. Podróżnicy, nie mniej wyczerpani od swych wierzchowców, w milczeniu jedli gorącą strawę ugotowaną na maszynie. Posiliwszy się, zapalili fajki. Przy migotliwym świetle świecy spoglądali na ściany, na których pozostały jeszcze dotąd resztki malowideł.

Tomek z latarką w dłoni zbliżył się do ściany. Wśród częściowo zatartych obrazów można było odróżnić zwiewnie ubrane, klęczące smukłe kobiety, czarnobrodych mężczyzn, zwierzęta oraz okręty.

— Zapewne dziwisz się, sahibie, skąd dawni mieszkańcy pustyni Takla Mahan mogli znać statki — zagadnął Pandit Davasarman.

— Istotnie zastanawiam się nad tym — odparł Tomek, siadając obok towarzyszy.

— Podczas obecnej wyprawy, dawno przestałem dziwić się czemukolwiek. Co krok niespodzianki — wtrącił bosman. — Na przykład czym żywili się mieszkańcy tej dzikiej pustyni?

— Nawodnij tylko ziemię, a zobaczysz, sahibie, jakie wyda plony. Czy nie zwróciłeś uwagi, iż dwieście a może nawet i więcej lat temu, płynęła tutaj duża rzeka? Jeszcze do dzisiaj pozostały tu ślady dawnych ogrodów. Podczas poprzedniej bytności znalazłem w zasypanych domach szczątki kądzieli oraz kokony jedwabnika — wyjaśnił Pandit Davasarman.

— Ile tajemnic kryją w sobie te kraje! — westchnął Tomek.

---

<sup>364</sup> — Buran — syberyjska zadymka śnieżna; silny wiatr wiejący w Rosji i Azji Środkowej z północ-wschodu, któremu towarzyszą chmury drobnego piasku.

— Mój drogi, Azja Środkowa uważana jest za kolebkę rodu ludzkiego na Ziemi. W każdym razie tutaj powstały najstarsze kultury — zauważył Wilmowski.

— Czy sam odnalazłeś to wymarłe miasto, Pandicie? — zapytał Smuga.

— Nie, usłyszałem o nim od Svena Hedina.

— Nic pan przedtem nie mówił, że zna pan tego wielkiego podróżnika — zawołał Tomek.

— Tomku, mowa jest srebrem, a milczenie złotem — rzekł Smuga. — Pan Pandit Davasarman okazał wielkie zaufanie, zdradzając nam swą znajomość, ze szwedzkim badaczem. O ile wiem, nie mówił tego nawet Brytyjczykom.

— Bardzo przepraszam za mimowolną niedyskrecję — tłumaczył się Tomek, a potem dodał porywczo: — Nigdy nie nadużylibyśmy pana zaufania. Jestem pewny, że pan został wywiadowcą nie z chęci służenia interesom Brytyjczyków.

Zaległo kłopotliwe milczenie. Tomek zaczerwienił się pod karcącym wzrokiem ojca. Smuga, również zmieszany, niespokojnie spoglądał na Hindusa. Natomiast prostoduszny bosman pośpieszył druhowi z pomocą.

— Nie obrażaj się pan na Tomka. To szczerzy i życzliwy każdemu przyzwoitemu człowiekowi chłopak. Jasne jak słońce, że gwizdzesz pan na Anglików oraz ich machlojki, skoro ani jednym słowem nie skarciłeś nas za ten psikus z karabinami — powiedział. — Jesteś pan wśród swoich prawdziwych przyjaciół. Potrafimy trzymać buzie zamknięte na kłódkę.

— Wiem, o tym. Zdążyłem już poznać szlachetność młodego sahiba. Zyskał przyjaźń mej siostry i moją. A o tych karabinach radzę wszystkim zapomnieć. Skąd możemy mieć pewność, że to Nazim Chan nie spletał figla Naib Nazarowi? — odpowiedział Pandit Davasarman.

— Święta prawda — zawołał bosman parskając śmiechem. — Nosisz pan głowę na karku nie od parady. No, niełatwa jest twoja rola.

— Kto służy władcy, ściąga na siebie nienawiść ludu, kto zaś służy własnemu ludowi, ten traci łaskę władcy. Niełatwo omylnemu człowiekowi znaleźć właściwą drogę w labiryncie sprzeczności, lecz mimo to wszystko może zdarzyć się w tych krajach legend i baśni — odparł Pandit Davamarsan — Nawet rozsądni, uczeni ludzie ulegali tutaj nieraz bujnej wyobraźni krajowców.

— Kogo masz panna myśli? — dopytywał się marynarz. — Chętnie posłuchałbym czegoś ciekawego.

— Doskonała propozycja. Znajdujemy się w mieście–grobowcu, za ścianami domu szaleje buran. Czy to nie wspaniałe warunki do słuchania opowieści? — gorliwie poparł bosmana Tomek.

— Bardzo prosimy, może zna pan jakąś interesującą przygodę Sven Hedina? — przyłączył się do próśb Wilmowski.

— Dobrze, opowiem krótką historię, którą usłyszałem od niego. Otóż jako dwudziestoletni młodzieniec został sekretarzem szwedzkiego poselstwa w Persji. Korzystając z okazji zwiedzał Persję i Mezopotamię. Wtedy właśnie powziął myśl zbadania najwyższej góry w Pamirze, Muztag Ata<sup>365</sup>, zwanej przez krajowców „*Ojcem Gór Śnieżnych*”. Według podań szczyty góry, wbrew wszelkim pozorom, nie były bezludne i jałowe.

Na jej wierzchołku miało znajdować się miasto Dżanaidar, wzniesione w czasach wiecznej szczęśliwości, gdy zamiast występków panowały na ziemi wieczna radość i wesele. Dżanaidar, jak opowiadali krajowcy tonęło w zieleni aromatycznych i nie więdnących kwiatów oraz stale owocujących ogrodów.

W mieście tym mieli mieszkać wiecznie szczęśliwi ludzie, którzy nigdy nie schodzili z góry i nie stykali się z nikiem obcym. Żyli prawdziwie wolni i bez trosk. Nie starzeli się, bo nie znali głodu ani zmartwień.

Większość podróżników nie jest pozbawiona wyobraźni i pewnego romantyzmu. Toteż młody wówczas Sven Hedin, porwany urokiem legendy ludowej, postanowił wspiąć się na Muztag Ata. W towarzystwie kilku krajowców rozpoczął wspinaczkę po skałach i lodowcach. Wkrótce część tragarzy zawróciła z drogi, albowiem mocno rozrzedzone powietrze utrudniało oddychanie i przyprawiało o zawroty głowy. Hedin również uległ górskiej chorobie. Krew puszczała mu się ustami i nosem, lecz mimo to wytrwale piął się coraz wyżej. Na nic zdała się jego odwaga i wytrwałość. Nie dotarł do szczytu. Musiał zawrócić w ślad za krajowcami. Czterokrotnie próbował szczęścia. Czterokrotnie zawracał nie osiągnąwszy celu. Dzięki temu krajowcy nadal wierzą w legendę o utopijnym<sup>366</sup> mieście i jego zawsze szczęśliwych mieszkańcach.

---

<sup>365</sup> — Góra Muztag Ata (Muztagh–ata) ma 7860 m.

<sup>366</sup> — Utopijny — nie dający się urzeczywistnić, będący tylko marzeniem, mrzonką.

— Przyjemnie się słucha legend, ale trudno w nie uwierzyć — roześmiał się bosman.

— W Azji Środkowej popularne są legendy o niezwykłych istotach, czy też nieznanach dotąd stworach — ciągnął Pandit Davasarman. — Od Kaukazu do południowych Chin i od Ałtaju do krajów na stokach gór himalajskich krajowcy sную opowiadania o „*Dzikim Człowieku*”. Szczególnie wiele słyhać o nim w Himalajach, Pamirze i Tien–szanie. W różnych krajach nosi on różne nazwy. Na przykład na pustyni Gobi ma to być małpolud zwany Ałmasem, w Sikkimie oraz Nepalu nazywają go Yeti, w Garhwalu jest to Mirka bądź Metoh Kang–Mi, czyli Ohydny Śnieżny Człowiek, natomiast Tybetańczycy mówią o Mi–go, zwierzęciu chodzącym jak człowiek bądź też o Mi–te, człowieku–niedźwiedziu.

— Ha, gadać można różne niestworzone historie, ale czy ktoś naprawdę widział tego Yeti, czy jak go tam nazywają? — powątpiewał bosman.

— Jak już wam mówiłem, mój brat twierdził, że widział Yeti, schodząc z gór w dolinę — wtrącił Smuga. — W takim jednak stanie wyczerpania, w jakim on się znajdował, łatwo mógł ulec jakiemuś złudzeniu.

— Masz rację, Janie, relacje twego nieszczęsnego brata mogą być nieścisle — powiedział Wilmowski.

— Na temat Yeti rozpytywałem Szerpów z Nepalu — mówił Davasarman. — Otóż oni wierzą, że spotkanie z tym dziwnym stworem sprowadza na każdego człowieka nieuchronną śmierć. Dlatego trudno podobno znaleźć kogoś, kto go widział.

— To samo opowiadali tybetańscy przewodnicy memu bratu, kiedy po natrafieniu na tajemnicze ślady w górach Karakorum odmówili towarzyszenia mu do bliskiego już Hemis — dodał Smuga.

— Czy według zdania krajowców Yeti jest jakąś nieznaną istotą ludzką? — zagadnął Tomek.

— Nie, tego oni nie mówią — zaprzeczył Davasarman. — Nazwy, którymi określają nieznanne istoty, tyle mogą mieć wspólnego z człowiekiem, co wyraz „*małpolud*” stosowany do małp człekokształtnych.

— Przesądni tubylcy są skłonni do znacznej przesady. Czy poza bratem pana Smugi jeszcze ktoś z Europejczyków wspominał o tym legendarnym stworze? — zaciekał się Wilmowski.



— Oczywiście, sahibie. Na przykład w połowie XIX wieku Hooker<sup>367</sup> pisał w swej książce, że krajowcy opowiadali mu o dzikich ludziach zwanych Harrum, czyli „Włochaci”, mieszkających w pustkowiach górskich. W 1889 roku pułkownik Waddell, po odbyciu ekspedycji himalajskiej oznajmił, że na granicy Tybetu widział szerokie ślady stóp, które on uważał za ślady niedźwiedzi, podczas gdy Tybetańczycy przypisywali je Włochatemu Dzikiemu Człowiekowi. Najbardziej wszakże sensacyjną wiadomość słyszałem w ubiegłym roku od Elwesa. Miał on jakoby widzieć nie tylko ślady, lecz i owo dziwne stworzenie, przechodzące zaledwie o kilkaset metrów od niego.

Na ciekawej pogawędce czas szybko mijał. Nad ranem burza piaskowa zaczęła przycichać. Wtedy Pandit Davasarman przerwał rozmowę i rzekł:

— Teraz prześpijmy się kilka godzin. Musimy jak najspieszniej ruszyć w dalszą drogę. Wydaje mi się, że najrozsądniej byłoby, abyśmy całą gromadą nie pokazywali się w Chotanie. Ponieważ muszę zobaczyć się tam z pewnym znajomym, sam wstąpię do miasta. Może mi się uda przy okazji dowiedzieć, dlaczego Chińczycy tak interesują się wszystkimi karawanami. Spotkam się z wami w umówionym miejscu. Przez czas mojej nieobecności Udadźalaka

---

<sup>367</sup> — Joseph D. Hooker „*Himalayan Journals*” (Notatki himalajskie) 1854 r.; płk L. A. Waddell „*Among the Himalayas*” (W Himalajach) 1889 r.; podróżnik Elwes 1906 r. — notatki w zapiskach Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie.

W późniejszych latach, o czym bohaterzy niniejszej powieści nie mogli wówczas wiedzieć, liczne wyprawy górskie w Azji Środkowej napotykały w Himalajach, Karakorum i w Tybecie tajemnicze ślady, które krajowcy przypisywali Yeti. N. A. Tombazi w 1925 r. stwierdził nawet, że nie tylko badał ślady, lecz także widział w odległości 200 m stworzenie przypominające nagiego człowieka. Na podstawie kilku fotograficznych zdjęć śladów, dokonanych przez szereg podróżników, zoologowie orzekli, iż były to ślady niedźwiedzi himalajskich. C. O. Dyhrenfurth podał, że w 1948 r. dwaj Norwegowie mieli widzieć i usiłovali schwytać dwa ogoniaste stwory, lecz potem owych Norwegów nie zdołano zidentyfikować.

W 1942 r. były polski oficer, Sławomir Rawicz, schodząc wraz z towarzyszami z Tybetu do Sikkimu miał napotkać dwa stwory o kwadratowych głowach i długich rękach, przypominające jakby skrzyżowanie wielkiego niedźwiedzia z orangutanem.

W celu wyjaśnienia intrygujących pogłosek oraz faktów w postaci sfotografowanych śladów, angielski dziennik „*Daily Mail*” sfinansował specjalną wyprawę poszukiwawczą z doświadczonym zoologiem na czele. Znalazła ona ślady i odchody, lecz nie natrafiła na nieznane stwory. Wyprawa zebrała opowiadania krajowców i legendy oraz obejrzała ukryte w kilku klasztorach tybetańskich skalpy jakoby z głów Yeti. W ostatnich latach szereg wypraw wyruszyło na poszukiwanie legendarnych stworzeń, lecz nie natrafiło na ślad istnienia Yeti.

poprowadzi wyprawę. Przemkniecie się w kierunku gór pomiędzy Chotanem a oazą Kerija.

— Pandicie, radzę weź kogoś z nas z sobą. W przypadku niebezpieczeństwa, dwóch ludzi łatwiej da sobie radę — zaproponował Smuga.

— Ty, szikarze, jako dowódca musisz pozostać przy karawanie — upomniał Pandit Davasarman.

— Weź pan mnie, chętnie przyjrę się obcemu miastu — zawołał bosman. — Rozerwę się trochę po tych nudach na pustyni.

— Zgoda, sahibie. Jeśli ty idziesz ze mną, to tak, jakby było nas co najmniej dziesięciu.

— Ja także chciałbym pójść z wami, pozwolisz ojczy, prawda? — poprosił Tomek.

— Niech decyduje pan Davasarman — odparł Wilmowski. — Przecież ma się tam z kimś spotkać.

— Możemy jechać w trójkę. Bez jucznych zwierząt łatwo przemkniemy się o zmroku przez bramę miasta — zakończył rozmowę Hindus.

# CHIŃSKA UCZTA I ZŁA WIADOMOŚĆ

Następnego dnia podróżnicy dotarli do rzeki Kara–kasch–darii i przez płytki bród przeprawili się na drugi jej brzeg. Obecnie znajdowali się w widłach, utworzonych przez Kara–kasch–darię i Jurung–kasch–darię, z których pierwsza wypływała z gór, druga z wyżyn Tybetu. Obydwie rzeki zbiegały się w Kotlinie Tarymskiej i płynęły dalej jako rzeka Chotan–daria. Ginęła ona w piaskach w głębi pustyni Takla Makan, bądź też, w przypadku większego przyboru wody, stanowiła dopływ rzeki Tarym.

Międzyrzecze, nawiedzane często przez powodzie, porastały lęgowe lasy topolowe podszyte gąszczem wysokich trzcinowych oczeretów. Wilmowski, zamiłowany botanik, zwrócił uwagę na te nie spotykane gdzie indziej w Azji Środkowej drzewa. Smukłe z rozłożystymi koronami topole, zwane „*tugrak*”, rosły na piaszczystych barchanach. Ich suche liście szeleściły i rozsypywały się w proch za lada podmuchem wiatru. Podróżnicy wolno torowali sobie drogę przez gęstwinę. Trzymali w pogotowiu broń, tutaj bowiem łatwo było natknąć się na duże stada dzików i tygrysów. Pandit Davasarman podczas poprzedniej bytności w Chińskim Turkiestanie widział w tych okolicach również dzikie konie i wielbłądy.

Tonąc w wysokich trzcinach wraz z końmi, orientowali się tylko według położenia słońca. Konsekwentnie zdążali na wschód ku brzegowi Jurang–kasch–darii. Po przeprawie przez tę rzekę, Pandit Davasarman, bosman i Tomek odłączyli się od karawany. Aby w Chotanie nie budzić podejrzeń straży miejskiej, nie zabrali karabinów ani juków. W trójkę skierowali się na południe wzdłuż brzegu Jurang–kasch–darii, podczas gdy cała karawana udała się w kierunku południowo–wschodnim, by ominąć miasto i w umówionym miejscu u podnóża gór rozbić obóz.

Bliżej Chotanu trzej jeźdźcy znaleźli się wśród uprawnych pól, poprzecinanych sztucznymi kanałami. Jeszcze przed zmierzchem dotarli do drogi wiodącej ze wschodu do miasta. Teraz skręcili na zachód wprost ku Chotanowi. Jeśli patrole chińskie nadal kontrolowały karawany dążące z zachodu, to dzięki sprytnemu manewrowi Pandita Davasarmana nie powinny były zwrócić uwagi na trzech jeźdźców, przybywających do Chotanu z odwrotnego kierunku. Pokrzepieni tą nadzieją spokojnie jechali drogą

wysadzoną drzewami morwowymi oraz topolami. Znużeni monotonnym krajobrazem piaszczystej pustyni, ciekawie rozglądali się po rozległej oazie i podziwiali przydrożne wioski tonące w zieleni sadów i pól.

Ražno zbliżali się do Chotanu. W rzeczywistości miasto tworzyły trzy miasteczka: Ilcza, Jurung–kosz i Kara–kosz, aczkolwiek krajowcy tylko pierwsze z nich, największe, zwykli zwać Chotanem. Miasto nie było okolone murem, mimo to wjechać do niego można było jedynie przez jedną z pięciu bram, a po ich zamknięciu przez furtkę kontrolowaną przez wojskową wartę.

Znajomy Pandita Davasarmana mieszkał w Ilczy–Chotanie. Ponieważ podróżnicy nadjechali ze wschodu, musieli minąć miasteczka Jurung–kosz i Kara–kosz, aby dotrzeć do jego domu. Dzięki ożywionemu ruchowi bez trudności przemknęli się wśród tłumu ludzi oraz jucznych zwierząt przez bramę do miasta. Mijali wąskie uliczki pozbawione jakiegokolwiek zieleni. Szare, ponure domy przeważnie nie posiadały okien. W ten sposób przezorni wyznawcy Allacha chronili swe kobiety przed pokusą pokazywania się z nie osłoniętymi twarzami obcym mężczyznom. Górne piętra niektórych domów wysuwały się ponad ulice, a nawet łączyły się z domami po przeciwnej stronie, toteż miejscami podróżnicy jechali niczym przez długie mroczne tunele.

Pandit Davasarman zatrzymał wierzchowca w pobliżu głównego rynku, całkowicie ocienionego dachem. Zsiedli z koni. Znajdowali się przed piętrowym, wąskim domem. Nad masywnymi drzwiami, obecnie jeszcze szeroko otwartymi, wisiał szyld pokryty chińskim pismem.

— Jesteśmy na miejscu — oświadczył Pandit Davasarman.

— Czy ten pana znajomy jest Kitajcem? — zapytał bosman, zerkając na pokryty hieroglifami szyld.

— Tak, jest Chińczykiem, lecz ożenił się z Kirgizką — wyjaśnił Pandit Davasarman. — Będziecie mogli z nim rozmawiać po rosyjsku.

Przywiązali konie do żelaznych kółek wmurowanych w ścianę, po czym weszli do sklepu. Sun Li, właściciel, musiał być bardzo zamożnym człowiekiem. Świadczyły o tym stopy kaszgarskich dywanów, dorównujących znanym na całym świecie perskim artystycznym kobiercom, oraz umieszczone na półkach setki kumganów, czyli imbryków do herbaty, ozdobne tace i inne naczynia z doskonale cyzelowanej miedzi.

Zaledwie znaleźli się w sklepie, zza kotary z różnokolorowych koralików wynurzył się stary Chińczyk w krymce na głowie. Potrząsnął wyciągniętymi przed siebie, złożonymi razem dłońmi i jednocześnie pochylił głowę.

— Czy zastaliśmy dostojnego Sun Li? — po rosyjsku zapytał Pandit Davasarman.

— Mój pan oddalił się do swego mieszkania, lecz chociaż jestem wobec niego tylko nędznym prochem, postaram się spełnić wszystkie życzenia czcigodnych gości. Zaraz podadzą herbatę, a potem porozmawiamy o interesach — odparł Chińczyk.

— Chętnie napijemy się herbaty, lecz najpierw powiadom dostojnego Sun Li, iż przybył z daleka wędrowiec, aby obejrzeć drogocenny kumgan, z wrytymi na nim figurami wszystkich narodów Azji.

— Natychmiast wykonam twe polecenie, czcigodny panie — szepnął Chińczyk, po czym schylony w niskim ukłonie skrył się za zasłoną.

Słowa Pandita Davasarmana musiały zawierać umówione hasło, gdyż po krótkiej chwili znów zaszleściła koralowa zasłona. Przed podróżnikami stanął mężczyzna odziany w długą, jedwabną kurtkę oraz luźne spodnie. Spod obcisłej, okrągłej krymki na głowie opadał mu na plecy długi warkocz. Ze złożonymi na brzuchu rękoma i dłońmi wsuniętymi w szerokie rękawy kurtki, spoglądał przenikliwym wzrokiem na przybyłych.

— Nie poznałeś mnie, dostojny Sun Li! Zaraz przypomnisz sobie tego, którego kiedyś nazwałeś wielkodusznym przyjacielem — zagadnął Pandit Davasarman. Uchylił futrzanej czapy.

Jedynie błysk oczu Sun Li mógł zdradzić, iż poznał gościa. Zaraz jednak opuścił powieki. Pochylił się nisko, mówiąc:

— Witaj, czcigodny Pandicie, w moich skromnych progach. Dawno cię nie widziałem. Zapewne jesteś z przyjaciółmi?

— Zgadłeś, dostojny Sun Li. Nasze wierzchowce zostawiliśmy przed domem.

Sun Li klasnął w dłonie. Zza zasłony bezszelestnie wysunęło się czterech krępych chińskich służących. Stanęli wyczekująco obok swego chlebodawcy. Wsunięte pod kaftany dłonie zapewne zaciskały się na rękojeściach sztyletów. Sun Li rzucił po chińsku krótki rozkaz, a następnie skłonił się przed gośćmi i rzekł po rosyjsku:

— Chodźcie, czcigodni przyjaciele, na górę do mego mieszkania. Służba zaopiekuje się końmi i zaraz zamknie sklep. Nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Za zasłoną pięły się w górę kręte schody. Po nich weszli na pierwsze piętro. Sun Li wprowadził ich do obszernej izby oświetlonej kolorowymi lampionami. Wzdłuż jednej ściany stał kan, to jest rodzaj szerokiej ławy z cegły otynkowanej gliną, w której wnętrzu były zbudowane kanały, jak u nas w kaflowych piecach. W istocie rzeczy owa ława zastępowała piec i ciągnęła się wzdłuż jednej ściany przez wszystkie pokoje. Przy wejściu do mieszkania znajdował się otwór tego oryginalnego pieca i palenisko, podczas gdy ujście do komina mieściło się na drugim końcu kanu. Dobrze nagrany kan utrzymywał ciepło przez całą dobę, toteż w zimne dni Chińczycy używali go jako ławy, a w nocy rozścielali na nim maty do spania.

Podłogę izby pokrywały wzorzyste dywany. Niski, okrągły stół, taborety, oszklone gabloty z porcelanowymi figurynkami i ozdobne skrzynie z podobiznami straszliwych smoków stanowiły umeblowanie. Sun Li poprosił podróżników, aby czuli się jak we własnym domu. Trójka przyjaciół zdjęła grube kożuchy i zasiadła na niskich taboretach. Służba zaraz wniosła kumgan z zielonawą, gorzkawo–cierpką oryginalną chińską herbatą. Gospodarz osobiście napełnił nią porcelanowe filiżaneczki.

— Nim wypijemy herbatę, podadzą nam skromny obiad. Nie spodziewałem się dzisiaj wizyty miłych przyjaciół — odezwał się Sun Li. — Czy tym razem, czcigodny Pandicie, raczysz dłużej zatrzymać się w Chotanie?

— O świcie musimy ruszyć w dalszą drogę, aby dogonić naszą karawanę dążącą do gór Kunlun — wyjaśnił Pandit Davasarman. — Mimo iż bardzo nam się spieszy, nie mogłem sobie odmówić przyjemności wypicia filiżanki herbaty z tobą, dostojny przyjacielu.

— Sprawileś mi wielki zaszczyt, Pandicie. Oczy moje zawsze cieszą się widokiem czcigodnych przyjaciół — odparł Sun Li. — Czy spokojną mieliście podróż?

— Spotkała nas nieprzyjemna niespodzianka. Patrole wojskowe kontrolowały karawany przybywające traktem z zachodu. Aby uniknąć kłopotów, kołowaliśmy po pustyni i do Chotanu wjechaliśmy od wschodu.

— Mój znajomy, krewny ambania Chotanu, mówił mi dwa tygodnie temu, iż władze poszukują angielskich szpiegów. Podobno przemknęli się z Pamiru z jakąś niebezpieczną misją do Chińskiego Turkiestanu — obojętnie powiedział Sun Li. — Wszystkich podejrzanych odprowadza się do Padszy–Szab–Beka i tam torturuje się ich w celu wydobycia zeznań.

— Czyżby ci szpiedzy zdradzili się w jakiś sposób? — zapytał Pandit Davasarman.

— Nie, czcigodny przyjacielu, to ich zdradzono.

— Bardzo zajmująca historia, czy znasz jakieś szczegóły?

— Mój znajomy twierdził, iż przebrani za krajowców Anglicy mieli w Pamirze zatarg z bandą Naib Nazara i zastrzelili go na samej granicy. Władze rosyjskie od dłuższego czasu bacznie obserwowały potomka starego rozbójnika, toteż oddział Kozaków omal nie schwycił całej jego bandy razem z owymi szpiegami w chwili, gdy toczyli zaciętą walkę. Nim Rosjanie zorientowali się w sytuacji, Anglicy uciekli do Turkiestanu.

— Czy to władze rosyjskie doniosły o szpiegach?

— Nie, kilku ludzi Naib Nazara zdołało wymknąć się Rosjanom i udało się w pogoń za Anglikami, aby pomścić zabicie herszta. Po drodze zgubili ślad, lecz mimo to dotarli do Karghaliku. Tam pod przysięgą na Allacha zeznali wszystko Padszy–Szab–Bekowi. Twierdzili, iż głównym celem wyprawy Anglików był Chiński Turkiestan, gdzie mieli do wypełnienia jakąś tajemniczą misję.

— Jak widać Naib Nazar potrafi mścić się nawet zza grobu — zauważył Pandit Davasarman. — Skąd można mieć pewność, iż to Anglicy zabili rozbójnika?

— Rozmyślałem nad tym, czcigodny przyjacielu — odparł Sun Li, uśmiechając się zagadkowo. — Ostatnio podejrzewano Naib Nazara o konszachty z Anglikami. Podobno przemycał broń dla rosyjskich Kirgizów.

— Słyszeliśmy po drodze, że Naib Nazar miał jakoby otrzymać transport karabinów z powyjmowanymi zamkami. Może to właśnie było powodem zatargu na granicy? — powiedział Pandit Davasarman. — Nic to nas jednak nie obchodzi, ponieważ nie jesteśmy Anglikami i odbywamy ściśle prywatną podróż.

— Słusznie, czcigodny przyjacielu, lecz mimo to ciekawie słucha się ploteczek z wielkiego świata — potaknął Sun Li. — Czy nie zastanawiałeś się, w jakim celu mógł ktoś powyjmować zamki z karabinów Naib Nazara?

— Może ów „ktoś” chciał udaremnić rozbójnikom dokonywanie napadów? — odparł pytaniem Pandit Davasarman.

Sun Li lekko przysłonił oczy powiekami. W tej chwili służba zaczęła wnosić tace z jedzeniem. Bosman i Tomek nie znali chińskich zwyczajów, zdziwili się więc niepomiernie na widok zapowiedzianego przez gospodarza „skromnego obiadu”<sup>368</sup>.

Obok wazy napełnionej zupą z gniazd jaskółczych, smakującej jak klejowaty rosół, ustawiono półmiski z tłustymi, pieczonymi kaczkami, wieprzowymi pyskami i nosami, marynowane kurczęta z pączkami bambusowymi, potrawki oraz sałatki z ptaków i ryb, drobno krajaną baraninę, a także różne wędliny. Następnie wniesiono jaja gotowane na twardo, których prawie ciemnogrnatowy kolor wymownie świadczył o wieloletnim przetrzymywaniu w wapnie, pijawki smażone w cukrze, pierogi z mięsem, smażone cebulki lili, tace z ryżem, czarki z różnymi sosami, migdały prażone w soli dla zaostrenia apetytu, ciastka i jarzyny, w końcu na stole znalazły się karafki z chanszynem<sup>369</sup> i winem ryżowym oraz kumgan z oryginalną chińską herbatą. Ponętne zapachy wprawiły wygłodniałych podróżników w doskonały humor. Ochoczo przysunęli się do stołu. Za przykładem gościnnego gospodarza ujęli w dłonie długie, owalne drewniane pałeczki, których Chińczycy używają zamiast widelców. Z początku nabieranie potraw tym oryginalnym dla Europejczyków sposobem sprawiało im niemało trudności. Toteż bosman i Tomek zabrali się przede wszystkim do dań mięsnych, przygotowanych w większych kęsach. Widząc to Pandit Davasarman szepnął im, iż dobry obyczaj nakazuje choćby pokosztować każdej z podanych potraw.

— Nie żartuj pan — mruknął bosman w odpowiedzi na tę uwagę. — Któż by jadł śmierdzące jaja albo pijawki!

— Popróbuj, sahibie, to wystarczy — szepnął Pandit Davasarman. — Chińczycy przestrzegają ceremoniału i są obrażliwi.

<sup>368</sup> — Wystawne chińskie obiady składają się często nawet ze stu dań.

<sup>369</sup> — Chanszyn — wódka przyprawiona aromatycznymi ziołami.



— Kiedy naprawdę nie mogę, bo jak tylko zjem jakieś paskudztwo, to zaraz mi się odbija.

— Zachwycisz tym gospodarza, odbijanie się bowiem, w myśl tutejszych zwyczajów, jest oznaką sytości i należy do dobrego tonu.

Zachwyty, jakie wywołało głośnie „*beknięcie*” bosmana, zachęciły go do pofolgowania sobie w jedzeniu. Sun Li co chwila podsuwał mu półmiski z innymi potrawami i napełniał małe kieliszki mocnym chanszynem. Wkrótce marynarz wygodnie rozparł się na taborecie. Dwóch służących zmieniał mu talerzyki, a on wciąż jadł, jakby jego żołądek był bez dna. Sun Li wiernie mu sekundował w tym niezwykłym obżarstwie. Pandit Davasarman spoglądał na marynarza oraz na szybko opróżniane karafki chanszynu coraz bardziej zaniepokojony. Tomek natomiast, świadom nieprawdopodobnej zaprawy druha w pochłanianiu alkoholu, bawił się w najlepsze, coraz to podrzucając mu nieznacznie na talerz ocukrzone pijawki.

Po kilku godzinach bosman ociężałym ruchem zsunął na tył głowy futrzaną czapę<sup>370</sup>. Odgłos donośnej czkawki, poprzedzonej głębokim westchnieniem, wprowadził podochoconego Sun Li niemal w zachwyty.

— Naprawdę od dawna nikt mnie tak nie ugościł — powiedział bosman, znów popuszczając pasa. — Teraz wystarczą mi już na zakąskę solone migdały i pestki z dyni, jako że doskonale pobudzają pragnienie.

Sun Li z ukontentowaniem pogładził dłonią brodę pokrytą rzadkim, czarnym zarostem, po czym przysunął swój taboret bliżej bosmana i rzekł:

— Czcigodny panie, znam pewną grę o niezwykłych zaletach dla spragnionych biesiadników.

— Na czym ona polega? — zaciekał się bosman. — W szachy i warcaby grywam najlepiej na głodnego.

— Gra jest bardzo prosta. Widzisz moją pięść? Otóż będę szybko rozprostowywał palce, a ty musisz natychmiast powiedzieć, ile ich rozprostowałem. Jeśli dobrze zauważysz, to ja muszę wypić tyle kieliszków, ile pokazałem palców, a jeśli pomylisz się, wypijesz je ty.

— Ho, ho, to nawet pożyteczna gra, skoro człowiek najadł się pijawek, które przepadają za wodą — pochwalił bosman. — Zaczynaj pan!

Ku niezmiernej uciechu Sun Li bosman stale przegrywał. Wkrótce Tomek zaczął podejrzewać przyjaciela, iż z premedytacją źle odgaduje. Utwierdził się

---

<sup>370</sup> — Chińczycy uważają za dowód grzeczności nie zdejmowanie kapeluszy.

w tym przekonaniu, gdy po samodzielnie opróżnionej karafce bosman nagle przestał się mylić; teraz Sun Li musiał raz po raz wypróżniać kielichy.

— Sahibie, obawiam się, iż nie będziemy mogli o świcie wyruszyć z miasta — szepnął Pandit Davasarman do Tomka.

— Niech się pan nie obawia, nigdy nie widziałem bosmana nietrzeźwego — odparł Tomek.

— Możliwe, że duży sahib jakoś to przetrzyma, ale Sun Li już się chwieje na taborecie, a ja muszę pomówić z nim o ważnych sprawach przed wyjazdem.

— Skoro tak, postaram się przerwać zabawę — uspokoił go Tomek.

Nieznacznie stanął za plecami Sun Li i machnął ręką, by zwrócić uwagę bosmana, po czym dłonią nakreślił w powietrzu znak krzyża nad głową Chińczyka. Sprytny marynarz od razu pojął, o co chodzi. Pochylił się ku partnerowi i uważnie zajrzał mu w oczy.

— Chyba już dość nabawiliśmy się. Nauczę tej gry kumpli z braci marynarskiej — powiedział po chwili. — A teraz, szanowny panie, warto nieco kimnąć się przed drogą.

— Chciałbym, dostojny gościu, abyś pod moim dachem miał rozkoszne sny. Wypal fajeczkę opium, a noc szybko minie w krainie złudzeń — zaproponował Sun Li.

— Nie trzeba, serdecznie dziękuję. Po takiej uczcie i bez opium będę miał przyjemne sny.

Sun Li ucieszony pochlebstwem podszedł do stolika, na którym stała mała klatka nakryta jedwabną chustką. Odślonił klatkę, ujął za metalowe kółko i podał ją bosmanowi mówiąc:

— Zaszczyciłeś mój dom swoją obecnością, czcigodny gościu, racz więc przyjąć na pamiątkę mego ulubionego kanarka. On potrafi wyśpiewać cztery piękne melodie i będzie uprzyjemniał ci spacer.

Bosman spoglądał na klatkę zdziwiony i zakłopotany. Nie wiedział, iż Chińczycy z upodobaniem hodują ptaki i w klatkach zabierają je z sobą na spacer, podobnie jak my to czynimy z psami, które w Chinach uważane są jedynie za strażników domu. Na szczęście Pandit Davasarman dobrze znał obyczaje mieszkańców Azji Środkowej, toteż pospieszył bosmanowi z radą.

— Sahibie, przyjmij kanarka, po czym za chwilę podaruj go gospodarzowi — szepnął nieznacznie.

— A nie obrazi się na mnie? — mruknął bosman.

— Nie, sprawisz mu tym przyjemność...

Bosman postąpił w myśl rady Pandita Davasarmana. Gdy klatka z kanarkiem znów stała na stoliku nakryta chustą, Sun Li klasnął w dłonie. Służba natychmiast uprzątnęła stół i sprawnie rozesłała na kanie maty.

— Życzę miłym gościom przyjemnych snów, a ty, czcigodny Pandicie, chyba, jak zwykle, zechcesz jeszcze obejrzeć moją kolekcję kumganów? — odezwał się Sun Li.

— Odgadujesz myśli, dostojny Sun Li — odparł Pandit Davasarman. — Dobranoc szlachetnym sahibom...

Chińczyk i Hindus zniknęli w głębi domu.

— No, no, nie spodziewałem się, że Kitajcy mają takie tęgie głowy do chanszynu i polityki — z uznaniem zauważył bosman. — Davasarman dobrał sobie odpowiedniego kumpla.

— Ma pan rację, oni obydwaj są doskonałymi dyplomatami — odpowiedział Tomek. — Jak zręcznie poinformowali się wzajemnie o najważniejszych sprawach zaraz na początku uczyty!

— Tęgie łby...

Bosman i Tomek zaledwie przyłożyli głowy do poduszki, natychmiast zasnęli. Tymczasem Pandit Davasarman do samego świtu toczył cichą rozmowę z Sun Li. Wczesnym rankiem obudził towarzyszy. Na podwórzu stało już kilkanaście objuczonych mułów. Sun Li osobiście przeprowadził karawanę przez bramy miasta. Trzej podróżnicy udawali poganiaczy jucznych zwierząt i dopiero poza Chotanem dosiedli swych wierzchowców. Teraz szybko pożegnali Sun Li. Popędzając dwa muły objuczone zapasami żywności, zboczyli z traktu na południe ku potężnemu łańcuchowi gór.

Niebawem znaleźli się w skalistej pustyni, a wtedy Pandit Davasarman odezwał się:

— Teraz, szlachetni sahibowie, trzymajcie rewolwery w pogotowiu i nie żałujcie koni. Musimy jak najszybciej odnaleźć naszych towarzyszy.

— Czy zdarzyło się coś nadzwyczajnego? — zaniepokoił się Tomek.

— Wał pan prosto z mostu, o co chodzi — zawtórował bosman.

— Władze chińskie wyznaczyły wysoką nagrodę za pomoc w schwytaniu angielskich szpiegów. Liczne patrole wojskowe powiadamiają o

tym ludność. Nasza karawana powinna omijać sadyby ludzkie, jeśli chcemy cało wydostać się z Turkiestanu.

— Ha, jeśli tak się sprawy przedstawiają, to mieliśmy do tej pory dużo szczęścia — rzekł bosman. — Teraz zrozumiałem, dlaczego Sun Li osobiście wyprowadzał nas z miasta.

— Nasi towarzysze nic nie wiedzą o grożącym nam wszystkim niebezpieczeństwie, spieszmy więc do nich, zanim zdarzy się katastrofa — zawołał Tomek, niespokojnie oglądając się w kierunku Chotanu.

Arkany ze świstem spadały na końskie grzbiety. Odgłos cwałujących wierzchowców głucho rozbrzmiewał po skalistym stepie.

## WIELKA PRZEGRANA

Nazajutrz po opuszczeniu Chotanu trzej zwiadowcy połączyli się ze swoją karawaną, która rozbiła obóz w umówionym miejscu, w górskim jarze nad brzegiem rzeki Kerija.

Smuga zasępił się usłyszawszy wieści przywiezione od Sun Li. Teraz jeszcze bardziej podejrzana wydała mu się niemal natrętna ciekawość, z jaką koczujący w okolicy pasterze baranów wypytywali ich o cel i kierunek jazdy. Zapewne wiedzieli już o wyznaczonej przez policję nagrodzie za pomoc w schwytaniu rzekomych angielskich szpiegów. Można było przypuszczać, że nie omieszkają powiadomić władz o pojawieniu się w pobliżu ich koczowisk podejrzanych obcych podróżników.

Myśl o ewentualnym zatrzymaniu przez policję i aresztowaniu zaniepokoiła wszystkich uczestników ekspedycji, bowiem w ówczesnych feudalnych Chinach<sup>371</sup> aresztowanych poddawano podczas śledztwa torturom dla wydobycia zeznań. W myśl miejscowego zwyczaju gnieciono im palce pomiędzy deskami skręcanymi za pomocą śrub, zmuszano do klękania na deskach nabitych gwoździami, bądź też zamykano w wysokiej klatce, w której człowiek, wyciągnięty jak struna, zawisał zawieszony za głowę, wysuniętą na zewnątrz przez mały otwór na szyję w wierzchu klatki, dotykając podłogi zaledwie końcami palców nóg. Chłosta kijami wymierzana była nawet w sądach, ponieważ sędzia nie mógł wydać wyroku, jeżeli oskarżony nie przyznawał się do winy. Kary stosowane wówczas w Chinach szczególnie mogły przerażać Europejczyków. Na ulicach miast turkiestańskich często spotykało się ludzi skazanych na „zakucie w szalę” lub „przykucie do żelaznej sztaby”<sup>372</sup>.

---

<sup>371</sup> — Rewolucja pod kierownictwem Sun Jat–Sena (wybitnego bojownika o wyzwolenie narodowe i społeczne Chin) w 1911 r. zniósła feudalno–monarchistyczny ustrój. Chiny ogłoszono republiką, aczkolwiek rewolucja nie została doprowadzona do końca. Dopiero długa walka Komunistycznej Partii Chin doprowadziła w 1949 r. do proklamowania Chińskiej Republiki Ludowej, która wyzwoliła Chiny spod władzy feudałów i kapitalistów.

<sup>372</sup> — Szala — ciężka, gruba, kwadratowa deska przecięta na pół, z wyrżniętym po środku otworem na szyję. Skazańcowi zakładano ją w ten sposób, że jego głowa wystawała ponad deskę, której obydwie połowy składano w całość i zamykano na klucz. Szerokość szali uniemożliwiała pracę i jedzenie. Podobną karę stanowiło przykucie do żelaznej sztaby. Około dwóch metrów długa sztaba

Pandit Davasarman szczególnie kłopotał się o swych białych przyjaciół. Bo przecież on i jego hinduscy żołnierze bardziej oswojeni byli z myślą o torturach, często stosowanych również przez Anglików w podległych im koloniach. Zwłaszcza w hinduskiej armii śledztwo zazwyczaj prowadzono „przy pomocy chrząszcza”. Polegało ono na tym, że na obnażonym brzuchu badanego kładziono żywego chrząszcza i przykrywano go połówką wydrążonej skorupy orzecha kokosowego. Powolny chód krążącego w koło owada stawał się po krótkim czasie nie do wytrzymania i zmuszał do przyznania się do winy.

Smuga nie taił niebezpieczeństwa przed przyjaciółmi. Nie przewidziany uprzednio przez niego zatarg z bandą Naib Nazara pokrzyżował jego plany. Teraz właśnie, gdy coraz groźniejsze przeszkody piętrzyły się na ich drodze, ogarniały go wątpliwości, czy słusznie postąpił narażając swoich wiernych towarzyszy, a przede wszystkim młodego Tomka, na tak olbrzymie ryzyko.

Wilmowski był mocno zafrasowany podczas narady, natomiast bosman Nowicki wcale nie przejął się możliwością utarczki z policją bądź żołnierzami. Beztróska machnął łapskiem i rzekł:

— Wiedzieliśmy przecież, że może nam być gorąco podczas tej wariackiej wyprawy. Toteż teraz nie ma co siać cykorii przed Kitajcami. Wprawdzie męzne to zuchy, ale ze swoim uzbrojeniem niewiele mogą nam zaszkodzić. W górach łatwo się obronimy, jeśli tylko nie zaskoczą nas niespodziewanie. Wystawiaj pan wachty, panie Smuga, a wszystko będzie w porządku. Obecnie najwięcej ciekawi mnie, czy przypadkiem ktoś nie podebrał nam tego złota. Coś za wiele cwaniaków kręci się tutaj...

— Nie kłopotcz się o to, bosmanie. Złoto jest dobrze ukryte — uspokoił go Smuga. — Połowę skarbu, przeznaczoną przez mego brata dla nas, podzielimy po równej części między siebie. Każdy z nas otrzyma swój udział.

— Mamy czas mówić o tym po szczęśliwym zakończeniu wyprawy — wtrącił Pandit Davasarman. — Obecnie lepiej zastanówmy się, którądy będziemy wracali do Kaszmiru.

---

miała na obydwóch końcach przymocowane obroże. Jedną z nich zamykano na szyi skazanego, a drugą na nodze, zawieszając sztabę wzdłuż pleców. Skazaniec nie mógł samodzielnie siadać ani kłaść się, a chodził jedynie małymi kroczkami, przytrzymując oburącz sztabę. Przy obydwóch rodzajach kar skazańcy nie siedzieli w więzieniu. Szale i sztaby zdejmowano im po odbyciu kary. Na szali, czy sztabie naklejano wyrok sądu.

— Słuszna uwaga, Pandicie, to najważniejsza teraz dla nas sprawa — przywodził Wilmowski. — W takiej sytuacji, jak nasza, dobrze jest mieć z góry obmyślony plan odwrotu. Moim zdaniem w żadnym przypadku nie możemy wracać przez Chiński Turkiestan.

— Ja również tak uważam, szlachetny sahibie — potwierdził Pandit Davasarman.

— Oczywiście zgadzam się z wami — powiedział Smuga ciężko wzdychając. — W takim razie pozostaje nam jedynie spróbować przemknąć się przez Tybet. Trudna to i bardzo niebezpieczna wędrówka.

— Przecież pana brat też szedł tamtędy. Jeśli w pojedynkę zdołał pokonać wszelkie trudy, to dlaczego nam miałyby się nie udać?! — zawołał Tomek.

— Racja, brachu, w takiej kompanii można przejść nawet przez piekło — zauważył bosman, po czym zarechotał basem i dodał: — Z workiem złotego piasku w jukach można coś nie coś zaryzykować. Gdybym stał się bogaty, zaraz kupiłbym zwrotny jachcik. Sam mianowałbym się jego kapitanem, a Tomek moim pierwszym oficerem.

— Nie dzielmy skóry na niedźwiedziu — niechętnie rzekł Wilmowski. — Janie, czy daleko jeszcze do kryjówki?

— Jutro przed południem powinniśmy dotrzeć do niej — wyjaśnił Smuga. — Według planu sporządzonego przez mego brata znajduje się ona w małym parowie; u wejścia do parowu stoi wysoka iglica, omywana strumieniem wpadającym do jednego z dopływów Keriji.

— Czy szanowny braciszek zakopał złoto w ziemi? — zaciekawiał się zawsze praktyczny bosman.

— Nie, mój drogi! W potężnej, skalnej ścianie zamykającej parów jest mała pieczara. W niej właśnie brat ukrył złoto. Wejście do kryjówki doskonale zamaskował. Mianowicie za pomocą dynamitu wysadził w powietrze występ góry, by zmienić bieg strumienia, kaskadami spływającego po niej do parowu. W ten sposób wodny „*parawan*” kryje otwór pieczary.

— Jeśli tak, to faktycznie masz pan rację, że nie potrzebujemy obawiać się niespodzianki — z uznaniem powiedział marynarz. — Gdzież znajduje się ten parów?

Smuga rozłożył mapę na ziemi. Z wyjątkiem Tomka wszyscy pochylili się nad nią. Zaczęli wytyczać kierunek, mierzyć odległość, a następnie

omawiali, jakie należy przedsięwziąć środki ostrożności w celu uniknięcia schwytania przez policję lub wojsko.

Narada trwała dość długo, ponieważ Smuga i Pandit Davasarman, układali plan działania, uwzględniając wszelkie możliwe sytuacje. Tomek tym razem nie brał udziału w rozmowie. Siedział na głazie i zadumanym wzrokiem wodził po ośnieżonych szczytach górskich, poza którymi rozciągała się tajemnicza Wyżyna Tybetańska, tak zazdrośnie strzeżona przez krajowców przed obcymi przybyszami. Tam właśnie, w tej dzikiej, surowej, niegościnniej krainie brat Smugi nabawił się okropnego kalectwa. Wspomnienie nieszczęsnego człowieka przywiodło Tomkowi na myśl niezwykłą przygodę w górach Karakorum. Cóż to za stwór mógł pozostawić ślady w niezamieszkałych przez ludzi górach? Rozmyślenia o Yeti — legendarnym Śnieżnym Człowieku — przerwał Tomkowi głos ojca:

— Nad czym tak medytujesz, Tomku? — zapytał Wilmowski, przysiadając się obok syna.

Tomek uśmiechnął się i odparł:

— W wyobraźni już wędrowałem po Tybecie. Od dawna marzyłem o tak niezwykłej wyprawie.

— A ja myślałem, że układasz plany w związku ze skarbem. Bosman mianował cię pierwszym oficerem na swoim jachcie!

Tomek cicho się roześmiał.

— Ojczy, przecież wiesz doskonale, że poczciwemu bosmanowi niewiele zależy na majątku. Jemu wystarczy to, co zarobi, na utrzymanie rodziców i... butelkę ulubionej jamajki — powiedział po chwili. — Nie wyobrażam sobie zupełnie ani bosmana, ani siebie w roli bogaczy!

— Masz rację co do bosmana, ale ty jesteś jeszcze bardzo młody. Mógłbyś rozpocząć inne, spokojne życie — odparł ojciec. — Praca łowcy zwierząt jest zbyt niebezpieczna.

— Nigdy nie myśl o tym, kochany ojczy! Naprawdę jestem niezmiernie szczęśliwy, a nawet i dumny, że pozwoliłeś mi uczyć się tego zawodu.

— Jednak mimo wszystko, jeśli skarb istnieje naprawdę, jutro możesz stać się zamożny. Cóż więc wtedy uczynisz?

Tomek zafrasował się, po czym rzekł:

— Nie zastanawiałem się nad tym. Na wyprawę wyruszyłem, bo chciałem pomóc panu Smudze ze względu na jego nieszczęśliwego brata.



Poza tym przepadam za przygodami. Gdybyśmy wszakże zdobyli to złoto... ha, po prostu ofiarowałbym moją część na założenie ogrodu zoologicznego w Warszawie!

— Widzę, że nie zapomniałeś o pomysle powziętym w Australii! Cóż by jednak Sally powiedziała na to?

— Sally?! Na pewno by się ucieszyła. Tylko nie śmiej się ojcze, bo chociaż to dziecinne, ona pragnie skończyć zoologię, a potem jeździć razem z nami na wyprawy po dzikie zwierzęta.

— To nie zawód dla kobiety...

— I ja tak myślę, ale Sally nie jest mazgajem! To zuch dziewczyna! Czy... lubisz ją choć trochę?

— Prawie tak jak ciebie, mój synu. Naprawdę cieszę się, że nie nęcą cię łatwo zdobyte pieniądze. Każdy uczciwy człowiek pracą własnych rąk powinien zarabiać na swoje życie.

— To już twoja zasługa, tatusiu! Tak wiele nauczyłem się od ciebie! Przecież tobie również nie zależy na tym złocie. Dlaczego wobec tego przyłączyłeś się do wyprawy, skoro od samego początku uważałeś ją za oczywiste szaleństwo?

— Widzisz, mój drogi, to nie jest łatwe do wytłumaczenia. Gorączka złota nieraz wyzwala w ludziach najniższe instynkty. Dlatego właśnie chciałem być przy tobie podczas wyprawy po skarb. Teraz już jestem pewny, że niepotrzebnie kłopotalem się o ciebie.

— Cóż to za konszachty prowadzi załoga? — przerwał im bosman zwierzenia. — Właśnie uradziliśmy wystawić podwójną wachtę, a jutro, gdy my wyruszymy do owej pieczary, Udadżalaka z jednym jeszcze kompanem będą mieli oko na tych pasterzy, co to nas niby szpiegują.

— Bardzo słusznie, bosmanie, nie zawadzi zachować ostrożność — przytaknął Wilmowski.

Smuga z Panditem Davasarmanem jechali na przedzie. Na samym końcu Hindusi wiedli juczne konie. Zgodnie z ustalonym planem, Udadżalaka oraz jeden z żołnierzy pozostali w pobliżu koczowisk pasterzy, by zabezpieczyć ekspedycję przed wszelkimi niespodziankami.

Smuga co chwila zerkał na mapę z zaznaczoną na niej kryjówką skarbu. Parów, a więc ostateczny cel wyprawy, powinien znajdować się już bardzo blisko. Tomek niecierpliwie unosił się w strzemionach wypatrując skalnej

iglicy. Przecież nie mogło być mowy o przeoczeniu tak charakterystycznego i łatwo dostrzegalnego znaku.

Naraz Smuga odwrócił się w siodle do swych towarzyszy i zawołał:

— Według planu znajdujemy się już bardzo blisko celu. Za tym zakrętem powinniśmy ujrzeć iglicę!

— Im szybciej wydobędziemy złoto z kryjówki i zaszyjemy się dalej w góry, tym lepiej dla nas — zauważył Pandit Davasarman. — Nie podoba mi się zachowanie tych pasterzy. Odnoszę wrażenie, że oczekują na kogoś.

— Do licha, jeśli ściągną nam na kark żołnierzy, nie obejdzie się bez walki — niepokoił się Wilmowski, który zawsze był przeciwny przelewowi ludzkiej krwi.

— Obawiam się, szlachetny sahibie, że może dojść do zbrojnej rozprawy — powiedział Davasarman.

*„Chyba w korcu maku szukali się ci dwaj — mruknął bosman niezadowolony, gdyż sam z ochotą brał udział we wszelkich bijatykach. — Całe szczęście, że Smuga nie jest mazgajem. Proszę, przez cały czas okiem penetruje teren, a co zerknie za siebie, to zaraz mocniej ściska karabin w łapach. To mi kompan, pierwsza klasa!”*

Bosman przerwał monolog. Minęli właśnie zakręt i oczom ich ukazała się strzelista, skalna iglica, strzegąca wejścia do parowu, w którym miała znajdować się ukryta pieczara. Smuga uderzył konia; za nim pocwałowała reszta jeźdźców. Echo w wąwozie zwielokrotniło głuchy tętent biegnących wierzchowców.

Smuga ostro osadził konia tuż przed skalną iglicą. Rozognionym wzrokiem spoglądał w wąską, mroczną gardziel parowu, skąd wartko wypływał spieniony strumień. Mimo woli wszystkim udzieliło się podniecenie Smugi. W milczeniu zsiadli z koni i pieszo zagłębili się w parów. Szli coraz szybciej.

Marynarz i Tomek nieco wyprzedzili swych towarzyszy, toteż pierwsi minęli mroczną gardziel. Zaledwie jednak spojrzeli w głąb parowu, zatrzymali się. Po chwili już wszyscy, jak rażeni gromem, wpatrywali się w parów zavalony dziesiątkami tysięcy ton gładów i kamieni. Zamiast potężnej skalnej ściany, w której miała znajdować się zamaskowana przez wodospad pieczara, łagodnie ścięty występ skalny zamykał parów. Dziwnym zrzędzeniem losu owa skała musiała się rozsypać, grzebiąc pod rumowiskiem gładów pieczarę

oraz ukryte w niej złoto. Nawet strumień po osunięciu się góry zmienił swój bieg. Spływał łagodnymi kaskadami z występu skalnego i bokiem parowu utorował sobie nowe łożysko pomiędzy zwałami kamieni.

Przez bardzo długą chwilę nikt nie odważył się przerwać przerażającego milczenia. Oto odbyli długą, wyczerpującą wyprawę i narażali swe życie tylko po to, aby przekonać się, że skarb wydarty ziemi znów został przez nią zazdrośnie pochłonięty. To była ich wielka przegrana!

Pierwszy ochłonął bosman. Usiadł na głazie, wydobyl z kieszeni fajkę, nabił ją tytoniem i zapalił. Wyraz podniecenia zniknął już z jego twarzy. Z największym spokojem wydmuchiwał z ust kłęby jasnego dymu i zaciekawionym wzrokiem zerkał na towarzyszy. Wilmowski i Tomek po pierwszej chwili oszołomienia z niepokojem zaczęli wpatrywać się w Smugę. Przecież mimo wszystko jego spotkał największy zawód. Skąd mogli wiedzieć, jakie nadzieje wiązał z odnalezieniem ukrytego przez brata złota? Jedynie Pandit Davasarman oraz jego wierni żołnierze zachowywali filozoficzny spokój ludzi Wschodu wierzących w przeznaczenie.

Niesamowita bladość z wolna ustępowała z twarzy Smugi. W końcu usiadł na głazie obok bosmana i również zapalił fajkę. W dalszym ciągu w milczeniu spoglądał na skalne rumowisko, które pogrzebało jego złudne nadzieje. Wypalił fajkę, wyrzucił z niej resztki popiołu, uderzając nią lekko o kamień, po czym odezwał się tak charakterystycznym dla niego, opanowanym głosem:

— Czy odgadliście już, co zaszło tutaj w parowie? Otóż wspominałem wam, że brat mój, chcąc zmienić bieg strumienia, dynamitem wysadził kawał skały. To zapewne stało się przyczyną naszego niepowodzenia. Zwietrzała skała musiała wtedy ulec głębszemu zarysowaniu i podczas jakiegoś wstrząsu tektonicznego rozsypała się jak domek z kart. No, kochany bosmanie, nie będziesz kapitanem na swoim jachcie...

— Mała to strata, szanowny panie. Nie miałem nic i nie mam nic. Tym samym nic nie straciłem — niefrasobliwie odparł bosman.

Wilmowski odetchnął z wielką ulgą. Teraz nie żałował już, że wbrew własnemu przekonaniu wyruszył na tę niezwykłą wyprawę. Jego przyjaciele szczęśliwie przebrnęli przez „ogniową” próbę.

Pandit Davasarman, od dłuższej chwili z niepokojem spoglądający w gardziel parowu, naraz zawołał:

— Zdaje się, że z wąwozu dobiega tętent koni. Może to nadjeżdża Udadżalaka z nowinami?

— Nic tu po nas. Wracajmy do koni i pomyślmy o odwrocie — energicznie rzekł Smuga wstając z głazu.

— Święta racja, komu w drogę, temu czas. A że na frasunek najlepsza jest jamajka, to chyba w jukach znajdzie się jeszcze jakaś butelczyna — dodał bosman i ruszył za Smugą.

Nie zdążył wszakże wydobyć jamajki, bo zaledwie zbliżyli się do wierzchowców, ujrzeli biegnącego Udadżalakę. Z daleka wołał:

— Pasterze całą gromadą dążą naszym śladem! Wielu z nich posiada broń!

Podróżnicy pobiegli ku służbistemu wojakowi.

— Czy z pastuchami znajdują się policjanci lub żołnierze? — szybko zapytał Smuga.

— Nie, sahibie. To sami pasterze, lecz jest ich chyba więcej niż trzydziestu. Zebrali się rano z kilku koczowisk.

— Szukają guza, jak amen w pacierzu — rozgniewał się bosman. — Ha, jak sami tego chcą, to go znajdą!

— Nie czas myśleć o bijatykach, bosmanie — zgromił go Wilmowski. — Przed nami uciążliwa i niebezpieczna droga. Co pocniemy, jeśli zranią kogoś z nas?

— Masz rację, sahibie, musimy uciekać, ile tylko tchu koniom starczy — poparł go Davasarman.

— Pandicie, wypraw Udadżalakę z jucznymi końmi na przód. My tymczasem, jeśli zajdzie potrzeba, postaramy się powstrzymać pogoń — doradził Smuga.

Wybiegli w wąwóz. Udadżalaka z dwoma żołnierzami dosiedli koni i zaraz pierwsi ruszyli z jucznymi zwierzętami. Reszta uczestników ekspedycji wolniej pociągnęła za nimi.

Szlak wiódł wprost w głąb górskiego pasma. Teren wznosił się coraz wyżej. Po godzinnej jeździe pięli się już po stromym stoku. Niebawem wąwóz znajdował się w dole u ich stóp. Teraz jak na dłoni ujrzeli pogoń. Część pasterzy jechała konno, inni biegli za nimi. I oni wskazywali na stromy stok góry. Przynaglali konie do szybszego biegu, toteż piesi pozostali znacznie w tyle.

— Dogonią nas te pasibarany — rozgniewał się bosman, widząc, że juczne konie idą coraz bardziej ociężale. — Poczekajmy tu na nich i wygarnijmy parę razy z pukawek. To nauczy ich szacunku dla nas.

Smuga obejrzał się i wzrokiem uważnie oceniał odległość. Pasterze nie oszczędzali koni. Wkrótce mogli dogonić karawanę wiodącą objuczone zwierzęta.

Znowu minęła godzina, zanim podróżnicy znaleźli się na łagodniejszym grzbiecie górskiego pasma. Podczas gdy oni pięli się po stromym szlaku, pościg w pełnym cwale przebył w wąwóz i teraz z okrzykiem triumfu wpadł na stok góry.

Bosman zaklął pod nosem. Z pochwy zawieszanej na łąku siodła wy dobył karabin. Zanim przyłożył go do ramienia, Smuga zawołał:

— Nie strzelaj! Na razie pozostawmy ich w spokoju. Na tym stoku będą musieli zwolnić tempo pościgu, a my tymczasem nieco oddalimy się od nich zjeżdżając z góry w dolinę.

— Nie żałuj pan huncwotów, warto ostudzić kulą ich zapał — oburzył się marynarz.

— Mylisz się bosmanie, to na pół dzicy i biedni ludzie. Dla zdobycia wysokiej nagrody wyznaczonej przez władze bez wahania zaryzykują życie — zaprzeczył Smuga. — Teraz pragną jedynie otrzymać nagrodę, natomiast gdyby z ich strony padły ofiary łaknęliby zemsty.

— Więc mamy dać się złapać, jak te barany, które oni ganiają po pastwiskach?!

— Jeszcze nas nie schwytali! — uciął dyskusję Smuga.

Bosman zdziwiony spojrział na niego. Zaczęli zjeżdżać w dolinę i stok górski zasłonił pościg. Teraz nawet juczne konie przyspieszały kroku.

Rozległą dolinę pokrywała żółtawa, żwirowata ziemia. Wokół wystrzelały w niebo ubielone śniegiem szczyty. Teren systematycznie wznosił się w górę, gdy więc pogoń osiągnęła po jakimś czasie grzbiet pasma, znów rozległ się okrzyk radości na widok wolno sunącej karawany.

Pandit Davasarman odwrócił się w siodle. Długo spoglądał na pasterzy cwałujących w dół po stoku. W końcu powstrzymał konia, by zrównać się ze Smugą. Po krótkiej, cichej naradzie polecił Udadżalace zboczyć z doliny na stromy górski stok. Nie było tutaj jakiegokolwiek szlaku. Karawana przemykała się wprost z jednego występu skalnego na inny, wciąż pnąc się

pod górę. Wierzchowce postękiwały z wysiłku i chrapały przestraszone, bowiem głązy usuwały się im spod kopyt. Naraz jeden z koni objuczony zapasami żywności pośliznął się na chybotliwym kamieniu. Potknął się i runął na strome zbocze.

Smuga natychmiast zatrzymał całą karawanę. W tych stronach utracenie zapasów żywności bądź sprzętu obozowego równało się przegranej walnej bitwie. Oczekiwała ich uciążliwa wędrówka przez bezdroża Tybetu, cóż by więc tam mogli począć straciwszy cenne zapasy? Wszyscy zsiadli z koni. Zgrupowali się przy Smudze.

— Kiepsko z nami — odezwał się bosman. — Trzeba nam było wcześniej rozprawić się z tymi pasibaranami.

— Nie unikniemy starcia — westchnął Tomek i zarepetował karabin.

Smuga nic nie odpowiedział. Był nie mniej zasepiony od Wilmowskiego. W milczeniu rozważał jakiś desperacki plan działania, to obrzucał spojrzeniem odległy jeszcze od nich wierzchołek najbliższego pasma, to znów spoglądał na pościg, podchodzący ku nim po głązach.

— Pandicie, czy podejmiesz się roli tłumacza? — zagadnął w końcu.

— Czy chcesz, szikarze, pertraktować? — zapytał Davasarman.

— Tak, może uda mi się dojść z nimi do porozumienia.

— Nie warto ryzykować — zaoponował bosman. — Popatrz pan, jak kiepsko są uzbrojeni. Nasze karabiny raz dwa nauczą ich moresu.

— Tłumaczyłem ci już, że to odważni ludzie. Nie ustąpią łatwo, a gdy raz zaczniemy walkę, będziemy musieli zabijać bez pardonu.

— To byłoby okropne — wzdrygnął się Tomek. — Przecież właściwie oni nam nic złego nie zrobili.

— Ci biedacy mają nas za szpiegów. Przy okazji chcą zdobyć przyrzeczoną przez policję nagrodę. Czy zdołasz, Janie, przekonać ich, że pomylili się co do nas? — denerwował się Wilmowski.

— Spróbuję — krótko odparł Smuga. — Czy pójdziesz ze mną jako tłumacz, Pandicie?

— Idę z tobą, szikarze.

Smuga postąpił kilka kroków do przodu. Zaczął powiewać w powietrzu białą chustką. Na ten widok ścigający przystanęli poniżej na stoku. Pandit Davasarman przyłożył do ust obie dłonie i zawołał coś w tiurskim języku.

Pasterze zbili się w gromadę. Naradzali się, gestykułując rękoma. Po chwili jeden z nich udzielił odpowiedzi.

— Zgadzą się na rozmowę — oświadczył Davasarman. — Dwóch z ich strony i dwóch z naszej spotka się w połowie drogi, bez broni.

— Może w tym kryje się podstęp? — wtrącił bosman.

— Zaryzykujemy. Na wszelki wypadek bądźcie w pogotowiu — odpowiedział Smuga. Zaraz też odłożył karabin i zdjął pas z rewolwerem ukryty pod kozuchem.

— Ja pójdę z panem — zaproponował bosman. — Gdyby podstępnie napadli, to na pewno przydadzą się moje pięści.

— Nie kłopotz się, bosmanie, dam sobie jakoś radę. Przecież Pandit idzie ze mną, ponieważ nie mógłbym sam rozmówić się z nimi.

— Będziemy trzymali broń w pogotowiu. W przypadku zdrady wycofujcie się w ten sposób, abyśmy mogli razić ich strzałami — rzekł Wilmowski.

— Tomku, stań tu przy mnie z pukawką — polecił bosman. — A ty, Udadżalaka, ze swoimi ludźmi przycupnijcie za głazami.

Smuga powiewając chustką razem z Davasarmanem schodzili w dół stoku. Dwóch krępych pasterzy wyszło im naprzeciw. Układy trwały dość długo, lecz wkrótce nabrały zapewne pomyślnego biegu, gdyż Smuga poczęstował pasterzy tytoniem.

Tomek przez cały czas obserwował ich przez lornetę. W pewnej chwili zdumiony zawołał:

— Pan Smuga wyjął woreczek ze złotem, który otrzymał od swego brata.

— Domyślałem się, że zechce zaproponować im okup... — powiedział Wilmowski. — Oby tylko przystali na tę propozycję!

— Ani chybi, Smuga wyjdzie z tej wyprawy goły jak święty turecki — zżymał się bosman.

Posłowie uprzejmie się pożegnali, po czym Smuga z Panditem Davasarmanem ruszyli ku karawanie, a dwaj pasterze pospiesznie oddalili się w dół zbocza ku swoim.

— Jakie są wyniki pertraktacji, Janie? — niespokojnie zapytał Wilmowski, gdy posłowie, trochę zasapani wchodzeniem pod górę, znaleźli się wreszcie w kręgu przyjaciół.

— Zaraz przekonamy się naocznie — odparł Smuga. — Za chwilę powinni rozpocząć odwrót.

— Czy przyjęli okup? — ciekawił się Tomek.

— Przyjęli, dałem im podwójną sumę, jaką władze chińskie wyznaczyły za schwytanie nas — potwierdził Smuga. — To dla nich prawie majątek. Ponadto zapewniliśmy ich, że udajemy się do Tybetu jako pielgrzymi do świętej dla buddystów Lhasy.

— Chyba nie chcesz pan powiedzieć, że oni w to uwierzyli? — roześmiał się marynarz.

— Tego nie wiem, w każdym razie przychylnie przyjęli to do wiadomości i wzięwszy okup, przysięgli na Koran, że zaniechają pościgu.

— A jeśli nas oszukają?

— Na ogół mahometanin nie łamie przysięgi złożonej na swą świętą księgę.

— Odjeżdżają, naprawdę odjeżdżają! — zawołał uradowany Tomek.

Podróżnicy z uczuciem niezmierniej ulgi spoglądali za odjeżdżającymi pasterzami. Dopiero gdy konna grupa połączyła się z nadciągającą pieszą gromadką i wspólnie z nimi ruszyła ku pasmu górskiemu, Smuga odezwał się:

— Teraz możemy sobie powiedzieć, że odbyliśmy wyłącznie krajoznawczą wyprawę. Pozbyłem się już prawie wszystkiego złota, które mój nieszczęsny brat pozostawił mi w spadku. Tych kilka grudek, spoczywających na dnie niegdyś pękatego woreczka, starczy nam zaledwie na powrót do Europy.

— Najlepiej pan uczynisz, rzucając tę resztę w przepaść — powiedział bosman. — To złoto zbyt wielu ludziom przyniosło nieszczęście. Pana brat zmarł jako kaleka, biedny Abbas, który przechowywał dla nas depozyt, został zabity, morderca jego, a zarazem złodziej poniósł okrutną karę, potem dla tego właśnie złota musieliśmy zabić zbója Naib Nazara oraz wielu jego zuchów, a przed chwilą omal nie doszło do krwawej rozprawy. Tfu, do stu zdechłych wielorybów, lżej oddycham na myśl, że znów jesteśmy goli.

— Skoro nikt z nas nie martwi się utratą fortuny, to zajmijmy się odzyskaniem juków z żywnością, które razem z koniem leżą wśród głazów na stoku — rzekł Smuga, uśmiechając się do towarzyszy. — Kto na ochotnika opuści się na linie?



— Ja, proszę pana — zgłosił się Tomek. — Nabyłem już nawet pewnego doświadczenia w karkołomnych wyczynach podczas tej wyprawy.

— Dobra nasza, będę trzymał cię na linie — zaproponował marynarz. — Możesz na mnie polegać.

Pandit Davasarman ciekawie przysłuchiwał się rozmowie białych sahibów. Z coraz większym zdumieniem spoglądał na nich. Przecież wyruszyli na niebezpieczną wyprawę dla zdobycia złota, a teraz cieszyli się, że są tak samo biedni jak przedtem. W parowie, z zawałoną głazami pieczarą, Pandit Davasarman postanowił, po powrocie do Alwaru, prosić swoją siostrę, by szczerze obdarowała jego zawiedzionych w nadziejach przyjaciół. Na pewno chętnie by to uczyniła, choćby przez wzgląd na rycerskość Tomka. Teraz jednak, gdy poznał ich niezwykłą szlachetność, zrozumiał, że taki dar byłby dla nich obrazą.

Tymczasem czterej biali przyjaciele, nieświadomi uznania, jakie wzbudzili w sercu wielkodusznego Hindusa, ochoczo przystąpili do pracy. Pokpiwali przy tym z siebie wesoło, jakby zapomnieli, że jeszcze mają przed sobą przeszło czterotygodniową, groźną wędrówkę.



## CIEŃ LEGENDARNEGO YETI

Po kilku dniach podróżnicy znajdowali się już na Wyżynie Tybetańskiej. Mimo to w dalszym ciągu unikali wszelkich spotkań z ludźmi, ponieważ północna krawędź wyżyny tworząca rozległą krainę Czan Tang<sup>373</sup>, politycznie jeszcze należała do Chińskiego Turkiestanu.<sup>374</sup> Pospiesznymi marszami dążyli na południowy zachód, by jak najprędzej znaleźć się w Tybecie Właściwym. Tam dopiero mieli zamiar rozejrzeć się za przewodnikiem, który by doprowadził ich do granicy Ladakhu.

Wyszukanie odpowiedniego przewodnika stawało się z dnia na dzień coraz bardziej nagłą potrzebą. Zapuszczali się w nieznaną, prawie bezludną i nieurodzajną krainę, niemal pozbawioną roślinności. Zdobycie pożywienia, wody do picia, opału czy też paszy dla koni urastało tam do zagadnienia życia i śmierci.

Tomek podczas wieczornych biwaków często wydobywał z podręcznej torby mapę Tybetu i tęsknym okiem spoglądał na potężne rzeki, biorące początek w niebotycznych łańcuchach górskich obramowujących wokół tę rozległą, wysokogórską wyżynę. Rzeka Tarym stanowiła zlewisko wód płynących w północnej części wyżyny. Korytem Tarymu spływały one do jeziora Łob–nor, natomiast rzeki: Jangcy, Huang–ho, Mekong, Saluin, Indus i Brahmaputra zlewały swe wody do odległych oceanów. Podłużne doliny Indusu i Brahmaputry na południu, jako „*kraje rzek*”, skupiały życie gospodarcze, polityczne i religijne Tybetu. Natomiast reszta Wyżyny Tybetańskiej stanowiła krainę bezodpływową, podzieloną pasmami górskimi i grzbietami na mnóstwo pustynnych nieck, w których tu i ówdzie znajdowały się słone jeziora<sup>375</sup> o wodzie nie nadającej się do picia.

---

<sup>373</sup> — Wyżyna Tybetańska dzieli się na 5 głównych krain: Ladakh na zachodzie (przynależny politycznie do Kaszmiru), Czan Tang (Tschan–tang) na północy, Bod Jul, czyli Tybet Właściwy na południu (obecnie autonomiczna prowincja chińska, zwana w jęz. chińskim Sicang), Chinghai, czyli obszar Kuku–nor na północo–zachodzie (przynależny do Chin) i Kam (Kham) na południowym wschodzie (częściowo należący do Chin).

<sup>374</sup> — Prowincja chińska — Sinkiang.

<sup>375</sup> — Większe jeziora przeważnie o słonej wodzie to: Panggong–co, Landak–co, Kjaring–co, Jamdok–co, Selling–co, Dangrajum–co, Lighten, Manasarowar, Aczyg–kuł, Ajagkum–kuł, Tengri–nor, Kuku–nor, i rozległe błota Cajdam (Tsaidam).

Pusty i mroźny step niegościnnie witał karawanę. Podczas lata czasem można było na nim spotkać koczowniczych pasterzy tybetańskich, trudniących się wypasem owiec, koni i jaków. Wtedy bowiem nad brzegami zagubionych w pustkowiu jezior oraz wokół gorących źródeł krzewiła się w rzadko rozsianych kępkach słonawa, gruba trawa. Była ona doskonałym pokarmem dla zwierząt. Również w okresie polowań na dzikie jaki na pustynię zapuszczali się nieraz odważni myśliwi w poszukiwaniu cennej zwierzyny. Teraz wszakże zbliżała się straszliwa tybetańska zima i tylko paląca konieczność mogła zmusić koczowników do zagładnięcia do tej groźnej dla człowieka i zwierząt krainy.

Dzika, bezludna pustynia, której w zimie unikały nawet ptaki, mimo woli napawała niepokojem naszych podróżników. Teraz coraz częściej wspominali zmarłego brata Smugi. Tym samym szlakiem samotnie przedzierał się z Chińskiego Turkiestanu do Ladakhu. Tylko człowiek bezgranicznie odważny i zdecydowany na wszystko mógł podjąć się tak szaleńczego przedsięwzięcia. Czyż wobec tego można było dziwić się, że po straszliwym marszu zabrakło mu sił już niemal u samego celu wędrówki?!

Smuga starał się ukryć swe wzruszenie słuchając rozmów towarzyszy, lecz milczenie jego było bardzo wymowne. Często zaszepconym wzrokiem wodził po bezkresnym pustkowiu, jakby szukał jakichś śladów pozostawionych przez swego brata. W takich chwilach Tomek niczym cień dążył u boku Smugi, chcąc okazać mu współczucie.

Pandit Davasarman, mimo doskonałej znajomości krajów Azji Środkowej, tylko z wielkim trudem odnajdywał właściwy kierunek marszu wśród licznych, szerokich dolin i kotlin. Na domiar złego względna dotąd pogoda zaczęła nagle pogarszać się z dnia na dzień. Z głębi wyżyny powiał gwałtowny wicher. Niósł całe chmury słonawego pyłu; oślepił ludzi i zwierzęta, powodował ciągłe łzawienie, wdzierał się do ust, nosów, uszu, przenikał pod odzienie. Pod wpływem dokuczliwego słonawego pyłu spierzchnięte z zimna ciała podróżników pokrywały się bolesnymi ranami.

Nasi łowcy, zahartowani podczas licznych wypraw do znoszenia trudów uciążliwej podróży, nie żalili się na własne cierpienia. Największą ich troskę stanowił opłakany stan wyczerpanych wierzchowców. Przecież utrata koni w surowej, bezbrzeżnej pustyni groziła zagładą całej karawanie. Toteż nie zważając na zastraszające zmniejszanie się zapasu spirytusu do maszynek do

gotowania, codziennie napełniali duży kocioł śniegiem i topili go, żeby zdobyć wodę dla koni. A tymczasem zwierzęta chudły niemal w oczach, nie chciały już nawet jeść skąpo wydzielanych racji obroku i tylko chciwie lizały ozorami twarde śnieg.

Pewnego dnia Pandit Davasarman oznajmił swym towarzyszom, że według jego obliczeń powinni już znajdować się w Tybecie Właściwym. Zaraz też poprowadzili karawanę wprost na zachód. Dążąc w tym kierunku powinni dojść do granicy Ladakhu. Podróżnicy poczuli się raźniej, a ich lepszy nastrój zdawał się udzielać również i wierzchowcom. Samorzutnie zaczęły przyspieszać kroku, wstrząsały łbami i parskały.

— Ho, ho, pańskie oko konia tuczy — zawołał bosman, widząc nieoczekiwane ożywienie się wierzchowców. — Zaledwie poprawiły się nam humory, pocziwe szkapiny w mig to wyniuchały.

— Widocznie nie pisane nam zginąć w tej okropnej pustyni — powiedział Tomek. — Czyżby konie zwierzyły jakieś ludzkie sadyby?

Pandit Davasarman niczym ogar na łowach uniósł głowę i głęboko wciągnął nosem powietrze. Po chwili rzekł:

— Prawdopodobnie w pobliżu muszą znajdować się gorące źródła. Wydaje mi się, że wiatr niesie z zachodu ostry zapach.

— Nie mylisz się pan! Mój niezawodny bosmański nos mówi mi to samo. Wprawdzie obawiałem się, czy w tej diabelskiej krainie nie zbliżamy się przypadkiem do bram piekielnych, bo w powietrzu czuć jakby siarką, ale może masz rację, że to tylko są gorące źródła. Słyszałem, że one tak właśnie cuchną!

— Nareszcie będziemy mogli się umyć! — ucieszył się Tomek. — Proszę pana, czy ta woda nadaje się do picia?

— Nie jest ona zbyt przyjemna w smaku, lecz może właśnie przy gorących źródłach uda się nam zdobyć trochę pokarmu dla koni — odparł Davasarman. — Poza tym korzystając z wysokiej temperatury wody możemy roztopiać w niej śnieg w kotłach.

— To naprawdę dobra nowina — wtrącił Wilmowski.

— Na bezrybiu i rak ryba. Oby tylko nasze domysły nie okazały się gruszkami na wierzbie — westchnął bosman. — Jeśli to naprawdę będą gorące źródła, to zaraz urządzimy takie pranie, jakie moja szanowna mamusia zwykle urządzała na Powiślu przed Świętami Wielkanocnymi.

— Na ochotnika zgłaszam się do pomocy — zaofiarował się Smuga. — Bielizna już się na mnie lepi.

Tak rozmawiając i pocieszając się wzajemnie zbliżali się do pasma pagórków. Teraz musieli cugłami powstrzymywać konie, które niecierpliwie wstrząsały łbami i rwały się do biegu. Podróżnicy nabrali pewności, że są już blisko gorących źródeł. Nad koliskiem niskich wzgórz unosiły się kłęby pary.

Wkrótce wjechali w kotlinę. Tomek krzyknął z radości ujrawszy zieloną łąkę, na której nie opodal jednego ze źródeł spokojnie pasło się stado czarnych jaków. W pobliżu na wzniesieniu czuwał samotnie olbrzymi buhaj — przewodnik stada. Długość jego potężnego cielska przekraczała cztery metry, a wysokość w kłębie wynosiła około dwóch metrów. Jak zwykle u starszych samców jaków, grzbiet i górną część boków pokrywała sierść o brunatnym odcieniu. Karawana nadjechała do kotliny pod wiatr, toteż buhaj zauważył ją dopiero po okrzyku Tomka. Udomowione jaki są nadzwyczaj pożyteczne dla człowieka, lecz w stanie dzikim stają się nie mniej groźne od afrykańskiego bawołu. Zaledwie buhaj dojrzał karawanę, natychmiast zaczął uderzać racicami o ziemię, czym zaalarmował resztę stada. W mgnieniu oka rozjuszone jaki, wysoko zadarłszy puszyste ogony, jak lawina ruszyły na karawanę. Pochyliwszy nisko łby, uzbrojone w szeroko rozstawione, wielkie rogi, szarżowały zgrupowane w szeregu. Długie, czarne włosy porastające ich brzuchy i nogi powiewały w pędzie jak bojowe chorągiewki.

Niespodziewane pojawienie się jaków oraz ich nagły atak w pierwszej chwili zaskoczyły podróżników. Smuga najprędzej zorientował się w groźnej sytuacji.

*„Uciekajcie w bok na obydwie strony, prędzej!”* — krzyknął donośnie.

Jeźdźcy zdarli konie cugłami. W popłochu usiłowali usunąć się z drogi szarżującemu stadu. Tak doświadczony łowca jak Smuga znał zwyczaje jaków. Wiedział, że podrażnione szarżują na oślep na wroga, lecz biegną wprost przed siebie i nigdy nie zawracają, jak to często zwykły podstępnie czynić bawoły afrykańskie. Toteż teraz Smuga ostro powstrzymał swego przestraszonego wierzchowca i zmusił go do biegnięcia przed stadem. W ten sposób ściągnął na siebie uwagę rozjuszonych zwierząt i pomknął przed nimi.

W tej właśnie chwili śmiertelne niebezpieczeństwo zawisło nad Panditem Davasarmanem. Usiłował on bowiem ściągnąć z drogi pędzących na oślep jaków jucznego konia, który przerażony widokiem olbrzymich, nieznanych

mu czarnych zwierząt, czterema kopytami zaparł się w ziemię. Pandit Davasarman widząc, że nie zdoła już go uratować, skierował wierzchowca w ślad za Smugą. Na nieszczęście koń Hindusa potknął się o kępę i w powietrzu fiknął kozła. Jeździec wyleciał z siodła jak z procy. Jaki przetoczyły się po koniu tratując go ostrymi racicami. Davasarman tymczasem upadł wprost na grzbiet dzikiego wołu, który jednym wierzgnięciem zrzucił go z siebie na ziemię.

Pędzące stado zniknęło za Smugą w wylocie kotliny. Gromadka podróżników, z wydobytymi poniewczasie karabinami, otoczyła Pandita Davasarmana. Hindus ociężale podniósł się z ziemi i chociaż utykał na prawą nogę, dał im znak, aby nie kłopotali się o niego. Ręką wskazał na wylot kotliny. Zrozumieli, że niepokoi się o odważnego Smugę.

Tym razem wszelkie obawy okazały się zbyteczne. Gdzieś poza kotliną huknął strzał, a nieco później pojawił się na spienionym wierzchowcu Smuga.

— Udało się, na szczęście! — zawołał zeskakując z siodła. — Jaki chyba jeszcze dalej gnają po pustyni. Podczas okrążania pagórka skryłem się za występ i wtedy ominęły mnie. Przy okazji posłałem kulę młodemu wołu. Będziemy jedli świeże mięso.

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Wprawdzie stracili dwa konie stratowane przez jaki i Pandit Davasarman miał potłuczoną nogę, ale mimo to mogli być wdzięczni losowi, że niezwykle wydarzenie nie skończyło się bardziej tragicznie.

Ochoczo zakrzętnęli się koło rozłożenia obozu. Jedni rozpinali namioty, drudzy zbierali na opał cenny w tym kraju nawóz jaków, a Udadżalaka wraz z jeszcze jednym żołnierzem wyprawili się z końmi po zastrzelonego przez Smugę jaka.

Nie minęły dwie godziny, a w namiotach były już przygotowane posłania na yakdankach. Nad rozpalonym ogniskiem zwiślał kociołek, z którego rozchodził się smakowity zapach rosółu. Bosman, jako kucharz, co chwila sięgał warząchwią do kotła i kosztował potrawy głośno mlaskając z zadowolenia. Od szeregu dni żywili się jedynie polewką z prażonej mąki rozbełtanej z przegotowaną wodą ze śniegu, toteż teraz cieszyli się na myśl o innej stawie.

Wokół gorących źródeł temperatura była dość znośna. Po raz pierwszy od dwóch tygodni podróżnicy wymyli się do czysta i wyprali swoją bieliznę.

Oczywiście szczególną opieką otoczyli zdrożone konie. Było to konieczne, ponieważ spragnione zwierzęta rwały się do cuchnącej wody. Dopiero po jakimś czasie napojone konie uspokoiły się i zaczęły skubać na łące trawę.

Cuchnąca siarką kotlina wydała się utrudzonym podróżnikom prawdziwym rajem na ziemi. Niespieszno więc było im ją opuścić. Dzięki gorącym źródłom nie odczuwali zimna, a pożywna świeża pasza przywracała siły ich wierzchowcom. Nawóz jaków pozwalał na oszczędzanie paliwa do maszynek do gotowania. Nic więc dziwnego, że dopiero po trzech dniach wypoczynku Pandit Davasarman dał hasło do wymarszu.

Z powodu utraty dwóch wierzchowców, dwóch ludzi musiało wędrować pieszo, toteż obecnie, podczas marszu, na zmianę dosiadali koni.

Wichura uspokoiła się; w dzień słońce mocno przygrzewało, lecz noce były niezwykle mroźne. W dalszym ciągu nie napotykali osiedli.

Brak wody znów zaczął im dawać się we znaki. Po kilku dniach wierzchowce już ledwo się wlokły.

Pewnego popołudnia czarne chmury pokryły całe niebo. Zerwał się mroźny wichur, który wkrótce sychnął tumanami śniegu. Karawana znajdowała się na lekko sfalowanym płaskowyzu. Wichur stopniowo przybierał na sile i niebawem uderzał już z tak wielką mocą, że jeźdźcy ledwo mogli utrzymać się na nogach. Dalszy marsz stał się zupełnie niemożliwy.

Podróżnicy z trudem rozpięli namioty. Osłonili je jukami i bryłami śniegu. Mimo to buran wrywał kołki przytrzymujące linki, rwał płachty namiotów i przewracał bambusowe drążki. Długa, bardzo mroźna noc minęła na uciążliwym zmaganiu się ze straszliwym żywiołem.

Nawałnica uciszyła się dopiero nad ranem. Po krótkim wypoczynku wyruszyli w drogę, pozostawiając za sobą trzy martwe konie. W posępnym milczeniu i z niepokojem w sercach spoglądali ku zachodowi.

Tego właśnie dnia napotkali stado jaków. Nauczeni smutnym doświadczeniem, z dala już chwycili za karabiny. Ostrożnie zbliżali się do brzegu zamarzniętego jeziora.

Bosman pieszo wysforował się do przodu. Trzymając pod prawą pachą w pogotowiu karabin. Po chwili odwrócił się do przyjaciół i zawołał radośnie:

— Do góry głowa, panowie! Koło ratunkowe już nadpływa. Wciągnijcie banderę na maszt! Na wprost nas widzę namioty!

— Hurra! — krzyknął Tomek.



Przyspieszyli kroku. Stado oswojonych jaków nie zwracało uwagi na przechodzącą obok karawanę. Wkrótce znaleźli się w koczowisku pasterzy. U stóp ostro ściętego wzgórza stało kilka namiotów. Wał ułożony z kamieni osłaniał je nieco przed uderzeniami wichru. Namioty Tybetańczyków zbudowane były z brezentowych płacht, poziomo rozpiętych na drągach. Na wierzchu posiadały podłużne otwory do wypuszczania dymu. Obok namiotu tkwiły wbite w ziemię kije, obwieszane kolorowymi szmatkami — chorągiewkami modlitewnymi.

Kilku mężczyzn pojawiło się przed namiotami. Na powitanie wysunęli z ust języki, po czym zawołali:

„*Dzule master sahib!*”

Gromadka dzieciaków otoczyła podróżników i naśladując starszych ochoczo prezentowała swe czerwone „*ozorki*”.

Bosman Nowicki z komiczną powagą kilkakrotnie wysunął język, przy czym nieznacznie mrugnął w kierunku Tomka. Podróżnicy i bez tej zachęty ze szczerą radością witali krajowców. Tybetańscy pasterze okazali się uprzejmi i bardzo gościnni. Pomogli rozjuczyć konie i zaraz odprowadzili je na łąkę w pobliżu gorących źródeł. Zaprosili podróżników do swych namiotów. Zaledwie zasiedli na rozciągniętych na ziemi skórkach jaków, kobiety postawiły przed nimi małe, okrągłe miseczki, które starannie wylizały do czysta własnymi językami. Tomek i bosman przymknęli oczy, by nie widzieć tej oryginalnej uprzejmości.

W Ladakhu szczęśliwie udało się im uniknąć picia herbaty przyrządzonej na sposób tybetański. Teraz jednak byli zgłodniaли i zziębnięci do szpiku kości. Poza tym obawiali się obrazić gościnnych pasterzy. Tybetanki przyniosły kociołek z herbatą oraz skórzany worek, sierścią zwrócony do wewnątrz. Nalały do miseczek herbaty, po czym jedna z nich otworzyła worek, służący do przechowywania masła ubitego z mleka jaków. Palcem wskrobywała z sierści grudki masła i kładła je do płynu. Następnie do każdej miseczki wsypała szczyptę soli.

Pandit Davasarman oraz jego żołnierze przełkali tybetańską herbatę bez mrugnięcia okiem. Natomiast biali podróżnicy sączyli ją powoli, by uniknąć drugiej porcji. Za to z prawdziwie wilczym apetytem zabrali się do jedzenia, gdy postawiono przed nimi dymiącą pieczeń baranią oraz gotowane mięso jaka.

Pandit Davasarman wręczył krajowcom drobne upominki. Dopiero po tej ceremonii rozpoczął pertraktacje w sprawie wynajęcia jaków. Jednocześnie poprosił o przewodnika, który mógłby doprowadzić ich do Ladakhu. Po bardzo długich targach Tybetańczycy przystali na wypożyczenie sześciu jaków oraz zobowiązali się dostarczyć dwóch przewodników. Mieli oni doprowadzić karawanę do klasztoru w Hemis, a stamtąd powrócić razem ze swymi jakami do koczowiska. Żeby dobić targu, Smuga znów musiał sięgnąć do niemal już pustego woreczka, odziedziczonego po bracie. W zamian za trochę sprzętu obozowego i szereg innych drobiazgów, jak: lusterka, grzebienie, igły, nici, tytoń i nieco odzienia, podróżnicy otrzymali odpowiedni zapas żywności.

Podczas pertraktacji z Tybetańczykami Tomek rozglądał się po prymitywnym osiedlu. Pasterze posiadali w swych namiotach misternie rzeźbione drewniane skrzynie, kaszmirskie dywany, chińskie miski z porcelany i ozdobne posążki Buddy. Nie brak tu było również młynków modlitewnych, noszących widoczne ślady pracowitych rąk, na swój sposób pobożnych pasterzy.

Po dwudniowym wypoczynku karawana wyruszyła w drogę. Jeszcze tylko tydzień marszu dzielił podróżników od łańcucha gór Karakorum, wrzynających się w Tybet swym południowym krańcem.

Po przyłączeniu się do karawany tubylców–przewodników wraz z wypoczętymi jakami marsz przez kraj stał się mniej uciążliwy. Teraz znów wszyscy uczestnicy wyprawy mogli jechać konno, podczas gdy silne woły niosły juki. Tybetańczycy doskonale czuli się w surowym klimacie swej ojczyzny. Wyruszając w drogę każdy z nich zabrał jedynie po jednym osiodłanym do jazdy jaku, a para juków przewieszonych obok siodła oraz gruby koc i stare strzelby stanowiły cały ekwipunek. Mimo przenikliwego zimna spali pod gołym niebem, przykryci kocem i z jukami pod głową. Po całodziennej uciążliwej wędrówce chętnie pomagali w rozkładaniu obozu, starali się o zdobycie opału oraz wody i nigdy nie było widać po nich znużenia. Tymczasem biali podróżnicy — w miarę jak teren wznosił się coraz wyżej w pobliżu gór Karakorum i powietrze stawało się bardziej rozrzedzone — nie byli zdolni do większego wysiłku. Szczególnie olbrzymi bosman Nowicki i młody Tomek szybko męczyli się i narzekali na silne bicie serca. Zawsze opanowany, małomówny Pandit Davasarman i jego hinduscy

żołnierze, przywykli do wędrówek po wysoczyznach Azji Środkowej, okazali się wspaniałymi towarzyszami podczas tak niezwykle trudnej wyprawy. Zauważywszy złe samopoczucie Tomka i marynarza, wykonywali za nich wszystkie prace obozowe oraz otaczali ich życzliwą opieką.

Obydwaj przewodnicy dość dobrze orientowali się w terenie. Mimo to nawet oni czasem stawali bezradni wobec niezwyklej wikłaniny dolin i kotlin. Gdy niebo było pogodne, drogowskazem był im gwiazdozbiór Krzyż Południa, według którego ustalali właściwy kierunek. Wiedzieli też doskonale, jakie pory dnia najlepiej nadają się do odbywania marszu. Na przykład podczas wichrów i śnieżyc dawali hasło do drogi jeszcze przed wschodem słońca, ponieważ w tych okolicach najpotężniejsze nawet zawieruchy uspokajały się zazwyczaj, na pewien czas, przed nastaniem świtu.

Pewnego dnia przewodnicy powiedli karawanę wprost ku pasmu górskiemu. U stóp gór, w głębokiej niecce, miało znajdować się kilka gorących źródeł. Według zapewnień Tybetańczyków można tam było spotkać dość liczne stadka dzikich jaków, osłów–kułanów, a także owiec i antylop, które zadowalały się skąpą roślinnością stepową, pokrywającą gdzieniegdzie tę jałową wyżynę<sup>376</sup>.

Przewidywania przewodników sprawdziły się niebawem. Dwie upolowane antylopy wprowadziły wszystkich w dobry nastrój, mimo że Tybetańczycy zaoponowali przeciwko zatrzymaniu karawany na postój.

— Sahibie, lepiej nie rozkładać tutaj obozu. Już blisko do gompa<sup>377</sup> — tłumaczył krajowiec, mieszając w tybetańską mowę poszczególne angielskie słowa. — Poprowadzę sahibów pieszo na przełaj przez góry. Szybko będziemy na miejscu. Natomiast mój syn powiedzie konie i jaki dalszym, wygodniejszym traktem. Poczekamy na niego w gompa. Zanim przybędzie, zdążymy odpocząć.

— Co sahibowie powiedzą na to? — zapytał Pandit Davasarman.

---

<sup>376</sup> — Wklęsłości terenu we wnętrzu Tybetu pokryte są rumoszem skalnym, gdyż z powodu ubogiej roślinności zwietrzelina tworzy się bardzo intensywnie. W znacznej części kraju napotyka się jedynie skąpą wysokogórską roślinność stepową. Tylko w osłoniętych, niżej położonych regionach pojawiają się zgrupowania topoli i wierzb oraz większe gaje drzew owocowych. Bujniejsze lasy występują dopiero w dolinach przełomowych na krawędziach wyżyny. Zboża, jak: jęczmień, owies i pszenica, uprawiane są tylko na południu — w dolinie rzeki Cang-po i jej dopływów, lecz pola uprawne i tam wymagają sztucznego nawadniania.

<sup>377</sup> — Gompa — po tybetańsku klasztor.

— Jeśli przejście przez góry nie jest zbyt uciążliwe, to warto by sobie skrócić drogę. Chętnie rozprostuję nogi — odparł Wilmowski.

— Ja zaś wolę wytrząsać brzuszysko na szkapie, niż pieszo drałować po górach — markotnie rzekł bosman. — Mdli mnie już na sam widok skalnych wertepów.

Udadzałaka darzył dobrodusznego marynarza wielką sympatią, zaraz też oświadczył, że również pozostanie przy koniach. Stało wobec tego na tym, że wszyscy hinduscy żołnierze, z wyjątkiem Davasarmana, wyrazili chęć towarzyszenia bosmanowi i razem z jednym przewodnikiem pojechali dalej końmi. Reszta podróżników, pod przewodem starego Tybetańczyka, ruszyła na przełaj przez góry.

Grupa idąca pieszo, obdarzona jedynie lekkimi plecakami i karabinami, początkowo szybko pięła się po bezdrożach, lecz wkrótce Tomek zaczął żałować, że opuścił bosmana. Przejście na przełaj wcale nie było łatwe. Tybetańczyk wiódł ich po bezdrożach, nagich stokach, zawalonych złomami pni. To wędrowali nad skrajem przepaści, to znów pięli się po urwiskach pokrytych śnieżną skorupą. Tego dnia pogoda była prawie bezwietrzna. Płachty śniegu skąpane w promieniach słońca raziły wzrok, więc nałożyli drewniane „okulary”, w których szkła zastępowało końskie włosie. Tybetańczyk również osłonił przed blaskiem swe oczy. Ponieważ nie posiadał okularów, po prostu rozplótł warkocz i opuścił włosy z przodu głowy na twarz.

Po trzech godzinach znaleźli się na małej, wysoko położonej przełęczy. Wokół roztaczała się dzika, góraska panorama. Jak okiem sięgnąć wszędzie widać było pokryte wiecznym śniegiem i lodem szczyty, wystrzelające wysoko w niebo.

Po jakimś czasie przewodnik zatrzymał się nad głębokim uskokiem. Zafrasowany rozglądał się po urwiskach. Podróżnicy zaniepokojeni przystanęli obok niego.

— Tutaj przecież nie ma przejścia — odezwał się Pandit Davasarman. Wydaje mi się, że zabłądziłeś.

— Jakże mógłbym zabłądzić? Przecież znam te okolice od dziecka — oburzył się Tybetańczyk. — To złe duchy sprowadziły nas na manowce. Na to nikt przecież nie poradzi.

— Nie tłumacz bzdurami swojej pomyłki — skarcił go Smuga.

— Nie mów tak, sahibie. Góry naprawdę są zamieszkiwane przez różne... złe i dobre duchy. One naumyślnie sprowadziły nas z właściwej drogi, abyśmy nie mogli trafić do świętego gompa.

— A czy ty na pewno wiesz, gdzie ten klasztor się znajduje? — zagadnął Tomek.

— Jakże mógłbym nie wiedzieć? Przecież wszystkie gorące źródła i łąki w tych stronach są własnością świętych lamów z naszego gompa. Ja i moja rodzina również do nich należymy. Nawet teraz niosę lamom opłatę należną za wypasanie mojego bydła na ich łąkach.

— Czy i ty również jesteś lamą? — zdziwił się Tomek.

— Nie, sahibie, oni są moimi panami. Należę do nich — odparł przewodnik.

— Dlaczego nazywasz tych lamów swoimi panami? Czy nie jesteś wolnym człowiekiem?

Tybetańczyk spojrział na Tomka pełnym niedowierzania wzrokiem, jakby obawiał się, czy ten przypadkiem nie kpi z niego. Po chwili odpowiedział:

— Nie żartuj, młody sahibie. Każdy człowiek musi mieć swego pana i płacić mu daniny. I ty też pewno masz pana<sup>378</sup>.

— Dajmy teraz spokój dysputom — wtrącił Pandit Davasarman. — Zastanów się, którędy mamy iść do gompa.

— Musimy się trochę wrócić. Jeśli duchy nie będą przeszkadzały, to wkrótce odnajdę dobrą drogę.

Zaczęli schodzić po stromym stoku. Tomek zmęczony więcej od innych, wolno włókł się na samym końcu. W pewnej chwili wydało mu się, że czuje na sobie czyjś uporczywy wzrok. Odwrócił się i nagle ujrzał na śniegu cień kogoś ukrytego za skalnym załosem. Na cichy okrzyk Tomka jego towarzysze obejrżeli się, musieli również dostrzec olbrzymi cień nieznanej

---

<sup>378</sup> — W Tybecie do niedawna panował ustrój teokratyczny, to znaczy, że państwo było całkowicie rządzone przez księży — lamów, buddyjskich mnichów. Naczelnikiem państwa był dalajlama, najwyższy kapłan, uznawany za „żywego *Buddę*” i rezydujący w świętym dla buddystów mieście Lhasie. Lamowie stanowią 20% ogółu ludności i zgrupowani są w około 3000 klasztorów rozrzuconych po całym Tybecie. Praktycznie w panujących tam wówczas warunkach feudalnych każdy chłop czy rzemieślnik podlegał jakiemuś „*panu*”, dla którego odrabiał pańszczyznę i któremu płacił daninę. Te stosunki uległy zmianie dopiero od 1951 r., gdy na skutek porozumienia chińsko-tybetańskiego Tybet przyłączył się do Chińskiej Republiki Ludowej. Obecnie stanowi autonomiczny obszar zarządzany przez dalajlamę.

istoty na gładkim jak lustro śniegu, gdyż przystanęli i zdumieni spoglądali na siebie.

— Mi-te, zwierzę chodzące jak człowiek! — zawołał Tybetańczyk pełnym przerażenia głosem.

Usłyszawszy to, Tomek błyskawicznym ruchem zrzucił z ramion plecak, po czym podskoczył ku głazowi, ściskając w dłoniach swój sztucer. Zaintrygowany zasłyszczanymi uprzednio opowieściami o dziwnym Yeti — biegł nie patrząc nawet, czy którykolwiek z towarzyszy podąża za nim. Zaledwie kilkanaście metrów dzieliło go od załomu skalnego. Naraz cień zaczął się kurczyć, a w końcu zniknął zupełnie. Tomek przyspieszył biegu, zrozumiał, że dziwny stwór rozpoczął odwrót.

Tuż przed skalną ścianą rozpędzony pośliznął się na twardej tafli śniegu. Runął jak długi na ziemię, potoczył się po stoku. Zgubił swoje okulary, lecz podniecony pogonią, nie zwrócił nawet na to uwagi. Poderwał się na nogi. Wbiegł za skalny załom. O kilkadziesiąt metrów przed nim jakiś brunatny stwór właśnie wsunął się pomiędzy wielkie głazy.

— Jest, jest! — wrzasnął Tomek w kierunku biegnących za nim towarzyszy i pognął naprzód jak szalony.

Zapomniał o słabości nękającej go od kilku dni, zapomniał o zgubionych okularach. Przeskakiwał sterczące spod śniegu kamienie, potykał się, ale nie odrywał wzroku od głazów, za którymi zniknął legendarny Yeti<sup>379</sup>.

Szaleńczy pościg za zręcznie umykającym stworem trwał dość długo. Pozostawiał on za sobą wyciśnięte w śniegu ślady bosych stóp. Tomek wysforował się o kilkadziesiąt metrów i wciąż biegł na czele pogoni. Czasem zdawało mu się, że dostrzega brunatną postać widoczną zza skał, lecz za każdym razem sprawiała inne wrażenie. To przypominała nagiego, kosmatego człowieka, to znów gdy opadała na cztery łapy wyglądała jak tybetański niedźwiedź. Stwór coraz bardziej oddalał się, szedł coraz wyżej i wyżej. W końcu Tomek stracił pewność, czy w ogóle jeszcze widzi cokolwiek na błyszczącym w słońcu, stromym stoku, pokrytym szklącym się lodem. Już brakowało mu w piersiach tchu. Serce waliło jak młot. Krew pulsowała w skroniach, a przenikliwy blask słoneczny prawie porażał wzrok.

---

<sup>379</sup> — Yeti (można także wymawiać jak Yihda, Yehda, Yehte, Yite) oznacza groźną mitologiczną istotę o żołądku mogącym pomieścić całą górę.

Tomek biegł coraz wolniej. Usłyszał nawoływania towarzyszy. Zatrzymał się, by nabrać tchu i odpocząć. Dopiero po długiej chwili otoczyli go zasapani towarzysze.

— Biegłeś, jakbyś miał skrzydła — z uznaniem powiedział Smuga. — Nie mogłem cię dogonić. Czy widziałeś, co to było?

— Już sam nic nie wiem — odparł Tomek. — Chwilami zdawało mi się, że to był nagi człowiek niezbyt wysokiego wzrostu. Gdy jednak biegł na czterech łapach, bardzo przypominał niedźwiedzia. Nie mogłem widzieć dokładnie, ponieważ stale dzieliło nas kilkadziesiąt metrów, a słońce prawie całkowicie mnie oślepiało. Upadając zgubiłem okulary.

— Do licha, ależ to byłaby sensacja, gdybyśmy przypadkiem schwytali legendarnego Śnieżnego Człowieka — westchnął Smuga.

— Chodźmy stąd jak najprędzej, kto ujrzy mi-go, tego spotka nieszczęście — szepnął Tybetańczyk.

— Ten wasz mi-go najprawdopodobniej okaże się zwykłym niedźwiedziem — powiedział Wilmowski. — Ale dość już zmitrężyliśmy czasu. Musimy dotrzeć przed nocą do klasztoru.

Przewodnik jakoś w końcu odnalazł właściwy kierunek. Późnym popołudniem ujrzeli nareszcie jasne kontury klasztoru. U jego stóp rozsiadło się kilkanaście domków o płaskich dachach. Była to drongpa, czyli wioska pańszczyźnianych chłopów, należących do lamów.

Przed wejściem do kamiennego klasztoru, pomiędzy czortenami, stały po obydwóch stronach drogi dwa wielkie bębny modlitewne. Każdy lama przechodząc obok nich pchnięciem dłoni wprawiał je w ruch obrotowy, by „odmawiały” modlitwę na jego intencję. Zewnętrzne ozdoby i belki czworokątnego budynku pomalowane były na niebiesko, zielono i czerwono, a każdą z tych barw oddzielał szeroki biały pas. Wąskie okna pokrywały rysunki ludzi i zwierząt. Wykute w skale stopnie wiodły do wejścia świątyni, zasłoniętego jedynie grubą wełnianą kotarą.

Na powitanie karawany wyszedł ze świątyni stary lama o kilku pożółkłych zębach i ogolonej do gołej skóry głowie. Był odziany w czerwony habit oraz kamizelkę ze złotego brokatu. U pasa zwisał mu mały posążek Buddy, zapewne przywieziony z pielgrzymki do świętej Lhasy i woreczek ze święconą wodą. Na znak, iż należał do „*żółtych lamów*”, nosił na lewym ramieniu składaną czapkę z krótko przyciętym pióropuszem.

Lama powitał podróżników w języku tybetańskim. Pandit Davasarman odpowiedział i wręczył mu, jako dar dla świątyni, jedną z ostatnich grudek złota z woreczka Smugi.

Podczas przydługich powitań Tomek przyglądał się ciekawie bębnom modlitewnym. Gdy młodzi lamowie uchylił kotary, by wpuścić podróżników do wnętrza świątyni, Tomek dłonią dotknął bębna i zakręcił nim, przyglądając się wyrytym na walcu modlitwom. Lama obrzucił Tomka pełnym zdziwienia wzrokiem i zaprosił do wejścia do klasztoru.

Tomek odetchnął z ulgą, wszedłszy za grubą kotarę. Stanowiła ona bowiem jakby granicę pomiędzy dwoma odmiennymi świątyniami. Podczas gdy na dworze wokół rozpościerała się mroźna i dzika górską panorama, a wprost oślepiający blask słoneczny zmuszał do mrużenia oczu — we wnętrzu świątyni panował wieczny mrok, rozjaśniany przez kaganki, tłące się jedynie u stóp dużego, kamiennego posągu Buddy. Swąd tłuszczu jaków skwierczącego w kagankach mieszał się z ciężkim, odurzającym zapachem kadzideł.

Kilku lamów weszło do świątyni i otoczyło swego przełożonego. Wilmowski i Smuga za pośrednictwem Pandita Davasarmana rozmawiali z opatem, Tomek rozglądał się po świątyni. Obok posągu Buddy w pobliżu ołtarza stały posągi innych bóstw. Tomek przetarł wierzchem dłoni obolałe oczy, po czym wolnym krokiem przechodził wzdłuż ścian pokrytych malowidłami, wyobrażającymi sceny religijnych legend, potworne bóstwa i dziwaczne zwierzęta. Z kolei znów przystanął przed ołtarzem przybranym wspaniałym tybetańskim kobiercem. Pomędzy tłącymi się kagankami stały miseczki z ofiarnymi darami złożonymi Buddzie, a więc masło z mleka jaków, mleko, mięso z ryżem i proso.

W końcu uwagę Tomka przykuła szeroka ława umieszczona obok ołtarza. Stały na niej artystycznie wykonane młynki modlitewne, leżały czapki lamów, kropidła z ptasich piór, dziwaczne instrumenty, misterne figurki wyobrażające ludzi i zwierzęta, różańce i dzwonki.

Opat spostrzegłszy Tomka pilnie przyglądającego się przedmiotom kultu religijnego, skinął na Pandita Davasarmana. Razem z nim przybliżył się do młodzieńca. Za pośrednictwem Hindusa zapytał Tomka, który z przedmiotów szczególnie zwrócił jego uwagę. Tomek wyjaśnił, że zainteresowały go oryginalne dzwonki i różańce.



Dostojny lama zastanowił się nad czymś, po czym zawołał innych lamów i poprosił Pandita Davasarmana, aby powiedział młodzieńcowi, że może dokładnie obejrzeć przedmioty, które go tak zaciekały. Tomek ochoczo skorzystał z uprzejmej propozycji. Przede wszystkim wziął do ręki mały, ozdobny dzwoneczek o specjalnym uchwycie z dziurką, do zakładania dzwonka na palce, niczym pierścienia.

Zaledwie podniósł oryginalny dzwoneczek, opat z trudem powstrzymał okrzyk zgrozy czy zdumienia, potem cofnął się o krok. Zasłabł widocznie, zaraz też dwóch lamów podtrzymało go pod ramiona. Pomruk mnichów ostrzegł podróżników, że dzieje się coś niezwykłego.

— Tomku, dość już tego, chodźmy stąd — rzekł półgłosem Wilmowski.

— Nie dotykaj tych przedmiotów — dodał Smuga. — Możemy narazić się na niepotrzebne kłopoty.

Tomek usłuchał rad. Sam również zauważył dziwne zachowanie się mnichów, szybko więc położył na ławie trzymany teraz w ręce biały różaniec, wykonany z ludzkich kości. Uczynił gest, jakby chciał odejść, lecz w tej chwili opat przemógł niemoc i pospiesznie wypowiedział kilka słów po tybetańsku.

— Opat prosi cię, szlachetny sahibie, abyś w spokoju oglądał wszystko, co tylko wzbudza twoją ciekawość. Mówi, że sprawiasz mu tym największą radość — rzekł Pandit Davasarman.

Tomek spojrział na mnichów. We wzroku ich nie było widać oburzenia czy urazy. Wprawdzie wydawali się być czymś bardzo poruszeni, ale mimo to spoglądali na niego z wielką sympatią. Uspokojony tym, oglądał z kolei sztylet o dwóch ostrzach: srebrnym i miedzianym.

— Do czego służy ten sztylet? Chyba nie jako broń? — zwrócił się Tomek do Pandita Davasarmana.

Hindus przetłumaczył jego słowa opatowi, a ten drżącym głosem odpowiedział.

— To jest ofiarny sztylet — wyjaśnił Davasarman. — Jedno ostrze przeznaczone jest dla duchów powietrza, drugie dla duchów ziemi.

W tej chwili przed wejściem do świątyni usłyszeli tubalny głos bosmana. Razem z lamami wyszli więc, by go powitać i dopatrzeć rozjuczenia jaków przybyłej karawany.

Zapadał zmierzch. Lamowie zaprosili gości na posiłek do swych mieszkań na piętrze ponad świątynią. Rozmowa toczyła się na temat legendarnego stworu, zwanego przez krajowców mi-te. Lamowie po wysłuchaniu relacji Pandita Davasarmana o przygodzie, jaka spotkała ich w drodze do klasztoru, stwierdzili, że w tej okolicy dość często napotymano ślady mi-te. Nieznane stwory nawet kilkakrotnie zbliżały się aż do klasztornej wioski.

Tomek, mimo niezwykłego dlań tematu rozmowy, odczuwał dokuczliwe pieczenie oczu, toteż w porozumieniu z ojcem pierwszy udał się na spoczynek, pozostawiając towarzyszy na pogawędce z lamami.

Karawana miała wyruszyć w drogę wczesnym rankiem, by jak najprędzej dotrzeć do klasztoru w Hemis. Od granicy Kaszmiru dzieliło podróżników jeszcze tylko kilka dni drogi. Tam mieli zamiar dłużej odpocząć. Zaledwie zajaśniał świt następnego ranka, konie i jaki stały już przed klasztorem gotowe do drogi.

Tomek po źle przespanej nocy był małomówny i osowiały. Nie zwracał uwagi na odświętnie odzianych dzisiaj, żegnających ich mnichów. Zaraz siadł na konia, osłaniając dłonią łzawiące oczy. Sędziwy opat osobiście odprowadził karawanę aż do bębnow modlitewnych.

— Ga-le-Ga-le-pe!<sup>380</sup> — zawołał na pożegnanie.

Karawana rażno posuwała się płytkim, górskim wąwozem. Po godzinie jazdy wąski upłaz wyprowadził ich do wysoko zawieszanej kotliny. Tutaj Tomek raptownie wstrzymał wierzchowca. Obydwoma dłońmi zasłonił oczy. Smuga, jadący tuż za nim, zaledwie spojrzał na przyjaciela, zaraz zeskoczył z konia. Podbiegł do Tomka. Spod palców młodzieńca spływały grube krople łez.

— Tomku, Tomku, co ci się stało? — zawołał Smuga. — Andrzej, hop, hop, zatrzymajcie się wszyscy!

Otoczyli Tomka. Ojciec pomógł mu zsiąść z wierzchowca.

— Co ci jest, Tomku? — pytał zaniepokojony.

— Nie wiem, oczy mnie bardzo pieką i mocno łzawią — odparł Tomek. — Zupełnie nie mogę patrzeć na śnieg.

Spod zaciśniętych kurczowo powiek, zaczerwienionych i obrzękłych, wypływały obficie łzy.

---

<sup>380</sup> — Szczęśliwej drogi; proszę, jedźcie powoli.

— Snow-blindness!<sup>381</sup> — po angielsku zawołał Pandit Davasarman.

— Masz rację, Pandicie, to jest tak zwana „biała ślepota” — potwierdził zafrasowany Smuga.

— Zapewne wczoraj doznałeś porażenia oczu, gdy zgubiłeś okulary goniąc rzekomego Śnieżnego Człowieka — powiedział Wilmowski. — Nie możemy jechać dalej. Albo tutaj rozłożymy obóz, lub może lepiej wróćmy do klasztoru.

— Czy to długo będzie mi tak dokuczało? — zapytał Tomek.

— Nie martw się, sahibie, choroba nie potrwa dłużej niż kilka godzin. W najgorszym przypadku za dzień lub dwa będziesz zdrow — pocieszył go Davasarman.

— Pandit ma rację, trzeba tylko natychmiast przerwać szkodliwe dla oczu działanie promieni słonecznych, a wszystko będzie dobrze — dodał Smuga. — Więc co robimy, czy pozostaniemy tutaj, czy też wracamy do klasztoru?

— Zostańmy tutaj — poprosił Tomek. — Źle się czuję w zaduchu klasztornym.

— Jakbyś mi to z ust wyjął, brachu. Te kręcimłynki działają człowiekowi na nerwy. Grunt to świeże powietrze — poparł go bosman. — Zaraz postawimy namioty i będziesz sobie leżał jak król!

Wkrótce Tomek spoczywał na wygodnym pościeliu w namiocie z oczyma osłoniętymi chustką. Nadszedł wieczór. Przemywanie oczu ulżyło cierpieniom Tomka, a jego towarzyszom przywróciło lepszy nastrój; niedługo po kolacji udali się na spoczynek.

Tomek drzemał, to znów budził się. Podświadomy niepokój nie pozwalał mu zasnąć. Starał się uspokoić myśleniem o Sally. Co porabia teraz? Czy bardzo niecierpliwi się tak długim brakiem wiadomości od niego?

Chciałby już jak najprędzej wrócić do Londynu i ujrzeć ją, a tymczasem przez nieostrożne zgubienie okularów sam spowodował przymusowy postój.

---

<sup>381</sup> — Snow-blindness (czytaj snou blajndnes) — czasowa ślepota, spowodowana paralizmem wzroku promieniami słonecznymi odbitymi na śniegu. Ophtalmia nivalis — popularnie zwana białą ślepota. Promienie ultrakrótkie, które występują w dużej ilości na znacznych wysokościach, gdzie nie są pochłaniane przez ziemię — działają szkodliwie na oczy. Często powodują u człowieka jałowe zapalenie oczu, przejawiające się silnym przekrwieniem (spojówki, siatkówki), mocnym pieczeniem, obrzękiem, łzawieniem i światłowstrętem. Czasem występują wtedy ubytki w polu widzenia. W szczególnie ciężkich przypadkach może grozić ślepota na całe życie.

Oby zapalenie oczu jak najprędzej minęło! Pandit Davasarman mówił, że podczas takiej choroby człowiek ulega nawet czasowej ślepotcie. Gdyby wyszedł z namiotu i zdjął opaskę, mógłby sprawdzić, czy dobrze widzi. W nocy przecież nie ma słońca...

Przez dłuższą chwilę wsłuchiwał się w głębokie oddechy śpiących towarzyszy. Potem ostrożnie siadł na brzegu posłania. Spod jaśka wyciągnął spodnie, ubrał się, nałożył kozuch i buty. Po omacku dobrnął do wyjścia z namiotu. Świeży, mroźny powiew wiatru owiał jego rozgorączkowaną twarz. Szybko zdjął opaskę z oczu. Postąpił kilkanaście kroków. Jak poprzez grubą mgłę majaczyła olbrzymia tarcza księżyca. Obraz był zamazany, niepełny. Tomek ciężko westchnął. Zaczął rozglądać się wokoło, lecz choć wyteżał wzrok, nie widział dobrze. Postanowił wrócić do namiotu, nie mógł doń jednak trafić. Poruszał się ostrożnie to w przód, to w tył, macał w powietrzu rękoma. Po chwili stwierdził, że zupełnie nie orientuje się w kierunku. Przystanął bezradnie. Przypomniawszy sobie, że do kotliny wiódł wąski upłazik, obramowany tylko z jednej strony przez stromą górską ścianę. Błądząc po omacku, łatwo mógł stoczyć się w przepaść.

„*Będę chyba musiał zawołać o pomoc*” — pomyślał.

Nagle jakieś silne dłonie chwyciły go za ramiona. Jednocześnie szorstka, zimna dłoń zatkała mu usta. Nieoczekiwany napad na krótką chwilę poraził Tomka, lecz niebawem chłopiec zapanował nad sobą. Nadludzkim wprost wysiłkiem wyszarpnął z kleszczowego uścisku jedną rękę. Odtrącił dłoń kneblującą usta. Teraz spróbował oswobodzić się i wtedy właśnie dotknął włochatego cielska.

„*Ratunku... Yeti!*” — straszliwie krzyknął Tomek.

Echo jeszcze niosło po górach jego rozpaczliwe wołanie o pomoc, a tymczasem on sam został już całkowicie obezwładniony. Ktoś wziął go na ręce i niósł w nieznaną. Słyszał z dala przerażone okrzyki przyjaciół. Potem huknął strzał. Odpowiedział mu głuchy łomot i szum toczącej się masy śnieżnej.

— Durniu, cóżes zrobił najlepszego?! — krzyknął Smuga, wrywając bosmanowi karabin.

— Rany boskie, już po nich — zawołał marynarz, chwytając się rozpaczliwie za głowę.

Grupa mężczyzn w niemym przerażeniu spoglądała na sunącą z góry pyłową lawinę śniegu, która szybko wypełniała zakłęśłości terenu. Nawet jeśli stwory unoszące chorego Tomka nie zostały strącone w otchłań górską pędem lawiny, to i tak pościg za nimi został udaremniony.

Bosman bezwiednie wycierał dłonią pot spływający z czoła. To on właśnie pierwszy wybiegł z namiotu zaalarmowany przeraźliwym wołaniem Tomka o pomoc. To on wystrzelił z karabinu, widząc, że jakieś stwory, unoszące jego druha, znikają na ścieżce upłazu. Huk nieszczęsnego strzału spowodował oberwanie się lawiny. Podróżnicy w milczeniu i zupełnym bezruchu spoglądali w mrok nocy.



## ZAKOŃCZENIE — POWITANIE WSCHODU SŁOŃCA

Tomek nie wiedział, gdzie się znajduje. Kto go porwał i dokąd uprowadził?! Odzyskał już wprawdzie swobodę ruchów, lecz szara mgła nadal przysłaniała mu piekące boleśnie oczy. Nateżał wzrok. Chwilami zdawało mu się, że poprzez mgłę przeziera czerwony odblask, jakby płonącej pochodni, lecz mogło to być przywidzenie, tak jak i te głuche pomruki wydobywające się z ludzkich czy zwierzęcych gardzieli.

Tomek nie znał uczucia lęku. Zaskoczenie nieoczekiwanym napadem dawno już minęło. Teraz starał się w myślach rozwikłać zagadkę porwania, szukał drogi ratunku. Czego chciały od niego dziwaczne stwory, których obecność doskonale wyczuwał. Zdawało mu się, że wprowadzono go do jakiegoś lochu lub pieczary. Pozwolono mu poruszać się, więc krok za krokiem obszedł swe więzienie, dotykając dłońmi zimnych, szorstkich ścian. Woń stęchlizny mieszała się z jakimś mdłym zapachem. Przysiadł na twardo ubitej ziemi. Pandit Davasarman, a także i Smuga twierdzili, że po kilku godzinach odzyska wzrok. Postanowił cierpliwie oczekiwać tej chwili. Wtedy ujrzy tajemnicze stwory, które, jak mu się zdawało, umykały z drogi, gdy zbliżał się do nich. Może uda mu się wymyślić jakiś sposób ratunku.

Tomek siedział oparty plecami o jakiś zimny głaz. Chociaż wyczuwał obecność nieznanych istot i czuł ich natarczywe spojrzenia na sobie, nie domyślał się, kim one były. Tymczasem lamowie, oni to bowiem byli, spoglądali na niego z zakłopotaniem. Więc jednak pomylili się! Ten biały człowiek nie był wcieleniem ich zmarłego opata, który umierając zapowiedział, że pod inną postacią kiedyś znów powróci do swego klasztoru i wówczas wszyscy z łatwością go poznają. Młody, biały człowiek wprowadził ich w błąd swoim zachowaniem. Najpierw obrócił bęben modlitewny. Potem z tyłu różnych przedmiotów leżących na ławie, podniósł kolejno trzy pamiątki pozostałe po zmarłym świątobliwym mężu. Sędziwemu opatowi zdawało się, że skooshok — czyli wcielenie zmarłego jego poprzednika, przybyło do klasztoru i tak widocznymi znakami dawało się im poznać. Tego samego wieczoru biały podróżnik uległ tak dobrze im znanej chorobie oczu. Stary

opat od razu to zauważył, bacznie mu się przyglądając przez cały wieczór. I to również poczytał za cudowne zrządzenie losu. Choroba taka szybko się rozwijała i mogła zmusić podróżnika do zatrzymania się w klasztorze. Wbrew jego przewidywaniom biali ludzie nie zorientowali się w sytuacji i wyruszyli w drogę. Wtedy opat posłał za nimi kilku silnych mnichów, umyślnie ubranych w długie kurtki sporządzone ze skór jaków. Poleciał im podczas nocy uprowadzić chorego młodzieńca, gdyż nie wątpił, że z jego powodu karawana niebawem będzie musiała zatrzymać się na dłuższy postój. Sędziwy, naiwny opat nie chciał uczynić Tomkowi krzywdy. Postanowił jedynie przeprowadzić jeszcze jedną próbę, czy ów biały młodzieniec naprawdę jest skooshok zmarłego świętego męża. Otóż w podziemiach klasztoru stał srebrny czorten, w którym spoczywało serce dawnego opata. Jeśli oślepiiony zrządzeniem losu młodzieniec, po wejściu do podziemia, zbliży się samorzutnie do czortenu, będzie to chyba już najbardziej oczywistym dowodem. Tak świątobliwy mąż, jak zmarły opat, nawet w innym wcieleniu wyczułby, gdzie znajduje się jego serce.

Biali podróżnicy opowiadając lamie o swej dziwnej przygodzie w drodze przez góry do klasztoru, sami podsunęli mu myśl upozorowania porwania przez Yeti. Dlatego opat polecił swym mnichom ubrać się w kosmate kurtki, aby podczas nocy mogli sprawiać wrażenie nieznanymi stworów. Plan powiódł się całkowicie. Oto biały młodzieniec znajdował się w klasztorze, lecz mimo dłuższego przebywania w grobowcu, nawet głowy nie zwrócił w kierunku czortenu, kryjącego bezcenną relikwię. Wobec tego nie mógł być wcieleniem zmarłego opata.

Doszedłszy do takiego wniosku, sędziwy lama na migi wydał polecenie swym podwładnym. Po chwili wnieśli miseczki napełnione wywarami ziół. Opat zbliżył się do biednego młodzieńca. Łagodnym ruchem dłoni dotknął jego twarzy. Długo spoglądał w niewidzące oczy. Potem przemył je wywarem ziołowym, przyłożył kompresy i zawiązał miękkim, grubym, wełnianym bandażem. Teraz podsunął młodzieńcowi do ust drewnianą czarę napełnioną cierpkawym napojem i łagodnymi ruchami rąk zmusił do wypicia.

Tomek z wolna usypiał. Gdy bezwładnie osunął się na ziemię, lamowie wynieśli go z grobowca i ułożyli na noszach. Szczelnie okrytego miękkimi skórami ponieśli w kierunku obozu podróżników. Obok noszy szło kilku lamów z zapalonymi pochodniami.



W dwa dni później karawana zjechała z przełęczy w szeroką dolinę. Zawieja śnieżna właśnie ustała na krótko przed świtem, więc podróżni skorzystali z okazji, i jak to czynili podczas wędrówki przez ten surowy kraj, wcześniej wyruszyli w drogę.

Pandit Davasarman szedł pieszo, prowadząc za uzdę wierzchowca, na którym siedział Tomek z zabandażowanymi oczyma. Znajdowali się na czele karawany, tuż za Tybetańczykiem, jadącym na jaku. Małomówny Pandit Davasarman co chwila spoglądał na Tomka. Wciąż jeszcze rozmyślał o dziwnym wydarzeniu.

Ile to straszliwych obaw przeżył po uprowadzeniu chorego Tomka z obozu przez tajemnicze stwory! Tej strasznej nocy przez wiele godzin nie zaznał ani chwili spokoju. Niezwykłe i nieoczekiwane porwanie, a potem stoczenie się lawiny nappełniło jego mężne serce bólem i obawą. Wtedy wszystko by oddał za życie młodego, szlachetnego białego sahiba. Nie mógł patrzeć na rozpacz ojca i jego przyjaciół. A potem, gdy nad ranem lamowie przynieśli do obozu uśpionego Tomka, jakże cieszył się z wszystkimi! Ani przez chwilę nie wierzył tłumaczeniom mnichów, że to Yeti porwały białego sahiba i pozostawiły go na stopniach klasztoru.

Pandit Davasarman zbyt dobrze znał przesady buddyjskich lamów, aby nie domyślić się prawdy. Przecież lamowie wierzyli, że świątobliwy mąż umierając oznajmia, kiedy i gdzie znów narodzi się w nowym wcieleniu. Aby sprawdzić, czy nie zachodzi pomyłka, podsuwali dziecku mającemu w ich mniemaniu być wcieleniem zmarłego, przedmioty, które należały do niego za życia. Jeśli dziecko przypadkowo wzięło do rąk jego dawną własność, uznawano je za nowe wcielenie. Pandit Davasarman domyślił się teraz, że Tomek w świątyni brał do rąk i pilnie oglądał dzwonek, sztylet i różaniec, zapewne przedmioty zmarłego opata. Czyż nie wskazywało na to zmieszanie i podniecenie lamów? Dlatego też zapewne uprowadzili Tomka, by dokonać jeszcze jakiejś próby.

Hindus uśmiechnął się do swoich myśli.

Świt zaróżowił niebo. W zamglonej dali górskich pasm ozwało się głębokie huczenie trąb. Pandit Davasarman wstrzymał konia cuglami.

— Czy słyszysz, szlachetny sahibie? — odezwał się do Tomka. — To lamowie w klasztorze w Hemis witają wschodzący nowy dzień. Już jesteśmy bezpieczni. Odpoczniemy w klasztorze. Za kilka dni będziesz całkowicie

zdrowy. Odwiedzimy sir Younghusbanda, by opowiedzieć mu nasze przygody. Potem odbędziemy wycieczkę do Alwaru. Mówię „wycieczkę”, bo przecież będzie to już naprawdę tylko przejażdżka w porównaniu z tym, co przeżyliśmy podczas naszej niezwykłej wyprawy. Moja siostra z radością cię powita, szlachetny sahibie.

Tomek uśmiechnął się na myśl o spotkaniu z księżną Alwaru. W wyobraźni jego zarysował się obraz pięknej maharani, lecz zaraz przysłoniła go tak droga Tomkowi twarzyczka Sally.

— Hola, panowie! Dlaczego się tak wsłuchujecie w to buczenie trąb? — zawołał bosman, podjeżdżając do nich z resztą wyprawy.

— To łamowie w Henis witają nowy dzień — wyjaśnił Tomek. — Nareszcie szczęśliwie dobijamy do portu.

— Jakbym się balsamu napił — powiedział bosman. — Ha, wobec tego już niezadługo ujrzymy naszą sikorkę w Londynie. Stęskniłem się za nią!

— Niech pan tylko nie myśli, że więcej ode mnie! — zaoponował Tomek.

— No, nareszcie się zdradziłeś, obłudniku — roześmiał się bosman. — Od dawna tego się domyślałem.

# TAJEMNICZA WYPRAWA TOMKA



## W TAJDZE

Gwiazdy gasły nad południowo–wschodnim obszarem Rosyjskiego Dalekiego Wschodu<sup>382</sup>. Poranna szarość wkradała się w nocny mrok. Wkrótce blaski wschodzącego słońca musnęły kopulaste szczyty gór i po zalesionych stokach spłynęły na równinę, bezkresną tajgę.

Wzmagająca się jasność powoli rozpraszała opary otulające dziewiczą puszcę. Z mgieł wyłaniały się zadziwiające szczegóły krajobrazu. Flora właściwa północnej tajdze krzewiła się tutaj obok południowej roślinności wschodnioazjatyckich mieszanych lasów Chin i Indii. Winorośl oplatała świerki ajańskie, a korkowce ussuryjskie, orzechy mandżurskie i krzewy skarłowaciałej aralii rosły obok białych brzoź i limb syberyjskich. Jak okiem sięgnąć, pięły się ku niebu wierzchołki stuletnich cedrów, złotawozielonych modrzewi daurskich, jodeł o białej korze, a wśród nich odcinały się jaśniejszą zielenią lipy amurskie, wiązy, graby, dęby i klony. Promienie słoneczne coraz głębiej przenikały w mgliste ostępy nadamurskiej tajgi, w której ścieżki wydeptane przez renifery krzyżowały się z tropami tygrysów, a podczas parnego lata jakuckie motyle o skromnym ubarwieniu ustępowały miejsca wielkim, pięknym motyłom podzwrotnikowym<sup>383</sup>.

W tej okolicy o wschodzie słońca tygrysy powracały z nocnych łowów do swych legowisk. Wtedy jedynie ptactwo, zadomowione na drzewach, wysoko nad ziemią, odważało się krzykiem zdradzać swoją obecność. Tego jednak poranka nawet ptaki za lada szelestem podrywały się do lotu, a dziki zwierz chyłkiem przemykał przez gęstwinę, albowiem odwieczne prawa tajgi zostały naruszone przez najgroźniejszego jej wroga — człowieka.

---

<sup>382</sup> — Nazwą Dalekiego Wschodu obejmuje się kraje wschodnioazjatyckie przylegające do Pacyfiku: Chiny, Japonię, Koreę, Filipiny. W powieści mowa jest o radzieckiej części Dalekiego Wschodu, rozciągniętej stosunkowo wąskim pasem wzdłuż zachodnioazjatyckiego wybrzeża zewnętrznych mórz Pacyfiku. Naturalna jej granica przebiega wzdłuż rzeki Amur i Ussuri, działem wodnym pomiędzy dorzecziami Zei i Olekmy, na północ od pasma Gór Stanowych, wzdłuż zachodniego zbocza pasma Dżugdżur oraz wzdłuż południowej granicy Rowu Parapolskiego. Geograficznie radziecki Daleki Wschód wybitnie różni się od przyległej Syberii Wschodniej i dzieli się na trzy obszary: Amursko–Nadmorski, Dolno–Amursko–Ochocki z wyspą Sachalin i Kameczacko–Kurylski Obszar Wulkaniczny, natomiast jego administracyjno–polityczne jednostki to: Kraj Nadmorski, Kraj Chabarowski, Obwód Sachaliński i Obwód Amurski.

<sup>383</sup> — Jakuckie — *Leucobrephos middendorffii*; podzwrotnikowe — *Danais tytia* i *Papilio raddei*.

Oto grupa tropicieli i łowców zwierząt wtargnęła do ostępu i w pobliżu południowego krańca Gór Burejskich<sup>384</sup> rozłożyła się obozem.

Gdy mrok ustąpił, z mgły ścielącej się na leśnej polanie wyłoniły się sylwetki kilku namiotów półkolistie osłoniętych taborem wozów. Pod wozami, przywiązane do szprych kół, spały kudłate psy. Wewnątrz półkola stały szeregiem podłużne skrzynie–klatki, zamykane drzwiczkami z żelaznych prętów. Nie opodal obozowiska pasły się spętane konie.

Z jednego namiotu wysunął się niski, barczysty mężczyzna ubrany w spodnie i kurtkę z jeleniej skóry. Bacznie zlustrował wzrokiem okolicę, ukazując śniadą, skośnooką twarz o małym nosie i wydatnych kościach policzkowych. Z zadowoleniem stwierdził, że mgła opada na ziemię. Spojrzał w górę. Zachmurzone prawie od dwóch tygodni niebo nareszcie wypogadzało się i jaśniało w promieniach wschodzącego słońca. Pogodny, niemal bezwietrzny świt zwiastował przerwę w letnich deszczach monsunowych<sup>385</sup> przynoszonych przez południowo–wschodni wiatr znad oceanu. Uśmiech pojawił się na twarzy mężczyzny. Był on przewodnikiem i tropicielem w wyprawie urządzonej przez białych łowców dzikich zwierząt, przybyłych z dalekiego zamorskiego kraju. Od dawna niecierpliwie oczekiwał na taki właśnie dzień, by zakończyć polowanie na tygrysy. Potem wyprawa łowiecka miała przenieść swój obóz dalej na zachód od Gór Burejskich, poza bezpośredni zasięg letnich deszczów monsunowych, zatrzymywanych przez pasmo górskie.

Mężczyzna powrócił do namiotu, skąd znów wyszedł na polanę uzbrojony w starą berdanę<sup>386</sup>. Obuty w miękkie unty z jeleniej skóry, ruszył ku gęstwinie. W tej właśnie chwili z sąsiedniego namiotu wyjrzał rosły młodzieniec.

---

<sup>384</sup> — Rozległy obszar górski ciągnący się prawie południkowo i wznoszący się nad dwiema przyległymi doń równinami: Zejsko–Burejską na zachodzie i Dolnoamurską na wschodzie. Pasma na południu (na granicy radzieckiego Dalekiego Wschodu) przechodzi poza rzekę Amur i ciągnie się dalej na południe, w Mandżurii, pod nazwą Mały Chingan, często rozszerzaną także na Góry Burejskie.

<sup>385</sup> — Monsun zimowy wieje z północnego zachodu i północy (z głębi lądu ku oceanowi) i przynosi powietrze chłodne, wyjątkowo suche, powodując pogodę chłodną i bezchmurną. Letni monsun, niezbyt gorący, wieje znad oceanu (z południowego wschodu i południa) i przynosi ciepłe, nasycone parą wodną powietrze. Z tego powodu lato na Dalekim Wschodzie jest zazwyczaj ciepłe i dżdżyste z częstymi mgłami.

<sup>386</sup> — Berdanka — amerykański karabin systemu Berdana, odcylcowy, jednostrzałowy o gwintowanej lufie, wprowadzony w armii rosyjskiej w XIX wieku; również rosyjska strzelba myśliwska.

Był to łowca zwierząt, Tomek Wilmowski, który z ojcem i kilkoma przyjaciółmi przebywał na polowaniu w tajdze amurskiej. Spostrzegł oddalającego się mężczyznę, więc na pół ubrany zaraz pobiegł za nim.

— Nuczi<sup>387</sup>, dokąd to się tak wczesnie wybierasz? Jeśli idziesz na poszukiwanie wytropionych wczoraj tygrysów, to chętnie poszedłbym z tobą — zawołał po rosyjsku, dogoniwszy tropiciela pochodzącego z tubylczego plemienia Goldów<sup>388</sup>.

Nuczi przystanął, odwrócił się do młodzieńca i odparł w łamanym rosyjskim, przeplatając go słowami ojczystego języka:

— Moja sprawdzi, czy amby<sup>389</sup> są i wróci po wasza.

— Wiesz przecież, że potrafię podchodzić zwierzynę. Nie spłoszę tygrysów, weź mnie ze sobą — prosił Tomek.

Nuczi zadarł głowę, by spojrzeć w oczy wysokiemu młodzieńcowi.

— Twoja tak dobry łowca jak stary Gold, ale amby mieszkają za sopką, daleko! Twoja męczy się tropić, a potem nie może szybko łapać — odparł.

— No tak, niby masz rację, Nuczi, ale przy okazji mógłbym upolować coś dla naszych tygrysów. Resztkę dzika rozdzielę im teraz. Muszę je dobrze nakarmić, aby nie hałasowały cały dzień. Sam mówiłeś, że to przeszkadza w łowach — kusił Tomek, mając ogromną ochotę na wypad ze znakomitym tropicielem zwierząt.

— Teraz nasza nie może strzelać — stanowczo odpowiedział Nuczi. — Nasza musi złapać amby, a potem polować. Twoja niech nakarmi amby w klatkach, bo inaczej one złe i głośno krzyczą do innych braci w tajdze. Wtedy nic z łowów.

— Dobrze, Nuczi, zajmę się tygrysami.

Gold porozumiewawczo mrugnął okiem do zmarkotniałego młodzieńca, przewiesił strzelbę na pasie przez ramię i żwawym krokiem zaszył się w leśną głuszę. Tomek z nieukrywanym żalem spoglądał za nim, wszakże w duchu przyznawał mu słuszność. Tutaj, w tajdze nadamurskiej, chwytanie żywych tygrysów odbywało się starym sposobem syberyjskich łowców, to znaczy bez udziału licznej nagonki pomagającej osaczyć zwierzynę. Pogoń tylko kilku

---

<sup>387</sup> — Nuczi w języku Nanajów (Goldów) znaczy mały.

<sup>388</sup> — Plemię Nanajów bądź Goldów zamieszkuje na Dalekim Wschodzie nad rzekami Amur i Ussuri.

<sup>389</sup> — Amba — tygrys.

myśliwych z psami za tygrysem była bardzo uciążliwa, szczególnie w okolicy sopek, czyli charakterystycznych wzgórz syberyjskich, często pochodzenia wulkanicznego. Kilkutygodniowe tropienie drapieżników w tajdze uwiecznione wprawdzie zostało złowieniem trzech młodych okazów, lecz zmęczenie mocno dawało się myśliwym we znaki. Deszczowe lato nie było dobrą porą do polowania. Rozmiękła od nadmiaru wody ziemia utrudniała nużące pościgi. Toteż doświadczony Nuczi radził odłożyć łowy do bliskiej już jesieni, najlepszej na tym obszarze pory roku. Tłumaczył, że po okresie deszczów monsunowych bardzo szybko nieraz ustala się słoneczna i ciepła pogoda, trwająca do końca września lub nawet do początków października. Pod koniec jesieni, gdy ziemia zaczyna przesychać i przemarzać, łatwiej podróżować z taborem wozów. Niestety, biali łowcy nie chcieli skorzystać z dobrej rady. Utknęli w przesyconej wilgocią tajdze i krążyli po niej jak duchy.

Nuczi zniknął w gąszczu. Tomek po cichu powrócił do namiotu. Nie budząc towarzyszy, zabrał resztę ubrania, ręcznik i mydło, po czym podążył do pobliskiego strumienia. Wkrótce umyty i ubrany przysiadł na zwalonym przez wichurę pniu drzewa. Przez chwilę nasłuchiwał podejrzliwie rozglądając się wokoło. W obozie w dalszym ciągu panowała niczym nie zmacona cisza. Wszyscy dłużej wypoczywali przed zapowiedzianym przez Nuczego nowym polowaniem.

Tomek ostrożnie rozchylił podwójną skórę pasa i wydobyl zwitek papieru. Wygladził go na kolanie. Był to list od jego ciotecznej siostry, Ireny Karskiej, u której rodziców przez dłuższy czas przebywał w Warszawie po ucieczce ojca za granicę i śmierci matki.

Tomek zaczął czytać:

*Warszawa, 10 maja 1907 r.*

*Kochany Braciszku!*

*Prawie rok nie odpisywałam na Twoje listy, z takim utęsknieniem przez nas oczekiwane. Ze względu na cenzurę, w korespondencji wysyłanej pocztą nie mogłam powiadomić Cię o pewnym tragicznym wydarzeniu. Dopiero teraz nadarzyła się okazja wysłania listu inną drogą. Przyjaciel Ojca wyjeżdża w sprawach handlowych za granicę i podjął się przemyścić mój list. Wyśle go z Niemiec.*



*Kochany Tomku, przede wszystkim muszę wyjaśnić przyczynę mej ostrożności. Otóż Zbyszek został aresztowany i zesłany na Sybir<sup>390</sup>. Ty, Braciszku, najlepiej zrozumiesz, jak strasznym ciosem było to dla nas wszystkich, a szczególnie dla Matki. Pamiętasz przecież — zawsze bardzo się obawiała wszelkich spisków politycznych. Gdy Pan Smuga zabrał Cię od nas do Twego Ojca, myślała, biedaczka, że skończyły się dla Niej utrapienia. Jakże cieszyła się potem, że jesteś bezpieczny z dala od Kraju w czasie rewolucji w Rosji i u nas w Królestwie Polskim<sup>391</sup>. Mawiała wtedy, że Ty masz we krwi rewolucyjnego ducha Twego Ojca i nie usiedzialbyś spokojnie podczas zamieszek. Mój Ojciec potakiwał. Stale nazywa Cię polskim patriotą.*

*Oczywiście Zbyszek, Witek i ja pragnęliśmy Ciebie naśladować. Po zawierusze 1905 roku wiele nadarzyło się ku temu okazji. Studenci, a za ich*

---

<sup>390</sup> — Zesłanie było specjalnym rodzajem kary pozbawienia wolności polegającej na wywiezieniu, czyli tak zwanej deportacji, i przymusowym pobycie skazanego na odległym terytorium państwa lub w jego koloniach. Ten rodzaj kary, nigdy nie istniejący w prawie polskim, był bardzo szeroko stosowany w Rosji carskiej. Zesłaniec mógł być skazany na pobyt pod nadzorem policji w ściśle wyznaczonej miejscowości bądź też na katorgę, to jest ciężkie roboty. Olbrzymia, słabo jeszcze wówczas zbadana Syberia stanowiła główne miejsce zesłań. Rząd carski przede wszystkim skazywał na długoterminowe lub bezterminowe zesłanie więźniów politycznych, a u schyłku XIX i na początku XX w. szczególnie działaczy rewolucyjnych. Tysiące bohaterskich rewolucjonistów rosyjskich, jak i patriotów z narodów podbitych przez carską Rosję było wielokrotnie więzionych na Syberii. Pierwszych Polaków wywieziono na Sybir jako jeńców wojennych po wojnach Stefana Batorego z Moskwą. Powtarza się to w XVII w., kiedy starcia polski z Rosją stają się częstsze. W XVIII w. nastąpiły zesłania Polaków w związku z konfederacją barską i wojnami kościuszkowskimi. Rząd carski rozporządzeniem z 29 V 1768 r. rozkazał wziętych do niewoli konfederatów zesłać na Syberię i wcielić do miejscowych garnizonów. Dziesiątki tysięcy Polaków zesłano tam po powstaniach w latach 1831 i 1863. U schyłku XIX w. na Syberię znów zaczęli napływać polscy skazańcy za swą pracę społeczną i wolnościową w kraju, a w czasie I wojny światowej polscy jeńcy wojenni.

<sup>391</sup> — Mowa o rewolucji 1905 r. Po petersburskiej Krwawej Niedzieli (22 stycznia), w Królestwie Polskim rewolucyjna partia robotnicza SDKPiL (Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy) oraz PPS (Polska Partia Socjalistyczna) wezwały robotników do powszechnego strajku, który objął okręgi: warszawski, łódzki i Zagłębie Dąbrowskie. Na demonstrację zorganizowaną przez SDKPiL w Warszawie w dniu 1 V 1905 r. uderzyli Kozacy. Padli zabici i ranni. W okresie rewolucji w latach 1905–1907 młodzież, na znak solidarności z polskim i rosyjskim proletariatem, urządziła demonstracje i strajki szkolne. Jednocześnie trwał bojkot uniwersytetu rosyjskiego w Warszawie. Strajk szkolny, jako żywiołowy protest przeciw rusyfikacji i carskim metodom wychowawczym, stanowił wielki wkład młodzieży polskiej w walkę o narodowe wyzwolenie. Tak w Rosji, jak i na ziemiach polskich silniejszy wówczas carat zdławił rewolucję. Nastąpiły krwawe represje, a rosyjskie władze administracyjne, często bez śledztwa i wyroku sądowego, skazywały podejrzanych o „nieprawomyślność” na zesłanie na Sybir (zsyłka administracyjna). Mimo stłumienia rewolucji Polacy zdobyli pewne swobody narodowe, a więc: prawo zakładania szkół prywatnych z polskim językiem wykładowym, organizowania polskich stowarzyszeń kulturalnych oraz poprawę warunków pracy proletariatu.

*przykładem i uczniowie szkół średnich rozpoczęli strajki szkolne, domagając się nauczycieli Polaków i nauczania w języku polskim.*

*Zbyszek z grupą przyjaciół urządzili strajk w swojej szkole. Dyrektor przestraszony buntem wezwał żandarmów. Aresztowali wielu uczniów, a wśród nich Zbyszka. Przyznał się do zorganizowania strajku, aby w ten sposób osłonić przyjaciół przed represjami. Nawet go nie sądzono. Po prostu w trybie administracyjnym zesłano na Sybir. Tylko jeden jedyny raz napisał do nas z Nerczyńska, przeznaczonego mu na miejsce zesłania. Podobno otrzymał zajęcie w składzie futer u kupca Naszkina, lecz z listu była bezgraniczna tęsknota za domem i Krajem. Biedny chłopiec! Zapewne potrzebuje pomocy. Kto wie, czy go jeszcze kiedyś ujrzemy...*

*Agenci policyjni często kręcą się koło naszego domu, wypytują dozorcę, śledzą nas wszystkich...*

Tomek nie dokończył czytania listu, przecież i tak już znał na pamięć każde zawarte w nim słowo. Złożył go starannie, wsunął do schowka w pasie. Zasepiony rozmyślał o niezwykłym splocie wydarzeń, które rzuciły ich w tajgę syberyjską.

Po powrocie z niefortunnej wyprawy do Tybetu otrzymał w Alwarze<sup>392</sup> list Irki razem z korespondencją z Londynu od swej przyjaciółki — Australijki Sally. Tomek i jego ojciec bardzo się zmartwili smutną wiadomością z Warszawy. Obydwaj czuli się dłużnikami wujostwa Karskich. Oni to właśnie zastępowali Tomkowi rodziców. Pomagali mu w najcięższych chwilach życia, opiekowali się jak własnym dzieckiem.

Nie mniej od Wilmowskich przejęli się tragicznym wydarzeniem ich przyjaciele — Jan Smuga i bosman Tadeusz Nowicki. Przecież każdy z nich poniósł jakąś ofiarę w walce z zaborczym rosyjskim caratem. Wilmowski i bosman musieli uciekać z kraju zagrożeni aresztowaniem. Przyrodni brat Smugi został zesłany na Sybir. Cóż z tego, że dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności zdołał umknąć z zesłania? I tak przecież przypłacił to życiem. Spełniając jego ostatnią wolę, udali się do dalekich gór Ałtyn-tag, aby zabrać ukryte przez niego przypadkowo znalezione złoto. Połowa skarbu miała być przeznaczona na pomoc dla polskich zesłańców na Syberii. Cała wyprawa,

---

<sup>392</sup> — Alwar — miasteczko, a zarazem stolica państwa o tej samej nazwie, leżące w północno-zachodnich Indiach.

pełna trudów i niebezpieczeństw, zakończyła się niepowodzeniem. Rumowisko skalne pochłonęło złoto. Za ledwie wrócili pokonani przez przeciwności losu, znów się dowiedzieli o nowym aresztowaniu i zsyłce. Na wspólnej naradzie z przyjazną im księżną Alwaru i jej bratem Panditem Davasarmanem, który brał udział w wyprawie do gór Ałtyn–tag, postanowili pomóc Zbyszkowi w ucieczce z Syberii. Los Polaków wydał się księżnej podobny do historii Indusów rządzonych przez Anglików. Rozumiejąc ich położenie, zaofiarowała Wilmowskiemu swój jacht dalekomorski, aby w ten sposób ułatwić uprowadzenie zesłańca. Natomiast Pandit Davasarman zaproponował swój udział w wyprawie. Była to niezwykle cenna pomoc, ponieważ jako pundyta, czyli specjalnie wyszkolony przez Anglików do odbywania ekspedycji geograficznych do nieznanych krajów Azji, miał olbrzymie doświadczenie podróżnicze. Ponadto dysponowanie statkiem umożliwiało im swobodne poruszanie się po morzu i uniezależniało od powszechnie używanych wówczas środków komunikacyjnych, będących pod nadzorem władz.

Smuga i Wilmowski utrzymywali stosunki handlowe ze znanym w całym świecie Hagenbeckiem, właścicielem przedsiębiorstwa sprowadzającego z różnych krajów świata dzikie zwierzęta do ogrodów zoologicznych i cyrków. Dzięki temu udało im się uzyskać jego poparcie urzędnika wyprawy łowieckiej na Syberię. Mimo to Wilmowski i bosman, jako poszukiwani przez policję carską, nie mogli się udać na tereny rosyjskie pod własnymi nazwiskami. Toteż Davasarman, wykorzystując swe wpływy u władz angielskich w Indiach, postarał się o dokumenty, w których Wilmowski figurował jako „obywatel angielski Brown, preparator skór zwierzęcych”, a bosman jako „Niemiec Brol, pogromca zwierząt”. Tak więc pod pretekstem łowienia okazów fauny syberyjskiej wyprawa uzyskała zezwolenie władz rosyjskich na polowanie w tajdze Dalekiego Wschodu. Obecnie około dwóch miesięcy tropili tygrysy i głowili się, w jaki sposób mają upozorować konieczność dotarcia do Nerczyńska, leżącego w Kraju Zabajkalskim. Nie tylko bezkresna i często zupełnie bezdrożna kraina utrudniała im wykonanie niebezpiecznego przedsięwzięcia.

Davasarman nie brał udziału w łowach. Przebywał na statku zakotwiczonym w zatoce portowej Złotego Rogu we Władywostoku<sup>393</sup>, gotów w każdej chwili do wyruszenia w morze, i oczekiwał na dalsze instrukcje. Łącznikiem między dowódcą statku a wyprawą „łowieczką” był Udadżalaka — zaufany towarzysz Pandita Davasarmana w wielu ekspedycjach badawczych do różnych krajów Azji.

Tomek siedział pogrążony w rozmyślaniach. Czy zdołają dotrzeć do Nerczyńska? Czy zastaną tam Zbyszka i czy go uwolnią? Z kieszeni kurtki wydobyl mapę. Wzrokiem odszukał potężną rzekę Amur, utworzoną z połączenia rzek Szyłka i Arguń, biorących początek u brzegu pustyni Gobi. Po zlaniu się tych dwóch rzek w jedno koryto Amur zataczał szeroki łuk ku południowi i dopiero w pobliżu miejsca, gdzie Sungari — prawy dopływ — wpadał doń, zawracał na północo-wschód. Właśnie w najdalej wysuniętym na południe zakolu Amuru, pomiędzy lewym dopływem — Bureją i prawym — Sungari, widniał na mapie grubo zakreślony ołówkiem czarny krzyżyk. Oznaczał on obozowisko rozłożone w pobliżu lewego brzegu rzeki.

Młodzieniec zafrasowany spoglądał na mapę. Pierwszy i najłatwiejszy etap wyprawy z portu we Władywostoku do Chabarowska przebyli koleją, zbudowaną na terytorium rosyjskim wzdłuż rzeki Ussuri. W Chabarowsku kończył się tor kolejowy; dalej w kierunku na zachód, na przestrzeni około tysiąca dwustu kilometrów wzdłuż lewego brzegu Amuru aż do Ruchłowa ciągnął się jedynie stary, przeważnie wyboisty trakt syberyjski. Dopiero od Ruchłowa rozpoczynał się znów tor kolejowy do Nerczyńska i Czyty w Kraju Zabajkalskim.

W owym czasie najdłuższa na świecie kolej trans-syberyjska przebiegała z Moskwy przez Ural, południową Syberię do Czyty, a stamtąd, jako kolej Wschodnio-Chińska, przecinała Mandżurię i kończyła się we Władywostoku nad Oceanem Spokojnym.

W wyniku wojny rosyjsko-japońskiej Rosja musiała opuścić Mandżurię, zachowując jedynie w swoich rękach kolej Wschodnio-Chińską, na wyłączonym pasie ziemi wzdłuż toru, z szeregiem osad rozrzuconych po

---

<sup>393</sup> — Władywostok — największy port ZSRR nad Oceanem Spokojnym, a zarazem końcowy punkt kolei transsyberyjskiej i stolica Kraju Nadmorskiego. Miasto leży na skraju wąskiego i długiego półwyspu oddzielającego od siebie zatoki Amurską i Ussuryjską, w miejscu, gdzie w wysoki brzeg wrzyna się kręta zatoka portowa Złoty Róg, nadająca się wyśmienicie do postoju statków.

kraju, w których skupiała się rosyjska administracja kolei. Rząd carski, chcąc uniezależnić się na wypadek utracenia kolei w Mandżurii, postanowił zbudować połączenie kolejowe między Ruchłowem i Chabarowskiem wzdłuż lewego brzegu Amura. W ten sposób kolej trans-syberyjska miała otrzymać nowy odcinek, biegnący od Czyty przez Ruchłowo, Chabarowsk do Władywostoku. Wówczas Tomek i jego towarzysze po opuszczeniu Chabarowska znaleźli się w dziewiczej tajdze, która oddzielała ich od Kraju Zabajkalskiego. Tomek, zamyślony, nie usłyszał cichych kroków, toteż zmieszał się poczuwszy czyjąś dłoń na swym ramieniu. Szybko odwrócił głowę. Odetchnął z ulgą ujrawszy Smugę.

— Przestraszyłem się, że ktoś obcy przydybał mnie na studiowaniu mapy.

— Musisz być ostrożniejszy, Tomku. Lepiej, aby nikt nie spostrzegł, że tak bardzo interesuje nas topografia kraju — odparł Smuga. — Poza tym źle reagujesz na zaskoczenie. Staraj się panować nad sobą. Stałeś się nerwowy, mój chłopcze! Na innych wyprawach byłeś bardziej opanowany.

Usiadł obok Tomka, ten zaś pochylił się ku przyjacielowi i ściszym głosem wyrzucił z siebie jednym tchem.

— Od czasu, gdy isprawnik <sup>394</sup>w Chabarowsku narzucił nam swego agenta na „*opiekuna*” wyprawy, nie mogę wprost zapanować nad sobą. Czy w tych warunkach uda nam się dotrzeć do Zbyszka?! Poza tym boję się o ojca i bosmana.

— Niepotrzebnie się denerwujesz. Obydwaj mają dokumenty wystawione na obce nazwiska i doskonale grają swoje role. Jeśli sami zachowamy dostateczną ostrożność, nikt ich nie zdemaskuje.

— Codziennie powtarzam to sobie chyba z tysiąc razy, ale te świdrujące, podejrzliwe oczy szpicla wyprowadzają mnie z równowagi.

---

<sup>394</sup> — Przez długie wieki podróż przez Syberię odbywała się tzw. traktem. Przejazd z Moskwy do wybrzeża Oceanu Spokojnego trwał około 2 miesięcy. Dopiero w latach 1891–1906 przecięto południową Syberię linią kolejową łączącą Moskwę z Władywostokiem. W późniejszych latach linia kolei transsyberyjskiej została rozbudowana i cała jej trasa znajdowała się wyłącznie już na terytorium należącym do Rosji. Mianowicie zbudowano odcinek: Czyta, Ruchłowo, Błagowieszczeńsk, Chabarowsk skąd do Władywostoku był już tor zbudowany w 1894 r. Odcinnek trasy Ruchłowo (obecnie Skoworodino) — Chabarowsk w Kraju Nadamurskim został ukończony w latach 1915–1917, a więc w czasie trwania akcji niniejszej powieści znajdował się dopiero w budowie.

— Nie taki diabeł straszny, jak go malują — odpowiedział Smuga. — On pilnuje nas, a my jego. Udadźalaka nie spuszcza go z oka. Gdyby zaczął bruździć, po cichu zgasimy go jak świeczkę.

— To tak niesamowicie przebywać z kimś, kto czyha na nas, a my na niego.

— Każdy przyzwoity człowiek brzydzi się krecią robotą, lecz dobrowolnie wleźliśmy w paszczę niedźwiedziowi i nie możemy dopuścić do tego, aby nieopatrzne kłapnięcie kłami odcięło nam odwrót.

— To prawda, proszę pana — przyznał Tomek. — Przecież tu chodzi nie tylko o nas, ale i o Zbyszka.

— Słuchaj, Tomku! Znajdujemy się na wojennej wyprawie. Ty, jako honorowy członek szczepu Apaczów<sup>395</sup>, powinieneś pamiętać, że najważniejsze cechy wojownika to cierpliwość, rozwaga oraz milczenie.

— Widocznie kiepski ze mnie wojownik...

— Nie gadaj głupstw! — skarcił go Smuga. — Po prostu jesteś w gorącej wodzie kąpany. Niecierpliwi cię długie polowanie, chciałbyś już być w Nerczyńsku. Odzyskasz pewność siebie, gdy przystąpimy do właściwej akcji.

— Oby tak było!

— Możesz na mnie polegać, znam cię dobrze. Obraliście mnie dowódcą wyprawy, wszyscy więc musicie mi ufać. Zwłoka jest konieczna. Mamy zezwolenie na polowanie w Kraju Nadamurskim. Stąd daleko do Nerczyńska. Dlatego też siedzimy w tajdze mimo niedogodnej pory na łowy. Musimy jakoś wyprowadzić w pole władze rosyjskie.

— Czy pan już obmyślił plan działania?

— Tak. Przesuniemy się za Błagowieszczeńsk. Tam znów rozłożymy obóz, w którym pozostanie twój ojciec, jako najbardziej zagrożony. Tymczasem my dwaj, bosman i Udadźalaka spróbujemy dotrzeć do Nerczyńska. Rzecz oczywista, że Pawłowa musimy nakłonić do pozostania z twoim ojcem, w tym jednak moja głowa. Najbardziej kłopotczę się, w jaki sposób moglibyśmy ukryć Zbyszka w obozie, aby szpicel niczego nie

---

<sup>395</sup> — Isprawnik — funkcjonariusz policji carskiej zarządzający kilkoma okręgami podległy bezpośrednio gubernatorowi. Na Syberii funkcje naczelników poszczególnych okręgów pełnili zasiedatiele, którym z kolei podlegali urjadnicy wyznaczani na stany, czy i stacje obejmujące jeden okręg. Urjadnicy mieli do pomocy, wybieranych przez włościan, sotskich i diesiatników. Cała policja carska podlegała ministrowi spraw wewnętrznych.

wypatrzył. Mówię ci o tym, gdyż sam nie mogę niczego wymyślić. Liczę na twój spryt. Zastanów się nad tym<sup>396</sup>. Czas zaczyna naglić, nadchodzi tak oczekiwana przez nas pora roku, najdogodniejsza do podróżowania końmi.

— Wiem, proszę pana. Postaram się coś wykombinować.

— Tylko nie rozmawiaj z nikim na ten temat. Tak bezpieczniej dla nas wszystkich.

Nie opodał zaszczekały głośno psy. Smuga powstał z pnia.

— Znosi się na pogodę — powiedział po chwili, spoglądając w niebo.

— Jeśli Nuczi odnajdzie tropy tygrysów, będziemy mieli pracowity dzień. Nasi już się przebudzili, chodźmy na śniadanie.

Tomek patrzył na Smugę niemal z uwielbieniem. Bezmierna odwaga, uczciwość i wyrozumiałość wszędzie zjednywały mu przyjaciół. Wszyscy szanowali go i słuchali rozkazów, jakby było rzeczą zupełnie naturalną, że tam gdzie on przebywał, nikt inny nie mógł przewodzić. Toteż teraz Tomek czuł się niezwykle dumny, że Smuga zwrócił się właśnie do niego z prośbą o radę.

W obozie zastali krzątających się towarzyszy. Olbrzymi bosman Nowicki, pełniący między innymi funkcję rusznikarza, siedział z podwiniętymi nogami na rozłożonym na ziemi kocu. Pośpiesznie czyścił broń. Od razu można było dostrzec, że nie jest w zbyt dobrym humorze.

Podczas tej wyprawy łowieckiej, szczególnie w obecności Rosjan i krajowców, Tomek oraz jego towarzysze rozmawiali po rosyjsku. Nie sprawiało im to specjalnej trudności, ponieważ uczęszczali swego czasu do szkół w Królestwie Polskim, w których wówczas obowiązującym językiem wykładowym był właśnie język rosyjski. Udadzałaka natomiast nauczył się wielu słów podczas poprzednich wypraw z Panditem Davasarmanem do krajów Azji Środkowej.

Bosman, zaledwie ujrzał Tomka, natychmiast dał upust złemu nastrojowi, głośno odzywając się po rosyjsku:

— W tym piekielnym kraju robactwo już za życia konsumuje człowieka. Zamiast kryć się w krzakach, lepiej, brachu, przygotuj siatki ochronne na łby, bo skóra swędzi mnie nawet na samą myśl o bezwietrznej pogodzie!

---

<sup>396</sup> — Tomek uzyskał zaszczytne przyjęcie do szczepu Indian Apaczów podczas niezwykłych przygód w Arizonie, kiedy to pomógł uciec z niewoli wodzowi, zwanemu Czarną Błyskawicą (Tomek na wojennej ścieżce).

Tomek ze współczuciem spojrział na przyjaciela. Jego zapuchniętą twarz i kark pokrywały krwawiące strupy. Wprawdzie meszki<sup>397</sup>, będące plagą syberyjskiej tajgi, mocno dokuczały wszystkim łowcom, lecz pocziwy marynarz ucierpiał od nich więcej niż inni. Szczególnie w bezwietrzne, słoneczne dni bądź też przed deszczem oraz o zmroku olbrzymie chmary tych najdrobniejszych muchówek komarowatych pojawiały się w tajdze, natrętnie napastując ludzi i zwierzęta.

Wszędzie ich było pełno: tworzyły odrażający kożuch na wodzie w wiadrze, pływały w zupie w garnku czy talerzu, zaczepiały się o tkaninę ubrania, właziły w oczy, uszy, nosy, przenikały za koszulę, a ukłucia żarłoczych, krwiożerczych samiczek powodowały na ludzkim ciele swędzące ranki. Po pewnym czasie organizm człowieka sam się uodporniał i opuchlizna znikwała, ale nieszczęsny bosman, w przeciwieństwie do towarzyszy, w dalszym ciągu nie doznawał ulgi.

Tomek zbliżył się do nachmurzonego marynarza.

— Zaraz przyniosę siatki, chociaż niewygodnie jest biegać po lesie z osłoniętą głową — odezwał się. — Nazbieram też smolnych szczap, żebyśmy mogli po zmierzchu dymem odganiać meszki. Prawdę mówiąc, dziwne to, że właśnie do pana tak się przyczepiły te dokuczliwe owady. My prawie już nie odczuwamy ukłuć.

— Ha, diabelski to pomiot, nie można wszakże powiedzieć, że niewybredny — odparł bosman i wymownie spoglądając zapuchniętymi oczami w kierunku Pawłowa, dodał: — Mówił mi jeden uczony, że meszka nie ukąsi ani ciężko chorego, ani obłudnego drania. W jednym i drugim widzi facetów wybierających się na tamten świat, a truposzów nie kąsa.

Tomek z trudem stłumił wesołość, słysząc przymówkę wyraźnie skierowaną do Pawłowa, uodpornionego już na ukąszenia meszek. Natomiast trzech synowie Nuczego, obdarzeni jak wszyscy Goldowie poczuciem humoru, roześmiali się głośno.

— Dobrze twoja mówi, zwierz od razu pozna zły człowiek — wtrącił jeden z nich.

— Was również nie gryzą meszki — powiedział Tomek, dając nieznacznie znak bosmanowi, aby niepotrzebnie nie drażnił agenta.

---

<sup>397</sup> — Meszki, czyli mustyki (Simuliidae), również zwane „*gnus*” przez krajowców.



— Gnus mądry, on wie, że Gold dziecko tajgi. Gnus i Gold swój człowiek. Swój swego nie gryzie — odpowiedział Nanaj i domyślnie mrugnął okiem.

— Zamiast żartować, lepiej przygotujcie się do łowów — polecił Smuga. — Tylko patrzeć powrotu Nuczego. Sprawdźcie liny, zajmijcie się psami. Pan Pawłow nie lubi się uganiać za tygrysami, więc chyba jak zwykle zostanie w obozie na straży?

— Wy tu naczalstwo<sup>398</sup>, więc wasza wola! Już ja dobrze przypilnuję obozu — zgodził się Pawłow.

— A przy okazji poszperam w jukach — mruknął bosman do Tomka.

— Zamknij buzię na kłódkę, panie Brol — szepnął Tomek. — Czy koniecznie chcesz zwrócić na siebie jego uwagę?

Pan Brol, czyli bosman Nowicki, zaklął pod nosem, lecz zostawił agenta w spokoju, zwłaszcza że Wilmowski zawołał wszystkich na poranny posiłek.

---

398

— Naczalstwo — władza, kierownictwo.



## SYBERYJSKIE POLOWANIE

Nuczi wrócił, nim skończyli śniadanie. Według jego relacji tygrysica z dwoma małymi znajdowała się w odległości około trzech kilometrów od obozu. Szybko uzgodnili plan polowania. Bosman z Udadżalaką mieli strzałami odpędzić tygrysicę od potomstwa, natomiast Nuczi, jego trzech synowie, Tomek, Smuga oraz Wilmowski powinni osaczyć kociaki. Pawłow, jak uprzednio ustalono, podjął się roli strażnika obozu.

Wkrótce ruszyli w tajgę. Na przedzie kroczył Nuczi, za nim jego synowie z trzema psami na smyczy, a potem reszta łowców z czterema ogarami. Tomek zamykał pochód, szedł tuż za bosmanem.

Im dalej zagłębiali się w ostęp, tym wędrowka stawała się bardziej uciążliwa. Ledwie widoczny kręty ślad ścieżyny często ginął w gąszczu krzewów głogu, cierni i jałowca, oplatanych goścem–powojnicą, zwaną przez Jakutów<sup>399</sup> „*sieciami diabła*”. Czasem musieli nakładać drogi, by obejść zwalone przez wiatr drzewa. W cienkiej warstwie gleby leśne olbrzymy nie mogły zbyt głęboko zapuszczać korzeni, toteż kładły się pokotem pod podmuchem wichury i tworzyły trudne do przebycia zapory. Niekiedy stanowiły je wiekowe drzewa. Nadzarte próchnicą same padały na ziemię jakby w bałwochwalczym pokłonie przed wszechwładnym czasem.

Ogrom dziewiczej tajgi budził w sercach ludzkich lęk przed czymś nieznanym, kryjącym się w jej głębi. Na pozór wydawała się ponura i milcząca, lecz baczny wzrok łowców co chwila odczytywał jakąś nową tajemnicę. Tuż przy ścieżce pod spróchniałym zwalonym pniem znajdował się barłóg niedźwiedzi. Nieco dalej, na małym pagórku, zadomowił się żarłoczny bunduruk<sup>400</sup>, jeden z najmniejszych na świecie drapieżników. Właśnie na uschłych gałęziach przewróconego dębu przewietrzył swoje przysmaki: grzybki, korzonki i orzechy, których zapasy gromadził nieraz na dwa lata. Za pagórkiem wiła się ścieżka wydeptana przez jelenie, w rozłożystej lipie wokół

---

<sup>399</sup> — Jakuci (nazwa własna Sacha) — lud zamieszkujący dorzecze Leny po Morze Ochockie i brzegi Jeniseju. Od 1922 r. Jakucka ASRR.

<sup>400</sup> — Bunduruk (*Eutamias sibiricus*) — gryzoń wielkości ogromnej myszy, zwierzątko futerkowe podobne do wiewiórki. Ciemne pasy na futerku przypominają wzór tygryziej skóry. Gromadzi zapasy żywności, które przenosi w woreczkach policzkowych. Czyni poważne szkody na polach.

sporej dziupli krążyły pszczoły — tam na pewno można znaleźć aromatyczny leśny miód.

Tomek ciekawie rozglądał się po ostępie. W tę stronę tajgi zapuszczali się po raz pierwszy. Nuczi prowadził, niemal się nie zatrzymując. Tomek szedł ostatni. Właśnie mignęła mu w gąszczu krępa postać starego tropiciela, budząc pewne wspomnienia.

Wynajęcie Nuczego oraz jego synów jako tropicieli zwierzyny na tę niebezpieczną wyprawę nie było dziełem przypadku. Wilmowski znał ich z opowiadań byłego zesłańca na Syberię, z którym przed własną ucieczką z kraju stykał się w Warszawie w konspiracyjnej pracy rewolucyjnej. Dzięki temu po przybyciu do Chabarowska, pamiętając relacje polskiego zesłańca, odszukał w puszczy sadybę Nuczego i nakłonił go do wzięcia udziału w łowach.

Wybór starego Golda na przewodnika i tropiciela okazał się bardzo korzystny. Nuczi był prawdziwym synem tajgi. Urodził się w niej, wychował, ona zaś żywiła go i dawała schronienie, nic więc dziwnego, że znał wszystkie jej tajniki i kochał jak własną matkę, czasem nieco zbyt surową, lecz zawsze przygarniającą swoje dzieci.

Pewnego razu podczas polowania, słysząc utyskiwania bosmana na „diabelski kraj”, Gold zapewniał Tomka, że kto bliżej pozna tajgę, ten później tęskni za nią, jeśli zmuszony jest opuścić ją na jakiś czas. Te wywody przypomniały Tomkowi ich przewodnika z wyprawy australijskiej, krajowca Tony’ego. On wtedy również mówił mu o uroku rzuconym na wędrowców przez busz australijski.

Z zamyślenia wyrwał nagle Tomka cichy okrzyk bosmana Nowickiego.

— A niech to wieloryb połknie...! — zaklął marynarz swoim zwyczajem, odskakując od karłowatej kolczastej palmy.

Bosman przełaził przez zwaloną kłodę i dla utrzymania równowagi oparł się o pień stojącego przy ścieżce dębu. Naraz pod naporem jego potężnego cielska skruszyła się kora i ręka aż po łokieć wpadła w spróchniałe drzewo. Marynarz przestraszył się, że sędziwy „staruszek” może runąć lada chwila, wielkim skokiem znalazł się w bezpiecznej odległości od pnia, lecz wtedy właśnie otarł się o skarłowaciałą, kolczastą palmę. Zaklął, szybko cofając pokłutą rękę. Tomek podbiegł do przyjaciela, by pomóc mu wydobyć wbite w dłoń kolce.

— A cóż to za piekielne nasienie?! — burczał marynarz. — Niby to palemka, a szczyry kły jak kaktus!

— W gąszczu tajgi nie można tak skakać na oślep — powiedział Tomek. — To dalekowschodnia aralia<sup>401</sup>, swego rodzaju osobliwość w tych stronach...

— Daj mi święty spokój z botaniką — ofuknął go bosman. — Łeb już mam naznaczony przez przekłete meszki, a teraz do kompletu napuchnie mi łapa!

Zaraz wszakże ucichli, gdyż przewodnik przystanął, pochylony nad ziemią uważnie rozglądał się wokoło. Wszyscy zatrzymali się natychmiast. Tomek podszedł do Nuczego i przykucnął, by lepiej widzieć.

— Bardzo świeży trop — szepnął, badając duże wgłębienia wyciśnięte w ziemi. — Tygrys, niezawodnie tygrys! Sądząc po rozrzucie śladów oraz ich rozmiarach, musi to być starszy okaz...

— Dobrze mówi, dobrze! — pochwalił Nuczi.

— Dlaczego on tak ciężko stapał? — głośno zastanawiał się Tomek, zachęcony pochwałą wytrawnego tropiciela.

Posunął się kilka kroków wzdłuż tropów.

— Są tu krople krwi, może ktoś go zranił? — monologował. — Nie, nie! Z powodu rany nie stapałby tak ciężko. Już wiem! Dźwigał upolowane zwierzę! Na krzaku cierni zaczepiło się trochę jasnobrunatnej sierści. Przypomina mi ona pewnego jelenia.

Smuga wyprzedził Tomka, również badając ślady. Słyszał wywody młodego przyjaciela i uśmiechał się zadowolony.

— Słuszne wyciągasz wnioski! — przytaknął. — Może uda ci się jeszcze dokładniej określić zwierzę upolowane przez tygrysa.

Tomek pomyślał chwilę, po czym rzekł:

— Wyłącznie w lasach południowej Syberii żyje odmiana szlachetnego jelenia, zwana maralem<sup>402</sup>. Mógł to również być łoś<sup>403</sup> lub ren<sup>404</sup>.

---

<sup>401</sup> — Aralia (dzięgiława) — drzewo, krzew lub roślina zielna rosnąca w Azji, Ameryce Północnej i Australii. Posiada pędy z kolcami, liście zwykle pierzaste i kwiaty w baldachogronach.

<sup>402</sup> — Maral (*Cervus canadensis sibiricus*) żyje w południowych okolicach Kraju Ussuryjskiego, w dolinie rzeki Ussuri i jej dopływów, nie przekraczając jednak granicy iglastych lasów Sichote-Aliń. Na pobrzeżu można spotkać go aż do Przylądka Olimpiady.

<sup>403</sup> — Łoś (*Alces alces*) należy do największych okazów rodziny pełnorogich. Niezgrabny, o krótkiej szyi, wysokich nogach, ma poroża łopatomato rozszerzone i chrapy zwisające.

— Nie, mój drogi, to nie był maral ani łoś, ani ren — odpowiedział Smuga. — Pójdź jeszcze nieco dalej!

Tomek wolno posuwał się wzdłuż zbocza starannie badając wyraźne tropy.

— Może to był jeleń Dybowskiego?<sup>405</sup> — rzekł. — Przypominam sobie, że Dybowski na zesłaniu na Syberii odkrył nowy gatunek jelenia, nazwany jego imieniem. Jeleń ten wyglądem przypomina indyjskiego jelenia aksis. Na ciemnej sierści posiada kilka nieregularnych rzędów białych plam.

— Brawo, Tomku, masz doskonałą pamięć — pochwalił Wilmowski.

— Nie zgaduj, chłopcze, szukaj dalej, to nie był jeleń Dybowskiego — ponaglił Smuga. — Jeleń ten żyje bardziej na południu, w Kraju Ussuryjskim.

Tomek przyklęknął. Głowę nisko pochylił ku ziemi. Na zgniecionej trawie widniały jakieś plamy. Urwał jedno złamane źdźbło. Zaledwie przysunął je do nosa, wydał cichy okrzyk triumfu. Trawa splamiona była kleistą, ciemną masą wydającą przejmujący zapach.

— Już wiem, to piźmowiec<sup>406</sup> — zawołał do towarzyszy. — Tygrys ciągnąc go po ziemi rozerwał mu pazurami woreczek na podbrzuszu, wydzielający piźmo.

<sup>404</sup> — Ren, czyli renifer (*Rangifer tarandus*), w przeciwieństwie do wszystkich innych jeleni posiada nieregularnie rozłożone poroża tak u samców, jak i u samic. Szerokie racice umożliwiają mu utrzymywanie się na śniegu, lodzie i firnie (skryształizowanym, gruboziarnistym śniegu, tworzącym powyżej linii wiecznego śniegu pola firmowe). W lasach i tundrach pomocnych okolic Starego i Nowego Świata żyje około 14 gatunków tego jelenia.

<sup>405</sup> — Jeleń Dybowskiego (*Cervus nippon hortulorum*) — odkryty przez wybitnego polskiego przyrodnika Benedykta Dybowskiego, urodzonego w Adamczynie 30 IV 1833 r., a zmarłego we Lwowie w 1930 r. Po powstaniu styczniowym Dybowski został skazany na karę śmierci z zamianą na 12 lat katorgi na Syberii. Pracował ciężko przy osuszaniu błot i wyrębie lasu w Kraju Zabajkalskim, a jednocześnie badał faunę Bajkału i rzeki Amur. Ciekawe odkrycia dały mu światową sławę i przyniosły zamianę katorgi na osiedlenie. W latach 1873–1874 razem z Wiktorem Godlewskim badał faunę rzeki Ussuri. W 1877 r. powrócił do Polski, lecz wkrótce dobrowolnie znów udał się na Syberię. 4 lata badał Kamczatkę, Wyspy Kurylskie i Komandorskie, gromadził cenne zbiory przyrodnicze i studiował języki: Ajnów, Kamczadalów i Koriaków. Imieniem Dybowskiego nazwano przeszło 50 gatunków zwierząt. W 1883 r. wrócił do Polski. Objął katedrę zoologii na Uniwersytecie Lwowskim. Opublikował 175 prac naukowych.

<sup>406</sup> — Piźmowiec (*Moschus moschiferus*), również zwany kabargą, jest zwinnym, bezrogim jeleniem lesistych górskich terenów Azji Środkowej. W lecie rzadko opuszcza się poniżej 2500 m. Z powodu braku poroża nie należy do rodziny pełnorogich i tworzy odrębną podrodzinę, lecz poza tym ściśle łączy się ze zwierzętami jeleniowatymi. Wysokość piźmowca waha się około 70 cm, długość tułowia około 1 m; jest wyższy z tyłu niż z przodu, o krótkiej szyi i smukłych nogach. Dzięki możliwości rozstawiania szeroko palców doskonale ześlizguje się po gładkich zboczach, pewnie chodzi po

— No, no, naprawdę jesteś już świetnym tropicielem — przyznał Smuga.

— Gapa ze mnie! Pan szybciej odkrył woń piżma.

— Faktycznie łepetynę nosisz nie od parady — wtrącił bosman. — Niuchasz po ziemi niczym ogar. Pokaż no tę trawkę, ciekaw jestem, jak pachnie piżmo!

Ostrożnie powąchał, skrzywił się i mruknął:

— Tak samo zalatywało w jednej mydlami na Powiślu, dokąd moja staruszka posyłała mnie po bielidło.

— Piżmo jest w cenie. Wykorzystuje się je w produkcji leków oraz wyrobów perfumeryjnych jako środek utrwalający zapach — wyjaśnił Wilmowski.

— Jak widzisz, bosmanie, i Syberia na coś się przydaje — dodał Smuga.

— Dość jednak gadaniny. Tygrysica upolowała kabargę. Teraz syta na pewno odpoczywa ze swoimi tygrysiętami. Łatwiej ją zaskoczymy. Daleko jeszcze do legowiska?

— Mnóstwo blisko — odparł Nuczi. — Zaraz za sopką dolina i strumień. Tam amby spać w krzakach. Teraz nasza iść ostrożnie. Nasza wiedzieć: amby blisko, trzeba cicho być.

Ruszyli śladami tygrysicy. Przedtem musieli powściągać arkanami psy rwące się do przodu. Obecnie ogary podtuliwszy ogony samorzutnie trzymały się tuż przy nogach mężczyzn. Niepewne strzygły uszami i zjeżywszy sierść na karku, co chwila ostrzegawczo spoglądały na swych panów. Był to nieomylny znak, że poczuły bliskość groźnych drapieżników.

Łowcy okrążywszy wzgórze, znaleźli się w dolince przeciętej wzdłuż kamienistym strumieniem. Jak wskazywały ślady, tygrysica zmęczona dźwiganiem łupu odpoczywała nad wodą i gasiła pragnienie. Nuczi poprowadził teraz ku wylotowi dolinki. Niebawem ujrzeni szeroki pas równiny porosłej bujną trawą, wysokości człowieka. Jasny błękit nieba stapał się na horyzoncie z nieruchomym w tej chwili morzem zieleni stepowej.

---

torfowiskach, śniegu i lodowcach. W zimie żywi się głównie pędami drzew, w lecie soczystymi roślinami górskimi. Chadza zawsze utartymi ścieżkami, więc łatwo wpada w pułapki. Samce posiadają na środku podbrzusza woreczek wydzielający piżmo, które w stanie świeżym jest kleistą masą, a wysuszone stanowi proszek o bardzo miłym, przejmującym zapachu. Jeden woreczek zawiera około 30 g piżma, bardzo poszukiwanego przez myśliwych.

— Tam daleko jest batuszka Amur<sup>407</sup> — szepnął Nuczi wskazując dłonią ku południowi.

— Chyba znajdujemy się w pobliżu Niziny Zejsko–Burejskiej? — zwrócił się Tomek do ojca.

Wilmowski skinął głową i dodał:

— Na pewno wkrótce tajga cofnie się stąd dalej na północ. To jeden z nielicznych na Dalekim Wschodzie obszarów nadających się pod uprawę rolną<sup>408</sup>.

Nuczi przyłożył palec do ust nakazując milczenie. Jego wzrok prześlizgiwał się po kępie wierzbowych łóz, widniejących w odległości około trzystu metrów nad brzegiem strumienia.

— Tam śpią amby — cicho wyjaśnił.

Główna grupa wyznaczona do schwytania młodych tygrysów musiała zatoczyć na stepie półkole, by się zbliżyć do wierzbowych chaszczy z przeciwnej strony. Natomiast bosman i Udadżalaką, których zadaniem było utrzymanie tygrysicy z dala od potomstwa mieli iść wprost ku legowisku.

Zgodnie z planem część myśliwych zaszła się w step. Dopiero w jakiś czas po nich, już nie kryjąc się, bosman z Udadżalaką ruszyli w kierunku nadrzecznych zarośli. Niebawem rozbrzmiały przeraźliwe krzyki, ujadanie psów i huk strzałów.

Na odgłos wrzawy z traw i krzewów rosnących wokół bajorek poderwały się stada różnorakiego ptactwa. Jarzabki, bażanty, cietrzewie, kuropatwy i dzikie gęsi rozproszyły się na wszystkie strony, łowcy nawet nie zerknęli w ich kierunku. Bo oto z kępy zarośli ostrożnie wychyliła się wielka tygrysica. Najpierw ukazał się duży, kudłaty łeb, a potem pręgowane, potężne, czające się cielsko.

Bosman od razu zauważył wynurzające się z gąszczu zwierzę. Wskazał je towarzyszowi i razem z nim zaszł się w łozinę. Zaraz też rozpoczęli prawdziwie piekielną kanonadę. Tygrysica, ujrawszy napastników, wielkim susem wyskoczyła na step, po czym zatoczywszy mały łuk, usiłowała brzegiem strumienia przedostać się do legowiska. Dwóch łowców znów

---

<sup>407</sup> — Batuszka Amur — Ojciec Amur.

<sup>408</sup> — Równiny południowe, jako ośrodki rolnicze, stanowią najważniejszą część Dalekiego Wschodu; główne z nich to: Zejsko–Burejska w Kraju Nadamurskim, na lewym brzegu Amuru między Zeją i Bureją, oraz Nadchanskaja w Kraju Nadmorskim, koło jeziora Chanka.



zagrodziło jej drogę, osłaniając się ogniem rewolwerowym. Zdezorientowana, rzuciła się w strumień. To płynąc, to biegnąc, z uporem dążyła w kierunku kryjówki swego potomstwa. Nagle nowy rozkrzyczany wróg ukazał się tam, dokąd chciała dotrzeć. Ostra woń prochu uderzyła wprost w jej nozdrza.

Tymczasem w łożynie szalały dwa małe tygrysy. Naciskane przez ludzi i ogary ze wszystkich stron, rozpierzchły się w popłochu. Jeden z nich przerażony wrzawą wpadł pod nogi łowców, prześliznął się pomiędzy nimi i wskoczył do strumienia. Tygrysica od razu ujrzała płynące tygrysiątko. Warknęła przeciągle, zawróciła ku przeciwnemu brzegowi. Wiedziona macierzyńskim instynktem, wskazywała mu drogę ucieczki. Dwaj łowcy dalej płoszyli uciekinierów strzałami karabinowymi.

Drugi młody tygrys wydostał się na step. Łowcy pod dowództwem Nuciego zręcznymi manewrami zmusili go do ucieczki w dolinkę, a potem w tajgę. Pobiegli za nim, wciąż jeszcze trzymając psy na smyczach.

Rozpoczął się długi, uciążliwy pościg. Początkowo panicznie przestraszony drapieżnik znacznie oddalił się od pogoni. Nuczi co pewien czas polecał spuszczać ze smyczy jednego psa. Na pierwszy ogień szły najsłabsze, bowiem celem myśliwych było, aby cała sfora jednocześnie dopadła tygrysa. Gdyby najsilniejsze psy były puszczane pierwsze, z całą pewnością wyprzedziłyby słabsze i wtedy, pojedynczo atakując drapieżnika, niezawodnie padłyby jego ofiarą.

W końcu ostatni pies został spuszczonej ze smyczy. Ujadanie sfory oddalało się od łowców. Dopiero po półgodzinnym pościgu naszczekiwania zaczęły się przybliżać. Bieg po gąszczu tajgi nużył jednocześnie drapieżnika i pogoń. Myśliwi przedzierałi się przez krzewy, przeskakiwali zwalone pnie drzew i strzałami dodawali psom odwagi.

Pot ściekał strumieniami po twarzach łowców. Mimo że zaczynało już brakować im w piersiach tchu, wciąż przyspieszali biegu, gdyż coraz bliższe szczekanie i skowyt psów zagłuszały groźne warczenie broniącego się zajadle tygrysa.

Dopadli go!

Oparty zadem o porośniętą mchem i gęstymi pnączami zaporę zwalonych pni, co chwila wyrzucał do przodu pysk uzbrojony w kły bądź też łapą starał się dosięgnąć któregoś z nacierających ogarów. Psy wyglądały nie mniej dziko od drapieżnika. Pokryte ciemną wilczą sierścią napierały to z boków, to

z przodu. Ponoszone zapalem myśliwskim zapominały o odniesionych ranach. Ich ruchliwe źrenice paliły się krwawym ogniem. Odskokczywszy przed nagłym ciosem łapy tygrysa, psy natychmiast przeżyły się do nowego skoku, wysuwając ostre, szeroko rozwarte pyski.

Gwałtowność psów wzrosła znacznie na widok myśliwych. Nuczi wraz z synami szybko zapanował nad niebezpieczną sytuacją. Głośne rozkazy rzucane w języku nanajskim zgrupowały psy z jednej strony, podczas gdy z drugiej przyczaili się łowcy.

Tygrys, zjeżywszy na karku miękką, gęstą sierść, bronił się rozpaczliwie. Nagle jeden z psów doskoczył do niego z boku. Tygrys natychmiast zamachnął się łapą. Tomek błyskawicznie zarzucił na nią pętlę arkanu. Drapieżnik niemal zwinął się w kabłąk, szarpnął liną, wtedy syn Nuczego uchwycił pętlą tylną nogę. Po chwili Wilmowski uwięził w ten sam sposób drugą przednią. Tygrys usiłował przegryźć sznur, lecz Smuga podszedł do niego od tyłu i własną skórzaną kurtką nakrył mu łeb. Niebawem drapieżnik leżał na ziemi ze związanymi łapami.

Nuczi przystanął nad nim i odezwał się poważnie:

— Ty mądry, amba, ty rozumiesz, ty żyć długo. Nasza nie zabija! Nasza karmi i uczy. Twój brat też być u nasza. On ci powie, że nasza mówi prawdę.

Biali łowcy starannie ukrywali uśmiechy, przysłuchując się przemowie starego tropiciela. Jak większość Goldów żyjących w prymitywnych warunkach, był animistą, wierzył, że wszystkie rzeczy otaczające go są uduchowione, posiadają własną duszę. Z równą powagą odzywał się do kolącego krzaka cierni, jak do drzewa, które musiał zrąbać na opał, czy też do swej starej berdanki, gdy przygotowywał ją do strzału.

— Ty już nie musisz męczyć się — monologował Nuczi, zarzucając pętlę na pysk tygrysa. — Nasza zanieś twoja do obóz. Nasza da jeść. Twoja to rozumie, twoja jest mądra.

— Czy ty naprawdę sądzisz, że on rozumie, co mówisz do niego? — zagadnął Tomek.

— Amba taki sam człowiek jak nasza — odparł Nuczi, ruchem ręki ponaglając synów, którzy przesuwali długą żerdź pomiędzy związanymi łapami tygrysa.

Łowcy parami na zmianę nieśli młodego, ważącego około stu kilogramów „kociaka”. Stary Gold szedł obok usprawiedliwiając się przed nim, dlaczego musiał pozbawić go wolności.



## OKO W OKO Z TYGRYSEM

Wyiskrzzone gwiazdami niebo rozpościerało się nad tajgą. Wieczór był ciepły i bezwietrzny. W obozie łowców płonęło kilka ognisk.

Bosman jeszcze przed zapadnięciem zmroku zaszył się w namiocie. Nie zdjął nawet ochronnej siatki. Z okutaną w muślin głową siedział przy dymokurze, to jest trzynożnym koszu uplecionym z drutu, i co pewien czas dorzucał na rozżarzone węgle suchego końskiego nawozu. Łzy ciekły mu z oczu podrażnionych gryzącym dymem, pocił się niepomiernie, lecz z gorliwością rzymskiej westalki czuwał nad ogniskiem. Zapowiedział, że woli utonąć we własnych łzach, niż narażać swe ciało na kęśliwość meszek. Przebywał więc samotnie w zadymionym namiocie i popijał z płaskiej butelki swój ulubiony rum.

Tomek siedział na uboczu pod drzewem. Przymrużonymi oczami spoglądał na obozowisko, nie zwracając uwagi na meszki wprost szalejące w nieruchomym, wilgotnym powietrzu. Konie i psy trwożliwie cisnęły się do dymiących ognisk; przerażało je przeciągłe, żałosne warczenie tygrysicy, dobiegające od czasu do czasu z głębi tajgi.

Tygrysy w klatkach były bardzo niespokojne, coraz to uderzały cielskami o kraty oddzielające je od wolności. Tomek wsłuchiwał się w te odgłosy gniewu i jednocześnie obserwował odpoczywających towarzyszy. Ojciec gawędził z synami Nuczego, Smuga opatrywał psy pokaleczone podczas łowów, a Pawłow, napchawszy waty w uszy, przysiadł z nie odstępującym go Udadzałaką przy ognisku, jak najdalej od klatek z rozdrażnionymi tygrysami. Nuczi natomiast na krok nie odstępował czworonożnych więźniów. Słowami usiłował nakłonić je do spokoju.

Zamyślony Tomek mechanicznie zgarniał dłonią meszki lgnące do spoconej twarzy, wydmuchiwał je z nosa, wypluwał cisnące się do ust i coraz więcej uwagi poświęcał staremu Goldowi. Od porannej poufnej rozmowy ze Smugą wciąż zastanawiał się, w jaki sposób mogliby ukryć Zbyszka w obozie po uprowadzeniu go z miejsca zesłania. Najdziwaczniejsze pomysły przychodziły mu do głowy, lecz na żaden sposób nie mógł się zdecydować. Naraz spojrział na Pawłowa. Agent osłaniał dłońmi zapchane watą uszy i spode łba nieufnie spoglądał na siedzącego u jego boku milczącego

Udadzałakę. W tej właśnie chwili Tomkowi błysnęła wspaniała myśl. Podniecony podniósł się i podszedł do Golda.

— Słuchaj Nuczi, może by tak rozpalic więcej ognisk wokół klatek? Meszek jest dzisiaj bez liku — zagadnął.

— Nasza dosyć pali ogień. To nie gnus je drażni — odparł Gold. — Mnóstwo blisko krąży matka amby, co nasz łapać dzisiaj.

— Czy orientujesz się, gdzie krąży tygrysica?

Gold skinął głową.

— No tak, skrzywdziliśmy ją, tęskni za swoimi młodymi — rzekł Tomek, spod oka obserwując Nucziego.

— Twoja dobrze mówi — potaknął tropiciel. — Ale nasza kocha małe amby i nie krzywdzi. Nasza da jeść, nasza uczy.

— Gdyby tygrysica to wszystko wiedziała, na pewno zostawiłaby nas w spokoju — powiedział Tomek.

Gold mruknął coś, znów spojrzął w ciemną tajgę.

— Nuczi, pomóż mi odszukać tygrysicę — szepnął Tomek.

— Nie, nie, amba gniewa się mnóstwo bardzo. Źle być z nasza — zaoponował Nuczi.

Tomek się zafrasował; niebawem znów powziął jakiś pomysł, gdyż nieznacznie uśmiechnął się i rzekł:

— Jeśli nie powiesz nikomu, to zdradzę ci pewną tajemnicę.

— Stary Gold mówi mnóstwo mało — zapewnił.

— Posiadam ukrytą władzę nad dzikimi zwierzętami. Potrafić wzrokiem zmusić je do posłuszeństwa.

Gold spojrzął zdziwiony; z przekornym błyskiem w oczach odparł:

— To niech twoja mówi oczami ambom w klatkach, żeby było cicho!

Tomek wzruszył ramionami i powiedział:

— Jeśli synowie twoi robią coś na twoje polecenie, czy mogę ich od tego odwozić? A widzisz! Młode tygrysy odpowiadają jedynie na zew matki. To tygrysicę należy jakoś przekonać, żeby przestała je przywoływać. Wytłumaczę jej, że będzie im u nas dobrze.

— Czy naprawdę możesz to zrobić? — zdziwił się Gold.

— Zaprowadź mnie do niej, to sam się przekonasz.

Stary tropiciel wahał się jeszcze, ale naiwna ciekawość już brała w nim górę nad przezornością. Badawczym wzrokiem mierzył młodzieńca, jakby widział go po raz pierwszy. Po krótkiej chwili odezwał się:

— Moja zaprowadzi do amby!

— Dobrze, Nuczi, ale to, co ujrzysz, musisz zachować w tajemnicy, dopóki nie wyjedziemy z Syberii. Zgoda? Przyrzeknij!

Gold poważnie skinął głową.

— A więc dobrze! Czekaj tu na mnie, powiem panu Smudze, że pójdziemy odegnać tygrysicę.

Tomek nieznacznie odwołał Smugę na ubocze.

— Już wiem, w jaki sposób możemy ukryć Zbyszka w obozie — szepnął przyjacielowi wprost do ucha, przytrzymując go za ramię.

— Oby tylko pomysł był dobry — odpowiedział Smuga. — Cóż takiego wymyśliłeś?

— A więc, niech pan uważnie słucha...

Przez długą chwilę wyjawiał swój plan.

— No i co pan na to? — zakończył.

— Zaskoczyłeś mnie tym pomysłem — odparł Smuga. Strzepnął meszki z twarzy i dodał: — To wcale nie jest zły fortel, chociaż na pozór wydaje się dość naiwny. Na szczęście dla nas carska policja nie grzeszy zbyt dużą lotnością umysłu.

— Więc zgadza się pan?

— Do wszystkich diabłów, zgadzam się! I tak już straciliśmy wiele cennego czasu. Musimy wykorzystać najlepszą porę roku do ucieczki, gdyż potem nadejście surowej zimy może udaremnić wykonanie naszych zamiarów. Słuchaj, Tomku, trzeba jednak będzie urządzić próbę.

— Zrobimy oczywiście, zrobimy!

Tomek znów się pochylił do ucha Smugi.

— Niech tak będzie, bierz się do dzieła, ale bądź bardzo ostrożny. Tygrysyca jest rozdrażniona. Chyba powinienem pójść z tobą — szepnął Smuga.

— Nie, proszę pana. Nuczi by nabrał podejrzeń. Przecież na niego mogę liczyć!

Uścisnął dłoń przyjacielowi, po czym zdjął sztucer zawieszony na gałęzi drzewa. Starannie sprawdził działanie spustu i nabił broń.

Tropiciel czekał na niego przy klatkach z tygrysami. Na ramieniu miał przewieszoną swoją starą berdanę.

Gold poprowadził. Otoczyła ich czarna, przepastna tajga. Z wolna wzrok łowców przywykał do ciemności. W mroku zaczęły się zarysowywać pnie potężnych drzew, powalone kłody i krzewy. Stary Gold szedł posuwistym, kocim krokiem. Czasem przystawał i nasłuchiwał, to znów przyklękał przykładając ucho do ziemi, zmieniał kierunek. Tomkowi zdawało się, że wciąż krążą w pobliżu obozowiska. Po jakimś czasie był już tego pewny, albowiem pomruki tygrysów w klatkach oddalały się bądź przybliżały.

Nocne kluczenie po dziewiczej tajdze rychło ich zmęczyło, toteż Tomek ucieszył się, gdy Nuczi przysiadł na pniaku. Spoczął obok niego.

— Nasza czeka na księżyc. Ciemno, nasza amby nie widzi — szepnął Gold.

— Czy uda ci się w nocy odnaleźć trop tygrysicy? — także szeptem zapytał Tomek.

— Nasza nie mówić, amba całkiem blisko nasza.

Tomek od razu zamilkł. Jeśli stary tropiciel się nie mylił, należało zachować jak najdalej idącą ostrożność. Zaczął nasłuchiwać; jednocześnie wodził wzrokiem po chaszczach.

Czas dłużył się Tomkowi. Łowił uchem tajemnicze odgłosy płynące z ciemnych głębin tajgi. Po dziewiczym lesie niosły się jakby głębokie westchnienia, pogwary i pomruki przerywane jakimś dziwnym szumem. Gdzieś trzasnęło walące się drzewo, plusnęła woda w bajorze, a potem zapanowała cisza. Naraz dłonie Tomka silnie ujęły sztucer leżący na kolanach. W krzewach dokładnie na wprost niego na króciutki moment zamigotały dwie fosforyzujące iskierki. Tomek złożył się do strzału z biodra. Tygrysica więc przyszła! Gdy jeszcze raz spojrzy, strzeli pomiędzy płonące ślepia. Lecz co to?! Niebieskie ogniki błyskają bardziej na lewo, inne fosforyzują z prawej strony, teraz jednocześnie zbliżają się bezszelestnie. Serce mocno uderzyło w piersi młodzieńca. Skąd się tu nagle wzięło tyle tygrysów?!

Pochylił się, uniósł lufę sztucera. Dlaczego Nuczi nic nie mówi? Czyżby zasnął? Zerknął w jego kierunku. Tropiciel siedział spokojnie na kłodzie, opierając się plecami o drzewo. Stara berdanka nieruchomo spoczywała na



jego kolanach. Nie spał. Jak gdyby nic nadzwyczajnego się nie działo, spoglądał w górę na gałęzie drzew.

„*On naprawdę czeka, aż ja wzrokiem zmuszę tygrysy do posłuszeństwa*” — przemknęło Tomkowi przez myśl. Użył podstępu, aby nakłonić przesadnego Golda do odszukania tygryscy w tajdze, i teraz sam wpadł we własne sidła! W jednej chwili zrozumiał, że nie może liczyć na jego pomoc w tej rozprawie.

Już się sprężył, aby powstać na równe nogi, gdy wtem chmary niebieskawych iskierok rozbłysnęły wokoło. Świeciły wśród krzewów, na gałęziach drzew, migotały w powietrzu, nawet trawa u jego stóp skrzyła się niby drgający ognikami kobierzec.

Tomek odetchnął głęboko — rozluźnił mięśnie.

„*A niech to lichok porwie!*” — zaklął w duchu. Omal nie parsknął śmiechem. To maleńkie świetliki<sup>409</sup>, zwane robaczkami świętojańskimi, napędziły mu strachu!

Oparł się o drzewo. Dłonią otarł pot z czoła. Zerknął na Golda, czy przypadkiem nie spostrzegł jego pomyłki. Na szczęście Nuczi z zadartą do góry głową wpatrywał się w iskierki tańczące wśród gałęzi drzew.

Świetliki skróciły Tomkowi czas oczekiwania. Wodził za nimi wzrokiem, podziwiał piękną grę miłosną maleńkich chrząszczyków. Samiczki, nie posiadające zazwyczaj zdolności lotu, iskrzyły się siedząc w trawie i tam wabiły swych wielbicieli, krążących w powietrzu ponad nimi. Było to wspaniałe widowisko.

Gdzieś w górze w pobliżu rozbrzmiało naraz potężne hukanie. „*Uhu, uhu!*” — donośnie rozniosło się po lesie. To puchacz<sup>410</sup>, zwany niekiedy w podaniach ludowych królem sów, wyruszył na nocne łowy.

---

<sup>409</sup> — Świetliki (*Lampyris noctiluca* i inne gatunki) — owady należące do rzędu chrząszczy (*Coleoptera*). Obie pici świetlików, a niekiedy już nawet jaja, larwy i poczwarki posiadają zdolność świecenia. Pozostaje ona w związku z szybkimi przemianami chemicznymi pewnych substancji, znajdujących się w ciele tych chrząszczy. Przypuszczalnie zresztą świecenie chrząszczy dorosłych ma właśnie znaczenie przy wzajemnym odszukiwaniu się płci przeciwnych.

<sup>410</sup> — Puchacz (*Bubo bubo*) — najpospolitszy i najlepiej znany przedstawiciel sów. Osiąga długość do 75 cm, charakteryzują go więc pokaźne rozmiary; ma wydłużone piórka na przedzie głowy, tzw. uszy, i krótkie skrzydła. Upierzenie ma gęste, z wierzchu ciemne, rdzawożółte, na gardzieli żółtobiałe, na spodzie rdzawożółte, uszy ciemne. Gnieździ się w skalach lub gęstych gałęziach, szczególnie drzew iglastych, a czasem wprost na ziemi przy drzewie lub pniaku. Łowi cietrzewie, głuszce i inne leśne

W dali rozległ się głuchy tętent racic: zaraz po nim przetoczył się jękliwy, żaloszny ryk jelenia. Gdzieś, znacznie już bliżej, zaszeleściły gałęzie roztrącane przez poroża.

Świetliki zniknęły niemal tak nagle, jak się uprzednio pojawiły. Nuczi drgnął zaniepokojony. Pochylił się i nadstawił ucha.

— Amba idzie... — szepnął po chwili.

Tomek cały zamienił się w słuch. Za nimi szeleściły krzewy. Ręką dał znak tropicielowi, ostrożnie powstał z pnia i przywarł plecami do potężnego drzewa. Nuczi uczynił to samo. Szelest stawał się coraz bliższy. Przytłumiony pomruk rozbrzmiewał w pobliżu, potem zapadła długa, niepokojąca cisza.

Łowcy zatapiali wzrok w czarne chaszczce. Niemal nieuchwytny szelest gałęzi rozległ się znów za ich plecami. Odwrócili się twarzą ku niebezpieczeństwu, stale opierając plecy o drzewo.

— Nie możemy tutaj sterczeć do rana, musimy coś zrobić — po dłuższej chwili szepnął Tomek.

— Teraz robić nic; zaraz będzie księżyc — lakonicznie odparł Gold.

Nuczi dobrze radził. Niebawem pierwsze promienie księżyca nieśmiało wpełzły pomiędzy drzewa. W srebrzystej poświacie pnie i krzewy przybierały dziwaczne kształty. W tej okolicy las nie był gęsty, więc stopniowo robiło się coraz jaśniej. Czas mijał.

— Nasza już może szukać amby — odezwał się Nuczi.

Tomek ze sztucerem gotowym do strzału ruszył za tropicielem, który niemal bezszelestnie zagłębił się w zarośla. Krążył wokół drzewa nisko pochylony. Rękoma ostrożnie rozsuwał gałęzie krzewów, wypatrywał tropów. Trwało to jakiś czas. Tomek już zaczynał powątpiewać w pomyślny wynik nocnych poszukiwań, gdy nagle Nuczi przyklęknął. W skupieniu macał ziemię.

— Tu ruszyła wielka amba, twoja niech dobrze patrzy — cicho oznajmił.

Tomek przykucnął. Dłońmi odszukał wyciśnięte ślady potężnych łap tygrysicy. Gold był niezwykle doświadczonym tropicielem. Gdy natrafił nawet w nocy na świeże ślady, nie gubił ich już później ani na chwilę. Czasem trop był mniej wyraźny na twardszym gruncie, wtedy Nuczi głęboko wciągał

nosem powietrze, obwąchiwał krzewy, o które mogło się otrzeć zwierzę, i odnajdując węchem charakterystyczną woń jego ciała, nieomylnie dążył za nim.

Tomek był pełen podziwu dla myśliwskich umiejętności starego Golda. Sam przecież także potrafił tropić zwierzynę, lecz odnalezienie śladów w tak trudnych warunkach było niecodziennie spotykanym mistrzostwem.

Nuczi, dążąc śladami, jeszcze raz obszedł dookoła drzewo, pod którym przedtem czatowali. Był to niezbity dowód, że drapieżnik okrążał ich i obserwował. Tomek nie był już teraz pewny, czy tylko fosforyzujące świetliki stały się uprzednio powodem jego przestrachu.

Spod drzewa ślady tygryscy zaczęły się oddalać w kierunku obozowiska myśliwych, po pewnym jednak czasie znów zawracały. Obydwaj łowcy idąc za nimi zatoczyli niewielkie koło, a gdy w końcu na własnych, dopiero co pozostawionych śladach odkryli powtórny trop tygryscy, stanęli przerażeni. Nie mogli mieć jakichkolwiek wątpliwości: tygrysica wywabiła ich z dogodnego do obrony miejsca i obecnie sama skradała się za nimi.

Znajdowali się w niesamowitej sytuacji. Tygrysica mogła się czaić za każdym drzewem czy krzakiem. Tomek przywykły do niebezpieczeństw rychło zapanował nad podstępnie wkradającym się do jego serca strachem. Przecież po to jedynie nakłonił Golda na nocną wyprawę do ostępu, aby stanąć z tygrysica oko w oko. Wsunął kolbę sztucera pod prawą pachę, wskazujący palec oparł na spuście. Był gotów. Teraz spojrzał na Nucziego.

Tropiciel stał lekko pochylony do przodu. Nasłuchiwał, jednocześnie penetrując wzrokiem okoliczne zarośla. Gdzieś w nich czaił się drapieżnik. Nuczi widocznie nie miał zamiaru użyć broni palnej w razie spotkania tygryscy. Nadżarta przez ząb czasu berdanka spokojnie zwisała na pasie na ramieniu. Naiwny jak dziecko krajowiec zapewne wierzył, że Tomek potrafi wzrokiem nakłonić zwierzę do posłuszeństwa. Zaledwie młodzieniec spojrzał na niego, natychmiast zdał sobie sprawę z własnej odpowiedzialności za rozwój dalszych wypadków. Przysunął się do Nucziego.

— Zrobiłeś swoje, teraz mnie pozwól działać! — rozkazał. — Idź tuż za mną, gdybyś ujrzał ambę, trąć mnie w łokieć.

Tyle było stanowczości w słowach Tomka, że Gold, podniecony niezwykłością sytuacji, bez sprzeciwu uległ jego woli.

Tomek ruszył pierwszy... Krok za krokiem obchodził najbliższe zarośla. Lufą sztucera wolniutko rozsuwał gałęzie, przetrząsnął okoliczne krzewy, lecz nie wytropił tygrysicy. Nuczi postępował za nim.

Poszukiwania wciąż były bezskuteczne. Tomek z wolna się odpręzał; ustępowało napięcie nerwowe. Tygrysica na pewno odeszła stąd, był to więc koniec niesamowitej nocnej przygody. Wprawdzie takie jej zakończenie komplikowało plany Tomka, ale mimo to doznał uczucia ulgi.

Przystanął, rezygnując z dalszego bezcelowego tropienia. Odetchnął pełną piersią i wtem... poczuł nikły odór dzikiego zwierzęcia. W tej właśnie chwili Nuczi dał mu umówiony znak.

Tygrysica wynurzyła się zza wielkiego jałowca. Ujrzawszy tuż przed sobą prześladowców, stanęła jak wryta. Przez chwilę Tomek i bestia spoglądali sobie prosto w oczy. Potem tygrysica pochyliła łeb, wstrząsnęła nim, jakby drażniła ją siła ludzkiego wzroku. Skurczyła grzbiet prężąc się do skoku. Tomek szybkim jak myśl ruchem uniósł sztucer do ramienia.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności niebezpieczne spotkanie nastąpiło w małym wiatrołomie, to jest miejscu, gdzie drzewa zostały powalone przez wicher. Wiatrołom porastały jedynie rzadkie krzewy, a teraz rozjaśniała je poświata księżycowa. Dzięki temu Tomek mógł dość pewnie złożyć się do strzału. Gdy ciemne cielsko poderwało się z ziemi, młody łowca mierzył już pomiędzy fosforyzujące ślepia. Nacisnął spust. Zaraz też odepchnął plecami Nuczego i sam uskoczył w bok.

Tygrysica padła łbem na ziemię. Przez krótką chwilę cielsko jej drgało konwulsyjnie, pazury dały poszycie, potem znieruchomiała.

— Wiernyj wystriał<sup>411</sup> — półgłosem odezwał się Nuczi. — Amba nie słucha mowa oczy?

— Nuczi, musiałem zabić — usprawiedliwiał się Tomek.

— Amba nie słucha, twoja zabić. Twoja dobrze zabić — przyznał Gold. Usiedli na pniu. Tomek wydobył pudełko papierosów. Zamyślony zerkał na starego tropiciela. Oto pierwsza część planu została pomyślnie wykonana, lecz teraz jakoś nie mógł się zdobyć na to, aby w dalszym ciągu wykorzystywać łatwowierność uczciwego człowieka. Na Syberii, carskiej kolonii, nikt się nie troszczył o szerzenie oświaty i postępu wśród krajowców. Przecież im bardziej byli zacofani, tym łatwiej ulegali bezwzględny rosyjskim

---

<sup>411</sup> — Celny strzał.

zarządom. Goldowie również byli ofiarami zaborczego caryzmu. Z tego względu Tomek coraz więcej nabierał przekonania, że Nucziemu można zaufać. Dawna przyjaźń Golda z polskim zesłańcem oraz jego niemal wrogi stosunek do agenta Pawłowa umacniały go w tym przeświadczeniu. Tomek również zaobserwował, że ustawiczne docinki rubasznego bosmana Nowickiego pod adresem carskiego agenta zjednały im sympatię Goldów.

Po krótkiej chwili rozmyślań przestał się wahać. Zgasił niedopałek papierosa, po czym zagadnął:

— Nuczi, powiedz mi, co sądzisz o Pawłowie?

Gold wzruszył ramionami i odparł lakonicznie:

— Krzywe oko, złe oko. Patrzy tu, patrzy tam, słucha i pisze. Potem naczałstwo mówi: przestępnik w tiuremnyj zamok.<sup>412</sup>

— Czy nie obawiasz się, że mu to powtórzę?

Gold spojrzał Tomkowi prosto w oczy.

— Moja myśli: twoja swój człowiek — odpowiedział.

— Nie mylisz się, Nuczi. Ja i moi towarzysze jesteśmy przeciwnikami caryzmu. Natomiast darzymy przyjaźnią wszystkich pokrzywdzonych przez cara ludzi. Teraz mogę wyznać, że muszę uczynić coś takiego, o czym Pawłow nigdy nie powinien się dowiedzieć. Zapewniam cię jednak, że czyn mój będzie służył dobrej sprawie. Czy zechcesz mi dopomóc?

— Dobry człowiek, dobra sprawa. Twoja powie, moja zrobi.

— Czy przyrzekasz, że nikomu nie powiesz?

— Twoja mówi, Gold robi i zaraz zapomni.

— Dziękuję ci, Nuczi. Byłem pewny, że możemy liczyć na ciebie. Wiemy, że jesteś biedny. Ciężko pracujesz na kawałek chleba. Mam tu dla ciebie sto rubli w złocie, przydadzą ci się na pewno.

Tomek odpinał kurtkę, by wydobyć pieniądze. Gold zmarszczył brwi. Przytrzymał jego dłoń.

— Przysługa dla przyjaciela, ruble nie! Matka-tajga karmi swój człowiek.

— Przepraszam, Nuczi. Naprawdę nie chciałem cię obrazić — zawołał Tomek, mocno ściskając twardą dłoń starego Golda.

— Twoja przyjaciel. Twoja mówi, moja zrobi i zapomni.

---

<sup>412</sup> — Przestępca do więzienia!



## BOSMAN W OPAŁACH

Ranek był mglisty. Południowo-wschodni letni monsun znów niósł znad morza ciepłe, nasycone wilgocią powietrze. Po tajdze snuły się opary, przez które od czasu do czasu nieśmiało przeświecało słońce.

Zupełnie widoczne pogarszanie się pogody wprawiło w dobry humor bosmana Nowickiego, wiatr bowiem zapewniał zniknięcie dokuczliwych meszek. Tego dnia bosmanowi przypadła w udziale rola kucharza, wstał więc ochotczo o świcie, by nazbierać na odżywczy kompot owoców limonnika. Teraz samotnie szedł przez tajgę, niefrasobliwie wymachując trzymanym w ręku wiaderkiem. Prócz myśliwskiego noża za pasem nie miał przy sobie innej broni — gniewne pomruki tygrysów więzionych w obozie przepłoszyły zwierzynę z najbliższej okolicy i bosmanowi zdawało się, że nie grozi mu żadne niebezpieczne spotkanie.

Wkrótce odnalazł w tajdze krzewy limonnika; zaczął zrywać małe, czerwone niczym jarzębina owoce. Po pewnym czasie miał ich już pół wiaderka. Przerwał pracę, usiadł wygodnie na trawie opierając się plecami o drzewo. Wydobył z kieszeni fajkę, nabił ją tytoniem i zapalił. Samotność niebawem znudziła towarzyskiego olbrzyma. Przywykł do częstych pogawędek ze swoim młodszym przyjacielem, Tomkiem Wilmowskim, toteż z pewnym rozgoryczeniem spojrzął w kierunku obozu. Zachowanie Tomka w czasie ostatnich kilku dni było dla niego niezrozumiałe. Młodzieniec nie wdawał się w rozmowy, przebywał na uboczu, a nagabywany przez towarzyszy odpowiadał półsłówkami i tylko od czasu do czasu ukradkiem wymieniał ze Smugą porozumiewawcze spojrzenia. „*Co za lichy go nagle ugryzło?*” — gubił się w domysłach marynarz.

Od lat stanowili parę wypróbowanych przyjaciół. Podczas studiów Tomka w Londynie bosman odwiedzał go niemal co miesiąc. Gawędzili wtedy do późnej nocy. Młody przyjaciel zwierzał mu się ze wszystkich kłopotów, zasięgał rady. Natomiast na wakacyjnych wyprawach łowieckich nie rozstawali się prawie ani na chwilę, ponieważ na prośbę ojca bosman czuwał wtedy nad jego bezpieczeństwem. Nic więc dziwnego, że doskonale poznał słabostki chłopca i przywiązał się nieomal jak do własnego syna.

„Coś musi leżeć mu na wątrobie, to pewne, ale co? — głowił się marynarz. — Może stęsknił się za Sally? Nie, nie, tu nie o spódniczkę chodzi, bo wtedy szukałby u mnie pociechy! Wie, że w sprawach sercowych może na mnie polegać. Jeśli taki roztropny i sprytny chłopak milczy i zasępiony łązi po kątach, to jasne jak słońce, że sprawa jest znacznie poważniejsza.”

Wydobył z kieszeni płaską butelkę ulubionego rumu. Pociągnął z niej spory łyk i ciężko westchnął zafrasowany.

„Co to pocziwe chłopczysko może chować w zanadrzu? — zastanawiał się dalej. — Oho, czuję że coś rozjaśnia mi się w łepetynie? Utknęliśmy w tajdze i niby to łapiemy kociaki, a carski szpicel, którego władze nam narzuciły, wciąż zezuje na nas i we wszystko wtyka nos. Zbyszek jest uwięziony w Nerczyńsku, dokąd nie możemy się dostać bez specjalnego zezwolenia gubernatora. Tfu, do licha! Nie chciałbym znajdować się w skórze Smugi! On tu dowódcą, na nim spoczywa cała odpowiedzialność. Na szczęście stary to wyga! Jeśli potajemnie oczkuje z Tomkiem, to ani chybi obydwaj coś knują. Ho, ho! Ten nasz szkrab naprawdę mógłby zostać królem cwaniaków. Ile to razy jego cudaczne pomysły wyciągały nas wszystkich z tarapatów! Ha, skoro oni obydwaj tak uparcie milczą, niezawodnie słusznie robią — staruszek mój zawsze mówił: *ticho jediesz, dalsze staniesz*<sup>413</sup>.”

Zadowolony z toku swego rozumowania jeszcze raz wydobył płaską butelkę.

„Nic tak nie rozjaśnia w mózgownicy jak rum” — mruknął, delektując się swoim ulubionym napitkiem. Powtórnie nabił fajkę tytoniem; wkrótce kłęby dymu unosiły się wokół niego. Lekki szum gałęzi zaczął go usypiać. Oparł głowę o drzewo i przymknął oczy.

Naraz wewnątrz pnia drzewa rozległy się jakieś podejrzane szmery. Zaintrygowany czujnie nadstawił ucha. W drzewie niezawodnie coś chrobotowało. Otworzył oczy, zadarł do góry głowę.

O jakiś metr ponad nim czernił się mały otwór dziupli, zasnuty jeszcze dymem z fajki.

„Do stu zdechłych wielorybów, czyżbym moją fajką podrażnił w dziupli jakąś gadzinę?” — zaniepokoił się ogromnie.

Zerwał się na równe nogi. Uciął nożem długą gałąź z krzewu jałowca i bez namysłu wepchnął ją w dziuplę w drzewie. Było to przysłowiowym

<sup>413</sup> — Cicho jedziesz, dalej dojedziesz.



włożeniem kija w mrowisko, albowiem dziupla okazała się gniazdem jakichś bardzo żywotnych zwierzątek. Przestraszone wyskakiwały z dziupli i wymachując kitami ogonów, zwinnie wspinały się wyżej na gałęzie.

W pierwszej chwili bosman oniemiał na widok gromady pięknych wiewiórek, które rozbiegały się na wszystkie strony, przeskakując w panice z drzewa na drzewo. Wkrótce jednak przypomniał sobie, że futra wiewiórek syberyjskich są bardzo poszukiwane, więc niezadowolony mruknął:

*„Niech mnie tajfun porwie! Łaskawy los zesłał mi wspaniałe futerka, które mógłbym podarować Sally, a ja przegapiłem taką okazję!”*

Teraz widząc na własne oczy kilkanaście gryzoni uciekających z jednego gniazda, uwierzył w przechwałki Nuczego, który kiedyś mówił, że synowie jego potrafią złować nieraz do pięćdziesięciu „biełek” w trakcie jednego polowania. Wiewiórki przywiodły bosmanowi na myśl starego Nuczego, więc znów usiadł na trawie i zaczął rozmyślać o ostatnich wydarzeniach.

Otóż wieczorem tego dnia, kiedy schwytali już czwartego tygrysa, Tomek i Nuczi wyruszyli potajemnie w tajgę, aby przepłoszyć tygrysicę wałęsającą się w pobliżu. Nocna strzelanina w ościepie zaniepokoiła pozostałych w obozie towarzyszy. Wilmowski skarcił potem obydwóch śmiałków za niepotrzebne narażanie się na niebezpieczeństwo. Wtedy właśnie Smuga oświadczył, że czas już zakończyć łowy na tygrysy i poprowadzić wyprawę w okolice Błagowieszczęńska, gdzie w nadamurskich suchych łągach oraz stepach łąkowych roiło się od wszelakiego ptactwa. Tam bowiem mieli zapolować na duże okazy i preparować ich skórki do wypchania.

Zapowiedź przeniesienia obozu w pobliże jednego z głównych miast Dalekiego Wschodu ucieszyła wszystkich członków wyprawy, aczkolwiek każdego z innego powodu. Dla Tomka oraz jego towarzyszy polowanie na ptactwo było oczywiście jedynie pretekstem przybliżenia się do Nerczyńska. Toteż radowała ich myśl o rychłym rozpoczęciu akcji mającej doprowadzić do uwolnienia nieszczęsnego zesłańca. Dla synów Nuczego, spędzających większość życia w tajdze, odwiedzenie miasta było nie lada wydarzeniem, dla agenta Pawłowa stanowiło zaś okazję do złożenia władzom odpowiedniego meldunku i otrzymania dalszych poleceń.

Tylko Nuczi nie okazał zadowolenia; poprosił o krótką zwłokę. Przed wyruszeniem dalej na zachód postanowił odprowadzić do domu psy poranione podczas łowów na tygrysy i zastąpić je innymi. O świcie następnego dnia

osiadł dwa konie, po czym z psiarnią wyruszył w drogę. Obecnie lada chwila można było spodziewać się jego powrotu.

„*Za powodzenie naszej wyprawy*” — mruknął bosman pociągając rum z butelki. Następnie, oparłszy się wygodnie o drzewo, zasnął prawie natychmiast.

Natarczywe, głucho gruchanie oraz trzepot skrzydeł wschodnio-syberyjskich leśnych synogarlic<sup>414</sup> wyrwały z błęgiego snu rozpartego na trawie bosmana. Leniwie otworzył oczy. Płowe synogarlice właśnie znikwały wśród drzew.

Nagle jakieś rozpędzone rudawobrunatne stworzonko przekoziółkowało przez jego pierś. Poderwał się zaskoczony, by ujrzeć zająca bielaka<sup>415</sup> czmychającego w rosnące opadał krzewy limonnika.

„*Czyżby klepki pomieszały się w łepetynach tych zwierzaków?! — mruknął zdumiony. — Same pchają mi się dzisiaj w ręce!*”.

Mimo woli spojrzął w kierunku, z którego musiał przybiec przestraszony zając. Zdumienie bosmana natychmiast ustąpiło miejsca niepokojowi; o kilka kroków od siebie ujrzał baraszkuje dwa brunatne niedźwiadki<sup>416</sup>.

„*O, do diabła! Te niedźwiedzie bachory gotowe jeszcze ściągnąć mi tu na kark swoją matkę*” — pomyślał rozglądając się pospiesznie po okolicznych krzewach. Naraz cały znieruchomiał, tylko jego prawa dłoń jak wąż przypełzła do rękojeści tkwiącego za pasem myśliwskiego noża i mocno zacisnęła się na niej. Olbrzymia niedźwiedzica buszowała w krzakach malin.

<sup>414</sup> — Wiewiórki syberyjskie (*Sciurus vulgaris sibiricid*), w przeciwieństwie do wiewiórek europejskich, dostarczają ładnego i poszukiwanego futra. Wprawdzie europejskie wiewiórki również pokrywają się na zimę gęstym, siwym włosem na bokach ciała, lecz grzbiet zawsze pozostaje rdzawoczerwony, natomiast futerko gatunku syberyjskiego na jesień i zimę przybiera jednolity szary kolor bez śladu czerwonego nalotu. Skórki tych wiewiórek, zwane bielinkami, są bardzo cenione na rynku futrzarskim. W ZSRR około 30–40% całorocznej sprzedaży futer stanowią właśnie „*bielki*”.

<sup>415</sup> — Synogarlice (*Streptopelia risoria*), — gatunek gołębi pokrewny turkawkom (*Streptopelia turtur*). Mają piękny płowy kolor z czarną obrączką na szyi. Wyróżniają się głosem złożonym z wyraźnie brzmiących zgłosek: ku–kru–nu. Pochodzą z Afryki i Azji południowej.

<sup>416</sup> — Zając bielak (*Lepus timidus*) odznacza się przede wszystkim tym, że zimą zmienia ubarwienie na całkowicie białe, latem zaś jest rudawobrunatny. Zmiana barwy zachodzi u tych zwierząt wskutek wypadania starych włosów i narastania nowych o innym kolorze. Stopy ma pokryte dość długą twardą sierścią, co stanowi przystosowanie do biegania po śniegu. Bielaki zamieszkują północne okolice Starego Świata. Liczne podgatunki spotyka się w Szwecji, Rosji północnej, Irlandii i w całej północnej Azji.

Potężnymi łapami naginała gałęzie bądź stawiała na tylnych nogach, by pyskiem dosięgnąć słodkiego owocu.

Bosman powoli oparł się plecami o pień drzewa. Siedział nieruchomo, pocieszając się zapewnieniami Smugi, że nawet najsilniejsze gatunki niedźwiedzi atakują człowieka jedynie wtedy, gdy są przez niego zaczepiane lub zranione. Ewentualna próba ucieczki mogła tylko pogorszyć jego sytuację. Niedźwiedzica, mimo pozornie ociężałego wyglądu, z łatwością by go dogoniła. Stanięcie do walki z nożem w dłoni również nie rokowało nadziei na zwycięstwo. W tej chwili był niemal bezbronny wobec olbrzymiego, słynącego z niezwyklej siły zwierzęcia. Wprawdzie niektórzy syberyjscy myśliwi odważali się polować na niedźwiedzie, podsuwając im pod kły lewe ramię owinięte w grubą skórę, podczas gdy prawą dłonią wbijali w serce bestii długi, ostry nóż, lecz do takich zapasów należało posiadać nie lada wprawę! Najmniejsza niezręczność oznaczała nieuchronną straszną śmierć! Bosman nie znał uczucia lęku, toteż chociaż uprzytomnił sobie własną bezsilność, nie wypuścił z dłoni rękojeści noża.

Bura niedźwiedzica nie zwracała uwagi na siedzącego bez ruchu człowieka, za to obydwie baraszkujące misie coraz bardziej zbliżały się ku niemu.

Bosman, obserwując niedźwiedzie igraszki, bezdźwięcznie mruknął:

*„Żeby je tajfun porwał! Te szczeniaki, jak amen w pacierzu, gotowe wpakować mnie w paskudną kabałę!”* Obydwie rozbawione misie oplotły się przednimi łapami jak zapaśnicy i w końcu walczyły już tuż–tuż przy bosmanie. Nagle potoczyły się wprost na jego nogi. Grube krople potu wystąpiły na czoło marynarza, lecz w dalszym ciągu siedział nieruchomo. Naraz jeden miś, szarpnięty przez swego braciszka za ucho, pisnął żałośnie. Olbrzymia niedźwiedzica natychmiast odwróciła ku nim swój kudłaty łeb. Ciężko opadła na cztery łapy i powoli ruszyła ku taroszającym się niedźwiadkom. Bosman spod przymrużonych powiek obserwował kołyszące się brunatne cielsko.

W końcu niedźwiedzica dostrzegła człowieka. Być może było to jej pierwsze spotkanie z nieznanym stworem, bo zdziwiona przystanęła na chwilę. Potrząsnęła pochylonym ku ziemi łbem. Rozległo się głucho mruczenie i jakby mamrotanie. Na odgłos gniewu matki misie przerwały zabawę. Szybko i zwinnie podbiegły do niej. Niedźwiedzica obwąchała

obydwa niedźwiadki, po czym jednego podrzutem pyska pchnęła w stronę malinowych zarośli, a drugiego pognęła tam uderzeniem łapy w zadek. Już nie spojrzawszy nawet na bosmana, truchtem podążyła za dziećmi.

Przez pewien czas bosman w dalszym ciągu siedział nieruchomo. Potem powolnym ruchem ręki wyciągnął z kieszeni butelkę z rumem. Opróżnił ją do dna. Odetchnął głęboko.

*„Tfu, do diabła! Czuję się, jakby mnie tknął paraliż — mruknął. — Widocznie jednak nie jest mi pisane wylądować w niedźwiedzim brzuchu. Upiekło mi się tym razem, ale już więcej nie pójdę w tajgę bez spluwy!”*

Dłonią zgarnął pot z czoła. Ociężale powstał, zabrał wiaderko z owocami limonnika i lekko kołyszącym się krokiem marynarza pospieszył do obozu. Niebawem znalazł się w kręgu namiotów.

— Gdzież to podziało się całe bractwo? — zagadnął Smugę, rozglądając się po opustoszałym obozowisku.

Smuga przerwał skubanie jarząbków<sup>417</sup> z pierza i odparł pytaniem na pytanie.

— A gdzież to szanowny pan bosman włóczył się całe przedpołudnie? Komu to przypadło dzisiaj kucharzowanie?

— Właśnie podskoczyłem po owoc na kompot... — usprawiedliwiał się bosman.

— I przy okazji uciałem sobie drzemkę pod drzewkiem — dodał Smuga.

— Faktycznie tak mi się przydarzyło, ale skąd pan wiesz o tym?

— Sądząc po długiej nieobecności oraz „wspaniałym” łupie nietrudno się tego domyślić — ironicznie odparł Smuga.

— Zacząłem rozmyślać nad tym i owym na osobności, a potem sen mnie trochę zmorzył, nie denerwuj się pan, raz dwa upitraszę obiad. Widzę, że nawet postarałeś się pan o niezłe danie! Riabczyki<sup>418</sup> to prawdziwy przysmak!

---

<sup>417</sup> — Niedźwiedź brunatny (*Ursus arctos*) — w zależności od rejonu zamieszkiwania, zmianom ulega jego uwłosienie, ubarwienie i budowa czaszki. Żyje od Hiszpanii po Kamczatkę i od Laponii po Liban i zachodnie Himalaje.

<sup>418</sup> — Jarząbek (*Tetrastes bonasid*) — kurak leśny. Żyje na obszarze od Pirenejów do Oceanu Spokojnego w obszernych, spokojnych lasach, a przede wszystkim w pierwotnych puszczech, tak równinnych, jak i górzystych. Prowadzi skryty tryb życia, tokuje w porze godowej. Samiec dochodzi do 45 cm długości, odróżnia się od samicy czarną gardzielą. Jarząbki żywią się końcami liści, pączkami i jagodami, a w zimie głównie baziarnicami oraz kotkami brzóz, leszczyny, olszyny oraz pędami czarnych jagód.

— To nie ja upolowałem te jarzabki. Nuczi przywiózł je z drogi — wyjaśnił Smuga.

— Czyżby wrócił w czasie mojej nieobecności? Gdzież to się wszyscy podzieli?

— Nuczi przyjechał przed jakąś godziną. Namówił całe towarzystwo na polowanie na iziubry<sup>419</sup>, które wypatrzył niedaleko stąd. Byłbym również chętnie poszedł z nimi, ale ktoś musiał zostać w obozie.

— Ha, wobec tego ruszemy nareszcie ku Nerczyńskowi — ucieszył się bosman.

— Jutro o świcie zaczniemy zwijać manatki — potwierdził Smuga.

— No, to naszemu Tomkowi poprawi się humor. Zmarkotniał ostatnio, nawet wiele nie gada. Jak pan myślisz, czy uda się nam oswobodzić tamtego nieboraka?

— Przecież jedynie w tym celu zapuściliśmy się w syberyjską głuszę. Zrobimy wszystko, co będzie w naszej mocy.

— Oby tylko szczęście nam sprzyjało! Serce mi się kraje, gdy widzę Tomka smutnego. Poczciwe to chłopaczysko! Dobrze, że poszedł na polowanie, przynajmniej trochę się rozerwie. No, jeśli raz dostaniemy tego zesłańca w nasze ręce, to już nie damy go sobie odebrać.

— Ciszej mów, bosmanie, wprawdzie jesteśmy tu sami, lecz nigdy nie wiadomo, co w trawie piszczy — ostrzegł Smuga.

— Racja, święta racja! Trudno jednak rozmawiać szeptem w tym hałasie. Dlaczego te zwierzaki tak się tłuką po klatkach? Wściekły się, czy co?!

Bosman przez chwilę uważnie spoglądał na klatki, w których uwięzione były tygrysy. Zwierzęta pomrukiwały głośno i uderzały cielskami o kraty.

— Ładny z ciebie pogromca, bosmanie. Kiepsko grasz swoją rolę, za mało zajmujesz się tygrysami — zauważył Smuga. — Powinieneś okazywać większe zainteresowanie zwierzętami, aby nie wzbudzać podejrzeń agenta. Pamiętaj, że on nas wszystkich bacznie obserwuje!

— Kiepsko gram swoją rolę, to prawda! Niemniej kiepski też był pomysł robić ze mnie pogromcę — oburzył się marynarz. — Wiesz pan przecież, że nie lubię niańczyć bydła!

---

<sup>419</sup> — Riabczyk — po rosyjsku jarzabek.

— Lubisz czy nie lubisz, to twoja rzecz. Teraz nie wolno ci dla własnych upodobań narażać nas na niebezpieczeństwo. Hałasują, bo Tomek na pewno nie dał im świeżej wody do picia.

— Chyba mylisz się pan, wprawdzie nasze chłopaczysko lubi czasem to i owo zmalować, lecz tygrysy pielęgnuje troskliwie niczym niańka bachory na spacerze w Ogrodzie Saskim.

— Spieszył się na polowanie, to i mógł zapomnieć — pojednawczo rzekł Smuga. — Sprawdź, bosmanie, czy mają wodę!

Marynarz zaraz podszedł do klatek.

— Faktycznie, garnki puste — mruknął pod nosem; porwał wiadro i pobiegł do strumienia.

Wkrótce napełnił wodą miski w dwóch klatkach, przykucnął przed trzecią.

— No, ty przecież masz jeszcze co pić, po jakiego więc diabła tłuczesz się po klatce jak Marek po piekle? — burczał, zaglądnąwszy przez pręty.

Obserwował rozdrażnione zwierzę. Tygrys niespokojnie wiercił się w klatce, uderzał bokami o ściany i pomrukiwał gniewnie.

— Wpakowałbym ci kawałek ołowiu w łepetynę, to byś się zaraz uspokoił — rzekł bosman.

W tej właśnie chwili tygrys nagłym skokiem rzucił się na kratę. Bosman błyskawicznie się odsunął.

— Można by pomyśleć, że bestia rozumie ludzką mowę — zdziwił się marynarz. — Odsuń się, bo ci nie naleję wody i będziesz tu siedział z wywieszonym do pasa ozorem!

Tygrys nieco cofnął się od kraty. Bosman znów podszedł do klatki, nachylił wiadro, gdy wtem tygrys przyskoczył do miski i uderzył w nią łapą, wylewając resztkę wody na pogromcę. Bosman upuścił wiaderko. Z mokrą twarzą stał pochylony, nie mogąc wymówić ze zdumienia słowa. Tygrys tymczasem wysunął pomiędzy kratami łapę i zaczął odryglowywać skobel zamykający drzwi klatki.

„*Pijany jestem albo klepki pomieszały mi się we łbie*” — pomyślał bosman, cofając się krok za krokiem.

Tygrys uporał się ze skoblem, pchnął kratę; drzwi stanęły otworem. Pręgowane cielsko wysunęło się z klatki. Bosman wielkim susem dopadł drzewa, na którego sęku zawieszony był karabin, porwał broń, złożył się do

strzału i nacisnął spust. Metaliczny szczęk iglicy uderzającej w próżnię ostrzegł go, że broń nie jest nabita.

— Janie, uważaj! — krzyknął odrzucając bezużyteczny karabin. Zaraz też w jego prawej dłoni błysnęło ostrze myśliwskiego noża.

Tygrys nie kwapił się do zaatakowania szaleńczo odważnego łowcy. Wolno uniósł się na tylne łapy i odezwał się ludzkim, dziwnie znajomym bosmanowi głosem:

— Nie pożrę cię, żeglarzu, chociaż kiszki dobrze mi już marsza grają!

Śniada twarz marynarza aż poszarzała z oburzenia. Wyprostował się, wepchnął nóż w pochwę. Spod tygryziej skóry wynurzyła się twarz Tomka.

Bosman przełknął ślinę, po czym syknął:

— Ha, nieźle zabawiliście się moim kosztem!

— Przepraszamy cię, bosmanie, zapewniamy, że to nie był żart — poważnie powiedział Smuga. — Odbyliśmy generalną próbę, czy będzie można ukryć zesłańca w klatce w tygryziej skórze.

— Wspaniale! Próba się udała! — wołał Tomek zrzucając przebranie. Podbiegł do zdumionego marynarza, uścisnął go, a potem objął Smugę i zapytał:

— Czy jest pan zadowolony?

— Oczywiście, Tomku! — potwierdził Smuga. — Jeśli taki zuch jak nasz bosman dał się wyprowadzić w pole, to możemy uznać, że twój pomysł zdał egzamin.

— Pawłow nie odważy się zbliżyć do klatek — mówił Tomek. — Co innego pan bosman! Skóra cierpła mi na grzbiecie, gdy porwał karabin, a potem wydobył nóż. Nawet prawdziwy tygrys mógłby się przestraszyć.

Czuły na pochlebstwa marynarz rozchmurzył się i mruknął:

— No cóż, skoro tak, nie mogę się na was gniewać. Dla uwolnienia naszego nieboraka chętnie nie raz dałbym się wystawić do wiatru. No, pał was sęk! Faktycznie, sztuczka z tygrysem jest pomysłem pierwszej klasy! Zróbmy taką próbę z tą gadziną Pawłowem, a jak amen w pacierzu, szlag go trafi na miejscu! Przez chwilę myślałem, że wszystkie dzikie bydłota uwzięły się dzisiaj na mnie. Ba, żeby nie te dwa bachory niedźwiedzie, to gotów bym pomyśleć, że i ta niedźwiedzica w tajdze była przebrańcem...

— Czy miał pan jakąś przygodę z niedźwiedziami? — zaciekawiał się Tomek.

— Iiii, nic ważnego, drobnostka! Opowiem przy sposobności. Skąd, u licha, wytrzasnęliście tygrysie przebranie?

— Tomek zabił tygrysicę, która wałęsała się w pobliżu obozu, a Nuczi, niby to odprowadzając poranione psy, zabrał ją do domu i oporządził jak należy — wyjaśnił Smuga.

— To pewno było wtedy, gdy strzelałeś nocą w tajdze, a twój szanowny tatuś potem cię ochrzanił — domyślił się bosman. — Do licha, ale w takim razie musiałeś dopuścić Nuczego do tajemnicy. Co będzie, jeśli nas zdradzi?!

— Niech pan się uspokoi, nie wszystko mu powiedziałem. Poza tym to człowiek pewny,<sup>420</sup> nienawidzi caratu.

— Niewątpliwie musi być godny zaufania, skoro Sieroszewski<sup>421</sup> wspominał o nim twemu ojcu — wtrącił Smuga.

— Chyba masz pan rację, ja również znam Sieroszewskiego — pochwalił się bosman. — W Warszawie jeszcze, jako wyrostek, terminowałem na ślusarza w warsztacie kolei warszawsko-wiedeńskiej. Tam właśnie zetknąłem się z Sieroszewskim i niejakim Waryńskim<sup>422</sup>, którzy agitowali robotników za socjalizmem. Obydwaj nie mieli chyba więcej jak po osiemnaście lat, a gadali niczym profesorowie. Tęgie to łepetyny i patrioci!

---

<sup>420</sup> — Iziubr — rosyjska nazwa dalekowschodniego jelenia.

<sup>421</sup> — Wacław Sieroszewski (pseudonim: Sirko i K. Bagrynowski) urodził się w Wólce Kozłowskiej koło Warszawy w 1858 r., a zmarł w r. 1945. Za udział w organizacji socjalistycznej L. Waryńskiego był zesłany na Sybir, gdzie przybywał 15 lat, z czego 12 w Jakucji. Badał tam kraj oraz zwyczaje mieszkańców i napisał dzieło 12 lat w Kraju Jakutów, wydane w Warszawie w 1900 r., za które otrzymał złoty medal Petersburskiego Towarzystwa Geograficznego i pozwolenie na powrót do kraju. Z ramienia tego Towarzystwa w latach 1902–3 badał ludy Wschodniej Syberii, szczególnie Ajnów zamieszkujących Sachalin oraz północną Japonię. Z wyprawy tej powrócił do Polski jadąc przez Koreę, Chiny, Indie i Egipt. Brał udział w rewolucji 1905 r. Później podróżował po Europie i Ameryce, wykorzystując swoje przeżycia i spostrzeżenia w utworach literackich. Napisał około dwudziestu powieści i zbiory nowel.

<sup>422</sup> — Ludwik Waryński urodził się w 1856 r. pod Kijowem. Kształcił się w Instytucie Technologicznym w Petersburgu, a potem w Instytucie Rolniczym w Puławach. Uczestnik rewolucyjnego ruchu studenckiego w Rosji. Najwybitniejszy przedstawiciel pierwszego pokolenia socjalistów polskich, współzałożyciel i jeden z przywódców kółek socjalistycznych w Królestwie Polskim. Za działalność rewolucyjną w Galicji był głównym oskarżonym w procesie socjalistów w Krakowie. Uwolniony, wyjechał do Genewy, gdzie współredagował czasopismo „Równość”. Współtwórca tzw. „brukselskiego programu socjalizmu polskiego”. Jako założyciel i przywódca pierwszej partii klasy robotniczej (I Proletariatu), został aresztowany i sądzony w procesie 29 działaczy partii. Wyrok śmierci złagodził później warszawski generał-gubernator Hurko na 16 lat katorgi na Syberii. Waryński zmarł w więzieniu w Szlisselburgu w 1889 r.



— Dlatego też carat ich prześladował — dodał Tomek. — No, no, ale nie wiedziałem, że może pan się poszczycić tak wybitnymi znajomymi! Wacław Sieroszewski z zesłańca stał się pisarzem i zasłużonym badaczem Azji, a Ludwik Waryński, jako założyciel pierwszej polskiej partii robotniczej, zasądzony był na szubienicę wraz z pięcioma towarzyszami.

Bosman smutno pokiwał głową i rzekł:

— Pamiętam dobrze ów proces Proletariatczyków, na którym skazano Waryńskiego. Chociaż wtedy uniknął śmierci, i tak zginął w więzieniu. Za to Sieroszewskiemu się upiekło! Przettrzymał piętnaście lat na Syberii! Nawet czytałem tę jego książkę o Jakutach, za którą car pozwolił mu wrócić do kraju. Ano, skoro Sieroszewski rekomendował ojcu tego Nucziego, to chyba musimy mu zawierzyć.

— Oczywiście i ja wolałbym nie wtajemniczać nikogo obcego w nasze plany, ale w takiej sytuacji pomoc krajowca może znacznie ułatwić wykonanie zadania — powiedział Smuga.

— Gdybyście słyszeli moją rozmowę z Nuczim, nie żywilibyście żadnych obaw. Ja mu wierzę! — żarliwie zapewnił Tomek.

— Nie przeczę, potrafisz wyniuchać sojuszników — wtórował bosman.

— No, koledzy! Dość tej gadaniny! — przerwał dyskusję Smuga. — Nasi mogą niedługo wrócić. Bierzmy się do roboty! Tomku, dobrze ukryj w jukach skórę tygrysa, a ty, bosmanie, pitraś obiad, bo wszyscy jesteśmy głodni.

Wkrótce z kotła zawieszzonego nad ogniskiem unosił się nęcący zapach. Bosman z warząchwą w dłoni dwoił się i troił, jednocześnie zasypując przyjaciół pytaniami.

— Chytrze to obmyśliliście, nie ma co mówić! — perorował z cicha. — Zbyszek ukryty w klatce może udawać tygrysa, ale przecież nawet taki Pawłow połapie się raz dwa, że przybyło nam jedno dzikie bydlę, którego nie schwytaliśmy. Jak mu to wytłumaczymy?

— Pawłow niczego nie spostrzeże, ponieważ po kryjomu wypuścimy na wolność jednego tygrysa — wyjaśnił Tomek.

— Dobra nasza, boję się tylko, czy nieborak wytrzyma w tej skórze. Gotów się udusić w przebraniu.

— Przez jakiś czas musi się pomęczyć — odpowiedział Tomek. — Gdy ukryjemy Zbyszka w klatce, natychmiast zwiniemy obóz i wyruszymy do

Chabarowska, tam zaś wynajmiemy dla zwierząt oddzielny wagon towarowy, w którym na zmianę będziemy pełnili dyżury. Nikt obcy do niego nie wejdzie, a tym samym Zbyszek odzyska nieco swobody.

— Prawda, prawda, nie przyszło mi to do głowy — ucieszył się bosman.

— Gdyby zaś w czasie postoju na stacji jakiś ciekawski wtykał nos do nas, to patyczkiem poszturcham prawdziwe tygrysy, żeby się zezłościły, a wtedy na pewno zaraz weźmie nogi za pas.

Czas szybko mijał im na snuciu coraz to fantastyczniejszych pomysłów. W końcu bosman uderzył warząchwią w patelnię i oznajmił, że posiłek jest już przygotowany.

— Coś nasi długo nie wracają — rzekł Tomek, niecierpliwie zerkając na dymiący kocioł. — Jestem głodny, czy będziemy na nich czekali?

— Twój ojciec i Udadzałaka na pewno umyślnie przeciągają nieobecność w obozie, aby pozostawić nam dosyć czasu na próbę z przebraniem się za tygrysa. Dawaj obiad bosmanie, bo i mnie kiszki marsza grają — odpowiedział Smuga.

— Jedzmy, i to prędko, bo coś mi się wydaje, że wkrótce deszcz zaleje ognisko — przytaknął bosman, niespokojnie spoglądając w niebo. — Oby nasi tylko zdążyli wrócić przed nawałnicą!

— Czy pan wróży burzę? — zaniepokoił się Tomek, rozstawiając blaszane naczynia. — Według mnie nic nie zapowiada zmiany pogody.

— Cóż by tam taki szczur lądowy jak ty mógł wyniuchać? — odparł bosman protekcyjnym tonem. — Zapamiętaj, brachu, że oko i nos majtka potrafią zastąpić najlepszy barometr. Wyczuwam gwałtowną zmianę ciśnienia powietrza. Las zasłania nam widnokrąg i dlatego nie widzimy czarnych chmur gromadzących się szybko na południowym horyzoncie. Nadciąga burza, i to nie byle jaka!

Pospiesznie zjedli fasolową zupę oraz potrawkę z jarząbków z żytnimi sucharami i słoniną, po czym zaczęli sprawdzać liny przytrzymujące płachty namiotów oraz umacniać węzły zaciśnięte na żelaznych kołkach wbitych w ziemię. Potem spędzili konie z łąki, przywiązali je arkanami do wozów, a kotły z jedzeniem wkopali w ziemię w największym namiocie.

Nim minęła godzina, ostry podmuch wiatru uderzył w tajgę i zakołysał wierzchołkami drzew. Trójka przyjaciół co chwila z niepokojem spoglądała w kierunku południowym, skąd powinni nadejść towarzysze. Czy zdążą wrócić

przed burzą? W tej części kontynentu azjatyckiego pod koniec lata spotykają się nieraz potężne, ciepłe morskie prądy powietrzne ze słabymi prądami lądowymi, chłodnymi. Wtedy to tworzy się ognisko niskiego ciśnienia, zwane inaczej cyklonem, do którego środka wiatry wieją ze wszystkich stron, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Szczególnie cyklony nadchodzące z południa wywołują gwałtowne ulewy i porywiste wiatry, które wyrządzają wielkie spustoszenia. Niebezpiecznie jest w takim czasie znajdować się w tajdze, ponieważ nieraz pod naporem wichury drzewa padają pokotem na ziemię.

Nagle pociemniało na dworze, chociaż daleko jeszcze było do zachodu słońca. Czarne jak smoła chmury pokryły niebo. Wiatr przybierał na sile.

— Panie Smuga! Przywiążmy klatki z tygrysami do drzew! — zawołał bosman.

— Dlaczego oni tak długo nie wracają? — denerwował się Tomek przygotowując powrozy. — Żeby tylko nie przydarzyło im się coś złego w tajdze podczas burzy!

— Nie obawiaj się, Nuczi jest z nimi, on zaradzi złu — pocieszył go Smuga.

Zaledwie zdążyli umocować klatki, wiatr przyniósł z głębi tajgi odgłosy strzałów.

— To nasi! Uciekają przed nawałnicą, wskażmy im kierunek! — krzyknął Tomek.

Pobiegli do namiotów po karabiny. Po chwili rozbrzmiały trzy salwy jedna po drugiej. Odpowiedziały im, znacznie już bliższe, strzały w tajdze.

Błyskawica przecięła czerń chmur na nieboskłonie. W blasku jej trzej przyjaciele ujrzeli sforę psów i gromadę jeźdźców wynurzających się z lasu na polanę.

— Gdyby nie Nuczi, nie odnaleźlibyśmy obozu — wołał Wilmowski zeskakując z wierzchowca.

— Nareszcie jesteście, denerwowaliśmy się, że długo nie wracacie — mówił Tomek, pomagając ojcu rozkulbaczyć konia.

Wilmowski ogarnął syna ramieniem, przyłożywszy usta do jego ucha zapytał:

— No, jak wypadła próba z tygrysem?

— Doskonale, tatusiu — odpowiedział chłopiec ściskając ojca. Pierwsze grube krople deszczu spadły na polanę. Głuchy grzmot przetoczył się z południa na północ. Wicher powiał z huraganową mocą. Targnął konarami drzew, chwycił się za bary ze stuletnimi pniami. Naginał je ku ziemi, świszcząc i dysząc z wysiłku; czasem ustawał na chwilę, jakby dla nabrania głębokiego oddechu, by ze wzmożoną furią znów uderzyć na oślep. Dziewicza tajga mężnie stawiała czoło. Korzeniami drzew kurczowo wpijała się w ziemię, a smukłymi, giętkimi wierzchołkami na odlew smagała wicher. Bór napęłniły przeciągłe grzmoty, jękliwe poświsty, zagłuszane od czasu do czasu triumfalnym wyciem nawałnicy, gdy z dzikim łomotem powalała przeciwnika na ziemię.

Trzy groźne żywioły chyba się przysięgły, by zniszczyć tajgę. Wicher rwał ją pazurami, przyginał do poddańczego pokłonu, gwałtowne strumienie deszczu wyrwały jej ziemię spod stóp, a pioruny przypiekały żywym ogniem. Tajga drżała pod straszliwymi ciosami, niemal padała na ziemię, lecz po każdym morderczym uderzeniu wciąż dźwigała się z kolan i niezliczonymi ramionami urągliwie wystrzelała w górę ku zagniewanemu niebu.

Była to dla łowców bardzo ciężka, denerwująca noc. Na szczęście puszcza okalająca obóz nieco łagodziła siłę uderzeń wicherury. Mimo to musieli do świtu walczyć o ocalenie swego dobytku, wiatr bowiem rwał namioty, wywracał wozy, porywał sprzęty i rozpraszał zwierzęta.

Dopiero nad samym ranem burza trochę ucichła: wiatr zelżał, a ulewny deszcz przemienił się w kapuśniaczek. Utrudzeni łowcy najpierw doprowadzili do jakiego takiego porządku obóz, potem dopiero udali się na zasłużony odpoczynek.

## KAPITAN NIEKRASOW

Po trzech dniach uciążliwego przedzierania się przez rozmiękłą po ulewie tajgę karawana łowiecka dotarła do lewego brzegu Amuru<sup>423</sup>, największej rzeki na Rosyjskim Dalekim Wschodzie. Smuga zarządził postój przy małej przystani rzecznej, gdzie statki zatrzymywały się w celu uzupełnienia zapasu drewna opałowego, którym wówczas palono w piecach pod kotłami.

Podróżowanie statkiem było dla łowców dogodniejsze niż jazda wozami złym traktem. Przede wszystkim Umożliwiało rozejrzenie się po okolicy i wybranie nad brzegiem rzeki odpowiedniego miejsca na rozłożenie obozu. Nie nastęczało również trudności w zdobywaniu tygrysom pożywienia oraz paszy dla koni, ponieważ specjalnie wynajęty dla wyprawy statek mógł się zatrzymywać w dowolnym miejscu na żądanie podróżnych.

Przystań rzeczna stanowiła, ułożona na trzech starych łodziach, mała platforma sklecona z desek. Na brzegu obok niej stało kilka nędznych szałasów zbudowanych z płatów cedrowej kory, w których koczowali chińscy robotnicy, trudniący się przygotowywaniem oraz, załadunkiem drewna na statki. Przedsiębiorstwa żeglugi rzecznej często musiały sprowadzać z sąsiedniej Mandżurii Chińczyków do wyrębu lasu, gdyż zamieszkali nad Amurem Kozacy szyłkińscy, amurscy i ussurujscy byli bardzo niesumiennymi dostawcami.

Nasi łowcy dowiedzieli się od Chińczyków, że w ciągu następnego dnia spodziewają się przejazdu dwóch statków: w dół rzeki pasażersko-holowniczego i w górę rzeki pocztowo-pasażerskiego. Nie była to zbyt pomyślna wiadomość. Dla celów wyprawy najbardziej nadawał się zwykły parostatek holowniczy, dążący w górę rzeki bez ładunku i pasażerów. Wobec tego postanowili czekać w pobliżu przystani na lepszą okazję.

---

<sup>423</sup> — Amur powstaje z połączenia rzek Szyłka i Arguń. Liczy około 4510 km długości wraz z Szyłką i Ononem, a powierzchnia jego dorzeczca wynosi 1843 tyś. km, 10smda około 200 dopływów; najważniejsze z nich to: Zeja, Bureja, Amguń, Sungari i Ussuri. Wpada do Cieśniny Tatarskiej. Amur na przestrzeni około 3000 km stanowi granicę państwową między ZSRR i Chińską Republiką Ludową. Jest ważną drogą wodną. Nazwa Amur prawdopodobnie pochodzi od słowa Mamu — wróżbiarskiego zaklęcia Goldów, którym nadrzeczni mieszkańcy przywitali pierwszych Kozaków. Chinczycy zwą go Wu-lung-ciang, czyli Rzeką Fok, lub Hejlung-ciang tj. Rzeką Czarnego Smoka; u Mongołów zwie się Kara Mureń, a u Mandżurów Szań Chaljan, co w obydwu wypadkach oznacza „Czarna Rzeka”.

Nuczi i jego synowie wraz z Udadżalaką przystąpili do prac obozowych, biali łowcy zaś, korzystając z chwili wytchnienia, wdali się w pogawędkę z chińskimi robotnikami.

Kulisi pracowali ciężko od świtu aż do zmierzchu. Ścinali drzewa w pobliskiej tajdze, przepiłowywali je na kloce o odpowiednich wymiarach, a te z kolei cięli na szczapy, przenosili na wybrzeże obok przystani i załadowywali na przybijające do niej w tym celu parostatki. Aby ciężka, źle opłacana praca przynosiła im jakieś zyski, musieli na własną rękę zdobywać sobie pożywienie. Z tego powodu krótkie chwile odpoczynku spędzali na łowieniu ryb, których, na szczęście dla nadbrzeżnych mieszkańców, żyje w Amurze i jego dopływach aż dziewięćdziesiąt dziewięć gatunków<sup>424</sup>.

Dzięki szczodremu Amurowi strawę biednych Chińczyków stanowiły szeroko rozpowszechnione na Syberii: minogi, tajmeny, lenoki, kipienie amurskie, jak również spotykane w Amurze gatunki indyjskie, przede wszystkim spośród karpiowatych — bambuza oraz z sumowatych — kosatka, a także chiński gatunek podzwrotnikowego węzogłowa<sup>425</sup> i żyjące jedynie w Amurze ryby jesiotrowate: jesiotr amurski i kaługa<sup>426</sup>.

Mimo to okres sytości przeżywali biedni kulisi jedynie w czasie, gdy ryby łososiowate<sup>427</sup> przyplływały z żerowisk morskich do rzeki na tarło. Wtedy również niemal wszyscy nadrzeczni mieszkańcy stawali się rybakami. Z Morza Ochockiego keta, a z Morza Japońskiego gorbusza wdzierały się ogromnymi ławicami pod prąd rzeki na odległość od 500 do 1000 kilometrów do tarlisk, położonych w źródłowych odcinkach drobnych strumieni górskich. Wówczas można było łowić je wprost gołymi rękami. Po odbyciu tarła ginęły prawie wszystkie ryby, które przepłynęły w górę rzek, a woda wyrzucała już nieżywe na mielizny, gdzie pokrywane przez namuły rzeczne, przyczyniały się do użyzniania gleby.

---

<sup>424</sup> — Dla porównania można przypomnieć, że w rzekach dorzecza Wołgi żyje 75 gatunków ryb.

<sup>425</sup> — Bambuza (*Elopichthys bambusa*), kosatka (*Pseudobagrus fluviodraco*); węzogłów (*Ophicephalus*).

<sup>426</sup> — Jesiotr amurski (*Acipenser schrenki*) i kaługa (*Huso dawicusz*), zastępująca w Amurze nie spotykaną na Syberii biehigę, są gatunkami jesiotrowymi endemicznymi, czyli występującymi tylko na ograniczonym terenie.

<sup>427</sup> — Połowy łososi pacyficznych (keta, gorbusza, kizucz i czawycza) stanowią podstawę rybołówstwa amurskiego.

W okresie połowu łososi mieszkańcy nadamurscy przygotowywali na zimę zapasy suszonych ryb dla ludzi i psów, które w tych stronach często służyły jako zwierzęta pociągowe. Wtedy w pobliżu osad, na całym wybrzeżu po obydwóch stronach rzeki, spotykało się długie szeregi specjalnie zbudowanych do suszenia ryb „*podmostków*”, obwieszonych połyskliwymi, żółtoróżowymi płatami łososiowego mięsa.

Chińczycy, ubrani w połataną szafirową kurtki i spodnie oraz domowego wyrobu kapelusze z kory brzoźowej, uprzejmie udzielali wszelkich wyjaśnień, posługując się żargonem rosyjsko–chińskim.

Następny dzień potwierdził relacje kulisów. Jeszcze przed południem przycumował do przystani, płynący w górę rzeki, pocztowo–pasażerski parostatek „*Wiera*”, należący do Kompanii Amurskiego Parochodstwa. Podczas gdy kulisi ładowali drewno, łowcy, zaproszeni przez kapitana na szklaneczkę herbaty z ogniem, jak nazywał herbatę z dolewką araku, weszli na statek.

Na parowcu przy burcie stłoczyli się pasażerowie pokładowi oraz I i II klasy. Znajdowali się wśród nich zamożni kupcy ze Słreteńska i Nerczyńska, wojskowi udający się na urlopy, prości Kozacy, pop rosyjski o długiej, siwej brodzie, korzystający z okazji, by kwestować na swoją cerkiew, dwie żony oficerów z Władywostoku jadące odwiedzić rodziny w Nerczyńsku, kilku Buriatów oraz gromadka Tunguzów i Udehejców obojga płci.

Wszyscy ciekawie spoglądali na obóz łowców dzikich zwierząt, a potem zaproszonych na pokład otoczyli zwartym kołem. Posypały się słowa powitalne i pytania. Tomek wdał się w rozmowę z jednym kupcem z Nerczyńska, lecz Wilmowski szepnął synowi, aby o nic nie pytał. Agent Pawłow pilnie nadstawiał ucha, każde nieostrożne słowo mogło wzbudzić jego podejrzenie. Kapitan Kramer, Niemiec z pochodzenia, mimo woli wybawił łowców z kłopotu, zapraszając ich do swej kajuty. Zasiedli przy podłużnym stole, na którym wnet pojawiły się dwie butelki araku oraz dymiący parą samowar.

Po grzecznościowych powitaniach Kramer zagadnął Wilmowskiego o powód zatrzymania się w tak nędznej przystani. Zaledwie usłyszał wyjaśnienie, klepnął się dłonią w udo i zawołał:

— Macie szczęście, panowie! Zaraz o świcie wyminąłem holownik „*Sungasza*”, wlokący się z dwiema barkami. Kapitan był w nie najlepszym

humorze, ponieważ na zlecenie kupca Naszkina jedzie do Streteńska po transport futer, a w tę stronę trafił mu się tylko drobnicowy ładunek konserw rybnych.

Zaledwie Kramer wspomniał nazwisko Naszkina, nasi łowcy, zaintrygowani, wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Sprytny bosman, chcąc odwrócić uwagę Pawłowa od rozmowy, szepnął mu coś do ucha. Pawłow poweselał i kiwnął głową, wtedy bosman napełnił jego i swoją szklankę samym arakiem. Wilmowski spostrzegł to zaraz i gdy obydwaj zajęci sobą stukali się szklankami, rzekł:

— Byłby to dla nas naprawdę korzystny zbieg okoliczności. Oby tylko kapitan „*Sungaszy*” zechciał nas zabrać na swój holownik.

— Zgodzi się na pewno — potwierdził Kramer, pogardliwie wydymając usta. — Tacy jak on potrafią czekać i nigdy się nie spieszą. To były katorżnik.

428

— Dziękuję za tę informację — odpowiedział Wilmowski. — Łatwiej dojdziemy z nim do porozumienia.

— Ubijecie interes, nie pogardzi zarobkiem — mówił Kramer. — Nikt na Syberii nie odtrąca ręki podsuwającej państwowe papierki ze stemplem bankowym. To kraj wszelkich możliwości i... łapówek. Posmarujesz, pojedziesz!

Wilmowski zamilkł, a do rozmowy wtrącił się Smuga:

— Słyszałem we Władywostoku o Naszkinie. O ile nie mylę się, handluje futrami. Mówiono mi jednak, że mieszka w Nerczyńsku.

— Istotnie, dobrze panu mówiono, mieszka w Nerczyńsku, i to w najokazalszym pałacu, który odkupił od Butina, gdy ten zaczął bankrutować na swoich kopalniach. To syberyjski potentat — wyjaśnił Kramer. — Faktorie Naszkina rozsiane są po całej Wschodniej Syberii. Ma swoją filię również w Streteńsku, gdzie rozpoczyna się i kończy żegluga na Amurze.

— Czort z nim! Zdrowie pana, panie kapitanie — powiedział Smuga, unosząc szklankę.

— Zdrowie miłych gości — zawołał Kramer.

Niebawem opróżnili obydwie butelki araku. Chińczycy ukończyli załadunek drewna, Kramer z żalem żegnał łowców, tłumacząc się, że służba nie drużba, szczególnie na pocztowym parostatku.



— Co innego taka „*Sungasza*” — mówił, wylewnie ściskając w progę kajuty dłoń bosmana, którego naprawdę uważał na Niemca. — Jej kapitan może poczekać na was dzień, dwa, a nawet i tydzień, jeśli tylko mu się to opłaci. No, życzę pomyślnych łowów.

Goście zeszli na ląd, „*Wiera*” przy akompaniamencie ryku syreny odbiła od przystani i, sypiąc z komina rozżarzonymi iskrami, wkrótce zniknęła za zakrętem rzeki. Łowcy, korzystając z tego, że Pawłow zainteresował się Chińczykami, przystanęli na uboczu, by swobodniej porozmawiać.

— Głupie Niemczysko udzieliło nam ważnych informacji — zaczął bosman. — Aż mnie w dołku ścisnęło, gdy wspomniał tego Naszkiną.

— Szkoda, że nie mogliśmy więcej go wypytać — wtrącił Tomek.

— Świerzbiał mnie język, prawdę mówiąc...

— Nie ma czego żałować — zauważył Smuga. — Naszkin na pewno zatrudnia wielu pracowników. Wątpię, czy Kramer zainteresowałby się zesłańcem, który z całą pewnością nie otrzymał ważniejszego stanowiska.

— Masz rację, Janie — rzekł Wilmowski. — Z jakim lekceważeniem mówił o kapitanie „*Sungaszy*” jako o byłym katorżniku!

— Może od niego dowiemy się więcej — rzekł Tomek.

— Nie radzę zdradzać naszych zainteresowań — powiedział Smuga.

— Sprawdziliśmy już, że Naszkin naprawdę mieszka w Nerczyńsku. To najważniejsza wiadomość. Wchodzimy coraz głębiej wilkowi w gardło. Jedno nie przemyślane posunięcie może się przyczynić do naszej klęski.

— Całkowicie zgadzam się z tobą, Janie. Jesteś dowódcą wyprawy, reszta niech tylko dobrze słucha i... milczy — stanowczo powiedział Wilmowski.

— Zgoda, szanowni koledzy, zgoda — przytaknął bosman. — Na statku nie wtykałem nosa do rozmowy z Niemczyskiem, a tylko zająłem się agenciakiem, żeby wam nie przeszkadzał.

— Przyznaję, bosmanie, że jak na twój temperament, zachowujesz się prawie wzorowo — pochwalił Smuga. — Gdybyś jeszcze zaprzestał przytyków pod adresem Pawłowa, nie miałbym ci nic do zarzucenia.

— Nieraz sam gryzę się w język, ale to ciężka sprawa, bo swędzi mnie ręka na tego drania. Niejednego z naszych musiał wykończyć! Zabawne to, ale ta jego lisia gęba wciąż wydaje mi się jakoś dziwnie znajoma... Widocznie szpicle wszyscy są podobni do siebie, a już napatrzył się człek na nich.

Wilmowski uważniej spojrzął na marynarza, zamyślony zmarszczył czoło, lecz nie odezwał się ani słowem. On również odnosił wrażenie, że skądś zna tego agenta.

W dwie godziny później pasażersko–holowniczy statek „*Onon*” przybił do przystani.

Chińczycy, tak jak poprzednio, szybko załadowali drewno, po czym „*Onon*” popłynął w dół rzeki.

Na próżno łowcy wypatrywali zapowiedzianej „*Sungaszy*”. Zapadł wieczór. Kulisi nałowili ryb, upiekli je na kamieniach w ognisku, zjedli, wykapali się w rzece i zniknęli na noc w szałasach. Tylko dwaj starcy pozostali na straży.

Krótko po świcie kulisi pilnujący ognisk zbudzili swoich towarzyszy. „*Sungasza*” zbliżała się do przystani. Łowcy, naprędce narzuciwszy na siebie ubrania, wybiegli na wybrzeże.

Po rzece płynął stary, dwumasztowy holownik typu amerykańskiego, o długiej i wysokiej nadbudówce piętrzącej się nad pokładem, przystosowany do bocznego holowania. Ciągnął na holu dwie barki złączone ze sobą bokami. Dopiero w pobliżu przystani zmniejszył szybkość, by złuzować napięcie liny holowniczej, a następnie uwolnił ją z haka umieszczonego na śródokręciu.

Opuszczone przez holownik barki nieporadnie utknęły na środku rzeki, lecz zanim prąd zaczął je znosić, „*Sungasza*”, prując całą parą, zgrabnie zatoczyła koło i bokiem przysunęła się do nich. Kilku ludzi przeskoczyło przez niską burtę holownika. Po krótkiej chwili „*Sungasza*” z przymocowanymi do swego boku barkami zaczęła podpływać do brzegu.

Bosman okiem znawcy obserwował zręczne manewry holownika; z uznaniem kiwnął głową.

— Zuch kapitan, jak na byłego katorżnika nieźle sobie radzi! — pochwalił. — No, ale Kramer nie zełgał, bo sądząc po małym zanurzeniu, obydwie barki zapewne świecą pustkami.

— Tym lepiej dla nas — wtrącił Wilmowski. — Janie, ty chyba będziesz pertraktował z kapitanem?

— Dobrze, pogadam z nim — przytaknął Smuga.

Holownik tymczasem wolno dobijał do przystani. Marynarze, półnagie chłopiska, zrzucili cumy na ląd. Kulisi sprawnie umocowali je na palach. W oknie pomostu nawigacyjnego ukazał się mężczyzna o twarzy okolonej

złotawym zarostem. Z trudem przecisnął swe szerokie bary przez iluminator i oparł się łokciami o parapet.

Kulisi chóralnie pozdrowili go w żargonie rosyjsko–chińskim. Kapitan poważnie skinął głową na powitanie.

— No, jak tam chłopcy, przygotowaliście drewno? Możecie przystąpić do ładowania? — zagadnął po rosyjsku.

— Już ładujemy, kapitanie, już ładujemy! — chóralnie odkrzyknęli kulisi.

— No, to bierzcie się do roboty! — zawołał kapitan, śląc Chińczykom przyjazny uśmiech.

Smuga wszedł na pomost przystani, uchylił skórzanej czapki obszytej futerkiem.

— Dzień dobry kapitanie, czy moglibyśmy z panem porozmawiać w pewnej sprawie? — zapytał.

Kapitan niedbałym ruchem uniósł prawą dłoń do daszka ceratowej czapki; byстрыm spojrzeniem zmierzył Smugę, przyjrzał się grupce mężczyzn stojących nie opodal. Dopiero po dłuższej chwili odparł po rosyjsku:

— Czy tylko pan ma do mnie interes, czy też i ci panowie również?

— Sprawa dotyczy nas wszystkich — wyjaśnił Smuga.

— Dobrze, wobec tego zejść do panów.

Znikł w oknie pomostu, zaraz jednak jego olbrzymia postać pojawiła się na drabince. Wolno zszedł na pokład, a potem niespodziewanie zwinnym skokiem przesadził nadburcie. Staął na pomoście.

— Słucham pana — powiedział.

Smuga poprowadził go ku towarzyszom.

— Oto pan Brown, obywatel agnielski, preparator skór zwierzęcych — mówił wskazując Wilmowskiego. — Nasz młody towarzysz to Tomasz Wilmowski, pochodzi z Warszawy, jest podróżnikiem i łowcą, a to pan Brol z Niemiec, pogromca zwierząt. Jesteśmy na wyprawie łowieckiej zorganizowanej przez przedsiębiorstwo Hagenbecka. Oprócz nas uczestniczy w niej strzelec z Indii, pan Udadżalaka, czterech tropicieli z plemienia Goldów i... jeszcze jeden pan, pan Pawłow, przydzielony nam jako opiekun tej wyprawy przez isprawnika w Chabarowsku.

— Miło mi poznać tak międzynarodowe towarzystwo — odparł kapitan nie wymieniając swego nazwiska. — Czym mogę panom służyć?

— Chcemy zaproponować przewiezienie naszej wyprawy w okolice Błagowieszczeńska, gdzie mamy zamiar zebrać kolekcję ptaków.

— Hm, kłopotliwy ładunek... Tygrysy, konie, psy, wozy, ludzie i... pan Pawłow — głośno mówił kapitan, niby to do siebie, rozglądając się po obozie.

— Uczynimy wszystko, co w naszej mocy, aby nie sprawiać panu zbyt wielu kłopotów — wtrącił Wilmowski.

— Niestety, nie mógłbym wszystkich panów pomieścić w kajutach na „*Sungaszy*” — powiedział kapitan.

— To nic nie szkodzi, część nas musi przebywać na barkach przy zwierzętach — uprzejmie dodał Smuga.

— Hm, muszę się zastanowić nad tą propozycją — z wyraźną niechęcią w głosie rzekł kapitan.

Bosman, zniecierpliwiony, przysunął się do Smugi i dość głośno mruknął po polsku:

— Gdybym miał takiego pyszałka na swojej krypie, raz dwa wylądowałby za burtą. Zacznij pan gadać o forsie, to mu się zaraz oczy zaświecą!

— Nie wtrącaj się, bosmanie — szepnął Wilmowski.

Kapitan „*Sungaszy*” stał zamyślony z lekko pochyloną na piersi głową. Nagle spojrzał bosmanowi prosto w oczy, podszedł do niego tak blisko, że własną pierś niemal oparł się o jego pierś.

— Czy w Niemczech panują takie zwyczaje, że bosman wyrzuca za burtę kapitana? — zaczepnie zapytał po polsku. — Nie poszłoby ci ze mną tak łatwo!

— Nie wódź mnie, brachu, na pokuszenie — warknął bosman prosto w twarz kapitanowi.

Ten zaś parsknął śmiechem i zawołał:

— No, nareszcie dogadaliśmy się! Niemiec i Anglik mówią po polsku. Nadzwyczaj ciekawe towarzystwo, nie dziwię się, że isprawnik dodał panom swego szpicla! Skoro jednak pan Brol, pogromca zwierząt czy też bosman, uparł się wyrzucić mnie za burtę, muszę mu dać ku temu okazję. Ładujcie, panowie, swój tabor na barki. Skoro jesteście Polakami, to jakoś się pomieścimy, a paszporty mnie nie interesują. O zapłacie pomówimy później!

— Dziękujemy panu, panie... przepraszam, nie dosłyszałem nazwiska... — zauważył Smuga przytrzymując kapitana za ramię.

Kapitan spoważniał, przymrużył oczy i zaczepnie odparł:

— Anastazy Niekrasow, były marynarz floty bałtyckiej, skazany na piętnaście lat katorgi za przemykanie nielegalnych wydawnictw studentom w Petersburgu. Czy potrzebne dalsze rekomendacje? Na katordze w Karze przebywałem z Konem, Rechniewskim, Mańkowskim, Dulębą i Lurą<sup>429</sup>.

— Nie pytaliśmy o rekomendacje, kapitanie! Czy to na katordze nauczył się pan tak dobrze mówić po polsku? — spokojnie powiedział Wilmowski.

— Nie, polski znałem już przedtem — odparł kapitan i jak gdyby nagle zapomniał polskiej mowy, zaczął po rosyjsku omawiać szczegóły załadunku taboru wyprawy na barki.

Do grupy rozmawiających przybliżyli się Goldowie, w końcu jeszcze zaspany wysunął się z namiotu Pawłow. Niekrasow powitał go przyłożeniem dłoni do daszka czapki, widocznie nie dostrzegł wyciągniętej ku sobie ręki, ponieważ odwrócił się na pięcie i zaproponował łowcom obejrzenie statku.

---

<sup>429</sup> — W 1873 r. niedaleko kopalń nerczyńskich władze carskie zbudowały nowe więzienie na brzegu rzeki Kara w guberni czytyńskiej, gdzie znajdowały się kopalnie złota i srebra, będące prywatną własnością domu carskiego. Przez 17 lat więzienie w Karze było miejscem zesłania na ciężkie roboty dla przestępców politycznych, których liczba rosła w tych latach ogromnego nasilenia propagandy rewolucyjnej i rodzących się ruchów proletariackich. W Karze więzieni byli przedstawiciele wszystkich narodowości. Jako pierwsi Polacy, skazani za działalność socjalistyczną, przebywali w Karze Proletariat–czycy: Feliks Koń i Tadeusz Rechniewski — obydwaj studenci prawa, Mieczysław Mańkowski — stolarz i Henryk Dulęba — mydlarz. Wraz z nimi przybył, również Proletariatczyk, Rosjanin Mikołaj Lury, kapitan — inżynier wojskowy. Kara jako więzienie polityczne została zlikwidowana w 1889 r. po samobójstwie 6 więźniów.



## NA AMURSKIM STATKU

Podczas żeglugi Amurem łowcy nie naprzykrzali się kapitanowi „Sungaszy”. Dnie były pogodne i ciepłe. Dzięki temu mogli spędzać większość czasu pod gołym niebem na barkach przy zwierzętach. Tylko w porze obiadowej wszyscy gromadzili się w mesie<sup>430</sup> na wspólny posiłek, lecz wówczas przeważnie prowadzono grzecznościowe rozmowy w języku rosyjskim.

Niekrasow zachowywał się uprzejmie, trochę wyniośle, nie wciągał pasażerów w pogawędki, o nic nikogo nie pytał. Jedynie w stosunku do Pawłowa okazywał wyraźną niechęć, gdy zaś czasem nie udało mu się go wyminąć, zaraz mroził agenta zimnym spojrzeniem.

Łowcy obserwowali kapitana. Wszystko świadczyło o tym, że był to rewolucjonista zahartowany w walce z caryzmem. Postępowaniem swoim budził zaufanie. Nawet Nuczi, który przecież nienawidził Rosjanina Pawłowa, o Niekrasowie mówił: „*Kapitan dobre oko, swój człowiek*”.

Powściągliwość Niekrasowa była łowcom bardzo na rękę. W innej sytuacji na pewno nawiązaliby z nim bliższą znajomość, ale na tej ryzykownej wyprawie woleli unikać osób podejrzanych dla policji. Agent Pawłow nieustannie wodził wzrokiem za kapitanem, pilnie nadstawiał ucha. Na polecenie Smugi, wierny Udadźalaka w dalszym ciągu śledził każdy krok agenta, toteż łowcy mogli się nie obawiać, że zostaną zaskoczeni.

„Sungasza” wolno płynęła w górę rzeki. Stan wody był wysoki, jak to zwykle tu bywa w lecie w okresie deszczów monsunowych. Brzegi stawały się coraz bardziej urwiste, aż w końcu skaliste góry przesłoniły horyzont. W tej właśnie okolicy Amur przełamywał się przez pasmo Gór Burejskich, które po prawej stronie rzeki, już w Mandżurii, przybierały nazwę Małego Chinganu. Holownik wpłynął w kręty kanał. Prąd wody stawał się coraz silniejszy.

---

<sup>430</sup> — Mesa — pomieszczenie na statku przeznaczone do wspólnego wypoczynku, zajęć i zebrań załogi, jak również jadalnia załogi.

Groźne, a zarazem malownicze skały czasem wyrastały wprost przed statkiem, ale sterowana wprawną dłonią „*Sungasza*” odważnie brała ostre zakręty.

Kapitan Niekrasow czuwał przy sterze na pomoście nawigacyjnym. Z wygasłą fajką opuszczoną z ust na brodę, spokojnym wzrokiem spoglądał po urwistych, lesistych wybrzeżach, jakby widział je po raz pierwszy. Biali łowcy również nie opuszczali pokładów barek, urzekał ich ten uroczy syberyjski kraj, którego sama nazwa przedtem wywoływała w nich uczucie grozy.

Za skalistym łańcuchem górskim dolina Amuru była znacznie szersza. Pojedyncze pasma gór odsunęły się od rzeki, a napotykanne od czasu do czasu nadbrzeżne skały przypominały wyglądem ruiny zamczysk. Znacznie już spokojniejszy nurt wody, zazwyczaj przejrzystej, mętniał przy ujściach dopływów, przynoszących dużą ilość zawiesin. Zapewne dlatego też rzekę nazwano Amurem, czyli Czarną Wodą.

Czas mijał... Holownik wciąż piął się w górę rzeki. Coraz bardziej jednostajny, równinny step, urozmaicony tu i ówdzie świerkami oraz karłowatymi sosnami, przywodził na myśl bliskość Błagowieszceńska. Tam rezydował gubernator Wschodniej Syberii, w którego kancelarii łowcy musieli załatwić formalności policyjne, umożliwiające dalszą podróż po kraju. Z tego powodu, na prośbę Smugi, kapitan Niekrasow zgodził się na dłuższy postój w Błagowieszceńsku.

O dzień drogi od miasta łowcy postanowili urządzić małe przyjęcie na cześć kapitana. Niekrasow nie tylko wyraził na to zgodę, lecz nawet oddał do ich dyspozycji swego kucharza. Oczywiście bosman, jako znany smakosz, ujął ster przygotowań w swoje fachowe dłonie. Od samego ranka szperał w jukach, a około południa przeniósł się do kuchni z koszem pełnym rozmaitych zapasów. Jedyne Tomek, obdarzony jak zwykle specjalnymi łaskami bosmana, został dopuszczony do nęcących podniebienie przygotowań.

O zmierzchu kapitan zakotwiczył statek w pobliżu wybrzeża, cała załoga oraz pasażerowie zebrali się w mesie. Niekrasow nie szczędził starań, by wytworzyć jak najprzyjemniejszy nastrój, ale wszelkie jego wysiłki nie odnosiły pożądanego skutku. Lisio przebiegła twarz Pawłowa oraz jego niespokojne oczy, spoglądające spode łba na rozmawiających, odbierały



wszystkim apetyty i humor. Zniechęcony tym Niekrasow zamilkł w końcu i siedział nachmurzony.

Bosman Nowicki był tego wieczoru bardzo markotny. Przez cały dzień starał się wznieść na najwyższy szczyt sztuki kulinarnej, lecz wszystkie jego trudy nie przyniosły pożądanego rezultatu. Wspólny obiad bardziej przypominał stypę pogrzebową niż wesołą biesiadę. Na domiar złego, dziwnym zrządzeniem losu, Niekrasow posadził go przy stole obok Pawłowa. Wprawdzie z drugiej strony marynarza siedział Tomek, ale i tak przecież nie mogli swobodnie rozmawiać. Zerkali tylko na siebie porozumiewawczo i, jak reszta gości, jedynie od czasu do czasu rzucali jakieś zdawkowe słowo.

Tomek siedział znudzony, aczkolwiek przedtem cieszył się z owego wieczornego spotkania. Miał nadzieję, że mile pogawędzą z Niekrasowem, a tymczasem... Zaledwie obiad dobiegł końca, załoga „*Sungaszy*”, Goldowie i Udadzałaka przenieśli się na pokład holownika.

— Ci przynajmniej teraz będą mogli swobodnie pogadać — mruknął bosman do Tomka.

Tomek kiwnął głową. Rozmyślał nad czymś, aż w końcu nieznacznie szturchnął przyjaciela w łokieć i szepnął:

— Do licha, niech pan częściej napełnia kieliszek Pawłowa!

— Zwariowałeś? Szkoda gorzałki! — oburzył się bosman.

— Niech pan mu dogodzi, wtedy wyniesie się stąd!

— Ba, kiedy on sprytny! Ledwo jęzor macza w kieliszku...

— Trzeba zmusić go do picia; niech pan słucha... — pochylił się ku bosmanowi, ten zaś najpierw poczerwieniał z oburzenia, a potem poweselał. Zgodnie kiwnął głową.

Po chwili chrząknął głośno; wszyscy zaciekawieni spojrzeli w jego stronę.

— Siedzimy z nosami zwieszonymi na kwintę, bo każdy z nas poczuwa się do ciężkiego grzechu — zagał.

Pawłow poruszył się tak gwałtownie, że omal nie zrzucił talerza na podłogę. Wzrokiem przylgnął do ust mówiącego, aby nie uronić ani jednego słowa. Wyraźny niepokój odmalował się na twarzach Smugi i Wilmowskiego, Niekrasow zaś zdumiony spoglądał niepewnie.

— A tak, szanowni panowie, nagrzeszyliśmy, ale lepiej wyznać swe winy i... naprawić błędy — perorował marynarz.

— Upił się po raz pierwszy w życiu — szepnął zdenerwowany Wilmowski.

— Prędzej oszalał — syknął Smuga.

Tylko Tomek spokojnie przysłuchiwał się wywodom przyjaciela, zerkając na biesiadników. Bosman tymczasem ciągnął dalej:

— Tak, tak, zapomnieliśmy, że co boskie należy oddać Bogu, a co cesarskie cesarzowi! Musimy natychmiast odrobić karygodne zaniedbanie! Wznoszę toast za zdrowie cara Mikołaja II<sup>431</sup>.

Gdyby grom niespodziewanie uderzył w statek, nie wywołałby większego wrażenia niż toast wzniesiony przez bosmana. Wilmowski pobladł z gniewu, Niekrasow pogardliwie wzruszył ramionami, natomiast Pawłow przestraszył się nie na żarty, że ten zawalidroga wytknął mu tak poważne niedopatrzenie. Smuga, zgorszony w pierwszej chwili postępkami bosmana, teraz spojrzał na Tomka. Dostrzegł błysk wesołości czający się w jego oczach, natychmiast zrozumiał wszystko.

Bosman powstał, ujął karafkę. Kolejno napełniał kieliszki. Już pochylił się nad stołem przy Pawłowie, gdy naraz wstrzymał rękę w połowie drogi i rzekł:

— Właściwie pan zawiniłeś najwięcej, boś urzędowa osoba.

Pawłow przygarbił się, poszarzał na twarzy, a bosman uradowany jego zmieszaniem ciągnął:

— Bardziej zgrzeszyłeś niż my, cywile, ale nie martw się pan. Nadrobimy karygodne zaniedbanie większym naczyniem.

Mówiąc to odstawił swój i Pawłowa kieliszek, podsuwając na ich miejsce szklaneczki do wody. Napełnił je po brzegi.

— Wszyscy piją do dna! — zawołał.

Pawłow poderwał się gorliwie; stojąc spełnił toast. Zaledwie usiadł, nieubłagany bosman znów przemówił:

— Nie możemy obrażać szanownej małżonki cara. Nalewaj pan, panie Pawłowie!

Wkrótce potem przyszła kolej na każde z carskich dzieci, rodziców cara, rodziców carowej, aż Pawłow, stukając się z bosmanem szklaneczkami przy

---

<sup>431</sup> — Car Mikołaj II Aleksandrowicz, z dynastii Romanowów, panował w Rosji od 1894 r. W marcu 1917 r. został zmuszony przez rewolucję do zrzeczenia się tronu. Stracono go w Jekaterynburgu (obecnie Swierdłowski) w lipcu 1918 r. na mocy uchwały Uralskiej Rady Obwodowej.

każdym toaście, w końcu całym ciężarem już bezwładnego ciała ciężko opadł na fotel.

Bosman popatrzył na niego krytycznym wzrokiem, po czym jeszcze raz napełnił szklanki.

— Panie Pawłowie, pijemy zdrowie twojego szefa, ministra spraw wewnętrznych — zawołał.

Pawłowie chwiał się. Coś mamrotał nieprzytomnie. Bosman silnie potrząsnął go za ramiona.

— Zdrowie ministra policji, słyszysz?! — krzyknął.

Pawłowie bezwładnie opadł na oparcie fotela. Głowę zwiesił na piersi, spał w najlepsze. Bosman zarechotał basem:

— Ale go wykończyła carska rodzinka! Nawet swego ministra zlekceważył! Jak amen w pacierzu złożę na niego skargę na ręce gubernatora w Błagowieszczeńsku. Skoro jednak drań już śpi, to pozwolę sobie zmienić toast. Niech żyje rewolucja!

Wszyscy powstali i wypili do dna. Bosman wygodnie rozparł się w fotelu, nabił fajkę tytoniem, po czym zwrócił się do Niekrasowa:

— Dokończ pan mego dzieła i każ ludziom wynieść tego pijaczynę! Do rana mamy spokój!

— A niech cię diabli porwą, niedźwiedziu! — do łez śmiał się Niekrasow. — Pójdź, niech cię uściskam! Zawsze mi się zdawało, że mam mocną głowę do szklanicy, ale tobie nie sprostam!

— Iii, to była tylko drobna zaprawka. Niech Tomek opowie, jak podczas ostatniej wyprawy grałem na pełne kieliszki w Chotanie z jednym Chińczykiem<sup>432</sup>. Tamten to miał łepetynę!

— Zaraz spokojnie pogadamy — śmiał się Niekrasow. Wyjrzał przez iluminator i klasnął w dłonie: — Hej, Iwan, chodź tu na chwilę!

Marynarz wsunął się do mesy.

— Zamknij gdzie tego szpicla! Niech śpi do rana i nie odbiera nam humoru — rozkazał kapitan.

---

<sup>432</sup> — Gra polegała na tym, że jeden uczestnik wysuwał zaciśniętą pięść, szybko rozprostowywał dowolną liczbę palców i natychmiast znów je zaciskał, a drugi musiał bezbłędnie odpowiedzieć, ile pokazał palców. Jeśli dobrze zauważył, rozprostowujący wypijał tyle kieliszków, ile pokazał palców. Jeśli zaś odgadujący się pomylił, zobowiązany był sam je wypić.

Iwan przerzucił sobie przez ramię Pawłowa; znikł z nim tak cicho, jak przyszedł.

Zaczęła się miła pogawędka. Niekrasow ciekaw był przygód podróżniczych swoich gości, więc na przemian opowiadali bardziej interesujące przeżycia, a on uważnie słuchał i wciąż zasypywał ich nowymi pytaniami. Bosmanowi wprost nie zamykały się usta. Umiał mówić ciekawie i dowcipnie. Właśnie odstawił do kredensu trzecią opróżnioną z rumu butelkę i biorąc z półki nową, zagadnął Niekrasowa:

— Do stu gnijących na mieliźnie wielorybów! Widać, że kochasz pan prawdziwą przygodę, po jakiego więc diabła po wyjściu z ciupy utknąłeś na tym holowniku, zamiast ruszyć w świat?

— Nie pierwszy zadałeś mi to pytanie — odparł Niekrasow uśmiechając się melancholijnie.

Napił się rumu, zapalił fajkę, po czym dopiero zaczął mówić jakby do siebie:

— Nie było jeszcze wtedy kolei transsyberyjskiej... Wraz z grupą innych skazańców, skuty kajdanami i z połową głowy ogoloną, pieszo przekroczyłem Ural. Trudno sobie wyobrazić, co działo się w duszach więźniów gnanych na Sybir na widok wielkiego słupa granicznego, na którego jednej stronie widniała tablica z herbem prowincji Permu, a na drugiej — azjatyckiego Tobolska. Niektórzy płakali, inni całowali rodzinną ziemię bądź zabierali jej okruch ze sobą na poniewierkę.

Nie rozczulałem się nad swoim losem. Byłem na wszystko przygotowany. Odczytałem niektóre napisy wyryte na granicznym słupie. Były wśród nich znajome nazwiska... Na komendę: „*Formować szeregi*” podniosłem tułaczy worek, nie obejrzawszy się za siebie, ruszyłem ku przeznaczeniu.

Potem poznałem wiecznie zatłoczone skazańcami więzienia etapowe o drewnianych pryczach, po których snuło się robactwo. Zmieniali się to przekupni, to znów służbiści żołnierze eskortujący konwój, a my wciąż szliśmy na wschód. Trwało to całe miesiące. Zmęczeni, wyczerpani mijaliśmy wsie i miasteczka...

Czy znacie pieśń błagalną<sup>433</sup>, śpiewaną przeważnie przez więźniów pospolitych, gdy przechodzą przez osadę? — zapytał Niekrasow.

---

<sup>433</sup> — Słowa „*pieśni proszalnej*” zapisał i zamieścił w swojej książce pt. *Siberia and the Exile System* (Syberia i system wygnania) Jerzy Kennan, korespondent dziennika amerykańskiego, który w

Nie czekając na odpowiedź, ni to śpiewał, ni mówił:

*Zlitujcie się nad nami, ojczulkowie!  
Pamiętajcie o znużonych wędrowcach!  
Pamiętajcie o biednych więźniach!  
Nakarmcie nas i pomóżcie nam, ojczulkowie!  
Miejcie dla nas współczucie, ojczulkowie!  
Zlitujcie się nad nami, mateczki!  
Na Chrystusa, miejcie litość  
Nad uwięzionymi!  
Poza murami i kratami,  
Za zamkami żelaznymi  
Musimy marnieć.  
Rozłączeni z ojcem i matką,  
Rozłączeni z bratem i przyjacielem,  
Jesteśmy więźniami.  
Zlitujcie się nad nami, ojczulkowie!*

Przykre wspomnienia pokryły twarz Niekrasowa chmurą zadumy, umilkł na chwilę. Potem znów mówił:

— Nędza życia skazańców niezrozumiała jest dla tych, co nie słyszeli tej pieśni, na w pół śpiewanej, na w pół wolno mówionej przez setki głosów przy wtórze złowrogiego szczęku kajdan.

Podczas długiej, uciążliwej wędrówki oraz wskutek niezwykle złych warunków na postojach wielu skazańców zapadało na różne choroby i umierało. Szły z nimi również więźniarki i żony niektórych zesłańców, dobrowolnie towarzyszące swoim nieszczęsnym mężom.

W końcu dotarłem do Kary. Wspomniałem już kiedyś, że spotkałem tam kilku Polaków. Zmusili mnie do szczerego podziwu... Od pierwszego dnia zesłania zastanawiali się nad ucieczką i powrotem do swego kraju. Brali udział w protestach, spiskach, buntach, próbowali ucieczki, chociaż za to groziła jeszcze sroższa kara lub śmierć. Moja buntownicza natura wyczuwała w nich bratnią duszę. Wielu z nas szanowało polskich towarzyszy niedoli.

---

drugiej połowie XIX w. dwukrotnie podróżował po Syberii w towarzystwie malarza A. Prosta w celu zbadania warunków życia więźniów politycznych. Książkę Kennana przełożył na język polski Florian Bohdanowicz, zesłaniec syberyjski.

Toteż pośród pieśni najrozmaitszych narodowości, śpiewanych przez więźniów, dużo było polskich<sup>434</sup>. Niektóre z nich przetłumaczono nawet na rosyjski.

Niekrasow przerwał, kilka razy pyknął z fajeczki, z czego skorzystał Tomek i zapytał:

— Czy pamięta pan może którąś z tych polskich pieśni?

Kapitan wolno skinął głową.

— Bardzo proszę, niech pan ją nam zanuci — szepnął Tomek, głęboko wzruszony opowiadaniem byłego zesłańca.

Niekrasow zdjął zawieszoną na ścianie bałałajkę<sup>435</sup>, z powrotem usiadł w fotelu, uderzył w struny...

W cichy, wysrebrzony blaskiem księżycy step nadamurski popłynęła pieśń nierozzerwalnie związana z tragiczną historią polskiego narodu:

*Boże, czto Polszu rodimuju naszu Cholii,  
lelejal stoi dołgije gody,  
Nynie k tiebie my woznosim molenije  
Daj nam swobodu, poszli izbawlenije...*

Długo potem trwało wymowniejsze od słów milczenie...

— To i nasze „*Boże, coś Polskę*” śpiewaliście w Karze? — szepnął bosman, osuszając oczy chustką.

— Śpiewaliśmy. Szczególnie porywały nas pieśni wyrażające tęsknotę za wolnością i rewolucyjne. Wielu z nas knuło plany ucieczki i buntu, a czy wiecie, kto był dla nas wzorem? Wasz rodak, Beniowski<sup>436</sup>, były konfederat barski!

<sup>434</sup> — Z polskich pieśni w rosyjskim tłumaczeniu śpiewano: *Boże coś Polskę* (doskonały przekład), *Wiatr szumiąc wionął, a po polsku: Z dymem pożarów, Co to za gwar, Gdy naród do boju wystąpił z orężem i inne.*

<sup>435</sup> — Bałałajka — instrument strunowy szarpany o trójkątnym pudle rezonansowym i trzech strunach; popularny rosyjski instrument ludowy.

<sup>436</sup> — Maurycy August Beniowski urodził się w 1746 r. w Werbowie na Słowaczczyźnie, należącej wtedy do Węgier, jako syn Samuela, generała kawalerii austriackiej, i baronowej Róży de Ravay. Jako młodzieniec służył w wojsku austriackim, potem przebywał niedługi czas w Polsce u swego stryja, starosty. Po powrocie na Węgry wyruszył kolejno do Gdańska, Amsterdamu i Plymouth, gdzie zaznajomił się ze sztuką żeglarską. W wyjeździe do Indii Wschodnich przeszkodziło mu wezwanie z Polski, aby przyłączył się do konfederacji barskiej. W walkach koło Lanckorony i Krakowa otrzymał nominację na generała kwatermistrza. W jednej z bitew pod Krakowem rosyjski generał de Brinken

— Czyż to możliwe?! Nasz Beniowski prysnął stąd przeszło sto lat temu! — zdumiał się bosman.

— Tak, to prawda, ale jego głośna wówczas na cały świat ucieczka znalazła przede wszystkim żywy oddźwięk na Syberii. Wielu skazańców chciało go naśladować. Potem często rodziły się fantastyczne plany buntu.

— Faktycznie, miał on łepetynę nie od parady. Nieźle wystawił do wiatru swoich gnębicieli — z uznaniem wtrącił bosman. — Masz pan rację, że słuchanie takich historii podnosi na duchu...

— Czytałem w Anglii pamiętniki Beniowskiego, ale tak bardzo chciałbym jeszcze raz usłyszeć od pana o jego ucieczce — poprosił Tomek. — Przepadam za takimi opowieściami...

— Przyłączam się do prośby — gorąco poparł Tomka bosman. — Zwilż pan gardło, słuchamy!

Napełnił rumem szklaneczkę Niekrasowa. Kapitan nie dał się długo prosić, zakurzył fajkę i zaczął mówić:

— Beniowski po dostaniu się do niewoli od razu zaczął przemyśliwać o ucieczce. Zaledwie przywieziono go do Kazania, nawiązał kontakt z Tatarami oraz przebywającą tam szlachtą, przy pomocy których chciał wywołać zbrojne powstanie i w ten sposób ułatwić sobie odzyskanie wolności. Spisek wydał ktoś przedwcześnie. Na szczęście Beniowski w porę wyjechał do Petersburga. Tam wkrótce opracował nowy plan ucieczki, tym razem na statku holenderskim. Niestety, jego zamiary znów się pokrzyżowały, zdradził go bowiem kapitan statku. Oberpolicmajster Cziczerin aresztował Beniowskiego. Osadzono go w twierdzy, a potem oddano pod sąd. Jako niebezpieczny przestępca polityczny został skazany na wygnanie do Bolszerecka na Kamczatce.

Po przybyciu na miejsce zesłania był początkowo pilnie strzeżony. Mimo to nie zaniechał planów oswobodzenia się z niewoli. Wkrótce pozyskał zaufanie gubernatora Nilowa. Zaczął uczyć jego córkę, Afanazję. Dzięki temu mógł ponawiały kontakty z wybitniejszymi mieszkańcami półwyspu, którzy zaproponowali mu założenie szkoły. Ale zesłaniec nie o tym myślał.

---

wziął go do niewoli 19 maja 1769 r. Wywieziony do Kazania na Kamczatkę, skąd szczęśliwie uciekł. Zginął na Madagaskarze zastrzelony zdradziecko przez Francuzów, niechętnych jego sukcesom na wyspie. Porywający pamiętnik Beniowskiego został przetłumaczony i wydany w kilkunastu językach, a ponadto posłużył wielu poetom oraz pisarzom naszym i obcym do opiewania czynów Beniowskiego w dramatach, operach i powieściach.

Zawierał znajomości z oficerami i urzędnikami, a szczęśliwą grą w szachy zyskał nawet nieco pieniędzy.

W jego niespokojnym umyśle wnet zrodził się nowy pomysł ucieczki. Zjednał dla swoich planów niejakiego Krustjewa oraz przebywającego od piętnastu lat na zesłaniu Kazimierza Bielskiego, byłego polskiego starostę. Przy ich pomocy zorganizował spisek, który niebawem objął szerokie kręgi. Potajemną działalność ułatwił Beniowskiemu jego zażyły stosunek z domem gubernatora, albowiem młoda Afanazja zakochała się w nim bez pamięci. Beniowski, zmuszony koniecznością, zataił przed nią na jakiś czas, że jest już żonaty. Niełaska gubernatora udaremniłaby jego szeroko zakrojone plany. Zamierzał opanować okręt w porcie, by na nim odpłynąć z Kamczatki. Sprzysiężenie zostało jednak odkryte. Przedsiębiorczy Beniowski nie dał mimo to za wygraną! Podjął walkę. Gubernator Nilów zginął. Beniowski przy pomocy swoich zaufanych otoczył cerkiew, w której akurat znajdowały się rodziny rosyjskich dostojników zamieszkałych w Bolszerecku, i zagroził im spalaniem, jeśli żołnierze rosyjscy nie złożą broni. W ten sposób zawładnął stolicą Kamczatki.

Z kolei, zajmwszy uprzednio upatrzony okręt, zgromadził na nim zapasy z magazynów Bolszerecka, wywiesił banderę polską i oddawszy dwadzieścia honorowych strzałów armatnich, odpłynął z towarzyszami. Razem z Beniowskim uciekła również Afanazja, która nawet wtedy, gdy wyznał jej, że nie może zostać jego żoną, pragnęła towarzyszyć mu jako przybrana córka.

— A cóż się potem stało z tą nieszczęsną dzierlatką? — zagadnął bosman.

— Zmarła podczas podróży na morzu — wyjaśnił Niekrasow, nabijając fajkę tytoniem.

— Hm, naprawdę mi jej żal — zauważył bosman. — Ale nasza Sally również poleciałaby za Tomkiem na koniec świata!

— Czy on mówi o pana narzeczonej? — zaciekawiał się Niekrasow. — Sądząc po brzmieniu imienia, chyba nie jest Polką?

— Nie jesteśmy narzeczonymi, chociaż... bardzo się lubimy — odparł Tomek z lekkim rumieńcem na twarzy. — To Australijka, studiuje w Anglii. Ale nie wyjaśnił nam pan jeszcze, dlaczego pan pozostał na Syberii...

— Po tym, co usłyszałem, na pewno mnie pan zrozumie — odpowiedział Niekrasow, uśmiechając się do Tomka. — A więc początkowo



w Karze wciąż marzyłem, aby na wzór Beniowskiego zdobyć statek i uciec z Rosji carskiej. Później wszakże zaniechałem myśli o ucieczce. Przebywałem z wielu rewolucjonistami. Dzięki nim zrozumiałem, że będę tutaj potrzebny, gdy nadejdzie pora do działania. Po odbyciu kary ożeniłem się ze studentką z Kijowa, skazaną na osiedlenie na Syberii. Mieszkamy w Chabarowsku. Żona stale przebywa tam z dwojgiem dzieci, a ja pozostaję z nimi, gdy zimowe lody skuwają Amur na kilka miesięcy.

— Baba dla marynarza jest jak kotwica dla okrętu — mruknął bosman, a głośno dodał: — Nie martw się pan, i dla nas słońeczko zaświeci. Robotnicy burzą się wszędzie, a brać marynarska im sekunduje. Koleżki z „*Potiomkina*” już pokazali w Odessie pazury<sup>437</sup>.

— W każdym razie nie tak całkowicie zarzucił pan myśl o opanowaniu statku. Przecież dowodzi pan „*Sungaszą*” — wmieszał się do rozmowy Wilmowski, pragnąc zmienić temat zbyt drażliwej rozmowy.

Kapitan Niekrasow uśmiechnął się i dodał:

— Może panów to zaciekawia, ten holownik jest własnością kilku Polaków zamieszkałych w Harbinie<sup>438</sup> w Mandżurii. Brali oni udział w pierwszej ekspedycji technicznej, wysłanej przez Rosję w celu wytyczenia linii obecnej kolei Wschodnio-Chińskiej łączącej Czytę w Kraju Zabajkalskim z Władywostokiem nad Oceanem Spokojnym. Przez jakiś czas również pracowałem przy budowie kolei, wtedy właśnie poznałem moich obecnych współników.

— Rzeczywiście przyjemny to dla nas zbieg okoliczności — przyznał Wilmowski. — Znałem pierwszego wiceprezesa kolei Wschodnio-Chińskiej, inżyniera Stanisława Kierbedzia. To bardzo zdolny budowniczy. Jego dziełem

---

<sup>437</sup> — Mowa o buncie marynarzy floty czarnomorskiej w 1905 r. na rosyjskim pancerniku Potiomkin stojącym wówczas niedaleko Odessy. W odpowiedzi na rozkaz rozstrzelania 30 ludzi z załogi marynarze zabili znienawidzonych oficerów, wyrzucili ich za burtę i wywiesili na maszcie czerwony sztandar. Załoga pancernika zmuszona była do ucieczki do Rumunii i poddała się tamtejszym władzom. Bunt na Potiomkinie dodał odwagi robotnikom, którzy się przekonali, że flota i armia zaczynają przechodzić na stronę rewolucji.

<sup>438</sup> — Harbin jest w Chińskiej Republice Ludowej stolicą prowincji Hejlungiang. Po powstaniu Chińskiej Republiki Ludowej rząd ZSRR przekazał Chinom cały swój udział w kolei Wschodnio-Chińskiej, która teraz zwie się Chińską Koleją Czańczuńską. Liczy ona 1500 km długości od stacji Mandżuria do Pogranicznaja; posiada również odgałęzienie przez Mukden do Portu Artura, długości około 1000 km.

jest pierwszy most stalowy na Newie w Petersburgu oraz most na Wiśle w Warszawie, nazywany mostem Kierbedzia.

— Słyszałem o tym Polaku, natomiast osobiście stykałem się z inżynierem Adamem Szydłowskim, pod którego kierownictwem w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym wyznaczono miejsce na założenie Harbina. Dzisiaj jest to już spore osiedle. Mieszka w nim większość Polaków osiadłych w Mandżurii.

— Z tego co mówicie, szanowni panowie, wynika, że Polacy znacznie przyczynili się do wybudowania tej kolei — mile zdumiał się bosman.

— A czy Polacy nie brali również udziału w badaniu nawet najmniej dostępnych zakątków Syberii? — wtrącił Tomek. — Wiele tu pozostawili po sobie niezatartych pamiątek.

W tej chwili gdzieś w głębi statku rozległo się głucho dudnienie i przenikliwie krzyki.

— Cóż to takiego? Co tam się dzieje? — zaniepokoił się Smuga.

— Do licha, ktoś woła o pomoc! — dodał bosman.

— Iwan, Iwan! Przyjdź tu na chwilę! — krzyknął kapitan nie ruszając się z fotela.

Marynarz przystanął w progu.

— Co zrobiłeś z tym urzędnym szpiclem? — niedbałym głosem zagadnął Niekrasow.

— To, co pan kapitan rozkazał — dobrodusznie odpowiedział Iwan. — Zamknąłem go, żeby się wyspał i nie przeszkadzał. Widocznie wytrzeźwiał już, bo wrzeszczy...

— A gdzie go zamknąłeś? — flegmatycznie pytał Niekrasow.

— W karcerze<sup>439</sup>, bo gdzie indziej nie ma kluczy.

Niekrasow parsknął śmiechem.

— To wypuść go teraz! — polecił. — Na pewno szczury okrętowe dały mu się we znaki. Zjedzą go jeszcze i będziemy mieli kłopot.

— Według rozkazu, panie kapitanie, zaraz go oswobodzę — odparł marynarz.

Bosman rozweselił się i zawołał:

— Słuchaj, Iwan, nie musisz zbytnio się spieszyć. Drzwi do karceru na pewno się zacinają!

---

<sup>439</sup> — Karcer — cela karna pozbawiona okien i pryczy.

- Rozumiem, zacinają się — potaknął Iwan.
- Skoro tak, to łyknij szklaneczkę rumu — zaproponował bosman.



## W PUŁAPCE

O świcie „*Sungasza*” ruszyła w dalszą drogę. Pozostawiła już za sobą chińskie miasteczko Aigun<sup>440</sup> na prawym brzegu Amuru, a obecnie mijała Taheiho<sup>441</sup>, oddalone zaledwie o kilkanaście kilometrów od Błagowieszczewska, założonego na przeciwległym brzegu w 1856 roku.

Łowcy po nocy spędzonej na pogawędce odpoczywali na pokładzie barki. Z zainteresowaniem obserwowali prawy brzeg, albowiem coraz bardziej mętna woda świadczyła, że już zbliżają się do miejsca, w którym Zeja wpada do Amuru. W tych właśnie stronach Pojarkow, jako pierwszy Kozak, ujrzał potężny Amur, znany wówczas w Rosji jedynie z opowiadań. Wilmowski, doskonały geograf, przypomniał towarzyszom to brzemienne w następstwa wydarzenie sprzed około dwustu pięćdziesięciu lat i zaraz nawiązała się interesująca rozmowa na temat historii rosyjskich odkryć we Wschodniej Syberii.

O Amurze usłyszeli Rosjanie po raz pierwszy w 1636 roku. W trzy lata później rozpoczęli penetrację doliny Witimu, na wschód od jeziora Bajkał, po czym podjęli próby znalezienia drogi do Amuru. Na rozkaz wojewody irkuckiego znaczna ekspedycja wyruszyła z Jakucka w kierunku południowo-wschodnim. Złe zorganizowana wyprawa poniosła poważne straty. Tylko jej część pod dowództwem Pojarkowa przedostała się rzeką Aldan do Gór Stanowych, gdzie natrafiła na źródła Zei, a potem płynąc nią dotarła w końcu do brzegów Amuru. Stąd Kozacy pożeglowali w dół rzeki aż do ujścia. Posuwając się wzdłuż wybrzeża Morza Ochockiego przybyli do Ochocka.

Następcy Pojarkowa, zachęceni jego odkryciem, znaleźli dogodniejszą drogę wzdłuż rzek Olekma i Uran. W latach 1650 do 1653 Chabarow na czele małego oddziału przedarł się aż nad dolny Amur.

Chabarow w kilku punktach założył forty i obsadził je Kozakami. Malowniczy widok, roztaczający się ze szczytów górskich w okolicy ujścia

---

<sup>440</sup> — Aigun — miasto w Mandżurii nad Amurem w odległości około 36 km od Błagowieszczewska. Znane z traktatu podpisanego tam w r. 1858, na mocy którego Chiny oddały Rosji lewy brzeg Amuru, od rzeki Argun, oraz prawy od Ussuri do ujścia.

<sup>441</sup> — Taheiho (Ta heiho) lub Chejcho od japońskiej oficjalnej nazwy Heiho. Chińskie miasteczko o 14 km na północ od Aigunu.

rzeki Ussuri do Amuru, zachwycił Chabarowa. Pasma Sichote Alin, biegnące w Kraju Ussuryjskim z południa na północ i oddzielające wybrzeże morskie od dorzecza rzeki Ussuri, w północnej swej partii stopniowo zniżało się ku zachodowi i ostatnią, skalistą wyniosłością dotykało bezpośrednio brzegów Amuru i Ussuri. Wyniosłość ta tarasami zniżała się ku nabrzeżu, otwierając wspaniałą panoramę na doliny obydwóch rzek, W miejscu tym, w dwieście lat później, Murawiew Amurski założył osadę Chabarówkę, przemianowaną na Chabarowsk dla upamiętnienia zdobywcy tego kraju.

Do oddziału Chabarowa przyłączyły się grupy awanturników grasujące nad Zeją i Ussuri. Krajowcy oraz sąsiadujący przez rzekę Mandżurowie stawili zacięty opór żywołowej brutalności awanturników. Chińczycy zaczęli wnosić skargi na grabieże Kozaków nad dolnym Amurem. Do Nerczyńska przybył poseł chiński. Potem do Chin udały się dwa kolejne poselstwa rosyjskie. Chiny, pod pretekstem, iż otrzymały zezwolenie Rosji, siłą przepędziły Kozaków znad dolnego i środkowego Amuru. Kozacy ustąpili aż nad górny bieg rzeki. Tutaj ufortyfikowali się w Ałbazinie, który w roku 1685 posiadał już około 40 domów, cerkiew i klasztor.

Chińczycy, zachęceni dość łatwym zwycięstwem, niebawem uderzyli na Ałbazin. Kozacy zostali wyparci dalej na zachód, lecz gdy wojska chińskie odeszły, znów powrócili do Ałbazinu. W roku 1686 Chińczycy po raz drugi obiegli fortecę. Jej mężny obrońca, naczelnik Tołbuzin, długo wytrzymywał ataki, w końcu jednak, z powodu braku amunicji i szkorbutu szerzącego się wśród żołnierzy, musiał skapitulować. Chińczycy zniszczyli fort. Rosjanie odeszli znad Amuru.

W dwadzieścia lat później gubernator Wschodniej Syberii, słynny Mikołaj Murawiew Amurski, po raz drugi rozpoczął podbój bogatej, pięknej Krainy Nadamurskiej. W roku 1854 wojna krymska spowodowała konieczność szybkiego zaopatrzenia w żywność i amunicję rosyjskiej floty na Oceanie Spokojnym. Droga wodna — Amurem — była najtańsza i najdogodniejsza, dlatego Murawiew postanowił zdobyć krainy leżące nad rzeką. Przewieziony w częściach parowiec zmontował na Szyłce, kazał zbijać setki promów, na których ruszył z tysiącem Kozaków w dół rzeki. Zbudował liczne stacje, założył Błagowieszczeńsk i Chabarówkę, rozpoczął systematyczną kolonizację. Pierwszymi osadnikami byli zesłańcy—więźniowie obojga płci i żołnierze wcieleni za karę do oddziałów syberyjskich. Murawiew

nie tylko przymusowo osiedlał ich nad Amurem oraz w nowo zdobytym Kraju Ussuryjskim, lecz nawet kojarzył tam „przymusowo” małżeństwa. Mianowicie ustawiał więźniów w dwa równoległe szeregi: w jednym mężczyzn, a w drugim kobiety. Na odpowiednią komendę obydwie szeregi odwracały się twarzą do siebie i każdy mężczyzna pojmował za żonę kobietę, którą przypadkowo wybrał mu kapryśny los.

Na tej ciekawostce Wilmowski zakończył opowiadanie. Tomek szturchnął bosmana i śmiejąc się zawołał:

— Szkoda, że pana wtedy tutaj nie było! Na pewno byłby pan już żonaty!

— Tobie tylko żeniaczka w głowie — ofuknął go marynarz. — Mnie to do szczęścia niepotrzebne, lecz ty, choć jeszcze goło masz pod nosem, niedługo zapewne zaprosisz mnie na drużbę! Gdy Sally weźmie cię pod pantofel, raz dwa spokorniejesz!

— Tak pan uważa?! — odparł Tomek urażony. — Poinformuję Sally, co pan o niej opowiada.

— W duchu przyzna mi rację! Ho, ho, miła to i roztropna sikorka! Jak to się kiedyś ucieszyła, gdy powiedziałem, że na starość będę niańczył wasze bachory.

— Ładnie by na tym wyszły! — roześmiał się Tomek. — W takie delikatne rączki można by powierzyć co najmniej kilkuletnie niedźwiadki, a i to jeszcze musiałby pan być ostrożny, żeby nie pogruchotać im kości.

Bosman potraktował te słowa jako komplement. Zarechotał basem. Z zadowoleniem przyjrzał się swoim olbrzymim, sękatym dłoniom.

— Ano, moi starszankowie nie poskąpili mi krzepy — odparł po chwili. — Ale nie martw się, na starość pewno trochę zesłabnę, a poza tym, przez wzgląd na tę miłą sikorkę i ciebie, będę ostrożny.

Tak wspominając historię odkryć w Kraju Nadamurskim oraz żartując, łowcy ani spostrzegli, gdy przy ujściu Zei na równinnym stepie jak spod ziemi wyrósł Błagowieszczęńsk, rozbudowany z dawnej Ustzejskiej stancy.

W tej chwili agent Pawłow chyłkiem wysunął się na pokład. Ubrany był w czarny surdut, a na głowę włożył również czarny melonik, czyli sztywny kapelusz o okrągłej główce i podgiętym do góry rondzie. Kapelusze tego rodzaju często wówczas nosili agenci tajnej policji.

— Patrzcie tylko, jak to nasz anioł stróż wystroił się dzisiaj — cicho zauważył bosman. — W czarnej gali i dęciaku przypomina kominiarza lub karawaniarza.

— Raczej karawaniarza! Jego widok nikomu szczęścia nie przynosi — dodał Tomek. — W Błagowieszczeńsku na pewno zaraz pobiegnie złożyć raport isprawnikowi.

— Masz rację, będzie miał doskonałą okazję odplacić nam pięknym za nadobne — niechętnie rzekł Smuga. — Oby nam tylko nie nabruździł.

— Jego ponura mina nie wróży nic dobrego — dodał Wilmowski.

— Miejmy nadzieję, że nasze listy polecające do gubernatora nieco złagodzą w oczach władz donosy Pawłowa.

— Do stu beczek zjełczanego tranu, przestańcie krakać jak te złowrózne kruki — rozgniewał się bosman. — Z igły robicie widły! Nachmurzony jest, bo wnętrzności palą go po wczorajszej libacji. O co mógłby mieć żal? Przecież ugościliśmy go, jak się patrzy!

— Zapomniałeś już o karcerze i szczurach — odparował Smuga. — To nierozsądnie bawić się zapalkami siedząc na beczce prochu!

— To nie był mój pomysł — bronił się bosman. — Niekrasow zaś nie ma zielonego pojęcia, co my nosimy za kołnierzem!

Przerwali rozmowę. „*Sungasza*” zwolniła barki z holu, aby przycumować je do swego boku. Po sprawnym manewrze wzięła kurs prosto na przystań.

Przy wybrzeżu było zakotwiczonych kilka barek, a obok pomostu przygotowywał się do odpłynięcia pocztowo-pasażerski parostatek, zwrócony dziobem w kierunku biegu rzeki.

Niekrasow podprowadził „*Sungaszę*” do brzegu. Zaledwie marynarze holownika przerzucili pomost na ląd, Pawłow podszedł do grupki łowców i oznajmił, że udaje się do swoich władz.

— Czy będzie pan na statku na obiedzie? — uprzejmie zapytał Wilmowski.

— Nie, wolę zjeść w mieście, nie lubię jeździć krypami po wodzie — opryskliwie odparł agent, po czym dodał: — Niech panowie nie zapomną pójść do tutejszego isprawnika. Nie zaszkodziłoby również złożyć oficjalną wizytę jego ekscelencji gubernatorowi. Zapewne spotkamy się w kancelarii policji.



— Dziękujemy za radę, na pewno tam się zobaczymy — odparł Wilmowski. — Mamy nadzieję, że przy pana pomocy szybko załatwimy wszelkie formalności.

— Och, zapewne! Przecież panowie jesteście pod moją opieką — rzekł Pawłow siląc się na uśmiech. Uchylił melonika i znikł na wybrzeżu.

Zaraz po południu czterej łowcy z Udadzałaką wyruszyli do urzędu policji, aby zgłosić swe przybycie do Błagowieszczeńska i uzyskać zgodę na polowanie w górze rzeki.

Miasto składało się z kilkuset drewnianych parterowych domów. Ponad nimi górowała jedynie błyszcząca w słońcu kopuła cerkwi. Na nie wybrukowanych ulicach panował znaczny ruch. Mieszkańcy Błagowieszczeńska utrzymywali wymianę handlową z Mandżurami i Chińczykami zza rzeki, którzy przyjeżdżali tutaj łodziami głównie z miasta Ajgun. Każdy poważniejszy kupiec przynajmniej raz w miesiącu wyruszał na kilka dni w celach handlowych do Błagowieszczeńska. Ożywione zazwyczaj stosunki handlowe ustawały tylko na początku zimy aż do czasu, gdy gruba pokrywa lodowa skuła rzekę. Wtedy Chińczycy i Mandżurowie znów gromadnie przybywali do Błagowieszczeńska; w przenośnych straganach, ustawionych na brzegu rzeki, sprzedawali mąkę, kaszę i wódkę oraz przywożone z południa Mandżurii orzechy i jabłka.

W zimie Błagowieszczeńsk stawał się głównym ośrodkiem handlowym kraju. Buriaci, Tunguzi, Ostiacy i Jakuci na saniach o psich zaprzęgach ściągali tutaj nawet z najodleglejszych zakątków tajgi, by pęk skórek lisich, sobolich lub bielek wymienić na woreczek mąki, kaszy, trochę tytoniu czy też flaszkę wódki. Był to dla kupców szczególnie korzystny handel, ponieważ dobroduszni mieszkańcy tajgi często nie znali prawdziwej wartości przywożonych futer.

Nadziratel, czyli inspektor policji, przyjął łowców nadzwyczaj uprzejmie. Na ich widok powstał zza stołu, wylewnie uściśnął im dłonie i poczęstował herbatą z rumem.

— Kolega Pawłow zapowiedział mi wizytę panów. Oczekiwałem z prawdziwą niecierpliwością — mówił zacierając dłonie. — Wiele ciekawych rzeczy usłyszałem... To zapewne pan jest owym panem Brolem, pogromcą zwierząt?

Przy tych słowach zwrócił się w kierunku bosmana. „*Aha, Pawłow już uszył mi buty*” — pomyślał marynarz, lecz nie okazując jakiegokolwiek zmieszania, spokojnie odparł:

— Faktycznie tak się nazywam.

— Kolega Pawłow bardzo pana wychwalał — zawołał inspektor. — On mi doradził, aby przygotować rum do herbaty...

— Owszem, lubię rum, to prawdziwie męski napitek — potaknął bosman.

— Wiem o tym, wiem również, że odnosi się pan z szacunkiem do miłościwie panującego nam cara i jego rodziny. Chwali się to, chwali. Zdrowie panów!

Bosman przymrużonymi oczami wpatrywał się w inspektora policji, jakby chciał odgadnąć, co on naprawdę wie o nim, ale twarz urzędnika nie zdradzała jego myśli. Uśmiechał się uprzejmie, prawil komplementy.

Dopiero po półgodzinnej rozmowie zapytał, dokąd łowcy chcieliby się udać i jak długo zamierzają tam przebywać. Otrzymaawszy wyjaśnienia, powiedział:

— Ja nie widzę przeszkód. Pozostaje mi tylko życzyć panom szczęśliwych łowów. Czy mogę prosić o paszporty?

Łowcy zadowoleni z takiego obrotu sprawy wręczyli mu swoje dokumenty. Inspektor przejrzał je tylko pobieżnie, a potem niedbałym ruchem wrzucił wszystkie paszporty do szuflady.

— W porządku, jutro przedstawię sprawę panów isprawnikowi.

— Jak to, więc zatrzymuje pan nasze paszporty? — zdziwił się Smuga.

— Isprawnik razem z jego ekscelencją gubernatorem wyjechał z miasta na inspekcję. Z tego powodu dopiero rano będę mógł zreferować mu panów sprawę. To zwykła formalność.

— Czy możemy bez dokumentów poruszać się po mieście? — zagadnął Wilmowski.

— Przecież w panów towarzystwie przebywa kolega Pawłow. Mogą panowie na nim polegać, to bardzo zdolny człowiek — dwuznacznie odparł inspektor.

— Chcieliśmy również złożyć oficjalną wizytę panu gubernatorowi... — zaczął Smuga, lecz inspektor uśmiechnął się i zaraz wtrącił:

— Wiem o tym, wiem i już prosiłem ekscelencję o łaskawe wyznaczenie audiencji. Jutro o godzinie jedenastej osobiście przyjmie panów.

— Bardzo dziękujemy za uprzejmość, a kiedy otrzymamy z powrotem paszporty? — indagował Smuga.

— Z całą pewnością przed opuszczeniem Błagowieszczęńska — odpowiedział inspektor. — Dzisiaj będą panowie moimi gośćmi. Chciałbym pokazać panom ciekawostkę. Zapraszam na chińską kolację do restauracji Czang Sena. Ponieważ z powodu nieobecności isprawnika mam jeszcze do załatwienia kilka pilnych spraw, wieczorem zastąpi mnie kolega Pawłow. Już omówiliśmy to między sobą. A teraz żegnam panów. Życzę miłej zabawy.

Łowcy podziękowali za zaproszenie. Wkrótce znaleźli się na ulicy.

— A to żmija! — wybuchnął bosman. — Niby to gnie się w ukłonach, chwali, zaprasza na kolację, a jednocześnie odbiera paszporty...

— Ciekawe, co ten Pawłow na nas nagadał — głowił się Tomek. — Może powiedział też o karczerze i szczurach...

— Nie sędzę, aczkolwiek zdawało mi się, że w tonie inspektora; brzmiała nuta złościwości, gdy mówił o rzekomym szacunku bosmana do cara i jego rodziny — zauważył Smuga.

— Ja również odniosłem takie wrażenie — dodał Wilmowski. — Szkoda, że nie udało nam się jakoś wykręcić z tego zaproszenia na kolację.

— Chińczycy mają faktycznie bardzo osobliwy smak. Pamiętam, jak ten znajomek Davasarmana w Chotanie potraktował nas pijawkami w cukrze — powiedział bosman.

W kwaśnych humorach wrócili na „Sungaszę”. Niekrasow powitał ich na pokładzie. Okazało się, że Pawłowa jeszcze nie było na holowniku, więc korzystając z okazji, wstąpili na herbatę do kajuty kapitańskiej. Niekrasow z zainteresowaniem wysłuchał relacji o przebiegu wizyty u inspektora policji. Zamyślony, wolno popijał herbatę z arakiem.

— To zastanawiające, po co on zaprosił was do tej chińskiej spelunki? — odezwał się w końcu.

— Czy pan zna restaurację Czang Sena? — zaciekał się Wilmowski.

— Owszem, znam — potwierdził kapitan. — W lokalu tym mieści się tajna palarnia opium.

— W towarzystwie agenta policji chyba nic tam nie będzie nam groziło — powiedział Tomek.

— Być może ma pan rację. W każdym razie powinniście tam pójść, skoro przyjęliście zaproszenie — zakończył Niekrasow.

Tuż przed wieczorem przybiegł zadyszany Pawłow. W imieniu komisarza zaprosił Niekrasowa na kolację do Czang Sena. Kapitan zgodził się przyjść. Łowcy wydobyli z juków odpowiednie stroje. Nim minęła godzina, razem z Pawłowem i Niekrasowem opuścili holownik.

Restauracja Czang Sena zajmowała cały jednopiętrowy dom. Nad wejściem, po obydwóch stronach wąskich drzwi, wisiały oświetlone świecami kolorowe lampiony z papieru. Na parterze, tuż za małą szatnią, znajdowały się dwie obszerne sale, rozdzielone jedynie zasłoną z barwnych, szklanych koralików nanizanych na sznurki. Lampiony zwisające z niskiego, drewnianego pułapu rzucały migotliwe światło na oryginalne chińskie obrazy zdobiąceściany. Wokół obydwóch sal rozmieszczono zaciszne łoże ze stołami i miękkimi taboretami.

Dwóch Chińczyków wybiegło na powitanie przybyłych. W ukłonach prowadzili wprost do drugiej sali, gdzie przy stolikach siedziało już sporo gości. Pawłow pełnił rolę gospodarza domu, poprosił podróżników, aby rozgościli się w zarezerwowanej łoży, a potem bawił ich rozmową o ważniejszych wydarzeniach w mieście.

Niekrasow usiadł w głębi niszy, skąd sam niemal niewidoczny, doskonale mógł obserwować całą salę. Tomek ulokował się obok bosmana; z wielkim zadowoleniem stwierdził, że nakryto do kolacji po europejsku na czystym, białym obrusie. Jedynie na oddzielnej tacce leżały długie pałeczki z kości słoniowej, zastępujące w Chinach widelce.

Obsługa w restauracjach była niezwykle sprawna. Zaledwie goście zdążyli zasiąść przy stole, zaraz pojawiły się na nim zimne zakąski: pokrajane mięso w żółtej galarecie, grzyby, sałata z cebuli i ziół, pędy brzozone, wędlna w cienkich plasterkach, jaja o kolorze safianu, pieczone szyjki raków, jasnozielona trawa morska. Wszystkie te potrawy należało skrapiać zabarwionym na ciemno octem, podanym w małych czarkach obok każdego talerza. W pobliżu stołu służba postawiła trójnóg z miedzianą misą napelnioną rozżarzonymi węglami; na nich to podgrzewało się niskie, płaskie wiaderko z gorącą wodą, w której z kolei umieszczono srebrne dzbany z wódką majgalo, sporządzoną z ryżu i zaprawioną różanym olejkiem. Po każdym daniu służący

obnosił dzban i w malutkie porcelanowe filiżaneczki nalewał ciepłego majgalo.

Po jakiejś godzinie służba uprzątnęła resztki zakąsek. Teraz przyszła kolej na gorące potrawy. Najpierw podano małe kawałki cielęciny w cieście, potem pieczone kluski z mięsa, paszteciki i gotowany drób w gęstym, białym sosie, w którym pływały poczerńiałe w czasie gotowania ślimaki.

Na widok tego przysmaku Tomek pod stołem trącił bosmana kolanem. Ślimaki w sosie przypominały wyglądem upieczone robaki.

Na szczęście filiżaneczka mocnego majgalo ułatwiła im dopełnienie chińskiego zwyczaju, w myśl którego należało skosztować każdej potrawy. Coraz to nowe wyszukane dania pojawiały się na stole. Po pieczonym prosięciu przyniesiono kawałki baraniny pieczone na rożnie, potem kurę krajaną w paski, rosół, gotowany ryż, makaron, główki kurze z szyjkami oraz rozmaite zupy. Tomek dawno już przestał liczyć podawane potrawy, a obdarzony nie lada apetytem bosman westchnął głęboko i dyskretnie popuścił pasa.

Po trzech godzinach służba jeszcze raz uprzątnęła stół i wyniosła trójnog z dzbanem majgalo. Podano cukrzone owoce, różne ciasta, ciasteczka, orzechy, oryginalną, zieloną, gorzką chińską herbatę i białe musujące wino. Był to znak, że obiad nareszcie dobiega końca.

W tej właśnie chwili jakiś mężczyzna w ciemnym, wciętym płaszczu i z melonikiem w dłoni usłużnie zbliżył się do rozochoczonego Pawłowa. Pochylił się do jego ucha. Mówił coś osłaniając usta dłonią. Rozbawienie znikło z twarzy agenta. Uważnie wysłuchał krótkiej relacji swego współpracownika, po czym skinął głową. Obcy mężczyzna szybko się oddalił, a wtedy Pawłow powstał i rzekł:

— Bardzo mi przykro, ale muszę panów opuścić na kilkanaście minut. Otrzymałem wiadomość, że isprawnik właśnie wrócił do miasta, lecz jutro rano znów wyjeżdża. Przeprowadza pilne dochodzenie. Skorzystam więc z jego obecności, by załatwić nasze sprawy. Jednocześnie dowiem się, czy termin audiencji wyznaczonej dla panów u eksceleńcji nie uległ zmianie.

— Chyba czas już skończyć nasze miłe spotkanie — zauważył Wiłmowski.

— Broń Boże! To nie potrwa długo, zaraz wrócę. Pokażę panom najciekawszy zakątek tego lokalu — zaoponował Pawłow. — Za kotarą w

rogu sali są ukryte kręte schodki. Czy byli panowie już kiedyś w palarni opium?

— Nie wiedziałem, że tutaj wolno utrzymywać takie lokaliki — zdziwił się bosman.

— Ależ skąd, panie Bro! — zaprzeczył Pawłow, domyślnie mrugając okiem. — Palarnia jest nielegalna, a wstęp jedynie dla wtajemniczonych!

Wszyscy roześmiali się, słysząc to wyjaśnienie z ust agenta policji.

— Skoro tak, to poczekamy — powiedział Smuga. — Widziałem kilkakrotnie palarnie opium, ale dla moich towarzyszy będzie to nowością.

— Świetnie! Tymczasem częstujcie się panowie! Postaram się szybko wrócić.

Pawłow minął stojące w przejściu do drugiej sali stoliki. Znikł w szatni.

— Ciekaw jestem, co on nowego wymyślił? — zagadnął kapitan Niekrasow.

— Więc nie wierzy pan w powrót isprawnika? — zapytał bosman.

Niekrasow wzruszył ramionami.

— Czort go wie! Od samego początku dziwi mnie to zaproszenie do spelunki przez inspektora policji. Zastanawiam się, do czego jest mu to potrzebne?

— Czy nie za wiele się pan domyślasz? Na mój rozum wszystkie agenciaki lubią fundować sobie kolacyjki za państwowe pieniądze.

— W każdym razie nie będziemy się nudzili, przybywają nowi goście — zauważył Smuga.

Do sali wkroczyło kilku mężczyzn. Przystanęli w progu rozglądając się ciekawie.

— Cóż to za oryginalne typki! — po cichu zawołał Tomek.

Bosman, jak zwykle zawadiacki, wychylił się z niszy i mruknął:

— Faktycznie niczego sobie goście! Wyglądają jak diabły przebrane w ornaty i na mszę dzwoniące!

Trafność określenia wywołała ogólną wesołość. Kanciaste, brodate twarze nowo przybyłych i ich zachowanie wcale nie pasowały do porządnych ubrań, które na sobie nosili. Poszturchiwali się łokciami, aż w końcu pod przewodem najwyższego ruszyli ku stolikowi w sąsiedniej loży obok łowców. Szurgając butami oraz hałaśliwie rozstawiając taborety, obsiedli stół. Zażądali wódki.

Niekrasow dyskretnie zlustrował dziwnych sąsiadów. Zmarszczył czoło, jakby usiłował sobie coś przypomnieć. Naraz chiński służący, który właśnie przyniósł nową butelkę wina musującego i napełnił nim szklaneczki, nieznacznie wsunął w dłoń Niekrasowa zwiniętą w rulonik kartkę. Kapitan ukradkiem rozprostował papierek; zaledwie nań spojrział, zgniótł w kulkę, wrzucił ją do popielniczki i podpalił zapalką. Tylko Wilmowski spostrzegł dziwne zachowanie Niekrasowa, reszta towarzystwa bowiem z zainteresowaniem słuchała dowcipu opowiadanego przez bosmana. Wilmowski już miał zamiar poprosić Niekrasowa o wyjaśnienie, gdy nagle jeden z nowo przybyłych gości gwałtownie powstał od swego stolika. Bezceremonialnie wszedł do łoży.

Był to niezwykle wysoki mężczyzna. Teraz, gdy stał blisko, od razu rzucało się w oczy, że ubranie, które nosił, nie było nań dopasowane. Marynarka z trudem opinała jego szeroką, wypukłą, włochatą pierś, widoczną przez rozchełstaną, brudną koszulę. Na piersi miał wytatuowany rysunek ptaka. Za krótkie i mocno obcisłe rękawy marszczyły się w fałdy na niezwykle wyrobionych mięśniach, a nogawki spodni nie sięgały nawet kostek u nóg. Wyglądał jak przebieraniec na zapusty, lecz mimo to jego groźna, ponura twarz mogła w każdym wzbudzić uczucie lęku. Od lewego ucha poprzez policzek, obydwie wargi aż do końca brody jego dawno nie goloną twarz przeorywała szeroka blizna. Poprzez rozwichrzone, krzaczaste brwi przebierały jasne, bezlitosne oczy, spoglądające drapieźnie i zaczepnie. Podszedł do stołu, oparł się o jego brzeg dłońmi zaciśniętymi w kułak.

Łowcy przerwali rozmowę; w tej chwili na całej sali zaległa niepokojąca cisza. Wszyscy goście spoglądali w kierunku łoży, gdzie olbrzymi drab wpatrywał się kolejno w każdą twarz, jakby szukał kogoś znajomego. Łowcy zdziwieni patrzyli na niego, tylko kapitan Niekrasow w dalszym ciągu siedział zadumany z nisko opuszczoną na piersi głową. Drab tymczasem zatrzymał wzrok na bosmanie Nowickim. Przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

— Czy przypominasz mnie sobie? — odezwał się w końcu ochryplym głosem. — Długo cię szukałem, carski szpiclu! Nareszcie spotkaliśmy się!

Bosman uniósł głowę. Ponury wygląd awanturnika nie wywarł na nim najmniejszego wrażenia.

— Jak kto koniecznie szuka guza, to na pewno go znajdzie — odparł flegmatycznie. — Faktycznie jednak to się nie znamy! Pomyliłeś się pan!

— Jak mógłbym cię zapomnieć! Przez ciebie tysiąc kijów spadło na mój grzbiet<sup>442</sup>! — warknął olbrzym. — Zapłacę ci teraz!

Pochylił się ku bosmanowi, jednocześnie podsuwając mu pod nos swój wielki włochaty kułak. Bosman obtarł usta serwetką. Podniósł się, wyszedł zza stołu. Wzrokiem pełnym uznania zmierzył zawadiakę, który przewyższał go co najmniej o połowę głowy.

— Nie znam cię, człowieku, odczep się z łaski swojej — rzekł spokojnie.

— Ha, to mnie zaraz poznasz! — zawołał zawadiaka.

Zwinnym ruchem uderzył bosmana pięścią w podbródek. Głowa marynarza odskoczyła do tyłu, cofnął się o krok lub dwa, ciężko opadł na jedno kolano. Zaraz jednak otrząsnął się jakby po wynurzeniu z wody i powstał. Napastnik po raz drugi zamachnął się potężnie, lecz tym razem zaprawiony w walce wręcz marynarz uchylił głowę, równocześnie prawą pięścią uderzył przeciwnika w żołądek, a lewą w podbródek. Drab zachwiał się oszołomiony, bosman zaś chwycił go w pasie za ubranie, podrzucił do góry nad własną głowę, zakręcił nim młynka i z rozmachem cisnął o podłogę. Zawadiaka, przy akompaniamencie okrzyków przestraszonych biesiadników oraz brzęku szkła, z rozkrzyżowanymi ramionami legł nieruchomo.

Wszyscy goście poderwali się od stolików, umykali pod najdalszą ścianę. Łowcy również powstali, w sąsiedniej loży bowiem znów zaszurugały odtracone taborety. Kilku drabów wyskoczyło na salę, niepewnie spoglądając spode łbów to na bosmana, to na powalonego swego przywódcę.

Po krótkiej chwili zawadiaka ciężko usiadł na podłodze. Włochate łapsko na moment skryło się w kieszeni, po czym w dłoni błysnęło ostrze sprężynowego noża. Na to hasło pozostali awanturnicy również wydobyli broń. Pochylili się do skoku, uzbrojeni w kastety<sup>443</sup>, bagnety wojskowe i noże.

Tomek, Smuga i Udadzałaka zaraz stanęli u boku bosmana. Wilmowski już do nich podążał, gdy kapitan Niekrasow powstrzymał go za ramię. Zmurużywszy oczy spoglądał na obnażoną pierś powstającego z podłogi awanturnika. Widniał na niej tatuaż kukułki ze skrzydłami rozpiętymi do lotu. Niekrasow nareszcie przypomniał sobie, skąd zna tego człowieka.

---

<sup>442</sup> — Władze carskie często stosowały karę chłosty.

<sup>443</sup> — Kastet — metalowy przyrząd, przeważnie w kształcie połączonych czterech pierścieni, zakładany na palce dla wzmocnienia ciosu pięści.



— Uspokój pan towarzyszy, to pułapka — szepnął do Wilmowskiego, a sam wysunął się z za stołu; odgrodził bosmana od zgrai łotrów.

Bosman lekko pochylony ruszył do przodu, ale w tej chwili Wilmowski znalazł się tuż przy nim.

— Czekaj, to prowokacja — syknął.

Bosman przystanął; czujnym wzrokiem śledził każdy ruch napastników, gotów do rozpoczęcia walki.

Niekrasow tymczasem pochylił się ku zawadiace.

— Ej, Wasyl, nie poznałeś ty mnie? — zapytał. — Czy sprzykrzył ci się głos generała kukułki, że szukasz śmierci?

Drab właśnie powstał z podłogi, trzymając w ręku otwarty nóż. Przekrzywił łeb o zmierzwionych, długich włosach, nabiegłymi krwią oczyma wpatrywał się w Niekrasowa.

— Przypomnij sobie, kogo to zwałeś swoim ojczulkiem? — ciszej powiedział kapitan.

Zawadiaka wolnym krokiem podszedł do niego. Ostrzem noża dotknął jego piersi. Na ponurej, groźnej twarzy najpierw odmalowała się niepewność, a potem zdumienie.

— Toż to chyba... ojczulek Niekrasow! — szepnął zmieszany. Nagle rzucił nóż na podłogę. Z niezwykłym przejęciem pocałował kapitana w ramię.

— Wybacz, ojczulku... naprawdę nie poznałem... tyle lat... — mówił głęboko wzruszony.

Kapitan uścisnął go, po czym cicho zapytał:

— Dlaczego szukałeś zwady, Wasyl?

— Ja znów w tiumie, ojczulku; namówili nas, wypuścili na tę noc, ubrali, dali broń... obiecali nagrodę...

— Kto was namówił? — indagował Niekrasow.

— Nadziratel, ojczulku, ale to tylko tak między nami...

— Słuchaj, Wasyl, to moi przyjaciele, chyba nie chcesz ze mną zwady?!

— Prędzej odgryzłbym sobie własne łapsko!

— Dziękuję ci, Wasyl! Policja obstawiała dom. Kiedy miała tu wkroczyć?

— Na odgłos strzałów! Wy zostańcie, może uda się nam czmychnąć do lasu! Do zobaczenia, ojczulku!

Wasył podniósł nóż, zamknął go, schował do kieszeni. Przez ramię spojrzął na swoich popleczników.

— Za generałem kukułką, jazda! — rozkazał.

Musiał posiadać mir wśród kamratów, gdyż bez słowa sprzeciwu schowali broń. Pobiegli w kierunku zasłony w kącie sali. Rozległ się tupot nóg na schodach, potem gdzieś trzasnęły drzwi, w głębi budynku ktoś krzyknął przestraszony i było już po wszystkim. Służba szybko uprzątnęła pobojowisko. Goście, jak gdyby nic nadzwyczajnego nie zaszło, znów zasiedli przy stolikach.

Łowcy pytająco spoglądali na Niekrasowa. Ten zaś najpierw nalał wina, a potem dopiero krótko wyjaśnił:

— Policja nasłała na nas bradiagów<sup>444</sup>. W tej chwili agenci czają się wokół domu, by wtargnąć na odgłos strzałów i aresztować nas. Komisarz przypuszczał, że napadnięci przez uzbrojonych zbirów użyjemy broni palnej. Oczywiście później sprawa by się wyjaśniła i jeśli policja nie znalazłaby nic podejrzanego, na pewno puszczono by nas z przeprosinami.

— W jakim celu policja to uczyniła? — nie dowierzał Tomek.

— To robota tej żmii, Pawłowa — wtrącił bosman. — Oczywiście, teraz macie dowód, że Pawłow nabrał jakichś podejrzeń — potwierdził Niekrasow. — Władze rosyjskie jednak nie lubią ryzykować aresztowaniem niewinnych być może cudzoziemców. Powoduje to przecież interwencje dyplomatyczne. Wobec tego po cichu przygotowały pułapkę, lecz dzięki przypadkowi udaremniliśmy niecne zakusy.

— Panu zawdzięczamy pomyślny obrót sprawy — powiedział Smuga.

— Skąd pan zna tego człowieka?

— Wasyła? To bradiaga, przebywaliśmy razem na katordze w Karze. Jeśli tylko sprzyjały okoliczności, uciekał co roku, by się powłóczyć po tajdze. Raz pomogłem mu rozkuć kajdany, oddałem moją rację żywności. Odtąd zawsze uważał mnie za swego opiekuna.

— To niebezpieczny człowiek — zauważył Smuga.

---

<sup>444</sup> — Bradiaga — włóczęga zbiegły z katorgi. Niektórzy przestępcy pospolici i zbrodniarze zsyłani na Syberię przeważnie z Rosji europejskiej, próbowali szczęścia w ucieczce, by wrócić do domu lub trochę użyć swobody na włóczędze. Często zbierali się w bandy grasujące w tajdze. Dopiero nadejście surowej zimy zmuszało ich do wychodzenia z lasu w celu znalezienia żywności i wtedy zazwyczaj byli wychwytywani przez policję.

— A tak, niejedno ma na sumieniu — potwierdził Niekrasow. — No, no, ale pana Broła nie podejrzewałem o tak nadludzką siłę. Wasyl uchodzi za Herkulesa, chyba dzisiaj pierwszy raz w życiu został pokonany.

— Niczego sobie osiłek — przyznał bosman. — O jakim to generale kukułce wspomniałeś pan temu gagatkowi? Czyżby to było umówione hasło?

— Skądże znowu, otóż bradiagi uciekają z więzienia na wiosnę, gdy w tajdze można znaleźć jadalne korzonki i jagody. Przyłot z południa kukułek jest niezawodnym znakiem nastania tak upragnionej pory roku, toteż generałem swoim zwał ptaka, którego głos staje się ogólnym sygnałem do ucieczki.

— W jaki sposób domyślił się pan, że policja urządziła na nas zasadzkę? — zapytał Tomek.

— Mam dobrego znajomego wśród służby Czang Sena. Gdy bradiagi weszli do restauracji, poinformował mnie, że policja czai się wokół domu — wyjaśnił Niekrasow.

— Ach, to on podał tę karteczkę, którą pan zaraz spalił — wtrącił Wilmowski.

— Tak, najlepiej niszczyć wszelkie dowody rzeczowe. Nie cieszę się najlepszą opinią policji, która niepokoiłaby mego informatora.

— Uwaga, Pawłow na horyzoncie! — ostrzegł bosman.

— Nie ma zbyt tęgiej miny — dodał Tomek. — Nic dziwnego, tym razem podstęp mu się nie udał!

Agent szybko zbliżył się do stolika. Z trudem tłumił zdenerwowanie, gdy mówił:

— Przykro mi, że zostawiłem panów samych na tak długo, lecz cóż można począć na służbie! Niestety, już nie będę mógł dzisiaj towarzyszyć panom. Kilku zbrodniarzy zbiegło wieczorem z tutejszego więzienia. Posiadają broń, to niebezpieczni recydywiści! Proszono mnie o pomoc w pościgu...

— Czyż to możliwe, aby z więzienia zbiegli uzbrojeni?! — z głupia frant zapytał bosman.

— Istotnie, to dziwna sprawa — mruknął Tomek.

Agent, rozzłoszczony własną niezręcznością, gniewnie zmierzył marynarza wzrokiem; jękając się odparł:

— No, broń zapewne zdobyli po dokonaniu ucieczki... Isprawnik obawiał się, by nie spotkała panów tutaj jakaś nieprzyjemność, polecił mi uprzedzić...

— Trochę spóźnił się pan — przerwał mu Smuga. — Byli tu już jacyś obwiesie, próbowali nawet wszcząć z nami awanturę, ale dostali należytą odprawę. O nas nie trzeba tak bardzo się obawiać. Jakoś dajemy sobie radę.

— Czy załatwił pan wszystko z isprawnikiem? — zapytał Wilmowski.

— Tak, tak, jutro z rana przyjmie panów — skwapliwie potwierdził Pawłow.

— Jak to, więc już nie wyjeżdża? — ironicznie zauważył Tomek.

— Nie, zmienił zamiar, a więc jutro rano pójdziemy do isprawnika, a potem do jego ekscelencji gubernatora — oświadczył Pawłow i zaraz opuścił salę.

## FU CZAU

Następny dzień przyniósł pewne wyjaśnienie dwuznacznej sytuacji, w jakiej łowcy znaleźli się po dziwnym wydarzeniu w restauracji Czan Sena. Mianowicie z samego rana Pawłow przybył po nich na statek; był nadzwyczaj ugrzeczny i usłużny. Razem udali się do inspektora, który zwrócił im paszporty, zezwolił na polowanie w całym podległym mu okręgu, a ponadto przykazał agentowi, by otoczył wyprawę staranną opieką.

W godzinę później złożyli wizytę gubernatorowi. Ten przyjął ich w swoim prywatnym domu, w obecności trzech adiutantów. Wypytywał o przebieg łowów, życzył powodzenia oraz zapewnił, że sprawcy wczorajszego napadu będą ujęci lada chwila i zostaną przykładowo ukarani.

Łowcy w jak najlepszych humorach powrócili na „*Sungaszę*”, było bowiem zupełnie widoczne, że policja, po nieudanej prowokacji, stara się pozorami uprzejmości zatuszować własną niezręczność.

Tego jeszcze popołudnia „*Sungasza*” odbiła od przystani w Błagowieszczeńsku i pożeglowała dalej w górę rzeki. Na obu brzegach Amuru rysowały się w dali skaliste, jakby o ściętych szczytach góry, porośłe wierzbami i łożą. Bliżej rzeki przestrzenie leśne, zasnuwane w dzień niskimi czarnymi dymami, rozbłyskały w nocy czerwonymi łunami. To krajowcy wzniecali ognie, zwane pałami, którymi niszczyli lasy, zamiast je karczować, lub palili trawę na łąkach dla użyźnienia gleby.

W miarę jak „*Sungasza*” płynęła na wschód, krajobraz pobrażony amurskich stopniowo ulegał zmianie. Pasma górskie przybliżyły się do brzegów, zwęziła się dolina rzeki, w lasach przeważały modrzewie, sosny, białe brzozy i brzozy daurskie.

Czwartego dnia, krótko po świcie, Smuga poprosił kapitana Niekrasowa o płynięcie bliżej lewego brzegu rzeki, a niebawem o zatrzymanie statku. Według obliczeń Wilmowskiego, znajdowali się około dwustu pięćdziesięciu kilometrów na zachód od Błagowieszczeńska. Stąd już tylko jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów dzieliło ich od Ruchłowa, połączonego linią kolejową z Nerczyńskiem.

Pawłow, nieświadom zamiarów łowców, pochwalił wybór miejsca na założenie obozu.

— Niewiele znam się na polowaniu, ale przecież słyszałem nieraz, że okolica ta jest niemal rajem myśliwych — mówił pochlebnie. — Swego czasu polował tutaj nasz sławny podróżnik i niezrównany strzelec Mikołaj Przewalski<sup>445</sup> ... To były katorżnik wspaniałomyślnie ułaskawiony przez cara. Macie panowie najlepszy dowód, że u nas żadna zasługa nie pozostaje bez nagrody!

— Lepiej już mów pan o polowaniu — przerwał mu poirytowany bosman.

Agent skwapliwie pokiwał głową.

— Jak więc powiedziałem, na brak zwierzyny nie będziecie, panowie, narzekać — zgodnie ciągnął dalej. — Łatwo tu nawet znaleźć Chińczyków, którzy chętnie przeprowadzą na polowanie na drugą stronę rzeki. Ale taka zabawa to raczej dla wielkich ryzykantów.

— Dlaczegoż to, jeśli można zapytać — zaciekawił się bosman.

— Zbyt łatwo tam o spotkanie z chunchuzami<sup>446</sup> — wyjaśnił Pawłow.

— A cóż to znów za czort, szanowny panie? — indagował marynarz.

— To po prostu bandyci! Dla zdobycia byle drobiazgu potrafią człowieka poddać najgorszym torturom lub poderżnąć gardło. Nawet obecnie zdobywają się na napady po naszej stronie rzeki.

— Ha, jak z tego widać, faktycznie ładne wybraliśmy miejsce na obóz — ironicznie powiedział bosman.

— Niech się pan wyzbędzie obaw! Pochwaliłem wybór nie tylko ze względu na obfitość zwierzyny — uspokajał Pawłow. — Gdy płynęliśmy rzeką, spostrzegłem kilka kilometrów stąd stanicę kozacką. Bliskość oddziału regularnego wojska na pewno trzyma chunchuzów w ryzach.

— Skoro tak, to w porządku, aczkolwiek, jak się pan sam przekonałeś, nie tak łatwo nam dmuchać w kaszę, gdy jesteśmy w komplecie — odparł bosman, nieznacznie mrugając do Tomka.

---

<sup>445</sup> — Mikołaj Michajłowicz Przewalski (1839–1888) — generał, najwybitniejszy rosyjski odkrywca i badacz Azji. W latach 1868–1869 badał Kraj Ussuryjski między dolnym Amurem a Morzem Japońskim. Od 1870 r. podczas czterech wypraw prowadził badania północnej części Azji Środkowej, zapoczątkowane przez Siemionowa–Tiań–szańskiego. Bliższe informacje o tych podróżnikach znajdzie czytelnik w Tomku na tropach Yeti.

<sup>446</sup> — Chunchuzi (z chin. — czerwonobrodzi lub miedzianobrodzi) — grabieżcze bandy grasujące wówczas na terenie Chin, a głównie w Mandżurii.

W czasie tej pogawędki „*Sungasza*” wzięła barki na boczny hol. Teraz ostrożnie przybliżała się do brzegu. W końcu zamilkły maszyny pod pokładem; pierwsza barka niemal dotykała nabrzeża. Szczęknęły łańcuchy zakotwiczące statek.

Wyładunek taboru trwał do samego wieczora, toteż kapitan Niekrasow postanowił wyruszyć w dalszą drogę dopiero o świcie. Opłata, jakiej zażądał za przewiezienie całej wyprawy, była bardzo niska w porównaniu z cenami biletów na statkach pasażerskich. Toteż do sumy trzystu rubli Smuga samorzutnie dołożył jeszcze jedną setkę do podziału dla załogi.

O wschodzie słońca łowcy odprowadzili kapitana aż na holownik. Niekrasow najdłużej żegnał się z bosmanem Nowickim. W ostatniej chwili, gdy marynarz zamierzał już schodzić na ląd, przytrzymał go jeszcze za ramię i rzekł:

— Przemięły z ciebie chłop, niedźwiedziu! Zanim lód unieruchomi Amur, odbędę kilka rejsów w górę rzeki. Gdybyście przypadkiem mieli ochotę jeszcze raz zabrać się na pokład, wystrzelcie cztery razy w powietrze. Przepływając tutaj będę pilnie lustrował brzeg...

— Dobra nasza, nawet po ciemku poznam tę starą krypę — odparł bosman wesoło. — Pan również przypadłeś mi do gustu!

Niekrasow pochylił się do ucha bosmana i dodał cicho:

— Nie dowierzajcie zbyt uprzejmości tego policyjnego szczura. Wprawdzie po tej głupiej hecy w Błagowieszczeńsku wyraźnie zmienił front, ale założyłbym się, że dalej coś knuje!

— Tak pan uważasz?

— Tak, nie lubię, gdy policja naraz staje się zbyt grzeczna.

— Dobra nasza, będę go dobrze miał na oku!

„*Sungasza*” odpłynęła sypiąc deszczem rozżarzonych iskier. Łowcy zaś zebrali się na naradę, by ustalić program zajęć obozowych. Podział funkcji przedstawiał się następująco: trzech synowie Nuczego — dogładanie tygrysów, koni i przygotowywanie posiłków; Nuczi — dogładanie psów, wyszukiwanie odpowiednich terenów łowieckich; Smuga, Brol i Tomek — polowanie na zwierzynę; Brown i Udadzałaka — preparowanie skórek zabitych okazów fauny; Pawłow — ogólny nadzór nad bezpieczeństwem obozu.

Taki podział ról miał ułatwić Smudze oraz jego dwu towarzyszom upozorowanie konieczności dotarcia do Nerczyńska. W obecności Pawłowa

musieli się liczyć z każdym słowem, podczas gdy na polowaniu poza obozem mogli swobodnie omówić szczegółowy plan działania. Zaraz następnego ranka Smuga poprowadził swoją grupkę w górę rzeki; ptactwa było tam w bród. W krótkim czasie upolowali kilka okazów po czym zatrzymali się na odpoczynek obok przystani, gdzie kulisi gromadzili drewno na opał dla parostatków.

Łowcy kupili od Chińczyków świeżo złowionego łososia. Bosman na miejscu opracił rybę i zaczął piec na kamieniach rozgrzanych w ognisku. Smuga i Tomek gawędzili tymczasem z kulisami.

Wkrótce Smuga zauważył, że jeden kilkunastoletni wyrostek wprost nie odrywa wzroku od opartego o drzewo sztucera zaopatrzonego w lunetkę.

— Widzę, że umiesz ocenić zalety dobrej broni — zagadnął chłopca. — Z mojego sztucera można skutecznie strzelać nawet do celu po drugiej stronie rzeki. Proszę, spójrz!

Mówiąc to uniósł sztucer do ramienia. Chłopak skwapliwie pochylił głowę ku lunecie. Przymknął jedno oko. Z zapartym tchem spoglądał na odległy łańcuch górski na przeciwległym brzegu Amuru.

— Cudowna broń — szepnął w żargonie rosyjsko–chińskim. — Gdybyśmy mieli taką strzelbę, nawet mój stary ojciec mógłby jeszcze polować, a chunchuzi nie odważyliby się zbliżyć do naszej fanzy<sup>447</sup>...

— Czy bandyci tak często was niepokoją? — zapytał chłopca Smuga.

Chińczyk spłoszonym wzrokiem musnął twarz podróżnika, opuścił głowę.

— Teraz rzadziej przychodzą... Nie mają już co zabierać, bo prawie nic nie posiadamy... — odparł cicho.

Zachęcony przez Tomka, opowiedział smutną historię swej rodziny.

Mieszkali na mandżurskim brzegu Amuru, w wioszczynie u stóp gór porośniętych bujnym lasem. Matka z pomocą dzieci uprawiała małe poletko położone tuż za fanzą, a ojciec polował na antylopy, sobole, lisy i wiewiórki. Ojciec był odważnym myśliwym; nie bał się nawet śnieżnych panter<sup>448</sup>, które w zimie schodziły z wyżyn Azji Środkowej. Pewnego dnia w pobliskich

---

<sup>447</sup> — Fanza — dom chiński.

<sup>448</sup> — Tak zwana śnieżna pantera, czyli irbis (*Felis uncia*) osiąga wzrost pantery, lecz żyje w zimniejszych okolicach. Ojczyznę irbisa są góry Azji Środkowej, poczynając od Turkiestanu aż po Amur. W Himalajach żyje częściej po stronie tybetańskiej niż indyjskiej, gdzie podczas lata przebywa na bardzo dużych wysokościach, w zimie zaś schodzi poniżej 3000 m.



górach zagnieździła się banda chunchuzów. Odtąd co jakiś czas najeżdżała wioskę i bezlitośnie łupiła mieszkańców. Pozostawiała im jedynie tyle, by nie pomarli z głodu i mogli dalej pracować.

— Raz, gdy mój ojciec poszedł sprawdzić sidła zastawione na wiewiórki, chunchuzi znów wpadli do wioski — mówił młodzieniec. — Byli bardzo rozgniewani po porażce, jaką ponieśli w walce z Kozakami na rosyjskim brzegu. Zabrali prawie wszystką żywność, a potem zażądali od mieszkańców wioski wyznaczenia dziesięciu młodych mężczyzn, którzy mieli zastąpić poległych członków bandy. Nikt nie chciał do nich przystać, więc zaczęli palić fanzy i mordować. Doprowadzeni do ostateczności mieszkańcy wioski rzucili się na chunchuzów. Niewielu uratowało swe życie.

Młodzieniec zamilkł na chwilę. Potem mówił jeszcze ciszej:

— Miałem wówczas zaledwie siedem lat... Widziałem, jak zabijali moją matkę, braci i siostry... Przerażony zemdlałem; w ten sposób uniknąłem śmierci. Ojciec po powrocie do domu znalazł mnie na wpół przytomnego. Pochował zabitych obok fanzy. Teraz nie może polować tak jak dawniej. Wypłakał oczy, źle widzi. Żyjemy z mojej pracy przy wyrębie drzewa.

— A co się stało z chunchuzami? Czy nie próbowaliście zemścić się na nich? — zapytał Tomek wzburzonym głosem.

— Nie miał kto walczyć, prawie wszyscy mężczyźni wyginęli — odparł Chińczyk. — Potem przyszła inna banda, pobili się między sobą. Jedni odchodzą, drudzy przybywają!

Pochylił się ku Tomkowi i dodał szeptem:

— Odkładam część z każdego zarobku. Gdy palę kadzidło na domowym ołtarzyku, zawsze mówię matce i rodzeństwu, ile już uskładałem na kupno karabinu...

— Dużo ci jeszcze brakuje? — zapytał Smuga.

— Karabin drogi, a ojciec musi jeść. Ale za parę lat kupię karabin!

— Zuch chłopak z ciebie — pochwalił Smuga. — Czy umiesz tropić zwierzynę?

— O, tak! Ojciec mnie uczył!

— Może wobec tego podejmiesz się wytropić dla nas śnieżną panterę? — zaproponował.

— Gdy byłem w domu kilka dni temu, ojciec mówił mi, że w okolicy włóczy się pantera. Porwała naszego prosiaka.

— Czy zechcesz nam pomóc zapolować na nią? — nalegał Smuga.

— Tak, ale musicie pójść ze mną na drugi brzeg. Mieszkamy o dzień drogi w górę rzeki.

— Słuchaj mały, jeśli wytropisz dla nas irbisa, dam ci dobry karabin. Zgoda?

Chłopak niedowierzająco spoglądał na podróżnika.

— No, więc jak? Chcesz otrzymać karabin?

Błysk szalonej radości w oczach małego Chińczyka był dostateczną odpowiedzią. Smuga poklepał go po ramieniu i rzekł:

— Za dwa dni przyjdź do naszego obozu. Znajdziesz go o godzinę drogi stąd w dół rzeki. Powiesz, że szukasz łowcy, który chce złapać śnieżną panterę.

— Dobrze, przyjdę i powiem — przytaknął Chińczyk. — Lecz co będzie, jeśli irbis odszedł już z naszych stron?

Smuga zmierzył chłopca badawczym wzrokiem, po czym powiedział:

— Jeśli nie będzie pantery, to i tak dostaniesz karabin. Jednak w obozie musisz zapewniać wszystkich, że niezawodnie doprowadzisz nas do legowiska irbisa. W jaki sposób przeprawisz się na drugą stronę rzeki?

— Przepełyam promem — wyjaśnił Chińczyk.

— Czy utrzyma on kilku ludzi i konie?

— O, tak, można na nim przewieźć nawet wóz!

— A więc pamiętaj! Masz przyjść za dwa dni!

Wilmowski ostrożnie wychylił głowę z namiotu i rozejrzał się wokoło. Była jeszcze głucha noc. Nuczi, ćmiąc krótką fajeczkę, czuwał przy żarze ogniska. Obok niego spoczywało na ziemi kilka czarnych psów. W bladym świetle księżycy rysowały się kontury namiotów i wozów. W obozowisku panowała cisza, tylko od strony klatek z tygrysami płynęły urywane, tęskne pomruki, które stapały się z poszumem wód toczonych przez szeroki Amur.

Lekka mgła słała się po ziemi.

Wilmowski czujnie nasłuchiwał przez dłuższą chwilę; cofnął się w głąb namiotu. Zamyślonym wzrokiem ogarnął swych towarzyszy. Bosman spał już w najlepsze, wygodnie rozciągnięty na polowym łożku. Jego szeroka, wypukła pierś unosiła się w rytmicznym, spokojnym oddechu; pochrapywał. Tomek chyba także usnął; leżał bez ruchu odwrócony twarzą do ściany. Natomiast Smuga w dalszym ciągu starannie pakował juki. Właśnie odgarnął

dłonią kosmyk włosów opadający mu na czoło i przysiadł na związanym worze.

Z kieszeni skórzanej bluzy wydobyl tytoń. Pykając fajeczkę obserwował zafrasowanego Wilmowskiego. Po jakimś czasie odezwał się cicho:

— Andrzej, mógłbyś jeszcze przespać się przed świtem.

Wilmowski ciężko westchnął i odparł:

— Nie jestem senny, myśli najrozmaitsze kłębią mi się w głowie... Przecież jeśli ów Chińczyk nie zawiedzie, już dzisiaj wyruszyście w drogę... Ciężko mi będzie samemu w niepewności czekać na was!

— Tych kilkanaście dni prędko zleci. Andrzej! Przyrzekam czuwać nad bezpieczeństwem Tomka...

— Och, przecież nie tylko o niego chodzi! Tomek i ja spłacamy dług Karskim, lecz wy dwaj...?

— Uspokój się, przyjacielu! Bosman dla przeżycia przygody poszedłby nawet do piekła! I tak nie umrze naturalną śmiercią! Tomek zaś, sam wiesz to zresztą najlepiej, jest jego bratnią duszą. Obecnie denerwuję się tylko ze względu na twoje bezpieczeństwo.

— Trzymaj ostro ich obydwóch, Janie — poprosił Wilmowski, spoglądając na pogrążonego we śnie syna. — Sam również nie ryzykuj zbyt! Nigdy bym sobie nie darował, gdyby jednemu z was przytrafiło się coś złego!

— W gorszych już bywałem opałach — odpowiedział Smuga. — Jeśli chodzi o mnie, wyruszyłem na tę wyprawę przede wszystkim przez pamięć dla mego przyrodniego brata. Wiesz przecież, jak bardzo chciał nieść pomoc zesłańcom...

Wilmowski usiadł obok Smugi. Zapalił fajkę, a następnie zapytał:

— Czy wszystko już zapakowane?

— Chyba tak, ale zrobmy jeszcze ostateczny przegląd — odpowiedział Smuga. — W tej paczce mam pięć futrzanych worów do spania. W następnej koce, trochę bielizny i podręczną apteczkę. Tutaj zaś ubranie dla naszego zesłańca, a więc: ciepłe spodnie, barani kożuszek, czapka podbita lekkim futrem, rękawice, bielizna, filcowe buty. Pod podszewką kożuszka ukryte są sztuczne wąsy, broda i peruka, które ułatwią mi odpowiednie ucharakteryzowanie się.

— Czy nie zapomniałeś o kleju? — wtrącił Wilmowski.

— Włożyłem go do kieszeni kozuszka. Następny toból zawiera namiot, a tamten niezbędny sprzęt obozowy. Trochę zapasów żywności spakujemy przed samym odjazdem w obecności Pawłowa. Broń i amunicja również są przygotowane.

— Ile koni zamierzasz zabrać?

— Sześć, cztery dojazdy wierzchem oraz dwa luzaki do dwukołowego wozu, na który załadujemy klatkę na panterę i juki.

— To wystarczy.

— Słuchaj, Andrzeju, do powrotu Udadźalaki nie odstępуй Pawłowa ani na krok — ostrzegł Smuga. — Szczególnie pilnuj juka, w którym ukryta jest tygrysia skóra.

— Będę o tym pamiętał, Janie, możesz na mnie polegać — zapewnił Wilmowski.

Obydwaj przyjaciele naradzali się aż do samego świtu. Omawiali plan działania poszczególnych grup wyprawy, starając się przewidzieć wszelkie ewentualne przeszkody, na jakie mogli natrafić w decydującej chwili. Najwięcej trudności sprawiała im obecność agenta policji. Smuga doradzał pozbyć się go w ostateczności nie przebierając w środkach, lecz Wilmowski, jak zwykle, kategorycznie sprzeciwił się temu. Uważał, że nikt nie ma prawa pozbawiać życia drugiego człowieka. Długo nie mogli osiągnąć porozumienia.

W końcu przerwali dyskusję widząc, że Tomek i bosman już budzą się ze snu.

Zaledwie wykąpali się w rzece i zasiedli do posiłku, młody chiński drwal Fu Czau przybiegł z wiadomością o wytropieniu irbisa. Uzasadnione podniecenie łowców nie wzbudziło żadnych podejrzeń Pawłowa. Krainy, gdzie żył irbis, były wówczas tak samo mało znane Europejczykom, jak i to zwierzę, bardzo rzadko spotykane w ogrodach zoologicznych. Dlatego choćby tylko skóra śnieżnej pantery mogła stanowić dość cenny łup.

Na krótkiej, ożywionej naradzie łowcy postanowili zapolować na irbisa. Pawłow nie odradzał wyprawy na mandżurski brzeg, ale zalecał jak najdalej posuniętą ostrożność ze względu na grasującą w okolicy bandę chunchuzów, o której istnieniu wiedział Fu Czau. W polowaniu mieli wziąć udział: Smuga, bosman, Udadźalaka i Tomek. Nie tracąc czasu, zaczęli się przygotowywać do drogi.

Wilmowski z Pawłowem odprowadzili towarzyszy aż do miejsca przeprawy przez Amur. Miała się ona odbyć poruszonym przez koło wodne promem, sporządzonym z dwóch łodzi oraz położonej na nich drewnianej platformy. Właściciel promu, Chińczyk o kosmykowatych węsach i brodzie, zwany był przez okolicznych mieszkańców kapitanem Wangiem.

Prymitywny prom nie mógł od razu unieść wozu, sześciu koni i ludzi. Wobec tego Wang zmuszony był dwukrotnie przepływać Amur, aby przewieźć cały tabor wyprawy.

Dopiero w porze popołudniowej prom wyruszył po raz drugi. Tomek niecierpliwie spoglądał na coraz bliższy prawy brzeg. Tam przecież znajdowała się Mandżuria<sup>449</sup>, nie mniej groźna od rozległych krain Syberii. Od zachodu okalały ją góry Wielkiego Chinganu, od wschodu zaś nizina nad Ussuri i Góry Północnokoreańskie. Południową granicę Mandżurii stanowiło Morze Żółte, a północną właśnie Amur. Między częściowo zalesionymi górami leżała stepowa Nizina Mandżurska; tylko nad rzekami rosły lasy, w których obok tygrysów, panter, niedźwiedzi, wilków i lisów żyły dziki, sarny, jelenie oraz antylopy górskie.

Prom uporczywie walczył z prądem rzeki. Powoli zdążał ku pasowi nadrzecznego stepu, przechodzącego wąskim przedgórzem w pocięty głębokimi dolinami, piętrzący się wyniośle Wielki Chingan. Za jego północną krawędzią płynęła rzeka Argun; na zachód od niej, w odległości zaledwie około dwustu pięćdziesięciu kilometrów, leżał Nerczyńsk. Dalej na południe rozciągała się Mongolia, ojczyzna osławionego okrucieństwem Dżyngis-chana, największego zdobywcy w dziejach Azji, który na przełomie XII i XIII wieku założył potężne państwo mongolskie, sięgające od Chin aż po Dunaj w Europie.

U podnóża gór pokrytych lasami zamieszkiwał Fu Czau ze swoim ojcem. Łowcy chcieli dotrzeć do ich fanzy jeszcze tego dnia, a tymczasem prom niezdarnie płynął ukosem pod prąd rzeki. Kapitan Wang, pobrzękując przypiętym do pasa kociołkiem do herbaty, niby to popędzał dwóch półnagich kulisów wprawiających w ruch koło wodne, ale sam nie kwapił się z pomocą.

---

<sup>449</sup> — W nowszych czasach Mandżuria została zamieniona w urodzajny i doskonale zagospodarowany obszar uprawy pszenicy, prosa i soi. Klimat ma tu jeszcze charakter monsunowy, a więc panują susze, ubogie w śniegi zimy i upalne lata obfitujące w silne burze pyłowe rozpoczynające się opadami deszczu. Większość ludności stanowią Chińczycy. Ważniejsze miasta: Harbin, Czangczun i Mukden. Ten rozległy kraj, liczący około 1 miliona km, wchodzi w skład Chińskiej Republiki Ludowej.

Pokrzykiwał, groził kijem i kręcąc się w pobliżu dwukołowego wozu, wciąż myszkował wzrokiem po umieszczonych na nim jukach.

Prom dobił w końcu do nędznej, skleconej z kilku bali przystani. Łowcy i kulisi namęczyli się porządnie przy wyładowaniu wozu na ląd. Mimo to zaraz zaprzęgli konie. Fu Czau zwinnie wspiął się na juki na wozie, łowcy dosiedli wierzchowców. Ruszyli w drogę. Wypoczęte konie rażno zdążyły na południowy zachód.

O zmierzchu Smuga zarządził postój. Obawiał się zabłądzenia w bezdrożnej krainie. Spętane konie puszczono na popas; ludzie również posilili się zapasami żywności wydobytymi z juków. Gdy zwierzęta nieco wytchnęły, Fu Czau zaproponował wyruszenie w dalszą drogę. Zapewniał, że nawet z zawiązanymi oczami może trafić do swej fanzy. Łowcy po krótkim wahaniu ulegli jego namowom. Zaledwie gwiazdy rozbłysły na niebie, osiodłali konie. Podążyli ku pasmu górskiemu. Jechali stępa, gwarząc i paląc fajki.

## ŚNIEŻNA PANTERA

Księżyc wyjrzał zza gór. Karawana posuwała się teraz wzdłuż linii rzadkiego lasu. Z szeroko rozwartej gardzieli doliny płynął orzeźwiający chłód. Konie widocznie poczuły bliskość ludzkiej sadyby, gdyż same przyspieszały kroku.

— Już niedaleko, nasza fanza znajduje się tuż za lasem — zawołał Fu Czau ku Smudze jadącemu wierzchem.

— Jeśli tak, to podskoczmy prędzej i zbudzimy twego ojca — odparł łowca.

Popędzili wierzchowce; wkrótce wóz pozostał daleko za nimi. Nim minął kwadrans, wjeżdżali w dolinę. Nie opodał zaszczekał pies, zaraz wszakże umilkł i znów zapanowała cisza. Rzadki las urywał się na skraju poletka. W świetle księżyca łowcy ujrzeli charakterystyczną, ulepioną z gliny chińską fanzę z kamiennym kominem zbudowanym na tyłach domostwa. Dwie ściany szczytowe oraz tylna były całkowicie pozbawione otworów, natomiast niemal całą frontową zajmowały dwa wielkie okna, podzielone listwami na małe kwadraty, starannie oklejone papierem. Pomędzy oknami widniały szeroko otwarte drzwi. Fanzę pokrywał dwuspadowy dach z płatów kory.

Łowcy zatrzymali wierzchowce przed domem. Na kilkakrotne wołanie nikt nie odpowiedział, jakby fanza była zupełnie nie zamieszкана. Zeskoczyli z koni i zbliżyli się do stojących otworem drzwi. Tomek ostrożnie przekroczył próg domu. Przy blasku drgającego płomyka zapałki rozejrzał się wokoło.

Tuż z lewej strony drzwi stał niski, kamienny piec, ogrzewający kany<sup>450</sup>, czyli prawie dwumetrowej szerokości ławy do spania, zbudowane również z kamienia, które ciągnęły się wzdłuż połowy frontowej oraz jednej szczytowej ściany. Na kanie leżała słomiana mata i odrzucona w nieładzie watowana kołdra upstrzona łatami.

Tomek dotknął ręką kany; była ciepła. W głębi fanzy zwisała z belek podtrzymujących dach, który jednocześnie stanowił sufit, część przepierzenia, dawniej zapewne dzielącego dom na dwie połowy. Tomek zapalił nową

---

<sup>450</sup> — Kany buduje się z cegły lub kamienia i ogrzewa się je za pomocą umieszczonych wewnątrz kanałów, łączących piec z kominem.

zapałkę. Postąpił kilka kroków. Na czysto wymytm stole z heblowanych desek stał świecznik z ogarkiem świecy. Tomek przytknął do niej zapałkę. Teraz ujrzał pod szczytową ścianą, naprzeciwko kany, mały domowy ołtarzyk, przypominający wyglądem kapliczkę, ozdobiony błyszczącymi papierkami oraz polnymi kwiatami. Oprócz stołu oraz trzech koślawych stołków w fanzie znajdowała się jeszcze stara chińska skrzynia. Stała z odrzuconym do góry wiekiem, jakby ktoś w pośpiechu porwał jej zawartość.

Młodzieniec nie gasząc świecy, wyszedł z fanzy.

— Nikogo tam nie ma — poinformował przyjaciół. — Ojciec Fu Czau chyba uciekł słysząc tętent koni. Przypuszczał zapewne, że jesteśmy chunchuzami.

— A może ktoś naprawdę napadł go przed naszym przybyciem? — zaniepokoił się bosman.

— Przedtem pies szczekał, a teraz go nie ma — wtrącił Udadźalaka.

— Obudził gospodarza, a potem uciekł razem z nim.

— Nic dziwnego, po nieszczęściu, jakie tych ludzi spotkało, żyją teraz jak zajace pod miedzą — zauważył Smuga. — Nasze wołania na nic się nie zdadzą, lepiej poczekamy na Fu Czau.

Zdrożone konie stały spokojnie, łowcy tymczasem przysiedli na ławie stojącej przed fanzą. Opodal budynku mieszkalnego stała drewniana szopa. Za nią widniał warzywny ogródek okolony niskim, ażurowym płotkiem. Łowcy cierpliwie czekali, aż wóz zajechał przed fanzę. Fu Czau zeskoczył na ziemię.

— Drzwi zastaliśmy otwarte, a dom opustoszały — zawołał Tomek.

Fu Czau wbiegł do fanzy. Przy ostatnich błyskach świecy bystrym wzrokiem obrzucił jej wnętrze, po czym wyszedł przed dom i wysokim głosem krzyknął coś po chińsku w ciemność nocy.

Wokół panowała cisza przerywana jedynie parskaniem koni. Fu Czau ponowił wołanie. Z krzaków wynurzył się lekko przygarbiony mężczyzna. Z wycelowaną prosto przed siebie lufą starej flinty wolno podszedł do Fu Czau. Młodzieniec skrzyżował ręce na piersiach; nisko pokłonił się starcowi. Ten zaś dłonią najpierw dotknął ramienia syna, jak gdyby chciał się upewnić, że wzrok go nie myli, a następnie pochyleniem głowy powitał nieznanych przybyszów.



Fu Czau po chińsku wytłumaczył ojcu, kim są jego towarzysze. Starzec kiwnął głową, podreptał ku zaroślom. Powrócił ze sporym zawiniątkiem na plecach i kudłatym psiskiem u nogi. Ruchem dłoni zaprosił gości do fanzy.

Łowcy rozkulbaczyli wierzchowce. Razem z dwoma wyprzęgniętymi z wozu luzakami przywiązali je do poprzecznej żerdki obok szopy. Następnie całą uprząż oraz wszystkie juki wnieśli do fanzy. Udadźalaka zapalił dwie świecowe latarnie, podczas gdy Smuga i bosman zaczęli wydobywać z juków zapasy żywności.

Stary Chińczyk przykucnął przy piecu. Otworzył drzwiczki i rozdmuchał żar tłący się w popiele. Fu Czau przyniósł naręcze drobno porąbanego drewna. Wkrótce ogień trzaskał w piecu; starzec zbliżył się do stołu, na którym uprzednio położył zawiniątko. Łowcy ujrzeli skarb ukrywany przed chunchuzami. Stanowiły go: niebieska bluza i spodnie, wytarty barani kożuszek, kilka wiewiórczych skórek, jedna lisia oraz dobrze już podniszczony blaszany czajnik. W ten ostatni starzec nalał wody z wiadra. Postawił go na piecu. Resztę rzeczy schował do skrzyni pod ścianą.

Tomek dyskretnie rozglądał się po fanzie. Górne części ścian oraz belki podtrzymujące dach, dawno nie czyszczone, znacznie już pociemniały. Poza tym w izbie panowała czystość, aczkolwiek z każdego kąta wyzierała skrajna nędza gospodarzy. Starzec wydobył ze skrytki pod podłogą garnek z odrobiną gotowanego ryżu, lecz bosman natychmiast zaprosił go na posiłek przyrządzony z przywiezionych zapasów.

Obydwaj Chińczycy przysiedli na brzegu kany, olśnieni bogactwem rozpakowanych juków.

Bosman przygotował niemal prawdziwą ucztę. Otworzył puszki konserw mięsnych i rybnych, podał solone masło, ser, suchary, konserwowaną fasolę w sosie pomidorowym, suszone owoce i butelkę rosyjskiej wódki. Wszyscy, porządnie zgłodnieli, ochoczo zasiedli do stołu.

Na zakończenie posiłku Smuga podarował gospodarzowi woreczek tytoniu. Stary Chińczyk natychmiast przytroczył go sobie do paska spodni. Pykając z fajeczki, zafrasowany, potrząsał głową. Niepewnie zerkał na uchylone drzwi. Widoczne było, że jakaś myśl nie daje mu spokoju. Łowcy niebawem zauważyli dziwne zachowanie starca, toteż Smuga zapytał, czy przypadkiem nie jest mu zimno. Chińczyk zaprzeczył ruchem głowy.

— Wóz, dużo koni, broń dobra, worki pełne drogich rzeczy, to niedobrze. Jeśli chunchuzi dowiedzą się, że mamy tak bogatych gości, na pewno tu przyjdą! — wyjaśnił w żargonie rosyjsko–chińskim.

Smuga zmierzył starca przenikliwym wzrokiem. Czyżby ci dwaj Chińczycy byli w zмовie z chunchuzami? Pawłow nieraz mówił, że bandyci posiadają wywiadowców wśród licznych mieszkańców, którzy informują ich, kiedy i na kogo warto dokonać napadu. Dlaczego ten starzec i chłopak pozostali na zgliszczach osady w tak bliskim sąsiedztwie dzikiej bandy? Może historia o wymordowaniu rodziny była zwykłą bajeczką, a irbis jedynie przynętą w celu zwabienia w pułapkę?

— Czy liczna to banda? — zagadnął, obserwując uważnie tajemniczych gospodarzy.

— Wypatrzyłem ich, gdy przeprawiali się na drugi brzeg. Kilkunastu ludzi, może nawet dwudziestu — odparł starzec. — Potem mówiono, że napadli budujących kolej...

— Bagatelka! To wypadaloby najwyzej po pięciu na każdego z nas — niedbale wtrącił bosman.

Smuga również nie wygladał na zakłopotanego możliwością spotkania z bandytami. Tomek dostrzegł zagadkowy uśmiech na jego ustach, pomyślał więc, że tym razem złe wiadomości musiały mu być bardzo na rękę.

— Ano, zobaczymy jak to będzie! — rzekł Smuga. — Teraz kładźmy się spać, bo nocy zostało nam już niewiele!

— Kto pierwszy stanie na straży? — zapytał Tomek.

— Nie warto dzisiaj czuwać! Tylko patrzeć świtu — głośnie odparł Smuga.

Udadzałaka rozścielał właśnie koce na kanach. Bosman ziewnął potężnie; zaczął się rozbierać.

— Skoro nie trzymamy wachty, to kimajmy jak susły — mruknął. — Wprawdzie niejedyn już, co zaniedbał obowiązku, ze zdziwieniem budził się w królestwie świętego Piotra, ale pan żeś tu dowódcą!

— Święta racja, bosmanie, wobec tego nie mruż i kładź się spać — szepnął Smuga. — Dzisiaj już nikt by nie zdążył powiadomić chunchuzów...

— Być może, ale zawsze lepiej nikomu zbyt nie dowierzać!

— Zawsze wierzę tylko sobie — odparował Smuga.

— To mów pan tak od razu! — burknął uspokojony marynarz i domyślnie zmrużył oko.

Upewniwszy się w ten sposób, że Smuga nie zaniedba ostrożności, bosman, zwyczajem Chińczyków, nago legł na kanach zwrócony głową do środka fanzy, a nogami do ściany. Naciągnął koc na głowę. Prawie zaraz zaczął chrapać. Tomek oraz Udadźalaka poszli w jego ślady. Smuga również ułożył się na posłaniu, twarzą zwrócony ku drzwiom. Udając sen, spod przymrużonych powiek obserwował Chińczyków.

Przez jakiś czas Fu Czau szeptem rozmawiał z ojcem. Ten potrząsał głową, co chwila zerkał na śpiących gości. W końcu Fu Czau zdjął z kołka na ścianie starą, powiazaną drutem strzelbę, nabił ją starannie i usiadł na progu w otwartych drzwiach fanzy. Ojciec zdmuchnął świece w latarniach, przykucnął za plecami syna.

Smuga odwrócił się na drugi bok.

Kwik koni przerwał łowcom zasłużony odpoczynek. Jak na komendę zerwali się z posłań. Jednym spojrzeniem upewnili się, czy nikt nie ruszał ich broni. Karabiny stały rzędem oparte o ścianę. Wylegli przed fanzę. Fu Czau właśnie pętał konie i puszczał je na łąkę. Jego ojciec, w słomianym stożkowym kapeluszu na głowie, wyganiał z ogródka warzywnego dwa warchlaki.

Łowcy przystanęli przed zagrodą. Starzec powitał ich pokłonem, a następnie rzekł:

— Syn mówił mi, że czcigodni goście zamierzają schwytać irbisa. Pewno na wyżynach zapowiada się ostra zima, bo jedna pantera zawędrowała już aż tutaj. Niedawno porwała mi najlepszą świnię.

— Czy wiesz może, gdzie urządziła sobie legowisko? — zapytał Smuga.

— Wytropiłem ją kilka dni temu — odparł Chińczyk. — To przebiegła sztuka! Zazwyczaj czatuje nad strumieniem przy wodopoju.

— Wobec tego prosimy cię, dostojny panie, abys jeszcze dzisiaj wskazał nam to miejsce — wtrącił Tomek.

— Czy naprawdę obiecaliście za to mojemu synowi karabin? — niedowierzająco spytał Chińczyk.

Smuga jakby nie dosłyszał pytania i znów zagadnął:

— Podobno chunchuzi odwiedzają was dość często? Twój syn mówił nam, że przeżyliście przez nich bardzo ciężkie chwile, czy to prawda?

Starzec wyszedł z zagrody. Ręką dał znak, aby goście poszli za nim. Kilkadziesiąt kroków za fanzą ujrzeni niezbyt wysoki płótek upleciony z gałęzi. Okalał on siedem mogił usypanych w jednym rzędzie. Groby były bardzo starannie utrzymane, pokryte kwieciami.

— To moja szlachetna małżonka i dzieci — powiedział starzec, oddając głęboki pokłon każdej mogile. — Chunchuzi odebrali mi ich wraz z całym dobytkiem.

— Słuchaj, poczciwy człowieku, jeśli kiedykolwiek spotkamy chunchuzów, będziemy o tym pamiętali — powiedział bosman, groźnie marszcząc brwi. — A o ten karabin, przyobiecany twemu chłopakowi, nie kłopotuj się więcej! Dostanie go jak amen w pacierzu!

Starzec pokłonił się bosmanowi.

— Czcigodny panie, taka broń drogo kosztuje. Mój dobry syn odłożył już trochę pieniędzy, mówił mi, że wam je odda!

Wsunął się za ogrodzenie. Spod darniny na środkowej mogile wydobyl blaszaną puszkę od herbaty, po czym wręczył ją bosmanowi. Marynarz zakłopotany zajrzał do jej wnętrza. Trochę wzruszony spoglądał na garść srebrnych monet. W końcu zanurzył dłoń w kieszeni, wyjął złotą pięćorublówkę, wrzucił ją do „skarbonki” i zamknął wieko.

— Schowaj to na czarną godzinę — mruknął, wciskając puszkę do rąk Chińczyka. — Chodźmy do fanzy, zaraz damy ci ten karabin.

Starzec jeszcze raz pokłonił się marynarzowi do kolan, ten zaś, nie chcąc być mniej uprzejmy, uczynił to samo, naraz jednak stuknęli się głowami jak dwa kozły. Zasmucony Tomek zaraz poweselał. Ujął przyjaciół pod ręce i ochoczo poprowadził ich ku fanzie.

Radość obydwóch Chińczyków nie miała granic. Smuga bowiem wręczył im nowy karabin, a bosman dodał do niego własną lunetkę do zakładania na lufę. Tomek dołożył paczkę naboju. Udadźalaka zaś ofiarował im swój kukri<sup>451</sup>, czyli krótki zakrzywiony nóż o szerokim ostrzu.

Po śniadaniu łowcy razem z gospodarzami udali się na poszukiwanie tropów śnieżnej pantery.

Stary Chińczyk tego dnia odmłodził co najmniej o kilka lat. Szedł różnym krokiem. Z dumą zerkał na syna niosącego nowy karabin. Nikt w

---

<sup>451</sup> — Nożów kukri używają plemiona Gurkhów, zamieszkujące Nepal i zachodni Bengal, z których właśnie wywodzi się Udadźalaka.

najbliższej okolicy nie posiadał tak wspaniałej broni! Obecnie razem będą mogli chodzić na polowanie. Gdy uskładają dość pieniędzy na kupno kawałka ziemi, przeniosą się w pobliże większego miasta, gdzie zapomną o strachu przed chunchuzami. Starzec już nie łaknął zemsty.

Z czasem przecież pojął, że śmierć kilku nieznanych bandytów nie może przywrócić życia jego rodzinie! Teraz pragnął tylko ocalić jedyne go syna i umrzeć spokojnie, otoczony wnukami. Toteż wdzięczność dla tych obcych ludzi, którzy tak szczerze go obdarowali, wypełniała jego serce. Chciał im to jakoś okazać, więc jak za dawnych lat odważnie prowadził łowców do legowiska śnieżnej pantery.

Wkrótce złowił uchem tak dobrze mu znany szum potoku. Ścieżka wydeptana przez antylopy znajdowała się nieco z boku, ale starzec umyślnie ją omijał, aby nie płoszyć zwierzyny. Gdyby antylopy zmieniły miejsce wodopoju, irbis również by za nimi powędrował.

Okrężną drogą podkradali się nad potok. Chińczyk przykucnął w chaszczach. Ostrożnie rozchylił gałęzie.

— To tutaj — szepnął. — Spójrzcie, dostojni panowie, na ten rozwidlony pień, którego konar zwisa nad wodopojem! Pantera zazwyczaj czatuje na nim o świcie...

— Ejże, człowieku, przecież nawet najgłupsze bydlę natychmiast ją wypatrzy i czym prędzej da drapaka! — powątpiewał bosman.

— Mylisz się, szlachetny panie — zaprzeczył Chińczyk. — Nawet w dzień trudno ją spostrzec! Wyciąga się wzdłuż na gałęzi, łeb opiera na przednich łapach i czatuje nieruchoma.

— Pantery są bardzo przebiegłe — potwierdził Smuga. — Poczekajcie tu na mnie. Rozejrzę się po okolicy i obmyślę plan zasadzki.

— Dobra nasza, poniuchaj pan trochę, bo musimy tu trafić w nocy — powiedział bosman, po czym wygodnie rozparł się na ziemi pod drzewem.

Tomek usiadł obok niego. Korzystając z okazji, że Chińczycy z Udadżalaką zaszyli się w krzewy malin, zagadnął:

— Czy zauważył pan, że Smuga wcale się nie zmartwił wieścią o chunchuzach?

— Ba, nawet był z niej zadowolony — potwierdził marynarz. — Gdy taki cwaniak zabiera się do rzeczy, to chunchuzi mądrzej by zrobili nie włączając mu w drogę!

- Hm, gdyby bandyci zechcieli nas ścigać w kierunku Nerczyńska...
- Coś mi się wydaje, że jesteś blisko prawdy — potaknął bosman.
- Smuga gotów to tak urządzić...
- A to byłaby heca!
- Jak amen w pacierzu rozerwalibyśmy się trochę — dodał bosman.
- Na szczęście twój szanowny tatuś został w obozie!

Bosman zatarł ręce na samą myśl o spotkaniu z chunchuzami. Dawniej w różnych portach chętnie wdawał się w awantury, jednak od czasu, gdy Wilmowski zwerbował go do wspólnych wypraw łowieckich, nie mógł zbyt często folgować swym upodobaniom. Tomek zauważył to wymowne zatarcie rąk przez przyjaciela. Zaraz też, pomny przestróg ojca, rzekł:

- A co zrobimy, jeśli chunchuzi za mocno przyprą nas do muru?
- Pytasz, co zrobimy? Ano, będziemy celnie mierzyli! — odparł bosman.
- To straszne przelewać krew ludzką!
- Ejże, koleżko, coś mi się wydaje, że masz ochotę wystawić Sally do wiatru!
- Co ma piernik do wiatraka! Po jakie лихо zaraz miesza pan Sally do rozmowy o bójkach?!
- Bo gadasz niczym mnich. Nie zamyślasz chyba wstąpić do zakonu?! Zrobiłbyś naszej sikorce paskudny kawał! Gdy jakiś drań skacze ci do oczu, zapomnij, brachu, o Biblii!
- Ładne nauki pan mi daje — z przekąsem rzekł Tomek.
- Ba, nie wszystko złoto, co się świeci! Raz podbiłem kumplowi oko i matka jego przyszła do mego staruszka ze skargą. Za karę cały wieczór musiałem pisać: „*Jeśli cię ktoś uderzy w prawy policzek, nadstaw mu lewy!*”
- I na pewno wyszło to panu na dobre!
- A jakże, mądralo! Nazajutrz ten z podsiniaczonym ślepiem rąbnął mnie w ucho, a gdy faktycznie usłuchałem przykazania wybił mi boczny ząb. Od staruszka dostałem porządne lanie, że jestem niedorajdą, który pozwala sobie wybijać zdrowe zęby!

Tomek wybuchnął śmiechem. Wkrótce w największej zgodzie gawędzili o różnych przygodach, aż do powrotu Smugi.

Zaraz po obiedzie Smuga zarządził przegląd broni. Uzbrojenie każdego uczestnika wyprawy stanowił pas z dwoma rewolwerami i karabin. Następnie

łowcy jeszcze raz przepakowali juki, wóz bowiem oraz część sprzętu zamierzali na jakiś czas ukryć w fanzie.

Oddzielnie odłożyli juki z ubraniem dla zesłańca, śpiwory, namiot i najniezbędniejszy sprzęt obozowy oraz skromny zapas żywności, które były potrzebne w dalszej drodze.

Bosman, zaintrygowany niezmiernie tymi przygotowaniami, na uboczu zagadnął Smugę:

— Wygląda na to, że rychło ruszymy w drogę...

Smuga potwierdził skinieniem głowy, a marynarz dalej indagował:

— Czy spodziewasz się pan chunchuzów?

Smuga znów kiwnął głową.

— A jeśli nie przyjdą?!

— To sami ich poszukamy... — padła lakoniczna odpowiedź.

Bosman zadowolony zarechotał cicho, po czym szepnął:

— Tak też sobie kombinowałem podczas przeprawy na tę stronę rzeki. Chciałbyś pan, żeby bandziory pognały nas na zachód?

— Albo oni nas, albo my ich — odpowiedział Smuga.

Bosman znów zarechotał basem i zapytał:

— Jak pan myślisz, czy szybko dowiedzą się o nas?

— Jeśli nie zjawią się w ciągu dwóch lub trzech dni, to my przystąpimy do działania. Jednak spodziewam się, że wetkną tutaj swój nos!

— A my, jak amen w pacierzu, utrzymy go im!

Roześmiali się.

— Wilmowski znów rąbnie nam kazanie — zafrasował się bosman. — Szlachetny to mężczyzna, ale taki niepraktyczny...

— Nie mędrkuj, bosmanie! W razie bijatyki ani na chwilę nie spuszczaaj Tomka z oka.

— Możesz pan na mnie polegać. Sally urwałaby mi łeb, gdyby jemu stało się coś złego!

Nadszedł wieczór. Łowcy wcześniej ułożyli się do snu, tej jednak nocy na zmianę czuwali.

Po Tomku przyszła kolej na Smugę. Z rewolwerem u pasa wyszedł przed fanzę.

Noc była bardzo widna. Olbrzymi księżyc w pełni zdawał się dotykać ciemnej linii lasu. Smuga sprawdził, czy wszystkie konie przywiązane są do

poprzecznej żerdzi przy szopie, a następnie pomyszkował wśród krzewów wokół fanzy. Nie zauważył niczego podejrzanego, więc po jakimś czasie wrócił do izby. Po cichu zbudził towarzyszy.

Wkrótce ubrani i uzbrojeni wyszli przed dom. Smuga przyniósł sieć i arkany.

— W trójkę pójdziemy na zwiady do wodopoju — oznajmił, gdy wszyscy zgromadzili się przed fanzą. — Ty zaś, Udadźalaka, zostaniesz tutaj na straży. Gdybyś zauważył coś niezwykłego, wypal z karabinu. Wodopój niedaleko, przybiegniemy w kilka minut. Bądź ostrożny, chunchuzi mogą się kręcić w pobliżu!

— Rozkaz, proszę pana — służbiście odparł Udadźalaka.

— Słuchaj, brachu, najlepiej usiądź sobie za framugą drzwi i tylko dobrze nadstawiaj ucha — doradził bosman. — Węsząc wokół domu stanowiłbyś doskonały cel dla kogoś przyczajonego w krzakach.

— Bosman ma rację — powiedział Smuga. — Stamtąd widać konie jak na dłoni, a właśnie przede wszystkim do nich nie wolno dopuścić nikogo obcego. W razie niebezpieczeństwa natychmiast obudź Chińczyków. Rezerwowy karabin dla starego stoi nabity obok kany.

— Według rozkazu, będę czuwał... — odpowiedział Udadźalaka. Trzej łowcy ostrożnie przedzierali się przez gąszcz pobliskiego lasu, toteż minęło przeszło pół godziny, zanim dotarli do wodopoju. Tomek zadarł do góry głowę. Konar pochylony nad potokiem był prawie niewidoczny na ciemnym tle wyżej rosnących gałęzi.

— Pusto tu i głucho — szeptem zauważył. — Szkoda czasu na bezcelowe tropienie... Możemy wracać do fanzy!

— Nie gadaj głupstw — skarcił go Smuga. — Umyślnie rozgłaszaliśmy o naszej wyprawie na irbisa, więc przynajmniej musimy udawać, że polujemy. Czy już zapomniałeś o Pawłowie?

— Święta racja, on na pewno przeprowadzi śledztwo, gdy my się stąd ulotnimy — dodał bosman. — Dlatego wiele zależy od zeznań obydwóch Chińczyków. Dla nich to urządzamy tę całą szopkę z polowaniem!

— Rozumiem, rozumiem, ale jakoś jestem dzisiaj bardzo niespokojny — usprawiedliwiał się Tomek.

— Nie myśl o chunchuzach, może wcale nie przyjdą — pocieszył go marynarz.



— Dość czezej gadaniny! Bosmanie, wleż na drzewo i umocuj siatkę nad pochyłym konarem — rozkazał Smuga. — Urządź to tak, aby sieć spadła za jednym pociągnięciem sznura.

— Dobra, zaraz zatknę flagę na maszcie! — powiedział bosman. Zrzucił zwój sieci na ramię i zaczął się wspinać na drzewo.

Zniknął na ciemnym konarze, lecz wkrótce rozległ się jego tubalny głos:

— Bycze miejsce na zasadzkę! Włazi się tu jak po schodach...

— Bądź cicho, do licha! — ostrzegł Smuga. — Przepłoszysz zwierzynę! Było to zupełnie niepotrzebne. Bosman sam zamilkł w pół zdania.

Właśnie dopiero teraz, nie dalej jak o wyciągnięcie ręki, spostrzegł bielejące na konarze cielsko pantery. Wpatrywała się w niego błyszczącymi, zmrużonymi ślepiami. Naraz lekko powstała. Bosman na szczęście nie stracił przytomności umysłu; błyskawicznie zasłonił twarz siecią zerwaną z ramienia. Gwałtowne uderzenie cielska pantery omal nie strąciło go z konaru. Z trudem utrzymując równowagę, prawą dłoń wczepił w puszyste futro na karku zwierzęcia, którego pazury i kły szarpały gruby zwój sieci... Bosman próbował zrzucić z siebie rozjuszoną bestię. Nagle uderzyła go tylnymi łapami w nogi. Stracił równowagę, zachwiał się. Po chwili razem z panterą runął w dół.

Nadziemna cicha walka trwała zaledwie chwilę. Toteż Tomek i Smuga przerazili się nie na żarty, gdy bosman nieoczekiwanie gruchnął z drzewa prawie wprost na ich głowy. Tomek upadł, uderzony w twarz puszystym ogonem. Smuga natomiast od razu połapał się w sytuacji. Całym ciężarem ciała przygniótł grzbiet pantery. Bosman stęknął boleśnie. Tomek pośpieszył im na pomoc. Chwycił panterę za skórę na karku tuż przy samym łbie. Niewiele już brakowało, aby gołymi rękami obezwładnili drapieznika, gdy naraz od strony fanzy rozbrzmiał strzał karabinowy. Po nim zaraz rozpoczęła się bezładna kanonada.

Bosman podkurczył nogi, sieknąwszy z wysiłku wyprężył się i za jednym zamachem zrzucił z siebie panterę oraz przyjaciół.

Irbis szybko skoczył w krzewy, łowcy zaś natychmiast porwali porzucone na ziemi karabiny i pobiegli ku fanzie.



## WALKA Z MIEDZIANOBRODYMI

Gwałtowna palba przemieniła się wkrótce w pojedyncze strzały. Trzej łowcy nie zważali na gałęzie smagające ich po twarzach, potykali się w wykrotach, czasem któryś padał na ziemię, lecz zaraz wstawał i doganiał towarzyszy. Bosman trochę kulał po upadku z drzewa, porozrywane pazurami pantery spodnie zahaczały o krzewy, ale mimo wszystko nie pozostawał w tyle. Twarz Smugi krwawiła, nie zdążył się bowiem uchylić przed uzbrojoną w ostre pazury łapą irbisa. Teraz uderzenia gałęzi sprawiały mu dotkliwy ból. Jedynie Tomek nie poniósł żadnego szwanku, toteż wyrwał się do przodu.

— Prędeej, jeszcze się bronią! — zawołał, znów przyspieszając biegu.

— Nie wyprzedzaj! — krzyknął Smuga, przytrzymując młodzieńca za ramię.

— Biegnij za mną! — dodał bosman; jednocześnie wysunął się przed Tomka, by nadawać równe tempo.

Marynarz bez trudności odgadywał myśli Smugi. Im mniej zmęczeni przybiegną do fanzy, tym skuteczniej uderzą na wroga. W tej chwili sytuacja nie mogła tam być zbyt groźna. Udadzałaka, doskonały żołnierz, na pewno nie dał się zaskoczyć bandzie pospolitych opryszków. Pojedyncze strzały były najlepszym dowodem, że pierwszy atak został skutecznie odparty.

Las rzedniał... Poprzez drzewa widać już było zabudowania fanzy. Smuga wyprzedził bosmana. Poprowadził towarzyszy ku szopie, obok której przywiązane były wierzchowce. Z lasu przebiegli chyłkiem do pobliskich krzewów. Pod ich osłoną podpełzli o kilkanaście kroków od szopy. Pospiesznie zbadali sytuację.

Chunchuzi, ukryci w zaroślach na wprost fanzy, strzałami trzymali w szachu obrońców znajdujących się w jej wnętrzu. Część napastników zapewne okrążała dom, by pod osłoną ścian pozbawionych okien, podkraść się do drzwi. Słysząc było ich nawoływania na tyłach domu. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że zaatakują jeszcze przed świtem.

Dwóch chunchuzów, w krótkich kozuszkach i szerokich, stożkowatych kapeluszach na głowach, usiłowało uprowadzić konie przywiązane obok szopy. Nie mogli jednak podejść do nich od przodu żerdzi, ponieważ z szeroko otwartych drzwi fanzy natychmiast padał strzał, gdy tylko któryś z

nich wychylał się zza wystraszonych koni. Chunchuzi klęli, ponawiali próby, a tymczasem z jednej strony kule, a z drugiej kopyta wierzgających koni wciąż broniły im dostępu.

Smuga obawiał się, że sytuacja lada chwila może ulec zmianie na korzyść bandy, nie zważając więc na nic, postanowił rozpocząć atak. Trącił bosmana w ramię, wskazując ruchem głowy obydwóm chunchuzów. Bosman skinął głową, po czym na migi polecił Tomkowi, by w razie potrzeby osłaniał ich ogniem przed napaścią bandytów zgrupowanych na wprost fanzy.

Młodzieniec zaraz skierował lufę sztucera w tamtą stronę, obydwaj zaś jego towarzysze złożyli swe karabiny obok niego. Wydobyli noże. Broń palna była obecnie bezużyteczna — kule mogłyby poranić konie.

Smuga i bosman jednocześnie poderwali się na nogi i podskoczyli ku chunchuzom. Była to krótka walka. Zaskoczeni bandyci stawiali słaby opór. Smuga od razu pierwszym ciosem powalił jednego z nich, bosman natomiast trafiony w twarz arkanem oślepl na chwilę, ale mimo to chwycił chunchuza za rękę. Krótką szamotaninę zakończył okrzyk bólu i trwogi. Z boku huknęło kilka strzałów. Zaraz odpowiedziały im błyski ognia z fanzy.

Trzej łowcy podpełzli bliżej domu. Teraz znaleźli się między końmi i chunchuzami ostrzeliwującymi obleżonych. Bandyci przerwali ogień. Widocznie naradzali się, zdezorientowani.

Niebo zaróżowiło się na wschodzie.

— Już świta, zaraz uderzą na fanzę... — szepnął bosman.

— Udadźalaka nie próżnował — mruknął Tomek. — Trzech leży na majdanie przed domem...

— Z naszymi dwoma to już pięciu... — dodał marynarz.

— Cicho! Idą! — ostrzegł Smuga.

Brodaty łeb wychylił się zza węgła fanzy. Bandyta wzrokiem mierzył odległość między węglem a szeroko otwartymi drzwiami. Po chwili ostrożnie wynurzył się cały i zaraz przylgnął plecami do ściany. Noga za nogą sunął ku drzwiom. Za nim pokazało się kilku następnych.

Wkrótce byli już przy szerokim oknie. Opadli na czworaki i pełzli dalej...

Niektórzy trzymali w zębach noże, inni uzbrojeni byli w maczugi. Tylko trzech posiadało flinty.

— Dziewięciu... Skoczę między nich, osłaniajcie mnie ogniem! — szepnął bosman.

— Dobrze, nic nie wiedzą o nas... — przyzwolił Smuga.

Łowcy się nie mylili; bandyci zgrupowani na tyłach domu nie byli zorientowani w sytuacji. Rękoma dawali znaki towarzyszom ukrytym w krzewach, by przyłączyli się do ataku. Już tylko dwa lub trzy kroki dzieliły ich od drzwi.

Bosman nie tracił cennego czasu. Położył karabin na ziemi, wyjął rewolwer z pochwy, wepchnął go za pas. Przesunął rękojeść noża, by łatwo mógł trafić do niej dłonią, dźwignął się i skoczył...

— Nie strzelaj, Udadźalaka! — wrzasnął Tomek, ujrawszy lufę wychylającą się zza framugi drzwi.

— Milcz! — syknął Smuga, usiłując dłonią zatkać mu usta, lecz było już za późno.

Chunchuzi o kilka sekund za wcześnie spostrzegli, że to ktoś obcy biegnie do nich. Jak na komendę poderwali się z ziemi. Pierwszy potężnie zamachnął się maczugą; byłby niechybnie roztrzaskał bosmanowi głowę, gdyby ten, tuż przed nim, jak długi nie padł na ziemię. W tej chwili czujny Udadźalaka rzucił się marynarzowi na pomoc. Wyskoczył z fanzy, uderzeniem kolby powalił chunchuza. Bosman rozzłoszczony niepowodzeniem porwał się z ziemi jak huragan. Chwycił obezwładnionego przez Udadźalakę wroga, uniósł go jak piórko ponad głowę i z rozmachem rzucił w gromadę atakujących chunchuzów. Dwóch czy trzech przewróciło się, a olbrzymi marynarz już wskoczył w czeredę bandytów. Silnym ciosem pięści powalił jednego z nich, drugiego pchnął nożem. Trzech naraz chwyciło go za ramiona, bosman strząsnął ich z siebie; celnymi uderzeniami pięści, z nożem w zębach, siał straszliwe spustoszenie. Udadźalaka wiernie mu sekundował. Kolbą karabinu uderzał na prawo i lewo, osłaniał bosmana, aby nikt nie mógł zdradziecko zaatakować go z tyłu. Naraz Fu Czau i jego stary ojciec włączyli się do walki.

Chunchuzi czatujący w zaroślach byli bezsilni. Nie mogli użyć broni palnej, ponieważ gwałtowna walka wręcz uniemożliwiała rozpoznanie wroga. Widząc, że może ich spotkać sromotna klęska, postanowili wesprzeć swych towarzyszy. Z przeraźliwym wrzaskiem wyskoczyli z zarośli.

Smuga i Tomek tylko na to czekali. Dwukrotnie wypalili z karabinów, a następnie uzbrojeni w rewolwery, z boku dopadli napastników. Gruchnęły strzały. Skurcz bólu przebiegł po twarzy Smugi. Kula ugodziła go w lewe

ramię, lecz dwoma celnymi strzałami usunął napastników ze swej drogi. Tomek podstawił nogę jakiemuś chunchuzowi, już miał powstającego ogłuszyć rękojeścią rewolweru, gdy wtem sam otrzymał cios w głowę. Upadł. Jak przez mgłę ujrzał plecy Smugi, który w porę osłonił go przed ponownym uderzeniem kolbą. Dzielny Tomek przemógł własną słabość. Dźwignął się na nogi. Smuga walczył wręcz z jakimś brodaczem. Tomek chwycił chunchuza za kołnierz, uderzył go w tył głowy.

Krótką, lecz nadzwyczaj gwałtowną walką dobiegała końca. Bo oto rozjuszony bosman nadbiegł swoim druhom na pomoc. Reszta chunchuzów nie miała już odwagi stawić mu czoła w otwartej walce. Huknęło parę niecelnych strzałów. Chunchuzi zaczęli czmychać z pola walki.

Smuga znów z karabinem w dłoni siał za nimi strzał za strzałem, czym zmuszał ich do wycofywania się w wylot doliny. Niespokojnym spojrzeniem ogarnął grupkę przyjaciół. Bosman posiniaczony na twarzy naprędce obwiązywał chustką dłoń skaleczoną nożem, wszakże wesoło błyskał oczami. Wołał na Chińczyków, by natychmiast siodłali konie. Uderzenie, które otrzymał Tomek, złagodziła na szczęście futrzana czapka; z walki wyszedł jedynie z dużym guzem. Fu Czau zraniony był nożem w plecy, ale jego rana nie była groźna. Nóż lekko przeciął skórę i osunął się po lewej łopacie.

Tomek przestraszył się ujrzawszy strugę krwi ściekającą po lewej dłoni Smugi. Natychmiast popędził do fanzy po apteczkę. Gdy wrócił, Smuga był już obok szopy przy wierzchowcach. Tomek podbiegł ku niemu, a tymczasem obydwaj Chińczycy wynosili przed dom uprząż i juki.

— Niech pan zrzuci kurtkę! — zawołał Tomek. — Mam opatrunki!

— Później! Bierz konie dla bosmana i Udadźalaki. Pieszko nic nie działają! — odkrzyknął Smuga. — Dołącz się do pościgu! Pędźcie chunchuzów w górę rzeki! Spiesz się, do licha!

Tomek ujął trzy wierzchowce za arkany i po chwili pospiesznie siodłał je przy pomocy Chińczyków. Niebawem galopował ku wylotowi doliny. Na stepie zaraz wypatrzył towarzyszy, którzy celnymi strzałami zmuszali chunchuzów do ucieczki w kierunku Amuru.

Tymczasem przed domem Smuga osiodłał swego konia. Razem z Chińczykami objuczył obydwaj luzaki.

— Szybko utracisz siły, dostojny panie! Trzeba zahamować upływ krwi — powiedział stary Chińczyk, gdy Smuga miał dosiadać wierzchowca.

— Tu jest torba z opatrunkami. To nie potrwa długo — zachęcił Fu Czau.

Smuga nigdy nie lekcewał dobrej rady. Nierozsądny pośpiech mógł zaważyć na wyniku pościgu.

— Pomóżcie mi zdjąć kurtkę — rzekł po krótkiej chwili wahania. Stary Chińczyk przyniósł w wiadrze wodę. Smuga obmywszy się pozalepiał plastrami zadrapania na twarzy. Dopiero na końcu prawą dłoń wprawnie obmacał wciąż krwawiące lewe ramię. W mięśniu tkwiła kula. Chińczycy mocno przewinęli ranę bandażami. Fu Czau przyniósł świeżą koszulę z juków pozostawionych w fanzie.

Smuga dosiadł wierzchowca.

Stary Chińczyk podał mu karabin, który otrzymał od Udadźalaki przed rozpoczęciem walki.

— Dostojny panie, weź swoją broń! — powiedział.

— Dzielnie stanąłeś po naszej stronie, zatrzymaj ją na pamiątkę — odpowiedział Smuga. — Wóz i juki przechowajcie aż do naszego powrotu.

— Będziemy ich pilnie strzegli — zapewnił Fu Czau.

— Słuchaj, chłopcze, ruszamy w pogoń za chunchuzami. Muszą ponieść zasłużoną karę. Oddamy ich w ręce władz rosyjskich. Powiadom o tym naszych towarzyszy w obozie po drugiej stronie rzeki.

— Uczynię to natychmiast! — zapewnił Fu Czau.

— Zaraz nie możesz wyruszyć w drogę — zaproponował Smuga. — Dzisiaj musicie pogrzebać zabitych. Jeśli jutro rano pożegnasz swego czcigodnego ojca, przed wieczorem będziesz w obozie. To wystarczy. A więc do zobaczenia!

Ruszył stępa, wiodąc na arkanie dwa juczne luzaki. Podążył stepem na przełaj, wsłuchując się w odgłosy strzałów karabinowych. Nie wątpił w pomyślny wynik pościgu. Bosman i Udadźalaka posiadali zbyt dużo doświadczenia, aby pozwolili chunchuzom na ucieczkę z potrzasku. Toteż uśmiech zadowolenia błąkał się na jego ustach. Rozgromienie bandy chunchuzów i wzięcie niedobitków do niewoli powinno otworzyć im drogę do Nerczyńska.

Pognał konie. Nie zważał na ból w ramieniu, chciał jak najprędzej połączyć się z towarzyszami. Po jakimś czasie wierzchowiec, na którym jechał, gwałtownie rzucił się na bok, parszcząc z przestachu. Smuga omal nie

wyleciał z siodła. Spostrzegł martwego chunchuza leżącego w trawie. Smagnął konie i pognął dalej. Niebawem ujrzał pościg i uciekających.

„*Dobrze się spisują*” — pomyślał, obserwując zręczne manewry przyjaciół.

Tomek harcował na koniu na tyłach chunchuzów, nie pozwalając im uciekać na wschód. Natomiast bosman z Udadżalaką naciskali ich z boku i spychali ku rzece. Był dopiero wczesny ranek. Pościg powinien trwać do wieczora. W ten sposób, według obliczeń Smugi, mogli przebyć około pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu kilometrów. Wtedy zaledwie pół dnia drogi dzieliliby ich jeszcze od toru kolejowego.

Smuga wystrzelił z rewolweru. Tomek obejrzał się, powstrzymał konia.

— Jak dobrze, że pan już jest z nami! — zawołał, gdy Smuga zrównał się z nimi. — Czy rana nie jest poważna?

— Głupstwo, Tomku! Zajmiemy się nią na wieczornym biwaku — odparł Smuga. — Czy żaden z chunchuzów nie zdołał uciec?

— Jeden próbował, ale bosman go zastrzelił.

— Ilu ich jest teraz?

— Dziesięciu, proszę pana! Co zrobimy?

— Na razie niech uciekają na zachód...

— W nocy na pewno nam umkną!

— Bądź spokojny, przed zmrokiem weźmiemy ich w pęta — odparł Smuga.

Pościg trwał dalej... W ciągu dnia chunchuzi jeszcze raz podjęli rozpaczliwą próbę rozbiegnięcia się po stepie. Znow jeden z nich legł martwy. W kilka godzin później byli niemal całkowicie wyczerpani. Niektórzy ślaniali się na nogach, inni co chwila padali.

Smuga przez lunetę uważnie zlustrował okolicę. O kilkaset metrów dalej urwisty brzeg rzeki znacznie się obniżał. Widoczny jak na dłoni szeroki pas zarośli na pewno utrudniłby tam skuteczny pościg. Wobec tego dał hasło do ataku. Jeźdźcy zwrócili wierzchowce ku Amurowi. Strzałami zepchnęli chunchuzów w kierunku stromego brzegu. Pozbawieni sił bandyci prawie bez oporu zostali obezwładnieni. Wkrótce skrępowani leżeli na ziemi.

Tego dnia dalszy marsz był niemożliwy. Tak ludziom, jak i wierzchowcom należał się odpoczynek, a wieczór był już blisko. Rozłożyli obóz na wysokim brzegu Amuru.



Wkrótce siedzieli przy naprędce przygotowanym posiłku. Smuga prawie nie jadł, niewiele mówił. Z wysiłkiem podnosił dłoń zdrowej ręki do czoła, by zetrzeć krople potu. Pobladł, jakby był bliski omdlenia.

— Co panu jest? — zaniepokoił się Tomek. — Na pewno nie opatrzył pan należycie rany!

Smuga, z trudem pokonując ogarniające go coraz większe osłabienie, odparł:

— Kulę mam w ramieniu... Chciałem poczekać z wyjęciem jej do Nerczyńska, ale chyba przerachowałem swe siły...

— Do stu beczek zjełczałego tranu! Czemuś pan o tym od razu nie powiedział? — zawołał bosman oburzony. — Zdejmuj pan kapotę, znam się co nieco na tym!

Ból musiał być naprawdę bardzo dotkliwy, ponieważ Smuga bez sprzeciwu zdjął przy pomocy przyjaciół kurtkę. Koszula była na ramieniu przesiąknięta krwią. Bosman ostrożnie odbandażował ramię.

— Prawdziwe jatki — mruknął, po czym głośno rozkazał: — Udadźalaka, daj no latarkę i wody! Tomek, przygotuj apteczkę!

Starannie umył dłonie i natychmiast przystąpił do „*lekarskich*” oględzin. Grubymi łapskami zaczął obmacywać ramię, aż Smuga syknął z bólu.

— Niech to wieloryb połknie, siedzi głęboko — orzekł bosman. — Kulę trzeba było od razu wydobyć, nie straciłbyś pan tyle krwi. Nie martw się jednak, migiem ją wyłuskam!

Tomek przygotował bandaże oraz środki dezynfekcyjne. Bosman ułożył rannego na kocu i oparł jego głowę na swoich kolanach. Wydobył z pochwy myśliwski nóż, oczyścił ostrze chustką, po czym wolno przesunął je nad płomieniem świecy.

— Teraz coś na wzmocnienie ducha, dawaj, brachu, butelkę z rumem — zawołał do Tomka.

Młodzieniec niepewnie spojrział na Smugę, ale bosman huknął na niego z góry, pospiesznie więc wydobył z torby przy siodle bosmana płaską butelkę. Marynarz najpierw polecił Smudze pociągnąć spory łyk, sam również wypił za jego zdrowie. Pochylił się nad ramieniem. Palcami lewej dłoni coraz mocniej naciskał boki rany, naraz zagłębił w niej ostrze noża. Smuga przygryzł wargi.

— Mam to diabelskie nasienie! — odsapnął bosman, pokazując unurzaną w krwi, spłaszczoną kulkę ołowiu. W milczeniu założył tampon i wprawnie obandażował ramię. Z kolei pozrywał plastry z twarzy Smugi. Pazury pantery pozostawiły na niej bolesne ślady. Mruczał przy tym coś niepoehlebnego o Chińczykach, którzy nałożyli pierwsze opatrunki.

— Irbis nieźle pana pogłaskał, mogą pozostać blizny. Jak się pan teraz czuje?

— Do licha, naprawdę trochę mi ulżyło! Zgrabnie mnie oporządziłeś! Daj jeszcze łyk rumu!

— To najlepsza wróżba, że jutro będziesz pan zdrow jak ryba — ucieszył się bosman. — Jamajka skuteczna jest na wszystkie choróbska! Piję tylko rum i dlatego jeszcze się taki nie urodził, co by mnie zaszkodził! Nawet to poranne draśnięcie scyzorykiem w łapę już się na pewno zagoiło pod plasterkiem przyklejonym przez Tomka podczas pościgu!

Smuga zwrócił marynarzowi butelkę.

— Musi pan koniecznie odpocząć — powiedział Tomek, z niepokojem i czułością patrząc na pobladłego Smugę.

— A jakże — zawtórował bosman. — Teraz kimaj pan do rana. Sami będziemy trzymali wachtę! Ani słowa sprzeciwu, mówię jako doktor!

Noc minęła spokojnie. Smuga wstał o świcie. Chociaż był jeszcze osłabiony, natychmiast polecił zwijać obóz. Przyjaciele nie śmieli oponować. Dłuższy pobyt na mandżurskim brzegu groził spotkaniem z okolicznymi mieszkańcami lub, co gorsza, z jakimś oddziałem chińskich żołnierzy. Ci niezawodnie zażądałiby wydania chunchuzów, których łowcy mieli zamiar przekazać w ręce władz rosyjskich. Ponadto na pewno mieliby kłopoty w związku z nielegalnym przekroczeniem granicy.

Podążyli w górę rzeki. Na krótko przed południem ujrzeli płynącą przy brzegu dużą łódź. Rybacy, zachęceni dobrą zapłatą, podjęli się przewieźć łowców na drugą stronę Amuru. Chunchuzów usadowiono w dziobie łodzi, w tyle zaś ulokowano bagaże, uprzęż zdjętą z wierzchowców i juki. Tomek z Udadżalaką wpław popłynęli na koniach.

Nadmiernie obciążona łódź mocno zanurzała się w wodzie, lecz mimo to wciąż płynęła w pobliżu znoszonych przez prąd wierzchowców. Na szczęście konie bez wypadku wylądowały na drugim brzegu. Smuga, zadowolony, sownie wynagrodził rybaków, a ponadto kupił od nich kobiałkę świeżych ryb.

Zaraz dosiedli koni. Otoczywszy jeńców ruszyli w kierunku północno-zachodnim. W falistym terenie rychło stracili z oczu brzeg Amuru.

Trzej przyjaciele z obawą obserwowali Smugę. Z trudem trzymał się w siodle. Widząc to, postanowili rozbić obóz w lesistej dolince. Wyczerpany Smuga legł w namiocie, aczkolwiek zżymał się na nieprzewidzianą przeszkodę.

— Nic mi nie będzie — pocieszał strapionych druhów. — Tor kolejowy powinien być już niedaleko... Jutro na pewno będę czuł się lepiej.

— Nie ma co gadać! Straciłeś pan dużo krwi, musisz odpocząć — kategorycznie odpowiedział bosman. — Na szkapie do reszty opadniesz z sił, a cóż wtedy poczniemy?

— Dużo ludzi do wyżywienia, żywności mamy mało — wtrącił Udadżalaką.

— Najlepiej sporządzmy nosze i niech chunchuzi niosą pana Smugę — doradził pomysłowy Tomek. — W ten sposób będzie pan odpoczywał nawet w drodze.

Smuga chciał oponować, ale bosman nie pozwolił mu dojść do głosu.

— Cała załoga uchwała to jednomyślnie, więc nie masz pan nic do gadania — mówił rubasznie. — No, koleżki, bierzmy się do roboty!

Rada istotnie była dobra. Natychmiast zaczęto przygotowywać wygodną lektykę.

Następnego ranka bosman uwolnił z pęt czterech bandytów, aby nieśli chorego.

Wędrowali przez coraz dzikszą, przeważnie górzystą krainę, która swą malowniczością nie ustępowała okolicom podalpejskim. Ostrożnie zapuszczali się w głębokie, lesiste parowy. Strzeliste cedry i modrzewie królowały wśród karłowatych, białych brzoź oraz sosen pełnych krzywizn, narośli i zgrubień — widomych śladów silnych wichrów i długotrwałych, surowych zim. Była to ojczyzna potężnego czarnego niedźwiedzia i zabajkalskiego rysia<sup>452</sup>, dorównującego tygrysowi siłą oraz odwagą. Tomek kilkakrotnie spostrzegł na ich szlaku w pobliżu skał bardzo duże, okrągłe

---

<sup>452</sup> — Ryś (*Lynx lynx*) należy do rodziny kotów. Charakteryzują go: miernej wielkości głowa, ostre uszy zakończone pęczkami włosów, duże bokobrody, zapadłe boki, lecz mimo to silny tułów, wysokie kończyny i bardzo krótki ogon. Długość ciała rysia dochodzi do 1,3 m, a wysokość do 75 cm. Żyje także w Tyrolu, Styrii i Szwajcarii oraz w północnej i wschodniej Europie. Z Rosji przywędrował ryś do Azji, gdzie zamieszkuje górzyste i zalesione obszary na północy.

ślady. Zwrócił na nie uwagę bosmana. Ryś mógł się tutaj zaszyć na dzień w jakiejś skalnej szczelinie. Może teraz nawet śledził ich, gdyż przed jego doskonałym słuchem i wzrokiem nic w tajdze nie mogło się ukryć. Obfitowała ona w inną zwierzynę. Wskazywały na to ślady jeleni i łosi oraz często spotykane lisie nory. Wokół buszowały szare, puszyste wiewiórki. Nie brak tu było tropów soboli<sup>453</sup>, których stalowoszare futra stanowiły cenny łup dla łowieckich plemion syberyjskich.

Z głębi boru ziała wilgoć, surowy zapach butwiejących zwalonych pni i gnijących liści. Karawana wolno omijała zapory, co jakiś czas przystawała na krótki odpoczynek. Wtedy bosman zmieniał chunchuzów niosących lektykę, a Tomek, korzystając z okazji, opowiadał Smudze o poczynionych spostrzeżeniach.

Około południa łowcy dotarli poprzez rzadniejący las do doliny wśród pasm niewysokich, kamienistych wzgórz. Dolina miała charakter stepowy. Ludzie i konie przyspieszyli kroku. Tomek jechał na przedzie obok lektyki rannego. Naraz Smuga uniósł głowę.

— Słyszysz? — cicho zapytał Tomka.

Młodzieniec wstrzymał wierzchowca, ręką dał znak, aby wszyscy przystanęli. Zaczął nasłuchiwać. Smuga nie mylił się, z dali płynął jęk dzwonka i tętent koni. Tomek przywołał bosmana.

— Jacyś jeźdźcy nadciągają — krótko go poinformował.

— Hej, Udadżalaka! Wolno podążaj za nami. Dobrze pilnuj tych obwiesiów! Przy próbie ucieczki kula w łeb! — zawołał marynarz.

Uderzył konia arkanem. Tomek podążył za nim. U wylotu doliny ujrzeli wyboistą stepową drogę. Kilku jeźdźców, mężczyzn o szerokich mongolskich twarzach bez zarostu, wyróżniających się wydatnymi kośćmi policzkowymi, niskim czołem oraz płaskim nosem, kłusowało z boków tarantasu<sup>454</sup> zaprzęgniętego w trzy małe, mocne konie. U szczytu kabłąka hołobli<sup>455</sup>,

<sup>453</sup> — Soból (*Martes zibellina*) od kuny leśnej i domowej różni się stożkowatą głową, wysokimi, mocnymi nogami, połyskującą, jedwabistą sierścią i dużą pomarańczową plamą na gardzieli. Dawniej obszar jego zamieszkania obejmował całą północ Starego i Nowego Świata, od Rosji po Kamczatkę. Nieustannie tępiony, obecnie żyje tylko w najdzikszych lasach górskich północno-wschodniej Azji.

<sup>454</sup> — Tarantas — powóz podróżny, osadzony na drągach przytwierdzonych do przedniej i tylnej osi, tworzących rodzaj resorów. Pudło wozu w kształcie łodzi bez siedzeń nakryte jest skórzaną budą, chroniącą przed niepogodą.

ponad głową biegnącego w środku konia, zawieszony był dzwonek przeraźliwie wtórujący chrapliwym okrzykom woźnicy, popędzającego swój zaprzęg krótką, rzemienną nahajką. Byli to Buriaci. Wnet spostrzegli dwóch zbrojnych mężczyzn, którzy przystanęli wyczekująco przy trakcie. Woźnica natychmiast ostro ściągnął lejce, by zatrzymać tarantas, a jeźdźcy wysunęli się do przodu. Niektórzy z nich mieli w dłoniach stare strzelby. Zatrzymali się tuż przed dwoma łowcami. Teraz dopiero ujrzeli wychodzącą z doliny małą karawanę. Zmieszali się niepomiernie na widok związanych jeńców. Udadzałaka zaraz podszedł do skonsternowanych jeźdźców.

— Mendu! — powitał ich po buriacku.

— Amor mendu! — zawołali Buriaci. Uczucie ulgi odmalowało się na ich twarzach, gdy usłyszeli swoją mowę z ust obcych przybyszów.

---

<sup>455</sup> — Hołoble (z ukraińskiego) — podwójne dyszle połączone kabłąkiem nad chomaćem przytwierdzonym do dyszli; charakterystyczne przede wszystkim dla terenów wschodnich i Europy północno-wschodniej. Używane są w podlaskim zaprzęgu jednokonnym i rosyjskim trójkowym.



# WŚRÓD BURIATÓW

Udadzałaka uczestniczył niegdyś w wyprawie Pandita Davasarmana do krajów Azji położonych nad Bajkałem<sup>456</sup>. Zetknął się wówczas z Buriatami, mieszkającymi na wschód i północny wschód od tego najgłębszego na świecie jeziora. Wiedział więc, że Buriaci zachodni trudnią się rolnictwem, a wschodni hodowlą bydła i wiodą na pół koczowniczy tryb życia. Nieobce mu były również ich zwyczaje, a nawet mowa. Toteż zaraz powitał jeźdźców po buriacku, ponieważ w ten sposób najłatwiej pozyskiwało się ich zaufanie. Życzliwsze spojrzenia Buriatów upewniły go, że obrał właściwy sposób. Znowu więc zagadnął ich grzecznościową formułą powitalną:

— Szamaj mał suruk mendu bajnu?<sup>457</sup>

— Gchaju bajna, ju chezi bajna?<sup>458</sup> — odpowiedział najstarszy wiekiem.

Udadzałaka krótko wyjaśnił, kim są i w jakiej znajdują się sytuacji.

Jednocześnie zaproponował przejście w dalszej rozmowie na język rosyjski, aby wszyscy mogli brać w niej udział. Buriaci potaknęli głowami. Posypały się pytania w łamanym rosyjskim. Teraz już wszyscy włączyli się do rozmowy. Buriaci spoglądali z wielkim uznaniem na czterech łowców, którzy tak skutecznie stawili czoło licznej bandzie chunchuzów. Zsiedli z koni, przybliżyli się do rannego Smugi, spoczywającego w prymitywnej lektyce. Tomek pilnie obserwował oryginalne ubiory krajowców i uprzęż ich małych, silnych wierzchowców. Te ostatnie nosiły na grzbietach drewniane, lakierowane na czerwono siodła, z dwoma dużymi żelaznymi strzemionami. Koń, na którym jechał najstarszy Buriat, posiadał wyraźnie bogatszą od

---

<sup>456</sup> — Jezioro Bajkał zajmuje powierzchnię 31 500 km, leży 453 m nad poziomem morza. Średnia długość wynosi 636 km, szerokość 48 km, a głębokość do 1714 m. Do Bajkału wpada około 330 rzek, podczas gdy tylko jedna, Angara, bierze w nim początek. Jezioro posiada bogatą i swoistą faunę, w wielu przypadkach nie spotykaną gdzie indziej. W badaniach Bajkału wyróżnili się między innymi także polscy uczeni, zesłańcy polityczni: geolog Aleksander Piotr Czekanowski, którego zasługi odkrywcze dla Syberii upamiętniają nazwane jego imieniem: pasmo gór w pobliżu ujścia Leny, jeden z grzbietów Gór Daurskich, osada nad górną Chatangą oraz liczne skamieliny; Jan Czernski (Góry Czernskiego, najwyższy masyw Wschodniej Syberii) oraz przyrodnik Benedykt Dybowski — jego rewelacyjne odkrycia w dziedzinie fauny Bajkału i Amuru dały mu światowy rozgłos; około 50 gatunków zwierząt nazwano jego imieniem.

<sup>457</sup> — Czy zdrowe wasze bydło?

<sup>458</sup> — Bydło zdrowe, co porabiacie?

innych uprząż: siodło połyskiwało srebrnymi guzami, a strzemiona były grubo posrebrzone. Od razu można było odgadnąć, że ten jeździec przewodzi całej grupie.

Wierzchnie odzienie jeźdźców składało się z drelichowych szerokich i długich dygele, czyli rodzaju żupanów<sup>459</sup>, w kolorze niebieskim, szarym, zielonym bądź czerwonym, rozciętych z boku oraz zapinanych na kilka guzików pod lewą pachą. Przy szyi i na piersiach dygele zdobiły kolorowe taśmy z chińskiego jedwabiu, biodra zaś opinał wełniany, również barwny pas. Pod żupanami nosili ciemnoniebieskie koszule i spodnie z drelichu, których nie zdejmowali nawet na noc. Na głowach o niezbyt długich włosach, splecionych z tyłu w sztywny ghanzik, czyli warkoczyk spadający na kark, mieli kolorowe małachaj, to jest spiczaste czapki z czerwonym chwastem na czubie, obszyte z tyłu oraz z boków futerkiem opuszczanym w razie mrozu na uszy i kark. Barankowe unty o długich cholewach, grubych podeszwach i ostrych, w górę zwróconych nosach uzupełniały buriacki strój.

Buriaci kołem otoczyli Smugę. Najstarszy pochylił głowę i złożony dłoń, uprzejmie prosił:

— Nie gardźcie skromną gością, jedźcie z nami do ułusu<sup>460</sup>. W pobliskim klasztorze przebywa pewien lama, on jest bogdo<sup>461</sup>, każdą chorobę potrafi wygnać z człowieka swoim zamawianiem. Na pewno i ciebie uzdrowi!

— A gdzie jest wasz ułus? — zapytał bosman.

— Niedaleko stąd, chorego przewieziemy w tarantasie, wkrótce będziemy na miejscu — wyjaśnił Buriat.

— Hm, chętnie przyjęlibyśmy zaproszenie, ale cóż pocniemy z jeńcami? — zafrasował się bosman. — Nie tak dawno mieli dokonać napadu na budujących kolej. Dlatego właśnie postanowiliśmy przekazać bandytów Rosjanom, aby ich ukarali.

— Słyszeliśmy, że chunchuzi podczas tego napadu zabili kilku ludzi; to pewnie ci sami — dodał Buriat. — Gubernator z Czyty przysłał nawet oddział Kozaków i wyznaczył nagrodę za schwytanie bandytów.

<sup>459</sup> — Żupan — staropolski ubiór męski wywodzący się od sukmany, sfałdowany w tyle, zapinany na haftki, guzy lub szamerowany, ze stojącym kołnierzykiem i wąskimi rękawami.

<sup>460</sup> — Ułus — dawna jednostka mongolskiej organizacji rodowo-plemiennej, a także terytorium zajęte przez jedno plemię. Z czasem ułusy przekształciły się w organizacje sądowo-administracyjne i wojskowe.

<sup>461</sup> — Bogdo (po buriacku) — święty.



— Jeśli tak, to właśnie tym Kozakom przekazemy jeńców — wtrącił Smuga. — Podczas pobytu w gościnie mogliby nam uciec.

— Nie obawiaj się, panie. W ulusie będziemy ich pilnowali, a wy tymczasem odpoczniecie — powiedział Buriat. — Potem pomożemy odstawić bandytów, ponieważ prowadzimy handel z budującymi kolej. Kupują od nas bydło. Właśnie od nich wracamy.

— Ha, więc jedziemy do was — rzekł bosman. — Nasz ranny towarzysz potrzebuje pomocy.

Buriaci ochoczo przenieśli Smugę do tarantasu. Ułożyli go wygodnie na miękkich baranicach, po czym kilku konnych uzbrojonych w strzelby otoczyło chunchuzów. Świsnęły rzemienie nahajek.

Bosman i Tomek jechali obok tarantasu. Cicho rozmawiali. Głównym powodem przyjęcia gościny u Buriatów była troska o Smugę. Bosman wprawdzie udzielił mu doraźnej pomocy, ale przecież niewiele znał się na medycynie. Nie wiedział też, w jaki sposób należało go dalej leczyć. Oczywiście owo buriackie „zamawianie choroby” przez „świętego” lamę mocno trąciło szamanizmem<sup>462</sup>, głęboko jeszcze zakorzenionym wśród Buriatów.

Bosman powątpiewał w wyniki szarlatańskiego leczenia, a nawet obawiał się trochę, czy przypadkiem nie pogorszy ono stanu zdrowia Smugi. Nie widział jednak na razie innych możliwości pomocy osłabionemu przyjacielowi.

— Niech pan będzie dobrej myśli — pocieszył go Tomek. — Ojciec mówił mi kiedyś, że lamowie znają skuteczne leki na różne choroby.

— To po jakie licho robią śmieszne sztuczki? — dopytywał bosmani — Któż to dzisiaj wierzy w zamawianie choroby lub wypędzanie jej ducha z ciała człowieka?!

— Lamowie prawdopodobnie czynią to w celu łatwiejszego oddziaływania na wyobraźnię prymitywnych ludów.

— Czort by ich rozumiał! Niewiele znam się na takich religiach!

— Postaram się jakoś to panu wyjaśnić. Otóż według szamanistów cały świat zapełniają duchy dobre, czyli białe, i złe, czarne. Rolą szamanów było

---

<sup>462</sup> — Szamanizm — forma religii większości pierwotnych ludów świata, występowała głównie wśród mieszkańców północnej i północno-wschodniej Syberii. Szamani pełnili rolę kapłanów, magów oraz znachorów i wywierali duży wpływ na życie swoich wyznawców.

odgadywanie woli tych duchów, zjednywanie ich życzliwości oraz odwracanie ich złych zamiarów względem ludzi. Czynili to zaklęciami i wróżbami. Duch przywoływany przez szamana miał jakoby wstępować w niego i przemawiał jego ustami. Tym samym wszystko polegało na zręczności oraz fantazji szamana. Wypędzanie ducha choroby odbywało się również za pomocą różnych sztuczek, jak: spalanie odurzających ziół, bicie w bęben pokryty tajemniczymi znakami, tańczenie w odpowiednim stroju i śpiewanie. W końcu szaman sam ulegał podnieceniu, padał na ziemię i walczył ze złym duchem. Lamowie, jako krzewiciele nowej religii, musieli liczyć się z głęboko tutaj zakorzenionymi szamańskimi zwyczajami. Toteż niektóre obrządku wcielili do lamaizmu i w ten sposób pozyskali Mongołów dla swej wiary.

— Ależ, brachu, to cała szopka! — roześmiał się marynarz. — Pamiętasz, jak to w Bugandzie czarownicy kabaki leczyli Smugę po pchnięciu zatrutym nożem?!<sup>463</sup> Mówiłeś, że oni także wyczyniali podobne fanaberie.

— A jakże, przecież podglądałem ich przez dziurkę w macie — odpowiedział Tomek z uśmiechem. — Musi pan jednak przyznać, że posiadali dobre odtrutki. Uratowali pana Smugę! Może więc teraz lamowie również mu pomogą.

— Na bezrybiu i rak ryba — rzekł bosman, ciężko wzdychając. — Ciekaw jestem, czy oni z pełnym przekonaniem czy też tylko dla pucu praktykują szamańskie sztuczki.

— Kto ich tam wie? Widzi pan, wierzenia buddyjskie uległy zreformowaniu i jako lamaizm ogarnęły wiele azjatyckich ludów, wchłaniając jednocześnie pozostałości dawnego szamaństwa. W ten sposób lamaizm przyswoił sobie pewne obrządku szamańskie, a szamaństwo z kolei silnie nasiąknęło lamaizmem.

— Niby jasno mi to wyłożyłeś, brachu, ale powiedz w końcu, czy buddyzm i lamaizm to jedno i to samo?

— Pierwotny buddyzm uległ przemianom i przekształcił się w lamaizm. Dlatego też jego wyznawców zwie się ogólnie buddystami.

— Myślę, że w głębi tajgi jeszcze i dzisiaj znalazłoby się szamanistów — zauważył bosman.

— Jestem tego pewny, aczkolwiek buddyzm, mahometanizm i chrześcijaństwo już głęboko zapuściły tu korzenie.

---

<sup>463</sup> — Patrz Tomek na Czarnym Łądzie.

— Spójrz, brachu, dobijamy do portu — zawołał bosman.

Na wzgórzu przy trakcie wznosił się kopiec usypany z kamieni. Był to tak zwany obo, czyli święty pagórek. Na jego szczycie tkwiła żerdź obwieszona kolorowymi szmatkami. Buriaci przejeżdżając obok kopca przystawali na chwilę, by na cześć onгона — opiekuńczego ducha ułusu — dorzucić po jednym kamieniu.

Zaraz za wzgórzem ukazało się kilka drewnianych domków, zbudowanych na wysokich, grubych podmurówkach z bali drewnianych bądź kamieni. Tylko w jednej szczytowej ścianie każdego z nich widniało malutkie okno i drzwi, do których prowadziły drewniane schodki. W sąsiedztwie domków stały okrągłe, wykonane z wojłoku czarne jurty. W nich to właśnie zamieszkiwali w lecie Buriaci, gdy wyruszali z bydłem na odleglejsze pastwiska. Przyzwyczajeni do koczownictwa, przenosili się do drewnianych domków jedynie podczas ostrych zim. Przez szczeliny w dachach jurt przesączały się smugi błękitnego dymu. Nie opodal stały zagrody przeznaczone dla bydła, owiec i koni.

Na odgłos nadjeżdżających gospodarzy i gości na trakt wybiegły duże, czarne psiska o stojących uszach i ostro zakończonych pyskach. Jeźdźcy uspokoili je uderzeniami nahajek, a tymczasem przed jurtami pojawiły się Buriatki, ubrane podobnie jak mężczyźni. Długie włosy miały kunsztownie splecione w dwa warkocze, a każdy z nich opięty był pochwą z czarnej tafty i przerzucony z przodu na piersi. Niektóre, zapewne zamożniejsze, zdobiły swe włosy barwnymi koralami oraz srebrnymi monetami nanizanymi na łańcuszki.

Buriaci przywołali kobiety. Ciekawie zerkały na nie znanych przybyszów skośnymi, wąskimi oczami, z lekka przysłaniając je bezrzęsami i jakby obrzękłymi powiekami.

Buriaci zeskoczyli z wierzchowców. Tomek zwrócił uwagę na ich kaczkowaty chód, bardzo przypominający sposób chodzenia bosmana, charakterystyczny dla ludzi spędzających znaczną część życia w siodle lub na pokładzie statku.

Starszy Buriat, Batujew, który przedtem zaprosił łowców w gościnę, okazał się naczelnikiem ułusu. Na jego polecenie kilku wyrostków rozkulbaczyło konie podróżników, a potem odprowadziło je do zagrody.

Batujew zapytał łowców, czy zechcą zamieszkać w jurcie razem z jego rodziną, czy też wolą rozgościć się w zimowym domku, stojącym obecnie

puszką. Była to kłopotliwa propozycja, ponieważ łowcy mieli zamiar rozbić własny namiot. Mieszkania buriackie przeważnie nie grzeszyły czystością i zazwyczaj roiło się w nich od pasożytów. Nie chcąc odmową obrazić gościnnego gospodarza, zgodzili się zamieszkać w zimowym domku.

Batujew musiał być zamożnym człowiekiem, jego chata bowiem składała się aż z dwóch izb. Na środku pierwszej znajdowało się palenisko, zbudowane z luźno ułożonych kamieni. Przy nim leżał obszerny, podłużny wojłok przykryty baraniami skórą, służący za posłanie tak domownikom, jak i przygodnym gościom. Druga izba była podobnie urządzona. Reszta sprzętów zapewne znajdowała się w letnim pomieszczeniu. Łowcy odetchnęli z ulgą stwierdziwszy, że w domu panuje względna czystość. Za radą gospodarza pierwszą izbę przeznaczyli na mieszkanie, podczas gdy w drugiej umieścili swe juki oraz uprząż.

Batujew polecił zamknąć jeńców chunchuskich w oddzielnej chacie. Przy jej drzwiach stanęła warta uzbrojona w strzelby. Łowcy byli bardzo zmęczeni. Walka z bandytami, a później długi pościg, przeprawa przez Amur i uciążliwy marsz przez tajgę nadwątliły ich siły. Pragnęli jak najszybciej ułożyć się do snu, lecz Batujew udaremnił ich zamiary. Zaledwie zdążyli rozpakować część juków, zostali zaproszeni przez niego do jurty na posiłek. Swoista gościnność Buriatów wykluczała możliwość odmowy. Toteż nawet Smuga postanowił pójść razem z przyjaciółmi. Naprędce odkurzyli ubrania. Tomek przyniósł wodę w wiadrze, by wszyscy mogli się umyć po kilkudniowej wędrówce.

Gościnnie Batujew towarzyszył łowcom przez cały czas. Ciekawie przyglądał się różnym przedmiotom wydobywanym z juków. Wyraz rozbawienia odmalował się na jego twarzy, gdy obserwował gości myjących starannie swe ciała. Potem zaś wyraźnie był zgorszony, rozrzutną widocznie jego zdaniem, zmianą bielizny. Buriaci bowiem nie myli się i nie kąpali, a bieliznę oraz odzienie przeważnie nosili aż do zupełnego zniszczenia.

Poprzedzani przez gospodarza łowcy wkroczyli do obszernej jurty. Z okazji przybycia obcych podróżników żona i córki Batujewa przywdziały na głowy wysokie kołpaki z sobolich futer i nałożyły na szyje sznury bursztynów i koralu.

Łowcy, znalazłszy się w jurcie, na chwilę przystanęli u wejścia. Uważnie zerkali na Udadżalakę, który najlepiej z nich znał obyczaje Mongołów. W prawym rogu jurty naprzeciw wejścia stał domowy ołtarzyk, urządzony na

szafce pomalowanej czerwonym lakierem. W nim umieszczony był w połączanej ramie wizerunek buddyjskiego burchana, czyli bóstwa. Z obydwóch stron obrazu widniały kamienne posąжки, wyobrażające różne wcielenia Buddy, a przed nimi małe miedziane czarki; do nich składano ofiary. Cały ołtarzyk przystrojony był kolorowymi, błyszczącymi papierkami i stepowymi kwiatami.

Udadźalaka wprost od drzwi podszedł do ołtarzyka. Złożone jak do modlitwy dłonie wznosił ponad czoło, nisko pochylił się przed burchanem, dotykając końcami palców skraju ołtarzyka.

Trzej biali łowcy powtórzyli kolejno ten ceremoniał i dopiero teraz przywitali się z gospodarzami.

Uszanowanie przez gości miejscowych obyczajów niezmiernie ujęło Buriatów. Batujew znacząco spojrział na synów, ci zaś zaraz wydobyli ze zdobnej skrzyni kilka ołboków, to jest kwadratowych miękkich poduszek, przeznaczonych do siedzenia dla znamienitszych gości. Pokryte były one, jak przystało w zamożniejszym domu, chińskim żółtym jedwabiem. Batujew, chcąc podkreślić swój wielki szacunek dla gości, położył dla każdego z nich po dwa ołboki pod honorową ścianą jurty, z lewej strony od wejścia. Łowcy usiedli na poduszkach po turecku.

Gospodyni poczęstowała wszystkich popularną wśród Mongołów czułuntse, zaparzaną z chińskiej cegielkowej herbaty<sup>464</sup>, drobno utłuczonej w drewnianym moździerzu, z dodatkiem mleka, masła i soli. Goście otrzymali ją w drewnianych czarkach... wylizanych przez nią do czysta językiem. Buriaci natomiast wydobyli spod żupanów własne czarki i z nich popijali czułuntse. Wkrótce przed gośćmi ustawiono niski stół. Domownicy równie przysiedli się do niego. Dziewczęta podały dużą misę z dymiącymi parą bozo, to jest pierożkami nadziewanymi siekaną baranią i zalanymi baranim rosółem, gotowane mięsiwa i mączne placuszki zwane csamba, smażone według chińskiego zwyczaju na baranim tłuszczu. Zanim jednak dania te pojawiły się na ogólnym stole, gospodyni rzuciła w ogień kilka tłustych kąsków z każdej miski, aby również chaty i onkony, czyli duchy zmarłych, skazane na dalszą tułaczkę po ziemi, miały czym się pożywić. Gospodarz przyniósł dzban mocnego potrójnego tarasunu, będącego rodzajem wódki trzykrotnie pędzonej z mleka. Uczta trwała już w najlepsze, gdy do jurty wsunął się jakiś biedak w

---

<sup>464</sup> — Cegielkowa herbata — herbata prasowana w kształcie cegiełki.

starych, podartych łachmanach. Nisko pokłonił się przed burchanem i pozdrowił biesiadników. Buriaci, nie pytając go nawet, kim jest, zrobili mu miejsce przy stole, częstowali jak gościa. Nasi podróżnicy z wielkim uznaniem przyjęli ten dowód gościnności Buriatów dla każdego wchodzącego do ich domu.

Ciekawi nowin z obcych krajów Buriaci wciągali podróżników w pogawędkę i jednocześnie wciąż podsuwali im co smakowitsze kąski. Bosman jeszcze raz zabłysnął swym apetytem, nie skąpiąc przy tym wspomnień o przygodach. Gdy Batujew usłyszał, że podróżnicy przebywali w czczonym przez wszystkich buddystów klasztorze w Hemis w Małym Tybecie, wydobył ze skrzyni butelkę oryginalnej nikołajewki<sup>465</sup>. On i jego domownicy chciwie słuchali ciekawostek z życia nie znanych im ludów. Nie mogli wprost uwierzyć, że poza Syberią istnieje jeszcze tyle wielkich krain. Tomek oczywiście nie omieszkał wspomnieć o smutnym losie Polaków podbitych przez carską Rosję. Buriaci nie kryli swego współczucia dla polskich zesłańców politycznych na Sybir, których niejednokrotnie spotykali przy budowie kolei. Wszak oni sami także kiedyś zacięcie bronili się przed najazdem Rosjan, a później nie przerwali walki o odrębność narodową oraz zachowanie starych obyczajów<sup>466</sup>. Wielu uciekało przed prześladowaniem carskim do sąsiedniej Monglii.

Rozmowy przeciągały się. Tomek z niepokojem spoglądał na pobladałą twarz Smugi. Ten zaś specjalnie nie chciał wcześniej odejść od stołu, ponieważ odmowa w przyjmowaniu poczęstunku była uważana przez Buriatów za obrazę. Tomek nachylił się ku Udadźalace i szeptem zapytał go, w jaki sposób można by, nie obrażając gospodarzy, zakończyć ucztę.

— Musimy im okazać, że jesteśmy już najedzeni — cicho poinformował go Udadźalaka.

— Dawno popuściłem pasa, lecz nikt na to nie zwrócił uwagi, a pan Smuga błędnie coraz bardziej — odparł Tomek.

— Pokażę ci, jak to się robi — szepnął Udadźalaka.

---

<sup>465</sup> — Nikołajewka — rosyjska czysta żytniówka.

<sup>466</sup> — Władza rządu carskiego była ciężkim brzemieniem dla ujarzmionych narodów Syberii. Wielokrotne powstania tubylców były okrutnie tłumione przez carskie wojsko. Dopiero po zwycięstwie Rewolucji Październikowej narody Syberii uzyskały autonomię. Wtedy powstał również Buriacko-Mongolski Okręg Autonomiczny, przekształcony następnie w Buriacko-Mongolską ASRR, a w r. 1958 w Buriacką ASRR.

Rozparł się wygodnie na ołbokach, po czym udał czkawkę i głośno beknął. Zafrasowany Tomek omal nie parsknął śmiechem, widząc wielkie zadowolenie na twarzach gospodarzy. Nie namyślając się wiele, zawtórował Udadzałace. Bosman natychmiast połapał się w sytuacji, albowiem ten sposób okazywania sytości znany był mu już z poprzedniej wyprawy do krajów Azji Środkowej. Toteż beknął tak potężnie, że omal nie spadł z poduszek. Wywołało to u Buriatów wielkie zadowolenie. Niskimi pokłonami dziękowali gościom za uprzejmość i sami również folgowali przeładowanym żołądkom.

Smuga wsparty na ramionach przyjaciół dobrnął do chaty. Wkrótce leżał na miękkich baranicach opatulony kocem. W ślad za nim wszyscy udali się na zasłużony odpoczynek. Tej nocy tylko Udadżalaka dwukrotnie wstawał, by sprawdzić, czy straż czuwa przed domkiem, w którym więziono chunchuzów.

Tomek postękiwał, przewracając się z boku na bok. Dręczyły go okropne sny... Od pierwszych dni tej niebezpiecznej wyprawy starał się ukrywać przed przyjaciółmi niepokój. Wiedział, że oni również nie zdradzają przed nim wszystkich swych obaw. Szczególnie głęboko utkwiała w jego pamięci noc przed wyruszeniem na mandżurski brzeg. Wtedy właśnie ojciec i Smuga pewni, że wszyscy śpią, poufnie naradzali się aż do świtu. Tomek jednak nie spał... Odwrócony do nich plecami, słyszał każde słowo... Teraz w podświadomości jego błąkały się dręczące widziadła... Ojciec, uwięziony przez Pawłowa w klatce z tygrysami, wołał do niego, by zawrócił z drogi i nie przekradał się do Nerczyńska. To znów Zbyszek, skuty kajdanami, błagał o jak najszybszą pomoc... Potem bosman gotował jeńców chunchuskich w wielkim kotle i przywoływał Tomka na wspaniałą ucztę; zanim jednak stał się ludożercą, Smuga zastrzelił nieszczęśników i zdierał z nich skalpy. Tomek chciał mu w tym przeszkodzić, ale chunchuzi ożyli nagle. Z dzikim wrzaskiem wyskoczyli z kotłów. Bosman już czekał na nich z nożem w dłoni. Naraz ojciec zasłonił sobą nieszczęśników.





## KORZEŃ ZRODZONY Z PIORUNU

Tomek gwałtownie usiadł na posłaniu. Półprzytomny, ujrzał pochylonego nad sobą bosmana. Otrząsnął się z okropnego snu. Sprzed domu naprawdę dobiegały głosy ludzkie oraz rzenie i kwik koni.

— Zbudziłem cię, boś skakał jak ryba w sieci — powiedział bosman. — Wstawaj, Buriaci już zaprzęgają konie do tarantasu. Zaraz jedziemy do tego buddyjskiego znachora.

— Szkoda, że pan mnie wcześniej nie obudził! — rzekł Tomek, wzdychając z ulgą. — Miałem okropne sny...

— Pewno zmory cię męczyły po przejeździe!

— Być może, nieźle się wystraszyłem.

— Ho, ho, sam wiem coś o tym! Pewnej nocy podczas rejsu do Kapsztadu<sup>467</sup> kumple musieli chlusnąć mi na łeb wiadro zimnej wody, bo myśleli, że szlag mnie trafi we śnie!

— A cóż to takiego przyśniło się panu?

— Jakaś Murzynka zawlokła mnie w celu matrymonialnym przed ołtarz...

Tomek wybuchnął śmiechem. Bosman zawsze się obawiał nawet myśli o ożenku.

— Nie śmiej się bratku z cudzego upadku, bo potem i ciebie nikt nie pożałuje! — burknął marynarz.

— Przecież nic się panu nie stało! Jest pan kawalerem!

— Niby tak, ale kto wie, czy to tylko nie dzięki temu, że na wszelki wypadek nie zlałem w Kapsztadzie na ląd.

— Nie wiedziałem, że jest pan aż tak przesądny!

— Sen mara, Bóg wiara, ale strzeżonego pan Bóg strzeże! Widzisz, w Kapsztadzie jedna dzierlatka naprawdę ogniście robiła do mnie oko! Ile razy zawijałem, już czekała w porcie...

Tomek rozchmurzył się na dobre, usłyszawszy nie znany mu dotąd epizod z bujnego życia przyjaciela. Pospiesznie narzucił ubranie. Wyjrzał przed dom.

---

<sup>467</sup> — Kapsztad (Capetown) — stolica oraz główny port Kraju Przylądkowego (Rep. Południowej Afryki), leżący u stóp Góry Stołowej.

Smuga gotowy do drogi siedział na stopniach. Wyglądał bardzo mizernie. Synowie Batujewa kończyli zaprzęganie koni do tarantasu.

— Myślałem, że pojedziemy bez ciebie. Spałeś jak suseł — odezwał się Smuga na widok Tomka.

— Na szczęście bosman mnie obudził, zaraz osiodłam konie — odparł młodzieniec.

— Udadźalaka już to zrobił, zjedz coś przed drogą — powiedział Smuga, blado się uśmiechając.

— Wcale nie jestem głodny po wczorajszym obżarstwie. Tylko nałożę kurtkę i będę gotów!

— Tomku, w podręcznej torbie znajdziesz młynek modlitewny, zabierz go ze sobą — polecił Smuga.

— Dobrze, proszę pana.

Niebawem Smuga wygodnie spoczywał w tarantasie. Batujew wskoczył na przód wozu, ujął lejce i syknął na konie. Trzej łowcy dosiedli wierzchowców. Pognali za pojazdem. Szybko mknęli wyboistym traktem. Nie zatrzymując się minęli ukrytą w dolince wioszczynę kozacką. Różniła się ona wyglądem od buriackich ułusów. Poszczególne gospodarstwa ogrodzone były wysokimi płotami, chaty posiadały po kilka okien i małe ganki wsparte na niskich słupach. W obejściach widać było zabudowania gospodarskie, których nie spotykało się w buriackich ułusach. Batujew wciąż ponaglał konie, toteż po krótkiej jeździe znaleźli się na skraju rozległej doliny. Tutaj na małym kopulastym wzgórzu stał wśród drzew buddyjski dacan<sup>468</sup>.

Łowcy byli zachwyceni malowniczym widokiem. Dacan zbudowano według wzorów architektury mongolskiej, cechującej się niezwykłą lekkością, oryginalnym kształtem i żywymi barwami. Trzypiętrowy klasztor stopniowo zwężał się ku szczytowi. Każda następna kondygnacja świątyni była znacznie mniejsza od poprzedniej oraz oddzielona od niej gankiem i zdobionym rzeźbą dachem, wysuniętym daleko nad ściany niższego piętra. Narożniki dachów były wygięte ku górze. Nad nimi, a także nad wejściem do świątyni, widniały połączone chorła — symboliczne buddyjskie koła wiecznego powrotu, z dwiema sarenkami klęczącymi po obydwóch stronach.

Batujew powstrzymał konie przed bramą w murowanym ogrodzeniu okalającym dacan. Łowcy zsiadli z wierzchowców i przywiązali je do

---

<sup>468</sup> — Dacan — klasztor.

tarantasu. Pomogli Smudze zejść z wozu, a potem poprowadzili go w kierunku klasztoru. Jak zwykle przed buddyjskimi świątyniami, na prawo od bramy stał wielki bęben modlitewny, którego walec pokrywały święte formuły. Wyznawcy buddyzmu przechodząc obok bębna obracali go, wierzyli bowiem, iż jest to równoznaczne z odmówieniem wyrytych na nim modlitw.

W progu klasztoru powitał ich młody mnich ubrany w czerwone szaty. Batujew wyjaśnił mu, że przybyły z dalekich krajów angaszi<sup>469</sup> pragnąłby zasięgnąć porady lekarskiej u świętego lamy. Prośba ta wcale nie zdziwiła mnicha. Podobne odwiedziny zapewne zdarzały się dość często. Pochylił głowę na znak zgody i poprowadził gości w głąb klasztoru. W tej chwili nie było w nim nikogo. Pomiędzy dwoma rzędami drewnianych kolumn podtrzymujących strop, w samym środku świątyni stał olbrzymi posąg siedzącego Buddy. U jego stóp znajdował się ołtarz zastawiony posążkami bóstw oraz czarkami zawierającymi ofiary z prosa, mleka, słodczy i tarasunu. Zapach świeżych kwiatów mieszał się z odurzającym aromatem kadzideł. Ze stropu zwisały długie chorągwie z wizerunkami buddyjskich bóstw i kolorowe szarfy z formułami modlitw. Ściany świątyni pokrywały malowidła, przedstawiające różne wcielenia Buddy i Tsongkhapy, reformatora buddyzmu. Wśród najnowszych wcieleń znajdowali się: dalajlama z Lhasy, najwyższy kapłan w Tybecie, będący wówczas również głową państwa, Chutuchta — zwierzchnik buddyjski w Mongolii oraz Bandido—Chambolama — rezydujący w Kraju Zabajkalskim.

Młody mnich uchylił ciężkiej zasłony. Za nią ukryte były schody łączące świątynię z wyższym piętrem. Wprowadził podróżników do komnaty obitej jedwabiem. Wokół rozłożone były grube maty do siedzenia, a przy nich stały niskie, lakierowane stoliczki. W rogu mieścił się domowy ołtarzyk ze złożonymi burchanami.

Zaledwie podróżnicy spoczęli na matach, pojawił się święty lama. Trudno było określić jego wiek. Brązowa, lekko lśniąca skóra na twarzy zdradzała zaledwie nikłe ślady zmarszczek pod skośnymi, małymi oczami. Byстрыm wzrokiem ogarnął gości, skłonił się przed nimi, pochylając głowę przystrojoną w wysoką, żółtą czapkę, zwężającą się ku górze i trochę wygiętą do przodu. Ubrany był w ciemnoczerwony płaszcz bez rękawów z chińskiego brokatu oraz w jaśniejszy szeroki szal, którego jeden koniec nosił przerzucony przez

---

<sup>469</sup> — Angaszi — zawodowy myśliwy.

ramię na plecy. Za jedwabnym pasem zatknięty miał duży różaniec, a w dłoniach trzymał mały młynek modlitewny. Spoglądając na gości jednocześnie wolno obracał walec młynka. Wokół lamy unosił się mdły zapach perfum.

Podróżnicy powstali z mat. Lama zawołał coś cichym, bezbarwnym głosem. Młody mnich znów wsunął się do komnaty. W imieniu swego zwierzchnika kolejno wręczył każdemu gościowi khatę, barwny, cienki, jedwabny szal, zazwyczaj ofiarowywany przez buddystów dostojniejszym przybyszom. Czynił to z nadzwyczaj uroczystą miną, nisko pochylając głowę.

Smuga z kolei podarował świętemu lamie ozdobny młynek modlitewny ze słynnego klasztoru w Hemis, a potem złożył ofiarę pieniężną na klasztor. W ten sposób wymieniono pierwsze uprzejmości. Młodzi klerycy wnieśli kociołek z czułuntse oraz drewniane misy z suchymi ciastkami, słodyczami i suszonymi owocami. Lama wydobył spod fałd ubrania swą czarękę, wylizał ją dokładnie i podsunął nalewającemu czułuntse. Przed gośćmi ustawiono czarki porcelanowe.

Lama, nie przerywając kręcenia bębenka modlitewnego, bawił gości rozmową. Opowiadał o swoim pobycie w świątyni w Lhasie, wypytywał o klasztor w Hemis. Batujew słuchał go w nabożnym skupieniu, z szacunkiem pochylając głowę na piersi. Lama dobrze mówił po rosyjsku, aczkolwiek jego ruszczyzna brzmiała charkotliwie, jak u większości Mongołów. Żywe, czarne oczy wciąż przenosiły się z jednej twarzy na drugą, w końcu przyłgnęły wzrokiem do pobladłego Smugi. Przerwał pogawędkę, wpatrując się w jego twarz. Wszyscy ucichli, a lama nie odrywając wzroku, cicho się odezwał:

— W świątyni buddyjskiej każdy znajdzie to, czego szuka, choć rosyjscy popi<sup>470</sup> uważają nasze klasztory za siedliska diabłów. Dla popów i dla rosyjskich zarządców braccy<sup>471</sup> są po prostu zwierzętami.

— Nie jesteśmy Rosjanami — pospiesznie wtrącił Tomek. — Przybyliśmy do ciebie, dostojny lamo, abyś pomógł naszemu rannemu towarzyszowi.

— Słusznie uczyniliście. Rosyjscy lekarze dbają tylko o mungum<sup>472</sup>. Proszę, pójďte za mną, dostojni goście!

<sup>470</sup> — Pop — nazwa duchownego w kościele prawosławnym i greckokatolickim.

<sup>471</sup> — Sybirscy wieśniacy nazywali Buriatów brackimi.

<sup>472</sup> — Mungum — pieniądze.

Wprowadził ich do oddzielonej zasłoną izby. Był to jego „gabinet” lekarski, a zarazem apteka. Dwie ściany były obudowane półkami pełnymi różnych naczyń, na trzeciej wisiały pękate skórzane woreczki, opatrzone tybetańskimi napisami.

Lama pomógł Smudze zdjąć ubranie. Usadawił go na macie przy oknie. Odbandażował ranę. Była trochę zaropiała. Lama zdjął z kołków kilka woreczków. Wsypując z nich jakieś zioła do tygielka, mruzczał zaklęcia czy też modlitwy. Potem robił rękami tajemnicze znaki nad tygłem i spluwał za siebie.

Bosman trącił Tomka w łokieć.

— U nas znachorki też tak leczą po wsiach głupie baby... — mruknął po polsku.

— Cicho bądź, bosmanie — skarcił go Tomek. — Pał lichy śmieszne sztuczki, byle lekarstwo było dobre.

— Święta racja, brachu, ale na wszelki wypadek przygotuj świeże bandaże, bo ten księżulo, chociaż pachnie jak perfumeria, chyba rzadko się myje. Popatrz, jak mu gęba błyszczy.

Tomek zgromił przyjaciela spojrzeniem, lecz wydobyl z torby opatrunki. Położył je na macie przy Smudze. Lama tymczasem przelał wywar ziołowy do miseczki. Zanurzył w niej jedwabną szmatkę, obmył ranę. Smuga cierpliwie znosił te zabiegi. Gdy lama w końcu przyniósł jakąś ciemną maść, podsunął mu własne bandaże. Wkrótce ramię było z powrotem obandażowane.

— W porę przyszedłeś, zły duch chciał się zagnieździć w twoim ramieniu, ale przegnałem go zaklęciami — rzekł lama po zakończeniu zabiegu. Teraz przystąpił do gruntownego badania pacjenta. Jednocześnie bezdźwięcznie poruszał ustami, marszczył czoło, jakby gniewał się na kogoś. Wreszcie odstał od Smugi.

— Ciebie leczył już ktoś z naszych świątobliwych łamów — powiedział głośno.

— Nie mylisz się, dostojny mężu — odparł Smuga. — Było to w klasztorze w Hemis. Kiedyś, podczas wyprawy w Afryce, zostałem zraniony...

— Nie musisz mi tego mówić, wiem o tym — przerwał mu lama. — W tobie drzemie straszliwy zły duch... Ktoś za pomocą trucizny pomógł mu zawładnąć twoim ciałem.

Tomek z bosmanem zdumieni spojrzeli na lamę. Skąd on mógł wiedzieć, że Smuga był kiedyś zraniony zatrutym nożem?

— Twoja świeża rana niczym ci już nie grozi. Za dwa dni możesz zdjąć opatrunki — mówił lama. — Niebezpieczeństwo przedstawia innych zły duch. Tylko uśpiono go w tobie. On znów się budzi...

Tomek pobladł przestraszony, a i bosman zaniepokoił się nie na żarty. Czyżby naprawdę coś groziło Smudze? Tomek teraz przypomniał sobie, że lekarze króla Bugandy nie ręczyli za trwały skutek kuracji.

— W porę przyszedłeś do mnie. Wprawdzie złośliwy duch nadal pozostanie w tobie, ale ponownie go uśpię — powiedział lama.

Zdjął z kołków kilka nowych woreczków. Wydobył z nich zioła potłuczone na miałki proszek, mieszał je, mrużąc zaklęcia i czyniąc rękoma tajemnicze znaki. Następnie wrzucił część proszku w tygielek z wodą i postawił go na ogniu. Resztę przygotowanego leku wsypał do woreczka. Minęła dłuższa chwila. Lama nalał wywaru w czarę. Podał ją Smudze mówiąc:

— Wypij ten lek. Sporządziłem go z cudownego korzenia rośliny, która, jak głoszą starodawne chińskie legendy, rodzi się z uderzenia piorunu. On ponownie uśpi ducha choroby.

— Cóż to za ziele, szanowny lamo? — z niedowierzaniem zapytał bosman.

— Jest to żeń-szeń<sup>473</sup>, czcigodny panie — odparł lama. — Jako lek znany jest chińskiej medycynie od przeszło trzech tysięcy lat. Niełatwo go znaleźć, rośnie bowiem jedynie nad brzegami źródeł wytryskujących z ziemi po uderzeniu w nią piorunu.

— A czy naprawdę posiada moc uzdrawiania? — indagował bosman.

— Na znak, że jest życiodajny, bogowie nadali mu kształt ludzkiej postaci. Dawni lekarze chińscy potrafili sporządzić z niego lek opóźniający nawet o jakiś czas zgon człowieka leżącego już na łożu śmierci.

---

<sup>473</sup> — Żeń-szeń (Panax ginseng, po chińsku ginseng) — bylina z rodziny araliowatych. Rośnie we wschodniej Azji, zwłaszcza w północnych Chinach i Korei. Obecnie prowadzi się specjalne plantacje: w Związku Radzieckim, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych Ameryki Płn., Japonii. Część zielna żeń-szenia osiąga około 70 cm wysokości, ma szarozielone, pięciopalczaste liście, kwiaty drobne i późnym latem wydaje jasnoczerwone albo czarno-czerwone jagody. Korzeń tej rośliny używany w lecznictwie wywiera szczególnie dobroczynny wpływ na korę mózgową, system nerwowy i jako środek wzmacniający rekonwalescentów.

Smuga wypił wywar podany mu przez lamę, a bosman, jak zawsze ciekawy i przekorny, znów zagadnął:

— Czy możesz nam, szanowny lamo, zdradzić tajemnicę, skąd się dowiedziałeś o cudownym działaniu tego korzenia?

— Czcigodny cudzoziemcze, kunszt wiedzy lekarskiej poznałem u mędrców w świętej Lhasie, a sama jej nazwa wskazuje, iż jest ona pod specjalną opieką bogów. Lhasa w języku tybetańskim oznacza Ziemię Bogów. Jak głosi nasza starodawna legenda świątynia w Lhasie powstała dzięki niezamierzonej pomocy ociemniałego mędrca. Był to zapewne widomy znak łaski bogów.

— To niezmiernie interesujące. Dostojny lamo, bardzo proszę, opowiedz nam tę legendę — odezwał się Tomek.

Bosman i Smuga poparli jego prośbę.

— Chętnie to uczynię, czcigodni goście, lecz przejdźmy teraz do mego mieszkania, gdzie chory wypocznie na matach.

Powrócili do komnaty. Młodzi mnisi znów przynieśli kociołek z gorącą czułuntse. Gdy wszyscy wygodnie zasiedli, lama zaczął mówić:

— W bardzo dawnych czasach w kraju Ui <sup>474</sup>pasterze chcieli wybudować wielką świątynię. Wybrali miejsce w malowniczej dolinie. Długo zwozili kosztowne, najpiękniejsze materiały, a gdy je zgromadzili, rozpoczęli pracę. Wspólnym wysiłkiem wznieśli wspaniałe mury. Już kończyli budowę, gdy nieoczekiwanie cały gmach rozsypał się w gruzy. Pasterze bardzo się zmartwili, lecz nie zaniechali myśli o zbudowaniu świątyni. Wkrótce znów przystąpili do pracy. I tym razem prawie już ukończona budowla zwała się bez jakiegokolwiek powodu. Taki sam los spotkał nieszczęsnych pasterzy przy trzeciej próbie.

Świątobliwi lamowie nie potrafili zaradzić złu. Wówczas król Ui wezwał swego najślawniejszego wróżbiarza. Ten również nie umiał wyjaśnić, dlaczego nie można było ukończyć budowy. Powiedział jednak, że tajemnicę zna pewien święty mędrzec przebywający gdzieś na Wschodzie.

Król natychmiast wysłał na poszukiwanie mędrca pewnego odważnego i sprytnego lamę. Ten przemierzył wszystkie krainy Mongołów leżące na wschód od królestwa Ui. Nieznacznie i ostrożnie rozpytywał o sławnych

---

<sup>474</sup> — Ui — pradawna nazwa obecnego Tybetu. Lhasa była pierwotną nazwą świątyni zbudowanej w VII wieku n.e. Lha — po tybetańsku bóg, są — ziemia.

mędrców, lecz nikt nie zdradził mu tajemnicy. Zrezygnowany ruszył w powrotną drogę do Ui. Pewnego dnia pękł mu popręg u siodła. Chcąc go naprawić, zaczął się rozglądać po okolicy. Nad brzegiem jeziora spostrzegł starą jurte. Zastał w niej starca pogrążonego w rozmyślaniach.

— Bracie, niech pokój zawsze gości pod twym dachem — rzekł lama.

— Bracie, usiądź przy ognisku i nie gardź moją skromną gością — odpowiedział starzec.

Lama wkrótce spostrzegł, że biedak jest niewidomy. Podczas rozmowy starzec powiedział mu o swym kalectwie. Sądził, że rozmawia z kimś ze swego ludu, gdyż sprytny wysłaniec króla Ui podał się za lamę ze Wschodu, odwiedzającego święte mongolskie świątynie. Poprosił starca o rzemień do naprawy popręgu. Niewidomy oczywiście sam nie mógł spełnić jego prośby, więc pozwolił mu poszukać odpowiedniego rzemienia.

Gdy lama naprawiał popręg, starzec odezwał się:

— Szczęśliwy jesteś, lamo ze Wschodu, mogąc zwiedzać nasze przepiękne świątynie, jakich pasterze z krainy Ui nigdy nie będą posiadali! Nie zdołają oni zbudować świątyni w swej dolinie. Fale nie znanego im podziemnego morza zawsze podmyją mury. Gdyby poznali tę tajemnicę, podziemne morze odpłynęłoby z kraju Ui i zalałoby nasze pastwiska. Wtedy wszyscy byśmy tutaj zginęli!

Lama domyślił się, że ma przed sobą owego mędrca znającego tajemnicę, którego tak długo i dotąd daremnie poszukiwał. Starzec, mając lamę za swojego, przestrzegał go, aby nie zdradził tajemnicy przed żadnym lamą z Zachodu.

Wtedy odważny lama zawołał:

— Uciekaj, nieszczęsny starcze! Podziemne morze wkrótce zaleje twój kraj, ponieważ jestem lamą z królestwa Ui!

Pospiesznie dosiadł konia. Pomknął ku swoim, a bezsilny ślepiec szalał z rozpacz. Niebawem jego syn powrócił do jurty. Starzec, głośno zawodząc, rozkazał mu pędzić w kierunku zachodnim w pogoń za obcym lamą.

— Dogoń go i zabij! On ukradł mi tajemnicę — zawołał.

W jednym z mongolskich narzeczy wyrazy „tajemnica” i „rzemień” brzmią bardzo podobnie, a łkający z rozpacz starzec mówił bardzo niewyraźnie. Toteż syn mylnie go zrozumiał. Przerażony, iż jego świątobliwy



ojciec każe mu zabić obcego lamę za tak błahe przewinienie, zaczął prosić starca, aby się opamiętał.

— Zaklinam cię, synu, jedź natychmiast i zabij go, jeśli nie chcesz zguby dla nas wszystkich! — krzyknął ojciec.

Cóż miał uczynić? Nie chciał martwić starca, więc dosiadł wierzchowca i jeszcze tego samego dnia dogonił lamę. Przywitał go z należną czcią i rzekł:

— Gościłeś dzisiaj u mego ojca i podobno zabrałeś nasz rzemień. Wybacz, że zatrzymuję cię z powodu takiego drobiazgu, lecz spełniam polecenie ojca, który nawet kazał mi zabić cię dla odzyskania tego rzemienia. Zapewne był zagniewany i nie zdawał sobie sprawy z tego, co mówi, więc po prostu zwróć mi rzemień, abym mógł go zadowolić.

— Rzemień podarował mi twój ojciec, skoro jednak żąda jego zwrotu, obowiązkiem moim jest spełnienie jego woli — odparł lama z królestwa Ui. — Starców należy szanować i nie wolno ich martwić. Oto twój rzemień!

Młodzieniec jak najszybciej powrócił do ojca. Przed jurta ujrzał sąsiadów zwabionych jego płaczem, więc zaraz zwrócił mu odzyskany rzemień.

— Czy wypełniłeś mój rozkaz? — niecierpliwie zapytał starzec.

— Nie mogłem zabić lamy! Wszak nie uczynił nam nic złego — odparł syn. — Odebrałem jedynie rzemień, o który ci tak chodziło.

— A więc biada nam! Lamowie z Zachodu zwyciężyli. Widocznie taka była wola bogów — smutno zawołał starzec. — Mówiłem, że on ukradł mi tajemnicę, a tyś zrozumiał, że rzemień. Uchodźcie stąd wszyscy! Wkrótce morze zaleje cały nasz kraj!

Przepowiednia świątobliwego starca spełniła się już następnego dnia. Podziemne grzmoty wstrząsnęły ziemią. Nagle wezbrana woda w jeziorze wystąpiła z brzegów i pochłonęła świątobliwego mędrca, jego syna i wielu, wielu innych.

Lama z Zachodu wrócił do swojego króla. Uspokoił lamów i pasterzy przestraszonych trzęsieniem ziemi. Gdy zdradził im wielką tajemnicę, ogarnięci radością rozpoczęli budowę nowej wspaniałej świątyni, wokół której wkrótce powstało miasto, stolica królestwa Ui<sup>475</sup>.

---

<sup>475</sup> — Rosyjski etnolog G.I. Potanin w pracy pt. Saga o Salomonie (Mit o Salomonie), wydanej w Tomsku w 1912 r., analizuje źródła legendy o budowie świątyni, która w różnych odmianach rozpowszechniona jest wśród wielu ludów Azji i Europy. Potanin podważa dawne teorie, że legenda

Przed pożegnaniem lama wręczył Smudze woreczek z ziołami, polecając zażywać je w ciągu trzech najbliższych dni. Potem oprowadził gości po klasztorze i pozwolił im zajrzeć nawet do obszernej sali, gdzie młodzi chłopcy o wygolonych głowach, przypominający wyglądem miniatury dorosłych lamów, siedzieli pochyleni nad stoliczkami. Jedni nabywali wprawy w trudnej sztuce kaligrafowania tuszem, inni zaś uczyli się malować na grubym papierze wizerunki świętych burchanów. Byli to szabi, czyli nowicjusze. Uprzejmie pozdrowili podróżników, po czym niezwłocznie znów zasiedli do przerwanych zajęć. Według wyjaśnień lamy, szabi rozpoczynali nowicjat w dziewiątym roku życia. Przez szereg lat uczyli się mówić po tybetańsku oraz opanowywali trudną sztukę pisania, co wymagało przyswojenia sobie znacznej liczby różnych znaków pisarskich i kaligrafowania ich tuszem. Mowa tybetańska była w religii buddyjskiej językiem obrzędowym, podobnie jak w rzymskokatolickiej łacina. Dzięki temu wspólny język liturgiczny, mimo granic politycznych, łączył wszystkie plemiona mongolskie Azji w jedną olbrzymią rodzinę o odrębnej cywilizacji. Młodzi szabi ćwiczyli się w malowaniu wizerunków burchanów, wykonywali prace gospodarskie w klasztorze obok jeszcze innych usług, a w chwilach odpoczynku robili czukory, czyli młynki modlitewne, sprzedawane później podczas większych uroczystości licznie przybywającym pielgrzymom.

Z czasem szabi stawali się chugurikami, to jest uczniami uzyskującymi nieco wyższy stopień wtajemniczenia. Wówczas czytali teksty religijne, brali udział w niektórych uroczystych nabożeństwach, uczyli się gry na instrumentach i rytualnego tańca. Niemalą część ich zajęć pochłaniały tajniki leczenia metodą tybetańską oraz rozpoznawanie ziół leczniczych i sporządzanie z nich odpowiednich leków. Dopiero po długich latach byli przyjmowani do grona młodych lamów.

Łowcy z zainteresowaniem słuchali tych wyjaśnień, obchodząc zakamarki klasztoru, aż w końcu dobrnęli do jego bram. Batujew siedział już w tarantasie. Po ceremonialnym pożegnaniu lama długo stał w progu klasztoru i obracał młynek modlitewny, dopóki nie zniknęli w głębi doliny.

---

powstała w Indiach. Według niego ojczyzną mitu o budowie świątyni jest Mongolia, skąd przeniknął on do innych odległych ludów.

# SYBERYJSKI LEGION WOLNYCH POLAKÓW

W lesistym parowie otoczonym pasmami niezbyt wysokich płaskich wzgórz rozbrzmiewał huk siekier i łomot padających drzew. Przy nowo zbudowanym, nasypie kolejowym krzatali się robotnicy: jedni ociosywali pnie oraz przecinali je piłami inni zaś taczkami wwozili na nasyp tłużeń na podsypkę, na której układano podkłady i szyny. Tor kolejowy wolno wrzynał się w dziewiczą tajgę.

Wśród gromady syberyjskich brodatych chłopów w zatłuszczonych półkożuszkach i w niezgrabnym, plecionym z łyk obuwia wyraźnie odcinała się grupa robotników, odzianych w jednakowe, zniszczone szare kaftany, koszule, zgrzebne spodnie oraz łapcie przywiązane rzemieniami do nóg. Byli to katorżnicy, czyli zesłańcy, skazani na ciężkie roboty. Na głowach ogolonych do połowy z prawej strony nosili okrągłe czapki bez daszka. Na nogach mieli kajdany, a niektórzy byli ponadto przykuci łańcuchami do tacek.

Robotnicy wolnonajemni i więźniowie oraz żołnierze z eskort z jednakową ciekawością spoglądali co chwila ku barakowi stojącemu nie opodal, wymieniając uwagi na temat niezwykłego wydarzenia. Przedmiotem ich zainteresowania byli łowcy dzikich zwierząt, którzy stoczyli zacieklą walkę z bandą chunchuzów. Wiadomość rozniosła się po obozie rankiem tego dnia, kiedy to konny Buriat wezwał dowódcę sotni <sup>476</sup>Kozaków do pobliskiego ułusu. W parę godzin później żołnierze przywieźli wziętych w łyka bandytów. Wraz z nimi przybyli czterej obcy podróżnicy. Teraz stonik Tucholski prowadził śledztwo, podejrzewając chunchuzów o udział w niedawnym napadzie na budowniczych kolei.

Podczas gdy robotnicy snuli fantastyczne domysły, czterech bohaterów dnia siedziało w baraku jak na rozżarzonych węglach. W tej właśnie chwili decydowały się dalsze losy całej niebezpiecznej wyprawy. Nawet tak zawsze opanowany Smuga niecierpliwie zerkał na drzwi, za którymi sotnik Tucholski

---

<sup>476</sup> — Sotnia — konny pododdział Kozaków odpowiadający szwadronowi. Sotnik — odpowiednik kapitana.

badał więźniów. Kozacy kolejno wprowadzali ich na śledztwo. Razy nahajek i jęki bez przerwy dobiegały zza ściany.

Tomek starał się nie słuchać ponurych odgłosów. Kurczowo zacisnął szczęki i poblady spoglądał przez okno. Nie mógł wprost oderwać wzroku od więźniów pracujących przy budowie toru. Może wśród nich znajdowali się Polacy...? Widok ludzi w kajdanach, przykutych łańcuchami do taczek, był wymownym dowodem katuszy i upokorzenia tysięcy zesłańców, na jakie byli narażeni za bohaterską walkę o wolność swej ojczyzny.

Bosman, na pozór spokojny, pykał z fajeczki, lecz i jego myśli nie musiały być zbyt wesołe. Zasepionym wzrokiem śledził Kozaków wprowadzających chunchuzów na badanie, a w końcu mruknął:

— Z naszymi zesłańcami zapewne również nie lepiej się obchodzą...

— Spójrz, bosmanie, przez okno, a zaraz pozbędziesz się jakichkolwiek wątpliwości — szepnął Tomek.

Smuga ciężko westchnął, wspomniawszy swego przyrodniego brata. Tylko Udadzałaka zdawał się niczym nie przejmować. W jego ojczyźnie, jak i w wielu krajach Azji, często wówczas stosowano tortury podczas śledztwa.

Minęło sporo czasu, zanim Kozacy wyprowadzili ostatniego chunchuza. Sotnik Tucholski stanął w progu drzwi. Zamyślony spoglądał na podróżników, jakby się zastanawiał, co ma im powiedzieć. Dopiero po dłuższej chwili milczenia odezwał się niepewnie:

— Przyznali się do winy... To oni właśnie przed miesiącem napadli na naszych budowniczych kolei. Generał-gubernator wówczas przysłał mnie tutaj w celu zorganizowania pościgu. Niestety, banda uciekła do Mandżurii... A szkoda, awans i nagroda przeszły mi koło nosa...

Tomek i bosman poruszyli się niespokojnie ożywieni jakąś myślą. Smuga wzrokiem nakazał im milczenie. Zapalił fajkę. Oparłszy się na łokciach, rzekł dwuznacznie:

— Przecież obecnie ma pan tych chunchuzów w swoim ręku... Nasz udział w ich ujęciu można pominąć.

Sotnik Tucholski przymrużył oczy i milczał wyczekująco.

— Wyratował nas pan z opresji — mówił Smuga. — Nie w głowie nam teraz chunchuzi, dochodzenia i... nagroda. Stan mego zdrowia budzi obawy. Po postrzale zadany przez chunchuzów dawna dolegliwość dała znać o

sobie. Potrzebuję porady dobrego lekarza, aby móc pomyślnie dokończyć łowów.

Wyraz zadowolenia i nadziei odmalował się na twarzy sotnika. Czyżby awans i nagroda nie były jeszcze całkowicie zaprzepaszczone?

— Mało mamy lekarzy na Syberii. Nikt tu nie chce się osiedlać dobrowolnie — wtrącił. — Krajowcy leczą się u swoich mnichów lub szamanów, my zaś, Rosjanie, jesteśmy zdani na łaskę kilku podrzędnych lekarzy europejskich, zatrudnionych w szpitalach w Czycie bądź Nerczyńsku. Nikt z nich nie zgodzi się przyjechać tutaj.

— Czyż nie można znaleźć jakiejś rady? — westchnął Smuga, spod oka obserwując Tucholskiego. — Całą wyprawę weźmie lichy przez tę bandycką kulę...

Oficer zatarł dłonie, po czym rzekł:

— A gdybym tak zawiózł pana do szpitala?

— Duża to strata czasu dla nas — odparł Smuga. — Poza tym sam w takim stanie nie mógłbym jechać. Jestem bardzo osłabiony, a droga daleka.

— Towarzysze by się panem zaopiekowali. Postarałbym się jakoś to urządzić.

— Hm, zastanówmy się nad tą propozycją — z wahaniem odpowiedział Smuga. — W każdym razie jeden z nas musiałby natychmiast wrócić do obozu w pobliżu Błagowieszczeńska, by powiadomić resztę towarzyszy o wypadku. Trudno się zdecydować, czekałaby go bowiem niebezpieczna samotna jazda przez tajgę...

— Można temu zaradzić — rzekł oficer. — Jeszcze nie zdążyłem ujawnić panom całego wyniku śledztwa. Otóż chunchuzi zdradzili swego szpiega, grasującego na naszym brzegu Amuru. Jest nim stary przewoźnik, zwany kapitanem Wangiem. On także doniósł bandzie o panach.

— A to obłudnik — zawołał Tomek. — Podczas przeprawy promem zwróciłem uwagę na jego natarczywe myszkowanie po jukach!

— Warto założyć mu postronek na szyję — mruknął bosman.

— Niech pan będzie spokojny, spotka go surowa kara — zapewnił oficer. — Już wydałem rozkaz aresztowania. Kilku moich ludzi przygotowuje się do drogi. Przewoźnik kursuje na swoim promie w pobliżu obozu panów, wobec tego jeden z was może zaraz jechać z żołnierzami.

Smuga uśmiechnął się nieznacznie. Sotnik Tucholski poinformował ich o odkryciu bandyckiego szpiega dopiero wtedy, gdy nabrał pewności, że nie mają zamiaru ubiegać się o nagrodę.

Po krótkiej chwili powiedział:

— Skoro tak przedstawia się cała sprawa, pozostaje nam tylko sporządzić formalne zeznanie o napadzie chunchuzów.

Tucholski natychmiast przyniósł przybory do pisania. Smuga podyktował Tomkowi treść oświadczenia, z którego wynikało, że dowódca Kozaków, Tucholski, uratował łowiecką wyprawę przed napaścią chunchuzów.

Czterej podróżnicy podpisali zeznania.

Sotnik nie krył zadowolenia. Starannie schował dokument do kieszeni.

— Zabieram panów do Nerczyńska specjalnym pociągiem — odezwał się wylewnie. — W tamtejszym szpitalu pracuje europejski lekarz. Złożę odpowiedni raport jego ekscelencji generał-gubernatorowi, aby panowie nie mieli kłopotów z policją. No, poza tym Naszkin także na pewno się panami zainteresuje! Szepnę mu kilka ciepłych słówek! To on przecież wyznaczył nagrodę za ujęcie chunchuzów.

Podróżnicy ukradkiem wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

— Któż to jest ów Naszkin? Czy to ktoś z policji? — obojętnym tonem zagadnął Smuga.

— Zaraz widać, że panowie nietutejsi — odparł oficer. — To syberyjski milioner. Dorobił się na handlu futrami. Nieźle łupi skórę ciemnym krajowcom.

— A dlaczego interesuje się sprawą napadu na budowniczych kolei? — zapytał Tomek.

— Chunchuzi ciężko zranili jego bratanka, inżyniera kierującego robotami — wyjaśnił kapitan.

— Ach, tak — zdziwił się Smuga. — Dziękujemy za obietnicę zaprotegowania nas Naszkinowi. Jego pomoc może nam się przydać w Nerczyńsku.

— Ekscelencja generał-gubernator i Naszkin na pewno nie poskąpią panom opieki za lojalne współdziałanie z rosyjskimi władzami wojskowymi. Przecież panowie ponieśli szkody w walce ze zbrodniczą bandą.

— Przede wszystkim oddajemy się pod pana opiekę — odparł Smuga. Zadowolony mrugnął do przyjaciół. Plan dotarcia do Nerczyńska przybrał realne kształty.

— Który z panów wyruszy z moimi ludźmi w dół rzeki? — zapytał sotnik Tucholski nie mniej zadowolony od podróżników.

Smuga niby to zastanawiał się przez chwilę.

— Niech jedzie Udadżalaka — odparł, a zwracając się do Indusa dodał: — Powiadomisz pana Browna i Pawłowa o wszystkim, co się nam przytrafiło.

— Co zrobimy z końmi? — wtrącił bosman. — Chyba nie będziemy ich wlekli do Nerczyńska?

— Wierzchowcami panów zaopiekuje się komendant obozu przy ostatnim przystanku kolei — zaproponował Tucholski. — Stamtąd jutro rano zastępca naczelnego inżyniera udaje się specjalnym pociągiem do Czyty z raportem o stanie robót. Zabierzemy się razem z nim. Zaraz wydam rozkazy, a pan Udadżalaka niech tymczasem przygotowuje się do drogi. Kozacy wyruszą jeszcze dzisiaj.

Oficer wyszedł z baraku. Smuga skorzystał z okazji, by wtajemniczyć Udadżalakę w swe dalsze plany. Zesłaniec miał być wywieziony z Nerczyńska odpowiednio ucharakteryzowany i przebrany, posługując się w razie kontroli fałszywym paszportem. Na przedostatniej stacji przed końcem linii kolejowej powinien wysiąść z pociągu i tam, kryjąc się w pobliżu, poczekać na nich, dopóki nie przybędą z końmi. Następnie razem przekradną się bocznymi ścieżkami w pobliże obozu, w którym uciekinier zostanie ukryty w klatce.

W godzinę później zegnali Udadżalakę. Tomek gawędził z eskortą, podczas gdy bosman przepijał z nią strzemienne przed wyruszeniem w drogę.

Tomek stał przy otwartym oknie. Zasłuchany w takt miarowo wybijany przez koła wagonu, z uwagą obserwował charakterystyczny krajobraz Zabajkala<sup>477</sup>. Wokół rozpościerały się łańcuchy gór, których grzbiety nie

---

<sup>477</sup> — Zabajkale wraz z Przybajkalem i terenami przyległymi na północy stanowią swoisty, wyraźnie wyodrębniony obszar geograficzny. Na północy i na zachodzie opada on wysoką, stromą skarpą ku Wyżowi Środkowosyberyjskiemu, na południowym zachodzie oddziela go od Sajanu Wschodniego wąski i głęboki tunkiński rów tektoniczny, a na południu i południowym wschodzie obszar ten rozpościera się do granicy państwowej z Mongolią i Chinami. Jedyne na wschodzie granica jest nie tak wyraźnie określona; przebiega tam wzdłuż dziani wodnego pomiędzy Olekmą i Zeją.

miały wyraźnie zaznaczonej grani, lecz stanowiły masywne, szerokie i płaskie działy wodne różnej rozciągłości z kopulastymi wierzchołkami, zaledwie wznoszącymi się nad ich poziomem. Nieliczne stosunkowo wyniosłości zasługiwały na nazwę grzbietów górskich. Od czasu do czasu wśród gęstej sieci długich, lesistych dolin o łagodnych zboczach ukazywały się wyspy stepu. W krainie zabajkalskiej syberyjska tajga stykała się ze stepami mongolskimi, które dolinami otwartymi od południa przenikały tutaj dwoma wielkimi klinami: selengińskim na zachodzie oraz arguńskoonońskim na wschodzie. Krajobrazy stepowe ze zbiorowiskami charakterystycznej roślinności na kamienistych zboczach południowych wciskały się w królestwo tajgi daleko na północ, prawie do granic Jakucji; natomiast w kierunku południowym tajga jako omszały las wybiegała aż do rzeki Ingoda, a nawet sięgała suchych stepów południowego Zabajkała.

Tomek odziedziczył po ojcu zamiłowania przyrodnicze, toteż dokładnie przyglądał się gatunkom roślin i zwierząt, właściwym tajdze syberyjskiej, i równocześnie mongolskim stepom regionów amursko–ussuryjskich oraz wysokogórskich.

Zainteresowania geograficzne ustąpiły w końcu miejsca w myślach młodzieńca tragicznym dla Polaków wspomnieniom, związanym z południowymi krańcami Bajkału, zwanego przez Buriatów Świętym Morzem. Pod wpływem nagłego wzruszenia odwrócił się do swych przyjaciół.

— Stąd niedaleko już do Miszychy nad Bajkałem — odezwał się po polsku, zaraz jednak umilkł uzmysłowiwszy sobie, że nie są sami.

Oprócz Smugi, wygodnie leżącego na baranicach rozesłanych na ławce, i drzemiącego bosmana, w przedziale znajdował się zastępca naczelnego inżyniera. Jechał do generał–gubernatora do Czyty w sprawach związanych z budową nowej linii kolejowej. Był to starszy mężczyzna o bujnym, siwym zaroście na twarzy. Sotnik Tucholski przedstawił go jako Stanisława Krasuckiego. Tomek zmieszał się, napotkawszy jego badawczy wzrok. Bosman, wyrwany z drzemki słowami przyjaciela, otworzył oczy i zapytał po rosyjsku:

— Co mówiłeś?



— Powiedziałem, że stąd niedaleko już do Bajkału — powtórzył Tomek w tym samym języku, wdzięczny bosmanowi za zachowanie przytomności umysłu.

— Ani mnie to ziębi, ani parzy! — burknął marynarz wzruszając ramionami. — Ważny sobie znalazłeś powód do budzenia człowieka!

— Niech pan się nie oburza na swego młodego towarzysza. Dla Polaków Bajkał jest swego rodzaju narodową pamiątką<sup>478</sup> — naraz odezwał się inżynier Krasucki.

— A to dlaczego? — z głupia frant zapytał bosman.

— Kilkadziesiąt lat temu grupa polskich więźniów wzniciła powstanie nad brzegami tego jeziora. Na tak desperacki krok nigdy nie zdobyli się zesłańcy innych narodowości. Toteż każdy Polak, przebywając w pobliżu Bajkału, choćby w myślach wspomina bohaterów pogrzebanych w tajdze pod Miszyczą i tych zabitych w Irkucku!

— Toś pan także Polak? Jakie to лихо skłoniło cię do zamieszkania na Syberii? — bezceremonialnie indagował rubaszny bosman.

— Najpierw przebywałem tu szereg lat jako zesłaniec. Potem, po ukończeniu w Petersburgu studiów inżynieryjnych, przybyłem tutaj w poszukiwaniu lepszego zarobku. Na Syberii spędziłem już niemal czterdzieści lat.

— Czy pan stale pracuje przy budowach linii kolejowych? — zagadnął Tomek.

— A jakże! — przytaknął inżynier. — Ubzdurałem sobie, że dzięki budowie kolei zsyłki stają się nieco lżejsze dla naszych rodaków.

— Nie ulega wątpliwości, że rozumowanie pana nie jest pozbawione pewnych podstaw — wtrącił Smuga. — Czyżby pan tutaj przebywał podczas polskiego powstania nad Bajkałem?

— Nie, na Zabajkału znalazłem się kilka lat później, lecz mimo to jeszcze wtedy często się tu wspominało tragedię Polaków.

— W takim razie wiele musiał pan się nasłuchać ciekawych szczegółów o tym powstaniu — zauważył bosman.

---

<sup>478</sup> — W 1866 r. pod Miszyczą na południowym brzegu Bajkału polscy zesłańcy pod dowództwem Gustawa Szramowicza stoczyli nierówną walkę z wojskiem rosyjskim. Na zbiorowej mogile poległych polskich powstańców władze rosyjskie umieściły krzyż z napisem: Zdzieś pogrieblieny wzbuntowawszyjesia Polskije Miatieźniki ubityje wo wriemia pieriestrielki 28 ijunja 1866 goda (Tutaj pochowani są polscy więźniowie, zabici w czasie potyczki 28 czerwca 1866 r.).

— Dla Polaków to raczej bolesne historie, proszę pana — odparł Krasucki.

— Pan Brol od wielu lat odbywa z nami wyprawy łowieckie — pośpiesznie wyjaśnił Smuga. — Chociaż jest Niemcem, sympatyzuje z Polakami. Mówi nawet niezłe po polsku.

— Ha, skoro tak, to przestańmy wykręcać sobie języki ruszczyzną — zaproponował Krasucki.

— Masz pan rację — zawtórował bosman. — Sotnik Tucholski już pewno kima w najlepsze ze swoimi Kozakami, bo chunchuzi w łykach nie mogą dać drapaka z pędzącego pociągu. Pogadajmy więc o tym i owym. Ciekaw jestem, kto zaplanował powstanie nad Bajkałem?

— Trudno powiedzieć, kto pierwszy rzucił myśl zbiorowej ucieczki z Sybiru — odpowiedział Krasucki. — Przecież prawie wszyscy polscy zesłańcy zawsze pragnęli odzyskać wolność, naśladując śmiałą ucieczkę Beniowskiego. Po powstaniu styczniowym wśród zesłanych Polaków znajdowało się wielu studentów, artystów, byłych oficerów i dzielnych rzemieślników warszawskiego proletariatu, wziętych do niewoli wprost z pola bitwy. Nawet jeszcze podczas wędrówki na Sybir w uszach ich brzmiał szcęk oręża. Każda iskra mogła spowodować wybuch...

— W pewnych kołach projekt zbiorowej ucieczki z Syberii przypisywano Jarosławowi Dąbrowskiemu, późniejszemu generałowi Komuny Paryskiej<sup>479</sup> — zauważył Smuga.

— Kto wie, może i tak było — potwierdził Krasucki. — Właśnie w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym czwartym znajdował się w moskiewskim więzieniu Kałamażnyj Dwór. Wtedy też mówiło się o tym, aby w jednym ustalonym dniu wszystkie partie zesłańców, rozrzucone na długim szlaku od Warszawy po Ural, rozbroiły swe konwoje i gromadnie powracały na ziemie polskie tam, gdzie jeszcze trwały walki powstańcze. Dąbrowski z pomocą polskich i rosyjskich rewolucjonistów<sup>480</sup> zdołał zbiec z łaźni więziennej. Wtedy niektórzy Polacy zaczęli układać znacznie śmielsze plany. Na przykład uwięziony w Krasnojarsku Paweł Lewandowski, były naczelnik powstańczej

---

<sup>479</sup> — Komuna Paryska — pierwszy w historii rząd klasy robotniczej, utworzony w Paryżu w marcu 1871 r. przez powstanie ludowe przeciwko rządowi Thlersa. Pod przewagą wojsk francuskiej burżuazji Komuna Paryska upadła po dwóch miesiącach. Po stronie Komuny walczyło wielu Polaków z generałami Jarosławem Dąbrowskim oraz Walerym Wróblewskim na czele.

<sup>480</sup> — Zagibałow, Jermołow, Iszutin i inni.

żandarmerii w Warszawie, zamierzał wraz z rosyjskim rewolucjonistą Mikołajem Serno–Sołowiewiczem wzniecić rewolucję demokratyczną w Rosji, a nawet oderwać od niej Syberię, która miała stanowić samodzielne państwo — Swobodosławię<sup>481</sup>.

— To były naprawdę śmiałe plany — zdumiał się Tomek.

— Niestety, władze rosyjskie przechwyciły nici spisku — ciągnął Krasucki. — Sołowiewicz został nagle wywieziony i zmarł w drodze do Jakucka, zabierając do grobu tajemnicę wspólnie z Polakami przygotowywanej rewolucji.

Polacy nie zarzucili planów ucieczki. Teraz głównym ogniskiem spisku stał się Irkuck, gdzie podczas zimowego natłoku w więzieniach zmarło ponad stu więźniów. Rej wodził tam Narcyz Celiński, były uczestnik powstania w tysiąc osiemset czterdziestym ósmym roku w Księstwie Poznańskim i w Galicji, a potem kapitan sztabowy inżynierii na Kaukazie oraz powstaniec tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego roku. Jego plan zbrojnej ucieczki odrzucał porozumienie z rewolucjonistami rosyjskimi.

Władze, powiadomione o wrzeniu wśród polskich zesłańców, postanowiły wywieźć bardziej niespokojnych do budowy drogi krugobajkalskiej, wytyczonej wzdłuż południowego wybrzeża Bajkału. Początkowo zesłańcy z radością przyjęli ten projekt. Umożliwiał on więźniom pobyt na świeżym powietrzu oraz mógł ułatwić planowaną ucieczkę. Celiński proponował przedrzeć się znad Bajkału przez stepy kirgiskie do Buchary, gdzie w owym czasie wojska rosyjskie walczyły z tamtejszym emirem.

— Wydaje mi się, że projekt nie był niemożliwy do wykonania — wtrącił Smuga.

— Ma pan rację, plan mógł się powieść, gdyby nie zaistniały nieprzewidziane przeszkody. Otóż w końcu maja roku tysiąc osiemset sześćdziesiątego szóstego wysłano pierwszą grupę więźniów do Kułtuku na południowym cyplu jeziora, około stu kilometrów od Irkucka. Drugą, razem z Celińskim, skierowano o siedemdziesiąt kilometrów dalej do Murinu. Wtedy właśnie nieoczekiwanie nadeszła wiadomość o manifeście amnestyjnym cara,

---

<sup>481</sup> — Plan oderwania Syberii od Rosji w latach 1848 i 1861 podobno znajdował poparcie ówczesnego generał–gubernatora Wschodniej Syberii, Mikołaja Murawiewa Amurskiego. W 1864 r. w Irkucku rozlepiano odezwy, które zaczynały się od słów: „*Niech żyją Zjednoczone Sybirskie Stany!*” Autorem tej odezwy był profesor irkuckiego gimnazjum, Szczukin.

który z okazji nieudanego zamachu Karakazowa na jego życie, łagodził więzniom ciężkie kary o połowę, a mniejsze zamieniał na osiedlenie na Syberii. Władze w Irkucku wstrzymały dalsze wysyłki nad Bajkał, aby podzielić zesłańców na grupy według nowych kar. Amnestia znacznie poprawiła nastroje zesłańców, część z nich zaniechała nawet zamiaru ucieczki.

Ostatecznie około siedmiuset zesłańców wysłano do budowy drogi<sup>482</sup>. Panowały tam fatalne warunki. Stałe silne prądy powietrzne nad Bajkałem powodowały częste burze. Wskutek znacznej różnicy temperatur powietrza nad jeziorem i nad lądem, z wąwozów wiały typowe bryzy, zwane tam chołodami, szczególnie odczuwane jesienią. Padały deszcze, a źle odżywiani więźniowie pracowali od piątej rano do szóstej wieczorem i musieli sami budować szałas mieszkalne.

Do jeziora wpadało wiele rzek, oddzielonych od siebie pasmami skalistych gór, przez które trzeba się było przebijać. Dwustumetrowe skalne bloki zwisały wprost nad brzegiem. Na wiosnę, gdy woda zrywała mosty, ustawała wszelka komunikacja. Więźniowie wykuwali w skałach tunele, karczowali pnie, ścinałi drzewa, kopali ziemię oraz przygotowywali materiał do budowy mostów. Czuli się przy tym całkowicie oderwani od cywilizowanego świata. Wprawdzie wolno im było raz na kwartał pisać listy do rodzin, lecz z domów prawie nie otrzymywali korespondencji.

W poszczególnych grupach zesłańców, rozmieszczonych wzdłuż linii wybrzeża, trwała ostra agitacja za uciezką. Gustaw Szramowicz głosił, że mają do wyboru albo „*zdechnąć jak bydło przy ciężkiej pracy*”, albo uwolnić się, a w razie niepowodzenia zginąć z honorem, walcząc o swą wolność z bronią w ręku. Niestety, wśród zesłańców nie było jednomyślności. Znaleźli się nawet zdrajcy. Wówczas Celiński, upatrzony na wodza powstania ze względu na swą przeszłość bojową, nie chcąc zaprzepaścić okazji, rzucił w Murinie rozkaz rozpoczęcia walki. Stało się to na początku lipca, w nocy z piątku na sobotę.

W kilku miejscowościach usłuchano rozkazu. Szramowicz w Listwiennej oraz Arcimowicz w Kułtuku rozbroili strażę. Ruszyli wzdłuż Bajkału, aby się połączyć z Celińskim. Jako straż przednią wysłali Leopolda Eljaszewicza na czele osiemdziesięciu kawalerzy sto w. Jego adiutantem był Edward Wroński,

---

<sup>482</sup> — Droga miała okrążyć jezioro na linii: Murin, Śnieżna, Muszynka, Lichanowa, Posolsk.

gimnazysta z Wrocławia, który naprawdę nazywał się Skonieczny. Eljaszewicz w drodze do Miszychy napotkał dowódcę straży wojskowej, pułkownika Czerniajewa, i inżyniera Szaca, kierownika robót. Wziął obydwóch do niewoli. W zamian za skonfiskowane rządowe pieniądze dał im kwit z podpisem: Syberyjski Legion Wolnych Polaków, ujawniając tym samym nazwę polskiej organizacji wojskowej.

Eljaszewicz połączył się z naczelnym wodzem, Celińskim, ten zaś, nie mogąc zbyt długo czekać na nadejście Szramowicza z piechotą, polecił mu natychmiast zająć Posolsk. Eljaszewicz natknął się na rosyjski oddział dowodzony przez porucznika Kerna. Paru powstańców padło w starciu, kilkunastu dostało się do niewoli. Eljaszewicz, zaskoczony przybyciem do Poselska majora Rika z posiłkami, cofnął się do Miszychy, dokąd teraz również dotarł Szramowicz z dwustu źle uzbrojonymi piechurami. W takich warunkach przyjęcie decydującej bitwy było bardzo niebezpieczne. Celiński radził powrócić do nie zajętego przez Rosjan Kułtuku, aby stamtąd dojść do najbliższej położonej granicy chińskiej. Plan jego został odrzucony, albowiem sądzono, że Rosjanie już obsadzili południowe brzegi jeziora. Celiński zrzekł się dowództwa, które objął Szramowicz.

Rosyjskie władze w Irkucku szybko zostały powiadomione o wybuchu powstania i energicznie mobilizowały swe siły do przeciwuderzenia. Szerząc fałszywe wieści, że zbuntowani więźniowie zamierzają wymordować tak Rosjan, jak i rdzennych mieszkańców Syberii, podburzały krajowców. Za każdego schwytanego powstańca wyznaczyły nagrodę. W ten sposób, oprócz rosyjskiego wojska, przeciwko garstce zesłanych Polaków ruszyła ludność buriacka, tunguska, mongolska i chińska. Powstańcy zostali otoczeni.

Celiński na czele małego oddziału odłączył się od głównych sił, zamierzając przekroczyć granicę chińską. Szramowicz natomiast, mając tylko stu pięćdziesięciu ludzi, przyjął decydującą bitwę pod Miszychą. Żołnierze jego po wystrzelaniu naboju rzucali się do walki wręcz, by w końcu także ująć w tajgę. Podzieleni na małe grupy usiłowali się przedostać do Chin lub Mongolii. Zmęczeni oraz wyczerpani głodem wpadali w ręce wojska rosyjskiego lub krajowców.

— Biedacy, czyż nie zdawali sobie sprawy, że muszą przegrać nierówną walkę? — wtrącił Tomek, ciężko wzdychając...

— Co uczyniono z wziętymi do niewoli? — rzucił pytanie bosman.

Krasucki zmarszczył krzaczaste brwi, jakby coś sobie przypomniał, po czym rzekł:

— Obydwaj panowie znajdziecie najlepszą odpowiedź w wierszu napisanym przez jednego z poetów ku pamięci polskich powstańców nad Bajkałem<sup>483</sup>. Posłuchajcie, proszę:

*Lepsza nam kula, niżli takie życie!  
Rzekli, powstali, rozbili zbirów!  
A gdy broń mieli, to w pierwszym zachwycie  
Błysnęła ku nim ziemia leż i kirów.  
Potem pustynia, skąd nie ma wychodu  
— Bój, gdzie szczęśliwsi giną, męki głodu  
— I znów dawne pęta. Sąd otwarty...  
Dla katów spisy żeru... Czy słyszycie?  
Padł strzał — i drugi — i trzeci — i czwarty!*

Bosman wydobył z kieszeni kraciastą chustkę. Hałaśliwie zaczął wycierać nos, Tomek natomiast odwrócił twarz do okna, kryjąc w ten sposób łzy cisnące mu się do oczu. Smuga wpił badawczy wzrok w Krasuckiego, jakby chciał przeniknąć jego najskrytsze myśli. Po dłuższej chwili milczenia nabił fajkę tytoniem i rzekł:

— Carat nieraz już stosował metodę szczucia jednych ujarzmionych narodów przeciwko drugim. Czynią to również z niemałym powodzeniem i inne państwa prowadzące zaborczą politykę. Jednak w przypadku polskich powstańców nad Bajkałem kłamstwa carskich urzędników mogły być dość szybko zdemaskowane. Przecież nieszczęśni skazańcy pragnęli jedynie odzyskać własną wolność!

— Niezawodnie ma pan rację! Nawet mieszkańcy Irkucka patrzyli na ich tragedię ze szczerym współczuciem. Podczas rozprawy sądowej wyszła na jaw haniebna rola rządu carskiego, niesłusznie obwiniającego polskich więźniów o zamiar wymordowania Rosjan na Syberii — przyznał Krasucki.

— Z wiersza wynika, że rozstrzelano czterech powstańców — wtrącił bosman. — A co stało się z resztą?

---

<sup>483</sup> — Fragment wiersza: Na zgon rozstrzelanych w Irkucku, napisanego przez Kornela Ujejskiego, autora patriotycznych utworów, który żył w latach 1823–1897.

— Z siedmiu skazanych na karę śmierci ostatecznie rozstrzelano czterech przywódców: Szramowicza, Celińskiego, Reinera i Kotkowskiego. Około czterystu zasądzono na wieczną bądź długoletnią katorgę lub nadzór policyjny.

— W jaki sposób wykonano wyroki śmierci? — zapytał Tomek.

— Pamiętna egzekucja odbyła się niedaleko rzeki Angara, u podnóża dzikich gór, na przedmieściu Uszakówka. Mimo że dzień był mroźny i mglisty, za rogatką Jakucką zgromadziło się wielu mieszkańców Irkucka. Brakło tylko Polaków przebywających w mieście. Władze zabroniły im pokazywania się na ulicach przez kilka dni. Gospodarzy domów uczyniono odpowiedzialnymi za swoich lokatorów.

— A to dranie! — oburzył się bosman.

— Znalazł się jednak ktoś, kto naruszył surowy zakaz. Polak, Bolesław Olszewski, w przebraniu syberyjskiego chłopca przekradł się na plac kaźni. On właśnie później opowiedział mi, jak się to wszystko odbyło — mówił dalej inżynier. — Czterech Polaków szło na śmierć, jak przystało bohaterom. Towarzyszył im ksiądz irkucki, Polak zesłany na Sybir, Krzysztof Szwermicki. Szramowicz widząc, że księdzu drżą dłonie, rzekł: *„Ojcie, zamiast nam dodać otuchy, aby śmiało przyjąć śmierć z rąk tych niewolników caryzmu, aby im pokazać, że za wolność Polak umie umierać, ty sam upadasz i pociechy potrzebujesz, bo drży ci ręka, którą masz nas błogosławić! Bądź dobrej myśli, polski kapłanie, módl się nie za nas, ale za przyszłość Polski! Dla nas jest obojętne, czy zginiemy na własnej ziemi za jej wolność czy nas zamordują na wygnaniu! Idea, co nam w życiu przyświecała, nie zginie.”*<sup>484</sup>

Szramowicz pożegnał się ze współtowarzyszami niedoli. Stał przy słupie wkopanym w ziemię. Gdy włożono mu śmiertelną koszulę, rzucił czapkę w górę i umarł z okrzykiem: Jeszcze Polska nie zginęła...

Czapka jego upadła w pobliżu rosyjskiego pułkownika. Ten odtrącił ją nogą. Wtedy z tłumu zebranego na placu rozległy się okrzyki: „*Padlec!*” Przy warkocie bębnow grzmiały salwy egzekucyjne...

Krasucki zamilkł wzruszony.

---

<sup>484</sup> — Z pracy Władysława Jewsiewickiego: Na syberyjskim zesłaniu, PWN 1959. J Padlec — podlec. Nerczyńsk leży nad rzeką Nercza w południowo-wschodniej części Syberii (Agiński Buriacki Okręg Narodowy), znany z rynku futrzarskiego, herbacianego i bydłęcego.

Smuga pierwszy ocknął się z zadumy. Wytrząsnął popiół z wygasłej fajki. Spojrzał w okno wagonu. Świt różowił się w dali. A więc cała noc minęła na koszmarnych wspomnieniach.

— Już świta, zbliżamy się do Nerczyńska<sup>485</sup> — powiedział.

Słowa Smugi wyrwały Tomka z zamyślenia. Znów spojrzął w okno. W jasnoczerwonych odblaskach poranka wokół rozpościerał się pagórkowaty krajobraz, bardzo przypominający martwą pustynię. W niektórych miejscach monotonię dzikiej krainy zakłócały erozyjne doliny poprzeczne, wąskie i głębokie o wysokich, stromych, kamienistych zboczach, bądź też ponure wąwozy porośnięte skarłowaciałymi krzewami. Od czasu do czasu wśród zawilej sieci suchych wądołów i dolin pojawiały się, okolone lasostepem sosnowym, wyspy stepów trawiasto–zielnych, tworzących mieszaninę roślin stepowych i łąkowych. Krzewiły się na nich: wiechlina, strzęplica oraz turzycyca stepowa, ostnica włosowata, driakiew Fischera i targanek dauryjski.

Widok wysp stepowych<sup>486</sup> przyprawił Tomka o zupełnie zrozumiałe podniecenie. Zbliżali się do celu wyprawy — Nerczyńska! Niepewność, nadzieja i podstępny strach na przemian wkradały się do serca młodzieńca. Narazili się na tyle trudów i niebezpieczeństw, by dotrzeć do dalekiego miejsca zesłania Zbyszka! Czy uda się im teraz uprowadzić go stamtąd? Jakby szukając odpowiedzi na dręczące go pytanie, Tomek mimo woli spojrzął na swych przyjaciół. Smuga pykał z krótkiej fajeczki i wzrokiem leniwie śledził kłęby dymu unoszące się w powietrzu, bosman natomiast opuścił głowę na piersi, drzemiąc w najlepsze. Krasucki, przypadkowy towarzysz podróży, przeglądał jakieś notatki. Tomek rozchmurzył się i odetchnął z ulgą. Ryzykowna wyprawa musi przecież osiągnąć zamierzony cel, skoro przewodzą jej tak rozważni i nieustraszeni ludzie jak Smuga, ojciec i bosman!

---

<sup>485</sup> — Założony jako fort w 1658 r., stanowił przez dwa wieki najdalej wysunięty na Dalekim Wschodzie posterunek rosyjski.

<sup>486</sup> — Najbardziej charakterystyczne na Zabajkalu stepy wypowe to: Nerczyński, Jerawiń–ski, Barguziński i Olchoński.



## GROŹNE OSTRZEŻENIE

— Do stu beczek zjełczanego tranu, przerwij z łaski swojej to polowanie na karaluchy! — ofuknął bosman Tomka. — Zdrzemnąć się nie mogę, gdy co chwila te wstrętne robaki trzaskają ci pod nogami!

Tomek przystanął przed przyjacielem spoczywającym na sienniku położonym wprost na podłodze i odparł nieco oburzony:

— Jednemu przeszkadzają meszki, a drugiemu karaluchy. Widzę, że pan jakoś dziwnie szybko pokumał się z tą plagą syberyjskich mieszkań. Proszę, robak włazi panu na poduszkę!

— A cóż mi to szkodzi? Pewno wyczuł moje dobre serce. Przecież to też stworzenie boże! — filozoficznie odparł bosman. — Brać marynarska nie może być wrażliwa na takie drobiazgi. Czasem różnie bywa na statku. Wiesz, brachu, raz płynąłem na starym pudle do Chin. Wieźliśmy same rury, ale gdybym tego nie widział na własne oczy, pomyślałbym, że płyniemy z ładunkiem karaluchów i szczurów. Bestie wpadały nawet do kotła z zupą.

— Nie pracowałbym ani jednej godziny na takim statku — zawołał Tomek.

— Tak mówisz? Ha, może taki zuch jak ty zaraz wskoczyłby do morza! Ja zaś wolałem dopłynąć do Kolombo na Cejlonie, i dopiero tam z jednym koleżką przezornie spóźniliśmy się na krypę. Dalej pożeglowała już bez nas.

— Nie do żartów mi teraz — mruknął Tomek. — Gdyby pan Klemensowicz nie odziedziczył tej nory po swoim ojcu, polskim zesłańcu, podpaliłbym ją bez wahania.

— Pomysł niezły, ale wtedy musielibyśmy mieszkać pod gołym niebem, bo to przecież jedyny hotel w Nerczyńsku. No, no, przedsiębiorczy to był człek, skoro założył interes pozbawiony konkurencji!

Tomek zniecierpliwiony kpinami bosmana wzruszył ramionami. Podeszedł do okna wychodzącego na ciemny, brudny dziedziniec.

Smuga jakoś długo nie wracał z miasta. Na podwórzu kudłate psisko buszowało koło cuchnącego śmietnika. Młodzieniec, nie doczekawszy się widoku powracającego Smugi, zniechęcony odwrócił się tyłem do okna. Powiódł wzrokiem po nędznym pokoiku. Przypominał on bardziej spelunkę niż pomieszczenie hotelowe. Farba dawno już poodpadała z ram i okien, w

wypaczonych deskach brudnej podłogi ziały czernią dziury służące za schronienie robactwu i szczurom, a ze ścian zwisały strzępy tapet, które poruszane wiatrem, powiewały niczym chorągiewki. Jedynym stałym umeblowaniem był chwiejący się na nogach stół, przykryty poplamionym, starym obrusem. Trzy wypchane słomą sienniki oraz miedziana powyginana miska pojawiły się w pokoju dopiero na usilne prośby podróżników, poparte sutym napiwkami. Przyniósł je z prywatnego mieszkania pana Klemensowicza brudny jak wszystko w tym hotelu chłopak, posługacz i kucharz zarazem.

— Oszaleć można, czekając beczynnie w tej norze — mruknął Tomek.

— A cóż innego możemy robić, skoro Smuga zakazał nam afiszować się po ulicach? — zapytał bosman. — Nudno tu i jedzenie kiepskie. Nawet drzemać nie mogę, bo już wyspałem się za wszystkie czasy.

— Pan Smuga słusznie postępuje — dodał Tomek. — W takiej kilkutyśnej miejscinie jak Nerczyńsk, każdy obcy człowiek natychmiast zwraca na siebie uwagę. Im mniej nas tu widzą, tym lepiej! Poza tym, cóż tu jeszcze jest do oglądania? Prawie wszystkie domy znam już na pamięć: biblioteka, muzeum, trzy szkoły, bank i jedynie naprawdę wspaniałe pałac Naszkina.

— Pomiędzy szpital, w którym niby to leczy się Smuga — wtrącił bosman.

— Na szczęście pan Smuga szybko odzyskał siły po leku buddyjskiego mnicha. W tym nędznym szpitaliku niewiele by mu mogli pomóc.

— Smuga wszystko to dobrze wykombinował!

— Ma pan rację! Udaje chorego, żeby stworzyć pretekst do przedłużenia pobytu w Nerczyńsku i jednocześnie usiłuje zebrać informacje o Zbyszku.

— Jakoś długo nie wraca — zauważył bosman. — Ciekawe, co mu też dzisiaj powie ten znajomek Pandita Davasarmana? Przecież obiecał nam pomóc!

— Miejmy nadzieję, że nie zawiedzie! Jak to się nisko kłaniał, gdy powiedzieliśmy, z czyjego polecenia przychodzimy do niego — zauważył Tomek.

— Święta racja — potaknął bosman. — Kto by się spodziewał, że Pandit Davasarman ma takie długie ręce!

— To niezwykle człowiek!

— Musi być nie byle jaką szyszką między pundytami. Nawet Anglicy liczą się z jego zdaniem. Mieliśmy tego dowody podczas poprzedniej wyprawy do Tybetu.

Obydwaj przyjaciele pograżyli się w rozmowie na temat wpływów Davasarmana, a potem pochyleni ku sobie roztrząsali plan uprowadzenia zesłańca z Nerczyńska. Karaluchy nie napastowane przez Tomka wspinały się spokojnie nawet na stół...

Skrzypnięcie drzwi przerwało cichą rozmowę. W progu stanął Smuga. Tomek i bosman podskoczyli ku niemu, on zaś najpierw starannie zamknął drzwi, zdjął kurtkę, po czym spoczął na sienniku i zapalił swą ulubioną fajkę. Teraz dopiero spojrzął na przyjaciół. Wzrokiem wskazał im miejsce obok siebie. Usiedli przy nim.

— Czy dowiedział się pan czegoś? — niecierpliwie zapytał Tomek. Bosman chrząknął i zaczął nabijać fajkę tytoniem.

— Przynoszę niepomysłne wiadomości — po dłuższej chwili odezwał się Smuga. — Zbigniew Karski został wywieziony z Nerczyńska osiem miesięcy temu.

Tomek pobladł, zamarł w bezruchu wpatrzony w Smugę. Bosman z rozmachem strzepnął robaka spacerującego po poduszce i powiedział:

— Zaraz mi się wydało, że pańska mina nie wróży nic dobrego... No tak, biedaczysko przepadł jak w paszczy wieloryba...

— A więc wszystko stracone... — drżącym, łamiącym się głosem szepnął Tomek.

— Tego nie powiedziałem! — zaprzeczył Smuga. — Wprawdzie wywiezienie Zbyszka z Nerczyńska znacznie skomplikowało sprawę, lecz tym bardziej należy mu pomóc w odzyskaniu wolności.

— Czy istnieje jeszcze jakaś szansa? — gorączkowo zapytał Tomek, chwytając dłoń przyjaciela.

— Uspokój się, Tomku, wiesz, że uczynię wszystko, co w mej mocy, by ocalić tego chłopca — odpowiedział Smuga.

— To są prawdziwie męskie słowa! — pochwalił bosman. — Jak amen w pacierzu wskoczę w ogień, jeśli zajdzie potrzeba!

Smuga z uśmiechem spojrzął na olbrzyma i rzekł:

— Cieszy mnie, bosmanie, twoja gotowość, bo wkrótce będzie nam gorąco.

— Wal pan prosto z mostu, jak przedstawia się sprawa. Na mnie możesz liczyć — zapewnił marynarz. — Łepetyna do góry, Tomku! Nie opuścimy w niedoli tamtego nieboraka!

— Wyjmij mapę z mojej torby — rozkazał Smuga.

Po chwili mapa leżała rozłożona na podłodze, a wtedy Smuga wyjaśnił:

— Osiem miesięcy temu Zbyszek został przetransportowany z Nerczyńska do Ałdanu. O, to tutaj, w Jakucji.

— A niech to wieloryb połknie! Przecież z naszego obozu bliżej nam było do Ałdanu niż do Nerczyńska! — zdumiał się bosman.

— Będzie około sześciuset kilometrów — dodał Tomek, wymierzywszy na mapie odległość.

— Cóż, należało się liczyć z przykrymi niespodziankami — ciągnął Smuga. — Teraz zastanówmy się, w jaki sposób moglibyśmy dotrzeć do Ałdanu.

— Ba, a co na to powie policja? Przecież Pawłow siedzi nam na karku — zafrasował się bosman.

— Tyle trudu kosztowało nas przedostanie się z Kraju Nadamurskiego do Zabajkala! Jak teraz upozorujemy konieczność udania się do Jakucji? — zawtórował Tomek. — Będziemy musieli się przedzierać przez dziką tajgę! Czy to jednak pewne, że Zbyszek przebywa w Ałdanie?

— Nasz informator uczynił wszystko, co leżało w jego mocy, aby udzielić nam jak najpewniejszych wiadomości. Zastałem u niego jego krewnego, który pracuje u Naszkina. To on właśnie podał mi te dane!

— Czy może osobiście znał Zbyszka — porywczo zawołał Tomek.

Smuga skinął głową.

— Co powiedział? Wal pan prosto z mostu — zachęcił bosman.

— Zbyszek wykazywał duże zainteresowanie handlem futrami. Dzięki temu zyskał sobie dobrą opinię u zwierzchnika. Protekcja syberyjskiego magnata mogła zesłańcowi ułatwić przetrwanie okresu kary. Naszkina łączyły dobre stosunki z gubernatorem i władzami policyjnymi.

— Więc dlaczego Zbyszka stąd wywieźli? — wtrącił bosman. — Nic z tego nie rozumiem...

— Słuchaj cierpliwie, to wszystko pojmiesz — odparł Smuga. — Chłopiec nie przerwał na zesłaniu działalności przeciwko carskiemu rządowi.

— Co pan mówisz! A to rogata dusza! Zuch chłopak! — pochwalił marynarz.

— Policja wykryła, że utrzymywał zażyłe stosunki z młodymi rosyjskimi studentami, zesłanymi na Sybir za knowania rewolucyjne. Wszystkich podejrzanych policja powywoziła do innych miejscowości. Naszkin wstawił się za Zbyszkiem, lecz nic nie wskórał. Na domiar złego policja podobno przechwyciła list napisany przez niego do kogoś w Anglii, w którym prosił o jak najszybszą pomoc.

— Mój Boże, to na pewno był list do mnie — szepnął Tomek.

— I ja tak przypuszczam — powiedział Smuga. — W każdym razie Naszkin postąpił bardzo przyzwoicie. Nie mogąc zatrzymać Zbyszka w Nerczyńsku, wyjednał wysłanie go do swej placówki handlowej w Jakucji, w Ałdanie. Niestety surowy klimat źle wpłynął na zdrowie chłopca. Podobno choruje... Ostatnią wiadomość o nim przyniósł przed trzema miesiącami jakiś agent handlowy.

— A niech to tajfun porwie! Nie mamy chwili do stracenia — stanowczo rzekł bosman.

— Musimy go ratować! — zawołał Tomek, zrywając się z posłania.

— Słuchajcie dalej — powstrzymał ich Smuga. — Nie powiedziałem jeszcze najważniejszego. Agent policji, który wykrył konszachty Zbyszka z rosyjskimi zesłańcami, nazywał się Pawłow.

Bosman i Tomek zaniemówili na chwilę. Zdumionym wzrokiem spoglądali na Smugę. Pierwszy otrząsnął się marynarz.

— Fiu, fiu — gwizdnął przez zęby. — Czy to tylko to samo nazwisko, czy też jest to jeden i ten sam człowiek. Ho, ho, naprawdę robi się gorąco.

— Czy nie dowiedział się pan niczego więcej o tym agencie? — gorączkowo pytał Tomek, z trudem tłumiąc wzburzenie.

— A jakże, dowiedziałem się — potwierdził Smuga. — W jakiś czas później przeniesiono go do Chabarowska.

— Więc to nasz Pawłow! — syknął bosman. — A to gadzina! Nic dziwnego, że łapska śwędziały mnie na sam jego widok!

— Musimy jak najprędzej wracać do ojca — powiedział Tomek. — Wydaje mi się, że nie doceniliśmy przebiegłości tego szpicla!

— Ano faktycznie, ziemia pali się nam pod stopami — przyznał bosman. — Zbierajmy manatki i... wiejmy stąd!

— Zaraz pójdę na stację sprawdzić, kiedy odchodzi pociąg — rzekł Tomek powstając z siennika.

— Siadaj — stanowczo rozkazał Smuga i dodał: — Wiedziałem, że ta wiadomość wytrąci was z równowagi, dlatego właśnie oznajmiłem ją wam na końcu. Teraz należy zachować zimną krew i rozwagę. Dzisiaj nie możemy stąd wyjechać, ponieważ Naszkin zaprosił nas na bankiet, jaki wyprawia na naszą cześć. Zakomunikował mi to sotnik Tucholski. Szedł do nas, gdy wracałem do hotelu. Naszkin chce nam podziękować za pomoc w schwytaniu chunchuzów.

— Niech go wieloryb połknie z jego bankietem — zaklął bosman.

— Akurat teraz będziemy tracili czas na zabawę!

— Powinniśmy jak najszybciej uprzedzić ojca o Pawłowie!

— Co nagle, to po diable — studził ich Smuga. — Nie wolno nam nierozważnie postępować, by nie popełnić jakiegoś błędu. Niebezpieczeństwo grozi nie tylko zesłańcowi.

— Prawda, proszę pana, prawda! Ojciec i bosman są szczególnie zagrożeni, lecz gdyby policja odkryła cel ekspedycji, kiepsko by było z nami wszystkimi. Co teraz zrobimy?

— Dzisiaj wieczorem udamy się na przyjęcie — odpowiedział Smuga.

— Już zamówiłem dorożkę, która przyjedzie po nas. Gdy będziemy przejeżdżali koło dworca, powiesz, Tomku, że zapomniałeś kupić papierosów. Zatrzymasz dorożkę i pójdziesz do bufetu na stacji. Przy okazji sprawdzisz, kiedy odjeżdża pociąg na wschód.

— Sprytnie pan to wykombinowałeś! — roześmiał się bosman, który powoli odzyskiwał humor. — Dorożkarz może pozostawać na usługach policji, nie domyśli się więc, że chcemy czmychnąć stąd jak najprędzej.

— Ostrożność nie zawadzi — rzekł Smuga. — W Rosji agenci policyjni zazwyczaj śledzą cudzoziemców. Chociaż dobrze miałem się na baczności, mogli wyniuchać moje odwiedziny u znajomka Pandita Davasarmana.

— Dmuchał na zimne, nie sparzemy się na gorącym — zawtórował bosman. — Czy nie obawiasz się pan, że agenciaki mogą poszperać w naszych jukach w hotelu?

Smuga poważnie skinął głową.

— Dlatego właśnie trzymałem was obydwóch tutaj w pokoju — odparł.

— Czemuś pan tego od razu nie powiedział?! — obruszył się marynarz.

— I tak byłem pewny, że ściśle wykonacie moje polecenie.

— Gdy dzisiaj wieczorem wszyscy pójdziemy do Naszkina, policja może skorzystać z okazji — zafrasował się Tomek. — Sąsiednie pokoje są obecnie nie zajęte przez gości, w jednym z nich możemy ukryć juk z ekwipunkiem dla Zbyszka.

— Bardzo dobry pomysł, Tomku — pochwalił Smuga. — Rekwizyty przeznaczone do charakteryzacji zaintrygowałyby policję. Bosmanie, pójdiesz zagadać pana Klemensowicza i jego sługę, a my tymczasem...

— Dobra nasza, załatwię ten drobiazg!

Bosman znikł za drzwiami. Po chwili jego tubalny głos rozbrzmiewał gdzieś w głębi domostwa.

Tomek odwrócił się i czujnym wzrokiem spoglądał na odjeżdżającą dorożkę. Sprzed dworca do pałacu Naszkina było zaledwie kilkaset kroków, toteż chwiejący się na koźle podchmielony dorożkarz wcale nie był zdziwiony, że jeden z pasażerów resztę drogi odbędzie piechotą. Tomek wolnym krokiem wszedł do budynku. Przy kasie podróżni tłoczyli się po bilety.

„*Prawdopodobnie jakiś pociąg nadjedzie za chwilę*” — pomyślał młodzieniec i udał się do bufetu w sąsiedniej salce. Przystanął przy ladzie. Poprosił o dwa pudełka papierosów i o kwas. Popijając orzeźwiający napój wdał się w pogawędkę z bufetową. Po chwili wiedział już, że wkrótce nadjedzie pociąg z Ruchłowa. Upewniwszy się, że w kierunku północno-wschodnim będą mogli wyjechać dopiero następnego dnia w południe, Tomek poprosił o jeszcze jedną szklankę kwasu. Mimo woli spoglądał w okno na peron. Lokomotywa, sapiąc i buchając parą, wjechała na dworzec. Nieliczni podróżni wysiadali z wagonów.

Tomek kończył właśnie pić kwas. Już miał odejść od lady bufetu, gdy wtem żołnierz w mundurze kozackim wszedł do sali pobrząkując szablą. Nowy gość wydał się Tomkowi dziwnie znajomy. Kozak zamówił kieliszek czystej wódki. Teraz dopiero spojrzał na Tomka stojącego dotąd samotnie przy ladzie. Na widok młodzieńca zdumienie i radość odmalowały się kolejno na jego twarzy. Pospiesznie zasalutował przykładając prawą dłoń do papachy, to jest do wysokiej futrzanej czapki noszonej przez Kozaków, a następnie zawołał:

— Zdrawstwujię wasze wysokobłagorodje<sup>487</sup>, jak to dobrze, żeśmy się spotkali, przywożę dobrą nowinę! Aresztowaliśmy kapitana Wanga!

Tomek po chwili dopiero przypomniał sobie, skąd zna tego Kozaka.

Był to dowódca oddziałku, który z rozkazu sotnika Tucholskiego udał się na poszukiwanie przewoźnika—szpiega. Ciekaw wiadomości z obozu, ochoczo przywitał się z żołnierzem.

— Cieszę się, że kapitan Wang nie zdołał wam umknąć — odparł Tomek ściskając dłoń Kozaka. — W jaki sposób schwyciliście tego łajdaka?

— Przyłapaliśmy sobakę<sup>488</sup> na przystani, gdzie statki ładują drewno na opał. Towarzysz panów, który z nami jechał, natychmiast go rozpoznał.

— To znaczy, że Udadźalaka bez złej przygody dotarł do obozu — niby mimochodem zauważył Tomek, bacznie zerkając na Kozaka.

— Wasze wysokobłagorodje już nie potrzebuje się kłopotać o niego — zapewnił Kozak. — Wszyscy się radowali, słysząc o szczęśliwym zakończeniu przygody z chunchuzami. Bardzo wypytywali o rannego pana.

— Szybko wróciliście z drogi? — badał Tomek.

— Gnaliśmy na złamanie karku, bo barin<sup>489</sup> Pawłow rozkazał jak najprędzej doręczyć list sztabskapitanowi<sup>490</sup> Gołosowowowi.

Serce mocno zabiło w piersi Tomka. Przysłonił oczy powiekami, aby nie zdradzić swego przestachu, i siląc się na spokój, zapytał:

— A kto to jest ten Gołosowow?

— To sztabskapitan żandarmerii w Nerczyńsku. Jemu podlegają wszystkie polityczne przestupniki<sup>491</sup> w tym rejonie. Gołosowow i Pawłow razem tutaj pracowali.

Tomek wolno popił kwasu. Nie mógł opanować drżenia dłoni trzymającej szklanę. Po chwili zapytał:

— Czy pan specjalnie z tym listem przyjechał? Musi zawierać jakąś ważną wiadomość?

— Barin Pawłow zmartwił się wypadkiem z chunchuzami. Wręczył mi list i rozkazał oddać go natychmiast Gołosowowowi do rąk własnych.

<sup>487</sup> — Dzień dobry, jaśnie panie.

<sup>488</sup> — Sobaka — pies.

<sup>489</sup> — Barin — pan.

<sup>490</sup> — Sztabskapitan (ros. sztabs—kapitan) — w Rosji carskiej stopień wojskowy pośredni między stopniem porucznika i kapitana w piechocie, artylerii, wojskach saperskich oraz w żandarmerii pieszej.

<sup>491</sup> — Polityczne przestupniki — przestępcy polityczni.



Powiedział, że sztabskapitan najlepiej zaopiekuje się rannym. Za ujęcie Wanga otrzymałem miesiąc urlopu. Jadę więc pod Irkuck do żony. Urodził mi się syn. Mógłbym jechać dalej tym samym pociągiem. Nie wiem tylko, gdzie będę teraz mógł zastać sztabskapitana Gołosowowa, żeby oddać pismo.

Tomek zmarszczył brwi. Gdyby mógł przejąć ten list! Nie sposób siłą odebrać go Kozakowi. Gdyby jednak oddał dobrowolnie...

— Jak długo trwa postój pociągu w Nerczyńsku? — zapytał.

— Tylko pół godziny... — odparł Kozak ciężko wzdychając. — Nie zdążę. Teraz wieczór, już po służbie... Sztabskapitan na pewno na hulance! Niełatwo znaleźć...

Tomek zastukał w ladę i polecił bufetowej nalać wódki.

— Za zdrowie twego syna! — rzekł do Kozaka, przepijając do niego swoją szklanką kwasu.

Wypili. Kozak lekko poczerwieniał i dziękował Tomkowi, ten zaś wydobył z kieszeni dwie złote dziesięciorublówki, mówiąc:

— Wyświadczyłeś nam przysługę. Zdrajca Wang poniesie zasłużoną karę. Oto skromny upominek ode mnie dla twego syna.

Tomek znów skinął na bufetową.

— Stęskniłeś się za żoną. Pewno chciałbyś również jak najprędzej zobaczyć syna — mówił unosząc szklankę z kwasem. — Na zdrowie!

Kozak tęsknym wzrokiem spoglądał w kierunku pociągu.

— Jak by ci tu pomóc? — zastanawiał się Tomek, nieznacznie zerkając na towarzysza. — Ano cóż, szkoda, że osobiście musisz oddać pismo. Za godzinę lub dwie będę z przyjaciółmi na balu u pana Naszkina. Sztabskapitan Gołosowow pewno także został zaproszony...

— Jeśli tam jest dzisiaj hulanka, Gołosowow stawi się jak zwykle. To dopiero za godzinę... — markotnie powiedział Kozak. — Cóż robić, nie zdążę... Następny pociąg dopiero jutro...

— Stąd niedaleko do pałacu. Mógłbyś zostawić tam u kogoś ten list — kusił Tomek.

— A jak nie oddadzą? — zafrasował się Kozak.

Naraz przyszła mu pewna myśl do głowy. Pochylił się ku Tomkowi i zawołał:

— Wasze wysokobłagorodje idzie na bal.. Ech, nie śmiem prosić...

— Czy chcesz, abym wręczył list sztabskapitanowi Gołosowowowi? — zapytał Tomek. — Nie krępuj się, to drobnostka. Mogę to dla ciebie zrobić.

Kozak ucieszył się, lecz zapewne ogarnęły go wątpliwości, czy postępuje zgodnie z rozkazem, gdyż rzekł usprawiedliwiająco:

— Przecież barin Pawłow mówił, że pismo dotyczy waszego przyjaciela, więc przekazuję go w najpewniejsze ręce. Pawłow chyba pochwali. No, a jeśli nie, to czort z nim! — Mówiąc to, jeszcze bardziej pochylił się ku Tomkowi i mruknął: — Nie lubię... szpicli!

— Najlepiej uczynisz nie wspominając, że listu nie wręczyłeś osobiście. Nie obawiaj się, nie zdradzę cię przed Pawłowem — uspokoił go Tomek. — Spiesz się, pociąg zaraz odjeżdża!

Właśnie rozbrzmiały dwa uderzenia dzwonu. Konduktorzy zaczęli zamykać drzwi wagonów. Kozak machnął dłonią, zerwał z głowy papachę, wydobył z niej kopertę i wręczając ją Tomkowi, powiedział:

— Oto pismo, wasze wysokobłagorodje. Uniżenie dziękuję za łaskę. Nim mój urlop minie, Gołosowow zapomni, kto mu je oddał!

— Jeszcze dzisiaj otrzyma pismo — odpowiedział młodzieniec, niedbałym ruchem chowając kopertę do kieszeni.

Uścisnęli sobie dłonie. Kozak pobiegł ku wyjściu. Wskoczył do wagonu, gdy rozbrzmiały trzy uderzenia dzwonu. Konduktor zatrzasnął za nim drzwi. Pociąg wolno ruszył z miejsca. Tomek stał przy oknie, dopóki peron nie opustoszał, po czym rozejrzał się po sali bufetowej. Był jedynym gościem, więc zaszył się przy stoliku w samym kącie. Zamówił herbatę.

„*W jakiej sprawie agent Pawłow pisze do sztabskapitana żandarmerii?* — zastanawiał się, niecierpliwie czekając na podanie samowara. — *Czy powiedział prawdę temu żołnierzowi?*”

W końcu bufetowa przyczłapała z samowarem. Ustawiła go na stoliku przed Tomkiem i znikła za ladą. Tomek nalał wrzątku w szklankę. Ostrożnie rozejrzał się wokoło. Wydobył z kieszeni kopertę. Odczytał adres:

*Do rąk własnych Pana Sztabskapitana Mikołaja Aleksiejewicza Gołosowowa — POUFNE.*

Kilkakrotnie przesunął kopertę nad parą unoszącą się ze szklanki z herbatą. Następnie ostrzem scyzoryka podważył brzeg. Wyjął list...

*Kochany Mikołaju Aleksiejewiczu!*

*Bardzo proszę o załatwienie dla mnie pilnej sprawy służbowej. Należy natychmiast sprawdzić w aktach polskiego zesłańca politycznego, o ile dobrze pamiętam imię — Zbigniewa Karskiego, do kogo to w Anglii usiłował przemyścić list z Nerczyńska. Na pewno dobrze pamiętacie tę sprawę, gdyż ów list przyłapany przeze mnie sprawił Wam wiele satysfakcji. Jeśli tylko nie zwodzi mnie intuicja, to trzymam w sieci niezwykle drapieżne ryby. Żadaną wiadomość jak najszybciej prześlijcie przez umyślnego gońca, który pod jakimś zręcznym pozorem niech przybędzie do...*

Dalej Pawłow dokładnie określał położenie obozu łowców dzikich zwierząt.

Krople potu zaperliły się na czole Tomka. Jeszcze raz odczytał list... A więc ten wykpiwany przez bosmana agent przeniknął ich tajemnicę! Wszyscy uczestnicy wyprawy znajdowali się w śmiertelnym niebezpieczeństwie... Cóż za okrutną niespodziankę spłatałby im Pawłow, gdyby nie to całkowicie przypadkowe spotkanie na dworcu z „umyślnym” posłańcem.

Tomek schował list do kieszeni. Przerażony fatalnym zbiegiem okoliczności, z wielką trudnością starał się zapanować nad ogarniającą go paniką. Dopiero po jakimś czasie uspokoił się na tyle, by myśleć logicznie. Jeśli teraz nie odda listu sztabkapitanowi, zyskają kilka cennych dni czasu. Oczywiście muszą z bosmanem i Smugą natychmiast wracać do ojca, zwinąć obóz i uciekać z Syberii, zanim Pawłow, nie doczekawszy się odpowiedzi na swój list, nie wyśle drugiego posłańca. Przede wszystkim jednak należy bez zwłoki powiadomić o groźnej sytuacji Smugę i bosmana.

Przywołał bufetową i zapłacił za herbatę. Wyszedł przed dworzec. Już zapadał zmrok... Głęboko odetchnął świeżym powietrzem. Szybkim krokiem skierował się ku okazałemu domostwu Naszkina.



## POJEDYNEK

Tomek pełen najczarniejszych myśli niemal biegł w stronę pałacu, którego okna w przedwieczornym mroku gorzały jasnym światłem. Czy będzie miał możliwość natychmiast porozumieć się z przyjaciółmi? Przecież nieoczekiwane spotkanie z posłańcem Pawłowa znacznie przedłużyło jego pobyt na dworcu! Drzemka stangretów kilkunastu powozów stojących przed okazałą rezydencją Naszkińska świadczyła, że przyjęcie już się rozpoczęło. Teraz wywabienie Smugi i bosmana na ubocze mogło się okazać niemożliwe. Obawy Tomka wkrótce sprawdziły się całkowicie. Zaledwie bowiem wkroczył do hallu, służba zaraz go poinformowała, że goście zasiedli do stołu.

Poprzedzany przez lokaja szedł zdumiony przepychem pałacu, który nawet w stolicy Rosji, Petersburgu<sup>492</sup>, nie znalazłby wiele równych sobie. Na pokrytych drogimi tapetami ścianach salonów wisiały obrazy najbardziej znanych w Europie malarzy. W jednej z sal Tomek ujrzał największe wówczas na świecie zwierciadło, zakupione przez Butina na paryskiej wystawie w roku 1878, przewiezione morzem do portu w Mikołajewsku, a potem Amurem do Nerczyńska na specjalnie w tym celu zbudowanym statku. W lśniących posadzkach odbijały się kryształowe kandelabry oraz marmurowe rzeźby, a w zacisznych gabinetach wzorzyste perskie dywany tłumyły kroki. Jedwabne portiery, oryginalne stylowe meble i egzotyczne palmy stanowiły wymowny dowód bogactwa właściciela tej wspaniałej siedziby.

Na przyjęciach u syberyjskich bogaczy gromadzili się zazwyczaj najwybitniejsi obywatele miasteczka. Tak więc i tego wieczoru wśród biesiadników nie brakło dwóch właścicieli prywatnych kopalń złota położonych w okręgu nerczyńskim, zamożniejszych kupców, dygnitarzy

---

<sup>492</sup> — Petersburg — do 1914 r. Sankt–Petersburg, potem do 1924 r. Piotrogród, a po śmierci Lenina przemianowany na Leningrad — jest miastem i portem leżącym u ujścia Newy, założonym przez cara Piotra Wielkiego w 1703 r. Od 1713 do 1918 był stolicą carskiej Rosji. Obecnie drugi po Moskwie ośrodek kulturalno–naukowo–przemysłowy w ZSRR. Posiada liczne zabytki architektury. Miasto ma bogate tradycje rewolucyjne: w 1825 r. przeżyło powstanie dekabrystów, w 1905 r. Krwawą Niedzielę, która zapoczątkowała rewolucję 1905–7, w 1917 r. zbrojne powstanie w Piotrogradzie, początek Rewolucji Październikowej, a w czasie II wojny światowej mieszkańcy Leningradu bohatersko przetrzymali 29–miesięczne oblężenie przez Niemców.

wojskowych i cywilnych, jak i reprezentantów tego prowincjonalnego świata kulturalnego. Gdy lokaj wprowadził do jadalni nowego gościa, przycichły na krótką chwilę rozmowy przy długim stole. Naszkin, jako gospodarz, powstał na powitanie Tomka, ogólnie przedstawił go całemu towarzystwu i zaprowadził ku wyznaczonemu dla niego miejscu.

Tomek, za ledwie usiadł, niecierpliwym wzrokiem szukał swoich przyjaciół, chcąc ściągnąć ich uwagę i gdy tylko nadarzy się sprzyjający moment, powiadomić o nie znanym nowym niebezpieczeństwie. Najpierw spostrzegł olbrzymiego bosmana. Rubaszny przyjaciel niefrasobliwie mrugnął do niego okiem i zaraz odwrócił się ku dwóm wpatrzonym w niego damom, z którymi wiódł wesołą rozmowę. W czarnym żakiecie<sup>493</sup> oraz sztywnej białej koszuli wyglądał bardzo szykownie, lecz zapewne w wizytowym stroju nie czuł się zbyt swobodnie, gdyż co chwilę mimo woli poprawiał krawat. W przeciwieństwie do niego Smuga od razu zauważył niezwykle podniecenie Tomka. Początkowo sądził, że huczne przyjęcie w tchnącym przepychem pałacu wprawia go w zakłopotanie, ale wkrótce porzucił tę myśl, Tomek bowiem wcale nie zwracał uwagi na swe otoczenie przy stole. Toteż gdy młodzieniec w końcu wypatrzył Smugę usadowionego między jakąś damą i oficerem, napotkał jego karcący wzrok.

Nieme upomnienie podziało na Tomka jak zimny prysznic. Zaczerwienił się i pomyślał zmieszany: „*Widocznie przestach pozbawił mnie rozsądku, muszę cierpliwie poczekać, dopóki nie wstaniemy od stołu.*”

Naszkin właśnie wznosił toast za zdrowie gości z dalekich krain, więc Tomek, pragnąc opanować własne wzburzenie, uniósł kielich napelniony szampanem i wychylił go do dna. Z wysiłkiem odetchnął, gdyż dzięki wzorowym zasadom wpojonym przez ojca nie używał napojów wysokokowych. Po chwili poczuł pewną ulgę. Teraz zerknął na swe sąsiadki.

Dama z prawej strony, pochylona ku siedzącemu tuż obok niej oficerowi, rozmawiała z nim półszepem. Natomiast młoda, znacznie skromniej ubrana dziewczyna z drugiej strony Tomka, przymrużywszy oczy uważnie mu się przyglądała. Była to szczupła, błękitnooka blondynka o bardzo regularnych rysach twarzy. Tomek zaczerwienił się pod jej badawczym, poważnym spojrzeniem.

---

<sup>493</sup> — Żakiet — rodzaj męskiej długiej marynarki z zaokrąglonymi połami, noszonej do stroju wizytowego na przełomie XIX i XX w.

„Do licha, pewno spostrzegła moje głupie zachowanie” — pomyślał.

Chcąc w jakiś sposób zatuszować niezręczność, podsunął sąsiadce patere z kawiozem. Jakby tylko czekała na okazję do rozmowy, uśmiechnęła się i zagadnęła po rosyjsku:

— Spóźnił się pan, już myślałam, że stracił pan ochotę do zabawy z syberyjskimi dzikusami!

— Załatwiałem po drodze drobny sprawunek — usprawiedliwił się Tomek. — Proszę wybaczyć moje roztargnienie. Trochę oszołomił mnie przepych pałacu. Nie spodziewałem się ujrzeć takich wspaniałości w głębi Syberii.

— Kraj kontrastów, dorobkiewiczze dzięki katorżniczej pracy zesłańców pławią się w szampanie, tubylcy natomiast przymierają głodem, zżerani jeszcze za życia przez robactwo — ironicznie odparła dziewczyna.

Tomek uważniej spojrział na nią. Czyżby prowokowała go do jakichś nieostrożnych wypowiedzi? Nie, nie sprawiała takiego wrażenia. Dużymi, jasnymi oczyma poważnie wpatrywała się w niego. Zagadkowy uśmiech czał się w kącikach jej ust.

— Mniej tu kontrastów niż na przykład w Indiach — powiedział Tomek. — Gościliśmy niedawno u maharadzy Alwaru. Jego pałac mógłby olśnić nawet królów państw europejskich, a przecież większość Indusów żyje w nędzy i często ginie śmiercią głodową. Mój przyjaciel, król Bugandy w Afryce, również inaczej żyje niż jego poddani.

— Przez grzeczność lub... z innych względów usiłuje pan usprawiedliwić gwałt, jaki dzieje się prawowitym mieszkańcom Syberii. Nie dziwię się, przecież to ja tylko znam pana, podczas gdy pan nic o mnie nie wie.

— Czy to ma znaczyć, że gdybym więcej wiedział o pani, to zmieniłbym zdanie o takich czy innych sprawach? — ostrożnie zapytał Tomek.

Ktoś wznosił toast na cześć gospodarza. Intrygująca rozmowa urwała się, wszyscy powstali z kielichami w dłoniach. Tomek teraz ledwo dotknął ustami kieliszka. Usiedli. Dziewczyna pochyliła się ku niemu i szepnęła:

— Nazywam się Natasza Władimirowna Bestużewa. Nerczyńsk jest moim więzieniem, przybyłam tutaj z wyroku sądu jako zesłaniec polityczny.

— Nie przypuszczałem, że zesłańcy mogą uczestniczyć w przyjęciach u syberyjskich bogaczy — zauważył Tomek, nieufnie mierząc ją wzrokiem. — Nie taki więc diabeł straszny, jak go malują!

— To tylko dzięki wpływom wszechwładnego tutaj Naszkin. On jest spokrewniony z moją matką. Na wieść o aresztowaniu wyjednał, by zesłano mnie do Nerczyńska. Pracuję w jego przedsiębiorstwie.

— Hm, jeśli tak, to naprawdę przyzwoicie postąpił — powiedział Tomek. — Czy on zatrudnia również innych zesłańców?

— Tak, przecież to przeważnie inteligentni ludzie. Na Syberii brak umiejących czytać i pisać. Ja studiowałam w Moskwie medycynę.

— Ciekawe, słyszałem, że są trudności w przyjmowaniu zesłańców do pracy.

— Naszkin dorobił się fortuny, nawet gubernator mile widzi go u siebie. Carska administracja na Syberii pławi się w wódce, a na to przecież trzeba pieniędzy. Kto ma czym płacić, może sobie na wiele pozwolić.

Niespodziewane wyznanie młodej dziewczyny dało Tomkowi wiele do myślenia. Zamilkł i zaczął obserwować biesiadników siedzących przy stole. Niebawem zwrócił uwagę na wysokiego, barczystego oficera, który uparcie wpatrywał się w jego towarzyszkę.

Tomek pochylił się ku niej i szepnął:

— Ktoś pilnie panią obserwuje!

— Czy ma pan na myśli tego oficera w żandarmskim mundurze? — zapytała.

Tomek potwierdził, a wtedy rzekła:

— To sztabkapitan żandarmerii Mikołaj Aleksiejewicz Gołosowow. Twierdzi, że zakochał się we mnie. Niech pan się go wystrzega, to niebezpieczny człowiek. Postarałam się o to, aby wyznaczono panu miejsce obok mnie. Pragnęłam ostrzec pana.

Tomek zdumiony oparł się ciężko o poręcz krzesła. Co miały oznaczać słowa tej dziwnej, tajemniczej dziewczyny? Czego ona od niego chciała? Zdezorientowany zerknął ku Smudze. Na krótką chwilę spotkały się ich spojrzenia. Tomek odetchnął głęboko i odzyskał spokój. Znów pochylił się ku Nataszy.

— Dziękuję za... radę, lecz nie znam żandarma Gołosowowa i nie wiem, dlaczego miałbym się go obawiać. Jestem łowcą zwierząt, a nie więźniem



politycznym<sup>494</sup>. Czy jednak nie będzie pani miała przykrości za tę rozmowę z cudzoziemcem?

— Być może, lecz to nie ma znaczenia w tej chwili. Niecierpliwie czekałam tego wieczoru — odparła dwuznacznie spoglądając na młodzieńca.

— Nie rozumiem pani... — zdumiał się Tomek.

— Kilka dni temu sotnik Tucholski powiadomił Naszkiną o ujęciu bandy chunchuzów i panów cennej pomocy. Zaledwie usłyszałam wasze nazwiska, od razu, domyśliłam się, w jakim celu przybył pan do Nerczyńska. Niestety, spóźnił się pan! Parę miesięcy temu Zbyszka wywieźli do Ałdanu...

Widelec wysunął się ze zmartwiałej dłoni Tomka i z brzękiem upadł na talerz. Na szczęście czujny Smuga, choć nie mógł odgadnąć, co się dzieje z Tomkiem, spostrzegł jego przerażenie i niemal w tej samej chwili nożem zastukał w talerz, dając tym sposobem znać, że pragnie przemówić. Tym sprytnym manewrem skupił na sobie uwagę wszystkich biesiadników. W grzecznych słowach podziękował gospodarzowi za miłą gościnę. Zanim skończył, Tomek zdążył nieco ochłonąć. Jeszcze tylko trochę drżącym głosem zapytał:

— Czy Zbyszek pani powiedział...?

— Pan jeszcze nie wie, że Zbyszek pisał do pana do Anglii. Czytałam ten fatalny list, zanim wpadł w ręce policji — potwierdziła. — Wszystko wiem o panu i pana ojcu. Zbyszek wierzy w pana jak w nikogo na świecie. Żal mi go było, bo nie sądziłam, żeby ktokolwiek mógł teraz pokusić się o uprowadzenie zesłańca z serca Syberii.

Tomek wydobył chusteczkę. Wylał czoło z potu. Dziewczyna patrzyła mu prosto w oczy. Cicho zapytał:

— Co on pisał w tym liście?

— Prosił o pomoc w zorganizowaniu ucieczki. List miał być wysłany nielegalnie. Jednemu z naszych wspólnych znajomych skończyła się kara zesłania. Wracał do Moskwy, stamtąd zamierzał przemycić list za granicę.

— Czy on zdradził?

— Och, nie! To agent Pawłow wykrył naszą tajemnicę i podstępnie odebrał list.

— Byliście nieostrożni... Dlaczego tu śledzono Zbyszka? Czy tak postępuje się również z innymi więźniami?

---

<sup>494</sup> — Żandarmeria była w Rosji policją do spraw politycznych.

— Wszyscy zesłańcy podlegają tutaj Gołosowowowi. To prawdziwa kanalia, lecz Zbyszka szczególnie nienawidził. Mścił się za to, że Zbyszek darzył mnie sympatią. Teraz już wie pan wszystko.

Tomek zamyślił się. Natasza na pewno mówiła prawdę. Informacje jej nie tylko pokrywały się ze znanymi mu faktami, lecz nawet logicznie uzupełniały. Natomiast ona nie była świadoma, że Pawłow znów schwycił nić spisku w swoje drapieżne ręce. Po krótkim namyśle powiedział jej o liście do sztabskapitana żandarmerii. Po raz pierwszy podczas całej rozmowy dziewczyna pobladła. Tomkowi zdawało się, że zemdleje. Jednakże zapanowała nad sobą. Marszcząc gniewnie brwi, powiedziała:

— Gdybym była mężczyzną, wyzwalałbym go pod jakimkolwiek pretekstem na pojedynek i w uczciwej walce usunęłabym z waszej drogi. Niestety, jestem tylko dziewczyną–zesłańcem, więc zastrzelę go po prostu jak wściekłego psa!

Tomek, przestraszony nie na żarty, milczał dłuższą chwilę. Nie mógł się zdobyć na słowa. Rozejrzał się ostrożnie; na szczęście najbliżsi sąsiedzi, zajęci sobą, prowadzili ożywione rozmowy.

Nachylił się bardziej ku dziewczynie i siląc się na spokój rzekł:

— Cóż z tego, że zginie Gołosowow? Przecież oprócz niego istnieje jeszcze Pawłow.

— Zabiję Gołosowowa! Musicie uwolnić Zbyszka! On jest ciężko chory, załamał się, rozumiesz? Umrze na pewno, jeśli dłużej tu zostanie.

— Głupstwa pleciesz? Zastanów się, co by uczynił Zbyszek, gdybyś przez niego zginęła na szubienicy?!

Łzy załśniły w oczach dziewczyny, usta jej drżały. Tomek przeraził się, że Gołosowow lub ktoś inny z gości zauważy wzburzenie Nataszy, przerwał więc rozmowę i pospiesznie nakładał jej na talerz zakąski. Gdy po chwili ochłonęła, Tomek nie powracał już do przerwanej rozmowy. Uczta ożywiła się w miarę spełnianych toastów. Gdzieś z głębi pałacu dobiegały dźwięki orkiestry... Biesiadnicy zaczęli wstawać od stołu. Tomek ujął dziewczynę pod ramię i poprowadził do sali balowej. Na galerii tworzącej półkole, obok instrumentu przypominającego kościelne organy, stało kilku muzykantów. Grali walce. Tomek otoczył Nataszę ramieniem, zaczęli tańczyć.

— Zachowuj się rozsądnie — szepnął, gdy znaleźli się z dala od innych par. — Pozostaw nam całą sprawę, jakoś damy sobie radę. Nie zrezygnujemy z uwolnienia Zbyszka. Możesz być pewna.

— Pawłow jest mniej groźny, to zwykły policyjny szpicel — odparła. — Gołosowow natomiast nawet i bez jego pomocy może się domyślić prawdy. Czy ty nie rozumiesz, że on już interesuje się wami jedynie dlatego, że jesteście cudzoziemcami? Muszę go unieszkodliwić za wszelką cenę!

Tomek zasepił się, przecież doskonale rozumiał, że w tej chwili największe niebezpieczeństwo groziło im ze strony sztabskapitana żandarmerii. Spojrzał w zdeterminowaną twarz Nataszy i nagle wprost szaleńczy pomysł przyszedł mu do głowy.

— Czy chcesz mi pomóc? — szepnął.

— Wszystko uczynię dla ratowania Zbyszka...

— A więc uważaj...!

Orkiestra właśnie kończyła walca. Już od dłuższej chwili Tomek widział Gołosowowa. Stał na uboczu sali. Wściekłym wzrokiem śledził tańczącą Nataszę. Tomek zręcznym manewrem zbliżył się do niego. Zawirował tuż przed nim. Natasza nie zdawała sobie nawet sprawy, jak zderzyli się z żandarmem. Zaskoczony Gołosowow odruchowo odepchnął dziewczynę, gdy na moment utraciła równowagę i oparła się plecami o jego pierś. Tomek natychmiast podtrzymał Nataszę.

Zasłaniając ją sobą, zawołał:

— Uderzył pan kobietę! To nikczemne!

Sztabskapitan osłupiał. Przez chwilę stał zdumiony; zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Tomek dodał:

— Tylko tchórz i podlec tak postępuje!

Twarcz sztabskapitana pokryła się purpurą. Zamachnął się prawą ręką i uderzył przeciwnika w twarz. Tomek pobladł, przysunął się ku Gołosowowowi, lecz nie oddał policzka.

— Zapłaci mi pan za tę obelgę! — powiedział złowrogo.

Kilku innych gości spostrzegło przykre zajście. Otoczyli poważnionych. Smuga był między innymi.

— Co się stało, Tomku? — zapytał po rosyjsku, niespokojnym wzrokiem mierząc przyjaciela i dziewczynę stojącą u jego boku.

— Co tu się dzieje? — basem zahuczał bosman, wyrósłszy jak spod ziemi.

Tomek umyślnie zwlekał z wyjaśnieniem, gdyż spostrzegł Tucholskiego przepychającego się ku nim. Sotnik był już w mundurze esauła<sup>495</sup>. Nie minął go awans za „rozgromienie” bandy chunchuzów.

— Ten pan najpierw uderzył kobietę będącą w moim towarzystwie, a potem mnie spoliczkował — powiedział Tomek, gdy Tucholski zbliżył się do niego. — Żądam satysfakcji!

— Wot, skatina! <sup>496</sup>Upił się pewno, na uczastok <sup>497</sup>go wziąć, to wytrzeźwieje — syknął Gołosowow.

— Zachował się pan jak na śledztwie — zawołała Natasza. — Na szczęście ten pan nie jest więźniem!

Smuga odwrócił się do Gołosowowa, zmierzył go ostrym wzrokiem i rzekł głośno:

— Powściągnij swój język, sztabskapitanie, żebym nie musiał ci go przyciąć bez żądania zadośćuczynienia.

— Pozwól pan, porozmawiam z tym... — odezwał się bosman, wyciągając łapsko ku żandarmowi.

— Przepraszam, to moja sprawa, mnie tu obrażono — wtrącił Tomek.

— Chwileczkę, panowie, nie zakłócajmy wszystkim zabawy. Przejdźmy porozmawiać w ustronne miejsce — zaproponował Tucholski. — Proszę panów za mną.

Trzej przyjaciele i Gołosowow w ślad za esaułem Tucholskim opuścili salę balową.

— Oszalałeś! Coś ty zrobił najlepszego?! — szepnęła Smuga do Tomka.

— Później wyjaśnię... Grozi nam niebezpieczeństwo... Specjalnie go sprowokowałem... — odszepnął Tomek.

Weszli do gabinetu. Esauł Tucholski rzekł oschłym tonem:

— Sztabskapitanie Gołosowow, ci panowie wyświadczyli władzom wojskowym dużą przysługę. Jego ekscelencja gubernator interesuje się nimi. Jest pan zobowiązany dać im satysfakcję!

---

<sup>495</sup> — Esauł — stopień oficerski w przedrewolucyjnych pułkach kozackich.

<sup>496</sup> — A to bydle.

<sup>497</sup> — Uczastok — komisariat.

Gołosowow ze złością spojrział na Tucholskiego. Był to oficer do specjalnych poruczeń i zarazem ulubieniec gubernatora. Jego opinia mogła zaważyć na dalszej karierze, toteż Gołosowow powstrzymał cisnące mu się na usta przekleństwo i tłumiąc wściekłość mruknął:

— Nie miałem złego zamiaru, sam przyczepił się, czegoż chcecie ode mnie?

W tej chwili do gabinetu wbiegł Naszkin.

— *Gospodi*<sup>498</sup>, taka nieprzyjemność spotkała panów w moim domu — zawołał. — Przepróż, sztabskapitanie, naszego miłego gościa, bo pomyśli, że znajduje się wśród bradiagów!

— Pospiesz się pan, bo ręka mnie diabelnie świerzbi! — dodał bosman postępując ku żandarmowi.

Smuga natychmiast zagroził mu drogę, nie spuszczając czujnego wzroku z Tomka.

Gołosowow drżał z gniewu, lecz czuł własną bezsilność. Skoro zausznik gubernatora i potentat syberyjski byli przeciwko niemu, nierozsądnie byłoby przeciwstawiać się im.

Tomek obawiał się, że bosman lub Smuga mogą lada chwila przeszkodzić mu w jego zamiarach, podszedł więc do Naszkinia i rzekł stanowczym tonem:

— Przykro mi, że to... zdarzyło się tutaj, wszakże wśród ludzi honoru za policzek nie płaci się zwykłym przeproszeniem. Żądam satysfakcji z bronią w ręku.

— Cóż, ma pan słuszność, ale proszę wziąć pod uwagę, że pojedynki są zakazane — zafrasował się Naszkin. — Co pan na to, esaule?

Tucholski, do którego były zwrócone ostatnie słowa, ze złośliwym błyskiem w oczach spojrział na oficera żandarmerii. Wielu wojskowych nie lubiło policji politycznej.

— Zakaz zakazem, a honor honorem, zwłaszcza... oficera! — odparł. — Przy zachowaniu dyskrecji można by to jakoś urządzić.

— A co będzie, jeśli tego pana spotka dalsza nieprzyjemność podczas pojedynku? — zapytał Gołosowow.

— O ile nie brak panu odwagi, to o mnie proszę się nie troszczyć — wtrącił Tomek.

— Dość tego, proszę o sekundantów — warknął Gołosowow.

---

<sup>498</sup> — Boże drogi!

— Ejże, nie wytrzymam, jak mi Bóg miły — rozgniewał się bosman.

— Panowie, panowie, proszę o chwilę cierpliwości — pojednawczo zawołał Naszkin. — Najlepiej niech sekundanci omówią to między sobą. Ja proponuję wymianę strzałów. W ten sposób wilk będzie syty i owca cała.

Bosman pochylił się do Smugi.

— Zwariował chłopak czy co? — zaproponował. — Po jakiego diabła ma się strzelać z tym żandarmem?! Jeśli nie mógł oddać mu policzka, zaraz zrobię to za niego i sprawa załatwiona!

— Już za późno, bosmanie — odszepnął Smuga, powstrzymując krewkiego marynarza za ramię. — Tomek powiedział, że umyślnie go sprowokował. Grozi nam jakieś poważne niebezpieczeństwo...

— Czyżby coś wyniuchał?

— Prawdopodobnie. Milcz teraz...

Smuga z niepokojeni śledził Tomka. Jednocześnie gubił się w domysłach, co mogło skłonić zazwyczaj rozsądnego młodzieńca do tak nierozważnego kroku. Było to tym bardziej niezrozumiałe, że Tomek zazwyczaj unikał walki z bronią w rękę, a pojedynki uważał za warcholską farsę. Do czego wobec tego zmierzał i z jakiego powodu? Proponowana przez Naszkiną wymiana strzałów nie przedstawiała dla walczących zbyt dużego ryzyka. W starciu na takich warunkach, przeciwnicy przeważnie strzelali w powietrze, nie mierząc do siebie.

Cóż jednak za cel mógł mieć Tomek, chcąc doprowadzić do parodii pojedynku?

Smuga nie miał czasu na rozważanie sytuacji, bowiem Tomek uklonił się Naszkinowi i rzekł:

— Słuszna uwaga, proszę pana. Niech sekundanci ustalą warunki spotkania. Czy pan Smuga i pan Broł zechcą występować w moim imieniu?

— Oczywiście, proszę bardzo — odparł Smuga. — Kto będzie reprezentował pana Gołosowowa?

Oficer żandarmerii z drwiącym uśmiechem zwrócił się z prośbą do Tucholskiego i Naszkiną. Nie odmówili. Sztabskapitan zadowolony mierzył przeciwnika lekceważącym spojrzeniem. W swojej karierze wojskowej odbył już przecież kilka pojedynków i z wszystkich wyszedł bez szwanku. Zabroniona rozprawa orężna, której patronowali tacy dwaj wpływowi ludzie

jak Tucholski i Naszkin, nie groziła mu przykrymi następstwami, nawet gdyby zabił przeciwnika.

Zgodnie z przepisami kodeksu honorowego <sup>499</sup>obydwie strony udały się do oddzielnych pokoi w celu omówienia sprawy, potem zaś już tylko sami sekundanci mieli ustalić warunki spotkania.

Zaledwie trzech przyjaciele znaleźli się w zacisznym gabinecie, bosman wybuchnął:

— Jak amen w pacierzu wściekły rekin ugryzł cię w zadek i... oszalałeś! Cóżżeś zrobił najlepszego?!

— Milcz, bosmanie! — zgromił go Smuga. — Zaraz dowiemy się, dlaczego to uczynił.

Młodzieniec, nic nie mówiąc, wyjął z kieszeni list Pawłowa do Gołosowowa i podał go przyjaciółom.

— A więc Pawłow odgadł prawdę — odezwał się Smuga, na głos przeczytawszy pismo.

— Nie posądzałem tej gadziny o taką przebiegłość — zdumiał się bosman. — Ukręcę mu łeb po powrocie do obozu!

— To jeszcze nie wszystko — dodał Tomek i poinformował towarzyszy o swej rozmowie z Nataszą.

Słuchali z napięciem, a gdy wyjaśnił, w jaki sposób doprowadził do zajścia z Gołosowowem, bosman pochwalił:

— Gracko spisałeś się, brachu! Do licha, mdli mnie w dołku na myśl, że masz się nadstawić pod lufę temu żandarmowi! Panie Smuga, czy nie ma żadnych możliwości, żebym stanął do pojedynku zamiast Tomka?!

— Od samego początku awantury szukam jakiegoś sposobu, by móc to uczynić — z namysłem odpowiedział Smuga. — Hm... Tomek jest niepełnoletni... Opiekun miałby prawo za niego wystąpić.

— Jak amen w pacierzu to przednia myśl! — radował się bosman.

— Naszkin i Tucholski wyglądają na przyzwoitych ludzi, na pewno zgodzą się, abym go zastąpił.

— Nic z tego, szanowny panie! — porywczo zaprotestował marynarz. — Mnie ojciec Tomka zlecił opiekę, więc ja nadstawię karku. Rany boskie, w

---

<sup>499</sup> — Kodeks honorowy — zbiór przepisów ustalających postępowanie w sprawach naruszających poczucie honoru.

oczy nie mógłbym spojrzeć ani Wilmowskiemu, ani Sally, gdyby jemu się coś stało!

— Bosmanie! Wiem, że ty za każdego z nas bez namysłu skoczyłbyś w ogień, lecz ja tu jestem dowódcą i ja decyduję. Przyrzekliście bezwzględne posłuszeństwo. Sam stanę do pojedynku, byle tylko sekundanci i Gołosowow nie robili trudności. Musimy unieszkodliwić Gołosowowa...

— Skoro powołujesz się pan na dyscyplinę, to muszę ustąpić, lecz gdyby ci się nie poszczęściło, bez pojedynekowych ceregieli rozprawię się z Gołosowowem.

— Głupstwa pleciesz! Gdyby mnie spotkało coś złego, rozkazuję ci umykać z Tomkiem do ojca i ostrzec o niebezpieczeństwie. Gołosowow już wie zbyt wiele.

— Ech, co tu gadać, przecież zdmuchniesz go pan za jednym pociągnięciem cyngla! A tobie co, do licha? — naraz zdumiał się bosman.

Tomek, blady jak płótno, wbił pałający wzrok w twarze przyjaciół i ciężko oddychał.

— Tomku, co tobie? — zawołał przestraszony Smuga.

Szukając wyjścia z trudnej sytuacji, zapomnieli o Tomku. Ten zaś, wzburzony do głębi duszy, nie mógł wypowiedzieć ani jednego słowa. Dopiero po długiej chwili nieco się opanował i drżącym głosem rzekł:

— Więc wy... chcecie zrobić ze mnie... tchórza! Boicie się, że... on mnie... zastrzeli. Co wszyscy o mnie pomyślą?! I Natasza... i Zbyszek! Jeśli zabronicie mi pojedynku, zabiję się ze wstydu... przysięgam!

Łzy pojawiły się w jego oczach. Bosman poderwał się z fotela:

— Brachu kochany, nie przyszło mi to do łepetyny! Święta racja! Cóż jednak powiedzielibyśmy ojcu?

— Co powiedzielibyście ojcu? A to, co ja bym musiał powiedzieć, gdyby któremuś z was przytrafiło się nieszczęście! — odparł Tomek, wycierając oczy chustką. — Wiem, że chcecie to zrobić przez wzgląd na moje bezpieczeństwo, ale to ja wyzwałem sztabskapitana...

Smuga siedział nieruchomy, wpatrzony w ciemne okno. Gdy odwrócił się do przyjaciół, był już jak zwykle opanowany.

— Ano, bosmanie, zapomnieliśmy, że Tomek mimo młodego wieku jest naprawdę dzielnym mężczyzną — powiedział poważnie. — Podczas wszystkich wypraw na równi z nami spogląda w oczy niebezpieczeństwu. O



prawdziwej dojrzałości człowieka nie tyle świadczy wiek, ile jego postępowanie. Staniesz do pojedynku z Gołosowowem.

— Serce mi się kraje na samą myśl... ale widzę, że nie może być inaczej — powiedział bosman ciężko wzdychając. — Teraz zbierz się do kupy, kochany brachu, i posłuchaj dobrej rady. Strzał z pistoletu nigdy nie jest dość pewny, mierz nisko, prosto w brzuch, wtedy położysz go na pewno!

— Czas nagli, mówmy o sprawie — odezwał się Smuga, gdy znów usiedli naprzeciw siebie. — Powiedz, jaki jest twój plan, Tomku?

— Chcę unieszkodliwić sztabskapitana — odparł. — Jeśli szczęście będzie mi sprzyjać, Gołosowow przez kilkanaście dni nie będzie mógł nam szkodzić. My tymczasem dotrzemy do obozu, uwięzimy Pawłowa i przemknijemy do Ałdanu.

— Nie ulega wątpliwości, że przez pozbycie się Gołosowowa zyskalibyśmy na czasie — potwierdził Smuga. — Tym samym nie możemy się zgodzić jedynie na wymianę strzałów, która by nic nie dała. Bosmanie, idziemy do sekundantów Gołosowowa. Tomku, czy nie zadrzy ci dłoń, gdy będziesz mierzył do człowieka? Pamiętaj, że to gra o życie nas wszystkich!

— Niech pan się o to nie obawia — zapewnił Tomek.

Wyszli. Tomek pozostał sam. Teraz dopiero zdał sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką wziął na swoje barki. „*Mierz nisko, prosto w brzuch...*” — wspomniał słowa bosmana. Zadrżał na myśl o zabójstwie... Wprawdzie Gołosowow w nadgorliwości prześladował zesłańców i szkodził im, jak tylko mógł, jednak we własnym mniemaniu mógł sądzić, że wypełnia swój obowiązek.

„*Czy wolno zabić go tylko dlatego, że nam zagraża?*” — rozmyślał Tomek. Zdawało mu się, że wyrasta przed nim postać ojca. Widział jego poważną, skupioną twarz. Nie, nie, ojciec byłby przeciwny zabójstwu żandarma! Na pewno powiedziałyby, że taki postępek jest nikczemnością i tchórzostwem!

Ojciec na pewno nie pochwali ich za krwawą rozprawę z chunchuzami. Tomek usprawiedliwiał się we własnych myślach, że byli to źli, okrutni ludzie, którzy wyrządzili wiele krzywd spokojnym mieszkańcom. Mimo to nie mógł zagłuszyć wyrzutów sumienia.

„*Nie, nie mogę zabić Gołosowowa* — postanowił. — *Jeśli pokonam własny lęk, na pewno uda mi się go tylko unieszkodliwić.*”

Chcąc rozproszyć napływający strach, pobiegł myślą do Sally. Ile to już czasu jej nie widział? Co porabia, czy myśli o nim, czy tęskni jak on za nią? Ciepły uśmiech z wolna pojawił się na jego twarzy. Wspominał wspólnie z nią przeżyte przygody w Australii, Arizonie, a potem spacer i rozmowy w Londynie.

*„Tak długo jej nie widziałem — szepnął. — To mój prawdziwy przyjaciel!”*

Myśl jednak wracała uporczywie do tego wieczoru. Natasza... To ona chciała zabić Gołosowowa, by umożliwić uprowadzenie Zbyszka. Ona również podsunęła myśl wyzwania wroga na pojedynek!

*„A więc tacy są rewolucjoniści: nieustraszeni i zdecydowani na wszystko. Jeśli pokochała Zbyszka, to i on teraz musi być również nie mniej wspaniałym chłopcem!”*

Zamyślenie Tomka przerwało wejście przyjaciół. Byli poważni, z trudem kryli niepokój.

— Ustaliliśmy warunki, Gołosowow zgodził się na pistolety<sup>500</sup>. Obydwaj macie prawo do jednego wystrzału — poinformował Smuga. — Odległość dwanaście kroków. Pojedynek ma się odbyć natychmiast. Służba już uprzęta salę bilardową.

— Więc pojedynek odbędzie się w nocy?! Pierwszy raz słyszę o czymś podobnym — zdumiał się Tomek.

— Ano, Gołosowow czuje się bardzo pewny siebie — powiedział bosman. — Oświadczył sekundantom, że nie ma zamiaru dla byle głupstwa psuć sobie zabawy. Dlatego pojedynek zaraz lub wcale.

— Przypuszczał zapewne, że odstraszy to nas niecodziennością starcia — dodał Smuga.

— Skoro tak, dobrze, jestem gotów! — oświadczył Tomek powstając z fotela.

— Mamy kilkanaście minut, doktor posłał po narzędzia i opatrunki — powstrzymał go Smuga. — Słuchaj, Tomku, bądź rozważny. Pamiętaj, że strzał z pistoletu nie jest zbyt celny. Lufanie gwintowana... Najpewniej jest mierzyć nisko i mocno trzymać rękojeść. Wtedy nie poderwie dłoni do góry!

---

<sup>500</sup> — Pistolet (z wł. pistolese, prawdopodobnie od nazwy miasta Pistola) — krótka ręczna jednostrzałowa broń palna, nabijana przez lufę, będąca w użyciu od XVI w.

— Pamiętam o tym, proszę pana — odparł Tomek. — Pan bosman kupił mi kiedyś na urodziny parę pistoletów, z których często strzelałem dla wprawy.

— Na sześć kroków gasi świecę — chełpliwie zapewnił marynarz. — Moja szkoła, szanowny panie.

— Słuchaj, Tomku, esauł Tucholski szepnął mi, abyśmy nie lekceważyli przeciwnika — odezwał się Smuga. — Podobno jest wprawnym strzelcem.

— Jak to się będzie odbywało? — zapytał Tomek.

— Staniecie w odległości dwunastu kroków plecami do siebie. Na hasło „gotów” odwracacie się i każdy strzela, kiedy tylko zechce. Masz pewną rękę i celne oko. Radzę strzelać natychmiast, gdy tylko się odwrócisz.

— Dobrze, proszę pana — rzekł Tomek nadrabiając miną, niepokój bowiem podstępnie wkraadał się do jego serca.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że teraz od niego zależą dalsze losy wyprawy. Wiedział również, że obydwaj przyjaciele skrzętnie ukrywają przed nim swoje obawy. Co chwila spostrzegał ich ukradkowe zatroskane spojrzenia.

Ktoś zapukał do drzwi. Wszedł Tucholski.

— Wszystko przygotowane — krótko oświadczył.

— A więc chodźmy, jesteśmy gotowi — odparł Smuga.

Ujął Tomka pod ramię.

Wkrótce znaleźli się w sali bilardowej. Tomek poczuł wiele mówiący uścisk dłoni przyjaciela.

— Będę ostrożny, przyrzekam... — szepnął.

Minęła dłuższa chwila, zanim oswoił się z jaskrawym światłem, rzucanym przez trzy duże żyrandole i kilkanaście świeczników. Na stoliku umieszczonym na uboczu lekarz w białym kitlu rozkładał narzędzia i opatrunki. Sztabskapitan Gołosowow pojawił się w towarzystwie Naszkin. Obydwie strony złożyły ceremonialne ukłony.

— Jako sekundant i... gospodarz, poczuwam się do obowiązku jeszcze raz zaproponować panom polubowne załatwienie sprawy — odezwał się Naszkin. — Człowiek strzela, pan Bóg kule nosi... Bez ujmy na honorze pana Wilmowskiego można by spór zakończyć przeprosinami...

— Warunki pojedynku zostały już ustalone, jestem gotów — stanowczo odrzekł Tomek.

— Służę panu — uprzejmie powiedział Gołosowow. — Proszę jednak o dopełnienie pewnej... formalności. Jest pan cudzoziemcem, w razie wypadku mogą zaistnieć kłopoty. Napiszmy oświadczenie, że staję do pojedynku na wyraźne pańskie żądanie, a ja z kolei stwierdzę, że nie roszczę pretensji, jeśli spotka mnie coś złego. Wszyscy obecni przy rozprawie złożą swoje podpisy.

Esauł Tucholski pytająco spojrział na trójkę przyjaciół.

— Nie mamy nic przeciwko temu, ze swej strony proszę o taki sam egzemplarz pisma dla nas — odpowiedział Smuga.

Wkrótce wszyscy podpisali oświadczenie. Tucholski podał pudło z długimi pistoletami, po czym razem z bosmanem nabili broń. Sztabskapitan skłonił się przed Tomkiem mówiąc:

— Panu, jako obrażonemu, przysługuje wybór broni.

Tomek ujął rękojeść ciężkiego pistoletu; po nim to samo uczynił Gołosowow. Tucholski odliczył kroki, Smuga zaś ustawił przeciwników na wyznaczonych miejscach.

— Możemy zaczynać — rzekł, spojrzeniem dodając Tomkowi otuchy. Gołosowow niedbałym ruchem, wolno, uniósł ciężki pistolet na wysokość głowy, kierując lufę ku sufitowi. Tomek mocno zacisnął dłoń na rękojeści opuszczonego w dół pistoletu i zajął pozycję.

Bosman uważnie śledził każdy ruch młodego przyjaciela. Odetchnął z ulgą widząc zacięty wyraz jego twarzy.

„*Dobra nasza, chłopak wziął się w garść*” — pomyślał.

— W tył zwrot — zakomenderował Tucholski. — Liczę do trzech, na „gotów” proszę odwrócić się do siebie i... strzelać. Uprzedzam, że bez względu na wynik mają panowie prawo oddać tylko po jednym strzale.

Tomek w skupieniu nasłuchiwał komendy.

— Raz, dwa, trzy... gotów!

Tomek wykonał szybki jak mgnienie oka obrót. Błyskawicznym ruchem uniósł broń do góry mierząc w pistolet, którym Gołosowow jeszcze osłaniał swoją głowę. Nacisnął spust... Huknął strzał! Obłok dymu na krótki moment przesłonił Tomkowi przeciwnika. Mimo woli przymknął powieki i czekał...

— Doktorze!

Tomek nie mógł zdać sobie sprawy, kto to krzyknął. Otworzył oczy. Sztabskapitan słał się na nogach. Pochylony do przodu, dłońmi zakrywał twarz. Pistolet leżał u jego stóp. Sekundanci podbiegli do niego razem z

lekarzem. Podprowadzili go do kanapy. Tomek zbliżył się tam akurat wtedy, gdy doktor odsunął dłonie rannego od twarzy.

— Narzędzia i opatrunki — zawołał lekarz.

Tomek zbladł straszliwie. Odwrócił się, by nie patrzeć na zalane krwią usta przeciwnika.

Esauł Tucholski podszedł do Tomka z pistoletem Gołosowowa.

— Cóż za osobliwy przypadek — powiedział. — Trafił pan w zamek pistoletu, który z kolei wybity z oprawy uderzył Gołosowowa prosto w usta.

— Czy on żyje? — zapytał Tomek, nie mogąc zapanować nad drżeniem głosu.

— O, wyliże się z tego.

Tomek usiadł na uboczu. Po jakimś czasie bosman, który razem ze Smugą pomagał doktorowi, przybliżył się do niego.

— Zamek pistoletu wybił mu zęby, poranił usta i język — informował zafrasowany. — Medyk właśnie kończy rozpoczęte przez ciebie dzieło. Usuwa połamane zęby.

— Czy nic nie zagraża jego życiu? — upewniał się Tomek.

— Ano, jego pistolet ocalił mu łepetynę, ale nieprędko będzie mógł znów broić. Rana diabelnie bolesna. Co chwila mdleje.

— Dzięki Bogu — szepnął Tomek.

— Ejże, brachu, czyżbyś żałował tego... żandarma?! Mówisz, jakbyś przed chwilą nie zamierzał wyprawić go na tamten świat!

— Nie chciałem go zabić, mierzyłem w pistolet... — szczerze przyznał się Tomek.

— O, do stu zdechłych rekinów! A jakby mu się nic nie stało?

Do sali weszło kilku służących. Na rękach wynieśli jęczącego Gołosowowa. Smuga, Naszkin i Tucholski podeszli do Tomka.

— Powinszować, Gołosowow otrzymał bolesną pamiątkę — mówił zakłopotany Naszkin. — Poleży ze dwa, trzy tygodnie. Naznaczył go pan na całe życie.

— Chciałem panom udzielić przyjacielskiej rady — zaczął Tucholski. — Tak czy inaczej pojedynki są zakazane. Na wszelki wypadek dobrze by było, aby panowie możliwie szybko opuścili Nerczyńsk. Jutro sprawa będzie głośna, zacznie się śledztwo. Nieobecnych nie można przesłuchiwać. Pokażę

jego ekscelencji gubernatorowi oświadczenie podpisane przez poszkodowanego i sprawie ukręci się łeb.

— Rada słuszna i dobra — przyznał bosman. — Kiedy odchodzi najbliższy pociąg?

— Dopiero jutro w południe... — wyjaśnił Tucholski.

— Każę zaraz przygotować mój powóz — zaproponował Naszkin. — Do południa ujadą panowie ładny szmat drogi. Kilka stacji dalej spokojnie wsiądziecie do pociągu. Wyświadczyli mi panowie przysługę, przyczyniając się do schwytania bandy chunchuzów. Nie chciałbym, abyście mieli kłopoty.

— Bardzo dziękujemy, natychmiast wracamy do hotelu Klemensowicza — powiedział Smuga. — Najdalej za pół godziny będziemy gotowi do drogi.

— Pożegnam panów, pójdę do gości, zaintrygowanych zapewne naszą długą nieobecnością — rzekł Naszkin. — Tańce, jak zwykle, przeciągną się do rana, a potem wszyscy mogą gadać, ile dusza zapragnie! Gołosowowa sam będę troskliwie pielęgnowała... w moim domu.

Tucholski w zastępstwie gospodarza wyprowadził ich wyjściem wiodącym do ogrodu. W ten sposób uniknęli niepożądanego obecnie spotkania z innymi gośćmi. Jednak mimo tych ostrożności ktoś spostrzegł wychodzących. Mijali właśnie wspaniałą oranżerię, gdy wiotka dziewczęca postać zabiegła im drogę. Była to Natasza.

— A co pani tu robi? — zdziwił się esauł Tucholski.

— Nie mogłam nie podziękować panu Wilmowskiemu za tak rycerską obronę — odparła.

— Ha, wobec tego nie przeszkadzajmy — roześmiał się esauł, pociągając za sobą Smugę i bosmana.

Zaledwie zostali sami, Natasza szepnęła:

— Jest pan niezwykłym mężczyzną... Gdyby nie Zbyszek, mogłabym się w panu zakochać... Do widzenia!

Wspięła się na palce i pocałowała Tomka. Zanim zorientował się co uczyniła, zniknęła w drzwiach oranżerii.

## PAWŁOW

Pawłow z trudem nadażał za idącymi przed nim bosmanem i Tomkiem. Przyspieszał kroku i ocierając chustką spoconą twarz, nieznacznie zerkał na milczących towarzyszy. Szczególny niepokój wzbudzał w nim Brol, ten rosły, o szerokich barach gorliwy pogromca zwierząt.

Pawłow od dawna odczuwał obawę przed na pozór ociążałymi, dobrodusznymi olbrzymami. Przed kilkunastoma laty właśnie taki człowiek zwichnął w samym zaraniu jego dobrze zapowiadającą się karierę w carskiej ochronie<sup>501</sup> i nawet omal nie pozbawił go życia. Stało się to w Warszawie, dokąd został wówczas odkomenderowany z Petersburga w celu wykrywania polskich rewolucjonistów.

Zaledwie przybył do Warszawy, nowy zwierzchnik powierzył mu do rozwikłania sprawę potajemnego kolportażu nielegalnej prasy rewolucyjnej. Ambitny młody agent przystąpił do pracy z niezwykłą pasją. Szczęście mu sprzyjało. W niedługim czasie, wiedziony wrodzonym instynktem policyjnym, wykrył ogniwo rozpowszechniające zakazane pisma. Nie chciał z nikim dzielić się sukcesem, zachował więc w tajemnicy wyniki śledztwa i samodzielnie przygotowywał pułapkę, w którą mieli wpaść spiskowcy.

Jak zdołał ustalić, kierownikiem tajnej komórki kolportażu był nauczyciel geografii, a jego stałym łącznikiem młody olbrzym, terminator ślusarski, zatrudniony w warsztatach kolei warszawsko-wiedeńskiej. Agent długo snuł wokół nich swą zdradliwą pajęczą sieć. W końcu wiedział już, w jakie dni i o jakiej porze prasa była przynoszona nauczycielowi. Cierpliwość agenta została uwieńczona sukcesem. Uzbrojony w rewolwer przydybał obydwóch spiskowców w chwili przekazywania pokaźnej paczki zakazanych pism.

Na swoje nieszczęście nie wziął pod uwagę determinacji oraz odwagi młodych rewolucjonistów. Rosły i pozornie ociążały uczeń ślusarski nieoczekiwanie zwinnym skokiem przypadł do niego, a następnie błyskawicznym uderzeniem pięści w głowę pozbawił przytomności. Wprawdzie Pawłow w ostatniej chwili nacisnął cyngiel, lecz rewolwer, podbity w górę, wypalił w sufit, nie wyrządzając nikomu szkody.

---

<sup>501</sup> — Ochrona — tajna policja w carskiej Rosji.

Traf zrządził, że w tym samym domu zamieszkiwał pracownik kancelarii generał-gubernatora Warszawy. Zaalarmowany strzałem, telefonicznie wezwał policję, która znalazła ogłuszonego agenta ochrony. Obydwaj spiskowcy zdążyli się ulotnić z kawalerskiego pokoiku wraz z nielegalną prasą i bronią Pawłowa.

Sprawa niefortunnego agenta nabrała rozgłosu. Jego zwierzchnik, oburzony zatajeniem przed nim wyników śledztwa, skorzystał z okazji i odesłał nielojalnego współpracownika do Rosji, wystawiając mu jednocześnie niepochlebną opinię. Fakt ten poważnie odbił się na dalszej karierze Pawłowa. W kilka miesięcy później przeniesiono go służbowo do Nerczyńska na Syberii.

Mijały lata... Zdolny w swoim fachu agent otrzymał w końcu tak upragniony awans. Został przeznaczony do specjalnych poruczeń przy kancelarii gubernatora. Z czasem zapomniał o dawnym niepowodzeniu.

Pewnego dnia gubernator polecił mu towarzyszyć wyprawie łowców dzikich zwierząt, która udawała się do Kraju Nadamurskiego. Pawłow przyjął rozkaz bez zbytniego entuzjazmu. W dziewiczej tajdze, pełnej drapieżnego zwierza, nie było bezpiecznie. Ponadto grasowały tam bandy bradiagów i chunchuzów. Zaledwie jednak poznał uczestników wyprawy, zapomniał o wszelkich obawach. Nieomylny dotąd instynkt agenta wzbudził w nim podejrzenie, że poszczególni łowcy nie byli w rzeczywistości tymi ludźmi, za których pragnęli uchodzić. Toteż dzień po dniu obserwował ich coraz uważniej...

Masywny i rubaszny Niemiec Broł oraz Anglik Brown szczególnie wywoływali w jego umyśle jakieś mgliste wspomnienia. Sposób poruszania się Broła bardziej przypominał chód marynarza niż łowcy zwierząt. Jak na Niemca zbyt często wyrywały mu się polskie słowa, które wymawiał tak charakterystyczną gwarą nadwiślańską. Opanowany i małomówny Anglik Brown otaczał młodego uczestnika wyprawy, Tomasza Wilmowskiego, niemal ojcowską troskliwością. Indus Udadzalaka, nawet w cywilnym ubraniu, sprawiał wrażenie służbistego żołnierza. Kierownik wyprawy, Smuga, trzymał swych podwładnych żelazną ręką. Jego zimne, jakby ostrzegawcze spojrzenia, zamykały usta nawet gadatliwemu Brołowi.

Po kilku tygodniach stałego obcowania z tajemniczymi łowcami Pawłow nabrał przekonania, że chwytanie dzikich zwierząt nie jest jedynym celem



włóczenia się po tajdze. Przez cały czas bezskutecznie wysiłał umysł, by odgadnąć prawdę, aż w końcu dziwny przypadek nasunął mu konkretne podejrzenie. Stało się to wtedy, gdy Udadżalaka przybył do obozu z wiadomością, że podczas polowania na irbisa na drugim brzegu Amuru małą ekspedycję napadła banda chunchuzów. Gdy tylko Pawłowi usłyszał, że trzech członków wyprawy udało się do Nerczyńska do szpitala, natychmiast sobie przypomniał pewną sprawę, którą prowadził w tamtym mieście. Mianowicie przechwyił list pisany przez polskiego zesłańca do kogoś przebywającego w Anglii, w którym prosił o pomoc w zorganizowaniu ucieczki z Syberii. Jeśli go pamięć nie zwodziła, odbiorcą listu miał być właśnie ktoś o nazwisku Wilmowski.

Zaledwie myśl ta zakiełkowała mu w głowie, uchwycił się jej kurczowo, albowiem nazwisko młodego łowcy od dawna wydawało mu się dziwnie znajome. Pawłowi nie tracił czasu. Korzystając z okazji, natychmiast wysłał list do swego przyjaciela, sztabskapitana żandarmerii w Nerczyńsku, który mógł dostarczyć koniecznych informacji.

Pawłowi w wielkim napięciu oczekiwał wiadomości od Gołosowowa. Wykrycie tak niebezpiecznego dla państwa spisku na pewno otworzyłoby mu drogę do dalszej kariery. Jakież byłoby to wspaniałe odwet za warszawską klęskę!

Minęło kilka dni, a Gołosowowi wciąż nie nadsyłał tak niecierpliwie przez Pawłowa oczekiwanych wiadomości. Agent już zaczął przemyśliwać, kogo by wysłać z drugim ponagląjącym listem, gdy naraz Smuga, bosman i Tomek powrócili z Nerczyńska do obozu. Pawłowi wprost pożerał ich wzrokiem. Przecież jeśli jego podejrzenia miały okazać się słuszne, to ryzykowny wypad do Nerczyńska nie mógł przynieść pozytywnych wyników. Podejrzany o zamiar ucieczki zesłaniec, właśnie na jego wniosek, został parę miesięcy temu przetransportowany do Jakucji.

Ku swemu niezadowoleniu Pawłowi nie mógł dopatrzeć się w twarzach trzech śmiałków wyrazu jakiegokolwiek konsternacji. Byli trochę znużeni forsowną jazdą, lecz serdecznie witali wszystkich, a bosman i Tomek niemal prześcigali się w opowiadaniu mandżurskich przygód. Dopiero gdy zasiedli do posiłku, Smuga stuknął się dłonią w czoło i lakonicznie oznajmił:

— Do licha, zapomniałem o czymś! Panie Pawłowie, oficer żandarmerii w Nerczyńsku prosił mnie o przekazanie panu pewnej wiadomości. Otóż jutro

ma pan oczekiwać na przystani zaopatrującej statki w opał na umyślnego posłańca, który tam przybędzie.

Następnego ranka Pawłow zerwał się z posłania już o świcie. Trawiony ciekawością nawet nie zaproponował, gdy Smuga polecił bosmanowi towarzyszyć mu dla bezpieczeństwa w drodze przez tajgę do przystani.

Tego jednak dnia nie doczekali się przybycia posłańca od Gołosowowa. Dwa statki kolejno przybijały do brzegu, by uzupełnić zapas drzewa, lecz nikt z pasażerów nie opuścił pokładu. Bosman poufale poklepywał po ramieniu zaaferowanego Pawłowa, pocieszając go, że posłaniec na pewno zjawi się nazajutrz.

Pawłow spędził bezsennie noc w szałasie chińskich kulisów. Bosman zaś zagadywał do niego co chwila i nie oddalał się ani na krok. Na umorzenie frasunku wciąż podsuwał mu swą ulubioną jamajkę.

Nastał ranek. Znowu statek zawinął do przystani i po nabraniu drzewa popłynął dalej. Posłańca na nim nie było. Nagle około południa przybył Tomek z wiadomością, że dwie godziny temu do obozu przyjechał konny goniec z listem do Pawłowa od sztabskapitana Gołosowowa i czeka tam na niego. Natychmiast wyruszyli w powrotną drogę.

Szybkim krokiem szli teraz przez tajgę, a Pawłow wciąż gubił się w domysłach, jaką to wiadomość przywiózł mu posłaniec Gołosowowa. Nie mógł tylko zrozumieć, dlaczego ominął przystań, która leżała przy szlaku wiodącym w kierunku obozu. Dlaczego rozmowny i przyjacielski jeszcze przed godziną olbrzymi Broł zamilkł nagle i idąc z Tomkiem na przedzie, tylko przez ramię od czasu do czasu obrzucał go drwiącymi spojrzeniami? Jakież złe przeczucia zaczynały ogarniać Rosjanina. To potężne Niemczysko coraz bardziej zdawało mu się znajome. Gdzie i kiedy on już go spotkał?

Wreszcie doszli na skraj znajomej nadrzecznej polany. Pawłow stanął jak wryty. Obozowisko zniknęło. Nie było namiotów, wozów, klatek ze zwierzętami ani Goldów. Przy kilku objuczonych i przygotowanych do jazdy wierzchem koniach krzatali się tylko Smuga i Brown.

Bezgraniczne zdumienie agenta wkrótce przerodziło się w niepohamowaną wściekłość. Na chwilę zapomniał o przezorności. Podbiegł do Smugi i krzyknął:

— Gdzie jest posłaniec? Co to wszystko znaczy?! Zaraz zdać mi sprawę, bo...

Prawą dłonią sięgnął do kieszeni po rewolwer. Smuga nie wykonał najmniejszego ruchu, tylko głową wskazał Pawłowa komuś stojącemu za jego plecami. Agent mimo wzburzenia spostrzegł ten niemy rozkaz. Uskoczył w bok, wyszarpując broń z kieszeni. Był jednak zbyt powolny, bosman bowiem, zwinnie niczym kot, przypadł do niego i potężny kułak wznosił się nad jego głową. Pawłow uchylił się, pięść trafiła go w ramię, wytrącając z dłoni broń.

— Dostyc, zostaw go! — krótko rzucił Smuga.

Marynarz nogą odtrącił rewolwer. Tymczasem Pawłow skulony cofał się krok za krokiem, nie mogąc oderwać wzroku od olbrzyma. Teraz już wiedział, dlaczego jego twarz wydawała mu się tak dziwnie znajoma! Ten drapieżny, błyskawiczny skok i pięść jak ukuta z żelaza pomogły mu rozpoznać w domniemanym Niemcu dawnego terminatora ślusarskiego z Warszawy, który już raz w podobnej sytuacji stanął na jego drodze. Jeśli to on znalazł się tutaj w tajdze pod przybranym nazwiskiem, to Anglik Brown, tak doskonale znający geografię, na pewno był owym nauczycielem, kierownikiem komórki kolportującej nielegalne pisma...

Jakby w nagłym olśnieniu Pawłow spojrzał na Wilmowskiego, potem na bosmana i nareszcie rozpoznał swych starych wrogów. Teraz wszakże był już na tyle doświadczonym agentem tajnej policji, że pojął śmiertelne niebezpieczeństwo, w jakim się znalazł. Jeżeli oni również go poznają, zginie niezawodnie!

Opanował wzburzenie. Wymuszony uśmiech pojawił się na jego twarzy. Przecież od tamtych wydarzeń w Warszawie upłynęło kilkanaście lat. Wszyscy zmienili się przez ten czas. On sam, tylko dzięki zbiegowi okoliczności, rozpoznał spiskowców dopiero teraz, mimo że wówczas śledził ich przez parę tygodni. Mało było prawdopodobne, aby oni przypomnieli sobie jego twarz, widzianą wtedy zaledwie przez kilka chwil.

Pawłow, by zyskać na czasie, pocierał bolące ramię i uśmiechał się wymuszenie. Nieznacznie obserwując przeciwników, dostrzegł wyraz ulgi na twarzy domniemanego geografa.

*„No, nie jest tak źle! — pomyślał. — Ten jest zadowolony, że jeszcze żyję, a więc nie mają zamiaru zaraz mnie zabić”.*

Podczas długich łowów w tajdze Pawłow doskonale podpatrzył usposobienia i charakteru uczestników wyprawy. Od Smugi i dawnego terminatora nie mógł spodziewać się pobłażania, natomiast pozostali dwaj

zawsze unikali gwałtu. W nich też obecnie pokładał Pawłow całą swoją nadzieję.

— Gdzie wreszcie jest posłaniec sztabskapitana? — ponowił pytanie już tylko trochę karcącym tonem.

Smuga przez cały czas obserwował go bacznie. Widząc nagłą zmianę w zachowaniu, przystąpił do niego i rzekł:

— Najlepiej zagrajmy w otwarte karty, panie Pawłow. To chyba wiele panu wyjaśni!

Pawłow pobladł ujrawszy w ręku Smugi swój list pisany do Gołosowowa. A więc jednak nie mylił się! Oni naprawdę przybyli na Syberię z zamiarem uprowadzenia tamtego zesłańca! Ponieważ nie znaleźli go w Nerczyńsku, teraz zapewne chcą przekraść się do Ałdanu. Dlatego zlikwidowali obóz, który byłby im jedynie zawadą, dlatego też pozbyli się Goldów.

Ciężkie westchnienie wyrwało się z piersi agenta. Za wszelką cenę musiał zyskać na czasie. Każde nieopatrzone słowo mogło ściągnąć na niego śmierć, natomiast gdyby udało mu się wyrwać z rąk spiskowców, zapłaciliby im jednym zamachem za swoje niepowodzenie w Warszawie i tutaj!

Smuga, jakby czytał w jego myśli, rozkazał:

— Broń, opróżnij kieszenie pana Pawłowa!

— Nie macie prawa, to gwałt na osobie urzędowej — zaprotestował agent. — Ciężko za to odpowiecie przed władzami!

— Lepiej módl się pan, panie Pawłow, żeby nie stracił cierpliwości — powiedział bosman. — Gwiżdżę na twoje władze! Gdyby to ode mnie zależało, już byś gnił w ziemi!

Bezceremonialnie zaczął rewidować agenta. Zabrał mu scyzoryk, notes, ołówek, drugi rewolwer i dokumenty.

Smuga bardzo uważnie przejrzał dokumenty, po czym podał je Wilmowskiemu mówiąc:

— Zapamiętaj to sobie dobrze, panie Pawłow: od tej chwili pan Brown jest agentem do specjalnych poruczeń przy kancelarii gubernatora. Zastąpi cię godnie, możesz się nie obawiać.

— Nie zapominajcie, że znajdujecie się w głębi Syberii należącej do cara rosyjskiego — odparł Pawłow nie mogąc opanować gniewu. — Możecie jeszcze gorzko żałować swego postępuku.

— Nie groź — zgromił go Smuga. — Zlecam panu Brołowi opiekę nad tobą. Za najmniejszą próbę ucieczki lub zdradzenia nas otrzymasz pchnięcie nożem. Zapewniam cię, że panu Brołowi nie zadrży ręka i niezawodnie trafi prosto w serce!



## W KRAJU JAKUTÓW

Gromadka jeźdźców cichaczem przemykała się przez pagórkowatą dziewczicą tajgę. Za pomocą kompasu Smuga i Wilmowski wiedli ją ukosem od Amuru na północny zachód ku rzece Urkan, prawemu dopływowi Zei. W ten sposób omijali leżącą około sto kilometrów na południowy zachód stację kolejową Newer<sup>502</sup>, skąd wprost na północ wybiegał stary trakt do Ałdanu, prowadzący stamtąd dalej aż do Jakucka, stolicy kraju Jakutów. Według planu Smugi, wyprawa powinna dotrzeć do szlaku w okolicy zachodniego podnóża gór Tukuringra<sup>503</sup>. Byłaby to połowa drogi od stacji Newer do Gór Stanowych, za którymi znajdował się Płaskowyż Ałdański, obramowany na północy górnym biegiem rzeki Ałdan, na zachodzie rzeką Olekma, a na wschodzie Uczurem. Od Gór Stanowych do miasta Ałdan dzieliłoby ich jeszcze tylko około dwustu osiemdziesięciu kilometrów. Oczywiście uczestnicy wyprawy zdawali sobie sprawę, że jest to droga uciążliwa, pełna wielu nieoczekiwanych niebezpieczeństw. Od chwili wzięcia Pawłowa do niewoli każde zetknięcie się z oficjalnymi władzami cywilnymi bądź wojskowymi mogło grozić uwięzieniem. Legalna dotąd wyprawa łowiecka przemieniła się w grupę dywersyjną, której działalność wymierzona była przeciwko ustrojowi carskiego państwa.

Toteż szczególnie Smuga i bosman często mierzyli Pawłowa zasępionym wzrokiem. Z jego powodu nastąpiło przedwczesne zdemaskowanie skrzętnie ukrywanego celu wyprawy, co według pierwotnego planu mogło ewentualnie nastąpić dopiero po uprowadzeniu zesłańca. Mimo to Wilmowski kategorycznie sprzeciwił się zabiciu agenta. Podczas burzliwej narady uratował mu życie, oświadczając, iż zgładzenie Pawłowa uniemożliwi mu dalszą przyjaźń z nimi. Pod takim naciskiem Smuga i bosman musieli ustąpić.

Tomek z mocno bijącym sercem w milczeniu słuchał żarliwej obrony wroga. Od chwili opuszczenia Nerczyńska sama myśl o konieczności zabicia

---

<sup>502</sup> — Newer bądź Bolszoz Newer.

<sup>503</sup> — Tukuringra — góry o rozciągłości równoleżnikowej w paśmie Jukan–Tukuringra–Dżagdy na obszarze Amursko–Nadmorskim, w odległości ok. 200 km na południe od Gór Stanowych, tworzących pasmo w Syberii Wschodniej od pomocnej części Gór Jabłonowych po wybrzeże Morza Ochockiego. Najwyższym szczytem Gór Stanowych jest Gołecz Skalisty (2412 m n.p.m.)

Pawłowa napawała go zgrozą. Nie odważył się jednak przeciwstawić starszym, bardziej doświadczonym przyjaciołom, którzy ponosili odpowiedzialność za pomyślny przebieg wyprawy.

Wilmowski wszakże nie zważał na nic, ocalił Pawłowa, bo tak nakazywała mu prawość i szlachetność. Tomek z uwielbieniem wpatrywał się w ojca i odetchnął z ulgą, gdy obydwaj przyjaciele podporządkowali się jego woli.

Oszczędzenie Pawłowa jeszcze bardziej powikłało niebezpieczną sytuację uczestników wyprawy. Według dawnego planu zamierzali przewieźć zesłańca w klatce, przebranego za tygrysa, do Władywostoku i tam razem z nim wsiąść na statek. W obecnej sytuacji stało się to zupełnie niemożliwe. Wystąpili przeciw prawu i tym samym zamknęli sobie wstęp do jakiegokolwiek dużego miasta portowego, rojącego się od policji i wojska. O nieoczekiwanym pokrzyżowaniu uprzednich planów należało jak najszybciej powiadomić przebywającego na statku Pandita Davasarmana. Toteż Smuga wyprawił Pawłowa z obozu pod pretekstem, że na przystani ma oczekiwać posłańca od Gołosowowa i podczas jego nieobecności poczynił niezbędne przygotowania. Przede wszystkim część niepotrzebnego już sprzętu obozowego, jak wozy, klatki ze zwierzętami, a także Udadżalakę oraz Goldów załadował na statek płynący w dół Amuru od Chabarowska. Tam Udadżalaka miał rozstać się z tropicielami i dalej pojechać pociągiem do Kraju Ussuryjskiego.

Instrukcje przesłane przez Udadżalakę dla Pandita Davasarmana zalecały mu spieszne opuszczenie Władywostoku. Smuga doradzał kilkusetkilometrowy rejs do japońskiego portu Otaru na zachodnim wybrzeżu wyspy Hokkaido<sup>504</sup>, skąd po dwóch miesiącach od chwili opuszczenia obozu nad Amurem przez Udadżalakę, powinien wyruszyć w kierunku zatoki Tierniej na wybrzeżu Kraju Ussuryjskiego. Tam bowiem Smuga zamierzał doprowadzić wyprawę po uwolnieniu zesłańca.

W myśl dalszej instrukcji Davasarman powinien w ustalone dni dwa razy w tygodniu przybliżać się w nocy do brzegu, wygaszając światła na statku.

---

<sup>504</sup> — Hokkaido, dawniej zwana Jezo — jedna z czterech wielkich wysp japońskich położona najbardziej na północy, oddzielona od Kraju Ussuryjskiego Morzem Japońskim. Przeważnie górzysta, w większości porośnięta lasami iglastymi i liściastymi wyspa posiada węgiel, ropę naftową, rudy żelaza i innych metali oraz stocznie. Na wyspie tej, na polecenie Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego, Wacław Sieroszewski prowadził w latach 1902–3 badania nad życiem zamieszkujących tam Ajnów.



Znaki ogniowe nadawane z lądu sposobem indiańskim miały oznaczać, że łódź ze statku może przybyć po członków wyprawy.

Cały plan uprowadzenia zesłańca, szczegółowo opracowany przez Smugę, wymagał od wszystkich członków wyprawy jak najdokładniejszego wykonania. Ekspedycja operująca na lądzie musiała ściśle współdziałać z Davasarmanem czuwającym na statku na morzu. Najmniejsze niedopatrzenie mogło spowodować nieobliczalne w skutkach następstwa, toteż Smuga, zmuszony przez Wilmowskiego do trzymania Pawłowa w niewoli, nakazał bosmanowi strzec go jak oka w głowie.

Pawłów tymczasem, upewniwszy się, że życiu jego nic na razie nie zagraża, udawał przestraszonego i potulnego. Wiedział, dokąd dąży wyprawa. Miał więc kilka tygodni czasu, by przy nadarzającej się okazji pomyśleć o odwecie. Teraz dopiero mógł w pełni ocenić olbrzymie doświadczenie podróżnicze spiskowców, jak w myślach nazywał uczestników wyprawy. W obcym kraju, posługując się jedynie niezbyt dokładną mapą i kompasem, szybko zdążali ku celowi, unikając osiedli. Oszczędzali koni, zapasów żywności, zacierali ślady po wieczornych biwakach, wykorzystywali leśne mokradła i grunt o skalistym podłożu, by mylić tropy.

Wyprawa przeszła w bród rzekę Urkan, po czym, posuwając się wokół podnóża gór Tukaringra, ominęła leżące na południu przy szlaku dwie osady. Po ponownej przeprawie przez zakole Urkanu Smuga wyprowadził kawalkadę na stary szlak. Wierzchowce ponaglone ruszyły z kopyta. Teraz w ciągu jednego dnia przebyli długi odcinek drogi, zaledwie czterokrotnie napotykając małe karawany krajowców.

Smuga nie obawiał się takich przygodnych spotkań z ludnością tubylczą. W tych okolicach Syberii Wschodniej, rozciągającej się z zachodu na wschód na przestrzeni trzech tysięcy kilometrów, a z południa na północ mierzącej ponad dwa tysiące pięćset kilometrów<sup>505</sup>, dość rzadko spotykało się znienawidzonych przez krajowców przedstawicieli carskiej administracji. Uczestnicy wyprawy, ubrani w półkożuszki baranie, futrzane czapki oraz w buty filcowe, nie zwracali na siebie zbytnio uwagi, w razie konieczności

---

<sup>505</sup> — Syberia Wschodnia zajmuje olbrzymie terytorium od działu wodnego Obu i Jeniseju na zachodzie, aż do grzbietów górskich wzdłuż Oceanu Spokojnego na wschodzie; na południu granica jej przebiega wzdłuż państwowej granicy ZSRR z Mongolską Republiką Ludową i Mandżurią, a na północy dotyka Morza Arktycznego.

Wilmowski, posługując się dokumentami Pawłowa, mógł udawać agenta do specjalnych poruczeń gubernatorskich.

Tuż przed wieczorem podróżnicy dostrzegli na horyzoncie dymy unoszące się z kominów. Było to już ostatnie osiedle na szlaku przed Górami Stanowymi. Wkrótce też Smuga sprowadził wyprawę z traktu. Zanim zapadła noc, rozłożyli się obozem w łągowym lasku topolowym nad brzegiem jednego z dopływów Zei. Tutaj również popasali przez cały dzień następny. Konie musiały wypocząć przed forsowną przeprawą przez Góry Stanowe, które mieli przejść pomiędzy źródłami rzek Ałdan i Gonam, wypływającymi z tego łańcucha górskiego.

Następne dni były bardzo nużące tak dla jeźdźców, jak i wierzchowców. Szlak wspinał się na kamieniste górskie zbocza, to opadał po osypiskach w dzikie wąwozy, wiódł przez wartkie strumienie po chybotliwych balach bądź zmuszał do przeprawy przez usiane głazami brody. Smuga teraz wciąż ponaglał wszystkich do pośpiechu. Miał nadzieję, że w Jakucji uda się im wymienić zmęczone wierzchowce lub nabyć inne. Przecież Jakuci, szczególnie osiadli wzdłuż wędrownego szlaku, oprócz bydła rogatego i owiec hodowali konie, znane z odporności na trudy.

Bosman, który nie lubił górskich wędrówek, jak zwykle utyskiwał na wyboistym, trudnym szlaku. Nie odchodząc ani na krok od Pawłowa, nie mógł swobodnie rozmawiać z Tomkiem ani przekomarzać się z nim. Toteż odetchnął z niezmierną ulgą, gdy w końcu ujrzeli przed sobą rozległą panoramę Płaskowyżu Ałdańskiego.

Wilmowski powstrzymał wierzchowca, a w ślad za nim uczynili to inni. Oto przybyli do wrót Wschodniej Syberii, mało wówczas znanej i w większości bezludnej, tajemniczej krainy.

Była ona prawdziwym królestwem tajgi i najsroźszej na świecie zimy. Gdyby człowiek mógł lotem ptaka wznieść się wysoko ponad nią, ujrzaliby w pełni krótkiego tutaj lata bezkresny leśny kobierzec ciemnej zieleni, okolony na południowym krańcu żółtozielonym pasem stepów, ścielących się przeważnie na zboczach gór, a na północnych rubieżach oddzielony od Oceanu Lodowatego około trzystukilometrową brudno-zieloną tundrą. Wśród tego leśnego oceanu, niby lądy i potężne wyspy, wznosiły się grzbiety pasm górskich, pokryte rdzawego koloru porostami i bladożółtym chrobotkiem reniferowym bądź też zupełnie nagie: czarne, szare, żółte i czerwone skały.

Długie niebieskie wstęgi szeroko rozgałęzionych rzek i na wyżynach połyskujące niezliczone jeziora urozmaicały krajobraz.

Podczas zimy rozległa kraina jakby zapadała w letarg. Już we wrześniu ziemia zaczynała stygnąć i podmarzać; w październiku przyoblekała się w zimowy biały kozuch śniegu. Wszystkie rzeki i jeziora pokrywały się lodem. Noce stawały się coraz dłuższe. Życiodajne słońce na krótko tylko rozświetlało bezmierne przestrzenie. Gdy zachodziło, znikaly ptaki, wszelki zwierz krył się w norach. Nawet wiatry cichły, gdy całe życie zamierało w okowach srogiej zimy. Tylko od czasu do czasu słyhać było w tajdze trzask drzew pękających od mrozu.

Gdyby istniał Demon Zimy, to chyba tę właśnie krainę obrałby za królestwo. Bo tutaj zima właściwie nigdy się nie kończyła. Jedynie od kwietnia do sierpnia cofała się podstępnie w głąb skutej wiecznym mrozem ziemi, przyczajala się na szczytach Gór Sajańskich, Wierchojańskich i Czerskiego<sup>506</sup>, gdzie nawet latem bielily się czapy nigdy nie topniejącego śniegu. Nieraz też, nawet w lecie po upalnym dniu, ziemię pokrywał w nocy biały szron bądź szalały gradowe nawałnice. Tutaj właśnie, we Wschodniej Syberii, w Kotlinie Ojmiakońskiej, pomiędzy wschodnim krańcem łańcucha Gór Wierchojańskich a Górami Czerskiego, znajdował się biegun zimna<sup>507</sup> półkuli północnej.

---

<sup>506</sup> — Jan Czerski — polski badacz Syberii Wschodniej. Urodzony w 1845 r. w guberni witebskiej. W wieku lat 17 został zesłany po powstaniu styczniowym 1863 r. na Syberię, gdzie wcielono go przymusowo do oddziału wojskowego stacjonującego w Omsku. Zwolniony ze służby w roku 1869, studiował w Omsku anatomie porównawczą, a potem osiadł w Irkucku i poświęcił się badaniom geologii i geografii Wschodniej Syberii. Podczas szeregu wypraw prowadził badania w Kraju Zabajkalskim, w Górach Sajańskich oraz na dalekiej północy w Górach Wierchojańskich, w dorzeczu Indygirki i Kołomy. Po uwolnieniu z zesłania przez 5 lat przebywał w Petersburgu, pracując w Akademii Nauk. Latem 1891 r. Czerski z żoną i 12-letnim synem wyruszył z Irkucka konno do Wierchnie-Kołymska poprzez łańcuchy Gór Wierchojańskich i grzbiety równoległych do nich gór, które później nazwano Górami Czerskiego. Spędzona w niedostatku zima w Wierchnie-Kołymsku mocno osłabiła stan zdrowia Czerskiego. Mimo to wypłynął statkiem w dalszą drogę. Zmarł w 1892 r. nad Kołymą i został pochowany przy ujściu rzeki Omolon. Przed śmiercią zobowiązał żonę do prowadzenia wyprawy do Niznie-Kołymska. Czerski jest autorem wielu cennych prac badawczych. Oprócz masywu górskiego w pomocno-wschodniej Syberii nazwę Góry Czerskiego nadano jednemu z pasm górskich Zabajkala, równoległemu do rzeki Ingoda i dalej na wschód do Czyty.

<sup>507</sup> — Biegun zimna — miejsce na Ziemi, w którym temperatura powietrza jest najniższa. Do niedawna za biegun zimna na półkuli północnej uważano okolice Wierchojańska, gdzie temperatura spada do  $-60^{\circ}\text{C}$ , lecz później badania ustaliły, że biegun zimna znajduje się nieco dalej na północy, w

Smuga z uwagą przysłuchiwał się wyjaśnieniom Wilmowskiego na temat geograficznego położenia kraju i panujących tam warunków atmosferycznych. Zbliżała się połowa sierpnia. Przelotne deszcze oznaczały, że krótka w tych okolicach jesień jest już za pasem i najdalej za cztery lub pięć tygodni nastanie trwająca około siedmiu miesięcy surowa, sucha zima. Spoglądając ze wzniesienia, Smuga wypatrzył u stóp gór rozległą dolinę. Kilka pasemek dymu wolno płynącego ku niebu wskazywało na bliskość sadyb ludzkich.

— W drogę! — zawołał, uderzając arkanem wierzchowca.

Ruszyli w dół zbocza wprost do widocznej jak na dłoni doliny. Smuga jadący obok Wilmowskiego po cichu dzielił się z nim uwagami. Był już najwyższy czas na wymianę koni zmęczonych długą drogą. Według przypuszczeń Smugi, przed nimi mogło znajdować się letnie osiedle jakuckie. Spotkanie z krajowcami w tej bezludnej okolicy nie mogło mieć niebezpiecznych następstw dla wyprawy. Nie było również podstaw od obaw, że ktokolwiek może tutaj rozpoznać Pawłowa. Jego urzędowa działalność ograniczała się tylko do południowej części Syberii, między Irkuckiem i Chabarowskiem.

Po uzgodnieniu z Wilmowskim, jaką taktykę należy zastosować przy spotkaniu z krajowcami, Smuga wysunął się na czoło kawalkady. W gardzieli kotliny stało kilka malowniczych, białosrebrnych uras, w jakich pasterze jakuccy zazwyczaj mieszkali w lecie przy swoich stadach. Urasa od najdawniejszych czasów stanowiła rodzimą formę jakuckiego domku. Budowano ją z cienkich, długich żerdzi ustawionych w kształcie ostrosłupa i obkładano na zewnątrz białą korą brzożową.

Jednakowej wielkości płyty kory układano jak dachówki i starannie zszywano włosiem. Urasa nie posiadała okien; nieduży otwór drzwiowy zakrywano bydlęcą lub końską skórą. Nieco światła przenikało do wnętrza budowli jedynie przez dymnik w daszku.

Urasy, kształtem swoim, jak i pokryciem z białosrebrnej kory o pięknych, misternych, naturalnych deseniach, przywiodły Tomkowi na myśl indiańskie tipi. Nie miał jednak czasu na podziwianie ich przyjemnych dla oka kształtów, kilku mężczyzn bowiem już zbliżało się ku nim.

Byli to Jakuci. Łatwo można było ich rozpoznać po bardzo śniadej cerze, zbliżonej do barwy mosiądzu, oraz po oczach mniej skośnych niż u Mongołów i Tunguzów. Ich twarze, pozbawione zarostu, ożywiające się jedynie w przystępie wielkiego wzruszenia lub gniewu, sprawiały wrażenie wykutych z kamienia. Niektórzy mieli na głowach sukienne czapki, inni zaś przytrzymywali swe twarde, czarne włosy kolorowymi chustkami bądź też po prostu przewiązowanymi przez czoło rzemykami. Ubranie ich składało się z welwetowych sonów, to jest rodzaju kaftana sięgającego kolan i podbitego sukieną podszewką, oraz nałożonych na nogi długich sztylp, zwanych suturuo. Starsi nosili wokół talii skórzane pasy, za którymi tkwiły zatknięte: z lewej strony nóż w pochwie, a z prawej krzesiwo i woreczek z hubką. Zza miękkich cholew ostronosych butów z końskiej skóry wystawała fajeczka i kapciuch na tytoń.

Jak się później Tomek przekonał, Jakuci pod sony zakładali na gołe ciało koszule i krótkie, obcisłe spodenki skórzane, zwane syali. Do ich nogawek, posiadających na końcu metalowe kółka, przymocowywali sztylpy. Owych syali nie zdejmowali nawet na noc do spania.

Jakuci otoczyli podróżników półkolem. Smuga zsiadł z konia, po czym pozdrowił ich w języku rosyjskim.

— Witajcie! — odparł łamaną ruszczyzną jeden z Jakutów. — Czy jesteście Nucza?

Smuga nie zrozumiał pytania, albowiem mianem Nucza<sup>508</sup> Jakuci określali białych ludzi z południa, w potocznej zaś mowie Rosjan. Toteż pytająco spojrzął na Wilmowskiego. Ten jednak również nie mógł odgadnąć, o co Jakutowi chodziło. Naraz Pawłow zeskoczył z konia i zanim bosman mógł go zatrzymać, stanął u boku Smugi.

— On nie jest Nucza, to Bielak! — zawołał.

W tej chwili Pawłow poczuł na swoim ramieniu ciężką, twardą dłoń bosmana. Obejrzał się, a napotkawszy groźny wzrok marynarza, zaraz usłużnie wytłumaczył po rosyjsku:

— Oni Rosjan nazywają Nucza, zaś Bielak oznacza Polaka... To nic złego!

— Dziękuję za... pomoc, lecz odzywaj się pan tylko wtedy, gdy cię o to poproszę — dwuznacznie ostrzegł Smuga.

---

<sup>508</sup> — Nucza pochodzi od tunguskiego łucza, czyli straszydło.

Agent umilkł, uśmiechając się złośliwie. Polacy przeważnie byli znani Jakutom jako więźniowie, gdyż surowa, odludna Wschodnia Syberia stanowiła dla rządu carskiego główny ośrodek zesłań dla szczególnie niebezpiecznych przestępców politycznych. Tutaj większość z nich umierała z wycieńczenia. Niektórzy zesłańcy przydzielani byli przez władze administracyjne poszczególnym gminom jakuckim, które musiały utrzymywać ich na swój koszt. Oczywiście na tym tle nieraz powstawały ostre zatargi, powodujące niechęć do zesłańców.

Tym wszakże razem zamierzona złośliwość agenta chybiła celu, Jakuci bowiem życzliwiej spojrzeli na Smugę.

— Był tu już jeden taki — znów odezwał się Jakut. — Wszystko umiał, uczył nas. Bielak dobry... Witajcie! Opowiadajcie!

Po tym zwyczajowym u Jakutów powitaniu Smuga z Wilmowskim zaczęli wyjaśniać pół po rosyjsku, pół na migi cel swego przybycia do osady. Po dłuższych pertraktacjach zdołali osiągnąć porozumienie. Jakuci zgodzili się za pewną opłatą wypożyczyć świeże konie, zatrzymując w zastaw zmęczone wierzchowce podróżników. W drodze powrotnej z Ałdanu miała nastąpić powtórna wymiana i w ten sposób wierzchowce ostatecznie powracały do swych pierwotnych właścicieli. Była to więc transakcja korzystna dla obydwóch stron.

Zaledwie dobili targu, posiadacz tabunu koni zaprosił podróżników do swej urasy na posiłek. Jego synowie tymczasem udali się po nowe wierzchowce na pastwisko. Weszli do urasy. Światło dzienne wpadające przez dymnik nabierało charakterystycznego odblasku, załamując się w górze na jasnożółtych ścianach brzoźowych. W dole jednak panował półmrok rozpraszany przez małe ognisko, płonące w obramowanym kamieniami wgłębieniu w ziemi. Ponad nim, na drewnianych hakach, zwisał buchający parą kocioł i czajnik do herbaty, a na rożnie piekł się kawał mięsa, wydzielając miły dla zgłodniałych zapach.

Z wejściem podróżników do urasy kobiety wstydliwie ukryły się w kącie, tylko ukradkiem obrzucając ich ciekawymi spojrzeniami. Na uboczu przy ognisku, w oryginalnej kołysce leżało niemowlę, nakryte futrzaną kołderką przysnurowaną do drewnianych boków. Duże kudłate psisko przysiadło na dwóch łapach obok kołyski, szorstkim ozorem zlizywało lepki tłuszcz połyskujący na okrągłej twarzyczce niemowlęcia. Nikt nie odpędzał kundla, a

niemowlę nie okazywało niezadowolenia z powodu tej nadmiernej poufałości. Twarze innych domowników także były błyszczące, albowiem niska temperatura panująca we wszystkich porach roku w mieszkaniach jakuckich nie sprzyjała kąpeli, smarowanie zaś ciała tłuszczem należało do miejscowych nawyków. Wokół ścian znajdowały się niskie posłania, nakryte z wierzchu skórami, które w dzień służyły za ławy do siedzenia, a w nocy zastępowały łóżka. Każdy domownik, jak i gość, zależnie od swego stanowiska, miał z góry wyznaczone na nich miejsce. Tuż u wejścia z lewej strony siadywali mniej znaczni goście i żebracy. Na wprost ognia sadzało się znamienitych gości lub krewnych; przed tą ławą stał mały stolik, a nad nią wisiała półeczka z obrazkami świętych; dalej znajdowała się ława gospodarzy, a dopiero za nią siadała młodzież i najemni robotnicy.

Gospodarz wskazał podróżnikom miejsce na ławie honorowej. Musiał być zamożniejszym człowiekiem, gdyż starsza niewiasta postawiła przed nim polewkę z mąki zwaną butugas, miskę z pieczoną na rożnie wołowiną, szpik goleniowy oraz ozór, uchodzący tu za przysmak. Nie brakło również herbaty cegiełkowej i dzbana kumysu, który w sposób naturalny ułatwiał trawienie po tłustym posiłku.

Domownicy podsuwali gościom przysmaki, nalewali kumysu i zachęcali wszystkich obecnych w urasie do jedzenia. Jakuci uważali pokarm za własność ogółu, stąd też nigdy nie zabierali w drogę zapasów żywności, gdyż powszechnie panujący wśród nich stary zwyczaj zobowiązywał do bezpłatnego goszczenia podróżnych.

Tomek, zgłodniały, co chwila sięgał po kawałek mięsa, choć było ono na pół surowe. Jednocześnie z niepokojem obserwował Jakutów, jak obsiadłszy wiszącą na rożnie ćwiartkę wołowiny, nadkrawali tylko odpowiedni kęs poddymionego mięsiwa i chwytając go zębami ucinali nożem tuż przy samych wargach. Za każdym pociągnięciem ostrza Tomkowi zdawało się, że poodrzynają sobie nosy. Jednak nic podobnego nie nastąpiło.

Gospodarz zaspokoiwszy głód przysiadł się do gości, przepił do nich kumysem. Oznaczało to zawarcie przyjaźni. Dla dopełnienia ceremoniału podarował Smudze, jako kierownikowi wyprawy, swój bysach — nóż o rękojeści z kła mamuta<sup>509</sup>, w zamian otrzymał od podróżnika indyjski sztylet.

---

<sup>509</sup> — Dzięki niskim temperaturom w obrębie wiecznego zmarznięcia ziemi zachowane są w niej, bez rozkładu, jak w chłodni, ciała zwierząt epok minionych, jak na przykład mamuta lub nosorożca

Zadowolony, przysunął do stolika simir — skórzany worek z kumysem, po czym znów napełnił dzban świeżym, z lekka syczącym napojem.

Syn gospodarza zaczął cicho przygrywać na chamysie. Był to jedyny znany Jakutom instrument muzyczny. Grający wkładał go w usta, by językiem i zębami regulować tony sprężynki drgającej w metalowej ramce.

Jakuci bardzo lubią gawędy, toteż gospodarz, aczkolwiek niewiele rozumiał po rosyjsku, wciąż nagabywał gości o nowiny z szerokiego świata. Wyraz niedowierzania pojawił się na jego twarzy, gdy rozmowny bosman wspomniał o podróżach po wielu morzach. Smuga i Wilmowski różnymi sposobami hamowali krasomówstwo przyjaciela widząc, jak Pawłow pilnie nadstawia uszu. Aby zaspokoić ciekawość Jakutów, Smuga niby mimochodem wyjaśnił, że udają się do Ałdanu w celu zakupienia partii futer. Na szczęście niebawem synowie gospodarza przywiedli konie z pastwiska i wszyscy wylegli przed urasę na oględziny.

Tomek od razu zauważył, że jakuckie konie różnią się wyraźnie od zabajkalskich. Były niższe, o krótszych tułowiach, większych wydłużonych głowach, szerokich pyskach i garbatych nosach, maści białawej lub szarej. Choć wyglądały bardzo niepozornie i niezgrabnie, wyróżniały się cennymi zaletami. Potrafiły stępa przebywać długie odcinki drogi, obciążone jeźdźcem, jukami i pościelą, którą tutaj każdy woził ze sobą. Ponadto na popasach zadowalały się zeschniętymi trawami oraz karłowatymi wiklinami, wygrzebywanymi w zimie spod śniegu.

Takich właśnie wierzchowców potrzebowali uczestnicy niebezpiecznej wyprawy, toteż bez dalszych targów uiszcili umówioną zapłatę.

Wieczór był już bliski. Uczynny gospodarz doradzał podróżnikom, by zatrzymali się u niego na nocleg. Zaoszczędziłoby to im kłopotu z rozkładaniem obozu, gdyż w najbliższej okolicy nie było zajazdu. Smuga wahał się, przecież w ciasnej urasie mieszkała cała rodzina Jakuta. Gdy usłyszał, że w odległości około dwóch kilometrów, blisko szlaku, znajduje się nie zamieszкана zimowa jurta gospodarza, skwapliwie zdecydował się z niej skorzystać.

---

włochatego, które zapewne żyły we wschodniej Syberii w pradawnych czasach przed oziębieniem się klimatu. Kość mamutową, stanowiącą bogactwo kopalne, znajduje się tam szczególnie w namulach rzecznych, a wybrzeża Oceanu Lodowatego zawierają nieprzebrane jej pokłady. Na Wyspach Nowosybirskich fale morskie stale wyrzucają na wybrzeże kły i kości przedpotopowych słoni.



Przy pomocy Jakutów osiodłali świeże konie. Po pożegnaniu, poprzedzani przez młodego chłopca, ruszyli w drogę.

Zimowa jurta, potocznie zwana bałaganem, miała kształt piramidy o nisko ściętym wierzchołku. Boczne jej ściany, nachylone ku dwuspadowemu dachowi pod kątem ostrym, tworzyły wewnątrz rodzaj nisz na szerokie ławy do siedzenia i spania. Całą jurte, zbudowaną z okrągłaków, pokrywała polepa z gliny i nawozu, a do poziomu małych okienek obrzucono ją ziemią. Dach, pokryty korą modrzewiową, także przysypany był gliną i ziemią. Tak zbudowana zimowa jurta bardziej przypominała ziemiankę niż dom drewniany. Dwa okna w ścianach zalepiano w lecie zasłoną z pęcherzy, w zimie zaś zamurowano je taflami lodu. Do jurty prowadziły drzwi z desek obitych skórą.

Podróżnicy rozsiedlali konie, umieścili je w pobliskiej zagrodzie, po czym rozgościli się w jurcie. Wnętrze jej było zbliżone do wnętrza urasy, z tą jednak różnicą, że od paleniska biegł ukosem ku dachowi komin, który po przeciwnej stronie od drzwi posiadał duży otwór z rodzajem okapu, dzięki temu ciepło płynęło wprost w głąb jurty.

Komin ten, o kształcie wielkiej rury, zbudowany był z żerdzi powiązanych wikliną, wewnątrz jego zaś wylepione było gliną.

W jurcie panował mrok i chłód, więc młody Jakut przyniósł drewna i rozpałił ogień w kominie. Wkrótce też pożegnał gości; chciał jeszcze przed nocą powrócić od urasy.

Utrudzeni podróżnicy naprędce rozpakowali juki z pościelą. Na ławach urządzili sobie wygodne posłania. Zamierzali wyruszyć dalej zaraz o wschodzie słońca. Od dawna już nie nocowali pod dachem domu.

Bosman na biwakach przed ułożeniem się do snu skuwał Pawłowowi nogi jego własnymi kajdankami. Ostrożność ta konieczna była w gąszczu tajgi, gdzie istniały sprzyjające warunki do ucieczki. Wszakże olbrzymi dobroduszny marynarz nie był mściwy. Gdy minął mu pierwszy gniew na agenta, stał się nawet dla niego dość uprzejmy.

Tego wieczoru Pawłow był bardzo wyczerpany nużącą dla niego konną jazdą. Bosman, jak zwykle, wydobył kajdanki, lecz jakoś nie spieszył się z krępowaniem więźnia. W końcu podszedł do Smugi i szepnął:

— Słuchaj pan, jeśli nie możemy agenciakowi ukreślić łeptyny, to warto by mu dać dzisiaj lepiej wypocząć. Kipnie na koniu, jak amen w pacierzu! Ledwo się trzyma na nogach.

— Więc niech się kładzie spać — odparł Smuga, nie rozumiejąc, o co chodzi bosmanowi. — Zresztą wszyscy musimy wypocząć przed świtem.

— Święta racja — powtórzył marynarz. — Kiepsko jednak śpi się z żelazkami na nogach...

— Słuchaj, bosmanie, wiesz dobrze, ile trudu kosztowało nas przekonanie Wilmowskiego i Tomka, iż ostrożność ta jest niezbędną dla naszego bezpieczeństwa.

— Pewno, że wiem, a jakże! Sam przecież za tym gardłowałem. Wszakże nie mogę zasnąć, gdy facet obok mnie pobrzękuje łańcuchami niby galernik.

Smudze również obca była myśl o znęcaniu się nad pokonanym przeciwnikiem, więc choć zdawało mu się, że nie postępuje zbyt rozsądnie, mruknął:

— Do licha, rób co chcesz, ale pamiętaj, że głową odpowiadasz za niego.

— Nic się pan nie bój, przecież kimam czujnie niczym zając pod miedzą — szepnął bosman, po czym nie nakładając agentowi więzów, polecił mu kłaść się spać.

Wilmowski i Tomek przyjęli ten gest z zadowoleniem.

Bosman, zanim ułożył się do snu, zamknął od wewnątrz drzwi drewnianą zasuwą. Nie zmrużył jednak oka, czuwał niemal do świtu. Obawa, że Pawłowi mógłby umknąć, spędzała mu sen z powiek.

Pawłowi z niemalą radością przyjął zmianę w zachowaniu swego groźnego dozorca. W pierwszej chwili błysnęła mu nawet myśl ucieczki, lecz zaraz uzmysłowił sobie, iż może to być umyślnie zastawiona pułapka.

*„Ustawiczne pilnowanie sprawia mu kłopot — monologował w myśli. — Jeśli spróbuję ucieczki, na co on tylko w skrytości czeka, to zginę nie mogąc już liczyć na niczyją pomoc. Droga jeszcze daleka, na pewno zdarzy się lepsza okazja”.*

Doszedłszy do takiego wniosku, zasnął kamiennym snem.

Tymczasem oprócz litościwego bosmana, jego trzech przyjaciele również czuwali całą noc. Każdy z nich na równi z marynarzem czuł się odpowiedzialny za pomyślny przebieg wyprawy.

W ten sposób jedynie Pawłow wstał o świcie wyspany i wypoczęty.



## CIEŻKA PRÓBA

Mijał dzień za dniem... Stary szlak wiódł dolinami i wąwozami w kierunku północno-wschodnim. Podróżnicy nie zaniebdywali okazji, by jak najdokładniej poznać kraj. Zorientowanie się w jego topografii mogło oddać im nieocenione usługi w drodze powrotnej, po uprowadzeniu zesłańca. Pilnie zatem przepatrywali mijane okolice. Często zjeżdżali z utartego szlaku, szukając dogodniejszych kryjówek, w których mogliby się chronić przed ewentualnym pościgiem. Już samo urzeźbienie terenu stwarzało ku temu korzystne warunki.

Przecięta wysokość mocno rozczłonkowanego Płaskowyzu Ałdańskiego waha się od 700 do 1000 metrów. Liczne wyodrębnione szczyty i grupy górskie, o wysokościach nie przekraczających 2200 metrów, nigdzie prawie nie łączyły się w wyraźnie zaznaczone łańcuchy. Przeważały łagodne, zaokrąglone wyniosłości z kopulastymi, masywnymi nagimi wierzchołkami, często całkowicie pokrytymi skalnymi rumowiskami. Rzeki burzliwie przedzierały się poprzez liczne progi, lecz w szerokich, płaskich kotlinach, o rozciągłości równoleżnikowej, płynęły już spokojnie krętymi korytami.

W kotlinach oraz na łagodniejszych zboczach królowała typowa tajga jakucka, która, według wyjaśnień Wilmowskiego, w kierunku północnym nie przekraczała łańcucha Gór Wierchojańskich. Przeważały w niej sosna oraz świerk, a bardziej na południu także limba. Modrzew rósł prawie wszędzie na miejscach suchych, wyniosłych i pozbawionych bagien. Z powodu surowości klimatu był to las rzadko rosnących drzew, gęstniejący jedynie w wąskich pasach nadrzecznych.

Duże mrozy i gwałtowne wichury wycisnęły na tajdze charakterystyczne piętno: większość drzew posiadała krzywe, jakby garbate pnie i pousychane wierzchołki. Na ubogie podszycie składały się: karłowata olcha, bagno zwyczajne <sup>510</sup>i porzeczką wschodnio-syberyjską, nieco niżej — borówka, rzadkie runo zielne i chrobotek reniferowy.

Życie świata zwierzęcego skupiało się przeważnie w pobliżu rzek, leśnych jezior i polan. Natomiast w głębi dziewiczej tajgi, z dala od utartych

---

<sup>510</sup> — *Ledum palustre*.

przelotowych szlaków, nie spotykało się nawet wędrownego ptactwa. Panowała tam głucha, grobowa cisza.

Miejsca nawiedzane przez zwierzynę nęciły do polowania. Nie brakło niedźwiedzi, wilków, lisów, rosomaków, wyder, soboli, borsuków, a czasem nawet i rysiów. W stanie dzikim żyły stadka reniferów i łosi. Po nagich, skalistych szczytach przemykały koziorożce, na które tak namiętnie polowali Tunguzi. Mniejsza zwierzyna, jak: susły, bunduruki, wiewiórki i zające bielaki — pojawiała się wszędzie w dużych ilościach.

W miarę jak podróżnicy coraz bardziej oddalali się od granic Kraju Nadamurskiego, coraz mniej unikali spotkań z rdzenną ludnością Syberii. Omijali jedynie większe osiedla, gdzie mogli rezydować rosyjscy przedstawiciele administracji. Umożliwiło im to dokładniejsze poznanie życia Jakutów należących do narodów tureckich<sup>511</sup>, jak i znacznie mniej licznych Ewenków, czyli Tunguzów, pod względem fizycznym przynależnych do rasy mongolskiej z domieszką krwi staroazjatyckiej, lecz tworzących językowo oddzielną grupę<sup>512</sup>.

Jakuci należeli niegdyś do narodu, który rządził całą Wschodnią Syberią między Leną a krainą Czukczów. Część z nich posługiwała się narzeczem tureckim, podczas gdy inni mówili po tungusku. Kozacy, pierwsi rosyjscy zdobywcy tych ziem, łącząc się na przemian to z Jakutami, to znów z walecznymi Tunguzami, z łatwością podporządkowali sobie obydwie narody, wielokrotnie przewyższające ich liczebnością.

Pod carskimi rządami krajowcom nie wiodło się najlepiej. Jakuci, zmuszeni do przyjęcia prawosławia, po cichu uprawiali dawny szamanizm. Trudnili się przeważnie hodowlą bydła rogatego, owiec i koni. Większość prowadziła osiadły tryb życia. Białosrebrne urasy stanowiły letnie mieszkania zamożniejszych gospodarzy. Biedacy nie mogli sobie pozwolić na kosztowne wygotowywanie kory brzozy w mleku, dopasowywanie odpowiednich

---

<sup>511</sup> — Do narodów tureckich zaliczamy wszystkie narody posługujące się narzeczeniami tureckimi. Język turecki rozbrzmiewa od Oceanu Lodowego do Tybetu i od Kaukazu po Morze Śródziemne. Do tych ludów należą między innymi Jakuci i Mongołowie, których podgrupę stanowią Buriaci.

<sup>512</sup> — Tunguzi, rozproszeni po tajdze od Jeniseju do Oceanu Spokojnego, dzielą się na północno-środkowych i nadmorskich. Południowych Tunguzów od północnych dzieli Amur. Goldowie i Daurowie zaliczani są także do południowej grupy Tunguzów. Mandżurowie, obecnie częściowo zasymilowani z Chińczykami, pod względem językowym i fizycznym należą do grupy tunguskiej. Niegdyś słynęli jako wojowniczy naród, który niejednokrotnie napadał Chiny, a nawet stworzył tam ostatnią dynastię królewską.

płatów i misterne zszywanie ich, toteż podobne kształtem kałymany, lecz kryte tylko darnią, budowane dalej na północy kraju, z wolna wypierały malownicze urasy. Na zimę Jakuci zazwyczaj przenosili się do jurt.

Tunguzi, myśliwi i hodowcy renów, byli koczownikami. Mieszkali w jurtach. W lecie chronili swe stada przed dokuczliwością meszek wyprowadzając je na szczyty gór lub w przewiewne wąwozy. Jeździli na renach jak na koniach bądź zaprzęgali je do sań, żywili się ich mięsem, mleka używali jako domieszki do herbaty, ze skór zaś sporządzali odzienie. Byli doskonałymi przewodnikami, wspaniałymi tropicielami i myśliwymi. Poza tymi zaletami mieli wesołe i pogodne usposobienie.

Dokładniejsze poznawanie mieszkańców, a także flory i fauny kraju sprawiało, że podróżnicy coraz pewniej się w nim czuli. Tomek teraz z jeszcze większym podziwem wspominał odwagę polskich badaczy Syberii. Jako więźniowie–wygnańcy nie wahali się nawet poświęcić życia dla zbierania cennych materiałów naukowych o tym bezkresnym, surowym kraju. Niejeden z nich zyskał sobie przez owe badania rozgłos w świecie naukowym, a niekiedy wcześniejsze uwolnienie z zesłania.

Pierwszego wiernego opisu Syberii na podstawie własnych podróży w latach 1831–1834 dokonał Polak, Kobyłecki, który zwrócił uwagę na gospodarcze możliwości Syberii. Niemale zasługi naukowe zdobył przez swoje podróże po Syberii i Mongolii zesłaniec, filareta wileński, a później profesor uniwersytetu w Kazaniu i w Warszawie, Józef Kowalewski. Jako eksploratorzy na wielką skalę zasłynęli: Aleksander Czekanowski, badacz przyrody okolic Irkucka, kraju nad dolną Tunguską, a zwłaszcza nad dolną Leną i Oleniokiem; Jan Czerski wślawił swoje nazwisko badaniami geologicznymi. Ogromne uznanie zdobył Benedykt Dybowski dzięki studiom nad fauną Bajkału oraz badaniom przyrodniczym w Kraju Zabajkalskim, Nadamurskim, na Kamczatce i Wyspach Komandorskich. Dwaj inni Polacy zesłani za działalność rewolucyjną, Wacław Sieroszewski i Bronisław Piłsudski, zwrócili na siebie uwagę pracami naukowymi i literackimi. Pierwszy z nich opisał w sposób znakomity życie Jakutów, drugi, jak nikt przed nim, życie i język Ajnów, Gilaków i Oroczonów na Sachalinie. Oprócz zesłańców politycznych wielu uczonych polskich, między innymi Talko–Hryncewicz, Karol Bohdanowicz i Morozewicz, samorzutnie prowadziło naukowe badania przyrodnicze i językowe.

Poznanie kraju i jego mieszkańców, a także ciekawe rozmowy podczas wieczornych biwaków urozmaicały grupce spiskowców niebezpieczną podróż. Po ośmiu dniach wędrówki przybliżyli się do Ałdanu. Smuga i Wilmowski głowili się, w jaki sposób w osadzie odnaleźć zesłańca. Ukazanie się w Ałdanie całej wyprawy niezawodnie wzbudziłoby podejrzenia. Każdy cudzoziemiec po przybyciu do jakiegokolwiek miejscowości zobowiązany był przesłać swój paszport do policji. Tymczasem wyprawa łowiecka nie miała zezwolenia na przebywanie w Jakucji. Wobec tego tylko jeden z jej uczestników mógł potajemnie odszukać więźnia i nawiązać z nim kontakt, podczas gdy inni oczekiwaliby na niego ukryci w pobliskiej tajdze.

Smuga chciał wziąć na siebie tę najtrudniejszą i najniebezpieczniejszą część zadania. Niebawem jednak przypadek skłonił go do zmiany planów.

Tego dnia właśnie zamierzali zjechać z traktu w tajgę, by wyszukać odpowiednią kryjówkę do rozbicia obozu. Do Ałdanu mieli już tylko kilkanaście kilometrów. Osada leżała w dolinie wielkiego zakola utworzonego przez rzekę Ałdan, nieco na południe od jej brzegów. Smuga proponował zaszyć się w tajgę na wschód od osady. Omawiał to właśnie po cichu z Wilmowskim. Naraz, zupełnie nieoczekiwanie, z bocznej drogi wypadło na szlak kilku konnych Kozaków.

Tomek pierwszy spostrzegł jeźdźców. Już z dala było widać, że są umundurowani i uzbrojeni. Oni zaś, zaledwie wyjechali na szlak, również zauważyli podróżników. Jeden z nich coś zawołał. Przystanęli szeregiem na skraju traktu.

— Uciekajmy, Kozacy! — ostrzegawczo krzyknął Tomek. Ściągnął konie cugłami.

Smuga błyskawicznym spojrzeniem ocenił sytuację.

— Stój, za późno! Będą nas ścigali — zgromił młodzieńca.

— Nie uciekać, jedźmy dalej — dodał Wilmowski, z niepokojem mierząc zbrojny oddział żołnierzy.

— Andrzej, nie mamy wyjścia, przedstaw się im jako agent tajnej policji — szepnął Smuga, nieznacznie przygotowując rewolwer.

— Dobrze, pokażę papiery Pawłowa — odszepnął Wilmowski.

— Uwaga, rozmawia tylko Brown — cicho rozkazał Smuga. — Rewolwery trzymać w kieszeniach w pogotowiu! Bosmanie, pilnuj jeńca, jeśli



nawet tylko mrugnie okiem, zastrzel go natychmiast. Potem dopiero mierz do Kozaków.

— Słyszałeś?! — syknął bosman. — Buzia na kłódkę lub zabiję!

Pawłow pobladł. Zrozumiał, że pierwszy zginie, jeśli wydadzą się Kozakom podejrzani. Oczywiście pragnął zemsty na spiskowcach, lecz nie za cenę własnego życia! Tymczasem starcie zdawało się być nieuniknione. Dowódca Kozaków przez chwilę uważnie przyglądał się nadjeżdżającemu z naprzeciwka, a zauważywszy karabiny zwisające z łęków siodeł, ponownie rzucił krótki rozkaz. Kilku żołnierzy zdjęło z pleców berdanki. Agent ujrzał, jak jego towarzysze wsuwają do kieszeni rewolwery przygotowane do strzału. Naraz przyszła mu do głowy zbawcza myśl.

— Panie Brown! — zawołał pospiesznie. — Posiadasz moje dokumenty! Nie odważą się robić trudności, jeśli powiesz, że jedziesz służbowo do urjadnika w Ałdanie! My zaś jesteśmy twoją eskortą!

Podróżnicy, zaskoczeni propozycją, niedowierzająco spojrzeli na Pawłowa. Przerażenie widoczne na jego twarzy wyjaśniło im, w jakim celu pragnął dopomóc swoim wrogom. Po prostu drżał o własną skórę.

— Ano, dobrze, spróbujemy... — odparł Smuga, nieznacznie mrugając do Wilmowskiego. Przecież bez jego rady mieli zamiar legitymować się dokumentami agenta. On podsunął jedynie sposób, w jaki mogli upozorować jazdę do Ałdanu.

Od Kozaków dzieliło ich tylko kilkanaście metrów. Wilmowski widząc, że oficer wyjeżdża im na spotkanie, również wysunął się do przodu.

— Strzelać tylko na mój rozkaz! — cicho ostrzegł Smuga, zerkając ku bosmanowi i Tomkowi.

— Kto wy?! — ostro zawołał oficer.

— Zdrawstwujcie, my swoi, urzędowe osoby — spokojnie odparł Wilmowski.

— Jak to urzędowe osoby? — już nieco grzeczniej indagował oficer.

— A ot, takie...! — odrzekł Wilmowski, powolnym ruchem wyjmując z kieszeni dokumenty.

Niedbale podał je dowódcy, ten zaś, ujrzawszy nominację podpisaną przez gubernatora, ręką machnął do Kozaków, by zaniechali ostrożności. Z powrotem zarzucili karabiny na plecy.

— Dokąd to służba prowadzi? — zagadnął Wilmowskiego, zwracając mu dokumenty.

— Do Ałdanu... z wizytą do urjadnika.

— A podróżna jest?<sup>513</sup> — spytał oficer.

Wilmowski spojrzął z góry na Kozaka. Wzruszywszy ramionami, odparł oziębło:

— Od wydawania podróżnej to my jesteśmy, a nie pan, panie oficerze! Skąd wy i czego tu szukacie?

Smuga nie znał tak dobrze jak Wilmowski stosunków panujących w carskiej Rosji, toteż usłyszawszy dość natarczywe pytanie Kozaka, położył wskazujący palec na spuście rewolweru, nie wyjmując go z kieszeni. Wilmowski wszakże doskonale orientował się, jak olbrzymią władzę posiadała wówczas policja.

Każdy cudzoziemiec musiał uzyskać jej zezwolenie tak na przyjazd, jak i na wyjazd z kraju, poza tym zobowiązany był meldować o każdej zmianie zamieszkania, na pobyt dłuższy niż sześć miesięcy powinien otrzymać specjalne zezwolenie. Nie mniejsze rygory obowiązywały rdzenną ludność Syberii. Włóścianin bez zezwolenia policji nie mógł oddalać się od domu w promieniu ponad 30 wiorst. Świadom tego Wilmowski gniewnie zmarszczył brwi i mierzył Kozaka surowym spojrzeniem.

Taktyka jego nie zawiodła, oficer bowiem pomyślał, że ów agent do specjalnych poruczeń gubernatorskich musi być nie lada szyszką, skoro tak śmiało sobie poczyna. Toteż zaraz „zapomniał” o podróżnej. Salutując uprzejmie, usprawiedliwił się:

— Wasze wysokobłagorodje wybaczy, w cywilnych ubraniach trudno rozpoznać godność urzędową, a spotkanie tutaj na drodze uzbrojonych ludzi często nie wróży nic dobrego. My z eskorty kopalni złota znad Ałdanu. Myszkowaliśmy po okolicy dla bezpieczeństwa. Banda bradiagów włóczy się po tajdze.

— Dobrze, już dobrze, przezorność godna pochwały — powiedział Wilmowski protekcjonalnym tonem. — Złożę odpowiedni raport jego ekscelencji gubernatorowi. Jak nazwisko?

---

<sup>513</sup> — Podróżna — zezwolenie na podróżowanie wydane przez policję, które równocześnie uprawniało do wypożyczania koni na stacjach.

— Aleksander Siergiejewicz Natkowsky z sotni kozackiej, stacjonowanej w Jakucku, odkomenderowany do ochrony kopalni „Ałdanka” — wyrecytował oficer. — Czy może wasze wysokobłagorodje życzy sobie, abyśmy eskortowali do Ałdanu?

— Dziękuję, mam swoich ludzi. No, do widzenia!

— Z drogi! — zakomenderował oficer.

Kozacy sprawnie zjechali na skraj szlaku. Ustawili się dwójkami w kierunku na południe. Oficer uprzejmie zasalutował. Obydwie grupy zaczęły się oddalać w przeciwne strony.

Zaledwie Kozacy zniknęli za zakrętem, bosman odsapnął głośno i rzekł:

— No, panie Pawłow, nareszcie chociaż raz przydałeś się nam na coś!

— Dureń, nawet nie wiedział, jak blisko był prawdziwej nagrody... lub kuli! — odparł Pawłow ze złością, aczkolwiek sam również odetchnął lżej po takim zakończeniu nieoczekiwanego spotkania.

Smuga wzrokiem uciszył bosmana.

Po kilkunastu minutach zjechali ze szlaku. Do wieczora, klucząc wąwozami, zataczali szerokie półkole wokół Ałdanu i zamiast wprost z południa, przybliżyli się doń od wschodu. Według obliczeń Wilmowskiego od miasteczka dzieliło ich około ośmiu lub dziesięciu kilometrów. Rozbili obóz w małym wąwozie, zagubionym wśród rumowisk skalnych. Nigdzie nie było widać żadnych śladów ludzkiej bytności, zajęte bielaki prawie nie uciekały na ich widok.

Po zachodzie słońca bosman umieścił Pawłowa w namiocie, gdyż widać było po nim, że jest wyczerpany. Niebezpieczna sytuacja zapewne zmniejszyła jego odporność fizyczną. Bosman spętał mu nogi kajdankami, a następnie opuścił namiot i przysiadł się do przyjaciół.

Smuga, jakby tylko na to czekał, zaraz dał znak dłonią, aby pochylili się ku niemu.

— Nie możemy tutaj zbyt długo popasać. Osada blisko, ktoś przypadkiem mógłby nas tu znaleźć — powiedział.

— Masz rację, musimy natychmiast przystąpić do działania — potwierdził Wilmowski.

— Mówiłeś pan w drodze, że obmyśliłeś już jakiś plan działania — zauważył bosman.

— A jakże! Zamierzałem cichaczem wyprawić się na zwiady — powiedział Smuga. — Zbyszek widział mnie w Warszawie, gdy zabierałem Tomka. Na pewno by mnie poznał.

— Przecież ja znam Zbyszka lepiej... — wtrącił Tomek.

— Nie, mój drogi, zbyt wiele was łączy... Wzruszenie, oczywiście bardzo zrozumiałe w tym wypadku, mogłoby nam wszystkim oddać niedźwiedzią przysługę — przerwał mu w pół zdania Smuga. — Tobie nie mogę powierzyć tego zadania.

— Święta racja — przytaknął bosman. — A gdybym ja poszedł na zwiady...?

— To również niemożliwe, bosmanie, za bardzo zwracasz na siebie uwagę — rzekł Smuga. — Jak więc powiedziałem, do dzisiaj byłem zdecydowany sam zasięgnąć języka, lecz po spotkaniu z Kozakami przyszedł mi do głowy inny pomysł.

— Prawdopodobnie obydwaj jednocześnie pomyśleliśmy o tym samym — odezwał się Wilmowski. — Czy sądzisz, że urjadnik dałby się wprowadzić w błąd tak samo jak oficer Kozaków?

— W takiej zapadłej dziurze nie należy spodziewać się wybitnego tuza na tym stanowisku. Jeśli tylko nie zna osobiście Pawłowa, to powinno się udać.

— I ja tak myślę. Nie przypuszczałem, że tak dobrze zagram rolę agenta tajnej policji — powiedział Wilmowski. — W takim jednak razie mnie musisz powierzyć to zadanie, bo najlepiej mówię po rosyjsku i... doskonale znam obyczaje carskich sług.

— Wspaniale się spisałeś z Kozakami! Niestety w Ałdanie będziesz mógł liczyć tylko na własne siły — zafrasował się Smuga. — Musisz mocno trzymać się w karbach!

— Wiem, przecież to gra o nasze życie. Zastanówmy się teraz, w jakim celu mógłbym przybyć do Ałdanu jako agent policji?

— Nie wolno nam za bardzo komplikować sprawy. Im więcej kłamstw, tym łatwiej zabrnąć w ślepy zaułek. Moim zdaniem agent policji śledczej może tu przyjechać w sprawie przesłuchania zesłańca. Pamiętajmy, że Pawłow jest agentem do specjalnych poruczeń!

— A jeśli urjadnik zapyta o pisemne polecenie? Oficer Kozaków również o to pytał — dodał bosman.

— No to co z tego? Spytał i przestał pytać — odparł Smuga. — Przesłuchiwanie zesłańca przez agenta tajnej policji nie jest czymś niezwykłym. Poza tym potrząśniesz kiesą...

— To by najlepiej poskutkowało, ale pod jakim pretekstem mógłbym zaproponować mu wzięcie pieniędzy?

— Czy nie można by powiedzieć, że gubernator przysłał nagrodę, której wypłacenie uzależnił od wyniku inspekcji? — wtrącił Tomek.

— Dobra myśl, synu — pochwalił Wilmowski.

— Gdy Tomek ruszy łepetyną, to zawsze coś mądrego z niej wyleci — zawtórował bosman.

— Nigdy źle nie wyszliśmy na jego radach — potwierdził Smuga. — Wiesz, Tomku, jak bardzo cenię twój spryt. Co sądzisz o naszym planie?

— Według mnie ryba połknie haczyk, tylko że ja na miejscu ojca zacząłbym od nagrody i protekcyjnych pochwał, a potem dopiero mówiłbym o przesłuchaniu zesłańca.

— Jak amen w pacierzu, Tomek dobrze radzi — poparł go marynarz.

— Owszem, to słuszne — powiedział Smuga. — A więc skoro pierwsza trudność została pokonana, omówmy z kolei drugą. Chodzi mianowicie o ucieczkę Zbyszka z Ałdanu.

— Już przemyślałem tę sprawę — wyjaśnił Wilmowski. — Zesłani administracyjnie na Syberię, tak jak on właśnie, przebywają na wolnej stopie, jedynie co jakiś czas muszą meldować się w policji. Wobec tego ustalę z nim dzień uciezki, a on w nocy wymknie się z domu i przyjdzie w umówione miejsce, gdzie będę na niego czekał. Potem obydwaj pospieszymy do was.

— Co zrobimy z Pawłowem? — zapytał Smuga.

— Zabierzemy go ze sobą — stanowczo odrzekł Wilmowski.

— Nie ma innej rady — markotnie zauważył bosman. — Nijak by teraz było ukreślić mu łepetynę jak kurczakowi! Człowiek to dziwne stworzenie, do wszystkiego może się przyzwyczaić. Jeden mój kumpel z braci marynarskiej tak zżył się z bolącym wrzodem na pośladku, że za nic w świecie nie chciał dać go sobie przeciąć.

— A więc postanowione, Andrzej. Wyruszasz jutro o świcie — zakończył Smuga.



## POGRZEB ZESŁAŃCA

Padał drobny deszcz, gdy Wilmowski samotnie wjeżdżał do Ałdanu<sup>514</sup>. Była to wówczas mała, brudna miejscina o kilku niebrukowanych ulicach. Tylko gdzieniegdzie przed drewnianymi domkami ułożono chodniki z ociosanych okrągłaków. Jedynym murowanym budynkiem była mała cerkiew z zielonymi kopułami. Więzienie etapowe, jak we wszystkich osadach na szlaku, mieściło się na uboczu. Składało się ono z kilku nędznych baraków ustawionych na prostokątnym placu otoczonym mocnym ostrokołowym parkanem, z którego sterczały na czterech rogach wieżyczki strażnicze. Przed zamkniętą bramą stali wartownicy z bronią na ramieniu. Wokół nich kręciło się kilka kobiet z koszami z prowiantem. Codziennie sprzedawały więźniom chleb, zimne mięso, jaja i mleko. Obecnie zapewne oczekiwały na wpuszczenie w obręb więziennego podwórka.

Na głównej uliczce Wilmowski zatrzymał się przed zajazdem, nad którego wejściem wisiał szyld z szumną nazwą: „*Jewropejskaja Gostinica*”<sup>515</sup>. Zaspany gospodarz otworzył mu drzwi. Wilmowski wszedł do ogólnej izby. Oprócz brudnego bufetu znajdowały się w niej cztery drewniane stoliki nakryte papierem. Podczas gdy Wilmowski lokował się w małym alkierzu, wyrostek jakucki odprowadził jego konia do stajni.

Pora była jeszcze bardzo wczesna. Wilmowski bowiem, po źle przespanej nocy, opuścił obóz o świcie. Postanowił złożyć oficjalną wizytę urjadnikowi w jego prywatnym domu jeszcze przed rozpoczęciem „*urzędowania*”. Zdawało mu się, że w ten sposób będzie mógł uniknąć wielu formalnych wyjaśnień. Toteż zaraz szybko oczyścił ubranie, umył się i rozpytawszy wciąż zaspanego gospodarza o policyjnego dostojnika, zaraz wyszedł na miasto.

Bez trudności odnalazł sadybę urjadnika. Za budynkiem mieszkalnym widać było warzywny ogród, a w nim łaźnię. Takie właśnie domostwa spotykało się na Syberii w osadach zamożniejszych kolonistów rosyjskich, zwanych powszechnie Sybirakami. Drewniany dom zbudowany z cedrowego

---

<sup>514</sup> — Ałdan — miasto w południowo-wschodniej części Jakuckiej ASRR, położone w dolinie rzeki Ałdan i na głównym szlaku biegnącym z południa na północ od kolei transsyberyjskiej do Jakucka. W pobliżu znajdują się kopalnie złota.

<sup>515</sup> — Hotel Europejski.

drzewa stał na podmurowaniu kryjącym piwnicę. Pośrodku frontowej ściany znajdował się ganek ocieniony daszkiem. Poręcze ganku, jak i okap dachu zdobiły rzeźby przypominające styl zakopiański. Duże okna, zastawione od wewnątrz doniczkami z pelargoniami, posiadały masywne okiennice.

Wilmowski wszedł na ganek po schodach posypanych żółtym piaskiem. Zastukał kołatką do drzwi. Otworzyła je pucołowata dziewczyna. Zarumieniła się ujrzawszy starannie ubranego, przystojnego mężczyznę.

— Zdrawstwujcie, czy zastałem w domu urjadnika Mikołaja Iwanowicza Bułgakowa? — zapytał Wilmowski uchylając futrzanej czapki.

— Zaraz, zaraz, wasze wysokobłagorodje — odparła i pobiegła w głąb dużej sieni wysłanej zgrzebnym płótnem. Zniknęła w izbie czeladnej w tyle domostwa, wołając: — Olga, Olga, przyszedł jakiś znatnyj czeławiek!<sup>516</sup>

Wilmowski przystanął w progu. Rozglądał się po sieni. Po obydwóch stronach frontowej ściany mieściły się gościnne pokoje, czyli gornice. Naprzeciwko izby czeladnej znajdowały się drzwi do spiżarni i schodki wiodące na poddasze. W sieni rozchodziły się przyjemne zapachy przygotowywanego posiłku.

Po chwili do sieni weszła młoda, urodziwa Sybiraczka. Zarumieniła się na widok przybysza, lecz zaraz zawołała lekko śpiwnym głosem:

— Pan do Mikołaja Iwanowicza Bułgakowa? Proszę, proszę do pokoju, mąż właśnie się ubiera!

Wilmowski skłonił się, wszedł do górnicy. Czapkę i półkożuszek powiesił na wieszaku. Czuł na sobie ciekawe spojrzenie gospodyni. Przystanął więc przed ikoną<sup>517</sup>, którą oświetlała zwisająca z sufitu czerwona lampka. Pochylił głowę i nakreślił dłonią trójznak krzyża.

Gospodyni poprosiła go, aby usiadł, a następnie wybiegła z pokoju. Wilmowski całą siłą woli starał się zapanować nad własnym niepokojem. Czy uda mu się wyprowadzić urjadnika w pole? Całe powodzenie wyprawy mogło zależeć od decydującej krótkiej rozmowy. Na szczęście urjadnik nie przedłużał jego niepewności. Pojawił się po kilku minutach, jeszcze zapinając guziki surduta.

— Witam, witam, czym mogę służyć? — odezwał się, mierząc gościa badawczym spojrzeniem.

---

<sup>516</sup> — Znamienity człowiek, dostojny gość.

<sup>517</sup> — Prawosławny obraz religijny.



Wilmowski powstał. Przybrał znudzony wyraz twarzy.

— Witam pana, i przepraszam za tak wczesne najście — powiedział. — Jestem Pawłow... do specjalnych poruczeń jego ekscelencji gubernatora. W służbowej drodze do Jakucka zatrzymałem się, żeby załatwić z panem pewną sprawę.

Protekcjonalny ton oraz niedbały ruch, jakim gość podsunął mu pod nos dokumenty, opatrzone pieczęcią i zamaszystym podpisem gubernatora, wywarły na urjadniku niemałe wrażenie. Toteż nerwowym ruchem zatknął na nos binokle. Zaledwie przeczytał: „*Do moich specjalnych poruczeń*”, już pośpiesznie giął się w unizonych pokłonach.

Wilmowski doznał pewnej ulgi. Nabrał pewności siebie. Rozsiadł się wygodnie na podsuniętym krześle. Cedząc wyraz po wyrazie, powiedział:

— Gubernator, wysyłając mnie w poufnej misji do Jakucka, zlecił mi również złożenie meldunku o porządkach panujących w pana okręgu. Zależnie od wyniku inspekcji zostałem upoważniony do ewentualnego przekazania panu pewnej nagrody pieniężnej. Niewielka to sumka, ale przed świętami... i to dobre!

Urjadnik zarumienił się po uszy. Nerwowym ruchem zatarł dłonie. Kłaniając się, mówił szybko:

— Nie wiem, czy pan będzie łaskaw, ale dla mnie jest pan miłym gościem. Pan pewnie jeszcze bez śniadania, żona zaraz nakryje do stołu. Przepraszam na chwilę, przepraszam...

Wybiegł do sieni. Wilmowski skorzystał z okazji, by wysuszyć chustką czoło z potu. Jak do tej pory wszystko szło pomyślnie... Teraz rozejrzał się po pokoju. Zza półodsłoniętych kolorowych kotar wyglądało łoże, piętrzące się wysoko zasłanymi pierzynami i poduchami. Między dużymi oknami we frontowej ścianie, na wprost stołu, stała długa, pluszowa kanapa z wysokim oparciem. W głębi pokoju, za półścianką, mieścił się duży piec do pieczenia chleba, a przed wejściem do tego jakby korytarzyka czerniła się duża, drewniana, lakierowana skrzynia ze złożonymi narożnikami i zamkiem. Był to zapewne podróżny kufer urjadnika. W porównaniu z brudnymi zajazdami i jurtami jakuckimi wewnątrz domu urzędnika policji świeciło wzorową czystością.

Wilmowski posmutniał. Od wielu lat wiódł koczownicze życie. Dom zastępowały mu namioty, leśne szałas, a rzadziej nieprzytulne hotele bądź

pokoje „do wynajęcia”. Takie oto ognisko domowe zgotował własnemu synowi, ciągnąc go za sobą po bezdrożach dzikich krain. Przypomniał sobie dawne własne mieszkanie w Warszawie, żonę... Westchnął ciężko... Naraz targnął nim gniew. Jego prześladowcy zażywali spokojnie ciepła domowego, byli szczęśliwi i zadowoleni, podczas gdy on wraz z synem skazany był przez nich na poniewierkę. Uczucie roztkliwienia zniknęło natychmiast. Niemal wrogim wzrokiem obrzucił urjadnika, który akurat w tej chwili pojawił się ze swoją małżonką.

Urjadnik z policyjną spostrzegawczością zauważył zachmurzoną twarz gościa. Zmieszany przedstawił mu żonę. Wilmowski uprzejmie przywitał się z nią, chwalać wzorowy porządek panujący w domu.

— O, to wyjątkowa kobieta, Sybiraczka — wtrącił urjadnik. — Wyszła za mnie, choć, jak panu wiadomo, Sybiracy na ogół nie lubią carskich urzędników z rdzennej Rosji.

— Wy znów po swoim, Mikołaju Iwanowiczu — zgromiła go żona. — Proszę do stołu na skromne śniadanie.

Na białym obrusie pojawiły się półmiski ze świeżymi naleśnikami, zwanymi blinami, miseczka zrumienionego topionego masła do ich polewania, kawior, twaróg ze śmietaną i pieczony drób na zimno. Na samym końcu dziewczyna wniosła duży, dymiący parą samowar, a urjadnik wyciągnął z szafki butelkę nikołajewki i drugą likieru.

— Proszę do stołu — mówił, wciąż kłaniając się gościowi; nagroda gubernatora nie schodziła mu z myśli.

— Zanim usiadziemy do śniadania, załatwimy formalności — powiedział Wilmowski, powolnym ruchem wydobył portfel z kieszeni. — Stwierdziłem, że w podległym panu okręgu panuje porządek i bezpieczeństwo. Toteż ze spokojnym sumieniem przekazuję nagrodę, a w raporcie dla ekscelencji gubernatora zamieszczę odpowiednio przychylną uwagę.

Wyliczył na róg stołu sto papierkowych rubli. Była to znaczna na owe czasy suma. Urjadnik zgarnął ją w dłonie i dziękował.

— Dla porządku proszę o odręczne pokwitowanie — dodał Wilmowski.

— Słusznie, słusznie, porządek musi być przestrzegany — przytaknął urjadnik. — Olga, przynieś papier, pióro i atrament!

Po chwili Wilmowski schował kwit. Usiedli do śniadania. Butelka nikotajewki szybko była opróżniona do połowy. Wilmowski zaledwie dotykał ustami kieliszka, za to urjadnik ochoczo spełniał toast za toastem. Poranny posiłek trwał około dwóch godzin. Urjadnik szeroko opowiadał o warunkach panujących w jego okręgu. Klął na Jakutów, którzy, przyjąwszy pozornie prawosławie, ukrywali w swoich jurtach szamanów i nienawidzili carskich urzędników. Narzekał na kłopoty z zesłańcami pracującymi w kopalni złota oraz zarzucał władzom wojskowym opieszałość w wykonywaniu obowiązków. W końcu Wilmowski spojrział na zegarek.

— Późno się zrobiło, a eskorta moja czeka na mnie w obozie w pobliżu miasta. Dziś jeszcze lub jutro z rana wyruszam w dalszą drogę. Chcę wrócić na południe, zanim spadną pierwsze śniegi — odezwał się, ucinając gadatliwość podchmielonego policjanta.

— Rozumiem, rozumiem, już wczoraj w nocy mieliśmy ostry przymrozek — zauważył urjadnik.

— Będąc tu przejazdem, chciałbym przy okazji załatwić pewną sprawę służbową — powiedział Wilmowski. — W Ałdanie przybywa zesłaniec, którego powinienem dodatkowo przesłuchać.

— Ach, tak! — zdziwił się urjadnik. — A o kogóż to chodzi?

— O jednego Polaczka przysłanego tu z Nerczyńska. Podobno pracuje w faktorii Naszkina.

— Jak nazwisko?

— Zbigniew Karski — krótko odparł Wilmowski.

Urjadnik zmarszczył czoło, jakby sobie coś przypominał.

— Zaraz, zaraz, czy to ten, który przemyślał o ucieczce? — zapytał po chwili.

— A jakże, o niego mi chodzi — potwierdził Wilmowski. — To ja przecież unicestwiłem jego zamiary...

— Tak, tak, pamiętam, osobiście czytałem wasz raport przesłany tu wraz z papierami więźnia. Podkreśliliście czerwonym ołówkiem: Niebezpieczny, wzywać do meldowania co trzeci dzień.

— Dobrą ma pan pamięć — ostrożnie pochwalił Wilmowski. — Władze cenią to; jak widzę, słusznie należała się nagroda...

Urjadnik zadowolony, naraz okazał niepokój.

— Czy to miało być jakieś ważne przesłuchanie? — zagadnął.

— Może ważne, a może nie. Sprawa dotyczy kogoś innego.

— Nie wiem, czy zdążyliście na czas — zafrasował się urjadnik. — On wprawdzie jest tutaj, ale to już chyba jego ostatnie chwile... Cyrulik<sup>518</sup> puszczał mu krew, podobno po cichu szaman jakucki go kurował, ale ani jedno, ani drugie nie na wiele się zdało. Umiera, a może nawet już umarł tej nocy. Kilka dni temu Naszkin przysłał tu kogoś do uporządkowania spraw faktorii.

Wilmowski mocno oparł łokcie na stole, aby ukryć drżenie rąk. Słowa nie chciały mu się precyzyjnie przeczisnąć przez zdławioną krtani. Była to druzgocąca wiadomość. Na szczęście urjadnik akurat nalewał do kieliszków likieru i dzięki temu nie spostrzegł bladości, jaka pokryła twarz jego rozmówcy.

Wilmowski ujął kieliszek i jednym haustem opróżnił go do dna.

— Cóż, mniej będzie miało państwo kłopotów — mruknął.

— Zaraz pošę po odpowiedniego człowieka do cyrkułu<sup>519</sup> — wtrącił urjadnik. — Sprawdźmy, czy przesłuchanie będzie mogło się odbyć.

— Gdzie mieszka zesłaniec? — zapytał Wilmowski.

— Tuż pod miastem, kwadrans drogi najwyżej.

— Jeśli tak, to sam pójdę do niego z waszym człowiekiem.

— Będę panu towarzyszył — zaproponował urjadnik.

— Nie, nie, i tak zająłem wam wiele cennego czasu pracy — zaoponował Wilmowski. — Wstąpię potem do cyrkułu i poinformuję pana, co działałem.

— Jak sobie pan życzy! Wobec tego spotkamy się w cyrkułe, a później przyjdziemy do mnie na obiad. Proszę nie oponować, zaszczyt to i wielka przyjemność dla nas. Olgo, Olgo! Niech Mariusza biegnie do cyrkułu, żeby Sasza zaraz tu przyszedł.

Wilmowski siedział jak na rozżarzonych węglach. Udawał, że z uwagą przysłuchuje się paplaninie urjadnika, który pod wpływem alkoholu rozpiął surdut i stał się bardzo wylewny. Tymczasem myśli Wilmowskiego uparcie wybiegały ku umierającemu zesłańcowi. Jakże los był dla niego okrutny! Tyle trudów, poświęceń na nic się zdało. Zbyszek konał... Teraz Wilmowski pragnął tylko ujrzeć go choć na krótką chwilę, pocieszyć, uścisnąć. Jakże

---

<sup>518</sup> — Cyrulik — dawniej felczer, golibroda.

<sup>519</sup> — Cyrkuł — komisariat policji.

samotny musiał się czuć i opuszczony w tym na poły dzikim, bezludnym kraju.

Sasza, rosłe brodate chłopisko, zastukał w sieni buciorami. Wilmowski wdział kożuszek. Urjadnik przekazał policjanta do dyspozycji wpływowego „kolegi”, zobowiązał do przyjęcia zaproszenia na obiad i nareszcie Wilmowski znalazł się na ulicy. Policjant z karabinem przewieszonym przez ramię poprowadził go na przedmieście, gdzie z dala od innych domów stała mała chatka. Pobielone wapnem belki, nie przylegające ściśle jedna do drugiej, tworzyły szczeliny nie utkane mchem. Małe okienko, oszklone skrawkami szyb, od wewnątrz osłaniała chusta.

— To tutaj — odezwał się policjant. — Wejść pierwszy, wasze wysokobłagrodje! Proszę ostrożnie, pułap niski.

Pchnął zbite z desek drzwi. Znaleźli się w ciemnej sionce. Zastukał do następnych drzwi. Nie czekając na zaproszenie, otworzył je szeroko. Wilmowskiemu serce waliło jak młot. W maleńkiej, mrocznej izdebce pierwszym rzutem oka dojrzał w kącie pryczę zbitą z desek. Na niej leżał jakiś człowiek. Obok niego, na skraju pryczy, siedziała młoda dziewczyna. Stojący na małym stoliku łożowy kaganek, sporządzony ze starej blaszanki, błyskając żółtawoczerwonym nierównym światłem dopalał się i skwierczeniem knota przerywał pełną beznadziei ciszę.

Policjant pochylił się, by nie zawadzić głową o framugę drzwi. Za nim wsunął się do izby Wilmowski.

— Kak wasze zdrowje?<sup>520</sup> — zagadnął Sasza. — Ha, i krasiwaja dziewczeczka<sup>521</sup> znów tutaj jest!

— Cicho! On umiera... — powiedziała dziewczyna, przykładając palec do ust.

— Taka wola Boża — mruknął policjant. — Cóż począć? A ja przyprowadziłem wam gościa, służbowego gościa...

— Dziękuję, zrobiliście swoje, wracajcie do cyrkułu — rzekł ściszym głosem Wilmowski. — Powiedzcie urjadnikowi, że wkrótce tam przyjdę.

Policjant przyłożył otwartą dłoń do daszka czapki, stuknął głośno obcasami i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

---

<sup>520</sup> — Jak się czujecie?

<sup>521</sup> — Piękna dziewczyna.

Wilmowski dłuższą chwilę stał w milczeniu. Z wolna wzrok jego przyzwyczajął się do półmroku. Zesłaniec leżał z przymkniętymi oczami. Długie, czarne rzęsy opadały na pociągłą, wybladłą twarz. Ręce złożone na piersiach jak do modlitwy były nieruchome. Pod łachmanem kołdry rysowały się kontury wychudłego ciała. Wilmowski milczał. Fala głębokiego wzruszenia chwyciła go za gardło, nie mógł wymówić ani słowa.

Nie wiedział przecież, kim jest dziewczyna czuwająca u łóżka konającego chłopca, a obawiał się okazać, jak bardzo go obchodzi jego los.

Dziewczyna mierzyła Wilmowskiego podejrzliwym wzrokiem. Powstała w końcu i zapytała:

— Kim pan jest i czego tutaj szuka? Moglibyście dać mu chociaż umrzeć w spokoju...

Oschły głos dziewczyny otrzeźwił Wilmowskiego. Odetchnął głęboko i cicho zagadnął:

— Czy naprawdę nie ma już ani cienia nadziei?

— Widzisz pan przecież...

— Czy on... jest przytomny? Czy może mówić?

— Czego pan chce od niego?

— Jestem urzędnikiem policji śledczej do specjalnych poruczeń gubernatora. Muszę pomówić z nim na osobności. Czy może pani zostawić nas samych? Moje nazwisko... Pawłow.

Dziewczyna postąpiła ku niemu. Rozszerzonymi ze zdumienia oczami zajrzała Wilmowskiemu prosto w twarz, potem cofnęła się aż pod ścianę, przyciskając kurczowo dłonie do piersi. Wewnętrzne łkanie wstrząsnęło jej drobnymi ramionami. Z oczu popłynęły łzy. Powstrzymując szloch, zaczęła szeptać:

— Zbyszku, Zbyszku, spojrzij na niego... spojrzij!

Zesłaniec uchylił powiek. Natężonym wzrokiem szukał twarzy przybysza. Wilmowski krok za krokiem przybliżał się do pryczy. Przystanął przy niej, po czym wolnym ruchem ściągnął z głowy futrzaną czapkę. Nieszczęsny zesłaniec zatopił w nim oczy. Jak w półśnie uniósł się na łokciach, z wysiłkiem usiadł na pościeli. Naraz krzyknął zdławionym głosem:

— Wujek...!

Płacząc jak dziecko, rzucił się Wilmowskiemu na szyję, kurczowo objął ramionami. Wilmowski w milczeniu tulił chłopca. Po jego męskiej, surowej twarzy spływały łzy. Natasza serdecznie objęła uściskiem obydwu mężczyzn.

— Widzisz, Zbyszku, nie chciałeś wierzyć... a oni mimo wszystko przedarli się tutaj do ciebie — szepnęła.

Wilmowski delikatnie oswobodził się z ich uścisku.

— Dzięki Bogu, że żyjesz, nie mamy czasu do stracenia — odezwał się cicho. — Kładź się, chłopcze, a ty, panienko, powiedz mi, kim jesteś.

— Wujku drogi, to jest Natasza Władimirowna Bestużewa! Moja narzeczona — gorączkowo mówił Zbyszek, jakby obawiał się, aby mu nie przerwano. — To ją spotkał Tomek w Nerczyńsku! To ona pomogła mu sprowokować Gołosowowa do pojedynku. Tomek powiedział jej, że nie opuści mnie, że przyjedzie tutaj po mnie, więc wyjednała u Naszki, aby wysłał ją do Ałdanu w sprawach faktorii.

— Więc to pani! — przerwał mu Wilmowski, uśmiechając się do Nataszy. Już nie płakała. Opanowana, dodała rzeczowo:

— Postanowiłam ułatwić wam uprowadzenie Zbyszka. On jest naprawdę chory, ale daleko mu do śmierci. Gdyby jednak wszyscy uwierzyli, że umarł, nikt by się nim więcej nie interesował.

— A więc to pani zawdzięczam ten przestrah, że przybyliśmy za późno! — powiedział Wilmowski. — Urjadnik istotnie jest przekonany, że on umrze lada chwila.

— Dobrze! Skoro już tu jesteście, to umrze dziś jeszcze przed wieczorem. W trumnę nakładziemy kamieni i jutro o świcie pogrzeb! Przygotowaliśmy kryjówkę, w której poczeka na pana...

— Powoli, powoli, omówmy spokojnie sprawę — przerwał jej Wilmowski. — Ciekawi mnie jedna rzecz. Mianowicie, gdy wymieniłem nazwisko agenta, pod którego podszyłem się u urjadnika, pani odezwała się do Zbyszka i kazała mu na mnie spojrzeć.

— Właśnie wtedy się zorientowałam, że to jakiś podstęp, gdyż ja i Zbyszek doskonale znamy agenta Pawłowa. Przecież to on prześladował nas w Nerczyńsku.

— Ach, więc to tak! Sprytna z pani dziewczyna. Ale jakim cudem ty, Zbyszku, poznałeś mnie od razu?

— Natasza jest wprost cudowna, wujku! Gdyby nie ona, byłoby ze mną bardzo źle. Tylko na jej prośby Naszkin wstawił się za mną, gdy Pawłow przyłapał list napisany przeze mnie do Tomka. A ciebie poznałem, bo przecież dopiero w Nerczyńsku spaliłem waszą fotografię, którą Tomek przysłał mi z podróży do Afryki.

Wilmowski wydobył chustkę. Obtarł zroszone potem czoło. Entuzjastyczne słowa Zbyszka o Nataszy nasunęły mu przypuszczenie, że sprawa uprowadzenia może się skomplikować.

— Według pani planu, Zbyszek umrze dzisiaj. Nietrudno będzie mi upewnić o tym urjadnika — odezwał się na głos. — Wobec tego jutro zaraz po pogrzebie możemy wyruszyć w drogę. Uprzedziłem urjadnika, iż jadę do Jakucka. Gdzie pani zamierza ukryć Zbyszka?

— Upatrzyłam kryjówkę w gąszczu przy drodze za miastem — odparła Natasza. — Gdzie oczekują pana towarzysze?

Wilmowski wydobył z kieszeni skrawek papieru. Ołówkiem nakreślił prowizoryczny szkic okolicy.

— Dobrze się składa — zawołała Natasza przestudiowawszy plan. — Musi pan przejeżdżać obok jego kryjówki. O, to tutaj...

Sprawnie uzupełniła szkic.

— Już będę wiedział. Zresztą chyba razem będziemy na „pogrzebie”?

— Oczywiście, muszę pilnować, aby komuś nie przyszła ochota zajrzeć do trumny z rzekomym nieboszczykiem — potwierdziła Natasza.

— A co pani ma zamiar uczynić później? — zapytał Wilmowski, bacznie przyglądając się dziewczynie.

Zarumieniła się i spuściła oczy. Zbyszek natomiast poderwał się z posłania.

— Wujku! Ja bez niej... nie ucieknę! Ona także jest zesłańcem! To rewolucjonistka, a ja... ja ją kocham!

Wilmowski skinął przyzwalająco głową. Więc jego przewidywania szybko się sprawdziły! Rozważał sytuację. Zabranie Nataszy jeszcze bardziej wikłało ryzykowną ucieczkę. Czy jednak postąpiłby uczciwie pragnąc rozdzielić tych dwoje młodych? Ba, gdyby mógł uprowadziłby z Syberii wszystkich carskich więźniów.

— Czy decyduje się pani towarzyszyć Zbyszkowi? — zapytał krótko. Kurczowo chwyciła jego rękę w swoje delikatne dłonie.



— Czy... czy zabierze mnie pan? — zapytała nieśmiało.

— Zabiorę, lecz muszę uprzedzić, że droga do wolności daleka i najeżona niebezpieczeństwami. Kto wie, czy zdołamy wynieść cało nasze głowy!

— Pójdę z wami i zginę bez słowa skargi — zapewniła.

— A więc dobrze! Zabierzemy panią, Nataszo. Czy zaraz będą tu pani szukali?

— Nie, o to nie ma obawy. Przyjechałam pod pretekstem uporządkowania interesów factorii. Jeszcze dzisiaj oznajmię policji, że wracam do Nerczyńska. Przepadnę jak kamień w wodę.

— Świetnie ułożyła pani to wszystko — przyznał Wilmowski. — Po pogrzebie przemknie się pani do kryjówki Zbyszka. Ja tymczasem pożegnam urjadnika i pospieszę do was. Jutro po południu będziemy już daleko od Ałdanu.

— Proszę wracać do urjadnika — oświadczyła Natasza. — Niech mu pan powie, że zesłaniec umarł w pana obecności. Resztę biorę na siebie. Zbyszek zasłoni twarz prześcieradłem, gdyby nas ktoś odwiedził. Jakuci boją się zmarłych, policja zaś nie będzie zbyt ciekawa. Przygotowani są na jego śmierć. Zaraz zamówię trumnę. Pogrzeb wczesnym rankiem...

— Podejmuje się pani trudnego i... nieprzyjemnego zadania.

— Dam sobie radę, wszystko już obmyślałam.

Dopiero koło południa Wilmowski opuścił samotną chatę zesłańca. Już znów opanowany udał się do cyrkułu na spotkanie z urjadnikiem.



## GNIEW BOGA OGNI A I BŁYSKAWIC

Pawłow pochylony siedział na głazie. Ponurym wzrokiem wodził za olbrzymim bosmanem. Nie miał najmniejszych wątpliwości: spiskowcy szykowali się do drogi.

Poprzedniego dnia o świcie zbudziła go krzątanka w obozie. Przez dziurkę w płachcie namiotowej widział pożegnanie, a potem samotny odjazd rzekomego Browna, którego niegdyś w Warszawie śledził jako nauczyciela geografii kolportującego nielegalne pisma. Gorączkowe pożegnania oraz cicho udzielane przestrogi dały mu wiele do myślenia. Brown zaopatrzone w jego dokumenty zapewne udał się na przespługi do Ałdanu! Potem wieczorem Smuga oddalił się z obozu. Powrócił prawie po północy i długo wiedli narady. Pawłow przypuszczał, że Smuga spotkał się gdzieś potajemnie z Brownem. Jakże mógł przywieźć wiadomości?

Od wschodu słońca Pawłow, z trudem kryjąc niepokój, nieznacznie śledził spiskowców. Zwinęli namioty, przepakowali juki. Najniezbędniejszy sprzęt obozowy oraz zapasy żywności podzielili na sześć części; każdą z nich zapakowaną w juki przytroczyli do siodła. W ten sposób uwolnili dwa juczne konie od ładunku.

Pawłow gubił się w domysłach. Do drogi powrotnej przygotowali o dwa konie więcej do jazdy wierzchem. Czyżby oprócz Karskiego mieli zamiar uprowadzić jeszcze kogoś? Agent siedział na głazie na pozór spokojny, lecz w sercu jego szalała burza wściekłości. Trudno było wątpić w pomyslny dla spiskowców obrót sprawy. Po wyjeździe Browna z satysfakcją obserwował ich niepokój, ale po nocnym wypadzie Smugi nabrał pewności, że udało się im nawiązać kontakt z zesłańcem. Świadczyły o tym pełne wymowy radosne spojrzenia, ukradkowe narady i jawne przygotowania od powrotnej drogi.

Pawłow drżał z gniewu i... strachu. Jaki los zamierzali mu zgotować?! Znów będą go wlekli ze sobą po głuszach tajgi, a potem... Nie, nie chcieli go chyba pozbawić życia, bo przecież mogli to uczynić już przedtem. Pawłowowi jednak nie tylko chodziło o życie. Ta sromotna powtórna porażka mogła przynieść mu niesławny koniec kariery. Cóż powie gubernatorowi? Czy będzie mógł przyznać się do tego, że miał w swym ręku groźnych

spiskowców i pozwolił im umknąć bezkarnie? Na domiar złego jego dokumenty służbowe pomogły w spisku przeciwko carskiej Rosji.

W niemej wściekłości zgrzytał zębami, a tymczasem sękaty olbrzym siodłał wierzchowce. Pozostali dwaj spiskowcy wymknęli się w pełnym uzbrojeniu z obozu. Być może przepatrywali okolicę, chcąc zapewnić sobie bezpieczny odwrót. Osiodławszy konie, olbrzym zaczął przeglądać broń. Nabił dwa rewolwery i włożył je do olster przy siodle jednego z koni, potem przysiadł na ziemi. Niczym wytrawny rusznikarz sprawdzał działanie zaników karabinów, ładował w nie naboje. Pochłonięty własnymi myślami, jakby zapomniał o Pawłowie.

Agent nie spuszczał oka ze swego prześladowcy. Olbrzym naprawdę nie zwracał na niego uwagi. Jakiś pomysł musiał rodzić się w umyśle agenta, gdyż zerkał to ku wierzchowcom, to znów na olbrzyma. Czerwone wypieki pojawiły się na jego szarej twarzy. Co chwila zaciskał spieczone wargi. Ostrożnie powstał z głazu. Broń siedział do niego półbokiem, wciąż zajęty karabinami. Pawłow posunął się o mały krok ku wierzchowcom. Nie odrywał wzroku od olbrzyma, uczynił jeszcze jeden mały krok, a potem większy.

Rzenie przestraszonego wierzchowca przywołało bosmana do rzeczywistości. Wyraz zaskoczenia i gniewu odmalował się na jego twarzy.

— Precz od koni! — krzyknął, zrywając się na równe nogi.

Trzymał w ręku karabin, mógł zastrzelić Pawłowa, lecz obawiał się, że huk strzału ściągnie im na kark kogoś nieproszonego. Odrzucił więc broń i skoczył ku agentowi. Pawłow bał się bosmana jak ognia, toteż paniczny strach jakby dodał mu skrzydeł. Dopadł konia, szarpnął za pas zamykający olstrę zawieszoną u siodła. Wydobył rewolwer. Wypalił prosto w twarz nadbiegającego. Bosman tylko zwinął się w skoku, rozkrzyżował dłonie i waląc się z rozmachem na ziemię, wyrznął agenta głową w piersi.

Pawłowowi pociemniało w oczach. Okoliczne pagórki jakby się rozplynęły... Zemdlał. Gdy odzyskał przytomność, ujrzał powalonego bosmana. Leżał twarzą do ziemi z odrzuconymi w bok rękami. Pawłow stękając podniósł się na nogi. W ustach czuł słonawy smak krwi.

Okropny ból rozsadzał mu piersi. Z nienawiścią i prawie zabobonnym strachem spoglądał na olbrzyma.

Wolno cofał się tyłem. Podniósł z ziemi rewolwer. Dopiero teraz odwrócił się ku wierzchowcom. Chwycił jednego z nich za uzdę. Z wysiłkiem

wspiał się na siodło. Wiedział, że nie ma czasu do stracenia. Smuga i Tomek mogli przybiec lada chwila zwabieni hukiem wystrzału. Pawłow pochylił się w siodle. Pognał w tym samym kierunku, w którym poprzedniego ranka oddalił się Brown. Wkrótce wyjechał na wąską, kamienistą drogę. Zawrócił wierzchowca w kierunku Ałdanu.

Pawłow wypluwał krew napływającą mu do ust. Ból w piersiach był coraz dotkliwszy. Gdyby teraz znów stracił przytomność, zginąłby niechybnie. Obawa przed pościgiem dodawała mu sił. Popędzał konia, nerwowo spoglądając za siebie. Drżał na myśl, że Smuga mógłby go dogonić. Ten nie dałby się wyprowadzić w pole i na pewno już by go nie oszczędził...

Nareszcie ujrzał w dali dachy domostw. Pochylił się, uderzył wierzchowca piętami w boki. Jakucki koń ruszył nierównym galopem. Pawłow zacisnął dłonie na łąku siodła. Głuchy tętent niósł się po drodze. Ałdan był coraz bliższy, oto już pierwsze domki na przedmieściu. Jakby na odgłos tętentu konia z małej chatki wybiegła ubrana w krótki kożuszek dziewczyna. Ujrzała jeźdźca gnającego galopem w stronę miasta. Przystanęła na skraju drogi. Rozpędzony wierzchowiec omal jej nie stratował, lecz ona na to nie zważała. Przez moment mignęła trupio blada twarz jeźdźca. Krzyknęła przerażona, po czym pobiegła co sił w ślad za nim.

Wilmowski pakował swe podrózne drobiazgi do torby. Uśmiech zadowolenia błąkał się po jego twarzy. Na pozór fantastyczny plan Nataszy okazał się bardzo prosty i nie wzbudził niczyich podejrzeń. Urjadnik bez zdziwienia przyjął wiadomość o śmierci zesłańca. W obecności Wilmowskiego sporządził odpowiedni raport dla władz zwierzchnich, a potem następnego ranka razem z Wilmowskim był na pogrzebie. Oświadczenie „*agenta*” do specjalnych poruczeń gubernatorskich, iż więzień skonał w jego obecności, całkowicie wystarczyło urjadnikowi. Jako rzecz naturalną przyjął obecność Bestużewej na pogrzebie. Przecież przybyła do Ałdanu w celu uporządkowania spraw faktorii, w której zmarły był zatrudniony.

Właśnie Wilmowski powrócił z pogrzebu. Przed chwilą powiadomił gospodarza „*Jewropejskiej Gostinicy*”, że opuszcza hotel. Najdalej za godzinę razem ze Zbyszkiem i Nataszą będą w drodze do kryjówki wyprawy. Poprzedniej nocy Wilmowski spotkał się ze Smugą w umówionym miejscu pod miastem. W ten sposób towarzysze już wiedzieli o pomyślnym przebiegu akcji i byli przygotowani do ucieczki.

Wilmowski zapiął podrózną torbę. Przewiesił ją na pasie przez ramię, włożył nabity rewolwer do kieszeni kozuszką. Nagle z ulicy doszedł go tętent. Ucichł tuż przed zajazdem. Wilmowski pomyślał, że przybył jakiś nowy gość. Chcąc uniknąć zbędnych rozmów, zaraz wyszedł do ogólnej izby. Wręczał gospodarzowi należność, który uniżenie dziękował za suty napiwek, gdy pchnięte drzwi wejściowe stanęły otworem. Rozległ się tupot szybkich kroków i ktoś zawołał:

— Gdzie cyrkuł?

Wilmowski drgnął zaskoczony, usłyszawszy znajomy głos. Odwrócił się natychmiast. Ujrzał Pawłowa! Przygarbiony, lewą dłonią przyciskał pierś, w prawej zaś trzymał rewolwer. Zmierzwiony włos na głowie, krew na brodzie i koszuli oraz grymas bólu malujący się na jego twarzy wprost przeraziły Wilmowskiego. Pojął natychmiast, że w obozie nieoczekiwanie musiało zdarzyć się coś strasznego.

Pawłow również poznał Wilmowskiego. Bez chwili namysłu skierował w niego lufę rewolweru:

— Ręce do góry! — syknął złowrogo.

Wilmowski wolno uniósł dłonie. Wyraz triumfu przewinął się w przekrwionych oczach Pawłowa. Jeden ze spiskowców już leżał martwy w obozie, a teraz los znów się do niego uśmiechnął. Oto przed nim stał bezbronny drugi jego wróg! Jakież to był wspaniały odwet za wszystkie niepowodzenia! Mimo niezwykłego podniecenia spostrzegł, że Wilmowski trochę opuścił dłonie.

— Ręce do góry... lub strzelam! — ostrzegł. — Aresztuję cię pod zarzutem zorganizowania spisku w celu uprowadzenia więźnia... za gwałt na przedstawicielu prawa i... przyjrzyj mi się dobrze, ty... skatino.<sup>522</sup>

Myśli jak błyskawice krzyżowały się w głowie Wilmowskiego. W jaki sposób agent zdołał zbiec? Co się stało z jego towarzyszami w obozie? Ani przez chwilę nie miał zamiaru dać się wziąć żywcem! Ręce uniósł do góry, by nieco zyskać na czasie.

Pawłow wyglądał strasznie. Krwawa piana wystąpiła mu na usta. Widać było, że stoczył okropną walkę, że nie wyszedł z niej bez szwanku. Przybliżył się do Wilmowskiego i rzucił mu prosto w twarz:

---

<sup>522</sup> — Skatina — bydlę.

— Uciekłeś mi w... Warszawie! Pamiętasz?! Teraz nareszcie mam cię! Zapłacisz za wszystko, zawieszysz na szubienicy! Twój wspólnik leży martwy w obozie!

Twarz Wilmowskiego najpierw pobladła, potem pojawił się na niej krwawy rumieniec gniewu. Już wiedział, dlaczego ten agent wydawał mu się tak dziwnie znajomy! To był bezpośredni sprawca całej jego tragedii! On pozbawił gożony i domu!

— Nareszcie spotkaliśmy się... — odrzekł Wilmowski urywanym głosem. — Tak, to ty, carski szpiclu! A więc dobrze, życie za życie...

— Zginiesz! — wrzasnął agent widząc, że przeciwnik opuszcza dłonie.

Wilmowski nie zważał na groźby, już wyciągał ręce, by schwytać Pawłowa... W tej właśnie dramatycznej chwili ktoś wbiegł do zajazdu. Wilmowski zamarł w połowie ruchu. Pawłow spostrzegł zdumienie w jego oczach, przez ramię błyskawicznie zerknął za siebie.

W progu stała młoda dziewczyna, ta sama, której omal nie stratował koniem. Teraz ją poznał. To była zesłanka z Nerczyńska. To ona przyjaźniła się z zesłańcem, jakby na przekór zakochanemu w niej Golosowowowi. W tym krótkim momencie Pawłow zrozumiał, dla kogo to przeznaczili spiskowcy drugiego wierzchowca.

Wilmowski skoczył ku agentowi. Ten jednak spostrzegł to w porę, uskoczył w bok, szarpnął spustem rewolweru. Dym osmalił Wilmowskiemu twarz. Agent strzelił po raz drugi. Chybił... Natasza wyrwała z kieszeni kożuska mały rewolwer. Pięć razy pociągnęła za cyngiel i ochłonęła dopiero wtedy, gdy za szóstym pociągnięciem rozległo się tylko metaliczne uderzenie kurka. Wystrzelała wszystkie naboje.

Po każdym strzale Pawłow pochylał się coraz bardziej, aż w końcu runął bezwładnie na podłogę.

— Uciekajmy, już pewnie alarmują policję! — zawołała Natasza.

Wilmowski rozognionym wzrokiem wpatrywał się w leżącego bez ruchu agenta. Nie zważając na ostrzeżenia Nataszy, wolno przyklęknął przy nim. Odwrócił go twarzą do góry. Pawłow nie żył.

— Karczmarz umknął tylnym wyjściem — ponaglała Natasza. — Lada chwila odetną nam odwrót!

Wilmowski schował do kieszeni rewolwer Pawłowa.

— Chodźmy stąd — rzekł krótko.

Podniósł z podłogi swoją torbę podróżną. Zarzucił ją na lewe ramię, prawą dłoń wsunął w kieszeń kozucha i zacisnął ją na zimnej rękojeści rewolweru.

— Chodźmy! — powtórzył.

Wypadli przed zajazd. Obok wierzchowca Wilmowskiego stał koń Pawłowa.

— Czy umiesz jeździć konno? — zapytał Wilmowski.

— Tak!

— Wsiadaj! Prędzej, dogonię cię!

Nie tracąc czasu Natasza wskoczyła na wierzchowca. Strzały zwróciły uwagę okolicznych mieszkańców. Niektórzy wyglądali przez okna. Słysząc było nawoływania. Zrozumiała, że Wilmowski chce opóźnić pościg. Pognęła ku wylotowi ulicy. Dopiero po dłuższej chwili Wilmowski dosiadł swego konia. Nie spiesząc się, podążył za Natasza. Wkrótce był na rogatkach. Przed nim na drodze snuł się obłok kurzawy.

Wilmowski smagnął konia. Ruszył galopem. Z wolna doganiał dziewczynę. Już razem zanurzyli się w tajgę. Przedzierając się powoli wśród drzew, dali umówiony sygnał Zbyszkowi.

Natychmiast wybiegł im na spotkanie. Przystanęli na moment, by zdążyć wskoczyć na konia za Natasza. Znów pomknęli dalej. Wilmowski wciąż ponaglał do pośpiechu. Sekundy zdawały mu się godzinami. Drżał z obawy, co zastanie w obozie. Ucieczka Pawłowa wróżyła najgorsze.

Rzedniejący las wywiódł ich na skraj na pół skalistych wzgórz. Wilmowski uniósł się w strzemionach, niecierpliwie wypatrując kryjówki. Naraz kamień spadł mu z serca. Zza załomów skalnych wyłoniły się znane mu sylwetki jeźdźców. Dwaj z nich prowadzili osiodłane wierzchowce, trzeci jucznego konia. A więc Pawłow skłamał! Bo oto olbrzymi bosman i Tomek wysforowali się do przodu z końmi dla dwojga uciekinierów. Bosman wprawdzie miał głowę obandażowaną, ale rażno wymachiwał dłonią do nadjeżdżających.

Zatrzymali konie tuż przed przyjaciółmi. Krótkie powitanie Tomka ze Zbyszkiem wycisnęło wszystkim z oczu łzy wzruszenia. Trwało to zaledwie moment, gdyż Smuga przywrócił ich groźnej rzeczywistości, informując krótko Wilmowskiego:



— Andrzeju, Pawłow umknął! Musimy natychmiast ruszać w drogę, jeśli...

— Pawłow już nigdy nikomu nie zaszkodzi — przerwał mu Wilmowski, marszcząc brwi. — Ale pościg i tak może deptać nam po piętach!

Bosman przeciągle gwizdnął przez zęby.

— Ojczy, co się stało w Ałdanie? Czyś ty ranny? — zawołał Tomek.

— Nie czas na gadaninę! Wszyscy na koń! Tomku, prowadź wytyczoną trasą — ostro rozkazał Smuga, wydobywając torbę z opatrunkami.

Czoło wyprawy oddaliło się o kilkaset metrów, zanim Smuga skończył bandażowanie rany Wilmowskiego.

— Kula drasnęła mięsień! Masz szczęście — rzekł z ulgą. — Teraz jak najprędzej dokończmy naszych!

Dosiedli koni. Dopiero w kilka godzin później zatrzymali się na krótki odpoczynek. Zluźnili wierzchowcom popręgi u siodeł i puścili je na popas, bosman zaś wydzielił racje suchego prowiantu. Po posiłku Smuga odezwał się:

— Andrzeju, zdaj relację z wypadków w Ałdanie! Najwyższy czas, abyśmy rozważyli sytuację.

Wilmowski krótko opowiedział przebieg wydarzeń. Bosman nieco rozchmurzył się, słysząc, w jakim stanie Pawłow przybył do zajazdu. Mimo woli przesunął dłonią po zabandażowanej głowie.

— Źle się stało, że Pawłow zdołał umknąć — rzekł Smuga, wysłuchawszy relacji. — Nie docenialiśmy jego przebiegłości! To był szczwany lis!

— Baty mi się należą — markotnie powiedział bosman. — Dałem mu się podejść i obydwóm nam pozostawił pamiątkę...

— Nie wiesz nawet, że Pawłow w ten sposób chciał załatwić z nami dwoma stare porachunki — wtrącił Wilmowski.

— Jak to? — zdumiał się bosman.

— To on właśnie wytropił nas wtedy w Warszawie!

— Czy to możliwe?

— Sam mi to powiedział!

Bosman umilkł zaskoczony nieoczekiwaną wiadomością. W końcu splunął zamasyście i rzekł:

— A więc to dlatego jego gęba wciąż wydawała mi się skądś znajoma!

— Ano tak! On nas poznał. Śledził mnie i ciebie wówczas przez dłuższy czas, podczas gdy my widzieliśmy go tylko przez krótką chwilę.

Bosman zafrasowany mruknął:

— Zuch z Nataszy, szkoda jednak, że mnie wyręczyła. Ba, żeby nie ona, to i dzisiaj wszystko uszłoby na sucho draniowi!

Wilmowski opuścił głowę. Wstyd mu było przyznać się, że podczas tragicznego zajścia z Pawłowem byłby go tym razem zabił bez skrpułów.

— Gdy Pawłow rzucił mi prosto w twarz mściwe słowa, nareszcie go poznałem — odezwał się cicho. — Wspomnienie okrutnego losu mojej żony i naszej poniewierki sprawiło, że zapomniałem o miłosierdziu. Chciałem zabić Pawłowa. Natasza ocaliła mi życie, bo miał nade mną przewagę.

Tomek z wdzięcznością spojrzął na dziewczynę.

Po godzinnym wypoczynku wyruszyli w dalszą drogę. Smuga nie zaniechał ostrożności, aczkolwiek wydawało mu się, że jedynie przypadek mógłby naprowadzić pościg na ich ślad w tym skalistym pustkowiu. Przede wszystkim uformował karawanę w ubezpieczony szyk: sam wysunął się do przodu na czoło, o kilkadziesiąt metrów za nim jechał Wilmowski z Nataszą i Zbyszkiem, a w pewnej odległości za nimi jako tylna straż podążali bosman i Tomek. Olbrzymie doświadczenie Smugi i opanowanie w niebezpieczeństwie uwidaczniały się obecnie niemal na każdym kroku. W rozległym bezdrożnym kraju instynktownie obierał właściwy kierunek. Wiódł karawanę skalistymi wąwozami, by kopyta końskie jak najmniej pozostawiały śladów, nakazywał wszystkim ustawiczną czujność. Minęły dwa dni. Już spory szmat drogi dzielił ich od Ałdanu. Dotąd Smuga prowadził karawanę w kierunku wschodnim. Według jego rachuby, ewentualny pościg powinien był udać się utartym szlakiem na południe. W ten sposób podążali w odwrotne strony i odległość pomiędzy nimi a pogonią wciąż się powiększała. Dopiero drugiego dnia, gdy słońce stanęło w zenicie, Smuga zaczął zbaczać ku południowemu zachodowi. Jeśli ścigający jechali traktem, to dzięki jego manewrowi karawana znajdowała się obecnie na ich tyłach. Zwolnili więc tempo jazdy i pozwalali koniom na częstsze wypoczynki. Przecież należało zachować siły wierzchowców na najgorsze chwile.

Późnym popołudniem zagłębiali się w głuchy las. Pod lekkim podmuchem wiatru złote brzoźki obficie sypały przejrzystymi listkami.

Krzewy głógów i dzikie czarne porzeczeki poczerwieniały od nocnych chłódów. Był to nieomylny znak, że jesień już nadchodzi wielkimi krokami.

Smuga jak zwykle jechał na przedzie, rozglądając się po tajdze. Nagle pochylił się do przodu, wyteżył wzrok. Po chwili upewnił się — pod drzewem siedział pochylony, samotny człowiek. Smuga ostrzegawczo uniósł dłoń, wstrzymał wierzchowca. Niemymi rozkazami polecił towarzyszącej otoczyć obcego człowieka. Wkrótce cała grupa przystanąła pod drzewem.

— Do stu beczek zjełczanego tranu, toż to nieboszczyk — zawołał bosman.

— Do licha, nie mylisz się bosmanie — potwierdził Smuga. — Ptaki wydziobały mu oczy...

— To pewno Tunguz — wtrącił Wilmowski. — Oni w ten sposób chowają umarłych.

Wysuszony trup siedział oparty o drzewo i czarnymi oczodołami spoglądał na wschód. Na jego kolanach leżał łuk oraz siekierka o złamanym trzonku. Nie opodal stały nieco przysypane ziemią sanie, a obok nich walały się kości reniferów i uprząż.

Wilmowski wyjaśnił, iż Tunguzi pozostawiają przy zmarłych przedmioty, które służyły im do osobistego użytku, lecz łamią noże oraz trzonki siekier, aby nieboszczyk nie mógł szkodzić żywym ludziom. Zbyszek, świadom niektórych zwyczajów krajowców, dodał, że Jakuci dawniej chowali zmarłych na drzewach, na specjalnych platformach zwanych arakas<sup>523</sup>. Teraz grzebali w ten sposób jeszcze tylko szamanów.

Jechali, rozmawiając cicho o dziwnych zwyczajach tubylców. Po jakimś czasie znaleźli się nad brzegiem leśnego jeziora. Smuga znów zatrzymał towarzyszy. Nie dalej jak o kilkaset kroków od nich stała jurta. Strużka dymu sączyła się z komina. W drzwiach ukazała się ludzka postać. Zaledwie spostrzegła karawanę, natychmiast cofnęła się w głąb domu. Podróżnicy pomknęli za Smugą ku sadybie. Skoro zostali zauważeni, musieli się upewnić, kim są jej mieszkańcy. Nędzna jurta chyliła się ku upadkowi. Gliniana polepa podpadała w wielu miejscach ze ścian, jedyne okienko było zapchane

---

<sup>523</sup> — Jakuci nie lękali się naturalnej śmierci. Dawniej panował wśród nich zwyczaj, że starzy lub chorujący rodzice zwracali się z prośbą do najbardziej ulubionego syna, aby zabił ich własną ręką. Syn miał obowiązek wyprawić pożegnalną ucztę, ugasać proszącego o śmierć przez trzy dni, potem szedł z nim do lasu i zakopywał żywcem w dole razem z jego osobistymi sprzętami.

darniną. Przed domem leżała porzucona sieć na ryby, a nad jeziorem, na wpół wyciągnięta na brzeg, widniała łódź wypalona w drzewnym pniu.

Smuga zeskoczył z konia, by wejść do jurty. Wtem w progu pojawiły się dwie ludzkie postacie. Podróżnik cofnął się zaskoczony strasznym widokiem. Twarze krajowców pokrywały rany i strupy.

Jeden z nich wyciągnął dłoń pozbawioną palców.

Natasza krzyknęła przerażona.

— Niech pan się nie zbliża do nich, to trędowaci<sup>524</sup> — zawołał Zbyszek.

Podróżnicy w popłochu cofnęli się. Jeden z nieszczęsnych krajowców zagadał coś bezwargimi ustami. Wyszczерzone pożółkłe zęby sprawiały niesamowite wrażenie.

— Zbyszku, czy rozumiesz, co on mówi? — zapytał Smuga, z trudem opanowując odrzę.

— Prosi o jedzenie, głodny — wyjaśnił młodzieniec.

Smuga wydobył z juków trochę sucharów i pudełko konserw, złożył te dary na ziemi.

— Zapytaj go, czy wie, w którym kierunku znajduje się trakt do Ałdanu — powiedział.

Zbyszek sformułował pytanie, pomagając sobie gestami rąk. Trędowaty wyciągnął kikut ku zachodowi. W tym też kierunku pospiesznie podążyli.

Jakuci, jak i Tunguzi zmuszali chorych na trąd do zamieszkiwania z dala od osiedli. Gmina od czasu do czasu dawała nieszczęśnikom trochę żywności czy też jakiś łachman do ubrania, lecz za to chorzy nie mieli prawa zbliżyć się do sadyb zdrowych ludzi. Podróżnicy długo nie mogli zapomnieć widoku krajowców dotkniętych tą straszną, nieuleczalną chorobą. Ponaglali konie, chcąc jak najprędzej wydostać się z lasu, w którym królowali zmarli oraz pogrzebani za życia — trędowaci. Dopiero po zapadnięciu zmierzchu Smuga zatrzymał karawanę w małej skalistej kotlinie. W myśl jego obliczeń, byli już w pobliżu głównego szlaku. Choć ciemność nocy zabezpieczała ich przed pościgiem, nie rozpalili ogniska ani nie rozbili namiotu. Jedynie dla Nataszy zbudowali z gałęzi tak zwany przez krajowców elbelen lub hałtam. Był to szałas o jednej tylko pochylonej ścianie, która trochę osłaniała przed deszczem i wiatrem. Posilili się suchym prowiantem oraz wodą ze strumienia,

---

<sup>524</sup> — Trąd — przewlekła choroba zakaźna, w której przebiegu powstają rozpadające się nacieki na skórze, prowadzące do zniszczenia tkanek, zniekształceń, wreszcie do śmierci.

po czym w śpiworach ułożyli się na spoczynek. Z wyjątkiem Zbyszka reszta mężczyzn na zmianę pełniła straż.

Gwiazdzista, chłodna noc minęła spokojnie. O wschodzie słońca dosiedli koni. Późnym rankiem dotarli na skraj rozległej łąki. Kilka stogów siana wskazywało na bliskość jakuckich zimowych domostw. Smuga zatrzymał się. Przez lunetę penetrował pagórkowatą okolicę.

W dali rysowały się ciemne kontury jurt. Z kominów ich nie unosił się dym. Zapewne krajowcy jeszcze przebywali w swych letnich urasach. Zdrożone konie podróżników wyciągały łby w kierunku stogów. Po krótkiej naradzie Smuga postanowił zatrzymać się na popas. Według miejscowych zwyczajów każdemu było wolno nakarmić wierzchowca sianem ze stogu.

Podczas gdy konie z rozluźnionymi popręgami u siodeł skubały siano, jeźdźcy zaspokoili głód z własnych zapasów. Po jakimś czasie zaczęli się przygotowywać do drogi. Smuga znów jechał na przedzie. Teraz wspinał się na łagodny pagórek, skąd zamierzał rozejrzeć się po okolicy. Wkrótce był na szczycie. Zeskoczył z konia. Spojrzał na wąski pas równiny. Nie dalej jak o kilkaset metrów znajdował się szlak. Gromada jeźdźców ciągnęła nim z południa na północ. Smuga wydobyl lunetę. Zobaczył spory oddział żołnierzy, składający się z Jakutów i kilku Kozaków. Nie tracąc czasu, szybko poprowadził wierzchowca z powrotem w dół zbocza. W tej właśnie chwili karawana dążyła na przełaj przez łąkę i mogła być widoczna na szlaku. Zaledwie zbocze zasłoniło Smugę, wskoczył na konia. Rękoma dawał swoim ostrzegawcze znaki.

Naraz za wzgórzem rozbrzmiało kilka strzałów.

A więc zostali zauważeni przez żołnierzy! Na odgłos palby tylna straż wyprawy szybko dołączyła do głównej grupy. Podążyli ku wschodowi, gdzie czerniło się pasmo lasu. Smuga przepuścił do przodu Wilmowskiego z dwojgiem zesłańców i jucznym koniem.

Oddział żołnierzy wyłonił się zza pagórka. Był to zapewne pościg, który po dwudniowych bezskutecznych poszukiwaniach powracał do Ałdanu. Świadczyły o tym okrzyki i strzały, jakimi żołnierze usiłowali zatrzymać przed nimi gromadkę jeźdźców.

— Niech ich tajfun porwie! Mogą nas dogonić — zauważył bosman oglądając się.

Smuga spojrział za siebie. Uważnie mierzył wzrokiem odległość.

— Dościgną nas — potwierdził. — Musimy ich powstrzymać!

Ściągnął konia cugłami. Bosman i Tomek uczynili to samo. Odwrócili się przodem do pościgu.

— Mierzyć w konie! — rozkazał Smuga.

Wypalili. Strzały były niecelne, ponieważ wierzchowce przestraszone hukiem omal nie pozrzuciły jeźdźców z siodła. Żołnierze natychmiast rozsypali się w tyralierę. Trójka uciekinierów znów pociągnęła za cyngle. Tym razem strzały były celniejsze. Dwóch jeźdźców z wierzchowcami zważyło się na ziemię. Następna salwa zmusiła pościg do większej ostrożności. Żołnierze zwolnili tempo pogoni, jeszcze bardziej rozciągnęli tyralierę.

Smuga spojrział na czołówkę karawany. Wilmowski już dojeżdżał do lasu.

— Umykajmy — rozkazał.

Ruszyli z kopyta pochyliwszy się w siodłach. Za nimi rozbrzmiały przeciągłe okrzyki.

Tomek zerknął za siebie.

— Skrzydła pościgu wysuwają się do przodu! — krzyknął ostrzegawczo.

— Chcą nas okrążyć — odkrzyknął bosman.

Ponaglili wierzchowce, które w morderczym galopie brzuchami prawie dotykały ziemi. Karłowaty las był już bardzo blisko. Naraz za uciekającymi posypały się kule. Właśnie wpadli między drzewa. Nagle koń Tomka zarżał boleśnie, rzucił się w bok, a następnie w pełnym pędzie runął na ziemię. Tomek na szczęście zdążył wysunąć nogi ze strzemion, zanim wyleciał z siodła. W powietrzu wywinął kozła i padł na plecy na miękkim mech. Przez chwilę leżał oszołomiony.

Obydwaj jego towarzysze z trudem osadzili rozpędzone konie. Triumfalny wrzask pogoni rozniósł się szerokim echem. Tomek postępując dźwignął się szybko na nogi, zanim doń przybiegli przestraszeni Smuga i bosman.

— Nic mi nie jest... Trafili konia — uspokoił ich.

— Właż na szkapę! — krzyknął bosman. Podsadził przyjaciela jak piórko i usadowił go na swoim wierzchowcu.

— Tomku, pędź i zatrzymaj ojca — polecił Smuga, podnosząc karabin młodzieńca. — Walka nieunikniona... Spiesz się! Sami nie powstrzymamy pościgu!

Tomek zagryzł wargi. Za moment oddalił się galopem.

Smuga ukryty za drzewem spokojnie przyłożył karabin do ramienia. Mierzył krótko. Najbliższy jeździec szeroko rozkrzyżowując ramiona spadł z konia. Karabin Smugi pluł ogniem raz za razem. Bosman tymczasem zdjął siodło z zabitego konia Tomka. Tracenie skromnego ekwipunku osobistego w tym surowym kraju groziło niemal śmiercią. Zrzucił siodło na wierzchowca Smugi. Przystanął za rozłożystą brzozą i razem z przyjacielem zaczął razić pościg kulami.

Skrzydła pogoni już docierały do lasu. Smuga i bosman, by uniknąć odcięcia od czoła karawany, rozpoczęli szybki odwrót, ostrzeliwując się.

Okrzyki żołnierzy oraz ostra palba karabinowa pozwoliły Wilmowskiemu zorientować się, że jego towarzysze są w niebezpieczeństwie. Zamiast uciekać dalej, wraz z Nataszą i Zbyszkiem zawrócił ku nim. Niebawem spotkali Tomka. Razem pospieszyli na pomoc dwóm śmiałkom.

Wilmowski jednym spojrzeniem ocenił krytyczną sytuację, w jakiej się znaleźli. Żołnierze z pościgu straciwszy kilku ludzi zeskakiwali z koni; kryjąc się za drzewami zataczali półkole. Widać było, że zamierzają otoczyć uciekinierów.

— Zbyszek i Natasza! Pilnować koni — krzyknął Wilmowski.

Obaj z Tomkiem włączyli się do walki. Wzmocniony celny ogień trochę ostudził zapał pościgu. Żołnierze ostrożnie przesuwali się od drzewa do drzewa. Kilku Kozaków okrzykami zachęcało Jakutów do szarży, lecz ci nie okazywali zapału do otwartego natarcia.

Smuga pragnął uniknąć walki wręcz, która przy liczebnej przewadze wroga musiałaby się skończyć sromotną klęską. Dlatego też, powstrzymując pogoń strzałami, z wolna wycofywał się z karawaną coraz głębiej w las.

Zaniepokojony obserwował żołnierzy formujących bardziej zwarty szyk.

— Panie Smuga, źle z nami — naraz zawołał bosman.

— Do diabła, oni szykują się do ataku! — dodał Smuga.

— A jakże, przyparli nas do bagniska. Zerknij pan za siebie, a zrozumiesz ich taktykę.

Teren obniżał się ku wschodowi. Pomiędzy drzewami przeświecały bajorka porośnięte żółto–zielonymi kępami.

— Andrzej, prowadź nas w moczary — rozkazał Smuga.

— Ugrzęźniemy w bagnisku — zaoponował Wilmowski.

— Lepiej się utopić, niż pójść w niewolę — powiedział Smuga. — Lada chwila uderzą na nas, nie wytrzymamy...

Żołnierze wzmogli ogień. Zapewne wiedzieli, że bagienne rozlewiska odcinają przeciwnikowi odwrót. Kozacy zaczęli wysforowywać się do natarcia. Jakuci zachęceni przykładem szli za nimi.

Uciekinierzy wycofywali się w bagna. Wilmowski, Natasza i Zbyszek za uzdy prowadzili wierzchowce, które siłą zmuszali do desperackiej przeprawy przez coraz głębsze bajora. Smuga, bosman i Tomek osłaniali ich ogniem karabinowym. Konie zapadały w wodę już niemal po brzuchy, rżały przestraszone widmem śmierci w groźnej, bezmiernej topieli.

Kozacy i Jakuci czuli się teraz pewni zwycięstwa. Chrapliwymi okrzykami dodawali sobie odwagi do otwartego ataku. Zwartym półkolem przyparli uciekinierów do zdradliwego bagna.

Bosman pierwszy zrezygnował z beznadziejnej ucieczki. Przyklęknął na kępie za pnem drzewa. Z karabinu siał wrogom kulę za kulą. Smuga i Tomek również zrozumieli, że nadeszła ich ostatnia godzina. Postanowili drogo sprzedać swe życie. Ukryci za drzewami wspomagali bosmana. Pogoń tymczasem zacieśniła półkole. Żołnierze ruszyli ławą, by otoczyć walczącą gromadkę straceńców. W tej właśnie chwili Wilmowski z Nataszą i Zbyszkiem przypadli do swych przyjaciół. Ucieczka przez bagna okazała się niemożliwa, postanowili więc zginąć razem z nimi. Triumfalny wrzask pogoni rozniósł się po tajdze...

Bosman ujął karabin za lufę jak maczugę, wyskoczył zza drzewa. Smuga ruszył w jego ślady z rewolwerem w dłoniach. Tomek, Wilmowski, Natasza i Zbyszek zdeterminowani pobiegli za nimi. Już dopadli wrogów. Wtem rozległ się przeciągły świst, potężniejący z każdą sekundą. Jakuci zatrwożeni stanęli jak wrośnięci w ziemię. Zapomniawszy o walce, z zadartymi do góry głowami wpatrywali się w niebo. Bosman z rozpędem wpadł między nich. Jednego grzmotnął kolbą karabinu, drugiego wywrócił uderzeniem pięści, a potem zwarł się z kozackim dowódcą. Była to jednak krótka i samotna walka, gdyż wszyscy inni przerażeni patrzyli w górę na niezwykle zjawisko. Po nieboskłonie mknęła z południa na północ oślepiająca kula ognista, wlokąc za sobą długi, czarny ogon... Niebawem zniknęła za drzewami gdzieś w tajdze. Potężny, głuchy grzmot wstrząsnął ziemią.... Niebo rozżarzyło się do białości,



potem stało się żółtoczerwone, a w końcu poszarzało w półmroku. Gorący wiatr powiał z huraganową mocą. Kładł drzewa, wywraçał konie i ludzi.

W szeregach Jakutów wszczął się popłoch.

— Ogda! Ogda! — rozbrzmiewały przerażone głosy.

Jakuci porzucili karabiny, chwyтали konie, gromadnie uciekali z upiornego lasu. Panika ich udzieliła się i Kozakom. Zaczęli umykać.

Przeraźliwe okrzyki strachu oddalały się coraz bardziej. Po jakimś czasie wichura ucichła, choć niebo wciąż jeszcze pogrążone było w półmroku.

Oszołomieni podróżnicy spoglądali na siebie wylękłym, niedowierzającym wzrokiem, nic nie rozumiejąc.

— Czyżby to był koniec świata?! — zawołał bosman, niepewnie rozglądając się dokoła.

— Jakiś niezwykle kataklizm dotknął ziemi<sup>525</sup> — drżącym głosem odparł Wilmowski.

— Jakuci wołali, że to znak Ogdy, czyli boga ognia i błyskawic — wtrącił Zbyszek, który zdążył nieco poznać mowę krajowców.

— Do licha z przesadami! Chwytać konie i w drogę! — krzyknął Smuga.

---

<sup>525</sup> — 30 czerwca 1908 r. na Syberię, w tunguską tajgę w okolicach faktorii Wanawara, spadł tak zwany meteoryt tunguski. Na skutek silnej eksplozji w powietrzu powstał olbrzymi słup dymu podobny do grzyba atomowego. Wybuch odczuto w promieniu 800 km. Potężny podmuch przewracał drzewa w tajdze, zrywał dachy, obalał płoty, ludzi i zwierzęta jeszcze o 160 km od miejsca eksplozji. Obserwatoria sejsmograficzne na Syberii, w Taszkencie i Jenie zanotowały trzęsienie ziemi. Podmuch powietrza obiegł dwukrotnie kulę ziemską i zarejestrowany został przez barografy w Londynie. Upadek meteorytu na Ziemię posłużył radzieckiemu pisarzowi książek fantastyczno-naukowych do wysunięcia tezy, że eksplozja była spowodowana przez wybuch statku międzyplanetarnego gości z kosmosu. Najnowsze badania radzieckich uczonych w okolicach upadku meteorytu tunguskiego przyniosły rozwiązanie tajemniczego wydarzenia. Według opinii uczonych, nad Syberią eksplodowała w 1908 r. niewielka kometa. Różnica między meteorem a kometą polega między innymi na rozmiarach. Średnica meteorytów nie przekracza 1 km. Większe ciała astronomowie zaliczają do asteroidów, czyli planetek. Komety wielkością przypominają małe asteroidy, lecz w odróżnieniu od nich i meteorów mają jeszcze świecąca gazowo-płynną otoczkę, tak zwaną głowę, oraz warkocz gazowy.



## NIEOCZEKIWANA POMOC

Bosman i Tomek już od pięciu dni czuwali na wybrzeżu Amuru. Zaszyci w nadrzeczne krzewy czaili się na wysokiej skarpie stromo opadającej ku wodzie. Marynarz legł na brzuchu. Oparty na łokciach trzymał w dłoniach lunetę. Od czasu do czasu spoglądał przez nią w górę rzeki, to znów wodził wzrokiem po przeciwległym rosyjskim brzegu. Tomek zaś zwracał uwagę na wierzchowce ukryte w zaroślach okalających wysuniętą w rzekę skarpe i milczał zadumany.

Prawie dwa tygodnie minęły od bitwy z pościgiem, która omal nie zakończyła się tragicznie dla uczestników tajemniczej wyprawy. Jedynie dzięki niezwykłemu, przerażającemu wydarzeniu udało im się ujść z życiem. Potem przez długie, pełne napięcia dni i noce przedzierali się przez kamieniste wzgórza oraz tajgę, aż w końcu dobrnęli do Amuru. Podczas nocnej przeprawy na mandzurski brzeg ponieśli dotkliwą stratę: przepływając rzekę w potajemnie zabranej rybakom łodzi, ciągnęli za nią wierzchowce uwiązane na arkanach. Niestety, trzy z nich zatonęły. Przeciążona ludźmi chybotliwa łódź i ciemność uniemożliwiały jakikolwiek ratunek. Wyczerpani ledwo dotarli do fanzy Fu Czau, gdzie przezorny Smuga pozostawił po bitwie z chunchuzami trochę różnych zapasów. Stary Chińczyk przyjął ich niezwykle gościnnie. O nic nie pytał.

Zagubiona u podnóża gór fanza stanowiła dla nich nadzwyczaj dogodne schronienie. Wszyscy łaknęli wypoczynku, a wynędzniały Zbyszek i nieprzywykła do nużących konnych jazd Natasza wprost nie byli zdolni do natychmiastowego wyruszenia w dalszą drogę, najeżoną niewiadomymi przeszkodami.

Smuga długo głowił się nad ustaleniem marszruty w kierunku morza. Po utracie trzech wierzchowców część uczestników wyprawy musiałaby iść pieszo. Wykluczało to możliwość przybycia na wybrzeże morskie w terminie ustalonym z Panditem Davasarmanem. Cóż by się stało, gdyby odpłynął bez nich, nie mogąc zbytnio przedłużać oczekiwania? Smuga chodził zasepiony. Często po cichu naradzał się z przyjaciółmi. Poprzednio zamierzał szybkimi etapami przekraść się przez Mandżurię do rzeki Ussuri, a potem przeprowić

się przez nią i brzegiem Imanu, jej dopływu, dotrzeć w pobliże zatoki Tierniej. Utrata części koni oraz osłabienie dwojga zesłańców udaremniały taki plan.

Podczas jednej z narad bosman podsunął pewną myśl. Mianowicie przypomniał pożegnanie z kapitanem „*Sungaszy*”, Niekrasowem. Powiedział on wtedy bosmanowi, że zanim Amur zamarznie, odbędzie jeszcze kilka rejsów w górę rzeki. Obiecał również, iż chętnie z powrotem przewiezie wyprawę do Chabarowska. Sygnałem dla zatrzymania holownika miały być cztery wystrzały. Wszyscy byli zdania, że Niekrasowowi można by zaufać. Przecież był dawnym zesłańcem politycznym, nienawidził carskich rządów tak jak i oni. Nawet ostrzegał ich przed Pawłowem. Czy jednak teraz nie zawaha się pomóc uciekinierom poszukiwanym przez władze? Czy zaryzykuje życie?

Zbyt duża zwłoka groziła katastrofalnymi następstwami. Toteż Smuga wyprawił Tomka z bosmanem na brzeg rzeki, aby próbowali szczęścia.

Mijał piąty dzień od opuszczenia fanzy. W tym czasie przepłynęły tylko trzy statki: jeden w górę, a dwa w dół rzeki. Według polecenia Smugi wypad nad Amur nie mógł przekroczyć tygodnia. Gdyby w tym terminie nie napotkali „*Sungaszy*”, zdecydowany był rozpocząć marsz ku wschodowi. Oczywiście wszyscy zdawali sobie sprawę z nikłości szans „*polowania*” na „*Sungaszę*”. Przede wszystkim mogli w ogóle nie doczekać się holownika, gdyby zaś płynął w górę Amuru, nie mieli czasu czekać na jego powrót. Poza tym kapitan Niekrasow mógł nie zgodzić się na potajemny przewóz wyjętych spod prawa uczestników wyprawy. Smuga niewiele liczył na szczęśliwy przypadek. Wysłał bosmana i Tomka, gdyż niecierpliwili się oczekując bezczynnie, a Zbyszek i Natasza potrzebowali jeszcze wypoczynku.

Tymczasem dwaj kompani czuwali bez wytchnienia. Obawiali się, aby „*Sungasza*” nie minęła ich nocą. Przecież wtedy mogliby jej nie rozpoznać. Trochę przesądny bosman wierzył niezłomnie w szczęśliwą gwiazdę Tomka. Ile to razy jego intuicja i pomysły pomagały im wyjść cało z różnych opresji! Toteż co chwila oddawał Tomkowi lunetę, mówiąc:

— Zerknij, brachu! Zadawałeś się z różnymi szamanami, to może uda ci się wyczarować „*Sungaszę*”!

Tomek niezmordowanie spełniał jego prośby, lecz holownik nie pojawiał się na horyzoncie. Piątego dnia po południu Tomek właśnie przygotowywał kolację, gdy bosman lustrujący Amur nagle zawołał:

— Jakaś krypa wali w dół rzeki!

Tomek zapomniał o jedzeniu. Spojrzał na zachód. W dali wąska smuga dymu snuła się ku niebu. Po jakimś czasie zaczerniły się kontury statku.

— Niech mnie rekin połknie, jeśli to nie jakiś holownik typu „*Sungaszy*”! — znów zawołał marynarz.

Tomek porwał lunetę. Długo przyglądał się statkowi, a potem podniecony wyrzucił z siebie jednym tchem:

— Nie myli się pan, to holownik! Ciągnie za sobą dwie barki!

— To już dawno spostrzegłem gołym okiem — z cieniem zarozumiałości rzekł bosman, dumny ze swego sokolego wzroku, co niejednokrotnie z naciskiem podkreślał. — Myślałem, żeś odczytał nazwę!

— Niestety, dla mnie jeszcze za daleko, może pan zerknie przez lunetę?

— Iiii, patrz lepiej ty! — odparł bosman. — Zawsze padasz jak kot na cztery łapy, to może i tym razem ci się poszczęści...

Tomek znów uniósł lunetę. Patrzył skupiony... Nagle odwrócił się do przyjaciela.

— Bosmanie, to chyba... naprawdę „*Sungasza*”! Niech pan sprawdzi...

Marynarz porwał lunetę. Po chwili rzucił ją na ziemię i zaczął się rozbierać.

— Czy pan oszalał?! — zawołał Tomek. — Po jakie lichy ściąga pan spodnie?!

— W ubraniu źle się płynie — krótko odparł bosman. — To „*Sungasza*”!

— Nie myli się pan?! — Tomek nie dowierzał jeszcze.

— Wiedziałem, brachu, że ty ją wypatrzysz! Zrobiłeś swoje, teraz na mnie kolej. Złożę wizytę kapitanowi Niekrasowowi.

— Czyżby pan miał zamiar podpłynąć wpław do holownika?

— A jakże, brachu! Strzelanie nie jest tu dla nas bezpieczne, a poza tym może nawet nie zwróciłoby uwagi Niekrasowa. Przecież znajdujemy się na mandżurskim brzegu!

— Tak, lecz woda jest bardzo zimna...

— Nie kłopotz się, nie pierwszyczna to dla mnie!

— To płynmy razem!

— Nic z tego brachu, trzymaj szkapy w pogotowiu. Migiem będę na krypie. Jedź równo z nią w dół rzeki, dopóki nie wrócę do ciebie. Kapujesz?

— Dobrze, bosmanie, niech pan uważa na siebie!

— Nie bój się, co ma wisieć, nie utonie...

Holownik znajdował się od nich zaledwie o jakieś trzysta metrów. Teraz nawet bez pomocy lunety Tomek odczytał jego nazwę. To była „*Sungasza*”.

Bosman wziął krótki rozbieg. Wprost ze skarpy skoczył do wody. Wypłynął na wierzch kilkanaście metrów od brzegu. Wartki nurt znosił go w dół rzeki. Bosman zaczął płynąć ukosem w kierunku środka koryta. Początkowo szybko oddalał się od wybrzeża. Czujnym wzrokiem spoglądał przed siebie, wypatrując wirów, to znów zerkał na „*Sungaszę*”, mierząc odległość dzielącą go od niej. Naraz ujrzał przed sobą szerokie, wirujące kolisko. Chciał je wyminąć, lecz gwałtowniejszy w tym miejscu nurt pchał go wprost w groźne wiry. Bosman odważnie poddał się prądowi. Był już zaledwie o kilka metrów przed wodną kipiela; zręcznym wyrzutem ciała skrył się pod powierzchnią wody. Potężnymi ruchami rąk i nóg nurkował ukosem, by przeciąć kolisko wiru jak najbliżej dna, a więc w miejscu, gdzie lej był najwęższy. Szarpnęło nim mocno, zakołowało, wciągało w dół. Krótkie, ostre wyrzuty rąk uwolniły go ze zdradliwej pułapki. Wkrótce, prychając, bosman wynurzył się z toni, równocześnie poczuł kłujący ból w lewej łydce. Przestał walczyć z prądem. „*Sungasza*” już go doganiała, a tymczasem skurcz stawał się coraz dokuczliwszy. Mimo iż szczykał zębami z zimna, krople potu pojawiły się na jego czole.

Gwałtownymi wyrzutami rąk zaczął płynąć w dół rzeki. Jeśli nie doścignie holownika, będzie zgubiony. Skurcz prawie wykręcał mu stopę, paraliżował nogę. Po kilku minutach ogromnego wysiłku bosman znalazł się zaledwie o kilka metrów od „*Sungaszy*”. Wymijała go, sypiąc z komina wielkimi iskrami ognia.

— Niekrasow! — krzyknął bosman.

Na krótką chwilę zniknął pod powierzchnią wody. Wynurzył się, walcząc z niemocą. Przed oczyma wirowały mu czarno-czerwone płaty. Ostatkiem sił woli krzyknął jeszcze raz:

— Niekrasow!

— Ahoy, kapitanie, człowiek za burtą! — wrzasnął ktoś na holowniku. Koło ratunkowe upadło zaledwie o jedno wyciągnięcie ręki od bosmana. Przytrzymał je dłonią. Ciało jego naraz stało się lżejsze.

Przesunął ramię przez środek koła, wsparł się na nim. Maszyny na „*Sungaszy*” ucichły. Koło ratunkowe pociągane za linkę dotknęło burty. Opuszczono drabinkę. Silne dłonie marynarza uchwyciły bosmana za ramiona, pomogły mu wspiąć się na pokład. Kolana ugięły się pod bosmanem. Runął na deski pokładu, wprost pod nogi swoich wybawców. Marynarze z „*Sungaszy*” przewrócili go na plecy, podtrzymali głowę.

— Kurcz mnie chwycił — szepnął z wysiłkiem. — W porę przyszedliście z pomocą...

— Iwan, wódki! — krzyknął Niekrasow, patrząc nie dowierzającym wzrokiem w sinawą twarz topielca.

Bosman łyknął siwuchy. Iwan wprawnie masował jego zdętwiałe członki. Poczł znaczną ulgę. Siadł już o własnych siłach; odetchnął głęboko.

— Do licha, niedźwiedziu! Prędzej mógłbym się spodziewać, że znajde cię w brzuchach carskich szpicli niż w rzece — odezwał się Niekrasow. — A więc jednak nie schwytali was! Gdzie twoi towarzysze? Czy zesłaniec, którego chcieliście uprowadzić z Ałdanu, naprawdę żyje?!

Bosman zaniemówił ze zdumienia.

— Gdzie twoi towarzysze? Co z nimi?! — Niekrasow niecierpliwie powoził pytania.

— Wszyscy żyją... — ostrożnie odparł bosman. Nie mógł pojąć, w jaki sposób kapitan „*Sungaszy*” dowiedział się o wyprawie do Ałdanu i zesłańcu.

Niekrasow przykucnął przy nim i spokojnie mówił.

— Słuchaj dobrze, niedźwiedziu! Wracam ze Streteńska. Tam wszyscy głośno rozprawiają o waszej szaleńczej wyprawie. Podobno poszukiwaliście jakiegoś zesłańca w Nerczyńsku. Nie zastawszy go tam, postrzeliliście w pojedynku oficera żandarmerii, uwięziliście agenta tajnej policji — domyślał się, że to był Pawłow — i przekradliście się do Ałdanu, gdzie przebywał ów zesłaniec. Jeden z was podszył się pod uwięzionego Pawłowa, pochował niby to zmarłego zesłańca i umknęlibyście z nim po cichu, gdyby nie tenże Pawłow. Uciekł wam i narobił galimatiasu. Mówią, że wasza współpracownica, zesłana za nieprawomyślność, zastrzeliła go, gdy próbował aresztować w Ałdanie tego, który przywłaszczył sobie jego dokumenty. Po waszej ucieczce z Ałdanu urjadnik, przeprowadził śledztwo. Rozkopał grób zesłańca. W trumnie były kamienie...

— Do stu beczek zjełczanego tranu, tegośmy się po nim nie spodziewali! A to cwaniak! — krzyknął bosman.

— Słuchaj dalej — ciągnął Niekrasow. — Urjadnik zaalarmował gubernatorów w Czycie i Chabarowsku, wysłał pogoń, która wróciła mocno poszczerbiona i wystraszona waszymi „czarami”. Podobno wezwaliście na pomoc piekielne moce... Patrole wojskowe poszukują was teraz na wszystkich traktach, a ludziska w Streteńsku robią zakłady, czy zostanieie schwytani, czy też nie!

— Ha, skoro wiesz pan niemal wszystko, tym lepiej — powiedział marynarz. — Przycupnęliśmy w kryjówce w mandżurskiej stronie Amuru. Utonęło nam kilka szkap podczas przeprawy przez rzekę i teraz...

— Chodź do mojej kajuty — przerwał Niekrasow. — Iwan, zakotwicz „Sungaszę” w pobliżu prawego brzegu. W razie czego, uszkodzenie w kotłowni, rozumiesz?

— Rozkaz, kapitanie! — odparł Iwan i mrugnął okiem. Weszli do kajuty.

— Czy nie jesteś pan zbyt pewny swoich zuchów! — zapytał bosman.

— Nie bój się, niedźwiedziu, sam dobierałem załogę — odparł Niekrasow. — Domyślam się, że teraz pilnie potrzebujecie pomocy.

— Lubię męskie słowa, więc powiem krótko: musimy dostać się do rzeki Iman w Kraju Ussuryjskim — wyjaśnił bosman. — Jeśli nie przybędziemy na czas w umówione miejsce nad morzem, utracimy łączność z naszym statkiem... i...

— I sznur szubienicy może zacisnąć się na waszych szyjach — dokończył Niekrasow.

— A jakże, to właśnie chciałem powiedzieć — przytaknął bosman.

Niekrasow podumał chwilę, po czym odezwał się:

— Płynę z ładunkiem kozuchów do Kamienia Rybołowa nad jeziorem Chanka<sup>526</sup>, będę przepływał koło ujścia Imanu do Ussuri. Ilu was jest?

---

<sup>526</sup> — Jezioro Chanka znajduje się na pograniczu pomiędzy Mandżurią i Obszarem Amursko-Nadmorskim, na północ od Władywostoku, 3/4 jeziora leży na terytorium ZSRR. Jego długość wynosi 95 km, szerokość 40–85 km, największa głębokość zaledwie do 10 m, toteż nie nadaje się do żeglugi dla większych statków. Wody ma słodkie i mętne, żyją w nich karpie i kaługi. Wschodnie, północne i południowe jego brzegi — nizinne, zajęte są przez pola orne, łąki i grzędzawiska, natomiast zachodnie są wyższe i zalesione. Odplywem Chanki jest rzeka Sungacza, dopływ Ussuri. Osada Kamień Rybołów leży na południowo-zachodnim wybrzeżu.



— Pięciu i jedna dziewczyna.

— Spotkacie „*Sungaszę*” o kilka kilometrów w dół rzeki od stacji zaopatrującej statki w opał, czyli stąd o jakieś sześć lub siedem kilometrów. Zarzucę kotwicę w pobliżu mandżurskiego brzegu. Czy zdążycie tam przed północą?

— Musimy zdążyć, szanowny panie! Słuchaj pan, w razie wpadki zadyndasz razem z nami na szubienicy — ostrzegł bosman.

Melancholijny uśmiech pojawił się na ustach Niekrasowa. Klepnął bosmana w plecy i odparł:

— Ha, to przynajmniej połuśtam się w dobrym towarzystwie! Raz matka rodziła, raz tylko się umrze! Nie kłopotz się o mnie! Hej, Iwan!

Barczyste chłopisko zajrzało do kajuty.

— Podnieś kotwicę... i płyn jak najbliżej prawego brzegu — rozkazał Niekrasow.

Wkrótce „*Sungasza*” nieznacznie zaczęła się przybliżać do wybrzeża mandżurskiego. Niekrasow wyjrzał przez iluminator.

— Czas na ciebie, niedźwiedziu — powiedział. — Zabierzcie tylko najniezbędniejsze przedmioty i uprzęż. Konie na barce zwracałyby uwagę patroli wojskowych, które was poszukują.

Bosman kiwnął głową. Wyciągnął łapsko do Niekrasowa.

— Pamiętasz, gdzie mamy się spotkać? — zapytał Rosjanin, mocno ściskając dłoń bosmana.

— Trafię z zawiązanymi ślepiami...

Wyszli na pokład.

— Iwan, co na horyzoncie?! — krzyknął kapitan.

— Droga wolna! — odkrzyknął Iwan.

Bosman machnął im dłonią na pożegnanie, wspiał się na poręcz burty. Śmignął do wody. Wkrótce wyszedł na brzeg. Z dala wypatrzył Tomka nadjeżdżającego z końmi. Pobiegnął mu naprzeciw.

— Dawaj łachy, bo ciut zmarzłem — zawołał, gdy Tomek tuż przed nim osadził wierzchowce. — W te pędy musimy gnać po naszych, bo już kupiłem bilety na statek! Zaokrętujemy się przed północą...

„*Sungasza*” płynęła w dół rzeki, prowadząc na bocznym holu dwie barki. Kapitan nie schodził z pomostu nawigacyjnego. Błagowieszczeńsk był już blisko. Według wszelkiego prawdopodobieństwa w mieście tym skupiały się

główne ogniwa pogoni rozesełanej za uciekinierami. Wyprawa rzekomych łowców dzikich zwierząt właśnie z Kraju Nadamurskiego przekradła się do Ałdanu w Jakucji i tą też drogą najdogodniej mogła umykać w kierunku wybrzeża morskiego lub granicy chińskiej. Należało się spodziewać, że Błagowieszceńsk, jako siedziba gubernatora Kraju Nadamurskiego, stanowi najostrzejszy punkt kontrolny. Przecież na wszystkich stacjach zaopatrujących statki w opał rozprawiano o licznych kontrolach wojskowych przebiegających kraj wzdłuż i wszerz.

Niekrasow zdawał sobie sprawę, że udzielając pomocy uciekinierom rozpoczął niebezpieczną grę, w której stawką było życie garstki nieustraszonych ludzi. Wiedział również, że w przypadku niepowodzenia podzieli ich los. Mimo to nie zawahał się ani przez chwilę. Podczas długich lat katorgi sam marzył o tym, na co porwali się ci szaleńcy. Czyż mógł teraz odmówić im pomocy? Wiedział już dlaczego policja carska prześladowała Wilmowskiego, bosmana oraz młodego zesańca i Nataszę: oni również walczyli przeciwko caratowi.

Niekrasow ćmił fajkę. Spokojnym pozornie wzrokiem spoglądał na nadbudówkę, mieszczącą się na rufie barki. Pod jej podłogą znajdowała się komora. Tam właśnie ukrył uciekinierów.

Chmurny, słotny dzień dobiegał końca. Niekrasow wychylił się z pomostu nawigacyjnego. Spojrzał w niebo. Najdalej za dwie godziny miał nadejść wieczór.

— Iwan, na stanowisko! — rozkazał. Potem polecił zwiększyć szybkość „*Sungaszy*”.

Iwan z zawiniątkiem pod pachą pobiegł do nadbudówki na barce. Na lewym brzegu już wyrastał Błagowieszceńsk.

Niekrasow uniósł lornetkę do oczu. Na przystani na nabrzeżu przycumowany był jakiś statek. Na przednim pokładzie stali stłoczeni pasażerowie. Otaczała ich umundurowana policja. Na przystani widać było uzbrojonych żołnierzy. Zachmurzone niebo nie rokowało, aby statek mógł tego dnia jeszcze wyruszyć w dalszą drogę. Ciemna noc przerywała zazwyczaj żeglugę na Amurze.

Kapitan „*Sungaszy*” wsunął dłoń pod kurtkę. Dotknął rękojeści rewolweru. Upewniwszy się, że broń jest gotowa do strzału, zapalił wygasłą fajkę i rzucił krótki rozkaz:

— Przybijamy! Wszyscy na stanowiska!

„*Sungasza*” krótkim, urywanym gwizdem oznajmiła swe przybycie. Ostrożnie przyłgnęła lewym bokiem do statku zakotwiczonego przy pomoście. Naczelnik policji przybiegł do burty.

— Wszystkich ludzi zawołać na pokład! — zakomenderował.

Niekrasow znał policyjnego dostojnika. Pozdrowił go przyłożeniem ręki do daszka czapki i odparł:

— Jak pan sobie życzy, proszę jednak o zabranie z pokładu ciężko chorego!

— Cóż to za chory? — podejrzliwie zapytał naczelnik.

— Człowiek z załogi...

— Co mu jest?

— Nie jestem pewny, ale... obawiam się pozostawić go na statku.

— Zaraz się nim zajmujemy. Masz pan jakichś pasażerów?

— Nie. Hej, Milutin, zwołaj wszystkich na pokład!

Załoga „*Sungaszy*” zaczęła się grupować przy lewej burcie statku, gdzie leżał zwój lin. W nim ukryta była krótka broń. Jeden z palaczy trzymał w dłoni ciężki żelazny klucz, drugiemu zza pasa wystawała rękojeść noża. W tej chwili naczelnik policji wkroczył na pokład w asyście mundurowej i tajnej policji oraz kilku żołnierzy.

— Nie widzę tu nikogo chorego — rzekł szorstko, mierząc wzrokiem milczącą załogę. — Gdzie on?

— W nadbudówce na barce — powiedział Niekrasow.

— Dlaczego tam? — podejrzliwie indagował naczelnik.

Niekrasow pochylił się ku niemu.

— Niech wasze wysokobłagorodje go obejrzy, a na pewno wszystko zrozumie...

— Przeszukać holownik! Ktokolwiek nie wyszedł na pokład, zakuć w dyby — rzucił rozkaz policjantom, po czym dodał: — Sześciu żołnierzy za mną!

Niekrasow przełazi przez burtę holownika na barkę. Naczelnik otoczony uzbrojonymi żołnierzami szedł za nim. Niekrasow otworzył drzwi nadbudówki.

— Dlaczego tu ciemno? — warknął policjant, mierząc kapitana podejrzliwym wzrokiem.

— Chory mówi, że razi go światło — odparł Niekrasow. — Zaraz uchylę zasłony.

Podniósł z pokładu tykę, wsunął ją do izdebki i trochę odchylił worek zaciemniający okienko. Naczelnik przekroczył próg nadbudówki. Za nim wszedł żołnierz z karabinem gotowym do strzału. Obydwaj zatrzymali się na widok człowieka leżącego na drewnianej koi. Pierś jego unosiła się w nierównym oddechu. Zewnętrzzną stroną dłoni osłaniał oczy. Naczelnik pochylił się nad nim. Ręce i zarośnięta twarz chorego pokrywały czerwone plamy i czarne strupy. Policjant cofnął się gwałtownie do drzwi.

— Co mu jest? — zapytał zmienionym głosem.

— Wygląda na ospę<sup>527</sup> — cicho wyjaśnił Niekrasow. — Ale czort go wie, może prokaza<sup>528</sup>, nie znam się na tym. Trzymam go tutaj, by nie zaraził reszty załogi... Każ, wasze wysokobłagorodje, zabrać go do szpitala.

Naczelnik szybko wycofał się na pokład.

— Chcesz pan zarazę roznieść po mieście? — rzekł wzburzony. — Precz z portu! Jaki transport wieziecie i dokąd?

— Kozuchy do Kamienia Rybołowa.

— Wyłaż stamtąd! — krzyknął naczelnik do żołnierza, który omal nie rozbił sobie głowy o futrynę niskich drzwi, wybiegając z nadbudówki.

Niekrasow teraz dopiero nieznacznie wysunął dłoń spod kozucha. Zmarszczył brwi i powiedział:

— Ten człowiek powinien być zabrany ze statku. Nie mogę pozostać bez załogi.

— Z rozkazu jego ekscelencji gubernatora ma pan zaraz opuścić port!

— Nie mogę płynąć nocą — zaprotestował Niekrasow.

— To zakotwicz pan statek gdzieś na środku rzeki z dala od miasta. Eskorta! Zajrzyć do pak na barkach! Ścisła rewizja!

Naczelnik wycofał się na holownik wraz z dowódcą żołnierzy. Niekrasow zapalił fajkę i spod oka przyglądał się buszowaniu żołnierzy na barkach. Nikt już więcej nie zbliżył się do pomieszczenia, gdzie leżał chory. Po kilku

---

<sup>527</sup> — Ospa — ciężka epidemiczna choroba zakaźna objawiająca się gorączką, ogólnym zatruciem organizmu oraz wysypką, która pozostawia charakterystyczne blizny. Przed wprowadzeniem szczepień ochronnych ospa była jedną z najcięższych plag ludzkości.

<sup>528</sup> — Prokaza (ros.) — trąd.

minutach policjanci i żołnierz opuścili holownik, zaraz też odcumowano go od statku.

„*Sungasza*” wolno odpływała. Niekrasow stał na pomoście, dopóki domów Błagowieszczewska nie zatarł mrok. Wtedy dopiero poszedł do nadbudówki na barce.

— Iwan, na wachtę, ale umyty — krzyknął w progę.

— Rozkaz, kapitanie... Strupy same poodpadały, bo chleb wysechł...

Kapitan roześmiał się, po czym zapalił świecę. Otworzył klapę w podłodze.

— Ostre pogotowie odwołane! Proszę na holownik na kolację! — zawołał.

— Ha, zaczynam wierzyć, że wydostaniemy się z matni — odezwał się bosman, z trudem przeciskając swe cielsko przez mały otwór w podłodze. — Przedni pomysł z tą ospą...

— Tym lepiej... dla nich i dla nas — odparł Niekrasow. — No, teraz możecie odłożyć broń. Noc będziemy mieli spokojną.



## CZY DAVASARMAN NIE ZAWIEDZIE

Była to jedna z tych ciemnych, zimnych i wietrznych nocy w Kraju Ussuryjskim. W zatoce Tierniej, tuż powyżej ujścia rzeki Sica do Morza Japońskiego, co pewien czas rozbłyskiwało czerwonawe, nierówne światełko. Błyski sprawiały wrażenie umyślnych sygnałów, przesyłanych komuś znajdującemu się na otwartym morzu. To właśnie Smuga i jego towarzysze rozpaczliwie wzywali Pandita Davasarmana, by zabrał ich na swój statek.

Minęło pięć długich dni i nocy, odkąd przyczaili się wśród złomów skalnych zalegających strome wybrzeże. Nadawali umówione sygnały, a Pandit Davasarman wciąż nie przybywał. Smuga właśnie stał pochylony nad obudowanym kamieniami ogniskiem nakrytym z góry kocem. W równych odstępach czasu unosił koc, odsłaniając ognisko od strony morza. W nocy błysk ognia powinien być z dala widoczny.

— Osiedliśmy na mieliźnie — mruknął bosman. — Wygląda na to, że zamiast Davasarmana prędzej zwabimy Kozaków...

— A może Udadzałaka niezbyt dokładnie zapamiętał instrukcję? — martwił się Tomek.

— Przybyliśmy kilkanaście dni później, niż to było umówione — odezwał się Wilmowski. — Nie sądzę wszakże, aby Davasarman nie liczył się z tą możliwością...

Tomek starał się przeniknąć wzrokiem ciemność nocy. Z dali płynął monotonny szum morskich fal. Przejmujący wiatr poświstywał wśród bloków skalnych... Tomek spojrzał na Nataszę i Zbyszka. Siedzieli skuleni pod głazem. Oni najbardziej odczuwali przeszło dwutygodniowe przekradanie się przez Kraj Ussuryjski. Niekrasow bezpiecznie przewiózł ich na swej „*Sungaszy*” aż do ujścia Imanu do Ussuri. Tutaj musieli się rozstać. Obawiając się wszelkiego rozgłosu, nie mogli ryzykować nabycia koni. Toteż zaopatrzeni jedynie w skromne zapasy żywności i w śpiwory zagłębili się w tajgę ussuryjską. Smuga i Wilmowski nie lękali się zabłądzenia. Rzeka Iman, płynąca ze wschodu na zachód, była im niezawodnym drogowskazem. Niestety, siły obydwójga zesłańców rychło się wyczerpały. Tempo marszu słabło z dnia na dzień. Kilkakrotnie krótkie odcinki drogi w głębi kraju odważyli się przebyć w łodziach wynajętych od krajowców. Rzadko jednak

zaglądali do chińskich fanz czy też jurt Udechejczyków czy Goldów. Wieść o pojawieniu się grupy uzbrojonych cudzoziemców mogła zbyt szybko dotrzeć do posterunków wojskowych. Samotni poszukiwacze cennego korzenia żeńszeń oraz myśliwi często brali ich za bandę chunchuzów i natychmiast umykali na ich widok.

Opóźnienie, z jakim dotarli do umówionego z Davasarmanem miejsca nad morzem, mogło się przyczynić do ich ostatecznej zguby. Wyczerpani, pozbawieni zapasów żywności, z ukrywaną rozpaczą oczekiwali na ratunek, który nie nadchodził.

Jeden Smuga nie upadał na duchu. Noc w noc uporczywie nadawał ogniowe sygnały. Zawsze krotochwilny bosman teraz tylko wobec znękanych przyjaciół udawał humor, by podtrzymać ich na duchu. Skrycie coraz mocniej zaciskał pasa, a głośno pokpiwał, że wkrótce smukłością dorówna Nataszy.

Tomek posępnie obserwował Smugę i bosmana, którzy często zmieniali się przy nadawaniu sygnałów.

— Co zrobimy, jeżeli Pandit Davasarman już odpłynął bez nas? — odezwał się, nie mogąc dłużej ukrywać obaw.

— Davasarman nie zawiedzie — odparł Smuga. — Zapewne nie może się zbyt często kręcić w pobliżu wybrzeża.

— Święta racja, Davasarman to cwaniak nad cwaniaki, wie, co robi — wtórował bosman, aczkolwiek nurtowały go obawy.

— Na szczęście od wczoraj księżyc skrył się za chmurami — zauważył Wilmowski. — Taka noc jak dzisiejsza powinna sprzyjać naszemu przyjacielowi.

— Czy pan naprawdę jeszcze w to wierzy? — szepnęła Natasza.

Olbrzymi bosman przykucnął przy dziewczynie. Sękatym łapskiem pogłaskał ją po twarzy i rzekł:

— Głód nam gra marsza w kiszkach, to i nosy zwiesiliśmy na kwintę, ale nie w takich bywaliśmy tarapatach! Prawda, brachu?! — zwrócił się do Tomka.

— A jakże, różnie bywało...

— Taki sam nastrój jak dzisiaj mieliśmy, gdy Indianie porwali i wprowadzili naszą Sally do Meksyku. A jednak odnaleźliśmy ją...

— Jak to było? Niech pan opowie — prosił Zbyszek chcąc rozproszyć złe myśli Nataszy.



— Ano, wybraliśmy się z Tomkiem do Arizony na spotkanie z Sally...

— Cicho! — ostrzegł Smuga, nastawiając ucha.

Gdzieś za nimi potoczył się kamień. Smuga przy dusił ognisko kocem, porwał karabin. Bosman, Tomek, Wilmowski i Zbyszek przycupnęli obok Nataszy z bronią w ręku. Ktoś skradał się za ich plecami z kierunku przeciwnego do morza. Mógł to być tylko wróg...

Smuga usiłował wzrokiem przeniknąć ciemność. Nagle tuż nad nim zawołał ktoś po rosyjsku:

— Nie strzelać! Kto wy?!

Milczeli, ściskając broń w zgrabiałych z zimna dłoniach.

— Nie ruszać się, trzymam was na muszkach karabinów — znów ozwano się z ukrycia. — Kim jesteście?

Jakaś postać zsunęła się ze skały, zerwała koc tłumiący ognisko. Czerwonawy płomień ożył pod podmuchem wiatru. Ujrzeni mężczyznę w nieprzemakalnym płaszczu, w kapturze. W ręku trzymał rewolwer. Za nim zamajaczyło w mroku kilka zakapturzonych postaci, z karabinami skierowanymi wprost na uciekinierów przyczajonych pod głazem.

— Sahibie, jesteśmy! — zabrzmiał spokojny, niezapomniany dla każdego, kto go choć raz w życiu słyszał, pełen ciepła głos.

— Pandicie! — krzyknął Smuga. Ten surowy i powściągliwy mężczyzna wyciągnął ku Indusowi rozwarte do uścisku ramiona.

Po chwili wszyscy ściskali dłoń Davasarmana, a on wzrokiem przebiegał od twarzy do twarzy.

— Bogowie czuwali nad wami... — rzekł wzruszony. — Nikogo nie brak...

— A jakże, jesteśmy nawet w nieco większym komplecie, niż się spodziewałeś — wyjaśnił bosman.

— Nie traćmy czasu, niedługo będzie świtało — powiedział Davasarman. — Łódź czeka o kilkaset metrów na południe...

Natasza zachwiała się na nogach. Bosman porwał ją na ręce.

— Prowadź pan, panie Davasarman, bo umieram z głodu i pragnienia — zawołał. — Poniosę tego dzieciaka, będzie prędzej!

Duża łódź pełna milczących postaci szybko oddalała się od brzegu. Wilmowski otoczył Tomka ramieniem. Przepelnieni radością w milczeniu wpatrywali się w ciemny kontur jachtu.



# TOMEK WŚRÓD ŁOWCÓW GŁÓW



## PROLOG: ISLA DE LA MALA GENTE

Eleli Koghe samotnie szedł ścieżyną przez dżunglę porastającą górskie zbocza. Natężonym wzrokiem uważnie rozglądał się po gąszczu tropikalnej zieleni. Jego wełnistowłosą głowę zdobiły brązowo–zielono–czerwone pióra królewskiego rajskiego ptaka. Ujęte przepasaną wysoko na czubie głowy plecionką z łyka, wyglądały jak szeroko rozłożony wachlarz, mieniący się purpurą krwi. Według wierzeń niektórych papuaskich plemion, pióra tego wspaniałego ptaka miały nie tylko chronić wojownika przed zranieniem w walce, lecz były również skutecznym amuletem przeciwko puri–puri, czyli czarom, których obawiali się nawet najodważniejsi. Mężny Eleli Koghe nigdy nie rozstawał się ze swoim cennym pióropuszem i dlatego właśnie obdarzono go imieniem oznaczającym w miejscowym narzeczu — Czerwony Rajski Ptak.

Niemal od chłopięcych lat był wojownikiem i myśliwym, tak jak prawie wszyscy mężczyźni żyjący w głębi tej olbrzymiej, tajemniczej wyspy. Na prawym ramieniu niósł teraz widome tego oznaki: łuk z palmowego drzewa, długie strzały z zadziorami, dzidę i kamienny topór, mocno przytwierdzony łykiem do styliska z gałęzi.

Krajowiec był nagi. Jedyne biodra osłaniała opaska z białej kory. Całe ciemnobrązowe, błyszczące ciało pomalowane było w czarne i białe pasy. Lekko wydęte usta oraz przenikliwie spoglądające, czarne jak węgiel oczy otaczały koła z jasnoczerwonego i żółtego barwnika. Wysuszone, nadpleśniałe świńskie ogonki, zwisające z przedziurawionych małżowin usznych i kość kazuara<sup>529</sup> w chrząstce nosowej wskazywały, że Eleli Koghe jest osobistością wśród swoich. Na szyi przecież nosił sznur upleciony z cienkich lian, na którym widniało zawiązanych osiem węzłów. Każdy z nich oznaczał własnoręcznie pokonanego wroga.

Eleli Koghe szedł ostrożnie, gotów do odparcia niespodziewanej napaści. Był przecież częścią dżungli, w której od wieków trwała, jak w całej przyrodzie, nieustanna walka. Atak, obrona, triumf i śmierć szły tam z sobą w

---

<sup>529</sup> — Kazuar — duży ptak pokrewny strusiom, noc spędza w leśnej gęstwinie, a w dzień zeruje w wysokich trawach. Żywi się pokarmem roślinnym, a także rybami, żabami i jaszczurkami. W ogrodach zoologicznych kazuary jedzą chleb, ziarno i pokrajane jabłka.

parze. Zwycięzał bardziej przedsiębiorczy, słabszy musiał ginać, aby silniejszy mógł dalej istnieć.

Korony drzew pięły się w szaleńczym wyścigu ku niebu. W niezwykłej płataninie trudno nawet było odgadnąć, kto zwyciężył, a kto został zwyciężony. W dole, u stóp leśnych olbrzymów, bujnie krzewił się drugi, jeszcze bardziej bezlitosny, niższy gąszcz paproci, kolczastych palm, bambusów i różnych pnączy. Świat roślinny i zwierzęcy tworzył w dżungli nierozzerwalną całość w walce o zachowanie istniejącego stanu. Drzewa i liany dusiły się wzajemnie w uściskach, owady drążyły drzewa, ptaki pożerały owady, ludzie polowali na ptaki, a krokodyl, drapieżnik nowogwinejskiej dżungli, czyhał na wszystkie żyjące istoty z człowiekiem włącznie. Krajowcy zamieszkujący dżunglę również toczyli między sobą prawie nieustanne wojny i uprawiali kanibalizm.

Eleli Koghe samotnie podążał przez dżunglę do strumienia, niedawno, bowiem odkrył miejsce, w którym łatwo można łowić ryby. Nikt z jego plemienia nie kwapił się z pomocą. Do owego miejsca trzeba było iść przez okolicę, którą nawiedzały złe duchy. Eleli Koghe był odważny, lecz mimo to niepokój jego potęgował się teraz z każdym krokiem. Już niedaleko, w zielonej gęstwinie po prawej stronie ścieżyny, leżał olbrzymi, samotny głaz. Na jego płasko ściętym szczycie, pokrytym grubą warstwą zielonożółtego mchu, rosła kępa sękatych drzew. Ich korzenie zwisały wokół jak żółte jadowite węże i częściowo osłaniały widoczną tuż przy ziemi czarną szczelinę. Nikt nie potrafił wyjaśnić, w jaki sposób samotny blok skalny dostał się w głąb dżungli, lecz z pokolenia na pokolenie wśród okolicznych mieszkańców przekazywano sobie legendę, że w ciemnej grocie pod głazem mieszkają bardzo złe duchy. Miały posiadać ogniste oczy, z których wyrastały żółte żądła.

W pobliżu gąszczu kryjącego samotną skałę Eleli Koghe przyspieszył kroku. Odwrócił głowę, by przypadkiem nie napotkać zabijającego spojrzenia demona. Tędy nawet w dzień najbezpieczniej było przechodzić w towarzystwie czarownika, znającego różne zaklęcia.

Tym razem również udało się Eleli Koghe przejść spokojnie obok siedliska duchów. Westchnienie ulgi wyrwało się z jego piersi. Pobiegł w kierunku brzegu strumienia. Wkrótce usłyszał szum wody przedzierającej się przez rzeczne progi.

Las rzednął... Eleli Koghe zwolnił kroku. Zaczął się uważnie rozglądać. Niebawem odnalazł miejsce, w którym poprzednim razem przygotował sprzęt rybacki. Ku swemu zadowoleniu stwierdził, że owalna obręcz o średnicy ponad półtora metra jest już zasnuta siecią utkaną w duże oczka. Z wdzięcznością spojrzął na siedzącego w niej pająka wielkości laskowego orzecha, o włochatych, ciemnobrązowych nogach. Pomysłowi mieszkańcy tej doliny nieraz wykorzystywali pracowitego pająka do robienia oryginalnych sieci na ryby. W tym celu wybierali w lesie odpowiedni rozmiarami bambus, zginali go od wierzchołka w kabłąk, a reszty pracy dokonywał za nich pająk, który znalazłszy obręcz, nadającą się do sporządzenia pułapki na owady, zasnuwał ją elastyczną, dość mocną i trwałą siecią, odporną nawet na wodę.

Eleli Koghe dzidą ostrożnie przepłoszył pająka, po czym kamiennym toporkiem ściał bambus. Teraz ruszył ku pobliskiemu brzegowi strumienia. Niebawem przystanął na dużym kamieniu. W tym właśnie miejscu rumowisko skalne częściowo tarasowało nurt rzeki, powodując prąd wsteczny i wirowanie wody. Eleli Koghe odłożył broń. Ujął w dłonie bambus i szerokim ruchem zagarnął siecią wodę w toni. Po jakimś czasie złowił kilka niedużych ryb. Włożył je do siatki uplecionej z lian, a następnie zarzucił ją na ramię; zabrał broń oraz sieć i ruszył w kierunku grupy skał, gdzie zamierzał ukryć swój sprzęt rybacki.

Wkrótce znalazł odpowiednie miejsce. Teraz powracał do wioski wzdłuż łagodnego, bezdrożnego zbocza górskiego. Naraz z platformy położonej na ostro ściętym szczycie rozbrzmiały melancholijne okrzyki.

Eleli Koghe przystanął. Zaczął nasłuchiwać. Po chwili uśmiechnął się, to ptak golove<sup>530</sup> śpiewał swoją miłosną pieśń...

Eleli Koghe bez najmniejszego szmeru ostrożnie wspiał się na szczyt. Ukryty w gąszczu przyglądał się uzdolnionemu ptakowi. Ptak ten, zwany przez nas ogrodnikiem, jest nadzwyczaj pomysłowym budowniczym.

Na okres godów samiec golove przygotowuje w ciągu kilku miesięcy wspaniałą salę balową. Przede wszystkim wybiera odpowiednie miejsce, jak

---

<sup>530</sup> — Ptak–ogrodnik (*Amblyornis inornatus*) spotykany w górach Arfak (półwysep Plasia Głowa — Yogelkopf), a w okolicach gór Fuyughc zwany golove, jest spokrewniony z ptakami rajskimi. Z ptasich budowniczych osiągnął największą doskonałość w budowaniu oryginalnych altan godowych. Do tej odmiany rajskich ptaków należą również zamieszkujące znaczną część Australii i najlepiej poznane budniki, zwane także altannikami (*Ptilonorhynchus violaceus*), dochodzące do 28 cm długości.

najbardziej równe i nie porośnięte drzewami. Dziobem i pazurkami oczyszcza ziemię z trawy, niweluje ją; jeśli są tam jakieś krzewy, zrywa z nich liście oraz korę, aby zwiędły. Pozostawia tylko jeden krzak i naokoło niego buduje ziemną platformę w kształcie koła o średnicy mniej więcej jednego metra. Następnie przynosi szorstki mech i proste łodygi pewnego gatunku storczyka, który rośnie pękami na gałęziach omszałych, wielkich drzew, by z nich zrobić okładzinę wzmacniającą krawędź platformy. Potem zbiera w lesie gałązki i złote listki, jagody czerwone, białe i zielone, z których układa różne wzory na swej sali godowej. Wśród ozdób nie brak również kolorowych kwiatów, owoców, a nawet grzybków i pięknie ubarwionych owadów. Gdy ozdoby przez dłuższe leżenie tracą świeżość, ptak je wyrzuca i zastępuje innymi.

Eleli Koghe w skupieniu przysłuchiwał się miłosnym trelom golove. Cieszył się razem z ptasim zalotnikiem. Krajowcy doskonale znali zwyczaje golove i uważnie śledzili ich prace przy budowie sal godowych. Poszczególne czynności ptaka–ogrodnika stanowiły dla nich naturalny terminarz własnych zajęć gospodarskich. Gdy golove zaczynał drapać ziemię, kobiety wiedziały, że czas już oczyszczać miejsce na poletko. Kiedy ptak przystępował do budowania platformy, kobiety kopały swą ziemię zaostrzonymi kijami, natomiast, gdy wzmacniał platformę okładziną z mchu, one ogradzały poletka, by ochronić je przed dzikami. Przystrajanie platformy różnymi ozdobami oznaczało czas sadzenia jarzyn, ukończenie zaś budowy i miłosny śpiew były zapowiedzią, że warzywa dojrzewają na poletkach. Dlatego też radość owładnęła sercem Eleli Koghe. Oto nadchodziła pora żniw, sytości, śpiewów i tańców. Eleli Koghe po cichu wycofał się z kryjówki. Niebawem był na skraju dżungli.

Tropikalny żar słoneczny uciszył życie gąszczy leśnych. Eleli Koghe bez pośpiechu wszedł do dżungli. Miał dość czasu, by powrócić do wioski, zanim kobiety zaczną przygotowywać przed zmierzchem główny posiłek dnia. Wtem w ciszy leśnej, niemal jednocześnie, rozległ się świst strzały i ostry krzyk śmiertelnie ugodzonego rajskiego ptaka. Eleli Koghe odruchowo przykucnął za pniem drzewa. Łowił uchem trzepot skrzydeł, szelest gałęzi i głuchy odgłos padającego na ziemię ptaka. Kilka cichych skoków przybliżyło Eleli Koghe do miejsca nieoczekiwanych łowów. Ostrożnie rozchylił pnącza.

Zaledwie o parę kroków od niego, u stóp drzewa, pochylał się nad swym łupem jakiś mężczyzna z łukiem w dłoni. Ubrany był w szeroki czarny pas



pleciony i przepaskę z kory. Nos, przez którego chrząstkę przegrodową przesunięta była kość kazuara, pomalowany miał na żółto, a na policzkach widniały symetryczne czerwone pasy. Z uszu zwisały mu wysuszone kolibry, na szyi zaś sznury muszli i psich zębów. Obok niego, porzucone, leżały dzida i kamienny topór. Przyklęknął nad jeszcze drgającym ptakiem.

Błysk gniewu zamigotał w oczach Eleli Koghe. Obcy myśliwy należał do plemienia Mafulu, z którym plemię Tawade żyło na wojennej stopie. Pobliski strumień stanowił granicę pomiędzy terenami łowieckimi obydwóch plemion. Przekroczenie jej przez którąkolwiek stronę zawsze powodowało krwawy odwet.

Eleli Koghe ostrożnie oparł dzidę o drzewo; topór i siatkę z rybami położył u jego stóp. Ujął haczykową strzałę, po czym mocno napiął cięciwę łuku. Strzała ostro bzyknęła w powietrzu. Nieszczęsny Mafulu z szyją przebitą na wylot poderwał się z ziemi, lecz w tej chwili druga strzała ugodziła go prosto w pierś. Wydawszy stłumiony okrzyk, ciężko osunął się na martwego rajskiego ptaka.

Eleli Koghe podbiegł do pokonanego wroga. Wojny wśród krajowców przeważnie ograniczały się do pojedynczych napadów z zasadki. Ten, kto zabijał nieprzyjaciela nie narażając siebie, zyskiwał sławę największego bohatera. Toteż Eleli Koghe z dumą zawiązał teraz dziewiąty węzeł na swym złowieszczym naszyjniku z lian. Pospiesznie zabrał broń zabitego Mafulu oraz martwego rajskiego ptaka i własną sieć z rybami, po czym pobiegł w kierunku wioski z radosną wieścią.

Rodzinną wieś Eleli Koghe leżała na ostro ściętym płaskowyżu górskim. Kilkanaście domów, zbudowanych ponad ziemią na wysokich palach, stało w dwóch równoległych rzędach, obramowując dość szeroki plac z ubitej czerwonej gliny. Na samym końcu, tuż nad brzegiem przepaści, znajdowała się nieco obszerniejsza od innych budowla, zwana emone. Służyła ona za miejsce zebrań starszyny, a zarazem była stałym mieszkaniem wodzów oraz sypialnią kawalerów. Każdy dom posiadał z frontu małą nadziemną platformę, ocienioną okapem dachu tworzącego jakby wygięty do góry łuk. Cała wioska otoczona była półkolistą palisadą z zastrzonych na końcu pali. Te zabezpieczenia świadczyły o wojowniczości Tawade, którzy stale napadając na sąsiadów, sami ustawicznie musieli strzec się odwetu.

Eleli Koghe biegł, co tchu do swoich. Już wpadł w obręb palisady. Zwycięski okrzyk wojownika od razu zwrócił na niego uwagę mężczyzn gawędzących na werandach. Zaraz też podążyli za nim do emone, tam, bowiem skierował się Eleli Koghe.

Wiadomość o nowym zwycięstwie lotem błyskawicy obiegła całą wieś. Kilku wojowników natychmiast przygotowało się do drogi, aby wyruszyć z Eleli Koghe do dżungli. Wszystkich ogarnęło radosne podniecenie.

Podczas gdy jedna grupa szybko oddalała się w dżunglę, druga pospieszyła do kobiet pracujących na poletkach na niedalekim zboczu górskim. Wobec pojawienia się wroga na terenach Tawade należało natychmiast wzmocnić straż pilnującą bezpieczeństwa kobiet.

Wkrótce grupka wojowników rozbiegła się po wzgórzach otaczających poletka, skąd dobrze było widać najbliższą okolicę. Wieść o nieoczekiwanej możliwości napadu rozeszła się błyskawicznie po polach. Niskie, grube, przeważnie niezgrabne kobiety podawały ją sobie z ust do ust. Chodziły niemal nago. Jedyne maleńkie fartuszki ze sznurków lian zakrywały dolną część brzucha. Nigdy nie myte ciała u wielu były oszpecone strupami po źle leczonych ranach. Jak przystało na wojownicze plemię, kobiety nosiły na szyi nanizane na cienkich lianach kości swych mężów lub bliskich krewnych poległych w walce.

Zaledwie usłyszały wieści przyniesione przez wojowników, zaczęły krzątać się jeszcze zwawiej. Należało przecież zebrać więcej jarzyn na wieczorną ucztę. W obszernych siatkach uplecionych z lian znikwały czerwono-brunatne, chropowate bataty<sup>531</sup>, które stanowiły podstawowe pożywienie mieszkańców wyspy, taro<sup>532</sup> wyrosłe jak kalarepy z czarnymi skórami, trzcina cukrowa<sup>533</sup> i najcenniejsze z wszystkich papuaskich jarzyn —

---

<sup>531</sup> — Batat, zwany także słodkim kartoflem (*Ipomoea batatos* *poir*), jest spokrewniony z powojem. Rodzi bulwy podobne do bulwy kartofla; jest mączysty, w smaku słodki. Uprawia się go w całej strefie ciepłej.

<sup>532</sup> — Taro należy do roślin obrazkowatych. Rośnie w Indiach, na Archipelagu Malajskim i w Ameryce. Rośliny te wydają bulwy o wadze 0,5–3,5 kg, przeważnie o białym mięszu. Surowe niejadalne. Po ugotowaniu lub upieczeniu jada się je jak kartofle.

<sup>533</sup> — Trzcina cukrowa należy do traw prosowatych. Osiąga wysokość od 2 do 6 m. Posiada źdźbła o grubości 2–6 cm wypełnione soczystym i bardzo słodkim mięszem. Rośnie bardzo szybko, zbiór następuje po 5 miesiącach. Trzcina cukrowa uprawiana była od bardzo dawna w Mezopotamii, dolinie Gangesu w Indiach, a później w Indochinach, Chinach i na Archipelagu Malajskim. Od Indusów przejęli jej uprawę Arabowie, a od nich Hiszpanie i Portugalczycy, którzy przenieśli ją na

duże bulwy zwane jamsami<sup>534</sup>. W następnej kolejności do siatek włożono małe pasiaste dynie, ogórki i nieco liści tytoniu.

Gdy wszystkie kobiety były już przygotowane do powrotnej drogi, zarzuciły sobie na plecy pękate siatki, przewiązując je paskiem przełożonym przez czoło na pochylonej do przodu głowie. Na samym wierzchu olbrzymiego ładunku warzyw i rur bambusowych napełnionych wodą matki sadzały okrakiem swe niemowlęta lub też umieszczały je tam zamknięte w specjalnych bambusowych klatkach. Jeśli któraś z kobiet wykarmiła własną piersią prosiaka, niosła go na rękach przed sobą. Obładowane niczym juczne muły, kobiety ruszyły w drogę, eskortowane przez mężczyzn niosących jedynie swoją broń.

Natychmiast po powrocie do wioski kobiety rozpały ogniska, aby w nich rozgrzać aż do białości długie, płaskie kamienie. Pieczenie potraw w myśl miejscowego zwyczaju odbywało się w ten sposób, że do wykopanego w ziemi rowu na przemian kładziono gorące kamienie i warstwę produktów, aż zaimprovizowany piec napełniono po brzegi. Wtedy przysypywano go ziemią. Mniej więcej po dwóch godzinach rozgrzebywano kopiec i rozpoczynano ucztę.

Tym razem jednak, zanim jeszcze głązy zostały nagrzane, radosny nastrój zakłócił niezbyt fortunny powrót wojowników, którzy razem z Eleli Koghe udali się do dżungli. Otóż zamiast pokonanego Mafulu przynieśli dwóch zabitych własnych wojowników. W pobliżu miejsca, gdzie Eleli Koghe stoczył zwycięską walkę, znacznie liczniejszy oddział Mafulu, ukryty w leśnych zaroślach, zniemacka zasypał ich gradem strzał z łuków. Od razu padło dwóch Tawade, kilku innych zostało rannych. Jedynie dzięki ostrożności Mafulu, którzy mimo przewagi bardzo się obawiali słynących z okrucieństwa wojowniczych sąsiadów, udało się Tawade wycofać z tak

---

Wyspy Antylskie. Obecnie największe plantacje trzciny cukrowej są na Jawie, Kubie, Wyspach Hawajskich i w Afryce.

<sup>534</sup> — Jamsy (yams) — nazwą tą obejmuje się rośliny jednoliścienne z rodzaju *Dioscorea*, rodzące bulwy podziemne, a niekiedy również na łodygach. Z licznych gatunków najważniejsze jest *scorea batatas* pochodząca ze wschodniej Azji. Posiada bulwy o różnych kształtach i barwie, zwykle walcowate, zewnątrz ciemne, w środku białe, różowe, czerwone lub fioletowe, o wadze od 1 do 10 kg. Bulwy te są mączyste, wodniste, o smaku zbliżonym do młodych kartofli. Jams nie wymaga zbyt obfitej wilgoci. Niektóre gatunki o drobnych bulwach na pędach zawierają substancje trujące

groźnej sytuacji. Poległ, więc tylko brat Eleli Koghe i jeszcze jeden starszy wojownik.

Śmierć brata Eleli Koghe, zgodnie z miejscowymi zwyczajami, mogła być traktowana jako wyrównanie porachunków. Przecież tym razem właśnie Eleli Koghe pierwszy zabił jednego Mafulu, a w dżungli obowiązywało niepisane prawo: głowa za głowę. Lecz drugi poległy Tawade oraz kilku innych rannych powinni być pomszczeni, co najmniej taką samą liczbą zabitych i rannych.

Z okolicznych gór płynął rechot małych żab, który brzmiał jak subtelny dźwięk srebrnych dzwoneczków. To właśnie tak zwane toundule rozpoczynały swój przedwieczorny koncert. Tymczasem w wiosce Tawade zamiast radosnych pieśni rozległy się płacze i lamenty. Jedyna żona poległego brata Eleli Koghe i trzy żony starszego wojownika, całe wysmarowane białą gliną na znak żałoby, tarzały się w popiele i głośno zawodziły. Na przemian sławiły utraconych mężów i złorzeczyły zabójcom. Mężczyźni również nie próżnowali. Eleli Koghe przewiązał swój kamienny topór przepaską na biodra poległego brata i zaprzysiągł krwawą zemstę. Podobne przyrzeczenia składali bliżsi i dalsi krewni innych zabitych, albowiem ognie zapalone na szczytach górskich rozniosły wieść o tragicznym wydarzeniu i spokrewnione plemiona już ścigały na stypę.

Tego dnia dopiero późnym wieczorem kobiety rozkopały smakowicie dymiące piece. Dwie zabite na stypę świny oraz całe stosy jarzyn rozdzielono pomiędzy domowników i gości. Starszyzna i sławni wojownicy otrzymali najlepsze części mięsiwa i jamsy. Każdy brał swoją porcję na liść i zajadał się nią na uboczu. Kobietom rozdano ochłapy i jarzyny.

W końcu dzieci i psy zaczęły wygrzebywać z popiołu w piecach resztki jedzenia.

Uroczystości pogrzebowe miały trwać dłuższy czas. Toteż po zakończeniu wieczerzy mężczyźni udali się do emone na naradę wojenną. Zasiedli rzędami po obydwóch stronach ognia, żarzącego się w wylepionym gliną rowku pośrodku podłogi wzdłuż domu. Naczelnik plemienia zwinął w rulon kilka żółtawych liści tytoniu, po czym wydobyl z siatki oryginalną fajkę. Była to dość gruba rurka bambusowa o długości około trzydziestu centymetrów, zamknięta na obydwóch krańcach naturalnymi przegrodami. W pobliżu końców fajki, na wierzchu rury, znajdowały się pojedyncze otwory.

W jeden z nich naczelnik zatknął rulonik liści, który zapalił płonąca gałązką. Następnie przyłożył usta do drugiego otworu w fajce i tak długo wciągał powietrze, aż cała rurka napełniła się dymem. Teraz wyrzucił nie dopalone liście i podał fajkę swemu sąsiadowi. Każdy z zebranych kolejno zaciągał się nagromadzonym w jej wnętrzu dymem.

Po tej ceremonii rozpoczęły się długie narady. Jednomyślnie postanowiono szukać pomsty na Mafulu, co niewątpliwie powinno ucieszyć dusze obydwoh poległych.

Wojownicy wylegli na plac. Było tam ludno i gwarno, kobiety, bowiem, a nawet i dzieci, nie kładły się spać tej nocy. Wdowy wciąż objawiały publicznie swoją rozpacz; kaleczyły ciała ostrymi bambusowymi nożami, tarzały się w popiele i lamentowały.

Wojownicy rozpoczęli przygotowania do wojennej wyprawy. Oporządzali broń, malowali ciała sadzą i białą gliną w czarne i białe pasy, głowy przystrajali pióropuszcami z ptasich piór, a na szyjach zawieszali naszyjniki z zębów dzikich świń. Jeszcze przed świtem byli gotowi do wyruszenia w drogę. Teraz miał się odbyć wojenny taniec.

Wojownicy w pełnym uzbrojeniu podzielili się na dwie grupy, które stanęły naprzeciwko siebie twarzą w twarz. Najpierw obydwa oddziały zmierzyły się groźnym wzrokiem, nucąc półtonem groźną w brzmieniu pieśń. Potem tancerze gwałtownie potrząsali dzidami, łukami i kamiennymi maczugami. Stojąc w miejscu mocno uderzali stopami o ziemię, aż czerwony pył spowił ich mglistym obłokiem. Tempo tańca stawało się coraz szybsze. Obydwe grupy postępowały krok do przodu, potem dwa do tyłu, robiły krok w prawo i jeden w lewo, by naraz skoczyć ku sobie z głośnym okrzykiem bojowym. Przez długi czas to cofali się, to znów nacierali na siebie, aż w końcu powietrze napełniło się świstem strzał wystrzelonych z łuków. Nagle obydwa oddziały zatrzymały się, jakby wrosły w ziemię. Zamilkła bojowa pieśń. W tej właśnie chwili skrawek tarczy słonecznej wychylił się zza gór. Po tropikalnej nocy nastawał dzień. Tym samym złe duchy dżungli traciły swą moc. Wojownicy mogli już wyruszyć na wojenną wyprawę.

Tego jeszcze dnia naczelný wódz Tawade, Eleli Koghe, przekroczył, graniczny strumień i splądrował najbliższą wieś Mafulu. Polała się krew.

Odtąd przez długie tygodnie Tawade bądź Mafulu na przemian wyprawiali uczty na cześć zwycięstwa lub stypy na znak żałoby.

Eleli Koghe znów przygotowywał wojenną wyprawę na Mafulu. Przecież każdy napad powodował ofiary w ludziach, które trzeba było pomścić. Starszyzna i wojownicy naradzali się w emone. Eleli Koghe przypominał krzywdy wyrządzone im przez Mafulu oraz korzyści, jakie wojna przyniosła plemieniu Tawade. Przychylny pomruk wojowników coraz bardziej go podniecał. Hojnie obdarowani łupem wojennym czarownicy zapewniali Tawade zwycięstwo.

Właśnie zapalono fajkę, aby uświęcić decyzję podjęcia wojennej wyprawy. Emone zaległa cisza. Wtem gdzieś od szczytów górskich spłynął głos zwielokrotniony przez echo.

*„Hoooooo! Hoooooo! Wy tam w dole strumienia, słuchajcie!”*

Roznosiło się po dolinie.

Eleli Koghe sugestywnym gestem nakazał milczenie. Wybiegł na werandę. Złożył obydwie dłonie przy ustach i jak przez tubę odkrzyknął:

*„Hooooo! W górze strumienia, mówcie, słuchamy!”*

*„Hoooo! Zbliżają się białe duchy o kształtach ludzi! Zabierają z dżungli najbarwniejsze ptaki i kwiaty! Z kijów miotają pioruny! Palą wodę! Zabierają ptaki i kwiaty! Biada nam!”*

Mężne serce Eleli Koghe zadrżało na wieść o niezwykłych duchach. Milczał przez chwilę, a potem zebrawszy siły krzyknął:

*„Hooooo! Czy białe duchy idą do nas?!”*

*„Dążą w górę strumienia! Za trzy księżyce<sup>535</sup> będą u was. Miejcie się na baczności, brońcie naszych ptaków!”*

---

<sup>535</sup> — Krajowcy Nowej Gwinei nie znali kalendarza; czas mierzyli „księżycami”, z których jeden stanowił dobę.

## SPOTKANIE W SYDNEY

Na przedmieściu w południowej części Sydney<sup>536</sup>, w willi dyrektora Parku Taronga — olbrzymiego ogrodu zoologicznego, odbywało się przyjęcie. Pan Filip Hart podejmował niezwykłych gości, albowiem z wyjątkiem jego przyjaciela Karola Bentleya, dyrektora ogrodu zoologicznego w Melbourne<sup>537</sup>, wszyscy byli dla niego zupełnie obcymi ludźmi.

Inicjatorem tego przyjęcia był znany zoolog Karol Bentley. Kilka lat temu odbył jako doradca wyprawę łowiecką w głąb kontynentu australijskiego. Przewodzili jej polscy łowcy dzikich zwierząt, zatrudnieni w hamburskim przedsiębiorstwie Hagenbecka. Razem z dorosłymi mężczyznami wziął wtedy udział w łowach młody chłopiec, Tomasz Wilmowski, syn kierownika wyprawy. Bentley bardzo polubił Tomka. Chciał go nawet przyjąć na wychowanie, gdyż obawiał się, że ustawiczne podróżowanie ojca uniemożliwi chłopcu naukę. Tomek ze wzruszeniem podziękował Bentleyowi za wielkoduszną propozycję, lecz nie zgodził się pozostać w Australii. Od 1904 roku minęły już cztery lata. W tym czasie Tomek brał udział w wielu wyprawach łowieckich i wyrósł na bardzo dzielnego młodzieńca.

Bentley, powiadomiony listownie o pobycie w Australii swych polskich przyjaciół, telegraficznie zaproponował im spotkanie w Sydney. Przyjęli jego zaproszenie i oto teraz razem z nim gościli u pana Filipa Harta.

Wilmowscy oraz ich przyjaciele przyjechali do Australii wprost z wyprawy na Syberię, skąd dopomogli uciec z zesłania kuzynowi Tomka, Zbyszkowi Karskiemu<sup>538</sup>. Wraz ze Zbyszkiem umknęła również jego narzeczona, młoda studentka medycyny, Natasza Władimirowna Bestużewa.

Podczas pierwszego pobytu w Australii łowcy poznali w Nowej Południowej Walii hodowcę owiec, Allana. Państwo Allan niemal uwielbiali

---

<sup>536</sup> — Sydney — stolica stanu Nowa Południowa Walia, a zarazem jeden z największych portów Australii.

<sup>537</sup> — Melbourne — stolica stanu Wiktorii w Australii południowo-wschodniej, położona na północnym krańcu zatoki Port Phillip u ujścia Yarra-Yarra. Doskonały port. Jest drugim pod względem wielkości miastem w Australii. W latach 1901–1927 było przejściowo stolicą Związku Australijskiego powstałego w 1900 r.

<sup>538</sup> — Dramatyczna walka o uwolnienie polskiego zesłańca została opisana w książce *Tajemnicza wyprawa Tomka*.

Tomka, gdyż on to właśnie odnalazł wtedy zagubioną w buszu ich dwunastoletnią jedynaczkę, Sally. Od tej pory Sally i Tomek żyli w wielkiej przyjaźni. Widywali się często, ponieważ Sally, podobnie jak Tomka, wysłano do szkół w Londynie. Obecnie młoda panienka otrzymała maturę. Przed wstąpieniem na dalsze studia przyjechała na kilkumiesięczny wypoczynek do rodziców. Państwo Allan dowiedzieli się od córki, że Tomek i jego towarzysze przebywają na Dalekim Wschodzie. Zaprosili ich na święta Bożego Narodzenia. W ten sposób cała gromadka Polaków znów się znalazła w Australii.

Po blisko miesięcznym odpoczynku podróżnicy z prawdziwym żalem opuścili farmę Allanów. Nie mogli sobie pozwolić na dłuższe wakacje. W Sydney oczekiwał na nich Bentley, a ponadto mieli tam sporo pilnych własnych spraw do załatwienia. Mianowicie w tym najdogodniejszym z portów świata stał na kotwicy dalekomorski jacht kapitana Nowickiego. Należy wyjaśnić, że w wyprawie na Syberię uczestniczył brat maharani<sup>539</sup> Alwaru, Pandit Davasarman. Aby ułatwić uprowadzenie zesłańca, piękna i szlachetna maharani, która polubiła Tomka, nie tylko nakłoniła swego brata do wzięcia udziału w wyprawie, lecz zaofiarowała także własny jacht. W Rabaulu<sup>540</sup>, gdzie w drodze powrotnej z Syberii nastąpiło pożegnanie z Panditem Davasarmanem, spotkała Polaków, a szczególnie bosmana Nowickiego, ogromna niespodzianka. Mianowicie Pandit Davasarman wręczył dobrodusznemu marynarzowi akt własności jachtu, podpisany przez księżną. Jednocześnie powiadomił łowców, że z częścią załogi wraca do Indii niemieckim parowcem. Bosman najpierw oniemiał, a potem odmówił przyjęcia tak kosztownego daru. Ostatecznie opory jego zostały przełamane przez Jana Smugę, podróżnika i łowcę, który najdłużej przyjaźnił się z księżną. Klepnął on bosmana w ramię i rzekł:

*„No, spełniły się twoje marzenia! Wprawdzie nie zdobyliśmy złota w górach Altyn–tag, za które chciałeś kupić sobie jakąś starą krypę, ale mimo to teraz zostałeś kapitanem. Bierz, kiedy ci dają ze szczerego serca! W zamian przy okazji prześlesz księżnej jakiś oryginalny upominek!”*

---

<sup>539</sup> — Maharani — tytuł przysługujący żonie maharadży.

<sup>540</sup> — Rabaul — miasto i port na wyspie Nowa Brytania w Archipelagu Bismarcka. Do I wojny światowej był stolicą Ziemi Cesarza Wilhelma, czyli ówczesnej kolonii w Nowej Gwinei.



W ten sposób bosman został kapitanem na własnym jachcie. Pierwszy samodzielny rejs odbył z przyjaciółmi do Sydney. Tam pozostawili jacht pod opieką zaufanej indyjskiej załogi, sami zaś udali się z wizytą na farmę Allanów. Po powrocie do Sydney zamieszkali na jachcie, gdyż w tym bardzo ruchliwym, portowym mieście niełatwo było o wynajęcie odpowiedniego mieszkania.

W przeciwieństwie do poczciwego kapitana Nowickiego, Tomek wcale nie był w najradośniejszym nastroju. Tak się cieszył z tych świąt u Allanów, a tymczasem zastał tam również kuzyna Sally, który razem z nią przyjechał z Anglii. James Balmore, nieco starszy od Tomka, był krewnym brata pana Allana, stale mieszkającego w Londynie. U niego to właśnie przebywała Sally, ucząc się w Anglii. James lub Jimmie, jak go zdrobniale nazywała Sally, wciąż asystował swej ładnej kuzynce. To właśnie psuło Tomkowi humor.

Bentley również Allanów zaprosił na spotkanie w Sydney. Ojciec Sally nie mógł opuścić swego gospodarstwa na dłuższy czas, toteż przybyła jedynie pani Allan z córką i kuzynem Jamesem Balmore'em.

Od samego początku przyjęcia Tomek był roztargniony. Z trudem skupiał uwagę na ogólnej rozmowie. Bentley właśnie zapowiadał jakąś niezwykłą niespodziankę dla swych przyjaciół, a Tomek tymczasem zerkał w kierunku werandy, gdzie przebywała reszta młodzieży. Łowił uchem wesoły śmiech Sally i poważny głos Jamesa Balmore'a.

Zaraz po drugim śniadaniu gospodarz poprowadził gości do gabinetu. Nadeszła chwila ujawnienia niespodzianki.

— Proszę, bardzo proszę, siadajcie wszyscy — mówił Bentley. — Chciałem powiedzieć wam coś interesującego. Hm, chcąc być szczery, muszę wyznać, że nawet specjalnie w tym celu zorganizowałem to niecodzienne dzisiejsze spotkanie.

— Mów pan prosto z mostu, szanowny panie Bentley. Między starymi znajomymi nie potrzeba zbyt wielu ceregieli — wtrącił kapitan Nowicki.

— Skoro tak, przystępuję od razu do sedna sprawy. Ty, kochany Tomku, słuchaj mnie szczególnie uważnie. Bardzo liczę na ciebie — powiedział Bentley, uśmiechając się życzliwie do młodzieńca.:

— Nie wiem, w czym mógłbym panu pomóc? — zdziwił się Tomek. — Czy pan nie żartuje?

— Nie, nie, mój drogi! Naprawdę chcę wam coś zaproponować i byłbym bardzo rad, gdybyś ty zapalił się do mego projektu.

— Nie pojmuję, dlaczego mogłoby panu na tym tak bardzo zależeć? — zapytał Tomek, widząc, że zoolog mówi poważnie.

— Wydaje mi się, że twój zapal zachęciłby innych do mojej sprawy — wyjaśnił Bentley.

— Nie posądzałem pana dotąd o taką przebiegłość — wesoło zauważył Nowicki. — Faktycznie jednak masz pan rację. Ten młodzik nas często wodzi za nos!

Całe towarzystwo wybuchnęło śmiechem.

— Jeśli chodzi o mnie, zawsze chętnie słucham rad Tomka — odezwał się Smuga. — Niezwykła intuicja rzadko zawodzi naszego młodego przyjaciela.

Tomek siedział zażenowany pochwałami. Tymczasem Bentley mówił:

— Pewien bardzo zamożny przemysławiec australijski jest zapalonym kolekcjonerem rajskich ptaków<sup>541</sup> i storczyków<sup>542</sup>. Pragnie uzupełnić swoje zbiory nowymi, mało lub w ogóle dotąd nie znanymi okazami. W tym celu zaproponował mi zorganizowanie wyprawy badawczej...

— Ho, ho! Jest to, więc wyprawa nawet o pewnym romantycznym podłożu — wtrącił Tomek. — Paradisea apoda, czyli beznogie rajskie ptaki!

Wszyscy zaciekawieni spojrzeli na młodzieńca, a impulsywna Sally zawołała:

— Nie słyszałam nigdy o rajskich ptakach bez nóg, to chyba jakaś legenda?!

— Oczywiście, że to legenda, romantyczna legenda — potwierdził Tomek.

---

<sup>541</sup> — Ptaki rajskie (*Paradiseidae*) są bliskie ptakom krukowatym, od których, prócz innych cech, różnią się przede wszystkim brakiem szczeciniastych piór u nasady dzioba. Samce odznaczają się takim przepychem piór ozdobnych i tak wspaniałymi barwami, że bodaj tylko kolibry mogą się z nimi równać. Obecnie znamy około 100 gatunków rajskich ptaków.

<sup>542</sup> — Storczyki, czyli orchidee, są najosobliwszymi roślinami na Ziemi. Budzą podziw różnorodnością postaci, kształtem, barwą, zapachem kwiatów, sposobem życia, zapylania itp. Istnieje ich około 12–13 tysięcy gatunków, a może i więcej. Rozpowszechnione są na całej Ziemi, nieliczne tylko w wysokich górach i w pobliżu biegunów. Poza Brazylią i sąsiednimi krajami Ameryki Południowej szczególnie obficie występują na Madagaskarze, wyspach Oceanu Indyjskiego i w całej strefie tropikalnej.

— Nie znam jej, proszę Tommy, opowiedz ją nam! — zaproponowała Sally.

— Później, moja droga! Przepraszam, że mimo woli przerwałem panu — zwrócił się Tomek do Bentleya.

— Czyżbyś już kiedyś interesował się rajskimi ptakami, młodzieńcze? — zapytał Hart, bacznie obserwując Tomka.

— Czytałem książkę markiza de Raggi, który przy końcu osiemnastego wieku odbył specjalną wyprawę do Nowej Gwinei w celu badania życia tych ptaków — odparł Tomek.

— Jeśli tak, to przyłączam się do prośby panny Sally i proszę o wyjaśnienie nam, dlaczego powstała legenda, że rajskie ptaki nie posiadają nóg — rzekł Hart.

Tomek w jednej chwili zdał sobie sprawę, że dyrektor ogrodu zoologicznego w Sydney pragnie sprawdzić zasób jego wiadomości na ten temat. Toteż zmieszał się trochę, lecz mimo to zaraz zaczął mówić opanowanym głosem:

— Dość dawna to historia, pierwsze informacje, bowiem o istnieniu rajskich ptaków dotarły do Europy jeszcze przed odkryciem drogi morskiej do Indii i na długo przedtem, zanim Europejczycy wylądowali w Nowej Gwinei. Skórki rajskich ptaków z Nowej Gwinei oraz pobliskich wysp najpierw przywieźli na Jawę<sup>543</sup> miejscowi kupcy. Tam właśnie po raz pierwszy zobaczył je kupiec wenecki Nicolo de Conti, który przebywał na tej wyspie w połowie piętnastego wieku. W tysiąc pięćset dwudziestym drugim roku współuczestnik wyprawy Magellana naokoło świata otrzymał od władcy Batjanu na Molukach<sup>544</sup> skórki rajskiego ptaka i przywiózł ją do Europy. W siedemnastym i osiemnastym wieku barwne pióra rajskich ptaków stały się bardzo poszukiwane, zwłaszcza w Chinach i Indiach, a wkrótce zapanowała na nie moda i w Europie, gdzie kobiety zaczęły zdobić nimi swoje kapelusze.

---

<sup>543</sup> — Jawa — wyspa na Oceanie Indyjskim należąca do Republiki Indonezyjskiej. Indonezja zajmuje największy na świecie archipelag sundajski, położony między Azją i Australią. Dzieli się on na Wielkie i Małe Wyspy Sundajskie oraz Moluki. Do Indonezji należy także zachodnia część Nowej Gwinei (Irian Barat). W skład Indonezji wchodzi 3000 zamieszkanymi wysp, z których największe to: Borneo Indonezyjskie (Kalimantan) 539460 km<sup>2</sup>, Sumatra (Sumatera) — 473 607 km<sup>2</sup>, Celebes (Sulawesi) — 189035 km<sup>2</sup>, Jawa (Djawa) — 126703 km<sup>2</sup>, Halmahera 17998 km<sup>2</sup>, Flores — 15 610 km<sup>2</sup>. Na Jawie leży stolica Indonezji — Dżakarta.

<sup>544</sup> — Moluki (Wyspy Korzenne) — grupa wysp Archipelagu Malajskiego, pomiędzy Celebesem i Nową Gwineą, należących do Indonezji.

Wówczas to powstała legenda, że te piękne ptaki pochodzą wprost z biblijnego raju. Po wykluciu się tam z jaj miały frunąć w kierunku słońca, od którego otrzymywały wspaniałe ubarwienie piór. W myśl legendy rajskie ptaki były pozbawione nóg, aby nie mogły pobrudzić swego upierzenia osiadając na ziemi. Zniżały się ku niej jedynie w celu pożywienia się rosą. Jeśli nie mogły zaspokoić głodu w locie, po prostu umierały.

— Zgadzam się z tobą, Tommy, że to bardzo romantyczna legenda, lecz chyba brak jej jakiegoś logicznego uzasadnienia — zauważyła pani Allan.

— Powstanie legendy jest bardzo łatwe do wytłumaczenia — wyjaśnił Tomek. — W niektórych regionach zamieszkiwania rajskich ptaków, jak na przykład na wyspach Aru<sup>545</sup> i w Nowej Gwinei, krajowcy interesowali się jedynie ich bajecznie kolorowymi piórami, których używali do ceremonialnego zdobienia głów. Toteż obdzierając zabite ptaki ze skóry odcinali bezwartościowe dla siebie kończyny. W takim stanie również sprzedawali cenne skórki kupcom i bezwiednie przyczynili się do stworzenia dziwnej legendy.

— Nic o tym nie wiedziałam, ale przecież ptaki musiały gdzieś składać i wysiadywać jaja — niedowierzająco powiedziała pani Allan.

— Przypadkowo twórcy legendy i na to znaleźli wytłumaczenie — odparł Tomek. — Przypuszczali, że rajskie ptaki, nie mogąc wysiadywać jaj na ziemi, radzą sobie w inny sposób. Mianowicie samiczki miały składać i wysiadywać jaja na grzbietach samców unoszących się w powietrzu. W późniejszych czasach legenda została nieco zmieniona. W dalszym ciągu wierzono, że rajskie ptaki nie posiadają nóg, lecz za to dwa długie pióra w ogonie, zakrzywione na końcu, miały umożliwiać im zawieszanie się na gałęziach drzew na czas koniecznego odpoczynku. Legenda o beznogich rajskich ptakach znalazła nawet pewne potwierdzenie naukowe, gdy szwedzki uczoney, Karol Linneusz, dodał słowo „*apoda*” czyli „*bez nóg*”, dla określenia w języku łacińskim wielkiego rajskiego ptaka.

Z czasem przestano wierzyć w legendę, gdyż wielu myśliwych, szczególnie malajskich, urządziło specjalne wyprawy łowieckie na rajskie ptaki do Nowej Gwinei. Wówczas naocznie stwierdzili, że rajskie ptaki, tak jak wszystkie inne, mają nogi, budują na drzewach gniazda i wysiadują w nich

---

<sup>545</sup> — Wyspy Aru (Aroe Islands) — grupa ok. 90 małych wysp na południowy zachód od Nowej Gwinei

jaja. Próżność kobieca i wysokie ceny płacone za pióra przyczyniły się do znacznego wytrzebienia tych pięknych ptaków. Toteż moim zdaniem ów kolekcjoner, o którym wspomniał pan Bentley, słusznie czyni, chcąc uzupełnić swe zbiory. Kto wie, czy w niedalekiej przyszłości rajskie ptaki nie wyginą całkowicie<sup>546</sup>.

— Naprawdę jestem zdumiony tak wyczerpującym wyjaśnieniem legendy — z uznaniem odezwał się Hart. — Od razu można się zorientować w pana zawodowych zainteresowaniach.

— Tomek kubek w kubek wdał się w swego szanownego ojca — zawołał kapitan Nowicki.

— Słyszałem już o tym od pana Bentleya — potaknął Hart. — Uzupełniając tę obszerną relację dodam tylko, że rajskie ptaki zamieszkują także północno-wschodnią Australię i Moluki, głównie wszakże Nową Gwineę, tak mało przez nas poznaną...

— Krótko mówiąc, proponują nam panowie wyprawę do Nowej Gwinei — powiedział Smuga.

— Dodajmy dla ścisłości, do kraju łowców głów i ludożerców — wtrącił Wilmowski. — Większość Nowej Gwinei jeszcze dzisiaj pokrywają na mapie białe plamy.

— Niewątpliwie ma pan rację — potwierdził Bentley. — Nowa Gwinea jest ciągle dla białego człowieka krainą wielkich tajemnic. Któż może odgadnąć, co zazdrośnie ukrywa jej wnętrze?

— Jest to na pewno bardzo interesujący kraj tak dla geografów, jak i dla etnografów, zoologów, botaników, ornitologów, a także dla poszukiwaczy złota i wszelkich niespokojnych duchów żądnych silnych wrażeń — poważnie rzekł Wilmowski. — Ciekawa, lecz bardzo ryzykowna wyprawa.

— Powiadasz, Andrzeju, że tam są ludożercy — zagadnął kapitan Nowicki. — Do licha! Stanowiłbym dla nich pokusę ze względu na moją tuszę.

— Nie ma obawy, panie kapitanie — odrzekł Bentley. — Nie słyszałem nigdy, aby tamtejsi krajowcy zjedli jakiegokolwiek białego.

— Ha, więc są przyjaźnie usposobieni do nas? — zdumiał się Nowicki.

---

<sup>546</sup> — Od 1924 r. polowanie na rajskie ptaki oraz wywożenie ich piór z Nowej Gwinei zostały zakazane. Obecnie jedynie Papuasi mogą polować na nie dla własnych potrzeb zdobniczych.

— Nie o to chodzi! — zaprzeczył Bentley. — Każdy człowiek może z łatwością stracić tam głowę bez względu na rasę. Podobno do białych czują wstręt z powodu nieprzyjemnego dla nich zapachu...

— Ciekawe rzeczy pan opowiada, ale i łepetyny też szkoda narażać dla tych rajskich ptaszków!

— A ty, Tomku, co o tym myślisz? — zagadnął Bentley.

Tomek pochylił się do zoologa i rzekł porywczo:

— Mogę wyruszyć z panem nawet i dzisiaj! Oczywiście, jeśli ojciec pozwoli.

— Byłam pewna, że Tomek tak właśnie odpowie! — z entuzjazmem zawołała Natasza.

Sally baczny wzrokiem obrzuciła Rosjankę. Lekko zmarszczyła brwi i o czymś zaczęła rozmyślać.

— A co na to szanowny pan Wilmowski? — zapytał Bentley.

— Pozwalam memu synowi samodzielnie podejmować decyzje. Natomiast jeśli chodzi o mnie, nie mogę od razu dać odpowiedzi. Mam pewne zobowiązania wobec Hagenbecka, powinienem się z nich wywiązać.

— Zupełnie słusznie, przewidywałem podobną sytuację — powiedział Bentley. — Porozumiałem się z Hagenbeckiem. Oto list od niego!

Wilmowski odpieczętował kopertę. Uważnie przeczytał pismo, po czym podał je Smudze.

— A więc mamy konkretne propozycje od Hagenbecka — rzekł po chwili Smuga. — Czy realizacja tego zamówienia dałaby się pogodzić z pana zadaniem?

— Wziąłem to pod uwagę; zainteresowania Hagenbecka są dość zbieżne z moimi — odparł Bentley. — Oczywiście transport liczniejszych zbiorów będzie sprawiał nam więcej trudności.

— Tomku, przeczytaj list Hagenbecka — powiedział Smuga, podając mu pismo.

Młodzieniec dwukrotnie przeczytał list; potem podsunął go kapitanowi Nowickiemu. Ten zaledwie pobieżnie rzucił na niego okiem i mruknął:

— Nie lubię patroszyć ptactwa, lecz mam w tym jakąś wprawę. Kucharzowałem kiedyś na pewnej krypie. Wszystko mi jedno, przecież goli teraz jesteśmy jak święci tureccy!

— Naprawdę zrecznie oporządza pan ptaki — przyznał Tomek. — Jest to bardzo ważne w tropikalnym kraju, gdyż preparowanie okazów wymaga niezwyklej staranności. Trzeba strzec zbiorów przed zepsuciem, przed wszelkimi owadami, a ponadto ustawicznie przewietrzać, chronić przed wypłowieniem...

— Widzę, że zna się pan na tym — z uznaniem powiedział do Tomka dyrektor Hart. — Wobec tego mam dla pana również pewną prywatną propozycję. Za każdy oryginalny okaz motyla zapłacę pięćdziesiąt funtów. Mogę od razu podpisać umowę z zaliczką, powiedzmy... pięciuset funtów. Oczywiście, jeśli trafi się jakiś rarytas, uzgodnimy odpowiednią cenę.

— Najpierw omówmy zasadniczą sprawę — przerwał Smuga. — Przez ostatnie dwa lata nie odbywaliśmy łowów. Toteż w tej chwili nie posiadamy funduszy na zorganizowanie wyprawy. Jakie są pana propozycje, panie Bentley?

— Cenię męskie stawianie sprawy — odpowiedział zoolog. — Przede wszystkim muszę wyjaśnić, że dyrekcja ogrodu zoologicznego w Sydney i mój ogród w Melbourne są również zainteresowane podobną wyprawą. Oczywiście obydwie instytucje posiadają pewne fundusze na ten cel. Razem z kwotą ofiarowywaną przez prywatnego kolekcjonera stanowi to dość poważną sumę. Jest ona już zdeponowana w tutejszym banku.

— Jak by się przedstawiał nasz udział w wyprawie? — indagował Smuga.

— Dla każdego z panów przeznaczylimy po dwa tysiące funtów. Jedna czwarta płatna natychmiast po podpisaniu umowy, reszta byłaby zdeponowana na panów nazwiska w banku wskazanym przez was. Z własnych pieniędzy pokryliby panowie jedynie osobisty ekwipunek. Natomiast organizatorzy wyprawy opłacą koszty podróży morskiej, transportu pieszego w Nowej Gwinei, wyżywienia oraz dadzą pewną kwotę na zakup eksponatów etnograficznych.

— Szanowny panie, czyżby rajskie ptaszki i kwiatki przedstawiały aż tak wielką wartość? — zdumiał się kapitan Nowicki.

— Za jeden żywy okaz nie znanej jeszcze orchidei można uzyskać od amatora do dziesięciu tysięcy funtów — wyjaśnił Bentley.

— Ho, ho! Mimo to wydaje mi się, szanowny panie, że kupujecie kota w worku. A jeśli łowcy głów i ludożercy uniemożliwią wykonanie zadania? Możemy wrócić z pustymi rękoma.

— Wszystko może się zdarzyć, organizatorzy ponoszą ryzyko — wyjaśnił Bentley. — Aby jednak ograniczyć możliwość niepowodzenia do minimum, postanowiliśmy właśnie panom powierzyć poprowadzenie wyprawy. Hagenbeck uważa was za najlepszych fachowców w tej dziedzinie.

— Czy zaraz musimy udzielić odpowiedzi? — zapytał Wilmowski.

— Tak, sprawa jest pilna. Chciałbym się znaleźć na miejscu jeszcze przed końcem pory deszczowej — oświadczył Bentley. — Poza tym dla pana osobiście mam odrębne zamówienie z Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku. Pan już współpracował z tą instytucją. Tym razem chodzi o sposób preparowania ludzkich głów przez łowców nowogwinejskich. Oto odpowiednie pismo.

Naraz Sally powstała z fotela i powiedziała:

— Bardzo przepraszam, czy mogłabym chwilę porozmawiać z Tommym, zanim panowie podejmą decyzję?

Dyrektor Hart spojrział na nią zdziwiony, lecz reszta towarzystwa uśmiechała się dyskretnie. Wszystkim przecież było wiadome, jak zażyła przyjaźń łączyła obydwójce młodych. Sally była ulubienicą kapitana Nowickiego, toteż zaraz pospieszył jej z pomocą:

— Pogruchajcie sobie, przez ten czas my również się namyślimy. Co nagle, to po diable! Nieprawda, szanowni panowie?

— Oczywiście — powtórzył Bentley. — Panie zawsze mają pierwszeństwo.

— Prosimy, prosimy — zawtórował Hart, zorientowawszy się w sytuacji.

Wilmowski i Smuga wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Sally i Tomek wyszli na werandę. Zaledwie znaleźli się sami, panienska zawołała:

— A więc to tak, drogi Tommy! Chcesz wyruszyć na wyprawę, i to nawet dzisiaj?! Widzę, że już nic a nic cię nie obchodzi!

— Sally! Jak możesz tak mówić! — oburzył się Tomek.

— Mogę, mam nawet do tego prawo, skoro zapomniałeś o czymś tak ważnym dla mnie — odparła bliska płaczu.

— O czym to zapomniałem? Proszę, przypomnij mi...



— Czy nie przyrzekłeś rok temu w Londynie, że spełnisz każde moje życzenie, gdy zdam maturę?

Tomek odetchnął z ulgą. Więc o to tylko jej chodziło.

— Sally, doskonale o tym pamiętam. Nie naruszyłem mojej obietnicy, zgadzając się wyruszyć na wyprawę do Nowej Gwinei. Słyszałaś, ile mi za to zapłacą? Jutro otrzymam zaliczkę od pana Harta, będę mógł ci kupić, co tylko zechcesz! Już się chyba nie gniewasz na mnie?

— Nie, Tommy, już się nie gniewam. Wiem, że nigdy w życiu nie złamałbyś przyrzeczenia.

— Oczywiście!

— Doskonale, byłem tego pewna! Wobec tego teraz musisz spełnić moje życzenie!

— Jutro będę mógł ci kupić upominek, jaki sobie wybierzesz. Zgoda?

— Nie, mój drogi! Musisz je spełnić dzisiaj! I proszę cię, nie wspominaj mi nawet o pieniądzach!

Tomek zdezorientowany uważnie spojrział w oczy Sally. Naraz straszliwe podejrzenie zakiełkowało w jego myśli.

— Sally... ty chyba nie masz zamiaru...

Panienka uśmiechnęła się przymilnie.

— Nareszcie! Już chyba wiesz, czego chcę? — zapytała po chwili.

— Sally, Sally, przecież to niemożliwe!

— Dla ciebie nie ma rzeczy niemożliwych, Tommy. Ty odnalazłeś mnie w buszu, gdy inni już stracili wszelką nadzieję! Ty wyrwałeś mnie z niewoli u Indian meksykańskich. Ty nauczyłeś mnie kochać wszystkie zwierzęta! Dlatego tylko wstąpiłam na zoologię, żeby móc razem z tobą jeździć na łowieckie wyprawy. Poza tym dałeś mi słowo, że spełnisz każde moje życzenie, a ja teraz życzę sobie jechać z tobą do Nowej Gwinei! Zabierzemy również Dinga. Trochę zaniedbałeś go ostatnio! Nasze kochane psisko jest już na statku. Jeśli ci cokolwiek na mnie zależy, spełnisz to, co przyrzekłeś!

Przygwożdżony tak ciężkimi argumentami, Tomek oszołomiony osunął się na fotel. Sprytna Sally schwytała go w pułapkę. Ani Bentley, ani nikt z jego towarzyszy nie zgodzi się na zabranie kobiety na tak niebezpieczną wyprawę. Był prawie zrozpaczony, lecz przecież nie mógł złamać raz danego słowa. Dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że skoro chce z nim

jechać, to niewiele musi jej zależeć na nadskakującym kuzynie. To go nieco pocieszyło. Prawie spokojnie odezwał się:

— Twoje na wierzchu, Sally. Nie mogę cię zabrać, więc sam również nie wezmę udziału w tej wyprawie. Szkoda... Pieniądze są nam bardzo potrzebne... Ale dałem słowo... i dotrzymam.

Sally przybliżyła się do Tomka. Doskonale rozumiała, jak wiele się dla niej wyrzekął! Oparła dłonie na jego ramionach. Patrząc mu w oczy, zapytała:

— Nie masz do mnie żalu?

— Nie, nie mam. Dałem słowo, muszę dotrzymać. Moi towarzysze pojedą sami. Może to nawet i lepiej. Przecież ktoś musi się zaopiekować Zbyszkiem i Nataszą.

— Tommy, czy tylko ze względu na mnie chcesz pozostać? Coś za łatwo rezygnujesz z wyprawy!

— Co znów masz na myśli? — zaniepokoił się Tomek.

— Już nic! Czy zabrałbyś mnie, gdyby twój ojciec i inni się zgodzili?

— A cóż mógłbym innego uczynić, skoro żądasz dotrzymania słowa?

— Ha, więc jeszcze nie wszystko stracone? Spostrzegłam, jak bardzo oni liczą się z tobą! Nawet pan Bentley i Hart.

— Sally, nie mów głupstw! Ani oni, ani twoi rodzice się nie zgodzą!

— Tak myślisz? A więc dobrze, wróćmy do nich i powiedz im, że nie jedziesz na wyprawę. Mów całą prawdę!

## CZY SALLY ZWYCIĘŻY?

Tomek i Sally weszli do gabinetu. Wszyscy ciekawie spojrzeli na nich i od razu przerwali rozmowę. Nietrudno było domyślić się, że między dwojgiem młodych zaszło coś nieoczekiwanego. W twarzy Sally widoczne było napięcie i podniecenie. Tomek zaś, pobladły, opuścił głowę na piersi i unikał wzroku obecnych. Wilmowski i Smuga znów wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

— No i cóż, konferencja skończona? — niefrasobliwie zaczął Nowicki. — Wobec tego, szanowni panowie, przystąpmy do sprawy...

— Nie spiesz się tak, kapitanie — przerwał mu Smuga. — Najpierw pozwólmymy wypowiedzieć się Tomkowi.

Młodzieniec wolno podniósł głowę, spojrzął na Smugę, a następnie na ojca. Zaraz zrozumiał, że oni odgadli prawdę. Pobladł jeszcze bardziej. Kapitan Nowicki odczuł dziwny niepokój. Uważnie przyjrzał się Tomkowi, potem zerknął na Sally. Zafrasowany zmarszczył brwi.

— Coś ty mu tam nagadała? Pokłóciliście się czy co? — półgłosem zagadnął Sally, nachylając się ku niej. Tomek nie mógł dłużej milczeć. Zebrał się w sobie i rzekł:

— Przykro mi, ale nie mogę wziąć udziału w wyprawie...

— A to dlaczego?! — zdumiał się Nowicki.

— Sally...

— Nic nie gadaj, już wiem! — zawołał marynarz. — Niepotrzebnie mówiliśmy przy paniach o ludożercach i łowcach głów. Nic dziwnego, że wystraszyła się o ciebie! Ale nie martw się, już ja jej to wytłumaczę!

— Myli się pan — zaprzeczył Tomek. — Sally prosi, żebym zabrał ją i Dinga na tę wyprawę. Przynależem kiedyś, że spełnię każdą jej prośbę, gdy zda maturę. Zabranie Sally do Nowej Gwinei nie zależy ode mnie, więc aby nie złamać przyrzeczenia, rezygnuję z udziału w wyprawie.

— Moja droga Sally, tak nie można stawiać sprawy. Tommy nie dla przyjemności ma jechać do Nowej Gwinei. Urządzanie łowieckich wypraw jest jego zawodem. Tommy musi pracować na siebie — zaoponowała pani Allan, podchodząc do córki.

— Nie mów tak, mamusiu! Wszyscy pomyślą, że jestem nieznośną egoistką — poważnie powiedziała Sally. — Tylko po to wstąpiłam na zoologię, żeby móc pracować razem z Tommym.

— Któż by tam śmiał nazywać cię egoistką, ślicznotko! — zawołał kapitan Nowicki. — Nieraz już przecież mówiłaś nam o swoich planach! Dlaczego jednak akurat teraz uparłaś się jechać na wyprawę? Jeśli chodzi o Dinga, bądź spokojna, zabierzemy go z sobą, nic mu nie grozi od łowców głów!

— Byłaby to wspaniała praktyka dla mnie przed rozpoczęciem studiów — wyjaśniła Sally. — Wie pan przecież, że nie jestem mazgajem!

— Zuch z ciebie dziewczyna, to święta prawda — gorąco przytaknął Nowicki. — Gracko spisała się, proszę szanownych panów, kiedy to Indiancy w Meksyku porwali ją do niewoli!

— Czyżby panna Sally uczestniczyła już w jakiejś wyprawie? — zdziwił się Hart, który razem z Bentleyem nie zabierał do tej pory głosu.

— Dwa lata temu byliśmy z Sally w Arizonie u brata mego męża — wyjaśniła pani Allan. — Przyjechał tam również Tommy z panem bosmanem, och, bardzo przepraszam, z panem kapitanem Nowickim.

— Nic nie szkodzi, szanowna pani, nie jestem wrażliwy na tytuły — wtrącił Nowicki. — Poza tym egzamin na jachtowego kapitana morskiego zdałem dopiero dwa miesiące temu.

— Właśnie w Arizonie, za namową pewnego meksykańskiego ranczera, Indianie porwali Sally — ciągnęła pani Allan. — Tylko dzięki dzielnemu Tommy'emu i panu kapitanowi odzyskałam córkę.

Hart spojrzął na Bentleya, ten zaś zwrócił się do pani Allan:

— Czy panna Sally rozmawiała z panią o zamiarze wyruszenia z Tomkiem na jakąś wyprawę? Nie wydaje mi się, żeby pani była zaskoczona jej propozycją.

— Oczywiście, przecież ona mówi o tym od dawna.

— Więc pani nie stawiałaby sprzeciwu? — coraz bardziej zdziwiony pytał Bentley.

Pani Allan zakłopotana milczała przez chwilę. Spojrzała na Sally i Tomka. Stali blisko siebie. Wysoki, barczysty Tomek trzymał Sally za rękę, jak starszy brat młodszą siostrę. We wzroku obydwójga czaiła się niema

prośba. Widok ten bardzo wzruszył panią Allan. Cicho, lecz stanowczo odparła:

— Nie, proszę pana! Nie miałabym serca odmówić im czegokolwiek! Od chwili zaprzyjaźnienia się z Tommym moja córka zamieniła nasz dom w małe muzeum zoologiczne. Podczas wakacji łowi i preparuje różne ptaki, które potem sprzedaje w Europie. W ten sposób chce uskładać jakiś fundusz na swój udział w przyszłej wyprawie.

— Kto panią nauczył preparowania ptaków? — zapytał Hart.

— Tommy, proszę pana — odpowiedziała panienka. — Umiem także preparować motyle i inne owady.

Dyrektor Hart spojrzał pytająco na Bentleya. Porozumieli się wzrokiem.

— Obecnie gubernatorem Papui jest mój dobry znajomy, sir Hubert Murray <sup>547</sup> — odezwał się Bentley. — Zyskał on już sobie opinię znawcy tamtejszych spraw. Pisał mi niedawno o pewnej zwyczajowej ciekawostce. Otóż, jeśli w grupie wojowników znajdują się kobiety, jest to jakoby oznaką, że nie mają zamiaru napadać na kogokolwiek. Może więc obecność panny Sally ułatwiłaby nam wykonanie zadania?

— Jak widać, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło — porywczo zauważył kapitan Nowicki. — No, Andrzeju, przypieczętuj sprawę swoim ojcowskim słowem!

— Bardzo prosimy pana Wilmowskiego o wypowiedź — dodał Bentley. Wilmowski poważnie spoglądał na syna i Sally. Teraz wolno odwrócił się do Bentleya i Harta.

— Nie chciałbym, żeby mój stosunek uczuciowy do Tomka i Sally zagłuszył głos rozsądku — rzekł. — Największe doświadczenie podróżnicze z nas wszystkich posiada pan Smuga. Dlatego też proszę cię, Janie, wypowiedz się w swoim i jednocześnie moim imieniu.

— Świetnie, my również zdajemy się na salomonowy wyrok pana Smugi — wtrącił Bentley. — Zdanie jego jest tym cenniejsze, że postanowiliśmy z Hartem prosić pana Smugę o objęcie kierownictwa wyprawy.

W pokoju zaległa kompletna cisza. Smuga powoli nabił fajkę tytoniem, zapalił ją, a potem odezwał się:

---

<sup>547</sup> — Sir Hubert Murray był od roku 1907 aż do swej śmierci, to jest do roku 1940, gubernatorem Papui.

— Prowadziłem już wyprawy, w których uczestniczyły kobiety. Różnie wtedy bywało. Wszystko zależy od tego, kim one są. W naszym wypadku Sally jest córką australijskiego ranczera. Od niemowlęcia przywykła do buszu i trudnych warunków. Oglądałem okazy ptaków preparowane przez nią. Solidna robota. Ze względu na badawczy charakter wyprawy nie będziemy mogli odbywać zbyt forsownych marszów. Należy się liczyć z dłuższymi postojami. Proponuje zaangażować Sally jako preparatora.

— Rozstrzygnął pan sprawę — powiedział Bentley. — Miałem zamiar zabrać trzech ludzi z mego stałego personelu do preparowania okazów. Wobec tego zabiorę tylko dwóch. Wynagrodzenie panny Sally wyniesie pięćset funtów.

Tomek uspokajał Sally, która oparłszy głowę na jego ramieniu płakała z radości, a Smuga tymczasem znów się odezwał:

— Mam jeszcze jedną propozycję.

— Proszę, słuchamy — jednocześnie powiedzieli obydwaj dyrektorzy ogrodów zoologicznych.

— Mów pan, mów — wtórował kapitan Nowicki, wycierając oczy chusteczką. — Prawdziwie salomonowe słowa płyną dzisiaj z twoich ust!

— Skoro już zdecydowaliśmy się zabrać kobietę-preparatora, to warto by było również wziąć kobietę-sanitariusza. Na takiej wyprawie nawet student medycyny będzie bardzo użyteczny. Poza tym dwie kobiety będą łatwiej sobie radziły niż jedna. Jako sanitariusza proponuję pannę Nataszę. Musimy również pomyśleć o jakiejś funkcji dla pana Zbyszka Karskiego, który obecnie pozostaje pod naszą opieką. W takim komplecie zgadzamy się na udział w wyprawie do Nowej Gwinei.

— Czy przyjmuje pan kierownictwo wyprawy? — upewnił się Bentley.

— Tak!

— Wobec tego jutro podpiszemy umowy, a teraz prosimy na obiad! Musimy godnie uczcić dzisiejszy dzień!

Przyjęcie u dyrektora Harta przeciągnęło się do późnego wieczora. Bentley był bardzo zadowolony. Wyprawa pod kierownictwem doświadczonych łowców i podróżników pozwalała rokować pomyślne rezultaty, toteż siedząc przy stole pomiędzy Sally i Tomkiem poddał się całkowicie ich radosnemu nastrojowi. Kapitan Nowicki wciąż sypał dowcipami. Tomkowi przymawiał od pantoflarzy zawojowanych przez

australijskie sroki, proponował Smudze zabrać kilka smoczków do karmienia nieletnich członków wyprawy, a oni odcinali się i razem z nim nawzajem żartowali z siebie. Rozochocony marynarz niebawem dobrał się do posmutniałego Balmore'a, a gdy ten wyznał, że bardzo pragnąłby pojechać z nimi, zaraz przypuścił szturm na Bentleya i Smugę. Dobroduszny i rubaszny Nowicki zawsze topniał jak wosk na widok zasmuconej twarzy. W ten sposób i James Balmore został zaliczony w poczet uczestników wyprawy do Nowej Gwinei.

Następnego ranka Bentley i Hart przybyli na pokład jachtu, by już szczegółowo omówić przygotowania do wyprawy. Kapitan Nowicki z dumą oprowadzał gości po swoim jachcie. „*Sita*”<sup>548</sup> była dwumasztowym żaglowcem o wyporności dwustu ośmiu ton. Na pokładzie pomiędzy masztami znajdowała się duża nadbudówka mieszcząca ogólną jadalnię i palarnię, a na jej płaskim dachu zbudowana była kabina nawigacyjna oraz mostek kapitański. Solidna budowa dużego jachtu umożliwiała mu pływanie po wszystkich morzach świata. Pod pokładem rozmieszczone były kabiny dla pasażerów i załogi, kuchnia, trzy łazienki, magazyny oraz zbiorniki na słodką wodę o łącznej pojemności dziewięciu ton.

Już poprzedniego dnia zostało postanowione, że podróż morzem z Sydney do Nowej Gwinei i z powrotem wyprawa odbędzie na „*Sicie*”. Wprawilo to kapitana Nowickiego w doskonały humor. Wynajęcie jachtu przez Bentleya umożliwilo mu opłacenie stałej czteroosobowej załogi oraz przeprowadzenie koniecznych prac konserwacyjnych i przeróbek.

Panie, Zbyszek i James Balmore jeszcze odsypiali późno zakończoną ucztę. Toteż po pobieżnym obejrzeniu jachtu, Nowicki poprowadził gości do palarni, gdzie oczekiwali na nich trzech jego przyjaciele. Przy herbacie z rumem rozpoczęli naradę.

Bentley rozłożył na stole dużą mapę, na której wyznaczył trasę wyprawy czerwoną linią. Z początku wiodła ona z Sydney drogą morską przez dwa przybrzeżne morza Oceanu Spokojnego: najpierw w kierunku północno-wschodnim przez Morze Tasmanskie, określane również jako Morze Wschodnioaustralijskie, leżące pomiędzy południowo-wschodnim wybrzeżem Australii, Tasmanią i Nową Zelandią, a później zbaczająca na północny zachód na Morze Koralowe, obramowane od wschodu przez Nową

---

<sup>548</sup> — Jacht nazwany był imieniem maharani Alwaru.

Kaledonię, Nowe Hebrydy, wyspy Santa Cruz i Wyspy Salomona, od północy przez wyspy Archipelagu Bismarcka i wschodnią Nową Gwineę, a na zachodzie przez Wielką Rafę Koralow<sup>549</sup>, ciągnącą się na przestrzeni około dwóch tysięcy kilometrów wzdłuż północno-wschodniego wybrzeża Australii.

O niecałe pięćset kilometrów na wschód od Cieśniny Torresa, najzradliwszego dla żeglugi miejsca na świecie, trasa wiodła na północ ku południowo-wschodnim wybrzeżom Nowej Gwinei, największej wyspy Oceanii<sup>550</sup> i drugiej, co do wielkości po Grenlandii na Ziemi. Tam właśnie w Port Moresby, czyli w siedzibie gubernatora Papui wyprawa miała pozostawić jacht i pieszo wyruszyć w głąb kraju.

Tomek roziskrzonym wzrokiem spoglądał na olbrzymią wyspę, równą wielkością Skandynawii. Kiedyś wraz z Wyspami Sundajskimi tworzyła ona pomost lądowy między południową Azją i Australią. Jakie niezwykle przeżycia oczekiwały ich na tej pełnej tajemnic wyspie?! Nawet sam jej wydłużony dziwacznie kontur przypominał Tomkowi jakiegoś przedpotopowego potwora lub rajskiego ptaka, w pogoni, za którym mieli wyruszyć na tę wyprawę wspólnie z Sally.

Niczym kręgosłup pierwotnego potwora czy ptaka, przez środek wyspy ciągnęło się główne pasmo potężnych gór od południowo-wschodniego krańca aż ku zachodniemu. Liczne odnogi tych gór wypełniały północną część wyspy do samego skalistego wybrzeża. Wschodni i zachodni kraniec

---

<sup>549</sup> — Wielka Rafa Koralow lub Wielka Rafa Barielow (Great Barrier Reef).

<sup>550</sup> — Mianem Oceanii obejmujemy ogromne zbiorowisko wysp i wysepek Oceanu Spokojnego, sięgające od Australii i Archipelagu Malajskiego na zachodzie, aż w pobliże brzegów Ameryki na wschodzie. Wyspy te, pochodzenia kontynentalnego, wulkanicznego lub koralowego, przeważnie tworzą zgrupowania leżące głównie pomiędzy zwrotnikami. Oceania obejmuje obszar morski o powierzchni 79 mln km<sup>2</sup> (prawie tyle, co Azja i Afryka łącznie), w tym na powierzchnię lądową przypada zaledwie 1 mln km<sup>2</sup>, z czego sama Nowa Gwinea zajmuje 785 000. Cała ta na pozór chaotycznie rozproszona plejada wysp wykazuje pod względem klimatu, flory, fauny i gospodarki te same lub podobne cechy, co uzasadnia objęcie ich wspólną nazwą Oceanii. Poza zwrotnikami leżą tylko nieliczne wyspy, z których dwu-wyspowa Nowa Zelandia o powierzchni 265 000 km<sup>2</sup> oraz przynależne do niej wysepki wybiegają daleko na południe i tworzą pewną odrębną całość. Poza zwrotnikami, z wyjątkiem Nowej Zelandii, tak pomocna jak i południowa część Oceanu Spokojnego stanowi pozbawioną wysp pustynię wodną. Cały ten świat wyspiarski ogólnie dzielimy na: Melanesję (pomiędzy równikiem a Zwrotnikiem Koziorożca na przedpolu Archipelagu Malajskiego i Australii), do której należy także Nowa Gwinea; Mikronezję (między równikiem a Zwrotnikiem Raka od wschodniej strony Basenu Filipińskiego do około 180° dł. geogr. wsch.); Polinezję (południowy wschód).



południowego wybrzeża także był górzysty, natomiast jego środkowa część stanowiła rozległą, płaską i bagnistą nizinę. Górzyste wnętrze dawało początek licznym strumieniom, łączącym się później w wielkie rzeki: Markham, Ramu, Sepik i Mamberamo na pomocnej stronie wyspy oraz Purari, Fly i Digul na południowej. Rzeki południowo-wschodniego wybrzeża szczególnie interesowały uczestników wyprawy. Z Port Moresby, bowiem wytyczona na mapie trasa prowadziła łukiem na północny zachód w kierunku „górskiego kręgosłupa”, który na tym odcinku oznaczony był jako Góry Owena Stanleya. Dalej czerwona linia wrzynała się wprost w centralny łańcuch gór i dopiero niemal naprzeciwko ujścia Purari do zatoki Papua znów zwracała do południowego wybrzeża.

— Do stu zgniłych wielorybów, ależ to prawdziwie górska ekspedycja! — zawołał zawiedziony kapitan Nowicki, przyjrzawszy się trasie.

Wszyscy uśmiechnęli się, gdyż znana im była niechęć marynarza do wędrówek po górskich wertepach.

— Na razie projekt jest tylko teoretyczny, drogi panie kapitanie — pospieszył Bentley z wyjaśnieniem. — Widzi pan przecież, ile białych plam pokrywa jeszcze wnętrze Nowej Gwinei. Jak dotąd istnieje przekonanie, że centralny masyw górski jest bezludnym, jednolitym blokiem skalnym, nawet nie nadającym się do zamieszkania przez człowieka.<sup>551</sup> Jeżeli okaże się to prawdą, ograniczymy trasę wyprawy do Gór Owena Stanleya i podnóża górskiego. Spotkałem niedawno pewnego poszukiwacza złota, który zapuścił się daleko w górę Purari. Według niego, niedostępne góry mogą ukrywać kwitnące życie doliny. Kto wie, która z tych dwóch wersji jest prawdziwa?

— Ba, żeby to sprawdzić, trzeba się najpierw wspiąć na te górzyska — powiedział Nowicki. — Nie lubię węszenia po skałach!

— Nie przerażaj się, Tadku — pocieszył go Wilmowski. — Cała szerokość Nowej Gwinei wynosi zaledwie siedemset kilometrów w najszerszym miejscu, a długość dwa tysiące czterysta. Syberyjska wyprawa groziła nam znacznie większymi przestrzeniami.

— Wiem, wiem, tobie tylko w to graj! — odparł Nowicki zrezygnowany. — Jako geograf lubisz wtykać nos tam, gdzie inni jeszcze nie zdążyli tego uczynić.

---

<sup>551</sup> — Wierzono w to aż do I wojny światowej

— Kapitanie, powinien pan się cieszyć, że weźmiemy udział w wyprawie, która może się okazać odkrywczą — powiedział Tomek. — W każdym razie powrotna droga powinna dodać panu otuchy. Będziemy wędrowali niziną aż do samego wybrzeża!

— Błotnistą i bagienną niziną — dodał Smuga, a zwracając się do Bentleya, zapytał: — Dlaczego proponuje pan akurat taką trasę?

— To właśnie zamierzałem panom wyjaśnić — odparł zoolog. — Przede wszystkim wziąłem pod uwagę tereny ostatnio poznane przez kilku podróżników. Nie chciałem wędrować cały czas przez kraje zupełnie jeszcze nie zbadane.

— Słuszne założenie — pochwalił Wilmowski. — Jak widać z wyznaczonej trasy, większa część naszej drogi wiedzie przez Papuę<sup>552</sup>. Chętnie posłuchamy historii badań tego kraju. Umożliwi to nam właściwą ocenę projektu trasy.

— Przed każdą zamierzoną wyprawą staramy się zasięgnąć takich informacji — wtrącił Smuga. — Prosimy!

— Bardzo chętnie, byłem na to przygotowany — odpowiedział Bentley. — Nowa Gwinea była znana od początków szesnastego wieku, lecz do niedawna prawie wcale nie prowadzono w niej badań. Nie nakreślono na mapie nawet zarysu jej wybrzeży. Jedynie poszczególni podróżnicy od czasu do czasu nanosili na mapy nawigacyjne drobne fragmenty lądu. Dopiero dziewiętnasty wiek przyniósł pewien postęp. W roku tysiąc osiemset dwudziestym szóstym holenderska wyprawa wydatnie pogłębiła znajomość południowo-zachodniego wybrzeża. W siedemnaście lat później podobnych pomiarów dokonał dalej na południowym wschodzie Blackwood na statku „*Fly*” oraz Owen Stanley płynąc na „*Rattlesnake*”. W tysiąc osiemset siedemdziesiątym trzecim roku, a więc zaledwie trzydzieści pięć lat temu, Moresby zbadał wschodnie wybrzeże od zatoki Astrolabe do wschodniego krańca wyspy i ostatecznie ustalił zarys Nowej Gwinei.

---

<sup>552</sup> — Terytorium Papua (południowo-wschodnia część Nowej Gwinei) oraz wyspy: Luizjady, d'Entrccasteaux, Triobrianda i Woodlark — przynależne do niej, posiadają łączny obszar 234498 km. Papua została zaanektowana przez rząd australijskiej prowincji Queensland w 1883 r., a następnie przeszła pod administrację centralnego rządu Australii. Od roku 1975 wchodzi w skład niepodległego państwa Papua-Nowa Gwinea ze stolicą Port Moresby.

— To zapewne jego imieniem nazwano Port Moresby, skąd mamy łodem rozpocząć naszą wyprawę? — zapytał Tomek, który w skupieniu przysłuchiwał się opowieści o historii odkryć i badań w Nowej Gwinei.

— Tak, on właśnie odkrył tę przystań — potwierdził Bentley. — Również dla upamiętnienia badań prowadzonych na statku „*Fly*” nazwę jego dano jednej z największych rzek, a mianem Owena Stanleya nazwano pasmo górskie.

Bentley nabił fajkę tytoniem, zapalił i mówił dalej:

— Wkrótce po przybyciu Moresby’ego, na wybrzeżu południowo-wschodnim pojawiło się kilku misjonarzy. Oprócz prac misyjnych stopniowo uzupełniali mapy niektórych okolic. Szczególnie Lawes i Chalmers prowadzili ożywioną działalność w pobliżu zatoki Papua. Chalmers w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym odkrył rzekę Wickham, zwaną przez Papuasów Alele. Siedem lat temu został zamordowany przez krajowców na jednej z przybrzeżnych wysepek.

W tysiąc osiemset osiemdziesiątym siódmym Hartmann i Hunter odbyli wspinaczkę w Górach Owena Stanleya. W dwa lata później Mac Gregor, idąc wzdłuż rzeki Yanapa, doszedł do góry Wiktorii w Górach Owena Stanleya. Zimą roku tysiąc osiemset osiemdziesiąt dziewięć na dziewięćdziesiąt udało mu się dotrzeć aż sześćset pięć mil w górę rzeki Fly, niemal do granicy niemieckiej.

W roku tysiąc dziewięćset siódmym Monckton przeszedł w poprzek australijską, południową część wyspy, idąc znad rzeki Waria na północnym wybrzeżu do zatoki Papua na południu: w tymże roku Mackay i Little badali górną Purari. Udostępniono mi ich sprawozdania, które uważnie przestudiowałem. To chyba wyjaśnia, dlaczego zaproponowałem przedstawioną przeze mnie trasę wyprawy. Będziemy szli przez tereny, na których byli już przed nami inni podróżnicy.

— Tak, dziękujemy panu — powiedział Smuga. — A więc jedynie odcinek drogi przez centralny masyw górski stanowi wielką niewiadomą.

— Nie wyciągałbym takiego wniosku — zaprzeczył Bentley. — Nie tylko centralny masyw górski jest tą wielką niewiadomą. Podróżnicy, o których wspominałem, nie mogli zbyt dokładnie badać tych terenów. Poza tym, co udało się jednemu, może nie udać się innym. Niemniej, co nieco już wiemy o Purari i o Górach Owena Stanleya.

— A więc z Port Moresby wyruszamy w kierunku Gór Owena Stanleya — rzekł Smuga.

— Tak, według zapewnień gubernatora, w odległości około stu pięćdziesięciu kilometrów, na wyżynie Popole, znajduje się stacja misyjna. To jest pierwszy lądowy etap naszej wyprawy. Stamtąd pójdziemy na północny zachód ku centralnemu masywowi.

— Jakie ludy zamieszkują Popole? — zapyta! Tomek.

— Zwą się one Mafulu — wyjaśnił Bentley.

Smuga znów uważnie pochylił się nad mapą. Po chwili zagadnął:

— Marszruta nasza prowadzi nie tylko przez terytoria należące do Australii. Czy ewentualne przekroczenie granicy Ziemi Cesarza Wilhelma<sup>553</sup> nie spowoduje kłopotów?

— Nie spodziewam się tego — odparł Bentley. — Wprawdzie Nowa Gwinea jest podzielona pomiędzy Holandię<sup>554</sup>, Niemcy i Australię, lecz granice są tam do tej pory pojęciem orientacyjnym. Przecież wewnątrz wyspy dotąd nie zostało zbadane. Granicę australijsko–holenderską wytyczono w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim roku, a Brytyjsko–Niemiecka Komisja Graniczna ma ukończyć swe prace dopiero w końcu roku tysiąc dziewięćset dziewiątego. W głębi wyspy nie napotkamy żadnych posterunków. Powrotną drogę chciałbym odbyć rzeką na łodziach. Dzięki temu łatwiejsze byłoby przetransportowanie nagromadzonych okazów.

— Dlatego też zapewne planuje pan powrotną trasę wzdłuż Purari — powiedział Wilmowski. — Wydaje mi się to bardzo rozsądne. Może uda się nam natrafić na jej źródła.

— Czy zgadzacie się panowie na wyznaczoną przeze mnie trasę? — zapytał Bentley.

---

<sup>553</sup> — Do 1975 r. Nowa Gwinea Australijska. Obejmowała północno–wschód nią część Nowej Gwinei, Archipelag Bismarcka i północną część Wysp Salomona o łącznym obszarze 240870 km<sup>2</sup>. Od 1884 r., jako Ziemia Cesarza Wilhelma, była kolonią niemiecka. Podczas I wojny światowej zajęła ją Australia i później z ramienia Ligi Narodów zarządzała nią jako terytorium powierniczym. W czasie II wojny światowej wtargnęła tam Japonia, lecz po jej kapitulacji znów powróciła do Australii jako terytorium powiernicze ONZ. Od r. 1975 wchodzi w skład niepodległego państwa Papua–Nowa

<sup>554</sup> — Od 1 V 1963 r. Irian Zachodni (indonezyjska nazwa Nowej Gwinei) jako terytorium wyzwolone wszedł w skład Republiki Indonezyjskiej. Obejmuje obszar 412781 km<sup>2</sup>. Należy do niego kilka wysp leżących u południowo–zachodniego wybrzeża, z których największe to: Mapia, Japen, Biak, Misool, Waige i Salawatti. Stolicą jest Katabaru, czyli dawna Holandia. Do 1963 r. Irian Zachodni był kolonią holenderską o nazwie Nowa Gwinea Holenderska.

— W ogólnych zarysach można przyjąć ten projekt, potem zobaczymy, co czas pokaże — odrzekł Smuga. — Czy zgadzasz się ze mną, Andrzeju?

— Tak, zgadzam się — potwierdził Wilmowski. — Czy kapitan i Tomek mają jakieś zastrzeżenia?

— W tych sprawach wasze głowy lepsze od mojej — odparł Nowicki. — Skoro orzekliście, że projekt dobry, to nie ma, o czym mówić!

— Jestem tego samego zdania — rzekł Tomek.



## PRZYGOTOWANIA DO WYPRAWY

Narada została przerwana, w tej chwili, bowiem drzwi się uchylły i do palarni zajrzały dziewczęta. Za nimi widać było Zbyszka Karskiego i Jamesa Balmore'a.

— Przygotowałyśmy drugie śniadanie — oznajmiła Sally. — Czy mamy je podać w palarni, czy też może panowie wolą przejść do jadalni?

— To już zależy od naszych gości — odrzekł kapitan Nowicki.

— Proponowałbym kontynuować rozmowy przy śniadaniu. W ten sposób zaoszczędzimy czasu — odezwał się Bentley.

— Święta racja! Wobec tego podajcie nam śniadanie tutaj — zarządził Nowicki.

— Jeśli państwo życzyte sobie przysłuchiwać się rozmowie, to prosimy wszystkich do nas — powiedział Hart. — Chyba nie macie panowie nic przeciwko temu?

— Oczywiście, że nie! Nie chcieliśmy zbyt wcześnie budzić naszej młodzieży, ale informacje pana Bentleya wszystkim się przydadzą — odpowiedział Smuga. — Prosimy!

Pani Allan pomogła dziewczętom nakryć stół i już po kwadransie narada potoczyła się dalej.

— Dotychczas pan Bentley wtajemniczył nas w historię badań w Papui. Teraz dla ogólnej orientacji powinniśmy poznać prace odkrywcze w pozostałych dwóch częściach Nowej Gwinei — zagaił Smuga.

— Może zaczniemy od holenderskiej — zaproponował Wilmowski.

— Kolonialne rządy niewiele robią dla naukowego zbadania kraju — zaczął Bentley. — Jak dotąd we wszystkich trzech częściach Nowej Gwinei przeważnie działają geolodzy, wysyłani przez wielkie przedsiębiorstwa górnicze i metalurgiczne. Badania ich ograniczają się więc jedynie do poszukiwań cennych minerałów i surowców. Dlatego też wcale nie badano okolic trudno dostępnych, jak i nie interesowano się krajowcami.<sup>555</sup>

---

<sup>555</sup> — Sytuacja utrzymywana przez rządy kolonialne w dużej mierze przyczyniła się do pozostania całej Nowej Gwinei w ogólnym zacofaniu gospodarczym i społecznym. W głębi wyspy do dnia dzisiejszego część krajowców jeszcze żyje na poziomie epoki kamiennej, uprawia ludożerstwo i polowania na ludzkie głowy.

W holenderskiej części Nowej Gwinei do roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego trzeciego prawie wcale nie prowadzono badań wnętrza wyspy. Nieliczne wyprawy docierały jedynie do części wybrzeża. Angielski przyrodnik i podróżnik Alfred Russel Wallace przebywał w połowie dziewiętnastego wieku w Dorei na północnym zachodzie. Jego cenne badania etnograficzne, językowe i w dziedzinie geografii zwierząt objęły wyspy Indonezji od Półwyspu Malajskiego aż do Nowej Gwinei.

— Proszę pana, czy to właśnie ten uczyony stworzył podział całego świata na krainy zoograficzne? — zapytał Tomek.

— Nie mylisz się, mój drogi, jemu to zawdzięczamy — potwierdził Bentley. — Po nim dopiero w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym pierwszym rozpoczął trzykrotne badania Nowej Gwinei rosyjski podróżnik Mikołaj Mikłucho–Makłaj<sup>556</sup>. Badał on północno–wschodni brzeg, zwany odtąd Wybrzeżem Makłaja, oraz wybrzeże zachodnie.

— Czytałam kilka artykułów tego podróżnika w czasopismach rosyjskich — zauważyła Natasza. — Wydaje mi się, że musiał być niezwykłym człowiekiem. Przez pewien czas żył wśród Papuasów, uczył ich używania noża i siekiery oraz próbował organizować wspólnotę plemienną. Nazywali go Tamo Ruś. Nigdy bym się nie odważyła sama przebywać wśród ludożerców.

— Ja także czytałem niektóre jego prace drukowane w prasie niemieckiej — wtrącił Wilmowski. — Teraz prosimy pana Bentleya o dalszą relację.

— Mniej więcej w tym samym czasie Włoch Albertis badał pasmo gór Arfak, a Mayer przeszedł od Cieśniny McClure’a do zatoki Geelvink — kontynuował Bentley zerkając w notatki. — Drugi okres badań rozpoczął się dopiero po roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim. Vraza poszerzył region uprzednio zbadany przez Albertisa i następnie w tysiąc dziewięćset

---

<sup>556</sup> — Mikołaj Mikłucho–Makłaj (Maclay) urodził się w guberni Nowogród w 1846 r., umarł w Petersburgu w 1888. Zwiedził całą Europę, Maderę, Wyspy Kanaryjskie, Maroko, a potem przez Amerykę Południową, Thaiti i wyspy Samoa udał się do Nowej Gwinei. Badał tam jej północne i południowo–zachodnie wybrzeża (na południe od zatoki Gecevink). W 1874 i 1875 badał Indochiny i Indonezję. Po odwiedzeniu wysp Palau oraz Admiralicji powrócił na 17 miesięcy na Nową Gwineę. Głównie badał plemiona papuaskie, z którymi udało mu się zaprzyjaźnić. Po raz trzeci przebywał w Nowej Gwinei w 1879. Cześć jego prac publikowano w pismach rosyjskich i niemieckich, a dopiero w latach 1950–1953 wydano w Moskwie jego dzieła w 4 tomach.



trzecim poszedł w głąb kraju na wschód od Geelvink. W południowej części holenderskiej Nowej Gwinei badał w roku tysiąc dziewięćset czwartym rzekę Digul. Dopiero rok temu dokonano pomiarów na rzekach południowego wybrzeża. Według najświeższych informacji gubernatora w Port Moresby, rozpoczęto badania rzeki Mamberamo.<sup>557</sup>

— A jak przedstawia się sprawa w niemieckiej kolonii? — zapytał Smuga.

— Po zainteresowaniu się przez Niemców Nową Gwineą, Finsch objął pomiarami około tysiąca mil linii brzegowej — wyjaśnił zoolog. — Odkrył Rzekę Cesarzowej Augusty, którą krajowcy nazywają Sepik. W dwa lata później Dallmann przewędrował około czterdziestu mil wzdłuż jej koryta, zaś admirał von Schleinitz i Schrader zbadali ją na odcinku trzystu dwudziestu sześciu mil od ujścia.

Inni podróżnicy badali wybrzeże między zatoką Astrolabe, rzeką Sepik i zatoką Huon. W tysiąc osiemset osiemdziesiątym siódmym Schrader i Schleinitz ponownie badali Sepik prawie do granicy terytorium holenderskiego. Dziesięć lat później Lauterbach wyruszył z zatoki Astrolabe w Góry Bismarcka i odkrył rzekę Ramu. Ostatnio Dammkohler i Frohlich badali okolice rzek Markham i Sepik. Jak więc widzicie, badania nie postępują zbyt szybko we wszystkich trzech częściach wyspy.

— Ma pan rację! Dotychczasowe wyprawy dostarczyły niewiele nowych informacji o wnętrzu kraju — powiedział Smuga. — Będziemy szli w nieznanie.

— Niemiaszki tak jak i inni prowadzą w koloniach próżniaczy żywot — wtrącił Nowicki. — Z doświadczenia jednak wiemy, że lepiej dla krajowców, gdy koloniści zbyt nie wpychają swego nosa w ich sprawy.

— Słusznie, kapitanie, nie jestem nawet pewny, czy rozsądnie dla nas byłoby dołączać się do jakiejś rządowej ekspedycji. Nam przecież nie chodzi

---

<sup>557</sup> — W 1910 r. Holendrzy okrążyli centrum wyspy od strony wybrzeży. Wyprawa Goodfellowa, a później pod kierownictwem Rawlinga doszła do Gór Śnieżnych od strony południowego wybrzeża. W 1913 A.R.F. Wollaston wspiał się na górę Carstensch, a Weyermann zbadał dopływ rzeki Digul i określił wysokość Góry Juliany. Klooster zbadał kraj na południe i południowy wschód od zatoki Geelvink. W 1914 Oppermann badał rzekę Mamberamo, natomiast porucznik Stroeve jej zachodni dopływ — Rouffaer. I wojna światowa przerwała badania, które podjęto znów po 1918 r,

o podbój kraju. Tym samym łatwiej możemy nawiązać kontakt z krajowcami.<sup>558</sup>

— No, wydaje mi się, że czas już przystąpić do podpisania umów — odezwał się dyrektor Hart. — Proponuje wspólnie udać się do notariusza. Poleciałem sporządzić odpowiednie dokumenty.

— Natychmiast po podpisaniu umów każdy uczestnik otrzyma czek na umówioną zaliczkę — dodał Bentley. — Pieniądze będą potrzebne na zakupienie ekwipunku osobistego. Kapitanie, kiedy pański jacht może wyruszyć w drogę?

— Hm, za dziesięć dni będę gotowy — odparł kapitan po krótkim namyśle.

— A więc za dziesięć dni podnosimy kotwicę — postanowił Bentley. — Teraz bierzemy się do pracy!

Jeszcze tego popołudnia Smuga dokonał rozdziału funkcji między poszczególnych uczestników wyprawy. Przedstawiał się on następująco:

Smuga Jan — kierownik wyprawy;

Nowicki Tadeusz — strzelec–tropiciel i zbrojna straż;

Wilmowski Tomasz — strzelec–tropiciel i zbrojna straż;

Wilmowski Andrzej — prace badawcze;

Bentley Karol — prace badawcze;

Allan Sally — preparatorka i nadzór nad kuchnią;

Natasza Władimirowna Bestużewa — sanitariuszka i nadzór nad kuchnią;

Karski Zbigniew — intendent;

Baltimore James — preparator i prace obozowe;

Stanford Jack — preparator i prace obozowe;

Wallace Henryk — preparator i prace obozowe.

---

<sup>558</sup> — W czasie, gdy bohaterzy tej powieści przygotowywali się do wyprawy, w niemieckiej części Nowej Gwinei Neuhauss badał rzekę Markham. W 1910 r. Holendersko–Niemiecka Komisja Graniczna dotarła w górę rzeki Sepik na odległość 60 mil od granicy brytyjskiej. W 1914 Tburnwald penetrował okolice Sepiku, podczas gdy misjonarz Pilhofer przewędrował znaną rzekę Waria blisko granicy brytyjskiej do rzeki Markham. Wybuch I wojny światowej spowodował zajęcie przez Australię niemieckiej Nowej Gwinei. Wtedy von Detzner, pragnąc uniknąć uwięzienia, zaszłył się w głąbi dżungli, usiłując dotrzeć do granicy holenderskiej i wsiąść na jakiś niemiecki okręt. Aczkolwiek zamiar mu się nie udał, przeszedł przez tereny nie zbadane dotąd przez białych. Swe cenne spostrzeżenia, aczkolwiek często oparte tylko na relacjach krajowców, opublikował w kilka lat po wojnie. W byłej niemieckiej kolonii Brytyjczycy zastali zaledwie parę plantacji na wybrzeżu i kilka misji w pobliżu dżungli. Naukowe ekspedycje badawcze nie były wysyłane przez Niemców w głąb kraju.

Ponadto podczas żeglugi morskiej wszyscy wchodzili w skład załogi i podlegali kapitanowi Nowickiemu. Stała czteroosobowa załoga „*Sity*” nie miała brać udziału w ekspedycji na lądzie. Zadaniem jej było czuwanie nad bezpieczeństwem jachtu.

Oczywiście wierny Dingo, którego Tomek otrzymał w podarunku od Sally podczas pierwszej bytności w Australii, miał również ważne zadanie do wypełnienia podczas wyprawy. Był on doskonale wytresowany w tropieniu wszelkiej zwierzyny oraz w pełnieniu służby wartowniczej w obozie i podczas marszu.

Przez cały następny tydzień pracowano od świtu do późnej nocy. Kapitan Nowicki niemal nie schodził z jachtu. Z Dingiem u nogi zaglądał do wszystkich zakamarków, nadzorował robotników zatrudnionych przy wewnętrznej przebudowie jachtu. Inni uczestnicy wyprawy zwozili najrozmaitsze towary zakupione przez Bentleya, które magazynowali w specjalnych pomieszczeniach w parku Taronga, segregowali je, spisywali i pakowali do skrzyń z cienkiej blachy, a w końcu starannie zalutowywali. Natasza nie brała udziału w tych pracach, gdyż w tym czasie odbywała praktyczne przeszkolenie w sydneyjskim szpitalu.

Tomek wprost dwoił się i troił, szkoląc Zbyszka w jego odpowiedzialnej funkcji. Przecież najmniejsze niedopatrzenie mogło potem grozić utratą cennego sprzętu czy zapasów żywności, nie do zdobycia w dzikiej dżungli. Stopniowo dziesiątki skrzyń przewieziono na statek. Dopiero ósmego dnia Tomek poprosił „*sztab*” wyprawy o ostateczne sprawdzenie książki intendenta. Wszystkie blaszane skrzynie i wory brezentowe oznaczone były numerami, które figurowały w książce magazynowej wraz z podaniem zawartości, wagi czy ilości różnych towarów. Smuga wolno odczytywał na głos pozycję po pozycji.

Najpierw zaewidencjonowane były przedmioty gospodarcze, a więc:

2 namioty czteroosobowe, 2 dwuosobowe i 2 duże z siatki antymoskitowej do prac naukowych i preparatorskich, 10 moskitier, 4 rozkładane łóżka z bambusa z daszkiem i moskitierami, 10 hamaków, 15 ciepłych, lekkich koców, blaszane miseczki do jedzenia, łyżki, widelce, kubki, garnki, kuchenka spirytusowa, lampa naftowa, składana brezentowa wanienka do mycia, mydło i różne przybory toaletowe, bańka nafty, 3 bańki spirytusu oraz komplet podstawowych narzędzi i apteczka.

W następnej kolejności znajdowały się zapasy żywności: konserwy mięsne i rybne, mąka, kasze, ryż, groch, fasola, sól, cukier, herbata, kawa, miód, suchary i tytoń.

Polem figurowały przedmioty konieczne do prac naukowych: przyrządy pomiarowe, kompasy, mikroskop, aparat fotograficzny wraz z wyposażeniem, przybory oraz chemikalia potrzebne do preparowania okazów fauny i flory, siatki do chwytania owadów, pułapki, słoje, blaszane puszki i skrzynki.

Osobisty ekwipunek każdego członka wyprawy składał się z podwójnych kompletów dwóch rodzajów ubrań: do marszu przez dżunglę — miękki płócienny kapelusz, cienka koszula z długimi rękawami, długie płócienne spodnie, których dolną część nogawki chowało się w pół-wysokie sukienne kamasze; do marszu przez lekki teren — szorty, kurtki z krótkimi rękawami, pończochy i pół-wysokie sukienne kamasze.

Ponadto każdy zabierał 4 komplety bielizny, skarpety, brezentową kurtkę z kapturem, buty podbite gwoździami do marszu w górach, a kobiety dodatkowo spódnice i sztylpy.

Przedostatni dział obejmował środki płatnicze dla krajowców: siekiery, różne noże, łuki, strzały, koraliki, lusterka, organki, barwne bawełniane materiały, tytoń w czarnych laseczkach, skrzynie dużych i małych muszel, sól i jako prowiant dla tragarzy — konserwy oraz ryż.

Na samym końcu figurował arsenał wyprawy: sztucery, karabiny, broń krótka, fuzje, karabinki małokalibrowe do polowania na mniejsze ptaki, amunicja i rakiety.

Oddzielne zapasy żywności znajdowały się na jachcie na czas podróży morzem. Przegląd ekwipunku trwał niemal do wieczora; uznano, że przygotowania do wyprawy zostały ostatecznie zakończone. Według oświadczenia kapitana Nowickiego „*Sita*” miała być gotowa do wyjścia w morze dopiero za trzy dni. Wobec tego gościnnie dyrektor Hart zaproponował podróżnikom zwiedzenie miasta oraz jednodniową wycieczkę na morską plażę w Narrabeen.

Tomek z entuzjazmem podchwycił ten projekt. W czasie pierwszej bytności w Australii poznał Melbourne, rodzinne miasto Bentleya, teraz wiec miał możliwość porównać je z Sydney.

Następnego ranka dwoma powozami wyruszyli do miasta. Dyrektor Hart okazał się doskonałym przewodnikiem. Najpierw, więc przemknęli przez

tonące w zieleni ogrodów podmiejskie, południowe dzielnice willowe, poprzecinane zatoczkami i lagunami, po których pływały setki żaglówek.

Potem zwiedzili ogród botaniczny i zoologiczny, muzea, kościoły, robili drobne zakupy w handlowym śródmieściu, a w końcu przybyli do nabrzeża portowego.

Przez cały czas Tomek dzielił się spostrzeżeniami ze swymi młodymi przyjaciółmi, z którymi jechał w jednym powozie. Przede wszystkim wyjaśnił im, że Sydney jest czwartym, a Melbourne piątym miastem pod względem wielkości na półkuli południowej. Tylko południowoamerykańskie miasta: Buenos Aires, Sao Paulo i Rio de Janeiro były od nich większe. W tych dwóch miastach koncentrował się handel, przemysł, instytucje kulturalne i naukowe Australii. Z nich wywożono w świat główne australijskie produkty: wełnę, mięso, skóry i pszenicę.

Całe Sydney miało charakter wybitnie portowy. Południową i północną część miasta rozdzielała zatoka Port Jackson, która wrzynała się w ląd dziesięciokilometrowym lejem, aż do ujścia rzeki Parramatta. Nieregularne linie wybrzeży tworzyły dziesiątki zatok i cichych przystani.

Przystanęli nad brzegiem, aby przyjrzeć się panoramie północnej części miasta, położonej po drugiej stronie zatoki Port Jackson. Usiedli na ławkach rozległego zieleńca wysadzanego krzewami i palmami.

— No cóż, Tomku, jak się panu podoba nasze Sydney? — zapytał Hart.

— Nie chciałbym urazić pana Bentleya, lecz wydaje mi się ładniejsze od Melbourne. Jest mniej symetrycznie zabudowane i dzięki temu nie tak monotonne — odpowiedział Tomek.

— Skoro tak, to może zechciałby pan tutaj zamieszkać? — zapytał Hart. — Mógłbym panu zaproponować odpowiednie stanowisko w zarządzie Parku Taronga.

— Nic z tego! Próbowałem kiedyś zatrzymać Tomka w Melbourne — wtrącił Bentley. — W odpowiedzi zaprosił mnie do Warszawy, po odzyskaniu niepodległości przez Polskę.

— Cóż, zdanie można zmienić z biegiem czasu — wesoło powiedział Hart. — Nieraz stosunki rodzinne zmuszają do tego...

Tomek zarumienił się, a Hart dodał:

— Niech się pan nie spieszy z odpowiedzią. Ponowię propozycję po zakończeniu waszej wyprawy do Nowej Gwinei.

— Dziękuję panu, zastanowię się nad tym — odparł młodzieniec.

— Jak amen w pacierzu, Tomek gotów osiąść na mieliźnie — tubalnie szepnął kapitan Nowicki do Smugi.

— Mnie także podoba się Sydney — rezolutnie zauważyła Sally. — Powinniśmy obrać je za stolicę Związku Australijskiego.

— Oho, przemówiła przez panią mieszkanka Nowej Południowej Walii — zaproponował Bentley, od powstania bowiem Związku Australijskiego w roku 1900 Melbourne i Sydney współzawodniczyły o miano stolicy.<sup>559</sup>

— Przekonacie się państwo, że w przyszłości Sydney będzie jeszcze piękniejsze — zapewnił Hart. — Słyszałem o projekcie, który doda miastu uroku. Mianowicie rozważa się możliwość zbudowania olbrzymiego mostu, który by połączył południowe i północne Sydney.<sup>560</sup>

— Każda pliszka swój ogonek chwali — tubalnie mruknął Nowicki. — Ale mimo wszystko nie ma to jak nasza stara Warszawa!

W wesołym nastroju podróżnicy powrócili na „*Sitę*”. Tutaj ostatnie przygotowania do opuszczenia portu również dobiegały końca. Cały jacht lśnił jak lustro, wszędzie unosił się zapach świeżego lakieru.

Pani Allan była bardzo podniecona. Ani na krok nie odstępowała swej jedynaczki, polecała ją opiece przyjaciół. Był to przecież jej przedostatni dzień spędzony razem z córką przed wyruszeniem na wyprawę.

Rozmowy na jachcie przeciągały się do późnej nocy, lecz mimo to podróżnicy już o świcie zerwali się z posłań. Razem z Dingiem podążyli do przystani, skąd promem przepłynęli zatokę do północnego Sydney. Stamtąd wraz z Hartem pojechali powozami na uroczą morską plażę w Narrabeen. Wszyscy korzystali z orzeźwiającej kąpieli, gdyż gładkie, piaszczyste wybrzeże okalała połączona z morzem laguna, zabezpieczająca wycieczkowiczów przed ewentualną napaścią rekinów. Szczególnie Dingo,

---

<sup>559</sup> — W 1908 r. powzięto decyzję o zbudowaniu nowej stolicy Związku Australijskiego w Nowej Południowej Walii na południowy zachód od Sydney, nad rzeką Murrumbidgee. Budowę Canberry rozpoczęto w 1913 r., a pierwsze posiedzenie australijskiego parlamentu odbyło się w 1927 r. już w nowej stolicy. W ten sposób rozstrzygnięto długotrwały spór dwóch miast.

<sup>560</sup> — Hart nie mylił się; wspinały, wiszący na stalowym łuku most został zbudowany i oddany do użytku 19 III 1932 r. Jest prawdziwie monumentalnym dziełem, posiadającym niewiele równych sobie na świecie. Mostem przebiegają dwa tory kolejowe, tory tramwajowe, pięciopasmowa autostrada i chodniki dla pieszych.

znudzony długim pobytem na jachcie, wprost szalał z radości. Piękny, słoneczny dzień minął beztróska i wesoło.

Wieczorem wszystkie iluminatory „*Sity*” jarzyły się jasnym światłem. To kapitan Nowicki wydawał dla całej załogi i gościnnego Harta pożegnalną kolację. Już następnego dnia o świcie jacht miał wyjść w morze.





## O WŁOS OD ŚMIERCI

Jacht pod pełnymi żaglami spokojnie płynął po niemal gładkim oceanie. Sterowany wprawną dłonią zawodowego marynarza — Indusa Ramasana, nie mógł zboczyć z kursu, wiodącego wprost na północ wzdłuż wschodnich wybrzeży Australii. Toteż Nowicki jedynie z przyzwyczajenia wchodził od czasu do czasu na mostek kapitański, by zerknąć na widoczne na zachodzie pasmo lądu, i zaraz z powrotem zniknął w kabinie nawigacyjnej. Obecnie stał pochylony nad blatem stołu nawigacyjnego; uważnie przeglądał dziennik pokładowy, do którego każdy oficer wachtowy obowiązany był wpisywać wszystkie ważne szczegóły przebiegu żeglugi. Uśmiechał się wyrozumiale, napotykać czasem w zapiskach własne poprawki w niewłaściwie zastosowanych żeglarskich umownych skrótach, oficerami na „Sicie”, bowiem byli jego uczniowie: Wilmowski, Smuga i Tomek. Umieili już niemało. Podczas rejsu z Indii na Daleki Wschód, a potem w czasie morskiej podróży do Australii pomagali w różnych pracach na jachcie. Jak do tej pory młody Tomek poczynił największe postępy w nauce trudnej i odpowiedzialnej pracy marynarza. Nawet kapitan Nowicki nie mógł nic zarzucić jego meldunkowi z poprzedniego dnia. Zapis ów w dzienniku pokładowym brzmiał:

*Brisbane*<sup>561</sup>, dnia 21 stycznia 1909 roku, czwartek.

*O godzinie 9<sup>15</sup> rano „Sita” została przycumowana do nabrzeża w porcie Brisbane, dokąd prowadził pierwszy etap żeglugi z Sydney. Wynosił on 460 mil morskich, przebytych w 5 dni, przy przeciętnej szybkości tylko 3 do 4 węzłów<sup>562</sup> z powodu przeciwnego wschodnio-australijskiego prądu morskiego, który płynąc z północnego wschodu przez cały czas dryfował<sup>563</sup> statek z kursu.*

---

<sup>561</sup> — Brisbane — port założony w 1824 r. jako kolonia karna. Od czasu powstania stanu Queensland w 1859 r. — stolica stanu.

<sup>562</sup> — Węzeł—jednostka prędkości statku równa 1 mili morskiej na godzinę. Mila morska jest miarą długości na szlakach morskich i odpowiada długości 1 minuty południka ziemskiego. W Anglii, USA i Japonii 1 mila równa się 1853 m, natomiast w Niemczech, ZSRR i we Francji — 1852 m.

<sup>563</sup> — Dryfowanie — znoszenie statku spowodowane wiatrem, falą lub prądem.

*Postój „Sity” w celu uzupełnienia zapasów trwał 7 godzin. Wpompowano 3000 litrów świeżej wody do głównego zbiornika oraz zakupiono: skrzynkę pomidorów, 10 główek kapusty, 50 kilogramów kartofli, 20 kilogramów batatów, skrzynkę jabłek i 20 kilogramów wołowego mięsa. O godzinie 4<sup>15</sup> po południu wyszliśmy z portu.*

*Oficer wachtowy — Tomasz Wilmowski.*

Jak wynikało z dalszych notatek, „Sita” około dwunastu godzin temu minęła Przylądek Piaszczysty, położony sto siedemdziesiąt mil na północ od Brisbane. Kapitan Nowicki dokonał aktualnych obliczeń i oznaczył położenie jachtu na mapie nawigacyjnej. Przebyli już trzy czwarte etapu długości 325 mil z Brisbane do Rockhampton nad rzeką Fitzroy. Tam miał być ich ostatni już przystanek na lądzie australijskim. Według rachuby Nowickiego powinni zawinąć do Rockhampton następnego dnia wczesnym rankiem.

Bezchmurny świt wywabił na pokład prawie całą załogę, wszyscy pragnęli ujrzeć w pełnym blasku dnia południowe krańce Wielkiej Rafy Koralowej, która od chwili, gdy James Cook<sup>564</sup> w roku 1770, jako pierwszy Europejczyk, wpłynął na jej wewnętrzne wody, uznawana jest za jeden z cudów świata. „Sita” właśnie zbliżała się do naturalnego, szerokiego jakby kanału, którego lewy brzeg stanowił ląd australijski, prawy natomiast tworzyła znaczna grupa wysp rozsianych po Morzu Koralowym.

Sally Allan dopiero teraz po raz pierwszy w życiu miała ujrzeć ową osławioną i budzącą trwogę w żeglarzach Wielką Rafę Koralową, zwaną w języku angielskim Wielką Rafą Barrierową. Toteż niezmiernie zaciekawiona podbiegła do Tomka opartego o prawą burtę.

— Tommy, jak się nazywają te malownicze wysepki? — zapytała, przytrzymując za ucho Dinga łaszącego się u jej nóg. — Czy jeszcze daleko do Rafy?

— To tak zwana Grupa Koziorożca, ślicznotko — wesoło odparł Tomek, naśladując głos kapitana Nowickiego. — Pytasz, jak daleko do Rafy?

---

<sup>564</sup> — Angielski żeglarz urodzony w 1728 r. w Marlon w Yorkshire, jedna z najwybitniejszych postaci w historii odkryć geograficznych. Badał krainy podbiegunowe północne i południowe oraz Ocean Spokojny, wytyczył nowe drogi w dziedzinie nautyki i zarazem torował drogę angielskiemu handlowi. Gruntownie opracowane przez Cooka mapy wielu części oceanów czynią go jednym z pionierów angielskiej kartografii morskiej. W 1779 r. został zabity na Hawajach przez krajowców, z którymi wywiązała się potyczka z powodu naruszenia przez załogę statku prawa tabu.

Oto ona, przypatrz się jej dobrze, tylko nie wychylaj się za bardzo, bo wypadniesz za burtę.

— Nic by mi się nie stało — odparowała Sally, wzruszając ramionami. — Umieć pływać, a poza tym taki sławny podróżnik jak ty na pewno by mnie wyratował!

— Jeśli pozostałoby jeszcze coś do ratowania... Tutaj często wtoczą się rekiny! Byłabyś dla nich łakomym kąskiem!

— Naprawdę myślisz, że jestem łakomym kąskiem? — zalotnie zapytała Sally, bacznie spoglądając na Tomka.

— Hm, skoro tak powiedziałem... — mruknął zmieszany i odwrócił głowę.

— Wspaniały jesteś, Tommy! Przy tobie i przy Dingu nie boję się niczego! Mimo to nie żartuj sobie ze mnie. To ma być ta Rafa?! Chociaż nigdy dotąd nie byłam w tych okolicach, potrafię chyba odróżnić piękne wysepki od niebezpiecznej zapory, jaką niezawodnie tworzy Wielka Rafa Barrierowa!

— Wcale nie żartuję — zaprzeczył Tomek. — Właśnie Grupa Koziorożca jest najdalej wysuniętym na południe krańcem Wielkiej Rafy Koralowej, która wbrew dość powszechnemu mniemaniu nie stanowi jednolitej całości. Znaczna jej część składa się z wielu mniejszych raf barierowych oraz różnych grup wysp i wysepek, a dopiero dalej na północy, na przestrzeni około sześciuset mil, rafa zmienia się w jednolity mur. Zresztą sama to wkrótce będziesz mogła stwierdzić.

— Naprawdę myślałam, że tylko żartujesz sobie ze mnie! — odpowiedziała niedowierzająco.

— Zapytaj kogoś innego, jeśli jeszcze masz wątpliwości. Niemal wszyscy oglądaliśmy tę rafę płynąc z Syberii do Australii. Ojciec wiele opowiadał nam o niej.

— Wobec tego określenie „bariera” wprowadziło mnie w błąd!

— Słuchaj Sally, nazwa Wielka Rafa Barrierowa po prostu określa jej rodzaj. Chyba pamiętasz z geografii, że rozróżniamy trzy rodzaje raf, a więc: brzeżne, to znaczy ściśle przylegające do lądu, barierowe, czyli ciągnące się w pewnej odległości od niego, oraz atole oddzielone od brzegu lagunami bądź też tworzące swoiste wyspy w kształcie pierścienia z lagunami wewnątrz. Wielka Rafa Koralowa jest właśnie rafą barierową.

— Tak, tak, teraz przypomniałam to sobie! Poza tym rafy mogą być nadwodne i podwodne — zawołała Sally.

W tej chwili rozbrzmiał tubalny głos kapitana Nowickiego:

— Hej, gołąbeczki, skończcie gruchanie! Cała załoga na pokład! Zrzucić grotżagiel i bezanżagiel!<sup>565</sup>

Krótkie rozkazy posypały się z mostka kapitańskiego. Z wyjątkiem sternika i jeszcze jednego marynarza, który na dziobie jachtu dokonywał sondą pomiarów głębokości wody, wszyscy mężczyźni zostali zatrudnieni przy zwijaniu żagli. Obkładali je na bomach<sup>566</sup>, potem wyrównywali fałdy, a w końcu przywiązywali juzingami<sup>567</sup>.

„Sita” płynąc jedynie na fokżaglu wydatnie zmniejszyła szybkość. Smuga i Tomek na polecenie kapitana ulokowali się na dziobie jachtu, by wypatrywać podwodnych raf. Wkrótce przybili do nabrzeża w Rockhampton, małego portu dogodnego dla mniejszych statków. Kilkunastotysięczne miasteczko było punktem rozdzielczym dla farmersko–mleczarskiej okolicy, toteż kapitan Nowicki polecił zaopatrzyć spiżarnię „Sity” w nabiał, a szczególnie w sery, bez których nie uznawał śniadań. Postój w Rockhampton był bardzo krótki. Zaledwie dokonali niezbędnych zakupów i uzupełnili zapas świeżej wody, zaraz wypłynęli w morze, kierując się na wschód ku Grupie Koziorożca. Tam właśnie, u brzegu jednej z wysepek, zamierzali stanąć na kotwicy, by uniknąć niebezpiecznego w nocy kluczenia wśród raf koralowych.

Trasa żeglugi wytyczona przez kapitana Nowickiego została w pełni zaakceptowana przez jego przyjaciół, z których zdaniem zawsze bardzo się liczył. Po nocnym postoju w Grupie Koziorożca mieli pożegłować do wschodnich krańców grupy wysp zwanych Swain Reefs<sup>568</sup>. Stamtąd, już na otwartych wodach Morza Koralowego, trasa znów kierowała się na północ i wiodła w pewnej odległości od zewnętrznej strony Wielkiej Rafy Koralowej,

---

<sup>565</sup> — Grotżagiel — główny żagiel podnoszony ma gortmaszcie; bezanżagiel — żagiel umieszczony na bliższym rufy maszcie, niższym od masztu wysuniętego do przodu statku, fokżagiel — niezbyt duży, przedni żagiel.

<sup>566</sup> — Bom — dolne, poziome drzewce, jednym końcem umocowane przegubowo do masztu, do bomu przymocowana jest dolna część żagla,

<sup>567</sup> — Juzing — cienka linka

<sup>568</sup> — Swain Reefs — Wyspy Zakochanego Chłopaka

tworzącej jakby ochronną tarczę wschodniego wybrzeża Queenslandu od Zwrotnika Koziorożca aż do samej Nowej Gwinei.

Na pierwszym odcinku trasy kapitan Nowicki zachowywał szczególną ostrożność, ponieważ wiódł on po wewnętrznych wodach Wielkiej Rafy Koralowej. W tym miejscu najdalej wysunięta na południe zewnętrzna część Tafi znajdowała się w odległości prawie stu mil od brzegów Australii. Dopiero dalej na północy, na wysokości miasta Bowen, zaczynała coraz bardziej przysuwać się do lądu, osiągając w okolicy Przylądka Melville'a najmniejszą odległość, zaledwie siedmiu mil. W północnej części Rafy Koralowej zanikały, dość liczne na południu, przerwy w barierze, przez które można było przemknąć się do wybrzeża, a za Przylądkiem Melville'a stanowiła ona już prawie jednolity mur, ciągnący się wprost na północ. Kapitan Nowicki nie chciał ryzykować zbyt częstego żeglowania poprzez przesmyki w barierze rafowej i dlatego Rockhampton miało być ostatnim miejscem postoju „*Sity*” przed zawinięciem do Port Moresby.

Jacht z postawionym tylko fokżaglem wolno zbliżał się do Grupy Koziorożca. Prawie cała załoga znajdowała się na pokładzie. Dwuosobowa wachta na dziobie statku wypatrywała podwodnych raf, natychmiast informując o nich kapitana, natomiast inni podziwiali tak mało znaną krainę koralowców<sup>569</sup>.

Zdradliwy dla żeglugi kanał pomiędzy główną barierą rafową i stałym, górzystym w tym miejscu lądem przedstawiał niezapomnianą panoramę.

---

<sup>569</sup> — Koralowce (*Anthozoa*) — gromada zasadniczo osiadłych, wyłącznie morskich jamochłonów o budowie polipa, przeważnie tworzących nieodróżnicowane kolonie. Jama chłonna—trawiąca jest podzielona niecałkowitymi przegrodami, ułożonymi ośmio, lub sześciopromieniście. U większości silnie rozwinięty szkielet wapienny. Najbardziej znanym przedstawicielem tej gromady jest koral szlachetny (*Corallium Rubrum*) żyjący w Morzu Śródziemnym. Jego czerwony pień szkieletowy używany jest do wyrobu ozdób. Nie wszystkie koralowce wytwarzają szkielet. Na przykład największe z koralowców ukwiały (*Actiniae*), barwne i piękne zwierzęta, osiągające 1 m średnicy, przyrastają do skał podwodnych mocną stopą, mogącą im także służyć do posuwania się po podłożu. Takie rodzaje jak *Adamsia* lub *Sargatia* żyją w symbiozie z rakiem pustelnikiem. Spośród koralowców wytwarzających szkielet bardzo ważną grupę tworzą koralowce rafowe (*Madreporaria*). Różnica między nimi a ukwiałami polega głównie na wytwarzaniu szkieletu, który u koralowców potężnie się rozwija. Rafy powstają w wyniku rozmnażania się ich przez pączkowanie i podział podłużny. Koralowce żyją w ciepłych morzach tropikalnych, nie przekraczając 38° szerokości geograficznej, tak południowej jak i północnej, w miejscach, gdzie jest czysta, pozbawiona osadu woda, której temperatura nie spada poniżej 20,5° C, a zawartość soli wapniowych jest odpowiednio wielka do tworzenia szkieletów. Żyją na głębokości 20–30 m.

Wprost z morza wyrastały piętrzące się na wysokość kilkudziesięciu metrów wysepki okolone brzeżnymi rafami. Skaliste zbocza oraz ich wierzchołki porastała tropikalna dżungla rozkrzyczana głosem różnorodnego ptactwa. Pomiedzy uroczymi wysepkami w szmaragdowym morzu drzemały podłużne lub okrągławe, tajemnicze cienie, które z bliska przeistaczały się w złudne ławice szlachetnych, drogocennych kamieni, połyskujące szeroką gamą różnych odcieni błękitu, opalu i zieleni. Były to podwodne rafy koralowe. Niektóre z nich, widoczne podczas odpływu morza, przypominały kształtem pofałdowania kory mózgowej, natomiast inne, porowate, posiadały w ściankach otworki, prowadzące do rozgałęzionych, wąskich korytarzyków wysianych żywym ciałem polipów o najfantastyczniejszych jaskrawych barwach. Wśród wspaniałych raf koralowych uwijał się rój równie barwnych ryb, rozgwiazd, jeżowców, mięczaków i innych zwierząt mórz południowych. Cały ten przedziwny podwodny świat przypominał jakieś bajkowe lasy lub legendarne rajske ogrody.

Niezapomniane widoki wywoływały różne uczucia w załodze „*Sity*”. Młodzież zachwycała się tajemniczym pięknem, dwaj naukowcy — Wilmowski i Bentley — podziwiali bogactwo i różnorodność życia podwodnego świata, natomiast kapitan Nowicki zatapiał ponure spojrzenie w zdradliwych dla żeglugi głębinach morskich.

— Aż trudno uwierzyć, że małe polipy koralowe mogły zbudować tak olbrzymie skały — mówiła Sally, wciąż wychylając się za burtę.

— Moja panienko, wprawdzie korale są skromnymi zwierzątkami, lecz mimo to odegrały ogromną rolę w historii geologii — zauważył Bentley. — Ich pozostałości są znajdowane w postaci skamielin w skałach wszystkich okresów geologicznych. Korale budowały duże rafy już około czterystu milionów lat temu. Te starodawne rafy są obecnie znajdowane w wielu częściach wschodniej Australii i Tasmanii, co jednocześnie wskazuje, że dawniej w tych miejscach było morze.

— To naprawdę zadziwiające, szczególnie, gdy porównuje się rozmiary zwierzątek z ogromem oraz trwałością ich budowli — odezwała się Natasza.

— Dla ścisłości należy dodać, że do budowy raf koralowych również przyczyniają się mszywioly i glony wapienne — wyjaśnił Wilmowski.

— Skończcie już z tymi zachwykami, szanowni państwo! Czy zapomnieliście, ile to doskonałych statków poszło na dno przez te diabelskie

rafy? — oburzył się kapitan Nowicki. — Swoją niepotrzebną gadaniną możecie jeszcze sprowadzić na nas jakieś nieszczęście!

Głośna dotąd rozmowa zaraz przycichła, ponieważ ponura mina przesądnego kapitana nie wróżyła niczego dobrego. Aby przerwać złowróżbną, jego zdaniem, dyskusję, mógł przecież zaraz zarządzić choćby zbędne szorowanie pokładu. Tylko Dingo nie zwracał uwagi na zły nastrój kapitana. Oparłszy się przednimi łapami o balustradę, uważnie śledził ptaki fruujące nad malowniczymi wysepkami.

Tomek pogrążony we śnie odwrócił się na koi na drugi bok. Czujny Dingo zaraz powstał z dywanika. Ciche skomlenie nie obudziło śpiącego, więc wilgotnym ozorem dotknął lekko jego twarzy. Tomek tylko uśmiechnął się przez sen. Właśnie przyśniło mu się, że to Sally pocałowała go w policzek, dziękując za ofiarowane jej wspaniałe pióro rajskiego ptaka. Zniecierpliwiony Dingo energicznie polizał Tomka. Teraz młodzieniec przebudził się; otworzył oczy i ujrzał swego ulubieńca.

— Ach, to ty...! — mruknął nieco zawiedziony i natychmiast uzmysłowił sobie, że w kabinie jest już jasno.

„Cóż to znaczy? — pomyślał zdumiony. — *Mieliśmy o świcie podnieść kotwicę, a tymczasem na statku nie słychać żadnego ruchu!*”

Natychmiast spojrzął w iluminator. Widok jasnego błękitu nieba mocno go zaniepokoił. Dlaczego postój „*Sity*” został przedłużony? Kapitan Nowicki zawsze przestrzegał punktualności na swoim jachcie. Tomek zerknął na koję Jamesa Balmore’a, z którym wspólnie zajmował kabinę. Jego koja była równo zasłana, jakby w ogóle nie kładł się do snu. To właśnie przypomniało Tomkowi, że Balmore miał wyznaczoną wachtę od dwunastej w nocy do czwartej rano. Zapewne zasnął na służbie i nie obudził następnej zmiany.

— No, nie chciałbym znaleźć się w jego skórze — mruknął Tomek i zerwał się na nogi. Szybko nałożył spodnie, po czym poprzedzany przez Dinga, wybiegł na korytarz. Po chwili był na pokładzie. Coraz bardziej zaniepokojony rozglądał się dookoła. Naraz usłyszał ciche szczeknięcie Dinga. Pies stał przy lewej burcie obok porzuconego na pokładzie ubrania. Tomek podbiegł do niego i od razu rozpoznał zieloną kurtkę Balmore’a, zmarszczył brwi. Nie lubił tego opanowanego, trochę zarozumiałego Anglika.

Dingo, cicho skomląc, nagle wspiął się przednimi łapami na balustradę. „*Jamesowi na pewno zachciało się kąpieli...*” — pomyślał Tomek.

Nachmurzony spojrzął za burtę. O jakieś dwieście metrów od jachtu zieleniły się brzegi małej wysepki koralowej. Na płaskim, piaszczystym wybrzeżu gimnastykował się James Balmore.

Pod wpływem pierwszego impulsu Tomek ruszył ku palarni, zamienionej obecnie na kabinę kapitana. W niej to kwaterowali Nowicki i Smuga. Wystarczyło ich obudzić, aby odpowiednio natarli uszu Balmore'owi za samowolę. Zanim jednak doszedł do drzwi, zatrzymał się zawstydzony. Mimo niechęci do Balmore'a, nie mógł być w stosunku do niego niekoleżeński. Z powrotem podbiegi do burty. Zaczął dawać znaki w kierunku brzegu. Wkrótce Anglik zauważył sygnały. Machnął w odpowiedzi dłonią i podążył do wody. W tej chwili tuż za plecami Tomka rozległ się głos kapitana Nowickiego:

— Do stu tysięcy zgniłych wielorybów, dlaczego wachta nie zrobiła pobudki?! Pół godziny temu powinniśmy byli podnieść kotwicę! Wachtowy, do mnie!

Zanim Tomek zdążył cokolwiek odpowiedzieć, na pokładzie pojawił się Smuga.

— Gdzie Balmore? — zapytał. — On był wyznaczony na nocną wachtę.

— Wiem o tym! Zaraz pokażę mu, gdzie raki zimują — gniewnie odparł kapitan. — Hola, czyje to ubranie? Kogo Dingo wypatruje za burtą?!

— Niech pan się nie gniewa, kapitanie — pojednawczo rzekł Tomek. — James Balmore już płynie do jachtu... Gdyby pan nie obudził się tak wcześniej...

Dingo tymczasem wspinał się z uporem na burtę i cicho skomlał.

— Kąpieli mu się zachciało podczas wachty?! Jak amen w pacierzu, zamknę go w karcerze o chlebie i wodzie — zrzędził kapitan.

— Uciszcie się obydwaj i patrzcie! — naraz odezwał się Smuga zmienionym głosem.

Stał mocno przechylony przez burtę i poblądły wpatrywał się w spokojną toń morza. Obydwaj przyjaciele zaintrygowani natychmiast przysunęli się do niego. W milczeniu wyciągnął przed siebie dłoń. Spojrzeli we wskazanym kierunku i zamarli w bezruchu. W pewnej odległości od jachtu, tuż pod powierzchnią przejrzystego, szmaragdowego morza, wolno sunął długi, potężny, stalowoniebieski groźny cień o wrzecionowatym kształcie. Charakterystyczna głowa, spłaszczona i wyciągnięta ku przodowi jak długi dziób, dwie trójkątne płetwy piersiowe od razu pozwalały rozpoznać żarłacza



ludojada<sup>570</sup>. Kapitan Nowicki pierwszy pomyślał o pomocy dla nieszczęsnego Jamesa Balmore'a, beztriosko płynącego w pobliżu groźnego drapieźnika. Bez słowa pomknął do kabiny, skąd zaraz powrócił z karabinem gotowym do strzału. Smuga zaledwie ujrzał broń w jego dłoniach, poblądł jeszcze bardziej i cicho zawołał:

— Oszalałeś?! Opuść karabin, jeśli ci miłe życie tego chłopca! Nie powinien się zorientować, że grozi mu niebezpieczeństwo!

— Musimy ostrzec Jamesa, on dotąd nie zauważył rekina! — zaoponował wzburzony Tomek.

— Milczcie i zachowujcie się jak najbardziej naturalnie — sugestywnie odparł Smuga. — Uratować swe życie w tej sytuacji może tylko człowiek nieświadom grożącego mu niebezpieczeństwa. Jeśli ujrzy rekina, wpadnie w panikę i zacznie płynąć jak najszybciej. Wtedy będzie wykonywał gwałtowne ruchy, które, jak niejednokrotnie słyszałem, sprawiają na rekinie wrażenie, że napotkał łatwą zdobycz.

— Więc mamy patrzeć biernie?! — zapytał Tomek drżącym głosem.

— W tych warunkach kula nie ugodzi rekina śmiertelnie. Zraniony stanie się jeszcze straszniejszy. Jeśli nie jest głodny, nie zaatakuje. Tutaj jest dużo ryb...

— Gdyby Balmore miał nóż, mógłby się bronić — posępnie rzekł Nowicki.

— Żaden człowiek, moim zdaniem, nie potrafi się zbliżyć do rekina na tyle, by uchwycić lewą dłonią płetwę piersiową, a prawą rozplatać mu brzuch — odparł Smuga.

Zamilkli, a Balmore tymczasem, nieświadom śmiertelnego niebezpieczeństwa, spokojnie przybliżał się do statku. Jeszcze tylko około czterdziestu metrów dzieliło go od burty. Rekin wolno płynął trop w trop za

---

<sup>570</sup> — Rekin z gatunku *Carcharidae*. Rekiny te przebywają w ciepłych morzach i na szczęście nie są zbyt liczne. Osiągają długość do 10–12 m, są żyworodne, groźne z powodu drapieżnej żarłoczości. Rekiny to ryby chrząstkoszkieletowe (*Elasmobranchii*), do których zaliczamy: żarłaczę, płaszczyki i strasznicę. Jak wskazuje nazwa, ryby tej podgromady mają szkielet chrząstkowy, nie skostniały. Kształt ich zależny jest od trybu życia. Rząd I tej podgromady stanowią żarłaczę, szybko i wytrwale pływające ryby o mocnej budowie, kształtach wrzecionowatych. Wiele ich gatunków osiąga znaczną wielkość, do 12 i więcej metrów długości. Dotąd nie ustalono ostatecznie, ile istnieje gatunków rekinów. Według podręcznika Suworowa cała grupa spodoustna (rekiny i płaszczyki) obejmuje około 86 rodzajów i 150 gatunków, a według F.G. Wooda jest od 300 do 400 gatunków rekinów.

młodzieńcem. Zataczał szerokie półkola, systematycznie zmniejszając odległość między sobą a lekkomyślnym pływakiem.

— Patrzcie, patrzcie! Tam na lewo! Drugi rekin... — szepnął przerażony Tomek.

— Widzę... — cicho potaknął Smuga.

— Teraz im się nie wymknie... — mruknął kapitan.

Pot grubymi kroplami spływał po twarzach trzech przyjaciół bezradnie skupionych przy burcie statku. Rozpaczliwy wzrok wlepili w opalone ramiona pływaka. Dwie żarłoczne bestie morskie sunęły coraz bliżej niego.

Porażonemu grozą Tomkowi wydało się, że minęła cała wieczność, zanim James Balmore uchwycił dłonią szczebel drabinki linowej zwisającej z burty jachtu. Po chwili już piął się w górę. Dopiero teraz mógł spojrzeć wprost w twarze towarzyszy stojących na pokładzie. Zdumiał się niepomiernie ujrawszy ich niesamowity wygląd. Dingo obnażył kły i warcząc spoglądał w morze. Balmore odruchowo zerknął w dół. Tuż pod nim czerniły się dwa potężne cielska straszliwych ludojadów. Wywarły one na Jamesie piorunujące wrażenie. Niezwłocznie połapał się w sytuacji. Zbladł jak płótno, zachwiał się na drabince i nagle głowa opadła mu na piersi. Omdlewał... Na szczęście czujny Smuga w tej samej chwili chwycił go mocno za ramię. Tomek natychmiast pospieszył mu z pomocą. Wspólnymi siłami wciągnęli Balmore'a na pokład.

Kapitan Nowicki, jak większość ludzi morza, nienawidził rekinów. Toteż zaledwie ułożono Balmore'a na pokładzie, błyskawicznie uniósł karabin do ramienia. Strzał sucho rozbrzmiał w porannej ciszy. Jeden z wolno dotąd pływających rekinów gwałtownie zwinął się jak sprężyna, potężnie uderzając ogonem o bok statku. Nowicki strzelił jeszcze raz. Obydwa stalowoniebieskie potwory zniknęły w głębinie morza.

Huk strzału wywabił na pokład całą załogę. Oczywiście przede wszystkim zajęto się cuceniem Balmore'a, który nie zdradzał oznak życia. Dopiero, gdy Natasza podsunęła mu słoik z amoniakiem, odetchnął głęboko i otworzył oczy. Przerazenie malujące się w jego wzroku znacznie złagodziło gniew kapitana. Zapomniał, więc o karcerze i tylko rzekł ostro:

— Słuchaj, młody człowieku! Przez własną głupotę omal nie stałeś się zakąską diabelskich rekinów. Jeśli jeszcze raz na tym statku zrobisz coś bez mego polecenia, wysadzę cię na ląd i pożegnamy się z tobą.

— Nie było zakazu kąpieli, zapomniałem o rekinach — bąknął James.

— Tylko dzięki panu Smudze uniknąłeś śmierci — odezwał się Tomek.

— Chcieliśmy cię ostrzec, gdy płynąłeś. Wtedy zginąłbyś niezawodnie. Napędziłeś nam okropnego strachu!

— Wszystkie rekiny powinno się wytępić — powiedział Zbyszek, na którym straszliwa przygoda Balmore'a wywarła duże wrażenie.

— Zbyt pochopny wniosek — zauważył Bentley. — Karygodna jest tylko lekkomyślność pana Balmore'a. Wbrew ogólnemu mniemaniu nie wszystkie rekiny są groźne dla człowieka. Największe z nich, rekin wieloryb i długoszar, żywią się jedynie planktonem. Poza tym rekiny są również pod pewnym względem nawet pożyteczne; jako pożeracze padliny i wszelkich odpadków oczyszczają morze<sup>571</sup>.

— Słuszna uwaga, szczególnie należy się wystrzegać rekina tygrysa oraz małych szarych rekinów dodał Wilmowski. — Dzisiejszy wypadek pana Balmore'a udowodnił nam, że nawet rekin ludojad nie zawsze atakuje człowieka.

---

<sup>571</sup> — Mięso niektórych gatunków rekinów jest jadalne, a wysuszone płetwy stanowią przysmak kuchni chińskiej; z wątroby rekinów wielorybich otrzymuje się tran.



## PIRACI MÓRZ POŁUDNIOWYCH

James Balmore bardzo się przejął naganą kapitana. Wprawdzie nikt już później nie robił jakichkolwiek uwag na temat porannych wydarzeń, lecz mimo to, zawstydzony swą lekkomyślnością, unikał ogólnych rozmów. Gorliwie wypełniał wszelkie rozkazy, przodował w pracach pokładowych, a w wolnych chwilach znikał w jakimś zakamarku i stamtąd zasepionym wzrokiem wodził za Tomkiem. Oczywiście nie mógł mu niczego zarzucić. Przecież Tomek zachował się po koleżeńsku, czym nawet naraził się kapitanowi Nowickiemu. Ale bura, jaką oberwał Tomek, jeszcze bardziej podkreślała jego zalety, których Balmore od dawna mu zazdrościł. „*Tomek na pewno by nie zemdlał na widok rekinów ludojadów*” — z rozgoryczeniem rozmyślał. Tak bardzo zależało mu na opinii Sally! Czyż teraz nie mogła posądzić go o tchórzostwo? Nachmurzony, nawet nie zwracał uwagi na widoki roztaczające się z pokładu. Do uszu jego nie dolatywały zachwyty reszty załogi.

Pomiędzy zewnętrzną barierą rafy, do której podpływali, a strefą skalistych wysepek, często rysowało się w głębinie morza dno pokryte piaskiem, usiane żywymi, barwnymi koralami. Około południa na horyzoncie ukazała się grupa wysp Swain Reefs, rozrzuconych na przestrzeni około pięćdziesięciu mil. Stanowiły one pogmatwany labirynt koralu i wysepek, oddzielonych od siebie koralowymi kanałami. Warunki geograficzne wyciskały tam charakterystyczne piętno na krajobrazie. Od strony nawietrznej wybrzeża wysepek pokrywał czysty piasek, natomiast przeciwne ich krańce porastały mangrowe błota. Toteż w powietrzu unosił się odór błota i gnijącej roślinności. Fauna dostosowana była do bagnistego terenu. Ostrygi i inne skorupiaki oblepiały korzenie, wśród pełzających małży uwijał się rój różnych robaków, a w przybrzeżnych wodach pływały kraby i ryby.

Kapitan Nowicki nie ryzykował żeglowania po zdradliwym labiryncie przesmyków wśród wysepek. „*Sita*” płynęła szerokim łukiem z południa na północ ku otwartemu morzu, pozostawiając z lewej strony grupę Swain Reefs. W górze ponad statkiem kołowały tysiące różnych ptaków.

Młodzież nie opuszczała pokładu. Tomek uważnie spoglądał na płaskie, piaszczyste wybrzeża. Kilkakrotnie wypatrzył przez lunetę koleiny

wyżłobione w piasku. Ciągnęły się wprost z morza do wydm porośniętych krzewami. Była to pora składania jaj przez żółwie. Toteż zdaniem Tomka, owe koleiny na wybrzeżu były śladami pozostawionymi przez samice szylkreta olbrzymiego<sup>572</sup>, które co roku wychodzą na ląd, aby złożyć jaja. Ta odmiana żółwi należała do zwierząt typowo morskich i budową różniła się od lądowych. Przednie łapy szylkreta olbrzymiego stanowiły prawdziwe płetwy, natomiast tylne posiadały błoniaste palce. Nic więc dziwnego, iż żółwie te lepiej pływały niż chodziły, i jedynie samice w odpowiednim czasie opuszczały morze, by w piasku zakopać jaja.

Pod wieczór jacht opłynął południowe i wschodnie krańce Swain Reefs. Kapitan Nowicki wyznaczył kurs na północny zachód i odetchnął z uczuciem ulgi. Przed chwilą powrócił z rufy, gdzie odczytał licznik logu<sup>573</sup>. Szybkość „Sity” wynosiła osiem węzłów. Znajdowali się w strefie sprzyjającego im prądu morskiego, płynącego w kierunku północno-zachodnim. Przy korzystnych wiatrach powinni w przeciągu sześciu dni zarzucić kotwicę w Port Moresby. Za północnym krańcem rozległej grupy wysp Swain Reefs rozpoczynała się główna, zewnętrzna część Wielkiej Rify Koralowej, wzniesiona na krawędzi najdalej wysuniętego pod powierzchnią morza załomu lądu, który w tym miejscu stromo opadał dalej w głębinę.

W miarę jak „Sita” oddalała się na północ, coraz rzadziej napotymano przesmyki umożliwiające mniejszym statkom dostęp do stałego lądu. Teraz zewnętrzna ściana rafy często sprawiała wrażenie oddalonego od brzegu kamiennego wału, zbudowanego pomiędzy otwartym morzem i tropikalną laguną. Na wewnętrznych wodach tego naturalnego, zdradliwego kanału roiło się od niezliczonych, nadwodnych i podwodnych, skalistych wysepek oraz koralu, dających schronienie różnorodnej faunie. Natomiast na zewnątrz bariera, w większości zanurzona w morzu i widoczna jedynie podczas większych odpływów, była prawie całkowicie pozbawiona życia. Wyłaniała się z fal, niekiedy na przestrzeni wielu mil, niczym gładki, twardy, błyszczący mur. Potężne fale morskie przelewały się przez nią podczas przyptyków,

---

<sup>572</sup> — *Chelodonia Midas*.

<sup>573</sup> — Log mechaniczny — przyrząd nawigacyjny służący do mierzenia przebytej przez statek drogi. Składa się ze śruby, długiej logliny, koła zamachowego regulującego stałość obrotów i z licznika przebytej drogi. Holowana na loglinie za rufą statku śruba obraca się pod wpływem przepływającej wody. Obroty śruby przekazywane są przez loglinę do licznika, który je sumuje i pokazuje na tarczy przebytą drogę w milach morskich.

wzmagały swą siłę w czasie tropikalnych burz, uderzały jak taran, lecz gładko wypolerowana powierzchnia bariery bardzo powoli ulegała działaniu erozji. Trwała tam nieustanna walka pomiędzy wciąż rozrastającą się rafą a niszczycielskimi siłami przyrody.

Tomek oraz jego przyjaciele cały czas wolny spędzali na pokładzie. Wielka Rafa Koralowa, jako jedyny tego rodzaju twór na Ziemi, przyciągała ich jak magnes. Bentley nie skąpił im wyjaśnień. Według niego, niszczycielskie fale morza były mniej zgubne dla istnienia rafy niż ulewne deszcze, towarzyszące zazwyczaj cyklonom. Wtedy, bowiem całe potoki słodkiej wody, zabójczej dla koralu, wpływały z rzek do kanału między główną barierą i brzegiem. Twierdził także, iż najmniej dostępna właściwa zewnętrzna bariera jest zarazem najciekawsza. Wprawdzie powierzchnia jej była prawie całkowicie wymarła, ale ostro ściętą część od strony otwartego morza, o kilka metrów poniżej poziomu wody, zamieszkiwały całe zastępy morskich stworzeń. Mało jednak wiadano o ich życiu, gdyż dostęp do rafy od strony otwartego morza napotykał ogromne trudności, nawet podczas najspokojniejszej pogody.

„Sita” bez przeszkód wciąż płynęła na północ. Dawno już minęła przesmyk w rafie zwany Whitsunday Passage, który umożliwiał dostęp do miasta Bowen; dalej na północy przepłynęła obok Przepustu Trójcy<sup>574</sup> i w pobliżu małej grupy wysepek Osprey Reef nareszcie zaczęła się oddalać od zdradliwej rafy.

Odtąd Tomek większość czasu spędzał w kabinie nawigacyjnej. Ulubionym jego zajęciem było wpisywanie do dziennika pokładowego wszelkich wydarzeń, jakie zaszły podczas żeglugi. Oprócz czynności nawigacyjnych i pokładowych, w dzienniku notowano mijane statki, wyspy, przylądki, latarnie morskie, rozpoznane punkty wybrzeża, a Tomek, jako doskonały geograf, zawsze dodawał do nich własne, bardzo interesujące informacje. Kapitan Nowicki ze szczególnym upodobaniem odczytywał pouczające uwagi młodego przyjaciela, a ponieważ sam „nie przepadał za pisanem”, polecił Tomkowi prowadzić dziennik nawet podczas swojej wachty. Tomek nie narzekał na dodatkową pracę; monotonną nieraz wachtę urozmaicał sobie oznaczaniem położenia statku na mapie szlaków morskich,

---

<sup>574</sup> — Trinily Opening.

która była jak gdyby negatywem zwykłej mapy, z morzami pełnymi znaków oraz napisów i pustymi, białymi lądami.

Tomek właśnie kończył wachtę. Określił już pozycję statku na mapie, wpisał ją do dziennika. W ciągu ostatniej godziny szybkość jachtu znacznie się zmniejszyła. Mimo to Tomek w doskonałym nastroju wyszedł na mostek kapitański. Zaledwie półtora dnia żeglugi dzieliło ich jeszcze od Port Moresby, skąd lądem wyruszyć mieli w głąb tajemniczej wyspy.

Przystanął przy burcie. „*Sita*” wolno płynęła po otwartym morzu. Duże żagle prawie nieruchomo zwisały na masztach. Nie było w tym nic niepokojącego. W strefie równika znajdował się pas ciszy, w którym prądy powietrzne były ledwo wyczuwalne. Było coraz bardziej gorąco. „*Przydałoby się trochę deszczu dla ochłody*” — pomyślał Tomek. Z zadowoleniem stwierdził, że niebo od północno-wschodniej strony jakby trochę pociemniało. W strefie tej deszcze padały niemal codziennie w godzinach popołudniowych lub wieczornych. W tej chwili na pokładzie pojawił się Zbyszek Karski. Po trapie wszedł na mostek kapitański. Przystanął obok kuzyna.

— Ma rację mój ojciec mówiąc, że podróże kształcą człowieka — powiedział, wachlując się chusteczką. — Podczas lekcji geografii w szkole zastanawiałem się, dlaczego największe morze świata nazwano Oceanem Spokojnym. Olbrzymie przestrzenie wodne wydawały mi się ogromnie niebezpieczne. Tyle przecież słyszałem groźnych opowieści o tajfunach i cyklonach<sup>575</sup>. Tymczasem rzeczywistość rozwiała wszelkie wątpliwości. Olbrzymi Ocean Spokojny naprawdę „*zachowuje się*” spokojnie i nie budzi lęku.

Tomek roześmiał się i odparł wesoło:

— Tylko nie mów tego przy kapitanie Nowickim! Czy pamiętasz, jak nas zgromił za zachwyty nad pięknem raf koralowych? Nie jestem tak przesądny jak on, ale na morzu nie czuję się zbyt pewnie. Nazwę Ocean

---

<sup>575</sup> — Cyklon — potężny wir powietrza, w którym ciśnienie maleje w kierunku środka; cyklony tropikalne, o stosunkowo niewielkich rozmiarach, powstają między 10° i 15° północnej i południowej szerokości geograficznej. Bardzo często towarzyszą im huraganowe wiatry, silne burze i ulewne deszcze. Tajfun — chińska nazwa cyklonu tropikalnego nad Morzem Południowochińskim, Filipinami i przylegającą do nich od wschodu częścią Oceanu Spokojnego (Pacyfiku).



Spokojny nadal tym wodom Magellan<sup>576</sup>, który podczas całej podróży po tym oceanie, trwającej trzy miesiące i dwadzieścia dni, nie napotkał ani jednej burzy. W strefie pasatu często zdarzają się dłuższe okresy dobrej pogody. Mimo to przeżyłem już cyklon na pełnym morzu.

— Nie mówiłeś mi o tym! Kiedy to było? — zapytał zaciekawiony Zbyszek.

— To był mój chrzest żeglarski podczas pierwszej wyprawy do Australii. Porządnie się wtedy wystraszyłem!

— Czy cyklon nagle was zaskoczył?

— Wypadki następowały po sobie dość szybko — wyjaśnił Tomek. — Najpierw na horyzoncie pojawiła się mała, czarna jak smoła chmurka. W powietrzu panowała dziwna cisza. Tylko powierzchnia morza zaczęła się marszczyć krótką falą. Wkrótce całe niebo pokryły ciemne chmury. Spadły pierwsze krople deszczu, po nich zaś ogromna ulewa. Zerwał się okropny wichur. Statek miotany na wszystkie strony trzeszczał cały, jakby miał się rozlecieć.

— Tomku, spójrz na horyzont! — przerwał mu zaniepokojony Zbyszek. — Niebo robi się czarne, zupełnie tak samo, jak mówiłeś przed chwilą!

Przez jakiś czas Tomek badawczo wpatrywał się w niebo na północnym wschodzie. Trochę tylko ciemniejsze pasemko na horyzoncie, na które przedtem sam zwrócił uwagę, obecnie mocno poczerniało. Tomek zmarszczył czoło i pobiegł do kabiny nawigacyjnej. Niebawem pojawił się w drzwiach.

— Pędź, co tchu po kapitana! Ciśnienie gwałtownie spada! — zawołał.

Po dwóch lub trzech minutach Nowicki już wchodził po trapie na mostek kapitański. Widocznie został wyrwany z popołudniowej drzemki, gdyż idąc zapinał kurtkę.

— Barometr leci w dół, kapitanie — meldował podniecony Tomek. — Niech pan spojrzy na północny wschód!

---

<sup>576</sup> — Ferdynand Magellan (1480–1521) — portugalski żeglarz w służbie hiszpańskiej; oprócz innych historycznych wypraw odkrywczych kierował pierwszą podróżą dookoła Ziemi. Również pierwszy odkrył i przepłynął niebezpieczną cieśninę (nazwaną później jego imieniem), obfitującą w podwodne skały, oddzielającą Ziemię Ognistą od Ameryki Południowej. Był jednym z najwybitniejszych postaci epoki wielkich odkryć. Poległ na Filipinach w walce z krajowcami, którym chciał przemocą narzucić wiarę chrześcijańską.

Nowicki popatrzył w niebo, po czym wszedł do kabiny nawigacyjnej. Tomek wsunął się za nim. Stary morski wyga tylko zerknął na barometr, po czym zaraz pochylił się nad mapą.

— Czy to cyklon nadchodzi, kapitanie? — niespokojnie zapytał Tomek.

— Jak amen w pacierzu, możesz być tego pewny — odparł kapitan.

— Kto jest przy sterze?

— James Balmore...

— Zastąp go Ramasanem — rozkazał Nowicki. — Zarządź alarm! Wszyscy na pokład do zmiany żagli. Sztormowe<sup>577</sup> mają być na masztach, zanim cyklon w nas dmuchnie, zrozumiano?! Ja tymczasem zerknę przez lunetę. Gdzieś w pobliżu znajdują się wyspy koralowe. Warto by się schronić w jakiejś zacisznej lagunie.

Tomek wybiegł z kabiny. Ostre dźwięki gwizdka rozbrzmiały w południowej ciszy. Zaraz też cała załoga wyległa na pokład. Nowicki rozchmurzył się, słysząc energiczne rozkazy Tomka. „*Sprawne chłopaczysko!* — pomyślał. — *Z czasem mianuję go moim zastępcą...*”

Uzbrojony w potężną lunetę wyszedł na mostek. Długo przepatrywał horyzont; potem pochylił się nad otworem tuby akustycznej, by uprzedzić sternika o mających nastąpić manewrach i sprawdzić jego gotowość do ich wykonania.

— Halo, sternik! — zawołał.

— Ay, ay, sahibie<sup>578</sup> kapitanie, tu sterówka — padła odpowiedź. Nowicki zadowolony uśmiechnął się, Ramasan, bowiem był doskonałym marynarzem. Można było na nim polegać.

— Bądź w pogotowiu! Trzy obroty w lewo! — rozkazał.

— Ay, ay, sahibie kapitanie! Trzy obroty w lewo — jak echo odpowiedział Ramasan.

Nowicki znów przyłożył lunetę do oka. Donośne sygnały gwizdka wciąż rozbrzmiewały na pokładzie. Załoga pracowała w pocie czoła, gdyż gorący podmuch wiatru już marszczył toń oceanu. Nim minęła godzina, żagle sztormowe łopotały na masztach. Kapitan co chwila pochylał się nad tubą

<sup>577</sup> — Żagle sztormowe, mniejsze niż zwykle, sporządzone są z bardzo grubego płótna, że wzmocnionymi linkami.

<sup>578</sup> — Ay lub aye — tak (wyraz stosowany w angielskim jako potwierdzenie). Sahib — kurtuazyjny tytuł używany przez mieszkańców Indii w stosunku do Europejczyka lub wysoko urodzonego Indusa.

akustyczną. Jacht sterowany wprawną dłonią pruł krótkie, jakby trochę gniewne fale. Oficerowie wraz z Bentleyem weszli na mostek kapitański. Nowicki z lunetą przy oku ustawicznie przepatrywał zachodnią stronę oceanu.

— Tomek mówił, że zamierzasz się skryć w zacisznej lagunie — zagadnął Smuga. — Czy już widać coś na horyzoncie?

— Na mapie zaznaczone są w tej okolicy wysepki koralowe, w których można znaleźć przystań w razie nagłej potrzeby — wyjaśnił Nowicki.

— Jak dotąd nic nie zauważyłem — wtrącił Tomek.

— Nie martw się brachu, fala wysoka, z daleka nie wypatrzysz wyspy nieznacznie tylko wystającej ponad wodę — pocieszył go Nowicki. — Gdy ją w końcu ujrzymy, w kilkanaście minut zwiniemy żagle.

Przez dłuższą chwilę stali w milczeniu. Czarne chmury coraz większym półksiężycem pokrywały niebo na północnym wschodzie. Porywisty wiatr, jako przednia straż cyklonu, uderzał w żagle „*Sity*”, zwiększając teraz jej szybkość.

— Czy nie byłoby bezpieczniej zupełnie zwinąć żagle? — naiwnie zapytał zaniepokojony Bentley. — Cyklon może nas dopędzić, zanim zdążymy znaleźć jakąś przystań. Wtedy napór wiatru na żagle może przewrócić jacht.

— Bez żagli utracimy możliwość sterowania jachtem i niezawodnie roztrzaskamy się na rafach. Czy nie widzi pan, że cyklon mknie ze wschodu na zachód, czyli wprost na Wielką Rafę Koralową? Zaraz widać, że pan nie obeznany z morzem! — odparował Nowicki.

— Kapitanie, kapitanie! Jakieś statki przed nami! — zawołał Tomek.

— Jakieś statki, powiadasz? — odparł Nowicki. — Ano, to przyjrzyj im się przez lunetę!

— Może to jakaś flotylla zakotwiczona w lagunie? — pospiesznie tłumaczył Tomek. — Widzę jakby las masztów...

Umilkł, przyłożywszy lunetę do oka, owe maszty, bowiem przemieniły się we wspaniałą las tropikalny wyrastający wprost z oceanu.

— Wyspa! — krzyknął uradowany.

— Atol, brachu, atol i laguna, w której bezpiecznie przeczekamy burzę — dodał Nowicki. — Już przed chwilą spostrzegłem gołym okiem „*koło ratunkowe*” za burtą!

Kapitan trafnie użył przenośni, porównując wyspę koralową do okrętowego koła ratunkowego. Wyspy koralowe tworzyły się zazwyczaj tam, gdzie jakiś podmorski stożek wulkaniczny zamarł i przestał rosnąć poniżej powierzchni morza. Na jego wygasłym wierzchołku osiedlały się drobne organizmy morskie o wapiennym szkielecie, a więc czerwone wodorosty i korale głębinowe. Wkrótce obumierały, ale ich szkielety służyły za podłoże dla nowych pokoleń. W ten sposób dookoła wierzchołka góry stopniowo narastał krąg białego wapienia. Gdy podmorska budowla zbliżała się do powierzchni oceanu, wodorosty utrzymywały się już tylko na najdalszym jej obwodzie, natomiast miejsce koralu głębinowych zajmowały prawdziwe korale rafotwórcze, żyjące w zwartych koloniach o wspólnym pniu. Warunkiem ich rozwoju była styczność z wodą otwartego oceanu, bardzo słoną i mocno falującą. Z tego powodu tylko obwód kręgu rósł szybko w górę i wynurzał się ponad powierzchnię morza w postaci pierścienia ze stojącym jeziorem w środku. Później fale i wiatry nanosiły na brzeg nowej wyspy nasiona różnych roślin; biały pierścień atolu stawał się zielony. Z czasem ozdobił go wieniec smukłych i giętkich palm kokosowych.

W tej wszakże niebezpiecznej chwili nikt nie zwrócił uwagi na trafne powiedzenie kapitana. Z mostka posypały się rozkazy, które natychmiast wprawiły w ruch całą załogę. Wilmowski w koszu na dziobie statku sondował ołowianką<sup>579</sup> głębokość wody, inni zrzucali żagle bądź czuwali przy kabestanie<sup>580</sup> gotowi do zrzucenia kotwicy po wejściu do laguny. Kapitan Nowicki wprawnie kierował statek wprost ku przesmykowi w pierścieniu alolu. Był on dostatecznie szeroki, aby „Sita” mogła wpłynąć na spokojne wody laguny. Mimo to manewr był dość niebezpieczny z powodu wzburzonego oceanu. Toteż załoga błyskawicznie wypełniała wszelkie rozkazy i w napięciu śledziła coraz bliższe wybrzeże.

Z daleka wydawało się, że atol porośnięty jest bujnym lasem tropikalnym, lecz z bliska czarujący obraz uległ nieoczekiwanej zmianie. Całą roślinność wyspy stanowiły jedynie palmy kokosowe i rzadkie krzewy. Nigdzie nie było widać ludzkich sadyb.

---

<sup>579</sup> — Ołowianka — sonda rzeczna, ołowiany ciężarek stożkowy przymocowany do odpowiednio oznakowanej linki

<sup>580</sup> — Kabestan — urządzenie służące do wybierania lin lub łańcucha kotwicznego na statku, obrotowy bęben pionowy, który można poruszać ręcznie za pomocą drążków zwanych nadszpakami.

„*Sita*” przemknęła przez przerwę w pierścieniu. Błyskawicznie zrzucona kotwica osadziła ją na miejscu. Ustało kołysanie, palmy, bowiem łagodziły uderzenia wiatru, a wąskie pasmo lądu odgradzało lagunę od wzburzonych fal. Kapitan Nowicki dopiero teraz odetchnął swobodnie. Czarne chmury pokryły już znaczną część nieba. Mimo pełni dnia zapadał zmrok. Północno-wschodni horyzont przybliżył się znacznie, gdyż czarne, ciężkie chmury jakby opadały wprost do oceanu. Nowicki doskonale wiedział, co to oznacza. Wraz z cyklonem nadciągała potężna ulewa, podczas której z nieba spadają całe potoki deszczu. Na szczęście jacht znajdował się już w bezpiecznej przystani.

W tej chwili na pokładzie „*Sity*” rozległy się okrzyki.

— Statek, drugi statek! — wołała załoga.

Wilmowski, Smuga, Tomek, a za nimi inni pobiegli na mostek kapitański.

— Nie jesteśmy tu sami, z lewej strony laguny stoi jakiś statek — wyjaśnił Wilmowski.

— Dwumasztowiec — dodał Tomek.

— Na pewno skrył się tutaj przed burzą, tak jak my — domyślała się Sally.

Nowicki trochę zły podniósł lunetę. Nie mógł sobie wybaczyć, że sam do tej pory nie zauważył statku zakotwiczonego w pobliżu wybrzeża. Za to obecnie ze zdwojoną uwagą przesunął okiem lunety po jego masztach, długo obserwował pokład.

— Dziwne! — rzekł opuszczając lunetę. — Na maszcie brak bandery, na pokładzie nie widać nikogo!

— Czy nie zdołałeś odczytać nazwy? — zapytał Smuga.

— Nie, na dziobie nie zauważyłem napisu — odparł Nowicki.

— Może coś tam się stało? — wtrącił Zbyszek Karski. — Czytałem o statku, którego załoga zastała dotknięta jakąś zarazą i wymarła z powodu braku pomocy.

— Bajki, młodzieńcze, przecież w takim wypadku wywiesiliby na maszcie żółtą flagę — powątpiewająco odpowiedział Nowicki.

— A może to statek opuszczony przez załogę? — snuła przypuszczenia Natasza.

— Statek bez załogi nie wpłynąłby sam do laguny i nie stanąłby na kotwicy — powiedział Smuga. — Poza tym, któż by się odważył osiedlić na bezludnej, jałowej wyspie?

— Święta racja, do stu zdechłych wielorybów — potaknął Nowicki.

— Gdzie jest statek, tam muszą być i ludzie! Tomek, daj znak raketnicą! Pospiesz się, tylko patrzeć, jak cyklon rozpocznie swój diabelski taniec!

Niebawem biała świetlna smuga oderwała się od pokładu „*Sity*” i wlokąc za sobą długi ogon zakreśliła w powietrzu szeroki łuk. Wszyscy bacznie obserwowali pozbawiony śladów życia statek. Sygnał raketowy nie znalazł żadnego oddźwięku.

— Cóż się tam mogło wydarzyć? — zdumiał się Nowicki. — Wygląda, jakby na tym statku naprawdę nie było żywego ducha!

Przez chwilę przypatrywał się statkowi, potem zlustrował pobliskie wybrzeże.

— Daj no lunetę, kapitanie — powiedział Smuga.

— Do licha, to jakiś tajemniczy statek — rzekł oddając lunetę. — Wydaje mi się, że jego dziób jest świeżo pomalowany. Nie podoba mi się ta sprawa...

— Musiało się tam wydarzyć coś niezwykłego — rzekł Wilmowski. — Może potrzebują pomocy...

Solidarność ludzi morza w obliczu niebezpieczeństwa natychmiast poderwała kapitana Nowickiego do czynu.

— Potrzebuję trzech ochotników — zwrócił się do załogi.

Z wyjątkiem dziewcząt wszyscy mężczyźni podnieśli dłonie.

— To moja sprawa, ja udam się na ten statek — powiedział Smuga.

— Za przeproszeniem, szanowny panie! Na łodzi pan jesteś kierownikiem wyprawy, lecz na „*Sicie*” decyzja należy do mnie — zaoponował Nowicki.

— Dobrze, więc zgłaszam się na ochotnika — odparł Smuga.

— Mam pewne powody, aby wybrać, kogo innego — stanowczo rzekł kapitan. — W tej chwili może być pan bardziej potrzebny tutaj. Mówiąc to spoglądał po twarzach stojącej przed nim załogi.

— Andrzeju! — przemówił po chwili. — Weź pana Bentleya oraz pana Balmore’a i sprawdź, co się dzieje na tamtej krypie! Opuścić szalupę na wodę! Tylko Wilmowski zabierze broń!

— Zwariowałeś! — syknął Smuga wprost do ucha kapitanowi. — W razie niebezpieczeństwa ta trójka nic nie zdoła!

— Psst! — uciszył go Nowicki. — Właśnie o to mi chodzi!

Wkrótce duża łódź kołysała się na wodzie. Wilmowski ostatni postawił stopę na sztormtrapie. Wtedy Nowicki pochylił się ku niemu i cicho coś mówił. Po chwili Wilmowski skinął głową i szepnął:

— Słusznie postąpiłeś, już wiem, co mam robić!

— Spieszcie się, musicie zdążyć przed nadejściem burzy — głośno zawołał kapitan.

Bentley z Balmore'em chwycili za wiosła, Wilmowski usiadł przy sterze. Łódź zaczęła się oddalać od jachtu. Tomek przybliżył się do Smugi.

— Dlaczego kapitan tak niegrzecznie obszedł się z panem? — zapytał. — Co za mucha go ugryzła?

— Miał do tego prawo — spokojnie wyjaśnił Smuga. — W każdym razie dał dowód, że potrafi logicznie myśleć.

— Nie rozumiem...

— Przygotować karabiny! — zakomenderował kapitan.

Trzech ochotników płynących w łodzi już nie usłyszało tego rozkazu. W milczeniu zbliżali się ku świecącemu pustką statkowi. Wiosłowali coraz szybciej. Mrok gęstniał z każdą chwilą, w dusznej atmosferze wyczuwało się ciszę przed nadciągającą nawałnicą. Wilmowski zapalił ślepą latarkę, gdy przybili do lewej burty statku. Ażurowa balustrada znajdowała się około trzech metrów nad powierzchnią wody. Wilmowski rzucił w górę hak z przymocowaną do niego liną. Za drugim rzutem hak zaczepił o burtę. Przy pomocy towarzyszy wspiął się po linie na pokład. W ślad za nim znaleźli się tam Bentley i Balmore. Umocowali łódź do relingu i podążyli za Wilmowskim, który już rozglądał się po pokładzie.

Naraz Wilmowski przystanął nad obszernym, wystającym ponad pokładem włazem, zamkniętym drewnianą pokrywą. Zdawało mu się, że słyszy stłumione głosy płynące z głębi statku.

— Unieście klapę, ja poświecę — szepnął do towarzyszy.

Z wysiłkiem dźwignęli jeden jej kraniec. Wilmowski wsunął w otwór rękę z latarką. W mdłym świetle zarysowały się ciemne sylwetki ludzi siedzących na podłodze. Nogi ich były zakute w grube i długie drewniane belki. Okropny zaduch powiał z mrocznej czeluści.

— Statek handlarzy niewolników! — cicho krzyknął Wilmowski, oszołomiony niespodziewanym odkryciem.

Cofnął się o krok, usiłując wydobyć rewolwer. Jego towarzysze nie mniej zaskoczeni wypuścili z dłoni klapę. Opadła z głuchym łoskotem. Nagle drzwi nadbudówki na dziobie statku gwałtownie się otwarły. Ujrzeni uzbrojonych mężczyzn.

— Ręce do góry, jeśli wam życie mile! — groźnie krzyknął po angielsku barczysty olbrzym, mierząc do nich z rewolweru.

Bentley i Balmore odruchowo zastosowali się do rozkazu, natomiast Wilmowski odważnie postąpił kilka kroków do przodu i odparł wzburzonym głosem:

— Jestem oficerem statku płynącego pod angielską banderą. Jeśli choć włos spadnie nam z głowy, wszyscy zawisniecie na rejach! Nie wypłyniecie stąd, nasza załoga jest doskonale uzbrojona!

Olbrzym w czapce kapitana wolno zbliżał się do Wilmowskiego, mierząc rewolwerem prosto w jego pierś. Za nim kroczyło gromadką kilkunastu uzbrojonych drabów. Szli w milczeniu, przyuczajeni do skoku. Wilmowski nie cofnął się przed nimi. Stał lekko pochylony do przodu. Nieznacznie zerknął ku „*Sicie*”. Na topie masztu płonęła latarnia. Nagłym ruchem wyszarpnął z kieszeni kurtki rewolwer i wypalił w górę. W tej samej chwili opadła go czereda wrogów.

— Piraci! — krzyknął Balmore tak przeraźliwie, że głos jego rozniósł się po całej lagunie.

Z „*Sity*” gruchnęła salwa karabinowa. Kule złowrogo świsnęły ponad pokładem pirackiego statku. Napastnicy powalili prawie nie stawiającego oporu Wilmowskiego. Teraz, kryjąc się za burtą, biegli do Balmore’a i Bentleya.

Przerażony Balmore przekonany był, iż wszyscy trzej zginą za chwilę. Wilmowski leżał pokonany, ku niemu wyciągały się zbrojne łapska piratów. W jakimś odruchu desperacji Balmore grzmotnął pięścią w twarz najbliższego napastnika, po czym błyskawicznie dobiegł do burty i jelenim skokiem zniknął za nią. Był doskonałym pływakiem, toteż wynurzył się na powierzchnię dopiero o kilkanaście metrów od statku handlarzy niewolników.



## KAPITAN NOWICKI ATAKUJE

Skupiona na pokładzie załoga „*Sity*” usłyszała umówiony strzał ostrzegawczy Wilmowskiego i okrzyk Balmore’a. Na rozkaz Nowickiego gruchnęła salwa karabinowa w kierunku pirackiego statku. Oczywiście mierzono tak, aby kule przeleciały ponad pokładem. Kapitan Nowicki przez cały czas nie odejmował lunety od oka. Widoczność w półmroku nie była najlepsza, lecz mimo to ujrzał klęskę przyjaciół i desperacki skok Balmore’a do wody. Natychmiast polecił opuścić łódź.

Tomek, Smuga oraz dwóch marynarzy zasiedli do wiosł. Nowicki ujął ster, nie wypuszczając z ręki karabinu. Szybko zbliżyli się do uciekiniera. Kapitan pomógł mu wejść do łodzi, po czym bez przeszkód powrócili na jacht. W tej właśnie chwili spadły pierwsze krople deszczu. Porywisty dotąd wiatr nabrał huraganowej siły. Deszcz przemienił się w ulewę. Strumienie wody spływały na rozkołysany pokład. Na szczęście pod osłoną atolu statkowi zakotwiczonemu w lagunie nie groziło zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Nawałnica szalejąca w ciemności udaremniała również jakikolwiek atak ze strony piratów. Toteż kapitan Nowicki pozostawił na straży na pokładzie jedynie indyjskich marynarzy, sam zaś z resztą załogi udał się do mesy na naradę. Przede wszystkim Balmore dokładnie opowiedział przebieg wydarzeń. Wysłuchano go w skupieniu; gdy skończył, Nowicki rzekł:

— Ha, to już po raz drugi podczas naszych wypraw natknęliśmy się na handlarzy niewolników. Najpierw było to w Afryce. Pamiętasz, Tomku, tego zuchwalca Castanedo?

— Oczywiście, pamiętam! Stoczył pan z nim straszliwą walkę!

— Ho, ho, silne to było drabisko! Zapłacił głową za uprawianie niecnego procederu! Teraz nasza sytuacja jest gorsza. Oprócz nieszczęsnych niewolników piraci mają w swoim ręku dwóch naszych.

— Przecież przewidywałeś, że tam może czyhać jakieś niebezpieczeństwo! — zauważył Smuga.

— Ano, co tu wiele gadać! Ten niby opuszczony przez załogę statek od razu wydał mi się podejrzany — przyznał Nowicki.

— Wobec tego postąpił pan bardzo lekkomyślnie wysyłając mego ojca, który nie uznaje rozpraw z bronią w ręku nawet z przestępcami — wybuchnął Tomek. — W dodatku przydzielił mu pan Bentleya i Jamesa Balmore'a!

— Nie oskarżaj kapitana o lekkomyślność — zaoponował Smuga. — Moim zdaniem postąpił roztropnie. Nie był pewny, co się kryje na statku, który sprawiał wrażenie opuszczonego, toteż wysłał ludzi rozważnych, unikających stosowania siły. Wprawdzie popadli w opresję, ale teraz my właśnie mamy możliwość przyjść im z pomocą.

— Jak amen w pacierzu, tak myślałem! — potwierdził Nowicki. — Jeśli coś złego stanie się komuś z mojej załogi, piraci zapłacą swoim gardłem!

— Zastanów się, Tomku — ciągnął Smuga. — Oni mogli od razu zabić jeńców, wszakże nie uczynili tego. Nie strzelali nawet do uciekającego Balmore'a.

Tomek opuścił głowę i rzekł:

— Bardzo przepraszam... ale bardzo się niepokoję o ojca i pana Bentleya. Co teraz pocniemy?

— Nie będziemy czekali z założonymi rękoma — pocieszył go Nowicki.

— Kto pierwszy atakuje, ten już w połowie wygrywa!

— Masz jakiś plan? — zapytał Smuga.

— Kiepskim byłbym kapitanem, gdybym go nie miał! — odparł Nowicki. — Mówiono mi w Rabaulu, że okręty brytyjskie często patrolują Cieśninę Torresa. Ci handlarze zapewne nie skryli się tutaj przed cyklonem! Prawdopodobnie ktoś deptał im po piętach.

— Może masz rację, słyszałem, że Anglicy ostro zabrali się do blackbirdingu. Zbrodnicza działalność blackbirderów przyczyniła się do wyludnienia wybrzeży zatoki Papua oraz samotnych wysepek archipelagu — powiedział Smuga.

— Co to znaczy blackbirding? — zapytała Natasza.

— Blackbirding, czyli polowanie na czarnego kosa, to po prostu łowy na krajowców nowogwinejskich. Przedsięwzięcie bardzo popłatne. Australijscy plantatorzy w Queensland obecnie płacą wysokie ceny za niewolników — wyjaśnił Smuga.

— Swego czasu głośno się o tym u nas mówiło — przyznał Stanford, preparator zabrany na wyprawę przez Bentleya. — Blackbirderzy, zwani również Sępami Oceanu Spokojnego, nieraz dorabiali się znacznego majątku

na handlu niewolnikami. Teraz złote czasy skończyły się dla nich! Przechwycenie na gorącym uczynku grozi szubienicą!<sup>581</sup>

— Panie kapitanie, chyba nie pozostawimy nieszczęsnych krajowców w rękach piratów?! — zawołała Sally.

— Niełatwa sprawa — powątpiewająco powiedział Stanford. — Blackbirderzy przeważnie rekrutują się z różnego rodzaju awanturników, wykolejeńców, a nawet więźniów zbiegłych z zesłania na wysepki Oceanii, słowem z ludzi stojących poza prawem. Nie zawahają się przed niczym. Bez walki nie dadzą sobie wyrwać łupu!

— Ano, zobaczymy! — odparł Nowicki, groźnie marszcząc brwi. — Spełnię swój obowiązek!

— Jaki masz plan? — ponowił pytanie Smuga. — Jeśli zamierzasz uderzyć pierwszy, to cyklon szalejący w tej chwili jest naszym sprzymierzeńcem!

— Wprost czytasz pan w moich myślach! — rzekł kapitan Nowicki. — Postanowiłem unieruchomić statek piratów. Wtedy będą zmuszeni przyjąć nasze warunki.

— Więc chciałbyś uniknąć otwartej walki? — niedowierzająco zapytał Smuga. — Przypuszczałem, że zamierzasz w jakiś sposób uwolnić niewolników i razem z nimi uderzyć na piratów.

— Wtedy mielibyśmy liczebną przewagę — dodał Tomek. — Można by ich rozkuć, korzystając z osłony burzy...

Nowicki westchnął ciężko. Jemu również uśmiechała się taka rozprawa z piratami, lecz tym razem, jako kapitan „Sity”, osobiście ponosił odpowiedzialność za bezpieczeństwo własnej załogi. Otrząsnął się, jakby odganiał pokusę, i powiedział:

— Bardzo mnie swędzą łapska na tych drani, ale nie mogę narażać życia moich ludzi. Rozprawię się z piratami bez rozlewu krwi.

Smuga i Tomek oniemieli. Nowicki nigdy dotąd nie unikał otwartej walki. Toteż spodziewali się, że i obecnie zechce skorzystać z okazji. Widocznie zauważył ich zdumienie, ponieważ zaraz się usprawiedliwił:

— Mam na pokładzie dwie kobiety... Poza tym oswobodzenie niewolników nic by nam nie pomogło. Nie znają nas i na pewno nienawidzą

---

<sup>581</sup> — Blackbirding, choć już w mniej ostrej formie, przetrwał aż do I wojny światowej.

białych. W jaki sposób mogliby się zorientować w walce, kto jest ich wrogiem, a kto sprzymierzeńcem? Musimy liczyć tylko na własne siły.

— Nie pomyślałem o tym! Ma pan rację, ojciec będzie dumny z pana! — z zapalem zawołał Tomek.

— Zgoda, na „*Sicie*” komenda należy do ciebie! Jak zamierzasz unieruchomić statek? — zapytał Smuga.

— Zniszczymy piratom urządzenia sterowe! — wyjaśnił Nowicki.

— Świetny pomysł! — pochwalił Tomek. — Ale jeśli czuwają, może dojść do starcia!

— Ha, wtedy wszyscy będziecie świadkami, że starałem się uniknąć walki — odpowiedział Nowicki z trudem tłumiąc radość, która ogarnęła go na samą myśl o możliwości bezpośredniej rozprawy.

— Może pan na mnie liczyć, kapitanie — poważnie powiedziała Natasza.

— Na nas wszystkich — dodała Sally. — Wkradnę się z panem na statek piratów. Będę stała na straży, podczas gdy pan...

— Nie gadaj głupstw, sikorko! — zgromił ją Nowicki. — Chwali ci się odwaga, ale to męska sprawa. Pan Smuga i Tomek będą moją osłoną. Kto z was pomoże mi zmajstrować ładunek wybuchowy?

— Ja! Robiłam już bomby dla moich towarzyszy w Rosji — zaofiarowała się Natasza.

— Dobrze, proszę do mojej kabiny. Gdy cyklon nieco sfolguje, musimy być gotowi do akcji.

Nim minęły dwie godziny, na koi kapitana leżała dość duża, ciężka paczka owinięta w nieprzemakalny brezent. Teraz Nowicki zwołał całą załogę do mesy. Trójka śmiałków ubrana była jedynie w ciemne obcisłe spodnie i koszule. Talie ich opinały mocno ściągnięte pasy z rewolwerami i myśliwskimi nożami.

— Podczas mojej nieobecności Ramasan obejmuje komendę na statku — krótko oświadczył Nowicki. — Przekazuję ci moją czapkę kapitańską, ale... lepiej jej nie noś! Masz mniejszą łepetynę, więc wiatr mógłby splatać nam figła!

— Ay, ay, sahibie kapitanie! — odrzekł Indus.

— Już się przyzwyczaiłem do niej, leży jak ulał — ciągnął Nowicki. — Teraz słuchaj uważnie: jeśli na pirackiej balii gruchną strzały, a my nie

powrócimy do świtu, natychmiast rozwiniesz żagle i jak najszybciej popłyniesz do Port Moresby. Tam złożysz odpowiedni meldunek gubernatorowi. On już będzie wiedział, co należy robić.

— Ay, ay, kapitanie!

Niedwuznaczne polecenia Nowickiego wywarły na załozie przygnębiające wrażenie, lecz on sam zupełnie się nie przejmował niebezpieczeństwem. Smuga i Tomek również mieli różne miny. Podczas kolacji Tomek wpałaszował swoją porcję i pocieszał wystraszone dziewczęta, które nawet nie tknęły jedzenia. Balmore wprost nie mógł oderwać wzroku od Tomka, gdyż odczuwał głęboki niepokój na samo wspomnienie groźnych postaci piratów...

Ramasan ze swoimi ludźmi objął wachtę na pokładzie. Reszta załogi oczekiwała poprawy warunków atmosferycznych. Dopiero na jakieś trzy godziny przed świtem wachtowy pokazał się w drzwiach.

— Sahibie kapitanie, wichura nieco słabnie! — zameldował.

— Szalupa gotowa? — zapytał Nowicki.

— Gotowa! Wyzaczyłem dwóch ludzi do wiosła!

— A więc w drogę! Idziemy na bosaka, może będziemy musieli trochę popływać — rzekł Nowicki powstając z fotela.

Po ciemku wyszli na pokład. Deszcz jeszcze zacinał, ale wiatr nie był już tak gwałtowny. Kapitan Nowicki wyniósł z kabiny dużą, ciężką paczkę i butelkę z zamkniętym w niej ultymatywnym pismem do piratów. Ostrożnie umieścił je w łodzi. Owinął się w pasie liną zakończoną hakiem, po czym siadł przy sterze. Tomek uścisnął Sally, która po cichu udzielała mu ostatnich ostrzeżeń, i również zajął miejsce przy Smudze. Dwaj marynarze zsunęli się po linach do łodzi wtedy dopiero, gdy dotknęła powierzchni wody. Odbili od burty. Nowicki sterował łódź w kierunku wybrzeża. W milczeniu opływali lagunę. Tomek i Smuga pomagali marynarzom w wiosłowaniu, trzeba było bowiem uważać, aby wzburzone fale nie rozbiły łodzi o brzeg. Pot spływał po ich czołach, zanim ujrzeli ciemny kontur pirackiego statku. Na masztach ani na pokładzie nie było żadnych świateł. Wiatr i szum fal tłumiły wszelkie odgłosy.

Kapitan Nowicki śmiało poprowadził łódź w pobliże dziobu statku, z prawej strony burty. W ten sposób znaleźli się pomiędzy statkiem i lądem.

Łódź otarła się o łańcuch kotwiczny zwisający z kluzy<sup>582</sup>. Smuga i Tomek natychmiast uchwycili go rękami i przyciągnęli do niego swoją łódź. Nowicki przywiązał ją sznurem do łańcucha. Na migi wydał ostatnie rozkazy, po czym zręcznie zaczął się wspinać po łańcuchu kotwicznym. Po chwili był już przy owalnym otworze, w którym zniknął łańcuch. Chwycił dłonią za krawędź kluzy, podciągnął całe ciało do góry. Teraz, przytrzymując się nogami, drugą ręką odpassał sznur z hakiem. Za pierwszym rzutem hak zaczepił się o burzę. Nowicki ostrożnie wspiął się na pokład i przycupnął obok burty. Uważnie rozejrzał się wokoło. Nikogo nie zauważył, więc zaczął się skradać ku odległej o kilka metrów sterówce. Statek uderzany w lewą burzę krótką falą lekko kołysał się na boki. Pokład śliski był od deszczu, który jeszcze nie przestał padać.

Nowicki powoli, ostrożnie dotarł do sterówki. Zajrzał do jej wnętrza. Zaledwie o wyciągnięcie ręki ktoś siedział na ławce. Opuszczona na piersi głowa okryta kapturem pozwalała się domyślić, że drzemie. Nowicki wydobył zza pasa rewolwer, ujął go za lufę. Wśliznął się do sterówki. Rękojeścią broni uderzył w pochyloną głowę; natychmiast przytrzymał bezwładnie osuwające się ciało. Wydobył z kieszeni sznur i knebel. Szybko ściągnął z wartownika kaptur oraz przeciwdeszczowy długi płaszcz. Wprawnie zakneblował mu usta, związał ręce i nogi. Teraz zarzucił go sobie na ramię i podążył ku dziobowi statku. Tam położył zemdlonego przy burcie, po czym przywiązał do balustrady. Ubezpieczywszy się w ten sposób, podbiegł do przeciwnej burty. Trzykrotnie szarpnął liną zwisającą z końca haka zaczepionego o balustradę. Wkrótce na pokładzie pojawił się Smuga, a po nim Tomek. Zachowując największą ostrożność, wciągnęli na pokład ciężką paczkę.

— Wartownik związany, idziemy do sterówki — szepnął Nowicki.

— Nocna wachta kończy się o czwartej, teraz jest około trzeciej, mamy dość czasu — cicho rzekł Smuga.

— Oby tylko nikt nam nie przeszkodził... — mruknął Tomek.

Przenieśli paczkę do sterówki. Nowicki podał Tomkowi płaszcz i kaptur.<sup>583</sup>

---

<sup>582</sup> — Kluza — owalny bądź okrągły otwór w kadłubie statku, przez który przechodzi łańcuch kotwiczny przy zrzucaniu i podnoszeniu kotwicy.

— Załóż i udawaj wartownika — rozkazał. — Gdybyś zauważył coś podejrzanego, gwizdnij dwukrotnie!

Tomek nałożył ceratowy płaszcz, nasunął głęboko na czoło kaptur. Przystanął przy burcie, skąd mógł obserwować nadbudówkę na pokładzie. Co chwila zerkał ku sterówce. Właśnie błysnęło w niej nikłe, żółtawe światło. „*Przygotowują ładunek*” — pomyślał. Mimo woli wsunął prawą dłoń pod płaszcz. Dotknął rękojeści rewolweru... Na szczęście na całym statku panowała niczym nie zmacona nocna cisza. Słysząc było jedynie pomruki oddalającej się burzy, szum deszczu i fal. Tomek czujnie nasłuchiwał i rozglądał się dookoła. Za nadbudówką na pokładzie rysował się obszerny kontur włazu. Tomek przypomniał sobie relację Balmora'a. „*Tam zapewne trzymają niewolników*” — przemknęło mu przez myśl.

Postąpił kilka kroków w kierunku włazu. Naraz uzmysłowił sobie, że przez samowolny czyn mógłby obrócić wniwecz misterny plan kapitana. Z trudem pokonał pokusę. Czas wolno upływał... W końcu jakiś cień wyłonił się ze sterówki. Był to Smuga.

— Wycofujemy się. Nowicki zapala lont. Za minutę nastąpi wybuch... — szepnął.

Cicho przemknęli po prawej burcie i kolejno opuścili się do lodzi. Natychmiast odwiązali ją od łańcucha kotwicznego. Obydwaj Indusi siedzący przy wiosłach gotowi byli do odbicia od pirackiego statku. Nowicki tymczasem klęczał pochylony nad lontem. Podmuchy wiatru zgasiły mu przedwcześnie już trzecią zapałkę. Powietrze było bardzo wilgotne, deszcz wciąż jeszcze padał. „*Do licha, lont gotów zgasnąć...*” — pomyślał, zafasowany niepowodzeniem.

Zaniechawszy prób z zapałkami, otworzył ślepą latarkę. Lont przytknięty do ognia najpierw zaskwierczał, potem żółtawy płomyk zaczął się snuć po nim. Nowicki zgasił latarkę i przypiął ją sobie do pasa. Jeszcze przez chwilę upewniał się, czy lont przypadkiem nie zgaśnie, po czym bez pośpiechu wyszedł na pokład. W pobliżu wejścia do nadbudówki postawił butelkę z zamkniętym w niej pismem. Zadowolony odetchnął pełną piersią. Za kilkadziesiąt sekund wybuch zniszczy urządzenie sterowe razem ze sterówką. Już przekładał jedną nogę przez balustradę, gdy naraz otworzyły się drzwi nadbudówki. W smudze żółtawego światła ujrzał wysokiego, barczystego mężczyznę wychodzącego na pokład. Nowicki natychmiast cofnął nogę.

Mężczyzna kroczył ku sterówce.

„*Zmiana wachty*” — domyślił się Nowicki i jak wąż już sunął ku intruzowi. Nie miał czasu do stracenia. Jeśli mężczyzna wejdzie do sterówki, może w ostatniej chwili zgasić lont. Wtem mężczyzna zawadził stopą o butelkę. Pochylił się po nią. Nowicki w mgnieniu oka dopadł go spod burty. Pięścią uderzył w głowę. Mężczyzna klęknął, lecz musiał posiadać niezwykłą siłę, gdyż zaraz poderwał się na nogi. Nowicki zadał mu cios w podbródek. Mężczyzna odchylił górną część ciała do tyłu, jakby padał, i nagle, zupełnie nieoczekiwanie, sam zaatakował. Po silnym uderzeniu między oczy Nowicki, nieco zamroczony, cofnął się o pół kroku; teraz wyrwał zza pasa rewolwer. Jak huragan zwałił się na przeciwnika. Tym razem potężne uderzenie rękojęścią przechyliło szalę zwycięstwa na jego stronę. Nowicki zdawał sobie sprawę, że lada chwila nastąpi wybuch. Toteż porwał oszołomionego mężczyznę i podbiegł do burty, wspiął się na nią i skoczył... Podmuch towarzyszący detonacji na pokładzie odrzucił go od statku. Nowicki zniknął pod powierzchnią wody, ale mimo to nie wypuścił z rąk nieprzytomnego jeńca. Zaledwie wynurzył się z głębiny, lewą ręką chwycił go za kołnierz i zaczął płynąć w kierunku swojej szalupy.

Smuga i Tomek najpierw wciągnęli do łodzi odzyskującą przytomność jeńca, potem Nowickiego. Szybko odpłynęli od pirackiego statku, na którego pokładzie przerażone okrzyki już mieszały się ze słowami komendy. Spostrzeżono łódź odbijającą od burty. Padło kilka strzałów, niecelnych na szczęście, ciemność, bowiem uniemożliwiała trafienie w cel chybotący na falach.

— Dlaczego marudziłeś tak długo? — zapytał Smuga, krępując jeńcowi ręce. — Czy to on wlaź ci w paradę?

— A jakże, już przełaziłem przez burłę, gdy wyszedł na pokład — wyjaśnił Nowicki. — Bałem się, że zgasi lont. Musiałem go unieszkodliwić.

— Po jakie лихо go zabrałeś? — przyganił Smuga. — Mogłeś sam zginąć!

— Gdybym go zostawił nieprzytomnego przy sterówce, poleciałby razem z nią wprost do piekła — wyjaśnił Nowicki. — Wiąż pan mocno, to twarda sztuka! Rąbnął mnie pięścią wprost między oczy i ogłuszył... Pewno będę miał szpetnego siniaka na czole...



Słyszając to Smuga mocniej zaciskał węzły sznura. Nowicki był powszechnie znany z olbrzymiej siły, pierwszy lepszy nie mógłby mu wymierzyć ogłuszającego ciosu. Tomek i Smuga pospiesznie chwycili za wiosła. Łódź szybciej pomknęła wzdłuż wybrzeża. Piracki statek rozplynął się w mroku. Teraz Nowicki bez obawy skierował łódź wprost ku „*Sicie*”. Niebawem też zarysowała się jej ciemna sylwetka.

— Ahoy! Ahoy!<sup>584</sup> — zawołał.

— Ay, ay, kapitanie! Już zrzucamy liny! Czy wszystko w porządku?! — odkrzyknął Ramasan.

— W porządku!

Po kilku minutach uczestnicy wypadu wysiadali z łodzi. Kapitan rozwiązał nogi jeńcowi i pomógł mu wyjść na pokład.

— Przyświecić mi latarnią! — rozkazał.

Uważnie przyjrzał się barczystej postaci. Zewnętrzny wygląd pirata wcale nie był odpychający. Wprawdzie obecnie obrzucał załogę „*Sity*” ponurym spojrzeniem, ale mimo to od razu można było poznać, iż nie jest człowiekiem pozbawionym pewnej inteligencji. Nowicki skinął głową na marynarza i rozkazał:

— Ramasan! Odprowadzić jeńca do karceru i postawić zbrojną straż przed drzwiami. W razie próby ucieczki, kula w łeb.

— Chcę mówić z kapitanem tego statku, zanim kamraci zaczną hulać podczas mojej nieobecności — odezwał się pirat. — Uprzedzam, że później może już nie będziemy mieli, o czym rozmawiać!

— Chcesz mówić z kapitanem?! — zdumiał się Nowicki. — Dobrze, niech i tak będzie! Ramasan! Proszę podać moją czapkę!

Ruchem pełnym godności nałożył czapkę na głowę, po czym zmierzył pirata surowym spojrzeniem i zapytał:

— Kim jesteś, że domagasz się rozmowy z kapitanem?!

— Ukrywanie prawdy w tej sytuacji na nic by się nie zdało — odparł pirat. — Jestem kapitanem tamtego statku.

Oznaki poruszenia wśród załogi „*Sity*” zostały stłumione karcącym spojrzeniem kapitana Nowickiego, który pochylił się ku jeńcowi i zapytał:

---

<sup>584</sup> — Ahoy (ang.) — marynarski okrzyk pozdrowienia, zazwyczaj kierowany do kogoś znajdującego się na statku.

— Jesteś kapitanem statku?! Od kiedy to herszt piratów ma prawo zwać się kapitanem, a balia, niezdolna do wypłynięcia w morze, statkiem?!

Twarz olbrzymiego pirata pokryła się rumieńcem gniewu. Nie zważając, iż ręce ma związane na plecach, postąpił o krok w kierunku Nowickiego i syknął:

— Zuchwalcze! Masz szczęście, że nie mogę ci wepchnąć twoich słów z powrotem do gardła! Ta balia, jak ośmieliłeś się nazwać mój statek, z łatwością wystrychnęła na dudka trzy ścigające ją brytyjskie korwety!<sup>585</sup> Gdyby nie one, nigdy byśmy się tutaj nie spotkali.

— Ha, więc sam się przyznałeś, że byłeś ścigany przez brytyjskie okręty! — triumfująco podchwycił Nowicki. — Ja również płynę pod brytyjską banderą, więc wypełnię mój obowiązek! Odstawię cię...

— Nie rzucaj słów na wiatr! Później mógłbyś ich żałować! — przerwał mu pirat. — Los mój wiąże się z losem twoich ludzi uwięzionych na moim statku! W chwili porwania słyszałem wybuch na pokładzie. Moja załoga doprowadzona do ostateczności może poderznąć gardła jeńcom. Dlatego we wspólnym interesie musimy się jak najprędzej porozumieć.

— Odpowiadasz głową za moich ludzi — ostrzegł Nowicki.

— Nie łudź się, nie znasz mojej załogi, kapitanie! Nie pożałują nikogo, wiedząc, że grozi im stryczek! Moja nieobecność może spowodować smutne dla nas wszystkich następstwa.

— Więc nie jesteś pewny swoich ludzi? — zdumiał się Nowicki.

— Niebezpiecznie jest odwracać się do nich plecami — dwuznacznie odparł pirat. — Dogadajmy się, zanim będzie za późno... Nie zaczepiałem was i nic do was nie mam. Rozejdźmy się tak, jakbyśmy się nie spotkali.

— Nie tak szybko, mój panie! To ja dyktuje warunki, nie ty! — zaoponował kapitan Nowicki. — Uszkodziliśmy urządzenia sterownicze na waszym statku. Jesteście unieruchomieni. Mam czas nawet popłynąć po pomoc. Wtedy wszyscy zawiśnięcie na szubienicy. Gotów jestem jednak na małe ustępstwo. Zwróć mi moich dwóch ludzi i oddaj nieszczęsnych

---

<sup>585</sup> — Kluza — owalny bądź okrągły otwór w kadłubie statku, przez który przechodzi łańcuch kotwiczny przy zrzucaniu i podnoszeniu kotwicy. Korweta (z franc.) — mały handlowy lub wojenny żaglowiec zwiadowczy z jednym pokładem działowym: obecnie eskortowy okręt do zwalczania łodzi podwodnych.

niewolników. Wtedy odpłynę stąd do Port Moresby i tam dopiero złożę odpowiedni meldunek o tym, co zaszło. Wybieraj i... spiesz się!

Pirat w milczeniu rozważał propozycję. Do lądu australijskiego było stąd niedaleko. Nawet w wypadku całkowitego unieruchomienia statku mógł tam dotrzeć w łodziach ratunkowych. Znajdował się w potrzasku, nie miał wyboru...

— Dobrze, przyjmuję te warunki — odezwał się po chwili namysłu. — Utraciłem statek, muszę więc również zakończyć polowanie na czarne kosy. Może spróbuję szczęścia jako poszukiwacz złota w Nowej Gwinei.<sup>586</sup>

— To uważaj dobrze, żebyśmy się tam nie zetknęli! Wtedy musielibyśmy dokończyć obrachunki — zagroził Nowicki.

— Nie miałbym nic przeciwko takiemu spotkaniu w dżungli — odparował pirat.

— Ja również, na gałęzi drzewa można tak samo zawiesić stryczek jak na rei — powiedział Nowicki.

---

<sup>586</sup> — Pierwszy znalazł tam złoto hiszpański żeglarz Alvaro de Saavedra, który w 1528 r., płynąc do Meksyku, zmuszony był przez awarię do wylądowania w Nowej Gwinei. Jednak Hiszpanie, tak jak w cztery wieki później Niemcy (w 1906 r. geolog Schlentzig) nie przywiązywali wagi do odkrycia sądząc, że ze skał w górach Morobe nie uda się wydobywać złota. Inni badacze także uważali za niemożliwe eksploatację złóż w dolinach rzek Markham i Waria, otoczonych potrójnymi łańcuchami gór i zamieszkanymi przez bardzo wojownicze szczepy. W brytyjskiej Papui znaleziono złoto w 1877 r. w pobliżu Port Moresby. Wyprawy poszczególnych poszukiwaczy ginęły w głębi wyspy z rąk łowców głów. Dopiero w latach 1918–27 syn kupca z Sydney, Cecil John Levien, wykorzystując najnowocześniejsze środki komunikacyjne — samoloty, organizuje w dolinie Bulolo lotnisko i rozpoczyna na większą skalę eksploatację złóż złota w rzece Koranga.



## PRZEWODNIK Z PLEMIENIA MAFULU

W myśl zawartego układu kapitan Nowicki pozwolił hersztowi piratów powrócić na własny statek. O świcie szalupą samotnie popłynął ku swoim. Dopiero w cztery godziny później na maszcie unieruchomionego statku pojawiła się biała chorągiew. Był to umówiony znak, że handlarze niewolników przyjmują podyktowane im przez Nowickiego warunki.

Po burzliwej nocy nastał gorący, słoneczny dzień. „*Sita*” była już przygotowana do wyruszenia w drogę. Gdy tylko spostrzeżono białą chorągiew, natychmiast podniesiono kotwice. Nowicki wolno podpłynął do pirackiego statku. Nie zaniedbał koniecznych środków ostrożności: czuwał na mostku kapitańskim, nie odrywając lunety od oka, a reszta załogi, rozstawiona wzdłuż prawej burty, miała broń gotową do strzału. „*Sita*” znieruchomiła o kilkadziesiąt metrów od statku piratów. W tej właśnie chwili herszt bandy wyszedł na pokład. Nowicki uspokoił się, ujrzawszy tuż za nim Wilmowskiego i Bentleya. Nie byli skrupowani. Widocznie zostali powiadomieni o zawartym układzie, gdyż obydwaj powiewali chusteczkami w kierunku „*Sity*”.

— Widzę naszych! — zawołał uradowany Nowicki. — Są cali i zdrowi! Dodajmy im ducha powitalną salwą!

— Mierzyć w górę! — zakomenderował Smuga. — Raz, dwa, trzy, ognia!

Grzmot palby i świst kul w powietrzu wywołały zamieszanie wśród piratów, lecz ostry rozkaz herszta natychmiast przywrócił porządek. Jedni zaczęli opuszczać łodzie, inni otworzyli właz wiodący do pomieszczenia, gdzie więzieni byli niewolnicy. Po jakimś czasie na pokładzie pojawili się Papuasi o cerze ciemnobrązowej, u niektórych nawet całkiem czarnej. Popędzani przez zbrojnych piratów, trwożliwie ustawiali się przy lewej burcie statku. Byli prawie nadzy, tak mężczyźni, jak i kobiety. Wystraszonym wzrokiem spoglądali na swych prześladowców.

Z pokładu opuszczono sznurową drabinkę. Piraci brutalnie spychali niewolników do dwóch łodzi, które trzykrotnie podpływały do „*Sity*”. Właśnie ostatnia grupa schodziła z pokładu, gdy młody Papuas wybiegi z nadbudówki i upadł tuż przed Wilmowskim. Jeden z piratów smagnął chłopca

pejczem i chwycił dłonią za kędzierzawe włosy. Wtedy Wilmowski pięścią powalił pirata. Kilku innych natychmiast skoczyło kamratowi z pomocą. Nagle herszt swym potężnym ciałem zasłonił Wilmowskiego. W jego dłoni błysnął rewolwer. To ostudziło rozwścieczoną zgraję.

Z „*Sity*” padła ostrzegawcza salwa. Herszt piratów gniewnie coś tłumaczył Wilmowskiemu, zapewne chcąc zatrzymać młodego Papuasa. Wilmowski jednak nie ustępował. Zdecydowanym ruchem odtrącił dłoń herszta trzymającego niewolnika za kark i ostrożnie zaczął się wycofywać w kierunku lewej burty. Zdawało się, że walka znów wybuchnie na pirackim statku; olbrzymi herszt groźnie pochylał się ku Wilmowskiemu.

Kapitan Nowicki szybko odłożył lunetę. Poderwał do ramienia karabin z optycznym celownikiem. Huknął strzał... Kula zdmuchnęła czapkę z głowy herszta piratów. Wilmowski już bez przeszkód zszedł po drabince do lodzi.

Zaledwie w pół godziny później „*Sita*” wyszła z laguny na otwarte morze. Wtedy dopiero nastąpiły powitania i wyjaśnienia. Młody Papuas, o którego omal nie rozgorzała walka, budził zaciekawienie całej załogi. Według wyjaśnień Wilmowskiego, herszt piratów zrobił go swoim boyem<sup>587</sup> i wbrew obietnicy, iż odda wszystkich niewolników, nie chciał potem zwrócić mu wolności. Jedynie dzięki zdecydowanej postawie białych podróżników został zabrany na „*Sitę*”. Obecnie były jeniec piratów nie przyłączył się do Papuasów zgrupowanych na dziobie statku. Ani na krok nie odstępował od swego obrońcy. Co chwila obejmował go ramionami i własnym nosem pocierał o jego nos. Widząc to kapitan Nowicki odezwał się:

— Popatrzcie, panowie! Niby dzikus, a umie okazać wdzięczność. Pocziwy to musi być chłopak, ale ma osobliwy sposób objawiania przyjaznych uczuć... Wdzięczny jestem losowi, że to nie ja go uratowałem!

Papuas widocznie znał kilka słów angielskich, gdyż domyśliwszy się, że o nim mowa, zawołał:

— Kanak<sup>588</sup> być dobry chłopiec! All right! Dobry master<sup>589</sup> bronić Kanak. Teraz boy służyć dobry master. All right!

<sup>587</sup> — Boy (ang.) — tutaj w znaczeniu: służący, posługacz.

<sup>588</sup> — Kanak — krajowiec z wysp polinezyjskich; nazwa ta często stosowana jest do wszystkich krajowców pochodzących z wysp mórz południowych; tak również nazywano robotników–krajowców przywożonych z, jakiegokolwiek wyspy Pacyfiku do pracy na plantacjach trzciny cukrowej w Queensland w Australii.

<sup>589</sup> — Master (ang.) — tu w znaczeniu: biały mężczyzna.

Mowa, którą zrazu trudno było zrozumieć, szczególnie zaintrygowała Bentleya. Jeszcze na kilka miesięcy przed wyruszeniem na wyprawę zainteresował się językami nowogwinejskimi i wiedział, że poszczególne plemiona papuaskie, często nawet sąsiadujących ze sobą wsi, mówią odrębnymi językami. Poza tym w holenderskiej części Nowej Gwinei niektórzy krajowcy przyswoili sobie od malajskich myśliwych żargon malajski, natomiast w kolonii angielskiej, niemieckiej oraz na okolicznych wyspach językiem urzędowym, jakim tłumacze porozumiewali się z białymi kolonizatorami, był pidgin–english, czyli zniekształcony język angielski. Pidgin brzmiał dość zabawnie, była to, bowiem dziwacznie wymawiana angielszczyzna z końcówkami i składnią malajską. Papuasi nie mogli sobie przyswoić formy zaimka dzierzawczego, nie potrafili zapamiętać angielskich nazwisk, a ponadto zaznaczali zakończenie zdania, dorzucając do niego „*all right*”, czyli „*dobrze*”.

Bentley ucieszył się stwierdziwszy, że młody Nowogwinejczyk zna pidgin. Zaraz też odezwał się do niego naśladowując żargonowy język:

— Kanak nie być już boy. Ty wrócić do twoja wieś!

— Nie! nie! — zaoponował Papuas. — Wieś daleko, daleko. All right. Tylko biały ojciec tam trafić, ale zły duch wejść do wnętrzości należeć jemu i trząść mocno, mocno. All right. Biały ojciec umrzeć, Kanak zostać sam nad wielka woda, zły master znów złapać Kanak, jeśli Kanak znów nie być boy i nie mieć dobry master. All right. Moja dobry, mnóstwo dobry boy, moja umie gotować herbata i jajko. All right. Teraz moja być boy dobry master, dobry master bronić Kanak. All right.

Dla potwierdzenia swej wielkiej wdzięczności objął Wilmowskiego rękoma za kolana.

— Do stu zdechłych wielorybów, ależ to gaduła! — wtrącił kapitan Nowicki. — Czy rozumiałeś pan coś z tej paplaniny?!

— A jakże, trochę znam pidgin — potwierdził Bentley. — Opowiedział swoją smutną historię. Był boyem jakiegoś misjonarza, z którym przywędrował z głębi wyspy na wybrzeże. Misjonarz umarł na malarię i wtedy biedny chłopak został porwany przez handlarzy niewolników. On chce być boyem pana Wilmowskiego, ponieważ sądzi, że to może zabezpieczyć go przed ponownym porwaniem. Zapewnia, że umie gotować herbatę i jajka.

— Nic dziwnego, że ten misjonarz przeniósł się na tamten świat, skoro żywił go tylko herbatą i jajami — rzekł dowcipny marynarz. — Cóż teraz pocniemy z tym uparciuchem?

— Słyszałem, że nowogwinejscy boye potrafią okazywać wdzięczność swoim chlebodawcom — powiedział Bentley. — Najlepiej zrobimy przekazując go gubernatorowi razem z innymi uwolnionymi.

— Czy pan nie mógłby go zapytać, z jakiego plemienia pochodzi? — nagle odezwał się Tomek.

— Słuszna uwaga — przytaknął Wilmowski. — Może będziemy wędrowali w pobliżu jego rodzinnych stron.

— On powiedział, że jego wieś znajduje się gdzieś daleko — wyjaśnił Bentley. — Prawdopodobnie nie orientuje się w kierunku. Nowogwinejczycy nie mają zwyczaju odbywać długich wędrówek.

— Spytaj go pan o nazwę plemienia, jak radzi Tomek — odezwał się Nowicki.

— Jak nazywać się twoja ludzie? — zwrócił się Bentley do Papuasa.

— Moja Mafulu — padła odpowiedź.

— Mafulu zamieszkują wyżynę Popole, dokąd wiedzie lądem pierwszy etap naszej wyprawy! — zawołał Tomek.

— Nie mylisz się, ten chłopak dobrze trafił! Możemy odprowadzić go do domu — przyznał Bentley.

Niewłocznie powiadomił o tym Papuasa, który zamiast spodziewanej radości okazał duży niepokój. Przysunął się do Wilmowskiego i cicho ostrzegł:

— Mnóstwo dobry master tam nie chodzić! Tam blisko, blisko za rzeką mieszkać Tawade. Oni mnóstwo źli ludzie. Oni kai-kai<sup>590</sup> człowieka...

— Czy on ma na myśli ludożerców? — zapytał Wilmowski.

— Tak przypuszczam — potwierdził Bentley.

— A zatem przestrzega nas przed niebezpieczeństwem — zauważył Tomek.

— Ten zuch może nam się przydać — powiedział Smuga. — Jeśli ma ochotę, niech idzie z nami.

Następnego ranka znów pojawiły się na niebie ciężkie, czarne chmury. Silny południowo-wschodni wiatr uderzył w żagle „Sity”. Cała załoga

---

<sup>590</sup> — Kai kai — jeść.



czuwała w pogotowiu, gdyż jacht, dryfowany w kierunku płytkiej Cieśniny Torresa, usianej podwodnymi rafami, był narażony na niebezpieczeństwo. Tym razem jednak ośrodek cyklonu znajdował się bardziej na południe. Po kilku godzinach niebo znów się wypogodziło i Nowicki mógł wybrać właściwy kurs. Według dokonanych pomiarów burza zniosła ich nieco na zachód.

We wczesnych godzinach popołudniowych na horyzoncie wyłonił się ląd Nowej Gwinei. Poza wąskim skrawkiem płaskiego wybrzeża widniały poszarpane, ciemnozielone, potężne łańcuchy górskie. W dali, na tle jasnego błękitu nieba rysowała się najwyższa w Górach Owena Stanleya Góra Wiktorii<sup>591</sup>, leżąca na północny wschód od Port Moresby<sup>592</sup>.

Cała załoga „*Sity*” przebywała na pokładzie. Wszyscy chcieli się jak najprędzej przyjrzeć tajemniczej wyspie, lecz kapitan Nowicki nikomu nie pozwalał na beczynność. Przybrzeżna żegluga wcale nie należała do bezpiecznych. Jednostajny błękit krystalicznie czystej morskiej toni zakłócały żółte plamy rozległych mielizn. Pod powierzchnią wody sterczały wielkie głazy i podwodne rafy koralowe, wśród których często można było spostrzec wrzecionowate cielska rekinów. Wybrzeże zbliżało się coraz bardziej. Wzdłuż plaż o koralowym piasku, otoczonych wieńcem palm kokosowych, krajowcy żeglowali w pirogach z bocznymi pływakami. Na widnokręgu coraz wyraźniej piętrzył się łańcuch gór porośniętych tropikalnym lasem. Sally i Natasza znajdowały się na mostku kapitańskim, skąd przez lunetę doskonale można było obserwować wybrzeże.

— Panie kapitanie! Widzę wioskę zbudowaną na palach na morzu — zawołała Sally. — Przy brzegu zakotwiczony jest jakiś oryginalny żaglowiec! Na nim odbywa się zabawa! Mężczyźni i kobiety tańczą.

— Kapitanie, cóż to za miejscowość? — zagadnął Wilmowski.

---

<sup>591</sup> — Wysokość około 4000 m.

<sup>592</sup> — Port Moresby — morski port na południowym wybrzeżu Nowej Gwinei; posiada głęboką, okoloną lądem przystań wewnątrz koralowej rafy. Odkrył go kapitan Jan Moresby w lutym 1873 r. Brytyjczycy zajęli go w 1883; od zaanektowania terytorium Papua w 1888 stanowił główne osiedle południowego wybrzeża. W czasach bytności Tomka Wilmowskiego w Nowej Gwinei Port Moresby składał się zaledwie z kilkudziesięciu baraków. W 1939 r. liczył 2628 mieszkańców. Podczas drugiej wojny światowej w lutym 1942 r. był celem japońskich ataków lotniczych i lądowych od strony Gór Owena Stanleya. Obecnie jest nowoczesnym miastem z kilkoma tysiącami białych mieszkańców.

— To zapewne wieś Hanuabada, odległa o kilka mil od Port Moresby — wyjaśnił Nowicki.

— Słyszałem o niej od gubernatora — wtrącił Bentley. — Hanuabada wraz z sąsiednią wsią Elevada znane są na całym południowym wybrzeżu z doskonałych i cieszących się popytem wyrobów garncarskich.

— A ja myślałam, że to rybacy uczują z powodu udanego połowu — powiedziała Sally.

— Mieszkańcy tych wsi nie trudnią się zawodowo rybołówstwem — rzekł Bentley. — Kobiety wyrabiają garnki, natomiast mężczyźni odwożą ich produkty drogą morską nawet do dość odległych miejscowości. W tej właśnie porze zaczyna tutaj wiać południowo-wschodni monsun, toteż mężczyźni szykują się do wyruszenia w daleką drogę, trwającą nieraz około dwóch miesięcy. Kobiety zapewne żegnają tańcami młodych żeglarzy.

— Niejeden z nich znajdzie się w brzuchu żarłocznych rekinów! — dodał kapitan Nowicki. — W zatoce Papua często szaleją burze...

— Na pewno stanowią one poważne niebezpieczeństwo dla tak niezwykłych marynarzy — powiedział Bentley. — Kapitan takiego statku nie kończy szkoły żeglarskiej. W odnajdywaniu właściwego kierunku posługuje się tylko instynktem lub po prostu płynie wzdłuż lądu.

— Przybliżmy się trochę do brzegu — poprosiła Natasza. — Żaglowiec jest tak oryginalny, że warto mu się przyjrzeć...

— Widziałem takie statki na ilustracjach — odezwał się James Balmore. — Zwą się lakatoi.

— Przecież ten statek wcale nie ma kadłuba! — zdumiał się Zbyszek.

— Bo też jest to raczej wielka pływająca tratwa — wyjaśnił Bentley. — Budowa jej jest bardzo prosta. Mianowicie kilkaset wyciosanych z pni drzewnych łodzi łączy się bokami po sześć lub dziesięć w rzędzie. Następnie napełnione garnkami i powiązane w rzędy łodzie ustawia się w długą kolumnę. Na tym pływającym rusztowaniu układa się podłogę z trzciny i bambusów, na której budowane są domki o bambusowych szkieletach, kryte z wierzchu matami. Na takim prowizorycznym pokładzie, zasłanym trawą, stawia się maszty do zawieszania dwóch olbrzymich żagli napiętych na ramy, upodabniających statek do przedpotopowego ptaka o dziwacznych skrzydłach.

— Czy w Hanuabadzie tylko kobiety trudnią się garncarstwem? — zapytał Wilmowski.

— Tak, to ich dziedziczny zawód — potwierdził Bentley. — Są też odpowiednio zorganizowane. Jedne specjalizują się w modelarstwie, inne w wypalaniu naczyń. Modelarki gołymi rękami nadają glinie pożądany kształt. Następnie druga grupa suszy garnki przez kilka dni w słońcu, a potem wypala je w popiele lub otoczone ogniem.

Podczas tej rozmowy „Sita” znacznie przybliżyła się do wybrzeża. Kilku Papuasów uwolnionych z rąk handlarzy niewolników zapewne pochodziło z tych stron, gdyż na jachcie rozbrzmiały gardłowe okrzyki radości. Na lakatoi i na brzegu zawrzało jak w ulu. Krajowcy zaczęli spychać z płaskiego, piaszczystego wybrzeża długie łodzie z bocznymi pływakami. Kilkunastu wpraw popłynęło w kierunku „Sity”. Kapitan Nowicki rad nierad polecił zrzucić żagle i stanąć na kotwicy. Rój łodzi płynących wpraw otoczył „Sitę”. Teraz już nikt nie potrafiłby powstrzymać Papuasów zgromadzonych na jej dziobie. Na wyścigi wspinali się na burtę i skakali do morza. Tylko jeden Mafulu pozostał na pokładzie, aczkolwiek i on spoglądał na ląd tęsknym wzrokiem. Tomek, wzruszony dowodem wdzięczności młodzieńca, który stale przebywał w pobliżu Wilmowskiego, podszedł do niego i zapytał:

— Dlaczego nie witasz swoich ziomków? Nie obawiaj się, będziesz mógł pójść z nami na wyprawę!

— Moja nie umieć pływać... — z żalem odparł Mafulu.

Tomek parsknął śmiechem i przyłączył się do reszty załogi zgromadzonej przy lewej burcie, skąd opuszczono drabinkę sznurową. Właśnie kilku krajowców wspinało się po niej na pokład. Uroczyście witali kapitana Nowickiego i dziękowali za uwolnienie swoich towarzyszy z rąk handlarzy niewolników. Zapraszali też do wzięcia udziału w zabawie, lecz Nowicki odmówił, chcąc jeszcze tego dnia dotrzeć do Port Moresby. Zabawa, przerwana na lakatoi nieoczekiwanym powrotem niewolników, rozpoczęła się na nowo. Rozbrzmiała muzyka. Młode, roześmiane kobiety, ubrane jedynie w szeleszczące, sięgające kolan spódniczki z trawy, szybko tańczyły wokół muzykantów i śpiewały. Oryginalne tatuaże pokrywały ich brunatne piersi oraz ramiona, a wieńce z kwiatów i muszelek przystrajały głowy o krótkich, puszystych czarnych włosach. Mężczyźni, w barwnych przepaskach na

biodrach i z kwiatami hibiskusa<sup>593</sup> wpiętymi w kędzierzawe włosy, ochoczo wybijali takt rękoma, włączali się do tańca.

Załoga „*Sity*” ciekawie przyglądała się z pokładu malowniczemu widowisku. Nie opodal znajdowała się wioska wzniesiona na palach ponad wodą zatoki. Drewniane domy posiadały otwarte platformy w rodzaju werandy, zbudowane przy frontowej ścianie, częściowo osłonięte od góry wystającym okapem dachu krytego trawą. Dotrzeć do nadwodnych domostw można było tylko w łodzi lub płynąc wpław. To właśnie najlepiej zabezpieczało mieszkańców wsi przed napadami wojowniczych górskich plemion z głębi wyspy, które żyjąc z dala od morza, nie znały sztuki pływania, a na dalsze wyprawy nie mogły zabierać z sobą ciężkich łodzi. Na skrawku płaskiego wybrzeża, widocznego na tle górskiej panoramy, również znajdowało się kilkanaście domów na palach. U ich stóp bawiły się gromady nagich dzieci. Naśladując starszych, puszczały na wodę miniaturowe bambusowe lakatoi, tańczyły i śpiewały. Zbyszek i Natasza zasmuceni spoglądali na rozśpiewane wybrzeże. Dręczyła ich tęsknota za najbliższymi, łaknęli widoku rodzinnych stron. Żywiłowa radość Papuasów jeszcze bardziej uzmysławiała im własną niedolę. Tomek i Sally zajęci sobą nie zwracali na nich uwagi, lecz Wilmowski wkrótce spostrzegł ich przygnębienie. Zbliżył się do młodej pary i zagadnął:

— Cóż wam się stało, moi drodzy? Dlaczego nagle straciliście humor?

Zbyszek drgnął, jakby zbudzono go ze snu.

— Rozmyślałem właśnie, dlaczego wszyscy ludzie nie mogą wieść tak beztróskiego życia jak mieszkańcy tej wyspy... — wyjaśnił, ciężko wzdychając.

— Tyle tu szczęścia i radości! Chętnie bym się osiedliła na jakiejś wysepce Pacyfiku — dodała Natasza.

— Doskonale was rozumiem, dawniej mnie również nawiedzały podobne pokusy — poważnie powiedział Wilmowski. — Egzotyczne wysepki Oceanu Spokojnego sprawiają na pierwszy rzut oka wrażenie legendarnego raj, w którym mieszkańcy wiodą prawdziwie sielski żywot. Zaciszne laguny, skąpane w słońcu plaże usiane smukłymi palmami, roztańczeni, rozśpiewani

---

<sup>593</sup> — Hibiscus (ketmia) — rodzaj rocznych lub wieloletnich drzewiastych roślin ślazowatych. Rosną w krajach tropikalnych i subtropikalnych.

krajowcy z barwnymi kwiatami we włosach... Ponętny to, lecz jakże żłudny obraz!

— Wujku, przecież tutaj wszyscy naprawdę się weselą! — zaproponował Zbyszek.

— Akurat przed chwilą rozmawialiśmy na ten temat z panem Bentieym, mój drogi chłopcze — odpowiedział Wilmowski. — Mieszkanki Hanuabady przez długie miesiące pracowały nad swymi rękodzielami. W tym czasie mężczyźni strzegli wsi przed napadami grabieżczych górskich plemion, zdobywali pożywienie. Dzisiaj kobiety żegnają zuchów, którzy na kruchych lakatoi mają zawieźć ich produkty na odległe rynki zbytu. Niebezpieczna to droga... Nie wszyscy z niej powrócą. Burze mogą zmieść kogoś z pokładu tratwy, ktoś znęcony lepszym zarobkiem może przystać do poławiaczy pereł... Dlatego cała wieś bierze udział w pożegnaniu. Wszyscy jeszcze raz chcą się wspólnie weselić. Zaledwie jednak żagle lakatoi znikną na horyzoncie, w wiosce zagości smutek. Z nastaniem wieczoru kobiety będą się zamykały w swoich chatach.

— Może niełatwo jest żyć w górzystej, niedostępnej Nowej Gwinei — zauważyła Natasza. — Toteż chętnie bym zamieszkała na jakiejś małej, samotnej wysepce koralowej... Tęsknię za spokojnym życiem!

— Na wyspach koralowych warstwa gleby jest zazwyczaj bardzo cienka i zawiera małą ilość próchnicy. Rosną, więc na nich tylko palmy kokosowe oraz niektóre krzewy. Radziłbym już wybrać jakąś wysepkę pochodzenia kontynentalnego lub wulkanicznego. Dzięki tropikalnemu klimatowi oceanicznemu posiadają one znacznie bogatszą roślinność<sup>594</sup> — rzekł Wilmowski, przekornie uśmiechając się do czupurnej Nataszy. — Mam wszakże pewność, że i tam nie zaznałaby pani tak upragnionego spokoju.

— A to, dlaczego, jeśli wolno prosić o wyjaśnienie?

— Po pierwsze, dlatego, że tropikalny klimat Oceanii nie sprzyja osiedlaniu się Europejczyków. Po drugie wyspy Oceanii często pustoszone są przez cyklony i huragany, które, jeśli nawet pominiemy straty w ludziach i mieniu osobistym, prawie zawsze powodują głód. Pod wpływem wysokich fal

---

<sup>594</sup> — Rosną tam palmy kokosowe, sagowe i inne, drzewa chlebowe, pandanowe, kauczukowe, bambusy, paprocie drzewiaste, bananowce, ananasy, papawy, a z roślin uprawnych: słodkie karloile, trzcina cukrowa, jamsy, taro, maniok i ryż. Ku wschodowi jednak wyspiarski świat roślinny staje się coraz uboższy.

palmy kokosowe i drzewa chlebowe, będące głównym pożywieniem krajowców, ulegają zniszczeniu bądź też tracą na kilka lat zdolność do owocowania. Toteż wyspiarze przeważnie głodują nawet i w latach nie nawiedzanych przez klęski żywiołowe. Nie chcę już przypominać o niszczycielskiej działalności wulkanów i trzęsień ziemi...

— Czy naprawdę aż tyle klęsk zagraża mieszkańcom Oceanii? — zdumiała się Natasza.

— Jeszcze nie skończyłem, droga pani — ciągnął Wilmowski. — Przez Oceanię przechodzą szlaki wiodące z Ameryki do Azji i Australii. Z tego względu wyspy leżące na Oceanie Spokojnym posiadają znaczenie strategiczne. Od przeszło stu lat trwa walka o panowanie nad nimi. W połowie dziewiętnastego wieku współzawodniczyły w podbojach: Anglia, Francja i Hiszpania. U schyłku ubiegłego stulecia Niemcy zagarnęli szereg wysp Oceanii, wypierając Hiszpanów. Obecnie Stany Zjednoczone również zainteresowały się tymi obszarami.<sup>595</sup> Za misjonarzami wkrótce pojawiają się rozmaici handlarze—spekulanci poszukujący pereł, orzechów kokosowych, kopry, drzewa sandałowego i piór rajszych ptaków. Potem napływają garnizony wojskowe, biali gubernatorzy, plantatorzy, a wraz z nimi nie znane przedtem na tych wyspach choroby. Krajowcy zmuszani są do pracy na plantacjach, co sprawia, że ludności tubylczej ubywa z roku na rok. Tak naprawdę wygląda życie w owym egzotycznym rajku Oceanii.

— Już nie zazdroszczę tej odrobiny radości biednym Papuasom — cicho powiedziała Natasza.

W tej chwili na lakatoi przerwano tańce. Nadeszła pora posiłku. Do „*Sity*” podpłynęła łódź ze smakowicie pachnącymi pieczonymi rybami, jamsami i taro. Podróżnicy nie odmówili przyjęcia poczęstunku, lecz w zamian ofiarowali krajowcom trochę konserw mięsnych. Kapitan Nowicki niebawem dał rozkaz do wyruszenia w dalszą drogę. Jacht, żegnany przyjaznymi okrzykami krajowców, wolno odpłynął od Hanuabady.

---

<sup>595</sup> — Podczas I wojny światowej posiadłości niemieckie na Pacyfiku zostały opanowane przez Japonię i Wielką Brytanie, lecz po zakończeniu działań wojennych Stany Zjednoczone wyparły stamtąd Japonię i wzmożyły penetrację w koloniach Francji, Wielkiej Brytanii oraz w obu jej dominiach — Australii i Nowej Zelandii. Na krótko przed wybuchem II wojny światowej Stany Zjednoczone i Wielka Brytania zagarnęły nawet zapomniane dotychczas i bezludne atole, tworząc na nich bazy dla hydroplanów i lotniska.

## U WRÓT NIEZNANEJ KRAINY

Słońce już chyliło się ku zachodowi. Na niebie, od horyzontu aż do zenitu, płonęła jakby przedziwna tęcza o barwie roztopionego bursztynu, złota i purpury, aż do delikatnych półcieni fioletu i zieleni. Czerwonawy odbłask padał na okoliczne pasma górskie porośnięte dżunglą oraz na równinę leżącą u ich stóp. Mogło się wydawać, że olbrzymia łuna rozpościera się nad gorejącym wnętrzem tajemniczej wyspy. Tomek przysiadł na głazie na skalistym pagórku. Jak urzeczony nie mógł oderwać wzroku od wspaniałego i zarazem groźnego widoku. Zdawało mu się, że sama natura przestrzega ich przed zgłębianiem tajników zapomnianej przez ludzi Nowej Gwinei. Zaledwie wylądowali w Port Moresby, trudności zaczęły się piętrzyć niemal na każdym kroku. Wbrew poprzednim obietnicom i zachętom gubernator odradzał teraz podróż w głąb wyspy. Według nie sprawdzonych dotąd informacji, w kraju Fuyughe, w którym leżał okręg misyjny Mafulu, pierwszy na lądzie etap wyprawy, miała wybuchnąć wojna. Podobno rozpoczęli ją okrutni Tawade. Ziemię zamieszkiwane przez nich wciąż jeszcze stanowiły na mapie białą plamę. Nikt z białych ludzi nie zdołał przekroczyć ich granic. Gubernator nie mógł przydzielić wyprawie odpowiedniej eskorty wojskowej. Nieliczni patrolowi oficerowie brytyjscy kontrolowali jedynie niektóre przybrzeżne okręgi. Ze względów bezpieczeństwa krajowcom nie wolno było bez specjalnego zezwolenia przebywać w Port Moresby po zachodzie słońca.

Ostatecznie po wielodniowych pertraktacjach Bentley wyjednał od gubernatora odpowiednie zezwolenie. Przecież wyprawa była dość liczebna i doskonale uzbrojona. Na jej czele stali doświadczeni podróżnicy. Mimo to Smuga, jako oficjalny kierownik wyprawy, musiał złożyć pisemne zobowiązanie, że bez rzeczywistej, nagłej potrzeby nie będą wkraczali nocą do wiosek i koczowisk krajowców oraz zakładali własnych obozów w ich pobliżu. Zaledwie uporali się ze zdobyciem zezwolenia, natychmiast pojawiły się nowe kłopoty. Mianowicie wśród zamieszkałych wokół Port Moresby plemion Motuan nie można było zwerbować odpowiedniej liczby tragarzy. Krajowcy południowego wybrzeża bardzo się obawiali wojowniczych mieszkańców górskich regionów, którzy nieraz napadali na ich wioski, zabierali żywność oraz młode kobiety.

W przełamaniu obaw tubylców zupełnie nieoczekiwanie przyszedł z pomocą samozwańczy boy Wilmowskiego, oswobodzony z niewoli u piratów. Ain'u'Ku, czyli Słodki Kartofel, jak w języku Fuyughe<sup>596</sup> zwał się młody Mafulu, z zapałem opowiadał współziomkom o nadprzyrodzonej potędze swoich białych opiekunów. Wiara w czary i duchy była głęboko zakorzeniona wśród krajowców Nowej Gwinei, toteż wszędzie znajdował wielu chętnych słuchaczy. Dla nich było rzeczą oczywistą, że tylko czarownicy mogli bez walki zmusić piratów do oswobodzenia niewolników. Zapewne „*biali masters*” byli nawet duchami, skoro potrafili w czasie burzliwej nocy zjawić się niepostrzeżenie na statku pirackim i potem tak samo zniknąć, uprowadzając herszta. Według wierzeń zabobonnych krajowców, przyczyną wszystkich nieszczęść człowieka, chorób, a nawet śmierci zawsze były złe duchy oraz źli czarownicy. Dlatego też naiwny Ain'u'Ku przekonał ich wymowniej niż obietnice dobrego wynagrodzenia, że pod opieką przemożnych, dobrych białych duchów nic złego stać się im nie może. Dzięki jego paplaninie około stu Papuasów wyraziło chęć towarzyszenia wyprawie w drodze do stacji misyjnej na wyżynie Popole.

Przysługa oddana przez Ain'u'Ku nie pozostała bez nagrody. Smuga mianował go boss-boyem, czyli kierownikiem tragarzy i pozwolił mu nosić karabin. Wprawdzie, nie chcąc ryzykować jakiegoś wypadku, nie dał mu nabojów, lecz mimo to Ain'u'Ku czuł się niezmiernie zaszczycony. Zaczął ślepo wykonywać wszelkie rozkazy białych masters, a czasem nawet przesadzał w gorliwości i posłuszeństwie.

Tomek, rozmyślając o sytuacji wyprawy, rozchmurzył się wspomniawszy poczciwego boya. Dzięki jego życzliwej pomocy łatwiej będą mogli zyskać zaufanie innych plemion w głębi wyspy. Pokrzepiony na duchu, znów spojrzął w rozplómięte niebo. Tarcza słoneczna już prawie całkowicie zniknęła za krawędzią wysokich gór. Czerwonawa luna stała się znacznie bledsza. Ostatnie purpurowe promienie odbijały się na zachodzie od krańców ciemnych chmur, rzucając nikły odblask na wąską górską ścieżynę. Port Moresby, widoczny jeszcze w pełnym blasku dnia na wąskim skrawku płaskiego wybrzeża na południowym wschodzie, obecnie już zaginął w

---

<sup>596</sup> — Język Fuyughe używany był przez: Papuasów w dolinach Dilava. Auga i Yaloghe, gdzie zamieszkiwało również plemię Mafulu. Później cały obszar, na którym posługiwano się językiem Fuyughe, nazwano okręgiem Mafulu.



zamglonej dali. Jak zwykle w tych szerokościach geograficznych, wieczór zapadał nagle, prawie nie poprzedzony zmrokiem.

— Tomku...! Tomku...! Wracaj na kolację...! — rozbrzmiało w tej chwili zwielokrotnione przez echo wołanie Sally.

Dingo, który przywarował u stóp młodzieńca, zastrzygł uszami. Zaraz też zwinnym ruchem powstał na cztery łapy i szczeknął głucho, spoglądając na Tomka. Ten ocknął się z zadumy. Poglaskał swego ulubieńca, po czym rażno odkrzyknął:

— Już idę...!

Powstał z głazu; poprzedzany przez Dinga pobiegł ścieżką w dół górskiego zbocza. Wkrótce znalazł się w kręgu rozbitych namiotów obozowiska. Jego towarzysze siedzieli naokoło ogniska, nad którym dymił kocioł z gorącą zupą. Tomek usiadł obok kapitana Nowickiego.

— Gdzież to szanowny pan przebywał tak długo? — zagadnęła Sally, stawiając przed nim blaszany talerz napelniony zupą.

— Byłem na wzgórzu. Podziwiałem wspaniały zachód słońca — wesoło odparł Tomek. — Purpurowy odblask sprawiał wrażenie, jakby olbrzymia łuna unosiła się nad zachodnią częścią wyspy.

— Tylko patrzeć, jak zaczniesz gryzmolić wiersze — ironicznie zauważył kapitan Nowicki.

— Skąd taki nedorzeczny wniosek?! — oburzył się Tomek.

— Ano, brachu, najpierw człek staje się wrażliwy na piękno natury, potem ciężko wzdycha i spogląda ukradkiem na damę jak cielę na malowane wrota, a w końcu zaczyna gryzmolić wierszyki. Wszyscy zakochani młodzieńcy tak robią.

— Czy pan naprawdę sądzi, że Tommy jest zakochany? — filuternie podchwyciła Sally.

Tomek natychmiast pochylił się nad talerzem, by ukryć zmieszanie, a kapitan Nowicki ciągnął dalej:

— A jakże, ale nie tylko on jeden został ugodzony przez Amora. Spostrzegłem, że pan James Balmore często wpatruje się w księżyc i potem zamyślony wpisuje coś do notesu.

Balmore poczerwieniał i zakrztusił się gorącą zupą. Tomek tymczasem zdążył już ochłonąć z zakłopotania i rzekł:

— Co do mnie, trafił pan jak kulą w plot, kapitanie! Nigdy w życiu nie napisałem ani jednej linijki wiersza!

— To szkoda, brachu, wielka szkoda — odpowiedział Nowicki. — Miałyby twoje dzieci, co poczytać w przyszłości! Masz zręczną rękę do pisaniny. Sam z przyjemnością słuchałem twoich liścików, które smarowałeś do jednej australijskiej sikorki. Twoje raporty w dzienniku pokładowym również są bardzo składne. Niejeden mógłby się z nich dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy o świecie. Moim zdaniem powinieneś wydać je drukiem.

— Świetny pomysł, drogi panie kapitanie! — zawtórowała Sally. — Posiadam pokaźny zbiór listów, które Tommy pisał do mnie z wszystkich swoich wypraw.

— Skończcie z tymi śmiesznymi pomysłami — rzekł Tomek, wzruszając ramionami. — Kogo by mogły zaciekawić moje listy pisane do ciebie?!

— Tak uważasz?! — oburzyła się Sally. — A więc dobrze, jeśli się na mnie nie pogniewasz, to mogę ci coś powiedzieć!

— Nie pogniewam się! — zapewnił Tomek.

— Dajesz słowo?

— Oczywiście!

— Było to jeszcze w szkolnym pensjonacie w Australii. Właśnie otrzymałam od ciebie list z Afryki, pisany w pociągu, w drodze z Nairobi nad Jezioro Wiktorii. Ze względu na późną porę, wieczorem mogłam przeczytać go tylko jeden raz. Opisy kraju były tak bardzo interesujące, że rano następnego dnia, na pierwszej lekcji, zaczęłam ukradkiem ponownie czytać list. Zajęta pasjonującą lekturą zapomniałam o rzeczywistości. Nagle ktoś wyciągnął mi list spod ławki. Oniemiałam ujrawszy panią Carlton, nauczycielkę geografii, stojącą obok mnie z twoim listem w ręku. Z niemym wyrzutem w surowym wzroku nauczycielka powróciła do swego stolika i zaraz zaczęła czytać po cichu. Myślałam, że oberwę burę. Przez kwadrans trwała cisza. Potem nauczycielka zawołała mnie na środek klasy i zapytała, kim jest ów młody podróżnik. Odpowiedziałam...

Rezolutna Sally zarumieniła się i umilkła zmieszana, lecz po chwili znów mówiła dalej:

— No, mniejsza z tym co odpowiedziałam. W każdym razie pani Carlton życzyła mi wszystkiego najlepszego i poprosiła, abym tak

interesujących opisów różnych krajów nie zachowywała dla samej siebie. Odtąd wszystkie twoje listy odczytywałam na głos na lekcji geografii jako lekturę uzupełniającą. Pani Carlton zawsze twierdziła, że powinny być wydrukowane.

— A co, nie mówiłem? — triumfował kapitan Nowicki. — Brachu, jak amen w pacierzu masz pewny fach w ręku na stare lata!

Tomek mruknął coś pod nosem. Spod oka bacznie obserwował młodą przyjaciółkę, a tymczasem James Balmore odezwał się karcącym tonem:

— Mimo wszystko uczennice nie powinny się zajmować listami od chłopców na lekcjach.

— Zaraz widać, że dotąd nie otrzymywałaś miłych liścików — wtrąciła Natasza.

— To nie ma nic do rzeczy, podczas lekcji należy zajmować się nauką — upierał się James.

— Nie bądź pan taki skrupulatny, bo zapewne nie tylko o te lekcje panu chodzi... — wtrącił rozweselony Nowicki.

— Nie wszyscy mogą być idealnymi uczniami, panie Balmore — zauważył Bentley. — Zapewne każdy z nas czasem coś przeszkrobał w szkole.

— Święta racja, ja na przykład lubiłem prztykać w ucho koleżków siedzących przede mną — przyznał się kapitan Nowicki. — Często też za to obrywałem od belfra po łapie linijką, bo kumple nie mieli odwagi odpłacić mi tym samym!

— Tak, tak, kapitan był niezłym ziółkiem — rzeki Wilmowski, który niegdyś razem z Nowickim uczęszczał do tej samej szkoły. — Trzeba jednak przyznać, że zawsze stawał w obronie słabszych kolegów.

— Mama mówiła, że Tomek miał w szkole u nauczycieli opinię niespokojnego ducha — odezwał się Zbyszek Karski. — Nienawidził rusofilów i zawsze płatał im jakieś kawały. Ale uczył się doskonale!

— Gdybym była chłopcem, chciałabym być tylko taka jak on! — porywczo powiedziała Sally.

— I ja także! — dodała Natasza.

— Czas zająć się pracami obozowymi — przerwał pogawędkę Smuga. — Potem wszyscy kładą się spać, skoro świt ruszamy w drogę. Jutrzejszy odcinek marszu będzie bardziej męczący.

— A jakże, górzyska już wyrastają przed nami — westchnął kapitan Nowicki.

— Tomku, wieczorem straż należy do ciebie — polecił Smuga. — Od dwunastej moja kolej, o drugiej zastąpi mnie kapitan, który zrobi pobudkę o wschodzie słońca.

— Czy nie uważasz pan, że powinno się zaprawiać młodzież do służby obozowej? — zapytał Nowicki. — Wszyscy muszą nauczyć się pełnienia wachty. Może by tak, na przykład, Sally trochę poćwiczyła z Tomkiem?

Smuga zdziwiony spojrzał na marynarza, który porozumiewawczo mrugnął do niego. Poweselał, domyśliwszy się intencji przyjaciela, i odparł:

— Słuszna uwaga, kapitanie, o ile oczywiście Sally ma na to ochotę i nie jest zbyt zmęczona!

— Mogłabym nawet zaraz wyruszyć w dalszą drogę — zawołała uradowana panienka. — Chętnie będę czuwać z Tommym!

— Dobrze, ale najpóźniej za dwie godziny masz pomaszerować do łóżka — dodał Smuga.

Według zapewnień Benlleya, potwierdzonych przez Ain'u'Ku, w Nowej Gwinei po zapadnięciu ciemności białym podróżnikom nie zagrażało niebezpieczeństwo napadu ze strony wojowniczych krajowców. Nadzwyczaj przesądni Papuasi wystrzegali się opuszczania swych chat w nocy; wierzyli, że dżungla staje się wówczas siedliskiem różnych duchów. Tych zaś obawiali się nade wszystko. Dzięki temu zabobonowi wieczorna służba wartownicza polegała tutaj głównie na nadzorowaniu prac obozowych. Sumienny w wykonywaniu swych obowiązków Tomek nie mógł nic zarzucić Zbyszkowi, który po trzech dniach marszu, oprócz zajęć intendenta, objął również funkcję oboźnego. Wieczne porcje żywności zostały już wszystkim wydzielone, a skrzynie z prowiantem i inne bagaże, odpowiednio posegregowane, ułożone były w jednym miejscu w należyтым porządku.

Tomek i Sally zajrzeli z kolei do namiotów. Każdy biały uczestnik wyprawy miał w nich przydzielone miejsce do spania. Tomek stwierdził z zadowoleniem, że nie zaniedbano wstawienia nóg polowych łóżek do blaszanych puszek po konserwach napełnionych wodą, co dość skutecznie zapobiegało włożeniu robactwa do pościeli. Moskitiery nad łózkami również były szczelnie dopięte. Ze względu na to, że w górzystych okolicach Nowej

Gwinei noce bywały chłodne, w różnych punktach obozu zgromadzono zapasy chrustu, by można było podsycać nim ogniska aż do świtu.

— Będzie ze Zbyszka pociecha! — pochwalił Tomek, ukończywszy przegląd.

— On jest bardzo ambitny! Wzorowo wykonuje swoją pracę — powiedziała Sally. — Powinieneś zwracać uwagę, aby się zbytnio nie przemęczał. Nie odzyskał jeszcze pełni sił po ciężkich przeżyciach na Syberii.

— Pamiętam o tym, Sally, pamiętam — rzekł Tomek. — Rozmawialiśmy na ten temat z ojcem. On jest zdania, że trudy wyprawy zahartują Zbyszka.

— Twój kochany tatuś zawsze myśli o wszystkich — powiedziała Sally.

Tak gawędząc przystanęli przed kręgiem rozżarzonych ognisk, przy których papuascy tragarze mieli spędzić noc pod gołym niebem. Krajowcy właśnie kończyli wieczorny posiłek. Byli wdobrym nastroju, jak zwykle po sutym jedzeniu. Cała świnia, podarowana im przez Smugę, została po upieczeniu sprawiedliwie podzielona na równe porcje. Niektórzy jeszcze wygrzebywali z popiołu zaimprovizowanego na poczekaniu „*pieca*” słodkie kartofle i jedli je, popijając wodą z liści zwiniętych w rożki. Inni żuli betel<sup>597</sup>, zbiorowo palili fajki bądź też leżąc wkoło ognisk drapali się po głowie bambusowymi grzebykami, podobnymi do zakrzywionych widełek. W gronie Papuasów rej wodził młody boss-boy, Ain'u'Ku. Obecnie, ubrany w przydługą dla niego koszulę Tomka opuszczoną aż za kolana, gardłowym głosem głośno coś opowiadał. Spora grupka Papuasów słuchała go w skupieniu, gdyż w kraju, gdzie wszyscy chodzą nago, ubiór dodaje człowiekowi godności. Toteż dumny Ain'u'Ku co chwila zerkał na rozpiętą na piersiach koszulę i nie wypuszczał z dłoni swego nie nabitego karabinu. Naraz któryś z krajowców zanucił melancholijną pieśń. Kilkanaście innych głosów zaraz podchwyciło melodię. Papuasi powstali z ziemi i rozpoczęli tańce wokół ognisk. Wśród leniwie unoszących się niebieskawych dymów ciemnobrązowe, nagie postacie krajowców sprawiały wrażenie rozkołysanych fantastycznych cieni.

---

<sup>597</sup> — Betel — rodzaj używki sporządzanej z owoców palmy betelowej, z liści pieprzu betelowego i odrobiny wapienia.

Sally, zaniepokojona, przyglądała się widowisku. Od chwili wyruszenia z Port Moresby wieczorne posiłki krajowców kończyły się tańcami, które trwały aż do późnej nocy. Po chwili zagadnęła swego towarzysza:

— Tommy, obawiam się, że nasi tragarze wkrótce zupełnie opadną z sił. Przecież oni prawie wcale nie wypoczywają po forsownych marszach.

— Czy martwią cię ich tańce? — zapytał Tomek.

— O nie właśnie mi chodzi...

Tomek uśmiechnął się i odparł:

— Nie kłopotz się tym! Gdy krajowcy mają ochotę na tańce, jest to najlepszym dowodem, że są najedzeni i weseli. Dobry to znak dla nas. Przecież obawialiśmy się, że jutro odmówią wyruszenia w dalszą drogę. Wkraczamy już na tereny nie kontrolowane dotąd przez rządowych oficerów patrolowych.

— To zapewne, dlatego pan Smuga polecił dać im całą świnie na kolację? — domyśliła się Sally.

— Tak, moja droga! Mięso jest dla nich prawdziwym przysmakiem. W Nowej Gwinei prawie wcale nie ma większej zwierzyny. Dlatego też Papuasi, jako wegetarianie z konieczności, nie odznaczają się okazałą budową fizyczną. Ich codzienny pokarm stanowią słodkie kartofle, taro, dzika fasola, kukurydza i ogórki, korzenie krzewów, trzcina cukrowa, banany, migdały pandami<sup>598</sup>, a czasem w dni świąteczne jamsy. Wioskowe świnie zabijają jedynie na niezwykle uroczystości. Niekiedy poszczęści się jakiemuś myśliwemu — ustrzeli papugę, dzikiego gołębia lub rajskiego ptaka. Czasem upoluje małego niedźwiedzia z odmiany oposów, kazuara lub dzikiego odyńca, ale na tym koniec.

— Któż to udzielił ci tak wyczerpujących informacji? — zdumiała się Sally.

— Wczoraj wieczorem w namiocie przysłuchiwałem się długiej dyskusji ojca z panem Bentleyem. Wiesz, że ojciec zbiera materiały naukowe.

— Oczywiście, pamiętam o tym! Gdy opowiada o różnych krajach, mogłabym przez całą noc nawet nie zmrużyć oka.

---

<sup>598</sup> — Pandan (*Pandanus*) — drzewo lub krzew z rodziny pandanowatych (pochutnikowatych), o pniu pojedynczym lub widlasto rozgałęzionym, z korzeniami podporowymi i z pękiem mieczowatych liści na wierzchołku. Rośnie w krajach na wybrzeżach Oceanu Indyjskiego i Wielkiego.

— Ja również, ale teraz przypomnij sobie polecenie pana Smugi. Czas iść do łóżka. Jutro czeka nas uciążliwy marsz.

— Tommy, pozwól mi zostać jeszcze troszeczkę, dobrze?

— Ale tylko krótką chwilę. Spójrz, księżyc już wschodzi!

Zza krawędzi górskiego łańcucha właśnie wychylił się rąbek tarczy księżycyca w pełni. Jak olbrzymia, czerwono-półyskująca kula wolno wypływał na mleczno-szare niebo. Gdzieś w dolinie, wśród pagórków porośniętych dzunglą, rozlegało się przeciągłe wycie. Echo niosło je od zbocza do zbocza, aż nowe coraz to bardziej oddalone skowoty przyłączyły się do niego. Sally, trochę zalekniona, mimo woli przysunęła się bliżej do Tomka. Opiekuńczo otoczył ją ramieniem i rzeki:

— Nie bój się, to psy nowogwinejskie wyją do księżycyca...

— Psy...? Dzikie psy...? — niedowierzająco szepnęła Sally. — Tommy, a może to naprawdę jakieś nieznanne stwory nawołują się nocą w pobliskiej dzungli?

Tomek cicho się roześmiał.

— Zapomnij o naiwnych opowieściach zabobonnych krajowców! — odparł. — Być może dzungle nowogwinejskie kryją niejedną tajemnicę, lecz z całą pewnością nie spotkamy w nich potworów czy duchów. Te ponurawe głosy w dali są jedynie wyciem psów hodowanych przez krajowców.

— Naprawdę...?

— Możesz mi wierzyć — zapewnił Tomek. Pewien podróżnik opowiadał panu Bentleyowi, że w okolicach Merauke<sup>599</sup> słyszał w księżycowe noce wycie domowych psów, które przez cały czas towarzyszyło księżycowi w jego wędrówce ze wschodu na zachód. Nowogwinejskie psy wyróżniają się właśnie tym, że nie potrafią szczekać i wyją tylko przy wschodzie księżycyca.

— Tommy, szczekanie australijskich dingo również przechodzi w jakiś nieprzyjemny skowyt — zauważyła Sally już całkowicie uspokojona.

— Nie zostało dotąd stwierdzone, czy tutejsze psy są spokrewnione z australijskimi dingo. W każdym bądź razie przybyły na Nową Gwineę razem z ludźmi i nie zerwały więzi z człowiekiem, zaś australijski dingo żyje obecnie w stanie dzikim. W tej chwili ciche skomlenie rozległo się u ich stóp. Sally zaraz pochyliła się, by pogłaskać swego ulubieńca, i powiedziała:

---

<sup>599</sup> — Merauke — port morski i główne miasto na południowym wybrzeżu Irianu Zachodniego, leżące u ujścia rzeki o tej samej nazwie.

— Kochane psisko myślało, że o nim rozmawiamy.

Dingo w odpowiedzi otarł się łbem o jej nogi i szczechnął, spoglądając na Tomka.

— Dobre psisko przypomina, że jego pani powinna już od dawna być w łóżku — rzekł Tomek. — Dobranoc, Sally!

— Dobranoc, Tommy! Dingo, odprowadź mnie do „*domu*”!

— Dingo, pilnuj pani, żeby nie przyśniły się jej jakieś złe duchy dżungli — zażartował Tomek, głaszcząc psa po głowie.

Sally i Dingo zniknęli w namiocie. Tomek przysiadł na głazie; powiódł wzrokiem po obozowisku. W namiotach pogasły światła. Jego towarzysze już spali. Krajowcy także z wolna się uciszali. Kończyli śpiewy i tańce. Jeden po drugim kładli się wokół ognisk i zasypiali. Nie był to jednak sen zbyt długi ani głęboki. Co pewien czas któryś z nich podnosił się, dorzucał parę gałęzi do ogniska, gdyż noce na tych wysokościach były dość chłodne. Tomek spoglądał w ciemną dal. Na jaśniejszym tle nieba wyraźnie rysowały się grzbiety górskich pasm. Na dolinę leżącą u ich stóp opadała szara mgła. Już nikt nie śpiewał w obozie. Wokół rozbrzmiewała przenikliwa, monotonna pieśń nocnych świerszczy.



## TCHNIENIE DŻUNGLI

Zaledwie noc poszarzała, kapitan Nowicki urządził pobudkę. Ranek był mglisty i chłodny. Cała dolina zasnuta mgłą sprawiała wrażenie równiny pokrytej śniegiem. Po niebie przepływały niskie, kłębiaste chmury. Podróżnicy z zapalem przystąpili do zwijania obozu, ponieważ chłód i wilgoć wszystkim dawały się we znaki. Krajowcy zziębnięci skupiali się przy ogniskach i osuszali swe nagie ciała z nocnej rosy. Jednocześnie piekli w popiele słodkie kartofle, które wraz z surową wodą, pitą z liści zwiniętych w rożki, stanowiły ich śniadanie. Po skromnym posiłku zakurzyli oryginalne fajki i po pociągnięciu z nich kilka razy dymu gotowi byli do drogi.

Wkrótce chmury rozpierzchły się, powoli zniknęły w dali. Słońce nabierało mocy, rozpraszało mgłę. W obozie powstało trochę zamieszania, jak zwykle przy rozdziale pakunków. Każdy z tragarzy chciał nieść najlżejszy i najwygodniejszy dla siebie bagaż, ale energiczny Smuga oraz gorliwy w pełnieniu obowiązków Ain'u'Ku szybko zażegnali wszystkie spory. Karawana rozpoczęła marsz.

Dziki trakt początkowo wiodł wyżynną równiną, porośniętą grubą, wysoką, ostrolistną trawą kunai, sięgającą pieszemu, wysokiemu człowiekowi aż do szyi. Wielka trawiasta równina przypominała żółtozielone morze o nieruchomej w bezwietrzną pogodę toni, ponad którą wystrzelały gdzieniegdzie kępy smukłych drzew eukaliptusowych, niczym na australijskich stepach. Wędrówka przez sawannę, porośłą tak wysoką trawą, że na ogół niscy krajowcy wcale nie byli w niej widoczni, zmusiła Smugę do zachowania szczególnych środków ostrożności. Wchodzili w kraj nie kontrolowany przez patrole, a trawa kunai stwarzała warunki sprzyjające urządzaniu zasadzek. Wszak gubernator w Port Moresby mówił, że grad dzid i pierzastych zatrutych strzał z łuków padał nieraz na podróżników z na pozór bezludnej sawanny. Toteż Smuga prowadził karawanę ubezpieczonym szykiem. Razem z Tomkiem i Dingiem wysunął się o kilkadziesiąt metrów przed maszerującą kolumnę. Obydwaj zwiadowcy bacznie obserwowali zachowanie psa, który podczas poprzednich wypraw niejednokrotnie ostrzegał ich przed niebezpieczeństwem. Sami również rozglądali się na wszystkie strony; co pewien czas jeden z nich wspinał się na barki drugiego i przez

lunetę lustrował okolicę. Właściwe czoło karawany stanowił Wilmowski z Bentleyem; za nimi w niewielkiej odległości szły dziewczęta ze Zbyszkiem Karskim i Jamesem Balmore'em; następnie gęsiego kroczył długi wąż tragarzy, na samym zaś końcu kapitan Nowicki oraz dwaj preparatorzy — Stanibrd i Wallace. W tym szyku karawana wędrowała kilka godzin.

Około południa równina zaczęła się stawać coraz bardziej falista. Południowe nizinne sawanny częściej ustępowały miejsca lesistym pagórkom, które wkrótce przemieniły się w biegnące w różnych kierunkach odnogi głównego łańcucha górskiego, stanowiącego jakby kręgosłup wyspy. Potężny, równy jego masyw piętrzył się w dali na horyzoncie, urozmaicony pojedynczymi olbrzymimi szczytami, rysującymi się na tle rozjarzonego słońcem nieba niczym jakieś dawne zamczyska obronne. Smuga ciekawie przyglądał się górskiemu krajobrazowi. W pewnej chwili zwrócił się do Tomka:

— Mina zrzędzie naszemu kapitanowi... Niezbyt to zachęcający widok dla niego.

— Góry wszystkim dadzą się we znaki — odrzekł młodzieniec. — Zanim jednak dojdziemy do nich, czeka nas wędrówka przez dżunglę. Przed chwilą przypatrywałem się jej przez lunetę.

— Masz rację, w tym kraju nie można narzekać na monotonię.

— Właśnie rozmyślałem o tym dzisiaj rana — powiedział Tomek. — Mieliśmy dobrą okazję przyjrzenia się wyspie najpierw z morza, a teraz oglądamy jej wnętrze.

— Zatrzymajmy się na tym wzgórzu i poczekajmy na czoło karawany — zaproponował Smuga. — Mamy nieco czasu, proszę, więc, powiedz, jakie poczyniłeś obserwacje? Ciekaw jestem, czy pokrywają się z moimi.

— Doskonale! Na ostatnim postoju zapisałem w podręcznym notatniku pewne uwagi na temat topografii Nowej Gwinei.

Tomek przysiadł na kamieniu; wydobył notes z kieszeni bluzy i zaczął czytać:

*„Obydwa krańce południowego wybrzeża wyspy posiadają urwiste, mokre brzegi, kryjące kraj falisty, porośnięty trawą kunai i rzadko rozrzuconymi drzewami. Idąc od południowo-wschodniego krańca wyspy w kierunku zachodnim, w niżej położonych regionach znajdujemy palmy kokosowe i przepiękny busz. Jeszcze dalej za nimi leżą rozległe mokradła, w*

*które wdzierają się wielkie rzeki, umożliwiające dostęp w głąb bagnistych okolic. Z południowo-wschodniego wybrzeża w głąb wyspy na północny zachód wiodą równinne bądź faliste sawanny, porośnięte zdradliwą trawą kunai oraz kępami dzikich drzew owocowych i eukaliptusowych. Z wolna przemieniają się one w kraj coraz bardziej pofałdowany i giną w dolinach u stóp pasm górskich, będących odgałęzieniami głównego łańcucha, zalegające wzdłuż całą wyspę ze wschodu na zachód. Stoki górskie i doliny porasta tropikalna dżungla.”*

— Poczyłeś bardzo trafne spostrzeżenia, Tomku — pochwalił Smuga. — Całkowicie zgadzam się z nimi. Notuj dalej wszystko jak najdokładniej, wchodzimy przecież w kraj w ogóle nieznany.

— Będę to miał na uwadze, proszę pana — odparł młodzieniec. — Oto już zbliżają się nasi.

— Czy wszystko w porządku, Janie?! — zawołał zaniepokojony Wilmowski, pospiesznie wysforowując się z Bentleyem nieco do przodu.

— Jak do tej pory, tak! — odpowiedział Smuga. — Przed nami dżungla. Teraz musimy iść bardziej zwartą kolumną.

Jeszcze przez jakiś czas karawana wędrowała szeroką doliną, zanim kępki eukaliptusów ustąpiły miejsca jakby kolumnadom drzew o jasno ubarwionych pniach, o odcieniu czerwonym lub żółtym. Był to już przedsionek dżungli, która niebawem ukazała się w całej okazałości. Natasza, Zbyszek i James Balmore, którzy dopiero po raz pierwszy znaleźli się w prawdziwym lesie tropikalnym, zamilkli oszołomieni, a nawet nieco załęknieni jego ogromem i nie oczekiwanym przez nich wyglądem. Wyobrażali sobie dżunglę jako niezwykle trudny do przebycia, wiecznie mroczny gąszcz drzew, krzewów oraz różnych pnączy. Tymczasem w rzeczywistości drzewa o rzadkich rozgałęzieniach i skąpo ulistnionych koronach przeważnie przepuszczały dostateczną ilość światła. Nawet w miejscach, gdzie liany spleływały wierzchołki wysokich drzew, promienie słoneczne, odbijając się od grubych, skórzastych, lśniących liści, rozjaśniały dżunglę cienkimi smugami świetlnymi i migotliwymi odbłysekami.

Wbrew mniemaniu młodych przyjaciół Tomka dżungla nie przedstawiała jednolitego widoku ani ubarwienia. Ponad wierzchołki niższych drzew wystrzelały w górę prawdziwe leśne olbrzymy, tworzące niepokojący obraz. Korony rozmaitych drzew, rosnących obok siebie, zadziwiała różnorodnością

kształtu; jedne były stożkowate, inne zaokrąglone bądź też szerokie lub wąskie. Pnie poszczególnych drzew, o właściwym sobie jasnym kolorze, ostro odcinały się na tle ciemnej zieleni runa. W tropikalnym lesie prawie wszystko nabierało niezwykłych, monumentalnych cech. Drzewa rzadko wrastały w ziemię korzeniami palowymi. Aby jednak mogły się skutecznie oprzeć gwałtownym wichrom, szeroko rozpościerały szponowate korzenie prawie na powierzchni ziemi, często wypuszczały z góry swych pni tak zwane korzenie przybyszowe, które rosąc w dół podpierały drzewo, a niekiedy przekształcały się w korzenie deskowe i tworzyły potężne, pionowo sterczące fałdy, stanowiące dogodny kryjówki dla zwierząt i ludzi.

Różne liany <sup>600</sup>, które w strefie umiarkowanej zazwyczaj należą do roślin zielnych, tutaj, dzięki dostatecznej ilości światła oraz wilgoci, stawały się w większości drzewiastymi pnączami. Wiły się wokół drzew, ich gałęzi, wieńczyły i łączyły w górze korony, oplatały zdrewniałe źdźbła bambusów, osiagających wysokość kilkudziesięciu metrów. Pędy lian, nieraz o grubości olbrzymiego węża, wyglądały jak potężne, skręcone liny bądź też były spłaszczone jak pasy i pofałdowane. Niektóre dławiły, morderczymi uściskami swe podpory, obumierające od wierzchołka. <sup>601</sup>

Światło i wilgoć sprzyjały rozwojowi wielu porośli, czyli epifitów. Pewne gatunki glonów, porostów i mchów rosły wprost na ziemi, inne natomiast zadomowiły się na grubych, poziomych gałęziach słabo ulistnionych drzew, w szczelinach kory oraz w zagięciach lian. Oprócz samożywnych roślin zarodnikowych osiedlały się na drzewach także pewne rośliny naczyniowe — paprotniki i kwiatowe. Dzięki nim dżungla przybierała wygląd wielkiej oranżerii i napełniała się ciężkim, aromatycznym zapachem kwiatów, które zwisały z drzew niczym jaskrawożółte lub czerwone festony. Szczególny zachwyty młodych podróżników wywoływał widok różnobarwnych storczyków, wychylających się z zieleni.

---

<sup>600</sup> — Liany, czyli pnącza — światłolubne rośliny o długich, wiotkich pędach czepnych; należą do osobliwości strefy gorącej. Najwięcej spotykamy ich w tropikalnej Ameryce (szczególnie w Brazylii) potem w południowo-wschodniej Azji, na Archipelagu Malajskim i w Afryce. Nazwa "liany" pochodzi od tubylców Wysp Antylskich, którzy tak nazywali rośliny pnące się po drzewach, francuscy botanicy wprowadzili ją jako termin naukowy. Pnącza rosną także w strefie umiarkowanej. Są to: groszki, wyki, powoje, chmiel, itp., lecz tylko niektóre mają drewniejącą łodygę. Z tych ostatnich znajdujemy w Polsce jedynie bluszcz, powojnicę alpejską, przewiercień oraz *Clematis Yitalba* w Kazimierzu nad Wisłą.

<sup>601</sup> — Jedynie niektóre gatunki rodzaju *Ficus* są dusicielami.

— Cóż za przepiękne orchidee! — zawołała Sally, przystając przed zwisającym konarem. — Tomku, zerwij dla mnie, choć jeden kwiat!

Młodzieniec wszakże gwałtownie odepchnął ją na bok i zanim zdążyła zorientować się w sytuacji, uderzeniem kolby sztucera zmiażdżył łeb zielono-żółtemu węzowi drzewnemu.

Sally trochę przybladła, ale zaraz zapanowała nad sobą i powiedziała:

— Och, Tommy! Niepotrzebnie go zabiłeś, on chyba nie jest jadowity!

— Masz rację, ale to był odruch — odparł Tomek. — Od czasu twego zaginięcia w australijskim buszu nienawidzę węży. Obawialiśmy się wtedy, czy przypadkiem nie zostałeś ukąszona przez jakiegoś jadowitego gada.

— Więc wciąż o tym pamiętasz?! — ucieszyła się Sally i zaraz uściskała przyjaciela.

— Nasz wierny Dingo również ucierpiał od jadowitego węża w Afryce. Prawdopodobnie ocalił mi życie — dodał Tomek.

Starsi uśmiechali się, słuchając tej rozmowy, a gromada Papuasów obstała obydwój młodych, wydając głośnie okrzyki radości. Przedsiębiorczy Ain'u'Ku powstrzymał tragarzy i nie mniej uradowany od nich włożył jeszcze drgającego węża do swej podręcznej plecionki z zapasami żywności.

— Młody master dobre oko, prędką ręką, all right — powiedział zadowolony. — Moja upiecze wąż wieczorem. Moja mieć dobre jedzenie, all right.

— Tomku, czy on naprawdę zamierza zjeść to paskudztwo?! — niedowierzająco zapytał Zbyszek.

Zanim Tomek zdążył odpowiedzieć, rozbrzmiał tubalny głos kapitana Nowickiego, który właśnie nadszedł z tylną strażą:

— A cóż w tym takiego dziwnego? Murzyni w Afryce również wcinają węże. To dla nich wielki rarytas! Swego czasu nawet sam skosztowałem jedno dzwonko. Mięso było białe i smakowało jak węgorz.

— Chyba pan żartuje?! — oburzył się James Balmore. — Cywilizowany człowiek nie jadłby czegoś podobnego!

— Widocznie nasz kapitan jest dzikusem — z humorem odparował Tomek. — Podczas wypraw nabrał osobliwych upodobań do wyszukanych potraw. Na przykład w Chotanie, w Turkiestanie Chińskim, nawet delektował się cukrzonymi pijawkami, które podrzucałem mu na talerz jako zakąskę.

— Dobry miałeś wtedy pomysł, brachu — przyznał kapitan. — Dzięki temu wygrałem na uczcie pojedynk na kieliszki ze znajomkiem Pandita Davasarmana, bo pijawki, jako wodne stworzenia, wciąż pobudzały moje pragnienie.

— Ha, przy tak niewybrednym smaku można nie zaznać głodu nawet w dżungli, która zazwyczaj nie obfituje w jadalną zwierzynę. Natomiast pełno tu rozmaitych owadów, pajaków, krocionogów, ogromnych dżdżownic, węży i jaszczurek — z udaną powagą wtrącił Bentley.

— Jeszcze nie próbowałem tych smakołyków, ale kto wie, co uczynię, gdy głód mnie przycisnie — odpowiedział Nowicki.

— W drogę, panowie, w drogę! — ponaglił Smuga. — Niedługo wieczór, musimy znaleźć odpowiednie miejsce na rozłożenie obozu.

Obfite, gęste i wysokie runo utrudniało wędrówkę przez dżunglę. Jak zwykle w widniejszych lasach, przeważały paprocie o pionowo ułożonych pióropuszcach liści oraz często kilkumetrowej wysokości paprocie drzewiaste z wielkimi koronami, wsparte na korzeniach przybyszowych. Rosły tam również bambusy, różne gatunki ukośnie o jaskrawych, dziwacznych liściach i inne nie znane naszym podróżnikom rośliny o pstrych ogonkach liściowych, obsypane kwieciami lub barwnymi owocami.

Teraz na przedzie karawany kroczyło dwóch krajowców z długimi, ciężkimi nożami. Gdy zachodziła potrzeba, torowali nimi drogę wśród ciernistych drzew z rodziny pandanowatych, których pnie jeżyły się ostrymi kolcami. Szczególnie boleśnie zetknięcie z nimi odczuwali nadzy krajowcy. Ponadto ich bose stopy ustawicznie były narażone na ataki różnego rodzaju robactwa, wżerającego się w skórę pomiędzy palcami nóg.

Kilkugodzinne przedzieranie się przez tropikalny las wyczerpywało siły podróżników. Toteż coraz częściej potykali się o porośnięte mchem korzenie drzew i kamienie, z trudem omijali zwałone przez czas lub burze pnie drzew, które pod dotknięciem stopy rozsypywały się w pył dzięki niszczyielskiej działalności różnych grzybów i owadów. Już nie cieszył ich widok różaneczników o śnieżnobiałych kielichach i krwistoczerwonych kwiatach. Głośne wrzaski papug wydawały im się szyderyczym śmiechem z bezradności człowieka wobec groźnej potęgi bezmiernej puszczy tropikalnej.

Smuga nie zważał nawet na wyczerpanie dziewcząt i stale przynaglał do szybszego marszu. W tych szerokościach geograficznych, po za zwyczaj

słonecznym ranku, około południa następowało pogorszenie pogody. Popołudniowe deszcze padały tu przez cały rok nadzwyczaj regularnie, z tą jedynie różnicą, że w porze deszczowej trwały dłużej, w suchej krócej. Poprzez korony leśnych olbrzymów widać już było na niebie kłębiaste, ciemne chmury. Smuga chciał rozłożyć obóz jeszcze przed deszczem; dla wszystkich konieczny był dłuższy wypoczynek. Toteż gdy natrafili na pagórek, na którym rosło tylko jedno potężne drzewo o nisko rozgałęzionych konarach i rozłożystej koronie, dał hasło do zatrzymania się na noc.

Biali podróżnicy natychmiast przystąpili do rozbijania namiotów w pobliżu drzewa, podczas gdy krajowcy wycinali krzewy i w przewidywaniu burzy budowali dla siebie prowizoryczne szałas z gałęzi. Rozpalono ogień. Zanim dziewczęta pobrały prowiant na wieczerzę, pierwsze krople deszczu zaszumiały na twardych liściach olbrzyma. Błyskawica rozdarła czarne chmury, daleki grzmot przetoczył się po okolicznych górach. Na ziemię spadły całe potoki deszczu. Ognisko zgasło. Mężczyźni umacniali linki namiotów, zabezpieczali ładunek wyprawy. Ostre słowa komend Smugi z trudem utrzymywały, jaki taki ład, ale porywisty wiatr wciąż wyrządzał nowe szkody. Niebawem wszyscy do nitki przemokli. Strumienie wody szumiały u stóp pagórka. Drzewa w dżungli pochylały się pod uderzeniami wichury, trzeszczały złowieszczo. Wiatr wył w lesie i napełniał go tajemniczymi odgłosami.

— Wszyscy do namiotów — krzyknął Smuga widząc, że i tak nie zdołają zapobiec pewnym szkodom, gdyż tropikalna burza stawała się coraz gwałtowniejsza.

Wtem oślepiająca błyskawica rozplómiła niebo tuż nad wzgórzem. Rozległ się ogłuszający huk. Ognista kula uderzyła w samotne, olbrzymie drzewo. Stuletni olbrzym w jednej chwili rozbłysnął płomieniami jak fajerwerk. Okrzyki trwogi rozbrzmiały w całym obozowisku; z rozszczerzonego przez uderzenie piorunu starego pnia drzewa posypały się wokół na pagórek płonące jak żagwie odłamki gałęzi oraz ludzkie czaszki i kości. Niesamowite wydarzenie podczas gwałtownej burzy wywarło na wszystkich wstrząsające wrażenie. W świetle błyskawic obóz sprawiał wrażenie rozgrzebanego cmentarzyska. Wystraszone dziewczęta ukryły twarze na piersi Wilmowskiego, który akurat znajdował się obok nich; James Balmore pobladł, jakby miał zemdleć, a Zbyszek Karski i inni byli nie mniej

oszołomieni bliskością uderzenia piorunu oraz padającymi na nich szczątkami ludzkimi. Smuga nie stracił przytomności umysłu. Natychmiast zdał sobie sprawę, że niezwykle wypadek szczególnie przerazi zabobonnych krajowców. Toteż zaledwie zorientował się, że jego towarzyszom nie przydarzyło się nic złego, zaraz zawołał donośnie, przekrzykując szum wichru i deszczu:

— Nowicki i Tomek do mnie, reszta do namiotów!

— Do stu zdechłych wielorybów! — kłął Nowicki. — Cóż to za diabelski pomysł rzucać w człowieka łepetyną umarlaka jak piłką?!

— Przeraziłem się w pierwszej chwili — dodał Tomek, ciężko oddychając, wiatr bowiem zapierał dech w piersiach. — Cóż pan tak ściska pod pachą?!

Nowicki podsunął druhowi przed oczy ludzką czaszkę i wyjaśnił:

— Uderzyło mnie to prosto w ramię!

— Makabryczny podarek... — mruknął Tomek, nieufnie zerkając na rozorany, dymiący pień drzewa.

— Musimy uspokoić krajowców — zawołał Smuga. — Zapewne się przestraszyli... Możemy mieć jutro kłopoty.

Minęło sporo czasu, zanim trójka przyjaciół znalazła się w namiocie, gdzie ich towarzysze przygotowywali wieczorny posiłek.

— Czy nasi tragarze są bardzo przerażeni? — zapytał wchodzących Wilmowski.

— A jakże, uderzenie piorunu akurat w to drzewo, na którym mieszkańcy tych stron składali zwłoki zmarłych, wzięli za ostrzeżenie dane im przez duchy przodków — odparł Smuga.

— Wszyscy przeraziliśmy się nie na żarty — zauważył Balmore.

— To był naprawdę okropny widok! — zawołała Natasza.

— Po raz pierwszy w życiu bałam się naprawdę — wyznała Sally.

— Będziemy musieli pełnić wartę przez całą noc — rzekł Bentley. — Znaleźlibyśmy się w trudnym położeniu, gdyby tragarze uciekli.

— Już raz nam się tak przydarzyło w Afryce — zauważył Tomek, zdejmując mokrą koszulę. — Na szczęście tutejsi krajowcy boją się w nocy wędrować przez dżunglę.

— Święta racja — powtórzył Nowicki. — Zaszyli się w szałasach jak susły w norach. W nocy nie zrobią nam psikusa.



— Jestem tego samego zdania, w nocy nie uciekną, a nad ranem musimy jakoś dodać im odwagi — powiedział Smuga, — Oni są bardzo zabobonni...



## TAJEMNE „MOCE”

Burza ucichła wieczorem. Na bezchmurnym niebie zajaśniał księżyc. Świerszcze rozpoczęły swą monotonną pieśń. Podróżnicy przystąpili do porządkowania obozu. Najpierw zebrali strząśnięte z drzewa ludzkie kości i złożyli je w wykopanym dole. Następnie zabezpieczyli przed wilgocią bagaże, a w końcu rozwiesili na sznurach własne przemoknięte ubrania. Późną nocą wszyscy, z wyjątkiem straży, udali się na spoczynek.

Smuga obawiał się, że niefortunne uderzenie piorunu może przysporzyć im kłopotów z krajowcami. Toteż w towarzystwie Nowickiego i Tomka postanowił czuwać aż do świtu. Właśnie w tej chwili powrócił z Dingiem z obchodu. Przysiadł przy ognisku obok przyjaciół. Zamyślony, nabijał fajkę tytoniem.

— Wyniuchałeś pan coś nowego? — półszepem zagadnął Nowicki.

— W każdym razie nic dobrego dla nas — odparł Smuga. — Od czasu do czasu tragarze po kilku skupiają się przy ogniskach, niby to dla pociągnięcia dymu z fajki, lecz gdy nie widzą nikogo z nas w pobliżu, naradzają się po cichu.

— Masz pan rację, po tej szeptaninie mogą się postawić okoniem. Niepotrzebnie rozbiliśmy obóz pod tym drzewem—grobowcem.

— Jak mogliśmy odgadnąć, że są na nim szczątki zamieszkałych niegdyś w tej okolicy ludzi? — odezwał się Tomek. — Nasi tragarze również o tym nie wiedzieli. Trudno przeglądać wszystkie drzewa w dżungli przed zatrzymaniem się na wypoczynek.

— Brachu, czy przypominasz sobie pogrzeb Czarnej Błyskawicy w Meksyku? Indiańcy również pochowali go na drzewie — rzekł Nowicki.

— Słuszna uwaga, kapitanie! Wśród pierwotnych ludów zwyczaj składania zwłok na drzewach był szeroko rozpowszechniony.

— Aż mnie licho bierze, gdy pomyślę, że przez wiele miesięcy leżały sobie te kości spokojnie na drzewie, a właśnie dzisiaj musiały zlecieć nam na łepetyny — zżymał się Nowicki. — Chyba jakiś czort nasłał tę burzę!

— Drogie kapitanie, tak samo właśnie rozumują nasi tragarze — powiedział Tomek i cicho roześmiał się rozweselony.

Smuga również się uśmiechnął, albowiem dobroduszny marynarz był nieco przesądny. Wypuścił kłęb niebieskawego dymu z fajeczki i zapytał:

— Czas płynie, Tomku. Czy wymyśliłeś już jakieś „czary” dla naszych tragarzy?

— Mam pewien pomysł — odparł Tomek, uśmiechając się szelmowsko.

— Cóż to za sztuczka? — zaciekawiał się marynarz.

— Wolnego, kapitanie, wolnego! — zaproponował Tomek. — Czarownicy nie zwykli zdradzać wszystkich swoich sekretów!

— Ręka mnie świerzbi na tego chłopaka — zniecierpliwiał się Nowicki.

Smuga rozweselił się na dobre, gdyż doskonale znał słabostki Nowickiego. Tomek nieznacznie mrugnął do Smugi i wcale nie spieszył się z zaspokojeniem ciekawości marynarza.

— Gadaj, brachu, coś wymyślił!

Tomek ociągał się jeszcze chwilę, a potem rzekł:

— No, po starej znajomości powiem tylko, że zagrozę krajowcom spalaniem wody w rzekach.

— Ejże, brachu, nie kpilij ze mnie! Wprawdzie wiem, że jesteś sprytny jak liszka, ale czy przypadkiem bliskie uderzenie piorunu nie pomieszało ci klepek w łepetynie?! Przecież będziesz musiał im udowodnić, że potrafisz palić wodę, a to bzdura!

— Zaraz widać, że w szkole niezbyt pilnie uczył się pan fizyki — odciął się Tomek. — Cała sztuczka jest niezwykle prosta, a nawet naiwna. Wystarczy wykorzystać różnicę ciężaru właściwego dwóch cieczy.

— Panie Smuga, co ten chłopak wygaduje? — zapytał zbity z tropu marynarz.

— Mówi wcale do rzeczy — odparł Smuga, który w lot odgadł zamiary Tomka. — Dobrze, zgadzam się, palenie wody powinno wywrzeć odpowiednie wrażenie.

— Słuchaj, brachu, weź mnie za pomocnika. Wiesz, że przepadam za takimi psikusami — poprosił Nowicki.

— Co pan o tym myśli? — zwrócił się Tomek do Smugi, udając powagę.

— Jeśli nie spełnisz prośby kapitana, gotów sam spłonąć z ciekawości — odpowiedział Smuga.

— Cóż, nie mogę narażać na szwank życia tak wybitnej osobistości. Dobrze, będzie mi pan pomagał.

Kapitan ucieszony klepnął Tomka w plecy, zaraz pochylił się ku niemu i zawołał:

— No, teraz gadaj!

Smuga ponownie nabił fajkę tytoniem. Z ukosa spojrzął na Dinga. Pies leżał przy ognisku. Tylko od czasu do czasu strzygi uszami i nasłuchiwał. Nowicki tymczasem cicho rozmawiał z Tomkiem. Z uznaniem poklepywał go po ramieniu i solennie obiecywał dokładnie odegrać swoją rolę.

Świt zastał podróżników przy śniadaniu. Wokół ognisk krajowców panowała niepokojąca cisza. Tego dnia jakoś nie kwapili się do posiłku. Długie, grube fajki wędrowały z rąk do rąk. Rozkazy Ain'u'Ku nie były wykonywane. W końcu jeden z tragarzy powstał, a za nim uczyniło to kilku innych. Przywołali Ain'u'Ku i coś długo mu tłumaczyli. Zafrasowany boy niepewnie spoglądał na białych podróżników; w końcu na czele gromady tragarzy zbliżył się ku nim.

— Master, oni nie iść dalej, all right! — oznajmił krótko. — Oni żądać zapłata teraz, all right.

— Umówili się, że dojdą z nami do Popole — rzekł Smuga. — Powiedz im, że tylko tam dostaną zapłatę.

Ain'u'Ku przetłumaczył delegacji słowa Smugi. Krajowcy długo się naradzali, po czym jeden z nich udzielił boyowi odpowiedzi.

— Więc co postanowili? — krótko zapytał Smuga.

— Oni nie iść dalej, oni wrócić bez zapłata, all right — odparł Ain'u'Ku.

— Dlaczego nie chcą dotrzymać umowy? — indagował Smuga.

— Duchy mówią: nie iść dalej. Iść dalej, kości twoje leżeć na ziemi. Duchy zesłać piorun i ostrzec, all right — wyjaśnił boy.

— Nie dopuścimy do tego, aby ktokolwiek zrobił im krzywdę! W Popole otrzymają zapłatę i wrócą do swoich wiosek, powtórz im to — polecił Smuga.

Dłuższe wywody boya, w których zapewne nie omieszkał użyć i własnych argumentów, spowodowały jedynie lakoniczną odpowiedź.

— Duchy mówić nie iść dalej. Kanak nie iść dalej — wyjaśnił Ain'u'Ku. — Złe duchy robić czary. Kanak zginąć! Dalej mnóstwo bardzo źli ludzie.

— Źli ludzie nie napadną na nas, bo my mamy karabiny, natomiast duchy uspokoiemy naszymi czarami. Powiedz im, że mogą iść z nami bez jakiegokolwiek obawy — odrzekł Smuga.

Ain'u'Ku powtórzył krajowcom słowa Smugi. Znów naradzali się długo, powątpiewająco potrząsając głowami. W końcu Ain'u'Ku oznajmił ich decyzję:

— Oni mówić: master nie umie robić czary. Źli ludzie bać się tylko czary, all right!

— Jesteśmy silniejsi od złych ludzi i waszych duchów — ostro powiedział Smuga. — Jeśli tragarze nie pójdą z nami do Popole, spalimy wodę w rzekach. Wtedy na pewno wszyscy umrzecie z pragnienia.

Ain'u'Ku niepewnym głosem powtórzył jego słowa krajowcom. Tym razem wywołały one krótką dyskusję i śmiech. Boy, całkowicie zbity z tropu, odezwał się:

— Master nie móc spalić woda, woda gasić ogień, all right!

— Tak sądzicie? A więc dobrze, pokażemy wam, co potrafimy. Daj jednemu z nich wiadro i niech biegnie do strumienia po wodę!

Tym razem rozkaz został szybko wypełniony, kapitan Nowicki bowiem zaraz wręczył przygotowane wiaderko najstarszemu tragarzowi. Zanim ten ostatni zdążył powrócić, wieść o próbie czarów dotarła do wszystkich krajowców. Zaintrygowani, dużym półkolem obstąpili Smugę, który najobojętniej w świecie pykał fajeczkę.

Papuasi zazwyczaj nosili wodę w grubych bambusowych rurach, zagważdżanych na obydwóch końcach; toteż krajowiec nieprzywykły do noszenia wody w otwartym wiadrze rozlał jej trochę po drodze.

— Ain'u'Ku, powiedz im, żeby skosztowali, czy to jest woda — rozkazał Smuga, gdy postawiono przed nim wiadro.

Kilku tragarzy dłońmi zaczerpnęło wody; potakiwali głowami na znak, iż nie mają wątpliwości. Poza tym jeden z nich przyniósł ją ze strumienia. Smuga bez pośpiechu wytrząsnął popiół z fajki, uderzając nią o dłoń, po czym przywołał Tomka.

— Teraz twoja kolej, przyjacielu — rzekł po polsku. — Odegraj swoją rolę tak, jak to kiedyś uczyniłeś w Afryce!

Tomek skinął głową, pochylił się nad wiaderkiem.

— Dlaczego tak mało woda? — zapytał łamaną angielszczyzną, aby jak najwięcej tragarzy mogło go zrozumieć. — Moja palić całe rzeki! Ain'u'Ku, dolej jeszcze mnóstwo dużo woda! Daj tę, którą rano przyniosłeś dla nas!

Kapitan Nowicki czuwał w pogotowiu, zaraz też podał boyowi drugie wiaderko. Krajowcy zacieśnili półkrąg, podczas gdy ich towarzysz własnoręcznie dopełniał wiadro stojące przed Tomkiem.

— Teraz wasza dobrze patrzeć! — głośno powiedział Tomek.

Zaczął wykonywać rękami niby to jakieś kabalistyczne znaki nad wiadrem. Potem znieruchomiał z wyciągniętymi przed siebie rękami i głośno w polskim języku wypowiedział „*straszliwe zaklęcie*”:

*„Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie;  
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,  
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie  
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.”*

Smuga, słysząc owo „*wezwanie do nadprzyrodzonych mocy*”, omal nie parsknął śmiechem. Szybko więc pochylił głowę na piersi. Wilmowski poczerwieniał i natychmiast zakrył twarz dłońmi, a Zbyszek Karski aż otworzył usta ze zdumienia. Kapitan Nowicki nie gorzej od współziomków znał „**Pana Tadeusza**”, toteż z wielkim trudem zapanował nad sobą i półgłosem zawołał:

— A niech cię wieloryb połknie!

Tomek natomiast, nie spuszczając wzroku z krajowców, ponurym głosem zakończył recytację i zawołał łamaną angielszczyzną:

— Woda palić się!

Powolnymi ruchami wydobył z kieszeni pudełko zapalek, wyjął jedną i zapaliwszy ją pochylił się nad wiadrem.

Jęk przestraszenia czy niezmiernego podziwu wyrwał się z ust Papuasów. Woda w wiadrze buchnęła płomieniem. Przygarbieni, ostrożnie cofali się krok za krokiem od wiadra, w którym płonęła woda. Tomek mierzył ich wzrokiem spod przymrużonych powiek. Niezmiernie rad z tak olbrzymiego wrażenia,

zdjął kurtkę i szybkim ruchem nakrył wiadro. Po chwili odkrył je. Pomruk ulgi rozbrzmiał wśród krajowców. Ogień został zgaszony.

— Ain'u'Ku, spytaj ich, czy teraz pójdą z nami. Jeśli odmówią, polecę zapalić wodę w strumieniu — odezwał się Smuga.

Boy, zalękniony potężnymi czarami, pospiesznie zwrócił się z zapytaniem do tragarzy. Tym razem na odpowiedź nie czekał długo.

— Teraz oni wszyscy idą do Popole, all right — oświadczył. — Master mnóstwo wielki czarownik!

— Późno już, szybko rozdziel bagaże i ruszamy w drogę — rozkazał Smuga.

Tragarze bez jakichkolwiek sporów brali wyznaczone im przez Ain'u'Ku pakunki, wciąż jeszcze komentując „niezwykłe” wydarzenie. Tomek tymczasem został otoczony przez młodych przyjaciół.

— Tommy, jak tyś to zrobił? Pierwszy raz widziałam coś podobnego! — zawołała Sally głosem pełnym podziwu.

— Byłeś wspaniały, Tomku! — zachwyciła się Natasza.

— Czy w tym drugim wiaderku, które pan kapitan podał boyowi, naprawdę była woda? — niedowierzająco zapytał James Balmore. — Tutaj chyba jest klucz do rozwiązania twojej sztuczki?!

— Zaledwie wstałem dzisiaj rano, pan kapitan zażądał ode mnie jednego litra nafty... — wyjaśnił Zbyszek Karski.

— Od razu domyśliłem się tego — powiedział Balmore. — Muszę przyznać, że nawet w cyrkach nie widziałem zręczniejszych wykonywanych sztuczek!

— Jeśli nie będziesz chciał pisać książek, jak doradzał ci pan Nowicki, to na stare lata masz jeszcze jeden fach w ręku! Mógłbyś zostać sztukmistrzem — zażartował Zbyszek.

— Przestańcie pokpiwać ze mnie — ofuknął ich Tomek. — To raczej smutne, że są jeszcze na świecie ludzie, których można otumanić bzdurnymi sztuczkami!

— Oczywiście, wszyscy zgadzamy się z tobą, ale nie jesteśmy temu winni, że rządy kolonialne nie troszczą się o Papuasów, którzy od wieków tkwią w najrozmaitszych przesądach i zabobonach — odpowiedział Zbyszek.

— Im bardziej są zacofane podbite ludy, tym łatwiej można je wykorzystywać — poważnie dodała Natasza. — Taką samą politykę stosuje



Rosja carska wobec krajowców zamieszkałych na Syberii. Wierzę jednak, że niedługo upomną się oni o swe słuszne prawa.

— Znajdujemy się w bardzo trudnej sytuacji, nie mamy wyboru — wtrącił Balmore. — Rozsądne argumenty nie przekonałyby naszych naiwnych tragarzy tak wymownie, jak niezrozumiała dla nich zabawna sztuczka.

— Tylko, dlatego zgodziłem się ją zademonstrować — powiedział Tomek. — Mój ojciec nie pochwała takich metod. Spójrzcie, jaki nachmurzony.

— Pan Wilmowski jest niezwykle szlachetnym człowiekiem — stwierdził Balmore. — Na pewno doskonale rozumie nasze położenie i nie ma do ciebie żalu.

— Wiem o tym, ale mimo to jest mi przykro — odparł Tomek. — Przypomnijcie wieczorem, to opowiem wam, jak w Afryce pokonałem pewną sztuczką opór złośliwego czarownika, a później wyjaśniłem wszystkim naszym tragarzom, na czym ona polegała.

— Spłatałeś doskonałego figla temu czarownikowi — śmiejąc się przyznały Natasza.

— Dzięki temu nie mógł potem oszukiwać nią naiwnych współziomków — zakończył Tomek.

Karawana znów szła ubezpieczonym szykiem. Wolno wspinała się dziką ścieżką na spłaszczony grzbiet górski. Po jej brzegach rosły kępy drzew pandanowych, przypominające wyglądem wielkie świece o długich, zielonych płomieniach. Smuga i Tomek wysunęli się znacznie do przodu. Od czasu do czasu przystawali w przestronniejszych miejscach i przez lunetę upewniali się, czy krocząca za nimi karawana nie zbacza z właściwego kierunku. Sally właśnie wypatrzyła zwiadowców odpoczywających na występie skalnym i zaraz zawołała:

— Oho, znów przystanęli i obserwują nas! Wobec tego również możemy się zatrzymać na krótki odpoczynek!

— Zgoda, tragarze zostali nieco w tyle, poczekajmy na nich — odparł Wilmowski.

Bentley przysiadł na zwalonym pniu drzewa. Inni poszli za jego przykładem. Wilmowski zapalił fajkę, podczas gdy młodzież spoglądała na panoramę rozciągającą się u ich stóp. W licznych załomach odnóg głównego łańcucha górskiego drzemały mgliste doliny, przez które przebijały sobie

drogę wartko płynące, kręte strumienie. Głęboko wciśnięte w doliny, łudziły wzrok swą pozorną bliskością, lecz w rzeczywistości dotarcie do nich pochłaniało nieraz kilka dni uciążliwego wspinania się i schodzenia po stromych stokach. Z wysoko położonego górskiego grzebienia cała okolica przypominała gruby, puszysty, zielony dywan.

— Jakże malownicze są te wiecznie zielone lasy! — wyrwał się Zbyszkowi okrzyk zachwytu. — Wprost nie mogę oderwać wzroku od tego wspaniałego, surowego pejzażu!

— Czy sądzisz, że wszystkie drzewa w tropikalnym lesie bez przerwy są pokryte liśćmi, kwitną i owocują? — zapytał Wilmowski.

— Oczywiście, przecież niejednokrotnie czytałem w książkach podróżników o wiecznie zielonych lasach w ciepłych krajach — odparł Zbyszek. — To, co sam widzę obecnie, całkowicie potwierdza ich relacje.

Wilmowski uśmiechnął się wyrozumiale i odrzekł: — A jednak mylisz się, mój chłopcze! Opowieści o wiecznie zielonych drzewach są wynikiem dość powierzchownego poznania dżungli. Wystarczy przeprowadzić dokładniejsze obserwacje, aby stwierdzić, że w tropikalnym lesie jedynie nieliczne gatunki drzew rosną bez przerwy<sup>602</sup>, podczas gdy prawie wszystkie inne przechodzą kolejno okresy wzrostu i odpoczynku. Złudzenie wiecznej zieloności dżungli sprawia fakt, iż poszczególne drzewa z tego samego gatunku tracą ulistnienie w różnym czasie. Dlatego też obok pemoulistnionych rosną drzewa bezlistne oraz pokryte młodymi liśćmi.

— Nigdy o tym nie słyszałem, wujku — zdumiał się Zbyszek. — Czyżby mylili się podróżnicy, którzy odbywali wyprawy przez dżungle?!

— Po prostu opierali się na powierzchownych spostrzeżeniach. Lasy tropikalne sprawiają wrażenie „wiecznie” zielonych, ponieważ zawsze przeważają w nich drzewa ulistnione. Łatwo to zrozumieć, skoro już wiemy, że drzewa należące do jednego gatunku kwitną w różnym czasie. Nie jest to jednak zjawisko powszechne wśród roślin lasu tropikalnego.

— To właśnie chciałem podkreślić — wtrącił Bentley. — Dość znaczna liczba roślin posiada niezmiernie oryginalną właściwość jednoczesnego zakwitania na znacznych obszarach, nawet w tym samym dniu. Wystarczy dla przykładu wspomnieć storczyki...

---

<sup>602</sup> — Obok kilku innych gatunków do drzew wiecznie zielonych należy: drzewo chlebowe (*Artocarpus incisa*), *Morinda citriodora*, *Albizia fatcata* i *Filicium decipiens*.

Pojawienie się na ścieżce Ain'u'Ku na czele długiego łańcucha tragarzy przerwało rozmowę. Bentley zaraz powstał z pnia i rzeki:

— Ruszamy w drogę! Nasi zwiadowcy również już ukończyli odpoczynek.

Przez jakiś czas wspinali się na grzbiet masywu górskiego, w końcu wkroczyli na wąski próg leżący nad skrajem przepaści. Nie było tam żadnych śladów ludzkiego życia. Dziką ścieżkę pokrywała gruba warstwa zwiędłych i skruszonych liści, pod którymi zdradliwą pułapkę dla stóp wędrowców stanowiły niewidoczne korzenie drzew oraz kamienie. Mech porastał olbrzymie pnie, zwisające nisko tub złamane gałęzie tarasowały drogę. Korony gęsto w tej okolicy rosnących drzew tworzyły w górze zwartą zasłonę, toteż głębia lasu była ponura, pełna niepokojącej ciszy. Karawana w milczeniu przedzierała się przez leśną głuszę. Idący na przedzie często byli zmuszeni torować drogę, wycinając nożami liany. Dopiero około południa utrudzeni podróżnicy z radością powitali długi, łagodnie opadający stok górski. Wprawdzie i teraz szli przez gąszcz tropikalnej zieleni, lecz nieostrożne stąpienie nie groziło już, komu stoczeniem się w przepaść. Huk wody strumienia, przecinającego dolinę leżącą u stóp górskiego masywu, stawał się coraz silniejszy. Las z wolna rzednął, promienie słoneczne rozjaśniały półmrok. Na brzegu strumienia Smuga dał hasło do odpoczynku. W tym miejscu szerokość koryta nie przekraczała trzydziestu metrów; można było przeprowić się na drugi brzeg przeskakując z kamienia na kamień. Teraz jednak, po gwałtownym deszczu, wezbrana zielonkawa woda pieniała się i kłębiła pomiędzy oślizłymi głazami i drzewami zwalonymi ze stoku.

W pierwszej chwili nikt nie myślał o przeprowie ani o posiłku. Balmore zaraz rozesłał na ziemi koc dla dziewcząt, inni siadali na omszałych kamieniach i pniach drzew. Tylko Smuga z Tomkiem dozorowali tragarzy składających na ziemię bagaże.

Kapitan Nowicki przysiadł obok Sally i zagadnął:

— Ejże, czy jeszcze nie uprzykrzyła ci się ta diabelska wyprawa? Pannie Nataszy mina nieco zrzęda! Zmęczone jesteście, ale mimo to radzę najpierw sprawdzić, czy przypadkiem nie oblażył was te obrzydliwe zwierzaki.

— Jakie zwierzaki ma pan na myśli? — zapytała Sally, podejrzliwie zerkając na lubiącego żarty marynarza.

— Czy to możliwe, żebyście same nic nie spostrzegły?! — zdziwił się Nowicki. — Pijawki sypały się z drzew jak ulęgałki w sadzie u mego dziadka, mieszkającego w Jabłonnie koło Warszawy, a one nawet ich nie zauważyły!

— Niech pan nas nie straszy, kapitanie! — zawołała Natasza.

— To naprawdę nie żarty, proszę pani! — odezwał się Stanford, który razem z Nowickim szedł w tylnej straży. — Nasi tragarze prawie przez całą drogę strzäsali ze swych nagich ciał to robactwo! Im też szczególnie dało się ono we znaki. Jak zauważyłem, w tej okolicy aż się roi od lądowych pijawek.<sup>603</sup>

— A jakże, pełno ich było w trawie, na krzakach i drzewach — dodał Nowicki. — Naprawdę zmyślne zwierzaki! Widocznie potrafią wyniuchać swą ofiarę nawet z pewnej odległości, gdyż z liści drzew gromadnie spadały na naszych nagich tragarzy. Zobaczcie tylko, jak mocno są poranieni!

Przerażone dziewczęta natychmiast zaczęły oglądać swe nogi, ale na szczęście długie buty, sztylpy oraz ubrania ochroniły białych podróżników przed napaścią pasożytniczych robaków. W tej właśnie chwili nadszedł Tomek; widząc obydwie panienki przepatrujące swe ubrania, zapytał:

— Czy pijawki dały się wam we znaki? Mnie spadła jedna na kark. Nie mogłem jej zdjąć, dopóki jak bąk nie napęczniała krwią. Nataszo, daj mi trochę waty i nadmanganianu potasu. Muszę wydezynfekować rany na ciałach naszych tragarzy.

— Może mam ci pomóc, Tomku? — natychmiast zaproponowała Natasza.

— Dziękuję, lepiej odpocznij. Damy sobie radę z panem Smugą.

— To męska sprawa, szanowna pani — odezwał się Nowicki. — Czekaj, brachu, idę z tobą! Wiesz przecież, że w potrzebie potrafię nawet kulę wyłuskać z rany! Tylko pociągnę łyk mojej jamajki i zaraz będę gotów!

Krajowcy okazali się bardzo wytrzymali na ból. Po ciałach wielu z nich, z ran zadanych przez pijawki, krew płynęła strużkami, ponadto podczas marszu przez dżunglę inne robactwo pożerało im się w skórę pomiędzy palcami nóg.

---

<sup>603</sup> — Pijawki lądowe (*Haemadipsa ceylonica*) mimo małych rozmiarów są w pewnych okolicach niebezpiecznym wrogiem człowieka. W Nowej Gwinei spotyka się je masowo w dolinie Yanapa, gdzie stanowią prawdziwą plagę kraju. Inne znane odmiany pijawek są zwierzętami wodnymi, często uprawiającymi pasożytnictwo. Do najbardziej znanych form należą: pijawka lekarska (*Hirudo medicinalis*) i pijawka końska (*Haemop sanguisuga*), ta ostatnia żywi się pokarmem roślinnym i nigdy nie napada na człowieka.

Papuasi odrywali pijawki zaostrozonymi patykami, natomiast bambusowymi nożami wycinali robaki usiłujące zagnieździć się w ich stopach. Nikt się nie skarżył i nie narzekał. Smuga polecił Ain'u'Ku przynieść wiadro wody ze strumienia. Krajowcy zaintrygowani natychmiast otoczyli go zwartym kołem. Nadejście Tomka z Nowickim jeszcze bardziej zwiększyło ich zaciekawienie. Po porannym pokazie „*palenia*” wody spodziewali się zapewne nowego dowodu czarnoksiężskiej mocy białego master.

— Tomku, wsyp nieco więcej nadmanganianu do wody, rany po ukąszeniu pijawek nie przestają krwawić. Przypuszczam, że w wydzielinie tych robaków znajduje się jakaś substancja przeciwdziałająca krzepnięciu — powiedział Smuga. — Należy również wysmarować tragarzom skórę między palcami nóg. Niektórzy powycinali sobie kawałki ciała razem z robakami.

— Dobrze, proszę pana, zaraz przygotuję odpowiedni roztwór — odparł Tomek, po czym otworzył słoik i zaczął wsypywać nadmanganian potasu do wody w wiadrze. Głuchy szmer podziwu rozległ się wśród krajowców. Zdumieni wpatrywali się w wodę, która przybierała coraz ciemniejszy fioletowy kolor.

— Master mnóstwo wielki czarownik! — zawołał Ain'u'Ku.

— Wielki czarownik! — powtórzyli inni.

— A to ci heca, brachu! — po polsku szepnął kapitan Nowicki. — Jak amen w pacierzu zostaniesz tutaj królem czarowników!

Trójka przyjaciół nie mogła wprost nadażyć w dezynfekowaniu okaleczeń. Wszyscy tragarze chcieli być pomalowani czarodziejską wodą. Nawet ci, którzy nie posiadali otwartych ran, sami kłuli się nożami. Nie pomogły żadne perswazje. Dopiero całkowite wyczerpanie się roztworu w wiadrze umożliwiło podróżnikom ciężko zapracowany odpoczynek.



## DOLINA SŁOŃCA

Bali podróżnicy odpoczywali nad strumieniem. Krajowcy tymczasem rozpoczęli przygotowania do przeprawy na drugi brzeg. Naścinali w dżungli pęki długich, cienkich lian i upletli z nich mocny, elastyczny sznur. Następnie gromada tragarzy udała się w górę strumienia. W odległości około stu pięćdziesięciu metrów od miejsca postoju jeden z nich obwiązał się w pasie sznurem, po czym wskoczył w spieniony nurt. Krajowcy na brzegu trzymali pływaka jakby na uwięzi i z wolna popuszczali sznura. Głośne okrzyki zaniepokoiły dziewczęta.

— Ten człowiek tonie! — zawołała Natasza, dłonią osłaniając oczy przed blaskiem słonecznym.

— Śpieszmy na ratunek — zawtórowała Sally.

— Niech się panie uspokoją, nie ma obawy, on nie utonie — powiedział Bentley, przez lunetę obserwując śmiałka.

— Prąd bardzo gwałtowny, pełno tu wirów... — mówiła Natasza. — On utonie...!

— Jest uwiązany na linie, nic mu się nie stanie, o ile nie napadną go krokodyle — odparł Bentley.

— Czy są tutaj te gadziny? — zaniepokoił się Nowicki.

— Do licha, zapomnieliśmy o krokodylach... — zawołał Tomek. — Tylko pan Smuga czuwa z karabinem w dłoni. Kapitanie, chodźmy do mego!

Po chwili obydwaj uzbrojeni w sztucery zbliżyli się do Smugi.

— Zuch z tego chłopaka — pochwalił Nowicki. — Jak na szczura lądowego wspaniale sobie radzi w wodzie!

Smuga skinął głową, nie odrywając wzroku od powierzchni strumienia. Porywisty prąd szybko znosił pływaka, który kilkakrotnie całkowicie pogrążył się w spienionym nurcie. Krajowcy trzymający linę biegli za nim wzdłuż wybrzeża.

— Pan Bentley mówił, że tutaj są krokodyle — powiedział Tomek, uważnie przepatrując poszarpane wybrzeże.

— Należy się z tym liczyć, dlatego też tragarze czynią tyle hałasu — potwierdził Smuga. — Myślę, że podczas gwałtownego przyboru krokodyle pokryły się w norach pod skarpami. One nie lubią wirów.

Umilkli, pływak właśnie dał nura tuż przed wirującym lejem. Po długiej, denerwującej chwili jego czarna, wełnistowłosa głowa i brunatne ramiona wynurzyły się z białych pian wody, z furią uderzającej o stromy brzeg. Teraz kilkoma silnymi wyrzutami rąk przybliżył się do urwiska, z którego zwisały obnażone korzenie drzew. Udało mu się jedną ręką uchwycić oślizłego korzenia. Przez jakiś czas trwał nieruchomo w tej pozycji, potem ostrym wyrzutem ciała zdołał drugą ręką przywrzeć do korzenia. Teraz wolno podciągnął się do góry i stopami dotknął skarpy. Wkrótce był na lądzie. Odwiązał linę, opasał nią pień drzewa, mocno zaciskając węzły; potem, zmęczony, przykucnął obok na ziemi. Tragarze na przeciwległym brzegu strumienia również przymocowali swój koniec liny do nadbrzeżnego drzewa. W ten sposób ponad powierzchnią rozhukanej wody została przewieszona gruba lina z lian, tworząc chybotliwe połączenie obydwóch brzegów.

Ain'u'Ku zadowolony stanął przed Wilmowskim i oznajmił:

— Mnóstwo dobry most gotowy, all right! Nasza może iść, tylko uważać na fua<sup>604</sup>, one mnóstwo za bardzo lubić kai kai człowieka, all right!

— Oszalał! — oburzył się James Balmore. — Ten jego „most” nie nadaje się do przejścia na drugą stronę nawet dla linoskoczków!

— Masz pan rację, ponadto mówi, że tu są krokodyle — powiedział Nowicki.

— Patrzcie państwo, oni naprawdę będą przechodzili po linie! — niepokoiła się Natasza.

Tragarze wprawdzie nie zamierzali dokonywać cyrkowych popisów, lecz minio to pośpiesznie przygotowywali się do przeprawy. Własny skromny dobytek w siatkach przywiązywali na głowach linami, natomiast duże bagaże przymocowywali do długich żerdzi. Potem po dwóch brali jedną żerdź opierając ją na barkach i śmiało wchodzili do huczącego strumienia. Dzięki takiemu przenoszeniu bagaży, mogli rękoma przytrzymywać się liny przewieszanej ponad korytem.

Na szczęście strumień w tym miejscu okazał się nie tak głęboki; woda przeważnie sięgała Papuasom do piersi. Wszyscy wrzeszczeli jak opętani, chcąc wrzawą odstraszyć krokodyle. Pierwsi tragarze już wspinali się na przeciwległy brzeg, inni dopiero wchodzili do strumienia. Podczas przeprawy najwięcej ucierpiały zwierzęta przeznaczone do zjedzenia w czasie marszu

---

<sup>604</sup> — Fua (w miejscowym narzeczu) — krokodyle



przez dżungłę, gdzie zaopatrzenie licznej karawany w świeży prowiant było prawie niemożliwe. Bentley uprzednio zakupił kilka żywych świń oraz kilkanaście kur. Musiały one być transportowane w stanie żywym, inaczej, bowiem ich mięso szybko uległoby zepsuciu z powodu gorąca, wilgoci i insektów. Nieszczęsne zwierzęta, przez całą drogę niesione na żerdziach, przywiązane do nich za nogi głową w dół, dawały żalospny widok, szczególnie przy przechodzeniu tragarzy przez strumień.

— Do stu zdechłych wielorybów! Biedne prosiaki poduszają się pod wodą — martwił się kapitan Nowicki, obserwując przeprawę.

— Nie mogę na to patrzeć... — powiedziała Sally i odwróciła głowę.

— Okrutne to, lecz nie możemy tragarzy i siebie zamorzyć głodem — wtrącił Smuga. — Obawiam się, że po tej przeprawie będziemy zmuszeni zjeść na kolację resztę naszego żywego prowiantu, a potem...

— Nie kłopotuj się pan przed czasem — przerwał mu Nowicki. — Teraz lepiej pomyślmy, w jaki sposób przeprawimy przez strumień nasze panie.

— Podczas poprzednich przepraw szczęśliwie natrafialiśmy na płytsze brody lub wiszące mosty uplecione z lian — odezwała się Natasza.

— Tutaj prąd jest bardzo gwałtowny. Przemokniemy do suchej nitki...

— Przeniesiemy was na drugą stronę — zaproponował Tomek. — Niskim krajowcom woda niemal zakrywa głowy, lecz takiemu olbrzymowi, jak nasz kapitan, sięgnie najwyżej do piersi. Naprędce zmastrujemy lektykę, której uchwyty będzie można oprzeć na ramionach, W ten sposób nawet stóp nie zamoczą.

— Dobry pomysł, brachu — pochwalił Nowicki. — Twój szanowny ojciec prawie dorównuje mi wzrostem. We dwóch jakoś je przeniesiemy. Weźmy się do roboty!

Nim minęło pół godziny Nowicki i Wilmowski wchodzili do strumienia. Sally trochę przybladła na noszach chybotających się na wszystkie strony, ale wkrótce suchą nogą stanęła na drugim brzegu. Po niej przyszła kolej na Nataszę, a następnie w ten sam sposób przeniesiono broń i amunicję. Wszyscy szczęśliwie przeprawili się przez strumień i bez zwłoki ruszyli w dalszą drogę.

Następnego dnia, po przebyciu jeszcze bardziej stromej pasma górskiego, karawana wkroczyła do rozległej, płytkiej doliny Dilava. Jakże ponętny widok przedstawiała ona dla podróżników, którzy przez kilka dni przedzierali się przez mroczne, bezładne lasy porastające stoki gór! W pełnej

powietrza i słońca dolinie rosły palmy betelowe<sup>605</sup> o pierzastych pióropuszcach, dzikie bananowce o dużych, jasnozielonych, zawsze drżących liściach, słodkawo pachnące drzewa cynamonowe<sup>606</sup> oraz palmy sagowe, przypominające wspaniałe kolumny uwieńczone pękami długich, wachlarzowatych liści<sup>607</sup>. Obecność palm sagowych świadczyła o bliskości rzeki i żyzności gleby. Wkrótce też ukazały się uprawne poletka, na których rosły słodkie kartofle, taro i jamsy.

W tej chwili rozbrzmiał przeciągły dźwięk, bardzo przypominający tony spowodowane przez dęcie w muszlę. Smuga natychmiast przystanął i dał znak Tomkowi, aby nie szedł dalej. Obydwaj zaczęli nasłuchiwać. Daleki pojęk przetoczył się po górach i zamarł w dali.

— Niech pan patrzy! — cicho zawołał Tomek, unosząc dłoń.

Smuga natychmiast spojrział we wskazanym przez młodzieńca kierunku. Przed nimi wzbijał się w górę ponad drzewa biały, jakby drgający w powietrzu obłok.

— To chyba jakieś wspaniałe, olbrzymie motyle... — szepnął Tomek urzeczony niezwykle czarującym zjawiskiem.

Smuga przyłożył do oka lunetę.

— Nie, to nie motyle! — powiedział. — Do licha, ależ to białe kakadu<sup>608</sup>! One zwykły żyć gromadnie... Na głowach żółte czuby, krótkie ogony, tak, to kakadu! Ktoś je spłoszył z drzew...

— Nie ulega wątpliwości, że w pobliżu znajduje się jakaś osada — odezwał się Tomek.

— Jestem tego samego zdania — powiedział Smuga. — Musimy poczekać na naszych towarzyszy.

---

<sup>605</sup> — Palma betelowa, czyli areka (*Areca catechu*) — rośnie dziko na Archipelagu Malajskim. Rodzi owoce lypu jagody, z jednym nasieniem zwanym orzechem.

<sup>606</sup> — Cynamonowiec (*Cinnamomum*) — drzewo lub wysoki krzew o wiecznie zielonych, skórzastych, połyskujących liściach, zielonkawych kwiatach i podłużnych owocach–jagodach. Dostarcza cennych surowców, jak: drzewo, kora, (z której otrzymujemy cynamon), olejek cynamonowy, kamforowy i inne środki lecznicze. Występuje w ponad 50 gatunkach w tropikalnej strefie Azji, od Japonii po Australię.

<sup>607</sup> — Palma sagowa (*Meroxylon ramphif*) — we wschodniej części Archipelagu Malajskiego posiada pień pokryty potężnymi kolcami, w zachodniej zaś ma pień gładki. Kwitnie i owocuje tylko jeden raz w życiu, po czym obumiera. Z roztartej masy pnia otrzymujemy mąkę sagową, czyli sago.

<sup>608</sup> — *Cacatua galerita* — podrodzina rzędu papug, wielkości kawki lub wrony, spotykana na niższej położonych terenach.

— Zapewne ktoś tam się czai, ptaki wciąż okazują niepokój — szepnął Tomek.

Niebawem czoło karawany wynurzyło się zza pagórka. Smuga gestem nakazał milczenie.

— Co się stało, Janie? — zapytał Wilmowski.

— W pobliżu znajduje się jakieś osiedle — wyjaśnił Smuga. — Przed nami w głębi doliny ktoś spłoszył stadko białych kakadu. Prawdopodobnie krajowcy już nas spostrzegli i obserwują. Spójrzcie na Dinga! Bez przerwy nadstawia uszu!

— Słyszeliśmy dziwne odgłosy! Może był to sygnał ostrzegawczy — dodał Tomek.

— Nie myślałem, że w tym górzystym kraju mogą kryć się tak urocze zakątki — zdumiał się Zbyszek, spoglądając na dolinę.

— Prawdziwie rajska oaza w oceanie mrocznej dżungli — wtrącił Balmore.

Tomek pochylił się do ucha Zbyszka i szepnął:

— Kapitan ma chyba rację, że James pisze wierszydła. Czy zauważyłeś, jak on się wyraża?

Zbyszek potaknął głową. Tragarze wkroczyli w wylot doliny.

— Panie Zbyszku, proszę nakazać im ciszę i przywołać do mnie Ain'u'Ku — polecił Smuga.

Zanim rozkaz mógł być wykonany, tragarze samorzutnie przerwali monotonną pieśń. Od razu wypatrzyli wirującą w powietrzu chmarę kakadu i zrozumieli, co to oznacza. Ci, którzy nieśli z sobą dzidy, silniej zacisnęli na nich dłonie. Ain'u'Ku stanął przed Smugą.

— Według moich rachub znajdujemy się już w twoim kraju — odezwał się podróżnik. — Czy rozpoznajesz tę okolicę?

— Może moja rozpoznaje, a może nie, moja nie wie, all right! — odpowiedział boss-boy.

— Nie jesteś pewny, trudno, ruszamy! Karabiny trzymać w pogotowiu, lecz strzelać wolno tylko na moje polecenie — powiedział Smuga.

— Panie Balmore, proszę natychmiast ostrzec tylną straż!

Zwiadowcy razem z Ain'u'Ku znów nieco wyprzedzili karawanę. Smuga trzymał Dinga krótko na smyczy; bacznie obserwował jego zachowanie i jednocześnie przepatrywał okoliczne zarośla. Nie miał wątpliwości, że czatują

w nich papuascy wojownicy. Dingo jeżył sierść na grzbiecie i ani na chwilę nie przestawał warczeć. Smuga obejrzał się na swych towarzyszy. Tragarze szli teraz zwartą gromadą. Na samym końcu widać było kapitana Nowickiego, który wszystkich znacznie przewyższał wzrostem. Ostrzeżony przez Balmore'a, nikomu nie pozwalał pozostawać w tyle i uważnie rozglądał się wokoło. Ostrożność Nowickiego uspokoiła Smugę. Mógł nie kłopotać się o tyły.

— Już widać wioskę, proszę pana! — cicho zawołał Tomek.

— Zwróć uwagę na Dinga! Widzisz! Zapewne obserwują nas z zarośli — powiedział Smuga.

— Spostrzegłem to już przedtem — odparł Tomek.

Była pora popołudniowa, w której promienie słoneczne codziennie toczyły walkę z kłębiastymi chmurami wynurzającymi się wtedy z głębokich dolin. Z daleka wioska krajowców tworzyła romantyczny widok. Ozłoczone słońcem domy na tle ciemnej zieleni wyglądały jak wielkie ule zbudowane wśród drzew. Wystarczyło jednak podejść bliżej, aby okazały się niestarannie zbudowanymi, nędznymi szałasami. Niektóre wznosiły się na palach wysoko nad ziemią lub po prostu były osadzone na obciętych konarach drzew. Dachy pokryte grubymi, ciężkimi liśćmi drzewa pandanowego tworzyły wygięty do góry łuk. Wąskie, mroczne wejście we frontowej ścianie domu, zwróconej na obszerny plac, osłaniał szczyt dachu wystającego ponad małą platformę w rodzaju werandy. Wchodziło się na nią po drabinie uplecionej z gałęzi. Zazwyczaj krajowcy większość dnia spędzali na swych werandach, teraz wszakże były one całkowicie opustoszałe. Jedyne pasemka dymu leniwie przesączające się przez szczeliny w liściastych dachach świadczyły, iż domy w obecnej chwili nie były opuszczone przez ludzi.

Trójka zwiadowców pierwsza wkroczyła do wioski. Dingo, krótko trzymany na uwięzi, wciąż strzygł uszami, węszył i skomlał. Pierwsza z brzegu chata wznosiła się na palach trzy lub cztery metry ponad ziemią. Otwór drzwiowy w szczytowej ścianie zagrodzony był dwoma skrzyżowanymi gałęziami.

— Niech pan spojrzy, kilka hamaków jest rozwieszonych pomiędzy palami pod podłogą domu — odezwał się Tomek. — Zapewne krajowcy wylegiwali się na nich przed naszym nadejściem, lecz ostrzeżeni sygnałem

przez wartownika, gdzieś się pokryli. Może teraz siedzą w domach albo schowali się w pobliżu w wysokiej trawie.

— Chyba się nie mylisz! Dym uchodzi przez dachy — powiedział Smuga.

— Wejdem na werandę i zajrzę do chaty — zaproponował Tomek.

Zaczął się wspinać po drabinie, lecz Ain'u'Ku przytrzymał go za nogę i rzekł:

— Tam nie ma Papuas, twoja widzi znak na drzwi!

— Czy masz na myśli te dwie złożone na krzyż gałęzie? — zapytał młodzieniec.

— Teraz twoja dobrze mówi — potaknął boss-boy. — Taki znak mówi: nikogo nie ma, twoja nie wchodzi, duchy pilnują dom! Twoja nie słucha, będzie mnóstwo bardzo źle! Twoja zostawi bagaż w lesie i buduje taki znak naokoło, nikt nie ruszy! Twoja rozumie?

— Dziękuję, Ain'u'Ku, za przestrożę, doskonale cię zrozumiałem. Gdy się zastaje znak ze skrzyżowanych gałęzi, nie należy wchodzić do domu ani brać przedmiotów, które one ogradzają. Oznacza on, iż należą do kogoś, kto do nich lub po nie powróci. Czy tak?

— Twoja dobrze mówi! Wtedy duchy pilnują.

Tomek zeskoczył z drabiny na ziemię.

— Co teraz zrobimy? — zwrócił się do Smugi.

— Może uda nam się wywabić krajowców z ich kryjówek — odparł Smuga i zawołał: — Zbyszku, proszę podać tytoń i sól!

Karawana przystanęła kilkanaście metrów przed pierwszymi zabudowaniami. Zbyszek natychmiast wykonał polecenie. Smuga zerwał z krzewu dwa liście, położył je na kamieniu, po czym na jeden z nich nasypał trochę tytoniu, a na drugi odrobinę soli. Potem razem z Tomkiem siedli po turecku na ziemi i jak gdyby nigdy nic zapalili fajki.

— Ain'u'Ku, powiedz im, że ten tytoń i sól przeznaczyliśmy dla starszego wioski, niech bez obawy przyjdzie i weźmie je sobie — rozkazał Smuga.

Boss-boy przyłożył do ust dłonie złożone w tubę i rozpoczął głośną przemowę. Po jakimś czasie z trawy rosnącej na skraju wioski podniósł się wątył starszy mężczyzna. Krok za krokiem ostrożnie podszedł do kamienia, na którym leżały podarunki. Nie odrywając wzroku od białych podrózników,

sięgnął ręką po liść z solą i zjadł ją od razu. Z kolei powąchał tytoń, zwinął go razem z liściem w długi rulon, po czym spokojnym głosem wypowiedział jakiś rozkaz.

Tomek aż przybladł z wrażenia. Zaledwie o kilkanaście metrów od nich w wysokiej trawie powstali wojownicy. W rękach dzierżyli łuki napięte do strzału. Niektórzy uzbrojeni byli w dzidy. Twarze ich były pomalowane żółtą i czerwoną farbą, a na szyjach nosili naszyjniki z psich zębów oraz muszelek. Dingo przysiadł, jakby chciał rzucić się na nich, lecz Smuga przytrzymał go dłonią.

— Popatrz, jak niewiele brakowało, abyśmy już tutaj zakończyli naszą wyprawę — mruknął do Tomka. — Przez cały czas celowali do nas z łuków...

Dopiero teraz można było dostrzec pewną różnicę w odcieniu koloru skóry starszego wioski w porównaniu z innymi wojownikami. Była ona nieco jaśniejszej barwy. Jeden z wojowników podał mu bambusową fajkę, w której wypalone były na wierzchu dwa otwory. Starszy wioski zatknął liść zwinięty w rulon w jeden otwór fajki. Do drugiego przyłożył usta. Podsunęto mu płonąca gałązkę. Starszy wioski zapalił „*cygaro*”, napełnił całą fajkę dymem, zaciągnął się nim i podał fajkę Smudze.

Był to niewątpliwie swoisty sposób wyrażania gościowi swego szacunku, toteż Smuga z powagą przyłożył usta do otworu fajki i wolno wypuścił kłęb dymu. Potem Tomek powtórzył tę ceremonię. Starszy wioski uśmiechnął się do podróżników. Jego wojownicy zdjęli strzały z cięciw łuków. Smuga odwrócił się ku swoim; dał znak, że mogą się przybliżyć. Nadeszli całą gromadą i półkolem otoczyli zwiadowców. Smuga i Tomek powstali z ziemi. Rozpoczęła się właściwa ceremonia powitalna. Starszy wioski podszedł do Smugi. Wskazał siebie palcem i kilkakrotnie powtórzył:

— Galum’ur’i!

— Smuga — rzekł podróżnik, zrozumiałwszy, że krajowiec wymienił swoje nazwisko.

Nie pomylił się, starszy wioski objął go mocno, wymawiając jego nazwisko wiele razy. Potem przesunął dłonią po ciele gościa, a w końcu potarł swym nosem o jego nos. Następnie rozpoczął przemowę. Na szczęście mówił językiem znanym Ain’u’Ku, który zaraz tłumaczył jego słowa białym podróżnikom.

— Z radością witamy was w naszej osadzie i przyjmujemy do naszej społeczności — mówił. — Nasza ziemia jest waszą ziemią, nasze domy są waszymi domami, nasze kobiety i dzieci również należą do was. Nie mamy nic, ale damy wam jarzyn. Damy wam także jedną świnie, aby okazać wdzięczność za to, że raczyliście przybyć do nas.

Odwrócił się do wojowników i coś zawołał w miejscowym narzeczu. Odpowiedzieli głośnym okrzykiem. Widocznie w ten sposób wyrazili swoją zgodę, ponieważ kilku z nich zaraz pobiegło w busz poza domem. Powrócili po chwili niosąc za nogi głośno kwiczącą świnie. Z rozmachem rzucili ją na ziemię. Jeden Papuas zdzielił zwierzę maczugą w łeb. Dwóch innych zaczęło ćwiartować świnie bambusowymi nożami, a tymczasem wszyscy wojownicy malowali swe ciała żółtą farbą. Chłopcy i dziewczęta wyszli z buszu, powiewając zielonymi gałązkami.

Starszy wioski przystąpił do rozdzielania darów. Smuga otrzymał grzbiet świni, Tomek jedną tylną nogę, potem zaś kolejno wszyscy biali podróżnicy dostawali odpowiednie porcje. Tragarzom ofiarowano jelita i głowę. Smuga chciał przekazać swój podarunek starszemu wioski, lecz Ain'u'Ku pośpiesznie wyjaśnił mu, że byłoby to wielkim nietaktem. Świnia ta należała do mieszkańców wioski, więc traktowano ją jako równorzędnego członka społeczności, a członkowie tej samej społeczności nigdy wzajemnie siebie nie zjadają.

— Cóż on wygaduje!?! — oburzył się kapitan Nowicki.

— Nietrudno odgadnąć ukryty sens w tym rozumowaniu, jeśli tutaj naprawdę jeszcze uprawia się kanibalizm — odpowiedział Smuga. — Najlepiej ofiarujmy im jedną z naszych świń.

— W ten sposób będzie wilk syty i owca cała... — zaaprobował decyzję Wilmowski.





## LUDZIE I PÓŁBOGOWIE

Po pierwszej wymianie darów kobiety zaczęły przynosić podróżnikom jarzyny. Każda z nich składała na ziemi produkty ze swego poletka. Były to: pasiaste dynie, laski trzciny cukrowej, taro, słodkie kartofle i zielone łodygi miejscowej rośliny, które po ugotowaniu smakowały jak szparagi. Były to podarunki ofiarowywane w dowód przyjaźni, lecz do dobrych obyczajów należało odwzajemnić się jakimś drobnym upominkiem. Toteż Smuga polecił Zbyszkowi rozdać kobietom po łyżce soli. Papuaski były z tego bardzo zadowolone i chowały przysmak do rożków ze zwiniętych liści. Mężczyźni otrzymali po kawałku czarnego, mocno sprasowanego tytoniu.

Rozpoczęto przygotowania do uczty. Mężczyźni rozpalili ogniska, aby kobiety mogły rozgrzać w nich aż do białości duże, płaskie kamienie. W tym czasie dwaj Papuasi poćwiartowali bambusowymi nożami świnie ofiarowaną im przez podróżników, nawet nie oskrobując jej z błota. Kobiety ułożyły na dnie dołu wykopanego w ziemi warstwę rozgrzanych kamieni, przykryły je aromatycznymi liśćmi, a następnie wrzuciły na nie poćwiartowaną świnie razem z nie oczyszczonymi jelitami oraz jarzyny. Piec naładowany po brzegi zasypano ziemią.

Gościnni krajowcy przygotowali taki sam „*piec*” dla swoich gości, lecz biali podróżnicy nie mieli odwagi skorzystać z niego. Przecież według zapewnień gubernatora, w kraju Fuyughe jeszcze miało być uprawiane ludożerstwo. Jeśli tak było naprawdę, to na tych samych kamieniach krajowcy mogli piec również ciała zabitych wrogów. Przezorny kapitan Nowicki razem z dziewczętami zajął się gotowaniem wieczery. Papuasi zdumieni obstąpili ich kołem, głośno robiąc różne uwagi. Po raz pierwszy widzieli, aby ktoś zadawał sobie tyle trudu z „*niepotrzebnym*” czyszczeniem mięsa i jarzyn. Nie mogli także pojąć, w jakim celu biali ludzie zabierają w podróż tyle zbędnych przedmiotów. Osobisty dobytek Papuasa nie sprawiał mu w drodze, jakichkolwiek trudności. Każdy z nich był całkowicie zadowolony, jeśli posiadał dzidę, kamienną siekierę, zdobne pióra i farby wojenne, bambusową fajkę, szczyptę tytoniu oraz słodkie kartofle do jedzenia. Jeśli ktoś ponadto miał świnie, uważany był za bardzo zamożnego. Nic, więc dziwnego, że obóz

podróżników, rozłożony obok wioski, stał się przedmiotem ogólnego zainteresowania.

Krótkotrwały deszcz nie przerwał przygotowań do wieczery. Wilmowski, Bentley i Tomek, posługując się Ain'u'Ku jako tłumaczem, starali się zebrać jak najwięcej informacji o życiu krajowców. Udało im się nawet zajrzeć do największej budowli na końcu placyku, zwanej emone. Służyła ona starszyźnie oraz wszystkim mężczyznom za miejsce zebrań. Również w niej nocowali kawalerowie. Po obydwóch stronach placyku stały pojedyncze rzędy domów poszczególnych rodzin. Zwały się eme i były domami kobiet. W ich wnętrzach wiecznie panował mrok. Przy nikłym żarze węgla, palących się w rowku umieszczonym wzdłuż nadziemnej podłogi, zaledwie można było dostrzec ciemne sylwetki mieszkańców. Wszystkie domy zionęły ostrym odorem uryny, sadzy, nie mytych ciał i suszonych liści pokrywających dach. Ostatnie promienie zachodzącego słońca padały na dolinę. W wiosce kończono uroczysty wieczorny posiłek. Tomek szybko zjadł kolację, po czym przysunął się do ogniska i zapisywał w notesie swe spostrzeżenia. Było to jego codziennym zajęciem o tej porze. Minęło sporo czasu, zanim schował notes do kieszeni. Sally zaraz przysunęła się do niego i zagadnęła:

— Zapewne poczyniłeś dzisiaj ciekawe obserwacje? Znacznie dłużej pracowałeś niż zwykle...

— Tak, moja droga, dzisiejsze popołudnie przyniosło nam bardzo interesujące informacje etnograficzne — przyznał Tomek. — Nie tylko ja, lecz również ojciec i pan Bentley byli nimi zaskoczeni.

— A więc to dlatego zaszyli się w swoim namiocie i dyskutują? — domyśliła się Sally.

— Właśnie uzgadniają treść notatki naukowej na ten temat — potwierdził Tomek.

— Dlaczego nie bierzesz udziału w tej naradzie? — zdziwiła się Sally.

— Podzieliliśmy się pracą. Oni się zajęli organizacją plemienną, podczas gdy ja badałem przekazy podaniowe.

— Opowiesz nam? — Nie czekając na jego odpowiedź, zawołała półgłosem: — Panie kapitanie! Nataszo! Tomek poczynił ciekawe spostrzeżenia! Chcecie posłuchać?

Kapitan Nowicki natychmiast usiadł przy ognisku obok Tomka. Natasza i pozostała młodzież obsiedli ich kołem.

— Smuga, Stanford i Wallace pierwsi mają wachtę. Mamy, więc sporo czasu! Chętnie posłucham tych ciekawostek — rzekł Nowicki i zaczął nabijać fajkę tytoniem.

— Czy przypominacie sobie nasze rozmowy na temat Nowej Gwinei, zanim wyruszyliśmy w głąb wyspy? — zapytał Tomek.

— Doskonale pamiętamy! — odpowiedział Zbyszek. — Przecież tyle dyskutowaliśmy na ten temat!

— Jeśli chodzi o topografie kraju, nasze przewidywania prawie całkowicie się sprawdziły — stwierdził Balmore.

— Tak, pod tym względem nie spotkały nas zbyt wielkie niespodzianki — odparł Tomek. — Również aż do dzisiejszego popołudnia nie spodziewaliśmy się jakichś rewelacji w zwyczajach krajowców. Przypuszczaliśmy, że wszyscy Papuasi nie posiadają organizacji plemiennej. Nawet gubernator w Port Moresby niewiele mógł nam o tym powiedzieć.

— A jakże, pamiętam doskonale, co mówił — wtrącił Nowicki. — Był przekonany, że to zupełnie dzicy ludzie, całkowicie żyjący w anarchii.

— Tak samo i my myśleliśmy — powiedział Tomek. — Dopiero dzisiaj przekonaliśmy się, że nasze przypuszczenia były błędne. Mianowicie poszczególne plemiona ludów Fuyughe, do których również należą Mafulu, rządzone są przez outame, tworzących tutejszą arystokrację.

— Ciekawe rzeczy opowiadasz! — zdumiał się Nowicki. — Któż to są ci outame?

— Legenda o ich pochodzeniu wiąże się z mitologią ludów Fuyughe — wyjaśnił Tomek. — Mianowicie, według miejscowych wierzeń, pierwotni mieszkańcy Nowej Gwinei byli całkowicie dzikimi, bezpłciowymi istotami niższego rzędu. Nie mieli domostw, psów ani świń. Nie znali uprawy roślin. Dopiero bóg Tsidibe, który ucieleśnił się wychodząc z pewnego drzewa rosnącego w dolinie Tsirime, przyniósł do krajów Fuyughe outame, czyli pierwowzory różnych roślin i zwierząt, oraz pierwowzór prawdziwego człowieka, nazwanego outame.

Dobrodziejstwa, jakich bóg Tsidibe nie szczędził pierwotnym dzikim istotom oraz obecność outame, pierwowzoru człowieka pochodzenia półboskiego, spowodowały, że otrzymały one płęć i odtąd mogły się

rozmnażać. W ten sposób powstały dwie klasy ludzi: jedna uprzywilejowana, pochodząca od outame, zwana an'ita, to jest „piękni i dobrzy”, oraz druga a'gata, czyli buluranis — poddani wywodzący się od dawnych pierwotnych istot. Bóg Tsidibe zorganizował życie buluranis. Podzielił ich na szczepy i na czele każdego z nich postawił jedną rodzinę outame. Najstarszy mężczyzna w tej rodzinie automatycznie zawsze jest naczelnym wodzem szczepu. Outame cieszą się wielkim szacunkiem, albowiem krajowcy wierzą, że dany szczep istnieje i może się rozmnażać tylko dzięki ich obecności. Posiadają oni nieograniczoną władzę życia i śmierci nad wszystkimi członkami szczepu, wypowiadają wojnę, lecz nigdy nie noszą broni i są mężami pokoju. Gdyby outame przypadkiem znalazł się w wirze walki, nikt by go nie zaatakował, gdyż jego życie jest święte.

— Ładni mężowie pokoju, którzy wypowiadają wojny i decydują o śmierci swych poddanych! — oburzył się Nowicki.

— Outame osobiście nie dowodzi wojownikami i nigdy nie bierze udziału w walce — odparł Tomek. — Wojnę prowadzi Emel'u'Babl, ojciec dzidy. Oprócz niego outame posiada starszych wodzów jako doradców i administratorów oraz mniejszych wodzów, zajmujących się sprawami wyżywienia, bogactwa i innymi. Wśród Fuyughe pełnią oni podobną rolę jak ministrowie w państwach europejskich.

— Nigdy bym nie przypuszczał, że nagusy, którzy nieraz z trudem liczą zaledwie do czterech i zupełnie się nie orientują w czasie, potrafią sobie zorganizować rząd na wzór europejski — dziwił się Nowicki. — To naprawdę wielka niespodzianka! Teraz rozumiem, o czym twój ojciec i Bentley tak zawzięcie rozprawiają w namiocie!

— Podanie tych wiadomości wywoła nie lada sensację! — przyznał James Balmore.

— Interesujący jest również sposób dziedziczenia funkcji naczelnego wodza wśród członków rodziny outame — dodał Tomek. — Otóż, jeśli outame nie ma własnego syna, władzę obejmuje brat lub jeden z jego synów, a gdyby i ten nie posiadał męskiego potomka, funkcję naczelnego wodza dziedziczy syn córki outame. Istnieje tu także niepisane prawo, kto i z kim może zawierać małżeństwo oraz co do piastowania różnych godności.<sup>609</sup>

---

<sup>609</sup> — W latach 1914–1920 polski etnolog i badacz ludów pierwotnych, profesor Bronisław Malinowski, przebywał w Oceanii na Wyspach Trobrianda w pobliżu wschodnich wybrzeży Nowej

— Tommy, czy już wiesz, kto pełni w tej wiosce funkcję outame? — zapytała Sally. — Nie spostrzegłam nikogo wyróżniającego się zewnątrznie!

— Nic dziwnego, autorytet outame wśród krajowców wynika z faktu posiadania przez niego władzy. Zewnątrznie outame niczym się nie wyróżnia. Tutaj jest nim ten niepozorny mężczyzna, który pierwszy wyszedł z ukrycia, aby nas powitać — odparł Tomek.

— Czy spostrzeżliście, że on ma nieco jaśniejszą skórę od innych? — wtrąciła Natasza.

— Ojciec i pan Bentley od razu zwrócili na to uwagę — odpowiedział Tomek. — Ich zdaniem, odłamy ludów z różnych kontynentów przybywały na przestrzeni wieków i osiedlały się w Nowej Gwinei. Nowi przybysze spychali swych poprzedników w głąb wyspy, a czasem częściowo się z nimi łączyli. W ten sposób wytworzyła się tutaj różnorodność typów rasowych, zwyczajów oraz wielka liczba odrębnych języków. Najpierw prawdopodobnie przybyli na Nową Gwineę Pigmejowie<sup>610</sup>, po nich kolejno napływali negroidzi<sup>611</sup>, przedstawiciele rasy weddyjsko-australoidalnej<sup>612</sup>, a w końcu europeidzi<sup>613</sup>, dzięki którym powstał w Oceanii typ polinezyjski. Podczas długiej żeglugi na wschód niektórzy europeidzi, z własnej woli bądź też z konieczności, osiedlali się na napotykanym po drodze wyspach i mieszały się z krajowcami. Pan Bentley jest przekonany, że ów bóg Tsidibe oraz potomkowie pierwszego outame wywodzą się od jakiejś grupki europeidów, którzy wylądowawszy na wybrzeżu Nowej Gwinei, przedarli się przez góry w głąb wyspy do dolin zamieszkałych przez prymitywnych Fuyughe. W tych

---

Gwinei, gdzie samotnie prowadził badania z zakresu socjologii kultur prymitywnych. Jego ważne obserwacje wykazały pewne zbieżności zwyczajowe i obyczajowe mieszkańców Wysp Trobrianda z krajowcami Nowej Gwinei. Również na podstawie jego badań dochodzimy do wniosku, że ludy „dzikie” osiągnęły w pewnych dziedzinach życia doskonalszy stopień rozwoju kulturalnego niż ludy cywilizowane. Malinowski urodził się w Krakowie w 1884 r, zmarł w New Haven w USA w 1947. Opublikował szereg cennych prac, z których najważniejsza, *Argonauta of the Western Pacific (Argonauci Zachodniego Pacyfiku)*, ukazała się w 1922 r. i przyniosła mu profesurę na uniwersytecie londyńskim.

<sup>610</sup> — Pigmejowie — niskoroste plemiona murzyńskie, obecnie znajdujące w Afryce, Azji i w Melanezji.

<sup>611</sup> — Negroidzi — czarna odmiana człowieka.

<sup>612</sup> — Weddyjsko-australoidalny — składnik czarnej odmiany człowieka, wykazujący cechy neandertaloidalne, znany jako typ maloidalny, który wytworzył się podczas wędrówki grup ludności z Indii w kierunku wschodnim, przez zmieszanie się z mieszkańcami wysp indonezyjskich, malajskich i Indochin.

<sup>613</sup> — Europeidzi — biała odmiana człowieka.

warunkach chyba z łatwością mogli wytworzyć wokół siebie mit półboskiego pochodzenia i ująć władzę w swoje ręce.

— Bardzo logiczny wywód — rzekł James Balmore. — Inteligentniejsi i lepiej zorganizowani przybysze zagarnęli dla siebie funkcje wodzów oraz ziemię.

— Tego nie powiedziałem! — zaprzeczył Tomek. — Ziemia pozostała własnością buluranis, czyli pierwotnych mieszkańców. Stanowi ich wspólną majątkową. Jeśli outame chce sam uprawiać poletko dla siebie, musi wydzierżawić ziemię od swych poddanych.

Czas szybko upływał młodemu podróżnikowi na rozmowie o zwyczajach Papuasów. Tymczasem w wiosce gwar z wolna przycichał. Kobiety i dzieci gromadziły się na uboczu, mężczyźni przysiadali wokół ognisk płonących w pobliżu domów. Palenie tytoniu bądź żucie betelu należały do największych przyjemności krajowców. Toteż jedni, niemal w uroczystym skupieniu, podawali sobie z rąk do rąk grube, bambusowe fajki, drudzy natomiast żuli betel. Niektórzy po prostu kładli do ust świeże liście pieprzu betelowego, posypane popiołem, inni zaś w bardziej udoskonalony sposób przygotowywali swe prymki. Mianowicie z banki, zrobionej z wydrążonej dyni, wydobywali drewnianą łopatką wapien z sproszkowanych muszelek, którym posypywali liście betelu, po czym zawijali w nie pokrojone w plasterki orzechy palmy areki, dodając szczyptę tytoniu. Zwolenników żucia betelu zawsze z łatwością poznawało się po czerwobrunatnych zębach i ustach jakby ociekających krwią<sup>614</sup>.

Biali podróżnicy przerwali pogawędkę. Z okolicznej dżungli płynął przenikliwy krzyk cykad. Ciemne sylwetki chat wzniesionych ponad ziemią, odbłask ognisk pełzający po nagich, brązowych ciałach milczących krajowców i jasne, zimne niebo migoczące gwiazdami tworzyły wprost urzekający obraz. Naraz ktoś przy ognisku nieśmiało zanucił jakąś pieśń. Po kilku pierwszych tonach coraz to nowe głosy stopniowo zaczęły się przyłączać do samotnego śpiewaka. Wkrótce cała wieś nuciła melancholijną piosenkę.

---

<sup>614</sup> — Liście betelu posypuje się wapieniem w celu zneutralizowania kwasów. Podczas żucia prymki następuje reakcja chemiczna pomiędzy wapieniem i orzechem areki, wskutek czego bezbarwny sok staje się czerwony. Betel działa orzeźwiająco i podniecająco, odkaża jamę ustną, wzmacnia dziąsła, lecz w sumie wywiera ujemny wpływ na zdrowie.

— Jak pięknie śpiewają... — szepnęła do przyjaciół wzruszona Natasza.

— Nawet pan Wilmowski i pan Bentley przerwali pracę, żeby posłuchać tej smutnej pieśni — dodała Sally.

W tej właśnie chwili Smuga przybliżył się do grupki zasłuchanej młodzieży.

— Kto by pomyślał, że ci prymitywni ludzie posiadają tak romantyczne usposobienie — zagadnął. — To pieśń miłosna, jak twierdzi Ain'u'Ku.

— Faktycznie, nigdy bym ich o to nie podejrzewał — odparł Nowicki. — W dzień orzą tymi swoimi czarnymi ślicznotkami niczym mułami, a wieczorem śpiewają im o miłości!

— Co kraj to obyczaj, kapitanie — odezwał się Wilmowski, który razem z Bentleyem przystanął przy ognisku. — Wypytywaliśmy naszych gospodarzy o ich dziwne dla nas zwyczaje. Oni także zadali nam kilka pytań. Na przykład ciekawiło ich, ile u nas trzeba zapłacić rodzicom za taką żonę jak panna Natasza lub Sally. Odpowiedziałem, że my nie płacimy za żony. Na to ze zrozumieniem potaknęli głowami, a jeden z wojowników odparł: słusznie, białe kobiety do niczego, trzeba im pomagać w pracy.

— Tak, tak, moje panie! Papuaski wykonują wszystkie ciężkie roboty, toteż za żonę płaci się tutaj jedną lub nawet dwie świnie — wesoło dodał Bentley.

Dziewczęta wybuchnęły śmiechem, lecz rozmowa zaraz urwała się, ponieważ krajowcy rozpoczęli przygotowania do tańców. Na środku placu ukazało się trzech Papuasów z podłużnymi bębnami<sup>615</sup> o korpusach rezonansowych zwężających się ku środkowi, dzięki czemu przypominały starożytne klepsydry, jakich używano do mierzenia czasu. Wkrótce zahuczały bębny... Mieszkańcy wioski razem z tragarzami białych podróżników ruszyli w tan.

— Czas na spoczynek — odezwał się Smuga. — Tańce na pewno przeciągną się do późnej nocy, a tymczasem jutro musimy dotrzeć do Popole.

Ranek był mglisty i wilgotny. Tragarze mimo nie przespanej nocy rażno przygotowali się do drogi. Oczekiwali jedynie na powrót kobiet, które udały się do odległego strumienia po wodę zdatną do picia. Smuga zżymał się na

---

<sup>615</sup> — Bębny to najstarsze perkusyjne instrumenty muzyczne, spotykane na całym świecie w najprymitywniejszych i najdawniejszych kulturach. Miały one różne kształty i rozmiary; bębny w kształcie klepsydry występują głównie w Azji.

nieprzewidziane opóźnienie. Wioska leżała niemal na brzegu wartko płynącego strumienia, lecz krajowcy twierdzili, że jest on nawiedzany przez złe duchy i każdy, kto by się odważył pić z niego wodę, mógłby ulec jakiemuś nieszczęściu. Dlatego też codziennie o świcie kobiety wędrowały do odległego strumienia, by w bambusowych rurach przynieść odpowiedni zapas wody uznanej przez czarowników za nadającą się do picia. Smuga niecierpliwił się opóźnieniem wymarszu, ale mimo to nie pozwolił nawet własnym towarzyszom czerpać wody z pobliskiego strumienia.

— Czy musimy ulegać śmiesznym zabobonom tych prymitywnych ludzi? — oburzył się James Balmore.

— Moglibyśmy ośmieszyć czarowników pijąc tę wodę, przecież na pewno nie będą próchniały nam po niej zęby ani też nie wykrzywi nam twarzy, jak twierdzą ci szarlatani — dodał Zbyszek.

— Dość gadania, moi panowie! — zgromił ich Smuga. — Jesteście nowicjuszami na tego rodzaju wyprawie! Jeszcze wiele musicie się nauczyć. Śmieszny na pozór przesąd może przecież mieć jakieś logiczne uzasadnienie.

— Czy pan naprawdę tak sądzi? — zdumiała się Natasza.

— Oczywiście, proszę pani — odparł Smuga. — Czy nie przyszło wam do głowy, że woda w tym strumieniu może zawierać jakieś szkodliwe roztwory mineralne?

— A może też jakieś gnijące w niej rośliny czynią ją niezdrową dla człowieka? — dodał Tomek. — Zauważyłem, że krajowcy wrzucają do strumienia swoje odchody i wszelkie odpadki.

— Nam również radzili tak czynić — wtrącił Wilmowski. — Według tutejszych przesądów, czarownik chcąc rzucić urok na kogoś, musi posiadać jakikolwiek przedmiot, który należał do ofiary lub miał coś z nią wspólnego. Krajowcy wierzą, że każdy przedmiot wrzucony do wody staje się nieosiągalny dla czarowników oraz złych duchów.

— Ten śmieszny przesąd nikomu nie wyrządza krzywdy, a kto wie, czy woda w strumieniu naprawdę nie jest szkodliwa — powiedział Smuga. — Głupotą, więc byłoby psuć dobre stosunki z krajowcami z powodu takiego drobiazgu.

— Oto już po kłopotcie! Nadchodzą nosiwody — zawołał Nowicki.

Długi szereg kobiet właśnie wkraczał do wioski. Szły parami, a każda z nich niosła na ramionach dwie rury bambusowe zatkane na końcach jakby



korkami z pachnących roślin. Wszyscy zaczęli gasić pragnienie. Niektórzy krajowcy nalewali sobie wody w zwinięte duże liście, inni pili wprost z bambusowych rur. Podczas nocnej zabawy tragarze zaprzyjaźnili się z mieszkańcami wioski, toteż wielu mężczyzn miejscowych, na czele z outame, postanowiło towarzyszyć karawanie przez część drogi do Popole. Każdy z nich dobrowolnie objuczył się jakimś pakunkiem, nie wyłączając nawet outame. Wkrótce ruszono w drogę.

Tragarze byli w doskonałym nastroju. Jako mieszkańcy okręgów leżących w pobliżu wybrzeża morskiego, zawsze odczuwali lek przed plemionami górskimi, które urządzały na nich wojenne wyprawy. Teraz szli w jak najlepszej zgodzie ze swymi odwiecznymi wrogami, dzielili się z nimi betelem, powszechnie tu uznawanym za symbol pokoju. Przyjaźń została nawiązana za pośrednictwem białych, podróżników, którzy okazali się potężnymi czarownikami. Z pobliskiego już Popole mieli powrócić do rodzinnych wiosek na morskim wybrzeżu. Toteż obecnie szli radośni i chóralnie śpiewali pieśń, naprędce ułożoną przez miejscowego poetę na cześć niezwykłych białych podróżników<sup>616</sup>.

Radosny nastrój nie uległ zmianie nawet wtedy, gdy na jednym z postojów outame oznajmił, że musi już wracać do swojej wioski. Spokojnie wypowiedziane przez niego słowa były jedynym rozkazem, jaki wydał podczas całego marszu. Zaraz też można było poznać, jak wielkim autorytetem cieszył się wśród swoich ludzi, bez najmniejszego sprzeciwu, bowiem natychmiast poczęli się żegnać z pozostałymi tragarzami i białymi podróżnikami.

— Proszę, outame niepozorny człeczyna, ale cieszy się nie lada mirem — odezwał się kapitan Nowicki, obserwując bacznie krajowców. — Uczyć się nam od nich dyscypliny!

— Szanują go jak rodzzonego ojca — wtórował Tomek. — Zastanawiałem się nad tym przed chwilą i pewne skojarzenie przyszło mi do głowy.

— Cóż takiego wymyśliłeś? — zapytał Nowicki.

---

<sup>616</sup> — Wśród plemion Fuyughe poezja jest nierozzerwalnie związana z pieśnią i tańcem. Utalentowani bardowie komponują teksty słowne do piosenek zwanych olove, śpiewanych do tańca, oraz do pieśni mayame, uwieczniających ważniejsze wydarzenia z życia plemienia lub wielkich ludzi. Te nie zapisywane przez nikogo pieśni przekazywane są ustnie z pokolenia na pokolenie i tworzą żywą kronikę tych pierwotnych ludów.

— Zachowanie się outame pod pewnym względem przypomina mi postępowanie pana Smugi. On również zawsze cieszy się wielkim autorytetem i wydając polecenia prawie nigdy nie podnosi głosu.

— Jak amen w pacierzu, słuszne spostrzeżenie! — zdumiał się Nowicki.

— Jednak istnieje między nimi pewna różnica. Smuga jest okazałym mężczyzną, a tamten mikrusem!

— Tu chodzi o zalety wewnętrzne, a nie o wzrost.

— Ha, pewno masz rację, bo gdyby najwyższy miał rządzić to chyba ja zawsze byłbym wodzem! Cóż, rodzice chcieli jak najlepiej dla mnie, nie poskąpili mi męskiej postawy, tylko, że ja ciut za mało garnąłem się do książek — smutno rzekł Nowicki.

— Nie ma powodu do narzekania, kapitanie. Nigdy nie jest za późno na uzupełnienie wiadomości, a sam chciałbym mieć taki posłuch u ludzi, jak pan ma wśród załogi na swoim statku. Wszyscy w ogień by za panem poszli!

— Naprawdę tak sądzisz?! — ucieszył się Nowicki.

— Jestem tego najlepszym przykładem — odpowiedział Tomek. — Ojciec zawsze mówi, że staram się naśladować pana...

— Do licha, a tośmy się dobrali! — odparł Nowicki zadowolony. — Ty bierzesz wzór ze mnie, a ja z ciebie. Wiesz, postanowiłem nauczyć się tak pięknie pisać raporty w dzienniku pokładowym jak ty!

Mówiąc to wydobyl z lewej, dużej kieszeni bluzy gruby notes.

— Spójrz, ile nagryzmoliłem — rzekł. — Z każdej mojej wachty na łądzie sporządzam raport. W wolnej chwili będziesz mi poprawiał różne opisy, dobrze?

— Może pan na mnie liczyć — zapewnił Tomek. — Widzę, że tę sprawę wziął pan sobie głęboko do serca, skoro nosi pan ciężki notes w kieszeni na lewej piersi...

— Nie kpij, brachu, wiesz, że mam nieco przyciężką łapę do pióra i niełatwo mi to przychodzi...

Znów ruszyli w drogę. Tragarze szli rażno, bliskość celu wędrówki dodawała im sił. Górskie pasma coraz wyżej piętrzyły się ku niebu. Dopiero na krótko przed zapadnięciem wieczoru utrudzeni podróżnicy dotarli do płaskowyżu Popole. Ain'u'Ku wysunął się na czoło karawany, zapewniał, że rozpoznaje rodzinne strony. Niebawem ukazała się rzeczka. Na jej przeciwległym brzegu znajdowała się wioska okolona drewnianą palisadą.

Tym razem również nikt nie wyszedł na powitanie karawany, lecz Ain'u'Ku bez chwili namysłu w bród przebył rzeczkę. Pobiegł ku wiosce; osłoniwszy usta dłońmi, wołał coś donośnym głosem. Zza palisady wychyliło się kilka głów. Nastąpiło obopólne poznanie. Wrota w ogrodzeniu otwarły się szeroko. Starszy mężczyzna, ojciec Ain'u'Ku, pierwszy wybiegł na spotkanie. Najpierw mocno objął syna ramionami, głośno wielokrotnie wymawiał jego imię. Potem położył swą głowę na ramieniu Ain'u'Ku, pocierał swoim nosem o jego nos i lewą dłonią przesuwiał po całym ciele syna, jak ślepiec, który tylko dotykiem może rozpoznać dobrze wyryte w pamięci kształty ukochanej osoby.

— Jak się cieszę, że poczciwy chłopiec odnalazł swoich najbliższych — powiedziała Sally do Tomka.

— No, teraz już nie zechce iść dalej z nami — zauważył Zbyszek.

— Zapewne długo nie było go w domu.

Krótką relacją Ain'u'Ku pozbawiła wszelkich obaw mieszkańców wioski. Gromadnie wybiegli na powitanie. Każdy chciał jak najprędzej ujrzeć potężnych białych czarowników. Wkrótce cała karawana znalazła się w obrębie palisady.

Podróżnicy ciekawie rozglądali się po wiosce. Widok domostw wymownie świadczył o nadzwyczaj prymitywnym życiu Mafulu. Większość z nich gnieździła się w zwykłych szałasach bez okien i drzwi, skleconych z gałęzi oraz skórzastych liści. Sprawiały one wrażenie wielkich uli, do których wnętrza człowiek mógł z trudem wczołgać się jedynie przez wąską szczelinę. Główne szkielety niektórych domów tworzyły po prostu pnie rosnących w pobliżu siebie palm, obudowane liściastymi ścianami. Często nie obcięte korony tych „*naturalnych słupów*” sprawiały wrażenie strzępiastych parasoli rozpiętych nad zieloną chatynką. Jedynie dom mężczyzn, emone, zbudowany na palach, szkółka i chatka misjonarza stanowiły budowle przypominające ludzkie sadyby.

Po oficjalnych powitaniach białych podróżników spotkała przykra niespodzianka; zbliżył się ku nim krajowiec, ubrany w niebieską koszulę sięgającą łydek, i rzekł:

— Moja kis baibe<sup>617</sup>, wielki biały ojciec iść do duża woda, wasza może spać dom, który należeć jemu, all right!

Ain'u'Ku pospieszył z wyjaśnieniem jego słów. Okazało się, że misjonarz jest nieobecny. Wyruszył w kierunku wybrzeża.

— Kiedy powróci wielki biały ojciec? — zapytał Bentley.

— Mnóstwo wiele księżyców — odparł krajowiec. — Złe duchy gniewać się na wielki biały ojciec. On budować dom modlitw, złe duchy gniewać się, one trząść ziemia, góry, drzewa, przewracać domy. Wielki biały ojciec mówi: nasza budować inny dom z inny dach. Wtedy złe duchy go nie przewrócić i iść precz za góry do źli ludzie. My dobry ludzie!

Mówiąc to z dumą wskazał ręką krucyfiks i świstawkę zawieszoną na sznurku na jego piersi.

— Do licha, zapewne trzęsienie ziemi niedawno nawiedziło tę okolicę — domyślił się Bentley. — Misjonarz, na którego informacje tak liczyliśmy, prawdopodobnie udał się na wybrzeże po jakieś trwalsze materiały budowlane.

— Niefortunne to dla nas — zafrasował się Wilmowski. — Zmarnujemy wiele czasu czekając na jego powrót.

— Później zastanowimy się, co powinniśmy uczynić. Teraz musimy pomyśleć o odpoczynku — powiedział Smuga. — Kis baibe radzi skorzystać z domku misjonarza. Ulokujemy w nim nasze panie.

— Rada dobra, wygodniej im tam będzie niż w namiocie — przytaknął kapitan Nowicki.

Chatynką misjonarza zbudowana była z szorstkich pni palm. Wielkie płyty kory przymocowane z zewnątrz do belek miały zasłaniać szczeliny pomiędzy nimi, lecz z powodu częstych w tych okolicach burz i wiatrów w ścianach pełno było szpar, umożliwiających zagłądanie do wnętrza chatki. W jedynym okienku tkwił kawałek drucianej siatki, a wykoślawione drzwi zrobione były z rozpołowionych pni młodych palm. Spadzisty dach z wierzchu pokrywała twarda trawa i liście. Przewiewna chatka naprawdę wyglądała bardzo nędznie, lecz za to z małej werandy, ukrytej pod okapem dachu, rozpościerał się wspaniały widok. Płaskowyż zewsząd otaczały łańcuchy górskie, które na północy tworzyły masyw spiętrzonych szczytów. Purpurowy odbłask zachodzącego słońca dodawał im tajemniczego uroku.

---

617 Kis baibe — pomocnik misjonarza.

Smuga uniósł drewnianą zasuwę i otworzył drzwi. Umeblowanie małej izdebki stanowiły jedynie dwa posłania sporządzone z bambusowych ram wyplecionych lianami, stół zaimprovizowany z większej drewnianej skrzynki i krzeselko z mniejszej. Kapitan Nowicki, zawiedziony, rozejrzał się dookoła i rzekł:

— Ha, moje drogie, nie ma wam, czego zazdrościć!

— Hotelik skromny, ale aromat drzew cynamonowych bardzo przyjemny — rzekł Tomek, wnosząc do chatki podręczne bagaże dziewcząt.

— Szpary w ścianach mają pewną zaletę. Będziecie mogły podziwiać panoramę nie podnosząc się z łóżek!

— Niech wieloryb połknie taką panoramę! — burknął Nowicki. — Chodź, brachu, trzeba pomóc rozbijać obóz. Głodny jestem!



## ŁOWY NA RAJSKIE PTAKI

Przeciągły krzyk nocnego ptaka wyrwał Tomka z półsnu. Zanim otworzył oczy, jego prawa dłoń zacisnęła się na kolbie tkwiącego za pasem rewolweru. Uniósł się na łokciu, po czym wychylił głowę przez otwór szałasu zbudowanego na konarach rozłożystego drzewa. Gdzieś w pobliżu rozległ się trzepot skrzydeł, a potem zapadła cisza. Ciemność w dżungli była obecnie jeszcze bardziej nieprzenikniona. Był to nieomylny znak, że niebawem nastanie dzień. Tomek, uspokojony, z powrotem legł na pachnącym posłaniu z trawy i liści. Krzyk ptaka nie przebudził ojca. Przez chwilę Tomek wsłuchiwał się w jego głęboki, trochę ciężki oddech. Ostrożnym ruchem nakrył ojca swoim kocem. Chłodne powietrze przesiąknięte było wilgocią. Młodzieniec zastanawiał się, czy zastosowany przez nich papuaski fortel myśliwski ułatwi im polowanie. Krajowcy często przygotowywali na drzewach zamaskowane zasadzki i ukryci w nich strzelali z łuków do ptaków nie podejrzewających niebezpieczeństwa. Obydwaj Wilmowscy skorzystali z doświadczeń krajowców; już czwartą noc czatowali w nadziemnym szałasie sporządzonym z gałęzi i lian, aby móc obserwować rajskie ptaki, żerujące na sąsiednich drzewach pandanowych obfitujących w ziarno. Życie i zwyczaje tych oryginalnych ptaków były dotąd w ogóle bardzo mało znane, toteż wszelkie obserwacje, poczynione w naturalnych warunkach, mogły posiadać dla ornitologii olbrzymie znaczenie; ponadto miały one umożliwić stworzenie rajskim ptakom, hodowanym w ogrodach zoologicznych, jak najdogodniejszych warunków bytowania, zbliżonych do naturalnych.

Podczas czterodniowych czat Wilmowski zanotował wiele cennych uwag. Okolica nie była nawiedzana przez krajowców; dzięki temu rajskie ptaki codziennie o świcie przylatywały do drzew pandanowych i żerowały, dopóki palące promienie słoneczne nie zmusiły ich do ukrycia się w cienistym buszu.

Poprzedniego wieczoru Wilmowski uznał, że posiada już dostateczny zbiór informacji o królewskim rajskim ptaku<sup>618</sup>, spotykanym w większości niżej położonych regionów Nowej Gwinei. Nadchodzący ranek miał

---

<sup>618</sup> — *Cicciturus regius*, ptak rajski królewski, jest najpiękniejszy, choć nie najrzadziej spotykany. Zamieszkuje na terenach położonych aż do 600 m n.p.m.

zakończyć czaty upolowaniem jednego lub kilku okazów tego gatunku rajskiego ptaka. Wiadomość ta bardzo ucieszyła Tomka; trochę było mu tęskno za Sally. Gdy tylko nie przebywali razem, zaraz niepokoił się o nią. Wiedział, że bardzo pragnie wyróżnić się jakimś sukcesem łowieckim podczas tej pierwszej w jej życiu wyprawy. Dlatego też obawiał się, aby nie popełniła jakiegoś nierozważnego czynu, który mógłby narazić ją na niebezpieczeństwo. Wyruszając z ojcem na kilkudniowe rozpoznanie, zlecił opiekę nad Sally kapitanowi Nowickiemu. Był pewny, że ten wierny druh wskoczyłby za nią w ogień. Mimo to pragnął już jak najprędzej znaleźć się w obozie. Niepokój Tomka nie był pozbawiony podstaw. Przeszło trzy tygodnie temu rozstali się w Popole z tragarzami najętymi w okolicy Port Moresby. Przy pomocy wiernego Ain'u'Ku zwerbowali nowych tragarzy i nie mogąc doczekać się powrotu „*wielkiego białego ojca*”, odważnie wyruszyli w nieznaną kraj, rozciągający się na północ od płaskowyżu Popole. Teraz obozowali w pobliżu terenów wojowniczych Tawade, na których samo wspomnienie tragarze Mafulu dostawali gęsiej skórki. Wprawdzie gadatliwy Ain'u'Ku podtrzymywał na duchu swoich ziomków opowiadaniem o czarnoksiężskiej potędze białych masters, lecz trudno było przewidzieć, jak zachowają się w razie nieoczekiwanego spotkania z okrutnymi wrogami. Rozmyślając o Sally, łowach i niebezpieczeństwach czyhających w głębi wyspy, Tomek ani się spostrzegł, że noc nagle poszarzała. Dopiero wrzask papug budzących się ze snu przywrócił go do rzeczywistości. Spojrzał w otwór szałas. Już dniało. Odwrócił się do ojca. W tej właśnie chwili Wilmowski odrzucił koce i usiadł na posłaniu.

— Dawno już nie śpisz? — zapytał syna. — Nic nie słyszałem... Oddałeś mi swój koc, zmarzłeś zapewne?

— Krzyk jakiegoś nocnego ptaka zbudził mnie nad ranem i już nie mogłem zasnąć — wyjaśnił Tomek.

— Posilmy się trochę — zaproponował Wilmowski. — Zaraz rozpoczniemy czaty i polowanie. Może poszczęści nam się dzisiaj...

Tomek wyjął z myśliwskiej torby resztkę zapasów: kilka sucharów, małą puszkę konserw mięsnych oraz manierkę z wodą. W milczeniu pospiesznie zjedli śniadanie, po czym ostrożnie rozsunęli zbudowane z roślin ścianki nadziemnego szałas. Tak ukryci w listowiu mogli obserwować wszystko, co się działo wokół nich, nie zwracając na siebie uwagi pierzastych, krzykliwych



mieszkańców dżungli. Tropikalny las budził się do życia, witając świt prawdziwą fanfarą ptasich głosów. Wśród barwnych kwiatów, zwisających jak wspaniałe girlandy z gałęzi drzew, nie mniej barwne papugi prowadziły ożywione „dyskusje”. Małe białe kakadu o siarkowożółtych czubach gromadnie obsiadały dzikie drzewa owocowe; pokrewne im czarne kakadu<sup>619</sup>, wielkie ptaszyska, żerowały na drzewach orzechowych, z łatwością krusząc twarde łupiny swymi dużymi, silnymi dziobami; na ciemnozielonym tle zieleni połyskiwały niezbyt wielkie lory<sup>620</sup> o upierzeniu czerwonym z dodatkiem jasnej zieleni lub purpury. U stóp drzew rozbrzmiewało w zaroślach gardłowe gruchanie leśnych dzikich gołębi, zwanych korońcami. Były one typowo ziemnymi ptakami o nieco ciężkiej budowie, które chroniły się na drzewach jedynie uciekając przed jakimś niebezpieczeństwem. Z łatwością poznawało się te największe z żyjących gołębi po niebiesko–szarym upierzeniu z purpurowo–czerwonym nalotem na piersiach oraz po charakterystycznych wielkich czubach na głowie, rozpostartych niczym wachlarze. Niektóre posiadały czuby po prostu rozstrzępione, inne natomiast miały na końcach tych piór niewielkie wydłużone, trójkątne chorągiewki<sup>621</sup>.

Wilmowscy ciekawie przyglądali się krzykliwym mieszkańcom tropikalnego lasu. Naraz w ptasim rozgwarze rozbrzmiał nieprzyjemny, przeciągły gwizd. Wilmowski położył dłoń na ramieniu syna. Tomek potaknął głową, że zrozumiał znak. Rajskie ptaki nadlatywały na żerowisko. Niebawem też kilka z nich, trzepocząc skrzydłami, osiadło na widlasto rozgałęzionych drzewach pandanowych. Tomek, skupiony, obserwował ptaki, lecz po chwili zawiedziony cicho szepnął:

— Cóż to, widzę tylko samice?!

— Cicho, słuchaj! — uspokoił go ojciec.

Umilkli. Wibrujący, przeciągły gwizd znów rozbrzmiał w pobliżu, potem dołączyły się do niego nowe głosy. Wilmowski uniósł się, przykucnął; zachowując jak największą ostrożność z wolna wychylił się z szałas. Przez jakiś czas trwał nieruchomo w tej pozycji, lecz w końcu cofnął się do wnętrza i rzekł mocno podniecony:

---

<sup>619</sup> — *Probosciger aterintus*. W nowej Gwinei żyje około 46 odmian papug.

<sup>620</sup> — *Lorius roratus pectoralis*.

<sup>621</sup> — *Goura coronata* i *Goura victoria*, których ojczyzną jest Nowa Gwinea. Wspaniałe pióra tych gołębi, na równi z piórami rajskich ptaków, były swego czasu ulubioną ozdobą kapeluszy damskich. Przyczyniło się to do poważnego wytępienia korońców.

— Tomku, kilka wspaniałych samców urządza niezwykle widowisko. Stąd nie będziemy mogli ich obserwować, musimy zejść na ziemię!

— Spłoszą się, gdy nas ujrzą! — odparł Tomek.

— Nie sadzę, Bentley zapewniał, że na początku okresu godów samce zbierają się na toki na specjalnie w tym celu wybranych drzewach. Wtedy podobno są tak zajęte sobą, że można do nich podejść zupełnie blisko.

— Cóż, musimy zaryzykować! — odparł Tomek zrezygnowany, gdyż obawiał się, że w razie niepowodzenia nie powrócą tego dnia do obozu.

— Bierz flobert<sup>622</sup>, ja wezmę fuzję — powiedział Wilmowski.

Tomek pierwszy wyczołgał się z szalasu na gruby konar, do którego przywiązana była drabinka upleciona z lian. Opuścił ją i zaczął schodzić po niej w dół. Uplłynęło nieco czasu, zanim obydwaj z ojcem znaleźli się na ziemi, nie chcieli bowiem jakimś szybszym ruchem spłoszyć ptaków. Na szczęście dla nich nikt w tej okolicy nie urządzał polowań, ptaki nie poznały dotąd swego najgroźniejszego wroga, człowieka. Tomek najpierw sprawdził, czy karabin przygotowany jest do strzału, potem przewiesił go na pasie przez plecy i dopiero wtedy, z flobertem w ręku, ruszył za ojcem. Przemykając od pnia do pnia, znaleźli się w pobliżu tokujących ptaków. Próżność ich była tak zabawna, że wkrótce Tomek całkowicie zapomniał o wszystkich swych osobistych sprawach.

Na szczycie drzewa znajdowały się trzy samce, a każdy z nich starał się przyćmić swą wspaniałością pozostałych rywali. Dwa rajskie ptaki królewskie, o szkarłatnym upierzeniu grzbietu, piersi lśniące zielonej, pomarańczowym łebku i szyi rubinowoczerwonej, z dumą stroszyły kępki jasnożółtych piór, rozpościerających się jak małe wachlarze na tle szarobiałego podbrzusza. Przystępowały z nóżki na nóżkę, trzepotały czerwono-brązowo-zielonymi skrzydłami i, krygując się, z samouwielbieniem spoglądały na wystające z krótkiego ogona dwie bardzo wydłużone sterówki, pozbawione chorągiewek i tylko na samym końcu tworzące jakby zaokrąglone płatki.

---

<sup>622</sup> — Flobert — broń palna małokalibrowa, o słabym naboju kalibru 6 lub 9 milimetrów, wydającym nieznaczny łoskot przy strzale. Pierwsze karabinki flobertowe konstruowane posiadały charakterystyczny sześcienny kształt lufy. Obecnie konstruuje się do nabojów flobertowych karabinki iglicowe, przypominające broń wojskową

Trzeci samiec należał do ptaków rajskich wielkich<sup>623</sup>. Przewyższał rozmiarami rywali. Przysiadł nisko na gałęzi naprzeciwko napuszonych zarozumialców, jakby zamierzał rzucić się na nich, i wzniósł do góry wyrastające z boków kity długich, delikatnych, żółtawo–białych piór, które niby puszysty płaszcz osłoniły prawie cały jego grzbiet. Żółta plama na łebku, gardziel zielona o jasnym połysku oraz brązowe skrzydła, plecy i piersi wspaniale uzupełniały jego strój godowy.

Tomek w niemym zachwycie spoglądał na przepiękne ptaki. Nie dziwił się już, iż powstało o nich tyle romantycznych legend. Zapomniał nawet o ostrożności; coraz to bliżej skradał się do tokujących samców.

One tymczasem, jakby odgadując zachwyt nieostrożnego młodzieńca, coraz śmielej i bezczelniej pozwalały się podziwiać. Sfruwały na niższe gałęzie, odwracały się bokiem, tyłem, rozpościerały skrzydła, puszyły kity i jedynie ich przenikliwe, nieprzyjemne głosy zakłócały harmonijny obraz piękna.

Tomek wprost nie dowierzał swoim oczom. Teraz nie miał już wątpliwości — obydwaj zostali spostrzeżeni przez rajskie ptaki! One zaś wciąż chełpiły się swą wspaniałością. W końcu też zwróciły na siebie uwagę samic żerujących w pobliżu. Trzy z nich z trzepotem skrzydeł opadły na gałęzie sąsiednich drzew; przekrzywiając lekko łebki przyglądały się swoim mężom, jak aktorom na scenie.

Wilmowski znów dotknął dłonią ramienia syna. Tomek drgnął, zerknął na ojca. Ten wzrokiem wskazał na flobert. Tomek nie bez żalu pomyślał o konieczności pozbawienia życia tak wspaniałych ptaków. Rozumiał jednak, że teraz nie wolno było tracić czasu. Lada chwila ptaki mogły się poderwać do lotu. Słońce przygrzewało już dość mocno. Toteż tylko westchnął cicho, oparł się lewym bokiem o pień drzewa i wolno uniósł małokalibrowy karabinek do ramienia. Ptak rajski wielki akurat krzyknął przenikliwie. Tomek ujrzał jego pierś odsłoniętą na krótką chwilę. Pewnie nacisnął spust. Samiec zatrzepotał skrzydłami, niemal brzuchem dotknął gałęzi, po czym bezwładnie zsunął się na miękki mech u stóp drzewa.

Pozostałe dwa samce nawet nie zwróciły uwagi na cichy strzał i nagłe zniknięcie rywala. Krygowały się dalej, umożliwiając Tomkowi oddanie

---

<sup>623</sup> — *Paradisea apoda* (rajski ptak bez nóg), którego łacińska nazwa przypomina legendę o beznogich rajskich ptakach.

dwóch następnych celnych strzałów. Samiczki również nie wyczuły niebezpieczeństwa. Przyfrunęły do swych mężów, zdumiewając się ich nagłym znieruchomieniem. Dopiero gdy Tomek zabił jedną z nich, poderwały się do lotu, lecz wtedy Wilmowski wypalił z luf fuzji i obydwie opadły na ziemię.

— Wspaniały połów! — zawołał Wilmowski. — Zdobyliśmy trzy pary za jednym zamachem!

— Udało nam się, ojczy! — cieszył się Tomek, nieświadom nawet, że tylko głośny huk strzałów z fuzji ocalił co najmniej jednemu z nich życie.

Wilmowscy zajęci polowaniem nie wiedzieli, że ktoś przyczajony w pobliskich zaroślach obserwuje ich od dłuższego czasu. Był to młody wojownik ze szczepu Tawade, który przekradł się w celach zwiadowczych na tereny Mafulu. Jego nagie, brązowe ciało pokrywały pomalowane na przemian czarne i białe pasy. Czerwono–żółte koła, otaczające czarne jak węgiel oczy, oraz kość kazuara przeciągnięta przez chrząstkę nosową nadawały jego twarzy okrutny wyraz.

Zwiadowca Tawade po raz pierwszy w swym życiu ujrzał białe istoty. Przeraził się i nawet chciał uciekać, ponieważ wziął je za duchy, lecz ciekawość przewyciężyła strach. Ukryty w zaroślach nie spuszczał z nich wzroku. Z drżeniem serca obserwował czary, za pomocą, których zabijali czarodziejskie rajskie ptaki. Nieznane białe istoty chciały zapewne przyozdobić swe głowy piórami własnoręcznie zabitego ptaka, aby nie imają się ich strzały z łuków ani dzidy.

Młody Tawade poszarzał na twarzy, gdy jeden z duchów uniósł dziwny, cicho huczący kij, a potem wspaniały rajski ptak spadł martwy z drzewa na ziemię! Potem widział kolejno zabijane dalsze ptaki. Według niepisanego prawa Tawade, tylko ich wielcy wojownicy mieli prawo polować na czarodziejskie ptaki. Toteż do głębi oburzony zwiadowca nałożył pierzastą strzałę na cięciwę, napiął łuk i mierzył do białej zjawy gwałcącej ich odwieczne prawo. Nagle druga zjawy podniosła swój kij. Potężny huk, jak i widok dwóch naraz padających ptaków do reszty przeraził młodego wojownika. Czy mógł walczyć sam z tak potężnymi duchami? Drżącymi rękoma ostrożnie zwolnił cięciwę łuku nie wypuściwszy morderczej strzały. Wiedział, że nikt nie zdoła zabić ducha...

Nieznane istoty wkrótce odeszły, zabierając zabite ptaki. Pozostał po nich tylko szałas zbudowany na konarach drzewa. Tawade był przekonany, że w tym lesie musiało się czaić więcej złych duchów. Nie oglądając się za siebie, pobiegł w kierunku granicznej rzeki. On też pierwszy przyniósł do swojej wsi straszliwą wiadomość o pojawieniu się potężnych białych duchów.

Powrót obydwóch Wilmowskich z kilkudniowego wypadu wywołał w obozie zrozumiałą radość. Przyjaciele obstąpili ich kołem, szczerze winszowali sukcesu. Trzy pary rajskich ptaków stanowiły nie lada zdobycz! Tomek serdecznie uściskał zaróżowioną ze wzruszenia Sally i nie wypuszczając jej dłoni ze swej ręki, zadowolony wysłuchiwał pochwał. Lubił, gdy podziwiano celność jego strzałów.

— No, no, spisaliście się na medal! — mówił tubalnym głosem kapitan Nowicki. — Dobrze jednak, że już wróciliście! Zaczynaliśmy się o was niepokoić...

— Szczególnie jedna z pań wprost nie mogła się doczekać waszego powrotu — wesoło dodał Zbyszek.

— O którego z nas jej chodziło? — zażartował Wilmowski.

— O obydwóch, proszę pana — odpowiedziała Sally.

— Tylko nie myślcie, że stęskniła się za waszym widokiem! Brody wam urosły jak zbójcom — pokpiwał Nowicki. — Ona po prostu chciała się jak najprędzej pochwalić swoim szczurem!

— Tommy, nie wierz przewrotnemu panu kapitanowi! — zaoponowała Sally. — Wprawdzie byłam ciekawa, czy mój łup was ucieszy, ale przede wszystkim naprawdę za wami tęskniłam!

— Nie indycz się, ślicznotko — wesoło odrzekł Nowicki. — Powiedziałem tak, dlatego, aby nareszcie zwrócić uwagę na ciebie!

— Sally, o jakim to szczurze wspominał kapitan? — zaraz zainteresował się Tomek.

— Panna Sally miała wielkie szczęście — wtrącił Bentley. — Szczur ten jest naprawdę rzadkim okazem, drogi chłopcze!

— Skoro tak, to natychmiast musimy go obejrzeć — powiedział Wilmowski. — Gdzie ten szczur?

— W naszym laboratorium — wyjaśniła Sally. — Pan kapitan prawie kończy już wyprawę skóry.

Podróżne „laboratorium” znajdowało się w dużym namiocie z przeciw moskitowej siatki, w którym można było pracować nawet wieczorem przy świetle lampy naftowej. Łowcy gromadą obstąpili namiot, tylko Wilmowscy z Sally weszli do środka. Na prowizorycznym stole, zrobionym z desek drewnianej skrzyni, leżała rozpięta skóra z ogonem pokrytym łuskami.

— Pierwszy raz widzę podobny okaz — zdumiał się Wilmowski, — Ten szczur jest wielkości królika! Ani jedno muzeum europejskie nie może się pochwalić podobnym eksponatem!

— Zaledwie jeden egzemplarz, i to poważnie uszkodzony przez insekty posiada muzeum w Sydney — wtrącił Bentley. — Cenny to dla nas nabytek.

— Czy sama go schwytałaś? — zapytał Tomek.

— Dingo pomógł mi go osaczyć, ale wytropiłam sama! — odparła Sally.

— Wspaniale ci się udało! — przyznał Tomek. — Gdzie go znalazłaś?

— Na naszej polanie — odpowiedziała Sally. — W pierwszej chwili bardzo mnie przestraszył.

— Nic dziwnego, duża sztuka — przyznał Wilmowski.

— Pan kapitan osobiście ściągnął z niego skórę. Wiele się natrudził, aby nawet najdrobniejsze fałdki i załamania dobrze natrzeć maścią arsenikową — mówiła Sally. — W przeciwnym razie owady mogłyby złożyć w nich jaja i skórka byłaby zmarnowana.

— Widzę, że dobry z ciebie terminator na preparatora — pochwalił Tomek.

— Razem z Nataszą znalazłyśmy również kilka chrząszczy — dodała Sally. — Gnieźdzą się pod kamieniami i w zbutwiałych pniach.

— Jeśli tak dalej pójdzie, to wkrótce będziemy mogli założyć wędrownie muzeum — zażartował Tomek.

— Nasz zielnik również się powiększył. Zebraliśmy szereg nowych okazów storczyków — z dumą oznajmił Bentley. — Wielka szkoda, że większe kwiaty nie nadają się do zasuszenia. Za wiele zawierają wilgoci... Za to zrobiłem kilkanaście niezmiernie interesujących zdjęć.

— Suszarnia pracuje pełną parą — z humorem odezwał się Nowicki. — Niedługo zabraknie nam ręczników do wycierania się po myciu!

Tomek zaciekawiony rozejrzał się po przewiewnym namiocie, zwanym przez łowców podróżnym laboratorium. Na deseczkach umieszczonych na

krzyżakach z gałęzi suszyły się w słońcu różne okazy. Jedne z nich poowijane były w papierki, inne przykryto ręcznikami, aby nie wyblakły.

— Później obejrzymy nowe nabytki do naszych kolekcji, najpierw dajcie nam coś gorącego do zjedzenia — rzeki Wilmowski. — Przez cztery dni nie jedliśmy z Tomkiem gotowanych potraw!

— Właśnie pitrasimy fasolówkę na obiad — oznajmił Nowicki. — Chodźmy stąd, bo widok robaków odbiera mi apetyt!

— A gdzie pan Smuga? — zapytał Tomek.

— O to samo chciałem zapytać. Co się dzieje z Janem? — dodał Wilmowski.

— Poszedł z Dingiem poniuchać po okolicy! — wyjaśnił Nowicki. — Przecież musimy wiedzieć, co w trawie piszczy! Na czas swej nieobecności mnie zdał komendę. Myślałem nawet, że wróci razem z wami. Niepokoił się trochę i mówił, że zajrzy do waszej kryjówki, aby się przekonać, czy wszystko w porządku.

— Nie spotkaliśmy Jana. Kiedy wyszedł z obozu? — zapytał zaintrygowany Wilmowski.

— Dzisiaj, na krótko przed świtem — odpowiedział Nowicki. — Może rozmyślił się i poszedł w innym kierunku?

— Być może... Miejmy nadzieję, że wróci niedługo — odparł Wilmowski. — Teraz zjedzmy obiad!

Smuga zjawił się dopiero przed samym zachodem słońca. Wilmowski odczuł ulgę, ujrzawszy przyjaciela. Natasza zaraz podała Smudze miskę gorącej zupy, a on, zaledwie odłożył broń, ochoczo zabrał się do jedzenia.

— Głodny jestem jak wilk — odezwał się, zerkając na obydwóch Wilmowskich. — Dingo upolował sobie jakąś pierzastą przekąskę po drodze, ale ja musiałem obejść się smakiem.

— Gdzie byłeś tak długo, Janie? — zagadnął Wilmowski. — Kapitan mówił, że miałeś zamiar odwiedzić nas na czatach!

— Tak, tak było w istocie, lecz zmieniłem zamiar. Odkryłem nowe miejsce na rozłożenie obozu. Wprost roi się tam od ptaków i orchidei.

— Daleko to stąd? — zapytał Wilmowski.

— Hm, nie tak daleko... Dobrze, że już wróciliście. Poproszę ciebie, Andrzej, Tomka, pana Bentleya i kapitana na naradę. Musimy omówić dalszą marszrutę. Bardzo też jestem ciekaw waszego sprawozdania.

Wilmowski baczniej spojrział na Smugę, który jak zwykle był opanowany. Mimo to intuicja podszeptowała Wilmowskiemu, że przyjaciel ma im coś ważnego do powiedzenia. Za ledwie siedli na uboczu przy ognisku, Smuga nabił fajkę tytoniem i rzekł:

— Andrzej, opowiedz dokładnie przebieg czatów.

Podczas gdy Wilmowski zdawał relację, Tomek dorzucił do ognia wilgotnych gałęzi, aby więcej dymiły. Z nadejściem wieczoru moskity rozpoczęły niesamowite harce...

— Zebraliście niewątpliwie cenne materiały i okazy — przyznał Smuga, uważnie wysłuchawszy sprawozdania. — Czy już opowiedziałeś wszystko?

— Tak! — potwierdził Wilmowski. — Chyba, że Tomek ma coś do dodania?

— Nie, naprawdę nic nie mógłbym dodać — zaprzeczył młodzieniec.

Smuga dmuchnął dymem z fajki na komara siedzącego na jego dłoni, spojrział na Tomka i zapytał:

— Czy ostatniej nocy na czatach nic cię nie zaniepokoiło?

— Nie, proszę pana...

— Na pewno nic nie zwróciło twojej uwagi? Przypomnij sobie dobrze! — nalegał Smuga.

— Zaraz... na jakiś czas przed świtem zbudził mnie krzyk nocnego ptaka. Potem słychać było trzepotanie skrzydłami, ale chyba nie o to panu chodzi?

Smuga nie odpowiedział. Zamyślony pykał z fajki, spoglądając to na Wilmowskiego, to na Tomka. W końcu odezwał się:

— W kraju, gdzie zewsząd czyhają nieznane niebezpieczeństwa, nigdy nie należy zapominać o przezorności. Być może krzyk ptaka w nocy w pobliżu waszej kryjówki został spowodowany napaścią jakiegoś drapieżnika, lecz z równym powodzeniem i kto inny mógł się włóczyć po dżungli.

— Janie, ty byłeś tam dzisiaj! — cicho zawołał Wilmowski. — Czy masz mim coś do zarzucenia?

Smuga uśmiechnął się zagadkowo, po czym odparł: — Tak, nie mylisz się, przyszedłem tam, zanim zeszliście na ziemię, żeby zapolować na rajskie ptaki. Nie chcę teraz udowadniać, że będąc na waszym miejscu zachowałbym się inaczej! Nie, może sam również bagatelizowałbym ten niepokój nocnego ptaka. Mądry Polak po szkodzie... W każdym razie, Tomku, wykazałbyś wiele



roztropności, gdybyś zaraz o świcie uważnie rozejrzał się po okolicy. Na drugi raz nie zaniechaj tej ostrożności! Byliście śledzeni... U stóp drzewa, na którym mieściło się wasze zamaskowane stanowisko, znalazłem ślady bosych stóp.

— Do licha, słusznie czynisz nam wyrzuty! — przyznał Wilmowski.

— W jaki sposób pan to odkrył? — zapytał Tomek, wzburzony zasłyszaną wiadomością.

— Gdy zbliżałem się do waszego stanowiska, Dingo zaczął okazywać niepokój — wyjaśnił Smuga. — On też naprowadził mnie na ślady pozostawione przez krajowców. Były bardzo świeże. Idąc za nimi, odkryłem śledzącego was obcego wojownika. Zacząłem go obserwować. Nie okazywał przyjaznych zamiarów, lecz był porządnie przestraszony waszym widokiem. Prawdopodobnie po raz pierwszy ujrzał białych ludzi. Mimo to omal nie musiałem go unieszkodliwić. Wymierzył z łuku do ciebie, Tomku, gdy zaczęłeś zabijać rajskie ptaki. Na szczęście huk fuzji Andrzeja odebrał mu odwagę. Uciekł, a ja podążyłem za nim.

Wilmowski dłonią otarł pot z czoła.

— Tylko dzięki przypadkowi uniknęliśmy śmiertelnego niebezpieczeństwa — rzekł po chwili. — Masz rację, byliśmy obydwaj nieostrożni.

— Dobra lekcja dla nas wszystkich — odezwał się Nowicki. — Musimy zaostrzyć czujność.

— Słusznie, kapitanie, dlatego właśnie opowiedziałem wam o wszystkim — rzekł Smuga. — Ten młody wojownik był zapewne zwiadowcą Tawade. Umknął za rzekę, która według relacji Mafulu stanowi granicę pomiędzy terenami obydwóch plemion.

— Musi być nie lada zuchem, skoro odważył się nocą wędrować po dżungli — zauważył Tomek.

— Śmiały, daleki zwiad w teren nieprzyjacielski — zawtórował Nowicki.

— Jakie wyciągasz wnioski, Janie? — zapytał Wilmowski.

— Za długo obozujemy w jednej okolicy — wyjaśnił Smuga. — Musimy jak najprędzej zwinąć obóz i ruszyć naprzeciw niebezpieczeństwu. Za pierwszym zwiadowcą wyruszą inni. Naplotą o nas niestworzonych rzeczy. Musimy to uprzedzić.

— Zgadza się z panem! — potaknął Bentley.

— Jeśli nasi tragarze odkryją, że jesteśmy śledzeni przez Tawade, nie pójdą z nami dalej — powiedział Wilmowski. — Jak daleko stąd do owej rzeki granicznej?

— Dla karawany jest to niemal dzień drogi — odpowiedział Smuga.

— Panie Bentley, ile czasu potrzebuje pan na konserwację okazów zdobytych przez Wilmowskich?

— Pojutrze o świcie możemy ruszyć w drogę.

— Szczur naszej Sally również prawie już gotów do transportu — zauważył Nowicki.

— A więc dobrze! Jutro rozpoczniemy przygotowania do wymarszu — rzekł Smuga. — O naszej rozmowie nikomu ani słowa.

— Święta racja, ale strażę trzeba podwoić — dodał Nowicki.

— Ty kapitanie, i ty, Tomku, szczególnie miejcie oczy i uszy otwarte — zakończył Smuga naradę.

## JESZCZE KROK, A ZGINIESZ!

Według obliczeń Smugi zaledwie dzień marszu dzielił karawanę od granicznej rzeki. Lecz w rzeczywistości w ciągu jednego dnia przebyli zaledwie połowę drogi. Tragarze często przystawali. To rozwiązywały im się bagaże, to byli bardzo zmęczeni bądź też odczuwali różne dolegliwości. Wilmowski co chwila wydobywał podręczną apteczkę. Porywczy kapitan Nowicki ponaglał maruderów, lecz ani perswazje, ani groźby nie polepszyły sytuacji. Tragarze tego dnia nawet nie śpiewali podczas marszu, co najwymowniej świadczyło o ich złym nastroju. Porozumiewali się ukradkiem i posepnym wzrokiem spoglądali ku północy, gdzie spiętrzone szczyty dominowały nad górzystą krainą. Smuga uspokajał towarzyszy i nakłaniał do ukrywania zniecierpliwienia. Doskonale się orientował w powodach tej nagłej opieszałości tragarzy. Przerażała ich bliskość rzeki, odgraniczającej tereny Mafulu i Tawade. Okolica zmieniała wygląd. Obecnie wędrowali przez głębokie, bagniste wąwozy, w których odór gnijących roślin mieszał się z aromatem wspaniałych kwiatów, zwisających z gałęzi drzew. Dżungla nie tworzyła tutaj zwartego gąszczu i obfitowała w dzikie drzewa owocowe. Chmary różnych ptaków, płoszone przez karawanę, co chwila podrywały się z drzew, na których żerowały, i napełniały las swoim krzykiem.

Dingo spuszczone ze smyczy wciąż dawał nura w okoliczne zarośla, nie okazywał wszakże niepokoju, jaki go zawsze ogarniał, gdy węszył szczególne niebezpieczeństwo. Tomek bacznie obserwował swego ulubieńca. Widząc jego niefrasobliwe zachowanie, postanowił upolować coś na wieczorny posiłek dla tragarzy. Smuga nie zaoponował, jedynie przestrzegwał młodego przyjaciela, by zbytnio nie oddalał się od karawany. Zapasy żywego prowiantu dawno już się wyczerpały, a tymczasem mięsna wieczerza niezawodnie poprawiłaby nastrój zastraszonych Mafulu.

Tomek uzbrojony w sztucer i flobert gwizdnął na psa. Ten natychmiast przybiegł do nogi.

— Szukaj, Dingo, szukaj... — zachęcił Tomek.

— Gdybyś potrzebował pomocy, wystrzel trzykrotnie ze sztucera — zawołał Smuga.

— Dobrze, chociaż wątpię, aby moje łowy zakończyły się aż tak obfitym łupem — odparł Tomek i nie tracąc czasu ruszył za Dingiem.

Wkrótce odgłosy maszerującej karawany całkowicie ucichły. Doskonale wytresowany pies zaraz wysunął się do przodu. Nadstawiał uszu, węszył w powietrzu, kluczył; w pewnej chwili przystanął i nastroszył sierść, jakby wytropił jakąś większą zwierzynę. Tomek trochę zdziwiony przewiesił flobert przez plecy; ze sztucerem przygotowanym do strzału ruszył za psem w głąb zarośli. Po kilku krokach Dingo znów przystanął i obejrzał się na Tomka. Młodzieniec ostrożnie rozchylił paprocie. Na małej, błotnistej polance brodziły olbrzymie ptaki. Były to kazuary hełmiaste<sup>624</sup>, wielkie ptaszyska o szczątkowych skrzydłach, a w zamian posiadające silnie rozwinięte nogi. Biegały truchcikiem po polance i skrzętnie łowiły żaby.

W czasie wędrówki przez Nową Gwineę łowcy już kilkakrotnie spotykali kazuary, lecz płochliwe ptaszyska, z daleka ujrawszy krzykliwą gromadę ludzi, zawsze umykały z niezwykłą szybkością. Teraz dopiero po raz pierwszy Tomek mógł obserwować te wybitnie lądowe ptaki spokojnie żerujące. W dzikim stanie, na wolności, wyglądały zupełnie tak samo, jak te, które już oglądał w ogrodach zoologicznych. Dorosłe, niemal całe czarno upierzone okazy, posiadały głowę oraz górną część szyi nagą. Skóra w tych miejscach, koloru fioletowo–niebiesko–czerwonego, była pomarszczona, brodawkowata, na przedzie szyi zaś tworzyła dwa zwisające płaty. Biegając truchcikiem na swych trzypalczastych, szarozółtych nogach, trzymały poziomo tułów pozbawiony wyraźnego ogona. Przy samicach znajdowało się kilka zabawnych piskląt o jasnobrązowych, puszystych tułowiach, upstrzonych na grzbiecie kilkoma podłużnymi, szerokimi czarnymi pasami. Z niezwykłą żarłocznością rzucały się na żaby i jaszczurki bądź leż pożerały owoce strącane z drzew przez matki. Te ostatnie, nie mogąc dziobem dosięgnąć zbyt wysoko rosnących owoców, rozzłoszczone potrzasały gałęziami, kopiąc drzewo swymi potężnymi nogami.

Tomek niezbyt długo przyglądaj się kazuarom. Znał już ich zwyczaje. Wiedział również, że posiadają znakomity wzrok oraz słuch i węch lepiej

---

<sup>624</sup> — Kazuar hełmiasty (*Casuarivs tiniappeniiculatus*) — ptak lądowy z rzędu australijskich strusi. Ojczyznę wszystkich kazuarów są wyspy Oceanu Spokojnego, począwszy od Ceramu i Amboinu poprzez Nową Gwineę po Nową Brytanię i północną Australię. Dawniej występowały również na Tasmanii.

rozwinęty niż u innych ptaków. Nie chcąc więc, aby go przedwcześnie wypatrzyły, pochylił się do Dinga; głową wskazał kazuary i zatoczył ręką półkole. Dingo nastroszył sierść, machnął ogonem i zniknął w krzewach. Tomek trzymał sztucer w pogotowiu. Wypatrywał młodsze sztuki, gdyż mięso starych okazów było twarde i niesmaczne.

Dingo doskonale pojął niemy rozkaz. Po kilku minutach wybiegł z przeciwnej strony na polanę. Szczekając chrapliwie, usiłował nagnać ptaki wprost na stanowisko Tomka. Kazuary, przestraszone w pierwszej chwili, rychło zorientowały się, że wróg nie jest zbyt groźny. Ogarnięte wściekłością, z pasją rzuciły się na psa, usiłując dosięgnąć go dziobem bądź niezwykle silnymi nogami. Dingo, zaprawiony w łowach na różną zwierzynę, zręcznie unikał kopnięć, które mogły połamać mu kości. Tomek nie miał zamiaru niepotrzebnie narażać swego ulubieńca. Upatrzył już dwa młode kazuary. Gdy tylko znalazły się na linii strzału, błyskawicznie posłał dwie kule jedną po drugiej. Zaraz też wypalił w powietrze po raz trzeci, ponieważ trzy strzały miały być odpowiednim hasłem dla Smugi. Dwa ptaki padły na polanę, pozostałe pierzchały z niezwykłą szybkością. Tomek wysłał Dingo na spotkanie przyjaciół, a sam przysiadł na trawiastej kępie i czekał. Nim minął kwadrans, w lesie rozbrzmiały donośne nawoływania. Tomek od razu rozpoznał tubalny głos kapitana i ochoczo odkrzyknął:

— Hop, hop! Tutaj jestem! Mam dwa kazuary!

Po paru minutach z krzewów najpierw wybiegł Dingo, a za nim trochę zdyszany kapitan Nowicki, James Balmore oraz czterech krajowców.

— Zmyślne psisko! — zawołał Nowicki. — Raz dwa doprowadziło nas do ciebie!

— Dzięki niemu szybko upolowałem coś na kolację — odparł Tomek.

— Lepszy rydz niż nic! — powiedział marynarz, niechętnie spoglądając na ptaki.

— Niezbyt zachęcająco wyglądają te ptaszyska... — mruknął Balmore.

Kapitan Nowicki pochylił się do ucha Tomka i szepnął:

— Czy zauważyłeś, jak nasi tragarze nieufnie zerkają po lesie? Nie mieli zbyt wielkiej ochoty odłączać się od karawany! Widać po nich strach!

— Wiedzą, że Tawade już blisko... — odszepnął Tomek.

Mrugnął porozumiewawczo do przyjaciela i dla dodania otuchy Papuasom sam poprowadził ich ku martwym ptakom. Od czasu, gdy popisał

się przed tragarzami sztuką palenia wody, zyskał u nich wielki autorytet. Mimo to Papuasi trwożliwie spoglądali teraz na zarośla i rozmawiali tylko półgłosem. Nie tracąc czasu, natychmiast ścięli dwa bambusy, lianami przymocowali do nich kazuary i oparłszy końce żerdzi na barkach, ruszyli w powrotną drogę. Wkrótce dogonili karawanę. Widok zabitych kazuarów nieco polepszył ogólny nastrój. Papuasi zawsze pragnęli mięsa, a ponadto pióra ze skrzydeł służyły im do wyrobu ozdób, noszonych w przedziurawionych przegrodach nosowych.

Tuż przed wieczorem karawana natrafiła na leśną polanę położoną na łagodnym górskim stoku. Smuga postanowił zatrzymać się na niej na noc. Tylko dla dziewcząt rozłożono jeden mały namiot. Mężczyźni mieli nocować przy ogniskach, aby o wschodzie słońca móc wyruszyć w drogę, nie tracąc czasu na prace obozowe.

Z zapadnięciem ciemności nastrój Papuasów znów uległ pogorszeniu. Zbici w gromadki obsiedli ogniska; w milczeniu nasłuchiwali odgłosów płynących z pogrążonej w mroku dżungli. Według miejscowych przesądnych wierzeń, las z nastaniem nocy stawał się królestwem duchów, których odgłosy dawały się słyszeć w szumie drzew i krzyku nocnych ptaków. Toteż podszyci strachem zabobonni Papuasi obawiali się nawet spoglądać w kierunku leśnego gąszczu. Aby uniknąć konieczności oddalania się w nocy z obozu w celu załatwiania własnych potrzeb naturalnych, żuli liście jakiejś rośliny, które jakoby działały hamująco. Biali łowcy także nie lekceważyli niebezpieczeństwa. Wprawdzie nie przerażały ich naiwne opowieści o duchach, lecz świadomość, że byli już tropieni przez zwiadowców Tawade, zmuszała do zachowania jak najdalej idących środków ostrożności. Smuga, Nowicki i Tomek na zmianę obchodzili obóz, zapuszczali się w gąszcz na skraju dżungli, szczególnie bacząc na zachowanie Dinga. Ich towarzysze w obozie trzymali karabiny w pogotowiu, a krajowcy nie wypuszczali z rąk dzid i maczug. Nikt nie nucił tego wieczoru pieśni, nie było słychać głośniejszych rozmów. Dzięki temu obozowisko łowców rajskich ptaków przypominało wojskowy biwak przed walką mającą nastąpić o świcie.

Zaciekle ataki moskitów trwały przez całą noc, toteż wszyscy z uczuciem ulgi powitali mglisty ranek. Zanim wschodzące słońce zaczęło rozpraszać opary, karawana już była w drodze. Ku zdumieniu podróżników, tragarze nieoczekiwanie zmienili taktykę. Nie opóźniali marszu, nie utyskiwali, a

nawet samorzutnie przyspieszali kroku. Jednak, tak jak poprzedniego dnia, szli w bardzo zwartej kolumnie i nie śpiewali.

— Zapewne spokojna noc dodała im otuchy — mówił kapitan Nowicki, który ze Smugą i Tomkiem stanowili przednią straż.

— Oby tak było, ale raczej spodziewam się, czego innego — odparł Smuga.

— Czy pan przypuszcza, że będą chcieli nas porzucić? — dopytywał się Tomek.

— A jakże! — potaknął Smuga. — Pewno postanowili rozstać się z nami na brzegu granicznej rzeki.

— Jak amen w pacierzu, masz pan rację! — zawołał Nowicki. — Smarują rażno do przodu, aby jak najprędzej znaleźć się w drodze powrotnej!

— Tego właśnie się spodziewam — odpowiedział Smuga. — Myślę, Tomku, że znów będziesz musiał przedzierzgnąć się w czarownika.

— Jeśli tak dalej pójdzie, wkrótce zabraknie mi nowych pomysłów — markotnie odrzekł młodzieniec.

— Możesz jeszcze raz pokazać palenie wody — zaproponował Smuga. — To wywarło na nich silne wrażenie.

— Pokaż im tę sztuczkę z wcieraniem monety w kark, którą swego czasu popisałeś się przed afrykańskim czarownikiem — doradził Nowicki.

— Niezła myśl — pochwalił Smuga. — Mógłbyś także rozpalić ognisko, skupiając promienie słoneczne za pomocą soczewki. Może sam też coś wymyślę...

— Widzisz, brachu, nie masz się, czym martwić — powiedział Nowicki. — Wkrótce będziesz najślawniejszym czarownikiem w całej Oceanii!

Teren obniżał się coraz bardziej. Wysokie bambusy, drzewa palmowe i olbrzymie osty tworzyły trudny do przebycia gąszcz. Coraz intensywniejszy odór zgnilizny zwiastował bliskość rzeki. Przesiąknięta wilgocią ziemia ugięła się pod stopami podróżników, a czasem wręcz brodzili po rozległych mokradłach, zostawiając po sobie ślady w postaci małych kałuż czarnej, tłustej wody. Przedzieranie się przez zarośla było bardzo męczące. Wszystkich bolały nogi, pokaleczone przez długie, ostre liście i trawę. Dopiero w godzinach popołudniowych karawana dobrnęła do nisko położonych brzegów rzeki. Wiele trudu kosztowało Smugę wyszukanie miejsca odpowiedniego na odpoczynek. Zachłanna dżungla zazdrośnie

zagarniała dla siebie każdą piędź ziemi. Potężne drzewa, niczym olbrzymy nagle powstrzymywane w zwycięskim marszu, pochylały się ponad korytem rzeki, zapuszczając płataninę korzeni nawet w żółtawe wody. Smuga wypatrzył skrawek piaszczystego wybrzeża, strzałem ze sztucera przepłoszył drzemiące w słońcu krokodyle i polecił tragarzom złożyć bagaże. Krajowcy pospiesznie wykonali rozkaz, po czym zbici w ciasną gromadę siedli na piasku. Wystraszonym wzrokiem spoglądali na przeciwległy, cichy, wrogi brzeg rzeki.

Łowcy z niepokojem obserwowali Papuasów; ich posępne milczenie nie wróżyło niczego dobrego. Wilmowski zbliżył się do Smugi i zagadnął:

— Janie, obawiam się, że Mafulu nie pójdą z nami dalej.

— Postawią się okoniem, ale pójść będą musieli, gdyż inaczej byłby to koniec całej naszej wyprawy — odparł Smuga, nabijając fajkę tytoniem.

— Czy jesteś pewny, że uda ci się zmusić ich do posłuszeństwa? Proszę cię, Janie, bądź ostrożny!

— Nie miałem na myśli użycia siły — odpowiedział Smuga. — Postaram się nakłonić ich, aby towarzyszyli nam do najbliższej wioski. Potem będą mogli wrócić, jeśli zechcą.

Umilkli. Smuga wypalił fajkę, po czym wydobył z podręcznej torby lunetę. Długo wodził nią po drugim brzegu rzeki, gdzie nieprzenikniony gąszcz pnączy zagradzał drogę do wiosek ludożerców i łowców głów. Chowając lunetę, zwrócił się do Wilmowskiego:

— Andrzej, weź do pomocy Bentleya, Balmora oraz Zbyszka i zajmijcie się tragarzami. Gęste chaszczki na pewno dały im się porządnie we znaki. Muszą mieć sporo ran. Potem niech przyjdą na rozmowę!

Tragarze nieco się ożywili, gdy Wilmowski przystąpił do sporządzania „cudownego” leku, za jaki uważali roztwór nadmanganianu potasu. Wszyscy chętnie poddawali się zabiegom, po czym zgodnie z poleceniem Wilmowskiego przysiadali na piasku przed Smugą. Gdy ostatni Papuas został opatrzony, najstarszy wiekiem tragarz podniósł się i podszedł do Smugi. Zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, Smuga odezwał się:

— Wiem, co masz zamiar mi oznajmić! Chcecie wracać do swoich wiosek. Dobrze, każdy z was otrzyma tyle muszli, ile wam obiecaliśmy.

Przychylny szmer głosów utwierdził podróżnika w przekonaniu, że trafił w sedno sprawy. Uśmiechnął się i zagadnął:



— A może niektórzy z was chcieliby otrzymać jeszcze więcej muszli? Wtedy każdy mógłby sobie kupić nawet małą świnię! Wielu z was nie ma jeszcze żon, a cóż jest wart mężczyzna bez kobiety, która by dla niego pracowała? Kto będzie uprawiał wasze pola?

Ain'u'Ku powtórzył słowa Smugi swoim ziomkom. Ze zrozumieniem potakiwali głowami. Okazało się, że wszyscy chcieliby otrzymać „*mnóstwo muszli*”.

— Jeśli pójdziecie z nami do najbliższej wioski Tawade, dobrze wam zapłacimy. Każdy z was będzie bogaty — kusił Smuga.

Papuasi natychmiast spochmurnieli. Ich starszy wyjaśnił, że pomiędzy Mafulu i Tawade trwa wojna. Jeśli przekroczą rzekę, nikt z nich nie wróci do swojej rodziny.

— Tawade mnóstwo źli ludzie. Oni kai kai człowiek. Wasza także tam nie chodzi. All right! Kanak nie chce muszli, Kanak wraca. All right! — zakończył kategorycznie.

— Ain'u'Ku, powiedz im, że my nie boimy się Tawade — odparł Smuga. — Jeśli zechcemy, to ich wojownicy staną się nie więksi od żaby, a któż by się obawiał tak małego człowieka?

Smuga wyjął lunetę i przysunął ją Papuasowi do oka. Ten cofnął się przestraszony, albowiem gąszcz po drugiej stronie rzeki natychmiast przybliżył się zaledwie o wyciągnięcie ręki. Smuga uspokoił go gestem, po czym odwrócił lunetę. Papuas oniemiał; przeciwny brzeg był teraz daleki i bardzo mały. Potem Smuga pozwolił mu spojrzeć na krokodyla wylegającego się na łasze piaskowej i na własnych towarzyszy. Krajowiec wydawał okrzyki zdumienia, gdy na przemian przybliżali się i oddalali od niego. Oczywiście zaintrygowani tragarze chcieli spojrzeć przez czarodziejski kij i pytali, czy wszystkich Tawade można uczynić małymi ludźmi. Smuga cierpliwie potakiwał, zapewniał, że Tawade nie odważą się zaatakować karawany. Oświadczył również, że młody master może nie tylko spalić wodę w rzekach, ale nawet całą dżunglę, ponieważ posiada magiczny kamień, który sprowadza na ziemię ogień wprost ze słońca. Krajowcy natychmiast zapragnęli ujrzeć te dziwy. Tomek jeszcze raz dokonał próby palenia wody, a potem, za pomocą dwóch szkiełek od zegarków, zapalił kupkę suchego chrustu. Oszołomieni niezwykłymi czarami tragarze odbyli burzliwą naradę, po czym zgodzili się

iść z łowcami do najbliższej wioski Tawade. Zażądali jednak zapewnienia, że biali masters będą eskortowali ich w drodze powrotnej aż do granicznej rzeki.

Była ona niezbyt głęboka i nieszeroka. Duże głazy wystawały z żółtawej, mętnej wody i umożliwiały przedostanie się na drugi brzeg. Mimo to Papuasi nie kwapili się do przeprawy. Widząc to, kapitan Nowicki postanowił dodać im odwagi. Nie bacząc na obecność krokodyli, śmiało skoczył na najbliższy kamień, zachwiał się, lecz zaraz odzyskał równowagę. Z karabinem w prawej dłoni kilkunastoma skokami znalazł się na przeciwległym brzegu.

— Do licha, trzeba być marynarzem, żeby się odważyć na taką akrobację — zawołał Bentley.

— Zaprawiał się na rejach — wtrącił Wilmowski. — Dla nas wszakże to zbyt ryzykowne. Każdy nieudany skok grozi stoczeniem się w wodę, a w niej czyhają krokodyle.

Papuasi z zapartym tchem śledzili Nowickiego. Widząc, że szczęśliwie przebył rzekę i nic złego nie spotkało go na ziemi Tawade, pomyśleli o „zbudowaniu” mostu. W tym celu wybrali wysokie drzewo pochylone nad korytem rzeki i zaczęli toporkami podcinać jego pień. Po jakimś czasie drzewo zatrzeszczało złowieszczo, pochyliło się i runęło, sięgając koroną niemal drugiego brzegu. Tragarze już bez namysłu przechodzili po tym bezpiecznym pomoście. Nim pół godziny minęło, przeprawa była zakończona.

Czoło karawany znów stanowili Nowicki, Smuga i Tomek. Z wolna torowali sobie drogę przez gąszcz nadrzecznych zarośli. Popołudniowa spiekota zagnała ptaki do cienistych kryjówek. Czasem tylko wąż lub jaszczurka umykały spod stóp podróżników. W pewnej odległości za nimi posuwała się zwarta kolumna karawany. Do wieczora nie natrafili na jakiegokolwiek ślady ludzkiego życia. Na noc zatrzymali się w głębokim wąwozie. Łowcy na zmianę czuwali do świtu, aby krajowcom dodać odwagi. Papuasi zastraszeni siedzieli przy ogniskach. Za lada odgłosem w dżungli chwyтали za broń i tylko widok olbrzymiego kapitana Nowickiego jakoś ich uspokajał.

Zaledwie dżungla pojaśniała światłem dziennym, Smuga znów poprowadził karawanę w kierunku północnym. Był jeszcze wczesny ranek. Trójka zwiadowców wolno przedzierała się przez gąszcze.

— Spójrzcie na Dinga...! — szepnął naraz Smuga. Pies podniósł pysk do góry, niespokojnie wietrzył w powietrzu. Po chwili zjeżył sierść na karku, warknął głucho.

— Skróć smycz, brachu, trzymaj go mocno... — cicho zawołał Nowicki. Jednocześnie nieznacznie uniósł karabin, opierając lufę na lewej dłoni.

— Nie strzelaj! — ostrzegł Smuga.

— Siedzą na drzewach... — szepnął Nowicki.

— Może to tylko zwiadowcy... Poczekajmy na naszych... — odparł Smuga.

Przystanęli. Smuga spokojnie wydobyl fajkę, nabił ją tytoniem i zapalił, zerkając to na Dinga, to na drzewa. Pies węszył, spoglądał w górę i warczał. Nowicki przymrużonymi oczyma śledził korony drzew, nie zdejmując palca ze spustu karabinu. Tomek również trzymał swój sztucer pod prawą pachą, gotów do strzału z biodra; lewą rękę zaciskał na smyczy. Minęło kilka minut, które zdały się Tomkowi wiecznością. W końcu rozległy się przyciszone głosy oraz tupot stóp. Nadeszła główna kolumna karawany. Na przedzie kroczył Bentley z Ain'u'Ku i młodzieżą, potem tragarze, a Wilmowski oraz preparatorzy zamykali kolumnę. Smuga uniósł świstawkę do ust. Rozległy się dwa ostre gwizdy. Umowny znak ostrzegawczy nie zmienił szyku karawany. Jedynie dłonie białych podróżników spoczęły na broni.

— Idziemy! — rozkazał Smuga.

Nowicki przytrzymał Tomka za ramie, wysunął się przed niego i ruszył pierwszy. Tomek zachmurzył się, gdyż nie zwykł kryć się za plecami przyjaciół w obliczu niebezpieczeństwa. Nie odważył się jednak zaoponować. Nowicki i Smuga zawsze traktowali go jak własnego syna, a on był im posłuszny nie mniej niż rodzonemu ojcu.

Niebawem kapitan przystanął i odwrócił się do przyjaciół.

— Natrafiliśmy na ścieżkę — poinformował cichym głosem. — Przyjrzyjcie się jej, widać na niej ślady stóp...

Smuga i Tomek byli doskonałymi tropicielami, toteż po zbadaniu odcinka ścieżki zgodnie orzekli, że znajdują się na niej ludzkie ślady wiodące w obydwóch kierunkach.

— Idziemy w lewo, na północy najprędzej natrafimy na jakąś osadę — zdecydował Smuga.

Nowicki znów ruszył pierwszy. Wkrótce ścieżka zaczęła stopniowo piąć się pod górę. Dingo jeżył sierść, warczał, obnażał kły, lecz w przydrożnej gęstwinie panowała głucha cisza. Tawade byli niewidoczni jak duchy. Wydeptany przez ludzi szlak wił się po łagodnym górskim stoku. Nowicki właśnie minął zakręt i nagle przystanął. Na samym środku ścieżki zagradzał drogę duży wiecheć z trawy kunai, związany u góry.

— Spójrzcie, to chyba jakiś znak — rzekł marynarz do przyjaciół.

Smuga odwrócił się i gestem powstrzymał karawanę.

— Ain'u'Ku, chodź no tutaj! — zawołał.

Boss-boy podbiegł do zwiadowców. Zaledwie ujrzał wiecheć zagradzający ścieżkę, poszarzał na twarzy i zatrwożony cofnął się o kilka kroków.

— Czy wiesz, co oznacza ten znak? — spokojnie zapytał Smuga.

— Znak mówi: ścieżka wojenna, nie iść dalej! — szepnął Ain'u'Ku.

Kapitan Nowicki pytająco spojrzał na Smugę.

— Jeśli teraz zawrócimy, już nie przejdziemy przez kraj Tawade — cicho powiedział Smuga. — Musimy zachować... zimną krew. Spróbuję, pójdę pierwszy!

Olbrzymi marynarz gniewnie zmarszczył brwi; zastąpił mu drogę i rzekł:

— Szanowny panie, jeśli ma być między nami zgoda, przestrzegajmy podziału funkcji. Mianowałeś mnie i Tomka zbrojną strażą; to, co chcesz uczynić, należy do nas! Ja idę pierwszy, gdyby coś złego się stało, Tomek mnie zastąpi!

Smuga wzrokiem zmierzył Nowickiego, po chwili jednak lekko drwiący uśmiech pojawił się na jego ustach.

— Żałuję, że nie wyznaczyłem ci funkcji kucharza obozowego, wtedy nie sprawiałbyś mi kłopotów — odparł.

Kapitan poweselał i powiedział:

— Dla nas obydwóch taki taniec nie pierwszozna, ale pan jesteś bardziej wszystkim potrzebny niż ja! W razie, czego pan i Tomek osłonicie mnie ogniem!

— Trudno, muszę ci ustąpić! Dużo ryzykujesz...

Kapitan tylko błysnął oczami i odwrócił się na pięcie. Kolbę karabinu opuszczonego lufą w dół oparł na prawym biodrze, palec położył na spuście. Trzymając oburącz broń gotową do strzału zbliżył się do wiechcia z trawy,

nogą strącił go ze ścieżki i poszedł dalej. Smuga, Tomek oraz wierny Ain'u'Ku szli za nim o kilkanaście kroków. Trzymali broń w pogotowiu, gdyż Dingo drżał jak w febrze. Nie mieli wątpliwości, że są obserwowani z ukrycia. Lada chwila z gąszczu mogły posypać się strzały z łuków i dzidy.

Tomek zerknął za siebie. W pewnej odległości ujrzał Bentleya i nieco pobladłego Jamesa Balmore'a. Za nimi szły dziewczęta. Wszyscy trzymali broń w ręku. Tragarze przystanęli zastraszeni. Nie było wątpliwości, że w razie ataku nawet Wilmowski i obydwaj preparatorzy w tylnej straży nie zdołają ich powstrzymać od panicznej ucieczki.

Nowicki nie oglądał się na przyjaciół. Miarowym krokiem szedł naprzeciw niebezpieczeństwu. Nie znał uczucia lęku, gdy chodziło tylko o jego życie. Naraz na drodze wyrosła przed nim nowa przeszkoda. Na ścieżce tkwiły wbite w ziemię trzy dzidy, pochylone ostrzami w kierunku, z którego właśnie nadchodził.

— Master! Jeszcze krok, a zginiesz! — rozległ się w tej chwili ostrzegawczy krzyk wiernego Ain'u'Ku.

Nowicki w lot domyślił się, że boss-boy oznajmia mu, co oznaczają umieszczone w ten sposób dzidy. Bez namysłu lewą dłońią powyrywał je z ziemi i odrzucił na bok. Przyspieszył kroku. Mrużąc oczy, aby nie raził ich blask słoneczny, przesywał wzrokiem zieloną gęstwinę. Nie dostrzegł nikogo... Wtem usłyszał świst puszczonej strzały. Nie zdążył uskoczyć. Haczykowate ostrze wbiło się prosto w jego lewą pierś.



## CZERWONY RAJSKI PTAK

Nowicki ugodzony strzałą z łuku zachwiał się, lecz nie padł na ziemię. Usłyszał rozpaczliwy krzyk przyjaciół i zaraz wyprostował plecy. Lewą dłonią przesunął po czole zroszonym zimnym potem. Odetchnął głęboko... Nie czuł bólu. Zdumiony zerknął na strzałę. Tkwiła w jego piersi, a drzewce jej unosiło się nieco i opadało, w miarę jak oddychał. Natychmiast odgadł prawdę. W kieszeni na lewej piersi nosił duży, gruby notes, który na lądzie zastępował mu dziennik pokładowy. Strzała celnie wymierzona w jego serce utkwiała właśnie w tym notesie. To go ocaliło. Z uczuciem ulgi wyszarpnął grot i ruszył w gąszcz w kierunku, skąd nadleciała strzała. Lufą karabinu rozgarniał zarośla. Naraz przystanął; to, co ujrzał, mogło przerazić najmężniejszego człowieka. Tuż za osłoną drzew i pnączy skupiło się kilkudziesięciu papuaskich wojowników z łukami napiętymi i dzidami skierowanymi wprost w karawanę. Wyglądali jak szkielety, ich ciemne ciała, bowiem pokrywały na przemian białe i czarne pasy. Jasnoczerwone i żółte koła otaczały oczy. Wielu nosiło dziwaczne ozdoby w uszach oraz w przedziurawionych chrząstkach nosowych. Na czele tej złowrogiej gromady stał wojownik ozdobiony oryginalnym naszyjnikiem z lian. Nowicki od razu odgadł, że to on strzelił do niego, ponieważ nie miał jak inni na cięciwie strzały. Głowę jego zdobił wspaniały, purpurowy pióropusz z piór rajskiego ptaka. Zapewne był wodzem...

Straszliwi wojownicy z zapartym tchem spoglądali na białego olbrzyma. Ten zaś strzałę wydobytą z własnej piersi podał niefortunnemu strzelcowi.

Tawade cofnęli się o pół kroku, wydając stłumiony jęk. Zaczęli drzeć z przestachu. Po raz pierwszy zetknęli się z niezwykłymi duchami krążącymi po lesie w biały dzień. Gdyby „telegraf” dżungli nie uprzedził ich o zbliżaniu się duchów, pierzchliby od razu na ich widok. Nieustraszony wobec ludzi wódz Tawade, Eleli Koghe, nie pragnął walki z nieziemskimi istotami. Obecnie nie wątpił już, że są one duchami. Tylko duchy nie zważały na ostrzegawcze wojenne znaki. Wystrzelił do wielkiego białego ducha, aby ostatecznie się przekonać, czy mimo wszystko nie jest on człowiekiem. Eleli Koghe nigdy nie chybiał. Wiedział, że jego strzała trafiła prosto w serce. Wiec

to był jednak duch! Przecież stał teraz przed nim i podawał morderczą strzałę... Ale oto już nadbiegały inne duchy...

Nowicki ruchem dłoni powstrzymał towarzyszy. Na migi polecił wodzowi Tawade, aby się zbliżył. Eleli Koghe posłusznie spełnił rozkaz. Nowicki wepchnął mu strzałę do drżącej ręki i nosem swym potarł o jego nos. Tawade wydali okrzyk radości. Gromadnie wyszli z gąszczu, by z bliska przyjrzeć się białym duchom. Eleli Koghe również pokonał pierwszy strach. Pochylił swą głowę na piersi potężnego „*ducha*”, przesunął rękoma po jego ciele. Nowicki wy dobył z za pasa stalowy nóż i wręczył go wodzowi. Wojownicy zaczęli rytmicznie tupać nogami o ziemię. Musiało to być jakimś umownym hasłem, gdyż nowi Tawade dołączyli się do kręgu otaczającego białych łowców. Eleli Koghe widząc, że duchy nie rozumieją jego słów, na migi począł zapraszać do swojej wioski. Wkrótce wszyscy w największej zgodzie szli ścieżką w górę zbocza.

— Jesteś ranny? — z niepokojem zapytał Smuga, gdy tylko mógł się zbliżyć do marynarza. — Wytrzymałeś wspaniale! Nigdy bym się nie spodziewał, że wykażesz tak niezwykle opanowanie...

— Ranny?! — zdziwił się Nowicki. — Nie, po takim strzale można być tylko nieboszczykiem. Mój nowy koleżka ma celną łapę. Wymierzył prosto w serce! Nie patrz pan na mnie jak na wariata! Mój staruszek zawsze mówił: ucz się, Tadek, a nauka odpłaci ci się stokrotnie. Faktycznie tak się też stało.

— Co ty wygadujesz?! — zaniepokoił się Smuga, uważnie spoglądając na marynarza.

— Dziennik pokładowy ocalił pana! — zawołał Tomek, który słuchając wyjaśnień, domyślił się wszystkiego.

— Dziennik pokładowy?! — zdumiał się Smuga.

— A jakże! Chciałem się poduczyć sporządzania ciekawych raportów — wyjaśnił marynarz. — Toteż noszę w kieszeni podręczny dziennik, w którym wpisuję swoje wachty, a Tomek mi poprawia.

— Do diabła, przecież ten notes uratował ci życie! — rzekł Smuga, ściskając ramię kapitana.

— Masz pan najlepszy dowód, jaka nagroda spotyka człowieka garnącego się do nauki — dodał Nowicki.

Tomek zaraz wycofał się, aby poinformować resztę towarzystwa o szczęśliwym trafie, wszyscy, bowiem drżeli o życie odważnego marynarza.



Krajowcy nieraz zatrawali strzały, wtedy najmniejsza nawet rana mogła grozić śmiercią.

Niebawem wojownicy Tawade doprowadzili karawanę do wioski na ostro ściętym górskim cyplu. Nastąpiły uroczyste mowy powitalne, uzupełniane gestami, po czym „*białe duchy*” zostały zaproszone do emone w celu wypalenia ceremonialnej fajki. Smuga obdarował starszyznę wioskową drobnymi podarunkami i poprosił wodza o pozwolenie na rozbięcie obozu w pobliskiej dolinie. Chmara wojowników i kobiet poprowadziła podróżników do miejsca wybranego na obozowisko. Wspólna uczta, na którą zabito parę świń, trwała do późnej nocy.

Biali podróżnicy rozpoczęli badania i łowy w rozległym kraju Tawade. Groźni wojownicy zachowywali się przyjaźnie. Dzięki temu większość tragarzy Mafulu pozostała przy łowcach. Wilmowski czynił usilne starania, aby obydwie wrogie plemiona zawarły ze sobą pokój. Obawa przed „*białymi duchami*”, ich huczące kije oraz „*czarodziejska moc*” Tomka nakłoniły wojowniczych Tawade do ustępstw. Zgodzili się wziąć okup za przerwanie wojny. Po długich targach ostatecznie ustalono, że Tawade uwolnią uprowadzone kobiety Mafulu, a ci ostatni dadzą im w zamian dwadzieścia dużych świń. Wilmowski, uradowany takim obrotem sprawy, dołożył do okupu dziesięć stalowych noży, pięć lusterek, pięć siekier, trzy garście muszli oraz dwadzieścia naszyjników ze szklanych koralii. Wprawdzie Mafulu twierdzili, że podstępni Tawade zwrócili im tylko najstarsze kobiety, ale mimo to działania wojenne ustały.

Dobrodziejstwa, jakie pokój wszędzie przynosi, nie dały zbyt długo czekać na siebie. Wojownicy, a nawet kobiety i dzieci, gromadnie przychodzili do obozu łowców. Początkowo w trwożliwym skupieniu przyglądali się gromadzonym okazom flory i fauny. Potem, ośmieleni przez rezolutną Sally, samorzutnie zaczęli znosić do obozu różne rośliny i zwierzątka. Sally nie poprzestała na tym; nad pobliską rzeką fruwały chmary wspaniałych motyli, nauczyła więc dzieciarnię, w jaki sposób należy je chwycić, aby nie ulegały uszkodzeniu, i wkrótce posiadała już interesującą kolekcję.

Smuga, Tomek i Nowicki z zapałem polowali na rajskie ptaki. Zapuszczali się w ostępy nie nawiedzane przez krajowców i prawie z każdej wyprawy przynosili cenne łupy. Dzięki tak szeroko zakrojonym łowom

Bentley z Wilmowskim zapracowani byli od świtu do nocy, a preparatorzy często nie opuszczali polowej pracowni nawet po zapadnięciu zmroku. Zabezpieczenie oraz konserwacja okazów łatwo ulegających zepsuciu pochłaniały ich bez reszty.

Natasza większość wolnego czasu poświęcała udzielaniu ambulatoryjnej pomocy krajowcom, gnębionym przez różne choroby. Toteż Tawade coraz chętniej przychodzili do obozu, a ich niemal dziecinna ciekawość sprawiała łowcom wiele kłopotów. Asystowali podróżnikom przy goleniu, myciu i ubieraniu, obserwowali ich w czasie jedzenia i pracy. Najzwyczajniejsze przedmioty codziennego użytku wprawiały ich w podziw, we wszystkim węszyli jakieś niezwykle czary. Natrętna ciekawość krajowców najbardziej dawała się we znaki Sally i Nataszy, które nawet myć się musiały w szczelnie zasłoniętym namiocie.

Wilmowski nie zaniedbywał badań etnograficznych. Uważne obserwacje nasunęły mu podejrzenia, że Tawade jeszcze uprawiają kanibalizm. W pobliżu wioski bieleły się ludzkie kości. Były to prawdopodobnie szczątki pokonanych wrogów. Tawade również pozbywali się rodziców, gdy ci wskutek starości tracili siły do pracy i walki. Wprawdzie nikt własnoręcznie nie pozbawiał życia swego ojca czy matki i zazwyczaj zwracał się do przyjaciół z sąsiedniej wioski o oddanie mu tej „przysługi”, lecz starcy doskonale wiedzieli, że nadchodzi ich ostatnia chwila i nawet brali udział w ucztach pożegnalnych. Nie budziło to w starcach grozy, w swoim czasie, bowiem postąpili oni tak samo wobec własnych rodziców. Uczynni sąsiedzi zwracali krewnym kości zabitego, ci zaś pieczołowicie przechowywali je w swoich szałasach. Często syn podkładał sobie pod głowę czaszkę ojca; w ten sposób okazywał mu swoją cześć i podczas snu mógł otrzymywać od niego dobre rady.

Rzecz oczywista, że Wilmowski chciał przeciwstawić się barbarzyńskim zwyczajom. Zaledwie jednak rozpoczął z Tawade ostrożne rozmowy, poprawne stosunki z krajowcami natychmiast uległy pogorszeniu. Najpierw mężczyźni, potem kobiety i dzieci przestali przychodzić do obozu. Łowcy od razu zauważyli zmianę w zachowaniu krajowców. Toteż najbliższego wieczoru Wilmowski zawołał Ain'u'Ku do swego namiotu.

— Czy wiesz, dlaczego Tawade zaczęli nas unikać? — zapytał boss—boya.

Mafulu zalekniony opuścił głowę i szepnął:

— Być mnóstwo źle... Czarownicy mówią, że wasza zaklinać dusze ludzi w martwe ptaki i kwiaty, all right!

Wilmowski spochmurniał. Po chwili znów zapytał:

— Kogo z nas czarownicy posądzają o to?

Boss-boy trwożliwie obejrzał się na wejście do namiotu. Pochylił się ku Wilmowskiemu i cicho odparł:

— Biała Mary<sup>625</sup>, która należeć do młody biały czarownik...

— Wiesz, że to nieprawda! — oburzył się Wilmowski. — Panna Sally nie skrzywdziłaby nawet muchy!

— Biała Mary mnóstwo bardzo dobra — przyznał Ain'u'Ku. — Czarownicy mnóstwo źli na wasz i Mafulu...

— Dziękuję ci, udzieliłeś mi ważnych informacji — odrzekł Wilmowski.

Zafrasowany natychmiast zwołał przyjaciół na naradę. Wszyscy byli zdania, że powinni jak najszybciej opuścić kraj Tawade. Czarownicy, bojąc się utraty swego wpływu, mogli się stać bardzo niebezpieczni. Niestety, liczne zbiory uniemożliwiały natychmiastowe zwinięcie obozu. Toteż szczególnie Sally zalecono zdwojenie ostrożności, a Tomek miał jej ani na krok nie odstępować. Sally wcale się nie zmartwiła niepokojącymi wiadomościami. Ostatnio mało widywała Tomka, który wciąż myszkował po dżungli. Toteż teraz ucieszyła się nawet, że stale będą przebywali razem.

W kilka dni później Sally i Natasza w towarzystwie uzbrojonego w sztucer Tomka wybrały się nad strumień. Chciały urządzić małe pranie przed wyruszeniem w dalszą drogę. Sally położyła tobołek z bielizną na ziemi i już miała wejść do płytkiego strumienia, gdy zauważyła węża wodnego. Tomek oczywiście zaraz go przepłoszył i usiadł na brzegu, bacznie obserwując wodę. Dziewczęta po kolei wyjmowały z tobołków różne drobiazgi i prały je w strumieniu. Rozmawiając beztrosko, nie spostrzegli skradającego się ku nim w pobliskich krzewach krajowca. Ten przywarł do ziemi i w pewnej chwili, korzystając z nieuwagi białych, drapieżnym ruchem porwał z tobołka Sally parę grubych pończoch.

W nadziemnej chacie, nieco na uboczu wioski Tawade, siedziało dwóch mężczyzn. Mimo mroku w jednym z nich można było rozpoznać wodza, Eleli

---

<sup>625</sup> — Biała Mary — biała kobieta w języku pidgin.

Koghe. Żar węgla, tłących się w rowku pośrodku podłogi, migotał na jego purpurowym pióropuszu, dzięki któremu nieustraszony wojownik zyskał sobie imię Czerwonego Rajskiego Ptaka. Eleli Koghe w skupieniu słuchał mowy czarownika, a od czasu do czasu sam rzucał jakieś pytanie. Niespokojnym wzrokiem zerkał to na straszliwe maski zawieszane pod spadzistym dachem, to na czarodziejskie bębny, za pomocą, których czarownik rozmawiał z duchami. Czul się nieswojo w tej tajemniczej chacie. Nieuchronna śmierć groziła każdemu, kto by samowolnie usiłował do niej wtargnąć. Nawet wódz mógł wchodzić tutaj bezkarnie wtedy jedynie, gdy tajemne moce za pośrednictwem czarownika pozwalały na to.

— Oszukano nas — mówił wielki czarownik. — Ci biali obozujący w dolinie nie są duchami. To tacy sami ludzie jak my!

— Dlaczego więc skóra ich posiada inny kolor? — zapytał Eleli Koghe.

Czarownik błysnął oczami i odparł:

— Bo okrywają swe ciało ubraniami i wciąż zanurzają się w wodzie! To bardzo rozrzutni i niepraktyczni ludzie. Ciągłe zmieniają ubrania i każą nam dawać jarzyny nawet tym śmierdzącym Mafulu!

— Ofiarowują za to różne rzeczy — zaoponował Eleli Koghe.

— Głupcze, dają ci, bo wiedzą, że wszystko wróci do nich, gdy zaklą twoją duszę w ptaka lub kwiat!

Mężny wojownik poszarzał na twarzy.

— To źli ludzie! — mówił dalej przebiegły szarlatan. — Rzucają urok na każdego, kto spojrzy im w oczy. Tylko, dlatego twoja celna strzała nie mogła przebić serca tamtego człowieka! Nie on jednak ani ten młody czarownik są groźni!

— Mówiłeś już, że ta młoda kobieta, która całe dni dręczy zabite ptaki i inne zwierzęta, jest najgorsza — wtrącił wódz.

— Tak, tak właśnie jest! — potwierdził czarownik. — Ten młody nic bez niej nie robi i stale zasięga jej rady.

— A ta druga kobieta?

— Nie, ona nie zadaje się z czarownikiem!

— Zrób coś, aby biali ludzie nie mogli zakląć mojej duszy w ptaka lub kwiat, które zabiorą z sobą — żarliwie poprosił Eleli Koghe.

— Musisz być posłuszny starym zwyczajom!

— Co mam robić?

— Zabijaj Mafulu i pożeraj ich, bo tylko w ten sposób możesz całkowicie zniszczyć wrogów. Przybywało ci męstwa i siły, gdy pożerałeś serca dzielnych wojowników zabitych własną ręką! Wszyscy w naszej wsi byli wtedy syci, mnie składali szczodre ofiary...

— Czy mam zaraz napaść na obóz białych ludzi? Oni będą bronili tych podłych Mafulu!

— Nie, z nimi porachujemy się później. Najpierw pokażę wszystkim swoją moc! Nie ma w tym kraju potężniejszego ode mnie czarownika! Mogę każdego pozbawić życia, nawet tę ich białą kobietę, która dusze wojowników Tawade zaklina w różne zwierzęta.

— Czy naprawdę odważysz się na to?! — zdumiał się Eleli Koghe.

— Nim minie dwa razy po trzy księżycy, biała kobieta będzie martwa!

— Ręką człowieka jej nie zabijesz! Ona zna potężne zaklęcia...

Czarownik roześmiał się ponuro. Powstał, z kąta izby przyniósł kosz upleciony z mocnych lian. Uchylił wieko. Eleli Koghe natychmiast cofnął się przerażony. W koszu spoczywał wąż zwinięty w krąg. Na jego stalowoszarym cielsku od dużej, spłaszczonej głowy aż do ogona widniał szeroki, czerwony pas. By! to najgroźniejszy z nowogwinejskich węzów. Czarownik zamknął wieko plecionki i zaniósł ją na dawne miejsce. Potem usiadł przed wodzem i rzekł:

— Wiesz, że ukąszenie tego węża przynosi każdemu człowiekowi strasliwą śmierć. Ten wąż nie ulęknie się nawet białej kobiety ujarzmiającej dusze Tawade! W ciele jego zakląłem duszę męznego wojownika, którego plemię zamieszkuje tam, gdzie kryje się słońce...

— Czy to był łowca głów? — zapytał Eleli Koghe zaleknionym głosem.

— Tak, i musi spełnić każde moje życzenie...

— Więc każesz mu zabić białą kobietę?

— Tak, a wtedy biali ludzie stracą swą czarodziejską moc. Zabijesz wszystkich białych i Mafulu!

— Niech będzie tak, jak chcesz — odparł Eleli Koghe i prawą dłonią przesunął po naszyjniku z lian, na którym każdy zawiązany węzeł oznaczał własnoręcznie zabitego wroga.

Czarownik pochylił głowę, aby ukryć przebiegły uśmiech cisnący mu się na usta. Nie podnosząc głowy, rzekł cicho:

— Idź teraz, bo muszę odbyć naradę z duchami. Twoja dusza pozostanie w twoim ciele. Biali ludzie jej nie zabiorą...

Eleli Koghe chyłkiem wysunął się z chaty. Po drabinie zszedł na ziemię i pobiegł do emone, aby natychmiast przekazać swoim wojownikom ważne wieści. Tego wieczoru w wiosce Tawade huczały bębny i tańce trwały do świtu.

Podczas gdy wojownicy tańczyli wokół ognisk, czarownik wciągnął drabinkę na platformę, aby nikt nie mógł wejść do jego chaty. Potem wydobył z poszycia dachu małą bambusową rurkę zatkaną drewnianym korkiem. Otworzył ją i przytknął do nosa. Nikły obcy odór wywołał zły uśmiech na jego ustach. Następnie przygotował długą, grubą bambusową rurę i jeszcze raz przyniósł plecionkę kryjącą jadowitego węża. Otworzył wieko. Gad grubości męskiego ramienia spał jeszcze po sutym śniadaniu. Czarownik prawą dłonią zręcznie ujął węża tuż przy samym łbie. Wąż przebudził się, gniewnie błysnął ślepiami, rozwarł paszczę i wysunął jadowite zęby, lecz trzymany wprawną ręką nie mógł ukąsić swego dręczyciela. Ten zaś, szepcząc zaklęcia, uniósł gada wysoko do góry i wsunął go, począwszy od ogona, do bambusowej rury. Teraz czarownik wytrząsnął z mniejszego bambusa damskie pończochy. Zmiał je w dłoni i niby korkiem, zatkał otwór rury, w której umieścił węża.

Uśmiechając się złośliwie, położył bambusową rurę przy rozżarzonych węglach i sam usiadł obok niej. Niemało trudu kosztowało go zdobycie odzienia białej dziewczyny, która dobrocią swą zjednywała sobie sympatię nie tylko kobiet i dzieci, lecz nawet najokrutniejszych wojowników. Wpływy białych ludzi dotkliwie dawały mu się we znaki. Skuteczniej leczyli od niego, udzielali lepszych rad i oburzali się na stare zwyczaje. Toteż czarownik postanowił jak najszybciej pozbyć się nieproszonych gości. Potajemnie rozgłaszał wieści o ich złych zamiarach i tak długo podjudzał przeciwko nim, aż w końcu uznał, że nadszedł czas na decydujące uderzenie. Spojrzał na bambusową rurę. Zimnokrwisty gad źle znosił przypiekanie ogniem. Czarownik podniósł kamień i począł rytmicznie uderzać w rurę. Wciąż uśmiechał się szatańsko, wiedział, bowiem, że we wnętrzu rury te lekkie uderzenia nabierają po pewnym czasie niemal siły grzmotu. Cierpliwie uderzał kamieniem. Rozwścieczony wąż zapewne już kąsa pończochę uniemożliwiającą mu wydostanie się na wolność. Odór odzienia powinien mu

się skojarzyć z zadawaną torturą. Wtedy nagła śmierć nie oszczędzi białej dziewczyny...





## PODSTĘPNY CIOS

Już czwarty dzień czarownik nieustannie dręczył uwięzionego węża. Morzył go głodem, przypiekał na węglach, uderzał kamieniem w rurę, szepcząc straszliwe zaklęcia. Tymczasem jego dwaj zaufani pomocnicy, których szkolił na swoich następców, potajemnie śledzili obozowisko białych łowców rajskich ptaków. Przebiegły czarownik wiedział o każdym ich kroku i misternie przygotowywał swój plan odwetu. Zwiadowcy donieśli mu, że kierownik wyprawy łowieckiej kilkakrotnie robił wypady w kierunku zachodu słońca. Czarownik łatwo mógł z tego wysnuć wniosek, że tam właśnie, do krainy łowców głów, zamierza wyruszyć. Było mu, to bardzo na rękę. Rozległe mokradła oddzielały kraj Tawade od terenów zamieszkanym przez plemiona Ku-ku-ku-ku. Okolica sprzyjała urzędzeniu zasadzki. Niespodziewany napad z ukrycia niezawodnie rozproszy karawanę po bagnistej dżungli, a wtedy wojownicy Tawade rozpoczną straszliwe łowy!

Eleli Koghe otrzymał od czarownika szczegółowe instrukcje. Noc w noc w wiosce Tawade huczały bębny. Wojownicy malowali swe ciała barwami wojennymi, tańczyli aż do świtu. Czarownik zacierał dłonie i uśmiechał się złowieszczo. Biali podróżnicy już nie odważali się odwiedzać wioski. Tawade również unikali spotkań z nimi; niecierpliwie oczekiwali na hasło do ataku, by zdobyć i zniszczyć martwe ptaki oraz kwiaty, w których były jakoby zaklęte ich dusze. Otumanieni przez czarownika wierzyli, że wraz z odejściem białych ludzi znikną z dżungli wszystkie ptaki i kwiaty. Wojownicy ostrzyli dzidy, szykowali łuki. Tego właśnie dnia, tuż przed zachodem słońca, szpiedzy donieśli czarownikowi, że biali ludzie ukończyli przygotowania do wyruszenia w drogę. Mieli się na baczności. Nawet kilku tragarzy Mafulu zostało uzbrojonych w huczące kije. Czarownik wezwał Eleli Koghe. Plan napadu został omówiony w najdrobniejszych szczegółach.

Wieczorem bębny uderzyły w rytm wojennego tańca. Na plac przed domami wyległa cała wioska. Czarownik pojawił się przybrany w dużą, spiczastą maskę. Na szyi jego chrzęściły naszyjniki z psich i świńskich zębów oraz małych muszelek. Ciało miał od stóp do głów pomalowane czerwoną, białą, żółtą i czarną farbą. W prawej ręce trzymał czaszkę swego wielkiego poprzednika, a w lewej czarodziejską miotłkę. Wszyscy zadrżeli na ten

widok. Czarownik tak właśnie ubierał się tylko wtedy, gdy miał zamiar zasięgnąć rady bóstwa mieszkającego w dżungli w kamiennej pieczarze. Najmężniejsi wojownicy drżeli ze strachu nawet w dzień, jeśli musieli przechodzić w pobliżu głazu, w którym mieszkały potężne duchy. Toteż trwożliwe spojrzenia towarzyszyły czarownikowi, dopóki nie zniknął w ciemnej dżungli.

Czarownik tymczasem wszedł w zarośla. Zaledwie znalazł się sam, spokojnie przykucnął na korzeniu drzewa. Po cóż miał chodzić do pieczary w kamieniu?! Doskonale wiedział, że oprócz kilku nietoperzy nic więcej w niej nie znajdzie. Czarownicy Tawade z pokolenia na pokolenie przekazywali straszliwą legendę o duchach mieszkających w samotnym głazie. Strzegli także, aby nikt nie mógł zwątpić w jej prawdziwość. Kilku śmiazków, którzy odważyli się podejść zbyt blisko pieczary, zginęło w tajemniczych okolicznościach. Czarownik jednak nie obawiał się zemsty bogów, nie bał się również chodzić nocą po dżungli. Znał doskonale wszystkie „*duchy*”, z którymi „*rozmawiał*” za pomocą czarodziejskich bębnow. Teraz siedział pod drzewem i nasłuchiwał odgłosów płynących z wioski. Dopiero tuż przed świtem powrócił do Tawade oszołomionych tańcem. Natychmiast stanęli wyczekująco.

Czarownik wszedł pomiędzy wojowników podzielonych do tańca na dwie grupy, przystanął przed Eleli Koghe i odezwał się sugestywnym głosem:

— Rozmawiałem z duchami w grocie... Były bardzo zagniewane za sprzyjanie białym ludziom, którzy zaklinają dusze wojowników Tawade w martwe ptaki i kwiaty, by móc potem je dręczyć. Z trudem przebłagałem duchy... Przynęły jeszcze raz okazać wam swoją łaskę. Nim minie księżyc, zginie biała dziewczyna, wtedy wódz Eleli Koghe da hasło do ataku. Odniesiecie wielkie zwycięstwo!

— Kto zabije białą czarownicę? — niespokojnie zapytał Eleli Koghe, albowiem obawiał się, aby czarownik teraz jemu nie wyznaczył podstępnie tej niebezpiecznej roli.

— Ja dokonam tego przez węza, w którego zakląłem duszę łowcy głów — odpowiedział czarownik. — Wszyscy ujrzą ją martwą. Wtedy młody biały łowca utraci swą czarodziejską moc.

— Dobrze, uczynimy, jak radzisz... — rzeki Eleli Koghe. — O świcie wyruszymy do miejsca, w którym mamy urządzić zasadzkę. Będziemy czekali na śmierć białej dziewczyny...

Bębny głucho dudniły. Z dżungli odpowiadał im wrzask ptaków, już bowiem świtało. Eleli Koghe wraz z czarownikiem poprowadzili wojowników w dżungle. Wkrótce szerokim tukiem ominęli obóz i podążyli wprost na zachód. Przez bagniska wiodło tylko jedno wygodniejsze przejście. Tam właśnie szpiedzy czarownika widzieli myszkującego Smugę, tam też Tawade przyczaili się w zaroślach. Eleli Koghe wysłał zwiadowców w kierunku, z którego spodziewał się nadejścia karawany. Niebawem przyniesiono pomyślnie wieści. Karawana szła tak, jak to przewidział przebiegły czarownik. Widocznie duchy w kamiennej pieczarze udzieliły mu dobrych rad. Sprawdzanie się przewidywań czarownika nieco uspokoiło Tawade. Nie obawiali się walki nawet z liczebniejszym przeciwnikiem<sup>626</sup>, lecz tym razem mieli uderzyć na białych ludzi, którzy znali potężne czary. Czy mogło im to ująć bezkarnie? Męstwo dzielnych Tawade zazwyczaj załamywało się na progu urojonej krainy duchów... Poza tym trudno im było pojąć, że ci łagodni, uprzejmi biali ludzie mogą żywić do nich tak wrogie uczucia, jak zapewniał czarownik. Ich lekarstwa szybko goiły rany powodowane przez różne insekty; ich rady również były lepsze od tych, których udzielał czarownik. Nie straszili nikogo złymi duchami, nie bali się błyskawic, grzmotów i trzęsień ziemi. Wszystkie dziwne zjawiska tłumaczyli w naturalny, prosty sposób.

Wódz Eleli Koghe nie mniejszą przeżywał rozterkę niż jego wojownicy. Tak jak wszyscy drżał z obawy przed czarami oraz złymi duchami. Zastraszony i podjudzony przez czarownika, zgodził się napaść na białych ludzi. Ruszył na wojenną wyprawę i wiedział, że jeśli dzisiaj zwycięży, to wiele pokoleń Tawade będzie opowiadało o jego niezwykłym czynie. Mimo to nie odczuwał jakoś radości na myśl o nagłej śmierci tej wesołej, czynnej białej dziewczyny. Gdyby nie uwierzył czarownikowi, że to ona właśnie zakłęła jego duszę w martwego rajskiego ptaka, nigdy by nie pozwolił uczynić jej krzywdy...

---

<sup>626</sup> — W późniejszych latach Tawade stawiali silny zbrojny opór oddziałom kolonialnym walczącym z nimi przeciwko karabinom.

Eleli Koghe doskonale rozumiał, że teraz już za późno na jakąkolwiek zmianę decyzji. Wojownicy byli upojeni całonocnym tańcem wojennym; zakorzeniony w nich od wieków instynkt walki przygłuszał przyjazne uczucia do białych ludzi. Łaknęli krwi i straszliwej uczy. W tej właśnie chwili przybiegł nowy zwiadowca. Karawana białych łowców zbliżała się do moczarów. Eleli Koghe pytająco spojrzął na czarownika. Ten potaknął głową i powstał. Wódz przyłożył dłonie do ust. Rozbrzmiał przenikliwy dźwięk przypominający krzyk rajskiego ptaka. Wojownicy wynurzyli się z zarośli i podążyli za Eleli Koghe. W miejscu, gdzie ścieżyna zaczynała się obniżać w szeroką, bagnistą dolinę, Eleli Koghe podzielił swoich wojowników na dwa oddziały. Jeden z nich od razu zapadł w zarośla i miał zaatakować tylną straż karawany, drugi pomaszerował z Eleli Koghe nieco dalej.

Czarownik zaczął się przy ścieżynie pomiędzy obydwoma oddziałami. Rosły tutaj gęste zarośla. W nich to, prawie przy samym skraju ścieżki, czarownik umieścił grubą, bambusową rurę, umocował ją patykami zatkniętymi w ziemię i starannie zamaskował gałązkami. Następnie do wystającego z końca rury kłębka zwiniętych pończoch przywiązał długą, mocną, cienką lianę. Teraz wycofał się w krzewy na bezpieczną odległość, trzymając w rękach drugi koniec liany. Przykucnął za drzewem, nadstawił uszu. Gdy tylko biała dziewczyna znajdzie się na wprost wylotu rury, jednym szarpnięciem wyciągnie szmaciane zatyczki. Rozwścieczony gad natychmiast skorzysta z okazji, by nareszcie wydostać się na wolność, i zaraz poczuje znienawidzony zapach. Oczywiście uczyni to, co robił przez wszystkie dni katuszy: wbije swe zęby jadowe w nogę dziewczyny. Wtedy śmierć nadejdzie szybko, zmiesza szyk karawany... Eleli Koghe i jego wojownicy dokończą dzieła zniszczenia...

Karawana łowców rajskich ptaków pośpiesznie podążała ku mokradłom. Głuche dudnienie bębnow oraz całonocne tańce w wiosce Tawade nie wróżyły niczego dobrego. Od kilku dni nikt z Tawade nie przychodził do nich, lecz Smuga i Tomek odnaleźli ślady zwiadowców, którzy wciąż z ukrycia obserwowali obóz. Łowcy nie chcieli dopuścić do starcia z krajowcami. Skoro więc stwierdzili, że są niepożądanymi gośćmi, starali się jak najszybciej opuścić kraj Tawade. Zgromadzili wiele okazów flory i fauny, posiadali już ciekawy zbiór etnograficzny, a Bentley coraz bardziej tęsknym wzrokiem spoglądał na centralne pogórze.

Mafulu ucieszyli się likwidacją obozu w kraju Tawade. Nie ufali swym odwiecznym wrogom. Uporczywe dudnienie bębnow napęliło ich trwogą. Toteż obecnie rażnym krokiem podążali za zbrojną przednią strażą. Smuga nie spodziewał się zasadzki, niemniej nie zaniedbał środków ostrożności. Razem z Nowickim, Tomkiem, Balmore'em i Bentleyem wysunął się na czoło karawany; w tylnej straży szli: Wilmowski, Zbyszek oraz dwaj preparatorzy — Stanford i Wallace. Dziewczęta znajdowały się tuż przed tragarzami, osłonięte plecami zbrojnej czołówki.

Dżungla stawała się coraz bardziej bagnista. Drzewa rosły tu rzadziej, mętne kałuże czerniły się wśród kęp ostrej trawy. Smuga penetrował już tę okolicę i teraz szybko odnalazł wydeptaną ścieżkę przez mokradła. Sally z żalem obejrzała się na malowniczą dolinę, w której spokojnie spędzili kilka tygodni. Trochę markotna zagadnęła Tomka:

— Wszystko przyjemne kończy się szybko... Dobrze nam było w tej dolinie. Nie chciałabym zbyt długo brodzić po bagnach.

— Nie martw się, Sally! Za kilka dni znów rozbijemy obóz w jakiejś pięknej okolicy. Pan Smuga jest pewny, że uda nam się wdrzeć do wnętrza wyspy — pocieszył ją młodzieniec.

— Posępnie tu i mglisto — utyskiwała Sally. — Spójrz, nawet Dingo kręci nosem na te mokradła!

Dingo wyraźnie był zaniepokojony. Wyciągał do góry łeb, węszył, jakby wyczuwał niebezpieczeństwo, Tomek cicho gwizdnał dwukrotnie. Smuga i Nowicki zwolnili kroku. Po chwili zrównali się z idącymi za nimi towarzyszami.

— Dingo zaczyna się niepokoić — oznajmił Tomek.

— Nie spostrzegłem śladów na ścieżce — odparł Smuga.

— Ja też nic nie zauważyłem — wtrącił Nowicki. — Może jednak jakieś zuchy czają się w gąszczu?

— Tawade chcą się upewnić, że naprawdę stąd odchodzimy — dodał James Balmore.

— Wolałbym nikogo nie spotkać na tych bagnach — mruknął Smuga.

— Czy nie ma tu innej drogi? — zapytał Nowicki.

— Nie! To jedyne przejście na zachód... — odparł Smuga. — Trzymać broń w pogotowiu, idziemy!

Zaledwie ruszyli, Sally krzyknęła przeraźliwie... W tej chwili Dingo wyszarpnął smycz z dłoni Tomka. Jak błyskawica rzucił się na stalowoszare cielsko naznaczone czerwonym, podłużnym pasem. Wąż zwinął się jak sprężyna, lecz Tomek był nie mniej szybki od niego. Pięć kul rewolwerowych w okamgnieniu zniekształciło duży, spłaszczony łeb. Kapitan Nowicki podtrzymał ramieniem śmiertelnie pobladłą Sally, Dingo tymczasem śmignął w zarośla. James Balmore odważnie pobiegł za psem. Wilmowski z tylnej straży nie wiedział, co się stało. Jednak usłyszał krzyk Sally i widząc zamieszanie w czołówce karawany, pobiegł Balmore'owi z pomocą. Balmore z karabinem gotowym do strzału gnał za Dingiem. Słyszał jego warczenie i krótkie szczeknięcia. Nie wątpił, że pies dopadł kogoś, kto czał się w pobliżu ścieżki. Z rozpędem wpadł na krajowca broniącego się ostrym nożem z kości kazuara przed atakami rozwścieczonego Dinga.

— Rzuć nóż! — krzyknął Balmore, zapominając, że krajowiec nie rozumie po angielsku.

Czarownik Tawade zamachnął się nożem. Nierozważny Balmore byłby zginął, gdyby Dingo nie rzucił się napastnikowi do gardła. Czarownik uskoczył w bok, uniknął groźnych, obnażonych kłów. Balmore lewą dłonią zdołał uchwycić rękę uzbrojoną w nóż. Nagle jego nogi ugrzęzły w błotnistej mazi. Zachwiał się, upuścił karabin i padł na plecy, pociągając za sobą czarownika. Teraz drugą rękę oparł o jego nagą pierś, próbując odepchnąć go od siebie. Silny Papuas, bowiem już brał nad nim górę. Ostrze noża zniżało się coraz bardziej. Palce Balmore'a, zaciśnięte na zbrojnej dłoni czarownika, rozluźniły chwyt. Był pewny, że zginie, gdyż Dingo jakoś przycichł i przestał atakować. Przymknął oczy...

W tym krytycznym dla niego momencie nadbiegł Wilmowski. On to, odrzuciwszy karabin, lewą dłonią chwycił czarownika za kark, a prawą wykręcił rękę uzbrojoną w nóż. Po chwili czarownik leżał na ziemi obezwładniony.

Balmore, ciężko oddychając, dźwignął się na nogi.

— Czy to on przestraszył Sally? — niespokojnie zapytał Wilmowski.

— Zdaje mi się, że wąż rzucił się na nią. Wtedy Dingo pobiegł w dżunglę, a ja za nim — wyjaśnił Balmore. — Ten człowiek musiał się czać przy ścieżce.

Wilmowski zmarszczył brwi. Uważniej przyjrzał się Papuasowi.

— To czarownik Tawade — odezwał się po chwili. — Wracajmy szybko do naszych... Podejrzenie wygląda mi ta sprawa!

Podniósł karabin i popychając przed sobą wystraszonego czarownika, spieszenie ruszył ku ścieżce. Głośne rozkazy Smugi i głuchy pomruk przestraszonych Mafulu ostrzegły go, że stało się coś bardzo złego. Kolbą karabinu ponaglił Papuasa. Prawie biegnąc dopadł ścieżki.

Bagaż, niczym barykady, z dwóch stron tarasowały drożynę. Pomiędzy nimi skupili się wszyscy uczestnicy wyprawy. Sally śmiertelnie blada siedziała na kocu. Tomek, Smuga i Nowicki pochylali się nad nią.

Smuga, ledwie ujrzał Wilmowskiego, podniósł się i zawołał:

— Andrzej, obejmuj komendę! Wąż ukąsił Sally, lecz to nie był przypadek! Patrz, co znalazłem w krzakach przy ścieżce!

Mówiąc to podał Wilmowskiemu rurę bambusową i czarne pończochy uwiązane do długiej liany.

— To na pewno jego sprawka — dodał Smuga, wskazując na Papuasa.

— To czarownik Tawade — odparł Wilmowski. — Czy...?

— Nie traćmy czasu! — przerwał mu Smuga. — Strzelajcie do każdego, kto wychyli się z gąszczy. A tego zbrodniarza nie spuszczaście z oka! Zajmę się nim później!

Wilmowski zrozumiał, że każda chwila zwłoki może okazać się zgubna dla Sally. Na szczęście Natasza już rozkładała na kocu podręczną apteczkę.

— Słuchaj, ślicznotko, przywykłaś w tej waszej Australii do różnych gadów — mówił kapitan Nowicki. — Wiesz najlepiej, co należy zrobić w wypadku ukąszenia...

Sally nie mogła wydobyć głosu. Wiedziała przecież, że tylko wycięcie rany może ją uratować. Oparła głowę na piersi klęczącego obok Tomka i dłonie zacisnęła na jego ramionach.

— Nic się nie bój — uspokajał ją marynarz, siłąc się na wesołość. — Będę tańczył na twoim weselu. Zręczną mam rękę! Spójrz na Smugę! Chłop jak dąb, bo ja mu wyłuskałem kulę z ramienia, którą uraczyli go chunchuzi w Mandzurii.

Nowicki zagadywał Sally i jednocześnie dezynfekował swój nóż w słoiku ze spirytusem. Wzrokiem dał znać Tomkowi, aby przytrzymał Sally. Młodzieniec otoczył ją rękoma i przycisnął do swej piersi.

Sally już miała zdjęty trzewik i pończochę. Zaraz po wypadku Nowicki zahamował obieg krwi w ukąszonej prawej nodze, zaciskając paski pod kolanem i powyżej kolana. Teraz spirytusem obmył skórę wokoło rany. Smuga niecierpliwie zerknął na zegarek.

— Spiesz się! — syknął.

Nowicki kiwnął głową. Cztery krwawe, małe ranki nie były zbyt głębokie. Na szczęście cholewka trzewika trochę utrudniła ukąszenie. Nowicki ujął nóż. Smuga przytrzymał drugą nogę dziewczyny. Tomek pobladł, czując jak palce Sally kurczowo zaciskają się na jego ramionach. Rozległ się urywany szloch.

— Głowa do góry, już po wszystkim... — odsapnął Nowicki, naciskając ranę, aby jak najsilniej krwawiła.

Sally z wolna się uspokajała. Nowicki właśnie kończył bandażowanie nogi. Robił to szybko i wprawnie. Tylko czoło zroszone polem wskazywało, jak bardzo sam jest wzruszony. Wszyscy odetchnęli z ogromną ulgą. Na twarzy Sally ukazały się rumieńce. Przez łzy uśmiechnęła się do zatrwożonych przyjaciół. Drżącą dłonią wydobyla z kieszeni chusteczkę i pochyliła się do Nowickiego. Otarła mu czoło z potu. Marynarz chwycił drobną rękę, przycisnął ją do ust, po czym szybko powstał, aby nikt nie spostrzegł łez w jego oczach. Przecież kochał Sally na równi z Tomkiem.

— Panie Smuga, dawaj tu tego drania... — rzekł chrapliwie.

Smuga skinął na Balmore'a. Ten popchnął czarownika w kierunku Nowickiego. Marynarz żyłastym łapskiem chwycił czarownika za gardło. Bez słowa wydobyl z pochwy nóż, którym przed chwilą operował Sally.

— Nie! Nie! — krzyknęła Sally, w przerażeniu zasłaniając oczy.

Marynarz nie zadał ciosu, lecz i nie opuścił zbrojnej dłoni.

— Nie wyzdrowieję, jeśli go zabijecie... — zagroziła Sally. — Niech sobie idzie, dokąd tylko chce!

W tej chwili Wilmowski stanął przed rozgniewanym Nowickim. Cichym, lecz stanowczym głosem rzekł:

— Puść go, Tadek, może będzie to dla niego większą karą niż śmierć, na którą nawet według tutejszych praw zasłużył.

Marynarz jeszcze się wahał; spojrział na Tomka. Młodzieniec spoglądał na Sally, którą wciąż obejmował ramieniem. Tyle czułości malowało się w jego



wzroku, że dobroduszny marynarz natychmiast zapomniał o zemście. Schował nóż do pochwy i puścił drżącego z przerażenia czarownika.

— Ain'u'Ku, powiedz mu, że jest wolny i niech idzie... do diabła! — powiedział stłumionym głosem.

Czarownik stał oszołomiony. Teraz już sam nie mógł zrozumieć tych dziwnych białych ludzi. Chyba jednak byli duchami, skoro biała dziewczyna żyła i nie pozwoliła pchnąć go nożem. Bełkocąc niezrozumiale jakieś przeprosiny, a może zaklęcia, cofał się niepewnie. W tej chwili Smuga, który ani na chwilę nie przestawał rozglądać się po zaroślach, krzyknął:

— Uwaga! Atakują nas! Nie strzelać bez rozkazu!

Wszyscy chwycili za broń.

Z konarów pobliskiego drzewa zeskoczył na ziemię wojownik uzbrojony w łuk. Podróżnicy od razu rozpoznali w nim wodza Eleli Koghe, gdyż na głowie miał wspaniały, purpurowy pióropusz z piór rajszych ptaków. Jego krótki, ostry rozkaz przywołał chmarę gotowych do boju Tawade. Jedni trzymali napięte łuki, inni dzidy i topory. Otoczyli karawanę zwartym kołem. Biali podróżnicy unieśli karabiny do ramienia.

— Nie strzelać bez rozkazu! — powtórzył Smuga, po czym postąpił kilka kroków ku Eleli Koghe, mierząc do niego z rewolweru.

Wódz tymczasem zastąpił drogę czarownikowi. Obrzucił go ponurym spojrzeniem. Przez chwilę stał, jakby toczył jakąś wewnętrzną walkę, lecz wkrótce odezwał się donośnym głosem, aby wszyscy go słyszeli:

— Oszukałeś nas, ty synu karalucha! Wynoś się z wioski razem ze swymi pomocnikami!

Biali podróżnicy oniemieli. Znali już sporo słów z narzecza Tawade. Nazwanie kogoś synem karalucha było w tym kraju największą obelgą. Poza tym ruch ręki wodza, wskazującego czarownikowi mgliste mokradła, nie mógł budzić wątpliwości. Wszyscy natychmiast pojęli, że przewrotny szalbierz został wykluczony ze społeczności wioski.

Czarownik wycofując się przepadł w dżungli. Eleli Koghe rzucił na ziemię swój łuk i strzałę. Spojrzał na Tomka przygarniającego Sally do swej piersi, a potem wzrok jego spoczął na twarzy białej dziewczyny. Wolnym krokiem ruszył ku niej. Łagodnym ruchem odsunął Smugę zastępującego mu drogę. Nie zatrzymany przez nikogo podszedł do Sally. Długo w milczeniu spoglądał na nią. Zdawało się, że wyraz dzikości ustępuje z jego twarzy

pokrytej wojennymi barwami. Eleli Koghe odwrócił się do Smugi. Szerokim ruchem ręki dał do zrozumienia, że mają drogę otwartą, mogą wracać do doliny lub iść dalej, po czym przełamał jedną haczykową strzałę i złożył ją u stóp Sally. Tawade wydali przeraźliwy okrzyk. Zdjęli strzały z cięciw i opuścili łuki. Rozstąpili się. Droga na wschód i zachód stanęła przed podróżnikami otworem.

— Opuścić broń! — zakomenderował Smuga.

Wtedy nastąpiło coś, co wszystkim zapało dech w piersiach. Oto straszliwy wódz zdjął z głowy swój wspaniały pióropusz i położył go przed Sally. Był to niezwykle cenny dar, albowiem według wierzeń Tawade pióropusz ten w walce chronił Eleli Koghe przed śmiercią. Sally, wiedzona instynktem kobiecym, pojęła doniosłość chwili. Musiała jakoś okazać swą wdzięczność wojownikowi za tak wielką ofiarę. Drżącymi ze wzruszenia rękami odpięła z ucha jeden kolczyk i podała go Eleli Koghe. Ten przyjął dar. Nie odrywając oczu od Sally, wbił kolczyk w swoje ucho. Krew spłynęła po kolczyku na szyję, a potem na piersi Papuasa. Pochylił się w podzięcie przed białą kobietą i tyłem wycofał się w zarośla. Jego wojownicy również zniknęli w dżungli.

# ŁOWCY GŁÓW

Przez półtora dnia karawana brodziła po rozległych zdradliwych mokradłach, rojących się od wszelkiego rodzaju gadów, płazów i robactwa. Czterech Mafulu niosło Sally w naprędcie sklejonej lektyce, szczelnie osłoniętej moskitierą. Tomek i Natasza nie odstępowali chorej ani na chwilę.

Tomek zatroskany spoglądał na dziewczynę. Starał się wprost odgadywać jej życzenia: podawał wodę do picia, ocierał twarz i dłonie z potu, karmił na postojach. Sally dziękowała mu nikłym uśmiechem i co chwila zapadała w niespokojną drzemkę.

Właśnie zatrzymali się na odpoczynek. Mafulu ostrożnie postawili lektykę na suchej kępie trawy. Sally spała. Pierś jej unosiła się w nierównym, ciężkim oddechu. Tomek najpierw upewnił się, czy jakiś natrętny owad nie przedostał się pod moskitierę, po czym odwołał na bok przyjaciół.

— Sally nie czuje się ani trochę lepiej — cicho powiedział zmartwiony. — Nie ma nawet siły rozmawiać...

— Nie rań mi serca, brachu! — rzekł Nowicki. — Głęboko wyciąłem zakażone miejsce, dokładnie wycisnąłem ranę. Niewiele jadu mogło się przedostać do krwi.

— Kapitan ma rację, nie trać ducha, Tomku — wtrącił Smuga. — Każdy by się czuł źle po takim zabiegu. To chyba naturalne! Teraz upoluj kilka papug. Ugotujemy rosół, to ją wzmocni.

Tomek zaraz wziął flobert, gwizdnął na Dinga i zniknął w dżungli. Zaledwie się oddalił, Smuga westchnął i powiedział:

— Nie chciałem jeszcze bardziej martwić Tomka, ale nie podoba mi się stan Sally.

— Ten wąż należy do bardzo niebezpiecznych, lecz kapitan spisał się gracko, jakby całe życie spędził u nas w buszu — rzekł Bentley. — Każdy australijski ranczer musi umieć radzić sobie w takich wypadkach. Widziałem już niejednego ukąszonego przez jadowitego węża. Moim zdaniem nie mamy powodu do poważniejszych obaw. Sally wyliże się z tego!

— Niech pana uściskam, panie Bentley! Jakbyś mi pan serce balsamem posmarował! — zawołał wzruszony Nowicki. — Wolałbym sam zginąć, byle

tylko tej ukochanej sikorce nic złego się nie stało! Cóż by Tomek począł bez niej?!

Wszyscy umilkli rozczuleni: poczciwy Nowicki sam sprawiał wrażenie chorego. Twarz miał posępną, oczy zaczerwienione i podpuchnięte.

— Głowa do góry, Tadku! — przerwał milczenie Wilmowski. — Sally jest młoda, silna, przetrzyma kryzys. Nie pokazujmy jej zasmuconych twarzy.

— Pan Bentley zna się na tym, powinniśmy mu wierzyć — dodał Smuga. — Tomek już wraca, ugotuje rosół!

Sally nakarmiona przez Tomka poczuła się nieco lepiej. Karawana ruszyła w drogę. Smuga chciał jak najprędzej wydostać się na płaskowyż. Bardziej suche powietrze mogło pomóc chorej w odzyskaniu zdrowia.

Następnego wieczora biwakowali już wśród rumowisk skalnych górskiego pasma. O świcie schodzili w dół zbocza po wąskiej, stromej ścieżynie. Smuga wciąż wyprzedzał karawanę i przez lunetę bacznie lustrował okolicę.

— Janie, czy znów błota przed nami? — niespokojnie zagadnął go Wilmowski, który zamiast Tomka szedł w czołówce.

— Płaskowyż wydaje się suchy — odparł Smuga. — Trochę tam trawiastych stepów i busz. Na dwóch stokach górskich wypatrzyłem dymy ognisk. Krajowcy by się nie zadomowili na moczarach.

— Dobra wiadomość! — ucieszył się Wilmowski. — Musimy jak najprędzej rozbić obóz. Sally konieczny jest spokój i dłuższy wypoczynek.

Przed samym południem wkroczyli na równinę porośłą wysoką trawą kunai. Smuga poprowadził karawanę wprost ku zboczom, na których uprzednio spostrzegł dymy wzbijające się w górę. Tam według wszelkiego prawdopodobieństwa powinny się znajdować sadyby krajowców. Smuga z Nowickim szli na czele karawany. Obydwaj uważnie rozglądali się wokoło. Trawa sięgała im prawie do piersi, wiatr wiał z tyłu, więc na węchu Dinga nie mogli całkowicie polegać. Naraz w pobliżu rozbrzmiał przeraźliwy, potężny okrzyk. Z wysokiej trawy, jak spod ziemi, wyrosli ciemnobrązowi wojownicy. Zza podłużnych tarcz znów rozległ się mrozący krew w żyłach okrzyk wojenny: Ha–ha–ha–ha! Świst strzał z łuków nieco zmieszał szyk karawany. Biali podróżnicy natychmiast odpowiedzieli ogniem z karabinów.

Na szczęście tragarze Mafulu tym razem nie ulegli panice. Wspólne wielotygodniowe przeżycia przekonały ich, że biali łowcy nie są wrogami

Kanaków. Toteż obecnie, w obliczu niebezpieczeństwa, wiernie stanęli u ich boku. W mgnieniu oka zaimprovizowali z bagaży barykadę wokół lektyki i chwycili za broń. Ostra palba karabinowa ostudziła wojenny zapal napastników. Jak złe duchy zniknęli w trawie, nie pozostawiając na pobojuwisku nawet swoich poległych.

Smuga z Dingiem zaraz wyruszył na zwiad, podczas gdy Wilmowski i Nowicki zajęli się zranionymi tragarzami. Mafulu byli bardzo wytrzymali na ból i wcale nie przejęli się swoimi ranami. Napastnicy nie strzelali zbyt celnie. Większość strzał utkwiała w bagażach niesionych przez tragarzy, a tylko cztery trafiły w ludzi. Mafulu dzielnie sami powyrywali strzały z ran, zanim Wilmowski rozpoczął zakładanie opatrunków.

Niebawem Smuga powrócił z uspokajającymi wieściami. Napastnicy zapewne po raz pierwszy usłyszeli huk broni palnej, gdyż po niefortunnym natarciu umknęli w kierunku niedalekich wzgórz. Niebezpieczeństwo było na razie zażegnane, lecz należało pomyśleć o rozbiciu obozu w jakimś bardziej obronnym miejscu. Smuga nie chciał ryzykować zetknięcia się z wrogo usposobionym plemieniem, toteż poprowadził karawanę na północny zachód. Wilmowski co pewien czas wydobywał lunetę; starannie przepatrywał okolicę, lecz mimo to kapitan Nowicki pierwszy spostrzegł gołym okiem pasemko dymu unoszące się u stóp górskiego stoku.

— Andrzej, spójrz no bardziej na prawo! — zaraz zawołał. — Dym snuje się tam nad zaroślami!

— Dobry masz wzrok, do licha! — Odparł Wilmowski, przyjrzawszy się przez lunetę górskiemu podnóżu. — Widzę wioskę otoczoną wysoką palisadą!

— Skoro tak, idziemy w tamtym kierunku — zdecydował Smuga. — Musimy za wszelką cenę nawiązać kontakt z krajowcami.

— A jeżeli przywitają nas strzałami? — zapytał Nowicki.

— Siłą nie możemy torować sobie drogi — odparł Smuga. — Jak widać, dolina jest zamieszkała przez liczne plemiona.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Na rozkaz Smugi, Mafulu utworzyli zwartą grupę, w której środku niesiono lektykę Sally. Obok niej kroczyli: Natasza, Zbyszek i Balmore. Wioska już była w pobliżu. Dingo strzygł uszami, węszył w powietrzu i przy ziemi. Nagle szarpnął mocno smyczą —

pociągnął Tomka za sobą. Młodzieniec, z bronią gotową do strzału, zboczył ze ścieżki. Po chwili rozległ się jego głos:

— Hop, hop! Zobaczcie, co Dingo wytropił!

Obok okrągłej chaty, nakrytej poszyciem z trawy, zobaczyli stojącą na drewnianym słupku maleńką budkę z kory o stożkowatym dachu. W otworze jej bielila się czaszka ludzka, leżąca na stosie ludzkich kości.

— Oryginalny grób przodka albo trofeum wojenne łowcy głów — cicho odezwał się Bentley.

Nowicki podejrzliwie zerkał na stojącą obok chatę. Niskie, owalne wejście do niej zastawione było związanymi w kratę prętami bambusowymi.

— Wygląda na to, że gospodarz czmychnął stąd przed nami — mruknął.

— Pal go licho, nie mamy tu czego szukać — odparł Smuga. — Idziemy do wioski. Tam się przekonamy, jak sprawy stoją!

Karawana zatrzymała się o kilkanaście metrów przed palisadą otoczoną głębokim rowem. W narożnikach obronnego ogrodzenia znajdowały się budki strażnicze. Ukryci w nich wojownicy pilnie obserwowali każdy ruch białych. Wilmowski zbliżył się do głębokiej fosy na wprost szczelnie zamkniętych wrót. Na gołej ziemi położył dary dla naczelnika wioski: dwa naszyjniki ze szklanych koralu, lusterko, scyzoryk, którego zastosowanie ostentacyjnie zademonstrował, trochę prasowanego tytoniu i szczyptę soli. Na migi dał do zrozumienia, iż mieszkańcy wioski mogą zabrać podarunki, po czym wycofał się ku swoim.

Za palisadą dobrze musiano zrozumieć mowę znaków, wkrótce, bowiem wrota stanęły otworem, ukazując gromadę wojowników, których ręce i nogi pomalowane były na czerwono i żółto. Na głowach mieli pióropusze, a w rękach tarcze, luki, dzidy bądź maczugi nabijane kamieniami. Dwa długie pnie drzewne przerzucono przez fosę. Jeden z wojowników ostrożnie przeszedł po nich, osłaniając się podłużną tarczą. Podjął z ziemi podarunki i zaraz wycofał się za palisadę. Zaraz też rozbrzmiał tam beztroski szmer podziwu i zdumienia.

Biali podróżnicy, zadowoleni, przysłuchiwali się odgłosom płynącym zza ogrodzenia. Dary sprawiły dobre wrażenie. Niebawem upstrzony farbami krajowiec ukazał się w otwartych wrotach; ręką dał znak, że karawana może wejść do wioski, po czym zaraz skł<sup>1</sup>zył się za palisadą. Smuga bacznie obserwował uzbrojonych wojowników. Nigdzie nie było widać kobiet ani

dzieci. Nasunęło mu to podejrzenie, że krajowcy mogą knuć jakiś podstęp. Po cichu porozumiał się z Wilmowskim, po czym tylko w towarzystwie Tomka, Bentleya i Ain'u'Ku przekroczył wrota, polecając im trzymać broń w pogotowiu.

Papuasi na powitanie poczęstowali gości wodą przyniesioną w bambusowych rurach. Najpierw sami napili się parę łyków z każdego naczynia, aby upewnić gości, że nie jest zatruta, a następnie podsunęli je podróżnikom. Smuga za pośrednictwem Ain'u'Ku próbował rozmówić się z mieszkańcami, lecz boss-boy mógł zrozumieć znaczenie jedynie niektórych słów wymawianych przez nich. Smuga nie był tym zdziwiony. W Nowej Gwinei niejednokrotnie mieszkańcy sąsiednich wiosek mówili różnymi językami<sup>627</sup>. Toteż teraz rozpoczął długą rozmowę na migi. Tomek i Bentley skorzystali z tego i nieznacznie zaczęli się rozglądać dokoła.

Osada składała się z kilkunastu gospodarstw odgradzonych od siebie bambusowymi płotkami. Poszczególne gospodarstwa posiadały po dwie lub trzy okrągłe chaty o spadzistych dachach z trawy, osłaniających ściany do samego dołu. Natomiast podłogi w chatach, zrobione z bambusowych prętów, nie dotykały ziemi. Nad całą wioską, otoczoną masywną palisadą, dominowały budki strażnicze wzniesione w narożnikach ogrodzenia.

Tomek trącił Bentleya w łokieć i szepnął:

— Niech pan spojrzy na plac pośrodku wioski...

— Już je zauważyłem — cicho odparł Bentley, zerkając na prostokątny dziedziniec o mocno ubitej ziemi. Na nim to leżały, ułożone w szerokie kolisko, dobrze wypolerowane i przyozdobione malowidłami oraz koralikami ludzkie czaszki.

— Czyżby to byli łowcy głów? — zatrwożył się Tomek, nie mogąc oderwać wzroku od straszego koliska.

— To nie są trofea wojenne — zaprzeczył Bentley. — Znam, co nieco zwyczaje i przesady Papuasów. Oni wierzą, że w ludzkiej głowie rodzą się złe i dobre duchy, które wywierają przemożny wpływ na życie i los każdego

---

<sup>627</sup> — Pod względem wielości języków Nowa Gwinea zajmuje jedno z czołowych miejsc na Ziemi. Wielka liczba języków i gwar sprawia, że często język zmienia się co 3 lub 4 osady, a nawet i częściej. Na przykład w Dinawa (Góry Owena Stanleya) polecenie „rozpal ogień” brzmi: *Aloba di*, a o 18 mil dalej w Foula: *Aukida pute*. Do 1930 r. rozpoznano w Nowej Gwinei około 80 języków, lecz w rzeczywistości liczba ich zapewne sięga kilkuset. Z tych względów Papuasi często posługują się bardzo łatwo zrozumiałą mową znaków, czyli na migi.

człowieka. Dlatego też kolekcjonują czaszki; jest to kult przodków i ma równocześnie chronić przed puri–puri, czyli czarami. Papuasi nieraz podkładają sobie pod głowy do snu czaszki zasłużonych krewnych, aby duchy zmarłych mogły przekazywać im rady i ostrzeżenia. Te czaszki zazwyczaj przechowują w Domach Duchów, gdzie mężczyźni zbierają się na narady, czasem w chatach, bądź też układają je tak, jak widzisz na tym placu, w magiczne kręgi.

— Zaobserwowałem już podobne wierzenia u Indian północnoamerykańskich — powiedział Tomek. — Wódz Czarna Błyskawica również odwiedzał magiczny krąg, utworzony z czaszek wielkich wodzów, gdy miał podjąć jakąś ważną decyzję.<sup>628</sup> Bentley, rozmawiając, rozglądał się uważnie. Naraz twarz jego pobladła; przysunął się bliżej Tomka i szepnął:

— A jednak to łowcy głów! Spójrz na ten prostokątny dom na końcu placu. To Dom Duchów! Czy widzisz czaszki zdobiące dach?!

— Tak, widzę! Lecz dlaczego pan sądzi, że oni są łowcami głów! Przecież mówił pan, że czaszki przodków przechowywane są w Domach Duchów!

— Te czaszki nie są czaszkami przodków! Przyjrzyj się im dobrze! Ani jedna nie posiada dolnej szczęki! Po tym właśnie odróżnia się czaszki zabitych wrogów od czaszek wielkich przodków — wyjaśnił Bentley.

— Nie wiedziałem tego — odparł Tomek, nie mniej przejęty od swego towarzysza.

— Oznacza to, że znajdujemy się w kraju łowców ludzkich głów — mówił Bentley. — Tutaj wojownik nabiera znaczenia wtedy dopiero, gdy może się poszczycić zdobyciem kilku czaszek...

— Powinniśmy zaraz powiedzieć panu Smudze o naszym odkryciu — doradził Tomek.

— Właśnie daje nam znaki, abyśmy się do niego zbliżyli — odparł Bentley.

Podeszli do Smugi. Widocznie osiągnął jakieś porozumienie ze starszym wioski, ponieważ wojownicy zdjęli strzały z cięciw łuków, a kobiety i dzieci zaczęły wychodzić z chat.

---

<sup>628</sup> — O indiańskim kręgu magicznym znajdzie czytelnik informacje w powieści *Tomek na wojennej ścieżce*.



— Zaraz otrzymamy trochę żywności i ruszamy w drogę — oznajmił Smuga. — W pobliżu przepływa rzeka, na której znajdziemy małą wyspę. Na niej rozłożymy obóz.

— To bardzo dobra wiadomość, przyda się nam takie obronne miejsce — powiedział Bentley. — To łowcy głów!

— Wiem o tym — krótko odparł Smuga. — Później pogadamy, teraz chodźmy do naszych!

Karawana odpoczywała u wrót wioski, toteż niebawem znaleźli się wśród swoich towarzyszy.

— Jakie przynosicie wieści? — niecierpliwie zagadnął Wilmowski.

— Udało nam się zdobyć bardzo ważne informacje — wyjaśnił Smuga.

— Ci krajowcy należą do plemienia Bena Bena. Zachowują szczególną ostrożność, gdyż znajdują się w stanie wojny z sąsiednim plemieniem Ku-ku-ku-ku.

— Dlaczego Papuasi stale walczą?! — zapytał Zbyszek. — Do tej pory nie natrafiliśmy na tej wyspie na kraj, w którym panowałby pokój!

— Przesady, prawa plemienne i obrzędy religijne stanowią, dla nich podniecie do wiecznego wojowania — odparł Smuga. — Teraz na przykład znajdują się w stanie wojny, gdyż podczas ostatniej burzy złe duchy rzuciły ognistą kulę na Dom Duchów w wiosce plemienia Ku-ku-ku-ku. Piorun spalił dom i wszystkie zgromadzone czaszki uległy zniszczeniu. Oczywiście czarownicy Ku-ku-ku-ku orzekli, że to czary plemienia Bena Bena ściągnęły na nich gniew złych duchów. Ku-ku-ku-ku rozpoczęli wojnę. Muszą jak najszybciej zdobyć nowe czaszki zabezpieczające przed czarami.

— Krótko mówiąc, przypadkowe uderzenie piorunu było powodem do rozpoczęcia wojny — zdumiał się Balmore.

— Trzęsienia ziemi i burze często niszczą w Nowej Gwinei chaty krajowców — wtrącił Wilmowski. — Dlatego też nie opłaci się tu budować trwalszych domów.

— Cała tragedia w tym, że przesądni Papuasi przypisują powodowanie burz i trzęsień ziemi swoim sąsiadom, na których zaraz dokonują zemsty — powiedział Bentley.

— Przypuszczam, że to właśnie wojownicy Ku-ku-ku-ku napadli na nas po drodze — domyślił się Wilmowski.

— Ja również tak sędzę — potwierdził Smuga.

— Obyśmy jak najprędzej znaleźli się na wyspie — wtrącił Tomek. — Biedna Sally znów czuje się gorzej!

— Rzeka jest blisko — pocieszył go Smuga. — Niebawem wyruszymy. Kobiety już niosą dla nas prowiant!

Gromada kobiet właśnie wychodziła z wioski. Niosły na plecach siatki z lian wyładowane jarzynami. Wkrótce też zaczęły składać przed podróżnikami słodkie kartofle, kukurydzę, laski trzciny cukrowej, ogórki i dzikie owoce. Smuga w zamian obdarował je szklanymi paciorkami, które przyjęły z głośnymi oznakami zadowolenia. Teraz naczelnik wioski ofiarował podróżnikom dużą świnię, a Smuga wręczył mu stalową siekierę. Pierwsze lody ostatecznie zostały przełamane.

Wkrótce kilkunastu wojowników Bena Bena dołączyło się do karawany, aby wskazać jej drogę do wyspy na rzece; uzbrojeni w tarcze, dzidy i łuki, kroczyli w przedniej straży razem ze Smugą. Nim godzina minęła, podróżnicy usłyszeli szum wody. Szerokość koryta rzeki nie przekraczała w tym miejscu sześćdziesięciu metrów. Konary olbrzymich drzew zwisały nad wodą. Podłużna wysepka, porośnięta bujną zielenią, leżała nieco w dole rzeki. Bena Bena wydobyli z ukrycia w nadrzecznym gąszczu cztery długie łodzie. Były one bańkowato wydrążone z pni drzew. Dla dodania równowagi każda łódź posiadała z jednej strony wykładki z belek z lekkiego drewna. Przeprawa nie trwała długo. Pojedyncza łódź mogła pomieścić do dwudziestu osób, wszyscy więc popłynęli równocześnie i niebawem wylądowali na wysepce. Stanowiła ona doskonałe miejsce na rozłożenie obozu. Głęboki, wartki nurt rzeki odgradzał ją ze wszystkich stron i zabezpieczał przed jakimś niespodziewanym napadem. Energiczny Smuga nie pozwolił nikomu na beczynność, choć wszyscy byli bardzo zmęczeni. Natychmiast podzielił uczestników wyprawy na grupy, którym powyznaczał odpowiednie zadania. Dzięki temu podczas gdy jedni oczyszczali teren na rozłożenie obozu, inni ogradzali go barykadą z pni drzew, która miała chronić przed rażeniem strzałami z nabrzeży rzeki, rozpakowywali bagaże, przygotowywali posiłek. Wojownicy Bena Bena obiecali zaopatrywać karawanę w świeże warzywa i zgodzili się na wypożyczenie łodzi. Nie chcieli jednak dłużej pozostać na wyspie. Ze względu na trwającą wojnę musieli zaraz wracać do swojej wsi. Tym razem kilku Mafulu pełniło rolę przewoźników.

Nim zapadł wieczór, prace obozowe zostały ukończone, Mafulu rozłożyli się przy ogniskach. Tajemnicze, ciche brzegi rzeki otulone gąszczem ciemnej zieleni nie nastrajały do tańców i śpiewu. Mafulu w milczeniu palili fajki, żuli betel i pilnie wsłuchiwali się w nocne pogwary płynące z dżungli. Biali łowcy do późnej nocy pracowali w podręcznym „laboratorium”, albowiem przy lada niedopatrzaniu zgromadzone okazy flory i fauny mogły ulec zniszczeniu. Jedynie Sally odpoczywała w swoim namiocie odwiedzana co chwila przez Nataszę i Tomka.

Świt poderwał wszystkich z posłań. Smuga zdał komendę Wilmowskiemu, a sam z kapitanem Nowickim i Tomkiem przeprawił się na brzeg rzeki. Postanowił rozejrzeć się po okolicy. Tym razem nie zabrał Dinga. Wierne psisko przez całą noc warowało przy posłaniu chorej i okazywało denerwujący wszystkich niepokój.

Trzej przyjaciele ostrożnie przedzierali się przez gąszcz. Nowicki pierwszy przerwał milczenie.

— Panie Smuga, coś mi się wydaje, że źle jest z naszą Sally — rzekł markotnie.

Smuga spod oka zerknął na Tomka, po czym westchnął ciężko i odparł:

— Wszystko bym oddał za to, aby w tej chwili mogła się znaleźć w szpitalu w Sydney.

— Do stu zgniłych wielorybów, powinniśmy zaraz ruszyć w powrotną drogę! — powiedział Nowicki.

Smuga przystanął. Położył dłoń na ramieniu Tomka i odparł:

— Od chwili, gdy Sally wydarzył się ten okropny wypadek, szukam najdogodniejszej drogi do wybrzeża. Nawet, jeśli Sally przetrzyma kryzys, będzie potrzebowała opieki lekarskiej. Dzisiaj właśnie chcę się przekonać, w jakim kierunku płynie ta rzeka. Według moich obliczeń to może być Purari lub któryś z jej dopływów. Moglibyśmy popłynąć łodziami.

— Dziękuję... — cicho szepnął Tomek drżącym głosem. — Wiem, że tak samo jak ja drżycie o życie Sally...

— Nie traćmy czasu na gadaninę! — gorączkowo powiedział Nowicki. — W drogę!

Dopiero około południa wracali do obozu. Nie ulegało wątpliwości, że rzeka płynęła na południe. Chcąc skrócić sobie drogę, Smuga postanowił wracać po cięciwie łuku rzeki. Szli, więc teraz wprost przez dżunglę,

przyspieszając tempo przedzierania się ku brzegom rzeki. Byli już w jej pobliżu, gdy naraz Tomek przystanął. Pochylił się nad ziemią, a następnie przyklęknął.

— Stójcie! — cicho zawołał. — Tu są odciski bosych stóp!

Smuga bez słowa przyklęknął obok niego. Uważnie przyjrzał się śladom.

— Tedy przechodziło kilku ludzi. Szli w kierunku rzeki — potwierdził po chwili spostrzeżenie Tomka.

— Przeszli tędy zaledwie kilka godzin temu... — rzekł młodzieniec.

— Może to Bena Bena drałowali z prowiantem dla nas — mruknął Nowicki.

— Nie, wioska Bena Bena leży na północnym wschodzie — zaprzeczył Smuga. — Te ślady wiodą z południowego wschodu.

— To mogli być Ku-ku-ku-ku — dodał Tomek. — Jak najprędzej wracajmy do naszych!

— Nie bądź w gorącej wodzie kąpany. Jeśli te zuchy naprawdę węższą w pobliżu obozu, to mamy dobrą okazję, aby ostudzić ich zapał — powiedział Nowicki.

— Masz rację, musimy się przekonać, czego oni tutaj szukają — powtórzył Smuga. — Chodźmy ich śladem!

Ruszył pierwszy z bronią gotową do strzału. Tropy wiodły wprost ku rzece. Smuga szedł coraz wolniej i ostrożniej. W milczeniu gestem nakazywał towarzyszom, aby zwracali baczną uwagę na korony drzew, gdyż tam mogli się ukrywać wrogowie. Już było słychać szum płynącej wody. Poprzez zarośla prześwitywała rzeka. Smuga przystanął, odwrócił się do przyjaciół przykładając palec do ust. Wzrokiem wskazał na nadbrzeżne drzewo.

Na rozłożystym konarze siedział ciemnoskóry wojownik. W rękach trzymał łuk i pierzaste strzały. Niemal nie odrywał wzroku od doskonale stąd widocznej wyspy na środku rzeki. Nowicki pytająco spojrzał na Smugę. W tej właśnie chwili zaszeleściły gałęzie. Smuga instynktownie uskokzył w bok. Ostrze dzidy trafiło w drzewo zaledwie o krok od jego piersi. Kilkunastu Ku-ku-ku-ku wyrosło jak spod ziemi. W nadrzecznym gąszczu rozgorzała walka wręcz. Jeden z napastników skoczył z gałęzi drzewa wprost na Tomka. Ten stracił równowagę i zwałił się na ziemię razem z Papuasem. Na szczęście zwinnym podrzutem ciała zdołał odwrócić się na plecy i chwycił w przegubie dłoń godzącą w niego ostrym nożem z bambusa. Uderzeniem kolana

przerzucił napastnika przez siebie. Już z rewolwerem w dłoni poderwał się z ziemi, zanim jednak zdążył nacisnąć spust, celny strzał Smugi powalił wojownika.

Kapitan Nowicki odrzucił na bok karabin bezużyteczny w leśnym gąszczu. Jego twarde jak kamień pięści siały przerażające spustoszenie. Kogokolwiek dosięgną ręką, ten padał jak rażony gromem. Toteż w kilku chwilach rozproszył napastników, którzy w gęstwinie również nie mogli zadawać ciosów dzidami bądź strzelać z luków. Smuga raz za razem naciskał spust rewolweru. Na odgłos walki na brzegu rzeki Wilmowski w obozie szybko zorganizował pomoc; od wyspy odbiły dwie łodzie pełne zbrojnych ludzi. Huk salwy karabinowej do reszty zniechęcił Ku-ku-ku-ku do kontynuowania napadu. Zanim nadpłynęła odsiecz, czmychnęli w zarośla.



## OSTATNIE ŻYCZENIE SALLY

Wieczór był cichy i pogodny. Na niebo wschodził księżyc w pełni. Tomek i Nowicki czuwali przy ognisku przed namiotem, w którym spała chora Sally. Obydwaj prawie nie rozmawiali, w skupieniu nasłuchiwali odgłosów płynących z dżungli, otaczającej zwartym gąszczem wyspę na rzece. Już od trzech dni obozowali w samym sercu kraju ludożerców i łowców ludzkich głów. Co wieczór wpatrywali się w wojenne ognie palone przez krajowców na okolicznych szczytach górskich. Ku-ku-ku-ku mobilizowali się do decydującego ataku. Ich przednie straże w dzień i w nocy czaiły się w nadbrzeżnej gęstwinie po obydwóch stronach rzeki, czekając dogodnej chwili do napaści. Przez dżunglę niosło się ustawicznie przytłumione dudnienie bębnow.

Łowcy zdawali sobie sprawę ze swojej beznadziejnej sytuacji. Wyspa była oblężona przez wojowniczych Ku-ku-ku-ku. Wbrew przyrzeczeniu, Bena Bena nie dostarczyli im świeżych zapasów żywności. Zapewne nie mogli się przedrzeć przez strażę, Ku-ku-ku-ku, którzy coraz ciasniejszym kołem okrążali obozowisko. Smuga dwukrotnie usiłował prześliznąć się do wioski, Bena Bena, lecz grad pierzastych strzał oraz mrozące krew w żyłach przeraźliwe okrzyki wojenne Ku-ku-ku-ku zmuszały go do odwrotu.

Tego wieczora jeszcze więcej ognia płonęło na górach. Nowicki i Tomek posępnym wzrokiem spoglądali na sygnały i zaniepokojeni, co chwila zerkali ku namiotowi Sally. Chora już od dwóch dni nie przyjmowała pokarmu. Gorączka pożerała resztki jej sił. Gdy na krótko budziła się z niespokojnej drzemki, z trudem unosiła powieki. Wszyscy drżeli o jej życie. Mężna twarz Tomka stężała w grymasie z trudem ukrywanej rozpacz. Sally umierała, a on nie mógł jej pomóc... Nowicki nie przerywał milczenia. Widział ból przyjaciela i sam cierpiał nie mniej od niego. Wtem zaszleściły krzewy. Smuga przysiadł przy ognisku.

— Co z Sally? — krótko zapytał.

— Bez zmian... — odparł Nowicki, ciężko wzdychając.

— Wydaje mi się, że choroba osiągnęła punkt kulminacyjny — powiedział Smuga. — Musisz być dzielny, Tomku. Nie trać nadziei, jeśli przeżyje do rana...

Głos uwiązał mu w gardle. Przez chwilę siedział z opuszczoną na piersi głową i dopiero gdy zapanował nad sobą, cicho rzekł:

— Tomku, jesteśmy twoimi i Sally oddanymi przyjaciółmi. Cierpimy razem z wami. Pamiętaj o tym, lżej ci będzie...

Młodzieniec spojrział na przyjaciół. Poblądł jeszcze bardziej. Zrozumiał okrutną prawdę. Słowa zamarty mu na drżących ustach...

Po długiej chwili milczenia Smuga znów się odezwał:

— Jeśli Ku–ku–ku–ku pozostawią nas do świtu w spokoju, wyruszymy na łodziach w dół rzeki. Musimy się wyrwać z oblężenia, Z żywnością bardzo krucho...

— Nie bój się pan, nie pomrzemy z głodu — ponuro odparł Nowicki. — Spójrz, ile ognia płonie dzisiaj na górach! Jestem pewny, że atak nastąpi o wschodzie słońca.

— Do rana łodzie będą gotowe do drogi — odpowiedział Smuga. — Oprócz straży wszyscy pracują bez wytchnienia. Na szczęście księżyc świeci jasno i możemy nie palić ogniska. Ku–ku–ku–ku nie wypatrzą naszych przygotowań.

— Żeby wieloryb połknął tych synów karalucha! — zaklął Nowicki, — Dlaczego tak się na nas uwzięli?!

— Czaszki białych mają dla nich podwójną wartość — wyjaśnił Smuga.

— Nie tak łatwo dostaną nasze...! — mruknął Nowicki i zacisnął pięści z taką siłą, aż zachrzęściły ich stawy.

— Jakoś damy sobie radę. W gorszych już bywałem tarapatach — powiedział Smuga. — Świt może przynieść wiele niespodzianek. Czuwajcie przy chorej na zmianę. Musimy być w pełni sił na ostateczną rozprawę. Zaraz przyślę wam Nataszę...

Smuga odszedł.

Nowicki powstał ociężale i zajrzał do namiotu. Na polowym łóżku, pod szczelnie zasłoniętą moskitierą, spała Sally. Przy nikłym świetle lampy naftowej twarz jej nabierała niepokojącej ostrości, tak charakterystycznej dla ciężko chorych. Nowicki ukradkiem otarł łzę z oka i znów przysiadł przy Tomku.

— Wciąż śpi biedaczka... — rzekł cicho. — Ty również, brachu, kimnij się trochę. Czuwasz już trzecią noc. Musisz nieco odpocząć, zanim zaczniesz się



piekielny taniec! Od pewności oka i ręki będzie zależało życie nas wszystkich!

— Pan także przez cały czas czuwa razem ze mną — odpowiedział Tomek. — Chcę być przy Sally, gdy się przebudzi.

— Prześpij się! — nalegał Nowicki. — Dam ci znać, gdy tylko Sally otworzy oczy.

Tomek dorzucił dREW do ogniska, po czym położył się obok na ziemi. Coraz leniwiej oganiał się od komarów. Srebrzysty rechot toundul i ćwierkanie świerszczy zdały mu się coraz dalsze i słabsze. Zmęczenie przygłuszyło rozpacz. Tomek zasnął. Kapitan ostrożnie okrył go kocem, a następnie na palcach wszedł do namiotu. Usiadł przy łóżku Sally. Wzrok jego spoczął na poblądłej, wychudłej twarzyczce. Wyteżał całą siłę woli, aby powstrzymać łzy cisnące mu się do oczu. Po jakimś czasie Natasza cicho wśliznęła się do namiotu. Delikatnie dotknęła dłonią ramienia marynarza. Ten przyłożył palec do ust, nakazując jej milczenie. Usiadła obok niego. Schowała twarz w dłoniach. Płakała. Naraz z ust Sally wyrwało się głośniejsze westchnienie. Przebudziła się. Nowicki i zapłakana Natasza natychmiast porwali się z ziemi. Pochylili się nad chorą.

— Gdzie Tommy? — słabym głosem zapytała Sally.

— Śpi przed namiotem. Zaraz go obudzę — szybko odparł Nowicki. — Czuwał przez trzy noce...

— Nie trzeba budzić... — szepnęła Sally. — Teraz nawet wolę go nie widzieć...

— Co ty wygadujesz, kochana sikorko?! — zaoponował Nowicki. — Tomek nigdy by mi tego nie darował...

— To już chyba moje ostatnie chwile — cicho mówiła Sally rwącym się głosem. — Niech mu pan oszczędzi tego widoku.

— Nie możesz umrzeć, Sally! — cicho krzyknął Nowicki. — Tomek oszalałby z rozpaczy! A ja... ja...

Nie mógł dalej mówić. Pochylił się nad chorą i porwał jej dłonie w swe ręce. Strach zjeżył mu włosy na głowie.

— Niech pan mnie pocałuje... w jego imieniu — poprosiła Sally. — Niech mu pan powie, że moim jedynym pragnieniem było stale być z nim razem. Miałam nadzieję, że się pobierzemy... Lżej by mi było teraz umierać, gdyby Tommy był już naprawdę mój...

Nowicki przygryzł wargi aż do krwi. Kurczowo ścisnął jej dłonie, jakby chciał przytrzymać ulatujące życie.

— Tomek jest tylko twój — rzekł stłumionym głosem. — Gdy znajdziemy się na „Sicie”, jako kapitan sam dam wam ślub. Wierz mi!

— To już będzie za późno, drogi kapitanie... — szepnęła Sally.

— Niech pan da im ślub teraz! — zawołała Natasza. — Przecież i na łądzie jest pan kapitanem!

Jakaś myśl olśniła Nowickiego, oczy jego, bowiem pojaśniały. Pochylił się nad Sally i zapytał:

— Czy naprawdę chcesz wyjść za mąż za Tomka?

— To moje ostatnie życzenie... — odparła i nikły uśmiech okraszył jej bladą twarz.

— Będiesz jego żoną! Natasza, budź Tomka!

Po krótkiej chwili młodzieniec wszedł do namiotu. Panował nad sobą. Przysiadł na łóżku obok Sally. Objął ją ramionami i przytulił do swej piersi.

— Sally, kochanie, Natasza powiedziała mi wszystko? Czy naprawdę chcesz zostać moją żoną? — zapytał.

— Tak bardzo bym chciała, Tommy...

— Kapitanie, czy możesz dać nam ślub? — zwrócił się Tomek do przyjaciela.

— Mam prawo dać ślub na statku. Bierz ją i chodź ze mną!

Zdumienie odmalowało się we wzroku Tomka, lecz bez chwili wahania ostrożnie wziął Sally na ręce i ruszył za kapitanem. Głowa Sally ciężko opadła na jego ramię.

Nowicki wstąpił po drodze do swego namiotu i wyszedł po chwili w czapce kapitańskiej na głowie. Teraz poprowadził przyjaciół na brzeg wyspy, gdzie przygotowywano łodzie do drogi. Cztery długie pirogi stały już na wodzie połączone parami za pomocą belek z lekkiego drewna. Właśnie na tych pomostach pomiędzy łodziami układano paki ze zbiorami i bagażem.

— Zapalcie pochodnie! — donośnie zawołał Nowicki.

Smuga chciał zaoponować, ale zaledwie ujrzał Tomka niosącego Sally oraz Nowickiego ubranego w czapkę kapitana, natychmiast pojął, że dzieje się coś niezwykłego.

— Zapalcie pochodnie! — rozkazał.

Mafulu natychmiast podnieśli z ziemi bambusowe kije. W jednym rozszczepionym końcu każdego kija była zatknięta smolna szczapa. Były to pochodnie przygotowane przez tragarzy na wypadek ataku. Po chwili czerwony odblask rozjaśnił wybrzeże wyspy.

Tomek z Sally w ramionach przystanął przed ojcem.

— Tatusiu, Sally i ja pragniemy się pobrać — rzekł spokojnie. — Prosimy cię o ojcowskie pozwolenie.

Wilmowski tkliwym spojrzeniem ogarnął twarzyczkę chorej. Ostrożnie wziął ją od syna na ręce.

— Nieś ją do łodzi, Andrzeju — pośpieszył z wyjaśnieniem Nowicki. — Jako kapitan mam prawo dać im ślub tylko na statku.

— Niech tak będzie — poważnie odparł Wilmowski. — Później potwierdzimy ślub w najbliższym porcie.

Natasza zdążyła już po cichu powiadomić wszystkich o krytycznym stanie Sally i jej ostatnim życzeniu. Toteż przyjaciele Tomka szli za Wilmowskim świadomi powagi niezwykłego wydarzenia.

Balmore i Zbyszek przygotowali w łodzi posłanie z koców. Na nim to złożył Wilmowski chorą Sally. Tomek przyklęknął obok niej. Dingo jednym skokiem znalazł się przy nich. Nowicki przysiadł na krawędzi łodzi.

Smuga tymczasem zarządził alarm. Z karabinem w dłoni, wraz z uzbrojonymi Mafulu otoczył łódź. Nowicki wydobył z kieszeni bluzy swój podręczny dziennik pokładowy, noszący widome ślady po strzale z luku, którą Eleli Koghe chciał przebić jego serce. Odszukał wolną stronę, po czym zapytał:

— Czy naprawdę chcecie zostać mężem i żoną?

— Och, tak, drogi kapitanie, tak! — szepnęła cicho Sally.

— Obydwoje jesteście zdecydowani — potwierdził Tomek.

— Od dawna to wam prorokowałem, toteż zapytałem tylko dla dopełnienia formalności — powiedział Nowicki. — Gdzie są świadkowie?

— Ja będę jednym — odparł Wilmowski. — Proszę, kapitanie, ofiarowuje państwu młodym obrączki, moją i żony.

— A ja zgłaszam się na drugiego świadka — dodał Smuga.

Nowicki zaraz podał Sally mniejszą obrączkę.

— Trochę za duża — mruknął. — Noś ją na środkowym palcu, bo zgubisz.

— Dobrze... — szepnęła Sally.

— Czy będziesz szanował Sally i nie opuścisz jej aż do śmierci? — zwrócił się Nowicki do Tomka.

— Zawsze będę ją szanował i nie chcę żyć dłużej od niej — odparł młodzieniec.

— Nie gadaj głupstw, brachu, jak amen w pacierzu w dniu twego ślubu spuszcze ci lanie — rozgniewał się Nowicki. — Odpowiadaj tylko: tak lub nie!

— Tak, panie kapitanie! — zgodnie potwierdził Tomek.

— Pamiętaj, że masz jej oddawać wszystkie pieniądze. Kobiety lepiej umieją oszczędzać niż my!

— Będę oddawał, panie kapitanie!

— Dobrze a teraz ty, Sally! Czy zawsze będziesz kochała Tomka? Wiesz, że przepadam za nim jak za własnym synem!

— Nigdy nie przestanę go kochać... — odrzekła Sally.

— Nie pytam, czy będziesz dla niego dobrą żoną, bo wiem, że lepszej nigdzie by nie znalazł — ciągnął Nowicki. — Czy zaprosicie mnie za ojca chrzestnego waszego pierwszego syna?

— Tak — odpowiedzieli zgodnie.

— Wobec tego zapisuję w dzienniku pokładowym „*Sity*”, że w dniu dzisiejszym w obecności świadków udzieliłem wam ślubu. Od tej chwili jesteście małżeństwem. Życzę wam, żebyście żyli przykładnie! Słuchaj, kochana sikorko, skoro spełniłmy twoje życzenie, musisz wyzdrowieć! Teraz, brachu, pocałuj żonę! Spiesz się, bo już świta!

Odblask wschodzącego słońca właśnie różowił niebo. Tomek trochę zażenowany spojrzał na przyjaciół zgromadzonych obok łodzi. Wszyscy byli skupieni i wzruszeni. Natasza płakała z radości. Tomek pochylił się nad Sally. W tej właśnie chwili Dingo szczechnął chrapliwie. Na lewym brzegu rzeki rozległ się przeraźliwy bojowy okrzyk Ku-ku-ku-ku. Chmara pomalowanych wojowników, w wojennych barwach, wynurzyła się z gąszczy dżungli. Jedni spychali na wodę długie pirogi i stojąc na nich, osłonięci podłużnymi tarczami, płynęli ku wyspie, inni wprost siadali na nieco wydrążone w środku pieńki drzew, na których jak na komach sunęli obok łodzi.

— Atakują nas! — krzyknął Bentley.

— Kobiety za barykadę! — zakomenderował energicznie Smuga.

Tomek porwał Sally na ręce, gwizdnął na psa i wraz z Natasza pobiegł w kierunku namiotu osłoniętego zaporą z grubych bali. Smuga tymczasem sprawnie rozstawiał swych ludzi, aby w bitewnym rozgardiaszu uniknąć zaskoczenia. Wszyscy uzbrojeni w broń palną mieli stawić czoło głównemu atakowi. Przyczaili się za drzewami i w krzakach na samym brzegu wyspy naprzeciwko nadpływających łodzi Ku–ku–ku–ku.

Tomek ułożył Sally na łóżku polowym. Na krótką chwilę przytuliła głowę do jego piersi, po czym, jak przystało dzielnej żonie podróżnika, szepnęła:

— Mój najdroższy, idź pomóc naszym. Na pewno twoja pomoc jest im potrzebna. Daj tu sobie radę z Natasza... Idź, nie trać czasu!

Tomek ucałował dłonie Sally. Czule pogłaskał ją po głowie zroszonej potem.

— Dingo! Pilnuj pani! — rozkazał psu, który zaraz przywarował obok łóżka. Chwycił karabin oparty o skrzynię i wybiegł z namiotu. Przyklęknął za drzewem w pobliżu kapitana Nowickiego i Smugi. Przygotował broń do strzału.

Kilka długich pirog już podpływało do wyspy. Ku–ku–ku–ku ukryci za tarczami trzymali w pogotowiu dzidy zakończone ostrzami. Pomalowani na biało wyglądali jak kościotrupy. Czterech wioślarzy popychało łodzie długimi, bambusowymi drągami. Smuga uważnie obserwował rzekę. Wzrokiem mierzył odległość łodzi od brzegu. Gdy były już oddalone zaledwie o kilkanaście metrów, wolno uniósł karabin do ramienia i głośno rozkazał:

— Mierzyć do wioślarzy! Ognia!

Kilku krajowców zważyło się do wody. Pirogi pozbawione sterników zaczęły kręcić się w koło. Porwane wartkim nurtem spływały szybko w dół rzeki. Jedna z łodzi wywróciła się do góry dnem.

Dwie pirogi dobiły do wyspy. Czereda Ku–ku–ku–ku wyskoczyła na brzeg. Złowrogo rozbrzmiewał przeraźliwy okrzyk łowców głów.

— Kapitanie! Prowadź na nich Mafulu! — zawołał Smuga.

Tragarze widzieli, że życie ich i wszystkich uczestników wyprawy wisi na włosku. Toteż na rozkaz Nowickiego desperacko natarli na wrogów. Tomek z karabinem w dłoni skoczył za Nowickim, który szczególnie celował w walce wręcz. Marynarz kolbą karabinu wymierzał błyskawiczne ciosy. Po krótkiej chwili wokół niego powstała pustka. Tomek raz za razem strzelał z

rewolweru. Mafulu zachęcenemu przykładem szybko przegnali napastników na brzeg rzeki. Walka toczyła się teraz tuż nad wodą.

Tomek szybko wystrzelał naboje z rewolweru. Nie mając czasu na ponowne nabicie broni, wepchnął ją za pas. W ostatniej chwili kolbą karabinu odparował cios wymierzony dzidą w jego pierś. Zanim napastnik zdążył ponownie wznieść do góry dzidę, Tomek odrzucił karabin i obydwoma rękami przytrzymał drzewce. Ku-ku-ku-ku natychmiast rzucił dzidę i tarczę na ziemię. Wyrwał nóż zza przepaski. Dzięki kapitanowi Nowickiemu Tomek był zaprawiony w tego rodzaju walce. Nie stracił, więc teraz odwagi; zwinnym skokiem znalazł się twarzą w twarz ze straszliwym łowcą głów. Wspaniały pióropusz na głowie krajowca uświadomił mu, że ma do czynienia ze znakomitym wojownikiem. Niezawodny chwyt jedną dłonią za przegub, a drugą za łokieć zmusił Ku-ku-ku-ku do porzucenia noża. Papuas chwycił Tomka za gardło, ten ostatni zaś podstawił mu nogę. Zwalili się na ziemię. Naraz uścisk Papuasa zelżał. Tomek leżąc na plecach ujrzał wroga unoszącego się do góry. Było to dziełem Nowickiego, który w samą porę pospieszył druhowi z pomocą. W mgnieniu oka Ku-ku-ku-ku zakreślił w powietrzu luk i zniknął pod wodą.

Wtem na lewym brzegu rzeki wybuchła nieopisana wrzawa. Triumfujące okrzyki mieszały się z przerażonymi głosami wołającymi o pomoc. Ku-ku-ku-ku w popłochu wskakiwali do swych łodzi i umykali na ląd, gdzie niespodziewanie rozgorzała walka.

— To Bena Bena zaatakowali naszych wrogów! — krzyknął Wilmowski.

— Musimy ich wspomóc — zawołał Smuga. — Kapitanie, zbieraj ochotników!

Rozgrzani walką Mafulu już wsiadali do dwóch łodzi porzuconych przez niefortunnych napastników. Smuga zabrał ze sobą jedynie Nowickiego i Balmore'a. Reszta białych podróżników wraz z kilkunastoma Mafulu musiała pozostać na straży na wyspie.

— Do licha, ależ tam będzie prawdziwa rzeź! — zafrasował się Bentley.

— Musimy przerazić krajowców, wtedy przerwą walkę — odparł Wilmowski. — Tomku, przynieś trzy rakiety! <sup>629</sup>

---

<sup>629</sup> — Były to rakiety sygnalizacyjne, czyli pociski napełnione materiałem spalającym się podczas lotu i wydzielającym kolorowy dym.

Tomek pobiegł do obozu. Wkrótce powrócił z raketami osadzonymi na długich żerdziach stabilizujących. Wilmowski razem z Tomkiem umocowali końce żerdzi w ziemi w ten sposób, aby były nachylone pod pewnym kątem w kierunku brzegu rzeki. Tomek wydobył zapalki; kolejno zapalił lonty raket. Z hukiem odpaliły jedna po drugiej i snując za sobą ogon czerwonego dymu zatoczyły w powietrzu nad rzeką szeroki łuk, po czym przepadły gdzieś w dżungli. Wrzawa bitewna ucichła na chwilę. Potem nastąpił wybuch okrzyków przerażenia. Odgłosy walki zaczęły się oddalać na południowy wschód.

Po godzinie Smuga i Nowicki wrócili na wyspę.

— Ku-ku-ku-ku zostali rozgromieni — oznajmił Smuga, siadając przy ognisku. — Czyj to był pomysł z wystrzeleniem raket sygnalizacyjnych?

— Mój — krótko odparł Wilmowski, — Chciałem przerwać bezsensowną bitwę.

— Udało ci się wspaniale, Andrzeju — powiedział Nowicki. — Ku-ku-ku-ku tak zmykali, że aż piętami kopali się w zadki! Jak czuje się nasza Sally? Czy bardzo się wystraszyła?

— Mimo odgłosów walki, zaraz po ślubie, uszczęśliwiona, zasnęła. Tak bardzo jest osłabiona — wyjaśniła Natasza.

— Miejmy nadzieję, że przetrzyma kryzys, teraz już chyba nie... umrze — powiedział Tomek, szukając potwierdzenia swych nadziei w oczach przyjaciół.

— Zastosowałem najskuteczniejsze lekarstwo — chępliwie odezwał się kapitan Nowicki. — Spełnienie jej najskrytszego marzenia pokona diabelski jad podstępного czarownika.

— Pozwólmy jej odpocząć jeszcze ze dwa dni — rzekł Smuga. — Potem popłyniemy łodziami w dół rzeki. Jeszcze dzisiaj Bena Bena dostarczą nam zapasy prowiantu. Wyprawimy ucztę weselną. Jest to przecież dla nas dzień wielkiej radości...





## ZAKOŃCZENIE WYPRAWY

Już prawie dziesięć dni wyprawa łowców rajskich ptaków płynęła na łodziach w dół rzeki. Wojenne ognie krajowców, płonące nocami na górskich szczytach, pozostały w dali; umilkło dudnienie bębnow.

Sześć długich piróg, połączonych parami za pomocą pomostów z belek, tworzyło teraz flotyllę wyprawy, nad którą na wodzie objął komendę kapitan Nowicki. Mafulu z ochotą przedzierzgnęli się w wioślarzy. Bagaże oraz liczne okazy flory i fauny spoczywały na pomostach pomiędzy łodziami. Tylko dzięki temu biali łowcy mogli wywieźć z głębi kraju swe zbiory, gromadzone przez wiele miesięcy. W walce z Ku-ku-ku-ku poległo pięciu tragarzy Mafulu, a kilku innych odniosło rany i nie byli zdolni dźwigać ładunku. Podróżowanie na łodziach umożliwiło również zapewnienie koniecznych wygód chorej Sally, która bardzo powoli odzyskiwała siły. Toteż przez cały dzień spoczywała w łodzi na miękkim pośłaniu osłoniętym daszkiem z płatów kory i moskitierą. Na noc rozkładano dla niej namiot na lądzie. Tomek wszystkie wolne chwile spędzał przy żonie. Właśnie siedział na pomoście naprzeciwko jej pośłania i mówił:

— Już niedługo dopłyniemy do morskiego wybrzeża, jeśli naprawdę znajdujemy się na Purari, wkrótce będziemy w Port Moresby. Tam znajdziesz odpowiednią opiekę lekarską i skończą się nasze kłopoty.

— Przeze mnie musieliście przerwać łowy — markotnie zauważyła Sally.

— Nie powinnaś tak myśleć — zaprzeczył Tomek. — Wprawdzie bardzo obawialiśmy się o ciebie, ale przede wszystkim wroga postawa krajowców zmusiła nas do przyspieszenia odwrotu.

— Mówisz tak, żeby mnie pocieszyć... — niedowierzała Sally.

— Nie rozumuj dziecinnie, moja droga. Przecież sama widzisz, jakie warunki panują na Nowej Gwinei. W głębi wyspy krajowcy wciąż jeszcze żyją na poziomie epoki kamienia łupanego, a ich wiedza o świecie i różnych zjawiskach w ogóle się nie rozwija. Ludzie ci nie znają wymiaru czasu, nie umieją liczyć, wierzą w duchy i boją się wszystkiego, co dla nich jest niezrozumiałe. W tej sytuacji przemożną rolę odgrywają tu przebiegli

czarownicy, którzy zazdrośnie strzegą swoich wpływów. Oni też ustawicznie podburzali krajowców przeciwko nam.

— Może masz rację, przecież ukąszenie przez jadowitego węża zostało spowodowane przez czarownika. Trochę mi lepiej, gdy wiem, że to nie tylko z mojej winy wyprawa musiała zawrócić z drogi — wtrąciła Sally.

— Czarownicy rozpuszczali wieści, że zaklinamy dusze wojowników w martwe rajskie ptaki, aby móc je potem dręczyć — mówił Tomek. — Nawet podczas naszego pobytu na wyspie ci szarlatani judzili Bena Bena, aby przestali nam pomagać.

— Tommy, nic mi o tym nie wspominaliście! — zdumiała się Sally.

— Byłaś zbyt osłabiona; nie chcieliśmy cię martwić — wyjaśnił Tomek.

— Dlaczego czarownicy podburzali przeciwko nam Bena Bena? Przecież pomogliśmy im w walce z Ku–ku–ku–ku?

— Zaraz ci to wytłumaczę. Tuż przed naszym odpłynięciem z wyspy pan Bentley poszedł trochę pomyszkować po dżungli. Wtedy właśnie natrafił na nieznaną, oryginalną okaz orchidei. Jej korzenie, tak jak azjatyckiego żeń-szenia<sup>630</sup>, przypominały kształtem miniaturową sylwetkę człowieka. Pan Bentley, zachwycony swym odkryciem, chciał zabrać tę orchideę. Jednak towarzyszący mu Bena Bena gwałtownie zaprotestowali, a nawet usiłowali grozić. Okazało się, że kwiaty te są uważane przez krajowców za talizman o niezwykłej mocy i służą im do czarodziejskich praktyk. Oni sądzą, że w korzeniach tej orchidei znajdują się pożarci przez kwiat ludzie.

— Ależ to wierutna bzdura! — oburzyła się Sally.

— Oczywiście, niemniej pan Bentley musiał zrezygnować z zabrania wspaniałego kwiatu.

— Wielka szkoda... Byłby to nie lada sukces!

— Nie martw się, kochana — ciszej rzekł młodzieniec. — Następnego dnia pan Bentley ze Smugą wyprawili się potajemnie do dżungli i przynieśli tę orchideę. Obecnie znajduje się ona pod osobistą opieką pana Bentleya, który transportuje ją w koszu z łyka wyłożonym wilgotnym mchem.

— Oby tylko udało się ją przewieźć do Sydney!

---

<sup>630</sup> — Żeń-szeń (*Panax Ginseng*) — bylina z rodziny azaliowatych, której korzeń używany jest w leczeniu. Rośnie we wschodniej części Azji zwłaszcza w Korei i w Chinach.

— Pan Bentley jest dobrej myśli. Właśnie ze względu na kilka odmian żywych orchidei musimy tak często urządzać postoje. One żywią się jakimiś grzybkami, których pan Bentley stale poszukuje.

— A ja myślałam, że to ze względu na mnie stale przybijamy do brzegu — powiedziała Sally przekornie, uśmiechając się do Tomka.

— Teraz wiesz prawdę i nie kłopotcz się więcej!

Sally jeszcze raz się uśmiechnęła, a po chwili znów zagadnęła:

— Czy odważyłbyś się osiedlić w tym kraju? Myślę, że trudno byłoby białemu człowiekowi zżyć się z tak prymitywnymi ludźmi.

— Nie wiem, czy potrafiłbym zdobyć się na to, lecz słyszałem o Polaku, który niemal dwadzieścia siedem lat spędził wśród mieszkańców Oceanii — odparł Tomek.

— Jak on się nazywał? — zaciekała się Sally.

— To był Jan Kubary<sup>631</sup>, jeden z najlepszych znawców Oceanii.

— Opowiedz o nim!

— Był to niepospolity człowiek. Posiadał rzadki dar zjednywania sobie zaufania u krajowców. Nie mieli przed nim żadnych tajemnic. Toteż dokładnie poznał ich obyczaje. Traktowali go jak brata, ponieważ ożenił się z dziewczyną z wyspy Palau i miał z nią córkę. Podróżował po Melanezji, Mikronezji i Polinezji, badając także sam Ocean Spokojny. Jego ulubionym miejscem pobytu, do którego wciąż powracał, była wyspa Ponape w archipelagu Wschodnich Karolin. Na Ponape posiadał w Mpempe pracownię naukową. Wiele czasu poświęcał krajowcom; wychowywał ich i uczył. Nic, więc dziwnego, że otaczali go szczerym szacunkiem. Przez pewien czas przebywał na wyspie Nowa Brytania, a potem na Nowej Gwinei w Porcie Konstantego, nazwanym tak przez Rosjanina Mikłucho–Makłaja, o którym opowiadała nam Natasza... Jak więc widzisz, można zżyć się z krajowcami i czuć się wśród nich jak wśród swoich.

Donośne rozkazy kapitana Nowickiego przerwały rozmowę. Łodzie zaczęły się przybliżać do brzegu. Wśród kęp drzew rozsianych po sawannie

---

<sup>631</sup> — Jan Kubary, polski etnograf i badacz Oceanii, urodził się w Warszawie w 1846, zmarł w 1896 na wyspie Ponape. Jako przedstawiciel hamburskiego domu handlowego J.C. Godeffroya na obszar Oceanii, gromadził i wysyłał do muzeum Godeffroya zbiory etnograficzne. Stał się najwybitniejszym znawcą ludów karolińskich. Napisał między innymi: *Obrazki z Wysp Żeglarskich, Wyspy Nukuoro, Z podróży po Mikronezji, Żegluga morska i handel międzynarodowy Karolińczyków centralnych*. Wyniki badań ludoznawczych zamieścił w pracy *Etnographische Beitrage zur Kenntnis des Karolinen Archipels*.

widać było unoszące się dymy ognisk. Toteż zaledwie dopłynęli do lądu, Smuga przywołał Tomka oraz kilku Mafulu uzbrojonych w karabiny, po czym razem z Dingiem wyruszyli w kierunku wioski. Musieli zdobyć świeży prowiant.

Dingo, trzymany przez Tomka krótko na smyczy, wciąż zdradzał niepokój. Widząc to Smuga uważnie rozglądał się po sawannie porosłej wysoką trawą kunai. Po jakimś czasie upewnił się w swych domysłach i szepnął do Tomka:

— Jesteśmy śledzeni przez krajowców ukrytych w trawie, którzy wciąż cofają się przed nami.

— Miejmy się na baczności, wioska już blisko — odparł Tomek.

— Oddaj Dinga Ain'u'Ku, a sam trzymaj broń w pogotowiu — polecił Smuga.

Zaledwie około dwustu metrów dzieliło ich od wioski otoczonej bambusową palisadą, gdyż tuż przed nimi wyrosło kilkudziesięciu wojowników. Nałożone na cięciwy łuków strzały nie wróżyły nic dobrego.

Smuga usiadł na ziemi i polecił uczynić to samo swoim towarzyszom. Położył przed sobą tarczę jednego z Mafulu i na niej zaczął rozkładać dary. Były to dwa lusterka, scyzoryk, tytoń i sól. Ruchem ręki poprosił krajowców, aby zbliżyli się po nie, a sam zapalił fajkę. Wojownicy naradzali się po cichu. Dopiero po długiej chwili jeden z nich podszedł do tarczy. Nie okazał zdumienia ani strachu na widok lusterek i scyzoryka. Z jego zachowania widać było od razu, że zna ich zastosowanie. Zaledwie zerknął na sól i tytoń, tak bardzo pożądane w wielu okolicach wyspy. Niezdecydowany stał nad tarczą. Smuga położył na niej stalowy nóż i siekiere.

— Tutaj już byli przed nami biali ludzie... — szepnął do Tomka.

Krajowiec ujrzawszy nowe cenne dary zdjął strzałę z cięciwy łuku i odłożył broń na ziemię. Przykucnął przed tarczą. Gardłowym głosem zawołał coś do wojowników stojących za nim. Opuścili łuki i dzidy, po czym zbliżyli się do białych podróżników. Smuga poczęstował ich tytoniem. Przy pomocy Ain'u'Ku rozpoczął pertraktacje.

Tomek nieznacznie obserwował obcych wojowników. Większość z nich nosiła na kosmyku włosów po prawej stronie czoła niezbyt duże, kamienne krążki. Tomek już wiedział, co to oznacza. Taką odznakę mógł posiadać jedynie wojownik, który własnoręcznie zabił wroga i uciął mu głowę. Tomek

skorzystał z okazji, gdy Ain'u'Ku tłumaczył wojownikom słowa Smugi i szepnął:

— Oni noszą odznaki łowców głów...

— Spostrzegłem to — cicho odparł Smuga. — Dobra to w tej chwili dla nas wiadomość. Pamiętasz relacje Bentleya?

Tomek skinął głową. Doskonale przypominał sobie opowiadania Bentleya o ostatnich wyprawach innych podróżników w okolicy Purari. Właśnie w okolicach tej rzeki łowcy głów mieli nosić kamienne krążki na czole. Oznaczało to, że wyprawa płynie po rzece Purari, a więc znajduje się na dobrej drodze.

Po długiej naradzie krajowcy zgodzili się wprowadzić podróżników do swej wioski, aby mogli porozmawiać z naczelnikiem. Zaledwie jednak wkroczyli do niej, zaraz wyłoniły się nowe trudności. Mianowicie naczelnik spał w Domu Duchów i nikt nie miał odwagi go zbudzić. Papuasi wierzyli, że w czasie snu dusza śpiącego opuszcza ciało i odbywa wędrówki. Według nich marzenia senne były odzwierciedleniem przeżyć duszy podczas tych wędrówek. Dlatego też krajowcy nigdy nie budzili śpiącego, obawiając się, iż dusza może nie zdążyć powrócić do jego ciała. Wtedy, korzystając z okazji, jakiś zły duch mógłby zamieszkać w ciele zbyt szybko zbudzonego człowieka.

Na szczęście dość głośne pertraktacje skróciły sen naczelnika, który, hojnie obdarowany przez Smugę, obiecał zaopatrzyć karawanę w produkty spożywcze. Podczas gdy kobiety udały się na poletka po jarzyny, biali podróżnicy rozglądali się po wsi. Naczelnik oraz gromada wojowników postępowali za nimi krok w krok, lecz nie czynili jakichkolwiek przeszkód i chętnie udzielali wyjaśnień. Na skraju wioski stało kilka klatek zrobionych z bambusowych prętów. Zaintrygowani podróżnicy zbliżyli się ku nim. W klatkach tych, zwanych kazuawari, zamknięte były żywe kazuary. Sprawiały one godny pożałowania widok. Zbyt małe i ciasne klatki w stosunku do rozmiarów olbrzymich ptaków uniemożliwiały im nawet położenie się na podłodze, zbudowanej z wąskich, bambusowych drążków. Toteż ptaki jedynie przestępowały z nogi na nogę, ślizgając się na wygładzonych drążkach. Potwornie zniekształcone pazury nóg najlepiej świadczyły o męczarniach, jakie przechodziły. Podróżnicy domyślili się, że krajowcy hodowali ptaki dla mięsa oraz piór, którymi zdobili swe głowy, część ptaków, bowiem pozbawiona była upierzenia i połyskiwała nagą skórą.

Obok klatek z dorosłymi ptakami krążyły dwa małe kazuary, grzebiąc w odpadkach w poszukiwaniu pożywienia. Tomek zaledwie ujrzał małe, śmieszne ptaki, natychmiast odezwał się do Smugi:

— Proszę pana, może krajowcy zgodziliby się sprzedać nam te dwa młode kazuary. Chciałbym ofiarować je Sally. Podobno małe kazuary przyzwyczajają się łatwo do człowieka i chodzą za nim jak psiaki.

Smuga obrzucił wzrokiem pisklęta opierzone szarozółtym puchem z ciemnymi pręgami.

— Dobry pomysł — odparł. — Spróbuję!

Za trzy naszyjniki szklanych paciorków Tomek stał się właścicielem dwóch małych kazuarów oraz dwóch bambusowych klatek. Naczelnik, rozochocony różnymi upominkami, wydał swym wojownikom jakiś rozkaz. Po chwili przyprowadzili dwa rudawe, mocno utuczone psy. Naczelnik ofiarował je podróżnikom, tłumacząc się, iż świń ma zbyt mało, aby mógł się nimi dzielić. Mafulu z zadowoleniem przyjęli ten dar, Papuasi, bowiem w niektórych okręgach wyspy specjalnie trzymali i tuczili rybami oraz ptakami sfory psów, zabijając je później na uczyty szczepowe.

Kobiety pojawiły się z siatkami napelnionymi warzywami, lecz naczelnik nie chciał jeszcze wypuścić z wioski podróżników, zanim nie wypalą z nim fajki w Domu Duchów. Smuga rad nierad musiał na to przystać. Prowadząc gości do zborczego domu, naczelnik przystanął przed swoją chatą. Siedziała przed nią jego żona, która jedną piersią karmiła niemowlę, a drugą prosiaka. Naczelnik z dumą wskazał na prosię. Zapewne chciał się pochwalić zamożnością.

Smuga z Tomkiem wspięli się po drabinie na platformę Domu Duchów. Weszli do środka w towarzystwie czarownika, naczelnika i kilku wojowników. Usiedli na podłodze na matach wzdłuż rowka z płonącym ogniskiem. Naczelnik wolno nabijał fajkę tytoniem. Ściany Domu Duchów ozdobione były trofeami wojennymi. Poczesne miejsce zajmowały nagie czaszki ludzkie, jak i całe głowy pokryte skórą, do złudzenia przypominające głowy żywych ludzi. Tomek z zapartym tchem zerkał na straszliwe trofea. Naraz czoło jego pokryło się kropelkami potu. Pobladł... Bliski omdlenia z trudem wydobył głos z krtani.

— Głowa herszta piratów... — wyjąkał.

Smuga spojrział na ścianę, w którą Tomek wlepił wzrok. Na krótką chwilę znieruchomiał. Potem mruknął po polsku:

— Nosił wilk razy kilka, ponieśli i... wilka. A więc spotkaliśmy się jeszcze raz, tak jak sobie tego życzył. Szkoda, że Nowicki nie może go ujrzeć...

Krajowcy byli niezmiernie radzi z wrażenia, jakie wywarła na białych podróżnikach głowa herszta piratów. Można było nawet mniemać, że specjalnie w tym celu zaprosili ich do Domu Duchów, czarownik, bowiem podniósł się, zdjął głowę ze ściany i podał ją Smudze.

Tomek szybko przymknął powieki. Obawiał się, że zemdleje.

Smuga, jak zwykle, doskonale panował nad sobą. Wziął upiorne trofeum do rąk i przyjrzał mu się uważnie. Po raz pierwszy podczas podróży po Nowej Gwinei zobaczył tak po mistrzowsku spreparowaną ludzką głowę. Całą czaszkę pokrywała skóra z owłosieniem. Wyraz martwej twarzy pozostał nie zmieniony. Opuszczone powieki sprawiały wrażenie, że herszt piratów jest pogrążony we śnie. Smuga przesunął dłońią po jego twarzy. Pod palcami wyczuł miękką wyprawę pomiędzy kośćmi i skórą, która pozwoliła dzikiemu artyście na odtworzenie właściwych rysów twarzy ofiary.<sup>632</sup>

Smuga zwrócił głowę herszta piratów czarownikowi i zapytał, czy nie zechciałby jej odsprzedać. Czarownik stanowczo zaprzeczył. Głowa białego człowieka przedstawiała dla Papuasów wprost bezcenną wartość. Smuga nie zraził się odmową i zaproponował kupno którejś z głów krajowców. Oczy Papuasów zabłyszczały złowrogo. Smuga jak gdyby nigdy nic nadmienił, że gotów był ofiarować za głowę białego swój zegarek wydzwanający godziny. Papuasi nie znali zastosowania czasomierzów, lecz tykanie zegarka i wydzwanianie godzin wszystkich niezmiernie zaintrygowało. Niemniej ostro odmówili odstąpienia głowy.

Smuga nie mógł przedłużyć pobytu w wiosce. Nastroje Papuasów nieraz ulegały nieoczekiwanym zmianom, toteż zegnał teraz gospodarzy i poprzedzany przez kobiety, objuczone warzywami, ruszył w powrotną drogę. Wkrótce biali podróżnicy zrozumieli, dlaczego mieszkańcy wsi nie

---

<sup>632</sup> — Niektórzy Melanezyjczycy umieją preparować głowę zmarłego w ten sposób, że nie ztraca swego wyglądu. W tym celu ściągają z czaszki skórę i wędzą ją przez dłuższy czas. Czaszkę pozbawiają umięśnienia. Po uwędzeniu skóry zmiękczają ją, między innymi w wodzie, po czym naciągają na gołą czaszkę. Za pomocą delikatnych traw i mchu, wkładanych pomiędzy skórę i kość, modelują rysy twarzy, osiągając niezwykle podobieństwo do twarzy żywego człowieka.

entuzjasmowali się ofiarowaną im solą. Nie opodal osiedla natrafili na oryginalną warzelnię. Wydobywano w niej sól z cienkich łodyg rośliny pit-pit<sup>633</sup>, posiadających słonawy smak. Zaintrygowany Smuga zatrzymał się w warzelni, aby poznać miejscowy sposób uzyskiwania soli. Otóż ścięte łodygi składano w pęczki, które spalano na popiół na rozżarzonych węglach. Następnie popiół gromadzono w korycie wydrążonym w pniu drzewa pandanowego, zaopatrzonym od dołu w filtr z trawy. Woda wlewana do pnia koryta wypłukiwała sól mineralną i razem z nią ściekała do bambusowych naczyń ustawionych pod korytem. Potem naczynia te podgrzewano, aby woda wyparowała, i na ich dnie pozostawał osad brunatnej soli.

Tomek, wstrząśnięty widokiem upiornej głowy herszta piratów, niewiele uwagi poświęcał warzelni, lecz Smuga zanotował pilnie wszystkie szczegóły urządzenia. Po opuszczeniu warzelni Tomek szedł na czele gromady kobiet jako przewodnik. Smuga zamykał pochód. W pobliżu rzeki przechodzili obok pasma krzewów. Naraz ciemna dłoń wychyliła się z zarośli i przytrzymała Smugę za ramię. Smuga błyskawicznie sięgnął dłonią do kolby rewolweru, lecz w tej samej chwili ujrzał czarownika nakazującego mu gestem milczenie. Zaciekawiony wszedł w zarośla. Czarownik bez słowa wepchnął mu pod pachę duży, okrągławy przedmiot owinięty w liście bananowca i palcem wskazał na kieszeń, w której Smuga nosił zegarek.

Smuga nieco pobladł i nie odważył się od razu sprawdzić zawartości zawiniątka. Wiedział, że ta makabryczna wymiana handlowa może grozić całej wyprawie i czarownikowi śmiercią. Toteż bez zbędnych słów wepchnął zegarek w dłoń czarownika i pospieszył za kobietami. Zaledwie przybyli na brzeg rzeki, Smuga natychmiast polecił załadować zapasy jarzyn na łodzie i dał hasło do ruszenia w dalszą drogę. Gdy odbili od brzegu, Wilmowski zapytał:

— Po co ten pośpiech, Janie, skoro krajowcy przyjęli was życzliwie? Miejsce doskonale nadawało się na nocleg.

— Tak sądzisz? Moim zdaniem trzeba płynąć jak najszybciej. Później wyjaśnię moje postępowanie — odparł Smuga.

Wilmowski nie pytał więcej. Zbyt dobrze znał swego przyjaciela. Wierzył w jego doświadczenie. Tego dnia przebyli jeszcze spory szmat drogi. Dopiero

---

<sup>633</sup> — Pit-pit (*Saumnia*) — otrzymanywana z tej rośliny sól posiada mniej intensywny smak niż sól kamienna.



tuż przed samym zachodem słońca Smuga pozwolił Nowickiemu na przybicie do brzegu. Gdy już byli po wieczerzy, Smuga poprosił Wilmowskiego, Tomka, Nowickiego i Bentleya na naradę do namiotu.

— Pytałeś, Andrzeju, dlaczego tak szybko pragnąłem oddalić się od wioski przyjaźnie do nas usposobionych krajowców — zagadnął.

— Ojczy, to byli...

— Nie mów nic! — krótko ostrzegł Smuga, a zwracając się do Wilmowskiego, powiedział: — Obejrzyj sobie to zawiniątko!

Położył na ziemi kulisty przedmiot. Wilmowski ostrożnie odwinął liście i skamieniał jak rażony gromem. Wszyscy zaniemówili. Przy świetle świecy wpatrywali się w straszliwe trofeum. Nowicki pierwszy ochłonął ze zdumienia.

— A niech to wieloryb połknie! Przecież to łepetyna herszta piratów!

— W jaki sposób pan ją zdobył?! — szepnął Tomek. — Papuasi przecież nawet nie chcieli słuchać o odstąpieniu głowy!

— Czarownik potajemnie dogonił mnie po drodze i dokonaliśmy transakcji. Przed swoimi zapewne wytłumaczy zniknięcie czaszki czarami lub zepchnie całą sprawę na złe duchy — wyjaśnił Smuga.

— Miałeś rację, nakłaniając do pośpiechu — przyznał Wilmowski. — Straszne to...

Bentley w milczeniu ocierał pot z czoła.

— Ha, nabroił ten łotr niemało — rzekł Nowicki. — Grzechów jego na pewno nikt by nie spisał nawet na wołowej skórze, ale dostał za swoje. Widocznie wybrał się, jak zapowiadał, na poszukiwanie złota. Ciekawe, co się stało z jego kamratami?

— Na pewno zjedli ich ludożercy... — odparł Wilmowski.

— I ja tak myślę — potwierdził Smuga. — Nie mówmy teraz nikomu o tej głowie. Reszta naszych towarzyszy ujrzy ją dopiero w Sydney.

— Tak będzie najrozsądniej — przyznał Wilmowski.

Przez następnych osiem dni wyprawa wciąż płynęła w dół Purari. Dziewiątego dnia podróżnicy ujrzeli na obydwóch brzegach rzeki wymarły las. Jak okiem sięgnąć, wszędzie widniały nagie kikuty pni drzew pozbawionych gałęzi, zbielełe w żarze tropikalnego słońca. W powietrzu unosił się duszący odór zgnilizny. Jedyne żywe istoty tego upiornego

lasu były olbrzymie kraby, muszki i inne insekty, które podróżnikom szczególnie dały się we znaki.

— Cóż to za kataklizm wydarzył się tutaj? — dziwił się Zbyszek, mimo woli ścisząc głos.

— Dobry to znak dla nas — odparł Smuga. — To cmentarzysko lasu mangrowego.

— Z jakiego powodu wszystkie drzewa umarły? — pytała Natasza. — Dlaczego widok zniszczenia ma być dla nas dobrą wróżbą?

— Drzewa mangrowe potrzebują słonej wody. Gdy morze nieco się cofa, las mangrowy wymiera. Jesteśmy już w pobliżu ujścia rzeki do morza.

Zapowiedź Smugi sprawdziła się po dwóch dniach. Rzeka płynęła teraz przez ciemnozieloną dżunglę mangrową. Łodzie znów mknęły w naturalnym tunelu zieleni. U stóp splątanych lianami leśnych olbrzymów rozpościerały się trzęsawiska pełne pijawek, jadowitych węzów i krokodyli. Po dalszych dwóch dniach wypłynęli na otwarte morze. Tomek uradowany widokiem przezroczystej wody morskiej pochylił się do Sally.

— Kończą się nasze zmartwienia, najdroższa! — szepnął. — Tak bardzo drżeliśmy wszyscy o twoje życie! Teraz na pewno prędko wyzdrowiejesz. W Port Moresby możemy liczyć na pomoc dobrego lekarza.

Sally uśmiechnęła się i nieśmiało, cicho zapytała:

— Wiem, że byłam dla was wielkim ciężarem. Czy teraz, gdy najgorsze już za nami, nie żałujesz, że ożeniłeś się z taką niezdara?

— Nie pleć głupstw, kochana sikorko! — zgromił ją Tomek, naśladowując sposób mówienia kapitana Nowickiego. — Naprawdę jesteś dzielną kobietą! Wspaniale panowałaś nad sobą i nam dodawałaś otuchy w krytycznych chwilach. Dumny jestem z takiej żony!

Sally przytuliła głowę do ramienia męża, a po chwili znów zapytała:

— Tommy, czy zabierzesz mnie na następną wyprawę?

— A cóż bym począł bez ciebie? — odparł pytaniem i zaraz dodał: — Ilekroć przebywałem z dala od ciebie, zawsze bardzo tęskniłem i liczyłem dni do naszego ponownego spotkania...

— Naprawdę?

Tomek wzruszony potaknął głową, po czym rzekł:

— Odtąd zawsze razem będziemy się udawali na wyprawy. Najpierw jednak odpoczniemy przez jakiś czas. Zbiory zgromadzone w Nowej Gwinei

umożliwią nam dalsze studia. Obydwoje musimy jeszcze wiele się nauczyć. Dobry fachowiec powinien posiadać rzetelną wiedzę. Poza tym trzeba także zająć się losem Zbyszka i Nataszy...

— Na pewno masz rację, Tommy! Zawsze podziwiałam twoją silną wolę. Potrafisz godzić pracę zawodową z nauką. Wszyscy to w tobie cenią. Muszę być taka mądra jak ty!

Sally umilkła. Oparta o ramię Tomka przymknęła oczy. Może jeszcze wspominała walkę w dżungli i straszliwe okrzyki łowców głów, a może też rozmyślała już o oczekujących ją egzaminach i snuła plany nowych, niezwykłych przygód?



## EPILOG

Od wyprawy Tomka Wilmowskiego i jego przyjaciół do Nowej Gwinei minęło wiele lat. W tym czasie zebrano sporo ciekawych wiadomości o największej na Oceanie Spokojnym wyspie. Dalsze wyprawy badawcze wykazały błędność mniemania, że centralny masyw górski stanowi jednolity blok skalny, nie nadający się do zamieszkania dla człowieka.

Już po 1925 roku Champion i Adamson odkryli w górach w głębi wyspy nieznaną dotąd plemiona krajowców. W 1928 roku Champion wraz z Karriusem przebyli trudną trasę Fly–Sepik, z północy na południe wyspy. W 1933 r. Australijczyk Leahy z Jimem Taylorem dotarli do źródeł Purari w dolinie Waghi i odnaleźli dojście do wysokogórskich dolin. W pięć lat później Taylor i Black odbyli wyprawę na trasie Hagen–Sepik.

W przededniu II wojny światowej niewiele białych plam znajdowało się już na mapie Nowej Gwinei. Światowa zawierucha wojenna wykazała strategiczne znaczenie wyspy. W pochodzie na Australię Japończycy okupowali przez jakiś czas szereg punktów na wybrzeżach Nowej Gwinei. Z tego powodu lotnicy alianccy dokonywali lotów rekonesansowych nad wyspą. Po powrocie z jednego zwiadu, gdy wywołano zrobione wtedy zdjęcia, stwierdzono, iż w samym sercu Nowej Gwinei znajduje się duża zamieszkała dolina nie znana dotąd białym.

Wyprawa zorganizowana w roku 1959 przez redakcję francuskiego czasopisma „*Paris Match*” postanowiła odszukać nieznaną dolinę. Wzięło w niej udział sześciu Francuzów: Herve de Maigret, Tony Saulnier, Gilbert Sarthre, Gerard Delloye, J. Bordes–Pages i Pier–re–Dominique Gaisseau. Przebyli oni w poprzek ówczesną Holenderską Nową Gwineę z południa na północ, w 109–dniowym pieszym marszu przechodząc przez samo wnętrze wyspy, podczas gdy resztę trasy pokonali samolotem. Odważni Francuzi dotarli we wnętrzu wyspy do Papuasów, żyjących dotąd jak w epoce kamienia łupanego, uprawiających kanibalizm i polowanie na ludzkie głowy, którzy do chwili zetknięcia się z francuską wyprawą nie widzieli nigdy białych ludzi. Jak wynika z powyższego, od wyprawy Tomka niewiele nastąpiło zmian w sposobie życia i w obyczajach znacznej części Papuasów zamieszkujących wnętrze wyspy. Prawa białych ludzi były tak samo dla Papuasów

niezrozumiały, jak propagowane przez białych nowe wierzenia. Gnębieni przez różne lokalne choroby i plagi, nękanymi głodem, czasem zupełnie nie rozumieli nowego, cywilizowanego świata.

Po II wojnie światowej pierwszą uzyskała niepodległość dawna Holenderska Nowa Gwinea, będąca najbardziej zaawansowaną gospodarczo i społecznie częścią wyspy. Obecnie jako Irian Zachodni wchodzi w skład Republiki Indonezyjskiej. W roku 1975 niepodległość uzyskała Papua, wchodząc w skład państwa Papua–Nowa Gwinea.

# TOMEK U ŹRÓDEŁ AMAZONKI





## PROLOG — NAPAD O ŚWICIE

Nad północno–zachodnią Brazylią, niemal u zbiegu jej granic z Peru i Kolumbią, czarne, ciężkie chmury przedwcześnie zakryły zachodzące słońce. Duże krople deszczu zaszeleściły w gęstwinie amazońskiej selwy<sup>634</sup>. W tej właśnie chwili nagle zamilkło monotonne brzęczenie cykad<sup>635</sup> i świerszczy, zamarły przedwieczorne rozhowory papug. Gwałtowny podmuch wichru zakołysał koronami drzew, targnął poroślami zwisającymi jak festony.

W obozie zbieraczy kauczuku<sup>636</sup>, zbudowanym w pobliżu brzegu rzeki Putumayo<sup>637</sup>, zaczęła się gorączkowa krzątanina. Pospiesznie umacniano mieszkalne szałas, chowano sprzęty, aby nadciągająca zawierucha nie wyrządziła zbyt wielkich szkód.

Rozgardiasz w obozie i deszcz mocno już szeleszczący w liściastym poszyciu dachu przerwały drzemkę smukłemu młodzieńcowi, spoczywającemu na drewnianej pryczy. Ociężale uniósł się na łokciu. W izbie było mroczno, spojrzął więc w otwór drzwiowy, osłonięty gęstą, drucianą siatką: na dworze również już pociemniało.

---

<sup>634</sup> — Selva — wilgotny las międzyzwrotnikowy, porasta olbrzymie obszary dorzecza Amazonki.

<sup>635</sup> — Cykady (*Cicadidae*) — piewiki właściwe, należą do grupy pluskwiaków. Żyją głównie w cieplejszych krajach. Żywią się sokami roślin. Długość rozpostartych skrzydeł niektórych gatunków dochodzi do 18 cm. Właściwością cykad jest zdolność wydawania dźwięków za pomocą narządu u nasady odwłoka.

<sup>636</sup> — Kauczuk jest jednym z najważniejszych surowców roślinnych. Wprowadzenie go do użytku miało ogromne znaczenie dla rozwoju przemysłu, zwłaszcza w motoryzacji, lotnictwie, elektrotechnice, technice sanitarnej. Ojczyzną kauczuku naturalnego są puszcze brazylijskie, w których wśród wielu gatunków roślin zawierających sok kauczukowy (lateks — *latex*) duże drzewo *Hevea brasiliensis* zyskało znaczenie światowe; niższej jakości lateksu dostarczają również rosnące tam drzewa *Mnihot glaziovii* i *Hancornia speciosa*. Brazylijski monopol na kauczuk naturalny został złamany ok. 1880 roku, kiedy wywieziono nasiona *Hevea* i zasiano je w ówczesnych koloniach angielskich w Azji (Cejlon, Malakka), a potem w Indiach Holenderskich, upłynęło jednak z górą 30 lat, zanim kauczuk plantacyjny zyskał przewagę. Około dwustu gatunków drzew, krzewów i roślin zielnych dwuliściennych w strefie międzyzwrotnikowej i podzwrotnikowej zawiera sok mleczny służący do wyrobu kauczuku. W Ameryce Środkowej i północnej części Ameryki Południowej lateksu dostarczają rodzime drzewa *Sapium* i *Castilloa*, w Azji oprócz kauczukowca brazylijskiego uprawia się drzewo *Ficus elastica*, a w Afryce *Futumia elastica*.

<sup>637</sup> — Rio Putumayo — rzeka w północno–zachodniej Ameryce Południowej. Posiada źródła w północno–wschodniej Kolumbii, przepływa Peru i Brazylię, gdzie wpada do Amazonki.

John Nixon, bo tak właśnie zwał się ów młody mężczyzna, dłonią odgarnął moskitierę zawieszoną wokół pryczy, po czym wstał z legowiska. Chwiejnym krokiem podszedł do progu i otworzył ażurowe drzwi. Najpierw spojrzał w kierunku baraku, w którym gromadzono zbiory kauczuku. Wrota były zamknięte. Prawie nadzy Indianie w milczeniu krzętały się przy szałasach, w których zapewne już skryły się przed burzą ich kobiety i dzieci.

— Aukoni! — zawołał lekko ochryłym głosem John Nixon.

— Sim, senhor!<sup>638</sup> — odparł Indianin, zbliżając się do progu chaty.

— Gdzie są capangos?<sup>639</sup> — zapytał Nixon.

— Jedzą kolację w baraku — wyjaśnił Indianin.

Nixon gniewnie zmarszczył brwi. Na płatnych dozorcach można było polegać jedynie wtedy, gdy sami czuli bat nad sobą. Po chwili znów zagadnął — Czy wszyscy seringueiros<sup>640</sup> powrócili z selwy? Burza nadciąga!

— Wrócili, kauczuk złożony w magazynie — odpowiedział Aukoni, który przewodził grupie Indian z plemienia Cubeo, zbierających lateks dla kompanii „Nixon — Rio Putumayo”.

— Czy wydałeś wszystkim racje żywności?

— Sim, senhor, zaraz także każę przynieść panu kolację — odpowiedział Aukoni.

— Do diabła z jedzeniem! — gwałtownie wybuchnął Nixon. — Nie jestem głodny! Idź już sobie!

Ani jeden muskuł nie drgnął w twarzy Indianina wyrażającej kamienny spokój, tylko jego wzrok nieznacznie przesunął się po zwierzchniku. Poznał, że biały znów pił alkohol. Po krótkiej chwili namysłu szepnął — Senhor Wilson odszedł, źli ludzie blisko, nie pij więcej...

Biały jednak nie usłyszał ostrzeżenia, bowiem jaskrawozielony, metaliczny błysk szeroko przeciął czerń nieba i potężny huk pioruna zagłuszył życzliwe słowa. Wichura targnęła dżunglą, sypnęła liśćmi i kawałkami gałęzi. Burza wkrótce rozszalała się na dobre.

John Nixon z trzaskiem zamknął zewnętrzne drzwi zbite z przeciętych wzdłuż pni bambusowych. Po omacku dobrnął do drewnianej skrzyni zastępującej stół. Zapalił naftowy kaganek. Ómy natychmiast wychynęły z

<sup>638</sup> — Sim, senhor (port.) — Tak, panie.

<sup>639</sup> — Capanga (port.) — zbrojny dozorca robotników.

<sup>640</sup> — Seringueiro (port.) — poszukiwacz kauczuku.

mrocznych kątów izby i rozpoczęły harce wokół światła. Jedna z nich musnęła twarz Nixona. Wstrząsnął nim dreszcz wstrętu. Czuł obrzydzenie do owadów i robactwa, od których roiła się amazońska selwa. Nie mógł przywyknąć do wilgotnego lasu, milczącego i pozornie pozbawionego życia w czasie dnia, a w ciemnościach nocy ożywiającego się tysięcznymi, tajemniczymi głosami. Któż mógł wtedy odróżnić głosy zwierzęce od ludzkich? Może to właśnie czerwonoskórzy, dzicy łowcy ludzkich głów lub gorsi nawet od nich biali łowcy niewolników zwoływali się do napadu? Na domiar złego coraz gęstsze deszcze zwiastowały zbliżanie się zimy, czyli pory deszczowej, która wkrótce miała zmienić selwę w bagnisty labirynt jezior i zalewów.

Nixon usiadł na ławie, przygnębiony wsłuchiwał się w szumiące za ścianami chaty potoki deszczu. Po chwili nieco uspokojony mruknął — Podczas burzy nie trzeba obawiać się napadu, wyśpię się przynajmniej...

Sięgnął po butelkę rumu. Nalał pełną szklankę i wypił. Nieco oszołomiony legł w ubraniu na pryczy, zasłonił moskitierę, wsunął rewolwer pod poduszkę i zaczął rozmyślać. Niebawem już marzył o dniu, w którym nareszcie będzie mógł opuścić głuszę amazońską. Chciał jak najprędzej powrócić do rodzinnego domu w Chicago, gdzie w myśl obietnic stryja miał objąć kierownictwo filii kompanii „*Nixon — Rio Putumayo*”. Oby tylko stryj uznał, że przyszły współwłaściciel jest już dostatecznie wtajemniczony w sprawy przedsiębiorstwa! Tymczasem jednak musiał dalej tkwić w mrocznej selwie w towarzystwie czterech brutalnych capangów oraz milczących, podejrzliwych Indian i wciąż czuwać, wciąż mieć się na baczności. Awanturnicze bandy organizowane przez spekulantów kauczukowych siały gwałt i rozbój w okolicach Rio Putumayo.

Młody Nixon z cichym westchnieniem wspomniął Jana Smugę, prawą rękę stryja. Ten sławny podróżnik, odważny aż do zuchwałości, nie znał uczucia strachu. W bezdrożnym lesie czuł się jak w swoim żywiole. Gdy przebywał w obozie zbieraczy kauczuku, wszystko szło jak z płatka: nie było swarów, nikt nie stawiał oporu, wszyscy czuli się bezpieczni. Smuga z jednakową swobodą obcował z na pół dzikimi ludźmi w selwie, jak i z bardziej cywilizowanymi mieszkańcami Manaos<sup>641</sup>, gdzie mieściły się biura

---

<sup>641</sup> — Manaos (obecnie Manaus, nazwa od mieszkającego tam plemienia Indian) leży w stanie Amazonas w północnej Brazylii, na lewym brzegu rzeki Negro, w pobliżu miejsca, gdzie wpada ona do

kompanii oraz główne magazyny kauczuku. Podczas ostatniego pobytu w obozie Smuga przyrzekł Nixonowi, że wpłynie na jego stryja, aby go jak najprędzej odwołał z nad Putumayo.

W skrytości ducha Nixon zazdrościł Smudze daru zjednywania sobie ludzi. Wiedział również, że Indianie pogardzali białymi, którzy nie umieli skrywać swych uczuć. Mimo to nie mógł opanować odruchów powodowanych wstrętem czy strachem. Dlatego też, gdy teraz wysłał swego pomocnika, Wilsona, do obozów kompanii położonych w pobliżu rzeki Japura, trudno mu było utrzymać w ryzach leniwych capangów oraz Indian, u których nie zdołał wyrobić sobie autorytetu zwierzchnika.

Z pobliskiego baraku dochodziły odgłosy gry na gitarze. Smętne tony zamierały chwilami w ostrym szumie tropikalnej ulewy. To zapewne grał dozorca Mateo, Metys o bujnej i niezbyt chlubnej przeszłości. Słuchając jego niskiego, drgającego namiętnością głosu, wprost trudno było uwierzyć w zimne okrucieństwo, z jakim posługiwał się bykowcem i nożem.

John Nixon coraz leniwiej łowił uchem dźwięki gitary. Myśli rwały się, mieszały z urojeniami. Zapadał w drzemkę. Wydawało mu się, że gdzieś w głębi selwy głucho odezwały się tam–tamy. Nie wzbudziło to w nim obaw. W tej części Amazonii często napotykało się ślady wpływów murzyńskich, zakorzenionych przez dawnych niewolników, sprowadzanych z Czarnego Lądu. Oddech młodego Nixona stawał się coraz głębszy, bardziej miarowy. W końcu biały człowiek zasnął twardym snem...

\* \* \*

Pod osłoną nocy gromada zbrojnych ludzi skradała się w lesie okalającym obóz poszukiwaczy kauczuku. Gdy burza ostatecznie umilkła, już przyczajeni w gęstym poszyciu tropikalnego lasu otaczali karczowisko wąskim pierścieniem. Byli to Indianie z plemienia Yahua, o jasnobrązowych ciałach, okrytych tylko sutymi spódnicami z rafii<sup>642</sup>, sięgającymi niemal do stóp. Na głowach nosili olbrzymie peruki, splecione również z żółtej rafii, które luźno opadały im na ramiona i plecy, aż poniżej pasa. Niektórzy przystroili swe

---

Amazonki. Miasto założyli Portugalczycy w 1660 r. Od 1850 r. jest stolicą stanu; obecnie drugie po Para–Belem ważne miasto nad Amazonką. Posiada doskonały port rzeczny. Stanowi ważne centrum handlowe, którego szybki rozwój nastąpił w okresie tak zwanej gorączki kauczukowej.

<sup>642</sup> — Rafia — włókno z pewnego gatunku drzewa palmowego, używane do wyplatania kapeluszy, torebek, pantofli itp. oraz w ogrodnictwie.

peruki barwnymi piórami papug, zasuszonymi ptakami i myszami. Na szyjach mieli naszyjniki z suszonych nasion roślin. Uzbrojeni byli w łuki oraz długie świstule<sup>643</sup> z bambusa, służące do wydmuchiwania małych, często zatrutych strzał. Południowoamerykańscy Indianie przeważnie używali dmuchawek do celów myśliwskich, lecz gdy brali je na wyprawę wojenną, stanowiły w ich rękach broń straszną, powodującą niemal natychmiastową śmierć ofiary. Na wschodnim horyzoncie wychyliło się słońce. Po burzliwej nocy nastawa! dzień prawie nie poprzedzony świtem. Jeden z Indian, zapewne wódz, pochylił się ku dwóm białym mężczyznom, towarzyszącym czerwonoskórym wojownikom i gardłowym głosem szepnął w narzeczu Yahua — Jarimeni iarenumuyu<sup>644</sup>, daj znak! Biały przyłożył palec do ust.

— Unjui...<sup>645</sup> — ostrzegł Indianin.

Biały gniewnie zmarszczył brwi. On również spostrzegł kundla, który wysunął się z indiańskiego szałasu. Jeśli pies zwęszy obcych, na pewno ostrzeże uspiionych zbieraczy kauczuku. Wtedy misternie uknuty plan napadu weźmie w łeb. Biały mężczyzna szybko odwrócił się do wodza Yahuan i wzrokiem wskazał mu dmuchawkę. Porozumieli się tym jednym, krótkim jak błysk, spojrzeniem.

Indianin wy dobył z plecionki małą strzałę, wsunął ją do bambusowej rury i uszczelnił kłębkim bawełny. Teraz jeden koniec dmuchawki, oprawiony w grubszą nasadkę, przytknął do ust, mierząc wylotem rury w kierunku psa. Głęboko zaczerpnął powietrza i dmuchnął.

Dotąd ospały kundel nagle drgnął, wstrząsnął się i upadł na bok jak rażony piorunem. Sztywniejącymi łapami tylko przez chwilę drapał ziemię, po czym zdechł nie wydawszy głosu.

Biały sojusznik Yahua zerknął na straszliwego strzelca. Twarz Indianina nie wyrażała jakichkolwiek uczuć, lecz zuchwałe błyski w jego oczach oraz charakterystyczny wykrój ust, znamionujący okrucieństwo, nie mogły budzić zaufania. Biały mężczyzna instynktownie oparł dłoń na rękojeści rewolweru. W tej jednak chwili otworzyły się drzwi baraku. Jeden po drugim wyszli trzej

---

<sup>643</sup> — Dmuchawka bądź świstula — broń używana w Ameryce Południowej i Środkowej, w Indochinach, Indonezji i w Indiach. Dmuchawkę sporządza się z rury bambusowej długiej na 2 do 4 m, z której silnym dmuchnięciem „*strzela się*” małą strzałą.

<sup>644</sup> — Jarimeni iarenumuyu — księżyc zaszedł.

<sup>645</sup> — Unjui — pies.

capangowie. Biały odetchnął z ulgą. Natychmiast pochylił się ku wodzowi Yahuan i zawołał:

— Zaczynaj!

Poranny wrzask papug w selwie i przeciągły, bojowy okrzyk Yahuan, rozbrzmiały niemal jednocześnie. Nieszczęśni capangowie nie zdążyli nawet cofnąć się do baraku. Naszpikowani strzałami z łuków zwalili się jak kłody. Zgraja wojowników Yahua z piekielnym wyciem wyskoczyła z zarośli, wtargnęła do szałasów, w których zaraz rozległy się okrzyki trwogi i bólu.

Dwaj biali sojusznicy Yahuan przyczajeni na skraju zarośli bacznie obserwowali pole bitwy, trzymając w pogotowiu karabiny. Toteż od razu spostrzegli Johna Nixona, który kopniędem otworzył drzwi chaty i z rewolwerem w dłoni stanął na progu. Przekrwionymi, jeszcze zaspanymi oczami obrzucił obóz. Poblądł straszliwie widząc pogrom swych ludzi. Uniósł rewolwer mierząc do nadbiegającego Indianina. Nie zdążył wszakże pociągnąć za spust. Jeden z białych sojuszników Yahuan błyskawicznie przyłożył karabin do ramienia. Zanim dyni rozwiął się po wystrzale, John Nixon padł martwy u progu chaty. Wódz Yahua podbiegł do niego wywijając ostrym, bambusowym nożem.

Biały morderca i jego towarzysze odwrócili się plecami do Indianina, łowcy ludzkich głów. Widowisko było zbyt odrażające nawet dla nich. Podążyli więc do baraku, skąd ich czerwonoskórzy sojusznicy wynosili już zbiory kauczuku.

Zaledwie w pół godziny od rozpoczęcia walki napastnicy szybko uchodzili w dżunglę z cennym łupem. Zabrali również do niewoli zbieraczy kauczuku razem z ich kobietami i dziećmi. Nikt nie oglądał się na spalony obóz, w którym płonęły baraki.

**PEDRO ALVAREZ ATAKUJE!**

Ciche pukanie do drzwi przebudziło Jana Smugę. Otworzył oczy. Nie wstając z leżaka osłoniętego moskitierą, zawołał: — Proszę wejść!

Do pokoju pogrążonego w półmroku nieśmiało zajrzała młoda kobieta.

— Bardzo przepraszam, nie chciałam przerywać panu sjesty, lecz przyszedł chłopiec z biura — usprawiedliwiła się. — Mówi, że przysłał go pan Nixon w bardzo pilnej sprawie.

— Dobrze zrobiłaś, Nataszo, już wypocząłem — pochwalił Smuga; — Może nareszcie nadeszły wiadomości znad Rio Putumayo. Proszę wpuścić posłańca.

Wysunął rękę spod moskitiery po blaszane pudełeczko z tytoniem leżące na stoliku. Nabił fajkę i zapalił.

Po chwili do pokoju wszedł rezolutnie wyglądający bosy chłopiec, ubrany tylko w kolorową, perkalową przepaskę biodrową oraz w przydługą, luźno opuszczoną, rozpiętą koszulę. Mógł mieć około czternastu lat. Brązowa skóra, czarne, twarde włosy obcięte równo dookoła głowy, nieco skośne oczy i wystające kości policzkowe od razu zdradzały jego indiańskie pochodzenie.

— Bom dia, senhor!<sup>646</sup> — odezwał się po portugalsku.

— Bom dia, Gogo! Odsłoń żaluzje w oknach — powiedział Smuga i dodał po polsku: — Nataszo, czy mógłbym prosić o szklanekę herbaty?

— Zaraz przygotuję — odparła młoda kobieta uśmiechając się do opiekuna.

Indianin podniósł zasłony w oknie i drzwiach wiodących na werandę. Jaskrawe, tropikalne światło słoneczne wtargnęło do pokoju. Chłopiec stanął teraz przed Smugą i rzekł — Senhor Nixon kazać iść po senhor Smuga. Żli ludzie napadli na acampamento<sup>647</sup> nad Rio Putumayo. Zabili primo<sup>648</sup> senhora Nixona.

Smuga energicznie odgarnął ręką moskitierę; sprężystym ruchem powstał z leżaka.

— Czy to pewna wiadomość?! — krótko zapytał.

---

<sup>646</sup> — Bom dia, senhor — Dzień dobry panu.

<sup>647</sup> — Acampamento (port.) — obozowisko.

<sup>648</sup> — Primo (port.) — krewny.

— Przyjechał jeden człowiek z obozu — potwierdził Indianin.

— A więc zaczęło się! Biegnij do pana Nixona i powiedz, że niebawem przyjdę!

Chłopiec natychmiast wyszedł z pokoju. Smuga zbliżył się do wieszaka, zdjął pas z rewolwerami i zaczął starannie nabijać broń.

Natasza pobladała obserwując złowróżbne przygotowania. Od czasu przyjazdu do Manaos nie mogła pozbyć się obawy, że właśnie tutaj spotka ją coś złego. Nawet pulsujące życiem miasto sprawiało na niej upiorne wrażenie. Manaos, odległe o 1690 kilometrów od najbliższego wschodniego brzegu morza, przylegało do jedyne go w tej części kontynentu gościńca — olbrzymiej, majestatycznej i zarazem groźnej Amazonki, w której mlecznożółtych, mętnych nurtach śmierć czyhała na człowieka. Jak wszystkie miasta w stanach Amazonas i Para, Manaos było odcięte od wnętrza kraju. Z wyjątkiem brzegu Rio Negro zewsząd otaczała je pierwotna, bagnista puszcza — siedlisko malarii, trądu, jadowitych węzów, dokuczliwego robactwa i dziwnych zwierząt oraz nie ujarzmionych dotąd plemion indiańskich, stroniących od białych ludzi.

Do portu Manaos codziennie zawijały statki, barki i łodzie zwożące z głębi dżungli sok drzew kauczukowych, przetworzony w czarne kule lub płaty. Tutaj wymieniano kauczuk na szczerę złoto. Toteż miasto rozrastało się z dnia na dzień i wrzało niczym mrowisko. W podrzędnych szynkach pili szampana bankierzy, handlarze, awanturnicy wraz z wynędzniałymi robotnikami, którym oprócz życia udało się wynieść z zielonego piekła pieniądze zarobione krwawym trudem.

W bezdrożnym lesie panowało dotąd prawo silniejszego. Dla zdobycia robotników spekulanci kauczukowi często organizowali *correrias*, czyli wyprawy po indiańskich niewolników. Kto raz popadł w niewolę, pozostawał w niej aż do śmierci. Toteż Indianie, pierwotnie przyjaźnie usposobieni do białych ludzi, teraz zaszywali się coraz dalej w niedostępne puszcze. Znienawidzili białego człowieka, który stał się dla nich uosobieniem przemocy, zła i okrucieństwa.

Zaledwie półtora roku temu, podczas wyprawy do Nowej Gwinei<sup>649</sup>, Natasza marzyła o osiedleniu się w jakimś uroczym, egzotycznym zakątku świata. Wtedy właśnie ojciec Tomka Wilmowskiego tłumaczył jej, że tak

---

<sup>649</sup> — Przygody Tomka w Nowej Gwinei opisane zostały w powieści *Tomek wśród łowców głów*.



sielsko na pierwszy rzut oka wyglądające kraje tropikalne wcale nie są w rzeczywistości tym wymarzonym rajem ziemskim. Dopiero jednak w Manaos Natasza przyznała mu słusność. Ten szlachetny mężczyzna nie przejaskrawił tragicznej prawdy. Natasza pragnęła obecnie jak najprędzej opuścić egzotyczną Brazylię. Widok zła tak rozrzutnie rozsiewanego przez ludzi jej rasy, napełniał ją głębokim smutkiem.

Po zakończeniu łowów w Nowej Gwinei młode małżeństwo — Tomek Wilmowski i Sally — udało się do Anglii kontynuować studia. Ojciec Tomka i kapitan Nowicki przebywali w Hamburgu, gdzie opracowywali dla Hagenbecka projekt urządzenia nowego działu w muzeum etnograficznym.

Kuzyn Tomka, Zbyszek Karski, jeszcze podczas pobytu w Australii ożenił się z młodą Rosjanką Natasza, która razem z nim uciekła z syberyjskiego zesłania. Zbyszek pragnął pójść w ślady Tomka, chciał podróżować i marzył o udziale w jakiejś nowej wyprawie.

Właśnie w tym czasie Jan Smuga, towarzysz wypraw Tomka, otrzymał propozycję wyjazdu do Brazylii. Kompania „*Nixon — Rio Putumayo*” chciała powierzyć mu zorganizowanie zbrojnej ochrony dla swych robotników, zbierających kauczuk w brazylijskiej selwie. Kompania Nixona nie stosowała przemocy wobec indiańskich robotników i sumiennie wypłacała zarobki. Z tego też powodu popadła w ostry zatarg z konkurentem, Pedrem Alvarezem, którego ludzie również zbierali kauczuk w okolicach Putumayo i często umykali od bezwzględного spekulanta do obozu Nixona.

Smuga lubił niebezpieczne przygody. Skorzystał więc z przerwy w wyprawach łowieckich z przyjaciółmi i przyjął propozycję Nixona. Zbyszek zwrócił się do Smugi o znalezienie mu zajęcia w kompanii kauczukowej. Dzięki jego wstawiennictwu sprawa została pomyślnie załatwiona. W ten sposób młode małżeństwo już prawie od roku mieszkało w Manaos.

Wkrótce po przybyciu do Brazylii Karscy zrozumieli, dlaczego wzrost zapotrzebowania na kauczuk spowodował tyle tragicznych następstw dla tubylców. Drzewa kauczukowe rosły w amazońskiej selwie. Sok z tych drzew potrafili wydobywać tylko Indianie, nie nawykli jednak do najemnej, ciężkiej pracy. Tymczasem prócz Indian innych ludzi nad Amazonką prawie nie

było<sup>650</sup>. Toteż spekulanci kauczukowi, żądni wzbogacenia się za wszelką cenę, urządzali krwawe polowania na krajowców, porywali ich, palili osady i siłą zmuszali do niewolniczej pracy. Wprawdzie w 1775 roku Indianie w Brazylii zostali zrównani pod względem prawnym z wolną ludnością, a w 1888 ostatecznie zniesiono niewolnictwo, lecz mimo to w głuszach amazońskiej puszczy nadal bat i kula ustanawiały prawo. Dziesiątki tysięcy indiańskich niewolników zginęły w czasach gorączki kauczukowej, a biali spekulanci zazdrośnie strzegli swych interesów i walczyli między sobą o najlepsze tereny.

W tej sytuacji Natasza szczególnie niepokoiła się o Zbyszka, który nieco młodzieńczo ulegał złudnemu nieraz urokowi wielkiej przygody. Doświadczony Smuga roztaczał nad nim opiekę, ale gdyby go zabrakło, Zbyszek mógłby znaleźć się w matni. Instynkt ostrzegał Nataszę, że teraz właśnie nadeszła krytyczna chwila. Smuga w milczeniu sprawdzał broń. Groźne błyski w jego szarych oczach nie wróżyły niczego dobrego. Natasza wierzyła w jego rozwagę i celność strzału, lecz czy obecnie nie podejmował zbyt ryzykownego zadania?

Smuga tymczasem nie rozmyślał o niebezpieczeństwie. Od dawna był zdecydowany odpowiedzieć ciosem na cios. Przygotowując broń układał plan działania. Nim minął kwadrans, wstał z krzesła i założył na biodra pas z rewolwerami. Zdjął z wieszaka pilśniowy kapelusz z szerokim rondem.

— Czy mogę pójść z panem? — nieśmiało zagadnęła Natasza. Smuga spojrział na nią, jakby dopiero teraz przypomniał sobie o jej obecności. Zaraz też rozchmurzył się i uśmiechnął.

— Do biura Nixona możemy pójść razem — odparł. — Zapewne jesteś ciekawa alarmujących wieści? Dziękuję za herbatę.

Podszedł do stolika.

— Może dolać trochę rumu? — zaproponowała Natasza.

— Dziękuję, nie mam tak tęgiej głowy jak kapitan Nowicki. Jemu nie zadrzy ręka nawet po całej butelce!

Serce zamarło w Nataszy. A więc nadeszło najgorsze! Smuga pijąc herbatę obserwował spod oka młodą kobietę.

---

<sup>650</sup> — W 1910 roku Brazylię o powierzchni 8 511 965 km<sup>2</sup> zamieszkiwało 22 216 000 ludności. Rozmieszczenie ludności było nierównomierne. Nizinę Amazonki, obejmującą 64% powierzchni kraju, zamieszkuje obecnie zaledwie 7% ludności.

— Proszę się nie obawiać. Zbyszkowi nic nie będzie groziło — uspokoił ją. — W Manaos zachowuje się jeszcze pozory praworządności, a nad Rio Putumayo nie wezmę go ze sobą.

— Pan wszystko najgorsze zawsze bierze na siebie — cicho odparła Natasza. — Boję się... Jaka szkoda, że nie ma tu reszty naszych przyjaciół!

— To prawda — przytaknął Smuga. — Szczególnie kapitan i Tomek są nieocenieni w takich sytuacjach. Chodźmy, Nixon czeka!

Wyszli z domu. Miasto leżało na wzgórzu, wąskimi, krętymi uliczkami opadało ku portowi na brzegu rzeki. Południowy upał wyludniał ulice. Zamożni biali mieszkańcy zażywali sjesty w swoich willach o czerwonych dachach, ocienionych pióropuszcami smukłych palm. Wokół ich wygodnych domostw słały się kobierce barwnych kwiatów. Tubylcy natomiast przeważnie gnieździli się w pływających, drewnianych chatkach z dachami krytymi trzcina lub słomą, zbudowanych na prymitywnych tratwach, przymocowanych do nabrzeża rzeki. Ponad miastem górowały białe wieżyce kościoła i frontony kilku dużych gmachów. Wzniesiono je może zbyt pospiesznie, licząc na dalszy szybki rozwój miasta<sup>651</sup>.

Natasza zasepiona szła obok Smugi. Tego dnia nie zwracała uwagi ani na wspaniałe budynki, ani na robotników wylegających się w cieniu magazynów. Uliczkami opustoszałymi o tej porze tylko od czasu do czasu przemykał jakiś mężczyzna w wielkim kapeluszu ze słomy i z bronią u pasa.

Tuż za placem stał parterowy budynek. Żaluzje w oknach były zasłonięte z powodu upału. Przy drzwiach wejściowych znajdował się szyld z napisem Nixon — Rio Putumayo. Smuga otworzył drzwi, przepuścił przed sobą Nataszę i sam wszedł za nią. Po chwili obydwój znaleźli się w gabinecie Nixona. Zastali tam również Zbyszka Karskiego i dwóch innych pracowników.

Na widok Smugi Nixon wyjął z ust wygasłe cygaro i rzekł — Przyjechał Wilson znad Putumayo. Przywiózł bardzo złe wiadomości. Napadnięto na obóz, mój bratanek został zabity. Część naszych Indian porwano do niewoli, reszta zbiegła w selwę.

— Proszę przyjąć wyrazy współczucia, panie Nixon — poważnie powiedział Smuga. — Kiedy to się stało?

---

<sup>651</sup> — W okresie największego nasilenia eksploatacji kauczuku Manaos liczyło około 100 tys. mieszkańców, po załamaniu się koniunktury ludność zmalała prawie do połowy.

— Dokładnie dwadzieścia dni temu — pospieszył z wyjaśnieniem Wilson. — Wyruszyłem ku Amazonce zaraz po wypadku.

— Gdzie znajdował się pan w czasie napadu? — indagował Smuga.

— Pan John wysłał mnie do obozu nad Japurą. Jeden z naszych Indian przybiegł tam do mnie z wiadomością o napadzie. Zaskoczono ich po gwałtownej burzy. Gdy padł młody Nixon, a nasi poszli w rozsypkę, Indianin natychmiast ruszył po mnie. Szedł całą noc mimo uprzedzeń Indian do nocnych wędrówek po selwie. Dzięki temu znalazłem się na miejscu napadu następnego dnia w południe.

— Czy czaty były rozstawione, tak jak poleciłem? — zapytał Smuga.

— Niestety, zaniechano tej ostrożności...

— Wilson nie chce powtarzać przykrej dla mnie prawdy — wtrącił Nixon. — Mój bratanek pił alkohol tego wieczoru. Gdybym nie ściągnął pana do Manaos, prawdopodobnie uniknąłbym nieszczęścia.

— Ostrzegałem pana, że ten młody człowiek źle znosi długi pobyt w puszczy — powiedział Smuga. — Prosiłem też, żeby pan odwołał go stamtąd.

Nixon opuścił głowę na piersi i milczał.

— Gdzie pochowano zamordowanego, panie Wilson? — dalej pytał Smuga.

— W obozie... miał odciętą głowę... Uczynili to Indianie, którzy brali udział w napadzie pod wodzą dwóch białych.

— A więc łowcy głów...! Czy ktoś rozpoznał tych białych?

— Nie! — zaprzeczył Wilson.

— Postaram się odszukać morderców. Nietrudno domyślić się, kto zorganizował napad. Jutro wyruszam nad Putumayo.

— Jadę z panem! — oświadczył Nixon! — Pan Karski zastąpi mnie tutaj.

— Może ja mógłbym pojechać zamiast pana? — wtrącił Zbyszek.

— Zostaniesz w Manaos — kategorycznie oświadczył Smuga. — Teraz, panie Nixon, pójdziemy porozmawiać z Pedrem Alvarezem. Ten chciwy Metys na pewno maczał w tym palce.

— Idę z panem! — odezwał się Zbyszek. — W razie awantury mogę się przydać.

— Ja także pójdę! — zawtórował Wilson.

— Dobrze! — zgodził się Smuga. — Zabierzcie broń! Strzelać wolno tylko na mój wyraźny rozkaz. Nataszo, zostań w biurze. Idziemy!

Było około piątej po południu. O tej porze Pedro Alvarez przebywał zazwyczaj w „*Tesouro*”, jednym ze swoich szynków, gdzie bawił się do późnej nocy. Tam też poprowadził Smuga swoich towarzyszy. Wkrótce zatrzymali się przed parterowym budynkiem; z okien zasłoniętych żółtymi kotarami płynęły krzykliwe dźwięki muzyki.

— Zbyszku i panie Wilson, stańcie przy drzwiach. Pilnie obserwujcie wszystkich — rozkazał Smuga.

Pchnął drzwi wahadłowe i wszedł pierwszy. Zaraz spostrzegł Alvareza. W towarzystwie rozweselonych kompanów siedział przy stoliku w pobliżu orkiestry. Właśnie grano murzyńską sambę.

Smuga wolno zbliżał się ku Metysowi.

W szynku tym zbierali się poplecznicy Pedra Alvareza, którzy dobrze orientowali się w jego zatargach z Nixonem. Toteż wejście czterech przedstawicieli konkurencyjnej kompanii zostało od razu zauważone. Znano tutaj strzelecką sławę Smugi, dlatego tańczące pary skwapliwie ustępowały mu z drogi. Smuga zatrzymał się przed stolikiem Metysa. Orkiestra przerwała grę. W sali zaległa cisza.

Smuga przez krótką chwilę mierzył przeciwnika surowym wzrokiem, po czym zagadnął — *Boa tarde*<sup>652</sup>, senhor Alvarez!

Śniada twarz Metysa poszarzała. Błysnął oczami w kierunku Indianina, który natychmiast oparł dłoń na rękojeści tkwiącego za pasem noża. Smuga spostrzegł to, lecz nie wykonał najmniejszego ruchu. Z opuszczonymi wzdłuż bioder rękoma stał lekko pochylony nad Alvarezem.

— *Boa tarde, senhor!* — powtórzył.

— *Boa tarde, senhor Smuga!* — niepewnie bąknął Metys. — Czego pan chce ode mnie?

— Nie lubię, gdy ktoś na mój widok kładzie dłoń na rękojeści noża. Rozkaż twemu pacholce, by siedział spokojnie, lub szybko stracisz jednego zucha!

Alvarez rzucił kilka słów w miejscowym narzeczu. Ręka Indianina opadła na stolik.

---

<sup>652</sup> — *Boa tarde* — Dobry wieczór.

— Nie uderzam bez ostrzeżenia — odezwał się Smuga. — Dlatego tu przyszedłem. Na nasz obóz nad Putumayo dokonano napadu i popełniono morderstwo. Jadę tam jutro, aby upewnić się, czy moje domysły są słuszne. Gdy zdobędę dowód, jeden z nas zginie. Strzeż się, Alvarez!

Smuga odwrócił się i wolnym krokiem wyszedł z Nixonem na ulicę. Za nimi wycofali się z szynku Wilson i Zbyszek.

## NA TROPIE ZDRADY

Dziesiąty dzień mijał od chwili przybycia Smugi do splądrowanego obozu nad Rio Putumayo. Smuga przez cały czas prowadził mozolne badania w celu wykrycia sprawców napadu. Nie było to łatwe zadanie. Przez kilka tygodni, jakie minęły od napaści, prawie wszystkie ślady uległy zatarciu. Z czterech dawnych capangów ocalał jedynie Metys Mateo, lecz niewiele można było się od niego dowiedzieć. Jak twierdził, zbudzony wrzawą bitewną umknął w las, widząc swoich trzech towarzyszy naszpikowanych strzałami napastników. Kilkunastu zbieraczy kauczuku z plemienia Cubeo<sup>653</sup> również zdołało się uratować z rąk oprawców. Teraz powrócili do obozu, ale i oni mało mogli powiedzieć.

Był wczesny ranek. Smuga przysiadł na pniu na uboczu polany. Zamyślony wodził wzrokiem za Indianami krzątającymi się przy budowie nowego baraku. Rosły Mateo dwoił się i troił przynagłając robotników do pracy, często groził ciężkim bykowcem. Odpoczywano jedynie w najgorętszych godzinach dnia. Toteż obok baraku, w którym umieszczono administrację, już stał odbudowany magazyn na zbiory kauczuku. Teraz wykańczano tylko pomieszczenia dla seringueirów i ich rodzin.

Nixon z Wilsonem przebywali od samego świtu w baraku administracyjnym. Omawiali sposób rozliczeń i odstawiania zbiorów kauczuku. Po tragicznej śmierci swego bratanka Nixon powierzył Wilsonowi kierownictwo obozu nad Rio Putumayo. Eksploatację kauczuku można było wznowić lada dzień, bowiem do niedobitków ocalałych po napadzie dołączono obecnie część robotników z obozu nad rzeką Japurą.

Smuga wolno pykał z fajki i obserwował pracujących. Jednocześnie rozmyślał o nikłych wynikach śledztwa. Jedno tylko nie ulegało wątpliwości, że napadu dokonali Indianie Yahua. Kim jednak byli towarzyszący im biali przywódcy? Czy na pewno zostali nasłani przez Pedra Alvareza? Dlaczego napaść miała miejsce podczas nieobecności przezornego Wilsona, który przecież bardzo rzadko pozostawiał samego, niedoświadczonego Nixona w

---

<sup>653</sup> — Cubeo — „Ludzie, których nie ma”. Szczep ten składa się z około 30 klanów, zgrupowanych w 3 konfederacjach. Każdy klan liczy około 100 osób. Klan — tutaj w znaczeniu grona ludzi złączonych więzami krwi i zespolonych gospodarczo do wspólnej walki o byt.

obozie? Smuga wciąż daremnie szukał odpowiedzi na dręczące go pytania. Zniechęcony sięgnął do kieszeni po pudełko z tytoniem, aby na nowo nabić fajkę. Wtem wydało mu się, że czuje na sobie czyjś wzrok. Natychmiast odwrócił głowę. W cieniu olbrzymiego palisandru zobaczył przyczajone brązowooliwkowe Indianiatko o czarnych, gęstych włosach równo przyciętych naokoło głowy. Chłopiec, zaledwie ujrzał zachęcający uśmiech na twarzy Smugi, natychmiast zbliżył się do niego.

— Co powiesz, Mały Tropiciele? — po portugalsku zagadnął podróżnik.

— Senhor, nad rzeką dużo kapibar<sup>654</sup>.

— Widzę, że masz ochotę wybrać się na polowanie! — powiedział Smuga.

— Sim, senhor! Weź strzelbę, zaprowadzę!

Smuga zastanawiał się przez chwilę. Zwierzyna nie była zbyt ponętna. Mięso starych kapibar jedli tylko Indianie i Murzyni. Jedynie polędwica młodych sztuk była smaczna. Smuga zerknął na chłopca, który wyczekująco na niego spoglądał. Rodzice młodego Indianina zostali porwani do niewoli podczas napadu. On sam ocalał ukryty w rumowisku szałas. Nie miał dokąd pójść, więc pozostał w obozie. Po przybyciu Smugi nad Rio Putumayo krążył za nim jak cień. Instynktem dziecka natury wyczuwał w białym podróżniku człowieka prawego, który zawsze staje w obronie pokrzywdzonych. Doświadczony Smuga orientował się, że osierocony chłopiec szuka jego pomocy i przyjaźni.

Mały przepadał za polowaniami, ustawicznie włóczył się po lesie w poszukiwaniu śladów zwierzyny. Czy można było teraz odmówić mu tej drobnej rozrywki?

— Zapolujemy! — odezwał się Smuga. — Czekaj na mnie przy baraku.

---

<sup>654</sup> — Kapibara, czyli wodoświnka (*Hydrochoerus capybara*), należy do rodziny *Caviidae*, w skład której wchodzi: dobrze nam znana świnka morska (*Cavia porcellus*) oraz mara (*Dolichotis patagonica*) — jedno z najciekawszych zwierząt pustynnych, z wyglądu przypominające zająca o znacznie dłuższych nogach oraz krótszych, zaokrąglonych uszach. Kapibara (od indiańskiego caapi-uara, czyli mieszkaniec traw) posiada krótkie uszy, wargę górną rozciętą i palce czterech nóg połączone błoną pławną. Żyje w Ameryce Południowej od Orinoko do La Płaty i od Oceanu Atlantyckiego aż do podgórza Andów. Zamieszkuje nadwodne gęstwiny leśne. Nocą wychodzi na otwarte przestrzenie w poszukiwaniu żeru; często robi szkody na plantacjach, pożerając kukurydzę, arbuzy i trzcinę cukrową. Rozmnaża się przez cały rok.



Podniósł się zaraz i ruszył po sztucer, gdyż znając sposób życia tych największych gryzoni świata wiedział, że zazwyczaj żerowały od zmierzchu do świtu.

Wkrótce obydwaj myśliwi podążali przez leśny gąszcz. Była to najbardziej ożywiona pora w tropikalnej puszczy. Nocne zwierzęta i ptaki spieszyły do kryjówek na odpoczynek, natomiastienne wyruszały na poranny żer. Toteż dżungla rozbrzmiewała różnymi krzykami, pomrukami i szelestami. W koronach owocowych drzew trzepotały się bajecznie kolorowe, olbrzymie ary czerwone i błękitne, oraz mniejsze od nich ary czerwonoczelne<sup>655</sup>. Potężnymi, zakrzywionymi w dół dziobami miażdżyły z łatwością twarde jak kamień owoce różnych palm i skorupy ulubionych orzechów. Jeszcze więcej wrzawy czyniły zielone papugi jara<sup>656</sup> o czołach i kań tarkach jasnoniebieskich, żółtych gardzielach i skrzydłach czerwonych w zgięciach. Przelatywały z głośnym trzepotem i z wrzaskiem opadały na drzewa obwieszane owocami.

Obydwaj myśliwi doskonale znali tajniki tropikalnej puszczy, toteż niewiele zwracali uwagi na rozgwar panujący wokół nich. Szli szybko, lecz rozważnie wybierali oparcie dla swych stóp. Puszcza błyszcząca poranną rosą jeżyła się wokół niewidocznymi na pierwszy rzut oka zasadzkami: wnętrze butwiejącego, kruchego pnia zwałonego drzewa zazwyczaj zamieszkiwały tysiące niebezpiecznych owadów, z niechcący potrąconej ramieniem gałęzi można było spodziewać się ataku kąśliwych os lub pasożytniczych kleszczy, często wielkości za ledwie łebka szpilki, a liana swobodnie zwisająca z konaru drzewa mogła okazać się czyhającym na łup jadowitym wężem.

Mały Tropiciele wysforował się o kilka kroków przed Smugę. Dumny był, że prowadzi na polowanie tak znamienitego łowcę. Toteż sam starał się zachowywać jak dorosły mieszkaniec tropikalnej puszczy. Szedł elastycznym krokiem zręcznie omijając przeszkody, uważnie penetrował wzrokiem

---

<sup>655</sup> — Ary — najpiękniejsze i największe z papug klinosternych. Najmniejsze są wielkości kawki, największe wielkości kruka. Dziób mają duży, górą zgięty i wydłużony w wystający szpic. Kantarek, obwódki dookoła oczu i przednia część policzków są zawsze nagie, ogon bardzo długi. Wszystkie wspaniałe i różnobarwnie upierzone. Żyją w stadłach małżeńskich. Rzadko uczą się tak dobrze mówić jak inne papugi. Najpospolitsze to: ara błękitna (*Ara ararauna*); ara czerwonoczelna (*Ara militaris*).

<sup>656</sup> — Papuga jara (*Amazona aestiva*) należy do papug tęposternych. Posiada krótki, szeroki ogon. Pochodzi z Brazylii środkowej i południowej oraz z Argentyny. Papugi tęposterne są bardzo pojętne, a niektóre potrafią melodyjnie śpiewać całe pieśni. Pospolicie spotykane w ogrodach zoologicznych.

okolice, czujnie nasłuchiwał. Smuga z uznaniem obserwował zachowanie młodego przewodnika, bowiem również posiadał doskonały wzrok i słuch oraz od dawna wyrobił sobie orientację w nieznanym terenie. Wiedział jednak, że nigdy nie zdoła dorównać pierwotnym mieszkańcom puszczy, którzy wskutek ćwiczeń od dziecka i nabytej wprawy mieli bardziej wyostrzone zmysły i wiele, wiele innych cech obcych ludziom cywilizowanych krajów. Tak wielką sprawność fizyczną mógł osiągnąć tylko człowiek, którego życie wciąż zależało od czujności wszystkich zmysłów.

Indianin szedł coraz ostrożniej, prawie bezszelestnie. Było już słyszeć szum płynącej rzeki. Wkrótce też ukazał się jej brzeg, jeszcze bardziej ożywiony niż gąszcz dżungli. Smuga przyczał się za krzewem. Naraz, gdzieś w koronach wysokich drzew rozległo się głośnie, charakterystyczne klekotanie, podobne do bocianiego. Potem z gwałtownym trzepotem skrzydeł tukany pomarańczowe<sup>657</sup> uciekły na widok myśliwych. Opodał, nad brzegiem rzeki złośliwe, swarliwe czaple<sup>658</sup> przybierały najdziwaczniejsze pozy, wypatrując ryb w wodzie. Skradającym się krokiem chodziły jakby na szczydkach. Szyje trzymały głęboko wciągnięte między skrzydła, by w odpowiedniej chwili wyprostowawszy je gwałtownie, niby celnie rzuconym oszczepem, uderzyć w zdobycz.

Indianin dał Smudze znak. Niebawem przykucnęli za pniem drzewa. Mały Tropiciel w milczeniu wskazał ręką. Na brzegu rzeki buszowało kilka zwierząt pokrytych szczeciniastą sierścią o barwie brunatnej z odcieniem rudawym. Jedne skubały trawę i objadały korę z młodych drzewek, inne siedziały nad wodą na tylnych nogach, podobnie jak czynią to psy. Głosy kapibar przypominały chrząkanie świń. Długość tułowia dorosłych sztuk dochodziła do jednego metra, a wysokość w karku do około pięćdziesięciu centymetrów. Kapibary biegały niezbyt szybko, lecz Smuga wiedział, że przestraszone potrafią uciekać błyskawicznymi susami. Nie tracił więc czasu. Wypatrywał młodszej sztuki. Wkrótce uniósł sztucer. Nacisnął spust. Celnie trafione zwierzę padło na ziemię, pozostałe natychmiast rzuciły się do rzeki i, wspaniale nurkując, rychło zniknęły z pola widzenia.

---

<sup>657</sup> — Tukan pomarańczowy (*Rhamphastos ariel*) — jak wszystkie gatunki tukanów charakteryzuje się oryginalnym, dużym dziobem, zazębionym piłowate na krańcach szczęk. Około 60 gatunków zamieszkuje podzwrotnikową Amerykę.

<sup>658</sup> — Rodzina czapli (*Ardeidae*) tworzy drugi podrząd bocianokształtnych. Zamieszkuje wszystkie części Ziemi, z wyjątkiem krajów polarnych.

Zanim myśliwi zdążyli podejść do zdobyczy, nadleciały wielkie urubu<sup>659</sup>, czyli czarnogłowe sępy o częściowo nagiej głowie i szyi. Posępne, ociężałe ptaszyska z trzepotem dużych skrzydeł opadły na gałęzie drzew, a niektóre nawet wprost na ziemię w pobliżu martwej kapibary. Pojawienie się Smugi z Indianiątkiem zmusiło żarłoczne sępy do cierpliwego oczekiwania na swoją kolej w rozpoczęciu uczty.

Smuga postanowił zabrać do obozu całą kapibarę, której skóra nadawała się do wyrobu siodeł i pasów, a wytopiony tłuszcz miał podobno właściwości lecznicze. Indianin, pożyczonym od Smugi nożem uciął grubą gałąź, a następnie lianami przymocował do niej upolowane zwierzę. W ten sposób łatwiej mogli nieść łup, który ważył około pięćdziesięciu kilogramów.

Smuga zamyślony obserwował pracującego chłopca. Zamierzał powierzyć go opiece Wilsona, a później zatrudnić w kompanii w Manaos. Wiedział, że większość Indian lubi trzymać w swych domach różne zwierzęta i ptaki, toteż chcąc, aby chłopiec nie czuł się tak bardzo osamotniony, zagadnął — Słuchaj, Mały Tropiciele, czy nie chciałbyś mieć własnego psa? Mam zmyślnego szczeniaka w Manaos. Mogę ci go podarować!

Krótki błysk radości zajaśniał w oczach chłopca, lecz zaraz został zamaskowany obojętnym wyrazem twarzy. Chłopiec umiał już skrywać swe uczucia, jak dorosły Indianin.

— Sim, senhor, chciałbym — odparł powściągliwie.

— A więc dobrze, psiak jest twój. Przyślę go tutaj z najbliższym transportem żywności. Na tego psa wołam Nero, lecz możesz nazwać go według swego upodobania. Młody jeszcze, szybko się przyzwyczai.

— Czy on lubi Indian? — zaciekawiał się Mały Tropiciel.

— Dlaczego miałby nie lubić takiego miłego chłopca jak ty? — pytaniem odparł Smuga.

Mały Tropiciel umilkł, dopiero po dłuższej chwili szepnął — Pies senhora Mateo nienawidził Indian. Nie mogłem nawet podejść do niego.

---

<sup>659</sup> — Amerykę zamieszkuje pięć gatunków ścierwników, z których najbardziej znane są: czerwogłowy (*Cathartes aura*) i czarnogłowy (*Cathartes urubu*). Obydwa gatunki mają upierzenie niepozorne, jednostajnie czarne, różniące się natomiast ubarwieniem nagich części głowy i szyi. Czerwogłowy zamieszkuje całą Amerykę od Kanady aż do Cieśniny Magellana, głównie na wybrzeżach, podczas gdy czarnogłowy należy raczej do fauny Ameryki Południowej, sięgając Meksyku i południowych stanów USA. Z życia i obyczajów ścierwniki podobne są do innych sępów.

— Widocznie wytresowano go w ten niemądry sposób — odparł Smuga i urwał rozmowę. Rozmyślał przez chwilę, po czym znów zagadnął: — Co zrobił Mateo z tym psem? Prócz indiańskich psów nie widziałem innego w obozie.

— Zabrał go do lasu na polowanie — wyjaśnił chłopiec. — Potem po powrocie powiedział, że pies mu uciekł.

— Mateo na pewno bardzo gniewał się z powodu tej ucieczki — rzekł Smuga i roześmiał się, jakby uważał historię za zabawną. Wiedział, że cudze niepowodzenia zazwyczaj śmieszyły Indian.

— Tak, ale on tylko udawał złość — odpowiedział Indianin. — Przecież sam odwiązał psa z arkanu i odegnał w las.

— Chyba przyśniło ci się to wszystko — zażartował Smuga. — Nie mogłeś tego widzieć. Mateo na pewno nie zaprosił cię na polowanie!

— Nie, nie, senhor! Nie zabrał mnie. On także nienawidzi Indian. Ale ja akurat tropiłem jeżozwierza, gdy senhor Mateo nadszedł ze swoim psem. Ukryłem się w gąszczu i wszystko widziałem. Przymocował jakiś przedmiot do obroży psa, a potem odwiązał go z arkanu i odegnał w las.

— Czy pamiętasz może, kiedy to się stało? — zapytał Smuga, coraz bardziej zaintrygowany.

— Pamiętam, było to właśnie na jeden księżyc przed napadem na obóz.

Smuga odczuł jakiś nieokreślony niepokój. Naraz drgnął, jakby nieoczekiwanie dokonał niezwykłego odkrycia. Zaraz jednak udał, że śledzi lot urubu kołujących w powietrzu nad padliną. Dopiero po dłuższym czasie odezwał się obojętnym tonem — Czy Mateo zawsze chodził na polowanie z tym swoim psem?

— W jaki sposób mógłby zawsze z nich chodzić, skoro miał go zaledwie kilka księżyców! — oburzył się chłopiec, bowiem sądził, że biali zawsze powinni wszystko wiedzieć bez pytania.

— No tak, masz rację — potaknął Smuga i uśmiechnął się. — Od kogo dostał tego psa?

— Nie wiem, przywiózł go znad Amazonki, gdy odbierał ze statku transport żywności.

— Cóż to za przedmiot przywiązał Mateo do obroży psa? — zagadnął Smuga.

— Nie spostrzegłem, nie mogłem podkraść się zbyt blisko. Bałem się, że pies mnie zwęszy.

— Czy ten pies więcej już nie powrócił do obozu?

— Nie, nie wrócił. Pewno też bał się senhora Mateo. To zły człowiek!

— Może nawet bardzo zły — potwierdził Smuga. — Nie mów mu nigdy o tym, że go wtedy śledziłeś. Mógłby zrobić ci krzywdę.

— Nie powiem, senhor. Boję się go.

Smuga przerwał rozmowę. Nabił fajkę tytoniem, po czym zapalił i począł rozmyślać. Starał się wpleść przypadkowo zdobytą informację w nikłe ślady zebrane podczas śledztwa. Dopiero późnym popołudniem powrócił z chłopcem do obozu. Tego wieczora długo nie mógł zasnąć.

Następnego ranka, jak zwykle, wstał o świcie. Szybko zjadł śniadanie, a następnie założył na biodra pas z rewolwerami i wyszedł z baraku. Zaraz natknął się na Nixona, który zawołał — Hallo! Właśnie chciałem z panem porozmawiać. Czas już wracać do Manaos. Mateo sprytny chłop, podgonił robotę. Wilson może rozpoczynać zbieranie kauczuku. Nic tu po mnie.

— Kiedy chce pan wyruszyć? — zapytał Smuga.

— Jutro o świcie. Czy wraca pan ze mną? Nic więcej pan tu chyba nie wywęszy. Za wiele czasu minęło od napadu. Nie mamy żadnych dowodów przeciw Alvarezowi. Więc co, jedziemy razem?

— Odpowiem panu po południu — odparł Smuga. — Teraz chciałbym pokazać Mateowi miejsce na brzegu rzeki dogodnie do zbudowania nowej przystani dla łodzi.

— Stara jeszcze nadaje się do użytku...

— Ma pan rację, ale przy tej okazji chcę pogadać z Mateem.

— Czyżby pan jeszcze miał nadzieję dowiedzieć się czegoś nowego?

— Chcę porozmawiać z nim na osobności.

— Jak pan uważa. Nie mogę mieszać się w pana kompetencje. Ale to chyba strata czasu.

— Być może. Mimo to porozmawiam. Wrócimy wkrótce.

Smuga podszedł do grupy Indian wykańczających mieszkalny barak. Mateo ochryplym od ciągłego krzyczenia głosem ponaglał robotników. Smuga znał przysłowiowe lenistwo Metysów, więc wydało mu się, że Mateo przyspiesza pracę, aby tym samym jak najprędzej pozbyć się nadzoru

zwierzchników. Uważnym wzrokiem obrzucił Metysa. Na jego biodrach zwiślał pas z rewolwerem. Zza spodni wystawała rękojeść noża.

— Mateo! — zawołał Smuga.

— Sim, senhor! — odparł Metys podchodząc bliżej.

— Czy dzisiaj skończycie ten barak?

— Już prawie gotowy.

— To dobrze, wobec tego masz trochę czasu. Pójdziemy nad rzekę. Pokażę ci, gdzie należy zbudować nową przystań.

— Czy zaraz mamy pójść?

— Tak będzie najlepiej. Jutro zamierzamy z panem Nixonem wracać do Manaos — odpowiedział Smuga nieznacznie obserwując Metysa. Zdawało mu się, że Mateo ukrył uśmiech zadowolenia, pospiesznie strzepując pył ze spodni.

Ruszyli w las na przełaj ku rzece. Smuga milczał i szybko prowadził przez bezdroża. Po półgodzinnym marszu Mateo zdziwiony zagadnął.

— Zabłądziłeś senhor! Nie idziemy najkrótszą drogą do rzeki. Tak odległa od obozu przystań nie będzie dla nas przydatna.

— Nie obawiaj się, nie zabłądziłem — odparł Smuga i przyspieszył kroku. Po kwadransie stanęli na brzegu. Mateo parsknął gardłowym śmiechem i rzekł — A jednak zabłądziłeś! To jeden z dopływów, a nie Rio Putumayo!

— Wiem o tym! — lakonicznie odparł Smuga.

Odwrócił się twarzą w twarz do Metysa. Mierzył go zimnym wzrokiem, ale naprawdę wcale nie był tak spokojny. Wiele by dał, żeby mieć już tę okropną rozmowę za sobą.

— Po co mnie tu przyprowadziłeś? — gniewnie warknął Metys, rozglądając się wokoło.

Smuga odczekał dłuższą chwilę zanim odparł — Chcę z tobą porozmawiać.

— O czym?

— O napadzie na obóz.

— Mówiłem już, jak było.

— A może chciałbyś jeszcze coś dodać?

— Powiedziałem wszystko, nic więcej nie wiem. Wracajmy do obozu!

— Nie spiesz się tak bardzo. Musisz mi odpowiedzieć na kilka pytań.

Błyski gniewu zamigotały w oczach Matea. Smuga postąpił krok ku niemu.

— Z czterech naszych capangów tylko ciebie jednego oszczędzili mordercy — odezwał się. — Powiedz, dlaczego pozwolili ujść ci z życiem?

— Mówiłem już, przycupnąłem w baraku, a potem uciekłem w las — odparł Metys. — Więcej nie wiem!

— Słuchaj, Mateo, tylko podlec ucieka, gdy mordują jego towarzyszy.

— Było ich dużo, zaskoczyli nas we śnie, sam jeden nic bym nie zdołał. Smuga jeszcze bardziej przybliżył się do Matea. Cichym głosem rzekł — Chciałbyś, żebym uwierzył w twoje podłe tchórzostwo. Nic z tego, Mateo. Znam prawdę! Jesteś nikczemnym zdrajcą. Sądziłeś, że nigdy nie dowiem się o psie, którego w przeddzień napadu wysłałeś z wiadomością do swych kompanów. Tyś zawiadomił ich o nieobecności Wilsona w obozie. Ty również wysłałeś z baraku swoich trzech podwładnych dozorców, wiedząc, że zginą bez szans obrony.

Mateo poszarzał z wściekłości. Nagłym ruchem chwycił rękojeść rewolweru. Stali na małej łasze piaskowej nad brzegiem rzeczki. Smuga błyskawicznym kopnięciem obsypał twarz Matea piachem. Metys wprawdzie zdążył pociągnąć za cyngiel, lecz oślepiiony chybił. W tej chwili mocny cios w podbródek powalił go na ziemię. Padając upuścił broń.

— Wstań, Mateo! — rozkazał Smuga. — Przyznałeś się do strasznej winy.

Metys już nie odważył się na sprzeciw. Stalowszare oczy przeciwnika spoglądały bezlitośnie. Wiedział, że jego życie zawisło na włosku.

— Teraz odwróć się tyłem i złóż dłonie na plecach — powiedział Smuga. Wydobytym z kieszeni rzemieniem skrępował przeciwnika. Przez jakiś czas milczał, jakby zbierał się w sobie. W końcu nachmurzony odwrócił Metysa twarzą do siebie.

— Przegrałeś, Mateo! — odezwał się. — Wyznaj wszystko!

Szarość nie schodziła z twarzy jeńca, ale pełen nienawiści wzrok był jedyną odpowiedzią.

— Milczysz! Tym gorzej dla ciebie! — powiedział Smuga. — Wkrótce będziesz prosił, żebym chciał słuchać twego wyznania.

Popchnął Metysa na sam brzeg rzeki, przeciągnął mu rzemień pod pachami, opasując piersi. Wolny koniec arkanu przerzucił przez konar zwisający nad wodą. Po chwili Mateo kołysał się w powietrzu nad wodą, a

Smuga przywiązał drugi koniec sznura do pnia drzewa. Teraz usiadł na brzegu i zapalił fajkę. Minęło nieco czasu, zanim wytrząsnął popiół i powstał.

— No, Mateo, mów! Cierpliwość moja już się skończyła — odezwał się do Metysa.

Mateo tylko splunął w odpowiedzi. Smuga wy dobył rewolwer. Huknął strzał. Jeden z sępów bujających w powietrzu upadł na ziemię.

Smuga podniósł go i wrzucił do wody prosto pod nogi jeńca wiszącego na sznurze. W kilka chwil nadpłynęła ławica krwiożerczych piranii<sup>660</sup> zwabiona zapachem krwi. Martwy sęp, jak gdyby nagle ożył, szarpany silnymi szczękami małych rybek uzbrojonych w ostre jak noże zęby. Wkrótce tylko czarne pióra zaczęły spływać z prądem rzeki.

Smuga bez słowa odwiązał koniec arkanu od pnia drzewa. Powoli zaczął opuszczać Metysa, dopóki jego stopy niemal nie dotknęły powierzchni wody.

Mateo krzyknął straszliwie; gwałtownie uniósł nogi zginając je w kolanach. W tej pozycji nie mógł jednak trwać długo, a krwiożercze ryby kotłowały się pod nim.

Pot dużymi kroplami spływał po twarzy Matea, wykrzywionej grymasem przerażenia. Czuł, że siły go opuszczają.

— Podciągnij mnie do góry! — zawołał.

Smuga odczekał chwilę nie wypuszczając arkanu z rąk, po czym zapytał — Kim byli dowódcy Yahua?

— To ludzie Pancho Vargasa! Podciągnij, spiesz się, już nie mogę! Smuga zdumiał się i nie dowierzał. Słyszał wprawdzie o walce Vargasa o tereny kauczukowe i o jego handlu niewolnikami indiańskimi, lecz człowiek ten przebywał daleko, gdzieś w okolicy rzeki Tambo.

— Kłamiesz, Mateo! — powiedział.

— Przysięgam na moje życie! — gorączkowo wołał Metys. — To ludzie Vargasa: Jose i Cabral. Napadli za namową Alvareza! Zapłacił im! Podciągnij mnie!

Wkrótce na pół omdlały jeniec siedział na ziemi.

— Kto zabił młodego Nixona? — surowo zapytał Smuga.

— Cabral.

<sup>660</sup> — Piranie (*Ierrosalmuś*) — mięsożerne, żarłoczne ryby wielkości naszych płotek, o silnych szczękach i ostrych zębach, prawdziwy postrach wód Ameryki Południowej. W przeciągu kilku minut potrafią objeść swą ofiarę do gołego szkieletu.



— Dlaczego nas zdradziłeś?

— Kilka miesięcy temu byłem w Manaos. Dużo przegrałem w karty. Alvarez pożyczył mi na zapłacenie długu. Powiedział, że nie muszę zwracać, jeśli oddam mu przysługę. Gdy odbierałem na Amazonce ostatni transport żywności, przyплыnęli ci dwaj — Cabral i Jose. W imieniu Alvareza zażądali, abym namówił Nixona do wysłania Wilsona z obozu i zawiadomił ich o tym. Dali mi w tym celu swego psa.

— Podle postąpiłeś, Mateo, wielka jest twoja wina — odparł Smuga.

— Powiedziałem wszystko, co chciałeś. Uwolnij mnie teraz! — rzekł Mateo już nieco pewniejszym tonem.

Smuga surowo popatrzył na niego, po czym odezwał się — Mogłem dowiedzieć się prawdy od ciebie, a potem puścić koniec sznura. Do tej pory już tylko twoje kości leżałyby na dnie rzeki. Czy wiesz, dlaczego jeszcze żyjesz, nikczemny zdrajco?

— Senhor, daruj życie!

— Żyjesz, bo to byłaby dla ciebie zbyt łagodna kara — ciągnął Smuga. — Człowiek, który szybko umiera, nie ma czasu zdać sobie sprawy z wielkości swej winy.

— Czego jeszcze chcesz? — zapytał drżącym głosem Mateo.

— Najpierw zaprowadzisz mnie do Yahuan, którzy okaleczyli martwego Nixona. Potem wspólnie odszukamy Cabrala i jego kompana, a następnie odwiedzimy Pedra Alvareza.

Metys milczał zasępiony. Dopiero po dłuższej chwili cicho powiedział — Muszę zrobić to, czego żądasz. Jednak nie mów prawdy w obozie. Cubeowie natychmiast by mnie zabili!

— Gdybyś spróbował ucieczki, odnajdę cię, choćbym nawet miał na to poświęcić resztę mego życia, a wtedy... Pamiętaj!

Przeciął jeńcowi więzy, po czym rozładował jego rewolwer i razem z nożem rzucił mu pod nogi.

— Bierz i idź przede mną! — rozkazał.



## SPOTKANIE Z INDIANAMI TIKUNA

Po powrocie do obozu Smuga odbył poufną naradę z Nixonem i Wilsonem. Obydwaj byli głęboko wstrząśnięci zdradą, jakiej dopuścił się Mateo.

— A to nikczemny łotr! — zawołał Nixon. — Zawsze okazywałem mu tyle zaufania. Nawet i teraz...! Jaki dureń ze mnie! Gdyby nie pan, mogłoby dojść do nowego nieszczęścia!

— Podły! Bez skrpułów wydał nieszczęsnego Johna w ręce morderców — zawtórował Wilson. — Zasłużył na najsurowszą karę. Nie rozumiem, dlaczego od razu nie wpakował mu pan kuli w łeb!

Smuga, do którego były zwrócone te słowa, zmarszczył brwi i odparł — Nie jestem katem, panie Wilson!

— Skoro dla wydobycia zeznań nie zawahał się pan torturować go jak Indianin, to obowiązkiem pana było również wymierzyć mu zasłużoną karę — zapalczywie dodał Wilson.

— Najpierw pokonałem Matea w równej walce, posiadał broń tak jak ja! — odpowiedział Smuga. — Potem wprawdzie postraszyłem go piraniami, ale nie jestem pewny, co bym zrobił, gdyby dalej milczał uparcie!

— Niech pan nie obraża pana Smugi porównaniem z dzikimi Indianami — surowo wtrącił Nixon. — Okrutna zemsta już nie przywróci życia biednemu Johnowi.

— Naprawdę nie chciałem pana urazić, bardzo przepraszam... — natychmiast odezwał się Wilson zmieszany, lecz Smuga przerwał mu, mówiąc — Zapomnijmy o tym, nie obraziłem się wcale. Nie uważam Indian za ludzi gorszych od nas. To właśnie biali sprawili, że życie ich stało się piekłem. Jeśli jednak może się pan zdobyć na dokonanie samosądu nad bezbronnym jeńcem, to proszę wziąć mój rewolwer i zastrzelić Matea. Na pewno na to zasłużył. Jest zamknięty w pana pokoju, ma związane ręce i nogi.

Rzucił broń na stół, a Wilson zawstydzony pospiesznie rzekł — Zasłużyłem na to, co pan powiedział. Jeszcze raz przepraszam. Cóż jednak teraz zrobimy z Mateem? Przecież nie może mu to ujść na sucho!

— Możemy oddać go pod sąd w Manaos, na pewno zostanie ukarany — doradził Nixon.

— To byłoby przedwczesne. Alvarez ma znaczne wpływy — powiedział Smuga. — Proszę nie zapominać, że Mateo jest nie tylko współwinnym zbrodni, lecz również w tej chwili jedynym świadkiem, którego zeznania, poparte innymi dowodami, umożliwią osiągnięcie właściwego inspiratora napadu. Musimy zebrać więcej świadków.

— Co pan więc zamierza? — zapytał Nixon.

— Najpierw chciałbym dotrzeć do Yahuan, którzy brali udział w napadzie i okaleczyli zwłoki Johna. Może uda mi się odkupić od nich to makabryczne trofeum. Niech głowa nieszczęsnego młodego człowieka spocznie w ziemi razem z jego ciałem.

— To bardzo szlachetnie, że pomyślał pan o wyświadczeniu Johnowi tej ostatniej przysługi — odezwał się wzruszony Nixon. — Obawiam się tylko, czy wojowniczy Yahuanie zechcą pertraktować z nami w tej sprawie.

— Pośrednikiem będzie Mateo, którego przecież znają — wyjaśnił Smuga. — Potem zamierzam odszukać bezpośredniego mordercę, Cabrala i jego kompana. Zmuszę ich do złożenia zeznań. Wtedy będziemy mogli policzyć się z Alvarezem. Czas już położyć kres jego zbrodnicyzmy intrygom.

— A co z Mateem? — odezwał się Wilson.

— Zabiorę go z sobą. Nie będzie to dla niego najweselsza wyprawa — odpowiedział Smuga.

— Nie upilnuje go pan w dżungli. Umknie przy pierwszej okazji — zafrasował się Wilson.

— Nie pozwolę, aby pan sam wchodził wilkowi w paszczę — zaproponował Nixon. — Pójdziemy razem! Pan Zbyszek da sobie radę w Manaos. Zaraz napiszę dla niego polecenia. Wilson dopilnuje pracy w naszych obozach. Wyprawa przecież nie potrwa zbyt długo.

— Nie, nie, panie Nixon. To nie byłoby zbyt rozsądne — odezwał się Wilson. — Jako bliski krewny zamordowanego nie potrafi pan zachować spokoju i rozwagi podczas pertraktacji z Yahuanami. Poza tym nieobecność pana, jako kierownika przedsiębiorstwa, mogłaby spowodować wiele kłopotów. Ja będę towarzyszył panu Smudze, a pan pozostanie tutaj, w obozie. Stąd łatwiej kontaktować się z panem Zbyszkiem w Manaos. Lepiej znam selwę niż pan. Tym samym pan Smuga będzie miał ze mnie większy pożytek.

— Wilson ma słuszość, tak będzie najlepiej — zauważył Smuga.

— Cabral i Jose pracują dla Vargasa, a z nim trzeba postępować ostrożnie.

— Pan decyduje w tych sprawach — rzekł Nixon. — Słyszałem co nieco o Vargasie. Rzeka Tambo daleko stąd. Niebezpiecznie tam. Siłą niewiele wskóracie.

— Podobno Vargas dysponuje setkami ludzi — dodał Wilson.

— Do licha, czy dla zdemaskowania Alvareza warto się tak narażać?

— zapytał Nixon.

— Nie tylko sprawa Alvareza skłania mnie do odwiedzenia Vargasa — odparł Smuga. — Jego poplecznicy uprowadzili naszych Indian. Gdyby udało się choćby tylko część z nich wykupić z niewoli, zyskalibyśmy większe zaufanie pracowników. Gra warta ryzyka. Poza tym uważam to za nasz obowiązek. Pracując dla nas popadli w niewolę, która dla nich oznacza śmierć.

— Teraz rozumiem, dlaczego ludzie tak garną się do pana! Uczciwy z pana człowiek — odezwał się Wilson. — Pójdę z panem na tę wyprawę i... może pan na mnie liczyć.

— Nie chcę przeciwstawiać się tym zamiarom. Argumenty pana Smugi są przekonujące — przyznał Nixon. — Będziecie potrzebowali pieniędzy. Nie mam ich przy sobie. To zajmie trochę czasu...

— Nie możemy czekać tutaj na pieniądze. Do Vargasa należy dotrzeć jak najprędzej, jeżeli chcemy ocalić naszych Indian — wyjaśnił Smuga.

— Według relacji Matea plemię Yahua, które brało udział w napadzie, zamieszkuje gdzieś nad Solimoes<sup>661</sup>, a więc po drodze do Iquitos<sup>662</sup>, skąd popłyniemy Ukajali do rzeki Tambo. W Iquitos bez trudności podejmiemy w banku potrzebną gotówkę.

— Dobrze, dam czek — oświadczył Nixon. — Powinniście również zabrać kilku zaufanych ludzi.

---

<sup>661</sup> — Solimoes — brazylijska nazwa górnej części Amazonki, obejmująca odcinek tej rzeki od granicy peruwiańskiej do ujścia do niej Rio Negro.

<sup>662</sup> — Iquitos — miasto i port rzeczny założony w 1863 r. na brzegu górnej Amazonki w północno-wschodniej części Peru. Jest stolicą departamentu Loreto i zarazem handlowym centrum dla północno-wschodniego Peru, skąd transport towarów odbywa się Amazonką w kierunku Brazylii i jej wschodniego wybrzeża morskiego.

— Myślałem już o tym, lecz nie jestem pewny, czy ktoś z naszych Indian odważy się zapuścić w obce, odległe tereny — odparł Smuga. — Co pan na to, Wilson?

— Dobra zapłata mogłaby zachęcić kilku śmiazków, ale niewielki będzie z nich pożytek. Nie potrafią obchodzić się z bronią palną.

— To najmniejszy kłopot, szybko się nauczą. Do tego mają talent — odpowiedział Smuga. — Niech im pan powie, że szukamy czterech ochotników i wyjaśni, o co chodzi.

— Dobrze, zaraz się zakrzątnę. Kiedy wyruszamy?

— Za dwa dni. Zdąży się pan przygotować?

— Zdążę!

— A więc do dzieła!

Wilson nie miał trudności ze zwerbowaniem Indian na wyprawę. Na wieść, że Smuga zamierza wykupić brańców z niewoli, pierwszy zgłosił się Haboku, mężczyzna o wielkich wpływach, i czynem swym ośmielił innych. Haboku był łowcą jaguarów, które budziły powszechny strach wśród Cubeów. Wierzyli oni, że jaguar jest niebezpiecznym czarownikiem lub jego psem. Stąd też nieliczni łowcy jaguarów cieszyli się wielkim szacunkiem wśród swoich. Jako symbol godności i odwagi Haboku nosił naszyjnik z zębów jaguara oraz przepaskę biodrową ze skóry pancernika.

W ślad za odważnym Haboku jeszcze dziesięciu Cubeów wyraziło chęć wzięcia udziału w wyprawie. Wilson wybrał trzech najsprawniejszych w wiosłowaniu, bowiem do osiedli wojowniczych Yahuan mogli dotrzeć tylko wodą, a i dalej, z Iquitos w górę Ukajali, statki bardzo rzadko płynęły w głąb dzikich krain. Należało więc przygotować się do samodzielnej żeglugi. Smuga uzbroił ochotników w karabiny i już po kilkugodzinnych ćwiczeniach potrafili posługiwać się bronią palną.

Nim minęły dwa dni, ukończono przygotowania do drogi. Trzeciego dnia o świcie Nixon z gromadą Cubeów odprowadził towarzyszy na brzeg Rio Putumayo. Znajdowała się tam prymitywna przystań. Do niej to była przywiązana na sznurze z lian długa, wąska łódź, wyłobiona w pniu mahoniowego drzewa. Ostro zakończony dziób i rufa wystawały ponad wodę. Wielką zaletę łodzi stanowiła jej lekkość, dzięki czemu mogła być

przenoszona po łądzie w miejscach, gdzie progi rzeczne <sup>663</sup>uniemożliwiały żeglugę. Haboku przysiadł na rufie jako sternik, a trzech pozostali Indianie razem z Mateem, usadowieni w szeregu, mieli wiosłować. Smuga z Wilsonem zajęli miejsca pomiędzy sternikiem i wiosłarzami. Na przodzie łodzi ułożono bagaże. Po krótkim pożegnaniu Smuga dał znak do odjazdu. Łódź odbiła od przystani i popłynęła w górę Rio Putumayo.

Cubeowie byli w wesołym nastroju. Za udział w wyprawie mieli otrzymać sowite wynagrodzenie, a obecność nieustraszonego Smugi dawała im poczucie bezpieczeństwa. Toteż wprawnie sterowana łódź szybko mknęła pod prąd w pobliżu brzegu, gdzie drzewa selwy rzucały na wodę ożywczy cień.

Szczep Cubeo zamieszkiwał od niepamiętnych czasów <sup>664</sup> nad brzegami rzeki Uaupes i jej dopływów. Nic więc dziwnego, że wszyscy mężczyźni z tego szczepu byli doświadczonymi wiosłarzami. Od dzieciństwa zżywali się z wodą, która w ich życiu odgrywała niepoślednią rolę. Gościńcami łączącymi spokrewnione klany, czyli wspólnoty, były rzeki. Mężczyźni łowili w nich ryby, polowali na ich brzegach i budowali przystanie dla łodzi. W nadbrzeżnych chaszczach ukrywali święte bębny, w których takt kąpali się o brzasku, aby zaczerpnąć sił od sławnych, zmarłych przodków, przebywających, w myśl wierzeń, w toni życiodajnej rzeki. Z tego względu rzeki stanowiły uświęcony teren dla każdego klanu. Wykonywanie wszelkich obrzędów religijnych należało jedynie do mężczyzn, wobec czego rzeki były ich wyłączną domeną działania, natomiast do kobiet należały poletka, na których uprawiały maniok, trzcinę cukrową, kukurydzę, pataty i melony.

Już po kilku godzinach żeglugi Smuga upewnił się, że dobór załogi był właściwy. Łódź wciąż z jednakową prędkością mknęła w górę rzeki, a wiosłarze nie okazywali zmęczenia. Siedzieli niemal nieruchomo jak posągi z brązu i jedynie szybkimi, krótkimi ruchami przedramion równomiernie posuwali łódź pod prąd. Byli też w dobrym nastroju.

---

<sup>663</sup> — Próg rzeczny to jakby schody w korycie rzeki, tworzące się na skutek różnej odporności skał, w których rzeka żłobi swe koryto. Wysokie progi tworzą wodospady. Progami rzecznyymi są np. porohy na Dnieprze, katarakty na Nilu.

<sup>664</sup> — Szczep Cubeo zamieszkuje brzegi rzeki Uaupes — w Kolumbii Vaupes — (od jeziora Uarna do strumienia Uaracapuri) i jej dopływów: Cauduiari, Querari i Pirabaton oraz nad strumieniem Uaracapuri.

— Heę ee ee...! — wołał któryś z nich do ptaków bujających w powietrzu. — Dokąd fruniecie?! Jeśli uniosę moją strzelbę, zaraz zakończycie swój lot!

Wtórowały mu śmiechy towarzyszy. Potem chóralnie nucili jakąś pieśń we własnym narzeczu, ani na chwilę nie przerywając wiosłowania łopatkowymi, krótkimi wiosłami indiańskimi o wypalonych, oryginalnych wzorach. Jednak gdy bok łodzi czasem niemal ocierał się o brzeg, a rozłożyste konary drzew zakrywały niebo, natychmiast ustawały żarty i śpiewy, Indianie bowiem zachowują w lesie milczenie.

W nadbrzeżnym gąszczu panowała prawie niczym nie zmacona cisza. Czasem tylko rozbrzmiewał głuchy trzask padającego leśnego olbrzyma lub rozpaczliwy krzyk ginącego zwierzęcia. W pozornie martwej ciszy głuszy leśnej wciąż trwała w przyrodzie bezlitosna walka na śmierć i życie.

Koryto rzeki usiane było mnóstwem wysepek, piaszczystymi wydiami i mieliznami. Na piasku wyłożonym słońcem różowiły się wspaniałe flamingi<sup>665</sup>, to znów drzemały małe, zielone krokodyle. Po mieliznach brodziły białe czaple, a stada dzikich kaczek podrywały się do lotu na widok łodzi.

Dwa dni żeglugi na północny zachód minęły bez niezwykłych wydarzeń. Trzeciego dnia, wkrótce po wyruszeniu w drogę, Cubeowie przerwali śpiew i badawczym wzrokiem zaczęli przepatrywać nadbrzeżne gąszcze.

Smuga i Wilson natychmiast zauważyli zwiększoną ostrożność i niepokój Indian. Od razu domyślili się, że wpłynęli na tereny zamieszkiwane przez jakieś wojownicze plemię. Wilson oparł dłoń na leżącym na dnie łodzi karabinie, a Smuga począł uważnie śledzić obydwaj brzegi. Przez jakiś czas szybko płynęli zachowując milczenie. Naraz sternik Haboku wydał cichy, ostrzegawczy okrzyk i wskazał ręką na lewy brzeg. W zakolu rzeki

---

<sup>665</sup> — Flamingi albo czerwonaki (*Phoenicopteri*) należą do czwartego podrzędu bocianokształtnych. Zamieszkują pas podzwrotnikowy oraz części pasa umiarkowanego Starego i Nowego Świata, brak ich jednak na Molukach, w Polinezji, Australii, Tasmanii i Nowej Zelandii. Jednym z sześciu gatunków są czerwonaki karmazynowe (*Phoenicopterus ruber*) o nadzwyczaj długiej szyi i dziobie zaopatrzonym na brzegach w liczne blaszki rogowe, tworzące z dzioba coś w rodzaju sita. W połowie swej długości dziób jest silnie zagięty w dół. Flamingi mają długie, cienkie nogi. Upierzenie białe z różowym nalotem, pokrywy skrzydłowe karminowoczerwone, lotki czarne. Dziób u nasady karminowoczerwony, na końcu czarny. Długość ciała samca dochodzi do 120–130 cm, samica jest nieco mniejsza. Gniazda z mułu budują w kształcie stożka na płytkiej wodzie lub na wysepkach.



znajdowała się mała kanu, czyli łódź wyżłobiona w drzewie, w której Indianin na stojąco polował harpunem na ryby.

Samotny rybak był niezwykle muskularnym mężczyzną średniego wzrostu. Jego ciemnobrązowe ciało okrywała jedynie wąska przepaska biodrowa z włókien drzewnych, zabarwionych na czerwono sokiem achioty<sup>666</sup>, oraz nałożona na szyję jakby obroża z tych samych włókien, posiadająca sute frędzle zwisające luźno na piersi i plecy. Na przegubach rąk i nóg nosił obcisłe bransolety z łyka. Na barwnie tatuowaną twarz o wybitnie mongolskim typie opadały czarne, twarde, lśniące włosy przycięte w grzywkę.

Rybak pochylony nad wodą wypatrywał łupu. W tej właśnie chwili nagłym ruchem wznosił ramię uzbrojone w harpun, by ugodzić rybę i wtedy spostrzegł dużą, obcą łódź wypływającą na zakole rzeki. Ramię wzniesione do góry nie zadało ciosu. Indianin rzucił broń na dno łodzi, po czym porwał wiosło i szybko płynąc ku brzegowi coś wołał gardłowym głosem. Było to zapewne ostrzeżenie lub wezwanie o pomoc, gdyż wkrótce gromada Indian uzbrojonych w łuki wybiegła z zarośli na brzeg rzeki. Zaledwie ujrzeli nadpływających obcych ludzi, część z nich pędem ruszyła w kierunku łodzi wyciągniętych na łachę piaskowca.

Na widok zbrojnej gromady Mateo poruszył się niespokojnie i krzyknął półgłosem — Do wszystkich diabłów, szybciej. To Indianie Tikuna!

— Tikuna! — potwierdził Haboku.

Tikunowie tymczasem już odbijali od brzegu. Niektórzy pospiesznie nakładali strzały na cięciwy łuków. Widząc to Mateo odwrócił się do Smugi i powiedział — Gdyby nas dogonili, nie mów im nic, senhor, że płyniemy do Yahuan. Oni się wzajemnie nienawidzą! W ucieczce najpewniejszy ratunek!

Haboku i jego towarzysze zachęceni przykładem Mateo jeszcze ostrzej uderzyli wiosłami o wodę. Łódź zaczęła szybko oddalać się od brzegu.

Ucieczka i pogoń trwały już około dwóch godzin. Kilka łodzi z przygotowanymi do ataku Tikunami powoli, lecz systematycznie zbliżało się do uciekających. Smuga coraz częściej odwracał się ku nim i wzrokiem uważnie mierzył odległość, aż w końcu odezwał się — Chyba nie unikniemy walki. Mają więcej wiosłarzy i są mniej zmęczeni...

— Ostudźmy ich zapal kulami — zaproponował Wilson.

---

<sup>666</sup> — Achiota — arnota właściwa. *Bixa orellana* i *Bixa urucuma* wytwarzają bardzo ciemny barwnik zwany czerwienią orleańską.

— Zła rada — karcąco odezwał się Haboku. — Jeśli choć jeden z nich padnie, wtedy już na pewno nie przerwą pogoni. Wkrótce będzie noc i burza nadciąga. Może uda się uciec!

— Awantura nie przyniesie nam niczego dobrego — przyznał Smuga. — Lepiej wszyscy bierzmy się do wiosła!

Łódź zwiększyła szybkość. Odległość między uciekającymi i pogonią chwilowo przestała się zmniejszać.

Przewidywania Haboku sprawdziły się niebawem. Zanim zapadł wieczór, ciężkie, ołowiane chmury przysłoniły zachodzące słońce. Najpierw duże krople deszczu spadły na ziemię, a potem porywisty wiatr targnął nadbrzeżną dżunglą. Przy blasku pierwszych błyskawic Tikunowie zawrócili łodzie i pograżyli się w szybko zapadającym zmroku.

Haboku natychmiast zaczął sterować łodzią w kierunku brzegu. Był już najwyższy czas na szukanie schronienia na lądzie. Na mętnej i wzburzonej rzece coraz częściej pokazywały się pnie powyrywanych drzew i duże kępy trzciny, grożące łodzi wywróceniem, a nawet rozbiciem.

Zaledwie łódź dobiła do brzegu, Cubeowie wyciągnęli ją na ląd, a następnie, wykorzystując pnie drzew jako główne filary, rozpoczęli budować obszerny szałas, by schronić się w nim przed ulewą. Burza już szalała na dobre, gdy podróżnicy przemoknięci do suchej nitki znaleźli się w szałasie, sporządzonym z gałęzi, liści i lian. O rozpaleniu ogniska nie mogło być nawet mowy, więc Wilson wydzielił racje suchego prowiantu. Długo posilali się w milczeniu, albowiem wszyscy byli wygłodniali i wyczerpani całodzienną żegluga oraz ucieczką przed Tikunami. Potem porozpinali swe hamaki w szałasie i ułożyli się do snu na wilgotnych posłaniach.

Smuga długo leżał z otwartymi oczami wsłuchując się w odgłosy płynące z puszczy. Po jakimś czasie wichura nieco się uspokoiła i tylko deszcz głośno szeleścił w gęstym poszyciu lasu. Wokół Smugi rozbrzmiewały oddechy śpiących towarzyszy. Tuż obok z prawej strony znajdował się hamak Matea. Smuga nie skrępował go na noc. Wszyscy przecież byli bardzo zmęczeni i powinni należycie wypocząć przed wyruszeniem w dalszą drogę, która mogła przynieść wiele różnych niespodzianek. Smuga leżał więc i czuwał obawiając się jakiegoś nowego podstępu ze strony Mety są.

Czas wolno upływał... Smuga uśmiechał się do siebie rozmyślając o swych młodych przyjaciółkach, Sally i Tomku, którzy przebywali w Londynie

oddaleni o tysiące kilometrów. Tomek Wilmowski właśnie kończył pisanie pracy etnograficznej o Papuasach zamieszkujących Nową Gwineę. W ostatnim liście do Smugi ojciec Tomka szeroko rozwodził się na ten temat, ponieważ kilku członków Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie, cieszącego się wielkim autorytetem naukowym, okazało duże zainteresowanie dziełem młodego Polaka.

Smuga cieszył się sukcesem Tomka, którego lubił jak własnego syna. Przecież to właśnie Tomek pragnął go we wszystkim naśladować, by stać się równie sławnym podróżnikiem. Z niemałym wzruszeniem wspominał pierwszą ich wspólną wyprawę do dalekiej Australii, kiedy młody wówczas chłopiec wręcz mu to wyznał. Żałował, że teraz nie ma Tomka przy sobie. Na Tomku zawsze można było polegać. Posiadał niezwykły dar zjednywania sobie ludzi oraz intuicję, dzięki której podczas wypraw łowieckich niejednokrotnie cało wychodzili z różnych trudnych sytuacji. Świadomość, że Tomek przybyłby na każde jego wezwanie nie zważając na nic, sprawiała mu wiele radości.

Rozmyślając o młodym przyjacielu Smuga wsłuchiwał się w oddechy śpiących towarzyszy. Z sąsiedniego hamaka rozległo się mocne chrapanie. W tak burzliwą noc nie należało już obawiać się napadu Tikunów. Poza tym przesądni Indianie w ogóle nie mieli zwyczaju wędrować po lesie po zachodzie słońca. Wierzyli, że wtedy krążyły po nim różne złe duchy, których bardzo się obawiali. Skoro więc Mateo spał w najlepsze, Smuga również mógł trochę odpocząć przed świtem. Przymknął oczy. Z wolna zapadał w drzemkę.

Naraz przebudził się, lecz jak człowiek przyzwyczajony do niebezpieczeństw, nie wykonał najmniejszego ruchu. Wolniutko uchylił powiek. Burza ucichła i deszcz przestał padać. W szalasiu panował półmrok; jasna poświata księżycowa wpełzała przez otwór wejściowy. Przez chwilę czujnie nasłuchiwał. Wokół słychać było głębokie oddechy śpiących. Smuga pomyślał, że obudził go zapewne krzyk jakiegoś nocnego ptaka. Nie mógł jednak ponownie zasnąć, nurtował go jakiś wewnętrzny niepokój. Nagle pojał, co go przebudziło: Mateo przestał chrapać. Smuga wytężył słuch...

Wydawało mu się, że słyszy nikły szelest, jakby ktoś przesuwiał dłonią po pniu drzewa, na którym zawieszony był jego hamak. Od razu uzmysłowił sobie, że tam właśnie, na sęku, powiesił pas z rewolwerami.

„*Mateo kradnie broń*” — pomyślał.

Jeśli nawet tak było, nie mógł temu zapobiec. Zanim zerwałby się z hamaka, Metys miałyby czas pchnąć go nożem lub zastrzelić. Leżał więc spokojnie i oddychał równomiernie jak człowiek pogrążony w głębokim śnie.

Spod uchylonych powiek pilnie wpatrywał się w rozjaśniony światłem księżycyca otwór wejściowy szałas. Nagle zrobiło się zupełnie ciemno.

„*Mateo wychodzi* — rozumował Smuga. — *Zasłonił sobą otwór*”.

Po krótkiej chwili poświata księżycowa znów rozjaśniła mrok. Smuga bezszelestnie zsunął się z hamaka na ziemię. Jeden ruch ręką upewnił go, że Mateo opuścił swe posłanie. Potem szybko przesunął dłonią po pasie z rewolwerami zawieszonymi przy własnym hamaku. Pochwy były puste.

Ostrożnie zbliżył się do wyjścia. Nie budził nikogo. Każda chwila, zwłoki mogła ułatwić Mateowi ucieczkę. Nadstawił ucha. Usłyszał szelest w zaroślach nadrzecznych. Domyślił się, że Mateo zamierza uciec łodzią. Był to doskonały pomysł, bowiem pościg lądem nie miał jakichkolwiek szans na dogonienie uciekiniera. Poza tym Mateo nie pozostawiłby śladów ułatwiających tropienie.

Smuga wysunął się z szałas, po czym chyłkiem pobiegł ku brzegowi, gdzie pozostawili łódź wyciągniętą na ląd. Zdumiał się ujrzawszy, że ciężka, długa łódź była już niemal do połowy zepchnięta na wodę. Nie docenił przedtem siły Metysa. Nie było czasu do stracenia. Jeśli Mateo znajdzie się na rzece w łodzi, umknie bez trudności. Smuga nie mógłby nawet powstrzymać go strzałem, gdyż w pośpiechu nie zdążył zabrać broni.

Mateo właśnie pochylił się nad rufą łodzi, ujął ją od spodu dłońmi i zaczął spychać na wodę. Smuga dopadł uciekiniera. Uderzeniem w kark powalił go na łódź. Mateo dźwignął się i klęknął. Widocznie poznał napastnika, gdyż ręka jego bez wahania sięgnęła do pasa, za którym miał zatknięte rewolwery. Smuga pięścią uderzył go w podbródek. Mateo przetoczył się na plecy. Zanim stanął na nogi, przeciwnik zwałił się na niego całym ciężarem swego ciała. Smuga posiadał niemałe doświadczenie w walce wręcz. Toteż wkrótce prawa ręka Mateo wykręcona do tyłu zatrzeszczała w stawie. Mateo jęknął z bólu..

Teraz Smuga wyciągnął mu rewolwer zza pasa, po czym rzekł — Głupi jesteś, Mateo! Żywy nigdy mi nie uciekniesz! — przyłożył mu rewolwer do pleców. — Wstań! — rozkazał.

Metys postępując podniósł się z ziemi. Smuga bez trudu odebrał mu drugi rewolwer.

— Jeśli jeszcze raz spróbujesz uciekać, to oddam Yahuanom twoją głowę za głowę Johna Nixona — ostrzegł. — A teraz kładź się spać, bo najdalej za dwie godziny ruszamy w drogę!



## NA RIO PUTUMAYO

Smuga niewiele spał tej nocy. Za ledwie księżyc skrył się za drzewami po drugiej stronie rzeki, Haboku dotknął jego ramienia. Smuga natychmiast otworzył oczy. W szalasie panował mrok. Mateo jeszcze postękiwał przez sen obok na hamaku.

— Czas już na nas — szepnął Haboku. — Wkrótce nastanie dzień...

— Zbudź wszystkich, ruszamy — odparł Smuga.

Wyszedł z szałasu. Wilson wydzielał racje suchego prowiantu.

— Dzień dobry! — zawołał. — Śniadanie gotowe! Trochę zasnął pan dzisiaj!

— Dzień dobry, istotnie nie słyszałem jak wstawaliście — odparł Smuga, nic nie wspominając o nocnej próbie ucieczki Mateo.

— Niech pan dopilnuje, żeby wszyscy byli za kwadrans w łodzi. Ja tymczasem rozejrzę się po okolicy.

Wkrótce przystanął na brzegu Putumayo, która nieco dalej w kierunku na zachód przekraczała granicę Kolumbii<sup>667</sup>, wdzierającej się tutaj wąskim pasem pomiędzy terytoriami Brazylii i Peru. Była to najkrótsza droga do Yahuan, zamieszkujących w pasie przygranicznym Peru na brzegu Rzeki Świętej Teresy, dopływu Putumayo.

Rzeka jeszcze kryła się w nocnej, gęstej mgle. Nadbrzeżne drzewa roztopiały się w sinawych oparach. Gdyby nawet Indianie Tikuna czaili się do napadu gdzieś w pobliżu, teraz nic by nie mogli przedsięwziąć. Pora była doskonała do przekroczenia cichaczem granicy kolumbijskiej.

Smuga nie tracąc czasu powrócił do obozu, gdzie jego towarzysze już kończyli posiłek.

— W drogę! — krótko rozkazał.

---

<sup>667</sup> — Kolumbia (nazwa od odkrywcy Ameryki — Krzysztofa Kolumba) — republika w północno-zachodniej Ameryce Południowej, granicząca z Wenezuelą, Brazylią, Peru, Ekwadorem i Panamą. Ludność osiedlona jest w większości w wąskich dolinach górskich. Południowozachodnie niziny, zajmujące 2/3 kraju, są prawie bezludne. Stolicą jest Bogota we wschodnim łańcuchu Andów; 2/3 ludności trudni się rolnictwem i hodowlą bydła. Kawa jest głównym towarem eksportowym. Kopalnie szmaragdów, złota i platyny w dolinie Atrato w pobliżu granicy panamskiej; ropa naftowa jest podstawowym bogactwem.

— Jesteśmy gotowi — odparł Wilson pakując do podręcznej torby śniadanie dla Smugi, podczas gdy Haboku z wiosłarzami już przenosili bagaże nad brzeg rzeki. Niebawem wszyscy zajęli miejsca w łodzi.

Płynęli w milczeniu około godziny. Naraz pojaśniało na wschodzie. Światłość dzienna szybko rozpraszała mgłę. Na czyste, lazurowe niebo wychyliło się palące słońce. Nadbrzeżna selwa natychmiast rozbrzmiała krzykiem ptactwa. Parami bądź stadkami przelatywały nad rzeką głośno kracząc papugi, których barwne upierzenie błyskało wszystkimi kolorami tęczy. Na piasku na brzegach wylegiwały się nieruchomo krokodyle i wielkie żółwie. Stada wrzaskliwych małp rozpoczęły harce na drzewach.

Była to już druga połowa pory suchej<sup>668</sup> toteż prócz krokodyli i żółwi inne zwierzęta również pojawiały się na brzegach rzeki w poszukiwaniu życiodajnej wody.

Bystrooki Haboku wkrótce wypatrzył wielkiego mrówkojada trójpalczastego<sup>669</sup>, pokrytego czarnobrunatnym, gęstym, dość sztywnym włosiem, który na grzbiecie tworzył rodzaj grzywy, a dalej na ciele zwieszał się na boki.

Łódź właśnie płynęła blisko brzegu. Niespodziewanie wynurzyła się spod zwisających konarów drzew. Zwierzę zaledwie ją spostrzegło, przysiadło na tylnych nogach, a przednie, uzbrojone w potężne pazury, mocniejsze od pazurów jaguara, uniosło do obrony. Nie atakowane przez żeglarzy zerwało się do ucieczki i machając puszystym ogonem, przypominającym pióropusz, ociężałym galopem zniknęło w lesie.

Podróżnicy płynęli dalej bez chwili wytchnienia. Zbliżało się południe. Haboku naraz wydał cichy okrzyk i zaczął ostro kierować łódź ku brzegowi. Jeden z Cubeów rzucił wiosło na dno łodzi i zaraz podjął łuk oraz strzały. Zbudzeni z drzemki Smuga i Wilson ujrzeli znaczne stado pekari<sup>670</sup>

---

<sup>668</sup> — Pora sucha na tych szerokościach geograficznych trwa od maja do września.

<sup>669</sup> — Mrówkojad trójpalczasty (*Myrmecophaga tridactyla*) osiąga długość do 2,5 m. Tylko koniec nosa, wargi, powieki i podeszwy ma bezwłose. Waga dorosłego samca dochodzi do 40 kg. Żyje samotnie, wciąż wędrując. Śpi tam, gdzie zastanie go noc. Żywi się termitami, mrówkami i ich larwami, które wyciąga lepkiem językiem z gniazd rozgrzebanych pazurami. Samica rodzi jedno młode, które nosi prawie rok na grzbiecie i karmi własnym mlekiem. Mrówkojady zamieszkują jedynie podzwrotnikowe okolice Ameryki Południowej.

<sup>670</sup> — Pekari (*Pecari*) — pierwszy podrząd zwierząt parzystokopytnych, do którego należą dwie rodziny: świnię i hipopotamy. Amerykańskie pekari stanowią pierwszą z tych rodzin. Pekari zwykle (*Pekari tajacii*) mieszka od Arkansasu do Patagonii. Ma długość do 1 metra i jest czarnobrunatne.



przepływające się przez rzekę. Smuga natychmiast poznał, że były to pekari białobrode, różniące się od pekari zwykłych dużą białą plamą na dolnej szczęce. Żyły one we wszystkich lesistych okolicach podzwrotnikowej Ameryki Południowej. Wędrowały po lasach przeważnie stadami i z łatwością przebywały napotykaną rzekę.

Pekari właśnie już dopływały do brzegu. Przestraszone widokiem ludzi pospiesznie wspinały się na ląd. Indianin ostrożnie stanął w łodzi. Nałożył strzałę na cięciwę łuku, po czym baczny wzrokiem obrzucił stado. Upatrzył młodszą sztukę i zabił ją dwoma celnymi strzałami. Po umieszczeniu zdobyczy na dziobie łodzi podróżnicy popłynęli dalej w górę rzeki.

Zanim nadszedł wieczór Wilson oznajmił Smudze, że już znajdują się na terytorium Peru. Mateo, który dobrze znał te okolice, potwierdził jego słowa. Smuga był pełen podziwu dla Indian, którzy przez cały dzień wiosłowali prawie bez wytchnienia oraz posiłku, a mimo to nie okazywali wyczerpania i jeśli tylko bezpieczeństwo żeglugi pozwalało, nucili pieśni bądź żartowali<sup>671</sup>.

Teraz jednak był już najwyższy czas na odpoczynek. Toteż wypatrywali odpowiedniego miejsca, dogodnego na rozłożenie obozu.

Wkrótce przybili do brzegu. Wyciągnęli łódź na małą piaszczystą plażę, po czym Cubeowie rażno przystąpili do budowania szałasu. Smuga z Wilsonem przysiedli na krawędzi łodzi.

---

Szeroki pas biało–żółty biegnie od łopatki w dół. Gruczoł grzbietowy ma wydzielinę o przejmującym zapachu. Pekari białobrode (*Tayassu pecari*) zamieszkuje wszystkie lesiste okolice Ameryki Południowej i Środkowej. Nadają się do udomowienia.

<sup>671</sup> — Niezwykła wytrzymałość na wysiłek fizyczny Indian południowoamerykańskich została potwierdzona przez naukowców i podróżników. Irving Goldman, który prowadził badania etnograficzne wśród Indian Cubeo pisze w swoim dziele pt. *The Cubeo Indians of the Northwest Amazon (Indianie Cubeo północno–zachodniej Amazonii)*, że Cubeowie wykazują olbrzymią wytrzymałość przy minimum pożywienia i wypoczynku. Na przykład mogą wiosłować przez 17 godzin, zaledwie odrobinę odpoczywając i jedząc tylko garstkę potrawy z manioku na wodzie. Potwierdza to również wybitny polski podróżnik–badacz i pisarz Mieczysław Lepecki, który między innymi odbył 7 podróży do Ameryki Południowej. Najkrótsza z nich trwała pół roku, najdłuższa w czasie II wojny światowej i po jej zakończeniu — 17 lat. Lepecki był swego czasu także kierownikiem Polskiej Ekspedycji Badawczej do wschodniego Peru, która w 1927 roku, z ramienia Banku Gospodarstwa Krajowego w Warszawie, miała zbadać warunki dla polskiego osadnictwa w Peru. Lepecki był wówczas jednym z nielicznych w Polsce znawców języków używanych w Ameryce Łacińskiej i doskonale również znał panujące tam warunki geograficzne, gospodarcze i polityczne. Na jego obserwacje powołuje się Kazimierz Moszyński w dziele pt. *Człowiek — Wstęp do etnografii powszechnej i etnologii*, który pisze: „Według M.B. Lepeckiego Indianie południowoamerykańscy mogą wiosłować od świtu do zmroku z godzinną przerwą na obiad, tj. około 11 godzin, nie odczuwając zmęczenia i nawet prowadząc wesołe gawędy”.

— Mateo był dzisiaj niezwykle ponury — zagadnął Wilson. — Czyżby spotkanie z Yahuanami tak bardzo było mu nie na rękę?

Smuga uśmiechnął się, popatrzył na Metysa, który właśnie przygotowywał pekari do upieczenia.

— Poprzedniej nocy usiłował po cichu rozstać się z nami — odparł po chwili. — Zwędził mi rewolwery i próbował czmychnąć łodzią. Na jego nieszczęście zbudziłem się w porę. Trochę oberwał ode mnie.

— A to by nas urządził! Dlaczego mówi pan o tym dopiero teraz?

— zdumiał się Wilson. — Popelniliśmy wielką nieostrożność! Po burzliwym wieczorze posnęliśmy jak susły! Czy oprócz pana nikt z Cubeów nie przebudził się?

— Nie, ale niech się pan im nie dziwi — powiedział Smuga.

— Przecież oni nie wiedzą o zdradzie Matea, a burza i później mgła na rzece dostatecznie zabezpieczały nas przed przykrymi niespodziankami.

— To prawda, lecz czy obecnie nie powinniśmy ostrzec Cubeów przed tym podstępny Metysem?

— Nie, jeszcze nie! — oponował Smuga. — Łatwiej nam teraz upilnować Matea, niż potem ochronić go przed słuszną zemstą Indian, którzy nigdy nie wybaczą wyrządzonej im krzywdy. Jeśli dowiedzą się prawdy, życie Matea nie będzie warte nawet funta kłaków.

— Niewątpliwie ma pan słuszność — przyznał Wilson. — Wobec tego musimy obydwaj czuwać na zmianę.

— Właśnie dlatego powiedziałem panu o jego próbie ucieczki. Zbliżamy się do terenów Yahuan. Być może Mateo pozostaje z nimi w lepszej komitywie, niż się do tego przyznaje. Jeśli nie będziemy przezorni wiele złego może nas spotkać.

— Teraz wiem, dlaczego zasnął pan dzisiejszego ranka. Pewno nie zmrużył pan oka w nocy? Dzisiaj ja pierwszy będę czuwał — rzekł Wilson.

— Zgoda, zbudzi mnie pan o pierwszej.

Noc minęła spokojnie. Smuga, który po Wilsonie pełnił straż do rana, zbudził towarzyszy przed wschodem słońca. Dzień zastał ich już w drodze. Niebawem dotarli do Rzeki Świętej Teresy.

Płynęli nie rozmawiając i uważnie rozglądali się po obydwóch brzegach; według zapewnień Matea znajdowali się w pobliżu osiedli Indian Yahua.

Przez dłuższy czas łódź cicho przemykała pod osłoną konarów drzew zwisających nad wodą. Wytrawni wiosłarze bezgłośnie zanurzali łopatkowate wiosła w toni, nikt nie odzywał się ani nie wykonywał zbędnych ruchów. Toteż nie płoszona zwierzyna często ukazywała się na brzegach. Cubeowie tylko zerkali na nią i ani na chwilę nie przerywali wiosłowania. W pewnej wszakże chwili ciche parsknięcia rozbrzmiały w pobliżu. Indianie posłyszawszy je, jak na komendę wciągnęli wiosła do łodzi i położyli w poprzek na burtach, po czym zastygli w bezruchu.

Tymczasem tuż na brzegu rozległo się jakby głośnie szczeknięcie. „*Girrk! Girrk! Girrk! Girrk!*” — brzmiało coraz natarczywiej. Pojawiły się jakieś dziwne, odważne zwierzątka pływające w rzece w pobliżu łodzi. Zamiast parskać z zadowolenia, jak poprzednio, poczęły szczekać. Były to wydry olbrzymie<sup>672</sup>, ten właśnie gatunek popularnych na całym świecie zwierząt żyje wyłącznie w Ameryce Południowej.

Wydry już otaczały bezwładnie kołyszącą się na falach cichą łódź i płynąc wokół niej podniecone głośno szczekały. Indianie zachowywali milczenie i dyskretnie nie zwracali uwagi na pływające wokół łodzi zwierzęta. Cierpliwie czekali, aż wydry samorzutnie się od nich oddalą.

Mateo, aczkolwiek uważał się za białego człowieka, zachowywał się tak jak Indianie. Widocznie nie zerwał jeszcze z miejscowymi zwyczajami. Smuga i Wilson dostosowali się do towarzyszy. Wiedzieli, że te powszechnie występujące w Brazylii zwierzęta nigdy nie są napastowane przez Indian Cubeo. Zapewne wiązało się z tym jakieś wierzenie lub przesąd.

Wydry tymczasem dawały prawdziwy popis swych niedoścignionych umiejętności pływackich. Ich ciemnobrunatne, gęste, połyskujące futerka to pojawiały się na powierzchni, to znów niknęły pod wodą. Wśród stadka były dorosłe okazy o długości ciała razem z ogonem do półtora metra, a także i młode znacznie niniejsze.

---

<sup>672</sup> — Wydry (*Lutrinae*) są znakomicie przystosowane do życia w wodzie. Mają spłaszczone głowy, sierść podobną do bobrowej, błony pławne między palcami i długi, spiczasty ogon. Zamieszkują wybrzeża mórz i brzegi rzek we wszystkich częściach świata z wyjątkiem Australii. Wyrządzają duże szkody w rybostanie. W Ameryce Południowej występuje gatunek (*Pteronura brasiliensis*) — wydra olbrzymia. W Europie żyje jeden gatunek, *Lutra lutra*, który występuje także w Afryce, Azji południowej i środkowej. Wydry mieszkają w norach o wylotach pod powierzchnią wody. Gatunek *Latax lutris* jest wyłącznie mieszkańcem mórz. Futro tych wyder ma handlową nazwę „bobrów kameczackich”. Wydry żywią się rybami, rakami i innymi zwierzętami wodnymi.

Biali podróżnicy z upodobaniem obserwowali zwierzęta trudne do upolowania ze względu na ich bardzo wyostrzone zmysły. Widocznie nie zetknęły się jeszcze dotąd z największym swym wrogiem — człowiekiem, gdyż były tylko podniecone i nie uciekały od razu na widok ludzi. Jedyne samiec na brzegu, który pierwszy ostrzegł pływające stadko, okazywał zaniepokojenie. Biegał tu i tam przypominając szybkim chodem po ziemi pełzanie węża, to znów niezgrabnie wspinał się na drzewa, co stanowiło jaskrawy kontrast z doskonale pływającymi i znakomicie nurkującymi wydrami w wodzie.

Po dłuższej chwili stadko pogrzyżyło się w rzece i zniknęło. Samiec pełniący straż na brzegu również zsunął się do wody i wspnianym nurkiem popłynął za swoimi.

Indianie ujęli wiosła, łódź znów pomknęła pod prąd rzeki.

Około południa Mateo zaczął uważnie rozglądać się po okolicy. Po jakimś czasie odwrócił się do Smugi i rzekł — To już niedaleko! Radzę nie chwycić za broń na widok Indian. Oni tego nie lubią, a białych się nie boją!

— Dziękujemy za radę — odparł Smuga. — Gdy spotkamy Yahuan, nie odchodź ode mnie ani na krok! Będziesz mi potrzebny jako tłumacz.

Mateo spojrzał spode łba. Słowa Smugi nie wywarły na Cubeach specjalnego wrażenia. A więc Smuga nic im nie powiedział o jego zdradzie i próbie ucieczki! Był to dla niego dobry znak.

Cubeowie nie okazali obawy usłyszawszy, że zbliżają się do osiedli Yahuan, którzy dokonali na nich napadu. Jedyne za przykładem Smugi starannie sprawdzili zamki karabinów i spokojnie dalej wiosłowali. Teraz Smuga był już całkowicie pewny, że w gorących chwilach może polegać na swej załodze. Informacje Wilsona, że Cubeowie znani są z opanowania i odwagi, potwierdzały się na każdym kroku.

Łódź ostrożnie popychana wiosłami cicho płynęła wzdłuż brzegu. Nikt teraz nie śpiewał ani nie rozmawiał. Przemykali niemal bezszelestnie pod konarami oceniającymi szerokie pasmo wody.

Naraz tuż ponad głowami płynących rozległy się przeraźliwe okrzyki. W pierwszej chwili podróżnikom zdawało się, że za chwilę spadnie na nich z ukrycia ulewa strzał z łuków. Gdy jednak oczekiwany w napięciu atak nie nastąpił, a przejmujące dreszczem krzyki ucichły, odetchnęli z ulgą.

— Przekłęte wyjce<sup>673</sup>! — wybuchnął Wilson.

— A jakże, całe stado buszuje na drzewach ponad nami — rzekł Smuga spoglądając w górę. — Teraz mają uciechę, że napędziły nam strachu!

— Wziąłem ich za wojowniczych Yahuan — odparł Wilson i roześmiał się głośno.

Smuga mu zawtórował.

Cubeowie i Metys nie dzielili wesołości białych towarzyszy wyprawy. Nadal siedzieli cicho i niepewnie spoglądali na siebie.

— Ruszajcie w drogę! — rozweselony zawołał Wilson. — Nie ma się czego trwożyć, na szczęście były to tylko wyjce!

Haboku spojrział na niego karcącym wzrokiem i odparł cierpko — Nie ciesz się, senhor, przedwcześnie. Na atak Yahuan odpowiedzielibyśmy kulami z karabinów. Walka nigdy nie przeraża Cubeów. Pamiętaj jednak, że wycie małp zawsze zwiastuje jakieś nieszczęście!

— To prawda — przytaknął Metys. — Na pewno ktoś z nas zginie. Małpy wyczuwają to nieomylnie!

— Wobec tego miej się na baczności — rzekł Smuga zaglądając Metysowi w oczy. — Złe wróżby przeważnie spełniają się ludziom, którzy mają nieczyste sumienie...

Mateo spochmurniał. Jakiś przesądny strach przed Smugą zaczął wkradać się w jego serce. Może ten biały posiadał nadnaturalną moc? Bo czyż w innym przypadku mógłby natrafić na ślad psa, który był dowodem winy? Czy mógłby dwukrotnie pokonać takiego siłacza jak on, nie używając broni? Gdyby nie Smuga, nikt nie przeszkodziłby mu w ucieczce. Teraz znów przepowiadał mu śmierć...

Cubeowie ciekawie zerkali na zasepionego Matea. Zastanawiali się, dlaczego ten niezwykle biały człowiek mówił, że wyjce wróżyły śmierć właśnie Metysowi? Może naprawdę wiedział...? Cubeowie wierzyli we wróżby, tajemne moce i złe leśne duchy. Ci nieustraszeni w boju wojownicy

---

<sup>673</sup> — Wjce stanowią osobną grupę małp szerokonosych (*Platyrrhini*). Prócz czepnego ogona, obnażonego po dolnej stronie końcowej części, charakteryzują się specjalnym wykształceniem się kości podjęzykowej, która wydęta jest w baniasty rezonator. Dzięki temu głosy ich mają potężny ton organów, w których można doszukać się pewnego rytmu i melodyjności. Samce wyjca czarnego (*Alouatta caraya*) są czarne, samice natomiast słomianożółte, zaś samce wyjca czerwonego (*Alouatta senisulus*) są czerwone, a samice i młode ciemnoczerwone lub niemal czarne. Długość tych małp razem z ogonem dochodzi do 1,35 m.

drżeli zawsze na samą myśl o czarach, czarownicach i truciznach. Każdy zgon spowodowany jakąkolwiek chorobą przypisywali czarom rzuconym przez złego człowieka. Za naturalną śmierć uważali tylko utratę życia podczas walki, wskutek nagłego wypadku lub z powodu starości. Skoro ten biały mówił, że wyjce przepowiadały Mateowi śmierć, to na pewno tak się stanie.

## ŁOWCY GŁÓW

Było parne, wczesne popołudnie. Mateo w skupieniu coraz uważniej rozglądał się po brzegach rzeki. Wkrótce też rzekł półgłosem — Już niedaleko do wioski Yahuan, poznaję okolicę!

Za załomem rzeki podróżnicy ujrzeli pień olbrzymiego drzewa ogołocony z gałęzi, który przerzucony w poprzek ponad wodą łączył przeciwległe brzegi. Przy obydwóch końcach tego prymitywnego mostu widniały ścieżki wydeptane przez ludzi. Ginęły one w nadbrzeżnych chaszczach.

— Przybijaj do lewego brzegu! — powiedział Mateo, a odwróciwszy się do Smugi, dodał: — To już tutaj, senhor!

Łódź zbliżyła się do stromego wybrzeża. Cubeo, który siedział najbliżej dzioba wyskoczył na brzeg, po czym wciągnął za sobą przód łodzi.

— Stąd już blisko do wioski Yahuan, teraz musimy iść pieszo — oznajmił Mateo.

— Dobrze, najpierw tylko ty pójdziesz ze mną — odparł Smuga rozglądając się po okolicy.

Mateo skinął głową. Smuga przewiesił przez ramię podręczną torbę, a następnie z karabinem w dłoni wysiadł na brzeg. Odwrócił się do towarzyszy i powiedział — Wilson, pan i Cubeo wie pozostaniecie w łodzi. Dwa strzały rewolwerowe z mojej lub waszej strony będą oznaczały wezwanie o pomoc.

— Będę miał oczy i uszy otwarte na wszystko, może pan być spokojny — zapewnił Wilson.

Smuga z Mateem wspięli się na brzeg dość stromo w tym miejscu opadający ku rzece. Weszli w dżunglę. Smuga zachowywał ostrożność, gdyż kręta ścieżka co chwila niknęła w gąszczu. Nagle tuż za ostrym zakretem natknęli się na samotnego Indianina. Zapewne podążał na polowanie, w rękach trzymał bowiem długą świstulę, a do pasa miał przytroczoną podłużną plecionkę na strzały. Ubrany był w sutą spódnicę z rafii, zwisającą z bioder niemal aż do ziemi, oraz w dużą perukę na głowie, która niby peleryna, luźno opadała na ramiona i plecy. Na samym czubku głowy nosił przypięty do peruki, okrągły, wyplatany z rafii, płaski wieniec, przypominający aureolę, jaką widuje się u świętych na obrazach.

Na widok obcych Indianin znieruchomiał w pozornie biernej postawie, lecz doświadczony Smuga doskonale się orientował, że było to pełne skupionej uwagi napięcie, które mogło nagle rozładować się w przyjazny lub wrogi sposób. W takiej sytuacji czasem nawet jakiś mało znaczący bądź niezręczny ruch ze strony przybyszów mógł spowodować zgubne następstwa.

Smuga uśmiechnął się przyjaźnie i powoli ruszył ku Indianinowi. Ten zaś szybko cofnął się i uniósł do góry ręce odwracając ku obcym otwarte dłonie, jakby usiłował ich powstrzymać lub odepchnąć od siebie.

— Stój, senhor, stój! — pospiesznie ostrzegł Mateo. — Taki ruch oznacza: „*Nie zbliżaj się do mnie!*”

— Wiem — spokojnie odparł Smuga. Przystanął, po czym sięgnął ręką do torby przewieszanej przez ramię. Wydobył z niej małą paczuszkę i podając ją Indianinowi, rzekł: — Samiki <sup>674</sup> dla ciebie od przyjaciół!

Indianin cofnął się jeszcze o krok nie opuszczając rąk. Smuga wyjął z kieszeni fajkę, nabił ją tytoniem z paczuszki przeznaczonej dla Indianina i zapalił. Wypuścił kłęb dymu, a następnie znów podał tytoń Indianinowi, mówiąc — Samiki!

Indianin opuścił ręce, czającym się krokiem podszedł do Smugi i ostrożnie wziął tytoń. Nie spuszczając wzroku z obcych powąchał podarunek, a następnie wyjął z małej torby wiszącej przy pleciance na strzały pękata fajeczkę. Nałożył do niej tytoniu. Nie okazał strachu, gdy Smuga podał mu zapaloną zapalną. Był to znak, że stykał się już z białymi ludźmi.

Indianin i biały pykali z fajeczki stojąc naprzeciwko siebie. Naraz Indianin schował fajkę i zapytał łamaną hiszpańszczyzną — Czego chcecie?

— Przybyliśmy do twojego wodza — odparł Smuga. — Przynosimy podarunki.

— Czy macie tivi <sup>675</sup>? — zaciekawiał się Indianin.

— Sól mamy również — potwierdził Smuga.

— Nie wiem, czy wódz Tunai będzie z wami mówić.

— Czy jest w wiosce?

— Jest, ale... To nie wasza sprawa!

— Zaprowadź nas do niego, sami go zapytamy!

— Daj tivi!

---

<sup>674</sup> — Samiki — tytoń w narzeczu Yahua.

<sup>675</sup> — Tivi — sól w narzeczu Yahua.



Smuga wydobyl woreczek i wysypal troche soli na reke Indianina, ten za dlonia dal znak, aby szli za nim.

Wedlug zwyczaju Indian poludniowoamerykanskich przewodnik szedl szybkim i krótkim, elastycznym krokiem. Wkrótce znaleźli się na obszernej leśnej polanie. Na jej skraju, w cieniu wysokich drzew, stało kilka domów zbudowanych na palach.

Dwaj przybysze spowodowali wśród mieszkańców wioski duże poruszenie. Mężczyźni siedzący na pniach drzewnych przerwali pogawędkę. Przenikliwym wzrokiem mierzyli białego i Metysa. Dzieciarnia z piskiem zaczęła się kryć pod podłogami domów, a kobiety również zdradzały wielką chęć do ucieczki. Z jednego domu zeskoczył na ubitą ziemię rosły Indianin, którego peruka z rafii przyozdobiona była barwnymi piórami papug, zasuszonymi ptakami i myszami. Jego prawe ramię przepasywała bransoletka z trawy, za którą zatknięte miał trzy połyskliwe pióra.

Na jego widok Mateo przytrzymał Smugę za ramię i szepnął — To właśnie jest wódz Tunai...

— Czy zna ciebie? — zapytał Smuga.

— Tak, już mnie widział...

— Więc powitaj go teraz, ale pamiętaj: jedno nieopatrzone słowo, a zastrzelę cię natychmiast!

— Pamiętam, senhor — zapewnił Mateo.

Smuga bacznie obserwował Metysa. Jego pewna mina świadczyła wymownie, że czuł się bezpieczny wśród wojowniczych łowców głów.

Tunai tymczasem przybliżył się na kilka kroków i stanął wyczekująco.

— Bom dia, compadre<sup>676</sup>! — odezwał się Mateo.

Tunai mierzył go przenikliwym wzrokiem. Drwiący uśmiech pojawił się na jego ustach, po czym rzekł po hiszpańsku — Buenos dias!<sup>677</sup> Czy sami tu przybyliście?

— Buenos dias, Tunai! — odezwał się Smuga. — Nasi towarzysze czekają w łodzi nad rzeką. Chcemy z tobą pomówić. Przywieźliśmy podarki.

— Nie potrzebuję więcej niewolników — pogardliwie odparł Tunai. Słowa te zmieszały Mateo, bowiem w ten sposób wódz Yahuan potwierdził jego winę.

---

<sup>676</sup> — Dzień dobry, kumie.

<sup>677</sup> — Dzień dobry.

— Nie o napad chodzi... tym razem — odpowiedział Smuga. — Mam pewną sprawę do ciebie, wodzu, którą możemy całkowicie załatwić tutaj.

— Skoro przychodzisz z compadre Mateem, porozmawiamy... później — zgodził się Tunai.

— Później, to znaczy kiedy? — zapytał Smuga.

— Jutro, dzisiaj wybieramy nowych wojowników.

— Czy możemy rozłożyć obóz w pobliżu wioski?

— Compadre Mateo może, więc i wy też. Witajcie, skoro przyszliście do nas jako przyjaciele.

W dwie godziny później podróżnicy rozbili namioty na uboczu wioski Yahua. Wilson doglądał Cubeów przygotowujących posiłek, a Smuga w towarzystwie Mateo wręczył Tunai upominki. Były to: stalowy nóż myśliwski z pochwą skórzaną, tytoń i parę sznurów szklanych, barwnych koralii. Tunai przyjął dary i w zamian ofiarował Smudze bambusową dmuchawkę oraz plecionkę z krótkimi strzałami.

Gdy Smuga zaciekawiony oglądał oryginalny kołczan, Tunai uśmiechnął się i ostrzegł — Bądź ostrożny, strzały są zatrute kurarą<sup>678</sup>!

Yahuanie nie okazywali przybyszom wrogości, lecz mimo to śledzili ich czujnym, podejrzliwym wzrokiem. Smuga ani na krok nie odstępował Matea. Znajdowali się przecież wśród wrogów, z którymi Metys utrzymywał przyjazne stosunki. Jedno jego słowo mogło obrócić przeciwko nim kilkudziesięciu okrutnych wojowników. Smuga polecił Wilsonowi i Cubeom, aby nie oddalali się z obozu, a sam z Mateem myszkował po wiosce.

Większość mężczyzn robiła przygotowania do uroczystości, podczas której najsprawniejsi chłopcy mieli być jakby „pasowani” na wojowników. Był to swego rodzaju oryginalny bezkrwawy turniej. Mianowicie kilkunastu młodzieńców miało parami kolejno zмагаć się na olbrzymim pniu drzewa, położonym w poprzek głębokiego rowu. Zrzucenie przeciwnika z pnia oznaczało zwycięstwo. W ten sposób tylko najsilniejsi i najzręczniejsi wchodzili do grona wojowników. Mateo wyjaśnił Smudze, że dawniej ten

---

<sup>678</sup> — Kurara — trucizna wytwarzana z wyciągu kory kilku gatunków kulczyby (*Strychnos toxifera*, *S. cogens*, *S. schomburgkii*), z cebuli rośliny *Burmanna* albo ze śluzowatej substancji korzeni *Cissus quadrialata* — używana przez Indian południowoamerykańskich do zatruwania strzał do łuków i dmuchawek.

bezkrwawy bój toczyli kandydaci na wodza plemienia, którym obierany był ostateczny zwycięzca.

Dzięki przedświątecznemu rozgardiaszowi Smuga mógł bez przeszkód rozglądać się po indiańskiej wiosce. Korzystał więc z okazji i śmiało zerkał nawet do wnętrza chat, które przewiewnie budowane, niczego nie ukrywały przed obcymi. Przed wszystkim zwracała uwagę pewna staranność w urządzeniu domostw, przypominających wyglądem raczej jakieś nadziemne werandy zbudowane na palach palmowych, odpornych na niszczącą działalność termitów. Domy nie posiadały bocznych ścian; jedynie dwuspadowe, strome dachy kryte liśćmi chroniły mieszkańców przed deszczem. Do tych nadziemnych mieszkań wchodziło się po pochyło położonych pniach, których jeden koniec opierał się o ziemię, a drugi o podłogę werandy. Wszędzie spotykało się oswojone małpki i papugi hodowane do zabawy dla dzieci.

Kobiety i dzieci przeważnie chodziły nago. Jednak z powodu obecności białych ludzi w wiosce, dorosłe niewiasty pozakładały na szyje i biodra ogoniaste zasłony z rafii.

Kobiety, jak zwykle u ludów pierwotnych, wykonywały wszystkie cięższe prace. Uprawiały poletka maniokowe<sup>679</sup>, lepily z gliny naczynia, wyplatały maty z włókien palmowych i sporządzały naszyjniki z suszonych nasion roślin, nosiły wodę z rzeki, gotowały strawę, a także karmiły niemowlęta i wyszukiwały im wszy we włosach. Dzieciarnia bawiła się bądź też urządziła polowania na duże mrówki oraz larwy, uchodzące wśród Yahuan za wielki przysmak. Chłopcy strzelali ze świstul do celu, pomagali starszym w łowieniu ryb, a w wolnych chwilach przykucali na uboczu przy gawędzących mężczyznach.

---

<sup>679</sup> — Maniok, zwany w Ameryce Południowej „kassawa” (*Manihot Utilissima pohl*), należy do wilczomleczowatych (*Euphorbiaceae*). Jest jedną z najdziwniejszych roślin uprawnych, bowiem bulwy jej zawierają glukozyd rozpadający się łatwo pod wpływem fermentacji na inne związki i wydzielający silną truciznę — kwas pruski. Ludzie już w pradawnych czasach nauczyli się usuwać z manioku trujące składniki. Maniok rośnie dziko w całej Brazylii i stamtąd, w czasie handlu niewolnikami, rozpowszechnił się w całej strefie tropikalnej. Jest to krzew wysoki do 3 m, o dużych, dłoniasto podzielonych liściach na długich ogonkach. Owoce jego stanowi trójdzielna torebka. Pod ziemią tworzy bulwy o długości do 60 cm i wadze do 5 kg. Brazylijska odmiana bulw zawiera bardzo mało glukozydu i dlatego można spożywać je po ugotowaniu jak ziemniaki. Z manioku wyrabia się mączkę zwaną tapioką.

Wojownicy ochraniaли swą wioskę przed napadami wrogich plemion, organizowali wojenne wyprawy lub uprawiali łowy na zwierzynę. Byli też bardzo odważni i nieraz zdobywali się nawet na atakowanie jaguara uzbrojeni jedynie w nóż. Lecz mimo to zazwyczaj polowali nie narażając się na niebezpieczeństwo; po prostu podkradali się do zwierzyny i strzelali do niej z ukrycia. Posiadali doskonały wzrok i słuch oraz wprost niesamowity węch, który pozwalał im wyczuć obecność zwierza na znaczną odległość.

Smuga był spostrzegawczym obserwatorem. Toteż rychło zwrócił uwagę na widoczne pozostałości wpływów afrykańskich Murzynów. W dawniejszych czasach zwożono ich licznie do Ameryki do niewolniczej pracy na plantacjach, z których często uciekali do selwy, gdzie łączyli się z nienawidzonymi białymi plemionami indiańskimi. Zapewne niegdyś również przebywali wśród mieszkańców tej wioski, bowiem u niektórych Yahuan spostrzegało się cechy tak charakterystyczne dla rasy murzyńskiej. Widoczne były one zwłaszcza u kobiet, które w przeciwieństwie do mężczyzn nie nakrywały głów wielkimi perukami z rafii. Głowy czystej krwi Indian porastały twarde, proste i grube czarne włosy. Tymczasem niektórzy Yahuanie mieli włosy wijące się w loki oraz szerokie nosy i grube, mięsiste wargi. Jeszcze bardziej jaskrawe w tej części Ameryki Południowej były wpływy murzyńskie na zwyczaje. Yahuanie, a także plemiona Witoto, Cocama i inne używały, tak typowych dla Afryki, tam-tamów do porozumiewania się na odległość oraz posiadały muzykę i tańce oparte na własnych i murzyńskich motywach.

Smuga skrzętnie notował w pamięci te niezwykle ciekawe spostrzeżenia, pragnąc w odpowiednim czasie podzielić się nimi z Tomkiem Wilmowskim i jego ojcem. Obserwując dzieciarnię zwrócił uwagę na grupkę chłopców, którzy obrawszy sobie pień ściętego drzewa za cel, strzelali do niego z dmuchawek. Malcy aż wyginali plecy do tyłu i opierali łokcie na brzuchach z trudem unosząc do ust długie świstuły z bambusu.

— Spójrz, Mateo! — zagadnął rozbawiony. — Ile wysiłku wkładają ci chłopcy w tę zabawę w dorosłych.

— W zabawę? — zdumiał się Metys. — Nie, senhor, oni wcale się nie bawią. Czy nie zauważyłeś tego starucha, który udziela im wskazówek? Yahuanie już od dzieciństwa zaprawiają się do strzelania ze świstuł. Dlatego też są niezawodnymi strzelcami. Większość z nich trafia w małą monetę z

odległości trzydziestu kroków, a z pięćdziesięciu nikt z nich nie chybi do zwierzęcia lub człowieka.

Metys umilkł i zamyślony coś rozważał. Potem ujął Smugę pod ramię i rzekł cichym głosem — Alvarez oddał mi złą przysługę płacąc mój dług karciany. Teraz żałuję mego postępuku. Więcej już nie będę próbował uciekać. Pomogę ci odszukać mordercę i zeznam wszystko o Alvarezie. Od tej nocy możesz spać spokojnie, senhor.

— Skąd mogę mieć pewność, że znów nie kłamiesz? — zapytał Smuga.

— Nie lubisz pastwić się nawet nad pokonanym przeciwnikiem — odparł Mateo. — Przy tobie nikomu nie stanie się krzywda, zrozumiałem to teraz. Nie powiedziałaś Cubeom o mojej zdradzie ani o próbie ucieczki.

— Czy jesteś tego pewny?

— Dobrze znam Indian, senhor. Gdyby wiedzieli prawdę, już bym nie żył... Tymczasem oni odnoszą się do mnie tak jak dawniej. Za to właśnie odplacę ci równą monetą. Gdy jestem przy tobie, nic ci tutaj nie grozi, lecz na wszelki wypadek uważaj, żeby nikt z Yahuan nigdy nie znajdował się poza twoimi plecami. Oni są naprawdę bardzo niebezpieczni.

— Dlaczego właśnie ty możesz być dla mnie rękojmią bezpieczeństwa wśród Yahuan?

— Powiem ci, senhor. Yahuanie wywodzą się z bardzo groźnego plemienia Indian Auca. Moja babka była Aucanką, a matka Yahuanką.

— Krótko mówiąc: jesteś wśród swoich...

— Teraz znasz prawdę. Pomogliby mi, gdybym tego zażądał. Mógłbym na przykład wskoczyć w tę grupę wojowników i krzyknąć, że jesteś moim wrogiem. Już byś nigdy więcej nie mógł wyrządzić mi krzywdy.

— Mateo, czy zapomniałeś, że z rewolweru strzelam tak celnie, jak Yahuanie ze swoich świstul? — spokojnie zapytał Smuga.

— Pamiętam o tym — zapewnił Mateo. — Powiedziałem ci o moim pokrewieństwie z Yahuanami dlatego, żebyś uwierzył mi, że już naprawdę nie zamierzam knuć przeciwko tobie. Daruj mi winę, a będę służył ci wiernie.

Smuga spojrział Mateowi prosto w oczy. Uspokoił się, wyczytawszy w nich niemą prośbę.

— Byłeś bardzo lekkomyślny, Mateo, ale może naprawdę jeszcze nie znikczemniałeś do szczeru. Trudno potępić cię, widząc zło panoszące się wokoło. Ja ani pan Nixon nie dybiemy na twoje życie. Byłeś tylko małym

kółkiem w potężnej maszynie bezprawia. Okaż uczciwie, że szczerze żałujesz nikczemnego postępu, a potem... zobaczymy!

— Dziękuję ci, senhor! To wystarczy. Wiem, że mi przebaczysz. Teraz chodźmy do obozu. Zaraz zaczną się uroczystości.

Smuga bez sprzeciwu podążył za Metysem. Najbezpieczniej było nie narzucać się krajowcom. Jeśli Yahuanie nie będą mieli nic przeciwko obecności przybyszów na uroczystości plemiennej, to wódz zaprosi ich na nią. Tak też się wkrótce stało. Przez kilka godzin podróżnicy przyglądali się próbom siły i zręczności. W końcu ośmiu młodzieńców zostało przyjętych do grona dorosłych wojowników i z tej okazji odbyła się ogólna huczna uczta.

W całej wiosce zapanowała wesoła atmosfera, Yahuanie żartowali i śmiali się przy obfitym posiłku, na który przygotowano upieczone w całości małpy, świnki morskie, dwa mrówkojady, żółwie i jaszczurki. Na deser były opiekane w gorącym popiele duże mrówki i delikatne larwy oraz miód, a potem banany, melony i orzechy. W końcu podano napój, który wkrótce zamącił w głowach rozochocionym Yahuanom. Wtedy Smuga i jego towarzysze szybko wycofali się do swego obozu.

Tej nocy Smuga z Wilsonem czuwali aż do świtu. Smuga korzystając z okazji opowiedział o skrusze Metysa. Długo naradzali się, ponieważ nie byli pewni, czy teraz mogą mu całkowicie zaufać. Musieli liczyć się z częstą zmiennością nastrojów u Indian, z których Mateo pochodził. Gawędząc przysłuchiwali się odgłosom uczty. Gra na bębnach i bambusowych fletach, które Yahuanie przejęli od dawnych niewolników murzyńskich, rozbrzmiewała niemal do wschodu słońca. W jej takt Yahuanie tańczyli tańce oparte na wzorach indiańskich i afrykańskiej sambie. Dopiero gdy cisza zapanowała w wiosce, ułożyli się na spoczynek.

Jeszcze przed południem Tunai zawiadomił Smugę, że teraz może odbyć z nim rozmowę. Smuga z Mateo natychmiast udali się na oczekiwane spotkanie. Zastali wodza i kilku znaczniejszych Yahuan przed jego domem na palach, siedzących na kłodach lub dużych liściach, bowiem Yahuanie nigdy nie siadali bezpośrednio na ziemi w obawie przed szkodliwymi insektami. Wódz wskazał przybyszom miejsce obok siebie. Smuga poczęstował wszystkich tytoniem. Nabili fajki i palili w milczeniu. Smuga świadom miejscowych zwyczajów nie spieszył się z rozpoczęciem rozmowy.

Minęła bardzo długa chwila, zanim Tunai zatknął wygasłą fajkę za pasek spódniczki z rafii i odezwał się — Chciałeś ze mną rozmawiać, biały człowieku. Teraz mogę cię wysłuchać.

Smuga wolnym ruchem schował swoją fajkę, po czym odparł — Opowiem ci najpierw o pewnym zwyczaju białych ludzi, wtedy łatwiej zrozumiesz cel mego przybycia do mężnych Yahuan. Wielu białych ciekawie nie znany im świat, w którym żyją różne ludy. Nie wszyscy jednak mogą odbywać podróże przez ogromne wody. Toteż biali w swoich miastach budują specjalne domy, w których gromadzą różne przedmioty, ułatwiające wszystkim poznanie i lepsze zrozumienie innych ludzi. Zakładają też ogrody dla zwierząt zwożonych z dalekich krajów. Ja właśnie trudnię się zbieraniem ciekawostek do tych domów, nazywanych u nas muzeami.

Smuga umilkł i zerknął na Tunai. Gdy wódz Yahuan przed chwilą odezwał się do niego, przypomniał sobie rozmowę Tomka z Australijczykami podczas ich pierwszej wspólnej wyprawy. Rozmową tą Tomek mimo woli przełamał nieufność Australijczyków i zjednał wyprawie łowieckiej ich przychylność. Teraz właśnie Smuga spróbował sposobu Tomka.

Ku radości Smugi, Tunai nie okazał zdziwienia. Obrzucił mówiącego poważnym spojrzeniem i potaknął — Wiem, że są tacy ludzie jak ty. Jeden z nich już był u nas. Mieszka dalej na zachodzie, w Iquitos. Ci, co z nim przyszli, mówili, że w swoim domu posiada bardzo wiele rzeczy kupionych od Indian, a w swoim ogrodzie ma różne zwierzęta... U nas szukał trofeów wojennych<sup>680</sup>.

— Zapewne ludzkich głów? — wtrącił Smuga.

Tunai poważnie skinął głową, ale zaraz uśmiechnął się drwiąco, mówiąc — Orejowie oszukali go. Sprzedali mu głowy, które robią z głów ludzi umierających zwykłą śmiercią. Inne plemiona też oszukują. Głowy małą sprzedają jako ludzkie!

---

<sup>680</sup> — Mowa o dr. Harveyu Basslerze, Amerykaninie pochodzenia niemieckiego, który prawdopodobnie w latach 1920–1935 z ramienia Standard Oil Company kierował pracami poszukiwawczymi w Peru. Równocześnie prowadził badania przyrodnicze i antropologiczne. Jego zbiór biblioteczny na tematy Ameryki Południowej obejmował 32 000 tomów. Zgromadził u siebie w domu okazy florynistyczne i etnograficzne, jakich nie posiadały muzea brytyjskie i niemieckie. Miał także pokaźny zwierzyniec. Jego ekspedycje badawcze docierały od Mądre de Dios do źródła Putumayo i od rzeki Jivari po góry Maranon. Z doświadczeń i wiedzy Basslera korzystało wielu uczonych i pisarzy, którzy pisali o Peru.

— Mateo zapewnił mnie, że jeśli z nim przyjdę do ciebie, kupię dobry towar — powiedział Smuga.

— Jeśli chcesz kupować ludzkie głowy, to idź do plemienia Witoto, ale u nich miej się na baczności. Oni jedzą ludzkie mięso, a głowa białego ma podwójną wartość — doradzał Tunai spod oka obserwując, czy jego słowa sprawiają na Smudze odpowiednie wrażenie.

— Nie zamierzamy płynąć w strony zamieszkane przez Witoto — odparł Smuga. — Udajemy się wprost do Iquitos, a stamtąd na rzekę Ukajali.

— Z Iquitos już nie tak daleko do Jivarow. Oni noszą głowy zdobyte na wrogach przywiązane za włosy do pasa. Po tym zaraz poznasz u nich prawdziwe — doradzał Tunai.

— My musimy popłynąć rzeką Ukajali — powtórzył Smuga.

— Jeden z naszych rozmawiał z takim, co był w niewoli u Jivarow. Oni podobno mają pomniejszone nawet głowy białych ludzi. Te głowy są bardzo, bardzo stare... — zachęcał Tunai. — To mieli być biali, którzy pierwsi spotkali Jivarow. Czarownicy przechowują te głowy.

Smuga z coraz większą uwagą przysłuchiwał się słowom Tunai. Być może wódz Yahuan nie fantazjował. Smuga czytał kiedyś w starych kronikach z hiszpańskich podbojów w Ameryce Południowej o wyprawie Pedro de Alvarado, która natknęła się na dzikich łowców ludzkich głów i poniosła duże straty. Było to w roku 1534, a więc wkrótce po wdarciu się hiszpańskiego konkwistadora Franciszka Pizarra do wnętrza Ameryki Południowej. W czasie gdy Pizarro podbijał Peru, szereg ekspedycji wyruszyło do wnętrza kontynentu w poszukiwaniu legendarnego El Dorado, czyli Kraju Złota. Jedną z nich pod dowództwem hiszpańskiego awanturnika Pedro de Alvarado, który uprzednio zapoczątkował podboje na południowy wschód od Meksyku, natknęła się nad rzeką Maranon na wojownicze i okrutne plemię Jivarow, łowców ludzkich głów. W dymiących oparach dziewiczych dżungli Hiszpanie padali w dzień i w nocy, rażeni strzałami ukrytych w gęstwinie Jivarow. Indianie odcinali zabitym Hiszpanom głowy, a potem pomniejszali je do rozmiarów dwóch pięści dorosłego mężczyzny. Takie było pierwsze zetknięcie się białych ludzi z Indianami Jivaro<sup>681</sup>.

---

<sup>681</sup> — Po raz drugi biali odkryli to wojownicze plemię dopiero około 1948 roku, kiedy to w górach Ekwadoru zaczęto budować lotniska na terenach zamieszkałych przez Jivarow. Jivarowie, w liczbie około 15 000, zamieszkują góry Ekwadoru, na północ od rzeki Maranon i częściowo w Peru. Osiedla



Sprytny Tunai z zadowoleniem spostrzegł wrażenie, jakie wywarła na białym wzmianka o Jivarach. Zachęcony tym mówił dalej — Jeśli zbierasz różne indiańskie przedmioty, to idź do Jivarow. U nich mężczyźni, zamiast kobiet, przędą i tkają materiały oraz ubrania, robią bębny sygnalizacyjne, oszczepy zakończone ludzką kością, świstuchy i wojenne tarcze. Kobiety natomiast lepia z gliny ozdobne garnki, w których podwójnych dnach grzechoczą magiczne kamyki odstraszaające złe duchy. Wszystko to możesz otrzymać od nich za... dobre karabiny. Bronią palną łatwiej upolować człowieka i zdobyć jego głowę.

— Chętnie skorzystałbym z twojej rady, Tunai, ale mam mało czasu, a Jivarowie mieszkają na trudno dostępnych terenach i podobno są bardzo wrogo usposobieni do białych — odparł Smuga. — Do ciebie przybyliśmy, gdyż twój compadre Mateo zapewnił nas, że możemy obdarzyć cię pełnym zaufaniem. Dlatego też proszę cię o odstąpienie jednej pomniejszonej głowy ludzkiej. Jeśli mi dasz to, czego szukam, ofiaruję ci w zamian... nowoczesny karabin.

Tunai opuścił powieki, zapewne aby ukryć błysk pożądania. Pochylił się ku swoim doradcom i szeptem porozumiewał się z nimi. Dopiero po dłuższej chwili odwrócił się do Smugi i rzekł — Dobrze, dam ci taką jedną głowę! Chodźcie!

Smuga i Mateo udali się za wodzem Yahuan na skraj wioski. Przed nadziemną chatą siedział na posłaniu z liści Indianin przy wolno tłącym się ognisku. W jego żarze stały dwa duże gliniane gary, nieco zwężające się ku górze. W jednym z nich bulgotał wrzący, gęsty płyn, w drugim podgrzewał się miąłki piasek.

Na widok białego Indianin zmarszczył brwi, lecz porozumiewawcze spojrzenie Tunai uspokoiło go natychmiast. Usiedli przy ognisku. Smuga wydobył woreczek z tytoniem. Przez jakiś czas palili nic nie mówiąc. Z

---

swe budują na wzgórzach w celu łatwiejszej ich obrony. Mieszkają w podłużnych, pojedynczych domach, w których jeden koniec zajmują mężczyźni, a drugi kobiety. Trudnią się rolnictwem, myślistwem i rybołówstwem. Uprawa ziemi odbywa się przy zachowaniu specjalnych obrzędów; podczas siewów malują swe ciała odpowiednimi kolorami farb, nakładają specjalne stroje, śpiewają na cześć bogini Ziemi, Nungui, tańczą rytualne tańce. Tytoń, jako świętą roślinę, wolno uprawiać tylko mężczyznom. Myśliwi idąc na łowy malują ciała na czerwono oraz zasypują sobie i psom oczy „magicznym pieprzem”, co ma ułatwiać tropienie zwierzyny. Broń ich stanowią świstuchy, oszczepy, łuki i noże. Lubują się w ozdobach. Na uroczystości plemienne malują się na czerwono i czarno, a do modlitwy czernią zęby. Ich czarownicy znają sporo leków przeciwdrobnoustrojowych i zwalczających choroby.

bulgoczącego gara unosił się silny odór. Smuga wkrótce wyjął chusteczkę i wysuszył czoło zroszone potem. Zerknął na Matea. Śniada twarz Metysa poszarzała; po jego czole spływały wielkie krople potu. Smuga pochylił się ku wodzowi Yahuan i przyciszonym głosem zapytał — Tunai, cóż to za wywar przygotowuje ten człowiek?

Twarz wodza ani na chwilę nie utraciła kamiennego wyrazu. Siedział sztywno wyprostowany jak figura z brązu. Tylko spod półprzymkniętych powiek wzrok jego śledził przybyszów.

— Ten biały jest przyjacielem compadre Matea — odezwał się gardłowym głosem. — Szuka skurczonych głów ludzkich zdobytych na wrogach. Pokaż mu, żeby mógł swoim za wielką wodą opowiedzieć o tobie...

Indianin ujął bambusowy pręt, zanurzył go w odurzającym wrzątku, ostrożnie zamieszał i wyjął z powrotem. Smuga przymrużył oczy. Na końcu pręta tkwiła skóra z ludzkiej głowy. Gęstawa ciecz spływała po długich, czarnych włosach.

— Poszukujesz u Indian interesujących rzeczy. Ponieważ jesteś przyjacielem Matea, więc patrz i zapamiętaj — mówił Tunai. — Dzisiaj już niewielu Indian potrafi pomniejszać ludzkie głowy. Najpierw z odciętej głowy wyłupuje się kości. Potem skórę gotuje się w wywarze trujących roślin, aby robactwo nie miało do niej przystępu. Dopiero wtedy można rozpocząć pomniejszanie głowy. Robi się to napełniając skórę wiele razy bardzo gorącym piaskiem. Skóra prażona w ten sposób kurczy się coraz bardziej, a zręczny człowiek umiejętnymi ruchami palców nadaje jej odpowiednie kształty.

Smuga spojrział na niemo siedzącego Indianina. Preparowanie i pomniejszanie ludzkich głów należało już do coraz rzadziej spotykanych umiejętności. Przecież wiele wojowniczych plemion całkowicie wyginęło, inne zaszyły się w niedostępne dżungle. Smuga uważnie przyjrzał się niezwykłemu „artyście”. Jego palce nosiły liczne ślady poparzeń gorącym piaskiem.

— Dziękuję ci, Tunai, za ciekawe wyjaśnienia — odezwał się Smuga.

— Chciałeś otrzymać ode mnie jedną taką głowę. Chodź! — odparł Tunai.

Poprowadził ich do swej chaty. Weszli do niej po pomoście z pnia. Jedno cicho wypowiedziane przez Tunai słowo opróżniło chatę z kobiet i dzieci.

Tunai przystanął w szczytowej części domu, gdzie znajdowało się jego posłanie z mat. Wokół na słupach wisiała broń: świstuchy, łuki, dzida i tarcze. Tunai wolnym ruchem podniósł rękę ku powale.

— Obiecałem ci, więc wybieraj! — rzekł cicho.

Na poziomej belce wisiało w jednym rzędzie kilka mumii ludzkich głów. Długie, czarne włosy lekko falowały poruszane wiatrem. Rysy martwych twarzy nie wykazywały zniekształceń. Były to po prostu jakby miniatury głów dorosłych mężczyzn. Mumie miały usta, oczy i otwór szyi zaszyte specjalnym „świętym” włóknem palmowym, aby duch zabitego nie mógł mścić się na zwycięzcy.

Smuga jak urzeczony wpatrywał się w jedną głowę. Różniła się ona od innych krótkimi, jasnymi włosami. To była głowa Johna Nixona. Gdyby nie długie, cienkie pasma włókna zwisające ze zszytych warg, można by było pomyśleć, że jest to odbicie twarzy żywego Nixona, przeglądającego się w pomniejszającym zwierciadle.

— Wybieraj! — ponownie rozbrzmiał cichy głos Tunai.

Smuga wolno odwrócił się do wodza Yahuan. Obok niego stał Mateo zasłaniając twarz rękami. Prawa dłoń Smugi bezwiednie spoczęła na rękojeści rewolweru. Zaraz jednak oprzytomniał.

Wódz Yahuan mierzył go przenikliwym wzrokiem.

— Od razu domyśliłem się, po co tu przyszedłeś, biały człowieku — odezwał się po chwili. — Nie chciałeś, żeby duch twego przyjaciela uwięziony w jego głowie błąkał się po indiańskiej chacie. Rozumiem cię, przyjaźń zobowiązuje. Skoro przybyłeś do nas z compadre Mateem, mogłeś zaraz mi to wyznać. Nie zabiłem tego białego. Daruję ci jego głowę i odejdziesz w spokoju...



## TCHNIENIE ŚMIERCI

Nie ufaj temu dzikusowi, senhor — szepnął Mateo nachylając się ku Smudze. — Już od południa nie spostrzegłem śladów pozostawionych przez uciekinierów.

— Ja również zwróciłem na to uwagę — odparł Smuga. — Pytałem go, dlaczego zboczył z widocznych dotąd tropów. Powiedział, że domyśla się, dokąd oni podążają. Prowadzi skrótami. W ten sposób mamy szybciej ich dogonić.

— A jeśli wciągnie nas w zasadzkę?

Smuga zrazu nic nie odpowiedział. Przenikliwym wzrokiem wodził po posępnej okolicy. Las rzedniał. Poprzez drzewa przeświecały golizny, czyli tak zwane pajonale. Na wschodzie i na zachodzie na tle błękitnego nieba rysowały się pojedyncze łańcuchy gór. Po dłuższej chwili Smuga odezwał się — Nie ma rady, musimy zaufać Kampie<sup>682</sup>. Na tym bezdrożu sami nie odnajdziemy uciekinierów.

— To dziki kraj, senhor!

— A jednak Vargas już zapuszczał się w tę niedostępną głuszę po indiańskich niewolników.

— Tak, ale grasuje tylko na skraju Pajonalu<sup>683</sup>, i to w zaufanej, dobrze zbrojnej gromadzie!

— Niewątpliwie masz rację, lecz Cabral i Jose śmiało umykają w stepy zamieszkałe przez wojownicze plemiona.

— To co innego, senhor! Wiedzą, że przyszedłeś zemścić się. Oni uciekają przed śmiercią...

---

<sup>682</sup> — Kampowie (Campa) zwani także Anti lub Chunchu — jedno z najpotężniejszych plemion indiańskich w Peru nad górną Ukajali, zamieszkujące ogromne tereny w trójkącie rzek: Ukajali, Pachitea, Tambo i Perene. Szczep dzieli się na trzy grupy: Atiri — mieszkańcy rzecznych wybrzeży, Antaniri kryjący się w głębi lasów i Amatsenge, najdziksi, zamieszkali na stokach Andów. Kampowie są obecnie jednym z nielicznych już ludów Ameryki Południowej, które zachowały swoje prastare obyczaje i zwyczaje.

<sup>683</sup> — Gran Pajonal — obszar stepowego wyżu leżący w Peru u podnóża wschodnich stoków Andów między rzekami — Pachitea, Ukajali, Tambo i Perene. Powierzchnia tego wyżu wynosi około 100 tys. km<sup>2</sup>.

Smuga znów umilkł. Zastanowił się, co powinien uczynić. Do tej pory szczęście mu sprzyjało. Po wykupieniu od Yahuan głowy Johna Nixona doprowadził wyprawę bez przeszkód do Iquitos. W tym właśnie czasie wyruszał stamtąd statek do obozów zbieraczy kauczuku nad górną Ukajali<sup>684</sup>. Smuga natychmiast skorzystał z tej dość rzadkiej tutaj okazji. Przebycie drogi indiańską łodzią zajęłoby dużo czasu i naraziłoby wszystkich uczestników wyprawy na wiele niebezpieczeństw. Ukajali nie była łatwa do żeglugi. Toteż nie zważając na znaczne koszty zaokrętował wyprawę na parowcu. Dzięki temu w ciągu dwudziestu dni znaleźli się w osadzie La Huaira, położonej na prawym brzegu Urubamby, która w tym miejscu łączyła się z rzeką Tambo.

La Huaira należała do osławionego Franciszka Hernandezza Vargasa, współwłaściciela domu handlowego „*Casa Hernandez & Co.*” w Iquitos, który zajmował się eksploatacją naturalnych bogactw puszczy leżącej nad rzeką Urubamba. Vargas był patronem, czyli opiekunem, a raczej właścicielem setek Indian osiedlonych dobrowolnie bądź przymusowo wokół La Huairy. W całej Montanii<sup>685</sup> było wiadomo, że Vargas handlował niewolnikami indiańskimi, których chwycił podczas zbójeckich wypraw.

Na szczęście dla Smugi władca La Huairy znajdował się w kłopotach z powodu podejrzenia o zabójstwo Karola Scharfa, z którym miał zatarg o tereny kauczukowe. Zapewne też z tego względu okazał Smudze wiele ustępliwości. Nie tylko zgodził się na zwrócenie Cubeów porwanych z obozu nad Putumayo, lecz również skłonny był wydać swych popleczników — Cabrala i Josego. Jak się okazało jednak, ci dwaj na wieść o przybyciu Smugi umknęli z osady. Vargas niby to zarządził pościg za nimi, lecz jego zaufani Indianie z plemienia Pirów, którymi się otaczał, powrócili po jednodniowych poszukiwaniach i oświadczyli, że uciekinierzy skryli się w Grań Pajonalu. Wtedy Vargas zaczął odradzać Smudze dalsze poszukiwanie morderców Johna Nixona. Grań Pajonal był dziką, rozległą krainą, zamieszkaną jedynie przez wojownicze plemiona Kampów.

---

<sup>684</sup> — Biegi rzek dzieli się na górny i dolny; Ukajali od źródeł do miejsca, w którym wpada do niej Pachitea zwana jest Alto Ukajali (górna), a od Pachitei do miejsca jej zlewu z rzeką Maranon — Bajo Ukajali (dolna).

<sup>685</sup> — Montania — podgórska strefa Andów Peruviańskich, na przejściu od Kordyliery Wschodniej do Niziny Amazonki; ciągnie się od dolnej Ukajali do granicy z Boliwią na szerokości 200 km.

Smuga nie dowierzał handlarzowi niewolników. Dokonana w porę ucieczka morderców dawała wiele do myślenia. Vargas zarzekał się, że nie miał nic wspólnego z napadem nad Rio Putumayo i na dowód tego gotów był wydać Cabrala i Josego, ale Smuga nie miał pewności, czy jego słowa i czyny były szczere.

Smuga pragnął unieszkodliwić podstępного Pedra Alvareza. Zeznania Cabrala i Josego, którzy dokonali napadu na jego polecenie, stanowiłyby niezbity dowód winy. Postanowił więc za wszelką cenę ująć uciekinierów. Nie zważając na perswazje i sprzeciwy Wilsona, wyprawił go w drogę powrotną wraz z dotychczasową eskortą i Cubeami wykupionymi od Vargasa, a sam z Mateem wyruszył w pościg. Na czele maleńkiej grupki przez trzy dni coraz dalej wdzierali się w dziką krainę nie tkniętą jeszcze stopą białego człowieka. Zaledwie pięciu ludzi towarzyszyło Smudze w ryzykownym pościgu. Z poprzedniej eskorty pozostawił przy sobie tylko Matea. Poza nim szli trzej Pirowie ofiarowani przez Vargasa jako tragarze oraz Indianin z plemienia Kampa, który samorzutnie zaproponował swą pomoc.

Vargas gromadził w swej osadzie Indian pochodzących z różnych plemion, często nienawidzących się wzajemnie. W ten sposób zabezpieczał się przed ewentualnym buntem niewolników, bowiem jedni drugich szpiegowali i pilnowali. Vargas zdawał się być zaskoczony postępkami Kampa, który twierdził, że podsłuchał rozmowę uciekinierów. Smuga zauważył zdumienie, a może nawet i niepokój Vargasa. To właśnie skłoniło go do nalegania, aby pozwolił mu zabrać Kampa jako przewodnika. Yargas początkowo oponował, jakoby podejrzewając, iż Indianin pochodzący z Grań Pajonalu po prostu szuka okazji do ucieczki. Wtedy Smuga zaproponował odszkodowanie za niewolnika i Yargas w końcu ustąpił.

Kampa okazał się dobrym tropicielem. Dał również dowód, że owo podsłuchanie rozmowy Cabrala i Josego nie było tylko wytworem jego wyobraźni. Sprawnie odszukał tropy dwóch białych oraz pięciu Indian, którzy z nimi umknęli i przez przeszło trzy dni wciąż nieomylnie je odnajdował. Uciekinierzy jednak mieli około dwóch dni przewagi nad pościgiem. Toteż Kampa domyślając się, gdzie mieli zamiar szukać schronienia, zboczył z tropów i poprowadził pościg krótszymi przejściami.

Przewodnik właśnie przystanął na skraju lasu. Obie dłonie zacisnął na długiej lufie swojej kapiszonówki<sup>686</sup>, której kolbę oparł na ziemi. Kamienny wyraz jego twarzy nie zdradzał uczuć ani myśli. Tuż przy nim przykucnęła jego żona, również wykupiona z niewoli przez Smugę. Ubrana była tak jak mąż w brązową kuźmę<sup>687</sup>. Mężowską broń, którą kobiety noszą tam podczas wędrówek, a więc łuk, kołczan ze strzałami z chikotzy<sup>688</sup> oraz plecionkę z żywnością położyła obok siebie na trawie.

Trzej tragarze z plemienia Pirów jak na komendę zatrzymali się, kładąc bagaże pod drzewem. Z zawiścią spoglądali na Kampę, bowiem im Yargas nie pozwolił zabrać żon na wyprawę, aby w ten sposób zapewnić sobie ich powrót.

Smuga z Mateem zatrzymali się o kilka kroków od przewodnika. Metys pochylił się do Smugi i szepnął — Spójrz, senhor, dokąd ten Kampa nas przyprowadził!

Smuga powiódł wzrokiem po okolicy. Stali na brzegu rzadkiego lasu, który tutaj ustępował miejsca kamposom<sup>689</sup>, czyli swego rodzaju sawannie o przeważającej wysokiej roślinności trawiastej i rozproszonych, niskich drzewach. Posępny widok kamposów sprawiał na Smudze wrażenie karłowatego sadu o pokrzywionych drzewach.

Smuga zbliżył się do przewodnika i zapytał — Czy w dalszym ciągu jesteś pewny, że idziemy w dobrym kierunku? Dlaczego się zatrzymałeś?

Indianin wolno odwrócił się do Smugi, po czym odparł — Musimy odpocząć przed zmierzchem. Będziemy szli całą noc. O świcie znów odnajdziemy ślady uciekinierów. Jutro, nim słońce skryje się za góry, będziesz miał ich w swoich rękach.

— Chcesz iść w nocy po tym bezdrożu? — zdumiał się Smuga.

---

<sup>686</sup> — Odprzodowa, ręczna broń palna z zamkiem kapiszonowym, złożonym z rurki doprowadzającej płomień do prochu znajdującego się w komorze lufy i kurka sprężynowego z mechanizmem spustowym. Broń tego typu została wynaleziona w Anglii na początku XIX w.

<sup>687</sup> — Kuźma (Cushma) — ubiór indiański w rodzaju długiej koszuli nakładanej przez głowę. Noszą go mężczyźni i kobiety, z tym że kuźmy męskie posiadają podłużne wycięcia na szyję, a kobiece poprzeczne.

<sup>688</sup> — Cana brava albo chikotza — trzcina rosnąca przy brzegach większych rzek.

<sup>689</sup> — Camposy (port.) — wolne przestrzenie; znajdują się w Ameryce Południowej między obszarami zwrotnikowymi a podzwrotnikowymi. W zależności od stopnia zadrzewienia rozróżnia się szereg odmian kamposów aż do prawie bezdrzewnej sawanny trawiastej, stanowiącej przejście do stepu.



Indianin zatoczył ręką szerokie półkole od wschodu poprzez północ na zachód.

— To odwieczna ziemia Kampów. Tutaj znam wszystkie przejścia, mogę prowadzić o każdej porze dnia i nocy — wyjaśnił.

— Jesteśmy w pobliżu gór. Jeśli w nocy spadnie deszcz, nie odnajdziemy śladów — zauważył Smuga.

— Bądź spokojny, tutaj rzadko padają deszcze — odparł Kampa.

Uwaga Indianina była słuszna. Smuga posiadał zbyt wiele doświadczenia podróżniczego, aby bezkrytycznie polegać na przewodniku. Toteż od chwili wyruszenia w pościg bacznie obserwował mijane okolice, chcąc zachować orientację w bezdrożnym terenie. Dzięki temu zauważył, że deszcze skąpo zraszały Grań Pajonal. Wymownie świadczył o tym suchoroślowy krajobraz kamposów, urozmaicony jedynie na górskich zboczach i w dolinach strumieni przez rzadkie lasy, przypominające wyglądem zagajniki. Nieliczne w kamposach drzewa miały drobne liście przeważnie o podwiniętych brzegach, a czasem porośłe gęstymi włoskami. Niektóre zamiast liści posiadały ciernie i kolce. Pomiedzy drzewami spotykało się niewysokie palmy, a od czasu do czasu kaktusy i wilczomlecze. Kamposy przez cały rok zachowywały zieloność. Jedynie pobrązowiała, wysoka i gęsta trawa świadczyła, że deszcz dawno już nie padał.

— Czy na pewno wiesz, dokąd morderca i jego wspólnik uciekają? — po dłuższej chwili milczenia zapytał Smuga.

— Oni dążą ku Górze Syna Słońca. Idą indiańskimi ścieżkami. Doścignemy ich nocą. O świcie prawdopodobnie znajdziemy ślady nocnego obozowiska.

— Dobrze, teraz odpocznijmy przed wyruszeniem w drogę — odpowiedział Smuga i polecił Mateowi rozdzielić prowiant.

Wszyscy posilali się w milczeniu. Smuga i Mateo nieznacznie obserwowali swych indiańskich towarzyszy. Kampa z żoną przysiedli na uboczu. Kobieta obsługiwała męża, który jadł wolno nie zwracając uwagi na nikogo. Tragarze z plemienia Pirów trzymali się z dala od wszystkich. Jedząc szeptali między sobą i spoglądali to na białego, to na Kampe.

— Dziwne, senhor, ci Pirowie zupełnie jawnie stronią od Kamy — zauważył Mateo. — A wiem przecież, że te dwa plemiona na ogół żyją w zgodzie.

— Vargas wspominał, że ten Kampa niedługo przebywał u niego — odpowiedział Smuga. — Może jeszcze się nie zżyli.

— Za mało w nim uległości wobec białych. Nawet do ciebie mówi jak do równego sobie, a przecież wykupiłeś go z niewoli...

— Uległość czy też uniżoność nie jest dodatnią cechą człowieka. Ten Indianin zachowuje się z godnością, a to raczej dobrze o nim świadczy. Gdy tylko wykupiłem go od Vargasa, zaraz oznajmiłem mu, że jest wolny. Wie, że odejdzie z żoną, dokąd zechce, gdy schwytamy uciekinierów.

— Źle uczyniłeś, senhor! Trzeba było trzymać go w niepewności!

— Tobie też obiecałem przebaczenie nie czekając na wypełnienie wszystkich warunków...

— Pamiętam o tym! Jeśli jednak chodzi o Kampę, to myślę, że Vargas miał rację. On zgłosił się na przewodnika, bo chciał powrócić do swoich!

— Nie mogę brać mu tego za złe! Każdy na jego miejscu chciałby wyrwać się z niewoli.

— Ciekawe, czy nie skłamał mówiąc o podsłuchaniu konszachtów Cabrala i Josego?

— Wszystko świadczy o tym, że wie, dokąd uciekają — odparł Smuga. — Przez trzy dni stale odnajdowaliśmy ich ślady! Zresztą jeszcze tylko jedna noc niepewności. Jutro mamy schwycić morderców.

— Odetchnę dopiero, gdy znajdziemy się z powrotem w Iquitos — rzekł Mateo ciężko wzdychając. — Nie wierzę temu Kampie i nie ufam Pirom ofiarowanym przez Vargasa. To jego ludzie. Uważaj, senhor, na nich, stale naradzają się po cichu. Czy nie wydaje ci się podejrzane, że Vargas tak szybko zgodził się na wydanie Cabrala i Josego? Czy to nie on przypadkiem kazał im uciekać przed tobą?

— Przypuszczam, że tak! — potwierdził Smuga. — Dlatego też Kampa popsuł mu szyki.

— Miej się na baczności, senhor! Wszyscy wiedzą, że Vargas ma długie ręce... Uważaj na jego Pirów, gdy dogonimy zbiegów!

— Dziękuję za dobre rady, Mateo! Starłem się przewidzieć wszystkie możliwe niespodzianki. Przed nami znajduje się dwóch białych i pięciu Indian. Ze mną jest trzech Pirów, jeden Kampa, jedna kobieta i... ty. Brałem nawet i to pod uwagę, że podczas tego pościgu mogę mieć wszystkich was przeciwko sobie.

Wyraz zdumienia, a potem niemal uwielbienia odmalował się na twarzy Metysa. Po długiej chwili szepnął — Jesteś niezwykle odważny, senhor... Musisz być bardzo pewny swego oka i ręki.

— Jestem pewny, Mateo! — spokojnie odparł Smuga.

— Miej się na baczności, senhor, a może uda nam się wyjść cało z tej opresji...

— Teraz odpocznijmy przed wyruszeniem w drogę — zakończył Smuga. — Jutrzejszy dzień przyniesie nam wiele wrażeń.

Zaraz też legł na przygotowanym przez Pirów posłaniu z suchej trawy. Wkrótce, niby to przez sen, przewrócił się na bok i spod półprzymkniętych powiek zaczął obserwować towarzyszy. Nie ufał nikomu. Trzej Pirowie byli zaufanymi Vargasa. Zaofiarował ich jako tragarzy, lecz nie ulegało wątpliwości, że potajemnie otrzymali specjalne rozkazy do wykonania. Od nich mógł Smuga spodziewać się w każdej chwili pchnięcia nożem w plecy.

Smuga także nie był pewny, jak zachowa się Mateo na widok swych dawnych wspólników napadu. Licząc się z jakimś niespodziewanym odruchem z jego strony nie dał mu dotąd nabojów do karabinu i rewolweru. Tajemniczy Kampa i jego żona również stanowili wielką niewiadomą. Wszyscy już zasnęli, tylko przewodnik siedział na wzniesieniu i spoglądał w dal na północny zachód.

Słońce skryło się za górami. Ciemność nocy opadła na las, zakryła góry rysujące się na dalekim horyzoncie. Obóz rozplątał się w mroku, bowiem Kampa nie pozwolił rozpalić ognia.

Smuga usiadł na posłaniu, po czym ostrożnie powstał. W jedną rękę wziął torbę z amunicją, w drugą karabin. Nie powodując jakiegokolwiek szmeru podkradł się do pobliskiego drzewa, siadł przy nim opierając plecy o jego pień. Z tego miejsca miał cały obóz przed sobą. Czujnie nasłuchiwał, czy ktoś nie podkradnie się do jego legowiska.

Czas wolno mijał... W końcu gwiazdy zajaśniały na niebie, a wkrótce księżyc wychylił się zza gór. Srebrzysta poświata z wolna wpełzła pomiędzy zarośla.

Smuga nadstawił uszu i wyteżył wzrok. Ktoś zbliżał się do jego posłania. Smuga cicho powstał. Lewą dłoń oparł na rękojeści rewolweru. Kilkoma skokami stanął za pochylającym się nad posłaniem.

— Czego szukasz? — zapytał.

Indianin wyprostował się i odwrócił. Stali teraz twarzą w twarz. Smuga przybliżył się jeszcze. Indianin okryty w długą szatę trzymał prawą dłoń wsuniętą w fałdy na wysokości pasa. Smuga przesunął po niej ręką. Pod szorstkim materiałem wyczuł pięść zaciśniętą na rękojeści noża.

— Czego chcesz? — ponownie zapytał.

— Zaszedłeś mnie z tyłu... — odparł Kampa, starając się zapanować nad drżeniem głosu. — Chciałem ci powiedzieć, że czas ruszyć w drogę.

— Więc ruszajmy, obudź wszystkich!

Kampa odwrócił się i odszedł. Zza pnia drzewa tuż przy Smudze wysunęła się barczysta postać.

— Przebiegły i czujny jesteś, senhor... — szepnął Mateo.

— Dlaczego nie śpisz?

— Wcale nie spałem. Gdy ściemniło się, postanowiłem czuwać przy twoim posłaniu. Podejrzywałem, że Kampa tutaj przyjdzie. Miał szczęście, gdyby nie twój podstęp, pchnąłbym go nożem.

— Popełniłbyś wielki błąd, Mateo — odpowiedział Smuga. — Gdybyś zabił przewodnika, już na pewno nie mógłbym schwytać uciekinierów. A może dążysz do tego?

— Nie mów tak, senhor, myślałem jedynie o twoim życiu!

— Sam potrafię ustrzec się przed niebezpieczeństwem. Ruszamy w drogę!

— Sim, senhor...

Mateo odszedł, zaczął popędzać Pirów, a Smuga odszukał torbę z amunicją, przewiesił ją na pasie przez ramię, po czym stanął przy przewodniku na skraju lasu.

— Idziemy! — odezwał się Kampa. — Pilnuj Pirów i Metysa, noc sprzyja ucieczce...

— Dobrze, prowadź!

Kampa, a za nim jak cień jego żona ruszyli pierwsi. Smuga poczekał chwilę, dopóki nie nadeszli tragarze z Metysem.

— Idźcie tuż za mną — rozkazał. — Mateo, będziesz szedł ostatni. Gdyby ktoś próbował uciekać, strzelaj!

— Sim, senhor...

Smuga oczywiście wiedział, że Mateo nie będzie mógł wykonać polecenia, gdyż nie miał nabożów. Chodziło mu tylko o nastraszenie Pirów, którzy podejrzenie trzymali się na uboczu.

Księżyc już całkowicie wychylił się zza gór. Na niebie błyszcząły gwiazdy. Rzadko rozrzucone na pół suche drzewa przybierały fantastyczne kształty. Ich ogołoczone z liści gałęzie niczym macki polipów wyciągały się ku wędrowcom, czasem chwyciły kolcami za odzienie, ciągnęły ku sobie. Na szczęście noc znacznie pojaśniała...

Co pewien czas przewodnik przystawał, rozglądał się po szczytach gór czerniejących w dali na tle jasnego nieba. Potem znów ruszał szybkim krokiem nie odzywając się do nikogo. Od czasu do czasu ciszę nocną rozdzierał krzyk drapieżnego ptaka.

Tylko raz w ciągu nocy zatrzymali się na krótki odpoczynek, po czym szli dalej, aż księżyc znów skrył się za górami. Tuż przed świtem nieprzenikniona ciemność otuliła ziemię. Wtedy Kampa przysiadł na małym wzgórku i rzekł:

— Poczekamy, zaraz dzień...

— Dobrze, odpoczniemy, wszyscy zmęczeni — odparł Smuga. Usiedli na ziemi. Sucha trawa zachęcała do ułożenia się do snu, lecz nikt nie zasnął. Pirowie spoglądali spode łbów. Mateo również był zasępiony.

Ciemność nocy szybko rozpraszala się w mrok, a wkrótce słońce zajaśniało na horyzoncie.

Mateo wciąż rozmyślał. Jego prawa dłoń dotykała rękojeści noża tkwiącego za pasem. Smuga obserwował go spod oka. Nadchodzący dzień miał przynieść odpowiedź, kto był wrogiem, a komu mógł zaufać.

Smuga nie lekceważył niebezpieczeństwa. Był przekonany, że Pirowie zdradzą go, gdy dojdzie do walki z uciekinierami. Taką zapewne rolę wyznaczył Vargas trzem swoim zaufanym. Cabral i Jose również mieli przy sobie pięciu ludzi handlarza niewolników. Czy mógł polegać na Mateo i Kampie?

Przewodnik podniósł się i rozglądał po okolicy. Niebawem odwrócił się do towarzyszy i powiedział — Idziemy!

— Czy nie zbłądziłeś w nocy? — zapytał Smuga.

— Chyba nie, zaraz odnajdziemy ścieżkę... Idziemy!

Już podczas nocnej wędrówki Smuga zauważył, że wygląd okolicy uległ zmianie. Drzewa rosły coraz rzadziej, a trawa stała się bujniejsza, teraz o

wschodzie słońca ciekawie rozejrzał się wokoło. Aż do linii horyzontu na północnym wschodzie leżał lekko falisty, suchy step. W nocy znacznie oddalili się od wschodnich pasm górskich, natomiast zachodnie łańcuchy o strzelistych wierzchołkach znajdowały się o wiele bliżej. Na ich stokach zieleniły się lasy. Kampa nieco zwolnił kroku. Coraz częściej wyciągał szyję wypatrując czegoś na stepie. Po jakimś czasie znów zaczął iść szybciej.

— Spójrz, senhor, tam na lewo widać kamienie! — zawołał Mateo dogoniwszy Smugę.

— Zauważyłem je! — odpowiedział Smuga. — Nasz przewodnik już od dłuższej chwili zbacza ku nim.

— To znaki, na pewno jakieś znaki! — mówił Mateo.

Szybko zbliżali się do kilku głazów leżących na stepie. Kampa przystanął przy nich zaledwie rzuciwszy na nie wzrokiem. Teraz spoglądał ku góróm.

Smuga i Mateo obeszli głazy dookoła. Spostrzegli na nich jakieś wgłębienia i rysy, lecz trudno było powiedzieć, czy uczyniła je ręka człowieka. Smuga podszedł do przewodnika i zagadnął — Co mówią znaki na tych kamieniach?

— Znaki? — zdumiał się Kampa. — Czy znalazłeś na nich jakieś znaki?! Smuga zmierzył przewodnika przenikliwym spojrzeniem. Nie mógł odgadnąć, jakie myśli ukrywał Indianin pod obojętnym wyrazem twarzy.

— Od samego świtu rozglądałeś się po stepie szukając tych głazów, a teraz nie wiesz, co mówią wyryte na nich znaki — odezwał się po chwili.

— Skąd możesz wiedzieć, że to człowiek pozostawił znaki? — odpowiedział Kampa. — Może to tylko czas uczynił?

— Ktoś musiał przynieść tutaj te głazy.

— A czy wiesz, kto przyniósł tutaj trawę, krzewy, a tam dalej na stoki gór zielony las? Te głazy leżały w tym miejscu już za czasów, kiedy ojcowie moich ojców zamieszkiwali tę rozległą krainę.

— Być może, ale szukałeś ich i obecnie zatrzymałeś się przy nich.

— Nie mylisz się, bo od tych głazów na zachód znajduje się ścieżka, której szukamy — wyjaśnił Kampa. — Tylko tyle wiem, a jeśli nawet są jakieś znaki na tych kamieniach, to nikt nigdy nie potrafił ich odczytać.

— Daleko jeszcze do ścieżki?

— Już blisko. Ruszamy!

— Kłamie ten Kampa! — wybuchnął Mateo. — Nawet pyłu nie ma na tych kamieniach! Ktoś musiał przynieść je tutaj, wyryć znaki i stale pilnuje, aby były widoczne!

— Jeśli przeżyjesz do zachodu słońca, to przekonasz się, czy mówię prawdę — odrzekł Kampa mierząc Metysa pogardliwym spojrzeniem.

— Grozisz mi?!

— Milcz, Mateo! Nie pora na zwady! — ostro powiedział Smuga, bowiem Kampa i Metys już zaciskali dłonie na rękojeściach noży. — Idziemy!

Nim minęła godzina, przewodnik odnalazł ścieżkę. Smuga bez trudu odkrył na niej ślady dwóch białych i pięciu Indian. Wkrótce też natrafili na miejsce noclegu uciekinierów. Wokół wygaszonego ogniska trawa była zdeptana. Popiół był jeszcze ciepły.

— Co teraz powiesz, Mateo? — zagadnął Smuga. — Uciekinierzy opuścili obóz nie więcej jak godzinę temu. Przewodnik dotrzymał obietnicy.

— Tak, senhor, masz rację, cofam zarzut zdrady wobec tego Kampy! Przewodnik odwrócił się do Metysa.

— To obojętne, co myśli o mnie taki parszywy pies jak ty! — rzekł nie podnosząc głosu. — Nie jesteś ani białym, ani Indianinem. Sam nosisz piętno zdrady na swoim czole!

Metys poszarzał z wściekłości. Wyszarpnął nóż z pochwy, ale Kampa nie sięgnął do broni.

— Gdybyś mnie zabił, wszyscy bylibyście zgubieni — spokojnie powiedział. — Tylko ja znam powrotną drogę... Biały człowieku, weź tego parszywego psa na sznur, jeśli zależy ci na życiu!

— Słuchaj, Mateo, jeśli jeszcze raz wywołasz awanturę, połamię ci kości — zimno powiedział Smuga. — A ty, przewodniku nie musisz nam grozić. Bez twojej pomocy również odnajdę powrotną drogę.

— Więc już mnie nie potrzebujesz? Dobrze, odchodzę! — powiedział Kampa.

Smuga podszedł do Indianina. Prawą dłoń położył na jego ramieniu, podczas gdy w lewej błysnął rewolwer.

— Gdy wykupiłem cię od Vargasa, powiedziałem, kiedy będziesz mógł swobodnie odejść — odezwał się przyciszonym głosem. — Dotrzymam

słowa..., ale zapamiętaj, że do tej pory masz milczeć i słuchać. Jeszcze jeden odruch oporu, a... zabiję! Teraz prowadź!

Kampa widocznie zrozumiał, że groźba nie była rzucona na wiatr lub też przypomnienie umowy przywołało go do porządku, ponieważ bez słowa skinął głową i ruszył ścieżką, na której pełno było śladów uciekinierów.

Pasma górskie coraz to było bliższe. Mimo że słońce już nieźle prażyło, ożywczy wiatr wiejący od gór łagodził upał. Po dwóch godzinach ostrego marszu ukazały się pierwsze drzewa. Wkrótce też pościg wkroczył w podgórszą dżunglę.

Zaledwie znaleźli się w lesie, Smuga zwolnił kroku. Teraz musiał zwracać baczniejszą uwagę na tragarzy i Matea, którzy szli coraz wolniej. W lesie panowała głucha cisza; słońce mocno już przygrzewało. Smuga w skupieniu rozglądał się po gąszczu. Okolica miała dość ponury wygląd. Wśród dużych, gładkich i prostych jak świece drzew rosły również pochyłe, jakby garbate, a obok nich sterczały kolczaste palmy. Ścieżka stale niknęła w chaszczach i wciąż trochę pięła się pod górę.

Naraz za załomem ścieżki Smuga natknął się na przewodnika. Razem z żoną wpatrywali się w coś leżącego na ziemi. Smuga odsunął Kampę i stanął jak wryty. W poprzek ścieżki leżał Indianin. Z pleców jego wystawał koniec trzcinowej strzały, która przebiła go na wylot. Smuga pochylił się i dotknął dłoni leżącego. Była jeszcze ciepła. Nieszczęśliwiec już nie żył. Strzała trafiła prosto w serce. Po twarzy pokrytej tatuażem, wyobrażającym dwa sine węże i pomalowanej czerwoną farbą, biegały duże, czerwone mrówki.

Smuga powstał i spojrzał na towarzyszy. Trzej Pirowie cicho rozmawiali spoglądając na zamordowanego.

— Co oni mówią? — zapytał Smuga.

— Mówią, że to jeden z Pirów, którzy umknęli z Cabralem i Jose — wyjaśnił Mateo.



## UPIORNY LAS

Masz o jednego wroga mniej! — odezwał się Kampa. Smuga spojrział na przewodnika. Indianin stał oparty rękami o swoją kapiszonówkę i z filozoficznym spokojem spoglądał na zamordowanego Pira.

— Senhor, tragarze mówią, że takich strzał do łuków używają Kampowie — wtrącił Mateo.

— Łatwo to sprawdzić! — odpowiedział Smuga.

Zbliżył się do żony przewodnika, która niosła jego łuk i kołczan. Kobieta szybko cofnęła się, gdy wyciągnął do niej rękę, ale mąż uspokoił ją wzrokiem. Smuga wyjął z kołczanu jedną długą strzałę. Była podobna jak dwie krople wody do tej, która przeszła Pira na wylot. Smuga zwrócił strzałę Indiance, po czym zaczął przepatrywać las po obydwóch stronach ścieżki. Nie znalazł choćby najmniejszego śladu, domyślił się więc, że napastnik strzelał z ukrycia. Nikt z uciekinierów również nie szukał tajemniczego strzelca. Ślady dwóch białych oraz pozostałych czterech Pirów nie zbaczały ze ścieżki. Smuga wkrótce przerwał poszukiwania. Nie miał czasu na dokładne przetrząśnięcie lasu w promieniu około dwustu metrów od ścieżki, czyli na donośność dobrego indiańskiego łuku. Strzelec lub strzelcy mogli ukrywać się w zasadzce na drzewach, co jeszcze bardziej utrudniało znalezienie ich śladów.

— Czy odkryłeś coś, senhor? — zaniepokojonym głosem zapytał Mateo.

— Nie, poszukiwania zajęłyby za wiele czasu — wyjaśnił Smuga. — Lepiej nie zwlekać z dogonieniem uciekinierów.

— Tak, senhor, te czerwonoskóre diabły mogą jeszcze czaić się w pobliżu — mruknął Mateo, trwożliwie rozglądając się wokoło. — Może mają kryjówki na drzewach?

— W drogę! — zawołał Smuga. — Idźcie tuż za mną!

Ślady uciekinierów były teraz znacznie wyraźniejsze. Widać było, że przyspieszali kroku. Smuga zdjął z pleców karabin i szedł za przewodnikiem z bronią gotową do strzału.

Szli już około godziny. Ścieżka początkowo wiodła wzdłuż górskiego zbocza, a potem zaczęła opadać ku rozległej dolinie. W miarę jak pościg schodził w dolinę, las stawał się mniej gęsty i bardziej mroczny. Drzewa

osłonięte od wiatru wysoko pięły się w górę. Poprzez korony splecione lianami przesączały się tylko nikłe smugi światła. Toteż na ziemi niemal brak było podszycia, które zamierało z powodu niedostatecznego nasłonecznienia.

Aromat charakterystyczny dla górskich lasów unosił się w powietrzu.

Kampa ostrzegawczo uniósł rękę. Wszyscy natychmiast przystanęli. O kilkanaście kroków przed nimi ktoś leżał na ścieżce. Smuga gestem nakazał milczenie, po czym wysunął się do przodu. Szedł wolno trzymając palec na spuście karabinu. W głębi lasu rozbrzmiewał rozdzierający krzyk ptaka. Smuga przystanął i nasłuchiwał, lecz głucha cisza znów zapanowała wokół. Krok za krokiem przybliżał się do leżącego człowieka, który zaciskał dłonie na strzale tkwiącej w jego lewej piersi, jakby chciał ją wyrwać z siebie. W szeroko otwartych oczach zamarł wyraz przerażenia.

Jak wskazywał tatuaż na twarzy Indianina, należał zapewne, tak jak poprzednia ofiara, do plemienia Pirów.

Smuga ostrożnie zaczął rozglądać się po obydwu stronach ścieżki. Naraz ujrzał jeszcze jednego Pira. Prawdopodobnie próbował uciec w las, gdy strzała ugodziła jego towarzysza. Być może w przestachu wpadł na drzewo, które jeszcze teraz kurczowo obejmował ramionami, klęcząc u jego stóp. Długa strzała wystająca z jego pleców wprost przyszpiliła go do pnia.

Smuga wyszedł na ścieżkę i przywołał towarzyszy. Widok nowych ofiar wywołał trwożliwe komentarze. Tylko Kampa i jego żona zachowywali milczenie.

— Senhor, coraz dalej wchodzimy w zasadzkę — gorączkowo tłumaczył Mateo. — Przekłęci Kampowie czają się wokół!

— Nie iść, tam śmierć! — doradzali Pirowie. — Wszyscy zginąć... Smuga przysłuchiwał się ostrzeżeniom i radom, a jednocześnie nie spuszczał oka z przewodnika. W końcu uciszył towarzyszy i zwrócił się do Kamy — A co ty radzisz uczynić?

Indianin nie zmieszał się pod badawczym spojrzeniem.

— Chciałeś ująć tamtych dwóch, więc prowadzę — odpowiedział. — Już wkrótce ich ujrzysz!

— Czy jesteś jeszcze tego pewny? Przecież w każdej chwili możemy zginąć jak ci Pirowie!

— Tylko śmierć może wyzwolić Indianina z niewoli u białych ludzi — odparł Kampa. — Zapłaciłeś za mnie i obiecałeś wolność pod warunkiem, że

pomogę ująć tamtych dwóch. Indianin zawsze dotrzymuje przyrzeczenia. Chodź, jestem gotów!

Smuga zastanawiał się, jak ma postąpić. Sam od dawna był zdecydowany ścigać zbiegów bez względu na grożące mu niebezpieczeństwo. Nie chciał jednak ryzykować życia towarzyszy. Żał mu było nawet Matea, który zachował się tak nikczemnie wobec Nixonów. Po chwili namysłu odezwał się — Słuchaj, Mateo! Czy trafiłbyś stąd do głązów na stepie?

— Tak, senhor, przecież wystarczy iść po naszych śladach.

— To dobrze! Zabierz Pirów i wracajcie. Przy głązach rozbijcie obóz. Jeżeli do jutra do zachodu słońca nie przyjdę tam do was, ruszajcie do La Huairy. Stamtąd, Mateo, proszę cię, wróć do obozu nad Putumayo i zawiadom pana Nixona o tym, co tu się wydarzyło. Niech mnie nie szuka, bo jeżeli nie przyjdę do obozu przy głązach, będzie to znaczyło, że nie żyję. Ciebie, przewodniku, również już nie potrzebuję. Możesz z żoną wracać razem z Mateo lub też odejść, dokąd chcesz. Pragnąłeś odzyskać wolność, więc teraz jesteś wolny. Nie przeklinaj wszystkich białych. Wielu z nich szanuje każdego człowieka. Mateo, pomóż mi zapakować trochę żywności i ruszajcie w drogę. Starajcie się prędko wyjść z tego lasu.

Wszyscy milczeli zaskoczeni słowami Smugi. Nawet tak doskonale panujący nad sobą Kampa zdawał się być poruszony. Pierwszy ochłonął Mateo. Podeszedł do Smugi i z niedowierzaniem zapytał — Czy naprawdę pozwalasz mi odejść, senhor? Czy też może chcesz wystawić mnie na próbę?!

— Nie trać czasu na głupią gadaninę! — ofuknął go Smuga. — Ruszaj z powrotem jak najszybciej! Zabierz naboje do rewolweru i karabinu. Tutaj są w torbie.

— Senhor, czy to ma oznaczać, że już przebaczyłeś mi tamto wszystko?

— Tak, Mateo, chcę wierzyć, że więcej nie popełnisz podłości.

— Nie zawiedziesz się na mnie, senhor. Zaraz ci to udowodnię. Powiedziałeś mi, że tylko podlec pozostawia towarzyszy w niebezpieczeństwie. Źle postąpiłem tam nad Putumayo, ale nie jestem tchórzem. Idę z tobą! Albo razem ocalimy się, albo razem zginiemy!

— To nie ma sensu! Nie osłonisz mnie przed strzałą wysłaną z ukrycia. Sam nawet łatwiej mogę wymknąć się z zasadzki.

— Idę z tobą! — z uporem oświadczył Mateo.

— Jak chcesz, nie życzyłem ci zguby! No, zbierajcie się! Pirowie bez słowa zawrócili i zniknęli w lesie.

— Dlaczego nie odszedłeś z nimi! — zwrócił się Smuga do Kamy.

— Wspaniałomyślnie darowałeś mi wolność — odparł przewodnik. — Dziwny jesteś, biały człowieku! Będę przy tobie do samego... końca!

— Wracaj, ocal swoją żonę!

— Nie kłopotz się o nią, towarzyszy mi zawsze, nawet na wojennej ścieżce. Ruszajmy, czas nagli!

Uszli zaledwie kilkadziesiąt kroków. Naraz w lesie za nimi rozległy się okrzyki przerażenia.

— Napadli Pirów! — zawołał Mateo.

Smuga odwrócił się, by biec im na pomoc, lecz Kampa przytrzymał go za ramię.

— Stój! Już za późno... — wyrzucił z siebie jednym tchem Okrzyki jakby zdławione zamarły. W lesie zapanowała cisza.

— Jesteśmy otoczeni... — szepnął Mateo.

— A więc odwrót odcięty! — powiedział Smuga. — Słuchaj, przewodniku! Dokąd prowadzi ta ścieżka?

— W dolinę, która leży przed nami.

— Wobec tego wiedzie na zachód?

— Nie mylisz się!

— Dobrze, teraz ja poprowadzę. Chodźcie za mną!

Zboczył ze ścieżki i ruszył w las. Po kilkuset krokach zawrócił na zachód. Teraz szli równolegle do ścieżki osaczonej przez niewidzialnego wroga. Smuga nie sądził, że w ten sposób wymknie się z pułapki, lecz swoim manewrem zmuszał przeciwników do zmiany taktyki, a tym samym do wyjścia z ukrycia.

Szybko idąc rozważał sytuację. Był już pewny, że Mateo go nie zawiedzie, lecz Kampie teraz nie ufał. Indianin zbyt śmiało zapuszczał się w ten tajemniczy las. Czyżby był pewny, że śmierć nie czyha na niego? Nie zabrał głosu, gdy radzono nad odwrotem. Nie okazywał również zaskoczenia na widok napotykanych trupów. To wszystko dawało wiele do myślenia. Jedno było pewne: Kampa nienawidził białych i pogardzał Metysem, który z nimi współdziałał.

Upłynęło sporo czasu, a niewidzialny wróg nie dawał znaku życia. Smuga orientował się, że szybki marsz po bezdrożu utrudnia pościg i osaczenie. Wtem gdzieś z prawej strony rozbrzmiały strzały rewolwerowe.

— To Cabral i Jose walczą z Indianami! — krzyknął Mateo. Smuga z miejsca zawrócił w kierunku ścieżki i biegł ile tylko tchu starczyło mu w piersi. Nie oglądał się nawet na towarzyszy. Strzały wprawdzie szybko umilkły, lecz w zamian rozległ się ludzki głos rozpaczliwie wzywający pomocy.

Smuga z karabinem w dłoniach wypadł na ścieżkę. Szybko też odnalazł proszącego o ratunek. Leżał na lewym boku pod drzewem opierając się o nie plecami. Obydwie dłonie obficie zbroczone krwią przyciskał do piersi. To był biały człowiek. Smuga przyklęknął przy nim.

— To ty nas ścigałeś, prawda? — odezwał się ranny, po czym grymas bólu pojawił się na długo nie golonej twarzy.

Smuga znał hiszpański. Odparł więc po chwili — Ścigam morderców Johna Nixona. Ty prawdopodobnie jesteś jednym z nich?

— Ja nie zabiłem Nixona... To Cabral strzelił do niego, a teraz... do mnie.

— Ty jesteś Jose, czy tak?

Ranny skinął głową. Widać było, że nie ma już ratunku dla niego.

— Spróbuję powstrzymać upływ krwi — powiedział Smuga rozrywając mu koszulę na piersiach.

— Zostaw... umieram...

— Dlaczego Cabral strzelał do ciebie? — zapytał Smuga. Jose ostatkiem woli opanował słabość.

— Zabili wszystkich Pirów... — wyjaśnił. — Chciałem zawrócić. Wolałem wpaść w twoje ręce, niż zginąć od indiańskiej strzały. Ale Cabral wiedział, że ty zapłacisz mu za Nixona... Nazwał mnie zdrajcą i zaczął strzelać. Sam poszedł dalej...

Mateo i Kampa, którzy przybiegli za Smugą, teraz również pochyłali się nad konającym. Słyszeli jego wyznanie. Jose odetchnął głębiej i uniósł głowę. Mimo woli spojrział na Kampę. Błysk wściekłości ożywił na krótką chwilę jego oczy już zachodzące mgłą śmierci.

— To ten Kampa doradził nam skryć się tutaj przed tobą... — zawołał. — Przeklęty! To on wysłał nas w zasadzkę...!

— A więc moje podejrzenia były słuszne! — warknął Mateo. — To on uknuł to wszystko. Zgubił ich i nas! Jest w zмовie z dzikimi Kämpami. Giń i ty, czerwony diable!

Wyszarpnął rewolwer z za pasa. Smuga poderwał się i podbił mu dłoń, lecz mimo to kula ugodziła przewodnika. Kampa osunął się na ziemię. W tej chwili Mateo stęknął głucho, bezwładnie padł w ramiona Smugi. Żona Kämpy wbiła mu w plecy nóż aż po rękojeść. Cios wymierzony był prosto w serce.

Smuga położył Metysa na ziemi.

— Poszaleli wszyscy w tym upiornym lesie... — szepnął. Indianka przyklękła przy mężu. Żył jeszcze. Smuga wydobył z torby opatrunki i pomógł założyć bandaż.

— Rana chyba nie jest śmiertelna, zawołaj swoich... — odezwał się do Indianki. Podniósł karabin i poszedł ścieżką w dół zbocza.

W lesie znów zaległa cisza. Smuga jakby zapomniał o Indianach czających się w gąszczach. Odnalazł na ścieżce wyraźne ślady ostatniego zbiega, wiedział, że teraz już szybko go dogoni.

Przez jakiś czas stale przyspieszał kroku, ale w końcu zaczęło go ogarniać znużenie. Czuwał przecież przez wiele nocy nie ufając swym towarzyszom, a przez ostatnich kilkanaście godzin ani na chwilę nie przerywał pościgu.

Nieoczekiwanie ujrzał Cabrala na ścieżce, o jakieś dwieście kroków przed sobą. I on także musiał być wyczerpany. To biegł, to przystawał dla zaczerpnięcia tchu. Co chwila spoglądał za siebie.

Smuga zdecydował się zakończyć ten opętańczy pościg. Mógł dosięgnąć zbiega kulą z karabinu, ale nigdy nie zdobyłby się na strzał w plecy. Zrozumiał, że w tej sytuacji karabin był bezużytecznym obciążeniem. Bez wahania odrzucił go w las. Potem wydobył rewolwer z pochwy, zatknął go za pasek od spodni, a następnie pozbył się pasa z drugim rewolwerem. Teraz poczuł się raźniej. Zaczął biec za Cabralem. Wkrótce znacznie przybliżył się do niego. Już nawet słyszał jego ciężki, urywany oddech.

Cabral obejrzał się, ujrzał Smugę tuż za sobą. Broń błysnęła w jego dłoni. Huknął strzał. Chybił! Strzelił ponownie i znów chybił. Ogarnięty przerażeniem skoczył w las pomiędzy drzewa.

Smuga pobiegł za nim.

Cabral, jakby mu nagle sił przybyło, trochę powiększył odległość między sobą i goniącym go Smugą, ale wkrótce osłabienie zaczęło ogarniać go ze

zdwojoną mocą. Poprzez drzewa prześwitywała mała polanka. Chwiejnym krokiem wybiegł na nią. Potknął się, upadł. Powstał ociężale. Odwrócił się twarzą do Smugi. Postanowił błagać o litość, ale zaledwie ujrzał wybiegającego na polanę, nadzieja wstąpiła w jego serce. Smuga nie miał karabinu, ani pasa z rewolwerami. Był bezbronny. Olbrzymi wysiłek przyćmił wzrok pozbawionemu skrupułów Cabralowi. Nie spostrzegł rękojeści rewolweru wystającej Smudze zza paska. Zebrał się w sobie. Uniósł rewolwer starając się zapanować nad drżeniem dłoni.

Smuga wpił wzrok w oczy przeciwnika i wolno zbliżał się ku niemu.

Cabral nacisnął spust.

Kula niemal otarła się o głowę Smugi. Przystanął. Nie dobywając rewolweru odezwał się:

— Rzuć broń! I tak nie trafisz, drży ci ręka.

Cabral dopiero teraz spostrzegł, że Smuga nie był bezbronny. Poblądł jak płótno. O sprawności strzeleckiej Smugi wiele nasłuchiwał się w szynkach Manaos. Strach przed nieuchronną śmiercią zjeżył mu włosy na głowie. Zdlawionym głosem zawołał — Nie zabijaj!

— Pójdiesz ze mną do Manaos! Razem z Alvarezem będziesz się tłumaczył ze swych zbrodni — powiedział Smuga. — Rzuć broń!

Rewolwer wysunął się z dłoni Cabrala.

W tej chwili długa trzciniowa strzała ze świstem śmignęła nad głową Smugi i głęboko wbiła się w pierś Cabrala. Ten zatoczył się, klęknął, a potem z głuchym jękiem padł na ziemię.

Złowroga cisza otoczyła Smugę. Wiedział, że to śmierć nadchodzi. Nie bał się jej, bo uczucie strachu zawsze było mu obce. W tej ostatniej chwili pomyślał o swych przyjaciółach. Przymknął oczy... Ujrzał poważną twarz Tomka, jego żonę, poczciwego Nowickiego i innych... Uśmiechnął się do nich.

Naraz instynkt ostrzegł go, że już nie jest sam na polanie. Otworzył oczy. Twarze przyjaciół zniknęły jak płomień zgaszonej świecy, rozczulenie uleciało bezpowrotnie. Spokojnie spoglądał na półnagich wojowników otaczających go szerokim kołem. Ich twarze i ciała były pokryte fantastycznymi malowidłami. Na głowach nosili korony uplecione z włókien palmowych. W rękach trzymali długie, czarne łuki, na których cięciwy mieli nałożone pierzaste strzały.

Wszelka obrona była beznadziejna. Smuga miał rewolwer i mógł zabić kilku napastników, ale to przecież nie zmieniłoby jego położenia. Kilkudziesięciu Kampów i tak musiało wygrać walkę. Poza tym Smuga nie żywił wrogości do czerwonoskórych wojowników. Rozumiał, że ich nienawiść do białych ludzi była uzasadniona. Oni przecież widzieli w nim tylko białego człowieka, który sprowadził na nich tyle nieszczęść.

Oczekując na śmiertelny cios Smuga wydobyl z kieszeni fajkę, włożył w nią szczyptę tytoniu i zapalił. Gdy wydmuchnął w powietrze pierwszy kłęb dymu, Indianie mocniej napięli ciężki łuków. Dziesiątki długich strzał wymierzili prosto w jego pierś.



## TOMEK PRZYBYWA DO BRAZYLI

Niech pan spojrzysz, drogi kapitanie! Nasz Tomek tak się wpatruje w morską wodę, jak indyjski fakir w węża, którego usypia — zawołała Sally, a zwracając się do swego męża żartobliwie dodała: — Mój kochany, nie wychylaj się tak przez poręcz, bo jeszcze wpadniesz do wody!

— Ha, zawsze mówiłem, że będzie z niego dobry marynarz — powiedział kapitan Nowicki. — Płyniemy już prawie trzy tygodnie, a jemu wciąż mało widoku morza! Nie żałuj mu, sikorko, niech się napatrzy. Tak drogo zapłaciliśmy za przejazd do Ameryki Południowej, że nie warto skąpić mu widoku morskiej wody, którą tak polubił!

Tomek nie odwracając się do żony i przyjaciela odparł — Dla Sally każda woda jest tylko wodą, ale panu się dziwię, kapitanie! Niech pan uważnie przyjrzy się oceanowi, a zaraz przestanie pan pokpiwać ze mnie.

Nowicki stanął przy przyjacielu. Za ledwie rzucił okiem na wodę, klepnął Tomka w ramię i pochwalił — No, no, znasz się na rzeczy, brachu! Dobra nowina!

Sally zaintrygowana również wychyliła się za burtę, ale po chwili zawiedziona powiedziała — Nic nie widzę! Pewno obydwaj chcecie zabawić się moim kosztem!

— Spójrz jeszcze raz! — doradził Nowicki.

— Nic nie widzę prócz mętnej, żółtawej wody!

— A jaki kolor miał ocean wczoraj o zachodzie słońca? Tak się nim zachwyciłaś! — pytał Nowicki.

— Powiedziałaś nawet, że chciałybyś mieć sukienkę w takim kolorze — dodał Tomek.

Sally klasnęła w dłonie i zawołała — Tak, tak, już sobie przypomniałam! To był kolor srebrnobłękitny!

— A jakie zabarwienie ma woda dzisiaj? — cierpliwie indagował Nowicki.

— Brudnożółte!

— No, nareszcie! — mruknął Tomek. — Czy jeszcze w dalszym ciągu sądzisz, że nie warto było przyglądać się oceanowi?

— Hm, więc chodzi wam o zmianę zabarwienia wody? A co to oznacza?

— A to właśnie, że Amazonka mówi nam: dzień dobry! — z humorem wyjaśnił Nowicki.

— To już naprawdę jesteście w Brazylii?

— Tylko jedną nogą, sikorko! W tej chwili znajdujemy się o jakieś trzysta, czterysta kilometrów od stałego lądu, ale mimo to już żeglujemy po wodach Amazonki — wyjaśnił marynarz.

— Tak, tak szanowna pani! — utyskiwał Tomek. — Od kiedy poświęciłaś się archeologii, geografia poszła w ką!

— Nieprawda! Podstępni jesteście obydwaj. Najpierw zagadujecie mnie o sukienkach, a potem naśmiewacie się, że nie znam geografii.

— Widzisz, brachu, oberwaliśmy! — śmiał się kapitan.

— Zaraz jeszcze bardziej się zawstydzicie, bo już wszystko sobie przypomniałam. Słuchajcie! Amazonka, zwana również Królową Rzek, ma źródła w Andach Peruwiańskich. Długość jej wynosi pięć tysięcy pięćset kilometrów, jest więc trzecią pod względem długości rzeką na Ziemi, a pod względem wielkości dorzecza i zasobów wody, pierwszą<sup>690</sup>. No, co teraz powiecie?!

— Przede wszystkim dodam, że w olbrzymim dorzeczu Amazonki można by zmieścić połączone dorzecza Nilu i Missisipi. Amazonka oraz rzeki tworzące jej dorzecze przepływają przez co najmniej połowę kontynentu Ameryki Południowej. Poprzez Rio Negro i Casiquiare, jedną z najbardziej znanych na świecie rzek bifurkujących<sup>691</sup>, Amazonka bifurkuje z Orinoko, a przy wysokim stanie wód również łączy się przez rzekę Guapore z dorzeczem Paragwaju.

O ilości wody wlewanej przez Amazonkę do Oceanu Atlantyckiego<sup>692</sup> najlepiej świadczy fakt, że wody jej wysładzają wodę oceaniczną jeszcze w odległości około trzystu kilometrów od ujścia, zaś muł niesiony przez nią z

---

<sup>690</sup> — Trzy najdłuższe rzeki na Ziemi to: Nil w Afryce o długości 6671 km, posiadający dorzecze 2870 tys. km<sup>2</sup> z rzeką źródłową Kagerą, która uchodzi do Jeziora Wiktorii i stamtąd wypływa jako Nil Wiktorii; Missisipi w Ameryce Pomocnej, mająca z Missouri długość 6418 km i o dorzeczu 3275 tys. km<sup>2</sup> oraz Amazonka o długości 5500 km z dorzeczem 7050 tys. km<sup>2</sup>.

<sup>691</sup> — Bifurkacja — rozdzielenie się rzeki na dwa lub kilka ramion, które dalej płyną nawet w zmiennych kierunkach i należą do różnych dorzeczy. Rzeki bifurkujące występują na nizinnych, bagnistych terenach, przy bardzo małym spadku rzek. Zmiany kierunku spływu wód w tych rzekach zależą od stanu wody, ilości opadów, śniegu, kierunku wiatrów itp.

<sup>692</sup> — Amazonka corocznie wlewa do Atlantyku 3,8 tys. km<sup>2</sup> wody.

głębi tajemniczych dżungli Brazylii, Peru i Kolumbii zmienia srebrnobłękitną barwę oceanu na brudnożółtą.

— Krótko mówiąc, już zbliżamy się do Brazylii — pospiesznie wtrącił kapitan Nowicki, który znając zamiłowanie Tomka do geografii obawiał się obecnie dłuższego wykładu na temat Amazonki.

— A więc wkrótce ujrzymy Zbyszka i Nataszę, a może nawet i pana Smugę — ucieszyła się Sally.

— Kto wie, kochana sikorko! Może tak będzie — zawtórował Nowicki.

— Trudno mi uwierzyć, żeby taki stary wyga jak Smuga nie wygrzebał się nawet z najgorszych opresji!

— Ja również nie mogę sobie tego wyobrazić! — rzekł Tomek. — Pan Smuga niejednokrotnie zniknął na dłuższy czas.

— Święta racja, on chadza własnymi ścieżkami — dodał kapitan. — Jak bardzo obawialiśmy się o niego, gdy wezwał nas do Indii! Myśleliśmy, że już po nim, a w końcu odnaleźliśmy go w klasztorze w Hemis, skąd poprowadził nas na wyprawę w głąb Azji<sup>693</sup>.

— Oby i teraz tak się stało — westchnął Tomek. — Może Zbyszek i Natasza naprawdę zbyt pochopnie zwrócili się do nas o pomoc?

— Nie będę miał o to żalu do nich, jeśli tylko w Manaos zastaniemy Smugę całego i zdrowego — rzekł kapitan. — Dawno już ich nie widzieliśmy. Uściskamy się, pogawędzimy i pozeglujemy z powrotem do waszego ojca!

— Tatuś na pewno bardzo się denerwuje — powiedziała Sally. — Tak chciał z nami spieszyć na ratunek panu Smudze!

— Dobrze mówisz, sikorko, ale trudno mu było w połowie — roboty wystawić Hagenbecka do wiatru. Kontrakt rzecz święta! Kary umowne zrujnowałyby nas, jak amen w pacierzu.

— To właśnie było największą przeszkodą — westchnął Tomek.

— Ojciec rzuciłby wszystko dla ratowania pana Smugi, gdyby stać nas było na pokrycie strat z powodu zerwania umowy. Ledwo udało mu się wytargować zgodę Hagenbecka na wyjazd pana.

— A może tak i lepiej? — mruknął kapitan. — Niezbyt to roztropnie wyrzucać od razu wszystkie koła ratunkowe za burtę!

— Co pan ma na myśli, drogi kapitanie? — zaciekała się Sally.

---

<sup>693</sup> — Mowa o wyprawie opisanej w powieści pt. *Tomek na tropach Yeti*.

— Pomyśl dobrze, to zrozumiesz! — odpowiedział Nowicki. — Jeśli Smugi nie zastaniemy w Manaos, to znaczy, że przepadł w dzikim kraju. Jeżeli taki doświadczony podróżnik mógł tam zaginąć, to i nam także może przytrafić się coś złego. Wtedy szanowny twój teść, sikorko, rozwinie żagle i pospieszy nam z pomocą. Zrozumiałaś teraz?

— Widzę, kapitanie, że bierze pan pod uwagę wszystkie ewentualności, nawet i te... najgorsze — zafrasowała się Sally.

— Tylko żółtodziób zawsze liczy na sprzyjające wiatry!

Umilkli i zamyśleni spoglądali na mewy, które z żalnym piskiem kołowały nad statkiem. Po chwili Nowicki przerwał milczenie i rzekł — Głodne ptaszyska, a i mnie burczy w brzuchu. Wikt zapłaciliśmy z góry, więc chodźmy na śniadanie. Nic tak nie poprawia humoru, jak dobre jedzenie i szklaneczka jamajki.

Przeszli do ogólnej jadalni. Podczas śniadania omawiali plany na najbliższe dni, gdyż wkrótce mieli opuścić „*Gwiazdę Południa*”, na której przepłynęli Ocean Atlantycki.

— Kończą się wasze wygody — właśnie mówił kapitan Nowicki.

— W Belem do Para<sup>694</sup> musimy zaokrętować się na jakiś statek rzecznej żeglugi. Zazwyczaj tłoczno na nich jak w beczce śledzi! Spotkamy wiele typków spod ciemnej gwiazdy.

— Słyszałam, że statki oceaniczne mogą żeglować po Amazonce — wtrąciła Sally. — Zaoszczędzilibyśmy czasu, gdyby nasz statek zawijał wprost do Manaos.

— Mógłby tam dopłynąć! Statki o tonażu do pięciu tysięcy ton mogą docierać do Manaos, a trzytysięczniki nawet do Iquitos w Peru. Cóż jednak z tego, skoro „*Gwiazda Południa*” kończy swój rejs w Belem!

— Dlaczego powiedział pan, że w Belem do Para spotkamy wiele typów spod ciemnej gwiazdy? — ciekawiła się Sally.

— Nie tylko tam, sikorko. W Brazylii i w Peru wciąż panoszy się gorączka kauczukowa. Kauczuk to teraz czarne złoto Ameryki Południowej. Parę lat temu byłem w Belem do Para. Wtedy jeden facet, który też szukał szczęścia w dżungli, opowiadał mi, że gorączka kauczukowa doprowadza

---

<sup>694</sup> — Belem do Para (dawna nazwa: Santa Maria de Belem do Grao Para, czyli Święta Maria Betlejemska z Grao Para) jest stolicą stanu Para, a zarazem największym miastem w północnej Brazylii. Miasto założone na początku XVIII w., posiada wiele zabytków architektury kolonialnej.

ludzi nawet do większego szaleństwa niż gorączka złota w Kalifornii, na Alasce, czy też w Klondike<sup>695</sup>.

— Czy był pan kiedyś w kraju ogarniętym gorączką złota? — dalej pytała Sally.

— Raz zahaczyłem o Alaskę. Płynęliśmy wtedy z ładunkiem mąki. Poszukiwacze złota prawie umierali z głodu nad rzeką Jukon. Za prowiant płacili szczerym złotem! Wtedy nasłuchałem się niemało. Tam jednak w największym niebezpieczeństwie znajdowali się ci, do których uśmiechnęło się „złote szczęście”.

— Czyżby w Brazylii było inaczej?!

— Inaczej? Prawdziwe piekło! Ten facet, o którym wspomniałem, tylko cudem umknął z życiem z obozu zbieraczy kauczuku w dżungli, gdzie przez dwa lata musiał harować niemal jak galernik. Po prostu rozbój i niewolnictwo!

— Przeróżające historie pan opowiada — rzekła Sally. — Wobec tego nie mogę zrozumieć, dlaczego pan Smuga zgodził się tam pojechać, a w dodatku jeszcze zabrał Natkę i Zbyszka?

— Nasz Smuga jadał już chleb z niejednego pieca. Dla niego to nie pierwszyzna. Tych dwojga młodych na pewno nie naraził na niebezpieczeństwo, sama się przekonasz.

— Również jestem tego pewny — wtrącił Tomek. — Żebyśmy tylko nie musieli zbyt długo czekać w Belem na statek w górę Amazonki. Trochę za wiele czasu upłynęło od zaginięcia pana Smugi!

— Zawsze trafi się jakaś okazja, już ja tam dobrze poniucham — odparł kapitan. — Czekajcie, ile to czasu minęło od przepadnięcia Smugi? Daj no list Zbyszka i Nataszy!

— Znam go na pamięć — powiedział Tomek. — Smuga wyruszył znad Putumayo w końcu czerwca. List pisany w październiku otrzymaliśmy w

---

<sup>695</sup> — Kalifornia — stan na zachodzie USA, leży nad Oceanem Spokojnym. Ma powierzchnię 411 015 km<sup>2</sup> i jest trzecim pod względem wielkości stanem po Alasce i Teksasie. W 1840 r., koło Coloma odkryto złoto. Podczas gorączki złota w ciągu dwóch lat napłynęło tam około 90 tyś. ludzi. Alaska, odkryta przez ekspedycję rosyjską w 1741 r. i sprzedana USA za 7,2 mln dolarów w 1867 r., jest największym ze stanów USA. Ma powierzchnię 1 519 000 km<sup>2</sup>. W latach 1896–1902 odkryto tam złoto. Klondike — region w Kanadzie w środkowo-zachodniej części terytorium Jukon. Tam właśnie znaleziono złoto w 1896 r. w Bonanza Creek. Gorączka złota ściągnęła tam z USA w przeciągu roku ponad 30 tyś. poszukiwaczy.

listopadzie. Teraz już za tydzień Boże Narodzenie, a więc pan Smuga nie daje znaku życia od sześciu miesięcy.

— Faktycznie kawał czasu — potaknął No wieki.

— O znalezieniu jakichś śladów nawet nie można marzyć — odezwała się Sally przygnębiona.

— Tak, to nie wchodzi w rachubę — potwierdził Tomek. — Nastąpiła przecież zmiana pory roku. Pan Smuga wyruszył w porze suchej, która trwa od kwietnia do października, a obecnie od dwóch miesięcy mamy w Amazonii porę deszczową, czyli zimę. Amazonka i jej dopływy zalały znaczne obszary kraju.

— Czy to może uniemożliwić nam wyprawę ratunkową? — coraz bardziej niepokoila się Sally.

— Raczej utrudni zbieranie informacji — odparł Tomek. — W okresach wysokiej wody ludzie, a nawet i zwierzęta odsuwają się od brzegów rzek. Tym samym niełatwo będzie odnaleźć tych, którzy mogliby coś powiedzieć o Smudze. Natomiast jeśli chodzi o sposób poruszania się wyprawy, to w Amazonii na wielu terenach zawsze podróżuje się na łodziach. Widzisz, Amazonka przez większość roku przelewa się przez brzegi i pewne okolice stale są przez nią zalewane. Dzieje się tak, gdyż pora deszczowa na półkuli północnej występuje w innym czasie niż na półkuli południowej. Z tego powodu lewobrzeżne dopływy Amazonki wzbierają na zmianę z prawobrzeżnymi<sup>696</sup>.

— Wspaniały jesteś, Tommy! — zawołała Sally. — Nigdy nie byłeś w Brazylii, a przecież znasz ją na wylot! Pokonamy wszelkie przeciwności! Ty i pan kapitan na pewno poradzicie sobie ze wszystkim.

Mówiąc to Sally obdarzyła obydwóch mężczyzn promiennym uśmiechem. Olbrzymi No wieki aż przymrużył oczy z zadowolenia, a i Tomek pokraśniał, gdyż obydwaj byli czuli na tego rodzaju pochlebstwa.

Dwa dni szybko minęły trójce przyjaciół. Przygotowywali się do opuszczenia statku po drugiej morskiej podróży, odwiedzali pocziwego Dinga, który przebywał w pomieszczeniu dla zwierząt, snuli domysły na temat losów Smugi i układali plany. Trzeciego dnia prawie od świtu czuwali

---

<sup>696</sup> — Wody Amazonki wzbierają dwukrotnie w ciągu roku i wtedy poziom ich podwyższa się od 15 do 20 m. Większe spiętrzenia wód trwają od lutego do czerwca, zaś mniejsze od października do stycznia.

na pokładzie, bowiem na zachodnim horyzoncie już rysowało się sinawe pasmo wybrzeża.

Początkowo nikły zarys lądu stopniowo rozrastał się, potężniał, przybierał coraz to realniejsze kształty, aż w końcu, około południa, północne brzegi Brazylii błysnęły tropikalnym urokiem. Zaborczy ocean z głuchym pomrukiem uderzał w przybrzeżną mieliznę, a potem bryzgając białą pianą łagodnie przetaczał się po złocistych, szerokich plażach. Gdzie indziej znów z wściekłością przenikał w gąszcze mangrowe, którymi zachłanna dżungla, schodząca niemal w toń oceanu, osłaniała się przed jego niszczycielską siłą. Tu i tam palmy kokosowe powiewały wspaniałymi pióropuszcami, jakby wabiły przybyszów zza bezmiernego oceanu w głąb malowniczego, a zarazem tajemniczego lądu.

— Jakiś statek podpływa do nas! — w pewnej chwili zawołała Sally. — Pewno przywozi pilota!

— Oczywiście, zaraz przyjmiemy go na pokład — potwierdził Nowicki.

— Więc już wpływamy na Amazonkę?! — dziwiła się Sally. — Przecież przed nami wciąż jeszcze rozciąga się ocean!

— Odgałęzienie rzeki, w które obecnie wpływamy, ma około sześćdziesięciu kilometrów szerokości — zauważył Tomek.

— Więc to jedynie odgałęzienie rzeki? — jeszcze bardziej zdumiała się Sally.

— A jakże, sikorko, szerokość całej Amazonki przy ujściu razem z deltą wynosi trzysta kilometrów. To najszersza rzeka na Ziemi — dodał Nowicki.

— Widzisz, Sally, ujście Amazonki tworzy potężny lej, rozwidlony przez liczne wyspy — uzupełnił Tomek. — Lej ten rozpoczyna się o trzysta pięćdziesiąt kilometrów od Oceanu Atlantyckiego. Nie jestem pewny, lecz wydaje mi się, że Amazonka tworzy przy ujściu trzy odgałęzienia?

— A jakże, nie mylisz się! — potaknął Nowicki. — Północne odgałęzienie ujścia Amazonki zwą Canal do Norte, środkowe Canal do Sul, a południowe Para.

— Którym odgałęzieniem popłyniemy? — zapytała Sally. — Południowym, oddzielonym wyspą Marajo<sup>697</sup>. Tędy wiedzie główna droga. Północne i środkowe są niebezpieczne dla żeglugi.

Przyjaciele przerwali pogawędkę. W pobliżu wybrzeża ukazało się kilka niezwykle oryginalnych łodzi rybackich, wplecionych z giętkich gałęzi lub trzciny. Wyglądem przypominały duże, podłużne kosze do bielizny zwężające się ku obydwom końcom. Każda łódź posiadała ogromny, jasnoniebieski lub pomarańczowy żagiel w kształcie trójkąta. Tomek i Sally z ciekawością przyglądali się im przez lornetki, gdyż, jak zapewniał Nowicki, tego rodzaju łodzie używane były do morskich, przybrzeżnych połowów od Recife<sup>698</sup> aż do Amazonki.

„*Gwiazda Południa*” tymczasem, już prowadzona przez pilota, śmiało płynęła po kanale. Toteż Sally nieco zawiedziona zauważyła — Drugiego brzegu wciąż jeszcze nie widać. Fala wysoka niemal jak na oceanie!

— Nic dziwnego, drugi brzeg leży o kilkadziesiąt kilometrów, a w dodatku płyniemy teraz na fali przyływowej — wyjaśnił Nowicki. — W tej chwili Amazonka i ocean wodzą się za łby!

— Nie rozumiem...?

— Potężna Amazonka wdziera się na setki kilometrów w Ocean Atlantycki, lecz podczas przyływu Atlantyk z powrotem wpycha olbrzymie masy wody w koryto rzeki. Dzięki temu na Oceanie Atlantyckim płynie się po wodach Amazonki, a na Amazonce po wodach oceanu. W czasie przyływu wysokie fale oceaniczne płyną pod prąd rzeki, zalewają i niszczą wszystko, co napotkają po drodze. Fale przyływowe sięgają na Amazonce aż siedemset pięćdziesiąt kilometrów w górę rzeki, czyli do miasta Obidos, które leży prawie w połowie drogi do Manaus.

— Czy to jest naprawdę możliwe? — nie dowierzała Sally.

---

<sup>697</sup> — Marajo (Ihla de Marajo) największa rzeczna wyspa na Ziemi; powierzchnia jej wynosi około 48 tyś. km<sup>2</sup>. Leży w ujściu Amazonki do Atlantyku, między dwoma ramionami rzeki: Canal do Sul i Para. Teren nizinny, miejscami bagnisty, w zachodniej części lasy równikowe.

<sup>698</sup> — Recife (dawniej Pernambuco) ważny port morski i miasto, a zarazem stolica stanu Pernambuco we wschodniej Brazylii. Miasto jest zbudowane częściowo na lądzie stałym, a częściowo na półwyspie i wyspie, leżącej w lagunie, utworzonej przez dwie rzeki. Recife jest najdalej na wschód wysuniętym punktem Ameryki Południowej. Ośrodek eksportu cukru, bawełny i skór. Miasto założyli Portugalczycy w 1535 r., początkowo na półwyspie, a potem Holendrzy rozszerzyli je na wyspę. Część na lądzie stałym jest najbardziej nowoczesną dzielnicą miasta.



— Tylko zerknij do podręcznika geografii, a zaraz przestaniesz wątpić w słowa kapitana — wesoło wtrącił Tomek. — W Canal do Para pororoca, jak na Amazonce nazywa się falę przyływową, dochodzi do trzech metrów wysokości.

— Dobrze mówisz, brachu, w Canal do Norte i w Canal do Sul fale przyływowe są nawet znacznie wyższe i gwałtowniejsze. Dlatego też główna żegluga odbywa się po Canal do Para — dodał Nowicki.

— Moi drodzy, powiedzcie mi jeszcze, czy dzisiaj dopłyniemy do portu w Belem?

— Belem leży sto czterdzieści cztery kilometry w głębi delty, będziemy tam jutro o świcie — wyjaśnił Nowicki.

Jeszcze na kilka godzin przed zapadnięciem wieczoru coraz więcej małych wysp porośniętych dżunglą zaczęło pojawiać się na rzece. W gąszczu tropikalnej zieleni często było widać domki o spadzistych dachach, zbudowane na wysokich palach. Coraz też częściej w pobliżu statku przepływały prymitywne łodzie krajowców.

Sally i Tomek z zainteresowaniem przyglądali się panoramie Amazonki. Nawet nie chcieli zejść do jadalni na obiad. Na szczęście dla zgłodniałego Nowickiego nadciągnął ulewny deszcz, który spędził wszystkich z pokładu. Była to już przecież brazylijska zima, w czasie której gwałtowne ulewy nadciągały regularnie prawie każdego popołudnia.

Następnego ranka „*Gwiazda Południa*” wpłynęła do zatoki, a wkrótce też przybiła do kamiennego moła w porcie Belem do Para, zwanym Bramą Amazonki.



## NA AMAZONCE

Po opuszczeniu statku w Belem troje przyjaciół wynajęło pokoje w hotelu w nowoczesnej części miasta. Kapitan Nowicki zaraz powrócił do portu, aby zasięgnąć informacji o statkach odpływających w górę Amazonki, a Tomek z Sally wyszli przyjrzeć się miastu.

Belem, obok Manaus i Iquitos, należało do najważniejszych miast nad Amazonką, które swój błyskotliwy rozwój zawdzięczały kauczukowi. Do portu codziennie zawijały statki z ładunkiem kauczuku zbieranego w głębi błotnistych dżungli i stąd dopiero to „czarne złoto Brazylii” płynęło dalej w świat. Na ulicach panował ożywiony ruch. W najnowszej dzielnicy miasta mieściły się biura wielu przedsiębiorstw kauczukowych i banki. Miasto było naturalną „bramą Amazonki”. Ktokolwiek zamierzał udać się w głąb kontynentu, musiał rozpoczynać swą podróż w porcie Belem, gdyż w tej części Brazylii jedynym gościńcem była wszechwładna rzeka.

Tuż obok europejskiej dzielnicy lśniącej czystością i bogactwem, rozpościerało się stare miasto o krętych uliczkach i zaułkach, pełne brudu i nędzy. Tomek i Sally rozpoczęli zwiedzanie miasta od nadbrzeża rzeki, gdzie leżała najbardziej reprezentacyjna dzielnica. W niej właśnie znajdowały się domy handlowe, przedsiębiorstwa, urzędy, luksusowe hotele, restauracje, kawiarnie i wspaniałe sklepy, wabiące oko wystawami wypełnionymi najrozmaitszymi przedmiotami.

Ta część miasta mniej zaciekała Tomka i Sally. Toteż zaledwie przyjrżeli się szerokim, czystym bulwarom, skwerom i placom, natychmiast weszli w boczną ulicę wiodącą ku starymu miastu, zbudowanemu jeszcze w czasie kolonialnego podboju. Tutaj dominowały masywne, białe pałace, ponure świątynie przypominające twierdze obronne, gdyż tak portugalscy, jak i hiszpańscy konkwistadorzy mieczem i krzyżem starali się ujarzmić południowoamerykańskich Indian.

Tomek i Sally z zainteresowaniem spoglądali na stare budowle, których ponure mury przypominały historię krwawego podboju i beznadziejnej obrony. Obejrżeli zabytkową katedrę z XVIII wieku, po czym udali się do sławnego portu rybackiego Ver-o-Peso, przesiąkniętego charakterystycznym zapachem ryb. Był akurat dzień targowy. Przy brzegu rzeki czernił się las

masztów rozmaitych stateczków, barek oraz indiańskich łodzi, na których przyływano do Belem na targi nawet z dość odległych zakątków Amazonii.

Targowisko przedstawiało niezapomniany widok. Na tle murowanych, niezbyt wysokich domów, zdobionych frontonami bądź wieżyczkami nakrytymi spiczastymi dachami, roił się różnokolorowy tłum. Jasnobrunatni Indianie, Metysi, Murzyni o odcieniach skóry od popielatej do czarnej jak heban, Mulaci, Japończycy, Chińczycy i biali przybywali na targ nie tylko, by coś sprzedać lub kupić, lecz także dla wspólnej wymiany nowinek i plotek. W amazońskiej głuszy osady, a czasem tylko pojedyncze domostwa były oddalone od siebie o setki kilometrów niedostępnych puszc. Toteż na targowisku nikt się nie spieszył ani nie niecierpliwił, każdy chętnie wdawał się w pogawędkę.

Młode małżeństwo spędziło sporo czasu na Ver-o-Peso. Sally kupiła kilka drobiazgów dla przyjaciół w Manaus, a potem myszkowali po placu, ciekawie obserwując barwny tłum. Niektórzy sprzedawcy rozłożyli stragany, inni natomiast kładli swój towar wprost na kamiennym nabrzeżu. Można tam było nabyć ryż, bulwy maniokowe lub tartą z nich gruboziarnistą mąkę zwaną „*farinha*”, *castanha do Para*, czyli sławne orzechy brazylijskie, kakao, kokosy, banany, ananasy, ryby od najmniejszych do olbrzymów, a obok wielu produktów spożywczych także cenne skóry krokodyli, węży i jaguarów, przedziwne wyroby ze skrzydeł przepięknych motyli, naszyjniki z suszonych nasion, koronki z włókien palmowych oraz wiele, wiele różnych okazów indiańskiego rękodzieła. Nie brakło również zbiorów motyli, pęków zasuszonych kolibrów, nawet żywych papug, umięających wymawiać pewne słowa portugalskie i hiszpańskie, małpek, a czasem trafiła się żywa anakonda i jaguar.

Na zwiedzaniu miasta minęło prawie całe przedpołudnie. Tomek miał jeszcze ogromną ochotę dokładniej zwiedzić stare Belem, zamieszkane głównie przez Metysów i Mulatów, gdzie kręte, wąskie uliczki kończyły się już na moczarowatych przedpolach tropikalnego lasu, lecz Sally przypomniała mu o Dingu pozostawionym w hotelu.

Nowicki już powrócił z portu i czekał na nich w pokoju popijając swoją ulubioną jamajkę. Dingo uradowany machnął ogonem, a kapitan zagadnął — Co tam nakupiłaś, sikorko?!

— To upominki dla pana Smugi, Nataszy i Zbyszka — wyjaśniła Sally.

— Chciałam kupić dla pana gadającą papugę, ale Tommy powiedział, że teraz byłaby zbyt kłopotliwym upominkiem.

— Gadającą papugę, mówisz? — rzekł Nowicki. — A wiesz, że nawet chciałbym mieć takiego zmyślnego ptaka!

— Właśnie o to gadanie najwięcej mi chodziło — wtrącił Tomek.

— Wprawdzie potrafiła wymawiać: bom dia, compadre, czyli dzień dobry, kumie, ale były to jedyne przyzwoite słowa poza portugalskimi klątwami.

— Hm, faktycznie sprawiałaby kłopot w przyzwoitym towarzystwie — przyznał Nowicki.

— Ofiaruję panu taki upominek przed wyjazdem z Ameryki — obiecała Sally, po czym zapytała: — Czego dowiedział się pan w porcie?

— Spotkałem kumpla z braci marynarskiej. Kiedyś pływaliśmy razem na jednym starym pudle — odparł kapitan. — Równy chłop, tylko chrapie niemiłosiernie!

— Drogi panie kapitanie, czy dowiedział się pan także czegoś o statkach odpływających w górę rzeki? — niecierpliwie wtrąciła Sally.

— Ostatnio jesteś w gorącej wodzie kąpana — skarcił ją Nowicki.

— Właśnie chciałem wyjaśnić, że ten kumpel obecnie jest kapitanem na statku kursującym po Amazonce. Jego „*Santa Maria*” odpływa o świcie do Manaos.

— A to wspaniała nowina! — zawołała Sally, po czym uściskała marynarza.

— Naprawdę doskonała wiadomość — ucieszył się Tomek. — Kiedy przenosimy się na statek?

— Zaraz po deszczu — wyjaśnił Nowicki.

— Przecież nie pada! — zaproponowała Sally.

— Nie martw się, deszcz pewny. W zimie zawsze tu leje po południu. Teraz mamy czas na obiad i drzemkę. Przed zmierzchem zaokrętuujemy się na „*Santa Marię*”.

Tuż przed zachodem słońca znaleźli się w porcie. „*Santa Maria*” była małym dwukominowym parowcem o dużym kole łopatkowym umieszczonym z tyłu. Kilkunastu Mulatów właśnie kończyło załadunek wielkich szczap drewna, którymi podgrzewano kotły na statku.

— Więc to jest „*Santa Maria*”! — szepnęła Sally.

— Nie martw się, sikorko! — pocieszył ją Nowicki — Dla nas znajdzie się jakaś kabina.

Weszli po pomoście na dolny pokład zatłoczony ludźmi, workami, koszami, bydłem i drobiem. Sally zacisnęła dłoń na obroży głucho warczącego Dinga i z żalem pomyślała o przestronnej, wygodnej „*Gwieździe Południa*”, którą stąd doskonale było widać, lecz w tej właśnie chwili z drugiego pokładu zbiegł po schodkach mężczyzna średniego wzrostu, o szerokich barach i z głęboką blizną na lewym policzku. Szerokim ruchem ramion rozgarnął ciżbę ludzką i stanął przed trójką przyjaciół.

— To jest Fred Slim, kapitan tego starego pudła — oznajmił Nowicki, a potem dodał: — Oto Tomasz Wilmowski z żoną, moi przyjaciele, i nasze psisko, Dingo! Czy przygotowałeś dla nas kabinę?

— Ay, ay, kapitanie! — po angielsku odpowiedział Slim unosząc dłoń do daszka czapki zsuniętej z czoła, po czym podał Tomkowi sękatę łapsko, uklonił się Sally i rzekł: — Wyrzuciłem jedno towarzystwo z kabiny pierwszej klasy, którą przeznaczyłem dla pana Wilmowskiego i jego pięknej żony. Ty, kapitanie, rozgość się w moim apartamencie jak we własnym domu. Widzisz, jak tu wszędzie tłoczno.

— Dobrze, tylko na noc wynoś się na mostek, bo wiesz, że chrapanie denerwuje mnie — powiedział Nowicki. — Każ wnieść nasze manatki, stoją na molo na wózku!

— Hej, Ramon! — krzyknął kapitan Slim w kierunku barczystego Mulata, dopilnowującego załadunku drzewa. — Zajmij się bagażami państwa! A teraz proszę za mną!

Kapitan Slim najpierw zaprowadził gości do kabiny przeznaczonej dla młodego małżeństwa, pomógł w ułożeniu bagaży, a potem wspólnie przeszli do kabiny kapitańskiej, szumnie zwanej przez niego apartamentem. Było to też najobszerniejsze i najschludniejsze pomieszczenie na statku.

Na stole nakrytym do kolacji na cztery osoby stała bateria butelek oryginalnej jamajki. Na ich widok kapitan Nowicki rozpogodził się i rzekł — Ha, widzę, że nie zapomniałeś o delikatesie, za którym przepadam! Kapitan Slim odruchowo dotknął dłonią szerokiej blizny na policzku i odparł — Jak mógłbym zapomnieć! Dzięki tobie skończyło się tylko na tym.

— To musiała być okropna przygoda?! — zawołała Sally.

— Jaka tam okropna przygoda! Zwykła bójka! — zaproponował Nowicki. — Skoro poczęstunek gotowy, to nie traćmy czasu i siadajmy do stołu.

— Kiedy odpływamy z Belem? — zapytał Tomek z niepokojem spoglądając na rząd butelek.

— Moglibyśmy wyruszyć na noc, zaraz po załadunku drzewa, ale pilot spał się do nieprzytomności. Odpłyniemy o świcie...

— Zaraz po kolacji zajmę się twoim pilotem — wtrącił Nowicki. — Zanurzę mu łepetynę w kuble wody z Amazonki, to wytrzeźwieje.

\* \* \*

Sally przerażona spoglądała na kapitana Slima, Nowickiego i Tomka, którzy trzymając pilota za nogi, zanurzali jego głowę w wiadrze mętnej wody. Nieszczęsny pilot sapał, wypluwał brudnożółtawe strumienie na pokład, rozpaczliwie machał rękami, które trzeszczały w stawach i chrobotowały niczym skrzydła starego wiatraka. Sally nie mogła dłużej na to patrzeć, więc podbiegła do nich i wyrzuciła wiadro za burtę. Wtedy rozgniewani mężczyźni z rozmachem wyrzucili pilota w ślad za wiadrem. Sally wspięła się na poręcz, aby skoczyć tonącemu na ratunek i... przebudziła się z koszmarne snu. Odetchnęła z ulgą, a następnie parsknęła śmiechem ujrzawszy Dinga, który zaniepokojony badawczo spoglądał na nią. „*Santa Maria*” płynęła trzeszcząc w wiązaniach, a wielkie koło wprawiające ją w ruch miarowymi obrotami chrobotowało głośno. A więc już znajdowali się w drodze do Manaos, a ona po prostu przespała wypłynięcie z portu.

Sally rozejrzała się wokoło. Tomka nie było w kabinie, zapewne z pokładu przyglądał się okolicy. Na stole, pod zawieszoną nad nim lampą naftową, leżały dziesiątki różnych owadów z opalonymi skrzydłami. Teraz właśnie Sally przypomniała sobie, że poprzedniego wieczora długo nie mogła zasnąć, gdyż roje owadów nadlatywały do światła lampy, brzęczały w moskitierze osłaniającej koję, a potem hałasowały na stole.

„*To przez te owady zasnęłam, a Tommy nie obudził mnie...*” — szepnęła. Rażno wyskoczyła z kabiny. Wśród pasażerów pierwszej klasy, która mieściła się na drugim pokładzie, nie spostrzegła swych towarzyszy. Trochę nadąsana przystanęła przy balustradzie.

„*Santa Maria*” zapewne płynęła już od kilku godzin, gdyż obecnie znajdowała się w malowniczym, wąskim kanale po zachodniej stronie wyspy

Marajo, który łączył południowe ramię ujścia z właściwą Amazonką. Statek płynął wolno, trzeszczał, chrząścił kołem, sapał i wraz ze smugami żółtoczarnego dymu sypał wielkimi iskrami z dwóch cienkich, wysokich kominów. Płaski dach unoszący się nad drugim pokładem osłaniał pasażerów przed deszczem iskier, Sally więc oparła się rękami o balustradę i głęboko wdychała korzenny aromat płynący z lasów na pobliskich brzegach. Od czasu do czasu wśród zielonej gęstwiny zabieliła się indiańska chata bez ścian, zbudowana na wysokich palach i osłonięta dużym dachem z liści palmowych, czasem też obok domków krajowców widać było wille białych ludzi, okolone drzewami pomarańczowymi i bananowcami.

Naraz ktoś przystanął za Sally. Pomyślała, że to Tomek lub kapitan Nowicki i zaczęła udawać, że nikogo nie dostrzega. Śniade dłonie pojawiły się na balustradzie tuż przy łokciach Sally. Teraz spostrzegła swą pomyłkę. Odwróciła się i ujrzała obcego mężczyznę. Był to wysoki, barczysty Metys, starannie ubrany w popielaty garnitur i melonik. W jego czerwonym krawacie tkwiła szpilka z dużym brylantem.

Metys miał pewny siebie uśmiech na twarzy. Zagadnął po portugalsku. Sally nie zrozumiała ani słowa. Chciała odsunąć jego ramię, aby odejść, lecz mężczyzna ani drgnął.

— Proszę mnie przepuścić! — po angielsku odezwała się Sally.

— Czy nie znasz portugalskiego? — po angielsku zagadnął Metys. — Pytam, dokąd się udajesz ślicznotko! Pewno do Manaos...? Może artystka? Jeśli tak, mogę zaangażować cię do mego lokalu. Jestem właścicielem „*Tesouro*”. Bądź dla mnie grzeczna, opłaci się...

— Proszę mnie przepuścić! — ostrzej powiedziała Sally. Metys roześmiał się tylko.

— Nie szukam pracy i nie mam ochoty z panem rozmawiać — dodała Sally.

Metys pochylił się nad nią, lecz w tej chwili mocne szarpnięcie za ramię oderwało go od balustrady. Teraz ujrzał przed sobą nieco niższego młodego mężczyznę. Był to Tomasz Wilmowski.

— Gdy kobieta mówi, że nie ma ochoty na rozmowę, należy pozostawić ją w spokoju — odezwał się Tomek mierząc Metysa surowym spojrzeniem.

— Szukasz guza? — buńczucznie zapytał Metys. Tomek opanował się i odparł — Nie wszczynaj awantury, bo wkrótce możesz tego pożałować!



Metys znienacka zamierzył się pięścią na Tomka. Potem wydarzenia potoczyły się tak błyskawicznie, że nawet Sally dopiero wtedy pojęła, co się stało, gdy Metys runął na pokład.

— Czy masz już dość zaczepek? — spokojnie zapytał Tomek. Kapitan Nowicki stał na uboczu i rozbawiony obserwował krótką walkę. Sam przecież wyuczył swego druha niezawodnych uderzeń obezwładniających nawet najtęższych przeciwników i pewien był wyniku starcia. Nagle ujrzał Indianina z nożem w dłoni podkradającego się za plecami Tomka. Nowicki dopadł go w jednej chwili, chwycił z tyłu za pasek od spodni i kark, po czym uniósł go w górę. Indianin zakreślił łuk w powietrzu i głucho uderzył o ścianę nadbudówki, po czym bezwładnie osunął się na pokład.

Inni pasażerowie z zainteresowaniem przyglądali się bójce. Wkrótce również nadszedł kapitan Slim. Metys klnąc pod nosem podnosił się z pokładu. Ujrzał kapitana statku.

— Zamknij ich! — zawołał rozzłoszczony porażką. — Napadli mnie!

— Jeszcze jedno słowo, a wyrzucę cię za burtę! — ostrzegł Nowicki. Metys chciał coś powiedzieć, ale kapitan Slim uprzedził go — Pomyśl dobrze, zanim się odezwiesz. O ile znam mego kumpla, to na pewno dotrzyma słowa. Najlepiej idź do kabiny razem ze swoim służącym i obydwaj siedźcie cicho.

Metys klnąc pod nosem dźwignął się z pokładu. Chwiejnym krokiem oddalił się, a za nim umknął Indianin. Przyjaciele stanęli przy burcie.

— Nieźle sobie poradziłeś — Nowicki pochwalił Tomka, a zwracając się do Sally, zapytał: — Czego ten miejscowy elegant chciał od ciebie?

— Myślał, że jestem artystką i proponował mi pracę w swoim lokalu w Manaos.

— Wygląda na faceta z gotówką — rzekł Nowicki rozbawiony.

— Czy wiecie, z kim zadarliście? — odezwał się kapitan Slim. — Ten Metys posiada poważne udziały w jednym przedsiębiorstwie kauczukowym. To Pedro Alvarez, dobrze znany w Manaos i w Para, a także i w Iquitos.

— Czekaj, czekaj, jak on się nazywa? — zapytał Nowicki zaintrygowany.

— Pedro Alvarez — powtórzył kapitan Slim.

— Do stu zdechłych wielorybów... — zawołał zdumiony Nowicki, ale w tej chwili Tomek znacząco mrugnął do niego, więc dyplomatycznie

zakończył: — Faktycznie słyszałem gdzieś to nazwisko! Ale pał go czort, dostał po łapach.

Gdy kapitan Slim powrócił na swoje stanowisko na mostku, Sally odezwała się — Cóż za dziwny zbieg okoliczności? Już popadliśmy w zatarg z Pedrem Alvarezem, o którym Zbyszek pisał tyle złego!

— To jego właśnie podejrzewał pan Smuga o nasłanie zbirów na obóz Nixona. Chcąc mu to udowodnić, wyruszył w pościg za mordercami. — dodał Tomek.

— Gdybym wcześniej wiedział, kim on jest, sam bym mu co nieco dołożył — zżymał się Nowicki. — Ze zdumienia o mały włos byłbym się wygadał.

— Ostrożność nigdy nie zawadzi, chociaż nie wydaje mi się, żeby kapitan Slim sprzyjał Alvarezowi — powiedział Tomek.

— Jestem tego pewny — potwierdził Nowicki. — Wprawdzie Slim okropnie chrapie, ale mimo to można mu ufać.

Od tego dnia Sally wychodząc na pokład zawsze zabierała Dinga, a Tomek z Nowickim także mieli się na baczności. Na szczęście Alvarez nie opuszczał swej kabiny. Może wstydził się porażki?

„*Santa Maria*” tymczasem z uporem płynęła w górę rzeki. Minęła leżące na pagórku Monte Alegro, a potem Santarem przy ujściu rzeki Tapajoz do Amazonki i zbliżała się do miasteczka Obidos. W miejscach pozbawionych wysp Amazonka oszałamiała swym ogromem. Drugi brzeg zarysowywał się ledwo widocznym pasemkiem, a czasem w ogóle znikał na horyzoncie.

Po kilku dniach żeglugi panorama Amazonki stawała się trochę monotonna. Obydwa brzegi były niskie i płaskie. Rzeka szeroko zalewała nadbrzeżny las tropikalny. Drzewa teraz wprost wyrastały z rzecznej toni, wychylały nad nią swe konary. Sprawiało to wrażenie, że zachłanna dżungla zamierza w bród przejść Amazonkę.

Dni na rzece były bardzo podobne do siebie. O świcie i przed zmierzchem aromatyczny las rozbrzmiewał krzykiem niezliczonego ptactwa. Na konarach drzew mały uprawiały gonitwy, a ponad rzeką przelatywały stadka kolorowych papug. Domki białych ludzi dawno już zniknęły z wybrzeża, a palmowe chatki krajowców również rzadko urozmaicały krajobraz.

Pogoda była niemal tak jednostajna jak panorama Amazonki. Ranki bywały pogodne i ciepłe. Dżungla błyszczała rosą, która szybko nikała, gdy

słońce zaczynało przygrzewać. Liście i kwiaty rozwijały się jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, wspaniałe orchidee ostro odcinały się od soczystej zieleni. Ale gdy słońce osiągnęło zenit, liście i kwiaty więdły pod wpływem żaru, ptactwo milkło, życie w dżungli zamierało. Tylko wszędobylskie świerszcze od czasu do czasu pokrzykiwały na drzewach. Stawało się coraz goręcej, parniej. Wtedy na wschodnim horyzoncie wykwiwały białe obłoczki, które wkrótce rozrastały się, ciemniały, aż w końcu zasnuwały całe niebo czarną, nieprzeniknioną zasłoną. Wiatr nadlatywał i mącił toń rzeki. Potoki deszczu spadały na ziemię, oślepiające błyskawice rozdzierały ponure niebo, grzmoty przetaczały się z głuchym pomrukiem, biły pioruny. Potem burza milkła nieoczekiwanie i błękitne niebo znów jaśniało nad Amazonką, aż do zachodu słońca. Noce przeważnie bywały pogodne i chłodne, czasem tylko trochę popadało, lecz o świcie zawsze ukazywało się bezchmurne niebo.

W Amazonii, leżącej w strefie przyrównikowej, nie było zmiennych czterech pór roku, podczas których temperatura powietrza ulegałaby wahaniom. Po prostu było tam stale ciepło, a tylko w nocy występowały chłody. Tomek, jako doskonały geograf, poinformował przyjaciół, że w Amazonii istniały większe różnice temperatury między dniem i nocą niż między latem i zimą. Tak też było naprawdę. Pora sucha, czyli lato, oraz pora deszczowa występująca zamiast zimy, różniły się tylko częstotliwością opadów deszczu.

W porze suchej deszcze padały co drugi lub trzeci dzień, natomiast w porze deszczowej, kiedy słońce znajdowało się w zenicie, występowały codziennie<sup>699</sup>.

O ile panorama brzegów rzeki, układ pogody i charakter pór roku sprawiały wrażenie pewnej monotonii, o tyle sama Amazonka wciąż zaskakiwała niespodziankami i zmuszała żeglarzy do stałej czujności. W czasie pory deszczowej rzeka występowała z brzegów i zalewała dżunglę na przestrzeni dziesiątek kilometrów. Jedne wyspy znikały, inne wylaniały się niespodziewanie, a czasem spływały w dół razem z rzeką. Wyrastały wędrujące ławice, powstawały wielkie wiry i wykroty bardzo niebezpieczne

---

<sup>699</sup> — Układ pogody oraz warunki klimatyczne w Ameryce tropikalnej są wynikiem ciśnienia atmosferycznego i związanych z nim wiatrów, które są tu inne niż w Afryce, Australii i Azji. Tylko na niektórych obszarach Ameryki tropikalnej występują dwie pory deszczowe, przedzielone okresem suszy.

dla statków. Brudnożółte, spienione fale niosły olbrzymie drzewa wyrwane z korzeniami, zwały podmytego brzegu razem z roślinnością. To znów pnie drzew tworzyły groźne zatory, a podobne do wysp kępy wodorostów, gałęzi i trzcin zdradliwie ocierały się o boki statku.

W nurtach Amazonki czaiły się ławice krwiożerczych piranii, czyhały malutkie jak palec rybki canero, które wślizgiwały się w otwory ciała ludzi i zwierząt, w piasku i mule rzeczonym drzemały jadowite, kolczaste raje<sup>700</sup>, drętwy elektryczne porażały prądem, pławiły się żarłoczne krokodyle.

Amazonka groziła człowiekowi licznymi niebezpieczeństwami, lecz zarazem także ułatwiała mu życie. Wraz ze swymi dopływami tworzyła dostępne dla żeglugi gościńce<sup>701</sup>, dostarczała pożywienia. W wodach Amazonki, oprócz wielu groźnych stworów, żyło około dwóch tysięcy gatunków ryb oraz różne gatunki żółwi, manaty z rzędu syren<sup>702</sup>, delfiny słodkowodne i wiele, wiele innych stworzeń. Wody Amazonki przynosiły żyzny muł, szeroko rozprzestrzeniany podczas przyborów, lecz stale zalewane tereny były mało przydatne człowiekowi.

---

<sup>700</sup> — Raje (*Rajidae*) — płaszczki, czyli ryby o ciele talerzowato spłaszczonym. W dzień odpoczywają w mule lub piasku, a dopiero z nastaniem zmroku rozpoczynają ruchliwy tryb życia. Pływają ponad dnem, dotykając jego powierzchni końcami płetw. Jedzą raki, kraby, drobne ryby. Jeśli niechący nastąpi się na płaszczkę, zaniepokojona uderza kolczastym ogonem, raniąc nieostrożnego. Rana powoduje silne bóle oraz objawy podobne do skutków ukąszenia przez jadowite węże. U niektórych *Rajidae* część muskulatury ogona może przekształcić się w narządy elektryczne, dające słabe wyładowania. U drętw (*Torpedinidae*) możliwość porażenia wyładowaniami elektrycznymi jest znacznie silniejsza.

<sup>701</sup> — Z licznych dopływów Amazonki osiemnaście ma ponad 1500 km długości. Największe lewobrzeżne: Napo, Putumayo, Japura, Negro; prawobrzeżne: Ukajali, Jurua, Purus, Madeira, Xingu i Tocantins. Długość dróg wodnych całego dorzecza, dostępnych dla statków, wynosi 50 tyś. km, z czego 40 tyś. km znajduje się na terytorium Brazylii.

<sup>702</sup> — Manaty (*Manatidae*) — duże ssaki morskie o wrzecionowatym ciele, porośniętym z rzadka krótkimi włosami. Żywią się roślinnością wodną i prowadzą głównie nocny tryb życia. Zamieszkują pobraża tropikalnej części Oceanu Atlantyckiego; często wpływają rzekami w głąb lądu. Poławiane są dla mięsa, skóry i tłuszczu. Ostatnie manaty znajdują się pod ochroną.

## SPOTKANIE Z PRZYJACIÓŁMI

Ze względu na małe zanurzenie „*Santa Marii*”, na otwartych wodach Amazonki pilot prowadził ją bliżej brzegu, gdzie nurt zazwyczaj był spokojniejszy. Tomek z Sally i kapitanem Nowickim spędzali wiele czasu na ocienionym pokładzie, przypatrując się okolicy, a Dingo strzygł uszami obserwując fruujące ptaki.

Gdzie brzegi były niskie i płaskie, tam wezbrana woda głęboko wdzierając się w ląd, tworząc niezliczone zalewy, kanały i jeziora. Na brzegach corocznie zalewanych przez rzekę rosły dość rzadkie, niskie lasy, ponad którymi wystrzelały w górę wysokie palmy. W lasach tych, zwanych igapo, rosły drzewa kauczukowe.

Na wyższych brzegach, nawiedzanych tylko przez niewielkie powodzie, rósł las zwany vargem, charakteryzujący się licznymi gatunkami palm. Ziemię stałą, czyli terra firmę, stanowiły obszary nigdy nie zalewane przez rzekę. Tam palmy rosły rzadko, natomiast drzewa dwuliścienne osiągały ogromne rozmiary. Rozmaite pnącza i porosła oplatały leśne olbrzymy, u których stóp bujnie krzewiło się bogate runo. W lasach tych przeważały drzewa z rodziny mirtowatych, wawrzynowate i figowce. U brzegów Amazonki i jej dopływów wszędzie rozpościerała swe ogromne, talerzowa te liście oryginalna wiktoria królewska<sup>703</sup>.

Trudna do przebycia lesista, moczarowata nizina była prawie całkowicie wyludniona. Mieszkańcy i nieliczni biali ludzie skupiali się w małych nadbrzeżnych osadach, a w nadamazońskiej dżungli jedynie od czasu do czasu spotykało się rodziny już wymierających Indian. „*Santa Maria*” dość często przybijała do brzegu w celu uzupełnienia zapasu drewna opałowego lub wysadzenia pasażerów na ląd. Wtedy na pokład przychodzili Indianie pojedynczo lub grupkami, proponując żółwie jaja, ryby, fasolę lub ryż w

---

<sup>703</sup> — Wiktoria królewska (*Victoria regia*) — występuje w dorzeczu Amazonki, a *Victoria cruciana* w rzekach Parana i Paragwaj oraz w północnej Argentynie. Są to zakorzeniające się na dnie rośliny zielne wieloletnie, rosnące w dużych rzekach Ameryki Południowej; mają dochodzące do dwóch metrów średnicy kolisty liście o brzegach podniesionych i piękne kwiaty o średnicy 20 do 40 cm, trwałe przez 24 godziny, które po przekwitnięciu pogrążają się w wodzie, gdzie następuje dojrzewanie owoców o jadalnych nasionach. Ta oryginalna roślina bywa uprawiana w dużych basenach szklarniowych w ogrodach botanicznych.

zamian za sól, siekierę czy nóż. Tomek próbował nawiązywać z nimi pogawędkę, lecz pólnadzy krajowcy spoglądali na niego nieufnie, jakby z jakąś obojętną wyższością. Po otrzymaniu zapłaty natychmiast wycofywali się na brzeg. Również spotykani na rzece samotni indiańscy rybacy w małych czółnach nie zwracali uwagi na „*Santa Marię*”. Widać było, że unikali spotkań z białymi ludźmi i odgradzali się od nich murem obojętności i milczenia.

Tomek przebywając często na pokładzie zwrócił uwagę na pilota „*Santa Marii*”. Był to Indianin z plemienia Tikuna znad górnej Amazonki. Całymi godzinami wystawał za kołem sterowym nie odzywając się do nikogo. Na rozkazy kapitana Slima odpowiadał skinieniem głowy i zadumany wzrokiem wciąż spoglądał na brudnożółte wody Amazonki. Dzięki jego doskonałej znajomości rzeki „*Santa Maria*” mogła płynąć nawet nocami, gdy woda oraz obydwie brzegi niknęły w szarej, ciężkiej mgle. Tomek kilkakrotnie zaczął z nim rozmowę, ale Indianin, choć odpowiadał uprzejmie, zbywał go półsłówkami. Toteż pewnego wieczora, kiedy kapitan Slim i Nowicki popijali jamajkę w kabinie, Tomek zagadnął—Widzę, że darzy pan swego pilota całkowitym zaufaniem. Czy jednak nie obawia się pan, że Indianin może zasnąć stojąc tyle godzin przy sterze?

— Najwyżej trochę podrzemie — odparł Slim.

Tomek spojrzał na niego zdumiony, a kapitan roześmiał się i dodał — Niech pan nie patrzy na mnie jak na wariata. Jack zna Amazonkę lepiej niż ja „*Santa Marię*”. Od dziecka pływa po niej, a poza tym jest Indianinem. Można polegać na nim.

— Takiś pewny tego czerwonoskórego? — nie dowierzał Nowicki.

— Przecież nie chodził do szkoły morskiej.

— Na co mu tam szkoła?! — oburzył się Slim. — Tutejsze rzeki zna jak dziury w kieszeniach swych portek, a słuchem i wzrokiem żaden z nas mu nie dorówna.

— Sam zauważyłem podczas naszych wypraw łowieckich, że pierwotni mieszkańcy dzikich krajów posiadają lepiej rozwinięte zmysły niż my — wtrącił Nowicki. — Ale nie uwierzę, że można być dobrym marynarzem bez szkoły.

— Ba, sam tak kiedyś myślałem! — odparł kapitan Slim. — Najpierw stale kontrolowałem Jacka, potem jednak dałem spokój. Stoję z nim przy kole;

wieczór cichy, pogodny, księżyc jak morska latarnia oświecła Amazonkę. A tu naraz mój pilot mówi: „*Trzeba płynąć bliżej brzegu, woda wzbiera*”. Pytam: „*Skąd wiesz?*”, a on: „*Posłuchaj, w górze szumi wysoka fala*”. W dwie godziny później na rzece rozpętało się prawdziwe piekło. To mi słuch, co? A wzrok ma jak kot. W nocy wypatrzy kłody w wodzie, wiry. Czasem nawet myślę, że to instynkt go ostrzega.

— Ale jeśli się zdrzemnie? — indagował Tomek.

— To przebudzi się w samą porę. Jeśli tylko nie pije wódki podczas służby, można na nim polegać — zapewnił kapitan Slim, nalewając rumu do szklanek.

Na rozmowach i obserwacjach kilka dni minęło bez niezwykłych wydarzeń. Ósmego dnia, wkrótce po wschodzie słońca, w brudnożółtych wodach Amazonki zaczął zarysowywać się nurt czarnej, przezroczystej wody. Był to znak, że „*Santa Maria*” zbliżała się do Manaos, leżącego w pobliżu miejsca, gdzie Amazonka łączy swe wody z Rio Negro, czyli Czarną Rzeką.

Na dolnym pokładzie wśród pasażerów trzeciej klasy rozbrzmiewał różnojęzyczny gwar. Kapitan Nowicki, który zawsze wstawał bardzo wcześnie, zapukał do kabiny przyjaciół, a potem otworzył drzwi i zawołał — Wstawajcie, śpiochy...! Ho, ho, to już wstałeś, brachu?

— A jakże, pakuję nasze rzeczy — odparł Tomek. — Niebawem zawijamy do Manaos.

— Ja też już nie śpię — zawtórowała Sally siadając na łóżku. — Gdy wczoraj usłyszałam przy kolacji, że zbliżamy się do Manaos, w nocy budziłam się co chwila i nasłuchiwałam.

— Nie dziwię się, sikorko, bo i mnie pożera niecierpliwość, co też za nowiny usłyszymy — odparł Nowicki, głaszcząc Dinga po głowie.

— Jak bym się cieszyła, gdybyśmy pana Smugę już zastali w domu.

— Faktycznie byłaby to wspaniała nowina. Słuchaj, brachu, dokąd smarujemy po wylądowaniu? Do domu czy do biura? Bagaże możemy chwilowo pozostawić na statku, „*Santa Maria*” postoi w Manaos kilka dni.

— Przygotowałem obydwie adresy — powiedział Tomek.

— Ja myślę, że najpierw powinniśmy pójść do domu Karskich — zaproponowała Sally. — Jeśli mielibyśmy usłyszeć złe nowiny, to wolę, aby przekazali je nam przyjaciele.

— Racja, święta racja — przyznał kapitan Nowicki.

— Zgoda, tak właśnie uczynimy — powtórzył Tomek.

Trójka przyjaciół kończyła śniadanie, gdy „*Santa Maria*” wpłynęła na Rio Negro. Szeroki gościniec czarnej, przezroczystej wody wiódł wprost do pobliskiego, doskonałego portu rzeczno, którego ruchome nabrzeże mogło dostosowywać się do poziomu wody, ulegającego tam znacznym wahaniom. Kapitan Nowicki i Tomek z dumą poinformowali Sally, że budowniczym tego nowoczesnego portu był Polak, inżynier Rymkiewicz.

W porcie panował ożywiony ruch. Obok dwóch dużych parowców transatlantyckich widać było kilkanaście statków rzecznych oraz mnóstwo rozmaitych barek i łodzi. W małych, błotnistych zatokach wokół portu stały przy brzegu szeregi drewnianych chat, zbudowanych na tratwach. Po naturalnym kanale między chatkami krążyły małe łodzie, które były tam jedynymi środkami komunikacyjnymi.

Miasto łagodnie wspinało się na niewielkie wzgórze. Ponad czerwonymi dachami parterowych domków bieleły się kościelne wieże oraz wspaniałe pióropusze palm. Wyżej na wzgórzu widniały frontony i kopuły ogromnych budowli. Ciemnozielony pas przyrównikowej dżungli szerokim półkolem otaczał całe miasto, które jedynie poprzez rzekę mogło utrzymywać łączność z resztą olbrzymiego kraju.

— A więc jesteśmy w Manaos! — rzekł kapitan Nowicki.

— Nie widzę Zbyszka ani Natki — z żalem zawołała Sally.

— Po pierwsze nie wiedzą, że dzisiaj przyjeżdżamy, a po drugie, któż mógłby ich wypatrzeć w tej ciżbie? — pocieszył ją Nowicki.

Na kamiennym molo wrzało jak w ulu. Mulaci, Metysi i Indianie przenosili na statki szczapy drewna opałowego, których wielkie stopy leżały na nabrzeżu. Inni zaś wyładowywali z barek lub też załadowywali na statki mające odpłynąć w dół rzeki duże, czarne kule kauczuku, worki fasoli, skrzynie cukru, mąki, podczas gdy na łodziach indiańskich handlowało się rybami, żółwiami, jajami, zielonymi pomarańczami, bananami, papajami wyglądającymi jak melony, oswojonymi papugami i małpkami. Wśród półnagich krajowców prym wodzili modnie ubrani biali i Metysi. Na molo nie brakło również zalotnych, ciemnookich Kreolek<sup>704</sup>, osłaniających się przed

---

<sup>704</sup> — Kreole — potomkowie europejskich kolonizatorów urodzeni w koloniach hiszpańskich, portugalskich i francuskich.



słońcem kolorowymi parasolkami. W powietrzu krążyły wypatrując żeru czarne sępy urubu.

Trójka przyjaciół razem z Dingiem zeszła na ląd, pozostawiając swe bagaże na statku. Dorożka zawiozła ich pod adres podany przez Karskich w liście.

Drzwi otworzyła Natasza. Przez chwilę wzruszona nie mogła wymówić ani słowa, potem rozplakała się i serdecznie zaczęła witać tak oczekiwanych gości.

Natasza długo ścisnęła Sally. Kapitan Nowicki trącił Tomka w bok i szepnął — Złe wieści usłyszymy, przywitała nas płaczem...

— Chyba tak, Natka bardzo zdenerwowana — szeptem odparł Tomek. Natasza długo witała przyjaciół, a w końcu uścisnęła wiernego Dinga i wprowadziła wszystkich do pokoju ocienionego żaluzjami.

— Gogo, Gogo! — zawołała, a gdy indiański chłopiec stanął w progu, szybko zaczęła mówić: — Biegnij do mego męża! Niech tu zaraz przyjdzie z panem Nixonem! Powiedz, że nareszcie przyjechali...

Znów wybuchnęła płaczem. Sally otoczyła ją ramieniem i zaczęła uspokajać. Nowicki nieźle znał portugalski, więc podszedł do chłopca i rzekł — Biegnij po pana Karskiego, smyku. Powiedz, że przyjechali przyjaciele.

Indianin zniknął za drzwiami. Natasza trochę uspokoiła się, więc Nowicki podszedł do niej i krótko zapytał — Czy Smuga nie żyje?

— Nie mamy od niego nawet najdrobniejszej wiadomości — odparła drżącym głosem. — Udał się w pościg za mordercami i przepadł bez wieści...

Nowicki odetchnął głęboko, po czym poweselał i zaraz nabrał humoru.

— Do stu zdechłych wielorybów! Myślałem, że dostaliście tragiczną wiadomość, bo tak żałośnie nas przywitałaś — rzekł. — Zawsze mówiłem Tomkowi, że nie należy opłakiwać przyjaciół, dopóki nie było się przy ich śmierci.

— Taką miałam nadzieję, że mimo wszystko zastaniemy pana Smugę w domu — cicho powiedziała Sally.

— Skoro jednak nie zastaliśmy, pomyślimy o jakimś ratunku dla niego — odezwał się Tomek. — Pan Smuga posiada wielkie doświadczenie. Nie mógł zginąć jak pierwszy lepszy!

— Przepadł sześć miesięcy i dziewięć dni temu... Czy może jeszcze istnieć jakaś nadzieja? — smutno zapytała Natasza.

— I on, i my w gorszych już bywaliśmy tarapatach — odpowiedział Nowicki. — Smuga nieraz przepadał bez wieści, a potem się odnajdywał.

— Tak bardzo się cieszę, że już tu jesteście — cicho odezwała się Natasza. — Liczyłam dzień po dniu... Gdy tylko tu przyjechaliśmy, nie mogłam pozbyć się obaw o pana Smugę i ustawicznie drżałam o Zbyszka. On taki jeszcze niedoświadczony, a chce naśladować ciebie, Tomku, i pana Smugę. Ale gdzie mu się równać z wami!

— Siadaj i mów wszystko od początku — powiedział kapitan Nowicki.

— Zanim tamci dwaj nadejdą, zorientujemy się w sytuacji, a i tobie lżej zrobi się na sercu.

— Od pierwszego dnia wciąż się bałam — zaczęła Natasza. — Pan Smuga jest odważny aż do szaleństwa, wprost igra ze śmiercią. Tutaj dzieją się straszne rzeczy. Gorączka kauczukowa wyzwoliła w ludziach najniższe instynkty. Wszyscy jak wilki skaczą sobie do gardeł.

— Nie wierzę, żeby możliwość zdobycia bogactwa zawróciła panu Smudze w głowie — stanowczo zaproponował Tomek.

— Pan Smuga był chyba jedynym uczciwym człowiekiem, jakiego tu spotkałam — impulsywnie powiedziała Natasza. — Przeciwstawiał się gwałtowi i złu. Ale cóż mógł począć przeciwko zgrai łotrów?!

— A ten jego wspólnik, Nixon, o którym pisaliście, też jest gagatkiem?

— zapytał Nowicki.

— Nixon...? Nie, nie mogę o nim mówić źle. Martwi się zniknięciem pana Smugi, opiekuje się mną i Zbyszkiem... Ale dlaczego nie usłuchał pana Smugi? Gdyby odwołał swego bratanka znad Putumayo, ten miły chłopak mógłby żyć.

— Na pewno dręczą go wyrzuty sumienia, ale co się stało, to się nie odstanie — sentencjonalnie rzekł Nowicki. — Opowiadaj dalej.

— Pan Smuga wkrótce wyrobił sobie tutaj wielki mir. Bali się go wszyscy nie wyłączając Pedra Alvareza, największego wroga Nixona. Bali się go, bo bronił jak błyskawica i... nigdy nie chybiał.

— A więc były i trupy! — wtrącił Nowicki.

— Podczas kilku walk w obozach kauczukowych padły ofiary. W Manaos pan Smuga tylko unieszkodliwiał napastników. To wystarczało; bali się go jak ognia. Ale przecież w każdej chwili mógł trafić na lepszego

strzelca. Nie zdajecie sobie nawet sprawy, jak ten niezwykły mężczyzna imponował Zbyszkowi!

— Wcale się nie dziwię. Od pierwszego dnia, gdy poznałem pana Smugę, chciałem go naśladować — powiedział Tomek.

— I dzięki temu stałeś się niezawodnym strzelcem, a także doświadczonym, mądrym i rozważnym mężczyzną — dodał Nowicki. — Ja sam, wskoczyłbym do ukropu za Smugą!

— Ja też! Uczyniłabym wszystko, czego by ode mnie zażądał — gorąco powiedziała Natasza. — Dlatego też bałam się o nas i o niego, bo on ryzykował za nas troje. Ale ani ja, ani Zbyszek nie mogliśmy mu dorównać. Poza tym Amazonia wciąż mnie przeraża.

— W krajach tropikalnych życie nie jest łatwe, jak myślą niektórzy w Europie — zauważył Tomek.

— W wodach pełno krwiożerczych stworów, każdy skrawek ziemi roi się od różnego robactwa, a nawet w domu kładąc się spać trzeba zaglądać pod kołdrę, czy w łóżku przypadkiem nie schował się jakiś gad — mówiła Natasza. — To upiorne miasto! Dżungla wygląda zza każdego domu, a ludzie gorsi od dzikich bestii. Przeklęty kauczuk zabił w nich sumienia.

— Nie, to nie kauczuk, lecz chciwość czyni ludzi gorszymi od zwierząt — zaprzeczył Tomek.

— Tak, tak, masz rację, brachu. Ludzie gorsi od szakali — powtórzył Nowicki. — Ale chyba nie jest aż tak źle, jak mówisz, Nataszo. Jesteś wrażliwą kobietą. Takie rzeczy jak tutaj działy się również na Alasce i w Kalifornii podczas gorączki złota, a także i gdzie indziej. Mimo to wszelkie bezprawie zawsze znajduje kres, a tacy jak Smuga pomagają w zaprowadzeniu ładu.

— Świetnie to pan powiedział, kapitanie! — z entuzjazmem zawołał Tomek. — Przy nas Natasza na pewno odzyska równowagę. Wtedy inaczej spojrzysz na wszystko.

Natasza spoglądała na przyjaciół nieco oszołomiona. Po chwili znów wybuchnęła — Zobaczą, co powiecie, gdy poznacie Pedra Alvareza. Ten człowiek nie ma sumienia ani skrupułów.

Zasmucona Sally poweselała i zawołała — Tommy zbił Alvareza na kwaśne jabłko na statku. A pan kapitan dał ostrą odprawę Indianinowi, który mu towarzyszył.

— Co ty mówisz?! — zdumiała się Natasza.

— Tak, tak, Alvarez i jego kompan dostali za swoje — wesoło mówiła Sally. — Moi chłopcy nie boją się nikogo. Zobaczysz, że teraz sprawy przybiorą inny obrót. Niech się Alvarez boi, nie my!

Szeroki uśmiech zadowolenia przewiwał się po twarzach obydwóch „chłopców”. Olbrzymi Nowicki chrząknął uradowany i rzekł — Jeśli stwierdzimy, że to Alvarez przyczynił się do zniknięcia Smugi, to jak amen w pacierzu skręcę mu kark.

— Zrobi to pan, kochany kapitanie, ale dopiero wtedy, gdy obydwaj z Tomkiem dojdziecie do wniosku, że już nie ma innego wyjścia — zastrzegła Sally.

— Za nos mnie wodzisz, utrapiona kobieto. Ale nie bój się, gdy nie ma z nami szanownego pana Wilmowskiego i Smugi, Tomek układa wszystkie plany, a ja daję po nosie tym, którzy mu przeszkadzają.

— Naprawdę jesteście wspaniali — odezwała się Natasza. Czuję, że przy was pozbędę się przygnębienia. Tak się cieszę z waszego przybycia!

Trójka przyjaciół zaczęła ścisnąć zapłakaną Nataszę, ale wtem drzwi otwały się z hukiem i do przedpokoju wpadł Zbyszek Karski, a za nim wszedł Nixon. Zbyszek długo trzymał Tomka w ramionach i łzy wzruszenia szklily się w jego oczach. Tomek zapewne przypomniał mu dom rodzinny w dalekiej Warszawie i wszystkich tych, za którymi bardzo tęsknił.

Po dłuższej chwili Tomek odsunął kuzyna od siebie na długość ramion.

— Zmęźniałeś — orzekł. — Rodzice ucieszyli się fotografią twoją i Nataszy. Przesłałem im ją przez znajomego. Przywiozłem ci od nich listy. Teraz przedstaw nas panu Nixonowi.

— A więc to pan jest panem Tomaszem Wilmowskim! — odezwał się Nixon, obrzucając młodego mężczyznę uważnym spojrzeniem. — Wiele o panu słyszałem.

Nixon przywitał Sally, a potem kapitana Nowickiego. Dziewczyna indiańska wniosła na tacy herbatę i zakąski. Gdy wszyscy usiedli, Nixon odezwał się pierwszy — Pan Karski już powiadomił panów listownie o tym, co się tutaj stało. Wiedzą też panowie, jakie stosunki łączą mnie z panem Smugą.

— Wiemy, ale bardzo prosimy, aby pan jeszcze raz osobiście wszystko nam opowiedział — odparł Tomek. — Musimy dokładnie poznać nawet szczegóły, aby ułożyć plan działania.

Nixon przede wszystkim opowiedział o nieuczciwej walce konkurencyjnej niektórych kompanii kauczukowych, o ich gwałtach dokonywanych na Indianach. Chciał stworzyć bezpieczne warunki pracy swoim ludziom i dlatego uprosił Smugę, aby przybył do Brazylii i zorganizował zbrojną ochronę.

— Skąd pan znał pana Smugę? — zapytał Tomek.

— Polecił mi go listownie mój znajomy, pan Wickham, który długie lata przebywał w Brazylii — wyjaśnił Nixon.

— Czyżby miał pan na myśli Anglika Henryka Wickhama? — zdumiał się Tomek.

— Tak, o niego chodzi. Kiedyś przyjaźniliśmy się, a po jego wyjeździe do Anglii korespondowaliśmy ze sobą.

Tomek badawczo spoglądał na Nixona i dopiero po chwili powiedział — Znam pana Wickhama, rozmawiałem z nim nie tak dawno.

— Czy może wspomniał coś o mnie? — zagadnął Nixon.

— Nie, nie wspominał...

— Cóż to za facet, ten Wickham? — wtrącił Nowicki, widząc pewien niepokój w oczach przyjaciela.

— Później pomówimy na ten temat, najpierw pozwólmy wypowiedzieć się panu Nixooowi.

Nixon szeroko mówił o zasługach Smugi dla przedsiębiorstwa, o wciągnięciu go do spółki. Stwierdził, że dzięki Smudze w obozach kauczukowych jego kompanii stworzono lepsze warunki pracy, zapewniono bezpieczeństwo. Przyznał też ze skruchą, że sam ściągnął Smugę z dżungli do Manaos, aby omówić plany rozbudowy przedsiębiorstwa.

I wtedy właśnie napadnięto na obóz. Wyjaśnił, że Smuga podejrzewał konkurenta, Pedra Alvareza, o zorganizowanie tego napadu. Potem mówił o rozmowie Smugi z Alvarezem w „*Tesouro*”, o wyjeździe nad Putumayo i o wynikach śledztwa.

— Nie wierzyłem w wykrycie morderców — ciągnął Nixon. — Od napadu upłynęło sporo czasu, ale Smuga, jakimś psim węchem, wykrył zdrajcę w naszym obozie i od niego dowiedział się prawdy. Postanowił

wykupić od Indian Yahua głowę mego bratanka, a potem schwytać morderców i zdemaskować Alvareza.

Dwaj biali mordercy pozostawali na usługach Vargasa, osławionego handlarza niewolników indiańskich w Peru. Odwodziłem Smugę od tego zamiaru, ale przytoczył argument, który zamknął mi usta. Pragnął wykupić z niewoli naszych Indian porwanych znad Putumayo. Wobec tego postanowiłem mu towarzyszyć. Nie zgodził się na to. Zabrał ze sobą naszego pracownika, Wilsona, oraz kilku Indian z plemienia Cubeo.

Smuga dotarł do Vargasa i przycisnął go do muru. Wykupił naszych Indian, lecz dwaj mordercy, Cabral i Jose, w porę umknęli przed nim.

Smuga postanowił ścigać ich dalej. Nie pomogły perswazje Wilsona. Smuga kazał mu wracać z naszymi Indianami nad Putumayo. Widząc upór Smugi, Wilson i nasz zaufany Indianin Haboku chcieli iść razem z nim. Nie zgodził się, a oni usłuchali rozkazu, bo Smudze nawet ja nie potrafiłem się przeciwstawić.

Smuga wybrał kilku Indian z ludzi Vargasa i tylko z Metysem Mateem, znanym już panom zdrajcą, ruszył w pościg. Od tej pory słuch o nim zaginął.

— Czy potem wysyłał pan kogoś do Vargasa, aby zasięgnąć informacji?  
— zapytał Tomek.

— Zastanawiałem się, czy nie powinienem pojechać osobiście lub wysłać Wilsona. Cóż jednak mógłby tam działać pojedynczy człowiek? Uważałem to za bezsensowne ryzyko, skoro taki Smuga nie dał sobie rady. Poza tym pan Zbyszek był przekonany, że tylko pan Wilmowski mógłby pokusić się o odszukanie Smugi. Dlatego czekałem na wasze przybycie i zorganizowanie większej wyprawy.

— Zbyszek miał rację — odezwał się kapitan Nowicki — szukanie śladów po upływie miesiąca jest błędzeniem po omacku. Tu trzeba mieć nosa, tak jak Smuga i nasz Tomek.

— Gdzie jest obecnie pan Wilson i ten Indianin Haboku? — zapytał Tomek.

— W obozie nad Rio Putumayo — wyjaśnił Nixon.

— Wstąpimy do nich jadąc nad Ukajali — powiedział Tomek. — Jak pan sądzi, czy Haboku zgodziłby się towarzyszyć nam, tak jak przedtem panu Smudze?

— Kto wie? To bardzo odważny człowiek i lubi Smugę.

— A co, nie mówiłem?! — zawołał Nowicki. — Tomek od razu wyniuchał przyjaciela Smugi.

— Tommy jest wspaniały! — zawtórowała Sally, a zwracając się do Nixona dodała: — Gdy miałam jedenaście lat, pewnego dnia zabłądziłam w buszu w Australii. Ojciec zorganizował wielką obławę i wszyscy mnie szukali. Powrócili z kwitkiem, a Tommy jednak znalazł mnie i uratował. Miałam zwichniętą nogę i nie mogłam chodzić. Tommy przyniósł mnie do domu.

— Przepraszam, ile miał pan wtedy lat? — zapytał Nixon.

— Czternaście.

— To pan liczy teraz sobie...?

— W Boże Narodzenie skończę dwudziesty pierwszy rok.

— Przed wyjazdem do Brazylii Tomek został przyjęty na honorowego członka Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie — powiedział kapitan Nowicki, widząc oszołomienie Nixona. — Napisał pracę o Papuasach. To niezwykły chłopak, szanowny panie. Kiedy wyruszamy, Tomku?

— Cóż, kapitanie, czy zgadza się pan poczynić przygotowania do wyprawy? Ja tymczasem obmyśliłbym marszrutę. Zgoda?

— Z góry mianowałem cię dowódcą, więc rozkazuj i kwita.

— Dziękuję. Czy wystarczą panu trzy dni na przygotowania?

— Wystarczą. Teraz pójdę ze Zbyszkiem na „*Santa Marię*” po bagaże. Przy okazji pogadam z kapitanem Slimem. Jestem ciekaw, dokąd teraz zamierza płynąć!

— Rozumiem, niezła myśl.

Nixon oszołomiony przysłuchiwał się rozmowie. Teraz niedowierzająco zapytał — Więc panowie naprawdę zamierzają wyruszyć już za trzy dni?

— A na co mamy czekać? — odpowiedział Nowicki. — I tak zbyt dużo cennego czasu upłynęło od zaginięcia Smugi.

— Pan Nixon i Zbyszek jeszcze nie wiedzą, że Tomek już sprawił lanie Pedrowi Alvarezowi, a pan kapitan Nowicki temu Indianinowi, który krąży za nim jak cień — powiedziała Natasza.

— Gdzie, kiedy? — zawołał Zbyszek.

— Czy to możliwe? — dziwił się Nixon.

— Stało się to na „*Santa Marii*” — wyjaśniła Sally. — Alvarez mnie zaczepiał i dostał tęgie lanie.

— Nie wiedzieliśmy, że to właśnie on, bo oberwałby jeszcze lepiej — dodał Nowicki.

— Widzę, że naprawdę nie lubicie tracić czasu, ale teraz miejcie się na baczności. Alvarez jest mściwy i posiada całą sforę łotrów spod ciemnej gwiazdy — ostrzegł Nixon.

— Czy pan nie sądzi, że Alvarez mógł porozumieć się z Vargasem jeszcze zanim pan Smuga przybył nad Ukajali? — zapytał Tomek.

— Nie wiem, naprawdę nie wiem...

— A co pan myśli, kapitanie? — indagował Tomek.

— Po jakie лихо domyślać się? Pogadamy wieczorem. Teraz idę na „*Santa Marię*”. Chodź, Zbyszku!



## NOCNA WYPRAWA

Kapitan Nowicki i Zbyszek Karski powrócili z portu jeszcze przed zapadnięciem wieczoru. Zamiast wszystkich bagaży pozostawionych na „*Santa Marii*” Nowicki przyniósł tylko jedną walizkę.

— A gdzie są nasze rzeczy? — zdziwiła się Sally.

— Na statku, sikorko — odparł marynarz. — Przynosimy pomyślne nowiny. Siadajcie i słuchajcie!

Weszli do saloniku. Grupa przyjaciół rozsiadła się wokół Nowickiego, któremu Sally podsunęła szklaneczkę jamajki. Nowicki wypił mały łyk, po czym zapalił fajkę i rzekł — Ślini popłynie dalej aż do Iquitos. Pojutrze rozpoczyna ładowanie towaru do przewozu, a pasażerów nigdy tu nie brak. Może opóźni to nasz wyjazd o dzień lub dwa, ale za to kobiety i Zbyszek razem z ekwipunkiem wyprawy popłyną wprost do Iquitos.

— Jak to? A pan i Tommy? — zaniepokoiła się Sally.

— Znów jesteś w gorącej wodzie kąpana, ale nic dziwnego, upał tutaj niegorszy. A więc, jak powiedziałem, kobiety, Zbyszek oraz bagaże popłyną wprost do Iquitos, natomiast Tomek i ja wysiadziemy przy ujściu Putumayo do Amazonki. Stamtąd popłyniemy łodzią do obozu zbieraczy kauczuku. Po porozumieniu się z Wilsonem i Haboku, pospieszymy za wami.

Sally chciała oponować, ale Tomek dotknął jej dłoni i rzekł — Nie upieraj się, moja droga, kapitan proponuje bardzo rozsądny plan. Właściwe trudy, kłopoty i niebezpieczeństwa rozpoczną się dopiero nad Ukajali. Dlatego też nie ma sensu wlec wszystkich nad Putumayo tylko po to, by pomówić z panem Wilsonem. We dwóch uczynimy to o wiele szybciej, a przecież na pośpiechu najbardziej nam teraz zależy.

— Skoro tak, muszę ustąpić. Szkoda tylko, że wyjazd z Manaos się opóźni.

— Co nagle, to po diable — zauważył kapitan Nowicki. — Slim radzi, żebyśmy uzupełnili nasz ekwipunek tutaj, a nie w Iquitos. Tam ceny są wyższe. Poza tym musimy pogadać z konsulem peruwiańskim i z jeszcze jednym facetem, ale to moja i Tomka sprawa.

— Czy to tajemnica? — zaciekawiła się Sally.

— Najpierw naradzę się z Tomkiem, a potem zobaczymy. Ciekaw jestem, dlaczego Nixon zmieszał się, gdy powiedziałaś, że znasz tego gościa, który polecił mu Smugę? Prawdę mówiąc, to i ty, brachu, miałaś niewyraźną minę.

— Istotnie byłem trochę zaskoczony informacją Nixona — potwierdził Tomek.

— A to dlaczego?

— Nie wiedziałem, że Nixon utrzymywał kontakt z Wickhamem.

— Pan Nixon już uprzednio wspominał to nazwisko, gdy zastanawialiśmy się, w jaki sposób można by odszukać pana Smugę — odezwała się Natasza. — Sądził, że może pan Wickham mógłby nam coś poradzić. Podobno przebywał w Brazylii przez dłuższy czas.

— Sprzeciwiłem się nadawaniu rozgłosu sprawie zniknięcia pana Smugi — wtrącił Zbyszek. — Radziłem też wstrzymanie jakichkolwiek poczynań aż do waszego przybycia.

— Słusznie postąpiłeś, Zbyszku — pochwalił Tomek. — Pan Wickham już od trzydziestu pięciu lat przebywa w Anglii. Poza tym pan Smuga nie miał nic wspólnego z aferą Wickhama. Sam mówił mi, że poznał go znacznie później.

— Cóż to była za afera? — zapytała Natasza.

— A jakże, opowiedz nam teraz — zawtórował Nowicki. — Gdy przy Nixonie pytałem cię o Wickhama, uciałeś rozmowę na ten temat.

— Wickham dokonał jednej z najśmielszych i najoryginalniejszych kradzieży.

— Złodziej?! — zdumiał się Nowicki. — I to on właśnie polecił Smugę?!

— Niech się pan uspokoi, Wickham nie tylko nie został ukarany za tę kradzież, lecz nadano mu tytuł baroneta<sup>705</sup> i zapewniono przyszłość.

— Nieprawdopodobna historia! — wtrącił Zbyszek. — Czy posądzasz pana Nixona o współudział w tej kradzieży?

— Ciekaw jestem, co zwędził ten facet, że zamiast kary otrzymał nagrodę? — dziwił się Nowicki.

---

<sup>705</sup> — Tytuł szlachecki w Anglii, ustanowiony w 1611 r. przez króla Jakuba I.

Tomek roześmiał się i wyjaśnił — Wickham potajemnie wywiózł z Brazylii siedemdziesiąt tysięcy nasion drzew kauczukowych. Sprawa tej kradzieży ściśle wiąże się z historią kauczuku.

— Tommy, czy ty nie żartujesz? — zawołała Sally.

— Przecież te nasiona były wszystkim dobrze znane — powiedziała Natasza.

— Tak samo jak kauczuk — dodał Zbyszek.

— Macie rację, kauczuk jest znany od czasu odkrycia Ameryki. To właśnie Krzysztof Kolumb przywiózł z Haiti czarne kule wyrabiane przez Indian, które podskakiwały, gdy rzucano je na ziemię. Jednak wtedy nikt nie spodziewał się, że kauczuk stanie się kiedyś niemal tak cenny jak złoto. Indianie nazywali kauczuk „*cahuchu*”, czyli „*łzy drzewa*”. Ofiarowując go białym nawet nie przeczuwali, że te czarne kule sprowadzą na nich tyle nieszczęść.

Podróżnik francuski, Charles Marie de la Condamine, po odbyciu wyprawy w dorzecze Amazonki, pierwszy opisał kauczuk i sposób, w jaki się go otrzymuje<sup>706</sup>. Odtąd też co jakiś czas przywożono czarne kule do Europy, lecz gdy Amerykanin Goodyear w 1839 roku wynalazł wulkanizację, zapotrzebowanie na kauczuk wzrosło gwałtownie. Wtedy Brazylia chcąc zapewnić sobie monopol na produkcję wydała zakaz wywozu nasion kauczukowca.

Zapotrzebowanie na kauczuk rosło w miarę jak odkrywano coraz to nowe możliwości jego zastosowania. Brazylijskie rzeczne statki nie mogły nadążyć z dostarczaniem cennego surowca. Wówczas Anglia, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej i Francja zażądały umiędzynarodowienia Amazonki<sup>707</sup>. Brazylia była zbyt słaba, aby się przeciwstawić tym żądaniom. Statki oceaniczne wpłynęły na Amazonkę, a ponadto rozpoczęto budowę linii

---

<sup>706</sup> — Było to w roku 1751. De la Condamine, francuski matematyk i podróżnik, jako adiunkt paryskiej Akademii Nauk, wraz z Bouguerem i Godinem dokonał w Ekwadorze w latach 1736–42 pomiarów łuku południka ziemskiego na równiku. Pomiarzy te, wraz z wcześniejszymi dokonanymi w Chile i Peru, umożliwiły obliczenie wymiarów Ziemi. W drodze powrotnej Condamine popłynął Amazonką i między innymi badaniami, nakreślił pierwszą dokładniejszą mapę tej rzeki, opartą na obliczeniach astronomicznych.

<sup>707</sup> — Brazylia otworzyła żeglugę po Amazonce dla wszystkich państw w 1866 r.

kolejowej Madeira–Mamore<sup>708</sup>, która miała umożliwić eksploatację kauczuku z terenów Boliwii.

Cena kauczuku stale wzrastała, a Brazylia, jako główny dostawca, bogaciła się i zazdrośnie przestrzegała zakazu wywozu nasion i sadzonek. Wtedy właśnie w Anglii ukazała się książka Wickhama, osiedlonego w Brazylii, w Monte Alto w stanie Para. Prowadził on badania przyrodnicze, a jako leśnik z zamiłowania napisał książkę na temat możliwości hodowania brazylijskiego kauczukowca w warunkach plantacyjnych. Anglia pozazdrościła Brazylii monopolu na kauczuk, toteż pewne osobistości zainteresowały się książką, w której Wickham dokładnie opisał warunki glebowe i klimatyczne konieczne do hodowli i rozrostu cennych drzew.

Podobne warunki klimatyczne posiadała Anglia w swych koloniach na Półwyspie Malajskim, w Indiach i w innych tropikalnych krajach. Gdyby można było założyć tam plantacje kauczukowca, monopol Brazylii przestałby istnieć. Postanowiono potajemnie wywieźć z Brazylii nasiona drzew hevea.

— Do stu zdechłych wielorybów! Teraz domyślam się, że dokonał tego ów Wickham — wtrącił kapitan Nowicki.

— Tak, lecz nie był on pierwszy — wyjaśnił Tomek. — Najpierw spróbował szczęścia botanik Robert Cross, który współpracował z Józefem Daltonem Hookerem, dyrektorem królewskiego ogrodu botanicznego w Kew w Anglii. Cross był znanym badaczem storczyków, więc udał się do Brazylii, skąd razem ze zbiorami kwiatów przemycił trzy tysiące nasion kauczukowca. Trudności transportowe sprawiły, że w ogrodzie w Kew skiełkowało tylko kilka z nich.

Potem do Brazylii przyjechał znany angielski myśliwy, John Farris. Udało mu się wywieźć sadzonki kauczukowca, zaszyte w skóry dwóch olbrzymich krokodyli. Sadzonki pielęgnowane troskliwie na statku pomyślnie przetrwały podróż morską, lecz w cieplarni ogrodu w Kew wszystkie zwiędły. Wtedy konsul angielski w Brazylii nawiązał kontakt z Wickhamem i

---

<sup>708</sup> — Madeira — największy prawobrzeżny dopływ Amazonki, utworzony z rzek — Mamore i Beni, wypływających z Andów na terenie Boliwii. Madeira płynie przez Boliwię i Brazylię; długość jej wynosi 3240 km, a dorzecze 1100 tyś. km<sup>2</sup>. W celu utrzymania ciągłości transportu w miejscach obfitujących w wodospady, rozpoczęto budowę linii kolejowej Madeira — Mamore o długości około 367 km, którą ukończono w 1913 roku. Jest ona ważną arterią transportową dla wywozu z olbrzymich lasów drewna i kauczuku.

odwoławszy się do jego uczuć patriotycznych, namówił do zorganizowania niezwyklej kradzieży.

Wickham sprytnie zabrał się do trudnego i ryzykownego przedsięwzięcia. Najpierw przez pewien czas wysyłał z Brazylii do ogrodu Kew w Anglii kosze napelnione różnymi storczykami. Celnicy brazylijscy skrupulatnie kontrolowali kosze, lecz poza orchideami nic w nich nie znajdowali. Toteż kiedy pewnego dnia zawiął do portu w Para angielski statek, płynący jakoby z Manaos do Europy, celnicy niewiele uwagi poświęcili koszom storczyków wywożonym przez Wickhama. W ten sposób przemycił on do Anglii siedemdziesiąt tysięcy nasion, z których pod jego opieką w ogrodzie Kew skielkowało dwa tysiące osiemset upragnionych roślin.

Potem z wieloma przygodami przetransportowano sadzonki na Cejlon do ogrodu botanicznego w Kolombo, a po jakimś czasie część z nich przewieziono na Półwysep Malajski. Obecnie istnieją już tam duże plantacje<sup>709</sup>, które wkrótce staną się poważnym konkurentem dla brazylijskiego kauczuku.

— Niech rekin połknie tego Wickhama! Spłatał Brazylijczykowi paskudnego figla — odezwał się kapitan Nowicki. — Czy sądzisz, że Nixon również maczał w tym palce?

— Kradzież nasion miała miejsce w 1875 roku, a więc trzydzieści pięć lat temu — odparł Tomek. — Nixon wygląda na mężczyznę około pięćdziesiątki.

— Pan Nixon ma obecnie pięćdziesiąt cztery lata — wyjaśnił Zbyszek.

— A więc w czasie, kiedy Wickham przemycił te nasiona, miał zaledwie o dwa lata mniej od Tomka — powiedział Nowicki. — Jak z tego wynika, mógł pomagać Wickhamowi.

— Ale to chyba nie ma nic wspólnego z obecnym zaginięciem pana Smugi? — wtrąciła Sally.

— Gdyby tak było, Nixon poinformowałby nas o tym — odparł Nowicki. — Tylko Alvarez mógł spłatać figla Smudze.

---

<sup>709</sup> — Produkcja kauczuku na Cejlonie i Malajach przekroczyła w 1914 r. dostawę kauczuku z drzew dzikich, a obecnie plantacje dostarczają około 98% całej ilości produkowanego kauczuku naturalnego.

— Szczególnie, że był zainteresowany tym, aby przytrafiło mu się coś złego — dodał Zbyszek. — Przecież byłem przy tym, gdy pan Smuga zagroził Alvarezowi, że jeden z nich zginie, jeśli śledztwo potwierdzi jego podejrzenia.

— Alvarez mógł obawiać się, czy Mateo zastraszony przez Smugę nie powie prawdy — zauważyła Natasza.

— Oczywiście, a potem zapewne doniesiono mu, że Smuga wyruszył nad Ukajali do Vargasa — rzekł Tomek.

— Gdyby Smuga powrócił z dowodami winy, Alvarez zginąłby jak amen w pacierzu. I ten drań dobrze o tym wiedział. Dość czezej gadaniny! Mamy z Tomkiem jedną pilną sprawę do załatwienia. Pora już późna, kładźcie się spać.

Natasza spojrzała na Sally, lecz ta nieznacznie przyłożyła palec do ust. Sally zbliżyła się do Tomka, aby pocałować go na dobranoc. Gdy pochylił się ku niej, szepnęła — Tommy, bardzo proszę, bądźcie rozważni...

— Nie kłopotz się... — szeptem odparł Tomek i serdecznie uściśnął żonę. Sally wyszła do hallu. Natasza i Zbyszek czekali tam na nią.

— Jeszcze nie tak późno, chodź do nas, porozmawiamy — zaproponowała Natasza.

— Dobrze, i tak nie usnęłabym teraz.

Zaledwie weszli do pokoju, Natasza zawołała wzburzona — Co oni zamierzają uczynić?!

Sally milczała zamyślona. Dopiero po dłuższej chwili spojrzała na zatroskanych przyjaciół i powiedziała — Rzadko widuje się dobrodusznego kapitana Nowickiego tak rozgniewanego.

— Co oni chcą zrobić? — powtórzyła Natasza spoglądając na męża i Sally.

— Nie bawmy się w zgadywanki! W razie potrzeby potwierdzimy, że pracowali przez całą noc i nie wychodzili z domu — odezwał się Zbyszek, a ciszej dodał: — Żałuję tylko, że nie zabrali mnie ze sobą...

— Ja również! Wszyscy jednakowo kochamy pana Smugę... — powiedziała Sally.

— Najpierw John Nixon, taki młody, pełen życia, a potem szlachetny pan Smuga... Nic nie zmieniłam w jego pokoju, jeszcze liczę na to, że może jednak wróci... — szepnęła Natasza i cicho zapłakała.

Kapitan Nowicki położył walizkę na fotelu, po czym otworzył ją i zwrócił się do przyjaciela — Zabrałem ze statku nasze ciepłe spodnie i kurtki, noce są tutaj chłodne. Przebieraj się!

— Co pan zamierza? — zapytał Tomek.

— Za pół godziny mamy spotkać się ze Slimem przed operą. On zna dobrze Manaos i tego drania Alvareza.

— Nikt z nas nie mógłby bez zwrócenia na siebie uwagi rozpytywać o Alvareza. Tutaj wszyscy doskonale wiedzą o jego zatargach z Nixonem i Smugą. Gdyby mu się coś przytrafiło, podejrzenia od razu padłyby na nas. Natomiast Slim może bez obaw rozejrzeć się w sytuacji. To równy chłop, niejedno już z nim przeżyłem.

— Sally odgadła, że chcemy pogadać z Alvarezem. Całując mnie na dobranoc szepnęła: bądźcie rozważni!

— Kto by tam wywiódł ją w pole? — rzekł Nowicki. — Wtedy w Arizonie u szeryfa Allana również domyśliła się, że zamierzamy uwolnić wodza Czarną Błyskawice. Teraz ze względu na Zbyszka i Natkę nie mogła nalegać, żebyśmy zabrali ją ze sobą. Na pewno nie zmruży oka, aż do naszego powrotu.

— Czy rozmawiał pan o Alvarezie ze Zbyszkiem? — dopytywał się Tomek.

— Pytałem o to i owo, ale on pierwszy stale napomykał o Alvarezie.

— Czy był on również przy pana rozmowie z kapitanem Slimem? Nowicki wydobył z walizki pas z rewolwerami, który zakładał w wyjątkowo niebezpiecznych sytuacjach, gdyż zazwyczaj nosił rewolwer w kieszeni spodni. Spojrzał na przyjaciela i odparł — Ze Slimem dogadałem się jeszcze podczas rejsu na „*Santa Marii*”. Od dawna postanowiłem, że jeśli nie zastaniemy Smugi w Manaos, to pogadam z Alvarezem przed odjazdem stąd. Powiem ci od razu, brachu, że jeśli masz zamiar odwodzić mnie od tego, to zostań w domu, bo nie ustąpię. Tak jak twój szanowny rodzic, nie uznajesz przemocy. Dlatego na wszelki wypadek umówiłem się ze Slimem. To chłop mego pokroju. Oko za oko, rozumiesz?!

Tomek spojrzał Nowickiemu prosto w oczy i powiedział przytłumionym głosem — Niepotrzebnie mówi pan to wszystko. Idziemy razem i razem poniesiemy konsekwencje tego, co uczynimy.

— Chodźmy już, niewiele mamy czasu!

Po cichu wyszli do hallu i wymknęli się na ulicę. Na tle nieba usianego jasnymi gwiazdami czerniała wielka kopuła gmachu opery. Po kilku minutach obydwaj przyjaciele przystanęli przed szerokimi kamiennymi schodami. Tomek zaledwie rzucił okiem na marmurowe kolumny podpierające wspaniały fronton, bowiem pomiędzy drzewami przed operą błysnął czerwony ogień. Kapitan Nowicki także zauważył błysk. Trącił Tomka łokciem i weszli na schody.

Kapitan Slim stał oparty plecami o drzewo, palił papierosa. Wyciągnął sękatą dłoń na powitanie i zagadnął — Czy złe wybrałem miejsce na dzisiejsze spotkanie? Tu zawsze pustka, jakby duchy straszyły!

— Chyba nie wtedy, gdy odbywają się przedstawienia operowe — zauważył Tomek.

— Przedstawienia operowe?! — odparł Slim i zachichotał. — Jak dotąd jeszcze ani jedno się nie odbyło. Gmach taki sam jak w Paryżu, ale to opera bez śpiewaków. Czasem raz na parę miesięcy przyjedzie jakaś wędrowna trupa i to wszystko. Nikt tu nie śpiewa. Miejsce jakby specjalnie wybrane dla nas.

— Faktycznie lokal okazały — przyznał Nowicki. — Spróbowałeś, czy wytrych otwiera zamek?

— Bądź spokojny, otwiera. Wślizniemy się wejściem dla aktorów. Tomek nie dowierzał własnym uszom.

— Więc chcecie tutaj sprowadzić Alvareza? — zapytał zdumiony.

— Slim to wymyślił jeszcze na statku — odpowiedział Nowicki. — Nie brak mu fantazji, co?

— Tutaj nikt nam nie przeszkodzi. Poza tym, gdyby Alvarezowi coś się przytrafiło podczas pogawędki, sporo upłynie czasu, zanim go znajdą — wyjaśnił kapitan Slim. — Natomiast w jego domu wciąż kręci się wiele służby. Tam nie moglibyście spokojnie z nim pogadać.

— W jaki sposób zwabimy go tutaj? — wtrącił Tomek, z niepokojem obserwując towarzyszy.

— Ustaliłem, że Alvarez codziennie do późnej nocy przebywa w swej knajpie „*Tesouro*”. Potem wraca do domu sam lub w towarzystwie Indianina, swego sługi, którego widzieliście na statku — powiedział Slim.

— Musimy przyłapać go w drodze do domu.

— Co zrobimy z Indianinem, jeśli będą razem? — indagował Tomek.



— Z nim najgorszy kłopot — przyznał Nowicki. — To ślepe narzędzie w rękach Alvareza.

— Głupiec! Dawno sam powinien pchnąć go nożem za tych wszystkich Indian, których Alvarez wyprawił na tamten świat w swoich obozach kauczukowych — rzekł kapitan Slim. — Cóż, zajmę się nim, jeśli wyjdzie z Alvarezem. Ogłuszę go i zwiążę. Poleży do rana w zaułku.

— Zgoda, ale zajdź go z tyłu — doradził Nowicki. — Ja i Tomek zaopiekujemy się Alvarezem.

— Chodźmy, późno się robi!

W „*Tesouro*” zabawa trwała w najlepsze. Poprzez szczeliny w kotarach zasłaniających okna prześwitywało mdławe światło. Orkiestra grała, słychać było gwar rozmów, śmiech i śpiewy.

Trzej spiskowcy zatrzymali się po przeciwnej stronie wąskiej ulicy. Naprzeciwko restauracji stały dwa obszerne budynki zajmowane przez jakieś biura. O tak późnej porze nikogo w nich nie było. Pomiędzy tymi budynkami znajdowało się przejście na tyły zabudowań. Spiskowcy ukryli się w tym przejściu i czekali. Od czasu do czasu małe grupki rozbawionych gości wychodziły z restauracji, lecz Alvareza nie było między nimi.

— Już minęła godzina, a drań wciąż się bawi — mruknął Nowicki.

— To jego knajpa, podobno często przesiaduje w niej a? do zamknięcia — odparł Slim.

— Gdyby wyszedł w większym towarzystwie, nasze zamiary będą udaremnione — zafrasował się Tomek.

Znów upłynęła dłuższa chwila. Naraz jedno skrzydło wahadłowych drzwi uchyliło się i z „*Tesouro*” wyszła jakaś kobieta. Za nią wybiegł mężczyzna. Przytrzymał ją za ramię i pochylony coś mówił cicho.

— To on! — szepnął Tomek.

— Alvarez... — potwierdził Nowicki.

— Odchodzą razem, co robimy? — zapytał kapitan Slim.

— Poczekaj tutaj chwilę, może ten Indianin wyjdzie, a potem smaruj za nami w kierunku opery — polecił Nowicki. — Z Tomkiem idziemy za Alvarezem.

— On chyba nie ma jeszcze zamiaru pójść do domu, wybiegł za nią bez kapelusza. Sprzeczają się... — zauważył Tomek.

— Chodź, nie marudź! — ponaglił Nowicki.

Przemykali się pod murami domów po drugiej stronie ulicy. Alvarez z kobietą skręcili w pierwszą przecznicę. Nowicki obejrzał się, Slim już biegł za nimi.

— Nie ma Indiańca. Slim nadchodzi! Do stu zdechłych wielorybów, diabli nasłali tę babę. Co z nią zrobimy? — szepnął Nowicki.

— Prędko na drugą stronę! — cicho zawołał Tomek.

Przystanęli pod murem. Tomek ostrożnie wychylił głowę i spojrzął w przecznicę. Zaraz się jednak cofnął i rzekł — Kobieta weszła do domu. Alvarez czeka na nią na ulicy.

— Idziemy, prowadź mnie, jakbym był pijany — szepnął Nowicki. Wysunęli się zza muru. Tomek ujął przyjaciela pod ramię. Szli chwiejnym krokiem. Przed następnym domem za rogiem stał Alvarez.

Dwaj „*pijani*” mężczyźni nie wydali mu się podejrzani. Przy mdłym świetle rzadko rozstawionych latarni nie mógł od razu ich poznać. Zamyślony tylko zerknął w kierunku nadchodzących i odsunął się na skraj wąskiego chodnika.

Nowicki i Tomek tymczasem już znajdowali się zaledwie kilka kroków od Alvareza. Poza nimi na uliczce nie było nikogo. Tylko w bocznym oknie domu paliło się światło. Gdy zrównali się z Alvarezem, Nowicki zatoczył się na niego. Nim Alvarez zorientował się w sytuacji, otrzymał potężny cios pięścią w podbródek. Tomek sprawnie podtrzymał upadającego. Nowicki zarzucił sobie na ramię zemdlonego; pobiegli w dół ulicy. Niebawem Slim dołączył do nich.

Przystanęli w ciemnym zaułku. Tomek i Slim ujęli pod ramiona odzyskującego przytomność Alvareza.

— Co z dziewczyną? — krótko zapytał Slim.

— Alvarez czekał na nią przed domem — pospiesznie wyjaśnił Tomek.

— Biegając za wami nikogo nie zauważyłem. No, jak do tej pory, poszło nam gładko.

Chrapliwy oddech Alvareza przerwał szeptem prowadzoną rozmowę. Po chwili spojrzął nabiegłymi krwią oczami. Na jego twarzy odmalował się wyraz zdumienia.

— Carramba! — zaklął po hiszpańsku. — A czego wy jeszcze chcecie ode mnie?!

— Dowiesz się wkrótce, ale teraz milcz, jeśli ci życie miłe — ostrzegł Nowicki.

— Puśćcie mnie lub oddam was wszystkich w ręce policji!

— Nie zdążysz! — odparł Nowicki. Rewolwer błysnął w jego rękę.

— No, wołaj o pomoc!

— To napad! — krzyknął Alvarez. Spróbował oswobodzić swe ramiona. Nowicki przyłożył wylot lufy colta<sup>710</sup> do jego piersi i kciukiem odwiódł kurek.

— Jeszcze jedno słowo, a kula zakończy całą sprawę — zagroził.

— Pójdiesz z nami! Gdyby ktoś nadszedł, udawaj, że jesteś zawiany. Prowadź, Slim, my się nim zaopiekujemy!

Do gmachu opery nie było zbyt daleko. Tomek i Nowicki prowadzili Alvareza między sobą. Alvarez szedł posłusznie czując, że lufa colta dotyka jego boku. Pora była bardzo późna, toteż zaledwie dwukrotnie spotkali przechodniów, którzy widząc grupkę mężczyzn idących chwiejnym krokiem, skwapliwie przechodzili na drugą stronę ulicy.

Na placu przed operą już nie natknęli się na nikogo. Niebawem stanęli przed bocznym wejściem dla aktorów. Slim sprawnie otworzył zamek drzwi. Weszli do korytarza. Slim zaryglował drzwi od wewnątrz, po czym wydobył z kieszeni świecę i zapalił.

— Prowadź! — odezwał się Nowicki.

Slim ruszył w głąb korytarza. Nowicki lufą rewolweru popchnął Alvareza. Po kilku chwilach Slim zatrzymał się i otworzył drzwi.

— Tutaj będziecie mogli porozmawiać — oznajmił i pierwszy wszedł na scenę teatru.

Nowicki popchnął Alvareza.

— Carramba! Co to ma znaczyć? — zawołał Alvarez rozglądając się zdumionym wzrokiem.

Nowicki stanął przed nim, po czym schował rewolwer do pochwy.

— Teraz możemy pogadać. Tutaj nikt nam nie przeszkodzi — rzekł. Alvarez cofnął się o krok, pochylił do przodu...

— Nie sięgaj do kieszeni! Wiem, że masz tam rewolwer — ostrzegł Nowicki. — Ja i mój przyjaciel strzelamy równie dobrze jak... Smuga.

---

<sup>710</sup> — Colt — sześciopalcowy rewolwer bębnowy, opatentowany w 1835 r. przez amerykańskiego inżyniera i konstruktora — Samuela Colta.

Alvarez znieruchomiał. Błysk zrozumienia, a potem niepokoju odzwierciedlił się w jego oczach.

— Kim jesteście? Czego chcecie? — zapytał po chwili.

— Myślałeś, że chodzi nam o tę zaczepkę na statku? Nie, dostałeś za swoje i z tamtym kwita — wyjaśnił Nowicki. — Dzisiaj zdasz nam rachunek z tego, co uczyniłeś Smudze. Jesteśmy jego przyjaciółmi.

Wyraz ulgi odmalował się na twarzy Alvareza.

— A więc o niego chodzi? — powiedział. — To jakieś nieporozumienie. Nie wyrządziłem nic złego senhorowi Smudze. Nie wiem nawet, gdzie on jest obecnie. Kilka miesięcy temu oznajmił mi, że wyjeżdża nad Rio Putumayo. Od tej pory więcej go nie widziałem.

— Słuchaj, nie mamy czasu na zabawę w ciuciubabkę. Wiemy, co Smuga powiedział tobie przed wyjazdem nad Putumayo i wiemy również, po co tam pojechał. Smuga znalazł dowody twojej winy. Dozorca Mateo wyznał wszystko. Potem Smuga udał się nad Ukajali, aby ująć Cabrala i Josego, czyli nasłanych przez ciebie morderców Johna Nixona. Z wyprawy tej nie powrócił i ty na pewno wiesz, co się z nim stało!

— Dlaczego mam wiedzieć?! — zapytał Alvarez.

— Smuga powiedział ci, że porachuje się z tobą, gdy tylko zdobędzie dowody twojej winy. Doniesiono ci, że odkrył prawdę. Tyś ostrzegł Cabrala i Josego, a oni przygotowali zasadzkę.

— To nieprawda! — gwałtownie zaprzeczył Alvarez.

— Więc nie wiesz, gdzie on jest?

— Nie wiem!

— Dobrze, twoja sprawa. Smuga upewnił się, że to ty nasłałeś morderców na Johna Nixona. Gdyby wrócił, już gryzłbyś ziemię. Przez ciebie Smuga przepadł, a może nawet zginął. Skoro nie mógł wykonać tego, co zapowiedział, teraz nam zdasz rachunek ze swych uczynków.

— Jest was trzech przeciwko mnie!

— Masz rację, to byłoby morderstwo, chociaż sam nie przebierałeś w środkach i nie dałeś szans obrony nieszczęsnemu Johnowi Nixonowi. My jednak jesteśmy ludźmi innego pokroju niż ty. Tylko ja tutaj zastąpię Smugę. Jeśli pokonasz mnie, będziesz mógł spokojnie odejść.

— Nie wierzę!

— Slim i Tomek! Słyszeliście, co powiedziałem? — zapytał Nowicki.

— Za wiele ceregieli robisz z tym draniem. Powinniśmy powiesić go i kwita! — odparł Slim.

— To już nie twoja sprawa!

— Dobrze, niech będzie, jak chcesz — odparł kapitan Slim.

— Sąd powinien go osądzić, ale wiem, że nie uwierzono by nam na słowo — powiedział Tomek. — Poza tym pan Alvarez uznaje prawo silniejszego. Jeśli teraz zwycięży, odejdzie stąd wolny, ale nie obiecuję, że potem się z nim nie spotkam.

— No, wybieraj! Rewolwer czy nóż?! — zawołał Nowicki. Alvarez przenikliwym wzrokiem zmierzył przeciwnika. Sam nie był ułomkiem i posiadał zaprawę w bijatykach. Bardziej był pewny noża niż rewolweru. Po chwili namysłu odparł — Skoro zmuszacie mnie do walki, niech będą noże.



## DRAMATYCZNA WALKA

Kapitan Nowicki zdjął z bioder pas z rewolwerami i odrzucił go na bok. Następnie pozbył się kurtki i zaczął zawijać rękawy koszuli. Zza paska od spodni wystawała mu rękojeść myśliwskiego noża, z którym nigdy się nie rozstawał podczas wypraw łowieckich.

Tomek nachmurzony spoglądał na przyjaciela. Był pewny, że jego ojciec nie dopuściłby do takiej walki. Wiedział również, że nie zdoła powstrzymać Nowickiego, który jeszcze podczas podróży do Manaos postanowił rozprawić się z Alvarezem. Mimo to podszedł do przyjaciela i cicho zapytał:

— Co o tym powie ojciec, gdy się dowie?

— Do stu zdechłych wielorybów, nie czas teraz na morały! Już ci zapowiedziałem, że nie ustąpię!

Tomek ciężko westchnął, a potem odezwał się — Niech pan uważa, Alvarez nie stracił pewności siebie!

— Miną nadrabia, nie martw się, brachu! Wiesz, że na mnie możesz liczyć!

— Rozwaga i rozsądek ważniejsze! Czeka nas ciężka wyprawa. Sam z kobietami niewiele zdziałam! Czy warto obciążać własne sumienie zabójstwem nawet tak podłego człowieka jak Alvarez?

— Słuchaj, brachu, Smuga nie darowałby nikomu, gdyby nam stała się krzywda!

Alvarez tymczasem również zdjął marynarkę i położył ją na boku sceny. Podwinął za łokcie rękawy koszuli, po czym wydobyl nóż z kieszeni spodni, otworzył ostrze i zawołał — Jestem gotów, zaczynajmy! Pamiętajcie jednak o naszym układzie!

— Spieszno ci do piekła?! — odparł Nowicki. Mrugnął okiem do Tomka, aby dodać mu otuchy i nie wydobywając broni z pochwy ruszył ku Alvarezowi.

Alvarez z nożem w dłoni przyczaił się do skoku. Nowicki, trochę pochylony piersią do przodu, półkolem wolno przybliżał się do niego, trzymając przy bokach ręce zgięte w łokciach. Alvarez wciąż czaił się, nie spuszczał wzroku z przeciwnika. Nowicki już zachodził go z boku, więc Alvarez zwinnym ruchem odwrócił się przodem do niego. Nowicki zaczął się

cofać, a potem rozpoczął poprzedni manewr od początku. Alvarez wkrótce obracał się w miejscu, a Nowicki wciąż podkradał się to z lewej strony, to z prawej. Nagle jeszcze bardziej pochylił się do przodu, jakby zamierzał zaatakować. Alvarez błyskawicznie wznosił do góry rękę uzbrojoną w nóż i skoczył ku niemu. Nowicki w ostatniej chwili odwrócił się bokiem. Nóż trafił w próżnię, a Nowicki kątem wyprostowanej lewej dłoni uderzył Alvareza w przegub tuż za pięścią zaciśniętą na rękojeści. Nóż potoczył się ku rampie sceny.

Alvarez zaklął okropnie. Chciał podnieść broń, ale Nowicki zwałił się na niego całym ciężarem ciała. Spleceni w uścisku potoczyli się ku brzegowi sceny, a potem runęli w dół do pomieszczenia dla orkiestry. Rozległ się trzask łamanych krzeseł i pulpitów.

Tomek i Slim z płonąca świecą w ręku podbiegli na skraj sceny. W mdłym świetle trudno było odróżnić walczących. Alvarez po straceniu noża z prawdziwą furią zaatakował przeciwnika. Ciosy śmigały jak błyskawice. Co chwila któryś z walczących padał na podłogę, potem zrywał się, uderzał. Drzazgi leciały z krzeseł, które z trzaskiem rozsypywały się pod ciężarem ciała.

Mimo półmroku Tomek rozpoznawał przyjaciela po jasnej czuprynie. Naraz Alvarez jęknął głucho i gwałtownie pochylił się do przodu górną częścią ciała. Tomek pobladł straszliwie, bowiem sądził, że Nowicki pchnął nożem swego przeciwnika. W tej jednak chwili Nowicki uderzył kolaniem prawej nogi w twarz pochylonego. Alvarez jakby podrzucony sprężyną wyprostował się, po czym plecami grzmotnął w podium sceny.

Nowicki ciężko oddychał. Przez krótką chwilę stał nieruchomo. Alvarez próbował dźwignąć się z podłogi, lecz nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Nowicki pochylony do przodu zaczął zbliżać się ku niemu. Dopiero teraz ujął dłonią rękojeść noża tkwiącego za pasem.

Alvarez ujrzał ten ruch. Wyciągnął przed siebie ręce drżące ze strachu.

— Nie zabijaj...! — zawołał chrapliwym głosem.

— Gdzie jest Smuga? Coś z nim zrobił?

— Nie zabijaj! Nic nie wiem o nim...

— Kłamiesz, draniu! Dałeś znać swoim kompanom, że on idzie do nich tam nad Ukajali!

— To nieprawda! Nie wiedziałem, że tam poszedł!

— Kłamiesz!



Nowicki pochylił się nad Alvarezem, który oszalały ze strachu naraz krzyknął — Czekał, list! Mam dowód!

— Jaki list?

Alvarez drżącymi rękami zaczął grzebać w kieszeniach spodni.

— Już wiem, już wiem, jest w marynarce! Sprawdźcie, to list od Vargasa! — zawołał pospiesznie.

— Tomku, zobacz, czy ma w kapocie jakiś list — polecił Nowicki. Tomek przyniósł marynarkę, po czym przeszukał kieszenie. W jednej z nich znajdowała się pomięta koperta.

— Czytaj — zawołał Alvarez.

— Pisany po hiszpańsku — powiedział Tomek spoglądając na list. — Nie mogę przeczytać...

— Ja znam hiszpański — wtrącił kapitan Slim. — Niech pan potrzyma świecę! — zwrócił się Slim do Tomka i zaczął czytać

*La Huaira, 10 września 1910 roku.*

*Szanowny Panie Alvarez*

*Nigdy bym nie przypuszczał, że człowiek tak dobrze znający się na interesach może zachowywać się jak stary dureń! Nie dość, że potajemnie najmujesz moich ludzi do porachunków ze swoimi konkurentami, to jeszcze sprowadzasz na mnie kłopoty. O napadzie nad Putumayo dowiedziałem się dopiero od niejakiego Jana Smugi, który przybył do La Huairy w sierpniu, poszukując dobrze ci znanego Cabrala i Josego. Oskarżał ich o napad i zabójstwo krewnego swego współnika, Nixona. Cabral i Jose przyprowadzili tutaj Indian z plemienia Cubeo, ale nie przyznali się, że zabrali ich z obozu Nixona.*

*Nie chciałem wdawać się w zatargi z tym Smugą, który nie przybył do mnie sam. Był z nim Wilson, pracownik Nixona, i kilku Indian. Ostatnio mam dość własnych kłopotów, więc przede wszystkim cichaczem przegnałem Cabrala i Josego. Wysłałem z nimi pięciu zaufanych Pirów, żeby mieli tych głupców na oku. Skryli się w Grań Pajonalu. Temu Smudze zwróciłem Cubeo porwanych znad Putumayo, ale on również domagał się wydania Cabrala i Josego. Potrzebni mu byli jako świadkowie przeciwko Tobie.*

*Skoro dowiedział się, że ci dwaj umknęli do Grań Pajonalu, odprawił swoich ludzi z powrotem, a sam z Metysem Mateem wyruszył w pościg. Dałem*

*mu nawet trzech moich Pirów jako tragarzy. Poszedł z nim także jeden Kampa, który podsłuchał tych dwóch moich durniów, gdy naradzali się przed ucieczką.*

*Chyba tylko diabeł wie, co wydarzyło się tam w Grań Pajonalu. Ani Smuga, ani żaden z moich ludzi dotąd nie powrócili. Przepadli jak kamień w wodę. Albo zabili ich dzicy Kampowie, którzy nienawidzą białych, albo może też schwytali ich do niewoli. Niektórzy dzicy lubią więzić białego i uważają to za zaszczyt dla swego plemienia.*

*Nie chciałbym, aby jacyś obcy weszli tutaj za zaginionymi. Powiadam, mam dość własnych kłopotów! Trzymaj się więc z dala od moich ludzi, jeśli nie chcesz żebym złożył Ci wizytę w Manaos.*

*Vargas.*

— Czemuś od razu nie pokazał tego listu? — zawołał kapitan Nowicki, gdy Slim skończył czytać.

— Przypomniałem sobie dopiero teraz. Otrzymałem go parę miesięcy temu — odparł Alvarez. — Macie dowód, że nie przyłożyłem ręki do zaginięcia waszego przyjaciela.

— Jak wynika z listu, jeszcze istnieje możliwość, że pan Smuga żyje — odezwał się Tomek.

— Tak, brachu, to dobra nowina — potwierdził Nowicki. — Weź ten list, może nam się przydać.

— Co teraz zrobicie z Alvarezem? — zapytał kapitan Slim.

— Chciałem pomścić Smugę, ale przed samą walką Tomek zaczął po swojemu i wtedy jakoś głupio mi się zrobiło. Faktycznie przyprowadziliśmy go tutaj jak wołu do rzeźni! Mój staruszek w Warszawie zawsze mówił: „*Nie sądź nikogo, to sam nie będziesz sądzony*”. Skoro wiemy teraz, że Alvarez nie podstawił Smudze nogi, to czort z nim! Zabieraj się stąd! Ale zapamiętaj, jeśli jeszcze raz zaczepisz Nixona, to już ci więcej nie daruję!

Tomek uradowany zeskoczył ze sceny i mocno uściskał przyjaciela.

— Dobrze, dobrze, postawiłeś na swoim — zrzędził Nowicki. — Ale niech on już lepiej stąd idzie, żebym się nie rozmyślił! Pomóż mu, brachu, włożyć kapotę, bo, jak widzę, trochę zasłabł!

— Nic dziwnego, któż mógłby dać panu radę!

— Tak myślisz? No, początkowo nieźle się odgryzał! Ale wiesz co? Mów mi już po imieniu! Jestem niby starszy, ale kawaler, a ty żonaty. Kto wie, czy niedługo nie zostaniesz ojcem? To wyrównuje różnicę wieku!

Tomek i Nowicki podali sobie dłonie, a potem wyprowadzili Alvareza na scenę, gdyż kolana uginały się jeszcze pod nim. Na schodach opery pożegnali się ze Slimem, który pospieszył na statek. Zanim Alvarez odszedł od nich, Nowicki ujął go za klapę marynarki i rzekł — Przez ciebie narobiliśmy w operze trochę bałaganu. Zajmij się naprawieniem szkód. Powiem Nixonowi, żeby sprawdził i dał mi znać!

— Dobrze, senhor, załatwię to — potulnie odparł Alvarez.

— No, to wesołych świąt, pojutrze gwiazdka! Najlepiej przebierz się za świętego Mikołaja, bo posiniaczoną łepetyną będziesz straszył porządnych ludzi!

Nikły uśmiech przewinał się po napuchniętej i pokiereszowanej twarzy Alvareza. Wyglądał okropnie, wciąż jeszcze chwiał się na nogach. Zakrwawiona koszula wisiała na nim w strzępach. Mimo to spoglądał na swego pogromcę z wyrazem podziwu.

— Nieźle oberwałem, jeszcze kręci mi się we łbie! — odezwał się już trochę raźniejszym głosem. — Ten młody powalił mnie na statku za pomocą jakiegoś nie znanego mi chwytu, ale ty, senhor, naprawdę jesteś silniejszy. Mogłeś mnie zabić! Powiedz, dlaczego nie dobyłeś noża podczas walki.

— Nóż jest bronią szubrawców, a ja lubię walczyć honorowo!

— Nie jestem zbyt dobrym strzelcem, dlatego też bałem się waszego Smugi. Na szczęście w ostatniej chwili przypomniałem sobie o tym liście! No, pójdę już, niedługo świt! Do widzenia.

Alvarez wkrótce zniknął w ciemnym wylocie ulicy.

— Odszedł żywy... — mruknął Nowicki. — Oby tylko nie usiłował jeszcze wchodzić nam w paradę!

— Zdobyliśmy dowód, że bezpośrednio nie przyczynił się do zaginięcia pana Smugi — powiedział Tomek. — Za inne złe czyny spotka go kiedyś zasłużona kara, możesz być tego pewny! Nie możemy postępować tak jak on!

— Nie wiem, czy zdołałbym się opanować, gdyby nie list Vargasa — odparł Nowicki. — Prawdę mówiąc myślałem, że Smuga już przepadł na amen. Toteż gdy usłyszałem, że on może przebywać w niewoli u Indian, z radości mógłbym uściskać nawet tego drania Alvareza.

— Masz rację, ten list naprawdę podniósł mnie na duchu. Chodźmy do domu, już tylko patrzeć świtu. Musisz przyłożyć sobie kompres na lewe oko. Prawie zniknęło pod opuchnięciem.

— Najlepiej pomaga surowy befsztyk.

— Może znajdzie się u Natki w lodówce!

— Spójrz, brachu! Nasi jeszcze czuwają! Światło pali się w domu!

— Spodziewałem się tego. Domyślali się, w jakim celu wychodzimy. Po cichu weszli na werandę, a potem do hallu. Ogarnęło ich zdumienie, a nawet niepokój, gdy przez otwarte drzwi do saloniku ujrzeli nie tylko wszystkich domowników, ale i Nixona.

— Chwała Bogu! Nareszcie przyszliście! — zawołała Natasza, podbiegając do progu. — Czy Alvarez...?

Urwała w połowie zdania, bowiem w tej chwili spojrzała na kapitana Nowickiego, którego wygląd wymownie świadczył, że stoczył straszliwą walkę.

— Co tu się stało? Dlaczego pan Nixon przyszedł w nocy? — zapytał Nowicki zaniepokojony.

— Czy wszystko w porządku, chłopcy? — odezwała się Sally.

— W porządku, kochanie — uspokoił ją Tomek. — Powiedz raczej, co się tutaj dzieje?

— Domyśliliśmy się, że chcecie rozprawić się z Alvarezem. Długo nie powracaliście, więc pomyśleliśmy, że może będziemy potrzebowali pomocy pana Nixona — wyjaśniła Sally. — Dlatego też Zbyszek poprosił go do nas.

— Dlaczego panowie nie powiedzieliście, że zamierzacie przycisnąć Alvareza do muru? Zebrałbym kilku moich ludzi i poszlibyśmy razem z wami — wtrącił Nixon. — Widzę, że doszło do walki. Czy pan nie jest ranny?! Może sprowadzić doktora?

— Do takiego drobiazgu? — oburzył się Nowicki.

— Zaraz zajmę się naszym kapitanem, tylko taka jestem ciekawa, co zrobiliście z Alvarezem? — zawołała Sally.

— Straszliwie oberwał! Gdyby niemal w ostatniej chwili nie przypomniał sobie o liście, który otrzymał od Vargasa, już by nie żył — odparł Tomek.

— Czyżby nareszcie ten łotr dostał za swoje?! — zawołał Nixon. — Poza Smugą nikt dotąd nie miał odwagi dobrać mu się do skóry!

— Może być pan pewny, że Alvarez nieprędko wejdzie panu w drogę. W pół godziny po walce jeszcze chwiał się na nogach — dodał Tomek. — To była rozprawa na śmierć i życie!

— Co Vargas pisał w liście? Zapewne musiało w nim być coś o panu Smudze, skoro list uratował Alvareza? — wtrącił Zbyszek.

— Panie Tomku, proszę opowiedzieć nam wszystko od początku! Zapewne dowiemy się czegoś bardzo ważnego — zaproponował Nixon.

Tomek powtórzył przebieg wydarzeń. Gdy skończył, pierwsza odezwała się Natasza — Więc istnieje promyk nadziei, że pan Smuga jeszcze żyje!

— Vargas od lat przebywa wśród Indian, na pewno dobrze zna ich zwyczaje — powiedział Nixon. — Wśród Pirów cieszy się wielkim mirem. Skoro sądzi, że Smuga mógł zostać uwięziony, kto wie? Jeśli byłaby choć tylko jedna szansa na sto, nie wolno jej poniechać! Wyprawa może potrwać dość długo. Odszukiwanie śladów w Grañ Pajonalu nie będzie łatwe. Czy panowie dysponują nieograniczonym czasem?

— Nie odjedziemy stąd, dopóki nie odnajdziemy naszego przyjaciela lub jego mogiły. A i wtedy jeszcze najpierw odkopię grób, aby sprawdzić, czy on w nim leży — stanowczo zapewnił kapitan No wieki.

— Wyprawa pochłonie wiele pieniędzy. Kompania „*Nixon — Rio Putumayo*” pokryje wszystkie koszty. Jutro otworzę panom konto w banku w Iquitos — dodał Nixon. — Jeżeli panowie uważają, że mogę się na coś przydać, jestem gotów wziąć udział w tej wyprawie.

— Włóczęga po stepie nie dla pana! — odparł Nowicki. — Więcej pożytku będziemy mieli z kilku zaufanych Indian.

— Jestem tego samego zdania — potwierdził Tomek. — Poza tym Zbyszek i Natasza koniecznie chcą iść z nami.

— Skoro tak, to pan Zbyszek będzie przedstawicielem naszej Kompanii na tej wyprawie. Pobory będę wpłacał na pana konto. Zgoda?

— Bardzo dziękuję! Mnie i żonie już okazał pan bardzo wiele życzliwości! — odparł Zbyszek.

— Nie ma o czym mówić — zaproponował Nixon. — Jestem dłużnikiem Smugi. Zrobię wszystko, byle tylko mu pomóc.

— Dziękujemy w imieniu pana Smugi — powiedział Tomek. — Pomoc finansowa ma dla nas duże znaczenie. Nie jesteśmy zamożni.

— Proszę nie liczyć się z kosztami. W biurze załatwimy wszystkie formalności.

— Tommy, czy przypominasz sobie, co mówił pan Fawcett? — zagadnęła Sally.

— Czy masz na myśli kopalnie Muribeki? — zapytał Tomek. — Och, już wiem!

— Cóż tam wymyśliła ta sikorka? — zaciekawiał się kapitan Nowicki.

— Przypomniała mi kogoś, kto również wspominał, że niektóre plemiona indiańskie w Ameryce Południowej lubią szczycić się posiadaniem białych jeńców — wyjaśnił Tomek.

— Opowiedz nam o tym Tomku! — poprosił Zbyszek.

— To bardzo interesujące, a być może i ważne w naszej sytuacji — dodała Natasza.

— Prosimy, niech pan mówi! — zawtórował Nixon. — Któż to jest ten pan Fawcett? Wydaje mi się, że już słyszałem to nazwisko!

— Być może, gdyż pułkownik Fawcett jest badaczem Ameryki Południowej — potwierdził Tomek. — Jako generalny komisarz Boliwijsko-Brazylijskiej Komisji Granicznej w tysiąc dziewięćset szóstym roku, a następnie w tysiąc dziewięćset dziewiątym, prowadził bardzo cenne prace badawcze we wschodniej Boliwii. Obecnie prawdopodobnie znów znajduje się na tym kontynencie.

Kilka miesięcy temu spotkałem go w Londynie w Królewskim Towarzystwie Geograficznym. Wygłaszał prelekcję na temat indiańskiej cywilizacji, która jakoby miała istnieć w Ameryce Południowej jeszcze przed podbojem przez Inków. Jest wiele legend mówiących o zaginionych miastach, kopalniach i dziwnym plemieniu, które unika zetknięcia się z białymi ludźmi. Fawcett zbierał te legendy, badał je i w końcu nabrał przekonania, że nieznane dotąd ostępy puszczy południowoamerykańskich kryją jeszcze niejedną tajemnicę. Fawcett wierzył w istnienie pradawnych miast i kopalń Muribeki, o których rozwodził się dość szeroko. Nosił się również z zamiarem urządzenia wielkiej wyprawy poszukiwawczej<sup>711</sup>.

---

<sup>711</sup> — Tomek nie mógł jeszcze wtedy wiedzieć, że Percy Harrison Fawcett, angielski wojskowy i zasłużony podróżnik-badacz, zrealizuje swój zamiar w 1925 r. Właśnie wtedy Fawcett w towarzystwie swego syna, Jacka i jego przyjaciela Raleigha Rimella wyruszył na wyprawę do Mato Grosso, aby ostatecznie wyjaśnić tajemnicę pradawnych, zaginionych miast. Z wyprawy tej Fawcett ani jego

— Cóż to za kopalnie Muribeki? — zapytał Zbyszek.

— A jakże, opowiedz nam o nich — dodał Nowicki.

— Zaledwie w kilkanaście lat po odkryciu Ameryki przez Kolumba, jeden z konkwistadorów portugalskich ożenił się z Indianką z plemienia Tupinamba i przez długie lata żył wśród krajowców. Z małżeństwa tego narodził się syn, Melchior Dias Moreyra, zwany przez Indian Muribeką. Ów Muribeka odkrył wiele kopalń srebra, złota oraz drogocennych kamieni. Syn Muribeki, Robeiro Dias, znał tajemnice ojca, któremu inni biali zazdrościli skarbów. Robeiro zgodził się zdradzić królowi Portugalii miejsca, w których leżały kopalnie srebra i udostępnić ich eksploatację, lecz w zamian zażądał nadania mu tytułu markiza das Minas. Urządzono wyprawę, podczas której Robeiro Dias przekonał się, że król Portugalii<sup>712</sup> nie zamierza dotrzymać warunków umowy. Wtedy Dias odmówił pokazania drogi do kopalń i w końcu zmarł nie ujawniając nikomu tajemnicy. Potem wielu śmiałków organizowało wyprawy poszukiwawcze, ale żadnej z nich nie udało się natrafić na ślad starych kopalń. Większość wypraw, nawet bardzo liczebnych, na zawsze przepadła w dżungli, a od Indian nie można było wydobyć nawet najdrobniejszej informacji na temat skarbów Muribeki.

Fawcett był zdania, że w głębi kontynentu mogło przetrwać jakieś plemię o pradawnej cywilizacji. Może zaszyło się w głąsę przed zaborczością Inków i odgrodziło od reszty świata barierą dzikich plemion? To tłumaczyłoby, dlaczego tylu poszukiwaczy starodawnych miast zginęło bez wieści. Mówił też wtedy, o czym przypominała mi Sally, że niektóre dzikie plemiona mają

---

towarzysze nie powrócili. Zaginięcie nabrało rozgłosu. Rozpoczęto poszukiwania. Wyprawa komandora Dyotta w 1928 r. niczego nie zdołała ustalić. W 1930 r. dziennikarz Albert de Winton rozpoczął poszukiwania, lecz również zaginął bez wieści. Wyprawa Virginio Pessione nadesłała informacje z nad rzeki Kuluene, że Fawcett podobno jest więziony w głębi Mato Grosso przez Indian Aruvudu. Potem Patrick Ulyatt dostarczył podobnych wiadomości i ze swym bratem Gordonem wyruszył na poszukiwania. Nie zdołali jednak przedrzeć się przez tereny Indian Boca Pręta, którzy ich nie przepuścili w okolice, gdzie spodziewali się odnaleźć Fawcetta. Inne wyprawy także niczego nie osiągnęły. Na przestrzeni lat różni ludzie oświadczały, że widzieli Fawcetta lub słyszeli o nim. Nawet pokazywano indiańskiego chłopca, który jakoby miał być synem Jacka Fawcetta. Były to jednak tylko mało wiarygodne pogłoski. Do dnia dzisiejszego zaginięcie Fawcetta pozostało otoczone tajemnicą. Może udało mu się dotrzeć do legendarnego miasta, którego mieszkańcy odgrodzili się murem dzikich plemion? Może żył wśród nich? Byłoby to bardzo fantastyczne rozwiązanie zagadki.

<sup>712</sup> — Tomek miał na myśli króla Portugalii Dom Pedro II (Dom jest portugalskim odpowiednikiem hiszpańskiego Don, czyli tytułu dawniej przysługującego członkom rodziny królewskiej).

zwyczaj trzymania w niewoli białych jeńców, gdyż to dodaje im powagi i znaczenia u innych plemion. Czasem taki jeńiec był wybierany nawet wodzem plemienia, które mimo to strzegło każdego jego kroku.

— Mamy więc jeszcze jedno potwierdzenie, że domysły Vargasa nie są pozbawione podstaw — odezwał się Nixon.

— Nie ma chwili do stracenia! — zawołał kapitan Nowicki. — Jeśli Smuga żyje, może znajdować się w piekielnych tarapatach!

— W jaki sposób zdołamy odnaleźć jakieś ślady w tym bezdrożnym, dzikim kraju? — zafrasowała się Natasza\*.

— Jeśli pan Smuga żyje, Tommy na pewno go odnajdzie, tak jak mnie odszukał i wyrwał z niewoli u Indian Pueblosów w Meksyku! — wtrąciła Sally.

— To, co się udało Tomkowi w Ameryce Północnej, musi udać się i w Południowej! — zawtórował Zbyszek. — Nie rozumiem tylko, dlaczego tam kolonizacja poczyniła tak wspaniałe postępy, a tutaj wciąż pustka i dzicz?

— Mój drogi, złożyły się na to liczę przyczyny — powiedział Tomek.

— Wystarczy popatrzeć na mapę...

— Oglądałem ją w szkole do znudzenia! — przerwał mu Zbyszek.

— Przecież obydwa kontynenty mają podobne warunki, a jednak tutaj nic się nie zmienia na lepsze!

— Widzę, że niewiele pożytku odniosłeś z tego „ogłądania” map — odparł Tomek uśmiechając się do brata. — Mam na „*Santa Marii*” obszerną geografę Ameryki Południowej, w drodze do Iquitos będziesz musiał uważnie ją przestudiować. Pewne wiadomości przydadzą ci się podczas wyprawy.

— Czyżbym się mylił, mówiąc, że obydwa kontynenty posiadają podobne warunki? — zdziwił się Zbyszek.

— Wyjaśnij nam, Tomku, bo ja także byłam tego zdania co Zbyszek — odezwała się Natasza.

— Nie warto już kłaść się spać, więc prosimy o kilka słów na poruszony przez państwa Karskich temat. Ja również bardzo chętnie posłucham — rzekł Nixon.

— Obydwie Ameryki posiadają podobne warunki, jeśli chodzi o układ systemów górskich, gdyż mają stare formacje górskie na wschodzie kontynentów i wciąż jeszcze kształtujące się pasma w zachodnich swych



częściach. Istnieją jednak również ważne różnice pomiędzy tymi kontynentami.

Ameryka Pomocna posiada wielki centralny obszar równin, ciągnący się od Appalachów do Gór Skalistych, nawadniany przez dorzecze Missisipi, która uchodzi do Zatoki Meksykańskiej. Natomiast Ameryka Południowa ma aż trzy wielkie obszary równin, oddzielone od siebie wyżynami, a rzeki, które je nawadniają, uchodzą do morza w trzech różnych miejscach.

Szeroka równina na wschodnim wybrzeżu Ameryki Północnej, rozciągająca się od stanu Maine na północy aż do Florydy na południu, umożliwiała europejskim osadnikom przenikanie w głąb kontynentu, podczas gdy w Ameryce Południowej nadbrzeżne wyżyny utrudniały penetrację i zmuszały do korzystania jedynie z dróg rzecznych.

Olbrzymia centralna równina w Ameryce Północnej posiadała doskonałe warunki do budowy dróg, linii kolejowych, a szybko powstająca sieć komunikacyjna ułatwiała łączenie w jedną całość poszczególnych terenów i przyczyniała się do rozwoju handlu i przemysłu.

W Ameryce Południowej bariery górskie oddzielające niziny utrudniały komunikację. Dlatego też tutaj osadnictwo przede wszystkim krzewiło się na wybrzeżach kontynentu, podczas gdy oddzielone od siebie obszary nizinne nie związały się dotąd choćby w jakąś gospodarczą całość. Z tego też względu kraje Ameryki Południowej różnią się ukształtowaniem terenu, klimatem, mieszkańcami, naturalnymi bogactwami i stopniem rozwoju.

Nixon z uznaniem spoglądał na młodego podróżnika, a gdy ten skończył mówić, odezwał się — Winszuję tak doskonałej znajomości świata! Słyszałem jednak, że wyludnienie brzegów rzek na nizinach, a zwłaszcza nad Amazonką, nastąpiło dopiero podczas portugalskich i hiszpańskich podbojów Ameryki Łacińskiej.

— Słuszna uwaga, proszę pana — potwierdził Tomek. — Francisco de Orellana<sup>713</sup>, hiszpański konkwistador, razem z Gonzalem Pizarrem, to jest młodszym bratem Francisco Pizarra, który pierwszy odkrył i podbił państwo Inków, wyruszył z Quito w 1541 roku na wschód w poszukiwaniu El Dorado,

---

<sup>713</sup> — Orellana razem z braćmi Pizarro podbijał Peru. Dzięki jego wyprawie poznana została Amazonka od obszarów źródłowych do ujścia. Również jako pierwszy przebył w poprzek kontynent Ameryki Południowej. W 1546 r. Orellana zaginał podczas nowej wyprawy w górę Amazonki, na którą wyruszył w poszukiwaniu El Dorado.

czyli krainy złota. Po dotarciu do rzeki Napo zbudował statek i płynąc na nim dotarł do Amazonki, a następnie w ciągu ośmiomiesięcznej żeglugi przepłynął, jako pierwszy z Europejczyków, całą tę rzekę aż do jej ujścia do Atlantyku.

Otóż Orellana był zaskoczony widokiem licznych osad na brzegach Amazonki. Również Friar Carvajal, który mu towarzyszył, stwierdził w swoim raporcie, że terytorium zamieszkane przez poddanych wielkiego władcy, zwanego Machiparo, rozciągało się co najmniej na przestrzeni stu trzydziestu kilometrów. Osada od osady nie była więcej oddalona niż na strzał z łuku. Spotykano także okolice, gdzie jedna osada rozciągała się na przestrzeni dziewięciu kilometrów, a dom stał niemal przy domu. Indianie nadamazońscy przyjaźnie witali Orellanę i dopiero później, gdy poznali okrucieństwo konkwistadorów, którzy szukając złota bezlitośnie mordowali tubylców, odsunęli się od brzegów rzeki w głąb nieprzebytych lasów.

— Obecnie biali również okrutnie postępują z Indianami — wtrąciła Natasza. — Terrorem zmuszają ich do niewolniczej pracy. Jeżeli gorączka kauczukowa potrwa jeszcze dłuższy czas, to część kontynentu zostanie, zupełnie wyludniona!

— Przeróżające rzeczy opowiadasz! — szepnęła Sally.

— Tutaj życie ludzkie nie ma wielkiej wartości! — potwierdził Zbyszek.

— To prawda, że Hiszpanie i Portugalczycy okrutnie obeszlą się z Indianami w Ameryce Południowej, a i teraz pod tym względem panuje tu potworne bezprawie — powiedział Nixon.

— Dość już tych rozmów! — odezwał się kapitan Nowicki. — Teraz pomyślmy o ekwipunku na wyprawę, skoro marny poczynić zakupy w Manaos.

— Musimy ograniczyć się do najniezbędniejszych przedmiotów. Na tej wyprawie nie będzie łatwo o tragarzy — powiedział Tomek.

— Święta racja! — powtórzył Nowicki. — Nawet nie mamy pewności, czy choć kilku Indian Cubeo zechce pójść z nami.

— Pomogę panom zwerbować kilku zaufanych ludzi — zaproponował Nixon. — Uważacie, że na nic się wam nie przydam na wyprawie... No, cóż, nie jestem zbyt młody! Może macie rację, ale pojedę z wami chociaż do obozu nad Putumayo. Cubeo lubili Smugę. Jeśli Haboku zdecyduje się pójść na wyprawę, inni pójdą również!

## W OBOZIE ZBIERACZY KAUCZUKU

Długa łódź chyżo płynęła w górę Rio Putumayo. Indiańscy wiosłarze rytmicznie zanurzali łopatkowate wiosła w falach rzeki, a im bliżej było wieczoru, tym szybciej poruszały się ich brązowe ramiona. Cubeowie, gdy tylko mieli możliwość dotrzeć do swych domów przed nocą, rezygnowali nawet z krótkich odpoczynków w ciągu dnia i posilali się w łodzi nie przerywając wiosłowania.

Tomek Wilmowski z uznaniem spoglądał na Indian, którzy od świtu niemal bez chwili przerwy wiosłowali pod prąd rzeki. Tego właśnie ranka Tomek z Nowickim i Nixonem pożegnali przyjaciół na „*Santa Marii*” i wysiedli na małej przystani na brzegu Putumayo, dokąd uprzejmy kapitan Slim podwiózł ich swoim statkiem. „*Santa Maria*” zaraz zawróciła na Amazonkę i pożeglowała w kierunku Iquitos w Peru, gdzie pozostali uczestnicy wyprawy ratunkowej mieli pozostać aż do przyjazdu Tomka i Nowickiego.

Tomek niecierpliwie oczekiwał spotkania z Wilsonem i Haboku, którzy towarzyszyli Smudze w wyprawie nad Ukajali. Zastanawiał się, jakich argumentów mógłby użyć, aby nakłonić Indianina do wyruszenia na wyprawę poszukiwawczą. Jednocześnie łowił uchem cichą rozmowę przyjaciela z Nixonem na temat obozów zbieraczy kauczuku. Słońce tymczasem coraz bardziej chyliło się ku zachodowi. Upał nieco zelżał i nadbrzeżna zieleń znów nabierała soczystej barwy. Na drzewach oplecionych lianami ożywiały się wspaniałe kwiaty, w szuwarach, krzewach i na łąkach widać było ptaki żerujące przed nocą. Zielone papugi, głośno krzycząc, przelatywały ponad rzeką, dziki zwierz chyłkiem pojawiał się u wodopojów, krzyczały świerszcze, cykady rozpoczynały swój monotony śpiew. W nadrzecznych, niskich zaroślach mimoz i akacji śmigały maleńkie kolibry<sup>714</sup>, brzęcząc w locie jak trzmiele.

---

<sup>714</sup> — Kolibry należą do podrzędu jerzykowatych, dzielącego się na dwie rodziny: jerzyki (*Mecropodidae*) i kolibry (*Trochilidae*). Kolibry, piękne i sławne ptaki, zamieszkują wyłącznie kontynenty obydwóch Ameryk od Labradoru i Alaski aż do Cieśniny Magellana, gdzie żyją głównie wśród zarośli nizin i gór. Niemal każda okolica posiada swoją formę kolibra. Poszczególne gatunki, których znamy 319 i 357 podgatunków różnią się budową i długością dzioba oraz ogona. Długość ciała

Łódź płynęła w pobliżu lewego brzegu Putumayo, toteż Tomek zauważył gromadę niezwykle zwinnych, ruchliwych kolibrów; ich błyskawiczny lot mógł obserwować tylko wtedy, gdy znajdowały się na otwartym miejscu na tle jasnego nieba. Kolibry szybkim, turkoczącym lotem przefruwały od kwiatu do kwiatu, potem na krótką chwilę zawisały w powietrzu przy kielichu, ssąc z niego nektar lub wyławiając drobne owady. Gdy zatrzymywały się obok kwiatu, ruch ich skrzydeł stawał się tak szybki, że można go porównać jedynie z wibracyjnym ruchem skrzydeł much lub innych owadów. W utrzymaniu odpowiedniej pozycji ciała pomagały sobie ruchem ogonka. Oryginalne, cienkie dzioby ptaków były dostosowane do kształtu kielicha kwiatu, którego nektarem się żywiły. Jedne miały dzioby długie i proste, inne zakrzywione, a jeszcze inne były zupełnie krótkodziobe. Kolibry zaledwie krótką chwilę zatrzymywały się przy kielichu kwiatu, wydając charakterystyczny delikatny, piskliwy głos, po czym z szybkością strzały odtruwały na nowe poszukiwania.

Tomek obserwując kolibry zwrócił uwagę na ich skłonność do kłótlivosti. Goniące za sobą maleństwa wciąż czubiły się w locie. Przypomniało mu to, że pora lęgowa kolibrów przypadała w okresie deszczowym, a więc od grudnia do lutego. Wtedy właśnie wpadały w niespokojny, kłótlivy nastrój. Zaczepność kolibrów przywiodła Tomkowi na myśl meksykańską legendę, która głosiła, że dusze poległych wojowników wcielały się w kolibry.

Fruwające, pierzaste klejnociki... — ileż w nich zagadek, ile trudu sprawiały badaczom, wśród których wielu było Polaków! Ojciec wspominał mu kiedyś o swych i Smugi kontaktach z Konstantym Branickim<sup>715</sup>, protektorem nauk przyrodniczych w Polsce. Branicki, z zamiłowania ornitolog, organizował oraz finansował wyprawy naukowe do różnych krajów w celu zbierania okazów fauny. Dzięki niemu przyrodnik i podróżnik Konstanty Jelski kolekcjonował okazy fauny w Peru. Potem jego pracę kontynuował zoolog i podróżnik Jan Sztolcman. Zbadał on wybrzeże Peru i okolice źródeł Amazonki, którą przepłynął aż do Belem, skąd powrócił do

---

kolibrów waha się od 6,3 do 21,6 cm; waga od 1,7 g. Kolibry wydobywając nektar z kielichów pośredniczą w zapylaniu kwiatów, podobnie jak owady.

<sup>715</sup> — Konstanty Branicki (1824—1889) najpierw przeznaczał cenne zbiory do Gabinetu Zoologicznego Szkoły Głównej w Warszawie, później gromadził je w Muzeum Zoologicznym Branickich (we Frascati); obecnie znajdują się one w Instytucie Zoologicznym PAN w Warszawie.

Polski. Następnie razem z Siemiradzki przebywał w Ekwadorze, a w końcu odbył wyprawę do Egiptu i Sudanu. Strzelec Jan Kalinowski, również zaangażowany przez Branickiego, przez trzynaście lat gromadził cenne zbiory w Brazylii i Peru.

Tomek słyszał od ojca, na ile trudów i osobistych niebezpieczeństw byli narażeni polscy naukowcy — podróżnicy<sup>716</sup>. Przeważnie w pojedynkę wyruszali w głąb nieznanymi, dzikimi krainami, źle uzbrojeni i niedostatecznie wyposażeni. Ile ofiarności wymagało od Sztolcmana zdobycie zbioru okazów kolibra *Loddigesia mirabilis*, którego istnienie potwierdzał tylko jeden okaz tego ptaka, zdobyty w 1847 roku!

Wnętrze Ameryki Południowej wciąż jeszcze było mało znane. Wciąż jeszcze w ostępach ginęli pojedynczy podróżnicy, jak i liczne dobrze wyposażone wyprawy. W dzikim Grań Pajonalu przepadł nawet tak doświadczony podróżnik jak Smuga.

Z coraz większą dumą Tomek przypominał sobie nazwiska polskich naukowców i podróżników. Wśród nich znajdował się Józef Siemiradzki, geolog<sup>717</sup>, który razem ze Sztolcmanem badał Ekwador, dorzecze Amazonki, Panamę i Antyle, a potem już sam podróżował po Brazylii i Argentynie. On to właśnie badał mało znane obszary Patagonii u stóp Andów i poprawił niedokładne mapy tych okolic. A Ignacy Domeyko w Chile? Odkrywał bogactwa naturalne Andów, założył pierwszy uniwersytet w Chile; jemu, jako

---

<sup>716</sup> — Jelski (1837–1896) badał Gujanę, gdzie przebywał jako aptekarz w szpitalu marynarki francuskiej. W 1868 Branicki zaangażował się do kolekcjonowania fauny południowoamerykańskiej. W latach 1875–79 był kustoszem Muzeum Raimondiego w Limie, a w 1880 został kustoszem Muzeum Akademii Umiejętności w Krakowie. Sztolcman (1854–1928) w latach 1875–1881 badał faunę Peru, a w 1882 do 1884 Ekwadoru. Bogate zbiory Jelskiego i Sztolcmana miały wielkie znaczenie naukowe. Stanowiły cenny materiał badawczy dla zoologów krajowych i zagranicznych. W zbiorach tych było 60 gatunków ptaków zupełnie nieznanymi.

Kalinowski zmarł w Brazylii podczas II wojny światowej. Należy wspomnieć o ornitologu Tadeuszu Chrostowskim, który odbył trzy samodzielne wyprawy do Brazylii (1910, 1913 i 1921). W trzeciej towarzyszyli mu Tadeusz Jaczewski i Stanisław Borecki. Później wyprawy naukowe odbywali: w 1923 Szymon Tenenbaum do Parany po zbiory zoologiczne; w 1926–28 Michalina Isaakowa, żona polskiego entomologa, która zebrała okazy 15 tys. egzotycznych owadów; w 1933–34 wyprawa Wacława Roszkowskiego i Janusza Nasta na statku „*Dar Pomorza*” gromadząca zbiory fauny morskiej, słodkowodnej i lądowej.

<sup>717</sup> — Siemiradzki (1856–1933) jako student geologii wyruszył w 1882 r. z zoologiem Sztolcmanem do Ekwadoru. W 1887 został docentem na uniwersytecie lwowskim. W 1891 badał Brazylię i Argentynę, a w 1895 warunki życia polskich osadników w Brazylii oraz studiował etnografię Indian.

dobroczynicy ludzkości, wystawiono pomniki w wielu miastach<sup>718</sup>. Tytu Polaków wślawiło się badaniami w Ameryce Południowej, a ilu jeszcze zasłuży się nauce w przyszłości<sup>719</sup>?

Mało znany kontynent Ameryki Południowej wciąż intrygował wielu wybitnych przyrodników różnej narodowości. Interesowali się nim tacy naukowcy jak Humboldt, Darwin i d'Orbigny<sup>720</sup>. Tomek aż napuszył się z dumy, że obok nazwisk tak sławnych ludzi znajdowały się w historii badań Ameryki Południowej również nazwiska polskich uczonych i badaczy.

— Hejże, brachu! Źle się czujesz czy drzemiesz? — zawołał kapitan No wieki.

Zamyślony Tomek drgnął i odwrócił się do przyjaciela.

— Nie śpię, Tadku — odparł. — Po prostu różne myśli plątały mi się po głowie.

— Nie baw się w filozofa na głodniaka. Pan Nixon mówi, że tylko patrzeć przystani na rzece. Już czas na kolację i odpoczynek. Nogi mi zdrętwiały od tego siedzenia w łodzi i w brzuchu burczy.

— Nasi na „*Santa Marii*” siedzą teraz przy stole — mruknął Tomek.

— Za godzinę i my będziemy jedli kolację. Już widać przystań — wtrącił Nixon.

---

<sup>718</sup> — Obszerniejsze informacje w następnym tomie przygód pt. *Tomek w Gran Chaco*.

<sup>719</sup> — W późniejszych latach dwóch Polaków odbywało podróże po Ameryce Południowej: pierwszy z nich to Arkady Fiedler, pisarz i podróżnik, który od 1927 r. zwiedził wiele krajów Ameryki Południowej i Północnej oraz Afryki. W Ameryce Południowej również gromadził zbiory ornitologiczne dla muzeów europejskich, polował na zwierzęta, a także oswajał je i obserwował. Napisał i wydał drukiem wiele reportażowych powieści podróżniczych. Drugi to Mieczysław Bohdan Lepecki, o którym — już wspomiano w niniejszej powieści. Podróżnicze książki Lepeckiego zawierają wiele cennych informacji geograficznych, etnograficznych i obyczajowych.

<sup>720</sup> — Aleksander Humboldt (1769–1859) niemiecki przyrodnik, podróżnik i geograf. Wraz z francuskim botanikiem Bonplandem odbył w latach 1799–1804 podróż po krajach podzwrotnikowych Ameryki Południowej, skąd przywiózł bogate kolekcje botaniczne, zoologiczne i mineralogiczne. Humboldt należy do twórców geografii roślin i jako jeden z pierwszych zwrócił uwagę na konieczność ochrony przyrody. Wprowadził do klimatologii izotermę, pracował twórczo w zakresie historii odkryć geograficznych. Humboldt należy do współtwórców geografii nowożytnej.

Charles Robert Darwin (1809–1882) angielski przyrodnik, twórca teorii ewolucyjnego powstawania gatunków zwierzęcych i roślinnych w drodze doboru naturalnego. Na propozycję admiralicji wziął udział, jako przyrodnik, w podróży dookoła świata na okręcie „*Beagle*”. Z pięcioletniej podróży przywiózł cenne zbiory zoologiczne, botaniczne i geologiczne. Doświadczenia i materiały zebrane w czasie podróży stały się fundamentem naukowych teorii Darwina.

Alcide d'Orbigny (1802–1857) francuski paleontolog i badacz Ameryki Południowej, uchodzi za twórcę geografii fizycznej Boliwii.

Przy prawym brzegu rzeki ukazała się prymitywna, chybotliwa platforma, zbudowana z pali drzewnych odartych z kory. Przy kilku łodziach przywiązanych lianami do przystani krzątała się grupka półnagich Indian.

Na widok nadpływającej łodzi chwycili za łuki i strzelby, gdyż spotkania z obcymi w amazońskiej dżungli zawsze budziły niepokój.

— Do stu zdechłych wielorybów! Niezbyt przyjaźnie nas tutaj witają — zawołał kapitan No wieki.

— Mają się na bacności — odparł Tomek.

W tej chwili na przystani rozbrzmiały przyjazne okrzyki. Wioślarze w łodzi ochoczo odpowiedzieli na nie i silniej uderzyli wiosłami w wodę.

Wkrótce łódź przybiła do brzegu.

Indianie Cubeo uprzejmie, lecz bez uniżoności witali Nixona, który dość często przyjeżdżał do obozów zbieraczy kauczuku. Z zachowania Indian od razu można było poznać, że lubią kierownika kompanii. Nixon przedstawił Tomka i Nowickiego jako przyjaciół Smugi. Błyski życzliwego zaciekawienia ukazały się w oczach Cubeów.

Po krótkim powitaniu Indianie poprowadzili gości ku obozowi, który zbudowany był nad strumieniem wpadającym do rzeki Putumayo. Tomek i Nowicki ciekawie rozglądali się po obozie. Nigdzie nie było widać śladów napadu sprzed kilku miesięcy. W pobliżu magazynu kauczuku stały dwa baraki mieszkalne wzniesione na palach, a wokół nich stały szałas indyjskie.

Na platformie baraku ukazał się biały mężczyzna.

— Oto Wilson, kierownik tego obozu i dwóch innych w pobliżu rzeki Japura — odezwał się Nixon na widok mężczyzny.

— Cóż za miła wizyta?! — zawołał Wilson. — Czyżby przywiózł pan tak długo oczekiwanych gości z Europy?

— Nie myli się pan, nareszcie przyjechali — odparł Nixon. — To jest pan kapitan Nowicki, a to, tak dobrze znany nam z opowiadania państwa Karskich, pan Tomasz Wilmowski.

— Proszę, bardzo proszę do mnie — powiedział Wilson. — Panowie zmęczeni podróżą, zaraz będzie kolacja.

— Dobra nowina, głodny jestem jak rekin — odparł Nowicki.

— Nic dziwnego, płynęliśmy cały dzień, nasi mili goście chcieli jak najrychlej zobaczyć się z panem — wyjaśnił Nixon.

— Dobrze się złożyło, że u ujścia Putumayo zastaliśmy łódź kompanii. Zaoszczędziliśmy czasu — odezwał się Tomek.

— Teraz utrzymuję stałą łączność między obozem i przystanią nad Amazonką — odparł Wilson. — Spodziewałem się przybycia pana Nixona lada dzień. Wkrótce zbieranie kauczuku ruszy całą parą.

— Już za miesiąc nastanie pora sucha. Wody spłyną z dżungli, trzęsawiska wyschną i umożliwią swobodny dostęp do drzew hevea, które przeważnie rosną na moczarach — dodał Nixon.

— Spodziewałem się, że panowie przyjadą w liczniejszym towarzystwie z Europy — powiedział Wilson. — Pan Karski stanowczo odradzał rozpoczęcie poszukiwań za zaginionym przed przybyciem panów. Dużo czasu już straciliśmy. Nareszcie trzeba coś przedsięwziąć.

— Teraz jestem pewny, że pan Zbyszek czynił słusznie zalecając nam czekanie na przyjazd panów. Nie zna pan najświeższych wydarzeń — rzekł Nixon. — Panowie przybyli do Manaos zaledwie przed dziesięcioma dniami, ale już dobrali się do skóry Alvarezowi tak skutecznie, że pragnie z nami ugody. W przeddzień naszego wyjazdu z Manaos złożył mi wizytę w biurze. Przysięgał, że nie wydał Cabralowi i Josemu rozkazu, aby zabili Johna. Dał od siebie list do Vargasa.

— Czy to możliwe?! — zdumiał się Wilson. — Nie wyobrażam sobie Alvareza proszącego o zgodę.

— Ja też z trudem wierzyłem własnym oczom i uszom — potaknął Nixon. — Najważniejsze jednak, że część wyprawy ratunkowej już płynie do Iquitos, a panowie wstąpili tutaj jedynie po to, aby rozmówić się z panem i zwerbować kilku Cubeów.

— A więc nareszcie coś zaczęło się dziać, jakże się cieszę! — zawołał Wilson. — Dzień i noc rozmyślałem o losie Smugi. Jeśli pan Nixon się zgodzi, pójdę z panami na wyprawę. Dręczą mnie wyrzuty sumienia, że pozostawiłem go tam samego. On nie zasypiałby gruszek w popiele, gdyby był na moim miejscu.

— Ja również zaproponowałem swój udział w wyprawie, ale panowie uważają, że raczej byłbym przeszkodą niż pomocą — wtrącił Nixon.

— Wyprawa będzie narażona na wiele niebezpieczeństw. Grań Pajonal zamieszkują dzicy Kampowie. Nie obejdzie się bez walk, a wtedy życie



uczestników wyprawy będzie zależało od siły ognia karabinowego — impulsywnie powiedział Wilson.

— Jestem innego zdania, proszę pana — odparł Tomek. — Nawet najbardziej nowoczesny karabin nie chroni nikogo przed zatrutą strzałą z łuku wystrzeloną z ukrycia.

— Tomek ma rację, na tej wyprawie trzeba będzie używać forteli, a nie siły — zgodził się kapitan Nowicki. — Smuga musiał wpaść w pułapkę, on nie przegrałby otwartej walki.

— Małej grupce łatwiej przemknąć się między wojowniczymi plemionami — dodał Tomek. — W dżungli Indianie będą atakować z ukrycia. Taka jest ich wojenna taktyka. Musimy postępować tak samo jak oni, jeżeli chcemy ich przechytrzyć.

— Panowie chcieliby zwerbować doświadczonego Haboku i jeszcze kilku innych Cubeów — odezwał się Nixon.

— Haboku nie ma w obozie — odpowiedział Wilson. — Dwa tygodnie temu wyruszył do swej wioski nad rzeką Uaupes.

— Do licha, to zła nowina — zafrasował się Nixon. — Ten dzielny człowiek przydałby się panom na wyprawie.

— Obawiam się również, że bez niego trudno będzie zwerbować innych. On cieszy się wielkim mirem wśród swoich — powiedział Wilson.

— Czy Haboku nie wróci już do obozu? — zapytał Tomek.

— Miał zamiar się ożenić, poszedł po żonę — wyjaśnił Wilson. — Nie możemy liczyć na jego szybki powrót.

— Do stu par beczek zjełczałego tranu! — zaklął Nowicki. — Musimy zabrać kilku zaufanych i odważnych tragarzy.

— A co się dzieje z innymi Cubeami, którzy towarzyszyli Smudze?

— zapytał Tomek.

— Oprócz Haboku było ich jeszcze czterech, ale również poszli z nim nad rzekę Uaupes — wyjaśnił Wilson.

— Szkoda, bardzo chciałbym mieć ich przy sobie — rzekł Tomek.

— To są przyjaciele Haboku. Poszli z nim, gdyż zamierzał ożenić się z dziewczyną z obcego klanu. W takiej sytuacji pan młody musi symulować porwanie dziewczyny, podczas którego jej bracia klanowi pozorują obronę. Ma to symbolizować fakt, że nikt dobrowolnie nie chce opuścić swego klanu — powiedział Wilson.

— Ci czterej kumple mają pomagać Haboku w tym porwaniu na niby?

— wtrącił Nowicki.

— Tak. Sprawa układa się niefortunnie — mówił Wilson. — Cubeowie są nieocenionymi towarzyszami na takich wyprawach. Od wieków mieszkają nad rzekami, dzięki czemu wyrobili sobie zamiłowanie do podróżowania do innych szczepów. Niektórzy znają nawet po kilka języków, a poza tym są doskonałymi tropicielami i nie znają lęku.

— A co by panowie powiedzieli na propozycję udania się do osiedli Cubeów? — zapytał Nixon. — Pozyskanie Haboku i jego przyjaciół warte jest zachodu.

— Musicie mieć chociaż kilku pewnych ludzi — stanowczo powiedział Wilson. — Jest to szczególnie ważne, ponieważ wyprawa wasza nie będzie zbyt liczna.

— Ile czasu zajęłoby nam odszukanie Haboku? — zapytał Tomek.

— Cubeowie mieszkają na brzegach Uaupes w pobliżu jej ujścia do Rio Negro. Będzie to stąd w linii prostej około trzystu kilometrów — odpowiedział Wilson. — Dotarcie do nich i powrót zajęłyby nam około dwóch tygodni.

— Co myślisz, brachu? — Nowicki zagadnął Tomka. — Zabieramy dwie kobiety. Musimy myśleć o ich bezpieczeństwie.

— Czy mógłbym wysłać list do żony oraz przyjaciół w Iquitos?

— krótko zapytał Tomek. — Należy powiadomić ich o przyczynach zwłoki.

— Więc panowie decydują się na wyprawę do Cubeów? — odezwał się Nixon.

— Tak, to chyba najrozsądniejsze wyjście — odpowiedział Tomek.

— Jestem tego samego zdania — potwierdził Wilson. — Proszę przygotować list, a ja zajmę się wysłaniem go do Iquitos. Jeśli pan Nixon nie ma nic przeciwko temu, będę przewodnikiem panów w drodze do Cubeów. Znam przecież Haboku, może łatwiej zdołam go namówić.

— Dziękuję, właśnie chciałem prosić pana o to — odparł Nixon.

— Przypilnuję pracy w obozach podczas pana nieobecności.

— Kiedy możemy wyruszyć? — zapytał kapitan Nowicki.

— Potrzebuję pół dnia na poinformowanie pana Nixona o stanie naszych prac, a po południu w drogę! — odparł Wilson. — Czy to panom odpowiada?

— Zgoda, im wcześniej, tym lepiej — potaknął Nowicki.

— W drodze porozmawiamy o tym, co zdarzyło się nad Ukajali podczas waszej wyprawy do Vargasa — dodał Tomek.

Zaraz po kolacji Tomek i Nowicki napisali obszerny list do przyjaciół, po czym udali się na zasłużony odpoczynek.

O świcie obóz zbieraczy kauczuku rozbrzmiał gwarem. Tomek z Nowickim zaraz zerwali się z posłań i wyszli z baraku. Wilson z kilkoma uzbrojonymi capangami krztałi się wśród Indian. Seringueirowie uzbrojeni w maczety<sup>721</sup> przygotowywali blaszane naczynia i tykwy, w które ściekał z drzew sok kauczukowy. Kolejno odchodzili w las na poranny obchód swoich działek. Inni również nie próżnowali. Kobiety przygotowywały posiłek dla seringueirów, a potem razem z dziećmi gromadziły drzewo oraz orzeszki palm urucuri, w których dymie tężało mleczko kauczukowe.

Wilson powitał Tomka i Nowickiego, po czym rzekł — Musimy rozpocząć pracę już o świcie, potem, gdy słońce stoi w zenicie, sok kauczukowy krzepnie pod wpływem żaru i zasklepia nacięcia kory na drzewach.

— Wstaliśmy wcześnie, ponieważ pierwszy raz znajdujemy się w obozie zbieraczy kauczuku — powiedział Tomek. — Ciekawi jesteśmy, w jaki sposób eksploatuje się drzewa hevea.

— Oczywiście, o kauczuku głośno na świecie, warto skorzystać z okazji — potaknął Wilson. — Proszę, niech panowie rozejrzą się po obozie. Teren przez nas eksploatowany stanowi jakby naturalną plantację. Podzieliliśmy ją na działki, które obsługują poszczególni seringueirowie. Działki z konieczności są dość rozległe, ponieważ drzewa hevea nie rosną w skupieniu. Na mniej więcej osiemdziesiąt drzew różnych gatunków przypada jedno kauczukowe, a każdy seringueiro eksploatuje około stu pięćdziesięciu drzew hevea.

— Może pan nam wyjaśni, jaką pracę musi wykonać seringueiro? — poprosił Tomek.

— Najpierw wyrąbuje maczetą ścieżynkę w gęstwinie leśnej. Czyni to w ten sposób, aby ścieżka wiodła od drzewa do drzewa i po zatoczeniu koła

---

<sup>721</sup> — Maczeta (hiszp. machete) — nóż długości około 50 cm o wygiętym ostrzu i mocnej rękojeści, używany do wycinania buszu i trzciny cukrowej, rozpowszechniony w Ameryce Południowej, Środkowej oraz w Afryce.

wracała do punktu wyjścia z obozu. Potem codziennie o świcie wyrusza w las, w odpowiedni sposób nacina korę na drzewach hevea, a poniżej nacięcia przymocowuje naczynie, w które ścieka sok podobny do koziego mleka, dający się wyciągać w długie nitki.

Drugi obchód działki seringueiro rozpoczyna po południu, aby w wiadro zlać sok zgromadzony w naczyniach umocowanych pod nacięciami kory. Po powrocie z obchodu natychmiast musi stężyć sok, krople deszczu rozwadniają bowiem mleczko kauczukowe i mogłyby zniweczyć jego całodzienną pracę — W jaki sposób stęży się mleczko kauczukowe? Nie widać tu jakichś specjalnych urządzeń — zagadnął kapitan Nowicki.

— Do tego celu wystarczają te jednospadowe daszki kryte liśćmi i wzniesione na drągach — odparł Wilson wskazując kilkadziesiąt szałasów w różnych miejscach obozu. — Seringueiro rozpala pod daszkiem ognisko i podsyca je orzeszkami palmy urucuri wydzielającymi szary dym, który pomaga w krzepnięciu mleczka kauczukowego. Seringueiro zanurza tak zwaną bolachę w wiadrze napelnionym mleczkiem, po czym oblepiony sok suszy nad ogniem<sup>722</sup>. Czynność tę powtarza wielokrotnie, dopóki na bo lasze nie utworzy się stężała, maczugowata masa. Podczas suszenia żółtawy sok kauczukowy czernieje od dymu. Stwardniałą, czarną kulę seringueiro odnosi do magazynu, gdzie zbiory oczekują na transport do Manaus.

— Wcale łatwy sposób na zdobycie fortuny — wtrącił kapitan Nowicki.

— Nie zgodziłbym się z pana zdaniem — zaoponował Wilson. — Praca seringueiro nie jest łatwa ani bezpieczna. Tropikalna puszcza zazdrośnie strzeże swoich bogactw. Seringueiro musi wystrzegać się jadowitych gadów, owadów i drapieżników. Wolni Indianie uważają go za swego śmiertelnego wroga, gdyż wdziera się do ich ojczystych krain, a biali spekulanci kauczukowi oraz awanturnicy walczą między sobą o cenny łup i pracowite ręce. Kauczuk broczy krwią ludzką. Tysiące seringueirów giną w puszczy<sup>723</sup>.

— A niech to rekin połknie! Nie myślałem o tym, a przecież nasz Smuga również przepadł przez kauczuk — zawołał Nowicki.

— Jak długo można eksploatować jedno drzewo? — zapytał Tomek.

<sup>722</sup> — Mleczko kauczukowe, czyli lateks. Świeży lateks ma odczyn lekko alkaliczny; pod wpływem kwasów, soli niektórych metali, zmian temperatury oraz innych czynników ścina się, tworząc stałą, ciągnącą się, lepka, porowatą masę. Bolacha — długie drewno w kształcie łopaty.

<sup>723</sup> — Pasjonującą historię kauczuku opisał Kamil Giżycki w książce pt. *Hevea płacze kauczukiem*, wydanej przez Wydawnictwo ŚLĄSK.

— Najpierw zbierano sok kauczukowy w sposób rabunkowy. Seringueiro po prostu ścinał drzewo, a potem dopiero złobił na nim korę, aby zebrać sok. Potem nauczono się wydobywać mleczko bez niszczenia całego drzewa. Mimo to po wypłynięciu soku należy pozostawić drzewo w spokoju przez kilka lat. Odrastanie kory w nacięciach trwa około pięciu, sześciu lat i dopiero wtedy nadaje się ono do ponownej eksploatacji. Drzewo nacinane zbyt często, usycha.

— Kapitanie, mamy trochę czasu, więc pospacerujmy po lesie, chciałbym obejrzeć drzewa kauczukowe w ich naturalnym środowisku — odezwał się Tomek.

— Racja, skorzystajmy z okazji.



## POLACY W BRAZYLI

Zaraz po śniadaniu obydwaj przyjaciele wyruszyli w las. Wąska ścieżka wiodła przez gąszcz krzewów i lian oplatających konary drzew. Dżungla właśnie budziła się do życia po nocnym śnie. Podejrżane szmery, szelesty, piski i krzyki rozbrzmiewały wokoło. Promienie wschodzącego słońca gdzieniegdzie przedzierały się poprzez korony drzew i rozpraszały półmrok. Różnokolorowe wspaniałe kwiaty rozchylały kielichy, w powietrzu unosił się odurzający aromat.

Ścieżka wyrębana przez seringueirów nieomylnie doprowadzała do pojedynczo rozrzuconych po lesie drzew hevea. Były one podobne do naszego jesionu. Pień miały wysoki i smukły, pokryty jasnoszarą, jedwabisto gładką korą. Wysokie i rzadkie korony przepuszczały dużo dziennego światła. Tomek i Nowicki z łatwością rozpoznawali drzewa kauczukowe, bowiem szerokie nacięcia na korze oraz tykwy przymocowane u dołu rozpraszały wszelkie wątpliwości.

— Popatrz, brachu, jak dżungla broni się przed człowiekiem — zagadnął kapitan Nowicki. — Gąszcz wdziera się na ścieżkę, chociaż widać, że seringueiro dzisiaj nie żałował maczety!

— Uważaj, Tadku, pod zbutwiałymi liśćmi lubią gnieździć się skolopendry<sup>724</sup>, których ukąszenie może być bardzo niebezpieczne nawet dla człowieka.

— Każesz mi uważać na skolopendry, a tu czerwone mrówki sypią mi się na kark — burknął Nowicki. — Do licha, parzą jak ukrop!

— Zagapiłeś się na drzewo kauczukowe, kiedy trzeba na wszystko uważać. Czekaj, pomogę ci strząsnąć mrówki. Ich ukąszenia mogą spowodować wysoką gorączkę.

---

<sup>724</sup> — Skolopendry to największe z pareczników. Brazylię, Chile i kraje sąsiednie zamieszkuje skolopendra olbrzymia (*Scolopendra gigantea*). Są to zwierzęta szybkie w ruchach i zwinne, należące do drapieżników nocnych. Obok części gębowej typu gryzącego posiadają parę szczękonoży, do których uchodzi przewód znajdującego się w głowie gruczołu jadowego. Liczba odnóży, umieszczonych parami na poszczególnych pierścieniach ciała, waha się od 15 do 173 par. Skolopendry polują w ciemnych kryjówkach, pod kamieniami, w szczelinach ziemi lub pod korą drzew.

— Po powrocie do obozu napiję się rumu, to mi nic nie będzie — odparł Nowicki. — Ile pijawek na tych mokradłach! Jak ci Indianie mogą łązić boso po tym robactwie?!

— Żyją w dżungli od wieków — odparł Tomek. — Czy nie zauważyłeś, że niektórzy Indianie pozbawieni są całych płatów skóry na ciele? To właśnie pasożytnicze owady i robaki tak ich okropnie urządziły.

— Trzeba przyznać, że dość zręcznie potrafią wyciskać je z ciała za pomocą patyków. Robią to zupełnie tak samo jak Papuas w Nowej Gwinei.

— Większość Papuasów również żyje w błotnistych, tropikalnych dżunglach.

— A niech sobie tam żyją, skoro im to odpowiada — odparł kapitan Nowicki.

— Do wszystkiego można się przyzwyczaić — rzekł Tomek. — Przecież wielu Polaków również osiedla się w Brazylii! Chłopi nasi przybywają tu z całymi rodzinami.

— Po jakie licho polscy chłopi tak pchają się do tej Brazylii? Nędzne tu życie i bieda aż piszczy! Gdyby ktoś opowiedział im w Polsce, jak tu jest naprawdę, przestaliby marzyć o Ameryce Południowej!

— U nas w kraju ziemia przeważnie należy jeszcze do obszarników, a tutaj jest jej pod dostatkiem — odparł Tomek.

— Przysiadźmy na tym zwalonym pniu i pogadajmy — zaproponował Nowicki. — Siadaj śmiało, nie widzę robactwa!

Wyjął fajkę, nabił ją tytoniem i zapalił. Wypuścił kłęb dymu na mrówki biegające po pniu, na którym siedzieli, po czym zagadnął — Ciekaw jestem, który z Polaków pierwszy przybył do Brazylii? Czy słyszałeś coś na ten temat?

— A jakże, słyszałem. Pierwszym Polakiem znanym w Brazylii był Krzysztof Arciszewski, admirał wojsk holenderskich.

— To musiało być bardzo dawno, bo nic nie wiem o nim. Któż to był?

— Arciszewski<sup>725</sup>, jako wygnaniec z Polski, osiadł w Holandii i wstąpił na studia inżynierii wojskowej oraz artylerii. W roku tysiąc sześćset dwudziestym dziewiątym w randze kapitana piechoty wziął udział w ekspedycji do Brazylii, gdyż w tym właśnie czasie Holendrzy próbowali zagarnąć hiszpańską kolonię w Ameryce Południowej.

---

<sup>725</sup> — Kapitania — stan, okręg w Brazylii.



Flota holenderska zaatakowała od strony morza miasto Olinda, stolicę kapitanii<sup>726</sup> Pernambuco, oraz umocniony fort Recife na południowym brzegu zatoki. Strzały artyleryjskie ze statków na wzburzonym oceanie nie trafiały skutecznie i Holendrzy nie mogli zdobyć miasta. Wtedy Arciszewski, który brał udział w naradzie wojennej, doradził przypuszczenie szturm od strony lądu, skąd Hiszpanie nie spodziewali się ataku. Za jego radą cichaczem wysadzono na brzeg trzy tysiące żołnierzy i wtedy ekspedycja holenderska zdobyła umocnione miasta.

Potem Arciszewski powrócił do Holandii, skąd już jako pułkownik wyruszył na nową ekspedycję do Brazylii. Wspólnie z Zygmuntem Szkopem, pochodzącym ze Śląska, prowadził działania wojenne przeciwko Hiszpanom. Zdobył fort Arrayal, a potem pokonał nowego dowódcę hiszpańskiego, księcia Lermę. W końcu został mianowany generałem artylerii i admirałem holenderskich sił morskich w Brazylii.

— Skoro był tak wielką figurą w holenderskiej kolonii, to na pewno dochrapał się niezłej fortuny — wtrącił Nowicki.

— Mylisz się, Tadku, Arciszewski nie był konkwistadorem i nie walczył dla osobistych korzyści. Powrócił do Polski, gdzie jako generał artylerii koronnej walczył z Chmielnickim pod Piławcami, a później przygotowywał i kierował obroną Lwowa.

— Wojskowy zawsze jakoś sobie poradzi, bo dobry żołnierz wszędzie się przyda — zauważył Nowicki. — Mnie przede wszystkim żal naszej biedoty, która za kawałkiem chleba wędruje do Brazylii. Niedawno czytałem na ten temat książkę Konopnickiej „*Pan Balcer w Brazylii*”. Aż mi się płakać chciało nad niedolą naszych osadników. Taki już widać los Polaków, że albo prześladowania zaborców, albo skrajna nędza wyganiają ich z własnego kraju.

— Cóż możemy na to poradzić?! — odezwał się Tomek wzruszony, bo przecież on, jego ojciec i przyjaciele również musieli uciekać z Warszawy okupowanej przez Rosjan. — Nie wszystkim Polakom trudno było ułożyć sobie życie w Brazylii. Polscy uchodźcy polityczni po powstaniu

---

<sup>726</sup> — Krzysztof Arciszewski urodził się w 1592 r. w Rogalinie, zmarł pod Gdańskiem w 1656 r. Skazany na wygnanie za zabójstwo na tle zatargów majątkowych osiadł w Holandii. Brał udział w oblężeniu Bredy (1623–25) oraz w zdobywaniu protestanckiej twierdzy La Rochelle. W służbie holenderskiej kilkakrotnie wyruszał na ekspedycje do Brazylii (1629–45). W uznaniu zasług Holendrzy zbudowali mu pomnik w Recife. W 1646 r. na propozycję króla Władysława IV, Arciszewski powrócił do Polski i brał udział w wojnie z Chmielnickim.

listopadowym, Wiośnie Ludów i po powstaniu styczniowym byli ludźmi wykształconymi, pożądanymi w Brazylii. Potomkowie Tromkowskich piastowali wysokie stanowiska w armii brazylijskiej, inżynierowie Rymkiewicz i Brodowski budowali linię kolejową, łączącą Sao Paulo z portem Santos oraz ruchomy port w Manaos, a inżynier Babiński wykonał pierwszą mapę geologiczną tego kraju. Inni, jak na przykład Durski<sup>727</sup>, troszczyli się o utrzymanie polskości wśród naszych osadników. Gorzej natomiast wiodło się tutaj naszej emigracji zarobkowej. Tworzyły ją w większości rodziny chłopskie, które w Polsce nie mogły liczyć na otrzymanie ziemi. Ludzie ci nie posiadali jakiegokolwiek wykształcenia, nie znali obcych języków, nie mieli pojęcia o geografii, a więc nie znali także warunków istniejących w tej wymarzonej przez nich Brazylii. Na wieść, że w Ameryce darmo dają ziemię, sprzedawali swój skromny dobytek i ruszali za morze. Wielu z nich musiało przeżyć dużo rozczarowań, a nawet tragedii.

— Mów dalej, Tomku. Smutne to sprawy, ale zarazem pouczające — powiedział Nowicki.

— Wiele wrzawy spowodowała niezwykła historia kilkudziesięciu polskich rodzin z Górnego Śląska, które osiedlono w pobliżu niemieckich kolonistów w osadzie Brusque w stanie Santa Catarina. Okolica była tam górzysta, ziemia nieurodzajna. Koloniści niemieccy uważali Polaków ze Śląska za Niemców i zaczęli szykanować opornych, którzy pragnęli zachować swą odrębność narodową. Bezradni polscy chłopi szukali pomocy u geometry Woś–Saporskiego, również emigranta ze Śląska<sup>728</sup>, oraz u księdza Antoniego Zielińskiego, proboszcza parafii w Gaspar, którzy byli wśród nich jedynymi ludźmi posiadającymi pewne wykształcenie.

Otóż Woś–Saporski i ksiądz Zieliński wpadli na pomysł stworzenia zwartych polskich osad w Paranie, gdzie w okolicy Kurytyby powstała w roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym trzecim pierwsza polska osada. Rozpoczęli długie i żmudne starania, aby uzyskać zgodę władz brazylijskich na

---

<sup>727</sup> — Hieronim Durski, zwany ojcem polskiego szkolnictwa w Paranie, był pierwszym osadnikiem polskim w Brazylii. Popularny też był jego podręcznik pt. *Elementarz dla polskich szkół w Brazylii, w języku polskim i portugalskim, użyteczny także dla Polaka nowo przybyłego z kraju*.

<sup>728</sup> — Edmund Sebastian Woś–Saporski, zwany ojcem emigracji polskiej w Paranie, wyemigrował ze Śląska w 1867 r. Polonia parańska zbudowała temu zasłużonemu działaczowi pomnik w polskiej osadzie Abranches koło Kurytyby.

przesiedlenie Polaków z Santa Catariny do stanu Parana o znośniejszym klimacie.

Niemiecki zarząd kolonii w Brusque dowiedział się wkrótce o zamiarach Polaków; obawiając się wyludnienia kolonii zaczął przeciwdziałać i wicherzyć. Doszło nawet do zbrojnego terroryzowania Polaków. Rozgoryczeni polscy chłopci, za radą i pod przewodnictwem Woś–Saporskiego, postanowili uciec potajemnie z Brusque. W tym celu zbudowali tratwy i pewnej nocy cichaczem odpłynęli rzeką, a później pieszo wędrowali przez góry i dziewiczą puszcę aż do Itajai, gdzie miał oczekiwać na nich parański statek. Wyprowadzeni w pole Niemcy nie dali za wygraną, jeszcze w Itajai próbowali uniemożliwić odpłynięcie statku z polskimi osadnikami. Dopiero wtrącenie się władz parańskich ostatecznie uwolniło Polaków od szykan.

W ten sposób trzydzieści dwie rodziny polskie ze Śląska przybyły do Parany i założyły pod Kurytybą osadę nazwaną przez Woś–Saporskiego Pilarsinho<sup>729</sup>.

— Cóż to za dziwna nazwa? Na jego miejscu wymyśliłbym jakąś polską — oburzył się kapitan Nowicki.

— Pilarsinho znaczy po polsku „pielgrzymka”. Nazwą tą Woś–Saporski pragnął upamiętnić pełną trudów pieszą wędrowkę Polaków z Santa Catariny do Parany — wyjaśnił Tomek.

— Ha, jeśli tak, to słusznie zrobił. Chyba jeszcze nie skończyłeś, więc mów dalej, brachu.

— Przy końcu ubiegłego wieku polscy chłopci kilkakrotnie masowo wyruszali do Brazylii<sup>730</sup>. Również wtedy nie brakło tragicznych wydarzeń. Emigranci przybywający do Brazylii byli najpierw umieszczani w ogólnych barakach, w których oczekiwali na przydział ziemi w głębi kraju. W zatłoczonych barakach przeważnie panowały złe warunki sanitarne. Toteż w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym w Santos, w barakach zajmowanych

---

<sup>729</sup> — Obecnie dawna polska osada Pilarsinho stanowi jedną z dzielnic Kurytyby.

<sup>730</sup> — W okresie od 1869 r. do wybuchu I wojny światowej 105 tyś. Polaków napłynęło do Brazylii. Ta w pewnych okresach masowa emigracja znalazła wówczas na ziemiach polskich odbicie w prasie i literaturze. Wtedy właśnie Maria Konopnicka napisała utwór *Pan Balcer w Brazylii*, a liczni dziennikarze i literaci udawali się do Brazylii w celu poznania warunków osadnictwa. Problemami tymi zajmowali się: A. Dygasiński, J. Siemiradzki, A. Hempel, a w czasach późniejszych M. Lepecki i A. Fiedler. W czasie II wojny światowej wielu Polaków, również pisarzy i artystów, szukało schronienia w Brazylii.

przez polskich emigrantów, wybuchła żółta febra. Doprowadzeni do ostateczności Polacy pragnęli za wszelką cenę wydostać się gdzieś w chłodniejsze okolice. Uchwycili się tej myśli jak ostatniej deski ratunku. Około sześciu tysięcy polskich chłopów, kobiet i dzieci ruszyło pieszo w kierunku południowym. Był to prawdziwy pochód śmierci. Cięższe przedmioty porzucali w drodze, co mieli cenniejszego wymieniali na żywność, a w końcu umierając z głodu oddawali nawet własne dzieci...

— Przestań, to zbyt okropne! Nieszczęśliwi ludzie, szukali lepszego bytu, a znaleźli straszliwą poniewierkę. Na pewno żalowali potem, że opuścili własny kraj. Nawet kawałek suchego chleba lepiej smakuje w rodzinnym domu niż marcepan u obcych. Gdy tylko Polska odzyska niepodległość natychmiast wracam do naszej Warszawy.

— Wszyscy tam powrócimy, Tadku. Ojciec również bardzo tęskni za krajem. Założymy ogrody zoologiczne w Warszawie i w innych miastach, a później będziemy zwozili różne zwierzęta.

— Przednia myśl! — podchwycił Nowicki, po czym znów zagadnął: — Czy nie słyszałeś, jak też nasi osadnicy dawali sobie radę z tutejszymi Indianami?

— Polscy chłopcy marząc o zdobyciu kawałka ziemi nawet nie orientowali się, że w Brazylii jeszcze żyją prawowici właściciele tego kraju — Indianie. Prawdopodobnie w ogóle nawet nie wiedzieli, że dotąd istnieją na świecie pierwotne, prymitywne ludy myśliwskie. Pierwsi nasi emigranci, którzy osiedlili się w stanie Parana koło Kurytyby, nie zetknęli się z Indianami, gdyż zostali oni stamtąd wyparci jeszcze przed przybyciem Polaków. Tak samo koloniści dalej na północnym zachodzie kraju natrafili jedynie na nielicznych Indian ze szczepów Koroadów, którzy tylko od czasu do czasu zagrażali ich bezpieczeństwu.

W znacznie gorszej sytuacji znaleźli się polscy koloniści osiedleni nad rzeką Negro i Iguassu, na pograniczu stanów Parana i Santa Catarina. Na południe od dolin tych rzek zamieszkiwali Botokudzi, należący do najbardziej znanego szczepu myśliwskiego we wschodniej Brazylii. Botokudzi nie chcieli przyjąć obcej cywilizacji białych i raczej woleli wyginąć, niż utracić własną wolność. W dalszym ciągu prowadzili bardzo prymitywne życie; nie znali garncarstwa, nie umieli prząść. Do łowienia ryb używali strzał, mięso piekli nad ogniem lub na rozgrzanych kamieniach, uprawiali ludożerstwo. Jedyne

ubiór stanowiły ozdoby noszone w uszach i wargach. Swoich zmarłych zakopywali w szałasach, a ziemię grobu mocno ubijali, aby nieboszczyk nie mógł wstać i krzywdzić żywych ludzi. Ci prymitywni Botokudzi w bardzo oryginalny sposób załatwiali spory międzyplemienne. Nie prowadzili wojen między sobą, a wszelkie zatargi rozstrzygał pojedynek wodzów poważnionych plemion.

— To mi się bardzo podoba — wtrącił Nowicki z uznaniem. — Na wszelkich wojnach zawsze najwięcej cierpią niewinni ludzie. Wielka szkoda, że w Europie nie ma takiego zwyczaju.

— Wtedy natychmiast bym zgłosił twoją kandydaturę na naczelnego wodza Polaków — zawołał Tomek rozweselony.

— Mądrze byś zrobił, brachu, bo wyzwiałbym na pojedynek jednocześnie rosyjskiego cara, niemieckiego cesarza oraz króla Austriaków i jak amen w pacierzu za jednym zamachem wszystkim im poukręcałbym łepetyny.

— Znając twoją siłę wierzę, że mógłbyś tego dokonać.

— No, dość żartów! Teraz mów dalej o Botokudach i naszych osadnikach.

— Trzeba wyjaśnić, że koloniści niemieccy pierwsi zetknęli się z Botokudami w Santa Catarina. Prowadzili też z nimi uporczywe, krwawe walki i dopiero po kilkudziesięciu latach ostatecznie odepchnęli ich w głąb kraju.

Polscy osadnicy popadli w zatargi z Botokudami u schyłku ubiegłego wieku. Stało się to w osadach na południe od rzeki Negro, gdzie właśnie leżała góra Taio, uważana przez Botokudów za świętą. Początkowo Indianie nie zaczepiali Polaków. Już uprzednio doświadczyli na własnej skórze okrucieństw białych ludzi i woleli nie zbliżać się do nich. Gdy osadnicy jednak zaczęli wycinać lasy w pobliżu świętej góry, Botokudzi poczuli się zagrożeni. Nie od razu zaatakowali Polaków, bowiem nie mieli zwyczaju napadać na kogokolwiek bez uprzedniego ostrzeżenia. Próbowali więc wystraszyć osadników rzucając w nocy kijami w drzwi i pukając pałkami w ściany domów. Dopiero gdy to nie poskutkowało, zaczęli urządzać krwawe napady.

Polscy osadnicy byli bezbroni i bezradni. Padły więc ofiary. Kilkanaście rodzin uciekło z zagrożonych terenów, ale na ich miejsce napływali inni,

zbroili się i dalej wycinali lasy. W końcu poznali taktykę wojenną Botokudów i sami rozpoczęli wojnę podjazdową, która podobno trwa tam jeszcze do tej pory. Jest to chyba jedyna w dziejach wojna polsko–indiańska<sup>731</sup>.

— A niech to wieloryb połknie! Trudno mi nawet życzyć naszym osadnikom zwycięstwa — odezwał się kapitan Nowicki. — Przecież ci nieszczęśni dzielni Botokudzi bronią słusznej sprawy.

— Smutna to prawda. Zwycięstwo naszych kolonistów nie sprawi nam radości — odparł Tomek. — Nasi emigranci nie mogli i nie mieli dokąd wracać z Parany. Brak wykształcenia i pieniędzy uniemożliwił im szukanie innego zajęcia. Jedynie uprawa własnej ziemi mogła zapewnić im ten nieraz gorzki kawałek chleba. Jestem pewny, że nie odczuwają nienawiści do nieszczęsnych Indian, z którymi okrutny dla obydwóch stron los kazał im walczyć.

— Botokudzi do ostatniego człowieka będą bronili świętej góry Taio.

Żal mi tych biedaków.

— Mnie również, Tadku, lecz niestety nic nie możemy na to poradzić. Wokół cmentarzy dzielnych Botokudów osadnicy będą uprawiali rolę, a potem pozostanie tylko legenda o bohaterskich i nieszczęsnych Indianach.

Obydwaj posmutnieli i umilkli. Żal im było Indian skazanych na zagładę i jednocześnie smucił ich los polskich chłopów, wygnanych przez nędzę z własnej ojczyzny. Dopiero po dłuższej chwili kapitan Nowicki wydobyl kraciatą chustkę z kieszeni i wysuszył czoło z potu. Następnie spojrział w błękit nieba prześwitującego poprzez korony drzew.

— Słońce zaczyna przygrzewać — odezwał się. — Za kilka godzin wyruszamy w drogę do Cubeów. Czas już wracać do obozu.

Zamyśleni szli przez las. Naraz Tomek przystanął i przytrzymał przyjaciela za ramię. Nowicki zaledwie spojrział za jego wzrokiem utkwionym w pobliskim gąszczu, natychmiast obydwoma dłońmi chwycił rękojeści rewolwerów tkwiących w pochwach u pasa.

— Nie strzelaj! — szepnął Tomek.

---

<sup>731</sup> — M. Lepecki w książce pt. **Parana i Polacy** — podaje: „*Podjazdowa wojna polsko–indiańska trwała 27 lat i zakończyła się pacyfikacją Indian w roku 1917*”. Według fragmentu pamiętnika młodego polskiego osadnika cytowanego w tej książce, 40 polskich osadników zostało zabitych przez Botokudów tylko w okolicy Itaiopolis. Oprócz tego Polacy ginęli i w innych osadach.

Z lewej strony ścieżki, w gąszczu okolonym trzęsawiskiem, poruszyło się czerwono–żółte cielsko upstrzone pierścieniowatymi cętkami oraz bezkształtnymi czarnymi plamami. Był to olbrzymi jaguar <sup>732</sup> prawie dwumetrowej długości. Przebudzony z południowej drzemki wysunął z krzaków łeb o ostro ściętym pysku i żółtawymi ślepiami spoglądał na obydwóch intruzów na ścieżce. Prądkowaty, sprężysty, długi ogon poruszył się niespokojnie i zaszleścił liśćmi. Jaguar uniósł się na łapach. Nowicki pochylił się do przodu, błyskawicznym ruchem wydobyl obydwie rewolwery naraz, lecz Tomek cichym głosem jeszcze raz ostrzegł go — Nie strzelaj!

Zaraz też wysunął się przed przyjaciela, uniemożliwiając mu tym samym strzał do drapieżnika.

— Oszalałeś! — syknął Nowicki.

Tomek tymczasem wpił wzrok w oczy jaguara. Olbrzymie kocisko rozchyliło paszczę. Błysnęły białe kły, cichy, jękliwy pomruk rozbrzmiał w ciszy dżungli.

Tomek jeszcze o krok wolno przybliżył się do drapieżnika. Odór ciała dzikiego zwierzęcia stał się jeszcze ostrzejszy. Tomek przystanął nie odrywając swego przenikliwego wzroku od oczu przyczajonego jaguara.

Zwierzę zmrużyło ślepią, leniwie rozchyliło paszczę, lecz jękliwy pomruk już nie brzmiał zbyt agresywnie. Jaguar wstrząsnął łbem, jakby opędział się od natrętnego owada. Potem przez długą chwilę, która Nowickiemu wydała się wiecznością, Tomek i jaguar spoglądali sobie w oczy, aż w końcu przyczajone zwierzę zaczęło tyłem cofać się w krzewy. Tomek nagle klasnął w dłonie. Jaguar, jakby zbudzony ze snu, wielkim susem wskoczył w gąszcz i zniknął w lesie.

Tomek odwrócił się do przyjaciela. Wyraz olbrzymiego napięcia już zniknął z jego twarzy. Uśmiechnął się do osłupiałego marynarza i rzekł — Udało się, co?

— Chyba wściekły rekin cię ugryzł! — wybuchnął Nowicki.

— Dlaczego się gniewasz? — zapytał Tomek. — Nie byłem tak bardzo lekkomyślny. Wiedziałem przecież, że stoisz za moimi plecami z bronią w

---

<sup>732</sup> — Jaguar (*Felis onca*) dawniej zamieszkiwał obydwie Ameryki od rzeki Negro i Colorado w Patagonii aż do Meksyku i Luizjany. Obecnie licznie występuje tylko w cieplejszych okolicach Ameryki Południowej, a w Północnej został już prawie całkowicie wytępiony. Pod względem siły można porównać go jedynie z tygrysem lub lwem. Żywi się większymi kręgowcami aż do tapira; z pastwisk porywa młode bydło, żrebaki i muły; nie gardzi także rybami, które łapą wyrzuca z wody na brzeg.

garści. W każdej chwili mogłem uskoczyć w bok i tobie odsłonić cel. Wiedziałem, że nie chybisz.

— Po jakie лихо się narażałeś? Już drugi raz spróbowałeś tej sztuczki z hipnotyzowaniem zwierzęcia.

— To jeszcze pamiętasz tę historię z gepardem maharani w Indiach? — zdziwił się Tomek.

— Dobre sobie! — oburzył się Nowicki. — Skóra mi wtedy cierpła na grzbiecie, chociaż gepard był oswojony.

— Nie gniewaj się, naprawdę byłem szalenie ciekawy, jak zachowa się w podobnej sytuacji dziki drapieżnik.

— Czy masz zamiar zostać hipnotyzerem zwierząt? — zżymał się Nowicki.

Tomek roześmiał się, a potem rzekł — W przyszłości zamierzam spróbować szczęścia jako treser dzikich zwierząt. Dlatego chętnie dokonuję różnych doświadczeń.

— W każdym razie więcej nie płataj takich sztuczek przy mnie, bo chociaż jesteś żonaty, spuszczę ci lanie, jak amen w pacierzu.

— Przyrzekam poprawę, ale niebezpieczeństwo naprawdę wcale nie było tak wielkie. Leniwe ruchy jaguara od razu wskazywały, że w nocy najadł się do syta. Smuga nieraz mówił mi, że jaguar w przeciwieństwie do pumy<sup>733</sup> nie skrada się po śladach człowieka. Jeśli niespodziewanie natknie się na niego, to albo po prostu ucieka, albo spokojnie mu się przygląda. Groźny jest tylko wtedy, gdy go się zaczepia.

— A ja słyszałem, że jeśli jakiś drapieżny kot raz popróbuje ludzkiego mięsa, to potem już z upodobaniem poluje na człowieka.

— To prawda, bo bezbronni lub źle uzbrojeni krajowcy są łatwym dla niego łupem — przyznał Tomek. — Słyszeliśmy o polujących na ludzi tygrysach w Indiach i lwach w Afryce.

— Dlatego właśnie rozgniewałem się na ciebie. Ten jaguar też mógł być ludojadem.

— Na ludzi przeważnie polują stare sztuki, które już nie mają siły na pościg i walkę ze zwinnym zwierzęciem. Ten jaguar był na to zbyt młody.

---

<sup>733</sup> — Puma (*Felis concolor*), czyli kuguar lub lew amerykański, zamieszkuje obydwa kontynenty Ameryki od Patagonii na południu, aż do Kanady na północy. Pumy przesypiają dzień na drzewach, w krzakach lub wysokiej trawie, natomiast polują wieczorem i w nocy.



— Wolałbym go zabić. Pewnie gdzieś blisko tutaj ma swoją kryjówkę, może napaść któregoś zbieracza kauczuku.

— Jaguary są w Amazonii dość pospolite, bowiem zamieszkują zalesione brzegi rzek, pobraża bagnistych puszczy i trzęsawiska. Przeważnie nie mają stałych kryjówek. Południową drzemkę ucinają tam, gdzie zastanie je słońce. Wtedy też po nocnej uczcie są zazwyczaj ociężałe, podczas gdy w nocy na łowach poruszają się zwinnie i szybko.

Tak rozmawiając weszli do obozu. W pobliżu baraku zastali Nixona, który na ich widok zawołał — Czekamy z obiadem! Wilson już gotowy do drogi, możecie wyruszyć natychmiast po posiłku.

— My również jesteśmy przygotowani — odparł Tomek.

— A jakże, bagaży mamy niewiele, to i kłopotu mało — dodał Nowicki.

— Wilson już załadował wszystko do łodzi. Rzeki jeszcze rozlane szeroko, toteż w obecnej porze podróż nie będzie zbyt uciążliwa. Cubeowie, którzy popłyną z panami jako wioślarze, doskonale znają drogę.

— Dobra nowina! — odparł Nowicki. — W łodzi odpoczniemy po porannym spacerku!



## CUBEO — CZYLI „LUDZIE, KTÓRYCH NIE MA”

Haboku przysiadł na skraju maty z włókien palmowych, położonej na ziemi w cieniu drzewa. Przed nim leżał rozłożony na części karabin. Haboku właśnie zabrał się do starannego czyszczenia zamka broni, ponieważ nazajutrz o świcie zamierzał rozpocząć polowanie na grubego zwierza. Nie opodał grupka chłopców przykucnęła półkolem i w skupieniu śledziła ruchy odważnego myśliwego.

Haboku był łowcą jaguarów, co wśród Cubeów uznawano za najwyższy objaw męstwa i odwagi. Oprócz symbolicznego naszyjnika z zębów jaguara oraz przepaski biodrowej ze skóry pancernika, Haboku także wyróżniał się wśród mieszkańców wioski posiadaniem karabinu. To jeszcze bardziej zwiększało jego autorytet. Haboku rzadko zabierał broń palną na polowanie. W dżungli niełatwo było o naboje. Wszakże tym razem miał zamiar upolować antę, czyli tapira<sup>734</sup>, którego ślady wytropił po drugiej stronie rzeki. Karabin przypominał mu daleką wyprawę w okolice rzeki Ukajali. Właśnie za udział w niej otrzymał od Smugi tę wspaniałą broń.

— Cóż się stało ze Smugą? Zapewne zginął, skoro minęło tyle czasu, a on nie wrócił. Haboku doskonale rozumiał tego sprawiedliwego, białego człowieka, który chciał ukarać morderców oraz sprawców napadu na obóz nad Putumayo. Indianin również nigdy nie zapominał wyrządzonej mu krzywdy. Dlaczego jednak Nixon i Wilson nie szukali Smugi? Dlaczego pozostawili go własnemu losowi? Haboku gniewnie zmarszczył brwi. Wszyscy Cubeowie w obozie nad Putumayo uważali, że ci dwaj biali nie zachowali się wobec Smugi jak prawdziwi przyjaciele. Haboku odszedł więc z obozu poszukiwaczy

---

<sup>734</sup> — Tapiry — zwierzęta nieparzystokopytne, najbliższej spokrewnione z nosorożcami, Żyją w Indiach, na Sumatrze oraz w Środkowej i Południowej Ameryce. Tapir amerykański (*Tapirus terrestris*) mierzy do 2 m długości razem z 9-centymetrowym ogonkiem i do 1 m wysokości. Charakteryzuje się krótką grzywą, szarobrunatną sierścią, nieco jaśniejszą na bokach głowy, szyi i piersi. Młode tapiry mają na głowie białe plamy, zaś po bokach ciała białe pasy ułożone w 4 rzędach. Gatunek ten rozpowszechniony jest od Wenezueli i Gujany w całym dorzeczu Amazonki aż do Paragwaju i pomocnej Argentyny. W Andach kolumbijskich, Ekwadorze i Peru zachodnim występuje gatunek wysokogórski (*Tapirus pinchaque*), a w Ameryce Środkowej rodzaj *Tapirella*.

kauczuku i już nie miał zamiaru tam powrócić. Niech biali załatwiają swe sprawy między sobą! Cóż oni mogli go obchodzić?

Haboku spojrział na rzekę. Uśmiechnął się do niej jak do starej, dobrej znajomej. Przecież znał ją od dzieciństwa. Nad tą świętą rzeką lud Cubeo zamieszkiwał od wieków. Katarakty i dopływy strumieni stanowiły granice zasięgu poszczególnych klanów. Haboku wrócił do swoich; wiedział, że jego radości i troski dzieliła z nim nie tylko najbliższa rodzina, lecz wszyscy mieszkańcy maloki<sup>735</sup>. Na chwilę przerwał czyszczenie broni. Zamyślony odwrócił głowę w kierunku wygodnego, dużego domu, w którym zamieszkiwali Cubeowie z klanu Pedikwa. Naczelnikiem tego klanu był jego ojciec.

W myśl zwyczaju Haboku razem z nim i dwoma braćmi ustawili pierwsze trzy pary ciężkich filarów, wokół których dom był stawiany, a później w budowie pomagali wszyscy mieszkańcy maloki. Frontowy szczyt domu z głównym wejściem zwrócony był ku rzece. Cubeowie zawsze w ten sposób budowali maloki, gdyż ze względu na własne bezpieczeństwo musieli stale obserwować wszystko, co działo się na rzece, czyli na głównym gościńcu w ich kraju.

W myśl wierzeń Cubeów wspólny dach jednoczył członków klanu. Maloka była nie tylko pomieszczeniem do spania, lecz stanowiła żywy ośrodek życia społecznego i religijnego. Toteż rozkład domu był dostosowany do potrzeb indywidualnego oraz zbiorowego życia mieszkańców. Wzdłuż obydwóch bocznych ścian znajdowały się pomieszczenia dla poszczególnych rodzin, oddzielone od siebie bocznymi przegrodami, a otwarte tylko na główny korytarz, który przebiegał środkiem domu od frontowego szczytu do tylnego.

Ów główny korytarz miał wszechstronne zastosowanie: bliżej frontowego szczytu przyjmowano gości, odprawiano uroczystości obrzędowe, ucztowano, tańczono, a pod podłogą grzebano zmarłych; w tylnym szczycie domu znajdowała się wspólna kuchnia; w głównym korytarzu spożywano również przed zachodem słońca podstawowy wspólny posiłek.

---

<sup>735</sup> — Według I. Goldmana maloka jest długim, zbiorowym domem mieszkalnym, w którym pod przewodnictwem naczelnika żyje kilkanaście rodzin tworzących jeden klan. Im obszerniejsza maloka, tym większe społeczne znaczenie klanu. Obecność małych domów, pobudowanych wzdłuż maloki, świadczy, że ktoś wyłamał się spod władzy naczelnika klanu i nie mógł żyć w zgodzie z jego społecznością.

Dla Haboku od razu przeznaczono oddzielne pomieszczenie we wspólnym domu, zamierzał się bowiem ożenić. Teraz nie żałował własnego trudu. Zgodnie z tradycją rodzice doradzili mu, do którego klanu ma udać się po żonę. Była to ładna, pracowita i dobra dziewczyna. Haboku w dowód wielkiej miłości wykarczował dla niej znaczny kawał lasu pod ogródek, w którym ona obecnie uprawiała maniok.

Haboku pochylił się i zza szczytu maloki spojrzął w kierunku chagry, czyli ogródka żony. Szarawa smużka dymu snuła się w dali ku niebu.

Był to umowny znak, że jego żona znajdowała się na polu i nie zagrażało jej żadne niebezpieczeństwo.

Młody Indianin przymknął oczy. Uśmiech pojawił się na jego twarzy bez zarostu. Przypomniawszy sobie chwilę poznania żony. Spodobała mu się od razu podczas pierwszej wizyty. Toteż wtedy zawarł z nią ceremonialną przyjaźń, ofiarowując perkal na dwie spódnice, dwa ozdobne grzebienie, małe lusterko, nici, igły, dwa pudełka brylantyny, mydło i dwa pudełka zapalek. Ona także odwzajemniła mu się podarkiem. Ofiarowała mu dwie duże kalebasy<sup>736</sup> na chichę<sup>737</sup>, dwa kłębki sznura i naszyjnik z suszonych nasion, a jej ojciec wręczył mu dwie linki na ryby, bo wszyscy mężczyźni Cubeo byli rybakami.

Potem przez wiele dni Haboku pozostawał w klanie dziewczyny. Polował z jej braćmi, łowił ryby, wyplatał hamaki i kosze, aby pracą odpłacić się za gościnę. Pewnego dnia dziewczyna sypnęła mu w twarz mączką maniokową, po czym uciekła do ogródka matki. Był to znak, że mu sprzyja.

Haboku skorzystał z pierwszej nadarzającej się okazji i gdy dziewczyna niczego się nie spodziewała, pokropił ją sokiem rośliny uwe, co według starożytnego zwyczaju miało zapewnić mu jej miłość.

Następnie rodzice narzeczonych rozpoczęli omawianie warunków małżeństwa. Haboku przyrzekł bratu swej narzeczonej, że jedna z jego sióstr wyjdzie za mąż za niego i nic już nie stało na przeszkodzie do uprowadzenia narzeczonej. Pewnego ranka Haboku ze swymi najbliższymi przyjaciółmi

---

<sup>736</sup> — Kalebasa — naczynie, często artystycznie rzeźbione, wyrabiane z baryłkowatych owoców (o bardzo twardej łupinie) drzewa kalebasowego (*Crescentia cujete*), rosnącego w Ameryce Środkowej i Południowej. Jest to drzewo niskie o miotlasto ułożonych liściach, wyrastających z pnia, dużych kwiatach i baryłkowatych owocach, z których łupin krajowcy wyrabiają łyżki, naczynia do płynów i cybuchy do fajek.

<sup>737</sup> — Chicha (czicza) — brazylijski napój alkoholowy, otrzymywany w drodze fermentacji z kukurydzy, ryżu, manioku i owoców palm.

podpłynęli o świcie do przystani i porwali kąpiącą się dziewczynę. Nie odbyło się to bez wrzawy i pozorowanej bijatyki, jak wymagał dobry obyczaj.

Haboku otrząsnął się z głębokiej zadumy. Na gospodarczym placu na tyłach maloki rozbrzmiały śmiechy i głośnie rozmowy. Kobiety zaczynały już powracać ze swych poletek. Było więc wczesne popołudnie.

Kobiety rzucały maczety przed drzwiami, po czym z koszami korzeni manioku podążały nad rzekę na przystań dla łodzi. Najpierw odświeżały się kąpielą po skwaronym dniu pracy, bawiły się z dziećmi i żartowały. Potem myły korzenie manioku, zanurzając je w wodzie razem z koszami. Rozweselone wracały do maloki, bo odzieranie korzeni ze skóry było dla nich raczej odpoczynkiem. Siadały na podłodze głównego korytarza, opierając plecy o słup, nadgryzały zębami skórę na korzeniu, a potem palcami ją zdzierały. Podczas tej pracy sąsiadki wymieniały między sobą nowinki i plotki. Maloka rozbrzmiewała śmiechami, które przycichały, gdy kobiety przystępowały do tarcia korzeni na specjalnej desce. Była to najcięższa i najmniej lubiana przez nie praca.

Haboku szybko złożył karabin. Właśnie spoglądał w lufę pod światło, gdy na rzece rozległy się okrzyki. Wśród kilku rybackich czółen powracających z codziennego połowu, płynęła długa, obca łódź. Haboku natychmiast poznał jednego z trzech białych, którzy w niej płynęli. To był Wilson, kierownik obozów zbieraczy kauczuku nad Rio Putumayo. Czyżby znów zamierzał werbować nowych seringueirów?

Haboku najpierw uprzedził swego ojca, jako naczelnika klanu, o przybyciu gości, a potem zaintrygowany pospieszył na przystań. Obca łódź właśnie podpływała do niej. Po chwili trzech biali już znajdowali się na pomoście.

— Witaj, senhor Wilson — odezwał się Indianin.

— Witaj, Haboku, rad znów cię widzieć. Nie chciałeś wrócić do nas, więc ja przyjechałem do ciebie — odparł Wilson i dodał: — Przywiozłem również dwóch przyjaciół senhora Smugi. To jest senhor kapitan Nowicki, a to senhor Wilmowski.

Zwyczajem białych Haboku podał im rękę na powitanie. Tomkowi wydało się, że w chwili, gdy padło nazwisko Smugi, w oczach Haboku przewinął się starannie maskowany blask żywego zaciekawienia.

— Proszę, senhores, do maloki — odezwał się Haboku i poprowadził gości do domu.

W progu oczekiwał na nich naczelnik klanu. Wilson uprzednio trzykrotnie odwiedzał wioskę podczas werbunku Cubeów do obozów kauczukowych, toteż naczelnik najpierw zwrócił się do niego — Witaj, senhor, w naszej maloce! Zawsze jesteś miłym gościem.

— Witaj, czcigodny naczelniku! — odpowiedział Wilson. — Przybyłem do twego domu z przyjaciółmi zaginionego senhora Smugi, którzy bardzo chcieli poznać ciebie i twego odważnego syna.

— Witam was, senhores! — rzekł naczelnik i podał im rękę. — Proszę, wejdźcie do domu!

Wnętrze obszernej maloki było czyste i nie zadymione. W poszczególnych pomieszczeniach widać było hamaki porozwieszane na słupach, koszyki z kory, naczynia z kalebas, łuki, świstuchy i kołczany. Ściany były przyozdobione różnymi maskami.

Naczelnik wskazał gościom ławę w pobliżu drzwi. Za ledwie siedli, żona naczelnika postawiła przed nimi na podłodze małe naczynie z gotowanymi ziarenkami pieprzu i poprosiła, aby się posilili. Po chwili powróciła z tacą maniokowego ciasta, którą umieściła obok pieprzu. Potem wszystkie gospodynie maloki uczyniły to samo. Teraz przy gościach pozostał jedynie Haboku, a wszyscy inni wycofali się dyskretnie do swych pomieszczeń.

Wilson świadom zwyczajów Cubeów powstał z ławy, po czym kolejno z wszystkich tac ułamywał kawałek ciasta, maczał w pieprzu i zjadał. Jednocześnie dał znak swoim towarzyszom, aby uczynili to samo.

— Kosztujcie z wszystkich tac lub obrazicie którąś z gospodyń — szepnął. Po tym skromnym posiłku z powrotem usiedli na ławie. Kobiety natychmiast uprzątnęły jedzenie. Korzystając z chwilowego rozgardiaszu Wilson cicho odezwał się — To był formalny poczęstunek dla okazania gościnności. Więcej jedzenia Cubeowie nie dają gościom.

— Kiepska nowina, głodny jestem! — burknął Nowicki.

— Gość może być włączony do wspólnego stołu tylko wtedy, gdy bierze udział w pracach codziennych klanu — wyjaśnił Wilson.

— Teraz dajmy im podarunki — cicho doradził Tomek.

Wilson poprosił naczelnika, aby w jego imieniu wręczył wszystkim domownikom upominki. Dla kobiet były to kolorowe, szklane korale, nici,

igły i lusterka, a dla mężczyzn scyzoryki i haczyki na ryby. Na samym końcu ofiarował mieszkańcom maloki młodego tapira, którego Tomek upolował tego dnia podczas żeglugi.

Coraz więcej mężczyzn powracało do domu. Jedni przynosili upolowaną zwierzynę, inni złowione ryby. Nowo przybyli witali się z gośćmi, po czym dyskretnie znikali w swych pomieszczeniach.

— Czy Cubeowie prowadzą w maloce wspólną kuchnię? — zapytał Tomek, gdy na chwilę pozostali sami.

— Formalny, wspólny posiłek odbywa się przed zachodem słońca — poinformował Wilson. — Inne posiłki poszczególne rodziny jedzą oddzielnie u siebie, lecz wszystkie potrawy są gotowane na ogólnym piecu, co ma symbolizować wspólnotę klanu. Między posiłkami tylko dzieci otrzymują ciasto z manioku upieczone przez własną matkę.

— Mam nadzieję, że nie będziemy musieli spać w maloce — rzekł Tomek. — Chociaż dom wygląda dość czysto, na pewno są w nim insekty.

— Zaproszą nas do siebie, ale możemy powiedzieć, że nie chcemy ich krępować. Rozbijemy namiot na placu przed maloką — odparł Wilson.

— Ilekroć tu przyjeżdżałem, zawsze tak robiłem.

— Dobry pomysł — potaknął Nowicki.

Przerwali rozmowę, bowiem w tej chwili naczelnik i Haboku podeszli do nich z zaproszeniem na wspólną kolację. Zapewne uznali, że skoro goście wkupili się upolowanym tapirem, to zasłużyli na zaproszenie do ogólnego stołu.

Na matach rozłożonych na środku głównego korytarza kobiety ustawiły tace napełnione ciastem maniokowym i kukurydzianym, świeżą, gotowaną rybą, mięsem pieczonym i suszonym pokrojonym w cienkie kawałki. Potem przyniosły czarki z sosem pieprzowym, opiekane poczwarki i pieczone mrówki. Nie brakło też dzikich owoców.

Mężczyźni rozsiedli się szerokim kołem przy jedzeniu. Przed nimi, w węższym kole, usiedli ich synowie, a kobiety skromnie siadły na końcu za swymi mężami, ojcami i braćmi. Trzej biali zostali zaproszeni na honorowe miejsca pomiędzy naczelnikiem i Haboku.

Mężczyźni jedząc żartowali z kobietami, które cierpliwie oczekiwały na swoją kolej w rozpoczęciu kolacji. Tomek zauważył, że Haboku kilkakrotnie podał siedzącej za nim żonie specjalnie wybrany kęs ryby lub mięsa,



nakładając go na kawałek maniokowego ciasta. Widać było, że bardzo kochał swą młodą żonę.

Indianie jedli bardzo umiarkowanie, toteż gdy na znak zakończenia kolacji zaczęli płukać wodą usta i myć palcami zęby, Nowicki ciężko westchnął, gdyż nie zdążył jeszcze zaspokoić głodu. Mężczyźni ustąpili miejsca kobietom. Z kolei razem z gośćmi rozsiedli się na podłodze głównego korytarza w pobliżu drzwi wejściowych.

Nowicki wydobył z podręcznej torby pudełko z tytoniem i bibułkę. Indianie zaczęli skręcać papierosy. Przez jakiś czas palili w milczeniu, jak nakazywał obyczaj, a potem pierwszy zagadnął naczelnik — Przybyliście w dobry czas. Wody w rzece mało, ryby można łowić gołymi rękami.

— Strumienie w lasach powysychały, u wodopojów na brzegach rzeki widać różną zwierzynę, łatwo polować<sup>738</sup> — dodał Tomek, który zawsze najzręczniejszemu potrafił prowadzić rozmowy z krajowcami.

Cubeowie nieco zaskoczeni zerknęli na niego. Dziwili się, że najmłodszy z gości pierwszy zabrał głos w rozmowie. Wilson zaraz to spostrzegł i wyjaśnił — Senhor Wilmowski jest doświadczonym myśliwym i doskonałym strzelcem. Z karabinu nigdy nie chybia celu. Bywał już w wielu dalekich krajach. Chwytał tam różne zwierzęta, które potem wymieniał na inne przedmioty w swoim kraju.

— Chwytał je żywe? — zaciekał się naczelnik.

— Tak, ma na to swoje sposoby. Schwycił już nawet kilka żywych jaguarów.

Szmer niedowierzania rozległ się wśród Cubeów. Rozmowa prowadzona była po portugalsku, toteż Nowicki, który lepiej od Tomka znał ten język, zaraz szepnął po polsku do niego — Pokaż fotografie schwytanych zwierząt...

Cubeowie zdumieni oglądali tygrysy, lwy, słonie, nosorożce i żyrafy. Największy jednak podziw wzbudziła fotografia, na której Tomek krępował sznurem pysk panterze, tak bardzo podobnej do jaguara. Indianie na krótką chwilę zapomnieli o swym stoickim spokoju i ożywieni głośno wymieniali uwagi.

---

<sup>738</sup> — Był to okres pory suchej, która na tej szerokości geograficznej przypadała dwukrotnie w ciągu roku: od października do grudnia i od lutego do marca. Wtedy w płytkich rzekach ryb było w bród, a dziki zwierz w poszukiwaniu wody wychodził z gąszczu na brzegi rzek. Pory suche były dla krajowców okresami sytości.

— Czy ten biały będzie tu chwytał zwierzęta? — zapytał naczelnik. — Nie, senhor Wilmowski przybył do Brazylii w innym celu. Wyrusza na wyprawę, aby odnaleźć lub pomścić senhora Smugę — wyjaśnił Wilson. — Jest właśnie kierownikiem tej dalekiej i zapewne niebezpiecznej wyprawy. Cubeowie coraz bardziej zaintrygowani spoglądali na Tomka, który wcale nie mieszał się pod ich przenikliwymi spojrzeniami. Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. W końcu Tomek odezwał się — Doświadczeni myśliwi i wojownicy Cubeo zapewne dziwią się, że w tak młodym wieku zostałem wodzem wyprawy. Obecny tu kapitan Nowicki, który posiada większe ode mnie doświadczenie, odwagę i niezwykłą siłę, będzie wraz ze mną czuwał nad bezpieczeństwem wszystkich uczestników tej wyprawy. Razem będziemy szukali Smugi, bo jest on naszym serdecznym przyjacielem i w podobnej sytuacji uczyniłby dla nas to samo. Dla mnie Smuga jest więcej niż przyjacielem. Tego, co umiem, nauczyłem się od niego.

Cubeowie z zainteresowaniem spoglądali na Tomka, który ujął ich swoją skromnością. Tomek odczekał dłuższą chwilę, po czym znów odezwał się — Słyszeliśmy od pana Wilsona, że Cubeowie są niezwykle odważni. Wiemy również, że jesteście doskonałymi tropicielami i wioślarzami. Dlatego też przybyliśmy do waszej wsi. Pomyśleliśmy, że może sławny Haboku i kilku innych wojowników zechciałoby pójść z nami na tę wyprawę. Co wojownicy Cubeo nam odpowiedzą?

— Haboku, ty byłeś z senhorem Smugą nad Ukajali — powiedział Wilson. — Wiesz, po co on tam poszedł?! Teraz sam potrzebuje pomocy.

Indianin zmierzył Wilsona dumnym spojrzeniem.

— Haboku ma dobrą pamięć, nie zapomina przyjaciół Indian — odparł. — Ale dlaczego ty dopiero teraz przyszedłeś do nas? Czy nie byłeś przyjacielem senhora Smugi?

— Nixon i ja chcieliśmy wyruszyć na poszukiwania, ale brat senhora Wilmowskiego odradzał nam to dla dobra Smugi. Twierdził, że tylko doświadczony senhor Wilmowski potrafi odnaleźć ślady. Dlatego czekaliśmy na jego przybycie — wyjaśnił Wilson.

— Czy teraz jednak idziesz z nimi na tę wyprawę? — zapytał Haboku.

— Nie chcą mnie zabrać! Ani mnie, ani Nixona. Twierdzą, że bylibyśmy większą przeszkodą niż pomocą w poszukiwaniach.

— Sprawna grupa ludzi łatwiej będzie mogła niepostrzeżenie przemykać się pomiędzy wojowniczymi plemionami w Grań Pajonalu. Będziemy działali z ukrycia. Dlatego też wolimy zabrać kilku odważnych, dobrych tropicieli śladów — wyjaśnił Tomek.

— Wyprawa niebezpieczna — powiedział Haboku. — Kampowie nienawidzą białych i obcych Indian.

— Kompania „*Nixon-Rio Putumayo*” jest gotowa dobrze zapłacić Cubeom, którzy pójda na wyprawę — wtrącił Wilson. — Całą zapłatę możemy dać od razu dzisiaj.

Haboku uśmiechnął się pogardliwie i odparł pytaniem — Czy twoja kompania obliczyła też, ile warte jest życie Indianina? Wilson zaczerwienił się i zmieszał.

— Przepraszam, może źle się wyraziłem, nie chciałem nikogo obrazić.

— Teraz wiemy, po co przyszliście — odezwał się naczelnik. — Musimy się naradzić. Jutro otrzymacie naszą odpowiedź.

Rozmowa była skończona. Biali wyszli z maloki i udali się nad rzekę, gdzie rozpięto dla nich duży namiot. Usiedli na brzegu przy ognisku.

Wieczór był pogodny. Wokół śpiewały chóry cykad, to odzywały się olbrzymie żaby południowoamerykańskie, których bardzo charakterystyczne głosy przypominały gwizdanie<sup>739</sup>.

— Niezbyt zręcznie zakończyła się nasza rozmowa — zagadnął kapitan Nowicki. — Jak amen w pacierzu dostaniemy kosza.

— Chyba zanosi się na to — potwierdził Wilson. — Jeszcze podczas pobytu Haboku nad Putumayo wydawało mi się, że ma do nas o coś urazę. Teraz już domyślam się, o co mu chodziło. Uważał, że postąpiliśmy nielojalnie wobec Smugi.

— Do stu zdechłych wielorybów, ja również odniosłem dzisiaj wrażenie, że on boczy się na pana — zawołał Nowicki. — Jeśli jednak domysły pana są słuszne, to ten Indianiec musiał lubić naszego Smugę.

— Sytuacja Haboku nie jest łatwa. Wtedy, gdy szedł ze Smugą na wyprawę, jeszcze był kawalerem, obecnie ma młodą żonę, którą kocha —

---

<sup>739</sup> — Gatunek dużych żab (*Leptodactylus pentadactylus*) żyjących w Ameryce Południowej. Te olbrzymie zwierzęta posiadają przednie kończyny bardzo silnie rozwinięte. W wodzie poruszają się dość niezgrabnie, lecz na lądzie szybko i zwinnie, mimo swej ciężkiej budowy.

wtrącił Tomek. — Czy nie zauważyliście, jak często podawał jej jedzenie podczas kolacji?

— Ma pan rację, tak postępuje tylko zakochany Cubeo — powiedział Wilson. — Są niedawno po ślubie, ta dziewczyna nie puści go teraz na ryzykowną i długą wyprawę.

— Zawsze mówiłem, że żona dla marynarza to jak kotwica dla statku — rzekł Nowicki ciężko wzdychając. — Cubeowie podobnie jak marynarze większość życia spędzają w łodzi. Powinni żyć w kawalerskim stanie.

— A mnie namawiałeś do żeniaczki — zażartował Tomek.

— Nasza Sally to zuch baba! Zupełnie jak chłopak. Gdy tylko zaczynamy mówić o wyprawie, ona pierwsza zaraz bierze się do pakowania bagaży.

— Muszę powtórzyć jej twoje słowa, na pewno się ucieszy!

— Trudno, skoro Haboku skrewił, pójdziemy sami. Napijmy się po łyku jamajki. Nic tak nie poprawia nastroju jak dobry napitek! Słyszałem, że wszyscy Indianie lubią zaglądać do kieliszka, ale ci Cubeowie widocznie są abstynentami. Nawet tej swojej chichy nie podali do kolacji! Otwórz pudełko konserw, głód nie da mi zasnąć.

— W codziennym życiu Cubeowie nie używają napojów alkoholowych, ale za to od czasu do czasu urządzą uczty pijackie, na których wszyscy upijają się do nieprzytomności — wyjaśnił Wilson. — Oszołomienie uważają za święty rytuał.

— Słyszałem co nieco o tych uroczystościach obrzędowych Indian południowoamerykańskich — powiedział Tomek. — Podobno przygotowania do takich uczt trwają kilka miesięcy.

— Tak, zwłaszcza gdy zapraszają inne klany — odparł Wilson. — Samo przygotowanie chichy zajmuje kilka dni.

— Cubeowie jeszcze radzą, w ich salonie wciąż pali się światło — zauważył Nowicki.

— Oby tylko postanowili coś pomyślnego dla nas — odparł Tomek. Wkrótce po świcie naczelnik klanu zaprosił białych gości do maloki.

W głównym korytarzu, na dwóch rzędach ław, siedzieli wszyscy dorośli mężczyźni. Ubrani byli w ceremonialne stroje. Na głowie nosili mapeny, czyli pióra czerwonej ary, złożone w koronę na włókiennej plecionce i sznurze z małpich włosów. Na ramiona nałożyli magiczne bransolety, również zdobione

barwnymi piórami, a na szyje naszyjniki zwane motylami, ze srebrnych płytek w kształcie trójkąta. Wielu z nich pozakładało w muszle uszne i w dolne wargi ozdoby z kości lub drzewa. Twarze i ciała pomalowali czerwoną farbą.

— Popatrz, jak to się wystroili — szepnął kapitan Nowicki do Tomka.

— Znosi się na poważną, decydującą rozprawę.

— Zapewne teraz powiedzą nam, co postanowili — mruknął Tomek i z niepokojem spoglądał na kamienne twarze Indian.

Naczelnik klanu wskazał gościom miejsce na honorowej ławie w pobliżu drzwi, po czym rozpoczął ceremonialną przemowę — Biali są dziwnymi ludźmi. Mówią, że za wielką wodą posiadają duże wioski o pięknych, bogatych domach, a tymczasem przychodzą do biednych Indian, wszystko im zabierają, chwytają do niewoli i kazań ciężko pracować. Przed przybyciem białych Indianie byli liczni, jak drzewa w lesie. Teraz trzeba płynąć rzeką wiele, wiele księżyców, aby natrafić na indiańską wioskę. Tylko nieliczni biali są przyjaciółmi Indian. Senhor Smuga był naszym przyjacielem. Nie pozwalał krzywdzić Cubeów pracujących w obozach kauczukowych, strzegł ich przed złymi białymi i mieszaićcami, którzy nie są ani białymi, ani Indianami. Przy nim wszyscy Cubeowie czuli się bezpieczni.

Ten biały był przyjacielem wszystkich dobrych ludzi. Nie pozwolił, aby Yahuanie dręczyli duszę młodego Nixona i dlatego odebrał im jego głowę. Potem wykupił z niewoli Cubeów porwanych z obozu nad Putumayo. Sam zapłacił za nich i nie kazał im tego odpracowywać. Mężny Haboku chciał towarzyszyć mu w pościgu za białymi mordercami. Jednak szlachetny biały kazał mu wracać do swoich. Nie chciał narażać Indianina na niebezpieczeństwo. Tak mógł postąpić tylko prawdziwy przyjaciel. Haboku spełnił wolę białego przyjaciela Cubeów. Powrócił do wioski i ożenił się, a teraz przychodzą biali przyjaciele senhora Smugi i mówią: Haboku, jesteś odważny, umiesz tropić ludzi i zwierzęta, chodź z nami szukać senhora Smugi. Cóż ma odpowiedzieć Haboku? Indianin nie opuszcza przyjaciela w niebezpieczeństwie. Rada starszych Cubeów orzekła: Haboku pójdzie na wyprawę z białymi ludźmi i inni Cubeowie pójną także. Cubeowie pragną znów ujrzeć wśród siebie swego białego przyjaciela.

Tomek bardzo uradowany wygłosił długą, kwiecistą mowę, w której w imieniu Smugi podziękował Cubeom za pomoc w wyprawie poszukiwawczej. Potem przemawiał Wilson, a po nim Haboku. Okazało się, że żona Haboku

postanowiła towarzyszyć mężowi podczas wyprawy. Tomek i Nowicki nawet ucieszyli się z tego, gdyż młoda Indianka mogła być dużą pomocą dla Sally i Nataszy. Po przemówieniach przystąpiono do omawiania warunków zapłaty dla Cubeów uczestniczących w wyprawie. Targi przeciągnęły się do południa, po czym naczelnik klanu uroczyście zaprosił wszystkich białych gości na ucztę pożegnalną, która miała odbyć się nazajutrz o zachodzie słońca.

## POŻEGNALNA UCZTA

Biali goście ochoczo wzięli udział w przygotowaniach do pożegnalnej uczy. Kapitan Nowicki wybrał się z Haboku na polowanie, a Wilson wyruszył czółnem na połów ryb. Tomek natomiast pozostał w wiosce, aby przypilnować złożonych w namiocie bagaży.

Według informacji Wilsona Indianie Cubeo posiadali dość swoiste rozróżnienie własności prywatnej. Ogólnie uznawali dwa, a nawet trzy rodzaje własności. Do całej społeczności należały przedmioty zrobione przez naczelnika klanu lub jego żonę, przeznaczone do powszechnego użytku, a więc: duża łódź mogąca pomieścić kilkadziesiąt osób, wielkie naczynia na chichę, piece maniokowe, prasa do trzciny cukrowej i ławki dla gości. W znacznie mniejszym zakresie własność publiczną stanowiły przedmioty używane do ceremoniałów oraz instrumenty muzyczne. Natomiast pełną własnością prywatną były sprzęty domowe, łodzie, broń, błyskotki, ozdoby, ubranie i towary nabywane od Europejczyków. Poza tym Cubeowie nie krępowali się zbyt pożyczaniem czegoś od innych, nawet bez ich wiedzy. Dlatego też Tomek miał pilnować namiotu.

Tomek nie narzekał na przymusowy pobyt w obozie, gdyż umożliwił mu on poczynienie różnych obserwacji. Baseny rzek Amazonki i Orinoko wciąż jeszcze były nie znaną ziemią pod względem etnograficznym. Tak mało wiadano o pierwotnych mieszkańcach nizin i tropikalnych lasów Ameryki Południowej, a tymczasem wiele zupełnie nieznanymi plemion indiańskich wymierało niemal z dnia na dzień. Poza tym niektóre plemiona przenosiły się z pierwotnych miejsc zamieszkania i ztracały swą odrębność kulturową łącząc się z innymi. Liczne rzeki ułatwiały dalekie wędrówki pierwotnym mieszkańcom tropikalnego lasu. Z tego względu w olbrzymim basenie Amazonki znajdowały się ślady zwyczajów i języków właściwych nawet dla bardzo odległych okolic. Leśni Indianie wszędzie napotykali pokrewny klimat, florę i faunę oraz typowy dla nich sposób życia: rzeczny i leśny. Łatwość podróżowania oraz podobne warunki bytu tworzyły podstawę, na której kształtowały się wszystkie kultury amazońskie, a szeroko rozprzestrzeniona ogrodowa uprawa manioku i szamanizm nadawały im jednolity charakter.

Tomek zdawał sobie sprawę z rzadkości okazji i skwapliwie obserwował życie Indian Cubeo. Od razu też zauważył, że rodzice inaczej traktowali dziewczynki niż chłopców. Córki były popychadłami swoich matek. Rankiem szły z matkami na poletko maniokowe, gdzie przez cały czas pozostawały pod ich bacznym i surowym wzrokiem. Potem dziewczęta musiały pomagać w pracach domowych.

Synowie byli ulubieńcami matek. Chłopcy w wieku od lat sześciu do piętnastu organizowali się w grupy; każda z nich wybierała sobie dowódcę. Na centralnym placu przed maloką zabawiali się chodzeniem na szcudłach lub wyplatali z włókien żmije, które „chwyciły” za palec. Chłopięce grupy same zaopatrywały się w żywność, kąpały w rzece i włóczyły po lesie. Czasem włączały się do śpiewów i tańców lub nawet uczestniczyły w obrzędach dorosłych mężczyzn. Rodzice nigdy nie karcili dzieci, gdy te coś zgubiły, ponieważ robienie wyrzutów było uważane przez Cubeów za objaw złego wychowania.

Tomek zwrócił uwagę na szamana, czyli czarownika, który na głównym placu przed domem udzielał porad „lekarских”. Każda społeczność Cubeów miała swego czarownika i wierzyła w jego niezwykłą moc. Według Cubeów wielcy szamani–jaguarzy mogli sprowadzać silne wiatry, grad, burze i mgły, a także leczyć i zabijać. Tomek wręczył szamanowi kilka drobnych upominków. Potem dyskretnie pytał o różne zwyczaje. Gdy szaman rozgadał się na dobre, Tomek napomknął, że zdobywanie pożywienia nie sprawia Cubeom zbyt wiele trudności.

— Prawdę rzekłeś — potwierdził szaman. — Przecież żyjemy w najlepszych czasach. Dawniej ludzie głodowali, bo musieli żywić się tylko sokami drzew i korą.

— Czyżby? — zdziwił się Tomek. — Myślałem, że maniok znany był Indianom od bardzo dawna.

— Byłeś w błędzie, pierwsi ludzie nie znali innego pożywienia prócz soku drzew i kory — odparł szaman. — Maniok i inne pożyteczne rośliny nauczyli się uprawiać znacznie później.

— A któż ich tego nauczył?

— Było to tak! Pewnego razu głodny stary Indianin chodził po lesie szukając jadalnej kory. W gąszczu przypadkiem natrafił na aunhoku, czyli drzewo posiadające liście rośliny manioku. Korzenie manioku spadały na



Indianina, ale on nigdy nie widział takiego drzewa i nie wiedział, co ono rodziło. Owo drzewo rosło w przesiece. Indianin zauważył, że było strzeżone przez różne zwierzęta. Zaczął zastanawiać się, co powinien uczynić. Wtedy właśnie nadszedł mądry aguti<sup>740</sup>. Starzec zdziwił się, ponieważ • aguti zaczął zjadać korzenie, które spadały z drzewa. Korzenie manioku wówczas nie posiadały skóry. „Co ty jesz?” — zapytał starzec, a aguti odparł: „Maniok”. Aguti powiedział potem, żeby ludzie oczyścili pole pod uprawę. Starzec zwołał więcej Indian, a gdy ci przygotowali pole, aguti polecił im ściąć aunhoku. Indianie ścięli je kamiennymi toporkami. Drzewo wkrótce upadło, wtedy wszystkie zwierzęta obstały je i zabrały się do jedzenia. Starzec zobaczył, że każda gałąź rodziła co innego. Na jednej rosły banany, na drugiej trzcina cukrowa, na innej pataty, a jeszcze na innej turu, czyli trucizna. Aguti powiedział Indianom, żeby ucięli po jednej gałęzi i zasadzili je na polu. W ten sposób Indianie nauczyli się uprawy różnych roślin i już nigdy nie byli głodni.

— Myślę, że przedtem również nie musieli głodować. Przecież w lasach zawsze było pełno zwierzyny — zauważył Tomek.

— A właśnie że nie mogli polować! — zaprzeczył szaman. — Pierwsi ludzie nie umieli używać broni. Dopiero Kuwai<sup>741</sup> pokazał im, jak należy łowić ryby na haczyk i linkę oraz nauczył posługiwania się bronią. Poza tym niektórych zwierząt w ogóle nie wolno zjadać. Na przykład mięso leniwca<sup>742</sup> uczyniłoby człowieka bardzo leniwym.

— Widać, że Cubeowie nie jadają leniwców, od świtu do wieczora prowadzą pracowity tryb życia — zażartował Tomek. — Kobiety wasze nie odpoczywają przez cały dzień, a nawet dziewczęta pracują.

---

<sup>740</sup> — Aguti (*Dasyprocta aguti*) zwierzątko z rodziny *Caviidae*, o gęstym i lśniącym futerku czerwonożółtym z domieszką czarnobrunatną i nagim podgardlu. Żyje w Brazylii w dorzeczu Amazonki i we wschodnim Peru. Żywi się przeważnie owocami i nasionami roślin. Aguti najczęściej spotykane jest pojedynczo; niepokojone szybko umyka. Samiczka w okresie godowym buduje w norze gniazdo wysłane miękką sierścią i tam rodzi potomstwo.

<sup>741</sup> — Kuwai — mitologiczny bohater kulturowy Cubeów.

<sup>742</sup> — Leniwiec należy do rzędu szczerbaków amerykańskich, w skład których wchodzi: pancerniki, mrówkojady i leniwce. Brazylię północną oraz Gujanę zamieszkuje leniwiec dwupalczasty (*Choleopus didactylus*). Długość jego tułowia dochodzi do 70 cm. Przebywają w lasach o bogatej roślinności i żywią się listowiem i owocami. Obfitość pożywienia, jak i łatwość zdobywania go pozwala leniwców pędzić spokojny, leniwy tryb życia. Dzięki potężnym, haczykowatym pazurom mogą bez zmęczenia utrzymywać się całe dni zawieszane na gałęziach. Głowę potrafią odwracać o 180 stopni. Uwłosienie mają przystosowane do wiszącego trybu życia: włosy rosną od części brzusznej ku grzbietowi.

— Dawniej, gdy kobiety miały flety i bębny, przez cały dzień nic nie chciały robić, tylko grały — wyjaśnił szaman. — Wtedy Duch rozgniewał się, odebrał kobietom instrumenty i dał je mężczyznom. Od tego czasu mężczyźni muszą ukrywać flety i bębny przed kobietami, a gdyby któraś z nich ujrzała je, musiałaby być uśmiercona czarami.

— Wobec tego co robią kobiety, gdy mężczyźni grają na tych instrumentach? — zapytał Tomek.

— Muszą przebywać poza maloką i wracają dopiero wtedy, gdy schowamy w bezpiecznym miejscu flety i bębny.

Tomek miał ochotę rozmawiać jeszcze dłużej, ale nowi pacjenci już czekali na porady lekarskie.

Około południa kapitan Nowicki i Haboku powrócili z polowania.

— Łowy nie były zbyt pomyślne — Tomek powitał przyjaciela, widząc, że myśliwi wyładowują z łodzi tylko młodego tapira i kilka ptaków.

— Mieliśmy dwa tapiry, ale Haboku oddał jednego Indiańcom z sąsiedniego klanu, na których terenie ustrzeliliśmy zwierzaki — wyjaśnił kapitan Nowicki. — U nich już taki zwyczaj, że jeśli upolujesz zwierzynę na obcym łowisku, to połowę oddajesz, a połowę zabierasz. Niby to dzikusy, lecz bardzo uczciwi i pilnują porządku.

— Muszę to zanotować — powiedział Tomek. — Czy może rozmawialiście jeszcze o czymś ciekawym?

— Próbowałem nagabywać Haboku o to i owo, ale nie chciał gadać w lesie. Obawiał się, że mogłyby nas podsłuchać i napaść wielkoludy.

— Czyżby mieszkało tu w pobliżu jakieś wysokorosłe plemię? — zapytał Tomek zaintrygowany.

— Gdzież tam, brachu! To legendy, w które oni wierzą. Aż mi się na śmiech zbierało, gdy taki odważny myśliwy jak Haboku mówił poważnie o włochatych olbrzymach z dwoma twarzami i lepkiem ciałem. Zapewniał mnie, że olbrzymy szczególnie polują na matki i dzieci, które zjadają. Opowiedział, że któryś z jego przodków nawet schwytał i zabił takiego olbrzyma. Mówił również, że można tego dokonać tylko wtedy, gdy księżyc jest przyćmiony lub czerwony i nisko na niebie.

— Będę musiał przy okazji porozmawiać z nim na ten temat. To intrygująca legenda.

Przed zachodem słońca wszystkie kobiety ukryły się w malokach. Był to znak, że mężczyźni rozpoczynają obrzędy rytualne. Biali goście dyskretnie usunęli się na ubocze, lecz jednocześnie ciekawie zerkali w kierunku przystani dla łodzi, przy której zgromadzili się wojownicy. Kilku z nich wydobyło z ukrycia w zaroślach święte rogi i bębny. Przy ich wtórze Haboku wraz z pięcioma innymi wojownikami wykąпали się w życiodajnej rzece. Podczas kąpieli nacierali swe ciała sokami pewnych roślin. W ten sposób przodkowie plemienia przebywający w toni rzeki mieli dodać im męstwa.

Potem wojownicy dokonywali prób wytrzymałości. Biczowali się wzajemnie różgami, a w końcu wkładali ramię do wielkiej kalebasy z czerwonymi, kąśliwymi mrówkami. Po próbach męstwa obeszlili plac przed malokami grając na świętych bębnach i fletach. Gdy instrumenty z powrotem ukryli w nadrzecznych krzewach, udali się do domu; na zaproszenie naczelnika klanu poszli tam również biali goście.

Kobiety podały kolację, a gdy ta dobiegła końca, mężczyźni zasiedli w dwóch rzędach ław ustawionych naprzeciwko siebie i rozpoczęli ceremonialne palenie cygar. Trzymali je w drewnianych szczypcach, których koniec można było wbijać w ziemię. Kilka cygar wędrowało z ręki do ręki. Każdy mężczyzna pociągał raz lub dwa razy i podawał dalej. Haboku pozwolił również pociągnąć dymu swej żonie, co wyrażało duże do niej zaufanie.

W pewnej chwili Tomek trącił łokciem przyjaciela i szepnął — Do licha, popatrz! Wnoszą chicę... Nie wiem, czy zdołam ją przełknąć.

— A to dlaczego? — zdumiał się kapitan Nowicki. — Piłem już chicę, nawet wcale przyjemny napój!

— Czy nie słyszałeś, jak oni go robią?

— Niby jak?

— Naprawdę nie wiesz?

— Przecież nie jestem miejscowym piwowarem! — oburzył się Nowicki.

— Słuchaj więc! Po odpowiednim zmiękczeniu i wysuszeniu skrobą korzenie manioku, przesiewają przez sito i kładą do prasy. Suche grudki delikatnie przypiekają na piecu i przerabiają w ziarno. Z tych ziaren pieką małe ciastka maniokowe.

— Miałeś mówić o napitku, a gadasz o ciastkach — oburzył się Nowicki.

— Nie przerywaj mi! Otóż właśnie te ciastka przeżuwiają w ustach, a potem grudki nasycone śliną wypluwają do gara i mieszają z wodą. Po rozpoczęciu fermentacji dodają trochę trzciny cukrowej i wszystko to razem fermentuje przez kilka dni.

— Pewno masz rację, muszą dodawać trzciny cukrowej, bo chicha jest słodka — powtórzył No wieki.

— Więc naprawdę mógłbyś ją pić?

— Czegoś ty się przyczepił do ich napitku?

— Przecież on fermentuje na ludzkiej ślinie!

— A jak mają to robić, skoro nie znają innego sposobu! Czy nie , zauważyłeś, jaki to higieniczny naród? Myją usta i zęby po każdym ; jedzeniu!

— Chyba żartujesz!

— Słuchaj, brachu! Najlepiej nie zaglądać nikomu do garnków. Czego oczy nie widzą, to gardło gładko przełknie. Nie takie specjały już jedliśmy w różnych krajach. Czy zapomniałeś, jak to podrzucałeś mi 4 cukrzane pijawki w Turkiestanie Chińskim? Gdy wejdiesz między wrony, to kracz jak one!

Mężczyźni wnieśli kilka dużych naczyń, przypominających drewniane bębny. Były napełnione chicha. Stawiając w korytarzu każdy ceber, mówili — Nikt nie wyjdzie stąd, dopóki chicha nie będzie wypita.

Goście chórem odpowiadali:

— Nie wyjdziemy, aż zwymiotujemy.

Chicha była podawana z rąk do rąk w małych kalebasach. Tomek tylko udawał, że pije i szybko przekazywał naczynie z napojem przyjacielowi, który bez mrugnięcia okiem wychylał je do dna. Wilson również wypił sporo, gdyż obcując z Indianami przez długi czas przyzwyczaił się do ich pokarmów i napitków.

Tomek odetchnął lżej. Indianie przynieśli bębny i piszczałki. Mniemał, że uczta pożegnalna zakończy się tańcami. Zaciekawiony spoglądał na czterech mężczyzn, którzy przystanęli w głębi korytarza przy tylnym szczycie domu. Stanęli ramię przy ramieniu, opasując lewą ręką ramię towarzysza, podczas gdy w prawej trzymali długie flety do tańca, niemal sięgające od ust aż do podłogi.

Tancerze rozpoczęli grać melodię, zwaną piosenką motyla. Muzykanci na uboczu zawtórowali na piszczałkach i bębnach. Tancerze, nie przerywając gry na fletach, wolno posunęli się o krok, przystanęli, potem wykonali dwa krótkie kroki i znów zatrzymali się, następnie prawie przebiegli trzy kroki. W ten sposób przesuwali się wzdłuż korytarza i jednocześnie pochylali rytmicznie ciała w przód i w tył oraz z gracją zataczali się z boku na bok korytarza.

W pierwszym szeregu tańczył naczelnik klanu, Haboku i dwaj jego bracia. Za nimi znajdowali się Cubeowie, którzy także mieli wyruszyć na wyprawę, a dopiero za nimi byli inni.

Tancerze dotarli już niemal do połowy korytarza. Dziewczęta chichotały, potrącały się łokciami i poruszały ramionami w takt muzyki.

Wtedy jedna ze starych kobiet zachęciła je — Idźcie tańczyć!

Trzy dziewczyny przełamały swą nieśmiałość i pobiegły za tancerzami. Przemknęły się pod ramionami mężczyzn i otoczywszy ich kibić lewą ręką zaczęły tańczyć z nimi. Po chwili dziewczęta się zmieniły. Przy końcu korytarza tancerze wydali przeciągły wysoki okrzyk i zawrócili.

Tańce nie trwały zbyt długo. Potem kobiety usunęły się do swych mieszkań, a mężczyźni siedli na matach na podłodze. Naczelnik wniósł dużą kalebasę. Wilson pochylił się do przyjaciół i szeptem rzekł — Teraz najlepiej wycofajmy się dyskretnie. Będą pili święty lek mihi.

— Cóż to takiego? Czy gości tym nie częstują? — zapytał Nowicki.

— Poczęstują, ale mihi wyrabiają z narkotycznej rośliny<sup>743</sup>, która wywołuje wizje i utratę przytomności.

— Ma pan rację, najlepiej wyjdźmy już — powiedział Tomek.

— Wywołuje wizje? — zaciekawił się Nowicki. — W Chinach próbowałem palić opium. Czy mihi działa tak samo?

— Nie wiem, boję się narkotyków. Wychodzimy? — nalegał Wilson.

— Mam pomysł! Wy dwaj czmychajcie do namiotu, a ja dla oka pozostanę — zaproponował Nowicki. — Tomek zbiera ciekawostki z życia krajowców, więc... poświęcę się dla nauki.

— Powiedz po prostu, że jesteś ciekaw działania narkotyku — mruknął Tomek. — Przez tę ciekawość wpakujesz się kiedyś w niezłą kabałę!

---

<sup>743</sup> — Lek mihi wyrabiają Indianie z rośliny *Banisteriopsis caapi* i innych. Wywołuje wymioty, a przy silnych dawkach straszne halucynacje.

— Nie kracz, brachu! No, teraz wiejcie stąd, bo potem będzie trudno... Nowicki został sam. W tej właśnie chwili naczelnik podał kalebasę z mihi pierwszemu mężczyźnie, mówiąc — Pij prędko, abyś wkrótce się upił!

— Teraz upiję się szybko — odparł częstowany. Następny Cubeo zawołał — Ho, ho, hooooo! Oto nadchodzi! Jak się czujesz?

— Dobrze, patrz, jest gorzka!

— Smakuje gorzko. O, nasi dawni przodkowie także to pili. Pozwól mi się napić!

Kolejno wszyscy wypili jedną porcję, potem drugą. Naczelnik wniósł następną kalebasę z mihi. Pierwszy z rzędu Cubeo po wypiciu trzeciej porcji rzekł — Skończyliśmy picie. Dziękuję, siadam, aby mieć wizje<sup>744</sup>. Kapitan No wieki nie uchylił się od trzeciej kolejki. Oparł się plecami o ścianę. Ciemnobrązowe, nagie ciała współbiesiadników zaczęły mienić się purpurą krwi. Wkrótce cała maloka stała się jednym wielkim, krwawym obłokiem. Wyłaniały się z niego najrozmaitsze twarze, obce i znajome. Z purpurowego tumanu wyjrzał Smuga. Nowicki chciał powstać, lecz tylko ciężko osunął się na matę. Smuga stał tuż przy nim. W jednej ręce trzymał głowę jakiegoś mężczyzny, w drugiej własną. Potrząsał nimi, a obydwie głowy wykrzywiały twarze w okropnym grymasie. Nowicki zdumiał się, Smuga miał na karku dwie głowy, a nawet trzy! Piękne, zwiewnie ubrane Indianki tańczyły wokoło niego. Wśród tańczących dostrzegł Sally i Nataszę... Potem zaczęły żuć ciasto maniokowe na chichę i wypluwały je do wielkich naczyń, które tańczyły razem z nimi. Krwawy tuman z wolna je pochłonał. Teraz dżungla pyszniła się różnokolorowymi kwiatami. Jakieś nieznane drzewa pochylały swe kwiaty nad Nowickim. Poczuł ciężki, odurzający zapach. Zaczął się dusić. Mnisi tybetańscy obstąpili go kołem, tańczyli taniec życia i śmierci. Krzyknął na nich, aby odeszli, ale oni strząsnęli z siebie habity razem z ciałem i dalej tańczyli podzwaniając szkieletami. Naraz pomiędzy kościotrupy wkroczył ojciec Tomka. Surowym spojrzeniem spłoszył łamów, a potem przeciągle spojrział na Nowickiego. Pogroził mu palcem, wziął za rękę i poszli razem. Oto są w parku. Nowicki wzruszony spogląda na łazienkowski pałac. Jest most, woda, są również wspaniałe, białe łabędzie. Nadchodzi Tomek, a za nim kroczy długi sznur różnych zwierząt. *„W Łazienkach założymy ogród*

<sup>744</sup> — Obrzędowa rozmowa podczas picia świętego leku mihi, który podawany jest w rytualny sposób w nigdy nie mytym naczyniu.

*zoologiczny*” — mówi Tomek. Lwy, tygrysy, pantery, jaguary, nosorożce i słonie same budują dla siebie klatki, wchodzą do nich i zamykają za sobą drzwi. Mrugają do Nowickiego, wołają, żeby zrobił dla siebie klatkę. Nowicki ucieka na Powiśle. Już jest przed domem, w którym spędził dzieciństwo.

Wbiega na schody. Nagle drogę zagraadza mu Pedro Alvarez. Jednym uderzeniem powala go na ziemię i kopie w brzuch. Nowicki próbuje zasłonić się przed ciosami, ale bezskutecznie. Powtórne uderzenia przyprawiają go o mdłości. Dostaje torsji...

Z purpurowego tumanu wyłania się mroczne wnętrza maloki. Odgłosy wymiotowania stają się coraz realniejsze. Nowicki wstrząsnął się, jakby wypłynął z toni. Niektórzy Cubeowie już również wymiotowali...

Nowicki z trudem powstał z maty. Chwiejnym krokiem wyszedł z maloki. Na brzegu rzeki rozebrał się i umył. Drżąc z chłodu wziął ubranie pod pachę, po czym wśliznął się do namiotu. Tomek i Wilson spali w najlepsze. Nowicki położył się w hamaku, nakrył kocem i mruknął — Niech rekin połknie święte mihi, dobrze mi tak, skórom nie słuchał mądrzejszych.

Wkrótce znów spacerował po Łazienkach...





## KRAJ ŻŁOTA I SŁOŃCA

Sally spoglądała na Tomka, który prawym ramieniem przytulał ją do siebie. Zastanawiała się, o czym on teraz rozmyśla? Tak się stęskniła oczekując na niego w Iquitos niemal przez trzy tygodnie. Teraz jednak nie śmiała przerwać jego zadumy. Może właśnie rozważał tajemnicę zaginięcia Smugi? Nie był to przecież już ten beztroski chłopiec z czasów poznania w Australii! Duma ją wprost rozpierała, gdy zasłużeni podróżnicy traktowali jej młodego męża jak równego sobie. Właśnie w Iquitos spotkali pułkownika Rondona<sup>745</sup>, który w Brazylii zyskał taką sławę, jak Stanley w Afryce. Otóż pułkownik Rondon, w obecności kilku osób, zasięgał rady Tomka w sprawie utworzenia w Brazylii Wydziału Opieki nad Indianami. Cóż to była za interesująca rozmowa! Rondon również udzielił Tomkowi cennych informacji w związku z wyprawą poszukiwawczą do Grań Pajonalu.

Nixon tak bardzo polubił energicznego i rozważnego Tomka, że towarzyszył mu z obozu nad Rio Putumayo aż do Iquitos. Uczynił też wszystko, co było w jego mocy, aby przyspieszyć wyruszenie wyprawy. Dzięki znajomościom i hojności Nixona płynęli obecnie w górę Ukajali na statku, który dopiero za dwa tygodnie miał wyruszyć w tamte okolice po kauczuk.

Trzy dni temu statek wypłynął z Iquitos w górę Maranonu<sup>746</sup>. Po dwudniowej żegludze dotarł do miejsca, gdzie Maranon łączył swe szare i mętne wody z wodami Ukajali, a trzeciego dnia już żeglował po tej tajemniczej rzece.

Tomek z Sally właśnie wyszli po kolacji na pokład. Przystanęli koło nadbudówki. Tomek oparł się plecami o ścianę, otoczył żonę ramieniem i milczał zamyślony. Sally spoglądała w niebo; wśród migocących gwiazd

---

<sup>745</sup> — C. Rondon — pułkownik, badacz i podróżnik. W latach 1907–13 odbył 6 wypraw w różne, nieznane okolice Brazylii; w ostatniej, która nabrała dużego rozgłosu, towarzyszył mu Teodor Roosevelt. Przebadali wtedy około 15 tys. km<sup>2</sup> nieznanych okolic, zamieszkanymi tylko przez Indian, dokonywali pomiarów, zakładali drogi i linie telegraficzne. Dzięki Rondonowi pojawiły się na mapach Brazylii dziesiątki rzek, jezior i pasm górskich. Również starał się ulżyć doli nieszczęsnych Indian, którzy uważali go za swego przyjaciela i opiekuna.

<sup>746</sup> — Henry Morton Stanley (ur. w Anglii 1841, zm. 1904) — dziennikarz amerykański i podróżnik, największy badacz wnętrza Afryki.

świecił, tak dobrze jej znany, Krzyż Południa. Podzwrotnikowa noc była głucha i parna. Słyszeć było tylko monotony szum wody i chrapliwe sapanie rzecznych delfinów.

Sally co pewien czas zerkąła na milczącego męża, w końcu cicho zapytała?

— Tommy, o czym rozmyślasz? Wydaje mi się, że coś cię gnębi... Tomek westchnął ciężko, po czym odparł — Nie chcę przed tobą ukrywać, że odpowiedzialność, jaką wziąłem na siebie, trochę mnie przeraża. Wprawdzie przy pomocy pana Wilsona, tak bardzo życzliwego dla Smugi, pokonaliśmy pierwsze trudności, ale najgorsze dopiero znajduje się przed nami. Czy zdołamy szybko odnaleźć jakieś ślady? Nie mamy zbyt wiele czasu. Wyprawa już pochłonęła prawie całe nasze oszczędności.

— Rozumiem cię, Tommy. Nie możemy nadużywać uprzejmości pana Wilsona. I tak bardzo nam pomógł.

W tej chwili na pokładzie pojawił się kapitan Nowicki. Wypatrzył młodą parę i zbliżył się do niej.

— Wszyscy już pokładli się spać, a wy jeszcze gruchacie — zagadnął.

— Wcale nie flirtujemy, kapitanie — odparła Sally. — Tommy kłopotczy się naszą sytuacją finansową.

— Nie martwcie się tym, damy sobie radę — powiedział Nowicki. — Pieniądze niedługo nadejdą.

— Skąd? — zdziwił się Tomek.

— Pomyślałem o tym jeszcze w Manaos. Napisałem do twego ojca, żeby natychmiast sprzedał mój jacht. Jednocześnie przesłałem mu pełnomocnictwo.

— Cóż pan zrobił najlepszego! — oburzyła się Sally. — Przecież „Sita” była dla pana wszystkim! Tak się pan nią cieszył!

— To prawda, że cieszyłem się tym jachtem, ale Smuga ważniejszy dla mnie.

Tomek wzruszony spoglądał na dobrodusznego marynarza. Jacht ów był darem szlachetnej maharani indyjskiej, która prawie trzy lata temu chciała dopomóc im w uwolnieniu Zbyszka z zesłania na Syberii. „Sita” była dumą biednego marynarza z Powiśla. Teraz pozbył się jej dla ratowania przyjaciela...

— Jaki pan szlachetny i dobry... — szepnęła Sally nie mniej wzruszona od męża.

— Słuchaj, sikorko! Smuga i Tomek zawsze mogą na mnie liczyć — odparł Nowicki. — Traktuję ich jak własnych braci.

— Przecież pan nie ma rodzeństwa? — zdziwiła się Sally.

— Dlatego też ci dwaj tak wiele dla mnie znaczą. Poza tym jacht nie pasował do mnie. Widocznie Pan Bóg stworzył mnie na biedaka. Po jakie лихо mam sprzeciwiać się przeznaczeniu? Późno już, chodźmy spać!

Kapitan odprowadził przyjaciół aż do drzwi kabiny, a potem sam udał się na odpoczynek.

\* \* \*

Był to początek lutego, a więc okres najwyższego stanu wody na Ukajali. Rzeka rozlewała się szeroko. Załoga małego parowca znajdowała się w stałym pogotowiu, bowiem wciąż powstawały niebezpieczne sytuacje. Rzeka posiadała wiele zakrętów, roiła się ramolinami, czyli wirami o potężnych lejach, groziła licznymi palisadami, to jest pniami olbrzymich drzew, które utknęły w płytszych miejscach i tworzyły groźne zapory.

Na obydwóch brzegach Ukajali rosły nieprzebyte dziewicze lasy. Dżungla wprost wyrastała z wody, która daleko wdzierała się w głąb lądu, tworzyła niezliczone strumienie, kanały, zalewy, jeziora i mokradła. Czasem na konarach drzew można było dostrzec zabłąkanego jaguara, pumę, czy ocelota, które szukając schronienia przed powodzią teraz zdychały z głodu. W górze złowieszczo krążyły nad nimi żarłoczne, ponure sępy. Dziki zwierz w panicznym strachu umykał z zatapianych brzegów, za to ptactwa było tu jeszcze więcej niż nad Amazonką. Jastrzębie rozpraszały stada papug, które z wrzaskiem kryły się pomiędzy drzewa. Czasem gdzieś na wyżej położonym brzegu można było dostrzec chatę indiańską zbudowaną na palach. W tych okolicach, gdzie rzeki prawie stale przelewały się przez brzegi, była to jedyna forma budownictwa, zabezpieczająca ludzi przed niebezpieczeństwem powodzi. Nadziemne chaty, nakryte dachami z liści palmowych, nie posiadały bocznych ścian. Rzadko spotykało się tutaj krajowców. Indianie na widok białych pospiesznie kryli się w lasy, gdyż bandy poszukiwaczy kauczuku stale polowały na niewolników.

Tomek wraz z przyjaciółmi spędzali niemal całe dnie na pokładzie statku. Ukryci przed żarem słonecznym pod brezentowym daszkiem z ciekawością spoglądali na brzeg rzeki. Haboku z żoną oraz pięciu Cubeów, którzy brali udział w wyprawie, również im towarzyszyli, ponieważ upał pod pokładem był nie do wytrzymania. Dingo nie odstępował Sally. Kładł się przy jej stopach i tęsknym wzrokiem spoglądał za ptakami bujającymi w powietrzu.

Brzegi rzeki wyglądały na zupełnie nie zamieszkane. Było to jednak tylko złudzenie. Pułkownik Rondon, podczas spotkania w Iquitos, zalecał Tomkowi jak największą ostrożność. W dorzeczu Ukajali żyło wiele plemion indiańskich, które dotąd nie ugięły się przed białymi. Nad górną Aguatią zamieszkiwali wojowniczy kanibale, Kaszybowie<sup>747</sup>, którzy cieszyli się złą sławą. Stale napadali na Czamów<sup>748</sup>. Zabitym wrogom obcinali głowy, ręce i nogi, a potem z zębów robili naszyjniki natomiast z kości piszczalki i groty. Do strzał przywiązywali kępkę kobiecych włosów, co miało przynosić łucznikowi szczęście. Czamowie zajmowali okolice dolnej Aguati w pobliżu Ukajali. Tworzyli trzy szczepy: Kunibo, Ssipibo i Ssetebo, które zawsze się jednoczyły do walki. Używali długich mieczów wyciosanych z najtwardszego drzewa. Dzieciom zniekształcali w niemowlęctwie czaszki, cofając czoła do tyłu, aby odróżnić je od małp. Plemię Amahuaca zamieszkiwało nad górnym biegiem prawobrzeżnych dopływów Ukajali i raczej unikało spotkań z białymi. Kampowie stanowili potężne plemię nad Ukajali. Ci dumni Indianie nie chcieli poddać się białym. Podczas wojny okazywali wiele okrucieństwa. Nad dolną Tambo przebywały liczne plemiona Pirów, które sprzyjały Panchowi Vargasowi.

Niebezpieczeństwo mogło grozić wyprawie nie tylko ze strony Indian. Lasy Montanii obfitowały w drzewa hevea. Wśród poszukiwaczy kauczuku grasowali różni awanturnicy, dla których życie ludzkie nie przedstawiało zbyt wielkiej wartości. Właśnie jednym z nich był Pancho Vargas; do jego hacjendy obecnie płynęła wyprawa. Czy nie będzie usiłował czynić przeszkód? Posiadał na swych usługach setki zaufanych Pirów.

---

<sup>747</sup> — Maranon, jak nazywa się Amazonkę w jej górnym biegu, wypływa z jeziora Lauricocha, znajdującego się w Andach Peruwiańskich na wysokości 3653 m n.p.m. Od połączenia się Maranonu z Ukajali lub od granicy Peru do Rio Negro, rzeka często jest nazywana Solimoes, a dalej już zwie się Amazonką.

<sup>748</sup> — Kaszybowie (*Cashibos*) — w języku Czamów „*Lud Nietoperza*”.

Uczestnicy wyprawy wciąż snuli domysły, układali plany, a statek tymczasem płynął w górę rzeki. Siódmego dnia na wschodnim horyzoncie zarysowało się pasmo gór Cerros de Contamana. Były to jedyne góry leżące na prawym brzegu Ukajali. Niebawem na lewym brzegu ukazała się zaniedbana osada Contamana, stolica prowincji Ukajali. Tutaj już kończyły się wszelkie, nikłe w tych okolicach, wpływy władz peruwiańskich. Jakby dla potwierdzenia tego, sama natura usiłowała zniszczyć ślady obecności białego człowieka. Wartki nurt rzeki systematycznie podmywał brzeg i zmuszał osadę do cofania się w głąb lądu. Cała Contamana składała się z kilku murowanych rządowych budynków, kościoła oraz nędznych chat krajowców. Tomek wraz z przyjaciółmi udali się aleją wysadzoną drzewami mangowymi do osady, aby zgodnie z radą prefektury w Iquitos porozumieć się z komendantem posterunku policji.

Nędzna osada posiadała dobrze wyposażone sklepy. Tutaj zaopatrywali się w rozmaite produkty poszukiwacze kauczuku, a także krajowcy znosili z głębi dżungli to, co mieli na sprzedaż. Tomek z kapitanem Nowickim udali się na posterunek policji, podczas gdy ich przyjaciele mieli zrobić niezbędne zakupy.

Po przeczytaniu oficjalnego pisma prefektury komendant stał się bardzo uprzejmy, a gdy Tomek wyjawiał mu cel wyprawy bezradnie rozłożył ręce i rzekł — Vargas nie udzielił żadnych wyjaśnień, nawet gdyby panowie potrafili zmusić go do mówienia.

— Jeśli zajdzie konieczność, porozmawiam z nim po marynarSKU — zagroził kapitan Nowicki.

Komendant pełnym uznania wzrokiem zmierzył olbrzymiego, barczystego Polaka, po czym odparł — Myślę, że pan rozwiązałby mu język, lecz niestety Vargas nie ma w La Huairze.

— Dokąd wyjechał, jeśli można zapytać? — zagadnął Tomek.

— Dwa miesiące temu władze w Limie nadesłały nakaz aresztowania Vargas. Oskarżono go o morderstwo i uprawianie handlu niewolnikami — wyjaśnił komendant. — Osobiście próbowałem go ująć, ale widocznie został ostrzeżony, gdyż uciekł w dżunglę do Pirów, którzy uważają go za swego przyjaciela.

— I co będzie dalej? — zapytał Nowicki.

— A cóż ma być? — zdumiał się komendant. — Lima daleko, a mściwi Pirowie bardzo blisko. Oprócz mnie na tym posterunku znajduje się jeszcze tylko dwóch policjantów. Poza tym każdy hacjendero posiada indiańskich niewolników. Gdy uzbrojone bandy poszukiwaczy kauczuku przybywają do Contamany, zamykam się z moimi ludźmi na posterunku i cierpliwie czekamy, dopóki nie odjadą.

— Faktycznie dość jasno naświetlił pan sytuację — z humorem rzekł Nowicki. — Wobec tego sami jakoś damy sobie radę.

— Radzę zachowywać dużą ostrożność, zwłaszcza w Grań Pajonalu. Z Kampanii nie ma żartów.

— Wiemy o tym, proszę powiadomić prefekturę w Iquitos, że byliśmy u pana na posterunku. Dzisiaj jeszcze odpływamy z Contamany.

Wyszli na ulicę. Razem z przyjaciółmi powrócili na statek. Właśnie kończono uzupełnianie zapasu drewna opałowego. Wkrótce wypłynęli z Contamany. Wieczorem odbyli długą naradę. Postanowili udać się do La Huairy mimo ucieczki Vargasa. Stamtąd przecież Smuga wyruszył w Grań Pajonal. Mieli jeszcze nadzieję, że zdołają uzyskać jakieś informacje od Pirów.

Mijały dni... Co jakiś czas statek przybijał do brzegu dla zaopatrzenia się w opał, po czym znów płynął dalej. Bezmierna dżungla rozpościerała się po obydwóch stronach Ukajali, a drugi nie mniej gęsty las wysokich trzcin schodził wprost w wodę. Czasem w wyrwach zieleni żółciły się łąchy piaskowe, na których wygrzewały się krokodyle. Kurki wodne, czaple, rozmaite papugi i mnóstwo wszelkiego ptactwa miało tutaj swoje prawdziwe królestwo. Coraz częściej na zachodnim horyzoncie pojawiały się pasma niebotycznych Andów, które zwłaszcza w blasku zachodzącego słońca tworzyły na tle białych chmur niezapomnianą panoramę.

Pewnego popołudnia uczestnicy wyprawy podziwiali z pokładu statku wspaniały widok. Tomek jak urzeczony wpatrywał się w dal, aż w końcu rzekł — Tutaj można zrozumieć, dlaczego Peru często nazywane jest krajem złota i słońca<sup>749</sup>.

---

<sup>749</sup> — Czarno wie (*Tschama*) — „*Matka Komarów*”, nazwa od owadów unoszących się chmurami nad wioskami tego plemienia.

— Masz rację, Tomku. Słońca tu nie brak, a jak dowiedziałem się z książki, którą dałeś mi do przeczytania, Hiszpanie znaleźli duże ilości złota w Peru — potwierdził Zbyszek.

— Właśnie żądza zdobycia złota i chciwość przywiodły Hiszpanów do Ameryki Południowej — powiedział Tomek. — Niektórzy z nich pragnęli również nawracać Indian na chrystianizm. Hiszpania potrzebowała wtedy złota, gdyż długa wojna zubożyła kraj. Wielu Hiszpanów nigdy nie posiadało majątku lub ziemi i tutaj pragnęli szybko się wzbogacić. Pustoszyli kraje Ameryki Południowej, grabili i mordowali Indian. Portugalczycy również przybyli tu dla tych samych powodów. Nie znalazłszy złota sprowadzali Murzynów z Afryki jako niewolników do uprawy trzciny cukrowej, którą sprzedawali z wielkim zyskiem. Inne kraje europejskie pozazdrościły Portugalii dochodów. Chciały także zakładać w Ameryce Południowej plantacje, ale zostały wyparte przez Hiszpanów i Portugalczyków.

Ameryka Łacińska długo była grabiona przez najeźdźców. Dopiero u schyłku XVIII wieku rewolucje w Ameryce Północnej i we Francji zachęciły mieszkańców kolonii w Ameryce Południowej do wywalczenia niepodległości. Po długich wojnach posiadłości hiszpańskie i portugalskie rozbiły się na poszczególne kraje.

— Wiele czasu jeszcze minie, zanim zapanuje tu sprawiedliwość — odezwał się kapitan Nowicki. — Sami przekonaliśmy się, że w Amazonii i nad Ukajali wciąż panoszy się bezprawie.

— Tomek słusznie powiedział, że konkwistadorzy spustoszyli Amerykę Południową — wtrąciła Natasza. — Słyszałam, że Inkowie mieli doskonale zorganizowane swoje rozległe państwo.

— Nie chce mi się w to wierzyć, oni nawet nie znali koła — powiedział Nowicki.

— Niech pan nie będzie niedowiarkiem, kapitanie — zaproponowała Sally. — Profesor na uniwersytecie niedawno opowiadał nam o kulturze Inków. Oni byli doskonałymi inżynierami. Brukowali drogi, budowali w górach wiszące mosty, a na zboczach tarasy, aby woda nie zmywała gleby. Wprowadzili także system irygacyjny. Wprawdzie nie znali koła, lecz mimo to potrafili przenosić dziesięcotonowe bloki kamienne do budowania świątyń i pałaców. Olbrzymie bloki niczym nie były spajane, a jednak przylegały do siebie tak ściśle, że nie można wcisnąć pomiędzy nie nawet ostrza noża.

Budowle Inków przetrwały częste tutaj trzęsienia ziemi, które obracają w gruzy domy budowane przez współczesnych inżynierów.

Inkowie pięknie zdobili ceramikę i wyrabiali ze złota i srebra przedmioty o wysokiej wartości artystycznej. Nie znali pisma, lecz wynaleźli sposób „zapisywania” liczb systemem dziesiętnym za pomocą węzłów na sznurze.

— Słuchaj, Tomku, czy ta sikorka mówi prawdę? — nie dowierzał Nowicki.

— Czy zapomniałeś, że Sally studiuje archeologię? Muszę przyznać, że doskonale zapamiętała wykład. Olbrzymie cesarstwo Inków sięgało od północnego Ekwadoru aż do środkowego Chile. Głównymi ośrodkami były — Quito w Ekwadorze i Cuzco w Peru. Inkowie podbili wiele plemion indiańskich. Liczba ludności cesarstwa szacowana jest na szesnaście do trzydziestu milionów. Rząd dyktował podwładnym, gdzie mają zamieszkać, co uprawiać, jak długo pracować, i nawet decydował, kto z kim ma się ożenić. Cesarz był wyłącznym właścicielem wszystkich dóbr, które rozdzielał między swych podwładnych stosownie do ich potrzeb. Rozstrzygał spory, problemy życiowe i żądał, aby go słuchali. Toteż gdy Hiszpanie zawojowali cesarstwo, ludzie byli tak przyzwyczajeni do posłuszeństwa zwierzchności, że konkwistadorzy wydali im się tylko nieco inną grupą władców.

— No i zeszli na psy, bo popadli w ciężką niewolę — dodał Nowicki.

— Masz rację, wprawdzie Inkowie również trzymali swych poddanych żelazną ręką, ale przynajmniej troszczyli się o ich potrzeby i bronili przed obcymi. Natomiast Hiszpanie zabijali, grabili i wywozili wszystko, co miało dla nich jakąkolwiek wartość.

— Ciekaw jestem, czy Inkowie zdołali ukryć przed Hiszpanami choćby część swoich skarbów?

— Myślę, że na pewno tak uczynili — wtrącił Zbyszek. — W tych potężnych górach mogli znaleźć doskonale kryjówki.

— Kto wie? Tyle tu jeszcze okolic nie zbadanych — zastanawiał się Tomek.

— Co byśmy zrobili, gdybyśmy teraz znaleźli ukryte skarby? — zażartowała Natasza. — Ja na przykład zaraz wstąpiłabym w Paryżu na studia medyczne, które byłam zmuszona przerwać w Moskwie.

— Ja natomiast zorganizowałabym wyprawę archeologiczną do Egiptu lub na Bliski Wschód — powiedziała Sally. — A ty Tommy? Nie mów nic,



już wiem! Urządziłbyś wielki ogród zoologiczny w Warszawie, a może i muzeum etnograficzne.

— Świetny pomysł, zapamiętam go sobie — wesoło zawtórował Tomek. — A ty Tadku?

— Ja? Powiedziałem już, że nie jestem stworzony do bogactwa. Rozdałbym swoją część między was i miałbym spokój.

— Wiem, co bym zrobił! — zawołał Zbyszek. — Kupiłbym nad Ukajali szmat uroczej ziemi i założyłbym kolonię dla politycznych uciekinierów z Polski. Nazwałbym ją „*Nowa Warszawa*”. Co myślicie o tym<sup>750</sup>?

— Wpisz mnie na listę kolonistów — rzekł rozweselony Nowicki. — Zorganizuję ci kompanię żeglugową, która połączy twoją kolonię z Iquitos.

— Będziemy do was stale przyjeżdżali — dodała Sally. — Ojca wy bierzemy .na zarządcę kolonii.

— Teraz pozostało nam tylko znaleźć skarby Inków — zakończył Tomek żartobliwe projekty.

Dziesiątego dnia żeglugi ukazały się na rzece tratwy z drzew cedrowych i mahoniowych, spławianych do dalekiego Iquitos. Flisakami byli Czamowie. Obok szałasów z liści palmowych niektórzy z nich gotowali ryby i piekli banany. Ognisko rozpalone na polepie ubitej gliny tworzyły trzy grube polana, ułożone w kształcie trzyramiennej gwiazdy, płonące tylko na stykających się końcach. Po ugotowaniu stawy flisacy nieco rozsuwali polana, które potem tliły się przez długi czas.

Uczestnicy wyprawy z wielkim zaciekawieniem spoglądali ze statku na flisaków. Najdalej za dwa lub trzy dni mieli już znaleźć się w La Huairze. Bezpośrednie zetknięcie się z pierwotnymi mieszkańcami tych okolic było nieuniknione.

---

<sup>750</sup> — Republika Peru — państwo na wybrzeżu Pacyfiku, obejmujące powierzchnię 1 285 215 km<sup>2</sup>. Wśród mieszkańców 8/10 stanowią Indianie Keczua (Quechua), Ajmarowie, Metysi i Kreole, a resztę: Murzyni, Mulaci, Chińczycy i inni. Hiszpański jest urzędowym językiem, lecz większość Indian mówi rodzimymi językami keczua i ajmara. Najgęściej zaludnione jest środkowe i północne Peru. Indianie zamieszkują głównie Andy i wschodnią część kraju. Stolicą jest Lima, głównym portem morskim jest Callao, rzecznym zaś Iquitos. 60% ludności trudni się rolnictwem, leśnictwem i rybołówstwem. Sieć komunikacyjna bardzo słabo rozbudowana; długość linii kolejowych wynosi 4200 km, a kołowych 50671 km, w tym autostrada panamerykańska 3337 km. Peru jest najzasobniejszym w bogactwa mineralne państwem Ameryki Łacińskiej. Posiada: rudy miedzi, cynku, ołowiu, antymonu, manganu, wolframu, molibdenu i rtęci, węgiel kamienny, sól kamienną, sole potasowe, guano, złoto i srebro.

Widok okolicy ulegał zmianie. Z każdym dniem żeglugi w górę Ukajali brzegi rzeki stawały się coraz wyższe, woda coraz rzadziej wdzierała się w łąd. Łańcuchy potężnych gór przybliżały się do rzeki. Ożywczy chłód płynący od nich sprawiał, że upał w czasie dnia był znośniejszy, a noce chłodne.

Statek minął ujście Pachitei do Ukajali, potem przepłynął obok małej osady, Masisea, skąd ścieżki karawanowe przez Andy wiodły w kierunku Limy. Musisea była również umowną granicą pomiędzy dolną i górną Ukajali. Stąd na lewym brzegu, aż do niebotycznych gór rozciągał się Grań Pajonal zamieszkiwany przez Kampów, zaś na przeciwległym brzegu leżała kraina Pirów. Olbrzymia skała daleko wysunięta w rzekę zdawała się zagradzać drogę do królestwa Indian. Spieniony nurt groził zdradliwym wirami, bryzgał białą pianą.

Był to już czternasty dzień od chwili, gdy statek opuścił Iquitos. Obecnie dopływał do miejsca, gdzie Urubambą łączyła swe wody z rzeką Apurimac<sup>751</sup> i zlewisko obydwóch rzek tworzyło Ukajali, główny dopływ Amazonki. Właśnie w pobliżu owego zlewiska, na wysokim brzegu Urubamby leżała La Huaira, główna kwatera osławionego Vargas<sup>752</sup>.

Około południa statek przybił do brzegu. Uczestnicy wyprawy pomagali w wyładowywaniu bagaży i ciekawie zerkali w kierunku osady. Nie

---

<sup>751</sup> — Pomysł Zbyszka nie był całkowicie nierealny. W latach 1928–33 małopolscy ziemianie propagowali stworzenie polskiego osadnictwa nad Ukajali. Osiedlony w Paranie Kazimierz Warchałowski uzyskał w 1927 r. koncesję od rządu peruwiańskiego na założenie polskiej kolonii w okolicach rzeki Aguatii. Warchałowski stworzył Spółdzielnię Osadniczą „*Kolonia Polska*”, a pierwsza osada miała powstać w Pualpie. Jednocześnie Polsko–Amerykański Syndykat Kolonizacyjny, zorganizowany we Lwowie, również otrzymał w 1928 r. koncesję w Cepie nad rzeką Urubambą. Rząd polski wysłał do Peru ekspedycję badawczą. Pozytywną w ogólnych zarysach ocenę ekspedycji podważył jeden z jej uczestników i znawców — Mieczysław Lepecki. Rząd polski wycofał się z finansowania i opieki nad kolonią. Ziemianstwo małopolskie przejęło inicjatywę. Za zgodą Urzędu Emigracyjnego wyjechało z Polski 7 lub 8 grup emigrantów, w łącznej liczbie około stu kilkudziesięciu osób. Brak opieki i pomocy finansowej rządu polskiego, zły dobór kandydatów na osadników (w pierwszym dziewięcioosobowym transporcie znajdował się tylko jeden rolnik), a także odległość 1700 km, która oddzielała tereny kolonii od najbliższego miasta — Iquitos, skazały całą akcję osiedleńczą na niepowodzenie. Kolonie polskie w Peru przetrwały zaledwie 4 lata, po czym zbuntowani osadnicy siłą opanowali statek, który raz w miesiącu przypluwał na Ukajali po kauczuk, i z bronią w ręku wylądowali w Iquitos. Interwencja rządu peruwiańskiego w Warszawie sprawiła, że rząd polski postanowił ewakuować niefortunnych osadników. Część z nich, nie chcąc wracać do Polski, wyemigrowała do Brazylii i osiedliła się w Osadzie Aguila Blanca (Orzeł Biały) w stanie Espirito Santo, a część wywędrowała do Parany.

<sup>752</sup> — Rzeka Apurimac wypływa z jeziora Villafro w Andach; na krótkich odcinkach w dolnym biegu przybiera nazwy: Perene i Tambo.

wyglądała ona zbyt imponująco. Wśród bananowców stały rzędami przewiewne chatynki bez bocznych ścian, jedynie od góry osłonięte dachami z liści palmowych. Kapitan statku wskazał białym podróżnikom dom Vargasa, który wyróżniał się tylko większymi rozmiarami.

— Nie ucieszyli się naszym przyjazdem — rzekł No wieki do Tomka, obserwując gromadę nagich dzieciaków, przyglądających się z daleka.

— Starsi ukryli się przed nami, jeszcze nie wiedzą, kto przyjechał — odparł Tomek. — Zachowują ostrożność.

— Nic dziwnego, skoro Vargasowi grozi aresztowanie... — mruknął kapitan Nowicki.

— Któż tego tutaj dokona? Moim zdaniem nic mu nie grozi ze strony władz. Prędzej jakiś oszukany współlnik może pchnąć go nożem.

— Kapitan poszedł do wioski na wywiad. Znają go, może się ośmielią.

— Masz rację, już wraca z Pirami. Będziemy mogli pogadać z nimi. Wkrótce nadszedł kapitan statku w otoczeniu gromady mężczyzn i kobiet. Mężczyźni o mongolskich rysach twarzy, dobrze zbudowani, ubrani byli w przykrótkie spodnie, inni tylko w opaski biodrowe. Kobiety nosiły jedynie krótkie spódniczki sięgające powyżej kolan. Nędzny wygląd kobiet wskazywał, że wykonywały wszystkie najcięższe prace.

— Vargasa nie ma w wiosce, nie wiadomo też, kiedy wróci — zawołał kapitan podchodząc do podróżników. — Wyjaśniłem Pirom, że nie należycie do policji, więc przyszli pogadać.

Tomek przede wszystkim rozdał kobietom po sznurku szklanych koralu, a dzieciom o wzdętych brzuchach trochę cukierków. Nowicki natychmiast poczęstował mężczyzn tytoniem. Dzięki temu pierwsze lody od razu zostały przełamane. Indianki wyrażały swe zadowolenie piskliwymi głosami, co wśród nich uchodziło za szczyt dobrego wychowania.

Kapitan statku miał odpłynąć natychmiast po wyładowaniu bagaży wyprawy. Spieszył do obozów zbieraczy kauczuku w górze Urubamby. Serdecznie żegnał się z białymi pasażerami.

— Nie ufajcie tu nikomu — mówił właśnie do Tomka i Nowickiego. — Dziki to kraj, a Indianie nienawidzą białych. Poszukiwacze kauczuku dali się im dobrze we znaki. Być może w górze rzeki w wioskach Pirów spotkam Pancho Vargasa. Czy mam mu coś powiedzieć od was?

— Mamy do niego list od jego dobrego znajomego z Manaos senhora Pedra Alvareza. Niech go pan o tym poinformuje. Wtedy może nie będzie nam bruździł — odparł Tomek.

— Dobrze, powiem mu o tym. Szepnąłem Pirom, że przybędzie tu duża wyprawa. Nie zaszkodzi trzymać ich w szachu.

— Bardzo dziękujemy, właśnie to samo mieliśmy zamiar uczynić — powiedział Nowicki. — Niech to rekin połknie, więcej tu bab niż mężczyzn!

— Pirowie uprawiają wielożeństwo. Im któryś z nich posiada więcej żon, tym większym cieszy się szacunkiem — wyjaśnił kapitan. — Mniej więcej za miesiąc będę powracał tędy do Iquitos. Zapytam o was. Możecie zostawić dla mnie wiadomość.

— Pozostawimy list, w którym napiszemy, co zamierzamy uczynić — odpowiedział Tomek.

Statek odplłynął niebawem. Zbyszek Karski, tak jak podczas wyprawy do Nowej Gwinei, objął funkcję intendenta wyprawy. Teraz pod jego kierownictwem Cubeowie rozbijali obóz. Sally i Natasza zajęły się przygotowaniem posiłku, podczas gdy Tomek z Nowickim udali się do osiedla Pirów. Zamierzali odszukać rodziny Indian, którzy przepadli w Grań Pajonalu towarzysząc Cabralowi, Josemu i Smudze.

Tomek nie skąpił tytoniu oraz drobnych upominków, toteż wkrótce Pirom rozwiązały się języki. Większość mieszkańców La Huairy pamiętała Smugę. Uważali, że postąpił nierozważnie zapuszczając się na tereny zamieszkane przez wolnych Kampów.

Kuraka, czyli naczelnik Indian, który zarządzał wioską podczas nieobecności Vargasa, pochylił się do białych i mówił — Źle zrobił, sam przepadł i zgubił innych. Stamtąd nikt nie powróci,, tam mieszkają Indios bravos<sup>753</sup>.

— Słyszałem, że Pirowie na ogół żyją w przyjaźni z Kampami — wtrącił Tomek.

— Indianie bravos uważają za zdrajców wszystkich Indian, którzy przyjaźnią się z białymi — wyjaśnił kuraka. — Ten biały nie był zbyt rozsądny, nawet nie miał żon.

---

<sup>753</sup> — Ziemie, na których leżała osada Pancho Vargasa, rząd peruwiański w roku 1927–28 przydzielił polskim koncesjonariuszom na założenie kolonii.

— Ciekaw jestem, ile ty masz żon? — zagadnął Nowicki. Kuraka zaraz posmutniał.

— Trzy — odparł markotny. — U nas bieda... Inni mają tylko jedną albo dwie. Wy też nie jesteście bogaci. Zauważyłem u was tylko dwie kobiety. Czyje one są?

— Jedna jest moją żoną, a druga mego brata — powiedział Tomek.

— A ty, ile posiadasz żon? — zwrócił się kuraka do Nowickiego.

— Tyle, ile posiadasz palców u obydwóch rąk i u jednej nogi — poważnie powiedział kapitan Nowicki, nieznacznie mrugając do przyjaciela.

— Naprawdę?! — zdumiał się kuraka. — A gdzie one są?

— Pozostawiłem je w domu, żeby pracowały. Przygotują całe góry jedzenia. Gdy wrócę, będę tylko leżał w hamaku i jadł.

Wyraz podziwu i zazdrości odmalował się w oczach kuraki.

— Tyle żon kosztuje dużo... — szepnął.

— Damy ci różnych rzeczy dla twoich żon, a może nawet dokupisz sobie jeszcze jedną — zaproponował kapitan Nowicki.

— A co żądacie w zamian? — zaciekawił się kuraka.

— Nic, prawie nic... Wskażesz nam tylko tych, których ojcowie lub synowie poszli z tamtymi w Grań Pajonal i przepadli — wyjaśnił Tomek.

— Naprawdę nic więcej nie chcecie?

— Tak, powiesz im również, żeby mówili nam prawdę.

— Dobrze, zrobię to.

Do wieczora obydwaj przyjaciele odbyli wiele długich rozmów. Każda z nich kończyła się wręczeniem mniej lub bardziej kosztownego podarku, w zależności od wagi przekazanych informacji. Jak wynikało z relacji Pirów, przewodnik z plemienia Kampów, który sam zaofiarował Smudze swe usługi, odegrał bardzo podejrzaną rolę. On to właśnie miał doradzić Cabralowi i Josemu, aby skryli się w Grań Pajonalu i wskazał im drogę do ruin starożytnego miasta w niedostępnych górach. Potem zapewne w tym samym kierunku poprowadził Smugę.

Wielu Pirów zapuszczało się z Vargasem w Grań Pajonal po niewolników. Tomek i Nowicki rozpytywali ich o starożytne miasto. Prawie wszyscy słyszeli o istnieniu jakichś ruin w górach. Punkty orientacyjne miały stanowić marcas, czyli odpowiednio oznaczone głazy. Jeden z Pirów widział je na stepie podczas wyprawy do Grań Pajonalu. Na piasku kreślił drogę do

nich. Tomek skopiował marszrutę w notesie, a następnie zapytał — Skoro znacie drogę, to dlaczego nie odszukaliście tego miasta?

— Nikt tam nie dojdzie — szepnął Indianin, trwożliwie rozglądając się, czy ktoś nie podsłuchuje.

— Dlaczego?! — podchwycił Tomek.

— Na zachód od znaków znajduje się straszny las. To las śmierci. Każdy w nim umrze. Powiedziałem ci o nim, ale nie chodź tam, zginiecie wszyscy.

— Któż broni przejścia przez las?

— Indios bravos, Kampowie... — jeszcze ciszej dodał Indianin. — Kiedyś dwóch białych chciało zobaczyć to miasto. Jeden zabrał nawet dużo ludzi uzbrojonych. Nikt z nich nie wrócił.

## UMIERAJĄCY KAMPA

Już trzeci dzień wyprawa szła w kierunku północno–zachodnim przez lasy peruwiańskiej Montanii<sup>754</sup>. Tomek zwerbował w La Huairze kilku Pirów do niesienia bagaży, lecz u schyłku drugiego dnia wędrowki tragarze oświadczyli stanowczo, że nie zamierzają iść dalej. Nie pomogły perswazje ani kuszące obietnice podwyżki zapłaty. Pirowie pożegnali się i ruszyli w powrotną drogę do swej wioski.

Uczestnicy wyprawy przygotowani byli na to, że nie znajdą tragarzy, którzy chcieliby iść z nimi do Grań Pajonalu. Toteż nie zabrali z Manaos zbyt dużego ekwipunku. Gdy Pirowie odeszli, Tomek podzielił bagaże pomiędzy Cubeów, po czym już nieco wolniej zagłębiali się w bezkresny las.

Dziewicza puszcza Montanii tworzyła pełną uroku i bogactwa tajemniczą krainę. Przede wszystkim pyszniła się różnorodnością gatunków drzew. W pobliżu olbrzymów rosły niższe lub zupełnie małe, wątle drzewa. Olbrzymy–samotniki niszczyły wszystko wokół siebie pochłaniając życiodajne promienie słońca, zazdrośnie odgradzały się zasłoną lian, opuszczaną z korony aż do ziemi. Niektóre drzewa rosły pojedynczo, inne parami bądź grupami. Drzewa twarde jak stal mieszały się z palisandrami, mahoniami, cedrami i drzewami kauczukodajnymi. W wolnych miejscach pomiędzy nimi rozpościerał się o wiele bujniejszy gąszcz niższych drzew i krzewów, często kolczastych, oraz różnych wspaniałych palm. Kokainowe krzewy<sup>755</sup> o aromatycznych, krzepiących liściach sąsiadowały z mięsożernymi, drapieżnymi lub takimi, których sok oślepiał, zabijał bądź leczył. Pnie olbrzymich drzew powalone na ziemię przez wichury i czas tworzyły potężne zapory, inne oplatanie lianami zawisły w powietrzu. Tysiące różnych pnączy niczym olbrzymie węże oplatało drzewa i gałęzie, łączyło korony, tworząc w górze sklepienie nie

---

<sup>754</sup> — Indios bravos — dzicy Indianie, czyli tacy, którzy nie chcą współżyć z białymi.

<sup>755</sup> — Pod względem fizyczno–geograficznym Peru dzieli się na 3 regiony, typowe dla krajów andyjskich: wybrzeże, pas górski i wschodni równinny. Pas ciągnący się wzdłuż wybrzeża Pacyfiku, którego szerokość waha się od 50 do 150 km, zwany jest Costa; równoległe do niego leży Sierra, czyli pas górski Andów Peruwiańskich; na południu w granicach Peru znajduje się część śródgórskiego płaskowyżu, czyli Puna, a na stokach Andów wschodnich i u stóp rozciągają się faliste równiny przedgórskie, zwane Montanią.

przepuszczające światła. Promienie słońca gdzieśgdzie przenikały poprzez szczeliny w dachu zieleni i rozjaśniały mroczny las.

Tomek z Haboku i Dingiem szli na czele wyprawy. O kilka kroków za nimi znajdowały się Sally, Natasza oraz żona Haboku, Mara, i Zbyszek. Potem gęsiego szli Cubeowie z ekwipunkiem, a na końcu kapitan Nowicki. W myśl indiańskiego zwyczaju wszyscy zachowywali milczenie podczas wędrówki przez las. Dingo biegł pierwszy. Co chwila nadstawiał uszu, unosił łeb, to znów opuszczał go do samej ziemi i wciąż węszył, wciąż nasłuchiwał.

Tomek nie spuszczał wzroku z wiernego Dinga, który posiadał doskonałą tresurę. Wiedział, że może na nim polegać. Haboku również zerkał na czworonożnego przewodnika, lecz jednocześnie sam nie zaniedbywał ostrożności. Przenikliwym wzrokiem ustawicznie lustrował gąszcze, wsłuchiwał się w odgłosy płynące z dżungli i od czasu do czasu głęboko wciągał powietrze, węsząc niczym biegnący przed nim pies. Inni Cubeowie zachowywali się podobnie, byli przecież częścią tych bezmiernych, tropikalnych puszczy i znali je na wylot. Biali uczestnicy wyprawy z każdym dniem nabierali do nich coraz większego zaufania.

Odejście Pirów wcale nie zatrwożyło Indian Cubeo. Skłoniło ich jedynie do zwiększenia czujności. Wszyscy Cubeowie otrzymali w Iquitos nowoczesne karabiny, które teraz nosili na ramieniu zawieszane na pasach. Oprócz broni palnej zabrali również łuki i kołczany ze strzałami oraz duże tarcze z usztywnionych skór jeleni, tapirów i jaguarów. Podczas walki opierali tarcze na ziemi i zza nich strzelali do nieprzyjaciela. Po odejściu tragarzy Cubeowie nieśli nie tylko broń, lecz także ekwipunek wyprawy, a więc: namiot dla kobiet, kilka koców, hamaki, moskitiery, garnki do gotowania, blaszane miski i łyżki oraz zapasy żywności: fasolę, ryż, mąkę, cukier, tłuszcz, herbatę i konserwy. Mara, żona Haboku, na równi z mężczyznami dźwigała część ekwipunku. Tomek nie mógł oponować, gdyż było to zgodne z indiańskimi zwyczajami, a poza tym każdy z białych niósł osobiste rzeczy oraz żelazny zapas żywności, które zapakowano w plecaki.

Pod koniec trzeciego dnia wyprawa weszła w dużą dolinę przeciętą szerokim strumieniem. Dingo strzygł uszami i wyczekująco spoglądał na Tomka. Woda w strumieniu nie była zbyt wysoka. Na piaszczystych wyspach wypoczywały duże krokodyle, a chmary ptactwa poderwały się, spłoszone



widokiem ludzi. Tomek zaczął rozglądać się za miejscem dogodnym do rozłożenia obozu. Wszyscy byli zmęczeni i głodni.

Zatrzymali się na małej polance nad strumieniem. Mężczyźni wycięli maczetami wszystkie krzewy, po czym rozpięli namiot, w którym, na pniach ściętych drzew, zawiesili hamaki dla kobiet. Dla siebie rozpięli hamaki pomiędzy drzewami wokół obozu.

Haboku wraz z dwoma innymi Cubeami nazbierali w lesie krzewów barbasco<sup>756</sup>, które wyrwali z ziemi razem z korzeniami. Z rośliny tej sporządzono truciznę na ryby. Niemal w każdej wsi indiańskiej trzymano naczynie z trującym wywarem. Oczywiście w czasie wyprawy Indianie nie sporządzali wywaru, lecz po prostu rozgniatali krzewy kamieniami, aby prędzej wypuszczały sok.

Dwóch Cubeów udało się w górę strumienia, po czym pomiażdżone krzewy wrzucili do wody. Niebawem w strumieniu koło obozu pojawiły się ryby oszołomione silną trucizną. Cubeowie najpierw przezornie bębniłi skulonymi dłońmi w powierzchnię wody, aby wypłoszyć piranie, po czym odważnie weszli do strumienia i gołymi rękoma wyrzucali ryby na brzeg.

Indianka Mara i Sally zabrały się do oporządzania ryb. Zgłodniały kapitan Nowicki ochoczo pracował z nimi, mimo że w ciągu dnia został pokąsany przez osy. Natasza przysiadła na kłodzie przy ognisku. Zbyszek pomagał jej wyciskać ze skóry na nodze kleszczyki isangue. Zaledwie Cubeowie uporali się z najpilniejszymi pracami obozowymi, również przystąpili do wydobywania spod paznokci u palców nóg pcheł ziemnych, które szczególnie dawały się we znaki chodzącym boso krajowcom.

Tomek był nie mniej zmęczony od innych, ale postanowił rozejrzeć się po okolicy jeszcze przed zapadnięciem nocy. Wziął do rąk sztucer i gwizdnął na Dinga.

— Wróć niebawem — poinformował Nowickiego. — Chciałbym upewnić się, czy nic nam tu nie grozi.

---

<sup>756</sup> — W strefie międzyzwrotnikowej, głównie w Ameryce Południowej i na Antylach, występuje około 90 gatunków kokainowych niskich drzew lub krzewów. W Peru rośnie *Erythroxylon coca*, krzew od 2 do 5 m wysoki, którego liście zawierają pewien procent kokainy. Liście te z dodatkiem wapna od dawna są stosowane przez krajowców jako używka. Krajowcy często żują liście koki, co wywołuje silne pobudzenie psychiczne i ruchowe, dobre samopoczucie, zanik zmęczenia, pragnienia i głodu. Częste używanie koki czyni spustoszenia w organizmie i umyśle człowieka.

— Poniuchaj trochę, nie zaszkodzi — przytaknął marynarz. — Oby jak najprędzej nadszedł wieczór. Natrętne muszyska nie dają spokoju.

— Po zmierzchu nadlecą komary.

— To prawda, ale już wolę komarzyska. Te małe manta–blanca tną przez cały dzień. Pospiesz się, niedługo kolacja.

— Uważaj, Tommy! — szepnęła Sally uśmiechając się do męża. Tomek podążył w górę strumienia, po czym szerokim łukiem okrążył obóz. Właśnie zbliżał się do brzegu strumienia poniżej obozu. Dingo, który do tej pory zachowywał się spokojnie, nagle przystanął, nastroszył sierść na karku i gniewnie obnażył kły. Tomek gestem nakazał mu milczenie; zaczął uważnie przepatrywać nadbrzeżny gąszcz. Nie spostrzegł niczego podejrzanego. Prócz szumu wartko płynącej wody nic nie było słyhać. Naraz zrozumiał, przed czym ostrzegał go ulubieniec.

Właśnie znajdowali się na zwierzęcej ścieżynie, która prowadziła do wodopaju. Widniały na niej liczne ślady kapibar. Nad samym brzegiem stało wysokie, rozłożyste drzewo. Z grubej gałęzi poziomo wysuniętej ponad wodę zwisała nieruchomo olbrzymia anakonda<sup>757</sup>. Gdyby nie Dingo, Tomek w ogóle nie spostrzegłby pomiędzy zwojami lian, oliwkowobrunatnego węża, upstrzonego czarnymi, okrągłymi plamami. Potężny dusiciel tylną połową dziesięciometrowego cielska opasywał konar, a przednią swobodnie zwisał wśród lian wprost nad wodopojem.

Tomek pojął, że dzięki psu uniknął poważnego niebezpieczeństwa. Przecież zamierzał podejść do brzegu strumienia ścieżką wydeptaną przez kapibary, gdzie akurat czatowała anakonda. Wąż ten bywał najbardziej groźny, gdy mógł posługiwać się drzewem jak dźwignią, która umożliwiała mu przytrzymanie i miażdżenie ofiary. Anakondy ze specjalnym upodobaniem polowały na kapibary, aguti i paki, choć równie chętnie żywiły się ptakami. Tomek wolał nie odgadywać, co mogłoby się stać, gdyby nieświadom niebezpieczeństwa przystanął pod konarem. Cicho wycofał się w las i wrócił do obozu.

— Czy wszystko w porządku? — powitał go Zbyszek.

---

<sup>757</sup> — Barbasco (*Tephrosia toxicarid*) — roślina krzewiasta, której trujący sok lub wywar używany jest przez krajowców do połowu ryb.

— Nic podejrzanego nie zauważyłem — odparł Tomek. — W lesie sporo śladów zwierzęcych, moglibyśmy zapolować. Głód się we mnie odezwał, gdy poczułem zapach pieczonych ryb.

— Właśnie pan kapitan piecze je na rozgrzanych kamieniach — wtrąciła Sally. — My zaś przygotowaliśmy zupę fasolową.

Cubeowie nazbierali opału na noc. Obecnie kąpali się w strumieniu. Widocznie nie obawiali się piranii, jadowitych płaszczyk, drętwn i rybek canero, które miały zwyczaj wślizgiwać się w naturalne otwory ciała człowieka i zwierzęcia.

Po kolacji Tomek wydobył mapę Peru i długo nad nią rozmyślał. Nowicki tymczasem porozdzielał nocne wachty, po czym usiadł obok przyjaciela. Reszta uczestników wyprawy wkrótce ułożyła się do snu.

Niebo roziskrzyło się gwiazdami. Nowicki przez jakiś czas spoglądał na Krzyż Południa, potem dołożył do ogniska kilka polan drewna; od bliskich gór ciągnął chłód. Następnie zapalił fajkę.

— Czy już ustaliłeś trasę na jutro? — zagadnął.

— Nie jestem pewny, ale prawdopodobnie niebawem powinniśmy pójść w kierunku północnym — odparł Tomek. — Gdzieś tutaj ma znajdować się indiańska ścieżka do Grań Pajonalu.

— Chyba masz rację, Pirowie mówili, że w trzy dni można do niej dotrzeć.

— Nie wiem, czy możemy opierać się na ich informacjach.

— Jesteśmy już chyba w pobliżu Grań Pajonalu, skoro Pirowie nie chcieli iść dalej. Ciekaw jestem tego lasu śmierci, którego oni tak się obawiają. A może tylko chcieli nas nastraszyć?

— Pułkownik Rondon mówił, że w tamtych okolicach żyją nieujarzmione plemiona Indian, które bronią dostępu do swoich terenów.

— W gąszczu nie obronimy się przed strzałami z zasadzki.

— Właśnie rozmyślałem o tym — rzekł Tomek. — Las śmierci odgradza Grań Pajonal od doliny, która wiedzie w głąb gór, gdzie jakoby mają znajdować się ruiny miasta.

— Na stepie od razu nas wypatrzą, a potem w dżungli wystrzelają jak kaczki.

— Tadku, spójrz, księżyc już wschodzi. W jego niesamowitej poświacie wszystko przybiera fantastyczne kształty.

— A niech go rekin połknie! Nie jestem nastrojony romantycznie...

— Nie to miałem na myśli.

— Więc co? Czekał, powiedziałeś, że przy świetle księżyca wszystko wygląda dziwnie... Ha, czyżbyś zamierzał w nocy podkraść się przez step do lasu? Jak amen w pacierzu, pomysł dobry! Indianie na pewno mają tam punkty obserwacyjne. Jeśli nas nie wypatrzą, to nic nie będą o nas wiedzieli.

— Właśnie o tym myślałem — przywtórzył Tomek. — Nocą możemy iść, a we dnie ukrywać się w gąszczu.

— W widne noce górzyńska wyraźnie rysują się na tle nieba. Będą naszym drogowskazem. Żebyśmy wiedzieli, jak wygląda ta ich Góra Syna Słońca!

— Zapewne jest jeszcze czynnym wulkanem, gdyż według słów Pirów, duchy Inków kryjące się w tej górze objawiają swój gniew ziejąc ogniem.

— Coś mi się wydaje, że nie znajdziemy ruin tego miasta...

— Wcale też nie mam zamiaru ich szukać; po prostu idziemy przypuszczalnym śladem Smugi. Jedynie w ten sposób możemy czegoś dowiedzieć się o nim.

— Święta racja. Jeśli jutro natrafimy na ścieżkę, będzie to znak, że Pirowie nie kłaniali.

\* \* \*

Wkrótce po świcie wyprawa ruszyła w górę brzegiem strumienia. Tomek zamierzał zatrzymać się na wypoczynek dopiero w najgorętszych godzinach południa. Jednak od samego ranka wciąż napotykali różne przeszkody. Najpierw Mara omal nie nastąpiła na curucucu, najgroźniejszego z jadowitych węzów. Na szczęście Indianka niosła tarczę męża razem z łukiem i kołczanem. Gdy curucucu błyskawicznie rzucił się na nią, mierząc paszczą w biodro, Mara odruchowo zasłoniła się tarczą. Dzięki temu wąż nie ukąsił jej, a zanim zebrał się do drugiego ataku, Cubeowie zabili go maczetami.

W niecałą godzinę później Tomek potknął się i upadł wprost na ciernisty krzew, który poranił go boleśnie. Potem napadły ich rozdrażnione osy, a w końcu Dingo zaczął okazywać niepokój. To węszył przy ziemi, to w powietrzu, odbiegał w las, powracał, aż Tomek zatrzymał wszystkich i rzekł cicho — Dingo chce coś nam powiedzieć...

— Może ostrzega przed zagrożeniem — odparł Zbyszek.

— Chyba nie o to mu chodzi. Gdyby coś nam groziło, jeżyłby sierść na karku i szczyrzyłby zęby. Czego chcesz, Dingo?

Pies otarł się o nogi Tomka, a następnie to spoglądał na niego, to w gąszcz.

— Patrz, brachu. On coś zwęszył w lesie — odezwał się Nowicki.

— Musimy sprawdzić, o co mu chodzi — odparł Tomek.

— Pójdziemy razem. Haboku, obejmij komendę!

— Zatrzymajcie się tutaj i odpocznijcie chwilę — dodał Tomek. — Dwa strzały karabinowe oznaczają wezwanie o pomoc. Szukaj, Dingo, szukaj!

Pies ruszył w las węsząc przy ziemi. Przez chwilę zaczął kluczyć tu i tam, jakby gubił jakiś ślad, lecz wkrótce coraz pewniej zagłębiał się w gąszcz. Naraz przystanął, podniósł łeb do góry i węszył.

— Czego on szuka? — szepnął Nowicki. Tomek ostrzegawczo przyłożył palec do ust.

Dingo obejrzał się na nich, po czym przyczajony zniknął w krzewach.

Tomek cicho rozsunał gałęzie, ostrożnie zagłębił się w zarośla. Nowicki wydobył z pochwy rewolwer. Z bronią gotową do strzału ruszył za nim. Po kilku krokach znów przystanęli. Gąszcz niskich palm urywał się w tym miejscu. Na nieco wolniejszej przestrzeni przed nimi rosło olbrzymie drzewo o parasolowatej koronie i pierzaste złożonych, ciemnozielonych liściach<sup>758</sup>. Kora i owoce drzewa porośnięte były długimi kolcami. Duże kwiaty wydzielały silny zapach. W cieniu tego drzewa stał prymitywny szałas. Szkielet jego tworzyło kilka niskich palm, których przygięte wierzchołki razem związane lianami.

Dingo właśnie stał przed szałasem. Co chwila odwracał łeb w kierunku gąszczu, jakby zachęcał ukrytych w nim mężczyzn do zajrzenia do szałas.

— Niech to rekin połknie! — mruknął Nowicki, — Tam chyba ktoś leży na ziemi.

— Chodźmy, Dingo zachowuje się spokojnie.

Po chwili znaleźli się przy szałasie. Tomek ostrożnie rozgarnął liściaste poszycie. Na barłogu z pożółkłych liści palmowych leżał półnagi Indianin. Ciało jego pokrywały ropiejące rany i strupy. Głowę miał opartą o kawałek

---

<sup>758</sup> — Anakonda (*Eunectes murinus*) jest największym ze znanych węzów. Jego potężne cielsko osiąga długość do 11 m. Zamieszkuje Amerykę Południową, gdzie przeważnie żyje w wodzie: może długo nurkować i lubi wygrzewać się na słońcu leżąc na starych pniach lub piasku.

grubej, zmurszałej gałęzi. Spod wpróżymkniętych powiek błyszczały rozgorączkowane oczy.

— Ten człowiek umiera... — szepnął Tomek.

— Skóra i kości z niego zostały. Robactwo zżera go, choć dusza jeszcze nie opuściła ciała — cicho powiedział Nowicki.

— Spójrz, ile tu gałęzi koki!

— Do licha, ma starą indiańską strzelbę i nowoczesny karabin, a mimo to zagłodził się na śmierć.

Tomek wśliznął się do szałasu. Rozrzucił trochę poszycia, aby lepiej przyjrzeć się umierającemu.

— Tadku, sprowadź naszych, nie możemy tego człowieka tak pozostawić.

— Oczywiście, że trzeba mu pomóc. Masz moją manierkę z jamajką, wlej mu kilka kropel do ust.

Tomek przyklęknął przy Indianinie. Ostrożnie rozchylił mu wargi i zwilżył je rumem. Skutek był piorunujący, bo Indianin nagle schwycił kościstymi palcami dłoń Tomka, przycisnął do ust manierkę i pociągnął z niej spory łyk. Omal się na zadławił. Tomek wyrwał mu manierkę. Większa dawka alkoholu mogła przecież przyspieszyć nieunikniony koniec. Ten człowiek umierał nie tylko wskutek ran pokrywających jego całe ciało. Widać było, że długo już nie jadł i nie pił.

Indianin ciężko oddychał. Teraz nieco przytomniej spoglądał na Tomka.

— Daj koki... — szepnął.

— Nie mam — odparł Tomek zaskoczony żądaniem.

— Rosną... blisko...

Tomek powstał i wyszedł z szałasu. Uzmysłowił sobie, że krzewy koki musiały znajdować się w pobliżu, skoro obok konającego leżało tyle gałązek pozbawionych liści. Od razu też pojął, że to koka podtrzymywała gasnące życie tego człowieka. Na wszelki inny ratunek było już za późno.

Indianin z trudem przeżuwał liść koki. Jednak zanim nadeszli towarzysze Tomka, w oczach umierającego pojawiły się żywsze błyski. Zdawał się odzyskiwać siły.

Po półgodzinie Dingo szczebkał chrapliwie. Łbem dotknął ramienia Tomka. Nadchodzili uczestnicy wyprawy. Po chwili już byli wokół szałasu. Natasza, która pełniła funkcję sanitariusza, pochyliła się nad Indianinem.

— Nic mu nie pomożemy — rzekł Tomek. — Tylko dzięki liściom koki iskierka życia jeszcze się w nim dotąd kołacze. On umiera.

— W jakim okropnym stanie się znajduje... — powiedziała Sally, wstrząśnięta widokiem Indianina.

— Zapewne od dłuższego czasu leży unieruchomiony na tym pustkowiu — odezwał się kapitan Nowicki. — Nie miał nawet siły bronić się przed robactwem.

— Ciekawe, kim jest i skąd pochodzi? Mówił do mnie po portugalsku — zauważył Tomek.

Nowicki przyklęknął przy Indianinie. Wlał mu do ust parę kropel wody. Naraz rozległ się przeraźliwy krzyk Nataszy. Tomek schwycił ją za ramiona. Młoda kobieta wybuchnęła płaczem. Teraz dopiero Tomek spostrzegł, że Natasza trzymała w kurczowo zaciśniętych dłoniach pas przymocowany do skórzanej torby.

— Nataszo, co tobie? Co się stało! — zawołał tknięty złym przeczuciem. Z trudem starała się opanować wzruszenie. Po chwili łamiącym się głosem szepnęła — To podróżna torba Smugi. Sama kupiłam mu ją przed wyprawą...

— Czy jesteś tego pewna? — krzyknął Nowicki.

— Natka, opanuj się, czy to naprawdę możliwe?! — zawołała Sally.

— Tu są jego inicjały... srebrne... To ode mnie...

Nowicki porwał skózaną torbę. Było w niej kilka karabinowych nabojów, kompas oraz trochę drobnych monet.

— Skąd to wzięłeś, człowieku?! — zapytał chrapliwym głosem podsuwając Indianinowi własność Smugi.

Indianin milczał. Widocznie znów tracił siły, gdyż tylko przygasłym wzrokiem wodził po twarzach otaczających go białych ludzi. W tej chwili Haboku przystąpił do Nowickiego. Wziął z jego rąk torbę, starannie ją obejrzał, po czym podniósł z ziemi karabin, a w końcu skałkówkę. Potem przykucnął przy Indianinie. Lewą ręką ujął go za ramię, a prawą wydobył z pasa nóż. Przyłożył ostrze do gardła konającego.

— Coś zrobił z tym białym, parszywy psie?! — groźnie zapytał.

— Haboku, schowaj nóż! Ten człowiek umiera! — rozkazał Tomek. Haboku spojrzał na niego. We wzroku jego nie było nawet cienia litości.

— Torba, karabin senhora Smugi — rzekł. — Ten przeklęty Kampa był jego przewodnikiem.

— Czy nie mylisz się? — nie dowierzał Nowicki.

— Poznałem tego parszywego psa!

— Ty jesteś... Haboku — szepnął umierający.

Tomek przysunął się do Indianina. Gestem nakazał wszystkim milczenie. Pochylił się nad posłaniem.

— Więc to ty wyprowadziłeś naszego przyjaciela w Grań Pajonal?

— odezwał się. — Masz jego torbę i karabin. Czy on nie żyje? Powiedz prawdę!

Indianin zupełnie przytomnym wzrokiem spoglądał na Tomka.

— Słuchaj uważnie! To nasz przyjaciel. Szukamy go. Umierasz i nie możemy ci pomóc. Powiedz prawdę, to na pewno przyniesie ci ulgę. Czy ten biały zginął?

— Wszyscy jego przyjaciele? — cicho zapytał Indianin.

— Tak, jesteśmy jego przyjaciółmi.

— Parszywy psie! Zgubiłeś prawdziwego przyjaciela wszystkich Indian — odezwał się Haboku. — Widziałeś, że ten biały wykupił z niewoli u Vargasa ludzi porwanych z mojej wioski. Tak samo zapłacił za ciebie i twoją żonę! Nie jesteś czystej krwi Indianinem, skoro serce twoje zapomniało o wdzięczności!

Umierający uniósł się na łokciu. Niespodziewanie silnym głosem odparł — Nie mów tak! Należę do bravos Indios! Nie służę białym.

— Ten biały, którego zgubiłeś, był również przyjacielem dzielnych Kampów. Wiesz dobrze, że ścigał tylko dwóch złych białych.

— On żyje...

— Powiedz, gdzie jest? Ci biali są jego i naszymi przyjaciółmi. Wiesz, że umierasz, odpłać więc jeszcze temu białemu dobrem za dobre!

Indianin ciężko opadł na posłanie. Oddychał z trudem. Długo zbierał siły, zanim zaczął mówić — On dopiął swego. Dogonił jednego z dwóch ściganych morderców. Właśnie dogorywał postrzelony. Znał mnie... To ja doradziłem uciekinierom ukryć się w ruinach miasta, a potem prowadziłem tam waszego przyjaciela. Kiedy umierający zarzucił mi zdradę, Metys, który szedł z waszym przyjacielem, strzelił do mnie. Leżałem bezsilny. Potem nadeszli nasi. Zapewne już ujęli białego. Myśleli, że nie żyję... Zabili moją żonę, aby



nikt nie mógł zdradzić, co zaszło. Gdy odeszli, ukryłem się w lesie. Znalazłem karabin i torbę. Była w niej żywność. Uratowałem się, lecz wiedziałem, że nasi wciąż czatują wokoło. Zabiliby mnie, choć byłem jednym z nich. Znałem tajemnicę. Wiele, wiele księżyców ukrywałem się w lesie. Bałem się, że mnie tropią. Któregoś dnia drzewo przygniotło mi nogę. Dowlokłem się tutaj, zbudowałem szałas i czekałem na śmierć.

— Czy biały na pewno jest w tym mieście? Umierający skinął głową.

— Czy znasz drogę? — indagował Haboku.

— To tajemnica Kampów, tajemnica Indian — odparł umierający.

— Jestem Indianinem tak jak ty! Powiedz, jak mam zaprowadzić moich przyjaciół do tego miasta? Musimy uratować naszego wspólnego przyjaciela. Powiedz tylko mnie jednemu. Przysięgam na duchy naszych wielkich przodków, że nikomu nie zdradzę drogi, którą mnie wskażesz.

— Jeśli poznasz drogę, zginiesz! Zginiesz tak jak ja. Oni odkryli, że ocalałem. Tropią mnie od wielu, wielu księżyców. Krążą tu po okolicy. Dlatego, chociaż mam broń i naboje, bałem się zdradzić hukiem wystrzału. Nie mogłem polować, umieram teraz. Czy i ty chcesz zginąć?

— Dla ratowania przyjaciela jestem gotów umrzeć!

— Dobrze, duchy naszych przodków, które już przyszły po mnie, mówią, że jesteś Indianinem. Dochowasz naszej tajemnicy. Niech wszyscy stąd wyjdą i zostawią nas samych.

Haboku spojrział na przyjaciół. Kamienny wyraz jego twarzy nie zdradzał uczuć. Po krótkiej chwili milczenia stanowczo powiedział — Niech wszyscy odejdą stąd nad rzekę. Tam czekajcie na mnie. Bądźcie jednak ostrożni. Kampowie na pewno są w pobliżu.

Tomek pochylił się i wyciągnął dłoń do umierającego.

— Żegnaj, Indianinie! Wszyscy jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Bardzo nam przykro, że nie możemy ci pomóc. Przymierzam, że nigdy i nikomu nie zdradzimy tajemnicy wolnych Kampów.

Umierający z trudem uniósł dłoń. Potem kapitan Nowicki również pożegnał się z nim i wszyscy opuścili szałas.

Długo czekali na brzegu strumienia. Tomek wysłał trzech Cubeów na rekonesans. Powrócili po godzinie nie odkrywając żadnych śladów. Wkrótce pojawił się Haboku.

— Idziemy! — rzekł lakonicznie.

— Co z tym nieszczęśnikiem? Czy możemy go tak pozostawić?

— oburzył się Nowicki.

— Powinniśmy mimo wszystko pozostać przy nim, dopóki nie umrze — powiedziała Sally. — Trzeba się nim zaopiekować.

— Duch jego już znajduje się w Krainie Przodków. Nic mu nie grozi ani od białych ludzi, ani od Indian — wyjaśnił Haboku.

— Umarł przy tobie? A może...? — Nowicki urwał i wymownie zerknął na rękojeść noża tkwiącego za pasem Indianina.

Haboku nie zmieszał się, ani jeden mięsień nie drgnął w jego twarzy.

— Umarł jak przystało na wolnego wojownika indiańskiego. Czy to ci nie wystarcza?

— Ha, skoro tak mówisz, wystarcza — rzekł Nowicki. — Nie chcę się mieszać w wasze sprawy.

## DROGA DO RUIN MIASTA

Haboku nie powiedział ani jednego słowa o swej rozmowie z dawnym przewodnikiem Smugi. Po prostu rzekł: — Idziemy, teraz ja poprowadzę!

Zaraz też stanął na czele kolumny. Nowicki polecił Zbyszkowi, aby szedł na końcu, po czym razem z Tomkiem i Dingiem ruszył za przewodnikiem w odstępnie kilku kroków. W milczeniu przewędrowali około pół kilometra w górę strumienia.

— Ciekaw jestem, co Haboku dowiedział się od tego Kamy — po polsku zagadnął Nowicki.

— Tego chyba nigdy nie powie — odparł Tomek. — Nam również nie wypada nagabywać go o to.

— Święta racja! Jednak tu chodzi o bezpieczeństwo całej wyprawy. Czy orientujesz się, gdzie obecnie jesteśmy?

— Oczywiście!

— Więc trafiłbyś stąd z powrotem do La Huairy?

— Nie mam co do tego wątpliwości — potwierdził Tomek. — Wprawdzie te okolice stanowią na mapie białą plamę, ale codziennie nanoszę na nią przebytą przez nas drogę. Wczoraj wieczorem nawet naszkicowałem własną, dość dokładną mapę.

— Wiem, brachu, że jesteś prawie tak doskonałym geografem jak twój ojciec. Pamiętaj, że w twojej mapie może być nasz jedyny ratunek.

— Czy nie masz zaufania do Haboku? — zdumiał się Tomek.

— Nie w tym rzecz! Żywa, chodząca mapa z karabinem w garści jest zbyt podszyta wiatrem. Wolałbym papierową w twojej kieszeni.

— Nie mamy wyboru, Tadku.

— Wiem o tym, ale powinniśmy się ubezpieczyć. Słuchaj, ty jesteś wodzem wyprawy, na tobie ciąży wielka odpowiedzialność.

— Do czego zmierzasz? Mów bez ogródek!

— Przyrzekliśmy Kamy, że nie zdradzimy nikomu tajemnicy wolnych Indian i tego przyrzeczenia dotrzymamy. Ale teraz ty otwieraj szeroko oczy, znacz drogę na mapie, abyś mógł wyprowadzić nas z matni w razie jakiegoś wypadku. Potem spalisz mapę.

— Myślałem już o tym. Uczynię, jak radzisz. Gdyby coś się stało, mam moją mapę w lewej kieszeni bluzy. Rozumiesz?

— Rozumiem i spalę, gdy nadejdzie pora.

Nim minęła godzina, Haboku zboczył w las. Teraz wyprawa dość często musiała torować sobie drogę maczetami. Tempo marszu znacznie osłabło. Niebawem natrafili na jakiś strumień i Haboku znów poprowadził w górę jego biegu. Tego dnia jeszcze kilkakrotnie zagłębiali się w lasy i odnajdywali coraz to nowe strumienie, aż w końcu przed zachodem słońca, zatrzymali się na nocleg nad wodą. Cubeowie rozpalili ognisko na modłę indiańską. Starannie dobierali drwa na opał, aby ogień nie powodował widocznej z daleka smugi dymu. Po kolacji Nowicki ustalił kolejność czat i codziennym zwyczajem siadł przy Tomku, który znów uważnie studiował mapę.

— Czy to możliwe, aby Haboku dokładnie zapamiętał tak kręty szlak? W jaki sposób tamten konający człowiek mógł go opisać? Przez większość dnia wędrowaliśmy po bezdrożnych wertepach — cicho odezwał się Nowicki.

— Nigdzie nie zauważyłem jakichś znaków czy punktów orientacyjnych — powiedział Tomek.

— Racja, wiem jedynie, że napotkaliśmy siedem strumieni.

— Tylko dwa, Tadku — sprostował Tomek. — Oprócz tego, nad którym ukrywał się Kampa, szliśmy jeszcze brzegiem drugiego strumienia. Ten drugi strumień był dopływem pierwszego.

— Nie gadaj głupstw, dokładnie liczyłem!

— Nie wątpię w to, ale jestem pewny, że jeden i ten sam strumień liczyłeś kilkakrotnie. Haboku umyślnie kluczył, abyśmy stracili orientację. Rozumiesz?

— Nie mylisz się przypadkiem?!

— Jestem pewny tego, co mówię. Podobnej sztuczki próbował ze mną Czerwony Orzeł w Meksyku, prowadząc mnie na spotkanie z wodzem Czarną Błyskawicą. On również nie chciał zdradzić drogi do kryjówki wolnych Apaczów.

— Tak, tak, teraz sobie przypominam, mówiłeś mi o tym.

— Dzisiaj przez cały czas trzymałem w ręku kompas, a poza tym stale zwracałem uwagę na położenie słońca oraz łańcuchów górskich. Dzięki temu nie dałem się wprowadzić w błąd. W dalszym ciągu mogę wskazać drogę do La Huairy.

— No, no, naprawdę łepetynę nosisz nie od parady! Ojciec nie zmarnował pieniędzy na twoją naukę. A czy może również wiesz, ile drogi dziś uszliśmy?

— Niewiele, nie więcej jak około dwunastu do piętnastu kilometrów. Spójrz na góry! Czy przybliżyliśmy się do nich?

— Do licha, chyba masz rację.

— Pierwszy strumień wiódł wprost na zachód w kierunku gór. Szliśmy wzdłuż jego brzegów około pięciu kilometrów. Potem powędrowaliśmy lewym dopływem. Ten drugi strumień płynął z północy, więc tym samym szliśmy na północ. Dlatego tylko nieznacznie zbliżyliśmy się do Andów.

— Zdziwiasz mnie, brachu. Czy zaznaczyłeś tę trasę na mapie?

— Tak, zaraz ci pokażę — Tomek wyjął szkic mapy i mówił dalej: — Tutaj jest Ukajali, Urubamba i La Huaira. Po przeprawie przez Ukajali szliśmy tędy. W tym miejscu zawrócili Pirowie, a tutaj jest strumień i szłaś Kamy. Potem Haboku prowadził nas, klucząc prawie w miejscu, aż do tego dopływu. Przed nami, a więc na północy, leży Grań Pajonal, natomiast w kierunku zachodnim Andy.

— Ha, więc jutro powinniśmy znaleźć się w Grań Pajonalu.

— Wydaje mi się, że raczej pójdziemy ku góróm.

— Skąd takie przypuszczenie? Przecież do lasu śmierci trzeba iść przez Pajonal?

— Kampa ręczył, że przez las śmierci nikt nie przejdzie. Skoro Haboku podjął się roli przewodnika, zapewne teraz zna inną drogę, która może prowadzić tylko przez góry.

— To brzmi logicznie, ale przekonamy się jutro.

— Kto po nas pełni straż?

— Zbyszek i Saturu, a o najgorszej porze przed świtem Haboku ze swoim kumplem.

— To dobrze. Indianie zazwyczaj napadają o świcie. Ale chyba nic nam nie grozi. Dingo przez cały dzień zachowywał się spokojnie; teraz także zerka na nas tylko jednym okiem.

— Pocziwe, zmyślne psisko. Dzięki niemu znaleźliśmy umierającego przewodnika Smugi.

O północy zbudzili następnych wartowników. Noc minęła spokojnie.

Wkrótce po wschodzie słońca wyruszyli w dalszą drogę. Jeszcze przed południem kapitan Nowicki zbliżył się do Tomka i szepnął — Twoje domysły się sprawdziły. Idziemy w kierunku gór.

— Haboku przestał kluczyć. Widocznie uważa, że już straciliśmy orientację.

— Nieborak! Myślał, że wyprowadzi w pole takiego starego wygę jak ty! Tomek spojrział ku pasmom górskim, w pełnym blasku słońca przybierały liliową barwę.

— Pójdziemy inną trasą niż Smuga. Był on chyba pierwszym Polakiem, który zagłębił się w Grań Pajonal<sup>759</sup> — rzekł po chwili.

— Ciekaw byłem tego Pajonalu, ale ze względu na kobiety lepiej ominąć las śmierci — odparł Nowicki.

— Dzielnie trzymają się panie.

— A jakże! Nasza sikorka wodzi rej wśród nich. Zuch baba! Mara patrzy w nią jak w obrazek.

— Trochę niepokoję się o Natkę. Ona nie czuje się najlepiej na tej wyprawie.

— Zaginięcie Smugi wyprowadziło ją z równowagi.

— Cicho! Spójrz na Dinga!

— Czemu on się tak nastroszył? Może zwęszył jakiegoś zwierzaka?

— Poczekajmy na naszych. Lepiej idźmy teraz w bardziej zwartym szyku.

Przystanęli pod wielkim głazem. Od pewnego czasu szli przez podgórską, falistą krainę. Napotykali coraz więcej pagórków porośniętych dziewiczym lasem, rumowisk skalnych i potężnych kamieni.

— Okolica jak wymarzona na zasadzkę — mruknął Nowicki uważnie rozglądając się wokoło. — Haboku niepotrzebnie tak się oddala.

— Na pewno wkrótce poczeka na nas. Spenetruje drogę...

— Dingo jeszcze kręci nosem, ale ja nic nie widzę pomiędzy skałami.

— Również nie spostrzegłem niczego podejrzanego. Nasi już nadchodzą.

---

<sup>759</sup> — Drzewa tego rodzaju należą do rzędu motylkowatych, najczęściej *Caesalpinia*, a zwłaszcza *Caesalpinia echinata*. Od tych właśnie drzew o żółtoczerwonym drewnie pochodzi nazwa Brazylii, europejscy koloniści odkrywscy cenne drzewo nazwali je najpierw „brązu”, a później „pernambuco”. Okolice i port, skąd wywożono te drzewa, nazwali również Pernambuco.

— Czy zatrzymujemy się na odpoczynek? — zawołała Sally. — Od dłuższego czasu wciąż pniemy się pod górę. Zmęczyliśmy się trochę.

— Musimy połączyć się z Haboku, wtedy odpoczniemy — odparł Tomek.

— Według twych obliczeń powinniśmy już być w pobliżu Pajonalu — powiedziała Natasza.

— Ale teraz prowadzi Haboku, a nie ja — odpowiedział Tomek.

— Prawdopodobnie pójdziemy inną drogą. Suchoroślowy krajobraz wskazuje na to, że już znajdujemy się na skraju tego pustynnego wyżu. Gdybyśmy zboczyli na północ, wkrótce ujrzelibyśmy tę osławioną krainę.

Nadeszli tragarze, a za nimi Zbyszek. Kapitan Nowicki, który przez cały czas penetrował wzrokiem załomy skalne, zdjął karabin z ramienia, sprawdził, czy nabój wprowadzony jest do lufy, po czym zawołał — Nie przystawajcie, idziemy! Zbyszku, nie pozostawaj w tyle. Trzymajmy się razem.

— Bądź blisko kobiet, Tadu — odezwał się Tomek. — Idę z Dingiem pierwszy!

Ze sztucerem pod pachą wysforował się o kilkanaście kroków do przodu. Rozglądał się po skałach i chaszczach, jednocześnie zerkając na psa. Dingo wciąż węszył w powietrzu, jeżył sierść na karku.

Sally zorientowała się, że sytuacja jest niepewna. Poprawiła na biodrach pas z rewolwerem. Teraz jednym ruchem mogła wydobyć broń z pochwy.

Naraz Tomek błyskawicznie uskoczył w bok, przyklęknął i, prawie nie przykładając sztucera do ramienia, strzelił. Długa, czarna strzała, wymierzona przed sekunda prosto w jego pierś wbiła się głęboko w ziemię. Tomek w ostatniej niemal chwili spostrzegł Indianina wychylającego się zza skały. Przytomność umysłu uratowała mu życie. Indianin natomiast ugodzony śmiertelnie kulą osunął się na skraj skalnego występu, bezwładnie przetoczył się po nim i runął wprost pod stopy swej niedoszłej ofiary.

Zanim przebrzmiał huk wystrzału, rozległ się przeraźliwy okrzyk bojowy Kampów. Strzały z łuków świsnęły w powietrzu.

— Dingo, do pani! — krzyknął Tomek.

Sally popchnęła swe towarzyszki w rumowisko kamieni. Saina również skryła się za głazem, wydobyła rewolwer i zaczęła wypatrywać napastników. Wierny Dingo przybiegł do niej; sierść jeżyła mu się na karku, gniewnie

szczerzył kły patrząc na skały. Mara, żona Haboku przyczała się obok Sally, z łukiem gotowym do strzału.

Cubeo, który pierwszy szedł za kobietami, zatoczył się, upuścił niesiony bagaż, z chrapliwym jękiem padł na niego. Czarna strzał<sub>a</sub> z haku przeszła na wylot jego szyję.

— Kryć się za kamienie! — krzyknął Nowicki, lecz sam nie szukał schronienia. Ruchliwy i zwinny, co chwila składał się do strzału, a każda kula powalała jednego wroga.

Zbyszek przycupnął za głazami obok kobiet. Nie był zbyt dobry<sub>m</sub> strzelcem, a w dodatku nieoczekiwany napad oszołomił go w pierwszej chwili. Toteż strzały jego nie były celne. Za to czterej pozostali przy życiu Cubeowie dzielnie wspierali Tomka i Nowickiego. Przyklękli za tarczami opartymi o bagaże i ogniem z karabinów razili atakujących Kampów.

Przez jakiś czas szala zwycięstwa nie przechylała się na niczyją stronę. Kampowie przeważnie strzelali z łuków, tylko kilku z nich posiadało stare skałkówki. Tomek i Nowicki w mgnieniu oka podzielili między siebie teren obstrzału. Tomek, przyczajony pod skałą w pobliżu kobiet i Zbyszka, szachował wrogów ukrytych po prawej stronie kotłitiy, natomiast Nowicki ostrzeliwał lewą. Obydwaj drżeli z obawy o Haboku. Dlaczego nie zawrócił na odgłos walki? Czyżby pierwszy zginął? Prawie natychmiastowa śmierć Cubea trafionego w szyję budziła podejrzenie, że Kampowie używali zatrutych strzał.

Tomek spostrzegł Kampę przekradającego się wśród głazów. Natychmiast uniósł sztucer do ramienia. Wychylił się, nacisnął spust. Iglica uderzyła w próżnię, w lufie już nie było naboju. Wtedy właśnie Indianin strzelił do niego ze swej skałkówki. Tomek osunął się na kolana, pociemniało mu w oczach, krew zalała twarz. Sally pobladła widząc padającego męża, lecz jak przystało córce australijskiego pioniera, spokojnie nacisnęła spust rewolweru. Kampa wypuścił z rąk jeszcze dymiącą skałkówkę, po czym sam zwałił się na nią. Tomek tymczasem już oprzytomniał; kula tylko otarła się o jego skroń. Ze sztucerem w dłoni dźwignął się z ziemi. Była to prawdziwie tragiczna chwila. Jeden z Cubeów, widząc padającego kierownika wyprawy, rzucił mu się na ratunek. Zaledwie wyskoczył zza tarczy, otrzymał postrzał w pierś. Wkrótce skonał.



Natasza również chciała podbiec do Tomka, jednak z okrzykiem bólu cofnęła się do kryjówki. Pierzasta strzała zraniła ją w prawe ramię.

Kampowie pewni zwycięstwa skoczyli z piekielnym wrzaskiem do ataku wręcz. Tomek zahartowany w trudach, siłą woli opanował własną słabość. Rewolwery błysnęły w jego dłoniach. Nowicki uczynił to samo. Seria celnych strzałów ostudziła zapał Kampów. Trzech wprawdzie dopadło Nowickiego, ale rozszalały marynarz z Powiśla, rozgromił ich w przeciągu kilku sekund.

Tomek wystrzelał naboje z rewolwerów, po czym widząc chwilowe załamanie się ataku, porwał sztucer i pobiegł do kobiet. Sally próbowała tamować krew płynącą z ramienia Nataszy, podczas gdy Zbyszek strzelał z karabinu.

— Strzała czy kula?! — zawołał Tomek do żony.

— Strzała, rana niegroźna — odpowiedziała.

— Nie bandażuj! — rozkazał Tomek. Wyrwał Zbyszkowi karabin. Trzema celnymi strzałami zmusił resztę Kampów do ukrycia się za skałami.

Dzielna Sally nie traciła czasu, zaczęła nabijać broń męża. Tomek oddał karabin bratu, mówiąc — Mierz spokojnie, nie zrywaj spustu. Częściej trafisz... Przyklęknął przy Nataszy. Strzała z łuku rozorała skórę na ramieniu i trochę naruszyła mięsień.

— Będzie bolało, trzeba wycisnąć ranę — rzekł Tomek.

Młoda kobieta pobladła, gdy ujął ją za ramię. Potem grymas bólu pojawił się na jej twarzy; zemdlła. Tomek silnie naciskał mięsień koło rany, która znów zaczęła obficie krwawić. Potem ustami wysysał krew, a w końcu wydezynfekował jodyną.

— Tommy, Kampowie uciekają! — naraz zawołała Sally. — Nasi ich gonią. Haboku zaszedł Kampów z tyłu.

Zbyszek z karabinem w dłoni pobiegł za Nowickim i Cubeami. Dingo również pobiegł za nimi.

W bitewnym rozgardiaszu nikt nie zwracał uwagi na Marę, ta jednak wystrzelawszy wszystkie strzały z kołczanu, przekradła się do pobliskiego lasu. Teraz właśnie przybiegła z zebranymi ziołami.

— Przyłóż do rany, liście dobre na truciznę... — odezwała się do Tomka.

— Kto cię nauczył rozpoznawać zioła?

— Mój ojciec jest wielkim czarownikiem, często zbierałam dla niego. Nie bój się, przyłoż...

Tomek obłożył ramię liśćmi, zabandażował, po czym podsunął zemdlonej flakonik z amoniakiem. Po chwili oprzytomniała. Oczami pełnymi łez spojrzała na Tomka, uśmiechnęła się i szepnęła — Mazgaj ze mnie... Jesteś pokrwawiony, zaraz zajmę się tobą.

— Nic mi nie będzie, to drobiazg. Poleż spokojnie, twoje ramię jeszcze krwawi. Musiałem rozjątrzyć ranę, bo im więcej krwi z niej wypłynie, tym lepiej. Strzała mogła być zatruta.

— Wiem, Tomku, wiem.

— Mara nazbierała ziół, obłożyłem nimi ranę.

— Kto z naszych zginął? Widziałam dwóch...

— Nikt więcej. Haboku zaszedł z tyłu napastników i przechylił zwycięstwo na naszą stronę. Wkrótce nasi powrócą z pościgu.

Mara przyniosła wody ze strumienia. Razem z Sally zmyły krew z głowy Tomka, a następnie nałożyły opatrunek. Kula rozorała mu skórę na skroni, ale kość nie była naruszona.

— Dopiero po dwóch godzinach w głębi parowu ukazali się powracający z pościgu. Szli wolno... Sally od razu wypatrzyła, że niosą kogoś na noszach.

— Tommy, jeszcze jedna ofiara... — cicho powiedziała do męża, aby nie budzić Nataszy.

Tomek wyjął lunetę. Przez chwilę przypatrywał się nadchodzącym. Z ciężkim westchnieniem włożył lunetę do pochwy.

— To Cubeo, wydaje mi się, że nie żyje — odparł posępnie. — Ciężkie ponieśliśmy straty. Trzeba przeładować bagaże, część rzeczy musimy pozostawić.

W milczeniu oczekiwali nadejścia towarzyszy. Pierwszy nadbiegł zziębnięty Dingo. Wkrótce też nadeszli mężczyźni. Nowicki pokrwawiony i posiniaczony przysiadł na głazie. Cubeowie położyli na ziemi nosze z gałęzi, po czym zaczęli zbierać kamienie, aby przykryć nimi grób poległych.

— Co z Nataszą? — zapytał Nowicki. — Kampowie używali zatrutych strzał.

— To powierzchowne draśnięcie — wyjaśnił Tomek. — Wycisnąłem i wyssałem ranę, a potem obłożyłem ziołami nazbieranymi przez Marę. Podobno zna się na tym.

— Mara również sporządziła wywar z ziół. Natka wypła go i zasnęła — dodała Sally.

— To dobrze, Indianie mają swoje sposoby na trucizny — odparł Nowicki. — Teraz przesortujcie bagaże, zabierzemy tylko niezbędne rzeczy. Gdy pochowamy zabitych, natychmiast ruszamy w drogę. Haboku radzi dotrzeć do gór jeszcze przed nocą.

— W górach łatwiej się ukryć — powiedział Tomek.

— A jakże, możemy spodziewać się pościgu. Kilku z nich umknęło nam. Mimo że dobrze im dopiekliliśmy, ponownie urządzili zasadzkę. Wtedy właśnie straciliśmy jeszcze jednego Cubea.

Tomek z żoną i Marą zabrali się do przeładunku bagaży, inni tymczasem zajęli się pogrzebem. Owinęli w koce ciała poległych, a następnie ułożyli je w płytkim dole razem z bronią i osobistymi rzeczami. Haboku, jak nakazywały zwyczaje plemienne, wygłosił krótkie przemówienie pożegnalne — Dzielni wojownicy Cubeo polegli w walce z parszywymi Kampami. Zanim umarli, sami zabili wielu wrogów. Zginęli w obronie przyjaciół, dlatego po śmierci zamieszkają w wielkim, wspólnym domu szczęśliwości, w którym żyć będą razem z naszymi wielkimi przodkami, a nie w psiej budzie, jak podstępni Kampowie.

— Nigdy nie zapomnimy dzielnych wojowników Cubeo, którzy nie opuścili nas w ciężkiej potrzebie — dodał Tomek.

Potem nie tracąc czasu ruszyli w drogę. Szli bardzo wolno, gdyż oprócz bagaży nieśli nosze z Nataszą pogrążoną w głębokim śnie. Przed zachodem słońca wkroczyli w chłodny cień gór. Znużeni ostrożnie pięli się po kamienistym stoku. Tutaj ewentualny pościg już nie mógł odszukać ich śladów. Na noc zatrzymali się w rozpadlinie pod dużym, skalnym nawisem. W pobliżu szumiał mały wodospad.

Wszyscy byli bardzo wyczerpani. Postanowili odpocząć dzień lub dwa. Schronienie pod nawisem skalnym obudowali kamieniami, a szczeliny zasypali żwirem. Dopiero zabezpieczywszy się w ten sposób przed chłodnym wiatrem zasiedli do posiłku.

Nataszą nie przebudziła się nawet wtedy, gdy przenoszono ją na posłanie z koców. Sally z Marą położyły się przy niej. Miały czuwać na zmianę.

Mężczyźni również położyli się do snu.

Kapitan Nowicki, który z walki wyszedł jedynie z paroma zadrapaniami i siniakami, pierwszy pełnił straż. Najpierw wymył się w strumieniu, potem łyknął jamajki, a następnie siadł w wejściu do zaimprovizowanej chaty. Zachowując jak największą ostrożność, zapalił fajkę. Dingo przywarował u jego stóp. Poczciwe, wierne psisko czuwało nieustrudzenie, co chwila uchylało powiek i strzygło uszami.

Nowicki siedział zasępiony i rozmyślał. Teraz zrozumiał, że popełnił z Tomkiem wielką nieostrożność zabierając kobiety. Podczas pierwszego starcia z Kampami ponieśli duże straty, a co będzie dalej? Musieli porzucić znaczną część ekwipunku. Już nie posiadali namiotu, z żywnością było krucho. Co się stanie w Nataszą? Nękany obawą powstał i cicho podszedł do posłania. Srebrzysta, zimna poświata księżycowa padała na twarze kobiet. Spały w najlepsze. Nowicki delikatnie dotknął czoła Nataszy. Było chłodne i suche. Nieco pocieszony znów usiadł przy Dingu. Pies leżał spokojnie i drzemał. Nowicki pogрузzył się w myślach. Oparł plecy o głaz. Monotonny szum pobliskiego wodospadu działał jak środek nasenny. Na chwilę przymknął powieki...

Warknięcie Dinga przebudziło Nowickiego; chwycił karabin oparty o kamień. Pies niespokojnie spoglądał w niebo. Nowicki nasłuchiwał i rozglądał się wokoło. Dopiero po dłuższej chwili spostrzegł czarne cienie bezszelestnie unoszące się w powietrzu. Od razu odgadł, że to nietoperze zaniepokoiły Dinga. Przypomnił sobie opowiadania o nietoperzach–wampirach, które karmiły się krwią zwierzęcą i ludzką. Szybko powstał i wszedł pomiędzy śpiących. Spłoszony nietoperz przemknął tuż obok jego twarzy. Nowicki pochylił się nad Nataszą. Pierś jej równomiernie unosiła się w oddechu. Nowicki zbudził Haboku, po czym sam ułożył się do snu.

Dwudniowy wypoczynek w zdrowym, górskim powietrzu przywrócił lepszy nastrój uczestnikom wyprawy. Nawet Natasza czuła się dobrze i twierdziła, że może iść dalej. Toteż trzeciego dnia o świcie ruszyli w drogę.

Haboku, tak jak przedtem, szedł pierwszy. Przez dwa dni to wspinali się na stoki gór, to znów schodzili w doliny porośnięte dżunglą. Ciszę dziewiczych lasów mąciły jedynie krzyki ptaków lub szum płynących strumieni.

Tomek stawał się coraz bardziej zasepiony. Nanoszenie na mapę trasy wyprawy było niemal niemożliwe. Toteż teraz najwięcej uwagi zwracał na położenie słońca. Ku jego zdumieniu Haboku znów prowadził w kierunku wschodnim. Domyślił się, że idąc górami już zapewne obeszli las śmierci; obecnie zbliżali się do ruin starożytnego miasta z przeciwnej strony.

Piątego dnia od opuszczenia pierwszego obozu w górach Haboku nagle zapomniał o maskowaniu swych uczuć. Przystanął i podniecony zawołał!

— Nareszcie znalazłem! Istnieje naprawdę, Kampa nie kłamał!

— Coś znalazł? — zapytał kapitan Nowicki.

— Patrzcie, przekonajcie się sami! — triumfująco wołał Haboku, Znajdowali się w wysoko położonej dolinie.

— Zdaje się, że natrafiliśmy na ślady jakiejś starej drogi — odezwał się Tomek.

— Chyba masz rację, widać, że była nawet brukowana — przyznał Nowicki.

— Czy tej drogi szukałeś, Haboku? — zapytał Zbyszek.

— Dawno, dawno temu zbudowali ją władcy tej ziemi — odparł Indianin. — Kampa zapewnił mnie, że doprowadzi nas ona do ruin miasta, których szukamy<sup>760</sup>.

— Obyśmy tylko odnaleźli tam pana Smugę — szepnęła Natasza.

— Jeśli odnajdziemy miasto, to jestem pewna, że go tam zastaniemy — powiedziała Sally.

— Prowadź, Haboku! — rozkazał Nowicki.

Stary trakt prowadził w dół zbocza. Szczeciniasta trawa i krzewy rosły w wyrwach i szczelinach, lecz miejscami droga, zbudowana przed kilkoma

---

<sup>760</sup> — W ostatnim dziesięcioleciu przed II wojną światową Polak, inżynier Stanisław Golewski, wraz z kilkunastoma Indianami z plemienia Kampów wyruszył z Chicozy nad Ukajali i przeszedł przez cieszący się złą sławą Grań Pajonal oraz pasmo Andów aż do kolonii Perene, skąd przez Tarnę prowadziła droga kołowa do Orya, pierwszej stacji kolejowej w kierunku Limy. Golewski, dawny pracownik polskiej kolonii w Cumarii, uzyskał koncesję na zbudowanie linii kolejowej, która miała połączyć obszary nadukajalskie ze stolicą Peru na wybrzeżu Pacyfiku, a pośrednio, poprzez Ukajali i Amazonkę, Limę z wybrzeżem Atlantyckim. Właśnie badając tereny pod budowę przyszłej kolei, Golewski zetknął się w Grań Pajonalu z wolnymi Kampanii. Później z kapitanem Alvarino również dokonywał z samolotu zdjęć tych terenów. W kilka miesięcy potem Alvarino, podczas lotu wywiadowczego, zaginął w Pajonalu, najprawdopodobniej podczas przymusowego lądowania. Sądzone, iż mógł zostać uwięziony przez Kampów, którzy nienawidzili białych przybyszów. Projekt budowy linii kolejowej upadł po załamaniu się polskich kolonii nad Ukajali.

wiekami, rysowała się zupełnie wyraźnie. W dali snuła się ku niebu smuga czarnego dymu.

Około południa Haboku znów przystanął przy kilku głazach. Na jednym z nich odnalazł wyryty symbol słońca. Teraz zboczył w głęboką rozpadlinę. Wyszli nią na małą skalną platformę. Stanęli jak urzeczeni. W dolinie przed nimi leżały ruiny miasta. Wśród drzew, krzewów i wysokiej trawy widać było ściany domów, zbudowanych z wielkich kamieni. Nad rozległymi ruinami dominowała potężna góra o tępo ściętym szczycie, z którego sączył się dym.

## GNIEW BOGÓW

Więc jednak naprawdę istnieje zaginione miasto, o którym słyszeliśmy od Pirów — cicho odezwał się Tomek. — Czyżby wolni Kampowie obrali je sobie na kryjówkę? Kapitan Nowicki odjął lunetę od oka i odparł — Nigdzie nie widać żywego ducha. Wszędzie pustka i martwota. W wielu miejscach dżungla już wdarła się w gruzy.

— Chodźcie tutaj! Znalazłyśmy zejście do doliny — zawołała Sally. Na lewym końcu platformy znajdował się potężny blok kamienny, obramowany u dołu wąskim progiem. Przy nim właśnie stały Sally i Natasza.

— Tędy idzie się do stopni wyciosanych za załomem bloku — powiedziała Sally.

Tomek najpierw spojrzął na prostopadłe zbocze góry. Skalna platforma zwisała nad kilkudziesięciometrową przepaścią. Odwrócił się do żony i rzekł — Sally, dlaczego bez ubezpieczenia chodziłaś po tym parapecie? Czy mało jeszcze mamy kłopotów?

— Nie cierpię na zawroty głowy, a poza tym, dlaczego tylko mężczyźni mają zawsze pierwsi się narażać?

— Przestańcie, nie czas na przekomarzenie — wtrącił Nowicki. — Tomku, bierz sznur.

Tomek obwiązał się w pasie końcem liny, po czym wszedł na wąski, skalny próg. Marynarz przytrzymał sznur. Tomek zniknął za załomem.

— Tu jest tylko miejsce dla jednego człowieka, przywiązałem linę, przechodźcie pojedynczo — zawołał. — Idę na dół! Dingo!

Następny poszedł Haboku, a za nim Zbyszek, trzech Cubeowie, kobiety i marynarz.

Wysokie stopnie wyciosane w skale wiodły pod platformę zawieszoną nad przepaścią, a stamtąd, wzdłuż prawie pionowej ściany, opadały aż na dno doliny. Tomek pomyślał, że jeśli była to jedyna droga do miasta, to każdy przybysz musiał być natychmiast zauważony przez mieszkańców. Nim minęło pół godziny, wszyscy uczestnicy wyprawy już znajdowali się w dolinie.

— Dingo wciąż weszyl na schodach — oznajmił Tomek.

— Na kamieniach nie zauważyłem żadnych śladów — odparł Nowicki. — Czyżby ktoś szedł tędy przed nami?

— Licho wie, co tutaj się kryje? Nie możemy wejść gromadą między ruiny — powiedział Tomek.

— Pewno duchy Kampów mieszkają w nich — trwożliwie szepnął Haboku. — W pobliżu naszej wsi również znajdują się skały, zamieszkiwane przez duchy. Tam nikomu nie wolno chodzić.

— Tutaj zapewne też kryją się duchy! Pies mądry, on je widzi — dodał drugi Indianin.

Tomek wiedział, że odważni w boju Cubeowie zawsze drżeli na myśl o czarach i duchach. Toteż uśmiechnął się dyskretnie i odparł — Na pewno nie ma tutaj duchów, obyśmy tylko nie natknęli się na wrogich Kampów. Zostańcie tu wszyscy i miejcie się na baczności. Pójdę z Dingiem na zwiad. Gdybym spotkał kogoś, strzelę dwukrotnie.

Tomek z psem u nogi ostrożnie zbliżał się do kamiennego muru okalającego ruiny miasta. Niebawem przystanął przed oryginalną bramą. Jej boczne filary stanowiły dwa potężne, gładko ociosane głazy, na których opierał się szeroki, kamienny blok ułożony poziomo. Na jego frontalnej części były wyryte symetrycznie ułożone ozdoby lub znaki, a wśród nich, nad wejściem do miasta, widniał symbol słońca. Masywny mur otaczający miasto był w wielu miejscach zrujnowany. Głazy porozsuwały się bądź nawet zapadły w ziemię. Tomek cicho gwizdnął na Dinga, po czym ze sztucerem w dłoniach przeszedł przez bramę.

Miasto leżało na dwóch tarasach, które wyglądały jak potężne stopnie wykute w stoku wysokiej góry. Szeroka, brukowana ulica prowadziła wprost od bramy ku szerokim, kamiennym schodom na wyższy taras. Po obydwóch stronach ulicy stały domy, zbudowane z gładko obrobionych, idealnie dopasowanych głazów, które układano bez spajania zaprawą. Większość domostw nie miała dachów, ponieważ strzechy już dawno się porozpadały. Tylko kilka większych budowli nakrytych było dachami z wielkich kamiennych płyt.

Tomek zachowując ostrożność szedł główną ulicą, zerkał w przecznice, zaglądał do ruin domów. Wszędzie czuć było ostry odór nagromadzonych odchodów nietoperzy. W wielu miejscach ulice zapadły się bądź pocięte były bezdennymi, szerokimi szczelinami. Również ściany niektórych domów rozsypywały się lub czasem zaledwie tylko wystawały z ziemi, która rozstała się pod nimi. Wśród gruzów domów oraz popękanych bruków ulic



rosły drzewa, pieniała się trawa i dzikie krzewy. Tomek nie miał wątpliwości, że miasto zostało zniszczone przez trzęsienie ziemi, tak często nawiedzające andyjskie kraje<sup>761</sup>.

Coraz bardziej zaintrygowany myszkował wśród ruin. Był już pewny, że tragiczne w skutkach trzęsienie ziemi wydarzyło się tutaj przed wiekami. Miasto odcięte od świata zapewne zostało zbudowane jeszcze na długo przed podbojem hiszpańskim. Może niegdyś ukryło się w nim jakieś plemię, które nie chciało ulec białemu najeźdźcy? Ruiny miasta przecież znajdowały się w okolicy, która na mapie jeszcze obecnie stanowiła białą plamę. Było również odizolowane od reszty kraju, ponieważ wolne plemiona Kampów zajadle broniły dostępu do niego. Nic jednak nie wskazywało na to, że gdzieś w pobliżu kryli się ludzie. W jakim więc celu więziono by tutaj Smugę?

Tomek przeszedł główną ulicą ku szerokim, kamiennym schodom, wiodącym na wyższy taras. Dingo przystanął, węszył w powietrzu, potem wbiegł na kamienne stopnie, a z nich na obszerny plac. Tam znów zatrzymał się, cicho zaskomlał i kilka razy machnął ogonem.

Serce uderzyło żywiej w piersi Tomka. Dingo zazwyczaj tak zachowywał się, gdy odnajdywał znajomy ślad. Tomek bez wahania wszedł na górny taras.

— Szukaj, Dingo, szukaj! — zachęcał ulubieńca.

Pies zaczął węszyć, biegał tu i tam, spoglądał na Tomka. To machał ogonem i cicho skomlał, to znów jeżył sierść na karku.

— Co znalazłeś? Co chcesz mi powiedzieć? Czy grozi nam niebezpieczeństwo? — pytał Tomek.

Pies odwrócił do niego łeb i warknął.

— A więc jednak ostrzegasz! Czyżby tutaj naprawdę kryli się ludzie? — mruknął Tomek. Przewiesił przez ramię sztucer na pasie i wydobyl z pochwy rewolwer. Krótka, szybkostrzelna broń wydawała mu się praktyczniejsza w tej sytuacji.

Z rewolwerem gotowym do strzału rozglądał się po tarasie. Na obydwóch bokach obszernego placu stały dwa olbrzymie gmachy. Jeden z nich niemal w połowie leżał w gruzach, drugi natomiast wyglądał na prawie nienaruszony.

---

<sup>761</sup> — Na długo przed podbojem hiszpańskim w państwie Inków istniała sieć doskonałych dróg, o łącznej długości około 10000 km. Wśród nich słynna Wielka Droga Królewska liczyła 5600 km długości, a szerokość jej w różnych miejscach wahała się od 1 do 3 m. Droga ta pięła się nieraz na wysokości 5000 m n.p.m.

Pomiędzy tymi gmachami, na krańcu placu, znajdowały się mniejsze, w znacznej części zniszczone domy.

— Szukaj, Dingo! — rozkazał Tomek.

Pies kluczył po placu, lecz coraz bardziej zbliżał się do dobrze zachowanej budowli. Na popękanych, kamiennych schodach przystanął, obejrzał się na Tomka.

— Szukaj, Dingo! — znów padł rozkaz.

Tomek ostrożnie wchodził na schody. W górze nad samym wejściem wryty był symbol słońca. Po chwili Tomek znalazł się w ogromnej sali. Przez krótki czas stał bez ruchu, aby wzrok przystosował się do półmroku panującego wewnątrz budynku. Potem zaczął się rozglądać wokoło. Olbrzymia sala była zupełnie pusta. Na ścianach zachowały się ślady jakichś malowideł. Tomek odczuwał coraz większy niepokój. Naraz uzmysłowił sobie, że kamienna posadzka była niemal zupełnie czysta. W innych domach, do których przedtem zaglądał, gruba warstwa odchodów nietoperzy i ptaków pokrywała podłogi. Tomek natychmiast położył palec na spuście rewolweru. Ktoś musiał tutaj utrzymywać porządek, a więc ruiny miasta nie były całkowicie nie zamieszkane.

Na obydwóch bokach sali znajdowały się głębokie nisze, natomiast w ścianie, na wprost głównego wejścia do budynku, czernił się wąski otwór. Tomek zajrzał do nisz, a następnie zaczął zbliżać się ku ciemnemu otworowi. Nagle Dingo warknął głucho, po czym kilkoma susami przebiegł mroczną salę i zniknął w otworze. Gwałtowne ujadanie zwielokrotnione echem rozbrzmiało w ciemności. Potem Dingo zaskowyczał z bólu i znów zaczął gwałtownie szczekać, jakby kogoś atakował.

Tomek natychmiast podskoczył na ratunek ulubieńcowi. Wśliznął się w ciemny otwór. Nieprzenikniona ciemność przykuła go do miejsca.

Pospiesznie wy dobył pudełko zapalek. Wsunął rewolwer za pasek od spodni. Dingo szczeakał zajadle. W nikłym płomyku zapalki Tomek ujrzal psa, który rozgniewany rzucal się na kamienną, pustą ścianę. Tomek wypalił kilka zapalek, przy ich blasku obszedł niezbyt obszerną komnatę. Ku swemu zdumieniu nie znalazł nikogo. Nie było tu okien ani drzwi. Dingo wciąż warczał i ze zjezoną sierścią na karku obwąchiwał gładką ścianę.

W tej chwili rozległ się przeciągły, głuchy grzmot. Masywny, kamienny gmach zadrzał w posadach. Nikła smuga światła w wąskim otworze

poszarżała. Przerażliwe wycie Dinga wyrwało Tomka z osłupienia. Pochylił się i wybiegł z tajemniczej komnaty. Po kilku chwilach znalazł się na schodach przed gmachem.. Przystanął jak rażony piorunem. Pozostali uczestnicy wyprawy, których pozostawił przed ruinami starożytnego miasta, już znajdowali się na drugim tarasie. Wolno cofali się na środek placu, a za nimi, szerokim półkolem, postępowali uzbrojeni, milczący indiańscy wojownicy.

Tomek błyskawicznie zorientował się w sytuacji. Podczas jego nieobecności Kampowie zapewne nieoczekiwanie okrążyli towarzyszy.

Skoro od razu nie rozpoczęli walki, Nowicki zaczął wycofywać się do ruin miasta, aby połączyć się ze zwiadowcą.

— Dingo, do nogi! — stłumionym głosem rozkazał Tomek.

Kampowie szli szeroką ławą. Byli nadzy. Jedynie małe fartuszki, przytrzymywane przez sznurek z łyka, zasłaniały im podbrzusza. Twarze mieli pomalowane w niebieskie i czerwone fantastyczne wzory. Na głowach nosili korony wyplecione z włókien palmowych i ozdobione piórami ptaków, a z tyłu zwisały im aż na plecy pęki barwnych, suszonych kolibrów. W przekłutych muszlach usznych tkwiły ozdoby z drewna.

Indianie zachowywali wymowne, groźne milczenie. Krok za krokiem postępowali za białymi, trzymając na napiętych cięciwach łuków długie, czarne strzały.

Tomek zrozumiał, że wszelki opór był beznadziejny. Liczebność Indian od razu przesądzała o ich zwycięstwie. Poza tym, jeśli byli mieszkańcami zaginionego miasta, to właśnie u nich miał przebywać Smuga.

Dopiero po dłuższej chwili Tomek zauważył, że czarne chmury zasłoniły rozjarzone słońcem niebo. Zaraz też przypomniał sobie, że od kilku dni obserwowali w północno-wschodniej części gór czarny dym sączący się z wysokiego szczytu. Przed chwilą musiał nastąpić gwałtowny wybuch wulkanu.

Nie było czasu do stracenia. Najmniejszy, podejrzany dla Indian ruch lub gest mógł rozpętać bezkompromisową walkę, która oznaczała nieuniknioną śmierć dla wszystkich uczestników wyprawy.

Tomek zbiegł po stopniach. Dingo warknął, wyszczerzył kły.

— Spokój, Dingo! Idź do pani! — krótko rozkazał Tomek. Wolno zbliżał się do swych towarzyszy. Kampowie wyżej unieśli łuki i wymierzili

czarne strzały w jego pierś. Tomek wsunął rewolwer do pochwy. Bokiem ominął przyjaciół; zatrzymał się pomiędzy nimi i Kampanii. Przez długą chwilę wpatrywał się w ich groźne twarze.

— Pozdrawiam wojowników wolnych Kampów — odezwał się po hiszpańsku.

Indianie stali jak kamienne posągi.

— Przybywamy do was jako przyjaciele — powiedział Tomek. — Niech moi bracia opuszczą broń i zaprowadzą nas do swojej wioski. Tam wyjawimy im cel naszego przybycia.

Trudno było odgadnąć, czy Kampowie rozumieli słowa Tomka, bowiem ani jeden muskuł nie drgnął w ich twarzach. Przenikliwym wzrokiem mierzyli białych i nie opuszczali napiętych łuków.

— Jestem dowódcą wyprawy, chciałbym rozmawiać z wodzem wolnych Kampów — znów odezwał się Tomek.

Jeden z Indian ruszył ku niemu. Szedł czającym się krokiem, dopóki grot długiej strzały niemal nie dotknął piersi Tomka. Mocniej naciągnął cięciwę łuku. Tomek spokojnie spoglądał wprost w oczy Kampa. Indianin nieoczekiwanie zluźnił cięciwę łuku, zdjął z niej strzałę. Z woreczka umocowanego do sznurka opasującego biodra wyjął fotografię. Tomek zaledwie zerknął na nią, pobladł z wrażenia. To była ślubna fotografia jego i Sally.

Kampa zaś spoglądał to na fotografię, to na Tomka. Nagle zerwał Tomkowi kapelusz z głowy. Znów popatrzył na jego twarz, a potem na fotografię. Następnie spojrzął w kierunku kobiet. Wkrótce utkwiał wzrok w Sally. Potem schował fotografię do woreczka.

Kampa rzucił swoim jakiś rozkaz. Indianie otoczyli wyprawę zwartym kołem. Teraz Kampa przeszył Tomka przenikliwym spojrzeniem, a następnie rzekł po hiszpańsku — Będiesz rozmawiał z wodzem wolnych Kampów. Powiedz swoim, żeby nie stawiali oporu. Musimy zawiązać wam oczy.

— Więc ty nie jesteś wodzem? — zapytał Tomek.

— Milcz i rób, co powiedziałem!

Tomek podszedł do towarzyszy. W języku hiszpańskim powtórzył słowa Kampa, a potem dodał po polsku — On ma moją i Sally ślubną fotografię. Mógł ją otrzymać tylko od Smugi.

— Dobra wiadomość, chociaż czuję się, jakbym siedział w paszczy wściekłego rekina — odparł No wieki.

Kampowie zawiązali jeńcom oczy przepaskami, potem ujęli ich za ręce i ruszyli w drogę.

Tomek wkrótce domyślił się, że wprowadzono ich do tajemniczego budynku, w którym Dingo atakował kogoś niewidzialnego. Tylko do tego gmachu wiodły schody. Z łatwością również odgadł, że weszli do drugiej, mniejszej, ciemnej komnaty. Musiały znajdować się w niej jakieś ukryte przejścia, ponieważ bardzo długo prowadzono ich krętymi korytarzami pnącymi się w górę bądź opadającymi w dół. Tomek stracił orientację. W końcu zaczęli wchodzić na wąskie schody. Po pewnym czasie Kampowie zatrzymali się i zdjęli im opaski z oczu.

Znajdowali się w obszernej sali. Groźni, uzbrojeni wojownicy już gdzieś zniknęli. Kilku Kampów ubranych w obszerne kuźmy spoglądało na nich ciekawym wzrokiem.

— Odłóżcie broń — polecił jeden z nich. Tomek bez wahania odpiął pas z rewolwerem i razem ze sztucerem położył na posadzce. Inni uczynili to samo.

— Zostawcie tu również wszystkie swoje rzeczy — znów odezwał się Kampa.

Gdy uczynili, co kazał, wyprowadził ich na korytarz, z którego weszli do dużej sali. W jednym jej końcu kilku zbrojnych Kampów, ubranych w kuźmy, otaczało półkolem brodatego mężczyznę, siedzącego na tronie ze szczerego złota. Mężczyzna oparł dłonie na kolanach i w milczeniu wpatrywał się w nadchodzących jeńców. Przystanęli o kilka kroków przed tronem. Dingo szczechnął chrapliwie, próbował wyrwać się, lecz Sally mocno przytrzymała go za obrozę.

Kampa, który przyprowadził jeńców, zbliżył się do wodza siedzącego na tronie i podał mu fotografię wydobytą z fałd kuźmy. Brodacz skinął głową, po czym bez słowa odprawił go ruchem dłoni.

Tomek wraz z przyjaciółmi stali w milczeniu. Wydawało się im, że ów brodacz był białym mężczyzną. Zapewne przewodził wolnym Kampom, skoro siedział na złotym tronie otoczony wodzami poszczególnych plemion. Długie, czarne włosy opadały mu aż na ramiona, a broda okalająca twarz sięgała piersi. Ubrany był w kuźnię z miękkiego materiału przetykanego złotymi

nićmi. Bose stopy opierał na skórze jaguara. Wódz nieco pochylił się do przodu i rzekł po polsku — Witajcie, drodzy przyjaciele! Nie mogę teraz was uściskać. Ci zbrojni wodzowie uważnie śledzą każdy nasz gest. Bądźcie rozważni, znajdujemy się w jaskini rozgniewanego jaguara.

Dingo szczechnął i machnął ogonem.

— Niech mnie rekin połknie, to nasz Smuga! — cicho zawołał kapitan No wieki.

— Nareszcie odnaleźliśmy pana! — odezwał się Tomek z trudem tłumiąc wzruszenie.

— Od kiedy znalazłem się w niewoli, bałem się tej chwili jak niczego w życiu — odparł Smuga. — Od kilku dni drzę z niepokoju o was...

— Więc pan wiedział, że idziemy tutaj? — zdumiał się Tomek.

— Doniesiono mi o tym w dzień po waszej bitwie. Wiedziałem, że trzech z was padło.

— W jaki sposób? Czy to naprawdę było możliwe?

— Później porozmawiamy. Od chwili tej tragicznej walki każdy wasz krok był uważnie śledzony. Z wielkim trudem wymogłem na Kampach, żeby doprowadzili was tutaj żywych. Tym niemniej znajdujemy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Na domiar złego od kilku dni przekłęty wulkan wznowił działalność. Oni sądzą, że wasze wtargnięcie do ich państwa spowodowało gniew bogów.

— W jaki sposób dostał się pan tutaj? Dlaczego oni trzymają pana w niewoli? — zapytał Tomek.

— Mój przewodnik okazał się emisariuszem wolnych Indian. Wprowadził mnie w pułapkę. Szukali białego wodza, który nauczyłby ich wojennej taktyki najeźdźców. Przygotowują zbrojne powstanie<sup>762</sup>.

---

<sup>762</sup> — Andy, góry w zachodniej części Ameryki Południowej, stanowią najdłuższą barierę górską na Ziemi, a po Himalajach w Azji są drugimi pod względem wysokości górami świata. Olbrzymią ścianą, długości 7500 km, ciągną się wzdłuż wybrzeża Pacyfiku — od Morza Karaibskiego na północy do Ziemi Ognistej na południu. Pomiędzy łańcuchami górskimi znajdują się równiny i doliny, których dno leży około 2 do 3 km poniżej p.m. Geologicznie Andy są młodymi górami fałdowymi. Mimo że wyłoniły się z dna morskiego miliony lat temu, ulegają jeszcze ciągłym zmianom. Niektóre szczyty są aktywnymi wulkanami; trzęsienia ziemi występują dość często. Aconcagua (6960 m) jest najwyższą górą Andów oraz całego kontynentu. W północnej części Andów świat roślinny jest podobny do pobliskich nizin — las przyrównikowy na wilgotnych obszarach oraz trawa lub skrub w suchych okolicach. Dalej na południu, gdzie zimniej i bardziej sucho — drzewa szpilkowe oraz gubiące liście. Z

— Odnaleźliśmy tego przewodnika. Był konający, lecz zanim umarł, wskazał nam drogę — wyjaśnił Tomek. — Zdradził swoich, abyśmy mogli pospieszyć panu na ratunek.

— Wiedział dobrze, że stąd żywi nie wyjdziecie. To dawna kryjówka Inków. Tutaj ich niedobitki schroniły się przed Hiszpanami. Gdy trzęsienie ziemi zniszczyło im miasto w dolinie, zbudowali drugie na szczycie skały. Potem urządzili tu swoją główną kwaterę wolni Kampowie, którzy twierdzą, że wywodzą się w prostej linii od Inków.

Jeden z wodzów stojących obok Smugi odezwał się gardłowym głosem.

— Teraz musicie odejść. Zobaczę was później — rzekł Smuga.

— Tomku, nie układaj planów, dopóki nie pomówimy. Odpocznijcie po trudach. Idźcie już!

Tomek z przyjaciółmi wyszli z sali. Kampa, który uprzednio przyprowadził ich do Smugi, już czekał na korytarzu. Przeszli kilka kondygnacji, po czym przewodnik wskazał im dwie obszerne komnaty, w których mieli przenocować.

— Popatrzcie! Oddali nam wszystkie nasze rzeczy — zawołał uradowany Zbyszek, gdy Kampa zniknął za matą osłaniającą otwór drzwiowy.

— Ale broń zatrzymali — zauważył kapitan Nowicki. — Pał ich sęk! Grunt, że odnaleźliśmy Smugę.

— Poczciwy, wierny Dingo! Pierwszy poznał pana Smugę — mówiła wzruszona Sally. — Gdy tylko weszliśmy do tronowej komnaty, Dingo omal nie wyrwał mi się do niego.

— Jeszcze w ruinach starożytnego miasta zdawało mi się, że Dingo trafił na jakiś znajomy ślad — odezwał się Tomek. — Zapewne Smuga nieraz tam bywał.

— Wprost nie mogę uwierzyć, że naprawdę odnaleźliśmy pana Smugę — powiedziała Natasza. — Zatrwożyły mnie jego słowa.

— Ba, sytuacja nie jest wesoła, ale nie w takich już bywaliśmy opałach — rzekł kapitan Nowicki. — Skoro Smuga już od kilku dni wiedział, że pakujemy się wilkowi w gardło, to na pewno rozmyślał również nad sposobami ratunku. Poza tym my także poruszymy mózgownicami. Zaufajmy Smudze i Tomkowi. Oni we dwóch coś wymyślą.

— Racja, kapitanie! Nic a nic się nie boję — wtrąciła Sally.

— Ciekaw jestem, w jaki sposób Smuga dowiedział się tutaj o naszej bitwie? — powiedział Tomek. — Czyżby Kampowie na wzór dawnych Inków przekazywali wiadomości sposobem sztafetowym?

— Zapewne tak właśnie robią — przywtórzyła Sally. — Poszczególni gońcy mogą przebiegać z wiadomością od plemienia do plemienia. Słyszałam, że za czasów Inków wiadomość przekazywana w taki sposób w ciągu dnia docierała do miejscowości odległej o około dwustu pięćdziesięciu kilometrów.

W tej chwili do rozmawiających zbliżył się Haboku, który przez cały czas przyglądał się przez okno okolicy.

— Tutaj dużo wojowników — odezwał się. — Naokoło wysokie skały. Ucieczka niemożliwa, a duchy w wielkiej górze bardzo się gniewają. Zaslaniają słońce czarnymi chmurami. Kampowie przestraszeni, może być źle.

— Masz rację, Haboku — odparł Tomek. — Warto by rozejrzeć się w sytuacji.

— Już zerknąłem na korytarz, nikt nas nie pilnuje — cicho powiedział Nowicki. — Nie wiem jednak, czy to rozsądnie już robić coś na własną rękę. Kampowie wzburzeni, lepiej poczekajmy do rozmowy ze Smugą.

Zanim ktokolwiek zdążył coś odpowiedzieć, Indianki wniosły misy z jedzeniem. Postawiły je na matach i zaraz wyszły.

— Proszę, a więc nie zamierzają morzyć nas głodem — ucieszył się Nowicki. — Ho, ho! Ryż, fasola, gotowana kura i coś w dzbanie do popicia. Siadajmy, burczy mi w brzuchu. Na głodniaka nigdy nic mądrego nie przyjdzie człowiekowi do głowy.

Po skończeniu posiłku Tomek polecił dwom Cubeom, aby pilnowali, czy ktoś nie nadchodzi korytarzem, gdyż uczestnicy wyprawy chcieli rozważyć sytuację, w jakiej się znajdowali. Wkrótce jednak doszli do wniosku, że bez Smugi nie mogą ułożyć planu działania. Cóż mogli począć bez broni w mieście pełnym wrogich Kampów? Tylko szczęśliwy zbieg okoliczności lub jakiś fortel mógł ich uratować.

— Najlepiej uczynimy kładąc się spać — w końcu rzekł Nowicki. — Licho wie, co przyniesie nam dzień jutrzejszy. Wulkan dymi jak setka parowców na wyścigach... Nabierzmy sił.



— Rada dobra, wszyscy jesteście zmęczeni i podenerwowani. Kładźcie się, a ja jeszcze spróbuję uzupełnić moją mapę — powiedział Tomek.

Usiadł przy otworze okiennym, rozłożył mapę na parapecie i długo nad nią pracował. Potem, gdy zapadł wieczór, zatroskany spoglądał w niebo. Czerwone odblaski ognia ziejącego z krateru wulkanu załamywały się w czarnych chmurach dymu. Wewnętrzny niepokój coraz bardziej ogarniał Tomka, wyczuwał, że śmiertelne niebezpieczeństwo nadchodzi wielkimi krokami.



## KRWAWA OFIARA

Była noc. Tomek siedział na macie rozłożonej pod otworem okiennym i przygnębiony spoglądał w niebo. Czarne chmury dymu rozbłyskiwały ogniem. Głuche, przeciągłe grzmoty odzywały się coraz częściej.

Zanim zapadł wieczór, Tomek przyjrzał się przez okno głównej kwaterze wojowniczych Kampów. Niewielkie miasteczko było niezdobytą twierdzą. Leżało na wysokiej platformie skalnej, półkoliście obramowanej przez pionową ścianę potężnej góry. Większość kamiennych domów bezpośrednio przylegała do potężnego skalnego zbocza.

Tomek doskonale wyczuwał obawy nurtujące towarzyszy wyprawy. Wiedzieli, że znajdują się w niezwykle niebezpiecznej sytuacji. Sam Smuga ostrzegł ich, że igrają ze śmiercią. Mimo to nie żałował ryzykownego przedsięwzięcia, jakim okazała się wyprawa ratunkowa do Grań Pajonalu. Przecież odnaleźli Smugę... Czuł jednak, że zabranie kobiet było wielkim błędem. O nie też tylko obawiał się teraz.

Nagle Dingo uniósł łeb, nadstawił uszu. Potem podniósł się i cicho zaskomlał.

— Spokój, Dingo... — szepnął Tomek.

Mata zasłaniająca otwór drzwiowy uchyliła się, w mdłym świetle kaganka płonącego na korytarzu zarysowała się ciemna sylwetka. Tomek powstał, przytrzymał Dinga za obrożę. Wiedział, że to Smuga nareszcie przyszedł do nich, gdyż uradowany pies wyrwał się do niego.

Smuga zasłonił matę.

— Tutaj jestem... — cicho odezwał się Tomek.

Smuga długo trzymał go w swych ramionach. Tomek z trudem opanowywał wzruszenie, łyzy radości cisnęły mu się do oczu.

— Bałem się, kochany chłopcze, że będziesz mnie szukał — szepnął Smuga. — Choć bardzo źle z nami, cieszę się, że pamiętałeś o mnie. Tylko taki niezwykły chłopak, jak ty, mógł trafić tutaj.

— Nowicki, Sally, wszyscy, którzy ze mną przybyli, pragnęli pana odnaleźć — odparł Tomek.

— Wiem, tylko prawdziwi przyjaciele mogli zaryzykować swe życie dla mnie. Czy oni śpią?

— Śpią...

— Tomku, muszę z tobą porozmawiać, ale nie tutaj. Czas nagli... zbudź Nowickiego! Inni niech nic nie wiedzą...

Tomek zniknął w drugiej komnacie. Smuga przyklęknął przy poczciwym Dingu. Przytulił jego głowę do swej piersi. Po kilku chwilach Nowicki uściskał Smugę.

— Ma nasz chłopak łepetynę, co? — mruknął wzruszony. — Byłem pewny, że doprowadzi nas do pana! No, i jesteśmy razem! Zdaje mi się jednak, że musimy rozwijać żagle póki czas.

— Nie mylisz się, kapitanie — odparł Smuga. — Czy macie broń?

— Zabrali nam nawet noże.

— Przyniosłem rewolwer, trochę nabojów i nóż. Masz tu także noże dla Haboku i jego ludzi. Dobrze ukryjcie. Teraz zabieram Tomka, a ty czuwaj, dopóki nie wróci. Do rana nic wam nie grozi.

— Czy planuje pan ucieczkę?

— Tak, ale jeszcze muszę naradzić się z Tomkiem. On wszystko ci powtórzy.

— Idźcie i radźcie, będę czuwał!

— Musimy jakoś przemknąć się przez korytarz. Nikt nie powinien zobaczyć nas razem. Zdejmij buty, Tomku!

Smuga uchylił maty i wyjrzał.

— Nie ma nikogo, chodź! — szepnął.

Bez przeszkód dotarli do końca korytarza, a potem zeszli po kamiennych schodach na półpiętro. Tutaj Smuga przystanął przed ścianą, na której widniały rzeźby głów różnych zwierząt. Oparł dłonie na głowie jaguara, po czym przekreślił ją w odwrotne położenie. Następnie pchnął ścianę. Ku zdumieniu Tomka część muru ustąpiła. Smuga wśliznął się w otwór i pociągnął Tomka za sobą. Znaleźli się na wąskich kamiennych schodach. Smuga najpierw zamknął ukryte przejście. W potajemnym korytarzyku płonął kaganek.

— Tutaj nikt nas nie znajdzie — szepnął. — Widzisz, głowa jaguara porusza dźwignię umieszczoną po drugiej stronie muru, która unosi listwę

ryglującą ukryte drzwi. Gdy teraz opuszczam listwę na dawne miejsce,<sup>763</sup> głowa jaguara automatycznie powraca do swego pierwotnego położenia.

Smuga ujął kaganek i poprowadził Tomka wąskimi schodami. Kończyły się one w dolnym korytarzu. Po kilkunastu krokach przystanął. Przysunął kaganek do ściany, oświetlając mechanizm zamykający ukryte przejście.

— Za tą ścianą znajduje się moje mieszkanie lub krócej mówiąc, więzienie — odezwał się. — Na szczęście Kampowie nie znają tych tajemnych przejść. Sam je odkryłem. Miałem na to dość czasu, stale mnie przecież nie pilnowano. Dobrze przyjrzyj się mechanizmowi i zapamiętaj, że porusza go głowa jaguara. Jutro przed południem zostaniecie uwięzieni... w moim pokoju.

— Uwięzieni?

— Tak, Tomku! Nie traćmy czasu, chodź ze mną!

Znów poprowadził krętymi, kamiennymi schodami. Wkrótce znaleźli się w naturalnej grocie.

— Teraz słuchaj uważnie i wszystko zapamiętaj — powiedział Smuga. — Na ścianach są wyryte trzy symbole słońca. Lewy otwiera przejście do grobowca i skarbcza Inków. Środkowy kryje drogę podziemną poza obręb miasta. Prawy natomiast prowadzi do pieczary pod występem skalnym, z którego zrzucano w przepaść dziewczęta na ofiarę bogom.

Tomek niedowierzająco spoglądał na Smugę.

— Niech mnie pan uszczypnie, żebym był pewny, że to wszystko nie jest tylko snem — odezwał się po chwili.

— Wolałbym, aby tak było... — odparł Smuga. — Budowniczości z czasów Inków posiadali wyobraźnię, rozmach i niezwykłą cierpliwość. Czy zdajesz sobie sprawę, ile czasu pochłonęło wykucie tego miasta w skale? A tajemne przejścia otwierane ukrytymi mechanizmami i drogi podziemne? Myślę, że tutaj właśnie Inkowie ukryli część swoich skarbów przed chciwymi Hiszpanami. Zaraz je ujrzysz.

---

<sup>763</sup> — W 1915 r. nad daleką rzeką Tahuanią wybuchło powstanie Kampów. Przewodził mu sławny wódz Tasulinczi, który zdołał zjednoczyć do walki przeciwko białym plemiona Grań Pajonalu z powaśnionymi plemionami znad Ukajali. Okolice górnej Ukajali rozgorzały krwawą wojną. Indianie wymordowali poszukiwaczy kauczuku i osadników, docierając do Masisei i dalej, aż na średni bieg rzeki. Potem przez szereg lat biali nie odważali się zapuszczać w tamte okolice. Później, w 1929 r. Indianie również napadli i wybili oddział policji koło miasteczka Requena.

Podszedł do skalnej ściany, przesunął rzeźbę symbolizującą słońce; po chwili wprowadził Tomka do podziemnej sali. Wzdłuż jednej ściany stały olbrzymie sarkofagi ulepione z gliny i żwiru, a z zewnętrznej strony obłożone bazaltowymi płytami. Każdy z nich posiadał wąski otwór.

— Oto staroperuwiańskie chulpas, czyli grobowce — rzekł Smuga oświetlając kagankiem bazaltowe sarkofagi. — Zwróć uwagę, że wejścia do grobowców zwrócone są na wschód, aby promienie wschodzącego słońca mogły przeniknąć do wnętrza. Inkowie czcili Słońce, Inti, które uważali za boskiego przodka swej dynastii. Zajrzyj do grobowców! Ujrzysz w nich mumie ludzi, którzy przed setkami lat władali tą rozległą i surową krainą.

Tomek wziął z rąk przyjaciela kaganek; z trudem wcisnął się w wąską szczelinę. Wnętrze grobowca miało kształt półokrągły i pomalowane było jasną farbą. W głębi siedziała w kucki mumia spowita w miękko wyprawione skóry lam, na które dopiero nałożono odświętne szaty. Na skórze zakrywającej twarz wymalowano oczy i usta. Jak wskazywały starannie uczesane i splecione długie, brązowe włosy, była to mumia kobiety. Zgodnie z modą elegantek peruwiańskich nogi od kostek do kolana były pomalowane czerwoną farbą. Obok mumii znajdowały się naczynka z pudrem, czernidłem i pachnidłami, lustro z polerowanego kamienia, kolczyki, grzebienie oraz szczątki ubiorów i naczynia zjedzeniem, które miały służyć zmarłej w jej życiu pozagrobowym. W grobowcach mężczyzn leżała broń i ozdoby, natomiast obok dzieci ich zabawki.

Tomek onieśmielony przerwał zaglądnienie do grobowców.

— No cóż? Przyjrzałeś się? — zagadnął Smuga.

— Tak, mumie doskonale zachowane. To zapewne dzięki suchemu, górskiemu powietrzu.

— Masz rację. Peruwiańczycy zazwyczaj zamuroywali wejście do chulpy. Tutaj jednak nie musieli tego czynić. Chodź, pokażę ci skarbiec.

Weszli do sąsiedniej sali. Smuga przyświecał kagankiem. Tomek w osłupieniu spoglądał na szczerozłote i srebrne posągi bogów i królów, symbole Inti wysadzone drogocennymi kamieniami, naczynia, tarcze, misy wypełnione złotym piaskiem i perłami. Po długiej chwili odwrócił się do Smugi.

— A więc odkrył pan bonanzę<sup>764</sup>! — rzekł podniecony. — To pewno część skarbów, którymi Atahualpa chciał okupić swe życie<sup>765</sup>.

— Ocalenie części skarbów kosztowało Inków oraz ich poddanych całe morze krwi. Gdyby teraz biali dowiedzieli się o tym złocie, kraina wolnych Kampów znów obficie spłynęłaby krwią — odparł Smuga, uważnie obserwując młodego przyjaciela.

— Jestem tego pewny! Chodźmy stąd, na tych skarbach ciąży klątwa podstępnie wymordowanych Indian. Nie mówmy o tym odkryciu nikomu, nawet naszym najbliższym.

— Cieszę się, Tomku, że propozycja ta wyszła od ciebie. My dwaj na pewno dochowamy tajemnicę. Chodźmy, mało już zostało nam czasu, a mamy jeszcze tyle do omówienia.

Smuga starannie zamknął wejście do grobowca, a potem otworzył prawe, tajemne przejście. Znaleźli się w niezbyt wielkiej pieczarze, której otwarty wylot leżał wprost pod ostrym występem skalnym.

W samym wylocie pieczary stały dwa szeroko rozstawione drewniane słupy. Pomiędzy nimi, nisko nad kamienną posadzką, zwisała duża owalna rama z bambusu, wpleciona w środku siatką z lian.

W pieczarze było dość widno, bowiem srebrzysta poświata księżycowa i krwawe błyski ognia z wulkanu oświetlały ją dostatecznie. Smuga postawił kaganek na posadzce, a potem poprowadził młodego przyjaciela do samego wylotu pieczary.

— Cóż to za dziwaczne urządzenie? — zapytał Tomek, przyglądając się wplecionej lianami ramie.

— Wspomniałem ci, że pieczara ta znajduje się bezpośrednio pod występem skalnym, z którego strącano w przepaść ludzi jako ofiary na cześć bogom — odparł Smuga. — Otóż ofiarami były przeważnie młode dziewczęta, czasem córki wodzów, dostojników państwowych, a nawet władców. Przebiegli kapłani widocznie nie obawiali się zbytnio gniewu swych

---

<sup>764</sup> — Bonanza (hiszp.) — skarb, niespodziewany dopływ bogactwa, a w przenośni szczęśliwy los, określenie czegoś, co przynosi zysk, dochód. Wyraz ten pojawił się w Stanach Zjednoczonych w czasie gorączki złota.

<sup>765</sup> — Atahualpa (1500–1533) — ostatni władca Inków, podstępnie uwięziony w Cajamarca przez wodza hiszpańskich konkwistadorów — F. Pizarro, łamiąc własne przyrzeczenie polecił stracić Atahualpę, mimo złożonego dużego okupu. Na wieść o śmierci władcy Indianie wstrzymali składanie Hiszpanom złota i część skarbów ukryli.

bogów, gdyż wynaleźli urządzenie, dzięki któremu czasem mogli ocalić od śmierci niektóre ofiary.

— Już domyślam się, jak to robili — powiedział Tomek. — Wysuwali tę sieć, a gdy dziewczyna w nią wpadła, wciągali do pieczary.

— Tak właśnie czynili, później zaś oznajmiali ludowi, że bogowie prześlągani ich modłami zwrócili ofiarę.

Tomek pochylił się nad siecią. Liany, z których ją wypleciono, były świeże i elastyczne. Potem wysunął ramę daleko nad przepaść. Urządzenie działało bez zarzutu.

— Dziwne, że urządzenie to przetrwało w tak doskonałym stanie tyle czasu — rzekł spoglądając na przyjaciela.

— To ja założyłem nowe wiązania i sieć — wyjaśnił Smuga. Tomek jeszcze bardziej przybliżył się do Smugi.

— W jakim celu pan mnie tu przyprowadził? Po co pan mi to wszystko mówi? — zapytał jakby nie swoim głosem.

— Pragnę za wszelką cenę uratować twoją żonę i Nataszę. Przed moim przyjściem do was rada wodzów postanowiła ułagodzić gniew bogów, składając ofiarę z dwóch białych kobiet. Gdyby nie ten przeklęty wulkan, może by do tego nie doszło. Byłeś w ruinach miasta w dolinie. Jak głosi legenda, zostało ono zniszczone przez trzęsienie ziemi, któremu towarzyszyły wybuchy wulkanu. Obecnie wulkan znów grzmi i dymi. Kampowie są przekonani, że wdzierając się do ich krain obraziliście bogów. Tak podszeptał radzie wodzów jeden z czarowników.

— Więc oni chcą strącić z tej skały Sally i Natkę?! — zapytał Tomek poruszony do głębi. — A co z Marą, żoną Haboku?!

— Właśnie miałem zapytać cię o tę Indiankę. Więc to żona tego dzielnego Haboku? Jej nic nie grozi. Ofiarą dla prześlągania bogów mają być tylko dwie białe kobiety. Mężczyźni natomiast, jeśli zgodzą się walczyć w szeregach Kampów, mogą ocalić swoje życie.

— Czy nie można ich odwieść od tego okrucieństwa? Może ja i Nowicki moglibyśmy zastąpić kobiety?

— Nie, one nie są im potrzebne tak, jak wy! Wasza odwaga podczas bitwy zjednała wam ich uznanie. Muszę zachować pozory lojalności wobec tego wyroku.



— Dzisiaj przed południem wszyscy, z wyjątkiem Sally i Nataszy, zostaniecie uwięzieni w moim mieszkaniu. Gdy słońce stanie w zenicie, nastąpi złożenie ofiary. Rozpoczną się modły i tańce; wtedy otworzysz ukryte przejście i sprowadzisz swoich do pieczary. Nie zapomnij tylko zamknąć rygla, gdy opuścicie moje mieszkanie. Z Nowickim przyjdiesz tutaj i będziecie czekali. Musisz umówić się z Sally i Nataszą, aby każda z nich krzyknęła, przed samym rzuceniem się w przepaść. Gdy usłyszycie krzyk, natychmiast wysuniecie się.

— Czy to nie będzie za późno?

— Na pewno nie.

— A cóż mamy uczynić później?

— Umkniecie podziemnym korytarzem poza obręb miasta. W pieczarze przygotowałem dla was kuźmy. Zarzucicie je na swe ubrania. Są tam również dwa karabiny, rewolwer, amunicja, dwa łuki ze strzałami i trzy noże. Uzbierałem trochę żywności, lecz starczy jej najwyżej na dzień lub dwa. Potem musicie coś ustrzelić z łuku. Z bronią palną bądźcie ostrożni. Echo roznosi huk po górach.

— Dlaczego pan tak mówi, jakby pan wcale nie miał zamiaru z nami uciekać?!

— Słuchaj, drogi chłopcze, w tej chwili czynię wszystko, co tylko w mej mocy, aby ocalić wasze życie. Gdybym umknął z wami, Kampowie podnieśliby na nogi wszystkie okoliczne, sprzymierzone plemiona wolnych Indian. Schwytaliby nas w przeciągu jednego dnia. A wtedy... już nie byłoby dla nikogo ocalenia. Jestem ich swego rodzaju maskotką-wodzem. Już kilkakrotnie dowodziłem nimi przeciwko Kaszybom i Amahuakom, z którymi są w ustawicznej wojnie.

— Zabiją pana, gdy stwierdzą, że uciekliśmy!

— Nie przerywaj mi, Tomku. Jako wódz biorę udział w składaniu ofiary. Dopilnuję, aby nie pomieszali wam szyków. Przez cały czas będę przy Sally i Nataszy. Potem, gdy was nie zastaniemy, powiem, że zostaliście porwani przez złe duchy.

— Przecież nie uwierzą w to!

— Jestem innego zdania. To duże, naiwne dzieci. W życiu codziennym nawet pogodni i weseli. Za to czarów i czarowników boją się jak ognia. Chyba tylko Kampowie zachowali jeszcze dawną religię Inków, czyli wiarę w

Słońce. Nienawidzą białych ludzi, a wobec wrogów są bezwzględni i okrutni. Mnie sami tutaj sprowadzili i chociaż jestem ich więźniem, to przecież krzywdy mi nie robią. Mam nawet pewien wpływ na nich. Myślę, że po waszej ucieczce dam sobie jakoś radę.

— Czy pan zamierza tu pozostać na zawsze?!

— Ależ skąd! Jeśli nie schwytają was, później spróbuję umknąć. Sam już wcześniej się do tego przygotowywałem. Czy masz przy sobie mapę?

Tomek wyjął mapę Ameryki Południowej i szkic zrobiony przez siebie. Usiedli na ziemi przy kaganku. Smuga z zainteresowaniem przyjrzał się szkicowi.

— Twoja mapa jest naprawdę doskonała — pochwalił. — Uważnie rozglądałem się podczas pościgu po Grań Pajonalu. Teraz słuchaj uważnie, powiem ci, dokąd macie uciekać. Na Pachitei można czasem napotkać statki płynące do Limy, ale to dla was zbyt daleka droga. Znajdujemy się obecnie mniej więcej w tej okolicy Andów. Jeśli pójdziecie na południowy wschód, to w przeciągu kilku dni dotrzecie do Perene, skąd już przez Tarmę prowadzi droga kołowa do Oroyi. Stamtąd pojedziecie koleją do Limy<sup>766</sup>. Miałem kiedyś w Limie dobrego znajomego. Nazywa się Habich<sup>767</sup>, jest tam profesorem, spróbuj go odnaleźć.

— A w którą stronę pan zamierza uciekać?

— Nie należy powtarzać tej samej sztuczki dwa razy. Jeśli mi się poszczęści, będę umykał wprost na południe ku granicy boliwijskiej.

— To niebezpieczna przeprawa dla jednego człowieka. Odprowadzę kobiety do miasta i natychmiast wyruszam z odsieczą dla pana. Zaopatrzeni w żywność i broń, tutaj będziemy czekali — mówiąc to nakreślił znak na mapie.

---

<sup>766</sup> — Linia kolejowa Calle–Lima–Oroya jest najwyżej położoną na kuli ziemskiej linią kolejową i do obecnych czasów uchodzi za arcydzieło techniki inżynierskiej. Długość jej wynosi 218 km; w najwyższym punkcie tory wznoszą się na 4769 m n.p.m., gdzie zbudowano tunel długości 1200 m. Łączna długość 62 tuneli na tej linii wynosi 6 km, a najwyższy z trzydziestu mostów i wiaduktów ma wysokość 70 m. Tę drogę kolejową zaprojektował i kierował jej budową Polak — Ernest Malinowski, inżynier, profesor uniwersytetu w Limie, uczestnik powstania listopadowego, który osiadł w Peru w 1852 roku.

<sup>767</sup> — Edward Habich (1835–1909) — inżynier i matematyk, uczestnik powstania styczniowego, pełnomocny komisarz Rządu Narodowego w Galicji. W 1869 r. osiedlił się w Limie, gdzie zorganizował pierwszą w Ameryce Łacińskiej wyższą szkołę inżyniersko–górnictwa. Ściągnął do niej szereg polskich inżynierów jako wykładowców. Zorganizował także peruwiańskie czasopiśmiennictwo techniczne. W Limie znajduje się jego mauzoleum.

— Pójdzie ze mną kapitan Nowicki, Zbyszek a także Haboku ze swymi ludźmi.

— Czy naprawdę masz zamiar to uczynić?

— Zrobię to, jak mnie pan tu widzi! — stanowczo odparł Tomek. — Będziemy czekali w pobliżu granicy boliwijskiej, choćby do końca życia. Tylko ze względu na Sally i Nataszę odejdę stąd bez pana.

Smuga w milczeniu coś rozważał, potem przyjrzał się mapie.

— Cóż, skoro tak postanowiłeś, daję ci dwa miesiące na odprowadzenie kobiet do Limy. Potem przybądź z wyprawą gdzieś w te okolice i czekajcie na mnie. Będę szedł tędy — Smuga kreślił znaki i linie na mapie, a następnie przenosił je na szkic zrobiony przez Tomka. — Jeśli nie schwytają was i nie przyprowadzą z powrotem, spróbuję umknąć równo w sześćdziesiąt dni po was.

— Rozumiem. Co trzeci dzień, zaraz po zachodzie słońca, będę nadawał znaki ogniowe z jakiejś wysokiej góry.

— No, Tomku, wkrótce świt, musimy się pożegnać — rzekł Smuga, chowając jedną z map. — Odprowadzę cię. Zapoznaj naszych przyjaciół z planem ucieczki. Najdrobniejsza niedokładność lub pomyłka może spowodować tragiczne następstwa. Do widzenia, drogi chłopcze! Uściskaj wszystkich ode mnie.

Tomek porwał Smugę w ramiona. Z trudem tłumiał łkanie. Wiedział, że jeśli plan Smugi zawiedzie, to Sally i Natasza zginą straszną śmiercią, sam nie widział jednak innego wyjścia.

Smuga doskonale orientował się, co odczuwał jego ulubieniec. Chyba po raz pierwszy w życiu do nieustraszonego serca Smugi wkradł się podstępny lęk. Bez wahania oddałby własne życie za tych drogich przyjaciół, lecz nie mógł liczyć na litość i względy Kampów. Sam przecież był ich jeńcem! Toteż siłą woli stłumił własne obawy.

— Tomku, czeka nas wszystkich ciężka, okrutna próba. Trzymajmy się w karbach. Wierzę w ciebie, w Nowickiego i Haboku. Oby tylko Sally i Natasza nie załamały się w decydującej chwili!

Tomek smutno uśmiechnął się przez łzy i odparł — Jestem pewny, że Sally odegra wspaniale swoją rolę. Wie pan, że ona wprost przepada za niezwykłymi przygodami i niebezpieczeństwami. Powinna urodzić się

mężczyzną. Lękam się tylko o Natkę. Od chwili zaginięcia pana stała się bardzo nerwowa.

— Zapewnij ją, że będę przy niej do ostatniej chwili.

— To na pewno podtrzyma ją na duchu. Mocno uścisnęli sobie dłonie.

— Niech pan zapamięta, będę szedł z wyprawą wzdłuż wschodnich stoków Andów. Będziemy tutaj w pobliżu za sześćdziesiąt dni — jeszcze raz odezwał się Tomek.

— Skoro nie chcesz ustąpić, zgoda. Chodźmy już!

## ZAKOŃCZENIE — UCIECZKA

Od samego rana wulkan grzmiał coraz potężniej, zionął czarnymi chmurami dymu, które zasłaniały słońce. Tłum mężczyzn, kobiet i dzieci zebrany na kamiennym placu miasta spoglądał z nabożną czcią i lękiem ku grzmiącej górze. Czy kapłani zdołają przebłagać rozgniewanych bogów? Kampowie z niepokojem wypatrywali swych wodzów i kapłanów.

Słońce właśnie stanęło w zenicie. W progu domu narad ukazał się tytułarny władca wolnych Kampów. Był nim biały jeniec. Wodzowie uwięzili go w swej twierdzy, aby nauczył ich wojennej taktyki białych ludzi. Zamierzali wykopać topór wojenny przeciwko wszystkim białym i chcieli zadać im tak straszliwą klęskę, aby już nigdy więcej nie odważyli się wkroczać na ziemię wolnych Indian.

Początkowo traktowano jeńca z pewną wyższością, a czasem nawet z pogardą. Jednak w miarę upływu czasu odważny, rozumny i szlachetny biały jeniec zyskiwał uznanie i szacunek. Rady jego zawsze okazywały się dobre, umiał leczyć choroby gnębiące krajowców, a co najważniejsze był śmiałym wodzem, przed którym już drżeli wrogowie Kampów.

Zalękniony tłum gubił się w domysłach. Czy odważny władca nie sprzeciwi się poświęceniu na ofiarę zagniewanym bogom dwóch białych kobiet, które przybyły tutaj z jego przyjaciółmi? Gdyby nie jego prośby, a potem gwałtowny sprzeciw, wszyscy biali zginęliby jeszcze podczas drogi do zaginionego miasta. Czy teraz jednak uląkł się straszliwego gniewu bogów? Czy poświęci białych przyjaciół dla ocalenia od zguby swych prześladowców?

Władca dostojnym krokiem zbliżał się do złotego tronu ustawionego przy ofiarnym kamieniu. Długie, czarne włosy i gęsty zarost okalający jego twarz ostro odcinały się od białej jak mleko kuźmy, przetykanej złotymi nićmi. Usiadł na tronie, podczas gdy wodzowiejposzczególnych plemion stanęli za nim półkolem.

Z kamiennej świątyni wyszedł pochód kapłanów. W pełnej skupieniu ciszy ustawili przy ofiarnym kamieniu wizerunki bogów. Szczerozłoty, duży posąg mężczyzny wyobrażał Viracocha, czyli stwórcę wszechrzeczy i źródło wszelkiej boskiej mocy. Złota tarcza, z wyrytą na niej ludzką twarzą i

promieniami, była symbolem Słońca, a więc boskiego przodka Inków. Bóstwo Księżyca obrazowała srebrna tarcza, podczas gdy grzmot miał postać męczyzny w błyszczącej odzieży, z maczugą w jednej, a procą w drugiej ręce. Obok wizerunków i posągów bogów kapłani ustawili mumie czterech wodzów w ozdobnych sarkofagach.

Kilku kapłanów przytknęło do ust duże muszle. Rozbrzmiały głucho, jękliwie tony. Główny kapłan oraz jego pomocnicy stanęli przed tytułarnym władcą. Pochylili się w niskim ukłonie, wyciągając przed siebie ręce z otwartymi dłońmi. Potem cmokali, dotykali rękami warg całując koniuszki palców.

Smuga poważnie skinął głową. Teraz wszyscy zaczęli głośno odmawiać modlitwę. Po jej zakończeniu kapłani składali na ofiarnym kamieniu dary dla bogów: kukurydzę, kartofle, liście koki i tytoń, którego używali jedynie jako zioła leczniczego. Dary spalono na ognisku.

Dziewczęta wyznaczone do służby bogom w świątyni przyniosły naczynia napełnione chichą. Najpierw zbliżyły się do władcy i podały mu złoty puchar.

Cicho odezwały się bębny i fujarki. Mężczyźni, kobiety i dzieci trzymając się za ręce zaczęli tańczyć w takt powtarzającego się motywu muzycznego. Muzyka początkowo monotonna z wolna nabierała coraz szybszego tempa.

Smuga nieznacznie spojrział w kierunku okna swego mieszkania, gdzie na czas uroczystości zostali uwięzieni jego przyjaciele. Z kieszeni wszytej w fałdy kuźmy wydobył chustkę, po czym kilkakrotnie wysuszył czoło z potu. Był to umówiony znak, że zbliżała się decydująca chwila. Tomek z przyjaciółmi powinni już skryć się w tajemnych podziemiach.

Bębny huczały jak gromy, tancerze wpadali w ekstazę.

Lodowaty chłód wkradł się do serca Smugi. W otworze okiennym trzykrotnie mignęła biała chustka. Tomek schodził na posterunek. Smuga odetchnął głęboko, a więc udało się! Nikt nie przeszkodził w ucieczce do podziemia.

Korowód kobiet wychodził właśnie z murów świątyni. Służebnice bogów prowadziły Sally i Nataszę. Nadszedł czas ludzkiej ofiary.

Smuga spojrział w niebo. Może modlił się o życie dla dwóch dzielnych, młodych kobiet, a może zwrócił uwagę, że niebo nagle jeszcze bardziej

zaciągnęło się czarnymi kłębam i chmur. Ogniste węże wystrzeliły z krateru, echo grzmotów rozniosło się po górach.

Muzyka umilkła, tancerze stanęli, jakby wrośli w ziemię. Sally i Natasza ubrane były w powłóczyste, białe szaty. Wieńce z kwiatów zdobiły ich skronie. Szły w środku korowodu trzymając się za ręce.

Przystanąły w pobliżu tronu. Jeden z kapłanów, który pełnił rolę ofiarnika, wystąpił przed Smugę, pokłonił się głęboko czekając na rozkaz.

Smuga spojrział na dwie nieszczęsne kobiety. Sally nie okazywała obawy. Córka australijskiego pioniera miała mężne serce. Teraz nawet mrugnęła okiem do Smugi, jakby chciała dodać mu odwagi. Natasza natomiast straszliwie pobladła. Nogi ugiwały się pod nią. Smuga zebrał się w sobie. Powstał. Prawą dłoń zacisnął na symbolicznym znaku władzy. Była to krótka, zdobiona złotem i szlachetnymi kamieniami maczuga z drzewa twardego jak żelazo.

Nowy, potężny wybuch wulkanu wstrząsnął posadami gór. Ziemia zadygotała pod stopami ludzi. Niebo pociemniało. Jęk grozy rozległ się na placu. Ludzie przerażeni padli na kolana.

Smuga zdecydowanym ruchem odwrócił się do wodzów i kapłanów.

— Powiedzieliście, że moi biali przyjaciele przychodząc tutaj rozgniewali waszych bogów — rzekł silnym, sugestywnym głosem. — My jednak jesteśmy waszymi przyjaciółmi, toteż, aby ofiara była miłsza bogom, ja, wasz biały wódz, sam poprowadzę te kobiety ku ich przeznaczeniu. Ty, kapłanie—ofiarniku, mów co mam robić!

Oniemiali i zaleknieni Kampowie z zapartym tchem patrzyli na Smugę. Ten zaś podszedł do kobiet, ujął je za dłonie i poprowadził na kraniec skalnego cypla.

— Ależ zrobił to pan wspaniale! — szepnęła Sally.

— Spieszmy się, zanim ochłoną... — cicho odparł Smuga. — Skacz pierwsza, Sally.

— Do końca życia będę miała co opowiadać — jeszcze szepnęła czupurna młoda kobieta.

Kapłan—ofiarnik nie mniej zdumiony i oszołomiony od innych Kampów podążał za nimi. Rozległy się jękliwe dźwięki konch.

— Niech skaczą po kolei — odezwał się kapłan. — W przyszłym życiu czeka je dobrobyt i szczęście, którego bogowie nasi im nie poskąpią.

Trójka przyjaciół już była nad skrajem przepaści.

— Niech spełni się ofiara! Skacz, Sally! — donośnie krzyknął Smuga. Kapłan wznosił dłonie ku niebu i... również przysunął się na brzeg cypla.

Sally wydała głośny okrzyk, odważnie pochyliła się nad krawędzią, sieć już odgradzała ją od przepaści. Skoczyła. Kapłan—ofiarnik, stojąc na skraju cypla skalnego, ujrzał co stało się z pierwszą „ofiara”. Ogarnęła go niewymowna wściekłość. Ten biały ich zdradził! Toteż w odruchu gniewu schwycił Nataszę za ramiona i odsunął ją od przepaści.

Smuga w lot pojął, że życie przyjaciół i jego własne zawisło na kruchym włosku. Błyskawicznie doskoczył do kapłana i grzmotnął go maczugą w głowę.

— Twoja kolej, Nataszo! Skacz! — krzyknął tak straszliwym głosem, że zamarzył z przerażenia tłum aż przygarbił się do ziemi.

Natasza drżała jak w febrze. Nie mogąc wydobyć głosu z ściśniętej strachem krtani.

Smuga objął ją w pól, doprowadził na skraj skały. Spojrzał w otchłań. Sieć właśnie wysunęła się i zawisła nad przepaścią.

Smuga lekko popchnął oniemiałą kobietę. Poczekał aż z siecią zniknęła pod cyplem. Teraz odwrócił się do Kampów. W dalszym ciągu stali porażeni niezwykłym wydarzeniem. Smuga podszedł do martwego kapłana, uniósł go, a następnie zepchnął w bezdenną przepaść.

Głuchy pomruk obiegł plac ofiarny.

— Ten człowiek był nikczemnym zdrajcą — rzekł Smuga donośnie. — Widzieliście wszyscy, że chciał powstrzymać białą kobietę od spełnienia ofiary waszym bogom.

\* \* \*

Zaledwie Natasza znalazła się bezpieczna w pieczarze, natychmiast schwyciła Tomka za rękę i zawołała — Smuga zabił kapłana, który odkrył nasz podstęp! On zobaczył, co stało się z Sally i rzucił się na mnie. Jesteśmy uratowani, ale Smuga zginie!

Tomek i Nowicki wymienili błyskawicznie spojrzenia. Ich przyjaciel samotnie ginął, by ich ocalić.

— Zbyszk, masz mapę! — bez namysłu zawołał Tomek. — Prowadź naznaczoną na niej trasą. Haboku, ty jesteś teraz dowódcą. Uciekajcie!



Nowicki już otworzył tajemne przejście do podziemnego korytarza i pospiesznie podawał przyjaciołom bagaże.

— Wesprzemy Smugę, spieszcie się! — ponaglał wszystkich. — Nie czekajcie na nas, jeśli was nie dogonimy.

— Bierzemy rewolwery i noże — mówił Tomek ściskając żonę. — Idźcie prędzej, rygluję za wami drzwi. Sally, prowadź Dinga na smyczy i stale go obserwuj. Wiesz, że na nim można polegać.

Nie było czasu na pożegnania, choć mogli już więcej się nie ujrzeć.

Nowicki i Tomek co tchu biegli po stromych schodach. Już byli przy ścianie z ukrytym wejściem do mieszkania Smugi. Wpadli do komnaty. Nowicki przyskoczył do okna.

— Ejże, brachu! Smuga górą! Wodzowie i kapłani kłaniają mu się w pas. Niech go rekin połknie, upadł na cztery łapy jak kot. Ciekaw jestem, co on im takiego powiedział?

— Niezwykły człowiek! — szepnął Tomek.

— Słuchaj, brachu! Myśmy szli mu na pomoc, a tymczasem to on uratował nas wszystkich. Cóż tu poczniesz sam wśród tych kąśliwych os? Zostaję, we dwóch łatwiej stąd czmychniemy. Zorganizuj nową wyprawę i czekaj na nas za dwa miesiące w umówionym miejscu.

— A może ja pozostanę ze Smugą? — odparł Tomek.

— Ty pewnie odnajdziesz drogę. Musisz wyprowadzić z matni nasze kobiety. Zuch baby! Najpierw ocal tamtych, a potem spiesz nam z pomocą. Idź już! Opowiem Kampom, jak to bogowie zaopiekowali się wami!

Kapitan Nowicki uśmiechnął się na samą myśl, że zadziwi Smugę i Kampów. Mocno uścisnął Tomka, wypchnął go na schody, po czym starannie zaryglował przejście. Znów podszedł do okna. Smuga otoczony wodzami wracał do pałacu. Nowicki uśmiechnął się i legł na matach. Był śpiący.

\* \* \*

Przez pierwsze trzy dni uciekinierzy wciąż przystawali i nasłuchiwali. Tomek lub wierny Haboku co pewien czas wspinali się na szczyty gór i z niepokojem spoglądali ku wulkanowi. Zdawało się im, że wybuchy nieco osłabły i następowały w coraz dłuższych odstępach czasu. Choć sami znajdowali się w ciężkiej sytuacji, wciąż powracali myślami do dwóch przyjaciół, którzy musieli pozostać w mieście wolnych Kampów.

Wkrótce jednak bezpośrednio niebezpieczeństwo całkowicie pochłonęło myśli uczestników niefortunnej wyprawy. Skromne zapasy żywności wyczerpały się po dwóch dniach. Cubeowie wyszukiwali jadalne korzenie i rośliny, czasem upolowali strzałami z łuków kilka papug. Głód dokuczał wszystkim. Za radą Haboku pokrzepiali się ożywczymi liśćmi koki, ale wędrówka po bezdrożnych górach coraz bardziej wyczerpywała siły.

Noce były bardzo chłodne. Zimny wiatr dął od zaśnieżonych szczytów. Na każdym noclegu uciekinierzy musieli budować szałasy, a mimo to zimno dawało się im porządnie we znaki. Kuźmy, w które zaopatrzył ich Smuga, były jedynym ciepłym odzieniem, jakie posiadali. Toteż każdej nocy z utęsknieniem oczekiwali wschodu słońca.

Na szczęście w dzikiej gęszy górskiej nie napotykali ludzi. Coraz śmieiej szli na południowy wschód, a szóstego dnia Tomek odważył się na rozpalenie ogniska. Rosół z papug i ryby upieczone na rozgrzanych kamieniach pokrzepiły nadwątlone siły uciekinierów.

Dziesiątą noc spędzili w opuszczonym szałasie pasterzy, a następnego dnia natknęli się po raz pierwszy na osadę Keczuanów, czyli górskich Indian. Mieszkali w chatkach zbudowanych z dużych kamieni, przysypywanych ziemią. Zajmowali się hodowlą lam i owiec.

Porozumienie się z Keczuanami nie było łatwe. Nie znali hiszpańskiego ani portugalskiego, nieufnie spoglądali na białych. Tomek kupił od nich jagnię, które upiekli w całości. Przenocowali w chacie pasterzy. Rankiem przyszedł z pastwiska młody Keczuanin, który znał sporo słów portugalskich. Od niego Tomek dowiedział się, że o dwa dni drogi doliną znajduje się chata mulnika, wynajmującego podróżnym muły i konie. Droga, przy której mieszkał ów mulnik, wiodła do Tarmy. Za rewolwer i kilka naboju pasterz zgodził się doprowadzić uciekinierów do drogi.

\*

Był to piętnasty dzień od ucieczki z fortecy wolnych Kampów. Tomek jechał na mule tuż za poganiaczem. Co chwila oglądał się na Sally i resztę towarzyszy wyprawy. Z wyjątkiem Haboku wszyscy drzemali w siodłach. Muły postękiwały, lecz wytrwale szły wyboistym traktem.

Tomek wychudł, był zmęczony tak jak inni, lecz ani na chwilę nie przymknął oczu. W pobliskiej Oroyi mieli już wsiąść w pociąg do Limy.

Tomek przestał kłopotać się o Sally, Nataszę i Marę. Były bezpieczne. Teraz już układał plan wyprawy ratunkowej dla Smugi i Nowickiego.

Od czasu do czasu wydobywał z kieszeni mapę. Przypomniwał sobie wszystko, co wiedział o Boliwii. Czekąco go sporo kłopotów. Musiał szybko wyposażyć nową wyprawę. Miał nadzieję, że pieniądze za sprzedany jacht już nadeszły do banku w Iquitos. Jak przewidująco postąpił Nowicki, upoważniając go do dysponowania pieniędzmi!

Tomek wiedział, że nie zazna chwili spokoju, dopóki znów nie będzie razem z Nowickim i ze Smugą. Czyżby dotychczasowe trudy były całkiem bezcelowe? Nie, tak nie można powiedzieć. Zamyślony nawet nie spostrzegł Oroyi wyłaniającej się przed nimi.



# TOMEK W GRAN CHACO



## OJCIEC I SYN

*Lima, dnia 18 marca 1910 r.*

*Kochany Ojczy!*

*Przed wyruszeniem z Manaos na poszukiwanie zaginionego pana Smugi' wysłałem list, w którym informowałem Cię o zaistniałej niezwykle trudnej sytuacji. Wyprawa nasza, niestety, tylko połowicznie osiągnęła cel. Odnaleźliśmy pana Smugę, potem jednak już nam się nie poszczęściło. Wspaniały pan Smuga zapobiegł tragedii, lecz teraz nie tylko Jemu grozi śmiertelne niebezpieczeństwo, razem z nim jest bowiem Tadek Nowicki.*

*Obecnie przebywam z Sally, Natką i Zbyszkiem oraz z kilkoma indiańskimi przyjaciółmi w Limie w Peru i pośpiesznie organizujemy następną wyprawę ratunkową. Niełatwe zadanie, boję się, że pochopnie mógłbym popełnić jakiś błąd. Tak nam tu Ciebie brakowało, kochany Ojczy! I nagle olbrzymia niespodzianka!*

*Właśnie napisałem do dyrektora banku w Iquitos w sprawie przekazu pieniędzy dla Tadeka Nowickiego i w odpowiedzi powiadomiono mnie, że Ty, kochany Ojczy, znajdujesz się już w drodze z Manaos do Iquitos. Nawet nie potrafię wyrazić, jak olbrzymia radość ogarnęła nas na wieść, że wkrótce będziesz z nami w Limie. Byłem tak wzruszony, jak niegdyś w Trieście, gdy po latach tragicznej rozłąki znów Cię ujrzałem. Nie będę ukrywał — popłakaliśmy się wszyscy. Radość nasza jest tym większa, że Twoja wiedza i życiowe doświadczenie mogą uchronić nas przed jakimś nierozważnym krokiem. Przecież chodzi o ratowanie życia naszych najbliższych przyjaciół — Tadeka Nowickiego i pana Smugi!*

*Domyślam się, że Twój nieoczekiwany przyjazd do Ameryki Południowej mimo woli spowodował Tadek, który w tajemnicy przed nami wysłał Ci pełnomocnictwo na sprzedaż swego jachtu i prosił o jak najszybsze przekazanie pieniędzy do banku w Iquitos. Aż się dziwię, że właśnie Tadek, który zawsze najpierw uderza, a dopiero potem myśli, tym razem okazał się najbardziej z nas wszystkich przewidujący. Jeszcze w drodze do Brazylii, gdy markotno nam było, że nie mogłeś wyruszyć z nami, Kapitan pocieszał nas mówiąc: «Niezbyt to roztropnie wyrzucać za burtę od razu wszystkie koła ratunkowe.» Miało to oznaczać, że skoro taki doświadczony podróżnik, jak*

*pan Smuga, przepadł bez wieści, to i nam również może przydarzyć się coś złego, a wtedy z kolei Ty, Tatusiu, będziesz mógł pospieszyć nam z pomocą. Przewidywania Tadka sprawdziły się.*

*Pan Nixon w Manaos zapewne już poinformował Cię o naszych dotychczasowych poczynaniach, ponieważ za pośrednictwem banku w Iquitos powiadomiłem Go listownie o przebiegu wyprawy i miejscu obecnego naszego pobytu. Mimo to, dla pewności, że już w drodze do nas będziesz się orientował w sytuacji, jeszcze raz piszę o zaistniałych wypadkach.*

*Otóż po wielu perypetiach odnaleźliśmy pana Smugę, który podczas pościgu za mordercami nieszczęsnego Johna Nixona, bratanka właściciela Kompanii Nixon–Rio Putumayo, został wzięty do niewoli przez Indian Kampą<sup>768</sup> w Gran Pajonalu. Kampowie traktują Go jako swego białego wodza–maskotkę, co podnosi ich znaczenie u okolicznych plemion. Zanim odnaleźliśmy pana Smugę, nie obyło się bez starcia z Kampami, którzy kryją się przed białymi w głuszy Andów, w pobliżu ruin starożytnego miasta Inków, i zazdrośnie strzegą swojej tajemnicy. Tylko dzięki mirowi, jaki posiada pan Smuga u Kampów, doprowadzono nas do niego żywych. Zostaliśmy również uwięzieni.*

*Na nasze nieszczęście w tym właśnie czasie pobliski wulkan wznowił działalność. Przesądni i zabobonni Kampowie sądzili, że wybuch wulkanu jest karą bogów, rozgniewanych wtargnięciem białych intruzów do tajnej siedziby wolnych Kampów. Szaman orzekł, że dla przebłagania bogów należy złożyć krwawą ofiarę z dwóch białych kobiet — Sally i Natki. Miały być strącone w przepaść. Uratował je pan Smuga, który odkrył pomysłowe urządzenie, sporządzone jeszcze przez inkaskich kapłanów, umożliwiające ocalenie piękniejszych kobiet poświęcanych na ofiarę Słońcu. Podczas dopełniania obrzędu przebiegły szaman odgadł podstęp i wtedy pan Smuga musiał go zabić, żeby nie mógł nas zdradzić.*

*Pan Smuga polecił mi wymknąć się z resztą członków wyprawy tajnym podziemnym korytarzem, sam zaś postanowił nadal pozostać u Kampów, aby ułagodzić ich gniew i opóźnić pościg. Nie chciałem na to przystać. Kampowie mogli przecież srodze zemścić się na panu Smudze. Tadek jednak stanowczo poparł pana Smugę. Twierdził, że tylko ja potrafię odnaleźć właściwy kierunek w górskich bezdrożach. Cóż mogłem począć?! Trzeba było ratować kobiety. W*

768

— Mowa o wydarzeniach opisanych w powieści *Tomek u źródeł Amazonki*.



*ostatniej chwili Tadek z własnej woli pozostał z panem Smugą. Nie miałem mu tego za złe, ponieważ sam zamierzałem tak postąpić.*

*Udało się nam szczęśliwie dotrzeć do Limy, ale drżymy z niepokoju o naszych przyjaciół. Przed rozstaniem uzgodniłem z panem Smugą, że mniej więcej za dwa miesiące będę czekał na nich z nową wyprawą w pobliżu północnej granicy Boliwii. Pan Smuga oświadczył, że wkrótce po naszej ucieczce również umknie z Tadkiem i obydwaj stawią się w umówionym miejscu. Nie mam pojęcia jednak, w jaki sposób dokonają tego bez broni i ekwipunku! Sytuacja jest nadzwyczaj groźna. Pan Smuga jest pewny, że Kampowie przygotowują powstanie przeciwko białym w Montanii. Jeśli spóźnimy się z pomocą, cóż wtedy stanie się z naszymi przyjaciółmi?! Nawet nie chcę o tym myśleć! Tylko Sally podtrzymuje nas na duchu, twierdząc, że takich dwóch wspaniałych mężczyzn nie da sobie dmuchać w kaszę! Oby miała rację!*

*Nie warto tracić czasu na domysły. Musimy jak najprędzej wyruszyć z bronią i ekwipunkiem. Próbuję organizować wyprawę. Nie mamy jednak zbyt wiele pieniędzy. Kampowie wprawdzie nie przetrzęsali nam kieszeni, ale to, co posiadamy, nie wystarczy. Dlatego skontaktowałem się z dyrektorem banku w Iquitos. Poinformował mnie, że Ty lada dzień masz być u niego, aby się dowiedzieć, gdzie jesteśmy. Dlatego list ten wysyłam na adres banku.*

*Mieszkamy w Hotel Pałce „Bolivar”, a nasi wierni towarzysze z plemienia Cubeo korzystają z gościnności krewnych zmarłego przed rokiem pana inżyniera Habicha<sup>769</sup>. Indianie źle się czuli w warunkach hotelowych. Nasz Dingo, dla większej swobody, przebywa razem z nimi.*

*Kochany Tatusiu! Nie rozpisuję się teraz więcej. Opowiemy wszystko dokładniej osobiście. Z utęsknieniem czekamy na Ciebie. Zastaniesz nas w hotelu. Pokój dla Ciebie już zarezerwowany.*

*Całujemy Cię i mocno ściskamy...*

---

<sup>769</sup> — Kampowie (Campa), zwani również Anti lub Chuncho — najpotężniejsze z plemion indiańskich w Peru, mówią językiem arawak. Zamieszkują trójkąt rzek: Pachitea, Tambo i Perene, największe skupiska przy ujściach Puyeni, Cheni i Anapati. Kampowie dzielą się na trzy gałęzie: Atiri — ci znad rzek Cheni i Tambo zachowują prastare obyczaje; Antaniri w ostępach puszczy — rzadko stykają się z białymi; Amatsenge — ukrywający się w lasach na wschodnich stokach Andów (pasma Sira na południu Gran Pajonalu), najbardziej wrodozy białym ludziom.

Tomasz Wilmowski skończył czytanie na głos listu, który dopiero co napisał do ojca. Wyczekująco spojrział na żonę i kuzynostwo.

— Nie umiałabym napisać tak rozsądnego listu — pochwaliła Sally. — Nic dziwnego, że wszystkie moje przyjaciółki na pensji w Australii zawsze prosiły, żebym czytała im listy od ciebie!

Tomek uśmiechnął się do żony, po czym zapytał:

— Zbyszku, a twoje i Natki zdanie?

— Jasno i zwięźle przedstawiłeś sytuację. Jak słusznie napisałeś, wszystko opowiemy szczegółowo po przybyciu twego ojca. Nareszcie ciężar spadł mi z serca! Jestem pewny, że wujek potrafi znaleźć najlepsze wyjście z tych tarapatów. Dowodem na to, że pan Hagenbeck nie wyraził zgody na jego wyjazd z nami, a teraz, proszę, wujek już jest w drodze do Iquitos! Zaraz się zajmę wysłaniem listu.

— Chwileczkę, Zbyszku! — zaproponowała Sally. — Najpierw wszyscy go podpiszemy!

— Moi kochani, teraz i ja zaczynam nabierać nadziei — odezwała się Natasza. — Czy wy jednak naprawdę sądzicie, że szlachetny pan Smuga i pan Nowicki zdołali się ocalić po naszej ucieczce?! Ani na chwilę nie mogę przestać o nich myśleć!

— Jeszcze zatańczymy na weselu Tadzia Nowickiego, zobaczysz! — zapewniła Sally.

Natasza smutno się uśmiechnęła i wyszeptała:

— Gdybym tak mogła zobaczyć, co się teraz z nimi dzieje...

## OKO W OKO Z PUMĄ

Słońce chyliło się ku zachodowi, srebrząc czapy wiecznych śniegów i lodowców na szczytach bezkresnych gór. Na wyżej położonych stokach jeszcze jaśniał pełny dzień, ale w głębokim wąwozie już zaczynał słać się półmrok.

Wysoki, barczysty mężczyzna pewnie kroczył po urwistej górskiej ścieżynie. Na pierwszy rzut oka mógł uchodzić za Indianina. Bujne włosy nosił krótko, równo przycięte dookoła głowy, na twarzy nie miał zarostu, a miedzianobrazowy kolor skóry również upodabniał go do krajowców. Był to jednak biały człowiek, ponieważ w przeciwieństwie do Indian, chodzących w tych regionach prawie nago, miał na sobie koszulę, podniszczone spodnie i trzewiki z nieco dłuższymi cholewkami. Chód jego przypominał sposób chodzenia marynarzy. Bo też był to marynarz, kapitan Nowicki. Przyspieszał kroku; w oczach już mieniła mu się bujna zieleń porastająca płaskie dno wąwozu, która tak bardzo kontrastowała z nagimi, skalistymi i piarzystymi zboczami.

Nowicki nie lubił górskich wędrówek. Uważał, że jego herkulesowa budowa nie sprzyja naśladowaniu lam<sup>770</sup>, które znajdowały przyjemność w karkołomnych wspinaczkach. Jednak przewrotny los często płatał mu złośliwe figle. Obecnie właśnie przebywał w dziczy peruwiańskiej na wschodniej stronie Andów, będących najdłuższą ciągłą barierą górską na Ziemi i wysokością ustępujących jedynie najwyższym górom świata, Himalajom.

Nowicki, już trochę zmęczony, przystanął przy głazie, a po chwili usiadł na nim, żeby wyrównać przyspieszony oddech. Spojrzał ku zachodowi. Zmrużył oczy. Promienie zachodzącego słońca, jak w olbrzymim lustrze, odbijały się od lśniących lodowców. Markotny odwrócił głowę w kierunku

---

<sup>770</sup> — W 1979 r. odbyły się w Limie uroczystości związane z siedemdziesiątą rocznicą śmierci profesora Edwarda Habicha, honorowego obywatela Peru. Habich zaangażowany został w 1869 r. przez rząd peruwiański do pracy na stanowisku inżyniera rządowego i odegrał ogromną rolę w tworzeniu nowoczesnego Peru, podobnie jak Ignacy Domeyko w Chile. Między innymi utworzył pierwszą w Ameryce Łacińskiej politechnikę (Escuela de Construcciones Civiles y Minas del Peru), której dyrektorem był do końca życia. Habich na wykładowców w tej uczelni ściągnął z Paryża polskich inżynierów: Ksawerego Wakulskiego, Władysława Klugera i Feliksa Kucharzewskiego.

północnym. Tam piętrzyła się olbrzymia góra wulkaniczna. Nowicki westchnął i mruknął:

— A niech to wieloryb połknie! Tam oślepiający lodowiec, a tutaj dla odmiany wulkan! Gdzie spojrzysz, same górzyska, a co jedno to gorszy diabeł! Że też takiego morowego kumpla jak nasz Smuga zawsze musi nieść licho do jakichś zapadłych zakamarków świata! Sporo już mieliśmy z nim kłopotów... To w Afryce oberwał od Mulata zatrutym nożem, to przepadł na bezdrożach Tybetu, to zaciągnął nas do łowców głów, no, a teraz udaje, że rządzi czerwonoskórymi dzikusami, siedząc u nich w niewoli. Ba! Co gorsza, teraz i ja tkwię w tym cuchnącym bigosie razem z nim!

Nowicki utyskiwał na Smugę, ale w rzeczywistości zawsze był gotów wskoczyć dla niego nawet w ogień. Nie tylko szanował i podziwiał tego niezwykłego podróżnika, kochał go jak rodzzonego brata. Toteż utyskując na niespokojnego ducha przyjaciela, wcale nie miał do niego żalu, że z jego powodu obaj wpadli w tarapaty. Nowicki wprost przepadał za niezwykłymi przygodami, przeżywając je czuł się jak ryba w wodzie. Wcale też nie kłopotał się o własne bezpieczeństwo. Poczciwy marynarz z warszawskiego Powiśla po prostu był zatroskany o swoich ulubieńców — Tomka Wilmowskiego i jego rezolutną, odważną żonę, Sally.

Od ucieczki Tomka z resztą uczestników wyprawy upłynęło parę dni. Smuga i Nowicki tymczasem nadal przebywali u Kampów, oczekując na sposobną okazję do wyrwania się z niewoli. Nic jednak nie wróżyło, że taka chwila może wkrótce nadejść.

Kampowie niby to uwierzyli Smudze, iż zniknięcie przyjaciół oraz pozostanie Nowickiego należy przypisać niezbadanym poczynaniom bogów, ale jednocześnie wzmoгли czujność. Jeńcy zaś z obawą obserwowali zbrojne oddziały Indian wyruszające w kierunku południowo-zachodnim i niecierpliwie oczekiwali ich powrotu. Dopiero po kilkunastu dniach, gdy Kampowie wrócili bez uciekinierów, odetchnęli z ulgą.

Minęły trzy tygodnie i czas zaczął naglić. Cóż bowiem uczyniłby Tomek nie mogąc się doczekać przyjaciół na granicy boliwijskiej? Na pewno by powrócił do zagubionej w Andach kryjówki Indian. Smuga i No wieki nie mogli do tego dopuścić.

Nowicki, odpoczywając na górskim stoku, rozmyślał i ciężko wzdychał. Zdawał sobie sprawę, że nie chcąc narażać Tomka na ponowne dostanie się do niewoli, muszą ze Smugą jak najprędzej zaryzykować ucieczkę.

„*A jeśli nam się nie powiedzie?*” — pomyślał i jeszcze bardziej się zasepił. Po chwili mruknął:

— Żeby wściekły rekin połknął tych szalonych dzikusów! Przez nich napytaliśmy sobie biedy!

Nazwał Kampów dzikusami, ale w rzeczywistości wcale o nich źle nie myślał ani źle im nie życzył. Podczas pobytu z Tomkiem w Arizonie, na pograniczu Stanów Zjednoczonych i Meksyku, zetknął się z Indianami północnoamerykańskimi, a obecnie przebywał wśród Indian Ameryki Południowej. Miał więc okazję przekonać się, że Indianie byli tacy sami jak pozostali ludzie na świecie. Także wśród Indian znajdowali się szlachetni i podli, przyjaźni i źli. Nienawiść rdzennych mieszkańców Ameryki do białych spowodowali okrutni, zachłanni biali najeźdźcy z Europy.

Nowicki współczuł niedoli nieszczęsnych Indian. Przecież jego ukochana ojczyzna również już od przeszło stu lat była okupowana przez trzech znienawidzonych zaborców. Nowicki świadom był, że on i jego przyjaciele nieproszeni wtargnęli do kraju Kampów, którzy mieli prawo traktować ich jak intruzów. Mimo to Kampowie odnosili się z szacunkiem do Smugi jako do swego wodza-maskotki. Nowickiemu również nie czynili krzywdy. Podziwiali jego niezwykłą siłę i odwagę, a nawet polubili za przyjazne odnoszenie się do wszystkich. Kampowie bacznie śledzili każdy krok Smugi, ale Nowickiemu nie bronili samotnych wycieczek poza osadę. Zwrócili mu nawet jego nóż myśliwski, aby nie był całkowicie bezbronny. Widocznie byli przekonani, nie bez słuszności, że nie umknie bez Smugi.

Nowicki skwapliwie wykorzystywał swoją względną swobodę. Gdy tylko nadarzała się okazja, myszkował po górach w przeświadczeniu, że poznanie okolicy ułatwi zamierzoną ucieczkę. Obecnie także powracał z dłuższego wypadu na południowy wschód. Odpoczął przysiadłszy na głazie. Pierś jego już unosiła się w równym oddechu. Spojrzał ku zachodowi. Słońce niemal dotykało lśniących bielą szczytów górskich.

— Coś długo dzisiaj zamarudziłem... — szepnął.

Raźno powstał z głazu. Szybko zaczął schodzić na dno wąwozu. Do ruin starożytnego miasta było już niedaleko, ale na tej szerokości geograficznej noc zapadała prawie nie poprzedzana zmierzchem. Nowicki wkrótce znalazł się na występie skalnym. Nieco niżej bujnie zieleniły się drzewa i zarośla, między którymi widniała szeroko wydeptana ścieżka. Nowicki przykucnął chcąc zeskoczyć na nią, lecz nieoczekiwany widok przykuł go do miejsca.

Otóż na ścieżce znajdowała się Agua, najmłodsza żona szamana. Stała jak wrośnięta w ziemię, tylko jej wyciągnięte do przodu ręce lekko drżały. W oczach Indianki malowało się przerażenie.

Nowicki jednym rzutem oka ocenił grozę sytuacji. Nie opodał porażonej strachem kobiety mały chłopczyk, pochylony ku ziemi, przytrzymywał wyrywające mu się z rąk szczenię pumy<sup>771</sup>. O kilka kroków za plecami malca czaiła się szarorudawa matka szczenięcia. Gniewnie marszczyła pysk i szczyrzyła kły. Ogon jej coraz szybciej uderzał o boki. Zapewne wyruszyła na wieczorne łowy, a szczenię samowolnie wyszło za nią z kryjówki i natknęło się na Indiankę z chłopczykiem. Nad nieświadomym grozy sytuacji dzieckiem zawisła nieuchronna zguba. Lwy amerykańskie, czyli pumy, rzadko napadają na ludzi, lecz w sytuacjach zagrażających życiu ich samych lub potomstwa zdobywają się na odwagę i zuchwale atakują. Obecnie szczenię znajdowało się w niebezpieczeństwie, a pumy są bardzo troskliwymi matkami...

„Zginą, kobieta i dziecko!” — przemknęło Nowickiemu przez myśl.

Nie wahał się ani przez chwilę. Pochylony do przodu, ostrożnie przekradał się w kierunku przeciwnego krańca występu skalnego. Niebawem znalazł się w połowie odległości pomiędzy dzieckiem i drapieżnikiem. Nie odrywając od niego wzroku, przesunął pochwę z nożem na prawy bok.

Puma jeszcze nie dostrzegła człowieka przyczajonego na zwisającym nad ziemią występie skalnym. Całą uwagę skupiła na popiskującym szczenięciu. Przymrużone skośne ślepia błyskały złowieszczo. Coraz bardziej obnażała

---

<sup>771</sup> — Lamy, czyli bezgarbne wielbłądy Ameryki Południowej, są mieszkańcami gór. Rodzaj ten należy do rodziny wielbłądów i obejmuje cztery gatunki: guanaki (*Lama Huanachus*), alpaki (*Lama pacos*), lamy (*Lama glamd*) i wikunie (*Lama vicugna*). W Peru i Boliwii udomowiono lamy jeszcze w czasach przedkolumbijskich, dostarczały cennej wełny, mięsa i mleka, a same były używane jako zwierzęta juczne. Alpaki są drugim z rodzaju lam udomowionym zwierzęciem. Hoduje się je ze względu na szczególnie wartościowe długie, miękkie runo, przeważnie białe, brązowe lub czarne, które w Andach zastępuje owczą wełnę. Wszystkie lamy są bardzo czujne, obdarzone bystrym wzrokiem i słuchem.

kły. Naraz zaczęła jakby kulić swe cielsko... Rozbrzmiało głucho warczenie, po czym puma sprężystym długim skokiem rzuciła się do przodu. Zanim jednak dosięgła chłopczyka, Nowicki całym ciężarem ciała zwałił się na jej grzbiet, przytłoczył do ziemi. Szybkim jak mgnienie oka ruchem przesunął lewe ramię pod łbem i przycisnął go do swej piersi. Mocarny to musiał być uścisk. Z szeroko rozwartej paszczy zwierzęcia wyrwał się chrapliwy charkot. Lśniące cielsko błyskawicznie zwijało się i rozkurczało jak elastyczna sprężyna, ale Nowicki był zaprawiony do walki wręcz jak mało kto. Nogami, niby kleszczami, opasał szalejącą pumę, nie pozwalając zrzucić się z grzbietu. Wiedział, że gdyby udało jej się strząsnąć go z siebie, wtedy z łatwością dosięgłaby jego gardła.

Rozgorzała gwałtowna walka. Człowiek i zwierzę spleceni w jeden kłęb przetaczali się po ziemi tak szybko, że nawet nie można było dostrzec, które z nich znajdowało się na wierzchu. Na rękach Nowickiego nabrzmiały żyły, duże krople potu zrosiły czoło. Naraz ostre pazury drapieżnika dosięgły jego lewego uda. Dramatyczna walka przybierała zły obrót, więc jednym ramieniem jeszcze mocniej nacisnął krtań zwierzęcia, drugim zaś sięgnął po nóż tkwiący za pasem. Raz za razem stalowe ostrze zagłębiało się w prężącym się cielsku. Zdawało się, że rozszalała puma zrzuci go teraz z siebie, ale jedno z pchnięć noża zapewne trafiło we właściwe miejsce, gdyż jej gwałtowność zaczęła słabnąć, aż wreszcie zwierzę znieruchomiało.

Nowicki jeszcze dłuższy czas leżał na ziemi przyciskając łeb pumy do swej piersi. Wreszcie całkowity bezwład zwierzęcia upewnił go, że to już naprawdę koniec zmagania. Zepchnął z siebie cielsko drapieżnika, po czym siadł na ziemi. Ciężko oddychając rozejrzał się za kobietą i dzieckiem. Młoda Indianka klęczała nie opodal na ścieżce, tuląc wystraszonego malca. Nowicki uśmiechnął się do nich i zawołał żargonem będącym mieszaniną języków arawakańskiego i keczuańskiego przeplatanych słowami hiszpańskimi<sup>772</sup>:

---

<sup>772</sup> — Największymi amerykańskimi kotami są jaguary (*Panthera onca*) i pumy, czyli kuguary (*Felis concolor*). Najbardziej widoczną różnicę między nimi stanowi umaszczenie. Jaguary są cętkowane, natomiast pumy mają jednostajne ubarwienie, od jasnoszarego do piaskowobrazowego, z białą plamką na podbródku. Jaguary są przeważnie zwierzętami tropikalnymi, zamieszkują zalesione brzegi rzek, skraje bagnistych puszczy i trzęsawisk. Ociężałe w dzień, w nocy stają się szybkie i zwinne. Jedzą większe kręgowce aż do tapira, aligatory, żółwie, ryby, młode bydło, żrebaki i muły. Jaguary rzadko spotyka się na północ od Meksyku. Dobrze rozmnażają się w ogrodach zoologicznych, można je krzyżować z panterami. Pumy żyją w lasach, sawannach i górach — spotyka się je od Argentyny do

— Po strachu! Możecie wracać do domu!

Chciał się podnieść, lecz ostry ból w lewym udzie przypomniał mu o zranieniu. Spojrzał na nogę. Spod rozszarpanych spodni wyzierała podłużna, krwawiąca rana.

— Do stu zdechłych wielorybów! — mruknął. — A to mnie zwierzak urządził! Trzeba zatrzymać upływ krwi...

Ściągnął koszulę, nożem odciął rękawy, z których zrobił bandażę, zsunięcie spodni i przewiązanie rany nie trwało zbyt długo. Teraz podniósł się z ziemi. Utykając podszedł do niedoszłych ofiar pumy. Wziął chłopczyka na rękę. Malec ufnie objął go rączkami za szyję i przytulił się do niego.

— No, kochany brachu, nie bój się, już nic ci nie grozi — uspokajał go Nowicki. — Na szczęście nadszedłem w porę! Agua, zbieraj się, zaraz za padnie noc!

Kobieta wszakże dalej klęczała na ziemi i spoglądała na Nowickiego pełnym podziwu wzrokiem. Wszyscy Indianie zawsze bardzo wysoko cenili męstwo i siłę mężczyzn, ale w tym wypadku nie tylko niezwykła odwaga Nowickiego wprowadziła Indiankę w zdumienie. Oto prawie bezbronny biały jeniec zaryzykował własne życie dla uratowania wrogów od niechybnej śmierci.

Nowicki nie domyślał się nawet, co w tej chwili odczuwała młoda i ładna Indianka. Dla niego zawsze było rzeczą naturalną, że silniejszy powinien stawać w obronie słabszych, a szczególnie kobiet i dzieci. Spełnił więc swój obowiązek i nie widział w tym nic nadzwyczajnego. Zniecierpliwiony zachowaniem Indianki odezwał się gderliwie:

— Czemu tak oczy na mnie wytrzeszczasz?! Nigdy nie widziałaś chłopca w podartych portkach?! Ha, może i nie widziałaś! Sami paradujecie na golasa, to i portki mogą być dla ciebie rarytasem! Ale dość już tego dobrego! Chodźmy wreszcie, w brzuchu burczy mi z głodu.

Po tych słowach zdumienie Indianki jeszcze wzrosło. Zrozumiała, że ten biały mężczyzna nie uważał swego czynu za rzecz niezwykłą. Pełna sprzecznych uczuć zwinnie powstała z ziemi.

— Puma cię zraniła, czy będziesz mógł dojść do osady o własnych siłach? — zapytała.

---

Kanady. W lasach pumy chwytają podobną zwierzynę jak jaguary, ale na otwartej przestrzeni i w górach ścigają owce, konie i krowy.



— Mogę czy nie mogę, muszę to zrobić jak najprędzej — odparł Nowicki. — Pazury zwierzaka brudne, trzeba opatrzyć ranę, żeby się nie paskudziła.

— Onari zna dobre leki. Na pewno zajmie się tobą — powiedziała Agua.

— Wiem, że twój szanowny mężulek warzy w chałupie zielska i trucizny niczym czarownica na Łysej Górze albo pigularz w aptece — z humorem odpowiedział Nowicki. — Bierz chłopca, a ja poniosę szczeniaka pumy. Jeszcze za mały, żeby sam mógł dać sobie radę w puszczy. Zabiłem matkę, więc trzeba się nim zaopiekować.

— Daj, to moja puma, moja! — zawołał chłopczyk.

— Twoja będzie, brachu, twoja... — potaknął Nowicki. — Wiem przecież, że lubujecie się w trzymaniu różnych zwierzaków w swoich chałupach<sup>773</sup>. Będziesz jednak musiał pilnować, żeby mała puma wkrótce nie urządziła sobie wyżerki z twoich małą i papug.

Mówiąc to odszukał popiskujące trwożliwie szczenię, schwytał je, po czym utykając ruszył w kierunku osady. Tymczasem ściemniało się coraz bardziej. Agua zaczęła przyspieszać kroku, ponieważ Indianie nie lubią nocnych wędrówek po puszczy. Nowicki, wiedząc o tym, z trudem za nią nadążał, gdyż zraniona noga dawała mu się coraz bardziej we znaki.

W miarę jak szli wąwozem, strome zbocza oddalały się od siebie, aż wreszcie ustąpiły miejsca rozległej, falistej dolinie okolonej pasmami gór. Z lewej strony na urwistym skalnym wzniesieniu bielily się kamienne ruiny starożytnego miasta, za którymi pięła się ku niebu wulkaniczna góra o tępo ściętym wierzchołku. W dole, na prawo od niej leżały sadyby wojowniczych wolnych Kampów.

Osadę tworzyło około trzydziestu wiele — i jednorodzinnych chat, zwanych w języku Kampów pangotse. Były one typowe dla budownictwa Indian leśnych, które musiało się przeciwstawiać wilgoci ciągnącej od ziemi i podmywaniu przez powodzie podczas tropikalnych ulew oraz opierać się częstym na tych szerokościach geograficznych huraganom. Toteż podstawę

---

<sup>773</sup> — Montanię, obejmującą wschodnią stronę Andów od granic Peru z Kolumbią, Brazylią i Boliwią, zamieszkiwało również kilka plemion wywodzących się z Indian tropikalnych lasów Ameryki Południowej. Należały one do różnych grup językowych. Po podboju hiszpańskim misjonarze wprowadzili w Montanii język keczua (quechua), którym posługiwali się Inkowie. W ten sposób keczua zmieszany z miejscowymi językami stał się żargonem używanym w Montanii.

każdego domu tworzyły grube słupy z twardego drewna głęboko wkopane w ziemię, obudowane na pewnej wysokości lżejszymi belkami i prętami powiązаныmi elastycznymi lianami, bądź też były to po prostu otwarte z boków nadziemne „*werandy*”. Wielkie, owalne strzechy nakrywały domy wielorodzinne, chaty jednorodzinne natomiast posiadały spiczaste dachy kryte liśćmi palmowymi. Cienkie przegrody z prętów bambusowych dzieliły wnętrza większych chat na izby i werandy.<sup>774</sup>

Duże domy wielorodzinne stały w pewnej odległości od siebie. Mieszkało w nich po kilka rodzin należących do tego samego rodu zarządzanego przez naczelnika. Nieco na uboczu mieściły się znacznie mniejsze chaty jednorodzinne. W nich to mieszkali ci, którym albo nie odpowiadały rządy naczelnika rodu, albo pragnęli się wyłączyć z gromadnego współżycia.

Szaman Onari zajmował oddzielną obszerną chatę, ponieważ nie chciał zdradzać ziomkom tajemnic swoich magicznych i lekarskich praktyk. Agua z dzieckiem na ręku pierwsza wkroczyła na werandę mężowskiej chaty. Powitał ją utyskujący, skrzekliwy głos starszej żony szamana, która gotowała strawę na płonącym na uboczu ognisku.

Agua odwróciła się do Nowickiego i rzekła:

— Poczekaj tutaj, niebawem wrócę po ciebie — po czym zniknęła w głębi chaty.

Nowicki ociężale przysiadł na wysokim progu werandy. Szczenię pumy, które wciąż trzymał pod pachą, zaczęło się wyrywać i tylnymi łapami dotknęło jego uda. Nowicki syknął z bólu, dłonią osłonił nogę. Prowizoryczny opatrunek przesiąknięty był ciepłą, lepką krwią. Piekący ból wzmagął się z każdą chwilą.

Tymczasem z wnętrza chaty dochodziły odgłosy początkowo głośniejszej rozmowy mężczyzny i kobiet. Nowicki ciekawie nadstawiał ucha, ale naraz głosy przycichły i nie mógł uchwycić nawet pojedynczych słów. Wkrótce najstarsza z żon szamana wyszła z chaty.

— Chodź, potężny Onari zajmie się tobą! — zawołała.

---

<sup>774</sup> — Indianie mają wiele sentymentu dla wszelkich zwierząt leśnych oraz ptaków, które dają się oswajać, i bardzo lubią trzymać je w chatach. Swoich ulubieńców otaczają pieczołowitą opieką, małe ptaszki nawet karmią z własnych ust, kobiety zabierają małpki idąc do pracy itp. Najczęściej spotyka się w indiańskich chatach małpki, papugi, tukany, kapibary i żółwie.

Nowicki z trudem wspiął się na werandę. Widząc to, Indianka podparła go silnym ramieniem i poprowadziła do izby oddzielonej przegrodą od reszty domu.

Nowicki po raz pierwszy przekraczał próg chaty szamana, który odnosił się nieufnie do obydwóch białych jeńców, a nieraz nawet podburzał swoich przeciwko nim. Onari był następcą szamana zabitego przez Smugę podczas strącania dwóch białych kobiet w przepaść. Większość Kampów uwierzyła Smudze, który oskarżył szamana o zamiar przerwania obrzędu, Onari jednak nie ufał białemu wodzowi. Podejrzewał, że ten podstępnie zgładził jego poprzednika dla siebie tylko wiadomych celów i oszukał przesądnych, łatwowiernych Kampów. Obydwaj biali jeńcy doskonale wyczuwali wrogość domyślnego szamana i mieli się przed nim na baczności. Toteż Nowicki z pewnym niepokojem wchodził teraz do jego tajemniczej chaty. Od razu spostrzegł szamana — stał w głębi izby pochylony nad naczyniami wiszącymi na kiju przy tłącym się ognisku. Jak większość Kampów Amatsenge, Onari był nagi. Tylko mały fartuszek na sznurku z łyka opasującym biodra osłaniał podbrzusze. Brudne ciało i twarz szamana pokrywały namalowane magiczne znaki, które jakoby chroniły przed złymi duchami, urokami i ukąszeniami jadowitych węży. Na głowie miał przybraną barwnymi piórami papug strojną koronę, uplecioną z włókien palmowych, ze zwisającym z tyłu oryginalnym ogonem zdobionym pękami spreparowanych kolibrów. Na przegubach rąk i kostkach u nóg nosił ręcznie plecione opaski.

Onari pochylony nad dymiącymi tyglami uniósł głowę i spojrzał na Nowickiego trzymającego szczenie pumy. Potem powoli się wyprostował, obrzucił jeńca przenikliwym spojrzeniem. Klasnął w dłonie. Zza przepierzenia wyszła Agua.

— Zabierz pumę! — rozkazał nawet nie spoglądając na ulubioną żonę. Gdy zostali sami, Onari zbliżył się do Nowickiego. Przez chwilę obydwaj mierzyli się badawczym wzrokiem, po czym Onari rzekł:

— Zdejmij spodnie i połóż się tutaj, wirakucze<sup>775</sup> — ręką wskazał wąską, płaską prycę z trzcin powiązanych lianami.

---

<sup>775</sup> — Indianie lasów tropikalnych nawet po podboju europejskim zachowali rodzime budownictwo. Budują różne typy domów: wielorodzinne maloki długości do 200 stóp, wysokie na 60, kryte olbrzymim półowalnym, słomianym dachem prawie sięgającym ziemi, w których mieszkają pojedyncze rody liczące 100 i więcej osób; małe chaty jednorodzinne nakryte spiczastymi dachami z

Nowicki bez słowa wykonał polecenie. Onari, nie spiesząc się, podszedł do rusztowania z prętów, na którym stały większe i mniejsze kalebasy. Z jednej nalał jakiegoś gęstego płynu do drewnianego kubka, potem zbliżył się do Nowickiego.

— Wypij to, zanim obejrzę twoją ranę! — polecił.

— Ejże, czarowniku, chcesz mnie uśpić?! Cóż to za paskudztwo?

— podejrzliwie zapytał Nowicki. — Obejdzie się bez tego, wytrzymam!

— Dobrze wiem, że potrafisz spoglądać śmierci w oczy — odparł Onari.

— Każdy z nas jednak ma swoje tajemnice. Wypij więc!

Nowicki wahał się, spoglądał na szamana, którego twarz nie odzwierciedlała żadnych uczuć. Onari zapewne domyślił się obaw nurtujących jeńca, po chwili bowiem powiedział:

— Nienawidzę białych ludzi, wiesz o tym! Jednak uratowałeś od śmierci moją żonę i syna narażając własne życie. To nie trucizna, wypij!

— Dobra, niech będzie na twoim! — odparł Nowicki, uśmiechając się w odpowiedzi na domyślność czarownika. Wziął kubek z jego rąk i wypił miksturę.

Szaman znów podszedł do ogniska. Zaczął sporządzać leki, to szepcząc zaklęcia, to zawodząc monotonne pieśni.

Nowicki leżał bez ruchu, tylko jego wzrok leniwie błędził po szamańskiej chacie.

W kątach izby szwendało się kilka pstrokatych papug z podciętymi skrzydłami, aby nie mogły uciec. Niektórym brakowało w ogonach piór, powyrywanych na przystrajanie koron noszonych przez Kampów. Mała małpka uganiała się za ptakami. Popiskiwała z uciechy, gdy pociągane za ogony papugi skrzeczały umykając niezgrabnie i próbowały dosięgnąć ją swymi mocnymi, zakrzywionymi dziobami.

Wkrótce igraszki zwierząt przestały interesować Nowickiego. Już nie odczuwał bólu, myśli stawały się leniwsze. Jeszcze tylko przez chwilę

---

liści palmowych bądź, jak u Kaszybów, kopulastą strzechą, czym ci ostatni różnią się od innych plemion. W całej Montanii, z wyjątkiem murowanych domów, buduje się chaty nadziemne, przypominające werandę umieszczoną na palach wysoko nad ziemią i osłoniętą jedynie od góry strzechą. Niektóre plemiona (Kampowie) stawiały w domach wewnętrzne przegrody, inne (Czamowie) nie robiły ich. Budownictwo Indian lasów tropikalnych było tak doskonale dostosowane do warunków miejscowych, że nawet biali hacjenderzy przejęli je i budowali swe domy z trzciny, które tylko wyróżniały się schludniejszym wyglądem zewnętrznym.

spoglądał na zwisające z belek pod dachem pęki kaczanów kukurydzy, kiście dojrzewających bananów, zioła wydzielające oszałamiający aromat oraz wiązki długich trzcin na strzały do łuków.

Powieki ciążyły mu coraz bardziej. Pułap chaty kołysał się jak statek na wzburzonym morzu i rozpływał we mgle. Zdawało mu się, że słyszy głucho dudnienie bębna, brzęczenie grzechotki i niepokojący śpiew. Naraz ujrzał pumę... Fosforyzujące ślepie wpatrywały się w niego, kosmata łapa pazurami zrywała bandaż z jego rany. Czasem łeb drapieżnika przeistaczał się w głowę szamana przystrojoną koroną, aż w końcu Nowickiego ogarnął całkowity mrok.



## NARADA PRZYJACIÓŁ

Nowicki głęboko westchnął, po czym wolno uniósł powieki. Trochę zdumiony stwierdził, że spoczywa na swojej pryczy w komnacie zajmowanej ze Smugą w kamiennej budowli starożytnego miasta. Jeszcze nieco zamroczony twardym, długim snem leniwie spoglądał w otwór, przez który przenikały palące promienie słoneczne. Nie mógł zebrać myśli, jakieś dziwne przywidzenia nadal nękały jego wyobraźnię. To pумы czały się wokół niego, a on, jak to nieraz czynił Tomek, poskramiał je siłą sugestywnego spojrzenia, to znów szaman przystrojony w wielką koronę podsuwał mu truciznę chichocząc szatańsko, podczas gdy za plecami starego męża młoda Agua robiła do niego oko. Nowicki zaniepokojony zalotami Indianki wreszcie otrząsnął się z resztek niemocy i pomyślał:

*„Niech to wieloryb połknie! Cóż to za głupstwa śniły mi się tej nocy?!”* Przez jakiś czas jeszcze leżał bez ruchu, stopniowo odzyskując świadomość. Wydarzenia poprzedniego dnia odżywały w jego pamięci... Walka z pumą, tajemniczy Onari opatrujący ranę... Aby się ostatecznie upewnić, czy to wszystko nie było tylko sennym majakiem, siadł na pościeli. Energicznie odrzucił okrywającą go miękką skórę zwierzęcą. Szeroki bandaż z włókien kory spowijał lewe udo.

— Do stu beczek zjętcałego tranu! — mruknął półgłosem. — To naprawdę nie był sen!

W tej samej chwili za jego plecami rozbrzmiał dobrze mu znany głos:

— Dzień dobry, kapitanie! To nie był sen. Radzę nie wykonywać tak gwałtownych ruchów!

Nowicki natychmiast odwrócił głowę. Smuga siedział na pryczy w głębi komnaty. Teraz powstał, schował wygasłą fajkę do kieszeni kuźmy i podszedł do przyjaciela.

— Dzień dobry, Janie! — niefrasobliwie powitał go Nowicki. — Jak widzę, słoneczko już mocno przygrzewa, a ja jeszcze się wyleguję w betach. W jaki sposób znalazłem się tutaj? Nie mogę sobie przypomnieć. Indiański znachor uśpił mnie w swojej chacie, a potem...

— A potem w nocy Kampowie przynieśli cię nieprzytomnego na noszach — wpadł mu w słowa Smuga. — No, niezłego napędziłeś mi stracha!

— Niepotrzebnie, Janku, przecież nic wielkiego się nie stało. Kocisko tylko drasnęło mnie pazurem!

— Ładne mi draśnięcie! — rzekł Smuga uśmiechając się do Nowickiego.

— Dobrze wiem, co zaszło! Onari wszystko mi opowiedział. Tutaj nie wolno lekceważyć takich ran. Oby tylko nie wdało się zakażenie!

— Przecież dobrze o tym wiem! Dlatego zaraz pokuśtykałem do szamana, chociaż nigdy mu nie dowierzaliśmy.

— Postąpiłeś bardzo rozsądnie — pochwalił Smuga. — Tutejsi szamani znają wiele ziół, roślin i korzeni skutecznie leczących różne choroby. Tej wiedzy mogliby im pozazdrościć europejscy lekarze, którzy uważają szamanów za szalbierzy i kuglarzy. Onari zapewnił, że twoja rana wkrótce się zagoi. Uspokoił mnie, bo wiem, że on naprawdę zna się na rzeczy.

— To aż chodziłeś do niego? — zdumiał się Nowicki.

— Nie musiałem. Przyniesiono cię tutaj pod jego dozorem. Potem w ciągu nocy sam przychodził dwukrotnie. Poił cię jakimiś wywarami, okadzał i nucił czarodziejskie „*kołysanki*” niczym niemowlęciu — z humorem wyjaśnił Smuga.

— Ha, skoro tak było, to muszę przyznać, że zachował się przyzwoicie mimo nienawiści do nas. Dziwni są ci Indiańcy!

— W rzeczywistości podczas pokoju są to dumni, nie znający kłamstwa, łagodni ludzie. Zjednałeś sobie ich uznanie, ponieważ postępujesz szlachetnie i, tak jak oni, nie znasz uczucia strachu.

Nowicki uśmiechnął się trochę zażenowany i jednocześnie zadowolony, ponieważ wielce cenił słowa Smugi, którego doświadczenie, opanowanie i odwagę zawsze podziwiał. Po chwili zaczął się rozglądać wokoło.

— Do licha, co to ma znaczyć? Nie widzę mojego ubrania! — rzekł.

— Gdy cię tutaj przynieśli, byłeś goły jak święty turecki, ale zostawili ci kuźmę — mówiąc to Smuga wskazał leżącą obok na ławie powłóczystą szatę, w jaką sam również był odziany.

— Ejże, przecież to za kuse na mnie! — oburzył się Nowicki.

— Wyglądałbym jak w ubraniu z młodszego brata albo jak japoński zapaśnik! Wolę już chodzić na golasa jak Kampowie.

— Jestem pewny, że to by im się spodobało — powiedział rozweselony Smuga. — Jednak nie wszyscy Kampowie chodzą nago, nawet tutaj.



Kampowie Atiri i Antaniri noszą kuźmy, które przejęli między innymi od mieszkańców sąsiednich Andów Centralnych<sup>776</sup>. Tylko najprymitywniejsi Amatsenge nie noszą ubrań, gdyż w upalnej dżungli na wschodnich stokach Andów nie są im potrzebne. A w ogóle nie kłopot się teraz ubraniem. Musisz poleżeć kilka dni, żeby rana mogła się jak najprędzej zagoić.

— Ha, to prawda! — przyznał Nowicki. — Lada chwila będziemy musieli umykać. Trudno by mi było nadążyć za tobą. Tak, tak, czas nagli. Myśl o Tomku nie daje mi spokoju.

— Mnie również — przyznał Smuga. — Musimy się stąd wymknąć w ciągu najbliższych dni. Może teraz nadarzy się lepsza okazja?

— Naprawdę tak sądzisz? — zapytał Nowicki ożywiony nadzieją. Smuga przez chwilę rozmyślał, po czym rzekł:

— Śmiałym czynem zjednałeś sobie wielkie uznanie u Kampów. To w gruncie rzeczy dobrzy ludzie. Uważnie obserwowałem Onariego, który przecież dotąd najwięcej nam bruździł. Naprawdę gorliwie zajął się tobą.

— Czy to może mieć dla nas jakieś znaczenie?

— Może tak, a może nie. Jestem pewny, że bardzo zyskaliśmy w ich oczach. Nastroje u Indian szybko się jednak zmieniają. Zresztą w najbliższym czasie wyjaśni się nasza sytuacja.

Za matą osłaniającą wyjście na korytarz rozbrzmiały przyciszone głosy kobiece oraz charakterystyczne brzęczenie dzwoneczków zrobionych z nasion i przywiązanych do sznurka, którym Kampijki na tańce i w uroczystych chwilach opasują swe biodra.

Obydwaj przyjaciele zaintrygowani przerwali rozmowę. Do komnaty weszło kilka młodych kobiet na czele z Aguą. Jak większość mieszkanek lasów tropikalnych, ubrane były tylko w dwa zszyte razem kuse fartuszki z grubego brązowego samodziału, które zakrywały brzuchy i pośladki. Długie czarne, proste włosy opadały im na plecy, niemal sięgając pasa. Każda z kobiet nosiła drewniany grzebyk zawieszony na szyi na kolorowym sznurku z włókien roślinnych.

---

<sup>776</sup> — W mitologii Inków Kon-Tiki-Wirakocza lub Wirakucze był dobrotliwym białym, brodatym bogiem, który zasmucony ludzką niewdzięcznością powędrował na morze i zniknął po drugiej stronie widnokregu. Gdy do Ameryki Południowej przybyli europejscy konkwistadorzy, krajowcy uznali ich za wysłanników owego boga. Do tej pory w niektórych regionach słowa wirakucze używa się na określenie przybyszów.

Nowicki uśmiechnął się szeroko do Indianek. Na chwilę niemal zapomniał o wszelkich troskach na widok mis pełnych jedzenia. Od porannego posiłku poprzedniego dnia nie miał nic w ustach, ponieważ uśpiony przez szamana przespał cały wieczór i noc. Toteż smakowite zapachy gotowanych kur i ryb, pieczonych słodkich kartofli, ryżu, czerwonej fasoli, kukurydzy i świeżych bananów oraz duży dzban masato<sup>777</sup> wprawiły go w doskonały humor.

— Ho, ho! Spójrz, Janie! — odezwał się po polsku. — Śniadanko niczym w „*Bristolu*” w Warszawie, a obsługa wystrojona jak na zabawę, trzeba przyznać, przyjemna dla oka!

— Masz rację, niczego sobie, niczego! — potwierdził Smuga. — Takie kelnerki na pewno by wzbudziły uznanie panów w „*Bristolu*”.

Agua tymczasem przystanęła przed Nowickim, przyjrzała mu się bacznie, a potem powiedziała:

— Widzę, kumpą, że już czujesz się znacznie lepiej. Wczoraj byłeś bardzo głodny, ale Onari zapewnił mnie, że nieprędko się przebudzisz. Dlatego dopiero teraz przyniosłyśmy jedzenie.

Zaledwie Agua się odezwała, Smuga i Nowicki nieznacznie wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Po raz pierwszy od uwięzienia ktoś z Kampów nazwał jednego z jeńców kumpą, czyli kumem, którym to przydomkiem obdarzali swoich krewnych lub przyjaciół. Toteż Nowicki pokrzepiony na duchu rzekł:

— Dzięki dobrym lekom twego mężulka rana prawie już mi nie dolega. Wkrótce na pewno wstanę i pohulam z wami, ślicznotki, bo widzę, że przystroiliście się jak na tańce.

Indianki ustawiały na ławie naczynia z pożywieniem, uśmiechały się i ciekawie zerkały na białych mężczyzn, a dzwoneczki opasujące biodra pobrzękiwały w takt ich poruszeń. Agua zaś, wciąż stojąc przed Nowickim, mówiła:

---

<sup>777</sup> — Liczne plemiona lasów tropikalnych, które zadomowiły się na wschodniej stronie Andów w Montanii, przejęły pewne elementy kultury cywilizacji ludów z Andów Centralnych, a więc: ubieranie się w kuźmy (cushma), sadzenie kartofli, hodowlę zwierząt górskich (lam i alpaki) i świnek morskich w wyżej położonych okolicach, a także łóżka platformowe, którymi zastąpiono hamaki powszechnie używane do spania przez Indian lasów tropikalnych, a które w Montanii służyły już tylko jako kołyski dla dzieci.

— Onari jest pewny, że rana szybko się zablizni. Jego czary odeгнаły od ciebie uroki złego ducha, który mieszkał w pumie.

— Senor Smuga powiedział mi, że Onari czuwał nade mną — powtórzył Nowicki. — Podziękuję mu, gdy tylko będę mógł go odwiedzić.

— On przyjdzie do ciebie opatrzyć ranę.

— Doskonale, wtedy mu podziękuję. Czy możesz mi powiedzieć, gdzie jest moje ubranie? W kuźmie wyglądałbym dość kuso...

— Nie martw się tym, kumpa — odparła Indianka. — Starsze żony Onariego reperują spodnie. Nim słońce zajdzie, będziesz je miał.

— Skoro tak, to teraz posilę się z przyjacielem, bo naprawdę jestem tak głodny, że mógłbym zjeść nawet ciebie!

Kobiety parsknęły piskliwym śmiechem. Agua, również rozbawiona, powiedziała:

— Nie przestraszysz mnie, kumpa! Tylko Witotowie i Kaszybowie jedzą ludzkie mięso.

Indianki chichocząc i pobrzękując dzwoneczkami wybiegły z komnaty. Przyjaciele znów zostali sami.

— No i co teraz powiesz, kumpa Nowicki? — żartobliwie zagadnął Smuga.

— Ha, wygląda na to, że te wesołe dzierlatki przyniosły nam niezłą nowinę — odparł Nowicki dobierając się do gotowanej kury. — Teraz jednak najpierw się posilmy, bo na głodnego żadna dobra myśl nie przyjdzie do głowy.

Przez dłuższy czas jedli w milczeniu. Smuga z niemym podziwem spoglądał na Nowickiego, który z nie słabnącym apetytem pochłaniał jedną potrawę po drugiej. Wreszcie jednak zaspokoił pierwszy głód i sięgnął po duży dzban.

— Napijmy się, Janie! Masato spożywane nie w nadmiarze wspaniale ułatwia trawienie — zaproponował.

Smuga westchnął biorąc kubek i rzekł:

— Zazdroszczę ci, Tadku! O wiele dłużej od ciebie przebywam wśród Indian, a mimo to wciąż jeszcze mierzi mnie ich ulubione masato i chicha.

— Boś zbyt wielki higienista! Tomek też obrzydzał mi chichę u Indian Cubeo. Cóż to wam szkodzi, że Indianki przeżuwają ziarna kukurydzy na

zaczyn napitku? Widocznie taki przepis odziedziczyły po swoich mamusiach. Poza tym sam widziałem, że one płuczą usta po każdym jedzeniu.

— A czy nie zauważyłeś owrzodzonych ust u starszych kobiet nałogowo żujących kokę?!

— Nie wymagaj ode mnie, żebym zerkał na staruchy! — oburzył się Nowicki. — Poza tym powiem ci, że nie warto być zbyt dociekliwym. Widzisz, mój stryjek miał piekarnię na Powiślu. Byłem wtedy jeszcze smykiem, ale już lubiłem wszędzie wścibiać nos. Tak więc pewnego wieczoru w wakacje poszedłem do piekarni stryjka zobaczyć, jak to się robi chleb. Noc była parna. Nagrzewany do wypieku piec wprost zionął żarem. Nic więc dziwnego, że z półnagich piekarczyków, wygniatających rękami ciasto na chleb, pot spływał niczym woda ze strażackiej sikawki. Trochę mi to poszło nie w smak. Toteż rankiem, podgrymaszając na pieczywo przy śniadaniu, opowiedziałem wszystko mojemu staruszkowi. A on trzepnął mnie w ucho i rzekł: „*Na drugi raz nie zaglądasz do kuchni, to i innym nie będziesz obrzydział jedzenia!*” No, teraz wreszcie wypijmy za naszą i naszych przyjaciół pomyślność!

Po spełnieniu toastu Nowicki mówił dalej:

— Przyznaję, że nawet przy najgorszym rumie, nie mówiąc już o jamajce, masato jest podłą lurą, ale na bezrybiu i rak ryba. Teraz możemy zakurzyć fajki i spokojnie pogadać. Pomyślniejszy wiatr zdaje się nareszcie dmuchać w nasze żagle. Powiedziałeś jednak, że nastroje u Indian szybko ulegają zmianom, więc teraz musimy jak najprędzej wykorzystać sytuację.

Smuga długo milczał pykając fajkę, zanim się odezwał:

— Od ucieczki naszych przyjaciół przemyślałem, jak moglibyśmy się sami oswobodzić. Umkniecie stąd nie powinno sprawić większych trudności. Kłopoty rozpoczną się dopiero później. Widzisz, nie możemy uciekać tym samym co Tomek, najkrótszym szlakiem. Kampowie wprawdzie nie zdołali schwytać uciekinierów, ale jestem pewny, że natrafili na kogoś, kto ich widział. Obecnie skrzętnie strzegą tego szlaku.

— Czyżbyś zamierzał wobec tego uciekać przez Gran Pajonal?! — niedowierzająco zapytał Nowicki. — Przecież tam właśnie schwytyją nas jak amen w pacierzu!

— Zgadza się z tobą, Gran Pajonal również nie wchodzi w rachubę.

— Więc co nam pozostaje?!

— Musimy iść wprost na wschód, przez dżungle i między wrogie białym plemiona.

— Na wschód, mówisz? To znaczy ku granicy brazylijskiej, a więc w przeciwnym kierunku od miejsca spotkania ustalonego z Tomkiem!

— Teraz trafiłeś w dziesiątkę! Czekają nas długa, ryzykowna droga, ale dzięki temu ominiemy Gran Pajonal, który tak samo jak południowy zachód jest pilnie strzeżony przez Kampów oraz ich sprzymierzeńców.

— Niby racja, ale nakładając drogi, możemy się spóźnić na spotkanie z Tomkiem! A cóż on by wtedy uczynił?! Jak amen w pacierzu próbowałyby przedostać się do nas i wpadłby prosto w pułapkę. Musimy temu zapobiec za wszelką cenę!

— Jedynym sposobem jest stawienie się w uzgodnionym miejscu jeszcze przed przybyciem Tomka — powiedział Smuga. — Toteż nie możemy dłużej zwlekać z ucieczką.

— Dobrze to wszystko przemyślałeś — przyznał zafrasowany Nowicki.

— Sęk tylko w tym, że nie mamy broni, ekwipunku i tragarzy. Na dobitkę ta dzierlatka szamana wspomniała o jakichś Witotach i Kaszybach. Czy oni naprawdę są ludożercami?

Smuga powtórnie nabił fajkę tytoniem, przypalił od tłącego się w kącie kaganka i dopiero wtedy odezwał się:

— Etnografią pasjonuję się od wielu lat. Obecnie też nie marnotrawiłem czasu w niewoli. Przy każdej okazji zbierałem informacje o plemionach w Montanii. Poznanie ich zwyczajów mogło przydać się również podczas ucieczki, o której nigdy nie przestawałem myśleć.

— Zawsze zdumiewają mnie twoje wiadomości o świecie i ludziach — wtrącił Nowicki. — Ty, Tomek i jego szanowny ojciec to chodzące encyklopedie. Mów, mów, słucham!

— Nad górną Aguaitią<sup>778</sup> mieszkają wojowniczy Kaszybowie, nazywani przez Czamów „*Ludem nietoperza*”. Nienawidzą białych oraz Indian z

---

<sup>778</sup> — Musujące masato i chicha (czicza) są indiańskimi napojami alkoholowymi, otrzymywanymi w podobny sposób w drodze fermentacji. W celu sporządzenia masato zakopuje się w ziemi duże gliniane naczynie tak, aby wystawała tylko jego górna część. Następnie kobiety obsiadają je, przeżuwią gotowaną jukę i kukurydzę, a potem dobrze zmieszane ze śliną wypluwają do naczynia. Do takiego zaczynu dodają kilkanaście gotowanych bananów dla nadania smaku i wszystko zalewają zimną wodą. Zaczyn fermentuje około trzech dni. Potem znów dolewa się wody, dokładnie miesza ręką i napój jest gotowy do picia.

obcych plemion. Po rzece pływają na małych tratwach. Mężczyźni chodzą nago, a kobiety okrywają biodra krótką spódniczką. Zabitemu wrogowi odcinają głowę, ręce i nogi. Z wyrwanych zębów robią ozdoby, natomiast kończyny wygotowują aż do odpadnięcia mięśni. Potem z kości wyrabiają piszczalki i groty do strzał. Podczas gotowania makabrycznych trofeów wojennych niektórzy czasem skosztują tej osobliwej „zupy”, chcąc w ten sposób przyswoić sobie odwagę lub siłę zabitego wroga. Z tego też zapewne powodu powstało mniemanie o ich ludożerstwie. Mówiono mi także, iż palą oni zwłoki zmarłych krewnych razem z osobistym dobytkiem, prochy natomiast zjadają, aby przejąć przymioty tych, którzy od nich odeszli.

— Wręcz nieprawdopodobne rzeczy opowiadasz! — zdumiał się Nowicki. — Czy o Witotach również udało ci się czegoś dowiedzieć?

— Witotowie są prawdziwymi ludożercami i łowcami ludzkich głów. Zjadają wrogów zabitych na wojennych wyprawach. Za szczególny przysmak uważają serce, wątrobę i szpik kostny. Zdobyte głowy wrogów pomniejszają do rozmiarów głowy noworodka. W plemienu tym widoczne są wpływy afrykańskich Murzynów, niewolników zbiegłych z plantacji. Otóż Witotowie porozumiewają się za pomocą tam–tamów oraz grają na bambusowych fletach i bębnach. Niektórzy z nich mają także wełniste włosy. Tańce Witotów oparte są na wzorach indiańskich i afrykańskiej sambie.

— Dziwne mi się wydaje, że Witotowie będąc ludożercami nie pozjadali zbiegłych do nich niewolników murzyńskich! — zdumiał się Nowicki. — Ale z tam–tamami to prawda, już o tym słyszałem.

— Widocznie Indian i Murzynów jednoczyła nienawiść przeciwko białym — odpowiedział Smuga. — Wpływy murzyńskie są jeszcze widoczniejsze u Indian Kokama, żyjących w pobliżu Iquitos. Wielu z nich posiada indiańskie skośne oczy i murzyńskie grube wargi.

— A niech to wściekły wieloryb połknie! — mruknął Nowicki. — Miły to i wesoły kraik z tej Montanii!

— Masz rację, Tadku! — przytaknął Smuga. — Wszak Montania jest ojczyzną pokuny, czyli świstuchy lub dmuchawki, jak ją niektórzy nazywają. Tych pokun używają Jivarowie i Yahuanie, także polujący na ludzkie głowy. To właśnie Yahuanie ucięli głowę nieszczęsnemu bratankowi Nixona.

— Pamiętam, pamiętam, opowiadałeś mi o tym strasznym wydarzeniu. Przecież z tego powodu wpadłeś w tarapaty. Jeszcze chciałem cię zapytać o Czamów, którzy uważają Kaszybów za ludojadów.

— Plemię Czamów składa się z trzech szczepów: Kunibo, Ssipibo i Ssetebo. Czamowie to raczej spokojny lud prowadzący wędrowny tryb życia w poszukiwaniu pożywienia. Niczym europejscy Cyganie, włóczą się grupkami po rzekach i jeziorach Montanii w małych, charakterystycznych łódeczkach, które są dla nich tym, czym stały się mustangi dla Indian preriowych w Ameryce Północnej. Czamowie na ogół są bardzo leniwi, toteż zadowolają się zdziczałą juką, bananami i rybami, na polowanie zaś wyruszają dopiero wtedy, gdy ich kobiety gwałtownie domagają się mięsa.

— Jak widzę, słusznie mówi się, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło — zauważył Nowicki. — Ładnie byśmy wyglądali, gdyby to Czamowie nas więzili! Kampowie przynajmniej nie morzą nas głodem. Wypiję jeszcze łyk masato, a ty mów dalej, Janie.

— Czamowie wierzą jedynie w czary i szamanów, którzy jakoby posiadają w swej piersi zatrute kolce mogące powodować u innych ludzi śmiertelne choroby. Wszyscy Czamowie zniekształcają głowy niemowlętom<sup>779</sup>. Gdy kobieta urodzi bliźnięta, uważają, że to kara za kiedyś popełnioną przez nią zbrodnię. Bliźnięta, jako złe duchy, żywcem zakopują w ziemi, podczas gdy matka żyje później w odosobnieniu i pogardzie. Jeżeli zdarzy się również, że matka umrze podczas porodu, to ojciec zakopuje noworodka razem z nią.

— Trudno uwierzyć w takie barbarzyństwo! I to mają być według ciebie raczej spokojni ludzie?! — oburzył się Nowicki.

— Drogi kapitanie, mówiąc tak miałem na myśli jedynie ich stosunek do innych. W rzeczywistości Czamowie wojują tylko z Kaszybami, których się bardzo obawiają. Może zetkniemy się z Czamami, ponieważ spotyka się ich nad brzegiem Ukajali aż do okolic Cumarii<sup>780</sup>.

---

<sup>779</sup> — Aguaitia (lub Aguaicia) — lewy dopływ Ukajali, około 170 km na północ od Masisei.

<sup>780</sup> — Zniekształcanie polegało na uciskaniu górnej części głowy niemowlęcia, dopóki nie przybrała oryginalnego, spiczastego kształtu. Dwa woreczki piasku przymocowywano do dwóch deseczek, z których jedną przykładano do czoła, drugą na tył głowy i obydwie deseczki związywano ze sobą po bokach. Stały ucisk po jakimś czasie zniekształcał czaszkę, cofając czoło do tyłu. Zwyczaj ten, wywodzący się w Ameryce Południowej jeszcze z czasów panowania Inków, istniał również w Ameryce Pomocnej w plemieniu Flatheads (Płaskie Głowy), znany był także na innych kontynentach.

— Czy to ma znaczyć, że są przyjaźnie ustosunkowani do białych?

— Nie, oni również nienawidzą białych, którzy zmuszają ich do niewolniczej pracy, ale już się pogodzili ze smutnym losem. Niektórzy nawet chętnie odwiedzają swoich patronów, czyli rzekomych opiekunów, posiadających tyle dziwnych i nie znanych im rzeczy.

— Dobre i to dla nas! — powiedział Nowicki. — Sęk tylko w tym, że sami nic nie mamy. Gdybyśmy chociaż posiadali broń, na pewno dalibyśmy sobie radę. Ale nie traćmy ducha, przecież jakoś to będzie!

— Słusznie, Tadku, słusznie mówisz! — przytaknął Smuga. — Nie uznaję załamywania rąk! Nie będziemy mieli broni, ponieważ wszystko,} co udało się ukryć, oddałem Tomkowi.

— To zrozumiałe! — rzekł Nowicki. — Tomek miał trudniejsze zadanie, musiał ocalić kobiety.

— Wiedziałem, że tak powiesz — potwierdził Smuga z uśmiechem. — Przecież obydwaj pragniemy dobra Tomka i Sally.

— Mówisz, Janku, jakbyś czytał w moich myślach — przyznał Nowicki. — Jeśli teraz tak bardzo zależy mi na wydostaniu się stąd, to tylko dlatego, żeby nie narażać ich na dalsze niebezpieczeństwa.

— Wiem — przytaknął Smuga. — Myślę, że damy sobie radę. Wprawdzie przez jakiś czas będziemy bezbronni, lecz przecież później możemy się natknąć na obóz zbieraczy kauczuku i od nich coś zdobyć.

— Mała nadzieja dla nas, bo cóż moglibyśmy dać im w zamian?

— Kto wie, może nawet więcej, niż się spodziewasz — zagadkowo odparł Smuga.

— Ha, skoro tak mówisz, to nie rzucasz przecież słów na wiatr.

— Ufaj mi i nie kłopotz się tym. Byłeś tylko jak najprędzej wyzdrowiał. Teraz pójdę między Kampów do osady. Na pewno jeszcze plotkują o wczorajszych wydarzeniach. Warto wiedzieć, co w trawie piszczy, a ty wypoczywaj!

— Zgoda, przymknę oczy, po sutym śniadaniu sen mnie morzy — odparł Nowicki, układając się wygodnie na pryczy.



## SYN SŁOŃCA

Minęło kilka dni. Nowicki był już niemal zdrowy. Rana na nodze szybko się zablizniała. Właśnie miał zamiar ubrać się i pójść do osady, gdy Smuga wszedł do komnaty i jeszcze w progu odezwał się:

— Coś niezwykłego dzieje się dzisiaj u Kampów!

— Czyżby jakieś złe nowiny? — zaniepokoił się Nowicki.

— Obcy Indianie przybyli o świcie. Teraz naradzają się z miejscowymi kurakami<sup>781</sup>. Od czasu mego uwięzienia nie widziałem tutaj obcych przybyszów.

— Ciekawe, po jakie лихо przyszli? — powiedział zaintrygowany Nowicki.

— Wszyscy są bardzo podnieceni — dodał Smuga. — Oby to nie skomplikowało naszych spraw!

— Nie powinniśmy dłużej zwlekać! Za dwa, trzy dni możemy pryskać! Ale że coś się dzieje, to fakt! Spójrz, co Agua przyniosła dzisiaj rano!

Mówiąc to wskazał na pryczę. Leżały na niej spodnie, podkoszulek, flanelowa koszula i skórzana kamizelka bez rękawów. Smuga uważnie przyjrzał się ubraniu, a potem zdumiony rzekł:

— Ależ to wszystko nowe i uszyte jakby na ciebie!

— Bo też jest to naprawdę moje ubranie — odparł Nowicki.

— Skąd ona je wzięła? Przecież w skąym ekwipunku, z jakim tu przyszliście, nie było ubrań.

— Święta prawda! — przytaknął Nowicki. — Twój były przewodnik, którego przypadkiem napotkaliśmy umierającego, wskazał nam szlak omijający Gran Pajonal, ale i tak nie uniknęliśmy zasadzki.

— Domyślam się reszty — wtrącił Smuga. — W walce padło kilku waszych ludzi, więc musieliście porzucić część ekwipunku.

— Tak właśnie było! Trzech naszych zginęło, a zranioną Natkę musieliśmy jakiś czas nieść na noszach. Toteż część ekwipunku ukryliśmy w

---

<sup>781</sup> — Cumaria w owym czasie była zaledwie małą indiańską wioszczyną, w pobliżu której około 1880 r. założył gospodarstwo włoski emigrant i stworzył załazek późniejszej osady.

skałach. Mógł się przydać w powrotnej drodze. Widocznie po naszym odejściu Kampowie znaleźli pozostawione bagaże i przynieśli je tutaj.

— Nic mi o tym nie wspomnieli — mruknął Smuga i zapytał: — Czy oprócz ubrań zostawiliście coś więcej?

— Zaraz, zaraz, niech pomyślę! Z grubszych gratów był mały namiot z moskitierami, w którym sypiały kobiety, hamaki, trochę zapasowych ubrań, filtr do wody, garnki, no, sporo różnych drobiazgów.

— Czy jakąś broń także pozostawiliście?

— Trzech poległych Cubeów pochowaliśmy z ich karabinami, ale Kampowie mogli porozkopywać groby i wziąć broń. Naboje jednak zabraliśmy wszystkie.

— Razem z bronią, z którą przyszliście tutaj, stanowi to całkiem niezły arsenał, chociaż w rozgardiaszu po wzięciu was do niewoli udało mi się ukryć dwa karabiny i rewolwer, który potem dałem Tomkowi — powiedział Smuga. — Ciekawe, co oni zrobili ze zdobytymi rzeczami?

— Sądząc po moim ubraniu przyniesionym przez Ague, chyba mają wszystko w osadzie. Gdybyśmy mogli się dostać do naszych bagaży! Nasze akcje od razu poszłyby w górę.

— Nie tylko broń mogłaby mieć dla nas olbrzymie znaczenie. W każdym razie nie zauważyłem, żeby któryś z Kampów używał tego typu karabinów, jakie wyście mieli, a przecież uczę ich obchodzenia się z bronią palną. Oni posiadają odtylcówki produkowane we Francji i Niemczech specjalnie dla Indian.

— Na pewno jednak mają odebrane nam tutaj karabiny, a prawdopodobnie i te znalezione przy zabitych Cubeach. Słuchaj, Janie, nadstawię ucha i poniucham. Agua musi coś wiedzieć.

— To bardzo prawdopodobne, przecież jest ulubienicą Onariego — potwierdził Smuga. — To człowiek przebiegły i znaczący u Kampów. Zwróć baczniejszą uwagę na Ague, ale na litość boską, bądź ostrożny i przezorny! Jedno nieopatrzne słowo może zniweczyć nasze plany, nawet kosztować nas głowy. Igramy z ogniem na otwartej beczce prochu!

— Nie obawiaj się, Janie, będę dobrze trzymał język na wodzy. Ciekaw jestem, nad czym Indiańcy tak radzą? Źle dla nas czy dobrze, chowanie głowy w piasek niczego nie zmieni. Najlepiej chodźmy do Kampów, może się czegoś dowiemy.

— Rada dobra, więc się ubieraj! — zdecydował Smuga.

Nim minęła godzina, już wkraczali do osady. Od razu było widać, że tego ranka życie Kampów nie biegnie codziennym, utartym trybem. Obydwaj biali przyjaciele wiedzieli, że mieszkańcy lasów tropikalnych, wbrew błędnym mniemaniom mieszczuchów, musieli toczyć nieustanną walkę z zaborczą egzotyczną przyrodą w celu zdobycia skromnego pożywienia. Zwłaszcza kobiety obarczone były wieloma różnymi obowiązkami. Uprawiały kukurydzę, jukę, słodkie kartofle, fasolę, ryż, trzcinę cukrową, tytoń, zbierały owoce, gotowały posiłki, wyrabiały gliniane naczynia, sporządzały masato, szyły odzienie, robiły ozdoby, gromadziły opał i wychowywały dzieci. A gdy mąż wyruszał na wyprawę wojenną, żona szła razem z nim, by nieść jego łuk i strzały oraz worek z pożywieniem.

Życie mężczyzn, choć wiele czasu spędzali na pogadankach i plotkowaniu, również dalekie było od sielanki. Do nich należało polowanie na zwierzynę, łowienie ryb, sporządzanie łodzi, wiosł, łuków, strzał i narzędzi oraz karczunek lasu pod poletka uprawne. Ich obowiązkiem było bronić kobiet i dzieci, wyruszać na wyprawy wojenne, na których albo zabijało się przeciwnika, albo samemu ginęło z jego rąk. Rozliczne zajęcia wypełniały im bez reszty czas od wschodu do zachodu słońca.

Tego ranka jednak w osadzie działo się inaczej niż zazwyczaj. Przed chatami było widać gromadki mężczyzn. Przykucali na piętach bądź siedzieli na kłodach ściętych drzew i wiedli rozmowy. Kobiety także nie wyszły na poletka. Niby to zajmowały się sprawami gospodarskimi, ale co chwila zbiegały się tu i tam na wymianę spostrzeżeń i tak jak mężczyźni, ciekawie zerkały ku chacie narad. Nawet dzieciarnia i psy były tego ranka mniej hałaśliwe.

Przybycie białych jeńców do osady nie uszło uwagi Kampów. Szczególne zaciekawienie budził Nowicki, który zjawił się po raz pierwszy od dnia, kiedy zraniła go puma. Wszyscy spoglądali na niego z uznaniem, uśmiechali się i pozdrawiali. Niektóre młodsze kobiety posyłały mu zalotne spojrzenia. Dzieci pokazywały go sobie rękami.

Smuga z Nowickim właśnie mijali większą grupę wojowników rozprawiających przed dużym domem wielorodzinnym. Na widok nadchodzących przerwali rozmowę, jeden z nich podniósł się z pnia i zawołał:

— Witajcie, wirakucze! Przysiadźcie się do nas!

Był to wojownik zwany Czuasi, cieszący się dużym mirem w osadzie. Smuga znał go dobrze, ponieważ należał do najgorliwszych jego uczniów w nauce posługiwania się bronią palną. Czuasi był wysokim, atletycznie zbudowanym mężczyzną. Pod jego brunatną skórą prężyły się dobrze wyrobione mięśnie znamionujące siłę. Twarz miał pomalowaną na czerwono, we włosach na głowie nosił zatknięte papuzie pióra. Znany był powszechnie z wielkiej zuchwałości oraz okrucieństwa na wojennych wyprawach. Mimo to obecnie zachowywał się przyjacielsko i swobodnie, choć z pewną godnością, jak człowiek świadom swego znaczenia. Przyjaznym ruchem dłoni wskazał jeńcom miejsce na kłodzie obok siebie mówiąc:

— Siadajcie! Wszyscy chętnie posłuchamy o walce z pumą. Wiele rozprawiano o tym przy wieczornych ogniskach.

Nowicki usiadł między Czuasim a Smugą, machnął ręką i rzekł:

— Nie ma o czym gadać! Po prostu musiałem zabić pumę, która ostrzyła sobie zęby na Aguę i jej dziecko. To wszystko!

— Zabiłeś? — zdziwił się Czuasi. — Mówiono, że udusiłeś ją rękami!

— A cóż innego mogłem zrobić, skoro odebraliście mi broń?

— z humorem odparł Nowicki.

Kampowie wybuchnęli śmiechem, ubawieni prostoduszną odpowiedzią jeńca. Czuasi zmieszał się, ale po chwili i on śmiał się również.

Smuga nabijał fajkę tytoniem. Spod oka obserwował groźnych wojowników, którzy w tej chwili sprawiali wrażenie rozbawionych chłopców opowiadających sobie dowcipy.

— Onari mówił, że puma rozszarpała ci nogę, ty zaś mówisz: udusiłem ją i to wszystko! — zagadnął któryś z Kampów.

— Ha, jeśli o to chodzi, to faktycznie drasnęła mnie pazurami w udo — wyjaśnił Nowicki.

— To zaszczytna rana, powinieneś się nią chwalić — powiedział Kampa.

— Gdybyś nie nosił ubrania tak jak my, wszyscy moglibyśmy podziwiać twoją odwagę — wtrącił ktoś inny.

— Czy naprawdę chcecie zobaczyć ranę?! — zdumiał się Nowicki, a gdy usłyszał liczne potakiwania, rozpiął spodnie, zsunął je i odwinął bandaż.

Kampowie podchodzili kolejno, z poważnymi minami bacznie oglądali podłużną, dość głęboką, już zablizniającą się ranę. Głośno wymieniali uwagi.

Czuasi również przyjrzał się ranie, po czym dłonią klepnął w plecy Nowickiego i powiedział:

— Biały jesteś, kumpa, ale mimo to dzielny i dobry z ciebie człowiek. Nie gardzisz Indianami tak jak inni wirakucze.

Nowicki również poufale klepnął Czuasiego w plecy, mówiąc:

— Nigdy nie zadzieram nosa, poza tym mam wielu przyjaciół wśród Indian. Nawet omal nie ożeniłem się z córką jednego wodza.

— Nie żałuj, żeś jej nie wziął — powiedział Czuasi. — U nas też możesz sobie znaleźć nawet kilka żon. Powiedz tylko!

Nowicki zmieszał się takim obrotem rozmowy. Uważał, że żona dla marynarza jest tym samym co kotwica dla statku. Na szczęście nagłe poruszenie w kręgu słuchaczy wybawiło go z kłopotliwej sytuacji.

Smuga korzystając z zamieszania szepnął po polsku do przyjaciela:

— Uwaga! Narada skończona!

Z obszernego domu właśnie wychodzili wodzowie razem z obcymi Kampami. Ci ostatni odróżniali się ubiorem od półnagich miejscowych kuraków, gdyż nosili jednobarwne, brązowe lub niebieskie, długie kuźmy. Na głowach mieli korony z włókien palmowych przybrane jaskrawymi piórami ptaków, opasujące czarne, krótko przycięte włosy. Z sąsiedniej chaty wybiegła gromada kobiet również ubranych w kuźmy, różniące się tylko tym od męskich, że posiadały poprzeczne wycięcia na głowę zamiast podłużnych. Były to zapewne żony przybyszów, ponieważ każda z nich niosła łuk, pęk długich strzał oraz worek z pożywieniem.

Na czele gromady znajdował się półnagi Onari, a obok niego niski, smukły mężczyzna ubrany w długą, podniszczoną kuźmę oraz starą czapkę z daszkiem, często zwaną w Polsce cyklistówką.

Na widok nadchodzącej starszyny Kampowie otaczający Smugę i Nowickiego stanęli półkolem wyczekująco. Obcy Indianin, w oryginalnym jak na południowoamerykańską dżunglę nakryciu głowy, siedł teraz tuż przed szamanem. Wszyscy usłużnie i z nie skrywaną obawą ustępowali mu z drogi. Obcy niepozorny mężczyzna siedł pewnym krokiem przez samorzutnie tworzący się szpaler Kampów wprost ku dwóm białym jeńcom.

— Któż to jest ten na przedzie? — półgłosem zagadnął Smuga stojącego obok niego Czuasiego.

— To jest... Tasulinczi<sup>782</sup>, główny wódz wolnych Kampów z Gran Pajonalu — niezbyt chętnie wyjaśnił Czuasi.

Tasulinczi tymczasem podszedł do jeńców. Stał przed nimi mierząc ich zimnym, przenikliwym spojrzeniem. Wszyscy Kampowie z szacunkiem rozstąpili się przed nim. Nawet zuchwały nieustraszony Czuasi cofnął się nieco.

— Dzień dobry — po hiszpańsku odezwał się Tasulinczi. — Wiele nasłuchałem się o was, więc przyszedłem was poznać. Witajcie!

Mówiąc to kolejno podał rękę Smudze i Nowickiemu, jednocześnie zwyczajem południowoamerykańskim poklepał każdego z nich po łopatkach.

— Mówisz, że słyszałeś o nas, ale myśmy dotąd ciebie nie spotkali. Kim jesteś? — swobodnie zapytał Smuga.

— Yo soy hijo del soi!<sup>783</sup> — wymijająco odparł Tasulinczi i zaraz chętnie dodał: — Nie szkodzi, że nie słyszeliście o mnie dotąd, jeszcze przyjdzie na to czas!

Obcy Kampowie i Kalmpijki, którzy towarzyszyli Tasulincziemu, niedowierzająco patrzyli na białych mężczyzn. Korzystając z chwilowej przerwy w rozmowie, ostrożnie podeszli do nich, rękami dotykali ich twarzy, aby się upewnić, czy nie są pomalowani na biało. Potem obmacywali ubranie Nowickiego, buty, wsuwali palce w jego włosy, głośno komentując wszystko między sobą.

Opanowany Smuga ze stoickim spokojem znosił te niecodzienne objawy ciekawości, lecz porywczy Nowicki zmarszczył brwi i mruknął po polsku:

---

<sup>782</sup> — Kuraka — wódz, a raczej naczelnik grupy Indian w Montanii, odpowiednik afrykańskiego kacyka.

Sławny Tasulinczi pochodził z plemienia Kampów. Przez jakiś czas przebywał jako niewolnik u białego w okolicy rzeki Unini i wtedy nauczył się mówić dość płynnie po hiszpańsku. Po ucieczce do Gran Pajonalu do wolnych Kampów zdobył u nich wielki posłuch. Zapewne dzięki wrodzonym dużym zdolnościom dyplomatycznym, wytrwałości i sprytowi udało mu się pogodzić skłócone dotąd plemiona z Gran Pajonalu i wybrzeży Ukajali oraz nakłonić je w 1915 r. do wspólnego zbrojnego powstania w peruwiańskiej Montanii przeciwko znienawidzonym białym (autor niniejszej powieści przyspieszył o kilka lat wybuch powstania). Pod wodzą Tasulincziego zwycięska dla Indian krwawa wojna dotarła aż do średniego biegu Ukajali. Bezpardonowa rzeź wzbudziła przerażenie i popłoch wśród białych osadników. Okolice Ukajali opustoszały na długi czas. Biali odważyli się powrócić tam dopiero po kilku latach. Wybitny polski znawca Indian południowoamerykańskich, podróżnik i pisarz — Mieczysław Lepecki, który z ramienia rządu polskiego w 1928 r. badał możliwości rozwoju osadnictwa Polaków nad Ukajali, spotkał się i rozmawiał ze sławnym Tasulinczim w okolicach rzeki Tambo.

<sup>783</sup> — Yo soy hijo del soi (hiszp.) — Ja jestem synem Słońca.

— Cóż to za zwariowane cudaki?! Chyba trzepnę któregoś w ucho!

— Nie rób głupstw, Tadku! — ostrzegł Smuga. — Oni po prostu po raz pierwszy widzą białych ludzi.

Kampowie wkrótce zaspokoili swą ciekawość. Odstąpili od jeńców, a wtedy Tasulinczi zwrócił się do Smugi:

— Więc to ty nauczyłeś moich wojowników posługiwania się bronią białych ludzi. Dziękuję ci za to!

Potem odwrócił się do Nowickiego i powiedział:

— Słyszałem, że i ty nie gardzisz Indianami. Ocaliłeś żonę i dziecko Onarię. Tobie również dziękuję. Widziałem skórę dużej pumy, którą udusiłeś. Niełatwa to musiała być walka. Widziałem także robiony dla ciebie naszyjnik z kłów i pazurów pumy. To zaszczyt mieć taką odznakę! Musisz być niezwykle silny. Czy mógłbyś zabić człowieka uderzeniem pięści?

— Jeśli jesteś ciekaw, to powiem, że pewnego razu uderzeniem pięści w łeb powaliłem byka, który tratował człowieka — chętnie odparł No wieki.

— Czegoś takiego jeszcze nie widziałem! — zdumiał się Tasulinczi i zapytał: — Pirowie znad rzeki Tambo opowiadali, że jesteś bardzo bogaty. Mówiłeś im, że w swoim domu za oceanem masz jedenaście żon. Czy to prawda?

— Święta prawda! — niefrasobliwie potwierdził Nowicki. — Jak z tego wynika, bywasz w La Huairze u tego zbója i łowcy niewolników, Pancha Vargasa, bo właśnie jego Pirowie wypytywali mnie o żony.

— Bywam tam czasem, gdy odwiedzam Pirów, naszych sprzymierzeńców.

— No, no, dobrzy z was sprzymierzeńcy — ironicznie powiedział Nowicki. — Skoro jednak tak bardzo się przyjaźnicie, to może powiesz mi, dlaczego wynajęci przez nas tragarze z plemienia Pirów obawiali się iść z nami do kraju Kampów?

— Pytasz mnie, dlaczego Pirowie nie chcieli iść z wami do kraju Kampów — przeciągle powtórzył Tasulinczi. — Dobrze, odpowiem ci! Bardzo, bardzo rzadko może się komuś udać dotrzeć aż tutaj, ale jeszcze trudniej jest stąd wyjść... żywym. Zrozumiałeś? Znajdujecie się w głównej kwaterze wolnych Kampów.

W miarę jak Tasulinczi mówił, dobroduszny dotąd wyraz jego twarzy ulegał zmianie. Przez krótką chwilę odzwierciedlały się w niej bezwzględność i zimne okrucieństwo.

Nowicki ze złowieszczym uśmiechem na ustach już zaczął pochylać się ku Indianinowi, lecz czujny Smuga natychmiast mocno oparł dłoń na jego ramieniu i odezwał się:

— Mówisz, kurako, niezwykle intrygujące rzeczy, ale lepiej zapamiętuje się przestrogi, gdy zna się tego, kto ich udziela. Jak dotąd nie wymieniałś swego nazwiska.

Indianin przymrużonymi oczyma mierzył białych jeńców, lecz twarz jego znów była pogodna. Wreszcie uśmiechnął się i odparł:

— Nazywam się Tasulinczi. Zapamiętajcie to dobrze. Radzę rozejrzeć się wśród tutejszych kobiet. Przy wiernej żonie mężczyzna zapomina o troskach. No, teraz czas już na mnie. Adios, amigos!<sup>784</sup>

Podał jeńcom rękę, poufale poklepał ich po plecach, po czym odwrócił się i odszedł, a za nim podążyła cała jego świta. Większość Kampów ruszyła za swymi kurakami, toteż biali jeńcy, już nie zatrzymywani przez nikogo, opuścili osadę. W milczeniu szli ku kamiennemu miastu. Zanim jednak weszli pomiędzy ruiny, Smuga przysiadł na głazie wskazując zamyślonemu Nowickiemu miejsce obok siebie. Dopiero po dłuższej chwili pierwszy się odezwał:

— I co sądzisz o tym wszystkim, kapitanie?

— Wydaje mi się, że ten czerwonoskóry mikrus przyszedł tutaj dolać oliwy do ognia — odparł Nowicki.

— Chyba się nie mylisz — potwierdził Smuga. — Właśnie dziwna myśl strzeliła mi do głowy!

— Co to za myśl? — zaciekał się Nowicki.

— Posłuchaj cierpliwie — odparł Smuga. — Kampowie przygotowują rebelię przeciwko białym. Wiesz, w jakim celu sprowadzili mnie i uwięzili. Obawiałem się, że będziecie mnie szukali. Gdyby udało się wam wpaść na mój trop, czekała was śmierć. Chciałem temu zapobiec, więc pewnego razu udałem, że wpadam w trans hipnotyczny i przepowiedziałem wasze przybycie. Mówiłem, że widzę przyjaciół podążających moim śladem. Opisywałem dokładnie Tomka, ciebie i Dinga, ponieważ byłem pewny, że

<sup>784</sup> — Adios, amigos (hiszp.) — Żegnajcie, przyjaciele.



jeżeli rozpoczniecie poszukiwania, to wy dwaj i Dingo na pewno będziecie uczestniczyli w wyprawie. Wasze przybycie do Gran Pajonalu zaskoczyło Kampów. Zaczęli wierzyć, że jestem obdarzony nadnaturalną mocą. Dzięki temu wymogłem na nich doprowadzenie was do mnie żywych.

Wszystko, co później nastąpiło, tłumaczyłem działaniem nieziemskich sił. Mówiłem ci już, że ktoś jednak musiał widzieć uciekinierów i doniósł o tym Kampom.

— W takim razie wiedzą także, iż nasze dziewczyny ocalały — wtrącił Nowicki. — Dlaczego wobec tego nie zemścili się na nas?

— Pytasz, dlaczego jeszcze żyjemy? To bardzo przesądni ludzie. Wierzą w czary i nadzwyczajną moc czarowników. Sądzą, że jestem czarownikiem. Po prostu trochę się mnie boją. Przepowiedziałem im wasze przybycie, sam strącałem obydwie ofiary w przepaść, a mimo to one żyją i w tajemniczy sposób umknęły razem z resztą naszych towarzyszy.

— A niech to wieloryb połknie! Nie pomyślałem o tym — zdumiał się Nowicki. — To dlatego zapewne ciebie bardziej pilnują niż mnie! Mów dalej, Janie!

— Wbrew buńczuczным pogrożkom Tasulincziego, Kampowie muszą sobie zdawać sprawę, że skoro Tomek szukając mnie zdołał dotrzeć do ich tajnej kwatery, to obecnie może po raz drugi przyjść tutaj z większymi siłami, żeby nas oswobodzić. To mogłoby im utrudnić, może nawet udaremnić rebelię w Montanii. Z tych względów zapewne główny wódz przybył na naradę z miejscowymi kurakami.

— Do licha, tak może być naprawdę! Gdybyśmy mogli się dowiedzieć, co oni postanowili! — zafrasował się Nowicki.

— Czy to tak trudno odgadnąć? — zapytał Smuga. — Zastanów się tylko, co byś uczynił, będąc na ich miejscu?

— Co ja bym zrobił?! Czekał, niech pomyślę... Ha, wszcząłbym bunt nie czekając na powikłania!

— To samo właśnie przyszło mi do głowy — powiedział Smuga.

— Jeżeli się nie mylimy, to życie nasze nie jest już warte nawet funta kłaków. Ukręca nam łby jak kurczakom — powiedział Nowicki. — Dlaczego jednak ten podstępny mikrus radził nam poszukać sobie żon?

— Dymna zasłona, kapitanie.

— Więc chciał zamydlić nam oczy!

— Nie możemy tego mieć mu za złe — odparł Smuga. — Powstanie jest dla Kampów grą o najwyższą stawkę, o wolność.

## NOC ZŁYCH DUCHÓW

Tego samego dnia przed zapadnięciem wieczoru Smuga i Nowicki wymknęli się na potajemne spotkanie z Aguą. Ostatnie wydarzenia mogły oznaczać, że krytyczna, decydująca o ich losach chwila już nadchodzi wielkimi krokami.

Otóż wkrótce po intrygującym spotkaniu z Tasulinczim Kampijki, jak czyniły to codziennie, przyniosły pożywienie. Agua weszła do komnaty pierwsza, ukradkiem znacząco dotknęła palcem ust. Dawało to wiele do myślenia, ponieważ od czasu ocalenia przed napaścią pumy lubiła rozmawiać z Nowickim. Kobiety postawiły naczynia zjedzeniem na ławie, po czym zaraz wyszły. Po chwili jednak Agua powróciła niby to po zapomniany koszyk, a biorąc go szepnęła:

— Przed zmierzchem będę w ruinach miasta — i natychmiast wybiegła na korytarz.

Dziwne zachowanie Aguy zaniepokoiło przyjaciół, toteż wkrótce po południu Smuga wyruszył do osady na przespiegi. Złowieszcze przewidywania potwierdziły się: Kampowie, dotąd usposobieni dość przyjaźnie, obecnie milkli na jego widok lub po prostu udawali, że go nie widzą. Zapewne na naradzie kuraków z Tasulinczim musiały zapaść ważne decyzje, które spowodowały nagłą zmianę nastroju mieszkańców osady. Cóż to mogło oznaczać? Jeśli Kampowie postanowili przyspieszyć wybuch powstania w Montanii przeciwko białym, to nad jeńcami zawisło groźne niebezpieczeństwo. Smuga zbyt dobrze poznał Indian, aby mógł tego nie docenić. Ich łagodność i szlachetność kończyła się z chwilą wykopania wojennego toporu. Podczas wojny wyzwały się drzemiące w nich nieposkromione namiętności, wtedy stawali się bezwzględni, okrutni i nie znali uczucia litości.

Smuga, nie chcąc zbyt długo rzucać się w oczy stroniącym od niego Kampom, powrócił do Nowickiego. Resztę dnia spędzili w swej komnacie, która znajdowała się w budowli częściowo wykutej w skale.

Na parterze było używane przez wszystkich wyjście na stromą ścieżkę do osady. W dzień nikt nie pilnował jeńców. Ucieczka bez broni i niezbędnego ekwipunku oznaczała nieuniknioną śmierć w bezludnych górskich ostępach.

Jedynie w nocy dwóch lub trzech strażników przebywało na dole w pobliżu wyjścia, ale nie ograniczali swobody jeńców, pełniąc raczej rolę obserwatorów.

W tej skalnej budowli również było potajemne przejście podziemne do świątyni w ruinach miasta Inków, znane obecnie tylko nielicznej starszyźnie Kampów. Smuga wszakże, który od dawna interesował się starożytnymi budowlami w różnych częściach świata, sam nie tylko odnalazł ukryty korytarz, ale też przeniknął inne tajemnice nie znane nawet Kampom. Tak więc mógłby teraz z Nowickim niepostrzeżenie przedostać się podziemnym korytarzem do świątyni, ale stamtąd tylko jedne, widoczne jak na dłoni, szerokie schody wykute w skale umożliwiały zejście na niższy taras, do głównej dzielnicy ruin miasta. Wolał więc skorzystać ze znanego wszystkim wyjścia, a potem klucząc z Nowickim w zaroślach podkradli się do muru otaczającego dolny taras. Kamienny mur w wielu miejscach częściowo już zapadł się w ziemię, więc prześliznęli się przez jedną z większych wyrw. W ten sposób ominęli główną bramę, którą tworzyły dwa gładko ociosane, wysokie filary oraz poziomo położony na nich szeroki kamienny blok z wrytym pośrodku symbolem Słońca. Wprost stamtąd szeroka brukowana ulica prowadziła do schodów wiodących na wyższy taras.

W wymarłym mieście zewsząd ziała pustka i zagłada. Węższe boczne ulice częściowo się pozapadały bądź przecinały je głębokie szczeliny. Większość domów, zbudowanych z gładko obrobionych i dokładnie dopasowanych do siebie bloków kamiennych, układanych bez spajania zaprawą, leżała w ruinie. Jedne pogrążyły się w ziemi, w innych rozstąpiły się mury. Z wyjątkiem kilku budowli krytych kamiennymi płytami, reszta pozbawiona była strzech, które rozpadły się już dziesiątki lat temu. Jedynie na górnym tarasie widać było ogromną świątynię zachowaną prawie w całości. Właśnie na jej zapleczu znajdowała się budowla, gdzie Kampowie przetrzymywali jeńców. Na zaniedbanych, zniszczonych przez kataklizmy ulicach oraz w ruinach domów bujnie pieniały się chwasty, dzikie krzewy, tu i tam wyrosły wysokie drzewa. W powietrzu unosił się kwaśny odór nagromadzonych odchodów nietoperzy.

Smuga z Nowickim ostrożnie przemykali przez rumowiska, w których obecnie gnieździły się jedynie węże, szczury, drapieżne ptaki i nietoperze.

Nigdzie jednak nie było Aguy, a tymczasem zachodzące słońce już słało na niebie purpurowe odblaski.

— Może nie udało się jej wymknąć spod kurateli Onariego — przyciszonym głosem zagadnął Nowicki przepatrując ruiny. — Jeśli wkrótce nie nadejdzie, to po ciemku nie odważy się przyjść do tej trupiarni.

— Upiorne wrażenie sprawia to cuchnące cmentarzysko — powiedział Smuga.

— Tomek mówił, że to zapewne trzęsienie ziemi...

Nowicki urwał w połowie zdania, gdyż w pobliżu zaszleściły krzewy. Agua, trochę zadyszana, stanęła przed jeńcami.

— Jesteście już, to dobrze! — powiedziała cicho, niespokojnie zerkając wokoło. — Wodzowie postanowili wielką wojnę z białymi. Musicie uciekać!

Smuga zmierzył Agnę przenikliwym spojrzeniem, po czym zapytał:

— Dlaczego nam to mówisz? Czy możemy ufać temu, kto zdradza swoich?

— Byłam pewna, że tak powiesz, ale to nie zdrada — porywczo zaprzeczyła Indianka. — Patrz, jak słońce dzisiaj czerwieni niebo! Nim miną cztery wieczory, Ukajali będzie tak samo czerwona od krwi białych ludzi. Gdybyście umknęli nawet zaraz, to i tak nie zdążycie ostrzec innych białych. Widzisz więc, że nie zdradzam swoich, bo już nie możecie nam zaszkodzić!

— Więc dlaczego nas ostrzegasz? Jesteśmy również białymi ludźmi.

— Gdyby wszyscy wirakucze byli tacy, nie byłoby wojny między nami — odparła, potem odwróciła się do Nowickiego i dodała: — Ostrzegam was, kumpo, bo nie chcę twojej śmierci!

Nowicki, który milczał do tej pory, pochylił się ku Indiance, dotknął dłonią jej ramienia i powiedział:

— Dobry i uczciwy z ciebie człowiek. Czy wodzowie zamierzają nas zabić?

— Najpierw zaproponują, żebyście przystąpili do Kampów i wyruszyli z wojownikami przeciwko białym — odparła Agua.

— A jeśli odmówimy, ukatrupią, czy tak? — pytał Nowicki. Agua przytaknęła skinieniem głowy.

— Mówisz, że chcesz nam uratować życie — odezwał się Smuga. — Czy jednak możemy się ocalić uciekając stąd nawet bez broni?

— Wirakucze, wiem, gdzie jest ukryta wasza broń. Dlatego tu przyszedłam!

— Więc stamtąd także przyniosłaś moje ubranie — powiedział Nowicki.

— Nie, kumpo! To zrobił Onari, bo nikt inny by się nie odważył wejść do kryjówki złych duchów.

— Nie obawiam się waszych złych duchów — wtrącił Smuga. — Jeżeli naprawdę chcesz nam pomóc, to powiedz, gdzie jest ukryta broń.

— Wszyscy mówią, że ty, wirakucze, jesteś wielkim czarownikiem — szepnęła Agua, z lękiem zerkając na Smugę. — Wiedziałam, że nie przerażą cię złe duchy!

— Więc mów, gdzie jest ukryta broń! — ponaglił Smuga.

Agua jeszcze raz trwożliwie rozejrzała się po ruinach, po czym drżącym głosem szepnęła:

— Tam wyżej, w tym dużym domu, w którym nasi przodkowie modlili się do Słońca. Szukaj na ścianie węża z czerwonymi ślepiami. Naciśnij jego łeb, wtedy otworzy się przed tobą droga do złych duchów.

— Jak się o tym dowiedziałaś? — indagował Smuga.

— Widziałam, jak Onari to robił, gdy brał ubranie dla kumpy.

— Więc jednak ty również byłaś w tej kryjówce i złe duchy nie zrobiły ci nic złego — powiedział Smuga. — Nie musi tam być tak strasznie, jak opowiadasz!

— Nie mów tak, wirakucze! — oburzyła się Agua. — Tylko Onari odważył się wejść do nich. Ja czekałam przed ścianą z węzem, która zaraz sama się zamknęła. Bądź bardzo ostrożny!

— Czy jesteś pewna, że broń jeszcze się tam znajduje?

— Pewna jestem, wirakucze — potwierdziła Indianka.

— Czy nie obawiasz się, że Onari odgadnie, kto wskazał nam schowek?

— zapytał Nowicki. — Wiesz, w jaki sposób Kampowie karzą zdrajców. Nie chcemy twojej zguby!

— Nie kłopotuj się tym, kumpo! Nic złego mi się nie stanie... nawet gdyby Onari odgadł prawdę. Inni uwierzą, że to jakaś nowa sztuczka białego czarownika.

— Wydaje mi się, że nie mówisz wszystkiego — odezwał się Smuga przeszywając wzrokiem Indiankę. — Czy Onari kazał ci powiedzieć nam o wojnie i wskazać, gdzie jest ukryta broń?

Agua spojrzała Smudze prosto w oczy nie okazując żadnego zmieszania. Po chwili odparła:

— Nieufny jesteś, wirakucze. Muszę już wracać. Onari z wojownikami wkrótce wrócą znad rzeki, gdzie przygotowywali łodzie dla Tasulinczego. Starsze żony mojego męża są w domu. Ostrzegłam was!

Uciekajcie!

Prostoduszny Nowicki wzruszony znów pochylił się ku Indiance. Ujął w dłonie jej głowę i delikatnie pocałował w czoło, na którym czernił się namalowany mały wąż, chroniący jakoby przed ukąszeniem żmij.

— Naprawdę cię polubiłem, Aguo — rzekł. — A teraz żegnaj!

— Lubię cię bardzo, kumpa. Gdybym mogła, poszłabym z tobą. Uciekaj do rzeki, kumpa, pamiętaj! — ze znaczącym naciskiem szepnęła Agua, a potem szybko zniknęła w zaroślach.

Dopiero gdy umilkły szelesty, Smuga się odezwał:

— Ależ ty masz szczęście do kobiet! Aż dziw, że dotąd jesteś kawalerem!

— Nie amory mi w głowie teraz! — odburknął Nowicki. — Ale nie powiem, że nie polubiłem tej małej dzikuski! Czy nie podejrzewasz w tym wszystkim jakiejś intrygi Onariego?

— Coś mi się zdaje, że on wie o wszystkim — odparł Smuga. — Indianki są dobrymi, wiernymi żonami. Agua chyba nie splatałaby mężowi takiego paskudnego figla!

— Więc myślisz, że to pułapka?!

— Trudno odgadnąć prawdę. Już postanowiliśmy zresztą uciekać. Musimy zaryzykować. Czasem dobrze jest postawić wszystko na jedną kartę, zwłaszcza gdy ktoś podsuwa do ręki atutowego asa!

— Święta racja, Janie, choć mój ojczulek mawiał: „*Nie graj Wojtek, nie przegrasz portek!*”

Już po zachodzie słońca powrócili do komnaty. Smuga, nie zapalając kaganka, poprowadził przyjaciela do otworu okiennego. Na dworze było ciemno, choć oko wykol. Jedyne w oddali, w głębi doliny, drgały nikłe odblaski ognisk w osadzie.

Nowicki długo spoglądał w poczerńiałe, bezgwiezdne niebo. Nadstawiał ucha w kierunku gór, węszył jak ogar, aż w końcu przyciszonym głosem rzekł:

— Burza nadciąga nie byle jaka!

— Nie mylisz się? — zapytał Smuga.

— Cóż byłby ze mnie za marynarz, gdybym nie mógł wyniuchać nawałnicy! — oburzył się Nowicki. — Słońce zaszło czerwono, niebo zamglone, w parnym, gorącym powietrzu czuć świeżą wilgoć, wokół cicho jak makiem zasiał... To cisza przed burzą. Tylko patrzeć, jak dmuchnie wichrzysko!

Jakby na potwierdzenie tych słów jaskrawozielona błyskawica rozdarła na wschodzie nieprzeniknioną czerń nieba.

— Widzisz?! — szepnął uradowany Nowicki. — Szczęście nam sprzyja! Ulewa zatrze ślady, utrudni pogoń. Nie ma się co namyślać!

— Tak, tej nocy uciekamy — potwierdził Smuga.

— Oby tylko broń była w schowku...

— Z bronią czy bez niej, uciekamy — zdecydował Smuga. — Zdołałem odłożyć trochę suszonej ryby, mączki kukurydzianej i soli. Mam także pokunę, kołacznik z zatrutymi strzałami i tykwę z bawełną. Przydadzą się do bezgłośnego polowania. Ukryłem również drewnienka używane przez Indian do rozpalania ognia. Z głodu nie umrzemy. Przyniosę wszystko ze schowka przed samą ucieczką. Teraz czekajmy na powrót wojowników z nad rzeki.

Czas wolno mijał. Na wschodzie tymczasem, a później również i na północnym wschodzie błyskało się coraz częściej. W metalicznych upiornych błyskach światła ukazywały się postrzępione pasma szczytów górskich. Naraz nikłe odblaski ognisk w osadzie rozgorzały jaśniejszym płomieniem. Z dali napłynęły przytłumione ludzkie głosy.

— Wrócili wojownicy z Onarim — cicho odezwał się Smuga.

— Zdążyli przed burzą — powiedział Nowicki. — Czas ruszać!

— Poczekajmy jeszcze, dopóki nie pójda spać — powiedział Smuga.

— Potem w burzliwą noc już nikt nam nie będzie mógł przeszkodzić.

Znów czuwali w milczeniu. Niebawem ostre podmuchy wichru wtargnęły do doliny, zakołysały konarami drzew, sypnęły liśćmi i żwirem. Długa błyskawica przemknęła w powale niskich chmur. Wycie wichru przygłuszył grzmot, zwielokrotnionym echem przetoczył się po górach. Huraganowy wiatr nadciągał z szerokim poszumem. Ogniska w osadzie przybladły i wkrótce całkowicie zgasły.



— Teraz już czas na nas! — odezwał się Smuga. — Idę po przygotowane rzeczy. Są ukryte w pobliżu. Wkrótce przyjdę po ciebie, po czym przekradniemy się do świątyni. Zjedz coś i czuwaj. Bądź gotów do drogi, wprost ze świątyni uciekamy.

— Czy nie roztropniej od razu iść razem? — zaniepokoił się Nowicki.

— Co dwóch, to niejeden. W razie niespodzianki mógłbym cię osłaniać.

— Nic mi nie będzie groziło. Schowek jest blisko, Kampowie go nie znają. Miej oczy i uszy otwarte!

Smuga uchylił maty. Wymknął się na korytarz. Po omacku dotarł do schodów, zszedł na półpiętro. Wydobył z kieszeni kuźmy pudełeczko z zapalkami, które otrzymał od Tomka i przechowywał na czarną godzinę. Żółtawy, pełgający płomyk oświetlił skalną ścianę pokrytą rzeźbami głów zwierzęcych. Smuga oparł lewą dłoń na łbie jaguara, dmuchnięciem zgasił zapalkę; niedopałek wsunął do kieszeni, aby nie pozostawić żadnych śladów. Obiema dłońmi przekręcił łeb jaguara w odwrotne położenie, pchnął ścianę. Część muru ustąpiła. Smuga prześliznął się przez szczelinę, po ciemku zamknął kamienne drzwi, opuścił ryglującą listwę. Przy błysku drugiej zapalki wziął z małej niszy w murze kaganek. Zapalił go. Schodził krętymi, wąskimi kamiennymi schodami, dopóki nie dotarł do naturalnej grotty. Tutaj na każdej z trzech prostopadłych ścian widniały płaskorzeźby symbolizujące Słońce.

Smuga podszedł do prawej ściany, postawił kaganek na ziemi. Przesunął płaskorzeźbę i popchnął skalny blok. Stał na progu niewielkiej pieczary. Usłyszał jęklive świsty wichury szalejącej na dworze, pieczara bowiem posiadała otwarty na zewnątrz wylot. Górną jego krawędź osłaniał zwisający występ skalny, podczas gdy dolna urywała się nad ziejącą przepaścią.

W pobliżu wylotu wisiała na drewnianych belkach bambusowa owalna rama, wypleciona elastycznymi lianami. Wysunięcie jej na zewnątrz pozwalało kapłanom Inków ocalać piękniejsze dziewczęta stręcane w przepaść na ofiarę Słońcu, gdyż pieczara znajdowała się pod występem skalnym, na którym dopełniano krwawego obrzędu.

Na widok sieci odżyły w pamięci Smugi dramatyczne przeżycia, gdy żona Tomka i Natasza skakały w przepaść. Ciepły uśmiech pojawił się na jego ustach.

W tejże chwili jakiś strzępiasty cień bezszelestnie zachybotał w powietrzu. Coś włochatego musnęło jego głowę. Zgasł kaganek. Zimny

dreszcz przeniknął Smugę. Uzmysłowił sobie, że nie opodal znajduje się starożytne cmentarzysko Inków. Zaraz się jednak otrząsnął, usłyszawszy piski nietoperzy. Ponownie zapalił kaganek. Pokuna oraz worek z resztą rzeczy leżały w kącie pieczary. Smuga wyniósł je do groty, po czym wrócił po kaganek. Gdy znów znalazł się z płonącym kagankiem w grocie, ogarnęło go dziwne uczucie. Wydawało mu się, że część środkowej ściany drgnęła, jakby ktoś ukryty za nią przyciągnął ją do siebie. Za tamtą ścianą właśnie znajdował się podziemny korytarz wiodący poza ruiny miasta. To tajemne przejście odkryte przez Smugę umożliwiło mu oswobodzenie Tomka i reszty przyjaciół.

*„Przywidziało mi się — pomyślał. — Nikt nie wie o tym podziemnym przejściu.”*

Podniósł wyżej kaganek, uważnie przyjrzał się ścianie. Płaskorzeźba znajdowała się we właściwym położeniu. W chybotliwym świetle cień Smugi przybierał fantastyczne kształty na gładkich ścianach groty.

— Przywidzenie, nic więcej! — szepnął.

Nie poddał się niepokojącemu nastrojowi, jaki zazwyczaj ogarnia człowieka w pełnych tajemnic podziemiach. Podeszedł do lewej ściany groty. Za tym murem znajdowały się groby Inków i skarb nad skarby, którego okrucuch mógłby każdego uczynić nababem<sup>785</sup>.

Smuga jednakże nie łaknął bogactw. To, co zarabiał łowieniem dzikich zwierząt, wystarczało mu na urządzenie wypraw i poznawanie świata. Niczego więcej nie pragnął. Obecnie więc nie myślał o sobie. Z jego powodu najbliżsi przyjaciele znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Zdawał sobie sprawę, że ucieczka bez niezbędnego wyposażenia łatwo może się zakończyć katastrofą. Gdyby nawet napotkali obóz zbieraczy kauczuku, niczego by od nich nie dostali bez zapłaty. Tutaj tymczasem bezużytecznie leżały nieprzebrane bogactwa...

Jedynie Tomkowi zdradził tajemnicę Inków. Wtedy właśnie ten wspaniały chłopak powiedział, że na tym złocie ciąży klątwa podstępnie wymordowanych Indian. Obydwaj postanowili nie mówić nikomu o znalezieniu legendarnego skarbu, ponieważ dalsze nieszczęścia i okrucieństwa

---

<sup>785</sup> — Nabab — namiestnik prowincji lub małego księstwa w imperium Mogołów w Indiach, zazwyczaj bardzo bogaty. W przenośni — wielki bogacz.

spadłyby na potomków Inków. Czy mógł więc obecnie sam wziąć cokolwiek dla ratowania przyjaciół?

Tocząc w myślach wewnętrzną walkę, mechanicznie przesunął płaskorzeźbę. Wszedł do podziemnej sali nie zamykając otworu za sobą. Wzdłuż jednej ściany stały rzędem duże, bazaltowe sarkofagi. Za nimi, w mniejszej niszy, siedziały w otwartych grobach mumie spowite w miękko wyprawione skóry lam, na które miały nałożone odświętne odzienie. Obok zwłok leżały osobiste rzeczy codziennego użytku. Smuga tylko zerknął na cmentarzysko, po czym wszedł do bocznej sali mieszczącej skarbiec.

Szczerozłoty tron, posągi bogów oraz dawnych władców, wykonane ze złota bądź srebra, w świetle kaganka przybierały czerwono-brunatną barwę krwi. Wspaniałe szmaragdy złożone na dużych paterach iskrzyły się jak baśniowe błędne ogniki. W naczyniach leżały złote pierścienie, bransolety, zausznicę, naszyjniki, bryłki rodzimego złota. Była tam również przepiękna broń, bogate ubiory oraz misternie rzeźbione figury różnych zwierząt i ludzi...

Smuga zadumany spoglądał na nieprzebrane skarby. To właśnie dla ich zdobycia konkwistadorzy hiszpańscy wytoczyli z Indian morze krwi. Skarby te nie mogły nikomu przynieść szczęścia, ponieważ zbyt wysoką cenę musieli za nie zapłacić nieszczęśni Inkowie. Ukryli je przed żądnymi bogactw, okrutnymi białymi ludźmi, więc powinny nadal pozostać tylko urokliwą legendą. Nie wolno mu nic z nich uszczknąć, nawet dla ratowania przyjaciół.

Twarz Smugi wypogodziła się, jeszcze raz obrzucił wzrokiem skarbiec, po czym odwrócił się ku wyjściu. Zaledwie po kilku krokach zamarł w bezruchu. Ujrzał błysk światła.

Na progu skarbcza stał półnagi Onari bez korony na głowie. W lewej dłoni trzymał płonący kaganek, w prawej rewolwer wymierzony w pierś Smugi. Na jego biodrach zwiślał pas z drugim koltem w pochwie.

„*To już koniec...*” — przemknęło Smudze przez myśl. Nie miał szans obrony. Nawet gdyby zgasił swój kaganek, Onari nie mógłby chybić z tak bliskiej odległości. Smuga zdał sobie sprawę, że popełnił fatalny błąd, drgnięcie ściany kryjącej podziemny korytarz nie było przywidzeniem.

Onari milczał. Jego brunatna twarz, jakby wykuta z kamienia, nie odzwierciedlała żadnych uczuć. Tylko połyskujące czarne oczy mierzyły przeciwnika czujnym spojrzeniem.

— Nie doceniłem cię, Onari — po chwili odezwał się Smuga. — Na co? czekasz? Wygrałeś! Strzelaj!

— Wiedziałem, że przed ucieczką z przyjacielem przyjdiesz po złoto — powiedział Onari. — Chciałeś już stąd wyjść, dlaczego więc nic nie wzięłeś?

Smuga westchnął i po chwili odparł:

— Chyba nie zrozumiesz mnie, ale nie mogłem się na to zdobyć. Inkowie zapłacili za te skarby życiem. Zdawało mi się, że na wszystkim tutaj widzę ich krew...

Onari przez chwilę rozważał w myśli słowa Smugi, potem znów zapytał:

— Zapewne pokazałeś te skarby twoim przyjaciołom, którzy uciekli przez podziemny korytarz?

— Tylko mój młody jasno włosy przyjaciel, którego żonę skazaliście na śmierć, był tu ze mną. To on właśnie powiedział, że na tym złocie ciąży klątwa podstępnie pomordowanych Indian. Obydwaj wtedy postanowiliśmy nic stąd nie brać i nikomu nie zdradzić tajemnicy Inków. Mój przyjaciel potrafi milczeć, jeszcze nigdy nie złamał danego słowa. Czy wiesz, co by się działo w Montanii, gdyby biali dowiedzieli się o tym skarbie?

— Wiem, wirakucze!

— Słuchaj, Onari, zanim naciśniesz spust rewolweru, powiedz, w jaki sposób odkryłeś te podziemia?

— Pomogli mi twoi przyjaciele — nieco kpiąco wyjaśnił Onari. — Znalazłem ich ślady w pobliżu wylotu podziemnego korytarza. One doprowadziły mnie aż tutaj. Od wewnętrznej strony widać, jak można otwierać skały. Odkryłem wszystko! Wiem, w jaki sposób uratowałeś białe kobiety!

— No, Onari, chyba już powiedzieliśmy sobie wszystko. Kończmy nasze... spotkanie. Opuść lufę rewolweru trochę niżej i strzelaj!

Szaman pochylił się, postąpił dwa kroki.

— Sam zdecydowałeś o swoim losie. Nie odpłacam kulą za szlachetność — powiedział stłumionym głosem. Potem wepchnął rewolwer do pochwy, zdjął pas i podał go Smudze. Ten zaś przez chwilę spoglądał niedowierzająco na szamana. Wreszcie odgarnął kuźmę i założył pas na biodra.

Onari tymczasem wszedł do skarbcza. Przykucnął przy dzieżach ze złotem. Smuga dopiero teraz spostrzegł leżące w kącie na posadzce próżne białe woreczki. Był to dowód, że szaman już przedtem przychodził do skarbcza, ponieważ woreczki sprzed stuleci dawno rozsypałyby się w proch. Smuga natychmiast odgadł prawdę. Kampowie przygotowywali zbrojne powstanie. Potrzebowali broni, mogli ją kupić za złoto! Zapłacili złotem Inków, złotem odkrytym dziwnym zrządzeniem losu przez białych ludzi.

Szaman nie zwracał uwagi na Smugę. Podniósł z posadzki dwa woreczki. Większy nappełnił grudkami złota, w mniejszy wrzucił kilka garści szmaragdów, po czym obydwą zawiązał rzemieniami. Podszedł do Smugi.

— Skarby te, wirakucze, były własnością potężnych Inków — powiedział. — Kampowie są ich potomkami, więc to wszystko jest teraz nasze. Ty, wirakucze, nie masz nic, lecz nie jesteś chciwy jak inni biali. Tobie można zawierzyć tajemnicę, ty nie zdradzisz jej nikomu. Szkoda, że nie jesteś jednym z nas! Daję ci ten okruch skarbu jako przyjacielowi Indian. Może duchy czuwających tu zmarłych władców tej ziemi pozwolą ci ocalić twoje i kumy życie. Róbcie, jak powiedziała Agua. Uciekajcie natychmiast! Wiedz, że jeśli pogoń was schwyta, zginiecie obydwaj!

Onari wcisnął do rąk zdumionego Smugi pękate woreczki i lekko popchnął go ku wyjściu. Smuga włożył złoto i szmaragdy do worka ze skromnymi zapasami, zabrał pokunę, po czym wyszedł z podziemi.



## UCIECZKA

Nowicki gotów do ucieczki niecierpliwie oczekiwał na Smugę. Zasepiony spoglądał na nikły płomyk kaganka w kącie komnaty. Nasłuchiwał odgłosów burzy, która rozszalała się na dobre. Odblaski błyskawic co chwila czyniły dzień z nocy, przeciągłe grzmoty z piorunami przetaczały się po górach, przygłuszając skowyczenie wichury.

W miarę upływu czasu coraz większy niepokój nurtował Nowickiego. Dlaczego Smuga nie wraca tak długo? Czy nie popełnili błędu rozłączając się w tak decydującej chwili? Naraz uchyliła się mata osłaniająca wyjście na korytarz, Smuga wszedł do komnaty.

Nowicki odetchnął z ulgą, natychmiast zerwał się z pryczy. Zaledwie jednak przybliżył się do Smugi, zaraz pojął, że musiało zajść coś niezwykłego. W wyrazie twarzy zawsze opanowanego podróżnika malowało się wzburzenie i napięcie.

— Co się stało, Janie? — z niepokojem zapytał.

— Nie czas na wyjaśnienia — krótko odparł Smuga, kładąc na posadzce worek i pokunę. Potem zrzucił z siebie kuźnię.

— Fiu, fiu? — cicho gwizdał zaskoczony Nowicki, ujrawszy na biodrach przyjaciela pas z rewolwerami. — Więc jednak sam poszedłeś do świątyni?!

— Nie, pójdziemy tam teraz. Bierz rewolwery, zroluj derki! Nowicki nie pytał więcej. Szybko nałożył na biodra pas z koltami, sprawdził, czy są nabite, następnie zwinął skórzane derki, związał je rzemieniem. Smuga tymczasem wyjął ze skrzyni koszulę, spodnie i buty, w których został wzięty do niewoli, ubrał się, przewiesił sobie przez ramię kuźnię swoją i Nowickiego oraz obydwie derki. Następnie w jedną rękę ujął kaganek, w drugą worek i pokunę.

— Idziemy! — rozkazał. — Gdybyśmy się na kogoś natknęli, wiesz, co masz robić?!

Nowicki tylko się upewnił, czy nóż lekko wychodzi z pochwy.

Wyśliznęli się z komnaty. Pierwszy szedł Smuga. Wkrótce przez ukryte przejście wprowadził Nowickiego w wąski, niski korytarz. Krętymi schodami to schodzili w dół, to pięli się w górę, aż wreszcie pionowy mur zagroził dalszą drogę.

— Podnieś listwę, pchnij ścianę! — polecił Smuga.

Nowicki ostrożnie uchylił tajemne drzwi. Usłyszeli świst wichru i plusk ulewy. Weszli do olbrzymiej, pustej sali z głębokimi niszami po obydwóch bokach. Powoli obchodzili salę oświetlając kagankiem kamienne ściany, na których jeszcze się zachowały fragmenty malowanych obrazów.

— Spójrz, Janie! Tam są węże! — szepnął Nowicki.

Nie opodał na murze znajdowało się duże, wyblakłe, częściowo już zatarte malowidło, tworzące całość z płaskorzeźbą wrytą w kamieniu. Płaskorzeźba przedstawiała kłębowisko węży splecionych jakby w płynącą po jeziorze tratwę, której trzon stanowił potężny gad z podniesionym do góry łbem. W jego ślepiach krwawo połyskiwały szlachetne kamienie. Na grzbietach gadów stał namalowany sędziwy, brodaty, strojny mężczyzna. Węże w kłębowisku oraz inne płynące obok również posiadały błyszczące kamienie w ślepiach, ale tylko ten jeden, największy, miał czerwone.

— To chyba tutaj... — szepnął Smuga. — Tadku, naciśnij łeb z czerwonymi ślepiami!

Pod naporem ramienia Nowickiego część ściany ustąpiła, ukazując wiodące w dół wąskie kamienne stopnie. Nowicki wziął kaganek. Pierwszy wszedł do niszy. Obejrzał mur od wewnętrznej strony. Naciśnięcie łba węża podnosiło zasuwę.

— Już wiem, jak się ściana otwiera i zamyka, idziemy! — rzekł. Zamknął zamaskowane wejście. Znaleźli się w niszy. Zeszli do podziemia. Nowicki podniósł do góry kaganek rozglądając się po lochu.

— No, są nasze manatki, ale, jak widać, już dobrze przebrane — po chwili odezwał się zawiedziony.

— Na szczęście sztucery zostały! — uspokoił go Smuga. — Widzisz? Stoją tam w kącie!

Nowicki natychmiast postawił kaganek na posadzce. Podbiegł do broni. Wprawnie dokonał przeglądu. Uradowany odezwał się:

— Są w porządku, ten z lunetą jest mój, ten drugi Tomka. Ha, co widzę! Dwa pudełka naboju, czyli dwie setki! No, jesteśmy uzbrojeni!

Smuga tymczasem przetrząsał porozrzucone w nieładzie przedmioty. Odłożył dwa hamaki, brezentową płachtę do rozpinania zamiast namiotu, skarpety, blaszany kociołek z pałąkiem. Potem opróżnił dwa worki z pasami do przewieszania przez ramię.



— Przestań szperać, Tadku! Pomóż mi! Po jednym hamaku i kocu do każdego worka. Pakuj też swoją kuźnię! Spiesz się!

— Co nagle, to po diable! — flegmatycznie odparł Nowicki. — Patrz, co jeszcze znalazłem!

— Kompas?! — ucieszył się Smuga. — Dziwne, że go nie zabrali!

— Mam też notes, kawałek ołówka i mały słoik, który może zastąpić kubek — dodał Nowicki. — Nie warto już więcej szukać. Kampowie wzięli wszystko, co przedstawiało dla nich wartość. Czort z nimi tańcował! Grunt, że mamy broń!

W milczeniu zapakowali odłożone rzeczy. Wtedy Smuga otworzył woreczek otrzymany od Onariego, wyjął z niego garstkę bryłek złota i wręczając je przyjacielowi powiedział:

— Licho wie, co może się przytrafić podczas ucieczki. Miej to przy sobie!

Nowicki zdumiony zapytał:

— Ejże, brachu! Przecież to złoto! Skąd je masz?!

— Później powiem! Bierz!

Nowicki oddał kawałek płótna ze strzępów bluzy porzuconej na posadzce, zawinął w nie złoto i wepchnął do kieszeni. Potem wy dobył z pochwy rewolwer.

— Janie, weź jeden kolt — powiedział. — Wprawdzie poza nabojami w pasie nie znalazłem więcej amunicji, ale w starciu wręcz rewolwer jest najlepszą bronią.

— Mam trochę naboii rewolwerowych — odparł Smuga zatykając kolt za pasek spodni. — Słuchaj, Tadku! Agua radziła uciekać w kierunku rzeki. Czy wiesz, którą rzekę miała na myśli?

— A jakże! To rzeczka płynąca na południowy wschód. W zaroślach na brzegu Kampowie przechowują łodzie. Do nich to zapewne odprowadzili dzisiaj Tasulinczego.

— Czy znasz drogę?

— Znam, byłem tam już raz!

— Trafisz w nocy?

— Trafię!

— To prowadź!

Zarzucili na ramię worki i sztucery opuszczone lufami w dół. Smuga podniósł również pokunę. Po chwili znaleźli się w wielkiej sali świątyni. Ostrożnie szli ku wyjściu po ciemku, ponieważ zgaszony kaganek pozostawili w niszy za tajemnymi drzwiami do podziemia. Przeciągłe poświsty wichury zagłuszały kroki, błyskawice rozdzierały czerń nocy, ale grzmoty z piorunami jakby oddalały się na południe.

Zanim dobrnęli w tropikalnej ulewie do schodów prowadzących na niższy taras, przemokli do suchej nitki. Wartkie strumienie szumiały na oślizłych kamiennych stopniach. Zmagając się ze smagnięciami deszczu z wichrem, dotarli do głównej bramy starożytnego miasta. Nowicki wkrótce odnalazł wąską i wyboistą leśną ścieżynkę wiodącą w dół zbocza. Weszli w las. Tutaj gwałtowność wichury trochę osłabła. Słysząc było szum rwącej w dół stoku wody, stopy grzęzły w błocie. Wokół ścieżki czerniła się gęstwa leśna. Im niżej schodzili, tym drzewa potężniały, kryły swe korony w płataninie lian, które w górze zasłaniały zasnuwane burzowymi chmurami niebo.

Nowicki z trudem przyspieszał kroku. Stopy się ślizgały, grzęzły w rozmięklej ziemi, zahaczały o wystające korzenie, mokre gałęzie smagały jak bicze. W gęstwinie leśnej wichur już nie był tak gwałtowny, ale rozlegający się czasem łoskot padających drzew świadczył o trwającej nawałnicy. Nowicki uparcie szedł w dół zbocza, tylko od czasu do czasu zerkał za siebie, aby się upewnić, czy Smuga za nim nadąży. Na szczęście nie musieli zachowywać ostrożności. Potoki deszczu rozmywały ślady, wichur wchłaniał odgłosy.

Długo brnęli przez dżunglę, przemoknięci i zziębnięci. Wreszcie jednak deszcz ustał tak nagle, jak przedtem zaczął padać. Ucichła wichura, umilkły grzmoty. W szczelinach powały zieleni ponad ścieżką zamigotały gwiazdy. Srebrzysta poświata księżycy zaczęła tu i tam przenikać w spleciony gąszcz koron drzew. Ciemny las zapachniał świeżymi, aromatycznymi woniami tropikalnych roślin i dzikich owoców.

Nowicki przystanął, aby nabrać tchu.

— Odpocznijmy trochę! — rzekł do Smugi. — Noga mi doskwiera, mokre portki ocierają ranę.

— Nareszcie po burzy! — przytłumionym głosem powiedział Smuga. — Ja też muszę odsapnąć. Pierwszy raz od uwięzienia mnie odbywam dłuższą wędrowkę w tak ciężkich warunkach. Chyba już ominęliśmy osadę?

— A jakże! Pozostała na południowym zachodzie — potwierdził Nowicki. — Jeżeli nie będziemy mitrężyli, to wkrótce po świcie staniemy na brzegu rzeki. Teraz wezmę twój worek, Janie, będzie ci lżej iść. Niby to tropik, a lodowate ciarki przenikają człowieka!

— Już myślałem, że grad zacznie padać. Tutaj są większe różnice między temperaturami dnia i nocy niż między latem i zimą.

Zaledwie nieco odetchnęli, ruszyli dalej przez dżunglę. Rozmiękła ziemia, śliska, nabrzmiała wilgocią zieleń, kolczaste bambusy i liany czyniły ucieczkę bardzo uciążliwą. Mimo to uciekinierzy wciąż podążali w dół zbocza. Wreszcie jednak stromizna zaczęła się wyrównywać. Ciszę nocną zakłóciło miarowe rechotanie wielkich ropuch, gnieźdzących się w nadrzecznych bajorach. Wkrótce też dał się słyszeć szum wartkiego nurtu rzeki.

Nowicki przystanął.

— Słyszysz, Janie? — zagadnął.

— Słyszę, rzeka już niedaleko. Woda musiała wezbrać po nocnej nawałnicy.

— Jak amen w pacierzu tak się stało — powtórzył Nowicki. — Chodźmy, lada chwila świt!

Ścieżyna stopniowo stawała się szersza. Uciekinierzy grzęźli w błotnistej mazi, gdyż równiejszy teren utrudniał odpływ wody nagromadzonej podczas burzy. W pobliżu rzeki skrawek lasu został wycięty, aby ułatwić dostęp do brzegu, lecz mimo to wędrówka wcale nie była łatwiejsza. Gęste chwasty, bujnie pieniające się w tropikalnych górskich dolinach, osiągały wysokość dorosłego człowieka i często nawet nie uginały się pod stopami.

Na otwartej przestrzeni noc znacznie pojaśniała. Gwiazdy przybladły. Daleko na wschodzie na ciemnogramatowym niebie rozblysnęły krwawe odbłaski. Na brzegu i po wzburzonej rzece snuła się mleczna mgiełka. Naraz gdzieś w gąszczu leśnym rozległ się donośny krzyk ptaka. Jakby w odzewie na hasło natychmiast rozwrzeszczały się papugi, którym zawtórowały chrapliwe, przeraźliwe głosy wyjców, „*krakanie*” czapli, klekot bocianów i kwilenie jastrzębi. Dżungla budziła się z nocnego snu. Świtało...

Nowicki zaczął się rozglądać po nadbrzeżnych zaroślach, w których Kampowie przechowywali łodzie. Agua tak znacząco doradzała ucieczkę ku rzece, jakby była pewna, że znajdą tam łódź nadającą się do użycia. Domysły

Nowickiego wkrótce się potwierdziły. W gąszczu już dotykającym wezbranej wody ukryta była wyciosana z jednego pnia łódka o płaskim dnie. Leżały w niej dwa łopatkowate, krótkie wiosła oznakowane wypalonymi oryginalnymi wzorami, umożliwiającymi rozpoznanie, czyją są własnością. Oprócz nich znajdowała się tam długa, gładka żerdź do popychania łodzi na płyciznach. Nowicki okiem znawcy obejrzał solidną łódź odporną na działanie słońca i przypadkowe uderzenia.

— Ha, tylko wsiadać i płynąć! — mruknął zadowolony.

Potem myszkując dalej w zaroślach odkrył jeszcze dwie większe łodzie, w których nie było wiosła. Powrócił do mniejszej łódki i zaczął spychać ją na wodę. Nie było to trudne, gdyż po nocnej ulewie w górach niewiele brakowało, żeby porywisty nurt poniósł łódź.

— Janie! — zawołał.

Po chwili Smuga z workiem i pokuną znalazł się przy łódce już zanurzonej dziobem w wodzie.

— Muszę przyznać, kapitanie, że twoja indiańska sympatia spisała się na medal! — pochwalił Smuga. — Czy są tu jeszcze jakieś łodzie?

— A jakże! Dwie znacznie większe, ale bez wiosła.

— Indianin nie zostawia swoich wiosła. Są jego prywatną własnością — wyjaśnił Smuga. — Skoro znalazłeś wiosła w łódce, to możesz być pewny, że ktoś chciał ułatwić nam ucieczkę. O tym pogadamy później, teraz ruszajmy!

— Janie, na wyprawie to tak jak w wojsku. Zawsze musi być dowódca — rzekł Nowicki. — Ty jesteś dowódcą, ale pozwól, że na wodzie ja obejmę komendę. Rzeka wzburzona, woda duża, różnie może się przydarzyć. Widzisz, z wodą jestem obyty od szczeniaka. Wyrosłem nad naszą kochaną Wisłą, pełną zdradliwych wirów, zmiennych prądów i mielizn. Już jako chłopak ratowałem powodzian i topielców.

— Zgoda, kapitanie! Widziałem twój mistrzowski wyczyn na Amurze<sup>786</sup>. Rozkazuj!

— Dobra! Sztucery na ściągniętych pasach zakładamy na plecy. Naboje pod koszule! Obwiążemy się lianą, żeby nie wypadły. W nagłej potrzebie mamy kolty pod ręką. W razie wywrotki płyn do najbliższego brzegu. Worki i pokuną na mojej głowie. Teraz siadaj przy dziobie, bierz wiosło, zagarniasz z lewej strony. Pilnuj dobrze wiosła, bo jeśli wypuścisz z rąk, już po nim.

<sup>786</sup> — Mowa o przygodach opisanych w powieści *Tajemnicza wyprawa Tomka*.

Smuga skinął głową i usiadł na wyznaczonym miejscu. Zdawał sobie sprawę, że żeglowanie po wzburzonej rzece wymaga dużej sprawności, śmiałości, odwagi i siły. W tych zaletach celował olbrzymi marynarz z Powiśla. Nowicki, zanim usiadł w łodzi, uważnie rozejrzał się wokoło...

Było już prawie widno. Cykady właśnie rozpoczęły swój poranny chóralny koncert. Mgła z wolna opadała, nikła w jaskrawych barwach wschodu. Wzburzona, mętna, żółta toń rzeki niosła gałęzie palm, trzciny, kępy wodorostów podobne do wysepek. W głębi topieli natomiast kryły się porażające prądem drętwy elektryczne, jadowite płaszczki, czyli raje, żarłoczne piranie, podobne do małych węgorzy rybki canero podstępnie wślizgujące się w otwory ludzkiego ciała, krokodyle oraz setki mniej lub bardziej groźnych stworzeń. Tak więc przymusowa kąpiel mogła się tragicznie skończyć dla niefortunnego żeglarza.

Obydwa brzegi rzeki gęsto porastały drzewa, smukłe palmy, bambusy i trzciny. Plątanina korzeni wyzierała z niedostępnych brzegów i zanurzała się w rzece. W górze gąszcz konarów, niczym olbrzymi parasol, zwisał nisko nad wodą, ocieniając przybrzeżne pasy rzeki. Płynąc takim naturalnym tunelem łódź byłaby trudna do zauważenia, lecz krycie się pod płaszczem roślinności również nie należało do bezpiecznych. Z gałęzi bowiem mogła się osunąć jadowita żmija lub potężna anakonda czatująca nad wodą na łup, na łódź mogły się też sypanąć roje zdradliwych leśnych mrówek czy jadowitych os.

Po chwili namysłu Nowicki odezwał się:

— Wydaje mi się, Janku, że ten mikrus Tasulinczi ze swoimi dzikusami zbyt daleko wczoraj nie odpłynął. Burza na pewno zmusiła ich do schronienia się na brzegu. Czy nie za wcześnie ruszamy za nimi?

— O tym samym w tej chwili myślałem — odparł Smuga. — Śmierć depcze nam po piętach i czai się przed nami.

— Szybciej byśmy umykali środkiem rzeki, ale wtedy Tasulinczaki od razu nas wypatrzą. Bezpieczniej, ale za to znacznie wolniej możemy płynąć przy brzegu, gdzie w razie potrzeby moglibyśmy szybko przycupnąć w gąszczu. Jak radzisz, Janie?

— Pościg jest dla nas groźniejszy — odpowiedział Smuga. — Kampowie mają większe łodzie i więcej wioślarzy. Mogą nas dogonić. Tasulinczi natomiast, wobec niedostępności brzegów, mógłby wylądować tylko gdzieś na piaszczystej łasze, która będzie widoczna z pewnej odległości.

Przez jakiś czas możemy płynąć środkiem rzeki, potem jednak posterujesz w pobliże brzegu.

Nowicki uciął kilka elastycznych lian, którymi przewiązali się w pasie, żeby zabezpieczyć przed wypadnięciem pudełka z nabojami schowane pod koszulami. Następnie umieścił worki oraz pokunę na dnie łódki, zepchnął ją na wodę i wskoczył na rufę.

Łódź porwana gwałtownym prądem zanurzyła się głęboko, niczym znarowiony rumak zachybotła niebezpiecznie, próbowała odwrócić się rufą do przodu, ale doświadczony marynarz wprawnymi ruchami wiosła ukrócił jej harce, zmusił do posłuszeństwa. Pomknęli z prądem środkiem rzeki. Smuga i Nowicki sterujący łodzią okazali się zgraną parą wioślarzy. Nowicki wypatrywał i zręcznie omijał groźne wiry oraz duże kępy krzewów, a gdy nieraz zderzenie zdawało się nieuniknione, wtedy Smuga szybko odkładał wiosło, by żerdzią odepchnąć łódkę na bezpieczną odległość.

Jak zwykle wczesnym rankiem lub przed wieczorem, ponad rzeką pojawiały się śnieżnobiałe czaple, różowe flamingi, różnobarwne wrzaskliwe papugi i dzikie kaczki. Czasem ponad nimi złowrogo zakołował jastrząb, wtedy ptaki ogarniała panika — jedne zbijały się w kłęb podnosząc przeraźliwą wrzawę, inne co prędzej ratowały się nurkując w gęstwinę leśną. Tropikalny las był królestwem tysięcy różnych ptaków, od największych, jak harpia<sup>787</sup>, do najmniejszych kolibrów, często nie większych od pszczoły. Każdy gatunek ptaków odzywał się swoim charakterystycznym głosem. Jedne urzekały śpiewem, inne wydawały niezwykle, ułudne dźwięki.

Amerykę Południową nazwano „*ptasim kontynentem*”, lecz tropikalny las wcale nie był idyllicznym rajem<sup>788</sup>. Pod wspaniałym baldachimem zieleni

---

<sup>787</sup> — Harpia (*Thrasaetus harpyia*) — drapieżny ptak, jedyny gatunek swego rodzaju. Długość harpii wynosi około 1 m, waga do 8 kg. Ma krótkie, bardzo silne skrzydła, ubarwienie biało-czarne, na głowie czub. Zamieszkuje wszystkie większe lasy Ameryki Południowej i Środkowej, a w górach tylko cieplejsze doliny. Gnieździ się w wyższym piętrze dżungli, której prawie nie opuszcza, bardzo rzadko poluje na otwartych sawannach. W locie w gęstwinie leśnej harpia jest niezwykle zwrotna, osiąga szybkość do 80 km na godzinę. Żywi się małpami, leniwcami, aguti, a czasem oposami, jeżozwierzami i ptakami. Indianie wysoko cenią pióra harpii. Zabijają rodziców, a młode wybierają z gniazd i hodują w niewoli. Gdy młode ptaki się wypierzą, wyrrywają im dwa razy w roku pióra z ogona i skrzydeł na ozdoby. Mięsa, tłuszczu i odchodów używają do robienia leków.

<sup>788</sup> — Kontynent południowoamerykański posiada najbardziej odróżniającą się od innych kontynentów ptasią faunę. Na obszarze od Ziemi Ognistej do środkowego Meksyku żyje 2/5 wszystkich

trwała w przyrodzie nieustanna walka o życie. Drzewa, krzewy oraz porośla zaborczo pięły się ku życiodajnemu słońcu i prawem silniejszego unicestwiały słabsze rośliny. Tak wśród roślin, jak i w świecie zwierzęcym toczył się bój o przetrwanie. Drapieżne zwierzęta urządzały krwiożercze łowy, śmierć osobników jednych gatunków oznaczała życie dla innych. Toteż poranny monotonny szum łagodnego wiatru niósł z puszczy jakieś głębokie westchnienia, niesamowite pomruki, dudnienia, śmiechy, gwizdy i klaskania, czasem też rozbrzmiewał rozpaczliwy krzyk ginącego zwierzęcia. Taki był poranny śpiew pierwotnej dżungli.

Nowicki i Smuga w skupieniu łowili uchem tajemnicze odgłosy, przepatrywali brzegi rzeki, co jakiś czas oglądali się za siebie. Tymczasem jak okiem sięgnąć jednolity mur zieleni wciąż zalegał obydwaj brzegi. Wydawało się, że tropikalny las wprost wyrasta z rzeki. Tylko gdzieniegdzie w nadbrzeżnych chaszczach zaczernił się otwór niskiego, ponurego tunelu wydeptanego przez zwierzęta do wodopoju.

Obydwaj przyjaciele po bezsennej nocy i uciążliwej ucieczce podczas burzy odczuwali coraz większe zmęczenie. Słońce już mocno przygrzewało. Płynięcie małą łódką po wezbranej rzece, pełnej groźnych pułapek, nie pozwalało nawet na krótki odpoczynek. Byli więc bardzo wyczerpani i głodni. Nowicki, który zawsze lubił dobrze i dużo zjeść, żuł liście koki z małą domieszką wapna. Przecież wschodnia część peruwiańskich lasów była ojczyzną koki, znanej nawet w Europie. Nowicki, przy okazji wypadów poza osadę Kampów, często zrywał małe, owalne listki, potem suszył je, preparował i odkładał na przewidywaną ucieczkę. Obecnie zerkając na woreczek leżący obok niego na dnie łódki, zachęcał przyjaciela:

— Janie, żuj kokę tak jak ja! Wprawdzie język już mi skołowaciał i w ustach czuję martwość, ale Indianie z powodzeniem oszukują koką brzuch, dzięki czemu stają się wytrzymalsi na trudy. Skoro dzikusy wypróbowały skuteczność koki, dlaczego mamy być głupszy od nich?!

— Od tych „dzikusów” można by się wiele nauczyć, zwłaszcza gdy chodzi o życie w tropikalnych lasach — odparł Smuga.

— To prawda, każdy głupi ma swój rozum — przytaknął Nowicki. Wypluł za burtę łykowaną kulkę o smaku rumianku, w którą w miarę żucia

zmieniały się listki. Potem znów rzekł: — Indianiec w dżungli zawsze znajdzie coś do przekąszenia, a nam kiszki skręcają się z głodu!

Czas wolno upływał, żar słoneczny się wzmagał. Słońce z wolna sięgało zenitu. Woda, jak lustro, odbijała padające już prawie prostopadle promienie. Rzeka wprost mieniła się w potopie oślepiającej jasności. Dżungla już dawno pogrążyła się w ciszy, ptactwo zniknęło nad rzeki.

Smuga zmrużył oczy, spojrzał w niebo.

— Wszystko co żywe schroniło się w gęstwinie. Pora również nam skryć się przed tym piekielnym żarem! — rzekł.

— Święte słowa! — skwapliwie przytaknął Nowicki. — Jeśli Kampowie nas ścigają, to również muszą przeczekać największy skwar w cieniu. Z nieba leje się wprost żar. Tasulinczaki teraz na pewno ucinają drzemkę.

— Steruj w prawo! — polecił Smuga.

Łódź wkrótce wpłynęła pod konary drzew zwisające nad brzegami rzeki. Oślepiający blask wody tutaj nie był tak rażący i nurt nieco słabszy. Mimo to żegluga nie stała się łatwiejsza. Pod zielonym baldachimem było bardzo duszno, opary gnijących liści odurzały mdłym zapachem.



## W TROPIKALNYM LESIE

Łódź wolno płynęła wzdłuż prawego brzegu ocienionym skrawkiem rzeki. Nowicki i Smuga przepatrywali zwisający nad nimi dach zieleni, ostrożnie manewrowali łódką w plątaniu wystających z ziemi korzeni. Po jakimś czasie natrafili na wyrwę w wysokim brzegu. W miejscu tym drzewo podmyte przez wartki nurt niemal poziomo zwisało nisko nad rzeką. Część rozłożystej korony już się pławiła w wodzie. Tylko dzięki potężnym korzeniom, głęboko wczepionym w brzeg, oraz lianom, które, niby liny okrętowe, oplatały pobliskie leśne olbrzymy, jeszcze dotąd całkowicie nie pogrążyła się w rzece.

— Wymarzona przystań! — cicho zawołał Nowicki. — Łódź ukryjemy w gąszczu gałęzi, sami zaś odetchniemy na brzegu.

— Masz rację, musimy przeczekać skwar i trochę odpocząć — zgodził się Smuga. — Tylko uważaj, Tadku! Nie wolno nadłamać ani jednej gałęzi! Indianie by takiego śladu nie przeoczyli!

Łódź zanurzyła się w gąszcz konarów. Podczas gdy Nowicki przywiązywał ją do gałęzi, Smuga wspinał się na pochyłe drzewo. Rozbrzmiały ostrzegawcze wrzaski małp, pisk i trzepot skrzydeł. Smuga przykucnął na pniu.

— Podaj sztucery i worki! — polecił.

Nowicki po chwili stanął przy nim. Obydwaj przekradli się ku brzegowi. Skraj lasu oraz brzegi rzeki, gdzie było dużo światła, porastał nieprzebyty gąszcz. Tutaj również gęste chaszczki utrudniały dostęp w głąb lasu. Różne gatunki palm o strzępiastych pióropuszcach, kolczaste bambusy spotykane wyłącznie w Ameryce Południowej, trzciny oraz wybujale krzewy i chwasty tworzyły odstraszący przedsiónek dżungli. Dopiero dalej od rzeki las rzedniał.<sup>789</sup> W cieniu wysokich palisandrów i cedrów amerykańskich panował

---

<sup>789</sup> — Świat roślinny Ameryki Południowej często kojarzy się w naszej wyobraźni tylko z dżunglą tropikalną. Tymczasem tereny te, szablonowo opisywane w powieściach jako lasy tropikalne, w rzeczywistości posiadają w różnych częściach kontynentu inny charakter i formacje roślinne. Formacje roślinne Ameryki Południowej to: 1. Hylea (selwa) — wilgotne lasy równikowe w dorzeczu Amazonki i Orinoko, przy czym na Nizinie Amazonki wytworzyły się trzy zasadnicze typy selwy: igapo — las bagienny na niskich terenach zalewowych, z drzew wyróżniając się imbauba (*Cecropia parensis*) i palmy, dużo drzew ma korzenie palowe; vargem — las na wyższych terenach, zalewany jedynie podczas

wilgotny chłód. Promienie słoneczne tylko gdzieniegdzie przenikały przez niemal jednolite sklepienie lian i powojów, które wysoko ponad ziemią oplatały i połączyły korony drzew. Jedne liany pięły się ku słońcu, inne zwisały z zielonego pułapu ku ziemi jak fantastyczne, ażurowe lestony, pyszniące się płomiennymi kielichami kwiatów. Wysokie drzewa rosły oddzielnie bądź parami lub grupkami, a czasem wśród nich trafiał się samotny olbrzym, który tworzył własne odrębne królestwo.

Smuga i Nowicki rozglądali się po mrocznej, wilgotnej, ponurej dżungli j zazdrośnie kryjącej nieprzebrane bogactwa. Rosły tutaj cenne czarne hebany, złotodajne kauczukowce, drzewa chlebowe, gutaperkowe, łąkowe, cynamonowe, figowce i drzewa żelazne<sup>790</sup> o tak twardym drewnie, że nie miała się ich siekiera, były takie, których sok odżywiał, leczył, a także takie, z których wyciągi oślepiały lub uśmiercały.

W dżungli panowało pierwotne prawo życia. Drzewa same się rozmnażały, pięły ku słońcu, a gdy nadszedł ich kres, padały ze starości. Tu i

większych przyborów wód, rosną w nim brezyłki (brazil), od których wywodzi się nazwa Brazylii, zwane także pernambuko; etę czyli guazu — pokrywa wysoczyzny (mroczne, wilgotne, splątane lianami pierwotne puszcze). 2. Górskie lasy przyrównikowe na wschodnich stokach Andów, udział gatunków poza tropikalnych. 3. Alto da serra — górskie widne lasy wschodniej Brazylii, zrzucające liście w porze suchej. 4. Lasy mangrowe i restinga — namorzyny na pobrzeżach Atlantyku od Przesmyku Panamskiego do 28° szer. geogr. pd., a na wybrzeżach pacyficznych nie przekraczające 3° szer. geogr. pd. 5. Campos — różnorodne zbiorowiska roślinne i bezleśne w strefie małych opadów. 6. Caatinga — wyłącznie w pn-wsch. Brazylii, formacja charakterystyczna dla obszaru zwanego przez Brazylijczyków *sertao* (pustynia). 7. Chaco — widne lasy parkowe, zarośla lub trawiaste sawanny (drzewo świętojańskie algarrobo i kebraczo), występujące na południe od strefy kamposów w pn. Argentynie, Boliwii, Paragwaju i pd-zach. Brazylii. 8. Llanos — bezleśne sawanny, w dolinach rzek lasy galeriowe, głównie w Wenezueli. 9. Roślinność wysokogórską Andów reprezentuje pięć typów formacji: ceja — wysokogórskie lasy i zarośla; jalca — wysokogórskie stepy na wschodnich zboczach Andów w Peru i Boliwii; paramo — bezdrzewna formacja górską w Kolumbii i Ekwadorze; puna — roślinność półpustynna i pustynna w Peru, Boliwii i Chile; loma — specyficzna roślinność pustynna i półpustynna na zachodnich stokach Andów. 10. Lasy subtropikalne wschodniej Brazylii, gdzie przeważają araukarie. 11. Hemihylea — wielogatunkowe wysokopiennie lasy górskie na wschodnich stokach Andów w środkowym Chile i zachodniej Argentynie. 12. Monte — widne lasy parkowe w północno-zachodniej Argentynie. 13. Pampa — zbiorowisko traw niemal bez drzew i krzewów (przypomina prerię północnoamerykańską) w pomocnej Argentynie. 14. Mesetas — suchoroślowa i słonolubna roślinność półpustynna na południe od Rio Negro do Ziemi Ognistej, na ogromnych obszarach Patagonii. 15. Lasy subantarktyczne iglaste lub liściaste w południowych Andach (przeważają araukarie, modrzewie i cedry).

<sup>790</sup> — Drzewo żelazne (*Caesalpiniaferrea* i *Machaerium sidoroxylori*), zwane łamisiekierą, ma tak twarde drewno, że można je ciąć tylko podczas chłodnego poranka, ponieważ przy temperaturze 30° C ostrze siekiery wygina się przy rąbaniu.

tam murszejące kłody tworzyły trudne do przebycia zapory. Częste huragany pozostawiały widome ślady — drzewa unicestwione niszczycielską siłą zwisały pomiędzy innymi, uwięzione przez liany nie pozwalające im runąć na ziemię. W płataninie grubych korzeni i połamanych konarów krzewiły się drzewiaste paprocie, przeróżne zioła, których właściwości lecznicze znali i wykorzystywali indiańscy szamani. Były tam także rośliny trujące bądź mięsożerne. Wokół unosiły się odurzające zapachy orchidei, wanilii i gnijących roślin.

Smuga i Nowicki z wielką ostrożnością przedzierali się przez gąszcz, żeby nie pozostawić rzucających się w oczy śladów. Prócz małp buszujących przez cały dzień i ptaków nie widzieli ani nie słyszeli innych zwierząt. Były to jednak tylko pozory, w dzień bowiem zwierzęta prowadzące nocny tryb życia odpoczywały w legowiskach, dzienne zaś natychmiast płoszył każdy podejrzany szelest bądź nieznany zapach. W gąszczach czaiły się jadowite węże oraz napastliwe owady i robactwo. Smuga wkrótce wypatrzył olbrzymie, samotnie rosnące drzewo. Z jego rozłożystej korony i wyższych konarów zwisały zwoje lian, które odgradzały olbrzymia od innych roślin lasu.

— Tam się zatrzymamy — odezwał się, wskazując osamotnione drzewo.

— Faktycznie jest to coś w sam raz dla nas — potwierdził Nowicki ściszym głosem, ponieważ olbrzymie pnie drzew przypominały mu majestatyczne kolumny kościelne, a ostre, aromatyczne wonie zapach kadzidła. — Niech to rekin połknie, jakieś osobliwe drzewo wybrałeś!

— Trafne spostrzeżenie, kapitanie! — pochwalił Smuga. — Nie byle kto, bo sławny Humboldt uznał je za najwspanialszy twór tropikalnej przyrody. To sapucaja, orzech amerykański<sup>791</sup>. Jadłeś już chyba orzechy para?

— A jakże, ale Tomek mówił, że to nie orzechy, a nasiona.

— I miał chłopak rację — przyznał Smuga. — Dla nas ważne, że nadają się do jedzenia na surowo. Przed wyruszeniem w drogę trzeba będzie ich trochę zerwać. Kapitanie, nie siadaj na ziemi!

---

<sup>791</sup> — Sapucaja (*Bertholletia excelsa*) — tak zwany orzech amerykański, rośnie w puszczech brazylijskich, głównie w dorzeczu Amazonki. Osiąga wysokość do 65 m. Rodzi owoce w postaci zdrewniałej torebki, mieszczącej szczelnie ułożone trójkanciaste nasiona o długości do 5 cm, smaczne w stanie surowym. Niesłusznie nazywa się je orzechami, ponieważ są to nasiona. Gdy torebka dojrzeje pęka i nasiona wypadają. Jada się je lub wytłacza tłuszcz, którego zawierają 65%. Drewno sapucaj nadaje się do różnych celów. Z niedojrzałych owoców (torebek) Indianie wyrabiają garnuszki i czarki.

— Pamiętam o tym, pamiętam! Wszędzie tutaj czyha na człowieka coś plugawego. Na godzinkę lub dwie rozwiesimy hamaki. Wokół roi się od drzew rozmaitego kalibru, miejsca mamy do wyboru!

Nowicki nagle zamarł w pół ruchu. W pobliżu rozbrzmiało jakby poklepywanie po żelazie, a potem niby kilka uderzeń w kowadło. Po krótkiej chwili znów rozległo się poklepywanie i kucie.

Prawa dłoń Nowickiego osunęła się na rękojeść kolta. Spojrzał na Smugę. Ten bez niepokoju przysłuchiwał się intrygującym odgłosom, obserwując gałęzie pobliskich drzew. Nowicki tymczasem stał jak wrośnięty w ziemię.

Uderzenia młotkiem rozległy się po raz trzeci. Smuga teraz wyciągnął rękę wskazując coś przyjacielowi. Nowicki spojrział. Na gałęzi pobliskiego drzewa siedział biały ptak o zielonym podgardlu, czarnym dziobie i brązowych nóżkach. Ptaszysko, mierzące od dzioba do ogona około dwudziestu pięciu centymetrów, uniosło łebek — rozbrzmiało poklepywanie i uderzenia o kowadło. Z trzepotem skrzydeł przysiadła obok niego jasnozielona samiczka o ciemnozielonym łebku i żółtym brzuszku.

— A niech to wieloryb połknie! — mruknął zdumiony Nowicki. — Byłem święcie przekonany, że gdzieś w pobliżu jest kuźnia!

W tej chwili znów się rozległy metaliczne tony, którym jak echo odpowiedziały inne uderzenia w kowadełka. Zapewne kilka tych ptaków znajdowało się w pobliżu. Fantastyczne dźwięki były porywające, sprawiały wrażenie, jakby liczne dzwonki odzywały się jeden po drugim...

— Cóż to za dziwne ptaszyska?! — szepnął zachwycony Nowicki.

— To arapongi<sup>792</sup> — wyjaśnił Smuga. — Mało o nich wiemy, gdyż są bardzo płochliwe i trzymają się wysokiego piętra lasu. Widzisz już ich nie ma!

---

<sup>792</sup> — Araponga — miękkoziób nagoszyjny (*Chasmorhynchus nudicollis*) i miękkoziób soplowaty (*Chasmorhynchus niveus*) należą do amerykańskich wróblowatych ptaków krzykliwych. Nagoszyjny jest biały z wyjątkiem nagiego kantarka i nagiej gardzieli, które są grynszpanowozielone. Soplowaty jest również biały, z długim obnażonym wyrostkiem okrytym pęczkami puchu. Występują w Ameryce podzwrotnikowej w wysokich piętrach wielkich, cienistych lasów, zwłaszcza w okolicach górzystych. Głosy ich wywierają największe wrażenie ze wszystkich głosów rozbrzmiewających w lasach Ameryki Południowej. Do amerykańskich wróblowatych krzykliwych należą również: kosarze (*Phytotomidae*) o krótkich, mocnych dziobach powycinanych piłowato na krańcach szczęk; rarita (*Phytotoma rard*) o charakterystycznym głosie; bławatniki (*Cotingidae*), z których najpiękniejsza jest *Cotinga cincta*; kruczyna (*Cephalopterus*) — najoryginalniejszy ptak świata, o olbrzymim czubie na głowie i długim wyrostku na piersi, zwany w Peru toro-piszku; tyrany (*Tyrannidae*); mrówkołowy (*Formicarudae*) i tęgostery (*Dendrocolaptidae*).

Arapongi spłoszone poderwały się i zniknęły w gąszczu. Smuga i Nowicki powrócili do rozpinania hamaków.

— Przed wypoczynkiem warto by się trochę posilić. Kiszki marsza grają — odezwał się Nowicki. — Mówiłeś, że masz suszone ryby...

— Tak, mam, ale uważam, że nie powinniśmy już uszczuplać skromnego zapasu — odparł Smuga. — W dżungli należy naśladować krajowców, którzy się dostosowali do lokalnych warunków bytowania.

— Święte słowa! — przytaknął Nowicki. — Zawsze jestem zdania, że gdy wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one!

— Wobec tego na pewno nie pogardzisz indiańskim przysmakiem. Jak mi się wydaje, znajdziemy go tutaj pod dostatkiem.

— Zapewne będzie to jakieś paskudztwo, ale wiesz przecież, że nie jestem grymaśny — odpowiedział Nowicki. — To ty właśnie wybrzydzaleś na masato, a ja teraz chętnie bym sobie łyknął przed drzemką!

— Skoro tak, to rozejrzyjmy się za spizarnią — powiedział Smuga, ostukując gnijące pnie powalonych drzew.

— Przecież nie będziemy jedli próchna! — oburzył się Nowicki.

— Oczywiście, że nie! — uspokoił go Smuga. — Daj mi nóż! Mówiąc to pochylił się nad grubym murszejącym pniem. Odciął szeroki pas kory i zdarł go z pnia, w którym ukazały się setki wyżłobionych kanałów. Po chwili z jednego z nich wydobył grubą larwę kremowego koloru podobną do jedwabnika. Oderwał jej główkę, po czym, zerkając na przyjaciela, wcisnął sobie w usta wypływającą z larwy białawą, dość gęstą ciecz. Obliznął językiem lepkie wargi i mruknął:

— Bez obaw, kapitanie, częstuj się śmiało!

— Widzę, że chcesz mnie uraczyć glistami — powiedział Nowicki. — W Azji u jednego Kitajca pokosztowałem cukrzonych pijawek, to w Ameryce dla odmiany mogę się posilić glistami. Jak one się zwą?

— Są to larwy koro. Gnieźdzą się w pniach pewnych gnijących drzew. To one właśnie żłobią kanały — wyjaśnił Smuga. — Są nawet dość smaczne, spróbuj!

Nowicki bez pośpiechu wygrzebał z kanału pnia dużą, grubą larwę, mrużąc oczy przełknął oryginalny „smakołyk”. Jego chmurna twarz wypogodziła się, żwawo rozpoczął łowy.

— No, kapitanie, co powiesz o indiańskim smakołyku? — przekornie zagadnął Smuga.

— Niczego sobie przekąska. W smaku podobna do mleka z orzecha kokosowego, a gęstością i delikatnością przypomina roztopione masło. Pożywne musi być to robactwo, w brzuchu przestało mi burczeć.

— Indianie uważają koro za nie lada odżywczy przysmak. W pierwszym rzędzie przeznaczają go dla wodzów i starców — wyjaśnił Smuga.

— Co kraj, to obyczaj — sentencjonalnie powiedział Nowicki. — Wiem przecież, że w dżungli dzikusy jedzą wszystko, co tylko porusza się po ziemi, w ziemi i w powietrzu. Termyty, mrówki, szarańczę, gady, płazy, nawet wszy. Nie przypuszczałem jednak, że sam będę jadł glisty.

— Cóż, ci biedni ludzie uważają, że nic z darów bożych nie powinno się zmarnować — rzekł Smuga. — Głód jest największym wrogiem człowieka.

— Pewno, pewno, ale uważać glisty za przysmak?! Nie chciałbyś usłyszeć tego, co by powiedział mój staruszek na Powiślu, gdybyś mu podsunął ten indiański smakołyk, a przecież moi staruszkowie i ja także jesteśmy biednymi ludźmi. Dla mnie nie ma nic lepszego nad schaboszczak z kiszoną kapustą, udeptaną osobiście przeze mnie, a z napitków rum jamajka!

— Wyobrażam sobie, co bym usłyszał! — powiedział rozweselony Smuga. — Czas na odpoczynek. Gdy słońce nieco pochyli się ku zachodowi, musimy ruszać w drogę. Najpierw jednak wyjaśnię, co się wydarzyło po moim wyjściu po rzeczy przygotowane do ucieczki.

— Właśnie chciałem cię o to zapytać — odrzekł Nowicki. — Mów, w jaki sposób doszedłeś do koltów i złota, ja zaś słuchając łyknę jeszcze kilka glistek!

Smuga medytował przez chwilę, po czym odezwał się:

— Jak wiesz, Kampowie pozwalali mi się poruszać w obrębie ruin. Miałem sporo czasu, toteż udało mi się przeniknąć niektóre tajemnice starożytnego miasta nie znane nawet Kampom.

— Zapewne masz na myśli różne tajemne przejścia — wtrącił Nowicki.

— Nie tylko to, kapitanie!

Nowicki zaintrygowany przerwał łowy na larwy i zawołał:

— Ha, to mi niespodzianka! Coś tam wyniuchał?!

— W zamaskowanych podziemiach odkryłem grobowce Inków oraz ich skarbiec, w którym ukryli to, co udało im się ocalić przed grabieżcami hiszpańskimi.

Nowicki znieruchomiał. Na jego, twarzy odzwierciedlało się olbrzymie napięcie. Wreszcie stłumionym głosem zapytał:

— Czy powiedziałaś o tym naszym dzieciakom?!

— Zwierzyłem się tylko Tomkowi, pokazałem mu także groby i skarbiec — odparł Smuga.

— A Tomek?! Co on powiedział?!

— Powiedział, że na tych skarbach ciąży krew pomordowanych Inków. Nie tylko sam nie chciał nic z nich uszczknąć, lecz także postanowił, że nie powiemy nikomu o moim odkryciu.

Nowicki rozpromienił się, wzruszony zawołał:

— Kochane chłopaczysko! Byłem pewny, że tak właśnie postąpił. Poznałem go przecież tak dobrze!

— Przyznam ci się, że ja również byłem prawie tego pewny — rzekł Smuga.

— To po jakie lichy pokazywałaś mu te skarby?!

— Widzisz, Tomek wyznał mi, że kazałeś sprzedać otrzymany od maharani jacht, żeby zdobyć pieniądze na ratunek dla mnie. Wiedziałem, czym był dla ciebie ten statek, myślałem więc...

— Brachu, jak mogłeś?! — oburzył się Nowicki. — Dla ciebie dałbym sobie odciąć łepetynę, a ty sądziłeś, że mógłbym pożalować jachtu?! Jeżeli dlatego dałeś mi garść złota zabranego stamtąd wbrew temu, co postanowiliście razem z Tomkiem, to zaraz rozrzucę je tutaj!

Porywczo wydobył zawiniątko z kieszeni i zaczął je rozsupływać. Ciepłe błyski przewinęły się w oczach Smugi, wzruszonym głosem odezwał się:

— Poczekaj chwilę! Teraz ja pytam: jak możesz przypuszczać, że zламаłem postanowienie podjęte z Tomkiem?

— Ba, przecież wzięłeś złoto! — zawołał Nowicki.

— Nie wzięłem! — kategorycznie zaprzeczył Smuga. — W tym właśnie rzecz, że ja go nie wzięłem.

— Nic z tego nie pojmuję — niedowierzająco powiedział Nowicki. — Więc skąd je masz?!

— Ofiarował mi ktoś, kto uważa, że jest potomkiem Inków.

— Kto, do stu zdechłych wielorybów?

— Spokojnie, kapitanie, spokojnie! — odparł Smuga. — Dopiero teraz się zdziwisz!

— Kto? — porywczo ponowił pytanie Nowicki.

— Mąż twojej wielbicielki, szaman Onari — wyjaśnił Smuga. Nowicki oszołomiony spoglądał na przyjaciela. Dopiero po dłuższej chwili odezwał się:

— Szaman?! Wprost nie do wiary! Jak to było?

Smuga opowiedział, co przydarzyło mu się od chwili, gdy poszedł do kryjówki. Nowicki słuchając relacji aż szczypał się w udo, żeby sprawdzić, czy to wszystko nie jest przypadkiem jedynie sennym przywidzeniem. Gdy Smuga skończył mówić, Nowicki powiedział:

— Nic dziwnego, że Onari nawet ciebie zaskoczył swoim postępkiem. Zauważyłem wtedy, że wróciłeś dziwnie stropiony. Ten dzikus zdumiał nas obojwóch. Niewielu białych zdobyłoby się na to! Ha, już nigdy więcej nie nazwę go dzikusiem. Więc ta łódź pozostawiona dla nas to również jego sprawa?

— Nie ulega wątpliwości — potwierdził Smuga. — Agua działała w porozumieniu z mężem. Obydwoje spłacili ci dług wdzięczności. Co teraz myślisz o posiadanym przez nas złocie?

Nowicki lekceważąco machnął ręką i odparł:

— Ani mnie ono ziębi, ani grzeje! Onari dał je tobie, więc to twoje zmartwienie. Cieszy mnie tylko to, co sam zdołam zarobić uczciwą, pożyteczną pracą. Mój kochany staruszek zawsze mówił, że pieniądze przewracają ludziom w łepetynach.

— Zawierzyłem ci tajemnicę, której razem z Tomkiem postanowiliśmy nie zdradzać nikomu dla dobra tych nieszczęsnych Indian. Teraz zna ją nas trzech.

— Twoje słowa wpadły mi do jednego ucha, a drugim zaraz ulatywały. Już nic nie pamiętam, bądź spokojny. Teraz jednak spróbujmy nieco odsapnąć.

Rozwiesili hamaki pomiędzy niższymi palmami, podróżne worki podłożyli sobie pod głowy i legli do snu trzymając sztucery pod ręką.

Prostoduszny Nowicki posiadał usposobienie niefrasobliwe, zaledwie więc przymknął powieki, zaraz usnął. Nie był to wszakże sen głęboki,



przynoszący zapomnienie i wypoczynek, a raczej czujna drzemka, charakterystyczna dla ludzi nawykłych do niebezpieczeństw. Obecnie po intrygującej relacji Smugi przyśniła mu się Agua i jej tajemniczy mąż. Ładna Indianka nalegała, żeby Nowicki zabrał ją ze sobą, Onari stał z boku obrzucając ich złośliwym spojrzeniem. Nowicki wił się jak piskorz. Żał mu było Aguy. Już był niemal zdecydowany jej ulec, gdy nie wiadomo skąd pojawił się Tomek i robiąc oko do przyjaciela, podszepnął: „*Weź ją ze sobą, Tadius! Ożeń się z nią, będzie podtykała ci pożywne glisty. Lubisz przecież dobrze zjeść!*”. Szaman tymczasem pstryknął palcami w powietrzu, w jego dłoni pojawiła się długa jak tasiemiec larwa. Trzymał ją za ogon, na drugim końcu jej ciała widniała główka o twarzy Aguy. Larwa wyginała się ku Nowickiemu, szepcząc:

„*Zjedz mnie, zjedz.*” Już niemal dotyka jego ust... Agua krzyknęła || i... Nowicki przebudził się, otworzył oczy.

To wrzeszczały małpy na drzewach podniecone intrygującym widowiskiem rozgrywającym się na ziemi, gdzie ptak o wysokich nogach i stosunkowo długiej szyi usiłował schwytać węża. Kita piór tuż za nasadą zakrzywionego dzioba stroszyła się wojowniczo. Ptak nie odrywał wzroku od wijącego się gada, bacznie śledził jego ruchy, doskakiwał i odskakiwał, skrzydłami bronił się przed ukąszeniem. Wreszcie upatrzawszy odpowiedni moment rzucił się, szponami przygwoździł węża do ziemi i dziobem zręcznie chwycił go poniżej łba. Teraz walka szybko dobiegła końca. Ptaszysko pożerało węża ku ogromnej uciechu małp, które, jako jedyne poza ludźmi, wykazują paniczny strach i wstręt do węży.

Nowicki zerknął ku Smudze. Ten również obserwował dramatyczną walkę. Gdy było już po wszystkim, Nowicki się odezwał:

— A to dzielne ptaszysko! Spałaszował węża niczym afrykański wężojad sekretarz.

— Trafne porównanie! — pochwalił Smuga. — Zapewne łączy je pokrewieństwo. To kariama<sup>793</sup> z tropikalnej Ameryki, gatunek prawie już

---

<sup>793</sup> — Kariama bądź seriema (*Cariama cristata*), większa od bociana, wraz z pokrewnym w Afryce wężojadem sekretarzem (*Serpentarius secretarius*) tworzą typ przejściowy od ptaków brodzących do grupy sęposokołów. Kariama brazylijska jest szara z ciemnymi plamkami, ma pęczek piór u nasady dzioba, osiąga długość do 82 cm. Ptak ten zazwyczaj trzyma się na ziemi, czasem jednak siada na drzewach. Żywi się owadami, węzami, żmijami, skorpionami i pajakami. Składa po dwa jaja, mięso jego

wymierający. Czy zauważyłeś, że kita piór znajduje się u niej na przodzie głowy, podczas gdy afrykański wężojad mają na tylnej części?

— A jakże, coś mi tu właśnie nie pasowało! No, ale czas zmykać stąd, Janie!

— Zaraz ruszamy. Może jednak przedtem masz jeszcze ochotę na koro?

— Nie, dość tego dobrego! — mruknął Nowicki. — Po tych smakołykach indiańskich miałem dziwaczny sen... W drogę! Tylko jeszcze zerwę trochę tych nibyorzeczków.

## NA RZECE

Słońce chyliło się ku zachodowi. Nad rzeką pojawiły się śnieżnobiałe czaple, flamingi, różnokolorowe papugi oraz ponure czarne sępy. W pobliżu brzegów beztrąsko nurkowały kurki wodne. Cykady rozpoczęły swój przedwieczorny monotony koncert. Smuga i Nowicki z niepokojem spoglądali na wysokie, strome brzegi rzeki porośnięte nieprzebytym gąszczem. Wypatrywali miejsca na nocleg. Obydwa brzegi jednak wciąż były niedostępne. Wprawdzie czasem u stóp stromizn wylaniały się piaski małych, wąskich plaż, lecz były zbyt widoczne z daleka, ponadto na nich właśnie, niby suche kłody drzewa, wylegiwały się krokodyle<sup>794</sup> z szeroko otwartymi paszczami. Tylko śmigłe ptaki czasem rzucały się lotem nurkowym między olbrzymie żarłoczne gady, na mieliznach bowiem łatwiej było o rybę lub kraba, — Niech to rekin połknie! — odezwał się zniecierpliwiony Nowicki. — Tylko patrzeć, jak noc zdmuchnie słoneczną latarnię, a tu nigdzie nie widać miejsca na postój!

— Nie ma czasu na dalsze poszukiwania — rzekł Smuga. — Chyba będziemy musieli przeczekać noc na rzece.

— Po ciemku rozbijemy łódź jak amen w pacierzu! — zafrasował się Nowicki.

— O tym, żebyśmy płynęli, nie ma nawet co myśleć! Przenocujemy w łodzi przy brzegu pod osłoną zwisających konarów.

— Oby tylko krokodylszczaki lub anakondy nie zrobiły sobie z nas wyżerki — mruknął Nowicki. — Nasza łódka to łupina dla tych potwornych gadów. Skóra cierpie na grzbiecie, gdy patrzę na ich otwarte paszcze!

---

<sup>794</sup> — Znamy około 20 gatunków krokodyli, lecz ze względu na małe różnice między nimi zaliczamy je do jednej rodziny. W Ameryce Południowej żyją jedynie dwa gatunki krokodyli właściwych: krokodyl amerykański (*Crocodylus americanus*), który występuje w Ameryce Środkowej i Południowej, na Florydzie i na wyspach Morza Karaibskiego, oraz krokodyl Orinoko (*Caiman crocodylus*), spotykany tylko w systemie tej rzeki. Ponadto wyłącznie w Ameryce Południowej i Środkowej występuje siedem gatunków kajmanów (*Caiman*), które różnią się od aligatorów tylko brakiem kostnej przegrody nosa oraz tym, że oprócz pancerza grzbietowego posiadają również pancerz brzuszny z ruchomych, zachodzących na siebie dachówkowe płytek kostnych. Ze względu na małe różnice kajmany zazwyczaj zalicza się do grupy aligatorów.

— Masz rację, kapitanie — przytaknął Smuga. — W obawie przed krokodylami i anakondami Indianie nigdy nie nocują w łodzi. My jednak nie mamy wyboru, będziemy czuwali na zmianę. Zbliży się do lewego brzegu, póki jeszcze dzień.

— Słusznie mówisz. Zdaje się, że tam mniej mielizn z czatującymi gadami.

Był najwyższy czas na zatrzymanie się na nocleg. Słońce już słało na dzungłę różowe odbłaski. Lada chwila mogła zapaść noc. Toteż Nowicki krótkimi, silnymi uderzeniami wiosła skierował łódź ku brzegowi. Wkrótce wpłynęli pod wychylone nad rzekę korony drzew. Ogarnął ich półmrok. Rozłożyste konary niekiedy zwisały tak nisko nad wodą, że zmuszeni byli prawie kłaść się w łódce, prześlizgując się pod nimi. Duszne powietrze tchnęło mdłymi oparami zgnilizny.

Przybrzeżny nurt rzeki był mniej wartki. Smuga odłożył wiosło i wypatrywał miejsca na nocny postój. Naraz jednak z powrotem je chwycił; razem z Nowickim zaczęli ostro popychać łódkę.

— Do stu zdechłych wielorybów, co tak potwornie zaśmierdziało!?! — cicho zawołał Nowicki, ze wstrętem odwracając głowę od brzegu.

— Gdzieś tu musi gnąć krokodylę ścierwo — odburknął Smuga.

— Ejże! Przecież tu zalatuje piżmem! — zaoponował Nowicki.

— Właśnie dlatego mówię, że to gnijący krokodyl — potwierdził Smuga. — Wydzielina gruczołów tego gada ma silny zapach piżma.

— Do licha, zapomniałem o tym! Mdło mi od tego smrodu, łyknałbym teraz jamajki. Myślę, że Tomek nie zapomni o moim ulubionym napitku.

Przez jakiś czas jeszcze płynęli, aż wreszcie zatrzymali się pod pochyłym nad wodą rozłożystym drzewem.

— Cumuj, kapitanie! — polecił Smuga.

Nowicki przywiązał dziób i rufę łodzi linami do konarów drzewa. Następnie starannie sprawdził, czy zastosowane przez niego marynarskie węzły rozwiążą się za jednym pociągnięciem w razie nagłej potrzeby. Zadowolony z dokonanych prób usiadł w łodzi. Położył sztucer obok siebie z prawej strony, przygotował kolt, po czym zaczął się bacznie rozglądać po rzece i brzegach. Dopiero gdy się upewnił, że dostatecznie utrwalił w pamięci topografię okolicy, zabrał się do suszonej ryby wydzielonej przez Smugę.

Ptactwo zniknęło znad rzeki. Niebo na zachodzie stawało się coraz bardziej granatowe. Wszelkie odgłosy w dżungli umilkły, nastąpiła przedwieczorna cisza. Wkrótce też, jakby ktoś nagle zgasił słońce, zapadła podzwrotnikowa noc.

Smuga i Nowicki, utrudzeni nocnym przedzieraniem się przez tropikalny las oraz prawie całodziennym zmaganiem się z porywistym nurtem wezbranej rzeki, nieruchomo siedzieli w łódce nie rozmawiając. Nowicki walczył z ogarniającą go sennością, rozchylił zwisające nad nim gałęzie rozłożystego drzewa i spoglądał na wyiskrzzone gwiazdami niebo. Na srebrnoseledynowym tle, niby długa wstęga, wiała się Mleczna Droga, na której skraju gorzał charakterystyczny gwiazdozbiór południowego nieba — Krzyż Południa. Księżyc wyłaniał się właśnie zza czarnej krawędzi lasu. Jego srebrzysta poświata sprawiała, że wszystko wyglądało inaczej niż za dnia, nabierało baśniowej tajemniczości. Dżungla, milcząca podczas dziennego skwaru, teraz rozpoczynała nocne życie. Z jej ostępów napływały jakieś szelesty, pomruki, gwizdy, płaczliwe jęki, okrzyki trwogi, piski i trzepoty skrzydeł. Przy brzegach rzeki odzywały się duże żaby<sup>795</sup>, których głos przypominał pogwizdywanie.

Nowicki, zapatrzony w niebo, nagle drgnął, natychmiast zapomniał o gwiazdach i senności. Oto w górze ponad nim rozbrzmiał przeciągły, szyderczy chichot jakiegoś nocnego ptaka. Niemal jednocześnie w pobliżu na brzegu rozległy się gwałtowne gdakania i warczenia, które zagłuszał donośny ryk, brzmiący jak mieszanina różnych przerażających głosów. Nadbrzeżne chaszczki zaszeleściły, potem słychać było plusk wody, jakby ktoś ciężki niezgrabnie wskoczył do rzeki.

— Kajmany walczą o łup... — szepnął Smuga. — Pewno pożerają śmierzące ścierwo.

— Jest ich cała gromada, słychać stare i młode<sup>796</sup> — również szeptem powiedział Nowicki.

— Siedzmy cicho, żeby nas nie odkryły — ostrzegł Smuga. Umilkli i wytężyli słuch. W zasadzie krokodyle są tchórzliwe, tylko w szczególnych okolicznościach bywają niebezpieczne dla ludzi. Sytuacja jednak mogła stać

---

<sup>795</sup> — *Leptodactylus pentadactylus* — gatunek dużych żab południowoamerykańskich. W wodzie poruszają się dość niezgrabnie, na lądzie, mimo ciężkiej budowy, szybko i zwinnie.

<sup>796</sup> — Młode krokodyle gdaczą, starsze warczą, a dorosłe ryczą głośno.

się groźna, nawet tragiczna, gdyby wywróciły lub rozbiły łódkę. Niezbyt grube konary zwisające nad nią wykluczały ucieczkę na drzewo, gąszcz zarośli natomiast uniemożliwiał schronienie się na brzegu rozbrzmiewającym tajemniczymi głosami. Utrata łodzi oznaczałaby niefortunny koniec ucieczki. Nawet tak odważni i zdecydowani na wszystko mężczyźni nie byłiby w stanie pieszo przedrzeć się przez dżunglę na umówione spotkanie na granicy boliwijskiej.

Obydwaj przyjaciele doskonale zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji. Toteż czuwali wsłuchując się w odgłosy napływające z lasu. Powietrze tymczasem szybko się ochładzało. Po dziennym upale nastawała zimna noc. Przez jakiś czas nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło. Tylko chmary brzęczących komarów unosiły się nad łodzią i bezlitośnie cięły nieruchomych uciekinierów.

Naraz coś chropowatego mocno otarło się o bok łodzi, która gwałtownie przechyliła się na prawą burtę. No wieki i Smuga błyskawicznie oparli się o burtę przeciwną, żeby zrównoważyć przechył. W krótkich odstępach czasu jeszcze kilkakrotnie tarcze kostne pancerzy krokodyli ocierały się o łódź, popychając ją i kołysząc. Było w tym coś niesamowitego — żarłoczne gady podpływały bezszelestnie, o ich obecności świadczyły jedynie niebezpieczne ruchy łodzi oraz głuchy chrobot ocierających się o nią potwornych, opancerzonych cielsk. Wreszcie jednak krokodyle pozostawiły łódź w spokoju.

Nowicki mimo chłodu nocy otarł pot z czoła. Odetchnął głęboko. Wszakże zaledwie zerknął na rzekę, ujrzał w pobliżu błyskające miedziane ogniki krokodylich oczu. Podstępne gady czały się jeszcze.

— Janie, widzisz!?! — szepnął.

— Widzę! — również szeptem odparł Smuga. — One tak łatwo nie rezygnują z łupu. Oby tylko nie próbowały przepływać pod łodzią...

— Byłaby wywrotka i... po nas! — mruknął Nowicki. — Siedzmy cicho, może nas poniechają. Zdrzemnij się, Janku, będę czuwał.

— Zgoda, zmienię cię wkrótce.

Nowicki wodził wzrokiem po wodzie. Jeszcze od czasu do czasu spostrzegał miedziane ogniki, ale krokodyle już nie podpływały zbyt blisko. Krótka podzwrotnikowa noc tym razem bardzo dłużyła się Nowickiemu. Nie budził skulonego Smugi. Przecież jemu bardziej dała się we znaki uciążliwa

ucieczka. Zaczął rozmyślać, co też porabia Tomek. Był pewny, że jego ulubieniec niezawodnie pospieszy im z pomocą. Na takim przyjacielu zawsze można polegać! Potem zaczął wspominać różne przygody przeżyte z Tomkiem, wodząc jednocześnie wzrokiem po nadbrzeżnych chaszczach. Rozbłyskiwały w nich setki fosforyzujących barwnych ogników. Były to amerykańskie robaczki świętojańskie<sup>797</sup>. Przypominały one Nowickiemu wspólne z Tomkiem poszukiwania zaginionego Smugi. Wtedy właśnie, zawsze wieczorem, Tomek opracowywał mapę przebytych okolic. Sally i Natka chwyciły dla niego sprężyki i wkładały do słoiczka. Pięć lub sześć uwieczonych chrząszczy wydzielalo tyle światła o metalicznych barwach, że umożliwialo ono Tomkowi pracę nad mapą po zapadnięciu ciemności.

Nowicki pochwalil wtedy pomyslowosc Tomka, ale ten wyjasnil mu, ze wykorzystywanie swiatla emitowanego przez sprężyki nie jest jego pomyslem. Pewien badacz Ameryki Poludniowej wspominal mu, ze niektorzy Indianie chwytali te owady i poslugiwali sie nimi jak latarnia. Indianki takze przy takim swietle szyly wieczorem oraz zdobily swoje glowy nakladajac na wlosy uwiezzone w siateczkach swietliki.

Odrazajace krzyki i przejmujace dreszczem wycie wyrwaly Nowickiego z przyjemnej zadumy. Smuga rowniez natychmiast sie przebudzil, siadl i z wyrzutem w glosie zapytal:

— Dlaczego pozwoliles mi spacic tak dlugo? Mialem cie zmienic.

— Zabawa w chowanego z krokodylszczakami zegnala mi sen z powiek, nie bylem spiacy — wyjasnil Nowicki. — No, nigdy dotad straszliwe glosy wyjcow nie wydalaly mi sie tak piekne jak dzisiaj! Przecie z ten malpi budzik oznajmia swit!

— Tak, tak, kapitanie. Nie byla to dla nas najprzyjemniejsza noc — przyznal Smuga.

Uradowani spogladali na wschod, gdzie ciemne niebo nabieralo krwawych odblyskow. W nadbrzeznym gaszczu rozleglo sie kwilenie ptakow,

---

<sup>797</sup> — Amerykanski robaczek swiętojański (chrząszcz) należy do rodziny sprężykow (*Elateridae*). Na tropikalnych obszarach Ameryki występuje w okolo stu gatunkach. Dzieki specjalnej budowie pierścieni tułowia, jeśli upadną na grzbiet, podrzucają się w góre i zakreślajac luk w powietrzu opadają zwykle stroną brzuszna na ziemie. Posiadają zdolność znacznie silniejszego swiecenia niż swietliki (*iMmpyris nocticulid*). Najbardziej znanym sprężykiem jest *Pyrophorus nocticulus* o cieie dlugosci do 4 cm oraz *Ipkia madagascariensis*. Sprężyki żyją w glebie, butwiejącym drewnie i w martwych częściach roślin.

a do przeraźliwych głosów wyjców dołączyły krzyki papug i monotony śpiew cykad.

— Odwiąż łódź, kapitanie! Ruszamy! — polecił Smuga.

— Umykajmy, czas nagli! — potwierdził Nowicki.

Po chwili już mknęli środkiem rzeki jeszcze osnutej lekką mgiełką. Wkrótce też na stalowoseledynowym tle nieba pojawiły się nad wodą „kraczące” czaple i wrzaskliwe papugi. Nowicki i Smuga, po nocy spędzonej w odurzających oparach przybrzeżnych, teraz mogli odetchnąć pełną piersią. Na środku rzeki w powietrzu unosiła się nieokreślona, przyjemna woń podzwrotnikowego poranka. Mgiełka szybko opadała. Słońce coraz bardziej wychylało się zza lasu. Na tu i tam widocznych plażach wygrzewały się krokodyle i duże żółwie, czasem srebrzyły się stada czapli bądź flamingi ociężałe podrywały się do lotu. W pobliżu brzegów buszowały kurki wodne i dzikie kaczki.

Nowicki z zapalem wiosłował i sterował łodzią. Często zerkał za siebie wypatrując pościgu. Głód mocno mu doskwierał, toteż łakomie spoglądał na żółwie widoczne na piaskach plaż. Przywodziły mu one na myśl jajecznicę, którą lubił jeść na śniadanie.

— Janie! — zagadnął w końcu. — Czy nie warto byłoby zatrzymać się na chwilę przy żółwiach i poszukać jaj?

— Jakbyś czytał w moich myślach, kapitanie — odparł Smuga. — Za wcześnie jednak na postój. Jeśli Kampowie nas ścigają, to mogą już mocno deptać nam po piętach. Niełatwo byłoby stawić im czoła. Mają karabiny. Uczyłem ich posługiwać się nimi, byli pojętnymi uczniami!

— Ha, drogo by zapłacili za nasze życie — powiedział Nowicki. — Mamy dwieście nabojów!

— Gdyby choć jeden Kampa zginął z naszej ręki, już by nie przzerwali pościgu przed dokonaniem zemsty.

— Jestem tego pewny! — przytaknął Nowicki. — Poza tym, co tu wiele gadać, powiem szczerze: nie chciałbym, żeby doszło do walki. Przecież Kampowie nie zrobili nam krzywdy, a trudno mieć do nich pretensje, że są takimi, jakimi stworzyła ich natura.

— Nawet polubiłeś niektórych z nich... — rzekł Smuga zerkając na zafrasowanego przyjaciela.



— Święta prawda! Do stu zdechłych rekinów! Jesteśmy między młotem a kowadłem... Przed nami Tasulinczak, a za nami jego kumple! Może pościg jednak ruszył drogą, którą uciekał Tomek?

— Bardziej prawdopodobne,<sup>798</sup> że ścigają nas jednocześnie w kilku kierunkach — wtrącił Smuga.

— Musimy się z tym liczyć — przyznał Nowicki. — Jak myślisz, Janie, czy jeszcze daleko do Ukajali?

— Z tego co mówiła Agua, wypadałoby, że z kryjówki Kampów można dotrzeć do Ukajali w trzy dni. Jeden mamy za sobą, dzisiaj to już drugi, wobec tego jutro lub pojutrze powinniśmy się znaleźć nad Ukajali i przeprowić się na prawy brzeg.

— A więc ostrzej do wiosł! — zawołał Nowicki.

Płynęli bez wytchnienia nie zwracając uwagi na coraz dokuczliwszy głód. Nie przerwali też żeglugi nawet wtedy, gdy słońce stanęło w zenicie. Tylko bardziej zbliżyli się do brzegu, gdzie rozłożyste konary drzew nieco osłaniały przed palącymi promieniami słońca. Popołudniowy krótkotrwały deszcz także im nie przeszkodził. Nowicki jednak coraz częściej spoglądał zafrasowany w niebo. Wreszcie mocno już zaniepokojony odezwał się:

— Janie, przystańmy na chwilę!

Smuga odłożył wiosło. Nowicki uczynił to samo, uchwycił zwisającą lianę, po czym przymocował do niej łódkę, która wkrótce stanęła na uwięzi.

— O co chodzi, kapitanie? — zagadnął Smuga, odwracając się do przyjaciela.

— Dotąd słońce do południa było przed nami, po południu przygrzewało w plecy. Był to znak, że płyniemy na wschód. Dzisiaj jednak od pewnego czasu słońce przesunęło się na lewą burzę, co oznacza, że skręciliśmy na południe. Już nie płyniemy wprost do Ukajali.

— Ja też zauważyłem, że nurt rzeki zmienia kierunek — odparł Smuga. — Trzeba przyjrzeć się mapie.

---

<sup>798</sup> — Surucucu (*Lachesis mutd*) — brazylijska nazwa jednego z najniebezpieczniejszych amerykańskich węży jadowitych. Jego ukąszenie szybko zabija człowieka. Długość gada dochodzi do 4 m, a grubością dorównuje grubości męskiego uda. Wąż ten jest pięknie ubarwiony. Lubi przebywać w cienistych lasach.

Wydobył z worka mapę pozostawioną przez Tomka i rozłożył na kolanach. Przez jakiś czas wodził po niej wzrokiem, spoglądał na kompas, zastanawiał się, a w końcu rzekł:

— Obszary, na których się znajdujemy, są na mapie jeszcze białą plamą. Nie ma też tutaj naszej rzeki. Jedynie dzięki uzupełnieniom wprowadzonym przez Tomka i jego uwagom na marginesie można wyciągnąć pewne wnioski. Według wszelkiego prawdopodobieństwa znajdujemy się na jednym z nieznanych dotąd dopływów rzeki Tambo. Gran Pajonal leży na północnym wschodzie. Muszę przyznać, że Tomek jest naprawdę doskonałym kartografem!

— Kochane chłopaczysko! Gdy szukaliśmy cię, on jeden nie dał się wykołować naszemu przewodnikowi, który umyślnie wciąż kluczył, żebyśmy stracili orientację — powiedział Nowicki. — Ślęczał wieczorami nad mapą i uzupełniał ją spostrzeżeniami. Powiedziałaś, że jesteśmy na jednym z dopływów Tambo? Czy to dobrze dla nas, czy źle? Nie słyszałem o takiej rzece.

— Ukajali powstaje z połączenia się Urubamby i Apurimacu. Apurimac natomiast na pewnych odcinkach przybiera trzy różne nazwy. Jej źródłowa część to właśnie Apurimac, dalej nazywa się Perene, a jeszcze dalej, już jako Tambo, łączy swe wody z Urubambą i razem tworzą Ukajali. Przyjrzyj się mapie.

— Tak, wszystko tu wyklarowane — przyznał Nowicki po chwili. — Nie odpowiedziałeś mi jednak, czy to dobrze dla nas, czy źle?

— Bo też i trudno to odgadnąć. Kraina Kampów leży w trójkącie tworzonym przez rzeki Pachitea, Ukajali, Tambo i Perene. Brzegi Tambo zamieszkuje wielu wolnych Kampów.

— Znaczy to, że idziemy z deszczu pod rynnę — zafrasował się Nowicki.

— Ładną drogę ucieczki podsunęła nam Agua i jej mężulek–pigularz! Smuga zamyślił się, dopiero po dłuższej chwili rzekł:

— Musisz brać pod uwagę, że wszystkie kierunki ucieczki są dla nas jednakowo niebezpieczne.

— Wiem o tym, ale dlaczego Onari, niby nam życzliwy, doradził umykać rzeką, skoro ona wiedzie wprost do jaskini Kampów, przed którymi uciekamy?

— Moim zdaniem dowodzi to, że przebiegły szaman potrafi myśleć logicznie. Postąpił bardzo przewidująco, doradzając właśnie tę drogę ucieczki.

— Mów jaśniej, Janie, bo nic z tego nie pojmuję!

— Posłuchaj! Co robi człowiek uciekający przed lwami? Przede wszystkim stara się omijać ich legowiska. Zgadzasz się z tym?

— Jasne jak słońce — potwierdził Nowicki.

— Kampowie są dla nas lwami. Gdzież wobec tego najpierw będą nas ścigali?

— Czekaj, coś mi zaczyna świtać w łepetynie! — zawołał Nowicki.

— Kampowie myślą, że my nie wiemy o zamierzonej rebelii. Według nich wobec tego bylibyśmy głupcami, umykając w kierunku rzeki Tambo ku ich sadybom. Należy się więc spodziewać, że pościgi najpierw pójną na zachód, na szlak ucieczki Tomka, który Kampowie już znają. My tymczasem, wiejąc na południe, zyskujemy na czasie. Agua ostrzegła, że gdy my się znajdziemy na Tambo, tamtejsi Kampowie będą już na ścieżce wojennej daleko nad Ukajali, co z kolei ułatwi nam przemknięcie się rzeką Tambo.

— Tak właśnie zapewne rozumował Onari — potaknął Smuga. — A teraz co sądzisz o szamanie?

— Nie ma co więcej gadać, łebski facet! On ma rację, mówi się przecież, że pod latarnią zawsze jest najciemniej!

— Musimy jak najszybciej znaleźć się na Tambo. Dopiero tam się przyczaimy i zorientujemy w sytuacji. Teraz zjedzmy resztę suszonej ryby i w drogę!

Późno po południu wpłynęli w długą, rozległą dolinę. W dali na prawym brzegu, za ciemną linią lasu, piętrzyły się masywy górskie. Nowicki, uprzedzony do gór, odwracał od nich głowę. Za to łakomie zerkał ku lewemu brzegowi, gdzie przy napotykanym wodopojach często pojawiały się aguti o lśniących futerkach. Kilkakrotnie zauważył też kapibary, czyli świnki wodne, szybko przepływające rzekę. Widok zwierzyny budził nadzieję, że będzie można coś upolować i zaspokoić głód. Toteż coraz uważniej spoglądał na lewy brzeg.

Właśnie omijali piaszczystą wysepkę, na której wypoczywały krokodyle. Na wprost niej na lewym brzegu znajdowała się mała polanka. Rosnące na niej wiotkie krzaczki sprawiały wrażenie, że nie tak dawno ktoś musiał ogołocić ją z zarośli. Nowicki spoglądając na polankę nagle drgnął, jakby

sobie coś uzmysłowił lub przypomniał. Poruszony do głębi zawołał stłumionym głosem:

— Janie! Poznaję tę okolicę! Byliśmy tutaj z Tomkiem! Na tej polance obozowaliśmy, gdy tragarze z plemienia Pirów nas porzucili. To my wycieliśmy wszystkie krzaki, żeby przepłoszyć gadziny. Teraz na ich miejscu pienia się młode zarośla.

— Czy jesteś tego pewny? — zapytał Smuga, nie mniej poruszony od przyjaciela.

— Czy jestem pewny?! — oburzył się Nowicki. — Ręczę marynarskim słowem! Jak tylko wpłynęliśmy do tej doliny, coś zaczęło mi majaczyć w łepetynie. Najpierw uwagę moją zwróciło samotne olbrzymie drzewo na brzegu, a przy nim zwierzęca ścieżka do wodopoju i kapibary. Potem duża kępa kolczastych cierni, teraz ta polana! Coś mi się wydawało tak i jednocześnie nie tak. Nagle pojąłem, co mi tu nie pasuje! To rzeka! Z Tomkiem byliśmy tu w porze suchej. Wtedy był to tylko szeroki strumień, ale obecnie, przy końcu pory deszczowej, strumień przemienił się w pokaźną, rwącą rzekę. To właśnie tak mnie myliło!

— Słuchaj, Tadku, Tomek mówił mi, że wkrótce po odejściu Pirów natknęliście się na szałas z moim umierającym przewodnikiem. Jeżeli więc pamięć cię nie zawodzi, to szałas ten powinien znajdować się gdzieś tutaj!

— A jakże! Szałas lub jego szczątki są tu niezawodnie! Możesz mi wierzyć, Janku. Dobrze zapamiętałem to rozwidlone drzewo, bo na nim anakonda czaiła się na Tomka. Tylko dzięki Dingowi chłopak ocalał! Potem ta kępa diabelskich cierni, w które się Tomek przewrócił, pomagałem mu się z nich wyplątać. W chwilę później napadły nas osy i pokąsały. Sam powiedz, jak można takich przeżyć nie zapamiętać?!

— Przybijaj do brzegu, kapitanie! — krótko polecił Smuga. — Spróbujemy poszukać szałasów. Jeżeli się to uda, rozpoznamy na mapie, gdzie się znajdujemy. To by ułatwiło dalszą drogę.

Niebawem znaleźli się na brzegu, ukryli łódź w zaroślach, po czym starannie zatarli wszelkie ślady swej bytności.

— Zabieraj manatki — rzekł Smuga. — Teraz próbuj odnaleźć drogę do szałasów, kapitanie!

— Będę szedł pierwszy, ale ty, Janku, dobrze uważaj! Tutaj płacze się wiele jadowitych gadów — ostrzegł Nowicki. — Surucucu<sup>799</sup> omal nie ukąsił Mary, na szczęście zdążyła się zasłonić tarczą Haboku. Spotykaliśmy również żararaki<sup>800</sup>.

Minęło około godziny, zanim Nowicki przystanął i rzekł:

— Spójrz, Janie, na to wysokie, rozłożyste drzewo na samym brzegu rzeki. Czy można je zapomnieć?

— Rzeczywiście, rozszczepienie głównego pnia jest bardzo charakterystyczne i rzuca się w oczy — przyznał Smuga. — Czy to właśnie tutaj anakonda zaatakowała Tomka?

— Tak, tak, nie ma mowy o pomyłce! Niebawem zboczymy w las. Nowicki bacznie rozglądał się po okolicy i po kilkuset krokach zdecydowanie ruszył w głąb dżungli. Z niemałym trudem przedzierali się przez gąszcz niskich palm. Wreszcie jednak gęstwina przerzedziła się i Nowicki rozpromieniony przystanął.

— Patrz, Janku, patrz! — odezwał się szeptem.

Na małej leśnej polance stało drzewo o parasolowatej koronie i pierzastych liściach. Na korze oraz na owocach rosły duże kolce. W cieniu drzewa znajdował się niski szałas. Szkielet główny tworzyły przygięte i razem związane lianami wierzchołki niskich, wiotkich palemek.

— A więc jednak pamięć cię nie zawiodła, kapitanie! — cicho powiedział Smuga. — Podejdźmy bliżej.

Pokrycie szałasu było już w wielu miejscach porozrywane, ale samo niskie wejście wciąż jeszcze osłaniały grube gałęzie cierniowe.

— No, teraz już wiem, dlaczego tak długo czekaliśmy wtedy na Haboku, który został sam i rozmawiał z umierającym przewodnikiem — odezwał się Nowicki. — To on zabarykadował wejście cierniami, żeby do szałasu nie dostały się drapieżniki.

---

<sup>799</sup> — Żararaka (jararaca — *Lachesis lanceolatus*) — amerykański jadowity wąż długości do 2 m i gruby jak ramię mężczyzny. Posiada ubarwienie zmienne, zazwyczaj jaskrawe, żółtordzawe. Na skórze występują liczne drobne cętki.

<sup>800</sup> — Kurara (nazwa indiańska) — smołowate wyciągi otrzymane przez gotowanie kory, pędów i korzeni południowoamerykańskich lian (*Strychnos toxifera*). Kurarą wprowadzona do krwi jest bardzo silną trucizną, powodującą porażenie mięśni oddechowych. Używana jest przez Indian w Ameryce Południowej do zatruwania strzał do łuków i dmuchawek. Podawana doustnie jest mało toksyczna, dzięki czemu mięso zabitych kurarą zwierząt można spożywać. Trujące alkaloidy znajdujące się w kurarze stosowane są w badaniach fizjologicznych i w chirurgii.

— Mimo to chyba już tam niewiele pozostało z mego nieszczęsnego przewodnika — zauważył Smuga. — Musimy pochować jego szczątki.

— Pochówek człowieka jest obowiązkiem chrześcijańskim — przytaknął Nowicki. — Dzielny to był Indianin, nacierpiał się wiele, żał mi go, mimo że umyślnie wprowadził cię w pułapkę.

— To nie było tak! — zaprzeczył Smuga. — Ten Kampa wiedział o zasadzce i nie ostrzegł, ale sumiennie wykonał to, czego od niego żądałem. Doprowadził mnie do morderców Johna Nixona. Sam przypłacił to życiem, wiedząc, że mnie śmierć nie zagraża. Sądził, że przysłuży się dobrze swemu ludowi. Poza tym dzięki niemu zdołaliście cali dotrzeć do mnie.

— Ha, trudno temu przeczyć! Skoro mamy urządzić mu pogrzeb, to szalas już niepotrzebny — mówiąc to Nowicki zaczął rozrywać nadszarpnięte przez ząb czasu poszycie.

Po chwili w milczeniu spoglądali na nagi szkielet ludzki leżący na butwiejącym barłogu z gałęzi. Między żebrami z lewej strony klatki piersiowej tkwiła rękojeść noża.

Nowicki pierwszy przerwał milczenie:

— Domyślaliśmy się wtedy, że Haboku skrócił męki nieszczęsnego przewodnika. Sally i Natka przez dłuższy czas stroniły od Haboku, jakby budził w nich odrazę, a może nawet lęk. Nawet Tomek chmurnie spoglądał na niego, ale tłumaczyłem mu, żeby nie mieszał się w sprawy dotyczące dwóch wojowników wychowanych w innych warunkach i inaczej niż my.

— Chyba miałeś rację, Tadku! Obwiniać Haboku jest tak samo trudno, jak uznać słuszność jego czynu — powiedział Smuga. — Tutaj dość często zabija się samotnych i zniedołężniałych starców, o których już nie ma kto się troszczyć. W takich sytuacjach Indianie płaczą i żałują, ale... zabijają.

— Umierający Kampa na pewno sam prosił Haboku o oddanie mu tej ostatniej przysługi — dodał Nowicki. — Nie było w tym nienawiści czy złości. Haboku zabezpieczył cierniami wejście do szalasu, ale i tak wszystko zniknęło prócz kości. Pewno mrówki tutaj gospodarowały.

— Jestem pewny, że tak było — zgodził się Smuga. — W przeciwnym razie nie pozostawiłby przy zmarłym jego strzelby i mego karabinu z garstką naboii.

— Ten Kampa był dzielnym człowiekiem i wojownikiem, więc broń, z wyjątkiem noża, włożymy do grobu razem z nim. Niech mu służy w indiańskiej Krainie Wiecznych Łowów — powiedział Nowicki.





## ROZDROŻA

Smuga i Nowicki przysiedli na kłodzie obok świeżo usypanej mogiły. Zmęczeni się ścinaniem gałęzi cierni na zabezpieczenie grobu, mimo że już obydwaj posiadali noże. Naraz gdzieś w pobliżu rozległ się trzepot skrzydeł, a potem rozbrzmiały nawoływania podobne do trzeszczenia i gwizdów. Nowicki natychmiast nadstawił ucha, pytająco spojrzawszy na przyjaciela.

— Tukany przyleciały na żerowisko. Zapewne niedaleko rosną dzikie drzewa owocowe — wyjaśnił Smuga. — Właśnie przed zachodem słońca tukany stają się najbardziej głośnie i ożywione.

— Janku, wkrótce zapadnie noc, w drogę dzisiaj nie ruszymy — odezwał się Nowicki. — Tutaj nikt nas z rzeki nie odkryje. Przenocujemy, a ty dmuchawką upoluj ptaszysko. Na głodniaka daleko nie zajedziemy. Dzisiaj płynęliśmy znacznie wolniej.

— Również to rozważyłem, zgoda, zostaniemy... — odparł Smuga.

— Weź kociołek i skocz do rzeki po wodę, ja tymczasem pójdę na polowanie. Podkradać się trzeba w pojedynkę, tukany są bardzo płochliwe.

— Już idę, przy okazji zerknę na rzekę! — ochoczo odparł Nowicki, uradowany możliwością zaspokojenia głodu. Wydobył kociołek z worka, wziął sztucer i zniknął w gąszczu.

Smuga także nie tracił czasu. Sztucer oraz worki ukrył w pobliżu grobu. Uzbrojony w pokunę, kołczanik z zatrutymi strzałami oraz tykwę z bawełną, ruszył w leśny gąszcz. Przekradał się pod osłoną zarośli, spoglądając na wierzchołki drzew, tukany bowiem, jako owocożercy, spędzały życie w wysokich piętrach lasu. Ptaki te spotykano we wszystkich pierwotnych dżunglach od Ameryki Środkowej aż po Paragwaj. Żyły w małych stadkach i gnieździły się w dziuplach drzew, jednakże dojrzewanie pewnych owoców w różnych porach roku zmuszało je do częstych wędrówek, wtedy też zbierały się w duże stada.

Smuga, kierując się charakterystycznymi głosami, wkrótce wypatrzył ptaki na rozłożystym drzewie obsypanym soczystymi owocami. Przyczał się w zaroślach...

Tukany jeszcze nie dostrzegły grożącego im niebezpieczeństwa. Odpoczywały na samych koronach drzew, pokrzykując od czasu do czasu.

Przy wydawaniu głosu przedstawiały pocieszny widok. Odchylały łebki w tył podnosząc olbrzymi dziób prostopadle do góry, jednocześnie kręciły tułowiami w różne strony i stroszyły pióra jak w czasie toku. Po trzaskach i gwizdach następowało klekotanie podobne do bocianiego. Niektóre tukany już żerowały, poruszały się wzdłuż gałęzi długimi skokami, rzadko pomagając sobie skrzydłami. Smuga otworzył kołczanik; w małą poduszczkę leżącą na dnie wpięte były ostrym końcem nasyconym kurarą<sup>801</sup> miniaturowe strzałki o długości i grubości zapałki, zrobione z twardego drewna. Smuga ostrożnie wsunął jedną strzałę w koniec pokuny przeznaczony do przytykania ust, uszczelnił kłębkim bawełny i gotów do strzału rozejrzał się wokół.

Na pobliskim drzewie, wysoko na gałęzi żerował duży tukan. Długim, zakrzywionym dziobem co chwila sięgał po owoc. Smuga przytknął pokunę do ust, wycelował ją prosto w pierś ptaka, głęboko nabrał tchu i potężnie dmuchnął. Trafiony zatrutą strzałką tukan krótko zatrzepotał skrzydłami, przysiadł jakby niżej na gałęzi, po czym zaczął spadać objijając się bezwładnie o niższe konary. Dopiero gdy trzeci tukan stoczył się na ziemię, pozostałe ptaki z wrzaskiem poderwały się do ucieczki.

Smuga z łatwością odszukał zdobycz, po czym powrócił w poblizze mogiły. Nazbierał grubych gałęzi na ognisko, a następnie zaczął oprawiać upolowane ptaki. Gdy Nowicki przyszedł z kociołkiem wody, właśnie kończył patroszenie.

— Ho, ho! Widzę, że szczęście sprzyjało podczas łowów — uradował się Nowicki. — Teraz trochę odpocznij, Janie, zajmę się gotowaniem.

— Co tam słychać nad rzeką? — zaciekawił się Smuga.

— Naszych prześladowców ani widu, ani słychu! — odparł Nowicki.

— Jakie piękne pióra mają te ptaszyska! Nic dziwnego, że Indianie się w nie przystrajają!

— Masz rację — przyznał Smuga. — Jeszcze za pierwszych konkwistadorów Indianie umieli wyrabiać ze skór i piór tukanów wspaniałe płaszcze i okrycia głowy. Widziałem je w skarbcu Inków, o którym ci mówiłem.

— Aż dziw bierze, że jeszcze tyle tych ptaków tu żyje, skoro Indiancy od tak dawna się za nimi uganiają! — zdumiał się Nowicki.

---

<sup>801</sup> — Mowa o drzewie *Achias Sapota*, którego drewna używali Indianie do rozpalania ognia.

— Wielka w tym zasługa samych Indian. Nie wyniszczają bezmyślnie fauny.

— To skąd w takim razie biorą tyle pięknych piór? — niedowierzająco dopytywał się Nowicki.

— W celu zdobycia piór używają słabo zatrutych strzał, które na chwilę tylko obezwładniają ptaka, nie czyniąc mu większej krzywdy. Po wyrwaniu piór uwalniają go, ten zaś niebawem porasta nowymi piórami.

— Ha, właśnie teraz sobie coś przypomniałem! — powiedział Nowicki.

— Gdy byliśmy z Tomkiem w Arizonie, spotkaliśmy Indiańca hodującego orły, których wspaniałe pióra zastępują tam wojownikom orderę. On też tylko wrywał ptakom pióra.

— Jeśli chodzi o rozsądne gospodarowanie fauną i florą, to w porównaniu z Indianami, biali ludzie zachowują się jak bezmyślni barbarzyńcy.

— Święta racja! Ale my tu gadu, gadu, a tylko patrzeć nocy. Mówiłeś, Janie, że masz drewnienka do rozpalania ognia<sup>802</sup>, daj mi je. Musimy oszczędzać zapałki, których już niewiele zostało.

Nowicki przede wszystkim ogołocił z roślin kawałek ziemi i nożem wykopał płytkie wgłębienie. Wybrał trzy grube konary, po czym rozłożył je jakby w gwiazdę w ten sposób, że stykały się ze sobą tylko wewnętrznymi końcami. Następnie wepchnął pod nie garść suchego chrustu. Otrzymane od Smugi dwa miękkie drewnienka zaczął z taką energią trzeć jedno o drugie, że wkrótce chrust zadymił się i błysnął iskierkami. Nowicki dmuchał, dopóki nie zaczęły płonąć stykające się końce trzech polan. Wreszcie po przeciwnych stronach ogniska zatknął w ziemię dwie gałęzie o rozwidlonych górnych końcach. Na nich oparł trzecią gałąź z zawieszonym na niej kociołkiem z wodą. Następnie pokroił na części tukany, włożył je do kociołka i wsypał odrobinę soli.

— Zdumiałeś mnie, kapitanie! — z uznaniem odezwał się Smuga. — Widzę, że jesteś naprawdę doświadczonego obieżyświatem. Nawet Indianin nie mógłby się wykazać większą sprawnością.

---

<sup>802</sup> — *Słowo* — dziennik informacyjno-polityczny o kierunku konserwatywnym, wydawany w Warszawie w latach 1882–1919. Jednym z redaktorów był Henryk Sienkiewicz, do 1887 r. prowadził *Kronikę tygodniową*. W latach 1883–1888 *Słowo* drukowało w odcinkach *Trylogię* Sienkiewicza. W czasie jej publikowania nakład pisma wzrósł czterokrotnie.

— Jadłem chleb z niejednego pieca, a że jestem ciekaw wszystkiego, to i z czasem nauczyłem się różnych praktycznych rzeczy — odparł Nowicki zadowolony z pochwały. — Ptaszka zjemy gotowanego. Zapachy pieczonego mięsiwa rozchodzą się zbyt daleko.

— Miałem zamiar to zaproponować, ale widząc twoją zapobiegliwość dałem spokój. Skoro gotujesz jedzenie, ja rozwieszę hamaki.

Nowicki przykucnął przy ognisku i co pewien czas podsuwał płonące końce polan.

Smuga, który bardziej od Nowickiego odczuwał zmęczenie, ułożył się w hamaku. Spoglądał na przyjaciela. Pograżeni w rozmyślaniach nawet nie spostrzegli, kiedy słońce zaszło. Iskrzące na niebie gwiazdy wraz ze srebrzystą poświatą wschodzącego księżyca dostatecznie rozjaśniały mrok nocy.

Minęło sporo czasu, zanim Smuga odezwał się pierwszy:

— Zastanawiam się, kapitanie, co nam wypada robić dalej. Niezależnie od tego, w którym kierunku Kampowie urządzają pościg, jedno jest pewne: główne ich siły podążają na punkt zborny z Tasulinczim. Myślę, że połączenie się wszystkich wojowników ma nastąpić gdzieś nad rzeką Tambo, bo tam znajdują się liczne osiedla wolnych Kampów.

— To prawdopodobne — potwierdził Nowicki. — A skoro tam ma być punkt zborny, to nasi Kampowie drałują tą samą drogą co my. Przeczucie mówi mi, że oni są już tuż, tuż za naszymi plecami! My tymczasem płyniemy coraz wolniej.

— To mnie właśnie niepokoi — wyznał Smuga. — Jeżeli tak będziemy dalej płynęli, Kampowie nas dogonią.

— To by był koniec! Nie możemy do tego dopuścić!

— Nad tym się głowię — powiedział Smuga. — Jest nas tylko dwóch do wiosła, a długi brak odpowiedniej zaprawy zmniejszył moją wytrzymałość.

— Trudno się dziwić. Pomyślmy trochę... Ha, widocznie to już dzisiaj taki dzień, że podczas gadaniny stale sobie coś przypominam! Teraz właśnie też tak się stało. Kilkanaście lat temu, gdy jeszcze byłem niedorostkiem, warszawskie „*Słowo*”<sup>803</sup> drukowało wspaniałą powieść Sienkiewicza. Mówię

---

<sup>803</sup> — Smuga się nie mylił: nie opodal rzeczki Nassarobeni, dopływu Tambo, znajdował się wylot indiańskiej ścieżki z Gran Pajonalu. Ścieżka początkowo ciągnęła się wzdłuż Nassarobeni, potem wiodła przez lasy i stepy oraz w pobliżu rzeki Unini (lub Unuini), którą podczas przyboru wody można było

ci, brachu, że dzień w dzień drałowałem po gazetę. Wieczorami siadaliśmy z moimi starszami przy stole, a ja czytałem na głos dalszy ciąg „Potopu”.

— Nie znam tej powieści — wtrącił Smuga. — Zapewne wtedy nie było mnie w kraju.

— Żałuj, Janie, żeś nie czytał! Sienkiewicz to wielki talent! Opisał najazd Szwedów na Polskę. Jeden z bohaterów, wielki lekkoduch i zawadiaka, niejaki Kmicic, wsławił się podchodami wrogich wojsk. Szwedzi i polscy zdrajcy wciąż na niego polowali, urządzali zasadzki, a on wymykał się jak piskorz i sam na nich napadał. Nie mogli go złapać, bo nigdy nie wiedzieli, gdzie on się znajduje. To deptał nieprzyjacielowi po piętach, to się przyczajał, to znów wysforowywał przed wroga i uderzał niespodziewanie.

— Musiała to być ciekawa powieść, skoro tak ci się spodobała — zauważył Smuga.

— Czy mi się spodobała?! — oburzył się Nowicki. — Brachu, ludziska wprost za nią szaleli!

— Postaram się przeczytać ją w sposobnym czasie. Dlaczego jednak wspominasz o niej teraz?

— Widzę, że tylko jednym uchem słuchałeś mojej gadaniny — znów oburzył się Nowicki. — Wcale nie miałem zamiaru mówić o powieści! Chciałem tylko zwrócić twoją uwagę na taktykę wojenną Kmicica!

— Nie irytuj się, kapitanie! Jestem trochę roztargniony, zbyt wiele myśli kłębi mi się w głowie — pojednawczo tłumaczył się Smuga. — Ale poczekaj chwilę! Mówisz, że chodziło ci o taktykę wojenną tego...

— Kmicica! — podpowiedział Nowicki.

— O, właśnie! Zaraz, zaraz... chyba już się domyślam. Proponujesz przyczaić się tutaj, obserwować rzekę, a jeśli Kampowie się pojawią, przepuścić ich przed nas i dopiero potem ruszyć dalej za nimi. Czy dobrze cię zrozumiałem?

— Bardzo dobrze! — potwierdził Nowicki. — Dwie doby ucieczki bez wytchnienia i posiłku już dobrze dały nam się we znaki. Tutaj mamy zaciszny, bezludny zakątek. Najlepszy dowód, że nawet Kampowie tropiąc twego nieszczęsnego przewodnika nie znaleźli szałas. Spiesz się, Janie, trzeba tylko przy łapaniu pcheł, nigdy natomiast, gdy chodzi o własne głowy. Gdyby

---

spłynąć w ciągu jednego dnia do Ukajali. Ścieżką tą posługiwali się wyłącznie Indianie z Gran Pajonalu, gdy szli nad Tambo po isanę lub ryby bądź też w odwiedziny do mieszkających tam Kampów.

to jeszcze szło tylko o nasze dwie łepetyny! Jeśli my przepadniemy, co się wtedy stanie z Tomkiem i resztą naszych przyjaciół?!

Smuga z uwagą przysłuchiwał się wywodom przyjaciela, a gdy ten skończył, odezwał się:

— Po raz drugi zadziwiłeś mnie dzisiaj, kapitanie. Twój plan jest naprawdę wart poważnego rozważenia.

— Skoro tak, to przemyśl go sobie, do świtu jeszcze daleko. Tymczasem bierzmy się do jedzenia. Ten niby-rosół już nieco przestygł, będziemy popijali ze słoika, który zabrałem ze schowka Onariego. Mięso natomiast musimy pałaszować palcami, jak to w dawnych czasach robili nawet królowie.

Smuga zsunął się z hamaka, przykucnął przy ognisku obok przyjaciela. Jedli w milczeniu. Od dwóch dni był to ich pierwszy gotowany posiłek. Gdy kociołek został opróżniony do dna, Smuga wydobyl z worka tytoń i rzekł:

— Po tak wspaniałym obiedzie warto zaryzykować zapalenie fajki. Zapach tytoniu chyba nie zwabi nam tutaj nikogo na kark!

— Przednia myśl! — pochwalił Nowicki. — Tęsknota za dymkiem fajeczki nie mniej gnębiła mnie niż głodówka! Nabijaj fajkę, zaraz przypalę od ogniska drewno.

Nowicki trochę rozsunał płonące trzy polana, które dzięki temu mogły tylko tlić się dłuższy czas, oszczędzając pracy przy rozpalaniu o świcie nowego ogniska.

Obydwaj wolno pykali z fajek.

— Nie ma nic lepszego po obiedzie jak łyk prawdziwej jamajki i fajka! — odezwał się Nowicki. — Wprawdzie nie mogę się chwalić, że jestem syty, ale również nie mogę narzekać, że nic nie jadłem!

— Jutro postaram się upolować coś większego od tukana — pocieszył go Smuga. — Rozważyłem twoją propozycję. Poczekamy tutaj na Kampów. Jeżeli nasze domysły są słuszne, to jutro, najdalej pojutrze powinni nas minąć. Twój plan ma ręce i nogi. Wahałem się tylko dlatego, że wyprzedzając Kampów moglibyśmy ostrzec białych nad Ukajali. Przeliczyłem się jednak z własnymi siłami. Za długo tkwiłem bez ruchu w tym kamiennym mieście.

— Niepotrzebne skrupuły! — zaoponował Nowicki. — Czy zapomniałeś, co powiedziała Agua, gdy dopiekleś jej, iż ostrzegając nas zdradza swoich?

— Pamiętam! Niewątpliwie masz słuszość. Onari nie pomógłby w ucieczce, gdyby to mogło zniweczyć wybuch rebelii. Kto wie nawet, czy Kampowie już nie rozpoczęli rzezi nad Ukajali?

— Biali nie są bez winy, ale ten Tasulinczi może rozpętać prawdziwe piekło — powiedział Nowicki. — Najbardziej żal mi kobiet i dzieciaków. Na nic jednak nasze żale! Jesteśmy bezsilni. Kładź się spać, ja tymczasem dmuchnę jeszcze jedną fajkę. Zbudzę cię, gdy księżyc schowa się za lasem.

— Zgoda, kapitanie! Jesteś wspaniałym kompanem! Za dzień lub dwa dojdę do lepszej formy.

Nowicki zapalił fajkę. Przysiadł na kłodzie zwalonego drzewa, a obok siebie oparł o nią sztucer. Z ostępów leśnych napływały rozliczne szelesty, trzaski, jakieś nieznane głosy, czasem rozbrzmiewał krzyk drapieżnego ptaka lub głos trwogi. Nowicki wsłuchiwał się w nocne odgłosy puszczy. Jednocześnie rozmyślał o Tomku i jego rezolutnej żonie. Był niemal pewny, że Tomkowi udało się szczęśliwie wyprowadzić resztę przyjaciół z głuszy górskiej. Wierzył w jego nieomylny instynkt podróżniczy, który często podczas poprzednich wypraw łowieckich pozwalał rozwiązywać różne trudne sytuacje. Toteż obecnie najbardziej niepokoiła go sprawa sprzedaży jachtu. Czy Wilmowskiemu udało się w tak krótkim czasie znaleźć nabywcę i przesłać pieniądze, konieczne do zorganizowania nowej wyprawy? Gdyby sprzedaż jachtu zawiodła, pozostawał jeszcze w odwodzie Nixon, ale czy on zechce i czy będzie mógł finansować dalej tak niepewną wyprawę?

Po raz pierwszy w życiu Nowicki kłopotał się o pieniądze. Zawsze pokpiwał z ludzi, dla których zdobywanie majątku stanowiło cel życia. Zadowalał się zawsze tym, co zarabiał ciężką pracą, a gdy udało mu się coś zaoszczędzić, zaraz wysyłał swoim „*staruszkom*” do Warszawy.

Zamyślony odruchowo wsunął dłoń do kieszeni spodni. Natrafił na twarde zawiniątko. Było to złoto otrzymane od Smugi. Oto posiadał garść złota, a Smuga miał go jeszcze więcej. Gdyby mogli dać je Tomkowi, byłoby po kłopotcie. Tutaj, w dziczy leśnej, nie przedstawiało ono żadnej wartości. Czyż nie stanowiła dla nich większego skarbu indiańska pokuna, którą można bezgłośnie polować?

Nagle zaszeleściły pobliskie zarośla, jakby ktoś gwałtownie przedzierał się przez gęstwinę. Nowicki schwycił sztucer, poderwał się gotów do strzału. Kilka dużych szarobrunatnych zwierząt wychynęło z zarośli. Ich jaśniejsze

ubarwienie na bokach zakończonej ryjem głowy, szyi i piersi oraz głosy przypominające głucho świstanie uspokoiły Nowickiego. Były to tapiry amerykańskie, zwane przez krajowców „*anta*”, żyjące w gęstych lasach. Jako zwierzęta typowo nocne zapewne wędrowały na żerowisko lub do jakiegoś małego bajorka, by wytarzać się w mule.

Nowicki z żalem opuścił sztucer. Mięso tapirów było bardzo smaczne, ale nie mógł ryzykować użycia broni palnej. Czujne i płochliwe zwierzęta szybko zawróciły w leśne krzewy.

— Znów pozwoliłeś mi tak długo spać, kapitanie! — rozległ się głos Smugi.

— Zamyśliłem się i tak jakoś zeszło — usprawiedliwiał się Nowicki. — Tapiry cię zbudziły. Już zapachniała mi pieczeń, na szczęście opanowałem się w porę. Dreszcze łożą mi po plecach, chłodno i wilgotno w nocy.

— Włóż do hamaka, okryj się dwiema derkami, to się rozgrzejesz — powiedział Smuga. — Teraz ja będę czuwał. Nie kłopotcz się tak bardzo. Jakoś sobie poradzimy.

Nowicki legł w hamaku ze sztucerem u boku, otulił się skórzanymi derkami i zaledwie przymknął oczy, natychmiast zasnął. Smuga przykucnął przy żarze ogniska. Przez chwilę ogrzewał dłonie, po czym nabił pokunę zatrutą strzałką. Zamierzał zapolować z nastaniem świtu, kiedy to nocne zwierzęta powracają do legowisk, a dzienne wychodzą na żer.

Zaledwie rozbrzmiały pierwsze głosy ptaków, Smuga uzbrojony w sztucer i pokunę wyruszył w las. Pomiędzy drzewami bliżej rzeki snuła się lekka mgła. Smuga natrafił na ścieżynę do wodopoju. Ostrożnie wycofał się w krzewy i przyczał z pokuną gotową do strzału. Zamarł w bezruchu — w pobliżu przebiegło stadko tapirów powracające z kąpieli w rzece. Kilkudziesięciofuntowy tapir był zbyt dużym łupem nawet dla dwóch zgłodniałych uciekinierów. Potem w polu widzenia pojawiło się stadko kapibar. Jedne skubały trawę, inne objadały korę z młodych drzew. Smuga nie wykonał najmniejszego ruchu. Wśród kapibar nie było młodych sztuk, których polędwica jest bardzo smaczna, podczas gdy mięso starszych osobników jedzą tylko Indianie i Murzyni.

Nastał wczesny ranek, Smuga wreszcie ujrzał najpospolitsze w dorzeczu Amazonki i wschodnim Peru zwierzętko. Był to aguti. Wielkością i budową przypominał zając, a częściowo małe zwierzęta kopytne. Lśniące,



złocistordzawe futerko było dobrze widoczne na tle jasnej zieleni. Aguti przysiadł na tylnych łapach pod rozłożystym krzakiem, a następnie zaczął się wsuwać pomiędzy gałęzie. Zapewne próbował się dostać do ptasiego gniazda, w którym były jajka lub pisklęta, w krzewie bowiem rozbrzmiał krzyk ptaka i gwałtowny trzepot skrzydeł.

Smuga natychmiast wyśliznął się z kryjówki na ścieżkę. Zazwyczaj czujny i płochliwy, aguti teraz był zbyt pochłonięty zabiegami o ulubiony przysmak, by w porę dostrzec niebezpieczeństwo. Toteż zauważył Smugę dopiero wtedy, gdy ten znajdował się już zaledwie o kilka kroków. Ujrzawszy po raz pierwszy nie znanego sobie stwora, aguti stanął słupka jak zając. Przez chwilę trwał nieruchomo, jeżąc sierść na kuprze, potem chrząknął. Zanim jednak poderwał się do ucieczki, zatruta kurarą strzałka utkwiała w jego piersi.

Smuga po powrocie na biwak zastał Nowickiego gotującego wodę w kociołku.

— Jak tu leżeć w betach, skoro przez cały dzień musimy obserwować rzekę! — odparł Nowicki. — Przeoczenie Kampów mogłoby nas drogo kosztować.

— Dlatego też o świcie poszedłem coś upolować — powiedział Smuga. — Jeśli Kampowie podążają za nami, to kto wie, czy nie nocowali gdzieś blisko. Wtedy niedługo można by się ich spodziewać. Idę pierwszy na zwiady, a ty zajmij się przyrządzaniem aguti. W tym jesteś sprawniejszy ode mnie. Uważaj, żeby ognisko nie dymiło!

— Pamiętam o tym, bądź spokojny! Gdy wyżerka będzie gotowa, zastąpię cię na czatach.

Nowicki pozostał sam. Najpierw zdjął z aguti skórę, następnie część mięsiwa pokroił na wąskie paski, które porozwieszał na lianie przywiązanej do dwóch drzewek. Resztę mięsa włożył do kociołka z wodą zawieszzonego nad ogniskiem. Potem, śledząc ptaki owocożerne, nazbierał dzikich śliwek. Gotowanie na nikłym ognisku trwało długo. Nowicki wyszukiwał odpowiednie drewno, oganiał liściem palmy owady krążące nad dymiącym kociołkiem. Nie zwracał uwagi na natrętne moskity, do których ukąszeń od dawna już się przyzwyczaił, a nawet uodpornił.

Czas wolno mijał... Posiłek był gotów, więc Nowicki znów trochę rozsunał polana, zjadł swoją porcję i właśnie miał wyruszyć nad rzekę, żeby zastąpić Smugę na posterunku, gdy naraz zaszeleściły zarośla. Po chwili

Smuga stanął przy ognisku. Nowicki z niemym wyrzutem w oczach spojrzał na przyjaciela.

— Już biegnę nad rzekę, Janie, właśnie miałem iść, aby cię zmienić na wachcie — powiedział. — Śniadanie gotowe, zjadłem moją porcję, popilnuj mięsa suszącego się w słońcu...

Smuga tymczasem oparł sztucer o drzewo, po czym stanął przed Nowickim i rzekł:

— Nie ma pośpiechu, kapitanie! Domyślam się, że posądzasz mnie o lekkomyślne opuszczenie punktu obserwacyjnego. Otóż uspokój się, już nie musimy czuwać nad rzeką.

— Przeplłynęli?! — żywo zapytał Nowicki.

— Przeplłynęli, w godzinę, a może nieco później po wschodzie słońca — potwierdził Smuga. — Zapewne nocowali niezbyt daleko od nas.

— Do stu zdechłych wielorybów! — zaklął Nowicki. — Znaczy to, że gdybyśmy wypłynęli stąd o świcie, to prawdopodobnie do tej pory już by nas mieli w swoich rękach.

— Nie ma najmniejszej wątpliwości — przytaknął Smuga. — Zaproponowana przez ciebie taktyka tego... już wiem, Kmicica, uratowała nam życie.

— Do licha, ale czy to na pewno byli nasi Kampowie? — dociekliwie pytał Nowicki.

— Przeplływali niedaleko od brzegu. Zauważyłem Czuasiego, Onariego i kilku znajomych kuraków.

— To aż taka chmara ich była?!

— Siedem dużych łodzi, kapitanie!

— A niech to wściekły rekin! Tam w ukryciu były tylko dwie łodzie! — zdumiał się Nowicki. — Musieli trzymać je również gdzie indziej! Jak ci się wydaje, ilu ich było?

— Razem z młodymi kobietami około osiemdziesięciu.

— Ha, więc to nie był tylko pościg za nami! — rzekł Nowicki. — Na wojennych wyprawach młodsze żony noszą wałówkę i broń. Płyną więc na spotkanie z Tasulinczim.

— Niezawodnie tak jest! — potwierdził Smuga. — Przed nami dzień i noc na wypoczynek. Niech się od nas trochę oddalą.

— No, nareszcie sytuacja się wyjaśniła! — powiedział Nowicki. — Pościg już nie depcze nam po piętach. Znajdujemy się na tyłach naszych prześladowców.

— Twoja to zasługa, kapitanie! — pochwalił Smuga. — Obecnie musimy wypocząć i najeść się na zapas. Po śniadaniu zapoluję na papugi. Wprawdzie mięso ich do niczego, ale rosół jest bardzo pożywny.

— Święte słowa — powiedział Nowicki. — Mamy trochę mączki kukurydzianej, upitraszę podpłomyków na drogę. Muszę tylko wyszukać nad rzeką jakiś płaski kamień potrzebny do pieczenia.

Dzień szybko upływał przyjaciołom na polowaniu, gotowaniu i jedzeniu. Dopiero późnym popołudniem, po kąpieli w rzece, przysiedli na kłodzie na biwaku i zapalili fajki.

W miarę upływu czasu robiło się coraz duszniej. Czerwona kula słoneczna przyćmiona lekką mgiełką wprost zionęła żarem. Nawet najłżejszy podmuch wiatru nie łagodził wzrastającego upału. Na lazurowym niebie nie pojawiła się ani jedna chmurka. Powietrze zdawało się gęstnieć.

Nowicki ciężko oddychał. Nie mógł zasnąć; odczuwał dziwny niepokój wewnętrzny. Może to instynkt ostrzegał go przed czającym się nieznanym niebezpieczeństwem? Zerknął na przyjaciela. Smuga drzemał pochyliwszy głowę na piersi. Nowicki podejrzliwie rozejrzał się wokoło. Coś niezwykłego działo się w przyrodzie. Liście na drzewach i krzewach zastygły w całkowitym bezruchu, jakby porażone bezwietrzną, upalną pogodą. Wszędobylskie ptaki, a nawet dokuczliwe owady gdzieś zniknęły...

Gwałtowny szelest krzewów, trzask łamanych gałęzi i tętent przerwały grobową ciszę. Nie opodał ukazało się stado tapirów. Głucho poświstując szybko biegły na południe. Po chwili kilka kapibar przemknęło błyskawicznymi susami.

Widok nocnych zwierząt o tej porze dnia zdumiał Nowickiego. Przecież kapibary zazwyczaj biegały niezbyt szybko, teraz natomiast umykały dużymi susami. Cóż to mogło znaczyć? Tropikalny las znów zamarł, pusty i cichy.

— Janku! — półgłosem zawołał Nowicki. — Dzieje się coś niezwykłego! Smuga już się przebudził. Niespokojnie spoglądał w las.

— Może to nadmierny upał... — odparł. — Ale masz rację! Dziwna i niezwykła to cisza, jak przed burzą. Nawet owady zniknęły...

— Czy widziałeś tapiry, kapibary i inne zwierzaki umykające na złamanie karku? — dopytywał się Nowicki. — Mówią, że szczury uciekają z tonącego statku...

— Instynkt często ostrzega zwierzęta przed niebezpieczeństwem — potwierdził Smuga.

Naraz ukryte w zaroślach ptaki zaczęły trwożliwie kwilić. Ziemia drgnęła, drzewa się poruszyły, liście głośno szeleściły, chociaż wciąż nie było nawet najłżejszego podmuchu wiatru. Trwało to krótką chwilę, aż nagle potężny, przygłuszony grzmot podziemny wstrząsnął lasem. Ziemia zakółsała się zdradliwie jak pokład statku na wzburzonym morzu. Nie opodał oszołomionych uciekinierów skorupa ziemiska z hukiem pękła, tworząc szeroką, głęboką szczelinę, w którą z trzaskiem waliły się drzewa wyrwane z korzeniami.

Smuga i Nowicki zerwali się na równe nogi, lecz silne wstrząsy rzuciły ich na ziemię. Przez puszcę przetoczył się gwałtowny wichur i zamarł gdzieś w dali.

— Chyba już po wszystkim — stłumionym głosem odezwał się Smuga.

— Patrz, kapitanie, ziemia się rozstała i pochłonęła kęs lasu! Nowicki podniósł się i mruknął zawstydzony:

— Tfu! Do stu wściekłych rekinów! Najpotężniejsze sztormy nie potrafiły zwalić mnie na pokład!

— Pewno pierwszy raz przeżyłeś trzęsienie ziemi!

— Faktycznie pierwszy raz mi się to przydarzyło — przyznał Nowicki.

— Gdybyśmy obozowali kilkadziesiąt metrów dalej, już byłoby po nas!

— Nie ma co mówić, ziemia by nas pochłonęła — dodał Smuga.

— Mielibyśmy darmowy pogrzeb, i to bez pomocy grabarza — z humorem rzekł Nowicki odzyskując fantazję. — W Andach powitał nas wybuch wulkanu, teraz żegna trzęsienie ziemi. Ciekawe, co jeszcze może nas tu spotkać?!

# ŁUNA NAD DŻUNGLĄ

Nastał bezchmurny, słoneczny ranek. Tropikalny las rozbrzmiewał przedziwnymi, tajemniczymi odgłosami. Jedyne szeroka szczelina w ziemi i powywracane drzewa świadczyły o katastrofie żywiołowej, która poprzedniego dnia nawiedziła okolicę. Nowicki doglądał kociołka z gotującym się rosołem z papug i głęboko nad czymś rozmyślał, zerkając na Smugę zajętego pakowaniem worków podróżnych. Wreszcie, jeszcze raz obrzuciwszy krytycznym wzrokiem przyjaciela, zagadnął:

— Janie, coś mi przyszło do głowy!

— Mów, kapitanie, mów, słucham z największą uwagą. Ostatnio stałeś się prawdziwą skarbnicą dobrych pomysłów — zachęcił Smuga; przerwał pracę i odwrócił się do Nowickiego.

— Będziemy płynęli za wojownikami Kampów — zaczął Nowicki. — Nad Tambo znajdują się ich sadyby. Mogą nas spostrzec na rzece!

— Musimy być na to przygotowani — potwierdził Smuga.

— Właśnie o tym rozmyślałem. Gdyby nie twoja broda i długie włosy, założylibyśmy kuźmy i moglibyśmy uchodzić za wojowników płynących jako tylna straż.

— Krótko mówiąc, kapitanie, radzisz mi zgolić brodę i przystrzyc włosy na modłę tutejszych Indian, czyli naśladować ciebie.

— Powinniśmy zwracać na siebie jak najmniej uwagi, ty zaś wyglądasz jak biblijny patriarcha. Przy Indianach nie noszących zarostów wprost leziesz wszystkim w oczy.

— Słuszna uwaga, kapitanie! Muszę pozbyć się brody i obciąć włosy. Masz lusterko i coś do golenia?

— Z lusterka pozostał tylko okruch, ale od biedy wystarczy — odparł Nowicki.

— Stłukło się, duża szkoda — powiedział Smuga. — W tej głuszy lusterko jest prawdziwym skarbem.

— Nie ma co żałować! Sam odłupałem kawałek dla siebie. Widzisz, Agua tak się wdzięczyła do lusterka, że wypadało się z nią podzielić.

— Niewątpliwie sprawiłeś jej wielką radość tak cennym upominkiem — przyznał Smuga uśmiechając się dyskretnie.

— To prawda, cieszyła się jak dzieciak! Podarowała mi w zamian bambusowy nożyk do usuwania zarostu i drewniany grzebyk. Niezbyt przyjemne jest takie golenie na sucho, można się jednak przyzwyczaić. Nieźle się już wprawiłem, pomogę ci, Janie. Najlepiej siadaj od razu na kłodzie!

Smuga ze stoickim spokojem poddawał się owemu „*goleniu*”, tylko od czasu do czasu mocniej zaciskał zęby i mrużył oczy. Niemało też namozolił się Nowicki, zanim pozbawił go brody i wąsów, wreszcie jednak odsunął się nieco, by ocenić wynik swoich zabiegów.

— No, Janku! Najgorsze masz już za sobą — orzekł zadowolony.

— Wprawdzie skóra na brodzie jest teraz bielsza, ale jak ją przybrudzisz popiołem, to jakoś ujdzie! Jeszcze tylko przytnę włosy i po bólu.

Smuga odetchnął głęboko, jak człowiek, który po długim nurkowaniu wreszcie wypłynął na powierzchnię wody, i powiedział:

— Dziękuję ci, kapitanie! Dzięki tobie zrozumiałem teraz, dlaczego nieszczęsny John Nixon chciał zastrzelić indiańskiego fryzjera nad Rio Putumayo...

— Ha, widocznie był człowiekiem nerwowym, dlatego też zginął tak tragicznie...

Zanim słońce stanęło w zenicie, dwaj przyjaciele już płynęli w dół rzeki. Przed wyruszeniem nałożyli kuźmy na własne odzienie, toteż obecnie, widziani z pewnej odległości, mogli być brani za Indian. Zachowywali wielką ostrożność; wiosłowali porozumiewając się mową znaków i płynęli jak najbliżej brzegu, gdzie gęste, wysokie trzciny umożliwiały szybkie ukrycie się w razie niebezpieczeństwa. Niezbyt duża rzeka, teraz, pod koniec pory deszczowej, szeroko rozlewała swe wody, wdzierając się aż w nadbrzeżny las.

Było późne popołudnie. Smuga, który siedział na przedzie łodzi, nagle odwrócił się do Nowickiego i wymownym gestem polecił mu przybić do brzegu. Natychmiast zaszyli się w szuwary.

Dziób łodzi otarł się o niezbyt stromy brzeg, osłaniany konarami drzew i lianami. Smuga przywiązał łódź do gałęzi, po czym szepnął:

— Najwyższy czas na rekonesans!

— A jakże! Coś mi tu zaczyna cuchnąć — również szepem odparł Nowicki. — Rzeka coraz większa, prąd gwałtowniejszy, szum wody potężnieje...

— Niezawodne znaki, że dopływamy do Tambo — rzekł Smuga.

— To samo pomyślałem — powiedział Nowicki. — Trzeba się dobrze rozejrzeć. Kto wie, czy w pobliżu ujścia naszej rzeki nie ma osiedla Kampów. Łódkę zostawimy tutaj w ukryciu, wysiadamy!

Smuga wziął sztucer i wspiął się na brzeg. Nowicki po chwili stanął przy nim.

— Idź pierwszy, Janie! — powiedział cicho. — Będę cię osłaniał! Zaledwie uszli kilkaset kroków, Smuga przystanął i gestem przywołał Nowickiego. Ścieżka wydeptana przez ludzi przecinała las. Smuga pochylony ku ziemi badał widniejące na niej ślady. Dał znak Nowickiemu, żeby poczekał na niego, a sam, jak ogar tropiący zwierzynę, to szedł ku wschodowi, to znów się cofał, aż wreszcie powrócił do Nowickiego i rzekł:

— Ścieżka wyraźnie prowadzi na północ, a więc do Gran Pajonalu. Prawdopodobnie gdzieś dalej rozgałęzia się na północny wschód do brzegów Ukajali. Ślady bosych stóp mężczyzn i kobiet są bardzo świeże. Najdalej wczoraj lub nawet dzisiaj rano wędrowała tędy znaczna gromada Indian.

— Dokąd szło to bractwo? — zapytał Nowicki.

— Szli na północ, nie ma śladów wiodących w odwrotnym kierunku.

— A więc szli od brzegu rzeki, którą płyniemy. Może to nasi Kampowie wylądowali i dalej udali się pieszo? Zapewne znają krótszą drogę do Ukajali, skoro zrezygnowali z dopłynięcia tam rzeką Tambo — rzekł Nowicki.

— Zaraz sprawdzimy — powiedział Smuga. — Jeżeli są naszymi Kampanii, to musieli zostawić swoje łodzie na brzegu rzeki. Idziemy!

Domysły wkrótce okazały się słuszne. W nadbrzeżnych chaszczach było ukrytych pięć łodzi. Oznaczało to, że Kampowie podzielili się na dwie grupy. Liczniejsza pieszo podążyła dalej, druga, mniejsza, w dwóch łodziach popłynęła ku rzece Tambo.

Po powrocie do własnej łódki ukrytej w szuwarach Smuga wydobyl mapę. Długo się nad nią zastanawiał, uzupełniał, robił notatki. Nowicki milcząco obserwował go, w końcu jednak zniecierpliwiony zagadnął:

— Coś tam wyniuchał, Janku?!

— Jestem niemal pewny, że odkryta przez nas ścieżka wiedzie z Gran Pajonalu nad rzekę Tambo<sup>804</sup> — wyjaśnił Smuga. — Słyszałem, że Kampowie z Gran Pajonalu muszą chodzić aż nad Tambo po pręty do sporządzania strzał

---

804 — Chikotza — rodzaj trzciny.

do łuków. Oni robią je z isany, to jest z długich prętów baziowych chikotzy<sup>805</sup>, która rośnie tylko nad brzegami dużych, szerokich rzek. Dlatego właśnie nie ma isany nad małymi strumieniami w Gran Pajonalu. Słyszałem również, że Kampowie mają swoją ścieżkę, którą można przejść z Pajonalu nad Tambo i Ukajali. Spójrz na mapę, kapitanie! Ukajali powstaje z połączenia Urubamby i Tambo. Ukajali razem z rzeką źródłową Tambo tworzą jakby lekko napięty łuk, którego cięciwą może być odkryta przez nas indiańska ścieżka. Ewentualne jej odgałęzienie na wschód stanowiłoby znacznie krótszą drogę do Ukajali niż dopływanie rzeką Tambo. To by wyjaśniało, dlaczego Kampowie poszli dalej pieszo.

— Mapa zdaje się potwierdzać twoje domysły — przytaknął Nowicki.

— Tomek zaznaczył rzekę Unini, lewy dopływ Ukajali, powyżej zlewu Tambo z Urubambą. Spójrz jeszcze raz na mapę! Ta ścieżka może prowadzić do Unini. Gdyby Kampowie wyznaczyli sobie punkt zborny w miejscu zlewu Unini z Ukajali, to uniemożliwiliby Panchowi Vargasowi ucieczkę w dół Ukajali. La Huaira Vargasa leży przecież nad Urubambą.

— Sprytny manewr, nie ma co gadać! — z uznaniem pochwalił Nowicki — Vargas urządzał wyprawy po niewolników do Gran Pajonalu i dobrze dawał się we znaki Kampom. Mają oni z nim na pieńku! Tylko po jakie licha dwie łodzie popłynęły na Tambo?

— Może chcą udaremnić Vargasowi ucieczkę rzekami Tambo i Perene w podgórskie okolice Andów?

— A niech to wściekły rekin połknie! — zafrasował się Nowicki.

— W takiej sytuacji moglibyśmy się natknąć na naszych Kampów!

— Musimy być ostrożni i czujni, żeby nie wpaść w pułapkę. Teraz w drogę! Powinniśmy się znaleźć na Tambo jeszcze przed zapadnięciem nocy.

Łódź znoszona wartkim prądem szybko płynęła w dół rzeki. Smuga odłożył wiosło, pozostawiając sterowanie Nowickiemu. Nadchodził wieczór. Obydwa brzegi już kryły się w mrocznych cieniach, tylko na samym środku rzeki słały się jeszcze ostatnie odblaski zachodzącego słońca. Nowicki

---

<sup>805</sup> — Długość Tambo wynosi około 170 km. Początek jej znajduje się na wysokości około 400 m n.p.m., a ujście do Ukajali 264 m n.p.m. Tak znaczny spadek terenu powoduje silny i szybki prąd rzeki. Toteż żegluga łodzią wiosłową pod prąd od Ukajali do początku Tambo trwa 7 dni, a spływ z prądem tylko 2 dni. Szerokość Tambo jest różna: u ujścia wynosi 400 m, ale w górnym biegu miejscami rozlewa się znacznie szerzej; u zlewu rzek Perene z Ene, Tambo ma około 100 m szerokości.



utrzymywał łódź na ciemniejszym paśmie rzeki, której nurt z każdą chwilą przybierał na sile.

Na horyzoncie tymczasem gromadziły się ciemne chmury. Chociaż był to prawie koniec pory deszczowej, trwającej od stycznia do marca, często jeszcze po południu padały mniejsze lub większe deszcze. Szybko nadciągające czarne chmury tym razem były na rękę uciekinierom, liczyli bowiem, że podczas ulewy uda im się niepostrzeżenie wpłynąć na Tambo.

Smuga bacznie się rozglądał. Dżungla porastała obydwie strome brzegi, które teraz coraz bardziej się od siebie oddalały. Łódź zaczęła się niespokojnie kołysać na zmiennym nurcie rzeki. Las, widoczny dotąd na dwóch przeciwległych brzegach, obecnie nagle ukazał się również w pewnym oddaleniu na wprost przed łodzią, jakby zagradzając dalszą drogę.

— Kapitanie, bliżej lewego brzegu! To już Tambo! — ostrzegł Smuga szybko chwytając wiosło.

— Trzymaj je mocno w garści i... ani słowa! — ostrzegł Nowicki. — Z prawej za nami ogniska... ludzie!

W tej chwili powiał porywisty wiatr. Czarne, ciężkie chmury przysłoniły świat. Zaczął padać rześisty deszcz, który wkrótce przemienił się w tropikalną ulewę. Smuga wydobył z worka kociołek i począł wylewać wodę gromadzącą się w rozkołysanej łódce, to znów wiosłem pomagał Nowickiemu utrzymać właściwy kierunek. Nowicki co chwila zerkał za siebie; strugi ulewy zasłoniły brzegi, więc stamtąd nie mogło im grozić niebezpieczeństwo. Gwałtowny prąd na Tambo szybko niósł łódź w dół rzeki. Niebawem przepłynęli obok wysepki. Tylko dzięki żeglarskiemu doświadczeniu Nowickiego w ostatniej chwili udało im się ominąć ostre skały sterczące z wody. Potem otarli się o znoszony prądem pień drzewa. Dalsza żegluga po całkowitym zapadnięciu nocy groziła nieuchronnym rozbiciem łódki na rzece, w której nurtach czyhały piranie, płaszczyki zbrojne w jadowite kolce, zdradliwe rybki canero, żarłoczne krokodyle i wiele innych niebezpiecznych dla człowieka egzotycznych stworów. Toteż Nowicki bez namysłu skierował łódź ku następnej napotkanej wyspie. Brzegi jej były bardzo wysokie, ale obecnie koryto Tambo obfitowało w wodę, która dochodziła aż do samej dżungli porastającej wyspę.

— Hamuj wiosłem, Janku — polecił Nowicki, gdy łódź dziobem zanurzyła się w gąszcz przybrzeżnej chikotzy.

Wkrótce łódź przywiązana lianą do bambusa lekko kołysała się pod osłoną zwisających konarów drzew. Nowicki i Smuga, wyczerpani walką z gwałtownym żywiołem, siedzieli w milczeniu i odpoczywali. Dopiero po dłuższej chwili pierwszy odezwał się Smuga:

— Wyspa nie wygląda na zbyt dużą, chyba nie ma tu nikogo. Rozejrzę się trochę. Deszcz ustał. Może uda ci się wylać wodę z łodzi, kto wie, czy nie przyjdzie nam w niej spędzić nocy. Wrócę niebawem.

— Weź sztucer, jeśli usłyszę strzał, podskoczę z odsieczą — odparł Nowicki odganiając ręką komary, które po deszczu zaraz się pojawiły chmarami.

Smuga zniknął w gąszczu.

*„No, jako zwiadowca mógłby nasz Janek stawać do zawodów z Indiancami — z uznaniem pomyślał Nowicki. — Krzaki nie szeleściły, nie nadepnął na gałąź, podkrada się jak kot! Nawet się nie zorientowałem, w którym kierunku odszedł”.*

Pod parasolem zieleni zapadła ciemna noc, choć srebrzysty księżyc wytaczał się coraz wyżej na usiane gwiazdami niebo. Nowicki długo osuszał łódkę. Wsłuchiwał się w głosy napływające z dżungli i szum wartko toczących się wód rzeki. W napięciu oczekiwał powrotu przyjaciela. Wreszcie usłyszał szelest zarośli.

*„Jaguar tak by nie hałasował — pomyślał. — To Smuga nareszcie wraca. Skoro idzie tak śmiało, to znak, że na wyspie nie ma nikogo.*

Tak było w rzeczywistości. Smuga siadł naprzeciwko Nowickiego i rzekł:

— Obszedłem wyspę naokoło. Wszędzie pustka. Nie wiemy jednak, co jest za nami i przed nami. Nie możemy rozpalić ogniska, a warto by osuszyć ubrania.

— Święta racja, noce tutaj chłodne — przytaknął Nowicki. — Zrzućmy przemoczone kuźmy, powieszę je na gałęzi, to woda ścieknie. Mamy trochę suchego prowiantu, posilimy się teraz i poczekamy do świtu.

— Tak, w dzień lepiej zorientujemy się w sytuacji — zgodził się Smuga. Zaledwie niebo trochę zaróżowiło się na wschodzie, Smuga i Nowicki wyruszyli na obchód wyspy. Poznanie topografii okolicy było konieczne przed wyruszeniem w dół rzeki. Musieli także wysuszyć przemoczone ubrania, toteż Smuga poprowadził przyjaciela na południe wyspy, gdzie

podczas nocnego zwiadu trafił na wąski skrawek piaszczystej plaży nie zalanej wodą.

Nowicki szybko się rozebrał, porozkładał kuźmy na piasku, po czym zaczął przyglądać się rzece.

— Tutaj ubrania wyschną raz, dwa, niech tylko słońeczko zacznie przygrzewać — rzekł. — Z brzegów nikt nas nie wypatrzy. Nie spodziewałem się, że Tambo jest tak duża. Prąd wartki jak na młyńskim kole.

— Popatrz na te potężne masywy gór na zachodzie — odparł Smuga.

— Tambo spływa stamtąd głęboką doliną o znacznym spadku, to i nic dziwnego, że prąd jest tak porywisty<sup>806</sup>. Spójrz, jak wyniosłe są obydwie brzegi!

— To prawda, nawet teraz, w porze deszczowej, rzeka nie sięga lasu — przyznał Nowicki. — Widać, że to tereny nigdy nie zalewane.

— Tym gorzej dla nas! — wtrącił Smuga. — Należy się spodziewać, że Kampowie wybierają na zamieszkanie miejsca chronione przed powodzią.

— Najprędzej możemy się natknąć na nich przy ujściach strumieni do Tambo, w miejscach bardziej odkrytych, a więc i widocznych z daleka. Chaszcze leśne nie nadają się do zakładania sadyb, a tu, jak okiem sięgnąć, wszędzie panoszy się dżungla. Ogniska, któreśmy wczoraj widzieli, również płonęły w pobliżu zlewu naszej rzeki i Tambo. Poza tym, źle czy dobrze, nie możemy zwlekać. Ziemia pali nam się pod stopami! Janie, jak daleko jeszcze może być do Ukajali?

— Już wczoraj się nad tym zastanawiałem — odpowiedział Smuga.

— Według mapy, stąd do Ukajali może być kilkadziesiąt, ale i nie więcej niż sto kilometrów.

— Przy tak szybkim prądzie można by je przebyć w trzy, a może i w dwa dni.

— Tak, gdybyśmy mogli bez przeszkód płynąć przez cały dzień — wtrącił Smuga. — Możemy być jednak zmuszeni do porzucenia łodzi. Wszystko zależy od tego, jak wielkie rozmiary przybierze rewolta Kampów.

— Wiem o tym, Janie, wiem! — powiedział Nowicki. — Byle tylko udało się nam jak najszybciej dotrzeć do Ukajali.

— Nie możemy marudzić, choć do spotkania z Tomkiem mamy jeszcze nieco czasu. Musimy ryzykować i szybko płynąć dalej. Trochę oddechu

---

<sup>806</sup> — Toldo — koczowisko, wieś.

złapiemy dopiero na prawym brzegu Ukajali, a jeszcze pewniej na prawym brzegu Urubamby.

— Urubamby?! — zdziwił się Nowicki. — Tam przecież leży La Huaira Pancha Vargasa. Do tej pory z La Huairy zapewne już pozostały tylko popioły, a Vargas gotuje się w piekle w kotle smoły!

— Nie byłbym tego tak pewny! — zaoponował Smuga. — Vargas otacza się bandą zaufanych Pirów, do których mogły przeniknąć wieści o przygotowywanej rebelii.

— To możliwe — przyznał Nowicki. — Tasulinczi sam mówił, że odwiedzał w La Huairze Pirów zaprzyjaźnionych z Kampanii. Jedni Pirowie wysługują się Vargasowi, drudzy spiskują z Kampanii, ale wszyscy Pirowie są przede wszystkim Pirami, co wiedzą jedni, mogą wiedzieć i drudzy.

— Vargas jest zbyt wielkim cwaniakiem, żeby ostrzeżony przez swoich zaufanych, czekał na wybuch powstania — dodał Smuga. — Mógł w porę ukryć się dalej na południu, w toldach<sup>807</sup> przyjaznych mu Pirów. Jeżeli nawet nie zastaniemy Vargasa w La Huairze, to przecież gomale<sup>808</sup> znajdują się w dorzeczu górnej Ukajali, Urubamby, Madre de Dios i Beni. Możemy więc napotkać jakąś correrię lub seringueirów<sup>809</sup>, którzy będą wiedzieli, co piszczy w trawie.

---

<sup>807</sup> — Gomal (hiszp.) — miejsce obfitujące w drzewa kauczukowe.

<sup>808</sup> — Correria (hiszp.) — zbrojna wyprawa po niewolników; seringueiro (hiszp.) — zbieracz kauczuku.

<sup>809</sup> — Żółwie południowoamerykańskie różnią się od północnoamerykańskich i europejskich tym, że chowają głowę pod pancerz wyginając szyję w bok, zamiast wciągać ją, jak czynią inne żółwie. Jednym z największych słodkowodnych żółwi w Ameryce Południowej jest *Podocnemis expansa*; pancerz jego osiąga długość do 1 m, a szerokość 60 cm. Waga dorosłego zwierzęcia wynosi od 60 do 70 kg. Żółwie te odgrywają dużą rolę w życiu ludów w dorzeczu Amazonki i Orinoko, i to nie ze względu na swe znaczne rozmiary, lecz z powodu olbrzymiej liczebności. W porze suchej — nad Amazonką w sierpniu i wrześniu, a nad Orinoko od stycznia do marca — żółwie wczesnym rankiem wychodzą z wody na piaszczyste wybrzeża kopać gniazda, w których składają jaja. Wtedy ludzie z całej okolicy wyruszają na zbieranie jaj, głównie do wyrabiania oleju, do celów kulinarnych, oświetlania itp. W celu wydobycia oleju wkłada się stopy jaj do pustej łodzi, miażdży je i polewa wodą, a potem pozostawia się łódź na kilka godzin w silnym słońcu. Gdy olej, jako lżejszy od wody, wypłynie na powierzchnię, zbiera się go do naczyń. Obliczono, że około 48 milionów jaj, zniesionych przez 400 tysięcy żółwi, jest w ten sposób co roku niszczone. Nowo narodzone żółwie uchodzą za wielki przysmak, z tego względu wiele tysięcy noworodków jest chwytanym podczas pierwszej wędrówki do wody. Żółwie mięso jedzą ludzie mieszkający blisko rzek. Buduje się nawet przy domach małe sztuczne stawy, zwane curral, dla przechowywania żywych żółwi. Oprócz człowieka wrogami żółwi są krokodyle.

— A więc musimy zahaczyć o La Huairę. Tam najprędzej zasięgniemy wieści o rebelii — przyznał Nowicki i zaraz umilkł.

O kilkadziesiąt kroków dalej z zarośli wychynął na plażę młody dzik, płosząc baraszkuje wydry. Kilka olbrzymich żółwi wygrzewających się w słońcu pośpiesznie podążyło do wody.

— Warto by się rozejrzeć za żółwimi jajami — zaproponował Nowicki.

— Daremny trud, kapitanie! Żółwie słodkowodne<sup>810</sup> w tych stronach wychodzą z rzeki składać jaja dopiero w porze suchej, gdy poziom wody jest niski i plaże dobrze nagrzane.

— Ha, wielka szkoda, surowe jaja są bardzo pożywne, a i głód już mi doskwiera!

— Pozostało nam jeszcze trochę suchego prowiantu — pocieszył go Smuga. — Później, gdy będzie można rozpalić ogień, złowimy parę ryb i upieczemy! Teraz jednak najwyższa pora ruszyć w drogę.

Łódź szybko mknęła z porywistym prądem. Smuga pełnił rolę pilota. Nie było to łatwe zadanie na kapryśnej, nie znanej mu rzece, której wygląd zmieniał się jak obrazy w kalejdoskopie. Obydwa brzegi czasem znacznie oddalały się od siebie, to znów przybliżały. Nadbrzeżna dżungla miejscami widoczna była tylko jako ciemna wstęga, to znów wyraziście ukazywała swe dzikie, egzotyczne piękno. Gwałtowny nurt rzeki nie pozwalał ani na chwilę zapomnieć o czyhających w jej głębinach krwiożerczych potworach. W płytszych miejscach jeżyły się palisady ze zwalonych i unieruchomionych pni drzew, sterczały z wody gałęzie i korzenie, na których podłożu powstawały z czasem nowe wyspy. Tu i tam rzeka szczyrzyła się ostrymi zrębami podwodnych skał, to trzeba było przeprować się przez bystrza pomiędzy wysepkami i wyspami. Świadomość, że w razie rozbicia się łodzi człowiek nie ma żadnych szans na dopłynięcie do brzegu, sprawiła, iż Nowicki i Smuga skupiali całą swoją uwagę na rzece. Niemniej Nowicki zerkał ku brzegom, bo stamtąd również mogło im zagrozić niebezpieczeństwo.

— Janie, uwaga! — naraz zawołał. — Z prawej wyrwa w lesie! Dymy, Indianie!

---

<sup>810</sup> — Barbasco (*Tephrosia toxicaria*) — krzewiasta roślina, z której soku Indianie sporządzają truciznę do oszalamiania ryb.

— Widzę! — odkrzyknął Smuga. — Przybijaj do prawego brzegu! Rzeka niemal wdzieriała się w dżunglę, toteż łódź niebawem wpłynęła w gąszcz trzciny. Smuga i Nowicki wyszli na brzeg.

— Tym razem obydwaj idziemy na zwiad — cicho odezwał się Smuga. — Różnie może się zdarzyć, nie wolno nam się rozłączać.

— Święta racja! — przytaknął Nowicki. — Worki chyba zostawimy w łodzi?

— Oczywiście, utrudniałyby podchody, tylko broń zabieramy. Ostrożnie przemykali przez dżunglę, która zwartą ścianą porastała obydwie brzegi. Co chwila przyczajali się w gąszczach, za drzewami i w wądołach, nasłuchując i rozglądając się bacznie. Był jeszcze pełny dzień, lecz w lesie panował półmrok. Smuga szedł pierwszy. Porozumiewał się z Nowickim bezgłośnie mową znaków. Minęło około godziny, zanim stanęli na skraju golizny, która w wyrwie leśnej tworzyła duże półkole dotykające krańcami brzegu rzeki. Środkiem golizny płynął strumień uchodzący do Tambo. Po lewej stronie strumienia stało kilka nadziemnych chat, zbudowanych wyłącznie z drewna, bambusów, lian i liści. Wznosiły się nad ziemią na grubych palach dla ochrony przed wilgocią. Chaty otwarte na wszystkie strony nie ukrywały niczego, toteż widać było wiszące na bambusowych prętach duże kiście bananów, pęki kolb kukurydzy i juki, wiązki strzał, łuki i bojowe makany, to jest miecze zrobione z twardego drewna. Wokół chat dzieci bawiły się z oswojonymi papugami, kurami i małpkami. Tu i tam gawędziły grupki starszych mężczyzn, młodych było niewiele, przeważały kobiety i dziatwa. Wszyscy przyodziani byli w kuźmy brązowe lub szare w czarne pasy. Kobiety nosiły na szyjach sznury paciorków z aromatycznych nasion. Dzieci biegały w większości nagie. Do ramion miały przyczepione dzwoneczki z twardych skorupki owoców, aby łatwiej można było je odszukać w razie zagubienia w lesie. Niektóre z nich posiadały małe futrzane ogonki jako ozdoby. Mężczyźni, kobiety i dzieci mieli twarze pomalowane na czerwono, a na policzkach bądź czole tatuaże wyobrażające sine węże. Długie, sięgające ramion, sztywne i czarne jak węgiel włosy przycięte były równo w połowie czoła, głowy zaś przyozdobione przepaskami w kształcie korony z zatkniętymi papuzimi piórami. Pośrodku wioski, przed największą chatą, znajdował się spory plac pokryty mocno ubitą ziemią. Zapewne na nim odprawiano obrzędy, tańce i zabawy.

Smuga i Nowicki z ciekawością przyglądali się mieszkańcom wioski. Kobiety krzątały się przy swoich chatach. Wyplatały maty, ozdoby i korony na głowy, sporządzały nici i tkwały kuźmy, robiły gliniane garnki, przygotowywały chichę i jedzenie. Młode matki zajmowały się małymi dziećmi. Niektóre siedziały przed chatami iskając wszy we włosach swych pociech. Robiły to z wielkim namaszczeniem, Indianie bowiem szanowali te pasożyty, sądząc, że wysysają one z człowieka złą krew. Dostatek widoczny we wsi i schludność odzienia wskazywały, że mieszkańcy osady nie cierpieli głodu.

Po prawej stronie strumienia znajdowało się kilkanaście nędznych szałasów o ścianach z prętów bambusowych i trzciny. Już na pierwszy rzut oka można było się domyślić, że tam mieszkają biedniejsze rodziny. Świadczyły o tym prymitywne, niewygodne szałas, do których trzeba było wchodzić na czworakach, postrzępione, brudne kuźmy oraz brak najprostszyc sprządów gospodarskich.

— To Kampowie — szepnął Nowicki, pochylając się do przyjaciela.

— Kampowie — cicho przytaknął Smuga. — Nie widać młodszych mężczyzn. Pewno już poszli na punkt zborny z Tasulinczim. Na brzegu jest tylko kilka małych łódek...

— Spójrz, Janie! Na wprost wioski znajduje się na rzece spora wyspa. Kryjąc się za nią, możemy przemknąć dalej...

Smuga skinął głową. Obydwaj zaczęli wycofywać się w las. Nowicki, zanim zepchnął łódź na wodę, odezwał się:

— Ci Indiancy jeszcze pewno nie zetknęli się z białymi. Zaraz było widać, że żyją tak, jak żyli ich praojcowie. Mimo to wśród nich też są bogatsi i „biedniejsi. Dziwi mnie to, bo przecież w tej zapadłej głuszy dostatek zależy tylko od pracowitości i przedsiębiorczości człowieka.

— Widocznie tak już jest od zarania istnienia ludzi na Ziemi — odparł Smuga. — Pracowici i zaradni wiedą dostatnie życie, natomiast nicponie i leniuchy, których nigdzie nie brak, zamiast wziąć się do pracy, myślą tylko o tym, jak by można bez trudu odebrać mienie tym, którzy zdobyli je własną ciężką i uczciwą pracą.

— Myślałem, że takie przywary posiadają tylko biali — mruknął Nowicki. Wkrótce minęli wioskę Kampów. Dopiero na krótko przed

zachodem słońca zatrzymali się na rozległej, lesistej wyspie. Gdy tylko się upewnili, że w okolicy nie ma śladów bytności ludzi, Nowicki powiedział:

— Janie, zacisznie tutaj, głębiej w lesie można by upitrasić jedzenie. Spróbuję złowić parę ryb, przy brzegu rzeka nie jest głęboka. Co o tym myślisz — Wygłodnieliśmy! Warto by coś zjeść, ale wejście do wody jest niebezpieczne, a to byłoby konieczne przy użyciu barbasco<sup>811</sup>.

— Kto ryzykuje, ten w kozie nie siedzi, mawiał jeden z moich kumpli z braci marynarskiej. Widziałem, w jaki sposób Indiancy płoszyli piranie. Ostatecznie mógłbym nie zdejmować portek i butów. Co tu się zastanawiać, gdy kiszki marsza grają! Rozejrzyj się za odpowiednim miejscem, ja tymczasem poszukam barbasco. Tego specjału na pewno tu nie brak.

Nim minęło pół godziny, Nowicki powrócił z całym naręczem krzewów wyrwanych z ziemi razem z korzeniami. Smuga także już znajdował się przy łodzi.

— Znalazłeś dobre miejsce? — od razu zapytał Nowicki.

— Około trzystu metrów stąd jest półkolisty kawałek piaszczystego wybrzeża — odparł Smuga. — Możemy tam spróbować.

— W takim razie chodźmy! Warto się uwinąć z pitraszeniem jeszcze przed nocą.

Wkrótce byli na plaży. Nowicki wyszukał dwa kamienie. Na jednym, spłaszczonym, kładł krzewy barbasco, a drugim miażdżył je, aż zaczął z nich wypływać trujący sok. Wtedy wrzucił krzewy do wody i pobiegł w dół wyspy. Nowicki lubił popisywać się śmiałością i odwagą. Toteż, mimo ostrzeżeń Smugi, szybko zrzucił ubranie i nagi wszedł do wody, która w tym miejscu sięgała mu do pasa. Skulonymi dłońmi uderzał o powierzchnię wody, podpatrzył bowiem, że Indianie w ten sposób płoszyli piranie. Niebawem zaczęły napływać oszołomione ryby. Nowicki gołymi rękoma chwycił je i wyrzucał na brzeg. Złowił pięć dużych ryb. Zadowolony z siebie wyszedł z wody zerkając na przyjaciela.

— No, już po strachu! — zawołał.

---

<sup>811</sup> — Burowie — potomkowie kolonistów holenderskich, którzy od XVIII w. osiedlali się w Afryce Południowej. Wypierani na północ przez Brytyjczyków, utworzyli republiki: Natal i Transwał. Na przełomie XIX i XX w. toczyli krwawe wojny z Brytyjczykami o niezależność swych republik. Wojny te nazwano burskimi.



— Coś mi się wydaje, kapitanie, że ty nie umrzesz śmiercią naturalną — odezwał się Smuga.

Nowicki beztrąsko się roześmiał i odparł:

— Nie pierwszy mówisz mi to, Janku! Parę lat temu ktoś przepowiedział mi to samo. Opowiem ci o tym dziwnym wydarzeniu na dobranoc. Poza tym nie taki musi być diabeł straszny, jak go malują. Na pewno tutaj nie ma piranii, bo nie wierzę w skuteczność indiańskiego bębnienia dłońmi w wodę. Wkrótce się o tym przekonamy.

Ubrał się i zaczął oporządzać złowione ryby. Wprawnie wypatroszył je i podcinał łby, które razem z okrwawionymi wnętrznościami z rozmachem wrzucił do wody. Przez krótką chwilę nic się nie działo. Nowicki spojrzał na przyjaciela kpiącym wzrokiem, ale zaraz zrzędła mu mina. W miejscu, gdzie zanurzyły się ochłapy, woda wzburzyła się i poczerwieniała. W kotłowaniu widać było grzbiety, a nawet łby piranii walczących między sobą o smakowity żer. Wkrótce powierzchnia wody znów się wygładziła.

— No, kapitanie, co teraz powiesz? — zagadnął Smuga. — Szczęście, że nie miałeś jakiegó rany na ciele.

— Widocznie nie było mi jeszcze pisane przenieść się do Abrahama na piwo — odparł No wieki. — Było, minęło, więc nie ma o czym gadać.

Po zjedzeniu upieczonych ryb Nowicki starannie wygasił ognisko. Obydwaj położyli się w hamakach ćmiać fajki.

— Obiecałeś, kapitanie, opowiedzieć o jakimś niezwykłym wydarzeniu — odezwał się Smuga. — Któż to prorokował ci, że nie umrzesz śmiercią naturalną?

— Prawdę powiedziawszy, sam nie wiem, kto to był — rozpoczął Nowicki. — Zdarzyło się to parę lat temu, zanim zacząłem jeździć z tobą i ojcem Tomka na wyprawy. Płynąłem wtedy na małym, starym i trzeszczącym trampie z Liverpoolu do Afryki Południowej. Wieźliśmy broń i amunicję dla Brytyjczyków toczących wojnę z Burami<sup>812</sup>. Przeciężona wysłużona krypa była właściwie wielką, otwartą beczką prochu. Toteż, gdy w Biskajach 813 wpadliśmy w gwałtowny sztorm, cała załoga z kapitanem na czele miała

---

<sup>812</sup> — Mowa o Zatoce Biskajskiej na Atlantyku, między zachodnim wybrzeżem Francji a Półwyspem Iberyjskim.

<sup>813</sup> — Syto w języku Kampów, manta blanca po hiszpańsku — małe dokuczliwe muszki grasujące podczas dnia w dżungli.

dusze na ramieniu. Rozhuśtany tramp mógł w każdej chwili wylecieć w powietrze. Na domiar złego, zaraz po nadejściu sztormu, paskudnie skręciłem nogę i musiałem leżeć w koi. Przywiązałem się sznurem, bo wzburzone morze rzucało statkiem jak piłką. Fale przelewały się przez pokład, wiązania trzeszczały, więc różne myśli plątały się po łepetynie. Noga nieźle mi doskwierała, nie dawała zasnąć. Czasem tylko zapadałem w drzemkę.

Wczesnym rankiem otworzyłem oczy. Zawierucha wciąż jeszcze wyprawiała harce ze statkiem. W kabinie panował półmrok. Naraz spostrzegam, że przy moich nogach obok koi czai się jakaś dziwna szara sylwetka. Konturem przywodziła mi na myśl zakapturzonego mnicha. Przyglądam się, ale w szarym konturze nie widać twarzy ani oczu. Instynktownie wyczuwam jednak, że dziwna zjawa bacznie mi się przygląda. „*Ki diabeł?*” — pomyślałem zdumiony. Szczypię się w pośladek: nie, nie śpię i wyraźnie widzę zjawę. Naraz bezgłośnie odezwała się do mnie: „*Nie bój się, i tak nie umrzesz śmiercią naturalną*”. Nie słyszałem głosu, a jednak słowa te przeniknęły do mej świadomości.

Zacząłem odwiązywać opasujący mnie sznur. Zjawa tymczasem z wolna się rozplywała i zanim usiadłem, zniknęła. Przez parę dni czułem się trochę nieswojo, ale później pomyślałem, że nikt nie przechytry swego losu, co ma być, to i tak się stanie, gdy nadejdzie oznaczona pora.

— Czy wierzysz w przeznaczenie? — zapytał Smuga.

— Jak tu nie wierzyć! — już trochę sennym głosem mruknął Nowicki. — Nawet piranie mnie nie tknęły, bo widocznie nie nadszedł jeszcze mój czas.

W chwilę później Smuga usłyszał ciche pochrapywanie.

„*Wspaniałe chłopisko* — pomyślał. — *Przesądny, ale nie zna uczucia lęku. Żelazne nerwy... On nie mógł ulec halucynacji... Cóż, dzieją się na świecie rzeczy, o których nawet filozofom się nie śniło...*”

Jeszcze przez jakiś czas Smuga czuwał, aż w końcu zmorzył go sen.

\* \* \*

Kiedy No wieki się przebudził, już świtało. Jakiś wewnętrzny niepokój poderwał go z hamaka. Smuga jeszcze spał. Wziął sztucer i ruszył nad rzekę. Najpierw upewnił się, że łódź leży ukryta w zaroślach. Wyciągnął ją na brzeg rzeki, sprawdził, czy wiosła i drąg do popychania są w porządku. Naraz, jakby

wiedziony instynktem, spojrział w dół rzeki. W dali na prawym brzegu błysnął nad dżunglą różowożółty odblask, który wkrótce przemienił się w czerwone kłęby przeplecione czarnym dymem.

W pierwszej chwili Nowicki pomyślał, że to pożar lasu, ale zaraz porzucił tę myśl. Łuna się nie rozszerzała, ogień płonął w jednym miejscu.

— To sprawka Kampów, puszczają z dymem czyjaś sadybę — mruknął.

— A więc zaczęło się, wojna! Pobiegł do Smugi.

— Janie! Wstawaj! — zawołał. — Kampowie rozpoczęli rebelię! Na lewym brzegu łuna nad dżunglą!

Pobiegli nad rzekę. W dali czerwone odblaski zaczęły błędnać. Jeszcze kilka razy buchnęły czerwono–czarne kłęby. Wkrótce pożar przygasł.

— Janie, zdawało mi się, że słyszę jakieś krzyki — odezwał się Nowicki.

— Głos po wodzie daleko się niesie...

— Ja również złowiłem uchem odgłosy strzałów — powiedział Smuga.

— Kampowie rozpoczęli powstanie, zanim dotarliśmy do Ukajali.

Twoja indiańska sympatia przepowiedziała to przed naszą ucieczką...



## PABLO

Smuga i Nowicki płynęli w pobliżu brzegu w dół rzeki. Wypatrywali pogorzeliśka, nad którym o świcie wisiała złowieszcza łuna. Pożar mógł być wzniecony przez Kampów, gdyż świt był ich ulubioną porą napadu.

— Czy nie za daleko płyniemy, kapitanie? — zaniepokoił się Smuga.

— Chyba teraz powinniśmy pójść dalej pieszo — odparł Nowicki. — Szukam tylko dogodnego miejsca.

Wkrótce zagłębili się w szuwały. Wyszli na brzeg, po czym wciągnęli łódkę w nadbrzeżne chaszczce. Zabrali broń i ruszyli w dżunglę. Przekradali się blisko brzegu, gdyż puszczone z dymem sadyba musiała się znajdować nad rzeką. Dzień był bezwietrzny i upalny, toteż muszki syto<sup>814</sup> grasowały całymi chmarami, włożyły we włosy, gryzły w głowę. Ukąszenia ich, podobne do pchlich, pozostawiały czerwone swędzące ślady, które, jeśli nie były drapane, same znikwały po kilku godzinach i swędzenie ustawało. Podczas długiego przebywania w tropikalnej puszczy obydwaj uciekinierzy przywykli do natrętnych ataków tysięcy różnych owadów, znosili je cierpliwie, nawet nie dotykali swędzących głów. Syto grasowały tylko w dzień, wieczorem natomiast pojawiały się chmary komarów. Ale nie ich należało się wystrzeżać. Najgroźniejsze były leśne osy, które zawieszały swe gniazda na gałęziach lub w dziuplach drzew. Mimowolne zbliżenie się do gniazda pobudzało kąśliwe owady do natychmiastowego gromadnego napadu na intruza. Nawet liana zwisająca z gałęzi mogła się okazać wypatrującym łupu jadowitym węzem... Toteż Smuga i Nowicki wolno przedzierali się przez dżunglę, uważnie rozglądając się wokoło. Dopiero po przebyciu około kilometra, Nowicki przystanął i zaczął mocno wciągać powietrze nosem. Smuga wyczekująco zatrzymał się obok niego.

— Czuć spaleniznę... — po chwili szepnął No wieki. — Pogorzeliśko niedaleko... — Sprawdził, czy kolt lekko wysuwa się z pochwy, po czym ze sztucerem gotowym do strzału ruszył przed siebie.

---

<sup>814</sup> — Madre de Dios — rzeka długości 1100 km wypływająca w południowo-wschodnim Peru i uchodząca do rzeki Beni w północnej Boliwii, żeglowna na przestrzeni 1000 km. Od niej wziął nazwę jeden z departamentów Peru.

Smuga był wprawnym tropicielem, toteż niebawem odkrył ślady stóp. Dał znak Nowickiemu, żeby przyczaił się za drzewem, a sam zaczął badać świeże tropy. Doprowadziły go aż do lewego brzegu Tambo. Jak można było się domyślać, tam właśnie Indianie wysiedli z dwóch dużych łodzi. Jedni poszli brzegiem w dół rzeki, drudzy zagłębili się w las. Potem powrócili nad rzekę i odpłynęli. Smuga z łatwością odgadł przebieg wydarzeń: Indianie oskrzydlili osiedle i po napadzie udali się w dalszą drogę.

— Dwie łodzie, więc to nasi Kampowie — rzekł Nowicki wysłuchawszy relacji Smugi. — Skoro odpłynęli, nic nam tu z ich strony nie zagraża.

— Najpierw się co do tego upewnijmy — powiedział Smuga. — Ślady Kampów doprowadzą nas do pogorzelska.

Widać było, że napastnicy, pewni zaskoczenia wroga, nawet nie zachowywali zbyt wielkiej ostrożności. Smuga i Nowicki podążając ich śladami wkrótce znaleźli się na skraju niewielkiej golizny. Przyczaili się w zaroślach.

Po kilku nadziemnych chatach, zbudowanych przeważnie z bambusów, lian i liści, pozostały tylko poczerniałe zgliszcza. Tu i tam sterczały kikuty nie dopalonych grubych pali. Na ziemi wały się ciała zabitych mężczyzn. W powietrzu unosił się swąd spalenizny.

— Janie, tam ktoś jest! — szepnął Nowicki.

— Widzę, to młody chłopak, Metys... — cicho przytaknął Smuga. W pobliżu spalonej chaty siedział w kucki chłopak. Spoglądał na leżące przed nim na ziemi zwłoki mężczyzny. Chłopak ubrany był w podniszczone spodnie i rozchełstaną na piersiach koszulę. Obok niego stał karabin oparty o nadwęglony pal.

— Pewno tylko on ocalał — cicho odezwał się Smuga. — Musimy zabrać go stąd, inaczej zginie!

— Będzie uciekał, gdy nas zobaczy — zauważył Nowicki. — Przekradnij się, Janie, lasem, i zajdź go od tyłu, ja ruszę, gdy ujrzę ciebie...

Smuga skinął głową i wycofał się w las. Nowicki oparł sztucer o drzewo, żeby nie zawadzał w ewentualnym pościgu, po czym podkradł się trochę bliżej chłopca. Przyczajony czekał na Smugę. Wreszcie ujrzał go wychodzącego z lasu po przeciwnej stronie golizny. Na to hasło ruszył ku Metysowi. Ten siedział nieruchomo w kucki i otępiałym wzrokiem wpatrywał

się w zmasakrowane ciało mężczyzny. Nowicki podkładał się bezszelestnie, dopiero o kilkanaście kroków od Metysa trzasnęła pod jego stopą sucha gałązka.

Metys poderwał się na równe nogi. Ujrawszy Nowickiego, błyskawicznym ruchem wyszarpnął nóż zza pasa.

— Schowaj nóż, chłopcze! — po hiszpańsku odezwał się Nowicki. — Nie jestem twoim wrogiem.

Metys zerknął na karabin oparty o pał, ale w tej chwili Smuga podskoczył i odgrodził go od broni. Chłopak poszarzał na twarzy, silniej zacisnął dłoń na rękojeści noża.

— Uspokój się, nie chcemy cię skrzywdzić — odezwał się Smuga. Metys stał nieruchomo, tylko jego oczy czujnie mierzyły dwóch obcych mężczyzn. Wahał się jeszcze, wygląd zewnętrzny upodabniał ich do Indian, ale jeden z nich miał jaśniejsze włosy i obydwaj obuci byli w trzewiki z wysokimi cholewkami noszone przez białych.

— Nie jesteśmy czerwonoskórymi — powiedział Nowicki, jakby odgadując obawy Metysa. — Nic ci z naszej strony nie grozi. Jak masz na imię?

Metys wciąż milczał, tylko z jego oczu znikł badawczy niepokój.

— Czy nie znasz hiszpańskiej mowy? — zapytał Smuga. — Zaopiekujemy się tobą, jeżeli potrzebujesz pomocy. Jak się nazywasz?

— Pablo, tak wołał na mnie ojciec, matka nazywała mnie Aitu — padła cicha odpowiedź.

— Czy mieszkałeś z rodzicami w tym toldzie? — pytał Smuga. Metys potwierdził skinieniem głowy.

— Kto was napadł? — dalej pytał Smuga.

— Indios bravos, Kampowie.

— Gdzie jest twój ojciec? — indagował Smuga. W oczach chłopaka zaszklily się łzy.

— To jest mój ojciec! — odparł stłumionym głosem wskazując zmasakrowane zwłoki mężczyzny.

Nowicki baczniej przyjrzał się zwłokom.

— Niech to wściekły rekin połknie! — mruknął. — Okaleczyli go tak, że nawet nie można rozpoznać rysów twarzy. To był jednak biały człowiek.

— Co się stało z twoją matką? — zapytał Smuga.

— Uprawdzili ją Kampowie, zabrali wszystkie kobiety — padła odpowiedź.

— Do licha, to gorsze od śmierci — rzekł Smuga.

— Może jej nie skrzywdzą, ona jest Kampijką porwaną przez ojca z Gran Pajonalu — wyjaśnił chłopak.

— Co twój ojciec porabiał tutaj, w dzikiej głuszy? — znów zapytał Smuga.

— Dawniej mieszkał w La Huairze, pracował dla Pancha Vargasa. Prowadził corriere do Gran Pajonalu. Tam schwytał moją matkę i zostawił dla siebie. Natomiast Pedro Viejo polował na niewolników nad Madre de Dios<sup>815</sup>. Ojciec niedawno przeniósł się tutaj z nami. Miał poprowadzić dużą corriere do Gran Pajonalu. Seringueiros potrzebowali niewolników do zbierania kauczuku.

— Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka — wtrącił Nowicki. — Czy ty także chodziłeś z ojcem po niewolników?

— Tak, panie, chodziłem — przytaknął Metys.

— No to miałeś, brachu, wielkie szczęście, że i ciebie tak nie oporzadzili ziomkowie twojej matki! Jak to się stało, że ocalałeś?

— Matka chciała mięsa, więc przed świtem postanowiłem upolować dzika, którego wytropiłem wczoraj. Już byłem w dżungli, gdy usłyszałem strzały. Przybiegłem zaraz do tolda, ale nie odważyłem się wyjść z zarośli. Ojciec leżał zamordowany, Kampowie jeszcze pastwili się nad jego trupem, cięli makanami, żgali chikotzowymi pikami. Dobijali też resztę ludzi mego ojca. Wszyscy zginęli...

— Ilu mężczyzn było z twoim ojcem? — pytał Nowicki.

— Dziewięciu, señor.

— Biali czy czerwonoskórzy?

— Tylko ojciec był biały, a tamci to siedmiu Pirów i dwóch Amahuaków<sup>816</sup>. Przed samą corrierią miało przyjść więcej Pirów i białych.

---

<sup>815</sup> — Amahuaca — plemię mieszkające nad Urubambą i Madre de Dios. Amahuakowie mają cerę jasnożółtą, są wysocy i szczupli, tatuują się, bujniejsze niż u Kampów owłosienie twarzy tak samo zawzięcie usuwają. Amahuakowie są wrodzy Kampom i białym, którzy w obawie przed nimi nie osiedlają się w głębi lądu między rzekami Jurua i Ukajali.

<sup>816</sup> — Najlepiej poznany gatunek sępów Nowego Świata stanowią: kondor olbrzymi (*Sarcorhompus grytus*) i kondor królewski (*Gypageus papa*). Kondor olbrzymi, zwany królem Andów, zamieszkuje wysokie góry od Quito do południowego cypla kontynentu. Jest to największy ptak



— Ile było tu kobiet oprócz twojej matki?

— Tylko trzy, dwie Czamki i jedna Kampijką porwana tak jak moja matka. Wszystkie zabrali Kampowie.

— Słuchaj, Pablo! Atak Kampów na wasze toldo nie był zwykłym napadem. Kampowie wkroczyli na wojenną ścieżkę przeciwko wszystkim białym w Montanii — wyjaśnił Smuga. — Wiemy o tym od Kampów, którzy więzili nas w swoim kamiennym mieście w górach. Uciekliśmy z niewoli, nam także groziła śmierć.

Pablo drgnął, wpił swój wzrok w twarz Smugi. Po chwili zdumiony zawołał:

— Senior, dopiero teraz poznaję! To przecież ty prawie rok temu wyruszyłeś z La Huairy do Gran Pajonalu w pościg za Cabralem i Josem! Trudno cię rozpoznać, teraz wyglądasz jak Kampa. A więc jednak żyjesz?! Wszyscy myśleli, że zginąłeś!

— Jak widzisz, Pablo, udało mi się ocalić życie — odparł Smuga.

— Niestety, wszyscy, którzy poszli ze mną, zginęli. Cabral i Jose także...

— A mnie nigdy nie widziałeś w La Huairze? — wtrącił Nowicki. Pablo uważnie mu się przyjrzał.

— Nie, senior, nie widziałem! — odparł po chwili. — Wiem jednak, że nie tak dawno przybyli do La Huairy jacyś biali z kobietami i obcymi Indianami. Dopytywali się o señora, który ścigał Cabrala i Josego. Potem także poszli na poszukiwania do Gran Pajonalu. Może ty, señor, byłeś z nimi?

— Tak, to moi przyjaciele — potwierdził Nowicki.

— Nie mogłem cię widzieć, senior; wtedy z ojcem i Vargasem byliśmy na południu w toldach zaprzyjaźnionych Pirów. Dowiedzieliśmy się o wszystkim dopiero po powrocie do La Huairy — wyjaśnił Pablo.

— Teraz jesteś sam, pewno twoi towarzysze zginęli...

---

drapieżny i jeden z największych latających ptaków świata. Długość samca wynosi około 1 m, a rozpiętość skrzydeł do 3 m. Może szybować na wysokościach ponad 500 m n.p.m. Gnieździ się w skałach i żywi przeważnie padliną. Kondor królewski, zwany królem sępów ze względu na piękne, jaskrawe upierzenie, jest nieco mniejszy. Rozpiętość jego skrzydeł sięga powyżej 2 m. Zamieszkuje równiny podzwrotnikowe pasa Ameryki Południowej aż do Ameryki Środkowej, Teksasu i Florydy. Środowiskiem jego są puszcze tropikalne i równiny porośnięte drzewami. Gnieździ się na wysokich drzewach, niekiedy wierzchołkach starych, uschniętych pni. Samica składa jedno jajo. Ten ciężki ptak, o wadze do 12 kg, ma słabe nogi, toteż chcąc się wzbić w powietrze, musi najpierw biec kilkadziesiąt metrów, a już unosząc się, jeszcze raz czy dwa odbija się nogami od ziemi, zanim zacznie szybować.

— Większość z nich ocalała i jest bezpieczna — lakonicznie odpowiedział Nowicki, ponieważ obawiał się od razu zaufać Metysowi, który pracował dla Vargasa.

— Co masz zamiar zrobić? — zapytał Smuga. — Zginiesz, jeżeli wpadniesz w ręce Kampów. Vargas pewno też znajduje się już w ciężkich opałach.

— W tych stronach nigdzie nie będę bezpieczny — odpowiedział Pablo.

— Do Pancha Vargasa, jeśli jeszcze żyje, nie chciałbym wrócić. Już nie będę brał udziału w correriach! Wiem, co czuła moja matka. Czy senores pozwoliliby mi pójść z sobą?

— To nie jest takie proste, Pablo — odpowiedział Smuga. — Mamy się spotkać z przyjaciółmi na granicy boliwijskiej, a potem podążymy do Manaus nad Amazonką.

— Senior, jeżeli tylko zechcesz mnie wziąć, będę pracował dla ciebie — jednym tchem odparł Pablo. — Znam mowę Pirów i Kampów...

— Może dałoby się to jakoś urządzić. Dobrze mówisz po hiszpańsku. Kto cię nauczył?

— Mój ojciec. Dawniej pracował w Limie. Miał się żenić z bogatą dziewczyną. Zazdrosny rywal nasłał na niego zbójów. Ojciec zabił jednego z nich. Skrył się tutaj, aby uniknąć więzienia. On nie zawsze był zły.

Pablo zasmucony spojrzał na zmasakrowane zwłoki. Łzy znów stanęły mu w oczach. Nowicki trochę wzruszony przysłuchiwał się rozmowie i zerkał w górę. Na lazurowym tle nieba czerniły się złowróżbne sylwetki sępów. Olbrzymie ptaszyska, wykorzystując prądy powietrzne, na szeroko rozpostartych, niemal nieruchomych skrzydłach zataczały nad pogorzelskiem coraz to niższe koła. Były to kondory królewskie<sup>817</sup>, żywiące się przeważnie padliną. Nowicki trącił łokciem Smugę i odezwał się po polsku:

— Patrz, Janie, sępy czyhają...

---

<sup>817</sup> — Banany nie pochodzą z Ameryki, ojczyzną ich są: południowo-wschodnia Azja, Afryka i północna Australia. Przenoszone etapami na Wyspy Kanaryjskie, do Ameryki Środkowej i Południowej, zadomowiły się tam i tak rozpowszechniły, że obecnie czołowymi producentami i eksporterami bananów są: Ekwador, Brazylia, Indie i Filipiny. Do Europy przywieziono banany około 1880 r. Istnieje blisko 40 gatunków i niezliczona liczba odmian bananów. Najważniejsze to: banan mączny (*Musa paradisiac*), który w tropikalnych krajach stał się podstawą wyżywienia ludności i odgrywa podobną rolę jak u nas zboże i ziemniaki; spożywany jest w postaci gotowanej lub pieczonej, a głównym produktem uzyskiwanym z niego jest mąka; banan owocowy (*Musa sapientum*) spożywany jest w stanie surowym, zdobył sobie poważną pozycję w handlu światowym.

— Byłaby to dla nich królewska uczta! — odparł Smuga spoglądając na potężne ptaki. — Warto by pochować tych nieszczęśników.

— Grobu nie wykopujemy, bo nie ma czym, ale jakąś rozpadlinę chyba znajdziemy — powiedział Nowicki i zaraz odezwał się po hiszpańsku: — Pablo, trzeba poszukać jakiejś jamy na pochowanie tych ludzi!

— Si, señor! — skwapliwie przytaknął Metys. — W pobliżu jest poletko, na którym kobiety uprawiały kukurydzę i banany<sup>818</sup>. Tam pozostawiały motyki i łopaty. Zaraz pójde po nie!

— Może znajdziesz kilka kolb kukurydzy, warto posilić się przed drogą — powiedział Nowicki.

— Poczekaj chwilę, Pablo! — wtrącił Smuga. — Czy nie udało ci się podsłuchać Kampów?

— Wiem tylko, że spieszyli się nad Apuparo<sup>819</sup> — odpowiedział Metys.

— Jak długo trzeba stąd płynąć do Ukajali?

— Woda jeszcze duża, wystarczy jeden dzień — wyjaśnił Pablo.

— Dobrze, możesz iść, ale pamiętaj, że nie wolno strzelać! Później sam upoluję pokuną coś do jedzenia, idź już!

Pablo pobiegł w las nie zabierając karabinu.

— Bystry chłopak! — pochwalił Nowicki. — Czy weźmiemy go do Manaos?

— Myślę, że warto mu pomóc — odparł Smuga. — Nixon na pewno go zatrudni. Zresztą, jeszcze zobaczymy. Jeżeli naprawdę chce zacząć inne życie, to i nam może ułatwić dalszą ucieczkę. Zna te strony, potrafi się dogadać z Pirami, z którymi przyjdzie nam się zetknąć w drodze do Boliwii.

— Święta racja! — stwierdził Nowicki. — Chyba przenocujemy tutaj?

---

<sup>818</sup> — Apuparo — tak niektóre plemiona nazywają Ukajali.

<sup>819</sup> — Kawa (z arab. kaweh — pokrzepiający lub podniecający) pochodzi z Abisynii, skąd w XIV w. została przewieziona do Arabii, gdzie zapoczątkowano jej przyrządzanie w postaci naparu. Kawę najpierw pili duchowni muzułmańscy w celu zwalczania senności podczas nocnych modłów. Pielgrzymi muzułmańscy rozpowszechnili kawę w Egipcie i Turcji. Pierwsze kawiarnie w Stambule powstały w 1554 r. Pierwsza kawiarnia europejska powstała w Londynie w 1652 r., druga w Paryżu w 1671 r. Założycielem pierwszej kawiarni w Wiedniu w 1683 r. był Polak, Jerzy Franciszek Kulczycki, który podczas oblężenia Wiednia w 1683 r. przez Turków oddał duże usługi cesarzowi Leopoldowi I, za co w nagrodę otrzymał przywilej gotowania kawy i jej zapasy z tureckiego obozu. Kawa, przewieziona przez Francuzów na Martynikę, a stamtąd do Brazylii i innych krajów Ameryki, znalazła tam tak doskonałe warunki, że w początkach XIX w. Brazylia była już najpoważniejszym światowym producentem kawy. Obecnie największymi producentami są: Brazylia, Kolumbia, Wybrzeże Kości Słoniowej, Indonezja, Meksyk i Etiopia.

— Nie mamy innego wyjścia. Kampowie są zbyt blisko przed nami. Niech się bardziej oddalą. W spalonym osiedlu jesteśmy względnie bezpieczni. O świcie ruszymy w drogę. Może uda się nam przed nocą dotrzeć do Ukajali.

Nim słońce stanęło w zenicie, Nowicki i Pablo wykopali grób, w którym złożyli wszystkich poległych podczas napadu. Smuga tymczasem za pomocą pokuny upolował kapibarę. Pieczone mięsiwo oraz gotowane kaczany kukurydzy pozwoliły wszystkim zaspokoić głód. Tej nocy Nowicki i Smuga czuwali na zmianę. O świcie odszukali łódź, zepchnęli ją na wodę i popłynęli w dół rzeki. Przygarnięcie Metysa ułatwiło dalszą żeglugę. Pablo już kilkakrotnie pływał łodzią między toldem i La Huairą, toteż orientował się, gdzie groziło spotkanie koczowisk Kampów. Ostrzegał również zawczasu przed zdradliwymi miejscami na rzece i zastępował w wiosłowaniu swych przypadkowych opiekunów, co umożliwiała płynięcie bez odpoczynku. Dwukrotnie przybijali do brzegu i przyczajali się w chaszczach, a Pablo i Smuga szli na zwiady. Jak się okazało, koczowiska Kampów podporządkowanych Vargasowi ziały pustką.

Uciekinierzy wzmoogli ostrożność. Wysokie, porośnięte dżunglą wzgórza na obydwóch brzegach tworzyły głęboką dolinę i Tambo przybierała charakter rzeki górskiej. W dali na zachodzie na bezchmurnym niebie rysowały się potężne masywy bezimiennych gór. Wreszcie jednak brzegi rzeki zaczęły się obniżać i woda niemal dotykała gąszczu dziewiczego lasu. Pablo coraz niespokojniej rozglądał się po okolicy, aż w końcu zawołał:

— Señores, Apuparo już bardzo blisko! Wkrótce na prawym brzegu będzie wioska Pirów, którzy są zaufanymi Vargasa. Znają mnie dobrze! Zatrzymajmy się tutaj, pójdę do nich na zwiady. Na pewno będą wiedzieli, co się dzieje w La Huairze.

Smuga wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Nowickim, po czym krótko odparł:

— Przybijemy do brzegu, w łodzi poczekamy na twój powrót. Jeżeli zastaniesz Pirów w osadzie, nie mów im na razie o nas.

— Dobrze, señor! Tylko rozejrzę się w sytuacji... Mety s zniknął w dżungli.

— Zostawił broń — zauważył Nowicki. — Myślę, że możemy zaufać temu młodzikowi.

— Jak dotąd nie budzi zastrzeżeń — powiedział Smuga. — Jednak spotkanie z Vargasem mogłoby być dla niego ciężką próbą.

Umilkli, pilnie nasłuchując. Niepewność ich nie była wystawiona na zbyt długą próbę. Prędzej, niż się spodziewali, Pablo wychynął z zarośli, pobiegł do łodzi i jednym tchem zawołał:

— Nie ma ich! Nie ma nikogo! Wszyscy odeszli, wzięli nawet swoje papugi i małpy! Pustka, wszędzie pustka!

— Uciekli lub przyłączyli się do zbuntowanych Kampów — powiedział Smuga. — Nie znalazłeś tam śladów walki?

— Nie było żadnej bitwy, señor! Oni musieli być wcześniej uprzedzeni o niebezpieczeństwie. Zdążyli nawet zebrać dojrzewające banany. Odeszli trzy lub cztery dni temu. Ślady ich są już częściowo zatarte. Uciekli na południe!

— Jak daleko stąd do ujścia Tambo? — zapytał Smuga.

— Bardzo blisko, señor! Pieszko można w trzy godziny, łodzią jeszcze prędzej.

— Coraz ciaśniej się tu robi! — odezwał się Nowicki. — Kampowie już są nad Ukajali. Włazimy w samą paszczę wściekłym rekinom! Janie, jak szeroka jest Tambo u zlewu z Urubambą?

— W pobliżu ujścia nie przekracza czterystu metrów, lecz sam zlew obydwóch rzek to już szerokie i zdradliwe wody — wyjaśnił Smuga, który przebywał w tamtych stronach wyruszając w pościg do Gran Pajonalu.

— Wobec tego zanim dopłyniemy do Ukajali, Kampowie z łatwością mogą nas wypatrzeć z obydwóch brzegów Tambo — zafrasował się Nowicki.

— Dobrze mówisz, senior! — skwapliwie przytaknął Pablo. — Bezpieczniej byłoby teraz porzucić łódź i pieszko przekraść się od razu nad Urubambę.

— Zgadzam się z tobą, Pablo! — przyznał Smuga. — W jaki jednak sposób przeprawimy się na prawy brzeg Urubamby?

— Pancho Vargas przechowuje dla siebie łodzie na obydwóch brzegach rzeki, wiem gdzie je ukrywa — odparł Pablo. — Znam również ścieżkę, którą Pirowie chodzili pieszko stąd nad Urubambę. Mogę poprowadzić!

— Co sądzisz o tym, kapitanie? — zapytał Smuga.

— Rada Pabla wydaje się dobra — powiedział Nowicki. — Gdybyśmy dalej płynęli po Tambo, moglibyśmy się natknąć na zbuntowanych Kampów. Jeżeli raz wpadną na nasz trop, już im nie ujdziemy!

— A więc postanowione! — zakończył Smuga. — Łódź ukryjemy na brzegu, wiosła zabierzemy, mogą się przydać.

Jeszcze tego samego dnia, na krótko przed zmierzchem, stanęli na brzegu Urubamby. Po krótkich poszukiwaniach Pablo znalazł dużą łódź wyciosaną z pnia mahoniowego. Za późno już jednak było na przeprawę przez pieniające się, szeroko rozlane wody naszpikowane wystającymi ostrymi skałami, wirami i lejami.

## CORRERIA

Promienie wschodzącego słońca rozpraszały opary unoszące się nad rzeką. Smuga, Nowicki i Pablo wykorzystali poranne mgły i pod ich osłoną przeprawili się na prawy brzeg Urubamby. Wysoki i stromy brzeg uniemożliwiał ukrycie dużej, ciężkiej łodzi w lesie, więc tylko odepchnęli ją na rzekę, aby rozbiła się w drzazgi lub utknęła wśród skał wystających z toni. Wyczerpani zmaganiem z groźną, wzburzoną rzeką, wspięli się na porośnięty dżunglą brzeg. Przyczajeni w gęstwinie spoglądali na łódź znoszoną przez porywisty nurt.

— Nie dopłynię nawet do Ukajali — odezwał się Pablo. — Tutaj niejedyn parowiec przyjeżdżający po kauczuk poszedł na dno razem ze swoją załogą.

— Czy statki często tu przyplývają? — zaciekał się Smuga.

— Od czasu do czasu, senor — odpowiedział Pablo. — W tych okolicach jest dużo drzew kauczukowych. Zbiory obfite, więc przyplývają do La Huairy, a czasem jeszcze dalej w górę Urubamby.

— Gdyby tak teraz pojawił się jakiś statek! — wtrącił Nowicki.

— Taka gratka się nam nie trafi. Powstanie Kampów wyludni te strony na długie lata — powiedział Smuga. — Skoro Pirowie Vargasa czmychnęli, to zapewne i w La Huairze już nie zastaniemy nikogo.

— Dobrze mówisz, senor! — przywtórzył Pablo. — Jego zaufani Pirowie na pewno go ostrzegli!

— Wnet się dowiemy, co w trawie piszczy! — mruknął Nowicki.

— Trochę odpoczniemy, a potem w drogę do La Huairy — rzekł Smuga. Wkrótce przekradali się przez dżunglę w pewnej odległości od brzegu rzeki, ponieważ Smuga zamierzał podejść do sadyby Vargasa od wschodniej strony, czyli z głębi otaczającego ją lasu. Liczył się z tym, że powstańcy indiańscy mogą okupować La Huairę. Pablo, jako dobrze znający okolicę, szedł pierwszy. Co kilkadziesiąt kroków przystawał, nasłuchiwał, potem ruszył dalej. Wreszcie zatrzymał się na skraju lasu.

— Tu już zaczyna się plantacja kawy<sup>820</sup> Pancha Vargasa — cicho oznajmił, odwracając się do swych opiekunów. — To już La Huaira!

W tym właśnie miejscu kończyła się gęstwina leśna. Dalej w cieniu wyższych drzew rosły krzewy kawowe.

— Widziałem tę plantację, byliśmy tutaj z Tomkiem — szeptem odezwał się Nowicki. — Nieźle urządził się ten Vargas! Ma kawę i banany uprawiane za darmo przez niewolników! Brak tylko krzewów kakaowych<sup>821</sup>! Ukryjmy tu manatki, podkradniemy się tylko z bronią...

— Słusznie, kapitanie! — cicho potaknął Smuga. — Będę szedł pierwszy, ty i Pablo osłaniajcie mnie.

Po chwili już przemykał między krzewami kawowymi. Nowicki, ze sztucerem gotowym do strzału w prawej dłoni, lewą dał znak Metysowi, żeby nie ruszał się z miejsca. Dopiero gdy Smuga oddalił się o kilkadziesiąt kroków, obydwaj poszli za nim trop w trop.

Smuga rozglądał się wokoło i nasłuchiwał. Wszedł do wioski. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie wielkiego gaju bananowego. Duże, jasnozielone liście, porozdzierane przez wiatr, wyglądały jak pierzaste złożone liście palm. Ów gaj bananowy krył w sobie uliczki z prymitywnymi chatami. Niektóre były porozbijane, jakby ktoś wyładowywał na nich swój gniew. Było to zapewne dziełem powstańców kapijskich. Wioska ziała pustką, lecz bez śladów walki. Można było mniemać, że mieszkańcy z dobytkiem opuścili La Huairę, zanim nawiedzili ją wrogowie.

Smuga przystanął przed domem Vargasa, który tylko tym różnił się od chat niewolników, że był obszerniejszy. Teraz leżał w gruzach. Już miał pójść dalej, gdy naraz za jego plecami ktoś krzyknął po hiszpańsku:

— Nie odwracaj się! Karabin na ziemię i ręce do góry!

---

<sup>820</sup> — Kakao (*Theobromd*) — pochodzi z Ameryki, gdzie od pradawnych czasów było uprawiane na obszarach od Meksyku do Peru. Aztekowie uznawali krzew kakaowy za święty, a napój sporządzany z jego owoców za pokarm bogów, który mogli pić tylko królowie i kapłani. Nasiona kakaowe w państwie Azteków były także zdawkową monetą. Do Europy nasiona kakaowe przywiózł Krzysztof Kolumb. Przeszkodą w upowszechnieniu tej rośliny była duża zawartość w nasionach tłuszczu zwanego masłem kakaowym oraz wrażliwość na warunki klimatyczne i glebowe. Toteż nasion używano głównie w kosmetyce. Dopiero w 1828 r. Holender Van Houten znalazł sposób odtłuszczania nasion, co umożliwiło wyrób czekolady.

<sup>821</sup> — Bonanza — nazwa pochodzi ze Stanów Zjednoczonych z czasów tak zwanej gorączki złota; oznacza wyjątkowo bogatą żyłę złota, a w przenośni coś, co przynosi olbrzymi zysk.



Smuga odrzucił sztucer i podniósł ręce. Coś twardego, zapewne lufa rewolweru, dotknęło jego pleców.

Nowicki i Pablo podążali za Smugą. Znajdowali się w tej chwili o jakieś dwadzieścia kroków za nim. Przyczajeni w krzewach bananowych, od razu spostrzegli brodatego draba, który z rewolwerem w ręku wychynął z ruin jednej chaty. Cichaczem zachodził Smugę od tyłu. Pablo spojrzął na Nowickiego, ten jednak wzrokiem nakazał milczenie. Gdy drab dotknął lufą rewolweru pleców Smugi, Nowicki jednym susem stanął na środku alejki i groźnie krzyknął:

— Trzymam cię na muszce! Przegrałeś, zuchu! Rzuć broń i odwróć się do mnie!

Drab zawahał się na moment. Smuga w kuźmie mógł uchodzić za Kampę, ale nie wiedział, kim jest ten drugi, który zaskoczył go z tyłu. Niepewny, zerknął za siebie i spojrzął wprost w czarny otwór lufy sztucera wymierzonej w jego głowę. Mimo to z piersi wyrwało mu się westchnienie ulgi. Jasne oczy i włosy mógł mieć tylko biały człowiek. Zdecydowanym ruchem rzucił swój rewolwer do stóp Nowickiego i jeszcze trochę drżącym głosem zapytał:

— Kim jesteście, senores? W pierwszej chwili zdawało mi się, że przyłapałem parszywego Kampę na przespiegach.

— Za taką pomyłkę można połknąć niestrawną porcję ołowiu — z humorem odparł Nowicki. — Możesz podnieść swoją pukawkę.

Zanim drab zdążył się schylić po broń, z gąszczu wybiegł Pablo i zawołał:

— Señor! To Antonio, człowiek Pedra Vieja, pracuje dla Vargasa!

— Pablo, a więc żyjesz?! Myśleliśmy, że wpadliście w łapy dzikich Kampów, którzy mordują białych! — mówił Antonio. — Gdzie twój ojciec? Czy uciekł razem z Vargasem?!

— Ojciec i wszyscy jego ludzie zostali zamordowani przez Indios bravos w toldzie nad Tambo. Kobiety uprowadzili, tylko ja ocalałem.

— Carramba! — zaklął Antonio. — Mściwe czerwone psy! Dwa dni temu zgraja Indios bravos zebrała się nad Unini i ruszyła w dół Ukajali. Chicotza poszła z dymem, białych wyrznęli, zginęło ponad pięćdziesiąt osób. Właśnie wtedy płynął po kauczuk do La Huairy parowiec „*Libertad*”. Dobrze ci znany kapitan Delgado chciał ratować mieszkańców Chicotzy, lecz zanim zdołał przybić do brzegu, został trafiony indiańską strzałą, więc zaraz

zawrócił i uciekł w dół Ukajali. Opowiedział nam o tym jeden Metys, któremu udało się uciec z tego piekła. Tutaj również buszowali Kampowie, ale już nie zastali nikogo. Pancho Vargas czmychnął uprzedzony w porę. Zdążył jednak wysłać nam naprzeciw zaufanego Pira z ostrzeżeniem. Tylko dzięki temu nie wpadliśmy Kampom w łapy.

— Z tego, co mówisz, wynika, że nie jesteś tutaj sam — odezwał się Smuga.

— Jest *correria* Pedra Vieja. Na pograniczu Boliwii łowiliśmy niewolników. Oprócz mnie i Pedra jest jeszcze czterech białych oraz dwudziestu Pirów. Mamy ponad dwustu czerwonoskórych niewolników. Nie wiemy teraz, co z nimi zrobić. Zbieracze kauczuku pouciekali przed zbuntowanymi Kampami, Vargas nie ma! Przyczailiśmy się w dżungli na wschód od Urubamby i boimy się wychylić nosa, bo Indios bravos bez pardonu mordują wszystkich białych. A skąd wy, *senores*, wzięliście się tutaj?

— Uciekliśmy z niewoli u Kampów, którzy teraz powstali przeciwko białym — wyjaśnił Smuga. — Podczas ucieczki spotkaliśmy w *toldzie* nad Tambo ocalałego z rzezi Pabla. Zaopiekowaliśmy się nim.

— Antonio, nie poznajesz?! — wtrącił Pablo. — Przecież to *senor* Smuga, który prawie rok temu wyruszył z La Huairy do Gran Pajonalu w pościg za Josem i Cabralem!

— Czy to możliwe? Toż to cud prawdziwy wyrwać się z łap krwiożerczych Kampów! — zdumiał się Antonio. — Wszyscy byliśmy pewni, że już przepadłeś na wieki! *Senores*, chodźcie ze mną do Vieja. Razem uradzimy, co dalej robić. Tutaj wszędzie czyha śmierć!

*Correria* Pedra Vieja znajdowała się w obozie porzuconym w popłochu przez zbieraczy kauczuku, przerażonych zbrojnym powstaniem Kampów. Leżał on w lesie o pół dnia pieszej wędrówki na wschód od Urubamby. Na niewielkim karczowisku koczowali pod gołym niebem półnaczy, wychudzeni Pirowie uprowadzeni z pogranicza brazylijsko-boliwijskiego. Mężczyźni, grupka kobiet i dzieci przykucali wprost na ziemi. Blizny oraz świeże rany na ich ciałach świadczyły o bezwzględnym, brutalnym traktowaniu przez *capangów*, czyli zbrojnych dozorców, którzy ich pilnowali z psami przyuczonymi do tropienia ludzi. *Capangowie* należeli do Pirów wysługujących się Vargasowi w niecnym polowaniu na niewolników. Z satysfakcją znęcali się nad pierskimi brańcami, gdyż wiedzieli, że są

znienawidzeni przez gnębionych współplemieńców, którzy, gdyby tylko nadarzyła się sposobność, zemściliby się na nich okrutnie bez chwili wahania.

Biali i pirscy capangowie pozostawali w zażyłej komitywie. Z wyjątkiem strażników pilnujących jeńców zebrali się wokół swego przywódcy, Pedra Vieja, rozmawiającego z nieoczekiwanymi przybyszami.

— Pancho Vargas zdążył mnie ostrzec przez swego człowieka, że rebelia wybuchnie lada dzień, a sam zawczasu uciekł z La Huairy — kończył relację Viejo. — Uprzedził, żebyśmy nie wpadli w pułapkę, ale przecież i tak wystawił nas do wiatru! Co mam teraz zrobić z tym plugawym robactwem?! Zbieracze kauczuku czmychnęli na złamanie karku, a Indios bravos wyrzynają białych.

— Puść ich, señor, niech wracają w swoje strony, a sam idź za Vargasem — doradził Nowicki.

— Uwolnić ich?! — oburzył się Viejo. — Chyba nie znasz Indian! Oni by szli za nami tak długo, dopóki by nas wszystkich nie wymordowali! Mogliby też ściągnąć nam na kark zbuntowanych Kampów, do których już przyłączyli się niektórzy Pirowie znad Tambo. To mściwe bestie!

— Trudno im się dziwić! — rzekł Nowicki obrzucając łowcę niewolników surowym spojrzeniem. — Ja bym też ci nigdy nie darował, gdybyś mnie tak potraktował jak ich!

— Tylko martwy Indianin jest dobrym Indianinem! — nienawistnie powiedział Viejo. — Nie ma o czym gadać! Już postanowiłem, nikt z nich nie ujdzie żywy! Wystrzelać ich nie możemy, bo zbyt blisko buntownicy, więc dostaną nożem pod siódme żebro lub potopimy ich w Urubambie!

— Nie masz innego wyjścia, señor! — kpił Smuga. — Będzie to jednak dla ciebie duża strata. Ile mógłbyś dostać za tych niewolników?

Nowicki gniewnie zmarszczył brwi, ale zaraz odzyskał humor i kpiąco zerknął na handlarza. Odgadł, do czego zmierza przyjaciel. Viejo namyślał się chwilę, po czym odpowiedział:

— Masz rację, señor! To duża strata. Diabli wzięli jakieś dwa, a może trzy tysiące dolarów.

— A gdyby tak teraz trafił się kupiec, ile byś w tych warunkach zażądał? — pytał Smuga.

— Nie kpij, señor, bo mi nie do żartów! — rozzłościł się Viejo.

— Nie żartuję! — zimno zaprzeczył Smuga. — Mogę wziąć tych niewolników za połowę wymienionej przez ciebie sumy, ale pod warunkiem, że odstąpisz mi dziesięć karabinów z dwudziestoma nabojami do każdego, dziesięć rewolwerów z nabojami, dziesięć noży i podzielisz się z nami posiadanymi zapasami żywności. To są nasze warunki.

Viejo pogardliwie parsknął śmiechem i zapytał:

— A czym chcesz zapłacić, señor?!

— To nasze zmartwienie, nie twoje! — wtrącił Nowicki. — Ślepie ci zbieleją z zachwytu, gdy zobaczysz zapłatę!

— Naradz się ze swoimi, a my tymczasem także sobie pogadamy i obejrzymy towar — zaproponował Smuga, po czym razem z Nowickim odeszli w las.

Łowcy niewolników zbili się w gromadkę i rozpoczęli ożywioną dyskusję.

— Janie, gdy ci zbóje zobaczą złoto, zarzną nas jak amen w pacierzu — odezwał się Nowicki, gdy oddalili się od obozu.

— Jestem tego pewny! — poważnie przytaknął Smuga. — Dlatego też musimy się ubezpieczyć, siłą tu nic nie wskóramy! Jest ich prawie trzydziestu dobrze uzbrojonych przeciwko nam dwóm.

— Co zamierzasz? — krótko zapytał Nowicki.

— Podzielimy się rolami. Ja będę targował się i płacił, ty zaś przypilnujesz Vieja. W odpowiedniej chwili szepniesz mu, że w razie podstępu zginie pierwszy. Powinno poskutkować, on trzyma swoją zgraję żelazną ręką.

— To mi się podoba — pochwalił Nowicki. — Nareszcie coś się zacznie dziać! Gdyby jednak zbóje na nic nie zważali, to wielu z nich powędruje z nami do Abrahama na piwo!

— Tylko zachowaj rozwagę! — ostrzegł Smuga.

— Możesz na mnie polegać — zapewnił Nowicki.

— Teraz przygotuję zapłatę dla nich — powiedział Smuga. — Nerozważnie by było pokazać wszystko, co mamy.

— Święta racja! — potwierdził Nowicki.

Smuga położył torbę na ziemi. Wydobył woreczki ze złotem i szmaragdami, po czym w pusty woreczek po mączce kukurydzianej wrzucił kilka garści złotych grudek i garść szlachetnych kamieni.

— To będzie dla nich! — rzekł. — Tak więc złotem Inków okupimy życie nieszczęsnych niewolników indiańskich.

Woreczki z pozostałym złotem i kamieniami szlachetnymi z powrotem schował do swojej torby podróżnej, natomiast woreczek przeznaczony na wykup brańców wepchnął do obszernej kuźmy.

— Teraz możemy iść obejrzeć niewolników — powiedział Smuga.

— Spójrz, Janku! Pablo kręci się wśród tych zbójów — odezwał się Nowicki, gdy wyszli z gąszczu.

— Wkrótce się okaże, co naprawdę wart jest ten chłopak — odparł Smuga.

Capangowie dozorujący jeńców nieufnie zerkali na Smugę i Nowickiego, którzy właśnie przystanęli przy grupie skrępowanych niewolników. Korzystając z chwilowego zamieszania, do jednego z nich podkrađła się dziewczynka, żeby odgonić owady obsiadające krwawiącą ranę na jego czole. Spozstrzegł to jeden capanga i poszczuł na nią psa. Wielkie psisko podbiegło do dziewczynki i przewróciło ją na ziemię. Nowicki w mgnieniu oka podskoczył ku przerażonemu dziecku, potężnym kopniakiem odrzucił psa, a gdy ten rozwścieczony rzucił się na niego, uderzył go kolbą sztucera w łeb. Pies padł martwy na ziemię. Capanga, który poszczuł psa na dziecko, podbiegł do Nowickiego.

— Zabiłeś mojego psa! Zapłacisz mi za to! — krzyknął.

Nowicki bez słowa uderzył go lewą pięścią w podbródek. Pir zwałił się na ziemię. Trzech capangów przybiegło na pomoc nieprzytomnemu kompanowi, ale Smuga zastąpił im drogę, mówiąc:

— Precz stąd albo oberwiecie jak wasz pies!

Capangowie stanęli niezdecydowani — Smuga trzymał w dłoniach sztucer gotowy do strzału. Nowicki tymczasem dobył noża i przeciął więzy krępujące niewolnika.

— Pilnujcie go, ale nie radzę znęcać się nad skatowanym bezbronnym człowiekiem. Kupujemy tych ludzi — powiedział do zdezorientowanych capangów.

W tej chwili rozległo się wołanie Vieja:

— Senores, prosimy do nas!

Smuga i Nowicki minęli capangów.

— Kapitanie, czy wiesz, co masz zrobić? — upewnił się Smuga.

— Nie zawiodę, bądź spokojny! — odparł Nowicki. — Będę też uważał, co się dzieje za twoimi plecami...

— Siadajcie, señores! — zapraszał Viejo, wskazując kłody leżące przed szłaśsem.

Smuga usiadł naprzeciwko Vieja, Nowicki natomiast zaczął zdejmować z siebie kuźmę.

— No, koniec przebieranki, za gorąco w tym łąchu — odezwał się z uśmiechem. Rzucił kuźmę na ziemię, po czym przesunął pas na biodrach tak, aby rękojeść kolta tkwiącego w kaburze była w zasięgu prawej dłoni. Bezceremonialnie przysiadł na pniu obok Vieja i położył sztucer na udach.

Viejo nachmurzył się, zerkając na Nowickiego.

— Co postanowiliście, señor Viejo? — krótko zagadnął Smuga.

— Najpierw musimy wiedzieć, co zamierzacie zrobić z tymi czerwonoskórymi — odparł Viejo. — Chcemy być pewni, że nie pójdą za nami.

— Idziemy do Boliwii, więc zabierzemy ich ze sobą — wyjaśnił Smuga.

— Dalszy ich los chyba już was nie interesuje?

— Zgoda, nie nasza sprawa — powiedział Viejo.

— Więc ile ostatecznie żądacie za nich? — pytał Smuga.

— Tysiąc pięćset dolarów, kiepski to dla nas interes, ale wolimy pozbyć się kłopotów.

— Wcale to nie taki kiepski interes, jak mówisz! Sprzedajesz przecież bezwartościowy dla ciebie towar. Mogę ci dać, no, powiedzmy tysiąc dolarów!

— Wykorzystujesz, señor, sytuację! Niech tak będzie, zgoda!

— Co masz do powiedzenia na dalsze nasze warunki? — zapytał Smuga.

— Broni nie możemy się pozbyć. Bandy dzikich Kampów grasują w okolicy, mamy z nimi na pieńku — zastrzegł się Viejo.

— Nie zamierzamy przecież pozbawić was broni! — tłumaczył Smuga.

— Jest was dwudziestu sześciu uzbrojonych w karabiny, dając nam dziesięć, pozostawiacie sobie szesnaście. My także obawiamy się Kampów.

— Więc chcecie uzbroić niewolników?! — oburzył się Viejo.

— Są nam potrzebni, postaramy się zjednać ich sobie — wyjaśnił Smuga. — Droga do Boliwii daleka i niebezpieczna. Musimy mieć kilku

uzbrojonych Indian. Wy także posługujecie się Piranii. Dasz dziesięć karabinów i rewolwerów z amunicją, to uczciwe stawianie sprawy. Dasz również pięć noży i pięć maczet.

— Ciężkie warunki stawiasz, señor Smuga! — wahał się Viejo.

— Ale za to zyskujesz pieniądze za bezwartościowy w tej chwili i bardzo kłopotliwy dla ciebie towar! — dodał Smuga.

Po krótkim namyśle Viejo zapytał:

— Czy naprawdę masz pieniądze, señor?

— Mam coś znacznie lepszego! Przekonasz się o tym! Musisz jednak podzielić się z nami zapasami żywności.

Viejo z trudem panował nad zniecierpliwieniem. Nurtowały go ciekawość i chciwość.

— Niech już tak będzie! — warknął. — Pancho Vargas zostawił dla nas w schowku w La Huairze trochę mąki kukurydzianej i bananowej oraz czarnej fasoli. Podzielimy się z wami. Za broń, amunicję i żywność dodacie pięćset dolarów, czyli razem tysiąc pięćset. A teraz pokaż, czym płacisz!

Nowicki tymczasem bacznie obserwował handlarzy niewolników otaczających Smugę. Byli bardzo podnieceni, naradzali się ukradkiem. Pabla nie było między nimi. Młody Metys stał o kilka kroków za ich plecami. Opierał się o pień drzewa, w dłoniach trzymał karabin. Nowicki uśmiechnął się — nie miał już wątpliwości, po czyjej stronie opowie się Pablo.

Smuga wolnym ruchem wsunął rękę do kieszeni kuźmy, po chwili wydobył ją i rozwarł dłoń. Wśród grudek rodzimego złota połyskiwało kilka wspaniałych szmaragdów. Łowcy niewolników oniemieli na widok złotego kruszcu i szlachetnych kamieni.

— Tym właśnie zapłacimy! — rzekł Smuga, po czym jego dłoń zniknęła w kieszeni kuźmy.

— Więc wylicz należność! — impulsywnie zażądał Viejo.

— Wolnego, wolnego! — spokojnie odparł Smuga. — Handlujemy z ręki do ręki!

Smuga nie mógł widzieć, co się dzieje za jego plecami, więc Nowicki zabrał głos:

— Każ swoim ludziom położyć broń, amunicję i zarcie koło drzewa, przy którym stoi Pablo. On też sprawdzi, czy daliście wszystko zgodnie z umową, wtedy otrzymacie zapłatę!

Biali capangowie zaczęli głośno protestować. Nowicki skorzystał z zamieszania, pochylił się do Vieja i trącił go łokciem w bok.

— Zerknij tylko na moją prawą dłoń! — szepnął nieznacznie. — W razie nieporozumienia ty pierwszy zginiesz!

Viejo pobladł. Lufa rewolweru dotykała jego boku, a groźny wyraz twarzy Nowickiego nie nastrajał do oporu. Viejo odetchnął głęboko i ochryłym głosem rozkazał:

— Milczeć mi tam, do wszystkich diabłów! Antonio! Dziesiątka Pirów oddaje karabiny i pięć maczet, druga dziesiątka rewolwery i pięć noży! Wylicysz amunicję według umowy i podzielisz żarcie! Wszystko to złożyć obok Pabla!

Viejo widocznie despotycznie rządził pomocnikami i capangami, gdyż sarkania natychmiast umilkły. Antonio gorliwie przystąpił do wykonania polecenia. Nie minęła godzina, gdy Pablo potwierdził wykonanie umowy. Smuga wyjął z kieszeni kuźmy woreczek i wysypał z niego do kapelusza Vieja grudki złota i szmaragdy.

— To na pewno przekracza wartość umówionej zapłaty, ale w tych niezwykłych warunkach nie będę drobiazgowy — powiedział.

Viejo nożem sprawdzał, czy złoto jest prawdziwe, potem pod światło oglądał szmaragdy, a wreszcie zadowolony zapytał:

— Señor, gdzie odkryliście bonanzę?<sup>822</sup> Jeżeli chcesz, to pójdziemy tam z tobą jako eskorta!

— Nic z tego, znaleźliśmy to przy zabitym przez Indian poszukiwaczu złota — obojętnie odparł Smuga. — W którą stronę wyruszacie?

— Pójdziemy za Panchem Vargasem na południowy zachód — odpowiedział Viejo mierząc Smugę podejrzliwym spojrzeniem. — A wy, senores, co zamierzacie?

— Już mówiłem, idziemy do Boliwii. Jesteśmy tam umówieni z przyjaciółmi.

— A więc nasze drogi się rozchodzą! — stwierdził Viejo. — Spełniliśmy wszystkie wasze żądania. Rozstajemy się w zgodzie, więc przyrzeknijcie, że nikt z czerwonoskórych niewolników nie podąży za nami. Oni by mogli naprowadzić na nas Indios bravos.

— Nikt nie pójdzie za wami, obiecujemy! — zapewnił Smuga.

<sup>822</sup> — Adios, amigos, que le vaya bien (hiszp.) — Żegnajcie, przyjaciele, powodzenia.



— Ruszamy natychmiast! — rozkazał Viejo i krzyknął na swych kompanów, aby się szykowali do drogi.

Wkrótce czereda łowców niewolników wchodziła w leśny gąszcz. Viejo odwrócił się do Nowickiego i Smugi, mówiąc:

— Zostawiam dwa kotły do gotowania jedzenia. Żywności macie niewiele, ale Indianie lubią małpinę, a małp tu nie brak. Adios, amigos, que le vaya bien!<sup>823</sup>

---

<sup>823</sup> — Patio (hiszp.) — wewnętrzny dziedziniec w pałacach i domach hiszpańskich, zazwyczaj wyłożony płytami, ozdobiony fontanną lub basenem i roślinnością.



## MIASTO KRÓLÓW

Tomasz Wilmowski zadumany spoglądał w niebo usiane migocącymi gwiazdami, wśród których jaśniał Krzyż Południa. Widok tego gwiazdozbioru nieba południowej półkuli zawsze budził w Tomku wspomnienia z lat chłopięcych, kiedy to z zapartym tchem czytywał o niezwykłych przygodach podróżników w dalekich, egzotycznych krajach. Czyż mógł wtedy choćby marzyć, że kiedyś sam będzie przemierzał dziewicze lądy, często nie tknięte jeszcze stopą białego człowieka? A jednak spełniły się jego najgorętsze pragnienia! Był łowcą dzikich zwierząt, poznawał zwyczaje różnych ludów, z jego zdaniem liczyli się wytrawni geografowie i etnografowie.

Jako chłopiec sądził, że dalekie podróże po nieznanym krajach stanowią pasmo pasjonujących przygód. Nie zdawał sobie wtedy sprawy, że sławni odkrywcy narażali swe życie przede wszystkim dla poszerzenia wiadomości o świecie i jego mieszkańcach. Teraz wszakże Tomek już znał gorzki smak wielkiej przygody... Pełen obaw oczekiwał ojca, z którym miał wyruszyć na ratunek przyjaciółom. Tak więc, choć urokliwy gwiazdozbiór uzmysławiał mu spełnienie chłopięcych marzeń, nurtował go dręczący niepokój.

Tomek siedział na ławeczce hotelowego patio<sup>824</sup>. Pośrodku czworokątnego wewnętrznego dziedzińca, obramowanego oficynami frontowego budynku, cicho szumiała mała fontanna. Był już późny wieczór, lecz troski spędzały sen z powiek młodego mężczyzny. Jego dwaj starsi przyjaciele i towarzysze łowieckich wypraw znajdowali się w groźnych opalach. Tomek tak by chciał lotem ptaka pospieszyć im z pomocą, a tymczasem musiał beczynn timerzekać na ojca, który miał przywieźć pieniądze na wyposażenie wyprawy. Zamyślony nawet nie spostrzegł żony wymykającej się z hotelu na patio. Sally przysiadła na ławce obok Tomka, przytuliła się do niego i cicho zagadnęła:

— Czy duchy hiszpańskich konkwistadorów przyprawiają cię o bezsenność, Tommy?

---

<sup>824</sup> — Lima — stolica dawnego wicekrólestwa Peru, a potem republiki, została założona w 1535 r. przez konkwistadorów Pizarra, którzy wówczas nazywali ją Ciudad de los Reyes (Miasto Królów), ponieważ miejsce pod budowę miasta wybrano w dniu 6 stycznia, w święto Trzech Króli.

Tomek otrząsnął się z zadumy. Spojrzał na żonę, uśmiechnął się do niej. Wyglądała uroczo w zarzuconej na głowę, na wzór limeńskich elegantek, czarnej mancie, czyli szalu.

— Nie byłoby w tym nic dziwnego — odparł po chwili. — Miasto Królów<sup>825</sup>, w którym się znajdujemy, prawie cztery wieki temu zbudował osławiony Pizarro<sup>826</sup>.

— Właśnie jego miałam na myśli wspominając o duchach hiszpańskich konkwistadorów. Dzisiaj przed południem byliśmy z Natką w katedrze<sup>827</sup> na Plaža de Armas, której budowę zapoczątkował Pizarro. W niej też u stóp ołtarza oglądałyśmy jego grobowiec między grobami arcybiskupów limeńskich. Wśród znakomitych obrazów zdobiących katedrę zachwyciło nas wspaniałe dzieło Murilla. Żartowałam jednak, wspominając duchy Hiszpanów. Wiem dobrze, co cię gnębi! Nie dręcz się tak bardzo. Ojciec zjawi się lada dzień!

— Oby tylko już nie było za późno! — powiedział Tomek ciężko wzdychając. — Wczoraj nadeszły złe wiadomości. W Montanii wybuchły poważne niepokoje.

— Od kogo to usłyszałaś?! — żywo zapytała Sally.

---

<sup>825</sup> — Francisco Pizarro urodził się około 1475 r. w Estremadurze — historycznej krainie Hiszpanii, został zamordowany w Limie w 1541 r. Jako chłopiec był świniopasem, później został żołnierzem, walczył na Haiti i Kubie, uczestniczył w wyprawie do Panamy, wraz z Balboą przeszedł przesmyk Darien, gdzie usłyszał o bogatym państwie Inków obfitującym w złoto. Po dwóch wyprawach dla rozeznania terenu, w 1529 r. otrzymał w Hiszpanii od cesarza Karola V nominację na gubernatora Peru. W styczniu 1531 r. Pizarro wyruszył z Panamy z 3 statkami, 180 ludźmi i 37 końmi na podbój Peru. Pod względem zuchwałości było to bezprecedensowe przedsięwzięcie. Spory dynastyczne między Atahualpą i jego starszym bratem, którego pozbawił tronu, przyczyniły się do sukcesu Pizarra. Podstępnie uwięził Atahualpę, wymusił okup za niego, a następnie stracił władzę. Wzmocniony przez Diega de Almagro wkroczył do Cuzco, stolicy Peru, i wkrótce zdobył całe państwo Inków. Założył nową, hiszpańską stolicę — Limę. Niebawem jednak doszło do walki Pizarra ze zbuntowanym Almagrem, którego pokonał i pozbawił życia, lecz w krótkim czasie sam również został zamordowany przez przyjaciół Almagra. Pizarro jako pierwszy opłynął północno-zachodnie brzegi Ameryki Południowej i odkrył znaczną część obszaru Andów. Podstępny, chciwy, wiarołomny i mściwy, był typowym konkwistadorem, który z prostego żołnierza stał się zdobywcą nowych krajów i grabarzem podbitych ludów.

<sup>826</sup> — Kamień węgielny pod budowę katedry położył Pizarro w 1535 r., lecz ze względu na trzęsienia ziemi częściowo ją rujnujące, zakończono budowę dopiero w 1625 roku.

<sup>827</sup> — Peru dzieli się administracyjnie na 23 departamenty i jedną prowincję wydzieloną — Callao. Na czele departamentów stoją prefekci.

— Wczoraj złożyłem wizytę prefektowi departamentu<sup>828</sup>. On mnie właśnie o tym poinformował. Prosił o dyskrecję do czasu potwierdzenia się wieści o rebelii Kampów. obawiam się, że wiadomość jest prawdziwa. Pan Smuga przecież ostrzegał, że Kampowie przygotowują powstanie.

— Tommy, to naprawdę bardzo zła wiadomość! Dlaczego dopiero teraz o tym mówisz?!

— Nie chciałem was martwić przedwcześnie. Jeżeli rebelia już wybuchła, to co się stało z panem Smugą i Tadkiem?! Skóra mi cierpnie na grzbiecie, gdy myślę o tym!

— Wszyscy się o nich martwimy! — poważnie powiedziała Sally. — Sytuacja się komplikuje, ale mimo to zaniechanie wyprawy nie wchodzi w rachubę!

— Oczywiście! O tym nawet nie może być mowy! — impulsywnie potwierdził Tomek. — Bez względu na przeszkody powinniśmy się stawić w ustalonym z panem Smugą terminie na pograniczu boliwijsko–brazylijskim. Jeżeli Kampowie już rozpoczęli wojnę, to musimy zmienić trasę wyprawy.

— Tommy, kochany! Wiem przecież, że ty na wszystko znajdziesz radę! Tomek rozchmurzył się — ufność i pochlebstwa rezolutnej Sally zawsze sprawiały mu przyjemność. Przygarnął żonę ramieniem i szepnął:

— Oby tylko ojciec przybył jak najprędzej!

— Na pewno lada dzień zjawi się w Limie! Jestem także pewna, że Tadek i pan Smuga... — zaczęła Sally i nagle umilkła.

W ciszę nocną wdarło się głucho, podziemne dudnienie, potem ziemia drgnęła w posadach, jak człowiek nawiedzony nagłym paroksyzmem dreszczy. Rozległ się dźwięk tłuczonych szyb. Ptaki zakwiliły w krzewach, w całej okolicy psy zaczęły szczekać i wycić wyczuwając niebezpieczeństwo. Mieszkańcy Limy brutalnie wyrwani ze snu wylękali na ulice na pół ubrani lub w nocnych koszulach. Okrzyki i nawoływania rozbrzmiewały wokoło. Ponure dźwięki bijących na trwogę dzwonów kościelnych potęgowały nastrój grozy.

Goście hotelowi wybiegli na patio.

---

<sup>828</sup> — Wyróżnia się dwie główne strefy sejsmiczne Ziemi: okołopacyficzną (obejmującą Andy, Amerykę Środkową z Antylami, zachodnie pasma Gór Skalistych, Aleuty, Kamczatkę, Wyspy Kurylskie, Wyspy Japońskie, Filipiny, Nową Gwineę, wyspy zachodniej Polinezji i Nową Zelandię) i śródziemnomorsko–transazjatycką.

— Sally! Tomek! — rozległo się wołanie Nataszy.

— Tutaj jesteśmy! — odkrzyknęła Sally.

Po chwili Natasza i Zbyszek dołączyli do młodych Wilmowskich.

— Zbudziło nas kołysanie łóżka! Usłyszeliśmy rozgardiasz na ulicy, bicie dzwonów, bieganinę na korytarzu, pospieszyliśmy więc do was, a tu pokój pusty! Zaczęliśmy szukać! — mówił Zbyszek Karski jeszcze zapinając koszulę.

— Tommy nie mógł zasnąć. Siedzieliśmy na świeżym powietrzu, przyjemnie było po upalnym dniu — wyjaśniła Sally.

— To dlatego jesteście całkowicie ubrani — domyśliła się Natasza.

— Trzęsienie nie było zbyt silne, ale dzwony spowodowały panikę — wtrącił Zbyszek.

— Alarm i panika są tutaj zupełnie zrozumiałe — powiedział Tomek.

— Lima leży przecież w okołopacyficznej strefie sejsmicznej<sup>829</sup>, w której występuje większość wszystkich trzęsień ziemi, i to nieraz bardzo silnych. Lima przeżywa co roku kilka słabszych bądź silniejszych wstrząsów, ale nieraz te lżejsze tylko poprzedzają katastrofalne trzęsienie ziemi. Tak właśnie wydarzyło się, o ile dobrze pamiętam, w tysiąc siedemset czterdziestym szóstym roku, kiedy to potężne trzęsienie obróciło Limę w gruzy, a pobliski port Callao został pochłonięty przez spiętrzone fale wzburzonego oceanu. Tysiące ludzi wtedy poniosło śmierć.

— Nie chciałabym mieszkać tutaj na stałe — odezwała się Natasza.

— Ameryka Południowa nie należy do spokojnych kontynentów. W Manaos również czułam się jak na rozżarzonych węglach. Biali drapieżni jak wilki, wokół zachłanna dżungla, nawet rzeki roją się od groźnych stworzeń. Kula ustanawia prawo. Nienawidzę przemocy!

— Czy nie przesadzasz, Natka? — zapytał Zbyszek. — Czyżbyś zapomniała, kto w Jakucji zastrzelił carskiego agenta Pawiowa?!<sup>830</sup>

<sup>829</sup> — Mowa o wydarzeniach opisanych w *Tajemniczej wyprawie Tomka*.

<sup>830</sup> — W 1873 r. Peru zawarło przymierze z Boliwią, aby utrudnić kompaniom chilijsko-angielskim konkurencyjną produkcję saletry na terytorium należącym nominalnie do Peru. Z tego powodu w 1879 r. wybuchła wojna między Chile a Peru i Boliwią. Po wygranej bitwie pod San Juan Chilijczycy przez jakiś czas okupowali Limę i doszczętnie ją ograbili. Do przejęcia wywożonych z Limy dóbr kulturalno-naukowych chilijski minister oświaty powołał Polaka — Ignacego Domeykę, który potem wyraził się: „*Było to dla mnie najniemilsze i pełne odrazy polecenie...*” Po czteroletnich walkach Chile zawarło z Peru pokój. Peru utraciło bogatą w saletrę prowincję Tarapaca, a Tacnę i Arikę musiało

— Nie, nie zapomniałam! Zabiłam kanalię, aby ocalić szlachetnego mężczyznę, którego jedyną winą było, że pragnął wolności dla swej gnębionej przez zaborców ojczyzny. Ja także walczyłam o wyzwolenie mojej ojczyzny spod carskiej tyranii!

— Cicho, cicho! Znów zaczyna dudnić! — zawołała Sally.

Głuche, podziemne dudnienie, lecz już znacznie słabsze, przetoczyło się ze wschodu na zachód, ziemia zadrżała raz i drugi, po czym znieruchomiła.

— Psy przestały wyć — zauważył Tomek.

— Oznacza to chyba, że zagrożenie minęło, a skoro tak, to wracajmy do domu. Natka przyrządzi herbatę i pogawędzimy — zaproponował Zbyszek. — Nie warto już kłaść się do łóżek, zaraz będzie świtało.

— Zgoda, zupełnie odechciało mi się spać — przystał Tomek. Natasza wypila herbatę i odstawiła pustą szklankę. Podniosła się, podeszła do szeroko otwartego okratowanego okna. Gwiazdy już bladły na niebie.

— Spokojnie i cicho na ulicach, jak gdyby nic nadzwyczajnego się tej nocy nie wydarzyło — odezwała się zdumiona. — Podziwiam limeńczyków, mimo stałego zagrożenia potrafią prowadzić normalny tryb życia!

— Nie widzę w tym nic niezwykłego — zaproponował Zbyszek. — Do wszystkiego można przywyknąć! Najlepszym przykładem Polacy. Od przeszło stu lat zaborcy usiłują nas wynarodowić, tępią język polski, wszędzie roi się od szpiclów, patriotów wieszają bądź wywożą na Sybir, my jednak nie zatracamy swej odrębności narodowej. Kwitnie tajne nauczanie, gdy nadarzy się okazja, chwytny za broń i hojnie płacimy daninę krwi, a mimo to codzienne życie toczy się swoimi trybem!

— Brawo, Zbyszku! — z entuzjazmem przytaknął Tomek.

— Wykręćcie kota ogonem! — oburzyła się Natasza. — Wspomniałam tylko, że limeńczycy doskonale się dostosowali do niebezpiecznych warunków naturalnych, a wy zaraz o Polakach! Podziwiam was przecież na równi z limeńczykami!

Tomek roześmiał się i odparł:

---

oddać na 10 lat. Spór o te prowincje trwał do 1929 r. Ostatecznie Tacna powróciła do Peru. Z Boliwią zawarło Chile traktat w 1884 r. Boliwia utraciła obfitujące w saletrę pustynne wybrzeże Atakama nad Oceanem Spokojnym oraz porty — Antofagasta i Cobija (nie mylić z Cogija w Boliwii), co pozbawiło ją dostępu do morza.

— Zrobiłaś bardzo trafne zestawienie! Limeńczycy usposobieniem przypominają Polaków. Są tak samo gościnni i lekkomyślni, lubią wynosić zasługi swego narodu, chwalić odwagę i z jednakową łatwością tracą mienie. Mają również podobne przywary: są niepunktualni, dużo mówią i mało pracują.

— Historia również dla nich nie była łaskawa — dodał Zbyszek. — Podczas wojny o saletrę <sup>831</sup>z Chilijczykami najeźdźcy przez jakiś czas okupowali Limę. Zwycięscy Chilijczycy nieźle ogołocili miasto. Wywieźli stąd do Santiago wiele wartościowych zbiorów i eksponatów, podobno nawet pisuary, a czego nie dało się zabrać po prostu niszczyli.

— Przestańcie politykować! — wtrąciła Sally. — Już świta! Co będziemy dzisiaj robili?

— Ja wybieram się do klasztoru Franciszkanów — oznajmił Tomek.

— Przecież byłeś tam zaledwie kilka dni temu! — zdziwiła się Sally.

— To prawda — odpowiedział Tomek. — Chcę jednak porozmawiać jeszcze z nimi. Franciszkanie wysyłają misjonarzy do krain wschodniego Peru, nad Ukajali, Pachiteę i Amazonkę. Niektórzy stali się odkrywcami geograficznymi i przyrodniczymi oraz pionierami postępu. Od nich można się wiele dowiedzieć o tamtejszych plemionach. Warto korzystać z ich doświadczenia. Potem wstąpię do naszych indiańskich przyjaciół. Haboku codziennie się dopytuje, kiedy wreszcie wyruszymy. Poza tym Dingo także jest znudzony bezczynnością, zabiorę go na dłuższy spacer.

— Tomku, weźmiesz mnie z sobą? — zapytał Zbyszek.

— Oczywiście, właśnie zamierzałem to zaproponować — odparł Tomek. — A co będą robiły nasze żony?

— Żony najpierw utną sobie drzemkę — odrzekła Sally. — Potem pospacerują po Calle de Mercaderes. Wprawdzie nie mamy pieniędzy na fatalaszki, ale lubię oglądać wystawy francuskich sklepów. Tyle tam pięknych rzeczy! Przy okazji zjemy obiad, a później poczekamy na was u Haboku i Mary. Razem pójdziemy na przechadzkę z Dingiem. Zgoda?

— Zgoda! — przytaknął Tomek.

---

<sup>831</sup> — W Peru występują dwie pory roku: sucha od listopada do kwietnia oraz dżdżysta od maja do października, podczas której pojawia się tylko gęsta mgła, zwana „*garua*”, a przez cudzoziemców „*rosą peruwiańską*”. Czasem mgła zagęszcza się w bardzo drobny deszczyk.



Wkrótce po nastaniu świtu obydwaj bracia wyszli z hotelu. Był to okres pory suchej<sup>832</sup>, więc na błękitnym niebie, upstrzonym tylko tu i tam małymi, pierzastymi chmurkami, jaśniało palące słońce. Mimo wczesnej godziny na wąskich, brukowanych uliczkach już panował ożywiony ruch. Spod kopyt zwierząt jucznych wzbijały się obłoczki kurzu. W kierunku rynku podążały na koniach mleczarki z mlekiem w blaszankach zawieszonych po obu stronach siodła. Piekarze wieźli na mułach wielkie skórzane sakwy pełne bułek i chleba, a tamaleros rozwozili na osiołkach taniales, czyli świeże pierożki z mąki kukurydzianej. Nie brakło też wędrownych cukierników, którzy na swoich głowach dźwigali duże pudła ze słodyczami i lodami. Turkot wielkich dwukołowych wozów, zaprzęzonych w dwa lub trzy muły, mieszał się z nawoływaniem wędrownych handlarzy zachwalających swoje produkty.

Otwarto już tanie jadłodajnie prowadzone przez zamby lub chole<sup>833</sup>, które przyrządzały chupe, to jest narodową zupę z ziemniaków z serem i papryką, chicharron, czyli skwarki wieprzowe lub kiełbasiane, i seco de chivo — koźlinę smażoną z ryżem.

— Pora na śniadanie, może wstąpimy coś zjeść? — zaproponował Tomek znęcony zapachami gotowanych potraw.

— Radzę pójść do mego znajomego makaka<sup>834</sup> na Plaža del Morcado, to wspaniały kucharz! Lubię chińskie przysmaki.

Tomek rozweselony roześmiał się, po czym rzekł:

— Widzę, że szybko zapuszczasz korzenie w ziemię południowoamerykańską, skoro przejąłeś nawet tutejsze przezwiska. Twój

---

<sup>832</sup> — Zambo — potomek Indianina i Murzynki lub Murzyna i Indianki; cholo — mieszaniec i indiańsko-hiszpański.

<sup>833</sup> — Makaki — grupa małp z nadrodziny małp wąskonosych, zamieszkujących południową i wschodnią Azję.

<sup>834</sup> — Lima leży w dolinie rzeki Rimac uchodzącej do Pacyfiku. Miasto było wielokrotnie niszczone przez trzęsienia ziemi i odbudowywane. Najstarsza część Limy, o niskiej zabudowie i wąskich uliczkach, mieści liczne zabytki architektury kolonialnej, między innymi: katedrę, kościoły i klasztory zbudowane w okresie od XVI do XVIII w., ratusz, osiemnastowieczne pałace, uniwersytet założony w 1551 r. — najstarszy w Ameryce Południowej, liczne pomniki. Rzeka Rimac dzieli miasto na dwie części połączone mostami. Limę zamieszkiwała arystokracja hiszpańska, która eksploatowała kopalnie złota i srebra, a gdy tych zabrakło — guano. Z biegiem lat wokół starej Limy powstał nowoczesne dzielnice. Podczas bytności Tomka Lima liczyła około 220 tys. mieszkańców. Współczesna Lima jest największym miastem Peru i jednym z najpiękniejszych miast kontynentu. Stanowi główny ośrodek przemysłowy, handlowy, kulturalny i naukowy oraz ważny węzeł kolejowy, drogowy i lotniczy.

protegowany Chińczyk nie byłby zadowolony, gdyby wiedział, że nazywasz go małpą.

— Tak mi się głupio wyrwało! — przyznał Zbyszek. — Polubiłem tego Chińczyka, to przyzwoity, uprzejmy i pracowity człowiek.

— No więc chodźmy do niego.

Nie spiesząc się szli przez starą dzielnicę miasta <sup>835</sup>zbudowaną jeszcze przez hiszpańskich zdobywców. Wąskie, brukowane, pełne kurzu uliczki przecinały się pod kątem prostym. Na przewodach rozpiętych między domami po obydwóch stronach ulicy wisiały nad jezdnią latarnie oświetlające miasto wieczorem. Lima miała już kanalizację, woda była doprowadzana do domów, większe mieszkania posiadały gaz i łazienki. Do niedawna jednak wszelkie nieczystości wyrzucano z domów wprost na ulicę, żeby zjadały je gallinazos, czyli wielkie, czarne sępy amerykańskie.

Zabudowa starej części miasta była prawie jednolita. Przeważały parterowe, murowane, jednakowo wysokie domy, po których płaskich dachach można było przechodzić z jednego budynku na sąsiednie. Każdy dom miał z frontu szeroką bramę, a po jej obu stronach po jednym lub dwa zabezpieczone kratą okna. Dzięki temu domy sprawiały wrażenie małych forteczek, lecz częste rewolucje oraz bandyckie napady zmuszały limeńczyków do troszczenia się o własne bezpieczeństwo.

Tomek i Zbyszek wymieniali uwagi na temat charakterystycznej zabudowy starej Limy. W pewnej chwili Zbyszek nagle posmutniał i zamilkł. Tomek zaintrygowany zerknął na niego i zagadnął:

— Co się stało, Zbyszku? Skąd ta nagła zmiana nastroju? Zbyszek ciężko westchnął i odparł:

— Taki jest los tułacza, braciszku! Mówiliśmy, że limeńskie domy przypominają forteczki i nagle skojarzyło mi się to ze słowami „*Roty*” Marii Konopnickiej: „...twierdzą nam będzie każdy próg...” No i natychmiast ogarnęła mnie tęsknota za rodzicami, Irką i Witkiem, którzy tak mocno przeżywali moje uwięzienie, a później zsyłkę na Sybir... Oni są tam, w naszej kochanej Warszawie, wciąż deptanej buciorami najeźdźców!

Tomek spochmurniał, dopiero po chwili powiedział:

---

<sup>835</sup> Maria Konopnicka napisała *Rotę* w 1908 r., muzykę do niej skomponował w 1910 r. Feliks Nowowiejski. Ta patriotyczna pieśń została wykonana w pięćsetną rocznicę bitwy pod Grunwaldem.

— Rozumiem cię, Zbyszku! Ojciec, Tadek Nowicki i ja jesteśmy takimi samymi wygnańcami jak ty. Wszystkich nas dręczy nostalgia. Jak to się mogło stać, że nie czytałem „*Roty*”? Wydawało mi się, że znam twórczość Konopnickiej.

— Nic w tym dziwnego, Tomku. Ona napisała ten wiersz już po twoim wyjeździe z kraju<sup>836</sup>. Wieczorem nauczę cię „*Roty*”, jestem pewny, że przypadnie ci do serca.

Pochłonięci rozmową szli uliczkami przylegającymi do centrum starej Limy. Tutaj między parterowymi domami stały także nieco wyższe budynki, których specyficzna budowa miała łagodzić katastrofalne następstwa częstych trzęsień ziemi. Tak więc parter był murowany z dużych, nie wypalonych cegieł, natomiast pierwsze piętro miało ściany z lekkiego bambusu cienko otynkowane i pobielone. Płaski bambusowy dach kryła gruba, gliniana powłoka. Dachy te w porze dżdżystej dostatecznie chroniły przed padającą tutaj tak zwaną „*mgłą peruwiańską*”, lecz gdy mgiełka czasem przemieniała się w deszcz, wtedy woda przeciekała do wnętrza mieszkań. Wyższe domy posiadały na wysokości pierwszego piętra kryte ganki wysunięte nad chodnik.

Tomek i Zbyszek niebawem weszli na Plaža de Armas, który stanowił centralny punkt ówczesnej Limy. Tutaj piętrzyły się budowle z czasów kolonialnego baroku, naśladowujące wzory hiszpańskie.

Wschodni bok placu zajmowała monumentalna katedra z wielkim portalem i dwiema charakterystycznymi frontowymi wieżami oraz okazały pałac arcybiskupi. Północną stronę placu zdobił Palacio de Gobierno, czyli pałac prezydenta, w którym oprócz jego mieszkania znajdowały się wszystkie ministerstwa, biura policji i koszary. Przed siedzibą głowy państwa pełnili straż młodzi, ciemnoskórzy żołnierze z gwardii honorowej, ubrani w paradne mundury z czerwonymi, frędzlastymi naramiennikami i sznurami na lewej piersi. Tomek i Zbyszek zwrócili szczególną uwagę na lśniące w słońcu niebieskosrebrne hełmy z wysokimi grzebieniami, przypominały one bowiem

---

<sup>836</sup> — Kirasjerzy — ciężka kawaleria nosząca kirysy (płytowe napierśniki i napleczniki), uzbrojona w ciężkie szpady i pistolety. Od XVII do XIX w. używana była w wielu państwach europejskich do decydujących uderzeń podczas bitwy. Kirasjerzy szczególną rolę odgrywali w wojnach prowadzonych przez Fryderyka II i Napoleona I. W Księstwie Warszawskim został sformowany w 1809 r. pułk polskich kirasjerów.

hełmy noszone przez polskich kirasjerów<sup>837</sup> w czasach Księstwa Warszawskiego.

Na pozostałych dwóch bokach placu mieściły się: Portal de Botoneros, czyli Portal Guzikarzy, i Portal de Escribanos — Notariuszy, zabudowane piętrowymi domami, które miały wysunięte nad ulicę kryte ganki zdobione rzeźbami w stylu mauretańskim. Na parterze pod gankami znajdowały się różne sklepy, kantory pieniężne bądź mieszkania. Domy te posiadały patia otoczone oszklonymi galeriami i odkrytymi werandami.

Środek Plaża de Armas zdobiła szesnastowieczna fontanna, ocieniona wiecznie zielonymi drzewami. Z każdego z czterech rogów placu wychodziły po dwie ulice. Właśnie na północno–zachodnim krańcu, w rozwidleniu dwóch ulic, stał na wysokim cokole olbrzymi pomnik zdobywcy Peru i założyciela Limy. Dosiadający rumaka kamienny Francisco Pizarro, w zbroi i hełmie, spoglądał na wspaniałą katedrę, pod której budowę prawie cztery wieki wcześniej położył kamień węgielny.

Tomek i Zbyszek wkrótce znaleźli się w chińskiej dzielnicy, na Plaża del Morcado. Zbyszek zatrzymał się przed jadłodajnią opatrzoną szyldem „*Fonda China*”.

— No, jesteśmy na miejscu — rzekł. — Już najwyższy czas na śniadanie.

— Ciekaw jestem, czym uraczy nas twój protegowany — mruknął Tomek. — Swego czasu w Chotanie pewien Chińczyk częstował nas pijawkami w cukrze...

— Jak one smakowały? — zaciekał się Zbyszek.

— Nie wiem, bo dyskretnie podrzuciłem je Tadcowi Nowickiemu, który na szczęście bez mrugnienia okiem połyka wszelkie paskudztwa.

Weszli do jadłodajni. Ze względu na jeszcze dość wczesną porę kilka czysto nakrytych stolików świeciło pustkami. Z sąsiedniego pomieszczenia, zapewne kuchni, dolatywały aromatyczne zapachy. Za schludną ladą krzątał się szczupły mężczyzna o bladożółtej cerze i rzadkim zaroście na twarzy. Długi czarny warkocz oplatał jego głowę. Chińczyk ubrany był w ciemny, luźny kaftan i długie czarne spodnie. Na widok wchodzących gości pokłonił się nisko składając ręce na piersiach i zwyczajem hiszpańskim powitał:

— Jak się pan miewa?

<sup>837</sup> — Chanszyn — chińska wódka przyprawiana aromatycznymi ziołami.

— Bardzo dobrze, dziękuję. A pan, panie Czang Tun? — odparł Zbyszek.

— Bardzo dobrze! A jak się miewa pana żona? — pytał Chińczyk.

— Dziękuję, doskonale.

Po uprzejmościach powitalnych Czang Tun znów się nisko pokłonił, mówiąc:

— Do pańskich usług! — po czym poprowadził gości do stolika w małej alkowie nie opodal okna.

— Przyszedłem z moim bratem, łowcą zwierząt, o którym panu wspominałem — odezwał się Zbyszek. — Mówiłem mu o pana doskonałej kuchni, panie Czang Tun. Co pan może dzisiaj nam polecić?

Chińczyk nisko pokłonił się Tomkowi i rzekł:

— Mam świeżo pieczoną tłustą kaczkę z jabłkami, marynowane kurczaki, jaja konserwowane w oliwie, ryż z wieprzowiną i sosem, chop-seuy, chicharron, chanszyn \ wino ryżowe, chińską herbatę, kawę.

— Na śniadanie w sam raz będą chop-seuy — zdecydował Zbyszek.

— Tomku, i tobie je polecam.

— Dobrze, proszę o chop-seuy — potwierdził Tomek. — Lada dzień wyruszamy na daleką wyprawę i nie będziemy mogli się raczyć przysmakami pana Czang Tun.

— Zapewne nowa wyprawa łowiecka? Gdzie panowie będą chwyтали dzikie zwierzęta? — zagadnął Czang Tun.

— To nie wyprawa po zwierzęta — odparł Tomek. — Mamy się spotkać z przyjaciółmi na pograniczu brazylijsko-boliwijskim, a potem razem wyruszmy do Manaos nad Amazonką.

— Do Manaos, to bardzo interesujące! Daleka wyprawa! — powiedział Czang Tun i zapytał: — A dokąd czcigodni panowie udadzą się później?

— Pracuję w Manaos w Kompanii Nixon-Rio Putumayo — wtrącił Zbyszek. — Kauczuk, panie Czang Tun! Pozostanę w Manaos, brat z przyjaciółmi powrócą do Europy, potem zapewne znów wyruszą gdzieś na wyprawę łowiecką.

— To naprawdę interesujące, nawet bardzo interesujące! — mówił zaintrygowany Czang Tun. — Mój kuzyn ma właśnie zamiar udać się do Manaos do swoich krewnych. Czy czcigodni panowie mają już kucharza na wyprawę? Mój kuzyn dobrze gotuje, pomaga mi w kuchni.

— Panie Czang Tun, to niebezpieczna wyprawa — poważnie ostrzegł Tomek. — Nasi dwaj przyjaciele znajdują się w niewoli u wolnych Kampów. Potrzebują pomocy... To niemal wojenna ekspedycja! Czy dość jasno stawiam sprawę?!

— Rozumiem, rozumiem, czcigodny panie — przytaknął Chińczyk.

— Zaraz podam chop-seuy! Czang Tun zniknął w kuchni.

— Stropił się mąka... och, przepraszam, Chińczyk — cicho powiedział Zbyszek, gdy zostali sami. — Chciał zaoszczędzić kuzynowi opłaty za przejazd do Manaos. Oni są oszczędni i praktyczni.

— Jako kucharz wyprawy nie tylko by nie wydał pieniędzy na podróż, ale jeszcze by coś zarobił — powiedział Tomek. — Przydałby się nam kucharz! Musiałem jednak powiedzieć prawdę.

Minęła dłuższa chwila, zanim Czang Tun wyszedł z kuchni z dużą tacą w rękach. Za nim, również z zastawioną naczyniami tacą, kroczył drugi Chińczyk, ubrany w szare spodnie oraz czarną bluzę ze stójką opinającą szyję. W przeciwieństwie do Czang Tuna miał krótko obcięte włosy zaczesane na wzór Europejczyków. Krój bluzy zapinanej z przodu na jasne metalowe guziki, z wytłoczonymi na nich czerwonymi smokami, przypominał wojskowy mundur.

Czang Tun umieścił ciężką tacę na stole. Zbyszek i Tomek ze zdziwieniem spoglądali na dania stawiane przed nimi. Były tam w salaterce chop-seuy, czyli oryginalna chińska potrawa z duszonego mięsa pokrajanego w kostkę z rozdrobnionymi jarzynami, ryżem i przyprawami, pieczona kaczka z jabłkami, ryba w galarecie, jaja konserwowane w oliwie, solone migdały, dwie karafki z chanszynem i winem ryżowym oraz ciasteczka z ryżu. Drugi Chińczyk tymczasem rozstawiał talerze, widelce, noże i łyżeczki, nieznacznie obrzucając gości przenikliwym spojrzeniem.

— Panie Czang Tun! Prosiliśmy tylko o chop-seuy — zaproponował zdumiony Tomek.

— Czcigodni panowie, uczyńcie mi ten zaszczyt i bądźcie dzisiaj moimi gośćmi — powiedział Czang Tun, nisko się kłaniając.

— Zaproszenie tak dostojnego gospodarza jest dla nas dużym wyróżnieniem i potrafimy to właściwie ocenić — odparł Tomek. — Skoro jednak mamy być gośćmi, to szanowny gospodarz powinien nam towarzyszyć przy stole.

— Roli gospodarza podejmie się mój kuzyn, Wu Meng, o którym czcigodnym gościom wspominałem, ja zaś przygotuję oryginalną chińską herbatę.

— Prosimy siadać, panie Wu Meng! — rzekł Tomek, przy czym wstał i podał Chińczykowi dłoń.

To samo uczynił Zbyszek. Wu Meng osobiście obsługiwał gości i zachęcał do picia chanszynu. Tomek spełnił toast za pomyślność gospodarza, a gdy usłużny Wu Meng nalał wina ryżowego do większych kieliszków, odezwał się do Zbyszka:

— Czy piłeś już kiedyś wino ryżowe?

— Nie — zaprzeczył Zbyszek. — Ale słyszałem, że to przyjemny, lekki, słodkawy trunek.

— To tylko złudzenie, Zbyszku! — rozweselił się Tomek. — Wino ryżowe smakuje jak słodkawa woda i nie idzie do głowy, ale po uraczeniu się nim nie można wstać od stołu, choć jest się trzeźwym jak nowo narodzone dziecko. Nogi odmawiają posłuszeństwa.

Wu Meng uśmiechnął się dyskretnie, a Zbyszek roześmiał się i zawołał:

— Dziękuję, Tomku, za ostrzeżenie! Dzisiaj przecież idziemy z wizytą do klasztoru Franciszkanów!

— Pański czcigodny kuzyn wspominał, że wybiera się pan do Manaos — odezwał się Tomek, który od razu odgadł powód zaproszenia na ucztę przez Czang Tuna.

— To prawda, czcigodny panie! Od kilku miesięcy czekam na odpowiednią okazję — odparł Wu Meng.

— Od kilku miesięcy?! — zdumiał się Zbyszek. — Przecież podróż do Manaos nie nastrecza aż tak dużych trudności!

— Jeśli ktoś ma dobry paszport, jest to tylko kwestia pieniędzy, ale czasem sprawa nie jest tak prosta — wyjaśnił Wu Meng.

Tomek obrzucił młodego Chińczyka uważnym spojrzeniem. Nie wyglądał na kulisa<sup>838</sup>, kucharza lub kupca. Jego pełne godności zachowanie, uprzejme, lecz bez uniżoności, sprawiało wrażenie, że przywykł do przewodzenia i w codziennym życiu.

— Wydaje mi się, że był pan żołnierzem. Czyżby dlatego właśnie znalazł się pan obecnie w kłopotliwej sytuacji? — zagadnął Tomek.

---

<sup>838</sup> Kulis — tragarz, rykszarz, prosty robotnik w Indiach, Chinach, Japonii i Indonezji.

Wu Meng, jakby nie usłyszał pytania, rzekł:

— Czcigodny Czang Tun mówił, że czcigodni panowie pochodzą z kraju, który utracił niezawisłość.

— Tak, jesteśmy Polakami — potwierdził Tomek. — Ojczyznę naszą okupują wrodzy zaborcy. Mój brat jako polski patriota był zesłany na Sybir. Umożliwiłem mu ucieczkę stamtąd.

— Czcigodny Czang Tun zapewnił mnie, że można panom zaufać — przyciszonym głosem powiedział Wu Meng. — Jako oficer brałem udział w powstaniu bokserów<sup>839</sup>. Po stłumieniu powstania przez armie cudzoziemskie bardzo długo musiałem się ukrywać. Wreszcie w Tiencinie udało mi się przekraść na statek podczas załadunku węgla. Jako palacz w kotłowni przy płynąłem do Ameryki Południowej. W Callao marynarze pomogli mi wydostać się na ląd. Mój krewny, czcigodny Czang Tun, zaopiekował się mną i pomógł nawiązać kontakt z wujem w Manaos. Wuj chce zatrudnić mnie w swoim przedsiębiorstwie, ale jestem tutaj nielegalnie. Nie mam paszportu.

— Mieszkam w Manaos, jak się nazywa pański wuj? — pytał Zbyszek.

— Mój czcigodny wuj to pan Ting Ling — odparł Wu Meng.

— Czyżby to był Ting Ling „*Criolo* — hurtowy skup i sprzedaż?” — pytał Zbyszek.

— Tak, czcigodny panie! To właśnie mój wuj.

— „*Criolo*”?! Cóż to za firma? — zapytał Tomek.

— *Criolo* jest nazwą najszlachetniejszych gatunków kakao produkowanych w Ameryce Południowej — wyjaśnił Zbyszek. — Właśnie pan Ting Ling jest znanym w Manaos hurtownikiem. Pan Nixon przyjaźni się z nim. Tomku, pomóż panu Wu Mengowi!

— Brak dokumentów jest przeszkodą, ale może dałoby się jakoś temu zaradzić — odparł Tomek. — Gdybym tak wpisał pana Wu Menga na listę uczestników wyprawy? Prefekt jest mi bardzo życzliwy... Panie Wu Meng, czy pan Czang Tun uprzedził pana o celu naszej wyprawy?

---

<sup>839</sup> — Powstanie bokserów — powstanie ludowe w północnych i północno-wschodnich Chinach w latach 1889–1901, początkowo skierowane przeciw panowaniu mandżurskiej dynastii Cing, potem również przeciw cudzoziemcom. Zostało stłumione przez Połączoną Armię Ośmiu Państw (Niemiec, USA, Rosji, Japonii, Anglii, Francji, Austro-Węgier i Włoch). Narzucony Chinom w 1901 r. traktat przewidywał płacenie wojennej kontrybucji oraz szereg upokarzających dla Chin ograniczeń.



— Tak, czcigodny panie! Dlatego też pomyślałem, że mógłbym się przydać nie tylko jako kucharz. Jestem żołnierzem. Brałem udział w walkach o Tiencin<sup>840</sup>.

— Więc byłby pan gotów zaryzykować? — upewnił się Tomek.

— Gnuśnieję w Limie. Nie chodzi o pieniądze. Mój wuj, czcigodny pan Ting Ling, czeka na mnie.

— Skoro tak, to niech pan się przygotuje do drogi — zdecydował Tomek. — Spróbuję załatwić formalności. Damy panu znać w najbliższym czasie.

---

<sup>840</sup> — Tiencin (Tientsin) — miasto i duży port w północno-wschodnich Chinach, wielki ośrodek przemysłowy. Był areną ciężkich walk podczas powstania bokserów. Tiencin pozostawał pod zarządem Międzynarodowej Komisji aż do 1907 r.



## HIOBOWE WIEŚCI

Młodzi Wilmowscy i Karscy poszli po obiedzie na spacer do południowo–zachodniej dzielnicy miasta. Tam właśnie znajdował się piękny ogród zwany „*Jardin de la Exposición*”, potocznie po prostu „*Exposicion*”, ponieważ w ogrodowym pałacu w tysiąc osiemset siedemdziesiątym czwartym roku mieściła się peruwiańska wystawa światowa. Wprawdzie później, podczas wojny o saletrę, zwycięscy Chilijczycy powywozili z Limy wszystko, co się dało zabrać, lecz mimo to wspaniały park zachował swe naturalne piękno i był ulubionym miejscem przechadzek limeńczyków. Wilmowscy i Karscy byli oczarowani malowniczością ogrodu. Wśród wielu podzwrotnikowych roślin pięły się ku niebu wiecznie zielone, podobne do rozpiętych parasoli araukarie, smukłe cyprysy oraz drzewa eukaliptusowe o skórzastych liściach i białym kwieciu.

Eukaliptusy przypominały Tomkowi jego pierwszą wyprawę łowiecką do Australii, podczas której chwycił także workowate niedźwiadki koala. Ulubionym pokarmem tych małych misiów były liście eukaliptusowe. W Australii Tomek w niezwykłych okolicznościach zaprzyjaźnił się ze swoją obecną żoną. Tak się wtedy złożyło, że podczas polowania na olbrzymie szare kangury towarzysze Tomka zostali poproszeni o pomoc w poszukiwaniach zaginionej w buszu, wówczas dwunastoletniej, Sally Allan. Szczęśliwym trafem czternastoletni Tomek samodzielnie odnalazł dziewczynkę, która dla upamiętnienia znajomości ofiarowała mu swego psa Dinga. Wilmowscy z humorem opowiadali kuzynostwu o swym oryginalnym zawiązaniu przyjaźni. Dingo, jakby rozumiał, że również o nim jest mowa, wesoło merdał ogonem i zerkał ku klatkom z dzikimi zwierzętami w nowo tworzonej ogrodzie zoologicznym w miejsce rozgrabionego przez Chilijczyków.

Czas szybko mijał na wesołej pogawędce. Miało się ku wieczorowi. Tomek wreszcie spojrzał na wschód. Na widocznych ze wszystkich ulic Limy szczytach skalistych Andów lśniły płaty wiecznego śniegu w promieniach chylącego się ku zachodowi słońca.

— Pora wracać do hotelu — odezwał się Tomek. — Ani się spostrzegłem, że już tak późno!

— Niech sobie będzie późno! — przekornie powiedziała Sally. — Kto wie, czy to już nie ostatni nasz wspólny spacer po Limie...

— Obyś miała rację! — dodał Zbyszek. — Siedzimy jak na szpilkach czekając na wujka! Mam już dość walk byków i kogutów uzbrojonych w ostrogi!

— To dlaczego tak często chodzisz na nie?! Obłudnik! — oburzyła się Natasza.

— Dotrzymuję tylko towarzystwa Tomkowi — usprawiedliwił się Zbyszek.

— Coś kręcisz, Zbyszkule! — ze śmiechem zaproponowała Sally. — Tommy nie lubi widowisk, na których dręczy się zwierzęta!

— Nic nie kręcę! — bronił się Zbyszek. — Przecież nie powiedziałem, że Tomek chodzi ze mną na walki kogutów!

— Właśnie powiedziałeś, że dotrzymujesz mu towarzystwa! — potwierdziła Natasza.

— Bo też tak jest naprawdę — przytaknął Zbyszek. — Tomek często chodzi popatrzeć na Dos de Mayo, ten najpiękniejszy z limeńskich pomników...

— Czy masz na myśli tego Anioła Zwycięstwa?! — zaciekawiała się Sally. — Na płaskorzeźbie na piedestale znajduje się Polak, Ernest Malinowski<sup>841</sup>.

— Tak, o ten właśnie pomnik chodzi! — odpowiedział Zbyszek. — Wiecie przecież, że mój brat entuzjazmuje się wszystkim, co upamiętnia działalność wybitnych Polaków. Toteż gdy Tomek zadumany wpatruje się w pomnik, ja wstępuję do leżącego w pobliżu amfiteatryku na walki kogutów.

Wilmowscy i Karscy wkrótce wyszli z ogrodu. Przed zapadnięciem wieczoru na ulicach było gwarno i rojno. Limeńczycy wracali z pracy do domów, uliczni handlarze zwijali kramy, tłoczno było w fondach i jadłodajniach. W barwnym tłumie przechodniów, który stanowił mieszaninę wszystkich ras, wyróżniały się piękne limenki otulone w przewiewne, czarne

---

<sup>841</sup> — Pomnik Dos de Mayo wyobraża anioła na greckiej kolumnie. Cztery boki piedestału ozdobione są płaskorzeźbami przedstawiającymi epizody z wojny Peru z Hiszpanią, nie uznającą niepodległości Peru. Na jednej z płaskorzeźb znajduje się Ernest Malinowski, wówczas naczelnny inżynier, pokazujący ministrowi wojny, Galezowi, plany uczenia zwycięstwa Peruwiańczyków nad flotą hiszpańską pod Callao w dniu 2 maja 1866 r.

manty. Środkiem ulic toczyły się dwukołowe wozy, podążały juczne konie i muły, tu i tam widać było jeźdźców dosiadających rączych rumaków.

W pobliżu hotelu, Dingo, prowadzony na smyczy przez Sally, zaczął okazywać niepokój. Węszył, strzygł uszami, warknął raz i drugi, wreszcie musnął wilgotnym ozorem dłoń idącego obok Tomka.

— Sally, spójrz na nasze pocziwe psisko! — odezwał się Tomek.

— Zapewne dziwi się, że nie odprowadzamy go do Haboku.

— Spokój, Dingo, spokój! — powiedziała Sally. — Późno już, więc dzisiaj przenocujesz z nami.

Dingo jednakże stawał się coraz bardziej niespokojny. Znów szczeknął chrapliwie, spoglądając to na Sally, to na Tomka.

— Tommy, on naprawdę dziwnie się zachowuje — zauważyła Sally.

— Wciąż węszy, jakby natrafił na znajomy trop! Och, Tommy, trudno mi w to uwierzyć, czyżby jednak...

Tomek natychmiast odgadł, co jego żona miała na myśli. Pobladł z wrażenia. Dingo tymczasem, wciąż węsząc, zerkał na Tomka i coraz szybciej podążał wprost do hotelu. Tuż przed otwartymi na oścież drzwiami warknął i machnął ogonem.

— Mogę się założyć o sto butelek jamajki, że ojciec przyjechał!

— zawołała rozpromieniona Sally, mimo woli naśladowując sposób mówienia kapitana Nowickiego.

Serce żywiej uderzyło w piersi Tomka. Bez jednego słowa wbiegł do hollu. Zarządzający hotelem usłużnie poderwał się na jego widok i oznajmił:

— Ma pan gości, senor Wilmowski! Nareszcie przybył oczekiwany señora ojciec! Jest z nim jeszcze jeden senor. Na szczęście miałem i dla niego pokój.

— To naprawdę wspaniała wiadomość! — odparł wzruszony Tomek.

— Czy ojciec długo już na nas czeka?

— Obydwaj goście przybyli wkrótce po obiedzie — wyjaśnił zarządzający. — Obecnie są w swoich pokojach.

— Ha, kochany Dingo nie zapomniał ojca! — triumfowała Sally. Spuściła psa ze smyczy i poleciała: — Dingo, szukaj pana, szukaj!

Pies wbiegł na schody, Wilmowscy i Karscy szybko podążyli za nim. W korytarzu na piętrze Dingo bez wahania stanął przed drzwiami obok pokoju młodych Wilmowskich. Węsząc machał ogonem. Sally delikatnie zapukała do

drzwi. Po chwili na progu ukazał się wysoki, barczysty mężczyzna o zbrązowiałej od tropikalnego słońca cerze. Błyskawicznym spojrzeniem ogarnął stojącą przed nim czwórkę młodych ludzi, widząc, że wszyscy są cali i zdrowi, natychmiast się uspokoił i rzekł:

— Wchodźcie, wchodźcie, moje dzieci! Stęskniłem się za wami! Najpierw wziął w ramiona Sally, która ufnie przytuliła się do niego.

— Taka jestem szczęśliwa, ojcze, że już jesteś z nami... Tak bardzo brakowało nam ciebie... — szepnęła.

— Wyruszyłem z Hamburga w tydzień po otrzymaniu listu Tadka Nowickiego — powiedział Wilmowski. — Zrozumiałem, że znajdujecie się w niebezpiecznej sytuacji, chciałem się jak najprędzej z wami połączyć, ale w podróży wynikły trudności. Dzięki wydatnej pomocy pana Nixona już jesteśmy razem. Przybył ze mną pan Wilson, współpracownik pana Nixona.

Wilmowski następnie nie mniej serdecznie przywitał się z Nataszą, która w Jakucji uratowała mu życie, potem uściskał Zbyszka, a na końcu przygarnął do piersi syna.

— Zmężniałeś, Tomku! — rzekł po dłuższej chwili. — Wiem już, jak bardzo niebezpieczną wyprawę prowadziłeś! Bardzo niepokoiłem się o was wszystkich. Panowie Nixon i Wilson tak wychwalali ciebie i Tadka Nowickiego! Dumny jestem z ciebie!

Wzruszony Tomek milcząc długo ścisnął ojca, dopiero gdy się opanował, powiedział stłumionym głosem:

— Ciężka to była wyprawa, ojcze... Nie obyło się bez walki. Niestety, nie dało się tego uniknąć. Odnaleźliśmy pana Smugę, ale nie mogliśmy go uwolnić. To pan Smuga ocalił nas, teraz z Tadkiem pozostają w niewoli u Kampów...

— Wujku, Tomek był wspaniały! — z entuzjazmem wtrącił Zbyszek. — Gdyby nie on, przepadlibyśmy na bezdrożach Andów!

— Daj spokój, Zbyszku! — zaoponował Tomek. — Wszyscy uczestnicy wyprawy byli wspaniali! Ty, Natka, Sally, nasi indiańscy sojusznicy, wszyscy, Dingo również! Kochany ojcze, powiedz, jaką miałeś podróż?

— Do Manaos dotarłem bez większych trudności. Kłopoty wyłoniły się dopiero w Iquitos. Zanim jednak o tym pomówimy, proponuję poprosić do nas pana Wilsona, który postanowił wziąć udział w wyprawie. Teraz odpoczywa w swoim pokoju, pójdę po niego.

Wilmowski wyszedł na korytarz, wkrótce powrócił z niezbyt wysokim, lecz dobrze zbudowanym mężczyzną, który najpierw podszedł do Tomka.

— Cóż za radość powitać pana! — zawołał. — Nie było dnia, żebym o panu nie myślał! Dręczyły mnie wyrzuty sumienia. Wstydzilem się, że najpierw pozwoliłem Smudze samemu dalej ścigać morderców, a potem nie wziąłem udziału w organizowanej przez pana wyprawie ratunkowej. Teraz chcę się zrehabilitować, oddaję się pod pańskie rozkazy i może pan na mnie liczyć.

Wilson mocno ścisnął dłoń Tomka, lewą ręką, zwyczajem południowoamerykańskim, poklepywał go po łopatce. Potem wylewnie przywitał się z kobietami i Zbyszkiem; gdy wszyscy usiedli, zwrócił się do Wilmowskiego:

— Zapewne jeszcze nie zdążył pan poinformować syna o sytuacji?

— Wprawdzie Tomek pytał mnie, jaką miałem podróż, ale uważałem, że powinniśmy pomówić o tym w pana obecności — odparł Wilmowski. — Po przybyciu do Manaos odbyłem długą rozmowę z panem Nixonem. Dałem mu do przeczytania list otrzymany od Tadka. Pan Nixon uważał, że skoro potrzebowaliście pieniędzy, to przede wszystkim powinniście byli zwrócić się do niego. Muszę jeszcze nadmienić, że zaraz po otrzymaniu listu od Tadka powiadomiłem telegraficznie pana Nixona o moim zamierzonym przyjeździe do Manaos. Dzięki temu pan Nixon nawiązał kontakt z bankiem w Iquitos, a potem wyruszył ze mną i panem Wilsonem. No i właśnie w Iquitos usłyszeliśmy zatrważające wieści...

— Zapewne dowiedzieliście się o powstaniu Kampów nad górną Ukajali — wtrącił Tomek.

Wilmowski uważnie spojrzął na syna, po czym zapytał:

— A więc już wiesz o powstaniu Kampów?

— Do tutejszych władz doszły nie sprawdzone jeszcze wiadomości o poważnych rozruchach w Montanii, ale nie mówi się o tym zbyt głośno — wyjaśnił Tomek. — Pan Smuga wiedział, że Kampowie przygotowują powstanie przeciwko białym. Ostrzegał nas... W jaki sposób dotarłeś, ojcze, z panem Wilsonem do Limy?

— Mieliliśmy zamiar popłynąć statkiem rzeką Ukajali do Masisei, stamtąd zaś Pachiteą dotrzeć do miasta Cerro de Pasco<sup>842</sup>, skąd już można drogą kolejową jechać przez Oroya do Limy.

— To właśnie skrzyżowanie szlaków wiodących z Limy do Iquitos oraz do terenów nad górną Ukajali — wyjaśnił Wilson. — W Iquitos jednak już wiadano o rebelii Indian nad górną Ukajali. Komunikacja została przerwana, toteż popłynęliśmy Maranonem do miasta Lagunas. Tam udało się nam wsiąść na mały statek, który Huallagą<sup>843</sup> miał płynąć do Tingo Maria.

— Trasę tę doradził nam pan Nixon, który z Iquitos musiał wrócić do Manaos — powiedział Wilmowski. — Podróż zajęła nam sporo czasu, ponieważ stary statek cały czas płynął w górę rzeki, ale wreszcie dotarliśmy do Tingo Maria. Stamtąd na mułach jechaliśmy górskimi szlakami przez Huanco do Cerro de Pasco, skąd już jest linia kolejowa przez Oroya do Limy<sup>844</sup>.

— Niech лихо porwie taką linię kolejową, choroba górska<sup>845</sup> dała mi się nieźle we znaki! — narzekał Wilson.

— Nie posłuchał pan rady jadących z nami górników, którzy częstowali koką — powiedział Wilmowski. — Żując kokę nie odczuwałem zbyt wielkich dolegliwości.

---

<sup>842</sup> — Cerro de Pasco — miasto w środkowym Peru w Andach na wysokości około 4350 m n.p.m. jest jednym z najwyższych w świecie położonych stałych osiedli. Założone zostało w XVII w. jako osada górnicza ze względu na pokłady srebra i złota.

<sup>843</sup> — Huallaga — rzeka w północnym Peru, prawy dopływ Maranonu. Długość około 1125 km, żeglowna od Tingo Maria. Źródła Huallagi znajdują się w Kordylerze Wschodniej, uchodzi od Maranonu powyżej miasta Lagunas. Główne miasta nad Huallagą: Huanuco, Yurimaguas, Tingo Maria.

<sup>844</sup> — Andy stanowią wielką przeszkodę w rozwoju komunikacji w Peru. W celu umożliwienia wywozu cennych surowców mineralnych z Cerro de Pasco, rozpoczęto w 1869 r. budowę kolei transandyjskiej z Limy przez La Oroya do Cerro de Pasco, którą ukończono w 1890 r. Koszt budowy wyniósł 30 mln dolarów, przy pracach zatrudniano 10 tys. robotników. Jest to jedna z najwyższych przeprowadzonych linii kolejowych na świecie. W punkcie kulminacyjnym osiąga 4816 m, stacja Galera znajduje się na wysokości 4783 m n.p.m. Na trasie tej linii kolejowej jest 58 mostów nad przepaściami i 66 tuneli. Szczególnie niebezpieczny jest przejazd nad Wąwozem Piekielnym (Canon Infernillo) głębokim na 300 m. Polak, inżynier Malinowski, kierował budową na odcinku Callao–Lima–La Oroya. W 1950 r. przystąpiono do przedłużania linii o 50 km — z Junin do Pucalpy. Od 1943 r. spełnia ważną rolę komunikacyjną oddana do użytku szosa transandyjska z Limy do Cerro de Pasco, Huanuco, Tingo Maria, Pucalpy.

<sup>845</sup> — Górska choroba (choroba wysokości) może występować wskutek niedotlenienia organizmu w wysokich górach. Jej objawy: bóle i zawroty głowy, zaburzenia wzroku i słuchu, nudności, wymioty, krwawienie z nosa, duszność, sinica, przyspieszone bicie serca, bezsenność.



— Dlatego też zapewne żucie koki rozpowszechniło się wśród Indian peruwiańskich — zauważył Tomek. — Z nas najgorzej w wysokich górach czuła się Natka.

— Sprawiałam wam wiele kłopotów — przyznała Natasza. — Mam nadzieję, że teraz spiszę się lepiej!

— Później zastanowimy się, co mamy zrobić z kochanymi kobietami — zaproponował Wilmowski. — Najpierw musimy omówić naszą sytuację i ustalić trasę wyprawy.

— Nie ma co odkładać na później sprawy kobiet! — zaproponowała Sally. — Jeśli idzie o mnie, idę z Tommym! Mara, żona Haboku, także za żadne skarby nie odstąpi swego męża. Natka, a co ty powiesz?

— Oczywiście, że idę z wami! Przecież wujek wie najlepiej, że nie jestem mazgajem, mam dobre oko i strzelam celnie! W górach mogę żuć kokę i jakoś to będzie!

— Teraz wujek widzi, jak to jest z naszymi żonami — wtrącił Zbyszek.

— Ani Tomek, ani ja jeszcze nie zdołaliśmy wyrwać się z epoki matriarchatu. Wygląda więc na to, że sprawa pań już została rozstrzygnięta.

Wilmowski uśmiechnął się. Natasza, tak jak Zbyszek, mówiła do niego „wujku”, z czym godził się bez urazy, ponieważ cenił i lubił młodą, odważną rewolucjonistkę.

— Ostateczna decyzja w tej sprawie należy do Tomka — rzekł po chwili. — Jako dowódca wyprawy odpowiada za bezpieczeństwo nas wszystkich.

— Ależ, kochany ojczy! — zaproponował Tomek. — Nie ośmieliłbym się prowadzić wyprawy w twojej obecności! Ty jesteś dowódcą!

Wilmowski ogarnął syna ciepłym spojrzeniem, po czym powiedział:

— Nie bądź taki skromny, synu! Na śmiałości nigdy ci nie zbywało, począwszy od pierwszych łowów w Australii. A przecież wtedy miałeś zaledwie czternaście lat! Teraz jesteś już młodym, rozsądnym mężczyzną i doświadczonym podróżnikiem. Wszyscy możemy ci zaufać. Prowadziłeś wyprawę poszukiwawczą, najlepiej orientujesz się w sytuacji.

— Nie jestem pewny, czy naprawdę zasługuję na tak pochlebny opinię, ojczy — powiedział Tomek rumieniąc się z radości. — Teraz jednak bardzo cię proszę o poprowadzenie tej wyprawy. Po prostu boję się wziąć na siebie odpowiedzialność za tak duże przedsięwzięcie. To zbyt poważna sprawa,

przecież chodzi o życie dwóch naszych najlepszych przyjaciół! Tu trzeba wielkiej rozwagi, opanowania i doświadczenia, które ty właśnie posiadasz. Przecież z panem Smugą już polowałeś w Ameryce Południowej. Moja propozycja jest następująca: ty, ojciec, prowadzisz wyprawę, ja natomiast, jeśli pozwolisz, będę czuwał nad bezpieczeństwem wszystkich, tak jak to na naszych wyprawach robi pan Smuga.

— Skromność jest rzadką cechą u tak młodego mężczyzny — wtrącił Wilson. — Panie Wilmowski, może pan naprawdę być dumny ze swego syna.

— Jestem dumny, już to powiedziałem — potwierdził Wilmowski.

— Przyjmuję twoją propozycję, Tomku, chociaż i tak będziesz musiał wspierać mnie radą.

— Dziękuję, ojciec! Trasę omówimy po kolacji, na pewno pan Wilson i ty jesteście głodni. Teraz chciałbym tylko zapytać, czy udało ci się sprzedać jacht Tadka?

— Nie sprzedałem jachtu — odparł Wilmowski. — Nie mogłem zgodzić się na tak wielkoduszną ofiarę z jego strony. Przecież ten statek jest jego największą dumą i radością!

— W jaki więc sposób zdobyłeś pieniądze na wyprawę? — zdumiał się Tomek.

— Wypożyczyłem jacht na dwanaście miesięcy przyjacielowi pana Hagenbecka, który wybiera się na wycieczkę po Morzu Śródziemnym — wyjaśnił Wilmowski. — Ponadto pan Nixon wyłożył znaczną kwotę na pokrycie kosztów wyprawy. Nie chciałem przyjąć pieniędzy od pana Nixona, ale on traktuje Smugę jak swego współnika, który występuje w jego imieniu.

— Bo tak też jest naprawdę! — potwierdził Wilson. — To przecież pan Smuga postawił na nogi Kompanię Nixon–Rio Putumayo. Bez niego Nixon nie dałby rady zawistnym konkurentom.

— Tak, to prawda! Pan Nixon w ważnych sprawach całkowicie polegał na panu Smudze. W Manaos wszyscy się z nim liczyli — dodał Zbyszek.

— Jakże się cieszę, że poczciwy Tadek nie stracił swego ulubionego jachtu! — zawołała Sally. — To wspaniały człowiek, dla przyjaciół oddałby ostatnią koszulę!

— Kapitan i pan Smuga są niezwykłymi ludźmi — wtrąciła Natasza.

— Potrafią się z każdym dzielić ostatnim kawałkiem chleba. Zawsze wiedzą, komu należy pomóc i kiedy trzeba uderzyć. To wzory prawdziwych mężczyzn!

— Masz rację, Natka — powtórzył Tomek. — Pan Smuga jest dla mnie ideałem, zawsze się staram go naśladować. Kapitan zaś jest moim najlepszym przyjacielem. Dla mnie to także wielka radość, że udało się uniknąć sprzedaży jachtu.

— Moi drodzy, najważniejsze już wiemy, więc czas na kolację — zauważyła Natasza.

— Kobiety zawsze mają rację — powiedział Tomek. — Po kolacji zastanowimy się, jaką trasę należy obrać dla wyprawy.

\* \* \*

Narada odbywała się w pokoju młodych Wilmowskich. Mężczyźni pochylali się nad mapami rozłożonymi na stole. Wilmowski właśnie uważnie studiował mapę naszkicowaną przez Tomka podczas poszukiwań zaginionego Smugi, porównywał ją z urzędową mapą Peru.

— Twój szkic Gran Pajonalu jest o wiele dokładniejszy od państwowego, na którym istnieje jeszcze wiele białych plam. Twoja mapa zawiera dużo nowych danych — pochwalił Wilmowski. — Cała trasa wyprawy dobrze zaznaczona. Posługując się tą mapą moglibyśmy pokusić się o odnalezienie miasta wolnych Kampów.

— Staralem się zaznaczać wszystkie punkty orientacyjne w terenie, tak jak mnie uczyłeś, ojciec — powiedział Tomek. — Gdyby to zagubione w głuszy Andów miasto było celem wyprawy, jestem niemal pewny, że udałoby mi się je odnaleźć. Z panem Smugą jednakże ustaliliśmy miejsce spotkania w okolicy Cobija na pograniczu brazylijsko-boliwijskim. Najkrótsza trasa wiodłaby z Oroya do rzeki Perene przechodzącej w Tambo, która dalej na wschodzie, łącząc się z Urubambą, tworzy Ukajali. Nieco powyżej połączenia tych dwóch rzek, na prawym brzegu Urubamby, leży La Huaira Pancha Vargasa, osławionego łowcy niewolników. Stamtąd rzekami dotarlibyśmy do Cobija. Niestety, po wybuchu powstania Kampów trasa ta nie wchodzi w rachubę.

— Tak, tędy nie przedostaniemy się do Cobija — przyznał Wilson.

— Kraj nad górną Ukajali w ogniu walk. Vargas jest znienawidzony przez większość plemion indiańskich, z La Huairy na pewno pozostały już tylko zgliszcza.

— Jak liczna będzie wyprawa? — zapytał Wilmowski.

— Mamy trzech wojowników z plemienia Cubeo, to jest Haboku i jego dwóch towarzyszy, Chińczyka Wu Menga, który podjął się kucharzowania, ty, ojciec, pan Wilson, Zbyszek i ja, a więc ośmiu mężczyzn oraz trzy kobiety, Natka Sally i Mara, żona Haboku — wyjaśnił Tomek.

— Kto to jest ten Chińczyk? — zaciekał się Wilmowski.

— Wujku, to oficer z powstania bokserów — wyjaśnił Zbyszek.

— W Peru przebywa nielegalnie. Chce się przedostać do krewnego w Manaos, hurtownika kakao, Ting Linga, z którym pan Nixon i ja przyjaźnimy się od dawna.

— Tak, tak, Ting Ling jest przyzwoitym człowiekiem — potwierdził Wilson.

— Żołnierz zawsze się przyda na wyprawie — rzekł Wilmowski. — Jeżeli jednak jest tutaj nielegalnie, to mogą być kłopoty...

— Jakoś to załatwię, wpiszę go na listę uczestników wyprawy — powiedział Tomek. — Przecież nasi Cubeowie również nie posiadają dokumentów. Mam już tutaj trochę znajomości.

— Jaką trasę proponujesz, Tomku? — zapytał Wilmowski.

— Najłatwiej i chyba najprędzej dotrzemy do Cobija przez Boliwię — odpowiedział Tomek. — Popłyniemy z portu Callao statkiem do Mollendo, a stamtąd koleją do La Paz, skąd rzeką Beni można dotrzeć do północnej granicy.

— Wydaje mi się, że tą drogą najprędzej dostaniemy się do Cobija — powiedział Wilmowski spoglądając na mapę.

— Ja również tak sędzę — powiedział Wilson. — Radziłbym jednak, zamiast do Mollendo, popłynąć nieco dalej na południe, do portu Arica, który ma strefę wolnocłową. Moglibyśmy tam zakupić po niższych cenach ekwipunek na wyprawę.

— Proponuje pan port Arica? Mollendo leży w Peru, Arica natomiast znajduje się już w Chile — zauważył Wilmowski.

— Dawniej był to port peruwiański. Do dzisiaj trwa o niego spór między Peru i Chile — powiedział Wilson. — Nie spodziewam się trudności ze strony

władz chilijskich. Boliwijczycy, po utraceniu dostępu do morza na rzecz Chilijczyków, wyjednali sobie prawo do korzystania z Ariki oraz strefy wolnocłowej. Arica posiada bezpośrednie połączenie kolejowe z odległym o około pięćset kilometrów La Paz. Z Callao do Ariki płynie się około trzech dni, stamtąd do La Paz koleją pewno niecałe dwa, więc w przeciągu tygodnia możemy się znaleźć w Boliwii.

— W takim razie zdążymy dotrzeć w okolice Cobija przed ustalonym z panem Smugą terminem — ucieszył się Tomek.

— Jeżeli nie zaistnieją jakieś nie przewidziane przeszkody — zauważył Zbyszek.

— To zawsze musimy brać pod uwagę — odezwał się Wilmowski.

— Dlatego też nie możemy zwlekać z wyruszeniem w drogę. Skoro postanowiliście, że mam prowadzić wyprawę, to pozwólcie, że od razu rozdzielę funkcje.

— Bardzo słusznie, będziemy mogli zaraz przystąpić do działania — powiedział Wilson.

— A więc pan Wilson, jako najlepiej zorientowany w warunkach komunikacyjnych, zorganizuje przejazdy: Lima, Callao, Arica, La Paz. Tam rozpatrzmy się w sytuacji i zdecydujemy, w jaki sposób ruszymy dalej — zdecydował Wilmowski. — Zgadza się pana — Oczywiście, już powiedziałem, że oddaję się pod panów rozkazy — odparł Wilson.

— Zbyszku, masz doświadczenie jako intendent wypraw, więc będziesz naszym intendentem — mówił dalej Wilmowski. — Na twojej głowie zaopatrzenie w żywność i ekwipunek.

— Tak, wujku! Już nawet sporządziłem spis, co powinniśmy zabrać. Tutaj kupię tylko niezbędne dla nas rzeczy osobiste, resztę, w myśl rady pana Wilsona, nabędziemy w Arice.

— Natasza będzie naszą sanitariuszką — ciągnął Wilmowski. — Lekarstwa i środki opatrunkowe radzę kupić tutaj. Zresztą sama wiesz dobrze, w co się masz zaopatrzyć.

— Wiem, wujku! Ja również mam spis wszystkiego, co może być potrzebne.

— Sally, obejmiesz nadzór nad naszym kucharzem — zwrócił się Wilmowski do synowej. — Wyżywienie członków wyprawy jest tak samo

ważne jak zapewnienie bezpieczeństwa, z chińskimi kucharzami nigdy nic nie wiadomo!

— To prawda, tatusiu! Nie możemy eksperymentować na żołądkach naszych indiańskich przyjaciół.

— Tomku, dowodzisz zbrojną eskortą, wiesz dobrze, co do ciebie należy — rzekł Wilmowski. — Bierzesz pod komendę twoich trzech Indian, a w razie konieczności dysponujesz wszystkimi uczestnikami wyprawy. Pomyśl o wyposażeniu nas w broń. Czy możesz polegać na swoich Indianach?

— Cubeowie są doskonałymi tropicielami, odważni i opanowani. Jako lud żyjący nad rzekami są również mistrzami wioślarskimi — odpowiedział Tomek. — Najważniejsze jednak, że to nasi wierni przyjaciele. Trzech z nich poległo w walce z Kampanii, którzy urządzili na nas zasadzkę. Teraz jest ich tylko trzech: Haboku, Huruwa i Pedikwa. Huruwa i Pedikwa są nazwami rodów, z których oni pochodzą, ale tak zwraca się do nich Haboku. Mara, żona Haboku, na biwakach pomaga Sally i Natce, w drodze jednak zawsze idzie u boku męża niosąc jego broń. To dzielna młoda kobieta.

— Możemy być pewni tych Cubeów — zapewnił Wilson. — Oni wzięli udział w wyprawie tylko ze względu na pana Smugę, którego bardzo cenią i uważają za swego przyjaciela.

— To ma dla nas wielkie znaczenie — rzekł Wilmowski. — Wierni przyjaciele nie zawiodą w trudnych sytuacjach.

— Jeżeli Tadcowi i panu Smudze uda się szczęśliwie przedostać do Cobija, to pokonamy wszelkie trudności. Ośmiu dobrze uzbrojonych, zdecydowanych na wszystko mężczyzn stanowi już liczącą się siłę — powiedział Tomek. — Jedyne uczestnik wyprawy, o którym niewiele wiemy, to nasz kucharz, Wu Meng.

— Myślę, że nie sprawi zawodu — wtrącił Zbyszek. — Jako oficer w powstaniu bokserów pełnił zapewne ważniejszą rolę, skoro po upadku powstania musiał uciekać z Chin.

— To przemawia na jego korzyść — przytaknął Tomek. — Sprawiał na nas dobre wrażenie, wygląda na odważnego i na pewno umie obchodzić się z bronią.

— Wierzę, że nasi panowie poradzą sobie nawet z największymi niespodziankami — zauważyła Sally. — Byliśmy już przecież nieraz w ciężkich opałach!

— Wystarczy przypomnieć uprowadzenie Zbyszka z zesłania syberyjskiego — dodała Natasza. — Późno już, a rankiem mamy przystąpić do działania.

— Przygotowałyśmy kawę, herbatę i butelkę jamajki, co panowie sobie życzą? — zapytała Sally.

— Wypijemy kawę i po kieliszku jamajki za pomyślność wyprawy — zaproponował Wilmowski.

Wilson wkrótce udał się do swego pokoju, lecz Wilmowscy i Karscy rozstali się dopiero o świcie.





## W DRODZE DO BOLIWII

Przygotowania do wyruszenia z Limy trwały pięć dni. Wilmowski miał urzędowe pismo polecające od Hagenbecka, znanego w świecie łowcy i sprzedawcy egzotycznych dzikich zwierząt, toteż władze peruwiańskie i konsulat chilijski nie robiły trudności. Dzięki temu już szóstego dnia od przybycia Wilmowskiego z Wilsonem uczestnicy wyprawy wyruszyli kolejną do odległego o dwadzieścia kilometrów portu.

Callao powstało równocześnie z Limą, lecz kataklizmy żywiołowe oraz działania wojenne sprawiły, że z miasta zbudowanego przez konkwistadorów pozostała tylko jedna stara dzielnica o wąskich, nieregularnych uliczkach wokół kościoła La Matriz. Odbudowane współczesne Callao było nowoczesnym głównym portem morskim Peru. W dogodnej Zatoce Callao, osłanianej od południowych wiatrów przez wyspę San Lorenz, stało na redzie kilkadziesiąt statków. Wśród nich znajdował się parowiec „*Liberty*”, którym wyprawa miała popłynąć do Ariki. Statek wychodził w morze w godzinach popołudniowych, więc uczestnicy wyprawy prosto z dworca kolejowego udali się do portu. Tam obstąpili ich właściciele łódek, którzy przewozili pasażerów na statki. Wilson targował się dość długo z przewoźnikami, którzy żądali bardzo wysokich opłat, ale w końcu popłynęli w kilku łodziach. „*Liberty*” należała do flotylli angielskiej Kompanii Pacyfiku, która obsługiwała przybrzeżną żeglugę morską od Panamy do Cieśniny Magellana. Był to niewielki bocznokołowiec<sup>846</sup>, wyposażony w kajuty pierwszej klasy na pokładzie oraz pod pokładem klasy drugiej i ogólną jadalnię. Zaraz po wejściu na statek Wilson powyznaczał kajuty uczestnikom wyprawy, którzy potem pospieszili na pokład.

Jeszcze przed zachodem słońca „*Liberty*” podniosła kotwice. Szerokim łukiem ominęła wyspę San Lorenz i popłynęła na południe w pewnej odległości od starego lądu.

---

<sup>846</sup> — Bocznokołowiec — statek wodny, którego pędnikiem są koła łopatkowe umieszczone z boku, symetrycznie przy burtach. Statki kołowe są używane obecnie wyłącznie na płytkich wodach śródlądowych.

Peruwiański pas przybrzeżny, zwany Costa<sup>847</sup>, był piaszczystą pustynią. W zapadliskach zasypanych białym piaskiem leżały jedne na drugich czarne bądź szare głazy. Im dalej od wybrzeża ku wschodowi, tym bardziej piętrzyły się bloki skalne i przekształcały w potężne pasma Andów, ciągnących się wzdłuż zachodnich wybrzeży kontynentu południowoamerykańskiego na przestrzeni około dziewięciu tysięcy kilometrów. W dali, ponad pasmami skalistych gór zasnutych lekką mgiełką, bieliło się kilka ośnieżonych, potężnych szczytów. Tylko gdzieniegdzie widać było kępy karłowatych krzewów i kaktusy. Jedynie w dolinach strumieni spływających z gór do oceanu zieleniły się małe oazy pól uprawnych i drzew akacjowych.

Z wyjątkiem Wu Menga wszyscy uczestnicy wyprawy przebywali na pokładzie. Indianie Cubeo byli bardzo podnieceni. Wprawdzie już widzieli parowce na Amazonce, ale po raz pierwszy sami znajdowali się na dużym statku morskim. Parowiec był dla nich najwspanialszym tworem białych ludzi. Wszystko ciekawiło ich i intrygowało, zasypywali pytaniami Wilsona i Zbyszka, którzy ich oprowadzali.

Wilmowski z synem, synową i Nataszą stali przy burcie na rufie statku. Wilmowski ciekawie spoglądał na krążącą po pokładzie grupkę Cubeów. Od razu można było zauważyć, że Haboku i jego dwaj towarzysze, ubrani w spodnie i luźne koszule, nie czuli się swobodnie w takim stroju.

— Podróż parowcem wytrąciła z równowagi naszych Cubeów — odezwał się Tomek, widząc, że ojciec obserwuje Indian. — Zazwyczaj są bardzo opanowani i przed obcymi nie uzewnętrzniają swoich uczuć. Tylko ich nieco skośne, wąskie, ciemne oczy, na wpół przysłonięte ciężkimi powiekami, nieustannie wszystko obserwują. W tej chwili są bardzo podnieceni niezwykłą dla nich sytuacją, ale gdy tylko znajdą się w swoim środowisku, odzyskają równowagę ducha i znów staną się wspaniałymi wojownikami.

— Widzę, Tomku, że zaraziłeś się pasją etnograficzną od Smugi — powiedział Wilmowski.

— To prawda! — przyznał Tomek. — Gdy pierwszy raz ujrzałem Cubeów, od razu zaintrygowała mnie budowa ich twarzy. Haboku, na przykład, ma nos prosty, natomiast Huruwa i Pedikwa mają nieco

---

<sup>847</sup> — Costa, czyli jeden z trzech wielkich regionów geograficznych Peru, ciągnie się wzdłuż Pacyfiku od 27° szerokości geograficznej południowej aż do miasta Tumbes, od którego ku pomocy zaczyna występować coraz obfitsza roślinność, przechodząca w bujne lasy.

haczykowate i płaskie jak Chińczycy. Wszyscy trzej zaś posiadają wydatne dolne wargi trochę wywinięte w dół.

— Nigdy bym nie przypuszczała, że na pustynnym wybrzeżu i skalistych wysepkach może się gnieździć tyle ptaków! — odezwała się Natasza, zerkając na towarzyszące statkowi ptaki.

— Właśnie myślałam o tym samym! — powiedziała Sally. — Ile tu mew! Spójrz, jak wspaniale szybują pelikany!

Kilkanaście dużych ptaków, uformowanych w szyk klinowy, przefruwało w pobliżu statku. Wolno, jakby od niechcenia, poruszały wielkimi skrzydłami, położywszy łby na grzbietach, jak robią to czaple w locie.

— Peruviańczycy i Chilijczycy wiele zawdzięczają ptakom — zauważył Wilmowski. — Ptaki są bezpłatnymi producentami guana, które przez prawie pół wieku stanowiło dla Peru główne źródło dochodu.

— Nigdy o tym nie słyszałam! — nie dowierzała Sally.

— Czy to naprawdę możliwe?! — pytała Natasza.

— Milionowe kolonie ptaków żywiących się rybami, a więc różne gatunki mew, kormorany, głuptaki<sup>848</sup>, pelikany, rybitwy i albatrosy, gnieźdzą się na skalistych wysepkach rozsianych wzdłuż wybrzeży Peru i Chile. Przez wiele wieków na wyspach, jak i w niektórych miejscach na stałym lądzie, gromadziły się pokłady ptasich odchodów. Dzięki zupełnemu brakowi deszczy na pomorzu peruviańskim guano zawiera duży procent soli amoniakalnych, które nadają mu własności użyźniające glebę — wyjaśnił Wilmowski.

— Ciekawa jestem, kto odkrył użyźniające własności guana? — zapytała Natasza.

— Znane już były starożytnym Peruviańczykom, jeszcze przed najazdem Hiszpanów — wyjaśnił Wilmowski. — Inkowie eksploatowali guano bardzo umiejętnie i rozsądnie. Każda prowincja miała wyznaczoną część którejś wyspy do czerpania nawozu. W pokładach guana na wyspach jeszcze teraz można czasem znaleźć narzędzia indiańskie.

— A więc to nie Hiszpanie rozpoczęli eksploatację tego nawozu?

---

<sup>848</sup> — Głuptaki (*Sulidae*) — rodzina morskich ptaków z rzędu wosłonogich, obejmuje 9 gatunków. Długość głuptaków wynosi 66–103 cm, posiadają masywną budowę, mocny i ostry dziób, krótkie nogi, bardzo długie skrzydła. W locie są sprawne i wytrwałe. Żywią się rybami, które łowią nurkując z lotu. Należą do gniazdowników. Lęgi odbywają na skalistych wybrzeżach mórz strefy tropikalnej umiarkowanej.

— dziwiła się Natasza.

— Oni się guanem nie zainteresowali! — powiedział Wilmowski.

— Koszt dalekiego transportu morskiego był bardzo duży, a opływanie przylądka Horn niebezpieczne. Dopiero na początku dziewiętnastego wieku Humboldt zwrócił uwagę na guano i przesłał próbki do Francji. W trzydzieści lat później rozpoczęto jego eksploatację na wielką skalę.

— Stało się to nie lada gratką dla Peruwiańczyków, gdyż guano peruwiańskie było wyżej cenione od chilijskiego — wtrącił Tomek.

— Nie warto zazdrościć im tej „gratki”! — pogardliwie rzekła Sally.

— Cóż to za życie na tym pustynnym wybrzeżu!

— Posępna szarzyzna — przytaknęła Natasza. — Nie chciałabym tutaj mieszkać. Już bardziej odpowiadają mi wschodnie wybrzeża i wnętrze kontynentu porośnięte wspaniałą, bujną roślinnością!

— Czy to nie dziwne, że wschód Ameryki Południowej wprost kipi zielenią, a zachód pokrywają piaszczyste pustynie? — zwróciła się Sally do Tomka. — Może to sprawa tych niebotycznych Andów?!

— Przede wszystkim główną rolę w różnicowaniu klimatu wschodnich i zachodnich części kontynentu odgrywają prądy morskie omywające brzegi — wyjaśnił Tomek. — Wzdłuż wybrzeży wschodnich płynie ciepły Prąd Brazylijski. Dzięki niewielkiej wysokości Wyżyny Brazylijskiej i ogromnym nizinom, umożliwiającym swobodny przepływ wilgotnych mas powietrza znad Oceanu Atlantyckiego i ciepłego Prądu Brazylijskiego, aż do wschodnich stoków Andów, które jak słusznie się domyśliłaś, stanowią barierę klimatyczną, wschodnia i centralna część Ameryki Południowej obfituje w duże opady sprzyjające bujnemu krzewieniu się roślinności. Wzdłuż wybrzeży zachodnich natomiast płynie z południa na północ zimny Prąd Peruwiański oraz wieją tam z południa stałe suche, zimne wiatry nie sprzyjające powstawaniu opadów. W wyniku tego wybrzeża zachodnie, między piątym a trzydziestym stopniem szerokości geograficznej południowej, są suche i pustynne, wilgoć bowiem występuje tu w zimie i na wiosnę tylko w postaci gęstej rosy i mgły.

— Zawstydziliś mnie, Tommy! Powinnaś to pamiętać z nauki w szkole — przyznała Sally.

— Tomek jest chodzącą encyklopedią, zawsze potrafi wszystko wyjaśnić. Zazdroszczę mu zasobu wiadomości o świecie i ludziach — dodała Natasza.

Wilmowski dyskretnie się uśmiechnął słuchając rozmowy, znał przecież słabość syna do popisywania się znajomością geografii i etnografii.

Pogawędkę przerwał Wu Meng, który dopiero teraz pokazał się na pokładzie. Ze skrzyżowanymi na piersiach rękami pochylił się i oznajmił:

— Czcigodni państwo, proszę do jadalni, zaraz podajemy kolację! Tomek zdziwiony spoglądał na Chińczyka po raz pierwszy odzywającego się w języku angielskim.

— Miła niespodzianka, panie Wu Meng! — powiedział. — Nie wiedziałem, że pan zna angielski.

Wu Meng uśmiechnął się i odparł:

— Mój czcigodny ojciec jest handlowcem, polecił mi poznać języki, którymi mógłbym się porozumiewać z zamorskimi kupcami.

— Czy oprócz hiszpańskiego i angielskiego zna pan jeszcze inne języki?

— zagadnął Wilmowski.

— Podczas pobytu w Limie nauczyłem się keczua i ajmara. Mogę być tłumaczem, jeśli zajdzie potrzeba — odparł Wu Meng.

— Co pan robił, Wu Meng? Nie widziałem pana dotąd na pokładzie — zapytał Tomek.

— Kucharz okrętowy źle się czuje. W Limie wdał się w bójkę i został zraniony nożem. Kapitan zaproponował mi, żebym go zastąpił — odpowiedział Chińczyk. — Czas szybciej upływa podczas pracy.

— Zbyszek nie mylił się, sądząc, że Wu Meng musiał być w Chinach kimś ważniejszym — odezwał się Tomek, gdy Chińczyk odszedł.

— Łatwość uczenia się obcych języków świadczy o jego inteligencji.

— Inteligentny i oszczędny — dodała Natasza. — Ma opłacony przejazd, mimo to podjął się kucharzowania.

— Człowiek, który nie wstydzi się żadnej pracy, zasługuje na pełny szacunek — stwierdził Wilmowski. — Chińczycy są pracowitym narodem.

— Trudno odgadnąć, co on jeszcze chowa w zanadrzu — zastanawiał się Tomek. — Może czeka nas więcej niespodzianek?

— Jedną sprawi nam na pewno! Zaraz się przekonamy, jakim jest kucharzem — zażartowała Sally. — Chodźmy na kolację!

\* \* \*

Następnego dnia przed południem statek zarzucił kotwicę w Pisco, głównym porcie między Callao i Mollendo. Kilku pasażerów przewieziono na brzeg. Po dwugodzinnym wyładunku skrzyń z towarami statek ruszył w drogę. Piaszczyste równiny wybrzeża, upstrzone wydmami i skalnymi blokami, nie budziły zainteresowania uczestników wyprawy. Jedyne chmary ptaków morskich urozmaicały posępny, pustynny krajobraz. Od czasu do czasu wyłaniały się z oceanu skaliste wysepki.

Wilmowscy i Karscy dopiero przed zachodem słońca wylegli na pokład, żeby po upalnym dniu odetchnąć rześkim powietrzem. Na zachodzie majaczyły właśnie kontury jakiejś wyspy. Zbyszek wydobył z kieszeni lunetę i długo spoglądał w jej kierunku.

— Co cię tak zaciekało, Zbyszku? — zagadnęła zaintrygowana jego zachowaniem Sally.

— Ujrzałem wyspę i przypomniał mi się Robinson Cruoe, jego niezwykłymi przygodami zaczytywałem się w Warszawie — odparł Zbyszek.

— Mnie również pasjonowały przeżycia tego rozbitka — powiedziała Sally.

— Któż by nie znał tej świetnej książki! — entuzjasmowała się Natasza.

— Czytałam ją wiele razy, nawet na zesłaniu na Syberii. Jaka to pouczająca historia! Samotny rozbitek na bezludnej wyspie, jedynym jego narzędziem i bronią zarazem jest nóż marynarski. A mimo to dzięki odwadze, silnej woli, zaradności i pracowitości buduje własnymi rękami swoje gospodarstwo i nawet ocala Piętaszka przed ludożerczymi Karaibami z sąsiednich wysp.

— A ja słyszałem, że statek Robinsona zatonął na Pacyfiku, a nie na Morzu Karaibskim — zaoponował Zbyszek. — Pamiętasz, Tomku, nasze spory na ten temat?

— Jak mógłbym zapomnieć, skoro nawet poczubiliśmy się o to i zostaliśmy ukarani przez twoją matkę! — wesoło przytaknął Tomek.

— Dopiero znacznie później dowiedziałem się prawdy o Robinsonie.

— Od kogo się dowiedziałeś? — nie dowierzał Zbyszek.

— Tommy, nigdy mi o tym nawet nie wspomniałeś! — oburzyła się Sally.

— Jeżeli znasz prawdziwą historię Robinsona, to nam opowiedz — zaproponowała Natasza.

— Lepiej poproście o to mego ojca. Tatuś nawet zwiedził wyspę, na której przebywał pierwowzór powieściowego Robinsona.

— Wujku, czy to prawda, że tam byłeś?! — żywo zagadnął Zbyszek.

— Którą wyspę masz na myśli? Czy tę z powieści o Robinsonie Cruoe, czy też tę, na której samotnie przebywał szkocki marynarz Aleksander Selkirk?

— Teraz przypomniałem sobie, że tym prawdziwym rozbitkiem był Selkirk, to właśnie jego niezwykle przygody natchnęły Daniela Defoe do napisania „**Robinsona Cruoe**” — wtrąciła Natasza.

— Tylko w części masz rację — powiedział Wilmowski. — Pamiętniki Selkirka<sup>849</sup> i jego sprawozdanie z samotnego pobytu na bezludnej wyspie natchnęły Daniela Defoe do napisania przygodowej powieści o Robinsonie. Istnieją jednak pewne rozbieżności między prawdziwymi przeżyciami Selkirka i przygodami Robinsona w powieści.

— Ależ to szalenie ciekawe! Opowiedz nam, tatusiu! — poprosiła Sally.

— Przede wszystkim Selkirk nie był rozbitkiem. Należał do załogi okrętu „*Cing Ports*” z eskadry sławnego podróżnika i korsarza Williama Dampiera<sup>850</sup>. Jesienią tysiąc siedemset czwartego roku statek ten zarzucił kotwicę w zatoce wyspy Mas a Tierra w grupie Juan Fernandez. Obecnie zatoka ta zwie się Cumberland. Na wyspie znaleziono dwóch marynarzy przypadkowo pozostawionych przez statek handlowy. Po zabranii ich na pokład opowiedzieli, że podczas kilkumiesięcznego pobytu na bezludnej wyspie bez trudu żywili się owocami leśnymi oraz mlekiem i mięsem dzikich kóz.

Selkirk posprzeczał się o coś z kapitanem okrętu. Postanowił natychmiast porzucić służbę i samotnie pozostać na bezludnej wyspie. Opuścił statek

---

<sup>849</sup> — Oryginalny tytuł pamiętników wydanych drukiem przez Aleksandra Selkirka: *Providence Displayed or a Surprising Account of one Alexander Selkirk* (Dowód Opatrzności albo zadziwiająca relacja Aleksandra Selkirka).

<sup>850</sup> — William Dampier (1652–1715) — angielski żeglarz, korsarz i znakomity pisarz. Jego praca *Discourse on the Winds* została uznana za klasyczną w dziedzinie geografii fizycznej. Dampier dwukrotnie opłynął Ziemię, dokonał wielu odkryć w Oceanii i na wybrzeżach Australii. Jego imieniem nazwano cieśninę oddzielającą Nową Gwineę od Nowej Brytanii i archipelag u zachodnich wybrzeży Australii.

zabierając parę książek, kilka naczyń, trochę tytoniu, nóż, siekiere, strzelbę i funt prochu. Skromne zapasy, zwłaszcza prochu, wkrótce się wyczerpały i Selkirk musiał polować w sposób opisany potem przez Defoe. Doszedł do niezwyklej wprawy, doganiał dzikie kozice i zabijał je nożem. Podczas czteroletniego samotnego pobytu na wyspie dwukrotnie widział przepływające w pobliżu okręty hiszpańskie, lecz nie wzywał pomocy, ponieważ Anglia i Hiszpania prowadziły wojnę. Obawiał się, że może spotkać go niewola lub śmierć. Dopiero po czterech latach do wyspy zawinął angielski okręt „*Duke*” i zabrał Selkirka z dobrowolnego zesłania.

— A więc to tak było! — zdumiała się Natasza.

— Właśnie tak! — przytaknął Tomek. — Nie powieściowe Karaiby, lecz wyspa Mas a Tierra na Pacyfiku, odległa o trzysta sześćdziesiąt pięć mil na zachód od Valparaiso w Chile. Nie rozbitek, tylko samowolne pozostanie na bezludnej wyspie. Nie było Piętaszka ani ludożerców karaibskich. Selkirk posiadał trochę koniecznych sprzętów i broń, podczas gdy powieściowy rozbitek miał tylko nóż. Wreszcie Selkirk nie miał psa.

— Wujku, czy wiesz także, co się potem stało z Selkirkiem? — interesował się Zbyszek.

— Gdy przywieziono go na statek, był całkowicie zarośnięty i okryty prymitywnie wyprawionymi kozimi skórąmi, mówił też z wielką trudnością. Nie był to jeszcze koniec jego awanturnicznych przygód. Dzięki protekcji Dampiera, który dobrze go pamiętał, wkrótce został sternikiem na okręcie „*Duke*”. Potem dowodził okrętem korsarskim „*Increase*” i napadał na posiadłości hiszpańskie. Zmarł w wieku czterdziestu siedmiu lat na okręcie „*Weymouth*” i został pochowany w morzu zgodnie z własnym życzeniem.

— Wujku, Tomek wspominał, że byłeś na Mas a Tierra, jak wyglądała ta wyspa? — dopytywała się Natasza.

— Kilka lat temu ze Smugą łowiliśmy zwierzęta w Ameryce Południowej. Przy okazji udało nam się odwiedzić w Santiago potomków naszego sławnego Ignacego Domeyki<sup>851</sup>. Z prawdziwym wzruszeniem

---

<sup>851</sup> — Ignacy Domeyko (1802–1889) — inżynier górnik, minerolog i geolog, wychowanek , Uniwersytetu Wileńskiego, filomata, przyjaciel Adama Mickiewicza, który w trzeciej części dramatu *Dziady* umieścił Domeykę pod postacią Żegoty. Jako uczestnik powstania listopadowego na Litwie Domeyko musiał emigrować z kraju. W Paryżu ukończył Ecole des Mines jako inżynier górnik. W 1838 r. wyjechał do Chile, gdzie zasłużył się dla rozwoju nauki i szkolnictwa wyższego. Badania i opisy nowych minerałów przyniosły mu światową sławę. Założył w Chile stację meteorologiczną, muzeum



oglądałem jego gabinet. Wokół ścian szafy biblioteczne, zbiory geologiczne, biurko, przy którym pracował rano i wieczorem, na biurku fotografie dzieci, a na ścianie duży, owalny portret pięknej brunetki, pani Sotomayer, żony Domeyki, z którą przeżył dwadzieścia lat. Przy kominku fotel na biegunach, nad kominkiem duże lustro w masywnej ramie. W słotne dni państwo Domeykanie siadali przy tym kominku. Wizyta w ich domu była dla mnie prawdziwą uczcą duchową. Właśnie w tym gabinecie, budzącym wspomnienia i dziwne tęsknoty, Smuga zaproponował wycieczkę na Mas a Tierra.

Grupę Juan Fernandez tworzą trzy wyspy: Mas Afuera, Mas a Tierra i Santa Clara, zwana również Goat Island. Mas a Tierra jest największa. Ma kształt półksiężyca z rogami zwróconymi na południe. Wzniesienia na wschodniej stronie wyspy są strome, porwane, pocięte wąwozami. Widzieliśmy kamienną tablicę z pamiątkowym napisem, którą oficerowie angielscy umieścili na wyspie w tysiąc osiemset sześćdziesiątym ósmym roku. Historia wysp Juan Fernandez tchnie awanturniczą romantyką, gdyż w dawnych czasach były one matecznikiem piratów i korsarzy, którzy łupili hiszpańskie posiadłości.

Wilmowski nabił i zapalił fajkę.

— Nareszcie dowiedziałam się, jak to było naprawdę z tym Robinsonem Cruzoe, którego niezwykle przygody intrygowały mnie przez tak długi czas — odezwała się Natasza. — Dziękuję wujku, była to pasjonująca opowieść!

— Wszyscy dziękujemy, tatusiu — wtrąciła Sally. — Słuchając ciekawej opowieści nawet nie zauważyłam, że zrobiło się już tak późno.

— No, moje dzieci! Czas do łóżek — zakończył Wilmowski. — O świcie będziemy w Mollendo, a pojutrze lądujemy w Arice.

---

etnograficzne i opracował monografię Araukanii. Ożenił się z Chilijką, pozostawił wielu potomków. Do końca życia utrzymywał więź ze swoją ojczyzną, którą odwiedził w 1884 r. Imieniem Domeyki nazwano w Chile: minerał — domeykit, małża — *Nautilus Domeykus*, amonit chilijski — *Amonites Domeykanus*, pasmo gór w Andach — Cordillera de Domeyko, miasteczko, ulicę w Santiago — Calle de Domeyko.



## PRZEZ KORDYLIERY

Niebo zaróżowiło się na wschodzie nad szarymi zarysami skalistych Andów. Jako zwiastuny nastającego świtu rozległy się posepnie brzmiące krzyki ptaków morskich. Statek opływał właśnie małą fortecę zbudowaną na samotnej rafie przed wejściem do zatoki, w której było zakotwiczonych kilka parowców.

Tomek i Zbyszek wybiegli na pokład, przystanęli przy burcie.

— Co to za ponury krajobraz! — zawołał Zbyszek spoglądając ku wybrzeżu.

— Jesteśmy przecież w przedsiönku pustyni Atakama<sup>852</sup> oddzielającej Peru od Chile — zauważył Tomek.

Pustynna, piaszczysta równina nadmorska wdzieraa się tutaj klinem pomiędzy nagie pasma górskie. Na północnej stronie zatoki o niskich brzegach biały piasek dochodził prawie do samych szczytów gór, na południowej natomiast wznosiła się pojedyncza wysoka skała poorana brzdami i głębokimi jamami. Wśród gołych piasków i półksiężycowatych wydm jedynie wąska dolina rzeki Azapa, spływającej z gór do oceanu, tworzyła jakby oazę zieleni w monotonnym, pustynnym krajobrazie. Wśród pól uprawnych rosły tam drzewa akacjowe, palmowe i bananowce, które gdzie indziej w tej pustynnej strefie uchodziły za roślinność egzotyczną<sup>853</sup>.

Statek z chrzęstem łańcuchów kotwicznych stanął w zatoce. Tomek i Zbyszek ciekawie spoglądali na kilkunastotysięczne miasteczko leżące na wybrzeżu. Była to Arica<sup>854</sup>, najdalej na północ wysunięty port chilijski.

---

<sup>852</sup> — Pustynia Atakama (Desierto de Atacama) — piaszczysta i kamienista pustynia w północnym Chile. Długość jej wynosi około 450 km, szerokość do 100 km, leży na wysokości 1000–2000 m n.p.m. Stanowi najsuchszy region świata, w którym opady są mniejsze niż na Saharze. Często przez całe dziesięciolecia nie spada tam ani kropla deszczu. Rzeki przeważnie okresowe, słone bagna i jeziora. Główny region wydobycia saletry chilijskiej.

<sup>853</sup> — Na zachód od Kordyliarów, aż do oceanu, przez setki kilometrów zalega pas płaskiej, suchej i pozbawionej roślinności ziemi. Tylko w północnym Chile, w wąskich dolinach rzek Azapa i Camarones w prowincji Tarapaca, gdzie gromadzi się wilgoć z gór, krzewi się roślinność subtropikalna i panuje wieczna wiosna.

<sup>854</sup> — Arica — port chilijski nad Pacyfikiem przy ujściu rzeki Azapa, miejsce znanych kąpielisk. Obsługuje część handlu zagranicznego Boliwii i Peru. Podczas katastrofalnego trzęsienia ziemi w 1868

Wilson pojawił się na pokładzie, podszedł do Tomka rozmawiającego ze Zbyszkiem i zagadnął:

— No, jesteśmy w Arice! Za dwie godziny będziemy na lądzie. Chodźcie, panowie, na ostatnie na statku śniadanie. Pracowity dzień przed nami. Formalności urzędowe, zakupy, pakowanie, organizowanie transportu do Boliwii, pełne ręce roboty!

— Zastanawiam się, czy dobrze zrobiliśmy licząc na zrobienie zakupów w Arice — zafrasował się Zbyszek. — Niech pan spojrzy, jakie to miasto z tej zareklamowanej przez pana Ariki! Przecież to zaledwie portowa miejscina!

— Niech się pan tym nie kłopotczy! — uspokoił go Wilson. — Arica jest ważnym węzłem międzynarodowej i wewnętrznej komunikacji lądowej i morskiej. Choćby z tego względu musi być odpowiednio zaopatrzona. To najdłuższe i najwęższe państwo Ameryki Południowej jest solidnie zorganizowaną republiką, która szczyci się wczesnym kulturalnym i technicznym postępem. Chile pierwsze na tym kontynencie zniosło niewolnictwo, wprowadziło żeglugę parową, koleje żelazne i telegraf Morse'a<sup>855</sup>. Chilijczycy mają głowę na karku, więc i Arica nie sprawi nam zawodu.

— Jeśli chodzi o wczesny postęp, jak to pan powiedział, to zgadzam się z panem — przytaknął Tomek. — Należy jednakże pamiętać, że tak szybki pomyślny rozwój Chile zawdzięcza uczonym cudzoziemcom, których zwabia tutaj wolność polityczna, religijna i wielka gościnność. Dobrze zrozumiany własny interes skłaniał państwo chilijskie do popierania i wcielania w życie nowatorskich pomysłów uczonych angielskich, amerykańskich, francuskich i polskich, choćby tylko wspomnieć naszego Domeykę.

— Kto ma głowę na karku, dba o swoje interesy — stwierdził Wilson. — Nawet gdybyśmy nie wszystko dostali tutaj, to przecież będziemy mieli okazję uzupełnić zakupy w La Paz. Chodźmy na śniadanie, zapewne wszyscy są już w jadalni.

Był to istotnie niezwykle pracowity dzień dla uczestników wyprawy. Zaraz po zejściu na ląd musieli się uporać z celnikami. Wilmowski jednakże

---

r. fale oceaniczne wtargnęły w głąb lądu, zmyły miasto i pochłonęły wiele ofiar. W 9 lat później podczas ponownego kataklizmu zatonięło także wiele statków zakotwiczonych w zatoce.

<sup>855</sup> — Niewolnictwo zniesiono w Chile w 1811 r., żeglugę parową wprowadzono w 1840, pierwsza linia kolejowa, łącząca Capiago z Calderą, została otwarta w 1851 r., a telegraf Morse'a wprowadzono w r. 1852.

miął wielkie doświadczenie w pokonywaniu tego rodzaju trudności. Toteż uzyskał zezwolenie na dokonanie zakupów w strefie wolnocłowej pod warunkiem, że wszystko zostanie na miejscu odpowiednio zapakowane i odstawione bezpośrednio do pociągu wyruszającego do Boliwii. Zapasy żywności, a przede wszystkim: fasola, ryż, mąka kukurydziana, suszone mięso, suchary, kawa, herbata, cukier i sól były wkładane do blaszanych, lutowanych puszek. Uczestnicy wyprawy zaopatrzyli się w krótkie spodnie, flanelowe koszule, trzewiki skórzane i sztylpy oraz kapelusze z szerokim rondem. Zbyszek zakupił także różne rzeczy na zapłatę krajowcom za pomoc, usługi i do wymiany na żywność.

Zakupy i pakowanie trwały trzy dni. Wszyscy pracowali od świtu do nocy. Czwarty dzień przeznaczony był na odpoczynek i zaopatrzenie w broń i amunicję. Tego też dnia Wilson zarezerwował cały wagon! w pociągu odchodzącym nazajutrz o szóstej rano do La Paz.

\* \* \*

Pierwsza klasa w pociągu podążającym do Boliwii prezentowała się dość skromnie. Po obydwu bokach trochę staroświeckiego wagonu, nie dzielonego systemem amerykańskim na przedziały, mieściły się dwa rzędy krytych ceratą siedzeń. Pomiedzy ławkami znajdowało się przejście. Część zarezerwowanego wagonu zajęły bagaże. Pracowicie spędzone dni dały się dobrze we znaki wszystkim uczestnikom wyprawy, ale mimo to jedynie Wilson i Wu Meng drzemali na siedząco. Indianie Cubeo pierwszy raz podróżowali takim pociągiem. Onieśmieleni skupili się przy oknie i cicho wymieniali uwagi. Wilmowscy i Karscy rozmawiali siedząc naprzeciwko siebie.

Tak mijała godzina za godziną. Pociąg wciąż piął się mozolnie pod górę po zboczu. Wagony kołysały się i podskakiwały na źle utrzymanych torach. Krajobraz mijanych okolic stopniowo ulegał zmianie. Gołe pustynne piaski i wydmy z wolna ustępowały miejsca płaszczynom usianym dużymi głazami lub porośniętym karłowatymi krzewami. W miarę zbliżania się do pasm górskich widać było więcej pojedynczych drzew i rzadko rozsianych kaktusów. Wreszcie zaczęły się wyłaniać coraz wyższe wzgórza, urwiska skalne i jary.

Obydwaj Wilmowscy nie zwracali uwagi na widoki roztaczające się za oknami wagonu. Wolno pykali z fajek i rozważali sytuację.

— Trudno się dziwić Kampom, zwłaszcza nam, Polakom — mówił Wilmowski. — Któż z nas by nie chwycił za broń, gdyby tylko nadarzyła się możliwość odzyskania niepodległości naszej ojczyzny?

— Ja też wcale im się nie dziwię! — powiedział Tomek. — Przeraża mnie tylko, że powstanie wybuchło w tak złym dla nas czasie. Co się dzieje z Tadkiem i panem Smugą?! Czy jeszcze żyją?!

Wilmowski pyknął kilka razy z fajeczki, po czym rzekł:

— Sytuacja jest bardzo niebezpieczna, nawet groźna, ale Smuga to niezwykle człowiek. Z niejednego pieca jadł chleb. Pamiętasz łowy w Afryce?

— Pan Smuga znał mowę tam–tamów... — szepnął Tomek.

— Właśnie! — przytaknął Wilmowski. — Zaledwie wspomniał wtedy, w jakich okolicznościach ją poznał. Podczas wyprawy do Azji także trop w trop za nim szły różne dziwne wydarzenia.

— Pamiętam, jak bardzo nas one niepokoiły! — przyznał Tomek.

— Zanim mogłem zabrać ciebie z Warszawy, byłem ze Smugą na łowach w Ameryce Południowej — dalej mówił Wilmowski. — Nic go tutaj nie dziwiło ani zaskakiwało, a przecież nie jest to spokojny i dokładnie zbadany kontynent. Prawie wszystkie plemiona indiańskie są wojownicze, a niektóre nawet zaczepne, jak na przykład Tobowie<sup>856</sup> w Gran Chaco<sup>857</sup>, którzy do dzisiaj wojują z białymi. Tak się złożyło, że odbywaliśmy łowy zaledwie w kilkanaście lat po ich najkrwawszym powstaniu. Czy wiesz, jakie wtedy odniosłem wrażenie? Otóż wydało mi się, że Smuga znał Taikolika, ich najważniejszego przywódcę.

— To rzeczywiście daje wiele do myślenia — powiedział Tomek.

---

<sup>856</sup> — Tobą — plemię znad rzeki Pilcomayo, które prowadziło wojny z białymi aż do 1917 r. Wtedy właśnie zginął ich główny wódz i plemię zostało zmasakrowane. Podczas najkrwawszego swego powstania w 1882 r. Tobowie zdobyli boliwijską forteczkę Murillo, wycięli w pień załogę i zniszczyli konwój zbrojny kolumny wiozącej zaopatrzenie dla pogranicznych fortów. Potem wymordowali nad Pilcomayo szesnastoosobową ekspedycję naukową Juliana Creveaux, francuskiego lekarza i badacza Ameryki Południowej.

<sup>857</sup> — Gran Chaco (Kraina Wielkich Łowów) — nazwa powstała ze zniekształconego słowa „czuku”, które w języku keczua oznacza „łowisko”, i z hiszpańskiego „Gran” — wielki. Hiszpanie początkowo nazywali ten region Chaco Gualampa, ale potem ze względu na wielkość nadano mu nazwę Gran Chaco.

— Nasz Smuga jest nieco tajemniczym człowiekiem. Nie zwykł mówić o sobie. Niewiele wiemy o jego przeszłości. On przerasta nas wszystkich o głowę. Jestem jakoś dziwnie przeświadczony, że i tym razem wydostanie się z matni i wyprowadzi z niej Tadka.

— Prawdę mówiąc, ja także mam taką nadzieję — wyznał Tomek.

— Przecież to my chcieliśmy ratować pana Smugę, a tymczasem on właśnie ocalił Sally i Natkę, a potem umożliwił nam ucieczkę.

— A więc głowa do góry, synu!

— Zawsze powtarzam, że pan Smuga i Tadek nie dadzą sobie dmuchać w kaszę! — wtrąciła Sally. — Już mnie znużyło żucie koki, a w głowie wciąż zamęt. Chętnie bym się przespała, ale nie mogę zasnąć... Dingo też jakiś osowiały.

Dopiero teraz obydwaj Wilmowscy uzmysłowili sobie, że ich współtowarzysze już od dłuższego czasu nie biorą udziału w rozmowie. Tomek zerknął na żonę i Karskich, a potem spojrzał w okno wagonu.

Wokół rozpościerały się półpustynne, faliste, rudawe stepy. Rudawy odcień nadawały im charakterystyczne kępy wysokiej, szczeciniastej trawy, przeplatane tu i tam krótką zieloną murawą. Monotonny widok falistych, rudawych przestrzeni urozmaicały tylko pojedynczo rosnące kaktusy oraz samotnie sterczące kamienne iglice i odosobnione bloki skalne podobne do obronnych zamczysk. Na błękitnym tle nieba, na krańcach rozległej panoramy, rysowały się kontury dalekich gór i niczym białe obłoczki, ośnieżone szczyty. Bezkresna kraina tworzyła posępny, przygnębiający, a zarazem dziki i groźny widok.

— Ależ się zagadaliśmy, tatusiu! — zawołał zdumiony Tomek. — Przecież to już Puna Boliwijska! Nic dziwnego, że rozbolała mnie głowa i odczuwam duszności, znajdujemy się już około czterech tysięcy metrów nad poziomem morza. Zaintrygowany rozmową, nie zwróciłem uwagi na dolegliwości! Natka, jak się czujesz?!

— Trochę mnie mdli i kręci mi się w głowie — odpowiedziała Natasza.

— Nie kłopotz się o mnie. Zbyszek dał mi kokę. Język mi skołowaciał, więc tylko przysłuchiwałam się rozmowie o panu Smudze.

— Wszyscy postąpiliśmy w myśl rady wujka — odezwał się Zbyszek.

— Cubeowie i pan Wilson z zapalem żują kokę, ja mam wargi spierzchnięte, język drętwy i serce żywiej kołacze, ale czuję się nieźle.

— Za to ja zapomniałem o własnej dobrej radzie — rozweselił się Wilmowski. — Tomku, zabierzmy się do koki. Skoro to już Altiplano, to zapewne znajdujemy się na granicy chilijsko-boliwijskiej.

— Skąd taki wniosek, wujku? — zainteresował się Zbyszek.

— Kordylera Zachodnia, obramowująca od zachodu Altiplano, stanowi jednocześnie granicę między Chile i Boliwią — wyjaśnił Wilmowski.

— Nic z tego nie rozumiem — wtrąciła Natasza. — Przed chwilą Tomek powiedział, że jesteśmy w Punie Boliwijskiej, a teraz wujek mówi, że to jakieś Altiplano. Więc gdzie właściwie jesteśmy?

— A czy wiesz, co to jest puna? — przekornie zapytał Wilmowski.

— Nie jestem pewna, ale to chyba jakiś obszar górski?

— Puną nazywa się strefę wyżyn śródandyjskich, które zalegają część Peru, Boliwii, Chile i Argentyny. Pomiędzy głównymi łańcuchami Andów Boliwijskich, a więc Kordylera Zachodnią, Środkową i Wschodnią, leży część boliwijskich wyżyn śródandyjskich, nazywanych ogólnie puną, a w Boliwii Altiplano lub Puną Boliwijską. Warto wiedzieć, że Andy, obejmujące południowo-zachodnią część Boliwii, osiągają tutaj największą szerokość, od siedmiuset do ośmiuset kilometrów.

— Dziękuję, wujku! No, teraz rozumiem, że Altiplano i Puna Boliwijska znaczą to samo.

Wkrótce zapadł wieczór. Zanim uczestnicy wyprawy zdążyli ułożyć się do snu, pociąg zatrzymał się na pierwszej przygranicznej stacji w Boliwii. Tomek otworzył okno. Zaczął się rozglądać. W ciemności jednak trudno było coś zobaczyć. Z pustawego peronu dochodziły tylko poszczególne słowa rozmów w języku keczuańskim.

— Zapewne kontrola graniczna — oznajmił Tomek. — Chyba tu postoiemy dłużej.

— Tommy, zamknij okno! — poprosiła Sally. — Cóż za lodowate powietrze!

— W dzień było ciepło, ale teraz niemal mróz — zawtórowała Natasza.

— Trzeba włożyć wełniane swetry!

Za przykładem Nataszy wszyscy zaczęli wyciągać z plecaków ciepłe odzienie. Wkrótce do wagonu wkroczył celnik w asyście oficera i dwóch uzbrojonych żołnierzy.



— Dobry wieczór! — po hiszpańsku uprzejmie powitał oficer, obrzucając błyskawicznym spojrzeniem podróżnych, których stać było na wynajęcie dla siebie całego wagonu. Od razu też zauważył pasy z rewolwerami na biodrach Tomka i Zbyszka oraz karabiny leżące na ławce obok opatulonych w kuźmy Indian Cubeo. Wymienił z celnikiem porozumiewawcze spojrzenie.

Nie uszło to uwagi Wilmowskiego, uśmiechnął się i równie uprzejmie powitał przybyłych:

— Dobry wieczór! Miło nam ujrzeć pierwszych przedstawicieli władz boliwijskich. Jesteśmy uczestnikami angielskiej wyprawy badawczo-naukowej. Proszę, oto dokumenty urzędowe sporządzone w języku angielskim i hiszpańskim.

Oficer wziął dokumenty, po czym z celnikiem odeszli na bok i zaczęli je przeglądać. Rozmawiali po cichu. Narada trwała kilka minut, po czym oficer zbliżył się do Wilmowskiego i rzekł:

— Bardzo dziękuję! Papiery w porządku. Dokąd macie państwo zamiar się udać?

— Z La Paz wyruszamy ku granicy brazylijskiej — wymijająco odrzekł Wilmowski.

— Może celem wyprawy jest Mato Grosso?

Zanim Wilmowski zdążył odpowiedzieć, Tomek się odezwał:

— Podziwiam pana domyślność! Właśnie zdążamy do Mato Grosso. To jeszcze dzika i mało znana kraina.

— Bardzo dobrze! — powiedział oficer.

— Zimno tutaj po zachodzie słońca — wtrącił Wilmowski. — Przed chwilą ubraliśmy się cieplej i skosztowaliśmy rumu na rozgrzewkę. Panom zapewne także daje się we znaki ten chłód. Zbyszku, pomyśl o naszych gościach! Ten młody mężczyzna jest intendentem wyprawy — wyjaśnił.

Podczas gdy Zbyszek częstował żołnierzy i celnika, oficer pochylił się ku Wilmowskiemu — To pan jest dowódcą wyprawy? — zapytał ściszym głosem.

— Tak — potwierdził Wilmowski.

— Niech pan posłucha dobrej rady! Zaraz po przybyciu do La Paz należy zgłosić wyprawę do odpowiednich władz. Obcy uzbrojeni mężczyźni... Mogą być poważne kłopoty, zwłaszcza teraz!

— Kłopoty?! — zdumiał się Wilmowski. — Nie rozumiem...

— Zrozumiesz wszystko, senior! — przerwał mu oficer. — Zdrowie państwa! — wychylił pół szklanki rumu, zapalił papierosa i zawołał:

— Pomyślności!

Żołnierze razem z celnikiem wyszli na peron. Pociąg wkrótce ruszył w drogę. Sally i Natasza zaczęły przygotowywać posłania. Dopiero gdy Cubeowie i Wu Meng pokładli się na ławkach. Wilmowski przywołał Tomka, Zbyszka i Wilsona.

— Czy to narada, ojcze? — zagadnął Tomek. — Zauważyłem, że ten oficer rozmawiał z tobą po cichu.

— Właśnie chcę was o tym poinformować — powiedział Wilmowski.

— Otóż radził mi zgłosić się do odpowiednich władz natychmiast po przybyciu do La Paz. Oto jego słowa: „*Obcy uzbrojeni mężczyźni, mogą być poważne kłopoty, zwłaszcza teraz!*”

— Jakie kłopoty i dlaczego teraz?! — zdziwił się Tomek.

— O to też zapytałem — dodał Wilmowski. — A on odparł: „*Zrozumiesz wszystko, senior.*”

— Co by to mogło znaczyć? — zastanawiał się Wilson.

— Może chodziło mu o Mato Grosso? — wtrącił Zbyszek. — Tomku, dlaczego powiedziałaś, że idziemy do Mato Grosso?

— Uważani, że nie powinniśmy rozpowiadać wszystkim o rzeczywistym celu wyprawy. Każda zbrojna ekspedycja zawsze budzi nieufność i podejrzenia, szczególnie w tak bardzo indiańskim kraju<sup>858</sup> jak Boliwia.

— Tylko mnie uprzedziłeś, Tomku. Odpowiedziałbym tak samo jak ty — pochwalił Wilmowski. — W La Paz sprawa się wyjaśni. Spróbujmy się trochę przespać.

Nazajutrz krajobraz nie uległ zmianie. Czasem tylko ukazywały się nędzne wioszczyzny indiańskie. Chaty, kryte trawą bądź przypominające kopułki kościelne, zbudowane były z kamienia i gliny, jedynych dostępnych budulców w tym bezleśnym regionie. Wokół wioszczyn leżały ubogie poletka kartofli, owsa i cebuli. Na zboczach pagórków wypasały się stada lam i owiec. Lamy były podstawą egzystencji mieszkańców puny, dostarczały mleka, sera,

<sup>858</sup> — Ludność indiańska — Ajmarowie i Keczuanie, stanowi 52% ogółu mieszkańców Boliwii, 32% to Metysi, zwani cholos, a 16% Kreole — potomkowie konkwistadorów — rządzący krajem.

łuszczu, mięsa i wełny, służyły jako zwierzęta juczne. Toteż od czasu do czasu na rozległych bezdrożach ukazywały się karawany objuczonych lam, prowadzone przez barwnie ubranych i przygrywających sobie na fujarkach poganiaczy. Tu i tam na jasnym tle nieba pojawiały się, niby symbole jałowej krainy, sępy i kondory.

Tomek, jakby zafascynowany monotonią krajobrazu, głęboko zamyślony spoglądał w okno wagonu.

— Tommy, czy nie nasyciłeś się jeszcze widokiem pustkowi? — zagadnęła Sally. — Sprawiasz wrażenie, jakbyś myślami był zupełnie gdzie indziej.

Tomek drgnął jak człowiek nagle przebudzony ze snu, odwrócił się do żony i odparł:

— Nie mylisz się, Sally! Wędrowałem właśnie po Azji Środkowej...

— Po Azji?! — zdziwiła się Sally. — Dlaczego akurat teraz?

— Przypadkowe skojarzenie. Puna charakterem swym, a zwłaszcza kontynentalizmem i roślinnością, przypomina Wyżynę Tybetańską, w której omal nie przepadliśmy z panem Smugą.

— To podczas tamtej wyprawy lamowie tybetańscy cię uprowadzili! Opowiadałeś mi tę niezwykłą przygodę. Nigdy jednak nie byłam w Tybecie. Czy tam również są takie olbrzymie górzyska i pustynie?

— Jeszcze jakie! Średnia wysokość Wyżyny Tybetańskiej sięga około czterech tysięcy pięciuset metrów, ale w wielu pasmach górskich znacznie przekracza sześć tysięcy. Zachodni Tybet zalegają rumowiska skalne, płaszczyzny pokrywa lita skała, a wklęsłości wypełniają słone pustynie piaszczyste lub kamieniste. Tak jak w Punie Boliwijskiej, w licznych zagłębieniach Wyżyny Tybetańskiej wytworzyły się jeziora.

— Bardzo trafne porównanie! — pochwalił Wilmowski. — Boliwia pod względem ukształtowania powierzchni dzieli się na dwa regiony: zachodni, który stanowią ubogie w florę i faunę Andy, oraz wschodni, obejmujący wielkie, trawiaste równiny, zwane liano. Wschodnia część Wyżyny Tybetańskiej również posiada bujniejszą roślinność.

— Aż trudno uwierzyć, że na tak znacznych wysokościach mogą się znajdować wielkie jeziora! — wtrąciła Natasza.

— A jednak się znajdują! — zauważył Zbyszek. — Pamiętam ze szkoły, że Titicaca<sup>859</sup> jest największym jeziorem na kontynencie południowoamerykańskim i zarazem najwyżej położonym żeglownym jeziorem świata.

— Widać, że pilnie uczyłeś się geografii — zauważył Tomek.

— Szczególnie po twoim wyjeździe z Warszawy zakiełkowała we mnie chęć poznania świata.

— Titicaca jest świętym jeziorem Indian andyjskich — powiedział Wilmowski. — Wiąże się z nim wiele legend i podań. Z Wyspy Słońca na jeziorze miał wypłynąć Manko Kapak z żoną Mamą Oklio, żeby utworzyć wielkie imperium Inków. Założyli miasto Cuzco<sup>860</sup>, które stało się stolicą państwa. Ten pierwszy Inka, uważany za syna Słońca, miał według legendy nauczyć ludzi uprawy ziemi, różnych rzemiosł i kopalnictwa.

— Od dawna marzę o zwiedzeniu Cuzco — zawołała Sally. — Tommy, musisz mi obiecać, że gdy kiedyś czas pozwoli, to wybierzemy się do Peru. Chciałabym zobaczyć to, o czym się uczę z podręczników.

— Świetny pomysł! — przytaknął Wilmowski. — W tym prastarym kraju jest jeszcze wiele niespodzianek! Wciąż odnajduje się w górach i dżunglach ruiny starożytnych miast, świątyń, fragmenty dróg wykładanych kamieniem. Dawne imperium Inków to nie tylko Peru, obejmowało też Ekwador, Boliwię, Chile i północno-zachodnią Argentynę. Niejedno jeszcze

---

<sup>859</sup> — Titicaca — jezioro na obszarze Altiplano na wysokości 3812 m n.p.m. Długość jeziora wynosi około 248 km, szerokość do 124 km, głębokość do 304 m, powierzchnia około 8,3 tys. km<sup>2</sup>. Titicaca posiada dużo wysp, 5 większych półwyspów, 4 zatoki i 2 cieśniny. Wpływa do niego 45 rzek, a wypływa tylko jedna — Desaguadero (długości 320 km), która uchodzi do słonego jeziora Poopo, leżącego na wysokości 3690 m n.p.m. Część Titicaki należy do Peru, część do Boliwii. Charakterystycznym środkiem lokomocji na jeziorze są łodzie z trzciny, zwane *caballitas de totora*. Basen Titicaki jest jednym z najstarszych ośrodków prekolumbijskiej kultury materialnej i jednym z najgęściej dziś zaludnionych regionów Ameryki Łacińskiej.

<sup>860</sup> — Cuzco — jedno z najstarszych miast na półkuli zachodniej, leżące w głębokiej dolinie śródandyjskiej na wysokości około 3496 m n.p.m. W języku keczua *cuzco* oznacza „*pępek świata*”, co najlepiej symbolizuje jego dawne znaczenie. Założone prawdopodobnie w XII w., a więc na ponad 400 lat przed najazdem hiszpańskim, było stolicą państwa Inków. Pomimo licznych trzęsień ziemi w mieście i okolicy zachowały się z czasów inkaskich: Świątynia Słońca, twierdza, ruiny jedenastowiecznego pałacu, kamienne fundamenty domów, mur z ciosowego kamienia. Pizarro w r. 1533 zajął Cuzco, które w trzy lata później zostało spalone podczas powstania Manko Kapaka, bezpośredniego potomka króla Huayny Kapaka. Na gruzach Cuzco Hiszpanie zbudowali nowe miasto, potem poważnie zniszczone w 1650 r. przez trzęsienie ziemi.

odkrycie zadziwi tutaj archeologów<sup>861</sup>. Słuchaj, Sally, jeżeli kiedyś będziecie chcieli wyruszyć na poszukiwanie prastarych zabytków, chętnie się do was przyłączę.

— Trzymam cię za słowo, tatusiu! Może uda się nam dokonać jakiegoś niezwykłego odkrycia.

\* \* \*

Wkrótce po świcie pociąg zatrzymał się w małym osiedlu. Uczestnicy wyprawy skupili się przy oknach wagonu. Choroba wysokościowa niemal wszystkim dawała się we znaki. Po bezsennej nocy byli osłabieni zawrotami głowy, ustawicznym szumem. Przez otwarte okna wtargnęło do wagonu chłodne, rześkie, odurzające powietrze.

Mały budynek dworcowy i wiata kryta blachą falistą tworzyły stację. W pobliżu widać było kilkanaście chat krytych strzechami, uprawne poletka i małe stada lam. Wokół, jak okiem sięgnąć, rozpościerał się szarorudawy step, tu i tam upstrzony owalnymi pagórkami. Teraz jednak na dalekim horyzoncie piętrzyło się znacznie więcej niebotycznych, pokrytych wiecznym śniegiem szczytów górskich. Był to znak, że po przeszło trzydziestogodzinnej mozolnej jeździe pociąg już zbliża się do końcowej stacji.

Na peronie, mimo wczesnej pory, oczekiwała spora gromada śniadoliczych pasażerów z dużymi tobołami, w których zapewne wieźli na targ swoje produkty. Indianki i Metyski odziane były w szerokie, pasiaste spódnice, kolorowe koszule, szerokie wełniane spodnie podwiązane u dołu, krótkie kurteczki i kolorowe poncza, a na głowach pod kapeluszami, dla ochrony przed chłodem, nosiły chullo — małe wełniane czapeczki zdobione białymi guziczkami.

Podczas postoju pociągu na stacji panował ożywiony ruch. Niektórzy podróżni wyszli na peron, żeby przekąsić coś w rozstawionych kramikach, w

---

<sup>861</sup> — Wilkowski się nie mylił, w 1911 r. Hiram Bingham odkrył w peruwiańskich Andach na północny zachód od Cuzco, wysoko nad wąwozami i przepaściami rzeki Urubamba, ruiny starożytnej fortecy Inków — Machu Picchu (Wysoka Góra), której nie zdołali znaleźć zaborczy konkwistadorzy. Zapewne była to forteca, gdzie ukryli się pozostali przy życiu Inkowie po zdobyciu Cuzco przez Hiszpanów. Rozległe ruiny Machu Picchu obejmują świątynie i twierdzę otoczoną ogrodami tarasowymi.

których sprzedawano pierożki saltenas<sup>862</sup>, kawałki pieczonego mięsa nadziane na patyki, gotowane korzenie manioku, owoce, chichę, listki koki i papierosy.

Tomek z Dingiem oraz wszyscy mężczyźni uczestniczący w wyprawie również wyszli na peron, aby po długim siedzeniu w wagonie rozprostować nogi i odetchnąć orzeźwiającym powietrzem. Cubeowie, Wilson i Zbyszek zjedli pieczone mięso, zapijając je chichą. Dingo także dostał kilka kawałków mięsa, Wilmowscy zaś i Wu Meng posilili się pierożkami, które również kupili dla kobiet.

Po kilkunastominutowym postoju pociąg ruszył w drogę.

---

<sup>862</sup> — Saltenas — specjalność argentyńska, pierożki napełnione farszem z mięsa wołowego lub kurzego, oliwkami, jajami gotowanymi na twardo i pikantnymi przyprawami.

## OSTATNI POCIĄG Z LA PAZ

Jakoś niezbyt gościnnie wita nas ta najwyżej na świecie położona stolica<sup>863</sup> — zauważył Tomek wychylając się przez okno wagonu. — Spójrz, ojcze!

Wilmowski zaintrygowany przystanął obok syna. Pasażerowie właśnie wysiadali z pociągu, obarczeni tobołami z wolna podążali ku zaniedbanemu, małemu budynkowi dworca. Wielu przystawało przy głośno dyskutujących kolejarzach i tragarzach. Po peronie krążyły patrole uzbrojonych mężczyzn ubranych po cywilnemu.

— Chyba dzieje się tutaj coś niezwykłego — odezwał się Wilmowski. — Zanim wysiadziemy, trzeba zasięgnąć języka.

— Oficer na granicy radził zgłosić wyprawę odpowiednim władzom natychmiast po przybyciu do La Paz — przypomniał Tomek. — To chyba jakieś poważniejsze niepokoje, skoro już o nich wiedział.

— Niech nikt nie wychodzi na peron, zanim nie porozumiem się z żołnierzami pilnującymi dworca — zarządził Wilmowski.

Wilson, Tomek i Zbyszek z okna obserwowali Wilmowskiego podążającego ku żołnierzom.

— Nie widać ani jednego białego! — zafrasował się Zbyszek. — Z gadaniny na peronie nic nie można zrozumieć!

— Panie Wu Meng! Czy nie orientuje się pan, o czym oni tak dyskutują? — zwrócił się Wilson do Chińczyka, który także wychylał się przez otwarte okno.

— Mówią coś o rewolucji... — wyjaśnił Wu Meng.

---

<sup>863</sup> — La Paz Ayacucho — faktyczna stolica Boliwii (oficjalną jest Sucre), siedziba rządu, ośrodek administracyjny departamentu La Paź, położona na wysokości od 3600 do 4100 m n.p.m. w głębokiej dolinie śródgórskiej rzeki La Paź, u podnóża pokrytego wiecznym śniegiem i lodem masywu wulkanicznego Illimani (6882 m n.p.m.). La Paź, największe miasto Boliwii, stanowi główny ośrodek gospodarczy i kulturalny, jest ważnym węzłem kolejowym i drogowym (ma połączenie z Drogą Panamerykańską), posiada port lotniczy. La Paź założył Alonso de Mendoza w 1548 r. pod nazwą Pueblo Nuevo de Nuestra Senora de la Paź (Miasto Matki Boskiej Pokoju), którą w 1827 r. przemianowano na La Paź de Ayacucho (Pokój w Ayacucho) dla uczczenia decydującej o niepodległości Boliwii bitwy, stoczonej w 1824 r. pod Ayacucho przez boliwijskiego generała A.J. Sucre z wojskami hiszpańskimi.

— Do licha, tego nam jeszcze brakowało! — zawołał Zbyszek.

— Boliwia znana jest z zamieszek politycznych — rzekł Wilson. — Co najmniej raz w roku mają tu miejsce zbrojne zamachy stanu, powstania lub rewolucje<sup>864</sup>.

— Nieszczęsny kraj! Nędza burzy umysły! — wtrącił Tomek. — Boliwia przecież, Ekwador, Paragwaj i Haiti są najbiedniejszymi państwami w Ameryce Łacińskiej.

— A jakże, ma pan rację! — przytaknął Wilson.

— Piękną trasę wybrali panowie — odezwała się Sally. — Nie chcieliśmy przedzierać się przez tereny ogarnięte buntem Kampów, więc w zamian mamy rewolucję w Boliwii!

— Sally, jak możesz tak mówić! — oburzyła się Natasza.

— To tylko wisielczy żart — odparła Sally. — Przecież nikt nie mógł przewidzieć, że dostaniemy się z deszczu pod rynnę!

— Uspokójcie się obydwie! — zgromił je Zbyszek. — Wujek wraca w asyście żołnierzy.

Po chwili do wagonu wszedł Wilmowski z oficerem i trzema żołnierzami uzbrojonymi w karabiny. Wojskowi na widok broni w wagonie obrzucili uczestników wyprawy nieufnymi spojrzeniami.

— Złe wieści, moi drodzy! — odezwał się po angielsku Wilmowski. — W północnych departamentach Boliwii rebelia. Podobno rewolucjoniści chcą iść na La Paz. W mieście stan wyjątkowy i godzina policyjna. Wojna domowa wisi na włosku! Pamiętajcie, dokąd podążamy! — dodał znacząco.

— Senior, nic nie rozumiem! — oburzył się oficer. — Mów po hiszpańsku albo lepiej używaj ajmara lub keczua! Powiedziałeś, że chcesz się porozumieć z władzami. No dobrze, żołnierze doprowadzą cię na plac Murillo do Palacio Quemada. Tam urzędują ministrowie, może uda ci się mówić z którymś z nich. Ale musisz iść bez broni!

— Dobrze, ale co mają robić moi towarzysze? Musimy opuścić pociąg i wyładować bagaże. Czy jest tu w pobliżu jakiś hotel?

— Wszyscy zostaną w wagonie aż do twego powrotu, señor! — kategorycznie oświadczył oficer.

---

<sup>864</sup> — W ciągu 161 lat od uzyskania w 1825 r. niepodległości w Boliwii miało miejsce 190 zamachów stanu, przewrotów bądź rewolucji.



— A jeśli pociąg tymczasem odjedzie? Oficer wzruszył ramionami i odparł:

— Tym się nie kłopotcz, senior! Żaden pociąg już stąd nie wyruszy ani tu nie przyjedzie. Wszelka komunikacja unieruchomiona w całym kraju. Każę odstawić ten wagon na boczny tor, a żołnierze będą pilnowali, żeby nikt nie wychodził na peron.

— Ależ, senior, przecież będę musiał wyprowadzić psa — oburzył się Tomek.

— Psa? No, tak! Zrobisz to po odstawieniu wagonu na boczny tor. Powiem żołnierzom. Idziemy, senior!

— Tomku, gdybym nie wrócił do wieczora, wyprawa na twojej głowie — po polsku powiedział Wilmowski. — Zrobisz, co będziesz uważał za stosowne. Zachowajcie ostrożność.

Zanim Tomek zdążył odpowiedzieć, Wu Meng podszedł do oficera i zaczął mówić w języku keczua. Oficer zadowolony kiwnął głową i zwrócił się do Wilmowskiego:

— Nie powiedziałaś, senior, że masz człowieka znającego keczua i ajmara. Zabierz go, będzie tłumaczem.

— Dziękuję, Wu Meng — rzekł Tomek. — Będziemy spokojniejsi o ciebie, ojczy!

Wilmowski i Chińczyk wyszli na peron. Oficer tymczasem pozostawił dwóch żołnierzy na straży przed wagonem, po czym poprowadził Wilmowskiego i Wu Menga ku dworcowi.

— Tommy, boję się o tatusia! — odezwała się Sally. — Na ulicach na pewno nie jest zbyt bezpiecznie!

— Uspokój się, Sally! Ojciec jest starym rewolucjonistą. W Warszawie dobrze dał się we znaki okupantom rosyjskim. Wyznaczyli nawet nagrodę za jego schwytanie. Da sobie radę i tutaj, tym bardziej że ma angielski paszport.

— Wu Meng zachował się na medal — przyznał Zbyszek. — Zaraz widać, że rewolucje go nie przerażają!

Zaczął się pełne niepewności oczekiwanie na powrót Wilmowskiego. Pod nadzorem żołnierzy przetoczono wagon zajmowany przez wyprawę na boczny tor, a potem kolejarze opuścili stację. Przy wejściach do wagonu stanęła straż. Dworzec z wolna pustoszał. Zdezorientowani i wystraszeni podróżni porozchodzili się, zniknęli żebracy i natrętni tragarze węszący za

zarobkiem. Grupka uzbrojonych cywilów z opaskami na rękawach patrolowała perony, wojsko zajęło budynek dworcowy.

Tomek dzielnie nie poddawał się słabości powodowanej chorobą górską. Zachęcał przyjaciół do wypoczynku koniecznego podczas kilkudniowej aklimatyzacji. W zastępstwie nieobecnego kucharza kobiety i Zbyszek zajęli się przygotowywaniem lekkiego posiłku, podczas gdy Tomek z Wilsonem uważnie śledzili wszystko, co się działo na stacji. Zerkając w okno studiowali mapę Boliwii.

— Jeżeli potwierdzi się, że rewolucja ogarnęła północne departamenty, to mamy odciętą drogę do Cobija — odezwał się Tomek. — Zamierzaliśmy przecież popłynąć rzeką Beni na północ ku granicy brazylijskiej...

— Teraz to nie wchodzi w rachubę. Indianie boliwijscy nienawidzą białych, więc podczas rewolucji są tym bardziej niebezpieczni — rzekł Wilson. — Wszystkie rzeki tutaj płyną z południa na północ. Gdybyśmy natomiast ruszyli na wschód ku Mato Grosso, musielibyśmy jechać konno. Ile czasu by to pochłonęło?! Pociągi nie kursują. Zostaliśmy uwięzieni w La Paz. Nie pozwalają nam wyjść z wagonu! Beznadziejna sytuacja. Nie ma rady, musimy czekać na rozwój wypadków.

— Nie możemy czekać! — zaproponował Tomek. — Czy pan zdaje sobie sprawę, co tutaj będzie się działo, gdy rozgorzeje wojna domowa?! Poza tym, co się stanie z panem Smugą i Nowickim, jeśli utkniemy w La Paz?!

Wilson zafrasowany pochylił się nad mapą. Po dłuższej chwili zagadnął:

— A gdyby tak wycofać się na południe i od wschodu obejść departamenty ogarnięte rewolucją?

Tomek spojrzał na mapę. Na południowym wschodzie rzucał się w oczy napis Chaco Boreal. Była to północna część osławionego Gran Chaco<sup>865</sup>, uchodzącego za Dzikie Zachód Ameryki Południowej.

---

<sup>865</sup> — Gran Chaco — olbrzymia nizina rozpościerająca się od rzeki Paragwaj na wschodzie aż do stóp Andów Środkowych na zachodzie i od boliwijskich llanosów i Mato Grosso na północy po rzekę Salado na południu. Obszar ten, liczący około 700 tys. km<sup>2</sup>, geografowie podzielili na trzy części: Chaco Boreal (północne) ograniczone od południa rzeką Pilcomayo, Chaco Central (środkowe) między rzekami Pilcomayo i Beremejo oraz Chaco Austral (południowe) od Beremejo po rzekę Salado. Gran Chaco obejmuje północno-zachodnią część Argentyny, część środkowego Paragwaju i obecnie skrawek Boliwii. Podczas pobytu wyprawy Wilmowskich większa część terenów Chaco Boreal (tereny, na których później odkryto naftę) należała jeszcze do Boliwii. Dopiero w latach 1932–35 w wojnie z Paragwajem o Chaco Boreal Boliwia utraciła 2/3 spornego terytorium. Boliwia w trzech wojnach utraciła ogólnie 1/4 swego terytorium: w wojnie o saletrę z Chile pustynię Atakama i dostęp do Pacyfiku

Tomek się zadumał. Boliwia wyraźnie dzieliła się na dwa wielkie regiony. Część zachodnią zalegały Andy, których wschodnie stoki były porośnięte dziewiczymi lasami, część wschodnią natomiast tworzyły bezleśne równiny — llanosy, zwane także w różnych częściach od rzek przez nie płynących: Niziną Beni, Llanos Mamore, a na południu Llanos de Mojos. Liczne duże rzeki były jedynymi dostępnymi szlakami komunikacyjnymi z południa na północ rozległych sawann, na których w porze deszczowej powstawały wielkie rozlewiska wodne i bagniska. W czasach przedhiszpańskich llanosy były stosunkowo gęsto zaludnionym przez Indian obszarem rolniczym, lecz Hiszpanie zniszczyli kulturę indiańską. Mimo to kraina ta nie była całkowicie nieznana. Obecnie jednak przebycie jej było niemożliwe.

W kierunku południowym llanosy przechodziły w stepowe obszary Gran Chaco, prawie zupełnie wówczas jeszcze nie zbadane.<sup>866</sup> Była to tajemnicza kraina wolnych szczepów indiańskich. Burzliwa historia Gran Chaco nie była obca Tomkowi. Hiszpanie, jako pierwsi Europejczycy, próbowali wtargnąć do Chaco Południowego. Żeglując Paraną na początku szesnastego wieku, chcieli wpłynąć na rzekę Beremejo, ale wojownicze szczepy indiańskie zmusiły ich do zawrócenia. Od tego czasu Chaco Południowe stało się areną walk obronnych Indian i karnych wypraw hiszpańskich. Później, w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym szóstym, karna ekspedycja hiszpańska wyruszyła do zniszczonej przez Indian osady San Bernardo. Dzięki nowoczesnej broni stoczyła zwycięską bitwę z obozami kacyków Siketroike i Noigdike, ale z powodu trudności w przedzieraniu się przez lasy musiała zawrócić. Dopiero zbudowanie pasa obronnych forteczek zakończyło burzliwą historię Chaco Południowego.

Chaco Środkowe i Północne stanowiły jeszcze na mapie białą plamę. Legendarne opowieści mówiły o wojowniczych Gwaranach, którzy wędrując z dalekiej rzeki Paragwaj przez bezdroża Gran Chaco zagrozili potężnemu państwu Inków i dotarli aż do obecnego Santa Cruz w Boliwii. Indianie Tobą

---

(1879–84), w 1903 r. straciła terytorium Acre na rzecz Brazylii, a w latach 1932–35 większą część swego Gran Chaco.

<sup>866</sup> — Do lat trzydziestych XX wieku rzadko zaludnione Gran Chaco jeszcze nie było ‘j zbadane. Obecnie również znaczna część tej krainy jest ostoją niezależnych plemion indiańskich.

wciąż jeszcze występowali przeciwko białym. A ile tam mogło znajdować się innych wrogich plemion?

— Nad czym pan tak się zamyślił? — zagadnął Wilson.

— Rozmyślałem właśnie o tym, co powiedział pan przed chwilą — wyjaśnił Tomek. — Przez Gran Chaco moglibyśmy przedostać się do rzeki Paragwaj, potem zaś statkiem popłynąć na północ wzdłuż wschodniej granicy boliwijskiej.

— Tak, to miałem na myśli — potwierdził Wilson. — Cóż jednak możemy zrobić, skoro koleje nie kursują?

— Prawdziwy węzeł gordyjski — rzekł Tomek ciężko wzdychając.

— Nie traćmy nadziei, może pan Wilmowski okaże się drugim Aleksandrem Wielkim? — zażartował Wilson.

— Nie pozostało nam nic innego, jak czekać na powrót ojca — zakończył Tomek, zabierając się do kanapek przygotowanych przez kobiety.

Minęło południe. Uczestnicy wyprawy z coraz większym niepokojem, a nawet obawą czekali na Wilmowskiego i Wu Menga. Na stację tymczasem zaczęło przybywać więcej wojska. Piechurzy ustawiali w kozły karabiny i obsiadali perony.

— Nic dobrego nie wróży ta koncentracja wojska na dworcu — odezwał się Zbyszek wyjrzawszy przez okno.

— Gdyby na ulicach dochodziło do starć, słyszelibyśmy strzały — zauważyła Natasza.

— Oby tylko ojciec powrócił szczęśliwie! Ciężka to dla nas próba cierpliwości — mruknęła Sally. — Już sama nie wiem, czy o mdłości przyprawia mnie choroba górską czy zdenerwowanie.

— Bierzmy przykład z naszych Cubeów — powiedział Tomek. — Zachowują stoicki spokój!

— Nareszcie jest pan Wilmowski! — nagle zawołał Wilson.

— Dzięki Bogu! — z ulgą odetchnął Zbyszek.

— Tak, tak! Są obydwaj, ojciec i Wu Meng! — potwierdził Tomek.

— Przyszli z jakimś oficerem wyższym rangą... to chyba generał?! Wydaje rozkazy swojej świcie!

Po kilku minutach Wilmowski i Wu Meng weszli do wagonu. Wyglądali na zmęczonych, ale Wilmowski był spokojny, obrzucił wzrokiem podnieconych przyjaciół i oznajmił:

— Ruszamy na południe! Wagon zostanie doczepiony do pociągu wojskowego, który ma przewieźć żołnierzy wiernych rządowi do Sucre<sup>867</sup> w celu wzmocnienia garnizonu. Jest to jedyny i ostatni pociąg odchodzący z La Paz. Granice Boliwii zostały zamknięte, unieruchomiono biura korespondentów zagranicznych. Boliwia jest odcięta od świata.

— A więc mamy naszego Aleksandra Macedońskiego! — zawołał uradowany Wilson.

Wilmowski zdziwiony spojrział na niego i zapytał:

— Kogo pan ma na myśli?

— Pan jest naszym Aleksandrem Macedońskim! Rozciął pan przecież węzeł gordyjski, do którego pan Tomek przyrównywał naszą skomplikowaną sytuację! — wyjaśnił Wilson.

Wilmowski roześmiał się i powiedział:

— Jest jednak między nami różnica: Aleksander Wielki dokonał tego mieczem, mnie natomiast wystarczyło wyjęcie w odpowiedniej chwili portfela. Zdam dokładną relację, ale najpierw dajcie nam coś zjeść, obydwaj jesteśmy zmęczeni i głodni.

Wilmowski i Wu Meng usiedli na ławkach naprzeciwko siebie i częstując się wzajemnie, jedli w milczeniu. Wilmowski zaledwie zaspokoił głód, zapalił fajkę, po czym się odezwał:

— Wiem, że niecierpliwie czekacie na wyjaśnienia. Otóż trudno było porozumieć się z kimkolwiek z władz. Ministrowie w panice. Z północy kraju nadchodzą sprzeczne wieści. Podobno rebelianci maszerują na La Paz, żeby obalić prezydenta i rząd. W mieście liczne aresztowania. Sklepy, kramy, restauracje i hotele nieczynne. Domy pozamykane na cztery spusty. Na ulicach demonstracje ludności, dochodzi do sporadycznych starć uzbrojonych bojówek z wojskiem. Atmosfera, jakby za chwilę miała wybuchnąć wojna domowa.

— To wygląda bardzo groźnie — rzekł Wilson. — Co jest przyczyną rebelii?

---

<sup>867</sup> — Sucre — konstytucyjna stolica Boliwii, leży na wysokości około 2700 m n.p.m. u stóp Kordyliery Centralnej. Przed podbojem hiszpańskim była to osada indiańska zwana Charcas, na której miejscu w 1538 r. konkwistador Pedro Anzures założył miasto Chuquisaca, przemianowane później na La Plata. Po stłumieniu powstania antyhiszpańskiego w 1809 r. miasto było głównym w tym regionie ośrodkiem militarnym Hiszpanów. W 1839 r. La Platę przemianowano na Sucre na cześć generała A.J. de Sucre, pierwszego prezydenta Boliwii. Odtąd też jest stolicą konstytucyjną.

— W kraju, w którym większość mieszkańców żyje na skraju nędzy, niewiele trzeba do wybuchu protestu — odparł Wilmowski. — Tym razem niepokoje rozpoczęły się w pobliżu granicy boliwijsko–brazylijskiej i rozszerzają się na północne departamenty. O co jednak naprawdę chodzi i co się tam dzieje, nikt jeszcze nie wie. Można tylko snuć pewne domysły. Nadgraniczne lasy obfitują w drzewa kauczukowe. Są więc tam obozy zbieraczy kauczuku, w których nagminnie stosuje się brutalną przemoc w stosunku do Indian zmuszanych do ciężkiej pracy. Grasują tam także łowcy niewolników. W północnych rejonach Boliwii istnieje jeszcze drugi punkt zapalny. Indianie i Metysi na poletkach ukrytych w dżungli uprawiają krzewy koki. Boliwia i Peru są przecież największymi producentami liści koki i półproduktów narkotycznych. Boliwia ratuje swą upadającą gospodarkę eksportem kokainy, ale z tego śmiernionego handlu również czerpią pokaźne zyski ludzie z kół rządowych i wojskowych. Obecny prezydent zapowiada jakieś zmiany w gospodarce kraju. Łatwo mógł się narazić producentom i handlarzom koki, którzy tworzą silne i ustosunkowane nielegalne organizacje. W takiej powikłanej sytuacji wrzenie mogło wybuchnąć z różnych i niezależnych od siebie przyczyn.

— Sally miała rację, mówiąc, że wpadliśmy z deszczu pod rynnę — zauważył Tomek. — W jaki sposób, ojczy, udało ci się w tym galimatiasie uzyskać zezwolenie na skorzystanie z pociągu wojskowego?

— W policji wszyscy bezradnie rozkładali ręce. W tej chwili władzę sprawuje kilku generałów opowiadających się za prezydentem. Udało mi się wreszcie dostać do najważniejszego z nich. Angielskie dokumenty ułatwiły dojście. Od razu było widać, że obecność obcej wyprawy naukowej w La Paz w tak burzliwym czasie nie jest władzom na rękę. Toteż gdy generał oświadczył, że koleje są całkowicie unieruchomione i z La Paz odjedzie tylko jeden jedyny pociąg z wojskiem do Sucre, zacząłem nalegać o pozwolenie na skorzystanie z tej ostatniej okazji. Uznano mój argument, że przez Gran Chaco możemy się przedostać do rzeki Paragwaj i popłynąć dalej statkiem do Mato Grosso.

W tej chwili na stacji wszczął się ruch. Rozbrzmiały słowa komendy. Żołnierze brali karabiny ustawione w kozy, zakładali plecaki. Rozległ się przeciągły gwizd lokomotywy, po czym pociąg składający się z kilku wagonów wolno wjechał na stację.

Oficerowie grupowali żołnierzy w oddziały, które kolejno wsiadały do pociągu. Kilku kolejarzy pod nadzorem zbrojnej straży zestawiało skład pociągu. Lokomotywa zaczęła manewrować po torach. Do wagonów osobowych dołączono wagony towarowe dla sprzętu i koni oraz dwie platformy z armatami. Na samym końcu lokomotywa przetoczyła wagon zajmowany przez wyprawę, który został doczepiony do pociągu wojskowego. Generał ze swoim adiutantem przyszedł do Wilmowskiego, żeby powiadomić go o rychłym odjeździe pociągu. Zapewne też chciał osobiście przyjrzeć się uczestnikom europejskiej wyprawy do Mato Grosso. Widok dwóch młodych, ładnych białych kobiet pozwolił mu pozbyć się obaw, spędził prawie pół godziny na miłej pogawędce. Oczywiście nie obyło się bez poczęstunku przygotowanego przez Wu Menga. Generał wreszcie spojrzął na zegarek i oznajmił, że odjazd pociągu nastąpi już za kwadrans. Zaraz też pożegnał się i życząc wszystkim dobrej nocy, wyszedł z adiutantem. Wkrótce rozległ się gwizd lokomotywy, pociąg ruszył w drogę. Dopiero teraz Wilmowski odetchnął z ulgą i rzekł:

— Mamy przed sobą około sześciuset kilometrów jazdy. Do Sucre powinniśmy przybyć po świcie. Już nie czuję nóg, nareszcie będę mógł odpocząć!

— Wujku, czy Sucre leży tak samo wysoko jak La Paz? — zapytała Natasza. — Zawroty głowy mi nie ustępują.

— Na pewno wszyscy poczujemy się lepiej w Sucre, leży przecież ponad tysiąc trzysta metrów niżej od La Paz — odparł Wilmowski. — Poza tym za dzień lub dwa ruszymy na południowy wschód i pożegnamy się z Andami. Ja także mam już dosyć gór. Wędrówka z dworca w asyście żołnierzy była nieustanną wspinaczką. Nie ma tramwajów ani dorożek. Stare, wąskie, brukowane uliczki to stromo pną się pod górę, to znów opadają w dół. Nie zauważyłem ani jednej położonej poziomo ulicy. Miasto wciśnięte jest między niebotyczne góry. Potężna Illimani, pokryta czapą lodową, widoczna niemal z każdej ulicy, nie pozwala ani na chwilę zapomnieć o wysokości, na jakiej leży La Paz. Zanim doprowadzono mnie do Palacio Quemada na placu Murillo, musiałem często przystawać, aby nabrać tchu. Idący ze mną żołnierze wyrozumiale kiwali głowami i mówili, że soroche, czyli choroba wysokości, zawsze przez jakiś czas nęka cudzoziemców z nizin.

— Co się działo na ulicach, ojczy? — wypytywał Tomek.

— Przed wszystkim wszędzie patrole wojskowe. Białych w ogóle nie spotykaliśmy. Tylko grupy ludności indiańskiej i Metysów. Place targowe, uliczne stragany i warsztaty rzemieślnicze opustoszałe. Jedynie tu i tam w zaułkach handlarki z Cochabamby<sup>868</sup>, noszące wysokie białe kapelusze przewiązane wstążką, w przeciwieństwie do kobiet z wyżyn ubierających się w meloniki, sprzedawały przywiezione przez siebie produkty rolne.

— Myślałem, że przy okazji uda nam się zwiedzić La Paz, ale rewolucja pomieszała szyki — powiedział zawiedziony Tomek.

— Tommy, daj ojcu wreszcie odetchnąć po męczącym dniu — karcąco wtrąciła Sally. — Wszyscy powinni trochę wypocząć, i ty również! Kto wie, co czeka nas jutro!

— Masz rację, Sally! — przytaknął Tomek. — Może uda mi się zasnąć. Dobrej nocy!

Wszyscy pokładli się na ławkach. Niektórzy już zasnęli, o czym świadczyło ciche pochrapywanie. Tomek siedział przy oknie i próbował drzemać, ale sen nie przychodził. Dingo wyciągnął się u jego stóp, tylko od czasu do czasu pomrukiwał i strzygł uszami. Tomek zamyślony spoglądał na swego ulubieńca, wiernego towarzysza w niebezpiecznych wyprawach. Jaki będzie wynik obecnej? Mimo woli przyszły mu na myśl słowa ojca, że często trop w trop za Smugą szły dziwne wydarzenia. Przecież i teraz Smuga z Nowickim mieli oczekiwać na pomoc nad północną granicą Boliwii! Tam właśnie wybuchła rewolucja!

Rozgorączkowana wyobraźnia nękała go długo, ale monotony stukot kół i lekkie kołysanie wagonu zrobiły swoje. Tomek zasnął...

---

<sup>868</sup> — Cochabamba — stolica departamentu o tej samej nazwie w centralnej Boliwii, położona na wysokości około 2600 m n.p.m., ważny ośrodek rolniczy, centrum przemysłu spożywczego. Drugie pod względem wielkości miasto Boliwii, założone w 1574 r. jako Oropeza i przemianowane w 1786 r. na Cochabambę.



## WIELKI CZAROWNIK

Trzy łodzie płynęły wartkim prądem rzeki. Pierwsza, największa, miała pośrodku małą, lekką nadbudówkę krytą płóciennym daszkiem, który jednocześnie chronił od słońca przód łodzi. W niewielkiej odległości płynęły jedna za drugą dwie mniejsze łódki wyciosane z pni drzew.

Na dziobie największej łódki, obok przewoźnika, siedzieli obydwaj Wilmowscy, Haboku i Mara nie odstępująca swego męża. Oprócz nich były tam Sally i Natasza, ukryte w cieniu prowizorycznego daszka, oraz trzech indiańskich wioślarzy. W dwóch mniejszych łodziach z wyposażeniem wyprawy znajdowali się: Wilson, Zbyszek, Wu Meng i Cubeowie, którzy dozorowali przewoźników.

Już drugi dzień uczestnicy wyprawy płynęli rzeką. W konstytucyjnej stolicy Boliwii władze jeszcze panowały nad rewolucyjnym wrzeniem. Nie dochodziło do starć między demonstrantami i policją. Generał, który przywiózł posiłki dla miejscowego garnizonu, ułatwił Wilmowskiemu porozumienie się z dowództwem. Dzięki temu wynajmowani zazwyczaj przez wojsko przewoźnicy zgodzili się przewieźć wyprawę na rzeczną przystań, skąd wysyłano łodziami zaopatrzenie dla garnizonu w Villa Montes nad Pilcomayo. Tam właśnie mieściła się główna kwatera wojskowa, której podlegało Gran Chaco. Niemalże” zachodu kosztowało Wilmowskiego i Wilsona wynajęcie łodzi, ale ostatecznie dobili targu z przewoźnikami i ruszyli na południowy wschód.

Pilcomayo spływała wąską doliną podgóorską w głąb kontynentu. Był to czas przyboru. Rzeka wdzierając się w nadbrzeżne zarośla i lasy, w niżej natomiast położonych miejscach tworzyła niedostępne rozlewiska i błota.

Jeszcze około trzystu kilometrów dzieliło wyprawę od Villa Montes. Dalej już na wschód, południe i północ rozciągało się prawie nie zbadane dotąd i owiane tajemniczością Gran Chaco. Była to kraina, w której nie ujarzmione, wojownicze plemiona indiańskie żyły nadal jak za czasów swoich praocjów. Koczownicy indiańscy swobodnie wędrowali po wiecznie zielonych stepach i lasach, nie zważając na umowne granice ustanawiane przez białych ludzi. Nie wywoływało to konfliktów, ponieważ Argentyna, Paragwaj i Boliwia wtedy jeszcze nie okazywały większego zainteresowania

odległymi dzikimi obszarami Gran Chaco. Dopiero znacznie później, gdy w Chaco Boreal odkryto naftę, rozgorzała wojna między Paragwajem i Boliwią, którą ta ostatnia sromotnie przegrała.

Wilmowscy byli w nie lada rozterce wytyczając dalszą drogę. Pilcomayo płynęła na południowy wschód, a więc w kierunku odwrotnym do zamierzonego celu wyprawy. Jednakże wysoka woda i wartki nurt umożliwiały przebycie w kilka dni ponad tysiąca kilometrów do ujścia Pilcomayo do rzeki Paragwaj<sup>869</sup>, dostępnej dla większych statków aż do Asunción. Dalej na północ mniejsze statki mogły płynąć prawie do źródeł rzeki Paragwaj w Mato Grosso. Tak więc obydwie rzeki umożliwiłyby szybkie przebycie znacznych odległości.

Wilmowski z Tomkiem pochyleni nad mapą rozłożoną na kolanach naradzali się, rozmawiając po polsku.

— Mimo nadkładania drogi zyskalibyśmy na czasie i uniknęli wielu niebezpieczeństw — właśnie mówił Tomek. — Może nasz przewoźnik by się podjął popłynąć do rzeki Paragwaj? Wygląda na śmiałego i doświadczonego w swoim zawodzie człowieka. Pochwalił go nawet Haboku, który, jak wszyscy Cubeowie, jest doskonałym wioślarzem.

Wilmowski potwierdził to skinieniem głowy, po czym odezwał się po hiszpańsku:

— Senor Antonio, właśnie mówiliśmy z synem, że doskonale dajesz sobie radę z kapryśną Pilcomayo. Czy nie podjąłbyś się za dobrą zapłatą przewieźć nas do rzeki Paragwaj?

Metys zdumionym wzrokiem obrzucił Wilmowskich, potem roześmiał się i zawołał:

— Chyba żartujesz, senor!

— Nie żartuję, Antonio!

Metys zdumiał się jeszcze bardziej. Przez dłuższą chwilę spoglądał na Wilmowskich, wreszcie przemówił:

— Nie, senor, nie popłynę z tobą do rzeki Paragwaj! Nikt z tobą tam nie popłynie, Ty sam również tego nie dokonasz, nawet gdybyś kupił moją łódź.

---

<sup>869</sup> — Paragwaj — rzeka długości około 1500 km, wypływa z Mato Grosso w południowo-zachodniej Brazylii. Jej górne dopływy stanowią graniczne odcinki z Boliwią, dalej płynie przez Paragwaj i uchodzi do rzeki Parana.

— Czy to ma znaczyć, że Pilcomayo nie jest spławna? — zapytał Wilmowski.

Metys bezradnie wzruszył ramionami i odparł:

— Słyszałem, że od samego ujścia w górę rzeki mogą pływać nawet trochę większe statki niż mój, ale niezbyt daleko. Potem Pilcomayo w wielu okolicach rozlewa się szeroko w wielkie, błotniste jeziora uniemożliwiające żeglugę. Ale nie tylko rozlewiska są przeszkodą! Podczas przyboru rzeka zalewa nadbrzeżne lasy. Wtedy nawet przez kilka dni można nie trafić na miejsce nadające się na nocny biwak. W niektórych miejscach Pilcomayo chyba nawet jest spławna, ale w Chaco Indianie nie żeglują po rzekach.

— Dziękuję, senior Antonio, za ważne dla nas informacje — powiedział Wilmowski. — Skoro nie możemy popłynąć Pilcomayo do rzeki Paragwaj, to będziemy musieli udać się na przełaj przez Chaco Boreal do Corumby<sup>870</sup>. To chyba będzie nawet krótsza droga do Mato Grosso?

— Znacznie krótsza, ale trudna i niebezpieczna — przyznał Antonio. — Lepiej było wyruszyć z Santa Cruz i iść przez llanosy do Puerto Suarez i Corumby. Tamtym szlakiem podążają karawany kupieckie do Brazylii. Teraz jednak, skoro już jesteście tutaj, nie warto wracać na północ do Santa Cruz. Byłoby to znaczne nadłożenie drogi. Kto poza tym wie, co tam się teraz dzieje?

— Wracanie na północ nie ma sensu — powiedział Tomek. — Według mapy stąd do Corumby będzie około pięciuset lub sześciuset kilometrów. Droga z Santa Cruz do Corumby wynosi mniej więcej tyle samo.

— Słusznie mówisz, senior! — przytaknął Metys. — Stąd najkrótszą drogę macie przez Chaco. Na tragarzy jednak nie możecie liczyć. Musicie się postarać o konie i muły. W Chaco wprawdzie włączy się wiele wojowniczych plemion, ale kilku dobrze uzbrojonych mężczyzn da sobie z nimi radę. Więcej kłopotów może sprawiać brak wody.

— W Chaco przecież są rzeki i jeziora! — obruszył się Tomek.

---

<sup>870</sup> — Corumba — przygraniczne miasto w zachodniej Boliwii w stanie Mato Grosso, port na rzece Paragwaj, założone w 1778 r. Przez Corumbę przebiega linia kolejowa łącząca boliwijskie Santa Cruz z brazylijskim portem morskim Santos. Odcinek drogi kolejowej łączący Corumbę z Santa Cruz w Boliwii oddany został do użytku dopiero w 1954 r. Santa Cruz de la Sierra w czasach kolonialnych leżało na tak zwanym srebrnym szlaku z Peru do Asunción; duże znaczenie dla dalszego rozwoju miasta ma wspomniana linia kolejowa.

— Są, señor! — rzekł Metys. — Ale ludzie i konie muszą mieć do picia wodę słodką. W Chaco tymczasem wiele rzek i jezior ma wodę słoną lub słonawą. Jedynie po dużych deszczach wody ich stają się słodsze i wtedy nadają się do picia. Słońce wkrótce zacznie mocno przygrzewać, wody wyparują, a sól pozostanie. Tylko niektóre rzeki, jak Pilcomayo, mają wodę słodką przez cały rok.

— Zdajemy sobie sprawę, że wędrówka przez Chaco nie będzie łatwa ani bezpieczna — powiedział Wilmowski. — Mamy trzy kobiety, ekwipunek wyprawy jest ciężki. Bylibyśmy wdzięczni, señor Antonio, gdybyś pomógł nam zaopatrzyć się w konie i muły.

— Na pampasach argentyńskich są tabuny dzikich koni — rzekł Metys. — Niektóre plemiona w Chaco już od dawna je chwytają albo kradną ze stad wypasanych przez gauczów<sup>871</sup>. Na argentyński brzeg przeprawiają się również Indianie boliwijscy. Nikt tu nie zwraca uwagi na granice. Dzięki temu w boliwijskim Chaco można napotkać konie argentyńskie. Znam jednego kacyka, który ma konie i muły.

— Gdzie moglibyśmy go znaleźć? — zapytał Wilmowski.

— Jego obóz znajduje się o dzień drogi od Villa Montes.

— Czy możesz zawieźć nas wprost do tego kacyka? — dalej pytał Wilmowski.

— Dobrze, señor! Zrobię to, chcę wam pomóc, ale potem już sami musicie sobie radzić. Ja wracam do domu.

— Zgoda, Antonio! Za tę przysługę wynagrodzimy ciebie i twoich wioślarzy oddzielnie — obiecał Wilmowski.

— Do jakiego plemienia należą Indianie, od których mamy kupić konie? — zainteresował się Tomek.

— To Gwaranie znani tutaj jako Chiriguanie<sup>872</sup> — odpowiedział Antonio. — Ich kacyk, Długa Ręka, wyprawia się od czasu do czasu po konie argentyńskie.

<sup>871</sup> — Gauczo (z hiszp. *gauchó*) — pastuch na pampasach argentyńskich i urugwajskich, zazwyczaj potomek indiańsko-hispański, odpowiednik północnoamerykańskiego kowboja.

<sup>872</sup> — Chiriguano (Gwarano, Guarano) — grupa plemion w Argentynie, Paragwaju i Brazylii. W dawnych czasach kilka tysięcy Gwaranów podjęło długą wędrówkę na zachód (prawdopodobnie w poszukiwaniu Ziemi Praojców) i doszło aż do granic cesarstwa Inków. Jedna z grup dotarła do obecnego Santa Cruz w Boliwii. Po początkowych niepowodzeniach Inkowie rozgromili Gwaranów. Pięciuset jeńców wziętych do niewoli pozostawili skrupowanych na szczycie góry pokrytym wiecznym śniegiem.

— Chwyta dzikie czy kradnie? — dopytywał się Tomek.

— Pewnie robi i jedno, i drugie — odparł Metys. — To śmiały i zręczny człowiek. Podobno kiedyś sam uprowadził kilkadziesiąt koni i szczęśliwie umknął pogoni.

— Gwaranie należeli do bardzo wojowniczych plemion — powiedział Tomek. — Podczas pobytu w Limie poszperałem w starych kronikach. Była w nich wzmianka o Gwaranach, którzy za czasów panowania Inków przywędrowali z dalekiego Paragwaju aż do Andów Boliwijskich, zwanych wtedy Górnym Peru. Gwaranie, gdzieś nad Pilcomayo, napotkali łagodnych i miłujących pokój Indian Chane, których kilkadziesiąt tysięcy w okrutny sposób wymordowali, a pozostałych przy życiu wcielili do swego plemienia.

— Tak mogło być naprawdę, senior — przytaknął Antonio. — Wśród Chiriguanów spotyka się Indian Chane.

\* \* \*

Po pięciu dniach wyprawa znalazła się w wiosce Chiriguanów, jeżeli kilkanaście szałasów można było nazwać wioską. Nie opodal nędznych domostw leżały poletka kukurydzy, manioku, melonów i tytoniu.

Wioska nie była zapewne zbyt często odwiedzana przez obcych, Chiriguanie bowiem gromadnie wylegli na brzeg rzeki. Widok znanego im Antonia i jego indiańskich wioślarzy świadczył o przyjaznych zamiarach białych uzbrojonych ludzi, którym towarzyszyli również obcy Indianie.

Chiriguanie byli ubrani bardzo skąpo. Mężczyźni przeważnie mieli przepaski bawełniane na biodrach lub szerokie, miękkie skórzane pasy z opadającymi u dołu frędzlami. Kobiety natomiast nosiły jedynie sięgające kolan spódniczki ze skór strusich. Dzieciarnia biegała całkiem nago.

Antonio poprowadził obydwóch Wilmowskich przed szałas kacyka. Długa Ręka podniósł się ze skóry pumy rozłożonej na ziemi i przywitał gości ściskając im dłonie. Był to niski, krępy mężczyzna o jasnooliwkowej cerze. Czarne włosy miał, jak wszyscy Chiriguanie, równo obcięte na karku. Czoło jego opasywała obrączka z łyka, za którą tkwiły barwne papuzie pióra. Na

---

Jeńcy przez noc zamarzli. Odtąd też Gwaranów nazywano Chirihuanos, co w keczua znaczy Ukarani Mrozem. Niedobitki Gwaranów osiedliły się nad górną Pilcomayo. Występowali zbrojnie przeciwko Hiszpanom aż do 1832 r., to jest do bitwy pod Curuyugiu, gdzie Boliwijczycy urządzili rzeź, mordując wojowników, kobiety i dzieci.

nagim, pokrytym tatuażami ciele nosił tylko skórzany szeroki pas obszyty u dołu frędzlami.

Kacyk w skupieniu wysłuchał wywodów Antonia, zerkając jednocześnie na dwie białe kobiety i na bagaże wyladowywane z łodzi. Potem lekceważąco machnął ręką i długo dyskutował z Antoniem. Sporo minęło czasu, zanim Metys zwrócił się do Wilmowskich:

— On mówi, że ma kilka koni i mułów, ale nawet nie chce słuchać o pieniądzach. W Chaco nikt się nie zna na ich wartości. Indianie odstępują coś swojego tylko wtedy, gdy można im dać w zamian to, czego oni potrzebują.

— Jesteśmy na to przygotowani — odparł Wilmowski. — Spytaj, senor Antonio, co by go interesowało.

Metys chwilę porozmawiał z Długą Ręką, po czym znów zwrócił się do Wilmowskiego:

— On pyta, ile chcesz koni i mułów.

— Potrzebujemy dziesięć koni i pięć mułów. Oczywiście muszą to być zdrowe i silne zwierzęta.

Rozpoczęły się targi. Widocznie zdobywanie koni nie było zbyt kłopotliwe dla Długiej Ręki, ponieważ szybko odstępował od wygórowanych żądań. Wilmowscy przy pomocy Wilsona i Zbyszka wydobyli ze skrzyń bawełniane materiały, koraliki, lusterka, fajki, noże myśliwskie i scyzoryki, strzelby, proch i kule, miedziany drut, a Chiriguanie nie kryli swego zadowolenia. Gdy w końcu wymiana została uzgodniona, Wilmowski rzekł:

— A więc dobrze! Jesteśmy gotowi dać to wszystko, ale teraz chcemy obejrzeć konie i muły.

Długa Ręka tym razem sam się odezwał łamaną hiszpańszczyzną:

— Zobaczysz wkrótce! Przygnamy z pastwiska i zaraz będziemy ujeżdżać!

— To one są jeszcze nie ujeżdżone?! — oburzył się Wilmowski, spoglądając na Antonia.

— Po co mieliśmy ujeżdżać, skoro nie były potrzebne? — szczerze zdumiał się Długa Ręka.

— Ależ to znaczna strata czasu dla nas! — wtrącił Tomek.

— Ujeżdżanie potrwa najwyżej trzy lub cztery dni — uspokajająco odezwał się Antonio.

— Po czterech dniach ujeżdżania niewielu z nas zdoła się utrzymać dłużej na ich grzbietach — gniewnie powiedział Tomek. — Ujeżdżałem mustangi w Arizonie, znam się na tym! Zdziczałe, narowiste konie nie tak prędko pozwalają się osiodłać, a z nami są kobiety!

— Kobiety chodzą pieszo, tylko mężczyźni jeżdżą na koniach — karcącym tonem zauważył Długa Ręka.

— Chiriguanie szybko ujeżdżają konie. Mają swoje sposoby! — zapewnił Antonio.

— No, cóż! Nie mamy innego wyjścia! — rzekł Wilmowski.

Długa Ręka zaczął zapraszać gości do siebie na odpoczynek i posiłek, ale Wilmowski zřęcznie wymówił się od noclegu w prymitywnych, podejrzenie wyglądających szałasach i polecił Zbyszkowi rozstawić namioty w pobliżu wioski. W jednym z nich złożono bagaże wyprawy. Cubeowie i Wu Meng objęli straż w prowizorycznym obozie. Ostrożność była uzasadniona, dla Indian bowiem pojęcie własności osobistej było niezrozumiałe, a nawet zupełnie obce.

Po kilkudniowej podróży łodzią uczestnicy wyprawy mogli obecnie trochę odpocząć przed wyruszeniem w głąb Gran Chaco. Tylko Tomek nie myślał o wypoczynku. Z Dingiem u nogi wałęsał się z Antoniem po wiosce i podpatrywał sposób życia Chiriguanów. Toteż gdy przed zmierzchem Wu Meng przywołał go na posiłek, najwięcej miał do powiedzenia.

— Czy to nie dziwne, że Chiriguanie, którzy zdobywają pożywienie uprawiając zbieractwo i rybołówstwo, nie robią i nawet nie posiadają łodzi? — dzielił się spostrzeżeniami. — Antonio mówił, że dopiero wtedy gdy chcą przepłynąć się przez rzekę, budują prymitywne tratwy lub skórzane łódki. Takich łódek właśnie używają także niektórzy Indianie w Ameryce Północnej<sup>873</sup>.

— Tomku, dlaczego mówisz, że zbieractwo i rybołówstwo dostarczają podstawowych produktów, spożywanych przez Chiriguanów? — zaoponował

---

<sup>873</sup> — Tak zwana po angielsku *bull-boat* (bizonia łódka) jest okrągłą jak balia łódką ze skór bizonich naciągniętych na drewnianą ramę. Tego typu łódek używali Indianie Mandan i Hidatsa nad rzeki Missouri w Ameryce Północnej. Po wytępieniu bizonów robiono także łodzie ze skór krowich. Podobne łódki spotykano również w starożytności u Bretonów, a współcześnie w Walii, Irlandii i Tybecie. Wynalezienie tego typu łódki było tak proste, że występowało niezależnie od siebie na różnych kontynentach.

Zbyszek. — Przecież nazwa Chaco oznacza ziemie łowieckie, więc chyba przede wszystkim żywią się mięsem upolowanej zwierzyny!

— Nazwa ma tylko względne znaczenie, ponieważ została nadana przez Indian andyjskich, którzy u siebie prawie nie mają zwierząt łownych — wyjaśnił Wilmowski. — Oczywiście w porównaniu ze skalistymi, pustynnymi Andami w Chaco jest więcej zwierzyny, ale mimo to polowanie odgrywa pewną rolę tylko we wschodniej i południowej części krainy, a nawet tam jest mniej ważne od rybołówstwa i zbieractwa. Uprawa ziemi ma również jedynie znaczenie uzupełniające i nie skłania Indian do stałego osadnictwa.

— A to przykra niespodzianka! — zafrasował się Zbyszek. — Myślałem, że w Chaco łatwo będziemy się zaopatrywali w świeże mięso.

— Nie martw się, Zbyszku! Długa Ręka i Antonio zapewniali mnie, że w Chaco są jelenie, tapiry, pekari, krokodyle, małpy i ptaki — pocieszył go Tomek.

— Kto z was odważyłby się jeść krokodyle czy małpy? — oburzyła się Natasza.

— Krokodyle mięso nie jest złe! — wesoło powiedział Tomek. — Próbowałem je w Afryce!

— Wolałabym umrzeć z głodu, niż jeść małpę! — dodała Natasza.

— Widocznie jeszcze nie wiesz, do czego zdolny jest prawdziwie głodny człowiek — rzekł Tomek.

— Tomek ma rację! — powiedział Wilmowski. — Indianie często przymierają głodem, toteż jedzą wszystko, co tylko da się zjeść.

— W obozach zbieraczy kauczuku widziałem Indian jedzących robaki drzewne, mrówki i termity — wtrącił Wilson.

— Na takie przysmaki mógłby się skusić jedynie Tadek Nowicki, który dla zaspokojenia własnej ciekawości gotów by nawet zajrzeć do piekła! — z humorem rzekł Tomek.

— Nie mam mu tego za złe, bo mnie również zawsze coś kusi, aby próbować potraw krajowców w różnych krajach — odezwała się Sally. — Teraz jednak marzę tylko o wyciągnięciu się w hamaku. Skryję się pod moskitierą, zanim komary zaczną harce!

Wszyscy byli zmęczeni, więc Tomek powyznaczał mężczyznom nocne warty i wkrótce zapadła cisza w obozie. Noc minęła spokojnie, ale już o świcie gwar w wiosce Chiriguanów poderwał uczestników wyprawy na nogi.



Zbyszek, który pełnił wartę nad ranem, powiadomił Tomka, że Antonio wkrótce wyrusza w drogę powrotną, więc uczestnicy wyprawy udali się na brzeg rzeki pożegnać Metysa i jego wioślarzy.

Antonio, zanim wsiadł do łodzi, jeszcze raz podał rękę Wilmowskiemu i ściszym głosem rzekł:

— Długa Ręka już posłał po zwierzęta. Za kilka dni będziecie mogli, senores, ruszyć w drogę. Chiriguanie wyprawiają ucztę pożegnalną. Kobiety już przygotowują chichę. Bądźcie ostrożni! Pijani Chiriguanie stają się skłonni do awantur i bójk.

— Dziękuję, Antonio! Będziemy o tym pamiętali! — odrzekł Wilmowski.

Łodzie odplłynęły w górę Pilcomayo. Uczestnicy wyprawy zasiedli w obozie do porannego posiłku. Zanim jednak zdążyli go ukończyć, głuchy tętent i okrzyki rozbrzmiały w stepie. Wkrótce w obłoku kurzu ukazało się kilkanaście koni i mułów cwałujących w kierunku wioski. Obydwaj Wilmowscy, Wilson i Zbyszek pospiesznie dokończyli śniadania, po czym udali się na brzeg Pilcomayo, skąd dochodziły nawoływania. Dingo, znudzony długą bezczynnością w łodzi, ochoczo pobiegł za Tomkiem.

Chiriguanie krzycząc i machając rękami osaczali brzeg rzeki, która w tym miejscu tworzyła rozległe zakole. W wodzie tymczasem pławiły się rozhukane konie i muły, a na grzbiecie każdego z nich siedziało na oklep po dwóch chłopaków. Rozstawieni w długi łańcuch Indianie zagradzali wyjście na brzeg, konie i muły zmuszone do pływania w rzece nie mogły zrzucić z siebie młodych, zwinnych ujeźdźczy.

— A więc to jest, wspomniany przez Antonia, chiriguański sposób ujeżdżania koni! — zawołał ubawiony Tomek.

— Trzeba przyznać, że sprytnie sobie poczynają! — zauważył Wilmowski.

— Wystarczy weгнаć konie do rzeki, żeby chłopaczyska, nic nie ryzykując, mogli podplłynąć do nich i wleźć na grzbiety — dodał Zbyszek. — Mam ochotę na samodzielne ujeżdżenie sobie wierzchowca!

— Ja również chętnie bym to zrobił — potaknął Tomek. — Skoro jednak tutaj ujeżdżanie koni powierza się chłopcom, nam nie wypada tego robić. Ujeżdżałem dzikie mustangi w Arizonie, ale tam było to zajęcie dla doświadczonych mężczyzn, przy którym łatwo mogli sobie skrócić kark.

— Co kraj, to obyczaj! — sentencjonalnie wtrącił Wilson. — Plemiona indiańskie w obydwóch Amerykach na swój sposób oswajały się z końmi i rozwijały własne sposoby życia. Nic więc dziwnego, że w tych nowych kulturach zaistniały pewne różnice, choć podobieństw też u nich nie brak.<sup>874</sup>

— Słusznie, słusznie, panie Wilson! — przytaknął Wilmowski. — W odmiennych warunkach mogły się ukształtować różne zwyczaje i sposoby życia.

— To właśnie miałem na myśli — potwierdził Wilson.

— Wydaje mi się, że mimo wszystko ktoś musiał od kogoś przejmować te nowe wzorce — wtrącił Zbyszek.

— Może mógł, ale nie musiał! — zaproponował Wilmowski. — Podobne zjawiska kulturowe mogły się rodzić niezależnie od siebie w kilku miejscach, w zupełnie odmiennych środowiskach naturalnych i cywilizacyjnych. Na przykład Indianie w Ameryce Północnej wynaleźli własne typy siodła, poduszkowe i szkieletowe, a tymczasem siodła poduszkowe z poprzęgami występowały już od pięciu tysięcy lat w różnych kulturach Starego Świata. Można z tego wyciągnąć wniosek, że podobne odkrycia powstawały niezależnie od siebie w rozmaitych częściach świata.

---

<sup>874</sup> — Istniały pewne podobieństwa i różnice pomiędzy dwiema kulturami indiańskimi, które rozwinęły się po wprowadzeniu koni tak w Ameryce Północnej, jak i w Południowej. Zimne, wietrzne stepy Patagonii oraz trawiaste równiny pampasów i otwarte, zaroślowe lasy Chaco przypominały swym charakterem prerie północnoamerykańskie. Obydwie kultury na tych obszarach rozwinęły się w tym samym czasie i upadły niemal jednocześnie wskutek ekspansji europejskiej. W obydwóch regionach nie udało się białym zapobiec zdobyciu koni przez Indian, którzy z nomadów pieszych stali się nomadami konnymi. Tak w Ameryce Północnej, jak i w Południowej, niezależnie od siebie, Indianie wynaleźli pemmikan (suszone mięso z tłuszczem w formie koncentratu), tak samo szukali wskazań w snach i wizjach, samotorturowali się podczas obrzędów pogrzebowych. Rozwój podobnych do siebie zwyczajów w obydwóch kulturach jest intrygujący, nie można go bowiem przypisać podobnym warunkom geograficznym ani przeniesieniu przez ludzi z jednego obszaru do drugiego poprzez dzielące je tysiące kilometrów pierwotnych dżungli.

Były także widoczne różnice między obydwoma kulturami. W przeciwieństwie do Indian Ameryki Północnej, południowoamerykańscy Indianie przyjęli od Hiszpanów przynależność do konia: siodła, uzdę, strzemiona i arkan, wynaleźli własny typ strzemienia palcowego i zamiast lassa białych woleli używać własne bolą. Wobec braku ogromnych stad zwierzyny łownej, jak na przykład bizona w Ameryce Północnej, gdzie rozwinęła się słynna ekonomia bizona, Indianie Chaco nie gromadzili stad koni, lecz w razie potrzeby kradli je Hiszpanom. Wielu konnych nomadów południowoamerykańskich stało się znanymi gauczami.

W tej chwili Dingo cicho warknął. Tomek rozejrzał się, co mogło zaniepokoić jego ulubieńca, po czym trącił w łokieć stojącego obok ojca i szepnął:

— Tatusiu, spójrz na Haboku!

Wilmowski patrzył zdumiony. Haboku stał na brzegu rzeki i spod przymrużonych powiek obserwował ujeżdżanie koni i mułów. Zamiast odzienia europejskiego nosił teraz tylko przepaskę biodrową ze skóry pancernika i naszyjnik z zębów jaguara, przysługujące zazwyczaj jedynie łowcom jaguarów. Zgodnie ze zwyczajem Cubeów, twarz i nagie ciało pomalował czerwoną farbą. Tylko pas z rewolwerem zwisający z bioder łączył go obecnie ze światem białych ludzi.

— Ależ to jest teraz zupełnie inny człowiek! — szepnął po chwili zdumiony Wilmowski. — Nawet Chiriguanie spoglądają na niego z podziwem!

— Naszyjnik z zębów jaguara i przepaska ze skóry pancernika są symbolami wysokiej godności i odwagi — wyjaśnił Tomek. — Chiriguanie prawdopodobnie rozpoznali w nim teraz łowcę jaguarów, Cubeowie powszechnie obawiają się tych kotów. Wierzą, że jaguar jest niebezpiecznym czarownikiem lub jego psem. Dlatego właśnie łowcy jaguarów otaczani są u nich wielkim szacunkiem. Chiriguanie są na pewno nie mniej zabobonni od Cubeów.

Wilmowscy jeszcze przez jakiś czas obserwowali ujeżdżanie wierzchowców. Długa Ręka zapewniał, że konie i muły będą wpędzane do rzeki po kilka razy dziennie i wkrótce pogodzą się ze swoim losem.

Po powrocie do obozu Tomek i Zbyszek zastali swoje żony w doskonałych humorach.

— Żałujcie, chłopcy, że nie było was tutaj, gdy młode Chiriguanki przyszły do nas z wizytą — powitała ich Natasza.

— Mówił chłop do obrazu, a obraz do niego ani razu! — śmiejąc się powiedział Zbyszek. — Na pewno nie mogłyście się z nimi dogadać.

— Właśnie mylisz się! — zaprzeczyła Natasza. — Pan Wu Meng służył i nam za tłumacza.,,

— Zapomniałem o nim! Dlaczego mamy z Tomkiem żałować, że nie było nas w obozie?

— Natka, nie mów im! — ostrzegła Sally. — Będą się ze mnie wyśmiewali!

— Sally, kochanie, nigdy bym się nie ośmielił! — zapewnił Tomek.

— Mów, Sally! Wprost pożera mnie ciekawość! — dodał Zbyszek.

— No, dobrze! Powiem sama! — zdecydowała Sally. — Chiriguanki przyszły wyrazić swe współczucie mnie i Natce!

— A to dlaczego?! — zdumiał się Tomek.

— Z jakiego powodu?! — pytał Zbyszek.

— Sądziły, że to nasi mężowie zmuszają nas do zakrywania górnej części ciała, ponieważ mamy brzydkie piersi. One tymczasem chlubią się swoimi piersiami i dlatego ich nie kryją — wyjaśniła Sally.

— Przecież łatwo mogłyście wyprowadzić je z błędu — zauważył Zbyszek z trudem tłumiąc śmiech.

— Właśnie to zrobiłam! — wyznała Sally. — Zabrałam je do namiotu i zdjęłam koszulę.

— A co one na to? — pytał ubawiony Tomek.

— One? No, cóż... orzekły, że wszystko mam na właściwym miejscu i nie mogą zrozumieć, dlaczego kryję to, co dodaje uroku ładnej kobiecie.

— Brawo, Sally! — zawołał Tomek. — Na twoim miejscu postąpiłbym tak samo!

— Nie dziwię się, że to uzalanie się Indianek nad wami tak was rozweseliło — powiedział Zbyszek. — Przecież to wy właśnie powinnyście im współczuć! Tutaj kobiety są własnością mężczyzny, nikt nie liczy się z ich zdaniem.

— Masz rację, jesteśmy świadome tego — przytaknęła Natasza.

— Pospacerowałyśmy po wiosce i przyjrzałyśmy się pracom kobiet. One prowadzą gospodarstwa domowe, noszą wodę, zbierają chrust na opał, tkają bawełnę, uprawiają polećka i wychowują dzieci, podczas gdy mężczyźni udają panów świata.

— Potworne leniuchy! Nawet ujeżdżanie koni spychają na chłopców — dodała Sally. — Jedną mają tylko zaletę: podobno rzadko biją swoje żony.

Na pogawędkach i odpoczynku uczestnicy wyprawy spędzili trzy dni. Chiriguanie po kilka razy dziennie pławili konie i muły w rzece. Rankiem czwartego dnia Długa Ręka oznajmił, że można już kulbaczyć i kielznać zwierzęta. Wszyscy udali się na brzeg rzeki, żeby ujrzyć pierwsze siodłanie

koni i mułów. Tomek miał jednocześnie zdecydować, które konie będą nadawały się do jazdy wierzchem dla kobiet.

Konie i muły zmęczone kilkudniowym pławieniem w rzece, prawie nie stawiały oporu. Tylko jeden młody ogier izabelowatej maści<sup>875</sup> nie pozwalał nikomu dostąpić do siebie, mimo że był przytrzymywany przez Indian dwoma arkanami zarzuconymi na szyję. Wietrzył szeroko rozwartymi chrapami i strzygł uszami w kierunku poskromicielei. Przy każdej próbie podejścia do niego któregoś z Indian uderzał mocno o ziemię kopytami, wspinał się na zadnie nogi, bijąc gwałtownie podniesionymi do góry przednimi. Chiriguanie już zaczęli się niecierpliwie gwałtownym oporem ogiera. Długa Ręka wreszcie gniewnie rzucił jakiś rozkaz. Dwóch Indian pobiegło do wsi. Wkrótce powrócili niosąc swoje bolą.

— Zamierzają powalić konia na ziemię — odezwał się Wilmowski do syna. — Gotowi pogruchotać mu nogi. Lepiej zrezygnujmy z tego wspaniałego ogiera!

Tomek spochmurniał. Bolą służyły obecnie jako broń myśliwska, ale dawniej były również groźną bronią wojenną. Do długiego sznurka z dwoma lub trzema rozwidleniami na końcu przymocowane były obszyte skórą dwie albo trzy duże kule z kamienia bądź żelaza. Bólem posługiwano się podobnie jak lassem, od którego różniło się tym, że zamiast pętli, ciężkie kule zawieszane na rzemieniu obwijały się wokół nogi unieruchamiając ją, co powalało zwierzę na ziemię. Wystarczyła jednak mała niezręczność i kule gruchotały kości. Łatwo mogło się to przydarzyć ogierowi, który stawał dęba, wierzgał zadnimi nogami, skakał w prawo i lewo. Nie pomagało nawet dławienie arkanami zarzuconymi na szyję.

Dwóch Chiriguanów już się przygotowywało do użycia bolą.

— Wu Meng, powiedz im, żeby się wstrzymali! — naraz zawołał Tomek.

Chińczyk natychmiast wykonał polecenie. Obydwaj Chiriguanie zaskoczeni spoglądali to na Tomka, to na Długą Rękę, który zaintrygowany wpił wzrok w młodego białego mężczyznę.

— Tomku, co zamierzasz? — zaniepokoił się Wilmowski.

— Żal mi konia! — odparł Tomek. — Niech Wu Meng przekazuje polecenia Chiriguanom.

---

<sup>875</sup> — Izabelowata maść — tułów koloru kawy z mlekiem przy jasnej lub białej grzywie i ogonie.

Podniósł z ziemi uzdę, po czym wolnym, lecz pewnym krokiem podszedł do dławionego arkanami, szamoczącego się ogiera. Wietrząc z bliska obcy zapach, koń zarżał chrapliwie, wspiął się na tylne nogi. Tomek cofnął się o krok, zaledwie jednak ogier opadł nogami na ziemię błyskawicznie podbiegł do niego i otwartą dłonią mocno nakrył rozdęte chrapy.

— Puścić arkany! — zawołał.

Chiriguanie wstrzymali niemal oddechy, gdy Tomek podszedł do szalejącego konia. Prawą ręką rozluźnił pętle na jego szyi, przesunął arkany przez łeb na rękę nakrywającą chrapy. Ogier wstrząsnął się, po czym prawie przysiadł na zadzie.

— Tss, tsss... — szepnął Tomek, pochylił się ku chrapom i dmuchnął w nie kilka razy. Potem prawą dłonią zaczął delikatnie głaskać konia po szyi.

Ogier przestępował z nogi na nogę, to cofał się, to lekko parł do przodu. Tomek natężonym wzrokiem patrzył w przekrwione ślepia. Ogier z wolna uspokajał się, po długiej chwili rozbrzmiało ciche rzenie. Trudno było nawet dostrzec, kiedy Tomek okiełznał ogiera i znów nakrył dłonią chrapy. Głos Tomka przywrócił wszystkich do rzeczywistości:

— Siodłać konia!

Podczas gdy dwóch Chiriguanów kładło siodło na grzbiet i zapinało poprzęgi, Tomek jeszcze raz dmuchnął w chrapy ogiera, po czym jednym skokiem znalazł się w siodle. Ogier wstrząsnął całym ciałem, zarżał i z miejsca ruszył galopem w step.

— Do licha, toż to istne czary! — zawołał Wilson. — Gdybym sam nie widział, nigdy bym nie uwierzył!

Wilmowski chustką otarł pot z czoła, odetchnął z ulgą i odparł:

— Chłopak ma wręcz niesamowite zdolności do poskramiania zwierząt. Gdyby pan mógł widzieć, co on zrobił z gepardem maharani Alwaru w Indiach!

— Wcale się nie bałam o Tommy'ego! Byłam pewna, że da sobie radę! — buńczucznie oświadczyła Sally.

Wokół zapanował gwar. Chiriguanie ochłonęli ze zdumienia, pokrzykiwali jeden przez drugiego. Gromadnie czekali na powrót Tomka. Minęła jednak godzina z okładem, zanim rozległ się tętent, a potem Tomek wjechał galopem w krąg Chiriguanów. Ostro osadził ogiera tuż przed Długą

Ręką i zeskoczył na ziemię. Poklepał po szyi konia, który uniósł łeb i zarżał wstrząsając grzywą.

Długa Ręka z zabobonnym lękiem wpatrywał się w Tomka. Dopiero po dłuższej chwili odezwał się:

— Wielki czarownik! Koń twój... bez zapłaty!





## KRAINA WIELKICH ŁOWÓW

Był to dwudziesty dzień wędrówki przez Chaco Boreal. Nad upstrzonym kolorowymi kwiatami zielonym kobiercem stepu unosił się aromatyczny zapach traw. Na czele karawany jechał Tomek na ogierze. Obok szedł pieszo Haboku, tuż za nim kroczyła Mara niosąc jego karabin. Dingo, prawie niewidoczny w wysokiej trawie, biegł przed koniem. W pewnej odległości za przednią strażą jechały konno Sally i Natasza z Wilsonem. Za nimi podążał na mule Wu Meng, który wiódł powiązane długim arkanem juczne konie i muły. Tylną straż tworzyli piesi Huruwa i Pedikwa oraz dosiadający konia Zbyszek. Cubeowie, nie przyzwyczajeni do jazdy konnej, woleli iść pieszo, co nie opóźniało pochodu, ponieważ obciążone juczne zwierzęta nie przyspieszały kroku.

Przez trzy tygodnie Wilmowscy wiedli karawanę na północny wschód, posługując się kompasem jako jedynym drogowskazem. Koczownicy indiańscy, spotykani od czasu do czasu, znali tylko swe tereny łowieckie i nawet nie wierzyli, że dalej mogą jeszcze istnieć jakieś inne krainy. Ponadto spotykani Indianie nieufnie odnosili się do zbrojnych białych ludzi. Dopiero po upewnieniu się, że nic im nie zagraża, stawali się przyjaźni i gościnni. Mimo to spotkania z obcymi ludźmi w dzikim Chaco w ogóle w owym czasie nie należały do przyjemnych i bezpiecznych. Toteż Wilmowscy woleli unikać krajowców, którzy mogli być wrogo usposobieni do białych. Nie zawsze jednak było to możliwe.

Pewnego dnia na stepie, urozmaiconym niewielkimi pagórkami, natknęli się na gromadę wędrujących Indian. Na przedzie szło kilku prawie nagich mężczyzn uzbrojonych w dzidy, łuki i strzały. Za opaskami na ich głowach tkwiły czaple lub papuzie pióra. Za zbrojną grupą podążały gęsiego półnagie kobiety. W przeciwieństwie do mężczyzn niosących tylko swoją broń, kobiety dźwigały juki i niemowlęta. Po obu stronach pieszej gromady kobiet i dzieci szli w pewnych odstępach zbrojni mężczyźni. W pierwszej chwili Indianie byli zaskoczeni spotkaniem karawany Wilmowskich, lecz dzięki przyjaznemu zachowaniu białych ludzi ich nieufność szybko zniknęła. Byli to Indianie Matakowie. Tak jak Zamucoanie i wiele innych plemion, nawet po wprowadzeniu koni w tej krainie nadal pozostawali pieszymi koczownikami. Matakowie szli

do znanego sobie wodopoju. Po wręczeniu przez Wilmowskich drobnych upominków obydwie karawany powędrowały razem. Strumień, według zapewnień Indian, miał się znajdować bardzo blisko, ale odnaleźli go dopiero przed zmierzchem.

Wspólny biwak umożliwił zaprzyjaźnienie się z koczownikami. Czas nie odgrywał dla nich żadnej roli. Wędrowali beztrudnie z miejsca na miejsce w poszukiwaniu jadalnych roślin, dzikich owoców i zwierzyny. Wiedli niezwykle prymitywny tryb życia. Na biwakach klecili nie chroniące przed niczym szałas z gałęzi i liści palmowych, ogień krzesali pocierając o siebie dwa kamienie. Tylko niektórzy znali po kilkanaście słów hiszpańskich, toteż uczestnicy wyprawy porozumiewali się z nimi na migi. Następnego dnia Matakowie nie mogli się nadziwić, dlaczego biali ludzie, z którymi tak miło upływał czas, chcą zaraz iść dalej, skoro nie brakowało jedzenia i wody.

Dzień po dniu karawana Wilmowskich wędrowała przez stepy porośnięte trawami sięgającymi koniom do brzuchów, zagłębiała się w widne lasy galeriowe, popasała w gajach palmowych. Czasem musiała okrążyć nadbrzeżne bagna i zdradliwe grzędzawiska uginające się pod stopami, grożące ludziom i zwierzętom zagładą. W niektórych okolicach utrudniały przejście olbrzymie kaktusy drzewiaste<sup>876</sup>, gdzie indziej znów rozpościerały się tropikalne lasy spowite lianami i gęstym podszyciem. W lasach tych rosły drzewa kebraczo<sup>877</sup> o bardzo twardym, cennym drewnie zasobnym w garbniki, drzewa świętojańskie<sup>878</sup> zwane algarrobo, rodzące słodkie strąki. Najbardziej jednak charakterystycznym drzewem Chaco było pało borracho<sup>879</sup>. Jego potężny pień, dochodzący nieraz do kilku metrów średnicy, przypominał olbrzymią baryłę na piwo zwężającą się ku koronie, na której wyrastały konary obsypane pięknymi różowymi kwiatami. Oryginalność pało borracho nie polegała jedynie na jego dziwacznym kształcie. Po opadnięciu kwiatów tworzyły się owoce, które po dojrzeniu otwierały się i odsłaniały nasiona z

---

<sup>876</sup> — *Velus i Cereus*.

<sup>877</sup> — Niezmiernie twarde drzewa, znane pod nazwą żelaznych, pochodzą z Ameryki Południowej i Afryki. Najpospolitsze z tej grupy jest kebraczo, drzewo z gatunku *Sobinopsis*, którego bardzo twarde, ciężkie i odporne na wodę drewno o barwie ciemnoczerwonej dostarcza doskonałego materiału budulcowego i jednego z najlepszych garbników.

<sup>878</sup> — *Prosopis alba*.

<sup>879</sup> — *Cavanillesia* — inne drzewa należące do tej samej rodziny (*Bombacaceae*) również często mają pnie beczkowate.

pióropuszem delikatnego, białego włókna. Za włókno to płacono wtedy wiele razy więcej niż za prawdziwą bawełnę. Niełatwo jednak było dobrać się do włóknodajnych owoców, ponieważ beczkowaty olbrzymi pień usiany był zdrewniałymi kilkucentymetrowymi kolcami.

Karawana już dłuższy czas podążała przez prześwitujący, widny las, w którym rosły kaktusy, mimozy i wielkie pało borracho. Sally i Natasza zachwycały się pięknymi kwiatami beczkowatego drzewa, kwitnącego, jakby na przekór przyrodzie, w okresie bezdeszczowym. Wilmowski wyjaśnił, że jest to możliwe dzięki temu, że pało borracho magazynuje wielką ilość wody w swym potężnym pniu.

Tomek, jak zwykle, znajdował się na czele karawany. Co chwila zerkał na biegnącego przed nim Dinga, ten bowiem wyraźnie okazywał niepokój.

— Haboku, spójrz na psa! — odezwał się zaintrygowany.

Było to jednak zbyt ciche. Wytrawny tropiciel szedł z zadartą do góry głową i oddychał głęboko, jakby węszył. Teraz przystanął i rzekł:

— Dingo mądry, czuje dym! Ludzie blisko!

Tomek zatrzymał konia. Dał znak, żeby wszyscy zbliżyli się do przedniej straży.

— Ojciec, Haboku mówi, że jacyś ludzie palą ognisko w pobliżu. Dingo także jest zaniepokojony — oznajmił Tomek.

— Tylko Indianie mogą tutaj palić ogień — zauważył Wilmowski. — Zbliżamy się do granic Paragwaju, więc mogą to być Tobowie, których koczowiska mają się znajdować w południowej części Chaco paragwajskiego i w Argentynie. Musimy zachować wielką ostrożność.

— Haboku, przywołaj Huruwę i Pedikwę, pójdziemy pierwsi — rozkazał Tomek. — Ty, ojciec, i pan Wilson czuwajcie nad Sally i Natką, Wu Meng i Zbyszek pilnują juczych zwierząt. Sally, bierz Dinga krótko na smycz! Posuwamy się w zwartej grupie. Niech nikt nie sięga po broń bez mego rozkazu!

Ruszyli przed siebie. Teraz już wszyscy czuli swąd ognisk. Naraz zza beczkowatych drzew wystąpili doskonale zbudowani, ciemnoskórzy wojownicy z gotową do użycia bronią w rękach. Jedni trzymali łuki z nałożonymi na cięciwy strzałami, inni dzierżyli dzidy, kilku miało strzelby. Wygląd Indian upewnił Tomka, że należą do plemienia Tobą. Stali zwartym

murem przy swoim przywódcy i obrzucali białych ludzi zuchwałymi spojrzzeniami.

Tomek błyskawicznie ocenił sytuację. Nie opodał za zbrojną gromadą widać było szalasy, a obok nich w nieładzie porzucone tykwy. Tobowie widocznie zostali zaskoczeni podczas popijania matę, czyli popularnej w Ameryce Południowej herbaty sporządzanej z liści ostrokrzewu paragwajskiego<sup>880</sup>. Dzieci i kobiety pospiesznie kryły się w zaroślach.

Tomek uniesieniem ręki zatrzymał karawanę. Nie spiesząc się zsiadł z wierzchowca, po czym podszedł bliżej do znieruchomiałych wojowników.

— Witajcie, przyjaciele! — odezwał się po hiszpańsku.

Tobowie milczeli, tylko jeszcze bardziej ścieśnili się wokół przywódcy.

— Jesteśmy przyjaciółmi! Witajcie! — ponownie odezwał się Tomek, po czym, jak gdyby nie dostrzegając wrogości, wydobyl z kieszeni fajkę, nabił tytoniem i zapalił zapałkę.

Tobowie cofnęli się o krok, gdy dREWienko błysnęło ogniem. Tomek, nie zwracając uwagi na znieruchomiałych Tobów, spokojnie pykał fajkę. Napięcie Indian jakby trochę zelżało. Człowiek palący fajkę nie mógł planować napaści. W tej chwili Wu Meng wystąpił do przodu. W języku keczua, znanym jako tako niektórym Indianom Chaco, zaczął powtarzać powitanie. Wilmowski wydobyl z juków fajkę i woreczek tytoniu, bez karabinu podszedł do przywódcy Tobów. Na migi zaczął go zachęcać do zapalenia fajki.

Indianin, niepewny, jak ma postąpić, wahał się, zerkał na swych wojowników, lecz nie widząc sprzeciwu, kiwnął głową i dał do zrozumienia, że również chce zapałki. Wilmowski wyjął z kieszeni pudełko, podał je razem z fajką i tytoniem. Tobą włożył trochę tytoniu do fajki. Wyjął zapałkę, a gdy potarta o trzaskę błysnęła ogniem, uśmiechnął się zadowolony. Pyknał z fajki kilka razy. Wojownicy z uznaniem spoglądali na kacyka. Wrogi nastrój rozplynął się jak poranna mgła.

Rozochocony kacyk zaprosił białych przybyszów na matę. Mimo zmiany nastroju Indian, Tomek nie zaniechał ostrożności. Kobiety i dzieci Tobów nie wracały do obozu. Kacyk przywołał tylko swoje żony, żeby podały matę.

---

<sup>880</sup> — Napój z ostrokrzewu paragwajskiego pity był przez Indian jeszcze w czasach przedkolumbijskich. Krzew (*Ilexparaguayensis*) uprawiany jest od XVII w., obecnie głównie w Brazylii, Paragwaju i północnej Argentynie.

Tobowie musieli się już zetknąć z białymi ludźmi, skoro niektórzy mieli strzelby, a zza pasa kacyka wystawała rękojeść rewolweru. Broń palna mogła być łupem wojennym. Wiadome przecież było, że Tobowie wciąż jeszcze wkraczali na wojenne ścieżki przeciwko białym. Zaproszenie do obozu mogło być podstępem, który miał ułatwić napaść dla zdobycia łupów. Dla tych prymitywnych, wojowniczych koczowników, którzy krzesali ogień za pomocą kamieni, nawet zapałki były łakomym kąskiem. Tomek, zdając sobie z tego sprawę, polecił wszystkim Cubeom i Zbyszkowi, żeby pozostali na straży przy koniach i mułach.

Kacyk prowadził Wilmowskiego do obozu. Za nim szły Sally i Natasza z Wilsonem.

— Senior Tom! Tu czai się zdrada! — cicho rzekł Wu Meng.

— To pachnie zasadzką... — przyznał Tomek.

— Señor, będę cieniem kacyka, w razie zdrady przyłożę mu lufę rewolweru do karku. Będzie zakładnikiem...

— Odważysz się na to?! — upewnił się Tomek.

— Ręka mi nie zadrży. Bądź spokojny, senior!

— Dziękuję! Nie działaj pochopnie, czekaj rozkazu.

Wkrótce siedli na skórach rozłożonych na ziemi. Żony kacyka podały tytkwy z herbatą. Wu Meng, jako tłumacz, siadł między kacykiem i Wilmowskim. Teraz okazało się, że niektórzy Tobowie trochę znają hiszpański. Dopytywali się, czego biali ludzie szukają w Chaco. Proponowali wymianę skór krokodylich, węzowych i piór strusich na proch i kule. Wilmowski wyjaśnił, że jeszcze ma przed sobą długą drogę, więc nie może obciążać jucznych zwierząt rzeczami zbędnymi w tej chwili dla wyprawy. Zgodził się ofiarować kacykowi karabin i trochę nabojów. Polecił Wilsonowi, żeby przyniósł podarunki. Wilmowski wręczył kacykowi obiecany karabin, trochę nabojów i prochu, sztukę perkalu, nóż, kilka kawałków miedzianego drutu i parę sznurków koralu. Potem powstał, podał kacykowi rękę klepiąc go drugą po plecach i oświadczył, że czas ruszyć w drogę, gdyż słońce już stoi wysoko.

Kacyk ze swoim młodszym synem, prawie jeszcze chłopcem, który nie wypuszczał z rąk łuku, odprowadził Wilmowskich i ich towarzyszy do wierzchowców. Tobowie gromadą szli za nimi.

Sally, Natasza, Wilson i Zbyszek dosiedli koni. Wilmowski właśnie odwrócił się do swego wierzchowca i włożył stopę w strzemień, gdy nagle rozległ się świst strzały wypuszczonej z łuku. Ogier Tomka rzucił się w bok, potem stanął dęba i z żalonym rzeniem ciężko zwałił się na ziemię. Długa strzała tkwiła głęboko w jego lewym boku.

Uczestnicy wyprawy, jak smagnięci biczem, chwycili za broń.

Tomek, choć wzburzony do głębi, nie stracił zimnej krwi.

— Nie strzelać! Spokój! — krzyknął stanowczym głosem.

Młody syn kacyka jeszcze nie zdążył opuścić łuku po wystrzeleniu zdradzieckiej strzały. Tomek, widząc, że Wu Meng już stoi za plecami kacyka, podszedł do swego nieszczęsnego wierzchowca. Ogier postękiwał żałościwie, z pyska i chrap toczyła się krwawa piana, w agonii bił kopytami o ziemię. Tomek przygryzł wargi. Wydobył kolt z pochwy, przyłożył lufę do ucha ogiera i nacisnął spust. Dreszcz wstrząsnął ogierem, przekrwione ślepia pokryły się mgłą, znieruchomiał.

Tomek, nie wypuszczając z dłoni kolta, podszedł do wyrostka stojącego z łukiem w rękach.

— Dlaczego to zrobiłeś? — zapytał, z trudem tłumiąc gniew i oburzenie. Chłopak zdumiony spoglądał na niego, jakby w ogóle nie pojmował, o co temu białemu może chodzić. Po chwili wzruszył ramionami i wyjaśnił:

— Ty zabijasz naszą zwierzynę, bo musisz jeść. To sprawiedliwe — mówiąc wskazał ręką upolowanego przez Zbyszka jelonka przytroczonego do siodła. — Ja zabijam waszą zwierzynę, bo potrzebuję takiej skóry. To sprawiedliwe!

Tomek, zaskoczony odpowiedzią nie pozbawioną swoistej racji, zerknął na nie opodal stojących półkolem Tobów. Większość z nich nie miała przy sobie broni. Za plecami kacyka jak cień czał się Wu Meng, ale była to chyba zbędna ostrożność.

Tomek nie wahał się dłużej. Wepchnął kolt do pochwy, wydobył z za pasa nóż myśliwski. Poklepał chłopaka po plecach i wręczając mu nóż, powiedział:

— Tak, to sprawiedliwe! Zgoda między nami!

Tobowie podchodzili do Tomka, poklepywali go po łopatkach. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Tobowie pomagali zdjąć juki z jednego z koni i obciążyć nimi muły, ponieważ Tomek musiał zastąpić

zabitego ogiera innym wierzchowcem. Wu Meng jako ostatni dosiadł swego muła. Po pożegnalnych poklepywaniach karawana ruszyła w step.

— Pana syn ma żelazne nerwy — odezwał się Wilson do jadącego obok Wilmowskiego. — Doskonale panował nad sobą, chociaż widać było, jak bardzo żał mu ogiera.

— Tomek zdaje sobie sprawę, że odpowiada za bezpieczeństwo nas wszystkich. Gdyby choć tknął palcem chłopaka, wszyscy Tobowie natychmiast by się na nas rzucili.

— Musi pan jednak przyznać, że było w tym wiele ryzyka — przyganił Wilson. — Nie byliśmy przygotowani do odparcia napaści!

— Tak pan sądzi naprawdę?! — zdziwił się Wilmowski. — Nie jest pan zbyt bystrym obserwatorem. Tomek nie zaniechał jak najdalej posuniętej ostrożności.

— Co pan ma na myśli?! — nie dowierzał Wilson.

— Wu Meng ani na chwilę nie odstąpił kacyka. Przez cały czas jego prawa dłoń dotykała rękojeści rewolweru. W razie jakiegoś podstępu kacyk byłby naszym zakładnikiem. To było doskonałe ubezpieczenie. Domyśliłem się wszystkiego, gdy Wu Meng nieznacznie wyjął rewolwer z pochwy i wsunął go za pasek spodni. Wu Meng ostatni wsiadł na muła!

— Nigdy bym się tego nie spodziewał po tym Chińczyku! — zdumiał się Wilson. — Czy on to robił w porozumieniu z Tomkiem?

— Niech pan spyta o to Wu Menga lub mego syna — odpowiedział rozweselony Wilmowski. — Widzę, że jeszcze niezbyt dobrze poznał pan Tomka. To uczeń Jana Smugi!

Wkrótce wszyscy uczestnicy wyprawy dowiedzieli się o tym wydarzeniu. Chwalili przezorność i opanowanie Tomka oraz odwagę Wu Menga. Tylko Tomek nie cieszył się z uniknięcia niebezpieczeństwa. Nie mógł zapomnieć żalostnego rżenia ogiera, którego męki sam musiał skrócić.

Na szczęście zmieniające się jak w kalejdoskopie obrazy mijanych okolic wkrótce pochłonęły jego uwagę. Obydwaj Wilmowscy, rozmiłowani w geografii, ciekawie obserwowali wspaniałą florę Chaco. Fauna, chociaż nie tak bogata, jak można było mniemać po samej nazwie krainy, także obfitowała w różne gatunki zwierząt. W Chaco żyły pumy, zwane tam lwami, jaguary, lisy, tapiry, pancerniki, pekari, wydry, nutrie, aguti, skunksy, jelenie i sarny, mniejsze od strusi afrykańskich — nandu, zółwie, żarłoczne krokodyle,

różne gatunki małp, papugi, półtorametrowe iguany, jadowite węże oraz nieprzeliczalne roje rozmaitych owadów, wody zaś obfitowały w ryby.

Tomek skrzętnie notował ciekawsze spostrzeżenia. Na wieczornym biwaku razem z ojcem obliczał przebytą w ciągu dnia drogę. Według tych obliczeń przebyli już około czterystu kilometrów. Zatem od brzegów rzeki Paragwaj dzieliło ich jeszcze jakieś sto pięćdziesiąt lub dwieście kilometrów. Mogły to być wszakże zwodne rachuby, ponieważ często napotykanne tropikalne lasy i grzędzawiska zmuszały ich do obchodzenia niedostępnych lub zbyt trudnych do przebycia miejsc, a tym samym do nakładania drogi. Wcześniejsze ostrzeżenia przewodnika Antonia tymczasem okazywały się niegłosłowne. Coraz częściej odczuwali brak pitnej wody. Słońce z dnia na dzień przypiekało mocniej. Strumienie okresowe wysychały, a w wielu rzekach woda była słona. Pragnienie coraz częściej gnębiło uczestników wyprawy. Konie i muły z braku wody stawały się narowiste, wlokły się ze zwieszonymi łbami. Toteż gdy na horyzoncie zamajaczyła wstęga lasu, w serca wszystkich wstąpiła nadzieja.

Tomek co chwila sięgał po lornetkę i spoglądał ku niedalekiemu lasowi. Gdy ojciec podjechał do niego, rzekł:

— Już można rozróżnić palmy! To las parkowy, więc musi się tam znajdować jakaś rzeczka. Nareszcie będziemy mieli wodę!

— Oby tylko zdatną do picia! — odparł pan Wilmowski. — Tylko patrzeć, jak konie i muły zaczną padać! Jeżeli teraz nie trafimy na wodę pitną, będziemy musieli obciążyć jukami wszystkie zwierzęta, a sami pójść pieszo.

— Myślałem już o tym — powiedział Tomek. — Może jednak teraz nam się poszczęści. Patrz, ojcze! Dingo już znacznie odbiegł od nas! Haboku węszy jak ogar, przyspiesza kroku.

W tej chwili Haboku przystanął, odwrócił się i zawołał łamaną angielszczyzną:

— Tom, woda blisko!

Nie mógł się mylić. Koń Tomka, który dotąd włókł się noga za nogą ze spuszczonego ku ziemi łbem, nagle uniósł go wysoko i głośno zarżał. Wszystkie konie i muły, jakby wstąpiły w nie nowe siły, samorzutnie ruszyły szybciej. Wilmowski natychmiast zawrócił, żeby pomóc prowadzić juczne zwierzęta, które teraz rwały się do przodu i mogły pozrzucać juki.



Nim minęła godzina, karawana w bezładnym szyku wpadła w widny, rzadki las. Z dala słyhać było radosne naszczekiwanie Dinga. On to pierwszy dobiegł do zbawczego lasu. Wkrótce wszyscy znaleźli się nad rzeką. Tutaj również długotrwała susza pozostawiła widoczne ślady. Obydwa brzegi i część koryta rzeki pokrywał zaschły muł, tylko środkiem jeszcze płynęła wąska struga wody. Nikt nie był w stanie powstrzymać koni i mułów. Obarczone jeźdźcami i jukami przebrnęły przez skruszały muł wprost do płytkiej strugi. Dopiero wtedy udało się jeźdźcom zsiąść z koni. Z niemałym trudem wyprowadzili potem zwierzęta na brzeg i pognali z powrotem na skraj lasu, żeby zdjąć juki i rozkulbaczyć wierzchowce.

— Radziłbym pozostać tutaj przez dzień lub nawet dwa — zaproponował Wilson. — Mamy otwarty widok na step, las chroni przed słońcem. Woda jest pod ręką, konie i muły nareszcie napiją się do syta, nabiorą sił. Nam wszystkim również należy się trochę wypoczynku.

— Zgadzam się z panem — odrzekł Wilmowski. — Miejsce istotnie jest bardzo dobre na biwak. Dziki zwierz lubi osłaniające przed upałem wilgotne lasy parkowe. Będziemy mogli się zaopatrzyć w świeże mięso. Nasze zapasy zostały już mocno nadszarpnięte. O świcie urządzimy polowanie.

— Korzystajmy z okazji! Kto wie, kiedy znów znajdziemy wodę? — dodał Tomek. — Nie musimy rozkładać namiotu dla kobiet. W tym upale wystarczą szałas.

Jeszcze tego dnia Zbyszek i Tomek dwukrotnie prowadzili zdrożone konie i muły do wodopoju. Zwierzęta wytarzały się w rzeczonym mule, ponieważ butuki, czy bąki końskie, cięły niemiłosiernie. Cubeowie tymczasem zbudowali kilka szałasów z bambusów i liści palmowych. Wu Meng z kobietami przygotowali wieczorny posiłek.

Przed zapadnięciem nocy konie i muły, ze spętanymi przednimi nogami, puszczono w step, gdzie nie brakowało paszy. Tomek porozdzielał nocne warty, potem zasiadł z ojcem przy ognisku i rozłożył mapę. Moskity, dokuczliwe za dnia, obecnie gdzieś zniknęły, pojawiły się natomiast chmury komarów. Wielkie ćmy wabione blaskiem przylatywały do ogniska, obijały się o ludzi i ginęły w płomieniach. Wilmowscy zmęczeni długą drogą wkrótce udali się na spoczynek. Haboku, jako pierwszy pełniący wartę, zasiadł przy ognisku. Dingo wyciągnął się na ziemi obok niego.

Tomek kilkakrotnie podczas nocy sprawdzał, czy wartownicy dobrze strzegą koni i mułów w stepie. W pobliżu dzikich zwierząt stepowych mogły się włóczyć pumy i jaguary. Z wartownikiem i Dingiem obchodził w stepie wierzchowce, których strata byłaby niepowetowana.

Wreszcie rozległy się przeraźliwe głosy wyjców zwiastujące świt. Tomek obudził ojca i Zbyszka. Razem udali się na polowanie. Łupem ich stały się dwie sarny.

Po przyniesieniu zwierzyny do obozu Wu Meng pociął część mięsiwa na długie paski. Rozwiesił je na sznurku rozpiętym między kijami zatkniętymi w ziemię, żeby suszyły się na słońcu. Potem zajął się gotowaniem obfitego posiłku. Sally, Natasza i Mary poszły zbierać dzikie owoce, natomiast Wilmowski, Zbyszek i Wilson pognali muły i konie do wodopoju. Tomek pozostał w obozie. Przysiadł pod drzewem na skraju lasu i rozbawiony obserwował swego czworonożnego ulubieńca.

Dingo właśnie strzegł suszącego się mięsa. Przyczajony w pobliżu sznura i gotów do skoku, niestrudzenie wodził wzrokiem za dużym ptaszyskiem kołującym w powietrzu nad mięsiwem. Drapieżna karakara<sup>881</sup> uważnie obserwowała czworonożnego wroga, ale widok świeżego mięsa nie pozwalał jej zrezygnować z łupu. Krążyła coraz niżej, zataczała coraz mniejsze koła. Wreszcie odchyliła łeb daleko na plecy i rozległ się nieprzyjemny głos, który brzmiał, jakby ktoś uderzał o siebie dwoma kawałkami drewna.

Dingo warknął, lecz żarłoczna karakara lotem nurkowym dopadła sznura, potężnym, lekko zakrzywionym dziobem porwała kawał mięsa. Dingo skoczył, ale tylko kłapnął zębami w powietrzu, karakara bowiem zręcznie uniknęła jego kłów i odleciała w głąb lasu.

Wu Meng zaalarmowany ujadaniem Dinga, przybiegł na pomoc z warząchwią w garści, było już jednak za późno. Pogłaskał więc Dinga, mówiąc:

— Dobry piesek, dobry! Pilnuj, bo łakome ptaszysko gotowe ukraść wszystko mięso!

Dingo machnął ogonem, po czym znów przywarował w pobliżu sznura.

---

<sup>881</sup> — *Polyboms tharus* — dość duży ptak drapieżny zdomowiony na znacznych obszarach Ameryki Południowej. Żywi się przede wszystkim myszami, płazami i owadami, porywa również kury i jaja, niepokoi większe zwierzęta. Na wybrzeżach morskich łupem jego stają się zwierzęta wyrzucane przez fale. Karakary są zniechęcone przez Indian, ponieważ często porywają mięso wywieszane do suszenia na słońcu. W niewoli bardzo łatwo się oswajają.

Dwa dni przeznaczone na odpoczynek minęły bez specjalnych wydarzeń. Po południu drugiego dnia uczestnicy wyprawy czyścili broń, potem przystąpili do pakowania juków, żeby o świcie wyruszyć w drogę. Dzień był upalny, więc wszyscy przebywali w cieniu drzew. Nawet konie i muły popasały w lesie.

\* \* \*

Słońce chyliło się ku zachodowi. Przygotowania do drogi były ukończone. Sally i Natasza odpoczywały w hamakach rozwieszonych między drzewami. Mężczyźni przysiedli w lesie i kurzyli fajki. Mara kucnęła przy mężu, który od czasu do czasu pozwalał jej pyknąć swą fajkę. Huruwa i Pedikwa pilnowali koni i mułów, żeby nie odeszły za daleko w las. Niezmordowany Wu Meng przyniósł w kociołku kompot z kwaskowatych owoców, który doskonale gasił pragnienie podczas upalnego dnia.

— Chmurzy się na wschodzie, pewno będzie deszcz — oznajmił stawiając na ziemi kociołek z kompotem.

— Przydałaby się potężna ulewa — zauważył Wilson. — Jeszcze ani razu nie padało podczas wędrówki. Wszystkie rzeczki powysychają.

— W Chaco podobno rzadko pada, ale za to potem ulewa może trwać nawet kilka dni — wtrącił Wilmowski.

— Z rozkoszą wykapałabym się w wodzie deszczowej — odezwała się Sally. — Resztką wody w strumieniu gęsta jak barszcz!

Tomek poszedł na skraj lasu. Spojrzał w niebo. Od wschodu szybko nadciągały szare chmury. Powrócił na biwak i rzekł:

— Chyba wkrótce będzie padało! Musimy lepiej nakryć liśćmi szałas. Juki zmokną i będą cięższe.

Zanim Haboku przywołał Huruwę i Pedikwę, żeby wspięli się na palmy po liście, powiał silny wiatr, który wzrastał się z każdą chwilą. Nie było już mowy o wspinaniu się na smukłe pnie palm. Korony drzew kołysały się pod uderzeniami wichury. Cichy dotąd las rozbrzmiewał świstami i wyciem huraganu. Słysząc było trzask łamanych konarów, wysokie palmy wyginały się jak napinane cięciwami łuki, pióropusze liści niemal dotykały ziemi.

— Uciekajmy w step! — wołał Wilmowski starając się przekrzyczeć wicher. — W step, w step, tutaj śmierć!

Wycie wichury głużyło jego krzyk, ale złowróźbny trzask i łomot łamanych drzew wszystkim dodał skrzydeł. Zbyszek chwycił Sally i Nataszę za ręce i biegł z nimi w step. Tuż przed Wilmowskim pień grubego drzewa złamany w połowie runął z trzaskiem. Wilmowski zdołał skoczyć w bok i uniknąć śmierci. Haboku i Tomek porwali swą broń i wydostali się na step. Przykucnęli w małym wykrocie. Oszołomieni hukiem piorunów i oślepieni błyskawicami nie mogli szukać towarzyszy.

Las, jakby deptany stopami olbrzymów, przyginał się do ziemi, jęczał, rozbrzmiewał piekielnym chichotem. Błyskawice rozdzierały czerń rozpasanego nieba, pioruny były jeden za drugim. Nie opodał drzewo rozszczepione piorunem błysnęło ogniem. W tej chwili potoki deszczu spadły na ziemię. Gwałtowna wichura nagle ucichła. Wkrótce też ustała ulewa. Gwiazdy rozbłysnęły na niebie i z za lasu wyłoniła się czerwona tarcza księżyca.

Na stepie rozległy się nawoływania. Wkrótce uczestnicy wyprawy zebrali się wokół Wilmowskiego, który z niepokojem sprawdzał, czy odnaleźli się wszyscy.

— Nie ma Pedikwy i Wu Menga — oświadczył po chwili. — Kto ostatni ich widział?

— Może nie udało im się wydostać z lasu? — wtrącił Wilson. — Musimy natychmiast ich szukać! Mogą potrzebować pomocy!

— Idę z panem! Czekaście tutaj na nas — powiedział Tomek.

— Tom, teraz nie można do lasu! — ostrzegł Haboku. — Czerwony księżyc nisko. Olbrzymy czyhają!

— Do licha z zabobonami! — rozsierdził się Tomek. — Idziemy, panie Wilson!

Zaledwie uszli kilkadziesiąt kroków, natknęli się na Wu Menga. Tomek porwał go w ramiona i uściskał.

— Jesteś, jesteś na szczęście! — zawołał uradowany. — Czy nic ci się nie stało?!

— Jestem cały i zdrow! — odparł Chińczyk zmieszany wybuchem radości Tomka.

— Co się z tobą działo?! — pytał Tomek. — Zamartwialiśmy się o ciebie i Pedikwę.

— Pedikwa jest tam dalej w stepie, pilnuje koni i mułów, które wyprowadziliśmy z lasu — wyjaśnił Wu Meng. — I tak jeden koń i dwa muły zginęły.

— Człowieku, to zamiast ratować własne życie, myśleliście o koniach i mułach?! — oburzył się Wilson.

— Widocznie tak było zapisane w księdze przeznaczeń — z uśmiechem odparł Wu Meng.

Wszyscy uradowali się powrotem Wu Menga. Sally pierwsza go ucałowała, potem Natasza, Wilmowski i Zbyszek. Nawet Haboku i Huruwa, którzy nigdy nie uzewnętrzniali swoich uczuć, teraz poklepywali go po plecach. Chińczyk z zażenowaniem przyjmował te objawy przyjaźni. Ze skrzyżowanymi na piersiach rękami nisko kłaniał się każdemu. Potem pogłaskał ocierającego się o jego nogi Dinga.

— Nie ma po co wracać po nocy na biwak. Mokro tam i niebezpiecznie. Dużo drzew zwalonych — powiedział Wilmowski. — Noc ciepła, pozostaniemy tutaj do świtu. Zbyszku, weź Huruwę i odszukajcie Pedikwę. Przygnajcie konie i muły trochę bliżej.

— Wiem, gdzie jest Pedikwa, zaprowadzę — zaofiarował się Wu Meng. Za przykładem Tomka wszyscy przykucnęli na wilgotnej ziemi, Sally zaraz się odezwała:

— Haboku, powiedziałaś, że nie można iść do lasu, bo księżyc czerwony i olbrzymy czyhają. Czy ty naprawdę wierzysz w leśnych olbrzymów?!

— Wszyscy Cubeowie wiedzą, że w lasach mieszkają olbrzymy — odpowiedział Haboku. — Olbrzym jest tak wysoki, jakby postawiło się jednego na drugim dziesięciu zwykłych ludzi. Każdy olbrzym ma dwie twarze, jedną z przodu, drugą z tyłu głowy. Ciało ich są tak lepkie, że gdy ktoś ich obejmie, już nie może się oderwać. Polują na ludzi. Olbrzymy porywają matki i dzieci. Matkę zjadają, a dziecko wychowują jak swoje. Olbrzymki wolą porywać mężczyzn.

— Czy ktoś z Cubeów widział na własne oczy takiego olbrzyma?

— zagadnął zaciekawiony Tomek.

Haboku poważnie potaknął skinieniem głowy, po czym rzekł:

— Jeden znajomy myśliwy wybrał się w nocy do lasu na polowanie. Czerwony księżyc był nisko na niebie. Wtedy właśnie najłatwiej można

spotkać olbrzymów. Olbrzym podkradł się z tyłu i chwycił myśliwego za gardło. Walczyli ze sobą, dopóki myśliwemu nie udało się zabić olbrzyma nożem. Potem uciekł z lasu. Gdy powrócił tam rano, olbrzym przybrał postać leniwca. Wszyscy olbrzymi są włochaci. Zabity olbrzym zamienia się w leniwca, a potem znów staje się olbrzymem.

— Więc nikt nie może zabić takiego olbrzyma? — dopytywała się Sally.

— Nasz szaman zna sposób na nie — odparł Haboku. — Ale tylko szamani mogą tak walczyć z olbrzymami. Trzeba umieć zrobić czarodziejską truciznę.

Natasza zachichotała. Sally trąciła ją łokciem w bok i dalej pytała:

— Czy wiesz, jak się sporządza taką truciznę?

— Trzeba wyciąć łuską kukurydzy włosy spod lewej pachy olbrzyma i piec je, aż przemienia się w popiół. Potem miesza się popiół z wodą i wystawia na słońce, żeby przemienił się w pastę. Tę pastę należy trzymać w tykwie z bani zamkniętej pszczelim woskiem. Gdy olbrzymy atakują, pastę rzuca się między nich. Wtedy ogłupione padają na ziemię.

Noc szybko minęła. Uczestnicy wyprawy udali się do lasu na miejsce biwaku. Zapasy w blaszanych puszkach ocalały. Trochę juków zostało przygniecionych zwalonym drzewem, ale szkody były niewielkie. Wierzchowiec i dwa muły zginęły. Jeden muł żył jeszcze, ale trzeba było go dobić, ponieważ miał złamaną przednią nogę.

Nim słońce stanęło w zenicie, wyprawa ruszyła w drogę. Dwa muły i trzy konie niosły juki i sprzęt obozowy. Na dwóch wierzchowcach jechały Sally i Natasza, podczas gdy mężczyźni mieli używać czterech pozostałych koni na zmianę.

## NAPAD PIRATÓW

Suchoroślowy step złowrogo szeleścił pożółkłymi od słońca trawami. Strumienie okresowe wyschły do dna, w rzadko napotykanym rzeczках ledwo sączyła się słonawa woda. Dzikie zwierzęta błąkały się po okolicy w poszukiwaniu wodopojów. Pewnego dnia karawana Wilmowskich niespodziewanie natknęła się na wędrujące przez step krokodyle<sup>882</sup>. Z daleka trudno było je wypatrzyć w wysokiej trawie. Na szczęście czujny Dingo w porę ostrzegł podróżników przed groźnym niebezpieczeństwem. Olbrzymia gromada krokodyli szła w kierunku północnym. Podobne do potężnych, sękatych pni gady, wyczerpane przebywaniem w nienaturalnym dla siebie środowisku, wlokły się ociężale z otwartymi paszczami. Karawana Wilmowskich w popłochu ustąpiła im z drogi.

— Uporczywie dążymy na północny wschód, a stamtąd, jak widać, uciekają dzikie zwierzęta — zauważył Wilmowski, gdy minęło niebezpieczeństwo. — Chyba zboczyliśmy z drogi do rzeki Paragwaj! Skoro nawet krokodyle ciągną na północ, to zapewne tam musi znajdować się jakaś woda. Zaufajmy instynktowi dzikich zwierząt!

— Nie mamy wyboru — powiedział Tomek. — Konie i muły gonią resztkami sił, zginiemy, jeśli padną!

— Co radzisz, Haboku? — zwrócił się Wilmowski do Indianina.

— Trzeba iść za zwierzętami, one wiedzą, gdzie woda — odparł Haboku.

— W tej głuszy łatwo pobiłdzić — wtrącił Wilson. — Idźmy na północ. Uczestnicy wyprawy już od kilku dni wędrowali pieszo, rozłożywszy juki na wszystkie konie i muły. Znalezienie wody pitnej było kwestią życia lub śmierci. Toteż Wilmowski, po nieoczekiwanym natknięciu się na krokodyle wędrujące przez step, poprowadził karawanę wprost na północ.

Do rzeki Paragwaj musiało być niedaleko. Już następnego dnia półpustynny step z wolna zaczął ustępować sawannie. Tu i tam ukazywały się akacje o pierzastych liściach i kolorowych kwiatach pachnących jak fiołki. Lekko parasolowate korony akacji przypominały krajobrazy sawanny

---

<sup>882</sup> — Nieliczne osoby miały okazję to widzieć.

afrykańskiej. Karawana wreszcie dotarła do suchego, prześwitującego lasu porośłego krzewiastymi palmami, kaktusami i opuncjami, obsypanymi barwnymi, dużymi kwiatami. Krzyki ptaków i pomykające sarny zwiastowały bliskość wody.

Nareszcie była rzeka! Płynęła wprawdzie zwężonym nurtem, ale wystarczającym nawet dla większych łodzi. Skraje koryta pokrywał grząski, wilgotny muł, co wskazywało, że w okresie opadów rzeka musiała być znacznie szersza.

Podróżnicy z trudem powstrzymywali konie i muły rwące się ku wodzie. Na błotnistym brzegu rzeki widniały liczne ślady krokodyli, ponadto w rzece mogły się znajdować krwiożercze piranie. Toteż po rozjuczeniu zwierząt pojono je wodą przynieszoną w blaszanych puszkach z rzeki. Zajęło to sporo czasu. Wu Meng tymczasem rozpałił ognisko. Natasza i Sally pomagały w gotowaniu posiłku. Musiały także zaopatrzyć wyprawę w zapas wody zdatnej do picia.

Tomek i Zbyszek ukończyli właśnie rozpinanie namiotu dla swoich żon. Należał im się solidny odpoczynek po uciążliwej pieszej wędrówce. Tomek, czekając na wodę do picia, siadł w cieniu palm i zapalił fajkę. Nie opodał Cubeowie pętali konie i muły, żeby nie mogły odejść dalej. Wilson i Wilmowski powrócili znad rzeki, przysiedli obok Tomka. Zaczęli nabijać fajki tytoniem.

— Nie ruszajcie się, zarośla niepokoją Dinga... — naraz półgłosem odezwał się Wilmowski.

— Podkradnę się od tyłu... — szepnął Tomek, po czym pykając z fajki powstał i zawołał: — Dingo, do nogi!

Razem z psem ruszył ku Cubeom, którzy ponownie poili wierzchowce.

— Haboku, ktoś się czai w krzewach za namiotem — oznajmił Tomek. — Dingo ostrzega... Bądźcie w pogotowiu, ale zachowujcie się, jak gdyby nigdy nic. Podejdę z odwrotnej strony do krzewów.

Haboku nieznacznie skinął głową; Tomek, zakreślając spory łuk, zbliżył się do podejrzanego miejsca.

— Dingo! Szukaj! Szukaj! — rozkazał.

Dingo rzucił się w zarośla, w których zaraz rozbrzmiało jego chrapliwe warczenie i krzyk kobiety. Tomek z koltem w rękę skoczył za psem. Dingo szczyrzył kły i nie pozwalał podnieść się przewróconej na ziemię Indiance.



— Spokój, Dingo! Zostaw! — zawołał Tomek, dając znak dziewczynie, żeby się podniosła.

W tej chwili obok niego, jak spod ziemi, pojawili się Cubeowie z karabinami gotowymi do strzału.

Na widok Indian dziewczyna poszarzała na twarzy.

— Haboku, sprawdźcie, czy jeszcze ktoś jest w pobliżu — polecił Tomek. Ujął dziewczynę za ramię i poprowadził na biwak.

— To ona czaiła się w krzewach — oznajmił. — Cubeowie przetrząsają okolicę. Natka, opatrz jej ranę na ramieniu.

Indianka była niemal naga. Kawałek bawełnianego samodziału okrywał tylko jej biodra. Natasza zaraz przyniosła podręczną apteczkę.

— Kto ty jesteś? — po hiszpańsku zapytał Wilmowski.

Łagodny głos i budzący zaufanie wygląd poważnego białego człowieka trochę uspokoił dziewczynę.

— Lengua! Lengua! — odezwała się pokazując palcem na siebie.

— Kto cię zranił? — pytał dalej Wilmowski po hiszpańsku. Dziewczyna jednak spoglądała bezradnie. Nie rozumiała, co do niej mówił. Wilmowski na migi ponowił pytanie.

— Payagua! — zawołała dziewczyna, po czym zaczęła opowiadać gestami rąk.

Obydwaj Wilmowscy podczas wypraw łowieckich często porozumiewali się z krajowcami na migi, Tomek ponadto podczas pobytu w Arizonie poznał trochę mowę gestów Indian Ameryki Północnej. Toteż teraz uważnie śledził ruchy rąk dziewczyny. Wkrótce włączył się do rozmowy na migi.

— Dziwne rzeczy opowiada ta Indianka! — odezwał się po chwili. — Jacyś Payaguanie przyплыnęli na łodziach i napadli na ich obozowisko. Mordują mężczyzn, grabią i zamierzają uprowadzić kobiety!

— Udało się jej uciec, zobaczyła dym naszego ogniska, przybiegła prosić o pomoc — dodał Wilmowski.

— Rana na ramieniu powierzchowna — wtrąciła Natasza kończąc nakładanie opatrunku.

Łzy płynęły po twarzy dziewczyny, rękami wskazywała na konie i karabiny.

— Tak, tak, ona prosi o pomoc! — zawołał Wilson. — Co robimy?! W tej chwili Cubeowie powrócili ze zwiadu.

— Nie ma nikogo więcej, tylko ona — poinformował Haboku.

— Co robimy?! — ponaglił Wilson.

— Nigdy dotąd nie odmówiłem pomocy komuś znajdującemu się w opresji — oświadczył Wilmowski. — Tomku, obejmuj komendę!

— Haboku, kulbaczcie konie! — krótko rozkazał Tomek. — Ojcze, proszę cię zostań ze Zbyszkiem przy kobietach! Pan Wilson, Wu Meng i Cubeowie jadą ze mną! Brać broń i na konie!

W przeciągu kilku minut dosiedli wierzchowców. Wilmowski pomógł dziewczynie sięść na konia za plecami Tomka. Miała wskazywać drogę.

— Bądź rozważny, synu! — ostrzegł Wilmowski.

— Wiem, tatusiu, o co ci chodzi! Piąte przykazanie! Pamiętam!...

— uspokoił go Tomek, po czym zawołał: — Ruszamy!

Szybko jechali skrajem lasu według wskazówek dziewczyny. Falista sawanna, upstrzona kępami akacji, palm i kaktusów, pozwalała niepostrzeżenie zbliżyć się do napadniętego koczowiska. Wkrótce też ujrzeli smugi dymu unoszącego się ku niebu.

Nagle z wysokiej trawy powstało kilku mężczyzn. Niektórzy mieli łuki, inni pałki lub dzidy. Wołali coś do dziewczyny siedzącej za Tomkiem na koniu.

— Lengua, Lengua! — krzyknęła dotykając dłonią ramienia Tomka. Tomek powściągnął wierzchowca, inni uczynili to samo. Dziewczyna zeskoczyła na ziemię, podbiegła do grupki mężczyzn. Po pospiesznej rozmowie mężczyźni podeszli do Tomka, który tymczasem zsiadł z konia.

— Żli Payaguanie napadli nas! — odezwał się jeden z mężczyzn łamaną hiszpańszczyzną. — Mordują, grabią...

— Czy walka jeszcze trwa? — zapytał Tomek.

— Zaskoczyli nas, pobili, mają strzelby. Kto mógł, uciekł tak jak my!

— Czy są jeszcze w waszym toldzie? — dopytywał się Tomek.

— Są, pakują łupy, żeby zabrać do łodzi. Powiązali mężczyzn, młode kobiety, żeby zabrać i sprzedać.

— Ilu jest tych Payaguan? — pytał Tomek.

— Dużo, dużo! — mówiąc podnosił dwukrotnie palce obydwóch dłoni.

— Może więcej...

— Nie broniliście się wcale?

— Młodzi na polowaniu, pozostali starsi, szybko nas pobili, mają strzelby!

Tomek zastanowił się krótko i zarządził:

— Napastnicy zamierzają odpłynąć z jeńcami i łupem. Trzeba to udaremnić! Haboku, weźmiesz Huruwę, Pedikwę i sześciu Lenguan. Podkradniecie się brzegiem rzeki i odgradzicie Payaguan od łodzi. Pan Wilson, Wu Meng i pozostali Lenguanie uderzą ze mną z drugiej strony. Napastnicy wzięci w dwa ognie wpadną w popłoch. Może też inni Lenguanie, którym udało się zbiec, powrócą na odgłos walki.

— Señor Tom! Dajmy tym Lenguanom nasze noże i maczety — zaproponował Wu Meng.

Rada była słuszna, ale Cubeowie nie chcieli się pozbyć noży, którymi wprawnie posługiwali się w walce. Oddali tylko maczety.

Według Lenguan koczowisko już było bardzo blisko, więc Tomek polecił pozostawić konie przywiązane arkanami do drzew. Lenguanka miała ich pilnować. Gdy obydwie grupy były gotowe do wyruszenia, Tomek rzekł:

— Haboku, uderzysz na Payaguan od strony rzeki, gdy usłyszysz nasze strzały!

— Dobrze, Tom! — odparł Cubeo.

Tomek pod osłoną wysokiej trawy podprowadził swoją grupę w pobliże koczowiska. Payaguanie, upojeni łatwym zwycięstwem, czuli się bezpieczni, nawet nie wystawili straży. Tomek pozostawił swoich towarzyszy ukrytych wśród karłowatych palm, sam zaś podkraść się do koczowiska na rozpoznanie.

Payaguanie plądrowali szałas. Wynosili i składali na ziemi skóry krokodyli, pum, węzów, strusi i strusie pióra, łuki i strzały, suszone mięso, maniok, kaczany kukurydzy, kalebasy z chichą. Dwóch Indian opiekowało nad ogniskiem jakiegoś zwierzaka.

Na ubitej ziemi przed szałasami siedziały młode kobiety z powiązanymi z tyłu rękami. Przy nich przykucały wystraszone dzieci. Kilku starszych mężczyzn również zostało wziętych do niewoli. Ci oprócz rąk mieli także skrępowane nogi. Od razu rzuciło się w oczy, że część rabusiów już obficie uraczyła się chichą. Nie opodal koczowiska leżały trupy pomordowanych Lenguan.

Tomek wycofał się do swych towarzyszy.

— Payaguanie rabują, co się da! — oznajmił, — Nie żalowali sobie chichy. Teraz my ich zaskoczemy! Idziemy!

Pod osłoną wysokiej trawy i krzewiastych palm podeszli na sam skraj koczowiska.

Wysoki, dobrze zbudowany Payagua, zapewne przywódca, wydawał jakieś polecenia podochoconym kompanom, którzy potakiwali głowami i co rusz wybuchali gromkim śmiechem. Wódz podszedł do skulonych na ziemi branek, chwycił jedną brutalnie za włosy i zaczął ciągnąć do pobliskiego szałas. Inni Payaguanie zachęcali go okrzykami.

Wu Meng i Wilson, jak na komendę, unieśli karabiny, lecz Tomek powstrzymał ich ruchem dłoni. Sam szybko powstał, przyłożył sztucer do ramienia i niemal w tej samej chwili huknął strzał.

Wódz Payaguan wrzasnął przeraźliwie. Kula strzaskała mu nadgarstek ręki, którą ciągnął dziewczynę za włosy. Wu Meng i Wilson rozpoczęli strzelaninę. Mierzyli dobrze, kilku bandytów padło na ziemię. Zanim okaleczony wódz zdołał ochłonąć, Tomek kilkoma susami doskoczył do niego i uderzeniem kolby sztucera pozbawił przytomności. Dwóch Lenguana przybiegło do Tomka, ten zaś kazał im strzec nieprzytomnego wodza. Teraz dobył kolta. W ostatniej chwili uskoczył w bok przed jakimś drabem zamierzającym się nań nożem. Wu Meng, który w wirze walki nie spuszczał Tomka z oka, strzałem z rewolweru powalił napastnika.

Znad rzeki rozbrzmiała palba karabinowa. Haboku rozpoczął atak. Wzięci w dwa ognie Payaguanie próbowali się bronić, mimo że stracili wodza. Jednakże walka nie mogła już trwać długo. Wu Meng i Wilson dzielnie wsparli Tomka. Ich kule rewolwerowe siały spustoszenie, lecz szalę zwycięstwa przechylili ostatecznie Cubeowie, bezlitośni dla wrogów podczas bitwy. Oni to odegnali Payaguan od rzeki i na karkach niedobitków wpadli między szałas.

Nie wszyscy towarzysze Tomka wyszli bez szwanku z krótkiej, gwałtownej bitwy. Kula karabinowa rozorała skórę na lewej skroni Pedikwy, który mimo to nie wycofał się z walki. Dopiero teraz Lenguanki obmyły mu zakrwawioną głowę, obłożyły ranę ziołami i obwiązały skrawkami bawełnianego samodziału. Wilson zraniony był nożem w prawą rękę, Wu Meng miał podsiniaczone oko. Kobiety gorliwie zajęły się rannymi.

Tomek, uspokojony dobrym samopoczuciem przyjaciół, zatroskany obliczał straty wroga. Czternastu Payaguan poległo, czterech rannych dobili uwolnieni z pęt Lenguanie, zanim Tomek zdążył temu zapobiec. Okaleczony przez niego i wzięty do niewoli wódz Payaguan zniknął jak kamfora. Żądni zemsty Lenguanie, wbrew rozkazowi Tomka, zapewne zabili go i ukryli.

Kilku napastników zdołało umknąć w gąszcz przysadzistych palm. Tych bez trudu można by wytropić po sprowadzeniu Dinga, ale Tomek wcale o tym nie myślał. Przygnębiony zastanawiał się, co powie ojciec, któremu przed wyruszeniem na odsiecz obiecał pamiętać o piątym przykazaniu.

Lenguanie tymczasem dziękowali wybawcom za pomoc, poklepywali ich po łopatkach, zapraszali w gościnę do tolda. Kobiety porządkowały koczowisko, wybierały swoją własność ze stosu łupów przygotowanych przez napastników do wywiezienia. Kilku chłopców pobiegło nałowić świeżych ryb.

Wilson i Tomek zaczęli wypytywać się o rzekę Paragwaj, którą mieli popłynąć na północ. Okazało się, że Lenguanie koczowali właśnie nad dopływem Paragwaju. Jak wiele plemion Chaco, nie budowali i nie posiadali łodzi. Wędrówki odbywali pieszo. Ich rzeka na południowym wschodzie wpływała do Paragwaju, ale nie zapuszczali się w tamte strony. Tam bowiem mieli swe sadyby rozbójnicy rzeczni Payaguanie<sup>883</sup>, którzy na łodziach urządzali pirackie wyprawy na tolda innych plemion. Rabowali nie tylko mienie, lecz porywali również młodych mężczyzn, kobiety i dzieci, których sprzedawali wojowniczym Mbayom<sup>884</sup>. Lenguanie w obawie przed Payaguanami i Mbayami nie zapuszczali się na południowy wschód, natomiast od czasu do czasu chodzili na północny wschód do odległego o trzy dni drogi Puerto Suarez, gdzie wymieniali skóry zwierzęce oraz czaple i strusie pióra na potrzebne im rzeczy:

---

<sup>883</sup> — Mimo ważnej roli, jaką rybołówstwo odgrywało w życiu Indian Chaco, tylko kilka plemion posiadało środki transportu wodnego — prymitywne tratwy lub skórzane „*balie*”. Jedynie Payaguanie, zamieszkujący okolice zlewu rzek Paragwaj i Parana, mieli łodzie i stali się groźnymi piratami rzecznyymi.

<sup>884</sup> — Mbayowie po zdobyciu koni rozwinęli plemienny podział na klasy społeczne, które tworzyli: wodzowie, mniejsi dziedziczni dostojnicy, niedziedziczni dożywotni dostojnicy, wojownicy, słudzy, dziedziczni schwytni i kupieni niewolnicy. Mbayowie byli niezwykle pobłażliwi dla swoich dzieci, spełniali nawet najdziwniejsze ich kaprysy. Rozpieszczanie chłopców, przy rozbudowanej kastowości i zdolnościach do wojaczki, doprowadziło młodzieńców Mbayów do mniemania, że są doskonalsi od innych Indian i białych ludzi.

Były to dla Tomka niezwykle ważne i intrygujące wiadomości. Po raz pierwszy usłyszał o piratach Payagua grasujących w samym sercu Ameryki Południowej. Jak się później dowiedział, Payaguanie nie byli jedynymi rozbójnikami rzecznyymi. Indianie Mura<sup>885</sup>, nad rzekami Madeira i Purus w zachodniej Brazylii, również dokonywali na łodziach napadów na poletka osiadłych sąsiadów. Faktem było, że niektóre plemiona Chaco rozwinęły kilka własnych cech. Na przykład Mbayowie, jeszcze jako wędrowni myśliwi i zbieracze, ujarzmili osiadłe plemię rolnicze mówiące językiem arawaka. Podbitych traktowali jak niewolników. Po zdobyciu koni zamieszkali w stałych osadach i stworzyli strukturę klasową. Podczas gdy słudzy i niewolnicy uprawiali ziemię i doglądali osad, dostojnicy oraz wojownicy Mbayów wyruszali na dalekie wyprawy wojenne.

Tomek i Wilson uradowali się wiadomością, że od Puerto Suarez dzielą ich już tylko trzy dni drogi. Przecież celem ich wędrówki przez Chaco Boreal było właśnie Puerto Suarez, które na przestrzeni od granicy brazylijskiej na wschodzie aż do podnóży Andów na zachodzie było jedynym miasteczkiem boliwijskim. Puerto Suarez dzieliło zaledwie kilkanaście kilometrów od brazylijskiej Corumby na prawym brzegu rzeki Paragwaj. Stamtąd właśnie wyprawa Wilmowskich chciała popłynąć statkiem na północ wzdłuż granicy boliwijsko–brazylijskiej. Gdy Lenguanie dowiedzieli się, że ich wybawcy podążają do Puerto Suarez, natychmiast zobowiązali się dać przewodników dobrze znających drogę. W takiej sytuacji Tomek i Wilson przyjęli zaproszenie na odpoczynek w toldzie. Bez zwłoki wyruszyli po resztę uczestników wyprawy i juki. Tylko ciężiej zraniony Pedikwa pozostał u Lenguan. Kobiety przygotowały mu wygodne posłanie w przestronnym szałasie.

Zanim cała karawana Wilmowskich zdążyła przybyć do tolda, myśliwi Lenguan wrócili z polowania. Oczywiście nie obyło się bez lamentów nad kilku poległymi w walce z piratami. Wkrótce jednak życie w toldzie

---

<sup>885</sup> — Indianie Mura, doskonali żeglarze rzeczni, mieszkali i spali na swoich łodziach. Pływali po olbrzymich obszarach tropikalnego lasu zalewanego wodą podczas powodzi, w suchej porze roku zakładali czasowe osady na brzegach rzek. Łowili ryby strzałami z łuków bądź harpunami. Chwyтали żółwie, wydry i różną zwierzynę wodną, dla zdobycia innego pokarmu napadali na łodziach poletka osiadłych sąsiadów. Wywołali tym wrogość Indian Mundurucu i Brazylijczyków, którzy siłą zmusili ich wreszcie do bardziej pokojowego trybu życia. Obecnie Murowie są na wymarciu.

powróciło do normalnego trybu, gdyż tak z okazji pogrzebów, jak i ślubów Lenguanie nie odprawiali specjalnych ceremonii.

Taruma, naczelnik tolda, który także brał udział w polowaniu, powitał białych gości tradycyjną matę. Dopiero po opróżnieniu kilku tykw rozpoczęły się rozmowy. Taruma mówił łamaną hiszpańszczyzną przeplataną gestami rąk. Długo dziękował za rozgromienie piratów. Młodzi myśliwi i wojownicy również wyrażali swoją wdzięczność i prosili białych gości o jak najdłuższe pozostanie w ich toldzie.

Zapewniali, że nikomu nie zabraknie mięsa, ryb i owoców. Gromadnie zabrali się do budowania nowych szałasów dla swych wybawców. Taruma ponownie zapowiedział, że przewodnicy szybko doprowadzą białych podróżników do Puerto Suarez.

Podczas gdy Nataszą, Sally i Mara zmieniały opatrunki Pedikwie i Wilsonowi, Wilmowski i Zbyszek wręczali gościnnym Lenguanom podarunki. Wu Meng z Cubeami i Tomkiem umieścili juki w obszernym szałasie, po czym spętali muły i konie i puścili je na popas. Tomek polecił Haboku, żeby zwracał uwagę na wierzchowce, a sam poszedł do szałasu, w którym opatrywano rannych.

— Nie frasuj się, Tomku! — powitała go Nataszą wodząca rej jako sanitariuszka. — Oczyściłam rany naszych dzielnych przyjaciół! Kula rozorała skórę na skroni Pedikwy, ale kość nienaruszona. Lenguanki przyniosły zioła gojące. Mara orzekła, że są dobre, a wiesz przecież, że zna się na tym. Więcej kłopotu ma pan Wilson. Stracił sporo krwi. Rana oczyszczona, krwawienie zatamowane, unieruchomiłam dłoń.

— Oby tylko nie wdało się zakażenie! — zaniepokoił się Tomek.

— Nie ma obawy, Tomku! — uspokoiła go Nataszą. — Dałam obydwu rannym surowicę przeciwwężcową. Rewelacyjny lek, jeden z najnowszych wynalazków medycznych. Wynalazca otrzymał za niego nagrodę Nobla!<sup>886</sup>

— Nie wiedziałem, że istnieje taka surowica — zdziwił się Tomek.

— Skąd ją masz?

---

<sup>886</sup> — Emil Behring (1854–1917) — niemiecki lekarz bakteriolog, organizator jednej z największych w Europie wytwórni surowic i szczepionek (Behring–Werke, Marburg). W 1890 r. uzyskał antytoksyczną surowicę przeciwbłoniczną oraz razem z uczonym japońskim S. Kitasato — przeciwwężcową. Za osiągnięcia w serologii otrzymał w 1901 r. nagrodę Nobla, pierwszą w ogóle w dziedzinie medycyny.

— Wujek przywiózł z Niemiec, powiedział mi też, jak należy ją stosować. Szkoda, że nie mieliśmy jej podczas poprzedniej wyprawy. Ile to nakłopotaliśmy się po walce z Kampami!

— Zioła lepsze od leków białych ludzi — odezwała się Mara. — Pedikwa będzie zdrow i pan Wilson będzie zdrow. Nie martw się, Tom!

— Skoro takie dwie sławy medyczne nie przewidują komplikacji, to możemy być spokojni — rozweselił się Tomek.

— Jakże by mogło być inaczej pod opieką takich urodziwych lekarek!

— dodał Wilson. — Aż żal bierze, że już są mężatkami!

— Zostaniemy tutaj do zabliznienia ran — powiedział Tomek. — W tym klimacie nie wolno lekceważyć takich spraw.

— Najwyżej dzień lub dwa — zaproponował Wilson. — Jeszcze szmat drogi przed nami, a czas ucieka!

— Może uda nam się wynająć tragarzy — rzekł Tomek. — Moglibyśmy wtedy znów jechać wierzchem.

— Świetna myśl! — pochwaliła Sally. — Tommy na wszystko znajdzie radę. Żałuję, że nie mogłam wziąć udziału w rozprawie z piratami!

— Daliśmy im dobrą nauczkę! — powiedział Wilson. — Tylko kilku zdołało umknąć w step. Obserwowałem pana ojca, gdy zdawał pan relację z przebiegu odsieczki. Wydawało mi się, że nie uradował go pogrom piratów.

— Nie myli się pan — przyznał Tomek. — Ojciec przeciwny jest przemocy. Chciałem zapobiec krwawej rozprawie. Dlatego tylko unieszkodliwiłem wodza piratów. Na nic to się jednak zdało!

— Stracilibyśmy twarz u naszych Cubeów, gdybyśmy kazali im cackać się z bandytami — stwierdził Wilson.

— Pozbądź się skrupułów, Tomku! — kategorycznie rzekła Nataszą. — Na brutalną przemoc i siłę odpowiada się siłą!

— Brawo, Natka! Tak właśnie powinni mówić rewolucjoniści! — powiedział Zbyszek wchodząc do szałas. — Słuchaj, Tomku, gdy wyruszyliście na pomoc napadniętym Lenguanom, zapytałem wujka, co zrobimy z piratami, których część na pewno weźmiecie w niewolę.

— Co ojciec odpowiedział? — ponaglił Tomek.

— Wzruszył bezradnie ramionami i odparł: „*Nie ma potrzeby głowić się nad tym. Nie będzie żadnych jeńców.*” Zapytałem więc, dlaczego wujek jest tego pewny, a on tylko markotnie uśmiechnął się i rzekł: „*Przecież w odsieczce*



*znajduje się trzech Cubeów. Indianin na wojennej ścieżce nie zna uczucia litości. No, a poza tym jest tam Chińczyk Wu Meng... cicha woda brzegi rwie.”*

Tomek odetchnął z ulgą.

— Rozejrzę się trochę po koczowisku — powiedział, gwizdnął na Dinga i wyszedł z szałasu.

Lenguanie byli jednym z liczniejszych plemion Chaco. Kacykowie poszczególnych szczepów, wędrujących po bezdrożach stepów, sawann i lasów palmowych, podlegali jednemu wielkiemu naczelnemu wodzowi wszystkich Lenguan. Szczep Tarumy liczył kilkadziesiąt rodzin. Obecnie z powodu długotrwałej suszy koczował od kilku tygodni nad brzegiem rzeki, gdzie było wody pod dostatkiem i łatwiej o zwierzynę.

Tomek z Dingiem u nogi ciekawie rozglądał się po toldzie. Prymitywne szałasy, byle jak zbudowane z gałęzi i liści palmowych, nie mogły chronić przed deszczami i wichurami, które przecież i tak rzadko występowały w Chaco, ale dostatecznie osłaniały przed palącym słońcem. Nie opodal za koczowiskiem leżały poletka manioku i kukurydzy.

Lenguanki zdawały się już nie pamiętać o porannym napadzie. Odziane jedynie w krótkie spódniczki z bawełnianego samodziału lub ze skór strusich, zajmowały się sprawami gospodarskimi. Myśliwi upolowali tapira, pancernika, trzy pekari, jelenia i kilkanaście papug, chłopcy nałowili świeżych ryb, toteż kobiety gotowały i piekły mięsiwo, ryby, tłukły w drewnianych stępach<sup>887</sup> ziarna kukurydzy, oporządzały korzenie manioku, wieczorem bowiem miała się odbyć wielka uczta. Z pobliskiego lasu dochodziły nawoływania dziatwy zbierającej dzikie owoce.

Budowa szałasów należała do mężczyzn, ale kobiety wykonywały wszystkie inne prace, łącznie z noszeniem dobytku podczas wędrówki. Z rozlicznych zajęć kobiet uwagę Tomka zwrócił prymitywny sposób tkania wzorzystych, barwnych poncz<sup>888</sup>, z których każde mogło służyć jako płaszcz, a zarazem przykrycie przez dziesiątki lat. Do tkania takiego pięknego płaszcza wystarczało Lenguance tylko kilka patyków oraz duży palec u własnej lewej stopy, o który zahaczały nici.

---

<sup>887</sup> — Stępa — prymitywny rodzaj moździerza w kształcie kamiennej misy lub drewnianego naczynia wydrążonego w klocku drzewnym, z ubijakiem zwanym stęporem, używany do obluskiwania i kruszenia ziaren.

<sup>888</sup> — Wartość poncza równała się cenie konia.

Tomek przysiadł wreszcie przy ojcu. Wilmowski i Taruma popijali matę przed szałasem. Otaczało ich kilkunastu ciemnobrunatnych młodych myśliwych–wojowników. Blizny na ich skórze były widowym rejestrem walk międzyplemiennych i niebezpiecznych polowań na drapieżniki. Wszyscy mieli także tatuaże i ciała pomalowane farbami w różne desenie. Na szyjach nosili naszyjniki z zębów zwierząt, we włosach na głowach pióra czaple i papuzie, a w uszach wielkie drewniane kolczyki. Ich ubiór stanowiły szerokie, frędzlaste u dołu pasy skórzane bądź barwne, oryginalnie tkane, z bawełny.

Jeszcze przed wieczorem zapłonęły duże ogniska. Na zaproszenie Tarumy wszyscy uczestnicy wyprawy zasiedli przed jego szałasem, największym w obozie. Rozpoczęła się uczta. Gościnni Lenguanie zachęcali białych gości do jedzenia i picia chichy, znów prosili, żeby pozostali w toldzie, jak długo zechcą.

Wkrótce po nadejściu nocy, gdy na rozgwieżdżonym niebie pojawił się księżyc w pełni, na znak starego szamana mężczyźni wystąpili na ubity plac między szałasami. Stanęli po kilku w szeregach ujmując się za ramiona. Przed mężczyznami podobnie ustawiły się kobiety. W takt monotonicznie nuconej przez wszystkich Lenguan pieśni rozpoczęły się tańce obrzędowe.

Było to urzekające, romantyczne widowisko. Mężczyźni i kobiety, zwróceniem twarzami do siebie, rytmicznie podskakiwali, przekładali na przemian nogi, szeregi ujmujących się za ramiona tancerzy to zbliżały się do siebie, to oddalały. W tajemniczej, jakby lekko zasnutej mgłą poświacie księżycyca w pełni odblaski płonących ognisk rzucały migotliwe, krwawe refleksy na nagie ciała tancerzy.

— Patrz, ojcze! — szepnął Tomek.

— Zew dzieci natury... — cicho powiedział Wilmowski.

Haboku z Marą, Huruwa i Pedikwa z zabandażowaną głową w porywie mistycznego nastroju włączali się właśnie do obrzędowego tańca.

\* \* \*

Taruma dostarczył Wilmowskim tragarzy i przewodników, którzy na bezdrożach sawann, stepów i gajów palmowych instynktem nomadów odnajdywali właściwy kierunek. Z wyjątkiem Haboku, Mary i Huruwy pozostali uczestnicy wyprawy jechali konno. Toteż po trzydniowej wędrówce bez przeszkód już dotarli do Puerto Suarez.

Przygraniczne boliwijskie miasteczko było w rzeczywistości nieco większą wioszczyną. W odległości około dwudziestu kilometrów na wschód znajdowała się granica boliwijsko–brazylijska, a od niej było już tylko piętnaście kilometrów do Corumby, położonej na szczycie skały wapiennej nad rzeką Paragwaj.

Puerto Suarez, na którego peryferiach często pojawiały się strusie, węże boa i pumy, liczyło niewiele ponad tysiąc mieszkańców, prawie wyłącznie Metysów. Jedyne sklepy emigranta niemieckiego, ożenionego z Indianką z plemienia Bororo<sup>889</sup>, zaopatrzone były we wszystko, czego mogli potrzebować ludzie na tym bezmiernym pustkowiu. Tutaj też przychodzili Indianie Lengua, Bororo, Tobą i inni wymieniać swe produkty i trofea łowieckie na strzelby, proch i kule oraz rozmaite produkty i przedmioty przemycane z Brazylii. Puerto Suarez egzystowało i słynęło z przemytnictwa. Władze boliwijskie w ogóle nie interesowały się nielegalną działalnością na dalekich i bezludnych rubieżach wschodnich kraju, celnika brazylijskiego natomiast przemytnicy z łatwością omijali.

Wilmowscy rozbili obóz nie opodal Puerto Suarez, ponieważ w parterowych domkach mieszkańców miasteczka panowała wilgoć, zaduch i roiło się od pluskiew.

Wilmowski i Wilson bez zwłoki udali się konno do Corumby, żeby zasięgnąć informacji o statkach kursujących po rzece Paragwaj. Okazało się, że dopiero za dwa tygodnie miał przybyć statek płynący na północ do Cuiaby, stolicy stanu Mato Grosso<sup>890</sup>. W porze deszczowej podróż statkiem z Corumby do Cuiaby trwała około ośmiu dni, ale obecnie, w porze suchej, mogła się przeciągnąć do trzech tygodni. Czekanie na statek byłoby poważną

---

<sup>889</sup> — Bororo — Indianie mieszkający w stanie Mato Grosso w zachodniej Brazylii, najwyżsi wzrostem i najlepiej zbudowani spośród Indian brazylijskich. Malowali swe ciała od stóp do głów na czerwono, używając ziaren urucu (*Bixa orellana*) tłuczonych razem z tłuszczem. Dawniej byli wędrownymi myśliwymi i rybakami, obecnie uprawiają rolę.

<sup>890</sup> — Mato Grosso (Wielka Gęstwina) — płaskowyż na zachodnim krańcu Wyżyny Brazylijskiej, stanowi dział wodny między dorzecziami Amazonki i Parany. Jest to kraina pocięta dolinami licznych rzek na stoliwa, zwane chapadas. Klimat ma podrównikowy, na południowych krańcach zwrotnikowy. Występują tam suche lasy kolczaste typu caatinga i roślinność sawannowa typu campos, a miejscami bujne lasy monsunowe, wzdłuż rzek galeriowe. Zabagnione równiny w dorzeczu Paragwaju porasta roślinność trawiasta i bagienna, a północne pogranicze wilgotne lasy równikowe. Mato Grosso jest jednym z najslabiej zagospodarowanych stanów Brazylii. Główne miasta: Corumba i Cuiaba, stolica stanu. Bogactwa naturalne: złoto, diamenty i rudy manganu.

stratą czasu, tym bardziej że Wilmowski chciał dopłynąć do leżącego w innym kierunku Caceres, skąd wiodła linia kolejowa do Mato Grosso nad rzeką Guapore<sup>891</sup>.

Wilson i Wilmowski powrócili zakłopotani. Wszyscy uczestnicy wyprawy natychmiast zebrali się na naradę.

— Pechowa wyprawa! Znów utknęliśmy w martwym punkcie — rozpoczął relację Wilson. — Podobno dopiero za dwa tygodnie ma płynąć jakiś statek do Cuiaby. My tymczasem chcemy się dostać do Caceres. Nikt nie popłynie pod prąd łódkami taki szmat drogi!

— Czy nie można spodziewać się jakiegoś innego statku? — zapytał zafrasowany Tomek.

— Przy przystani jest zacumowany tylko jeden mały, stary bocznokołowiec o górnołotnej nazwie „*Pireus*” — wtrącił Wilmowski. — Tkwi tam już prawie miesiąc z powodu uszkodzenia kotła parowego.

— Rozmawialiśmy z kapitanem tego pudła, Populousem, Grekiem z pochodzenia — dodał Wilson. — Pociągając z butelki bezczelnie zakpił: „*Naprawicie mój kociołek, to popłynę z wami!*”

— Czy nie powiedział, co to za uszkodzenie? — zaciekawił się Wu Meng.

— Ani on, ani jego czteroosobowa załoga niewiele się na tym znają — odparł Wilson. — Piją ze zmartwienia i czekają, aż znajdzie się ktoś, kto naprawi.

— Senior Wilmowski, chciałbym obejrzeć ten kocioł — zaproponował Wu Meng. — Przy płynąłem z Chin do Ameryki jako palacz na statku. W drodze aż dwa razy musieliśmy naprawiać kotły.

Wszyscy ze zdumieniem spojrzeli na Chińczyka.

— Senior Wu Meng, gdyby udało się panu dokonać naprawy, powiedziałbym, że Opatrzność zesłała nam pana — oświadczył Wilmowski. — Jeszcze dzisiaj ruszamy do Corumby.

\* \* \*

---

<sup>891</sup> — Guapore (hiszp. *Itenez*) — rzeka długości około 1150 km. Wypływa ze stoków gór Serra dos Parecis w Mato Grosso, płynie na północny zachód i częściowo stanowi granicę boliwijsko-brazylijską. Uchodzi jako prawy dopływ do rzeki Mamore, która z kolei z rzeką Beni tworzy rzekę Madeira uchodzącą do Amazonki. Guapore jest żeglowna powyżej miasta Mato Grosso.

W cztery dni później wyprawa płynęła na „*Pireusie*” w górę Paragwaju. Wysoki, cienki komin zionął czarnym dymem, który włókł się za statkiem niczym ogon za kometą. Co trzydzieści kilometrów „*Pireus*” musiał przybijać do brzegu, aby uzupełnić zapas drewna opałowego. Wtedy czteroosobowa załoga kapitana Populousa i wszyscy mężczyźni uczestniczący w wyprawie przystępowali do pracy.

Dzień po dniu „*Pireus*” mozolnie walczył z prądem rzeki. Na obydwóch brzegach rozpościerała się dziewicza dżungla, toteż statek w wąskich dopływach Paragwaju często ocierał się o gałęzie drzew zalanego lasu. Sally i Natasza przez całe dni przebywały na pokładzie wypatrując przepływających rzekę tapirów i stad krokodyli bądź buszujących na gałęziach drzew wspaniałych ar.

Wu Meng i pomagająca mu Mary przygotowywali posiłki dla uczestników wyprawy. Kapitan Populous był wprawdzie zobowiązany do żywienia pasażerów, ale jedynymi uznawanymi przez niego daniami były: ryż, fasola i tak zwana feijoada, to jest sucha mąka maniokowa z wołowiną, które szybko się wszystkim przejadły.

Statek dwukrotnie osiadał na mieliznach, z których trzeba było go ściągać za pomocą stalowej liny przywiązanej do pnia potężnego drzewa na brzegu. Wchodzenie do wody było jednak bardzo niebezpieczne ze względu na piranie.

Po dziesięciu dniach krajobraz zaczął się zmieniać. Dżungla ustępowała miejsca płaskowyżowi brazylijskiemu. Na tle białego lub żółtego piasku pieniały się kępy mlecznozielonej, ostrej trawy. Tu i tam rosły karłowate drzewka o grubej, pokrytej kolcami korze i woskowanych liściach. Tomek i Zbyszek tęsknym wzrokiem spoglądali na osławione Mato Grosso, krainę złota, diamentów, awanturników i zbiegów kryjących się przed prawem.

Dopiero po dwóch tygodniach uciążliwej żeglugi wyprawa Wilmowskich znalazła się w pociągu podążającym z Caceres do Mato Grosso, kilkutyśięcznego miasteczka nad rzeką Guapore.



## ROZKAZ GENERAŁA

Mały bocznokołowiec wolno płynął z prądem rzeki Mamore. Na prawym brzegu już wylaniało się z leśnego gąszczy miasteczko Guajara Mirim. Martinez, właściciel i zarazem kapitan stateczku, z niepokojem spoglądał przez lunetę ku wybrzeżu.

— Coś niedobrze to wygląda! — odezwał się po chwili. — Za dużo zbrojnych ludzi na przystani. Przyjrzyj się sam, señor!

Wilmowski wziął podsunietą mu lunetę. Na przystani z drewnianych bali krzątała się gromada Indian i Metysów uzbrojonych w karabiny. Atletycznie zbudowany Mety s wydawał zapewne jakieś rozkazy gestykulując ręką. Kilkunastu Indian znajdowało się przy łodziach.

— Nabrzeże obstawione zbrojnymi ludźmi, którzy trzymają w pogotowiu łodzie — potwierdził Wilmowski.

— Masz teraz dowód, señor, że słusznie odradzałem płynięcie w te strony — z wyrzutem rzekł Martinez. — Źle postąpiłem ulegając namowom! Od trzech miesięcy trwają poważne zamieszki na północnej granicy Boliwii. Rewolucjoniści zapewne opanowali także Guajara Mirim.

— Słyszeliśmy w Mato Grosso, że tutaj budują jakąś ważną linię kolejową — wtrącił Tomek. — Może to straż budowniczych kolei?

W tej chwili na wybrzeżu rozbrzmiały strzały.

— Dają znak, żebyśmy przybili do przystani — powiedział Wilmowski.

— Co robimy?

— Nie ma rady, señor, musimy przybić do brzegu — stanowczo oświadczył Martinez. — Jeżeli nie usłucham wezwania, ostrzelają nas i dogonią na łodziach.

— Możemy jeszcze zawrócić i wysiąść na brzeg w innym miejscu — doradził Wilson.

— Daleko byśmy nie odpłynęli, zapas drewna opałowego wyczerpany — odparł Martinez. — Nie możemy umykać w dół rzeki z prądem. Za Guajara Mirim aż do ujścia liczne progi uniemożliwiają dalszą żeglugę po Mamore.

— Trudno, przybijamy — stwierdził Wilmowski.

— Ma pan rację — potwierdził Wilson. — W Guajara Mirim i tak kończy się zadanie pana Martineza. Stąd musimy już pieszo dotrzeć do rzeki Abuna na północnej granicy Boliwii. Jeżeli to rewolucjoniści, to może się z nimi jakoś dogadamy, a jeżeli nie, nie jesteśmy bezbronni!

— Kobiety do kabiny! — rozkazał Tomek. — Reszta niech ma broń w pogotowiu!

Trzej Cubeowie, Wilson, Wu Meng i Zbyszek z karabinami w rękach stanęli murem za Tomkiem. Stateczek tymczasem wolno przybijał do prowizorycznej przystani.

— Señor, nie rozpoczynaj pochopnie strzelaniny! — ostrzegł Martinez.

— Niech się pan uspokoi, rozwaga leży w naszym interesie — zapewnił Wilmowski. — Mamy dotrzeć w okolice Cobija, jeszcze kawałek drogi przed nami.

— Musimy trzymać ich w szachu. Jeżeli wtargną na statek, nie damy im rady — dodał Tomek.

Dwóch ludzi z załogi Martineza rzuciło cumy. Indianie na brzegu natychmiast przywiązali je do drzew. Wilmowski podszedł do burty i zapytał po hiszpańsku:

— Czego chcecie od nas?

Olbrzymi Metys wysunął się przed zbrojną gromadę. Na jego piersi krzyżowały się przewieszane przez ramiona dwa pasy z nabojami karabinowymi, na prawym biodrze zwisała pochwa z rewolwerem, w rękach trzymał karabin. Spod przymrużonych powiek wodził wzrokiem po mężczyznach zgrupowanych na pokładzie statku.

— Wszyscy przybywający do Guajara Mirim podlegają ścisłej kontroli — oświadczył po chwili.

— Czyjej kontroli?! — indagował Wilmowski.

— Generała, taki jest jego rozkaz! — krótko odparł Metys.

— Cóż to za generał? — wtrącił Tomek. — Jesteśmy obywatelami angielskimi, dokumenty mamy w porządku.

Metys ponownie obrzucił podejrziwym wzrokiem mężczyzn na statku, po czym kpiącym tonem powiedział:

— To się jeszcze okaże. Na statku biali ludzie, Chińczyk, Indianie, i to mają być Anglicy! Czy to nie podejrzané?! Sam przyznaj, señor. Nie mówisz prawdy. Pójdziecie do generała, on zadecyduje!



— Słuchaj, senor — odezwał się Wilmowski. — Jesteśmy angielską wyprawą naukową. Ci ludzie uczestniczą legalnie w naszej wyprawie, potwierdzą to posiadane przez nas dokumenty. Uzyskaliśmy zgodę władz na odbycie tej wyprawy.

— O jakich władzach mówisz, seńor?! Tutaj obowiązuje tylko rozkaz generała! — rzekł Metys.

— Skoro tak twierdzisz, dobrze! — odparł Wilmowski. — Jeden z nas pójdzie do generała i przedstawi dokumenty.

Metys medytował przez chwilę, po czym odparł:

— Zgoda! Jeden idzie ze mną, reszta pozostaje na statku, ale ostrzegam, moi ludzie będą was mieli na oku, a oni... lubią strzelać!

— Będziemy o tym pamiętali, nie szukamy awantury — zapewnił Wilmowski.

— Ojczy, ja pójdę pogadać z tym generałem — cicho powiedział Tomek. — Ty prowadzisz wyprawę, co będzie, jeżeli cię zatrzymają?

— Dobrze, masz szczęśliwą rękę do załatwiania takich spraw — zgodził się Wilmowski. — Zaraz dam ci dokumenty.

— Lepiej miej przy sobie, mogliby mi je odebrać — rzekł Tomek. Sztucer swój przekazał Haboku, po czym tylko z koltem u pasa zszedł po wysuniętej ze statku desce na przystań. Metys zaraz podszedł do niego i rozkazał:

— Oddaj rewolwer!

Tomek bez słowa protestu wyjął kolt z pochwy i wręczył Metysowi. Trzej zbrojni Indianie z Metysem na czele poprowadzili go w kierunku zabudowań.

Odebranie rewolweru nie miało dla Tomka istotnego znaczenia. Mieścina roiła się od zbrojnych Indian i Metysów, wszelki opór był niemożliwy. Tomek teraz gubił się w domysłach, jaki los mógł przypaść Smudze i Nowickiemu, skoro rewolucja przybrała tak niepokojąco duże rozmiary. Nie miał jednak wiele czasu na rozmyślanie. Eskorta właśnie zatrzymała się przed obszernym parterowym domem wzniesionym na grubych palach. Przed werandą osłoniętą palmowym daszkiem pełniło straż kilku uzbrojonych po zęby Indian. Metys cicho coś do nich zagadał, a następnie zwrócił się do Tomka:

— Poczekaj tutaj, senor, powiadomię generała!

Wszedł na werandę i zniknął za matą osłaniającą otwór drzwiowy. Z wnętrza domu dochodziły piskliwe kobiece śpiewy. Tak właśnie, sztucznym,

nienaturalnym głosem śpiewały kobiety piroskie w La Huairze, co należało tam do dobrego tonu. Mogły to być więc śpiewy Pirosek, ponieważ nad rzeką Madre de Dios w północnej Boliwii znajdowały się sadyby Pirów, do których Vargas wysyłał swoje correrie.

„*No, niezły musi być gagatek z tego generała!*” — pomyślał Tomek.

Piskliwe śpiewy nagle umilkły. Teraz słyhać było odgłosy rozmowy, ale Tomek nie mógł rozróżnić słów. Po chwili Metys wyjrzał na werandę i zawołał:

— Wejdz, senor! Generał chce cię zobaczyć!

Tomek nachmurzony, nie spiesząc się, wszedł na werandę, Metys szerzej odgarnął matę i przepuścił Tomka do obszernej izby, w której panował półmrok, ponieważ ażurowe maty osłaniały obydwie okna. W głębi izby, za byle jak skleconym z desek stołem, siedział barczysty mężczyzna w kapeluszu panamskim o szerokim rondzie rzucającym cień na spaloną słońcem twarz. Na pierwszy rzut oka trudno było odgadnąć, czy to biały, Indianin czy Metys. Na stole przed generałem, obok opróżnionej do połowy butelki i kubka, leżał pas z dwoma koltami w pochwach. Dwie młode półnagie Indianki, o twarzach częściowo pomalowanych na czerwono i z wytatuowanymi na policzkach małymi czarnymi wężami, wachlowały generała pierzastymi liśćmi palmowymi.

Generał drgnął spojrzawszy na Tomka. Dopiero po dłuższej chwili odezwał się po hiszpańsku stłumionym głosem:

— Felipe, oddaj mu broń!

Tomek wprost oniemiał, usłyszawszy generała. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w jego twarz. Metys tymczasem wsunął Tomkowi kolt do pochwy.

— Wyjdz, Felipe, poczekaj przed domem! — rozkazał generał, a gdy Metys wyszedł na werandę, zsunął z głowy kapelusz ocieniający twarz.

— Rany boskie!... Tadek! — krzyknął Tomek. Olbrzymie nagłe wzruszenie i niezwykła radość ścisnęły mu krtań, łzy zaszklily się w oczach.

Nowicki jednym susem przeskoczył przez stół, porwał Tomka w ramiona i milcząc, długo tulił do piersi. Dopiero gdy Tomek zdołał się opanować, wypuścił go z objęć i rzekł jeszcze trochę rwącym się głosem:

— Jesteś, kochany brachu, nareszcie jesteś! Zamartwialiśmy się z Jankiem o ciebie!

— To ty jesteś tym tajemniczym generałem, który napędził nam stracha?! — niedowierzająco pytał Tomek. — Co z panem Smugą?

— Smuga zdrow i cały! — uspokoił go Nowicki. — Dwa dni temu wyruszył na zwiady nad rzekę Abuna. Tam przecież mieliśmy się z tobą spotkać. Wprawdzie zaufani Pirowie czatują na was na północnej granicy Boliwii, ale mimo to Smuga co jakiś czas sam robi wypadki w tamte strony. Czasy trochę niespokojne, nie chcieliśmy cię wpakować w nowe tarapaty. Felipe mówił mi, że na statku znajduje się gromada zbrojnych ludzi. Kto jest z tobą, brachu?

— Wszyscy nasi wierni przyjaciele. Przede wszystkim ojciec i pan Wilson, którzy przywieźli pieniądze na zorganizowanie wyprawy, oczywiście Sally, Zbyszek z Natką, Haboku z Marą, Huruwa, Pedikwa, kucharz Wu Meng i Dingo.

— A więc twój ojczulek jest także? Wzruszyła mnie ta wiadomość. Ha, na takim szlachetnym przyjacielu zawsze można polegać. No, no, nie spodziewałem się, że i Wilson pospieszy nam na ratunek. Czy nikomu z was nie przydarzyło się nic złego?

— Trochę oberwaliśmy od piratów rzecznych, ale wszystko dobrze się skończyło. Tadku, tak bardzo baliśmy się o ciebie i pana Smugę! Ależ Sally i Natka się uradują!

— Stęskniłem się za tymi dzierlatkami — przyznał Nowicki. — Dobrze, że mieliśmy jacht w odwodzie! Wiedziałem, że zorganizowanie wyprawy pochłonie sporo grosza. Czy szanowny twój ojciec nie miał kłopotu ze sprzedażą?

— Ojciec nie sprzedał jachtu, wypożyczył go przyjacielowi pana Hagenbecka na wycieczkę po Morzu Śródziemnym.

— Ha, więc będę musiał zdegradować się z generała na kapitana — z humorem rzekł Nowicki. — Skoro tak jednak, to skąd wzięliście pieniądze?

— Pan Nixon pokrył koszty wyprawy.

— Trzeba przyznać, że to bardzo przyzwoity facet i nie skąpiec! Zwrócimy mu wszystko po powrocie do Manaos.

— Tadku, to znaczna suma!

— Starczy nam, kochany brachu! Nie próżnowaliśmy tu z Jankiem. Siadaj, odsapnij trochę, zanim pójdziemy na przystań po naszych przyjaciół. Hej, lube sikorki! — zawołał do zaintrygowanych Indianek.

— Mamy niezwykłych gości! Raz, dwa przygotujcie solidną przekąskę! Indianki zachichotały i zniknęły w sąsiedniej izbie. Nowicki klasnął w dłonie i zawołał:

— Felipe!

Metys jak cień wsunął się do izby.

— Zaraz pójdziemy na przystań po moich przyjaciół. Zbierz ludzi do niesienia bagaży.

— Tak jest, generale! — służbiście odparł Metys i wyszedł z izby.

— Zdumiewasz mnie, Tadku! Co to wszystko znaczy? Dlaczego zwać cię tutaj generałem? W jaki sposób umknęliście z niewoli u Kampów? — pytał Tomek.

— Wiele byłoby do gadania, ale nie pora teraz na to. Prysnęliśmy z niewoli, gdy Kampowie postanowili rozpocząć rebelię. Jeszcze teraz mordują białych nad górną Ukajali. Uciekając zawadziliśmy o La Huairę. Kampowie ją splądrowali, ale Vargas, w porę ostrzeżony przez swoich Pirów, zdołał umknąć. Tam właśnie natknęliśmy się na correrię z niewolnikami porwanymi nad Madre de Dios. Porywacze nie wiedzieli, co mają zrobić z brańcami. Vargasa już nie było, zbieracze kauczuku czmychnęli ze strachu przed Kampanii. Ci zbóje w obawie o własną skórę zamierzali cichcem wymordować niewolników. Żal nam było nieszczęsnych Indian, wśród których były kobiety i dzieci. Odkupiliśmy ich więc i razem z nimi przywędrowaliśmy do Boliwii, żeby spotkać się z wami zgodnie z umową.

— Zaraz, zaraz, Tadziu! — przerwał mu Tomek. — Mówisz, że odkupiliście niewolników. Przecież sami nic nie mieliście uciekając z niewoli i dlatego my właśnie szliśmy wam na pomoc. Za co więc mogliście wykupić niewolników?!

Nowicki dopiero teraz połapał się, że niepotrzebnie zabrnął w ślepią uliczkę.

— Ano, niby masz rację — bąknął zmieszany. — Widzisz, Janek to załatwił. Pogadasz z nim, wróci za dwa lub trzy dni...

Tomek badawczo spoglądał na przyjaciela. Czyżby Smuga złamał postanowienie i uszczknął coś ze skarbcza Inków?!

— Kręcisz, Tadku! Przecież nawet nie mieliście broni! — powiedział po chwili.

— Tak źle nie było! — zaproponował Nowicki. — Spójrz tam na ścianę! Poznajesz swój sztucer?

— Do licha, to prawda! Skąd go wytrzasnąłeś?

Nowicki zadowolony, że udało mu się przerwać serię drażliwych pytań, parsknął śmiechem widząc zdumienie ulubieńca.

— Pomogła nam miła, kochliwa dzierlatka, Agua, jedna z żon szamana — wyjaśnił. — Dzięki niej i jej mężulkowi, który okazał się honorowym człowiekiem, odzyskaliśmy broń i zdołaliśmy prysnąć w ostatniej chwili przed rozpoczęciem rzezi. Długa to i zawiła historia. Opowiemy wszystko dokładnie razem z Jankiem w stosownej chwili.

— Trudno coś z tego zrozumieć. W głowie mam już zamęt. Musicie obydwaj jeszcze raz wszystko dokładnie opowiedzieć. Co było dalej?

— dociekał Tomek.

— Przyszliśmy z oswobodzonymi Pirami do Boliwii w ich strony. Nieszczęśnicy zaraz zaczęli się mścić na tych, którzy podstępnie przyczynili się do ich uprowadzenia. Musieliśmy ich trochę poprzeć, wiesz przecież, że tak jak ty, nie lubimy biernie patrzeć na ludzką krzywdę. Przy okazji oberwało się co nieco wyzyskiwaczom na potajemnych plantacjach koki. Do Pirów przyłączyli się inni Indianie i Metysi. W końcu chcieli iść do La Paz i obalić rząd.

— Mój Boże! A więc to właśnie ty i pan Smuga wywołaliście rewolucję w Boliwii?! — zawołał Tomek zaskoczony i zdumiony niezwykłą relacją przyjaciela.

— Jaką tam znów rewolucję?! — szczerze oburzył się Nowicki.

— Faktycznie, zdarzyło się, że niektórzy przestraszeni wyzyskiwacze pryskali w głąb kraju i szerzyli panikę, ale wkrótce ze Smugą zmitygowaliśmy buntowników.

Tomek oszołomiony długo spoglądał na przyjaciela.

— Co masz w tej butelce, Tadku? — zapytał przerywając milczenie.

— Rum, nie jamajka, ale rum — odparł Nowicki.

— Daj mi trochę, jakoś poczułem się tak dziwnie — rzekł Tomek. Nowicki ochoczo napełnił kubek, podał Tomkowi, sam zaś pociągnął prosto z butelki. Tomek łyknął trochę rumu, po czym odetchnął głęboko i rzekł:

— A więc to przez was dwóch w całej Boliwii rozruchy i stan wyjątkowy. Komunikacja przerwana. Przez waszą rewolucję musieliśmy iść

wam na ratunek drogą okrężną, przez Gran Chaco i Mato Grosso, tysiące kilometrów! Za nic w świecie nie zrezygnowałbym z ujrzenia min naszych przyjaciół, gdy dowiedzą się o tym wszystkim!

— Któż mógł przewidzieć, że będziecie szli przez Boliwię! — usprawiedliwiał się Nowicki.

— Nie mieliśmy wyboru — odparł Tomek. — Powstanie Kampów odcięło drogę przez Montanię peruwiańską, a w La Paz zaskoczyło nas wrzenie rewolucyjne w północnych prowincjach Boliwii. Tylko dzięki ojcu udało nam się odjechać na południe ostatnim, jedynym pociągiem do Gran Chaco.

— Faktycznie źle to wypadło, ale za to zwiedziliście kawał świata, żałuje, że nie byłem z wami! — powiedział Nowicki. — Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło! Mamy już zapewnioną powrotną podróż do Manaos. Przez przeszło dwa miesiące gromadziliśmy tutaj różne ciekawe okazy dla Hagenbecka i muzeów. Zapłacą nieźle! Ponadto przedsiębiorstwo budujące kolej Madeira–Mamore<sup>892</sup> zapłaciło nam hojnie za przepędzenie bandytów, którzy napadali na obozy robotników.

— Więc nawet pracujesz tutaj?! — pytał Tomek.

— A jakże, brachu! Pracy tu nie brak! Ci Indianie, którzy chcieli iść obalić rząd w La Paz, namawiali mnie, żebym ich poprowadził, to obiorą mnie prezydentem Boliwii.

— A ty co na to, Tadziu?

— Posada gryzpiórka, w dodatku w wysokich górach, nie dla mnie! Mimo to obwołali mnie generałem i teraz wszyscy tak mnie nazywają.

W tej chwili wszedł Felipe.

— Ludzie gotowi, generale! — oznajmił.

---

<sup>892</sup> — Madeira–Mamore — linia kolejowa łącząca miejscowość Guajara Mirim nad rzeką Mamore z Puerto Velho nad Madeirą. Omija porohy i wodospady na Madeirze, które uniemożliwiały przekopanie kanałów. W 1843 r. rząd boliwijski wyznaczył dużą nagrodę za znalezienie dogodnej drogi spławnej, która poprzez Amazonkę połączyłaby Boliwię ze światem. Powstały różne projekty, ale okazało się, że jedynym rozwiązaniem może być zbudowanie linii kolejowej. Rząd boliwijski dał koncesję na jej budowę znanemu fachowcowi w tej dziedzinie, pułkownikowi inżynierowi Churchowi. Przez wiele lat zawiązywano różne spółki, towarzystwa i szukano kredytów, powstawały nawet spory sądowe. Wreszcie w 1904 r. Brazylia, również zainteresowana ułatwieniem transportu z Mato Grosso, podjęła konkretną inicjatywę. Church rozpoczął budowę linii kolejowej, którą ukończył w 1913 r. W rok później, to jest w 1914 r., został również oddany do użytku Kanał Panamski.

— Idziemy, Tomku! Tylko wypijmy jeszcze strzemiennego. Felipe, łyknij z nami — zaproponował Nowicki.

Trudno byłoby opisać ogromną radość wszystkich uczestników wyprawy z nieoczekiwanego odnalezienia obydwóch przyjaciół. Po powrocie Smugi ze zwiadu przez wiele godzin trwały opowiadania i zwierzenia. Wbrew oczekiwaniom Tomka, Smuga dyplomatycznie zbagatelizował sprawę wykupienia niewolników piroskich. Dało to Tomkowi wiele do myślenia, tym bardziej że Smuga ofiarował Sally i Nataszy po pięknym szmaragdzie, które jakoby kupił tanio od Indian.

Smuga i Nowicki pokazywali przyjaciołom zgromadzoną broń indiańską, oryginalne poncza, skórzane ozdobne pasy, naczynia, skóry krokodyli, pum i węzów, wyprawione nieznane ptaki, a także woreczek surowych diamentów nabytych od Indian z Mato Grosso.

— Przecież nawet nie będziemy mogli zabrać tego wszystkiego!

— zawołała Natasza.

— Ależ to prawdziwe skarby! — wtórowała Sally.

— Na skinienie niedoszłego prezydenta Boliwii, generała Nowickiego, który naprawdę rządzi teraz całą prowincją, będziemy mieli do dyspozycji, ilu tylko zechcemy tragarzy indiańskich — wesoło oświadczył Smuga. — Z Guajara Mirim do Porto Velho, gdzie wsiądziemy na statek, jest tylko trzysta sześćdziesiąt siedem kilometrów.

— Po drodze będziemy mogli odpoczywać w obozach budowniczych kolei — dodał Nowicki.

— Kto prowadzi tę budowę? — zaciekawiał się Wilmowski.

— Bardzo przedsiębiorczy Amerykanin, pułkownik inżynier Church. Poznałem go jakiś czas temu w Manaos — wyjaśnił Smuga. — Boliwia, która po Paragwaju stała się w Ameryce Południowej drugim państwem pozbawionym dostępu do morza, jest bardzo zainteresowana budową tej kolei. Linia Mamore–Madeira umożliwi bowiem przewóz kauczuku z okręgu Acre koleją do Porto Velho, a stamtąd transportem wodnym Madeirą i Amazonką do portów morskich. Do tej pory indiańscy tragarze muszą przenosić kauczuk do Porto Velho na swoich plecach przez pierwotną dżunglę pełną wrogich Indian i bandytów.

— Boliwia przecież może korzystać z portów chilijskich i peruwiańskich — zauważył Tomek.

— Masz rację, może, ale to droga przez trudno dostępne Andy i z opływaniem Ameryki Południowej, a więc bardzo długa, podrażająca kauczuk — odpowiedział Smuga.

— Sytuacja ulegnie zmianie po ukończeniu budowy Kanału Panamskiego — wtrącił Wilson.

— Kto wie, która z tych dwóch dróg zostanie prędzej oddana do użytku. Obydwie budowy na pewno potrważą jeszcze kilka lat — odezwał się Wilmowski. — W jaki sposób zetknąłeś się tutaj z panem Churchem?

— Było trochę głośno o nas dwóch na granicy boliwijsko–brazylijskiej — uśmiechając się odpowiedział Smuga. — Church usłyszał o nas od Indian. Rozesłał wiadomość, że czeka na mnie w Guajara Mirim.

Zaproponował zorganizowanie zbrojnej ochrony dla budowniczych kolei. Było to trochę ryzykowne przedsięwzięcie, ale naszemu „*generałowi*” przypadło do gustu. Church nieźle zapłacił i zapewnił przejazd statkiem z Porto Velho do Manaos dla całej naszej wyprawy.

— Kiedy będziemy mogli ruszyć w drogę? — zagadnął Wilson.

— Za jakieś trzy tygodnie — odparł Smuga. — Musimy tutaj zlikwidować nasze sprawy. Przy budowie kolei pracuje Metys Pablo, którym zaopiekowaliśmy się podczas ucieczki od Kampów. Miał popłynąć z nami do Manaos, ale spodobała mu się praca u Churcha. Pożegnaliśmy się z nim przy okazji. Wy tymczasem odpoczniecie i rozejrzycie się w okolicy. Możecie urządzić parę polowań.

— Czy pan będzie jeszcze w obozach budowniczych kolei? — zapytał Tomek.

— Tak, Tomku! Wyruszam za dwa dni. Czy chciałbyś mi towarzyszyć?

— Właśnie miałem o to poprosić — przyznał Tomek. — Będziemy mieli okazję nagadać się do syta.

Smuga dyskretnie się uśmiechał zapalając fajkę. Domyślał się przecież, co niepokoiło Tomka i na jaki temat niecierpliwie oczekiwał wyjaśnień.



## EPILOG

Pani Nixon nadzorowała dwie młode Murzynki nakrywające do stołu. Tego właśnie wieczoru państwo Nixon urządzali powitalne przyjęcie dla uczestników niebezpiecznej wyprawy. Nixon i Wilson siedzieli na ocienionej werandzie i palili cygara. Nixon wciąż zarzucał Wilsona pytaniami, mimo że już nie pierwszy raz słuchał relacji o niezwykłych wydarzeniach podczas niebezpiecznej wyprawy ratunkowej. Jednocześnie niecierpliwie zerkał w okno.

— Coś długo nie przychodzą, już powinni tu być! — odezwał się spoglądając na zegarek.

Wilson roześmiał się i rzekł:

— Smuga na pewno usiłuje nakłonić naszych Cubeów do nałożenia ubrań. Polubiłem tych Indian i nabrałem do nich szacunku. Dali dowód, że nigdy nie zawiodą swoich przyjaciół. Wprost uwielbiają Smugę. Gdy go odnaleźliśmy w Guajara Mirim, zapomnieli nawet o swoim stoickim opanowaniu. Smuga, także bardzo wzruszony, serdecznie się z nimi witał.

— Smuga jest wspaniałym człowiekiem — stwierdził Nixon. — Wiele można się od niego nauczyć!

— Zaobserwowałem, że młody pan Wilmowski jest niemal wierną kopią Smugi — z uznaniem powiedział Wilson. — To naprawdę dzielny, prawy mężczyzna! Nic dziwnego, że ludzie lgną do niego jak muchy do miodu. Jego młoda, przedsiębiorcza żona jest w nim zakochana po uszy. Jest on dla niej wyrocznią we wszystkich sprawach.

— Sądzę, że to bardzo dobrane małżeństwo — stwierdził Nixon. — Dużą satysfakcję sprawiło mi poznanie starszego pana Wilmowskiego. To szlachetny człowiek. Obaj Wilmowscy są widowym potwierdzeniem powiedzenia: jaki ojciec, taki syn!

— Idą już, idą! — przerwał mu Wilson. — Ho, ho! Smuga dopiął swego! Cubeowie w spodniach i koszulach, nawet Mara nałożyła sukienkę!

Obydwaj przeszli do holu witać oczekiwanych gości. Nixon poprowadził wszystkich do salonu. Pomocnice murzyńskie wniosły tace z różnymi napojami. Nawiązała się ożywiona rozmowa.

Wilmowscy, Smuga i Nowicki jeszcze raz podziękowali Nixonom za życzliwą pomoc w organizowaniu wypraw. Smuga wystąpił z propozycją zwrócenia poniesionych kosztów, ale Nixon nie chciał nawet o tym słyszeć.

— Drogi panie Janku — mówił — uczyniłem pana moim współnikiem. Wszystkie urzędowe formalności już przeprowadziłem. To pan przecież stanął w obronie moich pracowników. Gdybym zawsze postępował w myśl pana rad, nie poniósłbym tak bolesnej dla mojej rodziny straty. Nie będę też krępował pana swobody. Gdy zechce pan wyruszyć na jakąś wyprawę, dzielny pan Karski zastąpi pana. Panie Zbyszku, od dzisiaj jest pan dyrektorem naszej firmy. Mam nadzieję, że nie odmówi mi pan i pozostanie ze mną?

— Serdecznie panu dziękuję, nie mógłbym nawet postąpić inaczej — oświadczył Zbyszek. — Okazał pan mnie i żonie tyle życzliwości...

— A więc sprawa załatwiona! — rzekł Nixon. — A co zamierzają robić młodzi państwo Wilmowscy?

— Prawdopodobnie urządzimy sobie małe wakacje — odparł Tomek.

— Sally studiuje archeologię i od dawna marzy o zwiedzeniu Doliny Królów w Egipcie.

— Już obiecałem tej sikorce, że popłyniemy do Egiptu moim jachtem — wtrącił Nowicki.

— Tatuś także się z nami wybierze — dodała Sally. — Tam na pewno pozbędzie się dolegliwości reumatycznych.

— A więc w perspektywie zwiedzanie grobowców faraonów — rzekł Nixon. — Zazdroszczę państwu takich wspaniałych wakacji!

— Czy możemy już siąść do stołu? — zapytała pani Nixon. — Państwo na pewno głodni. Porozmawiamy dalej przy kolacji.

— Poczekajmy chwilę — zaoponował Nixon. — Jeszcze nie wszyscy przyszli.

W tej chwili w holu rozbrzmiał gong. Nixon wprowadził do salonu panów Ting Linga i Wu Menga. Po ceremonialnych chińskich powitaniach pani Nixon znów zagadnęła:

— Czy teraz mogę już prosić do jadalni?

— Jeszcze chwilę, kochanie — odparł Nixon.

— Na kogo pan czeka? — zdziwił się Wilson.

— Niespodzianka dla wszystkich! Oho, już chyba jest! — zawołał Nixon wychodząc do holu. Wkrótce pojawił się w salonie z przystojnym,

wysokim i barczystym, śniadym mężczyzną, ubranym w biały wizytowy garnitur. W krawacie Metysa tkwiła duża brylantowa szpilka.

— Oto moja niespodzianka! — rzekł Nixon. — Pan Pedro Alvarez, z którym się zaprzyjaźniliśmy, również pragnie powitać tak długo przez nas oczekiwanych niezwykle gości.

Metys uprzejmie skłonił się paniom, po czym podszedł do Smugi.

— Senor Smuga — odezwał się po portugalsku. — Przyjaciele zapewne powiadomili pana, że nie przyłożyłem ręki do spisku przeciwko panu?

— Przykre mimowolne nieporozumienie zostało wyjaśnione — odparł Smuga. — Cieszę się, że przyszedł pan się z nami przywitać.

Podali sobie ręce, poklepując się jednocześnie po przyjacielsku po plecach. Alvarez z kolei zbliżył się do Nowickiego. Przez chwilę z błyskiem rozbawienia w oczach mierzyli się wzrokiem, po czym pierwszy odezwał się Alvarez:

— Podczas naszego oryginalnego spotkania w operze w Manaus powiedziałaś, marynarzu, że lepiej na tym wyjdę, jeżeli się więcej nie spotkamy. Myślę jednak, że tym razem nie sprawisz mi takiego tęgiego lania jak wtedy!

— No, ja również nieźle od ciebie oberwałem! Sally musiała robić mi okłady z surowego befsztyka. Wybacz, niesłusznie cię podejrzewaliśmy!

— odparł Nowicki wyciągając sękatą dłoń do Metysa, a drugą poklepując go po plecach.

— Mam coś dla ciebie, aby upamiętnić zakopanie topora wojennego — oznajmił Alvarez i klasnął w dłonie.

Dwóch Indian wniosło do salonu dużą klatkę nakrytą wzorzystą, czarną chustą.

— Postawcie na fortepianie! — polecił Alvarez, a następnie podszedł i ostrożnie odsłonił klatkę.

Wszyscy z zachwytem spoglądali na dużą, piękną arę<sup>893</sup> o błękitnym upierzeniu grzbietu i pomarańczowożółtym spodzie. Papuga siedziała na drążku. Z lewej nogi aż do samego spodu klatki zwisał srebrny łańcuszek. Ara najpierw bacznie rozejrzała się wokoło, po czym wstrząsnęła łebkiem z dużym zakrzywionym dziobem i nagle zawołała:

— Carramba! Witaj, siłaczu! Pijmy rum! Carramba!

---

<sup>893</sup> — Ara błękitna (*Ara araraund*) osiąga długość do 97 cm. Żyje w Brazylii.

— Co za wspaniała niespodzianka! — zawołał uradowany Nowicki. — Gadająca papuga! Zawsze chciałem mieć takiego ptaka!

— Tadziu, przypomnij sobie, że dzięki mówiącej papudze zdobyłam wspaniałego męża. Może ten podarunek jest również dla ciebie dobrym prorocstwem? — odezwała się Sally. — Uprzedził mnie pan, panie Alvarez. Zamierzałam właśnie kupić Tadziowi gadającą papugę.

— Carramba! Witaj, siłaczu! Pijmy rum! Carramba! — wrzeszczała ara.

# TOMEK W GROBOWCACH FARAONÓW



## NOC POD PIRAMIDAMI

Słońce pogrążało się powoli w bezkresnych piaskach Pustyni Libijskiej u progu Sahary, największej pustyni świata. Na wapiennych, urwistych wzgórzach Mokattam, okalających południowo–wschodnie krańce Kairu, gasły ostatnie różowe refleksy zachodu.

*Allah akbar!* „*Allach jest wielki...*”. Przenikliwe, zawodzące wezwanie do modlitwy, odmawianej przez wyznawców islamu po zachodzie słońca, płynęło ze smukłych minaretów, wystrzelających ponad płaskie dachy domów i docierało przez wzmożony o tej porze gwar uliczny do wszystkich zaułków wielkiego miasta. Śpiewny, sugestywny głos *muezzina*<sup>894</sup> odrywał od codziennej krzątaniny. Jedni podążali do meczetów, żeby pod przewodnictwem *imama*<sup>895</sup> dopełnić obrzędu *salat*<sup>896</sup> w świątyni, inni odmawiali *salat* w miejscu, gdzie zastała ich pora modlitwy. Zwróceniu w kierunku Mekki, klękali na dywaniku lub macie wprost na ulicy, w domu, sklepie czy na targowisku i bili korne pokłony, szepcząc święte formuły.

Podczas gdy Kair rozbrzmiewał, mimo późnej pory, gwarem modłów, na przeciwległym brzegu Nilu, zaledwie o kilkanaście kilometrów od miasta, zapadła już nocna cisza. Wąski tutaj nadrzeczny pas zieleni, z ogrodami, polami, palmami i domkami, przechodził nagle w groźną, posępną pustynię. W mroku, na szarym, kamienistym płaskowyżu, niczym na szerokiej, skalistej wyspie w morzu żółtawych, miękkich piasków, majaczyły zarysy trzech olbrzymich piramid<sup>897</sup>. Owiane legendą od niepamiętnych czasów wabiły swą tajemniczością turystów i uczonych z całego świata. Toteż za dnia u stóp piramid, na rozległej, kamienistej równinie zawsze było tłoczno i gwarno.

---

<sup>894</sup> — Muezzin — muzułmański duchowny ogłaszający porę modlitwy z galeryjki minaretu. Szkoli specjalnie głos; przy sprzyjających warunkach atmosferycznych słychać go na odległość 3 km.

<sup>895</sup> — Imam — przewodnik, muzułmański duchowny przy meczecie.

<sup>896</sup> — Sałat — najogólniej modlitwa obowiązująca każdego dorosłego muzułmanina. Należy ją odmawiać pięć razy w ciągu dnia: przed świtem, wczesnym rankiem, w południe, po zachodzie słońca, wczesnym wieczorem. Sałat jest nie tylko modlitwą, ale i pewnym rytuałem; obejmuje gamę przepisowych czynności, do których należy m.in. wykonywanie odpowiednich ruchów, skłonów ciała, a także sposób wymawiania tekstów.

<sup>897</sup> — Mowa o słynnych starożytnych grobowcach faraonów w Gizie pod Kairem: Cheopsa (Khufu), Chefrena (Khafre) i Mykerinosa (Menkaure).

Wyróżniali się ruchliwi egipscy Arabowie ubrani w obszerne, długie galabije, chętnie noszone przez mieszkańców wybrzeży Morza Śródziemnego, i bawełniane chusty, czyli kofije, upięte w zawój, przytrzymywany czarnym krążkiem, zwanym ikal. Narzucali się turystom jako przewodnicy, proponując w różnych językach swe usługi, zachęcali do przejażdżki na nakrytych barwnymi czaprakami wielbłądach, koniach lub osłach. Sprzedawali napoje, owoce, słodycze i drobne pospolite pamiątki, a gromady wyrostków napraszały się o wszechobecny w Egipcie bakszysz<sup>898</sup>. Jarmarczny rozgardiasz skutecznie niweczył delikatny urok tego miejsca i dopiero po zachodzie słońca grobowce faraonów spowijała cisza.

Noc nadeszła bardzo szybko, nieomal gwałtownie. Jasny zmierzch zaledwie w parę chwil zmienił się w przysłowiowe egipskie ciemności. Dzień oddawał świat w panowanie mroku. Na bezchmurnym, ciemnogramatowym niebie migotały gwiazdy. Powoli wynurzał się olbrzymi księżyc. W srebrzystej poświacie zarysowały się ciemne, lekko przymglone bryły piramid i kamienne cielsko sfinksa — lwa z królewską głową. A ścieląca się nad piaskami pustyni mgiełka łudziła wrażeniem, że potężne wierzchołki piramid zawieszono w powietrzu.

O tej właśnie porze, dla turystów bardzo już późnej, do podnóża piramid zbliżali się dwaj mężczyźni z twarzami osmalonymi tropikalnym słońcem, ubrani w galabije z pasiastej bawełny i ciemnoczerwone fezy, w towarzystwie kobiety w długiej, ciemnej sukni, otulonej na wzór muzułmanek szerokim czarnym szalem. W tych strojach i scenerii łatwo mogli uchodzić za tubylców. Była to jednak trójka przyjaciół i podróżników, zahartowanych w wielu przygodach na różnych kontynentach; Polacy: Tomasz Wilmowski i kapitan Tadeusz Nowicki — obaj od dawna nierozłączni, oraz żona Tomka, Sally, Australijka z pochodzenia.

Wszyscy troje zatrzymali się u stóp monumentalnych grobowców. W srebrzystej poświacie księżyca, w liliowej mgielce znad szybko wychładzających się piasków, mieli przed sobą niezwykle urokliwe, niezapomniane zjawisko. Pierwszy nie wytrzymał milczenia, jak zwykle, kapitan Nowicki, który od czasu do czasu nieufnie rozglądał się wokoło, choć trudno byłoby powiedzieć, że właśnie piramidy oglądał z taką uwagą.

---

<sup>898</sup> — Bakszysz — podarek pieniężny, napiwek, rodzaj zwyczajowej jałmużny, zwłaszcza w Północnej Afryce i południowo-zachodniej Azji.



— Nad czymże się tak zadumaliście? — zagadnął niecierpliwie.

— Widok piramid rozbudził moją wyobraźnię i ożywił wspomnienia — odrzekł Tomek. — Bo tylko pomyśl, kapitanie: kiedy Herodot, grecki historyk i podróżnik zwany ojcem historii, oglądał, podobnie jak my dzisiaj, grobowce faraonów, a działo się to czterysta pięćdziesiąt lat przed naszą erą, stały one już tutaj ponad dwadzieścia wieków! Ale nie fakty, najbardziej nawet zdumiewające, są powodem mego wzruszenia. To światło, ten nastrój przypomniały mi naszą pierwszą wspólną wyprawę łowiecką do Afryki. Góry Księżycowe, pamiętasz Tadku? Ich szczyty zdawały się unosić w powietrzu zupełnie tak samo jak wierzchołki tych egipskich piramid.

— Zaraz, zaraz... coś sobie przypominam... a, pasmo gór Ruwenzori na granicy Ugandy i Konga! Szliśmy chwytac goryle i okapi, tak, tak, pamiętam! Niczego sobie był widok. Ale to dlatego, że chmury były bardzo nisko. A tutaj nie ma chmur!

— To prawda! Jest za to unoszący się w powietrzu pył pustylny i mgła.

— Oj, chłopcy, chłopcy! — karcącym tonem odezwała się Sally. — Czy naprawdę nie zdajecie sobie sprawy, że do was mówią tysiąclecia?

— Ależ, sikorko, jak moglibyśmy choćby na chwilę zapomnieć, skoro wciąż nam o tym opowiadasz.

— Wystarczająco dobrze cię znam, żeby wiedzieć, jak niewiele z mojej gadaniny utkwiło w twojej pamięci.

— Tak sądzisz? I bardzo się mylisz! Nawet zbudzony z najgłębszego snu bez namysłu wyrecytuję, że piramida Cheopsa została zbudowana ponad cztery i pół tysiąca lat temu, że samo przygotowanie drogi do transportu budulca trwało dziesięć lat, a przez następne dwadzieścia wznoszono grobowiec. Około stu tysięcy kamieniarzy, cieśli i prostych robotników pracowało przez trzy miesiące każdego roku podczas przyborów Nilu! Iluż tych nieszczęśników straciło tutaj życie! Nie mogę się pozbyć wrażenia obecności tysięcy duchów, pamięci o ludziach, których życie pochłonęła próżność faraonów. Tak, masz rację. Tu mówią tysiąclecia...

Sally przeniknął niemły dreszcz. Szczelniej otuliła się szalem i dopiero po chwili milczenia powiedziała:

— Przyznaję, że mnie zaskoczyłeś... Potrzeba było zapewne wielu ofiar... Ale przecież nie tylko próżność skłaniała faraonów do budowy takich grobowców. Starożytni Egipcjanie wierzyli, że nieśmiertelna dusza człowieka

staje się cieniem, wiecznie zamieszkującym leżący naprzeciwko Nieba i Ziemi „świat zmarłych”, że potrzebuje środków do dalszego życia. Dlatego grzebano zmarłych w grobowcach trwalszych niż dom.

— Wiem, wiem, przecież nieraz już o tym mówiłaś — przerwał jej zniecierpliwiony znowu Nowicki. — Uważam to za pogańskie wierzenia i obyczaje. Wielu Egipcjan musiało myśleć podobnie jak ja, skoro kradli składane w grobowcach kosztowności. Tylko pycha skłaniała faraonów do budowania piramid. Innym ludziom wystarczały mniej kosztowne mastaby<sup>899</sup>, których jest tutaj bez liku.

— Faraonów powszechnie uznawano za bogów i zawsze zajmowali najwyższe miejsce, tak wśród żywych, jak i umarłych — Sally nie dawała się zbić z tropu. — W mastabach grzebano możnych dworzan, żeby mogli dalej służyć swemu władcy w życiu pozagrobowym. Spoczywać w cieniu grobowca faraona to był wielki zaszczyt.

— Nic dziwnego, że w Egipcie od dawna panoszą się cudzoziemcy, skoro sami Egipcjanie marnotrawili czas na budowanie grobowców i pogańskie obrzędy — skwitował Nowicki.

— No, no, kapitanie, mimo wszystko chciałbyś jednak być pochowany u stóp pięknej maharani Alwaru, o której tyle opowiadałeś... — przygadyła mu Sally.

Wybuchnęli śmiechem na tę złośliwość, ale po chwili, znowu poważnie, do Nowickiego dołączył Tomek:

— To prawda, że najeźdźcy rządzą się tutaj jak u siebie. Od najazdu perskiego, czyli przez prawie dwa i pół tysiąca lat, w Egipcie panoszą się cudzoziemcy. Deptali tę ziemię Etiopowie, Hyksosi, Asyryjczycy, Babilończycy, Persowie, Grecy, Rzymianie, Turcy, Francuzi, a obecnie rządzą znienawidzeni przez Egipcjan Brytyjczycy.

— Coś mi się wydaje, że ci długo już tu nie zabawią — zauważył Nowicki. — Coraz głośniej mówi się o Egipcie dla Egipcjan.

— Lada chwila może dojść do wybuchu — powiedział Tomek. — Egipcjanie pokazali już pazury trzydzieści lat temu.

---

<sup>899</sup> — Mastaba — najstarszy typ grobowca w starożytnym Egipcie. Mastaba składała się z podziemnej komory grobowej, prowadzącego do niej pionowego szybu i trapezoidalnej budowli naziemnej z suszonej cegły lub z kamienia.

— Trzydzieści lat temu, mówisz? Zaraz, zaraz... Czy masz na myśli powstanie Arabiego Paszy?

— Tak, był to przecież bunt przeciwko panowaniu Brytyjczyków<sup>900</sup>.

— Wtedy miałem jeszcze mleko pod nosem, ale przypominam sobie dramatyczne sprawozdania w gazetach. W Kairze i Aleksandrii zginęło kilkudziesięciu Europejczyków, a konsul brytyjski został ciężko ranny. Rabowano sklepy, podpalano domy. Wtedy Anglicy ostrzelali Aleksandrię z dział okrętowych i stłumili powstanie, ale dziś ziemia coraz bardziej im się tu pali pod stopami.

— Egipcjanie nie lubią Anglików i trudno im się dziwić. Któż by kochał najeźdźców!

— No, my właściwie mamy paszporty angielskie — przypomniał Nowicki. — Dlatego radziłem nie rzucać się w oczy Egipcjanom podczas wólczy po egipskich zakamarkach.

— Moi drodzy, myślę, że przesadzacie z niebezpieczeństwem — wtrąciła Sally. — W tym przebraniu tak wyglądacie na Arabów, że wręcz czekam, kiedy zaczniecie nosić dywaniki, na których klęka się do modlitwy. Mnie dajcie jednak spokój, nie będę sobie zasłaniała twarzy na ulicy.

— Nie bądź naburmuszona, sikorko! — wesoło rzekł Nowicki. — Jeśli wchodzisz między wrony, musisz krakać jak i one! A co do maharani Alwaru — niby to obrażony zamruczał — to pewnie i ty byś się jej w pas kłaniała, choćby dlatego, że darzyła nas, Polaków, a... zwłaszcza jednego, wielkim sentymentem.

— Kapitanie, kapitanie — próbował mitygować Nowickiego Tomek, ale Sally na szczęście niczego nie słyszała i z zapalem kontynuowała wykład.

— Byłoby bezsensowne, gdyby Egipcjanie nienawidzili wszystkich Europejczyków. Przecież nie wszyscy przybywali do Egiptu jedynie w celu podboju dla własnych korzyści. Wszak to Napoleon obalił pięćsetletnie

---

<sup>900</sup> — W 1881 r. zbuntowani oficerowie, pod dowództwem Arabiego Paszy, stojącego na czele partii narodowej, walczącej z gospodarczą i polityczną ingerencją Wielkiej Brytanii i Francji, zmusili kedywa Tomekaufika do powołania rządu narodowego. Arabi Pasza pełnił funkcję ministra wojny. Kiedy Anglicy i Francuzi zażądali rezygnacji rządu narodowego i wydalenia Arabiego Paszy do Sudanu, w Kairze wybuchło powstanie ludowe i Arabi Pasza stanął na jego czele. Podczas rozruchów w Kairze i Aleksandrii zginęło 50 Europejczyków, ciężko ranny został konsul brytyjski Cookson. 25 okrętów brytyjskich zbombardowało Aleksandrię, a motłoch splądrował i spalił znaczną część miasta. Generał Sir Garnet Wolseley rozgromił powstańców egipskich i zajął Kair. Ujęto Arabiego Paszę i skazano na karę śmierci, zamienioną później na deportację na Cejlon.

okrutne rządy mameluków<sup>901</sup> i zapoczątkował europeizację Egiptu. Stu pięćdziesięciu przywiezionych przez niego uczonych francuskich założyło Instytut Egipski w Kairze, badało historię i kulturę starożytnego Egiptu<sup>902</sup>. Malarz Denon<sup>903</sup>, często z narażeniem życia, badał i szkicował starożytne zabytki rozrzucone wzdłuż Nilu. Badania naukowe Francuzów ukazały światu, po raz pierwszy od czasów rzymskich, zapomnianą historię i kulturę starożytnego Egiptu.

— Trudno temu zaprzeczyć — przyznał Nowicki — ale...

— To jeszcze nie koniec — dorzuciła szybko Sally. — Żołnierze Napoleona znaleźli słynny kamień z Rosetty, który pozwolił później historykowi Champollinowi<sup>904</sup> rozszyfrować tajemnicze hieroglify egipskie. Przemówiły dzięki temu napisy z murów pałaców, świątyń i grobowców oraz papiirusy, rzucając światło na dramatyczną historię doliny Nilu.

— Rosetta? — to zainteresowało jednak Nowickiego. — Mały port nad zachodnią odnogą deltową Nilu? Cóż za magiczny kamień tam znaleźli?

— Nie było w tym żadnej magii. Podczas prac fortyfikacyjnych w forcie Rachid, zwanym już wtedy Julien, położonym o kilka kilometrów na zachód od Rosetty nad Nilem, żołnierze znaleźli bazaltową płytę. Znajdowały się na niej napisy wyryte w trzech językach: hieroglificznym, demotycznym<sup>905</sup> i greckim. Jak się później okazało, tablica zawierała podziękowanie kapłanów z

---

<sup>901</sup> — Mamelucy (ar. mamluk — biały niewolnik płci męskiej) — egipska gwardia dworska i trzon egipskiej armii, która później zbuntowała się i stworzyła własną dynastię (1210–1517). Pierwotnie złożona z brańców — niewolników tureckich i kaukaskich. Po sprowadzeniu do Egiptu uczono ich konnej jazdy i rzemiosła wojennego. Wpajano im przekonanie, że należą do elitarnej kasty wojskowej oraz że małżeństwo i rodzina uniemożliwiają wykonywanie zawodu żołnierza. Sami kupowali więc dzieci i wychowywali niewolników. W Egipcie znienawidzono mameluków jako cudzoziemskich tyranów. Wytępiono ich ostatecznie lub rozproszono w 1811 r. za rządów Muhammada Alego.

<sup>902</sup> — Uczni francuscy, którzy towarzyszyli Napoleonowi w kampanii egipskiej (1798–1799), opublikowali później wyniki swych prac i badań w 18 tomach tekstu i plansz.

<sup>903</sup> — Dominique Vivant Denon (1747–1825) — dramaturg, aktor, dyplomata, archeolog, późniejszy dyrektor i organizator zbiorów Luwru.

<sup>904</sup> — Jean Francois Champollion (1790–1832) — egiptolog francuski, profesor historii w Grenoble, od 1826 r. konserwator działu sztuki egipskiej w Luwrze. Pierwszy odczytał hieroglificzne pismo egipskie.

<sup>905</sup> — Pismo demotyczne to uproszczony język egipski.

Memfisu<sup>906</sup> za dobrodziejstwa doznane od Ptolomeusza V. Porównanie tekstu zapisanego w trzech językach dało klucz do rozwiązania zagadki hieroglifów.

— Rzeczywiście nie lada znalezisko — zgodził się Nowicki. — Z pewnością Francuzi wywieźli tę tablicę.

— Taki mieli zamiar, ale się im nie poszczęściło. Napoleon musiał pospiesznie wracać do Francji, a pozostawiona przezeń w Egipcie armia wkrótce uległa Anglikom. Po kapitulacji Francuzi musieli oddać wszystkie zagrabione zabytki, włącznie z tym cennym kamieniem. Francuscy uczeni zdążyli jednak zrobić odlewy i kopie kamiennej płyty, która obecnie znajduje się w Anglii.

— Ciekaw jestem, jak wygląda — powiedział Nowicki.

— Widziałam ją w Brytyjskim Muzeum Narodowym w Londynie. Jest to czarna bazaltowa tablica wielkości blatu stołu. Na jej polerowanej stronie znajdują się trzy napisy wyryte od góry do dołu w trzech rzędach obok siebie. Jest umieszczona na obrotowym pulpicie pod szklaną ramą tak, aby można ją było oglądać z obydwu stron.

— Ciekawe rzeczy opowiadasz, sikorko. Widać, że nie marnowałaś czasu na studiach w Anglii. Mówisz o Egipcie niczym profesor — pochwalił Nowicki. — Trudno ci zaprzeczyć, ale ja tam wiem swoje. Francuzi rządzą tu twardą ręką i dobrze dali się we znaki Egipcjanom. Nie pozostawili po sobie dobrych wspomnień. Prawdę mówiąc, ja również nie darzę żabojadów przyjaznymi uczuciami. Nie mogę zapomnieć Napoleonowi, że wystawił Polaków do wiatru. Poznał się na nim tylko Kościuszko i odmówił współpracy.

— Smutna to dla nas prawda — powiedział Tomek. — Napoleon zawiódł pokładane w nim nadzieje Polaków, mimo że nie skąpili swej krwi dla jego zwycięstw. Również w wyprawie do Egiptu. Wystarczy wspomnieć Sułkowskiego<sup>907</sup>, Łazowskiego<sup>908</sup> czy generała Zajączka<sup>909</sup>, później namiestnika Królestwa Polskiego.

---

<sup>906</sup> — Memfis — prawdopodobnie najstarsza stolica starożytnego Egiptu, założona około 3000 lat p.n.e. Jeszcze w czasach rzymskich było sporym miastem. Upadło po powstaniu w VII wieku Al-Fustat–Kahira (Kairu). Obecnie ruiny (około 30 km na południe od Kairu). Nekropolia memficka obejmuje piramidy i grobowce w Gizie, Abusir, Abu Gurab, Sakkarze i Dahszur.

<sup>907</sup> — Józef Sułkowski (1773–1798) — uczestnik wojny polsko–rosyjskiej w 1792 r. i powstania kościuszkowskiego, oficer armii francuskiej, uczestnik kampanii włoskiej i egipskiej, znawca spraw, obyczajów i stosunków Wschodu. Znał język arabski i miał przygotować słownik arabsko–francuski.

— Czytałem powieść o Józefie Sułkowskim, adiutancie Napoleona. W bitwie pod piramidami dowodził huzarami i odniósł siedem ran ciętych i trzy postrzałowe. Znał dobrze Arabów i mówił po arabsku. Został rozsiekany przez powstańców egipskich w Kairze — Nowicki chętnie podtrzymywał rozmowę, jeśli dotyczyła Polski.

Rozmawiali z ożywieniem, bezwiednie wędrując po kamienistym płaskowyzu, aż zatrzymali się przed rysującą się w mroku potężną sylwetką sfinksa. Sally, która najgłębiej przeżywała spotkanie z przeszłością, zapragnęła przywrócić coś z nastroju, jaki towarzyszył im u progu tej świetlistej nocy.

— Ile niezwykłych wydarzeń poznalibyśmy, gdyby te wspaniałe piramidy przemówiły — westchnęła. — U ich stóp przecież przebywali niegdyś władcy świata: Aleksander Wielki, Juliusz Cezar, Marek Antoniusz, piękna królowa Kleopatra, Napoleon. Także i wasz Sułkowski, który brał udział, jak mówicie, w bitwie pod piramidami — dodała, chcąc sprawić przyjaciołom przyjemność. Po tej uwadze rzeczowa dyskusja rozgorzała na nowo.

— Bitwa pod piramidami wcale nie została stoczona u stóp piramid — Tomek poczuł się zobowiązany do uzupełnienia wyjaśnień i uczynił to jak zawsze z ochotą i właściwą sobie dokładnością. — Zwycięska dla Francuzów bitwa odbyła się po zachodniej stronie Nilu, w odległości około czternastu kilometrów od piramid, pod miasteczkiem Imbaba, obecnym przedmieściu Kairu. Romantyczną nazwę dodano jej później, do czego prawdopodobnie przyczyniły się legendarne słowa, wypowiedziane przed bitwą do żołnierzy przez Napoleona: „*Z wysokości tych piramid czterdzieści wieków patrzy na was*”.

---

Był członkiem Sekcji Ekonomii Politycznej Instytutu Egipskiego, uczestniczył w wyprawach archeologicznych. Napisał pracę „*Notes sur l'expédition d'Egypte*”, w której obok treści wojskowych umieścił geograficzny zarys Dolnego Egiptu, charakterystykę kraju i mieszkańców.

<sup>908</sup> — Józef Feliks Łozowski (1759–1812) — generał brygady, w Egipcie pełnił funkcję naczelnego inżyniera wojskowego i kartografa. Wyróżniał się w pracach pozawojskowych podejmowanych przez ekspedycję napoleońską.

<sup>909</sup> — Józef Zajaczek (1752–1826) — generał, poseł na Sejm Czteroletni. Aresztowany po upadku powstania kościuszkowskiego, w 1795 r. emigrował do Francji i uczestniczył w wojnach napoleońskich. W 1815 r. namiestnik Królestwa Polskiego.

— Pewnie było, jak mówisz — rzekł Nowicki. — Spójrz jednak na sfinksa! Czy to nie armatnie kule tak okaleczyły głowę tego lwa z ludzką twarzą?

— Nie mylisz się co do kul armatnich. Ale uczynili to z rozmysłem mamelucy na wiele set lat przed przybyciem Francuzów. Ponieważ nie mogli w żaden sposób zniszczyć posągu, użyli go jako tarczy do ćwiczeń artyleryjskich.

— Jakże to?! — oburzył się Nowicki. — Czy Egipcjanie nie protestowali przeciw takiemu wandalizmowi?!

— Ówczesni Egipcjanie sami nie zdawali sobie sprawy ze wspaniałości dziedzictwa pozostawionego przez starożytnych faraonów, a fanatyczni muzułmanie, podbiwszy Egipt, czynili wszystko, co było w ich mocy, żeby zatrzeć ślady wspaniałej egipskiej przeszłości.

— Obaj macie rację po części — wtrąciła się Sally. — Sfinksa uszkodził muzułmański derwisz Saim el-Dahr, traktując to jako sprzeciw wobec fałszywej religii ciemnych, starożytnych Egipcjan.

— W rezultacie brak wyczucia, jakim wówczas się wykazał, dziś zwiększa zainteresowanie turystów — zażartował Tomek.

— Właśnie, nasz „*cheopsiak*” miał nosa, że strata nosa przyda mu popularności — dowcipkował Nowicki.

Ale niestrudzona Sally, jakby ich nie słysząc, kontynuowała wątek:

— Arabowie przynieśli z sobą do Egiptu własną kulturę, wysoko rozwiniętą naukę i sztukę, więc z premedytacją niszczyli zabytki egipskie. Do budowy nowego Kairu używali materiałów grabionych z monumentalnych faraonских zabytków. Z dawnej stolicy Egiptu, Memfisu, wywieźli portale, kolumny, a nawet fragmenty ścian starożytnych świątyń. Rozebrali także łuki triumfalne z czasów rzymskich. Górująca nad Kairem cytadela, budowana przez sultana Saladyna, powstała z kamieni zabranych z mniejszych piramid. Dodajcie do tego działanie natury. Piaski pustynne już w starożytności zaczęły przysypywać sfinksa tak, że widać było jedynie jego olbrzymią głowę. Takim ujrzał go Denon i takiego uwiecznił na swoim rysunku. — Chcesz powiedzieć, że przedtem nikt nie dbał o sfinksa? — zdziwił się znowu Nowicki.

— Jeśli dobrze pamiętam, faraon Totmes IV polecił usunąć piasek wokół sfinksa i zbudował osłaniający go mur z suszonej cegły, ale burze

piaskowe dalej zasypywały posąg, więc i w czasach późniejszych usuwano piasek kilkakrotnie<sup>910</sup>.

— Słyszałem, że w Egipcie znajduje się wiele posągów sfinksa, ale ten tutaj jest podobno najsłynniejszy — zauważył Nowicki. — Swoją drogą ciekaw jestem, w jaki sposób przytoczono tu tak olbrzymią skałę?

Sally tylko tego było potrzeba. Z zapałem zaczęła opowiadać historię powstania sfinksa. Opisała, jak po ukończeniu budowy piramidy Cheopsa trakt służący do transportu kamieni zamieniono w rampę wiodącą z dolnej do górnej świątyni, stawianej u stóp piramidy Chefrena, syna Cheopsa. Jak na pierwszym odcinku nowej rampy natknięto się na monolityczną wapienną skałę, pozostałą po dawnym kamieniołomie. Skała przypominała kształtem leżącego na brzuchu lwa. Wymodelowano więc z niej olbrzymie zwierzę o długości pięćdziesięciu metrów i szerokości około dwudziestu metrów, dodając mu ludzką twarz — twarz faraona Chefrena. Sam nos w tej twarzy mierzył sto siedemdziesiąt centymetrów. Sfinks o twarzy Chefrena, zwrócony ku wschodowi, stał się symbolem strażnika świątyń, symbolem zagadki i tajemnicy.

Raz zaczawszy, Sally nie zamierzała się zatrzymać. Wyjaśniała dalej, że jeden grobowiec składał się z wielu budowli, a piramida była główną jego częścią. Rozmieszczenie poszczególnych elementów zespołu architektonicznego powiązано z królewskim ceremoniałem pogrzebowym, co później znakomicie ułatwiło poznanie stosunków społecznych w starożytnym Egipcie i tak dalej, i dalej...

Od pewnego czasu Nowicki, na ogół tak ciekawy świata, nie zwracał uwagi na przydługie opowiadanie Sally. Nieznacznie zerkał wokoło, głęboko wciągał powietrze, jakby wietrzył jakieś niebezpieczeństwo. Tomek bardzo zżyty ze swym starszym przyjacielem, szybko zorientował się, że coś go zaniepokoiło.

— Tadku, co się dzieje? — zapytał cicho i jednocześnie z napięciem wpatrywał się w otaczające ich przysłowiowe egipskie ciemności.

---

<sup>910</sup> — Przed kilkunastu laty sfinksa odrestaurowano. Mimo to jest w fatalnym stanie. Ministerstwo Kultury Egiptu w 1988 r. zwróciło się do UNESCO z prośbą o powołanie międzynarodowej komisji ekspertów, która oceniłaby stan monumentalnego sfinksa. Niedawno z lewego ramienia odpadł kamienny blok ważący około 300 kg. Zdaniem specjalistów, podobny los spotka drugie ramię z powodu nieustannego niszczycielskiego działania burz piaskowych i deszczów.



— Coś mi tu cuchnie... — mruknął Nowicki i zaraz odwrócił się do Sally, która po tej odpowiedzi nagle zamilkła. — Opowiadaj dalej, sikorko, i nie zwracaj na nas uwagi. Tylko utrzymuj pozycję między mną a Tomkiem.

Sally, przywykła zarówno do marynarskich określeń kapitana, jak i do nieoczekiwanych wydarzeń podczas łowieckich wypraw, w lot pojęła o co chodzi. Jakby nigdy nic kontynuowała opowieść o tym, co współcześni poszukiwacze i archeolodzy znaleźli we wnętrzach piramid.

Tomek wierzył w nieomylny instynkt Nowickiego. Skoro coś go zaniepokoiło, nie wolno było tego lekceważyć. Chłodny, nocny wiatr wiał od piramid. Naśladując Nowickiego, Tomek odetchnął kilka razy głęboko. Po chwili szepnął:

— Wydaje mi się, że czuć słaby zapach zjełczanego tłuszczu...

— Święta racja, to właśnie zwróciło moją uwagę — potaknął Nowicki. — Gdzieś tu się czają Arabowie. Wszystko pitraszą na oliwie, więc ich ubrania przesiąknięte są tym zapachem.

Sally na chwilę zamilkła, ale Nowicki natychmiast zagadnął:

— Mówisz więc, że w piramidzie Cheopsa nie znaleziono już niczego, a w grobowcu Chefrena tylko pusty sarkofag...

— Jedyne w piramidzie Mykerinosa znajdował się jeszcze kamienny sarkofag i cedrowa trumna, w której złożono kiedyś mumię króla.

— Co się z nimi stało? — pytał dalej Nowicki, podejrzliwie zerkając na wszystkie strony.

— Statek, który miał przewieźć je do Anglii, rozbił się w pobliżu wybrzeży hiszpańskich. Trzy tonowy, kamienny sarkofag zatonął, cedrowa trumna przez kilka dni unosiła się na falach, wyłowiono ją i obecnie jest w muzeum w Londynie.

— Uwaga! Ukryli się po prawej stronie u stóp sfinksa — szepnął Tomek.

— Widzę, widzę, z tyłu też nas podchodzą — mruknął Nowicki, po czym wyjął fajkę, nabił ją tytoniem i zapalił.

— Niedługo zacznie świtać, chyba zaraz nas zaczepią — Tomka zaledwie było słychać. — Pewno jest ich kilku, inaczej by się nie odważyli...

— Ojciec upominał, żebyśmy nie włączyli się tu po nocy — równie cicho przypomniała Sally.

— Nie przejmuj się, sikorko, to dla nas nie pierwszozna — uspokajał ją Nowicki. — Weź mego kolta i w razie zagrożenia strzelaj pod nogi!

Sally wzięła niepostrzeżenie rewolwer i schowała pod okrywającym ją czarnym szalem. Nowicki tymczasem spokojnie pykał fajkę.

— Są koło sfinksa, podchodzą coraz bliżej... — szepnął Tomek.

— Zajmij się nimi, ja wezmę w obroty tych z tyłu — radośnie polecił Nowicki, który najbardziej lubił takie przygody. — Nie spiesząc się, uderzył główką fajki o dłoń, wytrząsnął popiół, po czym błyskawicznie odwrócił się do tyłu.

Dwóch drabów w galabijach i turbanach akurat podrywało się z ziemi. Uzbrojeni w krótkie, grube pałki rzucili się ku Nowickiemu, który bez namysłu silnym kopnięciem posłał im piach i żwir prosto w twarze.

— *Ibn el-kell!* — chrapliwym głosem zaklął jeden z opryszków, osłaniając oczy.

— Rodzinie ubliżasz!? — rozsierdził się Nowicki, który jak każdy marynarz znał przekleństwa w różnych językach i zrozumiał obelżywe słowa. Jednym skokiem dopadł opryszka i pięścią przyłożył mu w szczękę.

Napastnik osunął się na ziemię. Drugi, na wpół oślepiiony piaskiem, rzucił pałkę i wyszarpnął długi, zakrzywiony nóż beduiński. Nowicki szybko cofnął się o krok, zerwał z siebie galabiję, wywinął nią w powietrzu i zarzucił na głowę Araba. W tej samej chwili rozległ się huk strzału i krzyk mężczyzny.

„*Sally!*”, przemknęło przez myśl Nowickiemu. Natychmiast odwrócił się ku przyjaciółom.

Kiedy Nowicki rozprawiał się z dwoma napastnikami, trzech innych zaatakowało Tomka i Sally. Jeden ruszył na Tomka z pałką, drugi zaś zaszedł go od tyłu i obydwoma rękami chwycił za gardło. Tomek, nieodrodny uczeń Nowickiego, zaprawiony do walki wręcz, nagłym, głębokim pochyleniem do przodu przerzucił przeciwnika przez siebie. Także Sally nie czekała biernie na rozwój wydarzeń. Trzeci napastnik zaledwie miał czas zamierzyć się na nią pałką. Sally dobyła kolta i nacisnęła spust, mierząc w ziemię tuż przed jego stopami. Huk strzału i krzyk bólu były dowodem, że kula odbiła się o kamieniste podłoże i rykoszetem zraniła jednego z atakujących.

Nieoczekiwany strzał i przypadkowe zranienie ostudziły napastników, którzy zaczęli chyłkiem umykać ku ogrodom nad Nilem. Ten, który pierwszy

oberwał od Nowickiego, zanim rzucił się do ucieczki, pogroził kułakiem i gniewnie krzyknął:

— *Ahrob bejtak!*

No wieki parsknął śmiechem:

— Tamten gagatek życzy mi, żeby spłonęła moja chałupa! Czort z nim!  
— rzekł. — Spójrzcie, już świta!

Niebo nad Kairem jeszcze czarne, na wschodzie już stawało się jasnoniebieskie. Wkrótce poróżwiały wzgórza Mokattam. Promienie wschodzącego słońca rozpraszały nocne opary ścielące się nad Nilem. Od strony miasta napłynęły śpiewne głosy muezzinów wzywających do porannej modlitwy. Wstawał nowy, gorący poranek.

— Ruszamy do domu — wyszeptała Sally — ojciec powinien wreszcie wrócić, najpewniej już razem z panem Smugą...

— Wracamy — potwierdził Nowicki. — Zaczęło się nieźle, Tomku, a gdy przyjedzie Jan, będzie jeszcze ciekawiej — mówiąc to, zatarł ręce i wymownie spojrzął na przyjaciela.



## W KAIRZE

Decyzja o wakacjach w Egipcie zamiast niebezpieczeństw kolejnej zawodowej wyprawy zapadła w dalekim Manaus, w Ameryce Południowej. Polakom i ich przyjaciółom dopiero co udało się powrócić z wyczerpującej, pełnej napięcia wędrówki przez peruwiańskie góry, pustynię i dżunglę, przez ogarnięte rewolucyjnym wrzeniem pogranicze boliwijsko–brazylijskie. Z wędrówki, która nie przypominała żadnej z dotychczasowych. Chyba że pod jednym tylko względem: tak samo jak zawsze trzeba było zmagać się z własną słabością w krańcowo różnym pod względem geograficznym i klimatycznym terenie — zwyczajne, znane każdemu podróżnikowi ryzyko. Do tego dołączyły jednak napięcie i lęk o zdrowie i życie przyjaciół oraz niedostatek środków niezbędnych do przeżycia, konieczność liczenia na przysłowiowy ślepy traf, na łut szczęścia. Była to bowiem od początku wyprawa ratownicza, przedsięwzięta dla ratowania znakomitego łowcy zwierząt i tajemniczego podróżnika Jana Smugi. Podczas tej wyprawy na skutek wielu zbiegów okoliczności, w opalach znaleźli się nie tylko ratowani, ale i ratujący. Kiedy więc Tomek przypomniał na pożegnalnym przyjęciu w Manaus o od dawna odkładanych wakacjach, wyjazd do Egiptu wydał się czymś niezwykle pożądanym i atrakcyjnym.

Najbardziej ucieszyła się oczywiście Sally, absolwentka archeologii, która od dawna marzyła o obejrzeniu Doliny Królów. Do obojga młodych chętnie przyłączył się ojciec Tomka, Andrzej Wilmowski, zmęczony ryzykiem związanym ze sposobem, w jaki od wielu już lat zarabiał na życie. Od czasu ucieczki z Polski, z okupowanej przez Rosjan Warszawy, wśród napięcia kolejnych, następujących jedna po drugiej łowieckich wypraw do najbardziej egzotycznych krajów, czuł się jakby wciąż przed czymś uciekał. Zapragnął zatrzymać się w jakimś miejscu wreszcie z własnego wyboru. Mógł to być Egipt. Pociągał go ten kraj, a zwłaszcza jego suchy klimat, o którym mówiono, że może podleczyć coraz bardziej dokuczający mu reumatyzm. Takiego też użył w rozmowie z dziećmi i przyjaciółmi argumentu.

Tadeusza Nowickiego, niegdyś bosmana, a obecnie kapitana i od czasu pobytu w Alwarze szczęśliwego właściciela pięknego jachtu — daru tak często przez wszystkich wspomianej maharani — do niczego co choć trochę

pachniało przygodą nie trzeba było zachęcać dwa razy. Od dawna zresztą przywykł traktować Tomka i Sally jak młodsze rodzeństwo i nie rozstawać się z nimi, jeżeli nie okazywało się to konieczne. Do projektu Tomka zapalił się od razu: z Anglii do Egiptu mogli przecież popłynąć jachtem, z którego był tak bardzo dumny.

Na wakacje akurat teraz nie mogli sobie pozwolić Karscy. Stała praca w kompani kauczukowej „Nixon–Rio Putumayo” była dla Zbyszka Karskiego, kuzyna Tomka, zbyt ważna. Zapewniała, jemu i jego żonie Nataszy, po trudnych latach byt na najbliższą przyszłość. Wilmowscy rozumieli to aż za dobrze.

Z odrobiną żalu, ale trzeba się też było pogodzić z wiadomością, że nie będzie im towarzyszył Smuga. Podobnie jak Zbyszka zatrzymywały go w Manaus nowe, ważne obowiązki. Od czasu ostatniej wyprawy stał się przecież współwłaścicielem „Nixon–Rio Putumayo”.

Racja w wypadku Karskich tak oczywista mniej trafiała do przekonania, kiedy chodziło o Smugę. Ale ten, skwitowawszy rzecz krótko, że nie traci wiele, bowiem „*zdążył już być także i w Egipcie*”, swoim zwyczajem milczał i pykał fajeczkę.

Nie pierwszy już raz rozdzielały ich w ten sposób życiowe okoliczności. Zawsze się jednak gdzieś w końcu spotykali i zawsze z tą samą radością. Dlatego i Wilmowscy, i Nowicki wyruszali do Londynu pełni otuchy, w pogodnym nastroju.

W Londynie za to zaczęły się piętrzyć poważne i drobne trudności, a dalsza podróż irytująco odwlekać. Najpierw pies Dingo, wierny towarzysz łowieckich wypraw, musiał zostać poddany dłuższemu leczeniu w klinice dla zwierząt. Ropień na lewej łapie, pamiątka z Brazylii, jątrzył się i nie goił. Wynikł także poważny kłopot z jachtem Nowickiego, wypożyczonym na czas pobytu w Ameryce Południowej znajomemu Hagenbecka<sup>911</sup> i zabranym w rejs po Morzu Śródziemnym. Okazało się teraz, że podczas sztormu jacht uległ uszkodzeniu, a naprawa będzie kosztowna i długotrwała. Znajomy

---

<sup>911</sup> — Karl Hagenbeck (1844–1913) — niemiecki treser i twórca menażerii cyrkowych, założyciel przedsiębiorstwa handlu zwierzętami egzotycznymi. W 1907 r. ufundował w Stellingu koło Hamburga ogród zoologiczny, w którym wprowadził nowoczesne metody aklimatyzacji, hodowli i tresury zwierząt (zamiast klatek np. zastosował głębokie jamy i ogrodzenie).

Hagenbecka, poczuwając się do odpowiedzialności, zaproponował, że go kupi. W tej sytuacji Nowicki propozycję przyjął.

— Własny jacht tak pasuje do marynarza z warszawskiego Powiśla jak kwiatek do kozucha — rzucił niefrasobliwie, starannie ukrywając przed przyjaciółmi żal i rozgoryczenie. Zaraz też kupił bilety na rejs do Aleksandrii statkiem pasażerskim.

Na kilka zaledwie dni przed wypłynięciem z londyńskiego portu nieoczekiwanie nadeszła depesza z Manaus. Jan Smuga powiadamiał w niej o nowych okolicznościach, które skłoniły go do podróży do Egiptu i prosił o pomoc. Proponował, żeby Wilmowscy wraz z Nowickim czekali na niego w Kairze, gdzie już wynajął dla nich wygodne, prywatne mieszkanie.

Podczas podróży statkiem zaintrygowani przyjaciele gubili się w domysłach, co też mogło nakłonić Smugę do nagłej zmiany planów. Nowina wprawiła jednak Tomka i Nowickiego w doskonały nastrój. Teraz, kiedy otrząsnęli się już ze zmęczenia, obydwu w skrytości ducha trapiła obawa, że czysto turystyczny pobyt w Egipcie okaże się za spokojny i monotony. Perspektywa przyjazdu Smugi rozwiewała oczywiście widmo nudy.

Znali Jana Smugę tak dobrze, tyle wspólnie przeżyli i wciąż się czegoś nowego o nim dowiadywali w każdej kolejnej wyprawie. Podczas jednej odkryli, że poznał tajemnicę murzyńskich tam–tamów w czasach, gdy pomagał plemieniu Wattusi w walce z niemieckimi wojskami kolonialnymi na południowym wybrzeżu Jeziora Wiktorii. W innej wyszły na jaw jego kontakty z wybitnymi podróżnikami–badaczami oraz ryzykowne wyprawy z pandytami<sup>912</sup> penetrującymi kraje Azji Środkowej. W czasie ostatniej przekonali się, że jest zaprzyjaźniony z wodzami niektórych indiańskich plemion stawiających opór białym najeźdźcom. Ile jeszcze w kolejach jego losu kryło się niespodzianek? Czy któraś z nich może wiązać się z Egiptem?

Nieoczekiwana zmiana planów i zapowiedź, że liczy na pomoc przyjaciół, mogły oznaczać tylko jedno: zanosilo się na coś niezwykłego. Tylko tego można było być pewnym. Nie na próżno przecież ojciec Tomka,

---

<sup>912</sup> — Pandit — człowiek uczony; tytuł nadawany hinduskim uczonym. Często mianem tym określano Hindusów specjalnie przez Anglików wyszkolonych i przygotowanych do prowadzenia penetracyjnych wypraw geograficznych na terenie tych krajów Azji, do których cudzoziemcy nie mieli wstępu.

który najdłużej znał Smugę, mawiał, że za Smugą jak cień snują się niezwykle wydarzenia.

Od przeszło trzech tygodni odpoczywali i cierpliwie zwiedzali Kair. Któregoś ranka nadeszła wreszcie wiadomość, że statek, którym Smuga wypłynął z Anglii lada dzień zawinie do portu w Aleksandrii. Andrzej Wilmowski wyruszył do Aleksandrii, aby przyspieszyć intrygujące spotkanie. Trochę znudzeni już Kairem młodzi Wilmowscy, aby skrócić czas oczekiwania, wymyślili pod jego nieobecność nocną wycieczkę do Gizy „*pod opieką*” Nowickiego. Ani się spodziewali, ilu ten pomysł dostarczy im atrakcji.

\* \* \*

Świtało, gdy dorożką wracali do domu.

— „*Kto nie widział Kairu, niczego nie widział*” — westchnęła Sally.

— Co mówisz, sikorko? — z roztargnieniem zapytał Nowicki.

— Powtarzani stare arabskie przysłowie — odpowiedziała Sally. — Czy wiecie, że nazwa „*Kair*” oznacza „*Miasto Zwycięstwa*”?

— Skoro tak mówisz... — zmęczony Tomek nie wykazywał zbytniego entuzjazmu.

— Cała historia zaczęła się od... gołąbka... — Sally nie poczuła się zrażona brakiem zainteresowania. — Najpierw jednak była tu twierdza zwana Babilonem.

— A później rządzą Rzymianie — wtrącił Tomek.

— Tak. Wreszcie przybyli Arabowie. Ich wódz, Amer Ibn el-As, po zajęciu w 640 roku Aleksandrii i ówczesnej stolicy kraju, miasta Memfis, pomaszerował na wschód.

— Tak i zatrzymał się w okolicach dzisiejszego Starego Kairu.

— Tam, gdzie Nil rozdzielał się na kilka ramion, tworząc deltę. Stał dokładnie w miejscu, gdzie rosły na wpół zasypane pustynnym piaskiem palmy.

— I tu założył swój obóz? — dał się wciągnąć w rozmowy Nowicki.

— Owszem. Z okrzykiem „*zwycięstwo*”, czyli po arabsku *El-Kahirach*, wzniosł ozdobiony drogocennymi kamieniami miecz. Jednym cięciem miecza naznaczył linię na piasku, wydając rozkaz: „*Tu stanie mój namiot*”. Rankiem okazało się, że na namiocie uwiła gniazdo gołębica. Uznano to za dobrą



wróżbę i postawiono w tym miejscu meczet o nazwie Al-Fostat, czyli Namiot. U stóp świątyni rozrosła się najstarsza dzielnica Kairu.

— A od kiedy miasto nosi dzisiejszą nazwę? — drażył Nowicki.

— Od X wieku, gdy władzę przejęła dynastia Fatymidów. Legenda mówi, że nad Fostatem ukazała się wtedy świecąca smuga od planety Mars i że dlatego stolicy nadano nazwę „*Miasto Zwycięstwa*”.

Odkryta dorożka, zaprzęzona w chudego, kościstego konia, wolno jechała w słońcu poranka przez pas nadbrzeżnej zieleni. Wśród sadów i palm nad kanałem bielily się wille. Dalej pojawiły się stare obskurne domy, a bliżej rzeki nowocześniejsze, kilkupiętrowe kamienice. Dorożka wjechała na most łączący zachodni brzeg Nilu z wyspą Roda. W dole, po mętnej, mulistej rzece, płynęły feluki<sup>913</sup> i ogromne barki o wysoko zadartych dziobach obładowane towarami: sianem, durrą, arbusami, zielonymi melonami, trzcina cukrową bądź glinianymi garnkami. Z powodu ich wysokich masztów, z wielkimi, nabrzmiętymi od wiatru trójkątnymi żaglami, wszystkie kairskie mosty na Nilu miały pośrodku jedną lub więcej ruchomych części.

Zaledwie dorożka wjechała na wyspę, powożący Arab odwrócił się do pasażerów i łamaną angielszczyzną, gardłowym głosem, zawołał:

— Wyspa Roda! Tutaj nilometr, niedaleko, na południowym cyplu! Czy chcecie zobaczyć?

— Nie! Jedź dalej i popędzaj szkapę, chcemy być jak najprędzej w domu — po angielsku odparł Nowicki, a zwracając się do siedzących naprzeciwko młodych Wilmowskich, rzekł po polsku: — Nie warto marudzić, może dzisiaj nadejdzie wiadomość od ojca? Zresztą słyszałem już co nieco o egipskich urządzeniach do pomiarów poziomu wody w rzece. Podobno wzdłuż Nilu rozsiana jest cała ich sieć, również poza granicami Egiptu.

— Nic dziwnego, Nil decyduje przecież o życiu lub śmierci Egipcjan — powiedział Tomek. — Już w starożytności grecki historyk Herodot pisał, że Egipt jest darem Nilu, a jego istnienie zależy od tej jednej jedynej rzeki. Rzeki bez dopływów, nie zasilanej opadami deszczu i płynącej przez tysiąc pięćset kilometrów jednej z najstraszliwszych pustyń Ziemi. Gdyby Nil przestał płynąć, choćby na krótko, Egipt czekałaby nieuchronna zagłada.

— Czytałam, iż Egipcjanie od najdawniejszych czasów ciągle mierzyli poziom wody w Nilu. Na podstawie skrzętnie zapisywanych wyników

---

<sup>913</sup> Feluka — niewielki, wąski i szybki żaglowiosłowiec.

przewidywali urodzaje i ustalali wysokość podatków — wtrąciła się Sally. — Zapisy te czyniono nieprzerwanie od sześćset dwudziestego drugiego roku. Nigdzie na świecie nie było czegoś podobnego. Nilometry sytuowano w każdej świątyni, we wszystkich miastach i osadach leżących nad samym brzegiem rzeki. Wyniki przesyłano do Kairu.

— Czyżby nilometr na wyspie Roda był najstarszy? — zaciekawiał się Nowicki.

— Nie, ale został zbudowany w siedemset szesnastym roku i jest pierwszym, jaki powstał w czasach arabskich — wyjaśniła Sally.

Dorożka jechała tymczasem wąskimi zaniedbanymi uliczkami i wkrótce dotarła do mostu łączącego wyspę Roda ze Starym Kairem położonym na wschodnim brzegu Nilu. Szybko przebyli niezbyt tutaj szerokie ramię rzeki. Dalej długa ulica Kasr al-Ajni, równoległa do wybrzeża, dochodziła aż do południowo-zachodniej dzielnicy.

W mieście, jak codzień, niemal od świtu panował ożywiony ruch i gwar. W tłumie przechodniów odzianych w długie, białe i pasiaste galabije, turbany i fezy spotykało się ubranych po europejsku mężczyzn, którzy pracowali w urzędach i przedsiębiorstwach. Nieliczne na ulicach kobiety nosiły przeważnie czarne, długie suknie i osłaniające twarz szale. Przed sklepami, często w ogóle pozbawionymi frontowych ścian i wystaw, otwartymi wprost na ulicę, kupcy głośno zachwalali wystawione na sprzedaż orientalne i zachodnie towary. Niektórzy rozkładali je na chodniku bądź rozwieszali na ścianach domów. Fryzjerzy, krawcy, szewcy i czyściciele butów, w ogóle rzemieślnicy, pracowali na ulicy, po prostu na chodnikach przed domami. Na przenośnych straganach piętrzyły się owoce cytrusowe i warzywa, opiekano na rożnach kawałki baraniny, smażyono ryby. W powietrzu unosił się zapach oliwy i czosnku.

Nie mniejszy rozgardiasz panował na jezdni. Ulicą jeździł już szynowy tramwaj elektryczny, kursujący z placu Tahrir aż do Starego Kairu. Egipcjanie polubili ten środek komunikacji, dogodniejszy od tramwajów konnych. Toteż elektryczne pojazdy szynowe obwieszane były pasażerami. Nie zważając na niebezpieczeństwo, ludzie tłoczyli się na stopniu wzdłuż całego wagonu. Tramwaj musiał jechać wolno. Często też przystawał, mimo że motorniczy natarczym dzwonieniem usiłował przegonić z torowisk zawałidrogi. Obok toczyły się bowiem ciężarowe wozy na dwóch wysokich kołach, ciągnięte

przez osły, konie lub wielbłądy. Woźnice flegmatycznie pokrzykiwali na nieostrożnych przechodniów. Nieraz za powożącym Arabem siedziały jego żony. W kłębiącym się tłumie pojazdów i ludzi z cyrkową zręcznością lawirowali chłopcy dźwigający na głowach pełne świeżego pieczywa, duże, okrągłe kosze, które brawurowo podtrzymywali jedną ręką w ich zdawałoby się chwiejnej, a jednak pewnej równowadze. Tu i ówdzie przesuwaly się charakterystyczne sylwetki roznosicieli wody z wielkimi dzbanami zakończonymi czymś na kształt zakrzywionego lejka. Tłoczyły się flegmatycznie osły objuczone koszami pełnymi jarzyn, worami pszenicy, słomy bądź cegły. Jeszcze inne, popędzane przez krzykliwych poganiaczy, służyły jako wierzchowce mężczyznom w galabijach. Wszędzie wśród dorosłych plątały się psy, koty i dzieci w kusych koszulinach. Wszystko to przetaczało się ulicą pełną gwaru rozmów, okrzyków i wrzasków.

Nocny chłód ustępował, robiło się coraz upalniej. Dorożkarz, stary Arab, zdjął abajas<sup>914</sup> i został w tradycyjnej galabii. Od początku nieufnym, świdrującym wzrokiem mierzył ubranych w arabskie stroje Europejczyków, którym towarzyszyła kobieta z odsłoniętą twarzą. Nie dziwił się, bo w swoim dorożkarskim życiu widział już niejedno, ale jego niechęć do pasażerów wzrosła, gdy odrzucili propozycję zobaczenia nilometru. Spróbował zatem inaczej:

— Czy jesteście chrześcijanami? — spytał.

A gdy Nowicki potwierdził, zaproponował:

— Tutaj niedaleko jest domek, gdzie mieszkał Jezus<sup>915</sup> z rodziną. W dzielnicy koptyjskiej...

— Innym razem, dobry człowieku — zbył go kapitan — teraz chcemy wrócić do domu.

Arab wzruszył ramionami i zamruczał coś pod nosem. Zawiedziony nie na żarty pomyślał, że to jacyś dziwni cudzoziemcy, skoro udają Arabów, włóczą się po nocy i na dodatek spieszą wcale nie jak turyści! Może to oznaka nieczystego sumienia i może nie zapłacą za przejazd? Nigdy wprawdzie nie spotkało go coś takiego, ale tego dnia stary Arab był w wyjątkowo złym humorze.

---

<sup>914</sup> — Abajas — rodzaj męskiego, ciepłego, wełnianego płaszcza bez kołnierza, z szerokimi rękawami; najczęściej gładki lub w pasy.

<sup>915</sup> — Jezus czczony jest przez wyznawców Mahometa jako jeden z proroków.

Zaledwie straszne podejrzenie ugruntowało się w jego głowie, niespodziewanie ściągnął lejce chudej szkapy. Nie przygotowanych na to podróżynych wcisnęło w siedzenia, a potem rzuciło do przodu. Sally, gdyby Tomek nie zdołał jej złapać, jak nic wylądowałyby pod kołami pojazdu.

— Do diabła! — zaklął po polsku — Nowicki. — Co wyrabiasz? Arab zerwał się z kozła i zaczął coś wykrzykiwać, żywo przy tym gestykulując. W jego bełkotliwej mowie najbardziej znajomo brzmiało słowo bakszysz.

— Czego chcesz? Co się stało? — pytał gorączkowo Tomek. Wokół dorożki gęstniał tymczasem wrzeszczący tłum. Arabowie, Egipcjanie, Turcy wygrażali pięściami i wykrzykiwali coraz głośniej. Sally zauważyła, że niczym refren przewija się okrzyk *Danszawoj*.

— Tommy! Tommy! — zawołała do męża, który pospiesznie płacił staremu. Ten gdy otrzymał pieniądze, sam zaczął uspokajać współziomków.

— Tommy! Powiedz im, że nie jesteśmy Anglikami, tylko Polakami!

Tomek zorientował się, o co jej chodzi:

— No English! Polak! Polska! *Bolanda! Bolaaanda!!!*<sup>916</sup>

Nie wiadomo, co zrozumiał rozwrzeszczany tłum. W każdym razie tak samo niespodziewanie jak powstało całe zamieszanie, nagle wszystko wróciło do poprzedniego stanu...

Nowicki, który cały czas trzymał rękę na kolbie rewolweru, teraz wyjął ją z kieszeni i otarł pot z czoła.

— Wszystko przez tego starego draba — powiedział cicho do Tomka. — Trzeba mu przemówić do rozsądku.

— Daj spokój, Tadku! Samiśmy sobie winni. Co oni wszyscy mieli sobie pomyśleć, gdy zobaczyli nas przebranych za Arabów?

— Zachowali się wrogo, bo wzięli nas za Anglików — nerwowo wyjaśniała Sally. — Wiem stąd, że wykrzykiwali nazwę miejscowości w delcie Nilu, gdzie pięć lat temu angielski oficer w czasie polowania postrzelił egipską wieśniaczkę. Pisano o tym w gazetach, gdyż doszło do walki, w której zostało rannych trzech Egipcjan i trzech Anglików, jeden z nich później zmarł. Brytyjczycy uznali zajście za bunt i aresztowali kilkudziesięciu fellachów<sup>917</sup>. Czterech z nich powieszono — dokończyła ciszej. Po chwili, już spokojniej, dodała:

<sup>916</sup> — Bolanda (arab.) — Polska.

<sup>917</sup> — Fellach — egipski chłop, wieśniak, rolnik.

— Wydaje się, że mimo wrzasku tłum zachował porządek. Wszystko tak nagle się zaczęło i skończyło, jakby ktoś tym kierował.

— Właśnie — potwierdził Nowicki — a już miałem wyciągnąć rewolwer... Zwróćcie też uwagę, że nie odważyli się nas zaatakować. To była jedynie demonstracja.

— Stąd wniosek, że metody Anglików okazały się...

— Zawodne, Tomku, zawodne — wszedł przyjacielowi w słowo marynarz. — Według mnie wolnościowe tęsknoty umacniają się w Egipcie.

— Tak, tylko że jak na jedną noc to trochę za dużo — skrzywiła się Sally.

— Pewnie, sikorko! A co za dużo, to nie zdrowo — skwitował Nowicki.



## NIEZWYKŁE SPOTKANIA

Smuga, mimo późnego już poranka, wbrew swemu zwyczajowi, nie poderwał się z koi natychmiast po przebudzeniu. Podjął się bowiem niełatwego zadania, przy którego realizacji potrzebował pomocy wypróbowanych przyjaciół. Zastanawiał się teraz, jak przyjmą wiadomość, że przyjął zlecenie... arystokraty, lorda, fanatycznego kolekcjonera wszystkiego co egipskie, który na dodatek nie zawsze troszczył się dostatecznie o legalność prowadzącej do posiadania tych przedmiotów drogi. Wpędziło go to zresztą w końcu w kłopoty, a że interesy wymagały jego obecności w Manaus — lord miał udziały w kompanii Nixona — przywiodło go do Smugi.

Smuga długo rozważał ofertę. Czy wobec okazanej przezeń wcześniej rezerwy przyjaciele zrozumieją jego pobudki? Jak zareaguje Andrzej Wilmowski, który chciał w Egipcie wypoczywać i leczyć się? To pytanie powracało, nurtując niepokojem. Kiedy jednak ujrzał oczyma wyobraźni kpiący wzrok Nowickiego, pałające ciekawością oczy Sally, która marzyła o przygodzie w Dolinie Królów, nie mógł nie wyrazić zgody. I nie mógł się już wycofać.

Odsunął od siebie te myśli. Nie czas na wahania i niepokoje, kiedy podjęto się decyzję. Skupił uwagę na tym, co przydarzyło mu się już tu na statku, a wydawało czymś więcej niż przypadkowym zrzędzeniem losu.

Długo w noc konferował z angielskim dyplomata, którego poznał przed laty właśnie w Egipcie. Uśmiechnął się na myśl, że po latach obaj wracali do tego kraju, obaj z pewną misją i obu im przyszło płynąć tym samym statkiem. Rozmawiali rzecz jasna o Egipcie. Rozmowa, z początku bardzo ogólna i swobodna, z czasem stawała się coraz konkretniejsza. Anglik starał się zainteresować Smugę problemem, który go nurtował. Smuga grzecznie słuchał, umiejętnie podtrzymując rozmowę.

— Proszę tylko pomyśleć — mówił dyplomata — że przez wiele wieków Egipt, zamknięty od wschodu i zachodu, a praktycznie i od południa, pustynią, od północy zaś Morzem Śródziemnym, był dla Europejczyków krajem nie znanym. Naukowe nim zainteresowanie jest zupełnie świeżej daty i tak naprawdę rozpoczęło się pod koniec osiemnastego wieku, po wyprawach Napoleona. Odtąd Egipt trwale zafascynował archeologów, a po nich ludzi

bogaty, którzy zaczęli finansować kosztowne wyprawy odkrywcze<sup>918</sup>. Pasji badawczej towarzyszyła chęć posiadania. I tak to trwa aż po dzień dzisiejszy.

— Chce pan zapewne przez to powiedzieć, że od niepamiętnych czasów zdarzały się kradzieże dzieł sztuki — Smugę zawsze przyprawiał o zniecierpliwienie ten rodzaj taktu, jaki stosowano w dyplomacji.

— Owszem — Anglik nie poczuł się urażony takim postawieniem sprawy. — Zwłaszcza w tej części świata... Podają to nawet bardzo stare źródła...

— Ciekawe jak stare się zachowały? — przerwał Smuga.

— O! Dość stare! W szesnastym wieku przed naszą erą, gdy panowanie rozpoczęła osiemnasta dynastia<sup>919</sup>, ograbiono chyba wszystkie grobowce ważnych osobistości — odpowiedział dyplomata.

— Znajomy archeolog, Howard Carter<sup>920</sup>, opowiadał mi historię rozprawy dotyczącej okradania grobowców faraonów sprzed tysięcy lat. Dokładny jej opis zachował się na papirusach z epoki Ramzesa IX<sup>921</sup>. Nie był to czas dobry dla państwa. Kwitło przekupstwo, a władza była bardzo słaba. W ciągu czterdziestu lat zmieniło się aż ośmiu faraonów...

— W takich sytuacjach wzrasta przestępczość i chęć łatwego dorobienia się. Znam to z historii mojego narodu — wtrącił Smuga.

— Papirus podaje imiona bohaterów całej historii, nawet przestępców! — ciągnął Anglik. — Wszystko zaczęło się od zwykłej zawiści, jaką

---

<sup>918</sup> — Do najwybitniejszych i najbardziej znanych archeologów zajmujących się wykopaliskami w Egipcie należą: włoski awanturnik Giovanni Belzoni (1778–1823); Niemiec Richard Carl Lepsius (1810–1884); Francuz August F.E. Mariette (1821–1881), uznawany za twórcę archeologii starożytnego Egiptu, organizator tzw. Służby Starożytności (Service des Antiquites) oraz pierwszego muzeum sztuki egipskiej w Bulak; jego następca Gaston Maspero (1846–1916), twórca przepisów prawnych, regulujących działalność ekip zagranicznych archeologów; Niemiec Ludwik Borchardt (1863–1938), odkrywca (w 1908 r.) rezydencji i miasta faraona Echnatona w el-Amarna; Anglik W. Flinders Petrie (1853–1942), twórca metody szybkich poszukiwań; Francis L. Griffith (1862–1934); Amerykanie Georg A. Reisner (1867–1950) i Herbert E. Winlock (1884–1950).

<sup>919</sup> — Panowała w Egipcie w latach 1555–1335 p.n.e.

<sup>920</sup> — Carter Howard (1873–1939) — archeolog angielski, w Egipcie od 1890 r. Niemal od początku związany z pracami w Dolinie Królów. Od 1907 r. współpracował z lordem Carnarvonem. 7 listopada 1922 r. odkrył grobowiec Tutanchamona, dziwnym zrzędzeniem losu nie obrabowany przez złodziei. Była to wielka sensacja archeologiczna. Do dziś jego odkrycie uchodzi za jedno z najważniejszych w historii archeologii. Także dlatego, że wiąże się z wieloma legendami, między innymi o tzw. zemście faraona.

<sup>921</sup> — Ramzes IX, jeden z jedenastu faraonów o tym imieniu. W latach 1168–1090 p.n.e. (XX dynastia) panowali kolejno Ramzesowie: od IV do XI.



wzajemnie darzyli się zarządca wschodniej części Teb<sup>922</sup>, Pezer, i jego odpowiednik po ich zachodniej stronie, Pewero<sup>923</sup>. Otóż tenże Pezer, otrzymawszy informację o rabunku grobowców w zachodniej dzielnicy nie omieszkał złożyć raportu wspólnemu przełożonemu Chamwezemu. Chamweze powołał specjalną komisję do zbadania tej sprawy.

— Postąpił właściwie.

— Nie miał chyba innego wyjścia.

— Czy komisja coś wskórała?

— Miała ustalić, czy rzeczywiście są to kradzieże aż na tak wielką skalę.

Pezer wymienił bowiem w raporcie dokładną liczbę okradzionych grobowców.

— Miał niezwykle dokładne informacje.

— Właśnie. Można by mniemać, że utrzymywał po drugiej stronie Teb swoją wywiadowczą siatkę. Nie przewidział tylko jednego...

— Czego?

— Że członkowie komisji, a nawet może i sam Chamweze, czerpią z kradzieży korzyści.

— Przemyślny zatem człowiek z tego, jak go pan nazywa, Pe...

— Pewera...

— Ach, te imiona — westchnął Smuga. — Dla Słowianina brzmią tak podobnie... Ale, wracając do tematu, przypuszczam, że komisja niczego nie wykryła...

— W każdym razie nie potwierdziła danych Pezera. Według niej włamano się do jednego, nie zaś do dziesięciu, jak podał Pezer, grobowców królewskich i do dwóch, nie czterech grobowców kapłanek.

— I postępowanie umorzono.

— Oczywiście. Obrabowano wprawdzie niemal wszystkie grobowce prywatne, ale wszak to nie powód, by oskarżać zasłużonego Pewera.

— Tak kończy się sen o sprawiedliwości.

---

<sup>922</sup> — Teby — miasto w Górnym Egipcie, założone w III tysiącleciu p.n.e., uchodzące za najstarsze na świecie. Nazywane przez Greków „*stubrame*”, w odróżnieniu od „*siedmiobramych*” Teb w Beocji. Egipcjanie nazywali je Wyset lub Niut–Amon (Miasto Amona). Upadek znaczenia po najazdach hord asyryjskich w VII w. p.n.e.

<sup>923</sup> — Historia autentyczna, zawarta w zbiorze dokumentów egipskich wydanych w latach 1906–1907 w Chicago, skąd mógł zaczerpnąć ją Carter.

— O nie! To dopiero końcówka pierwszej rundy... Nazajutrz Pewero na wschodnim brzegu Nilu urządził prawdziwą manifestację przeciw Pezerowi. Można sobie wyobrazić, co przeżywał ten człowiek, gdy mu zgotowano pod nosem kocią muzykę.

— Z pewnością mocno się zdenerwował.

— Stracił głowę. Wybiegł z domu, wdał się w awanturę z jednym z przywódców i zagroził, że odwoła się wprost do faraona.

— Nie najmądrzejsze posunięcie. Ów Pezer, jak go pan nazywa, nie był zbyt zręcznym politykiem.

— Aż tak źle bym go nie osądzał. Pierwszą bitwę przegrał. Przegrał również drugą: Chamweze pozwał go przed sąd, w którym Pezer, sam będąc w kolegium sędziowskim, przyznał się, że złożył nieprawdziwe doniesienie. Trzecie starcie należało jednak do niego. Po kilku latach ujęto ośmiu przestępców, papirus podaje nawet ich imiona. Po śledztwie, od wieków polegającym tutaj głównie na skłanianiu do różnych wyznań za pomocą chłosty w pięty i dłonie, potwierdzili oni raport Pezera.

— Zaiste, fascynująca historia. Rad jestem, że jej wysłuchałem. Opowiem ją moim przyjaciółom, którzy czekają na mnie w Kairze, a zwłaszcza Tomaszowi Wilmowskiemu, który przepada za tego rodzaju opowiadaniem.

— Powiada pan, Wilmowsky... Tom... Chyba słyszałem to nazwisko. Czy nie w Królewskim Towarzystwie Geograficznym?

— Tomasz jest jego członkiem. Możliwe, że stąd jest panu znany. Wygłosił na tym forum parę odczytów na temat Papuasów, a ostatnio miał wykład o Indianach z Puszczy Amazońskiej.

— Rzeczywiście, nawet go wysłuchałem, teraz sobie przypominam. Bardzo młody uzdolniony człowiek. Ale, czyżby pańska zapowiedź spotkania z przyjaciółmi w Kairze miała oznaczać, że przygotowuje pan jakąś wyprawę i to w Egipcie?

— Zupełnie nie — roześmiał się Smuga. — Tym razem zamierzamy zrealizować od dawna odkładane plany wakacyjne.

— Podwójnie zazdroszczę, i wakacji, i towarzystwa. Chociaż przyznam, iż miałem nadzieję zainteresować pana nie tyle przeszłością, ile teraźniejszością rynku sztuki — powiedział Anglik.

— Nie bardzo rozumiem? — zdziwił się Smuga.

— Widzi pan, w ostatnich latach Egipt znowu stał się na tym rynku modny. Niedawno, nie tylko zresztą w Anglii, pojawiły się cenne papirusy, przedmioty kultu i codziennego użytku, biżuteria. Wszystko pochodzi stąd, z Egiptu, nie wiadomo tylko, jaką przecieka drogą. Skala zjawiska jest tak znaczna, że wskazuje na istnienie dobrze zorganizowanej szajki przemysłniczej.

— Czy dlatego aż tak ono pana absorbuje? — Smuga pytał dalej, zupełnie obojętnie, jakby dla podtrzymania rozmowy.

— Powiem wprost. Powierzono mi misję, którą nazwałbym detektywistyczną. Zna mnie pan, więc i wie, że się zupełnie do tego nie nadaję. Bardziej jestem uczonym niż politykiem, a co dopiero detektywem. Spotkawszy pana na tym statku, uznałem to za uśmiech losu. Wszak misja, o której mówię, o wiele lepiej pasowałaby do pana. Czyż nie mam racji? — Anglik zakończył swój wywód w sposób wymagający odpowiedzi.

Smuga odpowiedział wymijająco, tak jednak aby nie zamykać sprawy. Rozmawiali jeszcze przez chwilę, między innymi o pojawiającym się często w kontaktach z prywatnymi kolekcjonerami tajemniczym człowieku, aż dotarli do tego momentu rozmowy, kiedy nie ujawnia się więcej szczegółów bez wyraźnej deklaracji.

Nie znalazłszy w zachowaniu Smugi niczego, co wykraczałoby poza ramy czystej uprzejmości, Anglik postanowił inaczej sformułować swoją propozycję:

— Ma pan w Egipcie, jak pamiętam, osobliwe kontakty. Szkoda, że nie udało mi się pana pozyskać. Ale nie zamierzam tak od razu rezygnować. Proszę porozmawiać z przyjaciółmi, równie niezobowiązująco jak ze mną. Będę bardzo rad, jeśli znajdzie pan czas i odwiedzi mnie, wraz ze swoim młodym przyjacielem, w konsulacie w Kairze.

Tyle Smuga mógł mu spokojnie przyrzec.

Przemyślawszy wszystko raz jeszcze, wreszcie wstał, ubrał się i zapalił nieodłączną fajkę.

\* \* \*

Słońce weszło tymczasem wysoko. Nieliczni pasażerowie przechadzali się po pokładzie. Mijał już piąty dzień, odkąd statek wyruszył z Triestu, gdzie zatrzymał się na pół dnia, aby uzupełnić zapasy węgla. Odbywał on swój

normalny rejs z Anglii do Bombaju i wiozł dystyngowanych angielskich gentlemenów, w większości udających się do Indii. Należał do Kompanii Lloydów<sup>924</sup> i nosił wdzięczne imię „*Cleopatra*”. Wyposażony w mocny silnik płynął z prędkością dziewięciu węzłów<sup>925</sup>. Zbliżał się właśnie do Archipelagu Jońskiego. W dali lśniły, pokryte jeszcze śniegiem, wierzchołki gór Albanii. Po prawej stronie wyspa Korfu, skalista w swej północnej części, z widocznymi ruinami jakiegoś miasta od wschodniej strony, przechodziła w prześliczne, łagodne, zabudowane i pełne ogrodów wzgórze. Statek zawinął do portu, aby dostarczyć pocztę i wkrótce wyruszył w dalszą drogę.

Już nazajutrz mijał przylądek Matapan na Peloponezie, najbardziej na południe wysunięty punkt Europy. Wkrótce przepłynął obok Krety i zaczął wyraźnie zbliżać się do afrykańskiego lądu. Coraz liczniej poczęło mu towarzyszyć ptactwo. Smuga z zachwytem obserwował spore ptaki, osiągające prawie metr długości, o rozpiętości skrzydeł do półtora metra, które nadleciały nad statek całym stadem. Zostały nazwane głuptakami<sup>926</sup>, z racji niezwyklej ufności, jaką darzyły człowieka, dopuszczając go na najbliższą odległość. Smaczne mięso, przy łatwości polowania, przyczyniło się do ich masowej prawie zagłady. Te były przeważnie białe, jedynie niektóre miały szaro, brązowo lub czarno ubarwione skrzydła czy same tylko ich końce.

„*Z jaskrawymi nogami, nagą skórą z przodu głowy, śmiesznymi owalnymi dziobami i ostro zakończonym, długim ogonem wyglądają jak kłowny... Dziób przypomina ogon, a ogon jest podobny do dziobu*” — pomyślał Smuga, nie przypuszczając, że niektórzy tak właśnie te ptaki nazywają. Prześmieszne wydawały mu się również ich wrzaski, chichoty i gwizdy... Nagle głuptaki wzniosły się wyżej i niemal całym stadem ruszyły w dół, spadając na ławicę ryb. Po chwili większość wynurzyła się ze zdobyczą w dziobach.

Pogoda sprawiła, że wszystkich ogarnęło senne lenistwo. Marynarze i pasażerowie szukali cienia. Ciszę przerywał jedynie szum morza i krzyk ptactwa, ginący gdzieś między wodą a niebem. Smuga poddał się ogólnemu

<sup>924</sup> — Kompania Lloydów — angielska spółka akcyjna kupców i właścicieli statków, założona w XVII wieku, prowadząca m.in. biura podróży i obsługująca linie morskie.

<sup>925</sup> — Węzeł — mila na godzinę. Mila morska — 1852 metry.

<sup>926</sup> — Głuptaki (*Sula bassana*) gatunek z rodziny głuptaków (*Sulidae*), jedyny występujący w Europie. Długość ciała do 92 cm, ciężar około 4 kg. Rybożerny. Żyje w pobliżu przybrzeżnych wód mórz umiarkowanych i chłodnych.

nastrojowi i oparty o reling statku z zadumą spoglądał przed siebie. Nagle spod pokładu dobiegł jakiś hałas, trudny z początku do rozpoznania. Po chwili niby diabeł z pudełka wyskoczył na pokład niepozorny człowieczek. Za nim pędził dobrze zbudowany mężczyzna.

— Trzymaj, łapaj! — krzyczał.

Dopędzał już chłopca i miał go zatrzymać, ale ten wywinął się jak piskorz. Pojawili się inni marynarze.

— Ukrywał się w bieliźniarni — informowano się nawzajem.

Pasażerowie rozbudzeni niebywałym zdarzeniem z zainteresowaniem przyglądali się gonitwie. Żaden się jednak nie przyłączył. Chłopiec nie rezygnował. Już, już ktoś miał go w zasięgu ręki, ale następował sprytny unik, zwrot i ucieczka w drugą stronę. Przestrzeń wokół zbiega w końcu zaczęła się zacieśniać. Wydawało się, że nie ma możliwości odwrotu. Kiedy jeden z marynarzy chwycił chłopca za koszulę, ten wyrwał się, zostawiając mu ją w rękach, błyskawicznie się rozejrzał, krzyknął coś rozpaczliwie i nie widząc innej drogi... wyskoczył za burtę! Tuż obok stojącego przy relingu Smugi, który od początku z oburzeniem przyglądał się przykrej pogoni. Krzyk zgrozy rozległ się wśród pasażerów i załogi.

— Człowiek za burtą! Człowiek za burtą! — trzy przeciągłe sygnały dźwiękowe oznajmiły wypadek na statku.

— Maszyny stop! — padła komenda.

Smuga nie czekał, aż statek rozpocznie manewr zawracania. Jednym susem przesadził barierkę i po kilkumetrowym locie wylądował w wodzie z podkurczonymi nogami. Któryś z marynarzy rzucił w kierunku chłopca koło ratunkowe, tak by napłynęło na niego niesione falą. Smuga zauważył kątem oka, że rzut nie był precyzyjny. Inni, z pokładu, pokazywali mu kierunek... Statek powoli się oddalał.

„*Minie sporo czasu, zanim zawróci przy tak sporej fali*” — pomyślał Smuga, silnymi ramionami rozgarniając wodę. Na szczęście mignęła mu postać chłopca. Obserwował go i patrząc na chaotyczne ruchy uznał, że nie umie pływać albo stracił głowę. Nagle mały zanurzył się i Smuga stracił go z oczu. Zanurkował, dostrzegł go i po kilku ruchach znalazł się w pobliżu. Chłopiec niespodziewanie, rozpaczliwie wczepił się z całych sił w jego szyję. Smudze udało się jeszcze głęboko wciągnąć powietrze i obaj zniknęli pod powierzchnią wody. Po chwili tonący rozluźnił konwulsyjny uchwyt i

usiłował wynurzyć głowę, by zaczerpnąć powietrza. Wykorzystując to, Smuga przekręcił się w wodzie i nogą odepchnął go od siebie. Teraz starał się podплыnąć od tyłu. Udało się! Odwrócił topielca na plecy i chwycił za włosy, holując za sobą. Uważał przy tym, by jego głowa utrzymywała się na powierzchni. Chłopiec powoli się uspokajał. Podплыnęła łódź, spuszczone z wracającego statku, i wciągnięto ich na nią. Wkrótce znaleźli się na pokładzie. Chłopcem zaopiekował się lekarz okrętowy, a Smuga poszedł do swej kajuty. Odpoczywał, gdy ktoś delikatnie zapukał do drzwi.

— Otwarte! — zawołał. Wszedł steward.

— Kapitan prosi pana do siebie — powiedział i pochylił się w lekkim ukłonie.

Udali się więc obaj do kajuty kapitana. Na widok Smugi ogorzały wilk morski wstał i szerokim gestem zaprosił go do środka.

— Bardzo proszę. Dokonał pan niebywalej rzeczy...

— Było trochę nerwowo — uśmiechnął się nieznacznie Smuga, zasiadając przy małym stoliczku.

— Nie każdy odważyłby się na to. Przecież mógł pana po prostu wciągnąć wir wywołany przez śrubę... Widziałem już taki wypadek...

— Nie było czasu na myślenie. Zwykłem w takich chwilach reagować natychmiast.

— Znakomicie pan pływa!

— Miałem znakomitych nauczycieli — wszedł mu w słowo Smuga. Przez moment widział Nowickiego, demonstrującego różne sztuczki w wodzie, których nie wiadomo gdzie i kiedy się wyuczył. „Zapewne na swym umiłowanym Powiślu” — mignęła przelotna myśl i Smuga dodał: — Byliby ze mnie dumni...

— I my jesteśmy dumni. Pozwoli pan, nie zaszkodzi kieliszeczek marynarskiego trunku...

Steward wniósł poczęstunek.

— Wieczorem zapraszam na specjalne przyjęcie na pańską cześć — powiedział kapitan.

— To chyba przesada. Interesuje mnie przede wszystkim nasz pasażer na gapę.

— Jeśli sądzić po rudej czuprynie i akcencie, to rodowity Irlandczyk. Cóż, na razie niewiele mówi. Daliśmy mu spokój. Niech wypocznie.

- Był bardzo zdesperowany.
- Niewątpliwie. Przerażony dzieciak. Ma może dwanaście lat.
- Zaradny, skoro tyle dni tak sprytnie się ukrywał.
- Chce pan zobaczyć gdzie?
- Naturalnie!

Zeszli pod pokład. Na końcu szeregu pasażerskich kajut I klasy znajdował się skład bielizny. Tam, w kącie, za stertą brudnej pościeli, ulokował się uciekinier.

— Całkiem nieźle się tu urządził — powiedział kapitan. — Gdy ktokolwiek zajrzał, a nawet wszedł, nie mógł go zauważyć. — Kapitan pochylił się nad legowiskiem. — Jeszcze nie zdążyli tego uporządkować. Chodźmy!

— Chwileczkę — teraz nad posłaniem pochylił się Smuga. Podniósł poduszkę. Leżała pod nią płócienna, naramienna torba. Zajrzeli do środka. Kilka suchych kromek chleba, kawałek spleśniałego sera, trochę ubrań oraz fotografia przedstawiająca dwu mężczyzn, młodą kobietę, widocznie żonę jednego z nich, i gromadkę dzieci.

— Całe bogactwo... Hej, posprzątajcie tu! — krzyknął kapitan do stewarda, przechodzącego właśnie korytarzem.

— Ay, ay, sir — służbiście odpowiedział tamten.

Wrócili do kajuty kapitana, kontynuując rozmowę. Obu interesowało, jak też chłopiec dostał się na statek, a jeszcze bardziej, w jaki sposób dotarł z Irlandii aż do Italii.

— Zapytamy go, gdy nieco ochłonie — powiedział kapitan. Smuga raz jeszcze przejrzał torbę chłopca. Wziął do ręki fotografię i długo się w nią wpatrywał, a potem podał kapitanowi. Ten zwrócił ją z komentarzem:

- Typowa irlandzka biedna rodzina.
- Tak, tak — przyznał z zadumą Smuga. — Ale ci mężczyźni...
- Mężczyźni?! — zdziwił się kapitan.
- Właśnie. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że gdzieś ich już widziałem.

Postanowili udać się do izby chorych. Młody lekarz okrętowy uspokajająco się do nich uśmiechnął.

— Chłopiec śpi. Jest dość wymizerowany, widocznie głodował, ale szybko przyjdzie do siebie.

— Rozmawiał pan z nim?

— Zamknął się w sobie, nie chciał mówić. Przez sen powtarza imię „*Patryk*” i słowo „*mother*”.

Smuga i kapitan spojrzeli po sobie jednakowo wzruszeni.

— Musiał dzieciak sporo przeżyć — powiedział podróżnik.

W tejże chwili chłopiec otworzył oczy. Przetarł je dłonią i rozejrzał się przytomniej. Gdy Smuga pochylał się nad nim, przestraszony zasłonił twarz dłońmi.

— Nie bój się. Nic ci nie grozi. Jesteśmy przyjaciółmi. Przerwał mu szloch. Spokojna twarz dziecka zmarszczyła się nagle.

Z oczu pociekły łzy. Niespodziewanie malec objął Smugę za szyję.

— No dobrze, już dobrze, synku — uspokajał podróżnik. Nienawykły do takich scen, niezdarnie tulił chłopca do siebie.

Pozostali mężczyźni milczeli, poruszeni dramatyzmem sceny.

— Jak ci na imię, chłopcze? — spytał wreszcie kapitan, by przerwać męczącą ciszę.

— Ja, to... Ja jestem Patryk.

— Patryk to bardzo piękne imię — powiedział lekarz.

— Przyznasz Patryku, że zrobiłeś nam wszystkim ogromnie, hm... miłą niespodziankę — w ten osobliwy sposób kapitan rozpoczął swoje dochodzenie.

— Na statek to ja wszedłem... Dwu panów dźwigało duży pakunek. Na tym dużym był mały. Jak ten mały spadł, to ja go podniosłem i już... Potem, zostawiłem ten pakunek i poszukałem schowka dla siebie. Szukałem kryjówki. Wszędzie było dużo ludzi... a ja chciałem się schować. Taki pan otworzył to pomieszczenie i tam się schowałem.

— I cały czas tam byłeś?

Chłopiec przestał już jednak odpowiadać.

Zostawili go na razie w spokoju. Ubranego, nakarmionego i umytego zaproszono go wkrótce do kajuty kapitana, gdzie zebrani w skupieniu wysłuchali burzliwej historii jego młodego życia.

Chłopiec urodził się w Belfaście w noc sylwestrową na przełomie wieków. Rodzina była biedna. Wielu Irlandczyków emigrowało wtedy za ocean. Ojciec i dziadek „*pasażera na gapę*” popłynęli do Australii, gdzie znaleźli złoto. Wrócili do ojczyzny, ale dziadek chłopca, wycieńczony i



schorowany, wkrótce zmarł. Ojciec zaś wplątał się w jakieś tajne związki<sup>927</sup> i zginął w antybrytyjskich zamieszkach. I matka została sama, w biedzie, z gromadką dzieci.

— Ja to — kontynuował mały Irlandczyk — ja to byłem najstarszy... Tata i dziadek opowiadali mi, jak znaleźli złoto. Jak znaleźli złoto, to było w domu dobrze. Jak dziadek zmarł i tata, to było niedobrze.

Smuga, zasłuchany jak i inni, szukał czegoś gorączkowo w pamięci. W pewnej chwili wstał i wziął do ręki fotografię, którą znaleziono w torbie uciekiniera. Długo się w nią wpatrywał. Zamknął oczy i skupił myśli, ukrywając twarz za osłoną dłoni. Tymczasem mały snuł dalej swe wspomnienia:

— To ja sobie pomyślałem, że też znajdę złoto w Australii i znów będzie u nas dobrze. I wyruszyłem w drogę.

I popłynęła opowieść o promie, którym dostał się do Anglii, o sprytnym wtargnięciu na pokład brytyjskiego parowca... Historia brzmiałaby niewiarygodnie, gdyby nie opowiadał jej naoczny świadek i bohater.

Smuga raz jeszcze spojrzął na fotografię. „*Skąd znam te twarze?*”

— koncentrował wzrok to na jednej, to na drugiej sylwetce mężczyzny. Obaj wysocy, smukli, z jasnymi brodami w ciemnych garniturach. Podobni do siebie niemal jak bracia.

— Gdzie, mówisz, znaleźli złoto? — przerwał chłopcu.

— W Australii — odparł tamten — to ja przecież mówiłem...

— W Australii... W Australii... — powtórzył w skupieniu Smuga. A czy ty... — w tonie, jakim wypowiadał te słowa, było coś takiego, że obecni odczuli, iż dzieje się coś niezwykłego. — Czy ty, chłopcze — powtórzył Smuga — nie nazywasz się... O'Donell? Zapanowało zdumione milczenie, które przerwał nie mniej niż inni zdziwiony mały Irlandczyk.

— To ja, proszę pana. Tak, to ja nazywam się Patryk O'Donell!

— A to twój ojciec i dziadek — Smuga wskazał na fotografię.

— Tak. A to mama i moi bracia, i moje siostry. A tutaj to ja! — dodał chłopiec.

---

<sup>927</sup> — Irlandia — od 1864 r. notuje się tu odrodzenie zainteresowania celtycką przeszłością. Powoduje to ożywienie uczuć narodowych i niepodległościowych oraz związanych z tym nastrojów antybrytyjskich.

Smuga zapalił fajkę, usadowił się wygodniej na twardym wąskim krzeselku i zaciągnął dymem.

— Cóż — zaczął — niezbadane są ścieżki ludzkiego losu. Widzisz, Patryku, znałem twojego ojca i dziadka. Poznaliśmy się w australijskim buszu, gdzie wraz z przyjaciółmi łowiłem dzikie zwierzęta dla ogrodu zoologicznego. Twoi bliscy zostali uwięzieni przez bandytów, którzy chcieli ich obrabować. Udało nam się im pomóc<sup>928</sup>.

Mały Patryk przysłuchiwał się temu z wypiekami na twarzy, wspominając wieczorne gawędy ojca i dziadka, którzy tak ciepło opisywali tajemniczych, życzliwych im łowców zwierząt.

Kiedy w porze kolacji Smuga przekroczył wraz z chłopcem próg jadalni, powitała ich huczna owacja na stojąco. Zatrzymali się, obaj nieco zażenowani. Gdy usiedli przemówił kapitan:

— Panie i panowie! Pragnę przedstawić bohaterów dnia. Oto panowie: Jan Smuga i Patryk O'Donell.

Po krótkich oklaskach uroczyście wniesiono specjalne danie.

— Nasz kucharz, Chińczyk z pochodzenia, przygotował to na cześć pana — wyjaśnił kapitan. — Rano byliśmy świadkami niezwykle połowu. To jest żarłacz śledziowy<sup>929</sup>, rekin o niezwykle smacznym i delikatnym mięsie. Przez znawców bywa ono nazywane morską cielęcina — wyjaśniał dalej kapitan. — Zachęcam wszystkich do spróbowania. To prawdziwy smakołyk. Polecam zwłaszcza danie z płetw, specjał chińskiej kuchni.

Kolejnymi oklaskami nagrodzono kucharza, który tego wieczoru przeszedł samego siebie. Pod koniec kolacji pasażerowie zebrali dla małego Patryka wcale okazałą kwotę na powrót do ojczyzny.

\* \* \*

Bez żadnych już godnych uwagi zdarzeń kontynuowano rejs: statek niebawem zaczął zbliżać się do Aleksandrii. Najpierw, z dala, ukazała się latarnia morska, załśniły w słońcu minarety meczetów, później zobaczyli maszty stojących w porcie okrętów, wreszcie wynurzył się z morza płaski

<sup>928</sup> — Historia opowiedziana w powieści *Tomek w krainie kangurów*.

<sup>929</sup> — Żarłacz śledziowy (*Lamna cornubica*) — najczęściej spotykany rekin powierzchniowy; czasami występuje na głębokościach poniżej 150 m. Bardzo drapieżny, żeruje zwykle w niewielkich stadach. Niekiedy atakuje podobno ludzi, zwłaszcza gdy znajduje się w gromadzie. Przeciętą długość — 1,5 do 2 m, ale są osobniki osiągające 6 m.

afrykański ląd i położone na jego brzegu ogromne miasto, ozdobione rzędami wysmukłych palm daktylowych. Smuga stał na pokładzie razem z irlandzkim chłopcem.

— Może przepłyniemy obok jednego z cudów świata<sup>930</sup>, ruin sławnej latarni na wyspie Faros — mówił właśnie.

— Cudów świata? — pytająco powtórzył Patryk.

— Tak, siedem sławnych budowli starożytnych, z których większość znajduje się w Egipcie — wyjaśnił angielski dyplomata, oparty o balustradę tuż obok nich.

— W Egipcie? Cudów świata? — wciąż dziwił się chłopiec.

— Różne rejestry podają piramidy, Dolinę Królów, Kolosy Memnona, no i naszą latarnię — wyjaśniał Anglik.

— Czy to pierwsza latarnia morska na świecie?

— Tak. I to bardzo wysoka. Według niektórych miała mierzyć aż 180 metrów, inni mówią o 120. Jej światło widać było z odległości 16 mil<sup>931</sup>.

— Kiedy została zbudowana? — chłopiec wydawał się wyraźnie zainteresowany.

— Wzniósł ją architekt Sostratos z Knidos pod koniec trzeciego wieku przed naszą erą. Znajduje się, jak już wspomniałem, na wyspie Faros, połączonej z wybrzeżem stałym mostem wybudowanym na polecenie Aleksandra Wielkiego.

— Czy to ta latarnia, którą widać? — próbował ustalić chłopiec.

— Nie. Ta jest nowa. Tamta, niestety, nie zachowała się. Cóż, tak bywa ze starymi rzeczami. Najwyższe piętra zawaliły się gdzieś w drugim wieku. Resztę przerobiono na meczet, który w czternastym wieku zniszczyło trzęsienie ziemi.

— To ta wyspa nazywa się „latarnia”<sup>932</sup>? — pytał dalej Irlandczyk.

---

<sup>930</sup> — Siedem cudów świata — w różnych opisach spotyka się różne zestawy tych „dziwów”, budowli i dzieł sztuki starożytnego świata. Najstarsze zachowane katalogi znaleźć można m.in. u Kallimacha (sławnego poety aleksandryjskiego z przełomu IV i III wieku p.n.e.) oraz w epigramie Antypatra z Sydonu z II wieku p.n.e. Pierwszy z tych zestawów wymienia latarnię na Faros. W obu umieszczono: posąg Zeusa dłuta Fidiasza, „wiszące” ogrody Semiramidy w Babilonie, kolosa z Rodos, piramidy egipskie, świątynię Artemidy w Efezie, mauzoleum w Halikarnasie.

<sup>931</sup> — Czyli około 30 km.

<sup>932</sup> — Gra słów. W wielu językach świata nazwa wyspy stała się bowiem synonimem latarni morskiej: *phare* (fr.), *faro* (wł.), *pharos* (ang.), *faro* (hiszp.).

— Nie! Raczej odwrotnie. W języku angielskim użyto nazwy wyspy na określenie specjalnych budowli sygnalizacyjnych dla żeglarzy. Podobnie zresztą jak w innych językach.

Tymczasem do burty przybiła łódź z pilotem, który szczęśliwie przeprowadził parowiec do brzegu.

Do małego Patryka, jak niegdyś do Tomka, uśmiechała się nie znana, wielka przygoda.

# WYPRAWA W PRZESZŁOŚĆ

Po nie przespanej nocy tylko Sally, żywotna jak zawsze, wybrała się na targ. Tomek i Nowicki drzemali w fotelach w mieszkaniu wynajętym przez Smugę. Dopiero co zakończyli przyjacielskie przekomarzania. Kapitan nie mógł bowiem odżalować, że nie nauczyli starego woźnicy „rozumu”. Tomkowi wydało się, że zakończy przedłużający się spór parodią niedawnej sytuacji, najbardziej nieprawdopodobną z nieprawdopodobnych.

— Ciekaw jestem, Tadku, co ty byś powiedział, gdybyś na Rynku Mariackim, w samo południe, zobaczył Murzynkę w krakowskim stroju!?

— Tu cię mam! — rozchmurzył się marynarz. — Otóż nie w Krakowie, ale widziałem! Kiedyś w Chicago, w „*Pulasky Day*”<sup>933</sup>, w barwnym korowodzie ujrzałem ciemnoskórą piękność w polskim stroju ludowym.

I tak zakończyła się przyjacielska sprzeczka. Po chwili obaj już spali równie mocno jak Dingo, wyleczony z „*parszywego choróbska*”, jak to określił kapitan.

\* \* \*

Tymczasem Smuga i Andrzej Wilmowski musieli pozostać w Aleksandrii o wiele dłużej niż początkowo planowali. Smuga zamierzał prosić o pomoc w realizacji swego zadania jednego z tutejszych przyjaciół, a ten był, niestety, nieobecny i miał wrócić dopiero za kilka dni.

Znajomy Anglik w ciągu dwóch dni pokazał im miasto, które przechodziło różne koleje losu. Nazwane Aleksandrią od imienia swego założyciela, Aleksandra Wielkiego, było stolicą kraju za panowania dynastii ptolemejskiej<sup>934</sup> i Rzymian oraz największym po — Rzymie miastem Cesarstwa. Liczyło ponad milion mieszkańców. Szybko stało się też jednym z najważniejszych ośrodków kultury greckiej, a potem chrześcijańskiej. Tu mieściła się słynna biblioteka, tu działał najstarszy na świecie instytut

---

<sup>933</sup> — „*Pulasky Day*” — Dzień Pułaskiego, obchodzony przez Polonię amerykańską w rocznicę jego śmierci 11 października.

<sup>934</sup> — Dynastię założył po śmierci Aleksandra Wielkiego, Ptolomeusz I Soter (gr. Zbawca — 367–282 r. p.n.e.), król Egiptu od 305 r. Uczynił Aleksandrię stolicą państwa i głównym ośrodkiem kultury hellenistycznej. Dynastia panowała do 30 r. p.n.e.

naukowy, Muzeion, tu przetłumaczono na język grecki Stary Testament, tu wreszcie mieścił się jeden z najstarszych ośrodków pierwotnego chrześcijaństwa, ze znaną teologiczną szkołą. Straciło na znaczeniu po podziale Cesarstwa Rzymskiego i założeniu Konstantynopola, a o ostatecznym upadku przesądzi w 642 roku Arabowie, którzy je zdobyli.

Wszystkie te wiadomości chłonał Patryk, który okazał się sprytnym i żądnym wiedzy chłopcem.

— Aleksander Wielki to ten, który podbił cały świat — powiedział chełpliwie — to ja wiem!

— Ale w Afryce, zaraz po jej podboju, o mało nie stracił życia. Kiedy powiedziano mu, że na Pustyni Libijskiej w oazie Siwa, o 1–2 dni drogi od Memfis, znajduje się sławna świątynia–wyrocznia, jako człowiek przesądny natychmiast się tam udał.

— Bardzo chciałbym zobaczyć pustynię — westchnął Patryk.

— Każda pustynia, szczególnie zaś Pustynia Libijska, jest niebezpieczna. Także dla Aleksandra Wielkiego. Król i cały orszak zgubili drogę. Trafili na burzę piaskową. Zabłądzili.

— Ze mną by nie zabłądzili — przechwalał się Patryk — wiem, gdzie jest północ, gdzie południe!

— Oczywiście — uśmiechnął się opowiadający — szkoda, że cię tam nie było. Ale i przewodnicy odnaleźli drogę. Gdy król dotarł do pełnej jezior, palmowych gajów i słodkowodnych źródeł oazy, poczuł się jak w raju.

— Dziś Aleksandria jest znów potężnym miastem — przypomniał Smuga.

— Tak, ale w 1788 roku, gdy wylądowali tu żołnierze Napoleona, zobaczyli małą, sześciotysięczną, rybacką wioskę. Przez przeszło tysiąc lat miasto traktowano jako źródło budowlanego kamienia.

— Nie do wiary — teraz zdumiał się Smuga.

— Aleksandria wróciła do świetności za czasów twórcy nowoczesnego Egiptu, zwanego Napoleonem Wschodu, Muhammada Alego<sup>935</sup>, który w

---

<sup>935</sup> — Muhammad Ali (1769–1849) — namiestnik Egiptu od 1805 r., z pochodzenia Albańczyk. W latach 1798–1801 dowódca wojsk tureckich. Obwołany paszą, uzyskał faktyczną niezależność, co doprowadziło do wojny z Turcją. Mimo klęski w 1841 r. zachował dziedziczną władzę. Był reformatorem kraju i rzecznikiem jego europeizacji.

latach 1819–1820 kazał przekopać kanał łączący starożytny port z zachodnią odnogą Nilu. Transportowano tędy bawełnę, bogactwo Egiptu.

Patryka zachwycało wszystko, także mała, zamożna kamieniczka gdzie zamieszkali, przy Al–Hurija, wybudowanej kilkanaście lat temu, nowoczesnej ulicy, przecinającej miasto ze wschodu na zachód, uznawanej za wybitne osiągnięcie brytyjskich i włoskich architektów. Wzdłuż ulicy stały zwarte, czteropiętrowe, secesyjne budynki. Polubił zwłaszcza klatkę schodową wyłożoną marmurami, gdzie schody miały tak wspaniale nadające się do zabawy poręcze, że nie warto było zważać na gderanie swarliwego *bbawwabowa*<sup>936</sup>, który wychylał głowę ze swej stróżówki, ilekroć podróżnicy opuszczali progi domu. Chłopiec bowiem odkąd znudził się windą, naciskaniem guzików i robieniem pociesznych min do lustra, zjeżdżał po prostu po owych poręczach, zawsze wyprzedzając jadących windą Wilmowskiego i Smugę.

Kiedy po pierwszym, pełnym wrażeń dniu w Aleksandrii wreszcie zasnął, obaj przyjaciele mogli rozpocząć poważną rozmowę.

— A mieliśmy wypoczywać... — westchnął ojciec Tomka.

— Zawsze byłem zwolennikiem czynnego wypoczynku — roześmiał się Smuga — a przyjaciele dzielnie mi sekundowali.

— Myślisz o Tomku i Nowickim...

— Tak, ale przede wszystkim o tobie, Andrzeju, o twoim uporze i zdrowym rozsądku. Zresztą, możecie... możesz odmówić.

— Oj Janie, Janie! Przecież mi nie przepuście. To nie z Sally, nie z Tomkiem, nie z Nowickim.

— Byłem ciebie pewny. Kiedyś nie odmówiłeś udziału w szaleństwie<sup>937</sup>, a to co proponuję, nie jest tak groźne.

— Tego bym nie powiedział, ponieważ w grę wchodzi pieniądze. A tam gdzie chodzi o pieniądze, nie ma skrupułów. Poza tym jest jeszcze chłopiec. Co z nim?

— Myślałem o tym. Możemy odesłać go do domu. Ale coś przecież się tym O'Donellom od nas należy. W końcu ufundowali nam wyprawę do Afryki.

---

<sup>936</sup> — Tu: dozorca domu.

<sup>937</sup> — Mowa o wyprawie opisanej w powieści *Tomek na tropach Yeti*.

— Co w Afryce się zaczęło, niech w Afryce się skończy — westchnął Wilmowski.

— Zaczęło się w Australii, Andrzej — poprawił go Smuga. — Dobrze, a więc weźmiemy chłopca ze sobą.

I wrócili do intrygującej ich sprawy.

— Mówisz, Janie, że poznałeś lorda kolekcjonera w Brazylii, już po naszym stamtąd wyjeździe — Wilmowski próbował ogarnąć wszystko, co opowiedział mu Smuga. — Lord zaś szuka człowieka, od którego kupował różne przedmioty do swej kolekcji, nie pytając nawet, jak ów człowiek wszedł w ich posiadanie. I ty, dla niego, chcesz podjąć się takiego zadania?

— Nie tylko ze względu na niego — odpowiedział Smuga. — Chociaż lord, mimo rozmijania się z prawem, to jednak gentleman fanatycznie zakochany w Egipcie, wspierający finansowo wiele archeologicznych wypraw. Sam zresztą dobrze wiesz, Andrzej, że prawo dotyczące wywozu starożytnych przedmiotów dopiero się rodzi. Ale nie o lorda mi idzie. Zaintrygowała mnie sama zagadka związana z jednym z jego nabytków, o którym ci mówiłem. Kto, kiedy i nade wszystko dlaczego to uczynił?

— Zdajesz sobie sprawę, że to szukanie igły w stogu siana?

— Tak, długo to rozważałem i zamierzałem odmówić, ale przecież należymy do wielkich szczęściarzy. Tomek to dziecko w czepku urodzone...

— Już nie dziecko! To żonaty mężczyzna — poprawił Wilmowski.

— Tym bardziej! Szczęście wciąż go nie opuszcza! — zauważył Smuga. I dodał:

— A więc raz jeszcze przytoczę ci argumenty. Po pierwsze, jak mi się wydaje, nie może chodzić o jednego człowieka, ale o wielu ludzi, dobrze zorganizowaną szajkę, a to dla nas duża szansa. Trzeba poszukać przecieku. Po drugie, kradzione przedmioty pochodzą z Doliny Królów i pojawiły się na rynku europejskim stosunkowo niedawno. Po trzecie wreszcie, znam tu, w Egipcie, sporo ludzi, którzy będą mogli nam pomóc.

— Janie, Janie, gdzie ty nie masz przyjaciół — westchnął Wilmowski.

— No i jeszcze to niespodziewane spotkanie na statku. Okazuje się, że w poszukiwaniu „naszej” szajki złodziei i przemytników angażuje się rząd brytyjski.

— Nie wiesz przynajmniej dlaczego?



— Nie! Ale spodziewam się dowiedzieć, kiedy odwiedzimy konsulat w Kairze.

Najbliższe dni nadal spędzali jednak w Aleksandrii na oglądaniu zabytków ku zachwytowi Patryka. Także Wilmowskiemu i Smudze nie zawsze udawało się zachować obojętność, zwłaszcza przy kolumnie Pompejusza z kamiennym sfinksem. Smuga, wskazując kolumnę, rzekł do Wilmowskiego:

— Cesarz Dioklecjan kazał ją wybudować po zdobyciu miasta w 294 roku.

— Mierzy ze 30 metrów — ocenił Wilmowski.

— Tak, ma sto stóp wysokości.

— Widzę, że intryguje cię ten zabytek.

— Owszem. Nie wiem, czy zauważyłeś sznurowe drabinki, prowadzące na szczyt.

Wilmowski przyglądał się uważnie.

— Aha! Są rzeczywiście, ale od przeciwnej strony.

— Co byś powiedział na małą wycieczkę na górę?

— Nie mówisz chyba poważnie?

— Dlaczego?

— Bo nie jestem, jak Nowicki, marynarzem.

— Jemu wystarczyłaby sama kolumna, bez drabinek — zażartował Smuga.

— Chyba jednak nie mówisz serio?! — nadal niedowierzająco pytał Wilmowski.

— Dlaczegoż by nie? — upierał się Smuga. — Trzeba odwiedzać stare kąty.

— Czyżbyś już kiedyś gościł na wierzchołku? — zdumiał się ojciec Tomka.

— Ba! — odrzekł Smuga — wprowadzie tylko raz, ale zawsze... Zwyczajem ekstrawaganckich podróży mogliśmy nawet zażyczyć sobie podania obiadu na szczycie.

— Kto go tam wniósł?

— Jeszcze kilka lat temu pobliska restauracja zatrudniała kelnera—akrobatę.

Wilmowski pokręcił niedowierzająco głową, ale ruszył za przyjacielem. Nagle dobiegł ich jakiś niewyraźny głos.

— Słyszałeś coś? — spytał Wilmowski.

Smuga rozglądał się.

— Jakby ktoś krzychał — rzekł. Nadśluchiwali. Wreszcie dobiegło ich wyraźne:

— Wujku! Tutaj! Tutaj!

— To Patryk! Gdzie on... — rzekł Smuga i przerwał.

— To ja. To ja! Na górze! Tuutaaj! — krzychał chłopiec ze szczytu kolumny. Wreszcie go zobaczyli. Machał do nich ręką.

— Diabli nadali — zaklął pod nosem Smuga. — Co go tam poniosło? Złaż natychmiast!

Chłopak machał do nich radośnie, wreszcie przysiadł na skraju kolumny, spuszczać nogi w dół. Przyjaciele podbiegli do podstaw kolumny od strony drabinek. Pierwsze, co rzuciło się im w oczy, to napis: „*Wchodzenie po drabinkach zabronione*”.

Tymczasem Patryk rozpoczął wędrówkę w dół. Wilmowski pociągnął lekko, potem mocniej za drabinę, chcąc sprawdzić jej solidność. Wkręty, do których były przytwierdzone sznury lekko się poruszyły.

— Patryku! Ostrożnie! — krzyknął, widząc to, Smuga.

Chłopiec z niezwykłą zręcznością schodził po szczeblach. Od ziemi dzieliła go już niewielka odległość, gdy jeden z wkrętów puścił i drabinka zachybotła gwałtownie.

— Jezus! Maria! — wyrwało się Wilmowskiemu. Chłopiec przyłgął do kolumny i na chwilę znieruchomiał.

— Wujku! Nie martw się! Już schodzę!

I niewiele sobie robiąc z niebezpieczeństwa, ześliznął się na ziemię.

Smuga otarł pot z czoła i zrobił groźną minę.

Tego dnia natychmiast wrócili do domu. Przeprowadzili z chłopcem męską rozmowę. Oczywiście, obiecał poprawę i... już następnego dnia buszował po zamieszkałych przez ubogą ludność wąskich, małych i brudnych uliczkach w pobliżu pochodzących z czasów rzymskich, wykutych w skale, podziemnych, kilkupiętrowych katakumb Komes–Szukefa. Nie trzeba dodawać, że znowu zdarzało mu się zniknąć opiekunom z oczu.

Wreszcie wczesnym popołudniem któregoś dnia Smuga oznajmił, że wraca jego przyjaciel i mogą mu złożyć wizytę w siedzibie towarzystwa, gdzie pracuje. Jak opowiadał Smuga w 1891 roku grupa zakochanych w swoim mieście i jego przeszłości mieszkańców Aleksandrii założyła, przy pomocy włoskich architektów, Muzeum Grecko–Rzymskie, gromadzące pamiątki z zamierzchłej przeszłości: posągi, statuetki, portrety, nagrobki, sarkofagi, inskrypcje, a zwłaszcza monety. Młodzi w większości ludzie, po zbombardowaniu miasta w 1882 roku i przejściu władzy nad Egiptem przez Anglików, szukali sposobu wyrażenia swych patriotycznych uczuć. Ta sama grupa, kilkanaście miesięcy temu, założyła Aleksandryjskie Towarzystwo Archeologiczne<sup>938</sup>. Smuga dowiedział się o tym z listu, który czekał na niego w Londynie.

Towarzystwo mieściło się w budynku na tyłach muzeum. Obaj Polacy weszli do środka. Smuga zapytał:

— Czy jest pan Abeer Szekeil?

— Mudir<sup>939</sup> jest w kawiarni — wyjaśnił woźny — zaraz po niego pójde.

— No widzisz — westchnął Smuga — tak jest w tym kraju. Urzędnik przychodzi, wiesza wierzchnią odzież na wieszaku i maszeruje do kafejki, gdzie czeka na interesantów.

Znaleźli się w dużej sali z oknami ozdobionymi drewnianymi okiennicami. Wokół stały gabloty ze starymi rzeźbami, monetami, papirusami. Na ścianach wisiały portrety badaczy starożytności. Smuga i Wilmowski z zainteresowaniem pochyłili się nad jedną z gablot. Nagle usłyszeli gardłowym głosem zadane pytanie:

— O co chodzi?

Odwrócili się i ujrzeni starszego, szpakowatego, ubranego po europejsku Egipcjanina. Ten na widok Smugi przez chwilę jakby się zastanawiał, a potem zawołał:

— *Allah kerim!* Bóg jest mądry! *Salaam!* Witaj!

---

<sup>938</sup> — Warto wspomnieć o polskim wkładzie w odkrywanie zabytków Aleksandrii. W latach 1960–1967 Polska Misja Archeologiczna odkopała tu najstarszy w Egipcie, pochodzący z VI wieku, przepiękny teatr z białego marmuru. Ekipą kierował profesor Kazimierz Michałowski.

<sup>939</sup> — Mudir (ar.) — tu: dyrektor.

Obaj ze Smugą wyciągnęli w bok prawe ręce, po czym mocno uderzyli dłonią o dłoń, obejmując się jednocześnie za ramiona. Wymieniali przy tym, przerywając sobie nawzajem, wiele powitalnych słów.

- Na brodę Proroka! To naprawdę ty!
- Ja, Abeer, ja...
- Niech Allah pomnoży twoje zdrowie!
- I tobie niech przysporzy łask! Dostałem twój list i przybyłem!
- Sam prorok dał ci natchnienie! Po trzykroć bądź pozdrowiony!
- Witaj i Ty! *Salaam!*

Po wylewnym powitaniu, które zdumiało milczącego Wilmowskiego, nastąpiła ceremonia prezentacji i wszyscy trzej udali się do pobliskiej kawiarni. Mimo że znajdowała się ona w europejskiej części miasta, a może właśnie dlatego, miała charakter na wskroś arabski. Przy stolikach oczywiście siedzieli jedynie mężczyźni. Wśród nich Europejczycy, ale również kilku tubylców, w białych galabijach i turbanach. Najbardziej egzotycznie wyglądali ci w europejskich ubraniach i czerwonych fezach. Większość paliła nargile<sup>940</sup>. Abeer sięgnął pojedną z długich, stojących w szeregu fajek i gestem zachęcił swoich gości. Smuga odmówił i wyjął fajkę, ale Wilmowski się skusił. Na płomień główki sypnęli pachnący proszek. Wonny dym przez długi, giętki, niemal metrowy cybuch i naczynie z wodą docierał do ustnika, a potem do ust i płuc. Przy każdym zaciągnięciu się fajka śmiesznie bulgotała.

„*Będę miał czym pochwalić się Tadkowi*” — pomyślał Wilmowski, zaciągając się kilka razy. Kiedy odłożyli fajki, Smuga rozpoczął rozmowę.

- Zawsze podziwiałem twoje, Abeer, umiłowanie Egiptu.
- Na brodę Proroka! Niech ci Allah wybaczy. Ty kochasz swoją ojczyznę, tak jak ja kocham światło moich oczu, moje rodzinne miasto. Al-Iskandarija — dodał ze szczególnym ciepłem w głosie.
- Bardziej niż żonę i dzieci — uśmiechnął się Smuga. — Znam kogoś, kto tak bardzo kocha morze, że nie chce się żenić!
- To inna miłość, bracie.

---

<sup>940</sup> — Nargile — fajka używana przeważnie na Bliskim Wschodzie (z perskiego — nargila — orzech kokosowy, z którego pierwotnie robiono lulki do nargilów), w której dym przechodzi przez naczynie z wodą i bardzo długi, giętki cybuch.

Wilmowski był szczerze zdumiony. Abeer zwrócił się do Smugi, używając słowa „*bracie*”, którego muzułmanie w zasadzie nie używali w stosunku do giaurów.

— Ale Aleks<sup>941</sup> to nie Egipt — kończył swoją myśl Abeer. — Mówi się nawet, jak w starożytności, Aleksandria przy Egipcie.

— Kochasz Aleksandrię jak żonę, ale Egipt to matka — obrazowo stwierdził Smuga. I dodał po dłuższej chwili, pykając kilka razy z fajki:

— Ja też kocham Egipt.

Zapadło milczenie, które znowu przerwał Smuga.

— Potrzebuję pomocy, bracie. Abeer słuchał pilnie.

— Tak! Kocham Egipt i wiem, że go obrabowują. Szukam złodziei okradających grobowce w Dolinie Królów.

— To jedź do Doliny — odpowiedział aleksandryjczyk.

— Pojadę. Ale potrzebuję rady.

— — Pomocy... Rady... Nie chcę współpracować z Brytyjczykami — Abeer przestał mówić kwiecistym językiem ludzi Wschodu, mimowolnie przystosowując się do surowego stylu Smugi.

— Egipt na tym tylko traci. Jeżeli już wywozić, to oficjalnie. Przynajmniej wiadomo, kto i gdzie. Trzeba szukać rozwiązań prawnych. Państwo nie może tolerować złodziejstwa na tak szeroką skalę.

Wilmowski milczał. To była sprawa Smugi. Ale dziwił go kontrast między dotychczasową wylewnością i nagłą nieufnością Egipcjanina. W końcu nie wytrzymał. Chwycił Abeera za rękę i, patrząc mu prosto w oczy, powiedział z naciskiem:

— Jesteśmy uczciwymi ludźmi.

— Na brodę Proroka — uśmiechnął się tamten — język wasz jest jak serce dzwonu, którego dźwięk nie pozwala zasnąć.

Zostali zaproszeni do domu Abeera na śniadanie, skąd z listem polecającym do Al-Habiszi, znanego aleksandryjskiego kupca, właściciela sklepu z antykami. Ten po kilku godzinach przesłał im przez posłańca wiadomość: „*Nie w Aleksandrii. Szukajcie w Kairze*”.

— Dobrze i to — podsumował Smuga — poszukamy w Kairze. Abeer mówił, że Al-Habiszi jest niezwykle prawym człowiekiem. Osiągnęliśmy i tak bardzo wiele. Przełamaliśmy nieufność.

---

<sup>941</sup> — Tak powszechnie, w skrócie, wykształceni Egipcjanie nazywają Aleksandrię.

Wysłali jeszcze zebrane pieniądze i list do matki Patryka — telegram Smuga nadał jeszcze ze statku — wyjaśniając, że zabierają chłopca ze sobą na wakacyjną wyprawę. I tak pożegnali Aleksandrię.

\* \* \*

Ekspres Aleksandria–Kair, z osobnymi przedziałami dla mężczyzn, osobnymi dla kobiet i dzieci, pędził tak szybko, że w tumanach kurzu niemal niczego nie było widać. Wilmowski i Smuga zajęci rozmową nawet nie spostrzegli, że po godzinie minęli Damanthur, po następnych dwu — Tanta, ani że pociąg po trzy — i półgodzinnej podróży oraz po pokonaniu 208 kilometrów wtaczał się właśnie na dworzec.

— Wujku! — krzyknął do Smugi przejęty Patryk. — Kair!

Chłopiec całą drogę trzymał na rękach małego kotka, który przyplątał się do niego w Aleksandrii. Muzułmanie lubią koty, w przeciwieństwie do psów, których nikt nie trzyma w domu. Wałęsają się przeto gromadami po ulicach. Europejski chłopiec z kotkiem na ręku wzbudzał życzliwość i zainteresowanie miejscowych. Nic więc dziwnego, że pomogli podróżnym zdobyć dorożkę, którą ci szybko dotarli do dzielnicy, gdzie Smuga wynajął mieszkanie. Tu wpadli prosto w ramiona przyjaciół.

Powitaniom nie było końca. Ale zdarzył się też niemiły incydent. Patryka powitało psie warczenie. Dingo cały się zjeżył, a przerażony kot zamiauczał przeraźliwie i... tyle go było widać. Zażegnało to pierwszy poważny konflikt. Patryk szybko pogodził się ze stratą i wkrótce zaprzyjaźnił z psem.

— Dobry piesek — tłumaczył mu chłopiec. — Ja, to ja: Patryk. Ty, to ty: Dingo.

I znosił mu wkrótce same smakołyki z pobliskiego targu.

Kiedy Smuga przedstawił plany „*milego*” spędzenia czasu w Egipcie, Tomek tylko westchnął, a Nowicki zatarł ręce i znacząco mrugnął do Sally, która chłoneła słowa podróżnika z wypiekami na twarzy. Przy Dolinie Królów, zaklaskała, poderwała się z krzesła i ucałowała Smugę w oba policzki.

— A nie mówiłem — uśmiechnął się Wilmowski. — Sally nie przepuści...

— Czy mógłbyś, Janie, wyjaśnić dokładnie, o co w tym wszystkim chodzi? — spytał Tomasz.

— Cóż, wypada przynajmniej spróbować... — i Smuga rozpoczął po raz kolejny swoją relację, dodając do niej nie znane zainteresowanym szczegóły.

— Wiadomo, że Egipt to jedna z najstarszych cywilizacji świata. Od przeszło stu lat zainteresowanie nim wciąż wzrasta. Coraz więcej zbieraczy, nie zawsze w legalny sposób, często od przypadkowych sprzedawców, kupuje starożytne przedmioty. Jak już mówiłem, poznałem w Manaus angielskiego lorda, który od wielu lat pasjonuje się kolekcjonowaniem wszystkiego, co jest związane z Egiptem i nawet zaczął uchodzić za znawcę w tej dziedzinie. Nie czuł się więc zdziwiony, gdy pewnego późnego wieczora odwiedził go dziwny gość. Zapytany o nazwisko, odpowiedział: *„Jestem władcą Doliny Królów”*. Możecie sobie wyobrazić ten dreszcz, który przeniknął naszego egiptologa. Opisał mi dokładnie owego niespodziewanego gościa takimi mniej więcej słowami: *„Z półmroku wynurzył się mężczyzna ubrany w ciemny europejski strój. Początkowo nie mogłem mu się przyjrzeć dokładnie. Zauważyłem jedynie, że jest prawie mojego wzrostu. Potem, w świetle, zdumiały mnie jego ostre, przenikliwe oczy i farańskie rysy ciemnej twarzy”*. Farańskie rysy twarzy — lord powtórzył to kilkakrotnie i kontynuował: *„Wyglądałby jak żywa mumia, gdyby nie mimika twarzy i przedziwne, przeszywające oczy... Przyznam, że zrobił na mnie niesłychane wrażenie. Poczułem dreszcz takich emocji, jakich już dawno nie przeżywałem. Przez chwilę zdawało mi się nawet, że jestem nie w angielskiej rezydencji, ale gdzieś w starożytnym Egipcie...”*

— Widzicie więc kochani — mówił dalej Smuga — że niespodziewany gość wzbudził żywe zainteresowanie kolekcjonera. Tak żywe, że kiedy mi to opowiadał, przeżycie wróciło na tyle intensywnie, że poczuł się wyczerpany i musiał chwilę odpocząć. Dopiero po długiej chwili podjął opowieść.

*„Gość nie chciał usiąść. Bez ogródek wyjawiał cel wizyty. Mówił nienaganną angielszczyzną, z londyńskim akcentem: «Może pana to zainteresuje — wyjął kilka drobnych przedmiotów — proszę sprawdzić ich autentyczność i przygotować — tu wymienił dużą sumę. — Zgłoszę się wkrótce...»*. Złożył ukłon i wyszedł”

Smuga przerwał i sięgnął po fajkę. Celebrował jej nabijanie, aż Sally nie wytrzymała:

— I co dalej?

— Dalej już zwyczajna sprawa. Przedmioty okazały się cenne i bardzo stare. W opinii rzeczoznawców naturalnie, bo lord do końca nie ufał swojej wiedzy i wyczuciu. Nastąpiła wymiana. Tajemniczy gość dostarczył towar, lord — pieniądze. Nawet specjalnie się nie targowali.

— O co więc chodzi? Lord powinien być zadowolony!

Smuga, spowity kłębamii dymu, sam wyglądał jak postać nie z tej ziemi. Przynajmniej w oczach Sally, która najmocniej przeżywała opowieść.

— Był zadowolony! — niespiesznie uśmiechnął się Smuga. — I oczarowany tajemniczością nocnego gościa. Dopóki nie przekonał się, że większość przedmiotów kupionych podczas drugiej wizyty jest doskonale podrobiona.

Tak Smuga zgasił niesamowity nastrój i sprowadził wszystkich na ziemię. Pierwszy zareagował Nowicki:

— Hę, hę, hę — roześmiał się — niech to wieloryb połknie! To ci dopiero numer!

— Tego, Janie, jeszcze mi nie mówiłeś... Twój lord został więc oszukany. Nie było to dla niego takie zabawne — wtrącił Wilmowski.

— Rzeczywiście, stracił moc pieniędzy. Ale gdybyż o pieniądze tylko chodziło! Nie omieszkał się jednak pochwalić przed przyjaciółmi, po czym okazało się, że on, znawca przedmiotu, szanowany i ceniony, został haniebnie nabrany! To była kompromitacja. I tego zwłaszcza nie mógł przeżyć. Obmyślał plan zemsty, ale wypadła podróż do Ameryki Południowej... i dalej, już wiecie... Byliście w Egipcie, więc podjąłem się tej misji. A Sally tak chciała zwiedzić Dolinę Królów... Poniekąd więc cała sprawa spadła jak z nieba...

Smuga umilkł. Siedział rozparty wygodnie w fotelu, z nogą założoną na nogę i milczał. Tylko Sally nie mogła się otrząsnąć z wrażenia nierzeczywistości. W jej wyobraźni Smuga uosabiał staroegipskiego maga, kapłana przygody.

Mężczyźni tymczasem przez jakiś czas wymieniali jeszcze uwagi, snując przypuszczenia, pomysły, wspominając przeszłość. Pierwszy oczywiście ziewnął Nowicki, zbierając się do snu. Podnieśli się wszyscy. Tomek przeciągnął się, Wilmowski powoli rozpiął koszulę. Patryk od dawna już spał smacznie w fotelu z ręką na głowie Dinga. Tomek pochylił się, by przenieść chłopca na łóżko i w tym momencie Smuga zaskoczył ich po raz kolejny:



— Niech drzemie tu, Tomku — powiedział. — To nie koniec historii. Zaintrygowani, wrócili na miejsca.

— Proponuję wam wycieczkę w bardzo odległą przeszłość: cofnijmy się o 3300 lat. Tron obejmuje jeden z ciekawszych faraonów, którego historia zna pod imieniem Echnatona<sup>942</sup>...

— To ten, który próbował reformować religię, wprowadzić monoteizm, wiarę w jednego boga — gorączkowała się Sally.

— Tak jak u nas Mieszko I — uśmiechnął się Tomek.

— Kto? — zdziwiła się Sally.

— No, sikorko, trzeba znać polską historię, jeśli ma się męża Polaka — obruszył się Nowicki.

— Już wiem! To ten, który wprowadził w Polsce chrześcijaństwo.

— Wróćmy jednak do Echnatona — przerwał im Smuga — przez jednych uważanego za rewolucyjnego reformatora, przez innych za heretyka, przez jeszcze innych za pacyfistę i marzyciela. Są tacy, którzy twierdzą, że chciał ukrócić wszechwładzę kapłanów Amona. Są i tacy, wedle których, ulegał we wszystkim swojej pięknej małżonce, Nefertiti.

— Zawsze mówiłem — wyrwał się Nowicki — że żona dla maryna... to jest, chciałem powiedzieć, dla faraona, jest jak... jak...

— Jak ster dla okrętu — dokończyła Sally i pogroziła przekornemu kapitanowi.

— Jednym z następców Echnatona — kontynuował Smuga — był Tutanchaton, bodajże jego zięć, który powrócił do wiary ojców, przyjmując imię Tutanchamona<sup>943</sup>.

Nowicki, od początku pobytu w Egipcie zmuszany do wysłuchiwania nie kończących się wykładów z historii tego kraju, tym razem stracił cierpliwość:

— Niech się zamienię w wieloryba — zaperzył się. — Nic z tego nie rozumiem. Czyżby reforma tego faraona heretyka czy rewolucjonisty polegała na zmianie w imieniu boga jednej litery?

— Można to i tak ująć — uśmiechnęła się Sally. — Echnaton zerwał z kultem Amona, przeniósł stolicę kraju z Teb do Achetaton — dziś miejscowość ta nosi nazwę Tell al-Amarna — gdzie wybudował jedynemu

---

<sup>942</sup> — Nefercheperure Amenhotep IV (1379–1362 p.n.e.), czyli „ten, który jest miły Atonowi”.

<sup>943</sup> — Według ówczesnej pisowni Toutankhamanou. Jego imię znaczy „błogosławiony przez Amona”.

bogu, Atonowi, wspaniałe świątynie. W przeciwieństwie do posępnych, mrocznych i tajemniczych świątyń Amona były one pełne światła, radosne, jasne i otwarte...

— Hm — mruknął Nowicki — w takim razie była to chyba najbardziej znacząca w historii świata zamiana literki...

— Przypuszczam — dodał Tomek — że i najbardziej kosztowna.

— Posłuchajmy jednak do końca tej ważnej opowieści — zaprotestowała Sally. — Przerwaliśmy na panowaniu Tutanchamona i choć studiowałam archeologię, przyznam, że niewiele o tym faraonie słyszałam.

— Tak — zgodził się Smuga. — Właściwie interesuje się nim garstka miłośników Egiptu, bywalców arystokratycznych salonów i naukowców. Należy do nich „mój”, jak mówicie, lord<sup>944</sup>. Od lat próbuje uzyskać pozwolenie na prowadzenie wykopalisk w Dolinie Królów<sup>945</sup>. Jest bowiem przekonany, że kryje ona jeszcze niejedną tajemnicę. Między innymi, że jest tam nie odkryty jeszcze grób Tutanchamona.

— Jeśli wiara czyni cuda, to ma rację — powiedział Wilmowski.

— To nie tylko wiara. Znaleziono sporo przedmiotów, które wskazują, że grobowiec ten rzeczywiście może znajdować się w obrębie Doliny<sup>946</sup>.

— Skoro tak, to warto zaryzykować — zamyślił się Wilmowski.

— Pewnie — dodał kapitan — kto ryzykuje, w kozie nie siedzi.

---

<sup>944</sup> — Autor przypuszcza, choć może się mylić, że owym znajomym Smugi mógł być lord Georg Edward Carnarvon (1866–1923), egiptolog, patron i opiekun H. Cartera w odkryciu grobu Tutanchamona. Wyjechał on do Egiptu w 1903 r., by po wypadku samochodowym podreperować zdrowie. Tu ogarnęła go pasja archeologiczna. Od 1907 r. rozpoczął ścisłą współpracę z H. Carterem. Zmarł w kilka miesięcy po odkryciu grobowca Tutanchamona, co przyczyniło się do powstania legendy o zemście faraona.

<sup>945</sup> — W 1902 r. koncesję na prowadzenie wykopalisk w Dolinie Królów uzyskał amerykański milioner Theodor Davis i korzystał z niej przez 12 lat. Koncesje wydawał wówczas Generalny Dyrektor Służby Starożytności w Egipcie, którym zawsze był Francuz. Davis, przekonany, że w Dolinie można już niewiele znaleźć, chętnie odstąpił swoje prawa.

<sup>946</sup> — Teodor Davis znajdował w Dolinie Królów rozmaite drobne przedmioty z imieniem Tutanchamona. Część z nich, nie przywiązując do nich wagi, przekazał w 1909 r. Herbertowi E. Winlockowi, który przesłał je do Nowego Jorku. Dzbany, kubki, a także inne gliniane przedmioty, nosiły pieczęcie Tutanchamona i pieczęcie królewskiej metropolii w Tebach. Świadczyłyby to o tym, że grobowiec Tutanchamona z pewnością jest w Dolinie. Winlock jednak twierdzi, że dokładnie przejrzał owe zabytki dopiero w 12 lat później i podzielił się wtedy swoimi spostrzeżeniami z Carterem. Ten zaś uważa, że Winlock już od 1909 r. zdawał sobie sprawę z wagi tego znaleziska. Autor zatem sądzi, że już wtedy Winlock mógł poinformować Cartera o dowodach na to, że grobowiec Tutanchamona z całą pewnością znajduje się w Dolinie Królów.

— I tutaj dochodzimy do sedna sprawy. Wśród przedmiotów, które nabył lord, była okrągła złota taca ozdobiona niewielkimi posążkami przedstawiającymi tego samego młodzieńca.

— Czy tym młodzieńcem był Tutanchamon?

— Oczywiście!

— A skąd pewność?

— Na tacy wyryto hieroglifami właśnie to imię!

— Nie wynika stąd wcale, że grobowiec tego faraona znajduje się w Dolinie Królów!

— Zgoda. Ale wszystkie autentyczne nabytki mojego kolekcjonera pochodziły stamtąd! To po pierwsze. A po drugie, jeden z posążków przedstawiał owego młodzieńca po śmierci — wyjaśnił Smuga.

— Jak to, po śmierci? Martwego? — spytał Tomek.

— Nie! — zaprzeczył Smuga. — Żyjącego!

— Wybacz, Janie, niech się zamienię w wieloryba, jeśli cokolwiek z tego pojmuje — westchnął Nowicki.

— Na dodatek — Smuga rozłożył ręce — wszystkiemu winna broda...

— Janie! Przestań się droczyć i powiedz wreszcie, o co chodzi — zdenerwował się Wilmowski. — Robi się już bardzo późno.

— Na wizerunkach czy posągach faraonów przedstawiano z brodami. Broda bowiem stanowiła dla starożytnych, nie tylko w Egipcie, oznakę mądrości i władzy.

— Ale co to ma wspólnego z żyjącym lub martwym faraonem?

— zniecierpliwiał się Wilmowski.

— Dla znawców przedmiotu bardzo wiele — odrzekł Smuga. — Żyjących faraonów przedstawiano bowiem z brodami ze ściętym końcem, zmarłych zaś — z zagiętym, półokrągłym. Broda z półokrągłym końcem utożsamiała faraona z bogiem zmarłych, Ozyrysem.

— To znaczy...

— To znaczy, droga Sally — nie pozwolił sobie przerwać Smuga — że tacę wykonano i ofiarowano po śmierci władcy. Może zrobił to ktoś, kto go bardzo kochał? Nie zapominajmy, że Tutanchamon zmarł w bardzo młodym wieku.

— Karkołomne rozumowanie — skomentował Wilmowski, a Nowicki od dłuższej już chwili gładził swoją, zaokrągloną na końcu, brodę i uśmiechał się do siebie.

— Ile było tych posążków? — dopytywała się Sally.

— Na tacy powinny być cztery, ale nasz lord otrzymał ją z trzema: złoty przedstawiał młodego króla jako żołnierza, alabastrowy jako pasterza, a drewniany jako boga Ozyrysa... Mam tu zresztą ich fotografie. Później się dokładnie przyjrzyjcie.

— To znaczy, że jednego posążka brakuje... Dlaczego?

— Właśnie! Kto, kiedy i dlaczego oderwał go z tacki?

— Na to pytanie trzeba poszukać odpowiedzi. Może będziemy mieli szczęście? Wszystko bowiem wskazuje na to, że taca została znaleziona w grobowcu Tutanchamona, właśnie w Dolinie Królów. Mój lord przypuszcza więc, że może złodzieje odkryli ten grobowiec...

— Który, według innych nie istnieje...

— I to także powinniśmy sprawdzić — zakończył swą relację Smuga. Zapadło milczenie.

— To może być pojedynek dwu wielkich faraonów — szepnęła do siebie Sally. „».

— Co mówisz? — spytał najbliższej siedzący Nowicki. Sally powtórzyła.

— Nie żartuj, sikorko — nastroszył się przesądny kapitan — z takich rzeczy się nie kpi!

— To nie żarty — odrzekła rezolutna kobietka. — To może być spotkanie prawdziwego króla przygody z faraonem z Doliny Królów!

## WAŻNE ROZMOWY

Przybycie Smugi i jego intrygująca zagadka wniosły w życie grupki przyjaciół wiele ożywienia, ale nie odmieniły sposobu, w jaki spędzali czas. Nie mogli opuścić Kairu, zanim się nie porozumieli i nie przyjęli jakiegoś planu działania. A zadecydowanie o czymkolwiek nie było możliwe, zanim tu, na miejscu, nie dowiedzieli się czegoś, co mogłoby urealnić ten plan działania. z pozoru beztrąsko wędrowali więc nadal po dzielnicach Kairu i niczym turyści wybierali się wszędzie tam, gdzie coś warte było oglądania. Tyle że niektóre z wycieczek miały teraz także inny cel, równie konkretny jak zwiedzanie.

Na pierwszą wybrali się obaj Wilmowscy i Smuga. Wszyscy ubrani nienagannie, w europejskie ubrania, jechali wzdłuż Nilu dwukonną dorożką. Smuga, znający kilka arabskich słów, wydawał polecenia woźnicy. Dojeżdżali właśnie do mostu Al-Tahrir.

— *Yaminak*<sup>947</sup> — powiedział Smuga do powożącego, uderzając go jednocześnie laską w lewe ramię.

Widocznie dobrze znał drogę, bo był pewnym przewodnikiem.

— Szimalak! Na prawo! — polecił i po chwili kazał zatrzymać dorożkę.

Średniowieczną kołatką zastukali do wielkich drzwi. Otworzył im ciemnoskóry lokaj w białym stroju. Kiedy Smuga podał ich nazwiska, nie był zaskoczony.

— Tak. Wiem, że są panowie oczekiwani — odpowiedział. — Proszę tędy.

Wprowadził ich do dużego, przestronnego salonu i wskazał miękkie fotele.

— Proszę zaczekać — powiedział i wyszedł.

Obaj Wilmowscy ciekawie rozglądali się po wytwornym pokoju. Ich uwagę zwróciły ciężkie angielskie meble i śliczny, marmurowy kominek. Nad nim i wzdłuż okien, osłoniętych stonowanymi zasłonami, ciągnął się ozdobny gzyms. Na podłodze leżał puszysty dywan o skomponowanym z całością wzorze.

---

<sup>947</sup> — Arab. — na lewo.

— Wnętrze brytyjskiego konsulatu żywo przypomina mi atmosferę pałacu maharadży Alwaru — szeptem zauważył Tomek.

— Ach, to ten brytyjski, kolonialny szyk... — uśmiechnął się Smuga. Nie dano im długo czekać. Do salonu wszedł dystyngowany, tęgawy, flegmatyczny gentleman. Powitał Smugę, jak starego znajomego. Kiedy Smuga przedstawił Wilmowskich, szczególnie serdecznie uścisnął rękę Tomka.

— Młody pan Wilmowsky — powiedział. — Znam pana ze słyszenia i rad jestem z naszego spotkania. Rozumiem, że wizyta panów wyraża coś więcej niż zainteresowanie — dodał, wyraźnie nawiązując do wcześniejszej rozmowy ze Smugą. Kiedy potwierdzili, zaproponował, aby bez zwłoki przejść do konkretów. Słuchali tego, co miał im do zaoferowania, popijając znakomitą kawę, podaną przez czarnego boya, Nubijczyka.

— A więc, moi panowie, afera ma wiele wymiarów. Przede wszystkim, oczywiście, złodziejski. Wielu bogatym kolekcjonerom zaproponowano w ostatnich kilkunastu tygodniach kupno cennych, starożytnych przedmiotów kultu i codziennego użytku pochodzących jakoby z Doliny Królów. W stosunku do części z nich jest to akurat prawda. Mówi się nawet, że przemycono kilka mumii! — zażartował. — Znaczna część to jednak znakomicie podrobione falsyfikaty.

Przerwał dla zaczerpnięcia oddechu i już bardzo serio kontynuował:

— Transakcje prowadził prawdopodobnie zawsze ten sam człowiek. W kronikach policji Włoch, Francji i Anglii nadano mu kryptonim „faraon”. Tak bowiem, albo podobnie, zawsze się przedstawiał: „*Jestem królem Doliny*” albo „*Jestem żelaznym władcą*”, „*żelaznym faraonem*”. Składał wizyty wieczorem, zostawiając jako próbkę kilka autentyków. W kilka dni później dochodziło do wymiany handlowej falsyfikatów. „*Faraon*” ostrzegał zwykle, by nie zawiadamiać policji. Ktoś jednak, stwierdziwszy oszustwo, to właśnie uczynił. Przestępca sprytnie wymknął się z zastawionej pułapki, a ów kolekcjoner w kilka tygodni później zmarł na jakąś dziwną, nie rozpoznaną przez lekarzy chorobę.

— Zemsta faraona — szepnął Smuga.

— Natychmiast zaczęto tak mówić i większość kolekcjonerów nabrała wody w usta.

— Omówił pan kryminalne aspekty sprawy. A inne?

— Może to i niewiarygodne, ale jest także polityczny... Czasem zdarzą mi się myśleć, panowie, że światem, umysłami i sercami ludzi... rządzą dziennikarze. Otóż w prasie rozpoczęła się nagonka w tym mniej więcej stylu: kradną naszą własność, nikt nie dba o brytyjskie kolonie, rząd nic w tej sprawie nie robi... Francuzi zaczęli wywozić nasze skarby już w czasach Napoleona i dalej to trwa... Ten brukowy ton podchwyciła opozycja i zaczęło się. A wybory — już wkrótce<sup>948</sup>.

— Rozumiem — przerwał Smuga — że potrzebne jest coś w rodzaju sukcesu.

— Nie chciałbym aż tak upraszczać. Najważniejsze jest przestępstwo. Rząd brytyjski pokryje naturalnie wszystkie koszty.

— Czy tylko tak może nam pan pomóc? — nieco ironicznie zapytał Tomek.

— Zapewniamy panom oczywiście wszelką współpracę władz i miejscowej policji — zapewnił Anglik. — Dzwoniłem kilka dni temu do pewnego człowieka z kręgu urzędników obecnego kedywa<sup>949</sup>. On również chętnie panów przyjmie. Jest to człowiek życzliwy. Jeśli panowie pozwolą, umówię was telefonicznie... Na kiedy?

— Im szybciej, tym lepiej — powiedział Wilmowski. — Nawet na jutro, jeśli to tylko możliwe.

— Zaraz się przekonamy. Zostawię panów na chwilę...

Kiedy Anglik wrócił, omówili jeszcze konieczne kwestie, ale Wilmowscy i Smuga starali się nie przedłużać wizyty. Chcieli zdążyć wrócić do domu, jak mówili, przed porą sjesty. Uprzejmy Anglik zaproponował im jako szybki środek podróży automobil, wynalazek modny ostatnio w kręgach arystokratyczno-dyplomatycznych. Poprosili, by odwieziono ich do centrum miasta, gdzie byli umówieni z przyjaciółmi.

---

<sup>948</sup> — Wybory parlamentarne w Anglii odbyły się 20 listopada 1910 r. Autor powieści opóźnił więc nieco ich termin.

<sup>949</sup> — Kedyw (z tur. chediw, chidiw — władca, książę), tytuł wicekróla Egiptu w latach 1867–1914, rządzącego w imieniu sultana tureckiego. W latach 1892–1914 był nim Abbas II Hilmi Pasza (1874–1944); za próby protestu przeciw okupacji angielskiej usunięty z tronu. Ludność Egiptu mówiła o nim „nasz *effendi*”. W latach 1882–1914, tzw. ukryty protektorat nad Egiptem sprawowała Wielka Brytania. W czasie pobytu naszych bohaterów w Egipcie konsulem generalnym był lord Horatio Herbert Kit-chener (1850–1916).

Nowicki i Sally z Patrykiem czekali już przy placu Opery. Obejrzelі wspólnie secesyjny gmach teatru wtopiony w zieleń skwerów, a później ogród botaniczno–zoologiczny, co dawno obiecywali Patrykowi. Ogród, położony na rozległym terenie, był zresztą zbyt duży, by go zwiedzić w jedno popołudnie, toteż zatrzymali się jedynie przy niektórych zwierzętach. A także nieco dłużej przy małej plantacji papirusu, interesującej wszystkich, ponieważ papirus na skutek nierozsądnej gospodarki został w Egipcie niemal całkowicie wyniszczony. W rezultacie do domu dotarli dopiero wieczorem.

Rankiem następnego dnia czekało ich umówione spotkanie w jednej z najbardziej znanych starożytnych dzielnic Kairu Al–Dżamalija<sup>950</sup>. Tam bowiem mieszkał jeden z urzędników i bliskich współpracowników kedywa, Ahmad al–Said.

— Pewnie poznamy ciekawego człowieka — rzekł Smuga.

— Janie! Jedź tam z Tomkiem, ale beze mnie. Anim ja dyplomata, ani uczony... — oponował Nowicki. — My tymczasem z Andrzejem poczynimy już pewne przygotowania do wyprawy.

— A przy okazji utniemy sobie drzemkę — uśmiechnął się Smuga.

— Weźcie ze sobą Patryka — zaproponował Wilmowski.

— Żeby znów coś zbroił? — ciągle śmiał się Smuga. — Do czego się dotknie, zaraz jakiś diabeł się budzi...

— Wujku! Chcę pójść z wami — prosił chłopiec. — Obiecuję! Będę grzeczny!

We czwórkę, z uradowanym Patrykiem i Sally, udali się więc do centrum, by potem przejść wzdłuż bazaru Chan al–Chalili, ciągnącego się całymi kilometrami między placem Opery a budynkami uniwersytetu Al–Azhar. Proste kramy mieniły się kolorami. Wśród kupujących przeważały gospodynie domowe w długich do ziemi, ciemnych sukniach, okryte czarnymi szalami, którymi zasłaniały twarze. Niektóre z nich niosły niemowlęta, za wieloma snuły się, czepiające się spódnic, małe dzieci. Mimo wczesnej pory wiele z nich wracało już do domu z koszami pełnymi zakupów.

Nagle, w hałas na ulicy, i tak już ogromny, wdarł się dźwięk fujarek, gwizdków i bębenków. Przez środek zmierzał w stronę placu Opery przedziwny pochód. Szło młode, wytresowane słońtątko tupiące w takt

<sup>950</sup> — Al–Dżamalija — najchętniej zwiedzana przez turystów dzielnica Kairu. Tu znajduje się sławny bazar Chan al–Chalili. Założono ją w XI wieku.



muzyki. Otaczali je młodzi artyści, z zapalem wygrywający marszowy rytm. Za nimi dziarskim krokiem podążali chłopcy uzbrojeni w drewniane karabiny. Podrygujące zwierzę od czasu do czasu sięgało trąbą do koszyków wracających z targu kobiet, wybierając przysmaki.

— Wujku! Patrz! Patrz! — wołał zachwycony Patryk.

Słonik zwrócił na niego uwagę. Dojrzał również stojącą obok Sally, która zdążyła kupić nieco owoców, i wyciągnął dorodną pomarańczę. Wzbudziło to zachwyt tłumu. Rozległy się oklaski, przytupy i gardłowe okrzyki. „Orkiestra” zaczęła grać głośniej. Patryk wyjmował z torby Sally kolejne pomarańcze, szedł obok zwierzęcia i karmił je. Smuga wyjął pieniądze i wręczał młodym kuglarzom bakszysz... Jak nic wróciliby z powrotem do placu Opery, gdyby nie Tomek, któremu udało się odciągnąć w końcu Patryka. Później już bez przygód dotarli do Kasrasz–Szauk.

\* \* \*

Człowiek, z którym byli umówieni, mieszkał w domu górującym nad całą ślepą uliczką, z ogromnymi drzwiami z brązową kołatką. Ahmad al–Said ben Jusuf wstał już dawno. Rozbudził go na dobre śpiew muezzina, oznajmiającego jak codziennie, że „*modlitwa lepsza jest od snu*”. Ubierając się, przypomniał sobie o zapowiedzianej wizycie cudzoziemców i od razu popadł w rozterkę. Nie był zadowolony, chociaż telefon z konsulatu brytyjskiego polecał gości szczególnie serdecznie. Wolał przyjąć ich w domu, co widzieli jedynie sąsiedzi i bliscy, niż w urzędzie. Mimo to zastanawiał się, czy na ich powitanie ubrać się po europejsku, czy po arabsku. „*Co robi lepsze wrażenie?*” — myślał, mrużąc czarne i tak już przypominające szparki oczy. Był bowiem zadowolony, bo wiedział, że przybędą w jakiejś poufnej sprawie i że oznacza to, iż obdarzono go zaufaniem. A należał do ludzi, o których jego rodacy mówili, że dla interesu gotowi są ogon osła całować. Uspokoił się, gdy tylko podjął decyzję. Postanowił zaprezentować się jako gorliwy muzułmanin i podjąć gości skromnym, arabskim śniadaniem.

Ubrany już i gotowy wydał dyspozycje służbie.

— *Bismallah*<sup>951</sup> — szepnął do siebie, jak codziennie, gdy rozpoczynał pracę. Spojrzał przy tym na pięknie wykaligrafowane nad drzwiami pierwsze słowa Świętej Księgi, Koranu.

Trochę się stropił, gdy ujrzał wśród gości kobietę i dziecko. Wszystkich jednak zaprosił do stołu. Podano *ful*<sup>952</sup> przysmażony z jajkami, gorący świeży chleb, małe talerzyki z serem, cytryną i różnymi przyprawami: solą, pieprzem, wieloma rodzajami papryki, od łagodnej do bardzo ostrej. Tej akurat próbował Patryk, zakrztusił się i zaczął kasłać, co wywołało dyskretny uśmiech gospodarza.

— *To szatta*<sup>953</sup> — ostrzegł — bardzo ostra!

Podczas posiłku popijano miętową, bardzo mocną, słodką i gorącą herbatę. Na koniec wniesiono ciastka i owoce: mango, banany, figi, morele, pomarańcze oraz ogromne ilości różnych gatunków daktyli. Patrykowi najbardziej smakowała *basbusa*, pyszne ciasto z mąki, stopionego tłuszczu, cukru, oleju i bakalii. Gospodarz zaproponował wreszcie kawę i zwrócił się do żony, aby zaprosiła do siebie Sally i Patryka. Teraz można było przejść do poważnych rozmów, a obecność kobiet i dzieci była przy tym zbędna.

Sally wraz z Patrykiem zaproszono do pomieszczeń dla kobiet. Żona gospodarza pokazała najpierw swoje królestwo. Sally zainteresowała najbardziej *maszrabijja*, rodzaj małego okna–balkoniku, ozdobionego szczelną szachownicą gęstej ciemnozielonej, drewnianej kraty. Przez małe okrągłe szparki kobiety arabskie, same nie będąc widziane, mogły wyglądać na ulicę... Sally stała dłuższą chwilę, obserwując ruchliwą ulicę, i myślała o trudnym losie żony Araba. Nagle jej uwagę przykuła dziwna postać.

Mężczyzna, z wyglądu fellach lub ubogi Arab, w tłumie czuł się, było to wyraźnie widać, obco i niepewnie. Wyglądał na przestraszonego, zagubionego. Rozglądając się, zatrzymując co chwila, szedł w kierunku domu Ahmada. Wreszcie stanął przed wejściem. Jeszcze rozglądał się wokół, przyjrzał drzwiom, wreszcie zastukał.

— Macie gościa — zawołała Sally do żony Ahmada.

Ta podeszła do niej i wyjrzała przez kraty.

<sup>951</sup> — *Bismallah* — skrót od „*Bi ismi Allahi Ar-Rahmani Ar-Rahimi*” („*W imię Boga Miłosiernego, Litościwego*”), słów rozpoczynających Koran. Muzułmanie rozpoczynają od nich pracę lub ważne czynności. Sentencja ta, często pięknie wykaligrafowana, zdobi ściany domów i biur.

<sup>952</sup> — *Ful* — narodowa potrawa egipska, bób gotowany półgęsto z oliwą.

<sup>953</sup> — *Szatta* — ostra papryka, podawana w strączkach jako przyprawa do potraw.

— Ach, to Sadim — powiedziała.

— Wygląda na przestraszonego — dodała Sally.

— To nowy służący mojego męża. Pochodzi z wioski w pobliżu Doliny Królów. Mąż zatrudnił go na prośbę znajomego. Chyba nie był jeszcze nigdy w wielkim mieście, bo czuje się tu obco — wyjaśniła gospodyni.

— To widać — uśmiechnęła się Sally. „*Pochodzi z Doliny Królów! Co za zbieg okoliczności*” — pomyślała.

Sadim zniknął już wewnątrz domu, a obie kobiety zabrały Patryka na dach domu. Mieścił się tu... ogród obrośnięty jaśminem i fasolą. Dumnie spacerowały po nim kury, a spod nóg zrywały się gołębie. Widać było ogromną troskę o to kuchenne zaplecze i miejsce odpoczynku żony egipskiego dygnitarza.

Obie kobiety wymieniły uwagi o sprawach kulinarnych, a Sally zapisała sobie w notatniku kilka cennych przepisów na typowe egipskie potrawy.

Mężczyźni tymczasem kończyli rozmowę. Ahmad starał się być bardzo życzliwy, ale nie wniósł niczego nowego. Gładko stwierdził, że owszem słyszał i czytał w prasie o przemyśle, ale jak podkreślił, ten proceder uprawiany jest tu od wieków.

— Mieliśmy informacje, że ślad prowadzi do Kairu — Smuga próbował wywierać nacisk na gospodarza.

— W tym kraju chyba wszystko przechodzi przez Kair — sentencjonalnie odparł gospodarz. — Trudno mi ocenić prawdziwość panów informacji, nie jestem z policji kryminalnej — dodał znacznie ostrzej i jakby niechętnie. Ale zaraz, aby złagodzić wrażenie, zaproponował gościom zwiedzenie sławnego meczetu, najpiękniejszej świątyni „*miasta tysiąca meczetów*”, jak nazywano Kair, położonej u wylotu głównej ulicy Gami al-Azhar. Była ona jednocześnie siedzibą uniwersytetu, kształcącego od wieków najwybitniejszych znawców Koranu<sup>954</sup>. Przez jedną z sześciu prowadzących doń bram Ahmad wprowadził swoich gości na Sahn, główny dziedziniec meczetu, pokryty białymi, marmurowymi płytami. Wokół, na trzystu smukłych, zakończonych łukami kolumnach, wznosiły się krużganki. Pośrodku szemrała fontanna.

---

<sup>954</sup> — Al-Azhar — meczet wybudowany w X wieku, w którym kalif Al-Azis założył po siedmiu latach uniwersytet. Studia na tym uniwersytecie trwają 15 lat.

Woda spadała z rzeźbionych kranów do otaczającego ją koryta, w którym każdy wierny przed modlitwą obmywał ręce i nogi.

W jednym z rogów dziedzińca, na pokrywających marmurowe płyty matach, przysiedli w kucki uczniowie z różnych stron muzułmańskiego świata. Kogo tam nie było! Rzucali się w oczy wysocy, smukli Tunezyjczycy w kolorowych galabijach. Wykładu starego, brodatego, ubranego w ciemną galabiję i rudawy płaszcz mistrza, słuchali także tęgawi Persowie w ciemnych turbanach, Berberowie z grubymi wargami i wypukłymi oczami, drobni, chudzi Syryjczycy o ostrych rysach, w białych kuflach<sup>955</sup>, z czarnymi opaskami przyciśniętymi do czoła. Obok młodych siedzieli, skupieni i zasłuchani, egipscy starcy. Zadziwiały wytworne sylwetki Marokańczyków i Libijczyków w europejskich ubraniach. Ahmad skinął głową staremu szejkowi prowadzącemu zajęcia z tą osobliwą grupą studentów. Ten odpowiedział gestem złożonych jak do modlitwy dłoni.

We wschodnim skrzydle meczetu mieścił się Zauijet el-Omjan, schronisko dla niewidomych.

— Jedna z najczęstszych tu chorób, egipskie zapalenie oczu powodujące ślepotę — wyjaśniał Ahmad. — Ludzie ci są bardzo nieszczęśliwi.

Rzeczywiście tak było. Widok chorych przerażał. Wystawiali na słońce niewidzące już, albo mocno zaczerwienione, oczy, z kroplami ropy w kącikach. Pokazywali swe blizny i rany, by wzbudzić współczucie przechodzących.

— Dla Allacha, panowie — wołali, prosząc o wsparcie. Mieszkańcy schroniska, przemieszani z nędzaczami i pielgrzymami, czekali właśnie na imamów, którzy co drugi dzień, zgodnie z tradycją, rozdawali oliwę, chleb i *ful*.

Pożegnawszy gospodarza, nasi podróżni weszli jeszcze do kawiarni, by zaspokoić pragnienie. Przy stojących na chodnikach stoliczkach siedzieli mężczyźni, pijąc kawę. Niemal wszyscy palili. Niektórzy grali w tryktraka<sup>956</sup>. Inni impertynenckim spojrzeniem mierzyli Sally, ale nie odważyli się jej zaczepić ze względu na towarzyszących mężczyzn.

<sup>955</sup> — Kufia (albo kafia) — arabskie nakrycie głowy; kwadratowy kawał płótna złożony w pół po przekątnej, zaciśnięty na głowie dwoma krążkami sznura, zwykle z koziej sierści.

<sup>956</sup> — Tryktrak — gra przypominająca warcaby.

I tak dobiegł końca kolejny, niezbyt owocny, jeśli chodzi o informacje, ale za to pełen wrażeń dzień.



## PATRYK W BABILONIE<sup>957</sup>

O wszystkich dorosłych uczestnikach kairskiej przygody śmiało można by powiedzieć, że zwiedzanie zabytków i poszukiwania, prowadzone w ciągu ostatnich dni, wypełniały im czas bez reszty, nawet jeśli nie zawsze przynosiły zadowalające efekty. Inaczej było z Patrykiem, który wciąż czekał, że wydarzy się coś „naprawdę” ważnego, coś co będzie związane tylko z nim, z jego misją. Był szczęśliwy i bezpieczny, ale przecież wyruszył z ubożego domu i zniósł już tak wiele trudów, bo święcie wierzył, że podobnie jak ojciec i dziadek znajdzie „skarb”<sup>958</sup>. „Jeżeli daje się wszystko, wszystko się otrzymuje” — o tym był przekonany. W momencie kiedy cała jego nadzieja i cała rozpacz miały okazać się czymś daremnym, spotkał ludzi, którzy okazali mu życzliwość. Zaufał im i pokochał ich. Miał wraz z nimi brać udział w niebezpiecznej wyprawie. Ale dla niego, jak dotąd, nic się nie działo. — Dorośli przyjaciele szóstym zmysłem wyczuwali tę rozterkę, choć według nich wszędzie tam gdzie był Patryk, od razu działo się za wiele. Mieli wobec chłopca coś w rodzaju poczucia winy, zwłaszcza Smuga, od dawna bardzo już do niego przywiązany, i kapitan Nowicki, który od razu polubił małego „urwisa”. Obaj wybierali się właśnie, w ramach kolejnej wyprawy po informacje, do najstarszej dzielnicy Kairu, zamieszkaney w większości przez Koptów, nielicznych w Egipcie chrześcijan, którzy wywodzili się w prostej linii od starożytnych Egipcjan<sup>959</sup>. Postanowili zatem zabrać ze sobą Patryka i na ile to możliwe, uatrakcyjnić mu tę wycieczkę.

Udali się najpierw do centrum Kairu, skąd przejechali elektrycznym tramwajem aż do końcowego przystanku. Tutaj natychmiast zostali otoczeni przez poganiaczy osłów, polecających swoje usługi. Każdy zachwalał jak

---

<sup>957</sup> — Babilon — nazwa pochodzi od zbuntowanych niewolników babilońskich, którzy opanowali fortecę i wymusili na władcy Egiptu wprowadzenie pewnego rodzaju samorządu. Później twierdza rzymska, obóz jednego z legionów okupujących Egipt.

<sup>958</sup> — Historia O'Donellów opisana jest w powieści *Tomek w krainie kangurów*.

<sup>959</sup> — Koptowie — grupa ludności chrześcijańskiej w Egipcie. Uważa się ich za potomków starożytnych Egipcjan. Zarówno w czasie pobytu bohaterów tej powieści, jak i dzisiaj stanowią około 1,5 mln ludności kraju. Po podboju Egiptu często prześladowani przez Arabów. W czasie panowania patriarchy Cyryla V (1874–1927) ugruntował się pogląd, że religia należy do Boga, ojczyzna zaś do wszystkich. Najważniejszym dla Koptów miastem jest w Egipcie Asjut.

mógł swe stworzenie. Czasem łamaną angielszczyzną, po francusku lub włosku, najczęściej jednak po arabsku, a więc... gestami:

— Najpiękniejszy osioł Kairu — wołał jeden z hammarów<sup>960</sup>.

— Moja zwierza szybko, szybko! — krzyczał drugi, wskazując swego osiołka.

— Jechać ostrożnie i powoli ze mną — zachwalał inny.

— Bezpieczny osiołek, bezpieczny osiołek — natrętnie powtarzał któryś.

Pozostali tłoczyli się, przepychali, gestykulując i zapraszając gestami. Przestraszony Patryk chwycił za rękę potężnego Nowickiego i wtulił się w niego. Nad chaosem zapanował Smuga, podnosząc nagle głos. Kilka arabskich, ostrych słów uspokoiło tłum.

— Patryku! Na którym osiołku chcesz jechać?

Zza bezpiecznej osłony ramion Nowickiego chłopiec już od dość dawna przyglądał się niewiele od siebie starszemu poganiaczowi, który nie mógł dostać się nawet w pobliże podróżników, i wskazał na niego. No wieki i Smuga wybrali zwierzęta dla siebie i ruszyli w drogę.

— Masr el-Atika, Abu Serge!<sup>961</sup> — rzucił Smuga.

Ośle egipskie, mniejsze od europejskich, były też bardziej od nich posłuszne. Przyzwyczajone do służby człowiekowi od tysięcy lat<sup>962</sup>, ciche i potulne, uważano za najwierniejszych chyba przyjaciół człowieka. Spotkać je można było wszędzie, na głównych i małych uliczkach Kairu, w wioskach i miasteczkach... Smuga, Nowicki i mały O'Donell, usadowieni w oryginalnych, wygodnych siodłach, posuwali się naprzód, wymijając podobnych pasażerów. Przeważali wśród nich tubylcy, ale nie brakowało cudzoziemców wszelkich stanów i narodowości. Z szerokich ulic europejskiej części miasta wkraczali powoli w mrowie krętych i wąskich uliczek wschodniej dzielnicy. Jechali wzdłuż rozpadających się domów z suszonej na

<sup>960</sup> — Hammar (ar.) — poganiacz osła; himer — osioł.

<sup>961</sup> — Kościół Abu Sarge (Św. Sergiusza) wzniesiony został przez Koptów w IV wieku nad grota, w której miała przebywać Św. Rodzina. Św. Sergiusz to męczennik prawdopodobnie z III wieku. Niektórzy utożsamiają go ze św. Jerzym, który wstawił się walką z legendarnym smokiem, a potem poniósł męczeńską śmierć. Według legend obaj (Św. Sergiusz i Św. Jerzy) mieli być oficerami rzymskimi.

<sup>962</sup> — Osłami posługiwano się w Egipcie już w latach 2494–2345 p.n.e. Świadczą o tym m.in. grobowce Sakkary koło Memfis, gdzie w jednej z mastab można oglądać scenę zbierania zboża, a między innymi zwierzętami oślicę obładowaną ogromnym workiem pszenicy.



słońcu cegły, mijali nędzne, brudne lepianki służące za sklepiki. Posuwali się naprzód, torując sobie drogę wśród rozmaitych pojazdów, załadowanych towarami i ludźmi.

Nagle zwierzęta, jakby zmówione, przyspieszyły. Hasłem był przejmujący ryk jednego z nich. Wyszczrzył zęby, niczym w ponurym uśmiechu, i wydał z siebie przerażający głos. Możliwe, że komendę albo hasło wzywające do rywalizacji. Wśród krętych uliczek rozpoczął się szalony wyścig, jakiś przedziwny slalom pośród powozów, wielbłądów, słoni, wozów ciężarowych i ludzi. Za osiołkami biegli poganiacze, nie próbując wcale ich zatrzymać. Każdy chciał, aby jego zwierzę było na czele. Od czasu do czasu rzucali polecenia:

— Owa! Owa! Uważaj! albo: — Warda! Warda! Ostrożnie! Jakimś cudem, ale także dzięki niesłychanej zręczności poganiaczy, uniknęli wplątania nóg w koła pojazdów, zderzenia z innymi podróżnymi czy zdeptania jakiegoś czyściciela butów, handlarza, roznosiciela wody czy też zbieracza bydłęcych odchodów.

Wreszcie na polecenie Smugi poganiacze wstrzymali osły. Dotarli do ruin starego Babilonu. Zatrzymali się. Z zadumą patrzyli przez chwilę na resztki wspaniałych budowli, przysypane ławicami żółtawego piasku. Nowicki otarł pot z czoła i powiedział:

— A to ci dopiero jazda!

— Ależ zawadiacy z tych poganiaczy! — westchnął Smuga. — Nawet przy moich zdolnościach jeździeckich, chyba nie zdołałbym tak umiejętnie kierować zwierzętami w tym tłoku.

— Wujku! — wtrącił Patryk. — To ja! To ja poprosiłem mojego przewodnika, żeby szybciej jechał.

— No, no — Nowicki tylko jęknął.

Dalej ruszyli już dużo, dużo wolniej, znowu przez labirynt uliczek, by wreszcie dotrzeć do celu.

— Abu Serge! Św. Sergiusz! — powiedział najstarszy z przewodników. Nędzny budynek, odarty z tynku, w niczym nie przypominał najstarszej świątyni chrześcijańskiej w Kairze. Podróżników natychmiast otoczyły nagie niemal dzieci, krętymi korytarzami przeprowadziły ich na dziedziniec i wprowadziły do wnętrza świątyni. Niektóre, starsze, zawijały rękawy, pokazując znak krzyża, wypisany na ręce zieloną farbą. One wprowadziły

chłopca i jego opiekunów do wnętrza świątyni. W przedsionku, w podłodze, wmurowane było ogromne naczynie z wodą do obmycia rąk i nóg przed rozpoczęciem nabożeństwa. Tutaj w czasie uroczystości było miejsce kobiet, dalej część męska i dla duchowieństwa. Wystrój kościoła był ubogi, elementy chrześcijańskie mieszały się z motywami sztuki arabskiej. Nowicki i Smuga stąpali za Patrykiem najpierw po drewnianej, potem glinianej, pokrytej na wschodni sposób wyszarzającymi makatkami i kobiercami, podłodze. Pod nogami chrząścił wszechobecny, pustynny pył i piach. Przy ołtarzu z dwiema świecami i krzyżem kończyło się właśnie nabożeństwo. Wysoko pod sklepienie unosił się dym kadzidła. Miejsce wokół ołtarza było wydzielone, przypominającą ikonostas<sup>963</sup>, drewnianą osłoną. Pokrywały ją tabliczki z kości słoniowej i drewna. Płaskorzeźby przypominały sceny z życia Chrystusa. Wśród tych dziwów świata, jakie widzieli, Maryja, Chrystus, Józef oraz osiołek wydały się Polakom dziwnie swojskie. Obu ogarnęło wzruszenie, a myśli uciekły gdzieś hen... daleko.

Kapłan pochylił się w głębokim ukłonie i podał kadzielnicę posługującemu. W chwili gdy to czynił, spośród stojących przed ołtarzem mężczyźni wybiegł jeden i wyrwawszy z rąk przerażonego ministranta święty przedmiot, zanim ktokolwiek zdążył zareagować, znikł w krętych zaułkach. W kościele rozległ się krzyk. Wszyscy naraz wybiegli na dziedziniec, by po chwili równie bezradnie wrócić do wnętrza świątyni. W nagłym zamieszaniu Smuga i Nowicki stracili z oczu Patryka. Wszystkich o niego pytali, lecz jedni odpowiadali, że go nie widzieli, a inni udawali, że w ogóle nie rozumieją po angielsku.

Ubogi zasób słów arabskich znanych Smudze nie wystarczał albo też nie był miłe przyjmowany przez Koptów. A chłopca nigdzie nie było. Dopiero obietnica sutego bakszyszu otworzyła pamięć i usta.

— Widziałem — powiedział któryś. — Chłopiec pobiegł tam! — pokazał jeden z zaułków.

Inni gestykulowali i zaczęli się sprzeczać:

— Tam! Tam! — pokazywali różne strony.

---

<sup>963</sup> — Ikonostas — w cerkwi prawosławnej ozdobiona ikonami ściana z trzema drzwiami (środkowe noszą nazwę „carskie wrota”), oddzielająca część ołtarzową od nawy dla wiernych.

Dopiero koptyjski duchowny uspokoił rozgorączkowanych wiernych i zaczął ich dokładnie wypytywać, a ponieważ dość dobrze znał angielski, szybko dogadał się z zaniepokojonymi Polakami.

— Zdaje się, że chłopiec pobiegł za złodziejem — powiedział w końcu. Dowiedzieli się jeszcze, że kadzielnica stanowiła skarb tego kościółka i była bardzo cenna, ozdobiono ją bowiem brylantami.

\* \* \*

Patryk wychowany w zaułkach Dublina nie stracił orientacji i nadażał za szybkim i sprytnym złoczyńcą. Skradał się, wymijając ludzi, powozy, zwierzęta... Na szczęście złodziej nie próbował kluczyć ani się ukrywać. Był pewny, że mu się udało. Nie zauważył drobnej przemykającej za nim sylwetki.

O Patryku można powiedzieć, że w pierwszej chwili nogi poniosły go same, nim zdążył pomyśleć. Rozwaga przyszła później. Wreszcie nie tylko mógł coś zrobić, „odwdzięczyć się wujkom”, zmazać chwilę słabości, kiedy Smuga widział go płaczącego, pokazać nie tylko, że jest dzielny, ale i na tyle dorosły, by zasłużyć na zaufanie. Było to wspaniałe i bardzo budujące uczucie. Szybko zrozumiał, że do tego potrzeba jeszcze, aby mu się powiodło.

Zaczął odtąd zwracać baczniejszą uwagę na mijaną drogę i zapamiętywać szczegóły. „*Przy tym domu stoi kram*” — zanotował w pamięci. „*W tych pomieszczeniach cały szereg sklepów. Tu po prawej ruiny, na lewo domki mieszkalne. Skręcić, gdy ulica wyraźnie się obniży*”.

Kierowali się w stronę rzeki. Szli potem długo bulwarami aż w pobliże wyspy Gezira, gdzie znajdowało się całe miasteczko na wodzie. Ludzie mieszkali na różnobarwnych, bardziej lub mniej zasobnych łódkach, barkach, tratwach. Przeważały te najnudniejsze. Kręciło się trochę ludzi, ale Patrykowi w europejskim ubraniu coraz trudniej przychodziło nie rzucić się w oczy. Na szczęście nie trzeba było wchodzić w głąb tej dziwacznej dzielnicy, bo łódź, na której najwidoczniej mieszkał ścigany, była jedną z pierwszych w długim szeregu.

Tymczasem nadchodziła wiosenna, chłodna noc. Zapadała gwałtownie. Niemal z minuty na minutę robiło się ciemno i zimno. Patryk czuwał i czekał na okazję. Ukryty za stosem skrzynek, zaczynał marznąć. Wytrwale jednak obserwował upatrzoną łódź i zastanawiał się, jak odebrać skradzioną własność

Koptów. Miał czas, więc starał się dokładnie przyjrzeć ewentualnym przeszkodom i krok po kroku zaplanował drogę na łódkę. Gdy nad światem na dobre zapanowała ciemność, w wielu mieszkaniach zabłyśły kaganki. Także w kabinie obserwowanej łodzi. Złodziej mieszkał prawdopodobnie sam, bo nikt inny nie wchodził tam ani nie wychodził. Skulony z zimna Patryk obserwował nocne życie rzeczno-miasteczka. Skupiało się ono wewnątrz kajutek albo na pokładach. Ludzie posilali się, śpiewali, wreszcie szli spać. Wygaszano światła i ruch zamierał. Zapadała cisza przerywana jedynie skrzypem ocierających się o siebie barek, pluskiem wody i szumem rzeki. Wreszcie światło zgasło także na tej, którą obserwował. Było już późno, chyba po północy, gdy zaczął się ku niej skradać w księżycowej poświacie cicho jak kot, co chwila przystając i nad słuchując. Tak dobrnął do brzegu, a potem do trapu. Wszedł na pokład i szybko dotarł do drzwi mieszkalnej kajuty. Wisiały luźno na dwu zawiasach i skrzypiały w rytm lekkiego pochylania się barki na fali. Patryk ucieszył się. „*Nie będzie problemu z dostaniem się do środka*” — pomyślał. Stał przez chwilę bez ruchu, wreszcie podjął decyzję. Pchnął drzwi. Zaskrzypiały, co odczuł niczym dźwięk grzmotu.

— Rrraz! Wszedłem! — westchnął do siebie, trzymając w rękę, a potem puszczając drewnianą przeszkodę. Dygotał jeszcze z zimna, ale z emocji już robiło mu się gorąco. Zatrzymał się, wsłuchując w ciszę i przyzwyczajając oczy do głębszej niż na zewnątrz ciemności. I nagle przeraził się.

„*Co będzie, jeśli złodziej ukrył kadzielnicę? Jak ją znajdę?*” pomyślał.

Tego, że będzie za ciemno, by bezpiecznie poruszać się po pomieszczeniu, rzeczywiście nie przewidział. Był prawie u celu i zanosilo się na porażkę. Na małym stole przy łóżku spostrzegł kształt oliwnego kaganka, a z boku dobiegał równy oddech głęboko uśpionego człowieka.

— Śpi tak mocno... Zapalę kaganek i znajdę — powiedział szeptem, by dodać sobie otuchy.

Na palcach podszedł do stolika. Skrzesał ogień i zapalił kaganek, osłaniając ręką płomyk, aby nie zbudzić śpiącego mężczyzny, Los mu sprzyjał! W kącie kajuty, na stosie innych przedmiotów, leżała kadzielnica. Patryk odstawił kaganek na krawędź stołu i podniósł zrabowany przedmiot. Powoli zaczął przemykać w kierunku drzwi.

Nie zauważył, że spokojny i dość głośny oddech śpiącego umilkł. Nie zauważył też, że rozbudzony mężczyzna obserwuje go spod w półprzymkniętych powiek. Kiedy malec prześlizgiwał się koło łóżka, znieuważka chwycił go za rękę. Chłopak wyrywał się jak piskorz i silniejszy mężczyzna nie mógł sobie z nim poradzić. Umykał wokół stołu, chaotycznie machając odebraną kadzielnicą. Wtem potrącony od dłuższej chwili stół przechylił się gwałtownie i kaganek spadł na łóżko, rozpryskując wokół gorącą oliwę. Mężczyzna chwycił koc i stłumił płomień, ale Patryk wykorzystał okazję i wymknął się w noc. Na zewnątrz tu i ówdzie zapalały się lampy, pojawiali się ludzie. Widząc wyskakującego z łodzi chłopca, niektórzy rzucili się w pogoń. Patryk kluczył. „*Będzie jak na statku*” — pomyślał. „*Tylko nie ma gdzie skakać i wujek daleko...*”.

Koptyjski kapłan przekonał Smugę i Nowickiego, że poszukiwania prowadzone nocą nie przyniosą żadnego efektu. Przyjęli więc jego życzliwe zaproszenie i usiłowali rozmawiać, aby zagłuszyć narastający niepokój!

— Osły<sup>964</sup> to rzeczywiście interesujące zwierzęta — mówił właśnie kapitan.

— Zupełnie inne niż w Polsce, naszym kraju — dodał Smuga.

— Nasze osły są większe... No i... leniuchy z nich i uparciuchy — uśmiechnął się Nowicki. — Co do mnie poczułem się lepiej, gdy poznałem te wasze, miłe stworzenia... Chociaż, kiedy wpadły w ten szal, wytrzęsły moje stare kości tak, że do tej pory to czuję — przeciągnął się. — Ryczą też nienajgorzej, niczym okrętowe syreny. Ale pracowite to i wytrwałe, aż dziw bierze!

— No tak, pędziliśmy prawie z szybkością galopującego konia — stwierdził Smuga.

— Poczułem się lepiej, gdy poznałem wasze osiołki — powtórzył Nowicki. — Muszę się bowiem przyznać, że ktoś kiedyś nazwał mnie osłem. Było to w dzieciństwie, w warszawskiej dzielnicy Powiśle. Jest tam taki stary kościółek pod wezwaniem Św. Trójcy. Mój szacowny staruszek, socjalista, mawiał: „*Bóg jeszcze nikomu nie zaszkodził*” i posyłał mnie, ku radości matki,

---

<sup>964</sup> — Osioł domowy (*Equus asinus*) z rodziny koniowatych, mniejszy i słabszy, ale bardziej wytrzymały i mniej wymagający od konia. Występuje przede wszystkim w Afryce Północnej. Dobrze znosi upały, źle zimno. Ceniony zwłaszcza jako zwierze juczne, rzadziej pociągowe i wierzchowe. W Afryce występują jeszcze dwa podgatunki osła: nubijski (nieliczne stada w Sudanie) i somalijski (w Etiopii i Somalii).

co niedzielę do kościoła. Pobierałem też naukę religii. Był tam wtedy taki ksiądz, starszy, siwawy, chudy jak szczapa. Lubiliśmy go, ja też, tylko nie byłem zbyt pokornym uczniem, a często, gdy się nasłuchałem ojca i jego towarzyszy, zadawałem wiele kłopotliwych pytań. Kiedyś ów ksiądz wziął mnie za ucho, postawił na środku i westchnąwszy, powiedział: „*Co za osioł z ciebie... Asinus asinorum in saecula saeculorum*”<sup>965</sup> Od tego czasu siedziałem w oddzielnej ławce.

— Osły, które znamy z *Biblii*, są posłuszne, potulne, mądre — wtrącił duchowny. — Występują w 26 księgach *Starego Testamentu*, podczas gdy wielbłąd jedynie w 20. Osioł, jako jedyne spośród wszystkich zwierząt, dostąpił zaszczytu dźwigania na swym grzbiecie Pana naszego, Jezusa Chrystusa. Osiołkowi dorównuje pod tym względem w *Biblii* jedynie baranek.

— Tak! Tak! — zgodził się Nowicki — gdy prorok Balaam nie chciał słuchać Boga, przemówiła do niego oślica<sup>966</sup>. Zwierzę to uchodzi za uosobienie mądrości. Wy tłumaczył mi to ów ksiądz, gdy się na niego nie na żarty obraziłem i potem nastąpiła między nami zgoda.

— Cóż, mój drogi Tadku, okazuje się, że osioł nie zawsze jest tym samym... osłem! — uśmiechnął się Smuga i podjął ten wątek.

— Moje najwcześniejsze wspomnienie z dzieciństwa też jest, można chyba tak powiedzieć, związane z religią. Obaj moi dziadowie, ze strony ojca i matki, uczestniczyli w powstańczym zrywie Polaków przeciw zaborcom w 1863 roku. Jeden z nich zmarł jako osiemdziesięcioletni staruszek, gdy miałem trzy lata. Pamiętam to jak przez mgłę, ale dość wyraźnie. Szczegóły dopowiedzieli mi rodzice.

Zostałem wtedy w domu sam, wszyscy poszli pożegnać się z umierającym. Bawiłem się, zapomniawszy, że nikogo nie ma w domu.—: W pewnym momencie pojawiła się przede mną jakaś postać zasnuta mgłą, niewyraźna. Był to ukochany dziadek. Uśmiechał się do mnie. Przyglądałem mu się. Zrobił jakiś gest, jakby pożegnania, i powoli zniknął. O jego śmierci powiedziano mi następnego dnia. Lecz nie uwierzyłem. To nieprawda — zaprotestowałem. — On u mnie był. Nieprawda, że dziadka zagrabili! Tak się wyraziłem. I opisałem swoje, widzenie.

<sup>965</sup> — Łacińskie przysłowie średniowieczne: „*osioł nad osłami na wieki wieków*”.

<sup>966</sup> — Por. Lb 22, 21–35. (*Księga Liczb w Biblii*, rozdział 22, wiersze 21–35).

— Przeżyłem coś podobnego — podjął Nowicki. — Opowiadałem ci Janie<sup>967</sup>, mój niby to sen, niby jawę... Obudziłem się i zobaczyłem jakąś postać. Ktoś o twarzy zasłoniętej mnisim kapturem powtarzał tylko jedno: „*Ty i tak nie umrzesz naturalną śmiercią, i tak nie umrzesz naturalną śmiercią...*”. Z pewnością powtórzył to kilkakrotnie. Szczyp palem się po całym ciele, ale to była jawa! Nie sen! I niech to wieloryby połknie, życie, które prowadzę, potwierdza te słowa!

— Zawsze wróżyłem ci, Tadku, że nie umrzesz we własnym łóżku — wtrącił Smuga.

— Przez wiele dziwnych wydarzeń mówi do nas Bóg — niespieszną prowadzoną dla wypełnienia wolno biegnącej nocy, rozmowę pod?;;; sumował duchowny.

Jeszcze wieczorem prosił swoich współwyznawców o wszelką możliwą pomoc. Mogli więc tylko czekać na wieści. Obaj Polacy zdawali; sobie sprawę, że poszukiwanie chłopca w tak ogromnym, nieżycziwym Europejczykom, mieście, mającym wiele dzielnic, gdzie nawet policja lękała się zaglądać, stawało się przedsięwzięciem niemal niemożliwym do realizacji. Ale wkrótce niemożliwe stało się także pomijanie tego wydarzenia milczeniem. Próbowali rozważyć szansę. Niepokoił się zwłaszcza Smuga.

— Chłopiec pobiegł za złodziejem. To bardzo niebezpieczne.

— Ale sam, Janie, mówiłeś, że jest bardzo sprytnym dzieckiem. — uspokajał go Nowicki i dodawał, że przez ten miesiąc zdarzało im się; o tym przekonać — Ale tylko dzieckiem.

— Pokaż mi dziecko, które ma za sobą tak śmiałe decyzje — upierał się marynarz.

— Bardziej niemądre niż śmiałe, Tadku — oceniał Smuga.

— „*Mierz siły na zamiary, nie zamiar podług sił*”<sup>968</sup> — zacytował poetę Nowicki.

— Zawsze jednak trzeba rozważyć szansę powodzenia... Ale co ojciec o tym sądzi? — Smuga odwołał się do słuchającego ich w milczeniu duchownego. Ten zaś odparł:

— Pan powiada: „*Który król, mając prowadzić wojnę z innym królem, pierwszej siadłszy, nie pomyśli, czy może z dziesięciu tysiącami zmierzyć się z*

---

<sup>967</sup> — Historia opisana w powieści *Tomek ,w Grań Chaco;*

<sup>968</sup> — Fragment *Pieśni Filaretów* Adama Mickiewicza.

*tym, który z dwudziestu tysiącami ciągnie przeciw niemu? W przeciwnym razie, gdy tamten jest jeszcze daleko, wyprawiwszy poselstwo, prosi o warunki pokoju*”<sup>969</sup>.

— Nie zgadzam się, szansa jest zawsze — protestował Nowicki. — Sami wiele razy stawialiśmy wszystko na jedną kartę...

— Tylko wtedy, gdy nie było innego wyjścia — zaznaczył Smuga. Tuż przed świtem usłyszeli pukanie. Kopt wstał i otworzył drzwi.

W progu stał mały człowiek, szczelnie opatulony w galabiję zakończoną na sposób marokański kapturem, który ściśle przylegał do głowy. Stał przez dłuższą chwilę, wreszcie przemówił rwącym się ze zmęczenia głosem:

— Ja... To ja, wujku!

— Patryk! — krzyknęli równocześnie Smuga i Nowicki, zrywając się z miejsc. Spod kaptura wyłoniła się umorusana, piegowata twarz. Chłopiec podał duchownemu odzyskaną kadzielnicę, po czym utonął w ramionach przyjaciół. Gdy wszyscy się uspokoili, Patryk rozpoczął opowiadanie. Szybko doszedł do najdramatyczniejszego momentu.

— To... Ja... uciekałem... Nie straciłem głowy, jak wtedy na statku. Wujek przecież mówił, że zawsze jest wyjście i nie od razu trzeba skakać na głowę. Zobaczyłem suszące się rzeczy, to się schowałem. Potem wybrałem to, bo widziałem, że jest najmniejsze... I też goiłem... Sam siebie goiłem! I nie dogoniłem! — opowiadał chłopiec z roziskrzonym wzrokiem.

Tymczasem Nowicki szepnął do Smugi:

— No i co zrobimy z tym... kłopotliwym strojem?

— Przecież to oczywiste, oddamy — również szeptem odrzekł Smuga.

I tak zrobili. Później złożyli meldunek policji, dokąd zaprowadził ich koptyjski duchowny. Razem z dwoma egipskimi stróżami porządku wybrali się do mieszkania na barce. Oczywiście nie zastali nikogo. Oczywiście sąsiedzi niczego nie słyszeli i nikogo nie widzieli. I taki był koniec niebezpiecznej przygody Patryka w Kairze.

Sławne miejsce mogli spokojnie zwiedzić dopiero następnego dnia. Koptyjski duchowny wprowadził ich do kościoła i z czcią pokazał czworokątne wejście, przez które po bardzo starych schodach można było zejść do jaskini, gdzie w czasie wędrówki po Egipcie — jak głosi podanie —

---

<sup>969</sup> — Z Ewangelii św. Łukasza w tłumaczeniu ks. Jakuba Wujka, który jako jeden z pierwszych przetłumaczył *Biblię* na język polski (I wyd. 1599 r.). Łk 14, 31–32.



zatrzymała się Święta Rodzina. Obejrzelni niszę, w której Dzieciątko Jezus spoczęło do snu i niewielką grootę, zamienioną na kryptę, wspartą na starych kolumnach. Zwiedzili później położone tuż przy kościele, założone rok wcześniej, koptyjskie muzeum.

Mogli też spokojnie porozmawiać z gospodarzem na interesujący ich temat. Otrzymali od niego w darze koptyjskie krzyżyki i list polecający do przyjaciela pracującego w pobliżu Luksoru, gdzie wcześniej czy później musieli dotrzeć, jeśli chcieli szukać w Dolinie Królów. Wracali już do domu, a Nowicki wciąż mruczał pod nosem.

— Niech to wieloryb połknie! Gdybym wierzył w wędrówkę dusz, pomyślałbym, że to młody Tomek wcielił się w naszego Patryka... Wypisz, wymaluj...



## NARADA PRZYJACIÓŁ

Tak wiele rzeczy na raz i w tak różnych miejscach działo się w ciągu tych kilku dni od przyjazdu Smugi do Kairu, że kluczowa narada wciąż odsuwana była na później. W końcu jednak nadszedł wieczór, po raz pierwszy od wielu dni nie tylko spokojny, ale nawet nudnawy, gdyby ktoś spytał akurat Patryka. A kiedy wszyscy w komplecie usiedli w kairskim mieszkaniu wynajętym przez Smugę, aby porozmawiać, okazało się, że najpierw trzeba uspokoić panujący w umysłach zamęt, wszystko sobie nawzajem opowiedzieć, uporządkować ostatnie przeżycia. Właśnie próbowali ustalić, czego dowiedzieli się jedni, a czego drudzy, gdy ojciec Tomka przypomniał sobie, że wciąż ani on, ani Smuga nie wiedzą, co działo się w Kairze po wyjeździe starszego Wilmowskiego do Aleksandrii. Tomek zaczął barwnie opowiadać, ku uciesze Patryka, o niefortunnej nocnej wycieczce do Gizy i zaraz skutecznie uciekli od najistotniejszego z trapiących ich problemów. Nowicki bowiem, przypominając Polaków przybyłych do Egiptu z Napoleonem, zadał pytanie, które przeniosło ich w inne, nie mniej ciekawe czasy.

— Czy wcześniej, przed nimi, Polacy również tu bywali? — spytał.

— O! To miły polskiemu sercu i rozległy temat — odparł Tomek. — Pierwszym ze znanych podróżników polskich w Egipcie był książę Mikołaj Radziwiłł, zwany Sierotką. Wyruszył w kwietniu 1583 roku do Ziemi Świętej i stamtąd udał się do Egiptu, dokąd dotarł w sierpniu. Tu powitały go polskie bociany, które już przybyły na zimowy wypoczynek. Książę zabawnie opisuje w swym pamiętniku hipopotamy, które nazywa końmi morskimi podobnymi do żubrów i dlatego dziwi się, że rogów nie mają. Żali się, że niszczą one uprawy ryżu, tak iż trzeba kopać rowy ochronne lub wały, by nie mogły wejść na pola...

— Toś ty, brachu, ten pamiętnik dokładnie przejrzał — zdumiał się nie na żarty Nowicki.

— Nie tylko! Przeczytałem! — pochwalił się Tomasz. — Mogę ci opowiedzieć, że książę polował na kaczki, strzelał także i do owych hipopotamów właśnie. Przez Bulak, wówczas wioskę pod Kairem, gdzie o mało nie został aresztowany przez Turków, dotarł do stolicy.

— Aresztowany, i to przez Turków? — wpadł mu w słowo Nowicki coraz żywiej zainteresowany opowiadaniem.

— Wzięli go za francuskiego kupca, a ci często coś przemycali i oszukiwali władających tu Turków, jak mogli...

— Ale myślę, że Radziwiłł, wszak Polak i ksiązę, wybawił się z kłopotu.

— Owszem, ale nie sam; przy pomocy przełożonego celników, Żyda pochodzącego z polskich kresów wschodnich.

— A potem, oczywiście, nudził się w Kairze jak my...

— Nie całkiem. Był wnikliwym obserwatorem. Zostawił opis miasta: meczetu Al-Azhar, cytadeli... Nakreślił obraz Nilu w okresie wylewu, zdał relację z wycieczki na szczyt piramidy Cheopsa i do Memfisu, gdzie zwiedził stare, grobowe komory. A była to bardzo niebezpieczna wówczas wyprawa, gdyż Arabowie napadali na turystów.

— Napadali?

— Tak, w celach rabunkowych, oczywiście. Dlatego Europejczycy wybierali się tam w większych grupach i uzbrojeni. Jedna grupa oglądała podziemia, a druga z bronią strzegła bezpieczeństwa u wrót. Zdarzało się bowiem nawet, że zwiedzających żywcem zasypywano.

— To ten Radziwiłł, podobnie jak my, szukał guza — ucieszył się Nowicki. — Podoba mi się, choć przecież to ksiązę, burżuj...

— Pamiętaj Tadku, że nie każdy arystokrata jest godzien potępienia — roześmiał się Tomasz. — Przecież nasz znajomy z opowiadania Jana, angielski lord, to bardzo przyzwoity gentleman.

— Słusznie — rzekł Nowicki. — Klaruj dalej, brachu!

— Cóż, trzeba dodać, że władze tureckie jeszcze raz chciały go aresztować. Tym razem chodziło o politykę... Turcja i Polska rywalizowały ze sobą bardzo mocno. Turcja była imperium islamu, a Polskę nazywano przedmurzem chrześcijaństwa. Warto więc było zatrzymać pod jakimś pretekstem ważną polską osobistość, by mieć potem kartę przetargową w rozmowach z królem Stefanem Batorym. Ksiązę i tym razem jednak wymknął się Turkom z rąk. I na dodatek pomógł jeszcze grupie znajomych, których doszczętnie ograbili Beduini — dodał Tomek.

— Znać Polaka! — z dumą spoglądał na wszystkich Nowicki.

— Później wspólnie zwiedzili Aleksandrię, gdzie pod koniec pobytu — uważaj Tadku — Radziwiłł kupił wiele zwierząt...

— Jak to? Chciał założyć ogród zoologiczny? Może w Warszawie?

— Tego nie wiem, ale kolekcja była bogata: dwa lamparty, dwa szczury faraonowe<sup>970</sup>, koczkodan, wiele papug, trzy koziorożce... Niestety, większość po drodze wyzdychała... Wreszcie, po wielu perypetiach i rocznej niemal nieobecności w kraju, ksiązę wrócił w lipcu następnego roku do rodzinnego Nieświeża.

— Nasi rodacy rozpoczęli wędrówki po tutejszej ziemi dość wcześnie — rzekł Wilmowski.

— Wizyty w Egipcie wiązały się na ogół z pielgrzymkami do Ziemi Świętej. Gościem aleksandryjskiego klasztoru franciszkanów był znany w XVIII wieku awanturnik, Tomasz Wolski<sup>971</sup>. Do Aleksandrii docierali wtedy również misjonarze, jak choćby bernardyni Hieronim Lisowski i Antoni Burnicki, oraz reformat, Józef Drohojowski, który po powrocie do Polski chował u siebie w celi kameleona, zacinając go czasem cienkim pręcikiem, by kolor zmieniał. Kiedy kameleon zdechł, ofiarował zasuszone zwierzę gabinetowi przyrodniczemu na Uniwersytecie w Krakowie.

— Do czasów Napoleona i Muhammada Alego w Egipcie gościło jednak niewielu Polaków i w ogóle Europejczyków, bo było to niezbyt bezpieczne w dobie zmagania chrześcijaństwa z islamem. Wielu pielgrzymów przejeżdżało przez Aleksandrię, ale już do Kairu, z wyjątkiem kupców weneckich czy francuskich, rzadko kto odważył się jechać — uzupełnił Smuga.

— Tym większa chwała księciu Radziwiłłowi — zartobliwie odpowiedział Wilmowski.

— Byli jeszcze w Egipcie banici, szukający schronienia przed prawem, były dzieci polskie porwane w jasyr, no i jeńcy chrześcijańscy — kontynuował Smuga.

— No, ich los nie był godny pozazdroszczenia — smutno stwierdził Nowicki.

---

<sup>970</sup> — Prawdopodobnie chodzi o ichneumona, czyli mangustę egipską (*Herpestes ichneumori*) — drapieżnika polującego w nocy, choć czasem za dnia, na drobne kręgowce, ale atakującego również węże, nawet jadowite. Żywi się także owadami i owocami. Osiąga długość do 50 cm, ciężar ciała do 8 kg. W starożytnym Egipcie zwierzę czczone i często balsamowane.

<sup>971</sup> — Wolski Tomasz (1700–1736) — znany awanturnik, niespokojny duch. Wiele podróżował. Walczył z Turkami jako dowódca floty papieskiej.

— Podobnie jak dzisiaj los zesłańców syberyjskich — dorzucił Tomasz. I zadumali się chwilę nad historią Polski, nad swoim wielkim, niemożliwym do spełnienia marzeniem: wrócić razem do Ojczyzny, wywalczyć niepodległość, w spokoju budować przyszłość... Ile o tym rozmawiali, ile snuli planów, ile wspomnień...

— Wykupem jeńców chrześcijańskich zajmowały się niektóre zakony — powiedział po chwili zadumy Tomek.

— Tak zakon trynitarzy<sup>972</sup>, których w tym celu sprowadził do Polski po zwycięstwie wiedeńskim król Jan III Sobieski i ufundował dla nich Kościół Św. Trójcy w Warszawie, na Solcu. To mój rodzinny kościół — dodał z dumą Nowicki.

— Niewielu było jednak szczęściarzy. Większość ginęła w niewoli. Niektórzy radzili sobie sami. Opowiadano mi kiedyś niewiarygodną historię o polskim jeńcu w niewoli tureckiej — zaczął Smuga. W bitwie pod Cecorą, w której zginął nasz wspaniały hetman, Stanisław Żółkiewski, został wzięty do niewoli szlachcic spod Baru, Marek Jakimowski, sprzedany później jako galernik na okręt strzegący portu aleksandryjskiego. Gdy galera przebywała na morzu Egejskim, nasz rodak zbuntował więźniów, wśród których byli Grecy, Anglicy, Włosi i Rusini. Wspólnie pobili dozorców i rozdawszy broń, po wielu przygodach, dotarli do Palermo, gdzie przyjęto ich z zasłużonym entuzjazmem.

— Poznać Polaka! — znów chwalił Nowicki. — To taki Beniowski<sup>973</sup> XVII wieku.

— Ostatnim Polakiem, który odwiedził Egipt przed przybyciem tu armii Napoleona, był 25-letni hrabia Jan Potocki — odezwał się ponownie Tomek.

— Masz ci los, jeszcze jeden arystokrata! — westchnął Nowicki.

— Przybył do Aleksandrii w końcu 1784 roku. Zachorował na febrę, którą ledwo przeżył. Stąd, przebrany za tubylca, podobnie jak my pod

---

<sup>972</sup> — Trynitarze — jeden z zakonów powstałych podczas wypraw krzyżowych (1096–1291), wykupujący chrześcijańskich jeńców i niewolników z rąk mahometan. Powołany przez Jana z Maty i Feliksa z Valois w 1198 r. Do Polski sprowadził trynitarzy Jan III Sobieski w 1685 r. i osadził we Lwowie, skąd trzy lata później przybyli do Warszawy i osiedli na Solcu, budując, stojący do dzisiaj, kościół Św. Trójcy.

<sup>973</sup> — Beniowski Maurycy August (1746–1786) konfederat barski, zesłaniec syberyjski, władca Madagaskaru. Dokładniejsze o nim informacje czytelnik znajdzie w powieści *Tajemnicza wyprawa Tomka*.

piramidami, popłynął do Kairu, gdzie przez trzy miesiące mieszkał u pewnego weneckiego kupca, po czym wrócił do Europy.

— Pewnie nudził się w tym dusznym mieście jak my — wtrącił swoje No wieki.

— Nie byłbyś tego taki pewny, gdybyś chciał obiektywnie popatrzeć na ostatnie dni — Smuga postanowił zmienić wątek rozmowy.

— Czekałem, Janie, na te słowa — uśmiechnął się Wilmowski. — Nie tak wiele się dowiedzieliśmy, a przecież najwyższy czas, aby pomyśleć nad odpowiedzią na wiele pytań. Jak wpaść na ślad okradających grobowce złodziei? Kim jest ów tajemniczy „*żelazny faraon*”, poszukiwany przez policję wielu krajów? Czy złodzieje rzeczywiście odnaleźli grób Tutanchamona, faraona, o którym tak niewiele wiadomo? Niektórzy wszak wątpili nawet w jego istnienie.

— Tak, Andrzeju — odparł Smuga. — Bardzo chciałbym wysłuchać wszystkiego, co macie do powiedzenia.

Sally już od dość dawna w zamyśleniu oglądała zrobione przez Smugę fotografie. Historia tacki z posążkami ją fascynowała najbardziej.

— Są naprawdę piękne i mogą pochodzić z grobu Tutanchamona — powiedziała w zamyśleniu. — To posążki z grobowca...

— Brr... — przerwał jej Nowicki — zdaje się, że w tym Egipcie groby będą nam towarzyszyły bez przerwy!

— Sally, po co właściwie takie przedmioty kładziono do grobowca?

— spytał Tomasz.

— To długa historia — odrzekła Sally. — Związana z wyobrażeniami starożytnych Egipcjan o życiu pozagrobowym. Ściślej z pracami, jakie po śmierci musieli wykonywać mieszkańcy zaświatów.

— To i tam trzeba było pracować? — Nowicki miał smętną minę.

— Według wierzeń egipskich życie w zaświatach było repliką ziemskiego — wyjaśniła Sally. — Za bogatych więc wszystkie prace wykonywała służba. Potem jednak pojawiła się myśl, że każdy pracuje sam! Nawet bogaci!

— O, to mi się podoba! — wtrącił Nowicki.

— Nie ciesz się za wcześnie — Sally zgasiła jego zapal. — I na to znaleziono sposób.

— Jakież to? — skrzywił się marynarz.

— Najpierw pojawiły się magiczne zaklęcia, pozwalające zmarłym unikać pracy fizycznej, a potem uszebti — magiczne figurki.

— Co takiego? — spytał Nowicki.

— Uszebti — powtórzyła Sally. — Figurki, które miały wyręczać zmarłego faraona w pracy.

— Niechże cię, sikorko! To i tam nie ma sprawiedliwości — krzywił się Nowicki.

— Tak więc posążki na naszej tacy podarował zmarłemu Tutanchamonowi jakiś życzliwy, któremu zależało, by się w zaświatach nie przepracował — powiedział Tomek.

— Tak! — z zadumą dodała Sally. — I pewnie bardzo kochał zmarłego.

— Czemu tak sądzisz?

— Bo uszebti na ogół były drewniane, a te są bardzo cenne i nie tylko z drewna, ale z alabastru i złota...

Nowicki nagle się roześmiał:

— Nie lada to pomysł z tymi figureczkami — powiedział. — Pewnie faraonowi wsadziła je do trumny żona... I nie wiem, czy akurat z miłości... Wydaje mi się, że i po śmierci chciała nim kierować...

— Co ty mówisz — obruszyła się Sally.

— No właśnie! Chyba nie lubiła, gdy mąż wojował albo bawił się w pasterza... Ciekawy jestem, w jakiej roli występuje faraon w tej czwartej, zaginionej figurce... Założę się, że w stroju myśliwego!

Sally poczerwieniała z gniewu. Zanim jednak zdążyła coś powiedzieć, włączył się Smuga:

— Bardziej interesuje mnie pytanie, dlaczego czwarty posążek został oderwany od całości.

— Może to jakiś talizman, który zabrał ów „faraon”? — podjął Tomasz.

— Skąd wiesz, że to nasz „faraon”? Może już przed wiekami ktoś oderwał figurkę od całości? Może chciał mieć Tutanchamona u siebie? — zaperzyła się Sally.

— Jak go zwał, tak go zwał — zdecydowanie przerwał te domniemania Nowicki. — Przede wszystkim mam już dość Kairu, brudu, zgiełku, smrodu... Czas ruszyć stare kościska.



— Chyba to racja. Nic tu po nas — Sally w lot chwyciła, o co mu chodzi. — Ruszajmy do Doliny Królów!

— Przypominam wam, że w przyszłym tygodniu kończy się czas, na jaki wynajęte zostało mieszkanie i naprawdę pora wyruszyć — na ziemię zawsze niezawodnie sprowadzał ich starszy Wilmowski.

— No dobrze — rzekł Nowicki — jesteśmy w Dolinie Królów i co dalej?

— Zaczynamy węszyć — odpowiedział Tomek.

— Najlepiej sprowokować do działania przeciwnika.

— Świetnie, tylko jak?

— Podamy się... choćby za handlarzy tym samym towarem — żartobliwie podsunął Nowicki.

— Zostaniemy wtedy potraktowani jak rywale. To zbyt niebezpieczne — zaoponował Wilmowski.

— E tam! O to właśnie chodzi — upierał się przy swoim marynarz.

— Mam lepszy pomysł — podsunął Smuga. — Pojedziemy jako kolekcjonerzy!

Zamilkli zaskoczeni tą prostą, a przecież bardzo trafną propozycją.

— Już kiedyś występowaliśmy w przebraniach i pod cudzymi nazwiskami — z namysłem powiedział Nowicki. — I poszło dobrze... Ale ja, chłopak z Powiśla, w roli bogatego arystokraty... To niemożliwe!

— Dlaczego nie — zaśmiał się Smuga — bogaty junkier pruski, Brol...<sup>974</sup>.

— Zgoda, Janie — nieco obruszył się marynarz. — Ale tylko pod warunkiem, że ty wystąpisz jako car Rosji.

Wybuchnęli śmiechem. Opadło napięcie dyskusji. Prosty projekt Smugi wydawał się realny. Milczał tylko starszy Wilmowski. Zdawał się wszystko raz jeszcze rozważać. W końcu powiedział:

— Posłuchajcie przez chwilę głosu rozsądku. Proponuję podzielić siły. Jedni z nas niech udadzą się na południe jako bogaci kolekcjonerzy, drudzy zaś jako zwykli turyści. Mielibyśmy wtedy grupę ubezpieczeniową...

— Masz rację, tato — powiedział Tomek. — Kolekcjonerzy nie jeżdżą chyba stadami. Załatwiają sprawy dyskretnie. Czterech to zbyt wielu.

---

<sup>974</sup> — W powieści *Tajemnicza wyprawa Tomka Nowicki* uchodził za niemieckiego pogromcę zwierząt, noszącego nazwisko Brol. *Junkier* — tu: pruski bogaty szlachcic, obszarnik.

— Nigdy nie lubiłem, gdy działaliśmy osobno — z namysłem dodał Smuga. — Ale tym razem wydaje mi się to roztropniejsze.

— Przeważnie goniliśmy, Janie, ciebie — uśmiechnął się Nowicki.

— Jak w wyprawie do Indii? Pędziliśmy za Smugą przez cały ten kraj<sup>975</sup>... — uzupełnił Tomasz.

— Tym razem więc, niech to będzie ktoś inny — odpowiedział Smuga — ja będę czuwał nad bezpiecznym przebiegiem całości.

— Zgoda, Janie! Myślę, że najlepszy będzie Tomek. Prezentuje się nie najgorzej, jest pełen młodzieńczej pasji i ma znającą się na rzeczy żonę — głośno rozważał Wilmowski.

— Myślałem tak samo — powiedział Smuga. — Ale kto z nim?

— Jak to kto!?! — obruszył się Nowicki. — Wszak ja, szanowny panie. Ja!

— Przecież nie nadajesz się na arystokratę. — Sam o tym przed chwilą wspominałeś... — przypomniał Smuga.

— A kto mówi o arystokracji? Przecież Tomek będzie potrzebował... lokaja! Prawda, ekscelencjo?! — Nowicki pochylił się przed młodym Wilmowskim w uniżonym ukłonie.

Śmiali się wszyscy.

— Cóż, Janie — łapiąc oddech, westchnął Wilmowski — my, starzy, zostaliśmy więc skazani na siebie.

W tym momencie Patryk, już znowu ożywiony, odkąd tylko zaczęli rozmawiać o wyprawie, usłyszał pukanie do drzwi. Podbiegł i otworzył je. Zobaczyli ubranego w elegancki frak mężczyznę w sile wieku. Smuga podniósł się zdumiony.

— Abeer! A jednak jesteś!

— *Salaam!* — powiedział tamten. — Jestem, by wam pomóc. Zaaprobował w pełni projekt, który mu przedstawili. Później długo w nocy konferował ze Smugą. Wyraźnie wzajemnie się o czymś przekonywali. Przechodzący obok ich pokoju Tomek usłyszał głośniejsze wypowiedziane słowa Egipcjanina:

— Powinieneś jechać! Tamta sprawa podzieliła was, ale minęło już tyle lat. Nie jesteście jednak wrogami. Czas goi rany. Rozmawiałem z nim. Wiele

---

<sup>975</sup> — Historia ta opowiedziana jest w powieści *Tomek na tropach Yeti*.

zrozumiał. Pamiętaj, że może pomóc. Wie, co dobrego i złego dzieje się w tym kraju...

Tomek wrócił do swego pokoju. Nie chciał podsłuchiwać przyjaciela, nie mógł jednak zasnąć. Rozmyślał o Smudze. Znali się i przyjaźnili tyle już lat, a przecież Smuga pozostawał ciągle tajemniczy. Co robił w przeszłości, jakie były koleje jego losu, dlaczego wyjechał z Ojczyzny, chociaż wcale nie musiał...? Także tu w Egipcie miał swoje sprawy, z których nie zwierzał się nikomu. Jakaż dramatyczna tajemnica wiązała się z wcześniejszym pobytem Smugi w tym kraju? Współczuł przyjacielowi, bo z usłyszanych przypadkiem słów wynikało, że wspomnienia ciążyły Smudze. Zasnął z ciężkim sercem.

\* \* \*

Nazajutrz Abeer uzupełnił ich plan, proponując szczegółowe rozwiązania.

Tomkowi i Sally, wyruszającym z Nowickim i Patrykiem, podsunął pomysł podróży rządowym statkiem, wyruszającym za kilka dni w górę Nilu.

— Bardzo odpowiednie dla ekstrawaganckiego, bogatego młodzieńca z Europy, zwłaszcza miłośnika Egiptu i kolekcjonera starożytności — przekonywał.

Właściwie bez potrzeby, bo zwłaszcza marynarz tęsknił za wodą.

— Natura ciągnie wilka do lasu, marynarza na wodę, a warszawiaka... — tego ostatniego członu zdania Nowicki nie skończył, ale wszyscy i tak wiedzieli, co miał na myśli...

Smuga natomiast wybierał się najpierw, i to koniecznie z Abeerem, do oazy Al-Fajjum, nie tłumacząc jak zwykle dlaczego. Wilmowski postanowił przyłączyć się do nich, gdyż świetnie odpowiadało to zamiarowi działania w dwóch osobnych grupach. Mogli, znowu za radą Abeera, dołączyć do kupieckiej karawany, wyruszającej z Kairu za dwa dni, bardzo zresztą potrzebne na dokończenie przygotowań. Mimo opóźnienia, które przy tym sposobie podróżowania trudno byłoby dokładnie wyliczyć, druga grupa miała szansę znaleźć się w porę w pobliżu pierwszej dzięki kolejowemu połączeniu między miastem Al-Fajjum, w okolicy którego się udawała, a Luksorem ustalonym miejscem spotkania.

Tyle plan, resztę dopowiedzieć miała przygoda.



## W GÓRĘ NILU

Abeer miał rzeczywiście dobre informacje. Z Bulak<sup>976</sup> odpływał do Asuanu parowiec rządowy. Portowa dzielnica Kairu z fabryką broni, żelaza i przędzalnią bawełny stawała się coraz bardziej wielkomijska. Naprzeciwko, na wyspie o tej samej nazwie, w sztucznie urządzonej grocie, mieściło się przepiękne akwarium. W jego 24 basenach pływały wszystkie rodzaje ryb żyjących w Nilu. Obejrzeni wszystko z przyjemnością. Na rządowym parostatku okazało się jednak, że wszystkie miejsca pasażerskie są zajęte. Kapitan zaproponował im krzesła na pomoście, ale przy dłuższej podróży mogło się to okazać zbyt męczące i nie za dobrze pasowało do dystyngowanego Anglika, za którego miał uchodzić Tomasz.

— Co teraz zrobimy? — Tomek poczuł się bezradny.

— Spróbujemy wynająć żaglowiec — powiedział Abeer.

— Rzeczywiście, jest ich tu bardzo wiele — zauważyła Sally.

— Te małe, nędzne noszą nazwę kanża<sup>977</sup> — wyjaśnił Abeer — ale wam nie wypada. Powinniście płynąć większą, porządniejszą daabiją, jak choćby ta — wskazał na dość dobrze się prezentujący, dwumasztowy stateczek.

— Całkiem zgrabny — ocenił Nowicki.

— Nie zapomnij, kapitanie, że jesteś lokajem — zaśmiał się młody Wilmowski.

— Niech cię o to, braciszku, lordowska główeczka nie boli. Będę znakomitym sługą — głęboko skłonił się Nowicki, błazeńsko wykrzywiając się w stronę bardzo tym rozbawionej Sally.

— Jak one będą płynąć pod prąd? — spytała po chwili.

— Mają małe zanurzenie, więc w górę rzeki łatwo popycha je wiatr, a w dół podążają same — wyjaśnił Abeer.

Zaraz potem poszedł szukać właściciela lub kapitana „*Cheopsa*”, bo tak nazywał się wybrany przezeń żaglowiec. Znalazł go łatwo, wykrzykując nazwę statku w pobliskiej tawernie. Reis<sup>978</sup>, który przedstawił się jako Abdullach, wyglądał na takiego, który gotowy byłby popłynąć nie tylko do

---

<sup>976</sup> — Bulak — port rzeczny w Kairze; wówczas położony o ćwierć mili od miasta.

<sup>977</sup> — Według innej pisowni „*Kandzija*”.

<sup>978</sup> — Reis, tu: kapitan statku.

Luksoru, ale samego piekła. Potężnie zbudowany, gruby, w złocistym turbanie, z niesfornie wymykającymi się spod niego kręconymi włosami, obdarzony tubalnym głosem, wyglądał imponująco. Spór o cenę wynajmu trwał długo, chociaż Tomasz gotów był zapłacić bez targowania, bo Egipt był dla Europejczyków tani. Istniało jednak ryzyko, że utracą szacunek załogi z kapitanem na czele. Ekstrawagancki Anglik, który z żoną i lokajem przybył na brzeg, zawzięcie więc dyskutował, przy pomocy tłumacza Araba, o kosztach podróży.

— Pyta, czy chcecie wynająć statek w rejs do miejsca docelowego, czy na określony czas.

— Jaka to różnica? — zdziwił się Tomek.

— Oj, brachu, brachu... Ogromna! Jeśli do Luksoru, to będzie im zależeć, by dopłynąć jak najszybciej. Jeśli na określoną liczbę dni, to podejrzewam, że bardzo wolno będziemy się poruszać — wtrącił się No wieki.

— Wobec tego do Luksoru — zdecydował Tomasz.

Wrócili do mieszkania, by się spakować. Rano, pożegnawszy Smugę I Wilmowskiego, wyruszyli z bagażami do portu. Tu sporządzili kontrakt na piśmie, potwierdzony przez władze. W ramach pierwszego warunku umowy i na potwierdzenie faktu jej zawarcia Tomasz nabył barana, zwanego przez reisa *maruf*, którego mieli spożyć na początku podróży, by zapewnić sobie życzliwość dżinów<sup>979</sup>. Wręczyli reisowi zadatek, pożegnali Abeera i weszli na pokład.

Daabija miała dwa maszty, jeden z przodu, a drugi na rufie. Oba uzbrojone były w trójkątne żagle, jakby zbyt duże na tak mały stateczek.

— Chyba raczej pofruniemy — zauważyła Sally.

— Turkaweczko, mylisz się. Stary wilk morski ci powiada: nasz pojazd popycha siła wiatru, która musi pokonać prąd rzeki.

Załoga, oprócz kapitana i sternika, składała się jeszcze z dziesięciu marynarzy. „*Gdzie pomieszczą się na tej małej łodzi?*” — pomyślał Tomek, widząc, że z tyłu stateczku, naprzeciw budki kucharza są tylko trzy kabiny

---

<sup>979</sup> — Dżinn — według staroarabskich wierzeń, przejętych przez islam, nieuchwytna istota przybierająca różne postacie, życzliwa lub wroga człowiekowi, obdarzona niezwykłą mocą. Często występuje w baśniach.

umieszczone pod sterówką. W tym momencie do trapu podbiegł niechlujnie wyglądający, niski mężczyzna.

— Stójcie! Zatrzymajcie się! — wołał. Tomasz i reis zbliżyli się do burty.

— Kto dowodzi tą łodzią? — nieznajomy zapytał po angielsku i po arabsku. Reis coś odpowiedział i wskazał na Tomka.

— A! To szanowny pan wynajął ten stateczek. Widzę, że niewielu na nim pasażerów. A mnie się diablo spieszy. Nie wzięlibyście mnie wraz z przyjacielem i kilku naszych ludzi?

— Płyniemy do Luksoru... — niepewnie zaczął Tomek.

— No, my trochę dalej, ale zawsze z Luksoru będzie bliżej. Bardzo proszę... Pilnie muszę jechać. Z pewnością się dogadamy.

— Ilu panów jest?

— Razem siedmiu.

— Cóż, mogłaby wchodzić w grę co najwyżej jedna kabina... — zaczął niepewnie Tomek, nie chcąc wydać się nieuprzejmym.

— Dziękuję. To nam w zupełności wystarczy. Dziękuję niezmiernie — rozmówca zareagował natychmiast i już wykrzykiwał coś w kierunku stojącej opodal grupy ludzi. Na pokład weszło dwu Europejczyków w otoczeniu pięciu Arabów. Europejczycy zajęli kabinę, Arabowie rozlokowali się na pokładzie.

— Ho, ho, widocznie jakieś grube ryby — szepnął Nowicki do Tomka. — Nawet się nie przedstawili.

— Mamy czas — odpowiedział młody Wilmowski, mierząc uważnym spojrzeniem nieproszonych towarzyszy podróży. — Chyba nie wykazałem się zdecydowaniem. Wykorzystali moje wahanie, a przecież oni także mogli wynająć jakiś stateczek...

— Właśnie! Podejrzane, że tego nie uczynili. Coś za bardzo chcieli nam towarzyszyć — głośno myślał Nowicki.

— Ech — uśmiechnął się Tomek. — W końcu jest ich tylko siedmiu!

— I to ty mówisz? — zdumiał się marynarz.

Przybyli nie wyglądali zbyt sympatycznie. Niechlujnie ubrani, nie ogoleni. Ten, który rozmawiał z Tomkiem, mógł sprawiać jeszcze niezłe wrażenie, ale drugi wyglądał na typa spod ciemnej gwiazdy. Wysoki, o szerokich barach, pochmurnym spojrzeniu. Niebieskie oczy patrzyły wokół z

dystansem i jawną pogardą. W ręku trzymał korbacz<sup>980</sup> i ze sposobu, w jaki to robił, widać było, że umie się nim doskonale posługiwać. Od początku podróży nie wypowiedział ani słowa. Na pokład wszedł bez żadnego powitania, nawet gestu czy skinięcia głową. Strzelił jedynie korbaczem, przejmując jakby stateczek w posiadanie. Pięciu Arabów towarzyszących białym zdawało się ich panicznie bać. Wszyscy byli chudzi, zamknięci w sobie i cisi. Gdy marynarze pokrzykiwali albo śpiewali, ci milczeli i smutnym wzrokiem wodzili dokoła.

Nikt z tej kompanii nie wzbudził zaufania Dinga, od początku warczącego przy każdym spotkaniu głucho i złośliwie. Zanim odbili, Nowicki wyjął ze swego podręcznego bagażu jakieś zawiniątko i zwrócił się do Tomka:

— Hejże, brachu, musimy przecież płynąć pod jakąś banderą! Najlepsza będzie ta!

Młody Wilmowski ze wzruszeniem rozwinął białoczerwony sztandar. Zastanowiwszy się chwilę, poszedł do kapitana i powiedział:

— To sztandar moich najlepszych posiadłości.

Reis zebrał załogę, ustawił w szeregu, a jednocześnie rozkazał sternikowi wciągnąć flagę na maszt. Zanim ten zdążył to uczynić, podbiegł Patryk i to on właśnie pociągnął za linkę. Przeciągły świst oznajmił rzeczemu portowi egipskiemu, że na afrykańskim lądzie znów załopotą polska flaga<sup>981</sup>. Flagą kraju, który nie istniał na mapach świata, ale żył w sercach kochających go ludzi. Kapitan salutował, majtkowie stali na baczność, pozostali w milczeniu oglądali ceremonię, a Tomek i Nowicki ukradkiem otarli łzy. Patryk dumnie spoglądał na łopoczący sztandar.

Manewrując wśród natłoku statków, żaglowiec wypłynął z portu. Stojący przy burcie Nowicki jeszcze nie ochłonął ze wzruszenia, gdy poczuł, że ktoś natarczywie mu się przygląda. Odwrócił się i napotkał ironiczny wzrok „mężczyzny z korbaczem”, jak go nazywał. Odpowiedział takim samym spojrzeniem. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Tamten zrezygnował

<sup>980</sup> — Korbacz — bicz z krótkim trzonkiem i długim, plecionym rzemieniem.

<sup>981</sup> — Tak czyniło wielu Polaków wędrujących po obcych krajach, np. Władysław Wężyk (1816–1848), gdy był w Egipcie. Czytelnicy pamiętają zapewne, że Staś Tarkowski, bohater powieści Henryka Sienkiewicza *W pustym i w puszczy*, a także Tomek Wilmowski podczas pierwszej wizyty w Afryce (*Tomek na Czarnym Lądzie*), kazali na czele swych wypraw nieść białoczerwony sztandar.



pierwszy, ale na jego ustach pojawił się kpiący uśmiech. Wkrótce zniknął wewnątrz swojej kabiny.

Tymczasem statek sunął wolno wzdłuż przedmieść Kairu: domów, meczetów, pałaców. Minął wyspę Roda i stare miasto. Spotykali dziesiątki barek i feluk załadowanych bawełną, trzciną cukrową, egzotycznymi owocami... Przepływali obok łodzi o wysokim dziobie, załadowanej glinianymi garnkami. Wokół zieleniły się brzegi Nilu. W dali strzelały w niebo piramidy w Gizie.

Zanim nadeszła noc, pasażerowie rozlokowali się, jak mogli, w kabinach. Sally z Patrykiem w jednej, Tomek z Nowickim w drugiej. Trzecią wcześniej odstąpili przygodnym towarzyszom podróży, ale trudno by to uznać za wielką stratę, zważywszy że w żadnej nie było nic prócz łóżka, stolika i stołka, z dodatkiem moskitów, pcheł, karaluchów i pluskiew, czyli owadów wszelkiej maści. Po zmierzchu niepokoiły bzykaniem i cięty niemiłosiernie. Na Tomku i Nowickim, którzy niejedno widzieli, nie robiło to większego wrażenia, ale jakoś nikomu nie było spieszo udać się na spoczynek.

Patryk dwoił się i troił, jak to miał we zwyczaju wieczorem, tak że w końcu wszystkim zniknął z oczu. Dawno już obejrzał cały statek i teraz przycupnąwszy w sterówce przyglądał się pracy sternika. Obok sterówki siedzieli, opierając się o ścianę kabiny, dwaj obcy Europejczycy. Do Patryka docierały strzępy prowadzonej po angielsku rozmowy:

— Dzisiaj?

— Jeszcze nie — zabrzmiała cicha odpowiedź.

— Et, szkoda czasu. Chyba się nie boisz? — skomentował ten pierwszy.

Patryk usłyszał jeszcze tylko cichy śmiech, ale też specjalnie nie nadśluchiwał, zupełnie czym innym bardzo przejęty. Gdybyż rano powtórzył tę rozmowę Tomkowi, kto wie, ilu uniknęliby kłopotów...

W końcu jednak wszystkich zmogło zmęczenie i spróbowali zasnąć. Długo przed świtem Sally obudziły piski szczurów. A tego było już dla niej trochę za wiele. Nie wytrzymała i czmychnęła na pokład. Otulona ciepłym arabskim szalem, z dłonią opartą na głowie Dinga, który od razu i zdecydowanie zaprotestował przeciwko noclegowi w kabinie, cierpliwie czekała na świt. Sennie snuły się wspomnienia minionych lat, już teraz, jak jej się wydawało, bardzo odległe.

— Co czeka nas tutaj? — pomyślała w końcu i znowu zobaczyła przesłoniętą kłębami fajkowego dymu twarz Smugi.

Na wschodzie tymczasem zażółcił się horyzont i ku górze, zza pustynnych, skalistych szczytów wystrzeliły różowe smugi odbite w lustrzanych wodach Nilu. Zza wzniesień wyłoniła się słoneczna kula. Sally wyszeptała słowa modlitwy przypisywanej Echnatonowi:

*Ojcze nasz — Dysku Złoty i Żywy —  
Daj siły dzieciom twoim,  
Włóż im w prawicę miecz,  
Który zniweczy zło  
I obdarzy lud wszechświata miłością*

— O czym tak marzysz, sikorko? — przerwał jej z nagłą Nowicki, który wstał wcześniej, by przyrzadzić śniadanie. Z powagą pełnił funkcję kucharza, perorując przy tym, z właściwą sobie swadą:

— Kiedyś z majtka awansowałem na bosmana, potem zrobili mnie kapitanem. Nie tak dawno otrzymałem nominację na generała. Trzeba umieć spadać z góry. Przyszedł czas degradacji, to przyszedł! Sprzedałem jacht i mam za swoje, zostałem lokajem!

Ostatnie do czego by się przyznał to fakt, że bardzo lubił przyrządzać różne potrawy. A teraz postanowił przygotować typowo arabski posiłek. Wyciągnął z *kafassach*<sup>982</sup> naczynia kuchenne i wyjął z zapasów jadane tutaj do wszelkich potraw chlebki *baladi*, które przypominałyby placki, gdyby placki składały się jedynie z twardej skóry. W kuchni już od wczoraj na wolnym ogniu gotował się bób z dodatkiem marchwi, cebulki i pomidorów. Bób przypominał gęsta kaszę rozgotowaną z mlekiem. Nowicki spróbował i skrzywił się.

— Trzeba doprawić — powiedział do Sally i zaczął dodawać do potrawy sól, pieprz, sok z cytryny, startą na miazgę cebulę, czosnek, oliwę i sok pomidorowy. Zapachniało smakowicie, więc Sally chętnie spróbowała.

— Pyszne — stwierdziła. — I prawdziwie po arabsku pachnie — dodała, wciągając powietrze przeniknięte zapachem czosnku, cebuli i przypalonego tłuszczu.

<sup>982</sup> — Kafassach — pleciona trzciniowa skrzynia.

Nowicki wycierał tymczasem łzy, o które przyprawilo go obieranie zdradliwej cebuli. Przekroili wydrażone wewnątrz *baladi*, wypełnili je przyprawionym *fulem*, po czym obudzili Tomka i Patryka.

Tymczasem muzułmańscy uczestnicy podróży rozścielili swoje dywaniki i rozpoczęli poranną modlitwę. Angielski lord, ku ich zdziwieniu, zaprosił na śniadanie obu Europejczyków oraz kapitana i sternika „*Cheopsa*”. Przeprosił też pozostałych, że nie może ich poczęstować, ponieważ ma tylko jednego lokaja. I obiecał hojny bakszysz na końcu udanej podróży.

Podróż niedługo jednak była taka spokojna. Już następnej nocy, tuż przed świtem, gdy nawet najczujniejsi ulegają zmęczeniu, od gór niespodziewanie powiał wiatr. Nie dostrzegł tego w porę marynarz na wpół drzemiący przy sterze. Wiatr wzmagął się nad wzburzoną nagle rzeką. Płytko zanurzony żaglowiec chwiał się na fali i niebezpiecznie przechylał, grożąc wywrotką.

Pierwszy obudził się Nowicki. Może kierował nim niezawodny marynarski instynkt, a może poczuł wodę w kabinie. Zerwał się i wyskoczył na pokład. Stateczek, z wzdętym na wietrze żaglem, pędził do przodu niczym koń ze spienioną grzywą. Marynarz przy sterze coś krzyczał. Nowicki jednym rzutem oka ocenił sytuację.

— Żagiel! Zwinąć żagiel! — wrzasnął po polsku, zapominając, że nikt go nie rozumie. Nie zamierzał zresztą czekać. Natychmiast zaczął się zмагаć z niepokornym kawałkiem materii. Już po chwili pomagali mu inni, wyrwani ze snu, z resem na czele. Zadanie nie było łatwe. Stateczek chybotął się i kołysał na wszystkie strony. W końcu żagiel opadł i statek zwolnił. Do rana nikt już nie zmrużył oka.

— Mieliśmy dużo szczęścia, że tylko tak to się skończyło — powiedział Nowicki do Tomka. — Przy tak małym zanurzeniu trzeba bardzo uważać na wiatr.

Podobnie myślał reis, bo niemal natychmiast, biczem wymierzył karę trzymającemu nocną straż marynarzowi. Zażądał też, aby już nie odkładać na później uroczystości przebłagania Allacha czy dżinów.

Przybili do brzegu w pobliżu jakiejś miejscowości. Jeden z marynarzy wyskoczył na ląd. Podali mu wielki, gruby, zaostrozony na końcu pał, który tamten drewnianym młotem wbijał w ziemię. Tak zacumowali.

Majtkowie zarznąli *marufa*, czyli kupionego przez Tomka barana.

— Szkoda, że tak późno — żalił się Tomaszowi reis — obyłoby się bez przygody.

Odarty ze skóry baran gotował się w kotle, a wszyscy zasiedli dokoła ogniska. Szybko dołączyła do nich ludność z pobliskiej wioski, skąd pochodził, jak się okazało, jeden z marynarzy. Nie wiadomo skąd pojawili się muzycy. Grały piszczałki i fleciki z trzciny, reis rytmicznie uderzał w tarabuk, oklejony z obu stron baraniami skórami bębenek, wiszący dotąd bezużytecznie na pomoście. Rzępoliła *rabaka*, przypominająca skrzypce. Pozostali klaskali w dłonie. Jeden, najmłodszy, wystąpił na środek i rozpoczął taniec, zwany w Górnym Egipcie *saide*. W gruncie rzeczy stał w miejscu, ale poruszał w rytm muzyki całym ciałem. Powoli dołączyli się inni. Spośród Europejczyków uczestniczył w nim Nowicki, o dziwo, niewiele ustępujący wyćwiczonym gospodarzom tej ziemi.

Zabawa trwała prawie do świtu, ale Tomek i Sally, a z nimi Nowicki, ze względu na Patryka wcześniej udali się na spoczynek. Mimo zapewnień reisa, że odtąd wszystko będzie dobrze, Tomek zabronił rozwijać żagiel nocą. Odtąd często nocowali na brzegu, w namiotach. Poruszali się zapewne wolniej, ale za to wygodniej i bezpieczniej.

## DRAMAT W BLASKU SŁOŃCA

Abeer, Smuga i Wilmowski z kupiecką karawaną opuszczali żyzną, poprzecinaną kanałami dolinę Nilu. Niewielka, złożona z dziesięciu wielbłądów karawana, równomiernie przemierzała pustynny szlak. Zwierzęta podążały jedno za drugim, cicho, z wyciągniętymi szyjami, prawie niedostrzegalnie pokonując trasę. Na czele jechał zrośnięty niemal z wielbłądem stary Arab, zawodzący posępną, melancholijną pieśń. Wtórował mu głos dzwonka u szyi zamykającego pochód dromadera.

Jechali wzdłuż ciągnących się w nieskończoność pól i osad fellachów. Mijali szare, wzniesione z suszonej cegły z nilowego mułu, lepianki z płaskimi dachami i maleńkimi okiennymi otworami. Zdziwiwały wąskie, wystrzelające w górę jak minarety, białe wieże-gołębniki, nadające wioskom fellachów w Dolnym Egipcie odmienny od innych wygląd. Południowe ściany domów oblepione były plackami z odchodów gołębi i bydła, zmieszanych ze słomą i gliną, których po wysuszeniu używa się jako jedyne go dostępnego materiału opałowego. Na pociętej kanałami uprawnej ziemi zaczynały się właśnie żniwa koniczyzny, lnu i pszenicy, którą wiązano w snopy i spławiano kanałami. Kielkowała także bawełna — ta biała królowa Egiptu. Kobiety w długich, czarnych sukniach, siedzące na polach bawełny wraz z półnagimi dziećmi troskliwie kryły za wałami ziemnymi jej delikatne kielki. Mniejsze dźwigały ku słońcu, plewiły i spulchniały ziemię, z wielką cierpliwością i pieczołowitością oglądały listki, niszcząc drobne pasożyty.

Na jednym z postojów Abeer opowiedział Wilmowskiemu, jak ważna dla Egipcjan i jak trudna jest uprawa bawełny.

— W ciągu lata mężczyźni będą wiele razy nawadniać te krzewy o żółtym kwieciu — wyjaśniał Abeer. — Żniwa rozpoczyna się wtedy, gdy zaczynają pękać brązowo-czarne torebki. Ścina się łodygi, potem zaś kobiety oddzielają białe puszyste torebki od brązowych, a dzieci zbierają do koszy odpadki. Oczyszczona bawełna czeka na handlarza z Kairu lub Aleksandrii. Następuje długi targ, im dłuższy, tym według fellachów lepszy. Wieśniak, w czerwonym fezie i niebieskiej koszuli stara się udowodnić, że jego bawełna jest najlepsza, handlarz co raz wynajduje jakieś gorsze kłaczki waty, która powinna lśnić nieskazitelną bielą. Trwa wzajemne przekonywanie,

przekomarzanie, wyśmiewanie, aż wreszcie dochodzi do transakcji. Zgromadzeni wokół sąsiedzi klaszczą w dłonie, a pisarz gminny spisuje kontrakt: tyle i tyle za bawełnę, tyle za olej i paszę z ziaren dla bydła.

— Bawełna jest największym skarbem Egiptu? — Wilmowski starał się podtrzymać tę interesującą go rozmowę.

— Tak! Zdecydowanie. Zwłaszcza od czasów Muhammada Alego i wojny domowej w Ameryce. Dla bawełny wzniesiono tamę w Asuanie, by można było w ciągu roku wielokrotnie nawodnić pola. Stary, basenowy system, znany od prawieków, przestał wystarczać.

— Na czym polegał ten system?

— Dolina Nilu podzielona była poprzecznymi kanałami na mniejsze lub większe prostokąty pól. Od pustyni oddzielał ją ochronny wał. W okresie wylewu rzeki woda płynęła kanałami na pola, zalewając je na wysokość 1–2 metrów i pozostając na nich przez pięćdziesiąt dni. Potem zaczynała opadać, cofając się tą samą drogą do Nilu. Na polach osadzał się żyzny muł.

— Ciekawe, kiedy zaczynał się wylew rzeki?

— Hm... Właśnie latem nazywanym *nili*, czyli okresem wylewu. Tu rozpoczynał się w lipcu, a na południu kraju około pięćdziesięciu dni wcześniej. W wielu miastach hucznie i radośnie obchodzono święto wylewu, coś na kształt europejskiego karnawału w Wenecji. Woda osiągała najwyższy poziom we wrześniu, po czym systematycznie opadała. Cały wylew trwał około stu dni.

— To znaczy, że teraz Nil byłby najpłytszy? — spytał Wilmowski.

— Tak! Właśnie od marca do czerwca poziom wody w rzece był najniższy — odparł tamten.

— A jeśli w jakimś roku przybór Nilu był w ogóle słaby?

— Z takim niskim stanem wód mamy do czynienia w ostatnich dwunastu latach. Kiedyś oznaczałoby to głód. Od wieków mieszkańcy modlili się tutaj o 16 łokci wskaźnika poziomu wody na nilometrach, ponieważ oznaczał dostatek. Przy 15 i 14 w domach panowały spokój i radość. Gdy przyrząd wskazywał 13 łokci, zbiory były dostateczne, ale gdy było 12 łokci, oznaczało to głód. Może właśnie dlatego pomnik Nilu przedstawia mężczyznę z szesnaściorgiem dzieci<sup>983</sup>. Ludzie próbowali sobie pomóc w rozmaity

---

<sup>983</sup> — Pomnik Nilu przedstawia leżącego mężczyznę otoczonego gromadą szesnaściorga dzieci (obecnie w Watykanie).

sposób. Do dziś znane są różnego rodzaju urządzenia nawadniające: szadufy, tambury, czyli śruby Archimedes, *sakije*...

— Ale dlaczego stary system basenowy przestał wystarczać? — powrócił do tematu Wilmowski.

— Muhammad Ali sprowadził do kraju bawełnę i trzcinę cukrową, a te wymagały innego nawadniania. Krzew bawełny w ogóle nie znosi wylewów, lecz wymaga systematycznego nawadniania.

— Rozumiem teraz. Stąd nowy, sztuczny system związany z zaporą w Asuanie. Sporo tu Egipt zawdzięcza Anglikom.

— Można by nazwać ten nowy system zaporowym. Zbudowano nie tylko tę sławną tamę w Asuanie, ale i inne: Isna, Nag Hammadi, Asjut... Zapewniają one zapas wody na cały rok.

— Ale w ten sposób traci się niesiony przez Nil żyzny muł...

— Tak — zgodził się Abeer. — System zapor pozwolił jednak powiększyć teren upraw i wydrzeć pustyni wiele ziemi...

Smuga, zajęty obserwacją odpoczywających dromaderów, dotąd niezbyt dokładnie słuchał rozmowy. Teraz jego uwagę zwrócił szereg szadufów. Wszystkie wyglądały podobnie. Na końcu długiej żerdzi wisiała lina z wiadrzem albo koszem z łyka. Drugi koniec tyki trzymał mężczyzna, który cierpliwie nabierał wodę z niżej położonego pola i przelewał wyżej, gdzie czekał, przy następnym szadufie, drugi fellach.

— Wyglądają jak stado żurawi — rzucił Wilmowski.

— Podobne studnie w Polsce tak właśnie nazywamy — odrzekł Smuga.

— To najprostszy, ręczny sposób nawadniania. Widocznie wioska jest bardzo biedna — tłumaczył Abeer. — Fellachowie potrafią w ten sposób zalać wodą półtora *feddana*<sup>984</sup> na dobę.

— A tam widzisz? — spytał Wilmowskiego Smuga, wskazując ręką. — To sakija!

— Rzeczywiście — uśmiechnął się Wilmowski. — Krowa chodzi w kółko!

— Nie krowa, lecz bawół — tym razem roześmiał się Smuga.

— Chodzi w koło i ma zawiązane oczy, by nie zwariować od tego monotonnego chodzenia.

---

<sup>984</sup> — Feddan — 0,42 ha.

— Podejźmy! — odrzekł Smuga. — Tyle tu dzieci. Rzeczywiście, przy *sakiji* kręciła się ich spora gromadka. Niektóre popędzały zwierzę, by nie stanęło. Uwiązany do dyszła bawół cierpliwie przemierzał krok za krokiem, poruszając ogromne drewniane koło, z przyczepionymi do obręczy glinianymi lub skórzanymi kubłami, które czerpały wodę z kanału, wlewając ją do rynien, rozprowadzających życiodajny płyn po całym polu. Monotonnemu, nużącemu skrzypowi kołowrotu towarzyszył śpiew chłopców.

— Czy wiecie, co śpiewają? — spytał Abeer.

— Pewnie o trudnym i nudnym życiu na wsi — powiedział markotny nagle Wilmowski, któremu przypomniały się ubogie polskie wioski.

— Właśnie, że nie! Śpiewają o pięknie życia, o radości pracy. Choć w refrenie powtarzają się przyziemne słowa:

*Przyjdź, moja owieczko, I napełnij moją sakiewkę...*

— Tak. To bardzo ważne, gdy ktoś cieszy się z tego, kim jest i co robi — powiedział Smuga.

— To, co tu widzicie, to najpopularniejszy przyrząd do nawadniania. W całym Egipcie jest wzdłuż Nilu ponad pięćdziesiąt tysięcy *sakiji*, albo podobnych do nich śrub Archimedesesa.

Wkrótce postój się skończył. Minęli, wyrastające nagle wśród pól gospodarstwo rolne, zwane tutaj *ezba*. Przejechali przez prześliczny laszek palmowy, wśród alei drzew akacjowych i sykomor. W dali zostawała wstęga Nilu i coraz mniejsze wydawały się, liliowe w blasku słońca, zakończone u szczytu bukietami liści, palmy.

Droga wiła się wśród kamiennych wzgórz. Coraz rzadziej spotykali kępki zieleni. Pod nogami wielbłądów chrzęścił piasek. Wjeżdżali w głęboki wąwóz, po obu stronach mając strome, poszarpane, złocisto-rudawe wapienne skały. Gorący wiatr prażył ich twarze i szalał w dolinie tumanami białawego, pustynnego pyłu. Przed zmierzchem zatrzymali się, by po kilkugodzinnym wypoczynku ruszyć w dalszą drogę. Zatrzymali się dopiero przed południem następnego dnia, by w cieniu piaszczystego wąwozu przeczekać upał. Abeer postanowił wspiąć się na szczyt. Chciał spojrzeć w dół, raz jeszcze na Nil i jego żyzne obrzeże, zanim na dobre zagłębią się w pustynię. Wilmowski, który tego dnia czuł się nie najlepiej, został na dole. Abeerowi towarzyszył Smuga i młody, piętnastoletni poganiacz wielbłądów. Mozolnie pięli się w



górze. Ścieżka była stroma i wąska. Miejscami przechodziła w kilkumetrowe, poziome, piaszczyste dróżki. Niektóre z nich ukryte były w wiecznym cieniu, inne tonęły w promieniach słonecznych. Wyszli właśnie na małą polanę, z gorącym od upału piaskiem.

Spod nóg smyrgnęła jaszczurka. W tej samej chwili z piasku wyprysnęła błyskawicznie czerwonobrunatna smuga, przechwyciła zwierzątko w locie i zniknęła w chmurze wznieconego między kamieniami tumanu.

— *Sahban*<sup>985</sup> — wrzasnął przeraźliwie młody Arab i krzyczał dalej rozdzierająco, przenikliwie, strasznie... Smuga dostrzegł drugi cętkowany cień i wystrzelił. Trafił w środek cielska i dobił żmiję, zgniatając jej łeb obcasem. Odwrócił się w stronę ukąszonego chłopca, który siedział oparty plecami o skałę i łkał.

— Abeer! — powiedział łowca zimno i spokojnie. — Biegnij natychmiast po przewodnika i Andrzeja. Chłopca ukąsiła żmija rogata. Biegnij!!!

Abeera jakby wywiało. Pędził w dół na złamanie karku, głośno krzyząc. Smuga tymczasem pochylił się nad młodym Arabem. Mieszając słowa arabskie z prostymi angielskimi, tłumaczył:

— Muszę wyssać ranę. Uspokój się. Będzie dobrze! Bądź dzielny! Cały czas mówiąc do rannego, wy dobył nóż i starannie wytarł go o rękaw ubrania, żałując, że nie ma choćby butelczyny rumu, by zdezynfekować ostrze. W usta chłopca wetknął rąbek jego galabii, by stłumić krzyk bólu. Unieruchomił ukąszoną rękę. Chłopiec uspokoił się i nie wyrywał jej. Był dzieckiem pustyni i wiedział doskonale, że tylko w ten sposób można uratować życie. Widział śmierć zwierząt ukąszonych przez żmiję rogatą. Strach uodpornił go na ból. Smuga kilkoma cięciami powiększył miejsce ukąszenia. Krew poczęła płynąć obficie. Pochylił się i zaczął ją wysysać, wypluwając co chwila na ziemię. Wiedział, że nawet jeśli chłopiec nie umrze w ciągu kilku najbliższych minut, szansę przeżycia będą nikłe.

Abeer dobiegł do obozu. Strzał, a potem głośny krzyk zaalarmował wszystkich. Doskonale rozumieli, że musiało się wydarzyć coś niezwykłego.

---

<sup>985</sup> — Żmija rogata (*Cerastes cerastes*) — gatunek z rodziny żmijowatych. Ma grzbiet szary albo żółtobrązowy z dużymi, ciemnobrązowymi plamami. Zamieszkuje piaszczysto—kamienne pustynie. Porusza się niezwykle szybko i zwinnie. Bardzo jadowita. Zaklinacze węży używają jej, podobnie jak kobry, do swych przedstawień.

Wilmowski nie czekając na wyjaśnienia, przygotował apteczkę i broń. Abeer zawiadomił ojca chłopca, który porwał kilka ciepłych koców i począł wspinać się pod górę. Za nim pędził Wilmowski i kilku innych członków karawany. Zastali wstrząsający widok. Smuga, z zakrwawioną twarzą, tulił do siebie chłopca, którym wstrząsały dreszcze. Ziemia wokół była czerwona i wilgotna od krwi. Wilmowski zabandażował ranę, a ojciec chłopca zawinął go w przyniesione koce i zaniósł do obozu. Bez przerwy poili chorego zsiadłym mlekiem z wodą, starannie dbając o to, by był przykryty kocami i obficie się pocił.

Wieczorem ktoś przyniósł wyprawioną skórę gada. Wywołało to dyskusję o żmijach i szansach chłopca.

— To jedna z najbardziej jadowitych żmij — mówił Smuga. — Ale jeśli chłopiec dotąd żyje, to z godziny na godzinę wzrasta prawdopodobieństwo, że wyjdzie z tego cało.

Abeer uważnie przyglądał się skórze. Był to duży okaz, mierzący około metra. Cała czerwono-brunatna skóra pokryta była różnokolorowymi cętkami.

— Ma zmiażdżoną głowę, w przeciwnym razie zobaczylibyśmy rodzaj daszku nad oczyma, gdzie skóra jest stwardniała, zrogowaciała — ciągnął Smuga. — Trzeba bardzo uważać. Żmija rogata chowa się bowiem starannie w piasku, zakopuje w nim, wystawiając na zewnątrz tylko oczy. A uderza rzeczywiście błyskawicznie. Poluje zresztą w zasadzie nocą. Gdy sahban atakuje, jest tak szybki, że nikt nie ma szans. Tu mieliśmy dużo szczęścia, bo żmije były dwie. Gdy pojawiła się pierwsza, wyciągnąłem instynktownie broń i dlatego mogłem strzelić do drugiej. Niezbyt precyzyjnie zresztą.

— Nie mów tak, Janie. To był kapitalny strzał — rzekł Wilmowski.

— Trzeba też dużo odwagi, by zatłuc gada butem — dodał Abeer.

— Nie było to trudne, bo żmija wiła się w kółko — uśmiechnął się Smuga.

— Miejmy nadzieję, że chłopiec przeżyje — westchnął Abeer.

Gdy wyruszyli dalej następnego dnia, młody Arab żył. Na przemian odzyskiwał i tracił przytomność. Abeer spędzał przy nim wiele czasu, starannie przykrywając kocami i zraszając gorące czoło chłodnymi kompresami.

Gdy byli o dzień drogi od Al-Fajjum, wiadomo już było, że kryzys minął, a syn przewodnika przeżyje niebezpieczną przygodę. Jego ojciec nie wiedział, jak wyrazić Smudze swą wdzięczność:

— Niech Bóg będzie dla ciebie zawsze miłosierny i pozwoli ci mieszkać w ogrodach rajy — mówił. — A twym dzieciom niech ześle sukcesy i dar pobożności.

— Dobrze, że nie ma tu Nowickiego — śmiał się Smuga. — Dopiero by mi wypominał te życzenia.

Dotarli niebawem do jeziora Briket Kuarun. Wprost z pustyni wkraczali teraz do „*kraju róż i wina*”. Zanim rozstali się z karawaną, jej przewodnik zatrzymał ich u siebie w gościnie. Aby wyrazić wdzięczność, podarował Smudze jednego ze swych wielbłądów. Był to dar królewski. W zamian Smuga zostawił mu, jako pamiątkę, skórę zabitego sahbana.

Abeer chciał spędzić trochę czasu z chłopcem, który się bardzo do niego przywiązał. Smuga i Wilmowski wybrali się zatem na spacer brzegiem jeziora.

— Gdzież ty, Janie nie byłeś... Okazuje się, że i Egipt znasz tak dobrze... Smuga zaśmiał się gorzko...

— I wszędzie moim śladem idą najdziwniejsze przygody, chcesz zapewne powiedzieć. Jestem już tym zmęczony.

Długo szli w milczeniu, słuchając głosów przyrody.

— Czasem zdaje mi się, że życie człowieka jest misją i nie pozostaje nam nic innego jak tylko ją podjąć — powiedział w końcu Wilmowski.

Przysiedli na skraju jeziora w zacisznym cieniu palm. Smuga zmrużonymi oczami wpatrywał się w horyzont.

— Może masz rację... A w Egipcie byłem już kilka razy. Ostatnio w przykrym okresie napięcia między Anglikami a miejscowymi. To było między wyprawą Tomka i Nowickiego do Meksyku a wiadomością, która spowodowała moją pospieszną podróż do Indii. Zarabiałem wówczas na życie jako tropiciel i myśliwy. Wśród angielskich oficerów i dyplomatów byłem dość wziętym łowcą, ze względu na dobre stosunki z miejscowymi. Do dziś pamiętam to polowanie... Miałem nim kierować. W ostatniej chwili coś mi wypadło i musiałem wyjechać na kilka dni. Poprosiłem znajomego o zamianę... Gdy wróciłem, zastałem piekło. Otóż jeden z oficerów postrzelił żonę fellacha z wioski Danszawaj, w pobliżu której odbywało się polowanie.

Smuga przerwał. Wilmowski obserwował go. Zastanawiał się, ile tego silnego mężczyznę kosztuje zewnętrzny spokój. Znał go od lat. Wiedział, że w trudnych czy niebezpiecznych chwilach jego twarz nieruchomieje, a wzrok staje się zimny, stalowy. Podobnie było i teraz. Z jedną tylko różnicą, że zamiast w niebezpieczeństwo teraz wpatrywał się w samego siebie.

— W odwecie fellachowie zaatakowali myśliwych. Po obu stronach byli ranni, a jeden z nich — tak się nieszczęśliwie złożyło, że był to Anglik — umarł... Przyjaciele mówili mi, że gdybym był, nie doszłoby do walki. Możliwe, że mieli rację. Dobrze znałem fellachów. Wierzyli mi. Cenili mnie także Anglicy. No cóż, nie da się już tego sprawdzić. Ale to jeszcze nie wszystko. Wiadomo było już wcześniej, że w niektórych środowiskach egipskich budzi się poczucie narodowej tożsamości. Tego Anglicy bardzo się obawiają. Nieszczęsne wydarzenie uznano więc za bunt. Nie na wiele się przydało, że walczyłem usilnie z taką interpretacją.

Smuga zamilkł. Zdawało się, że raz jeszcze waży argumenty, których mógł wtedy użyć.

*„Wiem, że zmarły był oficerem, ale to był wypadek! Tragiczny splot okoliczności! Prestiż armii brytyjskiej nie ucierpi, jeśli wyrok będzie łagodny. Ostrzegam przed konsekwencjami karania całej wioski. Ile jeszcze trupów pragniecie panowie dodać do tego jednego?!”*

Po chwili podjął wątek.

— Mówiono potem, że gdyby nie działalność kilku ludzi, w tym moja, wyrok byłby o wiele surowszy. A tak... Powieszono czterech fellachów... *„Tylko czterech”*, jak mówiono. Innych zaś wychłostano. Było to w lipcu 1906 roku.

Smuga wolno wyciągnął fajkę. Poczęstował tytoniem Wilmowskiego i obaj zapalili. W dali huknęły dwa strzały i poderwały się stada ptaków. Ktoś widocznie polował. Prześlizgnęły się dwie *feluki*, tuż obok wolno przepłynął jakiś rybak.

— Trudno cię winić, Janie — powiedział Wilmowski.

— Toteż się nie winie. Czuję się tylko odpowiedzialny — odrzekł Smuga. — To tylko takie fatum, złośliwy los... Tysiąc razy może sprzyjać, a raz — nie... — dodał. — Widzisz, Andrzeju, jednym z powieszonych był krewny najbliższego mi w Egipcie człowieka. Bliższego niż Abeer... To syn Kopta i Arabki, przypadek bardzo rzadki w Egipcie. Do niego właśnie

jedziemy. Pełni zaszczytną tutaj funkcję szejka, to jest wójta gminy<sup>986</sup>. Ale niezależnie od tego był i jest znaną i cenioną osobistością.... Nie widzieliśmy się od tamtego lipca, ponieważ on mnie winił i nie chciał widzieć. Rozumiałem go w jego żalu i uczuciu zawodu. No a potem... Potem wyjechałem na wyprawę do Indii<sup>987</sup>. Wydawałoby się, że minęło już tyle lat, a kiedy znów zobaczyłem Egipt, wszystko wróciło.

\* \* \*

Niemal w tym samym czasie to samo wspomnienie ciążyło innemu człowiekowi. Jusuf Medhat el Hadż, szejek niewielkiej wioski opodal Al-Fajjum, także raz jeszcze ważył wszystkie racje. Był wówczas nadirem jednego z obwodów w delcie Nilu, z urzędu odpowiedzialnym za to fatalne polowanie. Mógł próbować zdobyć się na sprzeciw, choć wiadomo było, że sprzeciw byłby bezskuteczny. Ale wierzył człowiekowi, który miał je poprowadzić. Uznał później, że ów człowiek go zawiódł.

Po wydarzeniu, które rozdzieliło ich skuteczniej niż lata, miał teraz spojrzeć w twarz przyjaźni, odrzuconej niegdyś w geście rozpaczony i pogardy. Czekał na to w rozterce i, podobnie jak Smuga, ponownie ważył wszelkie racje.

Jusuf Medhat el Hadż nie wiedział, jak przyjąć w swym domu dawnego przyjaciela. Myślał już tylko, że słońce świeciło wtedy tak jak i dzisiaj...

\* \* \*

Abeer, Smuga i Wilmowski zatrzymali się w Al-Fajjum w znanym Abeerowi hotelu. Nazajutrz wyruszyli do wioski. Dotarli tam tuż przed porą sjesty. Powoli przejechali przez plac, minęli kobietę pędzącą obładowanego osła, chłopca spieszącego gdzieś na wielbłądzie... Zatrzymali się u progu okazałego, bardziej może od innych zadbanego domu. Zsiedli z wielbłądów. Gospodarz czekał ich w progu. Wilmowski przyjrzał mu się uważnie. Postawny, wysoki, ubrany w białą galabiję, o szlachetnych rysach twarzy.

---

<sup>986</sup> — Stanowiska urzędników egipskich: mudir — gubernator, naczelnik prowincji, także dyrektor; mamur — prefekt, naczelnik departamentu; nadir — naczelnik obwodu; szejek — wójt, naczelnik gminy.

<sup>987</sup> — Smuga wyjechał wówczas do Indii. Historia jest opowiedziana w powieści *Tomek na tropach Yeti*.

Kruczoczarne, gęste, kręcone włosy i siwiejąca wąska bródka dodawały mu powagi. Czekał w milczeniu.

— Witaj... — zwrócił się do Smugi i z lekką ironią dodał — *effendi!*<sup>988</sup>  
Witajcie, panowie! — swobodnie szerokim gestem zaprosił ich do środka.

Rozmowa, mimo wysiłków Abeera, nie kleiła się. I Smuga i Jusuf omijali drażliwy temat, jakby lękali się go poruszyć. Zaczął wreszcie Smuga:

— Minęło kilka lat, odkąd opuściłem ten kraj.

— Pamiętam — odrzekł Jusuf.

— Wezwał mnie brat. Umierał — wyjaśnił Smuga.

— Wiem, co to znaczy, gdy umiera ktoś bliski. I niespodziewanie.

— Wiemy więc obaj. Przyłączył się do nich Abeer.

— Wasze serca drżą — powiedział uroczyście. — Niech rozmowa złagodzi ich drzenie i będzie kojącym balsamem na rany. Zostawimy was samych.

Spacerowali z Wilmowskim wzdłuż kanału nawadniającego pola konopi i lnu.

— Przedtem uprawiano konopie tylko jako środek odurzający — wyjaśnił Abeer. — Muhammad Ali nakazał powszechną ich uprawę, bo brakowało żagli dla floty. A ponieważ nie było także drewna na okręty, kazał sadzić akacje. Przemieszane są tutaj z palmami i drzewami oliwnymi. W samym tylko Al-Fajjum zasadzono trzydzieści tysięcy oliwek.

Kiedy wrócili, Smuga przekazywał w ręce Jusufa uzdę swojego wielbłąda. W Al-Fajjum kupili dla niego nową kosztowną uprząż i siodło. Zwierzę było młode i wyglądało pięknie.

— Niech ten dar przypomina życzliwość i siłę przyjaźni — mówił właśnie Smuga.

— Stara mądrość powiada, że „wielbłąd nigdy nie zapomina krzywdy” — uśmiechnął się Jusuf. — Dobrze, że człowiek nie jest wielbłądem... Dziś zyskałem wielbłąda i odzyskałem przyjaciela.

Posadził zwierzę na ziemi i dosiadł go. Objechał wolno, majestatycznie podwórze.

— Świetny, młody dromader. Będzie wiele lat służył w moim domu. Teraz dopiero rozluźniła się atmosfera. Rozmawiali swobodnie, żartując. O polityce, rodzinie, o starych czasach...

<sup>988</sup> — Effendi (ar.) — zwrot grzecznościowy.

— Co porabiają twoi synowie? — spytał Smuga. Jusuf uśmiechnął się.

— Porzekadło głosi, że wielbłąd ma swoje sprawy, a poganiacz swoje... Mają swoje sprawy. Obaj są razem, ale daleko. Wybrali trudne życie. Mieszkają w Asuanie i prowadzą karawany w górę Nilu. Do Sudanu i dalej... Serce ojca jest czasem bardzo niespokojne...

— Może Allah skieruje nasze kroki w tamte strony — powiedział Abeer.

— Wybieracie się aż tak daleko?

— Może tak, może nie... Do Luksoru na pewno. Szukamy złodziei okradających grobowce — wyjaśnił Smuga.

— Hm... To trudne... ale mądrzy ludzie w Egipcie powiadają, że kto ma głowę na karku, ten i czapkę zdobędzie.

— Ale fez zdobi tylko twoją szlachetną głowę... — zaśmiał się Smuga. — Niewiele jeszcze wiemy, choć to i owo słyszeliśmy.

— Jak mówią mędrzy, zanim zdecydujesz się na jakiś krok, sprawdź, czy masz nogi... Co już wiecie?

Opowiedzieli mu wszystko. Długo milczał, zanim odpowiedział.

— Al-Habiszi, aleksandryjski kupiec, to uczciwy człowiek. Jeśli kazał szukać w Kairze, to cenna wskazówka... Ale, dobrze, że tutaj jesteście. Nawet tu docierają różne wieści. Nie spiesz się ten, kto chce osiągnąć swój cel. Szajka jest dobrze zorganizowana. Spróbujcie szukać w wioskach koło Teb i wśród tamtejszych handlarzy. Lecz to początek, ręce całej tej bandy, a muszą być i nogi. Kto i do jakiego portu dostarcza towar? Jeśli nie do Aleksandrii, to gdzie? Może to być Port Said, a może któryś mniejszy... No i wreszcie głowa: ta z pewnością jest w Kairze...

— A „faraon”? — spytał Abeer.

— Chyba nikt ważny, chociaż może dużo wiedzieć — odrzekł Jusuf. I po chwili milczenia dorzucił:

— Według mnie to pośrednik. Zamyślili się.

— Dziwię się — podjął rozmowę Jusuf — że Ahmad al-Said, człowiek bardzo bliski kedywowi, o niczym nie wie. Nie ufałbym mu.

— Dlaczego? — rzeczowo zapytał Smuga.

— Cóż, może to tylko złe przecucie. Ale mówią o nim, że dla interesu gotów jest osła w ogon całować!

Ostatnie słowa Jusufa, zaniepokoiły ich bardzo. Postanowili jak najszybciej wracać do Al-Fajjum. Smuga starał się przypomnieć sobie szczegóły rozmowy z urzędnikiem kedywa. Czy Ahmad ukrył coś przed nimi? Z czym mogli się przed nim zdradzić? Od odpowiedzi zależało wiele. Tomek i Sally mogli być w niebezpieczeństwie!



## NOCNY NAPAD

Wiatr, jakby wyczerpał swą moc podczas nocnego zrywu, wiał coraz słabiej aż wreszcie zupełnie ucichł. Żagle smętnie opadły, a statek niemal stanął w miejscu... Dopiero teraz stało się jasne, do czego potrzebna jest tak liczna załoga. Wszyscy oprócz reisa i *mestamela* czyli sternika chwycili za wiosła i rozpoczęli mozolne przepychanie się pod prąd. W pewnym momencie zachodnie wybrzeże rzeki przeszło w łagodną plażę. Teraz wioślarze porzucili wiosła i chwytając grubą linę, pospiesznie opuścili pokład. Za pomocą tej liny holowali statek wzdłuż brzegu w rytm ni to krzyku, ni to śpiewu, podczas gdy sternik wypatrywał z dziobu mielizn.

Na brzeg wyszli wraz z załogą Tomasz i Nowicki. Ten pomagał w trudniejszych momentach. Tomek zaś rozglądał się za ptactwem, aby ustrzelić coś na wieczkę. Holowanie odbywało się tak szybko, że ledwo nadążał za silną załogą. Wkrótce zresztą sternik zasygnalizował płyciznę. Holujący szybko wdrapali się na pokład i próbowali ją ominąć, spychając statek za pomocą długich drągów. Kiedy się nie udało, skoczyli do wody i poczęli ciągnąć, spychać, podpierać drągami oporny żaglowiec. Nowicki miał oczywiście ręce pełne roboty, gdyż nic nie mogło powstrzymać marynarza od zmagania się z wodą. Sally i Patryk, zupełnie bezczynni, przypatrywali się brzegom, co samo w sobie okazało się bardzo interesującym zajęciem.

Utknęli bowiem naprzeciw gęstego palmowego gaju. U brzegu rzeki i w głębi, w maleńkim błotnistym jeziorku, brodziły smukłe żurawie<sup>989</sup>, z charakterystycznym, rozszerzającym się ku tyłowi głowy czerwonym paskiem i czubem wąskich, sztywnych, przypominających koronę piór na głowie. Ogromne białe pelikany<sup>990</sup> z bardzo długimi niemal prostymi dziobami co chwila nurkowały, wynurzając się ze złowioną rybą, którą wrzucały szybko do wielkiej skórzanej kieszeni pod żuchwą.

---

<sup>989</sup> — Żurawie (*Grus grus*) — gatunek ptaków z rodziny żurawi (*Gruidae*). Tu: prawdopodobnie żuraw koroniasty (*Balearica pavonica*), licznie występujący w Afryce. Osiąga długość 105 cm, rozpiętość skrzydeł — 50 cm. Zamieszkuje teren otwarty, często na skraju bagien i jezior. Żywi się małymi zwierzętami jak żaby, małe gady, owady, czasem zjada ziarno.

<sup>990</sup> — Pelikany (*Pelecanidae*), rodzina z rzędu pełnopłetwych. Liczy 6–8 gatunków. Długość 125–185 cm. Dobrze latają, świetnie pływają i nurkują. Żywią się rybami i skorupiakami.

— Wujku! Gęsi — krzyknął Patryk, chcąc zwrócić uwagę Tomka.

— Rzeczywiście, można powiedzieć, że duże gęsi — ze śmiechem zgodziła się Sally.

— Może raczej łabędzie — dopowiedział Tomek. — Tylko większe, no i te dzioby.

— Porównując je z kaczkowatymi łabędziami, które żywią się przecież roślinami — trochę im ubliżamy — zauważyła Sally. — Te to drapieżniki.

— Przesadzasz, Sally — uśmiechnął się jej mąż. — Skoro żywią się rybami, to jeszcze nie można ich zaliczyć do drapieżnych. Sokoły, orły, kondory, jastrzębie, krogulce, a nawet popularne myszołowy i pustułki na pewno by się obrażyły<sup>991</sup>.

— To raj dla łowców ptaków — szepnęła Sally.

— I dla ich miłośników, ale także, niestety, dla myśliwych...

— Tomku! Patryku! Spójrzcie! Ibisy! — podnieconym głosem przerwała mu żona.

— Gdzie? — spytał Tomek.

— Tam — pokazała ręką.

Na gałęzi jednej z palm przysiadły dwa duże, przeszło półtorametrowej długości ptaki. Ze lśnącymi białymi piórami kontrastowała czarna szyja, głowa i dziób. Ogon, również czarny, przypominał trójkąt.

— Przypatrzcie się uważnie! — z podnieceniem zawołał Tomek. — Sally! Patryku! Czy wiecie, jaki to gatunek ibisów?

— Czyżby to był...

— Tak, tak, Sally. Ibis czczony<sup>992</sup>! A mówiono mi, że już przeszło 30 lat temu wyginął w Egipcie.

Patryk pobiegł za Dingiem, obaj straszliwi ptaki, które zrywały się na chwilę, by usiąść znowu...

— W czasach faraonów mówiono, że ptak ten tak kocha swoją ojczyznę, iż przeniesiony do innego kraju, zatęskniłby się na śmierć — z przejęciem powiedziała Sally.

— Może właśnie powrócił z emigracji albo...

<sup>991</sup> — Tomek wymienia ptaki z rzędu drapieżnych (*Falconiformes*).

<sup>992</sup> — Ibisy (*Threskiornithidae*) rodzina z rzędu brodzących, licząca 28 gatunków, w tym m.in. ibisa czczonego (*Threskiornis aetiopica*), którego kult związany był z faktem, że pojawiał się liczniej w okresach wzrostu poziomu wody w Nilu. Długość do 60 cm, rozpiętość skrzydeł 130 cm.

— Albo? — Sally powtórzyła pytająco.

— Albo przenieśliśmy się w epokę faraonów. Tylko popatrz na przyrodę, na zmagających się z nią ludzi... Nic się prawie nie zmieniło od tysiącleci.

— Możliwe, że rzeczywiście jesteśmy w epoce faraonów. To przecież wielkie szczęście ujrzeć tego ibisa, szczególną własność księżycowego boga Totha. Bóg ten przedstawiany był w ludzkiej postaci, ale często z głową ibisa. Białe upierzenie ibisa oznaczało światło słoneczne, skóra szyi i głowy — cień księżycowy. Zabicie ibisa traktowano jak zbrodnię. Uznawano go za świętego ptaka.

— Podobnie jak wiele innych gatunków ptaków i zwierząt — dodał Tomek.

— Owszem. W Egipcie czczono koty, krokodyle, żuki skarabeusze, czaple, byki, psy, szakale, pawiany, lwy...

— Podobnie jak w wypadku świętych krów w Indiach wiąże się to pewnie z przyczynami także pozareligijnymi.

— Oczywiście, ibis jest ptakiem pożytecznym. Zjada węże, owady, robaki, małe gady — potwierdziła Sally. — Najbardziej ceniono go za pożeranie krokodylich jaj. Och! Tommy! Popatrz tylko, jak śliczne są te flamingi!<sup>993</sup>

— Czerwonaki małe, najpopularniejszy gatunek z rodziny czerwonaków. Jest ich tu cała kolonia.

W wodzie brodziło z zanurzonymi dziobami stado sporych, białych ptaków z zaróżowionymi końcami skrzydeł i różowymi nogami. Mąciły muł nogami, wyławiając głównie rośliny, stanowiące podstawę ich pożywienia. Sally rozbawiło skojarzenie ze strusiami, chowającymi głowę w piasek. A Tomek wypatrzył wreszcie cel i zdjął z ramienia sztucer. Wkrótce na ziemię spadło kilka gołębi i turkawek. Digno aportował je z zapalem.

Do wieczora niewiele pokonali drogi, a zmęczenie sprawiło, że postanowili przenocować na statku przycumowanym przy lewym brzegu Nilu. Nikomu nie chciało się rozbijać namiotów. Nowicki zdobył skądś gęste siatki, rodzaj moskitiery, i powiesił je w drzwiach obu kajut.

---

<sup>993</sup> — Czerwonak mały (*Phoeniconaias minor*), najliczniejszy gatunek z rodziny czerwonaków czyli flamingów, powszechny w południowo-wschodniej Afryce.

— Może ochroni to twój sen, Sally — powiedział. — Zapraszam jutro na śniadanie. Obudzę waszą hrabiowską, przepraszam, lordowską wysokość — poważnie skłonił się Tomkowi.

— Och, może wreszcie się wyśpię — westchnęła Sally, a Tomasz dodał, parodiując modlitwę:

— Niech siatka ta ochroni uszy nasze od brzęczenia, a ciała od ukąszeń. Swędzą bowiem niemiłosiernie.

Grubo po północy czyjeś szybkie ręce skrępowwały mocno człowieka drzemiącego przy sterze. Ocknął się mocno związany i zakneblowany. Dostrzegł ciemne sylwetki przemykające ku pasażerskim kajutom. Aby ostrzec śpiących pod sterówką ludzi, delikatnie, ale regularnie zaczął uderzać stopą o podłogę.

Przed drzwiami kabiny zajmowanej przez Tomka i Nowickiego stało czterech ludzi. Jeden z Europejczyków, uzbrojony w rewolwer, szeptem wydawał rozkazy uzbrojonym w długie noże Arabom. Przywódca wymownym gestem przejechał ręką po swoim gardle i szarpnął drzwiami.

Tomek i Nowicki spali twardo. Ale lata wędrówek i wiele przeżytych niebezpieczeństw wyrobiły w nich jakiś dodatkowy zmysł. Obudzili się niemal równocześnie. Tomek sięgnął po kolta — prezent od Smugi.

Nowicki szeptem zapytał:

— Brachu, słyszysz? — szepnął Nowicki.

— Coś się dzieje. Stuka miarowo, jakby chciał ostrzec.

— Jakiś ruch na zewnątrz...

W tym samym momencie ktoś spróbował sforsować wejście. Nie przewidział jednak ochronnej siatkowej zapory i zaplątał się w nią. Kolejny napastnik machnął długim nożem i przeciął siatkę, ale już w następnej chwili wypadł z kabiny z kulą w ramieniu. Za nim, jak burza, ruszył Nowicki, ale strzał oddany z kilku metrów rozorał mu policzek i na chwilę go zamroczył. Tomek spudłował i nagle poczuł potworny ból dłoni. Dosięło go uderzenie korbacza, po którym upuścił broń. Dingo zaatakował jednego z Arabów, który opędzał się przed nim nożem. A już i Nowicki otrząsnął się z zamroczenia, i rozprawił z kolejnym napastnikiem, po prostu wyrzucając go za burtę. Potem z szybkością, o którą nikt by go nie podejrzewał, ruszył w stronę Europejczyka, który używał bicia. Zderzyli się z impetem i wściekłością. Obaj upadli na pokład. Przeciwnik marynarza poderwał się pierwszy. Teraz

mógł użyć korbacza, a w jego rękach była to broń straszna i niezawodna. Bicz strzelał, świstał i wił się niczym niesłychanie niebezpieczny wąż. Nowicki cudem unikał z nim kontaktu i zaczęło mu się wydawać, że przeciwnik tylko się nim bawi. Bicz właśnie ze świstem otarł się o jego włosy.

— Teraz kolej na ucho — usłyszał zachrypnięty, szyderczy głos.

W sukurs przyszło zawołanie Zagłoby: „*Fortelem go, fortelem!*”. Nie podnosząc się, przekoziółkował w stronę przeciwnika i chwycił go w pól. Rozpoczęły się zapasy. W zwarciu bicz nie mógł być użyteczny. Także Tomek błyskawicznie podniósł swego kolta i powoli zaczęli wraz z Nowickim zdobywać przewagę. Nim mieli jednak czas, by ogarnąć niezwykłą sytuację, by zrozumieć, co może oznaczać fakt, że w starciu z nimi nie uczestniczy drugi z Europejczyków, ten nagle pojawił się na pokładzie.

— Spokój! — krzyknął krótko.

Nowickiego i Tomka okrzyk ten zatrzymał skuteczniej niż zrobiłby to strzał z rewolweru, który mężczyzna pewnie trzymał w dłoni. Obok niego, tuż przy ścianie swojej kajuty, stała bowiem Sally z rękami na karku i trzymany za włosy Patryk. Tomek zamarł, a Nowicki odepchnął przeciwnika i nie reagował, mimo że ten wyraźnie nie miał zamiaru dać za wygraną. Wręcz przeciwnie. Z pełnym okrucieństwa uśmiechem zamachnął się biczem...

— Spokój, Harry, przecież mówiłem! — jego towarzysz powtórzył z naciskiem. — A ty — zwrócił się do Tomka — rzuć broń!

Tomek położył rewolwer na deskach pokładu, tuż przed sobą.

— Powoli! — dyktował. — I uspokój psa.

Tomek zagwizdał na Dinga, który przywarował u jego stóp. „*Stoję za daleko, by zaatakować... Zdąży strzelić do Sally... Może poszczuć psa... Nie, to zbyt ryzykowne... Czegóż, u diabła oni chcą?*” — tłoczyły się chaotyczne myśli.

— Czego od nas chcecie? — bezwiednie powtórzył na głos. Kątem oka dostrzegł jednak, że na dachu kajuty Sally pojawił się ciemny zarys potężnej postaci.

— Czego, do licha, od nas chcecie! — rzucił podniesionym głosem.

— Kopnij w moją stronę rewolwer — padła spokojna odpowiedź. Zanim Tomek zdążył ruszyć nogą, zaświstał korbacz i kolt potoczył się po deskach pokładu. Rozległ się głośny śmiech Harry’ego.

I nagle wypadki znów potoczyły się z szybkością błyskawicy. Z dachu zwała się potężna postać. Pod ciężarem reisa napastnik, który sterroryzował Sally, upadł na deski, wypuszczając broń. Wtedy z zadziwiającą szybkością zareagował Patryk. Podniósł i rzucił Tomkowi jego rewolwer. Tomek chwycił kolta w locie i wystrzelił do biegnącego w jego stronę Araba. W tym samym momencie załoga statku włączyła się do walki po stronie napadniętych. To przesądziło sprawę. Napastnicy czmychnęli na ląd. Nowicki jeszcze rozejrzył się za Harrym, lecz tamten, atakowany przez dwu marynarzy, dał sobie z nimi bez trudu radę i również podbiegł do burty. Zanim wyskoczył na ląd, odwrócił się, machnął korbaczem i krzyknął do Nowickiego:

— Jeszcze się spotkamy, ty bryło mięsa!

Na statku pozostał jedynie Arab ranny w pierwszym starciu i drugi, obezwładniony przez załogę. Tomek rozejrzył się za Sally. Stała wciąż przy kajucie, opierając się plecami o ściankę, uzbrojona w rewolwer odebrany napastnikowi. Drugą ręką trzymała za obrozę zdeorientowanego psa, który warczał teraz na każdego przechodzącego Araba. Na chwilę przytulili się do siebie, ale Sally już miała mnóstwo roboty. Jak przystało na córkę australijskich pionierów, szybko zajęła się rannymi. Opatrzyła najpierw Nowickiego, którego twarz była nieźle pokiereszowana, a odzież w strzępach.

— Znów miałeś szczęście, Tadku. Śmierć spudłowała tym razem o włos. Gdyby kula trafiła nieco w bok...

— Gdyby, sikorko, gdyby... Za duże mam doświadczenia, żeby tak marnie zginąć — wesoło mrugnął do Sally.

Obejrzała się za innymi, ale ci poradzili sobie sami. Opatrzyli również rannego z ramieniem przeszytym kulą na wylot. Ranę zasypano warstwą prochu, który podpalamo. Potem polano ją dość gorącą oliwą. Ranny nawet nie jęknął, ale... zemdłał z bólu. Sally pozostało więc jedynie obandażowanie rany.

Patryk, który gdzieś się znowu zawieruszył, wkroczył na pokład.

— Oni wszyscy uciekli... — powiedział.

— Nieznośny pędraku — westchnął Nowicki, gładząc go po głowie. — Przecież mogli zrobić ci coś złego.

— Wcale mnie nie widzieli, wujku — uspokoił go chłopiec.

Nie było sensu dalej tkwić w miejscu, tym bardziej że wiatr znowu ożył.

Kiedy ruszyli w drogę, przyszła kolej na mozolne śledztwo. Pytania zadawał Tomek, tłumaczył je reis. Z odpowiedzi jeńców wynikało, że był to napad rabunkowy.

— Nie bardzo chce mi się w to wierzyć — powiedział do przyjaciół Tomek, kiedy skończyli. — Wątpię, by na tę nikłą zdobycz, jaką stanowimy, połamomili się ci dwaj Europejczycy.

— Do stu beczek zjełczanego tranu! — zaklął Nowicki. — Przecież chcieli nas zamordować!

— Czułam, że ten, który nas sterroryzował rewolwerem, gotów był do mnie strzelić. Był bardzo brutalny — powiedziała Sally.

— Ale powód, Tadku, jaki mieli powód? — w głosie Tomka brzmiało napięcie.

— Przecież, brachu, nie jedziemy na wycieczkę — obruszył się marynarz.

— Zakładasz związek ze sprawą „faraona”?

— A jak to inaczej wytłumaczyć?

Tu wreszcie udało się włączyć Patrykowi, który opowiedział treść niezrozumiałej wtedy dla niego, podsłuchanej pierwszej nocy rozmowy.

— To znaczy, że o nas wiedzą? — zdumiał się Tomek.

— Tak by wynikało! — marynarz był pewny swego.

— Ale skąd? Czyżby ktoś nas zdradził?

— A czy ja wiem?

— Może się coś wyjaśni, gdy oddamy jeńców w ręce władz — łudził się Tomek.

— W ręce władz... Hm... — w głosie Nowickiego brzmiało coś więcej niż wątpliwość.

— Nie mamy wyjścia, Tadku! Przecież to złoczyńcy.

— No, w końcu niczego takiego złego nam nie zrobili, a i tak dostali za swoje. Mam propozycję. Porozmawiam z resem, może ich przekona... Powiem, że puścimy ich wolno, jeśli powiedzą prawdę...

— Może masz i rację — zmiękł Tomek. — Tylko że mnie nie bardzo wypada poddawać taką myśl.

— Ekscelencjo! — pomógł Nowicki. — O niczym nie wiesz! Oni po prostu uciekną w czasie transportu do więzienia...

— Rób co chcesz! — odrzekł Tomasz.

No wieki poszedł więc prowadzić pertraktacje. Tymczasem w dali widać już było białe i szare minarety Beni–Suef, wystrzelające nad palmowe gaje. Bliżej wynurzały się kominy coraz liczniejszych w Egipcie cukrowni i fabryk bawełny.

— O dzień drogi stąd na zachód, nad pięknym, malowniczym jeziorem Birket Kuarun, za faraonów nosiło ono nazwę Moeris, leży oaza Al–Fajjum — przypomniała Sally.

— Myślę, że ojciec i Smuga już tam docierają — dodał Tomasz. Wiatr tymczasem pędził stateczek do wybrzeży miasteczka Beni–Suef, z zajazdem portowym i przytulną kawiarenką, całą pokrytą zieleniejącym bluszczem, malowniczo położoną na brzegu, pod rozłożonym drzewem. W dali wśród starych drzew, widać było pałac beja<sup>994</sup>, a za nim ogromne koszary. Nim przybili do brzegu, Nowicki zakończył śledztwo.

— No, brachu — poinformował — pękli...

— I co?

— To biedni ludzie. Z jakiejś wioski niedaleko Kairu. Biali dostarczyli im opium i haszysz. A gdy zabrakło pieniędzy zaproponowali im ten napad w zamian za nasze mienie.

— A ci dwaj biali?

— Nic o nich nie wiedzą. Dostarczali towar z Kairu sami albo przez pośredników.

— Z Kairu — zamyślił się Tomasz. „Ślad prowadzi do Kairu”. Tak powiedziano Smudze w Aleksandrii. — Po co więc jedziemy do Doliny Królów?

— Do źródeł, ekscelencjo, do źródeł... Wszak stamtąd pochodzą kradzione rzeczy — uśmiechnął się Nowicki.

Zamyślony Tomek nie zauważył nawet, że przybili do brzegu.

Nowicki z resem odprowadzali jeńców do brytyjskich koszar, by oddać ich w ręce władz. Majtkowie przepadli w tawernie. Patryk włóczył się po brzegu z Dingiem. Sally i Tomek przysiedli w kawiarence, obrzucani ciekawymi spojrzeniami obecnych. Zamówili kawę i rozmawiali.

— Mam nadzieję, że Nil już nie będzie się na nas gniewał, złożyliśmy mu przecież w ofierze barana — powiedziała Sally, patrząc na leniwie toczące się wody rzeki.

---

<sup>994</sup> — Bej — tytuł nadawany w Turcji wyższym urzędnikom cywilnym i wojskowym.



— Dla starożytnych ta rzeka była bogiem... — Tomek zawiesił głos.

— Owszem! — odpowiedziała Sally. — Nil gniewny i wzburzony rozbijał łodzie, topił ludzi, niszczył, co się dało... Składano mu wówczas ofiary, wrzucając w ogień owoce, jajka, kurę, indyka albo inne zwierzę.

— Tak więc udobruchaliśmy rozzłoszczonego olbrzyma — uśmiechnął się Tomasz. — A właściwie uczynił to Nowicki. Widocznie Nil poznał w nim brata wodniaka, choć zakochanego w innej rzece.

— Nil... Najdłuższa i najbardziej tajemnicza rzeka świata...<sup>995</sup> — zadumała się Sally. — Nic dziwnego, że przypisano rzece stwórczą moc.

— Gdyby nie rzeka, kraj wchłonęłaby przecież pustynia — dodał Tomek.

— Od wieków ziemie Egiptu przemierzali najeźdźcy... Ale najcięższa walka toczy się tu między pustynią, utożsamianą przez starożytnych ze złym bóstwem, a bogiem–ojcem Nilem.

— Masz rację. Coś w tym jest, co mówisz o tajemniczości tej rzeki, Sally — przyznał Tomek. — Nawet jej źródła odkryte zostały całkiem niedawno<sup>996</sup>.

— Na mapie „*bóg*” przypomina wyglądem palmę daktylową. Jej pień to dolina Nilu ukoronowana deltą. Stare podanie mówi, że gdy Bóg ulepił ciało człowieka, z jego dłoni spadł na Egipt okruch mułu i na nim wyrosła palma daktylowa. Pierwsze zaś słowa Koranu spisano na liściach palmy, nie na papirusie. Także w raju rosną przede wszystkim drzewa palmowe.

— Dlatego i palmy należą do tutejszych świętości. Za uszkodzenie czy zniszczenie palmy surowo niegdyś karano — dorzucił młody Wilmowski.

— A daktyle świeże, suszone, marynowane, przyrządzane na rozmaite sposoby, są jedną z podstaw tutejszego pożywienia.

— Cała dolina Nilu upstrzona jest tymi palmami.

— O delcie rzeki mówi się też, że ma kształt odwróconej piramidy, której stożkiem jest Kair, a podstawą Damietta i Rozetta<sup>997</sup>.

---

<sup>995</sup> — Nil — powszechnie uważany za najdłuższą rzekę świata. Jego długość wynosi 6670 km (od źródła Victoria Nyanza w Burundii, przez Biały Nil do delty).

<sup>996</sup> — Źródła Nilu — odkryte w 1858 r. przez Johna Speke'a w nazwanym przez niego na cześć angielskiej królowej Jeziorze Wiktorii. Dla innych prawdziwym źródłem Nilu są źródła rzeki Kagera.

<sup>997</sup> — Damietta i Rozetta — prawe i lewe ujście Nilu do Morza Śródziemnego.

— Całe życie tutejszych mieszkańców skupia się w zasadzie w dolinie i delcie Nilu. Jak się nad tym zastanowić, zaczyna się wierzyć Herodotowi, że Egipt jest darem Nilu...

Tomek, zanim jeszcze dokończył to zdanie, spostrzegł, że wracają Abdullah i Nowicki. Opowiedzieli przebieg swojej „wizyty” w angielskich koszarach. Tomek, aczkolwiek flegmatycznie, okazał niezadowolenie, że jeńcy po drodze uciekli, ale kiedy zostali sami powiedział do swego „lokaja”:

— Chyba miałeś rację, Tadku. To byli bardzo biedni ludzie. Może spotka ich jeszcze coś dobrego w życiu.

Nie wiedział, że stanie się akurat odwrotnie...

Informacja o napadzie na Europejczyków wywołała, według Nowickiego, swego rodzaju sensację. Angielski oficer stwierdził, że od czasów Muhammada Alego napady na Europejczyków praktycznie się nie zdarzają. Karano za to surowo i kary były egzekwowane. Do dziś straszą gdzieniegdzie zgłiszcza spalonych wiosek.

\*

Liczne osady i żyzne wybrzeże już niebawem miały ustąpić miejsca pustyni. W czasie postojów podróżnicy często robili krótkie wypady, podczas których przekonali się, iż pustynia nie składa się jedynie z piasku, lecz przede wszystkim z twardego, żwirowego podłoża. Na brzegu palmowego gajku ujrzeli kiedyś dwa szakale. Nad oazami krążyły stada ptaków: gęsi, kaczek, nurów. Tomek od czasu do czasu polował, by urozmaicić posiłki. Na dźwięk strzału oaza ożywała. Wrzask, świst, krzyk podrywającego się ptactwa trwał przez chwilę. Ptaki krążyły, łopotały skrzydłami, zawracały, wreszcie siadały z powrotem, a Dingo aportował upolowane sztuki. Sally wypatrywała ibisa czczonego, niestety, wciąż na próżno.

Podróż, od czasu kiedy w tak dramatycznych okolicznościach, pozbyli się uciążliwych współtowarzyszy, stała się o wiele przyjemniejsza. Podróżni coraz bardziej zżywali się z załogą, a w odniesieniu do Nowickiego i Patryka można by mówić wręcz o przyjaźni. Marynarz niemal nie rozstawał się z resem. Żałował jedynie, że ten, jako gorliwy mahometanin, nie podziela jego ciepłego stosunku do rumu jamajki, ale i to nie przeszkodziło im prześpiwać jednej nocy aż do rana.

Po dwunastu dniach dobili do Asjut, stolicy Górnego Egiptu, głównego ośrodka koptyjskiego. Tam uzupełnili zapasy żywności. W cztery dni po

wizycie w Asjut minęli miejscowość Kina, zwaną w starożytności Cenopolis, leżącą na szlaku karawan idących do Mekki. O cztery dni pustynnej drogi na zachód, nad Morzem Czerwonym, położony był port Al-Kusajr, gdzie pielgrzymi wsiadali na statki. W połowie kwietnia dotarli wreszcie do Luksoru. Pustynia miejscami sięgała tu już samego Nilu, a łańcuch Gór Libijskich zdawał się być w zasięgu ręki. Wzdłuż brzegu ciągnęły się monotonnie ogrody oraz zasiane trawą i bawełną pola, uzbrojone w urządzenia do nawadniania. Krajobraz urozmaicały długie szeregi palm tybetańskich, zwanych *dum*.

Sally była urzeczona. Marzyła o tej chwili od lat. Patrzyła z zachwytem na szczątki kamiennego wybrzeża, pamiętającego czasy faraonów. W wyobraźni widziała pełne ludzi, żyjące, bogate miasto. Wydawało się jej, że już za chwilę zobaczy lektykę dostojnika, rydwany wojowników albo Charona przewożącego z Karnaku i Luksoru do Teb Zachodnich zmarłą osobistość... Śniła na jawie, nie słysząc że Tomek powtarza już po raz trzeci.

— Sally, kochanie, jesteśmy na miejscu!

Tak, czuła to! Byli na miejscu. Tym miejscu, które powoli odsłaniało tajemnice sprzed tysięcy lat.



## CHWILE GROZY

Wilmowscy postanowili używać w Luksorze panieńskiego nazwiska Sally. Lord Allan z małżonką i siostrzeńcem oraz towarzyszący im lokaj zamieszkali w apartamencie na jednym z wyższych pięter hotelu „*Winter Palace*”. Z tarasu apartamentu mogli oglądać ponury pejzaż ruin Karnaku, rozległy fragment Nilu i piętrzące się na zachodnim brzegu skalne urwiska. Sally nie pozwoliła im ochłonać po trudach przebytej drogi. Najpierw nalegała na spacer wśród starożytnych ruin Karnaku, co zajęło im dobrych kilka godzin. Teraz, po półgodzinnym wykładzie z historii Teb, gdy wymieniła już wszystkie panujące dynastie i co ciekawszych faraonów, „*powędrowała*” do nekropolii na zachodnim brzegu<sup>998</sup> i rozpoczęła opowieść o odkryciu poszczególnych grobowców. Jak zwykle nie wytrzymał Nowicki.

— Sikorko, daj odetchnąć! Mam już dosyć tych trumiennych historii. Znów od samego początku karmisz nas mumiami... Na razie pobędziemy w mieście żywych, umarlakami zajmiemy się potem.

— Myślę, że za parę dni dołączą do nas ojciec ze Smugą — wszedł w rozmowę Tomasz, by zmienić nużący dla nich temat.

— Tymczasem nie siedzmy z założonymi rękami, wdychając ten przeklęty, suchy pustynny pył — westchnął Nowicki.

Rzeczywiście, wiał *chamsin*<sup>999</sup>, południowo-wschodni wiatr pustynny. Jak zawsze niósł ze sobą tumany piasku, kurzu, suchej mgły. Nazywany przez Arabów trującym, zazwyczaj wiał niemal bez przerwy przez pięćdziesiąt dni. Była to zaiste „*przekłeta pora*”, powodująca napięcia także między ludźmi. Przejmujące wycie nie wpływało bowiem kojąco na nerwy. Niemal wszyscy stawali się nerwowi i skorzy do sporów. Sally nie zorientowała się w nastrojach towarzyszy i wystąpiła z propozycją, która nie mogła być, po Kairze, entuzjastycznie przyjęta.

— Możemy przecież zwiedzać tutejsze zabytki.

---

<sup>998</sup> — Miasto żywych — administracyjne centrum państwa i kultu, w przeciwieństwie do położonego na zachodnim brzegu Nilu — Miasta Umarłych, które już od czasów IX i X dynastii stało się nekropolią.

<sup>999</sup> — Chamsin (samum) — gorący, południowo-wschodni, porywisty wiatr pustynny, wiejący z przerwami przez 50 dni.

— Ech, ta znowu swoje... Tylko te kamienie ci w głowie. Mam już od nich łepetynę pełną zamętu. Nic, tylko zwiedzaj i zwiedzaj! — zirytował się Nowicki.

— Wypada nam jednak zobaczyć to i owo — łagodził Tomasz.

— To sobie zwiedzajcie! Ja wolałbym nieco powęszyć — zaznaczył Nowicki.

— Jedno nie przeszkadza drugiemu — mitygowała Sally. — Proponuję zobaczyć jeszcze dziś świątynię w Luksorze.

— Po cóż tam iść. Przecież widać — Nowicki gestem wskazał pobliskie ruiny i niespodziewanie począł parodiować styl przewodników oprowadzających wycieczki.

— Jesteśmy na dziedzińcu, oto wschodni portyk. Stąd mamy widok na kolumnadę, a kolumny stoją jak na paradę... To są reliefy, ten posąg z wieku przed wiekami, a tamten jeszcze wcześniejszy. Te kolumnienki są papirusowe, bo rozłożyste jak liście, a tamte, proszę państwa, zamknięte, mają kształt kwiatu lotosu, a to tutaj to jest brr... pyton, nie, pylon. Przez westybul przechodzimy do sali hypostylowej. Patrzmy na ściany. Co widzimy, proszę szanownych państwa? To sceny prowadzenia jeńców, a to zarzynanie wołów<sup>1000</sup>... — młodzi Wilmowscy byli zdumieni zarówno nagle ujawnionym rozdrażnieniem starego druha, jak i jego talentem do zapamiętywania trudnych terminów.

— Niech się zamienię w sardynkę zamkniętą w blaszanej puszcze, jeśli wkrótce nie stanę się znawcą sztuki egipskiej — marynarz odetchnął głęboko. — Co masz jeszcze w zanadrzu, sikorko? Wyciągaj, bo niecierpliwie czekam. Czy tylko ta świątynia w Luksorze tak cię absorbuje? Wolałbym już, do stu funtów hawajskiego tytoniu, jechać i popatrzeć na tych umarłaków naprzeciw.

— Raz mówisz tak, raz tak, kapitanie — Sally poczuła się całkiem rozbrojona. — Jesteśmy przecież tu dopiero od wczoraj i już zwiedziliśmy cały kompleks świątyni w Karnaku, który był północną dzielnicą Teb. W Luksorze, stanowiącym niegdyś południową część miasta, jest tylko jedna świątynia.

— Wszystko jak na dłoni widać z tego tarasu — z uporem powtórzył Nowicki.

---

<sup>1000</sup> — Portyk czy pylon to monumentalna budowla przed wejściem np. do świątyni. Westybul — przedsionek. Hypostyl — sala o wielu kolumnach. Reliefy — płaskorzeźby.

— Tak, możemy się czuć trochę jak żołnierze Napoleona, którzy przybyli tu w pogoni za Mamelukami pokonanymi w bitwie pod piramidami i zaprezentowali broń na znak zachwytu dla tej świątyni. — Sally znowu nie mogła się powstrzymać. — Zbudował ją Amenhotep III, ojciec faraona, który próbował zmienić wiarę w Egipcie.

— Pamiętam, pamiętam — odrzekł No wieki. — Miał na imię Echnaton... To ten, co w nazwie bóstwa zmienił jedną literę...

— Tak, właśnie on. Echnaton albo Amenhotep IV — uzupełniła Sally.

— Zięciem, którego z kolei był Tutanchamon — tym samym tonem wtrącił Tomasz.

— Niech wam będzie. Piękna świątynia, zbudowana wzdłuż Nilu, ma ze 260 metrów długości, jak porządny okręt dalekomorski — uspokajał się Nowicki. — Ale, skoro już jesteśmy przy tym, jak go zwał... Tu, tam... Tuman... Cham... — marynarz zaplątał się niczym Patryk. — Niech mnie wieloryb połknie, jeśli nie połamię sobie na nim języka — westchnął. — Skoro już przy tym trudnym faraonie jesteśmy, to weźmy się do rzeczy i zacznijmy węszyć. Po to tu przecież przybyliśmy...

— To dziwne, że pamiętasz tyle szczegółów z wykładów Sally, a zapominasz imię tego faraona.

— Zawsze miałem kłopoty z nazwiskami. Zresztą, ty, Tomku, też! Pamiętasz, opowiadałeś mi o tym — roześmiał się już ze zwykłą dla siebie pogodą Nowicki.

— Stare dzieje... — westchnął Tomek.

— Nic mi o tym nie mówiłeś — nalegała Sally, ciekawa szkolnych przygód męża.

— Po prostu nie było okazji... To było w rosyjskiej szkole w Polsce. Nauczyciel geografii uparł się nie przepuścić do następnej klasy mojego przyjaciela, Tymowskiego.

— A Tymowski i Wilmowski to bardzo podobne nazwiska — wtrącił Nowicki.

— Tak, no i na dodatek tego właśnie dnia Krasawcew, bo tak się ów nauczyciel nazywał, zapomniał okularów, bez których bardzo słabo widział<sup>1001</sup>. Poszedłem więc do odpowiedzi za mojego przyjaciela...

— To dopiero była heca — roześmiała się Sally.

---

<sup>1001</sup> — Historia opisana w powieści *Tomek w krainie kangurów*.

Ale już znowu Nowicki przypominał im, że powinni zająć się poważnymi sprawami.

— Cierpliwie czekajmy na naszą grupę ubezpieczeniową — powiedział Tomasz. — Napad na statku świadczy, że o nas wiedzą.

— Co nie przeszkadza, by się nieco rozejrzeć — zdecydowanie odparł Nowicki. — Smarujcie jutro rano z Patrykiem na suk<sup>1002</sup>, rozejrzyjcie się po sklepach. Pogadajcie z handlarzami... Ja pochodzę trochę własnymi ścieżkami... I obiecuję, że będę codziennie wyprowadzał Dinga na spacer, jak na porządnego lokaja przystało. Przyrzekam, że nie będę się wyręczał Patrykiem. A przy okazji... Warto byłoby też odwiedzić owego duchownego, którego polecał nam ten Kopt w Starym Kairze.

Nowicki wyraźnie postanowił położyć kres turystyce.

— Ów koptyjski mnich żyje gdzieś w pobliżu wioski Medinet Habu — odrzekł Tomek, który rozumiał starego druha, gdyż jego również znużyło już miasto i tęsknił za otwartymi przestrzeniami.

\* \* \*

Dzień rozpoczęli od spaceru po targu i pobliskich sklepach. Tomek, ubrany w białe eleganckie ubranie z przewiewnego materiału i takiż kapelusz, prezentował się bez zarzutu. W jednej ręce trzymał białą parasolkę, w drugiej zaś modny „*przrząd*” do opędzania much, podobny do lisiej kity.

— Stanowczo powinienesz kupić sobie monokl! — kpił, zlustrowawszy druha krytycznym okiem, Nowicki. — Stanowczo!

Łatwo dał się jednak namówić do współudziału w przedsięwzięciu, rezygnując na razie z własnych ścieżek. W znakomitych humorach, we czwórkę, wraz z Patrykiem, myszkowali na pobliskim suku. Wydawało im się, że suk w tak małym jak Luksor miasteczku będzie skromniejszy niż w Kairze. Nic biedniejszego. Taki sam gwar, smród i tłok, tyle że plac o wiele mniejszy. Najwięcej było oczywiście owoców: daktyli, pomidorów, oliwek, cytryn, pomarańczy, nie znanych korzeni i ziół. Ziarno przechowywano w skrzyniach, workach i węzełkach, owoce po prostu na piasku, zwłaszcza większe jak dynie czy melony. Sporo było także ohydnych stanowisk handlarzy mięsem, przeważnie baraniną, którą obsiadały dziesiątki much.

---

<sup>1002</sup> — Suk (ar.) — targ.



Sprzedający od czasu do czasu odganiał je leniwie czymś w rodzaju chorągiewek.

Europejczykom kilkoro dzieci ofiarowało natychmiast swe usługi w charakterze przewodników i tragarzy. Patryk z namysłem wybrał dwóch chłopców i wyruszyli w obchód. Kupili sporo owoców, które tutaj były tańsze i wydawały się świeższe niż w hotelu. Przepychali się wśród straganów i kobiet o zakrytych twarzach. Ich wzrok skierowany był na towar, nigdy na kupca. Oto jakiś kupujący mężczyzna przycupnął na piętach i zawzięcie targował się z siedzącym na ziemi handlarzem daktyli. Tamten cmokał i sprzeciwiał się, ale obniżał cenę aż doszli do zgody. Sally również nie od razu mówiła „*tak*”, słysząc cenę, co nieraz obniżało tę cenę niemal dziesięciokrotnie! Wszystko trwało bardzo długo, aż wreszcie dotarli do straganów z kolorowymi materiałami i różnymi pamiątkami, wśród których zdarzały się tu i ówdzie starożytności. Obejrzel też sklepy, gdzie młody angielski arystokrata interesował się głównie przedmiotami związanymi z XVIII dynastią. Obaj mali przewodnicy okazali się przy tym bardzo pomocni, za co w końcu obdarowano ich obfitym bakszyszem.

Powtarzali te wycieczki co rano przez kilka dni. Kupili kilka drobiazgów, które Sally oceniła jako wartościowe. Wieczorami Tomasz i No wieki włączyli się po najciemniejszych zakamarkach miasta, poznając je od najmniej znanej strony. Odbyli wiele rozmów i nawiązali wiele kontaktów, wciąż szukając czegoś z czasów bliskich Echnatonowi. Szybko też nauczyli handlarzy szacunku, gdyż dzięki wykształceniu Sally nie dawali się zbyć byle czym. Na ogół bowiem umawiali się w hotelu, dokąd przybywali „*kupcy*” i gdzie Sally oceniała wartość przedmiotu, Tomek zaś przeprowadzał transakcje. Starali się zakończyć je zawsze bakszyszem, by nie zniechęcać drobnych handlarzy. Któregoś wieczora jakiś mężczyzna nie do rozpoznania w swoim arabskim stroju, łamaną angielszczyzną stwierdził, że wie, gdzie można nabyć przedmioty z okresu dynastii Echnatona. Tomek natychmiast wręczył mu jednofuntowy banknot. Rozpoczął się targ. Nowicki rad byłby wprawdzie po swojemu przyspieszyć informacyjną transakcję, ale ufał nieomylnemu instynktowi przyjaciela. W końcu dowiedzieli się, że można się dowiedzieć więcej w położonej na przeciwnym brzegu Nilu wsi El-Kurna.

— U kogo w El-Kurna? — drażył Tomek.

Arab nie powiedział jednak nic więcej, nawet wobec obietnicy hojniejszego bakszyszu i wkrótce znikł w ciemnościach.

Pewnej nocy, przebrani za Arabów, usiedli w pełnym gości lokalu nad brzegiem Nilu. Grała muzyka, niemal wszyscy palili. Miejscowi nargile, Europejczycy najczęściej cygara lub fajki. Tomasz z Nowickim znaleźli miejsce w ciemnym kącie pomieszczenia. Obok popijał kawę samotny mężczyzna w białym stroju. Rozmawiali ściszymi głosami po polsku.

— Niewiele nadal wiemy, niestety — mówił Tomasz.

— No, nie tak znowu mało — oponował Nowicki. — Ta ostatnia wiadomość może być bardzo cenna.

— Rzeczywiście, jeżeli jest prawdziwa.

— Sprawdzimy i to... Muszę jednak przyznać, brachu, że mam dość pustyni. Odkąd wieje ten przeklęty chamsin, czuję się jak podczas ciągłego sztormu — nieco głośniejszym głosem powiedział Nowicki.

Siedzący obok mężczyzna drgnął i pochylił się w ich kierunku, jakby nad słuchując. Nowicki tymczasem ciągnął dalej:

— Ten przeklęty piach chrzęści wszędzie, nawet w zębach. Czyż nigdy, do stu tysięcy zdechłych wielorybów, nie przestanie wiać? Mam dość.

— Dość!? Czyżby takiego potężnego mężczyznę, na dodatek Polaka, tak łatwo miał zmóc niewielki wicherek? — przerwał mu sąsiad najczystsą polszczyzną.

— Niech mnie kule biją! — wykrzyknął Nowicki. — Rodak!

— Cóż, bywa! Pozwolicie, panowie, Piotr Bieńkowski<sup>1003</sup>.

— Tomasz Wilmowski i Tadeusz Nowicki — przedstawili się, mile zaskoczeni.

— Czyżby panowie incognito chcieli wrócić do ojczyzny? A może to nowa inwazja islamu? — pytał żartobliwie nowy znajomy. — Czy też chcecie panowie podkreślić przez te stroje wdzięczność, jaką nasi rodacy żywią dla życzliwej nam Turcji? — dowcipkował dalej.

---

<sup>1003</sup> — Bieńkowski Piotr (1865–1925) — archeolog, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, inicjator i kierownik pierwszej w Polsce Katedry Archeologii Klasycznej. W latach 1910–1913 brał udział w pracach wykopaliskowych austriackiej ekipy archeologicznej. W kwietniu 1911 r. Bieńkowski mógł przebywać na terenie Doliny Królów, ze względu na przerwę w pracach swej wyprawy. W późniejszych wyjazdach do Egiptu towarzyszyli mu inni Polacy: Karol Hadaczek (1873–1914), profesor Uniwersytetu Lwowskiego oraz Tadeusz Wałek.

— Proszę, niech pan usiądzie z nami — zaprosił Tomasz. — Co za spotkanie!

Bieńkowski, profesor Akademii Umiejętności w Krakowie, brał udział w austriackiej wyprawie archeologicznej, prowadzącej swe badania w Górnym Egipcie, około dwudziestu kilometrów na północ od pierwszej katarakty Nilu, w miejscowości El-Kubanija. Właśnie zakończyła ona swe prace i Polak wybrał się, by raz jeszcze zwiedzić fascynujące go zabytki. Żywo zainteresowani sobą nawzajem rozmawiali już prawie godzinę.

— Egipt to kopalnia dla historyków, zwłaszcza archeologów — mówił właśnie Bieńkowski. — Kopalnia bardzo głęboka. Na najniższych piętrach faraonowie, wyżej Egipt grecko-rzymski, zmieszany z chrześcijaństwem, tuż pod powierzchnią arabski. Historia tego kraju jest bogata.

— Bogata również w grabieżców — Tomek spróbował skierować rozmowę na ważny dla nich wątek.

— Hm... To prawda... Do dziś każdy chce coś uszczknąć dla siebie — zgodził się Bieńkowski. — Sprzyja to kupcom i... złodziejom.

— Czy ktoś z tym walczy?

— Nie znam dokładnie spraw czysto kryminalnych, ale słyszałem to i owo...

— Może nam pan opowiedzieć coś budującego? — ujmująco poprosił Tomek.

— Proszę bardzo. To jedna z bardziej znanych w naszych kręgach opowieści. Rzecz działa się dokładnie przed trzydziestu laty. Profesor Gaston Maspero<sup>1004</sup>, dyrektor Muzeum Egipskiego w Kairze dowiedział się, że jakiś Arab handluje cennymi dokumentami i zabytkami z Doliny Królów. Miejscowa policja okazała się bezradna. Maspero zlecił więc sprawę swemu asystentowi Emilowi Brugschowi. Ten udał się do Luksoru, gdzie rozpowiedział, że skupuje różne antyczne przedmioty.

Znoszono mu więc to i owo. Okazał się znawcą nie lada, więc nie dał się oszukiwać. Wreszcie trafił na ślad. Sprzedano mu posążek z grobowca, który od dawna stał pusty.

— No i chwycił byka za rogi — wtrącił Nowicki.

---

<sup>1004</sup> — Maspero Gaston (1846–1916) francuski egiptolog i archeolog. Dyrektor francuskiej misji archeologicznej i egipskiej służby konserwatorskiej w Egipcie.

— Tak, uczeplił się tego śladu i natychmiast oznajmił, że poszukuje innych, podobnych przedmiotów. Po paru godzinach zjawił się u niego wysoki, barczysty, brodaty Arab, proponując sprzedaż na większą skalę. Był to Abd el-Rasul ze wsi El-Kurna.

Nowicki i Tomek błyskawicznie wymienili spojrzenia. I ich ślad prowadził do tej wioski. Słuchali uważnie.

— Prywatny detektyw kazał aresztować Araba — kontynuował tymczasem Bieńkowski.

— I co, czy się przyznał? — spytał Nowicki.

— Gdzie tam... To był twardy człowiek. Milczał nawet, gdy ćwiczono mu stopy różgami. Cała zaś wieś murem świadczyła o jego uczciwości.

— A to pech — westchnął Nowicki.

— Najdziwniejsze jednak miało dopiero nastąpić. Po kilku dniach Abd el-Rasul przybył na policję i przyznał się do wszystkiego.

— Ów Arab? Czyżby ruszyło go sumienie? — spytał Tomek.

— Gdyby tak było... Ale niestety... Chodziło o rozgrywki wewnątrz szajki. Rasul po powrocie z więzienia, zażądał dla siebie połowy zysku z handlu za milczenie.

— No i nie doszli do zgody — roześmiał się Nowicki.

— Tak! Doszło do kłótni, nawet bójki i rozżalony Rasul zgłosił się na policję.

— Tak, tak, pieniądze potrafią wiele zniszczyć — westchnął Tomek.

— Tym razem pomogły sprawiedliwości — rzekł Bieńkowski. — Dzięki tej aferze doszło do jednego z najcenniejszych odkryć w dziejach Doliny Królów.

— Pewnie mumii, które okradali ludzie Abd el-Rasula — domyślał się Nowicki.

— Otóż to! I to bardzo cennych mumii! — potwierdził polski archeolog.

— Czyżby byli tam sami faraonowie? — spytał Tomek.

— Prawie — znów potwierdził Bieńkowski. — Otóż, dawno, dawno temu, gdy kradzieże stały się taką plagą, że nawet strażnicy i kapłani brali w nich udział, jeden z faraonów wydał nakaz przeniesienia mumii wszystkich swych poprzedników do jednego, wspólnego grobowca.

— To ci dopiero był pogrzeb! — wykrzyknął Nowicki.

— Pewnej nocy, zebrani potajemnie kapłani w makabrycznej procesji przenieśli zwłoki wąską górską ścieżką i pochowali w zbiorowej krypcie.

— Cóż za niesamowity musiał być nastrój tego pogrzebu — rzekł Tomek, a Nowicki spytał:

— I co, tego grobowca nie okradziono?

— Nie! Uczynił to dopiero bohater naszej opowieści. Znalazł wejście, spuścił się po linie do otwartego, pionowego szybu i znalazł trzydzieści siedem trumien faraonów, ich żon i księżniczek. Potem, spokojnie sprzedawano to i owo aż do opowiedzianego przeze mnie wydarzenia.

— To ci dopiero sensacja! — rzekł Nowicki.

— Jeszcze jaka! Poruszyła cały Egipt. Gdy mumie płynęły Nilem do kairskiego muzeum, ludzie wychodzili na brzeg i zachowywali się jak na pogrzebie kogoś bliskiego. Mężczyźni strzelali w powietrze, kobiety zawodziły, lamentowały, płakały...

— Niesamowite to wszystko! — powiedział Tomek.

— Niesamowite! — powtórzył zadumany Nowicki.

Bieńkowski obiecał oczywiście, że pokaże im najważniejsze zabytki Miasta Umarłych. Co najdziwniejsze Nowickiemu nawet nie śniło się protestować. Umówiwszy się z nim, wrócili do hotelu.

\* \* \*

Sally czułaby się pewniej, gdyby poczekali z wszelkim działaniem na przyjazd Smugi.

— Przeprowadźmy się na drugą stronę i przyjrzyjmy tej wsi, El-Kurna — kusił jednak Nowicki.

— Przy okazji coś przecież zwiedzimy — poparł go Tomek.

— Tym bardziej że będziemy mieć przewodnika — gorączkował się Nowicki nagle pełen zapału do zwiedzania.

— Przewodnika? — Sally była naprawdę zdziwiona. Opowiedzieli jej o spotkaniu z rodakiem.

— Skoro umówiliście się z nim — ustąpiła Sally — trzeba jechać... Zostawiwszy w recepcji informację dla Smugi, wynajęli dwóch arabskich służących, w tym tabbacha, czyli kucharza, i przeprawili się promem na lewy brzeg Nilu, który w tym miejscu miał szerokość Wisły w Warszawie. Woda

rzeki okazała się mętna i mulista. Tabbach, znający nieco angielski, proponował podróżnym, by jej spróbowali:

— Kto napije, nigdy nie zapomni smak i powróci... — powiedział.

— Spróbuj, sikorko — rzekł Nowicki do Sally. — To ty tak bardzo pragniesz poznać Egipt. Posmakuj go!

— I bez tego wrócę. Najchętniej z tobą, Tadku — w Sally odezwał się buntowniczy duch.

— Mnie tu nawet za cenę żywej mumii już nic i nikt nie przyciągnie — mówiąc to, marynarz splunął do wody. — Nawet w ślinie chrzęści piasek.

Rozbili namioty w cieniu drzew, w pobliżu Kolosów Memnona<sup>1005</sup>. Miejsce nadawało się do tego idealnie, tak ze względu na swe położenie, umożliwiające wypady we wszystkich kierunkach, jak i ze względu na bliskość przystani. Sally twierdziła nadto, że to jedno z najbardziej romantycznych miejsc w okolicy.

Gdy rozstawili namioty, a Sally z niefrasobliwą choć ochoczą pomocą Patryka zaczęła urządzać obozowisko, Nowicki zaproponował:

— Nic tu teraz po nas. Przejdźmy się do tego „*kurnika*”... Trzeba brać byka za rogi.

— Bądźcie tylko, chłopcy, ostrożni! — przestrzegła Sally. „*Chłopcy*” spojrzeli po sobie, uśmiechając się od ucha do ucha.

Obaj przewyższali Sally co najmniej o głowę.

El-Kurna, wioseczka widoczna z miejsca ich obozowiska, leżała na jednym z południowych stoków Płaskowyżu Libijskiego. Kilkanaście chałupek rozrzuconych na łagodnym wzniesieniu. Ścieżką wśród pól szybko do nich doszli. Spędzili tam sporo czasu, ale nie odkryli niczego. Wynajęli jedynie osiołki i ich poganiaczy na wyprawę z Bieńkowskim do Miasta Umarłych.

Zamierzali tam dotrzeć jak najszybciej i przeznaczyć na obejrzenie Miasta Umarłych nie więcej niż jeden dzień. Musieli więc liczyć się z szybkim, forsownym marszem. Po raz pierwszy mieli też nie tylko wyruszyć w góry, ale i zagłębić się w pustynię. Były to okoliczności, które nie skłaniały do zabrania ze sobą chłopca w wieku Patryka. Co do tego „*wujkowie*”, a

<sup>1005</sup> — Kolosy Memnona — nazwę tę nadali Grecy: Memnon poległ w wojnie trojańskiej zabity przez Achillesa. W rzeczywistości są to posągi Amenhotepa III (z greckiego: Amenofisa III), faraona z XVIII dynastii, panującego w latach 1417–1379 p.n.e., którego następcą był Echnaton.

nawet pobłażliwa zwykle dla Patryka Sally, wyjątkowo się zgadzali. Ale że nie wzięli go nawet na ów krótki wypad do tego, jak mówił Nowicki, „*kurnika*”, postanowili złagodzić rozgoryczenie, powierzając mu nadzór nad obozowiskiem i arabską służbą na czas swej nieobecności. Oczywiście przydali Patrykowi do pomocy i towarzysztwa, jak mówili, niezawodnego Dinga. Obiecali też solennie już wkrótce łatwiejszą i bezpieczniejszą wycieczkę.

Tak więc o świcie następnego dnia na przystani spotkali się z Bieńkowskim oboje Wilmowscy i Nowicki. Wyruszyli kamienistym wąwozem w kierunku doliny Deir el-Bahari<sup>1006</sup>. Z obu stron wznosiły się rude, brązowawe i liliowe urwiska, z rzadka poprzecinane żółtawym pasmem piasków.

— Przypomina mi to Tatry wczesną wiosną albo późną jesienią — powiedział Nowicki. — Tylko tamte turnie miały inny kolor, były szare, granatowe, czarne, gdzieniegdzie pokryte śniegiem, tak jak te żółtym piaskiem... Byłem dzieckiem, kiedy wywieźli mnie w górzyska i odtąd już ich nie lubię...

Ponury dość nastrój harmonizujący z wyglądem przyrody pogłębiały jeszcze chłód i szarość cienia, wypełniająca cały, wąski wąwóz, którego dolne partie nigdy nie widziały słońca.

Droga prowadziła prosto, potem z lekka wznosiła się. Za jednym z ostrych zakrętów strome zbocze prowadziło do Deir el-Medina<sup>1007</sup>. Miejscami trzeba było schodzić z osiołków, by je bezpiecznie przeprowadzić. Zakładano im wtedy na oczy specjalne zasłony, by przestraszone zwierzęta nie stoczyły się w przepaść.

— W czasach faraonów była to być może osada pracujących przy wykuwaniu i ozdabianiu grobowców rzemieślników i robotników<sup>1008</sup>. Później osiedli tu mnisi koptyjscy, stąd nazwa kotlinki — objaśniał Bieńkowski.

Z Deir el-Medina łagodne przejście prowadziło do Deir el-Bahari.

— Tu właśnie mieści się kryjówka, w której złożono mumie faraonów Nowego Państwa, wskazana władzom przez Rasula dokładnie 30 lat temu. Jeszcze kilometr i ujrzymy świątynię Hatszepsut<sup>1009</sup> — mówił dalej.

---

<sup>1006</sup> — Deir el-Bahari, czyli Klasztor Północny — nazwa pochodzi od koptyjskich mnichów.

<sup>1007</sup> — Deir el-Medina, czyli Klasztor Południowy.

<sup>1008</sup> — Stwierdzono to z pewnością dopiero w 1948 r.

Wyszli niemal wprost na nią.

— To fascynujące! — zawołała Sally.

— Niczego piękniejszego nie ujrzycie chyba w Egipcie — bardzo cicho powiedział Bienkowski. — Zerwano tu z kanonami sztuki wymyślonej przez ludzi, by naśladować przyrodę.

Rzeczywiście, świątynia tuliła się do ogromnej, wznoszącej się nad nią na ponad sto metrów skały.

— Skalna ściana robi wrażenie dobudowanej do świątyni — z podziwem powiedział Tomek.

Stali długo, wpatrzeni w trzyschodkowe, poziome tarasy wspaniałej budowli. Każdy z nich zakończony był krużgankiem wspartym na kolumnadzie.

— Nie wszystko jeszcze odkopano. Prace tutaj trwać będą wiele, wiele lat — opowiadał Bienkowski. — Niegdyś tarasy były zielone, utworzono bowiem z nich kolorowe, kwietne ogrody, rosły bujnie drzewa... Możliwe, że między innymi dlatego nazywano świątynię „*najwspanialszą z najwspanialszych*”.

— Ileż to wszystko musiało kosztować — westchnęła Sally.

— Nawet bez zieleni świątynia wygląda imponująco — przyznał Nowicki. — Niczym potężny okręt z równie potężnym żaglem.

— Tobie wciąż tylko morze w głowie — pokiwał głową Tomek.

— Przecież to dobre porównanie — Sally wzięła w obronę kapitana. — Chociaż świątynia bardziej harmonizuje z przyrodą niż okręt, który na morzu wygląda jak intruz.

Nowicki nic nie powiedział, ale znać było po jego minie, że z oceną Sally wcale się nie zgadza.

Wkrótce zatrzymali się na nocleg. Następnego dnia znowu wsiedli na osiołki i wyruszyli w stronę Doliny Królów. Jechali najpierw wzdłuż Nilu, by skręcić na północny zachód, na drogę omijającą dżebel<sup>1010</sup> z Deir el-Bahari. Z obu stron piętrzyły się coraz wyższe, poszarpane, górskie granie, przechodzące niżej w piaszczyste stoki, poprzetykane gdzieniegdzie

<sup>1009</sup> — Hatszepsut (1504–1482 p.n.e.). Obok jej świątyni znajdują się dwie inne: Mentuho-tepa I (XI dynastia) i Tutmesa III (XVIII dynastia). Tę ostatnią odsłoniła w latach 1961–1965 Polska Misja Archeologiczna kierowana przez profesora Kazimierza Michałowskiego, pracująca przy rekonstrukcji świątyni Hatszepsut.

<sup>1010</sup> — Dżebel (ar.) — łańcuch górski.



wyschniętą, szarą, krzaczastą gęstwiną. Miejscami wąwóz przechodził w cieniste rozpadliny, których przyjemny chłód zderzał się z żarem powietrza. Po dwu godzinach męczącej podróży w upale i kurzu, podczas której nie spotkali nikogo, ponieważ zamieszkane były jedynie niektóre groty u stóp gór, dotarli do miejsca, gdzie wąska droga przechodziła w szeroką kotlinę.

— Doświadczenie wieków nauczyło faraonów, że widoczne z daleka piramidy nie stanowią dobrego zabezpieczenia dla zwłok. Obmyślili nowy system chowania zmarłych — wyjaśniał Bieńkowski. — W górzystej, poprzecinanej wąwozami dolinie, w rozmaitych jej zakamarkach wykuwano w wapiennej skale stromy, niemal dwudziestometrowy korytarz, wiodący do ukrytych pod ziemią komnat<sup>1011</sup>. W jednej z nich mieścił się skarbiec, w kilku innych bogate wyposażenie zmarłego, najniżej umieszczano sarkofag z mumią i urny z wnętrznościami królów. Po pogrzebie wejście do grobowca dokładnie zasypywano.

— Ale i te grobowce mimo zabezpieczeń, nie uchroniły się przed grabieżą — powiedziała Sally.

— Owszem — potwierdził Bieńkowski. — Chociaż budowano je w sporej odległości od zamieszkanym terenów, pod najwyższym w okolicy szczytem, zwanym przez Arabów El-Karn, czyli Róg, a przez starożytnych Egipcjan Świętą Górą lub Szczytem Zachodu.

Zmierzając w kierunku góry, zatrzymali się, by obejrzeć prowadzone właśnie w Dolinie Królów prace wykopaliskowe. Oglądane z daleka nie wydawały się czymś ciekawym. Ot, po prostu grupa Arabów, która pod nadzorem Europejczyka w korkowym hełmie wydobywa koszami ziemię i wysypuje ją do większych skrzynek lub wprost na ręcznie pchane, ustawione na prowizorycznych szynach wagoniki. I rytmizujący tę nużącą pracę monotony, chóralny śpiew.

Nikt nie miał jakoś ochoty przyglądać się temu dłużej. Może poza Nowickim, którego wzrok przyciągnęło coś w sylwetce nadzorca, niezbyt dokładnie stąd widocznej, a jednak dziwnie znajomej. Ale zbliżały się już najgorętsze godziny dnia, więc i on uległ ogólnemu roztargnieniu. Tym bardziej, że wszystkich wkrótce całkowicie zaabsorbował spór o drogę powrotną: czy ma to być wygodna droga północna, jak proponował

---

<sup>1011</sup> — Pierwszym faraonem pochowanym w ten sposób w Dolinie Królów był Tutmes I (1545–1515).

Bieńkowski, czy wąska górską ścieżką prowadząca do Deir el-Bahari. A tego bardzo pragnęła Sally, zwłaszcza że Bieńkowski określił to górskie przejście jako bardzo atrakcyjne widokowo.

Nie mogli zatem wiedzieć, że ich obecność została dostrzeżona i była pilnie obserwowana odkąd tylko wjechali w Dolinę. Ruchliwy nadzorca, który tak szybko zniknął im z oczu wszedłszy między robotników, porozmawiał przez chwilę z jednym z nich i to z zadziwiającym skutkiem. Robotnik porzucił bowiem swoje zajęcie, dosiadł osła i w pośpiechu odjechał z rejonu wykopalisk. W pobliżu nie było już jednak nikogo, kogo ów nagły odjazd mógłby zastanowić.

Niewielka, nie tak dawno przyglądająca się wykopaliskom kawalkada, przeczekawszy upał w cieniu skał, rozdzieliła się na dwie grupy, z których każda wybrała inną powrotną drogę. Bieńkowski z osłami i poganiaczami poszedł północną. Sally z Tomkiem i nie do końca przekonany Nowickim, jak zawsze podejrzliwym wobec wszelkich górskich wypraw — górską ścieżką.

Początkowo ścieżka pięła się dość łagodnie, ale wkrótce pojawiły się pierwsze trudności: po obu stronach urwistych wapiennych skał ziały przepaście. W dole widoczna po lewej stronie była teraz cała, piaszczysta Dolina Królów. Z prawej brzeg Nilu: urodzajna płaszczyna pociętych na kwadraty pól, dalej wioski El-Kurna i Medinet Habu, Kolosy Memnona i horyzont otoczony palmami.

Słońce świeciło jasno, powoli zmierzając ku zachodowi. Lekki podmuch wiatru wznosił momentami tumany sabbachu<sup>1012</sup>, ale nie utrudniało to wędrówki. Dobre parę godzin przed zmierzchem niebo zaczęło powoli zmieniać barwę. Dotychczas niebieskoszare stawało się coraz bardziej czerwone. Powietrze zgęstniało jakby od kurzu i coraz trudniej było oddychać. Czerwień przesyciła nawet żółty zwykle piach. Pierwszy zwrócił na to uwagę No wieki:

— Coś się dzieje, brachu. Czerwono i cisza dzwoni w uszach... — powiedział, próbując głębiej odetchnąć.

— Cisza... jak przed burzą — odrzekł Tomek. — Lepiej pospieszmy się.

---

<sup>1012</sup> — Sabbach — kurz powstały ze sproszkowanych śmieci i naniesionego piasku. Po rodzaju tego pyłu niektórzy archeologowie (np. profesor Kazimierz Michałowski) potrafią rozróżnić, z jakiej mniej więcej epoki pochodzą wykopaliska.

— Niedługo zacznie się chyba łagodniejszy teren — Sally zamierzała dodać im otuchy.

— Lepiej poszukajmy szybko jakiejś kryjówki — ponaglił Nowicki. Przez ścieżkę przebiegło raz i drugi pionowe pasmo piasku. Z oddali zaczął dochodzić jakiś szmer. Spojrzeli w tył. Doliny już prawie nie było widać, z przodu Nil wydawał się teraz bardzo wyrazisty i jakby ciemniejszy. Tam właśnie wschodziła czerwień. Sabbach, coraz gęściejszy, omiatał im twarze. Poczuli lęk. Przywarli plecami do skały. Dłonie szukały jakiegoś załamania, rozpadliny, gdzie można by się wcisnąć i schronić przed rosnącą siłą wiatru. Nagle tumany sabbachu wzniosły się wysoko, przesłoniły słońce i opadły. Niemal w tym samym momencie Sally poczuła, że skała nie jest już tak jednolita, wcisnęła się w zagłębienie i pociągnęła za sobą Tomka. Skuleni w półokrągłej skalnej wnęce usłyszeli przerażający świst, który szybko przemienił się w wycie. Wiatr ciskał falami piasku. Zasłonili twarze przed ostrymi, raniącymi uderzeniami.

Nie wiedzieli, co dzieje się z Nowickim. Łudzili się, że choć niewidoczny, może być tuż obok nich. Tomek szukał na oślep, dotykał jednak tylko skały. Spróbował wysunąć się na zewnątrz, ale na powrót wcisnęło go w skalną ścianę. Zresztą i tak niczego by nie zobaczył. Gdyby nie byli do siebie przytuleni, z pewnością nie dostrzegaliby się nawzajem. Siła wiatru, chcieli tego czy nie, unieruchomiła ich w ciasnym, skalnym zagłębieniu. Piach wdzierał się wszędzie. Wydawało się, że zostaną nim przysypani. Grozę powiększała ciemność i straszliwy niepokój o Nowickiego. Jeden podmuch takiego wiatru mógł zepchnąć w przepaść. Pozostało jedynie cierpliwie czekać...

A burza trwała... Ile czasu już minęło? Pięć, dziesięć, czy piętnaście godzin? Nie wiedzieli. Dręczyło ich pragnienie, bo chociaż oboje mieli w manierkach wodę, oszczędzali jak mogli, myśląc o zaginionym. Z trudem oddychali przez zakurzone chustki. Piasek palił w ustach i w gardle. Na przemian drzemali, przysiadłszy w kryjówce, to znów wstawali, otrząsając piasek, by za chwilę znowu przysiąść i zapaść w nerwowy sen.

Wreszcie wiatr ustał i wyjrzało słońce. Wszystko dokoła pokryte było piaskiem. Dolina Królów przypominała zasypane żółtym śniegiem miasteczko. Gdzieniegdzie snuli się ludzie, próbując porządkować teren. Mniej ucierpiała druga strona góry. Nil lśnił jak poprzednio, a zieloność palm

budziła wiarę w zwycięstwo życia. Gnani niepokojem ruszyli na poszukiwanie. Może ocalał, przeżył, może nie zepchnęło go w przepaść... Jeśli tak, to pilnie potrzebował pomocy. Kilka metrów dalej ścieżka schodziła łagodnym łukiem w dół, tworząc płytką, może dwumetrową nieckę i wznosząc się znowu łagodnie ku górze. Teraz niecka była niemal całkowicie zasypała piaskiem.

— Tommy, Tommy, tutaj, patrz! — zawołała nagle Sally.

Oboje zeszli niżej. Tomek jednym ruchem ręki odgarnął piasek z prześwitującego przezeń ciemnego przedmiotu.

— Mój Boże! — zawołał ochryple.

Była to bowiem prawa, obuta w solidny trzewik stopa Nowickiego. Przerażeni rzucili się, by jak najszybciej rozgarnąć piasek. Marynarz leżał z twarzą ukrytą w niewielkim wgłębieniu. Gdy odwracali go na plecy, zdawało się im, że jęknął. Tomek przyłożył ucho do serca. Sally, wiedzona zawodowym odruchem szukała pulsu. Bił lekko, ale rytmicznie.

Żyje — westchnęła przez łzy.

— Tadku! Tadku! — powtarzał Tomek i zaczerwienionymi oczyma wpatrywał się w druha.

Podnieśli go i oparli o skałę.

— Wody, Sally, wody! — ponaglił Tomasz.

Przytknęli manierkę do ust marynarza, przechylając mu głowę do tyłu. Przełknął kilka łyków i nie otwierając oczu próbował coś mówić, lecz poruszył jedynie wargami. Pochylony nad nim Tomek odczytał z ruchu warg znajome sylaby:

— Jamajka!

Czym prędzej zaczęli szukać. Rzeczywiście, obok bukłaka z wodą znaleźli manierkę. Łyk ulubionego trunku i Nowicki otworzył oczy. Obity ze wszystkich stron i obolały krztusił się i otrząsał z piasku. Wkrótce mógł wstać o własnych siłach i mówić.

Okazało się, że podmuch cisnął nim o ziemię i rzucił w stronę niecki. Próbował wstać, ale nie dał rady. Siła wiatru była straszliwa. Szukał więc miejsca, gdzie mógłby łatwiej oddychać. Znalazł je między dwoma skrawkami skały i to chyba uratowało mu życie. Przykrył głowę koszulą i oddychał powietrzem z zagłębienia między okruchami skały. Wkrótce zasnął czy też stracił przytomność. Nie pamiętał szczegółów...

Z położenia słońca wynikało, że znów zbliża się południe. Burza musiała więc trwać około dwudziestu godzin.

Przeczekawszy upał w tej samej skalnej wnęce, po odpoczynku, ruszyli wreszcie ku Deir el-Bahari. Wydawało im się, że najtrudniejsze mają już za sobą, gdy nagle... urwała się droga. Pojawiła się znowu o zaledwie kilkadziesiąt centymetrów dalej, tyle że za opadającą pionowo w dół przepaścią. Głęboko na jej dnie dostrzegli płaski zarys trzeciego najwyższego tarasu świątyni Hatszepsut.

— Do stu beczek zepsutych śledzi — zaklął marynarz, z westchnieniem opierając się plecami o skałę. — To naprawdę moja ostatnia wyprawa w góry.

— Ależ Tadku, możemy przecież wylądować w grobowcu, prosto w ramionach królowej — z wisielczym humorem zauważył Tomek.

— Przynajmniej ty, sikorko, nie mów tylko, proszę, jakie to piękne — jęknął Nowicki. — Lepiej nic już nie mów.

Sally, w przeciwieństwie do mężczyzn, czuła się w swoim żywiole. Z takim samym dreszczem emocji, jak wtedy gdy przyszło jej skoczyć w kilkudziesięciometrową przepaść z tarasu świątyni zagubionej w południowoamerykańskiej puszczy, trzymając się oburącz skał, dała krok nad urwiskiem i już była po drugiej stronie. Obu mężczyznom nie pozostało nic innego jak iść w jej ślady. Nowicki sceptycznie spojrział w dół, pokręcił głową, wziął głęboki wdech i wylądował bezpiecznie z co najmniej kilkudziesięciocentymetrowym zapasem. Tomek poradził sobie równie sprawnie. Kluczając wśród skalnych występów, spadzistym skłonem płaskowyzu zeszli do Deir el-Bahari, gdzie mocno zdenerwowany Bieńkowski organizował wyprawę ratowniczą. Pożegnali go serdecznie i już na osiołkach z całodobowym opóźnieniem dotarli do swego obozu w pobliżu Kolosów Memnona, radośnie witani przez Dinga i z ulgą przez mocno już wystraszonego Patryka.



## ZJAWY

— *Allah akbar!*

— *Salaam!*

Przychodzący obmywali ręce i siadali, skrzyżowawszy nogi, na zdobnych poduszkach wokół niskiego stołu–ławy. Ściany pokrywały kilimy, podłogę dywan. Nie rozpoczynali rozmowy. Czekali... Kobiety wniosły ogromny półmisek z pieczonymi kurczakami i wielką tacę z ryżem. Umieściły na stole miseczki z różnymi potrawami i przyprawami. Położyły talerz z chlebkami baladi.

Rozpoczęli posiłek. Nabierali ryż i jedli go na przemian z kurczakiem. Przełamawszy chleb, zanurzali go wedle upodobania w różnych przyprawach. Najczęściej w tych ostrych. Ludzie, którzy tu siedzieli, prowadzili burzliwe, pełne ryzyka życie i preferowali mocne przyprawy. Milczeli... Nawet ci, którzy już zaspokoili głód, poruszali ustami tak długo, dopóki ostatni nie skończył posiłku. Uważali się bowiem za ludzi nie tylko zasobnych, ale i dobrze wychowanych. Kiedy skończyli, wszedł Arab o surowych rysach twarzy, głębokich, gorejących oczach, wielu Europejczykom znany jako „władca Doliny”, „potomek faraonów” lub po prostu „faraon”. Przez Arabów nazywany „żelaznym faraonem”. Powitał obecnych, wśród których był także Europejczyk, gestem rozłożonych dłoni i zasiadł przy stole. Nie posilał się. Czekał aż kobiety sprzątną jedzenie. Wtedy przemówił:

— Przekłęci giaurzy! Są tutaj i kręcą się wszędzie!

— Może Allah sprawi, że pójdą inną niż nasza ścieżką — odezwał się któryś.

— Sadim, czy otworzyłeś tę ścieżkę? — z naciskiem zapytał przywódca.

Sally zapewne mogłaby rozpoznać Araba niewielkiego wzrostu, w średnim wieku, do którego skierowane było pytanie. Oglądała go bowiem bardzo dokładnie na kairskiej ulicy przed wejściem do domu Ahmada al-Saida, obdarzonego przez Anglików zaufaniem, urzędnika kedywa. Zwrócił na siebie jej uwagę tym, jak płochliwie i tajemniczo się zachowywał. Nie rozpoznałiby go za to ani Tomek, ani Nowicki, chociaż niedawno z nim rozmawiali; tak skutecznie osłoniły go wtedy arabski strój i niepozorny wygląd.

— Tak, powiedziałem im, żeby szukali w El-Kurna...

— Na brodę Proroka, jeżeli Rasulowie się o tym dowiedzą... — przeraził się inny.

— Będą milczeć. Nie zawsze u nich czysto — odezwał się przywódca.

— Nasi wrogowie są groźni — z namysłem zabrał głos Europejczyk. — Umieją posługiwać się bronią. Wczoraj niewiele brakowało, by rozpoznali, dozorującego prace i czuwającego nad naszymi interesami w Dolinie Królów, Harry'ego. Przeżyli w górach burzliwą noc i wyszli cało...

— Na Allacha! — zawołał trzeci. — Przeżyli taką burzę?! Może to dziny?

— Gdybyż byli dżinami — ze złością rzekł „faraon” — poradzilibyśmy sobie.

Wpatrzyli się w niego z zabobonnym lękiem. Zawdzięczali mu wszystko. Uczynił ich bogatymi. Wystarczyło być posłusznym i robić, co każe, bo był rzeczywiście twardym, prawdziwie „żelaznym” człowiekiem. Zjechali tu dzisiaj z różnych części kraju. Niektórzy z północy, z Kairu, inni z Asuanu, a jeszcze inni z Nubii i Sudanu, tam gdzie kwitł ich „południowy interes”. Ci właśnie znali go najdłużej. Czekali w milczeniu.

— Giaurzy... Trzeba, by zapadli w ciszę — zdecydował.

— A kobieta i dziecko? — spytał Europejczyk.

— Kobietę wystarczy przestraszyć. Sadim, ty! — wskazał.

— A giaurzy? Kto? — ktoś chciał wiedzieć dokładniej.

— To należy do władcy Doliny — odrzekł przywódca. — Już nie istnieją.

Wymieniali szeptem uwagi. Podano kawę. Przy kawie omówili interesy. Europejskie szły nieźle, udało się przemycić nową partię przedmiotów autentycznie antycznych i podrabianych pamiątek. Północne, związane z haszyszem i opium, kwitły. Południowe także nieźle prosperowały.

Byli zadowoleni. „Żelazny władca” jak zwykle wziął na siebie najtrudniejszą część zadania. „Tak, to prawdziwy władca — myśleli. — Prawdziwy faraon...”

\* \* \*

Sally śniła...



Po niebezpiecznej drodze na pola Jaru wędrował zmarły. Przebył cztery niebezpieczne bramy i stanął na brzegu Krętej Rzeki oddzielającej go od Krainy Umarłych. Przewoźnik miał twarz Nowickiego. Z uśmiechem oczekiwał na magiczną formułę... Zmarły, pochylił się do jego ucha i wyszeptał ją:

— O ty, który odcinasz sitowie, przewoźniku... O mocy niebiańska, która otwiera dysk słoneczny. O Re, Panie Jasności, przewieź mnie, nie zostawiaj mnie opuszczonego.

— Jakie jest imię tej łodzi? — chytrze spytał przewoźnik.

— Znam wszystkie imiona jej części składowych — odrzekł podróżujący.

— Wskakuj, brachu — odparł przewoźnik. — Tylko do rufy, nie do dzioba, bo jedynie to zapewni ci szczęście... A co tam trzymasz w ręku?

— To prezent dla Ozyrysa — odparł podróżujący, a Sally ujrzała niewielkie zawiniątko, które przyciskał do piersi i tak nagle, jak bywa to tylko we śnie, ze zdumieniem rozpoznała w podróżującym Tomka.

— Nie bój się, brachu, Ozyrysa — odpowiedział przewoźnik. — To swój chłop. Nie mogę tam wprowadzić z tobą iść, bo tu czeka mnie dużo pracy, ale poradzisz sobie...

— W Sali Obu Prawd<sup>1013</sup> nic się nie ukryje — odparł podróżujący. — Wiem o tym: „*Kto prawo omija, będzie ukarany. Skromność otrzyma bogactwo, a nieprawość nigdy nie osiągnie celu*”.

Przed wejściem do Sali Obu Prawd czuwała bogini Hepter–Hor z dwiema głowami: lwicy i krokodyla, z nożami w obu rękach. Podróżujący zatrzymał się, by wygłosić inwokację:

*„Bądź pozdrowiony, Boże Wielki! Panie Obu Prawd! Przyszedłem do Ciebie. O mój Panie! Przywiedziono mnie, bym ujrzał Twą doskonałość. Znam Ciebie, znam Twoje imię, znam imiona czterdziestu dwu otaczających Cię... Przybyłem, aby poznać Ciebie w pełni. Przyniosłem Tobie Obydwie Prawdy”.*

Tomek — Sally była teraz zupełnie pewna, że to on — wszedł do środka. Sally rozejrzała się wokół jego oczyma. Na tronie siedział, stojący na czele sądu, Ozyrys.

---

<sup>1013</sup> — Sala Obu Prawd (czyli dobra i zła) w domu Ozyrysa w Krainie Zmarłych, to miejsce, gdzie według staroegipskich wierzeń, odbywał się sąd nad zmarłym faraonem.

Wagę dobra i zła obsługiwał Anubis, ale zamiast głowy szakala ujrzała łagodną twarz Wilmowskiego. Thot, zapisujący wyniki, miał twarz ojca Sally, pana Allana. Tomek poważnie skinął im głową, a potem pozdrowił dostoyny trybunał, podając jednocześnie na wyciągniętej dłoni swe serce, usta i oczy. *„To pierwszy etap sądu”* — pomyślała Sally. *„Wszystko, co w ciągu życia słyszał, widział i myślał było czyste i szlachetne. Zaraz rozpocznie się długa deklaracja niewinności”*.

— Usunąłem z siebie moje grzechy.

— Nie zgrzeszyłem przeciw ludziom.

— Nie grabiłem biednych.

— Nie trułem.

— Nie zabijałem.

— Nie rozkazywałem mordercy.

— Nie wyrządziłem nikomu krzywdy.

— Jestem czysty, jestem czysty, jestem czysty — powtarzał Tomek, a Anubis i Thot uśmiechali się do niego.

Później trybunał rozpoczął przesłuchanie. Sprawdzono, czy podróżujący mówi prawdę. Jego serce położono na jednej szali wagi, na drugiej zaś — symbol bogini Maat, pióro. Sally zadrżała. Szale wagi chwiały się niepewnie to w jedną, to w drugą stronę. Gdy przechyliła się szala z piórem, potwór zwany Am-mutu, czyli Pożeracz Zmarłych o pysku krokodyla, z łbem i przednią częścią korpusu lwa, z zadem hipopotama szeroko otworzył przerażającą paszczę.

W tym momencie Tomek rozwinął zawiniątko i uniósł jego zawartość ku Ozyrysowi. W blasku świec zalśnił posążek faraona. Ozyrys tryumfalnie podniósł go do góry.

Szale wagi zadrżały i wyrównały się. Ozyrys wstał i uroczyście ogłosił podróżującego za *„usprawiedliwionego głosem”*. Toth z twarzą starego Allana poprowadził Tomka do Ozyrysa. Razem z Sally spojrzeli w jego twarz i obojgu zdumienie odebrało głos. Ozyrys miał bowiem twarz Smugi. Znacząco położył palec na ustach, nakazując milczenie.

— Przyznaję ci prawo pobytu na błogosławionych Polach Jaru, abyś mógł żyć wiecznie i szczęśliwie.

Sally obudziła się i odetchnęła z ulgą, widząc Tomka obok siebie. Opowiedziała swój sen przy śniadaniu, gdyż wyraziście odcisnął się w jej pamięci i budził zaniepokojenie.

— Widocznie Ozyrys jest nam życzliwy — Tomek tylko się uśmiechnął. Ale Nowicki powiedział w zamyśleniu:

— Sny są jak przeczucia. Może to jakieś ostrzeżenie?

— Ech! Zawsze byłeś zabobonny! — wyraźnie już roześmiał się Tomek.

— Nie kpij, brachu! Ozyrys to poważna osoba — ni to poważnie, ni to żartobliwie wycofał się Nowicki.

— Co planujemy na dzisiaj? — Sally szybko zmieniła temat.

— Obiecaliśmy coś małemu i chyba mu się to należy — przypomniał Nowicki. — Chociaż z drugiej strony... przyznaj się Tomku, czy cię czasem nie świerzbi, żeby wynająć kilkunastu Arabów i gdzieś w kąciku pokopać? Wszyscy prawie tutejsi Europejczycy zabawiają się w ten sposób. Może znajdziemy jakiś stary grobowiec i nazwiemy go imieniem naszej Sally...

— Proszę nie żartować, kapitanie. Sam mówiłeś, że z tych rzeczy nie należy się śmiać.

— A mówiłem, mówiłem — odrzekł Nowicki. — Pewnie, brachu, bylibyśmy pierwszymi Polakami szukającymi tutaj skarbów...

— Na razie dość przygód. Zaczekamy na ojca i Smugę — stanowczo powiedział Tomek. — Wybierzmy się tymczasem do Medinet Habu, koptyjskiej wioski. Pamiętacie jeszcze, że mamy list polecający do jednego z jej mieszkańców? Do przyjaciela owego koptyjskiego duchownego, któremu Patryk oddał w Kairze tak cenną przysługę? Może dowiemy się czegoś? Tak czy inaczej zresztą nie wymyślimy chyba nic przyjemniejszego, zwłaszcza dla Patryka — zdecydował.

Gdybyż tylko mógł wiedzieć, że już wkrótce, to stwierdzenie okaże się odległe od rzeczywistości!

— No cóż, racja to racja. Ty masz, brachu, głowę! Ja już całkiem o tym zapomniałem — skapitulował Nowicki. — Byle tylko nie trzeba było się wspinać na szczyty, idę z wami — próbował jeszcze trochę ponarzekać.

— Jako lokaj niewiele masz, Tadku, do gadania — zaśmiał się młody Wilmowski.

— Nie wódź mnie, brachu na pokuszenie — odrzekł na to marynarz I nawiązując do snu Sally, żartobliwie dodał: — bo cię na drugi brzeg nie przewiozę...

Odpoczynek, poczucie przyjacielskiej więzi, łagodny blask porannego słońca odsunęły w przeszłość napięcie niedawnych zmagania z bezlitosną siłą przyrody. Chcieli się nacieszyć tym odprężeniem i ani im były w głowie wszelkie niebezpieczeństwa. Tylko Sally nie opuszczał wewnętrzny niepokój. Wciąż pod wrażeniem snu nie mogła się powstrzymać od napomnień o potrzebie zachowania ostrożności. Tym bardziej, że sama postanowiła zostać w obozowisku, by uporządkować swe notatki.

— Kochana turkaweczko... Złego diabli nie wezmą, jak się o tym przekonałaś.

Nowicki komentował właśnie ze śmiechem przestrogi Sally, kiedy z pożegnalną wizytą przybył do ich obozu Bieńkowski. Na razie odłożyli więc wszelkie plany na rzecz interesującej rozmowy z ciekawym gościem. Przy kawie Nowicki wrócił do tematu, który zaledwie udało mu się przed chwilą, jak mawiał, „*napocząć*” i zapytał archeologa:

— Jest pan chyba jednym z pierwszych kopiących tutaj Polaków...

— Jednym z pierwszych — powtórzył Bieńkowski. — Tak! Lecz nie pierwszym. Pierwszym był hrabia Michał Tyszkiewicz.

— Znów arystokrata — skrzywił się Nowicki.

— Kopał w Karnaku w 1861 roku. Wynajął 60 chłopów, sam siedział na trzcinowym fotelu pod parasolem, pilnując, by kopacze nie kradli.

— A to leniuch — Nowicki nie mógł jakoś zrezygnować z niechęci do arystokracji.

— Szybko jednak musiał zakończyć swe prace, gdyż w tym czasie wprowadzono przepis, by starać się o oficjalne zezwolenia na wykopaliska.

— Dokopał się do czegoś? — zaciekawiał się Tomek.

— Same drobiazgi: alabastrowa statuetka Izydy, kałamarz, kilkanaście skarabeuszy, drewniana szkatułka, złoty pierścień...

— Jednym z pierwszych chyba Polaków, który w sposób naukowy zaczął traktować Egipt był Józef Sułkowski — powiedział Tomek. — Uważa się go za pierwszego egiptologa rodem z naszej ojczyzny, prawda?

— Ach — westchnął Nowicki. — Kiedy wreszcie nadejdzie czas, że my, Polacy będziemy mogli we własnych barwach, dla sławy własnego kraju, a nie w obcej służbie pracować...

— Słuszna uwaga — potwierdził Bieńkowski. — Tyle że my, Polacy, nawet w obcej służbie, pracujemy dla Polski...

Przez chwilę wszyscy trzej w zadumie spoglądali przed siebie. Po chwili Bieńkowski podjął wątek:

— Czy wiecie, panowie, że w austro-węgierskim poselstwie w Kairze pracują dwaj Polacy, Antoni Stadnicki i Tadeusz Koziębrodzki<sup>1014</sup>? Pomagają oni, jak mogą, swoim rodakom. Dzięki ich kontaktom, błyskotliwą karierę zrobił w Egipcie młody archeolog, Tadeusz Smoleński<sup>1015</sup>.

— Nie słyszałem o nim — zainteresował się Tomek.

— Przyjechał do Egiptu w 1905 roku, by podratować zdrowie i dzięki poparciu naszych dyplomatów został zatrudniony przez samego Gastona Maspero. Szybko osiągnął wybitne rezultaty, Maspero uważał go za jednego z najzdolniejszych swych współpracowników. Niestety, w 1909 roku zabiła go choroba płuc.

— Jak pech, to pech — westchnął Nowicki. — Nie dość, że uwzięli się na nas zaborczy sąsiedzi, to jeszcze i choróbska wywlekają na obce kontynenty i niszczą najlepszych...

— Cóż, ma pan rację — rzekł Bieńkowski. — Smoleński bardzo przeżywał rozstanie z Polską. Pisał do przyjaciół, że marzył o pracy w kraju i dla kraju, ale skoro los mu nie sprzyja, to honor Polaka wymaga, by objawił się dobry egiptolog także znad Wisły.

---

<sup>1014</sup> — A. Stadnicki i T. Koziębrodzki (1860–1916) byli w tym czasie pracownikami poselstwa austro-węgierskiego w Kairze. Koziębrodzki od 1904 r. pełnił funkcję konsula generalnego, a potem ministra pełnomocnego.

<sup>1015</sup> — T. Smoleński (1884–1909) — jeden z pierwszych polskich egiptologów. Wyjechał do Egiptu w 1904 r., przyjęty życzliwie przez dyrektora Service des Antiquites, Gastona Maspero, odbył u niego studia i wkrótce osiągnął wybitne rezultaty. Kierował pracami wykopaliskowymi w Górnym Egipcie. Jako pierwszy z Polaków przetłumaczył na język ojczysty baśnie, wydane pod tytułem „*Na dworze Cheopsa*”. W 1909 r. był Sekretarzem Komitetu organizacyjnego II Międzynarodowego Kongresu Archeologów Klasycznych w Kairze. W tym samym roku zmarł na suchoty w Krakowie. W testamencie pisał: „*Niech nikt nie zapomina o niedoli kraju; niech, strzegąc się występku znieprawienia, spełnia wytrwale obowiązki sumienia w sprawie publicznej nauką i cnotą*”. Piękne wspomnienie o nim, w formie nekrologu, napisał Gaston Maspero.

— Brawo, brawo! — zawołał Nowicki. — Po tym zawsze można poznać Polaków, że honor cenią i dla Ojczyzny wiele poświęcić gotowi.

Na miłej pogawędce upłynął im niemal cały dzień. Na planowany spacer do Medinet Habu wybrali się dopiero około czwartej, wystawiwszy na ciężką próbę cierpliwość Patryka. Szli piechotą, wolno, najpierw wśród pól, a potem jak zwykle przez piaski. Wioska rozłożyła się w kotlinie wśród gór. Zobaczyli już palmy, ogrody i kopulasto wzniesione chatynki. Rozmawiali po drodze oczywiście o Bieńkowskim i jego bezcennej dla nich wiedzy o tutejszych zabytkach.

Patryk uwolniony od opieki nad psem, który został z Sally, myszkował swoim zwyczajem w różnych dziwnych miejscach, a tych wśród skał nie brakowało. W uskoku, w który właśnie zamierzał się zapuścić, dostrzegł niewyraźny zarys ludzkich postaci. Zawahał się na moment i zaczął wycofywać do Tomka i Nowickiego. Zza skał wybiegło jednak kilku ludzi. Poruszali się cicho jak zjawy. Jeden chwycił chłopca, który nie zdążył nawet krzyknąć, by ostrzec „wujków”. Marynarz odwrócił się w ostatniej chwili, zanim spadła na niego ogromna sieć. Szamotał się w niej bezskutecznie. Dostrzegł jeszcze nieruchomo rozciągniętego na piasku Tomka i uderzony w głowę stracił przytomność.

Nie czuli, kiedy ich wiazano i ciągnięto w ciemny wąwóz, gdzie czekały gotowe do drogi wierzchowce. Przywiązani do koni, nieprzytomni, wyruszyli w nie znane.

## W SZPONACH PUSTYNI

Tomek nie mógłby powiedzieć czy w jakimś momencie tej piekielnej podróży odzyskał przytomność. Nie na wiele by się zresztą przydała człowiekowi związanemu, z omotaną głową i przytroczonemu do konia niczym pakunek. Zwiększyłaby tylko niewygody związane z tak dolegliwym sposobem przymusowego podróżowania.

Był jednak przytomny, kiedy w końcu się zatrzymali. Rzucono go na piasek i ściągnięto zawój z głowy. Mógł wreszcie otworzyć oczy i rozejrzeć się dokoła. Ale zamknął je równie chętnie jak przed chwilą otworzył nie tylko dlatego, że oślepiał blask słońca odbijany przez złocisto-czerwone piaszczyste wzgórza. O wiele skuteczniej poraziła go świadomość miejsca, gdzie się znalazł. Sahara! Bez wątpienia Sahara, nazwana tak z arabska rozległa pustynna równina rozciągnięta od Oceanu Atlantyckiego aż po Morze Czerwone, od Morza Śródziemnego aż do sudańskiego sahelu. Poraziła go świadomość bezkresu tej wypełnionej piaskiem przestrzeni, tak jak przeraża zwykle ciemność w zupełnie nie znanym miejscu. I niemal natychmiast targnął nim jeszcze straszliwszy niepokój. Co z chłopcem, co z Nowickim? Spróbował zmienić pozycję. Tak! Byli tutaj wraz z nim. Patryk ze skrępowanymi rękami siedział oparty o skałę. Obok niego leżał związany i zakneblowany Nowicki. „*Na szczęście żywi*” — z ulgą odetchnął Tomek.

Czuł, że nie zdoła się odezwać. Nie mógłby nawet poruszyć zeszywniałym, suchym z pragnienia i kurzu językiem. Ale mógł myśleć. Rozpaczliwie starał się przywołać z pamięci wszystko, co wiedział o Saharze, a co mogłoby zawęzić bezkresny obszar do jakiejś konkretniejszej, możliwej do ogarnięcia umysłem przestrzeni.

„*Piasek jest wszędzie*” — myślał gorączkowo. „*Ale nie wszędzie przecież jednakowy. Inny, zalegający płytko na równinnym serrirze, inny, w postaci wydm przesypywanych w kierunku wiatru, na kamienistej, skalnej hamadzie*<sup>1016</sup>. *Miejscowi nazywają je divnami, co oznacza wały*” — przypomniał sobie. „*A te potrafią zasypać bez śladu całe karawany*”.

---

<sup>1016</sup> — Sahara ma powierzchnię ponad 8 milionów km. Długość 5000 km, a szerokość 2000 km. Jest największą pustynią świata. Serrir (serir) — pustynia piaszczysto—żwirowa. Hammada (hamada)

Nie, na razie lepiej było odsunąć te myśli. Pod plecami Tomek czuł piasek, porośnięty kruchą pustynną roślinnością. Wzgórza zaczynały ciemnieć od dołu i przybierać kolor niebieskawy. Wyraźnie zbliżała się noc. Wyruszyli do Medinet Habu po południu, a więc nie mogli jechać dłużej niż parę godzin. Arabowie wyraźnie przygotowywali się do noclegu. Czerpali wodę — zdał sobie sprawę Tomek — z czegoś w rodzaju studni. Rozkulbaczyli konie i wielbłądy, napoili je, rozciągnęli swe legowiska. Któryś oddawał mocz, pustynnym zwyczajem klęcząc na piasku. Więźniami nikt się na razie nie interesował.

Od pewnego już czasu Tomek czuł na sobie wzrok Nowickiego, który wpatrywał się w niego z wyraźnym napięciem, coś mu chciał przekazać, ponaglał tym uporczywym spojrzeniem. Ale do Tomka podszedł właśnie któryś z Arabów. Sprawdził najpierw jego więzy, a potem, przechylając mu głowę do tyłu, wlał do gardła parę łyków zimnej, ożywczej wody.

Arab podszedł z kolei do Nowickiego. Teraz nie sprawdzał już więzów. Po prostu kolejnemu więźniowi wlał do gardła, podobnie jak Tomkowi, nieco wody. Marynarz przełknął wodę, a kiedy Arab odwrócił się, by odejść chwycił go za powłóczyste szaty i przerzucił przez siebie. Tamten jęknął, głucho uderzył o ziemię, wzniesając tuman piasku. Ściągnęło to uwagę i szybki atak innych. Niestety, najwidoczniej uwolnił się z więzów zbyt niedawno, by wróciła mu w pełni władza w całym ciele. Ciosy pozbawione zwykłej siły i szybkości nie mogły dać mu przewagi. Tomek nateżał wszystkie siły, by się uwolnić. Na próżno. Straszna walka przyjaciela dobiegała końca. Resztką sił udało mu się przedrzeć do koni. Dosiadł jednego z nich i ścisnął mu boki kolanami. Zwierzę zareagowało, ale niestety było... spętane. Runęło na kolana, a niefortunny jeździec poleciał do przodu. Chmura kurzu, kwik wystraszonych zwierząt, okrzyki walczących niosły się daleko w pustynię.

W walce nie brało dotąd udziału dwu ludzi. Przyglądali się zmaganiom z zadziwiającym spokojem. Gdy Nowicki dopadał konia, roześmiali się. Jeden wstał i podszedł do swego wielbłąda. Z wolna zdjął zawój i przez głowę ściągnął arabski strój. Ze schowka przy kulbace wy dobył długi bicz, odwrócił się i strzelił nim w powietrzu.

---

— pustynia kamienisto-piaszczysta. Sahel — teren położony między pustynią a sawanną, czyli inaczej — półpustynia.



Nowicki właśnie podnosił się z piasku. Świst korbacza sprawił, że napastnicy odstąpili i marynarz nagle został sam. Harry stanął naprzeciw z drwiącym uśmiechem na ustach. Chwycił się znacząco za ucho i powiedział:

— Pamiętasz?

Marynarz dyszał ciężko. Raz i drugi przełknął głośno ślinę i pokonując wysiłkiem woli suchość w gardle, wyraźnie powiedział:

— Stęskniłeś się może?

Niebezpiecznie blisko jego twarzy strzelił bicz. Nowicki odchylił się do tyłu i bat owinął mu się dokoła nóg, zwalając go na piach przy akompaniamencie głośnego śmiechu widzów. Harry niespiesznie zwinął korbacz i odsunął się nieco. Teraz Arabowie mogli skrępować Nowickiego, niczym niemowlę. Kiedy zakończyli swe dzieło, stanął nad nim Harry. Przez chwilę mu się przyglądał, potem lekko pochylił i klepiąc go po twarzy.

— Grzeczny! Bardzo grzeczny chłopiec! Pozostało tylko mocno zacisnąć szczęki...

Noc była zimna. Różnica temperatur między południem a północą sięgała 20° C. Jeńcy nie byli w stanie zasnąć ani na chwilę. Milczeli, nad słuchując mowy pustyni. Pohukiwała gdzieś sowa, przerzucane wiatrem ziarenka piasku, uderzając o siebie, wydawały dziwny, melodyjny dźwięk. Ledwie świt otulił ich ciepłem wschodu, ruszyli dalej. Jeńców nie nakarmiono, ale nie zawiązano im przynajmniej oczu, mogli się więc spokojnie przyjrzeć swoim przeciwnikom. Było ich ośmiu. Wszyscy w zawojach na głowach, z czołami lśniącymi od tłuszczu i potu, twarzami osłoniętymi przed pustynnym kurzem. Spod ciemnych, długich sukien wyglądały ręce i nogi. Wszyscy, poza Harrym, uzbrojeni w prymitywne karabiny i długie, przypominające szable, noże.

Jechali po dnie ogromnego, wyżłobionego potokami deszczu, wąwozu hamady, co w świetle dnia łatwo było rozpoznać. Znali widać doskonale drogę, bo nigdzie nie natrafiali na zasypane kamieniami przejścia.

Patryk jadący na wielbłądzie za jednym z nich, sprawiał wrażenie pogodzonego z losem, przestraszonego chłopca. Niezłomnie jednak wierzył, że „wujkowie” dadzą sobie radę, kiedy przyjdzie pora. Nie wiedział jak, ale jednego był pewien: żeby mogli wrócić, trzeba zapamiętać drogę. Od razu uznał, że to należy do niego. Z wysokości wielbłąda mógł obserwować

otoczenie. Bezwiednie rejestrował w pamięci wszystkie dostrzeżone szczegóły.

Z wąwozu wyjechali wprost na sypkie, piaszczyste diuny. Z trudnością pięli się na szczyt każdej piaskowej góry, skąd otwierał się widok na niezliczone fale następnych. Przypominało to rozciągające się nieruchomo jezioro lub morze. Coraz częściej szukali łagodniejszych zboczy, by w ogóle móc zjechać w dół. Na ogół było jednak tak stromo, że konie staczały się, kwicząc z lęku. Nowicki i Tomasz, którym rano rozwiązano nogi, starali się utrzymać w siodłach, co ze związanymi rękami przychodziło im z trudem, choć przecież byli doskonałymi jeźdźcami. Wokół panowała głęboka cisza, rozpalony piasek oślepił blaskiem, a powietrze drgało od gorąca.

Nadchodziło południe, ale jeźdźcy zanurzeni w piaskach pędzili dalej. Kiedy wreszcie stanęli, obaj przyjaciele, brutalnie ściągnięci z koni, upadli twarzami do ziemi. Tomek pluł piaskiem i próbował wytrzeć zapocone oczy. Wywołało to huragan drwiącego śmiechu.

— Kim jesteście! — zdołał wreszcie zapytać młody Wilmowski. — Czego od nas chcecie?

Przywódca gestem nakazał milczenie. W ciszy słyhać było tylko mruczenie wielbłądów i parskanie koni.

— Chcesz naprawdę wiedzieć, giaurze? — spytał po angielsku. — Naprawdę chcesz wiedzieć?... To popatrz, bo pierwszy i ostatni raz możesz zobaczyć żelaznego faraona!

Pochylił się nad jeńcami. W zakrytej twarzy fanatycznie płonęły oczy.

— Nie zabiję was. Uczyni to skutecznie słońce. — Powiedział zimno i znowu już wyprostowany dodał. — Tu rządzi władca Doliny, nie wy, przekłęci giaurzy!

I to było wszystko. Jeźdźcy dosiedli wielbłądów i koni. Ruszyli galopem. Zakurzyło się i nastała cisza.

— A tośmy, brachu, przepadli — wykrztusił Nowicki.

— Spróbujmy się uwolnić.

Pod palącym słońcem podjęli próbę rozwiązania rąk, ale usłyszeli tętent konia. Ktoś wracał galopem. Zatrzymał konia tuż przed nimi, obsypując ich

piaskiem tak, że instynktownie pochylili głowy. „*Żelazny faraon*” pochylił się w siodle i śmiejąc dziko, rzucił na piasek gurtę<sup>1017</sup> z wodą.

— Jestem miłosiernym władcą! — wykrzyknął i jeszcze raz wybuchnął śmiechem. Wkrótce znikł.

W milczeniu, pospiesznie uwolnili z więzów ręce. Rozwiązali Patryka i sięgnęli po gurtę. Każdy wydzielił sobie kilka małych łyków wody.

— Uff! — powiedział Nowicki, rozcierając przeguby. Ręce w tym upale zgrabiły mi, jak na mrozie. I dodał z wisielczym humorem:

— Deczko mi się pić chce... Patryk stłumił płacz.

Nie mieli dość sił, by szukać odrobiny cienia, ale żar powoli przygasał. Niemiłosierne słońce obniżyło swą tarczę, zamykając się w sobie i tuląc do snu. Znów wypili po łyku wody.

— No, marynarzu! — rzekł Tomek. — Ruszajmy w drogę.

— Ano, nie mamy wyboru!

Nowicki i Tomek zdawali sobie sprawę, że w tak beznadziejnej sytuacji chyba jeszcze nie byli: bez odrobiny pożywienia porzuceni na pustyni, z ilością wody, która w tym upale, nawet ściśle dozowana, mogła wystarczyć najwyżej na dwa, trzy dni, praktycznie nie mieli szans. Ale był z nimi chłopiec, za którego odpowiadali i który potrzebował otuchy. Nie zwykli zresztą bez walki poddawać się losowi.

— Musimy dotrzeć do studni, gdzie obozowali ostatnio.

— Hm... Nie wiem, czy obserwowaleś niebo... Zdaje się, że jechaliśmy wciąż na zachód. Przebyliśmy z pięćdziesiąt kilometrów.

— Przez cały czas?

— Nie, dziś od rana, od tamtej studni...

— Trzeba do niej dotrzeć. Niewiele mamy wody. Rzeczywiście, w gurgie było jeszcze z dziesięć litrów.

— Może starczy... — westchnął Nowicki. — A potem...

— Jeśli nie dojdziemy do studni... — zaczął Tomasz, ale rzuciwszy okiem na Patryka, dokończył inaczej niż zamierzał: — ... to będziemy musieli znaleźć wodę!

— Wedle naszych porywaczy nie wchodziło to w rachubę — mruknął Nowicki.

---

<sup>1017</sup> — Gurta — buklak na wodę ze skóry młodego kozłęcia. Zszyta wzdłuż linii brzucha, ma wieszak z wielbłądziego włosia, służący jednocześnie do zamykania włqu.

— To dlaczego zostawili nam gurtę? — Tomek, jak mógł, ratował sytuację.

— Zakpili sobie... To ludzie z fantazją — odparł marynarz.

— Szkoda tylko, że z fantazją na tak niewiele litrów. Ja miałbym większą — uparcie żartował Tomek, któremu żal było chłopca.

Ale to właśnie Patryk w końcu ich ponaglił.

— Wujku! Chodźmy już — zażądał bardzo zdecydowanie.

— Ruszajmy! — rzekł Tomek. — Nie możemy zabłądzić.

— Z pewnością nie zabłądzimy. — Nowicki, któremu dostało się najwięcej, z twarzą naznaczoną śladami walki, uśmiechnął się do Patryka. — Lepiej jednak dobrze pomyślmy, nim wyruszamy.

— Najlepiej iść prosto na wschód! — rzekł Tomek. — Chociaż niekoniecznie. Nie wiem, Tadku, czy pamiętasz mapę. Otóż w okolicach Nag Hammadi Nil skręca dokładnie na wschód i płynie w tym kierunku aż do Kina, jakieś 70 kilometrów. Potem łagodnym łukiem zawraca w kierunku zachodnim, by niedaleko Luksoru podjąć znów swoją wędrówkę...

— Myślisz, że jesteśmy jakby wewnątrz tego łuku?

— Oczywiście! Zamiast na wschód, możemy więc udać się na północ i dotrzeć w rejon Nag Hammadi.

Nowicki przez chwilę milczał.

— Nie wiem czy to dobry pomysł — rzekł wreszcie. — Moim zdaniem, lepiej wracać po własnych śladach.

— Jest jeszcze jedno — Tomek powiedział to z pewnym naciskiem. — Nie wiem czy zauważyłeś... Gdy pędziliśmy przez pustynię, mijaliśmy dwa, czy trzy wyschnięte uady<sup>1018</sup>, wyschnięte koryta pustynnych potoków. Jakiś czas jechaliśmy dnem jednego z nich. Wszystkie biegły z południa na północ. Idąc wzdłuż nich, dojdziemy do Nilu...

— Tak — mruknął Nowicki. — Byle tylko najpierw je znaleźć. Niespodziewanie włączył się Patryk.

— Wujku... Wiem jak. Tu wszędzie piasek... Ale za tą wydumą, dobrze pamiętani... drzewo... A od drzewa, widać wszystko daleko. Tam jest taka skała. Minęliśmy ją z prawej strony. A potem...

---

<sup>1018</sup> — Uady (uadi, wadi, waadi) — z arab. suche łożyska rzek na pustyniach, które wypełniają się wodą jedynie w porze deszczowej na skutek gwałtownej ulewy.

— Wspaniale, chłopcze! — zdumiony Tomek przerwał Patrykowi, który opisując drogę, pełen przejęcia, pomagał sobie rękami.

I Tomek i Nowicki byli jednakowo zdziwieni. Wiedzieli, że chłopiec jest więcej niż spostrzegawczy, ale żeby w pełnych strachu chwilach pamiętał o takich szczegółach?

— Zatem ruszajmy!

— I jak mawiał mój dziadek spod Jabłony: „*Niech Bóg nam dopomoże*” — dodał Nowicki.

Ze szczytu wydmy rzeczywiście ujrzeli zgrupowanie niskopiennych krzewów.

— Może trudno to uznać za drzewo — uśmiechnął się Tomek. — Ale, z braku laku...

— Och, wystarczy, żeby miały trochę wilgoci... — wzdychał Nowicki. Próbowali dobrać się do wnętrza suchorośli<sup>1019</sup>, ale uniemożliwił im to bardzo gruby pancerz z ziaren piasku, twardy i niełamliwy. Zrezygnowali i postanowili kilka godzin odpocząć. Zanim przytulili się do siebie i spróbowali zasnąć, Tomek wyjął chustkę do nosa i rozłożył na powierzchni piasku. Za jego radą uczynili to samo. Gdy po parogodzinnym odpoczynku ruszali dalej, chustki na skutek gwałtownego, nocnego ochłodzenia, nasiąkły rosą i z każdej udało się wyjąć dosłownie kilka kropel.

Noc była jasna. Księżyc bladym światłem oświetlał drogę. Patryk pewnie wskazywał drogę. Tak jak zapowiadał, w dali wystrzelała w niebo ostra iglica skalna. Rażnym krokiem ruszyli na wschód. Do świtu opuścili diuny piaskowe i znaleźli się w przetkanej piaskami hamadzie.

Tomek szedł pierwszy, co chwila ustalając z Nowickim i Patrykiem kierunek.

— Musieli jechać jakimś znanym, przejezdnym szlakiem, bo nie utknęli i nie zawracali nigdzie — powiedział.

— Szkoda, że go nie oznakowali — mruknął marynarz.

— Oznakowała za to natura, prawda Patryku? — spytał Tomek.

— Musimy iść tam — powiedział chłopiec, wskazując nieco na południe. Tam gdzie te dwa duże kamienie.

---

<sup>1019</sup> — Suchorośla — rośliny pustynne, przystosowujące się do niedostatku wody. Mają np. liście o małej powierzchni utrudniającej parowanie wody i bardzo rozbudowany system korzeni. Korzenie mają czasem długość 25–30 m, a sięgają na głębokość 20–25 m.

Świt zastał ich przy owych skałkach, między którymi wiódł ślad wyschniętego potoku. Gdy usiedli, tuż obok nich przemknął gekkon<sup>1020</sup>. Zauważyli też skoczka<sup>1021</sup>.

— Jeśli są tu zwierzęta, jest z pewnością i woda.

— Woda i woda... Tylko o niej mowa, do stu fontann wielorybich. Muszę trochę się zdrzemnąć — rzekł Nowicki. — Strasznie chce mi się pić.

Tomek spojrział na niego z niepokojem. Sam czuł się znośnie. Patryk, cały skupiony na swojej roli przewodnika, też nie wyglądał najgorzej. Nowicki za to cierpiał widocznie. Jego potężnie zbudowane ciało pociło się podwójnie i podwójnie wystawione było na słoneczny żar. Tomek postanowił przydzielić mu dodatkowy łyk wody.

Marynarz przechylił gurtę. W tej samej chwili usłyszeli łopot skrzydeł. Przeleciało nad nimi stado stepówek<sup>1022</sup>.

— Ptaki też wskazują drogę na południe — powiedział Tomek. — Zostańcie tu i czekajcie aż wrócę.

Nowicki, jakby zubożniały, skinął głową, powoli usypiając. Patryk chciał jednak towarzyszyć Tomkowi. Obaj ruszyli więc śladem uadi i lecących ptaków. Wyszłe koryto było jedyną rozpadliną w zasięgu wzroku. Robiło się coraz jaśniej i wkrótce zza horyzontu wynurzyło się słońce, niemal natychmiast podnosząc temperaturę o kilka stopni. Po półgodzinnym marszu, doszli do załomu koryta. Teren wyraźnie się tu obniżał i wznosił dopiero za zakrętem.

— Wujku — powiedział Patryk, tu musi gdzieś być woda.

— Cicho — odrzekł Tomek, chwytając go za rękę. — Cicho! Nadśluchiwał przez chwilę.

<sup>1020</sup> — Gekkony (*Gekkonidae*) — rodzina gadów z podrzędu jaszczurek. Występuje w klimacie gorącym. Prowadzi nocny tryb życia. Osiąga długość od 5 do 30 cm (połowa z tego to ogon). Ciało pokryte miękką skórą i guzowatymi łuskami. Większość gatunków ma palce zakończone nie pazurami, a przylgami, co umożliwia chodzenie po pionowych ścianach i suficie. Żyją od 7–9 lat.

<sup>1021</sup> — Skoczek egipski (*Jaculus jaculus*), zwany bywa również skoczkiem pustynnym, zamieszkuje pustynie Afryki północnej i południowo-zachodniej Azji. Drobny ssak, gryzoń. Waży około 50–70 gramów, długość — 10 cm, z ogonem 25 cm. Wierzch ciała barwy piaskowej, ogon z białą kitą na końcu. Porusza się nocą skokami. Dzień spędza w norach. Żywi się roślinami stepowymi i nasionami.

<sup>1022</sup> — Stepówki (*Pteroclididae*) — rodzina z rzędu gołębiowatych, obejmująca szesnaście gatunków. Zamieszkują okolice pustynne i półpustynne. O świcie lub zmroku odbywają masowe przeloty do wodopoju, oddalonego nawet o 60 km. Występują głównie w Afryce i Azji.

— Nic nie słyszysz Patryku? — spytał. Chłopiec przecząco pokręcił głową.

— Zdawało mi się, że brzęczy komar...

Teraz usłyszeli wyraźnie. Nad ich głowami pojawił się ni stąd ni z owad cały rój tych owadów.

— Hej, chłopcze! Już dawno nie słyszałem tak cudownej muzyki!

— zawołał Tomek.

— To woda! Musi, musi tu być — radośnie wtórował mu Patryk.

— Chodźmy!!!

Tomek ruszył za nim. Chłopiec zszedł do najniższej położonej części koryta. Wyciągnął przed siebie ręce, jakby szukając czegoś po omacku.

— Tutaj! Tutaj! — zawołał wreszcie, wskazując w samym rogu, na stromym brzegu ostrego zakrętu miejsce zarośnięte skąpą, pozółkłą roślinnością. Piasek był głęboko rozgrzebany w wielu miejscach. Gdy podeszli bliżej, z jednego z głębszych wykopów uleciało w górę kilka stepówek.

— One też szukają wody — domyślił się Tomek. — Nie do wiary, że potrafiły porobić tak głębokie wykopy...

Rozpoczęli żmudną pracę, pogłębiając rozpadlinę. Rosła suchość w gardle, dokuczał upał. Na szczęście stromy brzeg zasłaniał ich od słońca tak, że pracowali w cieniu. Ale tuż po wschodzie zaczął wiać dość ostry wiatr. Nie tylko niweczył ich pracę, zasypując szeroki otwór, ale unosił tumany pustynnego pyłu i powodował suchą mgłę, tak gęstą, że Tomek z Patrykiem ledwie się nawzajem widzieli<sup>1023</sup>. Po kilku godzinach pracy dokopali się do wilgotnego piasku, który chłodził ich dłonie i twarze.

Niestety woda ujawniła się tylko w tej postaci. Głębiej było jej pewnie więcej, ale trzeba by kopać przez kilka dni... Zdjęli więc koszule i podkoszulki, wyjęli chustki do nosa i zakopali wszystko w mokrym piasku, przyciskając dużymi kamieniami. Wodą uzyskaną w ten sposób po kilku godzinach ugasili pragnienie, a nawet uzupełnili gurtę. Postanowili, że spędzą tu noc. Tomek zostawił Patryka, by nadal gromadził cenny płyn, sam zaś wrócił po Nowickiego.

---

<sup>1023</sup> — Sucha mgła — powoduje czasem tak wielkie zaciemnienie, że gazy wbiegają między karawanę i mieszają się w niej z ludźmi i zwierzętami.

Zastał go pod skałkami, śpiącego. Wyglądał bardzo źle. Gorące czoło, opuchnięta twarz, podkrążone, zaczerwienione oczy. Obudzony, nie stracił jednak warszawskiego animuszu.

— Do stu przesolonych beczek śledzi — wymyślił dostosowane do sytuacji nowe powiedzonko. — Znaleźliście wodę?

— Owszem! Pół godziny marszu stąd.

— Wszystkie kości mnie bołą, brachu — pozałił się. — Ale po ten wspaniały płyn, pójdę z tobą. Lepiej mi chyba będzie smakował od jamajki...

Próbował żartować i Tomek:

— Nigdy nie słyszałem, Tadku, takiego żalu w twoim głosie.

— Bo jak człowiek głodny i spragniony, to wyrzekłby się każdej przyjemności — powiedział marynarz. — Ale wieczorem na ten chłód, przydałby się łyk jamajki. Rozgrzałby grzeszne cielsko, poprawił krążenie, a kości bolałyby może mniej.

Ciężko wstał z piasku, przeciągnął się, syknął z bólu i poszedł za Tomkiem.

— Oj, przydałby się deszcz — westchnął.

— Głowa do góry! Wodę znaleźliśmy, nie za dużo, ale na razie starczy. Niektórzy mówią, że na pustyni więcej ludzi utonęło niż umarło z pragnienia. Tu jak pada, to krótko, ale to prawdziwe oberwanie chmury. Koryta i zagłębienia błyskawicznie napęniają się wodą. Tworzą się potężne rzeki i porywają kogo i co się da.

Tomek starał się mówić rażnym i pewnym głosem, ale szczerze niepokoił się wyglądem marynarza. „*Fatalne jest to zaczerwienienie oczu*” — myślał. „*Widać w nich udrękę i gorączkę... Co będzie, jeśli Nowicki zachoruje? Co będzie, jeśli przestanie widzieć...?*”.

Doszli do zakrętu, gdzie Patryk mozolnie zbierał wodę do prawie już pełnej gurty. Podał ją Nowickiemu, który przechylił głowę i wypił litr płynu.

— Tfu — powiedział. — Fatalna.

Woda miała smak nadgniętego mułu z dodatkiem gorzkich ziół. Na dodatek pachniała kozłą skórą i wielbłądzim potem, którym przeniknięta była gurta. Mimo to marynarz dodał po chwili:

— Ale jaka smaczna!!! Roześmiali się.

Noc spędzili, drzemiąc i czuwając na przemian. Wczesnym rankiem Tomka i Nowickiego obudził krzyk Patryka:



— Wujku! To... To... Miasto! Ja widzę! Miasto!!! Zerwali się i podbiegli do niego.

Rzeczywiście. W oddali rysowały się mury, domy i meczety. Wydawało się, że dostrzegają nawet jakiś ruch. Cudownie, na lekkim wietrze chwiały się kielichy daktylowych palm.

— Jak to blisko! — cieszył Patryk. — Jesteśmy uratowani.

Miraż trwał jednak jeszcze zaledwie parę chwil. Potem obraz zaczął drżeć, zamazywać się i znikł. Patryk wybuchnął płaczem.

— To fatamorgana — cicho wyjaśnił Tomek, głaszcząc chłopca po głowie. — Bardzo rzadkie zjawisko. Występuje rankiem lub z wieczora. Na skutek rozrzedzonego powietrza widać okolice odległe nawet o sto kilometrów. Ludzie pustyni nazywają to „*krajem stojącym na głowie*”.

W płaczu Patryka znalazł ujście niepokój, w jakim chłopiec żył od kilku dni i nagle, gorzkie rozczarowanie, choć on sam o tym nie wiedział. Mężczyźni pozwolili mu się wypłakać, a potem Nowicki wziął go za rękę i powiedział:

— Dosyć, brachu! Wystarczy! — A gdy chłopiec na próżno starał się uspokoić, dodał: — Jesteś dzielnym irlandzkim chłopcem. Co teraz powiedzieliby twój ojciec i dziadek, no?

Patryk uśmiechnął się przez łzy.

— Już dobrze... Ja przecież wiem, że wujek Ted, jest jak mój dziadek, a wujek Tom jak ojciec. Muszę być dzielny!

Nowicki z Tomkiem wymienili uśmiechy.

— No to, mały brachu — powiedział marynarz — ruszamy.

Tego dnia przekonali się, co może z człowiekiem uczynić pustynia. Tomek nakłaniał, aby dotrzeć jak najdalej. Nie mówił o tym, ale dobrze widział, że z Nowickim dzieje się coś niedobrego. Marynarz starał się trzymać fason, nadrabiał miną, ale szedł prawie na oślep, z zamkniętymi oczami, starając się osłonić je choć trochę przed kurzem i słońcem.

Nagrzane powietrze drgało lekko, tworząc niesamowite, fantastyczne złudzenia. Daleko unoszący się pył pustynny wydawał się płonącym ogniskiem, wznosił się jak wąż, kręcił i opadał... Promienie słońca załamywały się tak, że przedmioty odbijały się jak w wodnym zwierciadle, tworząc złudne obrazy jezior czy kałuż. Podczas jednego z odpoczynków w przytulnym cieniu Nowicki powiedział z niezwykłą u niego powagą:

— Szalona ta pustynia. Widzisz wodę, idziesz ku niej, a to morze piasku. Niech się zamienię w wieloryba, jeśli to nie szatańska sztuczka.

— Bahar esz–szaitar! — szepnął Tomek.

— Co tam klarujesz, brachu?

— To po arabsku — wychrypiał Tomek. — Znaczy: „*morze diabła*”.

Tak miejscowi nazwali to zjawisko.

— No, no, od kiedy znasz arabski...

— Ech, tylko parę charakterystycznych słów.

Ruszyli dalej, bardziej już odporni na obietnice pustynnych miraży. To, co z daleka wydawało się wzgórzem, było zaledwie większym kamieniem. Kępy traw udawały gęsty las, a małe nierówności wybuchały w niebo jak kominy. To, że nie zabłądzili zawdzięczali żelaznej konsekwencji Tomka oraz instynktowi i nieprawdopodobnej wręcz spostrzegawczości Patryka, który bezbłędnie nauczył się odróżniać charakterystyczne, naturalne znaki od złudnych miraży.

Nowicki słabł. Czuł to sam i ogarniało go przerażenie. Lękał się nie tyle śmierci, ile kłopotu, jaki sprawi Tomkowi i tak przecież obciążonemu odpowiedzialnością za dziecko. Oczy łzawiły i zaczynały chyba ropieć. Przypomniawszy sobie dziesiątki spotykanych w tym kraju ślepców<sup>1024</sup>. „*W Egipcie na dwu Egipcjan przypada tylko troje oczu*” — jak tu mówiono. Poza tym męczyło go straszliwe pragnienie. Myśl o wodzie stawała się powoli obsesyjna. Momentami zdawało mu się, że siedzi w jamie pełnej wody i pije, pije, pije...; albo że pływa rozkosznie gdzieś w słodkim, przejrzystym jeziorze. Tomek dawał mu pić, częściej niż sobie czy Patrykowi, ale raz czy dwa niemal siłą musiał odebrać mu gurtę. Marynarz miał halucynacje i zaczynał chwilami bredzić w gorączce.

Z półprzytomnym i na wpół tylko widzącym Nowickim oraz śmiertelnie znużonym Patrykiem dotarli jednak do upragnionej studni! To był ogromny sukces. Nie zabłądzili i nie opadli całkiem z sił. Znaleźli się przy źródle wody, a więc w miejscu, które musiało być znane pustynnym wędrowcom.

Woda znajdowała się w głębokim, szerokim rowie otoczonym z jednej strony wzgórzami skalnymi, a z drugiej żwirowo–piaszczystą równiną. Rów miał około 6 metrów głębokości. Tomek natychmiast podał marynarzowi

<sup>1024</sup> — Choroba, na którą zapadł Nowicki, to prawdopodobnie trachoma, czyli jaglica lub inaczej egipskie zapalenie oczu. Do dziś stanowi jedną z najczęstszych chorób w Egipcie.

gurtę z wodą, którą ten wysączył do ostatniej kropli. Przy studni stał duży gliniany garniec, z przywiązaną do niego liną. Naciągnęli wody i ugasili pragnienie. Woda była tu chłodna i czysta. Tomek polał nią nabrzmiałą twarz Nowickiego i kładł zimne, mokre kompresy na jego oczy. Nie spał dobrze w nocy. Słuchał pustyni i jej stałych mieszkańców — zwierząt. Zawył gdzieś szakał i rechotały pustynne żaby<sup>1025</sup>. Nad ranem zaczęły brzęczeć moskity i pojawiły się wszędobylskie, ohydne muchy. Nowicki obudził się w nieco lepszym stanie.

— Oj, brachu, ledwo zipię. Łyk jamajki postawiłby mnie na nogi — powiedział.

— Słuchaj, Tadku, porozmawiajmy, zanim obudzi się Patryk. Dotarliśmy do wody. Mamy jedną trzecią drogi za sobą. Co dalej?

— Jak to co?! Ruszamy...

— Nie jestem pewien — Tomek przecząco pokręcił głową. — Chłopiec jest już bardzo zmęczony, ty... chory.

Zapadło milczenie. W końcu Nowicki zapytał:

— Co zatem proponujesz?

— Tu jest woda, a więc życie. Zostawię was i pójdę po pomoc. Wezmę ze sobą gurtę. Jeden przeżyje o wiele dłużej niż trzech. Poza tym... — przerwał.

— ... Poza tym? — pytająco powtórzył Nowicki.

— Poza tym to musi być uczęszczany szlak. Pustynne studnie znają przewodnicy karawan i miejscowi Beduini. Ktoś więc was znajdzie.

— Może więc czekajmy razem?

— Nie! W ten sposób tracimy jedną z szans. Muszę spróbować. Pożegnaj ode mnie Patryka.

Uściskali się.

— Idź z Bogiem, brachu — powiedział marynarz i przeżegnał Tomka ruchem dłoni.

\* \* \*

W blasku wschodzącego nad pustynią słońca wszystko stawało się jasne. Tylko w oczach i w duszy Nowickiego trwała noc.

<sup>1025</sup>

— Powszechnie spotykane na pustyni żaby: ropuchy *Bufo regularis* i *Bufo mauritanicus*.



## CZWARTY POSĄŻEK

Sadim! — Jestem, panie! — Giaurzy odeszli w pustynię... Pójdiesz z tym do kobiety — przywódca podał mu posązek faraona w myśliwskim stroju.

— Tak, panie!

— Powiesz, że od jej męża. Powiesz, że każe jej iść z tobą. Powiesz, że odnalazł grobowiec.

— Tak, panie!

— Zaprowadzisz kobietę do groty...

— Do groty, panie?

— Tak! Tam znikniesz i uwolnisz zapadnię.

— Ale, panie...

— Uwolnisz... Zasypiesz wykopane przez nas przejście i wrócisz.

— Ale...

— Sadim! Odejdź! Nikt nie może igrać z władcą Doliny.

Sadim aż skulił się w sobie porażony wewnętrznym chłodem. Owszem, przestraszyć, oszukać, pokręcić. Do tego był gotowy... Ale zabić... Wątpliwości opanowały jego serce. Zostawienie w grocie kobiety samej równało się z wyrokiem śmierci... Tak samo pewnym jakby wykonał go od razu. „Żelazny faraon”, o czym Sadim dobrze wiedział, był jednak człowiekiem nieubłaganym. Ruszył by wypełnić swą powinność.

\* \* \*

Sally nie mogła sobie znaleźć miejsca, pełna niepokoju. Położyła rękę na łbie Dinga. — Gdzie pan, piesku? — spytała. — Nawet ty nie wiesz...

To, że Tomek, Nowicki i Patryk nie wrócili na noc, było wytłumaczalne. Wyruszyli dość późno, a spotkanie mogło być interesujące. Ale teraz dzień dobiegał końca bez żadnej wiadomości. Uznała w końcu, że sama nie zdołała niczego. Postanowiła zawiadomić policję.

Raz podjąwszy decyzję, poczuła się lepiej.

Zaczęła przygotowania do opuszczenia obozu, kiedy podszedł jeden z arabskich służących, aby ją zawiadomić, że przybył posłaniec.

Sally wyszła przed namiot. Posłaniec wydał się jej jakiś znajomy. „*Gdzie tę twarz widziałam?*” — myślała.

Posłaniec nisko się pokłonił, podając jej jednocześnie coś zawiniętego w płótno. Zanim rozwinęła przesyłkę, ze zdziwieniem stwierdziła, że zna tego człowieka, że gdzieś musiała go już widzieć. Próbując umiejscowić znajomą twarz, powoli odwijała płótno. Kiedy ujrzała zawartość, przestała myśleć o czymkolwiek innym. Nie było wątpliwości.

To był czwarty, oderwany od złotej tacy posążek Tutanchamona. Lśnił złociście, a jednak wydawał się zbyt lekki. Zdumiało to Sally. „*Musi się za tym kryć jakaś tajemnica*” — myślała. „*Gdyby posążek był ze złota, ważyłby z pewnością więcej*”. Wróciła do namiotu i odszukała fotografie. Wszystko zgadzało się doskonale. Młody faraon z myśliwską dzidą w jednej ręce, w drugiej trzymał „*anch*”<sup>1026</sup>, symbol nieśmiertelności. Kolejną oznaką wskazującą, że chodzi tu o zmarłego była wąska, zawinięta na końcu broda.

Sally wybiegła rozgorączkowana, zapominając o bożym świecie.

— Skąd to masz? — spytała z wypiekami na twarzy. Sadim odpowiedział łamaną angielszczyzną:

— Twój mąż znaleźć. On mnie przysłać i kazać powiedzieć: żono przyjdź, ja znaleźć grobowiec.

— Grobowiec? Grobowiec Tutanchamona?

— Nie wiedzieć. Iść ze mną. Ja zaprowadzić.

— Zaraz będę gotowa.

Oczywiste było, że Sally nic już nie powstrzyma. Posłaniec jednak ponaglał:

— Iść zaraz — rzekł z naciskiem. — Niedługo ciemność.

Przypomnienie o zbliżaniu się nocy odniosło wręcz przeciwny skutek. Ostudziło nieco rozpaloną głowę. Sally znalazła dość rozwagi i tyle przynajmniej zimnej krwi, by napisać kilka słów do Smugi. Wysłała też natychmiast służącego do „*Winter Palace*”, polecając zostawić tam list. Załatwiwszy to, ruszyła za posłańcem.

Sadim z pozoru szedł w kierunku Medinet Habu, często jednak klucząc. Całkiem zresztą na próżno, bo Sally nie zwracała uwagi na drogę. Wciąż oglądała czwarty posążek pełna pytań, wątpliwości i marzeń. Ważyła go w

<sup>1026</sup> — Anch — znak życia wiecznego w mitologii egipskiej, przypominający chrześcijański znak krzyża.

dłoni, podejrzewając, że pod warstwą złota coś się kryje. „*Może jest wydrążony wewnątrz i zawiera jakieś tajne inskrypcje? Albo papirus z zaklęciem?*” — myślała. „*Nie bez powodu jest taki lekki.*”

Z obozu wybiegł za nią Dingo, ale wobec ostrego sprzeciwu Sadima, Sally odesłała go z powrotem. Zawrócił niechętnie, warcząc głucho. Normalnie nie zlekceważyłaby takiego zachowania psa, ale teraz przepełniała ją radość, że jest na tropie wielkiego archeologicznego odkrycia. Odnaleźć grób Tutanchamona, to dopiero będzie sensacja i sława! Nie mogąc opanować niecierpliwości, ciągle pytała posłańca:

— Kiedy, gdzie, jak znaleźli grobowiec?

— Nic nie wiedzieć, nic nie mówić — odpowiadał niezmiennie Sadim. Zapadał zmierzch, kiedy krętymi ścieżkami doszli do Doliny Królów. Sally poczuła lęk. Powoli rodził się niepokój.

— Gdzie jest Tomek? Przecież już noc — powiedziała. — Może wrócimy tu jutro.

Sadim zauważył jej wahanie.

— Mąż kazał dziś... być chory... — i widząc nagłe zdenerwowanie Sally, dodał chytrze:

— Nie tak bardzo. Tylko trochę.

Sally sprawdziła, czy rewolwer spoczywa w kieszeni i już bez ociągania ruszyła za nim.

„*Dlaczego nie ma tu Nowickiego? Dlaczego nie przyszedł po mnie sam?*” — pomyślała jeszcze gorączkowo, ale zanim zdążyła zrozumiale sformułować pytanie, Sadim oznajmił:

— To tutaj!

Przeszli między dwoma skalnymi blokami, które osłaniały otwór przypominający wejście do groty. Sadim zapalił gliniany kaganek, jeden z kilkunastu stojących obok siebie i podał go Sally. Sam wziął drugi. Przekroczył próg, schylając głowę. Korytarz prowadził osiem, może dziesięć metrów poziomo, a potem gwałtownie, stromo, niemal pionowo schodził w dół<sup>1027</sup>. Z boku widniały otwory wiodące do bocznych komór. Sally bardzo chciałyby je poznać, zobaczyć, ale Sadim bardzo się spieszył:

— Mąż później pokazać. Teraz nie ma czasu. On chory — mówił bez ładu i składu.

---

<sup>1027</sup> — Opis przypomina schemat budowy grobu królewskiego z Doliny Królów.

— Ale gdzież w końcu jest? — prawie krzyknęła Sally.

— Najniżej. W pokoju, gdzie mumie... — odrzekł.

Mijali więc szybko krypty ze skarbami i pośmiertnym wyposażeniem zmarłego. Doszli wreszcie do szeregu najniżej położonych krypt, gdzie musiał znajdować się sarkofag z mumią i urny z wnętrznościami. Pisnęła pod nogami mysz. We wnętrzu głównego pomieszczenia drgało niewielkie światełko.

— Mąż tam! Idź! — Sadim pchnął ją lekko do przodu. Spojrzała mu w oczy. Zawahała się.

— Idź! Idź! — ponaglił.

Zdecydowała się. Szybko przeszła parę ostatnich metrów i weszła do środka. Stała w przejściu zdumiona. W krypcie nie było nikogo. Grobowiec nie zawierał również ani jednego sarkofagu, lecz w skalnych niszach spoczywało wiele spowitych w białe płótna ciał zmarłych przed wiekami Egipcjan. Sally zadrżała od wewnętrznego chłodu. Obejrzała się za przewodnikiem. Nigdzie go nie było.

Zrozumiała, jak była naiwna, jak łatwo dała się zwabić w pułapkę. *„Wiem, skąd znam tego człowieka z zalęknionymi oczyma”* — nagle sobie to przypomniała. Nowy służący — tak żona ważnego urzędnika kiedyś w Kairze odpowiedziała na jej pytanie. *„Pamiętam, że przemknęło mi wtedy przez myśl: jakież to dziwne zbieg okoliczności, że ten człowiek pochodzi ze stron, w które wyruszamy”*. W wyobraźni widziała teraz dokładnie całą tę scenę. *„A więc możliwe, że wiedzieli o nas i od początku nas ścigali, podczas gdy my dokładaliśmy starań, aby ich znaleźć”* — myślała dalej. *„Wszystko układałoby się wtedy w logiczny ciąg: napad na statku, zniknięcie chłopców, pułapka zastawiona na mnie”*. Pomyślała jeszcze, że także chłopcy musieli dać się podejść nieznanemu, niebezpiecznemu wrogowi.

Nie zamierzała bezradnie czekać. Postanowiła jak najszybciej wrócić do obozu. Nie dotarła jednak daleko. Usłyszała huk spadających kamieni. Podmuch o mało nie zgasił kaganka, który kurczowo ścisnęła w dłoni. Z trudem oddychając, pobiegła do przodu. Zatrzymała ją ściana z kamieni. Zrozumiała... Została zasypana, żywcem pogrzebana...

Przez chwilę nie mogła zrobić jakiegokolwiek ruchu. W końcu się otrząsnęła. Była jednak córką australijskiego pioniera i żoną podróżnika. Wróciła do krypty z mumiami. Zgasła swój kaganek, widząc, że płonący tutaj ma jeszcze spory zapas oliwy. Posążek postawiła obok światła.



„Skoro już tu jestem — pomyślała — rozejrzę się nieco, może znajdzie się jakieś wyjście”.

Nie trzeba było wielkiego znawcy, by stwierdzić, że ktoś tu buszował. Naruszono dostojny spokój grobowca.

— Kiedy to się mogło stać — szepnęła do siebie Sally. — Przed wiekami czy teraz?

W migotliwym świetle kaganka zaczęła pilnie rozglądać się wokół... Coś zaśniło w blasku płomienia. Pochyliła się i podniosła ostro zakończony niewielki sztylet. Obejrzała go ostrożnie. Widziała dziesiątki podobnych na targu.

— Więc to tak — szepnęła. — Chyba trafiłam na właściwe miejsce.

— Może tego właśnie szukaliśmy?

Postanowiła dokładniej obejrzyć niektóre mumie. Podchodziła dokładnie je oświetlając. Spod nóg czmychnęła jakaś wystraszona jaszczurka. „*Nietoperze, dlaczego nie ma nietoperzy?*” — przemknęła myśl.

Mumia, nad którą właśnie się pochyliła, miała rozcięte bandaże. Złodziej szukał ukrytych między nimi kosztowności, ozdób, amuletów. „*Czyżby stąd pochodziły starożytności, których szukamy? Jak to możliwe?*” — pytała samą siebie. „*Przecież nie znaleziono grobu Tutanchamona, a ten także nim, niestety, nie jest. To nie mogą być mumie faraonów... Tyle tych mumii... Za dużo ich...*”

— myślała, oświetlając kolejne ciała i przyglądając się im dokładnie. Bez wątpienia wszystkie były naruszone.

„*A może tylko grobowiec Tutanchamona tego uniknął?*”... — mało brakowało, by wypowiedziała to głośno. „*Nie to niemożliwe*” — odpowiedziała sama sobie. „*Przecież od niepamiętnych czasów okradano grobowce. Czyżby tylko Tutanchamon tego uniknął?... Nie, to niemożliwe!*”

Niemal już zapomniała o swoim tragicznym położeniu.

„*Może ktoś okradł i ten grobowiec, przeniósł część jego skarbów tutaj i zginął? A inni złodzieje, po wiekach, znaleźli to miejsce i udają, że odkryli grób legendarnego faraona?*”<sup>1028</sup>.

---

<sup>1028</sup> — Grób Tutanchamona został odkryty przez H. Cartera dopiero w 1922 r. Okazało się, że i on był obrabowany, ale złodzieje nie dotarli do sarkofagu faraona i dlatego odkrycie stało się jedną z największych sensacji archeologicznych XX wieku.

Myśli kłębiły się w głowie. Wtem z przeciwległego kąta dobiegł przedziwny dźwięk, jakby zawodzenie:

— Aaa... Aaaaaa... — zrazu cicho, potem głośniejszym, tonem raz wysokim, raz niższym, niczym jakaś egzotyczna, wschodnia melodia.

Sally otarła pot z czoła.

— Coś mi się przywidziało — powiedziała głośno, próbując wrócić do swego zajęcia.

Ale coś jakby otarło się o mur. Wibrujący jęk rozdarł ciszę pomieszczenia.

— Aaa — brzmiał — aaaa — przechodził w skowyt.

Sally, teraz naprawdę przerażona, stłumiła krzyk, zasłaniając ręką usta. Płomień kaganka w niepewnej dłoni zamigotał gwałtownie, rzucając na ściany przedziwne tańczące cienie. Tylko przez chwilę trwała cisza. Biała postać, spoczywająca w jednej z nisz, wyraźnie poruszyła się. Ukazały się spowite w biel nogi. Mumia zwolna się prostowała. Ciszę przerwał znowu jęk:

— aaaa...

Sally przypomniała sobie naraz wszystkie niesamowite opowieści o zemście tych, których spokój naruszano. Jak sparaliżowana tkwiła w miejscu, trzymając w jednej ręce płonący wciąż kaganek, a w drugiej znaleziony sztylet. Zapomniała, że w kieszeni spodni spoczywa rewolwer. Cóż zresztą można zrobić zmarłemu? W końcu ruszyła się. Zaczęła powoli, nie odwracając oczu od tajemniczego zjawiska, przesuwać się wzdłuż ściany, w kierunku, skąd przysła. Ale mumia uczyniła to samo, zagradzając jej drogę. W pełgającym blasku kaganka złowrogo zalśniły przedziwnie żywe oczy...

Ale Sally zapanowała już nad obezwładniającym przerażeniem. Znalazła otuchę we wspomnieniach. Ujrzała twarz męża, pogodne oblicze Nowickiego, opanowane rysy Smugi i kojący uśmiech Wilmowskiego. „*Ach, Tommy, Tommy*” — westchnęła. Wróciła do rzeczywistości. Postanowiła się bronić.

— Jesteś czy nie jesteś trupem, odejdz! Odejdz, bo zabiję! krzyknęła.

Ostrzegawczo uniosła sztylet. Wtem płomień kaganka zachybotał i zgasł. Zapanowała ciemność. Sally odruchowo rzuciła w stronę białej postaci glinianym naczyniem. Przerażliwy jęk rozległ się tuż obok. — Aaaaaa... Aaaaaa... — Poczula dotknięcie śliskich palców na szyi, jednocześnie dłoń ze sztyletem znalazła się w żelaznym uścisku. Sztylet potoczył się na ziemię.

Oślizłe palce zaciskały się na gardle. Trwało straszliwe, nieustanne zawodzenie. Sally walczyła, ale słabła, powoli traciła przytomność.

\* \* \*

— Sadim!

— Tak, panie!

— Dobrze się spisałeś!

— Tak, panie!

— Zasłużyłeś na nagrodę!

— Tak, panie!

— Masz — rzucił mu sakiewkę.

— Dziękuję, panie!

— Nie dziękuj! Tylko milcz! Pamiętaj, że jestem władcą Doliny! Sadim wpatrywał się w ciemność, w której znikł przed chwilą przywódca, z zabobonnym lękiem. „*Jestem mordercą*” — pomyślał, ściskając w ręku pieniądze.



## PRZYBYWA SMUGA

Wdali widać już było smukły minaret, królujący nad Luksorem. Kolejna w Egipcie podróż Smugi, Wilmowskiego i cierpliwie towarzyszącego im Abbera dobiegała niemal końca. Przejęci ostrzeżeniem Jusufa, wybrali pociąg, najszybszy środek lokomocji, jaki na trasie z Al-Fajjum do Luksoru mieli na szczęście do dyspozycji. Od Kairu dzieliło ich już 680 km, a wciąż wracali tam myślą. Jeśli bowiem Jusuf miał rację, to od czasu rozmowy w domu Ahmada al-Saida, zawisło nad nimi prawdziwe niebezpieczeństwo. Spieszyli się, wierząc, że zdążą ostrzec albo przynajmniej ubezpieczyć grupę Tomka.

Obserwowanie monotonnego krajobrazu za oknem szybko nużyło: wszędzie takie sama podmiejskie domki z suszonej cegły, chaty fellachów, oparte jedna o drugą, by nie runąć, małe mroczne domki wzdłuż torów, ludzie umęczeni i spracowani, gdzieniegdzie gaje palm daktylowych i niknąca w dali roślinna zieloność, kończąca się nagle pasmem brunatnych wzgórz. Jechali pierwszą klasą, przeznaczoną dla Europejczyków. Wilmowski, którego bardzo interesowało to, jak wyglądają inne wagony, postanowił przejść wzdłuż pociągu. Arabscy pasażerowie, w większości palący smrodliwe specjały, mościli się na siedzeniach w kucki. W całym pociągu okna były szczelnie zamknięte i dodatkowo chronione drewnianymi okiennicami. Spoceni, umęczeni pasażerowie zdawali się to znosić cierpliwie, aż wreszcie Wilmowski, nim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, otworzył okno w jednym z przedziałów. Natychmiast wdarła się tam fala wzniesionego pędem pociągu pustynnego kurzu, który niczym mgła pokrywał horyzont. W mgnieniu oka przysypał wszystkich pasażerów kilkumilimetrową warstwą. Zażenowanemu Wilmowskiemu nie pozostało nic innego, jak zamknąć okno, przeprosiwszy co prędzej poirytowanych podróżnych, i wrócić do swego wagonu.

W końcu pociąg powoli wtoczył się na dworzec w Luksorze. Smuga, Wilmowski i Abeer wysiedli z ulgą, a na peronie natychmiast otoczyli ich tragarze, oferujący swe usługi. Wsiedli więc do wygodnej arabija, tutejszej dorożki, aby dotrzeć do hotelu „*Winter Palace*”. Krętymi uliczkami wzdłuż niskich domków, z przylegającymi do nich sklepikami i kafejkami, dotarli do nadbrzeżnego bulwaru. Chłodzeni lekkim wiatrem od Nilu, z przyjemnością jechali ocienioną rozłożystymi tamaryszkami aleją. Radował

oczy widok szeroko tu rozlanych, błękitnych wód rzeki. W dali widać było dzielnice willowe, zanurzone w osłaniających je palmach, figowcach, tamaryszkach, sykomorach i gajach bananowych. Za nimi lśniły liliowo ogromne, starożytne kolumny, połączone z ruinami potężnych murów, wspartych na plecach kolosalnych posągów.

— To resztki świątyni, u stóp której zatrzymywały się łodzie podróżnych, którzy przybywali do Teb. Najpierw musieli oni złożyć hołd bogowi tego miejsca, Amonowi. Tu odbywały się też powitania wracających z wojennych wypraw okrętów, wiozących cenne łupy — opowiadał Abeer.

Nowoczesnym podjazdem dotarli do hotelu. Tutaj zaledwie zapisali się w księdze gości, recepcjonista obrzucił ich uważnym spojrzeniem i zapytał:

- Który z panów nosi nazwisko Smuga?
- Ja — odrzekł podróżnik. — O co chodzi?
- Jan Smuga? — powtórzył recepcjonista.
- Tak. Jestem Jan Smuga.
- Mam list dla pana.
- Dziękuję.

Smuga niecierpliwie rozerwał kopertę.

- Sally — powiedział i przebiegł wzrokiem treść.
- Co pisze? — zapytał Wilmowski.
- Sam przeczytaj — Smuga podał mu kartkę.

*„Obozujemy u stóp Kolosów Memnona. Chłopcy wyszli wczoraj do Medinet Habu i nie wrócili. Przybył posłaniec z wezwaniem od Tomka, który znalazł grobowiec. Idę z nim. Sally.”* — głośno przeczytał Wilmowski.

— Kto i kiedy przyniósł ten list? — Abeer niecierpliwie wypytywał recepcjonistę.

— Zostawiono go przedwczoraj, dwunastego kwietnia, ale nie ja miałem wtedy dyżur. Musiałbym zapytać kolegę — wyjaśniał recepcjonista.

— Czy państwo Allan są teraz w hotelu? — przerwał z nadzieją Wilmowski.

— Państwo Allan?... Zaraz sprawdzę... Nie, niestety, klucze od ich apartamentu wiszą tutaj. Wynajęli dla panów apartament obok.

— Tak! Dziękujemy. I prosimy bardzo o informacje o liście. To bardzo ważne i pilne.

Recepcjonista spojrział na zegarek.

— Kolega zmienia mnie za godzinę — powiedział.

Ulokowali się więc w apartamencie, umyli, zjedli kolację i przebrali. Po godzinie zeszli na dół.

— List przyniósł wynajęty przez młodego pana Allana służący — wyjaśnił, młody, uśmiechnięty Arab, urzędujący teraz w recepcji.

— Ale nie wiem tego na pewno — dodał. Wyszli na zewnątrz.

— Mam złe przeczucia — powiedział Wilmowski.

— Cóż, trzeba płynąć na drugi brzeg — odrzekł Abeer.

— Czy wzięliście broń? — zapytał cicho Smuga.

Wilmowski spojrział na niego z namysłem i zawrócił do hotelu.

Na drugi brzeg przeprawili się szybko jednożaglową łodzią, dając właścicielowi odpowiedni bakszysz. Kolosy Memnona i rozbite przy nich namioty dojrzeli niemal natychmiast. Radosnym szczeniem z daleka już powitał ich Dingo. Arabscy służący udzielili informacji.

— Tak, to ja zaniósłem list. Pani Allan poszła z nieznanym człowiekiem. Mówiła, że do męża. Mąż wyszedł wcześniej na spacer do Medinet Habu i nie wrócił. Pani się niepokoiła.

Dodatkowe pytania niewiele wniosły nowego. Dowiedzieli się, że nikt ze służby nie zna człowieka, z którym Sally poszła. Tak, to był Arab. Niski, chudy, w galabii. Mówił trochę po angielsku. Chyba by go poznali. Czekali do wczoraj zdenerwowani. Mieli już dać znać policji... I to było wszystko. Mogli jeszcze tylko określić kierunek, w jakim poszła Sally.

— Czemu nie wzięła psa? — zapytał Wilmowski, a Abeer przełożył jego pytanie.

— Wzięła, ale zaraz potem pies wrócił — wyjaśnił służący.

— Gdzie Sally, piesku? Sally, Sally... — Wilmowski odwrócił się do psa, który zaskomlał niepokojąco.

— Może to i dobry sposób — powiedział Smuga. — Spróbujmy! — i podsunął psu jedną z bluzek Sally.

Dingo obwąchał bluzkę dokładnie, popatrzył mądrymi ślepiami na Wilmowskiego i pewnie ruszył tropem. Biegli za nim wąskimi, skalnymi załomami. Skomlenie psa, chrzęst piasku pod nogami i ich zdyszane oddechy przerywały ciszę. Dingo nieco ich wyprzedził i zniknął między dwoma blokami skalnymi. Zaraz też usłyszeli przeciągłe wycie. Zobaczyli go po

chwili obwąchującego zavalony kamieniami otwór w skale. Tu urywał się trop.

Popatrzyli na siebie. Abeer usiadł na kamieniu jakby opadł z sił.

— Boże drogi! — łamiącym się głosem rzekł Wilmowski. — Co oni zrobili mojemu dziecku?

Smuga zachował spokój.

— Zastanówmy się, co mogło się tu wydarzyć! — zaapelował do towarzyszących mu mężczyzn.

— Cóż, to proste. Weszli do groty i zasypało ich — odparł Abeer.

— Weszli? Kto? — także Wilmowski przychodził już do siebie.

— No... Żona pańskiego syna i ten... posłaniec.

I w tym momencie uświadomili sobie, że owego posłańca wysłał Tomek. Czyżby więc wszyscy znaleźli się pod głazami? Nowicki, Tomasz, Patryk, Sally i posłaniec? Kto mógł jeszcze z nimi być? Nie padło ani jedno słowo. Pierwszy ruszył Wilmowski i zaczął przerzucać kamienie.

— Daj spokój, Andrzej — powstrzymał go Smuga. — Potrzeba nam ludzi i sprzętu. Musimy zorganizować ekipę.

— Idźcie — odrzekł Wilmowski. — Ja zostanę.

— Nie wolno tracić nadziei. Nie wiemy, co i w jakiej części zostało zasypane. Możliwe że żyją.

— Tym bardziej się pospieszcie.

W tym momencie przerwał im Abeer.

— Na Allacha! Ciszej!

Smuga uspokoił psa. Abeer przyłożył ucho do skały.

— Allach kerim! Ktoś stuka — zawołał.

Wilmowski i Smuga uklękli przy ścianie. Rzeczywiście, ktoś równomiernie w nią uderzał: trzy krótkie, trzy długie, znowu trzy krótkie i przerwa. Potem to samo od nowa.

— To SOS! — krzyknął Wilmowski. — Nowicki wzywa ratunku, używając alfabetu Morse'a<sup>1029</sup>.

---

<sup>1029</sup> — Morse Samuel Finley (1791–1872) — amerykański malarz i wynalazca. Konstruktor elektromagnetycznego telegrafu, do którego w 1840 r. stworzył alfabet, składający się z systemu kropek i kresek.



— A więc żyje! Żyją! — z naciskiem rzekł Smuga. Chwycił duży kamień i zaczął regularnie uderzać w skałę. Dawszy znać uwięzionym, że ratunek jest bliski, przejął inicjatywę.

— Ty, Abeer, zorganizuj ekipę w najbliższej wiosce. Płać hojnie! Niech przyniosą łopaty, kilofy, liny, wiadra... Wszystko, co może być do takiej pracy konieczne. Ja biegnę do obozu po służbę. Ty, Andrzej, zostań tu i czuwaj. I bądź ostrożny! Nie wiemy przecież czy to był wypadek.

— Przypuszczasz, że mogli zostać zasypani?

— A czy możesz to wykluczyć? Nie możesz. Bądź więc ostrożny! Wilmowski został sam. Rozejrzał się wokół. Wejście do groty było doskonale zamaskowane przez skały. Natrafić na nie można było chyba tylko przypadkiem. *„Jak to dobrze, że był z nami Dingo, wciąż zadziwiająco sprawny jak na swe lata. Po chorobie wkroczył jakby w swą drugą młodość”* — Wilmowski pogładził ulubieńca.

Poczucie, że traci czas stało się wkrótce nie do zniesienia. Spróbował odrzucać kamienie z zawalonego przejścia, ale szybko zrozumiał, że na nic się to nie zda. *„Do zmierzchu zostało jeszcze parę godzin”* — pomyślał. *„Lepiej będzie rozpoznać teren. To pomoże zorganizować pracę, kiedy nadejdą ludzie”*.

Rozejrzawszy się dokładniej, zauważył rodzaj skalnych schodów prowadzących aż na szczyt. Nierównych, dziwnie ukształtowanych przez naturę, ale przecież możliwych do pokonania.

— Leczyć tu moje dolegliwości, to był zaiste dobry pomysł. Czuję się rzeczywiście doskonale — ironizował wchodząc na pierwszy stopień. Szybko pokonał następne i stanął na płasko zakończonym wierzchołku. Od razu spostrzegł otwór, prowadzący w głąb, i metodycznie zwiniętą grubą linę w zagłębieniu obok. Podniósł niewielki kamień i wrzucił do środka. Nadśluchiwał, licząc sekundy.

— Raz, dwa, trzy... dziesięć... dwanaście... Ponowił doświadczenie.

— Cóż — rzekł do siebie. — Strasznie głęboko...

Zmierzył linę. Miała ponad pięćdziesiąt metrów długości. Pochylił się nad otworem.

— Tomku! Sally! Tadku! Patryku! — nawoływał. Wewnątrz wtórowało mu echo, po czym wszystko umilkło. Ponowił okrzyk, ale trwała cisza. Zastanowił się, czy nie zejść po linie w dół i uznał, że nie byłoby to rozsądne.

Nikt życzliwy nie czuwałby przecież u góry. Pozostawało cierpliwie czekać na powrót Abeera i Smugi. Postanowił zatem zejść do miejsca, gdzie przyjaciele spodziewali się go zastać. Zaledwie ruszył, gdy z dołu dobiegł kobiecy głos:

- Tu jestem! Jestem!!! Poznał Sally.
- Sally, czy wszystko w porządku? — zawołał.
- Tak! — odpowiedziała.
- Kto jest z tobą?
- ... nikogo. Jestem sama.

Echo zwielokrotniało ich głosy, a niecierpliwość utrudniała porozumienie.

— Czekaj, idzie pomoc! — zawołał jeszcze Wilmowski, aby dodać Sally otuchy.

Z dołu dobiegło jednak pytanie, przed którego zadaniem Wilmowski, choć targany niepokojem, na razie wolał się uchylić.

— Gdzie Tommy?

Zawisło jak niemożliwy do udźwignięcia kamień.

\* \* \*

Sally dawno ocknęła się z omdlenia. Najpierw nie mogła zapanować nad strachem. Bała się choćby spojrzeć czy poruszyć. Niczym nie zmacona cisza dodała jej odwagi. Wracała zdolność myślenia. Instynkt nakazywał szukać wyjścia z sytuacji.

„*Muszę dokładniej obejrzeć grootę*” — postanowiła. Siłą woli narzuciła sobie spokój. „*Mumia*” okazała się wszak żyjącym człowiekiem. A człowiek musiał się tu dostać, podobnie jak ona, a potem wydostać. Mógł skorzystać z tego samego wejścia, ale nie mógłby tamtędy wyjść, skoro zostało zavalone zanim „*mumia*” ją zaatakowała. Oczywistość tego rozumowania podniosła ją na duchu. Ruszyła w głąb groty, rozglądając się uważnie.

Najpierw spostrzegła padający z wysoka wąski promyk światła. Wkrótce zrozumiała, że w nieprzeniknionej dla wzroku ciemności, w niewidocznym z dołu sklepieniu groty musi być otwór. „*Jak się tam dostać?*” — pomyślała.

Nad niszami, w których spoczywały mumie, ściana do wysokości dwunastu, czternastu metrów była jednak gładka, co wykluczało wspinaczkę. Dopiero powyżej można by było oprzeć dłoń czy nogę o wystający załom lub

wgłębienie. Bez liny nie mogłaby tam dotrzeć. Powoli, niczym piasek w klepsydrze, przesypywały się minuty. Nie mogła dłużej czekać bezczynnie. Wróciła ciemnymi korytarzami do wyjścia. W blasku kaganka zaczęła mozolnie przenosić kamienie. Zmęczona odpoczywała, a potem znowu zabierała się do pracy, chociaż niemal straciła nadzieję. Nagle wydało się jej, że coś słyszy: głosy ludzkie, ujadanie czy wycie psa?

„Pomoc” — pomyślała. — „Dingo!”.

I zaczęła mocno walić kamieniem w ścianę.

\* \* \*

Od tego momentu wszystko potoczyło się szybko. Wkrótce usłyszała Wilmowskiego. Czekala spokojnie.

— Sally — krzyknął wreszcie Wilmowski. — Rzucamy linę.

Po chwili znalazła się w ramionach Smugi, który zręcznie opuścił się na dół. Przytulił ją mocno do siebie. Opowiedziała wszystko po drodze do obozowiska.

— Nie rozumiem tylko jednego — zakończyła już przy kolacji. — Skoro zasypali przejście, po co jeszcze ta nieszczęsna „mumia”? Ten ktoś wystraszył mnie tak bardzo, że nie wiem jak i kiedy straciłam posążek. I to zanim zdołałam dokładnie go obejrzeć — dodała z niekłamanym żalem.

— Być może ja rozumiem — odparł Smuga, spowity kłębam dymu. A gdy wszyscy spojrzeli na niego, powiedział:

— Czynił to szaleniec!

\* \* \*

Zapadła już wprawdzie noc, ale dla nich nie przyszła jeszcze pora odprężenia i odpoczynku. Musieli działać szybko. Wyjaśnienia Sally nie pozostawiały wątpliwości, że Tomek, Nowicki i Patryk musieli się znaleźć w okolicznościach groźniejszych niż określone mianem niebezpiecznej sytuacji. W obozie została na noc tylko Sally. Wilmowski zabrał jednego z arabskich służących na drugi brzeg, by złożyć meldunek policji. Smuga i Abeer wsiedli na osiołki, by spotkać się z koptyjskim mnichem, żyjącym samotnie w pobliżu wioski Medinet Habu.

Droga wiodła skalnymi, kamienistymi, pustynnymi wąwozami. Kiedy skręciła w dół, nagle otworzył się widok na piękną dolinę z potężnymi

pylonami wspaniałego zespołu świątyń<sup>1030</sup>. Za nimi radował oczy widok palm, ogrodów i kopulastych chat Medinet Habu. Ale Smuga i Abeer wcale tego nie dostrzegli. Był już dzień, kiedy zatrzymali się przed ruinami i wioską, przy kopulastym, szeroko rozbudowanym koptyjskim kościółku św. Teodora. Wąska furтка prowadziła przez otaczający świątynię biały mur. Mnicha, dostojnego starca, zastali pracującego w ogródku. Chudy, wysoki, z cienkim nosem i bielusięką, ściętą w szpic brodą, prezentował się okazale. W ciemnej twarzy uderzały nieco skośne, ciemne oczy. Nieźle mówił po angielsku. Pochylił głowę na powitanie i z radością przyjął pozdrowienia od swego kairskiego przyjaciela.

— Jesteście chrześcijanami? — zapytał. Smuga potwierdził, a Abeer powiedział:

— Nie! Ale wyznaję jednego Boga.

Staruszek pokiwał głową i zaprosił ich do kościółka. Zobaczyli ubogie wnętrze, ściany bielone i nagie. Zatrzymali się przed skromnym, drewnianym ołtarzem, ozdobionym ludowym malowidłem. Tkwił nad nim, przymocowany do ściany, duży krzyż, z zakończeniem przypominającym staroegipski symbol życia. U jego stóp leżały wiązanki z ziół i kwiatów. Ubitą z gliny podłogę, jak w meczecie, przykrywały maty. Mnich ukląkł na jednej z nich. Modlił się na sposób arabski, bijąc pokłony. Smudze nie pozostało nic innego, jak uklęknąć także. Abeer z szacunkiem pochylił głowę.

Chata pustelnika, była równie uboga i skromna jak on sam i jego kościółek. Gospodarz posadził ich za stołem, stawiając na nim dzbanek koziego mleka i talerz z daktylami. Rozmowa toczyła się spokojnie i niespiesznie. Kiedy mogli wreszcie wyłożyć zasadniczy powód swego przybycia, mnich okazał zaniepokojenie.

— Mówicie, że szli do Medinet Habu i do mnie... Ciągłe zdarzają się u nas takie sprawy... — zamilkł i na chwilę popadł w zadumę.

— Cóż, jutro jest niedziela. Przybędą wierni. Porozmawiam, może ktoś coś widział. Dam znać, przyślę kogoś do waszego obozu — zdecydowanie zakończył rozmowę.

---

<sup>1030</sup> — Kompleks sakralnych budowli w okolicach Medinet Habu powstawał na przestrzeni tysiąca lat, od Tutmesa I (XVI wiek) aż do VII wieku p.n.e. Sama wioska została założona przez Koptów na przełomie VI i VII wieku. Na ruinach faraonских budowli wzniesiono nawet bazylikę. W VII wieku, po inwazji arabskiej, chrześcijańska ludność uciekła na południe i nigdy już tu nie powróciła.

Mimo zmęczenia gnani niepokojem wracali do obozu nocą, nie skorzystawszy z noclegu.

\* \* \*

Sadim od kilku dni chodził ponury i smutny. Dzieci schodziły mu z drogi, a żonie, gdy ośmieliła się go zagadnąć, odburknął coś z taką złością, że przerażona uciekła. Jak co wieczór wyszedł z domu i poszedł w stronę skał otaczających wioskę. Szedł nad urwisko, by odpocząć i odetchnąć, spojrzeć stamtąd na dolinę Nilu. Słońce chyliło się powoli ku zachodowi, gdy dotarł na miejsce.

— Sadim — usłyszał nagle swoje imię i zobaczył przywódcę.

— Tak... Panie...

— Czemu krążysz wokół obozu giaurów?

— Nie krążę, panie. Tylko tak...

— Wiesz, że źle wykonałeś robotę.

— Nie, panie! Uczyniłem, jak kazałeś.

— Kobieta żywa i zdrowa jest w obozie.

— Zawałem przejście...

— Ale wydostała się. Co ty na to?

— Nie wiem, panie.

Przywódca krok za krokiem zbliżał się do niego, a nieszczęsny Sadim krok za krokiem cofał się w stronę urwiska.

— Sadim! Chcesz mnie zdradzić!

— Nie, panie, nie! Ja... Wykonałem przecież wszystko, jak mi kazałeś.

— Widzę zdradę w twoich oczach. Widzę to... Przywódca zaśmiał się dziko.

— Panie — jęknął Sadim. — Litości! Nie zabijaj!

— Zabić cię! Ja...!? Ciebie!? Ja, władca Doliny, ciebie pachołku? Ja nie zabijam ludzi! — zrobił w stronę Sadima jeden krok, drugi, trzeci... Ten przerażony, wpatrzony w oczy rozmówcy, cofnął się gwałtownie. Zachwiał. Runął w przepaść. Głośny krzyk utonął między skałami. Towarzyszył mu krótki przeraźliwy śmiech. Echo powtórzyło krzyk i śmiech równocześnie, niczym płacz gór...

— Ja nie zabijam ludzi — powtórzył „faraon”. — Oni robią to za mnie sami.

I zniknął w ciemności.

\* \* \*

Wilmowski wrócił do obozu z dwoma policjantami z Luksoru i z całą ekipą robotników. Jeden z policjantów natychmiast wyruszył z ludźmi i Abeerem do grotty, by dopilnować odkopania zasypanego przejścia, zabezpieczyć grotę i to co w niej pozostało oraz sporządzić raport. Drugi, który pochodził z wioski El-Kurna, został w obozie.

— Nazywam się Mohammad Rasul — przedstawił się. — Mam dla panów telegram z Kairu adresowany do pana Smugi.

— To z ambasady brytyjskiej — rzekł Smuga i przeczytał głośno: „*Wiedzą o was — stop — wracać natychmiast*”.

— Z telegramem przyszła instrukcja, by znaleźć panów w którymś z luksorskich hoteli lub na zachodnim brzegu Nilu — wyjaśnił policjant.

— Kiedy nadeszły te wiadomości?

— Wczoraj wieczorem. Zostawiliśmy informację w „*Winter Palace*”, bo tam byli państwo zameldowani.

— Cóż, wszystko za późno! Widzi pan, jakie mamy kłopoty.

— Owszem! Jestem zorientowany w sprawie. Od miesiący szukamy tego „*faraona*”, ale na próżno. Nic nie wiedzieliśmy o przyjeździe panów — dodał z wyraźną pretensją w głosie.

— Wyznaczyliśmy tu sobie miejsce spotkania z przyjaciółmi. Gdyby doszło ono do skutku, mielibyśmy dość informacji, by skontaktować się z policją — wyjaśnił Smuga. — Tymczasem przyjaciele zniknęli, a żonę jednego z nich próbowano zamordować.

— Zrobimy, co w naszej mocy — odparł Muhammad, odruchowo uciekając się do zdawkowego zapewnienia stosowanego przez każdą policję świata. Zaraz zresztą dodał:

— Zostałem oddelegowany do waszej dyspozycji. Mogę tylko powiedzieć, że Rasulowie nie mieli z tym nic wspólnego. Ktoś chciał skierować was na fałszywy trop. Dlatego proszę przyjąć zapewnienie, że ta sprawa stała się dla mnie sprawą osobistą.

— Pan Rasul jest wyśmienitym przewodnikiem, jak zresztą wielu innych mieszkańców El-Kurna, a także znawcą okolicznych, pustynnych terenów — wyjaśnił Wilmowski.

Abeer wrócił w południe, a wieczorem doczekali się posłańca od koptyjskiego mnicha z Medinet Habu. Posłaniec opowiadał bezładnie, chaotyczne i oczywiście po arabsku. Tłumaczył jak zwykle Abeer.

— Widział dwu mężczyzn i chłopca, Europejczyków. Zmierzali ku Medinet Habu. Napadli ich Arabowie. Obezwładnili, wsadzili na konie i wielbłądy i odjechali na zachód. Ten człowiek wszystko widział, ukryty między skałami. Przestraszył się i nie chciał nikomu mówić, ale nakłoniony przez abbuna<sup>1031</sup>, przybył, aby nam to opowiedzieć.

— Zapytaj czy pamięta jakieś szczegóły — prosił Smuga.

Abeer rozmawiał przez chwilę z posłańcem po arabsku, a potem zrelacjonował:

— Mówi, że nie. Byli bardzo sprawni i wszystko nastąpiło tak szybko, że niewiele pamięta. Poza tym szamotanina wzbija tumany kurzu. Dziwi się jedynie, że niektórzy z napastników, udając się w kierunku pustyni, używali koni.

Rozmowa nie wniosła już nic nowego. Kopt odszedł uszczęśliwiony hojnym bakszyszem, a podróżnicy uzyskali pewność, że Tomasz, Nowicki i Patryk zostali porwani. Gdy zawiadomili o wszystkim Rasula, ten rzekł:

— Ów człowiek zeznał, że część napastników była konno?

— Owszem — potwierdził Abeer.

— To dziwne — mówił z namysłem policjant. — To bardzo dziwne. Musi oznaczać, że nie zamierzali wieść ich daleko. Trzeba więc przeszukać pobliskie obozowiska Beduinów... Tak czy inaczej, o świcie ruszamy na pustynię.

Wydarzenia potoczyły się znowu z szybkością lawiny. O świcie Smuga ruszył wraz z Rasulem i jego ludźmi. Zabrali ze sobą Dinga, który mógł przydać się przy przeszukiwaniu beduińskich obozowisk.

Wilmowski, Abeer i Sally zostali w obozie, by stąd koordynować poszukiwania i być w kontakcie z władzami. Policja nie wykazała zresztą innej aktywności niż oddelegowanie Rasula oraz dwu policjantów, którzy dniem i nocą pilnowali obozowiska. Na razie pozostawało więc czekanie i bezczynność, którą najgorzej znosiła Sally.

Przed wieczorem wyruszyła, po prostu po to, by coś robić, w kierunku Kolosów Memnona. W pewnym momencie podeszła do niej Arabka i

---

<sup>1031</sup> — Abbuna — z arabska: ojciec, w sensie duchownego.

placzkliwie zaczęła coś mówić. Przy obu kobietach natychmiast znalazł się uzbrojony Wilmowski. Zaprowadzili kobietę do namiotu i poprosili Abeera.

— Przysłał ją mąż. Chce, by z nią iść — tłumaczył Arab.

— Czyżby znowu pułapka?

— Ona mówi, że jej mąż umiera. Chce nam powiedzieć coś ważnego.

— Niech powie policji. Kobieta długo coś perorowała.

— Przysięga na Allacha, że mówi prawdę, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Mąż boi się czegoś, czy kogoś, i nie może rozmawiać z policją, dlatego przysłała ją prawie nocą. Dziwi się, że dorośli mężczyźni lękają się słabej kobiety.

— Powiedz, żeby przysłała rano.

— Rano będzie za późno. Jej mąż umiera.

— Twój mąż... — zaczął Wilmowski, lecz kobieta coś mówiła, więc przerwał.

— Ona mówi, że nasz wróg zabija jej męża, Sadima. On umiera i prosił, aby sprowadzić Sally. To on był jej przewodnikiem do groty i on zasypał korytarz — przetłumaczył wyjaśnienia kobiety Abeer.

Wilmowski nie był przekonany. Niepewnie spojrział na Sally, a ona, powodowana nagłym impulsem, powiedziała:

— Idziemy...

— Ale... — rozpoczął Wilmowski.

— Wiem, co chcesz powiedzieć, ojczec. Zaryzykujemy... Ta kobieta nie kłamie...

Abeer przetłumaczył tę wypowiedź i wtedy kobieta przypadła Sally do nóg.

Do wioski Sadima nie było daleko. Gdy ujrzeli rannego, zrozumieli, że to jego ostatnie chwile. Tylko przedziwnym trafem przeżył upadek z urwiska, ale życie ledwo się w nim tliło. Sally została z nim sama, z Abeerem jako tłumaczem. Wilmowski wyszedł czuwać przed chatą.

Po godzinie spotkali się ponownie. Sally była widocznie poruszona, a z domu Sadima dobiegały lamenty. Abeer powiedział cicho:

— Nie żyje... Spieszmy się. Wiem, gdzie mieszka „faraon”. Może zdążymy. Musimy jednak zachować ostrożność, bo to człowiek gotowy na wszystko.

— Sally? — pytająco rzucił Wilmowski.



— Idziemy — Sally nagliła. — Ojciec, szajka liczy niewiele osób, a i tak większość z nich się rozjechała. Przywódca jest więc sam, chyba że umknął...

Z bronią gotową do użycia ruszyli za Abeerem, który prowadził bardzo pewnie.

Szli w stronę Nilu, mijając pola i gaje. Doszli do wioski położonej nad samą rzeką. Na jej północno-zachodnim krańcu stał duży, jednopiętrowy dom. Pomalowany na żółto, ze ścianami ozdobionymi bogatą, wschodnią ornamentyką, przypominał sklep. W blasku księżyca wyglądał jak jasna plama.

W oknie na piętrze po prawej stronie dostrzegli światło. Drzwi, uchylone, zapraszały do wejścia. Ostrożnie obezli dom dookoła. W pobliżu nie było nikogo.

— Wchodzimy? — zapytał Wilmowski. Abeer wziął go delikatnie za ramię i szepnął:

— Zostawcie to mnie, proszę...

Wewnątrz panował bałagan, jakby ktoś bardzo się spieszył. Abeer skradał się cicho po schodach ku oświetlonemu pokojowi. Zajrzał do środka. Przy stole, ukrywając twarz w dłoniach, siedział stary człowiek. Płakał, między palcami ciekły łzy.

— Salaam! — rzekł Abeer. Starzec drgnął zaskoczony.

\* \* \*

Historia była banalna. Opowiedział ją Abeer, kiedy wracali do obozu. Starzec był ojcem „faraona”. Jako wójt wioski marzył o wykształceniu syna. Osiągnął to niemałym kosztem. Chłopiec okazał się tak uzdolniony, że ukończył w Anglii renomowany uniwersytet. Ale wrócił do kraju, do rodzinnej wioski, jakiś dziwny. Zaczął włóczyć się po skałach, jakby czegoś szukał. Na długi czas wyjechał na południe. Później pojawiły się duże pieniądze, dziwne wyjazdy, tajemniczy ludzie. Syn nabrał pewności siebie i pogardzał ojcem. zaczął nazywać się władcą, „żelaznym faraonem”, ubierać na wzór starożytnych Egipcjan. W wiosce zaczęto go uważać za nienormalnego. Ludziom z wioski nie mówił o swoich zamiarach. A były one niesamowite. Przerazały ojca. Syn uważał, że to on ustanowi prawo, zmieni oblicze kraju, przywróci mieszkańcom tej ziemi panowanie i wypędzi wszystkich cudzoziemców. Dysponował podobno pieniędzmi z interesów,

które jego ludzie prowadzili w Europie, na północy kraju, a także na południu, w Czarnej Afryce, dokładnie w rejonie jeziora Alberta.

— Jezioro Alberta! — powtórzyła Sally. — Ależ to samo mówił zmarły Sadim! — zawołała.

— No cóż, to może znaczyć, że skoro tutaj grunt palił mu się pod nogami, „faraon” uciekł na północ lub południe.

— A to akurat kierunki dokładnie przeciwne — ironicznie pokiwał głową Wilmowski.

Następnego dnia zza Nilu przybyli policjanci, którzy zmienili swoich kolegów. Jeden z nich przywiózł ze sobą gazetę „*Al Ahram*”, w której zamieszczono lapidarną notatkę zatytułowaną: „*Współpracownik kedywa przemytnikiem*”. Potwierdzała ona przypuszczenia Sally.

*„Jak już donosiliśmy, od kilkunastu miesięcy w niektórych państwach europejskich pojawiały się bardzo cenne, antyczne przedmioty pochodzące z Egiptu. Policja wielu krajów poszukiwała organizatorów przemytu. Wielki sukces odniosły nasze służby, aresztując wczoraj w Kairze Ahmada A., jednego z urzędników kedywa. Okazał się on organizatorem przemytu zakrojonego na wielką skalę. Szczegóły w najbliższych numerach”* — tłumaczył głośno Abeer.

— Ahmad A... Któż to może być? — zastanawiał się Wilmowski.

— Ahmad al-Said ben Jusuf — odparł Abeer. — Dobrze mówił nasz przyjaciel z Al-Fajjum, że nie można mu ufać. Miał rację.

— Miał więc też rację ów kupiec z Aleksandrii, twierdząc, że ślad prowadzi do Kairu — przypomniał Wilmowski.

— Al-Habiszi to naprawdę uczciwy człowiek — odparł Abeer. Przed południem wróciła ekipa ratunkowa. Przywiozła śmiertelnie wyczerpanego Patryka i ciężko chorego, prawie niewidzącego Nowickiego. Obu znaleziono przy jedynej w tej okolicy studni, zaledwie o dzień drogi na zachód od Luksoru. Tomka z nimi nie było.

## POSZUKIWANIA

Abeer i Smuga poruszyli niebo i ziemię. Na pustynię ruszyły oddziały poszukiwaczy. Z Kairu przybył znajomy Smugi z angielskiego konsulatu. Po jego interwencji, do akcji włączyli się brytyjscy żołnierze. Przeczesywano teren na zachód od Doliny Królów.

Wilmowski niemal urzędował w siedzibie policji w Luksorze, koordynując ruchy poszczególnych oddziałów. Siedział blady, z podkrążonymi z niewyspania oczyma, wpatrując się w mapę. Większą jej część pomalowano czerwonym kolorem, znaczącym zbadane już tereny. Czarnymi kreskami wyrysowano trasy ekip ratunkowych.

Pukanie do drzwi przerwało jego smutne myśli. Przyszedł brytyjski dyplomata. Podeszedł do mapy, przyglądając się jej z uwagą. Wilmowski zapalił papierosa.

— Nie ma pan żadnych wieści z Kairu? — spytał.

— Żadnych nowych. Gdy wyjeżdżałem, trwały przetargi między konsulatem a ludźmi kedywa. Ahmad al-Said to człowiek wysoko postawiony w egipskiej hierarchii. Kedyw uznał, że to ich wewnętrzna sprawa.

— Jak pan wie — chłodno powiedział Wilmowski — nasze kłopoty zaczęły się od wizyty u „godnego zaufania człowieka”, Ahmada al-Saida. Stąd, z tego źródła od początku o nas wiedzieli.

— Cóż, rozumiem, co pan czuje. Nie sądzę jednak, aby przydały się na coś usprawiedliwienia — odparł Anglik. — Robię wszystko, aby wam pomóc.

— To doceniam. I dziękuję.

Rozmawiali dalej, już spokojniej, o malejącej szansie odnalezienia Tomka. Przed wieczorem wróciła któraś z ekip. Do pokoju weszli Smuga i Abeer. Poszarzali ze zmęczenia, ze spalonymi od wichru, kurzu i słońca twarzami. Usiedli na podsuniętych taboretach. Obyli się bez słów. Wracali sami...

Wilmowski podniósł się i zaznaczył czerwonym kolorem kolejną partię mapy. Usiadł ciężko. Smuga podparł głowę. Milczeli. O czym mieliby mówić?

Nowicki powoli wracał do zdrowia. Leżał w łóżku hotelowym z kompresami na oczach. Przy nim siedziała Sally z zaczerwienionymi oczyma. Kiedy marynarz zasypiał, popłakiwała z cicha. Była kompletnie rozbita. Gdyby nie Patryk, który z uporem i dziecinnym entuzjazmem zmuszał ją do rozmów i spacerów, całkiem zamknęłaby się w sobie. Chwilami odzyskiwała dawny wigor i wtedy chciała uczestniczyć w ratunkowych wyprawach. Gdzieś jechać, pędzić, coś robić. Potem jednak wracało przygnębienie.

Za to Nowickiego, jak się wydawało, nie opuszczała nadzieja. Mimo swojego trudnego i niepewnego położenia, mimo dotkliwego poczucia straty z powodu nieobecności Tomka, bywał ożywiony, a nawet tryskał humorem i po swoim żartował, zwłaszcza w obecności Sally. Gdy zostawał sam, popadał w przygnębienie, po którym następowały ataki wewnętrznej wściekłości i buntu. Wstawał wówczas z łóżka i chodził po pokoju, obijając się o meble, zanim nauczył się ich położenia na pamięć. Zaciskał aż do drżenia dłonie, a jego twarz wykrzywiała nienawiść. Unieruchomienie przez chorobę, tak bardzo sprzeczne z jego ruchliwą naturą, sprawiało, że cierpiał istne katusze. Gdy jednak proponowano mu spacer w pobliżu hotelu, niezmiennie odmawiał.

— Warszawiak nie będzie robił z siebie widowiska! — mówił przez zaciśnięte w uporze zęby.

Męczył się, zamknięty i chory, poddany przemożnej, nie zaznanej dotąd nienawiści. I o ile wszystkim chodziło o „*żelaznego faraona*”, b tyle on pragnął raz jeszcze zmierzyć się z człowiekiem z korbaczem, z Harrym. Wierzył, że kiedy go pokona, karta się odwróci i odnajdą Tomka. Ledwie wytrzymywał w dusznym hotelowym pokoju. Wkrótce też poprosił, jak tylko poczuł się lepiej, by go przeprowadzono „*do tych liliputów naprzeciw*”, jak określał Kolosy Memnona, u stóp których leżał obóz. Tam mógł przebywać częściej na świeżym powietrzu, powoli odzyskując siły i zdolność widzenia. A wraz z tym rosła w nim nadzieja. Nadzieja, że wszystko dobrze się skończy. Tak jak zawsze dotąd się kończyło!

\* \* \*

Smuga jadł w milczeniu. Za chwilę wyruszał z Rasulem znowu do Medinet Habu, by wraz z koptyjskim mnichem objechać siedziby Koptów na południowym zachodzie. Twarz miał spokojną. Jedynie na dnie oczu czaił się gniew. Miał dość Egiptu. Jakieś fatum prześladowało go tutaj. Drugi jego

pobyt kończył się dramatem. Przed laty towarzyszyła mu śmierć, a dziś...? Czy odnajdą Tomka? Chociaż nie był przesądny, zaczynała go nękać myśl o zemście faraona. Dla nich zresztą zemsta konkretnego człowieka, „*żelaznego faraona*”, była straszliwa. Tylko dlaczego ten człowiek wybrał najlepszego z nich, właśnie Tomka?

Smuga od dawna kochał Tomka jak syna, choć nigdy tego nie okazywał. Nie było zresztą okazji i potrzeby. A teraz zaczynał tego żałować, bo tracił nadzieję, że go jeszcze zobaczy żywego.

— Ruszasz?! — ni to spytał, ni stwierdził Nowicki, przerywając dręczące milczenie.

— To już chyba ostatnia wyprawa — odrzekł Smuga, a Sally i Nowicki nie wiedzieli, czy ma na myśli: poszukiwania na pustyni czy ich dotychczasowy tryb życia.

— Tak — szepnęła cicho Sally. — Wracajmy do domu. Nie mamy już tu czego szukać.

Nowicki jak na komendę zerwał się z łóżka.

— Ależ, sikorko... — zaczął, ale wyręczył go Smuga.

— Wrócimy do domu, gdy wyrównamy rachunki z „*faraonem*” — powiedział z tym swoim budzącym respekt, niewzruszonym spokojem.

— Jeśli nie znajdziemy Tomka...

Przez chwilę milczał. A potem dodał cichym, przerażająco kontrastującym z treścią jego słów, tonem:

— Wiesz, Sally, gdyby teraz stanął przede mną ów „*żelazny faraon*”, to zastrzeliłbym go z zimną krwią, a potem spokojnie skończył posiłek.

Przechylił lekko talerz, wybierając łyżką resztę zupy. Potem wstał. Sally płacząc, wtuliła mu się w ramiona.

— Tak! Odnajdziemy go! Odnajdziemy! — szeptała, a oni nie wiedzieli, czy ma na myśli męża, czy „*faraona*”.

Tak zastał ich Rasul. Obaj ze Smugą wskoczyli na konie. Szybko dojechali do Medinet Habu, gdzie funkcję przewodnika objął koptyjski mnich. Koptowie byli życzliwi i rozmowni. Niczego jednak nie wiedzieli. Abeer jeszcze raz wypytał dokładnie człowieka, który był świadkiem porwania Nowickiego, Tomka i Patryka. Potwierdził on, że napastnicy byli konno.

— Ale dwóch na wielbłądach — dodał. — I jeden z nich trzymał w ręku długi bicz.

Potwierdziło to jedynie relację Nowickiego, że jednym z porywaczy był Harry.

— Może jednak widziałeś ich twarze? — spytał Smuga.

— Wszyscy byli zamaskowani — stanowczo zaprzeczył Kopt.

Przed nocą zostawili koptyjskiego duchownego w ostatniej z odwiedzanych wiosek, nie przyjmując zaproszenia na nocleg. Ruszyli w drogę powrotną przez pustynię w blasku pochodni. Prowadził Rasul. Noc była jasna, a piasek w blasku księżyca wydawał się czerwieniec. W ciszy zaskowyczał szakal, zawtórował mu drugi. Drogę przebiegł pustynny lisek. Jechali w milczeniu. Konie brnęły ciężko przez pustynię. Nad ranem byli już blisko Medinet Habu. Nagle konie zaparskały i gwałtownie odskoczyły w bok. Rasul z trudem utrzymał się w siodle. Smuga, doskonały jeździec, szybko opanował zwierzę i zeskoczył na piasek.

— Czegoś się przestraszyły — powiedział.

Podał cugle Rasulowi, rozejrzał się i zmartwił. W piasku tkwiły dwie ludzkie czaszki patrzące pustymi oczodołami na wschód. Smuga upadł na kolana. Po raz pierwszy w życiu przez chwilę nie był w stanie wykonać jakiegokolwiek ruchu, bo po raz pierwszy pomyślał o tym spotkaniu jak o znaku, o złej wróżbie. Po powrocie do obozu nie powiedział o czaszkach ani słowa.

\* \* \*

Z Kina i Luksoru wyruszyły naprzeciw sobie niewielkie, ale bardzo sprawne, patrole żołnierzy brytyjskich. Penetrowały one wioski fellachów położone na zachodnim brzegu Nilu. Oddziałem luksorskim dowodził bardzo operatywny sierżant White. Przed chwilą opuścili jedną z wiosek. Dowódca rozmawiał z wójtem, żołnierze zaś kręcili się wśród chałupek, rozglądając się, czy nie znajdują czegoś podejrzanego. Fellachowie patrzyli na nich nieufnie, niechętnie udzielając informacji. Sam fakt poszukiwania w wioskach zaginionego Europejczyka wywoływał lęk i zdziwienie, — Czemu szukacie w wioskach, jeśli zginął na pustyni? Jesteśmy spokojnymi ludźmi, nie włóczymy się po pustyni. Nie, nie słyszeliśmy o niczym podejrzanym. Żyjemy cicho i spokojnie.

Na White'a spoglądały nieufne, obojętne oczy. Patrol jechał dalej na północ, choć efekt poszukiwań wydawał się wątpliwy. White otarł pot z czoła i powiedział do jednego z żołnierzy:

— W następnej wiosce zanocujemy.

— Tak jest! — odparł żołnierz. — Konie są zdrożone.

— Wkrótce powinniśmy spotkać oddział, który wyruszył z Kina. Podjechał inny z żołnierzy.

— Panie sierżancie! Zbliża się południe. Może odpoczniemy! White spojrział na swoich podwładnych. Byli już bardzo zmęczeni.

Zarówno oni, jak i ich konie. Teren schodził tu łagodnie w stronę Nilu. Miejsce nadawało się na odpoczynek. Sierżant skinął ręką. Zjechali nad rzekę. Napoili konie, rozkulbaczyli je i przysiedli w cieniu palm. Odpoczywając, dzielili się wrażeniami i snuli domysły.

— Cóż to za osobistość, że jej tak szukamy?

— Pół Egiptu chyba za nim goni.

— Gdybyśmy za każdym zaginionym tak pędzili...

— Po co laźł na tę szaloną pustynię?

— Jeżeli zaginął na pustyni, to dlaczego szukamy go nad Nilem? White, który lubił imponować swoim ludziom, czekał aż się wygadają.

— Tom Allan, człowiek, którego szukamy, nie znalazł się tam z własnej woli — powiedział. — Został porwany! A my, Brytyjczycy, nie możemy pozwolić, by nam grano na nosie. Mogę jeszcze dodać, że to nie taki sobie zwykły człowiek. W jego sprawie interweniował ktoś z konsulatu. Przybył specjalnie z Kairu.

Żołnierze byli coraz bardziej zaintrygowani, ale musieli poczekać. Sierżantowi zależało, by uznali, że jest dobrze poinformowany.

— Słyszeliście o aferze w Kairze? — podjął w końcu.

— Coś tam czytałem w prasie — odezwał się jeden z żołnierzy.

— Aresztowano jakiegoś współpracownika kedywa za przemyt.

White skinął głową.

— Wiecie o jaki przemyt chodzi?

— A co można wywozić z Egiptu? Pewnie znowu jakieś zmurszałe skarby...

— I ten Europejczyk, ten Allan, handlował nimi? Sierżant przecząco pokręcił głową.

— Nie! On właśnie szukał takiego handlarza i tamten okazał się sprytniejszy. Porwał Allana, zostawił go na pustyni, a sam uciekł gdzieś na południe.

— Zniknie na bezdrożach Afryki.

— Mówi się, że i tam ma swoje interesy — dodał White. — To, co wam teraz powiem, nie jest do publicznego powtarzania...

Przerwał znowu, a żołnierze zaintrygowani milczeli także. White słyszał jedynie, że „*żelazny faraon*” prowadzi na południu podejrzane interesy, ale bardzo chciał ubarwić swoje opowiadanie.

— Słyszeliście o handlu niewolnikami?

— Już dawno nikt się tym nie trudni — wywołał tylko rozczarowanie.

— Tutaj może nie, ale kto wie, co dzieje się w Czarnej Afryce?

— I miałby się tym zajmować człowiek pochodzący stąd? Kim jest? Jak się nazywa?

— To nie takie istotne — odpowiedział White. — Znany jest pod imieniem „*władcy*” albo „*żelaznego faraona*”. Radziłbym dobrze zapamiętać to przezwisko.

Uśmiechnął się do siebie, zadowolony z wrażenia, jakie jego słowa wywarły na żołnierzach. Byłby doprawdy szczęśliwy, gdyby wiedział, jak niewiele się pomylił.

Jeszcze przed wieczorem spotkali patrol, który wyruszył z Kina. Niewiele mieli sobie do powiedzenia. Z pustymi rękami wracali do macierzystych koszar.

Następnego wieczora White informował o tym Wilmowskiego. Ten zaznaczył na czerwono cały obszar wzdłuż Nilu, od Luksoru aż po Kina. Przed chwilą otrzymał bowiem depezę o fiasku poszukiwań podjętych przez żołnierzy, którzy zbadali tereny od Nag Hammadi aż po Denderę i Kina. To był już chyba koniec. Wilmowski ciężko usiadł przy stole i objął głowę rękami. Nie było żadnej nadziei...

Jeszcze nigdy nie przeżywał równie tragicznych chwil. Nawet wtedy, kiedy opuszczał ojczyznę. Nawet wówczas, gdy na wieść o śmierci żony niemal się załamał. Uratowała go wtedy przyjaźń Nowickiego, a przede wszystkim myśl o synu, który został w okupowanej przez trzech zaborców Polsce. Żył dla niego. Otrząsnął się z osobistej tragedii i wybrał niebezpieczny, chociaż nieźle płatny zawód łowcy dzikich zwierząt. Poznał



wtedy Smugę i była to jedna z najpiękniejszych przyjaźni jego życia. Razem przeżyli tyle przygód, z tylu niebezpieczeństw wyszli obronną ręką. A teraz nadszedł kres... Nie było wątpliwości: Tomasz, jedyny syn, zaginął na pustyni.

Wilmowski stracił poczucie miejsca i czasu. Wrócił pamięcią do jednej z naj straszniej szych chwil w swoim życiu. Oto po latach, na Syberii, stanął oko w oko z Pawłowem, carskim szpiclem, przez którego musiał uciekać z kraju. „*Nareszcie spotkaliśmy się! A więc dobrze, życie za życie.*” — napłynęły skądś dobrze zapamiętane słowa.

Z trudem powracał do terażniejszości. Ze zdziwieniem spostrzegł, że stoi na środku pokoju z wyciągniętymi rękami, stężały z bólu. Odetchnął głęboko, próbując pokonać napięcie.

— Dopadnę cię, „*faraonie*”! Choćbyś był z żelaza! — szepnął do siebie.

Nazajutrz, wczesnym rankiem przepłynął Nil i przybył do obozu przy Kolosach Memnona. Byli tam: Sally, Nowicki, Smuga i Patryk. Nie było Tomka... I tak miało być już zawsze.

Późnym popołudniem dołączył do nich Rasul, zmęczony nie mniej niż pozostali. Włożył w poszukiwania wiele wysiłku, wszystkie swoje umiejętności, a także serce. Nie tylko dlatego, że miał osobisty powód, by pokrzyżować plany „*faraona*”. Im dłużej pracował z tymi dotkniętymi ogromnym bólem ludźmi, tym bardziej ich podziwiał. Nie załamali się w tak dramatycznej sytuacji i podjęli walkę z nieubłaganym losem. Wiedział, że będą walczyć do końca, dopóki nie odnajdą zaginionego albo nie oddadzą sprawcy zła w ręce sprawiedliwości. Podziwiał ich za to, że cierpienie przyjmowali w milczeniu.

Wypił nieco soku, zanim ostrożnie powiedział:

— Jest jeszcze mała szansa.

Popatrzyli na niego z nagle obudzoną nadzieją.

— Bardzo niewielka, ale musimy to sprawdzić. Powiadomiono mnie, że niedaleko stąd pojawił się mały obóz koczujących Beduinów. Może oni coś wiedzą.

Poderwali się natychmiast wszyscy.

— Ruszajmy! — szorstko rzucił Smuga. — Sally i Patryk zostaną z Nowickim — wydawał polecenia. — Dingo, waruj!

Pies był niezadowolony. Wyczuwał przygnębienie przyjaciół i tęsknił za Tomkiem. Czuł się zaniedbany. Jedyne Patryk lojalnie dotrzymywał mu towarzystwa. Zaskomlił w proteście, ale posłuszny władcemu głosowi Smugi, położył się w kącie.

Rasul, Wilmowski i Smuga wskoczyli na przygotowane do drogi konie i popędzili w dal. Ledwo ucichł tętent, gdy przed namiot wybiegł Patryk z Dingiem. Pies ruszył świeżym śladem, ale powstrzymał go gwizd i długa smycz. Zawrócił, patrząc błagalnie na małego Irlandczyka. Ten bystro rozejrzał się dookoła. Tuż przy namiocie służby stał jeszcze jeden gotowy do drogi koń. Parsknął niecierpliwie, jakby zachęcająco. Dingo znowu zaskomlił i pociągnął chłopca w kierunku śladu. W ten sposób znaleźli się w pobliżu konia. Patryk właśnie go z żalem pogłaskał, gdy Dingo szarpnął raz i drugi. Smycz wymknęła się z ręki chłopca. Pies zaszczekał triumfalnie i nie bacząc na gwizdanie ruszył w pustynię.

\* \* \*

Zmierzchało. Wilmowski, Smuga i Rasul z daleka dostrzegli ognisko, usłyszeli śpiew. Podjechali bliżej do kilku rozbitych na piasku namiotów. Śpiew umilkł, a przy ognisku pozostał jeden tylko mężczyzna. Pozostali skoczyli za namioty. Szczęknęły zamki strzelb. Rasul zeskoczył na ziemię. Rzucił cugle Smudze i podszedł do stojącego w blasku ogniska człowieka.

— *Salaam* — pozdrowił go.

Tamten dumnie skinął głową. Uspokoił się wyraźnie na widok policyjnego munduru, ale nie nakazał wyjść z ukrycia swoim ludziom. Smuga i Wilmowski nie zsiadli więc z koni, gotowi do sięgnięcia po broń. Rasul rozpoczął rozmowę, którą od razu tłumaczył Wilmowskiemu i Smudze.

— Wędrują po sól. Są bardzo nieufni. Byli w Luksorze na targu. Na pustyni nie spotkali Europejczyków. Nie, nie pozwoli zajrzeć do namiotów. To ich własność. Hm, nawet grozi! Wie, że ma do czynienia z przedstawicielem władzy. „*Twoje prawo nie dla synów pustyni*” — mówi. To taki pustynny szejk, dumny ze swej niezależności. Mówi, że jest jak pustynny wiatr. Jutro stąd zniknie.

— To podejrzane — szepnął Wilmowski.

— Może tylko zastanawiające — sprostował Smuga. — Tacy są Beduini, niezależni jeźdźcy pustynni.

Rasul wycofał się powoli i dosiadł konia.

— Trzeba będzie wrócić tu jutro — powiedział.

Wilmowski zamierzał protestować, gdy dobiegło ich szczekanie psa. Poznali Dinga, który wpadł przed ognisko. Wydarzenia potoczyły się z szybkością błyskawicy. Ciszę smagnął strzał. Beduin, który mierzył do psa z flinty, chwycił się za ramię. Smuga z dymiącym jeszcze rewolwerem stał przy szejku, przykładając mu lufę do skroni. Wilmowski zdążył zeskoczyć z konia i ukryty za nim mierzył z karabinu w kierunku namiotów. Rasul uniósł ku górze dłoń i głośno wzywał do spokoju. Jakby tego wszystkiego było za mało, nagle pojawił się zdyszany Patryk.

— Wujku! Ja... — jego piskliwy głos niespodzianie rozładował napięcie.

Wilmowski przywołał psa. Dingo przywarował, ale skomlał niespokojnie.

— Tomek, piesku? Tomek! — powtarzał Wilmowski. Pies zaskowyczał. Ciągle węszył.

— Janie! Pies coś poczuł.

— Niech szuka! — rzucił Smuga.

Szejk nakazał swoim ludziom spokój. Patryk obserwował wszystko rozszerzonymi ze zdumienia oczyma. Rasul nadal z rękoma uniesionymi ku górze wciąż zapewniał o pokojowych zamiarach.

— Szukaj! — rzekł wreszcie zdławionym głosem poblady z wrażenia Wilmowski.

Pies zaszczekał i pobiegł do namiotu szejka. Wilmowski opuścił broń i poszedł za nim.

— Uważaj na nich, Rasul — powiedział i wszedł do namiotu za psem. Wewnątrz były dwie kobiety. Jedna karmiła piersią dziecko. Nic nie wskazywało na obecność jakiegokolwiek mężczyzny. Dingo węsząc, wskoczył na jedną ze skrzyń. Tymczasem pojawił się szejk ze swym uzbrojonym cieniem — Smugą. Wilmowski poczuł na czole krople potu. Smuga na widok psa skowyczącego na dużej skrzyni zbladł. Przywołał go, pchnął szejka rewolwerem i gestem nakazał mu uchylić wieko. Uśmiechając się dziwnie, krnąbrny Beduin uczynił to. Dingo stanął na tylnych łapach i sięgnął zębami, jakiś przedmiot.

Była to gurta na wodę. Wilmowski z ulgą otarł pot z czoła i spojrzał na Smugę. Ten gestem wskazał szejkowi wyjście. Wilmowski wziął gurtę i wyszedł za nimi.

— Znaleźliśmy to! — rzekł do Rasula. Wtem włączył się Patryk:

— Wujku! Ja... To ja wiem! Poznaję! — zawołał. — To ten worek, co nam zostawili. Wujek Tom wziął go z wodą, gdy poszedł po pomoc.

Rasul wypytywał szejka. Ten wzruszył ramionami, ale gdy policjant kazał mu pakować manatki i zagroził aresztowaniem, zaczął opowiadać. Gurtę znaleźli na pustyni, gdy wracali z Luksoru.

— Pojedziesz z nami! Pokażesz, gdzie!

Szejk, wciąż pod czujną opieką rewolweru Smugi, zarzucił ich lawiną słów. Rasul cierpliwie coś tłumaczył.

— Grozi mu, że zaaresztuje cały obóz, bo gurtę należała do Europejczyka, którego szukamy — powiedział Wilmowskiemu Smuga.

— Może wiedzą coś więcej — podsunął Wilmowski.

— Poczekajmy! — odpowiedział Smuga. — Zdajmy się na Rasula. Śledztwo, podjęte przez Rasula niczego nie wykazało. Policjant był przekonany, że szejk nie kłamie: Beduini znaleźli gurtę na pustyni, niedaleko od Doliny Królów. Czy Tomek ją wyrzucił, gdy zabrakło wody? A może przywłókł ją tu jakiś szakal? Jeszcze raz dokładnie przeszukali okolicę wokół miejsca, gdzie została znaleziona. Nie było żadnych śladów. Dingo również nie podjął tropu.

Nieubłagana prawda przedstawiała się już jasno. Długo nie mogli się z nią pogodzić. Tomasz Wilmowski przepadł w piaskach Sahary. Pochłonęła go pustynia. Stracili nadzieję na znalezienie go żywego. Pragnęli więc odnaleźć chociaż ciało, by je godnie pochować. Ale i to okazało się niemożliwe. Ostatecznie usypali na małym cmentarzyku kop tyj skini pamiątkowy kopczyk. I tam, nad tym symbolicznym grobem, Smuga złożył swą przysięgę:

— Tomku! Ślubuję ci! Nie spocznę, dopóki nie odnajdę „faraona”. A gdy to uczynię, przyjdę tu i opowiem ze szczegółami, co z nim zrobiłem... Tak mi dopomóż Bóg!

— Tak mi dopomóż Bóg! — zawtórował Nowicki.

Wilmowski milczał. Sally łkała. Ale oboje myśleli to samo. Opuszczali Luksor niemal chorzy z bólu i nienawiści.

## U WRÓT POŁUDNIA

Smuga, Nowicki, Wilmowski i Sally z kurczowo trzymającym się jej dłoni Patrykiem wsiedli do pociągu w Luksorze. Żegnali Dolinę Królów z żalem i ściśniętym sercem. Nie tak dawno fascynowała ich, kusila obietnicą przygody. Teraz ciążyła przypomnieniem nieodwracalnej tragedii.

Do Asuanu wyruszył z nimi także Abeer. Nie wiedział, w jakim stopniu mógłby im być jeszcze pomocny, ale nie potrafiłby ich opuścić w tak trudnej dla nich chwili. Bardzo chcieli być razem w czasie tej podróży. Razem, a także blisko siebie. W pierwszej klasie nie było jednak tylu wolnych miejsc, więc prawie bez wahania wybrali drugą, nie bacząc na to, że zwyczajowo nie jest ona przeznaczona dla Europejczyków.

Zaledwie wyruszyli, przyszło im pożałować tej decyzji.

W wagonie panowała niesłychana duchota. Niektórzy z siedzących na ławkach mężczyzn jedli cebulę, inni zaś palili. Na podłodze, obok pudeł, skrzyń, tobołków, usadowiły się dzieci i kobiety, które pitrasily coś na przenośnych kuchenkach. Wilmowski, zamknięty w sobie, pogrążony we własnym świecie, nie pomyślał w porę, że powinien był przestrzec swoich niedoświadczonych w podróżowaniu druga klasą towarzyszy. Rzecz jasna, niemal natychmiast doszło do identycznego incydentu jak w jego poprzedniej podróży.

Okno tym razem otworzył, niczego nie świadom, Nowicki. Natychmiast jeden ze współpasażerów, potężnie zbudowany mężczyzna, zatrzasnął je z powrotem. Coś przy tym mówił, gwałtownie gestykulując. Wilmowski, nie mogąc znieść grzmiącego mu nad głową głosu, westchnął:

— Niechże on wreszcie przestanie! Zrób coś, Abeer! A ty, Tadku nigdy nie narażaj się, otwierając okna w egipskim pociągu.

Nowicki mruknął coś do siebie, a mężczyzna długo jeszcze perorował, chociaż na szczęście przeniósł się w drugi koniec wagonu.

Mijali szare od pyłu miasteczka z niewielkimi meczetami oraz wioski fellachów, smutne jak w całym Egipcie. Minęli miejscowość Isna i dojeżdżali do Edfu. Abeer, by jakoś rozładować ciężką atmosferę i choć trochę zmienić nastrój, zaczął opowiadać:

— W Edfu<sup>1032</sup> znajdowała się w starożytności stolica nomu, czyli powiatu, na czele z nomarchą. Do dziś zachowały się tu ruiny świątyni Horusa.

— Horus to bóstwo przedstawiane pod postacią sokoła? — Smuga podtrzymał rozmowę, rozumiejąc intencję przyjaciela.

— Tak. Był on bogiem niebios, z którym identyfikowano faraona za jego życia — kontynuował Abeer.

— A po śmierci, dostojny umarłak zmieniał się w Ozyrysa — włączył się Nowicki, zerkając na Sally.

Marynarz odzyskał już siły po saharyjskiej przygodzie. Tylko zaczerwienione mocno powieki świadczyły o tym, że przebył chorobę oczu. Głęboko rozpaczał po stracie Tomka i gorąco pragnął wyrwać Sally z przygnębienia. Sally nie dała się jednak wciągnąć do rozmowy. Abeer monotonnie opowiadał dalej:

— Egipskie świątynie budowano według pewnego stałego wzoru. Na ogół w linii północ-południe i zawsze na żyznej ziemi. Tak właśnie wzniesiono w okresie ptolomejskim świątynię w Edfu. Pylony prowadzą na ogromny dziedziniec, zakończony wejściem do przedsionka, stanowiącego początek właściwej świątyni. Z przedsionka wchodzi się do sali hypostylowej, z niej do komnaty ofiar, skąd z kolei jest wejście do kaplicy. Od sali hypostylowej aż po kaplicę otacza świątynię wewnętrzny, okrężny korytarz. Całość osadzona jest na planie prostokąta.

Pociąg minął Edfu i zmierzał dokładnie na południe, kiedy doszło do kolejnego konfliktu. Tym razem z powodu psa. Ten sam potężny, gadatliwy Arab dość brutalnie odepchnął Dinga, który podniósł łeb i warknął. Potoczyła się lawina słów wypowiedzianych denerwującym, piskliwym głosem.

— Co on znów trąkocze? — spytał zdenerwowany Nowicki.

— Klnie na psa, że to parszywe stworzenie — odpowiedział Abeer.

— Czemu Arabowie tak nie lubią psów?

— To proste — cierpliwie wyjaśniał Abeer. — My muzułmanie nie lubimy psów, bo jeden z nich, jak mówi Święta Księga, ugryzł Mahometa w nogę.

---

<sup>1032</sup> — Edfu (Idfu) — w latach 1936–1939 prowadziła tu prace wykopaliskowe polsko—francuska ekspedycja, z Kazimierzem Michałowskim na czele.

Widok za oknem stawał się coraz bardziej ponury, brzeg Nilu jałowy, a osiedla coraz nędzniejsze. Na stokach skalistych gór, które chyliły się coraz bardziej ku rzece, stały kamienne wioseczki, skrajnie ubogie. Nędzne, gliniane chaty, gołębniki, kurniki, poletka kukurydzy, nieco drzew owocowych. Nil i wszechogarniająca pustynia dominowały w krajobrazie. Nic więc dziwnego, że nastrój podróżnych nie ulegał poprawie. Za Kom Ombo Abeer raz jeszcze spróbował:

— Egipcjanie nazywają Asuan<sup>1033</sup> wrotami południa, zaś sudańscy kupcy bramą północy. Nie dzieje się tak bez przyczyny. Miasto stanowi bowiem naturalną granicę między północą a Czarną Afryką. Tutaj kończyły się najczęściej wycieczki Europejczyków. Tu w poszukiwaniu źródeł Nilu zatrzymał się Herodot; tu w swym marszu na południe dotarł Aleksander Wielki, tu także stacjonowały rzymskie legiony w najdalej na południe wysuniętej placówce. Dotąd jedynie doszli w pogoni za Mamelukami żołnierze Napoleona.

— W Asuanie kończyli również swe rejsy Polacy odwiedzający Egipt, jak choćby Maurycy Mann<sup>1034</sup>, orientalista Józef Sękowski<sup>1035</sup> czy Władysław Wężyk<sup>1036</sup> — wtrącił Wilmowski, ale zaraz umilkł. Przywołał bowiem obraz Tomka, który tak skrzętnie zbierał wszelkie informacje o Polakach na obcych łądach.

— No, nie wiedziałem, że aż tylu waszych rodaków gościło w moim kraju — żartobliwie wtrącił Abeer, a Wilmowski tłumiąc nagły smutek podjął urwany wątek:

— Największym chyba wśród nich oryginałem był ów Wężyk. Po powrocie z Egiptu wydrukował wizytówki, na których przypisał sobie tytuł beja, co złośliwi skomentowali wierszykiem: „*Wężyku — beju, więcej oleju*”.

---

<sup>1033</sup> — Asuan, także As-suan lub Assuan, antyczne Sy-e'ne (Suan), miasto na prawym brzegu Nilu, położone poniżej pierwszej katarakty. Popularne uzdrowisko, zwłaszcza w zimie, z nowoczesnymi hotelami.

<sup>1034</sup> — Mann Maurycy (1814–1876), dziennikarz. Był w Egipcie w 1853 r.

<sup>1035</sup> — Sękowski Józef (1800–1858), polski orientalista, profesor Uniwersytetu w Petersburgu. Podróżował po Syrii (spędził tam kilka miesięcy w klasztorze maronickim) i Egipcie (1820 r.) oraz Etiopii i Nubii (1821 r.). Wpłynął na zainteresowania Adama Mickiewicza Wschodem.

<sup>1036</sup> — Wężyk Władysław (1816–1848) — przyjaciel Cypriana K. Norwida, poeta, działacz kulturalny. Podróżował w latach 1839–1841 po Bliskim Wschodzie. Autor literackiej relacji z tej podróży, wykorzystanej zresztą w jednym z rozdziałów niniejszej powieści. Wężyk zmarł, niosąc pomoc ludności, w czasie *zarazy* na Górnym Śląsku.

Anegdota była dowcipna, ale ani Smudze, ani Nowickiemu nie przyszło do głowy, żeby się roześmiać. Wilmowski przetłumaczył jeszcze wierszyk Sally i Abeerowi. Sally jakby nie usłyszała, a Abeer ledwie się uśmiechnął i wrócił do swej opowieści o Asuanie:

— Asuan graniczy z Nubią. Od starożytności kwitł tu handel wymienny. Do budowy piramid sprowadzano stąd słynny, asuański, różowy granit. Do niedawna jeszcze był w mieście jeden z najbardziej znanych targów niewolników.

— Była także wielka stacja karawan — dodał Smuga.

— Czy jest szansa, by się czegoś dowiedzieć w Asuanie? — zapytał Wilmowski.

— Tak czy inaczej musimy płynąć dalej, aż do Jeziora Alberta — odparł Smuga, a Nowicki zacisnął dłonie.

Sally nadal milczała. Drzemiący na jej kolanach Patryk obudził się i przetarł oczy.

— Wujku, czy dojeżdżamy? — spytał Nowickiego, a ten postarał się odezwać jak zawsze jowialnie, choć bez zwykłego animuszu.

— Masz nosa, chłopcze, jak ten „*cheopsiak*” w Gizie. Dobrze wyniuchałeś, że czas wstawać. Pociąg zawija do portu... To jest, chciałem powiedzieć, na dworzec.

Miasto ciągnęło się jednak przez wiele kilometrów po wschodniej, górzystej stronie Nilu. Minęli ulice, domy, jakiś laszek palmowy i kilka starannie utrzymanych ogrodów. Gdy wreszcie wysiedli, z miejsca otoczył ich gwarny tłum. Kogóż tam nie było? Berberowie, włóczędzy, żebracy, dzieci o różnym kolorze skóry. Rzucały się w oczy śliczne dziewczęta w nubijskich strojach. Niemal nagie, przepasane wokół bioder oryginalną, długą do kolan opaską, zdobną w gałeczki z kości słoniowej lub orzechy, zakończoną gęstymi frędzlami. Każdy miał coś do sprzedania: pałkę z czarnego, „*żelaznego*” drzewa, dzidę na krokodyle, skóry lamparta, koszyki, strusie jaja, długie berberyjskie noże, noszone przy lewym boku, zawieszzone na sznurku dodatkowo obwiązany wokół szyi. Ktoś proponował małpkę na powrozie, inny paciorki lub stroje z piór.

Ledwie się przedarli przez ten tłum nastąpił nowy atak. Tym razem poganiaczy zwierząt i dorożkarzy, którzy donośnie i rozkazująco oferowali swe usługi:



— Weź mnie! Wynajmij!

Najbardziej oryginalny okazał się pewien młody Nubijczyk, który kazał tańczyć swemu koniowi, a ten rzeczywiście zaczął przebierać nogami w wyuczonych drygach. Wszyscy wyciągali przy tym ręce po bakszysz. Konie, wielbłądy i osły parskwały, ryczały i rżały...

Z trudem dotarli do dwóch małych dorożek karo, zaprzężonych w osły. Szeroką promenadą wzdłuż Nilu dojechali do hotelu „*Cataracte*”. Wynajęli pokoje na piętrze z oknami wychodzącymi na porośniętą palmami wyspę, dzielącą Nil na dwie, prawie równe, odnogi.

— To Dżeziret el-Zahar, czyli Wyspa Słonia — powiedział Abeer do Patryka.

— Mówiąc z francuska, Elefantyna. Taka nazwa przyjęła się w geografii — uzupełnił Wilmowski.

— To... ona „*słoniowa*” dlatego, że taka duża? — spytał Patryk.

— Nie — uśmiechnął się Abeer. — Dlatego, że kiedyś docierał tu słoń afrykański.

— Bardzo tam wiele ogrodów...

— Owszem, ale Elefantyna znana jest przede wszystkim z nilometru, który odrestaurował w 1870 roku kedyw Izmail, i z wielu świątyń...

— Tylko nic już nie mówcie o świątyniach — westchnął Nowicki. — Przygnębiają mnie. Świątynia powinna być pełna ludzi, wtedy żyje... A te tutaj przypominają o śmierci.

Umilkli. Stali na balkonie, obserwując zachodzące słońce. Przed nimi, na skalnych szczytach, trwała przedziwna gra barw. Róż przechodził w fiolet, by w końcu przegrać z granatem. Żółty początkowo horyzont przybrał kolor popielaty, potem szary, aż wreszcie pojawił się księżyc i rozświetlił zapadającą ciemność.

\* \* \*

Nowicki nie mógł zasnąć na niewygodnym łóżku w pokoju, który dzielił z Wilmowskim. Gdzieś koło północy usłyszał stłumiony głos przyjaciela:

— Tadku, śpisz?

— Nie — odparł.

— Sally przeżywa tę tragedię o wiele mocniej niż my.

— Owszem. Zamknęła się w sobie. Jest smutna. Nie wzruszają jej nawet ukochane pylony, reliefy i hypostyle... Milczy!

— Spróbuj ją trochę rozruszać...

— Ba, ale jak? — nie po raz pierwszy zatroskał się Nowicki.

— Zajmij się tym, Tadku, pomyśl. Porozmawiaj ze Smugą i Abeerem. Zabierz ją gdzieś razem z Patrykiem. Coś pokaż... Ty najlepiej to zrobisz.

— Ja? Przecież ja czuję się tak jak i ona — odrzekł zdławionym głosem. — Może lepiej Smuga?

— Smuga i Abeer niech organizują dalszą wyprawę. Oni najlepiej się tutaj orientują.

— Niech mnie wieloryb połknie, Andrzeju, jeśli zdołam dobrze wypełnić to zadanie.

— Podołasz, bo musisz... Sally marnieje w oczach. Nie można na to pozwolić. Wystarczy, że straciłem..., że straciliśmy jedno dziecko — Wilmowskiemu głos się załamał.

Kiedy świt zabarwił szare skały Elefantyny, a przeciwległą, wysoką skarpę objęły promienie słoneczne, nadając zieleni i wilkom odcień piasku, Nowickiego wyratował z trudnej sytuacji Patryk.

— Ciociu! — powiedział do Sally, z wyczekiwaniem patrząc jej w oczy. — Chodźmy na spacer.

— Dokąd, synku? — spytała łagodnie, ale bez cienia zainteresowania.

— Pochodzić troszkę...

— Idź może z kimś innym.

— To... Ja... Ja chcę z tobą. Chodźmy — nalegał zdecydowanie. Pomógł mu Wilmowski.

— Idźcie i weźcie Nowickiego. Jemu też się to przyda. A my pójdziemy do mamura<sup>1037</sup>.

— Załatwcie tylko wszystko jak najszybciej — już bez protestów zgodziła się Sally.

Zaszli najpierw na suk. W centralnej części przykryty wysokim dachem, nie różnił się wiele od kairskiego czy jakiegokolwiek innego bazaru na Wschodzie. Patryka najbardziej zainteresowały towary z Nubii, których była tu cała masa. Pochłonęły go tarcze z rafii i słomy; chętnie wypróbował gliniane bębenki i nie oparł się pokusie kupna jednego z nich. Nowicki kupił

<sup>1037</sup> — Mamur — tu: gubernator departamentu od Esne do Asuanu.

Sally naszyjnik z lotosu i drugi, silnie pachnący, z sandałowego drzewa. Krzyki, gesty, rytmiczne piosenki miały zachęcić kupujących. Patryk głośno przełknął ślinę na widok chałwy, a Nowicki poprosił o duży kawał, bo nagle sobie przypomniał, że w dzieciństwie przepadał za tym smakołykiem. Sally nabyła trochę ziemnych orzeszków, daktyli i pomarańczy. Później na dłużej przyciągnął jej uwagę bardzo charakterystyczny kram z glinianymi garnkami, przywiezionymi tu z Asjut, znanego z solidnych garncarzy.

Nowicki, który przed wyjściem z hotelu długo rozmawiał z Abeerem, z zaangażowaniem i bardzo pewnie pełnił funkcję przewodnika.

— Podjedziemy do kamieniołomów. Zobaczymy ów sławny, nazywany nie dokończonym, obelisk.

Dorożka wiozła ich drogą wśród czerwonych granitów. Stanęli na miejscu, zadzierając głowy do góry, by ujrzeć czubek ogromnego słupa z granitu.

— Czemu jest nie dokończony? — Patryk stropił swoim pytaniem Nowickiego, który tego akurat nie wiedział. Pytanie zawisło w powietrzu.

— Bo po prostu zaczął pękać — krótko odpowiedziała, po chwili ciszy, Sally. — Przestali więc nad nim pracować.

Marynarz odetchnął. „*Wreszcie przemówiła*” — pomyślał i jakby nigdy nic zapytał:

— Ile toto może mieć wysokości?

— Ponad czterdzieści metrów — Sally wciąż odpowiadała krótko i niezbyt chętnie.

— No i po co toto budowano? — Nowicki nie ustępował, żartobliwie naśladując Patryka.

— Miało to związek z kultem słońca. Ale obelisków używano także jako wskazówek zegara słonecznego. Wykuwano te ogromne słupy w Asuanie i dostarczano do świątyń całego kraju.

— Co też ty wygadujesz, sikorko? Przecież takie cacko waży ze czterysta ton!

— Może i więcej — obojętnie odparła Sally.

— Ciociu, a ja to widziałem taki duży słup w Londynie!

— Pewnie, że widziałeś. Już w starożytności modne stało się wywożenie tych ogromnych obelisków. Czynili to Asyryjczycy, Rzymianie, no a całkiem

niedawno Francuzi, Anglicy i Amerykanie. Właśnie w Londynie zainstalowano tę, jak ją nazywano, igłę Kleopatry w 1880 roku<sup>1038</sup>.

— Wujku! — z zapalem rzekł Patryk. — Jak dorosnę, to przywiozę ci taki prezent do Warszawy.

— Nie trzeba, mój mały — odpowiedział Nowicki. — Warszawa ma swoją Kolumnę Zygmunta.

Na wspomnienie Warszawy Sally posmutniała jeszcze bardziej. I nic odezwała się więcej.

Podczas popołudniowego posiłku Smuga zrelacjonował wizyty u mamura.

— Był dla nas bardzo miły. Wystawił stosowny dokument, nazywany tutaj firmanem, zobowiązujący władze do udzielenia nam wszelkiej możliwej pomocy. Potem odesłał nas do agi, dowódcy miejscowego wojska egipskiego. Ten chciał przydzielić nam oddział żołnierzy, ale podziękowaliśmy.

Po południu wszyscy wyszli na promenadę wiodącą wzdłuż Nilu. Błękitne, czyste wody rzeki, spokojnie tu płynącej, odbijały słoneczny blask. Przy brzegach rosła jasnozielona trawa coraz częściej przeplatana łatami piasku pagórkowato odchodzącego w pustynię. Sally szła obok Wilmowskiego zatopiona w myślach. Patryk dokazywał z tyłu z Nowickim. Abeer i Smuga rozmawiali o czekającej ich wyprawie, która zapowiadała się na bardzo niebezpieczną. Zastanawiali się, czy zabierać ze sobą Sally i Patryka. Sally oczywiście zdecyduje sama, ale czy mieli prawo narażać chłopca bez zgody jego rodziców?

— Co z nim jednak zrobić? — martwił się Smuga.

— Na Allacha! Chyba wiem — odparł Abeer. — Mamy tu przecież przyjaciół.

— Masz na myśli...

— Tak, mam na myśli synów Jusufa Medhada el-Hadż — przerwał mu Abeer.

— Nie jestem pewien...

— Byłeś ich bohaterem. Uczyłeś ich strzelać! Noszą cię w sercu głęboko. Na pewno niczego nie zapomnieli.

— No, cóż! Może to i dobry pomysł.

---

<sup>1038</sup> — W Paryżu na Placu Zgody w 1836 r., a w Nowym Jorku w 1881 r.

— Na brodę Proroka! Uradujesz ich serca swym widokiem. A kiedy jeszcze dowiedzą się, że na stare rany położono balsam przebaczenia, przyjmą cię gorąco.

Smuga dał się przekonać. Postanowili odwiedzić synów Jusufa, mieszkających w Asuanie, nie tylko ze względu na Patryka. Obaj oni byli przecież kupcami handlującymi z Sudanem i prowadzili swe karawany w głąb łądu. Może udałoby się nawet wyruszyć wspólnie? Tak czy inaczej mogli stanowić źródło cennych informacji.

Najpierw jednak, następnego ranka, Smuga i Abeer pojechali dorożkami do Szellal, gdzie kończyła się linia kolejowa i mieścił port rzeczny. Musieli dowiedzieć się o miejsca na statku do Wadi Halfa i kupić nań bilety albo wynająć jakąś barkę. Z ochotą pojechałby z nimi Nowicki, ale zrezygnował, widząc znaczący gest Wilmowskiego. We czwórkę zatem, razem z Sally, która znów dała się namówić Patrykowi, udali się na przystań łodzi w Asuanie, skąd feluką z przewoźnikiem popłynęli do tamy przez pierwszą kataraktę na Nilu<sup>1039</sup>.

— Nie można tamtędy — przewoźnik wskazał ręką na wschodni brzeg. — Woda mocna, wielka, bystra. Nie można.

Przemykając zatem między wysepkami i skałami, z przyjemnością chłonęli urok wycieczki. Dzień był nieznośnie upalny, ale orzeźwiał ich wiatr i chłód od wody. Nawet Sally nieco się rozchmurzyła, wystawiając twarz na wiatr i ocierając ją z wody. Wkrótce dotarli do czerwonoburej, legendarnej zapory asuańskiej<sup>1040</sup>. Wędrowali jej grzbietem na zachód, mając po jednej stronie wodę cisnącą się kilkoma otwartymi śluzami i spadającą z hukiem w

---

<sup>1039</sup> — Katarakty na Nilu — progi rzeczne, w których usytuowane są skalne przeszkody. Rzeka dzieli się tam na wiele potoków i wodospadów wciśniętych między ogromne bloki skalne. Prąd jest bardzo silny, co w zasadzie uniemożliwia żeglugę. Opisano 6 katarakt na Nilu w Egipcie właściwym — koło Asuanu; w Sudanie — obok Wadi Halfa; Nubii — poniżej Dongola; Sudanie — poniżej Meroe; Sudanie — poniżej Barber; Sudanie — poniżej Chartumu.

<sup>1040</sup> — W odległości 7 km na południe od Asuanu, na początku pierwszej katarakty, znajduje się, zbudowana w latach 1898–1902, tama o długości 2000 m i wysokości 40 m. Jej projektantem był angielski inżynier William Willcox. Spiętrza ona wody Nilu do wysokości 27 m, a utworzony w ten sposób zbiornik gromadzi około 5 miliardów mwody. Dzięki temu można nawodnić 200000 ha nieużytków. Tama została poświęcona 10 lutego 1902 r. W 1908 r. i 1912 r. podwyższano ją, co powodowało powodzie w Nubii. W latach 1960–1972 wybudowano w Asuanie inną tamę, zwaną wielką, która gromadziła 160 miliardów m wody i utworzyła sztuczne morze o długości 500 km, a szerokości od 10 do 17 km. Spowodowała ona zalanie wielu starożytnych zabytków.

kilkudziesięciometrową przepaść, a po drugiej otwartą przestrzeń jeziora, uderzającego spienionymi falami w podstawę tamy.

— Podziwiam geniusz Anglików — powiedział Wilmowski.

— Z pewnością dobrze zarobili na tej budowie — odrzekł Nowicki.

— Niewątpliwie, ale zyskał jednak przede wszystkim Egipt.

Tuż przed południem dotarli do przystani łódek po wschodniej stronie, w pobliżu wioski Szellal, skąd razem ze Smugą i Abeerem mieli popłynąć na wyspę Fila. Przyjaciele już na nich czekali.

— Mam dobre wieści — od razu powiedział Smuga. — Pojutrze płyniemy do Wadi Halfa. — Tak będzie chyba najszybciej.

Wsiedli do łódki z trzema wioślarzami.

— Sam chętnie zobaczę, co zostało ze wspaniałego zespołu świątyń poświęconych Izydzie, wybudowanych w okresie ptolomejskim na wyspie File. Wszystko ma bowiem swoją cenę — smutno powiedział Abeer. — Budowa zapory spowodowała zalanie tej ślicznej wysepki. W lecie wylania się ona z jeziora w całości. O tej porze roku widać jedynie kolumny.

— File! — westchnęła Sally. — Miejsce pielgrzymek starożytnych Egipcjan, Greków i Rzymian... Ostatni rzymski szaniec i schronisko dla Koptów uciekających przed prześladowaniem... File! File, zalana wodą — dodała z żalem.

— Ciekaw jestem czy wiecie, że przez miejsce gdzie stoi świątynia Izydy, biegnie zwrotnik Raka — Wilmowski na swój spokojny sposób starał się odsuwać smutne myśli. Na ogół zresztą z nie najlepszym skutkiem.

W drodze powrotnej zatrzymali się, by w pobliżu katarakty obserwować zawody pływackie, jakie urządzili sobie mieszkańcy pobliskich wiosek. Oto jakiś mały Berber chwycił gruby konar palmy, dosiadł go i runął w koryto porohu. Prąd porwał go niesłychanie gwałtownie, rzucił w górę, w dół, lecz on przytomnie i zręcznie utrzymywał się na powierzchni. Znikł w toni, lecz za chwilę pojawił się po drugiej stronie. Wkrótce wrócił i poprosił o bakszysz. Wnet pojawił się drugi, tym razem z wiązką trzciny w ręce. Był to Beduin z niedalekiego obozu Biszarów, plemienia koczującego w pobliżu Asuanu, żyjącego z żebraniny i drobnego handlu.

Przyglądający się temu Nowicki wreszcie wpadł na pomysł — wydawało mu się, że świetny. Oto okazja, by rozproszyć chociaż trochę smutek Sally. Tak, wiedział co zrobić.

— Moment! — zawołał i skinął na Berbera, który nie zdążył jeszcze odejść. Poprosił Abeera o tłumaczenie.

— Spróbujmy zrobić międzynarodowe zawody. Kto jeszcze? — zawołał. Gromada chłopców, mniej więcej w wieku Patryka, otoczyła go natychmiast. Nowicki przyjrzał się im krytycznie i wybrał jeszcze dwóch. Czarnego jak smoła Nubijczyka i niewielkiego chłopca o hinduskich rysach twarzy. Potem podszedł do pozostałych, obejrzał ich pływające dziwactwa i wybrał rodzaj płytkiej, małej, jednoosobowej łódki. Od innego pożyczył wioselka z łopatkami po obu stronach.

— Co chcesz zrobić? — zaniepokoił się Wilmowski.

— Sam chciałeś, abym postarał się pomóc Sally — szepnął do niego po polsku marynarz i dodał głośno po angielsku:

— Kiedyś pływaliśmy po Wiśle prawie na deskach albo w korytach. Miałem w tym niezłą wprawę... Nie martwcie się o mnie!

I rozebrał się do pasa.

— Powiedz tym kajtkom, że pierwszy, który tu wróci, otrzyma podwójny bakszysz — poprosił Abeera. — I że ruszymy, jak dasz znać!

— Zwariował, na miły Bóg, zwariował — szepnął Wilmowski do Smugi. Patryk i Abeer, obaj jednakowo zdumieni, wyraźnie dawali się ponieść emocjom. Sally jakby się nieco ożywiła. Wilmowski sceptycznie pokręcił głową, a Smuga przyglądał się wszystkiemu z zapowiedzią uśmiechu w kącikach ust.

Trójka miejscowych pływaków wyglądała przy Goliacie z Warszawy jak krasnoludki.

— Gotowi? — spytał Abeer. Wszyscy poważnie skinęli głowami.

— Ruszajcie! — wydał komendę.

Już na starcie marynarz wyprzedził wszystkich. Inni dosiedli swych wodnych rumaków, starając się na nich utrzymać balansowaniem ciała. Ponieważ nurt był najpierw powolny, sporo tracili. Nowicki wybrał inną technikę. Najpierw płynął, trzymając przed sobą łódkę i wioselka. Dopiero, gdy prąd stał się silniejszy, wsiadł w swoje cacko i utrzymując równowagę za pomocą wiosel, pierwszy dotarł na drugą stronę. Zwyciężył o dobre parę sekund przed młodym Nubijczykiem, za którym finiszowali pozostali.

— Niech cię kule biją, niedźwiedziu — gratulował Wilmowski. — Byłem przekonany, że przegrasz.

— Mówiłem, że mam wprawę — odparł Nowicki. — Przez całe lata ćwiczyłem różne marynarskie sztuczki.

— Ale nie na rzece? — wtrącił Abeer.

— Ech... Co się będę chwalił... Także na ostrej rzece kiedyś igrało się ze śmiercią. Tutaj to zabawka... — powiedział z nagłą powagą.

I tak prysł pogodniejszy nastrój.



## MAKBARAH

Od minaretu do minaretu niósł się płaczliwy głos muezzina: *La illaha, Ula Allah! W a Muhammad Rasul Allah*<sup>1041</sup>, wzywający do wieczornej modlitwy, kiedy dotarli do hotelu. Już w progu Smuga i Abeer, zaskoczeni, spostrzegli znajomą sylwetkę. Za chwilę witał ich Jusuf Medhat el Hadż, ale jakże inny, jak bardzo odmieniony! Nisko pochylony, z postarzałą twarzą.

— *Allah kerim!* — zawołał. — Odnalazłem was! Gonię za wami od Luksoru.

— Czy coś się stało? — Smugę zaniepokoił i wytrącił z równowagi stan przyjaciela.

Jusuf najpierw jednak mocno uścisnął dłoń Wilmowskiemu i po ojcowsku przytulił Sally.

— Wiem wszystko — powiedział.

Przeszli do hotelowej restauracji, żeby spokojnie porozmawiać. Jusuf swoim zwyczajem zaczął od sentencji.

— Czasem ten, kto chce pomóc, sam jest w potrzebie.

— Czy coś się stało? — ponaglił Smuga.

— Stało się... Stare porzekadło powiada, że najlepszym z ludzi jest ten, który dostrzega swoje błędy. Mogłem mieć synów przy sobie, ale nie utrzymałem. Pozwoliłem im odejść na południe, tułać się po Afryce. A teraz płaczę. Moi synowie... Moi kochani. Nadżib i Madżid. Nie wrócili z podróży...

— Utknęli w Czarnej Afryce... — domyślił się Smuga.

— Powinni wrócić dwa, trzy miesiące temu. Mawiają starzy ludzie, że mądry szuka doskonałości, a głupi majątku. Powędrowali tam, gdzie najbardziej niebezpiecznie. Za Sudan, do Czarnej Afryki. Dobrze, że chociaż przysłali z Sudanu wiadomość. Przynajmniej wiem, że udali się nad Jezioro Alberta, żeby zrobić dobry interes.

Spojrzeli po sobie. Wracała nazwa: Jezioro Alberta.

— W tej części Afryki wszystko jest możliwe. Formalnie, w rejonie wschodnich jezior afrykańskich podzielono sfery wpływów, ale trwa

---

<sup>1041</sup> — Nie ma Boga prócz Allacha, a Mahomet jest wysłannikiem Allacha.

rywalizacja Francuzów, Anglików, Belgów, Niemców — wyjaśniał Abeer. — A oprócz tego walki plemienne. Są jeszcze ludożercy, no i zdarzają się, niestety, handlarze niewolników.

— Przecież już dawno skończono z tym procederem — obruszył się Wilmowski.

— Oficjalnie, tak! Ale kto wie, co dzieje się w najodleglejszych częściach dżungli — Jusuf pokiwał głową.

— Słyszałem, że ruszacie na południe. Dla mnie to ostatnia szansa. Cały majątek oddam, tylko ratujcie moje dzieci! — rzekł błagalnie.

— Przyjacielu — ciepło odpowiedział Smuga. — Idziemy tam. Idziemy w nieznane, odnaleźć zbrodniarza. Sami nie wiemy czy wrócimy. Ale przyrzekam ci, jeśli tylko czegoś się dowiem, to kiedy załatwię naszą sprawę, pójdę tropem jak pies. Jeśli znajdziemy jakiś trop... Przyrzekam.

Wilmowski słuchał wyciszony i jakby z poczuciem ulgi, jakie go nagle ogarnęło. Sam był tym zaskoczony. Głęboko wszak współczuł Jusufowi i aż za dobrze rozumiał, co przeżywa. Uświadomił sobie jednak, jak bardzo źle znosił nienawiść, która nimi zawładnęła. Potrzebował, niczym powietrza, innego niż negatywny motyw tej wyprawy. Niespodziewanie dla samego siebie, powiedział:

— Jeśli odnajdziemy ślad... Jeśli w tej Czarnej Afryce odnajdziemy ślad, to gotowi jesteśmy nawet wstrzymać nasze plany, by odnaleźć twoich synów.

Jusufowi oczy załśniły łzami.

— Niech Allach ci to wynagrodzi, bracie — powiedział, a Wilmowski przyjął to wyjątkowe, przeznaczone wyłącznie dla bliskich słowo, równie wzruszony.

Jusuf mówił dalej:

— Poszedłbym z wami, ale jestem już za stary...

— Powiedz nam lepiej coś bliższego o pracy swoich synów — przerwał mu Smuga.

— Wiem doprawdy niewiele. Nigdy, nawet najbliższym, nie opowiadali o swych przygodach. Przywozili jedynie towar...

Smuga zmienił temat:

— Skąd wiedziałeś, że nie można ufać Ahmadowi al-Saidowi? — spytał.

— Dobrze go znałem. Domyśliłem się, bo nieraz już maczał palce w nieczystych sprawach. „*Nie powierza się kotu kluczy od gołębnika*”. A on to taki kot, który się skrada, czai i porywa, co najlepsze...

— Zdradził nas. Od niego zaczęły się nasze kłopoty — powiedział Wilmowski, a Smuga dodał:

— Z nim wyrównamy jeszcze rachunki...

Nowicki i Sally siedzieli w milczeniu. Wyprawa, zaplanowana jako pościg za przestępcą, zmieniała swój charakter. Już nie tylko zemsta, nie tylko poczucie sprawiedliwości, miało powodować jej uczestnikami. Będą szukać zaginionych w Czarnej Afryce synów przyjaciela Smugi.

Nowicki starał się zrozumieć Wilmowskiego. Jemu nic już nie przywróci Tomka, a Jusuf zyskuje nadzieję. Przebaczenie nie leżało jednak w naturze marynarza. Nie, nie zrezygnuje z pościgu za „*faraonem*”, choćby miał przez to poróżnić się z przyjaciółmi. Nie mógł się skupić. Miał dość rozważań. Czuł, że się dusi. Zapragnął samotności. Przeprosił wszystkich i wyszedł na zewnątrz.

Nerwowo przechadzał się przed hotelem i nagle zderzył się z wychodzącym z pobliskiej spelunki człowiekiem.

— Uważaj pan! — zawołał.

Tamten podniósł głowę, uchylił kapelusza i Nowicki poznał... Harry'ego. Chwyił go za marynarkę, ale tamten wyrwał się i pobiegł piaszczystym ugorem na wschód. Marynarz ruszył za nim bez chwili namysłu. Biegli tak ze trzy, może cztery kilometry, aż nagle znaleźli się w ruinach starożytnego Suanu. Nowicki, nie nawykły do szybkiego biegu, zaczął odczuwać zmęczenie i chociaż nie stracił Harry'ego z oczu, to także nie zbliżył się do niego. Biegli teraz wzdłuż starego muru i marynarzowi udało się wreszcie zmniejszyć dzielącą ich odległość. Harry zorientował się, że nie umknie. Zatrzymał się. Przyjął błyskawiczny atak Nowickiego. Zręcznie uniknął ciosu, trafiając marynarza w ramię. Warszawiak odwrócił się.

— Stęskniłeś się chyba za mną, draniu? — syknął przez zaciśnięte zęby.

Harry, dysząc po szybkim biegu, zdobył się na szyderczy uśmiech. Chwyił się za ucho i rzekł:

— Pamiętasz?

Błyskawicznie zamachnął się nożem. Nowicki zdołał uniknąć ostrza, gwałtownie odchylił się do tyłu. W tym samym momencie otrzymał jednak

nokautujący cios w szczękę. Runął na plecy. Usłyszał jeszcze chichot i francuskie słowo: Adieu! Żegnaj! — Po czym zauważył, że Harry zniknął w jakiejś szczelinie. Jeszcze ostrożnie zajrzał do środka, ale panowała tam taka ciemność, że się zawahał. Postanowił wrócić dopiero przy dziennym świetle.

Rano towarzyszyli mu Abeer, Sally i Smuga. Ujrzeni ruiny starożytnego Suanu, a za nimi granitową pustynię: majestatyczną, groźną i dziką. Różowy, szary, zielonkawy granit wydawał się w blasku słonecznych promieni całkiem czarny. Kiedy dotarli do muru, Abeer powiedział:

— To makbarah!

— Makbarah? — zdziwił się Nowicki.

— Starożytny cmentarz muzułmański wzorowany na tradycjach faraonów.

— Zajrzyjmy do wewnątrz.

— Nie radzę — przestrzegł Abeer. — Nie należy naruszać spokoju mahometańskich cmentarzy, jeżeli nie chce się pozostać na zawsze w Egipcie... z nożem w plecach.

— Dziękuję za ostrzeżenie — odparł marynarz, wcale nie przekonany.

— Lecz jeśli tamten mógł, to i ja. Podeszli bliżej, gdzie mur był niższy.

— A te domki? — spytał Nowicki, stając na palcach.

— To właśnie grobowce — odparł Abeer.

— Bardzo oryginalne — stwierdził Nowicki. — Wyglądają jak mieszkalne domy. W jaki sposób chowa się w nich zmarłych? Czy zwłoki są składane również na piętrach?

Abeer ociągając się, odpowiedział:

— Zmarli leżą w dolnej części, a na górze są pokoje dla przychodzących tutaj rodzin.

— Czy często przychodzą?

— Przeważnie dwa razy w roku i na całą dobę.

— Czy zmarli leżą w trumnach? — dopytywał Nowicki.

— To unikat. Taki cmentarz arabski można ujrzeć tylko w Egipcie — odrzekł Arab, jakby nie słyszał.

Domyślając się, że Abeer, mahometanin, nie chce z nim dalej o tym rozmawiać, Nowicki dodał pospiesznie:

— My obchodzimy dzień zmarłych w listopadzie. Także odwiedzamy wtedy cmentarze, by oddać cześć swoim zmarłym. Uważam, że wasz zwyczaj dowodzi wielkiego szacunku dla zmarłych krewnych.

— Mahometanie czczą swoich zmarłych — Abeer dał się wciągnąć w rozmowę i opowiadał dalej.

Jak wynikało z jego słów, muzułmanie składali swych zmarłych w podziemnej części grobowca w dwóch pomieszczeniach. Jedno przeznaczone było dla mężczyzn, drugie dla kobiet. Zwłoki owinięte w prześcieradła układa się na ziemi posypanej popiołem. W części nadziemnej grobowca buduje się pokoje dla żyjących członków rodziny, która dwa razy w roku, z okazji małego i dużego ramadanu, przychodzi odwiedzać zmarłych i przebywa z nimi przez cały dzień i noc. Z tego względu zamożniejsi nawet meblują te pokoje, by mieć na czym spać i jeść.

— Obecnie Arabowie już nie budują tak kosztownych grobowców — mówił dalej Abeer. — Zarzucono ten zwyczaj z powodu zubożenia ludności.

Nowicki słuchając wykładu, nadal próbował ponad murem obejrzyć cmentarz. Po chwili szybko rozejrzawszy się wkoło, przywołał swoich towarzyszy:

— Spójrzcie, co jest za tym murem — rzekł podniecony. — Poczekajcie tu na mnie. Gdyby ktoś nadchodził, dajcie mi znać. Wejdę i rozejrzę się trochę! Może znajdę jakiś ślad Harry'ego.

— Arabowie siedzą o tej porze w domu — zauważyła Sally. — Tylko turyści mogą włóczyć się w takim upale.

— To już lepiej wejdźmy wszyscy — zdecydował Smuga.

Abeer nie protestował, choć nieufnie rozglądał się dokoła.

Grobowce były parterowe i pozamykane. Jak wiele domostw mieszkalnych w Suanie i one nie miały dachów. Penetrowali cmentarz w poszukiwaniu jakiejś kryjówki. Wszystkie groby były jednak zamknięte. Nagle odezwał się Abeer:

— Uwaga, tam ktoś siedzi przy grobowcu.

— Grób bardzo oryginalny — zauważył Wilmowski. — Doskonałe urozmaicenie w tej posępnej pustce!

Samotny, starszy mężczyzna z głową owiniętą turbanem, w obszernej galabii w podłużne pasy, nie mógł stanowić zagrożenia. Siedział na progu grobowca. Bujny zarost okalał jego twarz. Grobowiec, przed którym siedział,

przypominał małą kapliczkę z owalnym otworem. Był otwarty! W środku stał katafalk osłonięty czerwonym materiałem.

Abeer podszedł do starego Araba. Pozdrowił go uprzejmie, po czym zapewnił o wielkim uznaniu chrześcijan dla muzułmanów za cześć, jaką okazują zmarłym i poprosił o pozwolenie na dokładne obejrzenie oryginalnego grobowca. Następnie wyciągnął do niego dłoń z bakszyszem. Tamten odmówił gniewnym gestem, porywczo podniósł się i odszedł na bok.

— Możecie obejrzyć grób, ale pospieszcie się — powiedział Abeer.

— I nie wchodźcie do wewnątrz!

Tymczasem po drugiej stronie grobowca zaczęli pojawiać się ludzie. Najpierw tylko dwóch mężczyzn. Ale nim się spostrzegli, już kilkanaście osób, wyrosłych jak spod ziemi, podejrzliwym wzrokiem śledziło każdy ich ruch.

— Coś mi tu zaczyna cuchnąć! — odezwał się po polsku Nowicki.

— Wycofujmy się prędeż!

— Jeszcze tylko chwilę — zaproponowała Sally. — Grobowiec jest otwarty. Tamte pozostałe mają solidne zamki, a tu jest uchylona furtka — rzekła. — Trzeba by wejść do środka. Może to kryjówka...

Nie wydawało się to prawdopodobne, ale powinni sprawdzić.

Abeer zbliżył się do obserwatorów i pozdrowiwszy ich, zaczął rozdawać bakszysze. Brali, nie dziękując ani jednym słowem. Do przodu wysunął się niski, chudy, pochylony staruch w brudnej galabii. Abeer wdał się z nim w rozmowę. Tamten ze zrozumieniem potakiwał głową. Gdy Abeer zapytał, czy w tym grobowcu leży zmarły, starzec wyciągnął rękę i uchylił zasłonę zakrywającą podłużny przedmiot, który wzięli za katafalk. Na ten widok, Arab, który zezwolił na dokładniejsze obejrzenie grobu, podniósł z ziemi duży kamień i ruszył ku nim.

Abeer szybko odszedł, zaczął żegnać rozsierzonego Araba. Jeszcze raz rozdał wszystkim bakszysze. Ręce wolno, jakby z wahaniem wyciągały się po datki, błyszczące ponuro oczy nie wróżyły niczego dobrego.

Nowicki, Sally i Smuga wolno zaczęli wycofywać się w głąb cmentarza, ku wyrwie w ogrodzeniu. Abeer szedł kilka kroków za nimi, a pochylony starzec dreptał obok niego. Gromada Arabów początkowo również szła za nimi, ale stopniowo zaczęła coraz bardziej pozostawać w tyle, aż w końcu zniknęła równie nagle, jak się pojawiła.

Abeer dał starcowi, który cierpliwie im towarzyszył, paczkę papierosów i słodycze. Ten, chowając prezenty pod galabiję, mruknął:

— Jestem tutaj dozorcą, mam klucze do kilku większych grobowców...

Mówiąc to, uchylił galabii, pokazując parę wielkich kluczy z; i tkniętych za sznurem, którym przewiązany był w pasie. Nowicki dał się ponieść emocji. Bez słowa wyciągnął portfel i dwa egipskie funty zmieniły właściciela. Starzec bacznie się rozejrzał, po czym skinął głową, mrucząc:

— Dobrze, wpuszczę was i będę pilnował, żeby tamci nie nadeszli. Byłoby bardzo źle. Musicie się spieszyć!

Mogli wreszcie wejść do wnętrza grobowca! Budowla składała się z kilku izb, których podłogę stanowił wszechobecny piach, a dach zastępowało lazuruwe, roziskrzone niebo. W pierwszych pomieszczeniach były ślady ucztowania żywych ludzi, dość świeże. W ostatnim, największym pogrzebano zmarłych. Pod lewą ścianą mężczyzn, pod prawą kobiety, a w rzędzie pomiędzy nimi dzieci.

Starzec wciąż przynaglał do pośpiechu, ale wpuścił ich jeszcze do trzech innych grobowców. W żadnym nie znaleźli żadnych śladów. Gdy wyszli z ostatniego, położonego tuż obok wyrwy w murze, Smuga podziękował przypadkowemu przewodnikowi, a Sally wręczyła mu jeszcze jakiś drobny upominek. Na pożegnanie Abeer zapytał, jak dawno ktoś odwiedzał zmarłych. Nie odpowiedział, wzruszył tylko ramionami. Tajemnica nie została odkryta.

Obok grobowca, który wzbudził ich największe zainteresowanie, rosła palma daktylowa. Stary Arab zerwał kilka zielonych, podłużnych owoców i wręczył je Smudze.

— Czy są jadalne? — spytał podróżnik.

— Tak! Tak! — potwierdził Arab i gestami zachęcał go, by spróbował.

Smuga rozgryzł owoc. Daktyl nie miał pestki i był dość twardy. Zaczął go więc przeżuwać. Po chwili usta wypełniła mu piana o dziwnym, nieprzyjemnym smaku. Smuga ukrył się szybko za grobowcem i wypluł paskudztwo na ziemię.

— Chodźmy stąd! Chodźmy — ponaglał towarzyszy, mimo że przeszli już przez mur. Po drodze opowiedział o niefortunnym daktylu. Dziaśła i język cierpły mu, usta miał wciąż pełne żółtawej piany.

— Po jakie licho brałeś do ust jakieś paskudztwo rosnące na cmentarzu — zirytował się Nowicki.

— Chodźmy jak najprędzej do hotelu — ponagliła Sally.

Smuga, plując bez przerwy, podszedł do Abeera, który wyprzedził ich o kilkadziesiąt metrów.

— Czy możesz mi powiedzieć, co to jest? — spytał go.

— To odmiana daktyla — odparł Abeer. — Czy ciebie, który tak dobrze znasz Egipt, trzeba ostrzegać?

— Czasem najmądrzejszy robi głupie błędy — odrzekł Smuga. Powiedz mi jeszcze, czy to gatunek jadalny?

— Ach, nie! Wyrzucić to natychmiast! — zawołał Abeer. — Przecież to trucizna.

Przez całą noc i następny dzień czuł się dziwnie, bo jednak połknął nieco spienionej śliny, ale nic mu się nie stało. Drętwość w ustach minęła. Dlaczego arabski starzec zachęcał go do zjedzenia trującego owocu, nigdy się nie dowiedział.

Następnego dnia, jak tylko zrelacjonowali policji ostatnie wydarzenia, wyruszyli do Wadi Halfa. W Asuanie u gościnnej rodziny Jusufa pozostał Patryk, któremu powierzono pieczę nad Dingiem. Z żalem pożegnali także Abeera, uznawszy, że nie ma dostatecznego doświadczenia, aby bez dodatkowego ryzyka znosić trudy tego rodzaju wyprawy.



# ŚLADAMI POSZUKIWACZY ŹRÓDEŁ NILU

Poniżej Asuanu Nil rozlewał się w trzystukilometrowe jezioro. Wpływali na teren Nubii: rozciągającej się od pierwszej do czwartej katarakty krainy o najgorętszym w całej Afryce klimacie. Piasek jej pustyń uchodził wprawdzie za gojący rany, ale szlaki karawan i armii znaczyły gęsto kości zwierząt i ludzi.

Parowiec płynął wzdłuż niskich, piaszczystych brzegów, mijając zalane aż po pióropusze palmy, nubijskie wioski i pozdrawiając przepływające obok, załadowane najróżniejszym towarem feluki, prawdziwe sklepy na wodzie. Z zachwytem oglądali majestatyczne, wzniesione na zachodnim brzegu, świątynie Abu Simbel<sup>1042</sup>.

Wadi Halfa, cel ich podróży, to był już Sudan. Zanim na dworzec wtoczył się żółto–czerwony klimatyzowany pociąg, przypominali sobie swój pierwszy pobyt w Afryce. W przestronnym przedziale odetchnęli z ulgą. Gdyby nie szczelnie zamknięte, oszklone niebieskimi szybami okna wagonu, czuliby się jak w Europie. Dwaj przypadkowi towarzysze podróży, brytyjscy oficerowie, okazali się sympatyczni i urzekająco wprost uprzejmi, zwłaszcza wobec Sally.

Po dwóch godzinach jazdy pociąg przystanął, a Nowicki wyjrzał na zewnątrz. W szczerzej pustce stało kilka stożkowatych, pomalowanych na białą baraków z cegły, zakończonych czarnymi szczytami. W zasięgu wzroku nie było żadnych innych budowli. Ludzie kręcący się przy pociągu wydawali się bardzo sprawni. Szybko uwinęli się z przeładunkiem. Nowickiego zainteresowały bardzo wynoszone z towarowego wagonu pojemniki z jakimś

---

<sup>1042</sup> — Abu Simbel — wysoka, pionowa skała tuż nad brzegiem Nilu w odległości 200 kilometrów na południe od Asuanu. W jej wnętrzu mieści się, wykuta w kamieniu, świątynia Ramzesa II i jego żony Nefertari (XIII wiek p.n.e.). Wejścia strzegą cztery posągi faraona w postaci siedzącej, wysokie na 20 metrów. Świątynia była tak budowana, by wschodzące słońce mogło dosięgać swym blaskiem do najdalszego, najświętszego, pomieszczenia, gdzie siedział na tronie król w otoczeniu bogów. Skała została zatopiona przez wody Jeziora Nasera, sztucznego zbiornika, powstałego na skutek budowy wielkiej tamy. W wyniku międzynarodowej akcji UNESCO, świątynie zostały przeniesione na skałę wyższą o 64 metry i w ten sposób ocalone przed zatopieniem. Tą fascynującą akcją kierował m.in. polski archeolog, egiptolog i historyk sztuki Kazimierz Michałowski (1901–1981).

płynem. Wrócił i podzielił się swoimi spostrzeżeniami z towarzyszami podróży.

— Może to rum jamajka — rzucił podejrzenie głośnym szeptem. Obaj Brytyjczycy wybuchnęli śmiechem, a jeden z nich wyjaśnił:

— Och, nie, to po prostu woda. Co 75 kilometrów na Pustyni Nubijskiej wybudowano takie właśnie stacje. Dopiero szósta dysponuje naturalnym źródłem wody. Tu natomiast wodę dostarcza pociąg.

— Anglicy nieźle to sobie wykoncypowali — pokiwał głową Nowicki.

— Dalsza nasza droga będzie dużo przyjemniejsza. Po przebyciu pustyni, w Abu Hammad, pociąg spotka się z Nilem i mijając piątą, a potem, przed Chartumem, szóstą kataraktę, przez Berber dotrze do kresu podróży — uzupełnił drugi z oficerów.

— Czyli razem będzie to mniej więcej dziewięćset kilometrów — powiedział Smuga.

I tak przełamana została ostatecznie bariera obcości. Obaj Brytyjczycy przedstawili się. Kapitan Thomas Blake i porucznik Aleksander Gordon wracali z urlopu do garnizonu w Chartumie.

Gdy podróżni wymienili swe nazwiska, jeden z oficerów powiedział:

— Przepraszam, ale nazwiska panów brzmią bardzo obco. Niektóre trudno wymówić.

— Ach tak, oczywiście — uśmiechnął się Wilmowski. — Jesteśmy po prostu Polakami.

— Polacy... No, no... Jakież wiatry was tu przygnały? — zdziwił się Gordon.

— Długo trzeba by opowiadać — odparł Smuga.

— No cóż, dla mnie jest to szczególnie miłe spotkanie, ponieważ... w moich żyłach płynie polska krew. Matka urodziła się wprawdzie we Francji, lecz jej ojciec był Polakiem. Po dziadku jestem więc waszym rodakiem!

— No to miło się zaczyna — Nowicki przyjął oświadczenie z pewną rezerwą.

— Skoro już zaczęliśmy, to dodam jeszcze, że interesuję się historią misjonarzy. Nie wiem czy panowie wiecie, że pierwszym wikariuszem apostolskim Afryki Centralnej był właśnie Polak, Maksymilian Ryłło<sup>1043</sup>?

---

<sup>1043</sup> — Ryłło Maksymilian (1802–1848), misjonarz. Po wypędzeniu jezuitów z Rosji w 1820 r. duszpasterz więźniów w Rzymie. Wsławił się tam m.in. pielgrzymką 1300 więźniów, zwolnionych na

— Co pan powie? — Anglik zupełnie zaskoczył Nowickiego.

— Znowu nasi!

— To był dzielny człowiek, ten Ryłło — kontynuował Gordon.

— Wcześniej działał na Bliskim Wschodzie i tak się dał we znaki Turkom, że skazali go na śmierć, a zarządca Egiptu, Ibrahim Pasza, uznał go za osobistego wroga i wyznaczył cenę za jego głowę.

— I Ryłło, wiedząc o tym, przybył do Egiptu?

— To przecież tak bardzo polskie — uśmiechnął się Gordon.

— Poprosił o audiencję u Ibrahima i zaczął ją słowami: „*Znam wielkość twojej duszy, przychodzę więc dobrowolnie*”. Wywarło to tak wielkie wrażenie, że władca wydał zgodę na wyjazd ekspedycji do Chartumu.

— Wędrowało się wtedy nieco trudniej niż dziś — dodał Wilmowski.

— O wiele trudniej. Podróż łodzią i na wielbłądach trwała pięć miesięcy. Ryłło dotarł do Chartumu, ale tam zmarł z wyczerpania w lutym 1848 roku.

— Zna pan bardzo dokładnie jego życiorys — zdziwił się Wilmowski.

— Tak, bo od wielu lat przebywam w Chartumie i odwiedzałem jego grób wielokrotnie. Ryłło został bowiem pochowany w ogrodach stacji misyjnej<sup>1044</sup>.

— To z pewnością misjonarz, który tworzył historię tych ziem — rzekł Wilmowski.

— Szkoda więc, że nam tak nie znany — uprzejmie dodał Smuga. Polakom niełatwo było ukryć wzruszenie. Chyba już zawsze, kiedy przyjdzie im słuchać lub mówić o Polakach, rozsianych na różnych kontynentach, oczyma duszy ujrzą Tomka, z całą tą żarliwością, z jaką chłonał informacje. Usłyszą jego głos i zatęsknią za komentarzem, którym tak często ich zaskakiwał.

By nie poddać się przygnębieniu, z wdzięcznością przyjęli zaproszenie Blake’a do wagonu restauracyjnego.

— To i wagon restauracyjny jest w tym pociągu? — nie chciał uwierzyć No wieki.

---

przepustkę za jego poręczeniem, do tzw. św. schodów. Później pracował w Bejrucie, gdzie założył chrześcijańskie kolegium dla Azji. W 1846 r. mianowany wikariuszem apostolskim dla Afryki Centralnej, podjął wyprawę w głąb Afryki. Umarł w Chartumie i tam został pochowany.

<sup>1044</sup> — Ryłło został pochowany w ogrodzie misyjnym w Chartumie, skąd w 1900 r. zwłoki przewieziono do grobowca zakonnego na cmentarzu Matarich pod Kairem.

— Ho, ho! I to jaki! — rzekł Gordon i pochylił się ku marynarzowi, szepecząc mu na ucho:

— Mają tam z pewnością rum!

— W to mi graj! — odparł No wieki.

Obfita, składająca się z siedmiu dań kolacja podana była elegancko na stolikach pokrytych białymi obrusami. Obsługiwał, z niezwykłą wprost grzecznością, czarny kelner w oryginalnym uniformie. W centrum Afryki poczuli się tak jakby znaleźli się w najnowocześniejszej, paryskiej restauracji.

\* \* \*

Jednostajnie mijały godziny: pora snu, posiłki i jako główne urozmaicenie — rozmowy. Gdyby byli sami, zapewne obsesyjnie tkwiliby wciąż w kręgu sprawy „faraona”. Obecność Brytyjczyków pozwalała im się oderwać i zapomnieć. Usprawiedliwiała wręcz to zapomnienie.

Tematów jakoś nigdy nie brakowało. W jednej z rozmów za sprawą Smugi nawiązali do bardzo krwawych wydarzeń, które miały miejsce w Sudanie. Smuga, od początku zaintrygowany nazwiskiem jednego z oficerów uznał bowiem, że przyszedł moment, w którym można sobie pozwolić na osobiste pytanie:

— Przepraszam za niedyskrecję, ale... czy jest pan krewnym „tego” Gordona?

— Nie. Nic nie mam z nim wspólnego — uśmiechnął się oficer. — No, może poza tym, że czasem korzystam z wrażenia, jakie wywiera to nazwisko — dodał żartobliwie. — Zwłaszcza kiedy się przedstawiam, a ono wyraźnie budzi respekt.

— O kim mowa? — spytał, budząc się z drzemki Nowicki.

— Może zacznijmy od początku — powiedział Blake. — Otóż w 1819 roku Muhammad Ali podbił Sudan i zapanowały tu przekupne i okrutne rządy egipskie.

— Odwieczna historia. Jedni podbijają, inni walczą o wolność westchnął Wilmowski.

— Tak było i tutaj. W 1881 roku błyskotliwy fanatyk, Muhammad Ahmed wezwał do świętej wojny przeciw Egipcjanom i Brytyjczykom. Ogłosił, że jest potomkiem samego Mahometa, zesłanym przez niego mesjaszem, czyli mahdim. Pod tym pseudonimem, właśnie jako Mahdi,

wszedł do historii. Utworzył armię derwiszów<sup>1045</sup> i na ich czele zbliżył się do Chartumu, rabując i mordując po drodze. Egipcjanie wezwali na pomoc Brytyjczyków. Po wielu wahaniach posłano wreszcie generała Charlesa Georga Gordona, by pomógł bezpiecznie wyjść Egipcjanom z Chartumu. Wkrótce miasto, a w nim i Gordon, zostało otoczone przez wojska rebeliantów. O zamiarze ataku na miasto uprzedził go sam Mahdi, pisząc w liście w charakterystyczny dla siebie sposób: „*Zlitowałem się nad niektórymi moimi ludźmi. Pozwolę im umrzeć, aby mogli dostąpić raju*”. Po długim oblężeniu miasto padło, Gordon zginął na stopniach pałacu gubernatorskiego przebity włóczniami, a jego uciętą głowę obnoszono triumfalnie po mieście.

— Lepiej wejść do historii jak nasz Ryłło, niż tak jak ten Mahdi... — Nowicki nie mógł się powstrzymać od komentarza.

— Na ironię zakrawa fakt — kontynuował Blake — że Gordon zginął w momencie, gdy odsiecz była o trzy dni od miasta. Sam zaś Mahdi zmarł kilka miesięcy później, w tym samym, 1885 roku, jako 37-letni mężczyzna.

— No to Brytyjczycy pozwolili sobie w kaszę podmuchać — znowu wszedł mu w słowo Nowicki.

Blake, obdarzony na szczęście poczuciem humoru, roześmiał się.

— Nie tak szybko, mój panie. Powoli, powoli. Śmierć Gordona odbiła się szerokim echem w Europie, a w Anglii wywołała szok. Następcą Mahdiego został Abdullah, zwany kalifem, czyli namiestnikiem. Wojna trwała jeszcze 13 lat i dopiero w 1898 roku generał Horatio Kitchener rozgromił buntowników ostatecznie w bitwie pod Ordurmanem, miasteczkiem leżącym naprzeciw Chartumu. Padło tam kilka tysięcy<sup>1046</sup> derwiszów, podczas gdy sprzymierzone wojska egipsko-angielskie straciły zaledwie 48 żołnierzy.

— Ilu? — nie uwierzył Nowicki.

— Czterdziestu ośmiu! — powtórzył Blake. — Stało się to w Wielki Piątek 1898 roku. Wojsko Kitchnera zaatakowało najpierw ogniem artylerii, a potem przy dźwiękach kobz, fletów, bębnów i trąb ruszyła piechota i konnica.

— Ależ musiały być jatki — skrzywił się Nowicki. — I jeszcze sobie przygrywali... — Mówił po polsku, więc obaj oficerowie nie zrozumieli. A Smuga, aby uniknąć pytania, szybko odpowiedział:

— I tak Sudan stał się kondominium brytyjsko-egipskim.

---

<sup>1045</sup> — Derwisz — żebrzący mnich muzułmański. Anglicy nazywali tak żołnierzy Mahdiego.

<sup>1046</sup> — W źródłach podaje się od dwóch do dziesięciu tysięcy zabitych madystów.

— W zasadzie rządzą tu jednak Brytyjczycy — zakończył opowiadanie Blake. — Naczelnym gubernatorem Sudanu był lord Kitchener, a obecnie jest nim Reginald Wingate<sup>1047</sup>.

\* \* \*

Pociąg brnął przez ponurą Pustynię Nubijską, pozbawioną roślinności, niemal bezludną, zatrzymując się na kolejnych stacjach. Przed Abu Hammad przeżyli niespodziewaną przygodę. Oto nagle, gdy pociąg zwolnił, zza pustynnych skał wyłonił się na zgrabnym, szarej maści koniu, uzbrojony w ciężką dzidę jeździec. Ubrany był w lekką, starą kolczugę i białe spodnie. Głowę okrywał mu biały zawój, kontrastujący z czarną twarzą. Siedział swobodnie w niewielkim, zgrabnym, przykrytym derką siodle, bosa stopy opadały luźno wzdłuż boków konia. Pędził, mijając pociąg, zawracając i znowu galopując, jakby chciał udowodnić, że w zawodach z techniką, górą jest natura. Wykrzykiwał coś przy tym, groźnie machając bronią. Nagle gwałtownie spał konia i zniknął między skałami.

— Cóż to za demonstracja? — zwrócił się do Brytyjczyków Wilmowski.

— Trzeba przyznać, że jeździec jest znakomity — dodał Nowicki. Nie zdążyli usłyszeć odpowiedzi. Nagle zza pagórków wyłonił się konny oddział czarnych jeźdźców. Zbliżali się do pociągu, krzycząc coś i strzelając w powietrze. Wzrok Nowickiego spoczął na karabinie, leżącym na półce, a ręka niemal bezwiednie powędrowała do kieszeni. Wilmowski również wyglądał na zaniepokojonego. Smuga uśmiechał się zagadkowo, a obaj oficerowie spokojnie wymieniali jakieś uwagi.

— Co oni zamierzają? — zawołał Nowicki.

— Bez paniki, Tadku, panowie zaraz to wyjaśnią — odpowiedział Smuga.

— To tylko pokaz jeźdźców pustyni, Sza'ikijczyków — rzekł Blake.

— Za chwilę pojawią się na stacji w Abu Hammad i zbiorą zasłużony bakszysz.

— A to dopiero — westchnął Nowicki, wyjmując z kieszeni portfel zamiast rewolweru.

— Lepiej nie dawać im pieniędzy, bo i po co? — poradził Gordon.

---

<sup>1047</sup> — Wingate był gubernatorem Sudanu do 1916 r.

— Zadowolą się papierosami, żywnością... Najchętniej zresztą wezmą proch lub śrut.

Rzeczywiście, jeźdźcy czekali na stacji. Ustawili się karnie w szeregu, krótko trzymając parskające, parujące konie. Nie był to bynajmniej koniec popisu. Przed szereg wyjechał ów pierwszy. Na końcu peronu ustawiono tarczę wielkości dobrze zbudowanego człowieka. Sza'ikijczyk wolno posuwał się wzdłuż pociągu. Koń szedł to prosto, to bokiem, wolniej, szybciej... Stawał w miejscu, zawracał, tańczył... Jego pan kierował nim głosem i lekkimi ruchami nóg, choć w każdym ze strzemion tkwił tylko jeden, duży palec. Pasażerowie patrzyli urzeczeni. Wreszcie jeździec dojechał do końca peronu i nagle zawrócił galopem. W jego ręku ni stąd ni zowąd pojawiło się cztery czy pięć lanc. Rzucone niemal jednocześnie, a jednak kolejno, wszystkie utkwily w tarczy. Rozległy się gromkie brawa. Jeździec przejechał jeszcze raz wzdłuż wagonów, jakby dziękując za uznanie. Dwu innych zsiadło z koni i zbierało podarunki.

— Sza'ikijczycy uchodzą za rabusiów i łupieżców. Są narodem wojowników, gardzących rolnictwem i handlem — opowiadał Blake, gdy wrócili do pociągu. — W czasie wojny z Mahdim stanęli po stronie Brytyjczyków, stąd znam niektórych z nich, zwłaszcza tych starszych. Są honorowi i bardzo gościnni. Zdarzyło mi się raz, kiedy zapuściłem się samotnie w pustynię, że napadli mnie i doszczętnie obrabowali. Gdy dojechałem do pobliskiej wioski, gdzie miałem znajomych, niemal natychmiast zwrócono mi moją własność. Gość i przyjaciel są dla nich osobami świętymi, nietykalnymi.

— Czy zauważyli panowie regularne blizny na twarzy najśmielszego z jeźdźców? — spytał Gordon.

— Oczywiście! Czy one coś oznaczają?

— U niektórych plemion z pustyni górnego Egiptu i południowego Sudanu zaznacza się w ten sposób przynależność do znakomitego rodu — wyjaśnił Blake.

\* \* \*

Pociąg jechał teraz niemal wzdłuż Nilu. Krajobraz wyraźnie się zmienił. W okolicy Barberu, gdzie do Nilu wpada Atbara<sup>1048</sup> wśród grup palm daktylowych pojawiały się coraz częściej sykomory i akacje. Wjeżdżali w sahel<sup>1049</sup>, teren przejściowy między pustynią a sawanną. Powierzchnia porośnięta była zielonymi przy brzegu, a dalej żółtymi, niskimi trawami oraz kolczastymi krzewami, spletanymi ze ścielącą się po ziemi byliną, która rozkwitała właśnie dużymi różowoczerwonymi kwiatami. Ten widok towarzyszył im już do samego Chartumu.

Rozmawiali teraz coraz częściej o trudzie życia mieszkających tu ludzi.

— Wszystko rozumiem — podsumował jedną z dyskusji Nowicki. — Ale jak oni radzą sobie z taką małą ilością wody... Ani się napić do syta, ani umyć, ani uprać...

— Radzą sobie doskonale — odparł Blake. — Jeśli wyjrzy pan przez okno, to między akacjami dostarczającymi arabskiej gumy<sup>1050</sup>, zauważy pan krzew, uzbrojony w kolce o skórzastych liściach i jadalnych, podobnych do daktyli, owocach. Otóż nasion tej rośliny używa się tu do prania zamiast mydła.

— Niedaleko stąd, w Kordofanie, spotyka się tak zwane wodne melony, których sok doskonale gasi pragnienie i służy za przyprawę do potraw. Soczyste łupiny owoców nadają się na pokarm dla kóz i wielbłądów — dodał Gordon.

— Popatrzcie — przerwał im nagle Smuga. — Gazele!<sup>1051</sup>

Spojrzeli przez okno. Przestraszone przez pociąg, umykały najpierw równoległe do niego, a potem uskoczyły w bok.

— To dorkas — dodał Gordon. — Bardzo wytrzymałe na upał. W porze chłodnej wytrwają bez wody aż dwanaście dni, w gorącej cztery. Jeszcze

<sup>1048</sup> — Atba:a — pierwszy dopływ Nilu (prawy), jeśli patrzeć od Morza Śródziemnego, a ostatni — od źródeł.

<sup>1049</sup> — Sahel — z arabska: skraj, brzeg.

<sup>1050</sup> — *Acacia verec* (seyal) i *Acacia ferriginea* — śluz wydzielany przez te rośliny twardnieje na słońcu, łatwo rozpuszcza się w wodzie, służy do wyrobu klejów, farb artystycznych i leków jako tzw. środek osłaniający. Zbiera się po porze deszczowej.

<sup>1051</sup> — Gazele — nazwa nadawana grupie gatunków z rodziny krętorogich, należących do antylop. Gazele różnią się od nich niewielkimi rozmiarami i budową ciała. Przystosowane są do szybkiego biegu. Addaks lub adaks (*Addaks nasomaculatus*), dorkas (*Gazeta dorcas*), oryks (*Oryx gazella*) — gatunki gazeli zamieszkujące m.in. Sudan.



bardziej wytrzymałe są oryksy. Gdy jest trochę zieleni, z powodzeniem mogą nie pić przez miesiąc.

— Są zatem bardziej wytrzymałe od wielbłąda! — powiedział Wilmowski. Nowicki zaś zwrócił się wprost do Gordona:

— Doskonale orientuje się pan w faunie sahelu — ni to stwierdził, ni zapytał.

— Owszem! — odparł Gordon. — Kiedyś dużo polowałem. Można tu oprócz antylop dorkas i oryks, spotkać jeszcze także odporne na niedostatek wody addaksy oraz całą masę gryzoni, zajęcy, susłów, myszy, chomików.

Poznawanie przyrody i zwierząt różnych krajów było nie tylko pracą grupki podróżników, ale także ich wielką przyjemnością. Dostrzegli, że także pod tym względem znaleźli w osobie Gordona prawdziwie bratnią duszę. Pomyśleli, jak bardzo Tomek ucieszyłby się takim zbiegiem okoliczności. Po tej rozmowie zamilkli nagle, bo dotknęła znowu rany zbyt świeżej, by zdążyła się zabiżnić. Obaj oficerowie angielscy zdawali się nie zwracać na to uwagi. Gordon jednak przy pierwszej okazji, kiedy opuścili przedział, zapytał Nowickiego:

— Przepraszam za niedyskrecję, ale... jakoś tak nagle wszyscy panowie posmutnieli. A młoda pani Wilmowska sprawia wrażenie jakby przeżywała coś bardzo dramatycznego?

— Cóż, chyba nie da się tego ukryć. Niedawno wszyscy straciliśmy przyjaciela. Pan Wilmowski zaś syna, a Sally męża — z prostotą odpowiedział Nowicki.

— Mój Boże — szepnął Gordon. — Jeszcze raz przepraszam.

— Nie ma w tym żadnej tajemnicy, chociaż przyznaję, że niełatwo o tym mówić.

— Czyżby to był wypadek?

— Nie ma czego ukrywać — zdecydowanie powtórzył Nowicki i kiedy wkrótce dołączył do nich Blake, opowiedział wszystko obu oficerom.

— Wstrząsająca historia — Blake był wyraźnie poruszony.

— Ścigacie zbrodniarza, który może ukrywać się gdzieś w pobliżu Jeziora Alberta? — Gordon chciał znać konkrety.

— Tam prowadzi trop — odrzekł krótko Nowicki.

— W Chartumie spróbujemy się czegoś dowiedzieć, pomóc. Stanowcza obietnica Gordona zakończyła tę trudną rozmowę.

\* \* \*

U zbiegu Nilu Błękitnego z Białym Egipcjanie założyli w 1823 roku miasto Chartum. Zrujnowane przez derwiszów Mahdiego, odbudował w 1899 roku, a w następnych latach rozbudował, Kitchner. Długie, poprzecinane licznymi przecznicami, pochyłe ulice noszą przeważnie angielskie nazwy, ale spotyka się też tabliczki z nazwami arabskimi, greckimi, a często we wszystkich trzech językach jednocześnie. Na zachodnim brzegu Nilu, niczym przeciwwaga dla europejskiego w swym charakterze Chartumu, leży arabski Omdurman.

Grupa Polaków na krótko zatrzymała się w Chartumie, głównie ze względu na ekwipunek niezbędny do wyruszenia w głąb kraju. Szczupły zasób finansowych środków i tak już nadszarpnięty przez pobyt w Egipcie sprawił, że propozycja zakwaterowania, bardzo zresztą skromnego, w angielskich koszarach, została z wdzięcznością przyjęta. W dwa dni po przyjeździe, do skromnego pokoju, gdzie kwaterowali nasi przyjaciele, wpadł jak burza Gordon.

— Moi panowie! Moi panowie! — wołał entuzjastycznie. — Jadę z wami! Jadę z wami nad Jezioro Alberta!

— To ci niespodzianka — uradował się Nowicki.

— Kilka miesięcy temu otrzymaliśmy sygnał, że dzieje się w tamtym rejonie coś dziwnego. Potem przyszły inne, bardziej szczegółowe, ale i chaotyczne wiadomości. Mówi się o przemyśle, rabunku na bardzo dużą skalę. Niedawno w dżungli napadnięto na misjonarza. Ktoś także twierdzi, że organizuje się tam grupa handlarzy niewolników. To oczywiście przypuszczenia, ale gdy mój dowódca dowiedział się o panów wyprawie, polecił, by wam towarzyszyć i potraktować to jak rekonesans.

— Kiedy zatem ruszamy? — rzeczowo spytał Smuga.

— Jeśli jesteście panowie gotowi, to choćby jutro.

— Chętnie! Mamy już potrzebny ekwipunek.

Gordon natychmiast przeszedł do omawiania konkretów:

— Tragarzy wynajmiemy w Rejaf lub Dżuba. Co prawda linia kolejowa z Chartumu do oazy EFObejd w Kordofanie nie została jeszcze wprawdzie oddana do użytku<sup>1052</sup>, ale możemy dojechać pociągiem towarowym najdalej

---

<sup>1052</sup> — Linie tę otworzył lord Kitchener 27 lutego 1912 r.

jak się da, a w Kostii wsiąść na statek, o ile tylko uda się nam go dogonić. Proszę się nie martwić o transport. To biorę na siebie. Pomogą nasi ludzie.

Pomoc przychodziła w najmniej oczekiwanym momencie. Dzięki niej wszystko mogło okazać się łatwiejsze niż przewidywali. Może to przełamanie złą passę? Czuli się pokrzepieni i pełni energii. Nie na długo. Byli spakowani, kiedy spadło na nich kolejne nieszczęście. Gwałtowny atak malarii powalił Sally. Sprowadzony przez Gordona lekarz orzekł, że w jej wypadku żadna podróż nie jest możliwa.

Mieli więc wyruszyć w przygnębieniu, z nowym niepokojem w sercu. Choć przecież zostawiali Sally w koszarowym szpitalu, pod fachowym okiem lekarzy i przyjazną opieką żony dowódcy placówki, którą specjalnie o to prosił Wilmowski. A jednak zostawiali ją samą.

Pociąg towarowy włókł się niemiłosiernie przez pustkowie Kordofanu. Miał jednak tę wielką zaletę, że chronił przed deszczem. Od marca bowiem aż do października trwała tu pora dżdżysta. Deszcz lał często i ulewnie. Nieraz towarzyszyły mu burze. Jedna z nich omal nie doprowadziła do katastrofy.

Około południa, gdy słońce sięgało zenitu, po wschodniej stronie nieba wzniosła się powoli czarna ściana chmur. Ich brzeg wkrótce zabarwił się bladoczerwono, choć słońce żółtym światłem próbowało rozproszyć zapadający nagle zmrok. Zerwał się gwałtowny wicher, który z mocą uderzył w pociąg. Wagony zaczęły się kołysać, przedmioty przesuwać z miejsca na miejsce, niczym na statku przy sztormowej pogodzie. Potężny wiatr łamał drzewa jak zapalki, co dostrzegli w świetle błyskawic, obejmujących w posiadanie całe niebo. Przerażającym grzmotom towarzyszyło wycie wiatru, który niósł ze sobą masy czerwonego piasku, wdzierającego się do wnętrza pociągu. Gdyby pociąg nie zatrzymał się w pierwszej napotkanej kotlinie, potężne uderzenia wichury przewróciłyby go po prostu jak papierowe pudełko. Wkrótce całą ścianą lunął deszcz, a kiedy ustał, niemal natychmiast zapanowała prześliczna, tropikalna pogoda.

— Co to było? — spytał Nowicki, otrzepując się z czerwonego pyłu.

— Tornado<sup>1053</sup> — krótko odparł Gordon.

---

<sup>1053</sup> — Tornado — powstaje na skutek zderzenia wiatru zwanego hammatan, wiejącego od północy, i monsunu wiejącego z południa. Na pograniczu obu wiatrów wywołują się straszliwe burze, zwane tornadami.

Wraz ze zmianą pogody pojawiły się ptaki. Obszar między Chartumem a Kosti okazał się bowiem prawdziwym ptasim królestwem.

— Miejsce to upodobali sobie, zwłaszcza w porze zimowej, goście z północy — objaśniał Gordon. — Spotyka się tu wtedy jaskółki, pelikany, derkacze, północne żurawie i bociany, które mieszają się z gospodarzami we wspaniałej mozaice świergotu i barw.

W Kosti dogonili parostatek, wędrujący w górę rzeki. Nil rozlewał się tu tak szeroko, że czasami nie było widać drugiego brzegu. Jedyne urozmaicenie równinnego terenu stanowiły rzadko rosnące drzewa i łyse pagórki. Całym bogactwem zieleni kuśiła oczy tylko strefa przybrzeżna. Od czasu do czasu widzieli tam hipopotamy i coraz więcej krokodyli. Niepodzielnie panowało jednak rzeczywiście ptactwo. Prawdziwy raj dla myśliwych. Polowali więc dla urozmaicenia posiłków.

Gordon odnosił się do towarzyszy podróży z rosnącym szacunkiem. Imponował mu zwłaszcza Smuga, bardzo opanowany, znakomity strzelec. Nieco kłopotu przysparzał niekiedy Nowicki, który zwykł działać trochę za szybko. Kiedyś ustrzelił kilka kaczek i zamierzał je zabrać, gdy wtem, jak spod ziemi, wyrosło przed nim kilku czarnych, długonogich dzikusów, uzbrojonych w prymitywne, długie dzidy. Grożąc nimi marynarzowi, zabrali upolowane ptaki i zamierzali odejść. Nowicki zarepetował na to karabin i wystrzelił w górę. Tamci przycupnęli, ale bynajmniej nie zamierzali oddać kaczek.

— Do stu zdechłych... krokodyli — zaklął marynarz. — Chudziaczki, oddajcie po dobremu, bo...

I znowu repetując broń, zbliżył się do Murzynów.

— Zaczekać! Zaczekać! — dobiegł go nagle głos Gordona.

— Dzięki Bogu! Uniknęliśmy nieszczęścia! — powiedział Brytyjczyk, wręczając czarnym przyniesione koraliki. Ci chętnie oddali kaczki i obie grupy rozeszły się, każda w swoją stronę.

— O co im chodziło? — pytał, nadal zdziwiony i zaskoczony, Nowicki.

— Tereny nadrzeczne, ze wszystkim, co na nich spoczywa, należą do poszczególnych osób — wyjaśnił Gordon.

— Tak, ale ustrzeliłem te kaczki w powietrzu — marynarz nie dawał się łatwo przekonać.

— Niewątpliwie — odrzekł Gordon. — I wówczas były niczyje. Ale podniósł je pan z ziemi, należącej do tych czarnych gentlemanów.

— Niech mnie kule biją, niczego sobie obyczaje — westchnął marynarz. — Wobec tego, jeśli ukradnę krowę sąsiada i będę ją pasł na moim polu, to ona będzie jego czy moja?

— Na każdym kroku spotykamy się w Afryce z takimi problemami — odpowiedział na to Gordon. — To byli ludzie z plemienia Dinka. Zamieszkują wschodnią stronę rzeki i na okolicznych równinach hodują bydło i otaczają je czymś w rodzaju kultu. Mężczyźni mają swoje ulubione krowy, chłopcy przeglądają się w kałużach, by znaleźć sposób na upodobnienie się do tych zwierząt. Cenę żony przelicza się także na sztuki bydła...

Nowicki nie mógł powstrzymać śmiechu i po swojemu skwitował rzecz dowcipem:

— Niejeden chętnie zamieniłby żonę na, przepraszam, pocziwą krowinę. Mniej gada, a ile daje mleka!

Gordon roześmiał się także i kontynuował:

— Narzeczona kosztuje czasem dziesięć i więcej krów. Kobiety są więc w cenie. Nie mogą jednak, jako nieczyste, zajmować się bydłem, przeto pracują na roli. A co do pańskiego żartu, to powiedziałbym, że tu lepiej ukraść komuś żonę niż krowę. Kobietę można bowiem kupić za bydło, a kradzież krowy może wywołać wojnę...

— Chroń mnie, Panie Boże, przed takimi konsekwencjami. Chyba już lepiej nie będę porywał w tym kraju ani kobiet, ani krów — odrzekł marynarz. — Wiem, że w Indiach istnieje kult krowy. O mało nie zostałem pobity, gdy chciałem kopniakiem potraktować bydlę, które rozłożyło się na środku drogi, ale tutaj...

— Wkrótce zbliżymy się do siedzib Szylluków po zachodniej stronie Nilu. Ci czczą krowę, wierząc, że urodziła wszystkich ludzi i zwierzęta. Nigdy nie zabijają krów, chyba tylko chore albo z okazji jakiegoś święta. Bydło stanowi dla tych ludzi warunek istnienia, nic więc dziwnego, że gdy zapanuje zaraza, w serce wkrada się rozpacz.

Na takich rozmowach upływał czas podróży. Mijali często wsie Dinków z kopulastymi, przypominającymi ule chałupkami. Zdumienie budzili wysocy, chudzi jak szczapy pasterze, stojący przeważnie nieruchomo, jak bociany, na jednej nodze, podparci dzidą, nieodłącznym elementem stroju. Godzinami

potrafili czuwać tak nad stadem, wieczorami rozpalając ognisko z krowiego łajna, by odstraszyć drapieżniki i jeszcze bardziej dające się we znaki moskity.

Powoli zbliżali się do Faszody. Prawie całkowicie zniknęły palmy daktylowe, a coraz liczniej pojawiały się baobaby<sup>1054</sup>, rozciągające nad sawanną swe ogromne, rozłożyste parasole. Tuż przed Faszodą utknęli na mieliźnie. Noc była dość mglista, chociaż księżyc prześwitywał przez warstwę chmur. Nagle z otaczającego sitowia wyłoniły się ciężkie łodzie z ludźmi, wysmarowanymi kolorowymi farbami.

— To Dinka w barwach wojennych — krzyknął Gordon.

Chwycili za broń. Ostrzegawcza salwa nie powstrzymała napastników. Wielu pasażerów wcześniej udało się na spoczynek i teraz dopiero, obudzeni krzykami i strzałami, wybiegli na pokład. Łodzie podpłynęły tymczasem zupełnie blisko i wszyscy poczuli uderzenia dzid w burtę stateczku. Zaczęto pospiesznie przygotowywać obronę, gdy nagle, z przeciwnej strony usłyszeli nowe, bojowe okrzyki. Z przerażeniem ujrzeni nową flotyllę łodzi.

— Następna salwa, do nich! — ryknął Nowicki, biorąc na cel rosłego Murzyna w pierwszej łodzi.

— Stójcie! Nie strzelać! — zawołał Gordon. — To Szyllukowie, wrogowie tamtych. Trafiliśmy na wojnę plemion.

— Pewnie o krowy — roześmiał się już znowu uspokojony Nowicki. Rzeczywiście, Dinkowie ujrawszy nieprzyjaciół, wyminęli statek i rozpoczęła się walka. Wkrótce będący w mniejszości Szyllukowie ratowali się ucieczką, a przeciwnicy pognali za nimi. Podróżni odetchnęli, ale do rana nie zmrużyli oka.

O wschodzie słońca, gdy zabierali się do ściągnięcia statku z mielizny, ujrzeni Dinków i Szylluków wracających w najlepszej komitywie.

— Pogodzili się! Teraz wspólnie napadną na nas — powiedział kapitan.

Flotylla łodzi ruszyła ku stateczkowi, ale tym razem ostrzegawcza salwa ostudziła bojowy zapal. Wraz ze światłem dnia bojowy duch nieco osłabł. Mogły rozpocząć się pertraktacje. Kapitan statku aiprosił na pokład obu wodzów. Pojawili się, dumni i godni, uzbrojeni w tarcze i dzidy.

---

<sup>1054</sup> — Zastąpienie charakterystycznych dla klimatu suchego, pustynnego, palm daktylowych przez baobaby oznacza zmianę klimatu na wilgotniejszy. Jest to równocześnie naturalna granica między sahelem a sawanną.

— Co on ma na głowie? — No wieki szeptem spytał Gordon a, wskazując wodza SzyHuków. — Wygląda jakby okradł cesarza Napoleona.

— Albo ubrał kozacką czapkę — dodał stojący obok Smuga.

— To tylko fryzura — uśmiechnął się Gordon. — Pielęgowana przez całe lata...

Kręcone włosy Murzyna przechodziły ku górze w przedziwną szopę, do złudzenia przypominającą monstrualny kapelusz czy hełm.

Do ugody doszło dość szybko. Obaj wodzowie dostali po woreczku szklanych paciorków, a w zamian ich ludzie pomogli ściągać statek z mielizny.

Jeszcze tego samego dnia minęli Faszodę, a następną noc spędzili w Malakal, osadzie konwojujących ich Szylluków. Rzeka skręcała tu na zachód, wchodząc w najtrudniejszy do żeglugi odcinek. Powietrze stawało się coraz wilgotniejsze, brzegi coraz bardziej zielone. Nil zakręcał znowu na południe tuż za wpływającą doń rzeką As–Saubat, która bierze swój początek w górach Abisynii i jeziorze Nau<sup>1055</sup>. Po czym wchodził w As–Sudd<sup>1056</sup>, prawie czterystukilometrowy, bagnisty teren, raj dla zwierząt, ale nie dla ludzi. Zamieszkane tu były jedynie niektóre maleńkie wysepki.

— W nikomu nie znanych zakątkach jeszcze żyją ludożercy Niam–Niam, gardzący „*ludźmi jak kije*”, czyli tymi, którzy żywią się prosem i mlekiem. Dinkowie z kolei nazywają tamtych z pogardą „*żarłokami*” — opowiadał Gordon.

— Z tymi ludożercami nie można sobie poradzić? — spytał Nowicki.

— Niech pan spróbuje — roześmiał się Gordon. — Tereny te są niemal nie do przebycia. Bagna, cuchnące zgnilizną powietrze... Kto może to przeżyć...?

i Kilkanaście następnych dni trwała piekielnie męcząca droga. Przedzierali się zakrętami, bocznymi kanałami, przesmykami przez porośnięty zwałami roślin, traw i mchów Nil Górski. Wody rzeki rozlewały MV na szerokość dwudziestu pięciu kilometrów, ale główny nurt mierzył czasami zaledwie sześć metrów od brzegu do brzegu. Spotykali .lady zatopionych w bagnie zwierząt, uduszone ryby, hipopotamy, krokodyle. Gordon zwrócił

---

<sup>1055</sup> — Jezioro Nau (No) stanowi najbardziej na zachód wysuniętą część Nilu (podobnie jak III katarakta).

<sup>1056</sup> — Nil stał się żeglowny w tej części od 1900 r. dzięki angielskim żołnierzom i misjonarzom.

uwagę na papirusy, wyrastające do sześciu metrów wysokości, tworzące małe, ciemnozielone kępy, wyglądające jak miniaturowe lasy.

Żegluga wymagała wielkiego mistrzostwa. Parowiec lawirował wśród lagun, mielizn, wysp i bagien, prowadzony pewną ręką przez pilota z plemienia Dongolla, który wsiadł na statek w małej przystani za Faszodą.

Po pomyślnej podróży, minąwszy Lado, Gondokoro i Dżubę, wysiedli w pierwszych dniach czerwca w Rejaf na wschodnim brzegu Nilu. Port, malowniczo położony u stóp ogromnej, granitowej skały, kończył żeglugę po Nilu. Stąd rozpoczynała się piesza wędrówka. Jej organizacją zajęli się wspólnie Smuga i zaprzyjaźniony Gordon. A nie były to łatwe przygotowania. Wyruszyli w głąb Czarnej Afryki, gdzie czekały na nich niebezpieczeństwa trudne do przewidzenia.



## W MURZYŃSKIEJ WIOSCE

Wódz Kisumu wyszedł na próg mieszkalnej chaty. Popatrzył na zachmurzone niebo, pomyślał o deszczu i podziękował bogom za ich dar. Wspominał lata suszy, gdy zdychało bydło, gdy nawet specjalnie zamawiani zaklinacze nie zdołali przekonać niebios. Zadowolony skinął na jedną ze swych żon. Wszyscy przebywający w ogrodzeniu mężczyźni wyszli teraz na zewnątrz. Kobiety zaś przykryły szczelnie głowy. Najmłodsza i najbardziej ulubiona z jego żon, Agoa, podała mu garniec z porannego udoju i odwróciła się. Nikt nie może oglądać wodza pijącego rankiem mleko, bo sprowadziłby na wioskę nieszczęście. Po spełnieniu rytualnego obowiązku Kisumu wyjął tytoń z uszytego ze skóry małego gryzonia kapciucha i zapalił swą długą fajkę. Lubił ten kapciuch, zrobiony przez Awtoniego, jednego z jego synów.

Był odprężony i w dobrym nastroju, kiedy usłyszał tam–tamy<sup>1057</sup>. Wyszedł na górę i z przejęciem słuchał dziwnych wieści. Przypomniały mu dzieciństwo: rzeź, pożogę, krzyki i łkania... Pamiętał swój strach, gdy po powrocie z buszu nie zastał matki, a ojciec usiadł na zgliszcach chaty i milczał przez cały dzień i całą noc, dopóki syn nie zaczął płakać z głodu.

— „*Strzeżcie się ludy*” — wołały bębny. — „*Zły człowiek w puszczy. Pali. Morduje. Porywa*”.

Kisumu wiedział, że nie zdoła obronić wioski.

Spojrzał na nią z miejsca, gdzie siedział. Kilkanaście okrągłych chat z drzewa i trzciny, rozrzuconych na polanie u zejścia do jeziora.

Niewielu tu mężczyzn, zwłaszcza wojowników. Jak w każdym plemienu hodowców bydła o wiele więcej jest kobiet i całe mnóstwo dzieci. Wódz niepokoił się o wioskę i o swoje wygodne w niej życie. Wiele prac robili za niego inni. Jemu przypadało z polowań najsmakowitsze mięso, za darmo otrzymywał piwo, skórę z lamparta czy jeden z kłów słonia.

---

<sup>1057</sup> — Tam–tam to prawdziwy telegraf dżungli. Wydrążony pień drzewa, obciągnięty z obu stron małpią skórą, wydaje dźwięk o takiej częstotliwości, że nie tłumią go drzewa i rośliny. W dżungli nie słychać często strzału karabinowego z odległości kilometra, a są takie tam–tamy, których głos dochodzi z kilku, a nawet kilkunastu kilometrów.

Spojrzał dalej, na jezioro Luta Nziga<sup>1058</sup>, które rozciągało się w kierunku północnym. Cały południowy brzeg zajmowało królestwo Bunyoro<sup>1059</sup>, jego rodzinny kraj. Kobiety właśnie wyruszały, aby wydobywać sól na terenach należących do wioski. Mężczyźni wybierali się na połów ryb, ale większość pasła bydło.

Wódz zamyślił się głęboko. Wiele nieszczęść spadło na nich ostatnio. Część bydła ukradli złośliwi sąsiedzi Bahima, a z podjętej w odwet wyprawy nie powróciło kilku mężczyzn. W okolicy zaczął żerować lew samotnik. Najpierw zjadał bydło, potem posmakował w ludzkim mięsie. I na nic zdały się wszystkie zastawiane pułapki. „*Podły zwierz*” — myślał Kisumu. „*Pożarł już tyłu, co palców u rąk i jednej nogi*”.

Popatrzył na zwierzęta podchodzące do wodopoju. Jak zwykle wychodziły z dżungli uważnie, powoli, pojedynczo i stadkami, by po zaspokojeniu pragnienia znów do niej wrócić. Zapatrzony i zamyślony, sam zapomniał o ostrożności, którą tak podziwiał. Gdy usłyszał szelest i odwrócił głowę, na obronę było już za późno. Krzyknął głośno, uniósł się z ziemi i zasłonił włócznią. Lew uderzył silnie ogonem w ziemię i poderwał się do skoku. Trzasnęła złamana dzida. Zwierz trafił go na wysokości bioder, jedną łapą miażdżąc prawe udo. Stoczyli się obaj z pagórka. Odrętwiały Kisumu nie czuł bólu, chociaż był przytomny i wszystko dokładnie obserwował. Nie umiałby powtórzyć wszystkich szczegółów, ale dokładnie pamiętał moment, kiedy znalazł się oko w oko z bestią i wyczytał z tych oczu kpinę i wyrok. Drapieżnik potrząsnął nim jak kot bawiący się myszą, zawarczał i uniósł głowę. Ryk triumfu przetoczył się nad okolicą. Lew musiał być jednak najedzony, bo na widok nadbiegającego o strony wioski rozkrzyczanego tłumu, oddalił się dostojnym krokiem i zniknął w buszu. Dopiero wtedy Kisum stracił przytomność...

\* \* \*

... Było to wciąż jeszcze na początku pory deszczowej. Kisumu powoli wracał do zdrowia. Poszarpana noga nie wróciła do pełnej sprawności, ale

---

<sup>1058</sup> — Luta Nziga — w języku tubylców Jezioro Alberta. Nazwa w tłumaczeniu na język polski: „*światłość, która zabija szarańczę*”.

<sup>1059</sup> — Bunyoro — jedno z ówczesnych królestw na terenie dzisiejszej Ugandy (pozostałe to: Buganda, która pierwsza przyjęła protektorat brytyjski oraz Toro i Ankola).

mógł chodzić, opierając się na lasce. Któregoś dnia odpoczywał, siedząc przed chatą. Agoa akurat coś opowiadała dzieciom. Głos dobiegał wyraźnie i wódz machinalnie słuchał.

— Niedaleko stąd, w buszu, żyła sobie kiedyś bardzo, bardzo stara zebra. Tak brzydka, że wszystkie inne zebry z niej kpiły i tak słaba, że nie miała siły z nimi biegać. Była za to bardzo mądra.

— Tak! — przerwał jej mały, może pięcioletni szkrab. — Zebry są mądre, delikatne, łagodne — wyliczał na palcach. — I nikomu nie wyrządzają krzywdy!

— Nie przeszkadzaj! — ofuknęła go matka, ale zaraz potem zapytała synka:

— A kogo boją się zebry?

— Najbardziej lękają się lwa i lamparta — odparł z dumą.

— Doskonale! — pochwaliła i opowiadała dalej.

— Pewnego razu została przy wodopoju sama, bo dopiero na końcu, po wszystkich innych zebrach, mogła zaspokoić pragnienie. Zapłakała głośno nad swym losem i nawet nie zauważyła, kiedy przybiegł lew i delikatnie pogładził ją po grzbiecie. Dopiero wtedy wzdrygnęła się z przerażenia.

„*Jesteś jak wszystkie inne zebry, płaczesz. Próbuję cię pocieszyć, nie zamierzam zrobić ci nic złego, a ty i tak trzęsiesz się ze strachu*” — powiedział lew z pogardą. Zebra opowiedziała mu o swoim smutnym losie.

„*Skoro tak bardzo jesteś nieszczęśliwa i nikomu niepotrzebna, to chyba najlepiej będzie jak cię zjem*” — zafrasował się lew.

„*Oczywiście królu zwierząt!*” — odparła zebra. „*Będzie to wielki zaszczyt dla całego mojego plemienia. Ale pozwól królu, żebym mogła, zanim to uczynisz, zadać ci jedną zagadkę. Wszak jesteś najmocniejszy i najmądrzejszy ze wszystkich zwierząt*”.

„*Zgoda. I tak jestem aż za bardzo łaskawym władcą, że w ogóle z tobą rozmawiam. Ten nędznik lampart po prostu podkradłby się i zjadł cię bez ostrzeżenia*”.

W tym momencie nadszedł lampart i rzekł do lwa:

„*Czemu królu straszysz to słabe, niewinne stworzenie. Jeśli jesteś taki dzielny, to wybierz na przeciwnika kogoś, kto jest ci równy*”.

Oba drapieżniki zaczęły warczeć i groźnie spoglądać na siebie. Mądra zebra chciała wymknąć się z pułapki, ale lampart to spostrzegł:

„Hola, hola, moja pani! Może jednak powiesz swoją zagadkę i pożre cię ten, który ją odgadnie. Dobrze królu?”

„Niech i tak będzie” — łaskawie odparł lew.

Zebra namyślała się przez chwilę i rzekła:

„Kto to jest? Ma wielkie pazury i wspaniałą ogon. Nie boi się nikogo i niczego. W każdej walce odnosi zwycięstwo. Potrafi przegryźć zębami najtwardszą kość. Chodzi powoli, ale biega bardzo szybko. Może iść małymi kroczkami, ale także wykonywać wspaniałe, wielkie susy”.

„To lew” — odparł lew.

„To lampart” — odparł lampart.

I oczywiście obaj się pobili. Walczyli długo. W końcu lew, jak niepyszny, uciekł z pola walki, a lampart zdyszany przysiadł, by odpocząć i pożreć zebra. Ale tej dawno już nie było. Rozeźlony lampart do dziś szuka lwa, a ten przed nim ucieka. I tak biegają i biegają... — śmiała się Agoa.

Dzieci milczały chwilę, a potem najmłodszy zapytał zamyślony:

— Mamusiu! A zagadka? Zebra mówiła o lwie czy o lamparcie?

— A jak myślisz? — odparła Agoa.

— Ja myślę, że o lamparcie — rzekł z namysłem.

— A ja, że o lwie — powiedział drugi. I oczywiście zaczęli się kłócić.

— Uspokójcie się! — zawołała Agoa. — Uspokójcie się, moje lamparty i lwiątko, bo pójdę sobie jak pani zebra!

— Nie!!! — wrzasnęły maluchy.

Kisumu niechętnie oderwał uwagę od sielankowej rodzinnej scenki. Piętrzyły się przed nim jednak poważniejsze problemy. Od czasu gdy przestał być w pełni sprawny, zaostrzyła się zadawniona niechęć między nim a zazdrosnym o swe wpływy czarownikiem. Kisumu interesowały bowiem nauki chrześcijańskich misjonarzy<sup>1060</sup>, którzy przed kilku laty pojawili się w okolicy.

<sup>1060</sup> — Misjonarze pojawili się w tej części Afryki pod koniec pierwszej połowy XIX wieku. W Ugandzie znaleźli się najpierw anglikanie, wezwani przez Stanley'a w 1877 r., a w dwa lata później przybyli tam Ojcowie Biali (rzymscy katolicy). Wszyscy oni zostali wypędzeni w 1882 r., gdy król Mtesa, a po nim Mwanga przyjęli islam. Zakończyło się to prześladowaniami, w wyniku których dwudziestu dwóch młodych chrześcijan z Karolem Lwangą na czele, poniosło śmierć, w okresie od 26 maja 1886 r. do 27 stycznia 1887 r. Najmłodszy z nich, Kizito, miał 14 lat. Kościół rzymskokatolicki czci ich jako świętych.

Tego ranka bęben nie milkł ani na chwilę i Kisumu wiedział, że wkrótce przyjdzie mu odeprzeć atak ośmielonego jego słabością czarownika. Nie czekał długo. Czarownik pojawił się przed jego obliczem.

— Rozmawiałem z duchami — powiedział po ceremonialnym powitaniu.

— Słyszałem — krótko odparł Kisumu.

— Lud dotknęło nieszczęście. Złe moce panują...

— Ktoś rzucił urok — przerwał mu Kisumu.

Czarownik, przygotowany na opór, poczuł się zaskoczony. Wódz, zdawał się wprost proponować rozwiązanie, do którego on zmierzał określną drogą.

— Tak — rzekł, udając zamyślenie. — Lew grasuje. Bydło zdycha na śpiączkę...

Kisumu przytaknął. Chodziło przecież o nieszczęście, które tu, nad Jeziorem Alberta, w górzystym klimacie, nie powinno się zdarzyć. Wódz nie pamiętał, by kiedykolwiek choroba ta dotknęła wioskę. Co dziwniejsze śpiączka ominęła jego bydło. Nie ulegało wątpliwości, że wdały się w to złe moce. Ale jakie i jakich wymagają ofiar? Wyglądało na to, że czarownik wie, przeciw komu skierować działanie.

• — Dużo nieszczęść — powiedział. — Dużo, dużo... Bydło pada. Lew grasuje. Ludzie mogą chorować... Dużo, dużo nieszczęść — cmokał i kiwał głową. — Duchy, złe duchy...

Zapadło milczenie. Palili fajki, popijając bananowe piwo i obserwując się wzajemnie.

W końcu czarownik podjął decyzję:

— To rigilah–sukuo<sup>1061</sup>...

Kisumu poczuł zimny dreszcz strachu. Czarownik wskazał złego ducha, który sadowił się zazwyczaj w stopach człowieka. Jeden ze starszych synów Kisumu, dwunastoletni Awtoni, urodził się ze zdeformowaną prawą stopą. Czarownik odczytał wtedy urok i powiedział, że uspił złego ducha, ale ten może się obudzić, gdy chłopiec będzie wchodził w wiek dojrzewania.

— Mówisz, że duch się obudził!? — Kisumu podniósł się z miejsca. Górował teraz nad czarownikiem.

---

<sup>1061</sup> — Według wierzeń fetyszyzmu, złe duchy nosiły imiona i osadzały się w różnych częściach ciała człowieka, m.in. w jego stopach. Fetysz (z fr. — fetiche, z port. feitico — czary) — w religiach pierwotnych przedmiot obdarzony magiczną siłą, lub uważany za wcielenie bóstwa.

— Tak. Obudził się! Obudził! — czarownik czuł swą przewagę. Ludzie w wiosce byli po jego stronie.

Kisumu usiadł. Spadło tyle nieszczęść... Kisumu znał naukę chrześcijan, pozwolił ochrzcić syna, ale przekonanie, że czarownik rozmawia z duchami tkwiło w nim równie niezachwianie jak całe dziedzictwo przodków.

— Naznaczył go! Naznaczył od dziecka — syczał czarownik. Wybrał go dla siebie. Usadził się w stopie. Siedzi tam!!!

Kisumu nie mógł od niego oderwać oczu.

— Chciał mnie zniszczyć. Wysłał lwa, by mnie zabił... Wysłał lwa — szepnął bezwiednie i sam już nie wiedział czy mówi o synu, czy o złym duchu.

— Wreszcie zrozumiałeś wodzu. Niech cię strzeże twój fetysz spokojnie już powiedział czarownik i podniósł się ciężko.

Kisumu odprowadził go, potem zaś usiadł i zaczął uważnie przyglądać się Awtoniem», a im uważniej to czynił, tym wyraźniej w oczach syna dostrzegł drapieżne, zapamiętane z oczu lwa, błyski.

Agoa snuła tymczasem kolejną opowieść.

— Pewnego dnia boa dusiciel okręcił się wokół liany, by się pobujać jak zwykli mali chłopcy. Akurat przechodził tamtędy słoń. Kiedy zobaczył, że wąż jest bezbronny, związany przez siebie samego, roześmiał się zadowolony. Był wreszcie panem życia i śmierci zręcznego pełzacza.

„*Miej nade mną litość, słoniu! Zmiłuj się!*” — błagał wąż.

„*A co mi z tego przyjdzie?*” — słoń podniósł trąbę i zaczął kołysać lianą.

„*Przyrzekam, że ile razy mnie wezwiesz, zawsze przybędę ci na ratunek*”.

Słoń zastanawiał się. W jego wielkiej głowie pojawiła się myśl, że dobrze byłoby mieć takiego mocnego sprzymierzeńca.

„*Zmiłuj się, słoniu!*” — prosił dalej boa. „*Mam tyle małych dzieci... Byłby to wielki wstyd dla ciebie, gdybyś pozbawił je ojca*”.

„*Ma racje*” — znowu pomyślał słoń. Ale głośno powiedział:

„*Czy ty miałeś litość dla tych dzieci, które dusiłeś w skrętach swego wielkiego cielska? Nawet nie dałeś sposobności, by o nią poprosiły. Dusiłeś i tyle... Brrr...*” — wstrząsnął i zakołysał lianą. Boa pofrunął aż pod szczyty drzew.

*„Nie zasługuje na miłosierdzie ten, kto sam go nie ma. Ale dam ci szansę... Jeśli potrafisz odwinąć się i spaść na ziemię szybciej niż ja zdołam podnieść i opuścić trąbę, by cię zmiażdżyć, odzyskasz wolność”.*

Wężowi tylko o to chodziło. Rozmawiał ze słoniem, nie dlatego, że liczył na litość. Szukał sposobu na wyplątanie się z pułapki. Zanim słoń zaczął opuszczać trąbę, błyskawicznie zsunął się na ziemię i owinął wokół nogi słonia.

*„Cha! Cha! Cha!”* — zaśmiał się boa. *„Teraz ty, panie słoni, jesteś zdany na moją łaskę. A ja nie mam w sercu litości. Umrzesz!”*

I wąż zaczął kąsać słonia w gruby brzuch. Słoń zniósł to z wielkim spokojem, bo na brzuchu ma bardzo twardą skórę. Spokojnie podniósł nogę i przydeptał kark węża. Ten jęknął z bólu, puścił słonia i znów zaczął błagać o litość. Ale słoń zmiażdżył mu łeb.

*„Nie ma litości dla tego, kto nie zna litości”* — rzekł i trąbę rzucił ciało węża wysoko na drzewa, gdzie zaczęły z niego szydzić złośliwe małpy.

Agoa skończyła opowieść, a dzieci natychmiast zaczęły prosić o następne bajki.

- Opowiedz o wyścigach węża z lampartem.
- Nie! O małpach i myśliwym.
- O tym, jak gazela oszukała lamparta.

Kisumu z żalem przerwał tę scenę. Skinął na żonę, aby za nim wyszła i surowo popatrzył przy tym na Awtoniego. Gdy Agoa podbiegła do niego, pochylił się ku niej i powiedział:

- Rigilah–sukuo.

Agoa z trudem stłumiła okrzyk przerażenia, przyciskając dłonie do warg. Potem przeniosła wzrok na bawiącego się z dziećmi Awtoniego. Chłopiec był wesoły, a jego kalectwo prawie niedostrzegalne.

\* \* \*

Bęben czarownika nie milkł całą noc. Czarownik tańczył rytualny taniec poprzedzający złożenie ofiary. Dla niego był to również taniec triumfu. Pokonał wodza. Szala panowania nad wioską wyraźnie przechyliła się na jego stronę.

W wiosce nikt nie spał. Wszyscy przerażeni wsłuchiwali się w głos bębna. Dżungla wtórowała mu swymi nocnymi, tajemniczymi odgłosami.

Rano bęben ucichł. Ucichła dżungla. Odezwały się jedynie, tysiącem głosów, ptaki. Budził się piękny, gorący dzień. Ludzie wstawali do swej pracy, nocne zwierzęta układały się do snu, dzienne ruszały na łowy.

W wiosce Kisumu porządek ten został zakłócony. Wyruszał z niej właśnie upiorny pochód ku ziemiom pasterskich plemion Bahima. Tak chciał czarownik, który oznajmił, że stamtąd przysły złe moce. Prowadzono płaczącego Awtoniego, krowę, kozła, psa, niesiono kilka kur.

Chłopiec przez łzy spojrzał na rodzinną chatę, ogarnął wzrokiem jezioro.

Przechodzili właśnie obok wzgórza nad wodopojem, gdzie lew zaatakował jego ojca i małej polanki, gdzie Awtoni często się chronił. Stało na niej kilka kopców termitów<sup>1062</sup>. Lubił je obserwować od czasu, gdy ojciec przyprowadził go na tę polanę i zaczął cicho bębnić w opancerzone ziemne kopce. Młode termity masowo wyszły wówczas na zewnątrz, sądząc, że pada deszcz. Tak też nakazał czynić synowi. Zebrane w ten sposób, owady służyły jako pikantna przyprawa do monotonnych, mdłych, codziennych posiłków. Awtoni często tu przychodził. Dostrzegł niezwykłą ruchliwość termitów i ich straszną moc. Gdziekolwiek się udały, zostawiały za sobą pustkę... Potrafiły oczyścić teren z padliny, albo zjeść całe drzewo z korzeniami, pniem i konarami. Drażyły w nim korytarze, atakowały z zewnątrz i od wewnątrz. Z resztek budowały wysokie na kilka metrów kule, których niczym nie dawało się rozbić.

Dla Awtoniego stanowiły przedmiot podziwu i zazdrości. Nie umiałyby tego wypowiedzieć, ale starał się je naśladować. Niepozorny, cichy, ułomny, był jednocześnie uparty, twardy i ruchliwy jak termit. Z dwu przeciwstawnych cech afrykańskich mrówek, niszczącej i budującej, nieświadomie wybierał i wolał naśladować tę drugą. Najpierw z ziemi, a potem i z drzewa zaczął tworzyć podobne do budowli termitów zamki i rzeźby.

Żegnał teraz z rezygnacją i żalem ukochaną polankę z braćmi–termitami, jak je nazywał. Żegnał też najlepszego przyjaciela.

Przed dwoma laty znalazł w pobliżu szczątków gniazda i śladów krwi, nie umiejące jeszcze fruwać, prawie nie opierzone pisklę. Podniósł je i poczuł w

---

<sup>1062</sup> — Termity — jest ich ponad 1000 gatunków, opisane są tylko niektóre. Ich społeczeństwo jest znakomicie zorganizowane wokół królowej, 20 do 30 razy większej od robotnic, które pełnią rolę architektów i budowniczych oraz żołnierzy, broniących termitier i zdobywających nowe tereny. Budują potężne budowle, bardzo odporne na zmiany atmosferyczne, twarde jak skały.



dłoniach ciepło, a zaraz potem bicie maleńkiego serduszka. Ptak szybko rósł i niebawem był chłopcu równy wzrostem. Gdy zaczął fruwać, Awtoni był przekonany, że szybko o nim zapomni. Ale nie. Ptak wracał i krótkim, szerokim, zakrzywionym na końcu dziobem dopominał się o smakołyki.

Wciąż jeszcze o tym myślał, kiedy pochód dotarł do terytorium Bahima. Ludzie Kisumu ukradkiem przekroczyli graniczny strumień. Minęli pas buszu i znów zagłębili się w dżunglę. Zatrzymali się zresztą zaraz na samym skraju. Nadszedł kres drogi. Awtoni łkał głośno. Strażnicy połamali nogi zwierzętom, by nie mogły uciec i pozarzynali kury. Chłopca przywiązali do drzewa. Tak miała dopełnić się ofiara. Wraz z nią z wioski miały zniknąć złe duchy. Czarownik triumfował. Nie wiedział, jak blisko czai się prawdziwe niebezpieczeństwo.

\* \* \*

Wydarzenia w Kairze i Dolinie Królów głęboko naruszyły poczucie wszechwładzy, którym od dawna upajał się „*żelazny faraon*”. Uderzyły w jego interesy i ograniczyły teren jego działania. Upokorzyły go, zmusiły, by się ukrył. Głęboko przeżywał to upokorzenie, ale tu w Afryce, na terenach wokół Jeziora Alberta, miał dość sił, aby panować bezpiecznie. Tu mógł pomnożyć pieniądze i zacząć odbudowywać swoją pozycję.

Od dawna już jego ludzie, ukryci przy ścieżkach w dżungli chwyтали kobiety i dzieci, samotnych mężczyzn albo kupowali ludzi wprost od wodzów, by sprzedać ich później jako niewolników. Teraz „*faraon*” postanowił działać skuteczniej i z większym rozmachem. Wybrał wszak tereny wokół wybrzeży Jeziora Alberta na swoje tymczasowe państwo, w którym miejscowi Murzyni mieli być tylko niewolnikami. Postanowił „*oczyścić*” teren, zdobywając po kolei położone tu wioski. Na jego drodze znalazła się też wioska Kisumu.

Noc ataku była bezdeszczowa i pogodna. Ludzie w wiosce Kisumu spali uspokojeni przez swego czarownika. Przed brzaskiem na skraju dżungli w ciszy pojawiły się błyski pochodni. Po chwili chaty zapłonęły jasnym płomieniem. Ludzie wybiegli z domostw, uciekając w stronę buszu, by ukryć się w wysokiej trawie. Ale step także płonął. Mogli jedynie zginąć w płomieniach albo wrócić, by oddać się w ręce napastników. Wielu spróbowało jednak przedrzeć się do dżungli i niektórym się to udało.

Ludzi „faraona” prowadził Metys<sup>1063</sup>, którego nazywano „sztych”, od mistrzowskiego uderzenia szablą, jego ulubioną bronią. Sześćdziesięcioletni staruch mógł być dosłowną ilustracją znanego powiedzenia: „*Bóg stworzył białego, Bóg stworzył czarnego, ale Metysów sam diabeł*”. Dobrze odżywiony, ale nie otyły, niewielkiego wzrostu z wyłupiastymi, bezlitosnymi oczyma. Kręcone czarne włosy i mięsiste murzyńskie wargi nadawały jego twarzy wyraz zimnej obojętności. Siedząc po turecku w czymś w rodzaju lektyki z daszkiem, niesionej przez czterech niewolników, przybrany w lekkie, wschodnie szaty, z pękiem koralu na szyi i złotymi bransoletami na rękach, sprawnie dowodził trzydziestoosobowym oddziałem bezwzględnych zabijaków. Wywodzili się oni z różnych stron Afryki, lecz w większości z Zanzibaru<sup>1064</sup> lub spośród sudańskich plemion, zwanych Ruga–Ruga, od wieków trudniących się łowami niewolniczymi. Ci mieli w tym procederze wielkie doświadczenie. Niektórzy byli uzbrojeni w broń palną, większość posiadała szable lub maczugi. Każdy z Ruga–Ruga wyposażony był w wąską, długą lancę i tarczę.

Wioska, którą otoczyli nocą, chroniona od strony dżungli palisadą, od buszu była bardzo łatwo dostępna. Zamierzali zapędzić Murzynów na brzeg jeziora, gdzie już czekały łodzie mające zabrać ujętych niewolników. Przy zaskoczeniu i sile nie wydawało się to trudne.

Kiedy Kisumu, obudzony okrzykiem „*ulugus*” (polowanie), wybiegł z bronią na próg domostwa, wieś już płonęła, a ludzi pędzono w stronę jeziora. Tych, którzy stawiali opór, bezlitośnie mordowano. Wódz zgromadził wokół siebie kilkunastu wojowników, próbując przedrzeć się w kierunku dżungli. Obok niego biegł najstarszy syn, przyszły następca, dwudziestoletni Munga. Munga nie stracił głowy, nie uległ panice. Nie wdawał się w walkę z napastnikami, chyba że stawali na drodze. Chronił ojca, który niezdarnie kuśtykał na niesprawnej nodze. Do dżungli było coraz bliżej. Na nieszczęście „*sztych*” zauważył niewielki oddziałek. Z kilku doborowymi zabijakami dopadł ich przed samym skrajem zbawczej kryjówki.

---

<sup>1063</sup> — Metys — tu: mieszaniec arabsko–murzyński. Mulat — mieszaniec czarno–biały.

<sup>1064</sup> — W 1891 r. w Brukseli kraje europejskie podpisały umowę, zobowiązując się do walki z niewolnictwem w Afryce. Zniesiono je w Stanach Zjednoczonych po wojnie secesyjnej (1861–1865); na Kubie (1881 r.); w Brazylii (1888 r.); w afrykańskich posiadłościach Belgii (1890 r.); na Zanzibarze (1909 r.); w Sierra Leone (1928 r.).

Rozgorzała krótka, zacięta walka. Munga zręcznie zasłonił się tarczą przed uderzeniem szabli i próbował zadać cios swoją krótką bojową dzidą. Trafił jednak na zręcznego szermierza, który uchylił się sprytnie i spróbował go dosięgnąć swoim ulubionym sztychem. Munga umknął. Krążyli wokół siebie jak lew i lampart. Syn wodza został tymczasem sam. Inni wojownicy zginęli bądź zniknęli wraz z jego ojcem w głębi dżungli. Otoczony, postanowił walczyć do końca. Ale przeciwnicy nie mieli zamiaru go zabijać. Zbyt dużą przedstawiał dla nich wartość. Młody, zbudowany jak atleta, zręczny we władaniu bronią. Za takiego można osiągnąć niezłą cenę. Munga uderzony maczugą w głowę, stracił przytomność.

Na Jeziorze Alberta czekały dwie długie, beczkowate łodzie, zwane barkasami, każda wyposażona w osiem par wiosł. Wpędzano do nich i sadzano na dnie spętanych niewolników. Wraz z nimi wsiadła także część napastników. Sam „sztych” zajął miejsce w specjalnym, własnym barkasie, w którym mieściło się zaledwie kilka osób. Usiadł na rufie, chroniąc się pod parasolem, gdyż weszło słońce. Nie był zadowolony. Zbyt wielu Murzynów zdołało umknąć do dżungli. Zbyt wiele chat ocalało. „Trzeba będzie tu wrócić” — myślał, przygotowując dla swego szefa relację, w której powinien przedstawić siebie w najlepszym świetle.

Łodzie odbiły od brzegu, kierując się na północ, gdzie handlarze mieli swą kryjówkę. Mieszkańcy wioski, powiązani, oszołomieni strachem, siedzieli na dnie barkasów, nie bardzo rozumiejąc, co się wydarzyło. Wiedzieli tylko, że stało się coś strasznego.

Munga powoli odzyskiwał przytomność. Nie czuł więzów. Widocznie wrzucili go po prostu na dno łodzi, gdy był nieprzytomny.

Spędzono do niej głównie kobiety i dzieci, a także kilku łżej rannych mężczyzn. Sterował stojący z tyłu Murzyn Ruga–Ruga. Strażnicy właśnie się posilali, suto zakrapiając posiłek alkoholem. Szesnastu czarnych wiosłarzy wiosłowało z zapalem. Walka nie wchodziła w grę. Munga bał się nawet podnieść wyżej głowę, by nie zauważono, że odzyskał przytomność. Rozumiał tylko tyle: „płyniesz po jeziorze, trzeba uciekać”. Myśl zamieniła się w decyzję, a decyzja w czyn. Munga zerwał się jak sprężyna, przebiegł kilka metrów ku rufie barkasu, pchnął sternika, który z pluskiem wypadł za burzę, wyskoczył i natychmiast zanurkował. Rozległ się krzyk, padł jakiś strzał. Wszyscy patrzyli w kierunku, gdzie skoczył. Munga tymczasem

zawrócił pod wodą i płynął nie w stronę brzegu, lecz ku środkowi jeziora. Zanim się zorientowali, zdążył nabrać powietrza i znów zniknął pod wodą. Na wargach czuł słonawy smak rodzimego jeziora. Gdy wynurzył się powtórnie, łodzie sporo się od niego oddaliły. Munga rozejrzał się i zaczął płynąć ku wschodniemu brzegowi. Teraz dopiero poczuł ubytek sił. Obtarcia i rany piekły i szczypały. Zmęczenie ogarniało całe ciało. Do brzegu zaś było jeszcze bardzo daleko. Pływak cierpliwie pokonywał metr po metrze, odpoczywając co jakiś czas na plecach. Ale brzeg, zdawałoby się niedaleki, przybliżał się coraz wolniej. Munga poczuł lęk...

## ROZGRYWKA Z CZAROWNIKIEM

Nieliczna grupa białych podróżnych, której towarzyszyło kilku czarnych askari<sup>1065</sup> i kilkunastu tragarzy, rozbiła obóz w pobliżu Jeziora Alberta.

Wszyscy mieli za sobą forsowną wielodniową wędrówkę przez dżunglę, ale mimo zmęczenia starannie wybierali miejsce obozowania. Położenie obozu musiało spełniać wiele warunków. Potrzebowali bowiem łatwej do obrony i nie rzucającej się w oczy bazy, z której mogliby sprawnie przeszukać rozległe tereny po tej stronie jeziora. A przy tak szczupłych siłach było to nie byle jakie zadanie. Wybrali w końcu polanę nad niewielkim strumykiem, rozbili namioty i otoczyli obóz zeribą<sup>1066</sup>.

Dżungla wokół nich kipiała niezrozumiałym niepokojem i gamą dźwięków odmiennych niż zwykle. Smuga szczególnie pilnie wsłuchiwał się w mowę tam–tamów. Wciąż nieodmiennie przekazywały to samo ostrzeżenie: przed łowcami niewolników na wodach Luta Nziga, jak nazywały Jezioro Alberta. Aby dowiedzieć się czegoś więcej, Gordon postanowił wysłać do okolicznych wiosek dwuosobowe patrole formowane z podległych mu czarnych żołnierzy, którym towarzyszył zawsze jeden spośród białych.

Plemiona królestwa Bunyoro, na którego terenach obozowali, niechętnie poddawały się jednak władzy Anglików i żywiły do białych głęboko zakorzenioną nieufność. Nie pomagały paciorki weneckie, nie pomagały koraliki. Po wielu trudach dowiedzieli się w końcu tyle tylko, że na czele grupy porywającej Murzynów przy ścieżkach w dżungli i wprost w murzyńskich wioskach stoi człowiek nazywany przez nich „Ingeleza”<sup>1067</sup>, ponieważ znakomicie mówi po angielsku.

Któregoś poranka Smuga wracał z dwoma czarnymi żołnierzami z jednej z wiosek Bahima. Murzyni przyjęli białego i jego podarki z kurtuazją, ale — jak wszędzie — milczeli. Zbliżało się południe. Zmęczony Smuga zamierzał zarządzić odpoczynek, ale i jemu, i żołnierzom wydało się nagle, że słyszą krzyk przerażenia. Pełni napięcia zaczęli przedzierać się w kierunku, skąd

---

<sup>1065</sup> — Askari — żołnierz.

<sup>1066</sup> — Zeribą (z arab. zaribah — krzaki, zagroda) — sztuczne ogrodzenie z kolczastych krzewów, budowane dla ochrony przed napaścią dzikich zwierząt.

<sup>1067</sup> — Ingeleza — Anglik.

dobiegał. Zastali widok, który ich zmroził: przywiązany do drzewa chłopiec, a wokół ślady uczty dzikich zwierząt. Smuga, wiedziony instynktem, powstrzymał gestem czarnych żołnierzy. Czujnie rozejrzał się dokoła. Ależ tak! Instynkt go nie mylił.

Wśród gałęzi figowca, między dwoma konarami, wisiała głową w dół, martwa koza. Widocznie lampart swoim zwyczajem wciągnął zdobyty łup na drzewo. Wkrótce dostrzegł drapieżnika w całej okazałości. Czołgał się po grubym konarze, przytulony do drzewa i niemal zlewający się z nim w jedno. Wśród liści migotały czarne cętki na żółto-białym futrze. Smuga zauważył błysk ślepi i usłyszał głuchy pomruk. Zrozumiał, że lampart za chwilę zaatakuje. Dobrze znał zwyczaje tych zwierząt i wiedział, że wielki kot najpierw zeskoczy na ziemię. Spokojnie przygotowywał broń. Obaj czarni cofnęli się nieco z bronią gotową do strzału. Smuga przyłożył sztucer do ramienia, mierząc starannie. Kiedy padł strzał, kot zamiauczał i stracił równowagę. Pazury przez chwilę darły korę figowca, aż drapieżnik runął na ziemię.

Dopiero teraz jeden z askari mógł uwolnić chłopca. Dziecko było wyczerpane ze strachu i głodu. Na zmianę ze Smugą nieśli je do obozu. Drugi z żołnierzy został, by pilnować lamparta, a raczej lamparciej skóry, do czasu zanim z obozu nie zostaną przysłani Murzyni, którzy potrafią ją zdjąć i wyprawić.

Dwa dni później, wczesnym rankiem, Nowicki i Wilmowski wyruszyli z jednym z żołnierzy nad brzeg Jeziora Alberta, wyjątkowo tu nizinny. Między górami i skałami na południowym krańcu jeziora spostrzegli łunę.

— Płonie busz! — z niepokojeni powiedział Nowicki.

Wkrótce dotarł do nich dziwny zgiełk i coś, co rozpoznali jako odgłosy walki. Uważnie obserwowali więc ten teren, czekając na rozwój wydarzeń. Na jeziorze niebawem pojawiły się dwie wielkie, przypominające barki, łodzie. Poprzedzał je niewielki barkas z zieloną flagą na rufie i murzyńską tarczą w tle. Nowicki przyglądał się tej kawalkadzie przez lornetkę. W pewnej chwili podał ją Wilmowskiemu. mówiąc:

— Doprawdy, trudno wierzyć własnym oczom. I nawet nie próbują się ukrywać!

— Niewiarygodne, ale to chyba niewolnicy... — zaczął mówić Wilmowski, kiedy nagle czarny żołnierz zwrócił ich uwagę na jedną z łodzi, gdzie powstało zamieszanie. Rozległy się okrzyki i padły strzały.

Nowicki pierwszy spostrzegł rosnącego Murzyna skaczącego do wody.

— Andrzeju! — krzyknął. — Umknął im chyba! Towarzyszący im czarny żołnierz wdrapał się na drzewo.

— Oni odpłynąć! — zakomunikował. — On płynąć!

Łodzie szybko oddalały się na północ. Nowicki i Wilmowski podeszli do samego brzegu jeziora. Marynarz chłodnym okiem obserwował głowę pływaka, migającą między falami. W pewnej chwili zaczął się rozbierać.

— Co robisz, Tadku? — spytał zdziwiony Wilmowski.

— Jest ranny albo osłabł. Nie dopłynie! — odparł krótko i już po chwili potężnymi ramionami rozgarniał wodę.

Pomoc przyszła w samą porę. Munga tracił siły w tempie, które nie wróżyło powodzenia jego rozpaczliwemu przedsięwzięciu. Zaczynał wątpić, czy ów wymarzony brzeg w ogóle istnieje, kiedy poczuł, że wspiera go silne ramię. Nie mógł spodziewać się wsparcia jakiegokolwiek człowieka, z głębi serca podziękował więc bóstwu jeziora. Wydostawszy się na brzeg, dostrzegł wprawdzie aż dwóch innych ludzi: drugiego białego i obok niego czarnego żołnierza, a jednak padł na kolana przed swoim wybawcą, bijąc korne pokłony.

— Co robisz brachu? — obruszył się marynarz.

— On tobie dziękować! — tłumaczył słowa Mungi czarny żołnierz.

— I ja jemu dziękować, że dał się holować — Nowicki także się pokłonił, skrzywił komicznie i mrugnawszy porozumiewawczo do Wilmowskiego, dodał: — Już raz mnie w Afryce za bóstwo uznali... Widać znowu awansowałem!

Munga nie wiedział, co myśleć o dziwnych Wazungu<sup>1068</sup>, którzy go ocalili. Byli ludźmi czy dobrymi duchami na jego drodze? Pytanie nurtowało go, gdy wędrował z nimi do obozu, a wątpliwości wzrosły na widok Awtoniego. Żywego, całego i najwyraźniej zadomowionego w obozie dziwnych ludzi. Kochał brata, ale nie mógł przełamać magicznej bariery wiary w wyrok, który zdecydował, że Awtoni miał odejść nieodwołalnie i na

---

<sup>1068</sup> — Wazungu — Europejczycy.

zawsze. Patrzyli teraz na siebie nieufnie i zamienili ze sobą zaledwie kilka słów.

Ich zachowanie zastanawiało Smugę. Obserwował więc obu uważnie. Wiedział, że Awtoni potrafi, dzięki misjonarzom, swobodnie radzić sobie z angielskim. Chłopiec opowiedział mu przecież o sobie i swoich perypetiach. Ale nie użył języka angielskiego, aby wyjaśnić, że Munga jest jego bratem. „Tumbo modje”<sup>1069</sup> — powiedział, wskazując na niego i na siebie. Nie sposób było też nie zauważyć, że Munga, z taką rezerwą odnoszący się do odzyskanego w niezwykłych okolicznościach brata, z zabobonnym podziwem wodzi oczyma za Nowickim. Po namyśle Smuga skinął na marynarza i obaj na chwilę odeszli na bok.

— Tadku niczego na razie nie wyjaśniaj. Może niech sądzą, że jesteśmy dobrymi duchami.

— Ależ Janie, nigdy tego nie popierałeś — obruszył się Wilmowski, który usłyszał ostatnie zdanie w momencie, kiedy do nich podchodził.

— Przyjdzie czas na wyjaśnienia. Niech tymczasem myślą, co chcą. To może być ważne — z naciskiem powiedział Smuga.

Nowicki tylko się roześmiał.

— Sam mówiłeś, Andrzeju, że trzeba szanować zastane obyczaje. Czasem to nawet, niech mnie licho... całkiem miłe!

\* \* \*

Wioska Kisumu nie uległa całkowitej zagładzie w wyniku zuchwałego napadu i powoli wracała do życia. Ci, którzy znaleźli schronienie w dżungli, wracali, by pogrzebać zmarłych. Winni byli zmarłym ceremonie, bez których ich dusze nie zaznałyby spokoju.

Po czasie płaczu, tarzania się w pyle, przyszedł czas uczyty i tańca. Przygotowano jedzenie, wszyscy przyodziali białe, żałobne szaty z rafii i gliną kaolinową pomalowali na białą twarze. Zanim jednak zasiedli do uczyty, czuwające wokół wioski straże zasygnalizowały zbliżanie się obcych.

Do brzegu przybiła niewielka rybacka łódź. Grupka jej pasażerów ruszyła ścieżką, prowadzącą wzdłuż gęstych zarośli, wprost do wioski. Na czele szedł Gordon. Obok niego Munga, a tuż za nimi Nowicki, Smuga i Awtoni.

---

<sup>1069</sup> — Tumbo modje — znaczy to, że mają wspólną matkę (dosłownie: jeden brzuch).



— Chwileczkę! Zatrzymajcie się! — zawołał nagle Nowicki. — Coś tam leży!

Wszedł w zarośla i wyciągnął sporej wielkości bęben.

— Niech to wieloryb połknie! Cóż za znalezisko! Munga gestykulując, tłumaczył coś Gordonowi.

— Mówi, że to bęben czarownika i że nie wolno go dotykać.

— Skąd się tu wziął? — zastanawiał się Nowicki, który lekceważąc ostrzeżenie, dokładnie oglądał znaleziony przedmiot.

— Właściciel mógł go zgubić w czasie ucieczki — odparł Gordon. — Niech pan zwróci uwagę na skórę pokrywającą bęben. Jest twarda i odporna. Murzyni często wyrabiają te bębny z uszu słonia...

— Co za obyczaje w tej Afryce — Nowicki z sarkazmem pokręcił głową. — Jedni strzelają do „*cheopsiaka*”, bo im jego nos przeszkadza, inni zaś zniszczą słonia, bo jego uszy nadają się na bęben. Co za kraj...

W tym momencie podszedł do niego Munga i znowu coś powiedział z błyskiem lęku, ale i determinacji w oczach.

— On prosi, aby pan zostawił bęben — przetłumaczył Gordon. Nowicki wyzywająco popatrzył w oczy dorównującemu mu wzrostem Murzynowi.

— Powiedz mu pan — odpowiedział — że białych nie imają się cudze czary, bo sami są czarownikami.

Gordon przetłumaczył, Munga odsunął się od nich, nagle spokorniały, a Nowicki spokojnie schował bęben do marynarskiego wora.

Tuż przed wejściem na teren wioski po obu stronach ścieżki stanęły kobiety, przegradzając przejście grubą lianą. Nowicki pochylił się, by pod nią przejść. Stojący po drugiej stronie wojownicy nastavili dzidy, a Munga przytrzymał zadziornego marynarza.

— Chwileczkę — tłumaczył Gordon. — Wieś jest tabu<sup>1070</sup>.

— Tabu? A cóż to znów znaczy?

— Aby wejść dalej, musimy złożyć okup na stypę — wyjaśniał cierpliwie Gordon.

— Skąd pan to wie? — dociekał Nowicki.

— Murzyni pomalowali twarze na biało... — zaczął mówić Gordon.

— A to znak żałoby — wpadł mu w słowo Smuga.

---

<sup>1070</sup> — Tabu — zakaz kontaktowania się z pewnymi przedmiotami, osobami, dla uniknięcia kary ze strony sił nadprzyrodzonych.

Kiedy złożyli dary na wieczorną, żałobną ucztę, Munga poprowadził gości ku domostwu wodza — swego ojca. Towarzyszyli im wszyscy chyba mieszkańcy wioski. Coś mówili, gestykulowali, wskazując to na Mungę, to na Awtoniego.

Kisumu czekał w progu swego domu. Gordon wyjaśnił widoczny wszem i wobec cel ich przybycia: Mungę i Awtoniego; i prosił, by mogli pozostać na noc. Przy okazji wręczył Kisumu podarki, a te zostały przyjęte.

Wszystko przebiegało według rytuału, zanim nie pojawił się czarownik. Awtoni natychmiast schował się za szerokimi plecami Nowickiego, zaś Kisurmi wyraźnie stracił pewność siebie. Smuga i Gordon zauważyli zmieszanie wodza, ale z miejsca, gdzie stali, nie mogli dostrzec przyczyny. Stojący nieco z tyłu Nowicki od razu zorientował się w sytuacji. Przytulił chłopca do siebie i w zamyśleniu przyglądał się starcowi. „*Jak go przechytrzyć*” — zastanawiał się. „*Gdybyż był z nami Tomek*” — westchnął i łązy zakręciły mu się w oczach.

Wódz przydzielił gościom stojącą na uboczu wioski chatę: okrągłą, przykrytą kopulastym słomianym dachem, z otworami, okiennym i wejściowym, zasłoniętymi sznurami z lian i matami, wewnątrz stosunkowo czystą.

— Ten staruch, czarownik, wyraźnie zamyśla jakiś podstęp... zaczął mówić Nowicki, ale kobiety wniosły właśnie poczęstunek.

— Przysyła wam to Munga — powiedziała jedna z nich.

— Coś rzeczywiście jest nie tak... Wedle zwyczaju wódz powinien dać nam jakiś prezent, abyśmy czuli się bezpieczni. Okazał nam lekceważenie. Przyjął podarki, ale w zamian nie ofiarował nawet poczęstunku — Gordon potwierdził podejrzenia Nowickiego. — Szkoda, że nie ma z nami żołnierzy — dodał wyraźnie zaniepokojony.

— Wkraczać do wioski z całą armią, to bardzo angielskie, ale nie pomaga zdobyć zaufania — z przekorą zauważył Nowicki.

— Żołnierze dotrą tutaj razem z Wilmowskim jutro wieczorem — przeciął dyskusję Smuga. — Ale lepiej trzymać broń w pogotowiu.

Nowicki nie zabierał już głosu. Siedział obok Awtoniego, który wyraźnie bał się oddalić choćby na krok od białych opiekunów. Nie należał do wioski. Należał do duchów, którym złożono go w ofierze.

Spojrzenia i agresywna reakcja mieszkańców wioski uświadomiła to Nowickiemu dokładniej niż jakiegokolwiek wyjaśnienie. Zdał sobie sprawę z faktu, że przywiezienie chłopca mogło okazać się błędem, za który trzeba będzie zapłacić. Zrozumiał też, dlaczego Smuga, zawsze przeciwny wykorzystywaniu przesądów pierwotnych mieszkańców dżungli, tym razem odstąpił od tej zasady.

W pewnej chwili podjął decyzję i ku zaskoczeniu przyjaciół zaczął przygotowywać się do snu. Ułożył się wygodnie na macie, zamykając oczy.

— Ależ Tadku — powiedział Smuga — niedługo pójdziemy na ucztę.

— Nie zaszkodzi przedtem zdrzemnąć się nieco — odparł warszawiak i po chwili rzeczywiście rozległo się jego tubalne chrapanie.

Wieczorem Munga przybył z zaproszeniem na ucztę i tańce. Obudzony przez przyjaciół Nowicki zapowiedział, że przyłączy się do nich później, po czym korzystając z pomocy Awtoniego jako tłumacza, poszeptał coś z Mungą, który zaprowadziwszy Smugę i Gordona do borny<sup>1071</sup>, natychmiast zniknął.

Obu gości posadzono obok wodza, co było oznaką życzliwości. Wkrótce wniesiono wielkie, napełnione kopiasto ryżem blaszane miednice, mleko, maniok, orzechy w liściach i kartofle pieczone w ognisku. Przed wodzem i gośćmi postawiono misę z kurzym mięsem i jajami. Do glinianych kubków nalano jakiegoś podejrzanie wyglądającego płynu. Kisumu sięgnął po napitek i zachęcając białych do tego samego, wyjaśnił:

— Marafu!

— To wino palmowe — głośno przetłumaczył Gordon i znacznie ciszej ostrzegł Smugę, by pił niewiele, bo wino może być „wzmocnione” jakimś specjałem.

— Kali sana — Kisumu jakby usłyszał i zrozumiał Gordona.

— Mówi, że to bardzo ostre — rzekł Anglik.

Przepili do siebie. Wino miało rzeczywiście ostry smak i paliło gardło. Posiłek, suto zakrapiany alkoholem, coraz bardziej ożywiał nastroje biesiadników. Smuga na próżno rozglądał się za Nowickim. Zauważył, że nie ma również Mungi. Niepokoił się, nie mógł bowiem przewidzieć, co planuje marynarz.

---

<sup>1071</sup> — Borna — centralny plac w wiosce, miejsce publicznych spotkań.

Tymczasem Murzyni pochłaniali niesamowitą ilość jedzenia. Smuga zwrócił uwagę Kisumu na to, że mogą się rozchorować. Wódz tylko się roześmiał i wytłumaczył, że ma wspaniałe lekarstwo od białego uzdrowiciela. Smuga, któremu zależało na utrzymaniu wodza w trzeźwości, poprosił o dokładniejsze informacje. Kisumu skinął głową na jednego ze swych ludzi.

— Chupa!

— To znaczy butelka — szepnął Gordon.

Po chwili przed zdumionymi Europejczykami postawiono wielki kosz. Wódz odesłał posłańca, osobiście rozwiązał sprytnie uszczelnione wieko, uchylił je, włożył dłoń i wyciągnął małą, może ćwierćlitrową butelkę, na dnie której znajdowało się nieco płynu. Z nabożeństwem i skupieniem podał ją Smudze, mówiąc:

— *Dawa kali sana!*<sup>1072</sup>

— To popularny środek na przeczyszczenie! — zaśmiał się podróżnik, ale potem pochylił się, uważnie studiując napis na nalepce. — Nie do wiary — szepnął sam do siebie.

— Co się stało? — spytał Gordon.

— Proszę spojrzeć, gdzie ów środek został wyprodukowany! — rzekł Smuga.

— „*Kraków, 1905*” — czytał Gordon. — Ależ to polski lek!

— Tak, to nieprawdopodobne — powiedział Smuga i zamierzał wypytać wodza o „*białego uzdrowiciela*”, gdy nagle wszyscy umilkli. Smuga zdumiony uniósł głowę.

Przed ogniskiem stanął czarownik w rytualnym stroju i władczym gestem uniósł rękę. Niewielkiego wzrostu, o pomarszczonej, groźnej twarzy, z błyszczącymi oczyma o nienaturalnie rozszerzonych źrenicach. Niemal nagi pod przerzuconą przez ramię lamparcią skórą, zdobny w miedziane bransolety przeplecione czarnymi strusimi piórami, w barwnym pióropuszu również nimi gęsto poprzątkany. W ciszy rozpoczął swój rytualny taniec. Krążył wokół ogniska, sypiąc na ogień jakimś zielem wydającym ostrą, nieprzyjemną woń. Wysoki słup dymu wznosił się niemal pionowo w górę. Czarownik dołączył do rytmicznych kroków zawodzący śpiew.

Najpierw w śpiewie, a potem w tańcu zaczęli towarzyszyć mu mieszkańcy wioski. Mężczyźni ciasno otoczyli ognisko, tak że wódz i jego

<sup>1072</sup> — *Dawa kali sana* — lekarstwo bardzo mocne.

goście znaleźli się wewnątrz kręgu. Uderzali rytmicznie w swe skórzane tarcze. Z tyłu zawodziły kobiety. Kisumu ocierał pot z czoła, mimo że noc była chłodna. Jeszcze siedział, ale i on zaczął podrygiwać w rytm śpiewu i tańca. Smuga wymownie spojrzął na Gordona i obaj dyskretnie przygotowali broń.

— Spróbujmy się wycofać — szepnął Anglik.

— Owszem, to najlepsze wyjście — odparł Smuga. Nieznacznie zaczęli przesuwając się do tyłu, poza blask ognia. Nie uszło to uwagi czarownika, z pozoru całkowicie pochłoniętego rytuałem. Nagle pojawił się tuż przed nimi. Zaczął coś rytmicznie wykrzykiwać. Odpowiadał mu chór mężczyzn. Smuga uważnie wsłuchiwał się w ten swoisty dialog. Spokojnym gestem sięgnął po fajkę, żarzącym się ognikiem starannie przypalił tytoń i zaciągnął się.

— Jeszcze czekajmy — szepnął. Gordon przyjrzał mu się z podziwem.

— Na co? Trzeba się stąd wyrwać!

— Tak! Ale jeszcze nie teraz.

Kłęb dymu fajkowego spletał się z tym znad ogniska.

— Kiedy? — gorączkował się Gordon.

— Gdy zupełnie się zatracą w tym szaleństwie i przestaną widzieć.

— Ale kiedy? — z naciskiem powtórzył Gordon.

— Wkrótce! Powiem! — odparł Smuga. — Obaj strzelamy wtedy do czarownika i w nogi! Tylko celuj pan dobrze, prosto między oczy!

Napięcie rosło. Czarownik zawodził coraz szybciej, a chór odpowiadał coraz głośniej:

— Kto chce zabrać nam nasze obyczaje?

— Wazungu! — ryknął chór.

— Kto przybył z łowcami niewolników?

— Wazungu!

— Kto chce zabrać nam nasze żony?

— Wazungu!

— Kto nienawidzi czarnych?

— Wazungu!

— Kto ma skórę w barwie żałoby?

— Wazungu!

— Kto przybył z północy, by podbić nasz kraj?<sup>1073</sup>

— Wazungu!

— Kto jest winien busingizi?<sup>1074</sup>

— Wazungu!

— Kto przysłał lwa ludojada?

— Wazungu!

— Kto nie pozwolił na złożenie ofiary?

— Wazungu!

— Kto przybył do wioski, by nas zniszczyć?

— Wazungu!

— Kogo trzeba zabić?

— Waazuuunguuu!!!

Smuga zgasił fajkę i cicho spytał Gordona: — Gotów?

— Tak! — odparł tamten, wyjmując z kabury pistolet.

W tym samym momencie usłyszeli dziki warkot bębna. W blasku ognia pojawił się niewielki orszak. Na czele Awtoni, co sił wałący w bęben czarownika, za nim Munga, pozbawiony jakichkolwiek elementów żałoby, ale za to uzbrojony po zęby, na końcu cudacznie przebrany No wieki. Pomalowany na czarno, w narzuconej na nagi tors skórze lamparta, upolowanego przez Smugę, z opaskami z lamparciej skóry na«> rękach i nogach, w mosiężnej obręczy na szyi, z pękiem bajecznie kolorowych piór we włosach, z kolczykami w uszach wyglądał dostojnie, groźnie i... bardzo komicznie. Uniósł ku górze obie ręce i głośno krzyknął:

— *Bassi!*<sup>1075</sup>

Zapadła cisza. Czarownik, zaskoczony, znieruchomiał. Murzyni jakby nagle oprzytomnieli. Gordon schował broń, a Smuga ledwie powstrzymał śmiech. Nowicki okrążył najpierw ognisko, powoli niczym potężny niedźwiedź, potem nagle zatrzymał się przed czarownikiem. Wskazał palcem na swoją głowę i powiedział z naciskiem:

— *Ras–Sukuo!*

Miało to oznaczać, że dobry duch rezyduje w jego głowie.

<sup>1073</sup> — Powszechnie znana przepowiednia głosiła, że Uganda zostanie podbita, jeśli biały człowiek wkroczy do niej od północy. Wykorzystał to sprzyjający Arabom Mwanga, jeden z murzyńskich królów, który w 1885 r. rozkazał zamordować pierwszego biskupa anglikańskiego: Jamesa Hanningtona.

<sup>1074</sup> — Busingizi — śpiączka.

<sup>1075</sup> — Bassi — dosyć!

Czarownik sięgał mu zaledwie do piersi. Wykazał jednak sporo odwagi, stając mu naprzeciw. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem w złowrogiej ciszy.

Nowicki pochylił się gwałtownie nad Murzynem i jednocześnie uczynił krok do przodu. Zdawało się, że tamten stawia mu opór, ale marynarz zrobił następny krok i czarownik zaczął się cofać. Nowicki, pochyłony, niemal następował mu na stopy. Znowu rozległ się warkot bębna i marynarz rozpoczął swoją wielką przemowę.

— Przybyliśmy, aby was ocalić. Ras–Sukuo! Ras–Sukuo! Awtoni tłumaczył z angielskiego, a Munga wykrzykiwał każde przetłumaczone zdanie we właściwym rytmie. Odpowiedział mu szmer zdziwienia.

— Ale spóźniliśmy się, bo trzeba było zabić lamparta, by przywrócić wam Awtoniego. Dobrze mówię? Ras–Sukuo! Ras–Sukuo!

Przez gwar niedowierzania przebiło się nieśmiałe potakiwanie. Nowicki ruszył wokół ogniska w dziwnym rytmie: krok dłuższy, trzy krótkie, dłuższy, krótkie. I znowu...

— Ocaliliśmy Mungę. Prawda? Ras–Sukuo! Ras–Sukuo!

— O, prawda! Prawda! Wielka prawda! — niektórzy zaczęli pokrzykiwać coraz śmieiej.

Nowicki gestem zachęcał do udziału w rytmicznym chodzie.

— A teraz zabijemy lwa, który pożera wasze bydło i waszych ludzi. Zgoda? Ras–Sukuo! Ras–Sukuo!

— *Nawala, buana*<sup>1076</sup> — krzyknął Kisumu. Albo uwierzył, albo zrozumiał grę białego człowieka.

— *Hawala, buana* — powtórzył za nim chór jego ludzi.

— Chcemy was ocalić. Zgadzacie się? Ras–Sukuo! Ras–Sukuo!

— *Hawala, buana!*

— I razem zniszczymy waszych wrogów! Ras–Sukuo! Ras–Sukuo!

— *Hawala, buana!*

Nowicki systematycznie podnosił głos, a ostatnie zdanie już prawie wykrzyczał.

Potem zaczął cicho nucić jakąś melodię. Za chwilę rozbrzmiała głośnieją. Wokół ogniska zaczęła krążyć w jej rytmie gromada uzbrojonych Murzynów. Rej wodził Munga. Obaj z cudacznie przystrojonym marynarzem wciągnęli do korowodu wszystkich mężczyzn. Czarownik zniknął.

---

<sup>1076</sup> — *Hawala, buana* — dobrze, panie.

Smuga usłyszawszy pierwsze takty melodii, skrył twarz w dłoniach, nieomal płacząc ze śmiechu. Gordon niczego nie mógł pojąć, zaś Nowicki całkowicie zapanował nad sytuacją: w głębi Czarnej Afryki tańczył swój taniec w rytmie: jeden długi krok, trzy krótsze, znów długi i znów trzy krótkie. Jeden długi i trzy krótkie... I tak w kółko...

— Czy pan wie, co oni tańczą? — Smuga, krztuszający się ze śmiechu, ulitował się wreszcie nad Gordonem.

Anglik przecząco pokręcił głową.

— To polonez!

— Polonez?

— Tak! Polski taniec narodowy! Ten, to akurat jeden z najbardziej znanych: „*Pożegnanie Ojczyzny*” Ogińskiego — wyjaśnił Smuga i zaczął wtórować Nowickiemu, gwizdząc.

— A ja myślałem — szepnął Gordon, że polski taniec narodowy to mazur.

— To z powodu melodii naszego hymnu narodowego napisanej w rytmie mazurka — odparł Smuga, zapraszając Gordona do korowodu...

\* \* \*

Późną nocą Nowicki zbierał zasłużone gratulacje.

— Co też ci przyszło do głowy? — zapytał Smuga.

— Najpierw przypomniała mi się sztuczka Tomka z naszej poprzedniej wyprawy do Afryki. Cóż... Murzyni są jak dzieci. Jeśli się ich czymś zadziwi, gotowi są to traktować jak nadprzyrodzone zjawisko.

— Ale polonez? — dociekał Smuga.

— Ano, jakoś samo z siebie to wyszło. Myślałem najpierw o polce albo oberku, ale tu potrzeba było czegoś wolniejszego, poważniejszego... Więc, do stu tysięcy wielorybów, rąbnąłem poloneza. Nieźle mi to nawet wyszło, nie? — chełpił się marynarz.

— Całkiem dobrze — uśmiechnął się Smuga. — Warto nauczyć Murzynów jeszcze czegoś polskiego. Tym bardziej że jest tu już polski ślad.

— Polski ślad? Gdzie? — żywo zareagował Nowicki.

— Otóż wódz, w przyływie dobrego humoru, pokazał mi butelkę z lekarstwem na żołądek, wyprodukowanym w Krakowie. Skądże to się tu wzięło?



— Ha! — rozpędził się Nowicki. — Dla nas Polaków, nie ma nic niemożliwego!

— No, wystarczy już o tym. Zastanówmy się, co powinniśmy robić dalej.

— Możemy teraz wykorzystać zaufanie Murzynów — rzekł Gordon. — Ale najpierw trzeba rozprawić się z lwem.

— Poczekajmy na Wilmowskiego. Wtedy zapolujemy — odparł Nowicki.

— Wobec tego, chodźmy spać. Dzień był pełen wrażeń — zakończył rozmowę Smuga. — I możemy spać spokojnie, bo Munga czuwa!

— I Awtoni — roześmiał się Nowicki, wskazując zwiniętego w kłębek i śpiącego smacznie chłopca.

\* \* \*

Zmęczeni walką i ucztą Murzyni spali. Czarownik zniknął w dżungli, obmyślając zemstę. Czuwał jedynie uzbrojony Munga, szczęśliwy, że istoty, które uważał za dobre duchy, obdarzyły go zaszczytem przyjaźni...



## POLOWANIE NA LWA LUDOJADA

Wilmowski, zwinawszy obóz, przybył do wioski Kisumu w asyście czarnych żołnierzy i tragarzy, którzy oprócz normalnego obozowego sprzętu dźwigali upolowanego przezeń po drodze samca impala<sup>1077</sup>. Zdecydował o tym przypadek. Natknęli się po prostu na liczące około dwudziestu pięciu sztuk stadko, zamieszkujących wschodnią i południową Afrykę antylop. Co więcej, impala wchodziły właśnie w okres godowy i byli świadkami zażartej walki samców o przewodnictwo. Przegrany samiec stał się łatwym celem, a odgłos strzału tak przeraził pozostałe, że zniknęły błyskawicznie, pokonując przestrzeń kilkumetrowymi skokami.

W chacie przydzielonej białym przez wodza natychmiast po króciutkim powitaniu odbyła się narada. Postanowiono podzielić siły.

Gordon miał poprowadzić wzdłuż wschodnich wybrzeży Jeziora Alberta grupę zwiadowczą, złożoną z askari i wzmocnioną przez udział Mungi. Liczono, że przy pomocy Mungi uda się zdobyć w sąsiednich wioskach dość informacji, by ustalić, czy „*żelazny faraon*” ma coś wspólnego z napadami na nie i handlem niewolnikami.

Smuga, Wilmowski i Nowicki musieli jak najszybciej rozprawić się z lwem ludożercą, aby umocnić z trudem pozyskane zaufanie i życzliwość ludzi Kisumu.

Zaledwie się więc spotkali, a już czekało ich kolejne rozstanie.

Patrol Gordona, żegnany przez przyjaciół, wyruszył wczesnym rankiem. Smuga, Wilmowski i Nowicki zaraz potem zaczęli omawiać plan niebezpiecznych łowów.

— Lwy żyją na ogół w stadach złożonych z dziesięciu, dwudziestu osobników — wyjaśniał właśnie Smuga. — I chociaż samce walczą ze sobą o rolę najważniejszego, to wbrew powszechnej opinii, nie są przewodnikami stada. Przewodnikiem stada jest zawsze lwica. Ona daje znak do rozpoczęcia

---

<sup>1077</sup> — Impala (*Aepyceros melampus*) — gatunek z rodziny krętorogich, z grupy gazeli. Długość ciała — do 2 m, rogów — do 0,75 m, wysokość — do 1 m, waga — do 90 kg. Płowoszare lub rudawe. Pod brzuchem i na nogach jaśniejsze, często białe. Rogi tylko u samców. Zamieszkuje tereny otwarte we wschodniej i południowej Afryce.

łowów, ona pierwsza atakuje i zabija albo rykiem rozkazuje czynić to samcom.

— Skąd więc lwy samotniki? — spytał Nowicki.

— To przeważnie słabsze samce: ranne lub chore, przepędzone przez gromadę. Atakują bydło domowe, no i ludzi, bo to najłatwiejszy łup.

— Stare, chore, to rozumiem — mówił dalej Nowicki. — Ale skąd ranne? Czy może po walce z silniejszym przeciwnikiem, z rywalem?

— Nie tylko — odparł Smuga. — Zwierzęta, na które polują lwy, nie są tak bezbronne, jakby się wydawało. Potrafią się bronić i to nieraz bardzo skutecznie. Czy widzieliście kiedyś, jak polują lwy?

Obaj jego rozmówcy zaprzeczyli, więc Smuga ciągnął swój wykład.

— Miałem kiedyś to szczęście... Czailiśmy się w pobliżu wodopaju, wykorzystując wybudowany przez myśliwych maczan<sup>1078</sup>. Nie lubię tego rodzaju polowania. Myśliwy siedzi sobie wygodnie, bezpiecznie i strzela jak do tarczy.

— To ci dopiero bohaterowie — zadrwił Nowicki. — Najpierw włożą ze strachu na drzewo, z którego potem z wielką odwagą strzelają.

— Nie o tym jednak zamierzam wam opowiedzieć — ciągnął dalej Smuga. — Do wodopaju przyszły zebry. Z góry dostrześliśmy podkradające się do nich lwy. To był wspaniały widok! Zręczne, zwinne i ciche jak koty, czołgały się bezszelestnie pod wiatr, który wiał od strony upatrzonego łupu. Było ich pięć. Otoczyły wodopój i uderzyły. Atak powiódł się tylko częściowo. Dwie zebry padły natychmiast: jedna z przegryzionym gardłem, druga ze złamanym kręgosłupem. Pozostałe utworzyły krąg, stając łbami do siebie i wierzgając kopytami. Jakiś mniej ostrożny, młody lew, który zaatakował podbrzusze jednej z zebra, dostał się pod wierzgające kopyta i ledwie uszedł z życiem. I oto odpowiedź na twoje pytanie, Tadku. Z takich potyczek nie wychodzi się bez ran. Stąd też potem osobniki słabsze, żyjące samotnie poza stadem. Coś takiego mogło się przydarzyć naszemu lwu.

Smuga na chwilę zamilkł i wrócił do tematu, który ich interesował.

— Dobrze byłoby, aby pojawił się w pobliżu wioski jak najszybciej.

— Musimy spróbować go do tego nakłonić — odrzekł Wilmowski.

1078

---

— Maczan — platforma do polowania.

— Cóż, dorosły osobnik potrzebuje codziennie co najmniej pięć kilogramów mięsa, a jest zdolny do spożycia jednorazowo nawet czterdziestu kilogramów...

— A to głodomór — skomentował Nowicki.

— Właśnie, a nasz musi być głodny. Będzie więc szukał czegokolwiek, a wiadomo, że lwy żywią się również padliną. Rzucimy mu część twojego łupu, Andrzej. Zostawimy antylopę na pastwisku dla bydła.

— Ha, sępy skutecznie zwabią naszego lwa, a hieny ponowią zaproszenie wieczorem. Przyjdzie na pewno! Możecie ufać mojemu nosowi — pogodnie stwierdził Nowicki. — Przyda się lwia skóra dla wielkiego białego czarownika — dodał żartobliwie, prostując swą potężną postać.

— Raczej podarujemy ją wodzowi — z uśmiechem skomentował tę przechwałkę Smuga. — Choć tak naprawdę to zasłużył na nią Munga — Wilmowski, jak zawsze, starał się być sprawiedliwy.

— Mości panowie! Nie dzielmy przed czasem skóry na niedźwiedziu... to jest, chciałem rzec, lwie — roześmiał się Nowicki. — A teraz do dzieła!

\* \* \*

Resztki antylopy pozostawili na przylegającym do dżungli pastwisku, a sami rozpoczęli czuwanie przy małym ognisku, obserwując kołujące nad padliną sępy — sygnał dla wszystkich padlinożerców. Spodziewali się, że lew nadejdzie od strony lasu. Wilmowski proponował wzniesienie niewielkiej zeriby, która dawałaby poczucie bezpieczeństwa, ale Nowicki ani myślał się z tym zgodzić. A tym razem przyłączył się do niego także Smuga.

— Murzyniaki wezmą nas za tchórzy — oponował marynarz. — Ograniczylibyśmy sobie w ten sposób pole ostrzału — poparł go, znacznie racjonalniejszym argumentem, wytrawny myśliwy.

Czas oczekiwania dłużył się. Z tym większym zainteresowaniem słuchali opowieści Smugi o myśliwskich przygodach, choć ten przestrzegł od razu, że fantazja ludzi polujących na zwierzęta dorównuje co najmniej wyobraźni północnoamerykańskich Indian.

— Miałem kiedyś, jak ty byś to powiedział, Tadku, znajomego, którego tubylcy nazywali „*Joe jedna kula*” z powodu celności strzału. Mówiono o nim, że trafia w cytryny z odległości czterystu jardów<sup>1079</sup>.

---

<sup>1079</sup> — Jard (yard) — angielska miara długości, 1 jard = 91,44 cm.

— Fiu, fiu — zagwizdał Nowicki. A Smuga tylko się uśmiechnął i opowiadał dalej:

— Któs go wieczora wybrał się na polowanie. Zwierzyna trafiła się już na skraju lasu. Był to siedzący na gałęzi manganowca lampart, co samo w sobie stanowiło wyzwanie losu, ponieważ te akurat drapieźniki na widok ludzi szybko znikają. Joe błyskawicznie podniósł karabin, zarepetował, wymierzył i strzelił... Lampart znikł. Pudło kompletne.

— Zdarza się i najlepszym — skomentował Wilmowski.

— Ano powiadają: „*Żołnierz strzela, Pan Bóg kule nosi*” — dodał Nowicki.

— To jeszcze nie koniec historii. Następnego wieczora Joe znowu wybrał się w tę stronę i znowu na tym samym drzewie ujrzał tego samego lamparta. I tym razem spudłował. Lampart jednym skokiem zginął w zaroślach.

— Czy ten Joe polował sam?

— Otóż właśnie, nie! Towarzyszył mu masajski tropiciel, nasz wspólny znajomy, Mescherje<sup>1080</sup>. Tym bardziej więc ucierpiał myśliwski prestiż... Tak! Lampart stał się jego obsesją. Gdy wyszli na step następnego wieczora, drapieźnik rozparty na tym samym drzewie, jak mówił Joe, wyraźnie na jego widok przeciągnął się wyniośle i ziewnął...

— Szkoda, że nie odwrócił się tyłem — zaśmiał się cicho Nowicki. A Wilmowski zapytał: — Trafił tym razem?

— Znowu nie! I tak było przez kolejnych pięć dni. Szóstego — sukces był połowiczny. Raniony w tył karku lampart nie pojawił się więcej.

— A nie roześmiał się czasem na pożegnanie? — zapytał ubawiony Nowicki.

— No, powiedzmy, że z pogardą chrząknął, naśladując pawiana<sup>1081</sup> zakończył opowiadanie Smuga.

— Słyszałem, że lamparty są niebezpieczniejsze od lwów — powiedział Wilmowski.

— O tak, są niewątpliwie zwinniejsze i sprytniejsze. Ważą i mierzą o połowę mniej<sup>1082</sup>. Atakują w absolutnej ciszy, nie ostrzegając warczeniem, jak

<sup>1080</sup> — Jeden z bohaterów powieści *Tomek na Czarnym Łądzie*.

<sup>1081</sup> — Głos lamparta przypomina chrząkanie pawiana, o którym mówi się też, że „szczeka”, podobnie jak pies.

czynią czasem lwy. Skaczą na odległość sześciu stóp<sup>1083</sup> albo atakują, skacząc z drzewa. Niektórzy twierdzą, że to jedyne spośród zwierząt, które zabijają dla przyjemności. Zdarza się dość często, że żyją na peryferiach afrykańskich miast, podobnie jak kojoty, lisy czy szopy. Otoczyliśmy kiedyś takiego lamparta na przedmieściach Nairobi. Nie miał żadnej możliwości ucieczki. Ukrył się w stercie drzewa i nie wyczuły go nawet psy. Następnej nocy uciekł, a my strzelaliśmy na wiwat.

— Wobec tego może lampart powinien uchodzić za króla zwierząt? — zastanawiał się Wilmowski. — Masajowie mówią, że królem sawanny jest słoń, następcą tronu bawół lub nosorożec. Lew — to leń! Gdy jest najedzony, w jego pobliżu mogą paść się spokojnie impala, gnu, bawolce, posiadające znakomity węch, zebry ze swym wspaniałym słuchem i strusie, które dzięki swym długim szyjom z daleka dostrzegają niebezpieczeństwo. Struś chowa głowę w piasek, gdy jest zaniepokojony, impala prycha, tomi<sup>1084</sup> ostrzegawczo tupie, a potem skacze w górę i zmyka, gdzie pieprz rośnie...

Nadchodził zmierzch. Słońce dotknęło linii horyzontu. W krzakach zaszeleścił podmuch wiatru, zadrgało jeszcze rozgrzane powietrze i zapadła ciemność. Lwy, doskonale widzące w ciemnościach, zwykle lubią polować, zanim wszędzie księżyc. Blask księżycy działa na nie podniecająco, stają się nerwowe i skłonne do napaści. Ten, na którego czekali myśliwi, atakował jednak na ogół około północy, nigdy wcześniej: czasami wybierał nawet wczesny ranek. Tak przynajmniej twierdzili Murzyni. Do północy pozostało jeszcze parę godzin. Noc była widna.

— Przyjdzie? — po raz kolejny zastanawiał się Wilmowski.

— Trzeba czekać — niezmiennie odpowiadał Smuga. Zamilkli, wsłuchując się w nocną ciszę.

— Jak często wśród drapieżników zdarzają się ludojady? — Nowicki zwrócił się z tym pytaniem do Smugi.

---

<sup>1082</sup> — Lampart mierzy do 140 cm, a waży około 60 kg. Lew, odpowiednio — 240 cm i 180 kg.

<sup>1083</sup> — Stopa — angielska miara długości (około 30 cm).

<sup>1084</sup> — Impala, gnu, bawolec, tomi — gatunki antylop.

— Na człowieka najczęściej poluje tygrys<sup>1085</sup>. Bywa że lampart, a nawet lew. W Kenii powszechnie znana jest opowieść o pułkowniku Pattersonie, inżynierze budującym most przez rzekę Tsavo<sup>1086</sup>...

W tym momencie usłyszeli przeciągły skowyt, przechodzący w śmiech. Awtoni, który od dawna smacznie spał u boku Wilmowskiego, zerwał się i szeroko otworzył oczy. Myśliwi drgnęli przy ognisku.

— Hieny. Wabią lwa — rzekł Smuga.

— Brrr... — wstrząsnął się Nowicki. — Przerażający ten chichot. Przegonię je.

Podniósł płonąca głównię i ruszył w kierunku padliny. Mignęło kilka szczerzących zęby cieni. Marynarz rzucił w tym kierunku płonąca szczapę, strzelając jednocześnie do jednej z hien, która zwinęła się w skoku. Pozostałe uciekły.

— Będzie więcej padliny — powiedział, siadając znów przy ognisku, a Smuga powrócił do rozpoczętej historii.

— Z powodu agresji pary lwich ludojadów musiano na kilka tygodni przerwać prace przy budowie kolei. Patterson, nie mający żadnego doświadczenia w tego rodzaju polowaniach, podjął ryzyko. Zastrzelił jednego drapieżnika. Drugiego zwabiono do metalowej klatki, ale zdenerwowany Patterson, strzelając z platformy, trafił w drut przytrzymujący drzwi klatki i uwolnił zwierzę, które natychmiast zaatakowało. Patterson schronił się na drzewie, skąd strzelał raz za razem. Dopiero dziewiątym pociskiem dobił lwa ludojada.

— Na szczęście ludojady trafiają się rzadko — Wilmowski odpowiedział na pytanie zadane wcześniej przez marynarza.

— Czasami winni są sami ludzie. Tam, gdzie dopuszczono do zagłady dzikich zwierząt, bezsensownie na nie polując, także tam, gdzie stada zdziesiątkuje zaraza, natychmiast pojawiają się drapieżni amatorzy ludzkiego mięsa.

---

<sup>1085</sup> — W 1907 r. myśliwy Jim Corbet (1875–1955) zastrzelił w Indiach tygrysicę z Cham-pawat, której przypisywano 436 ofiar ludzkich. W trzy lata później zabił lamparta z Panar, zabójcę 400 osób. Mając 63 lata, rozprawił się z tygrysicą z Thah, którą zwabił naśladować zew samca. Miał wielki szacunek dla zwierząt. Nazywał tygrysa „*mężnym gentlemanem*”. Jako jeden z pierwszych zwrócił uwagę na konieczność ochrony zwierząt.

<sup>1086</sup> — Było to w 1898 r.



Księżyc oświetlał step i wyniosłą ścianę lasu, pagórki i jezioro. Od czasu do czasu słyhać było wrzaski hien i szakali lub podobne do psiego szczekania dźwięki, jakimi zwoływały się zebry. Z piskiem przemknął nietoperz, zahukała nocna sowa. Brzęczały moskity. Było już dobrze po północy, kiedy myśliwi usłyszeli krzyk od strony wsi, który zerwał ich na równe nogi.

— Do stu tysięcy wielorybów — zaklął Nowicki. — Wlazł do wsi! Biegając blisko siebie, przygotowali do strzału broń. Wydało im się, że między drzewami mignął jakiś cień, ale gałęzie i ciemność nie pozwalały dojrzeć dokładnie.

— Stójcie! — krzyknął Smuga — Ostrożnie!

Zwolnili. Spostreżli tyralierę pochodni zbliżającą się od strony wsi.

— To Murzyni! Próbują zagnać lwa w naszą stronę — półgłosem przestrzegł Wilmowski.

— Celujcie dokładnie, aby nie zranić ludzi — dodał Smuga.

W tej samej chwili Nowicki dojrzał cień na tle jasnego nieba i dwukrotnie strzelił w tym kierunku. Usłyszeli przeraźliwy ryk i cień zniknął w trawie.

— Chyba go trafiłem — zawołał marynarz.

— Tadku, ostrożnie! — napominał Smuga.

Ryk zabrzmiał znowu. Tym razem bardzo blisko.

— Raca! Wystrzel racę, Tadku! — krzyknął Smuga, nie mogąc nigdzie dojrzeć lwa.

Nowicki wypalił z raketnicy. Pocisk na kilkanaście sekund rozjaśnił teren. Smuga dostrzegł czające się zwierzę tuż przed sobą. Czarna sylwetka zarysowała się wyraźnie, oświetlona blaskiem racy. Łowca błyskawicznie przyklęknął, przyłożył sztucer do ramienia i pociągnął za spust. Lew przeciągle jęknął i wszystko ucichło. Nowicki wystrzelił jeszcze jedną racę, ale zwierzę zniknęło. Podeszli do miejsca, gdzie przed chwilą je widzieli.

— Trafiliśmy! — powiedział Smuga. — Popatrzcie! Trawa była mokra. Nie od rosy. Lepiła się od krwi.

— Czekajmy do świtu — zdecydował Smuga. — Szukać go po nocy, to zbyt niebezpieczne.

Zaniepokojeni, zawrócili do wioski. Jeśli lew kogoś zabił, co będzie z nimi? Czy zerwie to wątłą nić sympatii?

Zobaczywszy, że nadchodzą, Murzyni przerwali krąg. Na ziemi z rozszarpanym zębami gardłem i brzuchem rozdartym pazurami leżał czarownik. Obok poszarpane resztki antylopy bongo.

Kisumu, trzymający w rękach bryłki soli zaczął opowiadać łamaną angielszczyzną. Czarownik zwabił solą bongo do karmnika<sup>1087</sup>. Zabił antylopę i umieścił ją na skraju wsi w pobliżu chaty gości, najwyraźniej po to, by przywabić lwa. Ale lew wszedł w głąb wioski. Widocznie natknął się na czarownika i zabił go.

— Ano, kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada — krótko skomentował tę opowieść Nowicki.

Kiedy słońce zabarwiło horyzont gamą różnorodnych barw, ruszyli tropem rannego lwa. Szli ostrożnie, brodząc w wysokiej trawie, z bronią gotową do strzału. Tylko Nowicki w prawej ręce dźwigał murzyńską włócznię, w lewej zaś tarczę. Przez ramię znowu przerzucił skórę lamparta.

Lew musiał być poważnie ranny, gdyż co kilkadziesiąt metrów odpoczywał, o czym świadczyła zgnieciona mocniej trawa, obficie zboczona krwią. Teren był otwarty, niemal równinny, gdzieniegdzie porośnięty krzewami.

Szli coraz ostrożniej. Nowicki na przedzie, rozgarniając dzidą trawę. Wtem spod jakiegoś krzaka, z głuchym warknięciem wyprysnęło płowe cielsko. Marynarz zdążył zasłonić się tarczą i jednocześnie zadać cios włócznią. Potężne uderzenie przewróciło go, a lew przetoczył się nad nim i runął w stronę Smugi. Powietrzem targnął strzał. Z boku poprawił Wilmowski. Lew zwinął się w powietrzu i upadł dosłownie o dwa, trzy metry od Smugi.

Nowicki podnosił się oszołomiony. Zadziwiające, ale nie odniósł żadnej rany. Ślady zębów pozostały na tarczy, a pazurów na skórze lamparta, co wprawiło w podziw towarzyszących myśliwym Murzynów. Marynarz rozpoczął wokół lwa triumfalny taniec, a oni ochoczo się do niego przyłączyli. Zgodnie ze zwyczajem zamierzali w tańcu przebić ciało lwa swoimi włóczniami, ale na to Nowicki nie zamierzał się zgodzić w obawie o całość skóry. Łaskawie zezwolił tylko na rozcięcie brzucha zwierzęcia. Uczynił to zręcznie Kisumu, wyjął parujące serce, położył je na przydrożnym kamieniu i

---

<sup>1087</sup> — Niektóre plemiona tak właśnie polują na antylopę bongo. Wokół karmnika z solą budują zagrodę z bambusów.

pokroił na maleńkie kawałki. Murzyni wierzyli bowiem, że zjadając serce lwa, mogą osiąść jego odwagę.

Smuga i Wilmowski postanowili nie przeszkadzać Nowickiemu w utrwalaniu jego świeżo zdobytej wśród Murzynów pozycji i wracać do wioski.

— Popatrz, Andrzeju. Teraz zdejmą skórę, zjedzą mięso, zachowując tłuszcz, szczególnie cenny, posłuchaj tego uważnie, jako lekarstwo na reumatyzm! — mówił Smuga, odchodząc.

— Od Gordona dowiedziałem się, że doskonałą maść na tę chorobę wyrabia się z tłuszczu elanda<sup>1088</sup>.

— A o tym nie wiedziałem — przyznał Smuga i w zamyśleniu dodał: — Murzyni dziwią się bardzo, że biali nie polują dla mięsa, lecz rogów, czy jak w przypadku słonia dla kości. Dla nich najważniejsze jest mięso, pożywienie.

— Tak. Upolowana zwierzyna jest zwykle niemal w całości wykorzystywana — zgodził się Wilmowski.

\* \* \*

— Janie! Wstawaj! — Nowicki szarpnął Smugę za ramię. — Wrócił Gordon!

— Słyszałem, że panowie nie próżnowali — Anglik już wchodził do chaty. — My też nie! Mamy wieści wręcz nieprawdopodobne!

Towarzyszył mu wychudzony młody Arab niewielkiego wzrostu, o charakterystycznych rysach twarzy. Gordon przedstawił go, a w jego głosie zabrzmiała radość i coś na kształt dumy.

— To jest, panowie, Madzid el-Hadż — powiedział z naciskiem. Zaskoczony Smuga spojrział uważniej.

— Na Boga, toż to syn Jusufa. Jakże to możliwe? — nawet Smuga tracił czasem opanowanie.

— A jednak — odrzekł uradowany Gordon.

Także młody Arab zdawał się gorączkowo szukać czegoś w pamięci.

— Na Allacha! Skąd?... Przecież...

— Tak, Madzid! To ja. Obaj z bratem nazywaliście mnie kiedyś „białym wujaszkiem”. Właśnie was szukamy w tej pełnej tajemnic i niespodzianek Afryce.

---

<sup>1088</sup> — Eland (*Taurotragus oryx*), zwana także „kanna” lub „oreas”. Gatunek z rodziny krętorogich, należy do antylop. Żyje w niewielkich stadach w Afryce równikowej i południowej.

Madżid nagle spoważniał i odwrócił oczy.

— Czyżby coś złego przydarzyło się twemu bratu?

— O tak! — odrzekł Arab. — Jest w niewoli u łowców niewolników.

— Czy przynajmniej żyje? — zniecierpliwiał się Smuga.

— Żyje — odpowiedział Madżid. — Ale jest uwięziony. Mnie uwolnił pan Gordon.

— Po kolei, panowie! Wysłuchajcie wszystkiego po kolei — Anglik przerwał tę pełną napięcia rozmowę. — Przede wszystkim usiadźmy i podsumujmy to, czego się dowiedzieliśmy.

Tak też zrobili, a Gordon zaczął opowiadać:

— Czwartego dnia po wyjściu z wioski obozowaliśmy na skraju dżungli i sawanny, jak zwykle zachowując ostrożność. Nagle z dżungli wyłonił się dziwny orszak, prowadzony przez niesionego w lektyce Metysa i sześciu uzbrojonych czarnych. Jak się okazało, strzegli oni około pięćdziesięciu niewolników, w tym ze trzydziestu pięciu mężczyzn. To był straszny widok. Wszyscy Murzyni powiązani łańcuchami. Niektórzy z głowami w dybach i związanymi rękami. Dzieci niesione przez matki albo przywiązane sznurami do szyi ojców. Wszystkie kobiety nosły na głowach ciężkie kosze. Munga rozpoznał w tym strasliwym pochodzie kilkunastu mieszkańców rodzinnej wioski. Staraliśmy się zachować spokój, mimo okrucieństwa, z jakim mieliśmy do czynienia. Nagle jeden ze strażników podniósł lancę, aby uderzyć lub zamordować jedną ze słabnących kobiet. W mgnieniu oka Munga cisnął w niego dzidą. Nie pozostawało nam nic innego, jak zaatakować. Nikt nie ocalał. Prowadzącego karawanę zatłukli niosący go niewolnicy, zanim zdążyłem interweniować.

— Nie udało się wam więc zdobyć zbyt wielu informacji... — zaczął sceptycznie Smuga.

— Trudno byłoby winić Mungę za nierozwagę. Ta kobieta to jego narzeczona — przerwał mu Gordon.

— Prowadzono nas — wyjaśnił Madżid — na zachód. Szeptano bowiem, że na południowo-zachodnim krańcu Jeziora Alberta w grubych, piaskowych pokładach znaleziono złoto. Utrzymywano to w tajemnicy, ale najpewniej tam mieliśmy być zatrudnieni.

— Ale czy odnaleźliście przynajmniej kryjówkę tych drani? — Nowicki wymownie zacisnął swe sękaty pięści.

— Owszem — spokojnie, choć nie bez dumy, odrzekł Gordon. Na chwilę zawiesił głos, po czym z wahaniem dodał: — Mówią, że handlarze uwięzili tam jakiegoś Europejczyka.

W nagłym napięciu zwróciły się ku niemu wszystkie twarze.



## ROZPRAWA

Na południe od miejsca, gdzie Nil wpada do Jeziora Alberta, by wkrótce wyrwać się z niego szerokim na kilometr korytem, w swą mozolną drogę ku północy, niemal dokładnie pośrodku między dwoma osadami, Butiabą i Butisą, utworzyła się spora zatoka. Niegdyś zatonął u jej brzegów angielski parostatek<sup>1089</sup>. Po latach wody zatoki opadły. Zasilająca je rzeka zmieniła koryto, a teren przeistoczył się w niedostępne bagnisko. Statek powoli zaczął wynurzać się na powierzchnię. Nie mógł zostać zepchnięty na wodę i uruchomiony, ale świetnie nadawał się na mieszkanie dla wędrowców różnego autoramentu: poszukiwaczy skarbów i przygód, handlarzy, uciekinierów przed prawem. Przed kilku laty przybył tu „człowiek z Północy”, by przejąć władzę nad mieszkańcami statku. Wkrótce kierował stąd łupieżczymi wyprawami po kość słoniową, futra, skóry i sól. Organizował napady na karawany. Aż wreszcie zaczął uprawiać proceder oficjalnie surowo zakazany: łowienie niewolników. Na ów „towar” nadal jeszcze nietrudno było znaleźć nabywców, zwłaszcza w niemieckich koloniach Afryki Wschodniej<sup>1090</sup>, jak również na znanej z handlu żywym towarem wyspie Zanzibar.

„Człowiek z Północy”, znany też jako „żelazny faraon”, znalazł nabywców i dostarczał im ludzi. Przeprowadził wiele takich transakcji. Zaczynał od wyłapywania Murzynów w dżungli bez zbytniego rozgłosu. Napad na wioskę Kisumu był pierwszym z przedsięwzięć zaplanowanych na szerszą skalę. Po którymś z takich „przedsięwzięć” na parostatek sprowadzono dwu arabskich kupców z Asuanu. Czy zostali porwani, czy przybyli tu robić jakieś interesy? Nie bardzo zaprzątano sobie tym głowę. W każdym razie wkrótce po gościnnym przyjęciu zaczęto traktować ich jak jeńców. „Człowiek z Północy” rozstrzygnął o ich losie: jednego zamierzał wysłać do kopalni złota, drugiego sprzedać na Zanzibarze.

---

<sup>1089</sup> — W 1886 r. po Jeziorze Alberta pływały dwa parostatki „Kedyw” i „Njanza”, które po pewnym czasie zatonięły.

<sup>1090</sup> — Na terenie dzisiejszej Tanganiki handlowano niewolnikami jeszcze w latach dwudziestych XX wieku.

Mieszkańcy parostatku nie obawiali się rozgłosu. Działali wszak na terenie królestwa Bunyoro, nie utrzymującego zbyt życzliwych kontaktów z Europejczykami. Czuli się bezpieczni i bezkarni w swojej niedostępnej siedzibie. Można ją było zaatakować jedynie od strony jeziora. Wschodu i południa strzegło bagnisko, północy — ogromny, ponad pięćdziesięciometrowy nawis skalny, z którego spadały w dół liczne strumienie. W bagnisku pozostałym po zatoce pławiły się krokodyle.

\* \* \*

Dzięki Madźidowi dzień, w którym niewielka wyprawa białych odnalazła niezwykłą siedzibę, nadszedł szybko. Rozbili nieopodal niewielki, dobrze ukryty obóz i jak zwykle podzielili siły.

Smuga, Nowicki i Madźid przyczaili się w wybranym punkcie obserwacyjnym na jednej ze skał, tuż nad statkiem. Niemal nieruchomi, wtopieni w skalny krajobraz, od wielu godzin czekali cierpliwie. A miejsce, gdyby nie to wszystko, co już o nim wiedzieli, wydawałoby im się spokojne i pełne uroku. Przez ciągły szum spadającej wody dobiegały ich głosy ptaków: a to spłoszonej czapli, która przeleciała nad nimi, a to przeraźliwy krzyk tropiącego łup jastrzębia. Zbliżał się wieczór i ożywiało się wodne ptactwo. Ciągnął gdzieś sznur dzikich gęsi. Ku wodzie frunęły z traw zimorodki i kormorany. Olbrzymie marabuty<sup>1091</sup> i ibisy brodziły w poszukiwaniu żab. Trójka zwiadowców, wpatrzona w stateczek, nie dostrzegała przedwieczornej urody otoczenia, w którym się znalazła. Każdy zdawał się być zatopiony we własnych myślach.

— Czy masz pewność, co do tego europejskiego jeńca? — Smuga zapytał szeptem Madźida.

— Tak! Na Allacha! Moje oczy nie raz go widziały. Bardzo go strzegą. Przywódca ma do niego bardzo osobliwy stosunek. Czasami wydaje się, że darzy go szacunkiem. Innym razem, że wręcz przeciwnie — żywi do niego jakąś niepojętą nienawiść — zdecydowanie odpowiedział Madźid.

---

<sup>1091</sup> — Marabut afrykański (*Leptoptilos crumeniferus*) — gatunek z rodziny bocianowatych. Zamieszkuje sawanny i wybrzeża wód w Afryce, z wyjątkiem południowych i północnych jej kresów. Trybem życia przypomina sępy, często szybuje w powietrzu. Gnieździ się na drzewach i skałach, tworząc kolonie. Osiąga długość około 130 cm, a rozpiętość skrzydeł — do 260 cm



Zamilkli. Wkrótce na spokojnym dotąd pokładzie zaczął się ruch. Kilkunastu zbrojnych ustawiło się wzdłuż obu burt z bronią gotową do strzału. Byli to Murzyni lub mieszańcy, ale dowodził Europejczyk. Nowicki drgnął na jego widok niczym koń potraktowany ostrogą.

— Do stu tysięcy diabłów! — zaklął z pasją. — Toż to Harry! Człowiek z korbaczem!

— Kto? — nieuważnie spytał, zajęty obserwowaniem ruchu na pokładzie, Smuga. Kiedy Nowicki krótko wyjaśnił, powiedział z namysłem: — A więc to człowiek „faraona”! Czyżbyśmy aż dwa grzyby mieli znaleźć w tym barszczu?

— Już ten jeden to niezły... muchomor — rzucił Nowicki. — Mam z nim do wyrównania spory rachunek.

Tymczasem otwarto klapy prowadzące pod pokład. Z czeluści poczęły wyłaniać się postacie. Byli to niewolnicy. Zasłaniali oczy przed blaskiem słońca, słaniali się na nogach. Każdy trzymał w ręku miskę i kubek, w które coś wlewano. Posilali się siedząc, kucając zwyczajem murzyńskim lub stojąc. Było ich dobrze ponad stu. Mężczyźni, kobiety, dzieci... Kilku zapędzono z powrotem na dół.

— Oczyszczą pomieszczenia i wyniosą trupy — półgłosem wyjaśnił Madzid.

Zwłoki wyrzucono bez ceregieli za burtę na łup krokodyli. Nowicki zaciskał pięści, a Smuga, nieruchomy, patrzył na to zimnymi, stalowymi oczyma. W ciągu godziny uporano się ze wszystkim i niewolnicy zostali znowu wpędzeni na dno statku.

— Teraz powinni wyprowadzić mojego brata — szepnął Madzid.

— A potem? — spytał Nowicki.

— Potem Europejczyka.

Zmrok pokrył fioletem całą okolicę. Głośniejszym rechotem ozwały się żaby nad bagnami. Na tle gasnącego nieba zawisły chmary moskitów. Rozległy się piski rozbudzonych nietoperzy i jaskółek, szukających noclegu. Na ciemne niebo wypłynął półksiężyc, rozpoczynając swą wędrówkę po niebie i wodzie niczym żółta łódka. Kiedy otworzyły się drzwi korytarza prowadzącego do mieszkalnych kabin było zbyt ciemno, by dokładnie dojrzeć jeńca wyprowadzonego przez trzech mężczyzn. Coś w sposobie poruszania się, czy może sylwetka jeńca, sprawiły, że serce Nowickiego przeszły nagła,

nieokreślona tęsknota, a żal za czymś nieodwołalnie utraconym na nowo schwytał go za gardło. W milczeniu obserwowali kilkunastominutowy spacer więźnia. Potem patrzyli, jak mieszkańcy statku układają się do snu. Od strony jeziora wystawiono strażę. Trwała noc, zakłócana jedynie monotonnym szmerem spadającej wody. Widzieli i wiedzieli dość. Postanowili wracać do obozu, by odpocząć do rana.

Wilmowski czekał na nich z gorącym posiłkiem. Usiedli przy nikłym ognisku.

— Czy uwolnienie jeńców jest możliwe? — zapytał Wilmowski.

— Tak, ale najłatwiejsze byłoby w dżungli — odparł z namysłem Smuga. — Tutaj są zbyt strzeżeni. Przedarcie się z jeziora nie wchodzi w rachubę.

— Z wojskowego punktu widzenia — wtrącił Gordon, który wysłał już żołnierzy z raportem i prośbą o posiłki — najprościej byłoby obsadzić brzegi skał i wezwać do poddania. A jak nie posłuchają, to podpalić to gniazdo szerszeni...

— Nie zamierzam brać udziału w takich jatkach, w których zginą niewinni ludzie — zdecydowanie sprzeciwił się, dziwnie dotąd milczący, Nowicki.

— Od frontu atak nie ma szans — powtórzył Smuga. — Zwłaszcza że Murzyni boją się krokodyli.

— Na razie cierpliwie obserwujmy. Musimy liczyć na sprzyjający przypadek — rozstrzygnął Wilmowski. — Tymczasem chodźmy odpocząć. Do świtu już niedaleko.

Nowicki nie mógł zasnąć. Zerwał się, zanim jeszcze słońce zaróżowiło horyzont, chociaż zwykle nie lubił wstawać rano. Poleżeć, poleniuchować nieco w pościeli, popatrzeć na ściany, sufit, poziewać — wszystko to uważał za przyjemniejszą stronę życia. Dziś jednak gnała go nieokreślona niecierpliwość. Przy tłącym się ognisku zastał już Wilmowskiego i Madżida. Posiliwszy się, we trójkę ruszyli na wybrany wczoraj punkt obserwacyjny. Ciepło słonecznych promieni uniosło ku górze parujące, wilgotne powietrze. Statek otuliła mgła, a kiedy się rozwiała, mogli zobaczyć poranny „spacer” niewolników. Tym razem Nadżib, brat Madżida, wyszedł razem z nimi. Nie wyprowadzono za to europejskiego jeńca. Nowicki zwrócił na to uwagę Wilmowskiego.

Przez chwilę rozmawiali szeptem o tajemniczym więźniu, zastanawiając się, kto to może być i w jakich okolicznościach dostał się do niewoli. W końcu zgodzili się z przypuszczeniem Madżida, że chodzi o jakiegoś chrześcijańskiego misjonarza, zwłaszcza że w ostatnich latach, jak wiedzieli, pojawiło się ich w Ugandzie bardzo wielu i anglikańskich i rzymskokatolickich. Prowadzili swoje prace, czasem rywalizując między sobą. Nie zawsze dostatecznie dyplomatycznie traktowali miejscowe, często barbarzyńskie, obyczaje, więc zdarzało się, że ich mordowano<sup>1092</sup>. Położyli jednak ogromne zasługi w likwidacji niewolnictwa w tej części Afryki. Trudniący się tym procederem mahometanie mogli ich nienawidzić. Rozumowanie takie mogło być przekonywające.

Tymczasem jednak na pokładzie trwał wzmożony ruch. Wyniesiono wysoki fotel, krzesła i ławki.

— Coś się szykuje — szepnął Wilmowski.

— To będzie sąd! Będą kogoś sądzić — krótko stwierdził Madżid.

— Jak to sądzić? — spytał zdumiony Wilmowski.

— Otóż to! — odparł Madżid. — Ich przywódca uważa się za praworządnego władcę.

— Ależ to szaleniec!. Madżid skinął głową.

— Na Allacha chyba tak!

Na pokładzie przygotowano prowizoryczną salę sądową z fotelem dla sędziego i stołkiem dla oskarżonego. W tle stanęli strażnicy i kilku murzyńskich niewolników, których wyprowadzono na tę okazję.

Kiedy wszystko było gotowe, ukazali się dwaj czarni strażnicy, ubrani w jednakowe, białe szarawary, także same koszule i kamizelki. Na głowach mieli turbany, a w rękach trzymali zakrzywione szable. Za pasem tkwiły zatknięte po dwa srebrzyste pistolety.

— To osobista ochrona przywódcy. Są bezwzględni i bardzo niebezpieczni! — szepnął Madżid.

Za nimi dostojnym krokiem podążał człowiek ubrany w szaty do złudzenia przypominające strój faraona. Rzuciły się w oczy skrzyżowane na piersiach atrybuty władzy: bicz i berło, przypominające pasterską laskę.

---

<sup>1092</sup> — Niemal równocześnie do Ugandy dotarli misjonarze. Sprzeciwiali się oni między innymi wielożeństwu, z czym trudno było pogodzić się wodzom i królom murzyńskim.

„Sally!” — przemknęła myśl. — Prawie jakbym był we śnie Sally... — zaczął mówić Nowicki, ale i on znieruchomiał, dostrzegłszy tuż za „faraonem” człowieka z korbaczem. Na końcu wprowadzono jeńca, którego tym razem mogli zobaczyć dokładnie w świetle białego dnia.

Nagły skurcz w gardle, sprawił, że marynarzowi wypadła z rąk lornetka. Wilmowski spazmatycznie chwycił ustami powietrze jakby chronił się przed uduszeniem i tak, z ustami rozwartymi jak do krzyku, znieruchomiał. Zapomnieli o Madżidzie i o jego wyjaśnieniach. Zapomnieli o całym bożym świecie. Przed sobą mieli bowiem Tomka. Tomka wynędzniałego, wychudzonego, ale przecież żywego! Żywego Tomka!

Niełatwo przychodziło im w to uwierzyć po tych wszystkich dniach i tygodniach poszukiwań, rozdarcia między rozpaczą a nadzieją. Ale w dzień widzieli z tej skały wszystko wyraźnie jak na dłoni. To był Tomek! W niezrozumiałej na razie i jak się wydawało niebezpiecznej sytuacji. Ale naprawdę Tomek zdrowy i cały.

— Jezus, Maria! — wyszeptał Nowicki. — Zostałem wysłuchany! Zostałem wysłuchany!

Po twarzy Wilmowskiego powoli toczyły się łzy.

\* \* \*

Fakt ponownego spotkania Tomka „faraon” uznał za niezwykle zrządzenie losu. Wydał go wszak na pastwę pustyni. A oto pustynia oddała swego zakładnika. Przeznaczenie zaś z powrotem postawiło go na jego drodze. Nie mógł tego pojmować inaczej niż jako nadprzyrodzony znak, nieznanym obowiązkiem nałożony nań przez Boga.

„Wola Allacha! Insz Allah” — myślał. „Skoro sam Bóg odmienił wydany przeze mnie wyrok, zapragnął w ten sposób do mnie przemówić”.

Najpierw w jego chorym umyśle zrodził się pomysł, by Tomasza... zatrudnić! Był przekonany, że to się to uda. Znał wielu Europejczyków i ich nieprawdopodobną chciwość. Zawsze czegoś pożąдали: pieniędzy, sławy, znaczenia, władzy czy choćby antycznych przedmiotów i zwykłych, niewiele wartych pamiątek... Tomek odrzucał jednak wszystkie propozycje. Zdziwiło to „faraona”, a potem rozczarowało i zdenerwowało tak, że zawsze stawał się bliski załamania lub wybuchu gniewu w jego obecności.

Z czasem zaczął traktować opór Tomka jako jedyną przyczynę wszelkich swoich niepowodzeń, symbol fatum, jakie nad nim zawisło.

W panice musiał jednak opuścić Teby, a jego interesy na północy kraju należało uznać za całkowicie zawieszony. Postanowił przeciąć wewnętrzne rozdarcie, wywoływane „złą” obecnością tego więźnia. Ale jak, skoro miał do czynienia z zastanawiającym znakiem bożym? Wybrał... sąd.

Tomek zajął więc miejsce oskarżonego naprzeciw „tronu”. Obaj młodzi ludzie długo mierzyli się wzrokiem. W gorejących oczach sędziego płonęła udręka i nienawiść. W oczach sądownego nikt nie mógłby dostrzec niczego innego niż opanowanie i spokój. Tomek nie miał złudzeń. Uratować mógłby go jedynie cud. Nienawiści mógł przeciwstawić jedynie godność.

Rozpoczęła się rozprawa. Sędzia sam, nienaganną angielszczyzną, zadawał pytania.

Za każdym razem odpowiadało mu milczenie. Tomek zachowywał się tak, jakby to wszystko nie tylko go nie dotyczyło, ale i w ogóle do niego nie docierało. Patrzył ponad pokład statku, na otaczający go, jakże piękny świat. Uniósł głowę ku pobliskim skałom i uśmiechnął się do siebie.

Zapadła cisza. Tomasz, wciąż jeszcze z cieniem uśmiechu na ustach, spojrzął z ironią i pogardą w oczy „faraona”. Ten jednak choć zaskoczony postawą Tomka — na co dzień napotykał jedynie lęk swych podwładnych — poważnie traktował swoją rozprawę. Wprowadzono świadków. Najpierw dwu Arabów. Ich zeznania tłumaczono oskarżonemu. Wynikało z nich, że dowodząc daabiją, Tomek znęcał się nad arabską załogą, że pobił i wyrzucił na brzeg arabskich współpasażerów, aby przywłaszczyć sobie wynajęty stateczek.

— Wszystkich? — spytał sędzia.

— Nie — odrzekli świadkowie. — Niektórych zakuł w kajdany i chciał oddać do brytyjskiego więzienia.

Tomasz uśmiechnął się znowu. „*Oto — pomyślał — jak łatwo można przeinaczać prawdę*”. Ci, którym na prośbę Nowickiego ułatwiono ucieczkę, teraz zeznawali przeciw niemu. Wtedy było ich jednak pięciu, teraz jedynie dwóch. Gdzież mogła być reszta?

— Ilu was było? — sędzia zdawał się czytać w myślach Tomka.

— Pięciu. Ale trzech zostało zastrzelonych w czasie ucieczki odparli.

— Kto jest temu winien? — padło kolejne pytanie.

— Oskarżony — odparli.

„*A więc to tak*” — pomyślał Tomek. „*Trzech pozostałych już zginęło, a ci są tutaj, w centrum Afryki. Próżno Nowicki łudził się nadzieją, że może czeka ich lepszy los*”.

Na świadka został także powołany Harry, który oskarżył Tomka o okradanie grobowców. Ten fragment zeznań przetłumaczono nawet murzyńskim niewolnikom, którzy popatrzyli na Tomka przerażonym wzrokiem. Miejsca spoczynku ich zmarłych były bardzo szanowane, a sprofanowanie tych miejsc stanowiło największą winę żyjącego.

Milczenie Tomka wobec pytań i zeznań świadków uznano za przyznanie się do winy. Zapytano go jeszcze, czy chce coś powiedzieć, a kiedy odmówił, „*sąd*” udał się na naradę.

„*Faraon*” wstał, przeszedł na rufę statku, obrócił się ku wschodowi i rozpoczął jakiś obrzęd. To wznosił ręce, zdobne insygniami władzy, to je opuszczał. Bił korne pokłony w stronę słońca to znów nieruchomiał z zamkniętymi oczyma. Odwrócony tyłem do wszystkich zamarł w bezruchu i tak trwał. Mijały minuty...

W blasku słońca, pomniejszony przez odległość, w swoim dziwacznym stroju, do złudzenia zdawał się przypominać uszebti, magiczną figurkę sprzed wieków: nieruchomy, zatrzymany w skupieniu posążek faraona. Tomek pomyślał o Sally, która marzyła by móc przenieść się w zamierzchłe czasy faraonów. Pomyślał także o ojcu, jakże samotnym. O Nowickim, pozostawionym na pustyni. O Smudze, podziwianym wzorcem swego życia. „*Gdybyż oni tu byli, gdybyż byli*” — myślał i żal targnął jego sercem.

Ale już „*sędzia*” wracał na swoje miejsce, by ogłosić wyrok.

— Oskarżony jest wielkim zbrodniarzem — mówił. — Zasłużył na śmierć. Gdybym był zwykłym sędzią, taki byłby wyrok. Ale ja jestem władcą miłosiernym i nie skazuję ludzi na śmierć. Dlatego wyrok mój brzmi: „*kąpiel*”! To wszystko.

Zostanie wykonany o świcie.

\* \* \*

Trójka ludzi ukrytych w cieniu skały tuż nad statkiem chłoneła każde słowo.

— Byłem już raz świadkiem takiego sądu — gorączkowo szeptał Madzid; jak tylko usłyszał sentencję wyroku. — Rankiem o 200 metrów stąd przywiążą małe, puste czółno. Potem wyprowadzą skazańca i wrzucą do jeziora. Jeśli dopłynie do łódki, jest ocalony...

— Ale przecież roi się tu od krokodyli!

— Dzięki temu wyrok władzy zostanie potwierdzony przez moce nadprzyrodzone — z goryczą odparł Madzid.

— No to do roboty. Mamy przed sobą całą noc — z naciskiem powiedział Nowicki.

W pośpiechu wracali do obozu. Tu wspólnie rozważyli możliwości ataku. Nie było ich wielu. Szybko przyjęli więc jedyny możliwy plan. Smuga omawiał go właśnie z Gordonem:

— Czekajcie w czółnach. My spróbujemy dostać się na statek od góry. Obezwładnimy strażników. Jeśli się uda, będziecie mogli bezpiecznie podpłynąć. Pamiętaj: trzykrotny chichot hieny — droga wolna. Jeśli nie, sami wiecie, co robić. My nie oddamy im Tomka. Raczej zginiemy razem z nim.

\* \* \*

Nadchodził zachód słońca. Ogromna, czerwieniejąca kula toczyła się w dół, by skryć się za górami. Na tle jej gasnącego światła wszystko wydawało się wyrazistsze. Odcinały się pagórki, las, pojedyncze drzewa. Pobłyskiwały fale jeziora. Las milkł, by później ożyć głosami nocnych zwierząt.

W małym obozie trwały gorączkowe przygotowania. Nowicki i Wilmowski zaopatrzyli Gordona w listy pożegnalne do rodziców Sally, samej Sally i do Karskich. „*Na wszelki wypadek*”, jak powiedział Wilmowski. Tylko Smuga nie napisał do nikogo. — Mam jedynie was — rzekł krótko.

W końcu nic nie zostało już do zrobienia. Nowicki, Smuga, Wilmowski i kilku Murzynów z Mungą na czele, czekali nadejścia nocy wśród skał. Nie ucieszyli się, kiedy nadeszła. Była nad podziw jasna, co zwiększało jeszcze niebezpieczeństwo. Murzyni przygotowywali długie liny, splecione z lian. Wilmowski i Madzid obserwowali dwóch strażników, czuwających od strony jeziora. Co jakiś czas, któryś wstawał, przeciągał się albo wyruszał na mały spacer po pokładzie. Płynęły sekundy, minuty, godziny... Smuga drzemał oparty o skałę. Wilmowski zamyślony wpatrywał się w gwiazdy. Nowicki dokładnie czyścił broń. Ktoś wreszcie ruszył go za ramię. Był to Smuga.

— Pora! — powiedział Smuga.

Skinął głową, wyprostował się i spojrział w dół.

— Brrr! Do stu tysięcy wielorybów! — westchnął. — Jak trzeba, to trzeba...

Postanowili zejść na dół w miejscu osłoniętym skalnym uskokiem i szumem wody małego wodospadu. Na wysokości 5 metrów wypatrzyli dogodny skalny występ, gdzie można się było zatrzymać. Spuszczono pierwszą, obciążoną ciężkim kłocem drewna linę, która miała służyć jako dodatkowe zabezpieczenie. Pierwszy ruszył Nowicki. Energicznie przewiązał się lianami pod ramionami i rzekł zawiadaczająco:

— Życzcie mi szczęścia. Będę miał co opowiadać wnukom...

— Powodzenia! — pokazał gestem Smuga.

Ruszył ostrożnie, starając się schodzić bardzo cicho. Na szczęście szum wody tłumiał zdradliwe szmery i hałasy. Pierwsze kilka metrów, gdy widział u góry twarz Wilmowskiego kierującego Murzynami, popuszczającymi owiniętą wokół drzewa linę, było stosunkowo łatwe. Potem spojrział w dół. *„Szkoda, że nie jestem ptakiem. Przypominam raczej niedźwiedzia”* — mruknął. Całym ciałem przylgnał do skały, szukając oparcia dla rąk i nóg. Posuwał się bardzo wolno, pilnując jednocześnie rezerwowej liny. Wkrótce zdrętwiały mu palce. Wiele razy odpoczywał, przywierając sztywno do skały. Do półki skalnej dotarł wyczerpany niemal do cna i całkiem mokry zarówno z wysiłku, jak i wody rozpryskiwanej przez strumień.

Za nim rozpoczął wędrówkę Smuga. Gdy znaleźli się obok siebie, odetchnęli z ulgą. Pierwszą część zadania mieli za sobą. Spojrzeli w dół. Mimo głębszych niż na górze ciemności zarys statku był wyraźny. Z góry spuszczone w dół niewielkie, murzyńskie, jednoosobowe czółno. Smuga wychylił się zza półki skalnej i wypatrując w ciemności krokodyli, powiedział:

— Mam nadzieję, że śpią...

— Jak nie, to może się okazać, że są jeszcze przed kolacją... — cichutko zaśmiał się Nowicki.

— Skoroś taki zuch, to do dzieła — rzekł Smuga.

Jak najciszej spuścili czółno na wodę. Smuga pokazał Nowickiemu pływające się nieopodal cielsko potężnego krokodyla, przypominające potężny kłoc drewna. Wydawało się, że śpi albo nie żyje. Smuga wiedział jednak



doskonale, jak szybko potrafi zaatakować. Trwożliwy na łądzie, w wodzie bywa straszny. Wskazał na potężną paszczę gada, wciśniętą w bagnistą ławicę, podczas gdy ogon spoczywał w wodzie.

— Mieliśmy dotąd wiele szczęścia — szepnął najciszej jak mógł.

— Uważaj — ostrzegł jeszcze — mają doskonały słuch.

— Zginąć w paszczy krokodylszczaka to zaszczyt dla warszawiaka — mruknął Nowicki. Zebrał się w sobie, sprawdził broń i delikatnie zszedł do czółna, które miękko ugięło się pod jego ciężarem. Bezszelestnie dołączył do niego Smuga. Pełni napięcia, delikatnie poruszając wiosłem, zaczęli płynąć ku statkowi. Smuga raz i drugi otarł pot z czoła. Nie spuszczając oka z nieruchomego cielska, opłynęli potężny ogon i dobili do burty. Smuga pierwszy znalazł się na pokładzie. Po chwili obaj, zaczajeni, rozglądali się czujnie.

Na tle jasnego nieba wyraźnie rysowała się sylwetka jednego ze strażników. Przechadzał się miarowo: kilka kroków do przodu i powrót.

— „*Gdzie jest drugi?*” — Smuga zadał to pytanie gestem uniesionych ku górze dwóch palców, a Nowicki tylko pokręcił przecząco głową.

Nie pozostało im nic innego, jak go szukać. Skradali się bezszelestnie, modląc się w duchu, by w porę dojrzeć drugiego strażnika i by nie? zbudził się żaden ze śpiących na pokładzie. Tymczasem pierwszy strażnik stanął przy burcie i oddał mocz. Potem podszedł do jakiegoś zakamarka i po chwili obok niego pojawił się ten drugi, który widocznie tam drzemał. Rozmawiali cicho, po czym jeden ułożył się do snu, a drugi zaczął obchód.

Smuga spadł na niego jak lampart. Chwycił go z tyłu za szyję, uniemożliwiając krzyk i kolbą rewolweru uderzył w głowę. Ze śpiącym poszło jeszcze łatwiej. Leżeli obaj dokładnie zakneblowani i związani. W ciszy tropikalnej nocy rozległ się chichot hieny. Jeden... drugi... trzeci...

Nowickim i Smugą owładnęła teraz jedna myśl: jak najszybciej odnaleźć Tomka. Znali na pamięć rozkład kajut. Po wielekroć powtarzali informacje uzyskane od Madzida, egzaminując się wzajemnie. Z bronią w ręku śmiało zeszli pod pokład...

Tomka więziono w pomieszczeniu, które było kiedyś schowkiem na narzędzia. Po prostu ciemna nora. Zamknięty w niej dniem i nocą wychudł i zbladł. Fizyczną kondycję zawdzięczał uporczywie powtarzanej gimnastyce, a także temu, że nie załamał się psychicznie. Tej nocy nie spał w ogóle. Chciał

przeżyć ostatnie godziny swego życia w pełni świadomości. Mijały minuty. Panowała cisza. Możliwe, że pierwszy szelest zarejestrował czysto instynktownie. Zaczął nasłuchiwać. Tak, nie mylił się. To były ostrożne, skradające się kroki. Coraz bliżej... Ucichły... Czyżby ten ktoś zatrzymał się przy drzwiach jego więzienia? Ciche, jakby znajome chrząknięcie. Tomek zaczął opuszkami palców delikatnie uderzać w drzwi.

— Brachu! — dobiegł szept. — To ty? Tomek pomyślał, że śni.

— Tadku! Ty tutaj? — szepnął przytulony do drzwi. Cichuteńki skrzyp drzwi... i już był w ramionach przyjaciół. Smuga naglił.

— Musimy uwolnić niewolników i uwięzić przywódcę...

— Pokażę jego kabinę — powiedział Tomek. Nowicki podał mu rewolwer.

— Idź ze Smugą. Ja wyjdę na pokład i otworzę luki.

— Gdzie jest reszta strażników? — to znowu Smuga, rozważny, opanowany, gotów do działania.

— Śpią w kabinach wzdłuż korytarza. Niektórzy na pokładzie — szepnął Tomasz.

— Uwolnijmy jak najprędzej niewolników. Pomogą nam unieszkodliwić strażników — gorączkował się Nowicki.

— Mam inny pomysł — pokręcił głową Tomek. — Zamknijmy strażników w ich kabinach.

— Jak? — Smuga natychmiast to zaaprobował.

— Drzwi każdej z kabin można unieruchomić bardzo prosto, zatykając kołkiem. Tak jak ja tu byłem zamknięty.

— No to do dzieła! — zatarł ręce Nowicki.

Uwinęli się z tym szybko i bez zbędnego hałasu. Zatyczki były zadziwiająco solidne. Nawet silnym mężczyznom nie udało się ich sforsować od razu.

— Siedzą jak sardynki w puszcze — cieszył się Nowicki. — Otwieram luki.

— Tomku, teraz „faraon” — zdecydował Smuga.

Szczęście towarzyszyło im jak dotąd niczym stary, dobry przyjaciel. Smuga i Tomek podeszli do drzwi niewielkiej kajuty. Smuga chwycił za uchwyt, próbując je otworzyć. Były zaryglowane od wewnątrz.

— Janie, zostanę tutaj — powiedział Tomek — a ty idź, pomóż Nowickiemu.

— Dobrze. Strzelaj celnie. I uważaj na jego osobistą ochronę.

W tej chwili w ciszę szarzejącej nocy wdarł się krzyk. Smuga wyskoczył na pokład. Nowicki otwierał właśnie luki. Krzyczał Harry, który nie tracił czasu. Mierzył właśnie do jednego ze zbliżających się murzyńskich czołen.

— Nie! — krzyknął głośno Smuga. Harry drgnął. Kula zamiast w Gordona, dla którego była przeznaczona, trafiła w ramię jednego z Murzynów.

Ci, którzy spali na pokładzie, rozpoczęli bezładną strzelaninę. Tymczasem czołna dobiły do burty. Zanim Gordon wskoczył na pokład, Smuga starł się z dwoma przeciwnikami. Jeden zginął natychmiast, zastrzelony, drugiego, któremu kula przeorała policzek, zwałił z nóg silny cios w podbródek. Sytuacja zdawała się być opanowana. Niektórzy poddawali się właśnie żołnierzom Gordona, z innymi walczyli Murzyni. Do walki włączali się niewolnicy, którzy przez otwarte luki wydostali się na pokład.

Tym razem Nowicki nie zgubił Harry'ego. — Nareszcie! — krzyknął i zaatakował. Harry cudem uniknął zwarcia, a marynarz siłą rozpędu wpadł na barierkę. Odwrócił się błyskawicznie i po swojemu kpiąco uśmiechnął. Od dawna wierzył, że musi pokonać Harry'ego, by naprawdę mogli odzyskać Tomka. Harry cofał się wolno, oczekując kolejnego ataku. Nowicki kocim ruchem zbliżył się do niego. Nagle przeciwnik uskoczył w bok i gwałtownie się schylił, ale Nowicki w porę zrozumiał i tym razem był szybszy. Nogą kopnął trzonek korbacza, wpychając bicz między rzeczy leżące na pokładzie. Jednocześnie wyprowadził cios. Harry zareagował z opóźnieniem i pięść marynarza trafiła go... w ucho. Nowicki nie wytrzymał i roześmiał się głośno:

— Teraz było w ucho — powtórzył dobrze zapamiętane słowa. — A co powiesz na to? — znacząco wskazał podbródek.

Harry, któremu dzwoniło pod czaszką, wycharczał:

— Spróbuj! — I zaatakował. Jego pięść ledwie jednak musnęła twarz marynarza, a jednocześnie potworna kontra w podbródek rzuciła go na ścianę kajuty.

Teraz Nowicki dopadł Harry'ego jak burza. Chwycił lewą ręką za koszulę tuż przy gardle, wciskając go w ścianę. Zacisnął prawą dłoń, uniósł, by zadać nokautujący cios. Zauważył jednak mętne oczy przeciwnika. Powstrzymał

wzniesioną do ciosu pięść i puścił Harry'ego. Ten z wolna osunął się na podłogę. Usiadł i nie próbował się podnieść.

— Ma dość! — uznał Nowicki i poczuł ogromną ulgę. Uśmiechnął się do siebie, podszedł i wyciągnął z kryjówki korbacz. Strzelił nim triumfalnie nad głową...

Tymczasem Smuga zszedł pod pokład do Tomka. Młody Wilmowski, pobladły z emocji i wysiłku, czuwał przy drzwiach kajuty „faraona”.

— Nie próbował wyjść? — zdziwił się Smuga.

— Nie — odpowiedział Tomek.

— A strażnicy?

— Wciąż próbują na nowo. Chyba słyszysz.

— Przyślę ci kilku ludzi. Zastrzelcie każdego, kto wyjdzie. Tomek skinął głową. Rozumiał, że nie było innego wyjścia.

Na pokład wyprowadzano wciąż niewolników. Niektórzy byli w kajdanach lub tak słabi i chorzy, że trzeba im było pomóc. Harry'ego i kilku jego ocalałych ludzi strzegli żołnierze Gordona.

— Tadku! — zawołał Smuga. — Weź kilku ludzi, zejdziemy pomóc Tomkowi.

Kiedy znaleźli się na dole, Smuga zawołał:

— Otwieraj! Nie masz szans. Jesteś otoczony. Odpowiedziała mu cisza.

— Wyważmy drzwi — zaproponował Nowicki.

— Pamiętajcie o jego ochronie — ostrzegał Smuga.

Marynarz po prostu potężnie kopnął w zamek. Po chwili drzwi stały otworem. Wypadł zza nich Murzyn. Sztychem szabli zaatakował Nowickiego. Ten umknął, stosując unik. Rozległ się głuchy odgłos strzału i Murzyn upadł na twarz. Szabla utkwiła w drzwiach. Smuga spokojnie ładował rewolwer.

— Mówiłem ostrożnie! — powiedział chłodno.

Zajrzeli do środka. Na łóżku dostrzegli postać człowieka. Wydawało się, że śpi, ale kołdrę, którą był przykryty, plamiła krew. Nie był to przyjemny widok.

Smuga, Nowicki i Tomek zatrzymali się tuż przy drzwiach. Oto człowiek, który doprowadził do tragedii wielu ludzi. Zdolny, operatywny, ale z umysłem owładniętym chorą, złowrogą ideą. Do końca nie potrafili jej zrozumieć. Ich triumf zaprawiony został goryczą.

Nowicki w końcu podszedł i odsłonił twarz leżącego. Była czarna! A więc to nie „faraon”, jak sądzili. Najpewniej drugi z Murzynów stanowiących osobistą ochronę. Teraz dopiero zauważyli szeroko otwarty bulaj. Nowicki wyjrzał na zewnątrz. Poblady odwrócił się w stronę przyjaciół.

— Pełno tam wściekłych krokodylszczaków — powiedział z niechęcią. Smuga i Tomek wyjrzel również i opanowała ich groza.

— Zginął śmiercią, którą przygotował dla mnie — szepnął Tomek.

— Chodźmy. Nic tu po nas — szorstko powiedział Smuga.

— Jeszcze chwilę — Tomek chciał rozejrzeć się po kajucie.

Na jednej ze ścian wisiały insygnia faraonńskiej władzy. Pod nimi na małym stolczku obok świecznika stał jakiś przedmiot, przykryty kawałkiem złocistej tkaniny. Tomek podniósł materiał. Zaśnił posążek faraona w myśliwskim stroju. Pierwszy wziął go do ręki Smuga.

— Sally mówiła, że jest zbyt lekki, jak na zrobiony ze złota. Rzeczywiście jest zbyt lekki.

— Masz rację, Janie — potwierdził Tomek, uśmiechając się tajemniczo.

— Co się za tym znowu kryje? — zniecierpliwił się Nowicki.

— Kiedyś wam o tym opowiem. — Tomek zabrał posążek z rąk Smugi. Korytarz był pełen hałasu i ludzi. Przy każdej z kabin czuwał jeden z żołnierzy Gordona i Murzyni Kisumu.

— Uciszcie się! — zawołał Smuga. — Dajemy wam dwie minuty, potem was stamtąd wykurzymy i zostawimy Murzynom.

— Puście nas wolno? — spytał zza drzwi jakiś głos.

— Żadnych gwarancji! — odparł Smuga. — Poddajcie się.

— Zapewnicie nam życie?

— Oddamy was Anglikom — odparł Smuga. — Ich sprawa, co z wami zrobią.

— Poddajemy się! — odparł głos.

Wkrótce prawie trzydziestu handlarzy niewolników zakuto w kajdany, których tu nie brakowało. Wszystkich wpędzono pod pokład, gdzie dotąd więzili Murzynów.

\* \* \*

Gordon musiał pozostać ze swoimi żołnierzami na statku, by pilnować więźniów.

Polacy chcieli jak najszybciej wracać ze względu na Tomka, osłabionego długim więzieniem. Wilmowski gorąco pragnął wywieźć go czym prędzej z niebezpiecznego, gorącego, wilgotnego klimatu. Myśleli także o pozostawionej w Chartumie Sally, chorej i samotnej, do której nieprędko dotrą dobre wieści. Marzyli o dniu w którym znowu będą razem. Szczęśliwi jak nigdy dotąd i jak nigdy dotąd świadomi kruchości tego szczęścia.

Jednemu zaproszeniu nie mogli wszakże odmówić. Musieli wziąć udział w uczcie w wiosce Kisumu. Udali się tam całą czwórką. Towarzyszyli im Madżid i Nadżib, uwolniony razem z Tomkiem. Smuga upolował jeszcze dwie antylopy, by nie przybywać z pustymi rękami.

Zanim jeszcze nadszedł wieczór uczty, do Nowickiego podszedł Awtoni.

— *Kuja!*<sup>1093</sup> *Kuja!* — powiedział.

— Co mówisz? — spytał Nowicki — Iść za mną! — Awtoni powtórzył po angielsku.

Marynarz, a także Tomek i Madżid bez słowa ruszyli za nim. Chłopiec zaprowadził ich na swoją ulubioną polanę i usadawił w zaroślach na jej skraju. Sam zaczął krążyć po łące, pogwizdując z cicha. W krzakach naprzeciw usłyszeli szelest. Zaniepokojony Nowicki chwycił za broń. Tomek uspokajająco położył mu dłoń na ramieniu.

W wysokiej trawie pojawił się ptak. Wyciągał szyję i jakby przeciągał się, rozpościerając skrzydła. Podniósł i opuścił głowę, klekocąc, jakby kłaniał się przed Awtonim. Ten chwycił go za szyję i zaczął głaskać. Ptak przyjmował pieśczętę cierpliwie i z wielkim zadowoleniem. Stalowe pióra, z lekko zielonym i granatowym odcieniem, unosiły się z rozkoszą. Awtoni przemawiał do niego półgłosem. Wreszcie zawołał cicho:

— *Buana! Buana! Kuja!*<sup>1094</sup>

Z wielką ostrożnością podeszli bliżej. Ptak zaczął kręcić głową, otwierając swój ogromny dziób, ale uspokojony przez Awtoniego pozwolił im się zbliżyć.

— *Abu markub* — szepnął Madżid. — Ojciec pantofla — przetłumaczył na angielski arabską nazwę ptaka.

— Tak, to trzewikodziób<sup>1095</sup> — potwierdził Tomek. — Mamy szczęście. Żyje tylko w tej części Afryki.

<sup>1093</sup> — Kuja — chodźcie

<sup>1094</sup> — Buana! Kuja! — panie, chodźcie.

Byli wzruszeni niezwykłą przyjaźnią chłopca z dzikim, wolnym ptakiem. Przyjrzawszy mu się do woli, zostawili Awtoniego z ulubieńcem, a sami wrócili do wioski.

Wieczorem rozpoczęła się uczta. Smuga poprosił Kisumu, aby pokazał im owo cudowne lekarstwo na przejedzenie. Wszyscy czterej Polacy z prawdziwym zdumieniem oglądali buteleczkę z lekiem wyprodukowanym w Krakowie, lekiem, który Murzyni w tej wiosce czcili niemal jak fetysz. Według wodza, dziwny biały uzdrowiciel gościł w ich wiosce ze cztery lata temu.

— To wielki czarownik — tłumaczył Kisumu. — Wielki jak buana — dodał, patrząc na Nowickiego.

— O! Tak! Wielki czarownik — wtórował Munga.

Kisumu tymczasem począł grzebać w koszu i z nabożną czcią wydobył kajet i... ołówek. W zeszycie było kilka odręcznych szkiców typów ludzkich, charakterystycznych dla tej części Afryki. Murzyni tłumaczyli, że biały mierzył ich, zaglądał do ust i wszystko przenosił na papier.

— Wielki, wielki czarownik! — mówili z zachwytem, przewracając białkami oczu.

— Kto to mógł być? — zastanawiał się Nowicki.

— Przypuszczam, że jakiś uczony <sup>1096</sup> — odparł Wilmowski. — W ostatnich latach organizowano wiele wypraw naukowych do Afryki. Jeśli był Polakiem, to z pewnością pochodził z Galicji, bo lek wyprodukowano przecież w Krakowie.

\* \* \*

---

<sup>1095</sup> — Trzewikodziób (*Balaeniceps rex*) jedyny gatunek rodziny trzewikodziobów. Długość ciała — około 120 cm, rozpiętość skrzydeł — do 70 cm, zamieszkuje brzegi bagien i wód śródlądowych. Występuje na stosunkowo niewielkim obszarze we wschodniej części Konga, w południowym Sudanie, Ugandzie i nad jeziorem Czad.

<sup>1096</sup> — Z pewnością chodzi tu o polskiego antropologa i etnografa Jana Czekanowskiego, który w czasie naukowej wyprawy leczył Murzynów z przejedzenia środkami na przeczyszczenie. Czekanowski Jan (1882–1965) polski antropolog i etnograf, profesor uniwersytetów we Lwowie, Lublinie i Poznaniu, prowadził badania antropologiczne w środkowej Afryce. W latach 1907–1909 wziął udział w niemieckiej wyprawie, ale większość badań prowadził samodzielnie. Pracował na terenie Ugandy, Ruandy (dziś: Rwanda) i południowego Sudanu. Przebył w czasie tej wyprawy około 7000 km.

Zaplanowali drogę powrotną w ten sposób, by pomóc Gordonowi przy transportowaniu jeńców do Hoima, stolicy królestwa Bunyoro. Gordon obawiał się, że z garstką czarnoskórych żołnierzy nie podoła zadaniu.

Usadowili jeńców w kilku długich łodziach. Ci zachowywali się spokojnie. Zrezygnowani, nie próbowali ucieczki. Harry, zwany człowiekiem z korbaczem, mimo że próbowano z nim rozmawiać, nie wymówił ani jednego słowa. Patrzył tylko z pogardą i nienawiścią.

Z Butiaby, jednego z portów u wybrzeży Jeziora Alberta, dotarli do Hoima drogą wśród wulkanów, poprzetykanych dżunglą z potężnymi, przeszło trzydziestometrowymi drzewami mahoniowymi i hebanowymi. Mijali sawannę pokrytą polami upraw tytoniu, prosa i kukurydzy. W Hoima przyjął ich wicegubernator z ramienia Wielkiej Brytanii oraz panujący czarnoskóry król Bunyoro, Andrea Luhanga. W kilka dni później, przeznaczoną specjalnie dla nich, rządową szalupą wyruszyli z Butiaby do Rejaf położonego w pobliżu pierwszej, licząc od południa, katarakty na Nilu.

Tomek głównie odpoczywał i nabierał sił. Obiecał przyjaciołom dokładną relację o tym, czego doświadczył i jak żył przez cały ten długi okres, kiedy uważali go za zmarłego. O cokolwiek go jednak pytali, odpowiadał niezmiennie: — Później. Później, kiedy będziemy razem, kiedy spotkamy się wreszcie wszyscy. I nie martwcie się — dodawał z przebłyskiem dawnego humoru — wystarczy tego na długie dni i godziny.

Często oglądali za to posążek faraona, o którego istnieniu i utracie opowiadała Smudze i Wilmowskiemu Sally w obozie u stóp Kolosów Memnona. Zastanawiali się wciąż, jaką też kryje tajemnicę? A Tomek uśmiechał się, biorąc go do ręki. Jakby wiedział...



## OPOWIEŚĆ TOMKA

Tak jak trudno znaleźć słowa, aby opisać spotkanie ojca z nieodwołalnie, jak się zdawało, utraconym synem, czy też szaleńczą siłą nadziei na jego życie, tak też próżno by się trudzić, aby wyrazić to, co czuła Sally. W angielskich koszarach w Chartumie, wciąż jeszcze słaba po ataku malarii, witała przyjaciół, zdrowych i całych: Smugę, Nowickiego, Wilmowskiego, którego kochała jak ojca, a z nimi... Tomka. Wśród gwaru powitań było to... jak kropla ciszy, minuta wytchnienia. Dopiero później mogli się cieszyć jak dzieci. Opanowało ich przemożne pragnienie, by jak najszybciej znaleźć się na statku płynącym do Europy. Tak jakby oznaczało to, że wreszcie wracają do domu.

Niewiele czasu spędzili w Chartumie, tyle by pożegnać Gordona, którego polubili. Podobnie było w Asuanie, gdzie witali ich gorąco, równie stęsknieni, Patryk i Dingo. Madzid i Nadzib chcieli również podejmować swoich specjalnych gości. Ale ci nie próbowali dociekać, w jaki sposób obaj kupcy dostali się w ręce „faraona”, choć opowiadali barwnie o wszystkich nieszczęściach, jakie ich spotkały ani słowem nie wspominając interesów, które zagnały ich tak daleko na południe. Teraz interesowało ich tylko jedno: przeżycia Tomka. Ale i to odłożyli do momentu, kiedy wsiądą na statek. Chcieli wysłuchać wszystkiego w skupieniu.

A zajęło to wiele popołudni i wieczorów...

## PORWANIE PORWANEGO

Kiedy was opuściłem, ciebie Tadku i Patryka, poszedłem na zachód. Miałem spory zapas wody, ale coraz mocniej dokuczał mi głód. Coraz mocniej paliły promienie słońca. Uporczywie brnąłem w opornym piasku i skwarze. Ludzie pustyni mawiają: „*Wędrowałem samotnie przez wydmy i tylko Bóg mi towarzyszył*”. Jeszcze nigdy tak dojmująco nie doświadczyłem tej prawdy... Ciężaru dojmującej samotności. Przy życiu utrzymywała mnie woda, siła woli i pamięć. Pamięć zwłaszcza dawała mi nadzieję. Myślałem o tobie Tadku, o Patryku... O Sally. O Smudze i moich rodzicach. Może to dziwne, ale najczęściej o matce, co wówczas wydało mi się złą wróżbą.

Nie wiem, ojcze, czy pamiętasz, dworzec kolei warszawsko-wiedeńskiej. Żegnaliśmy cię wtedy, gdy udawałeś się na emigrację. Ta scena tak bardzo utkwiała mi w pamięci, chociaż miałem niewiele lat. Nie rozumiałem, dlaczego mama płacze, a ty ukradkiem ocierasz oczy. Nie rozumiałem, czemu tak mocno przyciskasz mnie do piersi. Byłem pod wrażeniem, bo jeszcze nigdy nie wyjeżdżałeś, a ja po raz pierwszy byłem na dworcu. Na pewno nie wiesz, że kiedy pociąg zniknął, mama powiedziała:

— Nie wolno płakać! Musimy żyć, synku! Musimy żyć dla ojca! Samotny na bezbrzeżnej pustyni często powtarzałem sobie te słowa.

Mówiłem do siebie z uporem:

— Muszę dojść! Muszę ich ocalić! Muszę!

Wydawało mi się zresztą w pewnym momencie, że jestem już blisko, że czuję wilgotny powiew. I wtedy przyszedł najpoważniejszy kryzys. Z trudem trzymałem się na nogach, kilka razy upadłem. Zabrakło mi wody, suchość paliła gardło, oczy szczypały i kleiły się. Musiałem odpocząć. Musiałem! Nie dałbym rady iść dalej.

Nadchodziła noc, więc usiadłem w cieniu skały i wyczerpany zasnąłem. Jak długo trwałem w półśnie, półjawie, tego nie wiem. Zdawało mi się, że pojawiły się przy mnie jakieś postacie. Ktoś mnie karmił, ktoś poił... Gdzieś jechałem... Kiedy się ocknąłem, leżałem w cieniu palmy, na jakiejś derce czy skórze... Usłyszałem parskanie wielbłądów. Kręcili się ludzie. Dostrzegli, że się poruszyłem. Ktoś podszedł i pochylił się nade mną. Po chwili poczułem smak mleka.

„*Cóż to za ludzie?*” — myślałem. Próbowałem ich pytać, ale odpowiadali mi w nie znanym języku. Było ich trzech, ubranych zupełnie na czarno. Zasłonili twarze, ale uważałem, że to coś zwyczajnego na pustyni. Przygotowywali się do wieczornego odpoczynku. Przymknąłem oczy, a gdy je otworzyłem, jeden z owych ludzi odwijał właśnie z twarzy zawój i pochylił się nade mną. Przeraziłem się nie na żarty! Miał zupełnie niebieską twarz, twarz przypominającą trupią. Później trochę ochłonałem i przypomniałem sobie relacje Arabów o „*ziemi strachu*” gdzieś w głębi Sahary, którą zamieszkują „ *błękitni ludzie pustyni*”. Ale możecie sobie wyobrazić niesamowite wrażenie. Przez chwilę zdawało mi się, że nie jestem już na tej ziemi. Dlatego tak doskonale to pamiętam i tak szczegółowo o tym opowiadam.

Próbowałem z nimi rozmawiać, wytłumaczyć, że muszę dostać się do Luksoru, ale rozkładali bezradnie ręce. Chciałem, by zrozumieli, że nie mogę z nimi jechać, bo moja droga prowadzi akurat dokładnie w przeciwnym kierunku. Perorowali długo po swojemu, potem wskazywali na mnie i powtarzali jedno słowo:

— Marabut...

Wiedziałem, że ptak ten, podobny do bociana, zamieszkuje Afrykę, ale nie występuje raczej na jej północnych i południowych krańcach. Dlaczego więc zwracając się do mnie, używano jego nazwy? Na razie zrezygnowałem z wszelkiego wyjaśniania, bo i tak nie byłem w stanie porozumieć się z jeźdźcami. Traktowali mnie z powagą i szacunkiem, dzieląc się ze mną jedzeniem. Cóż to była za dieta! Na okrągło wielbłądzie mleko i daktyle. Ich smak towarzyszył mi, kiedy wkraczałem w najosobliwszą chyba przygodę, jaką kiedykolwiek przeżyłem...

## KARAWANA

Minęło kilka dni. Sunęliśmy na zachód. Zbliżał się wieczór, gdy moi wybawiciele zatrzymali się nagle i zaczęli gestykulować, coś pokazywać, wyjaśniać podnieconymi głosami. W dali, na tle gasnącego dnia i żółtych piasków, pojawiły się ciemne, poruszające się plamy. Była to karawana.

Karawana. Cóż to za niesamowite widowisko! Kilkaset wielbłądów i kilkudziesięciu ludzi, bagaże, namioty... Akurat stawali na nocleg. Podjechaliśmy do najbardziej okazałego z namiotów. Zatrzymaliśmy się przed nim. Moi towarzysze podróży zsiadli z wielbłądów i szybko przebrali się w pasiaste, niebieskie, otwarte po bokach, długie i szerokie tuniki, które nazywali gandurami. Okryli ściśle twarze, tak że widać było jedynie czubki głów. Domyśliłem się, że pewnie się tak stroją, bo w tym okazałym namiocie mieszka jakaś ważna osoba. I tak było! Ale... posłuchajcie! Nie uwierzycie! Z namiotu wyszła młoda i ładna... niewiasta! Okazało się, że to ona prowadzi karawanę! Jakże żałowałem, że nie ma ze mną Nowickiego. Ty zawsze, Tadku, podobałeś się kobietom. Może by nas dzięki tobie wypuścili?

Tymczasem zaczęła się ceremonia powitania. Nie przesadzę, jeśli powiem, że trwała dobrą godzinę. Zauważyłem też, że niektóre zdania powtarzano kilkakrotnie. Później miałem się dowiedzieć, że wymianę uprzejmości i informacji powtarza się dziesięć razy. Ponieważ wiedziałem,

ojcze, że zbierasz ciekawostki z życia różnych ludów, starałem się dotrzeć do treści powitania. Otóż, brzmiało ono mniej więcej tak:

— Witaj — rozpoczęli moi znajomi.

— Witajcie! — odrzekła kobieta.

— Pozdrawiamy cię.

— I wam pozdrowienia!

— Jak przebiega podróż?

— Dobrze! A jak wam się wiedzie?

— Wszystko w porządku! Jak się mają ludzie?

— Z łaski Allacha wszyscy zdrowi.

— A więc Jemu dzięki! — odpowiedzieli. — A czy wielbłądy dają dużo mleka? — kontynuowali z grzecznym zainteresowaniem.

— O wiele za mało!

— Palmy dobrze obrodziły?

— Wystarczy! Gdzie ostatnio padał deszcz? — To akurat uznałem za najważniejsze na pustyni pytanie.

— Nie słyszeliśmy. Wszędzie susza — odpowiedzieli.

I tak w kółko kilka razy. Pod koniec powitalnej rozmowy rzekli do niej:

— Oby Allah przedłużył twe życie.

— A wam niech da błogosławieństwo w dzieciach.

— Niech nam Allah drogę rozjaśni — zakończyli tę osobliwą ceremonię.

Czułem się jak Turek na kazaniu w kościele. W końcu kobieta spojrzała na mnie. Mierzyła mnie wzrokiem uważnie, od stóp do głów. I ja nie spuszczałem z niej oczu. I tak gapiliśmy się dość długo... Potem przerwała milczenie i zaczęła mówić. Znowu w jej wypowiedzi powtarzało się słowo „*marabut*”. Oczywiście niczego nie rozumiałem. Przywołała jakiegoś młodzieńca, który znał dobrze, ale jak się okazało, język francuski. Zabrał mnie do swego namiotu, przed którym płonęło maleńkie, pełne żaru ognisko. Parzył nad nim herbatę.

Muszę przyznać, że się zniecierpliwiłem. Musiałem bowiem uczestniczyć w następnej ceremonii. Jak on celebrował przygotowanie tej herbaty! Siedziałem, podobnie jak jego herbata, niczym na rozżarzonych węglach. Tymczasem mężczyzna przelewał napar kilkadziesiąt razy z kubka do kubka. Lał z dużej wysokości, a mimo to nie uronił ani kropli. I milczał...

Zdenerwowany, próbowałem mu przerwać, ale zapatrzony w herbatę, nie zwracał na mnie uwagi. Długo trwało, zanim uznał, iż wywar jest gotowy. Rozlał go do dwu kubków, odsłonił swoją błękitną twarz i poczęstował mnie.

To było strasznie mocne! Nie przesadzę, jeśli powiem, że zwykła herbata zakręciła mi w głowie. Na szczęście wypilem tę herbatę. Odmowa, jak się później dowiedziałem, byłaby śmiertelną obrazą. Wyjaśniono mi też potem, że z tej pierwszej, najmocniejszej części można zrezygnować. Kobiety bowiem i dzieci piją dopiero po drugim lub trzecim zaparzeniu. No cóż, wolałem jednak, by nie zaliczali mnie do bab, jak ty byś powiedział, Tadku. Po tej próbie uznali mnie za prawdziwego mężczyznę. Ale o tym wszystkim dowiedziałem się dopiero po wielu, wielu dniach podróży od Ugzana, bo takie imię nosił mój opiekun. Dowiedziałem się też w czyich rękach jestem i kto to jest „*marabut*”...

## PRZEWODNIK

Któregoś dnia tuż przed świtem i wyruszeniem w dalszą drogę znalazłem się w pobliżu czoła karawany. Panował jeszcze nocny chłód, ale było jasno. Ujrzałem tych, którzy nas prowadzili. Było ich czterech. Trójka młodszych ze szczególnym szacunkiem odnosiła się do najstarszego.

Jak widzicie, powoli pozyskiwałem zaufanie moich towarzyszy podróży i cieszyłem się dość sporą swobodą. Miałem nawet „*własnego*” wielbłąda. Był to młody dromader kawaleryjski, zwany mehari. Mówili mi, że potrafi przebiec bez wody przeszło tysiąc kilometrów, więc o połowę więcej niż zwykły wielbłąd. Ale po takiej wędrówce, w ciągu dziesięciu minut może pochłonąć więcej niż sto litrów wody!

Jak już mówiłem, podjechałem bliżej czoła, by przyjrzeć się ceremonii ruszania karawany w drogę. Najstarszy z przewodników siedział na swym jednogarnym wierzchowcu, pozostali stali wokół niego. Puścił on wodze i obracał zwierzę w różne strony, kierując kolanami. Badał chyba kierunek leciutkiego podmuchu. Kręcił przy tym głową, to pochylając ją nisko, to podnosząc wysoko. Nieruchomiał co chwila wraz ze zwierzęciem, jakby nasłuchując, i głęboko wciągał wtedy powietrze...

Wreszcie wskazał kierunek i ruszyliśmy.

Po chwili jeden z młodszych przewodników zaintonował pieśń. Refren powtarzali chyba wszyscy. Monotonny, dostosowany do kroku wielbłądów

śpiew urzekł mnie. Znowu przypomniał mi się, ojczyzna, dziecinny dom i pieśni, które przed snem śpiewała mi mama. Tak było bezpiecznie wtedy zasypiać! Ciebie często wieczorami nie było w domu, boś zajęty był patriotyczną robotą. Gdy o ciebie pytałem, mama odpowiadała mi zawsze, że są ważniejsze sprawy, niż ja i ona, niż dom rodzinny. A także, że kiedyś sam poznam te sprawy i będę z ciebie dumny.

Później, kiedy już potrafiłem się jako tako porozumieć z moim opiekunem po francusku, zapytałem o treść tej pieśni. Po wielu próbach wyjaśniania zaczynałem rozumieć. Była to właściwie rozmowa między oczekującą swego ukochanego dziewczyną a podążającym do niej przez pustynię oblubieńcem. Czekająca dziewczyna powtarzała refren: „*A gdzieżeś jest, mój ty umiłowany wielbłądzie*”. Kobiety z tego plemienia takim bowiem, najczulszym z komplementów, obdarzają swych wybrańców.

Bo nie wiem czy już o tym wspominałem, ale przynajmniej pod jednym względem panuje tam matriarchat. To znaczy, kobieta wybiera sobie męża, nie zaś odwrotnie. Mężczyźni, podobnie jak u Arabów kobiety, chodzą z przysłoniętymi twarzami. Oj, Tadku, widzę przerażenie na twoim obliczu. Nie martw się jednak. Moi towarzysze nie byli bynajmniej pantoflarzami! To prawdziwi, dzielni mężczyźni! Przekonałem się o tym na własne oczy...

Ale wracajmy do pieśni. Drugi z jej refrenów to słowa pędzącego przez bezkres pustyni oblubieńca. Śpiewał on: „*Daj mi wielbłąda, siodło i namiot, a będę szczęśliwy*”. Pieśń była długa, bo narzeczony zabłądził na pustyni. Miał jedynie nieco wody i trzy daktyle, zwane przez miejscowych „*chlebem pustyni*”. Jeden daktyl może służyć za pożywienie przez trzy dni. Pierwszego dnia koczownik zjada skórkę, drugiego — mięsz, trzeciego zaś kruszy pestkę i popija ją wodą. Do tragedii oczywiście nie doszło, po wielu perypetiach para zakochanych spotkała się wreszcie i obok swej chaty posadziła pestkę ostatniego daktyla, by wyrosła z niej wspaniała palma, świadek ich szczęścia.

Pieśń trwała... Jechałem tuż za przewodnikami karawany, uważnie obserwując zachowanie najstarszego. Co jakiś czas przystawał na moment, podawano mu garść piasku, który wachał! Gdy zaś wjechaliśmy na hamadę, uważnie badał kształt czy wielkość kamyków, po czym wskazywał dalszą drogę. Wydawało się, że w rozpoznaniu właściwego kierunku pomaga mu zwłaszcza dotyk, węch i smak, nie zaś wzrok! Zdumiało mnie to do tego stopnia, że zacząłem go bardzo pilnie obserwować. Podjechałem najbliżej, jak

się dało. Staralem się przyjrzeć jego starczej twarzy. Wydawało mi się, że prowadzi karawanę, mając zamknięte oczy.

Kiedy stanęliśmy na południowy odpoczynek, przyjrzałem się jeszcze uważniej. Kochani! Nie uwierzycie, ale to święta prawda! Przewodnik był niewidomy! Ślepy! I rzeczywiście rozpoznawał drogę po zapachu piasku, podmuchu wiatru, pozycji słońca w różnych porach dnia i kształcie kamyczków. Nie mogłem uwierzyć! Na którymś z kolejnych postojów wyjął z zanadrza woreczek i rozsypał dziesiątki niewielkich kamieni. Brał je do ręki, obmacywał, wachał, ba, niektóre smakował i określał obszar Sahary, z którego pochodzą. A ja wziąłem patyk i rysowałem te miejsca na piasku. Czy jeszcze pamiętasz ojciec naszą ulubioną grę? Wynajdywanie na mapach w atlasie różnych geograficznych nazw? Teraz bardzo mi się to przydało! Przystudiowałem przecież przed wyjazdem arabskie określenia różnych miejsc w Egipcie i na Saharze.

Wprowadziłem tym pustynnych przewodników w niekłamany zachwyty. I znów usłyszałem: „*marabut*”. Przyznam, że miałem już tego dosyć...

Tak czy inaczej wciąż jednak nie była to jeszcze najbardziej niewiarygodna z przygód, które przeżyłem, podczas mojej długiej wędrówki.

## O SKORPIONACH I TUAREGACH

Kończył się kolejny dzień i rozkładaliśmy się na nocleg. Leżałem na piasku, a mój opiekun kończył obrzęd parzenia herbaty. Spokojnie płonęło ognisko i wtedy właśnie zaczęliśmy rozmawiać. Rozumieliśmy się bowiem coraz lepiej. Dowiedziałem się, że jestem w rękach Tuaregów<sup>1097</sup>, koczujących górali z północy.

„*Mój*” Tuareg, o dźwięcznym imieniu Ugzan, parzył więc swój napar, a mniej szlachetne czynności pełnił jego służący, którego nazywał harratinem. Początkowo myślałem, że to imię. Później okazało się, że Tuaregowie, podobnie jak Hindusi, dzielą się na kasty. Ugzan należał do najwyższej: był hodowcą wielbłądów. Niższą warstwę stanowili owi harratinowie, najniżej zaś stali czarni niewolnicy.

---

<sup>1097</sup> — Tuaregowie — koczownicze plemiona pochodzenia berberyjskiego zamieszkujące środkową Saharę. Trudnią się pasterstwem, handlem i rzemiosłem. W czasach, gdy toczy się akcja powieści, niewiele o nich było wiadomo.

Odpoczywaliśmy pod skałą. Ugzan ściągnął właśnie tagelmust, czyli czarny zawój zakrywający twarz i głowę. Nie wiem czy już opowiadałem, że Tuaregowie, a właściwie tylko hodowcy wielbłądów i wojownicy, nosili długie, powłóczyste, czarno–błękitne lub białe szaty. Zakrywali też twarze, zaś ich kobiety nie czyniły tego nigdy... Przedziwne są ludzkie obyczaje i tradycje, prawda?

Pod zawojem twarz Ugzana była błękitna! Wiem, że bardzo was to intryguje, zresztą tak samo jak intrygowało mnie. Uśmiechasz się, Tadku, niedowierzająco... Jednak naprawdę, ich twarze były błękitne! Przynajmniej tak długo dopóki ich nie umyli! Okazało się wtedy, że mają jasną karnację skóry. Do dziś nie wiem, jak uzyskiwali ten niesamowity błękitny odcień. Przypuszczam jednak, że od barwnika, którym nasycają tkaninę zawojów i ubiorów<sup>1098</sup>.

Tak więc leżeliśmy wtedy na piasku i porozumiewali się po trosze na migi, po trosze za pomocą pojedynczych słów francuskich. Ugzan opowiadał o swoich. Jeżeli nie rozumiałem, powtarzał wiele razy, pokazywał na migi. Tak mijały minuty. Nagle wydało mi się, że poza zasięgiem blasku ogniska coś wypełza spod pobliskiej skały. Najpierw myślałem, że mi się przywidziało. Ale nie!

Z piachu wygrzebywał się potwornych rozmiarów skorpion<sup>1099</sup>. Wiem, że zwykle ruszają one na łowy wieczorem. Ten trzymał swój groźny ogon wygięty łukowato do przodu, a więc wyraźnie atakował! Ruszył w kierunku Uzgana. Nie przypuszczacie nawet, jakie to szybkie stworzenie! Nie było czasu do namysłu. Skoczyłem w kierunku Tuarega i obcasem buta wdeptałem skorpiona w piach. Skorpion zdążył jeszcze uderzyć kolcem umieszczonym na końcu ogona w mój but. Nogę na szczęście chroniła cholewa z solidnej skóry. Gdybym zdjął wówczas buty, nie rozmawialibyśmy teraz ze sobą. Jad skorpiona bywa bowiem bardzo trujący.

Ugzan zerwał się przerażony. Wziął moją reakcję za atak, ale gdy popatrzył z bliska, zbladł. Potem spojrział na mnie z podziwem, pokręcił głową i znowu rzekł:

---

<sup>1098</sup> — Tak było rzeczywiście, a ów barwnik to indygo otrzymywane z liści indygowca — tropikalnej rośliny.

<sup>1099</sup> — Skorpion chwytą ofiarę kleszczami, a w razie oporu poraża ją jadem, umieszczonym w maleńkiej banieczce w kolcu na końcu ogona. Opisany tutaj skorpion jest typowy dla Sahary.



— Marabut! O! Marabut!!!

Od tej chwili nasze kontakty stały się o wiele bliższe i żywsze. Nawet dogadać się było łatwiej. A mnie wciąż nurtowało jedno tylko pytanie: za kogo oni mnie biorą? Czemu nazywają mnie marabutem?

Pokazałem na siebie, mówiąc:

— Marabut? Marabut? — i rozłożyłem ręce. Milczał.

Potem piliśmy herbatę, pojadali daktyle... I wreszcie coś pękło. Ugzan zaczął mówić.

Najpierw o karawanie.

Narysował na piasku wschodzące i zachodzące słońce, by w ten sposób określić kierunki na swej mapie. Potem postawił punkt, który nazwał Ahaggar<sup>1100</sup>. Zrozumiałem, że chodzi o jego rodzinne strony.

— Tuareg — Ahaggar — powtarzał, pokazując na siebie i na punkt naniesiony na piaskową mapę. Później począł szkicować marszrutę ich karawany. Nigdy się nie dowiedziałem, dlaczego wybrali taką okreśną drogę. W każdym razie z rodzinnych gór ruszyli na wschód i przez Ghak oraz Mursuk dotarli do oazy Siwa, by później zmienić kierunek na południowy i przez Farafra i Dachel dojść do oazy Charge, gdzie wkroczyli na jeden z najbardziej znanych pustynnych szlaków<sup>1101</sup>.

Widzę, Tadku, że zaczynam cię tak nudzić tymi nazwami, jak niegdyś Sally opowiadaniem o egipskich zabytkach. Wiem, że najlepiej byłoby pokazywać to wszystko na mapie, ale pozwólcie mi się pochwalić! Wszystkie te nazwy nie były mi obce, dzięki twoim, ojcze, egzaminom z geografii. Mogłem nawet uzupełniać relację „*mojego*” Tuarega, co go tak zdumiało, że znowu powtórzył, patrząc na mnie w zadumie, kilka razy:

— Marabut! Ho! Ho! Marabut! Odczułem, że rośnie mój autorytet...

## MARABUT

Zacieśniała się także moja przyjaźń z Ugzanem. Spróbowałem więc ponowić prośbę o uwolnienie. Chciałem, by mnie zostawili w którejś z oaz.

---

<sup>1100</sup> — Ahaggar (Haggar) — masyw górski w centralnej Saharze (obecnie Algieria), najwyższy szczyt Tahat — 3300 m.

<sup>1101</sup> — Prowadził z Asjut przez oazy Charga, Selima, Bir Natrum do Der Fur w południowo-zachodnim Sudanie. Nazywany był przez Arabów „*Derb el Arabain*” — drogą czterdziestu dni. Znany faraonom i biblijnemu królowi Salomonowi, który sprowadzał nim złoto i drzewo na budowę świątyni jerozolimskiej.

Przecież mijaliśmy ich sporo po drodze. Mnie nie pozwolono jednak wjechać do żadnej. Zostawałem w rozbitym w pobliżu obozie i byłem strzeżony tak pilnie, że nawet nie próbowałem ucieczki. Zażądałem rozmowy z ową kobietą, szefem karawany. Wciąż zresztą dziwiłem się, dlaczego właśnie ona pełniła tę funkcję. Ugzan wyjaśnił to bardzo prosto. Była żoną przywódcy ich klanu, zwanego amenokai, który zmarł w pobliżu oazy Siwa. Dlaczego jednak ona, a nie żaden z mężczyzn, do dziś nie rozumiem.

Rozmowa nic nie pomogła. Kobieta wysłuchiwała mnie uważnie, a potem odmówiła mi, powtarzając owo sakramentalne słowo:

— Marabut!

Miałem tego doprawdy dość! Uprowadzono mnie w nieznane, z dnia na dzień posuwałem się na południe, w głąb Afryki, na dodatek nie wiadomo, w jakim celu. Zacząłem bez przerwy zadawać Ugzanowi wciąż to samo pytanie.

— Marabut — mówiłem — ptak. Marabut, ja — wskazywałem na siebie i dodawałem — dlaczego!?

Widzę, Janie, że się uśmiechasz. Domyśliłeś się, o co chodzi. Dziękuję, że znając odpowiedź, nie przerwałeś mojej opowieści. Teraz i ja wiem, że niegdyś taką nazwę nadawano w islamie wojownikowi poległemu w świętej wojnie. Dziś muzułmanie przyznają tę godność ascetom, wędrującym mnichom lub pustelnikom. No, Tadku, nie śmieję się! I dla mnie dziś też jest to zabawne, ale wtedy? Cóż bowiem wspólnego mogłem mieć z ptakiem albo z muzułmańskim zakonikiem? Pytałem więc ciągle Ugzana:

— Dlaczego? Dlaczego właśnie ja?!

Odpowiedź była bardzo prosta. Otóż od kilku lat w rodzinnych stronach Tuaregów mieszka dziwny Europejczyk, zwany przez nich „*marabudem*”. Nie mam pojęcia, kim jest, oprócz tego, że wiem, iż czyni wiele dobrego. Ulepił sobie dom z suchego błota i trzciny. Mieszka w nim, przyjmuje wielu ludzi, czasem nawet leczy. Dzieli się tym, co ma i jest pobożny. Ugzan podkreślił też, że „*marabut*” ułatwia kontakty z „*dzikimi poganami*”, jak Tuaregowie nazywają Francuzów i wszystkich Europejczyków<sup>1102</sup>. Zauważyłem w opisie

---

<sup>1102</sup> — Chodzi o francuskiego misjonarza, Karola de Foucauld (1858–1916). W młodości był oficerem, potem w 1904 r. osiadł jako pustelnik na Saharze, właśnie wśród Tuaregów. Ułożył m.in. słownik francusko-tuareski i tuaresko-francuski, zebrał i przetłumaczył poezje, opowiadania i przysłowia tuareskie.

owego człowieka, który mieszka wśród Tuaregów, wiele zabobonnego niemal zachwytu, lęku i ciekawości.

— No dobrze — powiedziałem do Ugzana. — Dlaczego więc mnie także nazywacie marabutem?

No i wytłumaczył mi! Otóż ów francuski „*marabut*” mieszka wśród Tuaregów, ale sąsiedniego plemienia. „*Moi*” także marzyli, by mieć swojego „*marabuta*”. Kiedy znaleźli mnie na pustyni, uznali to za dar niebios. Ponadto jestem ponoć do tamtego podobny.

No, no, dobrze wam się śmiać! Jeżeli zostałem honorowym członkiem plemienia Apaczów, to czemu u licha nie mieliby mnie przyjąć Tuaregowie?

## WALKA ROZBÓJNIKÓW

I tak z konieczności stawałem się powoli człowiekiem pustyni. Nabierałem obyczajów Tuaregów. Jak oni zacząłem nosić na twarzy zawój, tak dobrze chroniący przed pyłem i żarem. Dotarliśmy, jak się zorientowałem, w okolice oazy Selima, gdzieś na wysokości między drugą a trzecią kataraktą Nilu. Przewodnik raz po raz wciągał powietrze, a Ugzan twierdził, że czuć zapach wody. Nawet zwierzęta jakby przyspieszyły tempo. Zauważyłem również, że od kilku dni Tuaregowie stali się ostrożniejsi. Przodem wysyłali kogoś na zwiady, nosili w pogotowiu broń, gęściej rozstawiali nocne straże.

Był poranek, typowy na pustyni. Nad naszymi głowami przeleciało właśnie stado stepówek. Podobne do gołębi, mignęły brązowo–czarno–żółtymi końcami piór, a mnie zalała wprost tęsknota. Przypomniały mi się warszawskie gołębie i ich hodowcy, moi koledzy ze szkoły. Stepówki przemknęły nad nami w kierunku Nilu, a ja zdziwiłem się nieco, że nikt do nich nie strzelił. Ich smaczne mięso urozmaiciłoby przecież jednostajną, daktylowo–mleczną dietę.

To, co wydarzyło się później, trwało szybciej chyba niż moje opowiadanie. Zanim wzeszło słońce, było po wszystkim... Karawana Tuaregów chyba przestała istnieć...

Oto na wysokiej wydmie przed nami ukazała się postać na dromaderze, odziana w piękne szaty. Jak się później okazało, była to kobieta. Doszedł mnie jej przeraźliwy, wibrujący, powtórzony kilkakrotnie okrzyk:

— Lilli–lilli–lu!

Zanim jeszcze zdołałem się dokładnie rozejrzeć, pojawiły się tumany pyłu i kurzu wzniesione przez szarżujących konno wojowników. W dzikim szale i pędzie byli przerażający. Coś krzyczeli. Myślałem, że to okrzyk bojowy, ale ze zdumieniem zrozumiałem, że szyderczo nas pozdrawiają, wrzeszcząc:

— *Salem alejkum* — a to przecież znaczy „pokój z wami”. Chyba że chodziło im o pokój śmierci.

Nie zastanawiałem się nad tym, bo zostałem zaatakowany. Z pyłu wyłonił się jeździec, dosiadający jakiegoś potężnego ogiera. Szarżował wprost na mnie. Jakim cudem uniknąłem rzuconej z ogromną siłą lancy, nie mam pojęcia. Zareagowałem raczej instynktownie na sam zamach jego ramienia. Dzida wbiła się w piach tuż za mną. Chwyciłem ją, by się jakoś uzbroić i kątem oka zauważyłem, że przeciwnik ciska we mnie drugą. I tej zdołałem uniknąć. Wyrwaną z ziemi lancą zasłoniłem się przed ciosem pałasza, zadany z taką siłą, że zdrętwiały mi ręce. Co było dalej? Nie pamiętam dokładnie, sam nie wiem... Ale uratowałem się chyba dzięki sprawności fizycznej i surowemu trybowi życia, jaki od lat prowadzę...

Najpierw jednak, opowiem o czymś, co może was i rozśmieszy. Wykonałem jakiś przedziwny skok i utkwiał mi w głowie jeden tylko szczegół. To było jak jakiś błysk, który pozostał w pamięci. W ułamku sekundy zobaczyłem strzemień. Dlaczego to takie dziwne? Dlatego, że nie spoczywała w nim stopa, a jedynie duży palec u stopy jeźdźca. Widzę, że coś wam to przypomina. Mnie tylko śmieszy, że pamiętam tak drobny szczegół.

W jaki sposób schwyciłem mojego przeciwnika w tym moim skoku, nie wiem. W każdym razie obaj znaleźliśmy się na piasku, w pyłe i kurzu. On wylądował na plecach, ja, szczęśliwie, na nim. Chwyciłem go za gardło, by zdusić i obezwładnić. Przeciwnik wyraźnie słabł i zwycięstwo było bliskie, gdy poczułem nagle ból w skroni i straciłem przytomność...

Po pewnym czasie podniosłem głowę i pomyślałem, że jestem w raju. Zniknęła pustynia. Szumiała woda rzeki, a tutaj mógł to być tylko Nil. Wzdłuż brzegu rozciągały się żyzne pola uprawne i gaje. Urządzenia nawadniające pracowały, obficie niosąc życiodajny płyn.

Nad pełnymi zieleni wyspami wrzeszczały rozmaite ptaki. Znowu zobaczyłem stepówki. Nadleciały stadem nad rzekę i pikując w dół,

nurkowały. Wesóło mknęły, popychane wiatrem, feluki. Przy brzegu pasły się wielbłądy i konie.

Gdzieś czytałem czy słyszałem, że jeśli obok siebie spotyka się jeźdźców na koniach i wielbłądach, to widomy znak tego, że jesteśmy w okolicach środkowego Nilu, piątej katarakty i Berberu. Tak też było!

Z zachwytem patrzyłem na ten raj. Ale zachwyt trwał tylko chwilę. Poczułem dotkliwy ból, a gdy chciałem ustalić, w którym miejscu mam guza, okazało się, że ręce mam związane. Wokół siedzieli jacyś czarni ludzie... Kim byli? Okazało się, że to sudańskie plemię Asz Sza'ikija — rozbójnicy pustyni.

Byłem więc jeńcem wojennym i łupem zdobytym w czasie napaści na karawanę Tuaregów. Co się z nimi stało, co stało się z zaprzyjaźnionym Ugzanem, nie wiem... Moim nowym zdobywcą próbowałem tłumaczyć, że jestem ważną osobistością. Rozumieli mnie doskonale, bo co najmniej kilku z nich dobrze mówiło po angielsku. Niezbyt jednak wierzyli moim zapewnieniom. Nazajutrz wywieźli mnie w głąb Pustyni Nubijskiej.

## PROPOZYCJA

Cały czas byłem dyskretnie pilnowany. Co ze mną zamierzali zrobić Sza'ikijczycy? Powiedzieli, że sprawdzą moją relację. Zbyt mi jednak nie ufali. Jeżeli bowiem mówiłem prawdę, to mogłem zaświadczyć o ich barbarzyńskim napadzie na Tuaregów. Jeśli kłamałem, to byłem po prostu kimś, kto z nimi walczył.

Czekając, obserwowałem więc ich codzienne życie i robiłem notatki. Dzieci zbierały na pustyni osty, cięły je i mieszały z bydlęcym nawozem, susząc na słońcu. Tak uformowane kawałki służyły potem za opał. Starsi czyścili wełnę i mieszając ją z włóknami palmowymi, szyli różne ubiory. Kobiety zajmowały się wyrabianiem produktów mlecznych, między innymi smakowitych serów.

Któregoś wieczora, przed jakimś świętem czy zawodami, połączonymi z targiem, zewsząd zaczęli zjeżdżać goście. Miałem nadzieję, że uda mi się zaplątać i uciec. Ale i tym razem nic z tego nie wyszło. Dlaczego? Zaraz o tym opowiem.

Wyszedłem na górujące nad okolicą wzgórze. Była przedwieczorna cisza i bezruch. Zza jakiegoś krzaka wyskoczył nagle zając. Wypłoszyli go szakal, który ruszył za nim w pogoń, ale szybko zrezygnował i zawrócił.

Niespodziewanie w dali pojawił się obłok kurzu, z którego po pewnym czasie poczęły wyłaniać się postacie dwóch jeźdźców.

„*Jeszcze jacyś spóźnieni goście*” — pomyślałem. Powoli zbliżali się do mnie. Obserwowałem ich cały czas, gdy moją uwagę zwrócił znów ruch w pobliżu. Szarak, przepłoszony przez szakala, zatoczywszy koło, wracał ostrożnie do swej kryjówki. Na to tylko czekał zaczajony wróg. Kilka szybkich susów i dokonał się jeszcze jeden dramat pustyni.

W międzyczasie jeźdźcy znacznie się zbliżyli. Jeden zauważył mnie i pokazał drugiemu, po czym zaczęli wspinać się na wzgórze. Stałem z odkrytą głową, czekając aż podjadą. Twarze mieli ukryte pod zawojami, ale oczy obu wydały mi się znajome. Kiedy mnie zobaczyli, spojrzeli po sobie.

— Witajcie — powiedziałem po angielsku i zaraz dodałem: — *Salem alejkum*.

Nie odpowiedzieli. Gwałtownie pognali wielbłądy i na łeb na szyję popędzili w dół. Zdziwiony ruszyłem ich śladem.

W osadzie panowało ogromne poruszenie. Okazało się, że przybył „*człowiek z Północy*”, uważany tu za ważną osobistość. Nie mogłem spać tej nocy. Nie mogłem sobie przypomnieć skąd mogę znać oczy tamtych ludzi!

Nazajutrz przydzielono mi strażników. Krok w krok chodziło za mną dwu młodych, uzbrojonych ludzi...

... Nie wiem, czy słyszeliście, że o osle mówi się tutaj, że ma „*południe w gardle*”. Ryczy właśnie dokładnie o dwunastej! Ponieważ jest to jednocześnie znak południowej modlitwy mahometan, nazywają oni osła „*panem muezzinem*”. Tego dnia zaraz po modlitwie rozpoczęły się zabawy. Plac otoczyli ludzie. Pojawili się muzykanci z piszczałkami i bębenkami. W środku stanęli odświętnie ubrani jeźdźcy. Gwar na chwilę umilkł, gdy na plac wkroczyła starszyzna i najdostojniejsi z gości. Byli wśród nich dwaj ludzie, jak się okazało, doskonale mi znani: Harry’ego, mistrza w posługiwaniu się korbaczem, znałem aż za dobrze ze statku; co do drugiego, przez chwilę miałem wątpliwości, ale skojarzyłem oczy z twarzą, która tak bardzo wryła mi się w pamięć na pustyni. To był ten człowiek, który mienił się władcą Doliny. Tu go nazywano „*człowiekiem z Północy*”. Podeszedł ku mnie i spojrzął z góry.

Powoli podniosłem głowę i uśmiechając się, powiedziałem:

— Spotykamy się jednak... Czy i tym razem po raz ostatni? Milczał. Z nieruchomego oblicza trudno było cokolwiek wyczytać. Zagrała muzyka i rozpoczęły się popisy. Konie, sprawnie kierowane przez jeźdźców, tańczyły w zmiennym rytmie. Poruszały się wolniej, szybciej, to naprzód, to w tył, to w bok... Stawały na tylnych nogach, krążyły w miejscu... Cóż to było za widowisko! Musiałem jednak pamiętać o mojej niebezpiecznej sytuacji. Musiałem chwycić się jakiegoś desperackiego pomysłu. W kieszeniach miałem nieco zaoszczędzonych daktyli I spory bukłak z wodą. Nil nie był daleko, wystarczyło jechać na zachód...

Konkurs wkrótce się skończył. Rozpoczęto targ. Widzowie wybrali konia — zwycięzcę. Jego cena natychmiast wzrosła. Niektórzy już rozpoczęli licytację, gdy na arenie pojawił się jeszcze jeden wierzchowiec. Był to prześliczny dongolański ogier, bardzo jeszcze młody i dziki. Wyraźnie wystraszony na widok tyłu ludzi i chyba jeszcze nie ujeżdżony. Czyżby szykowano kolejny pokaz?

Okazało się, że tak. Jakiś młody Sza'ikijczyk miał przekonać konia, że wygodniej mu będzie z ciężarem na grzbiecie... Z trudem założono wierzchowcowi siodło i uzdę. Rozwiązano spętane przednie kończyny. Był gotów do walki. Nieco z boku do tej samej walki przygotowywał się młodzieniec. Przyszła mi do głowy szaleńcza myśl. Podszedłem do starszyny:

— *Salem alejkum* — zacząłem.

— *Alejkum* — odpowiedzieli nieufnie.

— W moim kraju — rzekłem — uchodzę za znawcę koni. Pozwólcie mi spróbować zmierzyć się z tym.

Roześmiali się.

W tym momencie włączył się ich honorowy gość, „człowiek z Północy”. Nie powiedział ani słowa. Wykonał jedynie lekki gest ręką i głową. Mogłem wsiąść na konia. Najwięcej trudności miałem ze strzemionami. Musiałem ściągnąć buty, bo w każdym ze strzemion mieścił się jedynie duży palec stopy. Koń zadrzał pode mną. Mocniej chwyciłem cugle... Nie będę wam opisywał szczegółowo tego, co dobrze znacie. W każdym razie, w jakimś momencie ogier zdecydował się na galop. I o to mi właśnie chodziło. Udało mi się go skierować na zachód. Ruszył! Kątem oka zauważyłem jednak, że

„faraon” nie dał się oszukać. Niemal natychmiast popędziło za mną kilkunastu znakomitych jeźdźców.

Nie chciałem zajeździć konia. Zawróciłem wraz z asystą do osady. Na placu zeskoczyłem z konia i nogi ugięły się pode mną. Usiadłem na piasku i założyłem sfatygowane buty. Odpoczywałem, gdy podszedł do mnie naczelnik osady:

- Pan chce z tobą rozmawiać — rzekł niepewnie.
- Kto? — zdziwiłem się.
- Pan — powtórzył i dodał wyjaśniająco: — „Człowiek z Północy”.
- To niech przyjdzie — odrzekłem.

Nie zamierzał słuchać. Skinął na strażników. Jeden z nich delikatnie pchnął mnie lancą. Nie było sensu się opierać...

Nigdy nie odgadlibyście, co stało się dalej. Oto „faraon”, wyobraźcie sobie, złożył mi propozycję. Znakomitą angielszczyzną powiedział ni to do mnie, ni do siebie:

— Komendant Wszystkich Wierzchowców Jego Majestatu. Nie zrozumiałem.

— Będiesz komendantem kawalerii faraona — powtórzył zniecierpliwiony.

Jakąż ideą był opętany ten człowiek, którego wszyscy tak się bali? Powinniście tego wysłuchać uważnie. Chciał oto stworzyć, wolne od panowania białych, państwo na wzór starożytnego Egiptu, chciał wskrzesić czasy faraonów. Tylko niektórzy z białych, wybrani, mieliby prawo pełnić ważne funkcje. Mnie przysługiwałby starożytny tytuł, odpowiadający dzisiejszemu ministerstwu spraw wojskowych. Nie miałem już wątpliwości. Był szaleńcem! Szaleńcem bardzo zdolnym, a więc bardzo niebezpiecznym!

Stanowczo odmówiłem.

— Będiesz miał wiele czasu, by się zastanowić — odparł obojętnie i już odwrócił się do Harry’ego, nakazując mu gestem, by stanął do licytacji. Towarem miał być ujeżdżony przeze mnie ogier.

Właściciel zaproponował cenę: dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

- Dam sto — odparł Harry.
- Za takiego ogiera! Młody, wytrwały, dzielny — zachwalał właściciel.
- Ale dla ciebie opuszczę do dwustu dwudziestu.
- Masz tu sto dwadzieścia.



- Słowo się rzekło — rzekł właściciel. — Dwieście.
- Mówiliśmy sto pięćdziesiąt — zaproponował Harry.
- Mówiliśmy sto osiemdziesiąt!
- Słowo mężczyzny, sto sześćdziesiąt!
- Słowo mężczyzny, sto siedemdziesiąt!
- Zgoda. Sto sześćdziesiąt pięć!
- Niech będzie sto sześćdziesiąt pięć.

Opowiadam to tak dokładnie, żebyście zrozumieli, jak należy się targować z ludźmi Wschodu. Poza tym wszystko dokładnie rozumiałem, bo targowano się po angielsku, a liczby dotyczyły bardzo starego środka płatniczego, jakim są w Sudanie muszelki kauri<sup>1103</sup>. I oczywiście, Harry zapłacił kilkoma pękami tych muszelek, a resztę banknotami.

## TAJEMNICA POSĄŻKA

Wiem, wiem, że wszyscy na to czekacie! Obejrzyjmy jeszcze raz posążek. Tak, macie rację! Nie jest ze złota...

... O, nie, mylisz się, Tadku, nie jest również pusty w środku. A więc, kochana moja Sally, nie zawiera także magicznych zaklęć...

Poznałem tajemnicę tej figurki wtedy, gdy byłem już więźniem na wraku parostatku.

Nie będę wam opowiadał szczegółów mojej podróży. Doznałem wielu upokorzeń, choć „faraon” wielokrotnie ponawiał swoją propozycję. Nie mogłem jej przyjąć. Nie pozwalał mi na to mój honor i moja godność...

Ostatnia z takich rozmów toczyła się w kajucie „faraona”. Wezwał mnie tam. Gdy wszedłem, gestem wyprosił strażników i zostaliśmy sami. Siedział wyprostowany w fotelu, z taką powagą jakby to był tron i bawił się posążkiem.

— Odrzucasz wszystkie moje propozycje — powiedział z wolna. Milczałem.

— Widzisz ten posążek? — postawił go na stole. — Jest potrzebny angielskiemu bogaczowi do kompletu. Goniłeś za nim ty i twoi przyjaciele...

Milczałem nadal...

---

<sup>1103</sup> — Muszelki kauri przywożone do Afryki ze Wschodu, były od XI wieku stałym środkiem płatniczym w Sudanie. Później do użytku weszły banknoty, ale jeszcze w 1911 r. za nabyty towar płacono częściowo tymi muszelkami. Koń kosztował od 60 do 120 tysięcy muszelek.

Nie spodziewał się odpowiedzi.

— Żaden kraj nie ma takiej historii jak mój! I znów uczynię go wielkim!  
— podniósł głos, a ja po raz kolejny upewniłem się o jego szaleństwie.

— Przy mnie i ze mną możesz stać się sławny! — uśmiechnął się. —  
Takie jest życzenie bogów... Dlatego zdradzę ci coś, co będzie świadczyło o  
mojej życzliwości. Zdradzę ci tajemnicę posążka.

Tym obudził moje zainteresowanie. Tak długo byłem przecież ciekaw,  
podobnie jak wy, dlaczego oderwał go od złotej tacki!

— Weź go do ręki! — zachęcił mnie łaskawym gestem. To było  
silniejsze ode mnie. Sięgnąłem po posążek.

— Nie wydaje ci się za lekki jak na złoto? Mimowolnie skinąłem głową.  
Uśmiechnął się.

— Zapewne wiesz, kogo przedstawia? Zapewne myślisz, że  
Tutanchamona? — zawiesił głos. — Nieprawda — stwierdził spokojnie. —  
To ja.

Gdybym nawet chciał, nie zdołałbym czegokolwiek powiedzieć. Był  
szalony!

— Wiesz, przecież kim jestem! Jestem faraonem z żelaza — wstał. —  
Posążek pozłożono tylko z zewnątrz, ale wykonano z żelaza.

... Widzę, Sally, że zaczynasz rozumieć! No, no, nie rób takiej miny,  
Tadku. Zaraz wszystko wyjaśnię!... „*Faraon*” tłumaczył dalej.

— Gdybyś znał historię Egiptu, wiedziałbyś, iż uważa się, że w czasach  
Tutanchamona nie znano żelaza. A więc... wielkie odkrycie!

Byłem poruszony. Moglibyśmy być autorami archeologicznej sensacji,  
moglibyśmy się stać sławni.

— Jeśli będziesz ze mną współpracował, pozwolę ci wrócić do Europy z  
posążkiem... zawiesił wyczekująco głos.

Milczałem. Jakże ogromna była pokusa! Jeśli mówi prawdę... Długo w  
milczeniu patrzyłem mu w oczy.

Nie, jemu nie mógłbym się sprzedać! Nie mógłbym się zaprzedać złu.  
Nawet za cenę wolności, pieniędzy i sławy! Nawet dla wielkiego celu!  
Powiedziałem:

— Nie! „*Faraon*” usiadł.

— Wobec tego spotkamy się na rozprawie — odrzekł spokojnie. Odtąd  
czekałem na śmierć. Aż tu nagle wy spadliście dosłownie z nieba!

— Ech, brachu! — przeciągle powiedział Nowicki w głębokiej ciszy. — Ale opowiadasz! Zawsze mówiłem, że powinieneś wierszyska pisać!

\* \* \*

Ostatnią noc podróży statkiem Tomasz spędził z ojcem na pokładzie. Mieli sobie wiele do powiedzenia. Obu ogarnęła tak samo silnie fala smutku i tęsknota za przeszłością, rodziną, krajem...

— O czym myślisz, ojcze? — spytał Tomasz.

— O walce... O tym, że całe moje życie jest walką. I że taki sam los zgotowałem tobie.

— Sam go wybrałem, ojcze. I wierzę, że nie na darmo. Wrócimy kiedyś razem do Polski.

— Czasem w to wątpię — smutek brzmiał w głosie Wilmowskiego.

— Ja nie wątpię nigdy!

— Ty... Może wrócisz. Jesteś jeszcze młody...

— Nie mów tak. Wrócimy razem, ojcze. I to już niedługo.

Przed świtem dołączyli do nich Sally i Nowicki. Marynarz wskazał na blednące i różowiejące na wschodzie niebo.

— Ech! Słońce wszędzie wschodzi inaczej. Ale najpiękniej u nas, na Powiślu...

Sally zaś, uśmiechając się tajemniczo, powiedziała:

— Moi drodzy! Znowu śnił mi się Ozyrys...

— No i... — Nowicki nie pozwolił jej dokończyć i aż się wstrząsnął na samo wspomnienie snu o Ozyrysie.

— No i nic! — żartobliwie przekomarzała się z nim Sally. — Uśmiechał się po prostu.

W rozmowę niespodziewanie włączył się Smuga, który pałac swą fajkę, przysłuchiwał im się już od dłuższej chwili.

— A nie przyszło wam do głowy... — zaczął z namysłem i przerwał.

— Co takiego? — zaciekał się Tomasz.

— Czy nie przyszło wam do głowy, że „faraon” uciekł?

Pytanie zawisło nad nimi jak miecz. Inne napłynęło najcichszym szeptem, niczym echo dawno wypowiedzianych słów:

„Czy znasz historię Egiptu? Nie chcesz ze mną mówić...”



# SPIS TREŚCI

<b>TOMEK W TARAPATACH</b>	<b>1</b>
WSTĘP	3
TOMEK WYRUSZA Z NOWEGO JORKU	5
TAJEMNICA PANA BROWNA	11
O CZYM PISAŁ PAN BROWN	15
ZNIKNIĘCIE PANA BROWNA	19
CZEGO PRZESTRASZYLI SIĘ LUDOŻERCY	25
I CO DALEJ MAŁY LUDOŻERCO?	29
WYPRAWA	33
PIERWSZE STARCIE	39
U STÓP KILIMANDŻARO	45
POLOWANIE NA LWY	49
NA ŚCIEŻCE SŁONI	57
W WIOSCE PIGMEJÓW	69
SERCE TOMKA	79
FOTOGRAFOWANIE ZWIERZĄT	87
TOMEK ZDOBYWA SŁAWĘ	91
<b>TOMEK W KRAINIE KANGURÓW</b>	<b>95</b>
ZEMSTA	97
TAJEMNICZY GOŚĆ	107
SPOTKANIE Z OJCEM	119
NIESPODZIANKI NA „ALIGATORZE”	129
WRÓŻBITA Z PORT SAIDU	139
CEJLOŃSKI SŁOŃ I BENGALSKI TYGRYS	151
MIĘDZY CYKLONEM A KŁAMI TYGRYSA	159
DORADCA Z MELBOURNE	169
PIONIERZY AUSTRALIJCY	179
OPÓR KRAJOWCÓW	189
WIELKIE ŁOWY NA KANGURY	203
WYPRAWA NA DZIKIE DINGO	221
OPOWIEŚĆ O PAWLE STRZELECKIM	233
W BURZY PIASKOWEJ	243
IDŹCIE STĄD PRECZ NATYCHMIAST	255
POLOWANIE W POBLIŻU FARMY ALLANA	265
ZAGUBIENI W SKROBIE	277
NIEMY PRZYJACIEL	289
POSZUKIWACZE ZŁOTA I BUSZRENDŻERZY	299
POMOC NADCHODZI	315
NA GÓRZE KOŚCIUSZKI	329
TAJEMNICA STAREGO O’DONELLA	341
<b>TOMEK NA CZARNYM ŁĄDZIE</b>	<b>351</b>
NIEZWYKŁE SAFARI	355
PRZYGOTOWANIA DO WYPRAWY	363

W DRODZE DO NAIROBI	371
NOCNY STRZAŁ	381
WITAJ, KIRANGOZI	389
POLOWANIE NA LWY	405
CZARNE OKO	421
BOSMAN POKAZUJE PAZURY	435
OPÓR MURZYNÓW	447
TAJEMNICZY NAPAD	459
U ŹRÓDEŁ NILU BIAŁEGO	473
ZASADZKA	487
NA DWORZE KABAKI BUGANDY	497
CIEŃ TSE–TSE	509
W MROKU DŻUNGLI	521
LEŚNI LUDZIE	531
ŁOWY NA GORYLE	543
NAJNIŻSI LUDZIE ŚWIATA	555
NA TROPIE OKAPI	565
ŻELAZNE PAZURY	573
KLĘSKA I ZWYCIĘSTWO	583
POLOWANIE NA SŁONIE I ŻYRAFY	593
ZAKOŃCZENIE	611
<b>TOMEK NA WOJENNEJ ŚCIEŻCE</b>	<b>615</b>
NIEOCZEKIWANY NAPAD	617
BIAŁY I CZERWONY BRAT	627
TROJE PRZYJACIÓŁ	637
TAJEMNICA MŁODEGO NAWAJA	645
UCIECZKA	659
GROŹNY CIEŃ	669
W REZERWACIE MESCALERO APACZÓW	679
POLOWANIE NA ORŁY	691
RODEO	703
DZIESIĘCIOMILOWY WYŚCIG	715
PORWANIE	729
POGOŃ I NARADA	739
GÓRA ZNAKÓW	749
ZAGUBIONY KANION	763
NIEFORTUNNA WYPRAWA BOSMANA	775
PRZY PALU MĘCZARNI	785
TANIEC DUCHA	797
NA WOJENNEJ ŚCIEŻCE	805
PIERWSZY ŚLAD	813
PUEBLO ZUNI	825
WOJENNY FORTEL	835
W DRODZE DO VERA CRUZ	853
<b>TOMEK NA TROPACH YETI</b>	<b>861</b>
PROLOG — TROPY ŚNIEŻNEGO CZŁOWIEKA	863
CZŁOWIEK Z BLIŻNĄ	873
POCHÓD SŁONI	887

DOMEK W DŻUNGLI	903
MAHARADŻA ALWARU	915
POLOWANIE NA TYGRYSY	931
TAJEMNICE INDYJSKICH FAKIRÓW	945
KRADZIEŻ PIERŚCIENIA	959
PANDIT DAVASARMAN	971
W DRODZE DO SZRINAGARU	983
W AZJATYCKIEJ WENECJI	997
MROŻNE TCHNIENIE TYBETU	1005
KLASZTOR W HEMIS	1017
NOC TAJEMNIC	1031
GNIAZDO ROZBÓJNIKÓW	1049
PODEJRZANY ORSZAK WESELNY	1073
POŚCIG I WALKA	1087
MIASTO POCHŁONIĘTE PRZEZ PUSTYNIĘ	1097
CHIŃSKA UCZTA I ZŁA WIADOMOŚĆ	1111
WIELKA PRZEGRANA	1121
CIEŃ LEGENDARNEGO YETI	1135
ZAKOŃCZENIE — POWITANIE WSCHODU SŁOŃCA	1155
<b>TAJEMNICZA WYPRAWA TOMKA</b>	<b>1159</b>
W TAJDZE	1161
SYBERYJSKIE POLOWANIE	1175
OKO W OKO Z TYGRYSEM	1185
BOSMAN W OPAŁACH	1195
KAPITAN NIEKRASOW	1209
NA AMURSKIM STATKU	1219
W PUŁAPCE	1233
FU CZAU	1249
ŚNIEŻNA PANTERA	1259
WALKA Z MIEDZIANOBRODYMAMI	1271
WŚRÓD BURIATÓW	1283
KORZEŃ ZRODZONY Z PIORUNU	1293
SYBERYJSKI LEGION WOLNYCH POLAKÓW	1303
GROŻNE OSTRZEŻENIE	1317
POJEDYNEK	1329
PAWŁOW	1347
W KRAJU JAKUTÓW	1355
CIĘŻKA PRÓBA	1369
POGRZEB ZESŁAŃCA	1379
GNIEW BOGA OGNI A BŁYSKAWIC	1391
NIEOCZEKIWANA POMOC	1407
CZY DAVASARMAN NIE ZAWIEDZIE	1419
<b>TOMEK WŚRÓD ŁOWCÓW GŁÓW</b>	<b>1423</b>
PROLOG: ISLA DE LA MALA GENTE	1425
SPOTKANIE W SYDNEY	1435
CZY SALLY ZWYCIĘŻY?	1447
PRZYGOTOWANIA DO WYPRAWY	1459
O WŁOS OD ŚMIERCI	1469

PIRACI MÓRZ POŁUDNIOWYCH	1481
KAPITAN NOWICKI ATAKUJE	1493
PRZEWODNIK Z PLEMENIA MAFULU	1505
U WRÓT NIEZNANEJ KRAINY	1515
TCHNIENIE DŻUNGLI	1525
TAJEMNE „MOCE”	1535
DOLINA SŁOŃCA	1547
LUDZIE I PÓŁBOGOWIE	1557
ŁOWY NA RAJSKIE PTAKI	1571
JESZCZE KROK, A ZGINIESZ!	1583
CZERWONY RAJSKI PTAK	1595
PODSTĘPNY CIOS	1605
ŁOWCY GŁÓW	1615
OSTATNIE ŻYCZENIE SALLY	1627
ZAKOŃCZENIE WYPRAWY	1637
EPILOG	1649
<b>TOMEK U ŹRÓDEŁ AMAZONKI</b>	<b>1651</b>
PROLOG — NAPAD O ŚWICIE	1653
PEDRO ALVAREZ ATAKUJE!	1659
NA TROPIE ZDRADY	1667
SPOTKANIE Z INDIANAMI TIKUNA	1679
NA RIO PUTUMAYO	1691
ŁOWCY GŁÓW	1699
TCHNIENIE ŚMIERCI	1713
UPIORNY LAS	1725
TOMEK PRZYBYWA DO BRAZYLII	1733
NA AMAZONCE	1743
SPOTKANIE Z PRZYJACIÓŁMI	1753
NOCNA WYPRAWA	1765
DRAMATYCZNA WALKA	1779
W OBOZIE ZBIERACZY KAUCZUKU	1791
POLACY W BRAZYLII	1803
CUBEO — CZYLI „LUDZIE, KTÓRYCH NIE MA”	1815
POŻEGNALNA UCZTA	1827
KRAJ ŻŁOTA I SŁOŃCA	1837
UMIERAJĄCY KAMPA	1851
DROGA DO RUIN MIASTA	1863
GNIEW BOGÓW	1875
KRWAWA OFIARA	1887
ZAKOŃCZENIE — UCIECZKA	1897
<b>TOMEK W GRAN CHACO</b>	<b>1905</b>
OJCIEC I SYN	1907
OKO W OKO Z PUMĄ	1911
NARADA PRZYJACIÓŁ	1923
SYN SŁOŃCA	1933
NOC ZŁYCH DUCHÓW	1943
UCIECZKA	1955
W TROPIKALNYM LESIE	1965



NA RZECE	1975
ROZDROŻA	1989
ŁUNA NAD DŻUNGŁĄ	2001
PABLO	2017
CORRERIA	2027
MIASTO KRÓLÓW	2039
HIOBOWE WIEŚCI	2055
W DRODZE DO BOLIWII	2069
PRZEZ KORDYLIERY	2079
OSTATNI POCIĄG Z LA PAZ	2091
WIELKI CZAROWNIK	2101
KRAINA WIELKICH ŁOWÓW	2117
NAPAD PIRATÓW	2131
ROZKAZ GENERAŁA	2147
EPILOG	2157
<b>TOMEK W GROBOWCACH FARAONÓW</b>	<b>2161</b>
NOC POD PIRAMIDAMI	2163
W KAIRZE	2177
NIEZWYKŁE SPOTKANIA	2187
WYPRAWA W PRZESZŁOŚĆ	2201
WAŻNE ROZMOWY	2217
PATRYK W BABILONIE	2227
NARADA PRZYJACIÓŁ	2239
W GÓRĘ NILU	2249
DRAMAT W BLASKU SŁOŃCA	2257
NOCNY NAPAD	2269
CHWILE GROZY	2281
ZJAWY	2299
W SZPONACH PUSTYNI	2307
CZWARTY POSĄŻEK	2321
PRZYBYWA SMUGA	2329
POSZUKIWANIA	2343
U WRÓT POŁUDNIA	2353
MAKBARAH	2365
ŚLADAMI POSZUKIWACZY ŹRÓDEŁ NILU	2373
W MURZYŃSKIEJ WIOSCE	2389
ROZGRYWKA Z CZAROWNIKIEM	2401
POLOWANIE NA LWA LUDOJADA	2415
ROZPRAWA	2427
<b>OPOWIEŚĆ TOMKA</b>	<b>2445</b>
PORWANIE PORWANEGO	2445
KARAWANA	2447
PRZEWODNIK	2449
O SKORPIONACH I TUAREGACH	2451
MARABUT	2453
WALKA ROZBÓJNIKÓW	2455
PROPOZYCJA	2457
TAJEMNICA POSĄŻKA	2461
<b>SPIS TREŚCI</b>	<b>2465</b>